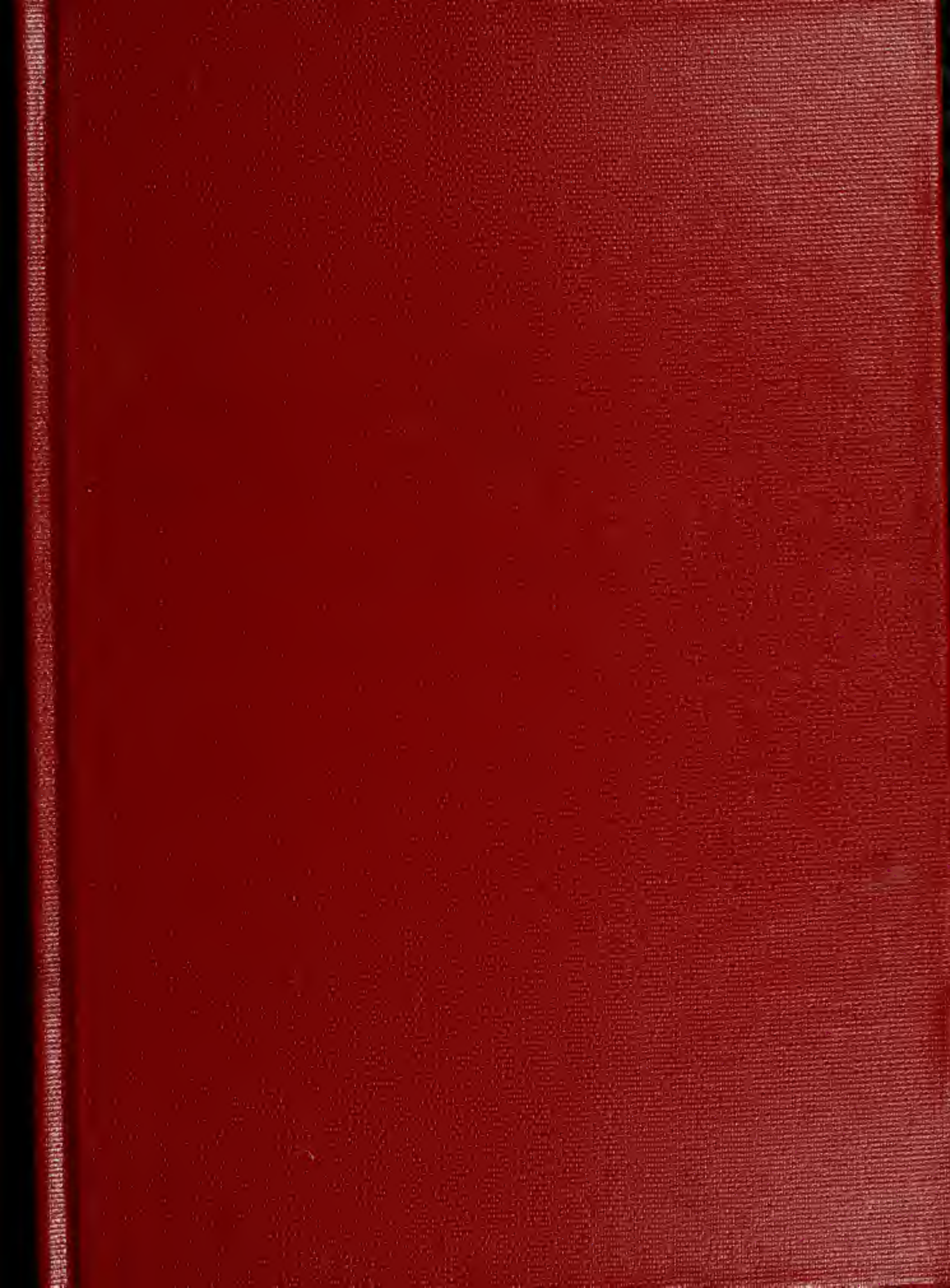


KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA.

KSIĄŻKA JUBILEUSZOWA

DLA UCZCZENIA

PIĘĆDZIESIĘCIOLETNIÉJ

DZIAŁALNOŚCI LITERACKIÉJ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.
DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki, Nr. 3.

1880.

Дозволено Цензурою.

Варшава 16 Сентября 1879 г.

CZCIGODNY JUBILACIE!

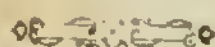
Półwiekowa Twa praca literacka, świetna talentem znakomitym i ożywiona duchem najzacniejszym, niezrównany, pożytek naszemu społeczeństwu przyniosła: wzbogaciwszy piśmiennictwo ojczyste utworami wielkiéj wartości, pociągnąłeś ogół ku niemu, zachęciłeś go do czytania; a poruszając w pismach swoich zagadnienia najżywotniejsze, jak społeczne, tak i moralne, sprostowałeś wiele fałszywych wyobrażeń, obaliłeś wiele przesądów, nauczyłeś pojmować obowiązki i miłować dobro powszechne, rozjaśniłeś nie jeden umysł i nie jedno serce podniosłeś. Nie na tém wszakże koniec Twych zasług: za przykładem i przewodem Twoim chwalebnym, za Twą podnietą i zachętą serdeczną, w ciągu lat pięćdziesięciu coraz to więcéj pracowników na niwę literacką występowało i coraz to bogatsze i piękniejsze plony ją okrywały; a jeżeli żaden jéj zagon już nie leży dzisiaj ugorem, to przeważnie z Twojéj przyczyny,—bo gdy po smutném zaniedbaniu, nowa się na niéj rozpoczęła uprawa, Tyś ledwie nie na każdym odłogu sam najpierwszą skibę zaorał. W miarę zaś ożywiania się ruchu umysłowego, w miarę rozrostu piśmiennictwa i czytelnictwa, przybywały nam coraz nowe drukarnie, sił większych nabierały dawniejsze, zjawiali się nowi nakładcy, rozwijał się handel księgarski, powstawały wciąż nowe wydawnictwa, przynoszące coraz obfitsze przedsiębiercom korzyści. Gdy zaś z dawnéj gromadki czytelników tak liczna ich rzesza zczasem urosła i łaknienie strawy duchowéj tak się bardzo w niéj wzmogło, iż same księgi już go zaspokoić nie były zdolne; prassa nasza peryodyczna, przed czterdziestu kilku laty jeszcze tak słaba i uboga pod każdym względem, rozrastając się coraz bujniéj i piękniéj, doszła wreszcie do tego stanu, w jakim ją dziś widzimy: a wątpimy, czy którabądź polska drukarnia nie miała, dzięki Tobie, zajęcia; czy którybądź wydawca firmy swéj nie ozdobił Twojém imieniem; czy ktorebądź pismo peryodyczne najdzielniejszego w Tobie nie znalazło współpracownika. Na uwieńczenie zaś tego wszystkiego, Sameś, dostojny jubilacie, odznaczył się nie tylko, jako znakomity re-

daktor, jako wydawca dzieł wysokiéj wartości, lecz i jako drukarz niepospolity, traktujący swój zawód, nie jak proste rzemiosło, lecz jako kunszt prawdziwy, i wznowić w nim pragnący tradycye Aldów i Elzewirów.

Całe więc społeczeństwo oświecone, wszyscy, którzy w jakibądź sposób ze sprawami piśmiennictwa się wiążą i z pożytkiem dla siebie na pożytek jego pracują, winni są Ci wdzięczność najżywszą. Wyrazem téj wdzięczności, oraz pamiątką jéj dla czasów potomnych, jest niniejsza „Książka jubileuszowa," siłami zbiorowemi przedstawicieli Twych dłużników wydana: w niej literaci składają Ci w hołdzie swą pracę; redakcye, wydawcy, drukarze i księgarze—nakład pospólny; czytelnicy zaś, ubiegający się o jéj posiadanie, z jednéj strony pragną Cię uczcić, zapisując swoje imiona na liście jéj prenumeratorów, z drugiej—przyczynić się choć w części do ulżenia Twych trosk i trudów, których już tyle w Swojém życiu zaznałeś, i do zapewnienia Ci spokoju i swobody umysłu, abyś mógł jeszcze długie lata dla dobra i dla chwały społeczeństwa Swego pracować.

Redaktorowie, współpracownicy i wydawcy książki jubileuszowej.

Warszawa d. 3 Października 1879 r.



SPIS RYCIN

ze wskazaniem stronic, do których się odnoszą w życiorysie.

SPIS RZECZY.

WSTĘP.

Oddając w ręce czcigodnego jubilata i publiczności niniejszą księgę pamiątkową, uważamy za rzecz konieczną zapisać na jéj kartach historyą jéj powstania i wykonania, jako téż imiona tych ludzi, którzy w jaki bądź sposób dopomogli nam do spełnienia naszych zamiarów.

Pierwsza myśl uczczenia J. I. Kraszewskiego przez wydanie na rzecz jego *Książki zbiorowéj*, poruszoną była jeszcze w roku 1877 przez Adama Pługa w redakcyi „Kłosów,“ gdzie téż odbyła się pierwsza narada prawie wszystkich przedstawicieli prassy Warszawskiéj, którzy, zgodziwszy się w zasadzie na pomieniony wniosek, uchwalili, aby p. p. Karol Kucz, Edward Leo, Adam Pług i Wacław Szymanowski zajęli się zwołaniem drugiego zgromadzenia, mającego już ostatecznie projektowane wydawnictwo zatwierdzić, oraz komitet redakcyjny zorganizować.

Drugie to zgromadzenie odbyło się dopiero w dniu 2 Stycznia 1878 roku. Na niém najpierwiéj wzięto pod rozwagę plan książki, która według projektu, ogłoszonego po odbyciu pierwszéj narady w Nr. 638 „Kłosów,“ miała być złożona z utworów najcelniejszych pisarzy i przyozdobiona illustracyami najsławniéjszych artystów naszych, z dodaniem życiorysu, portretu, oraz medalu jubilata. Nie odrzucając tego planu, uczęstnicy narady nad tém się jedynie zastanawiali, jak wykonać go, nie narażając się na niezmierny napływ artykułów małéj wartości, i z jakich mianowicie utworów książkę ułożyć, żeby nie była zbieraniną beż żadnego ładu i składu, ale miała cechę wybitną i stała się ponętną dla czytelników. Wiele wniosków podnoszono w téj mierze, między innemi zaś professor Struve przypomniał, ogłoszony w jednym z dzienników, wkrótce po uchwaleniu już w Warszawie książki zbiorowéj, projekt Teodora Tomasza Jeża, który wzywał kolegów literatów, „aby każdy z nich coś o Kraszewskim napisał, biorąc do pisania treść bądź ze stosunków bezpośrednich lub pośrednich, jakie z nim kiedy miał, bądź téż z innych źródeł, np. z wrażeń, jakie wywarł na niego ten lub ów utwor niezmordowanego pracownika.“—Oparłszy się na tym projekcie, professor Struve podał wniosek, aby zamiast artykułów luźnych i różnobarwnych, złożyć książkę jubileuszową z szeregu studyów systematycznych, ogarniających cały zakres pięćdziesięcioletnéj działalności tego pisarza; co zgromadzenie zatwierdziwszy większością głosów, w ślad w tém przystąpiło do wyboru komitetu redakcyjnego, do którego powołani zostali: p. p. Piotr Chmielowski, Kazimierz Kaszewski, Wincenty Korotyński, Tadeusz Korzon, prof. Henryk Lewestam, Alexander Oskierka, prof. Adolf Pawiński, Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), Hipolit Skimborowicz, prof. Henryk Struve, i Kazimierz Władysław Wójcicki.

Komitet redakcyjny rozpoczął czynność swoję w dniu 11 Stycznia tegoż roku, i po dwóch posiedzeniach program książki zatwierdził, powierzywszy jego zredagowanie p. Wincentemu Korotyńskiemu.

Następnie komitet redakcyjny, któremu pan Gracyan Unger oświadczył, że „Książkę Jubileuszową“ gotów jest wydrukować bezpłatnie, zaprosił na naradę redaktorów, wydawców, drukarzy i księgarzy Warszawskich, i zawiadomiwszy ich o szlachetnéj ofierze p. Ungra, zwrócił się do nich z propozycyą, aby się przyczynili do pokrycia kosztu papieru oraz wszystkich innych wydatków, odnoszących się do tego przedsięwzięcia, którego celem z jednéj strony jest złożenie hołdu jubilatowi od przedstawicieli tych wszystkich, którzy w jaki bądź sposób, czy moralny, czy to materyalny, do

rozwoju piśmiennictwa się przykładają i pożytek z niego odnoszą,— z drugiéj zaś powiększenie tego funduszu, który zebrać się może z edycyi jubileuszowéj wyborowych pism Kraszewskiego, przedsięwziętéj przez p. Ungra. Zgromadzenie jednomyślnie i jednogłośnie propozycyą komitetu przyjęło, ofiarowawszy nakład na trzy tysiące exemplarzy w objętości do 40-stu arkuszy, bracia zaś Orgelbrandowie wzięli nadto na siebie druk bezpłatny prospektu, ułożonego przez prof. Lewestama, a p. Lewental druk programmatu.

„Książka tedy Jubileuszowa“ składać się miała: 1) Z obszernego życiorysu jubilata; 2) Z obrazu półwiekowéj jego działalności literackiéj, to jest ze studyów nad utworami jego, uszykowanemi w następujące szeregi: *a*) powieści, *b*) pisma wierszem epiczne i liryczne, *c*) dramata, *d*) filozofia, *e*) dziejopisarstwo, *f*) podróże, *g*) krytyka literacka, *h*) prace z dziedziny artystycznéj i archeologii, *i*) publicystyka, *k*) wydawnictwa literackie, *l*) drukarstwo i edytorstwo; 3) Z artykułów odosobnionych, odnoszących się do stosunków jego życiowych; 4) Z wyczerpującéj bibliografii dzieł jego i pism ulotnych. Illustracye składać się miały z portretów jubilata w różnych epokach jego życia, z wizerunków miejsc, upamiętnionych dłuższym jego pobytem, oraz z portretów jego babki, prababki i rodziców. — Medalu zaniechano, uważając go za zbyteczny, w obec uchwalonych już we Lwowie i Dreźnie.

Komitet redakcyjny starał się, o ile mógł, jak najlepiéj plan swój wypełnić i miał nadzieję, że już druk książki w Marcu rozpocznie; ale artykuły napływały bardzo powolnie i ledwie w końcu Maja mogły być oddane pod prassę, i to jeszcze nie wszystkie, bo każdy z nich członkowie redakcyi postanowili odczytywać *in gremio*, na co aż pięćdziesiąt posiedzeń trzeba było poświęcić. Tymczasem liczba pronumeratorów tak wzrosła, iż wypadło o 1,500 exemplarzy nakład powiększyć, koszt na to przeznaczając z przedpłaty. I tego wszakże było jeszcze zamało, gdy bowiem przyszło do nkładu listy przedpłacicieli, znalazło się ich około pięciu tysięcy; lubo więc już w trzeciéj części „Książka jubileuszowa“ była wydrukowaną, postanowiono jeszcze tysiąc exemplarzy przyczynić, zdecydowawszy się na powtórne wydanie początkowych arkuszy.

Nie na tém wszakże koniec redakcyjnych kłopotów: wobec ogromu materyału, niesposób było ściśle się obrachować z rękopismami, zwłaszcza nie mając ich wszystkich pod ręką przy rozpoczęciu druku; skutkiem czego, zbliżając się do końca, spostrzerzono, że gdyby wszystkie prace, przez komitet przyjęte, miały być w książce ogłoszone, to wyniosłyby zamiast 40, 46 arkuszy, na coby niestarczyła zamówiona ilość papieru; gdyby zaś, ulegając konieczności fatalnéj, redakcya się zdecydowała na użycie odmiennego gatunku, to z jednéj strony byłoby niepodobna skończyć druku w czasie właściwym, z drugiéj zaś zrobiłby się wielki uszczerbek w funduszu owacyjnym, bacząc zwłaszcza na cenę książki, w stosunku nawet do 40 arkuszy, nizką już niesłychanie. Nadto zaś, ponieważ już okładki, obliczone na objętość czterdziesto-arkuszową zostały w znaczuéj części przygotowane, w razie więc powiększenia téj objętości, wypadłoby innemi je zastąpić i kilkaset rubli stracić daremnie.

W skutek tego, w ostatniéj chwili plan książki uległ pewnéj modyfikacyi, bo z żalem i przykrością niezmierną komitet redakcyjny musiał zrzec się ogłoszenia prac kilku, które w programmacie szły na ostatku, i na które z tego właśnie powodu nie starczyło miejsca i czasu, mianowicie zaś całego działu artykułów odosobnionych, jak np. *Szkoły w Białéj Radziwiłłowskiéj* i czteroletni w nich pobyt Józefa Ignacego Kraszewskiego, p. Z. Glogera, *Kobieta Kraszewskiego*, studyum Jana Zacharyasiewicza, *Wspomnienia z pobytu Kraszewskiego w Warszawie* przez Alexandra Tyszyńskiego, oraz *Bibliografia* przez Hipolita Skimborowicza; jako też nadesłanych za późno, a ztąd i nieogłoszonych w prospekcie: *Kraszewski, jako pisarz ludowy* Dra Dobrzyckiego. i *Kraszewski, jako filantrop*, Justyna Wojewódzkiego. Spodziewamy się, że szanowni autorowie nam wybaczą to mimowolne przeciw nim wykroczenie; bo czytelnicy z równą przyjemnością, jak i w książce jubileuszowéj, prace ich powitają na innćm miejscu, pamiątka zaś ich hołdu dla jubilata pozostanie na zawsze w téj historyi wydawnictwa naszego.

Właściwie jednéj tylko bibliografii stała się przez to krzywda największa, która się i na książce naszéj odbija. Jakkolwiek bowiem dla ogółu publiczności mogła być ona obojętną, dziś zwłaszcza, gdy od czasu podania jéj projektu przez Zygmunta Glogera przed wszystkiemi innemi pomysłami uczczenia jubilata, już wydano aż trzy spisy tego rodzaju (Estrejcher, Nowolecki i En-

gestroem); ten wszelakoż miał być pełniejszym, gdyż obejmował nie tylko dzieła Kraszewskiego w książkach wydane, ale znaczną część pism jego po dziennikach porozpraszanych, jak naprzykład w Tygodniku Petersburskim, w Athenaeum Wileńskiém, Piśmiennictwie, Gazecie Porannéj, Bibliotece Warszawskiéj, Gazecie Warszawskiéj *), w Kłosach, Bluszczu, oraz w Tygodniku Illustrowanym. Byłby więc się znacznie przyczynił do uzupełnienia obrazu półwiekowéj działalności literackiéj naszego jubilata, i z tego téż powodu nad niemożnością umieszczenia jego w książce niniejszéj bolejemy najmocniéj, a tém bardziéj, że praca ta, nie nadająca się do pism peryodycznych, tylko osobno chyba ogłoszoną być może.

W końcu powinniśmy się jeszcze usprawiedliwić, ze słusznego zarzutu, jaki łatwo spotkać nas może, że książka ta, mająca być obrazem działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego od r. 1830 po 1880, tytułowi swemu nie odpowiada, bo nie tylko w niéj pominięta prawie zupełnie działalność jubilata publicystyczna, lecz nie tylko z ostatniego dziesięciolecia, które wydało do 80 powieści, ledwo ich dwadzieścia kilka wzięto pod rozbiór, zostawiwszy na boku takie, jak: *Złoty Jasieńko*, *Pałac i folwark*, *Sieroce dole*, *Kamienica w Długim Rynku*, *Połdyablę weneckie*, *Herod baba*, *Wielki nieznajomy*, *Niebieskie migdały*, *Król i Bondarywna*, *Żeliga*, *Krwawe znamię*, *Zygzaki*, *Sąsiedzi*, *Krzyżacy*, i t. p.; lecz nawet i w poprzednich okresach, o niektórych jak gdyby zapomniano. Owóż co do działalności publicystycznéj, było dla nas niepodobieństwem zebrać i ogarnąć cały zasób materyałów, do takiego studyum potrzebnych; co do powieści z ostatniego okresu, ilość ich jest tak wielka, i tak z każdym prawie miesiącem rośnie, iż nie mogliśmy dosyć pracowników zgromadzić do należytego ocenienia ich wszystkich, a sądziliśmy zresztą, że w poprzednich czterech okresach dosyć już o Kraszewskim, jako o powieściopisarzu, mówiono, ażeby talent jego z téj strony w całéj pełni został poznanym; szczerby zaś, jakie w tych okresach znaléźć się mogą, są tak drobne, iż bynajmniéj temu na przeszkodzie nie staną. Z jednego tylko uniewinnić się nie zdołamy, a mianowicie, żeśmy tu pominęli utwory jubilata dla dzieci i dla ludu, które, jakkolwiek małą cząstkę w jego pracy stanowią, zewszechmiar jednak na uwagę zasługiwały; ale przy takim ogromie materyałów, zaiste trudno było wszystkie w nim szczegóły ogarnąć.

Co do sposobu, w jakiśmy wykonali swe przedsięwzięcie, nie mniéj trudne, jak ważne, sąd o tém już nie do nas należy; tego tylko zataić nie możemy, że w ocenie utworów jubilata, pod pewnemi względami, braknie należytéj jednolitości, która niepodobną była do osiągnięcia w pracy zbiorowéj, gdzie każdy z pracowników chciał i miał prawo niepodległość zdania zachować, pod jedném tylko zastrzeżeniem sumienności i dobréj woli. Mniemamy jednak, że w ogólnym tonie dyssonansów rażących niéma; a jeśli on nie jest dość chwalczym, to jedynie dla tego, że nie szło nam o panegiryk, ale o szczerą i gruntowną ocenę talentu, pracy i zasługi tego pisarza, który tak już dobrze wypróbowany w ogniu krytyki najsurowszej, jakiéj mu nie szczędzono przez cały ciąg jego zawodu, iż najzimniejsze i najbezwzględniejsze zdanie o tych albo owych jego utworach, rozważanych z osobna, ogólnéj summy ich wartości nie zmniejszy i ustalonéj chwały jego zaćmić nie zdoła. Przeciwnie zaś, uwielbienie bezwarunkowe, osłanianie stron słabych, nieodłącznych od rzeczy ludzkich, ubliżyłoby zarówno nam, jak i jemu, i osłabiłoby znaczenie książki niniejszéj, która już sama przez się jest zaprawdę wymownym hołdem, a razem i dowodem niezbitym wiekopomnéj zasługi tego, kto ją wywołał i treści tak bogatéj do niéj dostarczył.

Dla uzupełnienia historyi tego wydawnictwa, pozostaje nam jeszcze zapisać tu nazwiska tych osób, którym ono byt swój zawdzięcza. Członków komitetu redakcyjnego wymieniliśmy wyżéj; współpracownicy podpisani pod swojemi artykułami; jeszcze więc dodamy tylko imiona pomocników naszych pośrednich i ofiarodawców nakładu. Do rzędu pierwszych zaliczamy: pp. Kajetana Kraszewskiego, Władysława Górskiego (Podolanina) i panią Wasiljewową, którzy autorowi życiorysu udzielili niezmiernie cennéj i bogatéj korrespondencyi Kraszewskiego; pana Andriollego, który umyślnie odbył podróż do Romanowa, żeby skopiować portrety rodziców jubilata; p. Marcina Olszyńskiego, pod którego opieką wszystkie illustracye wykonane zostały i któremuśmy winni wyszukanie planu domu przy ulicy Alexandryi i wskazówek do odtworzenia téj budowy, dziś już nieistniejącéj; oraz pana Witolda Małcużyńskiego, Adama Mieleszkę Maliszkiewicza, Lucyana i

---

*) Spisu rzeczy, zawartych w Gazecie Warszawskiéj, dokonał p. Czesław Jankowski. (Przyp. Red.)

Bogusława Kraszewskich, z których pierwszy wystarał się dla nas fotografii szkół Świsłockich i domku Hoferta, drugi zdjął z natury widok byłego domu jubilata w Żytomierzu, trzeci — widok Dołhego, ostatni zaś skopiował portrety pani Nowomiejskiéj i Malskiéj.

Do nakładców, oprócz wymienionego już wyżéj, pana Ungra, należą redakcye pism: Ateneum, Biblioteka Warszawska, Bluszcz, Echo, Ekonomista, Gazeta Handlowa, Gazeta Polska, Gazeta Warszawska, Izraelita, Kłosy, Kolce, Kronika Rodzinna, Kuryer Codzienny, Kuryer Poranny, Kuryer Warszawski, Przyjaciel Dzieci, Tygodnik Mód, Tygodnik Powszechny, Wędrowiec, Zdrowie, Zorza; oraz wydawcy, drukarze i księgarze warszawscy: Berger Józef, Gebethner i Wolff, Glücksberg Michał, Hösik Ferdynand, Kowalski Adolf, Lewental Salomon, Orgelbrand Maurycy, Orgelbrand Mieczysław, Orgelbrand Hipolit, Trenkler Henryk, Wende Edward. Z zamiejscowych: Wolff Maurycy z Petersburga, Zawadzki Felix z Wilna, Krzyżanowski T. A. z Krakowa, Czajkowski i Seyfarth, Gubrynowicz i Schmidt, Milikowski J., Richter F. H. i Wild K. ze Lwowa. O innych, zaproszonych do udziału przez kolegów warszawskich, nie wątpimy, że się przychylą, ale dotychczas nic pewnego o nich nie wiemy.

W końcu powinniśmy jeszcze zaznaczyć, że papiernia Mirkowska (braci Nathansonów), zniżyła dla nas cenę papieru; pan Michał Glücksberg trudnił się interesem z papiernią i zbieraniem funduszu nakładowego; wydawca *Kłosów* zajął się bezinteresownie przyjmowaniem prenumeraty i expedycyą tysiąca kilkuset exemplarzy „Książki Jubileuszowéj.“

Redakcya „Książki Jubileuszowéj.“

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

(ŻYCIORYS).



(z r. 1879).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

(ŻYCIORYS).

Zaszczytny, ale jakże trudny zarazém obowiązek na siebie wziąłem, pokusiwszy się o to, aby w rysie biograficznym skreślić wizerunek człowieka, co w półwiekowym swym zawodzie pisarskim, przez talent znakomity, wszechstronny, przez mnogość, rozmaitość i donioslość dzieł swoich, co raz żywsze budząc zajęcie, i co raz większą, co raz powszechniejszą wziętość zyskując, stał się nareszcie ukochaniem, chlubą i chwałą téj społeczności, wśród któréj tak wytrwale, z taką miłością, apostołując w imie prawdy, dobra i piękna, był jednym z najdzielniejszych czynników w rozwoju ducha dwóch pokoleń.

Zadanie to — tém trudniejsze jest dla mnie, iż je spełnić mam w chwili, gdy uznanie dla tego ulubieńca narodu doszło do najwyższéj swojéj potęgi, gdy od dwóch lat wszędy, gdzie tylko mowa nasza słyszeć się daje, imię jego codziennie powtarzają ledwie nie wszystkie usta, gdy wszyscy prawie o tém tylko myślą i radzą, jakim mu hołdem cześć i wdzięczność swoję okazać, czém jubileusz jego upamiętnić; gdy wreszcie mamy oto obchodzić *złote jego wesele*, półwiekową rocznicę uroczystą zaślubin jego duszy z duszą narodu, w sposób tak wspaniały i wzniosły, w jaki dotychczas w żadnym kraju, żaden z pisarzy nigdy jeszcze nie był uczczonym.

I jaż to mam być biografem tego tytana, i to w księdze, która jest przeznaczona dla uczczenia jego w dniu tak solennym; w księdze jedynéj w swym rodzaju, w któréj trzydziestu pracowników przyjąć udział musiało, aby podołać bodaj w części ogromowi zadania, jakiém była ocena bezprzykładnéj w dziejach literatury działalności tego pisarza; w księdze wreszcie, która, ze względu na swój wyjątkowy charakter, nie tylko dla naszéj społeczności, i nie tylko dla naszych czasów, lecz bez wątpienia i dla obcych, i dla przyszłych pokoleń będzie nieposlednie miała znaczenie, chociażby tylko jako ważny materyał do historyi piśmiennictwa polskiego.

Jakichże-to trzeba na to zdolności, ażeby godnie obowiązek ten spełnić, ażeby przedmiot tak poważny i ważny należycie zgłębić, ogarnąć i w najwłaściwszém a prawdziwém świetle przedstawić! Jak bystrego oka i biegłéj ręki, aby pochwycić i odtworzyć wiernie a sympatycznie, w szczegółach drobiazgowych, powszednich, wyraz tego oblicza, które w sercu i wyobraźni czytelników świeci, opromienione aureolą geniuszu, chwały i zasług.

Im ktoś jest bliższym, droższym sercu naszemu, tém zwykle wybredniejsi bywamy względem jego portretów, nieraz i w najtrafniejszych nie znajdując tych właśnie rysów, które dla nas najmilszą, a zarazem najwybitniejszą jego cechę stanowią. Słusznie zatém lękać się mogę, że wizerunek Kraszewskiego, nakreślony przezemnie, nie jednemu z wielbicieli jego żarliwych wydać się może całkowicie chybionym. Wprawdzie z mnogiéj ich rzeszy znaczna większość nie

widziała go w żywe oczy, a i z tych nawet, co nań z blizka patrzyli, bardzo nie wielu jest wtajemniczonych w całą koléj jego żywota każdy wszelako, kto go czytał, kto nawykł poddawać się wrażeniom, mistrzowstwem jego słowa wywoływanym: kochać, co on podał do ukochania, gardzić tém, co on okryć chciał wzgardą, śmiać się z tego, co mu się podobało ośmieszyć, walczyć, cierpieć, smucić się lub radować wespoły z tymi, dla kogo on chciał zjednać współczucie; każdy taki już niewątpliwie stworzył sobie jego obraz duchowy i oblókł go w pewne formy zewnętrzne, jakie za najstosowniejsze uznawał. A ponieważ prawdą jest niezawodną, iż każdy autor wciela w ulubionych swych bohaterów, jeśli nie całą swoję duszę, to jéj cząstkę najszlachetniejszą, i nieraz nawet odtwarza w nich własne swe dzieje; obraz więc taki może być z wielu względów dość trafnym, — nie omyli się, bowiem, kto np. w *Gustawie* z „Poety i Świat,“ w *Juliuszu* z „Pamiętników Nieznajomego,“ w *Stanisławie* z „Powieści bez tytułu,“ wreszcie w *panu Grabie* z „Dziwadeł“ zechce się dopatrywać stopniowego rozwoju uczuć, myśli i zasad ich autora; a tém bardziéj, kto nabierze o nich pojęcia bądź z „Wieczorów Wołyńskich,“ bądź też z innych pism jego w tym rodzaju, w których już wprost od siebie, własnemi usty wypowiada swe przekonania, składa swoje wyznanie wiary.

Zawsze jednak będzie to obraz idealny, daleki od zupełnéj zgody z rzeczywistością, jakiéj się wymaga po życiorysie; nie jest więc bezzasadną moja obawa, że na porównaniu z tym ideałem, utworzonym przez samych czytelników dzieł Kraszewskiego, wizerunek jego, który ja podam, bardzo wiele w oczach ich straci. Zresztą muszę przyznać się z góry, że, nawet pominąwszy ten szkopuł, nie śmiem ani zamarzyć, abym sprostał ważności przedsięwzięcia swojego, t. j., abym potrafił w taki sposób skreślić dzieje tego żywota, iżby z nich w całéj pełni prawdy i życia, z krwią i duchem sobie właściwym, mógł być poznanym i należycie ocenionym tak niepospolity i tak wyjątkowy zewszechmiar człowiek.

Jakkolwiek bowiem, dzięki nieocenionéj uprzejmości i zaufaniu p. Kajetana Kraszewskiego, oprócz ustnych relacyi, miałem od niego około pięciuset listów Józefa, pisywanych w przeciągu lat kilkudziesięciu do rodziców, babek i braci; jakkolwiek córka ś. p. Dycalpa (Placyda Jankowskiego) złożyła w moje ręce cenną korrespondencyą Kraszewskiego z jéj ojcem, a p. Władysław Górski z bogatego archiwum swego zaopatrzył mię w nie mniéj ważną z Konstantym Podwysockim; mimo to wszakże, mimo nawet osobiste stosunki z jubilatem i możność zasięgnięcia pewnych wskazówek u czcigodnej jego małżonki, widzę ze smutkiem, że tak, jakbym powinien był i pragnął, obrazu jego życia odmalować nie zdołam. W korrespondencyi bowiem rodzinnéj, szczególniéj z lat młodzieńczych, są bardzo znaczne luki, a tych ustnemi podaniami niéma komu zapełnić; bo żaden z braci, z których p. Lucyan młodszym jest od niego o lat siedm i pół, a p. Kajetan o piętnaście, wspólnie z nim się nie wychowywał. Z kolegów szkolnych jeden tylko p. Gloger, który z nim w Białéj, przez trzy lata zamieszkując pod jednym dachem, słuchał tychże co on wykładów, mógł coś niecoś o nim powiedzieć; to wszakże nie na korzyść, lecz wyszło mi raczéj na szkodę: opisane bowiem przez niego czasy Bialskie osobny ustęp w naszéj książce stanowią, i rad nie rad muszę o nich zamilczeć. Z kolegów zaś uniwersyteckich jedni się już w grobach pokładli, drudzy się po szerokim świecie rozbiegli i nie spotykamy dzisiaj żadnego z takich, którzy na jeden wydział i na jedne kursa z nim uczęszczali; z zamieszkałych bowiem w Warszawie, Hipolit Skimborowicz przybył do Wilna po zamknięciu Uniwersytetu, a Jan Turski był już na trzecim kursie, gdy on wstąpił na pierwszy; ani jeden więc, ani drugi nie byli w jego życie zblizka wtajemniczeni, i nie mieli zresztą żywszych pobudek do zajmowania się nim ze szczególną baczności, — bo i któż w Kleofasie Fakundzie Pasternaku a choćby i w autorze „Kościoła Świętomichalskiego“, mógł przeczuć tego męża znakomitego, którym się dzisiaj całe społeczeństwo polskie zaprząta, i przewidzieć, że najdrobniejszy szczegół, dotyczący jego żywota, urośnie kiedyś do znaczenia faktu ważnego?...

Sam nareszcie jubilat, na którego pozwalałem sobie liczyć najwięcéj, na zapytanie moje co do dat i wypadków niektórych, tak mi odpowiedział w jednym ze swoich listów: „Dat z mego życia (rzecz zaledwie do wiary, ale prawdziwa) doprawdybym nie mógł dziś podać ściśle. Miałem i mam taki wstręt do zajmowania się sobą, a tak mi było zawsze pilno, żem pogubił pamięć faktów, prócz głównych... Co powiesz na to? Z takim bólem jakimś patrzę na przeszłość swoję całą, tak ona nie odpowiada temu, co się marzyło, tak wszystko zwichnięte mi się wydaje, aż do działalności literackiéj; że gdy mnie kto zmusza znowu rozpatrywać się w tej przeszłości, boleść mi tem zadaje.“

Facsimile pisma J. I. Kraszewskiego z r. 1879.

Ze szkół Wileńskich Adam Czarnocki dał mi pierwszy zachęt do literatury. miał ogromne księgi wypisów polskich, które przejrzał. Z nim poznałem się z Wrodzinijum i Miclewiczem i starymi pisarzami. ale i w Romanowie czytano wiele i wszystko. Na studiach w Wilnie w tak zwanej Akademii była skrzynia prastarych książek. Do biblioteki literatury mało było.. w Świsłoczy Walicki wielce wpłynął na kierunek, na językowe studja. Dawał książki stare i dobre.

W Wilnie .. niepodobna dziś zresztą słowami wrażeń i robót. Medycyna, język arabski (znaw Hammerowie moje gramatyki arabskiej Volneya) [illegible] poezja. wszystkim [illegible]. Zacząłem tam Glosarjum starożytne języka polskiego...

Gdzie dziś podziać te krople rosy i promienie słońca, które roślinę wychowały..? Ja, dziś bolejąc nad tem i owem, nad kierunkiem nie tęsknię, jakbym dziś go żądał. Sztuka, czasu.. itp. odwracam się od przeszłości, bo mnie w niej dużo boli, a mało pociesza.

A inną znowu razą: „Zajęty ciągłą pracą, tak się nie liczyłem z własném życiem, że zapomniałem niemal wszystko. O sobie, Bóg widzi, nie było czasu myśléć, a nigdym nie dbał o to, jak się przedstawię przyszłości. Kto się o to stara, egoistą jest. Bóg niech czyni z ciałem co wola Jego, z duszą co łaska, a z pamięcią, co sprawiedliwa.“

A gdym go badał o stosunki i wrażenia z lat młodocianych, które na serce jego i na umysł wpływ przeważny wywarły, to mi odrzekł: „Co ty ode mnie chcesz, abym ja ci pisał o wpływie zewnętrznych okoliczności na moje rozwinięcie? Wpływy to były niedostrzeżone, powolne, a wsiąkanie i odżywianie się, jak w roślinie, nie daje się wyważyć i oznaczyć. Gdzie dziś połapać te krople rosy i promienie słońca, które roślinę wywołały?“

Jedynych więc wskazówek szukać musimy w jego pismach z lat młodszych, głównie w opisach Romanowa, Dołhego, Białéj, Lublina, Świsłoczy i Wilna, ogłoszonych w „Obrazach z Życia i Podróży“ albo przenikać je w „Pamiętnikach Nieznajomego“, „Powieści bez tytułu“ i innych, w których pewne momenta, jak z wewnętrznego, tak i zewnętrznego żywota jego, mniéj więcéj się odzwierciedliły; — albo wreszcie czerpać ze „*Wspomnień,*“ drukowanych w „Nowinach“ r. 1877, — gdzie tak uroczo przedstawia nam Kraszewski rodzinne i sąsiedzkie swoje stosunki i całe otoczenie, wpośród którego rozwijał się duch jego młodociany.

W dalszym ciągu trudności, jakie napotykam w swojém zadaniu, nie mogę też i tego pominąć, że, pisząc o człowieku żyjącym, nie wolno mi dotykać bardzo wielu szczegółów zajmujących i ważnych, któreby się mogły znacznie przyczynić do uwydatnienia nieraz najpiękniejszych i najcharakterystyczniejszych rysów w jego fizyognomii duchowej; ale muszą być przemilczane, bądź dla tego, że odsłonięcie pewnych uczuć i czynów wzniosłych, mogłoby temu sercu, co je zrodziło, wielką krzywdę i boleść zrządzić, jako profanacya jego świętości, — bądź też przez cześć, należną tajemnicom rodzinnym.

Otóż dla tych wszystkich powodów, życiorys ten, którego całą ważność dobrze pojmuję, wzięty sam w sobie, nie pod jednym względem będzie chybionym, niedokładnym, niepełnym, i nie dosięgnie téj wyżyny, na jakąby się wynieść powinien, dzięki przedmiotowi swojemu; mogę jednak tém się pocieszyć, i bacząc na to spodziewać się pobłażliwości czytelników, że jest on tylko jedną cegiełką w tym monumencie, który siły zbiorowe wzniosły ku czci i chwale jubilata w kształcie téj książki, a więc, że uważany jako cząstka całości, dopełniająca ją i przez nią dopełniająca się nawzajem, o ile było można przeznaczeniu swemu odpowie; a w każdym razie, dzięki tym dokumentom autentycznym i świadectwom niepodejrzanym, na jakich się opiera, będzie najdokładniejszym i najwiarogodniejszym ze wszystkich dotąd znanych, i dla przyszłego biografa, obdarzonego odpowiednim talentem, przynajmniéj za materyał dobry posłuży.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną, na niebie gorą tu i owdzie łuny,
Ziemia drży, słychać — biją stronami pioruny.
Wojna! wojna! nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jéj huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnemi
Puszczami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyjrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział, oprócz spółleśników,—
Teraz widzi: na niebie dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot, — to kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie...

Tak-to było na Litwie w pamiętnym 1812 roku; ale krwawe te dzieje lud zawczasu już czytał w rózdze ognistéj, gorejącéj na niebie, w skwarach słonecznych, od których się ziemia paliła, w wyciu psów, locie ptaków i tym podobnych prognostykach najrozmaitszych, instynktem przeczuwając groźne wypadki, dla oświeceńszych i bystrzejszych umysłów zapowiadające się dość wyraźnie i zrozumiale w stanie polityki ówczesnéj, w zabiegach dyplomatów, w układach i rokowaniach, w obietnicach, podszeptach i namowach, uzbrojeniach, zaopatrywaniu twierdz pogranicznych, nowych zaciągach i poruszeniu wojsk. Wojna! wojna! już od dawna, co raz to głośniéj, z ust do ust sobie podawano; bo też od dawna, niby zbliżającą się burzę, czuć ją było prawie w powietrzu, zanim groźne jéj hasło dnia 22 Czerwca 1812 roku z Wilkowyszek zagrzmiało.

Przewidywano też zawczasu, że za Niemnem i Bugiem rozpoczną się pierwsze kroki nieprzyjacielskie.

W tym czasie, w okolicach Prużany, w gubernii grodzieńskiéj, w dziedzicznéj wiosce

Dolhem, mieszkał pan Jan Kraszewski, który dnia 24 Maja w roku 1811, zaślubiwszy pannę Zofią Malską, oczekiwał uwieńczenia szczęścia swojego w pierworodném dziecięciu. Nie dziwy tedy, że i on też, przewidując groźne wypadki, wcześnie pomyślał o tém, aby przed niemi młodą swą małżonkę uchronić, i już pono przed Wielkanocą 1812 roku odprowadził ją do jéj rodziców, mieszkających na prawym brzegu Bugu, a więc w Księztwie Warszawskiem, w Romanowie, pod Białą, zkąd w Czerwcu razem z matką, byłą swoją nauczycielką, panią Stokowską, i z doktorem z Włodawy, pani Zofia udała się na dłuższy pobyt do Warszawy, a mąż jéj do Dołhego powrócił, aby pełnić służbę obywatelską i rodzinnéj strzechy pilnować.

Że ta dbałość o bezpieczeństwo żony nie była ani trochę zbyteczną, dowodnie przekonały dalsze wypadki, bo cała owa groza, którą odmalował poeta w przytoczonym powyżéj wierszu, czuć się dała i w Dołhém, w okolicach którego czynną była głównie dywizya generała Kosińskiego z 7-go korpusu Regnier'a, oraz oddziały posiłkowe korpusu austryackiego Schwarzenberga, ścierające się z dwiema dywizyami, które się były odłączyły od korpusu generała Bagratyona i podtrzymywały dywizyą Tormansowa. Potyczka jedna odbyła się d. 12 Sierpnia pod Horodeczną, na szerokich wydmach piaszczystych o półtrzeci zaledwie mili od Dołhego, druga zaś jeszcze bliżéj, bo tylko o wiorst sześć od téj wioski, koło Semenczy, gdzie Sasi z kozakami mieli niefortunną utarczkę. Ciągłe zaś przemarsze wojsk, najścia maruderów, grabieże, rekwizycye, oraz kwaterunki wojenne, tak srodze rujnowały majątek i tak się dały w znaki dziedzicowi, iż sam kazał zburzyć swój własny, obszerny dom mieszkalny, pozostawiając tylko oficynę niewielką, aby dwór okazały, dający się spodziewać i dobrego obłowu, i wygodnéj kwatery, przestał wabić gości natrętnych.

Ale wróćmy do pani Malskiéj. Nie samo bezpieczeństwo pobytu przyciągnęło ją do Warszawy, i nie sam wzgląd na stan zdrowia pani Kraszewskiéj, lecz i ta jeszcze okoliczność, że jedyny jéj syn, p. Wiktor, znajdował się wówczas w tem mieście w Szkole Kadetów, skąd mógł być łatwo lada chwila powołanym do broni i na zawsze dla niéj straconym; pragnęła więc zapewne jeszcze się nim nacieszyć i może raz ostatni w życiu pobłogosławić.

Podróżni nasi zamieszkali przy ulicy Alexandrya, w domu zwanym dawniéj pałacem Słuszków, a podówczas stanowiącym własność Zienteckich, mianowicie zaś w oficynie parterowéj od frontu, nieistniejącéj już od r. 1872, gdyż na gruncie tym stanął szpital dziecinny. W epoce owéj w oficynie istniał pewny rodzaj zajazdu, czyli jak się to dziś nazywa *chambres garnies*, i w niéj to d. 28 Lipca 1812 roku przyszło na świat to dziecię, co miało urość z czasem na męża, któremu dziś swoi i obcy, czoło, półwiekową pracą chwalebną uznojone i zasługą promienne, ze czcią wieńczą wawrzynem.

Dziecię to podane do chrztu w kościele Świętokrzyzkim w dniu 6 Sierpnia, otrzymało dwa imiona: Ignacy Józef. Obrządku świętego dopełnił ks. Adalbert Malinowski, rodzicami chrzestnymi byli niejaki Jan Plenk lekarz) i Anna Malska.

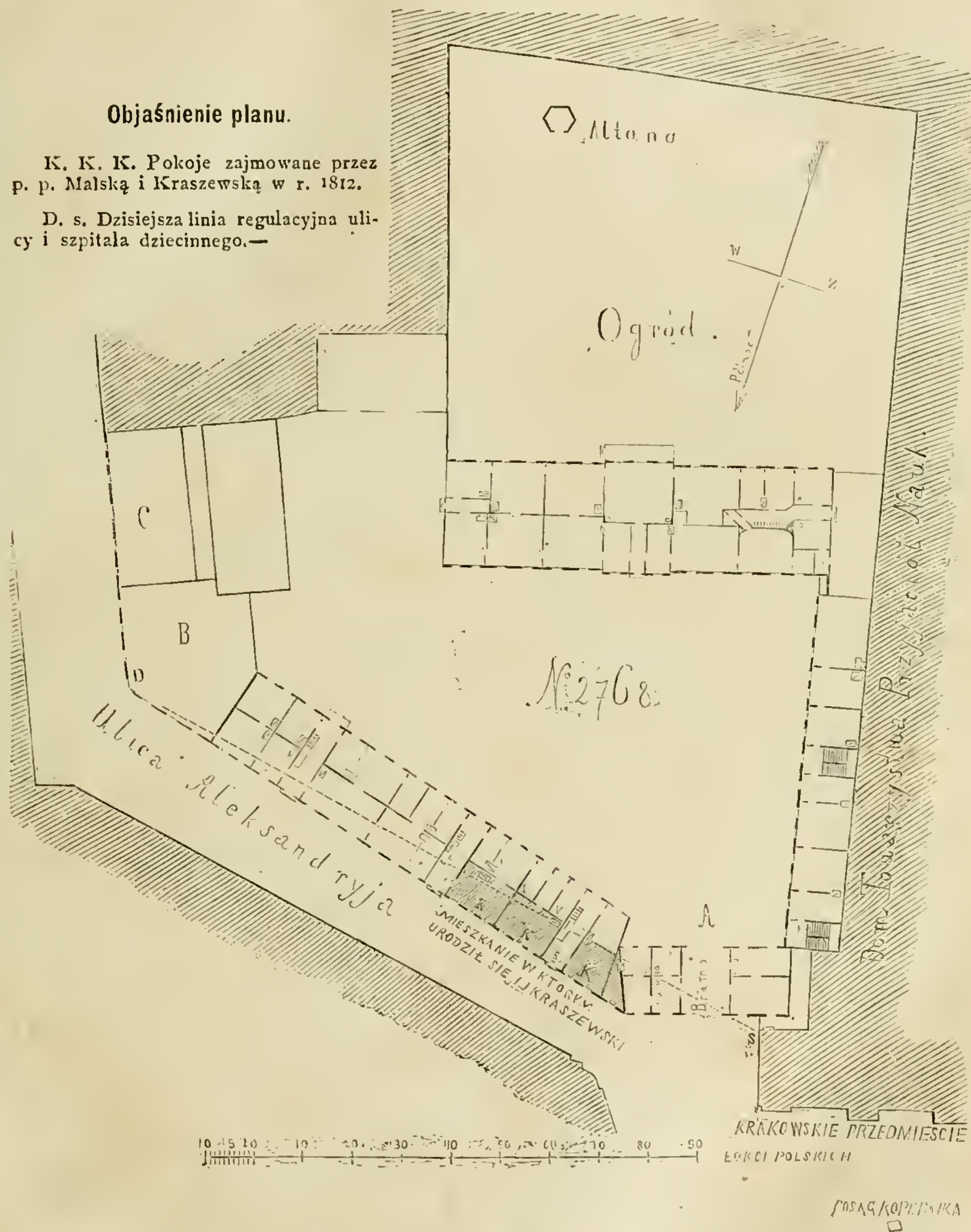
Tymczasem matka pani Malskiéj, Nowomiejska, z dwiema siostrami Pani Zofii, Konstancyą (poźniéj Moraczewską), i Józefą (Szwykowską), wówczas malemi dzieweczkami, liczącemi pierwsza lat dwanaście, a druga dziesięć, — wyjechała na mieszkanie do Białéj, gdzie się u Sióstr Miłosierdzia schroniła. A p. Malski, wszelkie swe ruchomości powierzywszy opiece włościan, którzy je pomiędzy siebie porozbierali i poukrywali po stodołach i strychach, kosztowniejsze zaś rzeczy zdawszy na ręce rządzcy dóbr Romanowskich, p. Werpachowskiego, którego syn, towarzysz lat dziecinnych p. Józefa, w tychże dobrach dziś ojcowskie miejsce zajmuje,—dwór pusty pozostawił na łasce losu, a sam to w Białéj, to w Warszawie gościł na przemian, dzieląc opiekę swoję między rozerwane rodzeństwo. Ani włościanie, ani rządzca, nie zawiedli zaufania p. Malskiego, i nic z depozytu nie uronili. Rządzca szczególniéj aż do heroizmu swoję wierność posunął: bo gdy zbrojni rabusie na Romanów napadli i w całym dworze nie znalezli żadnéj zdobyczy, to chcąc wymódz na nim wyznanie, gdzie srebra i inne kosztowności ukryto, ręce mu skrępowali i zawiesiwszy na nich u gałęzi, na powolnym ogniu go piekli; wytrwał jednak w męczarniach, nic nie wyznał i stałością swą napastników wreszcie rozzbroił.

W jesieni na czas krótki cała rodzina zjechała się do Romanowa, lecz po to tylko, aby na wieść o odwrocie Napoleona emigrować daléj na zachód. Tą razą wszyscy społem udali się w Krakowskie, gdzie przyjaciel p. Malskiego, Sołtyk, oddał im na mieszkanie swój pałac, położony tuż pod Stopnicą.

Z gościnności téj korzystali aż do końca Lutego, o tym zaś czasie przenieśli się w blizkie sąsiedztwo, do Skrobaczewa, zaproszeni przez państwo Wiełogłowskich. Tu dnia 19-go Marca obchodzono raz pierwszy



Dom w Warszawie, przy ulicy Alexandrya, w którym się urodził J. I. Kraszewski.



Plan domu przy ulicy Aleksandrya w Warszawie.

imieniny naszego jubilata, a razem też i ciotki jego, Józefy Malskiéj; obchodzono snadź hucznie, bo w rodzinie pozostała tradycya, że mały solenizant srodze się był przeraził, usłyszawszy muzykę pólkową, z którą jeden z wojskowych wyższéj rangi przybył ze Stopnicy do Skrobaczewa.

Tyleśmy zaczerpnęli z podań domowych; ale w archiwum Romanowskiém znaleźliśmy korrespondencyą Wiktora Malskiego z matką, w niéj zaś dwa listy, jeden z d. 5-go drugi z 22-go Kwietnia, pisane z Krakowa do Skrobaczewa. W pierwszym z nich zawiera się wiadomość, że od wyjazdu pani Malskiéj z Warszawy, aż do owego czasu, syn nie wiedział, gdzie się ona obraca, a więc naturalnie i ona nie też o nim wiedzieć nie mogła. Owóż donosił jéj, że Warszawę wojsko polskie opuściło, Szkoła Kadetów przed samemi examinami rozwiązaną została, a czterech z niéj sierżantów, w téj zaś liczbie i jego, wyprawiono do Częstochowy, zkąd wkrótce, przed nadciągającymi Rossyanami, załoga, pod osłoną kawaleryi Księcia Sulkowskigo, ustąpiła pod Kraków; a to wszystko działo się w Lutym.— W drugim liście wyczytujemy, że wojsko Saskie przeciągnęło przez Kraków, aby się z wielką armią połączyć, i że rozeszła się pogłoska, jakoby też i korpus polski miał podobnyż rozkaz wkrótce otrzymać, w skutek czego, z górą sześćdziesięciu officerów podało się do dymissyi i otrzymało ją. „Maintenant tout est tranquille (pisał daléj p. Wiktor), mais il parait, que notre émigration, qui me fait autant de peine qu'à vous, aura lieu, parceque on a licentié le Commissariate de Guèrre et les Administrations Militaires en grand partie. On dit cependant, que nous resterons encore une quinzaine de jours et ce temps parait suffisant, pour que Vous veniez à Cracovie avec la Comtess Wielogłowska pour me voire encore“.

Czy pani Malska odwiedziła syna w Krakowie, tego wcale nie wiemy; lecz ponieważ wojsko rossyjskie zawładnęło tém miastem d. 18-go Maja, a dnia 25-go Poniatowski z korpusem swoim do Saxonii pociągnął; nie jéj tedy nie pozostało, tylko wracać do Romanowa, zkąd i pani Kraszewska musiała też niezwłocznie do Dołhego pospieszyć, bo zapewne pilno jéj było ujrzeć wreszcie ukochanego męża, który tak długo tęsknił do niéj w trwodze i niepokoju, a od roku prawie będąc już ojcem, pociechy rodzicielskiéj jeszcze nie zaznał.

Jakoż w liście pani Szwykowskiéj, rodzonéj siostry pani Malskiéj, pisanym d. 21-go Czerwca z Prużany do matki (Nowomiejskiéj), czytamy te wyrazy: „Powróciwszy z Wilna, zastałam panią Kraszewską, która mi powiadała, z jaką trudnością przebierała się w nasze strony. O jakże ja wiele na tém cierpię, że nie mogę widzieć się z najłaskawszą mamą dobrodziejką, tém bardziéj jeszcze, że wiem, jak wiele na zdrowiu ucierpiała przez długi przeciąg tych rozruchów i tułania się“.

Mamy tedy dowód niezbity, że Ignacy Józef Kraszewski i świat ujrzał, i pierwszy rok życia swojego, ledwie nie cały, na tułaniu się spędził.

Poźniéj, jak wiemy z jego wspomnień, wychowywał się pod opieką swojéj babki, oraz prababki, Konstancyi z Morochowskich Nowomiejskiéj, o których aż dotychczas pełną czci i miłości pamięć zachował. Lecz kiedy mianowicie przeszedł pod tę opiekę, tego na pewno nie umiemy oznaczyć.

Prawdopodobnie nastąpiło to ledwie w tedy, kiedy już pani Zofia miała do pielęgnowania drugie dziecątko; przed tém zaś niewątpliwie zacne matrony dorywczo tylko ukochanym wnuczkiem cieszyć się mogły, zatrzymując go na czas dłuższy lub krótszy w Romanowie, ilekroć tam zjeżdżali państwo Kraszewscy, co się często trafiać musiało.

Tak przynajmniéj wnosić pozwala jedyne pismo, jakie dotąd się dochowało z najrańszych lat jego dziecięctwa, którego facsimile tu podajemy, a którém jest dopisek w liście rodziców, winszujący dnia imienin prababce w r. 1819, datowany z Dołhego.

Dołhem więc przedewszystkiém nam się zająć wypada, a przy niém też poświęcić słów kilka i pamięci rodziców jubilata. Uważamy to za rzecz konieczną, z tąd bowiem czytelnicy będą mogli powziąć wyobrażenie, jakie wpływy działały na budzące się myśli i uczucia dziecięcia, jakie pierwiastki wzięło ono z ducha i krwi swych życiodawców. A mogę to uczynić tém śmieléj, że mam z czego zaczerpnąć wiadomości dokładnych, dzięki ustnéj relacyi p. Kajetana i wydanéj przez niego monografii domu Kraszewskich, jako też nieoszacowanym wyjątkom ze wskazanych już wyżéj „wspomnień“ Józefa Ignacego, z których nie zawaham się przytoczyć tu dłuższych ustępów, zamiast, cobym je miał parafrazować. Wyjątki te, mało komu dotychczas znane, będą niechybnie z przyjemnością powitane przez czytelników, stanowiąc najpiękniejszy i najciekawszy ustęp w życiorysie niniejszym; a miło mi przy tém zaznaczyć, że autor ich sam mię upoważnił i zachęcił do zużytkowania tego materyału cennego, którego niczém równém zastąpićbym nie zdołał.

„Jedną może z najmniéj znanych okolic naszego kraju, pisze J. I. Kraszewski, jest Prużańskie i Kobryńskie. Oprócz wojen Napoleońskich, w czasie których pono gdzieś w tych stronach strzelano do siebie, żaden znaczniejszych rozmiarów fakt nie zapisał tych cichych miejscowości na kartach historyi. Jak ludzie szczęśliwi, Prużańskie historyi nie ma. Kątek to mający swą szczególną, odrębną, własną fizyognomią. Płaszczyzna trochę piaszczysta, zasiana kamieniami nie tutejszemi, które przed tysiącami lat wody jakiegoś kataklizmu przyniosły; gdzieniegdzie gaj brzozowy, gaj olszowy, gaj sosnowy, a za moich czasów szerokie błota i moczary, na których tysiące czajek, batalionów i bekasów żyły i rozmnażały się swobodnie, nie licząc kaczek na jeziorach. Jak spójrzeć, płaszczyzna, równa, jednostajna, a wśród niéj folwarczki, wioski, kościołki drewniane, cerkiewki. Drogi się wiją brzegiem pól i łąk, często w kształcie kamiennych grobelek, w czasie roztopów, przyprowadzających do rozpaczy. Wśród błot — brody, kępiny, kośnica, trzciny; gdzieniegdzie ów prastary kamień wędrowny, który zasnął i mchem się okrył, a ledwie już czubek jego widać nad ziemią“.

„Tych kamieni wędrownych, znanych mi osobiście, ileż-to tam było po nad drogami i polami! Z mniejszych robiono płoty malownicze i owe śmiertelne grobelki; większe, jak możnowładcy, zabezpieczone były od wszelkiéj zaczepki i stały spokojne. Bardzo proste żywioły, z których się składa krajobraz tych nizin nad Jasiołdą i Szczorą, nad Prudem i innemi wodocieczami tutejszemi, bardzo nawet zdają się one niewdzięczne; a mimo to tworzyły się z nich, wierzcie mi, cudne obrazki, coś wdzięcznego bardzo i tęsknego w sobie mające“.

„Wśród takiéj równiny wilgotnéj leży ojcowskie Dołhe, wioska niewielka w okolicach Prużany.“

„W maleńkiém Dołhem, z maleńkim, nizkim domkiem, z małą kapliczką na wzgórzu maleńkiém, z ogródkiem, z odrobiną zarośli, która cały las składała, z jedną sosną na polu, pozostałą po szczęśliwszych czasach, (na któréj zawsze przepowiadano mi obwieszenie za swawolę), w Dołhem tém ojciec i my przeżyliśmy spokojne długie lata. Ojcu z pierwocin obywatelskiego zawodu pozostał tytuł Chorążego powiatu Prużańskiego, a był on tak samo pewno ostatnim Chorążym, jak dziad ostatnim Łowczym Trębowelskim. Ja mam szczęście być bodaj ostatnim Sędzią Granicznym tegoż powiatu Prużańskiego, choć żadnéj nigdy granicy nikomu już rektyfikować nie miałem sposobności. Jak widzicie, dygnitarstwami się pochlubić w ostatniéj epoce żywota rodziny nie możemy. Dawniéj pono siadało się i wyżéj, ale fortuna kołem się toczy. Dopóki rodzina siedziała na Mazowszu, zkąd pochodzi, było lepiéj; potém się rozproszyła po świecie za chlebem, i rozrodziła się, i na skromnym zagonie Pana Boga chwaliła. Wędrowały tak u nas zbyt potomstwem pobłogosławione familie po wszystkich ziemiach Rzeczypospolitéj, szukając dla siebie kreseytywy.“

Takim-to wędrownikiem za kreseytywą (jak się dowiadujemy z Monografii domu Kraszewskich) był pradziad Józefa Ignacego, który, dziedziczne dobra Szarzyn, w ziemi i powiecie Wyszogrodzkim położone, zostawiwszy siostrze swojéj Kunegundzie Przedpelskiéj, wstąpił do wojska i dosłużył się stopnia Rotmistrza, następnie zaś otrzymał Cześnikowstwo Płockie, i wreszcie osiadł na Czerwonéj Rusi, gdzie téż w młodym wieku życie zakończył, pozostawiwszy jedynego syna, Kajetana, na opiece Potockich.

Opieka ta wyszła pupillowi na dobre. Wincenty Potocki, Łowczy Koronny, uczynił go sekretarzem swym urzędowym i skutecznie pomagał mu do kreseytywy. W roku 1783 otrzymał patent na Łowczowstwo i oprócz własnéj wioski Buzówki (w Bracławskiém) miał jeszcze od Podkomorzego w Niemirowszczyznie w dożywotnim zastawie majątek Maryanówkę, a dzierżawił Obodne, Sławińce, Kowalówkę, Jary, Czynołapówkę, Spadachy, Blidki i Hołowienkę; od Michałowskiéj zaś, matki żony, Krzykowce i Bijowce; a nadto przez lat kilka dzierżawił także od Łukasza Berlicza Strutyńskiego Kamionkę i Słobodę Łacką. Oprócz tego miał téż dwa własne dworki w Niemirowie, z których jeden sprzedał Ignacemu Staruszkiewiczowi, drugi Winnickiemu.

Dotykamy umyślnie tych szczegółów drobnostkowych, w tém przekonaniu, że dla rodaków, zamieszkałych w Niemirowszczyznie, nie mogą być one obojętnemi.

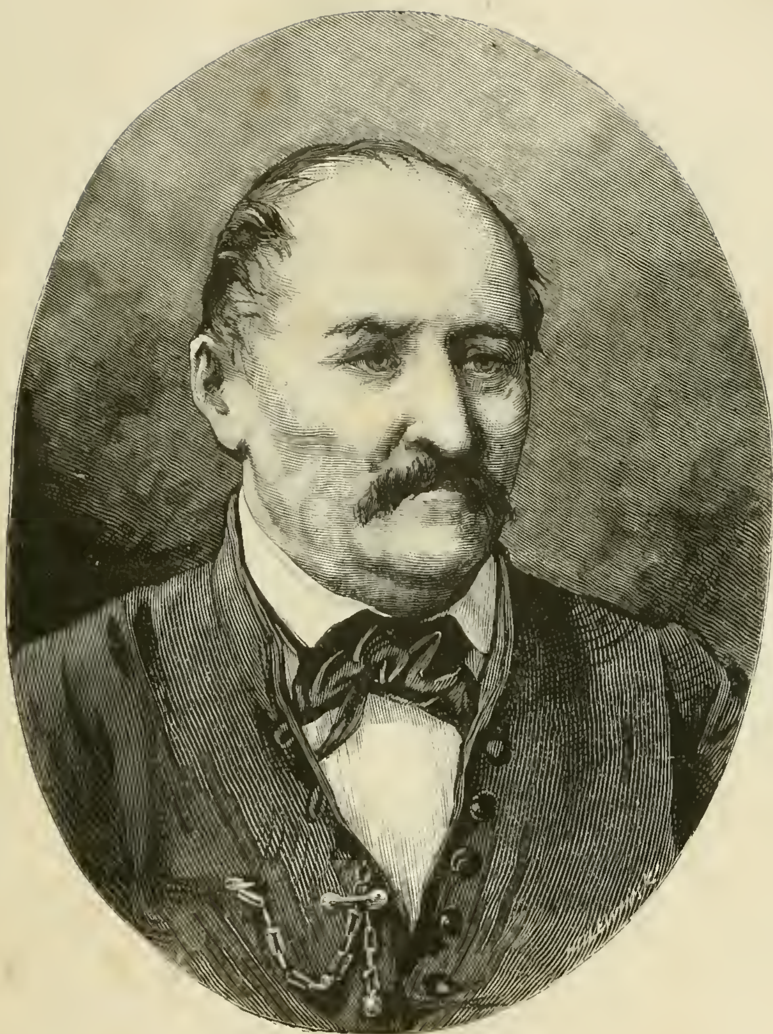
Pan Łowczy Trębowelski prędko owdowiał, żona jego zmarła w Bohatkowcach na Czerwonéj Rusi, w gościnie u swéj matki, która, owdowiawszy po Michałowskim, wyszła powtórnie za Morawskiego, Stolnika Halickiego. Pozostał mu po niéj syn jedyny, z imienia Jan, liczący ledwie kilka miesięcy. W cztery lata niespełna potém umarł i pan Łowczy (1793) zostawiwszy dziecię nieletnie pod opieką Bogusława Kraszewskiego, półkownika Petyhorskiéj brygady W. X. L. i brata jego, vice-brygadyera, Antoniego.



DOŁHE.



KISIELE.



Jan Kraszewski, ojciec Jubilata.



Opiekunowie ci, w myśl ostatniéj woli Łowczego, sprzedali wieś dziedziczną jego, Bozówkę, również jak wszystkie remanenta; a lubo (jak czytamy we wspomnieniach Józefa Ignacego) *obchodzono się z tą spuścizną bardzo rezolutnie*, przecież parękroćstotysięcy złotych zostało. Stolnikowa Morawska tak się przywiązała była do wnuka, że go za nic opiekunom oddać nie chciała. Ci możeby nie bardzo tego się domagali, gdyby nie ukaz Cesarza Pawła, zagrażający konfiskatą majątku tych, którzyby po ogłoszeniu jego nie powrócili z za granicy; dla ocalenia więc fortuny, nie uregulowanéj jeszcze podówczas ostatecznie, jęli się środków energicznych, i vice-brygadyer Antoni po prostu wykradł wnuka babuni.

Oddano go następnie na naukę do szkół Pijarskich w Lubieszowie, nie przystawszy na propozycyą Wincentego Potockiego, który chciał go wziąć na opiekę do siebie, i żądał, aby mu go przysłano na wychowanie do Paryża. A gdy sierota dorósł lat ośmnastu, za owych parękroćstotysięcy złotych kupiono mu w zapadłym kącie Polesia majętność słusznie zwaną *Borową*, bo w głębi mrocznych borów położoną, obszerną jak niemieckie księztwo, z dużą włością i okazałym dworem, ale prawie całkiem odciętą od reszty świata, i wyglądającą jak prawdziwa pustynia: jedna tylko grobla do niéj prowadziła przez bagna, a na wiosnę, podczas roztopów i wylewu Styru, Prypeci i niezliczonych jezior, dostać się tam można było chyba tylko czółnami. Nie dziw tedy, że stęskniony do świata i do ludzi, młodzieniec, chętnie usłuchał rady opiekuna i zamienił Borową z majorem Józefem Kraszewskim na Dołhe i Peresudowicze w Prużańskiém. Ostatnią wieś, w skutek processu granicznego, z czasem pan Jan utracił i pozostał tylko przy Dołhem.

„Jak tylko doszedł do pełnoletności, nikt się już o niego nie troszczył (pisze Józef Ignacy), sam wszystko winien był sobie; a że nie przepadł, rzucony tak na pastwę losom i własnéj młodości, to za cud Opatrzności można uważać."

Naturalnie, że młodość ta musiała być ochocza a bujna, że Łowczyc Trębowelski rad korzystał z téj swobody, niezależności i z dość znacznéj fortuny, które posiadł tak wcześnie. Świadkowie tych wesołych czasów kawalerskich żyli jeszcze nie bardzo dawno, byli zaś to dwaj kozacy teorbaniści, oczajdusze, Denis i Alexander, słynni na całą okolicę, równie z talentu swego, jak z dziarskości, sprytu i figlów, a paniczowi całém sercém oddani. Ale nie było w tém swawoli nagannéj, a gdy panicz spoważniał, spoważnieli także i oni, i jeden z nich osiadł na roli, a drugi na znakomitego wyszedł kucharza, i aż do śmierci na swém stanowisku przetrwawszy, przekazał je w spadku synowi, który do dziś dnia w Romanowie kunszt ojcowski świetnie reprezentuje i starszego pana wdzięcznie wspomina.

Zmiana ta w trybie życia p. Łowczyca zaszła jednocześnie ze zmianą stanu, a sprowadziła ją panna Zofia Malska, córka Błażeja i Anny z Nowomiejskich, dziedziców Romanowa w Podlaskiém. Jedna z jéj sióstr, Konstancya, była za Kazimierzem Moraczewskim, druga za Józefem Szwykowskim, którzy obaj byli obywatelami powiatu Prużańskiego i obaj piastowali z kolei urząd marszałkowski w tymże powiecie; ojciec zaś ostatniego, p. Podkomorzy Piotr Szwykowski, był żonaty z rodzoną siostrą żony p. Błażeja, Karoliną Nowomiejską.

W skutek tych kolligacyi, między Prużańskiém a Romanowem musiały być częste stosunki, i łatwo się nastręczyła sposobność panu Janowi, który był znanym i lubionym w całym powiecie, a z panem Podkomorzym sąsiadował o miedzę, do poznania panny Zofii Malskiéj; a poznać ją i pokochać było to prawie jedno, bo i wdziękiem urody, i przymiotami serca, i pięknem ukształceniem umysłu powszechne uwielbienie sobie jednała.

Ubłogosławiony szczęściem domowém, pan Jan zmienił całkowicie tryb życia, osiedział się na swym zagonie, i chyba, (jak to we „Wspomnieniach" czytamy) gdy chciał trochę świata obaczyć, rozerwać się, odżywić, jechał do rodziców matki do Romanowa, lub niekiedy do Grodna; w ogólności jednak, wyjąwszy urzędowanie, na którém mu nie zbywało (był z kolei sędzią granicznym, sędzią ziemskim, prezydentem ziemskim, assessorem sądu głównego granicznego, izby kryminalnéj, wreszcie chorążym); w domu siedzieć lubił, ogrodem, skrzypką, gawędką i gospodarstwem się zabawiał."

Szczęśliwą parę Bóg udarował dosyć liczném potomstwém, składającém się z trzech synów: Józefa, Lucyana i Kajetana, oraz dwóch córek: Joanny i Anny.

Pan chorąży był od natury obdarzony niepospolitemi przymioty. Paulina Wilkońska, która znała go osobiście, zapisała o nim w swoich wspomnieniach: „był to nadzwyczaj przyjemny, wyższego rzędu szlachcic-obywatel, pełen życia, uprzejmości, rozumny i umysłowy." Wiemy zkąd inąd, że przy męzkiéj, dziarskiéj postaci i typowo-polskiém, pięknem obliczu, odznaczał się i tym humorem jowialnym, co to chwyta za serce,

i bystrością umysłu, i darem spostrzegawczym i narracyjnym. A nie brakło mu i weny poetyckiéj: muzykę lubił i uprawiał; w listach władał piórem tak dzielnie, jak w pogadance żywém słowem; niekiedy zaś i na wierszyk dowcipny a udatny umiał się zdobyć. — W literaturze pięknéj miał prawdziwe zamiłowanie, i najczęściéj długie wieczory w Dołhem — kółko rodzinne na czytaniu głośném spędzało. „S. p. matka moja,— pisze mi p. Kajetan Kraszewski,—była znakomitą lektorką i ona-to w téj roli przy ognisku domowém pospolicie występowała, dzięki czemu wiele arcydzieł piśmiennictwa naszego, a w ich liczbie i „Pana Tadeusza," poznałem wprzód, zanim się dobrze czytać nauczyłem".

O ukształceniu umysłowém matki téj i wysokich zaletach serca, wspomnieliśmy już wyżéj; jeszcze jednak dodać musimy, co mamy nie od synów, czcią i miłością pamięć jéj dotychczas otaczających, lecz od obcych, którzy ją zbliska znali, i dzisiaj jeszcze z uwielbieniem wspominają jéj zacność, słodycz anielską charakteru i obok głębokiéj a szczeréj pobożności, surowéj względem siebie, wyrozumiałość i pobłażliwość względem drugich, i to ciepło serdeczne, tę wesołą pogodę duszy, które obejściu się jéj z ludźmi nadawały urok niewysłowiony, wszystkich zniewalający. Nie możemy przytém pominąć wielce charakterystycznego wyrzeczenia o niéj jednéj z sąsiadek: że jeśli cudów nie czyniła, to jedynie przez skromność.

Przysłowie uczy, że jabłka nie daleko od jabłoni padają; to téż we krwi i duchu dzieci odrodziły się skłonności ojca i matki, a jeśli najwyższego doszły rozwoju w najstarszym bracie, to i w młodszych téż widzieć się dają: Kajetan ma niepospolity talent muzyczny, który okazał w wielu pięknych kompozycyach na fortepian, a „Koniuszyc Brzeski," „Chełmianie," komedja premiowana na konkursie lwowskim p. t. „Uproszone zaloty" i pomniejsze utwory powieściowe i poetyczne, świadczą wymównie o zdolnościach jego pisarskich, równie w prozie, jak w wierszu; Lucyan zaś, jako malarz dylletant, włada pędzlem i ołówkiem tak dobrze, iż gdyby był na seryo poświęcił się téj sztuce, to byłby niewątpliwie zajął w niéj stanowisko wybitne.

Nie poprzestając wszakże na wskazaniu przyrodzonego źródła tych pierwiastków duchowych, które były zadatkiem tego, co się w tak świetny sposób objawiło z czasem w Józefie, powinniśmy i to zaznaczyć, co i sam on przyznaje, i p. Kajetan utrzymuje stanowczo, mianowicie zaś, że narracye ojcowskie, których się tyle mały Józio nasłuchał, były jednym z najpierwszych i najsilniejszych wpływów na kierunek jego umysłu: „Ja (pisze p. Kajetan), com z ojcem przeżył dzień przy dniu ostatnich lat przeszło dwadzieścia (więcéj, niż ktokolwiek z całéj rodziny), do ostatnich chwil słyszałém coraz coś innego, i dziś, czytając powieści Józefa, bezustannie spotykam się w nich tu i owdzie z tym samym duchem, językiem, formą nieraz i humorem szczególnie, jakie cechowały opowiadania naszego ojca. Była to jeszcze tradycya dawnych czasów, podniesiona talentem osobistym, pamięcią wyborną, znajomością ludzi i stosunków wielkiéj przestrzeni naszego kraju. Wrażenia tych narracyi z lat dziecinnych niezatarte pozostać musiały z konieczności na zawsze, tém bardziéj, że były one tak umiejętnie i z taką sztuką prowadzone, iż, jakby w dramacie lub powieści, choćby to była dykteryjka najprostsza, słuchacz do końca ze wzrastającą ciekawością czekał rozwiązania, którego z toku opowiadania najczęściéj nie był zdolen przewidzieć".

W końcu pominąć nie możemy i otoczenia po-za domem rodzinnym, które na wrażliwy umysł dziecinny oddziaływać także musiało, o czém zresztą najwymowniéj świadczą „Wspomnienia", do których znów sięgamy, jak do nieocenionéj skarbnicy.

„Sąsiedztwa miłego było dosyć; w najbliższém były domy pokrewne Szwykowskich i Moraczewskich, a daléj dużo innych: Bułharynowie, Trębiccy, Wredtowie. Przez groblę długą, w Sapieżyńskich Bogusławcach mieszkał Grabowski, który je dzierżawił szczęśliwie. Na grobli téj przypatrywałem się szalonym zapasom batalionów, które się tu po całych dniach śmiertelnie tłukły.

W Połonnym Hrudzie nieopodal mieszkał Kapitan Sobolewski. Była to jedna z najoryginalniejszych postaci w okolicy. Mężczyzna dobrze stary, łysy tak, że mu brwi zupełnie wypełzły, twarz szeroka i blada, spokojna, dziwnie spokojnego, nieco szyderskiego wyrazu, usta wielkie, postawa żołnierska, ubiór staroświecki — najczęściéj frak szaraczkowy, a raczéj makowego koloru. Kapitan Sobolewski czasem przyjeżdżał wózkiem, a niekiedy, jeżeli bród wysechł pomiędzy Połonnym Hrudem i Dołhem, przychodził i pieszo, z fajeczką o krótkim cybuszku w ustach i z kapciuchem na guziku. Grywali z ojcem w maryasza, a kapitan opowiadał swe dzieje, bo był za Rzeczypospolitéj w wojsku francuzkiém i za Napoleona. Republikanin, żołnierz, niedowiarek Boży, dawał matce naszéj powód



Zofia Kraszewska, matka jubilata.

do nieustannéj troski o zbawienie, ale nawrócić go nie było środka. Nie chwalił się on ze swą niewiarą, nie popisywał z nią, ale przyparty do powiedzenia, co myśli, mówił bez ogródki. Jakim sposobem znalazł się Sobolewski we Francyi w czasie wybuchu wielkiéj rewolucyi, gdzie papiery swe legitymacyjne szlacheckie spalił, nie mogłem dojść nigdy. Z czasów szczególniéj kampanii pierwszych w obronie granic Francyi, potém z wypraw włoskich miał tysiąc szczegółów do opowiadania. Dziś mi trudno prypomnieć, gdzie czasu oblężenia jadł szczury, ale potrawa ta wbiła mi się w pamięć".

„Opowiadał z wielką prostotą i przejęciem te dzieje lat pamiętnych, najczęściéj stojąc w postawie żołnierskiéj, z głową podniesioną, i nieodstępną fajeczką w ustach, którą tak umiał trzymać w kątku, że mu do mówienia nie przeszkadzała. Człek był spokojny, skromny, ubogi, a nigdy się nie skarżący na niedostatek, nawykły do wszystkiego, na duchu spokojny".

„Były to jeszcze czasy, gdy na excentrycznych figurach na świecie naszym nie zbywało. Pieszo przywędrowywał czasem o kiju stary Jan Dołęga Dolubowski, z wierszami osobliwemi i trywialną wesołością swoją. Rodzaj Dyogenesa to był, któremu, równie jak Kartuzowi O. Gradzkiemu, w głowie się nieco mąciło. Dolubowski prawił improwizacye w rodzaju Rozbickiego, które powtarzano".

O tym oryginale powiadał mi jeszcze pan Kajetan Kraszewski, że był to człowiek z wyższém ukształceniem umysłu, posiadający starożytne i kilka nowożytnych języków, podobno nawet doktór filozofii; ale gdy mu się we łbie przewróciło, rzucił na przepadłe dom swój i rolę, ubrał się w łapcie i płócienną kapotę, i puścił się na wędrówkę ode dworu do dworu, z torbą na plecach i z kijem w ręku, mówiąc o sobie: *Ego sum philosophus mundi,* a od nikogo nie żądając nic więcéj, nad złotówkę i trochę masła do drewnianéj maselniczki, którą zwykł nosić z sobą.

„Zabawny p. Komornik Denisko należał też ze swą poczciwą naiwnością, łatwowiernością i dziwacznemi pomysłami, do téj gromadki, ożywiającéj okolicę. Nadzwyczaj dowcipny, oczytany, nie bez dolności, ale niespokojnego ducha, dziedzic Czachca, Bułharyn, mógł się też liczyć do excentryków. Na typach wybitnych temu zakątkowi nie zbywało,—nie mogę dziś wyliczyć ich wszystkich".

„Żyło się tu bardzo spokojnie, wesoło i zgodnie. Społeczeństwo ówczesne, od górnych sfer poczynając, do najniższych, wyrabiało się jakoś daleko indywidualniéj, niezależnie od przyjętego prototypu, swobodniéj i zyskiwało na tém z wielu względów. Nie raziły te cechy odrębne, niezwyczajne, które starano się poszanować i z wyrozumiałością się z niemi obchodzić. Co za niezmierny zapas wspomnień przeszłości, opowiadań, tradycyi, anegdot, krążył w kółkach, wyliczyć niepodobna. Mieszkający w Polonnym Hrudzie, obok Sobolewskiego, Farcinelli de Larzac, którego ojciec był kommendantem w Nieświeżu u Księcia Radziwiłła *Panie Kochanku,* przynosił nam powieści o Księciu Wojewodzie. Żyły o nim tradycye i w spokrewnionym z Radziwiłłami domu Trębickich, w Linowéj, gdzie jeszcze ostatnich karłów nadwornych, po polsku strojnych, oglądaliśmy". (W tém bez wątpienia źródło tego zamiłowania a razem i mistrzowstwa, z jakiém J. I. Kraszewki postać Księcia Karola w „Ostatnich chwilach Ks. Wojewody" i w dwóch komedyach swoich odtworzył; ztąd naturalnie i p. Kajetan musiał zapożyczyć tych rysów, któremi ją tak udatnie i tak prawdziwie w „Koniuszycu Brzeskim" przedstawił).

„Niedaleko od Prużany zaczyna się puszcza Białowiezka, na któréj skraju jakiś czas mieszkał Franciszek Karpiński, z którym ojciec był blizko znajomym, i, jeśli się nie mylę, wyznaczonym przez niego na wykonawcę testamentu. Ze wspomnień o Karpińskim, któreśmy niegdyś już spisali, zostało mi w pamięci smutne wrażenie zrezygnowanego, ale zwichniętego i nieszczęśliwego człowieka, nie umiejącego się z losem i życiem pogodzić. Chorobliwa czułość przerodziła się w nim w rodzaj mizantropii, znośniejszéj wszakże, niż cynizm i dziwactwo Trębeckiego".

„Powielekroć przejeżdżałem w różnych kierunkach tę Białowiezką puszczę, któréj olbrzymie drzewa i malownicze gąszcze jeszcze mi stoją przed oczyma. Nie wiem, czy w całéj Europie znajdzie się gdzie las tak pierwotnéj jakiéjś epoki, nadzwyczajnéj siły wzrostu noszący cechę. Niezmierzone błot obszary, rozległa puszcza Białowiezka i Kobryńska, nadawały téj okolicy charakter, przypominający dawne wieki, gdy się te kraje zaludniać dopiéro poczynały. Dziś on już w znacznéj części się zmienił. Lasy przerzedzone i powycinane zostały, błota osuszone i zmienione na łąki żyżne. Tam, gdzie między Sapieżyńskiemi Bogusławcami a Dołhem była tak zwana dyfferencya i granica nieoznaczona na niezgruntowanych grząźnicach i kępiastém błocie, dziś wybity kanał

ściągnął wody, i manna, którą na nich zbierano, a którąśmy się karmili z upodobaniem, pewnie rosnąć przestała. Kto wie, niechby może owe stada czajek i batalionów, owi błot mieszkańcy, których głosy znaliśmy tak dobrze, bo stanowiły muzykę krajobrazu tego zapadłego kątka.“

Ale co umarło w rzeczywistości, odżyło w pieśni; bo któż się po tém nie domyśli, że urocze owe obrazy i pełne prawdy niezrównanéj sceny z życia natury, które nas zachwycają w wielu powieściach Kraszewskiego, a głównie w „Starej Baśni,“ „Lublanie“ i tym podobnych, są wynikiem odczucia wrażeń, wyniesionych z lat młodocianych, z których spowiedź w tych wspomnieniach czytamy.

Naturalnie, że nie wszystkie wrażenia te datują z dni dziecinnych, przed-Romanowskich; ale nie podobna mi było rozsnuwać tych włókienek, z których w pamięci autora ciągły, jednolity wątek się uprządł. Teraz tedy przenoszę się do Romanowa, który z okresem czasów Bialskich, w pierwszych dwóch dziesiątkach lat Kraszewskiego, stoi między najwcześniejszém jego dziecięctwem, a wiekiem już młodzieńczym, dorywczo, w epokach rozmaitych w Dołhem u rodziców spędzanym. Jest to punkt najjaśniejszy, największego pełny uroku we wspomnieniach jego żywota, istny raj utracony, który śni się mu nieustannie, nad którym duch się jego ciągle unosi, zapomnieć go nigdy nie mogąc. To też opisał go prozą i wierszem w „Obrazach z życia i podróży,“ w „Wiosce“, „Wspomnieniach“, i „Album“ z widokami jego, przez siebie zebranemi, ogłosił.

W „Wiosce“ tak o nim śpiewa:

„Gdym oczy otworzył,
Pomnę, las był dokoła, szumiały mi jodły;
O! jeszcze w sercu szumią i starybym ożył,
Gdyby mię losy w kąt ów spokojny zawiodły!
Zielone były łąki, a oko ciekawe,
Biegnąc wkoło, gdzieś w czarnych gubiło się lasach,
I wracało na kwiaty i zieloną trawę; —
Wszystko mi jeszcze kwitło w tych szczęśliwych czasach.
Cały świat był tu dla mnie, o innym nie marzył,
Jodły cuda szumiały... przyszedł dzień rozłąki,
Ogród na pożegnanie pieśń jakąś zagwarzył,
Raz ostatni zakwitły i gaje, i łąki,
Jam niecierpliwą nogą w świat skoczył bezdenny,
Gdzie mnie czekał wichr zimny i pomrok jesienny.

Lecz zajrzyjmy do „Wspomnień,“ a dowiemy się i dziwić nie będziemy, dla czego się to gniazdo stało tak drogiém i pamiętném na całe życie w niém wykarmionemu ptaszęciu. Sądzę, że gdyby nawet nie szło o Kraszewskiego, kartka wspomnień o Romanowie sama przez się byłaby już tak zajmującą, jak ustęp z najciekawszéj powieści. Oto ona:

„Obok skromnego domku rodzicielskiego w Dołhem, stoi w pierwszych wrażeniach moich dziecinnych, szumiący prastaremi jodłami swojemi, Romanów, majętność dziada i babki, późniéj rodziców moich. Wśród lasów nadbużańskich, w głębokiém, zapadłém Podlasiu, między dawnemi dobrami Sapiehów i Radziwiłłów—Kodniem, Sławatyczami, Włodawą — leży ta majętność, niegdy Sapieżyńska, w któréj zamierzano fundować rezydencyą pańską, czego dowodem był wspaniały i ogromny ogród, z kilkusetletniemi świerkami i grabowemi szpalerami. Zaczęli Sapiehowie stawiać nawet coś nakształt pałacu, ale skończyło się na lochach tylko i fundamentach, na których dziad, pan Błażej Malski, dom wzniósł murowany.“

„Tęskny i płaski, poważny krajobraz otacza dwór, do którego wiedzie z jednéj strony długa, przez lasy przebita tryba. Lasy stare, odwieczne, opasują zewsząd siedzibę, w przepysznych drzewach ukrytą, na których niezliczone gnieżdżą się bociany i czaple. Czuć było w Romanowie, jeszcze za moich czasów, zaledwie zdobytą na puszczy pierwotnéj nowinę. Cóż-to za cudowne gąszcze były w Kraszczynie! jakie sosny na drodze do Chmielity i Sosnówki! Sam ogród, odjąwszy mu szpalery i ulicę świerkową, był niemal puszczą, do któréj z lasów różne stworzenia zaglądały. Późniéj obok dworu stawały: piękna kaplica, oranżerya, łazienki, i wszystko, co go ozdobiło. Dziad lubił bardzo ogród, drzewa, owoce, i wielce się niemi zajmował.“

„Jak zapamiętam siebie na świecie, widzę się w Romanowie, wychowańcem prababki, Konstancyi z Morochowskich Nowomiejskiéj.

Prababka, którą nazywano *babką białą*, gdyż się najczęściéj w suknie białe ubierała, była moją pierwszą nauczycielką i drugą matką. W jéj pokoju spędzałem dnie całe, łóżeczko moje tam stało, a na posadzce ustawiały się ogródki z sosnowych gałązek i lalek porcelanowych. Wszystkie swe prawnuki wychowywała tak z kolei.“

„Była to postać prześliczna dawnéj polskiéj niewiasty, niezmiernie czynnéj, zawsze z uśmiechem na ustach, uprzejméj, uczynnéj, zajmującéj się żywo wszystkiém i wszystkimi, potrosze gospodarującéj w Chmielicie, wychowującéj wnuki i sieroty, zaglądającéj do ogrodu, przyozdabiającéj kaplicę, czynnéj we wszystkich stosunkach familijnych. Zmarła, 1840 r. 23 Czerwca mając lat prze-



ROMANÓW PODLASKI.



Konstancya Nowomiejska, prababka jubilata.

szło 90, na twarzy zachowawszy ślady dawnéj piękności w uśmiechu pełnym słodyczy."

„O ile sobie przypominam, wychowała się razem z panną Fleming, późniejszą księżną Czartoryską. Wyszedłszy za pana Nowomiejskiego, który znaczne dobra dzierżawił i na nich milionowy zrobił majątek, po zgonie jego osiadła przy jednéj z córek i tu dokonała żywota."

„Nie wiem przez ile lat pod łóżkiem prababki stało pudło z habitem św. Franciszka, w którym się, jako tercyarka zakonu, pochować kazała. Wszystko do tego było w gotowości: bielizna, świece, pieniądze, nawet podarki dla gromady, która iść miała za pogrzebem. Pamiętam, gdy co rok przewietrzano te przygotowania, na które z uśmiechem spokojnym patrzała prababka, jedną ręką w bok się ująwszy, jak to miała we zwyczaju."

„Pamięć miała doskonałą, dowcip, wesołość nieprzebraną, dobroć niewyczerpaną, powagę przy tém wielką. Lubiła się poruszać, nieustannie umiała być czynną; pamiętam ją nawet samę powożącą się wózeczkiem, (do którego wprzęgano powolną klacz gniadą, od much odzianą w kapę), i przejeżdżającą się do Chmielity, gdzie na drób' i nabiał naglądała sama".

„Jedną z zasad, praktycznie przez prababkę mi wszczepionych, które mi się najmocniéj wbiły w pamięć, była: trzeba za złe dobrém płacić. Widzę się jeszcze w zielonéj *alepinowéj* sukience, po dopełnieniu jakiejś zbrodni w ogrodzie, zapłakanego, i prababkę, która, mocno mnie zgromiwszy, podała mi gruszkę smażoną, dodając do niéj: trzeba dobrém za złe płacić. Jakim sposobem tak mi się to w pamięć wrazić mogło, gdy tyle innych rzeczy ważniejszych się zapomniało?—to tajemnica prababki."

Nie możemy przy tém pominąć szczegółu, zanotowanego w „Obrazach z Życia i Podróży," że taż sama prababka była pierwszą mistrzynią Kraszewskiego, który wspomina o pobieranéj u niéj *nauce czytania na kalendarzu;* a wiemy także z podań rodzinnych, że i w pobożność go wdrażała, sama z nim odmawiając poranne i wieczorne modlitwy. Powiadano mi bowiem w Romanowie, że raz, gdy mały Józio, rozespany, nie miał wielkiéj ochoty do pacierza, a prababka, chcąc go podniecić, pogroziła mu, że jeżeli się nie pomodli, to Anioł Stróż nie będzie go w nocy pilnował; chłopczyna odpowiedział jéj: to niech babcia swego poprosi, żeby i mnie pilnował... łóżeczko moje tak blizko przy łóżku babci stoi!"

„Dom Malskich — pisze daléj Kraszewski — żywo się zajmował tém, co się na świecie działo, pisało, obiecywało, dokonywało. Musiało to na umyśle dziecięcym czynić wrażenie. Wieczorem, gdy pan Błażej Malski po wielkiéj sali się przechadzał, babka czytywała głośno. Książek w domu było pełno. Wuj, ciotki, babka Malska, lubili literaturę; Wiktor Malski był artystą, malował i sztukę kochał."

„Dziad i babka często mawiali o dawnych czasach. Przypominam sobie, jak pani Malska opisywała mi podskarbiego Tyzenhauza, który po sądzie, jaki zapadł na niego, wracając z Grodna, u państwa Nowomiejskich nocował, i w zielonéin, axamitém pokrytém futerku, smutny i milczący stał przy piecu. Babka z naiwnością dziecięcą spytała go nawet: dla czego był taki smutny? — i za całą odpowiedź otrzymała pogłaskanie po głowie. Pamiętała także na balu jakimś w Grodnie panią generałową z Radziwiłłów Morawską, w mundurze generalskim ze szlifą i w białéj kaźmirkowéj spodnicy, mocno zażywającą tabakę. Przesunął się przed jéj oczyma późniéj sławny Biskup Warmiński, jako *cadet de famille*, dosyć skromnie dworem jadący na trybunał, na który wybrany był deputatem duchownym."

„Mnóztwo podobnych wspomnień zachowało się z owych czasów. Dziadek, który spisywał wszystkie okolicznościowe wiersze, listy, mowy, dawnym obyczajem, (książka ta po nim mnie została), pamiętam, łzy miał w oczach, gdy mu babka sławną mowę abdykacyjną Jana Kazimierza czytała. Nie jeden raz ją słyszałem wieczorem powtarzaną i był to pierwszy dokument historyczny, z którym się poznałem wprzódy, niż z dziejami. Utkwiły we mnie na zawsze przepowiednie w nim zawarte, które dziadowi łzy z oczu wyciskały. Pan Malski mówił mało, ale czuł mocno".

„Wieczorami, przy świecach z umbrelką, zasiadała zwykle babka z pończochą w ręku do czytania głośnego; dziadek się albo przechadzał po cichu, stając niekiedy, lub na kanapie podparty słuchał. Czytywano nowe, a gdy tych brakło, i stare rzeczy."

„Sąsiedztwo Romanowa, pomimo tak na pozór samotnéj okolicy, było dosyć ożywione i liczne: Szlubowscy, Jasińscy, Borkowscy, a daléj Masłowscy, Mańkowscy (krewni prababki), Koryccy i wiele innych domów szlacheckich. Nie pamiętam już, kto ze staréj szlachty, co się kontuszowo jeszcze nosiła, w paradnym stroju przybył na obiad do dziadka i bawił aż pod wieczór. Gdy wyjechał bryką ku Sosnówce, wyszedłem i ja na przechadzkę w tę samę stronę. Jakież

było zdziwienie moje, gdym pod lasem znalazł owego paradnego gościa, siedzącego na suchym rowie i strój kosztowny, *sub Jove*, mieniającego na płócienny kitel i kozłowe buty. Dało mi to pierwszą oszczędności naukę. W ten sposób suknie dziadowskie przechodziły na wnuków.“

„Prawie zawsze dla nabożeństwa w kaplicy bawił w Romanowie Reformat, często zajeżdżali kwestarze. Za jednego kapelana, z którym się jakoś zuchwale i nieprzyzwoicie znalazłem, skarcony, dostałem od dziada w skórę, abym na przyszłość kapłanów szanował. O tém *promemoria* tém mocniéj przypominam sobie, gdyż był to *casus* pierwszy i ostatni w życiu. W ogóle reformaci byli ludzie dobrego humoru i prostoduszni“.

„Na obiad i wieczerzę uderzano w bęben i schodzili się naówczas wszyscy domownicy do stołu. Prababka jadała u siebie, bo bardzo często pościła. Officyaliści dworscy, młodszy Piwoni, i starszy rachmistrz Więckiewicz, zapalony myśliwy, wirtuoz na skrzypcach, zjawiali się także. Więckiewicz, o ile u stołu bywał milczący, stanąwszy przed gankiem, niewyczerpane szczegóły miał do opowiadania z lat dawnych, z 1812 roku. Pamiętał on bodajże jeszcze dziadowską dzierżawę Bobrujskiego Starostwa. Spluwając często, wspomagając się wstawianiem „Mości Dobrodzieju“, gładząc perukę, Więckiewicz z zapałem po stokroć jedno powtarzał. A choć już trzymał klucz od swéj izdebki w ręku, opatrzony dla bezpieczeństwa drewnianą kłódką, choć mu jego wyżeł dopominał się powrotu do penatów, raz począwszy relacyą, nie łatwo kończył. Wieczorem, jeśli na kaczki nie poszedł, suwając nogami po niewielkiéj izdebce, godzinami grał na skrzypcach, które stały bardzo starannie zamknięte w okazałém pudle. Poczciwy stary dożył tu lat końca, podupadłszy mocno na zdrowiu. Zrósł się był z domem i rodziną“.

„Przypominam sobie mglisto bardzo odwiedziny u państwa Borkowskich J. U. Niemcewicza, na którego przyjęcie wielce się przygotowywano. Bawił jakoś krótko, ale sławny naówczas autor „Powrotu Posła“ i „Śpiewów“, poruszył sąsiedztwo całe. Mówiono długo i dużo o nim“.

„Widywałem, jeżeli się nie mylę, u Szlubowskich, młodego naówczas, zaledwie zaczynającego zawód swój, Stefana Witwickiego, który tu był jakiś czas nauczycielem domowym. Przypominam go, jako bardzo pięknego i miłego mężczyznę. Okolicy nie zbywało na wspomnieniach i miejscach zajmujących: nie licząc Białéj, o trzy mile był Kodeń, ze swym kościołem, Infułatem, starą cerkiewką zamkową, opustoszałą rezydencyą pani ex-Wojewodzinéj Mścisławskiéj, Różanka Pacowska, Włodawa, Wisznice i Dołholiska. W kościołku w Dołholisce, na obrazie cudownym, jako *votum*, wisiał order Cyncynata, ofiarowany przez Kościuszkę. Po drodze z Romanowa do Dołhego przejeżdżało się około Siechnowicz, starego gniazda Kościuszków, z drewnianą cerkiewką na piasku, staremi jodłami otoczoną. Komorę i granicę przebywało się w Brześciu Litewskiem. Naprzeciw niego w Terespolu, *alias* Błotkowie, rezydował sławny na całą okolicę doktór Müller, do którego się zdala zjeżdżali pacyenci. Byłem tam i ja raz dziecięciem na kuracyi. — Strasznie dawne, dawne czasy!“

„Chociaż to Podlasie było tak oddalone od wielkich gościńców, od świata, od ruchu i ludzi, że nawet czasu wojen rzadko tu jakie wojska się pokazywały, w okolicy Romanowa, w Romanowie samym, życia było wiele: listy, dzienniki, książki, czasem ludzie z daleka je przywozili. Wuj, Wiktor Malski, niegdyś officer artylleryi, człowiek berdzo wykształcony, dobry rysownik, malarz, duszą artysta, ale zarazem zapalony myśliwy, czytywał wiele i zajmował się literaturą. Z p. Janem Szlubowskim, także znawcą i miłośnikiem sztuki, odbyli oni podróż do Włoch, i do Rzymu i Neapolu czterokonną bryczką polską się dostali. Gdy wieczorem zbliżali się do staréj Partenopy, a na horyzoncie ukazał się z ognistym czubkiem Wezuwiusz, siedzącego na koźle podlasiaka zapytali podróżni: „jak mu się też zdawało? co by to być mogło?“ — Nie zmieszany wcale chłopak odpowiedział rezolutnie: „a co ma być? węgle dla kowala palą“.

„Jak dziadka, babkę, tak i wuja interesowało wszystko, co się w kraju i za granicą działo; czytano chciwie, rozprawiano wiele. Co nie mogło się dostać drukowaném, przepisywano. Pamiętam, że pierwsze poezye Mickiewicza, które obudzały nadzwyczajne zajęcie, wszystkie chodziły starym zwyczajem z rąk do rąk w rękopiśmie. Walter-Scott, Byron, Shakespeare, leżeli u wuja na stoliku; odradzającą się na nowo literaturę francuzką, książki włoskie, przywiezione z podróży, czytano i tłómaczono. Pan Jan Szlubowski w Opolu zgromadził dosyć piękny zbiór obrazów i rzeźb, zdobytych także we włoskiéj peregrynacyi. Wszystko to pierwszemi wrażeniami działało na umysł dziecięcy. Wspomnienia tych czasów tak jeszcze żywe pozostały“.

„Prababka, oprócz książki do nabożeństwa,



Anna z Nowomiejskich Malska, babka J. I. Kraszewskiego.

czytała mało. Babka za to po całych dniach czytywała, albo robiła w krośnach,—reumatyzm nie dawał jéj wiele się poruszać. Dziad gospodarował i miał obowiązki obywatelskie, często też wyjeżdżać musiał. W officynach u wuja panowały książki, ołówki, farby i myśliwskie przybory. Nie było rodzaju polowania, któregoby nie próbowano, bo i z ptakamiśmy jeździli starodawnym sposobem, a kilka sokołów i kobuzów wychowywano umyślnie do tego. Lasy Romanowskie obfitowały we wszelkiego rodzaju zwierza, okoliczne błota w ptastwa mnogość. Zawczasu nauczyłem się konno jeździć i z koniem sobie dawać rady; a dziś jedną z najdotkliwszych prywacyi jest może, że wierzchowca mieć nie można. Ojcowska kara klacz pierwsza mnie ponosiła i trochę potłukła; niezliczoną potém ilość razy padało się, podnosiło, i pędziło z niewymowną roskoszą w pola i lasy".

„Balów i zabaw wrzawliwych nie pamiętam tu wcale, oprócz jednych imienin prababki, na które między innemi gośćmi przybył pierwszy murzyn, jakiego w życiu widziałem. Uczynił na mnie niepospolite wrażenie. Pamiętam, że jak innych gości, przyjmowano go w salonie, i miał powierzchowność dobrze wychowanego człowieka".

„Wszystkie dawne obyczaje zachowywały się tu święcie i wiernie, prababka była ich stróżem. W niéj żyły tradycye wszelkie, które wspomnieniami popierała. Obchodzono doroczne uroczystości wedle form prastarych. W języku, którym mówiła prababka, zachowało się mnóztwo tych odcieni, akcentów, dodatków, które z mowy pisanéj znikły. Chociaż rozumiała po francuzku, nigdy językiem tym nie mawiała, i dla tego może mowa jéj miała niewymowny wdzięk archaiczny, nie książkowy, ale żywy, z życia wyrosły. Odzywała się w niéj rubaszność pewna, ale niewieścią skromnością powstrzymywana i niemal wytworna".

„Nieboszczyka pradziadka nie pamiętam wcale, wiem tylko o jego zgonie, o którym często opowiadano. W dosyć już późnym wieku będąc, p. Nowomiejski chorzał na podagrę i z krzesła się nie poruszał. W wigilią S-go Wojciecha, na imieniny jego, zjechali się zięciowie i wnuki. Wieczór upłynął bardzo wesoło. Nareszcie kazał się z krzesłem przytoczyć do stołu, mówił wiele, wypił pół kieliszka wina, naśmiał się, nażartował, i odprowadzony przez wszystkich, spać się położył. Nazajutrz, w dzień patrona, S-go Wojciecha, gdy długo nie wstawał, sądzono, że zmęczony potrzebował spoczynku. Około południa chciano go zbudzić; znaleziono w łóżku uśpionym na wieki, i dzień wesela stał się dniem żałoby".

Nie dziw tedy, że w takiém otoczeniu, pod takiemi wpływami, zdolności przyrodzone w Kraszewskim i rozwijać się, i objawiać wcześnie zaczęły, jak o tém sam w „Obrazach z życia i podróży" zaświadcza; że od dzieciństwa już szał jakiś wrzał w jego głowie; że wprzódy pisać zaczął, nim się pisać nauczył, drukowanemi literami składając już jakieś powieści i wiersze, z których, prócz dobrych babek, reszta familii nielitościwie szydziła; że zarówno i do rysunków wielki okazywał pociąg i zdolność; że marzył na przemiany o nauce, o sztuce i o sławie, i miał już przeczucie jakieś wszystkiego, przeczucie powołania.

Powołanie to wszelakoż wyraźniéj objawiło się dopiero w Białéj, gdzie umysł młodociany, rozłakomiony tylko, że się tak wyrazimy, w Romanowie, odpowiedniejszy znalazł pokarm dla siebie. Słusznie bowiem wnosić możemy, że w domu państwa Malskich, jakkolwiek myśli, i uczucia, i zwyczaje, i obyczaje były prawdziwie polskie, mimo to wszakże, ulegając duchowi czasu, a zwłaszcza przy ubóztwie owczesném literatury swojskiéj, więcéj w nim po francuzku, niż po polsku czytano. Świadczy o tém i sam Kraszewski, który we „Wspomnieniach" swoich tak pisze:

„Nowe książki francuzkie rozrywano, podawano sobie z rąk do rąk; nie mieć ich, nie znać,—było upakarzającém. Umiejętność francuzkiego języka była niezbędną; upośledzonym w towarzystwie stawał się, kto go nie umiał".

Jakoż cała rodzina państwa Malskich, jak się przekonywamy z papierów familijnych, przeważnie w tym języku z sobą korrespondowała; a że i sam Kraszewski bardzo już wcześnie doskonale z nim się zapoznał, mamy tego dowód niezbity nie tylko w tłómaczeniu przez niego w szkołach Bialskich bajek Lafontaine'a wierszami, a w Wilnie powieści Paul de Kocka, i w układaniu dla Glücksberga słownika Polsko-Rossyjsko-Francuzkiego; ale i w korrespondencyi jego rodzinnéj, z czasów akademickich, gdzie znajdujemy kilka listów do matki i do babki, wyborną francuzczyzną pisanych.

„Dla mnie jednak (spowiada się w swoich „Wspomnieniach") od dziecinnych lat, już nie wiem skutkiem czego,—przeczuciem jakiemś, sympatyą niepojętą,—książka polska, szczególniéj stara, miała urok niesłychany. Nikt u nas w domu w starych książkach wcale się nie kochał; nie było to więc naśladownictwem, ale symptomatem dla mnie

do dziś dnia niezrozumiałym. *Pierwszy raz w życiu spotkałem się ze skrzynką bardzo starych ksiąg, wyrzuconych z biblioteki Bialskiéj na strych* przy porządkowaniu jéj przez Zengtellera".

W Białéj też, dokąd, przygotowany przez same tylko babki, bez pomocy żadnych nauczycieli, w roku 1822 został wprost do drugiéj klassy oddany, dzięki ogromnym księgom wypisów, które posiadał professor Bartoszewicz i chętnie ich uczniom pożyczał, zapoznał się dopiero bliżéj z poezyami Krasickiego, Naruszewicza, Niemcewicza i Brodzińskiego, a nareszcie i Mickiewicza, i już nie instyktownie, lecz świadomie i z pewną znajomością rzeczy, rymować zaczął.

„Tu (pisze we „Wspomnieniach") pierwsze bajki wierszem tłomaczyłem z Lafontaine'a i w paradnie oprawnym sexternie ku wiekuistéj zachowałem je pamięci. Nie mogę zaręczyć, czym też nie pisał poematu czterech pór roku, których raptularza już tylko mi się fizyognomia przypomina. To pewna, że umysł się poruszał, i przyszły ów zawód, do którego popychała mnie jakaś fatalność, wabił już ku sobie".

Dla nas jedyną próbką twórczości jego poetycznej z epoki Bialskiéj jest Ballada, zapisana w księdze Glogera, któréj treść z przytoczeniem kilku wyjątków znajdą czytelnicy w miejscu właściwém.

To mi też przypomina, że nie mam prawa rozwodzić się o czasach bialskich, które szanowny kollega Kraszewskiego, jako świadek naoczny, należycie opisał; do jego więc opowiadania odsyłając czytelników w tém miejscu, wspomnę tylko dla związku rzeczy, że okres ten obejmuje lat cztery, z których dwa mały Józio w drugiéj klassie przepędził, co w taki sposób we *Wspomnieniach* swoich objaśnia:

„Nie mogę się wcale pochwalić, żebym był uczniem bardzo pilnym; miałem brzydki zwyczaj uczyć się zawsze nie tego, co było potrzeba, ale ku czemu ciągnęła fantazya i owa nienasycona ciekawość, która ciągnie do piekła. Pragnęło się wyprzedzić, nie wlec się powoli, i dużo wałęsało się po bezdrożach".

* * *

Skończywszy wszystkie klassy w szkole Bialskiéj, z poczętą powieścią, z pełną teką bajek, z głową roztrzepaną, marzeniami rozbitą, żądzą widzenia i nauki, po ostatnich błogich wakacyach w uroczym Romanowie spędzonych, Kraszewski udał się do Lublina, gdzie go babka Malska sama odwiozła.

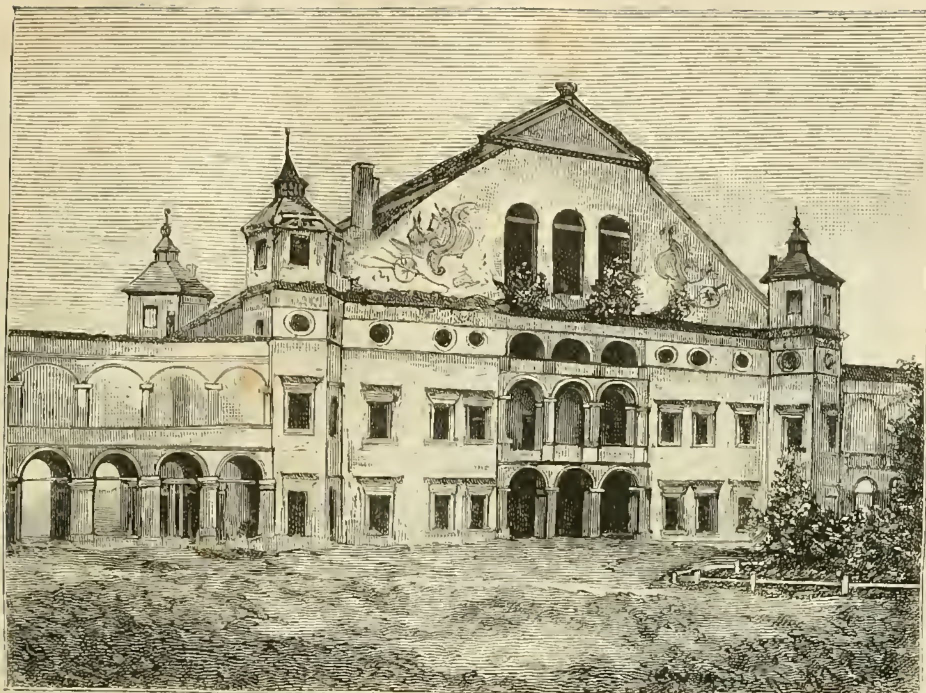
Kiedy się zbliżali do tego miasta, i już wieże jego kościołów z za wzgórzy się ukazywały, i do żywszego bicia pobudzały serce chłopięcia,—„powiedz mi Józefie—zagadnęła go babka—pamiętasz ty, co się w tém miejscu stało ważnego, pamiętnego?"

Niestety! nie mógł sobie nic przypomnieć! Dopomogła mu babka i mocno tém zawstydzonemu zaleciła, aby się lepiéj do historyi przykładał. „Kto wié—pisze Kraszewski,—czy to drobne zdarzenie nie wpłynęło na zamiłowanie w niéj późniejsze; bo pamiętam, że w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytałem, jakie mogłem, książki historyczne". Pierwszą próbką antykwaryuszowską był przerysowany przez niego napis zewnątrz farnego kościoła.

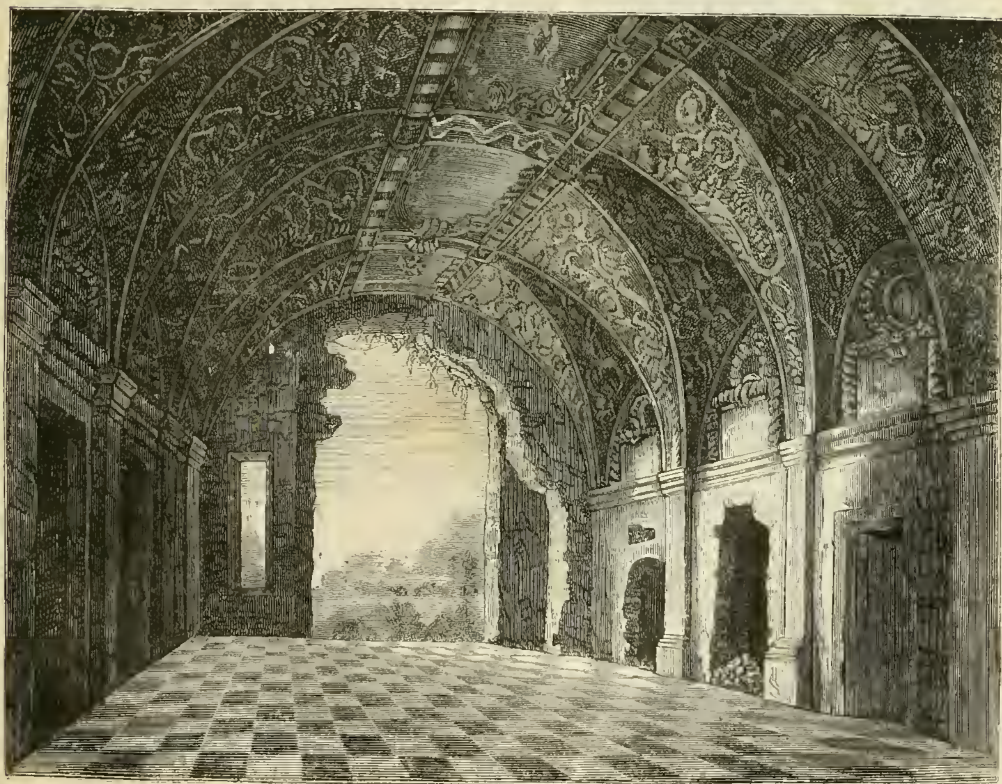
Umieszczono go u professora matematyki Ostrowskiego, który żyje do dziś dnia, a o którym w swym liście do mnie taki sąd wydaje Kraszewski: „Był to najlepszy człowiek w świecie, łagodny; i on, i ona, i cała rodzina najlepsze zostawili po sobie w mojém sercu wspomnienie. Dla takiego łobuza i warchoła, jakim ja byłem podówczas, aż nadto byli dobrzy i względni".

Z tém wszystkiém sam przyznaje w „Obrazach z życia i podróży", że rok przepędzony w Lublinie przyjemnych mu wrażeń nie przyniósł. Nie podobna wszakże przypuszczać, aby sam wstręt do matematyki, którą mu gwałtem pakowano do głowy, miał być głównym tego powodem, ani nawet aby to wypłynęło z owej sceny burzliwéj, która ten rok i w ogóle czasy Lubelskie zakończyła, kiedy chłopak ambitny, dotknięty do żywego odmówieniem spodziewanej nagrody, podczas wywoływania imion uczniów wybranych, cisnął z uniesieniem książkami i sexternami o podłogę i wyszedł z sali.— Musiały się do tego przyłączyć jeszcze inne nieprzyjemności. Z listu pisanego do babki przed samemi examinami, dowiadujemy się o kłopotach pieniężnych, o stanie opłakanym odzieży i t. p. „Jakże zazdroszczę tym, co są w domu! powiada,—oni się o swe potrzeby nie starają, a ja sam muszę o sobie myśléć. Nie tak to, jak w Białéj".

Widoczna więc, że albo babka i rodzice traktowali wyrostka jak dzieciaka, dla którego-to niegdyś dosyć było makagiki i pierników od Fejgi, i za szczupło mu udzielali zasiłku na prywatne jego wydatki; albo, że Lublin nastręczał mu różne pokusy, i narażał go na wybryki, w Białéj nieznane. W liście już cytowanym tyle tylko napotykamy: „Calutki prawie Lublin nosi kapelusze słomkowe *à la bergère*, roboty jednego w kajdanach, bardzo ładne i bardzo tanie... A co



Zamek Radziwiłłowski w Białéj.



Sala w zamku Bialskim.



Gmach szkolny i brama Trynitarska w Lublinie.

to będzie z tém, że babunia sama przyznawała mi potrzebę kapelusza, którego nie mam, i podobno obejść się muszę, pomimo nawet furażerki mocno podartéj". W *postscriptum* zaś: „Ale! przypomniałem sobie: co tu wiśni w Lublinie!"

A prócz kapeluszy *à la bergère* i wiśni, ileż-to w tym Lublinie znajdować się mogło rzeczy nęcących, o których niepodobna było pisać nawet do babki, nie dopieroż do ojca.

Musiały więc się trafiać pewne wybryki, a po nich bardzo ciężkie prywacye, które młodzieniaszkowi rok ten zaprawiły goryczą. Do wniosku tego upoważnia nas jeden ustęp z listu późniejszego, pisanego z Wilna do ojca, gdzie powiada między innemi: „przypominasz mi, drogi ojcze, czasy Lubelskie; ależ ja wtedy byłem dzieckiem *płochém i marnotrawném.* (*)

Bo zresztą, sądząc z tego, co zapisał w „Obrazach", życie w tém mieście dość mu nastręczało przedmiotów do przyjemnego i pożytecznego spędzania czasu. Książki, których tu łatwiej mógł dostawać, niż w Białéj, pocieszały go po matematycznych zadaniach, i po nudnych a trudnych, bo na dosłownem wyuczeniu się ufundowanych, lekcyach; gród zaś ten starożytny, po którym biegał z ciekawością niezmierną, dostarczał dosyć karmi dla przyszłego badacza dziejów, już się w nim budzącego do życia. Kościół farny, fundacyi Leszka Czarnego; kościół Dominikański, gdzie uczniowie na Mszę chadzali i gdzie ukazywano stół, na którym akt pamiętny z r. 1569 reprezentanci obu narodów podpisali; kollegium po-jezuickie, w którém się wówczas szkoły mieściły, i dawny kościół jezuicki, opustoszały, ale ozdobny jeszcze prześlicznemi freskami; pałac Biskupi, klasztor panien Brygitek, kościół S-go Ducha, stary gmach Sądów Trybunalskich i jeszcze dwie cenne, bo niezepsute pamiątki dawnych czasów, poważnie wznoszące się dwie bramy: Żydowska i Krakowska, jako też kilka kościołów na przedmieściu, czerniejących na wzgórzach, z przeświecającemi się dachy, z pochylonemi krzyżami, zajmowały go i pociągały przed innemi i mocniej mu się w pamięć wraziły. W kościele po-jezuickim, który oglądał wspólnie z przejeżdżającymi przez Lublin księciem Janem Woronieckim i Pawłem Pieńkowskim, znawcą i amatorem sztuki, po raz pierwszy otworzyły mu się oczy i zabiło serce na widok tego gmachu, tak pięknie, smakownie, z takiém bogactwem pomysłów i wdziękiem kolorytu ozdobionego.

Co do pożytku, z nauk szkolnych odniesionego, tak o tém opowiada Kraszewski: „Więcej może wówczas umiałem od swoich towarzyszów, bo w ciągu tego roku skorzystałem sam przez się czytaniem książek; ale gdzie trzeba było nauczyć się czegoś na pamięć, wypowiedzieć *pensum* słowo w słowo, nigdy się nie mogłem odznaczyć. Pamięć moja, skrzętnie chowając nazwiska, daty pojedyncze, fakta, wypadki, nie mogła się nakłonić do przyjęcia jednej sceny wierszy, pół kartki prozy. Ztąd, najlepiej mogąc napisać zadanie, dość mając językowej wprawy, nigdy nie uchodziłem za dobrego ucznia, bo żadnej lekcyi słowo w słowo nauczyć się nie mogłem". W inném wszakże miejscu powiada: „książki, bez żadnego wyboru chwytane, rozprzęgające wyobraźnią, zapalające ją, często szkodliwe, tyle tylko na mnie wpływały, żem coraz jaśniej widział, iż pisać muszę; pisałem więc, bez odetchnienia grzmoląc".

Wszelakoż mimo tego wszystkiego, nie musiało być tak bardzo źle z nauką, jak to Kraszewski opowiada, skoro uznawał się godnym nagrody, i skoro w swoim liście do babki z d. 6 Lipca 1827 roku pisał: „Czyby nie było można, żeby papa był na moim examinie, i widział postęp mój, i cieszył się, jeżeli jest z czego".

Bądź co bądź, dobrze jednak się stało, że, czy to w skutek owej sceny burzliwej, czy dla zabezpieczenia młodzieńca od wpływów niebezpiecznych większego miasta, czy ztąd wreszcie, że ojciec chciał sam zblizka czuwać już nad nim i ostatecznie z pod opieki babek odebrać; przeniesiono go na dalsze

(*) Po napisaniu tego życiorysu, znaleźliśmy dowody, że domysły nasze były zupełnie słuszne. Świadczy o tém list p. Ostrowskiego do pani Malskiéj, z którego się dowiadujemy, że Józio dopuścił się okropnych zbrodni! oto w ciągu roku poczynił małe długi na *wiśnie* i inne drobiazgi, a nawet niektóre rzeczy na to posprzedawał; co zaś gorsza, za pieniądze, które był w jego ręce złożył Więckiewiez dla p. Ostrowskiego, kupił sukna na tużurek, kamizelkę, *kapelusz* i t. p.! Stało się to powodem nieźmiernego zmartwienia dla babki, do któréj na dobitkę doszła jeszcze wiadomość, jakoby rektor szkół lubelskich miał officyalnie oświadczyć, że Józio był zanadto pieszczony! — „Gdyby w Józefie znalazł wady, którychśmy nawet nie spostrzegli, (pisała pani Malska do córki) niebym nie mówiła; lecz zkąd przekonanie, że rozpieszczony? Byliżeśmy tam przez rok cały? A samo oddanie w *dziesiątym roku* w dom obcy, (do Białéj) czy dowodzi rozpieszczenia? Każde głupstwo, niesprawiedliwość lub nierzetelność oburza uczciwą duszę".—Z innego znów listu pani Malskiéj z tego czasu dowiadujemy się, że Kraszewski, wyszedłszy w Białéj z klassy czwartéj, w Lublinie examinu nie zdawał, sam uznając, że nie dość pilnie do nauk się przykładał, i że powinien na rok drugi na tym samym kursie pozostać. *Przyp. autora.*

studya szkolne do Swisłoczy, bliższej od Dołhego, niż Lublin.

„Spokojne bowiem życie w Swisłoczy, (pisze w swoich „Obrazach“), gdzie trzeba się było koniecznie zająć nauką, choćby dla tego, że czém inném nie było, i mnie, i wielu innych zapewne zmusiło do oddania się namiętnego książkom, pracy. W młodym wieku, przy czynniejszym umyśle, jak tylko niema nic, coby oderwać mogło, coby nęciło jakim powabem, rzucić się musimy do nauki, potrzebując za warunek życia zajęcia, któreby siły nasze wyczerpało. Dla tego miasteczka takie, jak Swisłocz, podobniejsze wsi, niż miasteczku, spokojne, ustronne, najlepsze są dla młodzieży. W nich uczyć się trzeba koniecznie, lub z nudy umrzéć. W większych miastach umysł się zapala widokiem żywego, działającego świata; tu wszyscy otaczający oddychają nauką, przypomina ją tylko wszystko, a nic od niej nie odrywa“.

Obaczmyż, jak ta poczciwa Swisłocz wyglądała za czasów Kraszewskiego, który jej tak wiele zawdzięcza. „Przebywszy pełną tajemnic, europejskiéj sławy, żubrami i łowami głośną białowiezką puszczę, ujrzysz małe miasteczko, z wieżą kościołka farnego, z bielejącemi murami pałacu, i bram swych senioralnych wystawami malujące się na dolinie. Z jednéj strony jego stare drzewa ogrodu pałacowego, z drugiej drobne domki mieszczan. Wjeżdżasz ulicą, która się poczyna od kościoła Aniołów Stróżów. Piękna myśl była, u bram miasteczka, napełnionego młodzieżą, wystawić u wejścia Aniołom Stróżom, tak młodości potrzebnym, kaplicę. Od niej aż do rynku wciąż drewniane, nizkie, ciągną się domki mieszczan, zamieszkane przez studentów. Na szerokiej ulicy rozlegają się śmiechy wesołe; tam grają w piłki, tam z książkami w ręku swawolą chłopięta, daléj starsi próbują sił swych na skrzypcach i fletach. Wszędzie gwar i życie, wesołe życie młodości, pełne ruchu. Na barycrach posiadali jedni, drudzy powychylali się z okien, trzeci idą w zapasy z sobą, inni na wyprzódki biegają. Ulica ta nie ma pozoru miasta, sklepu w niej, karczmy, szynczku nie ujrzysz; spokojne domki stoją w rząd, jak studenci, i roją się samemi studentami. Po-za domkami ogródki, przed niemi ławki w cieniu młodszych i starszych drzew, na których korze kilka już pokoleń imiona swoje zapisało. Po prawej ręce od wjazdu, zbliżając się ku miastu, zaraz cię zastanowią cztery, starsze od sąsiadów swych, cieniste kasztany, przed wystawą drewnianego domku Huferta“.

W domku tym mieszkał, uczył się i marzył przez dwa lata Kraszewski, a w ciągu tego czasu, jak to sam przyznaje w „Obrazach“, więcej nauczył się, niż przeszłych lat po innych szkołach. Zaraz w początkach, musiał wziąć się skwapliwie do nieumianego dotychczas języka rossyjskiego, aby mu nie przeszkadzał do wyższej klassy, i dość rychło z nim się obeznał, a pierwszym tego dowodem było tłómaczenie *Rozmowy* Karamzina *o szczęściu*, które otworzyło mu wstęp do szkoły i zjednało względy professora.

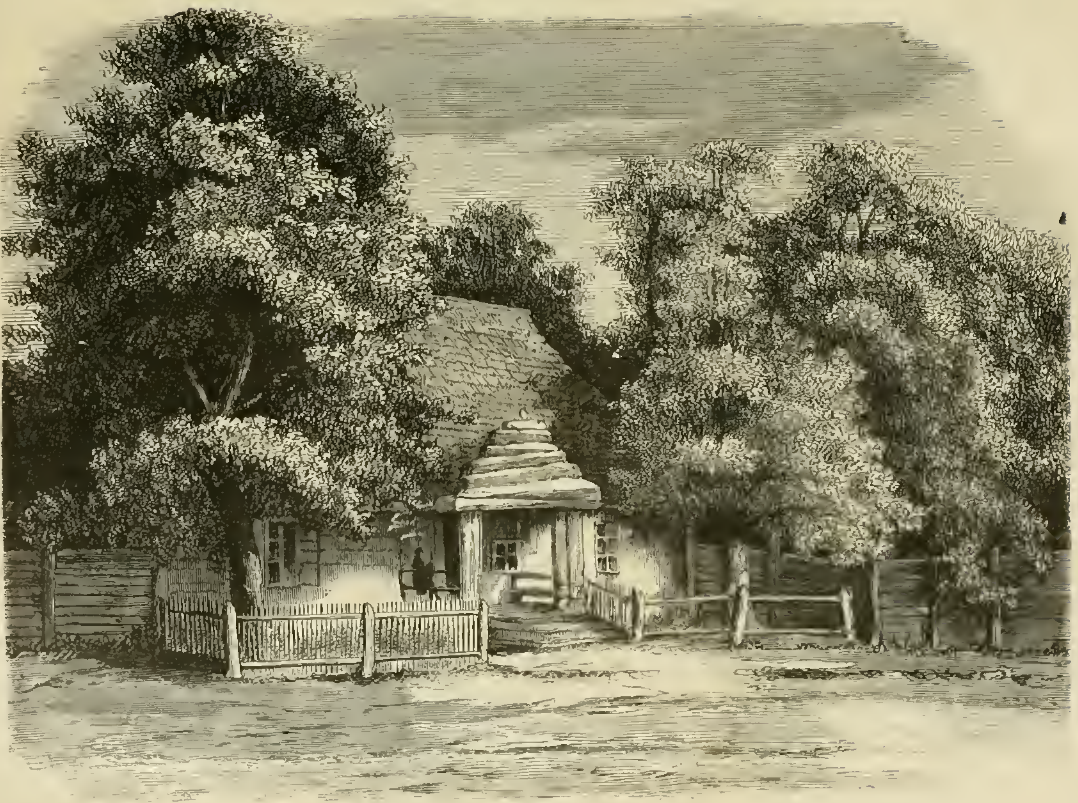
Następnie zabrał się szczerze do innych języków, mianowicie do łacińskiego i greckiego, i całe nieraz noce przepędzał nad tłómaczeniem paradoxów Cyceronowych, sam sobie takie twarde pensum zadając. Oddał się też z wielkim zapałem i już wcale na seryo studyom nad językiem ojczystym: czytał Górnickiego, Reja, Kochanowskiego, świeżo wydanych w Warszawie w małéj tańszéj edycyi; a nie kończąc już swoich powieści, w Białej pozaczynanych, i zarzuciwszy poezye, pisał obszerną rozprawę o przysłowiach, oraz zbierał wypisy z autorów XVI wieku.

A wejście to na drogę filologicznéj pracy zawdzięczał łagodnemu, uczonemu professorowi Walickiemu, który wspierał go życzliwemi radami, zaopatrywał w dobre książki z własnéj swojéj biblioteki, podniecał w jego sercu przywiązanie do swojskiéj mowy, jakiém sam się odznaczał, podał mu myśl do historyi polskiego języka i do *Glossarium*, które późniéj tak mocno w Wilnie go zaprzątały, a z których o ostatniém w „Obrazach z życia i podróży“ powiada, że gdyby go zdołał dokonać, toby mogło być użytecznem, miały się w niém bowiem zawrzéć wyrazy, wyszłe już zupełnie z użycia, z objaśnieniem, kiedy były używane, w jakiém znaczeniu i kiedy je zarzucono; wyrazy, które zmieniły swe znaczenie na inne, i t. p. Wyciągi z Lindego stanowiły podstawę tego *Glossarium*, ale przybyło do nich z czytania mnóstwo wyrazów, wiele znaczeń.

Zacny ten professor Walicki, z którym Kraszewski raz się tylko w czasach późniejszych spotkał, na zawsze w jego sercu pozostawił wdzięczne wspomnienie i odżył w sympatycznéj postaci professora literatury z pierwszego rozdziału „Powieści bez tytułu“, w któréj, jakkolwiek autor wypiera się stanowczo, żeby w niéj znaléźć było można ludzi i wypadki, brane żywcem z rzeczywistego świata, nie wahamy się upatrywać zdarzeń i osób, istotnie z jego życiem związek mających, i ledwieśmy nie pewni, że on to sam był owym Szarskim, który na lekcyi literatury czytał opisanie wiosny wierszami, a nawet gotowiśmy przypuszczać, że twarz



Gmach niegdyś gimnazyalny w Świsłoczy.



Dom niegdyś Hoferta w Świsłoczy.

jego, ozdobna młodocianym żywym rumieńcem, (jak opisuje Gloger) i przy lada wzruszeniu tém mocniéj się płoniąca, u szkolnéj dziatwy ściągnęła nań przezwisko *Piwonii*. Zresztą odnajdujemy tu i owe stare kasztany, ocieniające ganek dworku Huferta, znany nam ze Swisłoczy, i nie wątpimy wcale, że jest to tylko echo tych rad życzliwych, których niegdyś zacny Walicki Kraszewskiemu udzielał, gdy professor literatury w „Powieści bez tytułu" mówi Szarskiemu: „masz nauczyć się całego świata, pokochać go, poznać siebie, poznać ludzi, a potém jeszcze zbadać całą mądrość przeszłą, wszystko, co ludzie kiedy stworzyli, żeby nie powtórzyć słabiéj, co wprzód gorąco wypowiedzianem było... *w ostatku to narzędzie twoje, język i literaturę, na któréj skibę pot twego czoła ma upaść, musisz przeniknąć, musisz się ich wyuczyć*".

Obok zatrudnień naukowych w szkołach Swisłockich, prywatnie brał Kraszewski lekcye muzyki od niejakiego Brauna, po trzy godziny tygodniowo; lecz nie mając w domu fortepianu, nie mógł z nich odnosić takiéj korzyści, jakiéj i po zdolności jego, i po zamiłowaniu w tym kunszcie możnaby się było spodziewać. Rysunkom także oddawał się z upodobaniem, i musiał w nich czynić postęp nie mały, skoro, gdy potrzeba było zdjąć plan szkolnego gmachu, jemu to polecono, i z zadowoleniem wykonanie przyjęto.

„Tak w mgnieniu oka dwa lata przebiegły, przeleciały. Dwie nagrody i świadectwo *maturitatis* otrzymałem. Teraz miałem jechać do uniwersytetu; zdawało mi się, żem był poważnym człowiekiem; ręka napierała się pióra, które późniéj tylu mi wytrącić chciało, głowa paliła się nadziejami przyszłości, nigdy niemającemi się ziścić... Wyjechałem ze Swisłoczy, modląc się do tych Aniołów Stróżów, którzy mnie mieli prowadzić po świecie".

Po wakacyach, spędzonych w Dołhem, pobłogosławiony przez prababkę i babkę tylko listownie, d. 15 Września 1829 roku, wyruszył chciwy wiedzy, z sercem gorącém i głową zapaloną młodzian do Wilna, dokąd mu towarzyszył sam ojciec, aby go ulokować według swéj myśli i polecić opiece zamieszkałych tam krewnych, mianowicie zaś wspomnianego już wyżéj Podkomorzego Piotra Szwykowskiego, i przełożonéj zakonu Wizytek, panny Dłuskiéj, dla wysokich zalet serca i umysłu powszechnie szanowanéj i wielbionéj, a zostającéj w kollegacyi z Kraszewskimi przez Barbarę z Dłuskich Nowomiejską, prababkę Józefa.

„Straszna burza z piorunami (pisze Kraszewski w swych „Obrazach") napadła mię na wyjezdném do Wilna. Byłaż to przepowiednia burzy, w któréj szwankować miałem i cierpieć tyle?... Nie wiem".

Nie wezmą nam zapewne za złe czytelnicy, a jubilat wybaczy, że przytoczymy tu choć kilka wyjątków z opisu onéj burzy, który znajdujemy w jego liście do matki, datowanym z d. 4 (16) Września, z Krystyanpola, w drodze do Wilna. Niéma w nim wprawdzie nic wybitnego, ani oryginalnego, bo nawet w formie jest naśladowaniem listów Krasickiego; ze względu wszakże na to, że po owéj Balladzie, zapisanéj w księdze Glogera z Białéj, jest to pierwszy znany nam wiersz autora Witoloraudy, i opiewa epizod z jego życia, który sprawił na nim wielkie wrażenie i na długo utkwił w pamięci, wydaje nam się godnym zanotowania; nadto zaś, w książce niniejszéj słusznie się mu i dla tego jeszcze miéjsce należy, iż właśnie w roku i miesiącu, przeznaczonym na obchód jubileuszowy, równo upłynęło pół wieku, od kiedy on wyszedł z pod pióra jubilata.

Oto kilka wyjątków z niego:

.....wszystko to jest zmienne:
Łaska pańska, gust kobiety, pogody jesienne.
Krasicki.

„Gdybym mógł wierzyć, że obroty i szyki gwiazd wpływają na wypadki naszego życia, i że podróż, pod nieszczęśliwym zaczęta znakiem, źle się wiedzie; mógłbym sprawiedliwie twierdzić, że do końca nic się nam nie będzie szykowało. Nie wiem, czyli to Mamę Dobrodziejkę zabawi, lub nie, lecz ja wielką w tém znajdę pociechę, gdy nieszczęśliwy dzień wczorajszy mamusi opiszę".

Jeszczem domową mą lubę strzechę
Smętnem mógł oglądać okiem,
Jeszcze, tę mając jedyną pociechę,
Karmił się Dołhej widokiem;
Gdy się niebo zachmurzyło,
Dał się uczuć wiatr jesienny,
To raz mocny, potem zmienny,
Z wielką, to znów z mniejszą siłą.

„Lecz wiadomo, że zawsze pochlebiamy sobie, iż z tego, co nam niemile, nic nie będzie; a zatém

Śmiałośmy osądzili, spojrzawszy do góry,
Że wiater rozpędzi chmury.

„Jakoż bez wypadku dostaliśmy się do *Berezowéj karczmy*.

Tam, gdy za stołem usiadłem
I gruszki wyjmując jadłem,
Grzeczny żyd wyniósł z komory
Orzechów półmisek spory.
Tymczasem nieszczęściami obciążona chmura,
Sunie się od zachodu jak alpejska góra,
Warczą z daleka grzmoty i błyski migają,
Głosy płaczliwe ptasząt ciszę przerywają,
Szumią gałęzie lasu, zwierz w norach się kryje,
A chmura daléj rusza i już burza wyje.

„Po rozmaitych w karczmie z żydem i księdzem rozmowach, w czasie kropiącego już deszczu, wyjechaliśmy z gospody.

Bodaj domowa strzecha spokojna i cicha!
Lepsza, niż w wojnie złoto, w pokoju miedź licha.
Bodajto żyć spokojnie, nie zajrzeć nikomu,
Przy kominie, w cichości, śród wiejskiego domu!

„Ale, że to niepodobna, trzeba się i z burzą oswoić,—

Bo kto nie doznał niewczasu i znoju,
Nie skosztuje słodyczy wiejskiego pokoju.

„Tymczasem, porzuciwszy to wszystko, postępuje do dalszego opisu podróży:

Z początku deszczyk kropił zwolna i nieznacznie,
Ale potem za kołnierz jak nam lać nie zacznie!...
Płyną strugi po sukniach, po bryce i koniach,
Coraz gęstsze kałuże, już pływamy w toniach,..
I tak utrapieni srodze
Wśród lasu, błysków i gromu,
Jadąc po bezecnej drodze,
Woleliśmy zostać w domu.

„Brakło jeszcze ciemności, i ta wkrótce nastała;

A niekiedy pioruny bijące z daleka,
Światłem swém wskazywały człowiekowi człeka ‘.

„Gdybyż przynajmniej można się było spodziewać, że tą męką wybawim jaką pokutującą duszę, jak ów podróżny Mickiewicza, co mu oś pękła na mostku, byłoby to mogło pocieszyć w tém utrapieniu; cóż gdy niczego podobnego spodziewać się nie było można“.

Tu, na wspomnienie ballady Mickiewicza, budzi się w siedmnastoletnim rymotwórcy duch romantyczny. Po kilkunastu wierszach, poświęconych opisowi coraz cięższej i przykrzejszej podróży, czytamy daléj:

Za górą wśród gęstych błysków,
Grzmotów, piorunów pocisków,
Ujrzeliśmy chatek kilka,—
Będziem przy nich—jeszcze chwilka,
Chwilka tylko,—już mijamy
Mały młyneczek bez tamy
I na wzgórku kościół stary...
Wtém—czy prawda, czy to czary?
Widmo jakieś z dala bieży,
Bez nakrycia i odzieży,
W ręku, naśmiewając się i z wiatru i gromu,
Trzyma pęk łuczyn wielki,
I tak wybiega z domu,
Niosąc na przypadek wszelki,
Niby tarczę jakąś, niecki.
Był to duch jakiś zdradziecki;
Myśmy nań krzyknęli z dala,
Duch się z snu swego ocucił,
Co prędzéj ogień porzucił,
A sam się spiesznie oddala.

„Duchem tym był nieostrożny chłopiec, co się z ogniem do obory wybierał. Tak tedy dojechawszy do Krystyanpola, i obsuszywszy się należycie, postanowiliśmy bez parasola nigdzie się nie ruszyć. Tak to zawsze *mądry polak po szkodzie*. Jakoż dziś papa parasol kupił i resztę drogi jesteśmy bezpieczni. Kończąc ten długi i nudny opis i przepraszając, żem go wierszami wysłowił, zostaję mamy Dobrodziejki przywiązanym i szczerze kochającym synem Józef“.

U spodu tego listu znajduje się winietka, piórem naszkicowana, a przedstawiająca u góry główkę aniołka z rozpostartemi skrzydełkami, u dołu po dwóch stronach dwie inne jakieś fantastyczne, niby satyrów, czy szatanów, a w pośrodku gotyckiemi literami wypisane miejsce pobytu *Krystyanpol* i data. W rysunku tym znać już niemałą wprawę ręki i pewną pomysłowość, dla tego też wspominamy tu o téj pierwszej znanej nam próbce artyzmu Kraszewskiego, który w dojrzalszych leciech z takiém zamiłowaniem malarstwu się oddawał, i dziś jeszcze znajduje w niém miłe wytchnienie po literackiéj pracy.

Wrażenia, jakich doznał Kraszewski, po przybyciu do Wilna, odnajdujemy w „Powieści bez tytułu“ wiernie odmalowane.

„Pierwsze dni były, jak zawsze, pełne zajęć i zachwytu. Jak gdyby się obawiał, żeby mu wszystko nie pouciekało, obejrzéć chciał razem całe Wilno, pamiątki jego, okolice i osobliwości. Poleciał z kollegami drapać się na górę zamkową, do sterczących zwalisk Górnego Zamku, do katedry, na grób nieznany Witolda, na Bekieszówkę, po nad Wilią do gruzów pałacu Barbary, do Ostréj Bramy... Obiegał kościoły, zachwycał się uroczemi wieżami tego grodu, którego każda piędź ziemi przesiąkła tysiącami pamiątek. Głowa mu się paliła na samę myśl, że depce pobojowisko, przez które przeszło tyle wieków, bohaterów, ludów, zapału i poświęceń. Nie było chwili czasu,

żeby odetchnąć, bo z jednej strony wpisy, rozpoczynające się prelekcye, z drugiej—porywające życie akademickie, tysiączne pokusy i roztargnienia ogarniały go, chwytając myśl, serce i przytomność, wprawiając w rodzaj rozkosznéj gorączki. Któż z nas nie pamięta (pyta Kraszewski) tego szału dni pierwszych i rozmarzenia, w jakiém poczynał żywot akademicki, będący nieustanném pasmem zachwytów. Zetknięcie się tylu młodości z sobą, jak skupienie w jedno ściśnięte ognisko promieni słonecznych, musiało wyrodzić stan całkiem nowy i niezwyczajny w innych życia warunkach. Z drugiej strony nic nie przeważało, nic poskramiało go, bo nauczyciele nawet, i co się tylko z tym młodym ludem stykało, porwane wirem niepohamowanym, zamiast go uśmierzać, pędem jego chwycono, leciało na głębiny".

Stan ówczesny uniwersytetu Wileńskiego znajdą czytelnicy zarysowany w artykule p. Chmielowskiego. Kraszewski zapisał się na wydział literacki, lecz przez ciekawość, przez zamiłowanie w naukach w ogólności, i na lekcye medycyny czasem uczęszczał. Ztąd też w „Powieści bez tytułu" znajdujemy charakterystykę młodzieży z obu tych fakultetów, którą tu przytaczamy, aby dać poznać czytelnikom te elementa, które na ducha jego oddziaływać musiały.

„Medycy, po większéj części chłopcy ubodzy a pracowici, garnęli się do swéj nauki z zapałem, raźno jakoś i ochoczo, smutne swe studya usiłując rozweselać humorem, nieustannie podtrzymywanym skupieniem się w gronku dla nauki i dodania sobie ducha. Pomiędzy nimi, począwszy od najznakomitszych inteligencyi, do najpłytszych umysłów, szereg zdolności był niezmiernie rozmaity, wychowanie też, obyczaje, usposobienia najróżniejsze".

Szyderstwo chłodne i niewiara szeroko tu panowały, choć były wyjątki, ogół wszakże składał się z materyalistów. Gdyby nie uczucia szlachetne, których wygasić nie mógł sceptycyzm zaraźliwy, kupka ta byłaby straszną, tak zimno już uczyła się patrzéć na świat, ciągle do czynienia mając z trupami, lub z człowiekiem w stanie anormalnym, schorzałym i upadłym; ale i te święte ideje braterstwa, poświęcenia, uczucia honoru—żyły na ruinach bujnie i rozjaśniały szary horyzont materyalizmu. Ideje te pomiędzy garścią medyków niemal do exaltacyi dochodziły, tak żywo były uczute sercami, bo człowiek, z jednej strony stygnąc, musi drugą szukać, czémby się rozgrzał i poruszył".

„W oddziale literackim, stosunkowo daleko mniéj licznym, składającym się z uczniów uboższych jeszcze, których popęd niezłomny do studyów niewdzięcznych nakłaniał, większa była jednolitość usposobień i fizyognomia jednostajniejsza daleko. Było ich niewielu, zamyślonych, zapracowanych, niepewnych jutra, po większéj części wyglądających w przyszłości ciężkiego chleba nauczycielskiego; a obok wytartych mundurów tych cierpliwych wyznawców nauki, zaledwie parę wytworniejszych fraków bogatych chłopców, którym tylko o stopień chodziło, ukazywało się na ławach rzadko zajętych".

„Większa część uczniów oddziału literackiego miała usposobienia, na które rachowała, i odznaczała się też nieodłączną od nich zarozumiałością. Mniéj tu było braterstwa, związku, serdeczności, wesela, niż pomiędzy medykami; bo każdy chodził z sobą, myślał o sobie, ufał w siebie, i rzadko miał ochotę się rozśmiać".

Że Kraszewski nie należał do rzędu tych sensatów pochmurnych i o sobie tylko myślących, o tém wątpić nie można, bacząc nie tylko na temperament sangwiniczny, ale i na charakter owoczesnych jego utworów, w których górując nadewszystko dowcip gryzący, lecz wesoły niekiedy aż do pustoty. Wiemy zresztą zkąd inąd, że pomimo tego, co, jak to niżéj obaczymy, pisał do matki i do ojca o zatopieniu się w pracy umysłowéj i o życiu sedenteryjném, nie był wcale ani anachoretą, ani jakimś ascetą, lecz owszem, lubił i wycieczki zamiejskie; i sznurkowanie po ulicach pomiędzy tłumem, dla zbierania wzorków z natury; i wyprawy nieco awanturnicze na maskarady, w tym rodzaju, jak na przykład owe na Pohulance, opisane w „Obrazach z życia i podróży", mimo to, że na takich zabawach studentom bywać zabraniano, szczególniej w maskach; i zaglądanie do kawiarni w tym guście, jak owa z „Powieści bez tytułu" *u Julki*, z rzeczywistości wzięta; i swobodne, gwarliwe wieczorki koleżeńskie, z których jeden tak wdzięcznie w „Pamiętnikach nieznajomego" odmalował.

Chcecie go złapać na gorącym uczynku, patrzcie i odgadujcie, bo on tu jest z pewnością:

„Stancya Ludwika i jego towarzyszów, składająca się z dwóch izdebek i przedpokoju, wychodzi oknami na ulicę; schodki do niéj wiodą ciemne, które nieraz przeklęli bedele. Na wieczorną pogadankę nie potrzeba nam było przygotowań wiele. Dwie świece łojowe paliły się w dwóch pokoikach, które dym wagsztafu napełniał; Ludwik leżał na łóżku, myśmy siedzieli koło niego na

kuferkach, na krzesłach, na komodzie, gdzie kto padł. Roznoszono herbatę z sucharkami, w szklankach różnych kształtów i barwy, z niedostateczną ilością łyżeczek, które szczęśliwym się tylko dostały, reszta mieszała piórami i scyzorykami, lub nie mieszała wcale. Kilka cybuchów z małemi fajeczkami czarnemi nieustannie napełniały się suchym tytoniem i wypróżniały się pod piecem".

„Jedni przybyli w szlafrokach, drudzy w narzuconych płaszczach, inni w starych wytartych mundurach. Kilku tylko przeniosło wista w pierwszéj izbie, wista, co niechybnie faraonem miał się skończyć, nad gawędkę. Można miarkować, jaka była wrzawa, hałas i ile wesołego śmiechu!"

Zaczęło się od lekcyi i professorów, a każdy, wedle wydziału, do którego należał, swoich chwalił, lub przeklinał. Rzadki jednak co złego o nauczycielu wyrzekł; większość kocha ich, i słabości nawet, tak łatwo łapać się dające, pobłażaniem szacunku okrywa. Anekdotki o życiu prywatném, o żonach professorów, o zwyczajach ich, śmiesznostkach, powtarzano po raz tysiączny. Każdy tam swój grosz dorzucić musiał. Układano się o korrepetycye, o pożyczanie spisanych lekcyi i książek. Cieszyłem się, widząc, że już samo nabywanie nauki ożywiało nas wszystkich. Biedacy tylko, na umyśle chorzy, podupadli na odwadze, szukają sposobów jak najłatwiejszego wyuczenia się na pamięć tego, co przyswoić sobie należy."

Nie na tém wszakże kończyły się Kraszewskiego w Wilnie rozrywki. „Ówczesny świat wileński (czytamy w „Powieści bez tytułu") nie wyjmując nawet najpierwszych domów, chętnie wstęp dawał tym, którzy nosili mundur akademicki, nigdy nie splamiony niczém i służący za najlepszą rekomendacyą młodzieży. Byle kto wprowadził akademika, przyjmowano go wszędzie, jeśli nie ze szczególnemi względy, których młodzież wymagać nigdy nie ma prawa, to z uprzejmą i serdeczną grzecznością. Mało też było rodzin, u którychby na wieczorach, zabawach i przy codziennéj herbacie, nie ukazał się kto z młodych uczniów uniwersytetu. Był to żywioł, wlewający w tę społeczność nieco ruchu, nieco uczucia i ognia. Mimowolnie rozgrzewać się musiano od piersi młodzieńczych."

Wątpić tedy nie można, że i Kraszewski na podobnych herbatach, wieczorach i zabawach uprzejmie też bywał witanym, tém bardziéj, że się już i talentem z grona rówieśników wyróżniał, i przez krewnych, należących do wyższéj sfery w towarzystwie wileńskiém, łatwy wstęp do najpierwszych domów mógł znaleźć; żeby jednak częstym w nich bywał gościem, żeby podobał w towarzystwie etykietalném i chętnie się garnął do niego, tego znów utrzymywać nie można, znając dobrze jego usposobienie pod tym względém, stale się objawiające, równie w pismach jego, jak w życiu, w którém zawsze za najcięższą próbę dla siebie liczył wszelkie zetknięcie się z tak zwanym wielkim światem, że przypomnimy tylko jeden ustęp z „Trapezologionu," gdzie widzimy go, jak w podróży, zaskoczony przez srogą burzę z piorunami, które na niego zawsze wywierały niewymównie przykre wrażenie, waha się, czy się schronić przed niemi do pańskiego pałacu, po pod którym właśnie przejeżdża, czy też raczéj zmoknąć do nitki i poddać się wszystkim męczarniom podrażnionych i rozszalałych nerwów.

O studyach Kraszewskiego w tym czasie, o zamiłowaniu jego wielkiém w nauce, możemy powziąć jak najdokładniejsze wyobrażenie z „Pamiętników Nieznajomego," zwłaszcza porównywając je z listami, z tejże epoki, do rodziców pisywanemi.

„O moja matuniu! (pisze w rzeczonych „Pamiętnikach"), skarby drogie są w nauce! nie myśl, bym je miał zaniedbywać, nie lękaj się także, bym Boga z oczu stracił. Nauczyłaś mnie widzieć Go wszędzie, szukać Go zawsze, i obejść się teraz bez Niego nie mogę. Nie myśl, bym dla poezyi naukę rzucił! Nauka dostarcza materyału poecie, ona mu szerokie roztwiera pole, jasno ukazuje przestrzenie. Niéma nauki suchéj... Nie! poezya nie wyłącza nauki, owszém, obejść się bez niéj nie może. A kto ją ma w sercu, temu przesiąknie wszystko poezyą, jak soki ziemi, przechodząc łodygę róży, w jéj się zapach zmieniają, jak w pszczółce pokarm miodem się staje i woskiem!"

„Opiszę ci, matuniu, moje zatrudnienia, abyś się przekonała, że nie próżnuję przecie. Uczę się czego pragnąłem, i uczę się z zapałem. Większość naszych nauczycieli ze wszech miar na wdzięczną zasłuży pamięć. Są to ludzie zamiłowani w swym przedmiocie, a to zamiłowanie jest największą rękojmią dla uczniów. Patrzą wprawdzie ze stanowiska materyalistów, ale czyż temu winni? Uczyli się, młodymi byli, gdy nauka na tém stanowisku prawie wszędzie stała; nie dziw więc, że się i oni na niém znaleźli. Nie są to geniusze, coby w jakikolwiek sposób reformować mieli; ale ludzie z talentem i sumienni. Jeden tylko (nazwiska ci nie powiem), cudzoziemiec, szyderstwem zbywa naj-

poważniejszy przedmiot, który traktuje. Dwa wielkie imiona, dwa luminarze nasze, nie na naszym horyzoncie świecą (zapewne Jędrzej Śniadecki i Porcyanko) nie będę więc ich sądził. Ja z moich zwłaszcza rad jestem. Kocham Leona Borowskiego... jest to sceptyk w głębi podobno, ale człowiek głowy i serca, nauki wielkiéj, wyrozumiały dla nas, przyjazny wszelkiemu młodemu talentowi. Mówiłém z nim kilka razy, zachęcał mnie nawet, jestem z tego trochę dumny."

„W ciągu tygodnia uczęszczam regularnie na lekcye, które mi przypadają w różnych godzinach przed- i poobiednich. Oprócz języków, historyi, literatury i tego, co do oddziału mego należy, chodzę na lekcye malarstwa, rysuję z natury. W pozostałych godzinach tyle jest do czynienia obcego, naszego, nowego i dawnego! Muszę grać, rysować i spocząć; nie mogę być całkiem obcy towarzyszom moim. Widzisz więc, matuniu, że dnie mam zajęte, a zawsze mi się krótkiemi zdają. Na moje pragnienie nauki życia doprawdy za mało."

Wprost zaś już od siebie Kraszewski, z końcem pierwszego roku akademickiego, po odbytych szczęśliwie examinach, pisze do ojca:

„Pan Hołówko powiada, że mnie sedenterya wychudziła i wybledziła; ja toż samo utrzymuję, ile razy spojrzę w źwierciadło; ale wszystko, co tylko ciało upięknia, niknie przed naukami i umysłowym posiłkiem. My żyjem w ciele, jak ślimak w skorupie, a dusza nasza i umysł jest wszystkiém. Tento dopiero rok, kiedy mi raz pierwszy w życiu bogate języków i nauk otworzył skarby, obudził nieznany zapał do nauki. Czuję, że jéj moje życie poświęcę i dla niéj jestem stworzony. Jeżeli kto na świecie się nudzi, niech się uczy, a uzna, że jedna tylko nauka i praca umysłowa może człowieka uszczęśliwić. Wakacye moje tego roku będą pracowite: mam napisać odpowiedź na temat Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w Warszawie zadany, za którego rozwiązanie jest tysiąc złotych nagrodzony; moja historya języka polskiego czeka także niecierpliwie porządku; Grammatyka Arabska, ogromna in 4-to, pożyczona na całe wakacye, potrzebuje mojego pióra do skrócenia. O! cóż tu przyjemności przy tak urozmaiconéj robocie!"

Jest to jedyny list, dochowany z pierwszego roku pobytu Kraszewskiego w Wilnie. Widzimy, że się w nim nie chwali przed ojcem ani poezyami, ani powieściami swojemi, lubo wiemy zkąd inąd, że już w tym czasie miał ich zapas nie mały: że wykończył już „Wielki świat małego miasteczka," i „Pana Walerego," rozpoczęte jeszcze na szkolnéj ławie, i kilka nowych rzeczy napisał, jak np. „Dwa a dwa cztery;" że, jak to w „Powieści bez tytułu" odnajdujemy: nosił się z niemi nadaremnie po drukarniach, Zawadzkiego, Marcinowskiego, Zymela i Manesa i Glüksberga, zanim powziął postanowienie ogłosić je na drodze prenumeraty pod tytułem zbiorowym: „Kilka obrazów towarzyskich," na które prospekt już miał przez cenzurę zatwierdzony dnia 21 Czerwca (2 Lipca) tegoż roku, a w Sierpniu wydrukował go nawet w Kuryerze Litewskim. Przemilczenie to wszakże łatwo się daje wytłómaczyć obawą, aby ojca, który nie rad był tak wczesnemu popędowi jego do literatury nadobnéj, i zarówno, jak wszyscy krewni, z wyjątkiem tylko babki i prababki, w ogóle dość niechętnie spoglądał na garnięcie się syna do zawodu literackiego, tém bardziéj nie uprzedzać przeciwko sobie, nastręczając mu przypuszczenie, że dla błahych elukubracyi może się zaniedbywać w studyach poważnych.

W tym téż roku zaznajomił się i zaprzyjaźnił z wydawcą „Noworocznika Litewskiego," Hipolitem Klimaszewskim, którego piękną postać tak sympatycznie w „Powieści bez tytułu" nam odmalował, a znajomość ta wpływ niemały na działalność jego literacką wywarła, o czém nas przekonywa dowodnie nie tylko Powieść pomieniona, lecz i jeden z *Listów do Nieznajomego*, (Kłosy T. XXVII N. 679), w którym pisze:

„Czy pamiętasz professora Klimaszewskiego? czy przypominasz sobie jego czarne, błyszczące oczy, ognia pełne, kruczy włos, i uśmieszek twarzy kwitnącéj młodością? Była to sympatyczna postać. Przebyliśmy z sobą długie a liczne godziny u św. Piotra na Antokolu i u św. Ignacego. Pamiętam o nim tylko, jako o człowieku, co mnie pierwszy skusił do pisania i zachęcił do pracy."

W *Powieści* zaś *bez tytułu* tak charakterystykę jego i swój z nim stosunek określa:

„Młody ten człowiek, niedawno kandydat jeszcze w instytucie pedagogicznym, wówczas nauczyciel literatury starożytnéj w szkołach, dał się był świeżo poznać pracą, z jaką rzadko kto występuje w początkach, — uczonym, ale pełnym życia komentarzem nad poezyami Stanisława Trębeckiego. Dzieło to nie mogło mieć i nie miało rozgłosu w sferach towarzystwa, zajętych czytaniem łatwém, gdzie zaledwie o niém wieść doszła, ale zjednało mu szacunek u ludzi, ceniących głębszą naukę i miłujących poezyą jędrną śpiewaka *Zofiówki*. Professor Hipolit rzucił tę książkę, chcąc przez nią powiedzieć: oto, co mogę, — oto, co umiem! — Ale za-

razem widząc, jak głodne rzesze wyglądały pokarmu, jak ogół pragnął strawy, którąby pożywać umiał, przeczuwając, że wychowanie literackie czytających począć się musi od ksiąg, pod formą lżejszą wiodących do myśli i pojęć surowszych o sztuce; przedsięwziął zebrać w jednę wiązkę wszystkie natchnienia młodzieży, wszystkie utwory swoje i rówieśników, wszystkie śpiewy, w których tętniała tęsknota wieku i wyrywały się uczucia jego. Tą powodowany myślą, gromadził do Noworocznika swego kłosy po polu z niezmordowaną gorliwością, nie wahając się schylać po nie i do tych, którymiby inny pogardził, jako niedorosłemi dziećmi. I w dzieciach czasem mówi proroczo przyszłość."

Schylił się więc i do Kraszewskiego i umieścił w „Noworoczniku" swoim jego „Historya organisty Sokalskiego," i „Wieczór, czyli przygody pernki," ustęp z powieści „Dwa a dwa cztery."

„Noworocznik Litewski," podpisany przez cenzurę, d. 3 (15) Listopada 1830 r., prawdopodobnie wyszedł w Grudniu; ale czy autor „Organisty" doświadczył téj rozkoszy niewysłowionéj, jaką się do zawrotu głowy upaja każdy początkujący, dostając wprost z pod prassy jeszcze wilgotny pierwszy arkusz najpierwszego utworu swego? rzecz to bardzo wątpliwa: dnia bowiem 3 (15) Grudnia zwaliła się na głowę jego burza, któréj zapowiednią mu była owa, co nań spadła w drodze do Wilna.

Nie wdając się w szczegółowy opis téj katastrofy, krótko tylko powiemy, że zanosiło się na to, a nawet zapadło już było postanowienie, iż miał pióro na karabin zamienić. Skutkiem wszakże nadwątlonego zdrowia, nie mógł się udać w drogę niezwłocznie i poszedł na kuracyą do szpitala księży Piarów, zkąd dnia 18 (30) Grudnia 1831 r. pisał do matki:

„Korzystam ze zręczności, żeby donieść mamie, że jeszcze żyję i jestem w mieście do czasu, bo sam nie wiem, kiedy mi jechać w podróż wypadnie, i to w podróż, och jaką! któréj się nigdy nie spodziewałem. Cały ogrom moich myśli i wyobrażeń zmienił się od czasu, jak to niespodziane nieszczęście mię uderzyło. Ale też, o kochana mamo, jak wiele to nieszczęście posłużyło do rozwinięcia mego ducha, do ustalenia charakteru! Mogę powiedzieć, że od tego dopiero czasu zacząłem rozumować, jak doznałem, co to nieszczęście. Przypomina mi mama i babunia, abym nie zapomniał o Bogu. Ach! któż kiedy w nieszczęściu o Nim zapomniał. W pomyślności wielu ludzi o Nim zapomina, ale nieszczęśliwy nigdy. On ku Niemu ręce podnosi, bo w Nim tylko dla nas nadzieja. Gdybym mógł pokazać choć na chwilę stan mego serca i duszy, nie możnaby mnie nigdy obwiniać o obojętność lub zapomnienie. Zapomnieć rodziców, siostr, braci, krewnych, nie podobna temu, kto umie czuć, bo w nich polegają najmilsze nam, najdroższe i najtrwalsze uczucia. Nic tak serca nie rani, jak prośba matki do syna, aby o niéj nie zapomniał; kto zapomni o matce, ten nie wart, aby o nim Bóg pamiętał.—Jedyną pociechą moją w tym stanie są książki; rzuciłem się teraz na drogę zupełnie suchą; marzę sobie o filozofii, śmieję się z nieszczęść, dumam, czasem płaczę, ale najwięcéj czytam. Nazwałbym największym moim nieprzyjacielem tego, ktoby mi książki odebrał, byłoby to może więcéj, niż życie odebrać, bo ja dziś tak mało życie cenię, iż nawet się nie staram, aby je przedłużyć... Może moi bracia lepiéj odwdzięczą starania i łzy rodziców. Ja już zginąłem dla was i dla siebie. O kochana matko, nie płacz nade mną! ja wszystko wycierpię i zniosę, jeżeli będę wiedział, że nikt po mnie nie płacze, bo wiedząc, żem drugich nieszczęśliwymi uczynił, podwójnie cierpieć będę"....

„Może to jeszcze nie ostatni list odemnie... ale żegnam was, kochana matko, ojcze, babki, siostry, bracia: Joasiu, Anusiu, Lucyanie i ty mały Kaziu! pamiętaj, żeś miał brata, który był nieszczęśliwy, ale nigdy występny, który zbłądził nieraz, ale nie z nałogu, który kochał cały świat, który na świecie dojrzał za prędko i zmartwiał za prędko na wszystko. Niech to będzie dla was nauką, że nie bardzo trzeba się cieszyć, kiedy dziecię nad lata pokazuje po sobie zdolności; ach! taki nieszczęśliwym jest bardzo, walczy ciągle z samym sobą i ginie wówczas, kiedy drudzy żyć zaczynają."

W tydzień potém pisał znowu do ojca:

„Jestem jeszcze tutaj i nie spodziewam się nawet prędko wyjechać; tymczasem siedzę, a że od dawna nad książkami siedzieć przywykłem, więc mi dziś nie bardzo przykro, a przy tém oswoiłem się z swoją dolą: wszakże mi przy urodzeniu napisano na czole, że mam cierpieć. Cóż mi poradzi, że będę płakał nad sobą."

„Szczęśliwa przyszłość nas czeka, bo w tém życiu niéma, nie było, nie będzie, nawet nie może być szczęścia"....

„Ja zaczynam się przyzwyczajać do swego teraźniejszego położenia, może i z przyszłym moim stanem także zgodzić się jakkolwiek potrafię!"

„Żegnam papę i mamę! jeżeli nie na tym, to na tamtym świecie wszyscy się zobaczymy. — Wdzięczny, przywiązany i do śmierci kochający syn.“

Nie spełniły się wszakże smutne przeczucia: burza przegrzmiała i znów pogodne niebo uśmiechnęło się młodzieńcowi. Dzięki staraniom i wpływom panny Dłuskiej, generał gubernator wileński, książe Dolhorukow to sprawił, że Kraszewskiego ominęła służba wojskowa. Wiadomość tę radośną przyniesiono mu w sam dzień jego patrona 7 (19) Marca 1832 roku. Nazajutrz pisał do rodziców:

„Dziś dla mnie dzień pamiętny na całe życie. Prawdziwie teraz powiedzieć można, że ręka i opieka Bozka nade mną niezasłużonym jeszcze spoczywa. Wrócony na łono rodziny, do której serce moje wzdychało, będę się starał otrzéć łzy Ich i na przyszłość zasłużyć na Ich przywiązanie. Jedno tylko pozostaje mi do życzenia: ażebym jak najprędzej przestał być ciężarem Im i mógł kiedykolwiek, choć w milionowej części, odwdzięczyć łaski najukochańszych rodziców“.

Nie zaraz jednak mógł do domu powrócić, a jakkolwiek tęskno mu było do rodziców i babek, do sióstr i braci, wszelako słusznie wnosić możemy, że nie tak bardzo przykrzył przymusowym pobytem w Wilnie, gdzie właściwsze pole i odpowiedniejsze warunki, niżli na wsi, dla swych ulubionych zajęć znajdował, i gdzie życie dla młodego człowieka musiało samo przez się mieć nierównie więcej ponęty, niżli *przy kominie, w cichości, śród wiejskiego domu*, do którego tak tęskno wzdychał podczas nawalnicy w podróży. Zresztą i sam się nie taił z tém przed matką, że mu dobrze tam było; pisał do niéj: „jestem tu prawdziwie w swoim żywiole: żyję jak chcę, wstaję o któréj chcę, o któréj chcę, się kładę, robię co chcę, i cóż mi brak? tylko mamy, papy i Dołhego. Przy tém wszystkiém, proszę sobie wyobrazić otwartą na moje rozkazy całą księgarnię, arcydzieła stare i nowe, proszące się tylko, żebym je czytał! Ach gdyby jeszcze mama, papa, siostry i wszyscy tu byli! Ale niechno pokończę moje interesa i to, co zamierzam dedykować księciu; a zaraz piękną prośbę napiszę do niego tak czule, że mi pozwoli pewno, pewno, wrócić do domu. Ach! gdyby jeszcze w Dołhem była księgarnia, Ale mniejsza o to! W Dołhem dla mnie jest więcéj, niż całego świata księgarnie i księgi?

Mieszkał wówczas naprost kościoła Ś-go Jana w domu Orłowskiéj, zajmując z razu jeden pokój obszerny, w którym za parawanem stało téż i łóżko jego lokaja, po imieniu także Józefa, przysłanego mu do posługi przez ojca; ale z czasem z własnych już literackich dochodów przynajął sobie drugą, mniejszą, obok położoną izdebkę, a tak rad był z téj swojej rezydencyi, tak w niej sobie podobał, iż ją najpierw w liście do matki, później w „Obrazach z życia i podróży“, a w końcu i w „Pamiętnikach nieznajomego“ opisał w ten sposób:

„Umieściłem się pod bokiem jezuickiego kościoła i uniwersytetu, naprzeciw wieży Święto-Jańskiéj, wprost Długiéj ulicy i placu, pełnych ruchu i gwaru. Niéma tu zieloności drzew, gór, ale mam kawałek nieba i dużo ludzi. Ludzie czasem warci są drzew, a pewnie dłużéj przedmiotu do myślenia dostarczają. Z wysokości więc poglądam na nich i próżnuję całe godziny, przypatrując się dziewczętom biegnącym po wodę, woźnicom wabiącym przechodniów, pobożnym tłumom, idącym do kościoła, gwarliwym szmerom mojej rówieśniczéj młodzieży. Ile tu spostrzeżeń z wierzchołka mojego obserwatoryum uczynić można!... Mam dwa pokoje na drugiém piętrze. Piérwszy wygląda prawie na salę, tak wielki, przestronny i wysoki, ale brak przedpokoju czyni go razem salą, sienią, jadalnią i garderobą. Za szarym, kwiecistym papierem pokaleczonym pokrytym parawanem, tuli się mój poczciwy sługa i wszelki sprzęt, unikający oczu ludzkich... Kątek użyteczny mało co ujmuje rozległemu salonowi: przy ścianach jego, niegdy sinych, dziś szarych, tulą się zbierane meble różnych wieków, różnych kształtów... W głębi, za drzwiami, komin zimny i nieużyteczny, tuż piec potężny. W ścianie, na placyk wychodzącéj, dwa duże okna, osłonione firankami — niestety — nie dziewiczej już czystości. Przed ogromną, olbrzymem, kanapą, mój stolik, zarzucony papierami, książkami, pióry, nutami i rysunkami. Naprzeciw—fortepian najęty, poczciwy, rozbity instrument, który mi przecież służy, jako może, i nieraz z serca wywoła jasną, harmonijną nutę. Nad nim jedyna rycina... wyobrażająca Adama, przebudzającego się ze snu i spoglądającego na Ewę. Rajskie przebudzenie!... Ale któryż malarz wyrazi, co wyrażać powinna twarz Adama? Podziwienie, niepokój, upojenie i radość. Naszemu rytownikowi wcale się to nie udało. Natomiast kilka wierszy Miltona, podpisanych u spodu, wwodzą nas lepiej w czarodziejski ów raj“.

„Minąwszy fortepian, wchodzim do drugiego pokoju, na którym kończy się moja

posiadłość. Maleńki, przyciemny, miły jest wszakże. Tu widocznie przyjmujemy gości, bo niéma ani rozrzuconych papierów, ani połamanych piór, ani literacko-studenckich owych śmieci, w które obfituje moja poezciwa sala. Natomiast jednostajne krzesełka, mahoniowa kanapa, stolik, wielkie *trumeau* w kąciku, *Historya Pawła i Wirginii* na ścianach. I po wszystkiém".

„Otóż odszkicowany z większych rysów obrazek mego mieszkania; ale ileż to drobnych poświęcić się musiało. Zapomniałem na przykład, wielce charakteryzujących salę, pająka szklannego, złocistego, grubo zapylonego, zwieszającego się od sufitu, i ekrana od komina, który wyobraża dwa całujące się gołębie... mocno spłowiałe w tym nieskończonym całusie".

W liście do matki jeszcze dodaje do powyższych zalet mieszkania; „O kilka kroków Glücksberg, a woda sławna z doskonałości, Święto Jańska, przed mojemi oknami. A co się tycze stołu (czytamy w tymże liście) ten jest dobry, i że ja nie wiele jadam, bardzo mi wystarcza. Za złoty na dzień żyję wyśmienicie! Mam sobie najczęściej rosół dobry z ryżem z cielęciny, pieczyste lub kotlety. Albożto niedość? Z rana piję herbatę i w wieczór zamiast wieczerzy. Właśnie teraz rozmyślam, jakby tu co innego sobie przybrać, bo cukier drogi i wiele go wychodzi,—może będę pił mléko".— „Jedynèm mojém staraniem (pisze znów w innèm miejscu) utrzymać się jak najoszczędniej; pożałowałem sobie nawet na rękawiczki, których nie sprawiam, bo mało wychodzę. Za to też pewny jestem, że papa będzie ze mnie kontent, bo się z tego, co mi łaskawie przeznaczył, utrzymam". W miesiąc jednak potem matce donosi: „Sprawiłem sobie *z moich dochodów* piękny surdut, dogadzając żądaniu papy, który mi się kazał oporządzić". A znów później w parę tygodni: „Lękając się, żebym moich pieniędzy nie roztrwonił, posprawiałem sobie wiele rzeczy, do ubioru osobliwie. Garderobie mojej nic nie brakuje, jestem nawet elegant... ale to nic nie szkodzi... trochę!" I jeszcze nieco później: „W tej chwili pocisnąłem mój zegareczek złoty, niewiększy od dwózłotówki, i on pokazał mi dziesięć minut po jedenastej. Ten zegareczek, tak regularny i tak mały, kosztuje mię blizko dziesięciu dukatów. Trzebaż się było kiedyś zdobyć na niego. Glücksberg dał mi na to pieniędzy. Papa może gniewać się będzie; ale ja ręczę, żem się nie oszukał,—najlepszy zegarmistrz go ocenił, a idzie tak regularnie, jak największa Bregetowska cybula w kieszeni jakiego amatora".

Glücksberg dał pieniędzy! czyż to nie cud zaiste! Glücksberg dał pieniędzy, początkującemu i tak młodemu jeszcze pisarzowi! po ukazaniu się zaledwie pierwszych próbek w „*Noworoczniku*" i „*Pana Walerego*".

Tak było rzeczywiście: gdyż „Pan Walery", który rok przed tém wyszedł z jego drukarni, choć zdaje się, że nie jego nakładem „Pan Walery" sprawił na czytelnikach dosyć wielkie wrażenie; mimo bowiem wszelkich wad swoich, był wcale niezwyczajném zjawiskiem na owe czasy, kiedy officyna Zymela i Manesa drukowała szuwaksem, świeczkami na bibule i na wózkach żydowskich rozsyłała po całej Litwie i Żmujdzi, za jedyną nieledwie strawę umysłową, same tylko senniki, kalendarze, albo Syndbada i Magiellonę, albo wreszcie powieści, tłómaczone z francuzkiego, niemieckiego i rossyjskiego, oraz książki nabożne nawpół z romansami Lafontaine'a i Kotzebuego.— *Pasternak* poruszył, zainteresował, zaintrygował wszystkich, a choć jedni się nim gorszyli i dziwy niestworzone wymyślali na autora, wielu było jednak i takich, którym się dla świeżości i oryginalności, tak treści, jak i formy, rzeczywiście podobał, w handlu zaś książka miała powodzenie ogromne.

Reminiscencye tego wrażenia widzieć się dają w pewnym stopniu na kartkach powieści bez tytułu; a i w listach Kraszewskiego do matki znajdujemy ciekawy szczegół, odnoszący się do tego zaciekawienia publiczności, po wyjściu również u Glücksberga drugiej powieści „Pasternaka".

„Dziś jestem proszony na obiad do traktyerni Tycyusa od jakiegoś Pana Moniuszki, bogatego obywatela z Mińskiej Gubernii, który życzy sobie mnie poznać, przeczytawszy *Pasternaka*. Mnie to bardzo cieszy... *voilà de la vogue, je crois!*"— Było więc już coś nawet i w rodzaju owacyi, i to ze strony tak poważnych obywateli, jak powszechnie znany wówczas i szanowany na Litwie Moniuszko, (ojciec Stanisława).

Nie dziw tedy, że Glücksberg nie zaniechał pochwycić w swoje ręce tak wiele obiecującego pracownika. Wprawdzie chciał był go zaprządz przedewszystkiém do przekładów, do *słownika polsko-rossyjsko-francuzkiego*, ale i oryginalnemi utworami nie gardził, równie jak Marcinowski, który już w tym czasie nabył od Kraszewskiego *Dwa a dwa cztery*, i *Majstra Bartłomieja*, lubo ogłosił te powiastki ledwie w r. 1837.

Z listów Kraszewskiego do matki dowiadujemy się, że za tłómaczenie *Domu Białego* miał dostać po *20 rubli* od tomu, a za *Słownik*, ni mniéj ni więcéj, jak *30 duka-*



J. I. Kraszewski, w wieku młodzieńczym.

Facsimile pisma J. I. Kraszewskiego z r. 1819.

Naymilszy dla serca mego,
dopełniam obowiązek tyrząc życze
nia moie, o uiszczenie onych nie-
ustannie błagać będę Boga.
Nayłaskawszy babuni dobro
dzieki nayposłusznieyszy praw
nuk i Podnóżek
Józef Kraszewski

Facsimile pisma J. I. Kraszewskiego z r. 1832.

Ach! Mamo! doprawdy, że miło jest pracować, jako
kto może!!. Będzie czas odpocząć w owczas kiedy rę-
ce nie będą, mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą
liter na papierze, głowa nie usnuje myśli, w ow-
czas kiedy wydam ze dwieście Tomów dzieł kiedy
będę sławny, ślepy, sparaliżowany i bogaty w ów
czas odpocznę!..

Nayprzywiązańszy syn
Józef

tów (!). Szczególowego wykazu owych honoraryów nie spotykamy, tylko pod dniem 29 Lipca (10 Sierpnia) 1832 r. znajdujemy taką wiadomość: „skończyłem dziś „Kościół S-to Michalski" za który mi dają rubli srebrnych sześćdziesiąt za jeden tom! Wielka to różnica od tłómaczenia, bodaj-by się tylko sprzedać go udało i odebrać pieniądze. Wówczas radbym bardzo powrócić do domu z mojemi skarbami, których do 200 rubli byćby powinno, ale to tylko na papierze". A znowu nieco później: „Od Glücksberga odebrałem już 60 rubli, od Marcinowskiego wszystko, t. j. czterdzieści pięć, a jeszcze zostaje czterdzieści, które odbiorę w przyszłym tygodniu. Prócz tego piszę na nowo. Obiecują mi złote góry!"

Z pewnością wszakże twierdzić można, iż więcéj nad te świetne zarobki i złote góry w obietnicy, któremi się chwalił rodzicom dla tego tylko, żeby ojca przekonać, że i z pióra żyć można,—więcej nad to wszystko, mówimy, podniecała młodzieńca do pisania sama skłonność wrodzona, sama potrzeba wynurzenia budzących się tłumnie uczuć i myśli, a obok tego i pragnienie tej sławy, o któréj w „Pamiętnikach Nieznajomego" pisał: „O! sława, sława! to piękna i święta rzecz! Żyć w pamięci ludów, w błogosławieństwie pokoleń, najwyższa to nagroda życia, warta poświęceń i znojów. Sława, powiadają, jest fałszem, marnością, czczym dymem... Nieprawda! Znamię to uroczyste, którém ludy piętnują wybranych, a głosy ludów—głosem Boga. Sława jest uznaniem człowieka przez braci, sława nie dymem czczym, ale rzeczywistą i najwyższą płacą... płacą ducha duchowi... Ja chcę, ja muszę być, ja będę sławnym!! A w liście swym do matki: „Ach mamo! doprawdy, że miło jest pracować, jak kto może! *Będzie czas odpocząć wtedy, gdy już ręce nie będą mogły trzymać pióra, oczy nie zobaczą liter na papierze, głowa nie usnuje myśli; wtedy, gdy już wydam ze dwieście tomów dzieł, kiedy będę sławny, ślepy, sparaliżowany i... bogaty*".

Owocami tej pracy, zadatkami tej przyszłej sławy, były, oprócz już wymienionych: „Ostatni rok panowania Zygmunta III", „Kościół S-to Michalski", oraz „Pan Karol" które się wszystkie ukazały w r. 1833, i bez wątpienia w Wilnie, w domu Ostrowskiej napisane zostały. Nadto zaś spotykamy w jednym z listów do matki: „encoutre je traduis quelques contes les plus nouveaux de Hoffman, Balsac, Janin, etc., pour être mis en recueille, que je public incessament, et j'ecris, ou j'ebauche enore *un Roman en 5 volumes* sous titre: *Trupia główka*. Ce sera une conception burlesque, sentimentale, romantique, infernale, gaie, sombre, bonne ou mauvaise—il y aura de tout".

Co się stało z projektowanym owym zbiorem przekładów, nie wiemy; co zaś do „Trupiéj główki" słusznie można przypuszczać, że z niéj powstał „Pan Karol", gdyż, jak wiemy, bohater, tém imieniem ochrzczony, miał tak oryginalną fizyognomią, iż, kiedy się ukazal w traktyerni,—„Sędzia dwa razy spojrzał na niego, i odezwał się do sąsiada po cichu:

— „Facecye! czysta *trupia głowa* ten jegomość; i oczy, i zęby! hm! p. Józefie?"

— „Prawda! prawda! jakie oczy! jak węgle! nos, usta, uśmiech... zdaje się *trupia głowa*, tylko co wyjęta z kostnicy".

Do szeregu tych utworów, w Wilnie powstałych, dodać jeszcze powinniśmy z przed roku 1832, oprócz już wyżéj wymienionych powieści: „Pan Walery", „Wielki świat małego miasteczka", „Dwa a dwa cztery", oraz „Majster Bartlomiéj",—„Kotlety", zaznaczone w bibliografii świeżo ogłoszonéj w Krakowie, i niewydane *„Życie Cycerona z Plutarcha", przełożone i objaśnione przypisami przez Józefa Kraszewskiego*, a poświęcone Adamowi Jundzillowi, któreśmy oglądali w rękopiśmie u p. Kajetana Kraszewskiego, a które nosi adnotacyą Cenzora, że było mu złożone 1829 r. 28 Grudnia v. s. — Nadto zaś nie możemy zamilczeć o gromadzeniu materyałów do „Historyi miasta Wilna", którój domyślać się wypada w przytoczonéj już wzmiance o tém, *co Księciu dedykować zamierzał*, a z czego tymczasowo wzniózł się „Kościół S-to Michalski"(*).

Nie samą wszakże pracą literacką zajmował się w Wilnie Kraszewski: już wtedy objawiała w nim się ta różnostronność talentu, co się z czasem tak bujnie rozwinęła, szczególniéj zaś z wielkiém upodobaniem muzyce się oddawał, i już 19 (31) Sierpnia 1831 r. pisał do matki: „Do dziś dnia już wiele nut napisalem, których tytuły, jeśli to zrobi jaką przyjemność mamie, wypisuję; chciałém nawet posłać którekolwiek, ale teraz pożyczone: 1) Grande Valse, sur des thèmes d'Auber, Rossini, Weber et c. 2) Variations su un thème d'Auber de la Muette de Portici. 3) Variations sur un thème national favori, très connu. 4) Prèmier Caprice sur un thème polonais. 5) Second Caprice sur un

---

(*) Z téj-że epoki pochodzi powieść historyczna, p. t. „Żacy Krasowscy", ogłoszona dopiero w r. 1845, naturalnie nie bez poprawek. *Przyp. autora.*

hème polonais. 6) Troisième Caprice en forme d'un petit Rondeau.

Nie dziwy więc, że przy tak urozmaiconych i tak miłych zajęciach, przy rozrywkach i karmi umysłowéj, jakich mu hojnie miasto dostarczało, w gronie rówieśników wesołych, wśród gwaru coraz głośniejszego, jaki dzieła jego budziły, nie przykrzył przewlekającym się pobytem w Wilnie, a nawet z pewnym żalem mógł myśleć o rozstaniu się z ulubionem swojém mieszkankiem, w którém tak błogie poranki i wieczory przepędzał, jak te, co w „Improwizacyach" swoich i w „Wędrówkach" późniéj opisał; w którém miał szczęście w jesieni 1832 roku ukochaną matkę przyjmować i czytać jéj „Kościół S-to Michalski" i słyszeć z ust jéj chlubną pochwałę; w którém, w gronie swych rówieśników, jako najmilszych i najczęstszych gości spotykał, utalentowanego muzyka Wiktora Każyńskiego, oraz Józefa Krzeczkowskiego, co jednocześnie z nim w *Noworoczniku Litewskim* wystąpił, a późniéj, sam wydawca Noworoczników, prace jego ogłaszał w *Zniczu, Birucie i Rimembranzy*.—Rozstać się jednak było trzeba, bo, gdy przeszkoda do powrotu usuniętą została, ojciec stanowczo zawezwał go do domu.

Kiedy ten powrót do Dołhego nastąpił, ściśle oznaczyć nie możemy. Wileńska korrespondencya Kraszewskiego z rodzicami przerywa się 6 (18) Września 1832 r., ale explikacya z zarzutów przeciw „Kościołowi S-to Michalskiemu" wysłaną była do „Tygodnika Petersburskiego" jeszcze z Wilna d. 13 Stycznia 1833 roku, list zaś jego do babki Malskiéj, w którym jéj donosi o przybyciu swojém w progi rodzinne, ma datę 28 Lipca,—a jakolwiek bez roku, odnieść go jednak niepodobna ani do 1832, co do którego niéma wątpliwości najmniejszéj, ani też do 1834, o którym mamy niezawodne wskazówki, tak w korrespondencyi, jak i w datach pod artykułami w „Wędrówkach", że go w domu przepędził; a że i w poezyach jego, późniéj wydanych, pod wierszem „Do Nowonarodzonego", znajdujemy datę 3 (15) Września 1833 w Dołhem, mamy więc prawo utrzymywać na pewno, że dopiero w początkach lata 1833 roku pożegnał się Kraszewski z ukochaném Wilenkiem.

Nie wątpimy, że pierwsze dni pobytu w gronie rodzinném, dla młodzieńca o sercu tkliwém, kochającém, a stęsknionem do niego w długiéj, pełnéj niepewności, rozłące, musiały być bardzo przyjemne; że nie jeden wieczór spędził roskosznie na opowiadaniu drogiéj swéj matce o pierwszych swych wawrzynach i cierniach, na odczytywaniu jéj swych utworów, na zwierzaniu się z nowych pomysłów i zamiarów; przypuszczamy zarówno, że i wiejska swoboda, rozrywki i zabawy, łowy, konne przejażdżki i wycieczki w sąsiedztwo, nowością wrażeń, nastręczaniem swieżego pola do studyowania życia i stosunków towarzyskich świata szlacheckiego z natury, zajmowały go z razu i pociągały. Długo wszakże trwać to nie mogło: mimo wszelkiéj swojéj ponęty, był to świat, całkiem niepodobny do tego, jaki najlepiéj odpowiadał ówczesnému jego usposobieniu; brakło mu i księgarni, i drukarni, i miłych towarzyszy, przynoszących nowiny o tém, co tam o nim w świecie gadają; brakło tych wzruszeń nieustannych, jakie w Wilnie budził w nim ciągły ów gwar nagan i pochwał, a choćby plotek niedorzecznych, najdzikszych, który się wkoło niego rozlegał; brakło mu onéj pełni życia literackiego, do jakiego tam nawykł, w jakiém się rozmiłował namiętnie: a korrespondencya z Krzeczkowskim nie tylko nie mogła mu tych braków zastąpić, lecz owszem drażniła go, przynosząc mu daleki odgłos tego gwaru i ruchu, który mu był niegdyś tak miłym, a od którego, rad nie rad, się musiał usunąć, aby się w głuchéj wiejskiéj ciszy pogrążyć. Nad to zaś, już tu nie mógł, ani kłaść się, ani wstawać o któréj chciał, ani robić, co chciał, ani w czytaniu i pisaniu zatapiać się po uszy, jak to w Wilnie bywało.

Ojciec, człek staréj daty, po staremu trzymał syna w rygorze; nie wiele przywiązywał wagi do pochwał, jakich zresztą nie wiele ukazało się o nim do owego czasu w dziennikach, a boleśnie odczuł ostre nagany, jakich wcale nie brakło; i z jednéj strony widząc przez nie sponiewieraném poczciwe swe imię szlacheckie, z drugéj upatrując w nich smutną wróżbę dla tego dziecka, co tak niewdzięczny sobie zawód obrało, na pracę jego literacką patrzał okiem niechętném i wyraźnie dawał mu poznać, że wolał-by w nim widzieć gospodarza, pomocnika, wyręczyciela w trudach na zagonie rodzinnym, chlebodajnym, niż jakiegoś pisarka, młode lata próżno marnującego. A jak na toż, i wuj, i ciotki, i życzliwi sąsiedzi byli zupełnie tegoż zdania; więc p. Chorąży jeszcze mocniéj w niém się utwierdzał, czemu zresztą dziwić się wcale niepodobna, bo wówczas żaden ojciec nie mógł wróżyć szczęścia synowi w zawodzie literackim. Smutne więc było położenie Józefa i rychło smutne ogarnęły go myśli.

„Wszystkie piękne marzenia moje o literaturze już się rozwiały; (pisał do babki) nie mi

nie pozostaje, jak oswoić się z życiem wiejskiém, które, pomimo wszelkich przyjemności, nie mało jednak do życzenia zostawia. Zawód mój pisarski prawie skończony; rozpocząwszy go od utworów słabych, chybionych, doznawszy ostrych krytyk a zachęty prawie najmniejszéj, muszę dziś ubolewać nad tym smutnym początkiem, który już bardzo trudno naprawić. „Jednak jeszcze pracuję; praca ta stała się potrzebą mego życia; piszę więc, a boleję, że człowiek, choć dąży ciągle ku lepszemu, nie może sam być pewnym, że dobrém jest to, czego dokonał“.

W następnym wszakże liście, pisanym znów do babki w pół roku później, 1 (13) Lutego 1834 r., napotykamy nieco więcej otuchy, obok bardzo ważnego szczegółu, dotyczącego „Historyi miasta Wilna“.

„Ja teraz na gospodarstwie w domu jestem z mamą, papa do Grodna na sejmiki wyjechał; siedzę więc, i ile umiem, gospodaruję, nie opuszczając zwykłej mojej roboty pisania. *Usłuchałem rady Babuni Dobrodziejki i piszę teraz, zgromadziwszy do tego pomoce, „Historyą miasta Wilna“*, piszę i czuję, że ta praca tak jest ogromna, tak wiele czasu, tak wiele poszukiwań wymaga, iż jest prawie nad moje siły. Dotąd jednakże jeszczem się nie odstręczył tą myślą, i wiele trudu i kosztu włożywszy już w samo zbieranie materyałów, nie chcę raz zaczętego i układu tylko wymagającego pisma porzucić. Inne moje ramoty posłałem do Petersburga i Wilna do Cenzury, i teraz mniéj się już uskarżać mogę na złe przyjęcie, zapewne dla tego, że więcej uwagi do pisania przykładam“.

A w jaki sposób te roboty powstały, co mu do nich było podnietą, świadectwo o tém znajdujemy w „Powieści bez tytułu“ ukryte. Krzeczkowski,—jakeśmy już o tém wspomnieli, „podniecał go swemi listami z Wilna, i pociągał do dawnych zajęć, które już się stały potrzebą i nałogiem u niego, tak, iż tęsknił do jarzma, co mu kark namulało.—Ukradkiem, nocą, zrywał się do książek, do papierów, do rozpoczętych robót, o których myślał nawet wśród pól i gospodarskiéj pracy. Czuł on, że na téj tylko drodze przydać się na coś może i zostawić po sobie, jeśli nie geniuszu, to usiłowań pamiątkę“.

Wkrótce wszelakoż miała się dla niego skończyć ta ciężka próba, ta nieznośna służba dwóm panom. Już w powyższym liście do babki znajdujemy dobrą wiadomość, że uzyskał paszport na Wołyń i w następnym miesiącu ma wyjechać, jeśli się uda, do znanéj jednéj biblioteki, którą chciałby obejrzéć i wyciągnąć z niej korzyść jaką potrafi.

Biblioteka owa znajdowała się w Horodcu, majętności pana Antoniego Urbanowskiego. Żona jego miała trzy siostrzenice, Woroniczówny, których ojciec, właściciel Prawotyna, był rodzonym bratem ks. Prymasa Jana Pawła; a sama będąc wcale bezdzietną, wielce je miłowała, i w części nawet wychowaniem ich się trudniła, w młodym wieku każdą z nich po kolei przez lat kilka tuląc w Horodcu pod skrzydłem serdecznéj swéj opieki, późniéj zaś bardzo często, nieraz nawet na czas przydłuższy, ściągając je do siebie w gościnę.

Starsza z panien Woroniczówien wyszła za sąsiada Horodca, pana Stachowskiego z Ossowej, posiadłości niegdyś Aloizego Felińskiego. Pan Stachowski, człowiek najzacniejszy pod słońcem, niepospolity równie sercem, jak i umysłem, żył w przyjaźni z panem Chorążym, i nieraz go w Dołhem odwiedzał. Owóż, kiedy tam przybył po powrocie Józefa z Wilna, poznawszy się na wysokich jego zdolnościach, zbadawszy usposobienie i rozpatrzywszy się w położeniu jego ówczesném, zajął się nim bardzo serdecznie, i wpływem swym zdołał wymódz na panu Janie, że pozwolił mu na czas dłuższy z nim do Ossowej, a ztamtąd do Horodca pojechać.

Pobyt w Horodcu jest jednym z najważniejszych w życiu Kraszewskiego wypadków, od tego bowiem czasu w dziejach jego nowa się rozpoczyna epoka, w której wszystkie dalsze przygody wysnuwają się, jak nić z kłębka, ze stosunków, zawiązanych w tym domu. Uważamy przeto za rzecz konieczną, jak domowi temu, tak i gospodarzom jego czcigodnym, poświęcić tu nieco dłuższe wspomnienie.

Horodec upamiętnił Kraszewski najpierw w „Dumaniu nad Horyniem“ utworze poetycznym, wydrukowanym w *Zniczu*, następnie w Tygodniku Petersburskiem, gdzie opisał jego bibliotekę, a nareszcie we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy“, dedykowanych panu Antoniemu Urbanowskiemu.

W pierwszém wydaniu tego dzieła, rzecz swoję o Horodcu rozpoczyna w te słowa: „Nie śmiem szerokim opisem profanować miejsca, tak dla mnie drogiego. Nie wszystkim wolno tam patrzéć z podróżnym, gdzie go serce, nie ciekawość lub chęć nauczenia się czegoś, prowadzi. Wszakże opisywać Polesie, a nie wspomnieć o Horodcu, byłoby znowu niedarowanym grzechem. Więc nic nie mówiąc przez samo uszanowanie o jego mieszkańcach, będę tylko mówił o niektórych ciekawościach“.

W drugiém wydaniu, ogłoszoném w Pa-

ryżu r. 1860, inny już wstęp do opisu tego napotykamy, i tu dopiero poznajemy Pana Urbanowskiego, o którym autor przez uszanowanie był zamilczał w pierwszej edycyi. Przytaczamy jego wyrazy:

„Nie chciałbym dziś pisać o tém miejscu, tak smutno mi rozpocząć tych słów kilka. Tego, któremu przypisałem „Wspomnienia", który był duszą Horodca, którego podziwiałem anielską słodycz i cnotę—niéma już między nami! Straciliśmy go w pamiętnym dla nas tą klęską 1842 roku d. 21 Czerwca. Niech kilka poświęconych jego pamięci wyrazów zastąpi dawny przypis tej książki; będzie to drewniany, ubogi krzyżyk na jego spokojnym grobowcu".

„Antoni Urbanowski należał do tych rzadkich zjawisk w społeczeństwie, których większa część otaczających ludzi ani pojąć, ani ocenić nie są w stanie. Całe jego życie różniło się od zwykłych gwarnych i wrzawliwych żywotów ludzi, którym, jak jemu, i majątek, i wziętość, i charakter, otwierały drogę na świat szeroką. Odpychając odważnie, co dla niego życia było łupiną, ukształcił sobie właściwy tryb postępowania, wyznaczył drogę i z niéj nie zszedł ani kroku. Znaczenia nie pragnął, zgiełku unikał, i siedmdziesiąt kilka lat w zaciszu spokojném, wśród modlitw, ksiąg, muzyki i obrazów, przeminęły dla niego w niezmąconéj i drogiéj mu ciszy. Prawda, że Bóg mu dał za towarzyszkę anioła dobroci, który go pojął, który czuwał nad nim"....

„Pół dnia zchodziło mu na gorącéj modlitwie, drugie pół na pieszczeniu się z ulubionemi książkami i słuchaniu muzyki, którą namiętnie lubił."

„Haydn, Mozart, Beethowen, byli mistrzami jego wybranymi; tych dziełami zachwycając się, nieraz, w głębokiém milczeniu, zadumany, pozwolił srebrnéj łzie ukazać się na powiekach. Muzyka poważna, religijna, wzruszała go najwięcéj; słuchając jéj, zakrywał oczy, ażeby żadne ziemskie wrażenie marzeń niebieskich nie przerywało."

„Równie namiętnie kochał dawne nasze zabytki, stare nasze księgi, oglądał je z rozczuleniem, cieszył się, dostając je, jak dziecię, rozpromieniał, gdy się niemi przed znawcą mógł pochwalić. To stanowiło całe jego życie. Corocznie tylko w lecie udawał się do wód za granicę, by zaczerpnąć w nich sił, zdrowia, by posłyszeć muzykę i przywieźć książek do domu."

Z urywków „Wspomnień" Kraszewskiego, ogłoszonych w *Nowinach*, dowiadujemy się, że „ś. p. Urbanowski odbywał coroczną swą wędrówkę do Saskiéj stolicy musztardowym koczem, z tłomokami z tyłu, cztéry konie w porącz, z pościelą własną i wszelkiemi zapasami, ba! i z kucharzem własnym, nie licząc wiolonczellisty, towarzyszącego mu zawsze."

„W społeczeństwie miły, łagodny, pobłażający, serdeczny, pokorny, umyślnie, zdało się, krył dary, jakiemi go Bóg zbogacił, by z nich próżnéj nie odnosić chwały. Czasem tylko wyrwały mu się wyrazy, które znamionowały głęboki, trafny sąd o rzeczach i ludziach, dowcip niepospolity i pojęcie rzeczy, jemu tylko właściwe. Kto go znał, nie mógł nie kochać, kto kochał, nie potrafi zapomnieć; a co do mnie, wątpię, bym kiedy płakał tak gorzko, jak po niespodzianéj jego stracie.— Serce jego było niewyczerpanym skarbem dobroci, a śmierć dopiéro potrafiła odkryć uczynki, z któremi się taił do zgonu."

Dla dopełnienia tego wizerunku, zapożyczymy kilka rysów z opisania Horodca w numerze 636 Kłosów, przez p. Tadeusza Steckiego, który znał dobrze państwo Urbanowskich oboje, bo się urodził i dziecinne lata spędził w ich domu. Owoż dowiadujemy się od niego, że „był to, przy całéj swéj zacności, staruszek oryginalny. Mały, suchy, z łysiną, którą od natrętnych poleskich komarów pod chusteczką zwykł był ukrywać; mówił cicho, nie wiele, gwarnych zebrań nie lubił, a tylko z potrzeby i wrodzonéj gościnności na nich się ukazywał. Znaczną część dnia spędzał w gabinecie swoim i w ulubionéj bibliotece. W przepisywaniu, w wyciągach z dzieł drukowanych, miał szczególniejsze upodobanie i stosy tego po nim pozostały. Był on bibliomanem w całém słowa znaczeniu, mogącym wytrzymać porównanie bodaj ze Świdzińskim nawet. Stara książka, rękopism, Ald, inkunabul, miały dla niego do końca życia pociąg niesłychany. To też z małego księgozbioru, który mu się dostał po rodzicach, przez lat kilkadziesiąt pracy i skrzętnego nabywania i poszukiwania, przyszedł do skarbów w swéj bibliotece, którą pozostawił, do 20 tysięcy tomów rzadkich druków i najpyszniejszych wydań liczącą."

„Niepośledniego znaczenia była i galerya obrazów w Horodcu, do 500 sztuk obejmująca, a wyróżniająca się tém od innych zbiorów naszego kraju, że lichych płócien nie znalazłeś tu zgoła; (oprócz kopii wybornych, znajdowały się w niéj oryginały najpierwszych mistrzów, jak Leonardo da Vinci, Do-

minichino, Caracci, Guido Reni, Rubens i wielu innych).

„Numizmatyka horodecka, celująca oddziałem monet, medali greckich i rzymskich cesarzy, familii i miast, przeważnie wielkich sztuk złotych, posiadała też ważny zbiór monet i medali polskich: kompletném tu prawie było panowanie Zygmunta Augusta, a najrzadszą sztuką, jedyną może, był portugał litewski dziesięciodukatowy, bity w roku 1562.“

Dodajmy tu nawiasem, że zbiory te wraz z Horodcem przeszły w spadku na dom Starzyńskich, i w części dostały się do Drezna, w części do Warszawy, przeważnie zaś do Zainiec w gub. Podolskiéj. — Opis ich dokładniejszy znajdą ciekawi bądź to we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy,“ bądź w cytowanym przez nas artykule pana Steckiego, z którego jeszcze jeden ustęp bierzemy, dla zapoznania czytelników z panią Urbanowską i życiem towarzyskiém w Horodcu.

„Elżbieta z Kruszewskich Urbanowska, córka Jana, półkownika b. wojsk polskich, była jedną z tych matron naszych, których pamięć w kraju nie zaginie nigdy, które wejdą w jego historyą, bo były świetną ozdobą epoki, w któréj żyły. Wszystko w sobie łączyła ta pani: bogobojność, świątobliwość, wysokie, najdystyngowańszym tylko sferom wówczas dostępne, wykształcenie, i coś, co ku niéj wszystkich pociągało, co ją niewysłowioną jakąś aureolą opromieniało. Z ramek wyjęta margrabina, z duszą, z sercem, z obyczajami całkiem naszemi, swojskiemi. Ona-to była duszą tego domu, najjaśniejszą gwiazdą tego Horodca, do którego wszystko, co żyło w kraju, kupiło się“.

„Najświetniejszą dobą tutejszego pałacu, dobą hucznych balów i zgromadzeń w domu pp. Urbanowskich, był okres czasu między 1820—1840 rokiem. Państwo Urbanowscy utrzymywali nadworną doskonałą muzykę, z kilkudziesięciu ludzi złożoną, między którymi słynęli dwaj soliści, bracia Lejmani, skrzypek i wiolenczelista; — ta dodawała świetności zebraniom, uprzyjemniała licznym gościom chwile, które i tak szybko pod gościnnym tym dachem płynęły. Tu domownikami prawie byli: uczony Ksawery Godebski, miły i wykształcony półkownik Chłopicki, i odznaczający się galanteryą i dowcipem Stanisławoscy Szambelani: Kajetan Wierzchowski i Serafin Płotnicki. Gość zmieniał gościa, a wszystkich jedna uprzejmość, jedno spotykało przyjęcie, tak tego, co poszóstną przyjeżdżał karetą, jak i tego, co skromnym przywlókł się wózkiem. Z rana dzwonek nawoływał gości i domowników na mszę św., na wspólne nabożeństwo, któremu, klęcząc, z przykładną bogobojnością, przewodniczyli sami gospodarze; wieczorem z galeryi wspaniałéj, żółto mozaikowanéj, o złocistych gzymsach, przez dwa piętra wysokiéj sali, rozlegały się dźwięki orkiestry, symfonie, kwartety, aż i mazur zagrzmiał, i wesoło, ochoczo, bawiono się nieraz do rana“.

Do téj-to rozkosznéj siedziby w r. 1834 Kraszewski wprowadzony przez Stachowskiego, znalazł tu jak najserdeczniejsze przyjęcie i najmilszą gościnę, która od razu, na czas pewny, ledwie nie w stały pobyt dla niego się zmieniła. I nic dziwy! Biblioteka nieoceniona, galerya obrazów doborowa, orkiestra wyśmienita, przy uprzejmości gospodarzy—toż-to raj istny dla młodzieńca z takiém usposobieniem, jak był już podówczas Kraszewski; ale pono nie w samych księgach, muzyce i malowidłach tkwiła owa ponęta, co go od razu usidliła w Horodcu. Braknie nam wprawdzie z tego roku innych na to dowodów, oprócz owego *Dumania nad Horyniem*, napisanego w dniu 23 Kwietnia w Ossowéj; ale i tego dosyć, aby tajemnicę serca odgadnąć, ot np. z takich wyrazów, zwróconych do Horynia:

„Czybyś nie wołał w pięknym Horodca ogrodzie,
Między klombami posuwać się z cicha?
O! w Horodcu tak miło i ludziom i wodzie,
Powietrze, ziemia, taką przyjaźnią oddycha,
Że ja, gdybym był tobą, tambym się odwrócił,
Popłynąłbym i został, i więcej nie wrócił“.

Za to z korrespondencyi z r. 1835 dowiadujemy się w liście z dnia 26 Marca (7 Kwietnia), że już w Zapusty był Kraszewski w Horodcu, gdzie prawie cały wielki post i święta przepędził, czasami tylko na dni parę wydalając się do Ossowéj; że mu tam wszyscy bardzo radzi i psują go swoją dobrocią; że dzień imienin jego obchodzono muzyką i sutym obiadem i różne podarunki na wiązanie mu ofiarowano; że sam Pan Urbanowski, któremu, nie bacząc na wymówki i protestacyą, ułożył po francuzku katalog jego księgozbioru, ani chce słyszeć o tém, żeby miał powracać do domu, i że nie tylko pozwala mu korzystać z swojéj biblioteki, lecz sam wyszukuje dla niego dzieł potrzebnych, dzięki czemu już zebrał pięć sexternów wypisów do Historyi miasta Wilna; (my zaś do tego jeszcze dodać możemy, że pamiątkę miłego krzątania się w tym księgozbiorze pozostawił w artykule swoim, ogłoszonym w „Wędrówkach“ p. t. *Przechadzka po bibliotece*, a niewątpliwie napisanym w Horodcu).

„Miło mi (pisał w końcu listu) wracać do domu, ale nieraz i za tą stroną westchnę; daj tylko Boże, żebym ją zawsze z przyjemnością, a nigdy ze smutkiem nie wspominał. Wytłómaczenie tych frazesów, trochę może niezrozumiałych, zostawiam do powrotu".

Powrót ten jednak nie nastąpił tak rychło, gdyż jak raz w miesiąc później, w liście Kraszewskiego do matki, datowanym jeszcze z Ossowej d. 25 Kwietnia (9 Maja) 1835 r., znajdujemy owo *wytłómaczenie*, z którém się ojcu zapowiadał.

W liście tym, pisanym po powrocie z Prawotyna od Państwa Woroniczów, młodzieniec rozmarzony, wyexaltowany, szczęśliwy ale razem i rozbolały, bo pełen niepewności i trwogi, jak wyznanie jego będzie przyjętém przez rodziców, z pokorą i ufnością synowską do macierzyńskiego serca się garnie, a błagając o wyrozumiałość i pobłażliwość i o wstawiennictwo do ojca, z którego strony najbardziej się boi ostrej nagany, wyznaje, że się kocha. „Ale niech się mama nie straszy, bo w tém niéma nic takiego, coby przestraszyć mogło. Osoba, którąm wybrał, jest najlepszego wychowania, urodzenia, najzgodniejszego wieku, bo ma ledwo lat ośmnaście, a jest nią siostra Pani Stachowskiej, panna Zofia Woroniczówna, którą najbezstronniejszém uważając okiem, nie można odmówić jej najsłodszego charakteru, najlepszych skłonności, talentów, słowem wszystkiego, czego się tylko wymaga. To, co ja mówię, potwierdzą wszyscy. Przytém, co dla mnie niebogatego bardzo wiele znaczy, jest bardzo skromnych gustów, może nadto skromnych, i bardzo, ale bardzo gospodarna i lubiąca wieś, zajęcia domowe i ciche życie, jak nasze. Dodaję jeszcze, że familia jest najśliczniejsza, nie tylko co do rodu (boć to i ja, i pewno papa i mama mało cenią) ale i co do wychowania, obyczajów, tonu, najprzykładniejsza, a wzorowa co do tej miłości i zgody, której nigdzie podobnej, jak tutaj, nie widziałem. Gdyby ich mama poznała, kochałaby, jak ja kocham, bo to sama cnota i dobroć, prawdziwie chrześciańskie. W takim domu, przy takich przykładach, moja panna Zofia wyrosła, i jest taką, jak się po tém można spodziewać. Pan Stachowski mnie kocha, jak ojciec, i żona również; tylko grzeczność i tylko łaski odbierałem i ciągle odbieram".

O cóż tedy szło mu właściwie? zkąd pochodziły te obawy i ta niepewność? Oto lękał się, aby mu rodzice za złe nie wzięli, że bez ich zezwolenia i rady za daleko już zaszedł, i żeby nie uznali, że za młodym jest jeszcze na to, aby o małżeńskim związku zamyślać. Więc tłómaczy się, że inaczéj stać się nie mogło, bo gdy się mimowoli zdradził z swoją miłością, gdy wszyscy na nią oczy zwrócili i zaczęły się szepty i narady po całym domu: potrzeba było raz im koniec położyć. Panna Zofia, gdy jej wyznał swoje uczucia, do rodziców go odesłała; pojechał więc do Prawotyna, ażeby się dać poznać i powrócił z dobrą otuchą: chociaż bowiem się nie oświadczył, wiedział przecież, że Państwo Woroniczowie już przez Stachowskich o zamiarach jego byli uwiadomieni, i z przyjęcia, jakiego doznał, przekonał się, że nie zgoła do zarzucenia mu nie miano, oprócz wieku nazbyt młodego i braku stanowiska ustalonego, przy zupełnej i bezwarunkowej zależności od woli starszych. O to więc był w trwodze śmiertelnéj, aby ta wola nie stanęła przeciw niemu; o to błagał, aby rodzice uwierzyli, że, pomimo swojej młodości, dość jest już sercem i umysłem dojrzały do osiągnięcia tego szczęścia, bez którego życia pojąć nie może, i aby ojciec dobrotliwie obmyślił sposób, jak mu potrzebną niezależność zapewnić.

Niestety! błagania te i wszelkie explikacye nie odniosły skutku pożądanego. Powróciwszy w Maju do Dołhego z Horodca, który się na lato całkiem wyludniał, (bo pan Urbanowski musztardowym swym koczem puszczał się za granicę, Pani Urbanowska do dóbr swoich na Pobereżu, a ztamtąd do Odessy, Panny Woroniczówny do rodziców wracały), Kraszewski znalazł matkę gorzéj usposobioną, niż był ojciec względem jego projektów: nie chciała ona wierzyć, jak pragnął, w dojrzałość jego serca i umysłu i w stałość uczuć, i nie życzyła sobie, aby przy swém poetyczném usposobieniu, przy pociągu namiętnym do zajęć naukowych, literackich i artystycznych, tak wcześnie w małżeńskie się jarzmo zaprzęgał i zapał swój młodzieńczy zużytkowywał na łamanie się z twardą prozą ziemiańskiego żywota, lub też, nim owładnięty, dla pióra i dla książki zapominał o świętych obowiązkach rodzinnych i o pracy dla chleba powszedniego. Zamiast więc powrotu ku jesieni na Wołyń z dobremi nowinami, jak się spodziewał, całe lato w domu spędziwszy, i napróżno szukając goracego poparcia swojej sprawy ze strony babki, do której na początku Sierpnia udawał się o to listownie,— prawdopodobnie w końcu tegoż miesiąca ruszył do Wilna, co mu snadź zacna matka ułatwić dobrotliwie musiała, w nadziei, że się zatopiwszy tam w życiu literackiém, w poszukiwaniach po archiwach materyałów do histo-

ryi swojej, zapomni od przedwczesnej miłości i projektach matrymonialnych, a przynajmniéj znajdzie pociechę i osłodę na serdeczne cierpienia swoje.

Pobyt w Wilnie tą razą, o ile z listów wnosić można, musiał trwać co najmniéj cztery miesiące, to jest od Sierpnia do końca Listopada; gdyż w Październiku już Kraszewski przepraszał ojca, że się nazbyt długo zasiedział, a w Grudniu, bez oznaczenia dnia, pisał do brata Lucyana, że cztery już tygodnie jak wrócił; do babki zaś, że, pracując, jak mógł najspieszniéj, już uporządkował materyały, w Wilnie zdobyte, i przerobił całkiem na nowo dwa tomy historyi tego miasta, które były dawniéj skończone. Dowiadujemy się z tychże listów, ile go trudu, grosza i kłopotu kosztowała ta sprawa, dla któréj po raz pierwszy w swém życiu musiał wyczekiwać po przedpokojach, ocierać się o wszystkich urzędników i połknąć bardzo wiele przykrości, a dzień i noc pracować cały miesiąc po archiwach i bibliotekach. W Październiku donosił ojcu: „Nakonice otrzymałem już wstęp do archiwów i część onych przetrząsłem; wiele rzeczy bardzo ważnych znalazłem, co dzień tam chodzę i piszę, ale jest jeszcze sto kilkadziesiąt ksiąg in folio do przejrzenia i kilkadziesiąt tysięcy arkuszy papierów. Prócz tego inne archiwa i biblioteki,—nocą i wieczorami wypisuję wyjątkami do historyi, która nigdy bez tego nie miałaby wartości, i tak jeszcze będzie dziurawa, bo część aktów jest w Petersburgu, część w Smoleńsku, a część się spaliła".

Mimo jednak tak ciężką pracę, i mimo cały urok życia literackiego, które dla niego, w przeciągu tych kilku miesięcy w Wilnie, w całej pełni znowu się rozwinęło; nie ostygnął Kraszewski w swej miłości dla panny Zofii i nie zachwiał się w raz powziętém postanowieniu. Ledwie się załatwił z przerobieniem swojej historyi, już się znów do Horodca wyrywał, a rodzice, radzi nie radzi, stałość jego uszanować musieli i podróży tej się nie sprzeciwili. Pospieszył więc na Nowy Rok (1836) do państwa Urbanowskich, gdzie tak samo, jak pierwszą razą, zastał pannę Woroniczównę i znowu całą zimę na Wołyniu przepędził, zażywając miłej gościny, częścią u Stachowskich w Ossowej, a przeważnie w Horodcu.

Na wiosnę jednak powróciwszy do domu, w usposobieniu swych rodziców żadnéj zmiany nie znalazł, i z wielkim żalem pisał w Maju do babki, że pono będzie musiał na zawsze pożegnać się z lubą nadzieją, w którą włożył całe swe serce, bo, nie mając bytu samoistnego, zaślubić panny Zofii nie może, gdyż jakkolwiek mocno ją kocha, zhańbił-by się we własném przekonaniu, gdyby jéj całe mienie swoje zawdzięczał. Jedna mu tylko pozostała jeszcze otucha: oto niedawno ogłoszono konkurs na katedrę literatury polskiéj przy świéżo założonym Uniwersytecie Kijowskim; a ponieważ dla osiągnięcia jéj nie potrzeba nic więcej, prócz złożenia rozprawy na dany temat, ku czemu ma już materyały bardzo obfite, zgromadzone i uporządkowane od dawna (Historya języka polskiego), spodziewa się więc, że przy Bozkiéj pomocy, zdoła tę posadę uzyskać; zwłaszcza, iż przychodzą mu w pomoc i *te fraszki*, które dotąd drukował, w wezwaniu bowiem do konkursu zawarowano, że pomiędzy kandydatami *autorowie* będą mieli przed innymi pierwszeństwo.— Wprawdzie pensya, przywiązana do tej posady, zaledwie 500 rubli wynosi, lecz i na tém poprzestać gotów, byle stanąć o własnych siłach i cel upragniony wreszcie osiągnąć.

Sprawa jednak nie stała tak bardzo źle, jak się niecierpliwemu młodzianowi zdawało. Rodzicom szło jedynie o zwłokę, ze względu na wiek syna, liczącego podówczas ledwie dwadzieścia cztery lata. Jakoż w parę miesięcy potém Pan Chorąży sam się udał do Prawotyna, aby o rękę Panny Zofii dla niego prosić. Powrócił z dobrą wieścią, że uroczyste przyrzeczenie otrzymał, i już mniemał, że tego będzie dosyć dla zaspokojenia trwóg i tęsknoty młodzieńca; bo ani o dniu ślubu, ani o jakiémbądź postanowieniu, albo przynajmniéj choćby planie względem jego przyszłości, nawet mowy dotąd nie było. Co gorsza, utrudniano mu wyjazd na Wołyń, gdzie rad byłby na skrzydłach lecieć po powrocie ojcowskim, a musiał czekać na to kilka tygodni, i dopiero na początku jesieni puścił się w drogę.

Podróż ta, z któréj wrażenia i przygody opisał w długim liście do matki, była bardzo przyjemna i zajmująca; w niéj bowiem znaczną przestrzeń kraju ogarnął i wiele miejsc ciekawych po raz pierwszy oglądał. Dążąc do Prawotyna przez Ossowę Stachowskich i Horodec, tą razą drogę na Pińszczyznę obrócił, był w Pińsku i ze Stachowicz do Iwańczy płynął wodą. „Okolic tych opisać nie potrafię, (jego to słowa) bo nic równie jednostajnego, smutnego, dzikiego widzieć nie podobna. Błota bez końca, zarośnięte gęstym *czerotem*, wśród którego, zamiast dróg, krzyżują się rzeki i rzeczułki, a nad niemi, jak u nas nad drogami, stoją karczmy u brzegu. Cichość, pustynia okropna! a oprócz trzciny, łozy, błota i Pińczuków nic nie wi-

dać i nie słychać. Długo będę pamiętał tę przejażdżkę, a jeśli da Bóg doczekać jakiego nowego projektu na książkę, nie zapomnę w niéj o Pińskiém Zarzeczu". Projekt ten musiał powstać w tym samym czasie, lecz nim go uskutecznił, wrażenia, wyniesione z Pińszczyzny, w „Tygodniku Petersburgskim" ogłosił, a dopiero w kilka lat później wcielił je do swych „Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy", w których zebrał także opisy wielu innych okolic, pierwszy raz ujrzanych w tejże podróży. Z Prawotyna bowiem jadąc do Kisiel, gdzie wówczas Pani Urbanowska bawiła, oglądał Szepetówkę ze źródłami mineralnemi, Horodyszcze, słynne z piękności położenia i owiane poezyą legendy, jako téż nie mniéj malowniczy Hryców; a powracając inną drogą, zwiedził Sławutę, „tę stolicę Izraelizmu Wołyńskiego, która od XVI wieku cały Wołyń książkami z swéj drukarni żydowskiéj karmiła"; widział piękny pałac książęcy, kościół S-téj Doroty i bibliotekę żydowską, a w pobliżu fabrykę sukna. Oprócz tego równie z Kisiel, jak z Prawotyna, nieraz się wychylał w sąsiedztwo i, coraz nowe miejsca, nowych ludzi poznając, coraz to więcéj materyału do przyszłych swych utworów gromadził.

List, dostarczający nam tych wskazówek, godnym jest ogłoszenia w całości; ale że w korrespondencyi, udzielonéj nam przez pana Kajetana Kraszewskiego, listów podobnych znajduje się tak wiele, iż z nich byłoby można na jakich parę tomów najciekawszéj treści zaczerpnąć, ograniczymy się przeto jednym tylko jeszcze wyjątkiem, mianowicie krótkim opisem Kisiel, które z czasem przeszły w posiadanie Józefa.

„Kisiele są tak piękne, że tego opisać nie można: wody, góry, chatki, laski—cudowne! a potem wszystko to ozdobione z takim smakiem, utrzymane w takim porządku, iż tworzy to całość zachwycającą. Z okien domu widać wieś, rozsypaną z pobielanemi domkami na górze, dalej zielone pola, dalej lasy po górach. Ogród angielski niewielki, ale śliczny; woda w nim piękna i dosyć duża. Za arcydzieło można policzyć kaplicę, stojącą na urwisku góry, i tak zastosowaną do miejsca, że w niéj jest razem altana, sklep, i oratoryum; z każdej strony inaczéj i coraz piękniéj ją widać".

Miły ten pobyt na Wołyniu byłby zapewne przeciągnął się do wiosny, równie jak lat poprzednich, gdyby z Kijowa nie nadeszła była wiadomość, że z pośród siedmiu rozpraw, przedstawionych na konkurs o katedrę literatury polskiéj, rozprawa Kraszewskiego uwieńczoną została. Musiał więc czémprędzéj wracać do domu, aby zebrać i wysłać dokumenta, jakich potrzeba było dla objęcia przyznanéj już posady. Zauważyć wszakże musimy, że czynił to dla dogodzenia ojcu, który tą nominacyą ucieszył się serdecznie; „co zaś do mnie—pisał do babki—nie płakałbym, gdyby mnie ona ominęła: pensya nie wystarczy na utrzymanie; lecz ponieważ ojciec chce tego, poddam się więc temu nowicyatowi; a nie wątpię, że i Zofia moja, równie jak jéj rodzice, nic nie będą mieli przeciwko temu".

Załatwiwszy się z dokumentami, Kraszewski znów wyjechał na Wołyń, gdzie spędziwszy cztery miesiące, powrócił do Dolhego w najsmutniejszém usposobieniu duszy; gdy się bowiem już mniemał blizkim tego celu upragnionego, do którego tak długo, walcząc z przeszkodami, dążył wytrwale, nagle się ujrzał znowu oddalonym od niego. Podczas bowiem pobytu jego w Prawotynie umarł Pan Woronicz, który mu prawie jak rodzony ojciec stał się już ukochanym; był więc to cios tak srogi, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie zaznał. Nadto zaś, znalazł się jakiś pretext do odmówienia mu katedry kijowskiéj: żałoba tedy narzeczonéj i brak stanowiska niezależnego, w niwecz obróciły jego nadzieję, a przynajmniej ziszczenie jéj na czas nieograniczony odwlokły.

W jesieni wszakże tegoż roku (1837), Pan Chorąży, przekonawszy się wreszcie o mocy charakteru i stałości uczuć swojego syna, postanowił położyć koniec ciężkim próbom dotychczasowym i wziął dla niego od Krasickich w dzierżawę wieś Omelno, w powiecie Łuckim na Wołyniu.

Niestety! koniec ten prób dawniejszych stał się dla Kraszewskiego początkiem nowych, innego już wprawdzie rodzaju, ale nie mniéj ciężkich i przykrych. Omelno bowiem *złotém jabłkiem* wcale nie było, i nawet stary, doświadczony a zasobny gospodarz, musiałby się dobrze natrudzić, naklopotać, nie dojeść i nie dospać, chcąc wyjść na niém choćby na swoje; cóż więc mówić o gospodarzu młodym, bez doświadczenia i zapasów pieniężnych, a na dobitkę literacie i zakochanym! Nie trudno sobie wyobrazić, co miał nieborak do zniesienia, a zwłaszcza, wziąwszy jeszcze i to w rachubę, że się musiał i ekwipować, i dom na przyjęcie żony urządzać.

W Lutym jeszcze 1838 pisał do babki: „Co do mych interesów, te się, Bogu dzięki, nie pogorszyły, a przybyło mi trochę spokoju i rezygnacyi. Bo zresztą gospodarstwo moje nie jest tak bardzo rozpaczliwe; stra-

ty były nie nader wielkie, a nadzieja na przyszłość prawie pewna; wziąłem bowiem Omelno w stanie tak opłakanym, że tylko ku lepszemu iśćby powinno. Braknie mi jeszcze mnóstwa rzeczy w przygotowaniach do wesela mojego. Dom mieszkalny, to rudera zupełna, którą przerobić trzeba, poczynając od drzwi i okien, a czasu na to mało, bo go właśnie gospodarstwo dużo zabiera. Z wysiłkiem niesłychanym urządziłem gorzelnię i nakupiłem wołów; a trzeba jeszcze myśleć, jak się to spienięży, co się zdobędzie, u nas, gdzie wszystko prawie po niczemu. Moje studya, moje dawniejsze prace literackie, prawie zupełnie zatonęły w tém morzu zajęć drobnostkowych i kłopotów powszednich. Nie zrywam jednak z mym zawodem, który mi był tak miłym, choć żadnéj nie przynosił korzyści. Pisuję stale do jednego dziennika literackiego (Tygod. Petersb.) i ciągnę dalej wydawnictwo Historyi Wilna. Wszystko to bardzo pożytecznie i przyjemnie czas mi zapełnia, ale pieniędzy ani się spodziewać z tej strony. To też postanowiłem szukać ich w gorzałce, w burakach, w wołach i tym podobnych przedsięwzięciach pewniejszych. Mam nadzieję, że potrafię z czasem nagiąć swój umysł do téj pracy w nowym rodzaju, smutniejszéj wprawdzie i zmudniejszéj, lecz bez wątpienia potrzebniejszéj dla mnie, niż literacka".

Ojcu zaś w tymże miesiącu zwierza się jeszcze szerzéj z niezliczonych swoich kłopotów gospodarskich, z goryczą mówi także o niesłusznych pretensyach i wymaganiach ze strony jurysdatorów, a charakterystyczny jest ustęp, w którym się uskarżając na pewne niedokładności w kontrakcie, obracające się na jego szkodę, „wyobraź sobie, drogi ojcze, (powiada) żem się nie opatrzył, iż nie umieszczono w kontrakcie, jako na trzeci rok mniéj o 500 złotych mam płacić! Tegom się nie spodziewał! Ale milczę i nie mówię o tém ani słowa, a w swoim czasie dam sobie rady, bo mam świadków i jestem spokojny. *A jeśli nie dotrzymają przyrzeczenia, to będę miał przyjemność nazwać ich w żywe oczy nieuczciwymi. Źle jest ludziom nadto zaufać; czytałem kontrakt z pięć razy, a tego nie spostrzegłem*".

Miał oprócz tego i przeróżne inne mitręgi w tych początkach uciążliwego gospodarstwa swojego: tak np. kiedy wyglądając ojca w Omelnie, przysposobił się na przyjęcie jego z całą troskliwością synowską, kiedy przygotował i pokój ciepły, i łóżko nowe, kiedy się nawet i w miód, i w cielęcinę, i w kuropatwy i sarny dla niego zaopatrzył; Pan Chorąży nie mógł przyjechać, a natomiast dziedzic Omelna, wracający z kontraktów, zatrzymawszy się na dni kilka u swojego dzierżawcy, codzień mu gości nieproszonych sprowadzał, którzy, zjeżdżając się po sześć i siedm osób, objadali biednego possesora, spożywając zapasy, na przyjęcie ojca przygotowane, i mącili mu spokój pożądany.

A że idzie nam o to, aby należycie dać poznać błogie pierwociny gospodarstwa literackiego, nie możemy więc i o tém jeszcze zamilczeć, że w domu, który restaurował Kraszewski, zajmowała jeden pokój jakaś lokatorka nieznośna, otoczona kupą starych pijaków, psów, bachorów i brudów.

Nie dziwy więc, że się ojcu wywnętrzał w taki sposób: „Literatura mało mnie teraz zajmuje, bo chociaż nie bardzo jest około czego się krzątać, ale samo gadanie o gospodarstwie i przyjmowanie gości strasznie wiele czasu zabija, którego mocno żałuję. Dla literata niéma jak odludny kątek. Lepiéj to tam było w officynie w Dołhem, i więcéj można było pracować, i mniéj było kłopotów. Czemu to człowiek zawsze za tém wzdycha, czego nie ma?! Ja Zosię bardzo kocham i szczęścia jestem pewny, ale tyle mam dziś kłopotów, że dla nich nieraz żałować mi przychodzi dawnéj ciszy i książek, do których teraz nie dają mi przystąpić nudne interesa".

Nie dziw, że się przyznawał, iż gdyby mógł ustąpić komu Omelno, choćby ze stratą oczywistą, to rad byłby z całego serca przy rodzicach w Dołhem zamieszkać, pewnym będąc, że i jego przyszła, którą zna dobrze, inaczéj nie myśli.

Tym trybem upłynęło Kraszewskiemu kilkanaście miesięcy od zadzierżawienia Omelna, w ciągu których nieraz wybiegał dla orzeźwienia się i odpoczynku do Horodca albo do Prawotyna, gdzie nareszcie dnia 10 (22) Czerwca, 1838 roku posiadł ukochaną swą Zofią. Ślub się odbył w domowéj kaplicy Prawotyńskiej, a na nim, prócz licznego rodzeństwa panny młodéj, znajdował się też ojciec i brat pana młodego; matka zaś, babka i prababka, nie mogąc osobiście tak dalekiéj odbyć podróży, listowne tylko nadesłały błogosławieństwo.

Po weselu i przenosinach do Omelna, rozpoczęły się dla państwa młodych obowiązkowe odwiedziny bliższych i dalszych krewnych i przyjaciół; zbyteczna zaś dodawać, że Dołhe w licznym ich szeregu stało na pierwszém miejscu: najgorętszém bowiem pragnieniem Pani Zofii było co najrychléj złożyć hołd powinny przydanéj matce, którą kochała już od dawna, poznawszy ją z opowiadań swego narzeczonego i z listów, ja-

kie od niéj odbierał, a portret jej, rysowany przez niego, licząc do rzędu skarbów swoich najdroższych. Niemniéj pilno było obojgu do Romanowa, do prababki i babki, które Józef tak czcił i kochał, a stęskniony do nich w długiej rozłące, tak często je z takiém uwielbieniem wspominał, iż serce jego przyszłéj musiało samo przez się uczuciami temi się przejąć. Od wyjazdu bowiem do szkół Lubelskich, aż do owego czasu, raz tylko jeden, po powrocie z Wilna do domu, mógł Kraszewski z niemi się widziéć, czego ślad znajdujemy w Wędrówkach, gdzie artykuł pod tytułem „o różnych rzeczach“, nosi datę 17 Listopada w Romanowie, bez oznaczenia roku; lecz ponieważ wspomina w nim o swych utworach, ogłoszonych w r. 1834, a „Wędrówki“ do Cenzury były oddane 1837, odwiedziny więc te przypaść musiały między jedną a drugą datą, i to snadź całkiem niespodzianie; w listach bowiem z tego okresu, pisywanych do babki Malskiej, najmniejszej wzmianki nawet o projekcie względem tej podróży nie spotykamy,—owszem, w każdym z nich znajdujemy samę tylko tęsknotę, same tylko skargi żałosne na fatalną niemożność zaspokojenia tej potrzeby serdecznéj.

Niemożność ta i tą razą, dla trudności w uzyskaniu pasportu, nie rychło się dała usunąć, i dopiero ledwie w jesieni udali się państwo młodzi do Romanowa, a ztamtąd do Warszawy, gdzie państwo Moraczewscy mieszkali, i gdzie rozbudzające się już podówczas życie literackie i artystyczne, nie mniéj jak samo miasto, ze względu na znaczenie swoje dziejowe i zabytki przeszłości, dla Kraszewskiego musiało być niemałą ponętą.

Jakie wrażenie sprawił na Kraszewskim ten pierwszy jego pobyt w Warszawie, tego nie możemy określić; jedyny ślad piśmienny po téj wycieczce pozostał w „Tygodniku Petersburskim“ w artykule o sztukach pięknych, gdzie, mówiąc o pracowni Suchodolskiego, napomyka o dość obojętném przyjęciu, jakie spotkało go u tego artysty, czemu się bynajmniéj nie dziwi, uważając się za figurę podrzędną; a w liście z tego czasu do babki spotykamy pobieżną wzmiankę, że minister Grabowski obiecał mu materyały do „Historyi Wilna“ i zaprosił go do korrespondencyi z sobą. Nadto zaś słyszeliśmy od Pana Skimborowicza, któremu tém się chwalił w parę lat późniéj Bonawentura Dąbrowski, że jubilat nasz u tego ostatniego uczył się podówczas malarstwa; co jest rzeczą prawdopodobną, gdyż dopiero od roku 1840 zaczynamy w jego listach znajdować ślady zajmowania się już nie samemi rysunkami, lecz i malowaniem olejném.

Widocznie więc, co zresztą i zkąd inąd dobrze wiadomo, że Kraszewski podówczas bynajmniéj nie miał miru w warszawskim świecie literackim, skoro nawet nie wprowadzono go do salonu pani Nakwaskiej, ani pani Lewockiej, u któréj przecież ciotka jego, pani Moraczewska, bywała.

„Pan Walery,“ „Kościół św. Michalski,“ „Wielki świat małego miasteczka,“ „Pan Karol,“ „Ostatni rok panowania Zygmunta III,“ „Dwa a dwa cztery,“ „Raj i piekło,“ „Majster Bartłomiej,“ Tom I „Wędrówek umysłowych“, Tom I „Historyi miasta Wilna,“ „Dwa tomy poezyi,“ utwory poetyczne i prozaiczne, drukowane w „Zniczu,“ w „Biruciе“ i w „Bojanie,“ i cały szereg artykułów, ogłoszonych od roku 1836 w *Tygodniku Petersburgskim*, między któremi były takie, jak krytyka „Dziejów Litwy“ Narbutta — „Asmodeusz,“ — „Choroby moralne XIX wieku,“ — „Przeszłość i przyszłość romansu,“ krytyka „Historyi Wilna“ Balińskiego, i rzecz o tém, „Jak się robią nowe książki ze starych książek,“ która wywołała wrzawę niezmierną: wszystko to razem wzięte nie starczyło jeszcze surowym arystarchom warszawskim, aby się przekonali o prawdziwym talencie i nauce niepospolitéj Kraszewskiego i przestali go lekceważyć nareszcie. Kiedy za Bugiem imię jego już było bardzo głośném, kiedy „Tygodnik Petersburski“ całą swą żywotność i wziętość jemu przedewszystkiém zawdzięczał, kiedy nie tylko Groza i ksiądz Trynkowski wiersze na pochwałę jego pisali, nie tylko Edmund Wasilewski, mówiąc o nim w „Pamiętniku Naukowym Krakowskim,“ mistrzowskie mu zalety przyznawał; ale nawet Michał Grabowski upatrywał już w nim polskiego Walter-Skotta; w Warszawie uporczywie odmawiano mu należnego uznania.

Oprócz tego, dowiadujemy się z opowiadania Wielisława, ogłoszonego w „Tygodniku Illustrowanym“ (T. XI str. 69) p. t. „Sądy o Kraszewskim,“ jak tu przyjęto w r. 1837 jednę z najcelniejszych powieści jego, p. t. „Świat i Poeta.“ Autor powierzył ją swéj ciotce Moraczewskiej, z prośbą, aby wyszukała dla niéj wydawcę. Jeden księgarz odrzucił ją stanowczo, drugi, młodszy więc śmielszy, gotów był ofiarować swoje usługi, zawarowawszy tylko, aby utwór ten został wprzód ocenionym przez znawców. Zasiadł więc areopag w salonie literackim pani Lewockiej; gospodyni podała manuskrypt Dmochowskiemu, proponując mu, aby przeczytał kilka ustępów. Dmochowski, z góry uprzedzony przeciw autorowi, umyślnie snadź czytał bezecnie, naciskając

na błędy tu i owdzie napotykane, i nie dopełniając myślą znaków pisarskich, gdzie je opuszczono przypadkiem; a na domiar nieszczęścia, raz i drugi natrafił na ustępy dosyć drażliwe, które przyjęto z okrzykiem oburzenia i zgrozy, ostatecznie zaś osądzono, że utwór ten jest, szczególnie pod względem formy, niższym od krytyki wszelkiéj.

Pan Skimborowicz wszakże utrzymuje, że mimo to Dmochowski był się zdecydował powieść tę wydrukować; lecz spotkawszy się w „Tygodniku Petersburskim" z artykulem Kraszewskiego, w którym wydawane przezeń przeklady otrzymały nazwę tandety, tak się za to rozgniewał, iż zamiaru swego zaniechał i rękopism odrzucił.

Nie dziwy więc, że przy takiém usposobieniu intelligencyi warszawskiéj, Kraszewski nie mógł znaleźć w jéj kołach serdecznego przyjęcia; odniósł wszakże ten tryumf, że, spotkawszy się tutaj z wydawcą Poznańskiego „Tygodnika Literackiego," znalazł w nim chętnego nabywcę dla sponiewieranéj swéj powieści „Świat i Poeta," za którą wziął 50 dukatów, i został zaproszonym na stałego współpracownika do tego czasopisma.

Powróciwszy do domu, to jest do Omelna, przez całą zimę 1838—9 tyle tylko tam przesiadywał, ile tego koniecznie gospodarka potrzebowała, najwięcéj czasu razem z żoną przepędzając w Horodcu, gdzie państwo Urbanowscy oboje, a zwłaszcza ona sama otaczała ich troskliwością najczulszą, jak najlepsza matka własne swe dzieci. W Horodcu też, w początku kwietnia 1839 roku, pani Zofia powiła pierwszą córkę, któréj, zgodnie z jéj wolą, dano na cześć prababki na chrzcie świętym imię Konstancya. Tu także bez wątpienia powstać musiała największa część utworów Kraszewskiego, ogłaszanych w roku 1839 w „Tygodniku Petersburskim," i w „Tygodniku Literackim," z których pierwszy płacił mu grzecznościami tylko, a drugi trzy dukaty za arkusz, jak się w początkach Marca tego roku chwalił babuni, dodając przy tém, że „jakkolwiek mi nigdzie indziéj nawet kosza papieru i atramentu nigdy się nie wracają, ja mimo to utrapionym sposobem piszę a piszę;—było to widać w mojém przeznaczeniu."

W następnym wszakże liście, datowanym w kilka tygodni później, donosi już: „Literackie moje roboty troszkę poszły w cenę; odebrałem w przeszłym miesiącu od dwóch księgarzy aż dwa wezwania o rękopisma, mam przynajmniéj nadzieję, że kiedyś z nich mieć coś będę." I znowuż wkrótce potém: „Sprzedałem moję Historyą Wilna, najwziętszemu księgarzowi, tanio, bo za 2000 złotych, ale to też pierwszy z nim interes. (Dodajmy tu w nawiasie, że pierwszy tom w pierwszém wydaniu drukował swoim własnym nakładem, na co mu ojciec 200 rubli pożyczył). Mnóztwo mam zatrudnienia, bo wszystkie pisma polskie peryodyczne wyobraziły sobie, że mnie potrzebują koniecznie. Piszę do Petersburskiego, do Wileńskiego jednego (?), do „Tygodnika" w Poznaniu, do „Lwowianina" we Lwowie, i do „Przeglądnika" w Kijowie (*); ale tylko jedno pismo Poznańskie płaci. Mnóztwo odbieram listów, pochwał, zaprosin; gdybym był próżny, a mógł się cieszyć tą odrobiną zapracowanéj wziętości, gdybym nie znał, jak to jest rzecz krucha, miałbym powody do tego. Lepsi nasi księgarze już są ze mną w stosunkach, a nie tylko nasi, lecz i poznańscy. Chciałbym bardzo babce coś posłać, ale czekam na pierwszy tom historyi Wilna nowéj edycyi (przerobił go po krytyce Daniłowicza w Tygodniku Petersburskim) i na coś nowszego, a jak wyjdzie, to razem przez Dolhe odeślę. Wszakże to babunia była pierwszym moim nauczycielem."

W roku 1839 wyszedł tylko „Poeta i Świat" w Poznaniu, i drugi tom „Wędrówek" w Wilnie; ale z pewnością twierdzić można, że nie tylko przerobiony tom pierwszy „Historyi Wilna", i nie tylko nie jeden rozdział w trzecim tomie „Wędrówek," oraz we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy;" ale również „Witoloranda," „Mistrz Twardowski" i „Całe życie biedna," ogłoszone w r. 1840, były plonem z r. 1839, i w znacznéj części zrodziły się w Horodcu. Do tego dodać jeszcze należy pracę nad dalszemi tomami „Historyi Wilna" i przeróbkę „Pana Karola," który też w roku 1839 ukazał się w drugiém wydaniu; mnóztwo artykułów w „Tygodniku Poznańskim" i „Peterburskim," oraz w dodatku do „Gazety Porannéj," do którego Hipolit Skimborowicz Kraszewskiego zaciągnął.

Widzimy więc, że mimo gospodarskie zajęcia i kłopoty, mimo pracę na roli, niwa

---

(*) O tym *Przeglądniku* nic nie wiemy; musiało to być chyba czasopismo tylko projektowane, które zamówiło sobie kollaboracyą Kraszewskiego; ale natomiast wiemy, że w Piśmiennictwie Skimborowicza kilka rzeczy drukował, a między innemi „Obrazki z natury" i „O grze w karty" — artykuł powtórzony następnie w Tygodniku Petersburskim, równie jak i recenzya przekładów W. Hugo Brunona Kicińskiego. Przyp. autora.

literacka nie leżała wcale ugorem, ale przeciwnie, była uprawianą bardzo żarliwie i obfitsze żniwo przyniosła, niż w którymbądź roku z czasów późniejszych, przepędzonych w wiejskiém zaciszu. Dowodzi to wyraźnie, że nie zbywało wtedy Kraszewskiemu ani na swobodzie umysłu, ani na wolnych chwilach; bo wierna towarzyszka jego żywota od razu prawie całkowity kierunek interesów materyalnych, cały zarząd nie tylko w domu, ale i na folwarku, w swoje ręce ujęła, a przynajmniéj bardzo a bardzo często umiała w tém męża wyręczyć. Nad to zaś znajdujemy w liście Kraszewskiego do babki wyjaśnienie następujące: „Interesa moje idą, jak Bóg dał; a zawsze ci najdobrotliwsi, anielscy, ciocia i wuj mojéj Zosi, Urbanowscy, wziąwszy na swoje serce opiekuństwo nad nami, pomagają nam i najłaskawsi są na nas. Ich dobroć dla mnie nieraz mi babki przypomina, bo trudno jest na obcym świecie, gdzie, jak ja, ktoś mało znajomy wejdzie, znaleźć takie serca i takie dusze. Jaką mam dla nich wdzięczność, opisać nie potrafię, lecz i ta za mała jeszcze na to, co oni czynią.—O jakżebym pragnął, żeby kiedy babunia mogła poznać naszę ciocię! jakby ją pokochała! Moja Zosia bardzo a bardzo za Romanowem wzdycha; wczoraj mówiła, że piechotą-by poszła do babek; ale tak nam trudno o pasporta, że nie wiem, kiedy się do niego dostaniem, choć tak szczerze tego pragniemy".

W ogóle więc Omelno, choć z razu tak się źle przedstawiło, i tyle trudów, tyle zgryzot Kraszewskiemu przyniosło, wszakże w dziejach żywota jego illustruje wprawdzie jeden z najkrótszych, ale zarazem jeden z najwdzięczniejszych rozdziałów. Tu rozpoczął życie na własną rękę; tu się dla niego w rzeczywistość zmieniły, długo żywione w duszy, marzenia i nadzieje najmilsze; tu stanęła kolebka pierwszéj rodzicielskiéj jego pociechy; tu się nareszcie porodziły, lub przynajmniéj ztąd na świat wyszły i owe dzieci jego ducha, które mu najwięcéj laurów przyniosły i sławę jego ustaliły na zawsze.

Siedzibę tę tak opisał w swojéj sielance p. t. „Wioska":

> Las był wkoło, lecz inny, inne łąki, pola,
> Jakieś barwy odmienne, nie litewska rola;
> Coś wiało od Wołynia, nie Wołyń był jeszcze.
> Młodemu wszędzie dobrze, a nadzieje wieszcze
> Lepszą dolę wróżyły, i w tym pustym lesie
> Dumam, pracuję, dusza ku przyszłości rwie się.
> Wstąpiłem tu sam jeden, wyszedłem we troje;
> Szczęście się potroiło, a z niém niepokoje.

Niepokoje te ztąd wynikały, że Omelno, pod względem gospodarczym, było kątem bardzo niewdzięcznym; że, lubo, przy usilnéj pracy a oszczędności, można w niém było wyjść na swoje, ale trudność sprzedaży i ceny na produkta, najczęściéj bardzo nizkie, rok rocznie sprowadzały nowe kłopoty przy płaceniu dzierżawy. Zawczasu więc musieli Kraszewscy upatrywać sobie nową siedzibę, i postanowili nabyć jaki folwark na własność, do czego też pp. Urbanowscy ich namawiali, ofiarując pomoc ze swojéj strony. Już więc w roku 1839 jął zabiegać młody gospodarz o kupno dwóch wioseczek, Korczyna i Żylży, należących do klucza Klewańskiego, który książę Konstanty Czartoryski miał podówczas na sprzedaż. Obejrzał je Kraszewski na miejscu i przekonał się, że mająteczek to wcale nielakomy, bo ma najgorszą ziemię i kwestyą o granicę, a cała wartość tylko w lesie i w spławnéj rzece, tuż pod samym dworem płynącéj; mimo to jednak targ rozpoczął, a nawet prosił wuja Malskiego, aby mu ułatwił porozumienie się i układy z plenipotentem księcia: bo ową rzeką spławną był Horyń, ten sam Horyń, co płynie przez Horodec; bo z Korczyna do Romanowa na Kowel i Włodawę nie daléj, jak z Dołhego.

Na szczęście, zamiar ten, za uskutecznieniem którego przemawiało nie wyrachowanie, lecz tylko serce, z powodu zbyt wygórowanéj ceny majątku nie dał się przyprowadzić do skutku, a natomiast w r. 1840, udawszy się na kontrakty do Dubna, nabył tam Kraszewski od Podhorodeńskich wieś Gródek, nieopodal od Łucka, w dobréj ziemi, liczącą 130 dusz za 140,000 złotych, z których część potrącała się na dług bankowy, i bardzo się cieszył z tego nabytku, wielkie w nim upatrując zalety. „Jakkolwiek bądź na początek trochę nam trudno będzie (pisał w Kwietniu do babki, już z téj nowéj siedziby swojéj, gdzie i żona była wtedy obecną) *bo i chłopi zubożeli, i gospodarstwo podupadło;* ale sam majątek bardzo jest dobry, *il-y-a de l'etoffe*. Leży o jeden dzień drogi od spławnego Buga, rodzi wybornie pszenicę, ma wielki dostatek łąk, pastwisk i znaczną bardzo przestrzeń lasu czarnego, wybornie zachowanego. Ma rzeczkę, zabudowania niektóre dobre, domek mały, ale wygodny, w cudownie pięknem położeniu, ogrody wszelkiego rodzaju, bo nawet i piękny angielski ogródek, założony wśród gór i jarów, z pięknemi bardzo widokami. Słowem, będzie to kiedyś bardzo wygodny i intratny kawałek. Dziś nawet, przy nieosobliwém gospodarstwie, robił intraty 8,500 złotych. Cieszymy się oboje, że bylebyśmy nie mieli trudności o pasporta, to łatwo nam będzie dostać się



OMELNO.



GRÓDEK.

do Romanowa, od którego nie jesteśmy daléj, jak o mil siedmnaście". — W „Wiosce" zaś w taki sposób Gródek opisał:

„Poglądnij ze wzgórza:
Wzrok leci zadumany, w zieleniach się nurza,
I nie chce mu się wracać, tak to kraj uroczy!
Jeszcze go czuje serce, jeszcze widzą oczy.
Nad zielonemi łąki, rzeczką przeciętemi,
Piętrzą się wzgórza, śmiejąc ku niebu od ziemi;
Tu ówdzie chatka biała, jak grzybek wyrosła,
Ocieniona gruszami, okolona płotem,
Daléj stodółka starą strzechę swą podniosła,
A w koło pola, gaje, przetykane złotem,
I smaragdowe łąki, i wioski bez liku,
Cerkiewek i kościołków, jakby na obrazku...
Tam domek stary skrył się wśród gąszczy gaiku,
Tam pasieka dymi w lasku.
Wygony jak kobierce, prześcielają łany,
Wsie ciekawe na wzgórze patrzeć się wybiegły,
A kraj gdyby malowany,
A widok, jak sen, rozległy...

Wszelakoż zanim osiadł w téj uroczéj ustroni, musiał Kraszewski nie mało się natrudzić i nie mało zaznał przykrości, tak przy obrachunkach z dawnéj dzierżawy, jak też i przy kupnie majątku, najeżoném tysiącem prawnych formalności i kruczków, które zabrały mu ze trzy miesiące, a, jak się późniéj okazało, nie całkiem jeszcze usunięte zostały.

Uszczęśliwiony tym nabytkiem, młody gospodarz z zapałem się zabrał do pracy już na własnym zagonie, i nie szczędził trudu ni kosztu, aby swe gospodarstwo doprowadzić do kwitnącego stanu, w czém gorliwie pomagała mu dobra żona, a państwo Urbanowscy w trudnych razach wspierali; że zaś, zwłaszcza w dwóch pierwszych latach, i zdrowie mu służyło, i urodzaje były piękne, i zboże się dobrze płaciło, a dodajmy nawiasem i wziętość literacka wciąż rosła, i popyt na utwory jego co raz się wzmagał: czuł się więc z bytu swego całkowicie zadowolonym, i Bogu zań dziękując, pełen dobréj otuchy i nadziei na przyszłość, z równą ochotą biegł do pługa, jak i do pióra, i jedno z nich drugiemu nie przeszkadzało.

Z czasem wszakże, gdy na żywy inwentarz, na remanenta, na wzniesienie gorzelni i innych gospodarskich budowli, których brakło w Gródku uroczym, a w końcu i na rozszerzenie domu mieszkalnego, który, w miarę powiększającéj się rodziny i gromadzących się zbiorów naukowych i artystycznych, co raz się okazywał szczuplejszym, musiał wyłożyć kilkadziesiąt tysięcy złotych; gdy co raz częściéj trafiały się lata nieurodzaju; gdy się przyplątał jakiś proces, w skutek pretensyi, na majątku ciążących, a nie wykazanych przy kupnie, co się w języku jurystowskim nazywało podówczas *wilkiem;* kiedy życie rodzinne, obok całéj pełni swojego szczęścia, rozwinęło się w całéj pełni swych niepokojów, zmartwień i kłopotów nieuniknionych; gdy raz po raz to żona, to jéj matka lub ciotka, to któreś z trojga dzieci chorzało; gdy śmierć mu zabrała wuja Urbanowskiego, ukochaną prababkę Nowomiejską i zacnego księdza Chołoniewskiego; gdy i sam, co raz częściéj zapadając na zdrowiu, zaczął cierpieć chronicznie na artrytyzm, ból gardła i na bicie humorów do głowy, a pomimo starań najusilniejszych, nie mógł dostać pasportu za granicę, gdzie mu lekarze do wód jechać kazali, i gdzie sam się spodziewał orzeźwienie dla umysłu i serca znaleźć; gdy wreszcie bracia literaci zawistni jęli mu doskwierać co raz dotkliwiéj; powoli ogarnęło go zniechęcenie, zwątpienie i ledwie nie zupełna apatya, która szczególniéj w listach do przyjaciół i do rodziny, poczynając od roku 1845 po 1849, wyraźnie się odbija, a po części widzieć się daje i w zmniejszonéj twórczości literackiéj, jakkolwiek, o czém się niżéj przekonamy, nałogowa, namiętna praca, w innym tylko kierunku, i w tym czasie nie ustawała.

W Grodku upłynęło Kraszewskiemu lat dziewięć (od 1840 po 1849), a żywot jego w tym okresie, lubo obfity w ciężkie troski i smutki, ale i z przyjemności i z wielkich nawet pociech nie obrany, w główniejszych rysach tak się oczom naszym przedstawia.

Naturalnie, że główną jego cechę musiały zatrudnienia literackie stanowić, o tych wszakże pomówimy osobno, a najpierw zajmiemy się stroną jego ogólnie ludzką i stosunkami powszedniemi.

Wołyniacy nowego współobywatela, którego imię już tak głośném było podówczas, że ci nawet, którzy dzieł jego nie czytali, już się musieli dosyć o nim nasłuchać, powitali bardzo serdecznie, szczególniéj zaś miejscowa arystokracya, cała rzesza hrabiów i książąt, która naówczas tak wybitny i odrębny charakter téj prowincyi nadawała. Dziedzic Dubna, książe Józef Lubomirski, i syn jego Marcelli, gdy Kraszewski przybył na kontrakty do tego miasta dla układów o kupno Gródka, zaraz z nim zabrali znajomość i uprzejmie go zaprosiwszy na wieczory i obiady do swojego pałacu, gdzie się codziennie zgromadzali najprzedniejsi i najdystyngowańsi przedstawiciele tak zwanego wyższego towarzystwa, od razu go do nich zbliżyli; a wszyscy ci wielcy panowie, co i sam Kraszewski przyznaje w liście do matki, byli dlań, jak się wyraża, „*d'une prévenance et d'une politesse excessive*, od nie-

jednego z naszych braci szlachty poufalsi i przystępniejsi.“

Powtarzało się to i później niejednokrotnie, gdyż Kraszewski prawie corocznie, w części dla interessów majątkowych, w części dla rozrywki i studyowania życia z natury, zjeżdżał na kontrakty do Dubna; a gdy w końcu 1842 i na początku 43 przez czas dłuższy z całą rodziną swoją przemieszkiwał w Sławucie, gdzie pani Urbanowska dla kuracyi była osiadła, to stosunki z okoliczną arystokracyą jeszcze ściślej się zawiązały.

„My tu na wielkim świecie (pisał wówczas do matki) i ja porobiłem znajomości, już to w saméj Sławucie, gdzie mnie najłaskawiéj przyjęli i przyjmują, i gdzie bywam codziennie, już to w Krzewinie u księżnéj Jabłonowskiéj, gdzie mieszkają X. X. Lubomirscy młodzi. Chociaż dotąd starannie unikałem znajomości z wielkimi panami, bo dla szlachcica zawsze to niebezpieczne, jednak tu nadzwyczajnéj uprzejmości, grzeczności, uprzedzającemu obejściu się oprzeć się było niepodobna, i nad wszelkie spodziewanie zbliżyć się musiałem do tych, których, widzę, że nie sposób, poznawszy, nie szanować i nie cenić ich znajomości. X. X. Sanguszkowie tutejsi odznaczają się przed innymi w tym względzie. Wszyscy oni w tym domeczku, w którym mieszkam, oddawali mi wizyty, a książe Marcelli Lubomirski o kilka wiorst ztąd po dwakroć do mnie przyjeżdżał, książkami mię obsypał i dał dowody największéj uprzejmości. Jutro jadę z tąd o kilka mil z wizytą do p. Franciszka Lenkiewicza, jednego z najznakomitszych tu ludzi, który między innemi ma piękne obrazy i wzorową owczarnię. Poznałem go już dawniéj w Dubnie, teraz odnowiłem znajomość i muszę go odwiedzić.“

Wiemy jednak, że stosunki te ze światem arystokratycznym, którego grzeczność i uprzejmość umiał cenić Kraszewski, szanując to, co na poszanowanie zasługiwało, nie zaślepiły go bynajmniéj na jego wady i zdrożności i ust mu nigdy nie zamknęły, ilekroć szło o wypowiedzenie choćby najostrzejszych słów prawdy. *Prawda a praca, Unguibus et rostro,* hasło jego i herbowe godło Jastrzębców, zawsze nim kierowały, zarówno wobec panów, jak szlachty. Zresztą stosunki te nie zaszły daléj nad grzeczność i uprzejmość towarzyską w przypadkowéj styczności, lecz nie mogły się nazywać ani przyjaźnią, ani zażyłością sąsiedzką. W ogóle bowiem, zatopiony w pracy swéj literackiéj, któréj ogrom nawet i wtedy, gdy sam pracownik utrzymywał, że nic nie robi, był prawdziwie zdumiewającym,—zakłopotany gospodarstwem trudném i nudném, często wreszcie szwankujący na zdrowiu, Kraszewski w życiu wiejskiém mało się udzielał sąsiadom; a że i sama Pani nie miała najmniejszego upodobania w wizytach i zabawach, stosunki więc ich towarzyskie były bardzo ograniczone, a natomiast rodzinne stanowiły najpierwszą i najżywszą potrzebę serca, były źródłem największych przyjemności i pociech. Zimę zazwyczaj przepędzali u Państwa Urbanowskich w Horodcu, zkąd Kraszewski wybiegał tylko na kontrakty do Dubna,—lato w Gródku, zkąd przez kilka lat pierwszych—(póki się rodzice nie przenieśli do Romanowa) bądź sam Kraszewski, bądź oboje z dziatkami jeździli zwykle do Dołhego, albo też z utęsknieniem wyglądali najpożądańszych i najdroższych gości u siebie; a do błogosławionych, do rajskich dni w swém życiu zaliczali te przed innemi, w których babka, albo rodzice uszczęśliwili ich swojemi odwiedzinami. Babki Malskiéj wyglądali trzy lata, raz w raz powtarzając o tę łaskę czułe zaklęcia, a nie znajdując słów na podziękowanie po każdéj obietnicy, i nie mogąc dosyć odboléć doznanego zawodu, zanim wreszcie 1842 roku powitali ją w Gródku. Cóż to była za radość, co za uroczystość rodzinna! „Całe życie pamiętać będziemy tę bytność naszéj kochanéj babki (pisał wnuk po jéj wyjeździe) i gdybym mógł, tobym pomnik w ogrodzie postawił, żeby mi to co chwila mocniéj przypominał“.— „Odwiedziny kochanéj babki nieustannie mam w myśli, bo tyle nam szczęścia przyniosły, że opisać tego nie zdołam;— (dodawała ze swojej strony pani Zofia). Ścielę się u nóg najłaskawszéj i drogiéj babki, prosząc, aby nas zachowała w swém sercu i jeszcze kiedykolwiek odwiedziła“. W jesieni r. 1843, podobnąż radość sprawili im oboje rodzice, a powracając do Dołhego zabrali z sobą, jako zakładniczkę, najstarszą ich córkę, Kostusię, która się przez trzy lata u nich chowała, wznawiając tradycye romanowskie i dając powód do tém częstszych stosunków między Gródkiem a Dołhem. Następnie w r. 1846 jeszcze większą i pełniejszą pociechę przyniósł Państwu Kraszewskim przyjazd jednoczesny babki, matki i siostry ukochanéj Józefa, Anny, która, niejako w zamian za Kostusię, w przydłuższéj pozostawała u nich gościnie. W końcu raz jeszcze radośnie się rozjaśniło niebo nad Gródkiem w r. 1848, dzięki przybyciu matki.

Notujemy te wszystkie odwiedziny, jako ważne wypadki w życiu Kraszewskiego, bo istotnie takiemi były. Serce tego człowieka pod miękkiemi i ciepłemi rękoma trzech tak

zacnych, dobrych i mądrych niewiast, jak prababka, babka i matka, w przeczystéj atmosferze cnót rodzinnych, jaką oddychano w Dołhem i w Romanowie, tak się rozwinęło od lat najrańszych, iż dla niego miłość rodzinna stała się najgłówniéjszą i najpierwszą potrzebą życia. W zbiorze kilkuset listów familijnych, któreśmy przeglądali, ledwie nie każda kartka tą miłością opromieniona, a zresztą wszystkie one są jéj najoczywistszym i najwymowniejszym dowodem: nie wiele bowiem między niemi jest pisanych w interesach materyalnych, lecz prawie jeden w drugi przedewszystkiém z potrzeby serca, dla zasiągnięcia wieści o rodzicach, babkach, braciach i siostrach, dla zawiadomienia ich o sobie, o swéj żonie i dzieciach, o zajęciach literackich i gospodarskich, dla udzielenia dobréj rady w razie potrzeby, dla wyjednania jakiejś łaski u ojca któremu bądź z rodzeństwa, dla wyspowiadania się z wszelkich swych zamiarów, smutków i pociech, dla samego nareszcie wynurzenia czci i miłości.

Gdybyśmy mieli prawo i mogli wypisać tu choć połowę takich ustępów, w których uczucia te malują się z całą szczerością i prostotą nieporównaną, a zarazem przytoczyć fakta, prawdziwości ich dowodzące, byłyby to zaiste najpiękniejsze karty w téj biografii, najwybitniejsze rysy w charakterystyce téj szlachetnéj i wzniosłéj duszy. A i to jeszcze dodać trzeba, że uczucia te nie tylko nie ostygały z wiekiem, ale przeciwnie wzmagały się coraz to bardziéj, i że mąż zasłużony w narodzie, ojciec dzieci dorosłych, tak się garnął do serca swych rodziców, z takiém uszanowaniem i pokorą synowską we wszystkiém się do nich odnosił, jakby od lat dziecinnych w stosunkach między nimi żadna zmiana nie zaszła. Jeszcze w 1852 roku pisał do matki: „powtarzam, co już tyle razy mówiłem, że mocno i szczerze drogą mamę kocham, i jak stare dziecko tęsknię do niéj“. W innym znów liście: „im się bardziej starzeję, tém mocniéj i więcéj kocham; na nieszczęście takeśmy daleko, tacy podarci na kawałki i rozerwani!“ Albo znowuż: „Milczenie Romanowskie zawsze mię niepokoi; choć los daleko mnie odpędził, serce tam zostało i chodzi po staréj ścieżce od domu do kaplicy, od kaplicy do officyn, i po szumiącéj alei jodłowéj. Nie widzicie go tam, ale jakże często z piersi mi ucieka i włóczy się koło was“.

Potrzeba zaś téj miłości, tego związku nieustannego z ukochaną rodziną była tak silną i tak żywą, iż nigdy dość się zaspokoić nie mogła, co się widzieć daje w częstych dopiskach żony na jego listach do rodziców, zaklinającéj ich, aby o Józefie nie zapominali, bo każde ich dłuższe milczenie staje się dla niego źródłem udręczeń i tęsknoty niezmiernéj; o czém zaświadczyć może i następny wyjątek z listu do brata Kajetana: „Dzięki za list, choć krótki, za jakiś ślad, że Was obchodzę jeszcze choć trochę, za przypomnienie dawnych, niepowrotnych czasów, kiedyśmy jednę jeszcze składali rodzinę. Dziś darmoby się łudzić! myśmy ziarna, rozsypane z jednego gronka, a wrosłe każde gdzie indziéj, a obracające się każde inaczéj. Nikt z Was mojego przywiązania do rodziny ani pojął, ani zrozumiał, ani w nie uwierzył! Cicha czasem łza zakręci się o zmroku na wspomnienie Romanowa i Dołhego, ale nikt jéj nie widzi, a ja opędzam ją czém prędzéj, żeby się na starość nie rozmazywać“.— Gdzie indziéj jeszcze: „Ej Kaju! czemu więcéj nie pisałeś o sobie, o ojcu, o matce, o Lucyanowstwu, a tak szczerze i po bratersku? Jam tak żądny tych nowin, a tak je rzadko odbieram! trzeba o nie naglić, prosić, dopiéro mi tam coś kapniecie, jak jałmużnę“.— „Pisuj do mnie kochany bracie, boś ty mi brat, nie tylko wedle ciała, ale i wedle duszy, ty mnie zrozumiesz łacno, boś ty takuteńki, jak ja,— i tobie do życia potrzeba czegoś więcéj, niż pospolitych jego warunków... szukasz w kamieniach, w astronomii, w muzyce żywiołu tego i masz stokroć słuszność,—bez tego niéma życia, lub jest tylko bydlęce“.— „Pisz do mnie szeroko,—czasem ujmij z dziennika coś, gdy dzień był pusty, a natomiast po kawałku pisz dla mnie w sposobie dziennika, bo życie wasze Romanowskie mocno mnie obchodzi, i nie jeden szczegół miłeby mnie zajął, gdybyś tylko miał cierpliwość wypisać się. Jak idą obserwacye z lunetą? Ile razy teraz na zachód słońca patrzę, zawsze sobie ciebie przypominam. Jaki to dobry sposób wynalazłeś przypominania mi się codziennie!“

W przytoczeniach tych wyprzedzamy bieg czasu, bo chcemy w całéj pełni, od razu odmalować tę piękną stronę charakteru, żeby już w dalszym ciągu życiorysu do niéj nie wracać, jeszcze więc dorzucamy szczegółów kilka:

Po osiedleniu się w Hubinie pisał do ojca (r. 1850): „Za świerki z serca dziękuję! O niechby się przyjęły! byłyby to wnuki starych świerków Romanowskich; gdybyż choć jeden chciał mi rosnąć! Mam tu olchę Dołżańską; poglądałbym razem na świerki i na olchę; przypominałyby mnie, wygnańcowi, oddzielonemu od swoich, Was wszyst-

kich, i moje słodkie czasy dzieciństwa i młodości, które już nigdy, nigdy się nie wrócą! Drogi ojcze, kochaj mnie tyle, co i resztę swych dzieci, a pewnie na mojém sercu i wdzięczności nigdy się nie zawiedziesz, bom wasz zawsze posłuszny syn!"

Posłusznym się nazywał, i był nim rzeczywiście: wszelkie zlecenia, wszelkie chęci ojcowskie, w najważniejszych i najdrobniejszych sprawach, spełniał z uległością ochoczą, a jeśli to było niepodobieństwem, to się tłómaczył i przepraszał, i korzył się, jak małe dziecię. Tak np. dla dogodzenia jemu zaczął pisać do „Biblioteki Warszawskiéj", zapominając uraz, do których nie brakło mu słusznych powodów; a późniéj, obrażony przez „Gazetę Warszawską", na wstawienie się jego, nie cofnął jej swojego współpracownictwa. Tak znów kiedyś, ażeby mu zrobić przyjemność, przez pół roku poszukiwał po całym Żytomierzu jakichś osobliwszych cybuchów, podobno ordowych, o których się staruszkowi zamarzyło przy fajce; a inną razą przez cały rok rozpisywał listy na wszystkie strony, dopytując się o jakiegoś szewca, który przed laty uszył był dla Pana Chorążego buty wygodne. Nareszcie prawie co rok, a czasem nawet parę razy do roku, na żądanie jego, malował mu obrazy, lub kopiował portrety familijne, o to jedynie prosząc, aby ojciec nie kompromitował go, malowidła jego rozdarowując.— Po tém wszystkiem zbyteczna już powiadać o gotowości do posługi w ważniejszych sprawach, gdzie szło już nie o dogodzenie jakiejś zachciance, kaprysowi, fantazyi, lecz o interesa żywotne, o uchronienie od kłopotów i strat materyalnych.

Kiedy w roku 1854 przyszedł do posiadania Kisiel, najpierwszą jego myślą, najpierwszém było pożądaniem, żeby w nich ugościć rodziców.

— „Matuniu moja (pisał) gdybyś nas uszczęśliwiła, gdybyś się pomodliła w naszéj kapliczce za dzieci swoje! Jabym i konie i powóz wysłał do Uściługa lub do Połonki, i obowiązuję się całą podróż wziąć na siebie, byleby nas to szczęście spotkało, o które tak proszę, tak proszę, jak o największą łaskę! i ja, i Zofia, i dzieci! Niech mama pomyśli, niech choć trochę nas pożałuje!" Do ojca zaś inną razą: „Proszę mi dać okazyą, to przyszlę papie starego, doskonałego *dereniaku;* ale niech lepiéj papa do nas na dereniak przyjedzie, to nas uszczęśliwi. Pieścić Go będziemy i chuchać, że Mu u nas źle nie będzie. I w Kisielach, i w Żytomierzu znajdzie się pokój wygodny, i to, co tylko papa lubisz i do czego przywykłeś: książki, tytuń, kawa, gawędka; a pocieszyłbyś się papa wnukami, które doprawdy warto poblogosławić. Wielkieby to było dla nas wszystkich szczęście."

Kiedy się te pragnienia ziścić nie mogły, z bólem serca skarżył się matce: „Oboje z Zosią tęskny list Mamy czytaliśmy „z rozrzewnieniem. Prawda, że tak rok za rokiem upływa, życie mija, a ledwie na krótko i rzadko nam do siebie zbliżyć się podobna. Nikt tego może tyle, co ja, nie czuje. Wszystko mi tu przypomina Dołhe i Romanów, każda olszyna, i każda jodła, którą zobaczę."

Gdy zaś po długiém utęsknieniu, nie mogąc doczekać się pasportu do Romanowa, zjechał się w pogranicznym Uściługu z rodzeństwém, dokąd mu i żona towarzyszyła, tak o swojém szczęściu pisał do matki: (5 Stycznia 1855). „Najmilszą niespodziankę zrobił mi ojciec, którego anim się śmiał spodziewać po takich zamieciach i burzach! Oprócz tego poczciwy Kajetan z żoną, i państwo Rulikowscy (rodzice pani Kajetanowej), wszyscy byli tak nieporównanie dobrzy i grzeczni, że tu na chwilkę zjechali; a jaką to serdeczną sprawiło mi radość, tego list mój będzie dowodem, bo go piszę rozmarzony i zapewne napiszę bez wielkiego sensu. Mało takich chwil trafia się na Bożym świecie, a po nich pozostaje długie wspomnienie. Jedno tylko zatruło moję radość, że będąc bliziutkó Romanowa, nie mogłem do mamy dojechać!"

Wreszcie, gdy w roku 1857 został obrany kuratorem szkół żytomierskich i zatwierdzony na urzędzie, tak pisał do rodziców:

„Kilka tylko słów piszę, prosząc Was, kochani rodzice, o błogosławieństwo na nowy dla mnie zawód: westchnijcie za mną do Boga, ażebym moim obowiązkom uczciwie podołał, ludziom się nie naraził i sumienia nie zawiódł. O to proszę, nie dla formy, ale z potrzeby duszněj, w przekonaniu, że Wasze święte modlitwy wyproszą mi pomoc z Nieba i łaskę Bożą, bez któréj się nic dobrego zrobić nie może w najmniejszéj rzeczy."

Dla uzupełnienia téj charakterystyki, dodamy jeszcze rys niezmiernie oryginalny: że Kraszewski, który namiętnie pali fajkę, a pisze zwykle piórem gęsiem, aż do roku 1859 innych piór ani do pisania, ani też na munsztuczki do cybucha nie używał, jak tylko tych, które mu babka, albo matka, bądź z Dołhego, bądź z Romanowa, umyślnie przysyłały.

Gwałt sobie zadajemy niemały, na tém już urywając cytaty, ale i tak bodajże za-

nadtośmy sobie pozwolili w téj mierze; a byłoby z czego hojnie zaczerpnąć! Od lat dziecinnych aż do czasów ostatnich, czy w dobrych, czy to w złych losach, czy z domu, czy z podróży, czy z kraju, czy z za granicy, nieustannie ten syn i brat poczciwy z swém rodzeństwém korrespondował, wtajemniczając je we wszystkie swoje myśli, uczucia i postępki. Babka, ojciec, matka i obaj bracia, a szczególnie Kajetan, miewali co rok po kilkanaście lub i więcéj listów od niego. Fakt ten byłby już godnym zaznaczenia nawet wtedy, gdyby Kraszewski w saméj tylko rodzinnéj korrespondencyi szukał ujścia dla wrażeń swojéj duszy; ale zważywszy jak rozległemi były stosunki jego literackie, ile co poczta do znajomych i nieznajomych towarzyszy pióra musiał listów napisać, jak szerokie miał pole w swym zawodzie pisarskim do wynurzenia tego, co mu w głowie albo w sercu powstało, jak nareszcie zatopionym był zawsze w pracy,— ze czcią trzeba uchylić czoła przed objawem tym miłości rodzinnéj, jakiemu równych, wątpimy, aby wiele dało się znaleźć.

Po stosunkach rodzinnych, które w życiu Kraszewskich tak szerokie miejsce zajęły, wielki też dział w niem przypadł i na stosunki literackie, nie ograniczające się samą tylko korrespondencyą: ze znajomości, zawieranych listownie, wywiązywała się znajomość osobista, a niekiedy i przyjaźń, jak np. z księdzem Hołowińskim, Chołoniewskim, Konstantym Podwysockim, Komornickim, Dycalpem, Rzewuskim, Grabowskim, Wróblewskim, Aleksandrem Przezdzieckim, Skimborowiczem, Karolem Drzewieckim, Kondratowiczem i innymi. Niektórzy z nich, jak ks. Chołoniewski w 1842 r., Drzewiecki w 1843, ksiądz Hołowiński w 1846, Skimborowicz w 1847, umyślnie przyjeżdżali do Gródka, lub do Hubina (Kondratowicz 1850); z niektórymi zaś spotykał się w Łucku, w Kijowie lub w Warszawie; Dycalpa w Żyrowicach sam odwiedził, zabiegłszy tam z Dolnego w 1843 r.; Kazimierz Komornicki był jednym z najbliższych i najmilszych Kraszewskiego sąsiadów, przyjacielem od serca; sąsiadką również była Ewa Felińska, autorka „Dziennika z pobytu w Berezowie,“ matka Arcybiskupa, który też w pierwszych leciech swego kapłaństwa, przyjechawszy do niéj na Wołyń, był z nią razem w gościnie w Gródku i najserdeczniejszego doznał przyjęcia. Zaglądali tu czasém i księgarze, jak Adam Zawadzki i Maurycy Wolff (ten ostatni wraz z Syrokomlą był w Hubinie). Zaglądali i nie sami professyoniści, ale także ludzie intelligentni, miłośnicy literatury i sztuki, umiejący cenić uprawiaczy pola umysłowego, jak np. Fraciszek Skibicki, książę Jeremiasz Woroniecki z Królestwa Polskiego, i p. Justyn Majewski, sąsiad z Połonki i przyjaciel od serca, którego z takiém rozrzewnieniém we wstępie do „Wieczorów Wołyńskich“ Kraszewski, obok Hołowińskiego i Komornickiego, wspomina.

Gdzież więc przy tém mogło znaleźć się miejsce na stosunki powszednie, trywialne, czcze i nudne? — Zaiste było to zupełném niepodobieństwém: gdyż, jakkolwiek Kraszewski odznacza się darem niezrównanym stosowania się do poziomu umysłowego tych, z którymi musi przestawać, i tak ujmującą prostotą i przystępnością, iż najprozaiczniejszy hreczkosiéj może łatwo przy nim zapomnieć, że ma do czynienia z znakomitym człowiekiem; wszelakoż częstsze stykanie się z takimi ludźmi, naginanie się do ich usposobień i upodobań, było-by z używaniem drogiego czasu i zasobów duchowych, nieopłacyjącem się ani wpływem moralnym, ani studyowaniem typów i charakterów, ani wytchnieniem dla umysłu, które łacniéj mógł znaleźć przy fortepianie, przy stalugach, w ulubionych konnych przejażdżkach, lub też w wesołym gwarze i szczebiocie kochanych dziatek, których mu tu przybyło dwoje: syn Jan, urodzony d. 13 Marca 1841 roku i Franciszek d. 8 Kwietnia 1843, a z których dwojgu starszym, kiedy podrosły, sam lekcye muzyki dawał.

Grywał dużo, a nawet i kompozycyi też próbował; (wydał *Pastusze piosnki, na fortepian przepisane, i Fantazyjkę z ulubionéj śpiewki*). Malarstwu także oddawał się z wielkiém upodobaniem, obdarowując obrazami swojemi rodzinę i przyjaciół, a niekiedy mieniając je na stare książki lub malowidła z słynnym w epoce owéj antykwaryuszem wędrownym, Iglem, który do Gródka bardzo często zaglądał, a zawsze się dobrze obławiał; bo i pieniędzy dość wywoził, i roboty malarskie Kraszewskiego odprzedawał późniéj z dobrym zarobkiem, jak się o tém przekonywamy z listu do Podwysockiego: „Wielkiś zrobił głupstwo, kochany Konstanty, nabywając gruppę straszydeł, bezecną mazaninę moję; masz wiedzieć bowiem, że co tylko z robót moich tym sposobem wychodzi na świat, są to rzeczy spalenia tylko warte, które żyd, znając moję słabość do starych książek i obrazów, u mnie wyhandlowuje. Dajże mi słowo, że tę gruppę spalisz, a dam ci inną robotę. Niepoczciwy ten handlarz spekuluje na ciekawości ludzkiéj i moje utrapione roboty wyciąga mi z kątów za pomocą starych kronik i ma-

lowideł, a mam trochę słabości do sztychów, ksiąg i obrazów, że za nie ostatniebym podobno oddał sp... Wiedząc, jak dalece ubogiemu człowiekowi słabość ta jest niebezpieczną, dałem sobie słowo, i co większa, dotrzymuję go, że nic tego rodzaju za pieniądze kupować nie będę; gdzie więc jest jakie zamazane płótno, to żyd u mnie wyciągnie. Jednę tylko trochę lepszą moję robotę, „Wjazd Radziwiłła do Rzymu 1680 r. kupił od tego żyda podobno Świdziński". (Dziś znajduje się w Bibliotece Ordynacyi Krasińskich).

Musimy tu jednak zaznaczyć, że w téj passyi malarskiéj nie zawsze mógł Kraszewski sobie dogodzić; farby bowiem i płótno aż z Warszawy musiał sprowadzać, i nieraz wyczekiwać parę miesięcy, nim je przysłano.

Ale wracając do stosunków sąsiedzkich, nie omylimy się zapewne, gdy przypuścimy, że w niektórych ustępach „Powieści bez tytułu" można znaléźć ich wyjaśnienie, że mogło tak i z nim się trafiać niekiedy, jak w téj powieści z Szarskim, iż „gdy który z sąsiadów objawił ochotę zaproszenia go do domu, — Dajże pokój! — odzywał się drugi — a co my z nim robić będziemy? o czem gadać? w karty nie gra, nie pije, nie pobaraszkuje... pociechy z niego nie będzie, a jeszcze nas gotów opisać".—

Dodajmy tu nawiasem, że istotnie, od czasów uniwersyteckich, w których zabawka przy zielonym stoliku nie mało nań ściągnęła przykrości, Kraszewski, wierny przyrzeczeniu uczynionemu matce, nigdy w karty nie grywał, ani dla gości w domu swoim ich nie miał, i dzieciom nawet bawić się niemi nie pozwalał. Co zaś do *opisywania*, wiemy z pewnością, że o to rzeczywiście często mu wytaczano pretensye i miewano gorzkie urazy.

„Inni, przez jakiś niby szacunek, udawali, że poważali go wielce, mówili mu wielkiemi słowy o jego poświęceniu, o pracy, o dziełach; ale z największą seryą odegrawszy tę komedyjkę, uciekali, żeby drwić za drzwiami ze słów własnych. W napuszonych zresztą pochwałach nieszczerość ich znać było".

A nie brakło i takich co, jak za panią matką pacierz, powtarzali bezzasadne zarzuty i dzikie posądzenia za „Historyą miasta Wilna"; byli i tacy, co za *Sawkę* z „Latarni czarnoksięzkiéj," za „Ulanę," „Ostapa Bondarczuka" i „Jarynę", oskarżali go o dążności demagogiczne, które z resztą i w gospodarstwie jego, i w postępowaniu z włościanami bardzo łatwo upatrzyć mogli; zaraz bowiem po objęciu w swe posiadanie Gródka, poznosił daremszczyzny i daniny, i nigdy w niczém praw dziedzica nienadużywał, lecz owszem z troskliwością chwalebną wglądał i w materyalne, i w moralne potrzeby swoich *poddanych:* kiedy w roku 1848 nawiedziła Gródek cholera, po przejściu jéj pisał do ks. Placyda Jankowskiego (Dycalpa): „U nas Bogu dzięki nikt nie umarł; ratowaliśmy sami; nie uciekaliśmy od niéj nigdzie; bo zostawić tak lud biedny na łasce Opatrzności nie pozwalało nam sumienie". Kiedy zaś w tymże roku zaprowadzono w Gubernii Wołyńskiéj tak zwane *inwentarze*, to z pociechą pisał do ojca: „Jest to taka rzecz, że naznaczono robocizny tylko trzy dni męzkie i jeden dzień żeński — na tydzień, i nie więcéj. Zmniejszy to nasze dochody, ale lepiéj dla ludzi. Moi oczekują bez niecierpliwości i mówią, że nie bardzo im pilno do tych odmian". — A do Konstantego Podwysockiego: „Bądź przekonanym, że w tém jest *bon grè mal grè* sprawiedliwość; choćby to miało o moję oprzeć się kieszeń, nie mogę nie chwalić téj reformy. W ogóle zreguluje to stosunki i przetnie nadużycia, co zawsze pożądaném było."

Wszystko się więc na to składało—i cha rakter, i sposób myślenia, i rodzaj zajęć nie zwyczajny, i cały ustrój życia, iż Kraszewsk nie mógł się ściśle zbratać z swojém sąsiedz twem, i ani domu otwartego prowadzić, an do otwartych uczęszczać. Wyjątkowe to po łożenie i przykrości z niego płynące, wybo nie sam zcharakteryzował w liście swy do „Tygodnika Petersburskiego" (r. 1841 N. 21), z którego przytoczymy parę wyją ków, jako najautentyczniejsze świadectw prawdziwości słów naszych:

„Jest więcéj takich, którzy wolne tylk chwile, niedogryzki życia, umysłowym zaj ciom ofiarują; lecz mnie się zdawało, ż aby skutecznie pracować i z siebie dla siebi coś zrobić i dla ludzi być użytecznym, trz ba oddać większą i lepszą część życia. C za tém poszło? Naturalnie, zapomnien o wszystkiém, wyrzeczenie się towarzystw (po większéj części nie wielka ofiara) wy rzeczenie się przyrodzenia, swobody, spokoj nadziei polepszenia bytu materyalnego, n wet przyjemności familijnych, które nie tościwie wymagająca praca obcina niemiłosie nie. Nie skarżyłbym się na to, nie mówiłby nawet, gdyby komukolwiek na myśl prz szło nie już *ocenić* poświęcenie, ale choćb zrozumieć je. Ci panowie, uważający lit raturę za rozrywkę, książkę — za słaby s rogat wista; te panie, które śmiechu tyl szukają wszędzie, dowcipu na każdéj kar młodzież nasza rozpróżnowana; starzy, li ratów po większéj części na jednéj sz

z komedyantami kładący: jakże mają seryo pojąć takie poświęcenie i zrozumieć, że ono exystuje, gdy, przekonani nawet o niém, nie potrafią go nazwać, chyba szaleństwém i obłąkaniem. Proszę pana — powiadają — całe dnie, całe noce trawi nad książkami, nad pisaniem; gospodarstwo opuszcza, *sąsiadom uchybia, bo u nich nie bywa, z ludźmi nie żyje:* czysty waryat, panie dobrodzieju! — Biedny człowiek! — odzywa się głos drugi — wyraźnie ma jakiegoś szusta nieborak! Żeby tym dziecińsłwom całe życie poświęcić! — Drudzy, choć w oczy wstydzą się nawracać na drogę zbierania grosza, gospodarowania i t. d., choć w oczy wysoce chwalą takie poświęcenie się; za oczy, zarówno z innymi, ruszają ramionami. Trzeci, że nigdy nie próbowali pracy podobnego rodzaju, nie pojmują, nie rozumieją, utrzymują, ze możnaby było pogodzić oddanie się literaturze i mamonie“.

„Wystaw więc sobie pan, co to w téj nieszczęstnéj głowie się dzieje, gdy z jednéj strony biją w nią myśli z pięknego świata, a z drugiej kłopotliwe przypomnienie jutra, przyszłości, starości? Człowiek porywa pióro i rzuca, siada pisać i wstaje, chciałby tworzyć, a nie może. Gdy się wreszcie zdecydował, machnął ręką i odpędził natrętne myśli, usiadł i począł; wtém wpadł ktoś, wszedł z potrzebném zawsze zapytaniem o stodole, owcach, gorzelni — i wszystko popsuł“...

„Ale nareszcie otrząsnąłeś się z gospodarstwa, zdałeś się choćby na złodzici, spodziewając się, że przynajmniéj nie wiele ci ukradną, i pokończyłeś interesa, zapłaciwszy, dla spokojności, dwa razy jedno, wróciłeś do domu, odpocząłeś; uśmiechnęła się żona, przywitało cię dziecko, rozruszały cię książki nowe, któreś czytał, siadasz do pracy, roją się myśli, układasz plany, różowo widzisz ten utwór przyszły, który, dokonany, wyda ci się pewnie popielatym tylko... znowu jesteś w swoim żywiole... Trzask z bicza!... ktoś przyjechał!— Pędzą owce; chwała Bogu! ale już śmiertelne dreszcze przeszły cię od stóp do głowy, zimno ci się zrobiło, przeląkłeś się,—no, ale nic, niéma nikogo... Trzask z bicza! o! ktoś przyjechał! Tak—odpowiada ci żona po cichu—istotnie ktoś przyjechał.— A więc precz książki, precz papier i pióra, precz myśli! Wypogódź czoło, idź, podziękuj gościowi, że cię odwiedził, że o tobie pamiętał. I tak się też robi: trzeba być uprzejmym, uśmiechającym się, zapraszającym; trzeba nie puszczać, trzeba rozmawiać o pogodzie, o urodzajach, o sąsiedztwie; trzeba siedzieć jak na mękach, udawać wesołego, szczęśliwego! Trzeba, mówię, bo inaczéj ogłoszą cię za człowieka, który nie umie żyć z ludźmi, powiedzą, żeś dumny, zarozumiały, żeś... ale kto to wszystko zliczy, co gadają!... Zbyłeś gościa jednego, wjeżdża drugi: przyjacielu, jak się masz?... Niéma co mówić, wszyscyśmy przyjaciele! Bierze na sekret; ważne wiadomości: tam mówiono o tobie to i to; tam a tam odpowiedział tak a tak; sprzeczali się. Tu znowu powiadają, że ty... i tak dalej. Niepodobna, żeby najrozumniejszego nawet człowieka najgłupsza czasem plotka nie dotknęła. Otóż i po spokojności! Wije ci się po głowie myśl niepotrzebna i dręczy, jak soliter. Wyjechał nareszcie roznosiciel plotek z nowemi plotkami dalej i już jesteś wolny. Nadjeżdża posłaniec. Czego tam? Pan i pani proszą o książki. Dajesz książki, bo oddałbyś duszę, żeby się uwolnić. W tydzień odbierasz książki oszarpane, poplamione, podarte i, zamiast podziękowania, list z wymówkami, żeś chyba na szyderstwo i żart dał takie rzeczy do czytania: jedna książka była zanadto rozumna, druga za głupia, (znajdźże środek, kiedyś mądry!) trzecia nieprzyzwoita, czwarta nie nowa, a piąta usypiała skutecznie. Pożyczajże drugi raz książki!— Już znowu siadasz. Wieczór nadchodzi, swobodny wieczór, bo wieczorem rzadszy gość, nie przychodzą listy i nie latają daleko plotki; pewny jesteś odpoczynku. Gdzie tam! Oto wchodzi ekonom, któremu sto razy powtarzać musisz do zrozumienia dyspozycyą na jutro (a jednak jej nie spełni); *sotnik* wnosi ogromny pęk kursoryi do podpisania; dozorca magazynowy przysłał jakieś formuły, które potrzeba przepisać; dają ci znać, że przyszli żołnierze, a ty ich musisz rozstawiać; tu znowu potrzebują furmanek pod przechód i t. d. Otóż i wieczór ci przepadł! Szczęśliwyś, jeśliś skończył to wszystko do dziesiątéj, i już, spojrzawszy na zegar, liczysz sobie cztery godziny wolne, bo ledwie spoczniesz o drugiej. Ale w tej chwili, jakże nie pomówić z biedną żoną, która cały dzień w milczeniu strawiła nad robotą i książką? jak nie pobawić się z dziecięciem, które ku tobie rączki wyciąga!... Tak prędko biegną godziny! Północ, ucichło, wszyscy spać idą — godzina pracy. Wtém czujesz, jak, całodzienną wrzawą, niepokojem, rozdrażnione nerwy drgają w tobie, jak głowa ci się płomieni, jak oczy pieką, krew wre po żyłach. Siadasz i wstajesz, padasz wreszcie bezsilny na łóżko, bo ci sił nie stało. Ciągle chciałeś coś robić, a jednak nic nie zrobiłeś, dzień przepadł. Tyś codzień bliższy grobu, a dzień

ten minął niezapisany w księdze żywota! Niepodobna! niepodobna! Zrywasz się, oblewasz zimną wodą, chłodzisz się powietrzem i siadasz do pracy. Bardzo jednak wątpię, abyś co dobrego napisał".

„Nazajutrz przychodzi poczta. Dzień cały zajmie ci czytanie przysłanych pism peryodycznych, ksiąg, gazet i listów. A! listów, na które odpisywać trzeba, a bywa ich dziesięć, piętnaście i więcej! Dodawszy listy gospodarskie, przyjacielskie, w interesach i familijne, zformuje to jakich 2000 półarkuszy do napisania na rok. Tymczasem siadasz tylko czytać; już i to robota. A naprzód wpada ci do rąk gazeta z Warszawy, *opieczętowana,* nadesłana bezimiennie: jest to extrapoczta wyexpedyowana zjadliwa krytyka; wyrachowano wybornie, aby nie zawieruszyła się na peczcie i najprędzéj doszła. Jakkolwiek kto jest oswojony z rozumnemi i nierozumnemi recenzyami, (a ja, spodziewam się, jestem bardzo, bo mnie, ostatniemi mianowicie, karmią, nie żałując) zawsze to pewna, że wielce smutne wrażenie robi zjadliwy pocisk. Jeśli jeszcze nie widzisz sensu, prawdy, znajomości rzeczy, tylko szczerą złość, litość cię bierze nad bezimiennym głupcem, ale cię boli serdecznie. Popsuty humor; co gorsza, rodzi się na jakiś czas niechęć do pracy, zrażenie, odpada ochota, radbyś wszystko porzucił. Ale zaprzężony koń nie rzuca szlei, choć mu boki obciera. Czytasz dalej: listy z komplementami,—nudna potrawa, która wcale nie osładza goryczy głupich recenzyi.— Listy z wierszami!—uchowaj nas Panie! ciężkie to listy! jednakże, aby nie zawieść zaufania, potrzeba odpowiedzieć! Listy z prośbą o radę literacką,—trzeba dać radę. Listy z wymówkami,—trzeba przyjąć wymówki. Listy z reklamacyami,—trzeba wrócić temu literę, a tamtemu półtoréj, opuszczonéj gdzieś wypadkiem. Listy z poznajomieniem się,—trzeba podziękować; a koniec końcem: trzeba na wszystko odpisać. Aby się prędzej zbyć z głowy ciężaru, siadasz i piszesz półtora dnia; jedzie z niemi na pocztę posłaniec, i drugie ci tyle przywozi. Nie mówię, co to kosztuje pieniędzy,—gorsza szkoda czasu. Człowiek już o pierwszéj nie myśli, choć żonie żal tych idących w świat rubli, które nigdy już nazad nie wrócą".

„Otóż masz, panie, obraz tylko jednej części kłopotów. Teraz, wziąwszy samo tylko życie literackie, na które ile zostaje czasu, osądzisz sam; podzielmy je jeszcze na godziny nauki, (bo się człowiek do śmierci uczy), godziny czytania, godziny poszukiwań i samego już tworzenia. Kilka rzeczy już poczętych wymagają każda osobnych przygotowań, namysłu, badań, zastanowienia. Tymczasem księgarze dopominają się rękopismów, a wydawcy pism peryodycznych—artykułów".

Naturalnie, że manifest publiczny w tym rodzaju już sam przez się nie mógł być dla sąsiadów zachętą do utrzymywania stosunków z jego autorem, gdyż słuszne mieli prawo przypuszczać, że umyślnie był na to obliczony, ażeby się od nich odżegnać. Powtarzamy więc, że stosunki były bardzo ograniczone, a wszystek czas pochłaniały zajęcia umysłowe, po trosze gospodarskie, oraz życie rodzinne. Gdy dla zdrowia trzeba było koniecznie oderwać się od pracy, to, jakeśmy widzieli, dążył Kraszewski tam, gdzie go serce ciągnęło: do Dołhego, Horodca, Prawotyna, Ossowej, albo na kontrakty do Dubna; w latach zaś 1842, 1843, 1844, 1846 i 1847 odbył nieco dalsze wycieczki, a mianowicie do Kijowa, do Kamieńca, do Odessy, do Warszawy i do Druskienik.

Kijów podówczas słynął swojemi kontraktami, na które się zjeżdżało najprzedniejsze obywatelstwo z całej Ukrainy, Wołynia i Podola, a po części i z Litwy, nie tylko dla załatwienia interesów ziemiańskich, nabycia albo zbycia majątku, dla sprzedaży produktów, ulokowania kapitałów lub też zaciągnięcia pożyczki, nie tylko dla zaopatrzenia się na cały rok w wiktuały i wszelką prowizyą spiżarnianą, jako też w rozmaite przedmioty elegancyi i zbytku, w pyszne futra, jedwabie i axamity, w marmury, srebra i kryształy, co wszystko zwozili tu kupcy przedniejsi z Warszawy, z Wilna, z Petersburga, z Moskwy i z za granicy; ale nie mniéj, a może jeszcze bardziej, dla wesołego przepędzenia czasu, dla świetnych uczt i balów, a często gęsto i dla bachanalii *bałagulskiéj,* gdzie się wino lało strumieniem, i na stoły zielone sypały się tysiące *pecòw,* z któremi nieraz jedna karta zabijała całą fortunę a czasami i dobrą sławę.

Obok tego wszelakoż wielu tu pociągały i wznioślejsze, szlachetniejsze upodobania; na sali bowiem kontraktowéj można się było spotkać niekiedy i z obrazem wcale udatnym, i z rzeźbą niepoślednią, i z *antykiem* osobliwszym w magazynie Schafnagla; księgarnie Glücksberga i Zawadzkiego rozwijały tu całe swoje zasoby, popisując się najświeższemi płodami; a nieraz nawet pierwszorzędni artyści, jak np. Lipiński, Dreischok, Liszt, Apolinary i Antoni Kątsey, występowali tutaj z koncertami. Zjeżdżali się więc na kontrakty i literaci, wszyscy prawie



HUBIN.

przedstawiciele życia umysłowego w trzech guberniach a współpracownicy „Tygodnika Petersburskiego" i „Athenaeum", z których grona ksiądz Hołowiński stale podówczas przemieszkiwał w Kijowie, a z prowincyi przybywali Hr. Alexander Przezdziecki, Hr. Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, Alexander Groza, Michał Jezierski, Konstanty Podwysocki, Hr. Gustaw Olizar, Karol Drzewiecki, wreszcie miłośnicy i zbieracze starych ksiąg, manuskryptów, rycin i obrazów: Konstanty Świdziński i German Hołowiński, krewny żony Podwysockiego. (Pomimo woli przychodzi nam uwaga, że wszystko to byli bracia-szlachta, obywatele ziemscy, ba i wielcy nawet panowie!— Niechże to posłuży za rehabilitacyą tej *kasty* w oczach tych, co w niej chcą upatrywać samych tylko próżniaków i półgłówków, a nawet prawa bytu jej odmawiają).

Naturalnie, że Kraszewskiego na kontrakty kijowskie sprowadziły przeważnie pobudki literackie, a mianowicie chęć poznania swoich współtowarzyszy i korrespondentów; jednak nie samo tylko obcowanie z literatami sprawiło na nim bardzo miłe i długo niezatarte wrażenie, ale nie mniéj též i wieczory towarzyskie, w kółkach ściślejszych, gdzie urocze, serdeczne i intelligentne ukrainki, lepiéj pono, niżeli ich mężowie i bracia, poznać, ocenić i uczcić go umiały.

Nie mamy na podorędziu materyałów, z którychbyśmy mogli zaczerpnąć szczegółowych wskazówek o zjeździe literackim ówczesnym i wszystkich jego uczestnikach, i musimy poprzestać na przytoczeniu tylko tego, co sam Kraszewski w listach swych do rodziców, oraz do Dycalpa, o tém napisał.

„Kijów wydał mi się, mimo zimy, prześlicznym (do Dycalpa), a tak oryginalnym, tak dziwnym! Wystaw sobie trzy miasta oddzielne, z ogromnych gmachów złożone, najeżone złocistemi kopułami cerkwi niezliczonych, rozrzucone wpośród drzew, po wysokich górach, u brzegu Dniepru. A co za widoki! Z galeryi cerkwi św. Andrzeja odkrywa ci się *Padoł*, u nóg twych Dniepr, za nim step siniejący w oddaleniu, góry *Carskiego sadu*... nie do opisania. Z mieszkania znowu mojego na *Starym Kijowie*, przy kościele katolickim, widać całe *Peczerskie* i część *Kreszczatki*. Kiedy drzewa jeszcze ubrały się w swoje brylantowe zimowe sukienki ze szronu, nic równego wyobrazić nie możesz. Jest to miasto w ogrodzie prześlicznym. Nie potrzebuję ci pisać, że w czasie kontraktów życia było wiele, ludu bożego mnóztwo. Nie myśl jednak, aby ludzie, i choroba nawet, do tego stopnia mnie opanowała, żebym wyjechał z Kijowa, nie zwiedziwszy jego starożytności i osobliwości. Co mogłem, obejrzałem: Pieczary, Ławrę, Sobór Michajłowski, Sofijski i t. d.... (szczegóły i uwagi o tém pomijamy). Naszych panów literatów było dość wielu. Hr. Rzewuski przybył na końcu. Usposobieni jesteśmy z nim jeśli nie serdecznie, co nie możliwa, to przynajmniéj na oko dobrze. Czytał nam część swojéj powieści „Listopad." Jest to *Soplica* na większą skalę, ale wiele gawędy, a dramatyczności wcale brak, co czyni rzecz trochę wodnistą. Ma jednak to poprawić. Grabowski — urywek ze swéj powieści „Tajkury;" będzie to rodzona siostra „Stanicy," i kto wie, czy nie więcéj jeszcze interesująca. Obrazy niektóre (mało czytał) wyborne. Nakoniec twój najniższy sługa czytał „Mindowsa," a przyjęto go dobrze, aż nadto dobrze, zwłaszcza, że czytałem go całego, a kilka tysięcy wierszy do wysłuchania, to kara Boża (*). Tak na lekturach, gawędkach, sprzeczkach, obiadach, śniadaniach, przeszły nam kontrakty, jak z bicza trzasł."

Dalsze szczegóły czerpiemy z listu Kraszewskiego do rodziców:

„Na opisanie pobytu mego w Kijowie, znajomości, jakie tutaj pozabierałem, i t. d. listu za mało; może da Bóg, że to kiedyś ustnie obszernie opowiem, teraz tyle tylko doniosę, że wszędzie, od wszystkich doznałem najlepszego, lepszego niżelim zasłużył, przyjęcia. Wszyscy chcieli poznać się ze mną, — obiady po obiadach, wieczory po wieczorach, toasty po toastach. Czytałem przy kilku, potém, z powodu większych żądań, przy kilkunastu osobach mego „Mindowsa," i wszystkim się podobał. Teraz poprawiam go do druku. Stałem tu u księdza Hołowińskiego, prawdziwego przyjaciela, który się dzielił ze mną, czém miał, końmi, stancyą, wszystkiém. Byli tu między innymi Grabowski, Gustaw Olizar i Rzewuski. Z Rzewuskim, który ma do mnie urazę, byliśmy zimno, ale dobrze; hr. Olizar — najmilszy człowiek w świecie. U obudwóch

(*) Złośliwi opowiadali onego czasu, jakoby przy czytaniu tém Rzewuski drzemał; nie ręczymy za autentyczność téj anekdoty, mamy jednak prawo przypuszczać, że autor „Mieszanin" mógł rzeczywiście ruszyć takim konceptem, tak samo, jak to póżniéj, według podania Henryka Cieszkowskiego, uczynił był na posiedzeniu Biblioteki Warszawskiej, na które raz przybywszy, „rozłożył się wygodnie na kanapie, udał uśpionego i w głos śród czytania chrapać zaczął. Szczególną było chęcią jego drażnić to, co na ogólne zasługiwało uznanie."

ostatnich, wracając z Kijowa, byłem w Żytomierzu, gdzie mieszkają, u pierwszego na wieczorze, u drugiego na obiedzie. Papy notatkę o „Mieszaninach“ kommunikowałem w części *Bejle*, ale na nią milczał; powiastkę tylko o Wołodkowiczu chciwie pochwycił, i pewnie z niéj skorzysta (*).“—„Co się tycze naszych zajść z „Biblioteką Warszawską,“ te już podobno skończone. Widziałem w Kijowie jednego z panów, który umyślnie z tém przyjechał, aby prosić o zgodę i mir, na co przystałem, bom nie rozpoczynał kłótni i zwad i pierwszy jestem do podania ręki, nie pamiętając na urazy osobiste. Nie wiem, czy tak nizko jestem, czy tak wysoko, ale dość, iż języki tych panów nie dosięgły mnie i nieobrażony pozostałem, a oni sami sobie zaszkodzili.“

„W Kijowie poznałem mnóztwo poczciwych ukraińców, którzy mnie serdecznie w odwiedziny do siebie zapraszali; poznałem nawet sąsiadów Buzówki, dawnéj naszéj wioski, która dziś, jak mi powiadali, ma 700 dusz i należy do p. Sawickiego jakiegoś. Poznałem niemłodego już p. Marka Sarneckiego, który mi powiadał, że był w Buzówce, kiedy mój dziad na śmiertelném łożu już leżał. Muszę tam być tego roku koniecznie.“

Do tych ukraińców poczciwych, z którymi się Kraszewski poznał w Kijowie, należał i Konstanty Podwysocki, a znajomość ta, dobrze już przygotowana przez korrespondencyą, od razu się stała szczerą i stateczną przyjaźnią; jakkolwiek bowiem p. Konstanty w literaturze bardzo skromne miejsce zajmował, bo nie miał wybitnego talentu, a zwłaszcza leniwym był do pióra, ale odznaczał się sercem najlepszém, charakterém szlachetnym, umysłem pięknie ukształconym, humorem i dowcipem niezrównanym, co wszystko czyniło go najpoczciwszym i najmilszym koleżką. Nie dziw więc, że Kraszewskiemu tak od razu przypadł do duszy, iż przyrzekł mu, że go latem odwiedzi na Ukrainie, aby czas dłuższy w jego domu pogościć i razem z nim odbyć kilka miłych wycieczek po tym kraju uroczym, który pociągał go ku sobie wspomnieniem chwil, błogo spędzonych w towarzystwie ukraińskiém podczas kontraktów. A lubo nie mógł przyrzeczenia tego dotrzymać, to nie omieszkał wszakże z pierwszéj sposobności skorzystać, aby sobie i jemu wynagrodzić ten zawód: w roku 1847, gdy Podwysocki razem z Germanem Hołowińskim przeniósł się na Podole i czas jakiś przesiadywał w Kamieńcu, od którego o dziewięć mil, w Zawalijkach, mieszkał p. Bratkowski, szwagier pani Kraszewskiej, to p. Józef, przybywszy tam z żoną w gościnę, na drugi dzień, rozstawionemi końmi, do Staréj Petrydawy pośpieszył. „Leciałem na złamanie karku,— pisał do pana Konstantego za powrotem na Wołyń, — ale jakżem się zmartwił, kiedy od faktora domu, w którym stoicie, dowiedziałem się, że p. Podwysocki i p. Hołowiński wyjechali do Sawiniec! Bawiłem w Kamieńcu spełna 24 godziny, byłem świadkiem pożaru w rynku, i wyjechałem smutny, spoglądając po za siebie na płonące jeszcze miasto i dymiące zgliszcza. A! nie uwierzysz, jak mi się podobał ten cudny, czarodziejsko-piękny, w tyle żywych pamiątek strojny Kamieniec! Pomimo słoty, wiatru, zimna, błota (było to w Październiku), latałem jak szalony i zachwycałem się. O! co za miasto dla poety, dla malarza! Co za śliczna ruina! Nie będę ci pisał o Kamieńcu, bo go lepiéj odemnie znasz, dość powiedzieć, żem zakochany w nim.“

Powodem, że Kraszewski nie mógł ani latem 1842 na Ukrainę, ani w 1843 na kontrakty do Kijowa pojechać, były po części straty i kłopoty w gospodarstwie, po części pogorszony stan jego zdrowia, dla którego, kiedy nie zdołał za granicę dostać paszportu, zdecydował się wreszcie do Odessy, do kąpieli morskich się udać, w towarzystwie pani Urbanowskiej, która co lato wycieczkę tę była zwykła odbywać. Wrażenia z téj podróży opisał i ogłosił r. 1845—6, w 3-ch tomach, pod tytułem „Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku,“ dawszy wprzód po-

(*) Powiastka o Wołodkowiczu, którego żywot awanturniczy i zgon tragiczny dali poznać: Rzewuski w *Pamiętnikach Soplicy* i Chodźko w *Pamiętnikach Kwestarza*, była taka, jak ją nam powtórzył p. Kajetan Kraszewski z tradycyi ojcowskiéj. Słynny ten awanturnik, rozstrzelany jak wiadomo za napad zbrojną ręką na trybunał Miński, za porąbanie krucyfixu i zranienie sędziego, miał jakoby niegdyś w tymże Mińsku podczas kazania sprowadzić pod same drzwi kościoła cyganów z niedźwiedziem i kazał im przy odgłosie bębenka i piszczałki zwyczajne sztuki pokazywać. Naturalnie, że na głos téj dzikiéj kapeli, na wykrzykiwanie niedźwiedników i ryk niedźwiedzia, tłumém się ludzie wysypali z kościoła, jedni zaciekawieni, drudzy oburzeni tą awanturą; a kaznodzieja, widząc dom Boży prawie pusty, zstąpił z ambony i poszedł za innymi, aby opamiętać niebacznych, a surowo skarcić zuchwałych gwałcicieli świątyni Pańskiéj. Kiedy stanął na ganku i ujrzał Wołodkowicza, zanoszącego się od śmiechu, z wielkiéj uciechy, że się mu tak dobrze z figlem powiodło, — gromiąc go, rzucił słowo prorocze, że przyjdzie czas, w którym on sam własną osobą jeszcze ciekawsze widowisko wyprawi, niż obecnie z niedźwiedziem, i tumult jeszcze większy wywoła.

Przyp. autora.

znać z nich wyjątki w „Bibliotece Warszawskiej" i w „Przeglądzie Naukowym," nadto zaś odbił je po mistrzowsku w krajobrazach, służących w części za tło do powieści historycznéj „Zygmuntowskie czasy." Wyjechał z Grodka d. 22 Czerwca, powrócił 11 Września 1843 r. Kto inny na właściwém miejscu zda sprawę z przebiegu téj wycieczki; my zaś poprzestaniemy na przytoczeniu głównych tylko zarysów, które napotykamy w liście Kraszewskiego do babki: „Odbyłem maleńką przejażdżkę, bo tego podróżą nazwać nie można, do Odessy i daléj w stepy Bessarabskie, po nad Dniestr, do Akermanu, Benderu i Kiszyniewa. Miła mi się została pamiątka w notatkach i rysunkach, zebranych na téj przejażdżce. Kraj ten, a nadewszystko widok zachwycający morza, był dla mnie zupełną nowością. Do tego brzegi morza Czarnego, w tych miejscach, gdzie step, jak koło Odessy, jest zamieszkany i zasadzony drzewami, cudnie piękne. Po nad morzem zwieszają się urwiska wzgórz i skał kształtów najdziwaczniejszych; sam widok stepu, choć smutny, bo w wielu jego częściach ani drzewka niéma, (tylko to, co sadzone i mozolnie utrzymane), ale nowy i w swoim rodzaju wspaniały. Czasem dokoła na ogromną przestrzeń nic nie widać na płaszczyznie, prócz kilku daleko rozsypanych starych mogił. Brzegi Dniestrowe za to, z oryginalną zupełnie i nieznaną nam wegetacyą, całe poubierane w *skompije*, które wyglądają jak drzewa z piór, albo z puchu, w laski drobne, w góry i garby różne,— prześliczne. Dniestr płynie doliną głęboką, środkiem łąk, lasów i zarośli trzcinowych, kręcąc się na wszystkie strony. U ujścia do morza w Akermanie rozlewa się w ogromny Liman, czyli jezioro, szerokie i długie na wiorst kilkanaście. Tu dwa brzegi Dniestrowe łączy chodzący między niemi parowy statek. Akerman, starożytny zamek, nad limanem, ogromny, a tak cały, mimo swą starość, że jednego mu kamienia nie braknie. Leży na skale i literalnie kąpie się w limanie. Tu, dla nas nowe, ogromne winnice, które, rozrzucone po całym tym kawałku kraju, zupełnie podobne do naszych pól, kartoflami zasianych."

„Odessa, ogromne, nad samém morzem zbudowane miasto, ma wszystko, co za granicą mają: teatr włoski, francuzki, niemiecki, asfaltowe trotuary, oświetlenie gazem, i t. d. Jeden tylko kościoł katolicki, mały, choć katolików mnóztwo; magazyny, składy przepyszne, ale nadewszystko piękny port i bardzo mądrze urządzona kwarantanna, która jest prawie drugiém miastem w mieście. Tego roku zjazd do kąpieli był niezmierny; najwięcéj z naszych prowincyi, do 300 rodzin; ale chłód i deszcze kąpać się nie dawały. Ja jednak, uparłszy się, wziąłem piędziesiąt kilka kąpieli, które, jak dotąd, posłużyły mi trochę. Trudno się nie zahartować, kąpiąc się dwa razy na dzień w takiéj zimnéj i tak bałwanami bijącéj wodzie".

Zarys ten uzupełnić jeszcze musimy kilku szczegółami z listu do Podwysockiego:

„Powiadasz, że mnie w Odessie na ręku nosili,—jeżeli nosili, to tak lekko, żem tego nie czuł; a może jestem trochę rozpieszczoném dzieckiém... Morze, bozkie morze zachwyciło mnie! O! ty nie wiész pewnie, co to widok morza, co to za cudowny widok! Jam je śpiéwał, rysował, malował, opisywał, i dotąd z zapału ochłonąć po niém nie mogę.— Odessa wyborna, ale, gdyby nie przyjezdni, nudna i strasznie droga. Miejscowi byli dla mnie grzeczni, aż do gubernatora, wszyscy nadzwyczaj grzeczni. Literatura właściwa nie ma tu zwolenników; sztuki, wyjąwszy muzykę, w zaniedbaniu, a muzykę tylko jednę, to jest włoską, pojmują i cenią; teatr—at sobie. Co się tycze snycerstwa — mizerye; co się tycze malarstwa—nic, albo gorzéj niż nic, bo co tu malują, tego opowiedzićć niepodobna i uwierzyć trudno. Jakiś włoch, p. Vitale, namalował do kościoła katolickiego *Zdjęcie z Krzyża*, które jak sobie przypomnę, to mnie dreszcz przechodzi".

Nie na saméj wszakże kuracyi Kraszewski czas przepędzał w Odessie; zamierzywszy podróż swoję opisać, gromadził do niéj materyały na miejscu, ku czemu wielce mu pomocném było *Odesskie Towarzystwo historyi i starożytności*, głównie zaś professor Skałkowski, autor „Nowej Siczy" i Murzakiewicz, sekretarz pomienionego Towarzystwa, które zamianowało Kraszewskiego w tymże roku członkiem swym honorowym. Tutaj też nasz podróżnik spotkał się po raz pierwszy z wielce wziętym i powszechnie szanowanym w Odessie doktorem Karolem Kaczkowskim, w którego domu nie jednę miłą chwilę przepędził.

W roku 1844 miał Kraszewski mocne postanowienie odbyć wycieczkę do Warszawy i Romanowa; dnia 27 Listopada pisał do ojca: „Jestem zupełnie gotów do podróży; lecz zaczynam już się obawiać, aby i ta, jak tyle innych moich projektowanych podróży, na trudności pasportowéj nie zagrzęzła, a smutnoby mi było nie widzićć teraz babki. Żonę z dziećmi wyprawiłem już do Horodca; jestem sam, jak palec w domu i długie wieczory ślepiąc, oczy wymęczam do reszty.

Jeden tylko mój *Terreneuve*, ogromne czarne psisko, dotrzymuje mi towarzystwa i nie da się nikomu ruszyć, żeby się zaraz do skutecznéj obrony nie rzucił. Ale te długie wieczory, przy szumiącym za ścianą wichrze jesiennym i głuchéj ciszy w całym domu, samemu jednemu nie bardzo są wesołe, zwłaszcza mnie, com już przywykł do gwaru dzieci i ruchu ludzi ciągłego, tak, że najczęściéj czytam i piszę nawet w tym gwarze. Dziś już pisałem, poprawiałem pisane, czytałem, grałem, rysowałem, nuty pisałem, chodziłem do budowli, i rady sobie dać nie mogę, tak nudno! Nareszcie doczekałem się dziesiątéj i położę się, i zatém reszta listu do jutra".

W jesieni roku 1846, po załatwieniu wszelkich formalności, upragniony pasport wydano, i Kraszewski udał się nareszcie do Romanowa, zkąd z ojcem i bratem Lucyanem (nie Kajetanem jak podaje Wilkońska) pojechał do Warszawy, gdzie stanął, jak się okazuje ze wzmianki w N-rze 318 Kurryera, odszukanéj przez p. Krzemińskiego, w drugiéj połowie Listopada, a gościł aż do świąt Bożego Narodzenia, nie zaś dni kilkanaście, jak znów błędnie utrzymuje Wilkońska, myląca się i w tém jeszcze, iż wyjechał przed ojcem; inaczéj bowiem świadczy o tém przytoczony przez nią list Pana Chorążego, który pod dniem 6 Stycznia 1847 roku pisał z Romanowa do jéj męża:

„Powróciwszy z Warszawy do Romanowa i wyspawszy się w wiejskiej zaciszy, obudziłem się z *przybyciem mego Józefa, z którym Święta i Rok Nowy* zaczęliśmy w towarzystwie domowém matki, żony i córki. Przybyli nam także z Warszawy Walentowie Szwykowscy i *syn mój Lucyan*. Dni przeszły jak godziny. Zapłakałem, żegnając Józefa, z którym przyjdzie może za lat parę zobaczyć się. *Ruszył on na przeklęte kontrakty Dubieńskie*, od których wyłamać się nie mógł i zostawił mi tylko miłe wspomnienie Warszawy i tych wszystkich, którzy raczyli łaską swoją zaszczycić syna mojego. W szarej kapocie i szlafmycy, siedząc przy skromnym moim kominku, *słodko będę rozpamiętywał Grudzień 1846*, i odmawiając paciorki, westchnę do Boga za tych, którzy do serca przytulili mojego pierworodnego".

Pobyt Kraszewskiego w Warszawie z humorem niezrównanym opisał w jednej z najudatniejszych swych *Ramotek* August Wilkoński, żona zaś jego tyle tylko zanotowała: „Warszawa rwała się do niego; wyrywano go sobie, bo nie mógł wszystkim zaprosinom podołać. Obiady, wieczory, goniły jedne po drugich. To proszono, by oblubienicę powiódł do ślubnego ołtarza, to znowu, żeby chrzestnym był ojcem, i tak istny wiązał się łańcuch".

W książce naszej znajdą czytelnicy osobny ustęp, odnoszący się do tej gościny Kraszewskiego w Warszawie, a skreślony przez naocznego świadka, Tyszywskiego; my zaś dodamy tylko jedno jeszcze wspomnienie, zapisane przez Henryka Cieszkowskiego. Oto: „Zecerowie wszystkich drukarni miejscowych, w których nasłuchali się nazwiska Kraszewskiego, pragnęli obaczyć autora, którego pisma tyle im dawały zatrudnień, a razem i chleba. W tym celu zebrali się w mieszkaniu Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj", podczas środowego posiedzenia, na którém znajdował się Kraszewski. Wyszedł przeto do nich; wybrany orator z zecerów grona wystąpił z kilku pochlebnemi dlań słowy, które do łez pobudziły Kraszewskiego i w zamian serdeczne z jego strony wywołały podziękowanie".

W posiadanej przez nas korrespondencyi Kraszewskiego nigdzie żadnej wzmianki nie spotykamy o tych tryumfach, odniesionych przez niego, w nieprzyjaznéj mu dosyć długo Warszawie, nie więc nie możemy powiedzieć o tém, jakie na nim uczyniły wrażenie; to tylko pewna, że się do „Biblioteki Warszawskiej" już stanowczo nawrócił, a gościnę swą teraźniejszą zaznaczył w niéj ślicznym utworem p. t. „Łza w Niebie".

Pozwalamy wszakże sobie przypuszczać, że większy był entuzyazm dla Kraszewskiego w publiczności, niżeli wpośród rzeszy literatów warszawskich; w listach bowiem Augusta Wilkońskiego do Pana Chorążego, spotykamy co następuje: „w artykule moim o Panu Józefie $^{95}/_{100}$ należy do zalet jego, cały zaś obrazek jest wyrazem wdzięcznego hołdu, *z pominięciem żalu literackiego za negliżowanie literatów miejscowych.* Z tejże korespondencyi dowiadujemy się, że Kraszewski, powróciwszy do Gródka, miał napisać do Dzwonu Literackiego „Łzę w piekle".—w zamian za którą Wilkoński mu obiecywał „Łzę w czyśccu".

W r. 1847, już wyłącznie tylko dla zdrowia, którego stan bardzo się był pogorszył, odbył Kraszewski podróż do Druskienik. Wyjechawszy z Gródka 31 Lipca, przez Łuck, Hołuby, Ratno, Dywin, Kobryń, Prużanę, puszczę białowieżką, Swisłocz i Grodno, dnia 8 Sierpnia stanął na miejscu, gdzie przepędził parę miesięcy, i gdzie przejażdżkę swą i pobyt opisał w szkicu literacko-lekarskim (do współki z doktorem Wolfgangiem) p. t. „Druskieniki".

Ze szkicu tego dowodnie się przekony-

wamy, że towarzystwo Druskiewickie wcale się Kraszewskiemu nie podobało, gdyż nie szczędził kolorów ciemnych na odmalowanie wad i zdrożności jego, niżéj stawiąc Litwinów pod względem umysłowym i obyczajowym, od Podolan i Wołyniaków. Słyszeliśmy, jakoby i tu jeszcze trwały one dzikie pretensye za „Historyą Wilna“, pewni wszakże jesteśmy, że okoliczność ta nie zaprawiłaby żółcią pióra Kraszewskiego, który w tym samym szkicu uczcił serdecznèm i uznania pełnèm wspomnieniem, zmarłego w Druskienikach podczas jego pobytu, Jana Czeczota, nie pomnąc na te cierpkie przygryzki, jakie niegdyś nieboszczyk z powodu jego „Bojów Witoldowych“ w „Tygodniku Petersburskim“ a następnie i w osobnéj broszurce wydrukował.

W listach zaś do rodziny tyle tylko o pobycie swym u wód Druskienickich napomknął:

„W Druskienikach dosyć nudno, a ja znajomości robić nie chcę i nie mogę, bo doprawdy zdrowie nie pozwala. Potrzebuję spoczynku, towarzystwo zaś nie bawi mnie, ale męczy, — muszę go unikać. Czas mi upływa przy stoliku, przy rysunku i fortepianie. Rzadko kogo widuję; czasem, jeśli pogoda służy, udaję się na przechadzkę nad Niemen, a jakkolwiek długi dzień, bo o piątéj wstaję, a o 11-éj się kładę, jakoś go zająć umiem, najwięcéj rysunkiem. Dałem tu gubernatorowi plan na wieżyczkę w łazienkach, i muszę mu zrobić, bo mię prosił, widok Druskienik. Pisać nie mogę, ani mi się chce, a w istocie takie mam jeszcze bicie humorów przy tych kąpielach, że i to nie daje mi niczém się mocniéj zająć“.

Podwysockiemu zaś po powrocie tak donosił o stanie swego zdrowia:

„Z Druskienik powróciłem z wielkiemi obietnicami zdrowia, ale z tém prawie, z czém pojechałem; t. j. ból gardła nieustanny, którego charakteru kilku już doktorów, badając, nie dobadało się; ból w nogach, który jest artrytyczny; a w ostatku rozdrażnienie nerwowe ogromne, które mi się znakomicie powiększyło. Radzą mi teraz Karlsbad, ale jak się wybrać i czy to podobna?“.

Nie wybrał się też ani do Karlsbadu, ani do Libawy, którą mu również zalecano, ani nawet powtórnie do Druskienik, jak sam sobie zakładał, ani też do Odessy, o któréj również prawie co rok w listach swych do rodziny i przyjaciół wspominał. Dopiero z rokiem 1851 rozpoczyna się znów ruchliwsze i czynniéjsze życie Kraszewskiego, ale o tém pod Hubinem i Żytomierzem mówić będziemy, tu zaś mamy się zająć poglądem na stosunki i zatrudnienia jego literackie w czasach Gródeckich.

Ledwie się tu osiedlił, zaraz powziął zuchwałą myśl wydawania pisma peryodycznego, i porozumiawszy się ze współpracownikami „Tygodnika Petersburskiego“, z którymi bądź listowne, bądź też i osobiste wiązały go bliższe stosunki, założył w Gródku redakcyą Athenaeum. Myśl tę nazywamy zuchwałą i sądzimy, że nikt nie zaprzeczy prawdzie słów naszych, zważywszy, że czasopismo to, poświęcone historyi, literaturze, sztukom pięknym, krytyce i filozofii, miało być redagowaném przez jednego pisarza, zamieszkałego na wsi, oddalonéj na 70 do 100 mil od główniejszych ognisk ruchu umysłowego; że współpracownicy tego pisarza jedni mieszkali w Petersburgu, drudzy w Warszawie, inni w Wilnie, albo w Kijowie, inni znów zagrzebani byli, równie jak i redaktor, kędyś po wiejskich dworach na szerokich obszarach Litwy, Ukrainy, Wołynia i Podola; że nie tylko nie sposób było osobiście porozumiewać się z nimi, ale i korrespondować nie łatwo,—nie dość bowiem, iż brakło wówczas telegrafów i dróg żelaznych, lecz i pospolita poczta wozowa, obok wszelkich swoich niedogodności, i tą się jeszcze odznaczała, iż ją kilkomilowa przestrzeń oddzielała od Gródka; że wreszcie Athenaeum drukować się musiało w Wilnie, po za oczyma redaktora, który przez pocztę załatwiał i korrektę, i wszelkie sprawy redakcyjne, i nieraz nader przykrych niespodzianek doznawał.

Zapewne, że Kraszewski musiał rozumieć należycie wszystkie wymienione przez nas trudności, a jednak nie zraził się niemi bynajmniéj i odważnie wziął się do wydawnictwa, które śmiało nazwać możemy pierwszém i jedynėm w swoim rodzaju; niezawodnie bowiem nigdzie i nigdy żadne podobne temu nie istniało w takich warunkach.

Początki były świetne, bo za Bugiem i Niemnem, przy dość trudnych wówczas stosunkach z Królewstwem kongressowém, wobec ożywiającego się ruchu umysłowego, którego potrzeb nie mogły zaspokoić ani lekkie Noworoczniki, ani za poważne i ocię żałe „Wizerunki naukowe“ ani „Tgygodnik Petersburski“, co wziętość swoję Kraszewskiemu zawdzięczając przeważnie, często mu bruździł i doskwierał haniebnie,—nowe czasopismo, o programmacie tak szerokim i zajmującym, było zjawiskiem zewsząd niemal pożądaném, a redaktor jego dość już był znanym i dość wziętym, mimo wszelkie hałasy i napaści bądź zawistnych, bądź uprzedzo-

nych, aby to, tak śmiałe i trudne, lecz pożyteczne przedsięwzięcie doprowadzić do skutku.

Ocenę szczegółową Athenaeum znajdą czytelnicy na inném miejscu, my zaś w ogólnych tylko rysach jego dzieje chcemy nakreślić. Kilkudziesięciu pisarzy, a w téj liczbie Bujnicki, ks. Chołoniewski, Daniłowicz, Drzewieccy, Felińska, Fisz, Grabowski, Groza, ks. Hołowiński, Jankowski (John of Dycalp), Korzeniowski, Maciejowski, ks. Moszyński, Przeździecki, Rzewuski, Syrokomla, Szczeniowski, Sztyrmer, Waleryan Wróblewski (znany późniéj pod nazwiskiem Koronowicza), i inni wzięli udział w tém wydawnictwie, które, walcząc z tysiącem przeszkód, jak moralnych, tak materyalnych, dzięki jedynie wytrwałości i energii Kraszewskiego, trzymało się lat jedenaście i w sześćdziesięciu sześciu swoich tomach zgromadziło dość spory zasób prac niemałéj wartości, a przez cały przeciąg swego istnienia znakomicie się przyczyniało do rozwoju życia umysłowego, z jednéj strony przygotowując czytelników, z drugiéj — kształcąc pisarzy, aby zczasem, jak ci, tak też i tamci, przez moralne i materyalne swoje zasoby wpłynęli na ożywienie się i wzrost pomyślny piśmiennictwa w Warszawie. Chcąc wszakże należycie ocenić zasługę Kraszewskiego w téj mierze, nie dość jest opierać się na tém jedynie, co się w Athenaeum znajduje; Athenaeum o tyle tu jest ważnem, o ile się stało pobudką do zawiązania się korrespondencyi literackiéj między Kraszewskim a licznymi jego kollaboratorami, korrespondencyi, którą, w takich rozmiarach i w taki sposób, taki tylko niestrudzony pracownik, taki miłośnik dobra powszechnego, udarowany tak potężną organizacyą umysłową, obok innych mnogich zatrudnień, zdolen był przez lat jedenaście prowadzić. Gdyby więc można było zebrać wszystkie te listy, których krocie z Gródka i Hubina rozbiegły się po całym kraju; gdyby tak, jak się przechowały pisywane do księdza Chołoniewskiego, Dycalpa, Pługa i Podwysockiego, i jak zapewne przechowywać się muszą te, które otrzymywał Karol Drzewiecki i hr. Alexander Przezdziecki, nie uległy zatracie pozostałe w papierach Grabowskiego, Rzewuskiego, ks. Hołowinskiego, Przecławskiego, Wróblewskiego, i wielu innych, a nadewszystko Syrokomli, który, o ile wiemy, posiadał ich podobno więcéj, niż kto-bądź z wymienionych wyżéj korrespondentów; i gdyby je wszystkie można było ogłosić z odnośnemi do nich odpowiedziami: wtedy dopiero w całéj pełni wyszłaby na jaw i dała się ocenić zasługa Kraszewskiego, jako pobudziciela i nawoływacza do pracy i organizatora jéj w pośród starszych i rówieśnych jemu pisarzy; jako opiekuna, przewodnika i mistrza młodszych, i w ogóle jako ducha, mniéj lub więcéj ożywiającego całe zbiorowe ciało inteligencyi ówczesnéj po za granicami królestwa, a przeznią oddziaływającego i na całą społeczność, może nierównie silniéj i skuteczniéj, niż przez organ swój literacki. Każdy bowiem z jego korrespondentów stawał się w swojém kółku propagatorem jego uczuć i myśli, i tam nawet, gdzie one zrazu oppozycyą wywoływały, powoli serca i umysły z niemi oswajał; a gdzie stanowczo, uporczywie i ze wstrętem je odtrącono, tam już samo ścieranie się zdań sprzecznych, sama zaciętość walki przynosiła wielki pożytek, budząc ogół z drzémki leniwéj, z odrętwienia apatycznego, i w tén sposób dopomagając do osiągnięcia celu, który Kraszewski w zawodzie swym pisarskim sobie założył, jak to między innemi i z listu jego do Dycalpa widzimy:

„Zarzuciłeś mi (pisał d. 20 Kwietnia 1841 roku), że się zbyt na drobne pisemka rozsypuję i trwonię co tam we mnie jest daru (jeśli jest); pozwól się wytłómaczyć. Mnie nie chodzi wcale *o siebie*, *o moje* pisma i t. d. Inny mam cel. Nie wierzę w nieśmiertelność literacką i nie wiele stoję o sławę; *mnie chodzi o to, aby pismami swemi, przykładem, krzykiem, biciem i t. d. poruszyć, rozruszać, zachęcić, aby otworzyć drogi drugim, rozrzucić kilka idei, błądzących mi po głowie. Oto mój cel, oto sława, któréj pragnę—sława pobudziciela.* Dla tego to ja nie wypracowuję tego, co piszę, ani dbam o przyszłość pism moich. Chodzi mi, abym zachęcił tylko, abym rozgrzał do pracy. Jednę drogę otworzywszy, rzucam się na drugą. Tak piszę, tak żyję i pragnę, aby kiedyś o mnie tylko to powiedziano, *iżem się przyłożył do obudzenia ruchu umysłowego za moich czasów*". A w innym znowuż liście, chwaląc się nakłonieniem do pracy literackiéj Wróblewskiego i Smokowskiego,— „Zobaczysz daléj, jakich-to ja wywołam pisarzy całe nowych, a wielkich, zda mi się, nadziei! Oto moja zasługa w literaturze. Mój Boże! kiedy mnie nie będzie, kiedy ja to mizerne życie moje pracy, kłopotów i poświęceń, nieuznane, nienagrodzone, skończę, niosąc z sobą do grobu moje bazgraniny; niechże mi choć tego nie odmówią, żem zachęcał, wzywał, i żem łajał, aby pisali i czytali. Powtarzam ci, to moja zasługa, którą wyżéj cenię od dzieł wszystkich".

Ale wróćmy do „Athenaeum": podjęte zra-

zu z wielkim zapałem i najlepszą otuchą, stopniowo co raz cięższém brzemieniém gniotło barki swego założyciela. Najprzedniejsi jego współpracownicy: Hołowiński, Grabowski i Rzewuski, głównie zaś dwaj ostatni, którzy snadź po to tylko udział w téj pracy wzięli, aby redaktorem owładnąć i tak się rządzić w jego czasopiśmie, jak się już wtedy w „Tygodniku Petersburskim" rządzili, spostrzegłszy, że się w swéj nadziei zawiedli, zaczęli zwolna obojętnieć ku niemu; nadto zaś dość już rychło, bo przy końcu 1841 r. wystąpienie Rzewuskiego z „Mieszaninami obyczajowemi", stało się pierwszą pobudką do uraz i niesnasek, które się zczasem zakończyły ostatecznem zerwaniem, po drugim zwłaszcza tomie owego dzieła i po fatalném skompromitowaniu się Grabowskiego przez list do Strutyńskiego, wykładający plan i cel projektowanego przez autora „Stanicy Hulajpolskiéj" dziennika, p. t. *Słowianin* (1843), ktory-to list czasopismo Poznańskie, *Rok*, ogłosiło z zabójczemi kommentarzami.

Kraszewski, po ukazaniu się „Mieszanin", dość pobłażliwie na nie się zapatrywał, nie zupełnie się piszac na surowe wyroki oburzonéj opinii publicznéj, któréj niesprawiedliwości sam na sobie doświadczył; ale téż nie za jedno i sam autora potępiał. „W *Mieszaninach* (pisał d. 3 Października 1841 r. do Johna of Dycalpa), są kwestye, które nie dadzą się rozbierać w druku, kwestye, które poruszać, korzystając z okoliczności czasowych, wiedząc, że nie mogą być refutowane, było niedelikatnie. Ja, znając osobiście i kochając Rzewuskiego, wiedząc, że to wszystko, co w *Mieszaninach* jest tak dziwném, jest wbrew przeciwném pospolitemu jego sposobowi widzenia, nie mogę się wydziwić, zkąd mu przyszło napisać takie rzeczy, które malują go dla nieznajomych w sposób niekorzystny. Z *Mieszanin* powstało zamieszanie, bo Przezdziecki napisał o nich artykuł w „Tygodniku"; ztąd gniewy, że się porwać śmiano na olbrzyma naszego, a domysły, że Grabowski stronę jego trzymać będzie, że między Przezdzieckim a Rzewuskim zajdzie, jeśli nie wojaczka, to przynajmniéj oziębienie i t. p. Ale ja jeszcze tych skutków nie widzę i nie wierzę, aby tak rozumny człowiek, jak Rzewuski, miał się gniewać za to, że ktoś inaczéj myśli od niego. W istocie Bejla jest trochę zarozumiałym o sobie, ale ma przyczynę, bo i nauka jest i zdolność wielka, a przyjaciele nabili mu uszy geniuszem, jak to zwyczajnie przyjaciele. Bejla też nie daje sobie powiedzieć, że cokolwiekbądź źle zrobił, lub tylko niedoskonale".

W następnym wszakże liście widzimy, że się Kraszewski w swojém zdaniu omylił, Grabowski bowiem rzeczywiście z obroną Rzewuskiego wystąpił. Przykre to na nim uczyniło wrażenie, z którego tak się Dycalpowi spowiadał:

„Zdziwiłem się tą obsolutną, prawie bez restrykcyi, pochwałą dzieła, którego rozbierać zupełnie w teraźniejszych okolicznościach niepodobna; ale w Grabowskim to było przewidziane. Grabowski jest *un homme de système quand même:* wszystko, co wchodzi w jego system, przyjmuje, co nie wchodzi absolutnie odrzuca. Wypadło więc z systematu „Mieszaniny" pochwalić, bo realnie, rozpatrzywszy się w zasadach Grabowskiego, nie podobna nie widzieć, że one dążyły do rezultatów takich, jakie przyjął za swoje w Bejle (Rzewuskim), śmielszym tylko od niego w posuwaniu się do ostatecznych wniosków. Ale z tém wszystkiém, gdy Rzewuski jest człekiem dowcipnym, zręcznym, miłym gadułą, sofistą niepospolitym, a razem zebrawszy, człekiem bez zasad i przekonań (żadnego nie ma własnego); Michał Grabowski, choć jednéj z nim myśli, najsumienniejszy, najpoczciwszy, najstalszy w swym raz powziętym systemacie (który ma za jedynie dobry). Ten—zręczny tylko sztukmistrz, drugi sumienny apostoł: jednemu o rehabilitacyą, illustracyą imienia, o rozgłos, a może i o wzniesienie się byle jakie chodzi,—drugi (zda mi się) goreje żądzą dobra powszechnego i zapałem szczerym ulepszenia swych braci. Mimo to wszystko, oczy mi się powoli otwierają; widzę, czegom nie chciał dotąd widzieć, że ja jestem oszukanym, i teraz pozornie ze mną hr. Rzewuski będąc niby dobrze, knuje przeciw mnie, chce mi szkodzić".

Owo knucie tajemne wkrótce się w jawną niechęć zmieniło, gdy Rzewuski, nie poprzestając na obronie Grabowskiego, zażądał jéj i od Kraszewskiego i odebrał odmowę.

„Ocukrowałem tę odmowę, jak mogłem i ozdobiłem, (pisał Kraszewski do Dycalpa) a jednak się pogniewał i grozi mi odstępstwem od „Athenæum!" Między chęcią utrzymania tego pisma na najlepszéj stopie, a potrzebą niekłócenia się z sumieniem mojém, wybór niewątpliwy. Cenię kollaboracyą Rzewuskiego i kompanii (bo jest kompania, która mnie zapewne z pryncypałem swoim jednocześnie opuści); ale czyliż podobna tak sprzedawać swoje współpracownictwo? Bo to już nie pierwszy raz i różne mi warunki podawano. Napisał wprzód hr. Rzewuski,

że pismo, którego będzie kollaboratorem, musi być wyrazem jego opinii; — zgoda, — nie daleki od jego zasad byłem i jestem, a mitygując je, przyjąłem dla pisma ducha religijno-moralnego. Teraz znowu chodzi o obronę książki, której dotknąwszy, można się zdepopularyzować na wieki, która nie trafia do mego przekonania. No, niechże się dzieje wola Boża! milczę i czekam. Jeśli opuszczą „Athenæum", znajdę do niego nowych niepoślednich współpracowników, i to pismo nie upadnie pewnie, a ci, co to uczynią, zesromocą się, bo wszyscy wiedzieć będą, za jaką cenę mi kollatoracyą przedawać chciano".

Zajście to załagodził nieco ksiądz Hołowiński, ale tylko pozornie, jak widzimy znów z listu Kraszewskiego do Dycalpa z d. 6 Grudnia 1841 roku, w którym pisał:

„A! Bóg z nim i z dumą jego, i ze wszystkiém co jego jest. Nie dla interesu, Bóg widzi, ale tylko dla prośby księdza Hołowińskiego, na list ostatni odpisałem grzecznie i słodko, choć list ten jest historyczną pamiątką niepojętego szału, niepojętej śmieszności".

W następnym roku spotkanie się na kontraktach, jak widzieliśmy wyżéj, było zimne, lecz grzeczne, a nawet, w powrocie swoim przez Żytomierz do Gródka, Kraszewski był w gościnie u Rzewuskiego. Stosunki wszakże, raz już oziębione, na nowo się rozgrzać nie mogły, i jak to Kraszewski dobrze przewidział, oziębienie to od Rzewuskiego przeniosło się i na innych. W tymże roku, w kilka tygodni po kontraktach Kijowskich, pisał do Podwysockiego:

„Nie wiem zkąd ksiądz Hołowiński wyczytał, ale donosi mi, jakoby Grabowski miał do mnie pretensyą, że ja go w literackim świecie chcę *zacierać*. *C'est le mot*. Czy nie *Studya* to *literackie* temu przyczyną? ale sam powiedz, moja *lekka* książeczka możeż co ująć autorowi *Literatury i krytyki!* Bardzo mnie boli, że teraz, jak widzę, straci zupełnie serce do mnie i ochłodnie. Pisałem już do niego kilka słów po powrocie, ale straciłem nadzieję być z nim kiedy prawdziwie dobrze: są rzeczy, które, rozłamane, skleić się nigdy nie dają.

Pod koniec tegoż roku ukazał się w „Tygodniku Petersburskim" artykuł z podpisem *Gerwazy Bomba*, niewątpliwie będący echem Rzewuskiego, artykuł, pełny zjadliwego dowcipu, a głównie wymierzony przeciwko Kraszewskiemu, który, o autorstwo jego posądzając Dycalpa, tak do niego pisał pod datą 10 Grudnia 1842 r.:

„Prześlicznie, przedowcipnie! a bardzo ci dziękuję za światło jakie najpierw i *par excellence* na mnie rzuciłeś. Com ci jednak był winien, żeś tak usilnie do mnie i najwyłączniej do mnie przylgnął? com ci był winien, że chciałeś mnie tak koniecznie poniżyć?—nie rozumiem. Przyznaję, że wiele słabych napisałem rzeczy, żem się rozproszył na zbytnią ilość pism i pisemek; ale, mój szanowny Gerwazy, nie wiesz, jaki twój artykuł skutek zrobi na czytelnikach, którzy w nim będą widzieli wiecej, niż włożyłeś; a może się sumiennie nie godziło tak pisać, *pour faire de l'esprit et de l'effet*. Dziwi mnie, jak to ja jeden i ja najwięcéj szkodzę literaturze! Chcecież mnie z niéj koniecznie wypchnąć? Nie spodziewam się; ale, na Boga! szeroko miejsca zostało i nikomu go nie zajmuję".

Okazało się, że autorem tego artykułu był Sztyrmer. Kraszewski, który go był z razu tak żywo wziął do serca i na *Tygodnik* się pogniewał, wkrótce w zażaleniu swojém ochłonął, i już w Kwietniu 1843 roku pisał do Podwysockiego:

„Co się tycze sprawy Bomby, chociaż ja sam z początku gniewałem się na niego, ale, wszystko rozważywszy, może ten głos z boku był potrzebny i niéma co się dąsać za trochę ostréj prawdy. Ja byłem najboleśniéj dotknięty, a najpierwszy przebaczam. Boję się, gdybyśmy pisać przestali, żeby *Tygodnik* nie upadł; robię więc chętnie ofiarę z miłości własnéj i pisać znowu zacznę. Upadek tego pisma byłby zawsze nieszczęściem, zwłaszcza, że na jego miejsce pewnieby nic nie stanęło nowego. Co się tycze projektu pisma peryodycznego w Kijowie, są to *des chateaux en Espagne* i nic więcéj. Z góry powiadam, że z tego nic być nie może, a gdyby było, jeśli Bejła stanie na czele, na chwilę podrażni ciekawość, ale nie obudzając żadnéj sympatyi, nie utrzyma pisma".

„Co do mnie, jeśli z tego powodu exystencya „Athenæum" się zachwieje, co bardzo być może, jeśli będę musiał zaprzestać je wydawać, i Glücksberg chwyci się nowego redaktora, a ja nie znajdę nakładcy; pewna rzecz, że się przeniosę z wydawaniem czegoś do Warszawy (ale nie osobą, tylko pismem się przeniosę), w nowém zaś piśmie, któregoby głową był Bejła i któreby jego opinie szerzyć miało, uczestniczyć nie mogę i nie będę".

Gdyż trzeba wiedzieć, że w tym czasie Rzewuski wydał drugi tom swych „Mieszanin obyczajowych", o którym Kraszewski w tymże liście tak się wyraził: „Drugi tom

jest dubeltowym pierwszym tylko. Wszelką sympatyą, jeśli jakiéj iskierka była we mnie dla niego, straciłem; nie można na podobne książki odpowiadać inaczéj, jak wzgardą.“

Co zaś do projektowanego czasopisma w Kijowie, prawdopodobnie było ono tém, o którém-to traktował ów nieszczęsny list Grabowskiego, co go w opinii publicznéj tak haniebnie poniżył i do zgonu nie był mu zapomnianym, tak, iż nawet taki utwór jak *Zamieć w stepie*, nie wrócił mu postradanéj sympatyi, a nawet przeszedł prawie niepostrzeżony.

Kraszewski wszakże pomiędzy nim a Bejłą upatrywał wielką różnicę, i gdy o tym ostatnim pisał do Podwysockiego, że jest człowiekiem chwili, bez przekonań głębokich, po którym wszystkiego się można spodziewać; o Grabowskim tak się odzywał po fatalnéj jego kompromitacyi: „Położenie Michała i znam, i umiem doskonale ocenić, i głęboko nad niém boleję; ale pozwól z całą szczerością i otwartością wypowiedzieć, jak o nim trzymam. Jam go zawsze pojmował, jako człowieka sumiennego nawet w złém, które czyni i myśli, ale przy tém wyobrażam go sobie, jako człowieka dość zarozumiałego, upartego i ściśnionego dobrowolnie w jedno kółko myśli, z którego wyjść nie może. Jego *list* ostatni był znowu wynikłością przyjętéj zasady katolicyzmu, który anti-nowatorskim i ultra-konserwatywnym wyobraził sobie, gdy tymczasem tak nie jest; bo katolicyzm nie potrzebuje do siebie ciągnąć i krajać wszystkiego pod swoję miarę. On jest tak wysoki, że nie ma niczego z czémby się porównania lękał, a jako absolutna prawda, wszelką prawdę w świecie politycznym, socyalnym, miał już, jako pierwiastki, w sobie. Wierzę w jego sumienie, ale wierzę i w upór. Dla tego, że jest sumiennym, jest nieprzełamanym. Cóż chcesz poradzić człowiekowi, co inaczéj od pigułek Morisona, Morisonem na łożu śmierci się karmi? Co chcesz, bym mu poradził? Położenie jego smutne i uroczyście nauczające; człowiek ten, jak ty powiadasz, rozgrzany, wprowadzony na drogę, podjudzony, opuszczony nareszcie, zginie, (mnie się zdaje), ale swoich krucic w kieszeni nie odda, i nie poda ręki tym, których opinie przywykł wojować.“

A w rok późniéj: „Miałem od dwóch lat artykuł, sądzący Grabowskiego surowo, sprawiedliwie, jak mi się widziało; teraz, gdy tak srodze ranny (w Roku Poznańskim 1844), i przybity przez opinią, nie chcę go drukować. Ty mówisz: bądźmy szczerzy. Jak tu np. być szczerym, gdy klęska jego nakazuje szanować nieszczęście i milczéć. Nie podzielam zdań Michała, ale umiem cenić sumienność i przekonanie szczere. Niech mu Bóg szczęści, już się pewno w życiu na jednéj drodze nie spotkamy.“

Owoż w skutek tych zajść i różności przekonań, Rzewuski już po pierwszym roku istnienia „Athenaeum,“ usunął się od kollaboracyi, Grabowski w parę lat późniéj, a po nim Sztyrmer i Przecławski; że zaś i Hołowiński, jakkolwiek Kraszewskiemu zawsze przyjazny, przeniósłszy się na posadę rektora Akademii duchownéj w Petersburgu (w końcu roku 1842) też do „Athenaeum“ przestał pisywać, w ten więc sposób cała koterya „Tygodnika Petursburskiego“ opuściła czasopismo Wileńskie, któremu nie tyle tém odstępstwem, co poprzedniém swém uczestnictwem, wyrządziła krzywdę niemałą, równie jak i jego redaktorowi; sam też Kraszewski o tém świadczy w liście do Podwysockiego z r. 1845: „Nie masz wyobrażenia, jak chwilowa styczność z Grabowskim i Bejłą skompromitowała mnie i jakie wywołała sądy w innych prowincyach, mniej znających nasze stosunki i sposób myślenia.“ Dla tego też, w miarę jak „Tygodnik Petersburski“ coraz bardziéj poddawał się wpływowi Bejły, Kraszewski coraz bardziéj usuwał się od niego, i w końcu, po skandalicznych owych przypiskach do powieści „Listopad“ zerwał z nim całkowicie. Nic to mu jednak nie pomogło, tyle tylko, że zyskał sobie jawnych już a zaciętych wrogów w *Tygodnikarzach*, którzy, z Bejłą na czele, srodze a nikczemnie mu dogryzali. Kraszewski z tych bezecnych napaści niby się cieszył: „Bejła wyzuchowaciał (pisał w połowie Listopada 1845 r. do Podwysockiego), włożył czapkę na bakier, i już się żadnego przekonania swego (ainsi nommé) nie wstydzi. Jestem mu nieskończenie wdzięczen, że mi publiczne dał świadectwo o różności zdań i myśli naszych. Tego mi było nawet potrzeba, bo wielu upierało się widzieć we mnie jego współwyznawcę. Prawdziwie nie pojmuję, co się stało z księdzem Ignacym (Hołowińskim)? i czy on dzieli uwielbienie, jakie w Petersburgu mają dla Bejły? Rzadko już pisujemy do siebie i krótko, a ja delikatnéj materyi nie zaczepiam. Prawda, mój Konstanty, że dziwną rzecz oni zrobili z katolicyzmem! i potém oburzają się, gdy za granicą pietystami, ultramontanami ich zową, gdy na nich — plwają. Jakże ma być inaczéj? kto niczego nie poszanuje, ten się spodziewać nie może, aby go poszanowano“.

Wystąpił też bez wahania do walki z Bejłą i Bejlizmem. „Wiesz zapewno (pisał w Lutym 1846 roku znowu do Podwysockiego), że z Bejłą wojujemy. Największą on nam krzywdę wyrządził, akkaparując „Tygodnik“ i czyniąc z niego organ jakiéjś wyłącznéj koteryi. Nie wiém, czy pamiętasz w „Listopadzie“ pobożność generała Kunickiego i wystawienie jéj za wzór dla osób świeckich. Pobożność ta, turecko-rabińska, oburzyła mię; protestowałem przeciwko niéj, że nie jest wcale katolicką. Na wezwanie moje, dobry ksiądz Choloniewski napisał obszerny artykuł z rozbiorem téj dewocyi generała Kunickiego i z potępieniem jéj. Odsyłam go do druku do Warszawy. Objawienie się przeciwko Rzewuskiemu takiego znakomitego człowieka, jak ks. Choloniewski, dowiedzie ludziom, jaka to jego nauka, jakie cele.“

Nie długo wszakże polemiki téj było; już we Wrześniu bowiem tegoż roku uskarżał się Kraszewski Podwysockiemu: „Walka jest nieuchronną; ale znużony, nią oplwany, i nie mając gdzie słowa powiedzieć, jestem w najsmutniejszém położeniu. Wystaw sobie, że hr. Bejła i jego wydawca zagrozili Bibliotece Warszawskiéj, jeśliby ogłaszała moje listy, zagrozili exystencyi „Athenaeum“ jeślibym drukował co na nich, a w „Tygodniku mowy niéma o bezstronności. Gdzież słowo wyrzec? gdzie przeciw takim argumentom odwołać się? Jedna opinia publiczna nadużycia takie skarcić może. Tymczasem ja, często spotwarzany, a zawsze niepojmowany, nie mogę się nawet na niéj oprzéć.“

Był wprawdzie jeden organ mianowicie „Gwiazda“ w Kijowie, pod redakcyą Benedykta Dołęgi (Jakóba Jurkiewicza), która po roku 1849 doświadczyła na sobie tego losu, jakim Bibliotece i Athenaeum zagrażano, wtedy jednak śmiało walczyła przeciw koteryi petersburskiéj, młode i świeże siły pod swój sztandar gromadząc, i bez wątpienia byłaby najchętniéj Kr. otwarła pole do zapasów z Rzewuskim; ale redaktor Athenaeum, jakkolwiek z dobrą wolą, sobie właściwą, obdarzył był to czasopismo swoją nowellą, za poważnym wszakże był na to, aby miał wziąć udział w polemice Gwiaździarzy, prowadzonéj takim sposobem, iż wyglądała raczéj niby bójka uliczna. Były tam najpoczciwsze intencye, były nawet piękne talenta (Fisz i Gryf—Marcinkowski) ale przy tém wielki brak dojrzałości, zbytni zapęd i ton nader nieprzyzwoity. To też Kraszewski nazywał ją skandalem, a gdy w roku 1848 przybył jéj w pomoc *Lewiatan*, w tymże tonie i duchu, scharakteryzował obie te publikacye temi słowy, *Gwiazda* zagasła, a *Lewiatan* zdechły.“ Bądź co bądź, przyznać jednak potrzeba że „Gwiazda“ ostatecznie koteryą „Tygodnika“ zdyskredytowała pośrednio szkodząc przy tém i Kraszewskiemu, którego imię, mimo zerwanie ostateczne, w r. 1845, w pamięci czytelników wiązało się ciągle z tém czasopismem, a który, po ustąpieniu z niego Bejły, niespodzianym swoim powrotem w r. 1849 do organu, tak haniebnie osławionego, jeszcze bardziéj popsuł swą sprawę.

Powrót ten zgorszył wielu, a nawet i Podwysockiego mocno zadziwił, co widzimy z tłómaczenia się Kraszewskiego przed tym ostatnim: „Mam w ręku listy, dowodzące, że wcale nie *proprio motu*, ale na wielkie prośby księdza Biskupa Koadjutora (Hołowińskiego) i samego wydawcy, *zgodziłem się ratować* „Tygodnik„ (c'est le mot). Poświęcić mu swoich przekonań ani na włos nie myślę i moje artykuły muszą go w ten sposób zawrócić na inną drogę, choć powolnie. Dałem do „Tygodnika“, oprócz ciągle posyłających się artykułów, całą powieść, któréj dążność musi za sobą solidarnie pociągnąć i wydawcę, i pismo. (Były to prześliczne owe „Dziwadła“). Jeśli jéj nie umieszczą, to kwita z kollaboracyi. Bo, jakem ci mówił, ja ze swego nie ustąpię, możesz być pewnym; ale, mając zręczność, mając nadzieję uczynienia z „Tygodnika“ nie to, czém jest, ale coś innego i lepszego, mógłżem, ofiarą bodaj własnéj miłości, nie pokusić się o to dla wszystkich. Sądź i potępiaj, jeśli możesz. Zresztą, jest to próba ostatnia; jeśli się ta nie uda, niech go licho porwie i po wszystkiém“.

Próba się nie udała, a same chęci i ofiara Kraszewskiego, nie uznane i nie zrozumiane przez ogół, ówczesnéj partyi postępowéj, z „Gwiazdą“ na czele, do któréj się przyłączył i „Pamiętnik naukowo-literacki“, w tym właśnie roku założony przez Romualda Podbereskiego, dały powód do jawnego już wystąpienia przeciwko niemu, i to w sposób niezmiernie energiczny, obliczony ni mniéj ni więcéj, jak na zadanie mu ciosu ostatniego. — Bohaterskiego tego czynu podjęła się pani Zofia z Brzozówki, z domu Chlopicka, *primo-voto* Desztrungowa, *secundo*—Klimańska, współpracowniczka „Pamiętnika *nieukowo*-literackiego“ (jak go przezwał Kraszewski), znana wówczas zaledwie z jednéj tylko dość jaskrawéj powiastki p. t. „Cudowny Kapelusz“, w czasopiśmie tém ogłoszonéj. Assumpt do paufletu swojego, pod tytułem: *Effekt Hubiańskiéj krytyki*, wziął z *Listów* Kraszewskiego do „Tygodnika“

z których *drugi* zawierał w sobie surowy sąd o „Roczniku literackim“ na rok 1849, i o jego wydawcy (Podbereskim). Ujmując się wrzekomo za cześć pisma i jego kierownika, autorka „Cudownego Kapelusza“, w którym przechadzając się śród społeczeństwa, najwięcéj stron ujemnych w oném upatrywała, najbardziéj Kraszewskiego potępia za to, czém sama zawiniła, a co mu najniesłuszniéj zarzuca. Jako *curiosum* w swoim rodzaju, przytaczamy parę wyjątków z téj oryginalnéj elukubracyi:

„W pismach Kraszewskiego naczęściéj odbija się strona ciemna, pokalana życia, a drwinki badziéj teraz, niż kiedykolwiek, powinny nam się wydać, jak brzydkie czyny człowieka; drwinki i dowcip są tylko falą mózgów, rozbijającą się o duszę i wpadającą w łożysko nicości. P. Kraszewski za często widzi ujemną stronę ludzi, widzi wszędzie gangrenę, nigdzie prawie zdrowia, serca i okwitości ducha. W powieściach jego szukam chciwie życia ludzkiego, ogrzanego uczuciem, namaszczonego świętością, ducha, co stanowi piękno estetyczne,—nigdzie, nigdzie go nie znalazłam. Pod jego piórem, odartém z puszku młodzieńczego, wylewają się myśli ujemne, myśli spekulanta, myśli jakby starego Francuza, nieprawego syna jakiegoś przeszłowiecznego encyklopedysty. W jego pismach prześwietla się sztuczna natura, jakaś mozaika, w któréj nie widzimy Bożego ducha..... nie mają one istoty, treści. Musiał p. Kraszewski żyć długo w jałowéj krainie ducha, na któréj tylko piołunkowy dowcip i palący oset porasta“.

Po kilkunastu stronicach krytyki w tym rodzaju, kończy nareszcie Pani Zofia filippikę swoję zwrotem następnym do Dolęgi:

„Mam jeszcze jedno do Pana pytanie; mój umysł kobiecy nie może téj zagadki rozwiązać: co rozumiesz szanowny *obywatelu* o *Liście 1-m* Pana Kraszewskiego, umieszczonym w „Tygodniku Petersburskim,“ którego summa jest, że Pan Wydawca „Tygodnika“ inny ma cel i dążenia, niż Pan Kraszewski; że tenże wydawca „Tygodnika“ nie przyjmuje do swego pisma, co z jego celem i dążeniem niezgodne; że dla tego właśnie p. Kraszewski przestał pisać do Tygodnika; że ani p. Kraszewski, ani p. wydawca „Tygodnika“ swego stanowiska i dzisiaj nie zmienił;—kto teraz pojmie, czemu p. Kraszewski wszedł znowu do milicyi tygodnikarskiéj? czemu od niéj (był) *odstał*? czemu droga, po któréj do niéj chodził, była zarosła jego własnemi słowy?—Ja tego pojąć nie mogę.“

Dolęga, który się nie zawahał w swojéj „Gwiaździe“ tego *Listu* ogłosić, ten Dolęga który w parę lat późniéj miał odwagę przyjąć współpracownictwo w „Dzienniku Warszawskim,“ założonym przez Rzewuskiego—i wszystkich swych przyjaciół do tegoż najgoręcéj namawiał, odpowiada na pytanie pani Zofii z Brzozówki, że wielu jego korrespondentów, a nawet i pan Karol Kaczkowski, *ten największy pokoju i harmonii towarzyskiéj przyjaciel*, źle przyjęło sprzymierzenie się Kraszewskiego z Tygodnikiem. „Ja skłonny jestem zawsze wierzyć w szlachetność pobudek i wierzyłbym najmocniéj, że Kraszewski jedynie przez litość nad nędzném położeniem „Tygodnika‘ zaprzągł się obecnie do jego taczki, gdyby mię nie zarzucano zewsząd wątpliwościami Teraz już moja wiara znacznie zachwianą została.“

A na to pani Zofia mu odpisuje, że „chociaż zawsze rada wierzyć w szlachetność choćby najenigmatyczniejszych pobudek w pogodzeniu się nieprzyjaciół, wątpi jednak, aby rozlokowanie się Kraszewskiego w „Tygodniku Petersburskim“, aby chorągiew do któréj swą rękę przyłożył, *miała barwę rodzinną* (?) bo *Taczka*, do któréj się przykuł, tylko truciznę rozwozi. W cuda wierzę i całą duszą, i dla tego zaprzężenie się Pana Kraszewskiego do *Tygodnikarskiéj taczki* uznam wtenczas za niepokalane, gdy albo umarłego wskrzesi, albo będzie miał odwagę odstąpić i wyznać, że wskrzeszać nie ma siły i władzy. Inaczéj już nie potrzeba pytania, jakiéj zasługi byłby ten, kto żółć dla Jezusa rad przez sztafetę dostawiać.“ (!).

Ciekawa ta korrespondencya w roku 1850 została przedrukowaną z „Gwiazdy“ w Wilnie u Zawadzkiego, prawdopodobnie kosztem i staraniem Podhoreskiego, któremu oprócz chęci odwetu, nie mało téż i oto chodziło, aby Kraszewskiego pognębić, jako wydawcę „Athenaeum“ stojącego na wstręcie „Pamiętnikowi naukowo-literackiemu,“ gdzie za przykładem pani Zofii, sam redaktor, i ktoś ukryty pod nazwiskiem *Alksnisa*, nie szczędzili mu najostrzejszych dogryzków.

Gwiaździarze téż nie zasypiali z swojéj strony. Zdawało im się, że Kraszewski rozgniewał się na Gryfa, a z nim i na całe stronnictwo, za naganę swoich uwag krytycznych o „Żydzie Tułaczu“, i że dla tego właśnie postanowił, już dogorywający pod ich ciosami, Tygodnik Petersburski ratować. „Gwiazda“, któréj istnienie, skutkiem zabiegów

koteryi Petersburskiéj, na czwartym jéj tomie ustało, w r. 1850 przerodzić się miała na „Gołębia“ i „Papugę europejską“ pod redakcyą Grzegorza Lubeckiego i Napoleona Klimańskiego, a pomiędzy materyałami do tych publikacyi zgromadzonemi znajdował się zapas niemały artykułów w tym że rodzaju, co list Zofii z Brzozówki; odkąd bowiem ona podniosła głos przeciwko Kraszewskiemu (pisał Dołęga do jednego z korrespondentów swoich) stał się on przedmiotem najsurowszéj krytyki i zwrócono się do badania, rozbierania i kommentowania całego niejako processu literackiego życia tego pisarza.“

A Kraszewski tymczasem tak się o tém wszystkiém odzywał, w jednym ze swych listów prywatnych: „Szczęść Boże *Gołębiowi* i *Papudze*, alebym pragnął, by te ptaszki nie daleko od krzyża odlatywały. Nauka Chrystusowa jest jak ta suknia dziana, którą, według podania nosił Jezus od dzieciństwa i która z nim rosła: nauka ta wystarczała zarówno małuczkim pierwszych wieków Chrześciaństwa i dorosłym pokoleniom późniejszym; najwznioślejsze umysły, po długich badaniach prawdy, musiały do niéj powrócić, bo po za nią jest poszukiwania prawdy, w niéj prawda. Ja, jako katolik i katolik w duszy (mówię nie o katolicyzmie ultramontańskim, ale poczciwym ojców naszych), jestem przekonany, iż im daléj odbiegniemy od téj nauki, tém daléj znajdziemy się od całéj naszéj przeszłości. Niechże oba te pisma będą natchnione duchem chrześciańskim, duchem miłości, braterstwa i zgody; niech pomną, że łżąc i szarpiąc swoich, że siejąc nienawiść, zbiorą czasu żniwa coś innego, nie błogosławieństwo Boże. Jedno im tylko daję pozwolenie i to zupełne: na mnie, o mnie i przeciwko mnie mogą pisać, co się im podoba,— *carte blanche*. Niech ja będę ofiarą, jeśli ofiary potrzeba, ale niech pomną, że kto szerzy nienawiść, niezgodę, kto pod pozorem żarliwości obnaża strony słabe i brudne charakteru narodowego, wytyka osoby, i wywołuje na nie przekleństwo, źle czyni. Nie wiem; może zbyt jestem pobłażliwym, ale mam przekonanie, że tą drogą szyderstwa i boju do niczego dojść nie można. Niech bojuje, kto ma siły, o zasady i myśli, ale niech nie chwyta się osób, bo i nie pora, i paskudnie. „Gwiazda“, ostatniemi czasy Podbereski, w opinii stracili; mam tysiące zręczności przekonywać się co dzień, że po chwilowéj ciekawości paszkwile te obudziły wstręt jakiś. Według mnie, popsuli najlepszą sprawę, przesadą dziecinną, gwałtownością i temi drożdżami, tym kwasem osobistości, którym podlano wszystko.“

Nad *kwasem* tym nie sam Kraszewski ubolewał. Już w roku 1842, po zamęcie, spowodowanym przez „Mieszaniny obyczajowe“ ludzie dobrej woli, którym zdawało się, że do pomyślnego rozwoju piśmiennictwa koniecznie jest potrzebną zgoda i braterstwo między jego uprawiaczami, starali się niesnaski te uciszać i łagodzić. Tak naprzykład z jednej strony hr. Alexander Przeździecki w 1844 spraszał literatów na zjazd (niedoszły) do Czarnego Ostrowia w celu nawrócenia Jarosza Bejły i pojednania go z Kraszewskim; a w roku 1846 Skibicki tego ostatniego do zgody z pierwszym chciał nakłonić. Tak znowu z drugiéj strony byli tacy, którzy przed rokiem 1849 próbowali, czyby Kraszewski nie mógł zreflektować stronnictwa „Gwiazdy“, żeby się powściągnęło w swych wycieczkach nieprzyzwoitych przeciw koryfeuszom „Tygodnika Petersburskiego“, inni zaś usiłowali pohamować gwiaździarzy w ich zapędach przeciw Kraszewskiemu i „Athenæum.“

Ale zabiegi te były daremne: Kraszewski, dowiedziawszy się o celu zjazdu Czarno-Ostrowskiego, postanowił od niego się uchylić; na propozycyą Skibickiego odpowiedział, że łatwiéj ogień z wodą, czy wodę z ogniem, niżli jego z Bajłą pogodzić; a o Gwiaździarzach tak odpisał w r. 1847 na list Wł. Ch.

„Dzięki ci, Panie, żeś z tak chlubném zaufaniem zwrócił się ku mnie, żądając, abym rękę przyłożył do wielkiego dzieła pojednania. Cóżbym nie dał, żeby tego dokonać było można! Nie ja waśni począłem, anim ich podżegał, i nikt lepiéj nie czuje nade mnie, ile one nam szkodzą. Na tę nieszczęsną „Gwiazdę,“ pomimo pozorów przeciwnych, umyślnie jéj nadanych, najmniejszego wpływu nie miałem, anim wiedział, co się w niéj drukować ma. Gdyby mój wpływ mógł się zdać na co, nie wahałbym się go użyć na ten cel z całym zapałem, jaki mi jeszcze pozostał dla sprawy literatury... Czemuż-to dobre chęci tak są dziś bezsilne?! Wszędzie rozprzężenie, nienawiść, nieufność, znużenie i ostygłość, lub bój bez celu i myśli. Jest bój, co żywi, jest bój, co zabija, a nasze literackie boje już przeszły w ostatni. Był czas, gdy życie dawała walka, ale czy on powróci? Żądałem i ja nieraz jéj w literaturze, bom był przekonany, że cisza—to śmierć, że ruch, chociażby był wojną,—to życie. Dziś, widząc, co się dzieje, poradzić nie umiem. Zdaje się, że jakieś prawo fatalne nad losami naszéj literatury cięży i gna ją ku jéj zgubie. Ostatek roz-

bitków na deskach okrętu roztrzaskanego nie zlepia desek, aby budować nowy statek, ale się niemi tłucze i zabija. O! gdyby w mojéj było mocy to zmienić! Czemże jest „Athenæum", od początku aż do dziś dnia zapoznane, jeśli nie tém ogniskiem, w któróm skupiać się miały i pojednać najsprzeczniejsze literatury naszéj żywioły. Ale ani tłómaczyć się z tego celu, ani go jaśniéj ukazywać nie mogłem, i nikt go téż, krzycząc na bezbarwność tego zbioru, dotąd nie wyczytał. Literaci petersburscy sami poniekąd nadużyciem siły, która im dawało monopolium ich publikacyi, byli powodem wielkim do rozżarzenia wojny. Nie chcę jednak w ten sposób bynajmniéj tłómaczyć „Gwiazdy", bo święte są słowa Pańskie, że cudze błędy usprawiedliwiać nas i do grzechu popychać nie powinny. Bądź pan pewien, że gdyby słaby wpływ mój mógł tu się na co przydać, całego-bym użył i użyję na odwrócenie „Gwiazdy" od niekatolickiego kierunku; ale czy mi się uda?—wątpię, po sto razy wątpię".

Wątpienie było słusznem, a rok 1849 dowiódł, czém się stał dla „Gwiazdy" Kraszewski, którego pozwolono w niej sponiewierać Pani Zofii z Brzozówki, wbrew temu, co 1848-go pisał na pochwałę jego w tejże publikacyi Karol Kaczkowski. Redaktor zaś tego czasopisma na wspomniane wyżéj zabiegi pojednawców odpowiedział długim szeregiem tak dziwacznych zarzutów i tak uwłaczające Kraszewskiemu warunki zgody podał, iż dalsze pertraktacye w tym względzie stały się zupełném niepodobieństwem.

Owóż w pośród takich-to stosunków literackich istniało „Athenæum", którego byt, jak mógł, podtrzymywał Kraszewski, o długotrwałości jego powątpiewać zacząwszy już przy końcu drugiego roku, i z każdym nowym przewidując blizki upadek. Wspomnieliśmy już o tém, co pisał do Dyczalpa o zatargu z Rzewuskim i ze stronnictwem Tygodnika Petersburskiego", 1842 roku; a jeszcze kilka cytat podamy. W Kwietniu 1843 r. uskarżał się temuż korespondentowi: Powiem ci, co mnie jeszcze nie mało trapi: to widok i przekonanie, że chwilowe sukcessa naszéj literatury znowu ustają, znowu pojętnieje publiczność i księgarze skarżą się, że nie wychodzą dobrze. Wprawdzie rzecz pół tylko wierzę temu, bo inaczéj mówić w swém położeniu nie mogą i nie pojinni; ale zawsze jest w tém i coś niecoś prawdy. Zimno mi się robi na myśl samą, że Bejla miał-by być prorokiem, gdy mówił, że to jest tylko śpiew łabędzi!—niech będzie przeklęty ze swojém proroctwem, gdyby się ziścić miało! On pierwszy tę myśl w nas wszczepił, a nieobliczone samą tą myślą zrobił szkody; bo przypuszczenie takie jest już w każdym z nas oziębiającém, doprowadzającém do rozpaczy. Jednakże nie tracę jeszcze nadziei, że się nasza literatura utrzyma jako tako i zwycięży wszystko, co jej wzrostowi staje na przeszkodzie: gdyby inaczéj było, dziś bym skruszył pióro".

W liście zaś do Podwysockiego, już nawet znacznie wcześniéj, bo w Styczniu 1842 roku, wskazywał ten symptomat złowrogi: „Czy uważasz — pisał do niego — jakie jest w naszych literatach (chwilowe zapewne) opuszczenie się? Grabowski nic nie pisze, Rzewuski tylko obiecuje, Hołowiński ani myśli, Jegomość Pan Konstanty także tylko nadzieję robi, a nic nie tworzy; ja tylko jeden, wierny swojemu przeznaczeniu, póki dyszę, póty piszę,—ale obojga podobno już nie długo".

Daléj znów w r. 1844 donosił temuż: „Czwarty rok dla „Athenæum" jest widocznie krytycznym: nikt artykułów nie przysyła, i zapewne, skończywszy tych sześć tomów, skończy i swoję exystencyą pismo nasze. *Requiescat in pace!* Jeżeli się w ciągu roku nie poprawi, będę musiał *fermer boutique*, z wielką zapewne wielu pociechą. Nie jest to moją intencyą wcale; owszem, projektowałem był na rok piąty drukować swoim kosztem u Zawadzkich i wziąć na siebie całą antrepryzę, gdyż w takim razie byłbym swobodniejszym i pismo regularniéj wychodzić-by mogło. Ale widzę, że to próżne marzenie. Straciłem ks. Chołoniewskiego, który jest chory i nie pisze; Hołowińskiego, który nie ma czasu; M. Grabowskiego, którego nie bardzo życzę sobie, bo się boję, aby mnie nie skompromitował; Rzewuskiego, z którym nie mam stosunków:—cóż więc zostaje? Ja i kilku początkujących, a dwóch może z Warszawy. Nie podobna się utrzymać daléj. Przewiduję to i oswajam się ze smutną myślą zakończenia. Te kilkadziesiąt tomów będą dowodem moich usiłowań. Daléj gdyby zeszło na moje tylko i moje pisanie, jabym wystarczyć nie mógł i toby nawet celowi memu nie odpowiedziało. Smutno, że u nas tak prędko każda się rzecz wyczerpać musi: dobre chęci, zgoda, zapał—wszystko!"

Podwysocki doradzał Kraszewskiemu na te kłopoty, aby się z wydawnictwem swojém przeniósł do Warszawy, lub do Krakowa, lecz ten mu odpowiedział: „Twój projekt co do „Athenæum" dobry, ale dla mnie nie nowy; bo co mi proponujesz, dawno

chciałem uczynić i próbowałem, lecz napróżno. Żaden księgarz warszawski, z powodu współzawodnictwa Biblioteki, podjąć się wydawnictwa nie chce, nadto zaś, co bardzo ważna, nie dadzą inaczéj pozwolenia na pismo peryodyczne, jak zamieszkałemu tam i to za wielkiém staraniem. Proponowano mi do Krakowa przenieść; ale tu granica staje na przeszkodzie wydawaniu i oddalenie. Co się tycze korzyści, jabym nawet wyrzekł się tych, jakie mam (a te są całe imaginacyjne, bo redakcya gotówką więcéj mnie kosztuje, niż przynosi), gdyby było podobieństwo co zrobić".

Dodajmy tu w nawiasie, że T. Glücksberg płacił Kraszewskiemu po 100 dukatów za sześć tomów „Athenæum"; a jakkolwiek współpracownicy tego pisma honoraryum wcale nie pobierali, to wszakże, nie licząc pracy redaktorskiéj i wydatków na listy i posyłki, artykuły samego redaktora, zamieszczane w tém czasopiśmie, dwakroć już więcéj były warte najpewniéj.

Mimo to wszakże, nie ustawał w poczciwéj pracy, lubo coraz mocniéj się przekonywał, że usiłowania jego były daremne, jak widzimy z listu do Podwysockiego pod datą 1845 r., który według nas ma znaczenie nie małéj wagi:

„Stan literatury jest tylko odbiciem stanu społecznego; próżno się więc na literaturę uskarżać. Powodów oziębłości, rozprzężenia, potrzeba szukać głębiéj. Działanie społeczeństwa i jego stanu na literaturę równe jest działaniu literatury na społeczeństwo. Takby być powinno, ale nie zawsze tak się dzieje; bo taka tylko literatura może skutecznie oddziaływać, która jest wyrazem swojego wieku, która w głąb' kwestyi żywotnych wchodzi. Tymczasem nasza wejść nigdzie nie może, i to nie nasza wina. Niech ci to wytłómaczy oziębłość ku niej publiczności i małe jéj znaczenie. Smutna prawda, ale prawda;—*dura lex sed lex*. Smutny twój list, kochany Konstanty, powtórzył mi to tylko, o czém ciągle myślę. Literatura u nas pada; Bejła cieszy się, wołając: zgadłem! Co do mnie, póki pracować będę mógł, póki przyłożyć się maluczko ku czemu dobremu potrafię, nie ustąpię z placu; reszta w woli Bożéj, a co się dzieje wolą Bożą, to dzieje się dobrze".

A toż samo, co tu w zakończeniu czytamy, pisał i w cztery lata późniéj:

„Jam sobie wziął za godło życia wytrwałość: już chyba sił nie stanie, żywota zabraknie w piersi i padnę na placu; to wówczas pogrzebiecie mnie z książką w jednéj ręce, z piórem w drugiéj i z zamarłém słowem na ustach".

Jakoż, nie ustając w poczciwéj pracy, a pragnąc, bądź co bądź, „Athenæum" utrzymać i wprowadzić na lepsze tory, już przy końcu 1844, tak o swych planach względem niego pisał do Podwysockiego.:

„Dzięki za rady twoje względem „Athenæum". Ja sam czułem i czuję potrzebę dokładnego zformulowania w tém piśmie opinii moich, dotąd mniéj wyraźnych; lecz okoliczności czysto materyalne stoją mi na zawadzie. Nie możesz sobie wyobrazić, ile na pozór nic nieznaczący p. Teofil Glücksberg wpływa na pismo i cięży mi! Na rok (da Bóg żyć) 1846—bo 45 już skontraktowany—chcę koniecznie zebrać kilka akcyi i wydawać sam pieniędźmi swemi i akcyonaryuszów. Każda akcya będzie na 300 rubli; będzie dawała prawo 1-o do bezpłatnego exemplarza, 2-o do procentu 6-go, i 3-o do dywidendy zysków. Wszystkich akcyi będzie dziesięć tylko. Ta summa dla tego potrzebna, aby nie kłopotać się o sprzedaż i nie spieszyć z nią, a przez to ceny exemplarzy nie zniżać. Ten mój projekt jeśli przyjdzie do skutku, „Athenæum", nie zależąc od nikogo, nabędzie wybitnego charakteru i zformułuje czego chce.— Naprzód: będzie katolickie, ale katolicyzm jego nie będzie ultramontanizmem, ani teorya absolutyzmu; będzie katolicyzmem prawym, przyjacielem postępu, i w stosunku do filozofii spokojnym, bo pewnym siebie. Przekonaniem jest mojém, że filozofia niezadługo spoi się z katolicyzmem, to jest: *przyjdzie do rezultatów jego, z negacyi wejdzie w twierdzenie*. Ani się więc nam bać filozofii, ani z nią walczyć, ale raczéj uważać ją za naukę, i przyspieszać, jeśli można, bieg do końca, do dna negacyi. Filozofia, jako nauka, jest cudnie piękną; jako rezultat, daje fałsz dotąd, ale to są tylko momenta filozofii, nie zaś jéj ostatnie słowo. 2-o Co do teoryi socyalnéj, „Athenæum" powie tyle, żeby je zrozumiano, że chce ulepszeń dla ludu, chce wyzwolenia jego i sprawiedliwości. 3-o Co do języka, ten szanując i piastując, jako najdroższą puściznę, etc. etc. 4-o Co do innych punktów, sam wyrozumiesz łatwo stanowisko moje i pisma".

„Będąc oparte na sobie tylko, „Athenæum" będzie mogło opłacać artykuły i wybierać je stosownie do swéj opinii, lub umieszczając jéj przeciwne, otwarcie się z niemi rozprawić i krytykę obok położyć.— Jeżeli nie uda mi się (zebrać akcyi), to „Athenæum" po staremu wlec się będzie".

Nie udało mu się, niestety! W r. 1846 tak się skarżył Podwysockiemu:

„Człowiekowi siły odpadają, głowa się zawraca i ochota ginie do pracy. Od kilku miesięcy siedzę z założonemi rękoma. Chciałem uwolnić się od Glücksberga i sam wydawać Atheneum. Na to potrzeba mi było kilkaset dukatów pożyczyć cząstkowo, lecz u nas w kraju, u najbogatszych ludzi, po sto czerwonnych złotych na ten cel nie znalazłem! Wszyscy mi odmówili! Zostaję więc we władzy i pod cenzurą Glücksberga, który mi redakcyjne moje zamiary łamie i wywraca. Jest to najsmutniejsze w świecie położenie! Żeby też u nas, w pięciu guberniach bogatych, pięciu ludzi po sto dukatów pożyczyć (bo daru nie potrzebuję) na taki cel użyteczny nie mogło! To zgroza i obrzydliwość! Ale dajmy temu pokój. Skibicki podjął mi się był o to starać, lecz ani słowa o tém nie odbieram. Tak mój drogi Kostanty! bieda i głupstwo! Ja tymczasem jeszcze wytrwale swoje robię i pracuję; ale w duszy już energii i téj wiary, z jaką dawniej pracowałem, czuję, że braknie. Publiczność podzielona na tysiąc stronnictw, żadnéj jedności, żadnéj zgody moralnéj w umysłach, serca nie biją na jedno, każdy szuka kogoby obluzgał i obrzydził, a najdziwniejsze teorye nowe, jak na drożdżach, rosną na młodych głowach nowego pokolenia. Nie jestem nieprzyjacielem postępu; ale gdy on nie opiera się na miłości bliźniego i na chrześciańskiém uczuciu przebaczenia i miłosierdzia, nie rozumiem go; gdy wojuje passyą i przekleństwem—odpycham".

Przy końcu wszakże roku 1847 wstąpiła weń lepsza otucha: wznowiwszy projekt wydawania Atheneum przez akcye, znalazł pięciu akcyonaryuszów i gotów już był przenieść na własne ryzyko wydawnictwo Atheneum do Zawadzkiego, ale ten, zagaiwszy z razu układy, zamilkł później zupełnie i Kraszewski musiał pozostać na łasce i nie łasce T. Glücksberga. I Glücksberg wszakże, zawarłszy umowę na piśmie, zerwał ją zkońcem roku 1848, umyśliwszy wydawać coś nowego („Gwiazdę" i „Pamiętnik naukowo-literacki"). „Z oburzeniem więc, kosztem składki, jaka się już zrobiła, (donosił Kraszewski Podwysockiemu) *poczynam bez prenumeratorów wydawać.* Zmiłuj się wynajdź ich choć kilku, i ratuj mnie, i ty, i kto łaskaw,—odpowiedzialność strat wszystkich na mojej kieszeni. Zrób to, jak umiesz, po przyjacielsku. Tom pierwszy już się drukuje. Zaręczam, że nigdy jeszcze Atheneum nie było tém, czem będzie. Wszystko, co piszę, w niém się drukować będzie, i bodajbym miał sam tylko pracować, nic lichego nie dopuszczę, a mam zapasy rzeczy dobrych zupełnie, cudzych, (moje są tylko *pis aller* w mojém przekonaniu). Mój Konstanty! zrób jak umiesz, kiedy chcesz, i pomóż, jeśli możesz".

Na nieszczęście, nic nie pomogły ani moralne, ani materyalne wysiłki. Mimo tak cennych rzeczy, jak „Dzieje Litwy za Witolda", które Kraszewski za najlepszą z prac swych historycznych uważał, jak jegoż powieść „Pan i Szewc", jak „Pamiętniki" Józefa Drzewieckiego; „Wspomnienia z pobytu w Berezowie" Ewy Felińskiéj, „Przegląd dziejów malarstwa" Kazimierza Komornickiego, i kilka innych; zamierające wydawnictwo ożywić się nie mogło, przedstawiając się tylko jako szereg książek zbiorowych, nie dających dokładnego pojęcia o ruchu umysłowym współczesnym, nie poruszających kwestyi żywotnych, a więc i nie odpowiadających duchowym potrzebom społeczeństwa, które, jak to sam Kraszewski wypowiedział już był przed kilku laty, „nie znajdując w niém dobréj karmi, opuściło je ostatecznie". Inaczéj być nie mogło; *dura lex, set lex;* a zdumiewać się trzeba, że wśród takich okoliczności, przy tak ciężkich warunkach, Kraszewski przez jedenaście lat zdołał utrzymywać to czasopismo, które w najświetniejszym okresie swoim nie miało więcéj nad dwiestu kilkudziesięciu prenumeratorów, u schyłku zaś i połowy tego nie dochodziło.

Zresztą i to jeszcze trzeba wziąć na uwagę, że gdy do roku 1849 było ono jedynym organem literackim obszerniejszych rozmiarów w Zachodnich guberniach Cesarstwa; to już w roku rzeczonym wystąpił z niém do współzawodnictwa „Pamiętnik naukowo-literacki", nie ciekawy sam w sobie, lecz, jako *nowe sitko,* ponętny; powtóre, że Rzewuski, który, pomimo wszystko, co przeciwko niemu świadczyło, miał jednak na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w pewnych kołach dosyć sympatyi, a był tak zręcznym, że nie tylko Warszawskich literatów, (między nimi zaś Bartoszewicza i Wilkońskiego), lecz nawet najzawziętszych swych wrogów ze stronnictwa „Gwiazdy" umiał zniewolić, Rzewuski powiadamy, założywszy „Dziennik Warszawski" i pobudziwszy do współzawodnictwa „Gazetę Warszawską", obu tym czasopismom zarazem śród dawniejszych swoich spółziomków powodzenie zapewnił, zjednawszy im prenumeratorów dość licznych.

Wszystko się więc na to złożyło, aby lata 1849, 50 i 51, a szczególniéj ostatni, stały się dla redaktora Athenaeum najtrudniej-

szemi; to też, zaniechawszy próżnych wysilków, postanowił w końcu je zwinąć, a natomiast całą swą działalność publicystyczną przenieść do Gazety Warszawskiéj, z któréj wydawcą zabrał bliższe stosunki, podczas bytności swéj w Warszawie 1851 roku, i wszystkich swych dawniejszych współpracowników ku niemu zwracał.

Ostatni tom Athenæum dopiero w Marcu 1852 roku wyszedł z cenzury, a zaledwie przy końcu Kwietnia w ręce czytelników się dostał.

Na wstępie znajdujemy tutaj *Zamknięcie*, w którem redaktor, żegnając się z czytelnikami, kreśli pobieżnie cel i ogólny charakter swojego wydawnictwa, oraz korzyści, jakie ono przyniosło, z pośród których za największą uważa to, że „wywiodło na pole pisarskie wielu a wielu ludzi, co dziś są jego chlubą lub nadzieją, albo byli ozdobą“. A przyznając, że pismo, które żyć nie może o własnych siłach, już żyć nie potrzebuje, i przyjmując winę tego na siebie; ufa jednak, że „sąd, jaki wyrzecze przyszłość, będzie zapewne oparty na położeniu naszém zupełnie excentryczném, na osamotnieniu, na pozbawieniu pomocniczych środków, i weźmie w rachubę chęci obok możności: przypomnimy tu tylko, żeśmy redagowali zbiór ten o siedmdziesiąt mil od miejsca, w któréni się drukował, sami zastępując redakcyą, sekretarza, kolloboratorów często, a na ostatku i nakładcę“.

Rospisaliśmy się nieco obszerniéj o dziejach Athenæum, pomijając bowiem jego wartość wewnętrzną, samo już założenie i utrzymanie tego pisma przez ciąg lat jedenastu, wśród okoliczności tak nieprzyjaznych, słusznie policzyć trzeba Kraszewskiemu za jednę z najprzedniéjszych i największych zasług w literackim jego zawodzie. Obecnie wstecz się cofnąć musimy; bo zająwszy się historyją Athenæum i przerwać jéj nie mogąc, wybiegliśmy po za okres życia Kraszewskiego Gródecki, o którym jeszcze dosyć mamy do powiedzenia.

Lubo, jakeśmy wyżéj już wspomnieli, były to czasy, zwłaszcza począwszy od roku 1844, bardzo ciężkie dla Kraszewskiego, pełne trosk, zmartwień i kłopotów najrozmaitszych; lubo i gospodarstwo, i sprawy majątkowe często go odrywały od pióra; lubo i na zdrowiu często zapadał, a wskutek rozdrażnienia nerwowego, tak się stał wrażliwym na burzę i na grzmoty i tak niewytrzymałym na upały, iż, jak się sam przyznawał w liście do Choloniewskiego, przez całe lato do żadnego prawie zajęcia nie czuł się zdolnym: pomimo to jednakże, oprócz redagowania Athenæum, prowadzenia z jego przyczyny tak rozległéj korrespondencyi, iż był czas, (w r. 1842) gdy zamyślał przyjąć sekretarza wyłącznie dla niéj, w Gródku Kraszewski wykonał, lub rozpoczął, cały szereg prac rozmaitych, o których choć pokrótce wspomnieć wypada.

Wprawdzie wykaz tych prac dokładny znajdą czytelnicy w dziale bibliografii; ale że żadna z nich nie ukazała się w druku tegoż roku, w którym wyszła z pod pióra, cennemi więc zapewne będą wskazówki, jakieśmy o niektórych przynajmniéj, w listach Kraszewskiego znaleźli.

Najpierw tedy w roku 1840 spotykamy „Historyą o bladej dziewczynie z pod Ostréj Bramy“, o któréj późniéj pisał do Podwysockiego: „zgadłeś, że w „Wędrówkach“ 1840 r. było dokończenie tego, ale ja znacznie przerobiłem tę powieść *(Z życia sieroty)*, jak widzisz sam. Daléj „Kronikę Stańczykową“, oraz „Ostatnią z Książąt Słuckich“, powieści historyczne, które bez wątpienia powstać musiały z materyałów, nagromadzonych i badanych dla „Historyi miasta Wilna“„ ukończonéj ledwie w roku następnym ku jesieni.

Jakkolwiek bowiem jeszcze w Lutym 1841 roku chwalił się Kraszewski Dycalpowi, że już przepisuje tom III i IV tego dzieła, wszelakoż musiała to być właściwie ostateczna jego redakcya; bo znowu w połowie Października pisał do tegoż: „Ukończyłem swoję przenudną „Historyą Wilna“, którą płótnem Penelopy nazwać-by można, tyle razy tkana i pruta była, i przerabiana. Pozbyłem się jéj nie bez kłopotu, a teraz za nią ludzie krzyczą na mnie. Nie daléj jak kilka dni temu miałem wydarzenie szczególne z tego powodu, którego jednak opisywać nie myślę. Dość, żem wszedł na zgromadzenie jedno, gdzie ważna w duchowieństwie naszem figura (podobno ks. Ozarowski) tylko co na mnie piorunowała. Wyobraź sobie pomieszanie wszystkich, i moje, i jego, gdym mu imienin winszował. Znalazł się usłużny, który mi poszepnął na ucho, co tu przed chwilą na mnie mówiono. Śmiałem się w duchu serdecznie, poglądając po sturbowanych fizyognomiach, dając do zrozumienia, że wiem, jak o mnie sądzili surowo i niesprawiedliwie. Dobry humor mnie nie opuścił, a owa figura jest w téj chwili zapewne trochę nieukontentowana ze swego poufałego wynurzania się przed licznem zgromadzeniem. Takie-to przyjemności spotykają po świecie piszących! ale cóż? my się śmiejemy tylko po cichu i idziemy daléj, kiedy sumienie nie nie wyrzuca, ażeby się

prawdę zfalszowalo, dogadzając komu, lub się dopuściło szalbierstwa w dowodzeniu rzeczy niebywałych i nadawaniu charakteru innego wypadkom, niż miały". „Zapłacono mi (w innym liście znów się uskarża) niegodnemi podejrzeniami i potwarzami, gdy ja sumiennie pisałem, jak czułem i widziałem przeszłość".

W tymże roku (t. j. 1841) spotykamy raz jeszcze wzmiankę już o przepisującej się *Księżniczce Słuckiéj*, którą sam autor tak osądza: „Braknie jej wykończenia; ja ją cenię bardziéj jako historyą, niż jako powieść; bo część historyczna jest ściśle historyczną, i dla tego-to nic nie dodano, aby upiększyć, zaokrąglić, ozdobić, lub tak jak nie".

I znowu tegoż roku jeszcze w Lutym napomyka Dycalpowi o swéj powieści, noszącéj tytuł *Poleszanka*, którą niewątpliwie musiała być „Ulana"; jest więc ona pierwszym utworem Kraszewskiego z życia ludu; jakkolwiek bowiem ukazała się dopiéro w roku 1843, jednocześnie z „Latarnią Czarnoksiężką", w któréj spotykamy historyą „Sawki", ta wszakże późniéj napisaną została.

W Grudniu zaś donosi temuż korrespondentowi: „Mój „Mindows" cały już z mego macierzyńskiego łona wyszedł, i—po akuszersku mówiąc—odcięty. Stało się! Dziecię tak było potwornie wielkie, żem ledwie je urodził. Jest to, wedle mnie, com najlepszego zrobił w życiu, i potém mówię już *nunc dimitte*, bo na tém koniec, bo więcéj po mnie (lepszego) nie można się spodziewać.— Ale stój, panie Kraszewski! osądzą cię. Ach! ciągnąłem je z wnętrzności moich, z serca mojego... gdyby, krwią pisząc, lepiej się pisało, pisałbym krwią moją. A jeśli nie udało się, nie wina chęci,—wina talentu, którego niéma, a i krwią go nie zastąpić".

Wiemy jednak, że po odczytaniu utworu tego w miesiąc potém na kontraktach w Kijowie, gdzie mu poczyniono różne uwagi, zaprowadził w nim pewne zmiany, o których tak pisał do Podwysockiego: „poprawiłem *Mindowsa* w kilku miejscach: śmierć Matki zrobiłem trochę cudowniejszą; niektóre rozmowy poskracałem, a scenę zabójstwa Sudymonta, ojca Marti, odmieniłem znacznie. Zresztą mało co się odmieni. Przepisywanie idzie powolnie, ale jakoś idzie".— Poprzednio zaś podobnież przerobił „Witolorandę" do drugiego wydania, w skutek recenzyi Grabowskiego, któremu tak się zwierzał z tego zamiaru: „Koniec, jak to wszyscy spostrzegli zgodnie, jest słabszy od początku, być może, że go znacznie przerobię, tak jednak, że tylko w exekucyi będą różnice i dodatki; bo co do treści, przez jakąś niepojętą słabość ojcowską, zmienić jéj nie potrafię (*).

W tymże liście do Grabowskiego napotykamy wskazówkę, że na jego żądanie napisał część piątego tomu „Stanicy Hulajpolskiéj," o czém i w liście do Dycalpa wspomina, odpowiadając mu we Wrześniu na prośby natarczywe o drugi rozdział „Powieści składanéj" do któréj jeszcze w Maju został zaproszonym przez niego. „Kilka razy (powiada) porywałem się kontynuować pańską powieść, ale napróżno; to mi się tu zdarzyło, co z Edwarda Tarszy „Stanicą," któréj tomu V-go tylko parę rozdziałów niewiele wartych, rok siedząc, wyklepałem (**). Jednakże próbować jeszcze będę, bo mam to na sercu, aby koniecznie dokazać. Cóż kiedy zawsze mój dalszy ciąg wydaje mi się słabszym od początku, nie mogę trafić na wenę. Wprawdzie i z własnemi robotami nie jestem temi czasy szczęśliwszy; więcéj ich drę i palę, niż zostawuję po napisaniu."

Jakoż istotnie dość opornie szło wspólni-

(*) Co do poprawek, powinniśmy zaznaczyć, że przy całéj łatwości pióra, z pod którego płynęły tak obficie coraz nowe utwory, Kraszewski nie jeden z nich poprawiał i przerabiał starannie, a do rzędu takich zaliczyć trzeba i fantazyą jego poetyczną p. t. *Szatan i Kobieta*, którą napisał był jeszcze w Dołhem albo w Horodcu, między 1834 a 1835 rokiem, a ledwie w r. 1841 poprawioną ogłosił. Utwór więc ten słusznie zaliczyć można do drugiego dziesięciolecia działalności jego literackiéj, który był najobfitszy w poezyą. *(Przyp. autora).*

(**) O téj robocie Kraszewskiego, o któréj nikt dotychczas pono nie wiedział, znajdujemy jeszcze taką wiadomość w liście Grabowskiego do Rzewuskiego, udzielonym nam przez p. Władysława Górskiego: „Muszę opowiedzieć historyą téj kompozycyi: wróciwszy z Warszawy na Ukrainę, zacząłem dowiadywać się o tradycyach miejscowych (bo z dzieciństwa nic mi nie pozostało, zacząwszy od 8-go roku życia wojażować od szkoły do szkoły). Rozpowiadano mi o życiu hulackiém wojskowych polskich, kwaterujących na téj ostatniéj krawędzi Rzeczypospolitéj. Uderzyło to moję imaginacyą. Słyszałem także szczęty pieśni miłosnych, złożonych widocznie przez tych ichmościów. Podało to mi myśl napisać zbiór takich pieśni, w którychby można przygody takiego życia zamknąć: w istocie napisałem, a nawet ogłosiłem kilka pod nazwą *Melodyi Ukraińskich* (Moora uznawałem wtedy za arcy-geniusz). Miałem wszakże tyle sensu, że niezabawem zraziłem się do moich wierszy. Spróbowałem dawną myśl oddać w romansie; napisałem kilka rozdziałów bez planu na dalszy ciąg i nazwałem to *Stanicą Hulajpolską*. Sam tytuł głupi, bo *stanic* nie było w Polsce. Miało to znaczyć *miejsce kwaterunku chorągwi*, lub coś podobnego. Nie dziwię się, że zagadkowy tytuł wytłómaczyli sobie we Lwowie *Dom zajezdny w Hulajpolu*. Kilka napisanych rozdziałów pokazałem przyjacielowi, któremu się nie podobały, dałem więc im pokój. Wyjechałem potém

kom to przedsięwzięcie, bo ledwie w r. 1843 ukończoném zostało, w trakcie zaś tego, znów na propozycyą Dycalpa, przystał Kraszewski na wspólkowe opracowywanie *Typów Litewskich*, do których, oprócz artykułów, miał mu i rysunków dostarczać. „Ażeby ci dowieść mego współczucia dla téj publikacyi, (pisał do niego w Maju 1842 r.) wypiszę ci tu niektóre typy, jakie mi się zdają koniecznie potrzebne do tego zbioru: *panowie, pólpankowie, chorzy na pana*, dzierżawca, szlachcic zagrodowy, szyper, *doktor*, ksiądz, artysta (malarze, muzycy i—organiści!!!) ekonom, panna respektowa, akademik, sędzia, *faktor, dorożkaż, processowicz, dorobkiewicz*, kancelista, Żmujdzin, *poeta starego zakonu*, poeta romantyczny, nauczyciel domowy, guwernantka, kobiety: literatki, gosposie, matki, kochanki, *stare panny*, gastrolatrzy, kawaler do wzięcia za pieniądze, stary birbant i młody birbant, *łgarz*, chodzi w spodnicy, *amator muzyki*, cukruwarnicy, rezydent, (dać go Chodźce), pieczeniarze, księgożerca, myśliwy, sejmikowicz, szuler, od komina do komina, stary kawaler, kuzynkowie, amatorowie medycyny, rozbiorowy majątek i jego mieszkańce, pińska szlachta, kabaliści, winiarze, żebracy, wojskowi, ciotka powiatowa i wuj powiatowy, exystencye zagadkowe, figlarz i t. d. i t. d.

Typy, wydrukowane tu kursywą, brał Kraszewski na siebie, i w Październiku tegoż roku dostarczył Dycalpowi „Ekonoma" i „Starą pannę" z rysunkami, piórem wykonanemi, a w następnym „Chłopka Litewskiego". Wydawnictwo to wszakże nie mogło przyjść jakoś do skutku; Kraszewski więc, który oprócz powyżéj wymienionych jeszcze i kilka innych typów opisał, niektóre z nich, jak *Dorobkiewicz, Chory na pana, Faktor*, i t. p. wydał w Obrazach z życia i podróży—inne w książce osobnéj p. t. „Typy i charaktery" (1854 r.). Dycalp zaś dopiero w lat kilkanaście potém zużytkował swój pomysł, dorobiwszy, na żądanie Konstantego Tyszkiewicza z Łohojska, text do typów rysunkowych Bartelsa. Lecz i ta praca aż dotychczas nie wyszła na świat: rękopis z rysunkami znajduje się dziś w ręku córki autora, mieszkającéj w Warszawie.

Typy te wszelako były tylko zabawką dla Kraszewskiego, który w tym roku stokroć ważniejszych prac dokonał. Najpierwéj dowiadujemy się z korrespondencyi z Podwysockim o rozpoczętéj trzeciéj części Anafielas, o któréj w ten się sposób wyrażał: „Witold się marzy i pisze, (było to wkrótce po przerobieniu i oddaniu do druku „Mindowsa", nabytego za 100 dukatów przez Zawadzkiego. O! Witold!... on mnie przygniecie! Jeszcze to nieszczęcie, że wpadnę na te same dzieje, które pierwszy stwórzyciel nasz, Adam, opiewał!... Ale kto wypłynął na środek morza, nie ma się co oglądać na brzegi."

Następnie, w połowie Sierpnia, dotknięty srogim ciosem, przez śmierć Urbanowskiego, skłopotany rozlicznemi interesami, przygnębiony, zbolały, spowiada się znowu Podwysockiemu: „Wśród téj burzy, zatrudnień, kłopotów, cała pociecha książka i pióro, gwałtowne oderwanie się pracą od świata. Co innemu byłoby niepodobném może, dla mnie stanowi jakiś rodzaj upojenia,—jest to mój trunek, którym się na frasunek upajam. Uwierzysz lub nie, ale cztery tomy powieści w tych gorączkowych chwilach napisałem, — tytuł: *Latarnia Czarnoksięzka*. Są to obrazy naszych czasów. Znać w sposobie pisania moje położenie, bo to wszystko rzucane na papiér szybko i bez wykończenia,—czuję, czuję, że lepiéj wykończywszy, rzeczby zyskała, ale nie potrafię."

W Listopadzie zaś, donosząc Podwysockiemu o wyjściu „Obrazów z życia i podróży," drugiéj edycyi „Witoloraudy" i „Poezyi" oraz o wysłaniu do druku „Mindowsa" „Powiastek i obrazków historycznych" „Ułany", „Latarni Czarnoksięzkiéj" i o przygotowaniu dwóch tomów „Studyów literackich"— „pytasz mnie (powiada) skąd ja to biorę?... a jednak, klnę ci się honorem, że więcéj

---

znów z Ukrainy; wróciłem znowu, lecz przez dziewięć lat nie zaziérałem do „Stanicy". Powodzenie" Koliszczyzny" sprawiło, żem się znowu wziął do niéj, i właśnie w tym czasie zacząłem zbierać dokładniejsze wiadomości o Ukrainie z końca przeszłego wieku; lecz że tymczasem pisałem, nieraz więc napisałem coś takiego, jak raz w wigiłą dnia, kiedym się dowiedział, że to nieprawda. *Są więc w Stanicy nie tylko fałsze historyczne, ale i obyczajowe.* Nie jest to owoc wiadomości o Ukrainie, nie; ten romans był dla mnie środkiem do nabycia wiadomości. Weszły weń prawdziwe szczegóły, lecz w wielu miejscach, gdzie imaginacyą chciałem zgadywać, imaginacya uwiodła mnie bezczelnie. Teraz wiem w większéj części, gdzie zwiodła, ale już tak zostanie; bo jeżeli to dzieło, mimo wszelkich wad, okaże zalety, naprzykład fantazyi i czucia, to da tém samém poped romansopisarstwu Polskiemu. Sława więc Tarszy zgaśnie, lecz zasługa zostanie, a tego jedynie pożądam. Ponieważ historyą mojéj *Stanicy* napisałem, muszę dodać, że przeszłego (1840) roku, całkiem będac niezdolnym ją skończyć, udałem się do Kraszewskiego, i on poczciwy, przy wszystkich swoich robotach, nie odmówił mi podać ręki. *Napisał mi parę rozdziałów, ale nasze dwa sposoby tak odmienne, że niepodobno było zostawić, musiałem całkiem przerobić; jemu wszakże zawsze winienem, żem stanął tuż tuż u brzegu."*

Przyp. autora.

czasu tracę na rysowaniu, malowaniu, przepisywaniu nowych nut i t. p., na czytaniu, myśleniu, niż na pisaniu. Tylko kiedy siądę pisać, to piszę nieustannie, ciągle, nieodrywanie; przyczepiam się jak pijawka do papieru i pędzę do końca; aż spieszywszy się mocno, powoli już i swobodnie próżnuję, chodzę i dumam“.

W r. 1843 wycieczka do Odessy, któraśmy już wspominali, a z której drogocenna pamiątka, księga notat i szkiców ołówkowych, przedstawiających widoki miejscowości ciekawszych i typy rozmaite, jakie Kraszewski napotykał po drodze, poczynając od Kisiel, znajduje się dziś w ręku jego syna, Franciszka, nastręczyła mu treść obfitą do nowéj pracy, mianowicie do „Wspomnień Odessy, Jedyssanu i Budżaku“. Zabrał się do nich zaraz po powrocie, przyrzekłszy je Glüksbergowi w pierwszym kwartale następnego roku, i ustąpiwszy mu trzy ich tomy za *200 tylko rubli gotówką i pięćdziesiąt książkami.* A przecież nie była to praca ulotna, oparta na saméj tylko obserwacyi i na sprawozdaniu z doznanych wrażeń, ale potrzebująca i szperania, i studyów sumiennych. To też, pisząc do ojca w Listopadzie, tak się przed nim uskarżał: „Dziwuje się papa w ostatnim liście, że we mnie dawnego życia nie widzi, żem ostygł. Nie wiem prawdziwie, jak i to, co jest, utrzymało się we mnie. Praca nieustanna, ciężka, nieraz kłopotów wiele, potrzeba ciągłego myślenia, co będzie? jak sobie dać radę? do tego zdrowie liche... Trudno być przy tém wszystkiém młodym. Każda rzecz mi teraz szkodzi, nerwy osłabia, lada wrażenie daje ból głowy, można od tego zmarznąć. A powoli, powoli, kochany papo, człek się starzeje; ja to do siebie bardzo czuję, ale to naturalne i konieczne przejście. Z moimi pryncypałami-księgarzami nic zrobić, nic począć, a tymczasem pracować trzeba, a praca ta tylko tą trochą sławy się płaci, która ani grzeje, ani karmi. Ale cóż robić.“

Wszelakoż w tymże liście donosi o skończonéj drugiéj seryi „Latarni Czarnoksięzkiéj“ w czterech tomach, o dramacie „Tęczyńscy“ i o kończących się „Witoldowych bojach“, a Podwysockiemu nadto dodaje wieść o „Maleparcie“, o „Nowych studyach literackich“ i „Aktach Babińskich.“

Ale i to jeszcze nie wszystko; przekonywamy się bowiem z listu, pisanego w połowie Stycznia 1844 r., że pracując nad Witoldowemi bojami, już o innéj, poważniejszéj rzeczy zamyślał. „Jak tylko wydam Witolda— donosił mu—siadam do „Historyi Litwy“, od dawna się gotującéj w méj głowie i rosnącéj co chwila w materyały... niczem już zajmować się oprócz tego nie będę. Praca to ciężka i mozolna, *ale tyle się jéj już robiło*, że szkoda porzucić. Mam plan całkiem nowy. Historya to będzie jakaś środkująca między kroniką a hisoryą; chcę ją uczynić żywą, dramatyczną, opisową; a *chociaż jak najpilniéj badam materyały*, chcę tę pracę ukryć zupełnie i na gruzach jéj wystawić coś świeżego i ożywionego. Nie będzie to rzecz tak obszerna, jak Narbutta, ale, gdyby się udała, lepiéj powinna malować Litwę, któréj dotąd, mogę powiedzieć, nikt nie zna“.

W następnym, to jest w 1844 r., w Marcu ukończył „Boje Witoldowe“ i „Wspomnienia Odessy“, a w Maju pisał do Dyczalpa: „*Witold* pojechał już do druku. Ostatni to pewnie mój poemat, na co słowo daję, nie bójcie się już więcéj—*dixi* i skończyłem. Co ludzie powiedzą o *Witoldzie* niezmiernie mnie obchodzi, i strach mnie przejmuje o niego. Nie chciałbym, aby go uznano niższym od starszéj braci. „Wspomnienia Odessy“ poszły do Glücksberga, i teraz nic nie piszę: spoczywam, maluję i porządkuję noty do „Historyi Litwy“. Pół dnia maluję, gram, jeśli mam nowe nuty, czytam; wieczorem piszę listy, gospodaruję, kłócę się z ludźmi, i tak żyję, obchodząc się bez pisania, choć tysiąc myśli już mi się kręci po głowie, i kołacze, prosząc o wyjście. Najważniejsze teraz moje dzieło rozpoczęte—to stodoła, którą buduję; nie liczę obrazu dużego, także rozpoczętego niedawno, a wystawiającego „Pogrzeb litewski“.

I rzeczywiście, rok ten najmniéj był płodnym w nowe dzieła, a szczególniéj w powieści; prawdopodobnie jedna tylko, „Pod Włoskiém niebem“, została napisaną w tym czasie, a może też (jeśli nie wcześniéj) i „Czasy Zygmuntowskie“, która, jak się to okazuje z korrespondencyi z księdzem Chołoniewskim, ogłoszonéj przez d-ra Antoniego J., znajdowała się już w Cenzurze Warszawskiéj na początku 1845 r., lubo wyszła ledwie w następnym.

Natomiast w epoce téj Kraszewski żarliwie się zabrał był do studyów filozoficznych, pobudzony do nich zapewnie przez ruch umysłowy w Warszawie i przez uznanie konieczności zaznajomienia z tym kierunkiem czytelników swojego Athenæum. Jeszcze bowiem w pierwszych dniach Czerwca 1842 r. pisał do Dyczalpa w te słowa: „Trzeba ci wiedzieć, że Warszawa świeżo przez uczniów Uniwersytetu Berlińskiego zarażona została *Hegelianizmem*, i socyalizmem, i demagogią w wysokim stopniu... My więc wszyscy

nie mamy łaski w oczach tych panów, z przyczyny, żeśmy nie chodzili na uniwersytet berliński. Wielka szkoda! małéj rzeczy nam brakuje, ale bez niéj nigdy z nas (jak to mówią) ludzie nie będą. Gdybyś też wiedział, co za dziwolągi tworzy ta młodzież, w któréj są indywidua nie bez wartości, nie bez talentu, ale zarozumiałe we dwoje swego talentu".

Chcąc więc wkroczyć nareszcie na to całkiem nowe dla siebie pole, aby na niém walczyć z przeciwnikami, musiał poznać rodzaj ich broni i sam się należycie uzbroić.

„Zachciało mi się (pisał w Sierpniu 1844 r., do Podwysockiego) poznać bliżéj tę zawołaną filozofią, z którą dawno dawno, w osobie Locka i Decscarta, jeszcze na ławce uniwersyteckiéj zabierałem znajomość. Ta nowa nauka idzie mi dość lekko i wielce mię zajmuje. Człowiek, aby był szczęśliwy, musi czegoś się uczyć; to mu daje zapomnienie życia rzeczywistego i kłopotów od niego nieoddzielnych. Jestem więc *en plein* Hegel, a dla lepszego wbicia wpamięć, tłómaczę, czytając. Im daléj idę w tém wszystkiem, tém (wielbiąc wysilenie umysłowe, dedukcye logiczne i metodę, często zadziwiającéj subtelności) mocniéj się przekonywam, że za sto lat ludzie się będą uśmiechać z teraźniejszéj mądrości, która do niczego nie prowadzi, chyba do pewnéj wprawy umysłowéj, do szermierstwa logicznego i do wątpienia o wszystkiem".

Do Dycalpa zaś w Październiku tegoż roku: „Wdałem się w uczenie nowéj filozofii niemieckiéj i tak zajęty jestem absolutem, że o niczém więcéj myśleć, ani pisać nie mogę. Głupia to rzecz ta żądza nauki, pragnienie wiedzy! pędzi człowieka, jak batogiem, pod formuły matematyczne Hoëne Wrońskiego, pod skomplikowane thezy, antithezy i synthezy Trentowskiego, pod subtelną, jak deszcz jesienny, spekulacyą Hegla... Wyobraź sobie, że pływam w morzu tych barbaryzmu pełnych wyrażeń, których najpiękniejszą ozdobą jest *dwójganiec* Trentowskiego, *podścieliska* i *rozłogi!* Na cożem się w to wdał? zapytasz. Fatalność, panie! fatalność! Chwyciła mię filozofia za połę ciekawości, jak machyna parowa, i dusi między dwoma cylindrami. Jeśli mi tu nie będzie amen, to nigdy".

Rezultatem tych studyów były: ogłoszone w roku następnym w Athenæum „Idea systematu Hegla" (tłomaczenie z Otta), przygotowana do drugiego tomu tegoż czasopisma, lecz nigdzie pono niewydana, przeróbka, (nie wiemy z czego, bo autor nie wymienia) p. t. „Rys historyi filozofii niemieckiéj" i podobnież nieogłoszony „*Rzut oka na stan filozofii niemieckiéj*". Nadto zaś w tymże czasie musiał kończyć tom trzeci swoich „Wspomnień Odessy" i rozpocząć *systemat Trentowskiego*, który, jakkolwiek się dopiero w roku 1847 w Lipsku ukazał, znajdujemy już na początku 45-go w listach Kraszewskiego wspomniany, równie jak, tamże odesłane do druku, nieznane nam i w bibliografii nie wymienione: „Studya historyczne litewskie".

Z dalszym ciągiem „Systematu Trentowskiego" przeniosły się na rok 1845 i dalsze też studya filozoficzne, które wszelakoż niezadługo ustąpiły miejsca studyom historycznym i archeologicznym; w Lipcu bowiem pomienionego roku już donosił Podwysockiemu o przygotowującéj się „Historyi Litwy", a zarazem pisał do niego: „Mój drogi, mieszkasz w kraju bogatym w ruiny i blizko najbogatszego w to Kamieńca; żeś mój przyjaciel i radbyś mi przyjemność zrobić, w to nie wątpię. Mam prośbę: oto począłem zbierać dla ubrania ścian małego domku ogrodowego różne stare kamienie ryte, z herbami, napisami, datami, i t. p., choćby połamane i szczątki tylko. Czy nie będziesz miał sposobności czém podobném mnie udarować? Jeśli dostaniesz, donieś, a ja umyślnie po to jestem gotów przysłać, bo goreję myślą zebrania takiego rodzaju pamiątek do mojéj Sybilli. Możesz się śmiać z téj myśli, ale nie godzi się nie pomódz".

Owóż to, co z początku było zabawką, przeszło z czasem w pracę poważną, doprowadziło do „Historyi sztuki u Słowian" i „Ikonoteki"; w roku bowiem 1848 pisał do Dycalpa: „mam w tece ogromny zbiór *od lat trzech rozpoczęty*, zawierający słownik artystów wszelkiego rodzaju—artystów naszych, u nas, dla nas, z naszych przedmiotów pracujących, tudzież „Ikonotekę polską", to jest spis wszelkich dzieł sztuki, ruin, pamiątek i t. d."... A wiemy nadto, że już w roku następnym przez publiczną odezwę prosił o pomoc i o materyały do „Słownika malarzy polskich" (*)

(*) Nie poprzestając jednak na tém, prywatnie jeszcze, a podobno skuteczniéj, gdzie tylko mógł kołatał, żebrał o wiadomości o rycinach i dokładne ich opisy, i sam zwiedzał biblioteki, notując z nich i opisując, co tylko znalazł. Jednym zaś z najpożyteczniejszych pod tym względem korrespondentów jego był zacny i uczony rektor Pijarów w Lubieszowie, ksiądz Antoni Moszyński, obecnie przemieszkujący w Pińsku, dokąd po zwinięciu kollegium Lubieszowskiego przeniesionym został w r. 1843. Kraszewski, którego ojciec, jak to wiemy, wychował się w Lubieszowie, już przez to samo nie mógł nie interesować,

O tém wszakże pod właściwym rokiem pomówimy nieco obszerniéj, tu zaś powinniśmy zaznaczyć, jedyny w tym okresie utwór belletrystyczny, wydany pod tytułem „Pamiętniki nieznajomego" 1846 r. w Warszawie, lecz zrazu przeznaczony dla Biblioteki Warszawskiéj, pod nazwą poetyczną: „*Złote sny młodości*".

O utworze tym w którym Podwysocki domyślał się *autobiografii*, Kraszewski mu napisał: „domysł twój nie jest ścisłą prawdą: co do *wypadków*—wcale nie; co do myśli, uczuć i essencyi—niechybnie tak".

Słusznie jednak można przypuszczać, że i „Ostap Bondarczuk" był owocem również z 45-go roku, bo już w Lutym 1846 czytamy w listach, że został odesłanym do Lipska, jakkolwiek w Wilnie ukazał się ledwie w 47.

W korrespondencyi z roku 1846 znajdujemy wspomnienie o skończonym i oddanym do druku pierwszym tomie „Historyi Litwy" i o powieści artystycznéj *Sfinx*, która była naturalnym wynikiem zatopienia się Kraszewskiego w studyach materyałów do historyi sztuki i słownika malarzy polskich; a w tym że roku pobyt na kuracyi w Druskienikach, o czém już było wyżéj, podał mu temat do książeczki, opisującéj tę miejscowość i podróż do niéj.

Rok 1847 był znowuż jednym z najmniéj produkcyjnych u Kraszewskiego, który tak się skarżył Podwysockiemu: „Dotychczasowa moja kuracya już mnie mocno nadrujnowała,—ciasno mi i ciężko; a nie uwierzysz, jak od niejakiego czasu nic pracować nie mogę! *Pierwszy raz od lat kilkunastu* nic mojego się nie drukuje, nic napisanego. Wyszły temi czasy „Sfinx", „Ostap Bondarczuk" i „Rozbiór Trentowskiego"; a teraz nie wiem, czy i za rok co nowego wyjść już będzie mogło; ja tylko czytam, maluję, próżnuję i ziewam, ale kilka godzin pracy nuży mnie tak, że ani pomyśleć siąść stale do czego".

Jakoż istotnie, prócz prześlicznéj powiastki „Budnik", drukowanéj w Bibliotece, nic i rok 48 nie przyniósł, co bynajmniéj jednak nie znaczy, aby i w nim też, choćby we własném swojém rozumieniu, *nic* Kraszewski nie robił; bo już w końcu Stycznia oznajmował Podwysockiemu: „Na stoliku mam coś bardzo poważnego, filozoficznego, i powieść, i panowanie Witolda, od 1387 do 1430 jednę z moich najlepszych pewnie prób historycznych; — ale to wyrywkami tylko piszę—ciągle nie mogę".

Czém było owo *coś poważnego, filozoficznego*, nie wiemy; w powieści domyślamy się jednéj z najprzedniejszych, mianowicie „Dziwadeł", która już w Marcu odesłaną była „Tygodnikowi", jako proszek piżmowy, mający jego siły podniecić do przetrwania ciężkiego kryzys. Zresztą obok dalszéj pracy nad historyą Litwy, teraz właśnie najmocniéj zajmował go *Słownik artystów*, oraz *Ikonotheka*, co widzimy z listu do Podwysockiego (26 Października v. s:)

„Ja nic nie robię, lub tak, jak nic, bo zupełnie ręce założyć, mimo choroby, nie jest w mojéj mocy. Zajmuje mnie teraz najmocniéj „Słownik artystów i dzieł sztuki naszéj", którego ogromne już stosy leżą przede mną. Są wielkie a nieznane prawdy, które ten zbiór odkryje i wyjaśni. Zdziwicie się obfitości mojéj pracy i nowym widokom, które otworzy na ciemne dotąd kąty historyi. Mnie ta praca, która się zrosła z życiem mojém, bawi, zajmuje, jątrzy i opanowywa całego. Mieliśmy naszę symbolikę, nasze właściwe dzieła; nasz duch objawiał się w różny sposób po zamkach, kościołach, w budowach i wyrobach naszych. Wskazać go, odkryć, pokazać znaczenie—potrzeba i czas. To przedsięwziąłem i każdy kamyczek nowy, który znoszę do tego stosu gruzów, przyciskam do serca z radością i uniesieniem nie do opisania! Kto to wydrukuje? kto to czytać będzie? — ciągle mi w poprzek staje: odpycham je wszakże i idę daléj."

A podobnie i do Dyaclpa:

„Ta praca jest dla mnie wytchnieniem i rozkoszą; zebrałem już do 400 artykułów do tego zbioru, i bawię się nim, jak dziecko; ale gdy Bóg da to wydać i przejrzysz, przekonasz się, że spieniężywszy wszystkie

---

się tą miejscowością, a tem bardziéj zważywszy, że się tam znajdowała dość bogata biblioteka; jeszcze tedy z Dołhego po raz pierwszy tam zajrzał, a poznawszy ks. Rektora, wysoką się dla niego przejął konsyderacyą i później go kilkakrotnie odwiedził. W nim też znalazł najpiérw chętnego pomocnika w zbieraniu materyałów do drugiego wydania Historyi Wilna, w któréj w dopiskach do IV tomu pochlebną wzmianką za tę pomoc mu się wywdzięczył. Później zaś, gdy wydawnictwo „Athenaeum" rozpoczął, zyskał w nim dobrego współpracownika; a w końcu do „Słownika malarzy polskich" dostał odeń kopią portretu oraz kilkanaście rysunków Hübla, Piara, który freskami swemi kościół Lubieszewski ozdobił; nadto zaś bardzo wiele cennych notatek i ksiąg starych, rycinami ozdobnych.

Wiadomości tych zaczerpnęliśmy z listów Kraszewskiego do czcigodnego księdza Rektora, których nam ten ostatni ze zwykłą sobie uprzejmością udzielił.

(Przyp. atora).

nasze tego rodzaju skarby, jesteśmy bogatsi, niż się nam zdawało. Gdybyś wiedział o jakich materyałach gdzie, udziel mi; wszystko, bodaj kruszynki drobne, przyjmę."

Rok 1849 był epoką, w któréj Kraszewski pożegnał się z ulubionym swym Gródkiem. Sprzedał go, jeszcze w Lipcu roku 1848, a tak nagle i niespodzianie, iż wszystkich swoich zdziwił tém i zasmucił, zwłaszcza, że nic do nabycia upatrzonego nie miał, a już po nowym roku zdać go musiał nowemu dziedzicowi. „Smuci mnie to (pisał do ojca) że papa z wyraźną niechęcią pisze do mnie o sprzedaży Gródka, gdy wedle wszystkich sprzedaż ta, choć z remanentami, jest jeszcze bardzo dobra. Gródek ma zbyt mało ornéj ziemi i wzgórzysty nadto, ażeby się mógł nazwać dobrym pod względem gospodarskim. Młody i bogaty człowiek, co go kupuje, płaci za pozycyą i ogród, nie za to, co mu przynosić będzie; a ja oglądać się muszę na mój procent, bo codzień większe expensa i większe obowiązki. Zresztą sprzedaż korzystna i spodziewam się coś lepszego, jeśli Bóg pomoże, kupić. Na wszystkie boki piszę, dowiadując się, czy kto nie sprzeda czego."

Brat Lucyan mu doradzał, żeby nabył schedę swéj ciotki w Romanowie; lecz on, pomimo całe przywiązanie do téj siedziby, nie zdołał się na to odważyć. „Było-by to przy mojém zdrowiu (pisał do ojca) śmiercią niechybną dla mnie, gdybym w interes nieskończony i proces dobrowolnie się wpędził. Ojciec zaś mu czynił ostre wyrzuty, że się nie chce zbliżyć ku swoim, przenosząc się bądź na Litwę, bądź do Królestwa, co mocno poczciwego syna ubodło.

„Jak dalece wyrazy listu papy mnie obeszły (tłómaczył mu się) nie chcę pisać i nie potrafiłbym, ale mi bolesne zrobiły wrażenie! Mój drogi papo, nie wiesz tego może, jak kocham swoich, jak szanuję ciebie, i jak każde słowo ostrzejsze głęboko we mnie zostaje. Szkoda, że widzieć się z papą nie mogę i wytłómaczyć mu; szkoda, że ja nie mogę dojechać do Królestwa, a papa do mnie nie zechcesz. Gdybyś tu był na miejscu, zobaczył wszystko, rozpatrzył się w interesach, zastanowił nad projektem; inaczejbyś mnie i moje czynności osądził. Ale pomimo, że i Zosia tego najgoręcéj życzy, i ja, nie mogę się spodziewać nawet. Jeżelim się oddalił od was, Bóg widzi, że to nie z woli mojéj i nie z winy Zofii, albo własnéj; okoliczności tak pokierowały. Obwiniając mię o to, ciężko mnie papa dotknął. Są w życiu smutne a nieuchylone konieczności; obwiniać za nie może się nie godzi, gdy kto sam pierwszy nad niemi ubolewa."

Inni sreczyli mu różne majątki na Wołyniu, ale ze wszystkich najbardziéj mu przypadła do gustu Medwedówka, w powiecie Starokonstantynowskim, między Kisielami a Wiszniopolem. Doktór Karol Kaczkowski, który dobra te nabył od książąt Czetwertyńskich, oddzieliwszy dla siebie jeden folwark, a na resztę zaciągnąwszy pożyczkę w banku i stale zamieszkawszy w Odessie, szukał kupca na ten majątek. Było tam 240 morgów łanu i 340 dusz włościańskich, gorzelnia 100-pudowa, arenda, 500 owiec, pasieka duża, łas, woda, młyny, ogród, oranżerya, mieszkanie, budowle gospodarskie, a nawet i kaplica. Lecz trzeba było za to wszystko zapłacić 51,000 rubli, i po strąceniu długu bankowego brakłoby jeszcze Kraszewskiemu półszósta tysiąca rubli. Summy téj trzeba było kędyś pożyczyć, co i nie przychodziło tak bardzo łatwo, i zanim ją mógł znaleźć, zimna rozwaga wzięła górę i odjęła ochotę do ponętnego, lecz kłopotliwego wielce nabytku.

Znalazło się coś mniéj pięknego, lecz nierównie bezpieczniejszego, o czém w Styczniu 1849 roku tak pisał do rodziców Kraszewski:

„Los nasz, długo niepewny, nareszcie się rozwiązał: kupiliśmy majątek o dwie tylko mile od Gródka, nazwany Hubin, w prześlicznéj ziemi Wołyńskiéj, z hrabstwa Horochowskiego, Tarnowskich. Jest to najlepszy folwark w kraju, gdzie wszystkie są dobre. Ma na 121 dusz, 113 włók ziemi w łanach a około stu korcy pszenicy. Na gruntach osadę szlachecką, płacącą czynsze; 35 włók lasu, 50 sążni siana, zabudowania gospodarskie dobre, dom tylko lichy. Wszyscy mi winszują kupna, choć zapłaciłem 165,000 złotych i wszystkie koszta moje, Z majątkiem biorę gotową cegłę, młyn, wiatrak i młockarnię. Obejmuję Hubin 25 Stycznia v. s. Zosia nie rada przemianie miejsca."

W tydzień potém donosił już Podwysockiemu. „W téj chwili wynoszę się już do Hubina, wioski nowonabytéj, w któréj nie mam prawie mieszkania i nie mam wcale ogrodu. Co kłopotów, co pracy, co zajęcia, co żalów wkoło mnie! ja przecież trwam przy odwadze mojéj i nie uląkłem się jeszcze tego, com uczynił.“

Jakoż list cały, zapisany na cztery strony, tchnie jakiémś ożywieniem i energią niezwykłą. Chwali się w nim polepszeniem się stanu zdrowia, wyrzuca przyjacielowi, że się dobrowolnie starzeje i powiada: „już to najgorszy symptomat, gdy czas swoją drogą, a człowiek sam w dodatku wieku sobie przydaje. Jesteśmy młodzi, póki młodymi być chcemy; a póki młodości, póty życia. Co do mnie, trzymam się, jak mogę, choć czuję zimną, kościstą rękę czasu, dotykającą ramion i przydającą im brzemienia, którego się dawniéj nie czuło.“ A daléj znów: „Ja jeszcze jestem tak młody do pracy, że materyał do niéj prawie do szału mię pobudza. Zapewnij mnie tylko, że mi wszystkie swoje zbiory pokażecie, że nic nie schowacie, że p. Hołowiński pozwoli mi przejrzéć swój zbiór i spisać co potrzeba (20,000 rycin) a przyjadę do Rychty, i przywykły do téj roboty, nad dni 10 do 12 nad nią nie zabawię.“ Kończy zaś temi słowy: „Alem się zapędził! staję; dosyć tego—trzeba się pożegnać. Czekają mnie rachunki, spisy, regestra, układy i t. p. W téj atmosferze żyję od kilku miesięcy. Wszystkie książki w pakach; wszystkie rękopisma w pudlach, obrazy powiązane, papier odesłany do Hubina; a ja na stosie śmiecia, téj nieuniknionéj pozostałości wszelkiego życia, na kulawym stoliku piszę tych kilka słów do Ciebie i wzdycham... Gdybym nie miał trojga jasnych główek dziecinnych przy sobie, zrzekłbym się interesów i wszystkiego, co truje dni tak drogie; ale dla nich—potrzeba!“

W końcu Lutego pisał już z Hubina do ojca! „Jesteśmy już tutaj od trzech tygodni; Zosi bardzo smutno po Gródku, a że w dodatku nie bardzo zdrowa, więc ciężko mi ją rozweselić i rozruszać. Hubin wcale nie ładny, domek ciasny; ale to majątek, którego cała zaleta w gospodarskich dogodnościach. Do opisu statystycznego nic dodać nie mam, prócz wielkich nadziei,—daj Boże, żeby nie zawiodły. Z lasu zdaje się, że się da wyrobić materyał dębowy szacunkowy; grunta wyborne; ale gospodarstwo ciężkie i pracowite: swoje konie, brony, pługi trzymać potrzeba, dom budować, ogród zasadzać, wody mało i tego braknie. Remanenta zbożowe nabyłem nie bardzo drogo w snopach.“

Dnia zaś 17 Marca do Lucyana: „Ja już na nowém gospodaruję i biorę się szczerzéj do gospodarstwa nie z upodobania, ale z potrzeby. Rąk mam mało, więc gospodarstwo trudném będzie, ale obiecuje być korzystném. Kupiłem sobie trochę owiec i folwarczne konie, bez których się tu nie obejść. Wydatki ogromne mam, a jeszcze i młocarnia, i poprawa budowli mnie czeka; nie wiem jak temu podołam.“

Widać więc ze wszystkiego, że i to nie było takie *złote jabłko*, jak się z razu zdawało; chciał jednakże pan Józef pochwalić się niém przed swoimi i mocno ich do siebie zapraszał. „Papa obiecał mi bytność swoję z Kajetanem (donosi w tym że liście Lucyanowi). Bóg wiedzieć raczy, czy dotrzyma obietnicy, a bardzo go pragnę widzieć u siebie, żeby mi nową siedzibę pobłogosławił. Ty także wiedzieć powinieneś że mam tysiąc morgów lasu, a w nim sarny, dziki, cietrzewie, zające, a po polach stada kuropatw, które Bryś tylko, chodząc za mną, płoszy nadaremnie. Gdyby czas i pozwolenie polowania miéć, możnaby tu sobie dogodzić *Avis au lecteur*. Mógłbyś i ty spokusić się i przyjechać do mnie.“

Z nastaniem robót polnych na wiosnę zabrał się Kraszewski do gospodarstwa z niesłychaną energią; czy to przez punkt honoru, chcąc przekonać jak sąsiadów, tak i rodzinę, że Hubin był istotnie dobrym nabytkiem, a on sam, choć literat, rządnym gospodarzem być zdolny, czy też skutkiem swego temperamentu, teraz tak się zapaliwszy do roli, jak poprzednio do filozofii, a potém do słownika „Malarzy polskich.“ Dość że ledwie nie w każdym liście do ojca, matki, i do braci, najwięcéj odtąd o swém gospodarstwie rozprawiał. Jakoż w Maju pisał do matki: „Jestem prawie, jak ekonomem, bo Rozbicki dziwnie ociężał, a młody jego pomocnik niewprawny do gospodarstwa; sam więc dysponuję, objeżdżam, obchodzę. Może to mamy i nie będzie zajmować, ale już takem się zagospodarował, że mi trudno o tém nie pisać.“

Żona zaś w dopisku dodała: „Szeroko Józio opisał, co się tu z nami dzieje, co porabiamy; nic więc mi nie pozostaje do doniesienia, chyba dodam, jak mi jest bolesne oddanie się jego takie gospodarstwu, interesom. Może to być z dobrém naszém; lecz jak nie dla niego takie zajęcia, jak go utrudzać muszą! Dzięki Bogu, że przynajmniéj zdrowie jego teraz znacznie lepsze, lecz pracy nad siły. Do gospodarstwa kłopotliwego

zaprowadzającego się, przybyły jeszcze i literackie niemałe zajęcia, chwili jednéj nie ma biedak do odetchnienia! Inny jużby uległ pod ogromem ich lub je odrzucił; a on, jak mrówka, krząta się i garnie wszystko do siebie.“

A toż samo napotykamy i w liście z tegoż czasu do brata Lucyana: „Wdałem się w gospodarstwo i skutecznie, czy nie, ale gospodaruję. Radbym tu ciebie miéć do porady i do pokazania, co kupiłem i co myślę robić dla ulepszenia majątku.“

Następnie zaś, po wyliczeniu rozmaitych swych zajęć i kłopotów rolniczych, kończy wreszcie: „sam wszystkiego doglądam, a konno tak tęgo jeżdżę, że aż raz upadłem z konia, a raczéj z koniem, bo się mój wierzchowiec powalił ze mną, choć był drogi i niby to dobry. Teraz inszą kupiłem sobie szkapę, a resztę nogami własnemi obchodzę, choć dyable daleko, bo rozległość gospodarstwa mojego duża.“

Lecz wszystkie te wysiłki do niczego nie prowadziły; gospodarstwo szło ciężko i niepomyślnie.

„Z Hubina byłbym kontent zupełnie (pisał w końcu Czerwc 1844 r. do ojca) ale pracy wiele, o robotnika trudno, a choć pól dużo, z tego właśnie powodu forsowne gospodarstwo. Muszę trzymać około 20 koni folwarcznych, 20 wołów do płużków, mam już 700 owiec, a reszty bydła skupić jeszcze nie zdołałem. Urodzaje mierne, a jarzyny spalone bardzo, zwłaszcza wcześniejsze, pszenica średnia, żyto podobnież. U nas tu do granicy austryackiéj kupują żyto po złotych 12, jęczmień po 10 i więcéj, i ja trochę, choć z kłopotem, sprzedać musiałem; owsa nikt nie ma, na wełnę kupców ani słychać.“

A w połowie jesieni tegoż roku: „Trzymamy się jako tako, zdrowi i wytrwali na tysiączne *kłopoty, których nigdy nie mieliśmy, co tutaj.*“

Niepowodzenie to mocno martwiło biednego gospodarza-literata, który niechybnie z własnego doświadczenia musiał skreślić następny ustęp w „Powieści bez tytułu,“ pisząc o Szarskim:

„Nie szło mu tak, jakby pragnął, a co gorsza, głosy, które słyszał wkoło siebie, całe zawsze nieszczęście przypisywały literackim jego zajęciom.“

— Co pan chcesz? hreczka posiana po literacku, żyto wschodzi po łacinie, gnój w poetycznym rozrzucony nieładzie.

„Zadawano mu i roztargnienie, którego nie miał, i brak poświęcenia, którym nigdy nie grzeszył“.

— A cóż ma być dobrego,— mówił ekonom,—kiedy pan jeździ z książką na pole, a do chłopa nigdy nie powie *chamie*, jak się należy, tylko *mój kochany*, a wdaje się z nim w *perehowory*, jakby to on co rozumiał, gdzie po prostu bizuny dać trzeba. Już to językiem bizuna nie zastąpić.

„Sąsiedzi kiwali głowami na wszystko, czy dobrze szło, czy źle, widząc we wszystkiém tę nieszczęsną poezyą.— Książki pisze, to dość powiedziéć!—mruczeli, ruszając ramionami“.

To téż, zrzuciwszy pychę z serca, poddał się smutnej konieczności i już w Lutym 1850 roku złożył niefortunne swe rządy, o czém tak donosił Lucyanowi:

„Przekonawszy się, że sobie nie dam rady z gospodarstwem i literaturą zarazem, dziś własnie installuję kogoś, com go na swoje miejsce do ogólnego zarządu wziąć musiał, i na małéj wiosce płacę mu 135 rubli, a prócz tego i ekonoma trzymać będę musiał. Bardzo mnie boli ta kosztowna moja niezdolność; ale tyle strat tego roku przez zły zarząd poniosłem, że był to jedyny sposób—ostatni“.

I to wszakże nic nie pomogło. W jesieni roku następnego uskarżał się znowu przed ojcem: „Gospodarstwo moje powszechnéj tutaj klęsce nieurodzaju okropnego uległo; Wołyń i Podole, można powiedziéć, połowy tego roku nie mają, co miewały; wszędzie pszenicę koszono i żyto, a na Podolu wprost spasali tylko i nasienie się nie wróciło“.

„U mnie téż ta sama klęska: straciwszy 500 owiec, na wsi trochę bydła, w domu trochę koni z jakiejś zarazy, doświadczywszy srogiego nieurodzaju, bo jarzyny także spaliło, a potém już po zbiorze zgniło, będę miał rok, przy interesach, bardzo ciężki!“

Następne lata, 1851 i 1852 nie wiele téż były szczęśliwsze; w jesieni tego ostatniego pisał do ojca, że ma mnóztwo interesów sądowych, grożących wydatkami i niepokojem, choć niestrasznych zresztą, a urodzaj zaledwie mierny; jarzyny co się zowie nie—„jedną pszenicą żyć będzie potrzeba, i nie wiem, jak się to uda“.

Klęski te i kłopoty ostatecznie go zniechęciły do gospodarstwa, tak, iż postanowił nareszcie pożegnać je na zawsze i przenieść się na mieszkanie do miasta, zwłaszcza, że i podrastające dzieci potrzebowały już szkolnej nauki. Przyjemną więc mu była wiadomość, że został mianowany professorem literatury polskiéj przy uniwersytecie w Krakowie, co w samę porę przychodziło w pomoc jego zamiarom. „Nie expatryuję się jednak (pisał do Podwysockiego); jest to



Zwaliska zamku. Zwaliska kościoła Bazylianów. b. kościół katedralny.

tylko czasowe. Skończę na professurze, jak widzisz, ale bądźcie zdrowe powieści!“ Rząd austryacki starał się sam dla niego o pozwolenie zajęcia tego miejsca, a ks. Metropolita Hołowiński czynił mu już nawet wszelką nadzieję, że to pozwolenie uzyska; lecz nadzieja ta była zwodniczą: z końcem lata tegoż roku, Józef Kremer zawiadomił go listem z Wiednia o zupełnéj odmowie.

Wtedy Kraszewski powziął zamiar z wiosną 1853 roku osiedlić się w Warszawie; pisał już był nawet do swoich tam znajomych, prosząc, aby mu poszukali do nabycia jakiego domku maleńkiego, i czekał tylko na ustanie cholery, grassującej podówczas, aby się osobiście tam udać i bliżéj wszystko zbadać i obmyślić na miejscu. Starsza córka uczęszczać miała na naukę do Panien Wizytek, a synowie przygotowywać się do szkół.

Do osiedlenia się w Warszawie musiało Kraszewskiego zachęcić wspomnienie miłych wrażeń, jakich doznał w tém mieście, podczas dwukrotnych swych odwiedzin w roku 1851, o których nieco niżéj mówić będziemy. Wkrótce wszakże zmienił ten projekt i tak się Podwysockiemu ze zmiany téj tłómaczył: „Gdy mi przyszło zblizka przypatrzyć się memu pobytowi w Warszawie, uznałem go niepodobieństwem. Naprzód, życie z takim funduszem, jak mój, przy stosunkach i znajomościach już porobionych, byłoby niemożliwém bez powolnego zrujnowania się. Gdyby jednak to się nawet dało urządzić, są inne uwagi: Warszawa pełna koteryi, intryg i plotek, a ja mam z góry gotowych nieprzyjaciół, co tylko czekają, by wybuchli. Trzeba-by się wyrzec albo głoszenia świętej prawdy, albo pokoju, i wyrzekłbym się go dla prawdy, gdybym był sam, nie z familią, z żoną, z dziećmi, którym mój pokój tyle stanowi. Wolę więc mniejsze, ustronne miasteczko“.

Mniejszém tém miasteczkiem miał być na razie Lublin, a to głównie ze względu na rodziców, którzy bardzo życzyli sobie miéć ukochanego syna w pobliżu. Później, wskutek rozporządzenia Ministeryum oświaty, nie pozwalającego młodzieży udawać się na wychowanie do innych naukowych okręgów, nad ten, w którym stale była osiadłą, gotów już był przestać na Równem, za którém przemawiała niedaleka odległość od Hubina i Kisiel i nie bardzo wielka od Romanowa, jako też możność utrzymania się tanim kosztem na tym partykularzu; w końcu wszakże stanowczo zdecydował się na Żytomierz, z czego też zaraz współobywatele skorzystali, obrali go w Maju roku 1853 Kuratorem honorowym tamecznego gimnazyum, dawszy za nim 248 głosów na 300.

Nim wszakże podążymy do tego miasta, musimy wstecz się cofnąć, ażeby zanotować kilka jeszcze ważniejszych faktów z życia Kraszewskiego w Hubinie, w którym lat pięć przeżywszy, wiele trosk i kłopotów powszednich, i nie mało też ciężkich zmartwień doświadczył, w epoce tej opłakawszy śmierć babki i niemniej ukochanej, siostry swej, Anny, zgasłych w jednym miesiącu i nieledwie w dniu jednym (24 i 25 Maja 1853 roku), a z których pierwsza, umierając, miała jakoby jasnowidzenie rychłego zgonu drugiej. Zgon właśnie tej ostatniej był jednym z najdotkliwszych ciosów dla Kraszewskiego, skonała bowiem w jego oczach, w kwiecie wieku, anielska ta istota, nieodrodna córka swéj matki, udarowana najpiękniejszemi przymiotami serca i umysłu, i to wtedy, kiedy najbardziej się radował, najwięcéj sobie obiecywał pociechy z zamieszkania jej z mężem, p. Luniewskim, na Wołyniu, w blizkiém sąsiedztwie od Hubina, mianowicie w Połonce.

A trzebaż jeszcze wiedziéć, jakich to on starań dokładał, aby to małżeństwo skojarzyć, któremu ojciec był dość długo przeciwnym; jak zabiegał, aby znaleźć jaką dobrą posadę, lub korzystną dzierżawę dla p. Luniewskiego; ile się nakłopotał i natrudził, zanim zadzierżawił owę Połonkę, w której, będąc tak obarczonym własném swém gospodarstwem i ciężkiemi interessami, pierwszego roku musiał rządzić jakby u siebie, skupując remanenta, orząc i siejąc; bo p. Luniewski, zamieszkały w Królestwie, nie mógł w porę przybyć na Wołyń dla objęcia dzierżawy.

Obok tego wszelakoż, w pierwszych szczególniej leciech, i przyjemnych wrażeń nie brakło. Tutaj mu dnia 22 Lipca 1849 roku urodziła się druga córka, tu miał szczęście przyjmować ojca, który do chrztu ją trzymał; tutaj raz jednocześnie aż trzech miłych gości Pan Bóg mu zdarzył: obu braci i przyszłego szwagra pospołu z nimi (1850), drugi raz znowu p. Kajetana, 1852; tu wreszcie, o czém już było wyżéj, odwiedził go serdeczny Syrokomla (1850), o czem tak pisał do jednego z swoich korrespondentów: „Poczciwy poeta zrobił pocztą mil trzydzieści kilka, by mi dłoń podać. Z całego serca jestem mu za to wdzięczen. Poznałem go i potrafiłem ocenić prostą, sympatyczną duszę jego i talent. Siedział u mnie dni kilka, już tęskniąc za domem i za pracą“.— A Podwysockiemu tak go malował: „Dobry to, bardzo dobry chłopiec! pełen zapału do

pracy, prosty, niewinny, milczący i absorbowany w sobie, jak poeta, pracowity jak mało".

Co do stałych stosunków, te, jak i w Gródku, utrzymywały się przeważnie z Ossową i Horodcem, gdzie po dawnemu Państwo Kraszewscy zwykle zimę spędzali.

Z Hubina w roku 1851, oboje, zostawiwszy najmłodszą córkę pod opieką samej pani Felińskiej, z dziećmi starszemi wyjechali do Romanowa, zkąd pan Józef udał się do Warszawy.

Tu dopiero spotkało go właściwie po raz pierwszy zasłużone uczczenie, w którém i literaci już przyjęli udział serdeczny. Przyjęcie, jakiego doznał, i wrażenie, jakie wyniósł z Warszawy, opisał za powrotem w liście do Podwysockiego, z którego obszerniejszy wyjątek, jako bardzo ciekawy, pozwalamy sobie przytoczyć:

„Warszawa zaprawdę ciekawa. Nie masz pojęcia, jakie tam jeszcze wre życie. Przyjęto mnie nad zasługi, aż do zbytku szumno i hucznie: przez trzy tygodnie fetowano codzień nieustannie, może zarówno z przyjaźni, jak na psikus Rzewuskiemu, którego jak tam nie cierpią, wypowiedzieć niepodobna. Miałem obiadów, wieczorów i toastów moc ogromną, i wyjechałem, szczerze i serdecznie wdzięczen za to współczucie. Rzewuski, chcąc mi zaszkodzić, na samo moje przybycie, wydrukował jakiś artykuł, dość zły, przeciwko mnie; zrobiło to effekt przeciwny, i na obiedzie, który dla mnie dano w resursie, zebrało się około półtorasta osób, manifestując. Ten obiad, gdybym ci go mógł opisać, był ciekawy: każdy toast poprzedzała mowa, lub improwizacye wierszem, — zupełnie jakiś bankiet oppozycyjny. Byłem jak odurzony i ledwie teraz przychodzę do siebie. Gdybym był próżny (niestety! nie jestem nim),—mógłbym się nasycić kadzidłem dowoli. Szkoda! minęła mnie wielka przyjemność; umiałem tylko być wdzięcznym i potrafiłem trochę się zmęczyć".

„Choć chory, na dyecie, w kąpielach, w kroplach, obejrzałem w Warszawie, co tylko było do widzenia do historyi sztuki, dostałem mnóstwo nowych i starych do mojego zbioru sztychów i rysunków, i przybyłem do domu tak obciążony temi łupami, że mi się powóz łamał od nich".

„Muszę ci napisać pokrótce, co się dzieje w literaturze Warszawskiej. Jest tu dziś więcej życia, niż kiedykolwiek; a Pan Bóg, co mnie wszystko na korzyść obrócić, sprawił, że i Rzewuski na coś się przydał, bo jego „Dziennik", element sprzeczny, wywołał w gazetach życie przez to, że im zagroził swoją konkurrencyą. Sarkazmy hrabiego spowodowały także szczere jęcie się pracy, i tak złe na dobre wyszło. Nienawiści i wstrętu, jakie ten człowiek tu obudził, wyrazić niepodobna: nikt, ale to nikt, nie sympatyzuje z nim; wszyscy od niego uciekają. Przykro mi było patrzéć na to upokorzenie. Spotkaliśmy się z nim na wieczorze u pani Łuszczewskiéj i było osób około 60—nie miał do kogo mówić. Powitał mię, odpowiedziałem; a widząc, że się cofam, uszedł, i już więcej go nie spotkałem,—na żadnym z wieczorów i obiadów nie był. Dziennik jego, w Warszawie prawie nieznany, całe swe powodzenie winien prowincyom naszym, co prenumeratą go wspierają. Biblioteka Warszawska rozbudza się do życia co raz bardziéj i staje się co raz lepszą. Do nowych pisarzy zaliczyć tu muszę Gregorowicza, autora „Obrazków wiejskich", prześlicznych prawdą; Gliszczyńskiego, tłómacza Kallimacha; W. W. birbanta wielkiego talentu, Karola Wittego, dobrego krytyka... Starszych znasz. Artystów moc wielka i kilku wybornych. Obchodziłem pracownie; widziałem, co się maluje i tworzy, i zdziwiłem się mnogości. Suchodolski wypracował nad zwykły swój sposób, z daleko większém wykończeniem, Jadwigę, gdy Jagiełło ledwie z ganku zamkowego ukazuje się, jako chrześcianin i król. Obraz piękny bardzo,—zarzucają mu brak ruchu, ale figury prześliczne. U tegoż widziałem *chatę ukraińską*, *Farysa* (nowego) i kilka innych ładnych robót. Piękne są także obrazy Hadziewicza, Zaleskiego, Simmlera, Breslauera, portrety Kaniewskiego, i wiele innych: a młodzieży, co się sposobi i wychodzi na świat artystyczny, mnóztwo i pełnéj nadziei. Przywiozłem wiele ich rysunków, prób, litografii, i t. p."

Tegoż roku przy końcu Listopada odbył niespodzianie powtórną podróż do Warszawy, już jedynie z powodu zdrowia, dla porady lekarskiéj. Jechał wprost, ominąwszy Romanów, za co rodziców najpokorniej przepraszał, i z powrotem dopiero musiał Wigilią i Święta Bożego Narodzenia razem z nimi przepędzić, do domu bowiem przybył ledwie 28 (16) Grudnia.

W roku następnym (1852) odbył powtórną podróż do Odessy, którą obszernie w listach do Gazety Warszawskiéj opisał.

Puścił się w drogę d. 22 Czerwca, „nie żegnając nikogo, oprócz swojéj słomianéj strzechy", bo się wybrał z całą rodziną,



J. I. Kraszewski (z r. 1851).

którą po drodze zostawiwszy w Kisielach, sam na Beresteczko, Kozin, Krzemieniec, Jampol, Starokonstantynów, Koźmin, Krasilów, Lanckoroń, po-pod Kamieniec, udał się wprost do Rychty, miejsca pobytu Konstantego Podwysockiego, którego tak kochał serdecznie, a do którego, prócz uczucia przyjaźni, wabił go i ów sławny zbiór rycin.

„W chwili, gdym trochę zbłądziwszy, już zaczynał rozpaczać o dojechaniu do Rychty, zdającéj się uciekać przede mną, spuściłem się z wysokiego wzgórza, i przepyszny widok uderzył moje oczy. Nie miałem już odwagi zamknąć się w powozie: szedłem daléj piechotą. Wielki krajobraz Podolski rozscielał się w dali przede mną, sinemi kończąc się laskami i wzgórzami. Bliżéj pod górami, z których tu i owdzie sterczały skały, błysnął, wijący się malowniczo, czysty i żywo pędzący Żwańczyk. Gdzieniegdzie okalały go pagórki, obrosłe korzeniami, to znów nagie urwiska i siwe ściany kamienne, gładkie i prostemi zakończone liniami. Na przeciwległym wysokim brzegu, na stromo ściętéj górze, za rzeczką, podparty skałą, przypominającą te, które okalają Kamieniec, tuż pod wsią szeroko rozrzuconą, stał zameczek, ze staremi basztami po rogach, którym tylko łączącéj je dawniéj brakło kortyny, by jeszcze dziś mógł nazwać się forteczką. W pośrodku sama budowa mieszkalna, w literę T zbudowana, siwa trochę i zgarbiona, zdawała się zamyślona poglądać w rzekę... Ale pocóż u licha ten opis? piękne miejsca widzieć potrzeba,—one się nie opisują“.....

„Mozolnie wdrapawszy się po skale, przez most, ku zameczkowi wiodący, wszedłem piechotą w dziedziniec, i po dziesięciu latach... spotkaliśmy się, z uczuciem poglądając ku sobie, ile też nas te nielitościwe lata zmieniły“.

„O życie, życie! tak z niém częstokroć nie lekko, a tak żal przebytego! Próżno podnosim oczy ku innemu, obiecanemu żywotowi; i ta pielgrzymka wiąże serce, a ku zachodowi jéj tak nam dziwnie tęskno za drogą, na któréj zraniliśmy nieraz stopy“.

„Jeślim wyrzekł się odmalowania pejzażu, tém bardziéj wyrzec się muszę wysłowienia uczucia—byliśmy radzi, szczęśliwi, weseli“.

Przytoczyliśmy ten ustęp nieco przydłuższy, w przekonaniu, że zrobimy przyjemność Jubilatowi, odświeżając w jego pamięci przypomnienie tego człowieka, który niegdyś był mu tak drogim, i uroczéj jego siedziby, która się mu tak bardzo podobała.

Przepędziwszy dni kilka w Rychcie, i obejrzawszy zbiory p. Hołowińskiego, w których znalazł nie mało rzeczy bardzo rzadkich i ważnych, a szczególniéj obfity oddział Świętych krajowych i niektóre zbiory królów, puścił się daléj na Kamieniec do Odessy.

„Opóźnienie (pisał w Gazecie) zmuszało mię tylko przelecieć przez Kamieniec, śpiesząc do kąpieli. Niepodobna jednak było nie podziwiać piękności oryginalnéj tego miasta, siedzącego jakby na umyślnie wyciosaném skalistém podnożu. Kamieniec, oprócz tego położenia malowniczego, ma jeszcze tyle ruin i pamiątek przeszłości, aż się od nich trudno oderwać, a natura takim tu była artystą, oszarpując dokoła skały.

„Zdaje mi się, że całe album bardzo zajmujące możnaby utworzyć z różnych widoków Kamieńca, tyle tu rzeczy godnych ołówka. Widziałem samych ruin i gmachów niektórych zajmujące rysunki Księcia Jeremiasza Woronieckiego, niezmiernie warte wydania. Są to szkice, ale z wielkiém uczuciem i dokładnością rzucone; żal, żeby w tece amatora pozostać miały(*)“.

„Wieczorem, po wędrówkach dokoła miasta, spocząłem, kołysany piękną muzyką na koncercie panny Christiani, sławnéj wiolenczelistki“.

Z Kamieńca, końmi najętemi u żyda do własnego powozu, z bałagułą, daléj pociągnął najbardziéj malowniczym pasem Podola, przez Szatawę, Maków, Zamiechów, Mińkowce, Letniowce, Kuryłowce Murowane, Jaryszów, Mohylów, Tulczyn, Obodówkę i Czeczelnik, a daléj Baltę, Kodymę i step Tatarski do Odessy, gdzie stanął dnia 27 Lipca, a przez żyda, powracającego do Kamieńca pisał do Podwysockiego: „Drzewieckiego nie zastawszy, ulokowałem się fatalnie i drogo w *Paryzkim hotelu*. Przejechałem w istocie śliczne Podole; ale co wy mówicie o górach? ani jednéj niéma góry; robicie sobie illuzyą i swoje głębokie jary, w które po skałach spuszczać się i z nich wydrapywać trzeba, zowiecie pompatycznie górami. Nie godzi się tak fanfaronować. Do téj pory Podole uchodziło za górzyste, ja mu tę sławę odbiorę, *si gloire il y a*. Dojechałem dość zdrów, porządnie znudzony, i gdyby nie twoje *Revue de Paris*, tobym

(*) Pozostały; ale natomiast fotograf Kamieniecki, p. Michał Grejm, ułożył piękne album fotograficzne, w którém na trzydziestu dużych kartonach zdjęte są widoki z różnych stron tego miasta, oraz najcelniejszych gmachów i ruin, do czego dołączywszy krajobrazy jego okolic, oraz widoki Żytomierza i Kijowa, składa je w upominku jubileuszowym Kraszewskiemu. *Przyp. autora.*

był na szabasie zginął, bo ezabas odbywałem w Balcie. Pomimo piękności Podola i Makowskich ulic swierkowych, i różnych innych wdzięków, taki Rychta bardzo ładna, ładniejsza niż ci się zdaje, oryginalna i ma swój wdzięk właściwy. Mohylów prześliczny; piękne i owo miasteczko Marchockiego (Mińkowce), ale i Rychta piękna, a może od nich piękniejsza".

W miesiąc później znowu pisał do tegoż przyjaciela, pocieszając go po stracie Germana Hołowińskiego, i donosząc między innemi: „Kiedy powrócę, nie wiem; każą mi się kąpać dopóki będzie można tylko, do 15 (27) Września tu posiedzę, ztąd pojadę w Konstantynowskie, a ledwie 1-go Października będę w domu, i już ciebie czekać, drogi Konstanty. Tylko mi przyjedź, proszę! rozerwiesz się trochę u mnie; a choć moja słomiana strzecha, to nie twój zamek, musi ci być dobrze; o! bo oboje dołożym starania, żeby ci było wygodnie, i zaciszno, i spokojnie; tylko przyjeżdżaj!"

„Odessa pusta, zimna i nudna, i bardzom się na zły rok wybrał z kuracyą moją, ale cóż robić? kąpię się, choć w zimnie, kąpiele mi nie pomagają wiele i nie mam wiary, żeby mi pomódz miały, a nawet na gardło mi gorzéj trochę w ogóle. Wolałbym był brać kąpiele u ciebie, w twoim Żwańczyku na skałach, i siedzieć z tobą razem; ale gdzie taka ludzka dola, żeby jéj jak rdza nie jadła tęsknota? Mój drogi! pryzjedź ty do mnie! Jeśli się znowu rozjedziemy dalej, kiedyż to Bóg da twoję poczciwą dłoń uscisnąć? A takie chwile w życiu—to drogie wspomnienia, to kropelki rosy na zeschłéj trawie".

A jednak i w Odessie nie zbywało na ludziach, umiejących go uczcić i ocenić, garnących się całém sercem do niego i starających się uprzyjemnić mu jego pobyt w tém mieście. Między innymi Dobrowolski Adolf, krzemieńczanin, żonaty z siostrą Karola Sienkiewicza, głośny swojego czasu plenipotent dóbr massy Radziwiłłowskiéj w Nieświeżu, ten sam, w którego kancellaryi pracował niegdyś Syrokomla, i który-to Zanowi sprzedał za dwa złote folwark Kochaczyn,—człek nieporównanéj zacności, wówczas bankier, na wielką skalę prowadzący handel zbożowy; dalej Jan Sowiński, szwagier Korzeniowskiego, filolog i pedagog nie pospolity; Alexander Wicherski, muzyk, malarz i poeta; Blumenfeld, również pedagog, bardzo miły, zacny i pięknie ukształcony człowiek, i wielu innych.

O Blumenfeldzie pisał Kraszewski do Podwysockiego: „Poznałem się z Blumenfeldami, którym niech Bóg płaci za ich serdeczną gościnność, bo mię karmią i jadłem, i książkami, i bardzo, aż do zbytku, są dla mnie dobrzy, ze swojem pewnie utrapieniem, bo nieraz im ten gość dokuczyć musi. Ale tu tak pusto, tak jakoś zimno, że do kogoś potrzeba się uciec i pod czyjeś schować się skrzydło. Lękam się tylko, żebym im nie był zawadą".

Wszelakoż za powrotem pisał do ojca: „W Odessie byłem bardzo przyjmowany, choć się nie dawałem. Był wielki wieczór i wyprowadzenie z pochodniami przez uczniów Liceum, a potém znów wieczór na pożegnanie, na którym Polacy, mieszkający w Odessie, ofiarowali mi piękny mój portret, malowany przez Chojnackiego. O innych, mniejszych grzecznościach, nie wspominam. Był czas, kiedy to wszystko byłoby mnie bawiło i cieszyło, ale teraz jakoś mi się smutno robi, patrząc na to; bo często brzydkie myśli przychodzą."

Ów bałaguła Kamieniecki, z którym Kraszewski szabasował w Balcie, tak się mu był podobał, iż uprosił Podwysockiego o przysłanie go z końmi do Odessy, aby z nim i do domu powracać, i stało się według jego żądania, lecz się źle stało. Powrót ten był przypadł w święta żydowskie, skutkiém których musiał dłużéj nad zamiar przesiadywać w Odessie, a potém przeczekiwać je w Ananjewie i w Tulczynie, gdzie na dobitkę okradziono go na sto kilkadziesiąt rubli, odbiwszy w nocy walizę u powozu i zabrawszy z niéj piękny dywan angielski, odzież, bieliznę i dużo fraszek.

Dla mnie jednak mitręga ta w podróży Kraszewskiego stała się źródłem jednéj z największych przyjemności w mém życiu. Mieszkałem wtedy o sześć mil od Tulczyna i zawiadomiony od niego przez gońca umyślnego, że musi w tém miasteczku trzy dni przepędzić, ruszyłem tam natychmiast, aby poznać tego człowieka, z którym już od lat sześciu korrespondowałem, który był moim mistrzem i ojcem z ducha, który zachęcał mię i wspierał życzliwemi radami, użyczając miejsca dla pierwszych moich próbek w „Athenaeum," gdzie wydrukował *Spowiedź*, *Dzieciobójcę*, *Gościa z grobu*, *Zarazę* i kilka ramot, i który wreszcie nie odmówił poparcia dziecinnemu zamiarowi mojemu wydawania pisma zbiorowego, i nie tylko dał mi do niego śliczny swój *typ* p. t. „Stary szlachcic," ale nadto przekazał wszystkie materyały, od „Athenaeum" pozostałe.

Nie posądzą mię czytelnicy, że piszę to dla próżnéj chluby; cel ten dalekim jest odemnie, bo choć i wtedy uważałem, i dziś uwa-

żam spotkanie to i przyjęcie, jakiegom doznał, za wielką chlubę, nie z niéj wszakże sobie nie przypisuję, a nawet i podówczas nie przypisywałem. Piszę zaś to tylko dla tego, aby dać poznać jeden z najpiękniejszych rysów charakteru tego znakomitego męża, mianowicie zaś, niezrównaną jego uprzejmość, skromność, dobrotliwość, i onę umiejętność zniżania się do pojęć i usposobień towarzystwa, z jakiém przestaje, o któréj jużem wyżéj wspominał.

Biegłem do niego z sercem niespokojnie bijącém, pełném trwogi obok radości niewymównéj, bom się czuł wobec tego olbrzyma tak maluczkim i tak nie nieznaczącym, że nawet nie wiedziałem, czy się ośmielę przy nim usta otworzyć, aby mu całą wdzięczność i cześć swoję wynurzyć. A tymczasem znalazłem w nim jakby starego znajomego, jakby poczciwego koleżkę, tak, iż zdało mi się, że nie tylko te lata, odkąd z nim zawiązałem korrespondencyą, ale odkąd jeszcze na szkolnéj ławce jego pisma czytać zacząłem, przeżyłem z nim pod jednym dachem, bliziuteńko przy jego sercu.

A tak dalece swą uprzejmość posunął, że kazał mi nocować w tymże, co on, zajeździe w jednym z nim pokoju, gdzie przy łojówce, gorejącéj przez całą noc, (bo skutkiem nerwowego usposobienia, Kraszewski nie móg wówczas sypiać w ciemności), gwarzyliśmy do godziny drugiéj za północ, o wszystkiém, cośmy mieli na sercu, co nam tylko na myśl przyjść mogło. Zamilkł wreszcie. Sądziłem, że już zasnął; lecz po dłuższéj chwili znów się odezwał, a ze słów jego zmiarkowałem, że milczenie owo było modlitwą; mówił bowiem o coraz się powiększającym szeregu dusz kochanych, które, w miarę, jak człowiek daléj w życie zachodzi, opuszczają go na téj drodze, znaczącéj się grobami, tak iż świat coraz większą pustką się staje, a pacierz za umarłych co raz to dłuższym.

Następny dzień prawie cały spędziliśmy w pałacu Potockich, pustką wówczas stojącym, gdzie tylko w jednéj izbie ogromnéj, o łukowych sklepieniach i oknach kratowanych, przemieszkiwał Franciszek Kowalski, tłómacz Moliera, autor „Wspomnień“ ciekawych „Tymona“, i bardzo dowcipnych „Fraszek,“ zajmujący się wtedy porządkowaniem miejscowego archiwum i biblioteki,—w officynie zaś rezydował Józef Gluziński, rządca generalny, znany z dzieł swych agronomicznych. Obaj ci ludzie, którym, a zwłaszcza Kowalskiemu, nie brakło wyższego ukształcenia umysłowego, byli to oryginały w swoim rodzaju, facecyoniści, jak to onego czasu nazywano, pełni wesołego humoru, nieprzebrani w konceptach, przypowiastkach i anekdotach dowcipnych, szczególniéj przy kielichu starego miodu lub węgrzyna;—zdawałoby się, że Kraszewski nie będzie umiał nastroić się do ich usposobienia; a jednakże i w to potrafił, i tak baraszkował z nimi wesoło, i tak szczerze śmiał się z ich dowcipów staroszlacheckich, jakby już korzec soli zjadł z nimi. Po obiedzie zaś, na który p. Gluziński był nas zaprosił, słuchał pensyonarskiéj gry na fortepianie jego córeczki, z cierpliwością i poszanowaniem dobrych intencyi.

Oglądaliśmy całe wnętrze pałacu, galeryą obrazów, zbiór numizmatów, bibliotekę i t. d.; ale najwięcéj czasu zabrało nam bogate archiwum, które późniéj dostarczyło Kraszewskiemu materyału do Starościny Bełzkiéj, (Gertrudy Komorowskiéj).

Nie mogę też i tego pominąć, że zawdzięczając uprzejmość Jana Sowińskiego, z którym się zaznajomił w Odessie, a którego brat, doktor, mieszkał w Tulczynie, nie zaniechał też i jego domu nawiedzić, jakkolwiek mu było wiadomo, że gospodarz był nieobecnym; bo zarówno i z ojcem jego żony, światłym i utalentowanym muzykiem, Nowotnym, spotykał się w Odessie i miał dla niéj pozdrowienie od niego, a przy tém cenił, pięknie się zapowiadający, talent malarski brata jéj, kształcącego się podówczas w Rzymie.

Tegoż dnia, po odejściu świąt żydowskich a zachodem słońca, puścił się w dalszą drogę na Bracław, Niemirow, Winnicę, Lityn i Staro-Konstantynow do Kisiel i Hubina.

Ostatnią wreszcie nieco dalszą wycieczką z Hubina była 4 Czerwca 1853 roku do Romanowa, dla pocieszenia osmuconych rodziców po stracie naraz matki i córki,

Pozostaje nam jeszcze zanotować utwory Kraszewskiego, które w téj siedzibie powstały, o ile o nich w jego listach napotkaliśmy wzmianki.

Tu przez trzy jeszcze lata prowadził daléj uciążliwą redakcyą dogorywającego „Athenaeum,“ ztąd czas jakiś pisywał do „Tygodnika Petersburskiego,“ do „Biblioteki Warszawskiéj“; ztąd też w roku 1851 rozpoczął korrespondencyą do „Gazety Warszawskiéj“, która przez ośm lat wielkie swe powodzenie przeważnie jego współpracownictwu zawdzięczała. Tutaj w roku 1849 napisał powieść „Pan i Szewc“, „Ostrożnie z ogniem“, oraz dokończył „Dziejów Litwy“ i „Panowania Witolda“.

W r. 1850 w Marcu donosił Podwysockiemu: „W téj chwili nic prawie nowego

prócz „Historyi sztuki“ nie mam na warsztacie, a to idzie powoli, powoli, a ostróżnie a mozolnie nad wyraz; z drobnych-bo bardzo okruchów duże lepię domowstwo, a jeszcze mi i o piękność jego chodzi. Pracuję nad niém *con amore*, jak nigdy.“

„Mam myśl nowéj powieści, w rodzaju „Latarni“. Stan naszych prowincyi co chwila to się mieni, trzeba go przedstawiać tak, jak jest. Tytuł ogólny odpowie najpospolitszéj u nas wadzie,—nazwę powieść: „Komedyanci“, — bo któż dziś u nas nie gra trochę komedyi? A zaostrzę pióro, jak nóż.“

„Rzuciłeś mi myśl do trzeciéj części „Ostapa Bondarczuka“, którą zapewne pochwycę; ale nie będzież to odbicie pierwszéj części?“ Przypuszczamy, że tą trzecią częścią być musiał „Hryć Soroka“ napisany w rok późniéj. Do roku zaś 1845 należą: „Tomko Prawdzic“ — ostatnie słowo onych studyów filozoficznych, któremi się lat parę tak gorliwie zajmował, nazwany przez autora w liście do Podwysockiego waryacką powiastką, „Komedyanci“ i „Ostatni z Siekierzyńskich,“ poświęcony Syrokomli na pamiątkę jego pobytu w Hubinie, oraz „Kordecki“, jak się przekonywamy z listu do Podwysockiego z dnia 27 Września v. s. „Mimo choroby, a raczéj dla tego, żem chory, żeby się zadurzyć, piszę, a piszę. W téj chwili dokończywszy „Komedyantów“ (nie zapominajmy, że w Marcu pisał zaledwie o powziętym świeżo pomyśle do nich) i „Siekierzyńskiego“, siadłem do „Kordeckiego“ Co za przedmiot! Już tom I napisałem i zapalam się do téj wielkiéj postaci i sceny ogromnéj. Jak temu podołam, to drugie pytanie. Są i inne projekta, ale kto da siły, kto da wytrwanie, którego się zaczyna przebiérać, tak czuję czas i potrzebę spoczynku!“

W korrespondencyi z roku 1851 nie spotykamy wzmianki o niczém nowém, wiemy jednak, że w tym czasie powstały: *Hryć Soroka*, drukowany w Bibliotece „Warszawskiéj“, a w r. 1852 przerobiony i w całości wydany p. t. „Ladowa pieczara“, i „Stary sługa.“

W roku 1852, dowiadujemy się o „Złotém jabłku“, „Interesach familijnych“ i „Dyable“, o których tak sam autor pisał do Podwysockiego: „*Złote jabłko*, jakkolwiek lekkie i głupie sobie, przedstawić miało *autant que faire se peut*, stan właścicieli ziemskich i ich kłopoty. At! dobrze się pośmiać, gdy się płakać sprzykrzyło. Co się tycze „Interesów familijnych,“ w tych chciałem przedstawić: czém był wiek XVIII w „Kasztelanicu“; jak zło jest zaraźliwe —w „Jaśku; co za stworzenia zaludniają u nas sądy — w Sobackim. Te trzy typy są główne. Wreszcie chciałem rozmaitości charakterów i obrazków.“

W końcu Grudnia dopiero donosił że pisze „Dyabła“ dla Gazety Warszawskiéj, o którym w Marcu następnego roku znowu wspomniał w te słowa: „napisałem powieść z czasów Stanisława Augusta. Boję się, co o niéj powiecie. Na biedę, gdym ją pisał, to mi materyałów brakło, a dopiero teraz dostałem tak wyśmienity, że gdyby można, to bym gotów całą rzecz przerobić; ale Lesznowskiemu już *Dyabła* i san dyabeł nie wydrze.“

Rok 1853, a przynajmniéj w pierwszéj swojéj połowie, nie mógł być produkcyjnym dla Kraszewskiego, musiał w nim bowiem puścić Hubin w dzierżawę, kupić dom w Żytomierzu, odbyć podróż do Romanowa i przesiedlić się na nowe miejsce, co wszystko razem zawiele nastręczało kłopotów i trudów, aby mógł przy tém mieć czas i ochotę do literackich zajęć.

Z Hubina wyjechali państwo Kraszewscy pierwszych dni Lipca, ale się zatrzymali w Kisielach u pani Urbanowskiéj, chcąc przeczekać panującą podówczas na Wołyniu cholerę. Dopiero w połowie Sierpnia v. s. sam Kraszewski ruszył ztamtąd do Żytomierza, gdzie zaledwie w drugiéj połowie Września nadciągnęła cała rodzina.

Jakkolwiek na wsi nie mało trosk i kłopotów zaznał Kraszewski, wszelakoż z bólem serca ją żegnał i wspomnieniom jéj cały poemacik poświęcił, z którego kilka strofek bierzemy dla zamknięcia tego okresu jego życia:

Mnie żal méj staréj wioski, jak starego świata,
Żórawi moich studeń, płotów z chrustku tkanych,
Gdzie z przyzbą białą czarna śmiała mi się chata
W ogródku z wisien nizkich i bzów rosczochranych
Żal mi i ludu tego, co z nami żył w parze,
Sercem przy sercu naszem, z dłonią w naszéj dłoni!..
Żegnajcie starzy moi bracia gospodarze!
Cześć waszym sercom czystym, waszéj siwéj skroni
Żegnaj mi dworze, wiosko, pola i cmentarzu,
Ludu poczciwy i ziemio poczciwa,
Ty krzyżu, opiekunie stary i włodarzu,
Stary dębie, schylona brozo, wierzbo krzywa,
I oczko jasne, świecące w pierścieniu,—
Stawku, drzemiący w drzew chłodzie i cieniu!
Nigdy się nigdy nie zobaczym więcéj!
Tylko wasz obraz, w méj duszy wyryty,
Jak obraz matki na duszy dziecięcéj,
Pójdzie, gdzie pójdę, pójdzie niezabyty,
A w śmierci chyba godzinie
Z ostatnią łzą mi wypłynie!

———

Pierwsze wrażenia w Żytomierzu, dla obojga państwa Kraszewskich, przyjemnem



Dom niegdyś J. I. Kraszęwskiego w Żytomiérzu.

wcale nie były. „Siedzim w naszym domku (pisał do brata Kajetana w Listopadzie) oboje po troszku chorując, na pustyni, a w zgiełku, —w ciągłych ludziach od rana do wieczora, tak, że się opędzić trudno, a w obczyznie. Ja ledwie znajdę czas co napisać, ledwie mogę co zrobić, a męczę się okropnie! Zofia nie mniéj utrapiona; ale to dopiero początki,—jakoś to się ureguluje".

To uregulowanie się jednakże przychodziło nie łatwo, a coraz nowe przybywały kłopoty: treba było myśléć o wychowaniu dzieci; szukać dla nich nauczycieli i, towar ten sprowadzając z daleka, a targując jak kota w worku, doznawać nieraz niemiłego zawodu, trafiwszy na próżniaka, nieuka, lub jakiego urwisa.

Dla stosunków serdecznych państwo Kraszewscy w Żytomierzu mieli z razu tylko jedyny dom państwa Komornickich i pani Steckiéj, towarzyszki lat młodocianych pani Zofii w Horodcu, zanim się bliższe zawiązały stosunki z nieco większém, lecz zawsze ciasném kółkiem poufalszych znajomych.

W jesieni 1853 roku wielce się ucieszyli przybyciem pani Urbanowskiéj, która, Horodec wypuściwszy w dzierżawę, dla nich głównie postanowiła zimę w Żytomierzu przepędzić.

„To jedno (pisał Józef do Kajetana) cokolwiek nam robi miasto znośniejszém; reszta tłum obcych, tłum cudzych. Żytomierz — pustka wielka, dla literatury i sztuki — wygnanie; myśl tu się niczém nie zaprząta, a karty w wielkiéj modzie. Ja życie wiodę, a raczéj wieść chcę, jak na wsi, ale nie umiem,—gości pełno. W téj chwili jest tu i Wicherski, (Alexander, z Odessy), który twoję Bogarodzicę przeglądał, i *dziwował się jak kum kumie, że tak ślicznie pisać umie*".

Nie długo wszakże pani Urbanowska osładzała państwu Kraszewskim przykre początki te pobytu w Żytomierzu. W Styczniu 1854 roku już pan Józef pisał do Romanowa: „Dotąd nie miałem ani siły, ani czasu uwiadomić rodziców o nieszczęściu, jakie nas spotkało, o stracie pani Urbanowskiéj, która dla Zofii, dla nas obojga, była drugą matką. Łuniewski, którego tu Pan Bóg zesłał, żeby nam w téj nędzy pomagał, napisał obszerniéj, ja nie mogę; chory byłem i bardzo jeszcze niezdrów jestem; Zofia jak cień chodzi. Cośmy wycierpieli przy dwukrotném jéj konaniu, przy chorobie i po zgonie, Bóg jeden policzył. Okropna to była choroba i śmierć, bo biedna święta nasza straszliwie się męczyła! We czwartek przed Nowym rokiem nareszcie była chwila, w któréj się wszystkim zdało, że po przyjęciu św. Sakramentów i poblogosławieniu nas skończyła. Szarytki, będące przy niéj, oczy jéj zamknęły, zastygła; ja chciałem wyprowadzić żonę, gdy nagle wróciło życie i nadziéja. Ale na to tylko, żebyśmy na drugie, prawdziwe już konanie patrzyli w niedzielę rano. O pół do piątéj jeszcze przyjęła ode mnie ostatnią łyżeczkę lekarstwa, a o kwadrans na szóstą już nie żyła! Ja dostałem długiego serdecznego śmiechu i położyć się musiałem po nim, a jeszcze i dziś czuję ból w sercu. Tak się nam zaczął rok 1854, niedobry, ciężki, smutny. Zofia tak ciągle płacze, że jéj listu tego dawać nie chcę, bo znowu-by płakać musiała, biedna, a tak strasznie zmieniona i wycieńczona! Bardzo-bośmy teraz sieroty, bardzo sieroty!"

W ślad za tém zaczęły się dla Kraszewskiego bardzo ciężkie kłopoty majątkowe: ostatnią wolą nieboszczki Urbanowskiéj, która posagowe swe dobra, Kisiele i Pisarzówkę, przekazała trzem swoim siostrzenicom, t. j. pani Stachowskiéj, Bratkowskiéj i Kraszewskiéj, dla dalszych krewnych zostawiwszy na nich legata, było: aby państwo Kraszewscy swych współsukcessorów spłacili, a sami przy Kisielach zostali; należało więc starać się o pieniądze dla szwagrów, którzy ich niezwłocznie potrzebowali, i zająć się podziałem spadku, co wszystko prowadziło za sobą i zgryzot, i mitręgi nie mało, zanim się ostatecznie interesa uregulowały. Spadek zaś ten, którego *część najczystszą*, jak o nim Kraszewski się wyraził, stanowiły *łzy gorzkie, utrapienie i smutek*, powiększając jego fortunę, w dwójnasób mu przyczynił długotrwałych ciągłych kłopotów; bo dla zaspokojenia swych współdziedziców nie tylko musiał w banku i u ojca się zapożyczyć, lecz nawet pani Zofia sprzedawała swoje klejnoty, żeby uiścić się z wszelkich legatów.

Na urzędzie Kuratora honorowego szkół w tém trzechleciu Kraszewski zatwierdzony nie został, czém się wcale nie zmartwił, we trzy bowiem miesiące po wyborach uskarżał się Podwysockiemu na ten zaszczyt, o który się bynajmniéj nie ubiegał; gdyż na osiedlenie się w Żytomierzu sześć tysięcy rubli wydawszy i na utrzymanie się w mieście potrzebując wiele wykładać, z trwogą myślał o nowych kosztach, jakieby z obowiązku swego musiał ponosić. I bez urzędu wszakże ze szkołami ciągłą miał styczność, w pierwszym już roku pobytu w Żytomierzu starszego syna do gimnazyum oddawszy, a młodszego do wstąpienia także przygotowując.

Ztąd też i tryb domowy życia stosownie się ułożył,—„sam przez się stał się miejskim, (tak go opisywał w liście do matki) bo nasz student powraca w pół do trzeciéj z klassy, więc wstajemy nie rano; o 8-éj—9-éj herbata, o 12-éj do 1-éj śniadanie dla dzieci, około 3 éj obiad, czasem późniéj, około ósmej herbata, i już potém do 10—11 siedzimy razem, a potém czytanie, pacierze, i tak do północy lub późniéj. Ja mniéj piszę a więcéj bywam w towarzystwie, choć go unikam; mniéj mam czasu na literackie zajęcia, a oprócz tego maluję niby i gram. Znajomości porobiło się nadto; ale w świecie my mało bywamy, Zosia zaś mniej jeszcze ode mnie. U nas za to ludzi dosyć, co wieczór na herbacie ktoś miejscowy lub przyjezdny. Żytomierz zresztą spokojne, parafiańskie miasteczko; okolica prześliczna! nic u nas w kraju nie widziałem piękniejszego. Nasz dom w środku miasta, a w kątku i w ciszy,—od ulicy ogródek go oddziela".

Muzyką w owym czasie z wielkim zamiłowaniem zajmował się Kraszewski. „Grywam więcéj niż kiedy (pisał w Grudniu 1855 do brata Kajetana) ciągle na cztery ręce z fisharmoniką i fortepianem, co regularnie idzie. W ten sposób z Czapkiem (był to nauczyciel muzyki w Żytomierzu, Czech) układamy sobie śpiewy Mendelsohna Bartoldy, Sonaty Beethovena i t. p. Są umyślnie tak pisane niektóre rzeczy. Twoje *Duo* często się powtarza; ale gdybyś co dłuższego i wyraźnie napisał dla mnie na fortepian i na fisharmonikę, wielkąbyś mi zrobił przyjemność".

Często też w listach Kraszewskiego z tego okresu do pana Kajetana spotykają się o muzyce różne uwagi, z których choć parę powinniśmy przytoczyć, dla zaznajomienia czytelników i z tą stroną jego zdolności i upodobań.

Oto są one:

Z dnia 28 Marca (9 Kwietnia) 1855 roku.: „Spieszę ci, kochany Kajetanie, podziękować za twoję przesyłkę nut, która mi wielką zrobiła przyjemność. Odebrałem ją w łóżku, bo dostałem był rodzaju febry artrytycznej, a tém więcéj mnie ucieszyła, że nie miałem nic nowego ani do grania, ani do czytania. Wstałem tegoż dnia i rozpocząłem od twego fragmentu na fortepian, który mi się niezmiernie podobał,—już go prawie umiem, i śpiewa mi w uchu. Ślicznie napisany. Duo także wyborne, a z reszty najlepszym mi się zdaje mazurek: *Pewnie lodem są twe oczy.* Słowem, nabawiłem się i tobą, i portretem Szopena, dla mnie nieznajomym; i *Preludyami*, które są szalenie trudne czasami, ale wszystkie cudne! Gdzie ten człowiek brał formy i myśli? zkąd mu one płynęły?"

Z d. 24 Marca (5 Kwietnia) 1857 r. „Trio twoje graliśmy kilkakrotnie tu i zawsze z równą, a nawet coraz większą przyjemnością. Ostatnią część, fugato, znawcy bardzo cenili wysoko, bo ma i surowość formy, i trzeźwość, a rozwinięcie i wdzięk, który w téj sukience rzadko chodzi. Pierwsza część wdzięczna, ale może za mało rozwinięta,—należałoby ją obszerniéj traktować. Co się tycze fisharmoniki, trzeba na niéj unikać siekanego akkompaniamentu i nut odrywanych, choć zrzadka, dla kontrastu, i to się użyć może. Teraz, w czasie już trzytygodniowego pobytu u nas Apolinarego Kątskiego, ciągła muzyka, przez dzień, lub codzień.. Kwartet szczególniej Mendelsohna króluje; grano tu jego *Duo, Trio* (fortepian zwykle i wiolonczella). Kwartet na rznięte instrumenta i drugi z fortepianem; Trio Beethovena, kwartet tegoż (dzieło 18). Kątski w exekucyi klassycznej nieporównany, Buddeus (fortepianista) wyborny, wiolonczella, Stephens z Petersburga, wyborny także. Ciągła więc muzyka i nauka. Wczora było Trio na 1-e Preludyum Bacha, zrobione przez Gounoda: fortepian, skrzypce i organek, to jest Buddeus, Kątski i ja. Poszło wybornie! Oprócz tego duetów, to jest układań na organek i fortepian, arcydzieł starych, całe stosy. Posprowadzałem co tylko gdzie było i mam co grać. Twoje *Dua* między innemi także przychodzą często... gdyby były wyraźniéj pisane!... Ale ja je czytam, a inni ślepią i nie mogą. Za drobny, Szopenowski masz charakter muzyczny".

Z d. 27 Stycznia 1857 r.

„Posyłką twoją ucieszyłem się jak dziecko, ale kiedy spróbuję to *Duo*, nie wiem; na to trzeba zdrowia trochę. Próbował mi go Moczulski, słuchałem z daleka, leżąc w łóżku,—śliczne! *Larguetto* piękne, ostatnia część rozumna i wysokiego stylu; ale reszta, gdy sam zagram. Ja i Zosia za dedykacyą dziękujemy serdecznie, serdecznie!... Obiecuję sobie z niego wiele rozkoszy, bo twoje kompozycye na prawdę są więcéj, niż ino braterskiemi dla mojej duszy: coś w nich czuję swojego, wiem, że gdybym umiał, takbym a nie inaczéj pisał".

Z d. 28 Stycznia 1858 r.:

„Otwieram list, już zapieczętowany, aby ci powiedzieć, że pięć razy z rzędu graliśmy poważne i pysznie napisane twoje 4-e *Duo* i Czapek niezmiernie je wychwalał. Są nowe effekta całkiem, i nawet szóstki dwa razy wiązane dobrze idą, ale basy się

podwaja, żeby wychodziły. Oryginalne jest to, co, w *Re* major przeszedlszy, piszesz na dwa instrumenta. Faktura śliczna, ale, niestety! krótkie to bardzo, choć bardzo piękne. Wyjście potem śpiewu, który dwa razy się powtarza w *Si* bemol, bardzo majestatyczne; w ogóle cale *Duo* ma poważnego coś i wielkiego w sobie; jakby stary ktoś pisał; a po niém grając Beethovena *Grand Trio* Op. 3, aniśmy uczuli różnicy stylu—to dosyć będzie dla ciebie, jak sądzę".

Z wyjątkiem onej wielkiej fety muzycznej, którą, dzięki Kątskiemu, w roku 1857 przez cały się miesiąc raczył Kraszewski, pospolicie akkompaniatora do ulubionych swych organków miewał najczęściej we wspomnianym już Czapku, albo w panu Moczulskim, jednym z ukształceńszych młodych obywateli z okolic Żytomierza (z Diwoczek) z którym się zaprzyjaźnił, bądź też w imienniku swym, panu Włodzimierzu Kraszewskim.

Rok 1856 nowe zmiany w życie Kraszewskiego wprowadził. W Maju zjechało się obywatelstwo Wołyńskie na Wybory do Żytomierza, i Kraszewski, stale już zamieszkały w tém mieście, uchylić się od udziału w nich nie mógł. Musiał nawet przyspieszyć swój powrót z Romanowa, dokąd wraz z żoną tego roku jeździł w gościnę i dokąd też państwo Lucyanowstwo przybyli; na pamiątkę zaś tego zjazdu familijnego, na którym po raz pierwszy, po dość długiéj rozłące i rozproszeniu, wszyscy trzéj bracia wraz z żonami w jedno się rodzinne kółko zebrali,—napisał i poświęcił braterstwu piękną legendę „Stary Zamek", ogłoszoną w „Tece Wileńskiej".

Spieszył zaś przedewszystkiém dla dogodzenia ojcu, który koniecznie chciał go widzieć na urzędzie obywatelskim. To też niebawem po powrócie, 31 Maja (12 Czerwca) pisał do p. Kajetana: „Dziś rano, podniesiony na ręku współobywateli do koła marszałkowskiego z okrzykiem, obrany zostałem znowu, jednogłośnie, kuratorem szkół, i pracuję nad formularzem moim do potwierdzenia, co trudniejsze do napisania od czterotomowéj powieści, bo tu istotnie z niczego trzeba cóś stworzyć. Może będę, a może nie będę potwierdzony, Bóg to wie; ale wiem, że toby przyjemność ojcu zrobiło i zobowiązałem się obierającym, że o potwierdzenie starać się będę. Od przyjazdu chodzę w mundurze (obywatelskim) i tak mi śmiesznie, jakbym do szkół powrócił."

Potwierdzenie nastąpiło nierychło, bo zaledwie przy końcu Stycznia roku następnego, *de facto* wszakże już się urzędowanie rozpoczęło, a z niém jeszcze więcéj stosunków i przeszkód w pracy Kraszewskiemu przybyło. „Rodzaj życia, jaki tu prowadzimy (pisał w Grudniu 1856 do Kajetana) jest nieznośny. Od rana do wieczora w moim pokoju jarmark i, jak stara prababka mówiła, *Zarwańska ulica*. Robota się dziesięć razy przerywa w pięciu wierszach, a człek, słuchając głupstw cudzych, sam głupieje: wieś lepsza do pracy, a ja do niéj stworzony jestem; miasto wielkie—ma resursa, małe—jest wielką lichotą. Ludzie tu poczciwi, nie przeczę; ale i z najlepszych ingredyencyi można zrobić niesmaczną potrawę, świadkiem nasz *Denis*, gdy mu się nie chce, albo gdy się upije. Cóż ci doniosę? maluję, durzę się, piszę i nie piszę, cały dzień walęsam się, nie do rzeczy paplę, i kładę się zmęczony, jak gdybym młócił w stodole."

Z potwierdzeniem wszakże na kuratorstwie jeszcze uciążliwsze życie nastało: musiał udać się zaraz do Kijowa dla złożenia przysięgi i dla przedstawienia się generałgubernatorowi i kuratorowi uniwersytetu, i dni dwanaście tam przepędził, upadając pod brzemieniem uczt rozmaitych, balów i wieczorów, wizyt i rewizyt bez liku, bo działo się to podczas kontraktów; wróciwszy zaś do Żytomierza, trafił na zjazd marszałków, przybyłych dla powitania nowego gubernatora i na nowo wpadł w odmęt fet i ciągłych zabaw karnawałowych, których tak serdecznie nie lubił.

„Nareszcie rozpocząłem już to tak zwane urzędowanie (pisał do rodziców w końcu Lutego); wizytowałem uroczyście szkoły i pensyonaty; musiałem wejrzéć w utrzymanie uczniów i najuboższym dopomódz choć tyle, żeby nie byli głodni. Wszystko to razem z podróżą do Kijowa i wydatkami, z tego źródła wypływającemi, już przeszło siedmset rubli wynosi, a jeszcze mam przed sobą obiad, który wydać muszę dla professorów, dyrekcyi i władz, nie licząc drugiéj podróży do Kijowa, jak tylko powróci z Petersburga kurator uniwersytetu, którego pierwszą razą nie zastałem. Dotąd idzie mi nieźle, choć te urzędowe przedstawienia, formy, papiery i t. p. dosyć ciężko mi nauczyć się zachować, pisać i t. d. Jest to urząd trochę reprezentacyjny, mało znaczący i niewielką dający moc zrobienia dobrego; wszakże i to się na coś przydać może."

Jakoż przydało się istotnie, jak widzimy z listu do Podwysockiego, do którego na początku 1859 roku tak pisał: „źle robi wasz poczciwy kurator, że w Kijowie nie bywa i o szkoły mało się troszczy. Ja ztąd

się pozbywając nieznośnego dyrektora gimnazyum, mimowolnie wam się nim przysłużyłem. Już gorszego nigdy miéć nie będziemy; ale co mnie zgryzoty wydalenie jego kosztowało, trudno wypowiedziéć,“

Kto wie, jak jest demoralizującym i zgubnym dla młodzieży wpływ złego dyrektora, łatwo pojmie doniosłość zasługi Kraszewskiego, który nie szczędził trudów i zabiegów i poruszył wszystkie sprężyny swych rozległych stosunków, aby od tego wpływu powierzone sobie szkoły uwolnić.

Jak zaś dbał o te szkoły, jak gorliwie spełniał tak lekceważony przez innych obowiązek, można z tego powziąć wyobrażenie, iż gdy examina nastały, to codziennie po cztery godziny z rana i tyleż po obiedzie assystował przy nich w gimnazyum; assystencyi zaś kuratora z tak rozległą wiedzą i z tak głośném imieniem, ani dyrektor, ani nauczyciele nie mogli bez wątpienia brać za próżny tylko formalizm, i jak w trybie examinowania uczniów, tak też i w opiniowaniu o ich postępie, musieli się na niego oglądać, co nie mogło być bez korzyści dla téj młodzieży, która ze swojéj strony zapewne się o to starała, aby go nie zasmucić i wstydu wobec niego nie zaznać.

Lecz nie tylko w ważniejszych, wyjątkowych okoliczności Kraszewski okazywał swoję gorliwość; w każdym dniu i nieledwie w każdéj godzinie dawał jéj nieustanne dowody. „Donosiłem ci,—pisał do brata,—o kupnie wierzchowca araba, który mnie bawi dosyć, choć trzęsie okropnie; *) ale i na niego, i na inne moje miłe zajęcia i rozrywki teraz skąpo czasu, bo cały dzień drzwi się nie zamykają, a interesów cudzych, obowiązków szkolnych i t. p. —mnóstwo, które iść powinny przed wszystkiemi. Życie urzędnika takiego rodzaju, całe na posługach drobnych, zabiera czasu ogromnie; nic officyalnie zrobić nie można, ale wszystko robić potrzeba to wstawianiem się, to prośbami, to kieszenią, a czas się traci, tak, że ja ani maluję, ani gram, ani piszę, ani czytam prawie, tylko urzęduję.“

„Ojciec utrzymywał (pisał do matki), że to urząd do niczego nie obowiązujący, bo go tak widywał pełnionym; ale sumiennie chcąc się z niego wywiązać, i opiekę nieustanną, i oko, i pieniądze miéć potrzeba na zawołanie.“

Nie szczędził też ani trudów, ani pieniędzy: wspierał uczniów ubogich, zaopatrywał ich i w książki, i w odzież, płacił nieraz za nich wpisowe, a nadto w swoim domu miał zawsze na utrzymaniu, jeśli nie dwóch, to przynajmniéj jednego wychowańca, przybranego za towarzysza do swoich synów. Jemu też to przeważnie zawdzięczało gimnazyum znaczną pomoc pieniężną, którą przyniósł r. 1857, w Marcu, koncert, wydany przez Apolinarego Kątskiego. „Trzystu kilkudziesięciu studentów, professorowie i ja, assystowaliśmy; zebrano dwa tysiące na ubogich uczniów, a chłopcy poczciwego muzyka wynieśli uwieńczonego na rękach. Ja to znowu urządziłem sam.“

Nie same jednak kuratorskie zajęcia obarczały w tym czasie Kraszewskiego. W liście, tylko co przytoczonym, znajdujemy jeszcze wiadomość, że przez współobywateli, których kosztem zbudowany był Teatr Żytomierski i stanowił własność obywatelską, powołanym został na dyrektora téj instytucyi. „Urządzenie teatru (pisał) całkiem na mojéj głowie. Wczoraj wyprawiłem kogoś umyślnie do Wrocławia po garderobę, a do Lwowa i do Krakowa po aktorów; buduję w gmachu teatralnym ganki, piece i t. p. Kassa przy mnie i cały kłopot; późniéj tylko, gdy się urządzi, część estetyczna należéć do mnie będzie. Polecono mi także sprawienie dekoracyi, które będzie robił Gruppius w Berlinie, zaopatrzenie biblioteki, i t. p.... Gdzie tu co pisać? Jednak czasem parę godzin rano pracuję, parę godzin przed wieczorem, i tak się pisze listy do Gazety, lub poczęte powieści.“

Lecz i na tém jeszcze nie koniec: obrany dyrektorem klubu szlacheckiego, musiał też i jemu czas swój poświęcać, a chcąc go uczynić nie samym tylko przybytkiem balów odświętnych i gry w karty codziennéj, od razu za 180 rubli gazet rozmaitych zaabonnował. Dalej, jako dyrektor zawiązanego w 1857 r. Towarzystwa Dobroczynności, i w niém pracą i radą swoją dobru powszechnemu, jak mógł, tak służył, a na po-

(*). Oto jest owo doniesienie: „Ach bracie! przed tobą muszę się przyznać do wielkiego, głupstwa które popełniłem tylko co (24 Marca 1857 r.): zachciało mi się konia wierzchowego... miasto... na ladajakim jeździć się nie chce, wyjeżdżonego dostać było trudno. Pojechałem do najsławniejszéj po Sanguszkowskiéj stajni Żurowskiego i kupiłem pod wierzch arabskiego ogiera (Tamar), lat pięć na szósty, za 600 rubli! Ujeżdżony jak pod kobietę, a jak dyabeł żywy, ciemnoróżowy szpak“. W Czerwcu jeszcze cieszył się nim jak dziecko i odsyłał Kajetana do feljetonu Czasu, żeby z artykułu p. t. „Wyprawa do Arabii po konie“ przekonał się co zacz jest w prostéj linii dziad Tamara. Lecz w końcu tegoż roku donosił: „Tamara sprzedałem, aby nie stał daremno, gdy pojsdę za granicę; odebrałem za niego swoje 600 rubli, a jeździłem do jesieni i raz pysznie spadłem, choć na miękką ziemię, bo swawolił czasami.“

czątek, korzystając z bliższych stosunków z Kątskim, sprawił to swoim wpływem, że wirtuoz ten, tak podówczas słynny i wzięty, grą swoją przyczynił się do zasilenia młodego Towarzystwa, o czém świadczy list jubilata do p. Kajetana, gdzie czytamy: „do téj pory, jak tu jest, wirtuoz nasz nic dla siebie prawie nie zrobił, ale trzema koncertami na ubogich dał nam już 1500 rubli do różnych kas i instytutów.“ W końcu, jako naczelnik komitetu statystycznego, i na tém stanowisku nie próżnował Kraszewski, jak się o tém przekonywamy z listu jego do p. Kajetana w jesieni 1854 r. „Milczałem długo z powodu, żem latał po świecie. Historya taka: spodziewamy się tu od dnia do dnia W. X. Konstantego; przyszło pismo od ministra z zawiadomieniem, że kazano przygotować statystyczne wiadomości i rysunki budowli starożytnych w gubernii; a że komitet statystyczny pod moją zostaje opieką i rozporządzeniem, musiałem sam jechać rysować. Zrobiłem 450 wiorst w cztery dni, a dziś wyjeżdżam jeszcze zrobić dwieście kilkadziesiąt i dokończyć wszystko, co trzeba. Niektóre rysunki już są gotowe, inne powoli przysposabiam, ale roboty mam mnóztwo.“

Podczas tych-to exkursyi, wpadłszy do Łucka, dowiedział się Kraszewski, że zamknięty i spustoszały kościół po-Bonifraterski został wystawiony na licytacyą i kupiony przez żyda, który chciał w nim jatki założyć. Wszedł więc zaraz z petycyą do gubernatora, przedstawiając ogólne prawa synodu, które miejsc poświęconych nie pozwalają sprzedawać niechrześcianom, i prosząc, aby mu pozwolono zaprzedane mury odkupić. Gubernator odniósł się do General-Gubernatora i wnet kazano oddaś rzeczony kościół Kraszewskiemu, który zwróciwszy 1300 rubli żydowi, stał się legalnym właścicielem poświęconéj ruiny, o czém z wielkiém uradowaniem pisał później do ojca, winszując sobie, że potrafił od profanacyi i zniszczenia ostatecznego zabezpieczyć dawny Przybytek Pański. „Pan Bóg tak chciał podobno (przytaczamy jego wyrazy), ażeby przykład dobry i prejudykat się zrobił na przyszłość. Grosz, jaki miałem, chętnie poświęciłem dla chwały Bożéj i dla ocalenia ołtarza. Wszyscy się dziwią, że mi ten interes tak gładko poszedł i bez żadnéj trudności.“

W skutek tego wszystkiego, popularność naszego jubilata była ogromną; ale też ciężko musiał na nią pracować i okupywać ją ofiarami bez końca.

Tak np. czytamy w liście pani Zofii do rodziców z d. 10 Września 1857 r. „Józio zeszłéj zimy wybierał się za granicę i miał pasport prawie już w ręku; lecz gdy urzędowanie spadło, przez zbytek sumienności pozostał. Teraz wcześnie zaczynam pracować nad nim, aby wszystkie trudności na bok usunął, a myślał o poprawie zdrowia. Przekonaną jestem, że nie wody, nie kuracya, bo w nie nie wierzy, ale sama przejażdżka, samo oderwanie się od pracy wielkie dobro może mu zrobić. A pracę niesłychaną ma teraz! Już nie tę dawną, która choć męczyła, lecz razem i przyjemność sprawiała; ale pracę śród ludzi, z ludźmi i dla ludzi, *bo się nauczyli nikogo o radę, o pomoc i posługę nie prosić, tylko jego.* Miłą jest zapewne ogólna miłość i szacunek u ludzi, lecz go czasem to życie nie jego zamęcza do choroby, do rozdrażnienia takiego, że po prostu upada pod niém.“

I nie dziwy! Oto np. próbka tego życia z dwóch dni jedynie (galowego i powszedniego), którą bierzemy z listu Kraszewskiego do brata: „Dzisiaj o dziesiątéj w mundurze u marszałka (wprzódy przyjmować musiałem u siebie professorów i gymnazyum całe); daléj o pół do jedenastéj u gubernatora, później u Biskupa, u vice-gubernatora, w kościele. Jutro posiedzenie komitetu teatralnego o dziesiątej, komitetu turemnego o jedenastej, w wieczór wybory w klubie, a dziś teatr uroczysty. Tak jest prawie codziennie—nie to, to owo; po trzy razy zaczynam pisać powieść dla „Gazety Warszawskiej“, a w tych ciągłych odrywkach nic mogę nic ulepić. Nawet znakomicie mnie to życie ogłupiło—ani chwili czasu.—Mam sobie polecone ułożenie nowego programmatu szkół, a może i urządzenie późniéj szkółek początkowych. Cieszę się tém, że z téj pracy, dla mnie ciężkiej, może być jakaś korzyść dla ludzi. Robię, co mogę, i to mnie pociesza; fraszka literatura, gdzie chodzi o ulżenie nędzy, o oświatę i ważniejsze dla społeczności zadania... Nie poznałbyś mnie, kochany Kajetanie, w tém życiu urzędniczém, które mnie nawet powierzchownie zmieniło: w mundurze, w czapce z gwiazdką, z bakembardami po pas ogromnemi, i starego, jak dziad“.

Wspomnieliśmy już wyżéj o popularności i ogólnem uznaniu, które zdobył sobie Kraszewski, nie tylko dzięki ustalonej sławie pisarskiej, ale też i przez pracę obywatelską: owóż wybitnym tej populorności dowodem była uczta, na cześć jego w dniu 19 Marca 1857 r. przez Marszałka gubernialnego wydana, o której tak pisał do ojca:

„Jeśli tego rodzaju sukcessa bawić mogą ojca, pocieszać, to się muszę pochwalić wczorajszym Świętym Józefem; naprzód z rana, począwszy od studentów i professorów, całe miasteczko było u nas z powinszowaniem. Marszałek gubernialny dawał obiad dla nas i zaprosił, co żyło,—było nas osób ze sześćdziesiąt, obiad wspaniały, muzyka, toasta, a dla mnie z Zofią ciężkie chwile do przebycia. Był i gubernator, i cały officyalny świat na tym obiedzie. Wiem, że to papie przyjemném będzie, i dla tego się tém chwalę. Narobiło mi to i zazdrosnych zapewne, bo to pierwszy przykład takiej fety dla urzędnika wybieralnego, ale to rzecz nieuchronna“.

Gdy zaś przed tém na dni dwanaście państwo Kraszewscy dali wieczór u siebie dla Kątskiego, to wszystko, co tylko było znakomitego intelligencyą, rodem lub urzędem, równie w mieście, jak w okolicy, skwapliwie pospieszyło na inwitacyą, i do godziny drugiej po północy, bez tańców i gry w karty, grono osób kilkudziesięciu najmilszej zażywało uciechy, serdecznie podobając w uczcie duchowej, jaką taki tylko gospodarz był w możności dla nich zastawić.

A nazajutrz Kraszewski, który zaledwie o godzinie piątej mógł zażyć wczasu, donosząc o tej uczcie rodzicom, pisał między innemi: „Wczorajszy wieczorek był bardzo świetny i piękny, a muzyka taka, jaką nie łatwo drugi raz posłyszéć: były skrzypce Kątskiego, fortepian, organek, wiolonczella, wyborny śpiéwak basista i baryton. Ciż sami dziś występują w urządzonym przeze mnie koncercie na ubogich“.— „Wieczorek ten szczególnym trafem przypadł w dzień mych imienin, według nowego stylu, a była to dwudziesta piąta rocznica dobrej onej nowiny, którą mi książę Dolgorukow zwiastował,—bardzo dla mnie pamiętna epoka życia... Porównałem położenie moje dzisiejsze z tamtém i podziękowałem Bogu, bo mi więcéj dał, aniżeli zasłużyłem. Ale te lat 25 zostawiły ślady, i wielebym dał, żeby ich nie mieć na sercu i na ramionach. O! jakem-to ja stary, kochany ojcze! jakem stary!“

Popularność ta wszakże, tak poczciwie zapracowana, ten szacunek i miłość, które się zdawały tak mocno w sercach współobywateli ugruntowane, wkrótce na ciężkie próby wystawione zostały. Nadszedł rok 1858, rozpoczęły się zjazdy obywatelskie dla narady w kwestyi włościańskiej, która najżywiej zaprzątnęła wszystkie umysły. Autor „Sawki“, „Ulany“, „Ostapa Bondarczuka“, „Jaryny“ i „Ładowéj pieczary“, nie mógł w sprawie tak ważnej, gdzie szło o losy tego ludu, który tak kochał, a z nim i o losy całego kraju, i o dobre imię tej szlachty, któréj się uznawał krwią z krwi i kością z kości, nie mógł obojętnym pozostać. Ale że w prywatnych zebraniach, czy to we własnym swoim domu, czy u Gubernialnego Marszałka, równie jak i na kontraktach Dubieńskich, miał niejednokrotnie sposobność przekonać się o usposobieniu umysłów i o intencyach współbraci, z goryczą przeto w duszy, przed rozpoczęciem narad z Żytomierza wyjechał, i tak z Kisiel pisał do Podwysockiego: „Ja umyślnie nie jestem w Żytomierzu i nie należę do rady, bo mi dano do zrozumienia, że się mnie obawiają, jako utopisty. Napisałem tylko list do Marszałka swego powiatu, który będzie czytany publicznie. Teraźniejszy stan umysłów w chwili tak ważnéj, gdy bez szkody dla siebie możemy uczynić, co sumienie i rozum każą,—przeraża mnie. Dużośmy gadali, a gdy zrobić przyszło, najpoczciwsi nawet uciekają się do sofizmatów najdziwniejszych. Serce mi się zakrwawiło; była chwila, żem pomyślał wyprzedać się i kraj opuścić. Teraz nieco się opamiętali, zawsze jednak instykt zachowawczy przeważa i zaślepia. Ledwie można im wytłómaczyć, że do zbytku interesu swego pilnując, gotowi właśnie go narazić“.

List ów do Marszałka Łuckiego, którym był wówczas p. Wincenty Korwin Piotrowski, dziś inicyator i promotor upominku jubileuszowego od dawniejszych współobywateli Kraszewskiego, dzięki uprzejméj uczynności jego mamy użyczony sobie w oryginale.

Dokument to niezmiernéj wagi, dowodzący i wytrawnego sądu, i wielkiéj znajomości rzeczy, i głębokiéj przenikliwości, proroczo prawie przyszłość przewidującéj. Żałujemy, że wzgląd na rozmiar naszéj pracy, która już i bez tego za wiele w téj książce miejsca zabrała, nie pozwala nam tego listu podać w całości, i musimy tylko zaznaczyć, że był to wniosek bardzo umiarkowany, bardzo oględny i rozsądny; a jednak, odczytany na zjeździe w Żytomierzu, wielką wrzawę wywołał, i Kraszewski, wróciwszy z Kisiel w Lutym, jakkolwiek nie chciał uczęstniczyć w naradach, narażonym jednakże został na bardzo przykre zajście z całém kołem obywatelskiem.

„Miałem dużo przykrości,—pisał do brata Lucyana — w sprawie publicznéj, powaśniłem się z połową świata tutejszego o włościańską przyszłość, ale o tém pisać nie chcę. Zjazd był burzliwy bardzo, ja się w końcu usunąłem... długa historya... Ale

dziś ludzie się przekonywają, żem ja miał słuszność“.

A do Podwysockiego w kilka tygodni później, postanowiwszy już wyjechać w podróż za granicę:

„Bezemnie więc narady tu się w komitecie odbędą, ale ja niepotrzebny, bo w tym sensie, jak ogół chce, niebym nic zdołał zrobić. Niepojęcie ważności tej kwestyi włościańskiej nadzwyczajne. Tu, według mnie, niéma innego wyjścia, jak od razu, szczerze i porządnie kończyć: dać sadyby i razem po kawałku gruntu, ale tak, jak wszędzie, za indemnizacyą, nie darmo. Swoboda bez własności—na nic. Sadyba—to nie własność, tylko przykucie; trzeba więcéj i inaczéj; ale bez szkody niczyjej można to wykonać“ (*).

Wkrótce jednakże zatarło się to nieporozumienie; serdeczna szlachta uwierzyła w dobre intencye Kraszewskiego, a jakkolwiek nie przyznała mu jeszcze całkowitéj słuszności, wszelakoż chciała dowieść, że go po dawnemu kocha i ceni, i przed wyjazdem jego za granicę wyprawiła mu, w imieniu całéj gubernii, wspaniały obiad pożegnalny w sali klubowéj, dnia 21 Kwietnia v. s.

Wszelakoż w sercu Kraszewskiego rozbudził się żal dawny, gdy, za powrotem z za granicy, zastał sprawę włościańską prawie w tém samém położeniu, w jakiém ją, wyjeżdżając, zostawił. Wtedy-to gorycz swoję wylał w *Listach* do „Gazety Warszawskiéj“ (Nr. 54, 1859 r. List II z daty 28 Stycznia), gdzie wyrzucając szlachcie Wołyńskiej egoizm, obojętność na dobro kraju, brak zupełny ducha ofiary i poczucia obowiązków obywatelskich, a dla zawstydzenia jej, wynosząc pod niebiosa stan moralny na Litwie, pisał między innemi:

„Tam jest życie, u nas śmierć, na którą podajże niéma ratunku, bośmy nareszcie poczciwego wstydu pozbyli“.

A dalej wykazując, jak trudno skłonić szlachtę do ofiar dla powszechnego dobra, mówił z goryczą:

„Potém, wróciwszy na własne śmiecisko, dostojny naczelnik szlachty chlubi się, że grosz z duszy oszczędził i nie dał go wyrwać sobie, i szczepi u współbraci tę zasadę dorobkowiczowską i żydowską, że lepszy szeląg, niż najświętsza ofiara“.

„Powiecie mi, żem pessymista, że kraj czernię. Nie! ja go kocham wszystkiemi siłami duszy i przez tę miłość dla niego krwawemi łzami nad nim płaczę, a to, co mówię, mało jeszcze, w miarę tego, co widziałem, na co patrzę codziennie. Jest i u nas garstka bezsilna pragnących pobudzić do życia, i nakłonić do spełnienia obowiązku; ale to *vox clamantis in deserto*. Gniewamy się srodze, gdy kto nam wyrzuca winy nasze, a poprawić się nie myślim; tłómaczymy je, sofistykując, jak gdyby z niedopełnienia obowiązku czémkolwiek wytłómaczyć się było można. Jak ów Szekspirowski król na pobojowisku, wołający: konia! królestwo za konia!—my krzyczymy ciągle: ocalcie obywatelskie kieszenie! sumienie i obowiązek za kieszenie nasze!“

„Nie wiem, czy potrafimy ocalić kieszenie nasze, które wysącza zbytek; ale dobre imię i przyszłość stracimy pewnie na téj drodze“.

Gorzkie te słowa, może nieco za ostre, ale w gruncie rzeczy prawdziwe, srodze obraziły szlachtę Wołyńską! powstał gwar niesłychany! ze wszech stron posypały się na Kraszewskiego srogie rekryminacye i listy bezimienne, pogróżkami i brutalstwem zaprawne.

Nie ulękły jednak wobec tej strasznéj burzy, w kilka tygodni potém pisał znowu do „Gazety Warszawskiéj“:

„List nasz, jak bardzo wiele słów niemiłych, nie został zrozumianym. Niechętni nam osobiście, lub poczuwający się do winy, znaleźli w nim powody do oburzeń i zaskarżeń;

(*) Co do kwestyi włościańskiej, nie możemy tu[tak]j pominąć bardzo ważnej wskazówki, jakiej dostarczył nam pan Andrzej Leszczyc Grabianka, jeden [z] najczynniejszych członków byłego Komitetu Wło[ś]ciańskiego gub. Podolskiéj:

„Widziałem go (pisze p. Grabianka w liście do Re[d]akcyi Książki Jubileuszowéj) 1860 r. w Petersburgu. [B]am naówczas w Głównéj Kommissyi, redagującéj pra[w]a emancypacyi i uwłaszczenia włościan, skoncentro[w]ały się projekta wszystkich komitetów gubernialnych. [N]ie chodziło Kraszewskiemu o wywieranie wpływu [n]a członków téj kommissyi, bo z całéj przestrzeni [gu]bernii północno i południowo-zachodnich, liczono [na]s trzech, a opinie nasze były dobrze mu znane. [A]le w tym właśnie czasie Kommissya nasza powoła[ła] Deputowanych z Komitetów prowincyonalnych dla [w]yjaśnień, dotyczących się potrzeb miejscowych, a przy [ty]m szlachta, mocno zainteresowana tą sprawą, licznie zjechała z różnych stron cesarstwa, przeważnie znakomitsi przedstawiciele jej z Litwy. Kraszewski widział jasno, że wielka reforma nie może być objęta w ciasnych ramach, i musi być na odpowiednich zasadach oparta. Dbał o to, aby szlachta jaśniała do końca tém światłem, jakiém zabłysła, dając inicyatywę kwestyi włościańskiej, aby się nie cofnęła przed niezbędnemi ofiarami; a gdy już wprowadzać się będzie, aby ją dobrze, serdecznie, jako z upragnieniem oczekiwanego gościa, przyjęła, nie tamując dalszego jej rozwoju. Nie zadał Kraszewski kłamu swym tendencyom szlachetnym, wypowiedzianym w tylu pismach wtedy nawet, gdy kwestya włościańska poruszoną jeszcze nie była. Nie zapomnę nigdy biesiady wśród licznych ziemian u przedstawiciela szlachty Litewskiej pana B. Z. Słowa Kraszewskiego płynęły, jak z nieprzebranego zdroju myśli i uczuć, zawsze wzniosłych i zacnych“. *(Przyp. autora.)*

uczepionno się nawet słów, przekręconych umyślnie, aby nam zadać oczernienie kraju i niesprawiedliwość względem niego. Niektórzy opponenci wynaleźli w wyrażeniu o domowém *śmiecisku*, które nie w sobie nie ma pogardliwego ani obelżywego, wielką winę i obrazę ogółu. Tu już śmiać się doprawdy trzeba z obrońców naszych prowincyi i odesłać ich do dykcyonarza... A! drogie śmieciska domowe! jakeśmy was i imienia nawet waszego zabyli".

„Nigdyście widzę nie pojęli i nie potrafili zrozumiéć, że człowiek może działać bez pobudek osobistych, miłując tylko dobro publiczne, i mierzycie mnie kusą miarą cudzą, na którąm przecie dwudziestokilkoletnią pracą nie zasłużył. Ja nic od was dla siebie nie chcę, ale wszystkiego dla was, dla kraju, dla dobra ogółu; uwierzcież przecie raz w życiu czystości chęci i pobudki."

„Com powiedział, tego nie odwołuję. Gniewajcie się. Gniew wasz pociesza mnie i raduje—żądałem go. Niech gniew ten na złość niegodziwemu oszczercy wywoła szkołę agronomiczną, towarzystwo dróg szosowych, szkółki dla ludu po wsiach, restauracyą kościołów, stały fundusz na podtrzymanie teatru; któż wie? niech jeszcze na złość mnie przyłoży się do uczynienia stypendyów przy gimnazyach dla ubogich uczniów, ochron po miastach, do pozamykania karczem po wsiach... Bez żadnéj przesady, jeśli, uczyniwszy to, czego po was kraj wymaga, zechcecie potém, jako oszczercę, ukamienować mnie na rynku, wyjdę na plac, uściskawszy żonę i dzieci, i stanę z twarzą pogodną na męczeństwo."

Na te zarzuty, powtórzone dwukrotnie, uczuł się w obowiązku odpowiedziéć publicznie, w imieniu całéj szlachty, jéj Gubernialny Marszałek, i uczynił to również w liście do „Gazety Warszawskiéj" (Nr. 129, 1859 r.), snadź ułożonym na ogólnéj naradzie, w któréj uczestniczyć musiał dr. Kaczkowski, zamieszkały podówczas w Żytomierzu; gdyż wszystkie argumenta przeciwko Kraszewskiemu, w onym manifeście zawarte, znajdują się i w broszurze Doktora, zatytułowanéj: *„Sprawozdanie, złożone stowarzyszeniu księgarsko-wydawniczemu w Żytomierzu d. 23 Kwietnia 1859 r."* a ogłoszonéj prawie jednocześnie z listem Marszałka, pierwszych dni Maja tegoż roku, przed samemi wyborami obywatelskiemi.

Było więc to coś nakształt *hajże na Soplicę!* Szło o uzbrojenie przeciwko Kraszewskiemu opinii publicznéj i o zadanie mu ciosu ostatniego, a przynajmniéj o upokorzenie go przez usunięcie od urzędu kuratorskiego.

Wprzód jednak zanim dzieje tego zamachu opowiemy, powinniśmy wyjaśnić, co zacz było wspomniane *Stowarzyszenie księgarsko - wydawnicze.*

Powstało ono z inicyatywy ś. p. Alexandra Grozy, któremu żarliwego poparcia udzielił dr. Karol Kaczkowski, cieszący się wielką popularnością na Wołyniu, jako też Pan Lipkowski, zacny obywatel Podolski, w Żytomierzu osiadły. Kaczkowski, obok wielu pięknych przymiotów, grzeszył niepomierną ambicyą, próżnym był i żądnym hołdów i kadzideł. Wziętość Kraszewskiego niezmierna była mu solą w oku; chciał go zaćmić a przynajmniéj dorównać mu znaczeniem i wpływem. Obok więc uczucia obywatelskiego, obok chęci najlepszych, *Stowarzyszenie wydawnicze* nastręczało mu dobry pretext do zaspokojenia miłości własnéj. Wziął więc je w swoje ręce i stał się głównym jego kierownikiem, a Groza prawie całkiem w cieniu pozostał. W jego domu zbierano się na narady i projekt ostatecznie uchwalono i zatwierdzono. Opierał się on na akcyach po 500, po 100 i po 50 rubli mających się uiszczać w czterech ratach w ciągu lat czterech. Fundusz ten miał posłużyć do prowadzenia *wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych* p. t. „Biblioteki domowéj", i przez zniżenie ceny książek, do uprzystępnienia ich klassom niezamożnym, a więc i do rozszerzenia oświaty. Akcyonaryusze od swych wkładek mieli procent pobierać w książkach nakładowych stowarzyszenia i uczestniczyć w dywidendzie czystego zysku.

Plan zaiste był piękny i ponętny; jako zaraz pierwszego roku, jak to sprawozdanie dra Kaczkowskiego opiewa, rozebrano akcyi po 500 rubli 36, po 100—67, po 50—4, ogółem akcyi 152 na summę 27,150 rubli, któréj pierwsza rata wyniosła r. s. 6,7.. i k. 50.

Oprócz tego, panowie Kaczkowski, Lipkowski i Kwiatkowski zawiązali spółkę osobną i, złożywszy 7000 rubli, otwarli na obsługę stowarzyszenia księgarsko - wydawniczego w Żytomierzu drukarnię.

Chętnie też i autorowie, wyzyskiwani dotąd przez księgarzy niemiłosiernie, pogarnęli się do téj spółki, ozdobionéj zacną firmą obywatelską, słusznie się spodziewając, że ich praca znajdzie u niéj lepsze wynagrodzenie, a dzieła ich, przez nią wydane, i jéj samej powodzenie większe zapewnią, i do pomogą do wyrwania handlu księgarskiego i pisarzy z rąk spekulantów. Jako

w rzeczoném sprawozdaniu figurują między innemi takie znakomitości, jak Bartoszewicz, Bielowski, Chodźko, Libelt, Odyniec, Siemieński, Syrokomla, Wróblewski (Koronowicz) i wielu innych, do których się następnie przyłączyli Zygmunt Kaczkowski i Karol Szajnocha.

Kraszewski wszakże nie chciał w tém przedsiębierstwie przyjąć udziału, znając bowiem dzieje podobnéj współki, założonéj dawniéj w Warszawie, i bacząc na miejscowe stosunki, nie wierzył w powodzenie téj sprawy, zwłaszcza, gdy ją na samym wstępie najfatalniéj zwichnięto, nabywszy nierozważnie Wileńską i Kijowską księgarnię Teofila Glücksberga za 17000 rubli, i zamiast rozmnażania i propagowania własnych nakładów, otwarłszy trzy księgarnie sortymentowe (w Żytomierzu, Kijowie i Wilnie), których obrót na ich utrzymanie nie mógł wystarczyć.

Kaczkowski tedy, urażony odmową, postanowił srodze ukarać za nią Kraszewskiego i w ślad za listem Gubernialnego Marszałka, ogłoszonym w Gazecie, drukując swoje sprawozdanie w broszurze, większą część jéj zapełnił oskarżeniami autora *Historyi kołka w płocie*, jak go ironicznie nazywał, i walką z nim o cześć Wołynia,—jakby zapomniawszy zupełnie o tém, co sam o nim przed dziesięciu laty w „Gwiaździe" napisał, a filippikę swą zakończył temi słowy:

„Ciężka spadnie odpowiedzialność za ten kamień na nas niebacznie ciśniony! My wszakże, Chrystusową spełniając naukę, chlebem za kamień oddajemy i nie ciskamy słów złośliwości i pogardy, ale raczéj pobłażania i braterskiéj miłości, jaką pragniemy mieć dla autora listów".

Masłem zapewne, czy też miodem do tego chleba, było zakończenie listu Marszałka gubernialnego w „Gazecie Warszawskiéj", gdzie taką znajdujemy insynuacyą:

„Szczerze wyznajemy, że nie pojmujemy tego żółciowego napadu p. Kraszewskiego, bo jeśliby nawet były powody jakieś skierowania na drogę pożyteczną, a pochodziły z prawdziwéj życzliwości dla prowincyi; nie z żółcią, ale z braterską miłością wypowiedziane, toż samo obudziłyby współczucie i z równą miłością zostałyby przyjęte. Wylanéj zaś żółci nie wiemy sami, czemu przypisać, czy osobistéj jakiéj niechęci, czy strategii: zacząć krzyczéć, aby nie krzyczano na nas;—czy nakoniec wyrachowaniu: uprzedzając zjazd wyborowy, gdy tam co się zrobi podług przygotowanych chęci szlachty Wołyńskiéj, o czém p. Kraszewski jest świadom, nie przypisać tego jéj saméj, lecz wziąć na rachunek uprzedniego swego napomnienia".

Na list Pana Marszałka wystosował odpowiedź Alexander Darowski, w któréj, z małemi wyjątkami, przyznał Kraszewskiemu prawie zupełną słuszność, rozpatrzywszy z kolei stan wszystkich owych instytucyi i spraw obywatelskich, któremi się szanowny przedstawiciel szlachty, tak samo, jak Kaczkowski, przechwalał, a w końcu dał mu taką nauczkę:

„Nie tu miejsce wyliczać zasługi Kraszewskiego, dość powiedzićć, że od pana Marszałka dawniéj i lepiéj publiczności znajomy; a pan Marszałek wnioskiem swoim *o wyrachowaniu* zrobił z niego jakiegoś dudka, strojącego się w pawie piórka. Powiedzićć, że sobie chce przywłaszczać jakieś cudze, niewypowiedziane szlacheckie myśli, człowiekowi, który blizko 30 lat obdziela swojemi myślami wszystkich, co tylko czytają i czują po polsku, na to potrzeba chyba człowieka, który ani czytać, ani czuć po polsku nie umie. Zaprawdę miał słuszność Kraszewski, kiedy się żalił, że go mierzą na cudzą, kusą miarę. Czy pan Marszałek umiemał, że gdy postawi Kraszewskiego w położeniu trudném podjęcia własnéj obrony, ujdą mu bezkarnie słowa, ubliżające jego czci i niepokalanemu imieniu? Mniejsza o szlachtę, mniejsza o to, co myśli,—podobne średniowieczne petryfikacye mało kogo obchodzą w XIX wieku; ale jeśli ja sam w wyświeceniu zagajonéj sprawy uniewinniłem w części obywateli przeciwko skargom Kraszewskiego, trudniéj będzie wymówić się Panu Marszałkowi z zarzutów, które on znowu Kraszewskiemu położył. Pokaże się może, że to ta dobroczynność, która Kraszewskiemu coś powierzyć chciała, ta spółka wydawnicza, do któréj należéć nie chciał, ten komitet włościański, którego narad nie zaszczycił swoją obecnością, będą właśnie owemi niepoczesnemi ptaszkami, usiłującémi podszyć się pod cudze pierze".

List ten podobno ogłoszonym nie został,—znamy go jedynie z odpisu, którego nam udzielił pan Władysław Górski, posiadający w swém archiwum wszystkie dokumenta, tyczące się téj sprawy. Natomiast ukazał się w „Gazecie Warszawskiéj" (Nr. 143, 1859 r.) artykuł Szymona Konopackiego p. t. „Uwagi nad listami z Żytomierza", w którym szanowny autor, występując w roli rozjemny, starał się uniewinnić Kraszewskiego tém, że w zbytniéj gorliwości o dobro kraju i o cześć swych spółobywateli, dla dodania im bodźca ku lepszemu, nie chciał chwalić ich za to, co dotąd uczynili dobrego, lecz za-

wstydzał, porównywając Wołyń z Litwą, która go wyprzedziła pod każdym względem.

„Łatwo nam—tak zakończył swoje uwagi—oczyścić się z niektórych jego zarzutów niezależącémi od nas okolicznościami; ale miejmy przecież na uwadze dążność owych zarzutów: wszystko w nich przemawia serdeczną życzliwością dla nas. Obyśmy godnie umieli ocenić tych Arystydesów, co się nie zrażają choćby wygnaniem, byle cnota miała swe ołtarze. Jakoż ku chwale naszych trzech prowincyi zamilkną niebawem owe szermowania pokątne, owe na chwilę rozbudzone nieporozumienia, a szlachta Wołyńska, Kijowska i Podolska uczci się w pamięci potomków, zgodnie przyznając czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu dostojny a zasłużony tytuł prawego obywatela“.

I miał słuszność zacny obrońca. Artykuł jego był pisany 10 Maja v. s. a w parę tygodni potém już się przepowiednia spełniła. Kraszewski został znów wybrany na kuratora większością 267 na 328 głosów.

Jednakże pierwszy tydzień sejmików przeszedł bardzo burzliwie: rozjątrzenie było niezmierne, miał wszakże i Kraszewski dosyć stronników,—a stronników nie lada, bo cała partya postępowa i młodsze pokolenie szły za nim. Ufny więc w słuszność sprawy, za którą się narażał, a silny wiarą w czystość i szlachetność swoich przekonań, choć, jak pisał do ojca, trudno było pokazać się na ulicy, nie wahał się jednak chodzić na posiedzenia, i śmiało stawił czoło całéj gubernii. Ma się rozumieć, że się wyrzekł wszelkiéj kandydatury na jakibądź urząd obywatelski, mając już wtedy zamiar przenieść się do Warszawy i objąć redakcyą Gazety Codziennéj. Lecz w dniu głosowania na kuratora, delegacya młodzieży szkolnéj i studentów uniwersytetu wpadła na salę elekcyjną z adresami do koła Marszałkowskiego, błagając swoich ojców i starszych braci, aby nie pozbawiano ich tak chlubnéj i serdecznéj opieki, jaką dotąd mieli w Kraszewskim. Naturalnie, że wypadek ten, niesłychany w dziejach wyborów, sprawił wielkie wrażenie na umysłach obywateli, z czego stronnictwo postępowe potrafiło skorzystać, i gdy przyszło do głosowania, znalazło się tylko 61 takich, którzy w zaciętości swojéj wytrwali i czarne gałki Kraszewskiemu rzucili. Jubilat nasz, rozczulony i ujęty manifestacyą zacnéj młodzi, nie miał serca, by się oprzéć jéj prośbom i wzgardzić odzyskaném tak świetnie zaufaniem i uznaniem współbraci; przyjął więc ofiarowany sobie urząd, z tém jednak zastrzeżeniem, że po roku złoży go w ręce kandydata swojego, Hrabi Włodzimierza de Broel Platera. Dalsze czynności elekcyjne odbyły się w jak najlepszém usposobieniu ducha: zawotowano i ofiary na szkoły, i na teatr, i subsydyum dla powróconych na rodzinną ziemię współbraci.

Stało się więc to, co Kraszewski przez swe *Listy* pragnął osięgnąć; dawniejsza bowiem oppozycya, czy to poczuwszy wstyd poczciwy, czy też pragnąc dać dowód, że sądy jego o niéj były wcale niesprawiedliwe, a Marszałek Gubernialny miał słuszność w zakończeniu sławnéj swéj odpowiedzi,—oppozycya, powiadamy, z téj, lub z owéj pobudki, zacnie spełniła obowiązek obywatelski.

Potrzeba jednak wiedziéć, że poprzednio już zwolennicy Kraszewskiego, z Marszałkiem powiatu Żytomierskiego, Lucyanem Niewmierzyckim, na czele, usilnie pracowali, aby go pojednać z nieprzyjaciołmi, szczególniéj zaś z Marszałkiem Gubernialnym. Uproszono nawet Biskupa, aby swym wpływem pośredniczył w téj sprawie, a na solenném nabożeństwie przed otwarciem wyborów, wymowny kaznodzieja wzywał zgromadzoną w kościele szlachtę do bratnéj zgody i jednomyślności dla powszechnego dobra. W tym też celu p. Niewmierzycki dać postanowił wielki obiad u siebie, na który całe koło obywatelskie, a z niém także Kraszewskiego zaprosił. Kraszewski odpowiedział, że w takim tylko razie inwitacyą przyjmie, jeżeli go Marszałek Gubernialny w liście prywatnym za obrazę przeprosi i odwoła niesłuszne posądzenie, którém ubliżył mu w Gazecie. Marszałek, miłość własną *pro publico bono* z serca złożywszy, zacnie tę ofiarę wypełnił. Kraszewski się stawił na obiad; podali sobie ręce na zgodę; a poczciwa szlachta rozserdeczniona obu ich podniosła do góry.

Nie na tém wszakże koniec tryumfu Kraszewskiego i dobréj sprawy. Owa broszura Kaczkowskiego, co mu, jak onego czasu głośny paszkwil Zofii z Brzozówki, miała zadać cios ostateczny, broszura, którą nieprzyjaciele jego tak gorąco po całym kraju rozpowszechnić pragnęli, że nie tylko rozsyłali ją wszystkim akcyonaryuszom Stowarzyszenia, lecz nawet na zabawie, urządzonéj na korzyść Towarzystwa Dobroczynności w ogrodzie publicznym w Żytomierzu, *członkinie* tegoż Towarzystwa z panią Marszałkową na czele, sprzedawały razem z cukrami i lodami na rzecz ubogich; nieszczęsna ta broszura dostawszy się i na Podole, sprawiła tam wcale przeciwny skutek, niż ten, jaki przez nią chciana osięgnąć.



J. I. Kraszewski (z r. 1859).

Szlachta Podolska, w liczbie kilkudziesięciu osób, zjechawszy się do Gubernialnego swego Marszałka na imieniny, wystosowała list zbiorowy do p. Kaczkowskiego, świadcząc o swém współczuciu dla *Spółki Wydawniczéj*, ale razem ubolewając nad wojną, którą ta Spółka Kraszewskiemu wypowiedziała. „Z Broszury, noszącéj tytuł sprawozdania, (czytamy w onym liście między innemi) przekonaliśmy się, że *Wydawnictwo* pragnie poniżyć zasłużonego w kraju tak godnie J. I. Kraszewskiego, oświadczając stanowczo, że *wiara w niego zachwiać się musi*. Nie rozszerzając się nad tym bolesnym a gorszącym przedmiotem, powodowani miłością dobra powszechnego, dbali o cześć obywatelską, życzliwi szczerze dla *Wydawnictwa*, za najświętszy poczytujemy sobie obowiązek prosić szanownych jego członków, aby nie umniejszali wartości tak zacnéj sprawy niesłusznem powstawaniem na tego, czyje imię tak jest drogiém wszystkim dobrzemyślącym, że obrazę, zniewagę jego za swą własną, a co większa, za zniewagę czci krajowéj uważają, i łacno mogą się odwrócić od przedsiebierstwa, nie tchnącego duchem miłości braterskiéj i szacunkiem dla tak zasłużonego męża“.

Na ten list, pod którym się podpisali najprzedniejsi i najbardziéj wpływowi obywatele Podolscy, w imieniu Spółki wydawniczéj odpowiedział Doktór Kaczkowski, przedstawiając swoję broszurę nie jako napaść na Kraszewskiego, lecz jako obronę szlachty Wołyńskiéj, za ostro w uniesieniu osądzonéj przez niego; a ubolewając nad tém, że jak w zarzutach téj szlacie uczynionych było za wiele i nadto, tak i w obronie nie jeden wyraz i myśl za daleko zaszły, donosił w końcu o pojednaniu się z Kraszewskim temi słowy:

„Uczucie ogólnego dobra przygarnęło nas wszystkich ku sobie. Jeśli drukiem wyszłym z *Wydawnictwa* broniliśmy obywatelstwo trzech gubernii, a raczéj świadczyliśmy o niém; to za to żywém słowem na ogólném posiedzeniu *Wydawnictwa*, wobec zgromadzonego tegoż obywatelstwa, daliśmy świadectwo, jak czcimy, jak stawiamy wysoko zasługi Kraszewskiego. Szczerość ta nasza poprowadziła wszystko ku dobremu: my schyliliśmy głowę przed zasługami J. I. Kraszewskiego; on, przeglądnąwszy myśl Wydawnictwa, zbliżył się ku niemu, doń należy, rady swéj nie odmawia, współpracownictwo obiecuje. Miło nam jest donieść Wam o tém skojarzeniu nie powaśnionych, le nie dobrze rozumiejących się stron“.

Wszystko się tedy najpomyślniéj złożyło, lecz, niestety, zapóźno!

Od zawiązku kwestyi włościańskiéj wszedłszy w przykrą kollizyą z szlachtą Wołyńską, rozjątrzywszy ją późniéj listami do Gazety Warszawskiéj, zanadto wiele od niéj ucierpiał, zanadto był boleśnie dotkniętym w najszlachetniejszych i najświętszych swoich uczuciach, aby w końcu nie stracił wiary, że z czasem wszystko da się ku lepszemu obrócić, i aby, zniechęcony ostatecznie, nie chwycił się skwapliwie zaproponowanego sobie przez Kronenberga redaktorstwa Gazety Codziennéj, które mu nastręczało dobrą sposobność do opuszczenia Żytomierza na zawsze, o czém już oddawna zamyślał. Zamysł ten wszakże nie tyczył się z razu Warszawy; jeszcze pierwszych dni Marca 1859 r. pisał do p. Kajetana tylko o powrocie w Lipcu do Kisiel. „Zrzuciwszy mundur, będę znowu niby gospodarował. Wdaję się nawet w przedsiebierstwo. Zakładam w Hubinie, po odebraniu go z dzierżawy, fabrykę oleju wielką, parową; mam wspólnika, który machiny dostarcza i pół kosztów“.—Są to jego własne wyrazy.

Redaktorstwo więc owo przyszło nagle i niespodzianie, lecz łatwo go znęciło, bo uśmiechała mu się myśl o posiadaniu własnego organu, gdzieby miał szersze i swobodniejsze pole do propagowania swoich przekonań, niż w za ciasnych dla niego szpaltach, nieraz opornéj mu, Gazety Warszawskiéj, albo Dziennika Warszawskiego, który po ustąpieniu Rzewuskiego, uzyskawszy jego kollaboracyą, odstręczył go, lekceważącym i talent jego, i zasługi, artykułem Michała Grabowskiego. Myśl tę chciał Kraszewski przyoblec w ciało przy pomocy szlachty Wołyńskiéj i proponował jéj założenie dziennika na funduszu obywatelskim; lecz gdy nie uzyskał poparcia, znalazł w apatyi téj i nierozumieniu ważności podanego przez się projektu nowy powód do zniechęcenia, nową podnietę do przyjęcia propozycyi Kronenberga.

Jakoż w liście Kraszewskiego do brata Kajetana, pisanego pierwszych dni Maja 1859 znajdujemy wiadomość, że już umowa z Kronenbergiem zawarta, i że od Nowego roku redakcyą Gazety obejmie. Wcześniéj jednak, bo już w połowie Lipca tegoż roku, na krótki czas przybywszy do Warszawy, dnia 10 Sierpnia został zatwierdzonym na redaktorstwie, a na początku Września, po otwarciu kursów gymnazyalnych, wziąwszy urlop na cały miesiąc, udał się tam powtórnie, aby redakcyą zorganizować.

Urlop ten wszakże przeciągnął się do

dwóch miesięcy, w skutek ciężkiéj choroby, na którą, przybywszy do Warszawy, Kraszewski zapadł. Powrócił więc do Żytomierza ledwie w połowie Listopada, a w trzy późniéj miesiące złożył swój urząd, i wyjechawszy 12 Lutego, po kilkodniowym pobycie w Romanowie, stanął na miejscu swego przeznaczenia dnia 24 tegoż miesiąca.

Okres ten zostawiwszy na później, powinniśmy wprzódy dopełnić historyą czasów Żytomierskich szczegółami z życia literackiego i prywatnego, których zaledwieśmy z lekka dotknęli, zająwszy się przeważnie zawodem jubilata publicznym w jego życiu obywatelskiém podczas pobytu w Żytomierzu.

Obraz tego zawodu, nawet bez owych zwierzeń, któreśmy przytaczali, już sam przez się powinienby wystarczyć na to, aby dać należyte wyobrażenie, jak mało Kraszewskiemu pozostawało czasu na pracę literacką; wszelakoż, mimo tylu roztargnień i kłopotów, w pierwszych zwłaszcza trzech leciech, przed objęciem urzędu kuratora, pióru swojemu nie pozwalał wcale zasychać, i oprócz stałych listów o literaturze i sztuce do Gazety Warszawskiéj, pisywał także feljetony do Czasu Krakowskiego i do dzienników Lwowskich, a w roku 1854 przyjął kollaboracyą i w „Dzienniku Warszawskim", o czém tak donosił Podwysockiemu: „Od dwóch dni zamęczony jestem przybyciem w przejeździe do Kijowa Redaktora i wydawcy *Dziennika Warszawskiego*, Szymanowskiego i Ungra, którzy mnie ciągną na gwałt, bym pismo ratował. Mają widzę w projekcie, rzuciwszy „Dziennik", założyć *Illustracyą Polską*, rzecz literacko-artystyczną. Projekt mi się uśmiecha, ale ciężko, jak chcą, imienia mego na to pożyczać. „Dziennik" bardzo źle stoi co do liczby prenumeratorów, i niezawodnie padnie".

Mimo jednak tę smutną wróżbę, nie odmówił swojéj pomocy i napisał wkrótce „Trapezologion".

Pierwszym owocem z roku 1853, jeżeli nie zrodzonym, to przynajmniéj dojrzałym na bruku Żytomierskim, było jedno z arcydzieł Kraszewskiego, „Chata za wsią", napisana dla „Biblioteki Warszawskiéj". A był to podobno nie tylko pierwszy, ale i jedyny owoc z onego czasu, o niczém bowiem inném ani w korrespondencyi Kraszewskiego żadnéj wzmianki nie spotykamy, ani się z bibliografii roku następnego nie dowiadujemy; *Typy* bowiem *i Charaktery* były dawniéj pisane.

Rok 1854 natomiast był już znacznie obfitszym, oprócz bowiem „Trapezologionu" wydał „Czercza mogiłę", drugą seryą „Komedyantów", pierwszą komedyą „Portret", i nowe arcydzieło „Powieść bez tytułu", którą Kr., zalecając do czytania Podwysockiemu, najukochańszém swém dziecięciem nazywał;—a podobno poczęły się też i „Dwa światy", bo już w Lutym 1855 napotykamy taką wzmiankę: „W tych czasach mniéj niż kiedy pisałem i piszę, ale jednak znowu powieść na stole: „Dwa światy"; i znów po niéj projektów tysiąc, aż mi wstyd! Tego brzydkiego nałogu we mnie ani dobić!"—„Portret" wraz z drugą komedyjką p. t. „Łatwiéj zepsuć niż poprawić", wyszedł z druku 1856 roku, lecz już w tym samym liście znajdujemy wiadomość, że go autor odesłał do teatru warszawzawskiego.

W roku 1855 z listu do p. Kajetana pod datą 28 Marca v. s. dowiadujemy się o pracy historycznéj, która późniéj zapewne zaniechaną została, w druku bowiem wcale nie wyszła. Oto są słowa Kraszewskiego: „Ja piszę, to jest zaczynam pisać *Panowanie Zygmunta Augusta* i ono mi teraz siły wszystkie zabiera. Porwałem się z zapałem i ogromną pracę mieć będę".

W Sierpniu zaś w korrespondencyi z tymże bratem spotykamy co następuje:

„Co piszę?—nic, albo tak jak nic—„*Ochockiego*", którego czytasz, lub nie czytasz, a który mnie nudzi już; potém naturalnie znowu te nieszczęśliwe powieści, na które jestem skazany, z czego jednak mocno się myślę wyłamać i coś poważniejszego przedsiębrać. Ale to podobno tak będzie, jak powiada R. Suchodolski, że gdyby najśliczniejszego świętego namalował, powiedzą, że konia zrobił; tak i tu: żebym historyą najpoważniejszą napisał, powiedzą, że powieść".

Jedną z tych powieści prawdopodobnie musiał być „Jermoła", drukowany w 1856 w *Bibliotece Warszawskiéj*, drugą „Choroby wieku", ogłoszona w *Kronice Warszawskiéj*, za które wiele ostrych zarzutów Kraszewskiego spotkało, na co ubocznie odpowiedział w liście do Gazety, datowanym z Kijowa 1859 roku w tych słowach, po gorącém wezwaniu do zajęcia się założeniem szkoły agronomicznéj: „Nie zrozumiano nas wcale, gdyśmy w *Chorobach wieku* wołali przeciw zmateryalizowaniu się społeczeństwa naszego i wygasaniu ducha; nie pojmą też może, gdy powiemy, że postęp nawet materyalny, pracę, naukę, widzimy konieczną potrzebą, byle one nie uczyniły nas czém innem nad to, czém jesteśmy. Ci tylko, co myśl naszę wówczas pojęli, zrozumieją wezwanie dzisiejsze do ukształcenia, właściwego stanowi".

Rok 1856 przyniósł „Starościnę Bełzką“, o której w Listopadzie donosił ojcu, że ją studyuje, i że byćby powinna bardzo zajmująca, bo dostały mu się papiery do niéj, niesłychanie ciekawe,—oraz „Bożą Czeladkę“, która gdy się drukować rozpoczęła w Gazecie (1857 r.), tak o niéj pisał do rodziców: „polecam ją waszym łaskawym względom, i mamy się o zdanie o niéj dopytuję; powinnaby matce przypaść do smaku, bom tam poczciwych i wedle jéj serca ludzi malował“.

Następny (1857), stosunkowo do innych, był najobfitszym w tym okresie, czemu się dziwić trzeba, pamiętając, ile Kraszewski miał naonczas zająć w życiu publicznem i roztargnień w stosunkach towarzyskich; pierwszych bowiem dni Stycznia 1858 roku w liście do p. Kajetana znajdujemy co następuje:

„Mnie dosyć tu na świecie ciężko i bardzo jakoś postarzałem, ociężałem, pogłupiałem trochę i gryzę się tém. Zamyślam pisać *Dzieje domowe Polski od Mieczysława do Stanisława Augusta*; ale to dopiéro pomysł pierwszy. Będzie to historya kraju i życia jego wewnętrznego, religijnego, obyczajowego. Są moje w druku, lub wyjdą: w Bibliotece Warszawskiej *Staropolska miłość*; u Ungra *Wioska*, sielanka (gdzie ojciec znajdzie i o Dolhem słowo) i w Dodatku do „Czasu“ *Mogiły*, fragment; przepisuję dla Gazery *Metamorfozy*, tamże będzie moja *Podróż do Kaniowa Stanisława Augusta*; przysposabiam *Pamiętniki Gozdzkiego* (*), tomów 3 i *Wieczory Wołyńskie*. We czwartek grają moję facecyą w jednym akcie w tutejszym teatrze, ale ja jadę i widzieć jéj nie będę“.

Naturalnie więc, że to wszystko, z wyjątkiem *Dziejów domowych* oraz *Pamiętników Gozdzkiego*, a nadto jeszcze i komedya p. t. „Stare dzieje“ grana raz pierwszy w Żytomierzu 1-go Stycznia 1858 r., zostało napisaném w roku 1857 przez tego człowieka, co się nazywał *ociężałym*, *postarzałym* i *ogłupiałym* trochę, a na zajęcia literackie te jedynie chwile obracał, których ludzie jakimś wypadkiem na usługi swoje wydrzeć mu zapomnieli.

Snadź więc starość ta i ociężałość, na które się uskarżał, były jedynie urojeniem; przeciwnie, ze wszystkiego się okazuje, że w roku tym życie jego wewnętrzne i zewnętrzne podniecone było najmocniéj, i rozwijało się najenergiczniej, o czém zresztą świadczy wymownie i sam już fakt powstania w tym właśnie czasie poematu p. t. *Hymny boleści*, i takie w nim ustępy, jak ten np.

„Zdrętwiały żyłem,—słońce zapadało krwawo;
Na zachód spoglądając z pragnieniem, obawą,
Tęskniłem za młodością, czując, żem nie przeżył
Siły, którą mi Pan Bóg na żywot wymierzył;
Gdy boleść ocuciła z uśpienia długiego
I krwią na nowo wlaną wzdęte żyły biegą.
Odrodzony, nią dyszę—*z letargu powstałem,*
Otom znów młody, silny, otom znowu żywy,
Piersią oddycham całą, sercem cierpię całem,
Wskrzeszony od umarłych bólem—i szczęśliwy“.

W roku 1858, wycieczka za granicę, o któréj niżej mówić będziemy, nie mało Kraszewskiemu czasu zajęła, a wrażenia i materyały w niéj uzbierane, z których powstać miały „Kartki z podróży“ i „Caprea i Roma“ tak go zaprzątały jeszcze i po powrocie, iż trudno mu już było o czém innem pomyśléć; ztąd też nic więcéj z téj epoki nie pozostało, oprócz „Historyi kołka w płocie“, urodzonej pod wpływem onych myśli i uczuć, jakie w nim zbudziła kwestya włościańska.

Rok następny, jakkolwiek kłopotliwy i ciężki, tak z powodu zajść niemiłych z obywatelstwem, jak i w skutek układów z Kronenbergiem o „Gazetę Codzienną“, był jednak dość obfitym w nowe utwory, przyniósł bowiem „Kartki z Podróży“, „Dziś i lat temu trzysta“, „Syrenę“ (Piękną Panią), komedyą „Miód Kasztelański“ i „Capreę i Romę“, o którym-to utworze pod dniem 8 (20) Czerwca tak Kraszewski pisał do Podwysockiego: „Kończę w téj chwili studyum historyczne *Caprea i Roma* z pierwszego wieku naszéj ery, obejmujące czasy Tyberyusza i Nerona. Musiałem szczerze pracować, aby tę epokę, jak była, wystawić; ale obraz zaprawdę ciekawy i wielki. Bóg tylko wie , jak mi się udał. To próba nowego rodzaju: nie jest to powieść, nie jest to historya—coś pośredniego. Miałem chwile pracy ciężkiéj, ale i rozkoszy wielkiéj zarazem“.

(*) O tych *Pamiętnikach*, zarówno jak o *Życiu domowém Polski* i o *Panowaniu Zygmunta Augusta* nigdzie drukowanéj wzmianki znaleźć nie mogąc, zapytaliśmy o nie jubilata i takąśmy odebrali odpowiedź: „ „Panowanie Zygmunta Augusta“ rozpocząłem od studyów nad prawodawstwem; otóż jak mnie one zaprowadziły na pustynie, jak przyszło coraz głębiej się puszczać, aby zrozumieć postęp i rozwój późniejszego, tak robota upadła, a raczej sił zabrakło. „Pamiętniki Gozdzkiego“ leżą niedokończone, z powodu, że przedmiot w wykonaniu zdał mi się za cyniczny i za drażliwy. Coś niecoś z tradycyi o Gozdzkim użyłem do „Marnotrawnego syna“. ale... bardzo mało. „Dzieje domowe“ jest to historya ducha i obyczajów, czyli historya cywilizacyi, nad którą chcę pracować, jeśli przed śmiercią doczekam się chwil swobodniejszych“. *Przyp. autora).*

Podróż za granicę, do któréj i dla zdrowia, i dla wzbogacenia umysłu, tak długo nadaremnie tęsknił Kraszewski, przyszła nareszcie do skutku r. 1858.

Przygotowując się do niéj, przy końcu 1857 tak pisał do Podwysockiego:

„Na wiosnę wybieram się spocząć w podróży, którą na cztery miesiące zakreślam, ale jeszcze w nią nie wierzę. Chciałbym wyjechać w Maju, a zacząwszy od malowniczej podróży po Karpatach, przebiedz Europę, widzieć szkoły, które będę miał polecenie oglądać, być aż w Rzymie i powrócić przez księztwo Poznańskie. W środku téj podróży mam i wody jakieś pić (ale jakie? kiedy ja prostéj wody *nigdy* ani ćwierci szklanki wypić nie mogę, żebym po niéj nie chorował? matka moja także wody nigdy nie pija, a ja smaku prawie nie znam). Mam też i kąpać się w Ostendzie lub w Wenecyi, co ostatniebym wolał, bo zbiegowiska takiego, jak w Ostendzie, nie chciałbym, i głupie miasto—niéma nic“.

Jakoż istotnie, dnia 21 kwietnia v. s. pożegnany uroczystym obiadem przez współobywateli, wkrótce potém wyruszył w drogę, mając za towarzyszy młodego malarza Rodziewicza i przyjaciela Moczulskiego, o którym jużeśmy wspominali uprzednio. Na początku Maja przybył z nimi do Romanowa, gdzie spędziwszy dni kilka, odprowadzony przez brata Kajetana, udał się do Warszawy, zkąd, dnia 22 tegoż miesiąca, od Krakowa wycieczkę zagraniczną rozpoczął, a nazajutrz pisał już do p. Kajetana:

„O południu dostałem się do Krakowa... okolica cudowna! Miasto, jak relikwiarz rzeźbiony. Kościoły, gdyby ze szczerego złota ulane, takie cacka nieopisanéj, malowniczéj piękności. Wyrazić niepodobna, jaki był widok nieszporów u Panny Maryi, przed ołtarzem Najświętszéj Panny Zwycięzkiéj, takiéj, jakiéj daliście mi obrazek.—Wnętrze téj świątyni—obraz nieporównany, zachwycający!“...

„Jutro będę na obiedzie u Kasztelana Wężyka; pozajutro—t. j. we wtorek po południu, na umyślném zgromadzeniu Towarzystwa Naukowego i na obiedzie ditto u Kasztelana. Więcéj nic nie wiem jeszcze, tylko, że we środę jadę do Wiednia, gdzie tegoż dnia, Bóg da, o szóstéj wieczorem stanę. Daléj na Tryest do Wenecyi, wszędzie po parę dni bawiąc dla spoczynku i oglądania“.

Mamy w ręku kilka dość obszernych listów, pisanych przez Kraszewskiego do rodziny i do przyjaciół z téj wycieczki, a każdy z nich byłby godnym powtórzenia w całości, gdyby nie to, żeśmy w téj książce już tak dużo miejsca zabrali: odsyłając więc czytelników do szacownych „Kartek z podróży“, tutaj poprzestaniemy na streszczeniu jej, zaczerpniętém z listu do Podwysockiego:

„Po powrocie do Żytomierza tak byłem i zajęty, i chory, i smutny, że mnie nawet na kilka słów nie starczyło. I dziś nie lepiéj: chcąc widzieć wiele i skorzystać z drogi, trochem się nią zamęczył. Przez Warszawę udałem się do Krakowa, ztamtąd do Wiednia, gdzie dłużéj zabawiłem nieco. Następnie do Tryestu, do Wenecyi, gdzie stanąłem w solenny dzień Bożego Ciała. Do Padwy na Ś-ty Antoni. Daléj Verona, Bergamo, Brescia, Medyolan dłużéj znowu, i Genua. Z Genui przez Chiavone, Spezia, Sestri do Pizy i Florencyi, do Sienny, Perugii, Assyżu, zkąd przez Spoletto do Rzymu i okolic. Tu znowu dłużéj—cały miesiąc—siedziałem. Nie chcę ci opisywać tego, o co mię zapytujesz (audyencyi i przyjęcia u Ojcą Ś-go),—kiedyś ci to opowiem. (*) Z Rzymu, po obejrzeniu okolic i miasta, przez Monte Cassino pojechałem do Neapolu. Tu obejrzałem Pompeje, Herkulanum, byłem na Wezawiuszu, w Casttellamare, Sorrento, na wyspie Capri, w Puzzuoli, Bajach etc., i morzem, mimo Elby i Korsyki, popłynąłem do Marsylii, zkąd przez Lyon do Paryża. Tu znowu siedziałem dłużéj, i przez Bruxellę, Lowanium, do Kolonii, a Renem do Moguncyi płynąłem. Z Moguncyi przez Frankfurt i Lipsk udałem się do Drezna i na Wrocław wróciłem do Krakowa. Zważywszy, ile ważnych i ciekawych oglądałem miejsc, dziwię się sam, jak to w cztery miesiące (bo odrzuciwszy Kraków i Warszawę, tyle zostało) mogłem dokonać? Dodaj, że wszędzie pisałem dziennik i robiłem notatki. Spytasz o wrażenia? Włochy zrobiły wielkie i trwałe swoją pięknością i pamiątkami; Francya i Paryż—smutne i odczarowujące. Włochy ze swą poezyą wiekuistą, mimo, że

---

(*) Audyencya ta nader bolesną była dla Kraszewskiego, a to z łaski księży Zmartwychwstańców, którzy uprosili Ojca Ś-go, aby go upomniał o kierunek pism jego, uważany przez nich za niemoralny. Upomnienie to, którego źródła, naturalnie, nie mógł się nie domyślić Kraszewski, zatruło mu goryczą tę chwilę, któréj z upragnieniem wyglądał, wróżąc sobie, że będzie ona najuroczystszą w jego życiu i największej pełną błogości. Nieoględni żarliwcy sami później pożałowali tego, co uczynili, i chcieli go na drugą audyencyą namówić, zapewniając, że dozna już innego przyjęcia; ale Kraszewski nie chciał ich protekcyi zawdzięczać złagodzenia przykrości, jakiéj z ich powodu był doznał, i oświadczył, że ją z pokorą, jako dopuszczenie Boże, przyjmuje.

Przyp. autora.

nane z tylu opisów, wydaly mi się nowemi; Paryż i Francyą doskonale znałem i znalazłem się tam jak w domu,—tak ten kraj chłodny dal się schwycić i opisać. Tam nie starczy pęzel, olówek i pióro na niepochwytną stronę poetyczną; tu fotografii dosyć. Jeden sklep i kupcy sami.— Podróży mojej krótkiéj i pobieżnej musiałem dać cel wyłączny, bo wszystkiego widzieć niepodobna mi było i żlebym widział; patrzałem więc wyłącznie na dzieła sztuki, i szczególniej z pomnikami, w galeryach i t. p. mój czas strawiłem, wpatrując się w dzieła mistrzów. Rysowałem i pisałem wiele, często o jadle, a zawsze o śnie zapominając,—to mnie wyczerpało; bo były dnie, żem po dwie godziny sypiał, a nigdy więcéj nad 4, albo 5. Jeździłem po całych tych Włoszech Veturynem, sam, unikając kolei i dyliżansów, aby być panem swoich ruchów i kroków; to też zrujnowałem się na tę podróż okrutnie! do 5000 rubli mnie kosztowała z małemi pokupkami książek i organku. Teraz siadam opisywać ją i na nowo przestudyowywać, co widziałem, z notat, sztychów, książek. Żem się trochę nauczył, to pewna; ale że nagle obleciałem Europy kawał, to równie pewna. Gdyby nie dziennik, trudnoby mi było sobie przypomnieć szczegóły. Ziomków widziałem kupę wszędy, różnych, przeróżnych, jednych z boleścią, drugich z litością, innych ze współczuciem spotykając... Wszędzie mi znimi i od nich dobrze było".

Dla dopełnienia jeszcze parę słówek z listu do p. Kajetana, pisanego w sześć tygodni po powrocie do Żytomierza, dokąd wyjechawszy z Warszawy 7-go października, pędził Kraszewski bez wytchnienia 80 godzin, nie mogąc nawet wstąpić do Romanowa, gdyż i bez tego już swą podróż znacznie po za kres urlopu przeciągnął.

„Od powrotu mojego, oprócz listów i drobnych rzeczy, napisałem już 1300 stronic, a jeździłem do Kijowa i chorowałem w dodatku. I dziś cherlam, bo choć niby dla kuracyi jeździłem, alem się wcale nie leczył tylko gorącem i fatygą. Oto masz exkusę mego milczenia.— O podróży mojej wiesz z listów do Romanowa: Włochy były głównym jej celem, widziałem je dobrze; mniej Francyą i Niemcy; wszakże i tu galery i biblioteki w Wiedniu, w Dreźnie, w Lipsku, Frankfurcie, Bruxelli, Paryżu, przeglądałem starannie. W Paryżu litografowałem na kamieniu pejzaż, który też ci dam,—pierwsza próba—słaba. Rysunków z natury mam kilka albumów i palę się do malarstwa teraz, ale mi czasu brak. Jak mi się uda, to ci przyszlę włoski pejzaż; ale inna to rzecz admirować, inna malować".

Z bliższych podróży Kraszewskiego, w tej epoce godne są zaznaczenia kilkakrotne wycieczki do Warszawy i Romanowa, jako też do Kijowa. Z warszawsko-romanowskich najpamiętniejsze były z r. 1855, 1856 i 1859. W pierwszéj, odbytéj latem, jak i w 1851, doznał w Warszawie najserdeczniejszego przyjęcia, a szczególniéj ze strony ś. p. Ant. Lesznowskiego, i mnóztwo znajomości porobił, aż się na nie ojcu uskarżał, pisząc, że nigdy jeszcze w życiu tyle się nie kręcił i nie chodził tyle. Nie z tego tylko względu zasługuje ta podróż na uwagę, lecz i ztąd jeszcze, że jeno traf szczęśliwy ocalił w niej naszego jubilata, jeżeli nie od śmierci, to od bardzo ciężkiéj przygody.

W roku tym, pod dniem 19 Lipca w Nr. 187 „Gazety Warszawskiej" znajduje się taka wiadomość: „W nocy z d. 10 na 11 Lipca, pięciu jeźdźców kaukazko-góralskiego konnego dywizyonu, pijanych, opuściwszy samowolnie swoje kwatery w Kałuszynie, udali się na szossę w kierunku do m. Mińska. Odszedłszy wiorst 4-ry, napotkali furmanów żydowskich, i rzuciwszy się na nich, pięciu zabili, pięciu ciężko ranili, a zaślepieni będąc szałem i żądzą krwi, zabili przy tém sześć koni. W czasie tego wypadku nadjechał dyliżans, wyprawiony z Warszawy do Brześcia Litewskiego. Po spełnieniu pierwszego morderstwa, jeźdzcy, jeszcze więcéj rozjątrzeni, strzelili razy kilka do dyliżansu, w skutek czego pocztylion został zabity, a żona kapitana komendy żandarmów w Siedlcach ciężko raniona. Ze znajdujących się w dyliżansie passażerów, urzędnik drogi żelaznéj Warszawsko-Wiedeńskiéj od dwukrotnego pchnięcia kindżałem żyć przestał, a trzy kobiety ratowały się ucieczką i t. d."

Owóż wiedzieć potrzeba, że tym-to właśnie dyliżansem projektował Kraszewski 10 Lipca ruszyć do Białéj; ale interesa tak się złożyły, że na rozstrzygnięcie ich musiał jeszcze dni kilka czekać. Korzystając z téj przymusowej zwłoki, udał się do Częstochowy, aby ujrzeć nareszcie tę Jasną Górę, której bohaterską obronę przed kilku laty opisywał w swoim „Kordeckim", i dopiero dnia 13 Lipca puścił się już do Romanowa; a łatwo sobie wyobrazić, jakiego musiał doznać wrażenia, przejeżdżając między Mińskiem a Kałuszynem po świeżych śladach krwi, z którą o mało się i jego krew nie zmieszała!

Druga wycieczka (1856 roku) na długo zostawiła błogie wrażenie w pamięci Kra-

szewskiego przez zjazd rodzinny w Romanowie, o którym jużeśmy uprzednio wspominali.

Trzecia natomiast, 1859 r. była zapewne najsmutniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu odbywał; bo znaglila go do niéj okropna wieść o śmierci matki, zmarléj dnia 24 Lutego. W Marcu tedy, w bezdroż najbezecniejszą, rozbolały, znękany, spieszył co najrychlej do Romanowa, aby ojca pocieszyć i trzeci grób z kolei oblać łzami rzewnemi na cmentarzu w Wiszniecach, gdzie obok prababki Nowomiejskiej, i babki Malskiej, spoczęła już ostatnia z onych trzech niewiast, które tak czcił, kochał i wielbił, im głównie zawdzięczając najcenniejsze skarby swej duszy.

Co zaś do wycieczek Kijowskich, do których zmuszały go zazwyczaj interesa gimnazyalne, a podczas których każdą razą i studenci uniwersytetu do niego się garnęli, znajdując zwykle zdrową radę, a nieraz i przestrogę zbawienną, aby nie przebierali miary w swych zapędach humanitarnych, marzeniach i zabiegach, dążących do oświaty i dobra ludu,—z wycieczek tych wspomnimy głównie o jednéj, mianowicie zaś z r. 1859, podczas kontraktów, opisanej następnie w *Liście* do „Gazety Warszawskiéj“, z którego najpierw tu przytoczyć musimy ustęp, odnoszący się właśnie do studentów, a będący niewątpliwie streszczeniem tego, co im ustnie musiał przekładać:

„Dziś zadaniem téj młodzieży, która się tu kształci, aby stanowiska, na którychby najpoważniéj dla dobra kraju działać mogła, zająć się starała. Usposobić się do tego, dobijać się o to potrzeba pracą. Uniwersytet to młody jeszcze, ale na starych wzniesiony tradycyach, bo wziął puściznę po Wilnie i Krzemieńcu; rozwija się zaś żywo i silnie, a Bóg da, że w dobrym pójdzie kierunku. Uczucia poczciwe, święte, braterstwa, miłości, nauki i pracy, przeleją się na młodzież Kijowską. Dziś tu żywioły jeszcze wszystkie w pierwotnéj walce z sobą i światem, nie przyszły do normalnych funkcyi, nie miały dość czasu i siły, by wysnuć z siebie jasne pojęcia obowiązków i zadania głównego, jakiém jest własne ukształcenie i podniesienie się moralne a chrześciańskie; ale wszystko zwiastuje świetniejszą przyszłość. Młodzież nasza i tu, jak gdzieindziéj, odpowie godnie tradycyom przeszłości. Z powagą, godnością, spokojem w sercu, wiarą, miłością pracy i ludzi, wyrobi się ona tak, jak powinna, na użytecznych krajowi obywateli, na świetny rozsadnik nowego pokolenia. Wierzymy w to i ufamy.—Społeczność nasza cała wygląda od tych, którzy ją tu przedstawiają, aby pojęli, ile dziś na ich ramionach spoczywa, i jak ważnym jest dla kraju każdy krok drogich mu dzieci. Z pociechą też głęboką spogląda na wszelką myśl i czyn zacny, które uczniów uniwersytetu co dzień wyżéj stawiają. Długie, bolesne doświadczenie uczyniło nas starymi; nie mamy czasu szaléć i trzpiotać się, jak bursze niemieckie; położenie wkłada na nas wielkie obowiązki, a młódź wie i czuje, jak im ma podołać.“

Daléj widzimy z tegoż listu, jak się żywo Kraszewski interesował sprawami komitetu włościańskiego, na którego posiedzeniach w Kijowie bywał, i jak bacznie wglądał w to wszystko, co się ogólnego dobra tyczyło.

„Nowa i pożądana dla wielu zmiana stosunków włościańskich, (pisał w rzeczonym Liście) powołała nie jedno kółko ludzi trochę naprzód patrzących do naradzania się o przyszłości. Brak ukształcenia gospodarskiego w téj klassie, która się gospodarstwem zajmować musi, niedostatek ludzi do porządniejszego prowadzenia gospodarstwa, zmiany, które w niém zajść muszą, potrzeba postawienia na stopie, odpowiedniéj wymaganiom czasu, skłaniają do myślenia o jakimś instytucie gospodarsko-przemysłowym, o szkole agronomiczno-techniczněj, dla naszych prowincyi. Przed laty kilku, pierwszą myśl podobnego zakładu, wraz z pierwszą nań ofiarą, podał p. Zenon Hołowiński; ale odezwa jego, umieszczona nieszczęśliwie w „Tygodniku Petersburskim,“ (piśmie żadnego nie mającém rozgłosu, pozostała prawie niepostrzeżona. Dziś wznawiamy ją, usilnie nastając, aby przyjść mogła do skutku. Projekt p. Hołowińskiego nie tylko dziś jest na dobie, ale łatwoby się dał wykonać, gdybyśmy chcieli gorliwiéj nim się zająć. Szkołę tę technologiczno-rolniczą, połączającą w sobie teoretyczny wykład nauk, do przemysłu i gospodarstwa niezbędnie potrzebnych, i szkołę praktyczną rolnictwa i przemysłu w różnych ich rozgałęzieniach, szkołę techników, gospodarzy, ekonomów i parobków, moglibyśmy łatwo założyć przez akcye i zarządzić nią sami, przez wybranych od akcyonaryuszów dyrektorów ze szlachty naszych prowincyi. Instytut ten, którego uznanie i potwierdzenie przez Rząd nie ulega najmniejszéj wątpliwości, miałby wszelkie rękojmie trwałości i rozwoju, zależąc od kierunku ludzi, najlepiéj znających potrzeby kraju naszego. Sami-byśmy na nią wynaleźć mogli najstosowniejsze miejsce środkowe w trzech guberniach i urządzić ją

wedle planu, odpowiadającego wymaganiom chwili obecnéj. Zakupienie ziemi, sformowanie zakładu, sprowadzenie ludzi, machin, utrzymanie wreszcie instytutu, dla naszych prowincyi nie byłoby ofiarą tak wielką, a wypłaciłoby się podźwignięciem gospodarstwa, które zmianom nieuchronnym, tak, jak jest, podołać nie może. Mielibyśmy swoich techników, rolników, ekonomów, a nawet wzorowych parobków, machiny, nasiona, lepsze rasy bydła i koni, słowem wszystko, czego nam dziś niedostaje, co zdaleka i na wiarę sprowadzać musimy. Potrzeba tylko wspólnéj zgody, woli i wytrwałości, aby myśl tę przyprowadzić do skutku; a gdybyśmy w czém pomocą ku temu być potrafili, najchętniej się ofiarujemy."

Pilnie też wejrzał i w organizacyą teatru Kijowskiego, który go tém żywiéj obchodził, jako organizatora i opiekuna teatru Żytomirskiego; a że to już sprawy dawno przebrzmiałe i nie wszystkim wiadome, nie od rzeczy więc będzie przytoczyć tu wiadomość, zapisaną w owym *Liście* przez Kraszewskiego, jaki był naówczas stan rzeczy:

„Teatr Kijowski od kilku miesięcy przeszedł pod dyrekcyą, przybyłego z Galicyi, Teofila Nowiny-Borkowskiego, który całą antrepryzę wziął na siebie, i polska scena niezaprzeczenie na tém zyskała. (Grywano jednocześnie sztuki polskie i rossyjskie, lub częściéj maloruskie). Może być, że pan Borkowski od razu nie mógł postawić teatru na takiéj stopie, jakiéj Kijów wymaga; ale usilnie pracuje, aby go podnieść,— i w tym celu wybiera się w podróż do Krakowa i Lwowa, dla odżywienia towarzystwa nowymi artystami. W dzisiejszym składzie jest kilku odznaczających się talentem ludzi: p. Natorski, komik, pełen życia, pani Gadomska, p. Olesińska, wreszcie sam dyrektor. Świeżo przybyła z Wilna wodewilistka, p. Pacewiczówna, zyskała także przy pierwszém wystąpieniu oklaski. Nie zaprzeczamy, że wiele jeszcze uczynić można w Kijowie, ale na początek, to, co jest, powinno obudzić współczucie, a bez niego trudno, by p. Borkowski mógł co uczynić. Winniśmy tu w imieniu teatru polskiego złożyć szczere dzięki Marszałkowi szlachty Kijowskiej, p. Jaroszyńskiemu, który serdecznie stara się podtrzymać i zabezpieczyć przyszłość tutejszéj sceny, i od początku wziął ją pod swoję protekcyą. Jego incyatywie i gorliwości obywatelskiéj winni będziemy, jeśli się teatr podniesie i do stanego przyjdzie bytu. Panu Borkowskiemu zostaje starać się o to, aby godnie odpowiedzieć swemu powołaniu, i mając tu publiczność wykształconą, młodzież akademicką, ludzi klas wyższych towarzystwa za słuchaczy, wyborem sztuk i ich wykonaniem zastosować się do słusznych wymagań ogółu."

W końcu nie pominął też i stosunków literackich i artystycznych, a nawet od nich sprawozdanie swoje rozpoczął i sypnął sporą garstkę nowości, z jakiemi wystąpiły wówczas księgarnia miejscowa Idzikowskiego Petersburska Wolffa, Wileńskie Zawadzkiego i Glügsberga, oraz Warszawska Orgelbrandta. Ciekawém byłoby przytoczenie wzmianki o nowych dziełach, jakie się wówczas ukazały, dałoby to bowiem pojęcie o ruchu umysłowym z epoki owéj, w któréj jeszcze prassa peryodyczna nie pochłaniała tak, jak dzisiaj, całéj produkcyi literackiéj; ale nie możemy tego uczynić, przez wzgląd na konieczną potrzebę szczędzenia miejsca. Zakończymy tedy wspomnienie téj wycieczki ustępem, odnoszącym się do literatów, jacy się znajdowali wówczas w Kijowie.

„Najprzód stały tutejszy mieszkaniec, p. Michał Grabowski, który w téj chwili więcéj jest zajęty cukrowarnią, piaskiem, projektowanemi budowami na górze S-go Andrzeja, cegielnią wielkich nadziei i majątkiem świeżo kupionym, niż może literaturą. Zresztą nie dziw, że się zraził, umilkł, odsunął;— trochę sam winien, że go dobrze ludzie ocenić nie mogli, bo zawsze najmniéj sympatyczną obracał się do nich stroną; trochę znowu ludzie winni, że z téj strony o całym sądzili człowieku. Więc stanął na boku i śmieje się z nas wszystkich... daj mu Boże na zdrowie, toć nikomu nie szkodzi. Pomimo bardzo zresztą otwartéj niechęci, jaką mi zawsze szanowny ten krytyk okazywać raczył, nie mając sobie do wyrzucenia, bym mu kiedy szyderstwem, lub zapoznaniem jego talentu odpłacił, powiem i dziś, że daleko więcéj wart nad to, co o nim ludzie trzymają... a to nie wszystkim się zdarza. Dowodem uczciwych chęci, często usposabieniem do sarkazmu maskujących się tylko, niech będzie ofiara świeża p. Michała Grabowskiego, który swą liczną bibliotekę na czytelnię dla uczniów uniwersytetu darował".

„Oprócz niego, widzieliśmy p. Marcinkowskiego (Gryfa Nowosielskiego); Alexandra Grozę, zajętego drukarnią i wydawnictwem, już przychodzącém do skutku; Leopolda Jakóbowskiego, który przygotował do druku pierworys prawoznawstwa (rodzaj prawniczéj encyklopedyi, bardzo pożądanéj); jeszcze nieznajomego, ale wielkie czynią-

cego nadzieje, Leonarda Sowińskiego, którego Satyry ma ogłosić Idzikowski; p. Podbereskiego, wydającego rzecz o Scytach i Scytyi Herodotowéj, ciekawą i sumiennie opracowaną; H. Skimborowicza, przybyłego tu chwilowo z Warszawy; naostatek pełnego nauki i dowcipu, Alexandra Darowskiego, którego talent stawi wszędzie na czele, choćby go przypadek na końcu położył. Któż u nas nie zna tych tysiąca ulotnych wierszy, listów, pisemek, rozprawek, w których, z właściwą sobie tylko werwą i nielitościwym sarkazmem, erudycyą zawsze obfitą i wesołością niekiedy przerażającą, lub powagą senatorską, chłoszcze on wszystkie wady nasze społeczne i szle *mementa* zapominającym na chwilę o obowiązkach? Chociaż i nam samym zdarzyło się nieraz odebrać tego rodzaju admonicyą lub krytykę... choć często surowości p. Darowskiego nie podzielamy i uważamy ją za zbyteczną; uczucie szlachetne i pobudki, jakie go do téj cenzorskiej pracy skłaniają, umiemy ocenić. Nie małaż to rzecz, nie zważając na to, że się sobie cały Boży świat naraża, prawdę mówić, choćby rodzonemu, *usque ad finem*".

W przytoczonym wyjątku o literatach, na szczególniejszą zasługuje uwagę ustęp o Michale Grabowskim; gdyż trzeba wiedzieć, że autor „Stanicy Hulajpolskiéj", któréj tom piąty chciał był mieć napisanym przez Kraszewskiego, r. 1857 wystąpił w „Dzienniku Warszawskim" z artykułem o tym ostatnim, pełnym tak wielkiego lekceważenia, iż nim nie tylko Kraszewskiego dotknął boleśnie, lecz wszystkich jego zwolenników strasznie oburzył i wywołał z jednéj strony protestacye publiczne, z drugiéj zaś massę listów prywatnych, w których i znajomi, i nieznajomi, wierszem i prozą starali się dowieść jubilatowi, jak im droga cześć jego i jaką wzgardę w nich obudził swoim artykułem Grabowski.—Listy owe, przepisywane w wielu exemplarzach, kursowały po Wołyniu, Podolu i Ukrainie, i samiśmy spotykali je nieraz; dziś tylko jeden posiadamy, i nie tyle ze względu na jego wartość literacką, ile na treść, która była wyrazem wówczas uczuć ogólnych, przytaczamy tutaj z niego wyjątek:

„Kochać Cię, serc rodaków stało się potrzebą,
Wszyscy Twojéj mistrzowskiéj wierzymy powadze,
Naród uwielbia w Tobie genialne władze,
Tyle z chlubą przebytych w pisarstwie zawodów,
I dziwi się, i cieszy obfitością płodów.
Nie masz pałacu, dworu i pozioméj chaty,
Gdziebyś gościć nie wleciał nasz ptaku skrzydlaty.
Równy prynosisz pokarm dla mitry, jak płachty,
Czytują cię w pałacach i we dworkach szlachty,
Płci obie, stany wszystkie słodyczą się poją...

O mistrzu! kiedyż Twoje wrogi się rozzbroją!
Niedawno ten, w którego duch złości się wcielił,
Ukrainiec z *Stanicy* zazdrością wystrzelił;
Dumny dawném, zatartém w kraju powodzeniem,
Dziś chciałby Cię, w rospaczy, własnym okryć [cieniem.

Zaledwo wiatr ten powiał z Ukraińskiéj dziczy,
Gdy naród, zgodnie karcąc zamach napastniczy,
Powstał przeciwko sprawcy, zawołano hola,
I musiał wyjść na szranki piewca *Hulajpola*.
Próżno się będzie zawiść szamotać i zżymać,
Mistrzu! naród w twéj sprawie zdoła ci dotrzymać,
Zapewni ci spokojne w swoim łonie chwile,
Ty, swobodny, o własnéj geniuszu sile,
Poruszysz wszystkie tony narodowéj fletni,
Która imię twe wzniesie i kraj twój uświetni".

Wiersz ten wyszedł z pod pióra Jana Sowińskiego, krzemieńczanina, znanego pedagoga i autora „Uczonych Polek". Kraszewski dziękując mu serdecznie za ten dowód współczucia, tak się wyraził: „Gdzieżbym czerpał siłę do pracy po dwudziestu kilku leciech trudu i znużenia, jeśli nie w tych oznakach sympatyi, które mi drogę wskazują i uzbrajają do walki? Wiersz Pański, choć wysoko wynosi mię nad zasługę i wartość, zostanie dla mnie i przyjaźni Jego pamiątką, i wyrazem opinii, która mnie podtrzymuje."

Sprawa ta ciągnęła się dość długo, a choć Grabowski milczał, co raz to nowe spotykały go cięgi, których szczególniéj ostre pióro Apollona Korzeniowskiego mu nie szczędziło, dogryzając mu niefortunném jego cukrowarstwem. A miał powód i prawo, z pobudek nawet osobistych, kruszyć kopią za cześć Kraszewskiego, bo jeszcze w roku 1854 napisał, a w 1856 wydrukował piękny, pełny ognia i siły, wiersz ku jego chwale, (w „Strofach oderwanych" przy dramacie p. t. „Komedya"), który ze wszech miar jest godny uwagi, gdyż w swoim czasie był wyrazem uczuć i myśli wszystkich miłujących dobro powszechne i walczących w imię postępu.

Na zakończenie czasów Żytomierskich musimy jeszcze kilka słówek poświęcić prywatnym i rodzinnym stosunkom Kraszewskiego. W epoce téj, prócz kłopotów, jakich go nabawiły Kisiele, wymagające ledwie nienatychmiastowéj spłaty spółsukcessorów i legatów, poczynionych przez panią Urbanowską, nie mało miał ich jeszcze z powodu interesów szwagra swojego, Lunlewskiego, któremi się z prawdziwem poświęceniem zajmował, jeszcze i wtedy nawet, gdy już zamieszkiwał w Warszawie; jako też i w skutek opieki, spadłéj nań w r. 1858, nad osieroconemi dwiema córkami ciotecznego brata swéj żony, które się obie w jego domu odtąd wychowywały.

Wiele też ciężkich ciosów dotknęło go w tym czasie; mówiliśmy już o śmierci pani Urbanowskiéj i matki, nie na tém wszakże koniec: w roku 1855 mocno go zasmucił zgon Metropolity Hołowińskiego, który odczuł głęboko nie przez samę jedynie pamięć na przyjazne dawne stosunki, lecz i przez wzgląd na stratę, jaką w nim Kościół katolicki w Archydyecezyi Mohilewskiéj ponosił. W roku zaś 1856 przyszło mu opłakiwać dwóch najlepszych, najzacniejszych przyjaciół: w Styczniu — Stachowskiego, w Listopadzie—Kazimierza Komornickiego.

A na te ciężkie smutki, takich pociech, jakichby pragnął, próżno oczekiwał i wołał; ani rodzice, ani bracia, mimo nieustannych zaprosin to do Kisiel, to znów do Żytomierza, gdzie się na ich przyjęcie tak sposobił, jak gdyby chciał im nieba przychylić, nie nawiedzili go w tym czasie ni razu; a on sam, mimo chęci najszczerszych, nie mógł być nawet na weselu ani brata Lucyana, ani też Kajetana.

Rozrywki towarzyskie, hołdy i tryumfy publiczne nie zdolne były zaspokoić potrzeb téj duszy, któréj usposobienie staraliśmy się dać poznać czytelnikom; jedna tylko owacya, najmniéj głośna, najmniéj ostentacyjna, głębiéj się w sercu Kraszewskiego odbiła, o któréj w roku 1855 tak pisał do brata Kajetana: „Powiedz mamie, że od zgromadzenia księży Paulinów Częstochowskich odebrałem za „Kordeckiego“ rodzaj przywileju dla mnie, żony i dzieci, którym przypuszczeni jesteśmy do łask, jakie zakon Pauliński ma u Boga i zaskarbia co dzień. Mamy kątek w ich modlitwach za żywych, a po śmierci za umarłych. Przyznam ci się, że ten patent na różowym jedwabiu do łez mnie ucieczył i serdecznie był miły! Nie wątpię, że i mamie zrobi to przyjemność. Paulini tak się dorze dowiedzieli imion żony i dzieci, że ich wszystkich tam pomieścili. Przypadek chciał, żem to odebrał w sam dzień Ś-go Józefa“.

Tyleśmy o czasach Żytomierskich zaczerpnęli z korrespondencyi Kraszewskiego, ale jeszcze, dla dopełnienia ich obrazu, ze wspomnień naszych osobistych kilka rysów dodać musimy. Wspomnienia te odnoszą się do ostatniego roku pobytu Kraszewskiego na Wołyniu, od Czerwca 1859 po Luty 1860.

Była to najświetniejsza epoka w dziejach Żytomierza, nie pod względem przepychu i wystawności życia, lecz pod względem rozbudzenia się ruchu umysłowego i pracy w rozmaitych kierunkach dla powszechnego dobra. Nie było prawie słychać o balach i zabawach publicznych, ani o hucznych zgromadzeniach na tańce albo uczty w domach prywatnych; ale teatr, muzyka, literatura, zakłady dobroczynne, reforma włościańska, towarzystwo rolnicze i kredytowe, szkoła agronomiczna, szkółki wiejskie, i w ogóle sprawy społeczne, żywo zaprzątały wszystkie umysły; a Spółka Wydawnicza, Towarzystwo Lekarskie, Komitet Teatralny, Towarzystwo Dobroczynności, raz w raz nastręczały sposobność do zgromadzeń na posiedzenia urzędowe i narady prywatne. Zawiązało się też, obok officyalnego Towarzystwa Dobroczynności, prywatne Towarzystwo Ś-go Wincentego a Paulo, z inicyatywy p. Jana Prusinowskiego, które tak szybko i tak świetnie się rozwinęło, że już w pierwszym roku swego istnienia nabyło dom na własność i otwarło w nim konwikt na 30 ubogich uczniów. Nad to zaś, wziąwszy za cel swego istnienia, nie opiekę nad starcami i kalekami, tylko czynną, natychmiastową pomoc ludziom zdolnym do pracy, ale pozbawionym jéj, czy to w skutek choroby, czy innego jakiego bądź nieszczęścia, rozdawało zasiłki, dostarczało lekarzy i lekarstwa bezpłatnie, nie krępując się żadnym formalizmem, i podając wsparcie niezwłocznie, za porozumieniem się trzech tylko członków, z których prócz tego każdy, w razie nagłéj potrzeby, mógł był działać bez odwoływania się do innych, biorąc rzecz na własną odpowiedzialność.

Poczet inteligencyi był dość licznym, jak na prowincyalne miasteczko: prócz Kraszewskiego, z pisarzy, mniéj lub więcéj podówczas znanych, mieszkali w Żytomierzu Alexander Groza, Edward Galli, Andrzej Janowicz, Karol Kaczkowski, Apollo Korzeniowski, Jan Prusinowski; a częstymi gośćmi bywali Eustachy Iwanowski, Erazm Michałowski, Włodzimierz Plater i Leonard Sowiński. Istniały przy tém dwie księgarnie—Spółki wydawniczej i Budkiewicza,—i dwie polskie drukarnie—Chrząszcza i Kwiatkowskiego. W końcu zaś okresu, o którym mowa, życie umysłowe tak się już było rozwinęło potężnie, iż nawet do publicznych przyszło odczytów, na co przed Żytomierzem w całym kraju żadne miasto prowincyonalne, nawet i samo Wilno, jeszcze się wówczas nie zdobyło.

Muzyka miała kilku bardzo zdolnych przedstawicieli, w których domach kolejno urządzały się wieczory muzykalne, a Katski, Taborowski, Biernacki i Samuel Kossowski, z koncertami występowali.

Teatr, powierzony kierownictwu p. Adama Milaszewskiego, utalentowanego artysty, którego żona odznaczała się także grą wybo-

ną, w dramacie zwłaszcza i tragedyi, pod dyrekcyą komitetu, w którym z Kraszewskim uczestniczył Apollo Korzeniowski, rozwijał się co raz to świetniéj i miewał chwile powodzenia nie lada, przepełniając się tłumem widzów na takich przedstawieniach, jak np. „Miód Kasztelański“ Kraszewskiego, albo „Dla miłego grosza“ Korzeniowskiego, lub „Wyrok Jana Kazimierza“ Syrokomli; lub też na wodewilach, do których Prusinowski arcy dowcipnie okolicznościowe piosnki dorabiał.

Życie to, naturalnie, tak się rozwinęło pod wpływem rozmaitych sprzyjających okoliczności; ale niepodobna zaprzeczyć, że pobyt Kraszewskiego w tém mieście stał się też niemałym do tego bodźcem, i że dom jego był ogniskiem, zkąd życia tego biły prądy najpotężniejsze, przenikając tych nawet, którzy się od niego zdala trzymali, lub nawet kusili się działać przeciwko niemu.

W domu tym, w tym prawdziwym przybytku literatury, nauki i sztuki, zześrodkowywały się myśli i uczucia, skupiał się duch całego Wołynia, Podola i Ukrainy, których najcelniejsi przedstawiciele raz w raz zaglądali do niego; a dzięki stanowisku i stosunkom rozległym gospodarza, odbierającego codziennie stosy listów ze wszech stron świata, i wtajemniczonego należycie we wszystko, co działo się albo projektowało w całym obszarze spraw społecznych i umysłowych,— wynosili ztąd i rozpowszechniali po kraju wiadomości ciekawe a pożyteczne, poglądy trafne, rady zdrowe, i bodaj drobne iskry tego zapału, jakim ku dobru powszechnemu serce Kraszewskiego zawsze płonęło.

Tryb życia jego w onym czasie, kiedyśmy się z blizka mu przyglądali, nie różnił się wcale od tego, jakiśmy wyżéj już własnemi jego słowy zarysowali. Zajęciom literackim i korrespondencyi niezmiernie licznéj tylko przedpołudniowe godziny mógł poświęcać, jeśli dniem przed tém z góry niemi nie rozporządził, czy to na przyjęcie u siebie natarczywych interesantów w najrozmaitszych sprawach, czy na wyjazd do miasta w cudzych pilnych potrzebach. Nie jedna z takich godzin ciąży i na naszém sumieniu, a co gorsza, nie jednę nawet zdobyliśmy przebojem, wcale jéj nie zamówiwszy sobie zawczasu. Przebojem, powiadamy; nie brakło bowiem czujnéj straży jubilatowi, od natrętów broniącéj. W przedpokoju spotykało się zwykle poczciwego sługę, Piusa, całém sercem oddanego dobremu Panu, a bardzo roztropnego i rozumiejącego należycie całą ważność tych godzin pracy. Ten wszakże, znając doskonale bliższe stosunki swego Pana i umiejąc odróżnić niepotrzebnych nudziarzy od tych ludzi, którzyby się nie ośmielili, bez pobudki nagłéj i ważnéj, zakłócać mu drogiego spokoju, bez oporu drzwi nam otwierał. Wkraczaliśmy więc następnie do jadalni, o dwóch oknach, wychodzących na ogród, o ścianach pozawieszanych obrazami, przylegającéj lewą stroną do pokojów panieńskich, prawą zaś do salonu. Tu cisza panowała głęboka,—czasem tylko słówko nieco głośniéjsze ozwało się po-za lewemi drzwiami, gdzie panienki lekcye odbywały. Pomimo woli szło się daléj prawie na palcach, z jakąś trwogą i wyrzutem w sumieniu za winę popełnianą rozmyślnie, choć z konieczności. Salon, zajmujący całą szerokość domu, stosunkowo za wązki, z drzwiami parterowemi i gankiem od ogrodu, miał wszystkie ściany obrazami okryte, w pośród których nie brakło dzieł niepospolitéj wartości słynniejszych mistrzów obcych, i płodów pięknie się już wówczas rozwijającéj sztuki krajowéj. Tutaj też stał fortepian i ulubiony organek Kraszewskiego. Za salonem, z prawéj strony była sypialnia, z lewej—pracownia jubilata, przedzielona pokoikem niewielkim, stanowiącym gabinecik Pani Kraszewskiéj, a właściwie strażnicę, gdzie ona, przy krosienkach lub z książką w ręku, zawsze się o téj porze znajdowała na czatach, i nie jeden z tych, którym Pius dał próg przestąpić, ztąd, jak nie pyszny, natychmiast się musiał wynosić; chyba że prośby natarczywe przez drzwi zamknięte doszły do uszu gospodarza, który, po głosie suplikanta poznawszy, uchylał je wówczas i, z dobrotliwością sobie właściwą, skwapliwie go do siebie zapraszał.

Pracownia zajmowała obszerny, dwoma, w dwóch ścianach przeciwległych, weneckiemi oknami oświecony pokój. Po pod ścianami podłużnemi stały szafy biblioteczne, u dołu opatrzone w szuflady, gdzie się mieściły rękopisma i teki, z uporządkowanym systematycznie bogatym zbiorem rycin, odnoszących się do historyi sztuk pięknych w Polsce. Po nad szafą, ściana przeciwległa wchodowi, prawie cała zawieszoną była pejzażami olejnemi, pędzla Kraszewskiego, a pod oknem na lewo stały zwykle sztalugi. Na półkach i na małych stolikach poustawiane i porozkładane były rozmaite wykopaliska i zabytki starożytności, a znów na innych ścianach, w miejscach nie zajętych przez szafy, wisiały stare zbroje i rynsztunki wojenne. Wreszcie po pod oknem po prawéj stronie, wzdłuż przez środek pokoju, stał długi stół, gobelinem przykryty, z całym

przyborem do pisania, założony pakami listów, rękopismów, dzienników i nowiuteńkich książek w rozmaitych językach.

O południu zazwyczaj, bądź sam Kraszewski jeździł z wizytami, lub dla załatwienia spraw przeróżnych po mieście, bądź też u siebie odwiedziny urzędowe przyjmował. Po obiedzie znów parę godzin literackiéj pracy poświęcał, lub też opiece nad teatrem, w którym, ilekroć tylko się do nowéj sztuki przysposabiano, assystował zwykle przy próbach.

Wieczorem za to już dla wszystkich dom stał otworem, i rzadko kiedy na herbacie obeszło się bez gości, czy to miejskich, czy z prowincyi przybyłych, przeważnie z towarzystwa mezkiego, którzy, wstawszy od stołu, wynosili się wraz z gospodarzem do zacisznéj jego pracowni, gdzie przy fajkach i przy cygarach, do późna w noc ciągnęła się pogadanka roskoszna o tém wszystkiém, co tylko umysł ukształcony i serce zacne zająć mogło najżywiéj.

W razie, jeżeli gośćmi byli bliżsi znajomi, Kraszewski często, czy to sam, czy przy akkompaniamencie na fortepianie, Czapka, przy ulubionym swym organku zasiadał, i nieraz godzinami całemi, zwłaszcza gdy nowe jakie kompozycye nadeszły, kąpał się w tych potokach melodyi, które z pod biegłych jego palców tryskały, i orzeźwiał w nich duszę, *upałem dnia* pracowitego umojoną.

Tak bywało codziennie, z wyjątkiem tylko sobót, których wieczory poświęcone były nibyto *dziecinnym zabawom*, bo w nich także i starsi brali udział bardzo serdeczny. Zresztą i owe dzieci nie zupełnie były już dziećmi, których przedstawicielką istotną tylko najmłodsza córka gospodarza nazwać się mogła; starsza bowiem już była wtedy panną na wydaniu, a dwie krewne pani Kraszewskiéj miały już trochę prawa do marzenia o długich sukniach. Z dwóch zaś synów państwa Kraszewskich, starszy liczył lat dziewiętnaście, młodszy szesnaście.

Na wieczorki te pospolicie zbierało się towarzystwo dość liczne, lecz przeważnie, jeśli nie całkiem, z najbliższych tylko i najpoufalszych przyjaciół i znajomych złożone: tutaj najczęściéj spotykali się Korzeniowscy, Prusinowscy, Pietkiewiczowie, dwie córki Kazimierza Komornickiego, przyszły zięć gospodarza, p. Bolesław Łoziński, Dr. Nowicki, nauczyciel gimnazyalny Tytus Kosowski, i inni, których dziś już przypomnieć sobie dobrze nie mogę.

Bawiono się z razu w gry towarzyskie: w *sąsiada*, w *wojażera*, w *à la guèrre*, w *ptaszka* i t. d. Przy *ptaszku* jedną razą, ktoś, podobno p. Prusinowski, odznaczający się szczególniejszą łatwością w improwizowaniu dowcipnych zwrótek, stanąwszy w śroku koła, zamiast zwykléj piosnki o ptaszku, *szukającym ziarna pszenicy*, wyrecytował *ex abrupto* jakiś zgrabny ucinek, wymierzony do któregoś z uczestników téj gry niewinnéj; naturalnie, że ów musiał mu odpowiedzieć w tenże sam sposób, i *ptaszek* się raptem przerodził niby w Krakowiaka. Zwrótki wesołe, żartobliwe, sypały się jak z rogu obfitości, a całe towarzystwo tak się wesoło i ochoczo bawiło, tak szczerym i serdecznym wybuchało śmiechem co chwila, iż w końcu i szanowny gospodarz, wywabiony tą wrzawą ze swego gabinetu, gdzie w gronie starszych poważną się bawił rozmową, przyszedł przyglądać się i przysłuchywać pustym naszym igraszkom i śmiał się do rozpuku wraz z nami; a nasze rymowane koncepta tak się mu podobały, iż zażądał, aby mu je syn starszy stenografował, i cały tego arkusz uzbierał.

Dawne to, bardzo dawne już czasy! lat dwadzieścia odtąd ubiegło; a jak mnie, tak zapewno i wszystkim innym uczestnikom tych zabaw, rozerwanym i rozproszonym gdzieś po szerokim świecie, dotąd żyją one w pamięci, choć wspominać je dziś tak ciężko! bo ileż-to zmian smutnych zaszło odtąd w życiu i sercach ludzkich! ileż osób z owego grona, co się tak raźno, tak ochoczo wtedy bawiło, znikło, zgasło przedwcześnie, rzuciwszy mrok żałobny i chłód grobowy na tych, których duszy przyświecali ciepłym promieniem miłości lub przyjaźni prawdziwéj!

W Lutym tedy 1860 roku wyruszył Kraszewski do Warszawy, rodzinę całą pozostawiwszy w Żytomierzu, dokąd już tylko na czas krótki zajrzał był w Czerwcu tegoż roku, aby poblogosławić związek starszéj swéj córki z p. Bolesławem Łozińskim. Znów odjechał i już wielu z tych, co się do niego całem sercem garnęli, nigdy go odtąd nie ujrzało.

Na pożegnanie już mu szlachta Wołyńska nie wydała obiadu, i nikt nie wystąpił z żadną owacyą; grono tylko najszczerszych, najwierniejszych przyjaciół, którzy wierzyli w zacność jego zamiarów i wiedzieli, do czego dąży, dłoń mu uścisnęło gorąco, przyrzekłszy najżarliwsze poparcie i współdziałanie.

I tą razą sam tylko udał się do Warszawy: państwo Łozińscy w Żytomierzu osiedli, pani Kraszewska przeniosła się do Kisiel, chcąc tam lato przepędzić i cieszyć się, dopóki mogła, tą ciszą wiejską i swobodą, w której tak bardzo podobała, a z niechęcią i prawie wstrętem myśląc o osiedleniu się w Warszawie. Zresztą i dom w tém mieście nabyty przez Kraszewskiego przy ulicy Mokotowskiéj, jeszcze się restaurował podówczas; dopiero więc przy końcu Sierpnia całe rodzeństwo (z wyjątkiem starszéj córki), znalazło się pod jednym dachem.* Nie na długo jednakże, bo już 1-go Września, w części dla orzeźwienia się po ciężkiéj pracy, i dla zdrowia, w części dla zabrania stosunków w interesie Gazety, wyruszył Kraszewski po raz drugi w swém życiu za granicę, uwożąc z sobą i starszego syna swojego, dla umieszczenia go w szkole politechnicznéj w Gandawie. Z podróży téj powrócił dopiero w połowie Listopada, a zwiedził w niéj Wrocław, Bruxellę, Paryż i dłuższy czas przepędził we Włoszech, głównie w Genui, co wszystko w Listach do Gazety opisał.

I później wszakże przez cały czas pobytu w Warszawie, mało Kraszewski zaznał pociech w życiu rodzinném, od którego ciągle go odrywało życie publiczne i ciężka praca redaktorska. Nad to, pani Kraszewska z młodszą córką i pupilkami na lato wyjeżdżała zwykle do Kisiel; on zaś i w roku 1861 w Październiku jeszcze raz za granicę wybrawszy się na dwa tygodnie, w skutek ciężkiéj choroby, która go zaskoczyła w podróży, powrócił ledwie w Styczniu 1862 r.; a w końcu i młodszego syna, Franciszka, tegoż roku do Krakowa na naukę odesłał. Romanów ukochany ledwie raz tylko w onym czasie zdołał odwiedzić, i raz tylko cieszył się obecnością brata Kajetana w Warszawie, również jak i starszéj córki, Łozińskiéj, któréj nigdy już w życiu nie miał więcéj oglądać.

Wszystko to, razem wzięte, musiało bardzo smutnie odbijać się w tém tak czułém i tak wrażliwem sercu; a jednak było małą zaledwie cząstką tych przykrości, jakie na Kraszewskiego zwaliły się w Warszawie.

Źródłem ich wszyskich była ta nieszczęsna Gazeta, a właściwiéj ta chęć gorąca służenia dobru powszechnemu, które znęciło do niéj Kraszewskiego, przejętego niezłomną wiarą, że kierując nią podług swojéj myśli i woli, a mając środki należyte i moralne i materyalne do rozwinięcia jéj na taką skalę, i do postawienia na takiéj stopie, żeby odpowiedziała wszelkim wymaganiom możliwym, potrafi przez nią oddziaływać na ogół, i osięgnie ów cel wysoki, do którego z takim zapałem i z taką wytrwałością dążył przez całe życie.

Zamiary jego były najzacniejsze, najczystsze; myśląc o ich urzeczywistnieniu, dalekim był od ubiegania się za jakąbądź osobistą korzyścią, owszem—całego siebie na ofiarę oddawał i zamiast, coby miał, opuściwszy Żytomierz, osiąść w uroczych, zacisznych swych Kisielach, mogących, zwłaszcza przy Hubinie, dostarczyć środków do zadośćuczynienia wszelkim potrzebom, a choćby i zachciankom dostatniego i wykwintnego życia; zamiast spokojnie i swobodnie oddychając wiejskiém powietrzem, wśród téj okolicy czarownéj, co go niegdyś tak zachwyciła, na łonie téj natury, którą tak kochał i tak dobrze rozumiał i odczuwał, — oddać się całą duszą swym upodobanym zajęciom,—literaturze, muzyce i malarstwu, i jedynie dla przyjemności, dla rozrywki, dla odświeżenia się i podniecenia, kiedy niekiedy wychylać się czy to do Warszawy, czy za granicę; zamiast tego wszystkiego, powiadamy, rzucił się w odmęt życia, całkiem przeciwnego swoim usposobieniom i, dla miłości dobra ogólnego, poświęcił równie interesa materyalne, jak i wszelkie pociechy, wszelkie przyjemności duchowe: poświęcił byt dostatni, spokojny, niezależny, swobodny, i to wtedy, gdy właśnie mógł był w całéj pełni z niego korzystać.

I jakąż za to wszystko zyskał nagrodę?— Oto ludzie złéj woli krzyknęli w niebogłosy, że się żydom zaprzedał! a całuteńki prawie obóz szlachecki, wszyscy ultra-konserwatyści, uwierzywszy niecnéj potwarzy, przeciw niemu stanęli, a z nimi też i Towarzystwo Rolnicze.

Naturalnie, że wobec tego i najbliżsi, najdrożsi, nie mogli być z postępku jego zadowoleni, że, jak żona, która z przykrością niewymowną i ledwie nie ze wstrętem zrezygnowała się na mieszkanie w Warszawie, tak też ojciec i bracia niezmiernie nad tym gwarem nieprzyjaznym boleli; a choć znali aż nadto dobrze całą bezinteresowność i czystość intencyi Kraszewskiego, i choć wiedzieli, jakie dla idei poniósł ofiary,—nie wierząc jednak, aby dopiął zamierzonego



Dom niegdyś J. I. Kraszewskiego, przy ulicy Mokotowskiéj w Warszawie.

celu, to co czynił za złe mu brali; nie taili swego niezadowolenia, i nieraz mu radzili, aby nadaremnéj walki zaprzestal i nie dawał na poniewierkę poczciwego swego imienia.

Lecz ni obcy, ni swoi zachwiać go w raz powziętém postanowieniu nie zdołali: „Mylisz się, (pisał jeszcze w Lipcu 1859 r. do brata), sądząc, że żydowska sprawa i element wychodzi w tém,—zawarowalem sobie, żeby go nie było, ani być mogło. Ani bronić nikogo nie będę, ani zaczepiać. Cała rzecz: ufundować dobrą i uczciwą gazetę. O żydach niéma mowy, bo dla mnie niéma żydów—są ludzie, obywatele kraju, i ci, co na to nie zasługują. Kto spelnia obowiązki, jest,—kto nie spełnia ich, nie jest synem kraju. Przerabiać nikogo nie trzeba, bo siłą rzeczy przerobi się, albo zostanie odepchniętym!"

Do ojca zaś w Lutym 1860 r.: „Pozycya moja, jako redaktora, nie taję tego, jest bardzo, ze wszech miar ciężka; ale praca jest powołaniem człowieka, a walka obowiązkiem: trzeba iść mężnie do celu. Już się też coś zrobiło, gdy „Gazeta Codzienna" ma 4200 prenumeratorów, a początkowych numerów z tego roku już braknie".

I znowu w Czerwcu tegoż roku: „Co do Gazety, w krótkich ojcu odpowiem słowach: Oto mam już blizko trzydzieści lat doświadczenia, i gdym się brał do tej pracy, nie oglądałem się na niebezpieczeństwa i trudności, poświęciłem się dla idei, jaką miałem. Tego nie odstąpię, choć się żółci napiję, a co ma być, to będzie. Raz wziąwszy się, ohydniebym postąpił, rzucając, i dopiéro-bym dowiódł, że nie wiedziałem, co robiłem.— Żydów, ani żydowskiej, ani żadnéj sprawy tego rodzaju, nie znamy i nie wiemy, ani chcemy wiedzieć. A że ludzie złéj woli tworzą plotki i potwarze, a szlachta łatwowierna im wierzy,—cóż robić? Czas wielki majster, a prawda wyjdzie na wierzch. Dajmy już temu pokój. Z mojej przyczyny włożył Kronenberg z górą 250,000 złotych, z tego powodu nawet honor-by mi nie dozwolił go porzucić. Niéma o czém mówić".

Jakie zaś były owe plotki i potwarze, najlepiej świadczy o tém bardzo ciekawy dokument, a mianowicie list z pod Pińska Stanisława Hreczyny, pisany do Kraszewskiego jeszcze w Styczniu 1850 r., z którego parę wyjątków podajemy:

„Razem prawie z prospektem *Gazety Codziennéj* dobiegły do nas dziwne zasmucające wieści i o niéj, i o jej redaktorze: chcą nam wmówić, żeś się pan zaprzedał, że posługujesz jakimś osobistym widokom, że masz najzgubniejsze dla nas zamiary i t. d. Jedni malują cię, jako przeniewiercę, drudzy jako symplicyusza, uwiedzionego i ślepego. Wieści te rozmaitemi dobiegały do nas drogami: w listach bezimiennych, w rodzaju okolników do ludzi wpływowych i na urzędach stojących, w postaci nowin autentycznych z Warszawy, w formie najświeższych wiadomości, z najpewniejszego zaczerpniętych źródła".

Dalej opowiada pan Hreczyna, jak bronił Kraszewskiego przeciwko tym potwarzom, powołując się na trzydziestoletnią jego pracę bez zarzutu i skazy;—lecz przyznaje, że mu nie bez trudności to przychodzi, w końcu zaś pisze: „Miałeś Pan i masz przyjaciół, naraziłeś sobie wielu, inaczéj być nie mogło, gdy się obstawało za prawdą, a nie chciało pochlebiać; ale większość dała Panu nieraz dowody wiary i ufności. Sądzę, że i teraz wyjdziesz z tej wrzawy czystym i niezłamanym; żal mi jednak szczerze, prawdę powiedziawszy, żeś pan wlazł w tę kaszę. Trzeba ci było dziennik na Litwie wydawać, nie w Koronie, gdzie cię mniej znają, gdzie przybywszy z jakiém takiém imieniem i zasługą, musiałeś pobudzić zazdrości, niechęci, i naturalnych pozycyą swoją zrobić sobie nieprzyjaciół. Piękna to rzecz tak odważnie się stawić, ale niezbyt wygodna. Alboż to niéma młodszych i chciwych walki i rozgłosu, żeby Pana zastąpili w tych szarmyclach? po co zdrową głowę kłaść pod Ewangelią? Rzuć pan, szczerze życzę, pracę przykrą, zgryźliwą, a znajdziesz łatwo inną, którą równie nam użyteczny będziesz. Jesteś już nie tak młodym, aby to cię nie miało kosztować; czasu zajmie to wiele, a kto wie jeszcze, jaki będzie skutek?"

Kraszewski, opatrzywszy ten list odezwą do Adama Kirkora, odesłał go z prośbą o umieszczenie w „Kuryerze Wileńskim". Czy był tam ogłoszony, nie wiemy, i nie mając zresztą potrzeby z tém się liczyć, uważamy za rzecz właściwą przytoczyć tu z tego dokumentu wyjątek.— Oto są słowa Kraszewskiego:

„Świat lubi się zabawiać potwarzami, ale potwarcami gardzi. Na chwilę wszystko się imie ludzi; głoszą, co posłyszeli, choć niespełna w to wierzą; ale czas jest wielkim mistrzem sprawiedliwości, odkrywa powody, odsłania twarze zakryte, wyświeca pobudki czynów, i pogardą wcześniéj czy późniéj płaci tym, co na nią zasłużyli. Ze spokojem czystego sumienia oczekujemy jego wyroku; cofnęlibyśmy się w takim razie tylko, gdyby głos ogółu, przeważny i poważny, objawił nam, żeśmy fałszywą poszli drogą,

nie przed intrygą, plotką i potwarzą. Głos ten właśnie mówi nam jasno, że potwarzom nie dano ucha i widzimy to z liczby czytelników naszych, z oznak współczucia ludzi bezstronnych i osobistemi nie skrępowanych względami, ze współdziałania pisarzy, z nawrócenia tych nawet, którzy chwilowo rozsianym tak troskliwie pogłoskom wiarę dali. Pójdziemy więc dalej, póki siły, ufając pomocy Bożej i ludzi zacnych a nie uprzedzonych; i choć po latach trzydziestu pracy, niemal na nowo dobijać się nam przychodzi wiary i uznania, cóż robić! mamy jeszcze dość cierpliwości, by zawód swój bodaj na nowo rozpocząć".

Tak-to pisał Kraszewski, a szczerości słów swoich i mocy swych przekonań uczynkami dowodził.— Nie zważając na krzyki, na oszczerstwa i podejrzenia, na szykany nawet najbezecniejsze, stał wytrwale na stanowisku swojém, i całe serce, wszystkie siły w trudne to zadanie włożywszy, tak żarliwie nad podniesieniem i rozwojem swej Gazety pracował, iż po dziewięć godzin codziennie jej poświęcał, a dla podtrzymania stosunków ze swymi współpracownikami nieraz po dwadzieścia listów na dzień pisywał.

W innym dziale książki niniejszéj znajdą czytelnicy artykuł, wyłącznie poświęcony dziejom Gazety pod redakcyą Kraszewskiego; my zaś ograniczymy się na przytoczeniu jej ogólnéj charakterystyki, nakreślonéj wybornie przez p. Stanisława Krzemińskiego, w jego studyum o Kraszewskim, ogłoszoném na początku roku bieżącego w „Bluszczu".

„Bardzo wiele przez dwa pierwsze lata zrobił Kraszewski dla swojéj gazety. Oprócz artykułów wstępnych, oprócz mnóztwa drobnych wiadomości, przeważnie literackich, zasilił ją następującemi pracami własnego pióra. Szereg *Silva rerum* , siedmdziesiąt dziewięć *Listów z podróży* (1860), *Dziś i lat temu trzysta*, *Syrena*, powiastka współczesna (1859), *Jasełka* i początek *Kopciuszka*, nareszcie wspomniane już *Kartki z podróży* (1860). Ściśle redaktorskie powołanie swoje dobrze przeprowadził; zapewnił gazecie współpracownictwo najznakomitszych pisarzy. (Z licznego ich szeregu zanotujemy tylko: Szajnochę, Bielowskiego, Hoffmana, Wiszniewskiego, Lenartowicza, Chojeckiego). Bujnie rozwinęła się od razu korrespondencya zagraniczna, oryginalna. Dział belletrystyczny, literacki i krytyczny w dwóch pierwszych latach był najobfitszy. Do działu nauk społecznych przykładał pióra swego, niezależnie od listów z Genui, Michał Wiszniewski. Ku końcowi 1860 r., polityka zaczyna wypierać literaturę i wiedzę czysto umysłową, i kierunek ten, raz nabyty, utrwala się już w Gazecie; podobnież z rokiem 1861 teoryzowanie ogólnikowe ustępuje miejsca poglądom konkretnym nad konkretnemi wypadkami. Dążność pisma pozostaje niezmienną i w jednakowym zawsze kształcie przejawia się nawet wtedy, gdy znikają zupełnie artykuły rozumowane o najważniejszych zadaniach i wydarzeniach wewnętrznych."

„Wytworzywszy dla Gazety wyborne ramy, ożywiwszy ją wszechstronnie, zasiliwszy owocem własnego trudu piśmienniczego, miał Kraszewski prawo powiedzieć (1860 r. Nr. 318) że włożył w nią całą swoję myśl i pracę. W tym programmacie Gazety na rok trzeci (1861) zapowiada, że będzie nadal wygłaszał potrzebę przemysłu i handlu, potrzebę, którą nieuprzedzeni uznawać już zaczynają. Nowe wyznanie wiary redaktora przybyło do poprzednich z powodu zmiany tytułu na *Gazetę Polską* dnia 3 Kwietnia 1861 r. (Nr. 57). Jest ono najwybitniejszém ze wszystkich, wygłoszonych w Gazecie, i do historyi ducha Kraszewskiego, którą następcy nasi z większą jeszcze ciekawością, niż my, śledzić będą, ważny stanowi przyczynek. Na czele wszystkich wypowiedzianych tu myśli postępuje równouprawnienie stanów, stworzenie z rozpierzchłych żywiołów jednéj całości. „Żyć trzeba z ludzkością, lecz bez kosmopolityzmu. Postęp nie narusza narodowości. Rozwijając się na podstawie Chrześciańskiéj, każdemu przecież zostawiać należy wolność sumienia."

„W latach 1861, 1862 mniéj jest w Gazecie artykułów zasadniczych, a za to więcéj szczegółowego rozważania rozmaitych niezaspokojonych potrzeb i instytucyi. Redakcya zabiera niekiedy głos w obronie wszechstronnego, spokojnego rozwoju, zachęca do popierania ówczesnych urządzeń publicznych; zastanawia się nad szkołami różnego stopnia i zakresu, rozpatruje stosunki i urządzenia ekonomiczne: ale praca ściśle redakcyjna ustępuje miejsca w tych latach przysyłanym zewnątrz pracom doraźnym jednorazowych współpracowników. Polityka zagraniczna przechodzi do rubryki artykułów wstępnych; zajmuje się nią nawet w *Listach z ulicy Mokotowskiéj* sam redaktor, przeznaczając je prawie w zupełności na rzeczy obce. (A dodamy od siebie: tenże redaktor i *wiadomości ostatnie* sam też pisuje). Gazeta ma ciągle ton poważny, trzyma się zdala od lekkości, do któréj zresztą duch czasu nie usposabiał:

staczać musi polemiki, ale w nich zachowuje godność, i mimo trudnego zadania, ani błędów nie popełnia, ani z drogi obranéj nie schodzi. Obok poważnych prac ekonomicznych, stają bardzo trzeźwe i zdrowe uwagi nad oświatą ludową, nad podniesieniem izraelitów, których równouprawnienie stanowi jednę z gorąco wyznawanych idei redakcyi. Dział korrespondencyi jest obfitszym od innych i, rzec można, najbogatszym i najlepszym, jaki kiedykolwiek istniał w czasopiśmie polskiém. Gazeta ma korrespondencye ze wszystkich krajów Europy, ma własne—rzeczywiście własne—telegramy, z których korzystają nawet dzienniki niemieckie. Z kraju listy stałe, doraźne, w każdym napotykają się numerze, a w nich życie społeczne, czysto społeczne, dobrze się odbija. Literatura rozumująca zupełnie prawie przytłumiona, drobne tylko wiadomości dają obraz bieżącego ruchu literackiego. Belletrystykę wyobraża *Kopciuszek*, ciągnący się jeszcze przez cały rok 1861 i część następnego; potém idzie w feljetonie *Historya upadku dynastyi Sobieskich*, dokończona już w r. 1863; przerwę pomiędzy nią *a Dolą i Niedolą*, nazwaną także *Człowieczkiem*, wypełnia *Collins*. Zapowiedzianego *Końca Świata*, samego redaktora, nie znaleźliśmy w exemplarzu redakcyjnym. Przy wielkiéj ruchliwości, Gazeta zyskuje już w 1861 r. ogromne uznanie i dosięga liczby 7,500 prenumeratorów, największéj, jaką miał kiedykolwiek dziennik polski poważny."

Widzimy tedy, że nie tylko kierownictwem redakcyi zajmował się Kraszewski, nie tylko ledwie że nie każdy numer Gazety zaopatrywał w artykuły polityczne i literackie, lecz nadto i powieści dla niéj pisywał („Jasełka" i „Kopciuszek"), kończąc przy tém „Kartki z podróży;" a nawet umiał znaleźć jeszcze dość czasu i na odczyty o *Cywilizacyi polskiéj między X i XIII wiekiem*, które w Grudniu r. 1860 w sali Resursy Kupieckiéj wygłosił. Miały to być zrazu odczyty o historyi literatury polskiéj, jak widzimy z listu Kraszewskiego do ojca pod d. 15 Listopada; dla czego się projekt odmienił, na to brak nam pewnych wskazówek. Czytamy tylko we dwa tygodnie późniéj w liście do p. Kajetana (7 Grudnia): „Gotują się w tych dniach moje prelekcye *O historyi cywilizacyi w Polsce*, na których mieć będę więcéj słuchaczy, niżelim się spodziewał, bo już dziś, gdy jeszcze nie są pozwolone, a tylko jest nadzieja, miejsca wszystkie pozamawiano. Miarkujesz, że to wystąpienie całym mną wstrząsa i niepokoi, Boję się i pragnę tego. Boję się zawieść nadzieje, pragnę zadość uczynić."

Miał też czas i ochotę przedsięwziąć wydawnictwo dla ludu, o którém pod d. 11 Lutego 1862 tak donosił panu Kajetanowi, prosząc go o współpracownictwo: „Jest rzecz taka: wziąłem się do pisania książeczek dla ludu; inne roboty pójdą mi łatwo, ale pierwszy zaraz extra-popularny wykład kosmografii ogólnéj, nie idzie mi,—źle jestem przygotowany. Chcę to koniecznie sam zrobić, pomóż mi tém, żebyć przyłączony rękopism odczytał, zrobił uwagi, co i jak dodać, i dołożył plan reszty, którąby go dopełnił, ale jak można najprościéj. Ja z twojéj kanwy zrobię resztę, ale ty zacznij. Rzecz trzeba żeby była krótka a jasna; ja się męczę, nie znając głębiéj przedmiotu, ty go posiadasz *à fond*, przyjdzie ci łatwiéj. Tylko liczb i naukowości nie dawaj; pamiętaj, że piszę dla chłopa."

Książeczka więc p. t. „Świat i ziemia" powstała przy współpracownictwie p. Kajetana Kraszewskiego, a rzecz *O pracy*, na któréj się to poczciwe przedsięwzięcie skończyło, była już całkowicie własnym jubilata utworem.

Nareszcie w tymże roku (1861) przy pomocy F. S. Dmochowskiego, przedsięwziął był Kraszewski na własną rękę wydawnictwo czasopisma naukowo-literackiego p. t. „Przegląd Europejski", którego plan doskonale był obmyślany i wiele się dawał spodziewać, lecz należycie rozwiniętym być nie mógł; była to pora bowiem wcale nie sprzyjająca przedsięwzięciom tego rodzaju. Ani wątpić, że ze zmianą okoliczności, taki redaktor byłby zdołał swój Przegląd na stopie odpowiedniéj założeniu postawić; lecz mu na to czasu zabrakło. Niepowodzenie jednak pod tym względem sowicie okupiła Gazeta, która pod jego kierownictwem, jego piórem wspierana, doszła do takiego rozwoju, jak wewnętrznie, tak i zewnętrznie, iż śmiało utrzymywać możemy, że ówczesne jéj czterolecie jest epoką w dziejach naszego dziennikarstwa, które odtąd, wprowadzone na nowe tory, — dziś jeszcze, po szesnastu latach istnienia, przy całym swym rozroście, w żadnym z organów swoich na nic lepszego, pod względem programmatu, zdobyć się nie zdołało, a w wypełnieniu gotowego, daleko pozostało po za swym wzorem.

Nie przeczymy, że „Gazeta Warszawska", podniecona przez „Dziennik" Rzewuskiego, w rozwoju prassy naszéj codziennéj ma też wielkie znaczenie; nie przeczymy również i temu, że doniosłe środki materyalne, jakiemi mogła

rozporządzać Gazeta Polska pod redakcyą Kraszewskiego, na podniesienie jéj wartości znakomicie wpłynęły: ale pamiętamy również i o tém, że jak niegdyś „Tygodnik Petersburski“, tak później i „Gazeta Warszawska“, przeważnie Kraszewskiemu zawdzięczała stan swój kwitnący; oraz, że „Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych“ w swoim czasie, opierając się na funduszach nie mniéj donioslych, utrzymać się nie mogla.

Są pewne względy, bardzo ważne, które nie pozwalają nam się kusić o należyte rozjaśnienie wszystkiego, co się wiąże z historyą redaktorstwa Kraszewskiego w „Gazecie Polskiéj“; nie możemy jednak zamilczéć, że już w Marcu 1861 roku znalazly się powody, zniechęcające go bardziéj, niż dawniejsze wrzaski, klątwy, potwarze i niezliczone anonymy, do dalszego prowadzenia téj sprawy; że się zrazu przyznawal ojcu: „iż się zanadto po młodemu wziął do tego, i wolał-by siedzieć spokojnie w Kisielach, ale się stalo i odstać nie może“, a późniéj napomykał z goryczą, że bodaj będzie musiał zerwać z Gazetą, i to wtedy, gdy już uprzedzenia przeciw żydom ustały. Jakoż, rychło spodziewając się tego, założył Przegląd Europejski, chcąc posiadać własny swój organ; w Maju zaś 1862 już wyraźnie pisał do brata: „Chciałbym się pozbyć Gazety, a zostać tylko przy Przeglądzie, dom sprzedać, sprzedać konie i żyć ciszéj i skromniéj. Do Nowego roku jeszcze będę ciągnął z Gazetą, daléj wątpię; bo i materyalnie nawet jest to interes dla mnie nie dobry, a moralnie — gra świecy nie warta. W ogóle pokaże się, że grubo na tém wszystkiém straciłem ze wszech względów; ale myśl, którą miałem, wszczepiłem, i ona mi jest nagrodą straty i pracy. Mówcie co chcecie, myśl pojednania z żydami, którą kraj przyjął, nie jest tak małą rzeczą, jak się zdaje. Teraz chcę wrócić do literatury i nauki i spokojniejszego żywota“ *).

Powodem tego zniechęcenia, pominąwszy względy uboczne, była niesłychanie trudna pozycya Kraszewskiego na stanowisku redaktorskiém; bał się, aby nie zaszkodził „Gazecie.“ Szło więc co raz to gorzéj, aż wreszcie pod d. 2 Stycznia 1863 roku taką wieść zakomunikował p. Kajetanowi: „Nie wiem, czy wam to zrobi przyjemność, czy smutek, ale od 10 Grudnia nie jestem już redaktorem „Gazety.“ Nastąpiło to wprawdzie w skutek silnego parcia z góry od Margrabiego, lecz z mojéj dobréj woli, dla ocalenia ile możności saméj „Gazety“ od skutków nieukontentowania do mnie. Mam redakcyą swojego „Przeglądu“ i przy téj zostaję; bo w téj chwili przynajmniéj nie mógłbym jeszcze powrócić na wieś. Taki jest stan rzeczy moich, i chociaż położenie zmieniło się, dotąd nie widzę, żeby się pogorszyło. Na domie trochę straciłem (40000 złotych), alem się ciężkich pozbył długów i to dobrze. W téj chwili „Gazeta“ nie ma innego redaktora, tylko sam Kronenberg odpowiada. Ja jeszcze zdaję papiery i pomagam do urządzenia nowego. Z Kronenbergiem pozostałem dobrze, i wiele mu winienem wdzięczności, gdyż mnie uwolnił od posiadania domu i dopomógł tym sposobem do zapłacenia długu i tego, com był jemu winien za Łozińskiego, tak, iż na czas jakiś jestem spokojniejszy.“

Nie długo wszakże było tego spokoju, bo już 27 Stycznia pisał do brata: „Kochany Kaju! Donoszę ci krótko, że jestem zmuszony przez Margrabiego wyjechać na czas jakiś za granicę, aby nie być posądzonym o zły wpływ na dziennikarstwo, jaki mi tu widać przypisują. W Sobotę jadę i na twojéj opiece zostawiam żonę i dom. Dowiaduj się do nich, proszę. Zrób, co możesz; abyś moje konie sprzedał, i o Zofii trochę pamiętał. Ojca nogi ucałuj, a pisz do mnie, co się z tobą dzieje.“

Do ojca zaś d. 6 Lutego z Drezna pod Nr. 14 na Pragar Strasse:

(*) A jak mu podówczas był pożądanym ten żywot spokojniejszy, widzimy to i z wierszyka żartobliwego, którym odpowiedział na wierszowane również skargi brata Kajetana, narzekającego na złe cygara:

Mój drogi! choć ty klaki, łój palisz i pierze,
Jednak palić swobodnie masz choć trochę czasu,
A mnie uznojonego i chętka nie bierze,
Choćby były Huppmana w pudełku z atlasu.
A wierz mi, o cygaro łatwiéj jeszcze może,
Niż o swobodę, którą ty masz w każdéj porze,
Któréj ja nie mam nigdy, nie kupię za złoto,
A dawne nasze czasy wspominam z tęsknotą!
Bodaj ojcowski tytuń przy starym kominie,
I święty spokój wiejski w każdéj dnia godzinie!

Nie mogliśmy się powściągnąć od przytoczenia tego wierszyka, który tak żywo nam przypomniał ów list, opisujący burzę w drodze do Wilna z przed lat trzydziestu trzech:

Bodaj domowa strzecha spokojna i cicha!
Lepsza, niż w wojnie złoto, w pokoju miedź licha.
Bodaj-to żyć spokojnie, nie zajrzeć nikomu,
Przy kominie, w cichości, śród wiejskiego domu!
(*Przyp. autora*).

„Kazano mi oddalić się nie tylko od Gazety, ale nawet z Warszawy. Wybrałem sobie tymczasowo Drezno, gdzie, przyśpieszywszy swój wyjazd nie z własnéj woli, stanąłem d. 3 Lutego. Dzisiaj spodziewam się tu Jana, a za parę dni Frania także; żona moja pozostała w Warszawie, lecz gdyby pobyt mój miał się przeciągnąć, zapewne także przyjedzie tu. Zdrowie moje, mimo biedy, jeszcze służy jako tako; znoszę wszystko, zapominając, że mam lat 50, bo muszę żyć i pracować, jakbym miał ich tylko połowę.“

Ale bratu Lucyanowi wcale w inny sposób stan swój malował:

„Z przyszłością nieodgadnioną na karku, jakby z kamieniem u szyi, położenie moje nie do zazdrości. W jakiéj trwodze o was, o ojca, o Kajetana jestem, wysłowić nie mogę! Jeszcze dzień, jak dzień; ale przyjdzie noc, to te pokoiki, w których ja sam, i sny, i marzenia, i przywidzenia... zasnąć straszno! Niczém tu uzyskany chwilowo spokój, chyba wyrzutem, gdy się tam zostawiło ojca, braci, żonę, dziecko, a zresztą tysiące braci i tysiące matek! Dodaj i to, że w tych męczarniach dwuletnich straciłem siły, zdrowie złe, życie nowe mi nie służy... Nie mów o tém i nie pisz; alem ciągle chory, śpiący i siebie nie poznaję... Już mi się chce skończyć... tu na cmentarzu leży Brodziński — byłby honor położyć się przy nim.“

Do Kajetana znowu: „Piszcie do Zofii; ją to pocieszy, że ktoś o niéj pamiętać będzie; bo wielu jest przyjaciół, ale w biedzie i kłopocie opuszczają wszyscy. Doświadczyłem tego. Tu znalazłem więcéj stosunkowo sympatyi, niż w kraju. Drezno ciche, spokojne; ale jak dla mnie, po dwuletniéj gorączce, ten spokój nie zbyteczny, gdyby go nie pożerała tęsknota i ciągła trwoga o was wszystkich.“

Wpośród téj trwogi i tęsknoty, rozbolały, stroskany, a niepewny przyszłości, sam nie wiedział, co z sobą począć, i czém swoje serce ukoić: „Położenie moje — pisał do brata — dziwne, przykre i nienormalne! Jeżeli to potrwa, nie ręczę, czy w tém pustém Dreznie wysiedzę. Pojadę do Szwajcaryi, lub do Anglii, żeby coś widzieć!“

Jakoż istotnie w końcu Lipca do Genewy wyjechał, zkąd już 7 Sierpnia pisał do brata Lucyana, że, odbywszy pieszą przechadzkę na Mont-Blanc, z powodu niewygody i drożyzny wielkiéj, nazajutrz ma wyruszyć do Genui. Jak długo tam przebywał, na to w korrespondencyi rodzinnéj braknie całkowicie wskazówek. Następny list nosi datę 23 Października 1864 roku, a pisany jest znowu z Drezna, z domu na Augustusstrasse Nr. 6,—zkąd inąd jednak wiemy, że już w Lutym tam się znajdował i życie nader czynne prowadził, otoczony czcią i miłością bardzo liczném kolonii polskiéj, któréj był opiekunem, doradzcą i kierownikiem, równie w moralnych jak i materyalnych potrzebach, wylewając się całém sercem na jéj usługi.

„W owym czasie (opowiada naoczny świadek) zajmował Kraszewski bardzo skromne mieszkanie, ledwo z trzech pokoików złożone, z których w jednym mieściła się jego pracownia. Tam zazwyczaj codziennie do godziny 11-éj z rana i od 3-éj do 6-éj po południu, przyjmował wszystkich przychodzących w odwiedziny lub w interesach; a noce poświęcał pracy, jak się wyrażał, *dla chleba*. Przyszedłszy tam, za każdym razem zastać było można kilku lub kilkunastu siedzących i stojących gości lub, interesantów, którzy patrzyli z podziwem na niezmiernie szybkie i chętne załatwianie spraw swoich“.

Widzimy więc, że się otrząsł z apatyi i odzyskał dawną energią, a raz się już zrezygnowawszy na dłuższy pobyt za granicą, dla usunięcia wszelkich przeszkód do pracy, zabezpieczenia się od przenosin ciągłych z domu do domu i przejażdżek z miejsca na miejsce, nabył na własność piękną willę w Blasewitzu pod Dreznem i starać się o obywatelstwo Saskie zamierzał. W Maju jednak 1865 roku przyszła mu myśl przesiedlenia się do Galicyi; zaniechał więc pierwszego projektu, i przyjąwszy główne współpracownictwo w dzienniku świeżo założonym we Lwowie, prawdopodobnie projektował już wtedy tam się wkrótce osiedlić. Po upływie wszakże półrocza, usunął się od udziału w tém czasopiśmie, i jak pierwszy, tak i ten drugi projekt poszedł w odwłokę.

Tymczasem, siedząc w Dreznie, coraz to szerzej rozwijał swą działalność, jak społeczną, tak też i literacką. W latach 1864 1865 bibliografia wykazuje już kilkanaście tomów nowych powieści, nie licząc prac, rozproszonych w różnych dziennikach; przy końcu zaś 1865 wystąpił na cel dobroczynny z dwunastu odczytami „O obyczajach i zwyczajach dawnych niewiast polskich“, które tak wielkie miały powodzenie i wziętość, iż przyniosły ubogim dwa tysiące talarów. W tém też miejscu zaznaczyć trzeba, że i w parę lat późniéj w podobnymże celu wygłoszone odczyty „O katakumbach“, nie mniéj pomyślnym skutkiem uwieńczone zostały.

Usunąwszy się od dziennika Lwowskiego, Kraszewski, który czuł konieczną potrzebę oddziaływania na opinią publiczną, w roku

1866 wydał książkę, poświęconą sprawom społecznym p. t. „Wieczory Drezdeńskie“ i zajął się bardzo czynnie założonym przez Dzikowskiego w Dreznie „Przeglądem Powszechnym“; a gdy i to czasopismo na szóstym swym zeszycie żywot skończyło, sam przedsięwziął wydownictwo roczników, poświęconych sprawozdaniu ze wszystkich sfer życia umysłowego i społecznego, których ukazało się cztery tomy, stanowiące niezmiernie cenny materyał historyczny, a które ostrym sądem i krytyką stosunków Galicyjskich straszną wrzawę przeciwko autorowi w tej prowincyi zbudziły i wiele nań ściągnęły przykrości.

Zanim jednak ukazał się tom I-szy tego dzieła, Kraszewski został mianowany honorowym obywatelem miasta Krakowa; ale gdy się tam udał w końcu Kwietnia 1867 r., Krakowianie, którzy już mieli czas zapoznać się z jego rocznikiem, obrażeni, zwłaszcza w pewnych stronnictwach, dość zimno go przyjęli, nie przeszkadzając mu bynajmniéj publicznemi hołdami oddawać się poszukiwaniom w Bibliotece Jagiellońskiej, którym dni kilkanaście poświęcił. Prywatnie jednak mnóztwo osób niosło mu wyrazy czci i wdzięczności; a gdy, przerwawszy swoje studya, wystąpił z odczytami o *Dantym* na rzecz Towarzystwa wzajemnej pomocy słuchaczy Jagiellońskiej wszechnicy,—to się tłumy na nie tłoczyły.

Lwów natomiast, dokąd Kraszewski, ulegając zaprosinom gorącym wielu osób, udał się z Krakowa z odczytem, przyjął go z niesłychanym zapałem. We dwa dni po przybyciu, grono literatów miejscowych uczciło go hołdem publicznym, a następnie i miasto na cześć jego urządziło festyn w Strzelnicy. Rada zaś Miejska jednomyślną uchwałą przyznała mu honorowe obywatelstwo. Następnie uczty szły za ucztami, tak, iż śmiało rzec można, że cały czas pobytu Kraszewskiego we Lwowie był szeregiem nieprzerwanym owacyi, które się zakończyły składką na fundusz imienia Jubilata na wydawnictwo dziełek popularnych dla klas roboczych, i odprowadzeniem gościa ukochanego przez tłum kilkotysięczny aż do dworca kolei.

Powracając do Drezna, wstąpił Kraszewski do Poznania, gdzie go z niemniejszym, jak we Lwowie, powitano zapałem. Oprócz uczty publicznej, wydanej przez miejscowych obywateli, i wielu innych zebrań tego rodzaju, ubiegano się o posiadanie go w domach prywatnych i zapraszano na prowincyą, gdzie szczególniej w domu hr. Mielżyńskiego w Miłosławiu urządzone było dla niego najświetniejsze przyjęcie, przy zjeździe najprzedniejszych obywateli.

W wycieczce téj Kraszewski, dobrze się przypatrzywszy położeniu rzeczy w Galicyi i przekonawszy się dowodnie, że żadne przedsiębierstwa literackie powodzenia tam miéć nie mogą, zaniechał raz na zawsze zamiaru osiedlenia się w tej prowincyi, mimo przyznane sobie obywatelstwo austryackie. A ponieważ interesa majątkowe jego były wówczas w bardzo złym stanie i trzeba było myśléć o zapewnieniu sobie własną pracą kawałka chleba, jął się przeto bardzo śmiałego przedsięwzięcia i założył w Dreznie własną drukarnię. Utopił w niej znaczne fundusze, chcąc od razu postawić ją na takiéj stopie, żeby dorównać mogła doskonałością swoich druków pierwszorzędnym typografiom zagranicznym; ale nie zdołał jej utrzymać i razem z swoją firmą ustąpił ją panu Łebińskiemu w Poznaniu, tyle zaś na niéj stracił, że nawet one zbiory nieocenione rycin, które z takiém zamiłowaniem przez lat wiele gromadził, musiał w końcu oddać na sprzedaż.

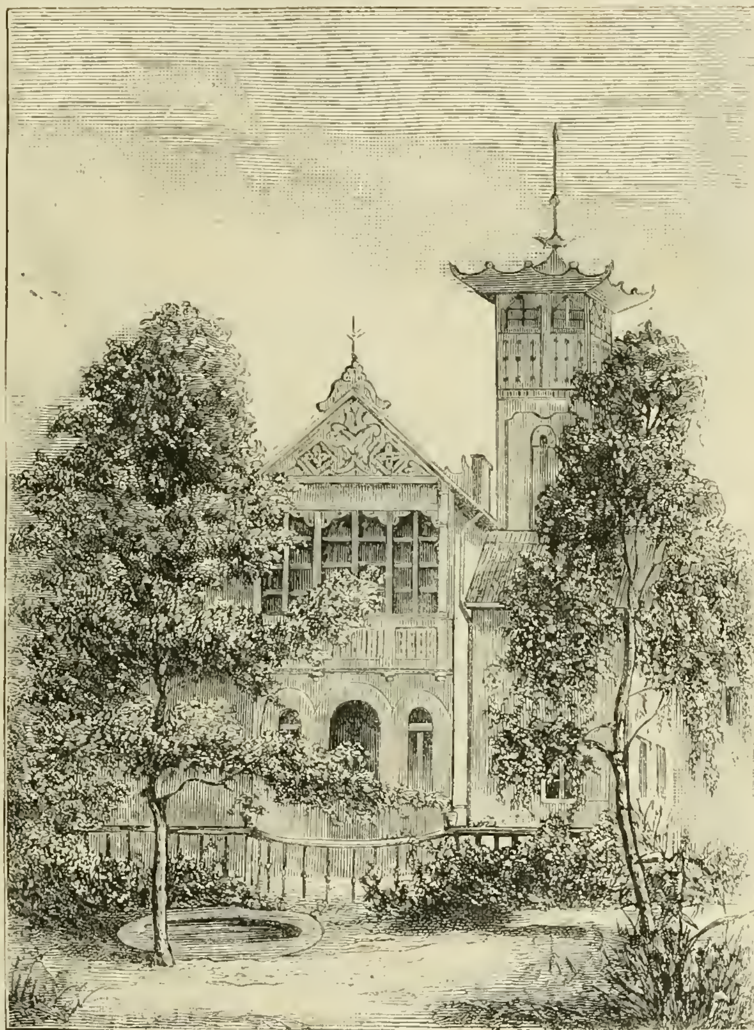
W drukarni swéj prowadził Kraszewski wydawnictwo „Biblioteki Pamiętników i Podróży“, której wyszło sześć tomów, zawierających rzeczy znakomitej wartości. (*)

W roku 1871 Kraszewski po raz wtóry Kraków odwiedził, i miał tam znowu odczyt „O postępie“, na rzecz miejscowego stowarzyszenia *Postęp*. Tą razą, po uciszeniu się uraz dawniejszych przeciwko *rachmistrzowi narodowemu*, wszystkie warstwy społeczne otoczyły go zasłużoném uznaniem i przyjęcie było bardzo serdeczne, pojednanie prawie zupełne.

Po sprzedaniu swojéj drukarni, Kraszewski już się więcéj niekusił o własny organ; publicystyczna jednak działalność jego nie ustała i ciągnie się do lat ostatnich, bądź w większych wybitniéjszych rozprawach, bądź w korrespondencyach do czasopism.

Działalność, jaką Kraszewski na tej drodze rozwinął, jest prawdziwie zdumiewającą: *Biesiada*, *Bluszcz*, *Kłosy*, *Tygodnik Illustrowany*, *Tygodnik Mód i Powieści*, pun-

(*) Tu także wydrukował „Boską komedyą“ w przekładzie Antoniego Stanisławskiego, którego sam zachęcił i podniecił do téj olbrzymiej pracy, poznawszy z niej pieśń 1-szą *Piekła*, jeszcze w Żytomierzu 1857 roku, przy czém oświadczył mu, że i sam próbował tłómaczyć to arcydzieło, ale zrażony trudnościami, rychło zaniechał. Wiemy jednak, że w roku 1866 ogłosił był trzy ostatnie pieśni w „Bibliotece Warszawskiéj“, a jak się później pokazało, przekład swój z czasem doprowadził do końca. Kiedy wszakże Pan Stanisławski również całego tłómaczenia dokonał i w r. 1869 po daremnych staraniach i zabiegach w Warszawie o nakładcę, udał się z rękopisem



Willa J. I. Kraszewskiego w Dreźnie.

Wnętrze pracowni J. I. Kraszewskiego w Dreźnie.

ktualnie co miesiąc otrzymują od niego *Listy,* w których ogarniając cały ruch naukowy, literacki, artystyczny, społeczny, a po części i polityczny, nie tylko w Niemczech, ale w ogóle w Europie, z wszelkiemi jego objawami czytelników swych zapoznaje.

A nie zapominajmy jeszcze i o tém, że był czas, kiedy i *Gazeta Polska* i *Wiek* podobnież takie miesięczne *kroniki* otrzymywały; nadto zaś, że nie tylko czasopisma polskie Poznańskie oraz Lwowskie, ale także niektóre francuzkie i niemieckie korzystają z korrespondencyi jego.

Zważywszy rozmaitość i bogactwo treści tych kronik, zważywszy, że każda z nich zwykle zawiera sprawozdania nie tylko z tego, na co obserwacya wystarcza, ale i z dzieł najnowszych w rozmaitych językach; jeszcze większém przejmiemy się zdumieniem na myśl, ile to potrzeba przeczytać, żeby tyle materyału do sprawozdań tych nagromadzić! Zaprawdę, zwykły człowiek, nawet z nieposlednim talentem i przy usilnéj pracy, miałby się już prawo pochlubić, gdyby jedynie w tym zakresie był zdolen tyle, co Kraszewski, uczynić. A wiemy przecież, że to ledwie drobniuchna cząstka działalności tego prawdziwego Bryareusza z ducha; że od roku 1864 po dziś dzień napisał sto powieści, z których część większa po dwa i trzy tomy wynosi, a wiele między niemi jest historycznych, na źródłowych studyach opartych; że opracował dzieje rzeczypospolitéj w trzech tomach z czasów Stanisława Poniatowskiego i kilka monografii pomniejszych; że zredagował sześć tomów „Pamiętników i Podróży po dawnéj Polsce", „Pisma Kazimierza Brodzińskiego" w dziesięciu tomach z dopiskami i życiorysem autora, i w takiż sposób zajmował się redakcyą dzieł Schakespeare'a; że wiele też cudzych utworów, jak np. „Historyą Inflant" Manteufla, „Odczyty o Poezyi" Cybulskiego, listy Jana Sniadeckiego, i inne, w przedmowy i uwagi swojem piórem opatrzył, naturalnie więc i wydawnictwem ich się opiekował; że napisał siedm utworów dramatycznych, a ma w tece na ukończeniu dzieło nie zmiernéj wagi p. t. „Historya Cywilizacyi w Polsce", wielki dramat wierszem i poemat nasz domowy; że wreszcie, zasypywany ze wszech stron listami codziennie od znajomych i nie znajomych, literatów i nie literatów, mężczyzn i kobiet, a niekiedy nawet od dzieci, na każdy odpowiada natychmiast.

A jeszcze i to także powinniśmy zaznaczyć, że nie tylko muzyce i malarstwu po dawnemu oddaje się z upodobaniem, ale się bawi litografią, miedziorytnictwem, a nawet malowaniem na porcelanie.— Pan Orda tego roku widział u niego cały tuzin talerzy, przezeń właśnie w malowidło przyozdobionych, i jeden z nich w upominku otrzymał.

Słysząc to wszystko, możnaby przyjść do wniosku, że Kraszewski po całych dniach i nocach pióra z rąk nie wypuszcza i jest istnym mólem książkowym; tymczasem, rzecz się ma zupełnie inaczéj: pominąwszy już to, że co rok podróżuje dla zdrowia, że w 1870 jeździł na kongres antropologiczno-archeologiczny do Bolonii, a w 1874 do Sztokholmu, jako przedstawiciel Akademii umiejętności Krakowskiéj; że, jakeśmy widzieli, występował niejednokrotnie z odczytami; znajduje przy tém wszystkiém dość czasu i na usługi dla rodaków, tak często go w Dreźnie odwiedzających, których nie tylko najserdeczniéj wita w swym domu, nie tylko jako *cicerone* oprowadza po mieście, ale i w okolice rad odbywa z nimi wycieczki.

Wszyscy ci, którzy mieli szczęście tam się z nim spotkać, nie umieją słów znaleźć na opisanie jego uprzejmości i dobroci nie porównanéj, o któréj szczegóły zajmujące powzięliśmy od pani Maryi Ilnickiéj, Justyna Roli i od professora Stanisławskiego.

Sprzedawszy willę Blazewicką, nabył Kraszewski dom na Nordstrasse pod Nr. 27, w którym mieszka dotychczas, a który Justyn Rola tak opisał w swojéj książeczce na cześć jego w roku przeszłym wydanéj:

„Ustroń prawdziwie pustelnicza, malutki, w szwajcarskim guście domek, ze wszech stron okolony gęstą zielenią drzew, krzewów i kwiatów, stoi na uboczu, oddzielony kratami od ulicy. Czarny duży pies neufoundlandzkiéj rasy czuwa nad bezpieczeństwem, a Saxonka, z poczciwą twarzą staruszka, piastuje urząd odźwiernego. Od bramy do domu idzie się wśród krzewów i kwiatów, i z malutkiego przedpokoju wchodzi się do małego również saloniku, w którym szczególniejszą zwraca uwagę zawieszone na ścia-

---

swoim do Żupańskiego i wszedłszy z nim w umowę o wydanie swej pracy na wspólny koszt, z zawarowaniem wspólnych zysków lub straty, zwrócił się następnie do Drezna, aby korzystać z drukarni Kraszewskiego; ten, przyjąwszy go najserdeczniej, wyraził mu szczere uradowanie ze szczęśliwego uwieńczenia dzieła, i z tego, że się ono ma odbijać w jego drukarni, a zarazem oświadczył, że swego już przekładu wcale nie wyda.

Wiadomość tę czerpiemy wprost od pana Stanisławskiego, który stosunki swe z Kraszewskim, zawiązane przed dwudziestu dwoma laty z tego powodu, opisawszy w zajmującem *wspomnieniu*, przeznaczał je do książki jubileuszowej, lecz zupełny brak miejsca nie pozwolił nam z jego uprzejmości skorzystać.

(Przyp. autora).

nie błogosławieństwo księdza Marka „Domowi, rodzinie i przyszłym pokoleniom Kraszewskich“. Na lewo z saloniku wchodzi się do również małego pokoju bawialnego, gdzie znajduje się fortepian z rozłożonemi na nim nowościami muzycznemi. W pokoju przyległym stał na sztalugach świeżo zaczęty obraz, a na ścianach wisiało kilka, na wpół, lub całkowicie ukończonych.—Na prawo z saloniku jest pracownia Kraszewskiego. Tu na biurku leżą w największym porządku stosy przygotowanych już prac. Z tego pokoju przechodzi się do biblioteki, od podłogi aż do sufitu zastawionéj w dwa czworokąty, jeden około ścian, a drugi po środku, półkami pełnemi książek“.

„Kraszewski wciąż pracuje przy biurku; o 2-éj jada skromny obiad—buljon lub rosół z kury i jarzynę; (gdyż ten niezmordowany mocarz pracy jest wiotkim, słabym, ciągle chorującym, i trudno pojąć, jak taki duch potężny trzyma się w tak wątłém ciele). Po obiedzie godzinę czasu poświęca na przechadzkę, a potém znów zasiada przy biurku i do późnej nocy pracuje“.

Dorzucimy wszakże od siebie, że nie jest to stały tryb życia Kraszewskiego, który go chętnie zmienia w wyjątkowych okolicznościach, często się trafiających, gdy rzecz idzie o dopomożenie komu z rodaków, czy radą, czy protekcyą w sprawach ważniejszych, lub chociażby tylko o uczynienie przyjemności, jakeśmy już wyżéj mówili.

Stosunki rodzinne Kraszewskiego, od czasu osiedlenia się w Dreznie, wielkiej zmianie uległy—został całkowicie osamotnionym. W pierwszych leciech, póki trwała jeszcze niepewność co do jego przyszłości, Pani Kraszewska, z jednéj strony mniemając, że prędzej albo później doczeka się jego powrotu, z drugiej ze względu na interesa majątkowe, nie mogła za granicę wyjechać, zwłaszcza mając, prócz młodszéj córki, do pielęgnowania dwie siostrzenice. Następnie, kiedy siostrzenice za mąż powychodziły, a synowie się pożenili, i jak tamte, tak też i ci zamieszkali w Warszawie; gdy ją otoczyła gromadka wnuków, z których dwoje, osierociałych po ojcu i po matce, z dalekich stron przybyło pod jej opiekę: wszystko to razem tak silnemi węzły ją skrępowało, iż musiała szczęście żony poświęcić na ofiarę obowiązkom matki i babki. Rozłąkę tę osładza nieustanna, co-tygodniowa, a niekiedy i częstsza korrespondencya pomiędzy małżonkami, przy najtkliwszéj pieczołowitości z jego strony o jej spokój i potrzeby materyalne; synowie zaś, często ojca w Dreznie odwiedzający, są niejako żywém ogniwem pomiędzy obojgiem rodzicami, oddalonymi jedno od drugiego smutnym zbiegiem okoliczności. Obojgu zaś i to jeszcze na pociechę zostaje, że każde z nich, choć osobno, spełnia swoję powinność: ona, zastępując matkę sierotom, on do ostatka sił we właściwym sobie zawodzie cały się na usługę społeczeństwu oddając, i w oderwaniu tém (nie duchowém, lecz materyalném tylko) od rodziny, więcej czyniąc dla niego, niżby mógł był uczynić w pośród trosk i kłopotów powszednich.

W tym też okresie dotknęło Kraszewskiego kilka ciosów bardzo bolesnych: w roku 1864, 27 Lutego, zgon ojca, zmarłego u swéj córki Moraczewskiej w Joalinie; w 1870 nagła i tragiczna śmierć starszej córki, wracającej z daleka, po stracie męża, z dwojgiem sierot, do matki; w roku przeszłym zgon już dorastającej wnuczki; w tym nareszcie—śmierć przedwczesna i niespodziana pani Kwaśnickiej, jednej z onych siostrzenic, któremi się państwo Kraszewscy z rodzicielską prawdziwie troskliwością w swoim domu opiekowali.

Praca jednak usilna, nieustanna, namiętna, praca ta, o której niegdyś, mając lat ośmnaście, pisał do ojca, że ona jedna może człowieka uszczęśliwić, praca dla dobra powszechnego, dla przewodniéj idei w całém życiu, pokrzepia go i podtrzymuje, wytrwałym czyniąc, na troski i cierpienia.

To też dobrze czyni nasza społeczność, że dzisiaj za tę pracę, któréj przez lat pięćdziesiąt tak statecznie wiernym pozostał i taki plon bogaty dał z niej zebrać krajowi, wieńczy go, słusznie mu należną, nagrodą. Dobrze czyni, że liście wawrzynowe kładzie mu na te skronie, które nie jeden cierń zakrwawił; że ze czcią i miłością skwapliwie się garnie do tego serca, które tak wiele przebolało, i tyle ciężkich ofiar poniosło. Dobrze czyni, że tak szczerze i gorąco pragnie zapewnić byt spokojny i niezależny temu, kto w swém życiu tyle trosk zaznał i na tyle strat się naraził; dobrze czyni, bo spełnia święty obowiązek, a spełniając go, daje dowód najlepszy, że półwiekowa praca jubilata dla jej dobra bezowocną nie była.

Adam Pług.

OBRAZ DZIAŁALNOŚCI LITERACKIÉJ

J. I. KRASZEWSKIEGO

od 1830–1880.

POWIEŚCIOPISARSTWO.

I.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA.

Pierwsze dziesięciolecie

(1830—1840).

„Choćbyście mnie mieli ukamienować, zabić, ukrzyżować lub głodem umorzyć za mój ciężki grzech, ja taki muszę pisać. Tak jest, muszę: nie nazwę tego inaczéj jak *musem*. Oto trzeci dzień drogi, a już nie mogę pohamować *nieszczęsnego popędu*; chwytam żydowsko - obrzydliwy, splugawiony kałamarz, pióro wychełtane brudnemi ich rękoma; zamykam się w sobie i piszę. Nie tyle mi dojmuje niewygoda podróży, nie tyle reumatyzmy, nie tyle głód, nie tyle krzyki całéj synagogi, przez ścianę sanhedrynującéj, ile ta potrzeba pisania, pragnienie wylania się. Jakże teraz słodko dorwać się pióra i znowu wjechać w ten świat o tyle lepszy od rzeczywistego, w świat myśli, marzeń, rozpraw; świat pośredni między dwoma, które znamy, przedsionek świata, którego pojąć nie umiemy: duchów i aniołów."

Tak pisał Kraszewski do „Tygodnika Petersburskiego" [1]) wówczas, gdy miał dopiero 9 lat czynnéj służby piśmienniczéj. Następne lat 40 przekonały, że ów *mus* pisania nie był czczym wyrazem, dla effektu jedynie użytym, albo przemijającą tylko zachciankę malującym, lecz najdobitniejszém i najwłaściwszém określeniem prawdziwego powołania autorskiego, które potrafi wszystkie przeszkody usunąć, wszystkie trudności zwalczyć, wszystkie zawody i cierpienia znieść, ażeby się w końcu wszechstronnym na ogół wpływem i uznaniem swych zasług uwieńczyć. Nieszczęsny popęd przez Kr. wspomniany stał się twórcą całéj biblioteki, która nigdy pustkami nie stoi, ale przeciwnie zawsze zgromadza w sobie tłumy żądnych oświaty i zadowolenia estetycznego. Szczęście to dla nas, że go Kraszewski pohamować nie mógł, gdyż z kilkuset tomowych jego wyników liczne pokolenia korzystały i korzystać będą.

Ta nadzwyczajna płodność autorska, któréj wiernie sprzymierzoną była zawsze łatwość tworzenia, przejmuje nas nietylko wdzięcznością, ale i zdumieniem. Jakto? Jeden człowiek daje nam setki powieści, pisze całe tomy poezyi, okurza z wiekowego pyłu dokumenta dziejowe i układa monografie historyczne, pracuje nad sztuką i archeologią, zajmuje się filozofią i naukami społecznemi, redaguje pisma, wydaje pamiętniki, cały ruch umysłowy w świecie ucywilizowanym ujmuje w krótkie sprawozdania; a oprócz tego wszystkiego ma czas jeszcze na rysunek, malowidło, muzykę... Dziś gdy zamierzono obrachować się z tém, co jeden Kr. utworzył, wezwano kilkunastu rachmistrzów, a i ci nie są jeszcze pewni, czy pracy podjętéj należycie podołają.

Dla psychologa i estetyka przedstawia się w téj olbrzymiéj działalności obszerne pole do spostrzeżeń. Rozrost talentu, jego dojrzałość, są dla estetyka najmilszym bezwątpienia przedmiotem badań, gdyż w utworach skończonych a świetnych znajdzie naj-

więcéj sposobności do rozkoszowania się pięknem i wskazania go innym. Piérwsze atoli zawiązki talentu, jego próby i usiłowania, jego nawet błędy, dla psychologa i historyka literatury są może najciekawsze; bo go naprowadzają na ślady téj tak zawiłéj zagadki, która się twórczością nazywa, i dają mu możność wyjaśnienia sobie genezy indywidualności pisarskiéj.

I.

Kiedy Kraszewski przybywał do Wilna dla dokończenia wykształcenia, uniwersytet tameczny od lat kilku ulegał już dezorganizacyi. Professorowie, którzy stanowili dawniéj jego sławę i ruch naukowy wkoło siebie wywoływali, albo pomarli, albo porozjeżdżali się w rozmaite strony kraju. Groddeck umarł; Lelewel przeniósł się do Warszawy; Jan Śniadecki siedział na wsi, jako emeryt, ostatnich miesięcy życia dokonywając; ks. Stanisław Jundził od r. 1824 przestał wykładać historyą naturalną i zawiadywać ogrodem botanicznym; Józef Gołuchowski gospodarował zawzięcie i zamiast Schellinga studyował Priesnitza; Onacewicz pisał swe żale nad marnotrawstwem funduszów uniwersyteckich. Nauka zeszła na drugi plan a niektórzy jéj przedstawiciele wobec młodzieży i kraju zajęli się robieniem dobrych interesów i dbali przedewszystkiém o karryerę; ztąd powstały intrygi, które w dość zgodném niegdyś ciele nauczycielskiém zaprowadziły zamieszanie i niesnaski.

Mimo to, ilość studentów była znaczna; w roku $18^{30}/_{31}$ wynosiła 1200. [2]).

Kr. wstąpił na tak zwany popularnie wydział literacki, który niegdyś tak świetnie się rozwijał, a teraz tak smutnie podupadł, chociaż zawsze jeszcze największą liczbę studentów ku sobie pociągał. Poczciwy stary Żukowski, samouk, wykładał język hebrajski i grecki; Hryniewicz, uczeń Grodka, daleko pozostał poza mistrzem, a chociaż po łacinie pisał pięknie, nie potrafił przecież dla tego języka obudzić szczérego zapału; Paweł Kukolnik nawet się nie starał braku Lelewela zastąpić i w opowiadaniu dziejów miał wzgląd raczéj na własną osobę, aniżeli na naukę. W filozofii tylko Anioł Dowgird, a w wymowie i historyi literatury Leon Borowski, jakkolwiek bez odznaczających się talentów, uniknęli przecież mierności i mogli większy wpływ na studentów wywierać. Śladów atoli wpływu Dowgirda w początkowych pracach K-go odkryć niepodobna, gdyż z nazwisk np. filozofów wspomniany jest tylko jeden *Kant* [3]) z epitetem „ciemny,“ który-to epitet w Wilnie od czasów krytyki Kanta przez Śniadeckiego Jana stał się popularny; wykłady za to Borowskiego zaznaczyły się w nich widomie. Leon Borowski był jednym z najlepszych uczniów Grodka; przejął on od niego zamiłowanie do nauk klassycznych i potrafił umiejętnie je stosować do badania literatury ojczystéj. Z nauczyciela gimnazyalnego objął po śmierci Euzebiusza Słowackiego katedrę wymowy w uniwersytecie, najprzód jako zastępca, a potém jako professor zwyczajny. Już w r. 1820 pisząc swoje „Uwagi nad poezyą i wymową,“ które mu stałą posadę zapewniły, wyraził on stanowczy swój wstręt do ślepego naśladownictwa ówczesnych wzorów francuzkiego klassycyzmu, a wskazywał natomiast wiecznie piękne utwory poezyi greckiéj jako przedmiot studyów najkorzystniejszych; równocześnie zaś zalecał wczytywanie się w dzieła pisarzów naszych XVI stulecia, tudzież wyszukiwanie w dziejach i obyczajach narodowych tematów do poezyi oryginalnéj. Z takiém przygotowaniem naukowém nie mógł on podzielać rozpowszechniającego się wtedy zapału dla wybryków romantycznych, nie mógł pochwalać zaniedbania formy i rozpasania wyobraźni. Zresztą Wilno samo, chociaż było kolebką romantyzmu polskiego, niedługo przechowywało w swych murach jego tradycye. Częściéj tam owszem pojawił się jakiś utwór klassyczny, zarówno w dobrém, jak i w złém znaczeniu tego wyrazu. Pisma peryodyczne, redagowane przez członków uniwersytetu, rzadko kiedy dopuszczały do szpalt swoich płody młodych i, powiedzmy prawdę, bardzo miernych pod względem zdolności zwolenników romantyzmu, gdyż po wyjeździe owéj falangi uniwersyteckiéj, któréj duchowo przewodził Mickiewicz, żadnego właściwie w Wilnie znakomitego poety nie było.

Nic więc dziwnego, że pod takiemi wpływy nie mógł Kr. zapalić się miłością do dumań marzycielskich i rojeń fantastycznych. Zarówno w małych miasteczkach, w których pierwotne pobierał nauki, jak i w Wilnie, gdzie je chciał udoskonalić, zarówno w całém otoczeniu literackiém, jak i w spe-

cyalnym przedstawicielu pojęć estetycznych w uniwersytecie, znajdował większą skłonność do dawnego, aniżeli do nowego porządku w rzeczypospolitéj poetycznéj. Jeszcze w szkołach pisał *bajki*, które stanowiły gatunek poezyi, znienawidzony przez gorętszych romantyków; a gdy piérwszą swą powieść ogłaszał, nie omieszkał na samym jéj początku zamieścić protestacyi przeciw romantyzmowi, jakkolwiek i do klassycyzmu się nie przyznawał. „Pisać ballady?—czytamy w *Panu Walerym*—być romantykiem? Otóż sposób pozyskania slawy w dzisiejszym czasie. Te *czułe wiersze*, których nie rozumiejąc tyle ludzi uwielbia; te podobieństwa, te postaci, te czucia gorące chwytają za serce! Młode panienki w kątku, niewidziane, ukryte, lubią czytać te *bezładne zapały* i zaléwać się łzami, których przyczyny nie widzą. Gdzieindziéj młodzieniec porywa książkę, uczy się kochać, zapomina deklinacyi, a wzdycha jak najęty do piérwszego czupiradła, które mu się przed oczy nawinie. Starzec czyta równie, czuje mocniéj bijące serce, *zdaje mu się*, że kochał, że jeszcze kocha, muska wyłysiałą głowę przed zwierciadłem, prostuje nogi, chowa starannie tabakierkę i okulary, śpieszy w niewczesne zaloty, kupuje sobie żonę i—dwoje ludzi nieszczęśliwymi robi. Oj nie chcę być romantykiem!“ (str. 8 i 9). I nie jest to wyrażenie odosobnione,—podobne napotykamy dwukrotnie w „Wielkim świecie małego miasteczka“ (I,122. II,108). A zapatrywanie się podobne podzielała ówczesna młodzież w znacznéj części; w „Noworoczniku“ bowiem „litewskim“ wydanym przez H. Klimaszewskiego na r. 1831, spotykamy, obok nielicznych tworów romantyki, przeważnie naśladowanie wzorów klassycznych.

Serce autora było widocznie jeszcze zupełnie spokojne i nie doznawało owych uczuć gorących, które tak swobodnie wyśmiéwał. Umysł jego był podobny do powierzchni cichego jeziora, która odbija w sobie wszystkie przedmioty, zarówno wesołe jak smutne rozbudzające myśli, bez najlżejszéj nawet zmiany w saméj sobie. Obdarzony od natury wrażliwością wielką na to, co poza nim było, wyrobił w sobie zmysł obserwacyjny, szczególniéj do zewnętrznéj postaci osób i miejsc odnoszący się, ale zarazem nadzwyczaj łatwo ulegał wpływom otoczenia. Łagodnego usposobienia, wychowany w małych miasteczkach pod dozorem ścisłym starszych nauczycieli, nie należał on bezwątpienia do tych, co w uniwersytecie rej wodzą między kollegami, posiłkując się głośnym krzykiem lub pięścią, ale do tych, co nauką, pilnością, ściągają na siebie uwagę. Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, żeby to był młodzieniec zupełnie potulny, bez wybitnéj indywidualności; nie; satyryczne i krytyczne jego uzdolnienie już wtedy się ujawniało, ale w formie cichego spostrzeżenia, złośliwego uśmiechu lub gestu. Najwięcéj on lubił wieczorne pogadanki z kollegami przy fajce i herbacie, a czasami i szklaneczce ponczu, pogadanki o wszystkiém i o niczém, których ślad pozostawił nam w „Wędrówkach“[4]. Pracował zwykle w nocy.

Gorączka poznania wszystkie nauki milemi mu czyniła, z wyjątkiem jednéj matematyki, którą go dręczył w Lublinie jego opiekun naukowy. Ten wstręt do umiejętności przeniósł on i do samych jéj przedstawicieli. „Nie wiem—mówił—czém się to dzieje, że od najdawniejszych czasów historya nie pokazuje ani jednego tłustego matematyka: wszystko chudzi, lub przynajmniéj bledzi. Musi to być kara boża na nich, że sobie mózg suszą nad niepotrzebnemi bredniami“ [5]). Ze wszystkich nauk jednak najwięcéj go zainteresowało językoznawstwo i badania dziejowe. Katedra zajmowana przez Borowskiego miała urzędowy tytuł katedry „wymowy i grammatyki powszechnéj.“ Nie było tam naturalnie mowy o lingwistyce porównawczéj w takiém znaczeniu, jakie jéj nadał naówczas Bopp w swoich wykładach; przedstawiała się tam wyłącznie niemal przekazana przez wiek XVIII grammatyka filozoficzna, dająca zarys ogólnych zasad, wspólnych wszystkim mowom świata, bez względu na stopień ich pokrewieństwa. Nie posiadamy wprawdzie żadnych świadectw o tych wykładach; domyślać się jednak można, że tradycyjne od czasów Kopczyńskiego porównywanie języka polskiego z łaciną, a może i z greczyzną, w skład ich wchodziło. Bądźcobądź, zajęcie się grammatyką powszechną powiodło K-go do studyowania języków różnych, nietylko obowiązkowych: staro-słowiańskiego, rossyjskiego, łacińskiego i greckiego, ale także nadobowiązkowych—hebrajskiego i arabskiego. Kr. lubił następnie o arabskim szczególniéj rozprawiać [6]),cytować przysłowia arabskie. [7]).

Z temi studyami językowemi łączyło się poznawanie starożytnych pisarzów polskich, za wskazówkami Borowskiego. Piérwsze pisma K-go świadczą o obszernem oczytaniu w tym względzie. Cytaty wprawdzie, któremi lubił stroić nagłówki rozdziałów swoich powieści, nie zawsze są wprost brane z dzieł autorów, do których należą, lecz niekiedy tylko ze zbiorów i wypisów (jak np. cały ustęp o „Wieśniaku“ Zbylitowskiego w II

temie powieści „Wielki świat m. m." oparty jest na rozbiorze tego poematu przez Euz. Słowackiego: „Dzieła" III, 127—135); w każdym atoli razie większość pochodzi wprost ze źródła i dowodzi, że młodzieniec 18-letni nietylko bieżącą, ale i dawno ubiegłą zajmował się literaturą. Nowe wydanie starożytnych pisarzów polskich, przez firmę Gałęzowskiego podjęte, ułatwiało mu poszukiwania i uprzystępniało nabycie dzieł, których edycye pierwotne, a nawet powtórzone, dość były rzadkie.

Zamiłowanie w dawnych autorach powiodło do poszukiwania starych dokumentów, do studyowania napisów nagrobkowych, zaglądania do bibliotek a badania dziejów. Ruch na polu dziejopisarstwa, od czasów mianowicie Naruszewicza, wzmagał się u nas ciągle i był jedną z najcharakterystyczniejszych cech ówczesnéj działalności literackiéj. W samém Wilnie krzątali się około historyi i budzili do niéj zapał dawniéj: Lelewel, Daniłowicz, Onacewicz, Michał Baliński, a ten ostatni i w chwili pobytu K-go w tém mieście nie był bezczynnym. Pisma peryodyczne pomieszczały chętnie dokumenta historyczne. Poszukiwanie starych książek i rękopismów przechodziło nawet w manią, stawało się namiętnością. I Kr. też, jakkolwiek wyśmiewał erudytów i zbieraczy białych kruków, sam przecież chętnie się wczytywał w stare rękopisma, jak o tém świadczą cytaty w jego piérwszych utworach: „Ostatnim roku panowania Zyg. III" i „Kościele ś. Michalskim." Nie zakochał się on wprawdzie naówczas w przeszłości, nie myślał jéj wcale idealizować; bo naprzód taki kierunek nie wyrobił się jeszcze wtedy w naszéj literaturze, która w ocenie dawnych czasów podzielała mniéj więcéj przekonania partyi reformatorskiéj u nas z końca XVIII stulecia; a powtóre, sam satyryczny nastrój umysłu K-go nie pozwalał na wielbienie tego, co minęło, dla tego jedynie, że już jest bardzo stare. Coś go ciągnęło do przeszłości, chciał ją poznać i zbadać dokładnie, choćby na to, ażeby ją przedewszystkiém wyszykanować.

Ten sam uśmiech ironiczny zwracał Kr. tak na czasy, w których żył, jak i na swoje otoczenie. Ironia jego nie sięgała wprawdzie głęboko, nie dotykała wielkich niedorzeczności lub wielkich błędów; ale odzywała się lekceważąco o wszystkiém, albowiem odnosiła się głównie do powierzchni wszystkiego. Ponieważ namiętności nie zbudziły się w nim jeszcze, nie wybuchał więc gwałtownie; śmiał się z cierpień Werthera, wyśmiewał sentymentalność; ale chcąc dać ujście swoim satyrycznym zachciankom, kiedy mu ów „nieszczęśliwy popęd" do pisania nie dawał spokoju, postanowił kréślić sylwetki miejsc i ludzi, których zapasu dostarczał mu jego bystry zmysł obserwacyjny.

Powieść, za przykładem Zachodu, zaczynała już naówczas i u nas stawać się najpopularniejszą formą twórczości. Mianowicie od czasu „Malwiny" kżnéj Wirtemberskiéj znajdowali się powieściopisarze i powieściopisarki z talentem, obrazujący stan społeczeństwa naszego z tych warstw, które do nazwy intelligencyi mogły miéć prawo. Szlachta wiejska, bogatsza i uboższa, stanowiła główny element powieściowy; gdy tymczasem chłopi, urzędnicy, mieszczanie, epizodycznie tylko do utworów tych wchodzili. Koloryt ich po większéj części był sentymentalny; przesadne malowanie uczuć, deklamacya nieznośna, stanowiły zwykle ich cechy. Jednakże znajdowały się już i pocieszające wyjątki. Obok „Nierozsądnych ślubów," obok „Adolfa i Julii" zwłaszcza, możemy już wymienić tak piękną i tak naturalną powieść, jak *Pan starosta* Fryderyka Skarbka, która wybornie przedstawiała życie nasze za czasów pruskich, albo téż utwory Jaraczewskiéj a szczególnie jéj *Wieczór adwentowy* lub *Piérwsza młodość, piérwsze uczucia.*

W powieści historycznéj naśladowanie Walter Scotta wydało znaczną ilość utworów, pobudziło różnych pisarzy do próbowania sił swoich w tym tak naówczas ulubionym rodzaju. Niemcewicz, Skarbek, Wężyk, Bronikowski, Gaszyński, poczęści także Zygmunt Krasiński, ogłosili swoje utwory, które tę wszakże miały tylko zaletę, że mówiły, o rzeczach krajowych, gdyż pod względem estetycznym nie posiadały wielkiéj wartości. Jeden Bernatowicz, i to w „Pojacie" tylko, utworzył dzieło, które do znakomitych policzyć można. Spółcześnie wszakże zupełnie odmienny sposób traktowania powieści historycznych wyrabiać się zaczął. Piérwszy Niemcewicz, nie znając jeszcze powieści Walter Scotta, napisał dziełko drobnych rozmiarów, gdzie chciał scharakteryzować dwie odmienne pod względem obyczajowym epoki, których wspomnienie silnie mu w pamięci utkwiło. *Dwaj Sieciechowie* nie stanowią wprawdzie całości artystycznéj; ale w malowaniu epoki Saskiéj tyle zawierają rysów żywych, jakby sportretowanych, że pojedyncze ustępy mogły być wskazówką, iż w przedstawianiu potocznego życia dziejowego może się znaleźć żywioł prawdziwie poetyczny. Na większą skalę i z nie tak wyraźnym celem dy-

daktycznym, jak Niemcewicz, skréśliła K. Tańska w *Listach Elżbiety Rzeczyckiéj* i w *Dzienniku Franciszki Krasińskiéj* wyborną charakterystykę obyczajów polskich za Augusta III, wśród sfery mianowicie szlacheckiéj. [8])

Kraszewski w powieści obyczajowéj poszedł naprzód za śladem Skarbka; za wzór jednak nie brał najlepszego jego dzieła: *Pana Starosty*, ale piérwsze próby (*Pan Antoni*, *Podróż bez celu*), w których Skarbek był znów naśladowcą Sterne'a. Wzór ten atoli nie był dla niego wyrocznią: obok bowiem samego Sterne'a znał już wówczas i wysoko cenił innych pisarzów, mających wtedy sławę w Europie, ponieważ zajmowali się nimi Francuzi. Pisarzami tymi byli: zmarli już wtedy Niemcy, Jan Paweł Richter i Hoffmann, tudzież Amerykanin, Washington Irving. Z latami wpływ ten cudzoziemskich autorów wzmagał się coraz bardziéj, lecz w piérwszych kilku utworach zostawił nader nieznaczne ślady, a mianowicie chętkę do fantazyowania, któréj najcharakteryczniejszym wyrazem jest taniec sprzętów, opisany w „Wielkim świecie małego miasteczka," a powtóre dość częste wprowadzanie obłąkanych do treści utworów (w „Dwa a dwa cztery" obłąkany Ryszard, w „Kościele ś. Michalskim" obłąkana Marya).

Główne w każdym razie rysy są te same, co u Sterne'a i u Skarbka. A naprzód zauważmy cechę, która odróżniła powiastki Skarbka od ogółu powieści polskich jemu spółczesnych, a która polegała na tém, że za bohaterów i ich towarzyszów brał ludzi najpospolitszych, najzwyklejszych, nie będących nawet czémś szczególném w swojém nader ograniczoném kółku. Niéma tu mowy o ludziach niepospolitéj potęgi umysłowéj, albo silnych namiętności, albo wielkiéj mocy charakteru; nie; są to jednostki, jakich się tysiące spotyka, nie zwracając na nie najmniejszéj uwagi. Toż samo i u K-go. Kierunek ten tworzenia sformułował on sam bardzo wcześnie. „Kiedy wszystkie wielkie, patetyczne, dziwne, czułe, na tysiące stron wynicowano przypadki, przyszło nakoniec do tego, iż do małych się wzięto. Dawniéj więcéj pisano historyi o ludziach, dziś więcéj o sercu i uczuciach; dawniéj bawiono wystawieniem człowieka, jakimby mógł być, dziś lubią spoglądać na takiego, jakim jest" [9]). „Wielkich tylko ludzi zajmować mogą opisy dzieł wielkich, które człowieka, w nizkim urodzonego stanie i żyjącego pod starą ojców swych strzechą, na przodków agonie, oślepiają niejako wielkością swoją, i bardziéj mu upokarzający stan jego czuć dają, niżeli wznoszą i poprawiają jego skłonności i umysł. Dla takich ludzi trzeba pisać biografie mężów, na widok których powiedziećby mogli sami w sobie: *jesteśmy im równi lub nimi być możem*" [10]). Takiego to rodzaju ludzie zapełniają scenę powieściową w „Panu Walerym," „Wielkim świecie małego miasteczka," „Dwa a dwa cztery." Jest ich ilość bardzo znaczna; ale wyliczenie ich imienne i bliższa charakterystyka byłaby zbyteczna; są to bowiem postaci bez cech wybitnych, wyraźnych, i dlatego w massie jedynie określić się dają.

Wprowadzenie takich osób i odpowiednich ich sferze wypadków uważał sobie Kr. za zasługę i w prospekcie na „kilka obrazów towarzyskich," które miały zawiérać *Pana Walerego* i *Wielki świat małego miasteczka*, wystąpił zbrojnie przeciw tym, co nadzwyczajnemi awanturami wyobraźnię czytelników dręczyć chcieli! „Pomimo natężonych usiłowań—czytamy tu—niektórych nowszych z powołania, a raczéj z rzemiosła, pisarzy powieści, którzy chcą w nas wmówić, że jedynie zdziczałe imaginacyi utwory mogą zajmować czytelników; każdy zdrowo myślący i marzeniami tych ichmościów nieprzejęty uzna, że daleko miléj czytać się dają żywe i wierne obrazy naszego pożycia. Widząc tedy, że panowie wyżéj wspomnieni bazgracze ciągle na świat wysyłają jakieś *hiszpańskie dziewice*; że drudzy występują *z pustelnikami*; że w końcu bredzą bez sensu i ładu, i że o poznaniu ludzi wyobrażenia nie mają; wzdychając nad losem, który, jak szalonemu miecz, w ręce im dał pióro, nie dawszy głowy: siadłem pisać o czémkolwiek, przynajmniéj jeżeli nie lepszém, to podobniejszém do prawdy." [11])

Z tém zamiłowaniem powszedniości łączył się naturalnie wstręt do deklamacyjnego przedstawiania uczuć, co jest wspólne zarówno Skarbkowi, jak K-mu. Kr. nawet poszedł daléj od Skarbka, gdyż prawie zupełnie w początkowych utworach uczuć nie przedstawiał, albo je zbywał bardzo szybko i bardzo pobieżnie. W „Panu Walerym" żadnéj intrygi miłosnéj niéma, przesuwają się wprawdzie trzy postaci kobiéce, ale o ich uczuciach dowiadujemy się bardzo mało. W „Wielkim świecie małego miasteczka" istnieje już wprawdzie osnowa miłosna, lecz w porównaniu z innemi przedmiotami, które tam autor opisuje, zajmuje ona najmniéj miejsca i właściwie w trzech tylko scenach występuje. W „Dwa a dwa

cztéry" miłość Malwiny wyraża się jedynie rumieńcem, a miłość Ryszarda —wejrzeniem.

Chęć wydrwienia dawnych patetycznych uniesień poprowadziła zarówno Skarbka jak K-go do przeplatania scen poważnych trywialnie komicznemi. Potykanie się w skutek niezgrabności, wywracanie stołów i nakryć do herbaty, spadnięcie peruki i t. p. wypadeczki, przedstawione nieraz w karykaturze, przerywają zazwyczaj jakąś rozmowę, albo przeszkadzają zabawie, których opis w tonie poważnym jest trzymany. Takie sceny miały na celu rozśmieszenie czytelnika; rzadko jednak kiedy cel swój osiągały, gdyż pospolicie znać w nich było naumyślną kombinacyą autorską, a nie przebieg rzeczywistych wypadków.

Zamiłowanie piękności natury zarówno u Skarbka, jak i K-go, było teoretyczne tylko. Autor mówi często o widokach przyrody, ale nigdy szczegółowo ich nie malnje. Weźmy przykład z „Pana Walerego." „Z przyjemnością błądził po lasach pan Walery, a jak to prawie zawsze się zdarza, kiedy umysł niczém ważniejszém nie był zajęty, wpatrywał się, dumając, w czerwieniejące listki osiny, zżółkłą topolę lub brzozę i posępnie zieloną jodlę. Przyrodzenie albowiem mało tych zwykło zajmować, których życie jest nieprzebraném pasmem zdarzeń, silnie na umysł działających i porywających z sobą wszystkie władze człowieka; ono tym tylko skarby swe i piękności odkrywa, którzy w niém szukają pociechy i oddać mu się mogą. Dusze do ziemi przykute najmniéj ziemskich przyrodzęnia powabów kosztują; gdy tymczasem mała liczba ludzi, żyjących w przyszłości i umiejących czuć przyjemności umysłowe, napawa się wdziękiem natury, jako godnym zastanowienia człowieka."[12]) Przykład ten charakteryzuje sposób traktowania natury w początkowych powieściach K-go; przemaga tu rozumowanie, wmawiające poczucie piękna natury nie tylko w czytelników, ale i w siebie; istotnego atoli głębokiego odczucia tego piękna niéma, a więc niéma i pięknych obrazów jego, które zastępuje ogólnikowe, schematyczne niemal przedstawianie stanu pogody, albo widoków drzew i traw. Widocznie zachwyty nad naturą były jedynie dotąd obojętnym spadkiem, odziedziczonym po poprzednich powieściopisarzach; ale nie wypływały jeszcze wtedy z wrażeń osobistych.

I w kompozycyi artystycznéj znajdujemy ważne podobieństwa. Przedewszystkiém zarówno obrazom piérwszym Skarbka, jak K-go, brak perspektywy; wszystkie osoby, wchodzące do powieści, są traktowane jednakowo: niéma tu wyróżnienia osób głównych od podrzędnych, chyba to jedno, że osoba główna częściéj się zjawia na scenie, chociaż przez to nic na wybitności artystycznéj nie zyskuje. Powtóre: widzimy u Kr. brak starania o całość i to w większym nawet stopniu, aniżeli u Skarbka. Szereg drobnych wypadków, stawiających osoby powieściowe w różnych pozycyach: oto główne staranie autora, któremu nie idzie bynajmniéj o zogniskowanie tych wypadków, ani o rozwój charakterów. Ztąd często osnowa się zrywa, a autor robi zupełnie luźne uwagi, które nie mają nieraz żadnego związku z treścią opowiadania. Niejednokrotnie też spotykają się zwroty do pracy autorskiéj; powieściopisarz uskarża się przed czytelnikiem, że mu pisanie ciężko idzie, że się już znudził gryzmołeniem, że mu to i owo przeszkadza w tworzeniu. Takie przenoszenie czytelnika ze sceny powieściowéj do gabinetu autora, częste u Sterne'a, u Jean Paula i Skarbka, jest ulubionym tematem w piérwszych powieściach K-go. Ztąd takie np. zwroty spotykają się tu nieraz: „Plan mój dozwala mi przerywać lub łączyć nić mojéj powieści według żądania; a zatém opuszczam mego rywala i kochankę, a o czém inném zacznę uwagi." [13]).

Pod wymienionemi tu względami powiastki K-go nie stanowiły nowości w literaturze polskiéj; były w nich jednakże i takie strony, którychbyśmy napróżno u Skarbka szukali. A naprzód: Kr. daleko chętniéj przebywa wśród mieszczan, aniżeli wśród szlachty wiejskiéj, daleko częściéj prowadzi nas do małego miasteczka, aniżeli do stolicy. Burmistrze, doktorowie, aptekarze, księża, organiści, pocztmajstrowie, traktyernicy, piekarze, szewcy, krawcy, szynkarze, kapitaliści drobni, są to osoby, występujące wyłącznie w dwu powiastkach, (W. ś. m. m. i Dwa a dwa cztéry) tak dalece, że szlachta albo wcale się w nich nie pojawia, albo też chwilowo tylko i jakby przez mgłę jest widziana. K. w jednym z najpiérwszych utworów wyraził zdziwienie, dla czego żaden z autorów nie pisze dla niższych klas ludzi [14]); sam chcąc zapewne brak ten zapełnić, zaczął wydawać swoje dziełka. Patrzy on na ten swój światek ironicznie, czuje swoję nad nim wyższość, upatruje w nim wszędzie śmieszność i tylko ze strony śmiesznéj go przedstawia. Tłem, na którém postacie te się rysują, są to dobrze znane autorowi miasteczka: Biała, Świsłocz, Lublin; wiele rysów pochwycił bez wątpienia autor z ludzi, których niejednokrotnie widywał; ale wiele też dodał z przeczytanych książek zagranicznych i z wła-

snéj imaginacyi. Ponieważ zaś nie przedstawiał ludzi całkowitych, ale jednostronnie śmiesznego w nich pierwiastku się dobadywał, wpadał częstokroć w karykatury zmieniające fizyognomie ludzi do niepoznania, tak, że jeden z krytyków powiedział wprost, iż ton ogólu powieści jest zupełnie fałszywy, gdyż w „naszych miasteczkach nigdzie niéma takiego towarzystwa, jakie autor wywiódł na scenę (w „Wiel. św. m. m,"); że jest to jakieś niedołężne naśladowanie bytu miasteczek zachodniéj Europy." [15]) Sąd to trochę niesprawiedliwy, gdyż Kr. rzeczywiście brał wiele z obserwacyi; ale ponieważ był zdania jednego z rossyjskich pisarzów, że „chcąc ludzi widzieć, jakimi są, trzeba więcéj patrzéć przez okna i dziurki, niżeli oko w oko" [16]), przeto obserwacye jego ściągały się bardziéj do powierzchowności, aniżeli do wnętrza duszy. Przez okna i dziurki od kluczów można wiele ujrzéć tajemnic; ale wtedy jedynie tajemnice te przedstawią się nam w swojéj wewnętrznéj treści, gdyśmy z ludźmi przeżyli dość czasu oko w oko, wówczas bowiem odkryje się różnica pomiędzy człowiekiem w towarzystwie a człowiekiem na osobności...

Kr. kreślił z prawdziwém zamiłowaniem zewnętrzne kształty miejsc, a mianowicie budynków, placów, tudzież sylwetki ludzi: i to stanowi drugą nowość w ówczesném powieściopisarstwie. Przed K-im niewiele zajmowano się opisem powierzchowności osób podrzędnych; a nawet główne z lekka tylko kreślono; miejscowość również w wyjątkowych tylko razach dawano poznać dokładnie. Kr. przeciwnie, nie wprowadzi najlichszéj nawet, najmniéj znaczącéj w powieści osoby, ażeby stroju jéj i fizyognomii szczegółowo nam nie przedstawił. Niéma także tak błahego przedmiotu w otoczeniu ludzi, o którymby nie wzmiankował. Rysy wprawdzie, i w jednym i w drugim wypadku użyte, są blade, tak, że opis jest nieraz suchy i, że tak powiem, urzędowy; ale w każdym razie jest dokładny i szczegółowy. Jeden przykład wystarczy za najbardziéj nawet drobiazgową analizę. Mamy przed sobą człowieka siedzącego w traktyerni, którego raz tylko w powieści widzimy, który nie gra żadnéj roli w jéj osnowie; zobaczmy, jak K. F. Pasternak starannie mu się przygląda, jak go studyuje i jak go czytelnikom poznać daje [17]). „Tam za oddzielnym małym stolikiem siedzi ponury jakiś negocyant, susząc zapewne głowę wśród wesołości powszechnéj nad zyskiem, jaki mu nowe kupno ma przynieść. Ubiór jego nie okazuje ubóztwa ani mierności i jest nawet niejako wykwintnym. Surdut z pięknego sukna, *floransem podszyty* i pod samę szyję zapięty, okrywa ciało mocne i zdrowe; długie palone buty połyskują na nogach; na palcu świeci mu się kosztowny pierścień, a chustka w kraty buchasto zawiązana podtrzymuje szeroki podbródek." To dopiéro ubranie; a teraz fizyognomia. „Twarz jego jest pełna i rumiana, oczy żywo obracają się na wszystkie strony, nos garbaty i połyskujący *jak od lakieru*, rzuca cień na szérokie i utłuszczone usta." I na tém jeszcze nie koniec; potrzeba było opisać, jak siedział i co przy nim się znajdowało. „Zawiązał serwetę pod samę brodę, tabakiera i chustka leżą na stole. Przed nim stoi dobry zraz pieczeni cielęcéj i parę butelek marcowego piwa, który on *z natarczywością Tantala* używa. Zdaje się gardzić towarzyszami i do nikogo nie mówi; zapytania zaś zbywa jednozgłoskową odpowiedzią. Na rozmaite koncepta spółbiesiadników satyrycznie się uśmiecha i wodzi oczyma po wszystkich, jakby szukał sobie towarzysza do rozmowy i jadła." Mógłby kto pomyślić, że ta fizyognomia z szerokiemi i zatłuszczonemi ustami miała jakiś szczególny urok dla autora i pobudziła go do tak fotograficznego opisu. Ależ nie; na tém właśnie zasadza się skłonność ówczesna K-go, że wszystkie osoby i wszystkie przedmioty mają dla niego ten interes szczególny, iż każdą rzecz poczytuje za godną dokładnego rysunku i uwiecznienia zapomocą artyzmu. Jest to dowodem nadzwyczajnego rozwinięcia „zmysłu plastycznego," który tak rzadko się zdarzał u dawniejszych powieściopisarzów, a który u K-go występował tak jawnie, choć w formie jeszcze bardzo pierwotnéj. Nie trzeba podobno dodawać, że zmysł ten był jedną z najwyraźniejszych przepowiedni przyszłego zawodu powieściopisarskiego i zapowiedzią jego niewyczerpanéj płodności. Kto tak szczodrze a nawet marnotrawnie zbogacał zbiór osób i miejscowości w swoich utworach; kto stworzył tak ludny światek na samym piérwszym występie swojego zawodu: ten składał dowody, że wyobraźnia jego, ciągłém doświadczeniem zasilana, nie wyczerpnie się nigdy. [18]).

W powieściach *historycznych* też same znajdujemy cechy. Kr. nie poszedł w ślady Walter Scotta, a nawet nie zbyt entuzyastycznie o tym „kulawym bożku" Szkocyi się odzywał; tém bardziéj zaś lekceważył sobie jego naśladowców polskich, tak dalece, że nawet *Pojacie* znaczenia artystycznego odmawiał. Zdaje się także, iż nie znał ówczesnych romansopisarzów francuzkich,

a między innymi Bibliophile'a Jacob'a (Pawła Lacroix), którzy ironicznie na przeszłość patrzyli. Nie znajdujemy przynajmniéj ani jednego nazwiska z nowéj szkoły powieściopisarskiéj we Francyi w „Rzucie oka na ścieżkę, którą poszedłem," podpisanym 1-go kwietnia 1832 r.[19]). W powieściach więc historycznych nie ulegał on według wszelkiego podobieństwa do prawdy żadnemu specyalnemu wpływowi, lecz zastosował do ich pisania metodę, jakiéj się trzymał w powieściach obyczajowych. Najpierwszą próbką w tym kierunku był wedle zeznania samego autora „Ostatni rok panowania Zygmunta III," o którym w parę lat po wydrukowaniu mówił ze wstrętem: „Będę sobie miał długo do wyrzucenia, żem go drukował; na co się to zdało, kiedy nie zabawne i nienauczające" [20]). Istotnie trudno zmodyfikować sąd autora. Od pierwszéj do przedostatniéj stronicy dwutomikowego „obrazu" Zygmunt III kona a skonać nie może; rozmaitość zaś cała polega na przenoszeniu się z sal dworu do golarni. Na zamku królewskim staje przed nami wszechwładna a chciwa na złoto Urszula Meyerin, czereda głupich medyków, tłum przebiegłych jezuitów; w golarni zaś plotki sług, kłótnie panów, bójki i narzekania na zepsute duchowieństwo. Intryga jest niby, ale nie dba o przeprowadzenie jéj autor, obrazkami przedewszystkiém osób i miejsc się zajmując, tak, że właściwie dopiero przy końcu tomu drugiego spotykamy pewne działanie, które się zaraz urywa. Jezuici bowiem chcąc odebrać kochankę Władysławowi królewiczowi, wysyłają o. Grothusa, ażeby udając mowę jego, zniewolił Anastazyą do wyjechania. Królewicz tymczasem nadbiega, odkrywa zdradę i wiąże o. Grothusa, któremu jezuici wyprawiają wkrótce pogrzeb dla honoru zakonu. O jezuitach nie mówi inaczéj autor, tylko jak o kuglarzach nie tylko państwu, lecz i religii szkodliwych, a najbardziéj efektowna scena opiéra się na przedstawieniu zaślepionego ich fanatyzmu. Król leży w ostatniém osłabieniu, lekarze nakazują ciszę; a jezuici obstąpiwszy łoże „wołali z całego gardła na bezprzytomnego i konającego prawie Zygmunta, aby za grzechy żałował."

— Królu—wołał schylony nad łożem ks. Marquat — królu, żałuj za grzechy żywota swojego, abyś był zbawionym!

— Panie! —krzyczał głośniéj jeszcze drugi nad uchem—myśl o niebie i sercem módl się Bogu.

— N. Panie! — wrzeszczał trzeci, chcąc w gorliwości obudwu przewyższyć — bij się w piersi, bo będziesz potępiony... (Ostatni rok panowania Zygmunta. III-go, tom. II, 122, 123).

Drugim z kolei utworem była powiastka o przygodzie Józefa Poniatowskiego p. n.: „Imieniny." Jest to żywo opowiedziana anegdota o dwu rywalkach do serca księcia Józefa, które, pogodziwszy się chwilowo, chciały zrobić mu niespodziankę i zupełnie odnowić jego apartament, zarówno co do mebli, jak i co do sprzętów podręcznych. Upatrzywszy odpowiednią chwilę, dokonały swego zamiaru i, ukrywszy się w sypialni, czekały przybycia księcia. Książę, zmęczony i znudzony towarzystwem „usznurowaném w etykietę," lubiąc płeć piękną, chociaż „gardził nią w duszy," pojechał do tancerki i przepędziwszy z nią długie chwile w Łazienkach, zaprosił ją na kolacyą do siebie. Gdy ją spostrzegły wchodzącą z księciem, rywalki owe z furyą zakrzyknęły na solenizanta i rzuciły się do psucia mebli, tłuczenia luster, porcelany, szkła... Gdy się burza uspokoiła i rozgniewane hrabine oddaliły się, książę zasiadł spokojnie do wieczerzy ze swą tancerką[21]).

W „Kościele" wreszcie „Ś-to Michalskim" wraca do ulubionego wtedy tematu wystawiania jezuitów, jako intrygantów, podżegaczy bójek w sprawie religii, ale przydaje do tego jako *pendant* głupotę i pijackie życie przewodników duchowych wyznania kalwińskiego. Na jednę i na drugą gruppę patrzy drwiąco, ironicznie; kreśli karykatury, zwiedza winiarnie, wałęsa się po ulicach, ale zagląda także do grobów i fantazyuje w obliczu trupów. Akademików ówczesnych przedstawia jak zgraję bandytów, którym idzie jedynie o rabunek. Poetę, a raczej okolicznościowego rymokletę, odmalowuje nam jako pieczeniarza: „nie darmo — powiada—miał on poetyczną minę, twarz długą, nos orli, oczy czarne i wielkie, czoło wysokie, rumieniec i uśmiechające się oblicze," „Wszyscy owych czasów poeci—objaśnia następnie autor—tak jak on wyglądali; bo wówczas nieznano jeszcze literatury, coby jak dziś zbledziła, zchudziła i zubożyła człowieka. Dawniéj nie było u nas prawie poetów z professyi; przy szklance, przy oklaskach, przy dobrze napakowanym żołądku i niepróżnej kieszeni, rodziły się ody i pieśni" [22]).

Szlachetnych lub mądrych osób niéma tu prawie wcale: przed oczyma naszemi przewijają się głupcy, pijacy, waryaci, zbrodniarze, a co najmniej już samoluby. Ani dla wyższych stanów, ani dla ludu, nie znajdujemy sympatyi. „Nie było sprawiedliwo-

ści u góry; lud sam ją sobie, ile mógł, wymierzać musiał, a wiadomo jak wygląda *sprawiedliwość demokratyczna*, kiedy zemsta i miłość własna obrażona sędziami kierują"[23])

Zamiłowanie do kreślenia bójek, do przeplatania poważnych scen trywialnie komicznemi odnajdujemy i tutaj w zwiększonym jeszcze stopniu. Autor ścina głowy ludziom jak makówki; maluje często rabunki, napaści, sceny topienia z naigrawaniem; w opisie zburzenia zboru kalwińskiego szczegółowo wymienia każde natarcie. To znów każe poważnemu rektorowi niby ze strachu wpaść w kominek z żarzącemi się węglami i nie módz się podnieść i t. p.

Powieści historyczne wielce się nie podobały ówczesnemu światu literackiemu, zwłaszcza, gdy księgarz Glücksberg, który był wydawcą „Kościoła św. Michalskiego" zamieścił w „Kurryerze Litewskim" szumne jego pochwały. W powiastkach obyczajowych widziano talent, przyznawano im wiele naturalności; przyznawano im, że zabawić mogą. Ale co do powieści z dziejów, które przywykło się widzieć w poważnej szacie dziejopisarskiej, albo w pięknym romansie Bernatowicza, lub też w miłych obrazkach Tańskiej, nie mówiąc już o innych, bez wielkiego talentu wprawdzie, ale z uszanowaniem rozwijających obrazy przeszłości: takie lekceważące ich traktowanie wydało się rzeczą bardzo niestosowną. R. W. który obie większe powieści K-go w Tyg. Petersb. krytykował, uważał, że autor „zdaje się mieć talent zniekczemniania najinteresowniejszych miejsc historyi w swoich rysach i obrazach historycznych" zarzucał K-mu „same niewczesne koncepta w rzeczy poważnej, żarty przytoczone nie w miejscu, charaktery niedokończone i słabe, wypadki dziwaczne lub nic nie znaczące tam nawet, gdzie czytelnik koniecznie spodziewa się sceny patetycznej lub przerażającej, obrazy błahe i dziecinne, epizody bez sensu, rozwiązanie bynajmniej nie zajmujące i brak nauki; a kończy zdaniem: „Panu K-mu nie możemy zaprzeczyć talentu, lecz wykształcenia smaku i pracy jeszcze mu życzyć należy[24]). Wydawca *Tygodnika*, który nie cierpiał Kocka, nazywając go autorem gryzetek, zgorszony ogłoszeniem Glücksberga o przedsięwzięciu tym przekładzie romansów tego autora przez Dmochowskiego w Warszawie i Kraszewskiego w Wilnie, do surowej krytyki p. R. W. dodał jeszcze od siebie kilka ziarnek gorczycy. Komentując bowiem w przypisku niepochlebne zdanie recenzenta o niewczesnych żarcikach, dodaje: „Musiał on tego nieszczęśliwego nałogu nabrać, pracując nad tłómaczeniem Paul de Kocka, za co powinienby tego autora jako osobistego swego uważać nieprzyjaciela... To językowe pajacostwo, szał ten dowcipkowania w rzeczach poważnych, wyłącznie francuzki, w samej Francyi już upadł; nie wskrzeszajmy go w naszéj pięknéj i silnéj mowie; nie upędzajmy się za tém, co każdy dobosz francuzki stokroć gładziej i zręczniej od nas zrobić potrafi"[25])

Był to piérwszy silniejszy cios, otrzymany od krytyki; wywował on w duszy autora uczucie boleśne, bo uczucie zawodu; przejął go niechęcią do krytyki. Skłonny zawsze do wypowiadania swych uczuć, choćby tylko chwilowo goszczących w jego duszy, zapisał i tę niechęć zaraz w r. 1833 w artykule poświęconym „Galileizmowi". „Litości! litości dla Galileuszów — wołał: Cóż winien ten męczennik własnéj wielkości? Nie dość-że dla niego codziennych przykrości życia? Trzeba, żeby *krytycy*, bracia jego z nieprawego łoża, mierzili mu życie, i nie umiejąc pojąć całéj dzieła myśli, rzucali mu w oczy *drobne błędy, rozsiane po jego pismach*, których jego oko, przywykłe do większych obrazów, dojrzéć nie może? Na nieszczęście, większa część świata czytającego *przez wasze oczy* patrzy na wszystko! Dumni swoją chwilową władzą i przywłaszczoną mocą, żyjąc moralnie i fizycznie *cudzemi błędami*, przez wdzięczność dla nich, powinnibyście im przepuścić tam, gdzie więcéj jest dobrego, jak złego"[26]).

Ale młodość zbyt ma wiele w sobie żywotności, ażeby nie mogła znieść większych nawet bolów, niż komarowe ukłócia krytyki. Ponieważ głównie na powieści historyczne uderzono, zraził się K. na czas dosyć długi do kreślenia „obrazów" dziejowych, ale pisać nie przestał; ze spotęgowaną owszem siłą talentu i z większém doświadczeniem zabrał się do powieści obyczajowej i innych prac literackich.

II.

Po r. 1831 Wilno znacznie opustoszało. Statystyka urzędowa wykazuje tu na r. 1832 około 35,000 mieszkańców, a Baliński domyśla się nie urzędowo, że było ich około 50,000, ale z pomiędzy nich odlicza na żydów 30,000. Nadzwyczajne przepełnienie miasta ludem żydowskim „a bardziéj jeszcze jego azyatycki ubiór i od-

raźliwe niechędóztwo"—jak się wyraża ten autor — nadawało ludności Gedyminowego grodu „ponury charakter i sprawiało w każdym widzu wstręt naturalny na pierwszy rzut oka, a wielu z przyjezdnych źle usposabiało dla Wilna." Tak określił wrażenie swoje człowiek, który zrósł się niemal z tém miastem, gdyż w niém lata młodości i znaczną część wieku męzkiego przebył. A wrażenie to usprawiedliwił charakterystyką części miasta, zamieszkałéj przez element przeważny. „Ażeby je ocenić—mówi on—trzeba zwiedzić ciasne i brudne ulice i zaułki, sam środek miasta stanowiące, zapchane cisnącą się od rana do późnej nocy ciżbą żydowstwa; trzeba poznać ich staroświeckie kamienice, gdzie wśród steku nieczystości każda prawie izba jest schronieniem kilku familii na pułapach z całém swojem gospodarstwem żyjących"[27]). Dodać należy, że miasto było bardzo źle oświetlone latarniami olejnemi, że kupy błota i śmieci zalegały boki większéj części ulic.

Uniwersytet został zamknięty. Literatura była w uśpieniu; ledwie jakieś dzieło szkolne, gospodarskie, lub „kucharz dobrze usposobiony" (1833) i „kucharka oszczędna" (1835) Szytlera znajdowała chętnych nakładców. Nawet „Pan Podstolic" Massalskiego musiał się z Wilna przenieść do Petersburga. „Kurryer Litewski", jedyne przez łat trzy pisemko peryodyczne, stał się po roku 1831 gazetą urzędową, wychodzącą trzy razy na tydzień, w której jedyny dział literacki zapełniły reklamy księgarzów.

K. czytał w domu, chodził do bibliotek i archiwów, szczęśliwy, że mu dostępu pozwolono, zbierając materyały do swego „Wilna". Życie towarzyskie było bardzo słabo rozwinięte i pełne przesądów.

O ówczesnych stosunkach społecznych ztąd można brać miarę, że K. zaraz po wydrukowaniu *Kościoła Święto-Michalskiego* przesłał do *Tygodnika Petersburskiego*, z usilną prośbą o zamieszczenie, list, w którym starał się oczyścić z zarzutów, jakoby chciał szkalować spółczesnych mieszkańców Wilna wyznania helweckiego; chociaż o zarzutach tych, robionych prywatnie, zasłyszał tylko. Musiał się tu autor uciec aż do tak heroicznych argumentów, że minęły wieki fanatyzmu, że czwarte pokolenie nie powinno się obrażać za wystawione błędy przodków, że kto wie, czy nie więcej wywyższył w swoim obrazie kalwinów „nad zapędne pospólstwo", wykazując wyższy stopień oświaty (u kalwinów) w wieku dość ciemnym jeszcze. „Co do mnie—kończył swoje usprawiedliwienie — będę się starał, abym nie brał przedmiotów do powieści z czasów, w których podobne religijne waśnie na scenę wychodzą i zapewniam najmocniej, że o nich więcej nie wspomnę. Nie jest albowiem w charakterze moim, abym komukolwiek przykrość umyślną miał wyrządzać, a tém bardziej ludziom, którzy mnie bynajmniej nie zawinili" (w Wilnie 13 stycznia 1835). Możnaby mniemać, że autor przesadził tutaj obawy swoje; w rzeczywistości jednak miał słuszność; bo w parę miesięcy potém nadesłał z Wilna R. W. recenzyą *Kościoła Sto.-Michalskiego*" i w niej utrzymywał, że „Ewangelicy" mieli racyą się gniewać, gdyż nazwa „Kalwinów" wyrażała pogardę". K. więc wolał przebiegać ulice miasta wieczorem, gdy padał mrok nocny, a wpatrując się ciekawie w przesuwające postacie, starał się odgadnąć dokąd, po co, z jaką myślą dążyły? Wprawdzie i przechadzki wileńskie dla wielkoświatowca nie przedstawiały żadnego powabu. Jeden z nich naprzykład, z obrzydzeniem wspominając próżniactwo i pijaństwo wileńskie, tak mówi o jednem z ulubionych miejsc tych niekłopotliwych peregrynacyi: „Nigdy nie mogłem się dowiedzieć, jaki jest cel zgromadzenia się na Rossie. Dokoła tamecznej równiny wzrastają tylko nagle, jak krótkowieczne grzyby, budki obficie zaopatrzone w trunki; piwo szczorsowskie i słonimskie, miód kowieński, doskonałe wódki i mizerne wina są wszystkiego gruntem i zasadą, i zdaje się, że poczciwi mieszkańcy grodu Gedymina na to z ciasnych swych zaułków na wolniejsze wyciągają powietrze, ażeby spożywane trunki prędzéj parować mogły". Inaczéj jednak patrzał na to były mieszkaniec małych miasteczek, choć i on zresztą wołał samotną niż tłumną przechadzkę. „Nieraz goniłem—powiada —za posępną twarzą, pod której brwią nawisłą szukałem dziwacznej powieści. Wróciwszy potém do samotnego mieszkania, rozplatałem moje marzenia, rozrzucałem je, snułem z nich powieści tak dziwaczne, jak postaci sunące się po ulicy o zmroku, jak myśl młodego, gdy ją co daleko od świata rzeczywistego uniesie"[28]). Przechadzki te nie mogły zostawiać zbyt estetycznego wrażenia na tak wrażliwym na zewnętrzne kształty umyśle, jak K-go; nie mogły nasuwać mu myśli o harmonii i spokoju artystycznym, tém bardziej, że rozczytywanie się w utworach Jana Pawła Richtera, Hoffmana i romantyków francuzkich w zupełnie innym myśli jego zwracały kierunku. Nie harmonia kształtów, ale *siła*, jakiemi bądź środkami zdobyta, stała się odtąd jego hasłem literackiém;

brak téj siły wyrzucał wszystkim pisarzom polskim. Uwielbiając Hoffmana, jako geniusza całkiem oryginalnego, twierdził, że „z małéj liczby próbujących u nas, nikt, ale to nikt, nic tylko fantastycznie, ale w jakimkolwiek innym rodzaju *oryginalnie* nic nie napisał". I nie odnosił tego zuchwałego wyroku do powieści jedynie, lecz do całéj działalności umysłowéj Polaków. „Proszę przewrócić—pisał—cały katalog Bentkowskiego, i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi—i proszę z tego mnóztwa książek wszelkiego rodzaju *choćby jednę* pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiéjkolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacyi nadała ruch myślom i wpływała na epokę... Prócz oryginalnego geniuszu Kopernika, któż więcéj stanie? Może *jeden*, może żaden"[29]).

Tak surowego a pod pewnemi względami niesprawiedliwego sądu o wartości utworów umysłowych swojskich do owego czasu nikt u nas nie wygłosił. Jak widzimy, K. porzucił ton dobrodusznie drwiący i uganianie się za łatwym dowcipem, ale bystrzéj zaczął spoglądać we wnętrze rzeczy i nabierał siły zarówno w sądach, jak i w ich wypowiadaniu. Pogoń za siłą myśli, obrazów i słów powiodła go do wyszukiwania tematów nadzwyczajnych, do używania porównań jaskrawych, do nieczważania na dobór wyrazów, byle te najdobitniéj malowały myśl, jaką miał wypowiedzieć.

Najpierwszym z téj nowéj fazy utworem był „Pan Karol", który się zrodził, jak mówi autor — ze światła w oknach na Skopówce, z przechadzki na Antokol, z ujrzanych śmiesznych figur kilku w traktyerze". Ułożył go K., napisał i przepisał we trzy tygodnie, wśród których inne jeszcze miał zatrudnienia[30]). Przedstawia tu Don Juana wileńskiego, któremu długo żadna kobieta oprzéć się nie mogła, ani mieszczka, ani nawet hrabianka, który przecież trafił wreszcie na skąpą, doświadczoną, choć wcale niewykształconą Żmujdzinkę, starą pannę Hermenegildę *Twardowską*[31])i—utracił nazwę niezwyciężonego. Trzyma się tu jeszcze autor świata mieszczańskiego, ale już nie z małych miasteczek, tylko z Wilna; przebywa często w restauracyach, nie zagląda nigdy do grona rodzinnego, chyba wówczas, gdy kochanka mąż przy żonie zastaje; nie szafuje już jak dawniéj mnóztwem osób, ale wybiera kilka i te staranniej skreśla; ludzi zacnych i mądrych i teraz jeszcze nie dostrzega; uśmiech szyderski, ale już nie dobroduszny, towarzyszy mu zawsze, gdy patrzy na te postaci opasłe, pijackie, albo skąpe, samolubne; kobiety poczytuje za istoty wogóle bardzo słabe i łatwe do uwiedzenia, gdyż taka postać, jak Hermenegilda Twardowska, postać najdoskonaléj pod względem artystycznym obrobiona, jest wyjątkiem, a i ona opiera się Karolowi nie z miłości cnoty, ale z wyrachowania, gdyż widzi, że zapał kochanka jest wielce podejrzany; każe mu więc puścić krwi półtora spodka: „żyd cyluryk i za dwadzieścia groszy puści, a z targiem, to i za piętnaście".

I w kompozycyi zaszły zmiany. Jest już większa dbałość o pewny ciąg w opowiadaniu; sentencye i wszelkiego rodzaju uwagi, które dawniéj tak wielką odgrywały rolę, znikły prawie zupełnie, tak, że mamy przed sobą osoby objektywnie przedstawione w rozmowie najczęściéj, rzadziéj w działaniu, bez żadnych autorskich osobistych rekomendacyj. Jako najważniejszy środek zrobienia effektu używa autor kontrastu, którego poprzednio śladu nawet nie było. Tu kochanek, dostawszy od kochanki pierścionek, chce go sprzedać jéj małżonkowi; tam znów tenże sam kochanek pieści się z inną, gdy pierwsza w trumnie przy śpiewie księży i świetle pochodni przejeżdża koło tego domu na wieczny już spoczynek; gdzieindziéj znów małżonek, chcąc wyłajać żonę za schadzki z kochankiem, za utratę obrączki ślubnej, przekonywa się ze zdziwieniem, że sam jej nie ma na palcu, za co musi rozgniewaną żonę na klęczkach przepraszać. W wyrazach nie przebiera: najgrubszy, najtrywialniejszy, najniesmaczniejszy jest dla niego dobry, jeżeli siłą się odznacza.

Odtąd przez lat kilka ten tryb tworzenia zapanowywa w utworach K. i jest stosowany do najrozmaitszych tematów. Sentencye tylko wracają, ale przybierają odmienny od dawniejszego, daleko oryginalniejszy charakter. W roku 1833 odwiedził K. rodzinę na wsi, bawił w Dolhem i ztamtąd robił wycieczki, przypatrzył się szlachcie wiejskiéj tém okiem, jakiém patrzał na całą literaturę krajową i zobaczył, że to istoty zmateryalizowane, samolubne, ciemne i strasznie głupie. Napisał dla nich gawędę o kaszy gryczanéj, niemającą wielkiego sensu i tak ją zakończył: „Ten rozdział przeznaczam dla gospodarzy, a chociaż wiem, że z niego i sam Salomon kropli sensu nie wyciągnie; nic mię to jednak nie obchodzi; dla was, panowie gospodarze, to i tak zanadto dobre, dla was, co urodziwszy się w grycce, pożywacie ją całe życie, siejecie i nie umiecie myśléć o czém inném, jak o kaszy. Jak

wam Bóg da rozum do czytania, i mnie go do pisania dla was użyczy[32]).

Na tém się jednak nie ograniczył. Wystawił on szlachtę wiejską i księży w „Czterech Weselach", powieści najlepiéj z powyższych wykończonej, zawierającéj najwięcéj dobrze nakreślonych charakterów i najdosadniejszą napisanéj mową. Główną osobą tego utworu jest kobieta Julia, będąca niejako przeciwwagą Karola. Jest to uosobienie energii w szczupłym zakresie ziemiańskiego żywota, a zarazem upostaciowanie popędów zmysłowych. Zdaniem Julii miłość jest tylko pragnieniem rozkoszy, a mąż najczęściej parawanem, za którym ukrywa się kochanek. I nie jest to taka miłość zmysłowa, jaką w osłonkach lubili przedstawiać powieściopisarze francuzcy, Dumas lub Sand; nie, ona ma ten trywialny charakter, jaki u Pawła de Kocka spotykamy. Julia nie rozumie innej, a jéj natura jest tak płomienna, tak w materyalizmie pogrążona, że właściwie nie ma nawet wyrzutów sumienia, gdy mężów i kochanków luzuje. Autor nie unika scen najbardziéj nawet nagich, ażeby tylko z expressyą ten charakter wystawić. Trzy razy wychodzi ona za mąż, a ciągle bałamuci Adolfa, stanowiącego najzupełniejszą z nią sprzeczność pod względem tęgości charakteru; jest on bowiem uosobioną słabością, do potwornych posuniętą granic. Ażeby mieć wyobrażenie o Julii, trzeba wiedzieć, że, z powodu płochości, mąż jeden, fałszywém uniesiony podejrzeniem, własną żonę koniem na śmierć roztratowuje, że nasza bohaterka idzie potém za niego i w noc ślubną swemi wyznaniami przyprowadza go do zażycia trucizny. Szarpany bólami usiluje zadławić żonę, umiera wszakże, a Julią otrętwiałą bez sił i czucia ledwie zdołano uratować. Przygoda nie odstręczyła jednak odważnej bohaterki od ślubów; idzie po raz trzeci za mąż, za niedołęgę, który, podczas weselnego obchodu zadługo zabawiwszy się z przyjaciołmi, musi noc przepędzić w skrzyni, gdy żona z kim innym wczasu używa.

Głupota, samolubstwo, szachrajstwo, podłość przedstawiona w postaciach wchodzących w skład powieści (Dyonizy, Aleksy, Salezy) a niezapomniane też zmateryalizowanie księży, którzy będąc na pogrzebie i widząc smutek na twarzy Adolfa i obłąkanie w obliczu męża, powiadają sobie: „Pan Bóg nie zapomina o nas, zapomaga potrosze sług swoich: trzeci to już pogrzeb tak bogaty tego roku w naszéj parafii" —mechanicznie odczytują brewiarz, śpiewają pieśń pogrzebową, przeplatając ją gawędką o swoich dochodach, o psach, o polowaniu; powtarzają sobie plotki o zmarléj. W całéj galeryi obrazów i obrazków, dwie tylko postacie są uczciwe (prezes i Matylda, żona Adolfa), ale te właśnie postaci zupełnie w cieniu zostawione. Autor, przejmując się tém, co kréślił, staje się pessymistą i materyalistą —na chwilę. Radzi on np. kochankom, żeby lube swoje widywali tylko wieczorem: „Podwójny z tego pożytek, bo złudzenie piękności na dłużéj przechowa... a do zbrzydzenia sobie kobiety tak nie wiele potrzeba. Dość jednej plamki na twarzy, ust spalonych, zębów nieumytych, dość jednej skazy: dostrzeżenie ziemskiej ułomności w urojonym aniele odraża rozbija uroki, łamie miłość. Ludzie są brudnemi stworzeniami: trzeba je myć, polerować, czyścić jak deskę, z któréj stolarz chce coś wyrobić świecącego, aby pokryć chropowatość, brudy, plamy i skazy wewnętrzne

Takiéj powieści, z taką expressyą w szczegółach, z taką jaskrawością w barwach, z takim realizmem w traktowaniu stosunków towarzyskich, nie było wówczas w literaturze naszéj. Poezyi nie było tam prawie zupełnie; panowała wszędzie proza; sytuacye nawet tragiczne (ojciec obłąkany, niepoznający syna) zostały umieszczone na takim poziomie, że uczucia grozy nie budzą.

Ale na tém pragnienie siły i oryginalności nie mogło się ograniczyć. Potrzeba było wyszukiwać tematów niecodziennych i dobierać barw jak najjaskrawszych. A więc opowiada nam autor, jak jeden zapaleniec pragnąc doznać uczuć niewieścich, zaprzedał się dyabłu, ażeby mógł zostać kobietą jak ten Leon, w Leontynę przemieniony, jednodniową tylko znał miłość i kochanków swoich zmuszał do samobójstwa; jak go wreszcie na stosie spalono (było to w Hiszpanii) i jak z tego stosu czart we własnéj postaci wyskoczył[33]). To znów kreśli nam sylwetki całego szeregu waryatów i waryatek i utrzymuje, że najszczęśliwsi i najzdrowsi są głupcy, że wiara, ślepa wiara jest drogą do spokojności i szczęścia, i że umysły gorętsze, oryginalniejsze, dopóty spokoju nie znają, póki nie zwaryują[34]). Kiedy indziéj znów opowiada historyą żebraka, który na to przez lat pięćdziesiąt głodził się rękę po jałmużnę wyciągając, ażeby sprosić na ucztę najznakomitsze osoby, opowiedzieć im swoje życie i wypić truciznę[35]). Pomysły tego rodzaju roiły się wówczas tłumnie w głowie młodzieńca, który sądził, że w tym kierunku zdoła utworzyć rzecz znakomitą. Dzieje biedaka, który pracą lub zrządzeniem losu zostaje bogatym i może cisnąć słowa pogardy tym, którzy nim da-

wniéj gardzili, były tematem ulubionym wówczas, z przyczyny, że przedstawiały wyborną sposobność do effektownego kontrastu. Jeden z takich biedaków, obrzydliwy z natury i zeszpecony nędzą, kładzie się w rynsztok, ażeby po jego grzbiecie mogła przejść panienka; późniéj tenże sam żebrak, znalazłszy wór złota, każe sobie tę dziewczynę przyprowadzić i pomimo swej brzydoty dostaje uśmiech — za pieniądze. Taki żebrak jest filozofem, cynikiem, i rozprawia o śmieciach, o prawdziwych śmieciach, jakby o najpiękniejszym przedmiocie. Chcąc poznać realizm w wyrażeniach i tę żądzę stworzenia kontrastu, trzeba odczytać choć jeden ustęp. Garbaty, oszpecony, ołachmaniony zamiatacz ulic ujrzał piękne dziewczę i pomyślał, że i on równy jéj człowiek, że może ją posiadać. „Dumną myśl moję zabiła myśl druga, wspomniałem na twarz moję oszpeconą, pojrzałem na ręce, na garb, na bose i pokaleczone nogi i wyznałem, że w moich objęciach ten anioł byłby jak brylant w błocie... Rzuciłem miotłę, uderzyłem głową w mur kościoła; chciałem się zabić, skaleczyłem się tylko; krew polała się z rany; muchy obsiadły spiekłe me skronie, słońce paliło czoło, w usta płynęła krew własna, cały byłem we krwi i serce we krwi pływało. Dziewczyna przeszła mimo, nie spojrzała nawet na mnie i śmiejąc się, rozmawiając z jakimś młodym mężczyzną, znikła mi z oczu. Ja rzuciłem się na kupę śmieci i błota, tarzałem się w niéj bez pamięci; patrzałem, czy nie znajdę czém życia odebrać; ale nie było — musiałem żyć i cierpieć!"[36]) I w tym tonie, podobnemi frazesami, rzecz się ciągnie przez 4 stronice.

Jeżeli chcemy sobie objaśnić te dziwne objawy, musimy sobie przypomnieć ten świat karyatów i fantastów, jaki Hoffman stworzył w powieściach swoich, ten świat okropności i brzydoty, jaki Wiktor Hugo w Hanie Islandzkim, w Bug-Jargalu, a nawet w Notre-Dame de Paris, z takiém zamiłowaniem opisywał; musimy sobie wogóle przytomnić hasła romantyków niemieckich, a zwłaszcza francuzkich. K., który dawniej za nic w świecie romantykiem zostać nie chciał, teraz stał się zwolennikiem teoryi romantycznéj: w utworach swoich nie dbał ani o moralność, ani o ideę, mając cel jedynie artystyczny wywołania effektu na względzie. W sposobie tworzenia, w kompozycyi i stylu estetycznego ładu nie pilnował, o umotywowanie wypadków się nie starał: wszystkie braki zastąpić musiała fantazya i siła wyrażenia. Wśród bladych aspektowych utworów ówczesnej belletrystyki naszéj był to skandal wprawdzie, ale skandal, który rozbudzał umysły, a przynajmniej wyobraźnię, który życie nieporządne, wyuzdane, ale bądźcobądź życie istotne wprowadzał na scenę powieściową.

Równocześnie jak został romantykiem, stał się téż K. poetą w formie wierszowéj, choć poprzednio nazwy podobnéj stanowczo się wypierał[37]).

Przy końcu r. 1833 zaczął się w Wilnie ożywiać ruch naukowy. Na miejsce uniwersytetu założona została naprzód akademia medyczna a potém duchowna. Zapewne i na wykładach lekarskich bywał niekiedy K., o czem świadczą częste wzmianki o doktorach, sekcyi trupów, skalpelach, bistnrach i t. p. Ale wraz z założeniem akademii duchownej nastąpiło regularne uczęszczanie na wybrane lekcye, pomiędzy któremi najpierwsze miejsce zajmowały odczyty Leona Borowskiego. Lekcye w niej odbywały się tu już w końcu r. 1833, gdyż ukaz, ustanawiający akademią, ma datę 1 Lipca 1833 (v. s.), chociaż otwarcie publiczne miało miejsce dopiero 11 Lutego (v. s.) 1834 r. pod przewodnictwem biskupa Kłągiewicza, w towarzystwie rektora Aloizego Osińskiego, tudzież professorów i innych urzędników akademii. Cały świat urzędowy, mając na czele księcia Mikołaja syna Andzeja Dołhorukowa, który był wtedy gubernatorem wojennym wileńskim, był przytomny. Odbyło się naturalnie kilka mów i to w trzech językach: polskim, rossyjskim i łacińskim. Po polsku przemawiali: biskup Kłągiewicz, Aloizy Osiński, ks. Antoni Fijałkowski („o potrzebie, pożytkach i wpływie historyi kościelnéj na teologiczne nauki"). Stanisław Hryniewicz rozwodził się po łacinie nad ważniejszemi pożytkami, wynikającemi ze studyów klassycznych zarówno dla wszystkich działaczy publicznych, jak szczególniej dla księży; a Paweł Kukolnik wykazywał po rossyjsku wpływ Opatrzności Bozkiéj na los narodów i państw[38]), Duch w téj akademii, o ile z tych przemów wnioskować można, miał być ściśle religijny, konserwatywny. W każdym razie dawała ona poznać świat zagadnień umiejętnych i tym sposobem wyrywała umysły ze sfery parafiańskiej niewiadomości i dążenia do poziomu materyalnych celów.

W tymże samym czasie i starsze i młodsze pokolenie pomyślało o wznowieniu czasopiśmiennictwa. Ignacy Szydłowski, dawny członek „Towarzystwa Szubrawców", znalazłszy w Zawadzkim nakładcę, zaczął z początkiem r. 1834 wydawać zeszytami „Wizerunki i roztrząsania naukowe", złożone z sa-

mych przekładów z nader drobnemi wzmiankami bibliograficznemi o literaturze krajowej. Artykuły były w ogóle treści poważnej; redaktor brał je z najznakomitszych miesięczników i kwartalników angielskich i francuzkich; zaznajamiały one ze stanem literatury i estetyki. Młodzi trudny tam znajdowali przystęp, gdyż Szydłowski, jak powiadali, zrażał pedantyzmem.

Nie mogli oni marzyć o trwalszém jakiémś wydawnictwie; poprzestali więc na zbiorku pomniejszym, który zamierzali co rok ogłaszać, choć spotykali ciągle trudności. Trzeba było zbierać prenumeratę, a chętnych do jej składania nie było, jużto dla tego, że książkę poczytywano jeszcze za rzecz niebardzo potrzebną, już też dla tego, że kilku spekulantow zawiodło nadzieje publiki i, zebrawszy pieniądze, nie myślało ogłaszać za nie obiecanych dziełek.—K. żył wtedy w ścisłej zażyłości z Józefem Krzeczkowskim i Wiktorem Każyńskim. Otóż jeden z nich, a mianowicie Krzeczkowski, podjął się trudów wydawnictwa i zdołał zebrać podpisy 231 prenumeratorów, w których liczbie znajdowały się nazwiska: znanego męża „Maryli“ Wawrzyńca Puttkamera i znanego światu uczonemu Jędrzeja Śniadeckiego. Nietylko młodzi, ale i starsi literaci nie odmówili swego bezpłatnego spółudziału w dostarczeniu artykułów. Znajdowały się tu urywki z poezyi Mickiewicza, Odyńca; Józef Jaroszewicz dał obszerną rozprawę p. n. „Stan Litwy do przyjęcia wiary chrześcijańskiéj“; Michał Baliński zebrał szczegóły statystyczne o Wilnie. Zbiorowi nadano napis „Znicz“, który był symbolem zogniskowania uczuć i dążeń młodzieńczych, bo nikt jeszcze wówczas istnienia „znicza“ nie zakwestyonował. Rozumie się, że i K. stanął w rzędzie spółpracowników, i to zarówno w prozie, jak w wierszu. Z artykułów prozą znajdujemy tu, prócz przekładu z Jean Paula („Śmierć anioła“), dwa zupełnie różne pod względem wykonania obrazki, jeden („Podróż po mojej szkatułce, dziwactwo“[39]) datowany w Grudniu 1831, przypominający chwilę smutku w życiu samego K-go, ale wyrażający ten smutek w sposób widocznie pożyczony z Wertera, a skomplikowany manierą Jean Paula w traktowaniu uczuć; drugi zaś pisany późniéj („Majster i czeladnik“[40]) a przedstawiający cechy drugiéj fazy twórczości K-go, kiedy ulubionemi środkami były siła i kontrast. Opowiada tu legendę o budowniczych kościoła św. Anny w Wilnie. Do dramaciku tego wchodzą trzy osoby: majster Wojciech Krzyżak, córka jego Marya i zięć, czeladnik Piotr. Pomiędzy majstrem a czeladnikiem zawiązuje się sprzeczka o doskonałość roboty: Piotr podejmuje się sam dobudować kościół „choćby miał krwią własną wszystkie sklejać cegły“; majster zezwala na to, przedrwiwając jego zarozumiałość. Piotra dręczy zazdrość i żądza sławy; napróżno stara się uspokoić go Marya; ale i Wojciech, z razu niedowierzający zręczności swego ucznia, gdy kościołek miał już być odsłoniony, zawrzał gniewem i wyrzucał Piotrowi, że nie zaczekał jego śmierci, ale chciał jeszcze za życia i sławę jego wtrącić do grobu; a skończył na podejrzeniu, że czeladnik musiał z dyabłem wejść w spółkę. Potém, niby uspokojony, namawia go, żeby wszedł z nim na rusztowanie; doszedłszy na szczyt, silną ręką chwycił Piota za szyję, i pchnął go uderzeniem nogi“. Czeladnik zatrzymał się na chwiejnéj desce, a tracąc siły, co chwila wołał przytłumionym głosem: „ratuj Maryo, ratujcie“!... Stary majster nic nie słyszał, nic nie chciał słyszeć... porwał ogromną cegłę z rusztowania, ugodził nią oburącz w głowę nieszczęśliwego — i ciało jego padło na kupę gruzów przed kościołkiem“.

Wiérsze, zamieszczone przez K-go w „Zniczu“, były to pierwsze próby poetyczne, jakie drukował. Jest ich dwa i w obu zarówno pojęcia, jak frazeologia i sposób wierszowania, noszą cechy romantyczności. Puszczono tu wodze wyobraźni i pozwolono jéj hasać najswobodniéj, nie starając się ani o jasność, ani o doskonałość formy. Koloryt smętny, melancholiczny, a nawet ponury; nieodzowna blada twarz miesiąca, gwiazdy, niebo, brzemię klęsk, zguby nieszczęść znajdują się zawsze na zawołanie. Usposobienie marzycielskie odbija się we wszystkich szczegółowych i ogólnych pomysłach. W fantazyi „Wieńce“ kreśli poeta w cztérech ustępach dzieje serca dziewiczego. Dzieckiem kocha dziewica matkę i dla niéj zbiera kwiatki; w 15-tym roku, w upojeniu szczęścia zrywa je dla kochanka; potém w jesieni ze zwiędłych liści splata wiązanki na grób matki i kochanka; w końcu rwie je dla siebie, ażeby mogiłę jéj pokryły. Stan przyrody, zawsze tu zgodny z usposobieniem dziewicy, kreślony jest ogólnikowemi a zwykłemi u romantyków rysami. Jesień n. p. tak się nam przedstawia: „Mgły niebo i ziemię pokryły; Wichry północne zawyły, Drobne listki, drobne kwiatki, Oderwane z łona matki, Uleciały z wiatrami, jak jedyne człowieka w nieszczęściu nadzieje“. Najpiękniejszy jest początek:

Tęcza po niebiosach płynie!
Mgliste słońce odsłania oblicze spłakane,
Niebo chmury strząsnęło i nad wschodem ginie
Groźne burz czoło z obłoków utkane.

Świat cały teraz jak oblubienica,
Która łzami zalawszy czarne swoje oczy,
Wkrótce szczęścia uśmiechem maluje swe lica
I błyska złotem rozwitych warkoczy.

Mimowolne przypomnienie z Mickiewicza („muskając sploty swych złotych warkoczy“) znalazło tu miejsce, gdyż sfera pomysłów była ta sama. W drugim wierszu, który Kr. nazwał melodyą p. n. *Duchy* (z datą 16 Lipca 1833), niejasność myśli przeszkadza dobremu wrażeniu, jakie wywołują harmonijniejsze niż w „Wieńcach“ wiersze. Zachęca tu poeta Alinę, żeby spojrzała na gwiazdy, niebo, i każe jej żałować tych ludzi, których powieki na zawsze już zamknięte; objaśnia, że matki, kochanki, żony, próżno posyłały wzrok za mogiły i dziwi się, że płaczą po umarłych, kiedy tylu żywych zostało; kończy tém, że gdyby nawet ktoś wywołał ducha, to oczy téj ziemi nie obaczyłyby go zapewne: „Napróżno goni powieka; Próżno uścisk oczekuje; Żona z uścisku ucieka, Serce go jedno czuje!“ I znowu mimowolna pewnie reminiscencya z „Romantyczności“, kiedy dziewica sercem czuje obecność kochanka, którego dojrzéć nie mógł starzec ze szkiełkiem w oku.

Odtąd przez lat dwa tworzenie powieściowe ustąpiło miejsca poetycznemu. W „Zniczu“ na rok 1835 znajdujemy tylko jedną „fantasmagoryą historyczną“ napisaną prozą p. n. „Raj i piekło“, gdzie odnajdujemy stałe cechy drugiéj fazy powieściopisarskiéj; ale natomiast mamy trzy dłuższe poezye: „Zawsze razem“ „Dwa słowa“ (1 lutego 1834 *Dolhe*), „Dumanie nad Horyniem“ (23 kwietnia 1834 *Ossowa*) gdzie miłość, smutek, tęsknota i pessymizm splatają się w wieniec poetyczny. Na rok 1835 przypada obszerny dramat historyczny „Halszka“. Tu się połączył realizm powieściowy (w pierwszych dwu aktach) z pessymizmem i bajronizmem poetycznym (wakcie III). Samolubstwo i zepsucie moralne w jednych charakterach, a filozofia pessymistyczna, lub uczucie, do najwyższéj podniesione potęgi, w drugich— służą tu za czynniki, mające z siłą kontrastu na czytelnika uderzyć. Dymitr, z początku lękliwy, czasami brutalny, staje się w końcu bajronistą, nie wierzącym w przyjaźń, marzącym o śmierci i pogardzającym ludźmi, o których powiada, że „ich dusza głęboka.

Czysta po wierzchu jak jeziora wody;
Spodem muł czarny: w nim lęgną się żmije,
W nim rudych wężów pełzają narody,
Jad, złość, przewrotność na spodzie się kryje.

Dla „Molni“, wiernéj Dymitra kochanki, „ojczyzna w uścisku jego, dom na jego łonie“; gotowa ona zabić ojca, matkę; nie lęka się szatana ani Boga. Filozofem, wyrozumiałym na błędy, a nawet na zbrodnie ludzkie, jest tu grabarz, który, przejęty marnością rzeczy ziemskich, dla złota nie zdradzi nikogo, ale też na zabójstwo patrzy okiem obojętném.

W miarę jak K. oddawał się poezyi, ulegał coraz bardziéj działaniu ówczesnéj atmosfery literackiej, przejętej smutkiem głębokim, a niekiedy udanym, i brzemiennej oczekiwaniem i pragnieniem rychłego zgonu. Nie zdziwimy się więc, gdy 23-letni młodzieniec napisze swój *testament* z mnóztwem bardzo długich kresek i podwójnych wykrzykników. W tym testamencie będzie takie samo narzekanie na książki, jak u Gustawa z „Dziadów“ i potępienie pisarskiego zawodu:

Księgi w głowie pożar rozdmuchają zdradny,
Zbrzydzą pokój i rolę i wiejskie zacisze,
O! nieszczęsny kto czyta, szalony, kto pisze!

Radzi więc bratu Lucyanowi, żeby książki rzucił w ogień, bo cała mądrość zamknięta w słowie *kochaj*. Poeta sam nie miał nigdy siły rozstać się z temi zdradnemi księgami, które go zabijały, choć on je tak kochał. W zamian za nie ofiaruje mu przez siebie rysowane widoki tych miejsc, gdzie przeżył szczęście wielkie, przetrwał żal głęboki; gdzie spoczęła po smutkach skłopotana głowa pod dachami Horodca, Dołhej, Romanowa:

Jest tam nasza kaplica i luba *Ossowa*
I wiele, wiele jeszcze miejsc, gdzie moje życie
Zostawiłem szczątkami, gdzie serce ulata,
Dokąd nawet po śmierci przylecę jak dziécię
Pobawić się pamiątką naszego łez świata.

Obok tego rzewnego wspomnienia nie obyło się bez karykatury romantycznéj. Józefowi Krzeczkowskiemu, który miał w jego sercu miejsce brata, zostawia nasz poeta umierający „włosy téj głowy, którą świat wzgardził i cierniowym wieńcem otoczył.“ Lubéj nic nie zostawia, każe jéj o sobie zapomniéć i życzy, żeby była tak szczęśliwa, jak on był biedny.

U wrót grobu prawie
Jeszcze za tobą łza spływa,
Może ostatnia, którą *widziały powieki* —
Może piersi na więcéj westchnień już nie stanie
I usta moje zamknie ciche pożegnanie,
Ciche, krótkie, lecz na wieki.

Testament ten, datowany 26 Kwietnia 1835 z Ossowy, doszedł do wiadomości publicznéj dopiero w roku 1837, gdyż pomimo

najpilniejszych starań nie udało się Krzeczkowskiemu wydać „Znicza“ na rok 1836, z powodu nader szczuplej liczby prenumeratorów. „Znicz“ więc zagasł, a po dwu latach zasiadła u spopielałego ogniska piękna wedle podania „Biruta“. W tym noworoczniku również K. przeważnie podaje wiersze, umieszczając z prozy piękny opis pożaru Zamku Wileńskiego w r. 1610. Pomijając poezye egotyczne, znajdujemy tu po raz pierwszy utwór, na tle historycznem osnuty, p. n. *Biruta*, i po raz piérwszy także wiérsz z tematu ludowego p. n. *Czy powróci?* Wybór historycznego tematu zawarunkowany był z jednéj strony studyami dziejowemi K-go, a z drugiej tytułem noworocznika. Wybór zaś tematu ludowego świadczy raz jeszcze o wielkiej wrażliwości autora na wpływy zewnętrzne. W tym bowiem czasie zaczęto skrzętnie bardzo zbierać pieśni i podania gminne we wszystkich okolicach kraju, upatrując w nich najsilniejszy i najtrwalszy żywioł poezyi prawdziwie narodowéj. W roku 1830 K. choć poprzednio jeszcze w gimnazyum pisał rozprawę o przysłowiach polskich, nie zbyt wysoko przecież cenił „podania ludowe“ do okolic pewnych lub budynków przywiązane, uważając je za „mało zajmujące“[41]. I teraz wprawdzie surowo się odzywa o podaniach. Krytykując bowiem tradycyą, przywiązaną do *Bekieszówki*, wzgórza pod Wilnem, i wykazując jéj bezzasadność, tak się odzywa. „Niech to podanie, tak powszechne, że je nawet z ust światlejszych ludzi słyszéć często wspominane można, naucza tych, którzy dawniejsze dzieje z błędnych odgłosów pospólstwa budować myślą: ile się na nich opierać można. Dość było ludowi góry, pomnika i głuchego odgłosu wojennéj sławy, aby z nich zrobić bajkę dość poetyczną, lecz za to zupełnie bezzasadną. Takiemi często bywają gminne podania“[42]). Mimo to przecież pod wpływem owego ogólnego zajęcia się poezyą ludu, zaczął tworzyć w duchu poezyi ludowéj, jak tego dowodzą piosenki „Czy powróci“ „Roznowa“ „Posłaniec“ (z illiryjskiego). „Biedny chłopiec“, „Monomachia wiatru z chmurą“.

Poezye K-go same w sobie nie wielką posiadają wartość; nie wniosły one z sobą żadnego nowego żywiołu poetycznego, ale w ukształceniu powieściopisarskiém odegrały rolę dość znaczną. Obok świata ludzi głupich, samolubnych, zmateryalizowanych, musiał K. postawić świat ducha, świat uczuć i myśli podnioślejszych i prozaiczne swoje obrazki tchnieniem marzycielskiej poezyi urozmaicić; bo jakkolwiek i w wiérszach niejednokrotnie poeta wpadał w trywialność, strzedz się jéj przecie musiał, ponieważ nie harmonizowała ona z wyższym nastrojem, jaki w ówczesnej liryce panował. I w samém wyrażeniu nawet trzeba było unikać wyrazów zbyt jaskrawych, zbyt grubych; trzeba było odznaczać kontrast subtelniejszemi niż w prozie rysami. Wiersze K-go, jakkolwiek pod względem kompozycyi i formy wierszowania zazwyczaj słabe, wyróżniały się wszakże od tłumu wierszydeł, zamieszczanych w ówczesnych noworocznikach, i dobrze usposabiały krytyków. Jeden z nich, dawniejszy surowy krytyk prozaicznych utworów, uwielbienie swoje dla „Dwóch słów“ K-go tak dalece posunął, że je godnemi „Dwóch słów“ Mickiewicza nazwał[43]). Znajdowało się w nich nieraz trafne a malownicze porównanie, myśl jakaś niepowszednia, obrazki bardzo udatne.

Nastrój poetyczny odbił się też i w utworach prozą, naprzód w prawdzie w sposób niezbyt smaczny, stwarzając tak zwaną prozę poetyczną; ale następnie przyczynił się wielce do podniesienia wartości artystycznej powieści K-go. Najwcześniejszym w tym kierunku artykułem była improwizacya fantastyczna p. n. „Było nas dwoje“ (napisana 18 września roku 1835 w Wilnie, a wydrukowana w drugiej części „Biruty“ (1838, str. 27—39). Realizm wyrazów i wyrażeń dziwnie się tu brata z subtelnością pomysłu; a ironia z samego siebie idzie w parze z uczuciami podniosłemi. Któż to są ci dwoje? To on i ona; zapewne; ale ta „ona“ jest marzeniem tylko, które zaledwie chwilkę jednę na ziemi gościło a potém wzniosło się do nieba, zkąd było rodem. Po zniknieniu marzenia tego „on“ pozostał bez serca i na próżno chciał nowe sobie sprawić, kupić u ludzi, skraść z gabinetu anatomicznego, znaleźć u zwierząt, zrobić z cukru. Ani na balu w pałacu, ani w chatce ubogiéj, ani w domku szlachcica nie znalazłszy serca, zapukał do drzwi klasztoru, chcąc u bogomyślnych ascetów nabyć je sobie, lecz i tu odpowiedziano mu: „Wszystko nasze odesłaliśmy do nieba; jest tylko jedno u o. Dominika, ale go zastawił gdzieś w sklepie.“ Przekonywa się wreszcie, że serce póty tylko jest sercem, póki jest młode, i żyje już jedynie nadzieją połączenia się z lubą w niebie... Takie jednak zakończenie wydawało mu się zbyt powszedniém; musiał więc użyć dyssonansu... „O moja luba, czekaj tam na mnie; a ja tymczasem pójdę na obiad i upiję się sobie, bo cóż robić, kiedy serce takie zwiędłe i stare...“

Daleko piękniejszą pod względem arty-

stycznym jest powiastka: „Tatarzy na weselu“ a zwłaszcza legenda „Jako Satan kusił pustelnika na puszczéj“[44]), gdzie korzystając ze swoich studyów historycznych i lingwistycznych, z wielkiém powodzeniem naśladował mowę staropolską i styl Reja, tak, że potrzeba filologa, ażeby poznał podrobienie i odkrył formy językowe, niezgodne z dawną morfologią. Pod względem estetycznym odznacza się ten utwór nadzwyczajną prostotą. Autor ściśle się trzyma obrębów, które dobrowolnie sobie zakreślił i nie wychyla się po za nie ani razu; charakter świętego, jego myśli i uczucia, jego ludzkie skłonności, których nie potrafiło zabić długoletnie ascetyczne życie, naturalność w doborze środka, za pomocą którego szatan przywiódł go do grzechu: wszystko to tak dobrze jest utrzymane w ciągu powiastki, że tworzy z niéj całość nadzwyczaj udatną[45]) a z pomysłami wieków dawniejszych wielce zgodną.

III.

Pod koniec 1835 czy téż na początku 1836 Kraszewski, oddawszy pierwszy tom swojego „Wilna“ do cenzury[46]) wyjechał na wieś, naprzód do Romanowa, gdzie lata dziecęce przy babce przepędził, potém do Horodca, gdzie czas jakiś bawił[47]) a potém do Dolhego na Litwie, gdzie rodzice jego mieszkali. Półtora roku przepędził tutaj K. W jaki sposób?— dokładnie a szczegółowo tego nie wiemy. Że życie jego na wsi nie było podobne do próżniackiego żywota ówczesnej młodzieży szlacheckiéj; że nie zapełniały go polowania, zabawy, jarmarki: o tém możemy być prawie pewni, zważając na ogólny charakter umysłowy K-go z owéj doby, a zarazem na wyraźne napomknienia w jego dziełach. —Przypatrywanie się pracom rolnym, może zaprawianie się do nich, odwiedziny sąsiadów, rozmowa a przedewszystkiém rozmyślanie, marzenie, czytanie i tworzenie: oto główne żywioły jego życia spokojnego i jednostajnego, jakie człowiek oddany pracy umysłowéj mógł u nas na wsi prowadzić. Rok 1836 jest jedynym w całéj działalności pisarskiéj K-go, w którym żadne jego dziełko osobno z druku nie wyszło i w którym się wogóle tak mało w czasopismach artykułów jego ukazało. O szerokich jego stosunkach literackich nie było natenczas jeszcze ani mowy; żaden redaktor nie żądał jeszcze utworów jego pióra: żaden nakładca nie zapragnął łożyć na nie nakładu. Z jedném Wilnem tylko łączyły go pewne znajomości, i to naturalnie w kółku młodzieży, któréj wydawnictwa, na prenumeracie oparte, nie bardzo się powodziły. Do „Wizerunków i roztrząsań naukowych“ przystęp nie był łatwy dla młodego literata, naprzód dla tego, że bardzo mało umieszczano tam artykułów oryginalnych, a powtóre, że potrzeba się było dostroić nie tylko do kamertonu pisma, ale nadto i do wymagań redaktora, byłego „Szubrawca“, Ignacego Szydłowskiego. K., bawiąc jeszcze w Wilnie, przełamał był główną zaporę, gdyż Szydłowski pomieścił króciótką jego rozprawkę p. n. „Rękopisma Zelizów z wieku VI—IX (w r. 1835, tomik VIII str. 133—142), w któréj w sposób wielce poważny i suchy streścił najważniejsze wiadomości, w rękopiśmie wynalezionym niby przez jakiegoś Jana Andrault de Buy Antosewicza zawarte i bardzo lękliwie podawał w wątpliwość autentyczność tego namacalnego fabrykatu. Rozprawka ta, dotycząca historyi, tak ulubionej Szydłowskiemu, zjednała autorowi przychylne zdanie redaktora, który w przypisku nadmienił, ze „artykuł ten udzielony został przez znanego ze sławą z wielu interesujących pism wierszem i prozą, młodego literata, który teraz nad dziejami Litwy pracuje.“ Pomimo takiej pochwały, nie spotykamy przecież w „Wizerunkach“ zbyt często artykułów K-go, których w tece miał znaczny zapas, jak się przekonywamy z „Wędrówek literackich.“ W roku 1836 znów jednę tylko znajdujemy rozprawkę K. „O polskich romansopisarzach“ (tomik II str. 94—122), nieporównanie śmieléj napisaną, aniżeli poprzednia, i będącą wyrazem ówczesnych poglądów młodego powieściopisarza na tę gałąź literatury, która przy jego pracy miała kiedyś przybrać tak ogromne rozmiary. Zwraca naprzód autor uwagę na to, że jest to rodzaj pisania bardzo trudny do zdefiniowania „jako najmniej uległy prawidłom estetycznym, błędny i nieokreślony.“ Decyduje się przecież na taką definicyą: „W najprostszém znaczeniu romans i powieść są obrazem jakiejkolwiek epoki świata, życia, widzianej nie wielkiém, skupiającém okiem historyka, ale drobnostkową, flamandzką, mikroskopową źrenicą.“ Za reformatorów romansu poczytuje Cervantesa, Fieldinga, Lesage'a. Od ich czasów rozróżnia romanse *wypadkowe i obrazkowe.*

Stern oddzielił się od poprzedników i stanął na czele *egotystów*. Wielbicielem Walter Scotta, jak już wiemy, K. nie był. „*Popularność*“ W. Scotta—powiada—dowodzi zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych geniuszów, ani Hoffmanem, ani Jean Paulem, ani Rabelais'em, ani Sternem; wszakże nie idzie za tém, żeby każdy to, co on, potrafił. Bezwątpienia prędzéj znajdzie się sto dobrych naśladowań Walter-Scotta, niż jedno Richtera lub Sterna, bo na to trzeba smaku, talentu, nie fantazyi twórczéj, ognistéj, lub szczypiącego, ostrego humoru; ale smak tak jest trudny do schwycenia, tak doczesny, tak nieokreślony, że nabycie go równie prawie wrodzoném, jak tamtych dwu przymiotów, nazwać się może.“ Utrzymuje następnie, że „chcąc pisać dobrze, dziś *koniecznie* trzeba być jednostronnym“, co łatwo się wyjaśnia ulubioném wówczas przez K-go hasłem romantyków, żądających nadewszystko *siły*. W kraju naszym spostrzega osobliwy fenomen, że „jak w inszych rodzajach, tak i w tym, nie mamy żadnego *genialnego* pisarza, któryby, niezależnie od smaku wieku i przykładów obcych, wystąpił z dziełem, mogącém mieć jakikolwiek wpływ na duch literatury, któreby albo w formach, albo w materyi, zupełnie od otaczających było różne.“ Po surowym przeglądzie powieściopisarstwa polskiego, przy ocenie którego przewodniczy mu myśl pisania tylko dla celów artystycznych, z wyłączeniem wszelkiej idei utylitarnéj, porównywa to ubogie piśmiennictwo z nadzwyczaj bujnie rozwiniętém romansopisarstwem Zachodu, a mianowicie Francyi, a kończy smutnym zwrotem do praktyki. Zastanowiwszy się bowiem nad talentem i liczbą utworów powieściowych francuzkich, zwraca się do nas samych: „W stosunku choć piątą część ich miećbyśmy powinni; i mamy nawet; ale nasi pisarze tłómaczą tylko cudze, bo któż chciałby czytać jakiegoś *ski* lub *wicz*, kiedy może mieć Balzaka, Sue i Hugo? A ci którzy czytają naszych *ski* i *wicz*, czyliż ich rozumieją? Niestety! wiele wody upłynie, nim będziemy mieli właściwie swoich i oryginalnych pisarzy; cieszmy się tymczasem *Podstolim* i *Janem z Tęczyna*! Cóż robić!“

Widzimy tu także pessymizm w zapatrywaniu się na naszę literaturę, nie tak wszakże stanowczy jak dawniéj, kiedy jednego tylko, i to z wielkiém zwątpieniem, widział pisarza godnego nazwy twórcy; ale tutaj nie ogólnikiem już tylko szermuje autor, lecz szczegółową krytyką główniejszych utworów. Znać już, że się K. zagłębił w przedmiot, że zbadanie go zmodyfikowało choć w części dawniejsze absolutnie wypowiedziane zdanie.

Drugi artykuł K-go, wydrukowany w r. 1836, pojawił się w *Tygodniku Petersburskim*. Pismo to wychodziło od r. 1830 i przez lat kilkanaście było najbardziej wpływowém w prowincyach południowo-zachodnich, już przez to samo, że było jedyną polityczno-literacką gazetą, jaka w owych stronach się drukowała. Prócz tego redaktor zapowiadał, że na wszystko zapatrywać się będzie ze stanowiska europejskiego i wszystkie utwory zarówno „ręczne jak umysłowe“ mierzyć i oceniać podług skali europejskiéj. „Aby się prawdziwie zasłużyć wiekowi—powiadał—rozumiéć go potrzeba; a rozumiéć niepodobna, nie dotrzymując mu kroku“. Pogodzenie indywidualności narodowéj i plemiennéj z ogólném europejskiém wykształceniem, utrzymanie węzła „plemiennego pobratymstwa“ ze Słowianami, a mianowicie z Rossyanami, o którym dotychczas, jak się wyraża, „najwięcéj wiedzieliśmy przez pośrednictwo niemieckich uczonych“, oto zadania, których rowiązanie miało stanowić treść *Tygodnika*, który od roku 1831 zaczął już dwa razy na tydzień wychodzić. Zadania te spełniał redaktor dosyć powierzchownie, nie wiele bowiem zajmował się literaturą polską, dając po większej części w oddziale literackim same przekłady; ale przekłady te zaznajamiały istotnie z kwestyami bardzo ważnemi, zapoznawały ze światem pojęć estetycznych, filozoficznych i historycznych, który u nas naówczas jednostkom tylko bardzo wykształconym był dostępny.

Od r. 1832, w skutek artykułów pomieszczonych w roku poprzednim, Tygodnik został gazetą urzędową dla Królestwa Polskiego; stał się nieodbicie potrzebném pismem, z powodu ogłaszania rozporządzeń rządowych. Powoli wydawca zaczął jakoś zapominać o skali europejskiej i literatura polska zaczęła znaczne zajmować miejsce w szpaltach jego; część mianowicie krytyczna, jakkolwiek przez bardzo słabych recenzentów zapełniana, dawała przecież choćby zawiadomienia o tém, co téż-to w piśmiennictwie krajowém się ukazywało. Od roku 1834 zaczyna od czasu do czasu nadsyłać prace swoje Michał Grabowski, przerwawszy kilkoletnie swoje, od chwili wyjazdu z Warszawy (1830) trwające, milczenie.

Wśród takiego stanu Tygodnika, K. nadsyła z Dolhego (10 lipca) obszerną krytykę piérwszego tomu „Dziejów starożytnych narodu litewskiego“ przez Teodora Narbut-

ta. Artykuł ten, napisany dosyć spokojnie, ale surowo, wytykał zarówno drobiazgowe błędy w dziele zawarte, jak i fałszywe pojęcie zadania historyka. K. uważał pracę Narbutta za „materyał historyczny i pracowitą kompillacyą", odmawiał autorowi nazwy historyka i przedstawił mu jako ideał dziejopisarza—Capefigue'a; etymologią jego zestawia z cudackiemi wywodami Dęboleckiego, przy czém sądzi, że „porównanie języków nie z podobieństwa słów, ale *z ich ducha* wywodzić się powinno", dziwi się „szczególnéj prostoduszności i łatwowierności" Narbutta, a w końcu dostrzega, że „odrzuciwszy rzeczy obce, niepotrzebne rozwlekłości i cytacye zbyteczne, a dodawszy nieodbicie potrzebne, których brakuje, byłby *tomik* z tego tomu wielce zajmujący". — Wydawca Tygodnika, Przecławski, umieścił krytykę, ale nie omieszkał dać nauki i recenzentowi, zarzucając mu, że nie rozważył, jak mało ludzi pracowało dotąd nad dziejami litewskiemi, że mierzył pracę Narbutta *skalą cudzoziemską*; daléj robi spostrzeżenie, że Capefigue jest raczej politykiem niż historykiem i za wzór krytyka dziejowego stawia *Heerena*; wreszcie nie skąpi uwag ogólnych: „Nie przyjdziemy nigdy do ładu z naszą krytyką, nie zdołamy uczynić jej pożyteczną dla czytelników a nie zrażającą dla pisarzy, jeśli będziemy podług cudzoziemskiéj próby cenili ich zalety lub wady, i zabiérając się do recenzyi, nie przywiedziemy sobie na pamięć ich miejscowych zasobów i pomocy, nie obejrzymy *z własnego krajowego* stanowiska ich zamiaru, usposobienia i środków".

Z takiemi omówieniami podana krytyka nie mogła zachęcić K-go do nadsyłania innych artykułów, tém bardziej, że Przecławski już wówczas słynął jako mąż wielkiéj nauki, wielkiego talentu i wielkiéj bystrości krytycznéj; czy słusznie, przekonamy się niebawem. K. więc zamknął się w sobie po téj próbie, zniechęcił się jeszcze bardziej do księgarzy i wydawców, a jedyną może pociechę stanowiła korrespondencya wierszowana z Józefem Krzeczkowskim, który, zostawszy w Wilnie, oddał się cały poetycznym rojeniom i pisał 18 października 1836 do przyjaciela:

Dziś mię chęć sławy takiém rozpala pragnieniem
I coraz szerszą podsyca ochotą,
Iżbym go marnie w dawnym chciał przygasić stoku.
Dziś wzrok mój licznym rozstrzelon promieniem
Sięga daleko; dziś mojemu oku
Mało i mało rodzinnego nieba.

Na zachętę K-go, żeby się przeniósł na Podole i ożenił, odpowiada z poetyczną emfazą, że „drobiazgu wrzask głuszy" a przy posielance mniej tkliwéj od skały, możeby jego „pieśni nieznane zmarniały".

Z odpowiedzi K-go na ten list poetyczny (data 5 stycz. 1837) poznajemy, w jak smutnym stanie duszy się znajdował. Tak się czuje zmordowanym, choć w tak krótkiéj podróży, że chciałby, zasiadłszy przy kominku „spać duszą, ciałem, rękoma, oczami i o niczém nie myśléć, o niczém nie wiedziéć tak, jak mieszkańcy mogiły". Największemi jego wrogami są nerwy, których nie może uśpić ani opium, ani z laurocerasu krople wyciśnięte, ani wszystkie te leki, którémi im grozi:

Drżą mi w głowie, drżą w sercu, w piersiach, w całém ciele,
Ogień w nich płynie.
Ale w głowie, aj! w głowie jakże tam ich wiele!
A gdy się rozigrają w wieczornéj godzinie;
Próżno im na dobranoc nudne książki czytam,
Gram w karty, lub gazetę bibułastą chwytam,
By z niéj usypiające silnie wyssać soki:
Próżno. Jak owa młodzież gdy rozpocznie skoki,
A skrzypce grać przestaną i świece pogasną,
Jej bez skrzypców wesoło i bez świecy jasno.
Z temi nerwami jestem — wątpliwości niéma —
Tak, jako koń na młynie, co sam ruszył koło,
Ale koła nie zatrzyma.

Ze wsi żadnych wieści nie pisze, bo dla wieśniaków „świat pusty i niemy", ale prosi natomiast Krzeczkowskiego, ażeby mu o nowinach z Wilna doniósł. Pyta ironicznie:

Kto tam u was co pisze? nad czém prassa stęka?
Przed jakiém nowém głupstwem świat wasz mądry klęka?
Czy *kalendarz* Zymela, czyli *Słownik* nowy
Wyszedł jak promień z waszych literatów głowy?
Kto na rok nowy piórem, w wodzie umoczoném,
Co nowego przetłómaczył?
Kto teraz, panowie moi,
U was na świeczniku stoi?

Krzeczkowski, któremu z wydaniem „Biruty" szło nie tęgo, odpisuje mu (13 marca 1837), że mówcy, literaci chwalą i ganią w miarę, jak im kto zapłaci, że bez stosunków za każdą pracę można się w Wilnie spodziewać nagany.

W końcu, z powodu owéj krytyki dzieła Narbutta, powiada:

I ty, luby Józefie, skosztowałeś grzechu,
Do skorych przyganiaczy mieszając się cechu.

Ta właśnie korrespondencya poetyczna dostała się do Tygodnika, a jego wydawca, nie odznaczający się wybrednym smakiem estetycznym, który pomieszczał już w piśmie swojém różne miernostki rymowane, dał i jéj przytułek u siebie (N. 21, 22, 34 z. r.

1837), Równocześnie K. nadesłał mu swoje „Pamiętniki“; a wydawca, udzieliwszy mu przestrogę, żeby ile możności o sobie, w tak młodym wieku będąc, starał się nie mówić, zaczął je częściowo drukować. Pierwszy wyjątek z tych „Pamiętników“ (rozdział XIV) przedstawiał zarys „Literatury w Wilnie na początku XIX wieku“, napisany w tym samym duchu, co i rzecz o romansopisarzach polskich, to jest przeważnie pessymistycznie. Pomijając niekorzystne zdania o Szubrawcach i „Wiadomościach Brukowych“, o „Towarzystwie Typograficznėm“ i tym podobnych ważnych objawach życia umysłowego i społecznego w ogóle, warto zaznaczyć, jak wtedy oceniał spór klassyków z romantykami. „Wilno—powiada—dziwnym sposobem chwyciło się nowėj szkoły; poeci tutejsi po większėj części poszli za nowością; teoretycy za rutyną; kłócono się i zabijano (ale tylko piórami) w tėj walce ślepych: póki w kilka znowu lat obie strony się nie spostrzegły, że biły się omackiem i nie wiedząc o co. Mgła przeszła i zgoda nastała. To tylko istotnie dobrego z tych sporów wynikło, że *ożywiły* nieco literaturę, zmusiły do badań, rozpraw, roztrząsania teoryi, że sprostowały szkolarski sposób krytyki tutejszėj, czepiającėj się tylko w dziełach strony języka, a nigdy strony ducha“ (*Tyg. Petersb.* 1837 N. 30).

I ten jednakże artykuł nie wzmocnił jeszcze stanowiska K-go w *Tygodniku*. Zdania w nim zawarte sprzeciwiały się po części temu, co dawniėj sam wydawca lub też jego współpracownicy wypowiedzieli, choć w głównych zarysach nie były zupełnie oryginalnemi, gdyż zarówno lekceważenie działalności Szubrawców, jak i surowa krytyka romantyzmu już od trzech lat wygłoszona była przez S. G. w „Nowėj epoce literatury polskiėj“; Wyrażenia K-go, jakkolwiek bardzo śmiałe na owe bezbarwne czasy literackiėj ospałości piśmiennictwa *w kraju*, nie raziły przecież wielką jaskrawością i nie odznaczały się ogniem; dopiero pomieszczony w 38 N. z r. 1837 artykuł p. n. „Jak się robią książki nowe z starych książek; rzecz „o kradzieży literackiej“ z mottem: *ex rapto vivimus*, napisany (26 kwietnia 1837) z taką werwą, z jaką pisał K. powiastki swoje z drugiėj fazy, a druzgocący od jednego zamachu wszystkie niemal znakomitości literackie, sprawił takie na wydawcy *Tygodnika* i na czytelnikach jego wrażenie, że odtąd nie mógł się już obejść bez współpracownictwa takiego literata. K. odróżnił trzy rodzaje książek: 1° ciągniona z siebie literatura egotyczna, niektóre poezye, romanse, 2° książki z żywego świata: podróże, historya spółczesna, 3° książki robione z książek i tych najwięcėj: „historya cała, wszystkie dzieła erudycyi na odgrzéwaniu i zszywaniu cudzych myśli, starych łachmanów zasadzone“. Dawniėj K. twierdził, że w naszėj literaturze nic niéma oryginalnego; teraz tożsamo wypowiedział o literaturach zagranicznych. „Od Alkoranu Mahometa aż do romansów naszego Balzaca, których materyał pierwszy jest pożyczony, wszystko prawie jest tylko odgrzewaniem.“ Jako przykłady przytacza Lamartine'a, Janin'a, Lacroix, Sand'a, Dumas'a, Hugo, „który pisał naprzód ody podobne do elegii, potém elegie podobne do ód, potém romanse, wpół elegie wpół ody, potém, to jest teraz, *zestarzały*, naśladuje sam siebie: jego dramata są odgrzéwane także: materyał w nich często gorszy od jarmacznych turlupinad, świeci się w nowėj błyszczącėj oprawie“. Goethe sam jest to „wielki dłużnik wszystkich czasów i krajów“. Cała ówczesna literatura jest „wyrobnicza, plagiatorska“. Oczywiście, że nasze piśmiennictwo przy tėj ogólnej rzezi nie mogło nie dostać cięć nader bolesnych: wywyprowadzeni na scenę jako plagiatorowie: Gwagnin, Bielski, Górnicki, Kochanowski, Paprocki, Rej. Późniéj—powiada K.—kradli wszyscy bez litości, bez miłosierdzia, bez sumienia, uważając prawie kradzież i naśladownictwo za godny pochwały uczynek. I znowu następuje spis nazwisk takich, jak: Krasicki, Naruszewicz, Trembecki (który „zrobił poemat „Zofiówka“, gdzie Pelej i Tetyda, barany i filozofowie i piękna Zofia razem sobie siedzą“), Węgierski i t. d. Z nowszego okresu niéma wprawdzie żadnego nazwiska, ale cały zwrot romantyczny wyśmiany, dla tego, że wskrzeszał średnie wieki, czasy rycerskie, które „już raz zabił żartem Cervantes i pogrzebał go, stawiąc mu nad grobem krzyżyk z włóczni Don Kichota i kijów Sanszopansy“. A spółczesna K-mu literatura? „Dziś co robim? — pyta—Naśladowaliśmy Niemców, tłómaczym Francuzów, może, jak się nauczym po angielsku, będziemy Anglików nicować, a jak trochę się poduczym, zaczniemy nieznacznie okradać i przerabiać. Bo zawsze naprzód idzie tłómaczenie, potém przerabianie i nakoniec kradzież“.

Ten wybryk dumy młodzieńczėj, zbyt ufnėj w swe siły a więc lekceważącėj wszystko, co przedtém było, co się przedstawiało jėj jako stare i zużyte, ten wybryk, który siedem replik wywołał (Tyg. Petersb. 1837 N. 46), podobał się niezmiernie wy-

dawcy *Tygodnika*, lubiącego jaskrawe wyrażenia i oryginalność przekonań. Odtąd już przez czas długi nie napotyka się artykułu K-go z przypiskiem wydawcy protestującym, a natomiast bywają przpiski pochwalne, bywa usprawiedliwienie i obrona zdań przez K-go wypowiadanych, chociażby one najmocniéj kontrastowały z tém, co sam dawniéj wygłaszał. Co więcéj, K., o setki mil odległy od Petersburga, zaczyna wyręczać redaktora w odpowiedziach, w których potrzeba było ciętego pióra. Dostało się téż wówczas dawniejszemu krytykowi powieści K-go w Tygodniku p. T. B., z powodu jego zdań o poezyi[48]), dostało się księgarzom[49]), wydawcom Magazynów, encyklopedyj, Wizerunków. K. stał się wyrocznią *Tygodnika*, którego wydawca w zręcznie zredagowanym frazesie zupełnie identyfikuje z duchem swego pisma, mówiąc, że jego artykuły są „rozwinieniem, z nieskończenie większym talentem, pierwiastku, który stale przewodniczy redakcyi".

K. stał się wkrótce tak stałym spółpracownikiem Tygodnika, że przez rok cały nie było niemal numeru, w którymby się nie znajdował jego artykuł, a w niektórych było ich i po dwa naraz. Pisał o wszystkiém: o Pińsku i Pińszczyźnie, o Wilnie i jego mieszkańcach, o domach i ludziach, o karczmach i szybach, o nowych książkach zagranicznych i krajowych, o wynalazkach i historyi, o filologii i romansie, o krytyce i sztuce; a pisał żywo, barwnie, bez oglądania się na osobistości, sądził surowo i stanowczo, wyrokował bez zająknienia. Dziś trudno już nam zrozumiéć nawet, jak wielka była to zasługa, to budzenie życia umysłowego, bez względu nawet na wartość wypowiadanych zdań. Na szczęście mamy świadectwo spółczesnego krytyka, który znał dobrze rozwój literaury polskiej od r. 1820 i który, sam będąc współpracownikiem i czytelnikiem Tygodnika, mógł doskonale ocenić wpływ artykułów K-go na publiczność. Otóż warto poznać jego o nim zdanie: „Chociaż da się to z wielu względów wymówić— powiada — pewna jednak, że *potoczna* literatura polska szła ospale; mieliśmy albo ludzi gruntownie uczonych, którzy, pracując w ciszy i dostatku czasu, stali opodal od popularnego bieżącego piśmiennictwa; albo przygodnich belletrystów, w większéj połowie naśladowców i wielbicieli modnych pisarzy cudzoziemskich, niżeli przedstawicieli swojskiéj umysłowości; jedni jak drudzy odzywali się do swojéj publiczności zrzadka, przerywanie, nieotwarcie, uroczyście; rzec więc można, że nie było żadnego ruchu, ani śladów obecnego życia w takiéj literaturze. Stało się dopiero inaczej, przynajmniéj w naszych prowincyach, od czasu wystąpienia p. K-go w *Tyg. Pet.* Przedmioty uczone, historyczne, erudycyjne zaczął on traktować ponfale, jako rzeczy, których wiadomość dochodzić powinna *całéj* publiczności, bo one być mają treścią rzeczywistéj narodwéj lteratury; wyjawiał zdanie o kwestyach literackich i moralnych, do jakiego go położenie tych kwestyi w obecnéj chwili u nas i w Europie wiodło: słowem, wystąpił w naszéj literaturze jak człowiek młody, uczony, śmiały, czynny, pracowity i, zajmując się z upodobaniem literackiemi rzeczami, nas do zainteresowania się niemi zachęcił. Raz pierwszy ujrzeliśmy w nim pomiędzy nami czynnego i pełnego talentu *literata*"[50]).

Z mnótzwa artykułów, jakie K. pomiędzy 1837 a 1839 drukował w Tyg., żaden po owéj rzeczy o kradzieży literackiéj nie narobił takiéj wrzawy, jak *Asmodeusz w roku 1837*, w którym poznajemy nową stronę rozwoju umysłowego autora. Poprzednio K. w krytyce swojej miał na względzie stosunki literackie i wydawnicze, teraz zwrócił się do innych i objął wzrokiem całość cywilizacyi europejskiéj. Asmodeusz, który niegdyś Lesage'owi tyle ciekawości pokazał, odwiedził teraz naszego Don Kleofasa, ażeby mu wyjaśnić naprzód niedorzeczność, a potém zgubność kultury i oświaty spółczesnéj Europy. Drogi żelazne, oświetlenie gazowe, pigułki Leroy, nowe systemata we wszystkich naukach, frenologia, a obok nich ubóztwo, samobójstwo, zagmatwanie w pojęciach, a zwłaszcza obojętność moralna, gorszące powieści Sand'a, obrzydliwe i demoralizujące widowiska z dramatów Hugo, Dumas'a, frymarczenie nauką, bezwstyd ogłoszeń i reklam, banki oszczędności, parlament angielski: słowem cały „wiek progressu" został tu poddany chłoście nielitościwéj, tak, że temu biednemu XIX wiekowi przyszło zapłonąć od wstydu, wobec wszystkich poprzedników swoich. Cywilizacya jego niema żadnéj idei, żadnéj zasady, pełna jest zgnilizny, a wnętrze jéj toczy skir okropny.

Kréśląc tę przerażającą dyagnozę choroby, K. nie podaje żadnego lekarstwa, bo go, jak się zdaje, nie miał sam. I rzeczywiście Słowianofile, którzy spółcześnie na „zgniły zachód" narzekać zaczęli, mieli przynajmniéj ideał w problematycznéj gminie słowiańskiéj, albo nawet w swoim własnym kraju. K. takiego idealu nie miał; napomykał on tylko nawiasowo, kréśląc ogólnikowy program „grammatyki historyczno-po-

równawczéj języków słowiańskich", że kto wié, czy badania grammatyczne, a zatém „zbliżenie, pojednanie, zrównanie" języków nie byłoby piérwszym krokiem do zjednoczenia, które leży w łonie czasu niechybne; że „cywilizacya łączy ludy tysiącem stosunków i potrzeb wzajemnych, ustanawia handel płodów umysłowych; wpływy częstsze, terminologie wspólne—powoli nieznacznemi ogniwami łączą najrozmaitsze języki; czemużby *bratnich* kiedyś nie związała wspólność ukształcenia i losów, jak je rozłączyły wypadki różne i odmienne koleje. Jest to daleko podobniejszém od projektu pasigrafii Leibnitza: co czas rozłączył, czas złączyć może, co rozdział odróżnił, połączenie zjednoczyć"[51]). Ale myśl ta była tylko mimochodem rzucona, wydawca *Tygodnika* przyklaskiwał jej i starał się w tym duchu nakierować artykuły; ale K. dopiero po czterech latach wrócił do niej i to również na chwilę tylko[52]). Tymczasem zaś szło K-mu jedynie o wypowiedzenie swojego potępienia cywilizacyi spółczesnéj; w czém poszedł za tym głośnym wtedy chaosem przekonań, jaki w stolicy Francyi panował, gdzie wszyscy, będąc niezadowoleni z istniejącego porządku rzeczy, nie pomijali najmniejszéj sposobności, ażeby wyrzucić rządowi na oczy, w jak okropnym kraj znajduje się nieładzie i zarazem podać tysiączne plany reformy religijnéj, politycznéj, naukowéj. Tych planów reformy K. nie przyjął, bo cóżby one znaczyły w naszym kraju; ale narzekania na cywilizacyą, które na wrażliwy jego umysł silne robiły wrażenie i z jego pessymistycznym poglądem tak dobrze harmonizowały, wygłosił on z tą werwą i jednostronnością zarazem, do któréj był nawykł naówczas. Ludzie doświadczeni, a między nimi M. Grabowski, zrobili uwagę, że takie narzekania na cywilizacyą i oświatę w kraju, w którym piśmiennictwo jest tylko bawidełkiem zaledwie kilkunastu monomanów[53]), może w wielkie błędy wprowadzić czytelników, może ich zniechęcić do czytania[54]). Radzili więc K-mu, ażeby napadał na cywilizacyą francuzką, wyraźnie ostrzegając, że o niéj tylko mówi. A gdy inni zaczęli szemrać, K. zawiadomił wydawcę Tygodnika, że Asmodeusza pisać już nie będzie. Wydawca w publicznie ogłoszonym liście wszelkiemi sposobami starał się go odwieść od tego zamiaru. „Pańskie artykuły—pisał—dążą już do wytrzeźwienia nas ze zbytniego uwielbienia dla pewnych imion i rzeczy, już do sprostowania błędnych sposobów widzenia, już nakonice do pokazania rzeczy we właściwém świetle i zachowania przeto od umysłowych wyboczeń, któreby z obcych krajów do nas wtargnąć mogły. Pisma Pańskie są prawdziwą i wielką przysługą dla ogólnéj massy narodowego myślenia; gdzieindziej zjednałyby autorowi słuszną wziętość, u nas ściągnęły niechęć; ale to rzecz bardzo naturalna; trzeba być na to przygotowanym; my nie lubimy, żeby nas ostrzegano, odczarowywano"[55]), K. odpisał na ten list bardzo pochlebnie dla wydawcy, mówiąc, że żadne pismo nie ma tak ustalonéj sławy i popularności, że życzy sobie jaknajdłużéj w takich jak dziś dotrwać stosunkach; wyraża się daléj, że burzy się nie lęka, równie jak o pogodę nie prosi, a tłómacząc się pośrednio z zarzutów przez Grabowskiego zrobionych, występuje przeciw naśladowaniu francuzczyzny, powstaje na czasy Stanisława Augusta i twierdzi, że „nam Słowianom nie wypada naśladować, bo naśladownictwo jest dowodem słabości", że należy znać zagranicę, ale strzedz się umysłowego z nią zlania, któreby „nam Słowianom odebrało oddzielny charakter rodzimy". W końcu przyrzeka pisać dalej Asmodeusza, ale długo nie przeséła dalszego ciągu. Wydawca znudzony widocznie oczekiwaniem, sam próbuje kontynuować; ale po jednym nieudatnym szkicu zaprzestaje śmiałego zamiaru, a K. nie myśli już go podejmować wcale.

Widocznie K. nie doszedł był jeszcze do wewnętrznéj ze sobą samym zgody, widocznie różnorodne myśli tłumem napływały do jego duszy i pobudzały fantazyą do wytwarzania tysiącznych choćby sprzecznych z sobą obrazów i pomysłów, ażeby tylko konieczności tworzenia zadość uczynić. Kto nigdy nie zaznał takich marzeń i majaczeń młodzieńczych, które w przekonaniu swego twórcy przybierają niejednokrotnie, chociaż chwilowo tylko, kształty wielkich prawd, nieznanych dotąd nikomu, a więc wyższych od wszystkiego, co ludzkość do owéj pory pomyślała; kto nigdy nie staczał z sobą walki zawziętéj, w któréj zwątpienie i przygnębienie mierzy się nieraz poczuciem siły olbrzymiéj, gotowéj świat przerobić od fundamentów: ten nie potrafi ocenić téj fazy w rozwoju umysłowym K-go, co ma tyle podobieństwa do sławnéj epoki „burzy i wrzenia" (Sturm und Drang-Periode) w literaturze niemieckiéj.

Jeżeli wielkie pragnienia i wzniosłe myśli nie mogą być urzeczywistnione, wówczas powstaje niesmak, rozczarowanie, zwątpienie. A od czegoż urzeczywistnienie zależy? Naprzód bez wątpienia od zdolności tego, który takie pomysły tworzy; a powtó-

re od najbliższego otoczenia i od stosunków czasowych. Poznajmy to najbliższe otoczenie, jak się ono samemu K-mu przedstawiało, a zrozumiemy choć w części, że umysł marzycielski, fantazya żywa, serce niezmiernie wrażliwe, nie mogły przylgnąć do niego od razu, musiały z nim walczyć, choćby tylko na polu ducha i w téj walce słabnąć na chwilę i wątpić o własnych siłach.

Jak wiemy, od roku 1836 mieszkał K. na wsi i to na ziemi, która wyrwana przez wyższe zakłady naukowe z długoletniéj drzémki umysłowéj, w owym czasie znowu w nią zapadła. W drugiéj połowie roku 1837 zmienia miejsce pobytu, z Dołhego przenosi się do Omelna na własną dzierżawę i oddaje się gospodarstwu. Jakże się do tego nowego zawodu zabierał powieściopisarz i poeta? Czy rozkoszował się sielanką, czy podniósł do ideału pracę około roli? Bynajmniéj.—Mamy z tego czasu jego wiersz, napisany (we wrześniu 1837) do Józefa Krzeczkowskiego, pod tytułem „Żal przeszłości“, w którym zawiadamiając przyjaciela, że pierwszy raz siać u niego zaczęto, wzdycha za dawném swojém życiem i wcale niewesołą widzi przed sobą perspektywę. Odtąd—powiada—odtąd trzeba

W pocie czoła jak Kain obrabiać to pole
I wygnanemu z *raju młodości i marzeń*,
Straconemu bez skrzydeł zapału poecie
Wieść życie uplecione z drobnych losu zdarzeń—
Życie mierzwy i znoju na *przenudnym świecie*.

Widocznie jego fantazyi ruchliwéj i niespokojnéj ciążyło to życie rzeczywiste, uregulowane wymaganiami gospodarstwa, zajęciami prozaicznemi, nieraz nużącemi i nudnemi. A chociaż i dawniejsza droga życia nie była usłana listkami róży, wzdychał przecież za owemi chwilami „sennego dumania“, które go w swobodny świat pomysłów wprowadziły. Teraz, gdy myślami i uczuciami chciał się podzielić, kogóż w koło siebie znajdował? Oto ludzi, dla których książki, jeżeli je wreszcie kupią, są po większej, części czémś w rodzaju sprzętu w salonie, trzymaném dla przyzwoitości w wielkiém poszanowaniu, bo bez rozcinania kartek; ludzi, dla których wyrocznią jest „Żurnal Paryzki“, którzy lubią przedewszystkiem jeść, pić, grać w karty, podróżować do wód, słowem bawić się i tylko się bawić, a nie rozmyślać. Żądza błyszczenia od zamożnych przechodzi do biedniejszych i rujnuje ich oczywiście; potém zostają tylko szkielety walących się pałaców i bydło pasące się po zarosłych chwastami ogrodach... Dla chęci bawienia się poświęcają pieniądze, honor, pozbywają się ludzkości względem chłopów, których za robocze bydło uważają. Młodzież pije, je, bije, łaje, poluje zarówno na zające, jak i na wiejskie dziewczęta, nikogo się nie bojąc. Najpotrzebniejszym do życia codziennego jest batog, do odświętnego pistolety. Hulatyka, kupczenie końmi: oto jej zajęcia [56]).

Usposobienie zaś do czytania na Litwie tak mu się przedstawiało: „Litwa żyje brzuchem nie głową.,. Przyszłe zatém roczniki niech będą na wzór Almanach des gourmands, a niezawodnie się udadzą; przyszła gazeta niech ma tytuł *Żarłoka*, przyszły romans niech opisuje najobszerniéj niestrawność i jéj skutki poetyczne; przyszła historya niech będzie historyą żołądka, zacząwszy od całych wołów Mendoga i uczty łuckiéj 1429 r. aż do nowożytnych kremów i galaret: wszystko to wydrukuje się i doskonale sprzeda... Z innemi dziełami poczekajcie!!“ (Tyg. Petersb. 1838 N. 7).

Jakże tu żyć z takimi przedstawicielami patryarchalnej prostoty, i patryarchalnego barbarzyństwa? Człowiek mniéj wrażliwy i mniéj uzdolniony byłby naturalnie urobił się na ich obraz i podobieństwo. Człowiek mniéj wrażliwy, chociaż uzdolniony, byłby spokojnie obserwował te ciekawe okazy z rodzaju „człowieka“. Potém K. tak zrobił; ale w początku poczuł jedynie straszny przedział pomiędzy sobą a swojém otoczeniem, poczuł głęboką różnicę życiowéj próby od wymarzonéj poezyi: i zabolał strasznie nad tém rozdwojeniem. Znał już dawniéj ten kontrast, tak obfity w poetyczne motywa, z pism Jean Paul'a, który lubował się zawsze w przedstawianiu sprzeczności pomiędzy życiem umysłowém a życiem praktyczném; ale dawniéj nie przemawiały one do niego tak żywo, tak dobitnie, tak wyraźnie, jak teraz, gdy sam na sobie doznał skutków owego kontrastu, gdy sam stanął w kollizyi ze swymi sąsiadami. I jak zwykle, nie zaniedbał tych świeżych wrażeń spisać i podzielić się niemi z ogółem czytającym. A chociaż w teoryi potępiał romantyczność, w praktyce stworzył dzieła, przedstawiające najcharakterystyczniejsze cechy romantyzmu.

Opowiedział nam najprzód „Życie sieroty“ tak smutne, że do łez rozczulićby mogło, gdyby temu tkliwemu wrażeniu nie przeciwstawiały się inne wprost przeciwne, bo komiczne i to naumyślnie dla kontrastu przez autora wywolane. Edward jest marzycielem, duszą poetyczną: ujmuje go prostota

i naiwność dziewczęcia bez wychowania i bez wykształcenia; podejmuje się opieki nad niém; ale gdy przyszła proza życia, gdy w domu zaczęto pieluchy rozściełać, gdy jego ukochana bardziéj stała się czułą na krzyk dziecięcia niż na rozmowę poety: on rozczarował się i znudził, a skutkiem tego dokuczał biednéj sierocie. Scena kończy się tragicznie: sierota, wziąwszy na siebie swoję biedną sukienkę, w której przyszła do Edwarda, topi się w rzece. Można ją było jeszcze uratować; ale mieszczanin, który widział tonącą, pożałował swojéj nowéj kapoty i zanim rzucił się do wody, zaczął się rozbierać...

Tu marzyciel wyszedł zwycięzko kosztem życia biednéj istoty. W powieści „Maciek i Maciuś", inny los go spotyka. Marzyciel zaparł się swoich marzeń i dla pieniędzy ożenił się ze szpetną ale bogatą panną, która go dręczy swoją miłością, podczas gdy on wzdycha na próżno za dawnym swym ideałem kobiety. Marzenia, którym się przeniewierzył, mszczą się nad nim: czynią go nikczemnikiem, zdradzającym nie tylko żonę, nie tylko przyjaciela, ale nawet ukochaną niegdyś kobietę. Zaprzaniec musiał zginąć: zginął tak, jak w poprzedniéj powieści sierota[57]).

Oba te utwory pełne kontrastów, nie tak przecież jaskrawych jak w „Czterech Weselach", ale subtelniejszych znacznie, urozmaicone tu i owdzie fantazyowaniem, były przecież przygotowaniem tylko do utworu, który miał skupić w sobie cały ówczesny świat marzeń, myśli i uczuć młodzieńca i przeciwstawić go światu rzeczywistemu, t. j. ściśle mówiąc takiemu, jakim go ten młodzieniec sobie wyobrażał. Utwór ten napisany z taką werwą, z taką śmiałością i swobodą a zarazem rozległością myśli, jakiéj poprzednie utwory w tém skupieniu nie posiadały, był najświetniejszą improwizacyą o tych potęgach duchowych, co napełniały piersi młodzieży i zapalały ich serca nieokreślonemi, a przecież miłemi pragnieniami, był streszczeniem tych walk przykrych, jakie jednostka ukształcona a wrażliwa musiała staczać z prozaicznymi przedstawicielami życia codziennego. Nie było w niéj ani kompozycyi artystycznie przeprowadzonéj, ani nawet silnie narysowanych charakterów, ani téj obfitości fizyognomij z natury portretowanych, jak w dawniejszych utworach; ale była natomiast siła porywającego słowa, był liryzm głęboki i przejmujący serca, spotęgowany *ironią* dotkliwą, choć niby spokojną; był nastrój poetyczny, rzadko zakłócony a częściéj wzmocniony dysonansem. K. wypowiedział wtedy już całego siebie, jakim był w danéj chwili; a ponieważ dużo już przeżył, przemarzył, przemyślał; więc to, co tu przedstawił, nie mogło nieobudzić największego zajęcia w czytelnikach. Łatwo się domyślić, że mówię o powieści „Świat i poeta."

Gustaw jest sierotą. Już ta okoliczność zjednywa dla niego nasze spółczucie. Dzieciństwu jego brakło czułego serca i miękkiéj dłoni matki. Wychował się u krewnych. Stryj jego był to samolub najobrzydliwszy, epikurejczyk, któremu imponowała jedna tylko potęga: potęga złota. Jego brat stryjeczny, a więc najbliższy towarzysz, to miniatura ojca. U stryjenki jedynie i siostry znajdował pewne pobłażanie, pewną przychylność. W jaskrawo zarysowanym kontraście ukazują się jego marzenia dziecięce o duszy kwiatów i ich miłości. W około niego albo serca twarde i prozaiczne, albo miękkie i prozaiczne. Czuje się osamotnionym; w dodatku doznaje niesprawiedliwości; za przekroczenie brata stryjecznego, a raczéj za niezadowolone żądze stryja, zostaje wypędzonym z jego domu. Wstępuje do uniwersytetu; zraża go pedantyczna nauka, dreszczem przejmuje materyalistyczne wyobrażenie o duszy i o sercu, ucieka z lekcyi anatomii. Była to tak delikatna organizacya umysłowa, że najlżejsze nawet zetknięcie z rzeczywistością wprawiało ją w drżenie gorączkowe, w obłęd niemal. On marzył o wszechświecie, a tu trzeba było zdobywać sobie wiedzę o nim krok po kroku, kawałek po kawałku, w odmierzonych odstępach, z odznaczonemi miejscami spoczynku i wytchnienia.

A potém obudziły się w nim namiętności. Własne jego ciało wystąpiło do walki z jego duszą; poziome pragnienia zakłócały jego wysoki polot duchowy. Marzył o miłości, ale urzeczywistnienie tych marzeń było nowym zawodem. Pierwsza jego żona Marya była to serdeczna, kochająca namiętnie istota; ale niestety! nie rozumiała go. Gdy on chciał się przechadzać przy świetle księżyca i dumać, zapominając o wszystkiém; albo gdy się unosił nad jakiém pięknem miejscem w poemacie: ona przerywała mu marzenia wzmianką o obiedzie, kolacyi albo bieliźnie. Z ognistéj miłości wykradł ją, bo to było jakoś daleko poetyczniéj, aniżeli prosić zwykłym trybem o rękę; lecz zaledwie parę miesięcy po ślubie upłynęło, już się znudził, już się przymuszał myślą o obowiązku do okazywania żonie swego przywiązania, już zaczął pisać rozpaczliwe listy do drugiego ideału, który go zachwycił tém,

że w księgarni chciał bądź co bądź nabyć dzieła Szekspira.

Marya poświęca się dla Gustawa, wstępuje do klasztoru. Gustaw żeni się z owym nowym ideałem; pierwsze chwile spędza nadzwyczaj przyjemnie, ale wkrótce przekonywa się, że jego Łucya „jak wszystkie kobiety literatki“ (słowa K-go), które w literaturze szukają tego samego co w stroju, pojazdach, balach, to jest pochwał i oklasków, że ta Łucya była niezmiernie próżna, chciała koniecznie na swojém postawić i upiérała się w zdaniu o poezyi. Wkrótce spory o różnych poetów, choć z początku zajmujące, zaczęły nudzić obie strony tak, że przestali się niemal widywać; on z książką w ręku siedział w swoim gabinecie, ona w salonie słuchała pochlebnych uniesień jakiegoś blagiera. Musieli się rozstać: Łucya, niewstrzymywana, wyjechała za granicę i nie wróciła...

A jak z temi dwoma wybranemi istotami, które go doprowadziły do axyomatu, że dla poety małżeństwo jest zabójcze; tak tém bardziéj z innymi ludźmi Gustaw nie może przyjść do ładu. I nie dla tego, żeby ich znał z gruntu i żeby to poznanie przekonało go o ich nicości. Nie. Tacy ludzie jak Gustaw, zamknięci w sobie, nie umieją patrzéć bezstronnie na swoje otoczenie, lecz każdą mimochodem spostrzeżoną wadę do olbrzymich doprowadzają w wyobraźni swojéj rozmiarów i, zamiast ludzi rzeczywistych z błędami i zaletami, widzą tylko albo samych nikczemników, albo téż, i to najczęściéj, karykatury godne jedynie śmiechu. Gustaw nie znał ludzi, bo z nimi nigdy nie lubił nawet rozmawiać; książka i wyobraźnia wystarczały mu najzupełniéj; przynajmniéj tak mu się zdawało. Kochał samotność, unikał tłumnych zebrań, a jeżeli szukał rozmowy, to tylko we dwoje. Towarzyskiéj rozmowy nie umiał nawet poprowadzić; był nią tak umęczony, jakby największym ciężarem. Lekceważył wszystkich, gdyż mniemał, że nikt go zrozumiéć nie potrafi. Powtóre, Gustaw nie był zdolny do pracy ciągłéj, ustawicznéj. Kiedy był młody i musiał zarabiać na utrzymanie, podejmował się wprawdzie każdéj roboty; ale zostawszy bogatym, polubił próżnowanie. Nie widzimy go nigdzie przy zajęciach gospodarskich, na wyborach szlacheckich, na zjazdach; on nawet nie próbuje apostolstwa wśród obywateli, bo jest z góry przekonany, że ono na nic się nie zda. Marzenie i czytanie, to główne jego zajęcia; czasami jakiś wierszyk napisze bardzo smętny, bardzo mglisty i bardzo niepoprawny. Nawet szlachetność jego, którą tak często przeciwstawi egoizmowi innych ludzi, pozostaje skarbem zaklętym, z którego nikt, ale to nikt nie korzysta: jedyny jego czyn z czasów młodości, wyratowanie staruszki, wynagrodził mu się obficie, bo zapewnił mu byt niezależny. Tacy ludzie jak Gustaw nie spostrzegają nawet, że czyny ich bynajmniéj nie są urzeczywistnieniem ich szerokich planów, bo oni uważają się za istoty wyższe, dla których zwykła logika i etyka są rzeczami zbyt poziomemi, ażeby ich obowiązywać miały. A więc ten człowiek nie cierpiał naprawdę, a więc nie zasługuje na nasze spółczucie?... O nie! Bo nie tylko te cierpienia są wielkie, które najobojętniejszy nawet widz uznaje za takie, ale i te także, które nam własna przygotowuje wyobraźnia. Tém one są dotkliwsze, tém silniéj dojmują sercu, że je nie wielu odczuć i zrozumieć potrafi.

Jakiż koniec takiego człowieka? Jeszcze w r. 1832, a zatém kiedy Kr. miał lat 20, napisał następne słowa: „Goethego Werther jest sławnym typem; typem równie narodowym, jak dzieła Richtera. Niemiecki Werther się zastrzelił, francuzki zakopałby się w jakim klasztorze z miniaturą swéj Lottchen i plecionką jéj włosów; angielski, jeśliby nie naśladował literalnie Niemca, toby pojechał przynajmniéj do Szwajcaryi spaść z jakiéj skały, lub głodemby się zamorzył; hiszpański strułby rywala, siebie, ją i każdego, coby mu stanął na drodze; nasz Werther rozpiłby się z rozpaczy lub zaciągnąłby się do wojska“ [58]). Gustaw wybrał piérwszą alternatywę. Kto chce przykładem poety upoetyzować ten postępek, łatwo sobie przypomni Hoffmana. Kr. nie stawiał ani wzoru do naśladowania, ani przestrogi dla marzycieli; kiedy pisał powieść, zanadto był przejęty swym pomysłem, aby stanąć względem niego na stanowisku przedmiotowém. Wprawdzie, jako autor, panował on nad swym bohaterem i praktyką stwierdzał, że inaczéj i lepiéj w rzeczywistości pokierować się można; ale nigdy z téj przewagi w powieści swojéj nie skorzystał. On chciał odmalować wiernie ten przejściowy stan duszy, który mierne talenta zwykle zabija, ale dla talentów wyższych jest tylko próbą ogniową, z któréj one zwycięzko wychodzą. Kiedy Kr. pisał „Świat i poetę,“ czcił Gilberta i Chattertona; kiedy go oddał do druku, nazywa Chattertona szalbierzem i mówi: „Gdy Gilbert, Chatterton lub kto inny się zabija, to trudno wytłómaczyć inaczéj, jak nierozumną rozpaczą lub podłém tchórzowstwem, lub wreszcie nienasyconą czczością

umysłową, któréj wina na wiek spada," przy czém surową naganę daje poetom i artystom, których pierwsze niepowodzenie do grobu wpędza [59]). Wtedy już inne postacie zajmują jego wyobraźnią: już powstaje czysto-przedmiotowa Witolorauda, opowiadanie historyczne „Stremulissa", które wyszło dopiéro r. 1846 (zob. *Tygodnik literacki*, Poznań, Tom 1, Nr. 42, z 14 stycznia 1839) p. n. „Żacy krakowscy," „Kasztelan i Wojewoda", (które późniéj nazwał autor „Ostatnią księżniczką słucką", tudzież obraz rodzajowy: „Całe życie biedna." Wtedy następuje zwrot ważny w pojęciach religijnych i społecznych. „Powrót ze sceptycyzmu do idei religijnych— pisze naówczas,—daje się czuć w drgających konwulsyjnie członkach całéj ludzkości, pozbawionéj odjęciem chwilowém wsparcia religii, celu swojego i punktu oporu. Francya, która zaraziła tym duchem całą prawie Europę, zdaje się teraz sama dawać przykład powrotu." (*Tyg. Peters.* 1838, Nr. 36). Wtedy nie zbyt już przeczy zasadom arystokratyczno-konserwatywnym Michała Grabowskiego, z którym zapoznaje się osobiście, jak niemniéj z Henrykiem hr. Rzewuskim, ks. Hołowińskim i innymi przedstawicielami kierunku zachowawczego.

I warunki zewnętrzne uległy także zmianie. W tym samym roku, w którym Kr. został spółpracownikiem Tygodnika (t. j. 1837). Aleksander Tyszyński wypowiada pochlebne o powieściach Kr. zdanie [60]), a Edmund Wasilewski pisze osobny artykuł o młodym pisarzu, entuzyazmując się nad jego utworami [61]). Spółpracownictwo w *Tygodniku* wszakże dało mu tak széroki rozgłos, jakiego dawniejsze utwory, rozchodzące się w bardzo szczupłéj liczbie exemplarzy, w żaden sposób zapewnić mu nie mogły. Artykuły tu pomieszczane doczekiwały się przedruku w innych pismach polskich (Muzeum Domowém, Przyjacielu ludu, Pamiętniku naukowym krakowskim). Autor został „znakomitym" a przymiotnik ten nie rozłącza się już z jego nazwiskiem, ilekroć je wspominają spółpracownicy *Tygodnika*. W „Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych" znowu się pojawiają artykuły K-go (*Klonowicz*, *Maciéj Stryjkowski*). Kiedy w początkach r. 1838 założono w Poznaniu pismo nowe „Tygodnik literacki" udano się do „znakomitego" już autora z prośbą o spółpracownictwo, a rozbierając jego utwory, nie szczędzono epitetów najpochlebniejszych, „genialności" oczywiście nie wyjmując. Wydawcy, którym nie szczędził dawniéj najostrzejszych wyrzutów, „że oni spokojnie żyją mózgiem pisarzów, ich duszą, zapałem, nie czując ani iskry wdzięczności, ani odrobiny czucia" i których zawód nazywał niegodnym frymarkiem, a ich zakłady „domem podrzutków i zaprzedanych:" teraz zwrócili się ku niemu sami. Józef Zawadzki, najbogatszy księgarz w Wilnie, umarł w końcu 1838, a syn jego Adam, człowiek ukształcony, zawiązuje bliższą znajomość a może i przyjaźń z autorem „genialnym." W ten sposób na dość szerokiéj przestrzeni imię K-go z uwielbieniem już było wspominane; jedna tylko Warszawa, choć z przedruku artykułów K-go korzystała niekiedy, nie chciała mu przecież dać tytułu znakomitości. Zauważyć jednak potrzeba, że literaci z saméj Warszawy zachowali się biernie; i że wszystkie dotkliwsze pociski na K-go nadsyłane były z Wilna i okolic. W *Tygod. Petersb.* nie wypadało drukować artykułów przeciw stałemu i tak potrzebnemu spółpracownikowi; a kiedy raz wydawca pomieścił dosyć potulny zresztą wiersz (A. L. i B. D.), który z uwielbieniem wspominając o łagodności i pokorze sławnego naówczas kaznodziei Ludwika Trynkowskiego, przeciwstawił owym przymiotom „pychę" K-go: ten nadesłał „piérwszą i ostatnią odpowiedź" w któréj opowiedział bajkę o tych, co lubią ciemności. Raz—powiada—wszedł księżyc i nagle zaświecił. Na co on świeci—pytali obskuranci—tak pięknie, gdy ciemno i spać tak dobrze!... Obskurant bryś zaczął szczekać, lecz księżyc świecił a świecił i próżne było szczekanie brytana. Bajka kończyła się takim zwrotem do krytyków:

Tylko znowu nie myślcie, że to do was może,
A broń Boże! a broń Boże!
Ta bajka najmniejszego nie ma związku z wami,
Nie jestem ja księżycem, ni panowie psami!
(*Tyg. Peters.* 1838, N. 22).

To dało powód p. S. P. do gwałtownego wystąpienia przeciwko K-mu w „Magazynie Powszechnym" (1838, str. 150, 151). Tu nazwawszy Tyg. Petersb. „konfidencyonalnym dziennikiem wzajemnych stosunków kilku przyjaciół" gani uwielbienie, jakie niektórzy pisarze głośno (a mianowicie Trynkowski) wypowiadali, i pyta, kto to jest Kr.; a wyliczywszy to, czém nie jest, rozpowiada lekceważąco o jego powieściach i artykułach, w Tyg. Petersb. od dwu lat umieszczanych, których treść przedstawia z oburzeniem. „W pismach tych dowodzi Kr., że wszyscy ludzie są głupi, wszyscy autorowie złodzieje, wszyscy księgarze oszuści (łotry! nie chcą drukować p. K-go), kto się zaś odważy przebąknąć choć słówko przeciw jego arcydziełom, ten jest po prostu

pies. Jeżeli mi nie wierzysz czytelniku, weź Tyg. Peters. z r. b. a znajdziesz całe ładne wierszyki, w których p. Kr. przeciwników swoich delikatnie nazwał psami; siebie zaś, snadź przez skromność, do księżyca porównał. Chcąc ulżyć potomności pracy w wyszukiwaniu różnych szczegółów życia swego, zawczasu już drukuje w Tyg. własne Pamiętniki. Przypomina to nam Macviusa, co kazał pomnik sobie zrobić i sam własnemi rękoma posąg swój zaniósł i na wsi postawił. W szczegółach znajdujemy— ciągnie daléj S. P.—znieważone to wszystko prawie, cośmy cenili: odarte ze czci imiona mężów, którycheśmy mieli za chwałę i ozdobę literatury naszéj; sponiewierane zalety kraju naszego. Oddał-że sprawiedliwość p. Kr. któremukolwiek pożytecznemu przedsięwzięciu? Niech jeno ukaże się zapowiedź jakiegoś dzieła, a możemy być pewni, że w Tyg. wystąpi z zarzutem i naganą. Kiedy wszystkich miłujących nauki radością napełniło ogłoszenie księgarni Zawadzkiego w Wilnie o wydaniu historyi naszéj literatury z rękopismów nieodżałowanéj pamięci Sobolewskiego, natychmiast p. Kr. pokwapił się do Tyg. z pełném żółci i nienawiści pismem."

Krytyka ta zasługuje na uwagę nietylko ze względu na K-go; charakteryzuje ona niejednokrotnie w różnych odstępach czasu odzywający się głos rutynistów, przywykłych do spokojnego przeżuwania dawno zjedzonego pokarmu umysłowego i występujących z zawziętością przeciw wszelkiemu ruchowi na polu myśli i badań. Nie oszczędzono K-mu ani jednego pocisku; dotknięto jego miłość własną, co rzecz najmniejsza; zakwestyonowano jego rozum, jego serce, co bezwątpienia daleko było dotkliwszém; ale na tém nie poprzestano. Dla tego, że Kr. wytykał wady, surowo karcił występki, śmiał się z niedorzeczności, już rutyniści zakrzyknęli, że „sponiewierał zalety kraju własnego." Dla tego, że się ośmielił krytykować powagi literackie, już rutyniści głosili że „odarł ze czci sławne imiona"... Przyznawszy nawet, że w wielu razach krytyka K-go szła za daleko, że była nieraz niemotywowana, miała jednak tę zaletę, że pobudzała do myślenia; a użycie przeciwko niemu tak nizkiego środka, jak oskarżanie go wobec ogółu o szarpanie sławy narodowéj, zawsze będzie potępienia godném.

Pismo Warszawskie, pomieszczając ten wybryk jakiegoś wileńskiego paszkwilanta, bałamuciło umysły ogółu. Na wieczorach piątkowych u pani Lewockiéj „Świat i poeta" K-go został uznany za niegodny druku, tak, że autor aż do Poznania posłać go musiał.

Ale i Warszawa wreszcie zaczyna się poznawać na talencie K-go. Kolega jego z Akademii Duchownéj (p. H. Skimborowicz), zostawszy redaktorem Gazety Porannéj, założył przy niéj Pismo Dodatkowe 1839 r., poświęcone sprawom literackim. Tu ściérały się zdania o Kr. Redaktor stał zawsze po stronie Kr., a jakkolwiek i ganiące pomieszczał artykuły, nie przestał przecież sam uwielbiać jego talentu; on-to zaprosił K-go do nadsyłania obrazków, naumyślnie dla „Pisma dodatkowego" napisanych. „Wiściarze i Obrazki z natury" były to piérwsze nie przedruki, jakie w Warszawie się pojawiły.

Mimo to przecież długo jeszcze panowały w Warszawie uprzedzenia przeciwko K-mu. To téż dziś, jakby dla wynagrodzenia swego rutynicznego oporu względem świeżych, barwnych, wyrywających z odrętwienia umysłowego utworów młodzieńca, piérwsza zaprojektowała uczczenie publiczne półwiekowéj, niestrudzonéj i niezrażonéj pierwotném niepowodzeniem działalności. Dziś każdy już bez wahania powtórzy słowa, któremi jeden z jego czcicieli, pod koniec piérwszego dziesięciolecia ówczesną pracę tego pióra określił: „Jest to mąż posiadający nietylko wielostronne wykształcenie, ale i ów nieugięty hart, jaki jest koniecznie potrzebny do zwalczenia jawnego i ukrytego głupstwa, usiłującego zagłuszyć każdy wyższy talent. Téj to niezłomnéj duszy winien jest Kr. swoje zwycięztwo; winien je nadewszystko owemu przenikliwemu dowcipowi, uszczypliwemu sarkazmowi i owéj, rzekłbym, zuchwałéj ciętości, z którą wszystko, co się tylko na placu nawinie, swoim obosiecznym bułatem z góry, wstępnym bojem siecze, gromi i na głowę poraża." [62]).

Piotr Chmielowski.

PRZYPISKI.

1) Tyg. Pet. 1838 Nr. 38 w artykule p. n.: „Podróż po szybach karczemnych" datowanym z Drohiczyna 11 kwietnia. Przedrukował go potém Kr. w „Obrazach z życia i podróży" 1842, tom 1 str. 139—149.

2) Tygodnik Petersburski r. 1830, Nr. 43 z 29 Października, a zatém po zapisie studentów.

3) Wielki świat małego miasteczka I.83.

4) Tom 1. Wilno 1838, str. 39—63.

5) Kościół św. Michałki w Wilnie 1833. 1, 64, 65.

6) Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne. Tom III, str. 66—68.

7) W *Panu Walerym*, w rozdziale XVII, w *Dwa a dwa cztéry* na początku.

8) Obszerniejszą charakterystykę powieści polskiéj przed rokiem 1830 znaleźć można: 1-o w artykule J. I. Kraszewskiego p. t. „O polskich romansopisarzach" *Wizerunki i roztrząsania naukowe*, poczet nowy, r. 1837, tomik 11, str. 94—122; 2-o w dziele M. Grabowskiego: Literatura i krytyka 1840. w oddziale p. n. „Literatura Romansu w Polsce"; 3-o w rozprawie S. hr. Tarnowskiego p. n. „Romans polski na początku XIX w." Kraków 1871.

9) Wielki świat małego miasteczka. (I, 14).

10) Biografia Sokalskiego organisty w „Noworoczniku litewskim na rok 1831" str. 177—194.

11) Prospekt ten znam jedynie w dochowanym do dziś dnia rękopiśmie: wiadomo wszakże, iż był drukowany w dodatku do „Kurryera litewskiego" z r. 1830.

12) Pan Walery, str. 81,82. Podobny ustęp odczytać można w „Wielkim św. mał. miast." I, 43.

13) Wielki świat mał. miasteczka 1, 100.

14) Tamże 1, 102.

15) Artykuł R. W. w „Tygodniku Petersburskim" r. 1833, Nr. 47.

16) Wielki świat mał. miast. I, 83.

17) Tamże II, 36—38.

18) Z tego samego czasu pochodzi powiastka fantastyczna p. n. „Majster Bartłomiéj" i prawdopodobnie temi samemi, co powyżéj wymienione, odznacza się cechami. Ponieważ jednak sam nie mogłem jéj odczytać, poprzestać więc tu muszę na krytyce „Pietruszki," który oceniał „Pasternaka." Powiada on, że „Cagliostro" z Wędrówek literackich to rodzony brat Majstra Bartłomieja i tak daléj ciągnie: „Gdyby p. Pasternak wyrzekł się miłości własnéj i przeczytał to swoje dzieło, zaparłby go się najmocniéj; nie obciąłby w jego obronie ani jednego ucha i siedziałby z nim w kącie cichuteńko, jak mysz na pudle. Bo tu p. Pasternak już przestał być mistrzem w szkicowaniu, tu raczéj farby rozlewa, przypina garby i bez cienia, bez światła, jakąś różnokolorową rozmazuje plamę. Powieść o djable alchemiku, garbusku i suchym człowieku, albo raczéj powieść o niczém, bez treści, nie malująca wieku, gdzie p. Bartłomieja, chociaż nawet w kontuszu, trudno przyjąć za krajowca. Cała wreszcie ta gmatwanina, setne odbicie owéj winiarni Hoffmanowskiéj, dziejów człowieka, który cień zgubił, plecie się bez wikłania, bez interesu, bez jakiéjkolwiek prawdy i wreszcie bez rozplecenia. Nigdybym ci jéj nie przypisał, kochany panie Pasternaku; myślałem tylko o strasznéj zbrodni, o stelionacie, o podszyciu się pod twoje szanowne nazwisko. Lecz gdy Cagliostra przeczytałem, pod imieniem samego J. I. Kr. wydanego; wtedy znikła wszelka wątpliwość i prosiłem tylko matki Muzy, by w nieszczęśliwą godzinę nie powiła więcéj waszych braci." (w „Piśmie dodatkowém" do Gazety Porannéj, r. 1839 Nr. 28).

19) Wydrukowano ją dopiero w r. 1837 na czele powiastki „Dwa a dwa cztéry."

20) Wędrówki literackie, fantastyczne, historyczne, 1, 114.

21) Powieść ta datowana w 1831 z Wilna, wydrukowana została dopiero w 1838; zdaje się, że pod względem stylowym uledz musiała w przeciągu tego czasu znacznym zmianom.

22) Kościół Święto-Michalski w Wilnie, 1833, tom 1, str. 58.

23) Tamże, 1, 140.

24) Tygodnik Petersburski 1833 N. 28 Recenzya „Kościoła Święto-Michalskiego" i N. 47 Recenzya „Roku ostatniego pan Zygm. III."

25) Tyg. Petersb. 1833, N. 28.

26) Wędrówki literackie I, 213, 214.

27) Statystyczne obrachowanie ludności miasta Wilna w r. 1832 przez M. Balińskiego w „Zniczu" na rok 1834, str. 101—112.

28) Przedmowa do drugiego wydania „Pana Karola" datowana 12 sierpnia 1840.

29) Wędrówki literackie I, 102.

30) Tamże I, 114.

31) Tak się nazywała w pierwszém wydaniu; w drugiém przemienił ją autor na *Herakowska*.

32) Improwizacye dla moich przyjaciół. Wilno 1834, str. 25.

33) Wędrówki literackie I, 143—172 „Leon Leontyna, powieść waryata".

34) Tamże „Bedlam" 173—211.

35) Tamże „Uczta żebraka" str. 212—224.

36) Improwizacye dla moich przyjaciół: „O śmieciach" str. 26—36.

37) Wielki świat mał. miast. II, 108.

38) Otwarcie publiczne Akademii Duchownej Rzymsko-katolickiej Wileńskiej. Wilno w druk. J. Zawadzkiego 1834, str. 134 i 1 karta „spisu rzeczy."

39) *Znicz*. Noworocznik wydany przez Józefa Krzeczkowskiego. Wilno 1834 str. 217—224.

40) Tamże str. 89—92.

41) Wielki świat małego miasteczka 1, 20.

42) W drugiej części „Biruty" 1838, str. 123—133.

43) T. B. w Tyg. Petersb. 1835, N. 26 (w ocenie „Znicza" na rok 1835).

44) Obie zamieszczone w „Bojanie", części pierwszej 1838, str, 93—102; 167—180.

45) Błędy morfologiczne główniejsze są te: 1° w samym tytule i w texcie na *na puszczy* zamiast *na*

puszczy 3° usze zam. uszy, młody lata zam. młodo, 3° doń (zam. do niego), drugi bowiem przypadek zaimka ji, ja, je nigdynie mógł brzmieć *ji*; 4° ziemi zam. ziemie, ziemię zam. ziemią. po *izbiech* (zam. po izbach), gdyż tylko męzkie i nijakie rzeczowniki miały w miejscowniku zakończenie êch i. t p.

46) Data pozwolenia cenzury „Wilna" w pierwszem wyd. (podp. Leon Borowski) jest: 23 stycznia 1836 roku.

47) Wiersz „W Dzień pożegnania 12 kwietnia 1836 datowany jest z *Horodca*. Patrz „Bojan, część pierwsza" 1838, str. 148—151.

48) Tyg. Petersb. 1838, N. 27.

49) Tamże, 1838, N. 7.

50) Tyg. Petersb. r. 1838, N. 79.

51) Tyg. Petersb. r. 1837, N. 57.

52) Tyg Pet. 1841, N. 26.

53) Wyrażenie M. Grabowskiego w Tyg· Petersb. 1837, N. 68.

54) Tamże 1838, N. 10.

55) Tamże rok 1838, N. 31.

56) Zobacz zarysy Wołynia we „Wspomnieniach Wołynia, Polesia i Litwy" 1840 t. 2.

57) Obie wspomnione powiastki wydrukowane zostały dopiero roku 1840 w trzecim tomie „Wędrówek", ale napisał je autor o wiele wcześniej, jak świadczy data cenzury 21 października 1837 r.

58) „Dwa a dwa cztery": „Rzut oka na ścieszkę."

59) Porownaj Tygodnik Peters. 1837 N. 381 i r. 1838 1 i 3.

60) Właściwie Tyszyński wypowiedział swój sąd pochlebny o powieściach K-go wprzód niż ktokolwiek, gdyż data cenzury jego „Amerykanki w Polsce" wskazuje r. 1835; ale w druku pojawił się on dopiéro r. 1837. Przytaczam jego zdanie: „W kréśleniu towarzyskiéj rozmowy a szczególniéj towarzystwa obrazów *niedorówananym* jest dzisiaj autor *Cztérech Wesel* i *Pana Karola*. Niektórzy w p. K-im nic więcéj nie widzą jak Paul de Kocka polskiego: krzywda piérwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuzkiego pisarza; ale do siły komicznéj tego ostatniego łączy i siłę tragiczną: obrazy pełne okropności i mocy, plotące się razem z śmiesznemi i nagłe, niespodziane z jednych do drugich przejście są główną sztuką i piękném p. K-go utworów. Styl komiczny autora nieporównany w ucinkach i toku, w miejscach tragicznych nieraz jest pełnym poezyi (Cztery Wesela, Raj i Piekło, Improwizacye; dawniejsze: Pan Karol, Wielki świat mał. miast.) i t. d. i t. d. Zob. „Amerykanka w Polsce" 1, 270 w przypisku.

61) Pamiętnik naukowy, Kraków 1837. Tom III, str. 3—11.

62) Tyg. Literacki 1, N. 40, 31 grudnia 1833.

Drugie dziesięciolecie

(1840—1850).

Całe życie biedna, 1840.—Powieść składana, 1843.—Latarnia Czarnoksięzka, 1843 i 1844. — Pod włoskiém niebem, 1845.—Pamiętniki nieznajomego, 1846.—Milion posagu, 1847. — Sfinx, 1847. — Ostrożnie z ogniem 1849 —Pan i Szewc, 1850.

Niedawno zda się—a przecież tak dawno! Trzy dziesiątki lat, okres krótki w dziejowém życiu nie już ludzkości, ale jednego choćby odłamu jéj —narodu, czas trwania jednego zaledwie pokolenia, przynosi niekiedy ze sobą ważne i różnostronne przełomy i zmiany. W burzliwym i burzącym, pracowitym i badawczym wieku naszym szczególniéj, trzydziestoletni okres czasu unicestwić musi i wzajem do bytu wywolać zjawisk wiele, nadwerężyć, zerwać lub zawiązać mnóztwo stosunków, umysłom ludzi przedstawić niedostrzegane przedtém punkta widzenia, a uczuciom ich nadać nieznane wprzódy barwy i cieniowania. Jednak, wśród zmian tych i różnic licznych a ważnych, pilne i pojętne oko może i powinno dostrzegać niezmazalne wspólności natury ludzkiéj i plemiennéj, niezłomne kojarzenia się przyczyn i następstw.

U nas w tym okresie czasu ruch literacki ożywił się ogromnie. Istniejący już od r. 1830 „Tygodnik Petersburski" zyskał sobie w tym czasie wielki wpływ i powagę, szczególniéj na Litwie i Rusi. Do walki z nim wystąpił zastęp mlodych pracowników pióra w „Gwieździe," któréj tom piérwszy wyszedł w Petersburgu, a trzy następne w Kijowie. W Wilnie, obok gasnących „Wizerunków i Roztrząsań naukowych" zjawia się „Athenaeum." W Warszawie dwa mianowicie czasopisma nowo założone zwracają na siebie powszechną uwagę: „Biblioteka Warszawska" i „Przegląd naukowy." W Poznaniu „Tygodnik Literacki"—„Orędownik naukowy," „Rok"—pierwszorzędne zajmują stanowisko. We Lwowie „Dziennik mód paryzkich" pod tą nieobiecującą chorągwią skupia wszystkie siły młode a zdolne. Mnóztwo noworoczników wszelkiego rodzaju wszędzie obudza pewne zajęcie dla literatury. Surowa krytyka społeczeństwa, po części w czasopismach, a po części w broszurach („Mieszaniny obyczajowe Jarona Bejły") i nieustanna a nieraz gwaltowna polemika, zaciekawiały ogół, a przez to zmuszały go niejako do czytania, rozważania, myślenia. Z Niemiec przybywały prądy filozofii heglowskiéj, niezależnéj od wiary, i spotykały się z głęboką, żarliwą, bezwzględną religijnością autora „Pielgrzymki do Jerozolimy" i z szyderstwem Henryka Rzewuskiego. Spoczywający zawsze na dnie narodowego ducha, demokratyzm budził się ze snu, nurtując coraz głębiéj pokolenie młode, które wzgardą i nienawiścią okrywało przestarzałą instytucyą poddaństwa ludu, kastowe zasklepianie się w pysze i przesądach rodowych.

Wśród tych, którzy w porze owéj potrafili wznieść się na szczyty myśli i uczuć, a szalę śmierci i życia przechylili na stronę życia, najżywszym może a pewnie najtrwalszym i najszerszym blaskiem jaśnieje

imię I. J. Kraszewskiego. Działalność jego w ciekawym tym momencie dziejów naszych, była wielce różnostronną, na polu publicystyki, poezyi, historyi i powieści rozwijaną.

Nazwa powieści obyczajowéj niedokładnie przedstawia rodzaj twórczości, rozwiniętéj przez K-go w dziewięciu powieściowych utworach, których oceną zająć się tu mamy. Przez powieść obyczajową rozumiemy utwór, usiłujący przedstawić obraz obyczajów spółczesnych ze stanowiska czysto objektywnego, bez upatrywania i rozwijania w danéj sytuacyi jakiéjkolwiek idei filozoficznéj lub społecznéj, bez pracowitego zagłębiania się w processa duchowe i w subtelności uczuć i charakterów przedstawianych postaci. Powieść obyczajowa posiada tę właściwość, ściśle z naturą jéj związaną, że działa szybkiemi i grubemi rysami, mało cieniuje, a trzyma się w tonach jaskrawych bardziéj, niż miękkich, śmieje się częściéj niż płacze, humorem i ironią posługuje się chętniéj, niż patosem i poetycznością. W ogólności, jeżeli inne rodzaje powieści tém większą mają wartość, im bardziéj formą swą zbliżają się do dramatu, powieść obyczajowa zdaje się być bliżéj spokrewnioną z komedyą. Otóż w szeregu wyżéj wymienionych utworów K-go znajdujemy trzy zaledwie, które formą i treścią należą ściśle do kategoryi powieści obyczajowych, a temi są: „Całe życie biedna," „Milion posagu," i „Ostrożnie z ogniem." „Powieść składana" utwór dwóch naraz pisarzy, nazwać się może fantazyą prędzéj, niż powieścią, fantazyą zręczną i wdzięczną, ale do któréj autorowie sami, jak to znać z przedmowy, wagi większéj nie przywiązywali. Co do pięciu pozostałych „Pod włoskiém niebem" jest powieścią czysto i najściśléj psychologiczną; „Sfinxa i Pamiętniki Nieznajomego" zaliczyć należy do rzędu powieści filozoficznych; „Pan i Szewc" i „Latarnia Czarnoksięzka" przedstawiają utwory najzupełniéj odpowiednie temu, co rozumiemy pod nazwą powieści społecznéj.

Przeważnie, prawie wyłącznie, zastanowimy się tu nad trzema naczelnemi w szeregu całym utworami, któremi są: Sfinx, Pamiętniki Nieznajomego i Latarnia Czarnoksięzka.

„Sfinx" jest historyą artysty, niezrozumianego przez społeczeństwo, udręczonego losem i daremnie przez długie lata usiłującego rozwiązać podwójną zagadkę Sfinxa: istotę szczęścia i życia. Dziecię chłopa żmujdzkiego Rugpiutisa, pijaka, awanturnika, oszusta, który mnóztwem zabiegów i starań, niezupełnie uczciwych, zdobywa sobie kawał nędznéj ziemi i buduje na nim nędzniejszą jeszcze, byle swoję, chatę — i matki, chłopki także, uczciwéj, dzielnéj, mężnéj kobiéty,—Jan Rugpiutis od dzieciństwa już objawia ogromne zdolności do rysunku i malarstwa. Zdolności te zdobywają łaski wielkiego pana dwunastoletniemu chłopięciu, które, wysłane na naukę malarstwa do Wilna, wpada od razu w świat obcy sobie, obojętny, a często zły i nieprzyjazny. Zostawszy naprzód uczniem człowieka bez serca, talentu, i rozumu; nielitościwie wypędzony przezeń w skutek śmierci protektora, a zatém braku środków pieniężnych; przyjęty następnie przez malarza Batraniego, szlachetnego, zdolnego lecz słabego i złamanego życiem artystę i znowu na bruk miejski wygnany, za sprawą kobiéty namiętnéj, kapryśnéj i niesumiennéj; młodziutki Jaś w ciężkich kolejach tych kształci jednak talent swój, dąży do ideału sztuki, cierpi fizycznie i moralnie, a pociechę i skrzepienie znajduje w przyjaźni kilku biédnych, jak on, i jak on szlachetnych towarzyszy, a także w rodzącéj się miłości dla młodego i ślicznego dziewczęcia. Pierwsze objawienie się Janowi miłości téj i jéj przedmiotu stanowi jeden z najwdzięczniejszych obrazków powieści. „Naprzeciw okien Jana, w przeciwległym domu, ukazywał się zwykle z za wypłowiałéj firanki suchy i dziwaczny profil staruszki... Głowa staruszki często ukazywała się nie sama, ale jakby opleciona dwiema anielskiemi twarzyczkami prześlicznych dziewcząteк. Dnia jednego, gdy słońce biło w otwarte okno przeciwka, Jan ujrzał nagle dwie młodzieńcze twarzyczki, uśmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręku, dzióbek różowy do rumianych swych przytykając ustek. Złote włosy dzieci północy błyszczały na białych ich skroniach; niebieskie oczy opasane były rzęsami ciemnemi... Malarz zadumał się, popatrzywszy na profil błękitnookiéj i począł ją ścigać wzrokiem..." Młodzieńcza ta idylla z szybkością błyskawicy przelatuje po ciemném niebie młodego artysty i znika. Jan, w nędzy i smutku, pieszo i o głodzie prawie, dąży do stolicy kraju, Warszawy, gdzie pod panowaniem Stanisława Augusta rozwija się i kwitnie zamiłowanie sztuk pięknych. Kwitnie tam ono, jak wątła roślina, urodzona śród burzy. W stolicy panuje wrzaskliwy chaos wesołości i rozpaczy, zabiegów i trwóg, poświęceń i nikczemności. Młody malarz, zwalczywszy wiele trudności, intryg i niechęci, zdobywa sobie nakoniec ła-

skę i protekcyą króla, dzięki którym, wyjeżdża do marzonego raju artystów, do Włoch. Tu spotykają go dziwne koleje zachwytów i rozczarowań, szczęścia i boleści. Zdobywając coraz większą znajomość sztuki, traci on religijną wiarę; namiętnie ukochany przez kobiétę piękną i rozumną, ukochać jéj wzajem nie może i staje się sprawcą śmierci jéj i jéj brata. Z wydoskonaloną potęgą twórczą, lecz z piersią pełną bólu i zwątpienia, wraca do kraju; chatę swą rodzinną znajduje pogrążoną w najgłębszéj nędzy; na wiejskim, samotnym cmentarzu grzebie umarłą matkę, jedyną istotę, z którą łączyły go związki krwi i miłości,—i udaje się do Wilna, aby zdobywać tam sobie byt i sławę. Niestety, tu także na kroku każdym spotykają go zawody, smutki i wszelkiego rodzaju nędze życia. Obojętność publiczna i zawiść kollegów-malarzy wtrącają go w niedostatek materyalny; kobiéta zalotna i bez serca przyprawia go o długie męki serdeczne i nieledwie o stratę rozumu i życia; odnalazłszy ideał pierwszéj młodości swéj, owę błękitnooką dziewczynkę z gołębiem, żeni się z nią; lecz wkrótce, w skutek niepowodzeń ciągłych, ubóztwa, a w wielkiéj części właściwéj sobie niezaradności, traci żonę, dziecię, i ostatecznie, odzyskawszy dawną, dziecięcą swą wiarę religijną w ścianach świątyni, którą zdobi pracami swemi, uspokojenie serca rozdartego burzami życia i swobodne pole dla rozwijania swéj artystycznéj twórczości znajduje w murach kapucyńskiego klasztoru.

Takiém jest skreślone w „Sfinxie" życie niezrozumianego przez ogół artysty. Stanowi ono ciemno-krwawą nić, wijącą się po pierwszym planie obrazu, którego tło napełniają szerokie malowania społeczeństwa i, z zamiłowaniem wielkiém, jak téż z niemniejszém znawstwem rozwijane, poglądy i myśli o sztuce.

W „Pamiętnikach nieznajomego" spotykamy się znowu z historyą zawiedzionego powielekroć i w różny sposób udręczonego serca. Młody Juliusz, student Wileńskiéj Wszechnicy, spogląda w życie, u początku książki, z zapałem wulkanicznym dla wszystkiego, co piękne i dobre, z nieograniczoną wiarą w istnienie na ziemi doskonałego szczęścia, z namiętném pragnieniem szczęścia tego, którego źródła dostrzega wszędzie: w pięknościach natury, w dobroci ludzi, w rozkoszach nauki, przedewszystkiém jednak i najbardziéj—w miłości kobiéty. Stan raczéj liryczny, niż sytuacya dramatyczna, zarysowuje się tu od razu wyraźnie i silnie. Młody optymista i marzyciel, posiadający w najwyższym stopniu to, co w języku Goethego zwało się „piękną duszą" spotyka się oko w oko z twardą, prozaiczną, a przedewszystkiém niestałą w objawach swych, rzeczywistością. Cztery postacie kobiéce przesuwają się przez życie jego, a każda z nich, zamiast przynieść mu wyśnione, doskonałe szczęście, ślady przejścia swego znaczy rozczarowaniem, bólem, nudą lub rozpaczą. Pierwsza z nich—to tak zwana kobiéta niezrozumiana, wpół heroiczna, wpół rozpustnica, o twarzy Janusowéj, która z jednéj strony przedstawia ofiarę ustaw społecznych, z drugiéj kata serc ludzkich, z jednéj—duszę wiecznie spragnioną ideału, z drugiéj—ciało nieustannie zapadające w kałuże. Szczera i młodzieńcza miłość dla kobiéty takiéj zawsze okupioną być musi chwilowém przynajmniéj poniżeniem i trochą utraconéj wiary w ideał kobiéty i jéj miłości. Od poniżenia i zwątpienia ratuje przecież Juliusza kobiéta inna, młodziuchne dziewczę tym razem, świeże i niewinne, lecz smętne, extatyczne, do Anioła raczéj podobne niż do człowieka. To téż, zamiast jak człowiek stanąć u boku jego z miłością wierną, dłonią pomocną i umysłem bratnim, dziewczę to jak Anioł odlatuje od niego do nieba. Umiéra z żalu po szczęściu, które w anielskiém uniesieniu własnemi dłońmi skruszyła i odrzuciła. Po długich latach cierpienia i tęskoty za ideałem uczucia, od którego spodziewał się szczęścia, a który dotąd dał mu tylko zawody, zwątpienia i smutki, Julijusz, jako dojrzały już i zmężniały człowiek, znajduje chwilę ukojenia i nowéj nadziei w spokojnéj lecz stałéj, głębokiéj i dziwnie szlachetnéj miłości dawnéj towarzyszki dzieciństwa swego, kobiéty, która nie umié grać, marzyć i tonąć w zachwytach na widok gwiazd i słońca, ale która natomiast całą młodość swą i wszystkie widoki świetnéj przyszłości, i wszystkie pragnienia młodego serca poświęca pracy trudnéj a użytecznéj, obowiązkom córki i obywatelki kraju—i jedynéj, trwałéj jak życie, choć nie odwzajemnionéj, miłości. Przychodzi chwila, w któréj miłość ta, silna i wzniosła, choć cicha i skromna w swych objawach, zdaje się być odwzajemnioną. Juliusz przywyka, przywiązuje się do swéj dobréj, dzielnéj, szlachetnéj towarzyszki i zostaje jéj mężem. Niestety! na kilka dni przed ślubem, w domu szczęśliwéj i wszechstronnie szczęścia tego godnéj narzeczonéj, zjawia się kobiéta, od niéj daleko piękniejsza, śmielsza, ognistsza, uprawiająca muzykę, czytająca poezye, umiejąca wpatrywać się w zachód słońca i wschód księżyca oczyma

tonącemi w łzawym zachwycie, umiejąca też zaciekawiać oryginalnością obejścia się, tajemniczością spojrzeń i westchnień. Biédna Cesia, ze szczerém i rozumném wejrzeniem swych błękitnych oczu, ze swemi kluczykami w wiecznie czynnych ręku, ze swą naturą prostą a głęboką, przeszłością czystą a zwyczajną i miłością dumną a skromną, wydaje się Juliuszowi bladym i nudnym cieniem wobec świetnego zjawiska kobiéty, wpół lwicy, wpół muzy. Wierny słowu swemu, wkłada on wprawdzie na rękę obrączkę ślubną, lecz uważa już ją za kajdany, które mają go na wieki przykuć do taczki prozaicznego małżeńskiego życia, a rozdzielić z ową krainą świetlistych eterów i wulkanicznych płomieni, w których przemieszkuje przedmiot ostatniéj jego miłości. Miłość ta jest już tym razem naprawdę—ostatnia. Juliusz chowa ją w głębi smutnego serca, i siły dla przeniesienia życia, które mu cięży, pociechy, śród oblegających go wspomnień i tęsknot, szuka w dopełnieniu rodzinnych swych powinności, w pięknościach natury i sztuki, w pracach i uczuciach obywatelskich.

Sprawozdanie z dwóch tych powieści połączyłam umyślnie dla tego, że nie tylko są one z sobą pokrewne ze względu na ton, koloryt i charaktery działających w nich postaci; ale że przez nie obie przebiega jedna myśl filozoficzna, a zagadnienie, postawione i rozwiązane w pierwszéj chwiéjnie, i jakby sposobem próby, w drugiéj dopiero staje przed czytelnikiem jasno, silnie i znajduje rozwiązanie swe stanowcze i tak trwałe, jak trwałym będzie dzisiejszy ustrój cywilizowanéj ludzkości. Zagadnienie to postawione i rozwiązywane w Sfinxie“ i „Pamiętnikach Nieznajomego“ mieści się w ogromnych zapytaniach: czém jest życie? czy jest szczęście? i gdzie jest szczęście? U początku pamiętnika swego Juliusz z niecierpliwością i ciekawością młodzieńczą woła: „kto mi powie słowo téj zagadki, o którą od wieków pytają milczące Sfinxy i piramidy w piaszczystych pustyniach, i zielone mórz głębie, i szumiące lasy nasze? Wszystko żyje, a nikt nie wié, co życie.... Co to życie? co to życie?“

Jan w „Sfinxie“ i Juliusz w „Pam. Nieznajomego“ pytanie to rozwiązać usiłują. Punkt wyjścia ich jest prawie jeden, pierwsza odpowiedź prawie jednobrzmiąca. Kochance swej, która śród serdecznéj rozmowy woła:

„O życie! wielka i straszna zagadka!“ Jan odpowiada:

— Którą rozwiązuje chwila szczęścia.

— I długie lata wspomnień, i długie lata nadziei.

— Zawsze to ta sama chwila szczęścia, widziana wprzód z blizka, potém w oddaleniu. Całe w niéj życie.

A Juliusz sam przed sobą tak zagadkę tę rozwiązuje:

„Życie.... to wielki hymn stworzenia dla Stwórcy, wielki widok na ludzkość, na wieki, na ludy, na światy, z wierzchołka duchownéj Himalai, życie... to cudowny, słodki sen....

Zatém pierwsza odpowiedź dwóch młodzieńczych serc i umysłów: życie to chwilka szczęścia i—słodki sen. Lecz jeśli w szczęściu i słodkim śnie spoczywa istotna i jedyna treść życia, kędyż jest szczęście? i gdzie rosną kwiaty, na których miękkiém i wonném posłaniu słodko spać i śnić można? W bólu i znoju serc poszukują dwaj młodzieńcy owej błogosławionéj krainy, z niebem bez chmury, z klimatem bez chłodu, z ziemią bez pustyń, z ludzmi—bez plam. Jan nie znajduje jéj w dumach i rozkoszach sławy; Juliusz nadaremnie szuka jéj w zachwytach i uniesieniach miłości. Do wawrzynowego wieńca chwały wplatają się nieodzownie ciernie srogich wyrzeczeń się i osty gorzkich zawiści,—z pośród róż miłości wygląda zatruta strzała niestałego kupidyna i wyrasta smutny cyprys grobowy. Ażeby wsród wyrzeczeń się i cierpień, któremi obficie darzą czcicieli swoich niebiańsko piękne, lecz spartańsko surowe Muzy, zostać doskonale szczęśliwym, żyć trzeba śród społeczeństwa złożonego z samych szlachetnych i genialnych duchów, umiejących razem z artystą unosić się na wysokości fantazyi i myśli, i tam oddawać mu należną miarę czci i miłości. Ażeby u boku ukochanej kobiety znaléźć raj wyśniony, czarodziejskiém słowem jakiémś zakląć trzeba oczy jéj, aby nie gasły nigdy,—lica, aby nie więdły,—uczucia, aby nie stygły,—myśl, aby na chwilę choćby nie zstępowała z idealnych szczytów;—zakląć trzeba ciemną stronę wszelkiéj natury ludzkiéj, aby w niéj przemieniła się na słoneczną; twarde i prozaiczne warunki powszedniego życia, aby dla niéj i wokoło niéj przerabiały się na wiecznie kwitnącą wiosnę poezyi. Marzenia do ziszczenia niepodobne! Tu ani tam, w sławie ani w miłości dla kobiety, Jan i Juliusz nie znajdują słowa, któreby otworzyło kamienne usta Sfinxa i wydobyło z nich tajemnicę życia i szczęścia. Jednak—żyć trzeba. W rzeczywistości i literaturze minęły już były czasy Werterów, tych tragicznych leniwców i zuchwa-

łych tchórzów, którzy, unikając mozołu i bólu, uciekali z obozu walczących i cierpiących—przez bramę śmierci. Gdy skończyły się pierwsze konwulsye *Weltschmerz'u*, téj szlachetnéj lecz bezpłodnéj choroby umysłów, zapatrzonych w tytaniczne szczyty, a nie umiejących dojrzeć światów, mieszczących się na ziarnku piasku albo w kropli wody; gdy najpotężniéjszy przywódzca ponurego orszaku tego, zrozpaczony twórca Child-Harolda, rozwiązanie życiowéj zagadki znalazł w walce i śmierci; pisarz, który tak, jak J. I. Kraszewski, gorąco kochał naród swój, a tak z całéj mocy swéj przeważał szalę życia i śmierci na stronę życia,—w społeczeństwie naszém i w momencie owym, piszarz taki nie mógł ostatecznego rozwiązania zagadki życia i śmierci znaleźć w akcie samobójstwa.

Jan więc i Juliusz, z krwawych doświadczeń wyniosłszy przekonanie, że życie nie jest ani „chwilką szczęścia" ani „słodkim snem", nie uciekają z doliny doczesnych burz i walk w krainę nieodgadniętéj a tajemniczością mamiącéj Wiekuistości. Żyją daléj.—Gdzie i jak? — Szukają szczęścia i znajdują je.—W czém?

Ciekawém jest porównanie ostatnich słów obu powieści, mieszczących w sobie odpowiedź na te pytania, z określeniami życia i szczęścia, wypowiedzianemi przez dwóch młodzieńców u początków ich istnień.

„Życie to chwilka szczęścia" mówił Jan.

„Życie to sen słodki," odgadywał Juliusz.

Było to u początku drogi. U końca jéj—Jan w celi klasztornej i w habicie mniszym, w ten sposób opowiada przyjacielowi znalezione nakoniec szczęście swoje:

„Szczęśliwy, żem się tu zamknął!.... Długie godziny płyną mi u trójnoga w zapatrywaniu się na postacie wielkie; święte, wspaniałe, które wywołuje na płótno czytanie i modlitwa. Czasem przyjdzie pamiątka stara przesunąć się po tym błękicie, jak złocista chmurka po niebie.... Nie zaprę ci się łez, które płyną z tych oczu; ale to nie są łzy rozpaczy, to słodki płacz cichego smutku, oświeconego nadzieją wieczności..... Myśli, dawne myśli moje, dumne i skrzydlate złożyłem na ofiarę Bogu.... Pokorne myśli dzisiejsze wspólne mi są z dziecięciem i wieśniakiem. Dusza moja nie potrzebuje dziś wywnętrzać się, jak dawniéj, gdy tęskniła za ideałami, które próżno goniła po rzeczywistym świecie".

A Juliusz następnemi słowy określa ciche i szczęśliwe uspokojenie, które zdobył sobie i zapracował: „Jestem uspokojony na duszy i nie żałuję niczego.... Od kolebki począwszy, od samolubnej młodości, człek, doskonaląc się, z ciasnego Ja wychodzi i uznaje się częścią całości.... Godzi się w szale pierwszych godzin życia wszystko chcieć sobie święcić; ale im daléj idziemy, tém mniéj sobie celem i sobie panami jesteśmy. Wchodzim w towarzystwo i święcić się musimy obowiązkom.... Odtąd cel człowieka zewnątrz niego; osobistość jego tonie w wielkim ogromie.... Zostaje mu w duszy, jako ostateczna pociecha, to, że się doskonali.... doskonaląc się sam, posuwa z sobą wiek swój i następne pokolenia ku doskonałości.... Adziu mój! nie spodziewaj się szczęśliwości w rozumieniu takiém, jak ją pospolicie biorą.... Nie patrz na przyszłość jako na wesołą przechadzkę, po któréj bokach kwiaty rosną i szemrzą strumienie; ale jak na ciężką drogę, wiodącą do celu wielkiego.... Nic poważniejszego, nic surowszego, jak życie, a kto je chce zbyć żartami, ten go nie pojął."

Sfinx — przemówił. Otworzyły się kamienne usta jego i wypowiedziały dwa olbrzymie słowa: Bóg i ludzkość. W pierwszém mieszczą się pojęcia wiary religijnéj, ciszy klasztornéj, extatycznych pociech modlitwy i kojących nadziei nieśmiertelności; w drugiém,—doskonalenia się wewnętrznego, miłości cnoty, wierności obowiązkom, pracy święconej dobru ogólnemu, czynu i myśli walczących w imię lepszéj doli przyszłych pokoleń, uciech i trosk rodzinnych, rozkoszy głębokich, czerpanych z łona nauki,—ukojeń łagodnych, znajdowanych w mieniącém się niezliczonemi pięknościami obliczu natury.

Dla czego każdy z dwóch ludzi, wydzierając Sfinxowi zagadkę jego, inne wydarł mu słowo i zanurzył dłonie w innym zbiorniku ludzkich pociech i wsparć?—roztrzygają o tém charaktery i skierowania się, tak umysłowe, jak ogólnie życiowe, każdej z dwu tych jednostek.

Jan—jest artystą i posiada wszystkie cechy umysłu i charakteru, przywiązywane w czasach owych do ludzi twórczością obdarzonych. Jest on wrażliwy na każde najlżejsze zewnętrzne dotknięcie, a tak burzliwy, że wypadek, któryby nad tysiącem ludzi przeleciał i zabrzęczał, jak lekkoskrzydła muszka, dla niego jest gromem, od którego ziemia drży pod jego stopami. Przeważającą władzę moralnej istoty jego stanowi fantazya,—tuż przy niéj na szerokiém miejscu rozsiadło się uczucie, a biedny rozum, zepchnięty ku szaremu końcowi, rzadko bardzo otrzymuje prawo głosu. Ztąd niezmierna miękkość charakteru tego, gną-

cego się jak wosk pod naciskiem najlżejszym, i chwiejność umysłu, zmieniającego zamiary swe i przekonania przy lada silniejszym wpływie zewnętrznym; ztąd też rozpaczliwa niezaradność w powszednich sprawach życia, w stosunkach z ludźmi i walkach z przeciwnościami losu.

Nic dziwnego, że szczególna organizacya ta uczuwa pociąg ku wszystkiemu, co nadziemskie, niewidzialne, tajemnicze i cudowne; co z górnych błękitów zesłać mu może siłę, niepodobną dla niego do zdobycia na ziemskich nizinach; przyrzec mu pociechy zaświatowe, w nagrodę tutejszych bezowocnych walk; fantazyą unieść w krainy niezmazane żadnym pyłkiem ziemskiéj powszedniości, serce i myśl porwać w ogniste kręgi extazy. Wiara religijna, wszczepiona w dziecinne serce Jana, dwa razy gaśnie w nim i dwa razy rozpala się na nowo. Na woskowym umyśle człowieka tego pierwsze piętno skeptycyzmu i niewiary wyciskają drobne paluszki pięknej kobiety, drugie—troski i niepewności ubóztwa. Po raz pierwszy leczy go z choroby owéj widok mogiły matki, po raz drugi—uroczysta cisza świątyni i miłosiernie poglądające z cieni oblicza świętych. Jak widzimy więc, ani wiara, ani niewiara nie powstaje tu z myśli badawczéj i surowéj, z krwawych trudów rozumu, wydzierającego prawdę swą naucę, naturze, dziejom i losom ludzkim. O wierze i niewierze stanowią tu: wrażenie, fantazya, uczucie; najgłębszy zaś grunt natury téj, potrzebującéj zewnętrznego a choćby cudownego wsparcia, spragnionéj nieskazitelnego i nieprawdopodobnego na ziemi ideału, przeważa szalę na stronę wiary.

Prawy, szlachetny, wzniosły Jan nie należy do rodu silnych. Istoty jemu podobne stoją zawsze, wobec gwarów i labiryntów świata, w postawie białych Aniołów, owiniętych omdlałemi skrzydłami i w przestrachu, tęsknocie, tulących się do niebieskich sklepień. Gdy zaś niebieskie sklepienia nie otwierają się przed niémi, zlatują one tam, kędy najgłębsza na ziemi panuje cisza, kędy rozlegają się pienia najbardziéj do chórów Anielskich zbliżone, kędy kornie ku ziemi schylają się blade twarze i tęskno ku niebu wznoszą się spłakane oczy—w białe, milczące mury i zielone, samotne ogrody klasztorów.

W poemacie niemieckiego mistrza poezyi (Goethego) Prometeusz woła do Zeusa: „Czyś mniemał Ty, że życie znienawidzę i na pustynię ucieknę, dla tego, iż nie ziszczają się wszystkie sny o kwiatach?"

Ale Jan nie był z rodu Tytanów....

Inaczéj z Juliuszem. Ten także nie staje od razu przed czytelnikiem w pancerzu i przyłbicy rycerza niezłomnéj woli i odwagi. Zaczyna też życie od marzeń i—snów na kwiatach. Ale tak w psychicznym ustroju jego, jak w stosunku względem ludzi, zachodzi ta ważna z Janem różnica, że nie nosi on na sobie piętna wyjątkowości, a w sobie dumnego jéj poczucia. Czuje się on człowiekiem, równym w dostojeństwach wszystkim swym braciom ludziom, obowiązanym więc do dźwigania z nimi wspólnych brzemion pracy i cierpień. Jakkolwiek z początku życia swego myli się srodze, upatrując możliwość szczęścia przeważnie i wyłącznie prawie w miłości kobiety, od fatalnych następstw jednostronności tej ratuje go umiejętność panowania nad namiętnościami swemi i szczera, silna, rozumna miłość dla nauki, natury i kraju. Gdy nie ziszczają się „sny jego o kwiatach" nie znienawidza on świata i na pustynię nie ucieka; a jakkolwiek drugą tę fazę życia jego autor zarysowuje krótkiemi tylko i ogólnemi rysami, widzimy z nich wyraźnie, że obowiązek, praca, rodzina i natura, te dzielne podpory ludzkiego życia i bogate zdroje ludzkich pociech, nie zawodzą go wcale. Znajduje więc—szczęście, bo jak życie ludzkie nie składa się z samych tylko spraw olbrzymich i piorunujących katastrof, ale z mnóztwa szczegółów większych i mniejszych, często bardzo malutkich, lecz dla logiki całości niezbędnych; tak i szczęście nie zawiera się ani w jednéni wulkanicznem uczuciu, ani w jednym uroczystym momencie, ani w żadnej wyłącznie ze składowych części życia, ale w mnóztwie wrażeń, myśli, uciech, dążności, w mnóztwie chwil drobnych i rozproszonych po przestrzeni czasu, lecz które, należycie odczute i wyzyskane, składają się na syntezę jedynéj możliwéj człowiekowi szczęśliwości. Dla pojęcia i wyzyskania wszystkich żywiołów szczęścia, zawartych w życiu, trzeba pewnych uzdolnień serca, woli i rozumu. Juliusz uzdolnienia te posiadał, to też pewni jesteśmy, że nieraz, gdy ścigał okiem szlachetną i rozumną żonę swą, przesuwającą się po cichym domu jego nakształt czujnego, opiekuńczego ducha rodzinny,—gdy kochającém, badawczém okiem czytać usiłował w rozwijającym się umyśle syna zgłoski jego przyszłości,—gdy, cofając się wstecz, rachował godziny i cierpienia przeszłości swéj, dobru ogólnemu święcone,—gdy nad kartami rozwartéj książki myśl swą objęciem miłości splatał z myślami geniuszów, a z głębi wiejskiéj zagrody swéj z rosz-

koszą wpatrywał się w świetności letnich wieczorów, lub surową wspaniałość zimowych dni:—jesteśmy pewni, że we wszystkich tych drobnych na pozór, rozproszonych po przestrzeni lat, powszednich zda się, a jednak czystych i uroczystych momentach, Juliusz zapominał o Emmie, Maryi i Izie, przestawał wzdychać nad nieziszczonemi „snami o kwiatach", i z dłonią na spokojnie choć silnie bijącém sercu mówił: jestem szczęśliwy.

Tak być musiało i takie-to w istocie szczęście, jako jedynie możliwe i pożądania godne, autor ukazał na ostatnich kartach powieści, jako ostateczną odpowiedź na pytania: czém jest życie? i —gdzie jest szczęście?

Juliusz jest człowiekiem pospolitszym od Jana i zarazem—stokroć od niego wyższym. Słowo zagadki, które wydobył on z tajemniczych ust Sfinxa, świecić może jak słońce przewodnie nad szerokiemi drogami ogółu ludzi; jest ono w zgodzie zupełnej z istotną zdrową naturą człowieka i z pojęciami obecnych czasów. Być może, iż czasy przyszłe, pokolenia dalekie, odkryją w naturze świata i człowieka inne jeszcze cele życia i źródła szczęścia; lecz dziś, wśród dzisiéjszych stosunków i pojęć, na Jana ogół ludzi zapatrywać się może jako na poetyczny, mgłą czasu przyćmiony nieco, fantastyczne bardziéj niż rzeczywiste zjawisko przedstawiający obraz, w Juliuszu zaś każdy uczciwy, silny i rozumny człowiek pozna, lub poznać zapragnie samego siebie.

Oto dla czego powiedziałam wyżej, że zagadnienie filozoficzne, obu powieściom wspólne, w „Sfinxie" rozwiązane jest chwiejnie i jakby sposobem próby, a w „Pam. Nieznajomego" dopiero znajduje energiczną i jasną odpowiedź.

Spójrzmy teraz na przyczyny, które skłoniły autora do wcielenia myśli swéj w postać tak wyjątkowemi obdarzoną cechami i tak miękkiemi oznaczoną kontuarami, jaką jest postać Jana, bohatera powieści „Sfinx". Rozważenie przyczyn tych odkryje nam pewne ciekawe właściwości czasu i niemniéj ciekawe, nierozerwalne te węzły, które łączyć muszą najgenijalniejszego choćby pisarza z prądami przebiegającemi atmosferę umysłową, śród któréj żyje on i tworzy.

Według wyobrażeń czasu tego, w którym „Sfinx" utworzonym został, artysta, poeta, w ogóle człowiek obdarzony twórczością, był istotą inną wcale niż ogół ludzi, inną zasadniczo, rodzajowo niemal, tak dalece inną, że zrozumieć ludzi i dójść z nimi do zgody jakiejkolwiek było dlań niepodobieństwem zupełném. Ażeby istotnie godnym być wielkiego daru, musiał on uduchownić się, uduchownić się tak dalece, że ciało jego przemieniało się w mgłę różową, śród której widać było serce, jedno tylko serce, w postaci płomienia, nigdy nie gasnącego i wiecznie przeszytego strzałami bólu i miłości. Serce to było u niego jedyném siedliskiem duszy; mózg tajał we mgłę, równie jak nerwy i krew, które, jako czysta materya, nie posiadały wobec ducha prawa bytu, jak ręce, które oprócz pióra, pęzla lub dłuta, niczego, pod groźbą poniżenia, imać się nie mogły. Głową dotykał on niebios, a nogi jego nie dotykające ziemi przemieniały się w skrzydła. Nie myślał wcale, tylko marzył. Nie badał nic—bo wszystko przeczuwał. Było to coś nakształt połączenia w jednéj postaci: tytana, Anioła i proroka. Naturalnie i co za tém idzie niezbędnie, istoty tak zasadniczo różnéj od siebie, ludzie zwykli, pospolici, ani wyrozumiewać, ani należycie oceniać nie mogli. Artysta więc czasów owych zostawać musiał w stanie niezbędnego i bezzaradnego niezrozumienia. Bratnie serca odnajdywał tylko u podobnych sobie kapłanów sztuki, których dusze nawoływały się wzajem i szukały śród świata, nakształt smutnych, samotnych ech, przelatujących i spotykających się śród pustyni. Do tytana, Anioła i proroka przybywała jeszcze czwarta składowa część artysty, przypominająca wytwór téż owych czasów: niezrozumiana kobiéta.

Nie było tak dawniéj i później tak być nie miało. Pomijając już czasy staréj klasyczności, wieki XV i XVI, przedstawiają nam potężne postacie artystów takich, jak n. p. Michał Buonarotti i Leonard da Vinci, którzy byli nietylko mistrzami w sztuce, ale wielkimi uczonymi, patryotami i krzewicielami nie samych tylko estetycznych idei. Corregio nietylko nie buja w uduchownieniu wyłączającém wszelką przymieszkę materyi, ale owszem materya wielką odegrywa rolę w obrazach jego, a formy, pełne fizycznego zdrowia i siły, przeważają je niemal na stronę cielesności. Jeżeli przytoczymy tu, ogólnie znanych z charakteru swego, przedstawicieli szkoły Flamandzkiéj, nie będziemy potrzebowali mnożyć przykładów dla wykazania stanowiska zajmowanego względem ludzi i natury przez mistrzów sztuki z epoki Odrodzenia

To samo niemal da się powiedzieć o czasach obecnych. Dziś ludzie, posiadający w jakimkolwiek kierunku dar twórczy, nie

są i nie mogą być abstrakcyami oderwanemi od życia i społeczeństw swoich, nierozumiejącymi tłumu i nierozumianymi przez tłum synami geniuszów. Owszem, wiemy dobrze, że bardziéj jeszcze, ściśléj niż ludzie pospolici, „wpijają się oni w ziemię jak dziecię w pierś macierzystą" i ze wszystkiego, co na niéj żyje, czuje i myśli, czerpią soki żywotne dla twórczéj swéj działalności. Wśród dziś żyjących artystów trudno jest znaleźć takiego, któregoby dzieła a nawet życie uniknęło ostrego skalpela krytyki spółczesnéj; ale téż niepodobna prawie ukazać jednego choćby Kamoensa, umierającego na szpitalnym barłogu. Ani bożek, ani duch czysty, ani dziecię nieba, ale najwyborniéjszy płód czasu swego i społeczeństwa, artysta dzisiejszy nie bywa i nie ma prawa być nierozumianym; owszem, wtedy tylko zdobywa sobie imię mistrza, gdy zrozumianym jest najlepiéj i najogólniéj. Niezrozumienie stało się dziś niezbitym niemal dowodem nie talentu, ale przeciwnie, braku jego, lub braku uprawy, podnoszącéj zdolność pierwotną na stopień talentu.

Jeżeli tak było niegdyś i tak jest dzisiaj, zkądże powstały wyobrażenia owe o artyście, które w pierwszéj połowie naszego wieku panowały u nas i gdzieindziéj?

Wytworzył je romantyzm, ten szczególniéj kierunek romantyzmu, którego głównemi przedstawicielami w Niemczech byli Tieck, Novalis, Fr. Schlegel i inni, którego powiew czuć w pierwszych utworach mistrzów francuzkich, jak Sand i Wiktor Hugo, który téż zaznaczył wiele kart Słowackiego, Krasińskiego i nawet najtrzeźwiejszego z romantyków naszych, Mickiewicza.

Skrajny kierunek ten romantyzmu odznaczał się głównie dwiema cechami: gwałtowną żądzą, namiętném poszukiwaniem rzeczy i zjawisk nadzwyczajnych, groźnych, ponurych i wywyższéniem strony uczuciowéj człowieka z głęboką pogardą rozumu. Towarzyszyła mu téż silna reakcya religijna, skierowana przeciw prądom idei, przenikającym koniec zeszłego wieku. Dla romantyków kierunku tego piękności natury mieściły się tylko w ponurych nocach, dzikich rozpadlinach skalnych, puszczach pierwotnych i t. d. cnota i szczęście ludzkości —w dawno minionych wiekach, dostojeństwo człowieka—w uczuciu i wierze. Nie dziw więc, że artysta, ów najdostojniejszy na ziemi człowiek, uchodził za kwintessencyą uczucia i wiary. Nie dziw téż, iż życie zwyczajne i społeczność ze zwyczajnych ludzi złożona nie mogłyby się uważać za rodzimy grunt tego, który, nadzwyczajny sam i o nadzwyczajnych rzeczach marzący, pochodził z nieba, należał do nieba, a od ziemi otrzymywać mógł samo tylko niezrozumienie, same męki lub—skazy.

Jeden z przywódzców skrajnych owych romantyków w Niemczech (Wakenroder) w ten sposób wyraża się o tym przedmiocie: „Sztuka jest zwodliwym zakazanym owocem; ktokolwiek raz skosztował słodkich jéj soków, staje się nieodwołalnie straconym dla czynnego, żyjącego świata. Wobec rzeczywistości, *miękka* dusza artysty staje w bezzaradności zupełnéj." Inny romantyk niemiecki, Rückert, w ten sposób rzecz tę wyraża: „Jeśli chcesz w wieku męzkim władać mieczem wiedzy, nie powinieneś w latach młodzieńczych kosztować przysmaków sztuki."

Otóż i posiadamy klucz do otwarcia wnętrza duszy Jana w „Sfinxie", duszy téj o miękkich konturach i o jednostronnym rozwoju. Tchnienie romantyzmu przejmuje zresztą nawskroś powieść tę, nadaje jéj ów ton z jednéj strony podniosły istotnie, z drugiéj wpadający w łzawy sentymentalizm, uwyraźnia się zupełnie już jasno i bezspornie w sympatycznéj lecz na wskroś fantastycznéj i nadzwyczajnéj postaci doktora Fantazego, owego uczonego obłąkańca, który, niewiedzieć zkąd przybywając do powieści, niewiedzieć kędy znika, zapełnia kilka kart książki prześlicznemi, pełnemi poezyi rojeniami, lecz całym swym wpółdemonicznym, wpółpatologicznym nastrojem, przypomina nieodzownie blizkie sąsiedztwo Hoffmana. Romantycznym téż jest bez wątpienia malarz Bartrani, mistrz i zda się rodzony, choć starszy, brat Jana, wzniosły, słaby, wiecznie cierpiący, w sercu skoncentrowany i niezrozumiany artysta. Romantyczność objawia się wyraźnie w przewadze żywiołu erotycznego, który nietylko w „Sfinxie", ale jeszcze i w „Pam. Nieznajomego" usuwa niejako w cień wszystkie inne strony życia; w postaci Maryi, (Pam. Niezn.) przezroczystéj i rozwiewnéj jak mgła, a z proroczą trafnością *przeczuwającéj* nieszczęścia; w demonicznych właściwościach oczu Kasztelanowéj (Sfinx), które samém tylko spojrzeniém, bez współudziału słów ni czynów, zdobywają ludzi, czarują ich, piorunują i zabijają. Tymże samym wpływom przypisać należy głęboką religijność, która, przenikając obie powieści, w „Sfinxie" o krok zaledwie nie dosięga mistycyzmu, i ten zwrót, czci rzewnéj a wyłącznéj, pełny ku przedrafaelowskiéj szkole chrześciańskiego malarstwa, któréj Jan i brat

Franciszek zdają się być spóźnionymi lecz wiernymi adeptami.

Widzimy więc, że umysł wielkiego pisarza naszego nie uniknął naturalnego i powszechnego prawa, stwarzającego pomiędzy twórcami dzieł myśli i fantazyi a umysłową atmosferą, która ich otacza, pokrewieństwa nierozerwalne. Nie uniknął on prawa tego, bo łamać naturalną i powszechną logikę rzeczy nie jest w mocy człowieka żadnego, chociażby orężem jego był geniusz. Z innéj jednak strony, podlegając prawu powszechnemu, J. I. Kraszewski posiadł i wyzyskał przywiléj, będący własnością tylko tych, których orężem jest geniusz—przywiléj dopatrywania kiełkujących pod osłoną teraźniéjszości zarodów przyszłości, pochwytywania, wśród szumu i gwaru zjawisk i dążeń, zostających w pełni rozwoju swego, słabych, nieśmiałych dźwięków tych, które zaledwie się rodzą. Za mgłą romantyzmu, okrywającą dwie naczelne w okresie tym powieści jego i znaczącą je zlekka marzycielstwem, sentymentalizmem i niemal mistyczną religijnością, przebiega w tychże powieściach żywy, wartki i coraz rozszerzający się strumień zdrowego i jędrnego realizmu, który, godząc się wybornie z ideałami życia i sztuki, brata się zarazem z istotną naturą, z niéj czerpiąc dla treści prawdę, dla formy plastykę i koloryt. W „Sfinxie wszystkie niemal drugoplanowe postacie posiadają tę czerstwość i siłę życia, tę pewność rysunku i wydatność kształtów, które świadczą o tém, że genialne oko pisarza potrafiło przebić spójrzeniem czarowną, lecz z fantastycznych mgieł utkaną zasłonę i wyjrzéć na świat natury i prawdy. Samo nawet wyobrażenie o istocie i zadaniach artysty zdrowieje tu i mężnieje w czarującéj, choć nie czarodziejskiéj postaci Mamonicza, rzeźbiarza. Prosty we wzniosłości swéj, wesoły w ubóztwie, rozkochany w sztuce aż do narażania dla niéj życia na niebezpieczeństwa najsroższe, lecz niémniéj kochający świat i ludzi; wciąż poszukujący ideału piękna, lecz nie gardzący uczciwą pracą na chleb; Mamonicz czaruje, zachwyca, przykuwa do siebie czytelnika siłą swą i prostotą, zdrowiem, naturalnością i całkiem ludzką, lecz niemniéj wielką i świętą dobrocią. Realistycznemi także, choć w różnych całkiem rodzajach, są w „Sfinxie“ postacie Rugpiutisa, przebiegłego i moralnie zepsutego chłopa, quasi-malarzy Wileńskich i strasznych istotnie ich połowic, jak téż w „Pam. Nieznajomego“ owa dobroduszna a mądra, z jednéj strony anielsko a z drugiéj szydersko uśmiechnięta, nad wyraz sympatyczna a nawskroś żywa fizyognomia starego Wrzoska. Rzeźbiarz Mamonicz i filozof Wrzosek najdzielniejszemi są i najwznioślejszemi, a zarazem najbardziéj realistycznémi postaciami obu powieści.

Zwrót ten ku naturze i rzeczywistemu życiu, ku objektywnemu zapatrywaniu się na zjawiska i sprawy świata i konkretnemu ich przedstawieniu, więcéj jeszcze niż w „Sfinxie“ i „Pam. Nieznajomego“ uwyraźnia się w dwóch obyczajowych powieściach: „Całe życie biedna“ i „Milion posagu,“ w powieściach małych rozmiarem, lecz z których druga szczególniéj silnie zaznacza nową fazę, jak powieść w ogóle a w szczególności powieść polska pod piórem Kraszewskiego przyjąć miała. Jeżeli w obrazku „Całe życie biedna“, obok malowania tak wyrazistego, że aż graniczy z jaskrawém, znajduje się jeszcze jakaś mglistość i niepewność rysunku, a także jakaś fantastyczność, rzec można, excentryczność pomysłów,—jeżeli blada, sentymentalna, bardziéj do czystego ducha, niż do człowieka z krwi i kości, podobna Anna, a również wypadki takie, jak zjawienie się czarnego charakteru powieści jenocześnie z uderzeniem gromu, oraz żadnemi zrozumiałemi powodami nieusprawiedliwiona, i chyba jako kara niebios rozumiana, śmierć Anny, uciekającéj z domu męża,— przypominają jeszcze smak, manierę i wysubtylizowane pojęcia skrajnych romantyków; w „Milionie posagu“ nie spotykamy już nic, prócz objawów istotnéj, żywéj natury, ułożonéj tu ręką artysty w obraz, pełny syntetycznéj całości. Jest to może satyra bardziéj niż powieść, tłumnie może napełniona postaciami rysowanemi z natury, z mistrzowską już biegłością ręki, z humorem jowialnym czasem, a czasem z cicha, jakby niechcący, złośliwym, z wyrazistością zarysów i kształtów niemal dotykalną. W niewielkiéj powieści „Pod włoskiém niebem“ spotykamy się znowu z kilku nieodłącznemi symptomatami romantyzmu: z miłością szczególną, namiętną dla Włoch w ogóle, a dla Rzymu w szczególności, z przewagą żywiołu erotycznego i z naprężeniem uczuć erotycznych do stopnia tak wysokiego, że graniczą prawie z maniactwem. Jeżeli jednak o stosunku romantyków do krainy Włoskiéj ktoś powiedział, że Włochy takie, jak je opisywali oni, są krajem przez nich i dla nich odkrytym, bo prócz nich nikt ich takiemi nie widział i widzieć nie będzie; słowa te stosować się nie mogą do opisów kraju tego, danych nam przez Kraszewskiego, a posiadających tak

bogaty koloryt, taką plastykę i werwę, że czytając je, wierzyć koniecznie trzeba, iż są wiernym i nie upiększonym, choć pięknym, obrazem prawdy.

Najjaśniéj przecież, najstaléj, bez żadnéj już przymieszki ni skazy, zwrót zaznaczony powyżéj objawia się w najpiękniejszym zapewne z okresu tego utworze Kraszewskiego, mianowicie w „Latarni Czarnoksięzkiéj.“

Utwór ten, jeden z najpiękniejszych, jakie Kraszewski napisał kiedykolwiek, dla belletrystyki naszéj ważnym jest nieskończenie przez to, że bez wahania i na oścież otwiera przed nią nowe, jasne, szerokie drogi.

Ażeby jasno zrozumieć doniosłość powieści téj i ważność uczynionego przez nią kroku na przód,—porozumiejmy się co do natury i znaczenia tego rodzaju utworów, który nosi specyalną nazwę: powieści społecznéj.

Do cech jéj należy to, że wyjątkowość i fenomenalność wszelka są jéj ściśle wzbronione, a postacie w niéj działające muszą nosić na sobie wydatne piętna typów, czyli uwydatniać sobą właściwości grup społecznych, które w utworze swym autor ukazać zamierza. Uczucia, dążenia i losy zbiorowe występują tu wydatniéj, niż processa duchowe, odegrywające się w łonach jednostek. Zamiast subtelnego, drobiazgowego wgłębiania się w serca i charaktery ludzi pojedyńczych, skalpel psychologiczny analizuje tu ducha narodu całego, lub wielkich jego odłamów. Pod względem środków artystycznych, powieści takie działają szerokiemi i śmiałemi rysami, rozległe tła zaludniają tłumem różnorodnych postaci, zstępują aż do warstw ludności, zalegających najgłębsze dna społeczeństw, w ustroju pewnym, lub w pewnych zjawiskach społecznych upatrują nie samę tylko stronę uczuciową, ale przyczyn ich szukają we wszech czynnikach, urabiających naturę i losy społeczeństw: w pojęciach umysłowych, wychowaniu dziejowém, charakterze plemiennym i t. d.

Wszystkim tym warunkom, towarzyszącym powieści społecznéj, „Latarnia Czarnoksięzka“ odpowiada najzupełniéj. Jest to utwór do streszczenia bardzo trudny, czego dowód niezbity znajdujemy w przedmowie, w któréj autor z wyborną werwą opowiada troski swe, sprawione trudnością wynalezienia odpowiedniego dla powieści téj tytułu. Słusznie jednak u końca poszukiwań swych zawołał: Eureka! Znaleziony po wielu wahaniach się tytuł wybornie przedstawia osnowę i formę powieści. Są to istotnie tysiączne szkła magiczne, przez które czytelnik oglądać może społeczeństwo ówczesne ze wszystkich stron jego i we wszystkich niemal jego objawach; jest to mozaika, złożona z dyamentów, z których na każdym przedstawia się oku coraz inny obraz. A wszystkie te czarodziejskie szkła zaprawione są silnemi i wybornie harmonizującemi z sobą barwami, i wszystkie te dyamenty, spojone z sobą jednością przewodniéj myśli, układają się pod ręką mistrza w jednę artystyczną całość. Gdzie tu odegrywa się dramat, stanowiący, jak wiadomo, pierwszy zawiązek powieści każdéj?— Na przestrzeni kraju całego. — Kim są bohaterowie powieści? — Wielkie gruppy i warstwy ludności, na które rozpada się, z których składa się społeczeństwo. Gruppy te, to: arystokraci rodowi i pieniężni, dorobkiewicze, jarmarkowicze, gracze, sejmikowicze, szlachta zagrodowa, lekarze, prawnicy, chłopi. Nie braknie tu żadnego prawie z żywiołów społecznych, a wszystkie żyją, ruszają się, błądzą, cierpią, ścierają się pomiędzy sobą z takim gwarem i życiem, z taką prawdą charakterów i namiętności, szpetności i piękna; że w istocie, czytelnikowi zdawać się może, jakoby sprawdziła się na nim bajka dobrze znana, iż w czapce *niewidce* i *butach siedmiomilowych* przechadza się on wszędzie, widzi wszystko, podsłuchuje wszystko i, w dłoni trzymając karty książki, trzyma żywe, zbiorowe serce rodzinnéj swéj społeczności. Ogólna, przewodnia myśl powieści całéj mieści się w tryskającym z wielkiego serca wykrzyku: „ratujcie się! ratujcie siebie sami! Oto przed wami stają: śmierć i życie! Bądźcie godnymi życia, a kosa śmierci odbije się bezsilnie o hart piersi i jasność czół waszych!“ Naturalnie, surowa i smutna myśl ta usuwa na plan dalszy malowanie miłosnych rozkoszy i męczarni; romans, nie sentymentalny i eteryczny, lecz krwi i ognia pełny, przewija się tu jak nić purpurowa w paśmie, bogatém we wstęgi wszech uczuć, pojęć, cnót i błędów ludzkich. Dalekiém jest tu także od autora lekceważenie umysłowéj strony człowieka. Wobec plątanin społecznych, niezmiernie do rozwikłania trudnych, rozum odzyskuje prawa swe i dostojeństwo i jedną gwiazdą więcéj przyozdabia czoła szlachetnych i cnotliwych. Z kart powieści téj wieje jeszcze zdrowy, uczciwy, rozumny demokratyzm, pragnący dla maluczkich i pokrzywdzonych sprawiedliwości i poprawy losu, ale nie usiłujący zepchnąć na stanowisko maluczkich tych, którzy mo-

cą oświaty i pracy wznieśli się na wyższe szczeble dostojeństwa i cywilizacyi.

Po przeczytaniu powieści téj, bardziéj niż każdéj innéj, zawołać można: niedawno zda się, a przecież tak dawno! Na przestrzeni kraju, mnóztwo, mnóztwo rzeczy zmieniło się od czasu, w którym naród nasz ze wszech stron oglądać mógł samego siebie w latarni czarnoksięzkiéj, przesuwanéj przed nim ręką wiernego i mądrego jego syna. Zniesiona instytucya poddaństwa włościan, zmienione do gruntu warunki ekonomicznego rozwoju, napływ pojęć nowych i powstanie nowych potrzeb, sieci dróg żelaznych, które owinęły kraj, i obręcze nowych bólów i obowiązków, które opasały serca i sumienia,—zgładziły wiele zjawisk, naówczas istniejących, a wywołały wiele innych, przekształciły do pewnego stopnia charaktery, przeinaczyły osnowę istnień. Rozprzęgła się i zniknęła niejedna z ówczesnych grup społecznych; zmieniły się do gruntu wzajemne stosunki tych, które pozostały; do pracy około utrwalania fundamentów swych naród zapotrzebował i czasy mu przyniosły narzędzia, wówczas nieznane. Tak, a przecież powieść Kraszewskiego, „Latarnia Czarnoksiężka," pierwsza nasza powieść społeczna, nie utraciła wagi swéj i wartości; bo jeśli, od czasu ukazania się jéj, w łonie społeczéńswa naszego zaszły zmiany wielkie i ważne, jeżeli warstwa nowych potrzeb i pojęć przykryła te, które istniały podówczas, nie stłumiła przecież zasadniczéj dążności.

Jeżeli „Sfinx" i „Pamiętniki Nieznajomego" ukazały nam myśliciela, umiejącego spoglądać śmiało w oblicza najtrudniejszych do roztrzygnięcia zagadek filozoficznych, w „Latarni Czarnoksięzkiéj" poznajemy gorącego miłośnika ojczystéj ziemi i takiego jéj znawcę, że wielka miłość ta i to niewielkie znawstwo odkryć nam może tajemnice olbrzymiéj, przez długi potém szereg lat nie wyczerpującéj się ani na chwilę, jego twórczości. Nie podobna także i nienależy pominąć tu milczeniem, że, pisząc „Latarnię Czarnoksięzką", Kraszewski nietylko tworzył piękne dzieło myśli i fantazyi, ale dokonał też czynu istotnie obywatelskiéi odwagi. Czytelnictwo krajowe składało się wówczas wyłącznie prawie z tych klas i ludzi, w malowaniu których autor nie szczędził rysów prawdziwych, lecz ciemnych. Postać hrabiego Edwarda, marnotrawcy, żarłoka i oszusta, lub drugiego, hrabiego Alfreda, salonowego samoluba i zjadacza serc niewieścich, niemile działać musiały na uczucia utytułowanych czytelników książki. Historya chłopa Sawki, ten krótki, lecz pełny ognia i siły dramacik, błyszczący na kształt żarzewia, mającego rozniecić straszne pożary, mącić musiała niezawodnie pełną martwego spokoju atmosferę dworów i dworków szlacheckich. Wszystko to razem ściągnąć mogło na głowę autora chmurę niechęci i grad wyrzutów. J. I. Kraszewski nie przeląkł się przecież niebezpieczeństw i śmiałą pierś stawił goryczom, przywiązanym niezbędnie do zawodu głosiciela prawdy. Jest to w bogatym jego wawrzynowym wieńcu jeden więcéj, a pewnie nie najmniejszy, liść chwały. Jest to też jeden więcéj dowód téj prawdy, iż nie odzowną składową częścią każdego wielkiego talentu bywa szczerość i śmiałość. Drobne ptaszęta uciekają w popłochu przy najlżejszym szeleście; orła, mieszkańca gór, nie straszą szumy wichrów ani huki gromów. Słucha on gwaru burzy, znosi jéj pociski i—patrzy w słońce.

Pragnęłabym jeszcze powiedzieć coś o przedstawionych w powyższych powieściach Kraszewskiego postaciach i typach niewieścich, branych z różnych sfer społeczeństwa, i zaprawdę, ukazujących nam daleko więcéj smutnych, lub tragicznych, niż pocieszających i szczęśliwych objawów kobiecego ówczesnego świata. Pragnęłabym również, przytoczeniem kilku choćby naczelnych ustępów, dać czytelnikom próbę i miarę wielkiéj piękności i poetyczności, odznaczającéj stronę opisową powieści tych, stronę, która najwyższego mistrzostwa dosięga w opisach Rzymu (Pod włoskiém niebem), Klasztoru Kapucyńskiego i Warszawy za czasów St. Augusta, (Sfinx,) w obrazach natury, któremi niby dyamentami, z rozrzutnością istotnego bogacza, usiał autor „Pamiętniki Nieznajomego."

Z konieczności przecież poprzestając na ułamkowém zaledwie przedstawieniu przedmiotu, sprobuję tylko jednym jeszcze rzutem oka ogarnąć główne cechy i zasługi, rozwinięte i zdobyte przez Kraszewskiego w téj drobnéj cząstce jego działalności.

Wówczas Kraszewski, fantazyą swą i myślą stwarzając coraz nowe, a świeżością i pięknością pociągające obrazy, rozbudził też w narodzie swym miłość dla ojczystego języka; wkrzesił w nim wiarę w moc i żywotność rodzinnego piśmiennictwa; w ręce jego, przewracające niedbale kartki zdawkowych płodów literatur obcych, włożył książkę polską i w niéj, jak w zwierciedle, ukazał mu jego samego. Z książek Kraszewskiego społeczeństwo epoki owéj uczyło się wielkiéj mądrości po-

znawania samego siebie, z nich płynęła mu w serce miłość dla natury ojczystego kraju. Nie wszystkie zapewne, znajdujące się w ówczesnych powieściach Kraszewskiego pojęcia i artystyczne środki, do przedstawienia ich użyte, znaleźć mogą poklask dzisiejszego czytelnika. Czas płynął, a z nim do głów i piersi ludzkich przypływały prądy nowe, a upływały z nich dawne. Dziś znajdujemy w ówczesnych tworach Kraszewskiego coś z tego, cośmy już odrzucili, a nie znajdujemy czegoś, cośmy za swoje przyjęli. Lecz, gdy w następstwie czasu, silna i bogata organizacya umysłowa umożebniać miała Kraszewskiemu rozwijanie się, równoległe niemal z rozwojem powszechnych wyobrażeń i powszechnéj wiedzy, i wówczas już, rozważany w stosunku do czasu i społeczeństwa swego, Kraszewski ukazuje się nam jako przewodnik, umiejący spojrzéć daleko po drodze świata i dosłyszéć toczące się po niéj głuche szmery przyszłości. Dzisiejsze więcéj zapewne niż ówczesne społeczeństwo jest zdolne i mocne oddać mu hołd wdzięczności za to, że dostrzegł on i ogół przekonywać usiłował, iż w pracach tylko umysłowych i organizacyjnych spoczywa godność i szczęście ludów.

To wydarcie się z objęć rutyny tak umysłowéj, jak społecznéj, sprawiło, iż w epoce téj właśnie J. I. Kraszewski zbudował najszersze i najtrwalsze podstawy dla nowożytnéj powieści polskiéj.

Wtedy to, po chwilowém zaledwie wahaniu się, śmiało i stanowczo zwrócił się twarzą ku naturze i prawdzie, ku rzeczywistemu życiu natury i ludzi, i z nich pełnemi dłońmi czerpać zaczął dla powieści swych tła, postacie i ideje. Dojrzał on i dowiódł, że, nie przenosząc się w zaklęte krainy nadprzyrodzonych i nieprawdopodobnych zjawisk, na każdém miejscu rzeczywistego świata znaleźć można piękność natury, a w piersi i doli każdego, najzwyczajniejszego choćby człowieka, odkryć dramat i naukę.

J. I. Kraszewski jest niewątpiwie twórcą nowożytnéj powieści polskiéj, a obdarzenie ojczystego społeczeństwa jedną więcéj formą, w którą przelewać ono może myśli swe i uczucia, jedném więcéj narzędziem do uszlachetniania charakterów i oświecenia umysłów, staje obok wszystkich innych zasług i prac wielkiego pisarza i obywatela, jako jedno z pierwszych praw jego do miłości i wdzięczności żyjących i potomnych.

Co do nas, w późniejszéj już dobie przybyłych pracowników pióra, którzy wprzód, nim zaczęliśmy pisać, uczyliśmy się czytać i myśleć na książkach przez Kraszewskiego pisanych, my wszyscy powieściopisarze i beletryści w ogóle powiedzieć możemy, według starego, pięknego przysłowia, że, „jak gałęzie z drzewa swego, z niego początek swój bierzem.“ Przybywając, znaleźliśmy już dział piśmiennictwa, do którego wiodły nas skłonności nasze, *przez niego* uprawiony i wysoce udoskonalony; społeczeństwo, dla którego pracować zapragnęliśmy, *przez niego* do słuchania nas przysposobione; znaleźliśmy poważanie dla pracowników myśli, *przez niego* zapracowane i skłonność ogółu do cierpliwego słuchania rzeczy i ludzi nowych, którą w nim *on* wyrobił. To téż jeżeli kiedy ktokolwiek z nas, w miarę zdolności swéj i możności, przyniesie większy lub mniejszy pożytek społeczeństwu swemu, zdobędzie sobie wobec niego mniejszą, lub większą zasługę,—wielką zawsze część przyniesionych przez nas pożytków i zdobytych zasług sąd ogólny wpłecie, i sami z radością wpleść będziemy gotowi, w wieniec chwały, otaczający skroń naszego mistrza.

Eliza Orzeszkowa.

Trzecie dziesięciolecie.

(1850—1855.)

I.

(Dziwadła — Tomko Prawdzic — Ostatni z Siekierzyńskich — Stary Sługa — Interesa familijne — Złote jabłko — Komedyanci.)

Okres czasu, w którym cały ten cykl powieści, wymienionych w tytule, powstał, przypada właśnie na lata gospodarki Kraszewskiego w Gródku i Hubinie, przed przeniesieniem się na stałe mieszkanie do Żytomierza.

„Wszystkie powieści nasze współczesne, z owych lat, z których „Komedyanci" pochodzą (1850—1854), pisze on sam—oparte są na rzeczywistości, z niéj wzięte—odbija się w nich wołyński świat, na jaki się długo patrzało—nie tworzyliśmy nic, studyowaliśmy wszystko."

„Stendhal powiedział, że *powieść być powinna zwierciadłem, przechadzającém się po gościńcu*. Zawsześmy to określenie jego mieli na pamięci z dodatkiem, iż zwierciadło wypukłém, lub wklęsłém być może, jeśli sztuka wymaga tego."

Mówiąc daléj o genezie tworzenia, a właściwie odtwarzania owego powieściowego świata z rzeczywistości — dodaje, korzystając z przytoczonego porównania Stendhala: „Tu i ówdzie zwierciadło użyte było tylko wklęsłe, lub wypukłe; nigdyśmy się nie porywali na malowanie ludzi i sfer nam nieznanych, któreby odgadywać było potrzeba. I jeśli mają dziś jaką wartość te opowiadania, ciągną ją całą z téj trochy prawdy, jaka się w nich mieści."

Ale dlaczegoż takie zamknięcie się w granicach jednéj prowincyi, jednego niemal powiatu, dla czegoż tylko Wołyń ma być jedynie tém *teatrum*, na którém autor swoje figury wyprowadza?

Jest i na to odpowiedź w téj saméj przedmowie, z któréj zapożyczyliśmy powyższe cytaty:

„Żadna prowincya—pisze autor *Komedyantów* o Wołyniu—nie miała więcéj oryginalnych typów, więcéj w sobie żywotności — nad tę. Czuć było w niéj zasoby wielkie, które się tylko rozwinąć nie mogły wśród nieprzyjaznych im okoliczności. Największa rozmaitość charakterów, usposobień, wychowania i ukształcenia, składała tę społeczność, w któréj i z dawnych żywiołów wiele i nowo wyrobionych nie mało się obracało. Od szlachty Owruckiéj do półpanka w pałacyku, od książąt palących w piecach u żydów, do dorobkiewiczów z brylantami na palcach, nie umiejących pióra utrzymać—mieliśmy tam wszystkiego podostatkiem."

Dodajmy do tego, że autor od r. 1836 z małemi tylko przerwami całe lat 22 żył sam wśród tego wołyńskiego świata, że miał go ciągle przed oczyma, patrzącemi bystro i badawczo w otaczające go społeczeństwo, że nie znał wówczas jeszcze zagranicy, a Warszawę odwiedził w tym czasie zaledwie dwa razy, że nakoniec obfitość materyału dopraszała się niemal o zużytkowanie; a zrozumiemy, dla czego to ów

okres twórczości Kraszewskiego zamyka się przeważnie w powieściach, układanych na tle życia i stosunków Wołynia i wołyńskiego Polesia.

To „źwierciadło, przechadzające się po trakcie", wołyńskim odbijało z fotograficzną niemal wiernością osoby i rzeczy, typy i charaktery, życie i sprawy społeczności, która dzisiaj prawie, pomimo tak niewielkiej różnicy lat, do historyi po większéj części już należy.

I tak powieść, która przy swojém ukazaniu się była tylko „skromnym obyczajowym obrazkiem"—stała się z latami powieścią historyczną; powiedzieć o niéj można znowuż słowami samego autora, że „przynosi woń lat ubiegłych, stawia przed oczy cienie zniknych niepowrotnie postaci." Radykalne zmiany stosunków przekształciły tę prowincyą, jak i wiele innych.

Kraszewski jakgdyby instynktownie przeczuwał to wszystko, co w nawale czasu wypadki przyniosą, jakgdyby wieszczym duchem przewidywał jakąś wielką burzę, która rozrzuci „Złote jabłka," rozpędzi „Stare sługi," odmieni „Dziwadła" i inaczéj ureguluje „Interesa familijne;" jak gdyby przeczuwał inny, poważniéjszy dramat życia społecznego, w którym zwyczajni „Komedyanci" rolom swym podołać nie potrafią; jakgdyby wreszcie chciał przekazać nam tę allegoryczną postać *Tomka*, idącego w świat z płaczem szukać prawdy, a znajdującego ją po długiéj, bolesnéj wędrówce na progu ojczystéj chaty: zabrał się z niezrównaną skwapliwością do utrwalenia tego wszystkiego w swoich powieściach, co wkrótce miało uledz potędze losu i niszczącemu wpływowi czasu.

Owoż, z właściwą sobie tylko płodnością, utworzył w tym kilkuletnim okresie długi szereg dzieł, które, jakkolwiek nie imponują w porównaniu z późniéjszą jego pracą literacką, ilością tomów, wszelako, powiedzieć śmiało możemy, stanowią jednę z najjaśniejszych konstellacyi na horyzoncie jego twórczości. Zapominać bowiem nie należy, iż na lata między 1849 a 1854 przypada także napisanie „Powieści bez tytułu" i „Powieści ludowych," któreto utwory stanowią epokę w powieściopisarskim zawodzie Kraszewskiego. Zarzucano mu swojego czasu, że ponad wołyńskie opłotki nie podnosi oczu, a o całém społeczeństwie sądzi z ganku poleskiego dworku; że pewien zaściankowy pessymizm wiąże się do jego sądów o sprawach ogólnych szerszego zakroju; że zna wprawdzie wybornie swoję prowincyą, ale jéj miarą mierzy inne i ma wszelkie zalety, ale i wady lokalnego pisarza. Następne lata i późniejsze dzieła Kraszewskiego odmieniły i złagodziły ten sąd o jednostronności jego poglądów.

Mimo to, utrzymało się w pewnej części ogółu czytelników zdanie, iż cały cykl powieści wołyńskich niekorzystne daje wyobrażenie o ówczesnych stosunkach, że barwy ciemne przeważają w obrazach, charaktery ludzi nie budzą sympatyi, że po przeczytaniu takiego „Złotego jabłka" lub „Komedyantów" nie chciałoby się za nic w świecie żyć wśród tych panów podsędków, marszałków, hrabiów Denderów i Sulimowskich, złych albo złośliwych, zepsutych lub niedojrzałych. Nie chciałoby się témbardziéj, że wszyscy oni mają być wiernie kopiowani z natury, bez przesady i domieszki fantazyi autorskiéj,—tak podobni do swoich prototypów w rzeczywistości, iż po ukazaniu się téj, lub owéj powieści, jak nożyczki na stole, odzywali się sami. A nie miało to być nawet w intencyi autora fotografować pewne indywidua, on tylko „z pojedyńczych rysów stwarzał zbiorowe figury i nie myślał o fotografii."

Tém gorzéj dla społeczności, która autorowi tematu do tych powieści dostarczała.

Nie,—nie możemy się przyznać do wielkiéj sympatyi dla téj całéj galeryi typów wybitniéjszych, które, według zapewnień autora, mają reprezentować społeczność Wołynia przed r. 1852; a przecież, niechaj mówi kto chce, dla takiego rotmistrza Kurdesza, dla takiej rodziny Hieronimów Zawilskich, lub Dziadunia Dymitra, a wreszcie i dla Balów, warto po przeczytaniu tych powieści powrócić do nich po raz drugi.

A ponad tymi wszystkimi, wyższy o całą głowę, najsympatyczniejszy i najsilniejszy z wszystkich może bohaterów Kraszewskiego, wzór „człowieka, jakiego nam trzeba," ów pan Graba w *Dziwadłach*, tak po szlachecku porwie nas w objęcia, tak przyciągnie do siebie, tak podbije sercem i umysłem, że—raz go już poznawszy—kochać nie przestaniemy. I będziemy potém jego imieniem nazywali już wszystkich dobrych obywateli, zacnych panów, niestrudzonych ludzi pracy i poświęcenia, których nam los na drodze życia spotkać dozwoli. A nie mały to zaszczyt będzie dla tego, o kim powiemy.

— To drugi Graba z *Dziwadeł!*

Ale skoro nam ta postać tak bardzo utkwiła w sercu i pamięci, oddajmyż jéj należną sprawiedliwość i od niéj rozpocz-

nijmy przegląd powieściowych bohaterów cyklu wołyńskiego.

Wszelako najpierw słówko o saméj powieści.

Jakeśmy kolejno na początku wyliczyli tytuły, tak powstawały w umyśle i pod piórem autora dzieła, które—dodać należy—obok ciężkich i kłopotliwych zajęć gospodarskich, nie były jeszcze kompletnym wyrazem jego działalności pisarskiéj. Musielibyśmy tutaj jeden pokłon więcéj oddać autorowi, którego wiek nasz stawia za wzór pracy i płodności literackiéj; ale w jéj ocenieniu zastąpił nas lepiéj kto inny na początku niniejszéj książki.

Każde niemal z dzieł, o których mówić przypadło nam w udziale, posiada, obok wspólnych znamion ogromnego talentu swego twórcy, obok tych pokrewnych cech pochodzenia, właściwych zazwyczaj wszystkim utworom jednego i tego samego mistrza, swój, odrębny, właściwy charakter, wyróżnia się wybitnie główną przewodnią myślą, co jak woń z kwiatu—unosi się nad niém naturalnie, nie sztucznie zaszczepiona, posiada swoję osobną atmosferę, w któréj ta, lub owa kwestya społeczna, czy moralna—rozwija się przed oczyma naszemi w mistrzowsko nakreślonym obrazie. Słowem, każda niemal z tych powieści ma jakąś odrębną żywotność, która ją stawia samę w sobie i dla siebie na osobném miejscu; każda porusza jakieś wyższe zagadnienie, które poza artystyczną wartością utworu nadaje mu szczególniéjsze znacznie faktu nie tylko saméj literackiéj miary. Mamy tu na myśli obywatelską stronę tych utworów i wykazać jéj nie omieszkamy.

Powinnibyśmy może, ściśle rzeczy biorąc, rozpocząć od *Ostatniego z Siekierzyńskich*, w którym rozwiązanie kwestyi szlacheckich wspomnień i przywilejów, wobec wymagań wieku, nadawałoby się właściwiéj za wstęp do zcharakteryzowania nowego rzeczy porządku w ustroju społecznym, jaki Kraszewski nakreślił śmiałą ręką w *Dziwadłach.*

Ale nie chcemy przerywać chronologicznego porządku.

Gdyby nie pilna potrzeba zasilenia „Tygodnika Petersburskiego“ w r. 1849 *Dziwadła*, przytłoczone w tece autora co raz nowszemi pracami, byłyby może pozostały niewykończone i nie przyozdobiły szeregu najcelniejszych utworów Kraszewskiego z téj epoki. Dość na tém, że powstały; złożyło się dwa tomy powieści, pisanéj formą mięszaną: częścią w listach, częścią zwykłém opowiadaniem.

„Powieść ta, pomimo żwawych krytyk, większe może miała powodzenie nad inne, —mówi autor w przedmowie do ostatniego wydania z r. 1872,—lepiéj przyjętą została, niżeliśmy się spodziewali; przypisujemy to nie wartości jéj, ale pragnieniom i dążności, jakie myśl główna obudziła.“

Nie myli się Kraszewski, przypisując głównie tendencyi tego utworu tę wielką wziętość, jakiéj do dzisiejszego dnia jeszcze używają *Dziwadła*, jakkolwiek pod względem artystycznym, techniki układu i sposobu obrazowania, wiele innych je przewyższyło. Choćby tylko wspomnieć najbliższe w szeregu tym „*Interesa familijne.*“

A całą swą wartość zawdzięcza ta powieść jednéj postaci, jednemu charakterowi—panu Grabie; dodajmy, *par courtoisie pour les dames* i Irenie, lecz z nią rozprawimy się w innéni miejscu.

Odmałować jakiś kąt, deskami od świata zabity na zapadłém Polesiu, w którymby się znalazły wszystkie wady i śmieszności, wszystkie niedostatki i zbytki prowincyonalnego życia; pokazać te stosunki, jak one się przedstawiały w rzeczywistości: to obywatelstwo bezduszne, pijące, polujące i żyjące z dnia na dzień, kontente, że je Pan Bóg stworzył,—tych marszałków powiatowych, cenionych nie według głowy i charakteru, ale według kucharza i piwnicy, tych ziemian, nie znających innéj przyjemności nad karty, lub pijatykę w miasteczku, nie widzących daléj, jak poza koniec swojego nosa; nadać temu koloryt miejscowy, realny; zapełnić figurami żywcem wziętemi ze świata; powiązać pospolitą intrygą, do któréj jedynie byłyby zdolne: — taki był plan powieściopisarza. A dopiéro na tém tle szarawém postawić figurę jasną, czystą, piękną, szlachetną, typ dobrego i rozumnego obywatela, zacnego człowieka, dzielnego gospodarza i powiedziéć: „Patrzcie, oto takiego nam potrzeba, jak ten, a mamy tylko takich, jak tamci!“; zlać w tę postać wszystkie idealne rysy pożytecznéj i wpływowéj jednostki społeczeństwa, potrzebującego więcéj, niż każde inne, ludzi czynu i silnych przekonań: oto było zadanie autora.

Nazwał on swego bohatera *dziwakiem*, bo takim wydać się musiał tym, którzy go nie pojmowali, wyższych celów jego nie rozumieli, w pracy około dobra społecznego z nim razem iść nie mogli. Smutno się robi na myśl, że jeszcze przed ćwiercią wieku należeliśmy do społeczeństwa, w którem *dziwadłami* nazywano ludzi, co się odważali inaczéj czuć, inaczéj myśléć, i inaczéj swoje obowiązki obywatelskie pojmować.

Pan Graba, jeżeli tak powiedzieć można, ma za dużo rysów dodatnich, jak na postać realną; prawie uwierzyć się nie chce, aby gdzieś na naszéj ziemi istniał taki szlachcic, co to potrafił urządzić sobie życie w najdrobniejszych szczegółach według programmatu z dewizą: miłość i praca; a co więcéj, aby taki programmat dał się ze wszystkiém przeprowadzić, pomimo wszelkich przeciwności i przeszkód. Prawie wierzyć się nie chce, aby ten ideał obywatela i ziemianina miał się urzeczywistnić; aby w każdym wiejskim dworku znalazł się kiedyś taki pan, kochający włościan, jak własnych braci i starający się więcéj o ich dobro materyalne i moralne, niż o siebie samego; którego gospodarstwo byłoby wzorową szkołą, dom przybytkiem sztuki i nauki; któryby miał za cel życia: ,,być użytecznym bliźnim, a umysłem i czynem wznosić się jak najwyżéj, jak najbliżéj ku bóztwu, którego jesteśmy obrazem."

A za środek do tego celu udoskonalenia własnego, zużytecznienia wszystkich sił naszych, wszystkich chwil życia, uważał: pracę i ofiarę.

— Bez trudu nad sobą i poświęcenia dla bliźnich, ani pomocnymi społeczeństwu, ani sobie samym czém być powinniśmy, nie będziemy, — powiada Graba. Życie dla niego jest krwawym bojem i musi nim być dla każdego, co je z powagą, jako brzemię, jako obowiązek, jako wielką missyą spełnia. Nie ma on i nie szuka żadnéj za to nagrody; co robi—robi dla własnego przekonania. Nikt go nie zachęca, prócz własnego sumienia. Sąsiedzi nienawidzą go i wściekają się na jego dziwactwa, tłómaczą najpoczwarniéj jego postępowanie; są wszelako tacy, co go cierpieć nie mogą, ale mimowolnie szanować muszą. Ten dziedzic bogatych włości jada przy jednym stole z czeladzią, chodzi za pługiem, kiedy trzeba parobka do orki przyuczyć; ale wolne chwile spędza w zbrojowni, lub w bibliotece, pełnéj dzieł sztuki.

Pracuje, bo kocha; miluje, bo się poświęca; *gdzie samolubstwo, tam śmierć!*

Tę chrześciańską zasadę stara się zaprowadzić na każdém polu pracy społecznéj i nigdzie go ona nie zawodzi.

Takim-to jest ów pan Graba, którego autor nie zrobił nawet bohaterem powieści, chociaż go czytelnicy instynktowo przeczuli. A ten ,,wzór człowieka, jakich potrzebujemy," (a że potrzebujemy bardzo jeszcze i dziś, o tém przekonywać nie trzeba)— nie jest nawet szczęśliwym w życiu: nosi w sercu ból i zawód, który innemu mógłby całe życie złamać i służyć za wymówkę apatyi i odrazy do świata. Ten człowiek jest najnieszczęśliwszym mężem, którego żona dlatego porzuciła, że nie chciał dla niéj marnować majątku, wyjeżdżać za granicę, prowadzić domu na stopie wielkoświatowéj. A on i tę swoję Terenię kocha jeszcze i żyje z jéj przyczyny w ciągléj męczarni, jak Salamandra, ten symbol namiętności, w płomieniach.

Zaiste, można go nazwać *dziwadłem*, ale prosić Boga zarazem, aby nam wszystkim *tak* zdziwaczéć pozwolił...

Jakgdyby potrzeba było jeszcze bardziéj uwydatnić tę idealną postać *dziwaka* i dać mu jakiś cień, któryby pozwolił jego konturom odkroić się silniéj, wyraziściéj, autor pod koniec prawie powieści wprowadził nową figurę, tak samo jak Graba zranioną w serce zawodem, ale zdziwaczałą na prawdę: Piotra Dolskiego. Człowiek to nieszczęśliwy, odludek, bo przeboléć i przebaczyć nie umiał zawiedzionéj miłości, trochę zdziczały w swojém podziemiu, w którém niby drugi Machnicki waryat, ów „Król zamczyska"—lata całe przepędził. A było w nim także dużo materyału na innego człowieka; zabrakło sił, woli, hartu zasad, wiary w Boga i wiary w siebie. Zdziczał, jak ziele, które okwitło pod skwarem słońca, ale na nic się więcéj przydać już nie mogło.

O panu Grabie moglibyśmy jeszcze mówić długo, zawsze z jednaką przyjemnością, z jednakim szacunkiem; moglibyśmy z jego aforyzmów ułożyć cały katechizm obowiązków obywatelskich, tyle w słowach jego prawdy, tyle serca wielkiego i wielkiego umysłu; a przecież i on nie bez *ale*...

Żal nam wytykać mu cośkolwiek, prawie nie śmiałoby się wspominać o tém; ale cóż? pan Graba pokutować musi nie za siebie, ale za wszystkich niemal bohaterów Kraszewskiego, jednym i tym samym obciążonych zarzutem. Pan Graba, tak świetnie wyposażony tylu przymiotami, tylu dodatniemi rysami charakteru, tak znakomicie usposobiony do akcyi, do działania —w powieści zajmuje stanowisko dość bierne; słuchamy go tylko i z jego ust dowiadujemy się o jego wartości moralnéj, ale czynów widzimy mało. Gdyby nie mówił o sobie, może zaledwie przez połowę nauczylibyśmy się go cenić i poważać.

Nie możemy, pomimo chęci zajmować się wszystkiemi osobami téj zajmującéj powieści, ani paradnym koniuszem Suminem, ani słodziuchnym jego wrogiem kapitanem, ani

główną figurą powieści, około któréj właściwie cała akcya się toczy, Jerzym, zrehabilitowanym utracyuszem i wietrznikiem warszawskim;—nie możemy dłużéj wpatrywać się w ów powieściowy kalejdoskop; bo nam spieszno do innych, a przedtém jeszcze choćby na chwilkę zatrzymać się musimy przy pięknéj Irenie. Należy się jéj to nie tylko, jako godnéj towarzyszce pana Graby w *Dziwadłach*, ale jako rzadkiemu typowi kobiecéj galeryi ze wszystkich powieści Kraszewskiego.

Zbytecznem byłoby powtarzać po raz setny i pierwszy, co pod względem pewnego pessymizmu w przedstawianiu charakterów kobiét zarzucano autorowi *Czterech wesel* i *Orbeki*. Może miano poniekąd słuszność wymagać po nim, aby do swych powieści mniéj wprowadzał postaci ujemnych. Niezaprzeczenie, było w tém wiele racyi; ale może téż nie ze wszystkiém należało winić autora, że „zwierciadło, chodzące po gościńcu" odbijało takie kobiety, jakie najczęściéj spotkać się zdarzyło na szerokich traktach życia, a że odbijało wiernie i nie zeszpecało bynajmniéj fizyognomii, tego choćby najwierniejsi rycerze płci pięknéj zaprzeczyć nie mogą, jak i tego, że owych ujemnych typów autor nie wysnuł ze swéj fantazyi, ale zbierał —niestety—z rzeczywistości.

Powiedział ktoś, że u nas przeciętny typ kobiety dobréj nie nadaje się bardzo do szerszych ram powieści lub dramatu; że jest on w pewnym względzie bierny, pozbawiony rozmaitości, i podobny jeden do drugiego, jak lilia do lilji; przez swoję prostotę i skromny wdzięk przyrównać się daje do tych kwiatów łagodnéj woni, a nie krzyczących barw, które się stawia na ołtarzu Panu Bogu na chwałę, ludziom na pociechę. Nie pomylimy się, twierdząc, że wszędzie i zawsze w dziełach sztuki, może po części tak, jak w życiu,—kobiety dobre, cnotliwe i święte są w mniejszości i mniéj mają szczęścia do właściwego ocenienia.

Ale porzućmy reflexye, a stańmy raz przed dworem w Rumianéj, gdzie panna Irena gospodaruje sama w towarzystwie przyjaciółki i *quasi* rezydentki, pani Lackiéj; przypomina ona po trosze w głównych duchowych zarysach swego sąsiada, pana Grabę. Młoda, piękna, bogata, niezależna, wykształcona, trochę filozofka, trochę sawantka (w tém najlepszém znaczeniu), dowcipna, a energiczna prawie po męzku, mogłaby zawrócić głowę i podbić serce najtwardszego kawalera maltańskiego i zmusić go do złamania celibatu. Połączyły się w tym charakterze pierwiastki męzkiéj i kobiecéj natury, jest w niéj coś z lwicy; ale właśnie dlatego, że lwica, a taka przytém dobra, czysta, potulna, gdy trzeba, figlarna nawet, choć umiałaby być groźną i straszną,—właśnie dlatego, że swojéj siły nie nadużywa, nie popisuje się nią, podbija wszystkich i zjednywa.

„Nie jest to ideał nasz,—powiada o téj swéj heroinie Kraszewski,—ale istota żywa i podległa słabości wieku i czasu, jak wszyscy: bez tego byłaby zimną i powszednią."

Z téj saméj gliny wszelako, co takie Ireny powstają czasami owe „mężyce," jeżeli im stwórca mniéj trochę swego ducha tchnął w obliczę. Zdarza się także, że wyrastają z nich z czasem owe dziwadła w spódnicy, dla których francuzi mają osobną nazwę: *les femmes fortes*.

Jak na wyjątek, jak na „okazową pannę," Irena jest zajmującą; żeby wszelako społeczeństwo dużo zyskać miało z takich kobiet, rezolutnych wprawdzie i umiejących sobie radzić w życiu, ale żyjących więcéj jakąś wyrozumowaną teoryą, niż uczuciem,—nie powiemy; i dla tego, nizki ukłon oddając jéj wszystkim zaletom umysłu i charakteru, odchodzimy od niéj ze słowami autora: „nie jest to nasz ideał."

Zresztą przesądzać ze wszystkiém trudno, bo w bohaterce *Dziwadeł* poznaliśmy tylko kobietę w mniejszéj połowie jéj życia: widzieliśmy ją, jako pannę Irenę; a w dniu, kiedy zaczęła właściwą swą rolę społeczną, kiedy została panią Jerzową, autor zrobił kilka punktów i powieść podkreślił. Epoka jéj nowego życia, epoka obowiązków i poświęceń, w któréj kobieta w całéj pełni dopiero jaśnieje, duchowo i sercowo dojrzewa, została dla nas zakrytą na zawsze.

Wolno nam domyślać się jak najlepiéj; ale jeżeli co, to pewni być możemy, że nigdy z niéj nie zrobi się taki dziwolążek, jak owa znudzona, rozstrojona, niesympatyczna, choć zbiedzona—prawda że z własnéj winy,—pani Lacka, która wyrzekła się prawdziwego uczucia i zaparła własnego serca dla świetniejszéj partyi i bogatszego męża.

*

Podobnie, jak *Dziwadła*, i następna „powiastka, jeżeli ją tak nazwać można," *Tomko Prawdzic*, — nie powstała od razu, nie wyszła z pod pióra Kraszewskiego cała, jednolicie tworzona. Autor rozpoczynał ją, rzucał, powracał znowu do niéj i przestawał kilka razy, ale w rezultacie dokończył wreszcie w roku 1850, i przesełając swoję

„wierutną bajkę“ Waleryanowi Wróblewskiemu w Zielińcach, tak się o niéj wyraził w przypisku: „Dziwaczna to ramota, kochany Waleryanie, a może i nic potém; ale jak biédne, chore, słabiutkie dziecię, ja ją kocham, i jak przyjacielowi ojciec—to dziecię przynoszę.“

Nie bardzo tam ono slabiutkie i biedne, a już, że nie chore, to pewna, bo pełne zdrowych myśli i uczuć; możeby pociągnięte na ścisły examin przez dzisiejszą filozofią nie ze wszystkiém się ostało, możeby nie rozruszało tak bardzo umysłów, przyzwyczajonych *jurare in verba magistri*, i nic zadających sobie pracy tyle, aby krytykować w powiastce jakieś filozoficzne teorema. Znalazłoby się wielu takich, co, nie doczytawszy do końca całéj książki, wynieśliby z niéj całkiem fałszywe wyobrażenia i zarazili się sceptyzmem barona von Teufla, *recte* złego ducha, który w widoméj postaci występuje, jako jedna z najważniejszych figur w powiastce, bo jako *spiritus contradictionis*.

Ale zważmy, że *Tomko* takim, jakim jest, „powstał w latach, gdy u nas tak nie dawno jeszcze wszystko na filozofią chorowało.“ „Dziś może mniéj zajmie,—powiada sam autor,—bośmy zupełnie zobojętnieli, nie żebyśmy mieli być lepsi, ale żeśmy na innym jakimś szczeblu życia, na którym nie wiele nam chodzi o to, co w istocie najgoręcéjby serce i umysł zajmować powinno. Nie umiem określić nawet, co dziś najbliżéj serca naszego? a boję się zgadywać, bym przykrzejszéj nad wszystkie, w téj książeczce zawarte, prawdy nie powiedział.“

Pragnął Kraszewski w swoim *Tomku* przedstawić tego kołaczącego się ducha wieku, który uwziął się wszystko zbadać, wszystkiego dociec, zapuścić sondę krytyki na samo dno i znaleźć tam tę jednę, wielką, bezwzględną prawdę, szukaną na wszystkich drogach przez ludzkość całą, od chwili narodzenia się pierwszéj myśli na ziemi.

Czy to najwyższe dążenie ducha ludzkiego, ten cel w postaci wiecznego znaku zapytania, poznanie jednéj, jedynéj prawdy, osiągniętym zostanie? czy ta ciągła pielgrzymka ludzkości coraz wyżéj, coraz stromiéj, coraz niebezpieczniéj, zakończy się kiedy? czy ludzkość, z etapu na etap dążąc bez wytchnienia, ma kiedyś stanąć u końca swéj drogi?... nie wiemy jeszcze, jak i nie wiemy tego, czy życzyć sobie téj ostateczności należy.

W starożytném Sais, w ziemi Faraonów, był ongi tajemniczy posąg bóztwa, zakryty przed oczyma śmiertelnych. Wyrocznia zabraniała surowo podnosić zasłonę, pod karą... poznania prawdy. Znalazł się raz tylko śmiałek, który o północy, pomimo zakazu kapłanów, strzegących bóztwa, wtargnął do świątyni, świętokradzką ręką podniósł oponę i padł bez zmysłów; troska przecięła jego lata młode,—tego co widział, opowiedziéć nikomu z żywych nie potrafił.

A przecież w ślady tego młodzieńca, który życiem przypłacił poznanie prawdy, idziemy wszyscy; dla czego?... bo to samo bóztwo, co nam ją zasłoniło, zaszczepiło w duszy naszéj szlachetny popęd, wyróżniający nas od wszystkich innych stworzeń na ziemi — popęd szukania prawdy, wlało nam w piersi „przeczucie innego świata, w którym wszystko znać i wiedziéć będziemy, z wszystkiém się w Bogu w całość połączym.“

Dziwna to gmatwanina pozornych sprzeczności, a jednak jéj ludzkość zawdzięcza swoje podniesienie się i uszlachetnianie bezustanne, jak gdyby ogień niezaspokojonych pragnień w jéj łonie był tym żarem letniego słońca, pod którego promieniami dojrzewają pełne kłosy dusz ludzkich i umysłów.

Na wzór owego młodzieńca w Sais, *Tomko Prawdzic*, szlacheckie dziecko poczciwych dwojga Litwinów, wybiera się w świat daleki szukać prawdy; w drodze znajduje towarzysza, figurę à la Hoffmann wymalowaną. Ten człowieczek w peruce i staroniemieckim stroju, ten baron Lucyper von Teufel jest uosobieniem sofizmatu i negacyi. Idą tedy obaj razem, i po kolei, wszędzie, u ludzi i u przyrody pytają: co jest prawda? Ale ani ziemia, ani niebo, ani żadne stworzenie, ani prostaczkowie, ani rozumni akademicy, ani nikt dokładnéj odpowiedzi dać im nie może. Każdy ma prawdę dla siebie, ma swoję prawdę; najmędrszy i najmniéj zarozumiały „wié, że nic nie wie.“ Wszystkie najpoważniejsze działy nauki i umiejętności ludzkiéj nie mogą się zdobyć na odpowiedź, któraby Tomka zadowoliła. Rozumowania filozofów, astronomów, matematyków, fizyków, przyrodników, wszystkie metody, wszystkie systemata nie mogą go przekonać; czemuby sam uwierzył może, to zręcznie podrzuconém słówkiem wątpliwości, sceptycyzmu, baron von Teufel obala w jego oczach.

Zrozpaczony, pomieszany, woła po tylu doświadczeniach:

— Prawda! jest prawda! Niéma prawdy! Wszystko jest prawdą, wszystko jest fałszem, wszystko ułudą!

Wówczas, nad krawędzią przepaści, do

któréj po rozstajnych doszedł drogach, spotyka go stary nauczyciel Dołęga i w prześlicznych słowach krzepi zbolałego, tłómacząc mu, że prawdy jednéj, absolutnéj, w zdaniu jedném, w miejscu i kątku pewnym, w kilku wyrazach ludzkich zamkniętéj, w wyłącznéj jakiéjś istocie, w jednym rodzaju żywota, niéma i być nie może.

Prawdą jest wszystko, co istnieje; prawdą jest życie, byt; a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg!

Całéj prawdy nie znajdzie na ziemi nigdzie, tylko skorupki rozbite z tego bozkiego naczynia, które, spadając z nieba, w kawałki się rozprysło; tylko bryzgi świecące rozsypane są po naszéj drodze.

— Prawda jest w Bogu, a Bóg jest prawdą, co pochodzi z ducha; wszystko fałszem, co rodzi się z ciała i materyi, to jest ze śmierci: — powiada Dołęga do swojego ucznia.—Nie szukaj prawdy w samym sobie, ani szczęścia w sobie samym; staraj się o szczęście drugich, żyj cały w braciach, umiéj się poświęcać, a znajdziesz i prawdę żywota i szczęście. W nauce prawdą jest, że nic spełna nie umiemy, nie wiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności, ludzie upokorzeni wołają: wiemy, że więcéj jest daleko nad to, co umiemy i rozumem naszym dójść możem. Na dnie istotnéj nauki— pokora. W świecie moralnym prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jéj losami. W świecie domowym prawdą jedyną jest miłość, pobłażanie i poświęcenie,—znowu żywot ducha, a nie ciała; usamowolnienie umysłu i duszy, spętanie zwierzęcéj części człowieka... Ale nie myśl,—powiada w końcu Dołęga,—by nauka była najwyższą zasługą człowieka, a wiedza szeroka problematem jego doskonałości. Nie, stokroć nie! jesteś w błędzie! Czyn jest wyższym od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki.

Po téj nauce, którąśmy tu słowami samego autora streścili, *Tomko* powraca do rodzinnéj zagrody, postarzały duchem, zbiedzony walką wewnętrzną, gorączką poznania téj wielkiéj, utajonéj kochanki jego myśli,—wraca, aby zapłakać na ojcowskim progu i zawołać:

— Prawda jest w sercach poczciwych, prawda jest, gdzieśmy bliżéj Boga. Nie! ani mądrość wasza, ani miasta wasze nie są prawdą.

W przedsłowiu do *Tomka,* Kraszewski spowiada się czytelnikowi z tego, że czuł dobrze, jak wielkie i niestosowne zadanie w maluczkich i lekkich objąć chciał ramach; wiedział, że na to „Jean Paul'a i jeszcze jakich kilku w dodatku piór potrzeba było, żeby to choć znośném uczynić.“ Otóż i wskazówka, kto mu podszepnął myśl napisania „powieści filozoficznéj“; ten Jean Paul Richter, ulubieniec Kraszewskiego wraz z anglikiem Sternem i fantastycznym Hofmanem, podsunęli mu prawdopodobnie pomysł napisania takiéj „wierutnéj bajki,“ którejby się słuchało z zajęciem, jak bajki, ale nad sensem moralnym rozmyślało poważnie.

Czy ten rodzaj powieści, przeszczepionéj do nas z zeszłego wieku, w którym romans przechodził jeszcze epokę krytycyzmu, ma jaką racyą bytu? czy nie jest po trosze anachronizmem? nie chcemy rozstrzygać stanowczo; zdaje nam się tylko, że gdyby Jean Paul, który musiał być ojcem chrzestnym *Tomka* i pokumał się z autorem przy téj okazyi, skorzystał był z tego samego tematu, to, pominąwszy, że jego *Prawdzic* byłby niezawodnie niemieckim professorem, jak Quintus Fixlein, że rozprawiał-by długo i szeroko o każdéj drobnostce i całe traktaty filozoficzno-teologiczno-przyrodnicze spisywał, możemy być pewni prawie, iż takiego zakończenia, naszego, szlacheckiego, iście polskiego zresztą, nie byłby dał swojéj książce.

Kraszewski swego Tomka zawraca pod ojcowską strzechę, na rolę, do rodzinnéj wioski, do tego pługa, za którym rodzic chodził, śpiewając godzinki, do tego życia powszedniego, wieśniaczego i pracy ziemianina, bez względu na to, że mu przez głowę przeszły wszystkie systemata filozoficzne; każe mu do nóg paść tym staruszkom ciemnym, nie oświeconym, prostaczkom, co mu życie dali i pozostać przy nich, i po nich wziąć spuścizną resztę przyszłości, mienia i poczciwéj tradycyi, aby kiedyś wyrość jeszcze na takiego... pana Grabę w swojém społeczeństwie.

*

Bierzemy do ręki trzecią z koleji powieść, sympatyczną już z pierwszéj karty na początku, która powiada, że książka powstała jako upominek, Władysławowi Syrokomli posłany przez autora po odwiedzinach z księgarzem B. M. Wolffem w Hubinie r. 1850.

Ostatniego z Siekierzyńskich pisał Kraszewski w Czerwcu i Lipcu, podczas letnich zajęć gospodarskich; nie wiele mu spokojnych chwil zapewne zostawało do tworze-

nia powieści, która pod względem artystycznym ma swoje słabe strony, wlecze się jak uboga szlachcianka rzemiennym dyszlem, przystając po drodze to tu, to tam, i opowiada *ab ovo* całą niemal genealogią zacnego Siekierzyńskich rodu, o którym nie wie ani ksiądz Niesiecki, ani Paprocki i Okolski, ani herbarz, ani kronika, tylko pan stolnik nurski ś. p. J. M. P. C. Piotr Kornikowski, figura z całą prawdą charakterystyki swego wieku zmyślona przez autora.

Ta skromna historya szlachecka, jak ją autor nazywa, miała swojego czasu,—a bodaj czy i dzisiaj jeszcze w części przynajmniéj nie ma,—bardzo poważne znaczenie. Nie tak to łatwo było wetknąć kij w mrowisko, nie tak to lekko przyszło ukorzyć się przed nowemi wymogami wieku i dla dobra nowego rzeczy porządku wyzuć się z tradycyjnych praw i przywilejów i odezwać się głośno:

— Panowie bracia, klejnotnicy, szlachto, jakakolwiek jesteś—przyszedł czas wejrzenia w siebie i przed siebie; przeżyliśmy się, missya nasza skończona, trzeba koniec położyć téj odrębności, trzeba wyjść z tych ściślejszych granic, starym lemieszem i szczerbatą karabelą zakreślonych! Inny ustrój społeczeństwa nowe żywioły powołuje do równego życia, do walk, do samoistnéj pracy. Z przodowników trzeba przejść na szeregowców. To, co było—niech się święci po wiek wieków, ale niech odtąd zostanie tylko pamiątką, a nie przywilejem jednéj części, jednéj warstwy, jednego pokolenia.

Nie łatwo to było, zwłaszcza gdy się samemu nosiło Jastrzębia w herbowéj tarczy—nawoływać do odwrotu; przekonywać, że odtąd równe prawa i równe obowiązki ciążą na wszystkich, że społeczeństwo nie może być jakimś konglomeratem bez jednolitéj spójni, któryby na pospolity gruz pokruszyć się dało, że dlatego potrzeba uznać nowe, szersze hasła równości i braterstwa; zająć uczciwe miejsce, gdzie się da—w organicznéj pracy, a pozbyć się starych przesądów kastowych. Trzeba było pokazać naocznie, do czego upór doprowadzić może, czem się skończyć musi to trzymanie się nieuprawnionego dłużéj stanowiska, ale nie można téż było kopnięciem nogi rozwalać pruchniejących podstaw dawnéj budowy. Trudność nielada, zaparcie się wielkie, odwaga nie mała;—zdobył się na to wszystko Kraszewski, mówiąc:

„Szlachta u nas miała wieki zaszczytnego posłannictwa, które przeżyła, rosnąc w siły i skarbiąc sławę krwią; miała żywot wyrobiony, odrębnie, oryginalnie, pociągający barwami, jakie przybierał, lecz missya jéj wyłączna, przedłużana sztucznie, skończyła się wreszcie."

Dla odwrócenia strasznych skutków zepsutego, osłabionego organizmu społecznego, potrzeba było ratunku, wlania weń nowych sił żywotnych. Nie wszyscy to, niestety—zrozumieć u nas chcieli. Ścierały się téż z sobą dwa prądy w społeczeństwie: jeden konserwatywny, uparty, pociągający wstecz, drugi postępowy, płynący ku nowym ideałom, równouprawnieniu, obalający stare przywileje. Nie mogło przyjść tak łatwo do kompromisu między dwoma obozami, a były to na nieszczęście prawdziwe obozy, nie stronnictwa, obozy walczące z sobą na ostre. Z postępem walki upór jednych, zaciekłość drugich zwiększały się. To, co miało się rozwiązać spokojnie, ugodowo, rozumnie—musiało przejść wszystkie niemal stadya domowéj wojny. I zobaczyliśmy u siebie, nie widziane nigdy może u nas tak ostro zakrojone kontury arystokracyi i demokracyi, dworu i chaty, salonu i ulicy. Przyszło na końcu wzdychać do tego, aby ta szlachta miała choćby „rozum kmiecy," jeżeli już nie można było przypuszczać, że kiedyś spełni się przecież „ten jeden tylko, jeden cud," o który poeta modlił się w psalmie natchnionym, i pogodzi z sobą braterskiém ręki uściśnieniem dwie rozłączone połowy społeczeństwa.

W *Siekierzyńskim*, i w wielu innych opowiadaniach, Kraszewski dotknął téj drażliwéj sprawy szlacheckiéj, chociaż, jak sam się przyznaje, „z boleścią, bo sprawa szlachty, wolącéj umrzéć na stanowisku dawném, niż żyć na nowém... była własną pisarza sprawą... domową, a rodzinną... a tak trudno się było dać zrozumiéć i być rozgrzeszonym!"

Jakiekolwiek były wady i przymioty naszéj szlachty, pociąganéj dzisiaj tak często przez rozmaitych powołanych i niepowołanych prokuratorów przed trybunał teraźniejszości — to pewna, iż nie miała ona podobieństwa ze szlachtą innych narodów, i daleko jéj jeszcze było do owych feudalnych panków, urodzonych w średnich wiekach, a dogorywających jeszcze w naszych czasach po szerokim świecie. Miała ona swą odrębną indywidualność, która wzbudzała sympatyą nawet wtedy, gdy się zanadto rozbujała ta tradycyjna „natura szlachecka," więcéj krwi gorącéj, niż wpływowi umysłu podlegająca.

I kto wie, czy cała kwestya szlachecka ze swemi drażliwościami, nie miała u nas najgłówniejszego źródła w kwestyi oświa-

ty? czy we wcześniéj rozjaśnionych umysłach panów braci po szlacheckich dworach i zaściankach nie byłaby téż sama zabłysnęła myśl potrzebnéj reformy społecznéj, tolerancyi i równouprawnienia, i wielu innych podobnych rzeczy? Może te „łby podgolone“ z fantazyą zadzierały się dlatego tak w górę, że ich konieczność nie schylała częściéj nad księgą... Mieliśmy oświatę i wielką nawet, względnie do pewnych epok, w jednostkach, ale na tém téż poprzestawało wszystko. Potrzeba było aż naszych czasów, aby światło wystawić z pod korca, aby błysnąć w oczy zaślepionym i oświecić w około nich całe, ogromne pole działań i obowiązków, ugorem leżące. Dzisiaj trudnoby było nie przyznać, że wiele rzeczy zmieniło się na lepsze; idziemy na przód przy świetle zapalonéj pochodni. O ileż daléj bylibyśmy zajść mogli, zapaliwszy ją u własnego ogniska przed wiekiem!...

W blasku oświaty i postępu przygasnąć musiały herbowe klejnoty; i dlatego to ów *ostatni z Siekierzyńskich* nie ma już w naszym wieku racyi bytu. Dzisiaj taki pan Tadeusz, herbu Siekiera, zapatrzony li tylko w swoje genealogiczne drzewo, myślący tylko o przywróceniu dawnéj rodowéj świetności w jakikolwiek sposób, zatopiony cały w jednéj tylko *idée fixe:* przez kolligacyą wysoką podnieść klejnot familijny—byłby wcielonym anachronizmem, marą, żywym nieboszczykiem.

Dzisiaj nie wolnoby mu było żyć wyłącznie taką jedną myślą, odkroić swoje interesa tak skrupulatnie od sprawy ogółu i tylko pielęgnować własne drzewo genealogiczne, żeby nie uschło, albo nie straciło któréj z gałązek jeszcze zielonych.

Ktoby go widział w przebraniu, ukradkiem, pod obcem, mieszczańskiém nazwiskiem, sprzedającego pieprz w sklepie korzennym, aby w ten kupiecki sposób dojść jak najrychléj do majątku, a potém odkupić rodzinny Siekierzynek, dawną rezydencyą swoich praojców, mógłby śmiało wzruszyć ramionami i z uśmiechem powiedziéć o nim: *mente captus.*

Jedyny potomek staréj szlachty, podupadłéj, wysadzonéj z własnéj siedziby na bruk miejski, chwyta się tego rozpaczliwego środka dojścia do fortuny, mimo to, że go stare przesądy wstrętem przejmują do kupieckiego stanu; wpada na dość oryginalny i niezwyczajny pomysł: przebiera się za kramarza i robi majątek w tajemnicy, a po kilku latach za uciułany grosz odkupuje ojcowską wioskę i szukać zaczyna żony, ufny w blask starego, szlacheckiego herbu. Konkury mu się nie wiodą, aż za trzecim razem próbując szczęścia, już, już uratowałby ród Siekierzyńskich od wygaśnięcia, gdy najniespodziewaniéj wydaje się tajemnica jego nowonabytéj fortuny. W sam dzień zapowiedzianego ślubu, jeden z nieprzyjaciół Tadeusza zdradza ją przez zemstę niedoszłemu teściowi, który odtrąca zniesławionego handlem i frymarkiem — szlachcica.

Wyborny to epilog, dramatyczny i przejmujący zgrozą, a cechujący—jak najdobitniéj—wybujałe przekonania i przesądy naszéj szlachty, wynikłe ze zbyt wygórowanego pojęcia o swojém powołaniu i stanowisku społeczném.

Dla dzisiejszego pokolenia, praktyczniéj pojmującego życie, wytrzeźwionego z tak zwanych mrzonek przeszłości, taki typ gasnącego szlachectwa z epoki przełomu, wydać się może dziwacznym, nawet śmiesznym dla tych, co nie chcą nic miéć *za* sobą, byleby tylko wszystko *przed* sobą miéć mogli. Mamy już dzisiaj więcéj takich Siekierzyńskich, ważących pieprz i imbier za ladą sklepową, i nie tylko za ladą, ale na wielu innych polach, łokciem i miarką dorabiających się fortuny, lecz nie dla jakiegoś tam ideału, choćby bardzo osobistego, ale budzącego szacunek w każdym człowieku serca; mamy i dzisiaj potomków starych rodzin, zaszczepionych w mieszczaństwo, tylko, że o wiele prozaiczniejszych, o wiele niższych, wyrzekających się starych tradycyi rodowych, gotowych chętnie stary herb szlachecki wywiesić za godło kupieckie, byle tylko dorobić się majątku, dla niego samego. A o ile dawni Siekierzyńscy grzeszyli zbytkiem szlachetczyzny, o tyle ci nowsi grzeszą zupełnym jéj brakiem; tamci żyli jakąś tradycyjną fikcyą, ci wolą wegetować zmateryalizowani w bycie filistrów, wygodnym, bezpiecznym, bez wszelkich aspiracyi wyższych.

Może nam kto zarzuci zbytnią otwartość, ale nie zawahamy się wyznać, że gdyby nam przyszło wybierać między tym szlachcicem, udającym kupca, a tym kupcem, wyzutym z szlachectwa dla korzyści nowego stanu, skłonilibyśmy serce i rękę ku pierwszemu. A patrząc na tego ostatniego z rodu Siekierzyńskich, umierającego ze sromu i hańby, zabitego przesądem własnéj kasty—upadłego w walce o stare przywileje, robi się nam bardzo, a bardzo smutno na duszy, gdy pomyślimy, że to ma być jeden z ostatnich już, co umieli tak silnie odczuć i ukochać zabytek rodzinnéj

przeszłości i mieli jakąś wyższą, jakąś inną dumę i ambicyą od wielu dzisiejszych pospolitych zjadaczy chleba.

Może i to jeszcze przemawia za *Siekierzyńskim*, że ma on ten sam urok, którym pociągają stare ruiny o zachodzie słońca, a jak słusznie powiedziano —zawsze silniéj przemawiać będzie do duszy poetyczny widok gruzów wielkiego zamku, niż zbudowana z nich nowa... gorzelnia.

Siekierzyński tedy, z całą swą tendencyą, z całą poezyą swego upadku, jest jedną z najwybitniejszych postaci, jakie mamy w powieści społecznéj; może on za długo żyje w utworze Kraszewskiego, może to nie dobrze dla dzieła sztuki, że autor każe nam od pradziadów śledzić dzieje jego rodziny, że go od kolebki do mogiły przeprowadza w naszych oczach, jak Dickens swojego Dombeya, albo któregokolwiek z innych bohaterów pełnéj krwi angielskiéj; możeby powieść skorzystała była na effekcie, gdyby była zwięźlejszą, gdyby miała szybszą akcyą i nie ciągnęła się przez długie lata: ale mimo to wszystko odkłada się książkę z dziwném jakiémś wrażeniem. Z oczu nie schodzi ta postać kontuszowa, szlachecka, zgnębiona i powalona na progu cichego dworku, po doznanym despekcie w domu narzeczonéj, z gorączkowym płomieniem na twarzy, z rozwianym włosem; nie można się pozbyć jego widoku. Widzi się go w tym weselnym stroju, bez czapki, leżącego na wschodkach domu, bez sił, składającego głowę na zbutwiałém drzewie, które się nad nim wkrótce w proch rozsypie; widzi się, jak bezprzytomnie ręką szuka szabli u boku, któréj tylko bogata pochwa wisi jeszcze u litego pasa. W uszach brzmi skarga stolnika nurskiego, powtarzającego bezustannie nad martwém ciałem wychowańca: Ostatni z Siekierzyńskich, ostatni z Siekierzyńskich!....

I chciałoby go się w imieniu nowego wieku rozgrzeszyć słowami: *Requiescat in pace*!... za wszystkie jego własne i ojców jego przewinienia.

Siemieński, nader wybredny krytyk—pisał w swoim czasie tak: „W steku powieści naszych, ileż to jest, pozwalamy zapytać się takich postaci, coby miały swój żywotny i gruntowny organizm? Krom Paska, tego zapłodniciela licznie sypiących się tomów, braci Strawińskich, żyjących kontrastem, szczytnego księdza Robaka, kwestarza Chodźkowskiego i ostatniego z Siekierzyńskich, wyłączając Panie Kochanku, który jest wyjątkowym oryginałem—zgoła oprócz tych kilku figur, nie mogących nam być odebranemi przez żadną literaturę—nie widzę nawet usiłowania, aby nowsze kreacye chciały się wznieść do téj wysokości: owszem powieść, wpadłszy w niewłaściwe tropy, coraz więcéj rezygnuje z niezbędnych warunków poetycznéj kreacyi.“

Nie zaprzeczy nikt, że *Siekierzyński* jest kreacyą nawskróś poetyczną, a w rzędzie powieści Kraszewskiego jedną z najwięcéj obywatelskim duchem natchnionych; tworząc ją wiedział dobrze, iż było wówczas zadaniem powieściopisarza, który patrzał na smutne upory resztek dawnego rzeczy porządku, aby przygotowywał nowy, i zwolna z gruzów oczyszczał pole do budowy. Nie uszło mu to bezkarnie, na sucho; jak każde śmielsze wystąpienie, drażniące cudze ambicye i przekonania, i *Siekierzyński* swojém zjawieniem się ściągnął na autora wiele przykrości, wiele chwil twardych do przebycia, wiele wejrzeń nieprzyjaznych, potwarzy i ukłuć, i mściwych napaści.

„Malowano nas czerwono, mówi Kraszewski o sobie, czyniono z kolei czém można było najwstrętliwszém... nieraz wyłączano z towarzystw, lub błotem i kamieniem karano za sumienne stanie przy prawdzie. W milczeniu znieśliśmy walkę o usamowolnienie włościan, zagajoną w *Latarni, Ostapie, Jarynie*, a zamkniętą *Kołkiem w płocie*, o stanowisko szlachty, o kwestyą równouprawnienia i tolerancyi, które czytelnik znajdzie rozpierzchłe z tych lat, gdy się te zadania rozwiązywały... Czas sam porozplątywał te węzły, a często, gdzie my rąk własnych użyć do nich nie chcieliśmy, obca dłoń ze szkodą naszą je rozcięła. Powieść szła, jak pług, pierwsze podnosząc skiby, w pocie czoła... mulając ręce i oblewając się potem... jak skromny parobek siadła późniéj pod piecem zapomniana, a ekonomowi przyznano zasługę gospodarstwa i jakiego takiego urodzaju.“

Z wiekiem i doświadczeniem, Kraszewski zaczął realniéj traktować kwestyą szlachecką, zwłaszcza od czasu, kiedy go studya nad wiekiem XVIII natchnęły historyozoficznym poglągem na przeszłość narodu i znaczenie jego pojedyńczych warstw; ale *Siekierzyński* pozostał zawsze typem odrębnym. Powtarzał się on tylko w odmiennych formach w niektórych późniejszych powieściach, przybrawszy więcéj współczesnéj, życiowéj charakterystyki, wystudyowanéj potém z mistrzowstwem w takich figurach, jak książęta Brańscy w *Morituri*. Kwestya, poruszona przez autora przed ćwierć-wiekiem, wyklarowała się w jego umyśle, zaokrągliła, nabrała wyrazistości; pojęcia rozwinęły się

i dojrzały jeszcze więcéj, co musiało wyjść na korzyść formy i treści przedmiotu..

*

Z założenia i rozmiarów téj pobieżnéj pracy musimy unikać szczegółów, dotykając zaledwie całości; a chciałoby się tak serdecznie zatrzymać dłużéj przy tych szczegółach, chciałoby się jeden za drugim, choćby pierwszy lepszy, choćby na chybi-trafi, rozebrać, podziwiać, nacieszyć się nim, jak to dziewczę, któremu dano szkatułkę klejnotów do zabawy. I to ładne, i tamto, i to jeszcze ładniejsze, i nie wiedzieć, które wybrać, które lepiéj ukochać. Wszystko ładne w swoim rodzaju.

Ale folgując sobie, musielibyśmy napisać dwa razy tyle, co wszystkie siedm powieści razem wynoszą; bo i jakżeżby można, mówiąc o *Siekierzyńskim*, pominąć zaraz pana stolnika nurskiego, albo któregokolwiek z owych Wichułów, Pancerzyńskich, Urbanów, Filoktetów Józafatów i Atanazych! Toż-to kopalnia cała typów i charakterów, których już dzisiaj ze świécą nie znajdzie więcéj.

A niechby tylko pozostać dłużéj przy téj parze starych, poczciwych sług, strzegących, jak dwa dobre duchy—ukochanego panicza, przy tym Macieju i Dorocie, wiecznie kłócących się z sobą, a połączonych wspólnością uczucia i wierności dla Tadeusza. Jakież to wyborne dwie figury charakterystyczne: ten Maciéj, mający manią do robienia tabaki z nudów, zrzędzący bezustannie nawet na samego siebie, i ta Dorota, poczciwa, prosta kobiecina, oddana cała na usługi szlacheckiego domu, który z jéj warzywa długi czas utrzymywać się musi.

Dzięki Bogu, oddalamy się coraz bardziéj od tych czasów, gdy zawód praktyczny ubliżać się zdawał szlachectwu, ale i od tych ludzi jesteśmy coraz daléj, co jakby same dodatnie strony swéj epoki skupiali w sobie. Te małe, drobne zasługi, te ciche cnoty, które niby przywiązane były do pewnego stanu, do pewnych osobistości — giną gdzieś, nikną, a jeżeli są — to w kąciku jakimś schowane tak, że się ich doszukać nie można.

Im mniejsza zasługa, tém głośniejszego dzisiaj domaga się uznania, im drobniejsze poświęcenie, tém większéj spodziewa się likwidacyi. Idzie to jakoś na odwrót teraz. Otóż i jeszcze jedna zaleta Kraszewskiego, że wcześniéj od innych umiał ocenić i podnieść tę wielkość małych zasług, że się dla nich w potomności o szacunek upomniał. Stosunek mocniejszych do słabszych, wyższych do niższych, ma w życiu o wiele mniéj trzeźwo i jasno patrzących krytyków, dobierających właściwéj miary do ocenienia tego stosunku. Kraszewskiemu przyznać należy, że był sprawiedliwym w tym względzie. W powieściach jego, obok przechowywania tradycyi, widnieje jeszcze szlachetna dążność podniesienia niższych warstw społecznych; prawda i to, że często dla względów artystycznych zanadto idealizował swoje postacie z ludu, że jego chłopki pozują czasami na heroiny romansu; ale on nie wszczepiał w nie sztucznie innéj natury, on tylko odkryte w nich czynniki wzmacniał niekiedy, ubarwiał, rozwijał, podnosił, a czynił to z intencyą i wtedy tylko, gdy mu chodziło o to, żeby taką jednostką pozyskać sympatyą dla ogółu, dla całego stanu, lub warstwy.

Zresztą i tego nie zawsze nadużywał; umiał, patrzéć, szukać i miał szczęście znajdować to, czego inni palcem namacaćby nie potrafili.

Weźmy ot tego *Starego sługę*, który w r. 1851 inauguruje niejako oryginalny odcinek w „Gazecie Warszawskiéj“ Ant. Lesznowskiego i przyucza czytelników „Gazety“ do zasmakowania w poważniejszéj beletrystyce. Mamy przed sobą typ już wymarły, albo wymierający gdzieś na łaskawym chlebie, starego kamerdynera; jednego z tych przypadkowych członków rodziny, co to w każdym niemal domu znajdować się musiał, wrastając przez kilkadziesiąt lat wiernéj służby tak jakoś w organizm domowy, że bez niego starego dworu za nic wyobrazić sobie nie można, zupełnie jak starej komnaty bez zegaru z kukułką.

Taki stary Jan, czy Stanisław, przechodził ze swém państwem wszystkie dole i niedole, zżywał się z rodziną, nie wychodząc ze swego stanu, nie porzucając swéj zależności. I wytwarzał się dziwnie oryginalny stosunek, dla nas dzisiejszych mający tém wiecéj uroku, żeśmy się przyzwyczaić musieli do złych sług i gorszéj usługi. Gdybyśmy byli ciekawi tajemnicy, która takie stosunki zawiązywała, pomimo tego, iż na ich orzeczenie brakło praw i obowiązujących ustaw, to mamy tylko jeden talizman, spajający tak silnie ludzi różnego stanu, wieku i pochodzenia—serce.

Uczucie jest najsilniejszym cementem dla dusz ludzkich i ono to po wszystkie wieki bywało mistrzem człowieka i kierownikiem jego; ono najczęściéj—nie powiemy zawsze, regulowało kwestye, którym żadna ustawa zaradziéby nie umiała.

Otóż tak działo się i ze starymi sługami;

nie grosz, nie chléb, nie zyski przywiązywały do pana,—ale uczucie, które z początku może było tylko instynktem, przyzwyczajeniem, lecz późniéj wrastało w serca pana i sługi, i łączyło je bezwiednie, zbliżając do siebie.

Taki stosunek właśnie obrał sobie Kraszewski, jako temat do powiastki bardzo skromnéj, z życia dworu wiejskiego na Polesiu, i zużytkował materyał wdzięczny niezmiernie, swoją prostotą i spokojem ujmujący każdego. Bohaterem,—nie, to zawiele, jak na *starego sługę*,—główną figurą powieści jest Stanisław Skiba, kamerdyner w domu sędziny Żackiéj, a nieodstępny niegdyś, całowieczny towarzysz, rówieśnik i powiernik jéj nieboszczyka męża.

Oto, jak go autor przedstawia: „Piękną jest każda ofiara, ale ofiara życia całego, zaparcie się siebie, poświęcenie nieustanne, złożone z codziennych drobnych a ciężkich posług, ponawiających co chwila ślub raz uczyniony ukochanym... najtrudniejszą jest pewnie i najmniéj pospolitą. Uczyniona przez rachubę, bez serca, ofiara ta nie ma wartości; ale gdy ją podnosi uczucie, uświęca przywiązanie, jest to bezwątpienia najpiękniejsze, bo najskromniejsze z poświęceń. Życie całe Stanisława składało się z ofiar, ponawianych bez końca, nieocenianych wysoko przez niego, choć istotnie wielkich, z zaparcia ciągłego samego siebie i wszelkiej pamięci na los własny. Wcielił się on był w pana swego, potém w jego rodzinę, przyrósł do niéj i zapomniał o życiu odrębném, własném, żyjąc nią tylko.“

Któż nie przyzna, że taki sługa—to skarb w domu?... a trzeba widzieć, jak to Kraszewski oględnie szafuje tym ideałem, jak on go trzymać umie w granicach jego stanu, jak mu nie pozwala wspiąć się za wysoko na jakiś niewłaściwy szczebel romansowego bohaterstwa, ale od początku do końca zachowuje w nim tę pokorę i prostotę prawdziwie *starego sługi*, człowieka z ludu, uszlachetnionego przez obcowanie z wyższymi od siebie w hierarchii społecznéj.

Francuz nie byłby przeniósł na sobie, żeby takiego Skiby nie zrobić sprężyną jakiéjś skomplikowanéj akcyi, nie przeznaczyć mu roli wybitnéj, pierwszorzędnéj w powieści, skoro już nadał jéj jego firmę. Kraszewski pozwala mu zostać biernym cały czas i nie wychodzić poza normę, do której go nic nie uprawnia nadzwyczajnie. A przecież jakiż to wielki charakter, jakaż to wzniosła dusza w tym starcu, który daje sobie połamać obie nogi, w obronie czci i honoru swéj ukochanéj panienki, porwanéj podstępem przez nienawistnego jéj konkurenta!

Scena w lasku, gdy stary sługa rzuca się na uwodziciela, który gwałtem biedną dziewczynę uprowadza do powozu, aby ją wykraść i skompromitowawszy zmusić do zaślubienia — jest nad wyraz dramatyczną.

Koła zgruchotały mu obie nogi, ale ból jest mniejszym od rozpaczy Stanisława; on czuje tylko, że nie mógł uratować swéj panienki, że nie może ścigać łotra; zbroczony krwią, samotny wsród głuchego lasu, modli się ze złożonemi rękoma i z oczyma zwróconemi ku niebu, a modlitwa jego płynie tak gorąca, oblana krwią i łzami, że Bóg jéj wysłuchać musiał—i wysłuchał...

Nie,—nie można obojętnie patrzéć na ten obraz, namalowany tak zwykłemi środkami, a tak przejmujący do głębi; chciałoby się potém razem z odbitą przez ukochanego Bolesława Justyną skłonić głowę u łoża tego *starego sługi*, kreślącego nad nimi spracowaną ręką znak krzyża z błogosławieństwem na całą resztę żywota.

Wierzymy, że takich Stanisławów niéma już i na Polesiu, i nigdzie więcéj; ale tém gorzéj dla nas, bo może to dowód tylko, że i panów takich niéma, którzyby takich sług godni byli.

Jak wszędzie, tak i w téj powieści, Kraszewski jest mistrzem rysunku i architektoniki; tylko tu umiarkowaniéj, niż gdzieindziéj, dobierał środków, nie przeładował wdzięcznego obrazka figurami, ale te, które są —są świetne. Ci Boikowscy, mąż i żona, para jakich mało; on rządzi majątkiem rodziny i sprzeniewierza się regestrom, ona rządzi mężem i sprzeniewierza się jemu—ale bez rachunku i wszelkiéj odpowiedzialności. Oboje uważają tylko swój obowiązek, jako sposobność do exploatacyi i intrygowania. Ten ich folwark, z całą swą atmosferą, z całém urządzeniem, jako *pendant* do dworu—wyborny. Poznać w nakreśleniu każdego rysu rękę człowieka, który, sam będąc gospodarzem i dziedzicem, długo ocierać się musiał o te typowe figury rządców, skubiących za plecyma pana, co się da, kradnących z nałogu, niemal z tradycyi.

Poznamy późniéj nieodrodnych braci Boikowskiego i w *Interesach familijnych*, w *Złotém jabłku* i w *Komedyantach*. Wszystko to jedna rodzina, podobna do siebie—kubek w kubek.

Jeżeli chodzi o tło powieści—to nie różni się ono od innych poleskich i wołyńskich obrazów. Szaro, plamisto, smutno... stosunki wstrętne, ludzie zepsuci, moral-

ność tandetna. Występuje tu przeważnie młodzież, któréj reprezentantem ma być Alfred Kalauka, kawałek wiejskiego awanturnika, co nie miał czasu i sposobności wyróść na całego łotra, hulaka, utracynsz. Autorowi wystarczyło opisać w kilku wierszach jego kawalerskie mieszkanie, aby go nam streścić całego: „Łóżko przepyszne, dywan na niém perski, broń liczna i ładnie w rodzaj panoplii powiązana; cybuchy, fajki, toaleta wykwintna, ale popiołu cygarowego pełno wszędzie, woda nalana w pośrodku, tytuń rozsypany na łóżku, pieniędzy garść w szufladzie otwartéj, głowa cukru rozpłatana na lavabo, funt herbaty w kącie na przymurku, a Jagoda (Kozaczek Kalanki) gospodarzy, cygara kradnie, obładowuje niemi kieszenie i, poglądając ku drzwiom, zabiera się nawet do pieniędzy.

Po cóż mamy iść daléj?... tak wszędzie. W kredensie kozacy w elbika się zarzynają, opalając pańskie cybuchy i fajki; w stajni sztos i drużbart z gorzałką, na folwarku miód piją i grają w faraona. W kuchni psy poczęły sztukę mięsa, a kucharz spity zasnął, głowę położywszy wygodnie na świeżo przyniesionych flakach.“

Czy nie plastycznie, czy nie dosyć?... zdaje się, że po tém wszystkiem można z głębi duszy zawołać: „Niechby sobie zresztą dostatek i ostatek licho brało i topniały resztki majątku; ale spojrzeć na tych młodzieńców, na ich siły źle użyte, na zabite w zarodku zdolności, na zmarnowane talenta, na czas tak marnie stracony, ciężko nie westchnąć, trudno nie zapłakać!“

Jest tam wprawdzie i antyteza w postaci Bolesława Wilczka, przezywanego *poetą* w sąsiedztwie, co dla gospodarza ma być uchybieniem nielada; ale poznać w nim na pierwszy rzut oka, że to coś z rodu Grabów, coś—co w rzeczywistości jest jeszcze fikcyą, wstawioną umyślnie do obrazu, aby nią rozjaśnić ponury koloryt.

Mimo to wszystko, gdyby nie tak dawno temu, jak autor powiada—możnaby się wybrać umyślnie na to zapadłe Polesie po przeczytaniu *Starego sługi*, choćby dla odszukania grobu Stanisława, nad którym pewnie płakać musi stary opój Jan, odmawiając po pijanemu pacierze; choćby dla zobaczenia téj Zapadni z całą rodziną Jochima Moszkowicza Rejsa, karczmarza jakich mało, albo typowego Zmory, stróża, mającego jakieś dziwnie pokrewne podobieństwo z Maciejem w • *Siekierzyńskim*; choćby dla tego, aby się przekonać, czy się co na lepsze nie przemieniło, bo już na gorsze — niechaj Bóg uchowa!

*

Załatwiliśmy się z połową powieści cyklu wołyńskiego.

Zostają nam jeszcze trzy i to największe pod względem objętości, ale podobne do siebie z charakteru, w którym się bardzo wyraźnie wpływ romansu francuzkiego przebija. Najmniéj w *Złotém jabłku*, najwięcéj w *Interesach familijnych*.

„Nie wiem, czy się to godzi, takiego powieściopisarza karmić taką, jak moja, powieścią“—pisze Kraszewski w dedykacyi do Józefa Korzeniowskiego, poświęcając mu te nieszczęsne *Interesa familijne*.

Powiedzieliśmy „nieszczęsne,“ bo nikogo nie uszczęśliwiły tak bardzo: ani autora, na którego ściągnęły zarzuty niemoralności, ani literatury powieściowéj, która mogła je sobie zastąpić tłómaczeniem francuzkiego romansu, ani czytelników, którzy zachłysnąć się nieraz musieli atmosferą gabinetu Kasztelanica, będącego główną osią powieści.

Mamy w szerokich ramach obraz jednéj licznie rozgałęzionéj rodziny, któréj najstarszym i najbogatszym reprezentantem jest wstrętny i odpychający rozpustnik Kasztelanic Stanisław z Zawila Zawilski.

Chodzi o sukcessyą, o spadek milionowy, który familia stara się zabezpieczyć sobie i uratować przed intrygami faworytów starca; zabiera wszystko ten z krewniaków, co najmniéj o to się troszczył, nieboszczyka nawet osobiście nie znał, nigdy mu nie nadskakiwał i więcéj wart był od innych. Dziedziczy Hieronim Zawilski, najuboższy, ale i najgodniéjszy fortuny. Reszta odchodzi z kwitkiem.

Wszystko uszłoby jako tako, gdyby nie ten Kasztelanic, trup galwanizowany siłą woli, wcielony egoizm, cynizm, niedowiarstwo, widmo Stanisławowskiéj epoki, dyszące resztkami namiętności i umiłowaniem nadewszystko życia. Sprośny, rozwiązły, epikurejczyk, nad grobem jeszcze folgujący niewygasłym chuciom—słowem potwór pudrowany, we fraku i żabotach, zgniły moralnie, przesiąknięty na wskróś wszystkiemi zepsutemi sokami wieku, w którym mu się wychować przyszło.

Dać mu koronę na głowę i berło w rękę, a byłby może z niego drugi Ludwik XI.

I z takim-to człowiekiem, którego życie było i jest szkołą zepsucia, eksperymentem

niemoralności we wszystkich kierunkach natury ludzkiéj aż do zezwierzęcenia, z tym wrzodem swego społeczeństwa, który przeszło dziewięćdziesiąt lat wzbierał—musimy przestawać prawie beznstannie przez całe cztery tomy długiéj powieści.

Podczas czytania to nic jeszcze, ale po przeczytaniu dopiero zaczyna nas prześladować, jak widmo, jak zmora; omal, że się nie śni w nocy.

I ten jeden człowiek najszkaradniejszy, najmniéj zapewne wart ze wszystkich ujemnych charakterów Kraszewskiego, ten wpija się nam w umysł tak, że nic oprócz niego z całéj powieści pamiętać nie chcemy i nie możemy

Jakgdyby całe cztery tomy tylko dla niego były napisane, dla niego, który jest okropną anomalią ludzką!—ale bo tak jest... Kasztelanic jest wszystkiém, pomimo tych kilkudziesięciu osób, gruppujących się obok niego—w powieści. Wystaje on z ram obrazu z takiém optyczném złudzeniem, jak owe cienie, co to występują z płótna w ciemnéj komorze i rosną w oczach patrzącego do ogromnych rozmiarów. A przecież mamy jakiś żal do autora, że ten portret tak pochwytnie, z taką realną prawdą, z takiém mistrzowstwem rysunku i kolorytu odmalował. Ma on być naprawdę portretem z datą około r. 1850; a całe *Interesa familijne* to „obraz Wołynia i Polesia wołyńskiego przed trzema dziesiątkami lat." Dzisiaj podobno—jak sam autor przypuszcza, nie znajdzie tam więcéj ani owych Zawilskich, ani Pobiełłów, którzy w jego obrazie światło przedstawiać mieli. Radykalne zmiany stosunków przyniosła ta ćwierć wieku, która za cały wiek liczyć się może." Straszne to wszystko!...

Doczytując ostatniéj kartki, przychodzi nam na myśl pytanie: czy warto było tyle talentu, tyle artyzmu poświęcić dla tego utworu? czy nad owym Kasztelanicem nie należało raczéj zrobić krzyżyka, jak nad zapowietrzonym i pogrzebać go, jak się zapowietrzonych grzebie, od zdrowych ludzi zdaleka, aby nie zatruwali swemi wyziewami?

Szukamy i trudno nam znaleźć cel w napisaniu téj powieści; jest tylko jeden: dosiągnięcie szczytu w artyzmie powieściopisarskim. Jeżeli tak, to się autorowi najzupełniéj udało; cóż-to za prawda w tych ludziach, co za wykończenie szczegółów, co za przepyszna faktura, jakie sceny, jakie życie, a jaka rozmaitość i doskonałość typów!—a jednak nie każdemu byśmy śmieli zalecić *Interesa familijne* do odczytania. Dla znawców sztuki jest to osobne muzeum żywych figur, ale muzeum, do którego wstęp dorosłym, i to mężczyznom, dozwolony.

Na szczęście w bibliotece powieściowej Kraszewskiego znajdą zbyt bojne wynagrodzenie wszyscy ci, którym *Interesów* do rąk nie dano, i nie stracą wiele na tém, że ich ominęła sposobność poznania takich kobiet, jak Aniela, pani Tryze, albo Sobocki i Jaś, lub Termiński. Szkoda tylko, że takiego pięknego dworku i takich miłych ludzi, jak Żmurowie, dziadunio Dymitry, albo rodzina Pobiełłów—nie zobaczą, bo o takich samych dość trudno—nawet u Kraszewskiego.

Jakby dla zrównoważenia wrażeń, wywołanych *Interesami familijnemi*, autor najbliższą z kolei stworzył powieść, nazwaną *Złotém jabłkiem.*

Chcąc powiedzieć, o co w niéj chodzi, nie potrzebujemy dużo słów dobierać, chociaż to powieść czterotomowa. Mieszczańska rodzina Balów, ulegając sielskim zachceniom ojca, które się w nim dość późno obudziły dopiero na wiadomość, że pochodzi ze staréj herbowéj szlachty—wynosi się na wieś, aby żyć po obywatelsku. Wieś ma być „złotém jabłkiem", — tak przynajmniéj wmówił w Bala dawniéjszy jéj właściciel, pan hrabia Jan Bracisław Sulimowski. *Złote jabłko* okazuje się gniłką bardzo lichego gatunku, przecenioną w trójnasób. Biedny Bal, co pracą dorobił się majątku na dwóch sklepach korzennych—musi teraz srogo odpokutować swoje szlacheckie fantazye, jako właściciel dóbr ziemskich. Ta obywatelska zabawka nadszarpnęła mu fortunę, — oto zresztą mniéjsza; majątek nie jest jedyną ambicyą pana Bala, w którego szlacheckie pochodzenie, chcąc nie chcąc, trzeba uwierzyć, widząc to, co on robi i jak robi. Ale przykrości są większe; zmiana sfery daje się dotkliwiéj uczuć, niż wszystko inne. Przychodzi walczyć z zaściankową zawiścią, z uprzedzeniami sąsiadów, oganiać się jak od moskitów, od plotkarzy i oszczerców.

Ten najpoczciwszy z ojców i mężów, człowiek—choćby do rany przylóż, pełen szlachetności, dobroci, najlepszych chęci dla każdego, ten poczciwosz, coby sobie buzi dawał z całym światem, wszystkim wrogom swoim gotów pierwszy podać rękę,—znosić musi krzyż Pański, i za co? za to, że go opanowała najniewinniejsza mrzonka szlachecka, któréj nikt wyrozumieć, a co gorzéj, nikt wybaczyć nie chce.

Ma on w sobie coś ze krwi *Siekierzyńskiego*; chodzi mu, jak tamtemu, o uświetnienie imienia Balów i odpolerowanie staréj tarczy herbowéj; ale on nie zapiera się

tego, że był i jest porządnym, hurtownym kupcem warszawskim, zamożnym, że na swoje miliony musiał ciężko pracować; on nie może pojąć, co właściwie w tém złego, że ma dwa sklepy korzenne i majątek, a teraz zachciało mu się skosztować złotego jabłka, bo się w nim apetyt jego przodków, owych Balów z Balogrodu, obudził.

I ten biedak za to tylko—pokutować musi; on, co zaszczytniéj od wielu dobrze urodzonych pojmuje swoje *szlachectwo*, bo jako synonim *szlachetności*; co nie może zrozumieć, aby ktoś mógł być hrabią i oszukiwać, frymarczyć, lub żyć podstępem i fałszem, zostaje przyjęty w nowej sferze, jak prosty intruz, przed którym zamykają drzwi sąsiedzi. Na nim, na potomku Balów z Balogrodu, mści się przesąd jego praojców!

Dochodzi do tego, iż on, który nigdy w życiu Balzaca nie czytał, musi z doświadczenia własnego przyjść do przekonania, że: *Ici-bas, rien n'est complet que le malheur*; a gdyby nie był szlachcicem, to mógłby znienawidzieć wieś, szlachtę, wszystkich hrabiów, wszystkich chłopów i powróciłby za swoję ladę sklepową przy Bielańskiéj ulicy, postanawiając prawnukom swoim pod utratą błogosławieństwa przekazać, aby pozostali w mieszczańskim stanie i nie marzyli nigdy o wzniesieniu się w wyższą sferę. Ale Pan Bal jest podobno Gozdawitą, i dla tego pozwala się tyranizować, a nawet po troszę, bezwiednie może—tyranizuje tą swoją manją obywatelstwa ziemskiego całą rodzinę. Doskonały sobie jest ten w kupcu obudzony szlachcic z swoją niezaradnością w nowym zawodzie, ze swojemi złudzeniami, naiwny mieszczanin, ale wcale nie śmieszny po mieszczańsku. Gdyby cała burżoazya taką była, jak on—miasta byłyby rajem.

Dziwnie ta sympatyczna postać, od początku do końca ma jakiś swój odrębny urok, jakąś czystą, pogodną, zdrową atmosferę uczciwego człowieka około siebie. Może to w tém tajemnica tego, że Bal jest z krwi i kości przeciętnym typem naszego „pana brata" z tą swoją naturą miękką, uczuciową, popędliwą, szczerą, i otwartą, łatwowierną i poczciwą: możnaby mu chyba zarzucić, iż się nie nazywa Stanisławem, lub Kazimierzem, ale tak jakoś nie po polsku: Erazmem. Dwór jego w Zakalu musiałby być jednym z najprzyjemniejszych na Wołyniu; prawie żal bierze, że ani on, ani jego żona i dzieci nie mogą ożyć na kartach powieści; że się ich wszystkich uścisnąć nie może po przyjacielsku i pocieszyć w tém otoczeniu tuzinkowych charakterów i przykrości niezasłużonych.

Nie dziwimy się wcale, iż autor „po dwudziestu przeszło latach przeczytał swoję własną powieść z przyjemnością" i przyznać mu musimy, że jest ona bardzo prosta w pomyśle i wykonaniu, jako obrazek, w którym więcéj prawdy, niż sztuki; a może dlatego, iż się nie starano o wielce kunsztowną jéj budowę, że wzorowano z natury, zająć potrafi czytającego i przemówić do jego serca silniéj od wielu innych.

Nawet ogólne tło powieści trochę odmienne, trochę jaśniejsze; to sąsiedztwo Zakala nie takie bardzo złe, więcéj złośliwe, próżne i śmieszne. Wykłóciwszy się z nimi, możnaby nawet dość znośnie żyć w tym kątku, byle nie na stopie bardzo poufałéj.

Jedną z najmniéj sympatycznych a najwięcéj ujemnych figur jest hrabia Bracisław Sulimowski, zbankrutowany arystokrata, pyszałek, oszust, wyzyskujący niedoświadczenie i łatwowierność mieszczańską Bala. Stanowi on w powieści niejako przeciwieństwo tego zacnego mieszczanina, w którym pod nową formą odrodziło się prawdziwe szlachectwo rodowe. Sulimowski jest szlachcicem z herbów, z pozorów, z sygnetu na palcu, z tytułów, z pretensyi wielkoświatowych; Bal jest karmazynem wobec niego z ducha, i charakteru, i instynktów. Nie można się wahać w przyznaniu tarczy herbowéj jednemu z nich; powinien ją nosić ten kupiec korzenny, którego przodkowie byli, czy nie byli Gozdawitami, ale to pewna, że on więcéj wart od wszystkich hrabiów z rodziny Sulimowskich, frymarczących dla grosza wszystkiém, nawet honorem, nawet swoją błękitną krwią.

Robiono zarzut wielkiemu naszemu powieściopisarzowi, że zanadto ciemno maluje wyższe warstwy towarzystwa, że jest pessymistą w swoich poglądach na arystokracyą. Byłoby to słusznem zapewne, gdyby ten sam autor, który napisał *Dwa światy* i *Komedyantów*, nie był późniéj stworzył *Morituri* i *Resurrecturi*. Nie jest to wcale dowodem stronności, że Kraszewski wyciągał pod pręgierz złych reprezentantów arystokracyi i tak ostro, tak dotkliwie biczował ich wady i ujemne strony charakteru; umiał on ocenić i uwydatnić wartość i znaczenie tych, którzy na to zasługiwali.

Że stawiał wymogi większe dla nich, niż dla innych, to słuszna.

„Wyższość umysłu, siła ducha, powinna być znamieniem arystokracyi, bez niéj niéma tylko nadużycie i przesąd,—pisał jeszcze

w swoim *Prawdziwu*. Gdzie tylko panowie stracili wyższość tę, gdzie przestali spełniać missyą, daną im przez Opatrzność: prowadzenia niższych od siebie do umysłowéj, duchowéj wyższości, tam, jak u nas, domy ich pustką, herby gniazdami wróbli, ród pośmiewiskiem, a groby oplwane."

„Chcecie żyć?—wołał do nich z głębi serca,—stańcie na miejscu, to jest na przedzie! Pracowaćby wam potrzeba, poznać błędy swoje, oziębłość, zastygnienie, rozwiązłość, płochość i dumę, uderzyć się w piersi i powrócić z pokorą do dawnéj missyi: wieść braci do udoskonalenia moralnego, przykładem, czynem i ofiarą. To da wam nowe życie. Dziś żyjecie tylko sobą i dla siebie, odcięci od reszty społeczeństwa, trupem jesteście i zgnijecie".

Trzydzieści lat temu, gdy Kraszewski pisał te słowa, a czytając je dzisiaj zdawać się jeszcze może, że atrament na nich nie zasechł. Możnaby, nie wytykając palcami, zapytać ogólnie: „Potomkowie naszéj szlachty czego uczą tych ubogich, których do siebie biorą i płaszczem łaski okrywają? Najgorsi uczą ich kart, rozpusty, próżniactwa i szyderstwa, dumy i zarozumienia; najlepsi — uczą robić cukier burakowy!!.... Cukier jest rzeczą doskonałą, ale nie prowadzi do niczego, krom pieniędzy".

Nie mówi się takich słów bez bólu i goryczy, ale jakże milczéć?.... Prawda, że czasy się zmieniły, że przybyło więcéj wyjątków dobrych, wyższych, szlachetniejszych, ale społeczeństwo czy kasta nie może być uratowaną, jak Sodoma, dla dziesięciu sprawiedliwych.

*

Totus mundus agit histrionam, powiedział Plaut, a Kraszewski te słowa położył jako motto na ostatniéj powieści, nad którą jeszcze zastanowić się mamy;—tylko, że ten *totus mundus* w *Komedyantach* ogranicza się bardzo, zmienia się w jednę sferę,—to nie cały świat, to tylko ten, który słusznie, czy nie słusznie, pozwoliliśmy sobie dotychczas nazywać „wyższym". *Komedyantami* tu właściwie są sami ludzie dobrze urodzeni, utytułowani, sami hrabiowie. Pan Zygmunt August Dendera, Sylwan syn jego, Cesia córka, hrabina Eugenia żona, druga hrabina Czeremowa, jéj matka, to jedynie ważniejsi aktorowie, to właściwie jedna tylko rodzina histryonów.

Wszystko to arystokracya najczystszéj krwi, z pochodzenia, z tytułu, z pozycyi i majątku. Niéma w nich nawet ani krzty téj śmieszności, jaką ma niekiedy Sulimowski w *Złotém Jabłku*, pyszniący się ciągle wysoką parentelą i świetnością swego rodu. Ci nie mówią nawet o tém, bo to już samo przez się rozumiéć trzeba, ale natomiast o ile gorsi są oni wszyscy od tego pana Bracisława, który nakrzywdził wprawdzie wielu w swém życiu, lecz na śmiertelném łożu wyznał wszystkie winy i zbrodnie, rozdał cały majątek, aby ulżyć sumieniu i zakończył życie w skrusze za grzechy.

Denderowie zaś, gdy się spotykają za kulisami między sobą, nie ukrywają wcale swych zamiarów, planów, podstępów, knują wspólnie spiski na cudzą kieszeń, na cudze szczęście; tylko na scenie nie wypadają nigdy z roli, jak dobrym komedyantom przystało. Sztukę udawania posiedli wszystką, hipokryzya, jak sztuczna maska, przyrosła niemal do nich, — nie zedrzeć jéj z duszy, jak nie wygładzić tego słodko obłudnego uśmiechu z ust typowo zakrojonych.

Jeżeli gdzie, to w *Komedyantach* Kraszewski najczarniejszych użył kolorów do odmalowania sfer arystokratycznych; ale kto zdobędzie się na zarzucenie mu fałszu, kto się ośmieli nazwać takich Denderów karykaturami?... Pewnie nie ten, co się choć trochę otarł o owe wyższe sfery. W rodzinie hr. Zygmunta Augusta,—zapewne, że dość wyjątkowéj — zepsucie i wszystkie ujemne strony charakteru, wychowania, moralności, występują wzmocnione, spotęgowane. Nie można przypuścić nawet, aby wszyscy hrabiowie byli takimi, bo nie brak nam na szczęście innych, i to bardzo odmiennych; ale że w téj arystokracyi i tylko w niéj, tego rodzaju Denderowie znajdować się mogą, w to uwierzyć można najzupełniéj. Warunki życia, atmosfery, wychowania, stosunków, składają się najczęściéj na wytworzenie takich indywidualności, takich komedyantów na scenie świata, zmuszonych od dzieciństwa wszystko pojmować konwencyonalnie, grać rolę, jaka przypadnie, przyzwyczajać się do kulis salonu i zadawalać jego atmosferą.

Jeżeli niéma wielu takich Denderów, sprzedających własne dzieci, własną żonę i cześć mężowską, wyzyskujących wszystkich i wszystko dla uratowania przed światem pozorów, utrzymania *à tout prix* towarzyskiéj pozycyi — to natomiast niezawodnie znajdzie więcej podobnych Sylwanów, próżniaków, indyfferentów, zdemoralizowanych paniczów, bez celu w życiu, bez wytkniętéj

drogi obowiązku, polujących na bogaty posag, za który dałoby się korzystnie sprzedać swą hrabiowską koronę wtedy, kiedy odzłocenia zapotrzebuje. Rachuba, kaprys co najwięcéj, zamiast uczucia, nerwowość zamiast namiętności, żadnych wyższych, szlachetniejszych aspiracyi, życie dla użycia, marnotrawstwo sił, młodości, talentu, majątku, ojcowizny — oto wszystko, a buta i zarozumiałość, pewność siebie i przekonanie o jakiéjś przyrodzonéj wyższości w każdym czynie, na każdym kroku.

Kraszewski, malując w tak niekorzystném świetle znaczną część arystokracyi, chciał jéj powiedzieć niejako:

— Patrzcie: tak się nam przedstawiacie, żądamy od was więcéj, niż od innych, boście więcéj posiedli. Uważacie się za lepiéj urodzonych, za szlachetniejszych, chcecie dowieść wyższości swéj rasy — to nam jéj dowódźcie czynami, nie formą bez treści, nie konwenansem, nie nadużyciem. Gdy nie potraficie umoralniać z swych wyżyn, to nie demoralizujcie przynajmniéj; do tego nikt, a najmniéj wy panowie, nie ma prawa, ni przywileju. Nie chcecie schodzić w tłum i swego *forum* kalać źle urodzonymi — to nie schodźcie; ale w maskach komedyantów nie puszczajcie się za lekką zdobyczą, lub dla płochéj zabawy na tę samę ulicę, na którą z wysokości swego balkonu splunąć jesteście gotowi. Macie dumę hidalgów, miejcież i ich nieskalane ambicye. Jesteście wyhodowanym sztucznie kwiatem społeczeństwa, miejcież nie tylko świetniejsze barwy, ale i woń świeższą, a nie zatruwającą. *Noblesse oblige!*.... Są tacy, którzy pojąć nie mogą, dlaczego hrabiowie, lub książęta mają być, pod względem moralnym i obywatelskim, lepszymi od innych śmiertelników, kiedy honor, uczciwość, moralność, użyteczność są dla wszystkich jednakim obowiązkiem; słusznie — ale dlaczegoż w takim razie ci sami hrabiowie, czy książęta, mają mieć wyższe prerogatywy w hierarchii społecznéj, dlaczego należy przyznawać im przywileje, których niczém podtrzymywać i okupywać nie chcą, lub nie umieją; zkąd pretensya w takim razie do większéj pobłażliwości?....

Nie wątpimy, iż wśród najwyższéj arystokracyi znajdują się jednostki — i coraz liczniéj znajdować się będą, które bez téj pobłażliwości obejść się mogą i przed sprawiedliwym sądem opinii z podniesioném czołem się ostoją. Nie wątpił o tém i Kraszewski, pisząc *Komedyantów*; a że ocenić, jak należy, umiał tę prawdziwą *noblesse* arystokratycznéj natury i charakteru, dowiódł w późniejszych swych utworach.

Życzyć wypada, aby wśród naszych hrabiów — taka zdegenerowana rodzina Denderów wymarła jak najrychléj bezpotomnie, i zdaje się, że taki los spotkać ją musi, bo prędzéj, czy późniéj, zabraknąć jéj powinno soków żywotnych razem z materyalną podstawą, którą własnemi nogami zdruzgotała. Kto cały blask swego rodu utrwalić chciał w pozłocie hrabiowskiéj korony, czy mitry książęcéj — a w niczém inném, ten zgasnąć musi z chwilą, gdy ta pozłota się pokruszy. Wielka część arystokracyi rodowéj nabiera dzisiaj warunków bytu arystokracyi pieniężnéj. Spadnie z herbu dukat, pozostanie plama. Upadek takiego rodu, jak Denderów, nie będzie miał w sobie nic tragicznego.

Zygmunt August, strwoniwszy z całą familią bogatą fortunę hrabiowską, nie przestaje grać komedyi. Katastrofę i upadek według jego teoryi sprowadziły dwie przyczyny: jego nieposzlakowana (?!) uczciwość i spiski ludzi, nienawidzących ostatniego potomka wielkiéj i możnéj rodziny!...

Ale czas nam zmierzać ku końcowi; — powróćmy do powieści.

O ile autor w hrabiowskiéj rodzinie zebrał niesympatycznych i ujemnych rysów, o tyle starał się zrównoważyć je innemi figurami. Jako przeciwstawienie, zbyt pretensyonalnie Zygmuntem Augustem nazywającego się hrabiego, postawił nawskróś czystą i poczciwą postać szlachcica, rotmistrza Kurdesza, i między jego skromnym dworkiem w Wólce a pałacem w Denderowie nawiązał nić intrygi, plączącej się przez cztery tomy, z początku dość zwyczajnie, późniéj wszelako w sztucznie nawiązanych węzłach i namotaniach.

Powieść właściwie składa się z dwóch połów, pomiędzy któremi twórczość autora rok cały odpoczywała. W pierwszéj szło jeszcze wszystko jako tako, chociaż trochę leniwie, w drugiéj scena się zaludniła, akcya ożywiła, zagmatwała, powieść nabrała interesu, ale i effektów dość nieswojskich, jak cała historya tajemniczéj Eweliny, którą Sylwan ni ztąd ni z owąd spotyka na drodze do Warszawy, dokąd jedzie z zamiarem upolowania sobie posagu, z żoną w dodatku. Cała druga połowa *Komedyantów* traci wiele charakteru swojskiéj powieści, a trąci zbyt francuzczyzną.

Kurdesz i Frania, jego córka, z ochmistrzynią Brzozosią, najsympatyczniejsza trójka; ludzie to naturalni, prości, nie umiejący udawać, ani kłamać, nie wznoszący się wiele ponad poziom zwyczajnych, ale dodatnich cha-

rakterów, które tém bardziej odbijają od swego otoczenia, gdy się obok nich widzi ciągle ciemne sylwetki Denderów. Pośrednikiem pomiędzy temi dwoma światkami jest Wacław, kochany przez Franię, wabiony przez hrabiankę; z początku zakrawa on na artystyczną naturę; później, gdy odziedzicza milionowy spadek, zmienia się w dość pospolitego młodzieńca. Charakter jego nierówny, chwiejny; stoi on jak słonecznik między dwoma słońcami i zwraca się to ku hrabiance, to ku wiejskiemu dziewczęciu, a może w głębi duszy ukrywa jakąś małą passyjkę dla melancholicznéj Eweliny, któréj tak żywo przypomina dawnego kochanka, że ją prawie swoim widokiem o utratę zmysłów przyprawia. Chwalić mu tego nie można, ganić bardzo nie trzeba, boć on nie stanowi głównéj figury w powieści, na bohatera się nie wprasza, komedyi grać nie umie, ani potrzebuje, a że się w końcu zdobywa na stałość dla swojéj Frani, którą zaślubia po śmierci Kurdesza, to wcale pięknie i szlachetnie z jego strony.

Młody pan hrabia Sylwan, *par excellence* karyerowicz wielkiego świata, kończy gorzéj od papy, bo schodzi na karciarza, ale dystyngowanego, z firmą zakrytą; wyrabia sobie stan nie objęty żadną klassyfikacyą, żyje wszelako dosyć znośnie, jako pasożyt téj sfery, w któréj tacy panicze do ubrania salonu nadają się zawsze, jak piękne, bronzowe kandelabry. Spotykaliśmy sami niejednokrotnie podobnych Sylwanów, grających komedyą, która nietylko była już żywiołem ale i środkiem ich exystencyi.

Wyższe towarzystwo posługuje się nimi, jak liczmanami przy grze, które udają pieniądz, choć żadnéj wartości nie mają.

Pod względem artystycznym w *Komedyantach*, jak wszędzie, znajdzie łatwo wiele scen pięknych, z życia wykrojonych, oryginalnych i poetycznych.

Jakito pyszny jest ten stary Kurdesz, na łożu śmierci zachowujący jeszcze tę równowagę uczciwego człowieka, co się ze świata wybiera, jakby się wyprowadzał do drugiej wioski, i dysponuje po gospodarsku, co zrobić należy.

— Kłopotu mieć nie będziecie ze mną, powiada — bo to się człowiek nie od dziś na tę podróż gotował. Oto za tym kluczykiem jest pięć ruloników z pieniędzmi, w kufrze znajdziecie światło jarzące, w skrzyni jest żółte dla bractwa. Do karawanu zaprządz stare moje konie; tylko, żeby mi ten hultaj Hryćko w dyszel deresza się nie ważył zaprzęgać, bo jakbym widział, w bramie cmentarzowéj się zatnie i kłopotu narobi, a narowisty, że go nie przeprzéć.

Słowa te w w ustach innego człowieka mogłyby się wydać w takiéj chwili nienaturalnością, przesadą. — Kurdesz z pewnością tak umierać musiał.

Dziwna rzecz!... ale w *Komedyantach* dwie śmierci najlepsze robią wrażenie, najwięcéj mają effektu; o ile pierwsza pewnym odcieniem jowialności nacechowana, o tyle druga głęboko dramatycznem przejęta uczuciem. Jest to śmierć księdza; ale co za śmierć!... Za tę jednę scenę w plebanii, gdzie umiera stary proboszcz, potłuczony i połamany, bo wracając późnym wieczorem od chorego, wywrócił się i spadł z wysokiego mostu — za tę scenę konania ks. Warela i jego głośną spowiedź z grzechów całego życia, można oddać całą powieść.

Wszędzie, gdziekolwiek u Kraszewskiego pojawia się kapłan — z małemi wyjątkami, jest on postacią wysoce moralną, piękną, często podniosłą, a zawsze poczciwszą od innych ludzi i namaszczoną jakimś stygmatem cichego poświęcenia dla chwały Bożéj, dla dobra współbliźnich. Cokolwiekbądź powiedzianoby o stosunku Kraszewskiego do kościoła, nikt mu zarzucić nie śmié, aby działał na szkodę wiary swojéj, lub czyjéj kolwiek; aby nieopatrznie rzucał się na formę nie odróżniając jéj od treści.

Pomimo uprzedzeń do pewnych kwestyj, do pewnych sfer, stan duchowny i interesa kościoła były dlań nietykalnemi. Wiedział on dobrze, jak ostrożnie w tym względzie postępować należy powieściopisarzowi, nad którego dziełami nie wszyscy rozumować zechcą, lub potrafią.

Taki ksiądz Warel, jako wielki, wyjątkowy w rzeczywistości, przykład cnoty w powieści, uszlachetnia sobą czytelnika, równych do naśladownictwa zachęca, budzi szacunek dla stanu, który go budzić powinien swą wyjątkową missyą, i wskazuje ile w niéj dobrego i szczytnego uczynić można.

Historya jego życia, to historya nawrócenia; opowiada on ją dlatego, aby złożyć dowód mocy Bożéj, która z niewiernego nawet może uczynić narzędzie zbawienia dla drugich, jak to z niego uczyniła,—z niego, który bez powołania wdział sukienkę kapłańską i długi czas walczyć musiał sam z sobą, zanim się zwyciężył i nagiął do obowiązków.

— O bracia moi,—woła ten konający kapłan,—wiary! wiary nad wszystko nigdy nie traćcie, bo ją nie łatwo odzyskać, a kto

lekkomyślnie naraża się na niepowetowaną szkodę, jest jak zuchwalec, co wśród prochów z iskrą igra bezrozumną....

* * *

Przerzuciliśmy tedy ośmnaście tomów powieści obyczajowych, w ciągu jednego pięciolecia powstałych pod piórem Kraszewskiego. Nie mogliśmy w szczupłym zakresie téj pracy pokusić się o wyczerpującą pod każdym względem ocenę tych siedmiu utworów, nacechowanych odrębnym charakterem, żywotnością tendencyi, śmiałością zdania i pięknem artyzmu. Wolno nam było tylko, jak w siedmiu tonach gammy — wydobyć w każdéj jakiś dźwięk piękniejszy, jakiś oderwany głos wyróżnić z całego akkordu; pomijając inne, staraliśmy się wybierać same dominujące tony, nie mogąc rozwodzić się zbyt szeroko nad pełną harmonią każdego z dzieł wielkiego mistrza. Miłujące serce jego, jak posąg Memnona odzywało się tym, lub owym dźwiękiem, odpowiednio do tego, jak w nie padał promień słońca, krążącego po horyzoncie społecznego żywota. Mało który z pisarzy umiał tak trafnie podchwytywać tętna swojego wieku, jak Kraszewski; niby lekarz, badający chory organizm, z przytuloném uchem do jego piersi, słuchał — a co w niéj zasłyszał, spisywał wiernie niestrudzoną ręką.

Nigdy niebył w rozdźwięku ze swoim czasem i otoczeniem i tém się tłómaczy według nas — ten nieprzeparty wpływ, jaki przez pół wieku bezustannie zdołał na trzy pokolenia wywierać.

Wyznajemy z dumą, że należymy także do tych licznych, którzy na jego książkach czytać, myśleć i czuć się nauczyli, więc tém pochopniéj, choć z wielką nieśmiałością, pośpieszyliśmy wpleść skromny listek do wieńca, który dlań wdzięczna społeczność uwija.

A gdyby można serca w jeden wieniec zmienić, oddać by go należało w hołdzie temu, o którym niedawno jeszcze śpiewał jeden z najpierwszych naszych poetów współczesnych:

U nas—gdzie przodownikom narodowéj pracy
Trud ciężkiego żywota jedyną nagrodą,
U nas—gdzie oni idą kornie jak żebracy
Przed tłumem, co za sobą do przyszłości wiodą,
I siejąc ziarno myśli, za wszystkie korzyści
Zbierać muszą zatruty owoc nienawiści,
U nas nie znajdzie lauru dla uczczenia głowy
Tego, co żył boleścią i życiem narodu'...

Ta książka na szczęście, z pomiędzy wielu innych gorętszych objawów jest wymownem świadectwem, że się poeta pomylił.

Maryan Gawalewicz.

II.

„Powieść bez tytułu.“ „Trapezologion“. „Dwa światy“ „Choroby wieku.“ „Boża czeladka.“ „Abracadabra.“ „Mogiły.“ „Podróż do miasteczka.“

Człowiek, żyjący taką pełnią intelligencyi, jak Kraszewski, chwytający wszystkie prądy otaczającego świata, oczywiście wcielać je musiał w dzieła swoje. Historya więc pięćdziesięcioletniéj działalności literackiéj jego jest niezaprzeczenie historyą półwiekowych idei i sposobu, jakim te ideje odbijały się w naszém społeczeństwie. Biorąc pod rozbiór dzieła jego z jakiéj bądź chwili, nie podobna tracić tego z uwagi. Z tego też powodu powieści, pochodzące z jednéj epoki, pomimo różnolitości zadań, uderzają zawsze pewném pokrewieństwem, pisane są widocznie w jednakim nastroju, z jednaką myślą przewodnią.

W długoletniéj działalności naszego autora, jak w każdym prawidłowym rozwoju, niéma gwałtownych przełomów; są idee kiełkujące, wzrastające i znów przeradzające się w inne. To właśnie stanowi największy tytuł autora do sławy, to sprawia, iż dzisiaj zarówno, jak na początku swego zawodu, odpowiada on potrzebie chwili, i— nawet niezależnie od zasług — jest równie sympatyczny dzisiejszemu pokoleniu, jak i pokoleniom poprzednim.

Poglądy społeczne i zasady Kraszewskiego są wybitne, cechują wszystkie jego utwory, wypowiadają się też bardzo wyraźnie w powieściach obyczajowych.

W czasie zaś, który mi przypadł do rozbioru, wypowiadają się one tém wyraźniéj, że objektywne stanowisko, będące postulatem dzisiejszéj powieści, w owéj epoce nie było jeszcze jasno określone, a nawet nie było jeszcze wcale postulatem.

Przeciwnie; pomiędzy 1855 a 1860 rokiem autor nie zupełnie przemawiał do czytelnika, jak równy do równego sobie; czuł się niejako w prawie i obowiązku wypowiadania otwarcie przekonań swoich, moralizowania, nauczania. Powieść nie była wyszła u nas z obsłon tendencyjności i blizko spokrewnionego z nią dydaktyzmu, a przekonania Kraszewskiego zbyt były silne, by nie wychodziły na jaw niemal na każdéj karcie. Nie potrzebujemy więc doszukiwać się ich pracowicie; mamy je gotowe, wypowiedziane otwarcie nawet do tego stopnia, iż niektóre powieści, jak n. p. „Choroby wieku“ wyglądają jak prosta illustracya tych przekonań.

W owych latach usposobienie autora było pessymistyczne: uderzał go rozłam pomiędzy światem przeszłości, a nadchodzącym nowym społecznym porządkiem; tradycya, ustępująca zwolna i koniecznie przed rodzącemi się i wzrastającemi ciągle potrzebami wieku.

Te nowe potrzeby wcielają się w ludzi i w formy sobie właściwe, często przesadne, często mgliste, jak wszystko to, co jeszcze nie skrysztaliło się ostatecznie; nie dziw więc, że formy owe rażą oczy nienawykłe do nich, a rozkochane w formach i postaciach przeszłości.

Każda przeszłość przez to samo, że jest przeszłością, ma dla poety urok, jaki posiadają zawsze rzeczy minione. Starcie zaś ustępujących idei i prądów z ideami i prądami, które ich miejsce zajmują, daje pole do walk, będących najwłaściwszém i najodpowiedniejszém polem dla powieściopisarza.

Pole to po wszystkie czasy pociągało Kraszewskiego. W epoce, o któréj mówić mi wypada, walka rozgrywała się pomiędzy sentymentalno-mistycznemi ideami a zjawiającym się utylitarnym kierunkiem, przychodzącym do nas z Zachodu, ku któremu parła coraz bardziéj ekonomiczna konieczność. Ta walka stanowi tło ogólne, na którém rysują się dopiéro wszelkie zagadnienia inne, wszelkie artystyczne kreacye. Z tego punktu zapatrywać się na nie należy, ażeby pojąć ich całe znaczenie i doniosłość.

Walka ta widnieje już w prawdzie w wielu poprzednich utworach Kraszewskiego, ale nosi raczéj charakter walki wyjątkowych jednostek z koniecznościami życiowemi, z któremi te jednostki zharmonizować się nie mogą; w téj zaś epoce przybiera bardziéj ogólne rozmiary: mamy ją wyraźnie wypowiedzianą w „Powieści bez tytułu,“ w „Dwóch światach,“ w „Trapezologionie;“ dochodzi ona swego apogeum w „Chorobach wieku“ jéj wyłącznie poświęconych, a w „Bożéj Czeladce“ daje się już spostrzegać zwrot inny.

„Powieść bez tytułu,“ jedna z najszerzéj pojętych i nakreślonych przez autora, oprócz ogólnego tła, przebijającego się we wszystkich utworach owéj chwili, obejmuje promieniem swoim wiele innych zagadnień, tak społecznych, jak uczuciowych. Niektóre z nich autor poruszał już, jak to sam powiada w przedmowie, w jedném z najpierwszych dzieł swoich: „Poeta i Świat;“ inne są właściwością „Powieści bez tytułu“ i niezmiernie dodają jéj wartości.

Zetknięcie się istoty wykształconéj, wrażliwéj, podniosłéj i—dodać koniecznie trzeba—niepraktycznéj, z rzeczywistością, stanowi nader sympatyczny wątek natchnienia dla Kraszewskiego, który snadź sam zaznał wiele z tych cierpień, przez jakie przechodzą ulubieni bohaterowie jego; bo wplata chętnie podobne postacie do wielu bardzo swych utworów, stawiając je na pierwszém miejscu, jak w dwóch przytoczonych powieściach, w „Pamiętnikach Nieznajomego,“ w „Sfinxie“ i innych, lub dając im role komparsów, jak n. p. Justyn w „Dwóch Światach,“ lub Leon w „Bożéj Czeladce.“ Zmieniają się tylko zewnętrzne okoliczności, ale postacie te zachowują wszystkie swe główne rysy; chociaż przyznać trzeba że Gustaw z „Poety i Świata“ dziwnie wyszlachetniał w nowém wcieleniu swojém, jako Stanisław Szarski.

W „Powieści bez tytułu“ rozsnute jest pasmo różnolitych wydarzeń, obrazów, charakterów, a nadewszystko poruszanych jest wiele kwestyj, których doniosłość dzisiaj dopiéro ujawniła się w całéj potędze.

Historya biednego poety jest smutną bardzo. Już w pierwszych latach szkolnych wyróżnia go professor literatury pomiędzy współuczniami za ćwiczenie, napisane wierszem o wiośnie. Człowiek to zestarzały przed czasem, poniżony i zwątpiały; on-to, dając dziecku książki, których ono pożąda namiętnie, przepowiada mu ciężką dolę, jaka stała się jego samego udziałem, cierpienia serca, co rozwinięte i podbudzone, nie bije w takt ze zwykłą miarą serc ludzkich, i myśli przenoszących poziom ogólny.

Odbija się tutaj echo owych słów pamiętnych ojca wszystkich poetów, jacy zjawili się w naszéj literaturze, *Gustawa*, słów,—zwróconych do dawnego nauczyciela:

„Ty mnie zgubiłeś, ty mnie nauczyłeś czytać...“

Profesor daje książki Stanisławowi, chociaż te same książki stały się powodem jego własnéj zguby, jak to utrzymuje; bo jakkolwiek opłakanym jest los starca, żyjącego w opuszczeniu i poniewierce, los ten bynajmniéj nie przeraża młodego poety, który, idąc za popędem zdolności swoich, niecofa się przed złemi przepowiedniami.

Lata szkolne były to najpiękniejsze lata Szarskiego: ukończywszy chlubnie nauki, powraca on do rodzicielskiego domu. Ale dom ten, który w złotych snach marzącego dziecka przyoblekał się cudnemi barwami, przygnieciony był żelaznym despotyzmem głowy rodziny.

Stary Szarski jest to postać z dalekiéj przeszłości i boleć nad tém nie możemy, że nie dzisiejsza; byłby to może wyborny dowódzca batalionu, ale nie ojciec, który sercem i rozumem domowi swemu przewodniczyć winien. Wszyscy w domu, począwszy od matki, drżą przed skinieniem nieubłaganego władzcy, przypominającego niektóremi rysami słynnego ojca Benedykta Winnickiego. W gawędzie Pola jednak matka, chociaż nie śmiała wstawić się za jedynakiem do rozgniewanego ojca, płakała po cichu; matka Szarskiego, przeciwnie, nie śmié nawet w głębi ducha pożałować syna. Stosunek pomiędzy małżonkami jest tutaj inny zupełnie, a dla syna jeszcze gorszy: stary Winnicki razem z synem tyranizował i żonę; gdy tymczasem stary Szarski potrafił przelać w żonę swego ducha, swoje przekonania.

Jeśli co okupić może srogość jego, to idea, że srogość ta jest obowiązkiem; to sumienność, z jaką spełnia sam, co za obowiązek uważa. Twardy dla drugich, jest nim zarówno dla samego siebie; jego własne życie nie jest łatwiejsze, niż życie tych, którzy go otaczają.

Tym sposobem ten niemiłosierny ojciec, obchodzący się tak okrutnie z synem, co za znalezione wiersze każe mu ciężko pokutować, a gdy, zamiast słuchać na uniwersytecie medycyny, oddaje się studyom literackim, wyrzeka go się i przeklina, jest mniéj wstrętny od wielu innych ojców tyranów.

Sędzia Szarski ma swoją odrębność i poezyą nawet. Po nad despotyzmem, jaki rozciągał nad rodziną, widnieje myśl przewodnia; pod surowością nieubłaganą czuć zduszone serce. Sędzia rozumiał, że rodzina, ten węgielny kamień ładu i spójni, stać może jedynie posłuszeństwem, i dla tego, nawet wówczas, gdy jak ojciec przebacza synowi, iż ten nie pokierował się wedle jego woli, jako głowa domu uczynić tego nie może i odbiera mu przynależną część dziedzictwa, bo od zupełnego przebaczenia wstrzymuje go—obowiązek.

Dla tego też, pomimo niesprawiedliwości, jaka dotyka głównego bohatera, Stanisława, nie możemy tracić sympatyi dla jéj sprawcy. Sędzia, ulegający wyższym prawom, niż prawo miłości rodzicielskiéj, sam tutaj występuje, jako ofiara swoich zasad.

W tych szlachetnych rysach charakteru leży także powód ślepego posłuszeństwa matki: ona nie przez bojaźń samę wyparła się syna wespół z mężem; ona szanowała wyższość głowy domu—jego zasady—była poddaną silniejszéj intelligencyi, nie zaś prostéj obawie. Nieubłagany jednak despotyzm, któremu od dzieciństwa podlegał bohater powieści Stanisław, tłómaczy brak siły jego charakteru.

Obok poważnéj, choć szorstkiéj, postaci starego Szarskiego występuje typ zupełnie odmiennego zakroju, krewny i imiennik jego, pan Adam Szarski, szlachcic z nazwiska, półpanek z fortuny, pan z pragnienia, składający wraz z żoną i córką swoją Adelą jeden z tych obrazków, które byłyby bardzo śmieszne, gdyby pod temi śmiesznościami nie kryły się zboczenia i wady, dające początek wielu dramatom tak w dziedzinie prywatnéj, jak i publicznéj.

Tutaj występuje stosunek bogatych krewnych do ubogich, w epoce, w któréj solidarność, zerwana faktycznie, trwała jeszcze w tradycyach. Stosunek ten dostarczył tematu do „Interesów familijnych" i do wielu innych powieści Kraszewskiego; bo ilu jest na świecie ludzi i charakterów, tyle razy też same z pozoru okoliczności stają się odmiennemi, działając na odmienne z gruntu istoty.

Tutaj bogaci krewni, którzy z powodu bogactwa swego pną się do wyższych warstw społecznych, spoglądają z góry i niechętnie na ludzi, którym los dał nosić toż same nazwisko, a nie dał ani środków, ani zachceń jednakich, przedstawieni są z wielką prawdą. Bogaci krewni nie zrywają zupełnie z ubogimi stosunków, raz dla tego, żeby nie stracić popularności pożytecznéj w niektórych razach, powtóre, żeby zdala od ich wpływu ci *hołysze* nie skompromitowali czém wspólnego nazwiska. Zbyt skąpi, żeby im dopomódz materyalnie, chcieliby jednak narzucić im swój sposób widzenia rzeczy, a przynajmniéj wpłynąć na to, by nazwisko, które noszą, nigdy nie ukazało się światu w sposób zdradzający ubóstwo

lub potrzebę pracy,—co do dziś dnia jeszcze plami i poniża w niektórych oczach, a jeszcze bardziéj poniżało i plamiło przed dwudziestu laty.

Panna Adela, córka Adama Szarskiego, była pierwszą miłością Stanisława. Brał on na seryo jéj dziecinne próby kokieteryi, któremi wabiła poetycznego kuzynka; zresztą być mogło, że w téj kokieteryi miało udział i piętnastoletnie serce dziewczęcia.

Adela jest to jedna z tych istot, dobrych może z natury, z których przecież fałszywy kierunek wyrabia wiekuiste kalcki, nieszczęśliwe same i czyniące nieszczęśliwymi łatwowiernych.

Stanisław do takich należał. Pierwsza miłość jego rozwiała się więc tak, jak rozwiewają się podobne sny wiosenne.

Wdziewając długą sukienkę, Adela odrzuciła niezapominajkę, którą ślubowała wieczną miłość ubogiemu kuzynkowi, a wraz z nią i pamięć tego uczucia, chociaż może w danéj chwili było ono prawdziwe. Nie przyszło jéj nawet na myśl, by inaczéj być mogło. Wszakże wychowanie, jakie odebrała, nauczyło ją szukać w życiu rozrywki jedynie, bawiła się więc sercem ludzkiém tak, jak wszystkiém innem.

Była to pierwsza miłość poety, sielanka wiośniana, czar, którym żył czas jakiś. Rozwianie marzeń było mu bolesne, nie złamało go jednak; bo miłość ta, lubo zapuściła korzenie w sercu, nie zrosła się z życiem, nie nabrała jeszcze rzeczywistych konturów.

Drugą postacią niewieścią, występującą w tym utworze, jest typ zupełnie inny, istota może po raz pierwszy ukazująca się na kartach naszéj powieści,—piękna, poetyczna Izraelitka, Sara.

Stwarzając ją, Kraszewski dotykał już kwestyi żydowskiéj, tak gorąco podejmowanéj obecnie, i zajmującéj tak poważne stanowisko w powieści.

Kraszewski z właściwą sobie bystrością, od dawna przeczuł doniosłość téj kwestyi. Już w „Latarni Czarnoksięzkiéj“ pomiędzy rozmaitémi warstwami społecznémi pomieścił historyą Hersza.

Tam jednak spotykamy opis powierzchowny, ograniczający się do tego, co uderza każdego w obyczajach żydów naszych, kiedy przeciwnie w „Powieści bez tytułu“ życie ich zarysowuje się głębiéj i poważniéj. Rodzina kupca Białostockiego przedstawia w głównych postaciach trzy typy, zauważane przez wszystkich głębiéj patrzących na ludność Izraelską naszego kraju, trzy typy opisane obszernie przez panią Orzeszkową w „Elim Makowerze.“ Dziki fanatyzm jest udziałem starego Abrahama, syn jego Dawid, nie ma już wstrętu do chrześcian, trzyma się tradycyi o tyle, o ile potrzeba, ażeby nie gorszyć swoich współwyznawców, wówczas gdy trzecie pokolenie (Sara) łaknące wiedzy, odwróciło się już faktycznie od separatyzmu i zabobonu, które były tak długo panującą cechą żydów, i sercem zlało się ze społeczeństwem, wśród którego żyje.

Sara jest to jedna z najpoetyczniejszych postaci Kraszewskiego. Miłość dla Stanisława rodzi się w niéj, wraz z rozbudzeniem intelligencyi, miłość pokorna, wielka, namiętna i pełna poświęcenia do przesady. Dzieckiem prawie, Sara, nie zrażona ubóstwem Szarskiego, nie waha się słodzić mu je wedle możności; rozpieszczona jedynaczka własnémi rękoma dźwiga na poddasze jego dzban wody, ażeby mieć tajemną roskosz posłużenia mu, ulżenia czemkolwiek.

Późniéj, wydana za mąż przemocą, do niego zwraca się, szukając ratunku; późniéj jeszcze, gdy los i ludzie stanęli pomiędzy nimi, gdy zrozumiała, że może mu jedynie przynieść nieszczęście swoją miłością, stara się go z niéj uleczyć z najwyższém zaparciem się, udając obojętność i zepsucie z razu, a wreszcie kalając się w jego oczach.

To ostatnie jednak poświęcenie Izraelitki, poświęcenie, którego nie wahamy się nazwać przesadném, okazało się fatalném dla poety, bo kochał ją całą potęgą namiętności, do jakiéj był zdolny.

Zdrada jéj, chłód przybrany, widok jéj kochanka, jest to dla niego cios ostateczny. Poeta umiera trawiony boleścią, a nad grobem jego wierna ręka nieszczęśliwéj Sary kładzie wieńce i pamiątki ze stałością, jaką tak rzadko mają żywi dla umarłych.

Taką była druga miłość poety.

Trzecią spotkał był on na drodze życia w chwili, kiedy ani odpowiedzieć, ani jéj ocenić już nie mógł, za późno dla swego szczęścia. Marylka kochała go z całym zapałem i świeżością młodzieńczéj, czystéj natury, ale promienie jéj miłości nie zdołały ocucić obumarłego od ran, zadanych przez Sarę, serca Stanisława. Miłość, która powinna była ziścić najwyszukańsze marzenia i starczyć na życie całe, zaledwie ostatnie chwile ozłociła mu bladym blaskiem. Stanisław umiera z ręką Marylki w swoich dłoniach, dopiero w ostatnich chwilach poznając wartość tego uczucia, które mu się bezwarunkowo oddało.

Na tle tych trzech miłości, zródle najsroższych cierpień poety, rysuje się mnóz-

two cierpień innych, podrzędnych, a przecież dotkliwych, raniących jego miękkie a nieopatrzne serce. Szarski jest prawy do heroizmu, ufny— do śmieszności, dobry —do słabości, tkliwy—do dzieciństwa. Chłodne spojrzenie bolało go więcéj, niż innego obelga; zabijała obojętna atmosfera; lada krytyka odbierała mu wiarę w siebie; zdrada ludzka wstydziła go, i jak gdyby to on ją popełnił, nie śmiał spojrzéć w oczy człowieka zdradzającego. Wszystkie te właściwości skazały go z góry na żywot męczeński i na śmierć przedwczesną, tém barrdziéj, że trzeba mu było zdobywać sobie chleb powszedni i łamać się z trudnościami bytu.

W dzisiejszym świecie nie było dla niego miejsca; nie umiał ani cisnąć się gwałtem do uczty życia, ani bronić, ani zdobywać.

Walka o byt nie nosiła jeszcze wówczas téj dobitnéj nazwy, dzisiaj tak rozpowszechnionéj; ale niemniéj istniała od niepamiętnych czasów, i od niepamiętnych czasów zabiegliwy, śmiały a częściéj jeszcze bezczelny,otrzymywał pierwszeństwo przed skromnym i zacnym. W „Powieści bez tytułu“ walka rozgrywa się głównie pomiędzy Szarskim, najgorzéj do niéj uzbrojonym, a drugim studentem uniwersytetu, Bazylewiczem. Wśród typów z literackiego i akademickiego świata, zapełniających czterotomową powieść, Bazylewicz pierwsze zajmuje miejsce. Posiada on właśnie te wszystkie wady, których brakło Szarskiemu, a które zazwyczaj są najlepszą rękojmią powodzenia. Bazylewicz, samolub, samochwał, nigdy nie oglądający się na drugich, nie przebierający w środkach, strojący się w cudze pióra, wszystko zagarniający dla siebie, bezczelny bez skrupułów żadnych, musiał w każdém spotkaniu odnieść nad nim zwycięztwo.

Bazylewicz, spanoszony, sławny, odgrywający znakomitą rolę na świecie, pomimo braku talentu, nauki i sumienności, jest w świecie naszym zbyt częstém zjawiskiem, byśmy w nim nie poznali wielu zwycięzców życia. Natura pochwycona tu jest z taką prawdą, że Bazylewicz gniewa i niecierpliwi tak, jakbyśmy rzeczywiście mieli z nim do czynienia; illustruje on wymownie tę wieczną ironią losu, albo i nie losu, mocą któréj nadęta mierność zajmuje zwykle miejsce należne talentowi.

Trzeba przyznać, że cały świat literacki otaczający Szarskiego dziwnie jest do dzisiejszego podobny; autor kreślił go szerokimi rysami i stworzył długo trwałe typy, które nie przeżyły się dotąd, skoro w pośród mętów społecznych odnaleźlibyśmy je bez trudu.

Oprócz tych wiekuistych warunków bytu, przedstawionych plastycznie w kilku szeroko pojętych typach, spotykamy odzwierciedloną wiernie jednę chwilę ze świetnych czasów wileńskiego uniwersytetu, niby dekoracyą objaśniającą warunki przemijające czasu i miejsca, na tle których rysują się owe typy.

Tło to zapadło już bezpowrotnie w mroczną przeszłość, i z pozoru przynajmniej różni się niezmiernie, od tła dzisiejszego. Pełno tam wiary, zapału, uczucia i tych wszystkich czynników, na których brak słyszymy w koło ciągle narzekanie.

A jednakże, pomimo zapału, wiary, uczucia, będących na wszystkich ustach, w tym dawnym świecie, tak samo jak dzisiaj, wygrana nie należała do najszlachetniejszych, zręczność, szalbierstwo, bezwstyd, królowały w nim tak samo, jak w dzisiejszym. Dowodém tego los Szarskiego.

Fakt ten przywodzi na myśl pytanie: czy te wszystkie piękne wyrazy, które ludzie ówcześni mieli na ustach, nie były wyrazami tylko? czemś na kształt fałszywego szyldu, pokrywającego te wszystkie wiekuiste czynniki, panujące w łonie ogółu, za których sprawą wszystko, co góruje, cierpiéć musi, z powodu braku współczucia i zrozumienia; a jeśli siła wytrwania i hart jednostki nie staną na równi jéj wyższości, nie sprostają ogólnéj sile, jednostka ta upaść musi, zgnieciona obojętnością tłumu, wśród którego nie znajdzie się dla niéj miejsca. Siły téj Szarski nie posiadał. Czy koniecznie przez winę swéj poetycznéj organizacyi? Gdyby Kraszewski dał nam jednę tylko podobną postać w „Powieści bez tytułu“, mogłaby pod tym względem istnieć wątpliwość; ale nie zostawiają nam jéj inne utwory. A jednak organizacye poetyczne bywają rozmaite. Czyż siła twórcza, którą tak dobitnie w kilku słowach określił autor w „Powieści bez tytułu,“ mówiąc o Stanisławie: „Każdy przedmiot w téj duszy zogniskowanéj w sobie, zamkniętéj we wnętrzach, przybierał rozmiary wielkie, poważne i stawał się pod ręką jego utworem nowym, silnym, zdrowym, w którym czuć było krew krążącą i bijące pulsa życia. Najmniejsza drobnostka, jedno często słowo, budziło w nim szereg idei, ćmy marzeń, których tłumy wywołane zjawiały się, jak słowem czarnoksiężnika w ludzi przemienione kamienie... i szły, ciągnęły się, snuły się pasmem nieskończoném... Z ponizanych, jak paciorki na sznurek, faktów, z martwych

kilku wyrazów, w umyśle jego tworzyły się obrazy, życia pełne. A gdy po długiém czytaniu głos podniósł o treści księgi, nie poznać jéj było w zmianie, jakiéj, przechodząc przez duszę jego, uległa... Stanisław czytając tworzył,“ —czyż siła ta, powiadam, koniecznie musi iść w parze z życiową bezsilnością i rozwijać się koniecznie jéj kosztem? Poezya bywa czasem także energią i wolą, chociaż nie zawsze skierowaną wedle pojęć powszedniego poziomu.

Kraszewski pojął Szarskiego, jako istotę niezdolną zupełnie do praktycznego życia jakiegobądź rodzaju: w sprawach sercowych daje się oszukać wyrachowanéj Adeli, zarówno jak nierozważnie poświęcającéj się Sarze, a i nie rozumié doniosłości i uczucia Marylki. W sprawach tyczących się powszedniego życia i materyalnych warunków, pokazuje zupełną nieudolność. Na wsi, po śmierci ojca pomimo szalonéj pracy i najlepszych chęci gospodaruje jak najgorzéj. W Wilnie w niczém nie umie sobie dać rady; Szczerba bronić go musi od wydzierstw we wszystkich interesach kupna i sprzedaży, wyszukiwać mu lekcye i roboty, słowem zajmować się w zastępstwie jego gospodarką życia, któréj nikt bezkarnie opuszczać nie może.

Tam tylko, gdzie idzie o zasady, o rzeczy uczciwości, lub intelligencyi, Szarski odzyskuje samodzielność i stoi nieugięcie przy przekonaniach swoich; żadna pokusa nie istnieje dla niego; wobec nędzy, wobec poniżenia, odrzuca wszelkie propozycye nie licujące z jego zasadami, odrzuca myśl samę jakiegobądź półustępstwa, któreby mogło choćby cień wątpliwości wzbudzić w jego sumieniu. Wpośród otaczających go mętów charakter jego pozostaje nieskalany. Kraszewski chciał tu widocznie przedstawić w apoteozie posłannictwo pisarza tak, jak je pojmuje: bohater jego gotów jest raczéj ponieść wszystkie męczarnie, niż poziom swój zniżyć. Być wyszydzanym, wyzyskiwanym, niezrozumianym, odepchniętym: oto jest dola Szarskiego; a gdy wreszcie sława i miłość skłaniają się ku niemu, obie przychodzą za późno.

Jak widzimy, nastrój autora jest smutny. Świat, jaki go otacza, nie zadawalnia go; snadź spotkały go zawody i bóle, których echem drgają jego powieści. Bóle tém dotkliwsze, że spowodowane są miłością ludzi, którzy na to nie zasługują. Podobne uczucia łatwo przechodzą w naturę. Chęć poprawienia bliźnich, wyradza ją często bardzo w autorach tendencyjnych, jakim był wówczas Kraszewski, który z tego powodu lubił wypowiadać gorzkie prawdy temu raniącemu go światu.

Za pozór do satyry służyć mu mogła lada okoliczność, skoro osnuł ją nawet na epidemii wirujących stolików.

Epidemia ta nie dostarczyła Kraszewskiemu wesołéj fraszki, jak to możnaby sądzić z pozoru; nie roześmiał się on ze szczególnego zaślepienia chwili, nie wyzyskał komicznych sytuacyi, które się tak łatwo nastręczały pod pióro; można powiedzieć, iż niebył usposobiony do śmiechu, a jeśli kiedy przychodził mu na usta, był to krwawy śmiech ironii. Widzimy to w „Trapezologionie.“ Na tle choroby umysłowéj, obałamucającéj ówczesne społeczeństwo, napisał on satyryczno moralną bajkę, w któréj sponiewierany rezydent brzuchomówca i frant zawołany, pod pozorem spowiedzi rozmaitych duchów, wypowiada swoim chlebodawcom gorzką prawdę, a razem z nimi i wszystkim należącym do téj pseudo-arystokracyi ówczesnéj, tak szczerze nielubionéj przez Kraszewskiego.

Przy téj sposobności rezydent, zawsze pod imieniem duchów, wygłasza wiele arcytrafnych uwag, świadczących, że pozorne niedołęztwo jego ukrywało bystrą obserwacyą i niepospolity zmysł filozoficzny, sięgający nawet do dzisiejszych deterministycznych doktryn, skoro zapytany o przyszłość stolik, gadający ustami Wieklaszewicza, taką daje odpowiedź zepsutemu i bezmyślnemu paniczowi:

„Chcesz wiedzieć przyszłość? zajrzyj w przeszłość swoję: są to dwa liście jednéj łodygi, jak liście podobne do siebie. Nic innego wyrosnąć nie może na roślinie, prócz jéj własnego liścia i kwiatu... czasem go robak stoczy i wykrzywi, czasem go burza złamie, lecz rozwiń, a w środku znajdziesz zawsze to, co z niéj wystrzelić musiało.“

A przepowiadając upadek rychły całéj warstwie społecznéj, czczéj, dumnéj, bezpożytecznéj, w osobie jéj reprezentanta, stolik dodaje:

„Spojrzyj więc na przeszłość swoję... Próżność, duma, chętka błyszczenia wszystkiém, co tylko połyskiwać może: ot co znajdziesz w niéj; a to samo z owocem leży w przyszłości twojéj: jeszcze więcéj próżności i śmieszności, którą ona ściąga niechybnie, i jeszcze więcéj dumy i upokorzenia i żądzy błyszczenia, któréj wkrótce nie będzie czém świecić, bo oleju nie dolewasz do lampy“...

Zdania podobne nie są oderwane; wypowiada je autor we wszystkich utworach swoich—z owéj epoki, najwyraźniéj czyni to jednak w obszernéj powieści „Dwa świa-

ty" jednéj z najartystyczniejszych, jakie wyszły z pod jego pióra, i która téż zyskała sobie nadzwyczajny rozgłos.

Światów sprzecznych i wrogich sobie mamy wiele na rozmaitych szlakach życia: świat uczucia i świat rozumu, świat wiary i świat wolnéj myśli, świat maluczkich i świat wielkich,—wszystko to dostarczało i dostarcza nęcących antytez dla powieściopisarzy wszelkich stronnictw i krajów. Szereg ich byłby bardzo długi, gdybyśmy śledzić chcieli przebieg podobnych idei w literaturze; wymienimy więc tylko kilka głośniejszych i bardziéj znanych przykładów. Zestawienie świata nędzy i świata zbytku—był to, jak wiadomo, ulubiony temat Eugeniusza Sue, widoczny we wszystkich prawie powieściach jego drugiéj maniery, począwszy od Tajemnic Paryża.

Nieco późniéj pisał Dizraeli, swoją *Sybil of the two nations*, nazywając dwoma odrębnemi narodami bogatych i ubogich. Przyjrzawszy się wszystkim powieściom Wiktora Hugo, od *Kościoła Panny Maryi* do *Człowieka śmiechu*, i *Dziewięćdziesiątego trzeciego roku*, widzimy w nich występujące wyraźnie owe dwa narody, czyli dwa światy. Dwa światy Kraszewskiego, które on tak chętnie stawia naprzeciw siebie i wziął za temat tak zatytułowanéj powieści, jest to także świat ubóztwa i świat bogactwa, a raczéj świat pracy i świat używania. Reprezentantami pierwszego nie są jednak mieszkańcy wieśniaczéj chaty, ale dworku cząstkowego szlachcica; ztąd powstaje kollizya daleko mniéj jaskrawa, a dająca za to pole do subtelniejszéj, psychicznéj analizy.

Dwa odrębne żywioły, mające się zetrzeć z sobą, stoją na jednakim poziomie intellektualnym i to od razu nadaje powieści głębsze znaczenie, bo nie rozgrywa się w niéj rzecz, o kęs chleba, ale o duchową cząstkę. Wyrobienie intellektualne nie koniecznie równa ludzi, przeciwnie przybiera ono odrębne cechy, stosownie do cech rasowych, do nawyknień, do panujących w pewnych sferach poglądów i zasad.

Wytrawny autor nie posłużył się zużytym sposobem zaludnienia dworku aniołami, a pałacu szatanami. Przeciwnie, tu i tam mamy ludzi z summą cnót i przywar sobie właściwą, a równoważącą się może. Tylko cnoty te i przywary są tego rodzaju, że odpychają się wzajem; a gdy wola jednostek przełamuje instynktowe niechęci, zjednoczenie trwałém być nie może. Życiowe prądy unoszą w różną stronę ludzi, którzy szczerze pragnęli podać sobie ręce; jednak zetknięcie to chwilowe łamie życie maluczkich w ten sposób, jak rozdartą bywa drobna łódź w zetknięciu się z większą nawą, która, niepoczuwszy prawie wstrząśnienia, płynie daléj, nie bacząc, że zostawia po za sobą klęskę niepowrotną.

Co najważniejsza, bohaterowie powieści nie padają ofiarą czynników nie obrachowanych z góry, przeciwnie znają oni własne przywary i trudności swego położenia, ale znajomość ta nie może uchronić ich od nieszczęścia, jakkolwiek przewidywali je niejako.

Reprezentant wyższego świata, Julian Karliński, nie łudzi się bynajmniéj ani co do własnego położenia, ani co do położenia całéj warstwy społecznéj, do któréj należy.

„Myślisz—mówi on do Aleksego Drabickiego, przyjaciela i towarzysza swego z lat uniwersyteckich,—że ja nie czuję i nie znam choroby całego plemienia, do którego należę... Dziś my niedobitkami tylko jesteśmy pułku, który wiódł niegdyś do zdobycia cywilizacyi i przewodniczył w szeregach, pierwszy krew przelewając za nią; aleśmy zapomnieli podań, które wiodły, jak gwiazda, i przerodzili się w bezczynne istoty, których żywota celem: użycie, spokój, próżnowanie."

Równie dobrze i Drabiccy, uboga rodzina szlachecka, żyjąca w sąsiedztwie pałacu Karlińskich, znają ten świat wyższy, który ich zbliżyć do siebie usiłuje. Kiedy Julian zapytuje Alexego. „Za kogoż ty mnie masz?" Alexy odpowiada bez wahania. „Za najlepszego z ludzi, ale za najsłabszego... za najpoczciwsze z dzieci arystokracyi, do któréj należysz ciałem, duszą, życiem i słabością swoją."

„Dobry człowiek—mówi matka Alexego o Julianie—wszyscy oni dobrzy ludzie, choć do rany przyłóż; ale nam nie żyć z nimi: oni ani czasu, ani pieniędzy nie umieją cenić; my się przy nich popsujemy, a oni się nie naprawią."

Pomimo tak jasno wypowiedzianego zdania: dwa światy zbliżają się; pierwszy potrzebuje pracy i energii drugiego, drugi daje się pociągnąć magnetycznie wykwintem, polorem i blaskiem pierwszego. Przyciągają się na mocy tych kontrastów, które w końcu staną pomiędzy nimi, rozerwą przyjaźń i miłość.

Świat pałaców reprezentuje głównie Julian, który przez siebie samego i przez usta przyjaciela dostatecznie jest określony, oraz siostra jego, Anna, jedna z tych czystych eterycznych istot, nie pojmujących ziemi, nie stąpających po niéj, które tyl-

ko w cieplarnianéj atmosferze wychować się mogą.

Na piękność Anny, tak jak i na piękność Juliana, złożyło się wiele próżniaczych pokoleń. Niema w niéj krwi ani muszkułów, są nerwy tylko wydelikacone i wypieszczone. Umysł lotny, skierowany jest tylko do niektórych przedmiotów, brzydzi się realnością każdą. Dobroć jéj jest bierna, schyla się wprawdzie przez miłosierdzie do żebraków i nędzarzy, ale jest głuchą i ślepą na cierpienia otaczających, bo cierpienia te przechodzą jéj pojęcie. Niech szalona namiętność towarzyszki rozwija się swobodnie pod jéj okiem, niech Julian z niéj korzysta, niech Alexy kona z miłości,—ona tego wszystkiego nie widzi, a gdyby i widziała, nie byłaby zdolną pojąć. Uczucie jéj jest raczéj sentymentalizmem, nabożeństwo—ucieczką do sfer niebieskich od zwykłych życiowych warunków. Pełna exaltacyi, tonąca w modłach i w jakiémś eterycznéin cierpieniu, nie mającém nic z realnością wspólnego, niby nie myśląca o sobie, posiada jednak dumę rodową, ukrytą pod pozorem chrześciańskiéj pokory, a górującą nad wszytkiemi cnotami. Zniży się chętnie do prostaczków, bo prostaczkom tym nie przyjdzie na myśl równać się z nią; ale gdyby Juljan chciał się żenić z śliczną, szlachetną i wykształconą Polą, która go kocha, którą zgubił, oburzenie jéj nie znałoby granic. Kiedy dowiaduje się, że Alexy śmiał ją kochać, chociaż nigdy ani słowem, ani spojrzeniem nie zdradził szalonéj namiętności, chociaż miała dla niego pozorną przyjaźń, szacunek i wdzięczność; czuje się głęboko obrażoną, poniżoną nawet. Złożonego śmiertelną chorobą, w któréj bezwiednie wśród majaczeń gorączki zdradził swoję tajemnicę, pozostawia obojętnie na opiece sług, nie dbających o człowieka, od którego odwrócił się pstry koń pańskiej łaski, nie okazuje mu nawet zwykłego miłosierdzia, jakie miałaby dla jakiegobądź nieznanego żebraka, dla winowajcy, lub zbrodniarza nawet.

W oczach jéj ten człowiek popełnił czyn, gorszy od wszystkich zbrodni, — śmiał ją kochać.

Obok tych dwóch naczelnych postaci ze świata użycia, gruppuje się kilka innych kreślonych równie trafnie, a bynajmniéj nie pozbawionych sympatycznych rysów. Prezes n. p., stary grzesznik, człowiek łatwych uciech i łatwych miłostek, jest najlepszym opiekunem, ojcem prawie dla Juljana i Anny. Jest on nawet bardzo uczciwym człowiekiem, tylko jest nim wyłącznie dla ludzi ze swojéj sfery.

Względem *nieurodzonych* rządzi się odmiennemi prawami; a jeśli nic mu zarzucić nie można w stosunkach pieniężnych, to w postępowaniu nie zapomina ani na chwilę o dzielącéj ich przepaści i pod pozorną grzecznością daje to uczuć na każdym kroku.

Brat jego, Atanazy Karliński, którego mistycyzm doprowadził niemal do manii religijnéj, jest to znowu najlepszy i najzacniejszy człowiek; ale świat może wkoło niego rozsypać się w gruzy, on nie poczuje się do innego obowiązku, nad obowiązek modlitwy, on będzie płakać, bić się w piersi, ale na obronę tego, co mu jest drogiém, nie zdoła nawet podnieść palca. Świat cały pojmuje on jako klasztor, gdzie w pokucie przewodniczyć winny wielkie rody, bo to jedyne działanie, jakie pozostaje naszemu wiekowi.

Łatwo zrozumiéć, że w ręku takich ludzi jak Julian, Prezes, Atanazy, majątek szwankuje, a stan jego coraz mniéj odpowiada świetności imienia. Dla tych wszystkich jednak rozpieszczonych, poetycznych, księżycowych, czy też po prostu rozzbytkowanych istot, majątek jest niezbędnym warunkiem istnienia.

W tym razie pałac potrzebuje energii, pracy, uczciwości, a nawet pewnego poświęcenia się swoim interesom, i szukać musi tych wszystkich przymiotów pod dachem szlacheckiego dworku.

Julian, Prezes, Anna wreszcie, błagają Alexego, ażeby ich ratował i ciężar, któremu oni wydołać nie mogą, wziął na swoje barki. Alexy czuje dobrze, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Pod własną słomianą strzechą był panem, był głową domu; kochali go i szanowali wszyscy, nawet matka, ceniąca pracę rozumną, którą utrzymywał i ją, i młodsze rodzeństwo. Ale gdy jeden z braci zastąpić go może w małém gospodarstwie; gdy matka, nie rada temu, że wszedł z wielkimi panami w stosunki, zaczyna wyrzekać na wyższe wykształcenie, które odebrał, a które ona, zarówno jak stary professor w „Powieści bez tytułu "uważa za powód nieszczęścia; gdy z drugiéj strony nalegania pałacu się wzmagają, a łączy się do nich i głos własnego serca, Alexy zostaje rządzcą i plenipotentem Karlińskich.

Tutaj jednak pomału zmienia się położenie. Alexy jest wprawdzie zawsze przyjacielem Juliana, ale jest zarazem i sługą jego. A Julian jest to kapryśne dziecko, które musi mieć na zawołanie to wszystko, czego zapragnie, czy to przyjaciela, czy ko-

chankę; jak u dziecka tak u niego zabawka posiadana prędko wartość swą traci.

Alexy nie jest w pałacu jedynym reprezentantem innego świata; świat ten przedstawia także Pola, sierota po dawnéj garderobiannéj i officyaliście, którą rodzice odumarli małém dzieckiem, a wychowano z miłosierdzia razem z Anną. Chowając ją w ten sposób, nikt nie zatroskał się o przyszłość sieroty. Była ładna i sprytna, bawiono się nią, jak lalką, dopóki była maleńką; gdy podrosła, służyła znów za zabawkę Annie, która ją pokochała i nie chciała się z nią rozstać. Później los jej był stokroć gorszy: póki bawiła się nią matka Anny i Juliana, i Anna sama, zabawka była jeszcze niewinną; ale Pola wyrosła na śliczną dziewczynę, przedstawiającą zupełną sprzeczność z Anną; nie miała ona nic eterycznego: wesoła, szczebiotliwa, dowcipna, była czémś na kształt słonecznego promienia, zabłąkanego w posępnéj atmosferze pałacowéj. I stało się, co stać musiało; Pola i Julian pokochali się. Pomiędzy temi dwiema istotami zrodzonemi tak daleko od siebie, a połączonemi nierozważnie jednością nawyknień i pozorną równością, żyjącemi pod jednym dachem, przyszło do zapomnienia o wszystkiém, co ich dzieliło.

Była to rzecz łatwa do przewidzenia; jednak nie przewidział jéj nikt. Zapewne gdyby szło o kogokolwiek innego, a nie o córkę garderobianny, nie byłoby takiego lekceważenia. Anna zbyt mało rozumiała warunki realne, ażeby pomyślała o podobnéj miłości; a jeśli pomyślał o niéj Prezes, lub pułkownikowa Delrio, to żadne z nich nie chciało brać na seryo rzeczy tak błahéj, jak miłostki młodego człowieka z dziewczęciem, wychowaném z łaski.

Miłostki te jednak przybrały rozmiary namiętności. Pola, z całą szaloną nieopatrznością natury szlachetnéj, rzuciła się w nią bez pamięci na nic, bez litości sama nad sobą. Julian był tak słaby, iż nie mógł się oprzeć szałowi ukochanéj i popędom własnego serca.

Miłość ta bez przyszłości, skazana na marne od pierwszéj chwili swego istnienia, rzuca także cień swój na przyjaźń Juliana z Alexym. Młody panicz, przywykły, by mu wszyscy schlebiali, oburza się na surowe rady, jakie od niego odbiera. Żąda prawdy, ale wówczas tylko, gdy prawda jest dla niego przyjemną, gdy nikt rzeczy nie nazywa po imieniu. On przecież ma się za uczciwego człowieka, chociaż uwiódł sierotę, zostającą pod jego dachem; rozumie, jakie ciążą na nim obowiązki; nie dał prawa nikomu o tém powątpiewać; jest przecież wolny, ożenić się z nią może, nie potrzebuje, by mu to przypominano.

Prawdopodobnie Julian wié dobrze w głębi ducha, iż tego uczynić nie może; a jednak, kiedy to mówi Alexemu, nie jest zupełnym kłamcą; pragnie on oszukać się, uśpić własne sumienie i wmawia sam w siebie szlachetne przedsięwzięcia, których spełnić nie zdoła. Julian, nawet gdyby chciał żenić się z Polą, nie może tego uczynić bez skazania się na ubóstwo. Karlin jest bardzo zadłużony; rachowano dotąd, że podzielić się musi pomiędzy Julianem i Anną tylko; ale mają oni jeszcze brata Emila, głuchoniemego, który dawał dotąd tak słabe znaki intelligencyi, że miano go za zupełnego idyotę. Anna, z całém poświęceniem się dla brata-kaleki niepraktyczna, jak wszyscy z jéj plemienia, pomimo gorących usiłowań, nie mogła w nim rozbudzić myśli żadnéj. Cudu tego dokonywa Alexy, uzbrojony niezmordowaną cierpliwością i wolą, jaką natchnęła go miłość dla Anny. Za jego sprawą biedny kaleka przyszedł do samowiedzy, nauczył się mowy migan éj i wszedł w stosunek z innymi ludźmi. Nie była to już wegetująca niemal roślinném życiem istota, ale człowiek, jakkolwiek upośledzony i słabo rozwinięty.

Owo zmartwychwstanie kaleki, przyjęte z entuzyazmem przez Annę, nie wywarło tego samego wrażenia na Prezesie, który zrobił uwagę, że Emil nigdy kompletnego człowieczeństwa nie dojdzie, imienia Karlińskich dźwignąć nie zdoła, a przez pewne umysłowe rozwinięcie nabrał prawa do swojéj części majątku i uszczupli tym sposobem schedę Juliana i Anny.

Nie jest on za to bynajmniéj wdzięczen Alexemu, a ponieważ nie podejrzewa jego tajonéj miłości, przypisuje tę niewczesną gorliwość chęci opanowania głuchoniemego, który przywiązał się nadzwyczajnie do swego nauczyciela.

Nieszczęściem ludzi wysoko położonych jest to właśnie, że ze sfer niższych zbliżają się do nich najczęściéj ludzie nie zasługujący na zaufanie. Prezes żył zbyt długo w pewnym świecie, w pośród pewnych ludzi, by wierzyć w bezinteresowność. I jak widzimy w tym razie, nie mylił się zbytecznie; powody postępowania Alexego nie były takie, jakie mu przypisywał; jednak, gdyby nie skryta miłość dla Anny, nie byłby on nigdy zajął się idyotą.

Położenie Alexego staje się teraz drażliwém. Prezes posądza go także, iż on to kładzie w głowę Juliana szaloną myśl oże-

nienia się z Polą, a przynajmniéj pobudza go do oporu przeciw zaślubieniu bogatéj dziedziczki, któréj posag coraz niezbędniejszym był dla Karlina.

Alexy przyrósł sercem do tego drugiego świata, ale świat ten przeciwnie coraz bardziéj oddalał się od niego.

W miarę posuwania się w życie, pojęcia i marzenia uniwersyteckie stygły w głowie Juliana, szersze ideje, zaczerpnięte w kole towarzyszów, ustępowały coraz bardziéj wpływom otaczającym, i miękka ta natura naginała się do otoczenia społecznego, wśród którego istnićć jéj przyszło.

A przytém znajdował się on w trudném położeniu, pracować nie umiał, potrzebował wiele, nieczuł najmniéjszego powołania do ubóstwa i ciągłych ofiar. Wiedział, że jedynym środkiem zbawienia dla niego było bogate ożenienie. Z drugiéj strony Pola była śliczna, zachwycająca, kochała go do szaleństwa; ani myślał, ani chciał się jéj wyrzekać.

Wprawdzie są ludzie, co te pozorne sprzeczności życia wybornie godzić umieją; ale ludzie ci nie mają nic z Katonem wspólnego. Są położenia, w których Katońskie cnoty są bardzo niewygodne, a w których, jeśli się ma przypadkiem Katona za przyjaciela, to przyjaźń zerwać się musi. Otóż Alexy w téj sprawie grał w stosunku do Juliana rolę Katona.

Położenie w Karlinie było bardzo wytężone, kiedy wytężyło się ono bardziéj jeszcze w skutek przybycia Alberta Zamszańskiego, człowieka zrujnowanego majątkowo, dla którego Anna, chociaż z niewielkim posagiem, była jeszcze bardzo powabną partyą, komedyanta o pustém sercu, płytkiéj głowie, wielkiéj towarzyskiéj ogładzie i zręczności.

Eteryczna, dumna, nieprzystępna Anna, która wyrzekała się i gardziła zwykłą miłością, ulega zręcznym zabiegom swego wielbiciela, podnosi go na piedestał miłości, raniąc tym sposobem śmiertelnie owe wierne, poświęcone serce, którego uderzeń nigdy dosłyszéć nie chciała, zabija moralnie człowieka, uważanego przez nią za przyjaciela, za dobroczyńcę jéj kaleki brata.

Wszystkie te odcienia są charakterystyczne i pokazują, iż pomimo poświęcenia, przyjaźni i miłości swojéj, Alexy nie był w Karlinie niczém, niczém zupełnie.

Prezes, któremu nie podobna było zaprzeczyć znakomitéj znajomości ludzi i zręczności na niéj opartéj, trafia na najpewniejszy sposób rozerwania miłości Juliana i Poli: udaje się do niéj saméj, przedstawia położenie Juliana i żąda, by w imię miłości swojéj dla niego, w imię wdzięczności, jaką winna domowi, w imię dumy swojéj wreszcie, wyrzekła się téj miłości i sama zerwała węzły, których Julian zerwać nie ma siły; żąda więcéj jeszcze, żąda, by uczyniła to w ten sposób, aby Julian nie domyślił się poświęcenia; chce, by zmusiła go pogardzać sobą i wydała mu się zmienną zalotnicą. Słowem: żąda tego, co uczyniła własnowolnie Sara dla Szarskiego, chociaż z tak nieszczęśliwym skutkiem.

Pola z rozpaczą w sercu stosuje się do jego woli. Wytężone położenie przypomina okolicznościowo położenie Sary względem Szarskiego, tylko niéma tutaj niebezpieczeństwa, by Julian przypłacił życiem zerwaną miłość. Za to ofiara jest zbyt wielką na siły heroicznéj Poli. Duma jéj i miłość nawet, które koleją umiał Prezes podrażnić, podtrzymują ją w walce z ukochanym, z otaczającymi, którzy jéj nie pojmują, a wreszcie z sercem własném. Piérwszy lepszy człowiek, który stanie na jéj drodze, ma być wspólnikiem jéj ofiary. Tym piérwszym lepszym jest Justyn, wychowaniec Atanazego Karlińskiego, jeden z tych poetów, o których mówiliśmy wyżéj, nie umiejących stąpać po ziemi, a więc zmuszonych tym sposobem być zawsze na łasce mecenasa, przyjaciela lub losu. Justyn, zwabiony gorączkową zalotnością Poli oddaje się jéj całém sercem, tak jak ona sama oddaje się Julianowi.

Miłość Poli szalona, bezwarunkowa, zupełna, nadaje jéj piętno tragicznéj bohaterki; miłość, jak powiada angielski poeta, była jéj cnotą i zbrodnią, — poświęca jéj więc bez wahania nie tylko samę siebie, poświęca jéj szczére serce biednego poety, którego żoną zostaje.

Epizod to jeden z najdramatyczniejszych w powieści, a jednak Julian, co jest jego świadkiem, nie umie go zrozumiéć, może nawet zrozumiéć nie chce; bo gdyby z jasnowidzeniem miłości, z postanowieniem i siłą, spojrzał w oczy Poli, dramat rozegrać-by się musiał inaczéj.

Każdy jednak kocha tylko wedle miary własnéj a Juliana uczucie było karłowate, jak on sam, i zdobyć się nie mogło na podobną stanowczość. On może podejrzéwał ofiarę dziewczyny, bo tak nawet kazała mu wierzyć miłość własna, rozdrażniona jéj mniemaném odstępstwem; on cierpiał, że ją tracił; ale wszakże potrzebował bogatéj żony... zrozumiał wreszcie, że podobna miłostka do niczego doprowadzić nie mogła, i sądził, że Pola zrozumiała to także ze swojéj strony.

On także okazywał się wspaniałomyślnym; nie chciał zawiązywać losu biednéj sieroty i wierzył, że z własnéj woli wychodzi za Justyna, bo mu tak było wygodnie.

Tak więc dla dwóch istot, które zbliżyły się sercem i życiem do innego świata, świat ten okazał się fatalnym. Pola w parę miesięcy po ślubie umarła z rozpaczy i tęsknoty; Alexy, zraniony obojętnością Juliana i Anny, obrażony przez Prezesa, który chciał go się w ten sposób pozbyć, staje się pastwą gwałtownéj choroby, spowodowanéj nadmiarem cierpień, i to w chwili właśnie, kiedy miał Karlin opuścić.

Podźwignął się z niéj wprawdzie, ale zestarzały przedwcześnie, niepowrotnie złamany, stracony dla społeczeństwa, dla rodziny, dla czynnego życia, do którego stał się niezdatnym.

Te dwie ofiary jednak bynajmniéj nie zamąciły spokoju sumienia Karlińskich. Usunęli ich z drogi swojéj, jako niepotrzebnych już, i poszli daléj, nie frasując się o upadłych, lub umarłych. Julian tylko, zawsze słaby i wrażliwy, gdy dowiedział się o śmierci dawnéj kochanki, pobladł, zadrżał i zawołał nieroztropnie: „Jam ją zabił!“

Ale że, jak wiadomo, na śmierć niéma lekarstwa i żadna rozpacz umarłych nie wskrzesi, Julian ożenił się według planu z bogatą dziedziczką, żył z nią potém bardzo przyzwoicie, miał dom nader dystyngowany i pełno łatwych pokątnych miłostek, którémi osładzał sobie nudy domowego pożycia.

Anna przekonała się wkrótce, że bożyszcze jéj było, niestety, niezmiernie pospolitym człowiekiem; ale pocieszała się tém, że świat nie znał go tak dobrze, jak ona, a duma i chłód serca stanęły jéj za szczęście.

Obok tych głównych bohaterów powieści grupuje się pełno figur podrzędnych, dodatnich, nijakich lub karykaturalnych, należących do jednego lub drugiego świata; a pod tym względem autor okazuje zupełną bezstronność, obdarzając, jak jedne, tak i drugie, właściwémi im śmiesznościami.

Współwłaściciele wsi Zerby, których poznajemy u Alexego. nie są ani na jednę linią gorsi lub śmieszniejsi od wielu figur podrzędnych, dodatnich lub karykaturalnych, stanowiących arystokratyczne towarzystwo Karlina,—tylko śmieszności te są zupełnie odmienne.

Z dwóch światów, jakie nam przedstawił autor, jeden nie jest może bezwarunkowo lepszym od drugiego; tylko są one odrębne,—ani w jednym, ani w drugim żyć-byśmy nie chcieli. A jeżeli świat pałaców budzi wstręt większy, to dla tego jedynie, że jest wyzyskującym: olśni on, odurzy, wypije życie i myśli z niższego, a sam się tém nie wzbogaci. Tutaj także leży wyższość dworku nad pałacem; z niego jedynie, według autora, wyjść mogą ludzie czynu, ludzie pożyteczni.

Ostatecznie powieść ta pełna pessymizmu, tak, jak wszystkie powieści z owéj epoki. Tchnie nim i „Powieść bez tytułu“ i „Trapezologion“ i „Dwa światy;“ tchnie więcéj jeszcze powieść następna w chronologicznym porządku „Choroby wieku.“ Przyczyn tego pessymizmu nie trudno się dopatrzyć. Autor znajduje się w rozstroju z koniecznemi prądami czasu, a zatém musi być niezadowolony z wypadków i ich kierunku.

Klucz usposobienia tego znajdujemy w „Chorobach wieku.“ Bo czémże są owe choroby? Oto Kraszewski ochrzcił tém mianem ruch przemysłowy, podniesienie gospodarstw rolnych, zakładanie fabryk, praktyczność, wreszcie i obrachowanie, rzeczy, niestety, obce naszéj naturze, ale któréj brak staje się powodem upadku tak narodów, jak i jednostek.

Powieść cała opiera się na historyi dwóch pokrewnych domów, Demborów i Solskich. Dembor, praktyczny i wyrachowany, traci wreszcie majątek, gdy przeciwnie Solscy, przechowujący starannie odwieczne *status quo*, przy skromnych potrzebach, utrzymują się przy rodzinnéj siedzibie i wujowi swemu, Demborowi, dają na starość przytułek, gdy tymczasem jego rodzina rozpryska się w chwili niepowodzenia. Interes był jéj węzłem jedynym; w imię interesu rozpraszają się też jéj członkowie, każde sobie szukając deski ocalenia, bez troski o innych.

Taką jest budowa powieści, budowa nader tendencyjna, skoro, wbrew oczywistości, praktyczny i obrachowany właśnie dotknięty jest stratą majątku.

Budowa ta nie może zadowolić czytelnika, tém bardziéj, że autor, pomimo chęci widocznéj przedstawienia w złém świetle głównego bohatera, Dembora, nie koniecznie cel swój osięga.

Zaiste smutnie musiałby zapatrywać się na świat, kto chciałby usunąć z niego wszystkie czynniki, narzucone przez konieczność, wciskające się do życia w jéj imieniu.

Być może, iż wiele rzeczy czyniono u nas gorączkowo, przesadnie, nie w porę, szczególniéj w kierunku przemysłowym, jak zwykle się dzieje, kiedy trzeba przełamać naturę,

lub w jednéj chwili naprawić, co opóźniło się wiekami niedbalstwa. Być może, iż jeden i drugi źle na przemysłowem gospodarstwie wychodził; ale niestety późniejsze okoliczności pokazały, jak tacy Demborowie byli w kraju naszym potrzebni. Zrozumiał to doskonale sam Kraszewski; i wypowiedział myśl swoję w dwóch wspaniałych powieściach: „Morituri" i „Resurrecturi", stanowiących dla niego pomnik chwały, tak wykonaniem, jak myślą przewodnią, myślą zupełnie sprzeczną z chorobami wieku.

Chwila, w któréj autor pisał tę powieść, była to chwila rozłamu: świat nasz umysłowy, wahając się pomiędzy dwoma sprzecznemi kierunkami, które dziś nazwanoby pozytywnym i idealnym, widział je w krańcowych barwach. Obrachowanie życia, gospodarstwo, odpowiednie wymaganiom obecnego czasu, miara i waga, która tak wstrętną wydała się Solskim, a staje się niezbędniejszą z dniem każdym, nie pociągają za sobą bynajmniéj wykluczenia sercowego czynnika i silniejszych węzłów rodzinnych, jak u Demborów.

Naturalnie, gdzie tak się stało, musiało się dziać źle bardzo, a niepowodzenie materyalne musiało też mieć podwójne bolesne znaczenie dla ludzi, którzy na niém opierali wyłącznie szczęście życia.

Od dawna to powiedziano, że nieszczęście jest kamieniem probierczym serc ludzkich; nieszczęście więc tylko ujawniło to, co było już faktem spełnionym w rodzinie Demborów. Czytelnik bowiem od pierwszego jéj poznania nie ma już pod względem łączącéj ich spójni, najmniejszego złudzenia. Ludzie ci składają jednę z tych rodzin, których węzłem jest tylko imię wspólne, i które z tego tytułu tylko zamieszkują pod jednym dachem; zresztą każdy ma swoje wyłączne zamiary, obrachowania i koło myśli, któremi się z innymi nie dzieli. Taki jednakże chorobliwy stan rodziny nie jest wcale wynikiem przemysłowego kierunku; nie tylko w życiu, ale i w powieściach Kraszewskiego spotykamy często podobne. Nie szukając daleko, w „Trapezologionie", zaznajamia nas autor z rodziną mającą też same cechy rozprzężenia, co rodzina Demborów, chociaż niema ona pretensyi żadnéj do przemysłu, wysokiéj agronomii i t. p.

Pomimo to, w „Chorobach wieku", pełno zajmujących i pięknych szczegółów, n. p. fabryka literacka pani Demborowéj, skreśloną jest z tym humorem i znajomością stosunków niektórych koteryi, które, jako oparte na psychologicznych danych, zawsze są zrozumiałe.

Znać jednak, że ciasno Kraszewskiemu w pośród idei, w których się rozpostrzeć nie może swobodnie bez dochodzenia do ostatecznych wyników, nie podobnych do osiągnięcia. Potrzebuje on sympatycznych przedmiotów, ażeby talent jego pokazał się w całéj świetności. Giętkie pióro wydoła każdemu zadaniu, ale najlepiéj zabłyśnie w malowaniu postaci, które autor ukocha i do ukochania podać może.

Wymownym tego dowodem jest jedna z najpiękniejszych powieści jego: „Boża Czeladka". Zdaje się, jakoby, zabierając się do tych wszystkich wdzięcznych postaci, które w niéj wyprowadza, autor pozostawiał na boku wszelkie pessymistyczne poglądy, wszelkie absolutne teorye. Są to obrazy z życia, przepysznie rysowane, malowane jasnémi barwami, zostawiające bohaterom, nieskrępowanym żadną tendencyą, swobodne pole do działania, a przestrzegające téj jednéj konieczuéj zasady, by skutki odpowiadały przyczynom.

To też wszystkie osoby występujące w téj ślicznéj powieści, mają tak odrębną indywidualność, iż, spotkawszy je, poznalibyśmy od razu i ukłonili się im bez wahania. Tutaj nie tylko dwa, ale wszystkie odrębne światy splatają się harmonijnie; poezya brata się z prozą, a życie płynie tak cicho, spokojnie i wdzięcznie, że radzibyśmy wiedzieć dokładnie, w którym to zakątku ziemi leży owa *Borowa*, tak podobna do ziemskiego raju.... I po chwili przychodzi nam na myśl, że raj taki może zakwitnąć wszędzie, gdzie tylko biją zacne serca, pełne miłości i współczucia dla każdéj niedoli ludzkiéj, pełne łagodnego przebaczenia dla wad i omyłek.

We wstępie zaraz, autor spowiada nam się ze swoich myśli, a myśli tę są wcale różne od tych, na których tle snuł poprzednie powieści. Pogodził on się z koniecznościami bytu i wypowiada to wyraźnie.

„Zwrócić ludzkość na tory przebieżone— niemożliwa.... My też nie rozpaczamy wcale o przyszłości; i w niéj się znajdą piękne i szlachetne strony.... Ani poezya nie umrze, ani ideały nie znikną, ani cześć tego, co wielkie piękne, szlachetne, nie zginie. Ze spokojem patrzym na zachodzące słońce dnia naszego, ufni w jaśniejszy poranek....!!"

Z tą nadzieją w sercu, kreślił autor obraz tego minionego dnia i ozłocił go cały łagodnym blaskiem miłości.

Powieść rozpoczyna się dziennikiem Jana Bronicza, powracającego do domu po ukończeniu szkół. Dom rodzicielski jego jest to uboga zagroda zagonowego szlachcica; ojciec własną ręką prowadzi pług na rolę, wydającą zbyt skąpo chleba na potrzebę rodziny; matka i siostra trudnią się domową robotą. Stary Bronicz, człowiek nieugięty a szlachetnéj dumy, nie chciał nigdy nic przyjąć od bogatych krewnych dla samego siebie; przyjął jednak naukę dla jedynego syna, i za tę naukę Jan wraz z ojcem jedzie dziękować nieznanym dobroczyńcom swoim, Chorążom Jamuntom z Borowéj.

Ci bogaci krewni nie mają najmniejszego podobieństwa do śmiesznych i samolubnych typów takich, jak Pan Adam Szarski w „Powieści bez tytułu", i do wielu innych bogatych krewnych, występujących w rozmaitych innych utworach. Jan Bronicz nie jest téż nic a nic podobnym do bohaterów, jakich mieliśmy sposobność w poprzednich powieściach Kraszewskiego poznać, ani do Stanisława Szarskiego, ani nawet do Alexego z „Dwóch światów". Nauka nie zerwała serdecznego węzła pomiędzy nim a matką ziemią, pomiędzy nim a mniéj uczoną i zapracowaną rodziną. Jan, pomimo ukończenia szkół, nie czuje się wygnańcem w ojczystéj chacie; ale przeciwnie, solidaryzuje się z rodziną. A kiedy, nauczywszy się żąć w tajemnicy, ażeby ojcu przy ciężkiéj robocie pomagać, staje z nim na zagonie w prześliczny rosisty poranek, to prosta owa scena tchnie wiekuistą poezyą.

„Ojciec zdjął czapkę, poblogosławił żyto, pochylił się i w imię Boże pierwszą garść użąwszy, kłosy wytarł, a zboże rzucił dla ptastwa polnego, wedle jakiegoś starego obyczaju. Za nim rzędem stanęliśmy: Andzia, najmit i ja.

— „A ty co tu robisz"?—spytał ojciec? —czy to zabawka? Zboże popsujesz i po wszystkiem." Dopiero dowiedziawszy się, że Jan uczył się umyślnie i żąć potrafi, ojciec, rozczulony do łez, ściska syna i mówi, błogosławiąc mu:

„Nie odrzucam twojéj pomocy; użnij że i ty garść chleba na ojcowskim zagonie.... a kiedyś więcéj ich było i nie samiśmy zbierali".

Tym tonem opisane jest parę tygodni pobytu Jana u rodziców. Potém przenosi nas autor do Borowéj do *Bożéj Czeladki*, otaczającéj poważne postacie starych Jamuntów.

Mamy tutaj plastyczne przedstawienie patryarchalnego stosunku, kiedy dom zamożnych krewnych był ostoją dla całego rodu, przygarniał, żywił i zatrudniał najdalszych nawet powinowatych; kiedy gościnne podwoje starych dworów otwierały się na oścież dla wszystkich, a gospodarze dzielili się chętnie chlebem nie wykwintnym i sercem braterskiém. Takim dworem jest Borowa. Sam chorąży, Jamunt, poważny, milczący i posępny, od czasu sejmu Grodzieńskiego wpadł w smutek, z którego nie dźwignął się już nigdy. Z pomiędzy licznych majątków swoich wybrał na rezydencyą Borową, otoczył się liczném kołem sług i przyjaciół, używając dostatków dla dobra bliźnich, przerywając tylko wówczas posępne milczenie, gdy chodzi o wyświadczenie przysługi, wspomożenie lub pociechę cudzą.

Duszą domu była sama pani Jamuntowa. Oddana mężowi, kochająca go nad wszystko, podzielająca jego myśli i uczucia, miała przecież niezmąconą pogodę umysłu i wesołość nawet, którą ożywiała wszystkich.

Niosąc ulgę cudzym troskom, zapominała o własnych, a domownicy, rezydenci i officyaliści, prawie wszyscy mniéj więcéj krewni, obchodzili ją, jak dzieci własne. Galerya domowników Jamuntów przedstawia najróżnorodniejsze typy; są tam i śmieszności, i wady, jak wszędzie; ale atmosfera w Borowéj nie sprzyja rozwojowi wad, a na śmieszności téż nikt nie zważa. Gdzieindziéj, ludzie ci zapewne nie byliby ani tak dobrzy, ani tak szczerzy, ani tak serdeczni; tutaj stają się ową *Bożą Czeladką*, pomiędzy którą chciałoby się żyć i umierać. Jamuntowie, choć z majątku i ze starożytności rodu należą do świata pałaców, posiadają tę prawdziwą godność, co to zasadza się na poszanowaniu siebie i drugich, i nie czynią pomiędzy ludźmi różnicy z powodu majątku lub urodzenia. Spokrewnieni z najpierwszémi rodzinami, nie wstydzą się ubogich i bez wahania nazywają kuzynem starego Bronicza.

Używają rozmaitych sposobów, ażeby przyjść mu w pomoc, a gdy dumny starzec odrzuca ją bez wahania, zatrzymują Jana w Borowéj, nadając mu urząd bibliotekarza. Najważniejszą osobą w Borowéj był, naturalnie, jedynak Jamuntów, pan Alexander, równie zacny, jak rodzice, na którego barkach spoczywała nadzieja przeciągnięcia tradycyi domowych i rodu Jamuntów. Ale pan Alexander choć liczył lat z górą trzydzieści, do ożenienia się nie miał najmniejszéj ochoty. Trapiło to srodze rodziców, trapiło i domowników, którzy znali

go od dziecka i radzi mu byli nieba przychylić; a trapiło tém więcéj, że okazywał niejaką skłonność do melancholii ojcowskiéj. Ale pomimo namów i próśb, pomimo, że każdy wybór jego byłby przyjęty z radością przez rodziców, żadna, by najpiękniejsza panna, nie potrafiła wzruszyć jego serca.

Tak stały rzeczy w Borowéj, gdy zjechała do tego gościnnego domu, staropolskim zwyczajem stojącego dla wszystkich otworem, kobieta, z pozoru najmniej dla niego stworzona, piękna, wytworna, zalotna i nieco osławiona, pani Dorota Bulska, rozwódka po dwóch mężach.

Historya pięknej Doroty była bardzo dramatyczną: z razu pieszczona przez opiekuna, który w końcu pokazał się jej ojcem, wypędzona po jego śmierci przez chciwych krewnych, przechodziła przez wszystkie upokorzenia sieroctwa, opuszczenie, ubóstwo, wpadła w najgorsze ręce i była już na drodze upadku, gdy odszukana przez wuja, odzyskała na raz imię ojcowskie i wielki majątek, który jej się po matce należał.

Te wyjątkowe okoliczności wyrobiły też charakter wyjątkowy. Piękna Dosia zbyt wcześnie poznała ludzi z najgorszej strony, by ich za coś mieć mogła; ślady pierwszych wrażeń pozostały niestarte: piękna i bogata, otoczona hołdami, lekceważyła tych, którzy lekceważyli ją w dniach sieroctwa. Serce jej zamarło, bawiła się ludźmi i bawiła się złośliwie, jakby chciała im odpłacić to, co niegdyś z ich łaski przecierpiała.

Intelligentna, zręczna, panująca nad sobą, posiadała wszystko, ażeby się stać jedną ze świetnych gwiazd, przesuwających się po horyzoncie salonów, i była nią rzeczywiście. Mając powolnych skinieniu swemu roje wielbicieli, którzy gotowi byli złożyć u jej stóp serca, zrobiła wybór dziwny: poszła za człowieka starego, przeżytego, z ogromnym majątkiem, z pięknem nazwiskiem, ale z najgorszą sławą. Jak się łatwo domyślić, małżeństwo to było nieszczęśliwe, i po krótkiem pożyciu skończyło się rozwodem.

Później piękna Dosia odprawiała po świecie pochód zwycięzki, zawracając wszystkie głowy, wiodąc w orszaku swoim artystów i poetów, i mężów stanu, słowem wszystko to, co górowało nad tłumem. Potrzebowała hołdów, zabaw i rozrywek. Świat cały służyć jej musiał i spełniać najdziwaczniejsze jej zachcenia. Codzień nowymi otaczała się ludźmi, wyszukiwała różnych wrażeń, jakby zagłuszyć chciała jakiś niepokój wewnętrzny. A jeśli kiedy odezwała się w niej serdeczna strona, głuszyła ją natychmiast w samej sobie szyderstwem.

Słowem, była to istota zachwycająca, a niepochwytna, czarodziejska, zagarniająca wszystko pod władzę swoją.

Po kilku latach swobody, z nudów, z kaprysu, lub też wprost dla oryginalności, poślubiła najpospolitszą w świecie figurę, hrabiego Bulskiego.

Nikt nie mógł pojąć, czemu wybrała go za męża i ona sama nie zdawała sobie z tego sprawy; był to może experyment dokonany na własném sercu i osobie; żyli z sobą lat kilka, potem rozeszli się znowu.

Taką była ta kobieta, która, mając jakieś dobra w sąsiedztwie Borowej bez mieszkalnego domu, a będąc w dalekiém pokrewieństwie z Jamuntami, tak samo, jak pół Litwy, pod tym pozorem zjechała do ich gościnnego domu. Wrażenie, jakie ta świetna, wielkoświatowa wietrznica sprawiła w pośród *Bożej Czeladki*, stanowi jeden z najwdzięczniejszych obrazków książki, która posiada ich tyle. Hrabina Bulska wywołuje z kolei ciekawość, podziw, zgorszenie i zachwyt na dworze Jamuntów, na którym nigdy jak świat światem, nie pojawiło się nic podobnego. Ona wnosi tu żywioł niepokoju i burzy, jaki towarzyszy jej wszędzie.

Wkrótce ściąga się za nią cały rój wielbicieli różnéj narodowości: Anglik, Włoch, Niemiec, nie licząc kilku krajowców, składają jej swoje hołdy, a nawet poważny, surowy trochę, melancholiczny Alexander ulega jej czarom. Piękna Dosia dokazała cudu niemal i zawróciła mu głowę.

Zawiodła ją zapewne do Borowej ciekawość, chęć poznania tak odmiennego świata od wszystkich, jakie widziała dotąd, chciała sprawić sobie zabawkę wrażeniem, jakie to czyniło.

I rzecz dziwna! atmosfera spokoju, ciszy, powagi, prostoty i prawdy, jaka panowała tutaj, owiała ją. Piękna Dosia, ulegając jéj wpływowi, stawała się mniej zalotną, mniéj dziwaczną, stateczniejszą.

Próbowała wyrwać się ztąd i powracała znowu. Spadły na nią nieszczęścia, łatwe do przewidzenia. Dobra sława jej poniosła szwank ostateczny w skutek pojedynku o nią pomiędzy hrabią Bulskim a jakimś młodym, gorącym wielbicielem. Pojedynek wypadł tak nieszczęśliwie, iż młody człowiek na miejscu zabity został, a matka jego głośno przeklęła zalotną kobietę, co stała się przyczyną jej nieszczęścia.

Wieści te doszły i do Borowéj, do której biedna Dosia przyjechać nie śmiała. Ale Jamuntowie posiadali najrzadszą z cnót

ludzkich cnotę, która tak niechętnie mieści się obok innych — pobłażanie. Dosia była kobietą innego świata, dziwiła ich każdym czynem i słowem swojem; nie potępiali jej jednak dla tego i, pomimo wszystkiego, co się stało, pomimo, iż widzieli tłumioną miłość jedynaka, która ich przerażała, gdy samotna kobieta przybyła do dóbr swoich, zaprosili ją do Borowéj.

Teraz jednak Dosia pokazała się zupełnie przetworzoną; znikła jej dawna zalotność, nie bawiła się już zawracaniem głów biednych ludzi, jacy ją otaczali; ale smutna i poważna, złamana wyrzutami sumienia, podnosząc się zaledwie z ciężkiéj choroby, wiodła tu życie ciche, prawie pokutnicze. Śmiech jej przebrzmiał i przypominał się tylko lekkim uśmiechem; oczy straciły wyzywające iskry, spoglądały smutno i łagodnie.

W tej nowej metamorfozie, piękna Dosia stokroć piękniejszą jeszcze i sympatyczniejszą wydała się Jamuntom, a Alexander oszalał zupełnie. Dosia kochała go także; pokochała może od chwili poznania; może to był ów czar, który ją do Borowéj przykuwał; spotkała tu wreszcie uczucie niekłamane, spojrzenia zgodne z sercem, usta bez fałszu.

Ale miłość prawdziwa jest pełną pokory. Kobieta, któréj sławą dziwacznych awantur rozbrzmiewał kraj cały, która grała dotąd ze szczęściem własném, zarówno jak ze szczęściem bliźnich, nie czuła się godną zapanować w tym cichym, spokojnym świecie *Bożej czeladki*, być córką i następczynią Chorążynéj, która wraz z mężem błagała ją o szczęście jedynaka.

Pomimo tych próśb, pani Bulska, walcząc z sercem własném, z ukochanym i rodzicami jego, żąda roku zwłoki, i rok ten postanawia spędzić w Rzymie, w klasztorze, pokutując za przeszłe grzechy, lub też przygotowując się do nowych obowiązków... Zanim rok ten upłynął — umarła.

Rozwiązanie to czyni zarówno zadość wymogom artyzmu, jak i wymogom logiki. Dosia jest to jedna z tych natur bogatych, tak spaczonych przez świat i ludzi, iż postanowień jej nikt, nawet ona sama pewną już być nie może.

Pisano wiele niejednokrotnie o grzesznicach różnego rodzaju, nawróconych przez miłość. Na świecie rzadko bardzo coś podobnego się zdarza, odmiana każda jest rzeczą łatwą jedynie na kartach książki, lub w wyobraźni ludzi, nie rachujących się z siłą nawyknień i z usposobieniem, które te nawyknienia wywołuje. Tutaj powtórzyć trzeba ze starym Chorążym Jamuntem. „Nie potępiam nikogo, bo któż zbadał głębie serc ludzkich i śmiałby kamieniem rzucić? Kto wie przyszłość i obrachuje człowieka? To, co nam wydaje się klęską, bywa błogosławieństwem; co się widzi szczęściem, jest karą. Ale poprawa człowieka, rzecz trudna; ale na niej budować przyszłość domu i rodziny — rzecz krucha.“

Charakter pięknéj Dosi był właśnie tego rodzaju. Artystycznie więc śmierć zakończa ten obraz, który inaczej mógłby zawsze w myślącym czytelniku zostawić wątpliwość; odmiana i poprawa bowiem nie leżała w konieczności tego charakteru, — był to wynik okoliczności, lub woli autora.

Zresztą i pod innym, szerszym względem śmierć ta czyni zadość wymogom artyzmu i logiki. Borowa i jej życie należy do przeszłości. Słusznie zatem ażeby ze śmiercią Alexandra, który, straciwszy ostatnią miłość i nadzieję życia, zapadł w melancholią, jak ojciec, zerwała się nić tradycyi, by resztki istot, skupionych około serdecznego ogniska Jamuntów, które czas oszczędził, rozpierzchły się po świecie, ze śmiercią ich potomka. Jest to obraz skończony, jak bezpowrotnie skończony jest świat, z którego powstał.

Tym pełnym miłości utworem, Kraszewski oddał hołd ukochanéj przeszłości, gotując się do zgody z teraźniejszością, która miała odkryć mu także swoje piękne strony i dostarczyć tylu niewyczerpanych powieściowych tematów.

„Boża Czeladka“ stanowi jednę z najlepiej obmyślonych, zbudowanych i wykonanych powieści Kraszewskiego. Jest to jedno z tych arcydzieł, które wbijają się w pamięć niestartemi rysami, do których zawsze powraca się z rozkoszą. Ostatnia też to większych rozmiarów powieść obyczajowa, napisana przez Kraszewskiego przed 1860 r. Z r. 1859 mamy tylko kilka drobnych utworów. Wybitny obrazek „Abrakadabra,“ rodzaj fantazyi: „Mogiły“ i allegoryczna „Podróż do miasteczka.“ „Abrakadabra“ jest to zajmująca historya niepospolitego człowieka, który niezłomną siłą woli dźwignął się z ostatniego szczebla wysoko na drabinie społecznej, a pokosztowawszy po kolei wszystkich nauk, skończył na wyrafinowanym epikureizmie. Ale szczęście tego człowieka, któremu się wszystko udało, którego życie idzie jak dobrze uregulowany zegar, nie pociąga i z pewnością w nikim nie wzbudzi zazdrości. Widzimy tu ogromną siłę, wydaną na bardzo mały rezultat. Boć ażeby zostać wysokim

urzędnikiem, bohater opowiadania nie potrzebował lat kilkanaście ślęczeć nad nauką, łamać się z tylu trudnościami, i tak szalenie wytężać siły; trochę służalstwa, trochę pochlebstwa, nikczemności mogło doprowadzić go do tegoż samego rezultatu. Charakterystyka jego nie leży w rezultacie tym, tylko w wolnym wyborze drogi życiowej. Pracował on jedynie dla własnej przyjemności i spokoju, szukając tego, co szczęście dać może. Poznał ludzi dokładnie, pogardził nimi, twierdząc, że jest to gromada cieląt, która czasem przypina sobie skrzydła, udając aniołów, czasem znów rogi, udając szatanów, ale w gruncie będąca zawsze gromadą cieląt tylko i niczém więcéj.

Na tym sądzie Abrakadabra zbudował swoję teoryę życia.

Fragment ten, bo tak zatytułował go autor, przyszedł mu pod pióro w chwili zniechęcenia i spleenu, jeśli nie był po prostu obrazkiem zdjętym z natury.

Drugi fragment, a raczéj fantazya, przedstawia z nim żywą sprzeczność. Jest to rodzaj wędrówki po świecie zagrobowym pod skrzydłami Anioła Stróża, daleka reminiscencya Dantego, nie sięgająca kręgów piekielnych, ani wyżyn raju; historya duchów, pokutujących na ziemi, od któréj odwiązać się nie mogą; historya, wypowiedziana językiem poetycznym; wymykająca się ściśléj analizie samym przedmiotem swoim. „Mogiły“ formą tylko należą do powieści, myślą wiążą się z cyklem poetycznym.

„Podróż do miasteczka“, to w formie pełnéj prostoty historya życia ludzkiego, ujęta w ramy allegoryi łatwéj do odgadnięcia.

Młode pacholę, żegnane przez bogobojnych rodziców, opuszcza dom ojcowski, by iść pracować na własną rękę. Niesie z sobą szczupły zasób, na jaki stać było ubogą chatę pracownika i dobre rady i błogosławieństwo, i kielnię, wagę i miarę, któremi ma pracować około wznoszącego się domu Bożego. Za przewodnika wśród nieznanéj drogi służyć mu powinien krzyż, błyszczący na kościelnéj wieży w poblizkiém miasteczku.

Młody podróżnik rano wychodzi i wcześnie powinien zdążyć do celu, który przed nim jaśnieje; ale w drodze spotyka tyle pokus... Naprzód dopieka mu słońce, więc, zamiast trzymać się ubitego gościńca, zbacza na cieniste ścieżki i już traci z oczu krzyż, który miał go prowadzić; a tu jeszcze wabią go zalotne spojrzenia dziewcząt i odwodzą od drogi właściwéj. Zbłąkany, próżno zapytuje, którędy mu iść należy? Jedni każą mu iść w prawo, drudzy w lewo; jedni radzą się cofać, drudzy postępować naprzód. Spotyka złych ludzi, okradają go ze szczupłego zapasu, jakim go rodzice w drogę opatrzyli, wyśmiewają go, krzywdzą, poniewierają.

W każdéj złéj przygodzie przychodzą mu na myśl dobre rady ojcowskie, ale jak się tylko z niéj wydobędzie, zapomina o nich znowu. Wabią go coraz nowe zabawki i rozkosze, ale nie dają mu się nigdy pochwycić i sprowadzają mu na głowę coraz nowe nieszczęścia. Aż wreszcie wśród ciemnéj nocy, wycieńczony zmęczeniem, głodem i pragnieniem, zbity, poraniony, krwawy, obrzucony błotem, dobija się do celu podróży, do domu Bożego, około którego miał pracować, i zaledwie ma tyle siły, by zadzwonić do wrót klasztornych, które otwierają się miłosiernie dla niego. Podróżnikowi zdawało się, że tylko dzień jeden upłynął od chwili, gdy puścił się w drogę; aliści włosy jego już były siwe i twarz zorana zmarszczkami.

Ten wierny obraz ludzkiéj doli, skreślony żywémi barwami, ma coś dziwnie smętnego, licuje z ogólnym nastrojem autora i wiąże się coraz więcéj z całym szeregiem prac jego, niż z wrażeniami chwili, wypowiadającémi się dobitnie w większych utworach tego okresu.

Okres to niezmiernie ważny w ogólnym rozwoju działalności powieścio-pisarskiéj Kraszewskiego, albowiem w utworach tego pięciolecia mamy dokładny obraz sposobu zapatrywania się Kraszewskiego na ówczesne zjawiska życiowe, na ideje panujące, oraz widzimy jasno stosunek jego do tych idei.

Pięciolecie to jest ważne nie tylko dla tego, iż zawiéra tak rozgłośne utwory, jak „Powieść bez tytułu“ i „Dwa światy“ ale że (jak mieliśmy sposobność zauważyć) pessymizm autora doszedł do zenitu w „Chorobach wieku“, i że w umyśle jego nastąpił zwrot jaśniejszy.

Jak zaś smutno zapatrywał się w owym okresie Kraszewski na wszystkie stosunki ludzkie, a nawet na własną działalność i przyszłość, to widać najdobitniéj na końcu „Trapezologionu“, gdzie występuje on już nie pod figurą żadną, ale we własnéj osobie, kiedy duch stolikowy, zwracając się wprost do niego, przepowiada mu przyszłość w tych słowach:

„Miałeś chwilę urojonego powodzenia, potrzeba, byś za nie wypił wiele usty twémi nietkniętych goryczy. Będziesz pracował w pocie czoła na pośmiewisko u ludzi, będziesz im dawał życie swoje i krew swoję, aby z nich wyciskali żółć, którą cię poić

mają, i zabraknie ci przyjaciół — to mało — nieprzyjaciół ci zabraknie; otoczy cię cisza głucha zapomnienia i śmierci jeszcze za życia.

Będziesz widział tych, co suknię twoją rozdarłszy, ze szmat jéj uszyli sobie dostatnie okrycie, podniesionych i wieńczonych, myśli twoje podawane za cudze, przyswajane na własność, pracę twoją zamurowaną obojętnością. Nowy świat rozrośnie się w koło ciebie, pewien, że cię już niéma, a gdy spróbujesz odezwać się, okrzyczy cię za upiora... To los twój i innych wielu".

Że nie był to los Kraszewskiego, że autor tworzył sobie przesadnie najczarniejsze obrazy, najlepiéj o tém świadczy kraj cały, sławą jego rozbrzmiewający. Przytaczamy jednak ten ustęp, gdyż charakteryzuje najlepiéj ówczesne usposobienie autora, pokazując, że nie był w zupełności w harmonii z otaczającym światem. Wszakże pamiętać należy, iż „Trapezologion" poprzedził „Bożą Czeladkę", tę śliczną, pełną harmonii i miłości powieść, której z tego powodu nie wahamy się uważać za naczelny utwór tego okresu.

Walerya Marrené (Morzkowska).

Czwarte dziesięciolecie.

(1860—1870.)

(Resztki życia. — Metamorfozy. — Jasełka. — Kopciuszek. — Złoty Jasieńko. — Kamienica w długim rynku. — Orbeka.)

Dziesięcioletni okres działalności powieściopisarskiéj Kraszewskiego, o którym mam mówić, należy do płodniejszych a jest bezwarunkowo ważnym, gdyż stanowi chwilę nowego zwrotu, początek odrębnéj i na szerszą skalę podjętéj twórczości. Zmianę tę spowodowały różnorodne a przemożne wrażenia doznane w tym czasie, inne warunki otoczenia, zmiana miejsca pobytu, w ogóle okoliczności, które — jeżeli wolno się tak wyrazić — otworzyły autorowi „Latarni Czarnoksięzkiej" szerokie pole, duchowi jego pozwoliły szerzéj roztoczyć skrzydła, wznieść się wyżéj po nad dotychczasową obserwacyą życia wołyńskiego.

Nie chcę bynajmniéj powiedzieć przez to, że Kraszewski był kiedykolwiek zamknięty w obrębie téj lub owéj prowincyi — miał on bowiem zawsze przed sobą ogół cały społeczeństwa i dobro jego na celu. Lecz teraz same warunki bytu pozwoliły mu bliżéj ogółowi temu i jego sprawom się przypatrzéć a wir życia publicznego uniósł go na wyżyny.

Mając dotknąć tylko małéj — i powiedzmy otwarcie, mniéj znaczącéj cząstki produkcyi jego literackiéj w tym okresie, nie możemy poglądu naszego rozwinąć szeroko, jak szeroko rozwijać się zaczęła w tym czasie działalność twórcza Kraszewskiego. Postaramy się wszakże skreślić w ogólnych zarysach charakterystykę tego zakresu, by na jéj tle przedstawić wybitniejsze twory powieściowe, badaniu naszemu dostępne.

W r. 1857 i w następnym Kraszewski odbywa pierwsze swe wycieczki za granicę, zwiedza Niemcy, Włochy, Francyą z zaczętą jeszcze w Żytomiérzu powieścią, którą w podróżach tych pisze dalej i kończy ją wreszcie wróciwszy do Żytomiérza.

Powieść ta p. t. *Resztki życia*, nosząca na sobie datę roku 1858 i pisana w Żytomiérzu, Wenecyi, Rzymie, Paryżu, Dreznie, jest ostatnią z powstałych z bezpośredniéj obserwacyi życia na Wołyniu. Już bowiem w r. 1860 Kraszewski przenosi się na mieszkanie do Warszawy, by w trzy lata potém obrać sobie stałą siedzibę w Dreznie.

Nie wglądając więc nawet we wstrząśnienia moralne, jakich doznać musiał w tym czasie, widzimy, że zmiana warunków otoczenia nie mogła zostać bez wpływu na na wrażliwą naturę pisarza, który zawsze żywo odczuwał potrzeby i dążenia chwili i bywał ich wiernym tłómaczem.

W powieściach, które mamy przed sobą, przebija się głównie wpływ wielkiego miasta, w *Kopciuszku* i *Orbece* maluje się życie warszawskie, brukowe, pełne właściwego mu charakteru. *Złoty Jasieńko* oraz *Kamienica w długim rynku* odróżniają się również od dawniejszych powieści odrębnym kolorytem miejskim. Pod zupełném już wrażeniem nowego otoczenia powstał szereg innych obrazów rzeczywistości do przeglądu naszego nie należących.

Wspomnieniem życia wołyńskiego są *Jasełka*, pod wpływem zaś wspomnień uniwersyteckich powstała najpiękniejsza z okresu tego powieść — *Metamorfozy*.

Obok śladów wrażenia przywiezionego z wycieczek za granicę spotykamy w powieściach tego okresu odbicie spraw, któremi się autor szczerze zajmował w kraju, mianowicie spraw wychowania i sztuki.

Co do myśli przewodnich, jakie w powieściach tych widzieć się dają, nie wiążą się one oczywiście w jakąś systematyczną całość, każda z powieści tych istnieje dla siebie i w założeniu swojém nie miała być dalszym ciągiem poprzedzającéj, z tém wszystkiém jednak, kombinując fakta niektóre, zbiérając tu i ówdzie rozpierzchłe a podobne do siebie rysy, możemy przyjść do pewnego pojęcia o tém, co w danym czasie Kraszewskiego najbardziéj obchodziło, ku czemu zwracała się myśl jego, zaprzątnięta dobrem ogólu.

Wszystkie te wrażenia, wspomnienia i dążności, postaram się zebrać i zestawić nawzajem, wywiązując się tym sposobem z zadania niniejszéj pracy.

Względy artystyczne mniéj tu obchodzą, gdyż najpiérw: w tym czasie nie powstało w zakresie dla nas dostępnym ani jedno dzieło mogące pod względem sztuki stać obok *Powieści bez tytułu*, *Ulany*, *Sfinksa* i innych, owszem należą tu powieści, którym krytyka artystyczna szczególniéj wiele robiła zarzutów, jak *Kopciuszek*, *Resztki życia* i *Orbeka*; — a wreszcie, na zasadzie własnego zdania Kraszewskiego: „*dzieło powinno być jak orzech; biada dziurawemu i bez ziarna*, ziarna chcę szukać najpierwéj, mniéj dbając o jego łupinę."

Zdaniém naszém, ci, którzy dla artystycznéj budowy powieści, pomijają jéj bezmyślność, lub ujemność dążeń, postępują jak dzieci, przekładający złoconą łupinę pustego orzecha nad zdrowe i pożywne ziarno. Jeżeli czém usprawiedliwić można panowanie powieści w literaturze i jéj wpływy, — to tylko zespoleniem się jéj z życiem, wyższym nastrojem jéj społecznym, odbiciem potrzeb i dążeń społeczeństwa danéj chwili.

Bez myśli przewodniéj, bez treści żywotnéj, powieść — sztuczna igraszka słów — może mieć tylko bardzo problematyczną i małą wartość w oczach poważnéj krytyki.

Szukajmy więc treści żywotnéj w wymienionych na początku téj pracy powieściach Kraszewskiego, zbiérając rozpierzchłe tu i ówdzie zarysy.

Ze spraw społecznych zawsze najżywotniejszą a sercu Kraszewskiego zapewne najbliższą — jest wychowanie. W bardzo wielu dziełach jego mamy dowody, jak dalece bierze on tę kwestyą do serca i jak dobrze pojmuje wysoką jéj doniosłość. Ta strona jego przekonań społecznych nigdzie się może tak wybitnie nie maluje jak w miłości, z jaką przedstawia on — już to ubogich nauczycieli poświęcających całe swe życie nauczaniu, już to w ogóle ludzi pracujących nad wychowaniem intellektualném i moralném dzieci i ludu.

Stan nauczycielski, warunki jego bytu, stosunek zachodzący pomiędzy nauczycielem a rodzicami dziecka, lub téż rodzicami a władzą szkolną — wszystko to obchodzi Kraszewskiego tak dalece, że w siedmiu powieściach leżących przed nami kilka razy do przedmiotu tego powraca, a mianowicie w *Resztkach życia*, *Metamorfozach*, *Jasełkach* i *Kopciuszku*.

W piérwszéj z tych powieści, w epizodyczném opowiadaniu Poronieckiego, spotykamy właśnie jeden z tych upodobanych autorowi typów, w postaci poczciwego Słonkiewicza, zwanego *Wielorybem*.

Postać to niezmiernie sympatyczna. Ubogi, niepozorny, niezgrabny, zestarzały przed czasem, na twarzy niepospolicie brzydki, Słonkiewicz jest człowiekiem złotego serca, do poświęceń gotowym, wzorem łagodności i dobroci.

Wydziedziczony ze wszystkich uciech i roskoszy życia, znajduje on pociechę i cel swego bytu w udzielaniu opieki i pomocy dzieciom staraniom jego powierzonym.

Skromny, potulny i lękliwy umie on wszakże tam, gdzie dobro ich wymaga, narazić się na przykrości a choćby i prześladowania. Ujrzawszy sierotę bez opieki, obłoconego, z pokaleczonémi nogami, zajadającego suchy kawał chleba i przypatrującego się zdaleka zabawom wesołéj dziatwy, zbliża się ku niemu, zawiązuje z nim rozmowę i nie namyśla się ani chwili nad tém, by sam cierpiąc biedę — biedę cudzą wziąć na swoje barki; — zabiéra przybłędę do siebie.

Dziatwa zaczyna szydzić z nowego przybysza i jego łachmanów.

— A gdyby z was który, — rzekł wieloryb — był w jego położeniu, miłożby wam było, żeby z niego szydzono zamiast pomódz, i przedrwiwano, coby się miano litować? — a jesteścież wy pewni, że to jednego z was nie spotka! Kto wie? Jutro może najbogatszy być na ulicy i bez chleba... Panu Bogu nic trudnego. (T. III, str. 28).

Nowy gość, przynoszący z sobą tylko młody apetyt bez złamanego szeląga, ściąga

na protektora zły humor i niezadowolenie pani Kulikowéj, utrzymującéj uczniów na stancyi, u któréj właśnie Słonkiewicz był korepetytorem. On — znosi to w milczeniu, aż się w poczciwéj kobiécie serce obudziło, i przygarnęła sierotę. — Będzie miał więc strawę i dach nad głową..... Pozostaje jeszcze odzież, książki, papiér — a przedewszystkiém trzeba go do szkół oddać.

Słonkiewicz bierze to na siebie. Zaczyna od przygotowania chłopca do klassy pierwszéj. Znalazł się ktoś z dobrych ludzi i ofiarował jakąś sumkę drobną na pierwsze potrzeby. Najtrudniéj wszakże przyszło otworzyć mu drzwi szkoły, — któréj dyrektor uczniów ubogich i sierot nie lubił.

Ten dyrektor jest figurą tak dalece prawdziwą, że aż nas chętka bierze przypuścić, iż znalazł się on istotnie we wspomnieniach z czasów, w których Kraszewski był kuratorem szkół.

Była to figura niewielka, czupurna, krzykliwa i despotyczna: rozsiewał postrach paniczny — i cieszył się tem. Udobruchać go wszakże było łatwo. Klienci posiadający tę tajemnicę, przynosili mu na ofiarę, czy to głowę cukru, czy pieniądze w brzęczącéj monecie, czy prowizye domowe—lub nawet wazoniki z kwiatami—wszystko to przyjmowane było, jako objaw wdzięczności i poważania i skutek swój wywierało,— chyba.... że ofiarodawca za długo się namyślał nad złożeniem daru, lub téż składał ofiarę zbyt lichą, wówczas—„dyrektor odrzucał ją z oburzeniem, zgrozą, łajaniem, a niekiedy konfiskował na rzecz szpitalów....“

Nie dziwno, że przy takiem usposobieniu, pan dyrektor srogim był dla uczniów ubogich, których rodzice na przyzwoitą ofiarę zdobyć się nie mogli, a szczególniéj téż dla sierot.

To téż poczciwy Słonkiewicz niemałą miał trudność w przyprowadzeniu swojego kandydata do szkoły— w najlepszym razie czekał go egzamen publiczny, twardy, ostry,—podczas gdy inni panicze, odbywali go osobno w mieszkaniu dyrektora lub przy obfitém śniadaniu wydanem przez rodziców.

— Do szkółl a to po co?—po co! wszyscy do szkół! do czego im ta nauka! wszyscy do tych szkół się cisną! szkoły są dla majętnych dzieci szlachty!

Poczciwy Wieloryb pokorny swoją miną, całowaniem dyrektora w łokcie i tytułowaniem go Jaśnie Wielmożnym panem dokonał wszakże swego — pozwolono malcowi przystąpić do egzaminu. Dalej więc chodzić do wszystkich nauczycieli, prosić, polecać się ich łasce i pamięci—aż, dzięki tym wszystkim zabiegom przyjęto jego protegowanego do klassy pierwszéj.

Słonkiewicz kochał w nim sieroctwo i opuszczenie, zbliżała ich wspólność doli—łączyła jedna praca i jedno dążenie. Mistrz chciał wychowanka swego zrobić tem, czem był sam.

— Widzisz mój kochany,—mawiał,—i ja jak ty byłem sierotą bez kawałka chleba, odumarli mnie rodzice, a przecież ucząc się, ot, do czego doszedłem...

To co dla nas w powiedzeniu tem jest gorzką ironią, nie było nim wcale w przekonaniu Słonkiewicza, mówił to, by zachęcić do pracy. A jeżeli się zdarzyło, że trzeba było poskramiać rozbrykaną młodzież, — wtedy zwracał się do niéj z tem zaklęciem: — jak mnie kochacie!

Jakie proste, piękne—a jakie prawdziwe i charakterystyczne.

Nie mniéj prawdziwą jest druga strona obrazu. Chłopiec uczy się dobrze, pracuje, staje się celującym uczniem i odbiera nagrody. Sprzeciwia się to pewnym planom dyrektora, przeszkadza powodzeniu jego protegowanych. Zaczyna się więc prześladowanie intruza, który się tu wcisnął bez niczyjéj protekcyi a jedynie z pomocą ubogiego również Słonkiewicza.— Chęć zaszkodzenia w promocyi — rozbija się o pilność, zdolności i cierpliwość biédaka. Od czegóż jednak różne środki, których się używa w razie potrzeby z powodzeniem!

Ponieważ jakiemuś paniczykowi, powodzenie swoje opłacającemu złotem—trzeba było dać również złoty medal, a sierota stawał i w tém na zawadzie, usunięto go od konkursu złą notą w obyczajach. Wprawdzie Słonkiewicz uprosił znowu, że notę ową poprawiono w świadectwie, ale to już nic nie pomogło— medal dostał się paniczowi.

Przykładów podobnych bywało dużo. Łatwo pojąć, że tak demoralizujący system pedagogiczny wywiera wpływ fatalny i kazi dusze młode już na wstępie do życia.

To też Kraszewski przedstawia tę manipulacyą w całéj jéj nagości, maluje ją z ironią i bolącym sarkazmem—a ustęp ten należy do najlepszych w powieści *Resztki życia.*

Co do zacnego Słonkiewicza ma on postać do siebie podobną w *Metamorfozach*; jest nią stary pedagog, kierujący pierwszemi krokami również ubogiego sieroty Serapiona, zwanego Milczkiem. Podobieństwo typu i sytuacyi uderzające,—dowodzi to, jak bardzo sprawa sama musiała leżéć na sercu autora, skoro do przedmiotu tego mimowolnie powracał.

Pedagog ten, była to (powiada autor) istota skazana na długie męczarnie, okryta

już siwizną, nie skarżąca się nigdy, wzdychająca czasem, osierocona, samotna, chléb pożywająca w pocie czoła i utęsknieniu, — w której mieszkała litość, choć sam on nie doznał jéj od nikogo.

Jest więc pewna różnica pomiędzy tymi dwoma typami, bo kiedy pedagog w *Resztkach życia* z doli swojéj jest zadowolony i wyższych pragnień nie zna, — ten drugi cierpi i czuje swoje upośledzenie i sieroctwo. Z tem wszystkiem jednak są to dwa pokrewne dodatnie typy nauczycieli.

Sympatyczną również postacią, choć pedagogiem starego autoramentu, jest ksiądz prefekt w *Metamorfozach*, opiekun Longina, pozujący na surowość i despotyzm, w gruncie zaś dobry aż do słabości, łagodny i zacny staruszek, postać również wybornie odmalowana i typowa.

Podnioślejszy od niéj, pełen religijnego namaszczenia, zbliżony prawie do ideału a jednak prawdziwy, jest paroch unicki, ojciec innéj postaci w *Metamorfozach*—Cyrylla, i pierwszy kierownik syna. Jeżeli do tych dodamy jeszcze Teosia Muszyńskiego (w *Kopciuszku*), który również chleba nauczycielskiego probując, miał o zawodzie tym właściwe i dobre wyobrażenie, — będziemy mieli przed sobą cały szereg postaci dodatnich, pracujących na zaszczytnem lecz trudnem polu nauczycielstwa.

Podczas gdy zarówno Słonkiewicz, jak i podobny mu pedagog w *Metamorfozach*, pędzą życie smutne, pozbawione wszelkich wygód i przyjemności, pedagogom niepowołanym, którzy sobie wcale podniosłych celów zawodu nie stawiali, los się uśmiecha a oni korzystają z niego.

I tu najlepiéj cudzoziemcom. Takim jest p. Le Bon, w (*Resztkach życia*) francuz (szwajcarski), zadawalający się bardzo bierną rolą, gdyż aprobujący wszystko, cokolwiek dla jego ucznia ojciec uważał za właściwe, nieutrudzający go zbytecznie nauką z obawy niby o zdrowie — poprzestający na roli najemnika do nauczenia mowy francuzkiéj i pochlebiający we własnym interesie i ojcu i synowi.

Niebezpieczniejszym od niego jest francuz również p. Bolard (*w Metamorfozach*), nauczyciel Konrada, ex-furierysta,—ex-sensymonista, ex-cabetista, ex-chatelista—marzyciel i zwolennik reform radykalnych.

Postać to wyborna, odwzorowana również z życia i bardzo prawdziwa. Takich apostołów przybyło do nas z Francyi nie mało. —Przedewszystkiem gaduła, Bolard, bez względu na to, czy go kto słucha czy nie, w gorętszych chwilach natchnienia mówił do czterech ścian i stołków, gestykulując gwałtownie. Stawał po stronie wszelkiéj reformy, bo téż nie chodziło mu o odbudowanie świata nowego, lecz o przewrócenie starego.

Kraszewski nie przestaje na malowaniu typów nauczycieli, lecz jednocześnie ukazuje dowodnie skutki rozlicznych wpływów na młodzież.— Biorąc stosunek zwykły, to jest przypuszczając, że usposobienie i charakter ucznia kształtują się na wzór kierującego, w uczniach tych właśnie daje nam poznać jakość wpływu nauczyciela i wartość kierunku.

Rzecz prosta, że taki pan Le Bon przez własnego ucznia traktowany *en canaille*, nie może mieć dla niego żadnéj powagi a więc i żadnych wywierać wpływów. Lecz — już oto—nie wiele lepszy od niego Bolard oddziaływa na swego ucznia Konrada w ten sposób, że w życiu późniejszém wyraźnie się przejawiają skutki jego wpływu.

„Zasady wszczepione przez Bolarda sprawiły, że w przekonaniu Konradka wszystko co tylko istniało, było złe i do przerobienia. Zaczynał od tego, że ruszał ramionami i śmiał się, a że krytyka zawsze łatwa, gdy przypiął parę łatek, choć nie miał czém później tego, co zburzył, zastąpić, wykręcał się ogólnikami.— Pomimo swéj toalety i elegancyi, swych płaszczów i kamizelek, Konrad był surowym także stronnikiem powrotu do obyczajów pierwotnych, do spartańskiéj polewki, do odzieży prostéj, do komunistycznego pozamykania ludzi w komórkach na wywarzonym chlebie i soli i pewnéj ilości wody. Ale te jego reformy i teorye były także płaszczami podbitemi pąsowo i kamizelkami w kwiaty,—na ulicy zwracał oczy podszewką, w salonie utopiami.“

Kolega Konrada Teofil—marzyciel również, ale już innego rodzaju, bo szczerszy od Konrada, nie pozujący bynajmniéj, lecz obdarzony istotnie fantastyczną naturą poety,—także nie jedno ze swego nieszczęśliwego usposobienia zawdzięcza wpływom pierwszego nauczyciela.

Nauczyciel ten do typów ujemnych należy również, choć wartość jego znacznie wyższa od dwóch poprzednich cudzoziemców. Przedstawia on niestety postać każdemu z nas znaną, gdyż takich nauczycieli mamy dosyć.

Usposobienie niespokojne, zmienne, nie pozwoliło mu trzymać się jakiejś jednéj drogi w życiu— przerzucał się więc ustawicznie od zawodu do zawodu, w niczem wytrwać nie mogąc.

Okoliczności nie pozwoliły pójść na uniwersytet, osiadł na wsi i wziął się do gospodarstwa. W rok potém—zostaje cukrownikiem, nauczywszy się cukrowarstwa z książki, jak przedtém agronomii. I tu mu się nie powiodło—wstępuje do seminaryum; w niespełna rok zrzuca sukienkę i chce się żenić. Gdy jednak i to mu się nie udało—zostaje pan Atanazy nauczycielem i cały zasób swego rozczarowania, zniechęcenia i rozpaczy przelewa we wrażliwą i czułą duszę wychowańca—na jego oczywiście niedolę.

Niestety! ów pan Atanazy jest typem, jak powiedziałem, bardzo u nas znanym, czemu może przypisać należy w znacznéj części i to, że takich jak Teofil ludzi mamy aż nadto.

Wątpliwości nie ulega, że z naszéj znanéj zmienności, braku wytrwania i systematycznéj pracy niejedno wychowaniu zawdzięczać należy.

Wpływy dodatnie wychowania przejawiają się również w całém życiu następném a ognisko rodzinne jest tém zaczarowaném kołem, z którego wynosimy w świat zasoby siły lub słabości, cnót lub ułomności, które stanowią poniekąd kierujące losami naszemi—przeznaczenie.

Rzadko w któréj powieści prawda ta wyrażoną została tak dobitnie i przedstawioną w sposób tak prawdziwy, jak to widzimy w *Metamorfozach*. Dzieje kilku młodzieńców, którzy już na ławce uniwersyteckiéj różnią się nawzajem od siebie tém właśnie, co się w nich pod wpływem różnorodnych warunków pierwotnego wychowania wyrobiło, a którzy spotykając się z sobą potém w lat dwadzieścia pomimo zmian spowodowanych przez życie, noszą na sobie jeszcze wyraźne piętno tradycyi domowych,—dzieje te nader prawdziwe i pospolite dają nie mało do myślenia i głębokie zostawiają po sobie wrażenie.

Cóż bo to za potężna siła tych tradycyj, co za przemożny wpływ tych pierwszych pojęć i wrażeń, skoro tysiączne metamorfozy żywota zatrzeć ich śladu nie są w stanie.

Słusznie mówi stare przysłowie nasze: *czém się skorupka za młodu napoi, tém na starość trąci.*

Bez przesady powiedzieć można, że *Metamorfozy*, pomimo swej formy powieściowéj, są raczéj pełnym głębokiéj treści traktatem o wychowaniu.

Druga powieść napisana w tym samym okresie, — *Jasełka* zasadniczą tę kwestyę wychowania porusza również z wyraźnym naciskiem.

Tu już nie o nauczycieli, lecz idzie o system pedagogiczny.

W myśl powyżéj wyrażoną, że nam braknie najwięcéj hartu charakterów i wytrwania we wszystkiém, ojciec (hr. Herman) usiluje wychować syna jedynaka tak, by go zrobić silnem, zahartowanem na wszystkie przygody życia, nieugiętéj woli i charakteru dzieckiem natury.—Nie poprzestając na usunięciu wszystkiego, co tylko rozpieścić i rozmiękczać może, dręczy go nieustannie wszelkiemi sposobami, bierze go na ciężkie próby, tak że dziecko staje się męczennikiem utopii ojcowskiéj.

Nieszczęściem zdarzyło się właśnie, że Juraś nie potrzebował takiego prowadzenia, że owszem, przyniósł już z sobą na świat zarody dziwnego uporu, nieufności, że więc do tak żelaznego charakteru trzeba było łagodnéj ręki, któraby dopomogła do swobodnego rozwoju innych sił w gruncie dobréj i szlachetnéj duszy.

Prostém następstwem niewłaściwego zastosowania systemu, bez uwzględnienia potrzeb moralnych dziecka, było, że się Juraś zraził do ojca, powziął ku niemu jako swemu gnębicielowi nienawiść, aż wreszcie, chcąc prześladowania uniknąć, — uciekł w świat, rzucając starca na pastwę opuszczeniu i samotności.

Doskonały to przykład zgubnego wpływu ideologów, zastosowujących bez względu na nic utopie swoje do wychowania młodzieży.

Widzimy téż z tego, jak wszechstronnie Kraszewski kwestyę wychowania rozbiera. Powieści, o których mówimy, stanowią maluczką część całéj jego działalności twórczéj—a oto już i w nich dotknięte zostały najboleśniejsze ujemności wychowania u nas i najważniejsze jego potrzeby. Widzimy bowiem, do czego prowadzi brak rozumnego kierunku i obojętność na sprawy wychowawcze,—jakie są główne wpływów edukacyjnych ujemności i nadużycia,—a wreszcie, jakie rodzi następstwa przesada gorliwości wychowawczéj, doktryna nie licząca się z warunkami usposobienia i natury dziecka.

W skutek potargania węzłów rodzinnych i puszczenia się w świat samopas—bohater powieści *Jasełka* zahartowywa się bardziéj jeszcze w przygodach i niewygodach życia.

Staje się człowiekiem pełnym charakteru, o niezłomnéj woli, obdarzonym miłością wszystkiego, co prawdziwe, proste i szczere, nienawidzącym więzów konwencyonalizmu, brzydzącym się obłudą i fałszem, słowem,—

człowiekiem żelaznym, jakim go chciał mieć ojciec.

Niestety jednak, żelazo to ma szczerby. Zahartowane na wszystko, poczciwe i dobre dziecko natury jest jednak po trosze *dzikiém*, nieusposobionem należycie do życia społecznego i towarzyskiego w danych warunkach, zresztą — serce i namiętności młodzieńcze domagają się swych praw, rozpiérając pancerz żelaznéj woli.

Juraś spotyka na swéj drodze idealną istotę, rzeczywiście godną miłości — i uczuciem tém zapala się ku niéj w jednem mgnieniu oka. Miłość ta uszlachetnia go, dokonywa wielkich zmian w świecie jego moralnym, gdyż w jéj promieniach zaczynają kiełkować i róść uczucia tkliwe, miękkie a głębokie — po raz piérwszy w życiu.

Ale ów anioł jego zostaje w niebo wziętym, idealna kochanka jego — umiéra, niszcząc nielitościwie nadzieje i marzenia młodzieńca.

Zamyka się więc on w swojéj wielkiéj boleści, jeszcze daléj pragnie usunąć się od świata a zahartowany w nowym ogniu — nieszczęścia, budzi w nas wiarę, że się już ta żelazna wola przed niczém nie ugnie.

Lecz oto — zastawia nań sidła urocza i przebiegła a zimna kokietka, otacza go misterną siecią fałszów i obłudy — i ów niezłomny kochanek prawdy i szczerości, zawzięty wróg fałszu i hypokryzyi, daje się ująć w jedwabne więzy, dałby się zaprowadzić aż do ołtarza wyrafinowanéj i zimnéj zalotnicy, gdyby niespodziewany wypadek nagle nie otworzył mu oczu.

Nie wiem, czy domysł nasz jest prawdziwy, czy istotnie trafimy w myśl autora, lecz nam się zdaje, że tym upadkiem człowieka żelaznego charakteru chciał Kraszewski dać do zrozumienia, że jednostronny, niedostateczny rozwój sił ducha nie zabezpiecza nas od upadków, gdyż ani sam czyn, ani sama myśl, ani uczucie samo nie stanowi człowieka, lecz połączenie tych władz duchowych; więc téż równomierne ich rozwijanie powinno być zadaniem wychowania.

„Wychowanie od kolebki u ogniska domowego, mówi Kraszewski, — nabiéra dla nas wagi niezmiernéj. Lata dziecinne stają się dobą posiewu.

Dom — naszą świątynią, przybytkiem, szkołą; pierwszym kapłanem jego — matka, najwyższym stróżem — ojciec. Pod strzechą tulą się całe skarby nasze“.

Sądzę, że żaden z powieściopisarzy naszych przed Kraszewskim nie zajmował się tyle sprawą wychowania, żaden tyle, co on, myśli zbawiennych w tym przedmiocie nam nie podał. Starałem się w kilku powyższych przykładach podnieść tę stronę zwłaszcza, że w okresie, o którym mowa, Kraszewski więcéj niż kiedykolwiek miał to na sercu, w wychowaniu widząc najpotężniejszą dźwignią narodu i podstawę jego przyszłości.

Patrząc w ten sposób na sprawę wychowania, zwraca się szczególną uwagę na główny jego czynnik — kobiétę. Skoro, jak powiedziano wyżéj, matka jest pierwszem kapłanem domu i wpływ jéj staje się często decydującym o całéj przyszłości dziecka, to kwestya wartości moralnéj kobiéty staje na pierwszym planie.

Prawda to nie nowa, ale wątpliwości nie ulegająca, że przez kobiétę rozwiązać się dają najłatwiéj najtrudniejsze zadania społeczne, że ona trzyma w swém ręku nić Aryadny, mogącą wyprowadzić bezpiecznie z labiryntu zawikłań i sprzeczności.

Jakiémi tedy są nasze kobiéty?

O idealnym ich typie pisano i mówiono już bardzo wiele — dorzucanie kadzidła pochwały do rzetelnéj prawdy nie prowadzi do niczego. Choćby się nawet z uznaniem zalet i doskonałości tego typu nie spotykało tak często w literaturze i w życiu, każdy z nas znalazłby jego odbicie w sercu swojém, boć każdy w najskrytszém sanktuaryum swego serca chowa wspomnienia matki, czy żony, siostry czy kochanki, wspomnienia dla niego święte i wiecznie żywe.

Zarzucano Kraszewskiemu, że kobiety jego rzadko kiedy odpowiadają wyobrażeniom przywiązanym do ideału kobiety naszéj, że owszem — najczęściej spotykamy się u niego z istotami profanującémi godność niewieścią, schodzącémi po fatalnéj pochyłości aż do cynizmu i zbrodni.

Zarzut ten stosuje się poniekąd do całéj produkcyi powieściowéj Kraszewskiego, ze szczególną jednak siłą pada właśnie na okres, będący przedmiotem pracy niniejszéj. W powieściach tych istotnie postacie kobiece przedstawiają się nam w świetle bardzo ujemném.

Gdyby trzeba było dać jaskrawy przykład, do czego posunąć się jest zdolną kobieta wyzuta z cnót swéj płci właściwych, pozbawiona serca i sumienia, — jedna postać Miry w *Orbece* wystarczałaby na to najzupełniéj, wystarczyćby mogła na długo tak, jak prototypy zbrodniarek: Lady Macbet, Regana i Goneryla u Szekspira, Balladyna u Słowackiego, a zaś w dziejach Messalina, Brunhilda, Fredegonda itp. wystarczą na nieskończoną ilość lat.

Ale oto, w tym samym okresie, obok Miry spotykamy taką jenerałowę Palmer

w *Kopciuszku* i pannę Anetę w *Jasełkach*, dwie postacie kobiece — wstrętne.

Na niższym stopniu w hierarchii typów ujemnych stoją pani Samuela i Elwira oraz Jordanowa w *Kopciuszku*, Lullier w *Orbece*, pani Jędrzejowa i Pułkownikowa w *Jasełkach*, baronowa Żabicka w *Złotym Jasieńku*, panna Petronela w *Resztkach życia*, Fanny Bogna i Surginowa w *Metamorfozach* — zastęp jak widzimy nie mały. Dałby się on zrównoważyć kilku postaciami dodatniémi, które spotykamy tu również, ale — sprawiedliwość wyznać każe, iż postacie te występują dość blado i wszystkie je razem, bez niczyjéj pomocy, sama już Mira zaćmiéwa.

Już z tego, com wyżéj powiedział, poznać łatwo, że bynajmniéj nie głosuję za pochlebianiem kobietom naszym, ani też za przedstawianiem ich jedynie w świetle dodatniém. Owszem, im bardziej pragnęlibyśmy u nich widzieć zbliżenie do idealnego typu, tém surowiej wytykać trzeba te ujemności, które je od niego oddalają.

Prawda, choć przykra, zbawienną jest i pożyteczniejszą od pochlebstwa i gdyby się nią zawsze w stosunkach z kobietami kierowano, wyszłoby to niewątpliwie na ich, a więc i społeczeństwa korzyść.

Tak, ale..... czy kobiety skarżące się na Kraszewskiego za nadużycie barw ciemnych w ich przedstawieniu, za wyraźną predylekcyą do malowania typów ujemnych i wstrętnych — nie mają słuszności?

Téj im podobno zaprzeczyć nie można, zwłaszcza jeżeli mowa o tym okresie, w którym pokazały się *Kopciuszek*, *Jasełka* i *Orbeka*.

Jest tu niewątpliwie nadużycie barw ciemnych, jest przykre powtarzanie się rysów ujemnych, niechęć widoczna w przedstawieniu postaci niewieścich.

Czem się to wytłómaczyć da u Kraszewskiego, który w ogóle pessymistą nie jest, w którego świecie więcéj nierównie spotykamy ludzi słabych i ułomnych, niż złych i przewrotnych? Dla czego większa część ponurych cieniów spoczywa właśnie na postaciach kobiecych, zwłaszcza też w okresie, o którym mowa?

Postaramy się zagadkę tę rozwiązać w miarę możności.

Wspomniałem na początku, że powieści te pisane były pod wpływem otoczenia miejskiego. Każde większe miasto posiada ów pokost kosmopolityczny, zacierający potroszę charakter typowy, swojski. U nas pokost ten wytwarzał się pod wpływem głównie francuzkim; wraz z tą mową przyszły do nas obyczaje i narowy obce, zepsucie szerzyć się zaczęło za pomocą głównie niezdrowych romansów *literatury szalonéj* (jak ją trafnie nazwał Michał Grabowski). Znaki jego najpierwéj widzieć się dały na społeczeństwie miejskiem.

Kraszewski obserwował je pilnie, lękał się i słusznie, by zaraza ta nie skaziła nam serc i umysłów kobiet naszych — i ostrem piórem satyryka zaczął prześladować wytwarzające się pod jéj wpływem typy.

Domysł ten stwierdza i zupełnie obcy, nieswojski charakter przedstawianych postaci. Ani Mira, ani Generałowa Palmer, ani nawet Aneta nie są typami naszemi, czuć je zdaleka cudzoziemszczyzną.

Z drugiéj strony, karcąc te naleciałości obce, Kraszewski zostawał do pewnego stopnia i sam pod ich wpływem, czego dowodem, że np. *Kopciuszek*, po bardzo małych zmianach, mógł by ujść śmiało za tłómaczenie pierwszéj lepszéj powieści francuzkiéj.

Weźmy jakąbądź inną powieść Kraszewskiego, czy to *Powieść bez tytułu*, czy *Dwa światy*, czy *Sfinksa*, czy *Morituri*, czy słowem którąkolwiek typową powieść, znajdziemy w każdéj postacie dodatnie i ujemne, tych ostatnich może i więcéj, ale — to nasze dawne znajome, to typy, z któremi się żyło, to wady, ułomności i śmieszności nasze, swojskie.

Zupełnie inaczéj w takim *Kopciuszku*; nam tu obco i nieswojsko, czujemy się jakby na obczyźnie, bo też jenerałowa Palmer i kapitan Pluto z naszego gruntu niewyrośli, choć ich autor za takich podaje,—oni przyszli do nas razem z tym światem awanturniczym, skandalicznym, dwuznacznym, podejrzanym, przyszli z *pół-światkiem*, który nosi charakter obcy, jak i obce miano, dziwacznie w spolszczeniu wyglądające.

Pół światek ten, obrabiany specyalnie przez Dumasa (syna), wcześniéj jeszcze pojawiał się w powieści francuzkiéj pod piórem Sue'go, Balsac'a, Kock'a i bodaj czy nie za sprawą głównie tego ostatniego dostał się do naszéj powieści.

Taki *Kopciuszek* nie jest bez poprzedników w saméj nawet powieści Kraszewskiego, poprzedziły go bowiem, pisane pod tym wpływem *Pan Karol*, *Cztery Wesela* i t. d.

Jak obcą nam jest jenerałowa Palmer, tak obcym dla nas typem jest Mira w *Orbece*, ale tu już się ma cokolwiek inaczéj. Bo tu postać tytułowa, smutny bohater powieści posiada charakter zupełnie swojski. Z tego też względu, zachowując się najobojętniéj w obec *Kopciuszka*, który wzbudza,

co najwięcéj, niesmak, losami Orbeki jesteśmy do głębi przejęci.

Swojskość—jest zdaniem naszem jednym z nader ważnych warunków powieści obyczajowéj, która już z saméj natury swojéj tendencyjną jest, jako satyra obyczajów, cokolwiek by o tem mówili zwolennicy *sztuki dla sztuki* w powieści.

Orbeka — należy do tych utworów Kraszewskiego, które obudziły największą wrzawę—a więc i największe wrażenie. Muszę się więc przy niéj dłużéj zatrzymać.

Rzućmy okiem na całość tego utworu.

Na początku, w pięknym sympatycznym obrazku, poznajemy jedną z tych naszych wiosek roskosznych, otoczonych lasem, bogatych w urodzajną glebę, obfitujących we wszystko, co tylko służyć może potrzebom i przyjemnościom życia wiejskiego, wioską naszą, typową, którą tak uroczo i serdecznie malować umie Kraszewski.

Pędzel, który nam dał tak miłą i piękną sielankę, jaką jest *Wioska*, ilekroć do przedmiotu tego powraca, umié nań rzucić tyle światła, barw roskosznych, tyle poezyi szczeréj i prostéj a sercom naszym blizkiéj i drogiéj, że po raz bodaj tysiączny gotowi jesteśmy krajobrazowi się temu przyglądać z jednaką zawsze roskoszą.

Na tle takiego krajobrazu, widzimy dwór. To również stary i dobry nam znajomy, to jedno z tych gniazd szczęśliwych, na które patrząc mówimy sobie: jak tu dobrze i zaciszno być musi!—

Niestety! w harmonii, jaką ta wiecznie młoda, bo odradzająca się nieustannie natura oddycha, najczęściéj tonem fatalnym odzywa się człowiek — najdoskonalsze lecz i najułomniejsze jéj dziecię. Podobnież i tu—właściciel téj roskosznéj wioski, mieszkaniec starego dworu, zamiast spokoju i ciszy, która go otacza, ukrywa w sercu swém przytłumioną burzę żądz, namiętności, pragnień niezaspokojonych,— oraz niezabliźnione rany przebytych cierpień, walk i zawodów.

Takim jest Orbeka. Przy nim widzimy starego sługę, człowieka, który żył dłużéj od pana swego, który musiał również przebywać cierpienia i niedolę, bo któż jest wolny od nich,—ale żył w zbliżeniu do natury, w prostocie ducha, obcy wygórowanym i sztucznym potrzebom, w szczupłem więc kole swych pojęć i obowiązków pozostał spokojny i od pana swego szczęśliwszy.

To otoczenie stanowi kontrast ze stanem duszy Orbeki, doskonale malujący sytuacyą. Czujemy odrazu, że iskry tlejące w popiele wywołają katastrofę wybuchu, który wcześniéj czy późniéj nastąpi.

Orbeka ma duszę sobie bardzo pokrewną w jednéj z postaci *Resztek życia*. Pan Joachim Wielica przechodził również smutne koleje i podobnież jak Orbeka wycofał się z walki życia zbolały lecz nieuspokojony. Obaj byli na progu szczęścia, którém darzy życie rodzinne, ale żaden z nich szczęścia w niém nie zaznał. Żona Wielicy umarła prędko, nie zostawiając nawet tkliwego po sobie wspomnienia,— żona Orbeki opuściła go i wyszła za innego. Wielica, pomimo że mu zostało dziecię—córka, znalazł się wkrótce samotnym i opuszczonym, jak i bezdzietny Orbeka. Obaj szukają pociechy i zapomnienia w pracy duchowéj, w naturze, w kontemplacyi marzycielskiéj — napróżno... Tylko dalsze ich losy różnią się już stanowczo, bo gdy nowe uczucie zrodzone w sercu Wielicy na widok młodego i niewinnego dziewczęcia wywołuje jedynie nową walkę, z któréj wychodzi on zwycięzko,— nowa namiętność rozszalała w piersi Orbeki przyprawia go o zgubę.

Są to dwie zbliżone do siebie natury, różniące się jedynie siłą woli. Wielica cierpi, walczy, upada, podnosi się i wreszcie zwycięża siebie, — Orbeka upada prawie bez walki, nagle, gwałtownie i na zawsze.

Jako charakter, Wielica jest nierównie wyraźniejszy i zrozumialszy. Orbekę nie tak łatwo zrozumiéć.

Bo jakąż jest owa Mira? Kobieta bez serca, bez głębszéj nawet namiętności, paląca swém spojrzeniem i uśmiechem a w głębi zimna i wystygła, wykwalifikowana w życiu poprzedniém kokietka, próżna, chytra i— bezczelna.

Co w niéj mogło tak bardzo, tak nieskończenie pociągać poetyczną duszę Orbeki? Chyba fatalność w niéj uosobiona? Chyba przypuścić trzeba, że złe duchy (jak w *Nieboskiéj komedyi*) sprzysięgłszy się na jego zgubę, wyprawiły ją do niego.

„W drogę, w drogę widma lećcie ku niemu, — ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłéj wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty.“

Tak wygląda Mira.

Orbeka, człowiek prawy, uczciwy, znający życie, mający pojęcia wyższych jego zadań, wreszcie — człowiek pełen serca, ulega wpływowi dość pospolitych czarów, składa u nóg zalotnicy całą istność swoję, daje się jéj pozbawić majątku, czci, wstydu — prawie życia, nie przekonywa się bijącemi w oczy dowodami jéj nikczemności i zdrady, schodzi powoli aż do poziomu szaleń-

stwa, obłąkania, idyotyzmu, aż się wreszcie rzuca pod koła jéj powozu, znajdując tam koniec męczarni i życia.

Czyż to możliwe? — wołają czytelnicy — czyż to prawdopodobne? — Gdzież kobieta taka? — a jeżeli się znajdzie, — to gdzież taki mężczyzna? Kraszewski cisnął obelgę w oczy zarówno kobietom jak i mężczyznom.

Takie głosy słyszeć się dawały powszechnie po ukazaniu się *Orbeki* i taka opinia została ponieką do dziś... Czy zupełnie słuszna?— to rzecz inna.

Czy możliwém jest, by człowiek taki, jak Orbeka, do takiego stopnia uległ fatalnemu wpływowi kobiety, która niczém na miłość jego nie zasługiwała — a przeciwnie godną była pogardy?

Doświadczenie odpowiada na to twierdząco. Rzecz to smutna, ale, niestety! prawdziwa, że natury egzaltowane, namiętne, uczuciowe, najłatwiej podejść się dają istotom od nich nieskończenie niższym, skarby swych uczuć powierzając często w najmniéj godne tego zaszczytu ręce. — Prawdę tę stwierdzono doświadczeniem codzienném, niejednokrotnie już widzieliśmy uosobioną w kreacyach poetycznych.

U Szekspira Tytania kocha się w głupowatym Spodku a miłość jéj gorąca nie ustaje nawet wtedy, gdy go siłą czarów w osła przemieniono. Eteryczna, idealna Goplana kocha gburowskiego i pijanego Grabca. U Sofoklesa Klitemnestra nie waha się zamordować bohaterskiego męża Agamemnona dla miłości tchórzliwego i nikczemnego kochanka.

Wprawdzie w tych wypadkach zaślepienie jest po stronie kobiet, lecz są też tysiączne w dziejach ludzkości i w dziejach pieśni przykłady podobnegoż zaślepienia mężczyzn. Don Kichot uwielbiający Dulcyneę z Tobozo jest jednym z ich wzorów, rycerski i szlachetny Lech u Słowackiego, ulegający ślepo poszeptom krwawej i dzikiéj Gwinony, jest rodzinnym naszym typem. Długim szeregiem ciągną się odpowiednie przykłady dziejowe, w których mówiąc słowami Homera, Zews za narzędzie zguby obiera niewiastę. A rzadko kiedy w przykładach podobnych kobieta wyrasta po nad miarę istoty bez serca i sumienia, pozbawionéj zresztą cech innéj niepospolitości.

Zresztą, — po co sięgać tak daleko! Orbeka jest, niestety, postacią, z jaką niejeden z nas spotkał się w życiu. Piszący te słowa znał osobiście takiego Orbekę, musiałby więc zadać fałsz oczywistości, zarzucając Kraszewskiemu przesadę. Autor powiada w końcu, że opowiadanie prawdziwego zdarzenia dało mu pochop do napisania Orbeki—dziwna rzecz, że nie położyło to tamy zarzutom nieprawdopodobieństwa, gdy zapewnienie to było nawet zbytecznem.

A Mira?— może takiéj Miry niéma na świecie?

Chciałoby się na chwałę ludzkości, na cześć jéj niewieściéj połowy zaprzeczyć możliwości takiego typu, chciałoby się tém bardziéj, tém goręcéj zaprotestować przeciwko podobnemu zjawisku u nas. Niestety! znowu przychodzi surowe smutne doświadczenie, by powiedzieć, że autor nie zbłądził, nie przesadził nawet, że postać ta jest *prawdziwą*.

Niewątpliwie, taka Mira istnieć może tylko jako wyjątek, ale istnieć może.

Kobieta ta żyje jedynie ku zadowoleniu w sobie jednego z najniższych moralnie instynktów ludzkich: samolubstwa.

Egoizm poniewierający wszystko, cokolwiek stoi mu na drodze, nie znający żadnych względów: obowiązku, uczucia, sumienia, opinii, bez litości poświęcający wszystkich dla dogodzenia sobie, jest zawsze zbrodnią. Ale zbrodnia taka może być czasem tragiczną, może miéć cechy wielkości ujemnéj. Idealnym typem samolubstwa jest demon — a jednak ileż on ma grozy i uroku w poemacie Miltona. Na wskroś samolubne, moralnie liche postacie bohaterów Bajrona—ileż mają wdzięku i własności obudzania sympatyi.

Szczytem samolubstwa niewieściego w poezyi naszéj jest Balladyna—a wszakże budzi grozę, będącą wypływem jéj demonicznéj natury.

Mira wzbudza wstręt swoją nikczemnością, wstręt głęboki i wzgardę, ale nic więcéj. Ani przez jedną chwilę czytelnik nie zostaje pod jéj wpływem, ani razu nie podziwia jéj. W zbrodni swéj jest pospolitą, czujemy, że gdyby zeszła ze stanowiska, na którém utrzymuje się kosztem łatwowiernych i słabych swych admiratorów, spadłaby na dno przepaści społecznéj, znalazłaby się w szeregu ostatnich wyrzutków i tam nie zajęłaby wybitnego stanowiska. Przypominają się słowa Homera:

Nie wiem czy obrzydliwsze na świecie jest zwierzę
Nad kobietę, gdy w taką zbrodnię się ubierze.

Istotnie piękna Mira wysuwa się ze swéj kobiecości i staje przed nami—zwierzęciem.

I to jest właśnie powód główny oburzenia, jakie w niektórych czytelnikach powieść ta wywołała. Bo nic istotnie nie uspra-

wiedliwia zaślepienia Orbeki w takiéj kobiecie. — Zalotność jéj — pospolita, środki, jakich używa na olśnienie swéj ofiary — tak znane i spowszedniałe, że tylko człowiek już zaślepiony mógł się nie dać ująć, piękność sama, jakkolwiek niezwykła, wdzięk i dowcip, które się złożyły na to, że (jak powiada autor) „kochało się w niéj wojsko, duchowieństwo, dygnitarze, starzy, młodzi, panowie, poeci, artyści i bankierowie“ — nie tłómaczą jeszcze dostatecznie zrodzenia się tak szalonéj, zabójczéj miłości w sercu człowieka, który moralnie stał wyżéj od wieku, znał świat, posiadał wreszcie majątek znaczny— mógł więc pod każdym względem więcéj być wymagającym w wyborze kobiety, któréj się miał na wieki zaprzedać.

Jakkolwiek istotnie nic tak szalonéj miłości nie usprawiedliwia i autor nie umotywował jéj artystycznie, na czem ucierpiała stanowczo wartość powieści, miłość taka, jako zjawisko życiowe nie jest bynajmniéj nieprawdopodobném, więc ci, którzy powieści téj zarzucali nieprawdopodobieństwo — mylili się w dobréj wierze.

Ale na tem nie koniec, gdyż słusznie ktoś zapyta: czy malowanie tak wyjątkowych postaci i wypadków może być właściwém zadaniem powieściopisarza? czy powieść taka ma racyę bytu ze stanowiska zarówno etycznego jak i estetycznego?

Na to mam jedną tylko odpowiedź: *Orbeka* jest powieścią tendencyjną. Zwolennik zasady: sztuka dla sztuki — może ją za to potępić, ale my chętnie staniemy po stronie przeciwnéj.

O tendencyi w powieści błądzą u nas najsprzeczniejsze zdania. Sam Kraszewski niejednokrotnie przeciwko tendencyjności utworów powieściowych występował, co mu wszakże nie przeszkodziło stworzyć szeregu powieści tendencyjnych, do których i *Orbekę* zaliczam.

Jakaż powieści téj tendencya?

W odpowiedzi na to pytanie powrócimy do początku niniejszéj pracy. Oto, skoro uznając niesłychaną doniosłość sprawy wychowania rodzinnego, Kraszewski dostrzegł działanie zgubnych wpływów naleciałości zachodnich, prowadzące do rozprzężenia rodziny a więc grożące sprawie téj ostatecznym upadkiem, chciał przeciwstawić tym wpływom (oddziaływającym głównie na kobiety) siłę męzkiego charakteru i woli. — Mianując mężczyznę — ojca, stróżem tego domu, którego pierwszym kapłanem jest matka — kobieta, chciał uzbroić go w dostateczny zasób energii, któraby odeprzéć mogła nacisk demoralizujących żywiołów.

Taka Mira, generałowa Palmer i t. p. są właśnie uosobieniem tych żywiołów rozkładu, którym się oprzeć, które zwalczyć powinna potęga męzkiego charakteru.

Dwa są sposoby podbudzenia energii w ludziach słabszego charakteru: albo ukazywanie im wzorów siły i woli, którehy ich pociągnąć i do naśladowania zachęcić mogły, albo też przedstawianie im w jaskrawych kolorach następstw, jakie pociąga za sobą słabość charakteru, co w słabszych tych duszach obudzić może poczucie własnéj słabości i chęć podźwignięcia się z niéj.

W tym właśnie drugim kierunku działać ma powieść *Orbeka*. Autor w przypisku do niéj, zatytułowanym: *Do D. Z. F.* powiada.

„Czy się to opowiadanie przyda na co tym nieszczęśliwym, to rzecz bardzo wątpliwa dla mnie. *Może tylko obronić od puszczenia cugli namiętności, którą każdy mniema do pohamowania łatwą, nie widząc, iż każda godzina zwiększa jéj siłę, a zmniejsza w nim siłę oporu.*

„Z tem życzeniem puszczam w świat opowiadanie, jakkolwiek i ty i ja zgodziliśmy się na to, iż cudze doświadczenie a mniéj jeszcze opowiadanie na cokolwiek się przydać może. *Zawsze jednak utkwi coś w człowieku, zostanie wrażenie choć słabe i odezwie się w danéj chwili.*“

Oto więc tendencya *Orbeki*. Ze swéj strony dodać mogę jeszcze tę uwagę, że powieść ta skutek swój osiągnęła niezawodnie, skoro tyle wywołała hałasu i tak przykre sprawiła wrażenie.— Nóż w ręku chirurga dotykający rany — sprawia ból dotkliwy, ale są wypadki, w których tylko ta bolesna operacya uleczyć może.

Broniąc w ten sposób powieści *Orbeka* od zarzutów, jakie na nią spadły, nie odpieram jednak wszystkich skarg, jakie się słyszéć dały, na sposób przedstawienia kobiet w powieściach Kraszewskiego; owszem ośmielam się zrobić im pod tym względem zarzut stanowczy.

Oto — zaczęsto spotykamy w nich postacie, podobnie jak Mira, ujemne, w skutek czego — bądź co bądź wyjątkowe — rosną one poniekąd do znaczenia ogólu.— Cudzoziemiec, czytając *Orbekę*, *Kopciuszka*, *Jasełka*— trzy powieści napisane w ciągu jednego dziesięciolecia, mógłby przyjść do przekonania, że istoty jak Mira, jenerałowa Palmer i Aneta należą u nas do typów zwyczajnych — a tak przecię, dzięki Bogu, nie jest.

To typy wyjątkowe, noszące na sobie wy-

rażną cechę obcych wpływów i nie mogące w żaden sposób reprezentować średniéj miary ujemności naszych swojskich typów.— Dziwić się trzeba istotnie, zkąd Kraszewski bierze taką obfitość podobnych postaci niewieścich i czemu je malować lubi.

Zarzut ten wzmaga się w siłę w obec powieści, jak *Kopciuszek*, któréj tendencyjnością tłómaczyć nie można, gdyż jéj dopatrzéć się trudno.

W sześciu tomach téj powieści *obyczajowéj* widzimy szereg wypadków, których punktem środkowym są dzieje pokrewnéj nieco Mirze, ale od niéj bledszéj jeneralowéj Palmer, z domu Kirkuciówny. — Powieść ta z małémi odmianami jest obrazem obyczajów pewnéj wyjątkowéj sfery, zdradzającéj aż nadto wyraźnie swe zamorskie pochodzenie.

Istotnie, jeżeli zważymy, że Kraszewski w powieściach tych malował życie miejskie i że przed rokiem 1860 stale w żadném większém mieście nie przebywał, należałoby sądzić, że obrazy tych jego powieści powstały z wrażeń życia warszawskiego i obserwacyi na bruku warszawskim zebranych.

Zresztą tłem, na którém rozwijają się dzieje i *Orbeki i Kopciuszka* jest Warszawa, z czém się autor bynajmniéj nie ukrywa, podając nazwy miejscowe ulic i gmachów.

Jeżeli jednak przypomnimy sobie, że właśnie z bezpośredniéj obserwacyi życia warszawskiego w tym okresie powstały powieści i obrazy całkiem odmiennego nastroju i charakteru, w których zwłaszcza postacie niewieście jaśnieją wielkim wdziękiem i pięknością moralną, — to nie będziemy mogli pogodzić tych sprzeczności inaczéj, jak tylko przypuszczając, że tamte właśnie były żywém odbiciem rzeczywistości, na którą autor patrzył własnémi oczami, te zaś dwie, o których mówimy, powstały pod wpływem i z reminiscencyi powieści francuzkiéj.

Przypuszczenie to, któreśmy już raz powyżéj zrobili, nabiera tém większego podobieństwa do prawdy, że na początku tego właśnie okresu Kraszewski przebył i przecierpiał moralnie wiele, że przeto gdy cała dusza jego zwróconą była w inną stronę a pisma peryodyczne warszawskie domagały się nieustannie pomocy jego pióra, pisał dla nich powieści, pozbawione ścisłego związku z życiem danéj chwili, czerpał więcéj z fantazyi, niż z obserwacyi życia, a fantazya nastręczała mu obrazy i typy, będące reminiscencyą francuzkich romansów, które refleksya na grunt nasz przenosiła.

Oto w jaki sposób kreśli p. Stefan Buszczyński stan moralny Kraszewskiego, w pierwszych chwilach pobytu w Dreznie:

„Zgnękany, schorzały, z trudnością niemal z nadludzkiém wysileniem tylko mógł wrócić do dawnych swych zajęć. „Pióro mi z ręki wypada“, mawiał często. Duch jego potrzebował wypoczynku. Myśli mu się rwały. Ciało osłabło, kto go widział naówczas, mniemał: iż jego zawód literacki kłonił się ku schyłkowi.“

Świadectwo to, zupełnie wiarogodne, domysłom moim nadaje cechę prawdopodobieństwa. Oświadczam jednak, że są to tylko domysły, które mi się wydały koniecznemi w tym razie.

Publiczność czytająca utwory powieściowe często nie zwraca wcale uwagi na datę ich powstania i nie liczy się z warunkami, w których wyszły one z pod pióra autorów. A jednak wzgląd to nader ważny i tłómaczący często trudne do rozwikłania zagadki.

Postępując daléj w charakteryzowaniu tego okresu, zwróćmy uwagę na odbicie w nich wrażeń, jakie zostawiły po sobie wycieczki Kraszewskiego za granicę.

Powiada p. Buszczyński, że wrócił on z tych podróży *znużony*, *zbolały*, *rozczarowany* — poznajemy to z rozrzuconych tu i owdzie śladów tego wrażenia. Nigdzie się jednak tak serdecznie, gorąco nie odbiło jak w *Metamorfozach*, w opowiadaniu Albina. Charakterystyczniejsze ustępy uważam za konieczne przytoczyć.

„Śmieszny, kto sądzi, że po za granicami naszémi są jeszcze jakieś narodowości, są indywidualne charaktery ludzi;— tam epoka narodowości już przeszła, jedni słowianie w nią wierzą i piastują tę świętą ideę starą, która tam wydaje się przesądem. Tam wieża Babel zmieszanych ludów i języków, niema przywiązania do ziemi, które zastąpiła miłość grosza, nie ma poszanowania tradycyi, a jest wiara w nieomylność rozumu— Francuz, Anglik, Niemiec, Włoch, jeden mają cel żywota... jedną ideę i ojczyznę, religię, wiarę......... Grosz...

„*Money is a good soldier*, powiedział Szekspir, a tam u nich i żołnierza i prawo i uczucie i kościół i cnotę zastępuje pieniądz. Rzekłbyś, że ta ludzkość cała oszalała, że ją chwyciła jakaś choroba zaraźliwa, jakaś gorączka, manja..... o niczém nie mówią, nie słuchają, na nic nie patrzą prócz grosza. Stare uczucie, przekonania, świętości, służą tylko za narzędzia, są to czcze formuły, czasem użyteczne, któremi jeszcze się posługują, ale celem jedno..... zbogacenie.

„Zrazu mimo poszanowania, jakie we mnie

wzbudzały co krok spotykane wielkie pamiątki... obrzydliwość uczułem dla tego tłumu nawróconego przez Izraela na wiarę żydowską i życie żydowskie.... Nie można tego nazwać inaczéj:— spełniły się przepowiednie, przyszło królestwo Izraela i bankier stał się panem świata.

„Stara Europa, pełna relikwii życia zgasłego, żadnego niema związku z tą nową, która na jéj gruzowisku koczuje jak naród przybyszów. Sterczą katedry olbrzymie, w których się nikt nie modli, pokazują je za pieniądze, przestały być świątyniami Boga, są to *dzieła sztuki*! Dzieła sztuki — myślałże lud pobożny, co je stawiał i tę skamieniałą modlitwę wznosił nie znając prawideł budownictwa, że dźwiga.... dzieła sztuki?

„Pełno grobów, postaci olbrzymich, zdobywców, bohaterów, męczenników, świętych, a wnuki ich wszyscy.... żydzi. Jedno jest tylko co ten świat wielki rozdziela na dwa olbrzymie pokolenia, wybitnie się od siebie różniące: jedno jak żyd w dorobku skąpi obrzydliwie i brudno, drugie jak żyd bogaty nadyma się, używa, zbytkuje i popisuje zdobyczą.

„Drugą plagą tego nieznanego nam universum nowéj fazy, jest zbytek, który naturalnie wynika z żądzy i posiadania grosza.... trzebać się wreszcie pochwalić z nim i ciału dogodzić, gdy się dlań tyle pracowało. Cały ów świat myśli o dwojgu — zdobyć i użyć! — a jeżeli chcecie jeszcze, z używania popis zrobić — nic więcéj. Wszystko święte dawniejsze zostało martwém słowem bez zastosowania i możliwego użycia. Cóż zrobić z Ewangelią wśród tego żydostwa? Chrystusa ukrzyżowaliby raz drugi, gdyby to mogło podnieść kurs papierów na giełdzie ...... O! gdybyśmy nasze skarby znali i cenić umieli, jakby dla nas ta ułudna cywilizacya materyalizmu nic uroczego nie miała! jakbyśmy jasno w niéj ujrzeli ziarno grzechu i pochodzenie pogańskie! — Ale wielu z nas powraca zachwyconych geometrycznym ładem Europy, przemysłem dokazującym cudów, suchémi zjawiskami rozumu żydowskiego, a nie widzi, że u nas nie tam jest życie jutra, że u nas siły jeszcze, gdy tam starość niedołężna, co się poi i podbudza, aby żyła potroszę, durzy się i szaleje.

„Kości praojców nawet pokazują tam za biletami płatnemi, bo nic bez grosza... Nie pytaj gościnności słowiańskiéj, ani uprzejmości naszéj; filuci tylko, co cię odrzeć pragną, są grzeczni, a kupcy, gdy im płacisz, uprzejmi, zresztą kręć sobie kark na rynku, nikt się nie odwróci, to im wszystko jedno, byle drogiego czasu nie tracić.... bo czas to grosz, życie grosz, wszystko grosz...

„Całą Europę, pokazywaną dziś za biletami, przejrzałem bez entuzyazmu, z bólém w sercu dojmującym. Nasz kraj dziki wydał mi się po niéj rajem — tu szeroko, swobodnie, ludzko, swojo, tak jakeśmy nawykli.... tam jeden sklep i kramy żydowskie. Wkrótce na stopniach Ś-go Piotra zrobią giełdę, a relikwie będą miały kurs na bursie... ale któż je kupi?.... chyba my.

„Z duszą uciśnioną powróciłem...." (Metamorfozy t. III., str. 18, 19, i 20).

Czy w opisie tym niema przesady? zapyta kto z czytelników.

Tyle, ile jéj być musi w każdém szczerém oburzeniu, w głosie wyrywającym się z piersi pod świeżém wrażeniem.

Że wrażenie to było bardzo świeże — o tém przekonywają nas daty. Powieść *Metamorfozy* zaczęta w r. 1856 została skończona w 1857, to jest właśnie w roku pierwszéj wycieczki Kraszewskiego za granicę. Ponieważ zaś ustępy wyżéj przytoczone znajdują się w tomie ostatnim (trzecim) przeto wszystko upoważnia mię do mniemania, że zostały one napisane właśnie pod pierwszém wrażeniem.

Że przez usta Albina przemawia tu sam autor, to również zdaje się nie ulegać wątpliwości a to głównie przez zestawienie tego, co mówi Albin, z tém, co o cywilizacyi zachodniéj mówił sam Kraszewski jeszcze w *Tygodniku Petersburskim*, co zresztą w tychże *Metamorfozach* już sam, bezpośrednio... Oto jeden taki ustęp z tomu 1 (str- 78 i 79):

„Dziś, od niejakiego zwłaszcza czasu skutkiem najfałszywszych teoryj pogańskich napływających do nas z zachodu, pod pozorem dobra ogólnego postępu, przemysłu i handlu, przyszliśmy do czci cielca złotego, któréj już się nawet nie wstydzimy. Śmieją się jak z nieuków, z tych, co inaczéj utrzymywać śmieją, ci dobroczyńcy ludzkości, co w grosz jak w zbawienie wierzyli.

„Ztąd przyszliśmy wreszcie do mierzenia groszem wartości człowieka, uczynków, dusz, umysłów i narodów. Najniecniejsze z narodów, jak Anglia, co zamęczyła Jrlandyą, krwią się jéj upajając, co wyssała Jndye, do rozpaczy je przywodząc niechrześciańską administracyą, co podburzała ludy kłamiąc późniéj najuroczystszym obietnicom swoim i opuszczając je, gdy skorzystała z rozruchu dla swéj kontrabandy — co oprócz własnego interesu nigdy nie znała nic więcéj— wyszła dziś na świecznik jako

wzór i mistrzyni. Wszyscy ją wielbią i podnoszą, że tyle ma grosza, że go tak robić umie, i tak nim mądrze szafuje. Nigdy jeszcze sumienie ogólne nie było tak sfalszowaném— robiono źle, ale skłaniano głowę przed ideałem dobra i oczyszczano się kłamstwém cnoty, dziś ideałem się staje, co najszpetniejszego w świecie jest pod względem moralnym... ale praktyczne i silne!!..“

Widzimy tu niejako powtórzenie tego, cośmy przytoczyli powyżéj, z tą jedną różnicą, że w ustępie tym (napisanym prawdopodobnie przed wyjazdem zagranicę) autor i nas podciąga pod ogólną miarę, — w tamtym zaś po powrocie, robi dla nas pewien wyjątek, znajduje, że stosunkowo jest u nas jeszcze lepiéj niż gdzieindziéj.

W powieści napisanéj znacznie póżniéj, bo wydanéj w roku 1869 (daty ukończenia niema), w *Złotym Jasieńku*, a mianowicie w opowiadaniu Wilmusia o tém co zagranicą widział (str. 336, 337 i następne), spotyka się znowu z podobnym poglądém. I tu jest mowa o zmateryalizowaniu, o wystygnięciu serc, o braku uczucia braterskiego, łatwości życia, gościnności i uczynności, ale jest téż wielka różnica — znać, że to nie pod pierwszém wrażeniem pisane.

Przez usta Wilmusia autor zdaje się z tego tłómaczyć, mówiąc, że „człowiekowi wyjechawszy z domu wszystkiego swojego braknie, wszystko cudze zdaje się śmieszne i przechwalone — ale potém! potém, rozpatrując się w różnych różnościach niemieckich, francuzkich i cudzoziemskich, musi sobie powiedziéć — dyablośmy od nich daleko! Wiele u nas jest dobrego, ale nie małoby nauczyć się potrzeba.“

Jest tu więc odwrotna strona medalu, w któréj widnieje wyższość zagranicy nad nami pod względem ogólnego dobrobytu, zniesienia różnicy stanu i bujnego rozwoju przemysłu i rękodzieł.

Przedstawienie dodatniéj strony ludzi zagranicznych znajdujemy także w powieści *Kamienica w długim rynku*. Jest tu wyborne zestawienie dwóch krewnych — Paparonów, z których jeden urodzony w Gdańsku wychował się pod wpływem niemieckim na pracowitego i rządnego człowieka, podczas gdy drugi, pochodzący z linii Paparonów zamieszkałéj w Poznańskiem, szlachcic czystéj krwi, zachował wszystkie narowy szlacheckie— niepraktyczność, rozrzutność i lenistwo.

Jest tu również obrona niemieckiego systemu wychowania kobiet, których wysokie często wykształcenie wcale nie odrywa od gospodarstwa, od najskromniejszych zatrudnień około kuchni i spiżarni, które bez zżymania się idą od fortepianu do rądelków, rozumieją również dobrze oszczędność jak Mendelsohna i Schumanna, a wymagania najprozaiczniejsze równie jak poezyę Goethego i Schillera, łącząc w sobie swobodę lotu ku ideałom z nieubłaganą rzeczywistością życia.

Na niekorzyść za to Niemców czytamy, że z małemi wyjątkami — nie szanują oni swych kobiet i lekceważą je, w skutek czego, pomimo jéj zalet, kobieta bywa tu naprzód gospodynią i sługą, a rzadko kiedy prawdziwie towarzyszką i przyjaciółką mężczyzny.

Widzimy więc z tego, że w powieściach tego okresu odbiło się wyraźnie wrażenie wycieczek za granicę, przechodząc od gorącego oburzenia do chłodnego oddania sprawiedliwości. Bądź co bądź jednak wrażenie pozostało przeważnie złe, gdyż Kraszewski jako poeta i miłośnik wyższych idealnych celów życia, przeważnie na tę stronę zwracał uwagę i jéj słusznie przypisywał najwyższą doniosłość.

Zaspokojenie idealnych potrzeb ducha ludzkiego, autor *Świata i Poety* oraz *Powieści bez tytułu* i *Sfinksa* miał zawsze za jeden z głównych i pierwszych warunków bytu, przeto z zagadnieniami téj idealnéj natury, z potrąceniem o sztukę spotykamy się u niego tak często.

I w tym okresie niebrak odbicia téj ulubionéj sfery jego ducha.—Spotykamy tu bowiem kilka typów artystycznych, skreślonych z wielką prawdą, uczuciem a niekiedy i humorem, w miarę jak postać duchem artystycznym opętana na to zasługiwała.

Wiemy już, jak Kraszewski pojmuje sztukę, bo to widnieje ze wszystkich jego powieści.

Sztuka dla niego jest bóstwem — artysta bóstwa tego kapłanem. Powinien więc być poetą, co myśl wielką, uczutą, pojętą i wyrywającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko, co jéj dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykalną uczynił. Nigdy, zdaniem jego, artysta nie może spojrzawszy na dzieło swoje, powiedzieć, że dobre jest, chyba, gdy upadnie na duchu, umyśle i wyobraźni....

Tworzenie jest oddaniem na zewnątrz najlepszéj części twórcy, uszczerbkiem i ofiarą nieopłaconą. Sztuka jest tworzeniem ideałów.

„Poeta na tym świecie jestto roślina przesadzona z Afryki pod biegun lodowaty. Wzniesie się i uschnie pod mroźnym oddechem świata, pod zimną ręką Eskimosów, którzy ją będą chwalić, ale nie ogrzeją, ale

nie zrozumieją! Próżno wyglądać będzie swego słońca i nieba, lody, mchy tylko, niedźwiedzie i cielęta morskie otoczą go, będą wąchać, próbować, kosztować,—aż póki nie zniszczą. Poeta jak upiór,—na świecie, lecz nie z tego świata, wstaje dla cierpień i męczarni, rozprasza ludzi swojem przybyciem, mówi do głuchych, żebrze litości obcym im językiem, a cóż mu z szumnego *Requiem* i wieńców po śmierci, kiedy rzuci je dłoń zimna, jak niechętną jałmużnę?" (Poeta i Świat.)

W ten sposób uważając sztukę, Kraszewski z oburzeniem odzywa się zawsze o jéj niepowołanych kapłanach, lub o tych, którzy z niéj robią paradę, popis, rzemiosło. — Ztąd téż artyści z urzędu rzadko zyskują jego sympatyę.

„Artysta dzisiejszy, mówi on,— to sztukmistrz, a nie mistrz w sztuce, to rzemieślnik kapryśny, co się wyuczył trudności, co zna wszystkie sznurki (ficelles) rzemiosła swego. Ale dla mnie rozpłakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosnkę natchnioną.... jest daleko nad niego większym artystą."

To téż w powieściach Kraszewskiego w ogóle, szczególniéj zaś w tych, z któremi mamy do czynienia, sympatya autora zwraca się wyraźnie do tych miłośników sztuki, którzy ją uprawiają dla siebie, bez zamiaru i chęci produkowania się z nią publicznie— wszelkie zaś wirtuozowstwo nie ma u niego względów.

Dość przypomnieć tu kilka postaci np. Otto Marzycki w *Jaselce* i Maks Fermer,— w *Metamorfozach* Teofil i Bogna; w *Orbece* wreszcie sam jéj nieszczęsny bohater. — Między niemi wprawdzie niema ani jednego istotnego artysty,—są to dyletanci, lecz już i w nich objawiają się wyraźnie różnice usposobień artystycznych. O występujących publicznie muzykach autor przez usta cudze a niekiedy i bezpośrednio wydaje sąd najniekorzystniejszy.

„Tamci (powiada Otto) nie są muzycy: to spekulanci, którzy tak samoby jeździli po świecie z olejkami, z pomadą, z menażeryą lub kosmoramą. Talent u nich być może, ale pojęcia, poszanowania sztuki — nie ma, bo prawdziwy artysta woli umrzeć z głodu, niż świętością frymarczyć.... Są tacy, co czcząc muzykę, kochając ją, kryją się z nią jak ze skarbem.... i to są tylko prawdziwi artyści."

W ten sposób w ukryciu uprawiają sztukę z miłością ku niéj, lub z potrzeby moralnéj Otto, Teofil i Orbeku. Wirtuozowstwo reprezentują— dwie postacie ujemne— Maks i Bogna.

Gdyby tego nie było dosyć, moglibyśmy znaleść wielką ilość ustępów potępiających nie amatorskie ale zawodowe (jeżeli wolno się tak wyrazić) traktowanie sztuki. Wszystkie one dałyby się zredukować do jednego zdania. „Nie cierpię popisów, nienawidzę szarlatanów, nie lubię fanfaronady w niczém; muzykę jak kochankę mam dla siebie: nie wożę się wcale z nią po świecie. (Jasełka t. I. str. 222.)

Czy pogląd to słuszny? czy sztuka z chwilą, w której przestaje być niepodzielnym skarbem osobistym artysty, naraża się na profanacyą, traci coś na godności swojéj? Czy istotnie artysta, który się szanuje, powinien ukrywać się przed światem ze swém mistrzowstwem?

W odpowiedzi na to pytanie możnaby napisać traktat obszerny, którego treścią byłby tylekroć przez Kraszewskiego poruszany i przedstawiany stosunek artysty i poety do świata.

Gdybym chciał tylko wypowiedzieć, co mi się w téj chwili ciśnie pod pióro — sprawa ta podwoiłaby ramy niniejszego artykułu. Trzeba więc poprzestać na kilku uwagach.

Kraszewski ma najzupełniéjszą ze swego stanowiska słuszność, ale stanowisko jego jednostronne.

Dwa są bowiem zadania artysty. Jedno polega na rozdmuchiwaniu i żywieniu w sobie iskry świętéj talentu i natchnienia, na spotęgowywaniu siły ducha twórczego pracą i utrzymaniu go w stanie donioslości i czystości moralnéj. Drugie zależy na podnoszeniu duchów innych nad poziom powszednich trosk i kłopotów, na rozbudzeniu w piersiach ludzkich tęsknoty do tych idealnych światów, których sztuka jest wysłannikiem.

Słowem artysta powinien osiągnąć cel dwojaki: naprzód własnéj korzyści ducha a potém skutecznego oddziaływania na tłumy, z któremi się ma skarbem duszy swéj dzielić.

Otóż Kraszewski pamięta ustawicznie o tym pierwszym obowiązku artysty, zapominając często, lub może nie zawsze wierząc w skuteczność oddziaływania na zewnątrz, w doniosłość utylitarnéj strony artyzmu.

Temu się dziwić nie można. Kraszewski sam jest poetą i artystą w duszy, wszystkie więc metamorfozy ducha artysty pochodzące z zetknięcia się ze światem i jego demoralizującym wpływem są mu znane i zrozumiałe. Widział on niejednokrotnie prawdziwe talenta artystyczne marnujące się na drodze popisów i gonienia za oklaskiem i

groszem, widział mierności pozujące na geniuszów i zyskujące poklask nwiedzionych tém tłumów, widział ludzi, których rzetelne zdolności i prawdziwe poczucie sztuki były zapoznawane i poniewierane przez tych, którzy gonili za blichtrem i blagą, samozwańców sztuki. Patrząc na to wszystko, mógł on nabrać niechętnego uprzedzenia do tego, co się pokazuje za biletami, co każe się podziwiać i uwielbiać.

Zresztą, kto szczerze i prawdziwie kocha sztukę, ten stokroć woli ją widzieć w atmosferze ciszy i modlitewnego spokoju, niż w gwarze oklasków i głośnych zachwytów tłumu. Dla każdego artysty czy poety wyższego nastroju większą nagrodą szczere uznanie kilku ludzi istotnie umiejących czuć i rozumiéć sztukę, niż entuzyazm, często bezmyślny, tłumów. Wymownie wyraża to Baliński w powszechnie znanym wierszu:

Czasem w dodatku słyszę oklaski,
Szczére czy zwodne, wszystko mi jedno:
Znam tych błyskawic przelotne blaski!
Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
Wasze pochwały!... toć to szyderstwo!
Wasze pochwały, toć to bluźnierstwo!
. . . .
Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
Sprzedawać śpiewy — hańba poecie!

Więc nie dziwno, że z tego stanowiska patrząc na sztukę i pod takiém zostając wrażeniem, można powiedzieć jak Otto w *Jasełkach*: muzykę jak kochankę mam dla siebie — nie wożę się z nią wcale po świecie.

Ależ z tego samego stanowiska trzebaby było przyznać, że „rozpłakany pastuszek grający sobie w polu na dudce piosenkę natchnioną“ jest większym artystą niż Paganini, Bach, Bethowen, Mozart, Liszt itd. gdyż on gra tylko *sobie*, podczas gdy tamci dawali się słyszéć światu i zbiérali wieńce laurowe, że takiż pastuszek rzeźbiący dla siebie z kawałka drzewa Chrystusa na krzyżu lub postać jaką inną świętą — większym artystą nad Michała Anioła, Benvenuta, Canovę i t. d.; że wreszcie poeta tworzący w ukryciu przed światem serdeczne i rzewne piosenki, z któremi się przed nikim nie zdradza, gdyż „sprzedawać pieśni — hańba poecie“ jest, większym poetą w duszy nad tych głośnych i sławionych wieszczów, których świat słuchał.

A w takim razie — cóżby się stało z cywilizacyjném sztuki znaczeniem i potężnym jéj wpływem na ludzkość?

Kraszewski bardziéj, niż kto inny, rozumie donioslość tego wpływu, i twierdzenie podobne powyższemu, byłoby w jego oczach dziecinną przesadą. A jednak jest ono tylko prostą konsekwencyą téj wiary artystycznéj, którą wyznają niektóre dodatnie postacie artystów w postaciach jego, którą on sam niekiedy wyraża.

Tu właśnie maluje się pewna jednostronność poglądu, na którą musiałem zwrócić uwagę, mówiąc o powieściach tego okresu.

Nie przeszkadza to bynajmniéj, by przedstawione w powieściach tych typy artystyczne miały w sobie szczerą prawdę życiową.

Zarówno z autorem kochamy Ottona i Teofila, zarówno z nim lekceważymy Maksa i oburzamy się na jego blagę.

Wyborną choć w kilku zarysach przedstawioną postacią jest w *Metamorfozach* Bogna *monstrum idealne*, jak ją słusznie autor nazywa, która siedem lat mając, śpiewała już i grała w publicznym koncercie, wiedząc doskonale, że jest fenomenem i kandydatką na bóstwo; która rozwijała się w atmosferze sztuki, jak kwiat cieplarniany, zdobywając sobie wszędzie hołdy i uznanie, którą rodzice wozili wszędzie, jak cacko owinięte watą w pudełku, która z Lamartinem jadła obiad, dla któréj Musset improwizował, Hejne z niéj żartował, Gutzkow zrobił heroinę jakiéjś powieści; która z Dickensem podróżowała po Włoszech a Jngrés robił jéj portret, Delaroche dawał lekcye, Rauch statuetkę dla niéj wylepił, Hugo napisał cztery wiersze do albumu i Pellico dał odę.

Któż z nas nie ma lub nie słyszał o takiém potworze idealnym, przywykłym stąpać po różach i laurach? Może na mniejszą skalę, nie tyle głośne, ale trafiają się one dość często.

Istota natchniona, na estradzie, otoczona słuchaczami — wielka aż do śmieszności, o któréj z góry wiedziano, że ilekroć otworzy usta, wyjdzie z nich coś nadzwyczajnego i w słowie każdém znajdowano intencye, odcienia, piętna jakieś cudowne — Bogna jest postacią znakomitą, skreśloną z nieporównanym humorem i prawdą.

W obec takich to wielkości można zatęsknić do skromności i prostoty pastuszéj, ale bo téż wielkość to podejrzana, sztuczna, śmieszna i — mała.

Nie masz istotnie nic wstrętniejszego nad mierność puszącą się i krzykliwą, domagającą się oklasków i wieńców i odbierającą je zazwyczaj z rąk olśnionego tłumu.

Dotknąwszy pobieżnie, o ile rozmiary pracy niniejszéj pozwoliły, wybitniejszych cech strony wewnętrznéj powieści Kraszewskiego w danym okresie rzućmy teraz okiem na stronę ich zewnętrzną.

Pod tym względem przedstawiają one pewną osobliwość w budowie swéj, warunkom artystycznym mało odpowiadającéj

Epizodyczność jest cechą jéj charakterystyczną. *Resztki życia* złożone są z samych prawie epizodów i figur epizodycznych. Niepodobna nawet powiedzieć, kto tu jest postacią główną, o kogo czytelnikowi chodzić ma najwięcéj. Akcyi właściwéj brak, zajęcie rwie się co chwila i zawiązuje na nowo. W zakończeniu wychodząca na jaw tendencya całego utworu wygląda na sens moralny bajki.

Żeby zarzuty te nie miały pozoru bezzasadności, przypominam, że połowę tomu pierwszego zajmuje przedstawianie czytelnikowi osób do powieści wchodzących po porządku — szeregiem; że prawie cały tom III zajęty jest najzupełniéj epizodycznėm opowiadaniem Poronieckiego; że nakoniec postać fantastyczna i wdzięczna Andzi jest również epizodyczną i niknie wreszcie, nie zostawiając po sobie w powieści żadnego śladu.

Metamorfozy składają się również z samych epizodów. Czytelnik akcyi żadnéj nie widzi, tylko o niéj słyszy. W początku podobnież jak w *Resztkach życia* szeregiem opowiada autor o dziejach poprzednich swych bohaterów, potém każe im wypowiadać (również kolejno) marzenia ich i nadzieje na przyszłość, nareszcie, po latach dwudziestu sprowadzając ich znowu razem, pozwala nam poznać z ich kolejnego opowiadania dzieje każdego z nich w ciągu minionych lat.

W czterotomowych *Jasełkach* na niezbyt bogatéj osnowie zdarzeń, widzimy wielką ilość przeróżnych postaci i typów, przesuwających się przed nami, co dało powód do tytułu téj powieści. Rzecz naturalna, że i tu epizodów obfitość.

To samo do pewnego stopnia powiedzieć można o innych powieściach z tego okresu, z których pod względem architektoniki powieściowéj najlepszą może jest *Kopciuszek*, pod innemi względami wcale nie najcelniejsza.

W ogóle powieści te nie należą do najbogatszych pod względem artystycznym. Nie przeszkadza to jednak temu, by dwie z nich, mianowicie *Jasełka* i *Metamorfozy* zaliczyć do najlepszych powieści Kraszewskiego.

Składają się na to dwa ważne warunki: znakomita charakterystyka postaci, oraz serdeczne ciepło rozlane w tych utworach, pełnych sympatycznego, swojskiego charakteru.

Górującą nad wszystkiem myślą obywatelską i podniesieniem najważniejszych kwestyj społecznych i życiowych, powieść *Metamorfozy* stoi wyżéj po nad wszelką krótkowidzącą krytykę, któraby chciała na tém słonecznėm i gorącém tle całości szukać plam uchybień artystycznych.

Kto z promiennych dni młodości swojéj zachował wspomnienia serdeczne, kogo życie nie odarło z podniosłych pragnień i ideałów, kto się nie pozbył wrażliwości duszy pozwalającéj odczuwać dolę i niedolę bliźnich, kto słowem nie roztrwonił po świecie skarbów młodości, temu *Metamorfozy* przypadną do serca, poruszą w niém wspomnienie niejedno i do poważnych a smętnych pobudzą refleksyi.

Jeżeli idzie o typowe postacie odmalowane żywo, z werwą, prawdą a nierzadko i serdecznym humorem, to nie brak ich w żadnéj z tych powieści, owszem, jest ich tak wiele, że nie śmiem się nawet pokusić na ich wyliczenie.

Są to najczęściéj postacie kreślone jakby od niechcenia, nie stojące na pierwszym planie, występujące często tylko na chwilę, ale łatwo po każdéj poznać—*ex ungue leonem*,—mistrzowstwo pędzla, który umié na najmniejszym drobiazgu się zdradzić.

Można nawet powiedzićć, że u Kraszewskiego te mniejsze, drugorzędne figury występują nieraz dobitniéj, mają więcéj nierównie siły indywidualnéj od niektórych pierwszorzędnych. Szkodzi to oczywiście perspektywie obrazu, ale téż często podtrzymuje uwagę i zajęcie czytelnika tam, gdzie ono słabnąć zaczyna. Naprzykład w *Kopciuszku*: Drzemlik, Kirkuć i przyjaciel jego Pętelka, w *Jasełkach*: Radwanowie, Mąkiewicz i Lacyna, w *Resztkach życia*: Andzia, Szambelan, Jacek, Mulka dyrektor trupy prowincyonalnéj i Samuel aktor tego towarzystwa; w *Metamorfozach*, cały szereg postaci drugorzędnych—wszystkie one wzbudzają zajęcie i zwracają ku sobie uwagę, zostając w pamięci czytelnika, choć on zaledwo przez chwilę je widzi.

Epizody stanowiące ujemną stronę architektoniki w tych powieściach zalecają się również swém obrobieniem lub treścią. Andzia w *Resztkach życia* i jéj stosunek do młodego Żelizy stanowią obrazek prześliczny, pełen prawdy i poezyi. W długiém opowiadaniu Poronieckiego jest dużo znakomitych obserwacyj życiowych i typów wprost z życia wziętych. *Historya o królewiczu Rumianku i siedmiu królewnach* w *Metamorfozach* stanowi całość bardzo oryginalną i ciekawą, każde zaś opowiadanie wzięte z osobna posiada wysokie zalety. Powieść ta robi wrażenie albumu zło-

żonego ze znakomitych obrazków i portretów.

Widzimy więc, że nawet tam, gdzie krytyka artystyczna chciałaby położyć swoje veto, znakomity talent autora potrafi się objawić już to błyskiem myśli czy dowcipu, już to mistrzowstwem pojedyńczych zarysów, osłabiając siłę zarzutu.

Powieści te, to jakby zbiory odłamków drogiego kamienia, w który młot ciężki uderzył. Szczątki te, choć nie zawsze symetrycznie dobrane, nie zawsze do siebie przystające, świécą jednak i oczy ku sobie pociągają, świadcząc o swém pochodzeniu.

Trzeba wszakże pamiętać o tém, żeśmy tu mówili tylko o okruszynach, które bynajmniéj nie dają obrazu całéj produkcyi powieściowéj Kraszewskiego w danym okresie czasu.

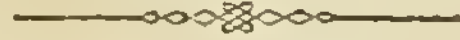
Było niegdyś przysłowie, że *resztki pańskie więcéj warte od całych majątków szlacheckich:* przypomniało mi się ono w téj chwili. Kraszewski to—jest niewątpliwie takim *panem* w literaturze naszéj powieściowéj.

Lecz porównanie to kuleje, bo mówi tylko o bogactwie—a więc, względnie do pisarza, o talencie tylko. Kraszewski jednak jest nietylko poetą i artystą... jest on przedewszystkiem człowiekiem serca i obywatelem kraj swój szczerze miłującym.

Można znaleść miarę dla jego talentu, można znaleść cenę wartości jego utworów, o co i ja się pokusiłem w pracy niniejszéj, lecz któż ocenić zdoła tę miłość cechującą wszystkie jego utwory, to serce zacne, serdeczne, nasze, którém się z nami w każdym utworze swym dzieli?

Przed odszukaniem takiéj miary i takiéj ceny—składam pióro.

Stanisław Grudziński.



Piąte dziesięciolecie

(1870—1880.)

I.

1) „Dzieci wieku;“ 2) „Niebieskie migdały;“ 3) „Mogiłna;“ 4) Morituri;“ 5) „Resurrecturi;“ 7) „Roboty i prace.“

Zbiorowy przegląd powieści obyczajowych Kraszewskiego już się kończy. Olbrzymi materyał ogarniający warstwy, charaktery, opinie, stronnictwa, w ogóle najróżnorodniejsze rysy życia społecznego, został już w miarę możności rozpatrzony. Zdawałoby się, że piszącemu o kilku utworach z lat ostatnich, przypadną w udziale drobne tylko cząstki obfitego żniwa, będące mniéj więcéj odbiciem mimowolném obrazów, powtórzeniem idei, odgłosem haseł napotykanych dawniéj w pismach jubilata. Byłoby to naturalne, niemal konieczne. Tak się dzieje zwykle, że najznakomitsze talenta tworząc ciągle i przez czas długi, wyczerpać wreszcie muszą bogate swoje zasoby. W stosunku jednak do Kraszewskiego prawidło przedstawia zdumiewający wyjątek. Talent jego zamiast uledz znużeniu, okazuje się dziś żywotniejszym, niż kiedykolwiek: buja wyżéj, sięga głębiéj, opiera się mocniéj, na coraz pewniejszych zasadach. Nigdy może z pod pióra Kraszewskiego niewyszło dzieło doskonalsze w swoim rodzaju nad „Morituri“, — a i cały szereg powieści, o których mówić zamierzam, świadczy, że w porze, gdy do wieńca sławy nic już autorowi nie brakło, odkrył on nagle całkiem nowe widnokręgi dla swéj twórczości.

Zapuszczając się w te obszary w ślad za Kraszewskim, czytelnik doznaje uczucia niespodzianki, z któréj nie każdy umié zdać sobie sprawę. Kraj to przecież rodzinny, życie tam swojskie, prowadzi nas tenże sam przewodnik światły i doświadczony—zkądże się więc wzięły tak ogromne różnice? Czy błądziliśmy przed tém, czy dopiero teraz wkraczamy na manowce? Ani jedno, ani drugie. Poprostu, idziemy daléj, wraz z życiem, które się rozwija, ze światłem, które się rozszerza, z bieżącémi potrzebami czasu, z doświadczeniem autora i z postępem własnego społeczeństwa. Nie zerwaliśmy z kierunkiem od początku wytkniętym; ten był, i pozostanie niezmiennym w zawodzie Kraszewskiego. Posuwając się naprzód, opuszczamy tylko stanowisko, na daną chwilę nieużyteczne,—a z tą zmianą miejsca przenosimy się równocześnie w stronę, zkąd nie jeden szczegół przedstawić się nam może inaczéj, niż wtedy, gdy wskazywał go autor, w innych okolicznościach, i na innym punkcie społecznéj naszéj drogi.

Kto zrozumiał dobrze charakter działalności pisarskiéj Kraszewskiego, zawsze najciaśniejszemi węzłami połączony z istnieniem ogółu, tak iż wszelkie tętna społeczne wywolują wnet odpowiednie drgania w organizacyi duchowéj pisarza i pozostawiają ślad w jego dziełach; kto pojął, że bez téj magnetycznéj wrażliwości niepodobna być wiernym malarzem swojéj epoki przez całe lat pięćdziesiąt; komu nie tajném jest, że owa nadzwyczajna wrażliwość jedynie w gorącém współczuciu obywatelskiém źródło miéć może; ten potrafi sobie wytłomaczyć, a nawet często i usprawiedliwić pewne, sprzeczności w utworach jubilata.

Sam autor, w przedmowie do najnowsze-

go wydania powieści „Poeta i Świat“ wyznaje, że „nietylko zmienił się *poeta*,—*świat* także się zmienił... Dla tego często i poeta wyda się anachronizmem, i świat jakimś nie dzisiejszym... W pół wieku ostatnim przeżyła społeczność wieki“.

Szczere to objaśnienie powinnoby dostatecznie wykazać czytelnikom powód niezgodności w poglądach Kraszewskiego na różne objawy życia, o którém nie wyrokował z eterycznych wyżyn Parnasu, lecz dzielił je na twardéj ziemi z bratnią rzeszą, — całą siłą pragnień, całą siłą miłości....

Łatwa to rzecz, „siedząc w bańce własnych marzeń,“ śpiewać wciąż jednym tonem fantastyczną piosneczkę, do któréj motyw wysnuty z powietrza, przyjemnie działa na ucho, ale w realnéj sferze obowiązków nie rozjaśni żadnéj wątpliwości, niczém nie zasili, i nie ulży w niczem. Gdyby Kraszewskiemu szło o to, zdobyłby wygodnie i tanio dyplom „nieomylności,“ jak wielu innych pisarzy, którzy umieściwszy serca swoje i mózgi gdzieś na odległym Helikonie, mogą nie wzruszeni, bo nieruchomi, powiedziéć o sobie: „świat się zmienił, poeta jednak zabierze do grobu swoje maksymy, z któremi się nosił przez cały żywot, w których nic nie przerobił, nic nie poprawił, nic nie dodał i nie ujął od czasu, jak zaczął czuć i myśléć“... Tak... „czuć i myśléć“ w obrębie oderwanych pojęć i platonicznych sentymentów, w przyzwoitéj odległości od wirów i zadań życiowych, — to bezpieczna rola! Można kręcić się w kółku ogólników lub oklepanych kazań przez całą wieczność, nienaraziwszy stałości swych przekonań na ciężką próbę. Ale co innego—szukać razem ze społeczeństwem dróg praktycznych i środków skutecznych! Od jakiéjże pory „nieomylny“ poeta rozpoczął pełnić tę mianowicie swoję powinność? Nie jest zasługą marwota, więc niedość jest czuć i myśléć szlachetnie; trzeba jeszcze wnieść cząstkę swéj pracy do życia, zastosować ją do położenia obecnego, choćby potém przyszło „niejedno mile zburzyć, i inaczéj odbudować“...

Niejedno też miłe Kraszewski zburzył, żeby odbudować inaczéj, a lepiéj.

W żywéj solidarności z interesami bieżącymi, z ruchem i całym bytem społecznym, leży przyczyna, że pisząc dużo, nie przestał on dotychczas być oryginalnym, zajmującym najpoczytniejszym z naszych powieściopisarzy. Zbiór jego powieści przedstawia nietylko wizerunek ludzi i rzeczy w ciągu lat około pięćdziesięciu, lecz pozwala jeszcze badać, jak stopniowo przeradzały się w tymże czasie typy, kształciły się wyobrażenia, i brały górę nowe dążności, gdyż prądy nurtujące w społeczeństwie wywierały wpływ i na autora, w potrójnym charakterze: myśliciela, powieściopisarza i publicysty. Kraszewski zajmował się temi prądami, był w bezpośrednim z niemi stosunku; walczył przeciw nim dzielném swem piórem, gdy sądził, że są szkodliwe, niekiedy znowuż im ulegał po dłuższym oporze, jeśli uznał, że dla pożytku ogólnego zrobić ustępstwo należało.

Porównajmy „Poetę i Świat“ z „Dziećmi wieku“, lub z „Niebieskiemi migdałami“; „Choroby wieku“ z „Mogilną“ lub z powieściami, jak „Morituri“, „Resurrecturi“, „Roboty i prace“; zestawmy poetę Gustawa z epigonem jego, poetą Walkiem Luzińskim w „Dzieciach wieku“, lub z marzycielem-paniczem, hrabią Zdzisławem Samoborskim w „Niebieskich migdałach“; wreszcie postawmy Jana Dembora w „Chorobach wieku“. obok rodziny Brańskich w „Morituri“,—a przekonamy się, że Kraszewski, skoro chodziło o prawdę i dobro, skoro one wyraźnie mu się objawiały, nie grzeszył zaciętością sekciarza, obstającego przy swojém gwoli ocalenia miłości własnéj.

Ale skłonność do rozumnych i uczciwych ustępstw, niedoprowadziła Kraszewskiego do odstępstwa od głównych zasad.

Nie rozszedł się on nigdy ze swém społeczeństwem w pojęciach obywatelskich, wśród chaosu teoryi, usiłujących utorować sobie przejście do praktyki, które uwikłać mogły niejeden głębszy umysł w sieć fałszu pięknemi pozorami przystrojoną. Na tym punkcie w stałości nikt go nieprzewyższył; tu już nie pociągnął poetyckiéj jego wrażliwości żaden świetny paradoks, niewydobył z niéj wiersza, niewyłudził słowa. Dzieła jubilata nie wszystkie mają równą wartość, ale wszystkie są czyste, zacne, wszystkie pomimo tych lub owych kontrastów zmierzają do wspólnego celu, który unosząc się po nad przemijającémi kwestyami, ani razu niebył podany przez autora w wątpliwość. Niezgodne z sobą w wielu względach: „Świat i poeta“, „Dzieci wieku“, „Choroby wieku“, „Morituri“ i t. p., służą zarówno sprawie ideałów, drogich Kraszewskiemu, jednakowo dzisiaj, jak i przed pół wiekiem. Rycerz i rzecznik poezyi, Gustaw, z biegiem czasu runął ze szczytów, na jakie wzniósł go był autor, lecz poezya pozostała i nadal na swych wysokościach; spadkobierca Gustawa Walenty Luziński zamiast korony cierniowéj odziedziczył po swym protoplaście czapkę z dzwonkami, ale nie zaćmił się w „Dzieciach wieku“ majestat poezyi, nie splamiło

jéj królewskiej szaty dotknięcie pajaca. Podobnież i dążność „Chorób wieku“, wręcz przeciwna poglądom wyłożonym w kilku powieściach z daty późniejszéj, niezakłóca owéj harmonii wyższéj w najnowszych i w najdawniejszych pismach Kraszewskiego.

Zwroty atoli okolicznościowe, lubo nie uwłaczające nigdy ani godności, ani miłości kraju,—były czasem nader stanowcze. Wśród nich odznacza się szczególnie wydatnémi zmianami w poglądach autora, wojna poety ze światem, rozpoczęta przez Gustawa, prowadzona w dalszym ciągu przez Szarskiego w „Powieści bez tytułu“, a przegrana ostatecznie, bez ratunku i bez honoru przez Walka Luzińskiego i przez hrabiego Zdzisława. W pierwszym, chlubnym jeszcze, okresie wojny, świat złamał poetów przemocą materyalną. Bój toczył się długo. Po jednéj stronie srożyła się dzika tłuszcza, walcząca egoizmem i ciemnotą; z drugiéj występowali posłannicy z niebios rodem, dla tego słabi, że ziemia była dla nich więzieniem brzydkiem i ciasnem, w którem nie mogli rozwinąć swobodnie skrzydeł do lotu. Ziemia na świetlane ich duchy rzuciła garść błota i skuła je cielesnémi pętami. Napróżno biedni tęskniąc za swoją empirejską ojczyzną wyrywali się z pod jarzma, by pomknąć w krainę nieskończoności. „Świat“ trzymał „poetów“ w niewoli, urągał im i zaprzeczał praw do odrębnego istnienia. Uroił on sobie, że poeta na równi z ogółem śmiertelników powinien kochać, cierpiéć, służyć, że ma sądzić i być sądzonym według skali dobrego i złego, ustanowionéj dla wszystkich; że uniesienia poetyckiéj fantazyi są wybrykami dziwactwa; ztąd wypadł wniosek, że poeta reprezentowany przez Gustawa jest w części szaleńcem, potrosze niedołęgą, w każdym razie istotą kapryśną, zarozumiałą i samowolną,— potrzebuje więc nie czułéj opieki, lecz surowéj kurateli. Na mocy tego rozumowania „świat“ zawyrokował, że im gwałtowniéj „poeta“ będzie się upominał o wyjątkowe przywileje, tém silniéj wypada go ująć w karby powszechnie obowiązujące. Przeciw wyrządzonéj sobie krzywdzie poeta zaniósł skargi przed bogów; lecz, że pomyślnéj interwencyi zastępów nadziemskich jakoś nie spodziewał się wcale, bronił się przeto szyderstwem i pogardą. A gdy zgnębiony przez świat, musiał wkońcu zejść ze świata mroku i grzechu, na świat sprawiedliwy i promienny,— obrońca pokonanego, Kraszewski, opowiedział z porywającą wymową historyą poety, w książce, któréj dość się naczytać niemożna; opisał jego rodowód i przymioty, zdjął zeń brzemię zarzutów, obwinił świat, i polecił matkom, aby modliły się nad kolebką synów.

„Panie, zrób go czém chcesz, tylko nie poetą! Bo lepiéj być nędzarzem, lepiéj być głupim, lepiéj być niemym, głuchym, ślepym, niż poetą; lepiéj być garbatym, kosookim, ryżym, kulawym, lepiéj być żydem, niż poetą. Poeta na tym świecie jest to roślina przesadzona z Afryki, pod biegun lodowaty. Wzniesie się i uschnie pod mroźnym oddechem świata, pod zimną ręką Eskimosów, którzy ją będą chwalić, ale nie ogrzeją, ale niezrozumieją! Próżno wyglądać będzie swojego słońca i nieba, lody, mchy tylko, niedźwiedzie i cielęta morskie otoczą go, będą wąchać, próbować, kosztować, — aż póki nie zniszczą. Poeta jak upiór,—na świecie, lecz nie ztego świata, wstaje dla cierpień i męczarni, rozprasza ludzi swojém przybyciem, mówi do głuchych, żebrze litości obcym językiem, a cóż mu z szumnego *Requiem* i wieńców po śmierci, kiedy je rzuci dłoń zimna, jak niechętną jałmużnę?

„Pokój ich duszom w grobie, bo go nie znały na ziemi!...“

Tak żył i umarł Gustaw, témi słowami pożegnał głowę wojującego kościoła poezyi autor. Jnaczéj było z Walkiem Luzińskim pracowitym następcą Gustawa. Zapewne Kraszewski tego pokrewieństwa niespostrzegł, kreśląc obraz Walentego. Ojciec duchowy pokolenia niósł wysoko sztandar obozu, syn w stroju arlekina wywijał chorągiewką błazeńską, uszytą z wstrętnych łachmanów. Twórca szkoły legł, jak wódz uczeń powalił się, jak zwierzę.

W obec krańcowo przeciwnych rezultatów możnaby mniemać, że ten nad wszelki wyraz lichy Walek jest co najwyżéj potworną karykaturą swego typu. I niezawodnie, jest on ułomnym jego obrazem. Jest mimowolną parodyą Gustawa, — ale czy skutkiem tego, że skrzywił w sobie wzór pierwotny? Bynajmniej. Roztrząsając bacznie mowę myśli i postępki Walka, niedoszukamy się w nich zgoła skazówki dozwalającéj przypuszczać, że zboczenie tkwi w tém a tém miejscu, i że wynikło z jakich bądź naleciałości, obcych naturze gatunku. Sądy Luzińskiego o ludziach i o samym sobie, nawet frazesy jego wzięte są jakby żywcem z powieści: „Poeta i świat“, z kilku rysów odgadniesz w Walku Gustawa II-go, idącego w prostéj linii od Gustawa I-go, założyciela dynastyi poetów, walczących ze światem. Na mocy poczuwania się do szczególnéj missyi poetyckiéj, Gustaw spoglądał z góry na rzeszę, złożoną, według niego

z głazów, czworonogów, małp i t. p.; oburzał się na ludzi, że go nierozumieją, czuł się wśród nich wyjątkiem, czyniącym zaszczyt ludzkości, słowem, był oryginałem, którego kopią może nieumyślną, z pewnością niekształtną, ale wierną co do treści, przedstawia Walek. „Ja nie jestem, jak inni ludzie“, twierdził Gustaw, a zbyteczném byłoby dodawać, że nie mówił przez pokorę. Wyrażenie to miało oznaczać, że należy on do garstki wybranych, którym reszta pospolitych śmiertelników hold nieść powinna. Tak samo myślał o sobie, i to samo wypowiadał Luziński.

Dla Gustawa i Walka wyższość poety nad światem stanowiła nie pewnik matematyczny, lecz dogmat. zaczerpnięty w dziedzinach niedostępnych dla ziemskiéj logiki. Sprzeczać się więc z nimi o zasadność tych dumnych roszczeń, byłoby niepodobieństwem. Spytaj o dowody, a odpowiedzą, że je przechowują w głębi wewnętrznego przeświadczenia. Jeśli ten argument nie wyda ci się dość silnym, nastręczysz im nową sposobność do użalania się na tępe umysły i kamienne serca, w rzędzie których ty sam, z powodu okazanéj nieufności, zająłeś miejsce wydatne od téj chwili. Trzeba ci było, pod karą utraty cech człowieczeństwa powitać w poecie monarchę stworzenia. Postąpiłbyś tém słuszniéj, że w państwie poetyckiém tron jest obszerny. Zmieścić się na nim może tylu władców, ilu jest Gustawów i Walków na bożéj ziemi. Snadno się tam dostać,— byle chęci starczyły.

Walenty Luziński dostał się na ów tron, wstępując pilnie w ślady Gustawa. Sam siebie wybrał na króla, sam się ukoronował, oznajmiwszy współmieszkańcom prowincyonalnego miasteczka, że jest fenixem, geniuszem, poetą....

Jakie miał do tego kwalifikacye? A jakież miał Gustaw? Cóż ztąd, że Walek nieodznaczał się na polu twórczości literackiéj? Mógł przecież być poetą, nie pisząc wierszy. W epilogu do dziejów Gustawa znajduje się ustęp objaśniający podobne fenomeny: „Nie wszyscy poeci piszą (słowa są epilogu), niektórzy czytać nawet nie umieją; ich charakter, natchnienie, zapał czynią ich poetami“...

Z tego stanowiska rzecz biorąc, Walenty aż nadto posiadał praw do tytułu poety. Umiał nietylko czytać i pisać, lecz nawet, choć to go nieobowiązywało, układał plany dramatów i próbował dorabiać końcówki. Dr. Mylius nazywa swego wychowańca „zdolnym, utalentowanym, genialnym człowiekiem“, a zdaniu temu zagniewanego opiekuna czytelnicy wierzyć są obowiązani. Co do charakteru, zapału i natchnienia — Walek chyba i z tego względu czynił zadość wymaganiom szkoły. W powieści: „Poeta i świat“ znamiona charakteru poetyckiego tak są określone: „Poeta jestto istota excentryczna, różniąca się tém tylko od szalonych, zamykanych w szpitalu waryatów, że czasem na chwilę powraca z kontemplacyjnego życia swego na ziemię, i rozerwane pasmo jéj wyobrażeń związuje jako tako“...

Otóż Wałek Luziński w wysokim stopniu odpowiadał temu prawidłu. Wiarogodny świadek Dr. Mylius, przyznając mu geniusz, uważa jednak Walka fantastą i dziwakiem, to zaś co o nim czytamy w „Dzieciach wieku“, zaostrza naganę wygłoszoną przez opiekuna. Walek zakrawa niezaprzeczenie na pół-waryata.

Ale nieprzerywajmy charakterystyki typu poety.

„Nie myśl go użyć, przestrzega autor, do pospolitych życia potrzeb, do tych funkcyi zimnych, bezmyślnych, obcych mu zupełnie, które on uważa, pojmuje, lecz się do nich zniżyć nie potrafi“....

Wbrew tak wyraźnym przepisom miałżeby Walek nieotrzymać patentu na poetę, on, który zalicza próżnowanie do warunków dojrzałości geniuszu? Zniżeniem się do pracy, do powszednich życia potrzeb, Walek, zaiste, przenigdy nie zgrzeszy. On jest najmocniéj przekonany, że pracując, zabiłby nadzwyczajne swe zdolności, czyli popełniłby gorszy występek niż samobójstwo. „Nie wszyscy ludzie stworzeni są jednako, deklamuje Luziński; ja nie jestem bydlęciem, jak drudzy“....

Frazeologia Wałka żywo przypomina wyrzekania Gustawa:

„Czemuż nie jestem, jak inni ludzie?.... Ja nie jestem, jak ci ludzie..... insze myśli moje i serce moje.... Wy tego nie zrozumiecie, bydlęta dwunożne“... i t. d, i t. d.

Les beaux ésprits se rencontrent!....

Miejscaby nam zabrakło, gdybyśmy chcieli przytaczać liczne rysy uderzającego podobieństwa między Gustawem i Walkiem. Są to jakby dwa sobowtóry, tylko że pierwszy cieszy się pobłażaniem autora, drugi zaś przeznaczony został na to, by za wspólne winy sam jeden otrzymał zasłużoną chłostę.

Nawet zewnętrzne okoliczności, sieroctwo i ubóstwo, uzupełniają moralne między nimi powinowactwo, chociaż nic z tego, co usprawiedliwiało Gustawa, nie uniewinnia Walka. Obaj w gruncie byli samolubami w nienawiściach i w miłościach swoich.

Płochy Walek zbałamucił Linkę dla rozrywki; rzekomo uczniowy Gustaw unieszczęśliwił dwie żony, zaślubiwszy je dla dogodzenia poetycko-sentymentalnéj fantazyi. Obaj chorobliwie drażliwi i żółciowi, niewiedzieli, co począć z sobą, czego chcieć, i czem zaspokoić nieokreślone pragnienie, żeby nieciężyło im bezczyone i bezcelowe życie. Nadmierna pycha zaślepiała jednego i drugiego, bo że Walek okazywał się nieco chłodniejszym od Gustawa, nie nadawało to jeszcze zbyt wielkiéj professorowi nad uczniem przewagi. Gustaw płonął wprawdzie, ale ogniem bengalskim. Więcej w tych fajerwerkach było blasku, który gasł szybko, niż ciepła, przy którém nikt się nie ogrzał. Od iskry bożej, oczywiście, miał „świat" wszelką słuszność spodziewać się czegoś lepszego, — nie rac chwilowych, lecz promieni trwałych i ożywczych (*).

Zgodził się z tém i Kraszewski, lubo nie wtedy jeszcze, gdy opisywał żywot Gustawa. Dopiero w „Dzieciach wieku" powraca on znowu do zatargów poety ze światem, aby tym razem zgromić z należytą surowością „jednego z wydziedziczonych od losu, którzy zamiast z nim walczyć, wolą stękać nań, narzekać, nic nie robić i *świat za własne niedołęztwo przeklinać.*"

Świat za własne niedołęztwo przeklinać!.... Ledwie śmiemy wierzyć, iż te wyrazy znaleźliśmy w czémś, co wyszło z pod pióra autora powieści „Poeta i świat." Ale tak jest nie wątpliwie. Słowa te skreślił Kraszewski w „Dzieciach wieku". Za pośrednictwem Walka zarzut ściąga się do całego rodu poetów, przeklinających świat za własne niedołęztwo.. Czy który z nich zwie się Gustawem, czy Walkiem, mniejsza o imię. Będzie on zawsze deklamatorem, a najżałośliwszy jego lament,—tylko stękaniem niedołęgi.

Zrażony do ulubieńca Kraszewski, postępuje w „Dzieciach wieku" z poetą, jak dr. Mylius z Luzińskim. Nawraca go jeszcze, ale już nie marzy o poprawie. Popsuło mu się cudowne dziecko; wyrósł z niego próżniak z pretensyami do wielkości. Przecież—czy w istocie się popsuło? Czy wady te nieistniały w niém od początku? Istniały one bez wątpienia już w Gustawie, lecz autor niegorszył się niemi, w mniemaniu, że są to objawy potęgi twórczej, właściwe jedynie mistrzom zesłanym na ziemię, dla jéj chluby. Przyjęty uwielbieniem dla idei, dla szlachetnych uniesień, dla poezyi, Kraszewski tłomaczył na dobre, wychwalal nawet to, co niebyło w poetach ani dobrém, ani poetyczném. Szło mu natenczas o zdobycie w społeczeństwie dostojnego miejsca dla tych, co najsilniej i najwybitniej stronę duchową reprezentują. Było to może na owe czasy nie zupełnie bez pożytku. Dopóki idealne pierwiastki nie zostały dostatecznie rozwinięte i wzmocnione w społeczeństwie,—może wygórowana o nie troskliwość miała poniekąd racyą bytu. Znamy ujemne skutki wybujałej exaltacyi, ale o wiele trudniej dałyby się obliczyć następstwa, gdyby zapanował był przeciwny kierunek. Bezwzględna cześć dla cyfr, nieznajdująca przeciwwagi w poszanowaniu tego, co na szacunek zasługuje, choć nie wyraża się w imponującéj liczbie lub w stopniu potęgi fizycznéj,—kto wie, czy nie gorsze przyniosłaby skutki? W każdym razie, lękał się tego szczerze Kraszewski, przeciwdziałał temu, o ile mógł, a mógł wiele; z tego też punktu podobno sądzić wypada tendencyjne jego powieści przed trzema lub czterma dziesiątkami lat napisane.

Wszelako dążność jednostronna doprowadzić musiała do szkodliwéj złudy. Z takiéj mimowolnéj jednostronności powstał był niegdyś Gustaw, do takich złudzeń tragi — komicznych doszedł, tym razem z wiedzą autora,—jako smutny przykład zaślepienia,—Walek Luziński. O ile poprzednio Kraszewski ujmował się energicznie za bezbronnym poetą, o tyle przeciw jego nadużyciom silnie później wystąpił w interesie ogółu, niemyśląc może o tém, iż wiele zarzutów potępiających Walka wypadało niegdyś zrobić Gustawowi.

„Weź się do pracy, radzi dr. Mylius Walkowi, zakreśl życiu cel, zstąp z obłoków fantazyą twą nagromadzonych, żyj jak drudzy.... Geniusz nie dosyć jest samemu w sobie uznawać, trzeba go ludziom objawić, udowodnić.... Geniusz powinien siłą swą wyrobić sobie drogi, a nie domagać się, aby mu je drudzy oczyszczali.... U ciebie wszystko w słowach, ja pragnę czynu, ja nie rozumiem człowieka, który nic nie produkuje, oprócz—skargi i narzekania"....

(*) Że Walek niebył zupełnie chłodnym, mamy na to również świadectwo Myliusa, który mówi: „Codzień nam z sobą, mnie staremu i *zimnemu*, jemu *zgorączkowanemu* i zarozumiałemu, było ciężej".. „Geniusz, który czuł w sobie, a moje pierwsze pieszczoty, duch wieku, który go owionął, uczyniły zeń istotę dla mnie nie zrozumiałą. Coś z *ody do młodości*, wydmuchniętego na pokaranie moje"... Niemają zatem ci słuszności, którzy sądzą, że Walek był prostym tylko blagierem.

Ciekawa rzecz, coby na to odpowiedział w swoim czasie Gustaw. Ale Walek nie mógł wytrzymać z Myliusem dysputy. Spór o poetyckie przywileje w téj zajmującej rozmowie został rozstrzygnięty na niekorzyść poety. Pozbawiony pomocy, wieszcz ze szkoły Gustawa, widząc się w położeniu bez wyjścia, zdaje się przemawiać do autora słowami Walka:

„Dobrze ci jest mówić dziś, żeś mi nic niewinien, że ja się o nic upominać nie mam prawa, to wygodnie,—ale niesprawiedliwie! Prosiłżem cię ja, gdyś mnie brał w łachmanach sierotę, abyś we mnie te iskry, która mnie miała nieszczęśliwym uczynić, rozdmuchał swojémi pieszczotami? Żądałem ja od ciebie wychowania tego, które mój umysł i serce, i żądze i pragnienia, rozkołysać miało? Jestem twém dzieckiem po duchu, jeśli nie z ciała, dziełem twém jestem, jestem dla ciebie obowiązkiem, ciężarem, zgryzotą!..“

Stanowczą odprawę poecie Kraszewski daje przez Myliusa. Daremnie bowiem Walenty starał się skłonić opiekuna do skruchy. Doktór stracił już cierpliwość. Nie przeczy on, że zawinił zbytnią dobrocią, lecz właśnie dla tego, żeby otrząsnąć się z naganńéj słabości, cofa odtąd swe łaski—i wymawia dom wychowańcowi.

Haniebném wygnaniem z progów sprzymierzeńca zakończyła się wojna poety ze światem. Ostatniego ze spadkobierców Gustawa nieprześladowano za to, że chciał „wzlatywać nad poziomy“ i „gryść sercem“, niemając ani skrzydeł ani serca, lecz pozbyto się go, jak natręta i głupca, zamknąwszy mu bez ceremonii drzwi przed nosem.

Wyrok skazujący Walka, poprzedzony był innym, wydanym przez myślący ogół, który, nagradzając szacunkiem za mądrość, za cnotę i za pracę, żąda od wszystkich obywateli służby stosownéj do uzdolnienia. Przed sądem tej powagi sprawa lamentujących bezczynnie poetów była już oddawna zdecydowaną, Kraszewski zaś teraz akt nagany publicznéj do kronik swoich wiecznie zapisał.

Szybki postęp ludzkości w okresie oddzielającym zgon Gustawa od narodzin Walka, czyli w ciągu lat blisko trzydziestu, jak rzekł Kraszewski, „wywołał wielkie zmiany w autorze, zmienił nie tylko poetę, —i świat także wiele zmienił.“ Owocem tych zmian razem wziętych, zaszłych w pisarzu, i wszędzie dokoła pisarza: w świecie, w potrzebach czasu, i w otaczających warunkach; rezultatem tego dojrzewania i téj wytrawności społecznéj, jest, między innémi, trywialny upadek szkoły, założonéj niegdyś przez Gustawa.

Sprawił to nie Kraszewski, lecz wiek płodny w przełomy i w przekształcenia. Woli możnego reformatora uległ z konieczności kronikarz i malarz obyczajów społecznych, odtwarzający w swych dziełach zmienne rysy wzorów. Nie jest to jednak posłuszeństwo ślepe, bez wszelkich zastrzeżeń. Dość przeczytać „Dzieci wieku“, żeby poznać, jak mało sympatyi ma Kraszewski dla kierunków swego stulecia; jak dalece świeże budowy, usuwające z powierzchni nie jednę ruinę, drażnią jego smak estetyczny. Wiedząc lepiej, niż wielu, że niepodobna nabytkom kształcącéj się wiedzy i odnawiających sie form życia odmówić mniejszej lub większej wartości, czuje się on nieraz zniewolonym poprzeć użyteczną nowość, którą więcej ceni, niż lubi. W „Dzieciach wieku“ wyzuwa poetę z przywilejów, które mu przedtem zagarnąć pozwolił; wiek jednak, czas, postęp, aczkolwiek dzieje się to za ich wpływem, nic na tym zwrocie w pisarskiéj działalności Kraszewskiego nic zyskują. Przeciwnie, Walek wciąż zarabia na plagi, nie w charakterze poetyckiéj latorośli Gustawa, lecz jako „dziecię wieku.“(*) Za wszystko złe odpowiedzialność spada w téj powieści na ducha czasu. Wyrachowanie, żądza użycia, próżność, egoizm, frymarczenie związkami małżenskiemi, są zdaniem autora produktem nowéj cywilizacyi. Młodość odmalowana tam w ciemnych barwach, gorzéj się przedstawia, niż starość lekkomyślna i zmysłowa,—uosobiona w d-rze Walterze, a poniekąd i w Myliusie. Zła córka, chłodna zalotnica, łowiąca za pomocą bezwstydnej kokieteryi starego, lecz bogatego męża, Idalia Skalska,—wyobraża dziewicę „wieku;“ brat jéj Roger, żeniący się ze starą, i „dzietną“ panną dla posagu—ma być młodzieńcem nowoczesnym. Inżynier Szurma, uczciwszy od tych dwojga istot nad wyraz wstrętnych, wyrzeka się uczucia, dla karyery. Zapamiętałym myśliwcem na posagi jest i galicyjski baron Helmold—i wreszcie Walek, grający w to-

---

(*) W „Dzieciach wieku“ Walenty przedstawiony jest, jako poeta tegoczesny, ale zawsze jako *poeta*. Charakterystyczną jest uwaga autora umieszczona w tomie 2 na str. 166: „Nic okrutniejszego, wierzcie mi nad *poetę;* byle mógł poemat odkopać, gotów otworzyć grób“.... Oczywiście, nie do jednego Walka i nie do takich wyłącznie, jak on, poetów ściągają się te gorzkie słowa.

warzystwie „dzieci wieku" najśmieszniejszą rolę. On nawet do grona kawalerów czyhających na wiano, dostroić się jak należy, nie umie. Przed stu laty wycierałby kąty u magnatów i smażyłby na ich cześć panegiryki ze zgrabną przymówką do pańskiéj kieszeni, lecz teraz, gdy już mecenasów głodnym poetom zabrakło, cóż taki próżniak i taki pasożyt miał czynić? Gdyby przynajmniej traf szczęśliwy sprowadził na drogę Walka wspaniałomyślną hrabinę, gdyby mu ona, jak Gustawowi, zapewniła niezależność, — Luziński byłby prawdopodobnie nie pomyślał o zaślubieniu hrabianki Izy. Skoro jednak los nie obdarzył go majątkiem, a bez majątku żadan poeta ze szkoły Gustawa, obyć się nie jest w stanie, rad nie rad sięgnął Walek po rękę nie ładnéj i nie młodéj panny. Wiek był tu bardzo pośrednio swatem. Utrudniał poetom życie bez pracy, lecz nie stworzył typu, starszego niż on sam, niż era chrześciańska,—bo wiadomo że wieszczów, sprzedających się, jeśli nie w formie małżeństwa, to w formie dworactwa, znala już starożytność.

Do gromady poetów nie zdolnych wzbić się w błękity, i nie umiejących chodzić po ziemi, zbliża się hrabia Zdzisław Samoborski w „Niebieskich migdałach."

Wcale to inny, aczkolwiek pokrewny, egzemplarz typu. Urodzony w palacu, wychowany na panicza, zniewieściały i rozmarzony o niebieskich migdałach od dzieciństwa,—Zdzisław idzie przez życie, jak lunatyk, nie rozumiejąc i nie usiłując zrozumieć, dokąd dąży i gdzie zajdzie?

Były dla niego czasy pomyślniejsze—dopóki spodziewał się, że otrzyma po rodzicach dużą fortunę, i że będzie mógł jéj używać według upodobania. Wtedy niebieskiemi migdałami mógł się karmić do syta. Śniły mu się na jawie same powodzenia, wawrzyny i rozkosze. Ukończywszy przygotowawcze studya w domu Zdziś wybierał się na uniwersytet do Berlina, gdzie obiecywał sobie nie źle się bawić — w oczekiwaniu doktorskiego dyplomu „na ogromnym pargaminie." Stopień naukowy jużcić, nie był do pogardzenia. Dla zdobycia go hrabia postanowił niezaniedbywać kursów uniwersyteckich—w porze wolnéj od konnéj jazdy, od spacerów w wykwintnym powoziku, od teatru, podróży pieszej po Szwajcaryi i t. p. Po ukończeniu nauk Zdzisław zamierzał ożenić się. Małżeństwo miało być poprzedzone ślicznym romansikiem z narzeczoną, którą już zawczasu hrabia sobie upatrzył.. Daléj, w wyobraźni Zdzisława, następował nieprzerwany szereg obowiązków dojrzałego człowieka. W liczbie ich na pierwszém stało miejscu, urządzenie wspaniałe rezydencyi hrabiowskiéj; później, szły wycieczki artystyczne po Europie, wizyty sąsiedzkie, nieco zajęć gospodarskich, myślistwo, przyjmowanie gości, oraz wiele innych zadan, nie mniej ważnych.

Plan był gotowy. Imaginacya Zdzisia usypała kwiatami wszystkie drogi wędrówki doczesnej, gdy nagle przegrany proces ze stryjem zniszczył do gruntu świetny gmach rojeń hrabiego. Grom spadł tak niespodzianie, zé Zdzisław bogaty i pełen otuchy jeszcze dnia poprzedniego, ujrzał się nazajutrz bez chleba i bez przytulku.

Odtąd miłośnik „niebieskich migdałów," poeta, czy pseudo—poeta, krążący wiecznie myślą i marzeniami około własnego *ja*, rymopis sybaryta, z odcieniem arystokratycznéra, wyłączającém go najbardziéj z demokratycznego koła Gustawów i Walków—prowadzi z kolei wojnę ze światem, który niedawno uśmiechał się doń pieszczotliwie, roztaczając przed pięknym paniczem swe skarby i ponęty.

Łatwo domysléć się, że nieszczęsna ta wojna odbyła się zupełnie tak samo, jak odbywa się wojna owcy z wilkiem. Gustaw walczył jękiem i boleśnem szyderstwem, Luziński pychą i złością, Zdzisław nie przysposobiony zgoła do ciężkich zapasów z przeciwnościami, których dawniéj nie przewidywał,—okazał się głuchym, ślepym, nieczułym, istnym idyotą, wpadał z jednej zasadzki w drugą, właził z błota do błota, wszędzie pokonywany, często pobity na głowę,—z żadnéj porażki nie uratował honoru. Znęcał się nad nim, kto chciał, używał go za narzędzie do intryg każdy, komu się podobało. Zdzisław nie bronił się, nie protestował, nie wiedział prawie, co się z nim działo. Winnym był —ale popełniał czynny zdrożne zawsze z cudzéj inicyatywy. Tu go namówiono, tam popchnięto, ówdzie nałożono nań cenę, sprzedano i kupiono, nie osłoniwszy nawet bezczelnych targów tajemnicą. Jeden szczegół wystarczy dla wykazania moralnéj nicości bohatera „Niebieskich migdałów." Będąc kochankiem matki przyjaciela, Zdzisław zgodził się zostać mężem kochanki jéj syna, zobowiązawszy się poprzednio, że po zawarciu małżeństwa, rozwiedzie się niezwłocznie z żoną. Co to była za miłość, co za dziwna przyjaźń, jaka potworna wymiana usług, — wystawić sobie trudno, biorąc miarę z normalnego

stanu naszych obyczajów. Ale Zdzisław raz wykolejony zapomniał o istnieniu granicy oddzielającej rzeczy godziwe od niegodziwości. A choćby i pamiętał o niéj —to czyli teoretyczna znajomość złego i dobrego mogła go powstrzymać od przekroczenia tej granicy, skoro po jednéj stronie nagromadziły się dlań same troski, z drugiéj zaś brały siedlisko jedne od drugich milsze pokusy. Na bierną, powszednią uczciwość byłby zapewne zdobył się hrabia, gdyby mu nie wydarto dóbr, kapitałów i pałaców. Niepośliznąłby się on bardzo niebezpiecznie na posadzce najgładszéj, nie zbłąkałby się w lesie estetycznie skrojonych alei, w labiryncie salonów i galeryi,—ale w otwartém polu, na prostych ścieżkach, uczęszczanych przez gmin, zarabiający w pocie czoła na skromne utrzymanie,—musiała lalka hrabiowska wywracać koziołki.

Po wielu awanturniczych przejściach, zgnębiony i sponiewierany Zdzisław umiera z suchot. Sięgając do moralnych przyczyn wczesnéj jego śmierci możnaby powiedzieć: umarł—otruwszy się „niebieskiemi migdałami." Na podobną chorobę, lubo jéj przebieg był inny, zgasł Gustaw. Walek miał ją wielce rozwiniętą; że zaś nie sprzątnęła go ze świata, zawdzięcza to Luziński głównie powodom ubocznym.

W powieści: „Poeta i świat" owe niefortunne „niebieskie migdały" nazywają się natchnieniami poetyckiej duszy. Szkodliwość ich nie ulega żadnej wątpliwości, lecz trucizna powabniéj wygląda, lepiéj smakuje, a samobójca budzi współczucie. Następnie w „Dzieciach wieku" jad się rozkłada, pod wpływem, jak chce autor, temperatury czasu, staje się mętny, odstręcza goryczą, mniéj szkodzi konsumentowi, lecz świadkom sprawia niesmak widokiem. Używa go sporémi dozami Walek. Przeniesione w końcu do tych cieplarni, gdzie się hodują delikatne płonki rodu Samoborskich, „niebieskie migdały" dadzą się określić jednym wyrazem: niepraktyczność!

Wymieniwszy właściwą nazwę choroby, stanęliśmy odrazu na punkcie, od którego rozpoczyna się drugi zwrot w ideach społecznych Kraszewskiego.

Niepraktyczność, która gubi Zdzisława, już Walkowi poczytywaną była za wadę. Została ona jawnie zaliczoną do chorób,—a tém samém, podług autora, praktyczność musi być objawem zdrowia.

Wobec tych wniosków, bledną nawet detronizacya poety „przeklinającego świat za własne niedołęztwo."

Zwrot to prawdziwie zadziwiający. Jeśli bowiem w „Niebieskich migdałach," w „Morituri" i „Resurrecturi" praktyczność stanowi uznany przez autora warunek żywotności społecznéj, to jednak wiemy, że jeszcze w r. 1856, inaczéj ją przedstawił Kraszewski, pisząc powieść pod tytułem: „Choroby wieku." Dowodził on w tém dziele obszernie, że wynikiem logicznym całej przeszłości naszéj, oraz wzorem postępu przyszłego, jest tradycyonalna niepraktyczność; zgubną zaś dla organizmu krajowego naleciałością ma być przeciwnie, praktyczność(*). Od tytułu i dedykacyi, w któréj autor oświadcza, że „pamięci niepraktycznych ojców naszych ten ubogi krzyżyk na mogile postawił", aż do ostatniéj myśli i do ostatnich wyrazów, znajdujemy tam wszędzie ostrą naganę reform ekonomicznych w naszym kraju. O „Chorobach wieku" wspominano już w téj książce przedemną; dla porównania jednak dawniejszych opinii Kraszewskiego, ze stanowiskiem, jakie w téj kwestyi zajął obecnie, pozwolę sobie przytoczyć parę wyjątków ze wspomnianej powieści.

Opisując dom i gospodarstwo Jana Dembora autor woła: „nie prawdaż, że tu miło i pięknie, a nadewszystko jak porządnie! jak porządnie! jakie dokoła drogi, co za mosty, jak urządzony płodozmian, jakie przepyszne zabudowania gospodarskie—i znowu co za porządek!.... Nie poznasz kraju twojego w tym zakątku, tak przerobionym i urządzonym z cudzoziemska. Wyobrażam sobie, że holender, lub szwab, któryby tu przyjechał jakim wypadkiem, serdeczniеby się pewnie uradował i wykrzyknąłby z głębi serca: A nareszcie zniemczeli i słowianie, i nabrali rozumu!... Ale nam starym, zdziecinniałym, niedołężnym, i zapewne ograniczonym ludziskom, cotośmy od kolebki przywykli do *nieładu naszego*, *do nieopatrzności posępnéj*, do wód naszych ukochanych,—czegoś smutno i tęskno za tą poezyą, którą żelazny sznur geometryczny i linie agronoma, i te wszystkie ulepszenia kieszeniowe wyganiają gdzieś precz daleko!.."

(*) W przedmowie do nowego wydania powieści swoich, Kraszewski pisze, że „w r. 1856 poczytywano mu niemal za grzech dążność „Chorób wieku," w roku 1874 również wyda się ona dziwną, któż wie, rok 1890 *może ją usprawiedliwi*". Przedmowa ta nosi datę r. 1874,—a więc skreślona już była po napisaniu „Morituri." Daje to wskazówkę, że obawa „zbytniéj praktyczności" dotąd jeszcze nie opuściła autora.

„Nie pojmuję, by ludzie tak zacięcie gospodarzący, mogli służyć sprawie duszy, jak służą interessowi kieszeni. Ten świat tak porządny,—dziwnie suchy, zimny, straszny mi się nawet wydaje...“

„*Wolałbym z lichem dawne ubóstwo nasze, trochę nawet starego nieładu*, a większe zasoby ducha, a gorętsze serca, a silniejsze uczucia. Niech mi nikt nie dowodzi, że można być najlepszym gospodarzem, agronomem, spekulantem, przemysłowcem, i najczulszym a najpoetyczniejszym z ludzi. To są podobno żywioły, które z sobą nigdy w parze chodzić nie będą.... Nie mówcie nam, jakoby poezya godziła się z takim postępem, że i on ma poezyą swoję, my nie uwierzymy temu. Przyznajcież raczéj, że nie chcecie marzenia i poezyi, żeście ukochali rzeczywistość, i niewierzycie w ducha, a więc i karmić go macie za rzecz próżną.“

Zdania te, wypowiedziane wprost od autora, zebraliśmy na kilku początkowych stronnicach „Chorób wieku“. Tworzą one wstęp do obrazu, nakreślonego w tymże tonie i z tąż dążnością. Główną postać Jana Dembora, Kraszewski tak charakteryzuje:

„Ideje jego o ludzkości i społeczeństwie wyrobiły się raczéj rozumowaną drogą teoryi, niż chrześciańskiémi zasadami i natchnieniem. *Pragnie ulepszeń dla wszystkich*, zaprowadza u siebie czynsze, woła o nie u drugich, zakłada szkółki i ochrony, pilnuje kassy oszczędności, moralizuje lud w przekonaniu, że to się wszystko wypłaci, a ludzkość w ten sposób od burz socyalnych zasłonioną zostanie... Zasady jego są jak najściślej obrachowane, tak, aby miłosierdzie stosownym, nie dziś, to jutro, wypłaciło się procentem amortyzacyjnym, spokojem, bezpieczeństwem, godnością... Grosza nieda ubogiemu, ale założył dom pracy i przytułku... Nic mu zarzucić nie można, prócz że został machiną rachunkową, a człowiekiem nie jest wcale.“

Takie były wady, zacierające w Demborze znamię istoty ludzkiéj, podług ówczesnych wyobrażeń Kraszewskiego. Przywar tych nie posiadał bohater powieści, noszącéj tytuł „Mogilna;“ nie wdawał się on w postępową gospodarkę, nie bawił się w utylitarną filantropią, o zaprowadzeniu czynszów nie pomyślał, szkółek i ochron nie zakładał, szpitala nie wybudował. Gdy miał, pieniądze, to śpieszył je wydać, gdy nie miał, to pożyczał. Poprawiając przysłowie: „Maciek zrobił, Maciek zjadł“ prezes Mogilski, zawsze serdeczny, gościnny, dzielący się z żebrakiem po chrześciańsku, a z sąsiadem po szlachecku, tém co Bóg dał, czem chata bogata,—właściwie daleko więcej jadł, niż robił. „Trochę ubóstwa“ nienęciło go, co prawda, bo przyzwyczajony był do wygód i do hojnego szafowania groszem,—ale „trochę nieładu“ zgadzało się z jego usposobieniem, i z tą wiarą,—że złe przy bożéj pomocy minie. Ale złe nie mijało. Przeciwnie coraz rosło, coraz stawało się groźniejszém a z niém jednocześnie wzmagał się i nieporządek i apatya, i długi. Doszło do tego, że prezes aż chorował ze strapienia, lecz nic stanowczego nie przedsiębrał, żeby wydobyć się z sideł zdradzieckiego „szwaba“, w które wpadł lekkomyślnie, a zerwać tych sieci nie miał już możności, nie chciał, czy nie umiał.

Bo „szwab“ zapowiedziany w „chorobach wieku“ przybył w okolice Mogilny i usadowiwszy się w pobliżu, nie spuszczał jéj z oka. Rzecz dziwna,—nie raziły niemca patryarchalne rządy polskiego szlachcica, nie gniewało go wcale niedbalstwo, które widział dokoła. Przeciwnie, widok tej niezaradności, tego nieładu, tej „nieopatrznośsci posępnej“ sprawiał mu prawdziwą przyjemność. Radca handlowy von Larisch, pomimo, że ta wieś, i te pola i te zabudowania, nie przypominały mu bynajmniej gospodarstw niemieckich, pomimo że nie mógł zawołać: „a! nareszcie i słowianie nabrali rozumu!“ bo tego rozumu nigdzie nie spostrzegł, — nucił jednak w duszy hymn na cześć Germanii, uważając się za zdobywcę, któremu przeznaczono zająć w dzikim kraju, część ziemi na pożytek i chwałę wielkéj ojczyzny niemieckiéj. Obliczył on dokładnie, że „polnische Wirthschaft“ doprowadzić musi nieuchronnie właściciela do „krachu,“ i oparłszy na tém przypuszczeniu swe plany, szedł śmiało do celu. Fakta dowiodły, że radca handlowy rachował dobrze. Obecnie Mogilna jest w posiadaniu Larischów, a dawni jej panowie tułają się gdzieś po świecie. Teraz rzeczywiście, odkąd nabywca urządził się po swojemu, daje ona „szwabom“ słuszny powód do tryumfu. Prowadzą do niéj zapewne drogi wyśmienite, któremi zwozi się polskie żyto i pszenica do niemieckich spichrzów; a jakie tam mosty, jak urządzony płodozmian, jakie przepyszne budynki, a jaki porządek! Niema obawy, żeby na takiéj drodze lub na takim moście, który ze szwabów dziś tam gospodarujących, kark sobie złamał. Rola wzorowo uprawiana napełnia

talarami kieszenie, worki i skrzynie potomków radcy handlowego. W pięknym zameczku gotyckim hodują się młode Hansy i Luizy. Dostatek, przezorność i pracę widzisz na każdym kroku w Mogilnéj, tylko bogdaj, niema tam i dziś, jak nie było za czasów Mogilskiego,—ochronek i szkółek, a jeśli nowy właściciel zaprowadzi je kiedy, to będzie w nich dziatwę ludu naszego uczył belfer pruski po niemiecku. Tymczasem wieś, niegdyś polska, utraciła już dawne miano. Nazywa się teraz nie Mogilna, lecz Mögeln. Na dalsze jéj losy autor rzuca żałobną zasłonę.

Zamykając książkę, nie jeden może z czytelników powie: „szkoda, wielka szkoda, że ten czułostkowy Mogilski nie naśladował przezorności trzeźwego i twardego Dembora!"

Smutna dola cichego zakątka—to nie jeszcze,—to zaledwie skromny prolog do potężnego dramatu, odbywającego się w jednéj z najlepszych, jeśli nie najlepszéj bezwzględnie powieści obyczajowéj Kraszewskiego: „Morituri." Upadek miernéj fortunki szlacheckiéj, tém przykrzejszy, że zbyt u nas częsty, wydaje się drobnym i nie znaczącym w obec strasznéj klęski, poniesionéj przez ród książęcy Brańskich, tak możny i tak dumny, że wiekuistą świetność swego gniazda uważał za konieczność historyi i za wyłączną sprawę Opatrzności. Przenigdy, żaden Brański nie byłby w stanie wyobrazić sobie, jak mogłaby ludzkość trwać dłużéj, gdyby ten wspaniały szczep arystokratyczny przestał być jéj ozdobą, jéj chlubą, jéj najdostojniejszą reprezentacyą. Jakto!... ci, którzy przez tyle wieków stali na czele narodu, na wyżynie obywatelskich godności; ci, których przez tyle stuleci otaczał tłum dworzan, sług, podwładnych, a nigdzie nie było wyższych i silniejszych; ci, w których żyłach płynęła potokami krew udzielnych władców,—ci najznakomitsi dygnitarze, ci potentaci, ci monarchowie niemal—mieliżby spaść do rzędu chudopachołków, zniżyć się do ciżby, połączyć się z nią i zmięszać, i stracić swój blask, i majestat,—i co najgorsza, swą niezależność? Toż być nie może; nie było jeszcze w tym rodzie tak lekkomyślnego dziecka, któreby podobnym baśniom uwierzyć chciało... Chyba jaki farmazon, rewolucyonista, wolteryanin, człowiek dla którego nic świętego, wielkiego i pewnego na ziemi nie istnieje; chyba szalony półmędrek niepojmujący, że świat potrzebuje mieć jakąś podstawę, i że tą podstawą nie może być nic innego, tylko takie rody, jak Brańskich — byłby zdolny wróżyć im ruinę. Cóż ztąd, że w bieżącéj chwili, interessa Brańskich, jakoś, może i w saméj rzeczy, nieco się powikłały,—może,—bo tego napewno nikt nie wie,—ani książęta, ani ich officyaliści, ani domownicy, ani zgoła żywa dusza w państwie Brańskiém, — cóż ztąd, choćby i w tych wieściach zawierała się odrobina prawdy? Alboż kłopotliwe przygody nie zdarzały się wszędzie, w ogniskach najznakomitszéj pod słońcem arystokracyi? Były to dopuszczenia z woli Niebios, spływające dla tego, aby doświadczyć hartu ducha wybrańców; po próbach wszakże następowały zawsze, obfitsze niż kiedykolwiek, łaski, w nagrodę za niewzruszoność i odwagę owych rycerzy bez trwogi i zarzutu,—owych filarów niezłomnych, dźwigających na sobie całą przeszłość i przyszłość społeczeństw.

Książęta Brańscy są do tego stopnia przejęci swém wyjątkowém posłannictwem, że nawet nie poddają go rozwadze, nieformułują, nie myślą i nie pamiętają o niém. Posłannictwo to dane z góry, objawia się w ich egzystencyi, w tém, że się urodzili, że są synami swych ojców, potomkami swych przodków, że zostawią po sobie następców;—na tém według nich polega ustrój porządku ziemskiego, w tym prostym fakcie mieści się Słowo przeznaczeń i powołań dziejowych. Są oni najwyborowszymi wykonawcami wyroków boskich, są przedniémi strażami pochodu wszechludzkiego, są kwiatem ziarn, zasianych ręką stworzyciela—są zatem niejako w najbliższym stosunku ze Stwórcą. Otrzymawszy wprost od Niego namaszczenie, znajdują się w bezpośredniéj jego mocy i opiece.

Nie mówią o tém otwarcie, lub mówią bardzo rzadko, bo missya ta stanowi rodzaj misteryi, unosi się w nieokreślonych wysokościach, streszcza się w wewnętrzném poczuciu. Między sobą różnić się mogą nieskończenie temperamentem, gustem, zdolnościami, nałogami, zawodem,—mogą mieć niejednakowe opinie w wielu rzeczach, lecz w przedmiocie idei rodowéj zgadzają się najzupełniej. Z trzech braci, przedstawiających starsze pokolenie Brańskich, jeden nosi tytuł szambelana, drugi jest jenerałem, trzeci sufraganem. Różność stanowisk, dodawszy do niéj różnice osobistych usposobień, dostateczną byłaby do rozbicia trzech żywotów na trzy różne sfery interessów i kierunków,—gdyby po nad służbą cywilną, wojskową i bożą, po nad dworszczyzną szambelana, po nad rycerskością jenerała i po nad religijnością sufragana,

nie stały wyżej: honor, wielkość i okazałość rodu. Względom tym zawdzięczał szambelan, jako najstarszy w rodzinie, powagę dyktatorską i niby kapłańską zarazem. Na niego zwrócony był ciągle wzrok braci, dzieci, i całego otoczenia; jemu to za jakąbądź cenę starano się trosk oszczędzić; w okazywanej mu czci przebijał się pewien odcień pobożności, od której nawet świętobliwy dygnitarz Kościoła nie był wolnym. I nie działo się to bynajmniéj z powodu indywidualnych przymiotów głowy książęcego domu: hołd płynął z tradycyi, z familijnego legitymizmu; miał raczej na widoku przedstawiciela dynastyi, niż osobę szambelana, raczej symbol prawowitéj władzy w rodzinie, niż jednego z jéj członków,—niż człowieka.

Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że stosunek, na takich oparty podstawach, miał charakter zimnéj etykiety, ograniczającéj się na formach zewnętrznego poszanowania, że w gruncie, był on łącznikiem niezmiernie słabym, niezdolnym rozgrzać serca i wywołać poświęcenia. Jak się rozgrzewały serca książąt Brańskich,—wchodzić nie będę w proceder tego zjawiska, dość że się rozgrzewały. Ludzie współcześni z trudnością zrozumieć mogą naturę uczuć, pielęgnowanych w łonie niedobitków minionéj epoki, których byt już jest tylko powolném konaniem, lecz jeszcze świeci jasno promieniem gasnącéj siły, w swoim czasie tak olbrzymiéj, że ostatnie jéj szczątki mają pozory energii i nieśmiertelnéj młodości.

Ci *morituri*, wbrew powątpiewaniom racyonalistów, miłują żywo, gorąco, wierzą nieugięcie i składają z fanatycznym zapałem ofiary na ołtarzu swojéj idei. Żeby utrzymać upadającą świetność rodu, prawie wszyscy oni poświęcili lub szczerze chcieli poświęcić własną przyszłość. Książe jenerał zrzekł się praw do dziedzictwa, i został kawalerem maltańskim; młodszy brat przywdział suknię duchowną; książe Robert, syn szambelana, gotów był opuścić kobietę droższą sobie nad życie, i ożenić się z inną, a siostra jego, księżniczka Stella, ofiarowała dobrowolnie rękę synowi dorobkiewicza, którego miłość w innych okolicznościach wydałaby się jéj śmieszném i obrażającém zuchwalstwem.

Nieprzydały się jednak na nic rozpaczliwe książąt wysiłki. Ruina, na którą złożyły się: konserwatywne próżniactwo, poetyczny „nieład“, i „posępna nieopatrzność“ zbliżała się wielkiemi krokami. Już burza nadeszła, a w Brańsku niezauważono jeszcze brzemiennéj piorunami chmury. Panowało tam przekonanie, że siedliska trwającego od wieków, żaden wicher obalić, żaden grom zniszczyć nie może.

Na pogrążonych w słodkiéj drzemce życzliwe przestrogi robiły wrażenie natrętnego bajania, przykrego dla ucha, — lecz niepotrzebnie przerywającego błogi spoczynek. Trochę więcéj frasowano się, gdy uporczywe nalegania wierzycieli zmuszały do namysłu, zkąd wziąć pieniędzy do spłacenia pilniejszych długów? Funduszów zazwyczaj na ten cel nie było, pozostawał więc tylko jeden środek: wyjednanie zwłoki, którego to środka plenipotent Brańskich, Gozdowski, używał z powodzeniem. Obcując długo z książętami, plenipotent nabył od nich wstrętu do przeglądania rachunków, — tém więcéj, że nie spodziewał się znaleźć tam nic pocieszającego, nic, coby mogło mu wskazać sposób pozbycia się niemiłych gości, nawiedzających go coraz częściéj z plikami papierów, których treści domyślał się, lecz bliżej z nią się zapoznawać nie lubił. I miał pod pewnym względem słuszność. Najważniejszym punktem każdéj takiéj sprawy było to, że wymagano zapłaty, rządca zaś wiedział, że wymagania tego rodzaju nie mogły odnieść żadnego skutku, dla prostéj racyi, którą opłakany stan kassy wymownie wskazywał. Dość już miał ambarasu Gozdowski, gdy wypadło na bieżące wydatki książąt zaciągnąć dług nowy,—zadanie to z dniem każdym stawało się uciążliwszém, przecież, bądź co bądź, łatwiej jeszcze było pożyczać, niż oddawać. Mając do wyboru dwie rzeczy trudne, rządca wolał robić to, co było możliwszém do uskutecznienia. Pożyczał zatem, pożyczał ciągle, gdzie tylko udało się zarwać nieco gotówki, zwierzycielami zaś układał się, błagał o cierpliwość, przyrzekał nadal płacić regularnie, dowodził, że kapitały ulokowane na majątku Brańskich, nie mogły znaleźć lepszego pomieszczenia, — i sam poniekąd wierzył w to, co mówił. Dla rządcy nie było na świecie większych magnatów nad książąt Brańskich, przyznawał niekiedy, będąc przyparty do muru, że w fortunie ich dałyby się wynaleźć dziś pewne szczerby, ale zato jutro, pojutrze, prędzéj czy późniéj, w każdym razie w porę, Brańscy znowu pójdą w górę; niezawodnie, książe Robert ożeni się z milionerką, a księżniczka Stella wyjdzie za mąż za nababa, przytem spadnie może jaka sukcessyjka... Wtedy gmach pomyślności Brańskich, stać znowu będzie równie mocno, jak stał od niepamiętnych czasów. Teraz szło o to, aby szpary w jego fundamentach na prędce zalepić, załatać, no! i spokojnie czekać dalej.

Różowe nadziejc Gozdowskiego były tylko odbiciem marzeń księcia jenerała. Plenipotentowi, napastowanemu przez natrętów, upominających się o zwrot należytości mimo jego woli, nasuwała się przed oczy groźna rzeczywistość, — któréj książe Hugon niewidział i nie chciał widzieć. O konieczności zaradzenia złemu stanowczemi środkami, Brańscy mówić sobie nie pozwalali. Pewnego razu, jeden z przyjaciół domu, rzucił myśl sprzedaży części dóbr, dla uratowania reszty. Książe jenerał uniósł się, ofuknął śmiałego wnioskodawcę, i na tém projekt się skończył.

— „To nie może być, — to niepodobieństwo“, powtarzał jenerał, ilekroć musiał wysłuchać przykréj prawdy, „majątek nasz tak ogromny, rodzina tak zacna. Pan Bóg jéj nie opuści“. A na pociechę dodawał: „jakoś to będzie“.

Przekonawszy się wreszcie, że było źle bardzo, książe Hugon, spadł jak z obłoków. O ile poprzednio nieuznawał niebezpieczeństwa, o tyle, gdy wybiła godzina niedoli, beztroska jego ustąpiła nagle miejsca szamotaniom się gorączkowym. Gryzł się, dręczył, spędzał nocy bezsenne, snuł jedne od drugich dziwniejsze plany, rachując zawsze nie na siebie, lecz na pomoc cudzą. „Zobaczycie“, zwierzał się Robertowi i Stelli, „że to jeszcze wszystko jakoś szczęśliwie się skończy. Jeszcze jest tysiące środków, o których się w pierwszych chwilach nie pomyślało. Ja mam rozległe stosunki, nasza rodzina znaną jest całemu światu, nie dadzą jéj upaść. Esterhazowie, spokrewnieni z nami, są niezmiernie bogaci. Ja mogę wygrać na loteryi. Napiszę do cesarza austryackiego, do króla bawarskiego, do Rotszyldów. Ze starym Rotszyldem byłem za pan brat, lubił mnie bardzo... To są ich listy...“

Na inne praktyczniejsze sposoby działania, kawaler maltański nie wpadł, bo też w istocie trudno już było przedsięwziąć coś skutecznego.

Jednocześnie drugi brat szambelana, niemniéj przerażony, zasyłał gorące modły do nieba na intencyą rodziny. Większa część dochodów biskupa szła na użytek mieszkańców Brańska, resztę zabierali ubodzy. Ponieważ żył nader skromnie, utrzymywano, że odmawiając sobie przez skąpstwo wszelkich wygód, uzbierał skarby. Nikt nieprzypuszczał, żeby pod mniemaném sknerstwem ukrywał się niedostatek. W mieszkaniu biskupa bywało chłodno i głodno, obiady składały się zazwyczaj z potraw niesmacznych i niezdrowych, na stół dawano „chleb zgorzkniały i kwaśne wino“, służba nosiła wyszarzaną liberyą, a stare i chude konie, ledwie wlokły odwieczne karecisko. Brak wygód niesprawiał sufraganowi żadnéj przykrości i chyba to go martwiło, że nie mógł hojniéj wspierać biedniejszych od siebie. W szczerém wyrzeczeniu się uciech ziemskich, w pokorze, w cierpliwém znoszeniu przeciwności, osobiście go dotyczących, był niedoścignionym wzorem dla duchowieństwa całéj dyecezyi; a jednak w tym przykładnym kaplanie, w tym pokutnym i nieśmiałym anachorecie niewygasły ambicye świeckie. Dla siebie nie dbał o nic, — dla rodu pożądał dostojeństw, władzy, bogactw. On sam poprzestałby chętnie na strawie najlichszéj, ale książęta Brańscy powinni byli jeść bażanty; czuł się prochem, ale Brańscy musieli stać wysoko w hierarchii społecznéj. Niepowodzenia rodziny zatruwały mu spokój. Szczęściem, niedoczekał ostatecznéj katastrofy. Zapadł w ciężką niemoc, z któréj się nie podźwignął, a kiedy umarł, okazało się, że biskupa i księcia, brata i stryja wielkich panów, nie było za co pochować.

Zajmując się przeważnie znaczeniem społecznéni téj pięknéj powieści, wykończonéj z niezwykłą w naszéj literaturze starannością, i wycieniowanéj mistrzowsko, nie mogę rozszerzać się nad oddzielnémi postaciami, z których każda ma swą indywidualność, dostrojoną wybornie do tła ogólnego. Cichy i pokorny sufragan, żwawy jenerał, wyniosły szambelan, melancholiczny Robert, idealna Stella, są najwidoczniéj ludźmi téjże saméj, wysokiéj warstwy towarzyskiéj; jest między nimi uderzające powinowactwo duchowe i jakby pewne podobieństwo familijne. Słabi, nieroztropni, nieudolni, bezbronni i bezsilni w obec nowych potrzeb i warunków czasu, — wywierają atoli urok szlachetną godnością i wrodzoną dobrocią. Mili i łaskawi w bliższych stosunkach, rzadko bywają z obcymi poufali, łatwiéj u nich o wspaniałomyślność, niż o serdeczność. Wytworne, lecz chłodne, arcypańskie obejście książąt, odgradza ich murem chińskim od pospolitych śmiertelników, imponuje rzeszy, i onieśmiela nawet sceptyków, którzy wiedzą, że dni tego blasku i tego majestatu są już policzone. Świetnie, w scenie nakreślonéj niezmiernie subtelnemi rysami, autor przedstawia zakłopotanie mecenasa Hartknocha, podczas odwiedzin w pałacu Brańskich. Przybył on w imieniu swego klienta, zna tajemnicę majątkowego położenia gospodarzy, trzyma zgubne sprężyny, które zadadzą wkrótce cios ostatni tym dumnym arystokratom, — lecz zasiadłszy w gronie przyszłych swych ofiar, traci pew-

ność siebie, czuje się żenowanym, sztywnym, pomimo, że przyjęto go dość uprzejmie, i że nic się tam właściwie nie dzieje takiego, coby go zwykłéj swobody pozbawić mogło. Dąsa się więc mecenas na siebie, radby otrząsnąć się z wrażenia, daremne wysilki! Jakiś głos wewnętrzny szepcze mu niewyraźnie, że on — to plebejusz, a oni — to patrycyusze. Wprawdzie, niebawem z mocy sądowego wyroku ci patrycyusze wyrzuceni będą ze swych wspaniałych przybytków, — pójdą na tułaczkę, rozproszą się, zginą..... ale tymczasem plebejusz siedzi, jak na szpilkach, licząc się ostrożnie ze słowami, bo zabrawszy głos na początku rozmowy, sam zaraz zmiarkował, że śpiewa tonem fałszywym.

Prócz Brańskich i Gozdowskiego, dobrze są jeszcze naszkicowani rezydenci dworu i osoby drugorzędne, zwłaszcza pysznym jest syn byłego handlarza nierogacizny Zygmunt Garbowski, starający się o rękę Stelli, jeden z tych sympatycznych sowizdrzałów, których Kraszewski tak maluje doskonale.

Narzędziem fatalizmu skazującego ród książęcy na upadek, autor uczynił prostaka, niegdyś sługę Brańskich, człowieka z gminu, mszczącego się za otrzymany od szambelana przed pięćdziesięciu laty, policzek. Jedyną barwą tego charakteru jest zaciętość. Dorobiwszy się lichwą wielkiej fortuny, Zembrzyński używa jéj na szkodę Brańskich, staje się głównym wierzycielem książąt, i nakoniec wywłaszcza ich z całego mienia. Zapewne, umyślnie Kraszewski usunął z pierwszego planu działacza najgłówniejszego, by przez to dowieść, że nie żadna szczególniejsza potęga strony napastującéj, lecz raczej niedołęztwo napastowanych było powodem klęski.

Trafną w tym przedmiocie dał Zembrzyński odpowiedź Gozdowskiemu, na zarzut zrobiony przez plenipotenta:

„Mój Mości Dobrodzieju, widziałeś asindziej kiedy stary dąb, który pastuszkowie wypalą... utrzyma się to na pasemku kory... przychodzi leciuchny wietrzyk i olbrzym się wali. Mówią, że burza dąb obaliła! a nie... Spróchniały był, spalony był.... Ja jestem tym wietrzykiem, szanowny Panie Dobrodzieju"...

Zasadniczy morał powieści zawiera się mianowicie w téj odpowiedzi Zembrzyńskiego, wykrętnéj, co do niego samego, lecz słusznéj w zastosowaniu do Brańskich. Ród ich, o którym sądzili, że upaść nie może, bo potrzebny jest światu, oddawna przestał mu być potrzebnym. Wielkość tego rodu i niespożytość równie były fikcyjne, jak pożyteczność i niezbędność jego w dziejach społeczeństwa. Dzieje przecież od dawnych już lat toczyły się wciąż swoją koleją, bez udziału Brańskich, społeczeństwo niosło ciężar obowiązków, pracowało, żyło, nie widząc przy sobie, ani przed sobą tego „kwiatu" swéj historyi, tego mitrą ozdobionego „czoła narodu". Ręka Brańskich nigdzie niedopomagała w trudach ogółowi, światło ich nierozjaśniało dróg w pielgrzymce wspólnéj, serca ich niebiły przy sercach braci. Gdzież się podzieli? Nie wiadomo, nie słychać było oddawna nic o nich, krążyły tylko domysły, że Brańskich już niema na tym padole płaczu, że to plemię ongi rycerskie i senatorskie, zniechęcone zmiennością losów „poszło gnić między królami": Szare pospólstwo, co znało zasługi rodu starego z podania, westchnęło za duszę nieboszczyków ze współczuciem, z wdzięcznością, z żalem po straconych przewodnikach swoich, i kroczyło daléj utartemi szlakami w imię Boże. Tym aktem zejścia, wydanym przez lud bratni, zamknięty został rodowód Brańskich w obliczu historyi i narodu. Ogół żywotny i czynny oddalając się, rzucił za siebie garść ziemi na cześć tych, co pozostali w mogiłach — do dnia sądu.....

Byli w swoim czasie zacni, mężni, ofiarni, rozumni. Wszystko to już przeszło..... Pan ich teraz wezwał do siebie..... *Requiescant in pace!*

Cóż to za złudzenie, że ci wypisani z księgi żyjących, ci zmarli i pogrzebani, jeszcze drgają, dyszą, jeszcze śni się im, że zajmują naczelne posterunki, że nadają kierunek dążącéj naprzód ludzkości! Czyżby dotąd się męczyli? Czyżby konanie było tak ciężkie? Niestety, konanie Brańskich, rzeczywiście bardzo ciężkie, a żyć dłużéj nie mogą, jak nie może zazielenić się ów dąb wypalony przez pastuchów, w którego wnętrzu próżnia już tylko i trochę popiołu. Grunt macierzysty nie zasila więcéj swemi sokami pnia zwęglonego, nie odmładza jego konarów. Ot, lada podmuch wiatru wstrząśnie kolosem, lada tknięcie palcem obali tę marną formę jędrnéj i silnéj przeszłości.

Ratunku zatém „morituri" znikąd spodziewać się nie powinni, a w sobie ani go szukają, ani znaleźćby nie zdołali. Zapóźno! Wszelkie deski ocalenia z rąk się im wymknęły. Jenerał w porywie rozpaczy wyrzuca Opatrzności, że zapomniała o Brańskich, którzy byli tak religijni, tyle zbudowali kościołów... Ha! widać, że wyznaczyła jeszcze Opatrzność inne zadania, inne wskazywała cele, mieszcząc swych wybranych na szczytach społeczeństwa.

Nie Opatrzność pono zapomniała o tém, co winna Brańskim, lecz przeciwnie Brańscy zapomnieli, co winni są chwale, jaka na nich dziedzicznie spływała, stanowisku, na jakie urodzenie ich wyniosło, obfitości środków, jakiemi długo rozrządzali.

Szczodrze uposażeni, silni, szanowani, — cóż z temi darami uczynili?

Opatrzność zleciła im stać na czele massy społecznéj, oni oderwali się od społeczeństwa obyczajem, wyrzekli się przymierza pracy i solidarności w interessach publicznych; zamknęli się w twierdzy niedostępnéj dla potrzebujących zachęty, poparcia, opieki, ulgi, przodownictwa...

Opatrzność dała im wsie, zamki, zaszczyty i złoto. Oni strwonili to wszystko. W dobrach książęcych panował chaos. Gospodarstwo na ogromnych obszarach ziemi prowadzone było niedbale, z uszczerbkiem dla właścicieli, i z krzywdą dla rolnictwa. O należyte ulepszenie gruntów nikt się nie starał; rozchód przewyższał stale dochody; część bogactw krajowych marniała, zły przykład bezrządu płynął ztamtąd, zkąd powinny były iść zbawienne wzory.

Stosunek ekonomiczny, aczkolwiek prowadził wprost do ruiny, przedstawiał się atoli względnie trochę lepiéj od stosunku duchowego.

Morituri na długi czas przed upadkiem materyalnym upadli już byli moralnie. Śmierć ducha poprzedziła zgon ciała.

Jakiémże prawem „morituri" oskarżają za swą niepraktyczność, za próżniactwo i stępienie umysłu — Opatrzność? Na jakiéj zasadzie wyrozumowali, że społeczeństwo ocali ich, bo przeznaczenia jego związane są z ich egzystencyą?

Pasmo wzajemnych usług zerwali sami. Ogół obywa się bez ich uczestnictwa, oni téż nawzajem obyć się muszą bez jego nagrody.

Mogli byli niewątpliwie przyczynić się znacznie do ogólnego dobra, ale cóż, kiedy, nie pragnąc tego szczerze, niewykształcili w sobie odpowiednich zdolności.

I znowu po przeczytaniu powieści Kraszewskiego wypada powtórzyć to, co prawdopodobnie wielu pomyślało, dowiedziawszy się o losach Mogilnéj: „Szkoda, że ci Brańscy nienaśladowali Dembora!"

W „Resurrecturi" dla „skazanych na zagladę", świta pierwszy brzask odrodzenia. Blady promyk jutrzenki zabłysnął, chociaż słońce jeszcze daleko. Podupadły ród Horyszków wywalcza sobie miejsce w społeczeństwie przez pracę.

Czytając „Morituri" byliśmy świadkami tragedyi, w powieści noszącéj tytuł: „Resurrecturi" autor pociesza zasmuconych widzów — sielanką.

Dzieło wskrzeszenia poruczone zostało najprzód kobiecie. Okres zmartwychpowstania zaczyna się od uprawy grządek, na których Cecylia Horyszkówna sadzi jarzyny i zasiewa kwiaty. Nowa to dość postać w naszém piśmiennictwie. Panna „dobrze urodzona", młoda, piękna, oddająca się zatrudnieniom, stosownym zaledwie dla ekonomówny, należy podobno i w życiu powszedniém do istot wyjątkowych, a cóż dopiero w książce, w powieści. Żebyż przynajmniéj ograniczyła te zajęcia do kwiatów, možna byłoby pobłażać jéj kaprysowi, czy dziwactwu. Ale Cesia przekracza wszelkie granice estetyki, bo sadzi ogórki i kapustę; i niekoniec na tém, że je sadzi, ona je sprzedaje, — ona, nazwijmy rzecz po imieniu — handluje warzywem! Każdy wykwintny konsument literatury nadobnéj przyzna pewnie, że z takiéj prozaicznéj dziewczyny, zrobić bohaterkę romansu trudno. W naszéj epopei narodowéj, w „Panu Tadeuszu", Zosia wprawdzie karmiła kury, ale to sprawa całkiem inna. Zosię toleruje wykwintny czytelnik, z tych względów, z jakich ma wyrozumiałość dla herodów—bab Homera, Szekspira, Tassa, ceniąc wierność kolorytu epoki, i podziwiając naturę mniéj lub więcéj dziką typów zaginionych. Szorstkość ich przedstawia pewną wartość archeologiczną, wykwintny czytelnik szacuje takie zabytki na równi niemal ze starą porcelaną, lub pargaminem upstrzonym niekształtną bazgraniną, odznaczającą się cudackim stylem i barbarzyńską pisownią naszych prapraojców. Daléj, trzeba zważać i na to, że Zosia karmiła kury dla własnéj przyjemności, co jest okolicznością łagodzącą, nawet w poemacie. Bohaterka Mickiewicza nie frymarczyła, nie spekulowała, a Cesia,—wstyd powiedzieć,—frymarczy! Zosi dużo ujść może, bo tylko, przypomnijmy sobie, jak się wychowała, z kim przestaje, jacy to kawalerowie starają się o jéj rączkę „sypiącą gęsty grad perłowy". Oto gburowaty chłopak z zaścianka, z van Sakiem, który *par depit amoureux* morduje drób w kurniku, i niebardzo pokaźniejszy od niego Tadeusz. A Cesia jest naszą spółczesną; nie zawija włosów w papiloty, gdyż, jeśli nie mylę się, nosi cywilizowany kok; nie biega po ogrodzie w bieliźnie i boso, nieproponuje błędnym rycerzom, aby pomogli jéj wypędzić pierzastych gości z ogrodu. Cesia ubiera się modnie, nigdy nie wyjdzie z sypialni przed ukończe-

niem tualety, a jednak trudni się tém, czegoby nie raczyła podjąć się dystyngowana klucznica; ma polor salonowy, a sadzi kapustę; mówi po francuzku, a wdaje się w targi pieniężne, jak przekupka; stara się o nią hrabia, a Cesia prowadzi konszachty z żydami. Wnuczka starosty, doprawdy, ujmę przynosi swemu towarzystwu. W powieści, na piedestale bohaterki, jest po prostu nieprzyzwoitą....

Gdzie tam! U Kraszewskiego inaczéj wygląda Cesia. Jest bardzo przyzwoitą, uroczą i godną uwielbień, jakich jéj nieszczędzą bracia, domownicy i życzliwsi z sąsiadów. Zrazu żartowano z téj ekonomiki panieńskiéj, a poczciwa Piotruska, choć wypiastowała Cesię na rękach, gorszyła się jéj postępowaniem. Dobroczynne skutki rządności i pracy zadały niebawem fałsz wróżbom szyderskim i wyleczyły Piotrusię z przesądu. Młoda panna ująwszy ster gospodarstwa stała się aniołem opiekuńczym zrujnowanego domu, wprowadziła do niego ład i stosunkową zamożność; młodszych braci, którzy przedtém bawili się włóczęgą po okolicy i polowaniem, wysłała do uniwersytetu, dostarczyła im pieniędzy na podróż i pobyt w mieście; umiała obudzić w nich poczucie prawdziwéj godności, zachęcić do pracy, i zapewniła wychowańcom swoim niezależną, zacnie zdobytą przyszłość.

Bo jedynie przez pracę, przez jasne zrozumienie obowiązków, przez właściwe i głębokie poczucie honoru, podźwignąć się mogą ci, co upadli; wskrzesnąć mogą ci, którzy, jak Mogilscy i Brańscy, sami sobie grób wykopali. Taki jest ostatni wyraz dążności objawiających się w nowym zwrocie poglądów społecznych Kraszewskiego. Wolnoż nazwać ten kierunek naganném ustępstwem, lub zgoła odstępstwem od zasad dawniéj wygłaszanych? Żadném dowodzeniem takiego wniosku usprawiedliwić niepodobna.

Godło „Chorób wieku“ rozstrzyga zagadkę, łagodząc rażącą ale pozorną sprzeczność, jaka zdaje się zachodzić między tą powieścią, oraz pokrewnemi jéj utworami Kraszewskiego, a „Mogilną“, „Morituri“ i „Resurrecturi“ z drugiéj strony. Godło to zaczerpnięte ze słów świętego Pawła, brzmi: „Ducha nie gaście“. W gruncie rzeczy niczego innego nie żądał Kraszewski stając niegdyś w obronie „niepraktyczności“. Lękał się on zbytku matematyki i trzeźwości, gdyż obawiał się, aby kraj pociągnięty na drogi nowe nie poszedł z czasem w kierunku wręcz przeciwnym swemu powołaniu, żeby rachunek nie zabił w nim ideału, a materya nie stłumiła ducha. Ostrzegał ziomków przed złem, które i dziś za złe uznaje, jak uznawał w czasie, gdy tworzył „Choroby wieku“. Zasadniczéj sprzeczności nie ma zatém w drugim zwrocie. Doświadczenie wskazało Kraszewskiemu, że się poprzednio uniósł w dobrych chęciach. Błąd ten należało poprawić, przesadę usunąć, — i Kraszewski to właśnie w nowszych powieściach uczynił.

Mylić się jest rzeczą ludzką. Nie było pisarza, ani publicysty, bo niema na świecie człowieka, któryby zawsze widział jednakowo czystą prawdę i w przekonaniach swoich niepotrzebował nigdy nic zmienić. Mylił się i Kraszewski, jak nieraz mylimy się wszyscy, ale w tém, że spostrzegł pomyłki, że zapragnął i zdołał je sprostować, że niemiał uporu i pychy uchodzącéj często za stałość; w tym obowiązku ogólnie ludzkim i w téj sumienności pisarskiéj, nie wielu bogdaj mógłby znaleźć współzawodników.

I to jest jego zasługą, to również przyczyniło się do popularności jego dzieł i do sławy imienia autora. W tém objawia się nieustannie żywotny związek pisarza ze społeczeństwem, z biegiem spraw ogółu, ze zbiorowym postępem.

„Mogilna“ i „Morituri“ zawierają surową krytykę niepraktyczności, „Resurrecturi“ wskazują zdaleka tory, któremi dążyć nadal trzeba, „Roboty i prace“ dają zarys tego, co się już na wskazanéj drodze zrobiło.

Nim o tym ostatnim utworze powiemy słów parę, wróćmy jeszcze na chwilę do poprzedzających powieści. Zaletą artystyczną „Resurrecturi“ jest wdzięk, „Morituri“ zaś są obrazem na wielką skalę, dziełem, rzec można, klasyczném u nas w swoim rodzaju. Całość obmyślona poważnie, szczegóły misternie obrobione zlewają się z sobą harmonijnie, tendencya przeprowadzona z jak największą ścisłością, za pomocą wyłącznie akcyi, bez dysput i bez dydaktyzmu. W całéj powieści nie napotkasz cienia rozprawy, wszędzie samo życie, ruch, interes, wszędzie obraz, w którym więcéj zwracają na siebie uwagę grupy charakterystyczne, niż osoby, więcéj jest rysów subtelnych, barw delikatnych i płaskorzeźby, niż form posągowych. W „Resurrecturi“ plastyki mało; niema wzniosłych ustępów, jak np. pełna tragicznéj grozy scena obłąkania księcia jenerała w „Morituri“; wszystko tam spokojne, a powabne. W braciach Cecylii, Julku i Henrysiu ujmuje szczerość i żywość; w siostrze powaga i szlachetność — młodość. Pełno tam ludzi dobrych, złych nie wiele, nudnych

niema wcale. A jakiż to miły zuch, ta Jadzia, z która nawet Cecylia rady sobie dać nie umie! Główka trochę szalona, lecz serce niezepsute, czujące zdrowo i po prostu. Gdy Jadzia pokocha, to nie pozwoli sobie odebrać wybranego, dla jakichś względów konwencyonalnych. Podobał się jéj brat młodszy Cesi, Julek; domyśla się jego wzajemności, więc cóż dla niéj znaczyć może nierówność majątkowa? Co jéj do tego, że Cesia, mająca dumę ubóstwa, niechętném patrzy okiem na wzmagającą się skłonność brata ku bogatéj pannie? Co jéj do tego, że i sam Julek podziela skrupuły siostry? Na takie drobnostki Jadzia wcale zważać nie myśli, témbardziej, że pieszczone dziecko z góry jest pewne przyzwolenia rodziców. Uwagi Cecylii krótką zbywa odpowiedzią: że na złość jéj, zawróci głowę Julkowi, a wtenczas już będzie musiał się ożenić. I zrobiła na złość Cesi, zawróciła głowę Julkowi, gdy zaś tenże, zostając pod wpływem siostry, próbował ukrywać miłość, zniecierpliwiona Jadzia kazała mu oświadczyć się sobie, żeby już raz tym nieznośnym ceremoniom kres położyć.

Powyższy epizod miłośny, jedynym jest naprawdę romansem w „Resurrecturi". Rys to godzien uwagi, zazwyczaj bowiem w powieściach Kraszewskiego bohaterki i bohaterowie nader bywali sentymentalni, a jeśli znalazł się między nimi jaki wyjątek, to nieposiadał sympatyi autora. W „Chorobach wieku" i w „Dzieciach wieku" brak miłości ściągał gromy; w „Morituri" przeciwnie, miłość księcia Roberta dla hrabiny Natalii, ma charakter namiętności chorobliwéj, i czyni zakochanego obojętnym na wypadki, których powinien był energiczném wystąpieniem niedopuścić. W „Resurrecturi" autor posuwa się jeszcze dalej w tym kierunku. Zaparcie się miłości stanowi tam cnotę. Ludzie, w ogóle, w obu tych powieściach, zanadto wiele mają kłopotów lub zajęć, żeby się mogli swobodnie oddawać romantycznym natchnieniom serca. Wbrew sercu, księżniczka Stella ofiaruje swą rękę Zygmuntowi Garbowskiemu, wbrew sercu także, Cesia odmawia ręki hrabiemu. Zostało ono sługą i zaczyna już wiedzieć, co to pany, odkąd nauczyło się brać w rachubę praktyczne życia zadania.

Rehabilitacya praktyczności sięga do najwyższego szczebla w „Robotach i pracach." W obec warsztatów, fabryk, lokomotyw Werndorfa i Płockiego dziwnie maleją „ulepszenia kieszeniowe" Dembora. Potrzeby społeczne musiały wielce się zmienić w wyobrażeniu autora „Chorób wieku", jeśli już teraz nierazi go nawet świat przedsiębiorstw inżynierskich i przemysłowych, z którego tajemnych głębin uchyla brzeżek zasłony w „Robotach i pracach". Sam nieboszczyk Dembor, gdyby ożył, prawdopodobnie oszołomiony hukiem maszyn, świstem pary, widokiem tylu kosztorysów, budżetów, bilansów, koncessyi, statutów, planów—zawołałby z przerażeniem: „Ależ tego już za wiele, ależ to już zanadto po cudzoziemsku, po niemiecku... Dokąd szedłem skromnie i powoli, wy pędzicie teraz na łeb na szyję; ja com przedsięwziął, tom uskuteczniał na własne ryzyko, wy wciągacie do waszych robót i prac tysiące ludzi, miliony zaczerpnięte z kapitałów krajowych... Strzeżcie się, cofnijcie, dopóki pora!"

A wtenczas Kraszewski oświadczyłby zlęknionemu Demborowi, przez usta osób działających w powieści, że obawy zacofanego przybysza sfery zagrobowéj, są śmieszne, gdyż kraj niczego niema zawiele — prócz nieładu, niedbalstwa, i „posępnéj nieopatrzności." Dwaj współzawodnicy, stojący na przeciwnych krańcach poglądów i celów, cnotliwy Werndorf i przewrotny Płocki, w kwestyi ekonomicznego położenia kraju, bardzo zbliżone wygłaszają zdania.

„Nasz zawód, mówi Płocki, ludzi—propagatorów trudu, przemysłu, czynu, trudniejszym jest, niż gdziekolwiek indziéj, społeczność nawykła wiekami używać, nawet zmuszona do pracy, lub znęcona nadzieją zysku, bierze się do niéj bez zamiłowania, dlatego tylko, aby co prędzéj coś zarobiwszy, próżnować, zbytkować i używać mogła. Człowiek, który zawód jakiś obrał sobie za życie całe i poślubił, jest tu w pojęciu ogółu zawsze jakąś niższą istotą, bo ogół ten rozumie pracę, jako jakieś skaranie boże, a nie błogosławieństwo".

Werndorf miarkuje zapęd Płockiego przypominając mu, „że tu też zyski są daleko większe, nie tylko finansowe i osobiste, ale społeczne. Pionier, który z siekierą i wozem wjeżdża w puszczę amerykańską, doskonale wié, że tam go czekają grzechotniki, bawoły i dzicy indyanie, ale zdobywa kraj, tworzy świat nowy, pustynię zmienia w warsztat pracy ludzkiéj, zdobywa ludzkości prowincyą nową. My tu powinniśmy z tém samém uczuciem pracować."

Rozmowa wrogów tak jednomyślnie zapatrujących się na posłannictwo reformatorskie przemysłowców w naszém społeczeństwie, byłaby niegdyś rozkoszną muzyką dla uszu Dembora. Obecnie rzucając światło zaszczytne na system i czyny pioniera zmarłego wśród „grzechotników, ba-

wołów i dzikich indyan", najdzielniéj pomściła ona jego pamięć.

„Ktokolwiek zna przeszłość i teraźniejszość naszę, powiada Werndorf, przyznać musi, że *nic niema pilniejszego nad ekonomiczną reformę.*."

Ciesz się cieniu Dembora!

„Gospodarstwo rolne, twierdzi daléj Werndorf, jest mimo postępów, jakie uczyniło i czyni, zacofane jeszcze... Trzeba rozwijać przemysł, ulepszać gospodarstwo rolne, z handlu surowemi płodami przejść na wyprowadzenie płodów tak przerobionych, aby ich wartość, pracy dała szacunek i zwiększyła się pracą... Tysiąc rzeczy jest do zrobienia, tysiące dróg jest otwartych. Podniesienie przemysłu i gospodarstwa wiąże się nierozdzielnie z podniesieniem oświaty ludu i rękodzielników, przemysł wymaga intelligencyi, gospodarstwo nauki i wykształcenia, dla tego u nas *szkoła jest najproduktywniejszym, najlepiéj procentującym się kapitałem.*"

Złote słowa, prawda wielka, niezaprzeczona, ale cóż innego utrzymywał i robił Dembor, gdy pragnął ulepszeń dla wszystkich, zaprowadzał u siebie czynsze, pilnował kassy oszczędności, moralizował lud w przekonaniu, że to się wszystko *wypłaci;* gdy zakładając szkółki, ochrony, dom przytułku i pracy miał na widoku, że miłosierdzie nawet stosownym, nie dziś to jutro, wypłaci się procentem amortyzacyjnym...

Ciesz się cieniu pierwszego z pionierów! Z kości twoich powstali szermierze, co chcą kraj zdobywać, tworzyć świat nowy, pustynię zmieniać w warsztat pracy. Żeby dopiąć tych zamiarów, nad które, podług Werndorfa, społeczeństwo niema żadnych pilniejszych, potrzebni są im tacy, jak ty pomocnicy. Szukają oni wszędzie usilnie sobie podobnych, ale, niestety, znaleźć nie mogą.

Werndorfowi możemy dać wiarę. On nie kłamie, nie deklamuje na wiatr jak Płocki, a jednak przyznaje, że „u nas połowa surowych materyałów niezmiernéj ceny, ogromne zasoby leżą nieużytkowane, ekonomiczny rozwój szeroki jest możebnym... ludzi brak tylko, ludzi..."

Brak ludzi jest do tego stopnia absolutnym, że ladajakiego Piętkę najwięksi koryfeusze ruchu ekonomicznego, Werndorf i Płocki, z rąk sobie wyrywają.

Indywidua bez zasad i charakteru, jak Piętka, istoty znikczemniałe, jak Wytrychiewicz, posłuszne narzędzia intrygi, jak Nurscy—w takim to składzie przedstawia się otoczenie wodzów mających zdobyć światu „prowincyą nową..."

Sztab arcy lichy—a cóż dopiero za zbierana drużyna musi być w łonie armii!... Jakie tam muszą znajdować się ciekawe modele dla malarza obyczajów! Może ukaże nam je kiedy Kraszewski, a wtedy przekonamy się, czy wolno mieć choćby nadzieję, że owe hufce pionierskie wywalczą istotnie ludzkości „prowincyą nową..."

Tymczasem z wprowadzonych żywiołów do powieści widać, że świat tworzony przez pionierów obfituje daleko więcéj w *„robotników ciemności,"* niż w „ludzi *pracy i dnia białego.*"

„Robót intryganckich" jest tam dużo, natomiast jasne *„prace"* społeczne zakryte zostały dla oka naszego. Samotny przedstawiciel *pracy*, stary zasłużony weteran, schodząc z pola, które uprawiał sumiennie, z niepokojem spozierał na rozpoczęte dzieło swoje, bo nie spostrzegał dokoła siebie ludzi idei, „pracy i dnia białego," w gronie najbliższych sprzymierzeńców...

Masz prawo zatem cieszyć się duchu Dembora! Nie Mogilscy lekkomyślni i niezaradni, nie książęta Brańscy zasklepieni w martwéj obojętności, potrzebni są społeczeństwu, nie po ich zgonie wdzieje ono żałobę, ale ciebie szczerze uczci wdzięcznem wspomnieniem, boś mądrze osądził, że interes jednostki łączyć się powinien z dobrem ogółu, o które nieustannie dbać, i w każdym zawodzie, o ile starczą siły, rozszerzać je należy...

W trzech ostatnich powieściach, Kraszewski wytknął dokładniéj, niż kiedykolwiek, drogę wiodącą ku temu celowi. Jakże niepodobna ona do ścieżek, po których niegdyś błąkali się poeci i marzyciele w powieściach jubilata! A jednak tu i tam przyświeca też sama gwiazda przewodnia: miłość kraju, prawdy, ideału, promieniejąca czystym blaskiem we wszystkich dziełach Kraszewskiego. To téż podziwiając talent i nadzwyczajną twórczość, które w szacunku publiczności wzniosły go tak wysoko, czujemy, że sercem, myślą i życiem pisarz nieoddalił się od ogółu, ani na chwilę, przez całe półwieku chlubnego swego zawodu.

D. Henkiel.

II.

1) „U babuni;“ 2) „Klin klinem;“ 3) „Pan na czterech chłopach;“ 4) „Z dziennika starego dziada;“ 5) „Serce i ręka;“ 6) „Ada.“

Ciekawym zaiste byłby obraz, podający krótko porównawcze zestawienie *treści* wszystkich powieści Kraszewskiego. Bezwątpienia znalazłyby się między niémi pewne nieuniknione analogie, pewne cechy pokrewne, które wprawdzie w obrobieniu odmienném przybrały odrębną indywidualność, ale ogółem biorąc, zadziwiłyby tych zwłaszcza krótkowidzów, którzy na życie i na człowieka patrząc powierzchownie, sądzą, że dusze wszystkich dałyby się podciągnąć pod jeden strychulec.

Nic więc dziwnego, że bezprzykladnie płodnemu przypadły kilkakrotnie pod pióro niektóre ogólne temata, wypływające z uczuć i namiętności człowieka, lub niektóre zagadnienia ściśle związane z bytem narodowym, przeszłym i teraźniejszym, albo wreszcie sprawy dotyczące życia naszego rodzinnego i spolecznego,—ale w tych razach—oprócz, jakeśmy rzekli, odmienności obrobienia, przypisać to trzeba wpływom chwili, pod wrażeniem których, autor uczuł moralną potrzebę wypowiedzenia swych poglądów. Tém, jakoteż temperamentem pisarskim, tłomaczyć się muszą niejakie sprzeczności lub powroty do tychże samych przedmiotów.

Wszakże—jeżeli się i zdarzają te bardzo rzadkie wypadki, to obiór tych przedmiotów świadczy zawsze o troskliwości obywatelskiéj pisarza, który nigdy niezapomniał, że zadaniem jego nie jest zabawka albo drażnienie nerwów czytelnika, lecz prawda, wyłaniająca się zwycięzko z zakrętów tajemniczych ludzkich namiętności i przykład, który tak bardzo naszemu społeczeństwu potrzebny.

Dla tego jeżeli w powieści: „U Babuni“ osnowa główna przypomina „Interesa familijne“, to jedynie o tyle, o ile i tu spodziewają się sutego spadku liczni a chciwi krewni, bliźsi i dalsi. Cała ta galerya rozmaitych figur kobiecych i męzkich, krążąca około bogatéj a tajemniczo milczącéj babuni, stawiająca sobie z każdego jéj słowa i ruchu, horoskop co do wielkości przyszłego zapisu, jakkolwiek przedstawiona barwnie dosyć i prawdziwie, nie wywołuje jednak tego wrażenia, jakie autor tak znakomicie—prawda, że odmiennemi środkami—wydobywa w „Interesach familijnych.“

Mniéj tu dosadnéj satyry, tak koniecznej do schłostania ohydnéj chciwości całéj czeredy zgłodniałych krewniaków, wyrzekających się wszelkich uczuć dla zdobycia grosza bez pracy. Jestto, rzeklibyśmy, szkicowany zaledwo obrazek obyczajowy, nie kuszący się wcale o efekt wielkiego płótna, a lubo wątpić nie można, że szkicowany z natury, nie przedstawia jednak téj pełni charakterów, téj świetności w chwytaniu szczegółów, a mianowicie tego psychologicznego rozwoju, którym się autor tak niepospolicie odznacza w tylu innych utworach, —że tu zacytujemy choćby „Adę,“ o któréj powiemy niżéj.

Prostota wreszcie osnowy, nie stopniuje ani nie potęguje zajęcia czytelnika, który radby mieć przed sobą walkę czy starcie się uczuć i interesów, tak jakto zwykle bywa w rzeczywistości—a ma tylko spokojny i rozsądny—za nadto rozsądny—tok opowiadania, którego nie podnosi nawet dyalog, śliczny zazwyczaj u Kraszewskiego.

Potrzeba nam tu jednak z konieczności, uczynić małe zastrzeżenie.

W tym ogromie prac, jakie Kraszewski, rzec można każdodziennie dokonywa, nikt z pewnością wymagaćby nieśmiał, ażeby wszystkie utwory jego, jaśniały równą doskonałością artystyczną. Muszą być pomiędzy niemi niektóre, niezupełnie równej wartości. Ale i te nawet --a do tych zaliczamy powieści: „U Babuni,“ „Klin klinem,“ „Cześnikówny,“ czytają się przyjemnie i zadawalniają zupełnie wymagania przeciętnego czytelnika. Tak w powieści: „U Babuni,“ jak i w „Klin klinem,“ spotyka się on z ludźmi rzeczywistymi, żyjącymi istotnie a nie na papierze. I czyny ich i słowa, nacechowane są prawdą i wiernością, tylko, że tym razem, ani te czyny, ani te słowa, niepozostaną na długo w pamięci czytelnika, bo autor nie tchnął w nie téj siły i nie oblókł ich w tę formę, jaka jedynie dziełu sztuki nadaje trwałość bytu.

Autor z pewnością jako prawdziwy artysta, wiedząc dobrze, że nie zawsze z równomiernem natężeniem talentu stwarza się dzieło, zna różnicę wartości utworów swoich;—wie dobrze, że gdy jedne pisał od ręki, jedynie z zamiarem wypowiedzenia natychmiast nasuwającéj mu się kwestyi lub przedstawienia pomysłu, tak jak mu się zarysował w pierwszych konturach,—w drugie, przelał wybuch swego zapału i natchnienia, z dołożeniem owéj klassycznej *ultima manus*.

Ale w obydwóch razach — wypełnił postawione sobie systematycznie a szerokie zadanie, niesienia zdrowéj myśli, pożywnego ziarna *jak najczęściéj*, w jak najdalsze strony i w jak najgęstsze massy czytelników, których rozmaity stopień rozumienia i uzdolnienia, rozmaitego téż wymaga pokarmu. To wielkie zadanie,—powtarzamy—, które nam w części wytłomaczy niezmordowaną wytrwałość Kraszewskiego w ciągłém tworzeniu, sprawiło téż to, że on pierwszy z pośród naszych pisarzy, stał się tak rozpowszechnionym i popularnym, że jego pierwszego, znają wszystkie klassy naszéj społeczności, więcéj i mniéj ukształcone. Wykwintny znawca wié, którą powieść ma wziąść do ręki i pieścić się nią jak artystycznie wykończonem dziełem, zadawalniającém i poczucie jego estetyczne i myśl, szukającą téj lub owéj zagadki psychicznéj— ale spracowany, ukształceńszy rzemieślnik, znużony urzędnik, rolnik czy kupiec, kiedy pragnie wieczorem odetchnąć i umysł odświeżyć, otwiera pierwszą lepszą powieść Kraszewskiego i czyta z prawdziwą przyjemnością, bo się spotyka z rzeczywistymi ludźmi, i czyta z zaciekawieniem, bo sprawy świata, nad któremi niema nigdy dosyć czasu zastanowić się głębiéj, rozwijają się przed jego okiem tak naturalnie, jakby on sam—tak mu się przynajmniéj zdaje — rozwiązać je chciał i umiał. Tento wielki przymiot naturalności i prawdy, nadaje taką poczytność wszystkim bez wyjątku Kraszewskiego powieściom.

Bo czyż nie jest wielce naturalną sytuacya w „Klin klinem“? Piękna, fantastyczna i na pozór poetyczna kobieta, a w gruncie egoistka bez litości, niezadowoloną jest z zacnego i rozumnego ale chłodnego męża. Dla czego — sama nie wié. Nie lubi go, wstręt do niego czuje jak romantyczna *l'âme incomprise*, marzy o czémś innném, wznioślejszém, a więc pragnie uciec z jego domu, ale nie sama, tylko w towarzystwie urodziwego, łagodnego i bogatego młodzieńca, Bernarda.

Ten—jak zwykle zakochani pierwszą miłością — gotów do wszelkich poświęceń. Z ślepą wiarą w jéj męczeństwo i w jéj wyższość, sprzeciwia się nawet woli matki którą czcił dotąd i postanawia żyć dla niéj, pracować i cierpiéć dla niej. Lecz wkrótce — gdy już ta pani zdala jest od męża i gdy się zaczyna dotkliwie długi szereg szykan rozwodowych — zamieniają się role. Nie ona jest ofiarą—bo nią nigdy nie była, ale jéj drugą ofiarą staje się idealny kochanek Bernard. Dziwi się ona sama sobie, że w nim się zakochać mogła, zwłaszcza, gdy on teraz majątkiem swym rozporządzać niemoże, ale przestaje się dziwić na dobre w chwili, w któréj oświadcza się o jéj rękę, ordynaryjny, brzydki i głupi, ale bardzo bogaty konkurent. Bernarda wyrzeka się z taką samą łatwością, jak się przedtém wyrzekła męża. On tylko znosi męczarnie i znosiłby je bez końca, gdyby nieposłuchał zdrowéj rady i nie zakochał się w swéj kuzynce, przekonawszy się przedtém naocznie, jak pospolitym i samolubnym był ideał pierwszéj jego miłości.

Klin przeto na klin pomógł tu znakomicie, lecz pytanie, czy zachowawszy to samo tło, to samo rozwinięcie, a nadawszy tylko charakterom tym, większą siłę i namiętność, tak w złém jak i w dobrém,—czy rzecz ta mogłaby się była rozwiązać tak praktycznie i tak pokojowo? Czy taki zawód w najgorętszych i najczystszych uczuciach, młodego, niezepsutego człowieka, kończy się zwykle— nie goniąc tu bynajmniéj za przesadnemi efektami—w sposób tak rozsądny, i tak chłodny wysuwający morał? Czy wreszcie ko-

biety tego rodzaju, co Seweryna, chociaż osięgają to, czego chciały, to jest wielką swobodę przy dużym majątku — a co one zwały poezyą usposobienia—wypuszczają tak łatwo ze swych szponów, wielbicieli? Z przykładów rzeczywistych wnosićby można, że nie pozwalają im na to: miłość własna, egoizm, jako też pewna wrodzona im demoniczność czy logika zepsucia. Albożczcigodny autor, nie dał nam znakomitych kilku typów tego rodzaju, w innych swych powieściach?

Próbkę demonicznéj namiętności, widzimy w powieści p. t. *Cześnikówny*. Namiętnością tą jest zemsta,— zemsta niezwykła, sroga, nieugaszona, trochę hiszpańska;—a wywołana doznaną ciężką krzywdą.

Uwodziciel, majętny syn obywatela ziemskiego, skorzystał niegdyś z sieroctwa dwóch sióstr, przytulonych u jego matki, i uwiódł obie. Jednéj wykradł dziecko—nieszczęsna poszła w świat na tułaczkę i przepadła—druga zeszła na nędzę i pijaństwo—z rozpaczy. Niegdyś piękna, z dobrego domu i dobrze wychowana, dziś na pół—obłąkana, w łachmanach, tańczy przed szynkiem w otoczeniu gapiącego się tłumu. Ale mimo pijaństwa i szału, zemsta pali jéj duszę. Uwodziciela, który mieszka w tych okolicach, prześladuje od lat wielu ciągle i wszędzie, samém już swojem pojawiéniem się, śmiechem i przekleństwami. Życie mu zatruła, bo ten uwodziciel, nazwiskiem Skórski, ani się ożenić, ani między ludźmi pokazywać nie śmié. Raz nawet w nocy, nastraszyła go, gdy jechał konno przez las. Spadł z konia i zachorował niebezpiecznie. Wyleczywszy się, pojechał do Warszawy, sądząc że tam spokój znajdzie. Ale i tam odnalazła go Cześnikówna, która o żebraczym chlebie przywlokła się za nim. W Warszawie też zetknął się pan Skórski, żałujący „młodzieńczego grzechu", z drugą cześnikówną, która po mnogich awanturniczych przygodach, została żoną jakiegoś tajemniczego generała i awanturnika na wielką skalę, Hochwarta.

Tu się poznają obie siostry — żebraczka i wielka pani. Wspólnemi siłami postanawiają obalić wspólnego wroga.

Tragicznie zawiązany węzeł, tragicznie się rozwiązuje. Biedną Cześnikównę zabija Skórski w przystępie uniesienia wystrzałem z pistoletu;—zabójcę oddano pod sąd.

Dotąd cała ta historja lubo nadzwyczajna trochę, urokiem swym dramatycznym, trzyma na uwięzi; dalszy jéj ciąg a raczéj *zakończenie*, mające być expiacyą uwodziciela za pośrednictwem odnalezionéj córki, mniéj się wydaje prawdopodobne, może dla tego że autor wykonał je zbyt pospiesznie.

Rzecz czyta się jednakże z zajęciem, a kara za zbrodnię i pokuta poniesiona za nią, niezawodnie uderzy zbawiennie świadomość, mniéj dbających o finezye i konsekwencye psychologiczne.

Z rzeczywistą téż przyjemnością, czytamy historyą szlachecką z XVIII w. p. t. *Pan na czterech chłopach*. Anegdota ta powieściowa, obyczajowo-historyczna, z owych czasów, gdy możnowładca w Polsce, choćby się nazywał Flemmingiem, trzymał w ręku swém los człowieka i to do tego szlachcica, i to trzymał tak, że mógł postąpić, jak chciał, jak mu podyktował chwilowy kaprys,— napisaną jest nietylko niezmiernie żwawo i pociągająco, ale nadto z tem mistrzowstwem pędzla, który koloryt epoki Sasów, tak już znamienicie odtworzył w szeregu powieści: *Brühl*, *Hrabina Kozel*, *Siedmioletnia wojna* i *Starosta Warszawski*.

Często z takiéj ubocznéj przygody dworu „królewiątka" możnowładcy polskiego, lepiéj można poznać stosunki obyczajowo-społeczne ówczesne, aniżeli z grubéj, obszernemi cytatami zaopatrzonéj rozprawy. Jedna scena sejmiku prowincyonalnego, którą tu autor przedstawia, maluje nam znakomicie wszystkie węzły trzymające wielkich panów z zamożną i drobną szlachtą, wszystkie namiętności i gniewy lokalne i wszystkie ówczesne uprzedzenia, wyobrażenia i poglądy.

Flemming, choć był obcym possesyonatem na téj ziemi i senatorem, przecież wnet przesiąknął dobrémi i złémi stronami innych „paniąt", a wymawiając źle po polsku, znał jednak tak dobrze szlachtę, jak gdyby ród jego od wieków w Polsce był osiedlony.

Te obyczajowo-historyczne gawędy, zawdzięczamy od czasu, gdy Kaczkowski pisać przestał, jedynie Kraszewskiemu, który widocznie w przerwach pracy swéj, przy znanym cyklu wielkich powieści historycznych, pisze je sobie *con amore*, dla wytchnienia.

Umyślnie zostawiliśmy na koniec, trzy dalsze powieści, bo odróżniają się one treścią swoją, prowadzeniem i formą, niepospolicie od poprzednich. Zaczniemy od najdrobniejszéj, liczącéj zaledwie 68 stronnic, a przecież mogącéj być nazwaną arcydziełem *sui generis*.

Tytuł jéj: „*Z dziennika starego dziada*".

Przeczytawszy tę książkę, jak to mówią „jednym tchem", doznaje się wrażenia rzewnego i smutnego.

W dzisiejszych czasach, w których wszystko tak przesiąknięte zwątpieniem i pessy-

mizmem, że sobie 10-cio letnie chłopcy w łby strzelają—znaleźć opowieść prostą i prawdziwą, a tchnącą najszlachetniejszym, idealnym prawie a przecie ludzkim optymizmem, należy do wydarzeń niezwykłych, ale zarazarazem i pocieszających. My—dzieci zużone naszéj przejściowéj, jak chcą niektórzy, epoki—szczęśliwi, jesteśmy, gdy na chwilę chociaż uwierzyć nam wolno w pogodę duszy, w harmonijny, nie epikurejski i nie horacyuszowski pogląd na świat, lecz pełen głębokiéj wiary w odwieczne prawa moralne i religijne. I wszystko nam jedno, że nam tę uciechę daje człek maluczki, nieolśniewający ani sławnémi przygodami swego życia, ani reflexyami filozoficznémi; dosyć, że widzimy w nim duszę, zdolną czuć, jak każda najpiękniejsza, a cierpiéć z rezygnacyą pogodną, jak mało która.

Pan Gabryel Kalasanty Rzempiński, ongi porucznik, pisze swój pamiętniczek. Człek to oczywiście staréj daty, nieznający gorączkowych pragnień i niepokojów doby bieżącéj, taki téż chyba tylko zdobyć się może na życie pełne uweselenia, choć skromniuchne i ubożuchne. Sam téż się charakteryzuje témi słowy: „Samiuteńki jeden jak palec na świecie całym! siedem krzyżyków, zgarbione plecy, włosów omal, sił niewiele a w sercu?—pustki? Nie. Gdy się nie może żywych, kocha się umarłych, a ci żywi, jak mi Bóg miły, nie tak są znowu źli i czarni, jak ich tam malują“.

Staruszek ten uregulował sobie życie, jak zegarek. Czyny jego skromne, niepozorne, a mimoto w każdym dojrzysz serca, przepełnionego miłością dla wszelkiego boskiego stworzenia, czy ono człowiekiem czy zwierzęciem.

Mieszkając na poddaszu, samotny, bez opieki na stare swe i schorzałe lata, znajduje sobie światek, do którego gwałtem przywiązać się pragnie, bo kochać kogoś i coś musi. Więc rzuca kawałek cukru w kąt dla „znajoméj myszy“, która po niego regularnie przychodzi. Po tem wychodząc ze Mszy XX. Dominikanów, daje równie znajomemu sobie dziadowi grosz, także z tą samą regularnością, co cukier myszy. Zna on odwiedzających kościół o téj rannéj porze. Potém jada obiad bardzo lichy, ale zaraz tłomaczy i uniewinnia, że za mały grosz trudno wymagać bażanta.

Lecz cóż się dzieje z tą myszą? Pod dniem 17 Maja, pisze strapiony: „Mojéj myszy dziś nie było ani słychać ani widać... czy niezdrowa? interesa jakie familijne, czy uchowaj Boże, ten kot bury jéj nie schrupał?“ Tego téż jednego zbójcy kota niecierpi, ale go pocieszają trochę wróble, które się wszystkie stawiły do apelu. „Te miejskie wisusy, czyste łobuzy uliczne.... miasto działa na wróble“. I o nie boi się burego kota. Stróż w tym domu, gdzie mieszka, umarł. Gospodarz przyjął jakiegoś obdartego chłopaka, niepodobnego do ludzi. Obszarpane to, zamorusane, napół-dzikie, ale i tak pan porucznik miał od razu do niego pewną słabość, może właśnie dla tego, że chłopczysko takie biedne i obdarte. Chciał go pogłaskać, ale niepodobna się dotknąć, taki brudny. Chłopiec ten, którego nazwano „Czupurnym“, często odtąd rozmawia z nowym swoim panem, który niechce już dawać jeść obcym myszom,— idącym w ślad za tamtą starą lokatorką, „bo ten Czupurny, bywa, jak powiada, głodny“. Porucznik zaczyna się rozpytywać o rodowód tego chłopca, chciałby z niego powoli zrobić człowieka, témbardziéj, że on się go trzyma wiernie, gdy tymczasem wróble i myszy gdzieś zdezerterowały. Kupuje mu buty, ale pod warunkiem, że się będzie uczył czytać.—Gdy zacznie syllabizować, dostanie inną sztukę ubrania.

Pan porucznik zna dużo ubogich i nieszczęśliwych ludzi, — ot i jakiegoś lekarza bez praktyki Sulzera, bardzo uczonego i poczciwego człowieka, choć się trochę napija.

„Ale—Boże miłosierny, człowiek co żadnéj w życiu pociechy niema, że z despéracyi szuka w kieliszku chwilowego szczęścia błysku, siły do życia, czyż go zaraz za to potępiać?“ Przez niego i przez straganiarkę, która znała matkę Czupurnego, dowiaduje się sekretów jego rodzinnych, i z ich pomocą ma nadzieję chłopcu dopomódz. Ale cóż, kiedy Czupurny, trochę się poduczywszy, drapnął od swego dobrodzieja! Sulzer téż przyznał się porucznikowi, że ostatkami goni, trzeba mu było pożyczyć dukata. Ale ot—gdy wracał ze Mszy, patrzy, wlecze się psisko skowycząc i kulejąc. Trzeba go było przytulić i wyleczyć. Pies jednak wylizawszy się, drapnął tak samo, jak Czupurny. Pewnego dnia wszelako, złapał porucznik chłopca na ulicy i przytrzymał— nagadawszy mu, żeby się porządnie prowadził,—puścił, a ten téż uciekł co tchu, ale pan porucznik miał tyle przezorności, że mu przedtém powiedział, gdzie go może znaleźć w razie jakiéj biédy.

W trakcie tego gospodarz, u którego mieszkał, tak go nudził i męczył,—według pana porucznika: tak go bawił i mile przyjmował, — że każdemu na świecie wierzący pan porucznik, zaoszczędzony jedyny swój

kapitalik u Potockich, oddał mu na procent. A tu akurat Sulzer rozchorował się i umarł. Trzeba mu było, napielęgnowawszy go, pogrzeb sprawić. Aż pewnego dnia dowiaduje się, że ten gospodarz jego, zbankrutowawszy, uciekł za granicę, co znaczyło, że cała chudoba porucznika od razu przepadła. Pan porucznik był sam stale przekonany, że to plotki, ale po tém utwierdza się, że „istotnie *biedni* zbankrutowali“. Co robić? Prawnik objaśnił, że skrypt na nic się nie przyda. Ha!—gdyby iść za gumiennego, nogi ma jeszcze i oczy, do dozoru posłuży.

Zaczyna się nie biéda, ale nędza. Z mieszkania swego wyniósł się, bo nie miał czém płacić;—poczciwa stara przekupka, dala mu przytułek za małą bonifikacyą. Rzeczy i garderobę sprzedał; odtąd jé tylko chléb i czasem co ciepłego, bo: „regularne objady, to niedobre nawyknienie“ a apetyt, swoją drogą, ma ogromny, wszystko mu pachnie. Jednak sygnetu ojcowskiego nie radby sprzedawać.... tylko, że może gwałtowna potrzeba zmusi. Roboty téż żadnéj znaleźć nie może, wszędzie go odprawiają dla tego, że stary. Ale to nic. Od czegóż Opatrzność, tylko co jéj nie widać. A potém ileż ta biéda pociech mu zsyla, bo oto przekonał się, że Czupurny chciał mu dopomódz datkiem, a lubo on tego nieprzyjął, bo na cóż mu to, lecz jakiż ten chłopak ma serce! A i ta przekupka, gdérliwa, kwaśna, ale co za dusza, jaka dla niego opiekunka!

W Listopadzie zauważył pan porucznik, że trochę zimniéj na świecie, ale zreperował sobie stary surdut i znowu się przekonał, jakie to są korzyści z ubóstwa!— *gratiae status*, człowiek sam sobie radzi.

W alkierzu co prawda trochę duszno i mokrawo, czasem stare piersi ledwo tém powietrzem oddychać mogą, ale pieścić się nietrzeba. Gdyby tak dało się co zarobić, z serca zdjęłoby się pychę szlachecką i poruczuikowską. Siły jeszcze się kołaczą, tylko nie wiele się umie. Pan porucznik spotkał się raz na ulicy z dawnym swym kolegą wojskowym, Rożniakiem. Serdecznym się okazywał ten kolega, zwłaszcza, że przypuszczał, jako pan porucznik ma swój kapitalik i nikogo niepotrzebuje. Otóż rozochocony zaprasza porucznika na obiad. Ogarniają skrupuły p. porucznika, niechciałby mu się przyznać, że jest teraz bardzo ubogi, ale tak dawno objadu nie jadł,... no.... a wreszcie, wszak go niezrujnuje?

O czem się na tym obiedzie nie nagadali! Rożniak mu przypomniał Paulinkę, którą rodzice zmusili do pójścia za mąż za kogo innego, a ona tylko porucznika kochała i teraz jeszcze—wdowa bezdzietna, wspomina go zawsze z rumieńcem.

Rożniak prosi go do siebie na wieś, przekładając, że wieś zdrowsza i tańsza od miasta; skoro mu jednak srodze strapiony porucznik, wyjawił szczerze swoję ruinę, Rożniak pomięszany niemało, przyznał skwapliwie, że i miasto ma zdrowe powietrze.

Ale od 10-go Grudnia „zabawna znowu historya“. Szedł p. porucznik przez Dynasy, w tem spotyka człowieka z piłą pod pachą, który popatrzywszy nań, proponuje mu wręcz, czyby się niezgodził z nim drzewa trzéć? Z początku to jakoś dziwnie wzruszyło p. porucznika, aż mu krew do do głowy pchnęła, ale się jednéj chwili opamiętał. Choćby i to, że „biednemu człowiekowi dopomogę w ten sposób do zarobku“.... Niestety! nazajutrz musiał się położyć i trapił się, że swoją chorobą „majstrowéj zrobi przykrość“. Coś mu bardzo niedobrze, w głowie się jakoś kręci, w ustach zasycha.... miałożby to być oswobodzenie?

Było to istotnie oswobodzenie.

Na tém pamiętnik urywamy.

Zdaje się nam, iż czytelnik nieżałuje obszerniejszego streszczenia téj prześlicznéj kompozycyi, którą trzeba przeczytać całą, ażeby zrozumieć jak prostemi środkami wywołuje się wrażenia podniosłe. Autor ukazał tu znowu lwią siłę, swoją potęgę w artyzmie, mocą *któréj* z tematu, ktoregoby się dla jego zwykłości nie jęło stu innych, stworzył coś nietylko pięknego formą i treścią, ale i głębokiego.

Ten porucznik, człek cichy, przepełniony miłością bliźniego, pobłażający zdrożnościom i występkom ludzkim, bo wgląda w ich przyczyny, nie jak ów Cezar-filozof „który wszystko przebaczał, bo wszystko zrozumiał“, ale jak prawdziwy chrześcianin, — nienarzekający i nie przeklinający nawet wtedy, gdy znękany nędzę cierpi i opuszczenie, przebaczający zawsze i wszędzie widzący dobre tylko, a we wszystkiem, mądrze urządzone wyroki Opatrzności, czyż nie jest typem, którego znękany duch nasz łaknie, za którego rzeczywistością w życiu tęskni? Jakże dziś o ludzi takich trudno,— jakże dziś trudno o optymizm w nieszczęściu! Dla tego tak trafnie wybrał autor na typ tego rodzaju, człowieka niedzisiejszego, lecz czasów dawniejszych, gdy życie niewydawało się jednem tylko pasmem udręczeń, ale drogą wiodącą w lepszy świat, ale ciągłą tęsknotą i ciągłem przedzieraniem się do ideału, choćby po cierniach najcięższych obowiązków trudów i poświęceń!—

Niejednokrotnie zastanawiać się nam przyszło nad Nemezis powieściową, która ograniczała się prawie zawsze dotąd na nagrodzie cnoty a ukaraniu występku. Zazwyczaj autor każdy, tak dalece ulegał wymaganiom czytelnika, chcącego przynajmniej w książce znaleźć to, o co w rzeczywistości trudniéj, że wbrew bystrości swéj spostrzegawczéj, wbrew doświadczeniu a nawet regułom sztuki, kończył zawsze uszczęśliwieniem prześladowanych i cierpiących, a pognębieniem złych i winnych(*).

Dzisiaj się to zmieniło. Autorowie trzymając się wierniéj realizmu, rozporządzają losami bohatérów, tak jak niemi zazwyczaj życie — którego powieść powinna być odbiciem—rozporządza. I zakończenie takie zadowolnić musi głębiéj wnikającego czytelnika, bo w tym rozbracie zasługi ze szczęściem, cnoty z nagrodą, w téj ironii przeznaczenia, stara się on dopatrzéć logicznego związku albo logicznéj przyczyny. Prawda, że ta przyczyna na pozór jest zakrytą, często niewidzialną i aż skłaniającą do fatalistycznych pojęć; zbadawszy wszakże do dna niejeden ludzki stosunek, niejedno życie zmarnowane, dopatrzéć się można téj ukrytéj sprężyny, leżącéj najczęściéj w samém usposobieniu pxychiczném czy moralném człowieka. Bardzo często krok jeden fałszywy lub miękkość charakteru, lub uleganie wpływom, odrzucanie rad rozsądku czy woli, powoduje cały szereg wiążących się ze sobą następstw, niezdolnych zatrzeć pierwszego błędu czy winy.

W życiu codziennem giną te głębsze przyczyny dla zwykłego spostrzegacza, chcącego następstwa swego błędu przypisać wyrokom niezbadanym, atoli w powieści dobréj, mimo że nie są moralizująco wskazane przez autora, albo je odgadnie albo je sam sobie dopowie.

Jeżeli w „*Dzienniku starego dziada,*“ zadumać się nam przyszło nad niedolą szlachetnego bohatera, szukając przyczyny jéj w niedostrojeniu się do praktycznych prądów epoki innéj, aniżeli była ta, w któréj się wychował,— w czém może właśnie tkwi ironia autora, — to w powieści *Ręka i serce*, nie zostawiono nic naszéj zadumie, gdyż pojmujemy dobrze, że dole i niedole rozlicznych bohaterów musiały wypaść tak a nie inaczéj. Charaktery ujemne w téj powieści, czynią wszystko, co trzeba, ażeby sobie zapewnić powodzenie materyalne, o które wyłącznie im chodzi—a przecież się zawodzą i odnoszą zasłużoną karę dlatego, że nawet w rachubie cynicznosamolubnéj, niemożna lekceważyć tak pogardliwie, pewnych wpływów i pobudek moralnych.

Charaktery zaś te—narysowane z niepospolitą siłą w odcieniach szczegółowych, odznaczają się jeszcze istotną oryginalnością, co nie jest tak łatwém wobec tematu tak już wyzyskanego, jakim jest zdobywanie bogatego wiana.

Oryginalność tę posiada nietylko młody pan Zygmunt Dobiński, właśnie ów pretendent, ale przedewszystkiem sprawca tych zabiegów o pannę i posag, ojciec jego, pan szambelan.

Jest-to figura, jedna z najznakomitszych z powieści Kraszewskiego. Wzięta niestety żywcem z rzeczywistości, nazwaną być może słusznie typem owych parweniuszów bez czci, sumienia i narodowości, którzy wyrastają na gruncie rozbitego i pozbawionego publicznego swego bytu, społeczeństwa.

Przestali wierzyć we wszystko, co nie jest pieniądzem. Dla zdobycia go, gotowi na wszelką zbrodnię moralną, byle nieobwarowaną paragrafem kodeksu kryminalnego.

Niema intrygi, poniżenia się, serwilizmu, zdrady, któryćhby się natychmiast, niepojmując nawet skrupułów, nie podjęli, gdyby im za to zapłacono; honor, godność, sumienie, kraj, rodzina, są dla nich tylko frazesem zgoła, o tyle potrzebnym o ile się da skapitalizować. Autor bardzo umiejętnie zeszkicował tu kilku przodków szambelana, ukazując niejako dziedziczność téj chciwości nikczemnéj, a czyż mało mamy takich rodzin *nowych*, których założycieli przyrównać można do sępów, żywiących się ciałami poległych!

Szambelanowie tego pochodzenia z dewizą: *Chapeau bas, marquis Carabas*, przynoszą hańbę każdéj społeczności, za nimi stoją całe zastępy drobnych aspirantów do mniejszych i jak najmniejszych zaszczytów i synekur, opłacanych wyrzeczeniem się wszelkich przekonań.

Szambelan Dobiński jednak, tak jak jego ojciec, mimo ciągłéj gotowości do podłych usług, mimo wytężenia wzroku i uszu w te strony, w którychby się sprzedać można było, majątku ani karyery niezrobił —

(*) Starożytni jasność swoich intencyi w téj mierze doprowadzali, rzeczby można, do naiwności, a jednak te reguły poetyczne uważano i wtedy, i długo jeszcze potém, za trafne. Tak naprzykład, bohaterowi dodatniemu użyczali nietylko dzielności i szlachetności, ale i urody fizycznéj, chcąc, ażeby cnota mile głaskała oko. Zbrodni zaś dawano cechy odrażające zewnętrznie. U Homera Achilles jest piękny, podły Thersites brzydki. Przystawało to do uczuć i świadomości czytelnika, a raczéj do jego sumienia.

i oto co mu spać niedaje, co go czyni takim chytrym i czujnym na wszelką sposobność. Lecz ją nareszcie zwietrzył i dlatego czemprędzéj przywołał do siebie na wieś, wycierającego kąty za granicą, jedynaka swego Zygmunta.

Na niego liczy, jak na jedyne i ostatnie podźwignięcie fortuny rodzinnéj. Zna on go dobrze, wié, że to młodzian wytrawny, wyćwiczony we wszelkich figlach i podstępach romansowych, z sercem pustem i chłodnem a głową obliczającą tak, jak on sam. Pokrótce go przeto informuje, że w domu radcy z Brzezia, potomka starożytnéj rodziny i wielkiego bogacza, znajduje się córka lat dwudziestu kilku, piękna i ukształcona, ale któréj rodzice mimo największych starań, wydać za mąż niemogą. Niemogą zaś dlatego, że panna zawsze w ostatniéj chwili odmawia. Przyczynę odmowy zna pan szambelan i na niéj opiera jedynie plan swój. Przyczyna ta jest tajemnicą dla świata, lecz nie dla jego lisiego węchu.

Oto, w życiu panny Olimpii, wydarzył się przed laty dziesięciu, wielki skandal według wyroku świata gdyby o tém wiedział, a według opinii ludzi dobrych: tragiczna przygoda. Ojciec jéj, ożenił się na swe nieszczęście, z kobietą piękną, ale lekkomyślną do najwyższego stopnia. Dopóki Olimpia była dzieckiem, bawiła się matka z całą swobodą rozpieszczonéj królowéj, wodząc za sobą rój wielbicieli; gdy córce było lat 18, wywiozła ją do Drezna, niby dla dokończenia jéj edukacyi. Mąż zamykał oczy na wszystko, bo chciał uniknąć szkodliwego rozgłosu dla swego nazwiska i dla swéj jedynaczki.

Ale tam w Dreznie stała się przygoda, o któréj on na swoje nieszczęście niedowiedział się, gdyż żona utaiła ją przed nim umyślnie. Muzyk czech rodem, nazwiskiem Bratanek, zrobił furorę swemi koncertami. Pani radczyni odrazu się w nim zakochała, i pod pozorem dawania lekcyi córce, wciągnęła do swego domu. Był to mężczyzna bardzo przystojny, a co ważniejsza, człek szlachetny. Nieodpowiedział afektem na amory staréj radczyni, ale w dziewczęciu, choć się długo bronił, zakochał się szalenie. Ona w nim także, z zapałem młodości, z namiętnością właściwą jéj temperamentowi i z wiarą w człowieka, idealnie pojmującego życie i kobietę. Może wiedziała, że w matce ma rywalkę, dosyć, że pewnego dnia zniknęli oboje— na długo i bez śladu. Z wielkim dopiero trudem, udało się przerażonéj matce odnaleźć córkę gdzieś w głębi gór czeskich, lecz oderwawszy ją gwałtem, przywiozła do kraju kobietę złamaną, apatyczną i nieszczęśliwą.

Na téj przygodzie bolésnéj i smutnéj oparł właśnie szambelan wraz ze swoim godnym synkiem, całą spekulacyą i pewność udania się jéj. Synek dostawszy języka, odgadłszy charakter matki, zrozumiał że, córkę radaby wydać za mąż jak najprędzéj, ojciec także, choć tylko dlatego że córka ma już lat 29; chodziło tylko o pannę samę, która krwawą swoją ironią, dumą nieprzejednaną i uporem, trzymała dotąd zdała od siebie wszystkich śmiałków.

P. Zygmunt jedzie na zwiady w sąsiedztwo, bierze tu dzierżawę i zwolna dociera do twierdzy.

Cała ta historya jego strategii, zabiegów dyplomatycznych, chytrych a bezczelnych, opisana z niezmierną werwą,— a już scena, gdy p. Zygmunt zostaje przez rodziców z radością przyjęty i potrzeba jeszcze tylko zezwolenia saméj córki, porywa dramatycznością i prawdą. Olimpia znękana i przygnębiona, ulega głównie woli ojca, bo jego bardzo kocha i szanuje, ale pod tym jedynie warunkiem, że opowie najotwarciéj przygodę swoją narzeczonemu i że naloży sama pewne warunki. Od tego nieodstępuje, mimo gorących zaklęć matki, iżby przeszłość zataiła. I oto kiedy goście zaproszeni na ślub, czekają w przyległym salonie, już tylko na narzeczoną, która się niezjawia,— narzeczony idzie do niéj i tam słyszy słowa, pod któremi każdy człowiek z honorem, ugiąłby się ze wstydu. On jednak przyszedł tu po to, żeby dobić interesu.

Mówi mu ona w oczy spokojnie i chłodno, że dla niego nigdy żoną niebędzie, tylko z nazwiska, że przy ślubie musi jéj włożyć na palec ten pierścionek, jaki dostała od jedynego człowieka, którego kochała, kocha i kochać będzie do śmierci. P. Zygmunt na wszystko się zgadza, bełkocząc, że liczy na przyszłość. I z téj illuzyi wywodzi go ona, kończąc swoją spowiedź, tryskającą teraz jeszcze, głębokiem i prawdziwem uczuciem.

„...... Wychowałam się przy matce za granicą.. miałam lat 18, serce dziecka, wiarę dziecka, nieświadomość świata dziecinną. Uczyłam się muzyki.... nauczycielem moim ostatnim był młody człowiek, człowiek genialny, człowiek godzien tego imienia, szlachetny, pełen prawdziwéj poezyi w duszy... piękny jak anioł, biedny jak wyrobnik, zacny jak bohater.. kochaliśmy się, rajskie to były chwile! z nim raz w życiu sięgnęłam niebios, ażeby wpaść do piekła. Chcia-

łam mu się poświęcić, narzuciłam mu się gwałtem, zmusiłam go, ażeby mnie uwiózł... Długo niemieliśmy żyć z czego — postanowiliśmy być szczęśliwi choć dni kilka i umrzeć razem. Uciekłam z nim od matki w głąb jego kraju, do ubogiéj chaty w wiosce, w któréj się urodził... O! te dni szczęścia, nigdy niezapomiane, niepowrotne nigdy... kupiliśmy dwie trumny wysłane kwiatami, które stały w drugim pokoju, i tak żyliśmy między niebem a śmiercią.“

Po téj najszczerszéj spowiedzi, Zygmunt jéj przerywa mówiąc, że o tém dawno wiedział.

Zdawałoby się, że to zbyt jaskrawe, a jednak życie uczy, że to tylko prawdziwe.

Jadą więc nowożeńcy, tak fatalnie związani ze sobą, za granicę. Wszyscy im zazdroszczą. P. Zygmunt ufny w posiadanie, w upływ czasu, w słabość Olimpii jako kobiety, ale się wnet gorzko zawodzi. Zatrzymali się w Dreźnie.

Tu spotkała się Olimpia ze swą dawną przyjaciółką, hrabiną Klarą, rozwódką. Doskonale narysowany ten typ kobietek wietrznych, światowych, zawsze wesołych, zawsze trochę zakochanych, wiecznie kierujących maleńką intrygą miłośną, jeżeli nie swoją, to cudzą.

Klara dowiedziawszy się całéj historyi życia Olimpii, chce ją leczyć najpierw rozrywkami, w którychby naturalnie mąż nie brał udziału. Przezto właśnie da mu się uczuć, że jest tylko lepiéj płatnym kammerdynerem.

Zaczynają od pójścia na jakiś wielki koncert.

I tu, trafem szczególnym—poznaje w występującym na estradę, Bratanka.

Niepodobna nam opisywać dalszych lubo ciekawych przygód, powiemy tyle tylko, że Klara ułatwia widzenie się przyjaciółki z dawnym kochankiem, że mąż zaczyna cierpiéć męki poniżenia, obawy o stratę wraz z żoną, posagu, a nawet męki zazdrości— że nareszcie dawni kochankowie uciekają. Olimpia dotrzymuje tego tylko, co wręcz najotwarciej zapowiedziała mężowi swemu przed ślubem, w owéj sławnéj rozmowie.

Ostatnia iskra lepszych uczuć — jak chce autor— zadrgała w Zygmuncie. Z wielkiéj zgryzoty, widząc się tak zdeptanym, zachorował śmiertelnie: logiczniéj z jego charakterem wydałoby się nam, że powodem téj choroby była ogromna strata w interesach materyalnych, dla których poświęcał wszystko, co człowiek poświęcić może.

Przyznać musimy, że z chwilą téj choroby, postać Olimpii w dalszym ciągu powieści, mniéj się staje sympatyczną; być też może, że gdyby Zygmunt niezachorował, ale z całą konsekwencyą, takich jak on charakterów, szedł daléj, powieść zyskałaby na zajęciu, a co ważniejsza, na psychicznéj prawdzie. Jest bowiem pewien rozłam między p. Zygmuntem nakreślonym ostremi a wydatnemi rysami przed ślubem, a p. Zygmuntem po ślubie. Ten drugi wychodzi ze swego charakteru, bo choroba jego następstwem jest uczucia wstydu, którego przecież niemiał ani krzty wtedy, gdy z miedzianym czołem słuchał wyznania Olimpii i zgodził się na nie.

Tacy ludzie mają jeden cel przed oczyma— pieniądz, a gdy dla niego raz poświęcili wszystko, co się zwie szanowném i zacném, to późniéj przy pierwszém niepowodzeniu, gmatwają się tylko i brną daléj, ale niezwracają już nigdy do uczuć czystych. Daleko trafniéj zdawałoby się nam, gdyby autor wyraźnie był zaznaczył, że Zygmunt zachorował z gniewu i rozpaczy niepowodzenia, a nie z przyczyny moralnéj i snać czuł to autor dobrze, skoro w końcu wyrównywa jego charakter, każe mu się znów starać o posag jakiejś angielki.

Jakże za to konsekwentnie i prawdziwie, odbija się przy swoim synu pan szambelan! Zastawszy go jeszcze chorego w Dreznie, nierozczula się nad nim, nie bije się w piersi, ani nie miewa snów niespokojnych, jak tego wymagałoby złe sumienie, ale pali mu kazanie téj treści: „...Być może, że w tem i mojéj winy jest trochę; ale grając o tak wielką stawkę, *niewstyd się i pośliznąć.* Cóż u licha! przypatrz się małżeństwom pierwszych naszych rodzin, wejrzyj w pożycie, które nikomu nie jest tajne... spotkasz się z mnóstwem takich przygód, których rozsądni ludzie tak tragicznie nie biorą... *Główna rzecz, by człowiek niezawisłość sobie wyrobił i majątkową podstawę—reszta! kto tam na to uważa.* Abdykować niegodzi się nigdy!“

Jest-to język zrozumiały dla wszystkich szubrawców, język którymby niepotrafił przemówić prosty rzezimieszek. Pan szambelan téż targuje się do ostatka. Wtedy już i gdy się zrzec musi powrotu Olimpii, do syna,— bo ojciec jéj, dowiedziawszy się teraz o wszystkiem, łączy ją z pierwszym kochankiem — chce przynajmniéj wydrzeć jak najwięcéj. Dostaje sporą summę odstępnego dla syna, pod warunkiem, że obaj, cicho siedzieć będą.

I oto, jak dawny wilk pokazał swe pazury. Ten Zygmunt, który zachorował ze zgryzoty moralnéj, targuje się teraz znowu ze swoim ojcem i oszukuje go na odebranéj summie, niedawszy mu tego, co przyobiecał.

Widzimy więc, że temat na pozór tak znany, obrobiony został w nowy i oryginalny sposób. Wszystkie postacie w powieści téj, dodatnie i ujemne, żyją życiem prawdziwém i tak dosadném, że czasami wydaje się, jak gdyby autor nietylko treść swéj powieści, ale i charaktery, przekopiował wprost z rzeczywistego wydarzenia. Czyż takie przekopiowanie nie jest właśnie najwyższą sztuką, gdy nie jest powtórzeniem ślepem znamion zewnętrznych, ale odtworzeniem właściwości ludzkich, cnót i przywar, w ich charakterystycznych objawach? Wszak każdy z nas widzi codzień, ludzi pospolitych i wyższych, tych, których nazywami „zerami“ i tych, którzy za „oryginalów“ uchodzą, a przecież umieć schwycić to, co w każdym i najpospolitszym, stanowi całą jego treść, jego duchową fizyonomią, potrafi tylko prawdziwy pisarz—artysta.

Kraszewski i w téj powieści dowiódł, że galerya portretów człowieka, może się stać niewyczerpaną dla malarza obyczajowego, który nie odtwarza rysów tylko twarzy i jéj srodawek, ale dobaduje się dna duszy bez względu na to, czy ona wielka czy maluczka.

W szeregu powieści, o których nam mówić przyszło, mamy jeszcze ostatnią, trzechtomową p. t. „*Ada.*“

Słusznie ona zatytulowana jednem imieniem kobiecem, bo jest subtelném studyum charakteru kobiety, a jak tu, *starzejącéj* się panny.

Pomysł téj postaci jest stosunkowo dosyć nowy. Z powieści bowiem starających się przedstawić sympatycznie staropanieństwo, oznaczyć głównie można: „Krystynę“ Hoffmanowéj i „Starą Pannę“ Sadowskiéj. Zazwyczaj zaś spotykaliśmy się z typem staréj panny, przedstawionéj zawsze ze strony komicznéj i z tą szarżą nielitościwą, która dla konceptu poświęca prawdę. A przecież w bardzo rzadkich wypadkach, panna zostaje starą z własnéj winy—często wygórowane poczucie godności własnéj, która się niechce sprzedać, a najczęściéj, nieszczęśliwe stosunki familijne, zmuszają do tego położenia, które „drugiem sieroctwem“ nazwać trzeba.

Obce literatury, głębiéj zapatrywały się więc i sprawiedliwiéj i humanitarniéj na los starych panien,— między innemi Balzac i Currer Bell.

Ada znajduje się w wyjątkowém położeniu. Ojciec umarł dawniéj od matki, która po najnieszczęśliwszém z mężem pożyciu, zmarła nareszcie wtedy, gdy Ada była już dorastającą panną.

Zostawiła jéj w spuściźnie duży, ale bardzo obdłużony majątek ziemski, a zarazem wspomnienie niezatarte swego złamanego życia, swego udręczenia, jakie znosić musiała z lekkomyślnym i bez serca mężem. Odtąd Ada z zakrwawionem sercem i z załzawionémi oczyma, spogląda zawsze na portret matki, zawieszony w jéj sypialni, i przed nim to ślubuje uroczyście, niepójść za mąż nigdy.

Nie jestto „ślub panieński“ wykonany na wzór figlarnych niewiniątek z komedyi Fredry, ale przyrzeczenie panny, która cierpieniem matki, rozwagą i niezwykłem ukształceniem, staje się dojrzałą kobietą odrazu, bez wpływu przeżytych doświadczeń.

Przyrzeczenia dotrzymała,—w chwili albowiem zaczęcia powieści, zbliża się już do lat trzydziestu, a mimo licznych konkurencyi o jéj rękę — hrabiów, nawet i książąt, odrzuciła wszystkie, cała zamknięta w świecie, który sobie umyślnie sformowała i urządziła. Świat ten na pozór, jest światem książek i obrazów, czyli poezyi, filozofii i sztuk pięknych — a potem, światem kilkunastu osób, krewnych,blizkich i dalszych, jako téż rezydentów, których przygarnęła z litości i z fantazyi rozbujanéj ze swobodą artystyczną.

Cały ten jéj dwór, gdyż jest rzeczywiście niby dworem samowładnéj królowej, złożony z samych oryginałów, pozbieranych Bóg wie gdzie, ale odpowiadających jéj usposobieniu i powziętemu systematowi życia. Więc żyje tu: malarz, tak zwany przez niemców: *passives genie*, to jest jenialny w pomysłach a niedołężny w wykonaniu, muzyk-Czech, znakomite komponujący oratorya, naczelny plenipotent i rządca, dawny pułkownik, bałwochwalczo do Ady przywiązany, złośnica i intrygantka, kuzynka Hortensya, stara panna najgorszego gatunku, młoda kuzynka, sierota,—ksiądz kanonik de Bello, wielki pan i jeden z tych cichych, salonowych apostołów, działających zawsze *ad majorem Ecclesiae gloriam.*

W tém otoczeniu, złożoném z najróżnorodniejszych usposobień, żyjącém nieharmonijnie ze sobą a patrzącém na chlebodawczynię ze skrytém uczuciem zazdrości i obrażonéj bez przyczyny miłości własnéj,—panuje ona tu samowładnie i czuje się najzupełniéj szczęśliwą, aż do... chwili, w któ-

réj zapoznała się bliżéj z młodym sąsiadem Robertem Jazygą.

Jestto młodzieniec dwudziestokilkoletni, a więc młodszy od niéj, bardzo urodziwy, z umysłem otwartym, choć wcale niewykształconym, z sercem poczciwém, czyli jest on téj natury sympatycznéj, która się łatwo kochać daje.

Wzajemny stosunek Ady do Roberta, polega na tém, że on pociągnął ją ku sobie wszyskiemi swemi przymiotami, nacechowanemi prostotą i szczerością pięknéj młodości, sam zaś uległ odrazu przewadze jéj wysokiéj intelligencyi i serdeczności, którą mu objawiała przedewszystkiem tém, że się zajęła kształceniem jego umysłu, przez książki i rozmowy.

Ona nie nieprzypuszcza ani na chwilę, ażeby ją pociągnęły: jego młodość i uroda, ażeby to, co ona zwie rozrywką swoją i sympatyą duchową, było po prostu odezwaniem się praw młodości, z których dotąd nie korzystała. Nieprzypuszcza tak dalece, że w dzienniku, który spisuje z namiętną skrupulatnością, analizując różnorodne stany swéj duszy w stosunku do niego, wpada na najrozmaitsze domysły, tylko nie na jedyny, rzeczywisty, a którego czytelnik łatwo się domyśla.

Ta subtelna analiza, którą czytać trzeba, ażeby ocenić należycie wykwintność jéj i psychologiczną wartość—jak z jednéj strony daje od razu do myślenia czytelnikowi, że jest tylko zamaskowaniem rodzącéj się i coraz rosnącéj miłości, tak z drugiéj, wnikającemu głębiéj, każe się już z góry obawiać o los wybranego.

Kto tak nurtuje ciekawie w tajnikach serca ludzkiego, kto taki skalpel zatapia we własnych myślach, uczuciach i wrażeniach, ten, prędzéj lub późniéj, skazuje się na rozczarowanie. Cechą prawdziwéj miłości jest ta głęboka a ślepa wiara, że osoba którą kochamy, ma i rozum i szlachetność i piękność i wszystkie te zalety, których na razie w niéj się dopatrujemy bezwiednie;—późniéj zaś, gdy się już ta miłość utrwaliła, wiara w te zalety choć zostaje osłabioną, przemienia się jednak w przywiązanie, umiejące osłonić czarodziejską gazą złe nawet strony charakteru. Miłość jest, jak słusznie choć trywialnie powiedziano: ślepą; jeżeli nią nie jest, jeżeli zdolna każdéj sekundy, rozejrzéć się dokładnie i *sąd wydać* chłodny a trafny, w trwałość jéj wierzyć niepodobna. *C'est un assez bon roman, que celui de la nature humaine*, — powiedział Rousseau—tu jednak téj miłości szczeréj, tkwiącéj w naturze ludzkiéj, szukaćby nadarmo.

Ale do tego jeszcze daleko; teraz, w miarę, jak to nowe dla niéj uczucie, rozwija się w sposób, który ją niezmiernie (jako nowość zapewne) zajmuje, Ada lęka się i czasami przypuszcza, że to być może miłość. A całe już jéj otoczenie, jest tego najzupełniéj pewne i stosownie do tego się zachowuje.

Przedewszystkiem panna Hortensya i ks. kanonik. Oboje przestraszeni, iżby Ada nie poszła za mąż, bo wtedy Hortensya straci prawdopodobnie przytułek, a kanonik część majątku znaczną i już prawie przeznaczoną na cele propagandy.

Oboje też z pomocą bardzo licznéj rodziny, sprowadzonéj umyślnie z różnych stron, otaczają Adę, niby pasem żelaznym, kontrolując każde jéj słowo, każdy ruch, stawiając przeszkody, a nienawidząc z całéj duszy, mimowolnego sprawcę téj nagłéj przemiany: Roberta.

Najciekawszym wszakże jest proces powolny ducha Ady, a raczéj jéj przeobrażenia zupełnego. Wszystkie bowiem dotychczasowe zajęcia i przyjemności nudzą ją, wszystkie tak silne postanowienia męczą; zdaje się, jakby teraz dopiero nowy świat odkryła, bo też ten świat i to życie, pod tchnieniem budzącéj się miłości, ukazują się jéj z nowéj całkiem a nieznanéj dotąd strony. Przeobrażenia tego ślady, czytamy najdokładniéj w jéj poufnym dzienniku, w którym się spowiada jak dziecię przed najdroższą matką. Na portret też téj matki patrzy i teraz jeszcze, zawsze z rozrzewnieniem, często z wyrzutami czynionemi sobie za to, że powziętego votum zaniechać zamyśla. Lecz ani jéj walka wewnętrzna, ani przeszkody stawiane jéj przez rodzinę, nie mogą powstrzymać uczucia, wydobywającego się tém gwałtowniéj, im dłużéj milczały prawa młodości.

W samych jeszcze początkach, gdy się opiera i walczy, pisze w swym dzienniku „....Patrz matko, jak ja walczę mężnie, jak cierpię wesoło i jak strasznie już jestem znużona.... tworzę sobie coraz nowe zajęcia duszy niémi zapełnić niemogę.... sztuka ma skrzydła, co podnoszą na chwilę, ale nie niosą daleko... *Życiu potrzeba celu*..... Ma cel inny życie nad ten, byśmy wyrośli ku muś na pożarcie? ludziom, losom, wilkom zwątpieniu? ja niewiem!“

A potem:

„Jak skoro czuję, że się węzeł jakiś zadzierzgnąć może, rwę go nielitościwą ręką.. boli, ale z własnéj woli, tak lepiéj“.

Duma kobiety, niechcącéj znać innych więzów, nawet tych, którym się kobiety poddają z całym wdziękiem ich natury, a za

razem reflexya chłodna, mimo rozbudzonego uczucia, wybijają się jakby mimowoli na wierzch, w tych poufnych zwierzeniach przed sobą samą. Mówiąc zaś o Robercie, chwali jego przymioty, ale pisze jak, gdyby się jéj wyrwały z pod pióra te słowa: „Bóg mu dał tak *śliczną powierzchowność*".

Nadzwyczaj misternie kreśli autor charakter Ady. Bardzo oczytana, z natury i położenia swego wyjątkowego reflexyjna aż do pessymizmu, przytem obdarzona poczuciami artystycznémi, szukającémi instynktowo wszędzie i zawsze piękna — walczy zacięcie z miłością, która się jéj wydaje i złamaniem przysięgi i niezaszczytną słabością. Wszak jest kobietą energiczną i wyższą, a przecież daje się owładnąć uczuciu, któremu ulegają wszyscy. To ją martwi i gniewa tém więcéj, że teraz oddziaływają na nią wpływy bardziej zmysłowe, jak np. wiosna z całym swym urokiem i potęgą wrażeń. Oto co pisze: „...Miłość się mści na mnie, że jéj niechcę serca otworzyć... Te zapachy wiosny, te pieśni w powietrzu, ten ruch wszędzie budzący do nowego życia, do nowéj śmierci — działa nieznośnie na człowieka, niepokoi go. ak może być, aby na istotę rozumną, miało prawo działać powietrze, pokarmy, słońce?"

Przytem, grała tu rolę ważną ta okoliczość, że stary Jazyga, ojciec Roberta, który iegdyś wiele zgryzot przebył przez ożenieie się z panną arystokratycznego rodu, tak amo przysiągł sobie, trzymać zdala syna ietylko od pokus świata wyższego, ale goła od nauki i wszystkiego, coby go drogi prostego szczęścia sprowadzić mogło. latego czuje się przerażony do najwyższego opnia tem, że Roberta tak mile widzą w dou arystokratycznéj, bogatéj (bo Ada ogromy posiada już teraz majątek) i tak uczonéj anny. Widzi groźne niebezpieczeństwo i ice go ocalić. Zaczyna od tego, że zabiera na do siebie na czas jakiś, w odległą ztąd olicę. Ta przeszkoda oddziaływa najsiléj na Adę i wprawia ją w tęsknotę, którą szcze pragnie uważać jako przyzwyczajee się do towarzystwa Roberta, bo swoją ogą gniewa się, że: „ten chłopak nieznaący, skromny i *pospolity*, zajął tak wiele iejsca w jéj sercu i życiu".

Nader umiejętnie rzuca autor światełka Adę. Naprzykład, gdy każe jéj odwiedzić wną swą garderobianę Kasię, śliczną i wet ukształconą dziewczynę, która nagle kochała się w prostaczym i rumianym leiczym i dla niego porzuciła zbytki, jakie ała we dworze. Ada nie może się wydzić: „Dlaczego wolała znosić ciężką pracę, jeść chleb razowy i śmieje się jeszcze i mówi, że szczęśliwa! Niepojęta rzecz!"

Zmiana jednak wkrótce nastąpiła.

Miłość czyni postępy w sercu Ady i kiedy powtórnie jest u Kasi, pojmuje już lepiéj i czuje mocniéj to jéj szczęście. Błogo jéj tu i miło w téj ubogiéj chacie, a w tém ktoś zajechał konno przed chatę. To Robert, który ma odjeżdżać do ojca. Ponieważ się już zmierzcha, więc ją przeprowadza przez lasek do domu, i tu w téj drodze niewiedzieć jak i kiedy, zbliżyli się do siebie, pocałowali, a choć przyrzekli uroczyście, że będą ze sobą jak brat i siostra, łatwo jednak przewidzieć, że na tém braterstwie się nie skończy. Przeszkody wszelkiego rodzaju, działają na Adę podniecająco, głównie zaś opór starego Jazygi, który powtórnie zabiera syna do siebie, ale na to, ażeby go więcéj nie puścić.

Z tego, co się dotychczas przeczytało o Adzie, możnaby wnioskować na pewne, że gdyby jéj zostawiono swobodę z Robertem, sama prędzéj późniéj — a może prędzéj — sprzykrzyłaby go sobie. W rysunku jéj charakteru aż do téj chwili, mimo że czytelnik ciągle widzi postępy miłości, leży właśnie ta finezya, dozwalająca z maleńkich szczegółków takich przypuszczeń. Żal nam czasem udręczenia téj Ady, która abdykuje ze swéj dumy i samodzielności na rzecz chociażby szlachetnego uczucia, ale mimowoli czegoś boimy się o Roberta, co również zawdzięczamy artyzmowi autora, który umyślnie każe mu się zachowywać biernie, nie kierując na niego uwagi, jak na głównego bohatera. Robert zostaje w cieniu, a całe światło rzucone na Adę,—dlatego nie zajmuje on nas jako indywidualność, dopiero późniéj, jako ofiara.

Lecz czytelnik dobroduszny, przekonany jest, że teraz Adę z Robertem śmierć tylko rozłączyć zdoła, bo oto przy tém powtórném pożegnaniu, Ada po walce heroicznéj ze sobą, zamyka się z Robertem w swym pokoju i płacząc wybucha zazdrością, lęka się, ażeby go jéj inna nie wydarła, a potem kładąc mu na palec pierścień, mówi zwyciężona nareszcie: „Będę twoją!" I jak wszyscy ci, którzy najłatwiéj przysięgi łamią, dodaje: „W obliczu Boga przysięgnijmy sobie, połączeni jesteśmy na wieki!"

Przyrzeka mu czekać i być wierną, dopóki on ojca swego nieprzebłaga i nieprzekona. Przyrzeka więcéj jeszcze, bo mówi tonem najwyższéj szczerości, kiedy Robert lęka się, czy ona wytrwa: „...Jam sierocém życiem, męką przebolała lata długie... cie-

bie... jednego mam. Zmienić się nie mogę, chyba umrzeć!"

Któżby za tę kobietę tak wytrwale i powolnie, ale i tak mężnie wywalczającą sobie trochę szczęścia na téj ziemi, niepołożył ręki na ogniu, nie dał głowy, że prędzéj wszystko się zmieni aniżeli ona?

A jednak... bardzo niedługo potem... ona sią zmienia i to tak do gruntu, że w nowéj téj epoce poznać nam ją trudno, — a powiedzmy prawdę, że nam się autor do tego tak całkowitego przeistoczenia jéj, niepozwolił przyzwyczaić.

Jest ono cokolwiek za nagłe i za niespodziane. Nie iżby było niemożliwem, bo sami wykazywaliśmy i odgadywali tę możliwość, ale jest za mało wymotywowaném. Że taka reflexyjna i po neronowsku artystyczna natura, ruchliwą jest i zmienną, to jest arcylogiczném i prawdziwém, ale przyczyna téj zmiany—łysina starego Jazygi, czyli prozaiczność ojca i prozaiczność syna, który w oddaleniu na poetyczności stracił w jéj oczach— zbyt pobieżnie usprawiedliwiona. Być może, że się mylimy, że takie natury, jak Ada, potrzebują być ciągle pod wrażeniem, w nieobecności zaś ukochanego, pozbywają się tych wrażeń i rozczarowują od razu, przypominając sobie wtedy same tylko ujemne lub pospolite jego strony. Być może i nawet tak z pewnością bywa w życiu, w powieści wszakże, uwydatnienie tego momentu wyraźniejsze, wyrobiłoby silniejsze przekonanie w czytelniku.

Że taki nieszczęsny człowiek jak Robert, złamany na całe życie, nie miękczy to bynajmniéj téj kobiety, która w rozczarowaniu swojém rozpamiętywać zaczyna, litując się nad Kasią czyli nad skutkami małżeństwa, to jest: rodziną, kolebką, troskami! Ona teraz, gdy wié znowu, że dotrzyma przysięgi matce, bo przysięgać i czynić wota lubi bardzo — pisze do niego list wystylizowany, wyfrazesowany, rozsądny a taki samolubny i chłodny, jaką ona sama była zawsze, niewiedząc nawet może o tém.

W epilogu po latach dziesięciu, daje autor scenę w świetnym salonie Ady w Warszawie. Zestarzała się, ona już bardzo, ale zawsze pełno u niéj eleganckiego świata, pełno artystów, z pośród których zawsze wybiera jednego i to z najmłodszych, na wychowanie i dalsze kształcenie.

Epilog ten, doskonale uzupełnia charakter Ady! Panna Hortensya, przypominając komuś miłostkę jéj z Robertem, niedziwi się, że go kochać przestała, „bo jak piesek się jéj w oczy patrzał". Słuszna uwaga — kobietom tego rodzaju trzeba imponować koniecznie, choćby na sposób brutalny Lauzuna, który kazał cioteczněj siostrze wielkiego króla Francyi, ażeby mu ściągnęła buty.

Kto wie, czy w tém nie tkwi cała zagadka, ale kiedy Ada w końcu, powiada do swéj ubogiéj, lubo z mężem najszczęśliwszéj kuzynki: „Inni będą mi zazdrościli — a ty, ty mnie pożałuj czasem", to już chyba nikomu na myśl nie przyjdzie żałować jéj, albo nawet zazdrościć. Żalu niegodna ani zazdrości ta, która serca swego oszczędza, lecz się igraszki z innèm niewzdraga. Podziwiać możemy takie „wyższe" kobiety w salonie, ale nie chcemy ich w życiu.

Typ wszakże Ady, jest nietylko nowy i prawdziwy, ale znakomicie pod względem psychologicznym wykończony. Słusznie go też w wspaniałym szeregu typów, stworzonych przez jenialnego powieściopisarza naszego, do najpierwszych zaliczyć trzeba.

Niedawno czytaliśmy o najnowszym romansie francuzkim ten ustęp:

„Jakże smutny obraz degradacyi typów w romansie! Pojęcie uczucia miłości, zniża się prawie rok za rokiem i upadła, tak jak i te szalone namiętności z czasów dawnych, które dziś przeszły zrazu w rozpustę wyobraźni, potem w zwierzęce zachcenia zmysłowe, a nakoniec w dziedzinę wypadku patologicznego! Indyany, Walentyny, Fernandy, przemienione w Emmę Bovary, w Germinię Lacerteux i w Gervaise Coupeau (Zola); — poetyczne krajobrazy pędzla pani Sand, przemienione w sklepik farmaceuty, w przedpokoje fagasów, w *chambre garnie* bulwarowe i *Assomoiry* zarogatkowe. A język? stawszy się wspólnikiem tych potwornych zboczeń spółczesnego gustu, ten język francuzki, tak czysty i jasny niegdyś, przemienił się teraz w żargon wszelkich miejsc szkaradnych, wszelkich śmietnisk, po których wędruje splamiony i zbłocony. Czyż w téj historyi szybkiego upadku i zepsucia powieści, niema się w skróceniu historyi całéj przemiany smaku, języka i obyczajów?"

Niemieliśmy jeszcze dotąd ambicyi naśladowania metody naturalistycznéj Zoli, o któréj tu mowa. Metoda ta niezachęcająca teoryą a wstrętna w wykonaniu, choć olśniewa dziś mniejszość Francuzów, a i do nas, w mniéj zdrowe warstwy, przedziera się sposobem najświeższéj i jako owoc zakazany ponętnéj mody, przecież nie zakrywa chmurą, widnokręgu przyszłości....

Powieść nasza innémi szła i innemi nadal iść musi drogami; nam niepotrzeba drasty-

cznemi efektami, nazywanemi: „jedyną możliwą dla dzisiejszych ludzi reformą“ gwałtem przyciągać czytelników. Znajdą się oni zawsze, gdy na téj glebie dobrze już uprawionéj i daléj, ludzie rzeczywistego talentu pracować zechcą. Atoli z chlubą powiedzieć możemy, że na czele zastępów powieściopisarzy, buławę nosił i nosi taki hetman jak Kraszewski, który przez pięćdziesiąt lat bojował po różnych szlakach, ale zawsze pod sztandarem trzymanym wysoko i z hasłem, któremu nie przestanie przywtórzać całe społeczeństwo polskie.

Edward Lubowski.

II.

POWIEŚĆ LUDOWA.

I.

Pomiędzy klassą ukształconą w narodzie a ludem prostym, zachodzi niemal różnica taka, jak pomiędzy kamieniem szlifowanym a bryłą rodzimą: badanie jednego i drugiego ma właściwe sobie korzyści i powaby; rzec nawet można z pewną słusznością, iż to, po co głębiéj sięgnąć potrzeba, co prostsze i natury bliższe, nierównie więcéj przedstawia interesu, jako rzecz posiadająca liczniejsze a wyrazistsze cechy samodzielne i silniejszą spójność konkretną. Ztąd téż, w literaturze każdego kraju gruppa, mieszcząca obrazy ludowe, największą zwykle obudza ciekawość obcych. Kiedy bowiem w obrazach, mających za przedmiot klassę ukształconą, czytelnik przychodzi do oglądania form, uczuć i pojęć, mniéj więcéj znanych, bo powszechnych i przez jednolitą a sztuczną cywilizacyą wyrobionych, — w obrazach czerpanych z massy ludowej napotyka odrębność i znamiona, których rylec cywilizacyjny nie zdołał zatrzéć, aby na ich miejscu wyryć jakieś znamię wspólne. I im daléj od sfer cywilizacyi, tem odmiany i odrębność silniéj występują, tak iż gdzieś, w stanie tak zwanym dzikim, dochodzimy do widoków najniespodziewańszych, częstokroć wstrętnych, ale tu już ginie nawet ten charakter specyalny, który nazywamy ludowością, a natomiast występuje plemię.

Ludem zowiemy zwykle taką gruppę, która środkuje pomiędzy cywilizacyą a dzikością, w punkcie oddalenia od jednej i drugiéj stale nieudeterminowanym. Zostaje ona pod akcyą instytucyi państwowych zarówno z gruppą cywilizacyjną, a więc pod pewnemi wpływami cywilizacyi sztucznéj,— przez co usuwa się z jéj sfery stan absolutnéj dzikości; ale z drugiéj strony, gruppa ta skutkiem cięższych warunków życia nie może zdążać szybko za zmianami prądów, nie może sobie assymilować wszystkich interesów postępu, przyzostaje co chwila, tak że w końcu przed oczyma jéj zapada mniéj więcéj gęsta zasłona na to, co odbywa się na wielkiéj a już dalekiéj od niéj scenie świata. Wyścig niemożliwy ustaje, a około gruppy pozostałéj tworzy się nowy światek skrystalizowany. W światku tym jeszcze żyje aktualnie to, co dla innych już jest przeszłością, niebytem. W jego pojęciach, miłościach, obyczajach i zajęciach, w pewnéj części pozostało to, co było dawniéj, i czego postęp idei nie zdążył unieść, przeistoczyć lub zastąpić innémi pojęciami, inną miłością, obyczajem i zajęciem. To ewolucya zatrzymana na pewnym punkcie przeobrażenia, zarywająca coś z jednéj formy i z drugiéj, posiadająca już wszelako własną i ustaloną, dopóki jéj nowe a potężne wpływy środkowiska do nowéj nie poruszą ewolucyi:—to lud.

I niétylko w wierzeniach, języku, stroju i obyczaju lud przechowuje zatwardziale formy tradycyjne, żyjąc niejako w przeszłości, amalgamując je lub szczepiąc na nowych ideach; trzyma się on czasami i instytucyi prastarych, wrogich poniekąd nowemu porządkowi rzeczy. Kraszewski przytacza to, co sam z podań ustnych zebrał o pewnéj miejscowości na Wołyniu (1), gdzie lud zachował niétylko zwyczaje i obrzędy zapo-

muiane gdzieindziéj a dla nas już niepojęte, ale po wiekach jeszcze nie rozstał się z pewnym zabytkiem politycznym ustroju gminy słowiańskiéj, pokątnie tylko praktykowanym. Zachował poczucie się do spójni braterskiéj i solidarnego związku w gromadzie pod przewodnictwem starszych, których wola spełnia się w cichości i ze ślepem posłuszeństwem. Lubo ta spójność gromadzka jest sama przez się zjawiskiem dość powszechném na wszystkich przestrzeniach ludem naszym osiadłych, w miejscowości jednak, o któréj mowa, wyróżnia się ona tém jeszcze, iż gromada stawia sobie na czoło Starszego, który niby urzędnik z wyboru, prezydent gminy lub kapłan, spełnia potajemnie przed światem urzędowym rodzaj dyktatury, regulującéj wszelkie sprawy osobiste i domowe, stosunki z dworem i władzą, ilekroć zachodzi jakaś wątpliwość lub potrzeba ważniejszego postanowienia.

Dobrze uczyniła literatura nasza, że za sprawą kilku pisarzy, w rzędzie których Kraszewski jedno z miejsc okazalszych zajmuje, zajrzała bliżéj w serce ludu, w jego życie domowe i cały ten świat, mający tyle odrębności. Dobrze uczyniła mianowicie dlatego, że od lat kilkunastu zaszła pewna zmiana w środkowisku społeczném, naruszająca porządek organizmu, która tam dawne jego formy do nowéj ewolucyi powoła, i w skutek której to, co w chwili chwytania rysów spółczesnego pisarzom porządku było aktualnością, dziś już zaczyna przechodzić do dziedziny historyi. Kraszewski kreślił rzec można, po ostatnie chwile przełomu, a zajmując się obrazowaniem życia ludowego pomiędzy mniéj więcej rokiem 1840 a 1860, od „Latarni Czarnoksięzkiej“ do „Kołka w płocie“, doprowadził tym sposobem dzieje swe prawie aż do nowego zwrotu, wynurzającego dla ludzi nowe koleje życia.

Niepowiemy, ażeby Kraszewski, w kilkunastu tomach swoich powieści ludowych, stał się historyografem całości lub systematykiem. Przeciwnie: wybrał on sobie jednę tylko ustroń, głównie okolice Polesia i Wołynia, raz tylko zajrzawszy i to przypadkiem na Podole. Nie czynił umyślnych i rozległych studyów; brał to, co napotkał pod ręką. Jako poeta wybierał motywa przeważnie sprzyjające fantazyi, z którą jednak splótł zręcznie poglądy ekonomiczne i socyalne. To zatem, co czytamy u niego o stanie ówczesnym ludu, stosuje się głównie do jednego tylko odłamu kraju; zakątek, któremu malowidło swe poświęcił, ma wprawdzie pewne rysy wspólne z całością, zwłaszcza podchodzącą pod jeden i tenże sam porządek polityczny, — ale zachowuje i pewne różnice względnie do całości, tak co do wyników tegoż porządku, jako i co do odcieni etnograficznych, barwiących jedność a przecież samoistnie wydatnych. Zaznaczamy to dla tego, ażeby wrażenia otrzymanego z przeczytania wszystkich powieści ludowych Kraszewskiego nie rozciągać do całości absolutnéj tego, co się nazywa ogólném mianem polskiego ludu.

Sam to niejako zeznaje Kraszewski w jednym z listów prywatnych, którego oryginał jest w naszém posiadaniu.—„Rzeczywiście,—pisze on,—myśl do obrazów ludowych podał mi pobyt na wsi i zbliżenie się do ludu w Omelném, w Gródku, w Hubinie i Kisielach, od roku 1837 do 1858.—Gospodarowałem, jakem umiał i studyowałem razem. Pamiętam, żem wielkiego przyjaciela zyskał w Gródku w chłopaku, którego kazałem ukarać przy sobie za to, że się porwał na swego starego ojca. Tak uczuł sprawiedliwość téj kary, że mnie za to pokochał; i gdy sprzedałem Gródek, przychodził do mnie z pozdrowieniem do Hubina. Epizod Sawki w „Latarni“ był pono pierwszą, jeśli się nie mylę, próbą. (Tak jest rzeczywiście,—dodajemy od siebie). Uderzyło mnie to, że wpółświęty, zacny prałat, ks. Ożarowski, był nim do łez przejęty. Wiele faktów wprost z życia pobrałem. Do „Chaty za wsią“ służył mi cygan kowal na miejscu u mnie. Przez lat dwadzieścia nosiłem się ciągle, mając do czynienia z ludem, słuchając, patrząc, wywołując opowiadania. Otóż właściwa geneza tych powieści.... Wiem, że z natury jest wiele, ale nie niewolniczo. Sztuka wymaga wyboru razem i prawdy. Fotografia, jéj nigdy niezastąpi ani realizm bezmyślny.... W całéj mojéj krzątaninie, obok kwestyi sztuki, która była mi może najpierwszą, stała zawsze, niestety! kwestya celu i potrzeb czasu“.

W skromności swéj dodaje autor listu: „Dlatego wiele z tych rzeczy zestarzeje, ale, jakkolwiek liche, są to historyczne kartki“.

Ostatnie zdanie poważamy się zmodyfikować w ten sposób, że kartki te są bez zaprzeczenia historyczne, z powodów które wyłuszczyliśmy wyżéj, ale bynajmniej nie są liche. Przeciwnie, to jedne z najwytworniejszych kart, jakie posiada literatura nasza, a w zakresie ludowym, nie ubliżając innym,— może najwytworniejsze. Wszystko to wreszcie, ogólnie wziąwszy, pisane z prawdą a miłością wielką, przetkane złotą nicią fantazyi; słowem małe poematy w prozie, elektryzujące mocą uczucia, typy siłą

i wdziękiem kolorytu tryumfujące nad czasem, a przechowujące tym sposobem wieczną młodość, czyli nie starzejące się nigdy. Nie chodzi nam o to, czy wszystkie wydarzenia, czy wszystkie rysy, przytoczone w powieściach, są prawdziwe; zaleta ich polega na tem, że są prawdopodobne, a temu niezaprzeczy nikt, ktokolwiek zna lud wogóle, w szczególności zaś, w tym zakątku etnograficznym który autor obrał sobie za scenę do swoich przedstawień. To pogodzenie prawdy z osobistém zapatrywaniem się i wrażeniem od przedmiotu, ta synteza szczegółów, doprowadzająca do wytworzenia obrazu konkretnego, to wypełnienie zadania sztuki, znajduje, zdaniem naszém, nader szczęśliwe rozwiązanie w powieściach ludowych Kraszewskiego, wziętych ryczałtem. I tak on sam to zadanie pisarza, w przytoczonym liście niechcący scharakteryzował, opowiadając, w przeciwstawieniu do fotografii i bezmyślnego realizmu, że sztuka wymaga prawdy ale i wyboru: naszym obowiązkiem zaświadczyć, że zadanie, o którém takie ma pojęcia, spełnił z powodzeniem.

II.

Położenie socyalne ludu téj właśnie krainy, która stanowi scenaryusz Kraszewskiego, było przedmiotem ówcześnie częstych nawoływań prassy, interesującéj się całością: nie ma, zdaje się, czasopisma z piątego dziesiątka lat i daléj, któreby w jakiéjkolwiek formie, poważnéj lub ulotnéj, książkowéj czy dziennikarskiéj, etycznéj lub belletrystycznéj, nie czyniło aluzyi do tegoż położenia, z widoczną tendencyą przyniesienia ludowi ulgi. Ale nawoływania te były głosem wołającego na puszczy: rady i przestrogi, pociski i żale odbijały się o żółwiową tarczę egoizmu. Rozwiązanie pozostawiono czasowi, subtelne palce Nemezy uważając za sprawniejsze do rozwikłania rozlicznych węzłów zaciśniętych przez obyczaj, prawo i historyą.

Stan dawno usunięty w reszcie Europy wskutek wstrząśnień z końca zeszłego wieku, tu pozostał był w najlepsze prawidłem obowiązującém. Niewola włościanina nie wyraziła się dostatecznie słowem: *pańszczyzna,* jak w sąsiedniéj krainie zachodniej, ale słowem *poddaństwo.*

Słowo to nieoznaczało wprawdzie niewoli osobistéj, ale niewolę ziemi. Właściciel majątku nie mógł już frymarczyć włościaninem pojedyńczo, wyrwać go z łona rodziny, zamienić za inny przedmiot lub sprzedać, jak to czynili plantatorowie amerykańscy z murzynami; ale miał prawo uczynić to wszystko ryczałtem, z ziemią, na której włościanin posiadał grunt, wydzielony za przymusową robociznę. Włościanin tedy był to tak zwany „glaebae adscriptus", którego ruchów granicę stanowiła granica wioski, gdzie wpisany był w skazki, a wyemancypować się mógł jedynie, czy sam czy z rodziną, za okupem, którego pan samowolnie ustanawiał wysokość. Dopóki był poddanym, nie miał najmniejszego prawa do rozporządzania członkami rodziny własnéj, nie mógł, choćby mu starczyło, wychowywać dzieci dowolnie, kształcić ich w szkole, rzemiośle lub kunszcie, bo wszystko to były rozrodzone machiny robocze, których ubytek wyrządzał ujmę pańszczyźnie, gdy przeciwnie, *chata siemienista* stanowiła potęgę dworską, jednę z sił inwentarza. Niewolno też było chłopu wybrać sobie żony należącéj do cudzego poddaństwa, inaczéj, jak za okupem, zwanym *Kunica.* Takie przynajmniéj dwie sceny wykupu narzeczonych opisuje Kraszewski (2); przeciwko czemu to tylko moglibyśmy przytoczyć, że byliśmy osobiście świadkami podobnie mięszanych małżeństw, ale bez okupu, a czy to stało się skutkiem prawa, czy skutkiem łaski, trudno nam sprawdzić; to pewna, że nawet propozycya ze strony narzeczonego nie była czynioną, i wszystko kończyło się na formie prośby i przyzwolenia. Jesteśmy pewni, że jeżeli to krzyczące nadużycie leżało w prawie, to oprócz brudnych wyjątków, obyczaj wstydził się zeń korzystać, — zarówno jak z prawa przyznającego spadek tylko w czternastéj części dziedzictwa ogólnego majątku dla córek.

I cóż włościanin otrzymał za tyle przymusowéj abnegacyi z rzeczy człowiekowi najdroższych, które miliony jemu podobnych posiadały dokoła niego, nic sobie z posiadania ich nie czyniąc? Miał kawałek gruntu, zaledwie chroniący od głodnéj śmierci, i to jeszcze przy pomyślnym urodzaju a nielicznéj rodzinie; wolno mu było paść bydło na wspólnym wygonie, czerpać wodę ze wspólnego źródła i drzewo ze wspólnego lasu. Figurowały wprawdzie na papierze jakieś wspólne śpichrze zapaśne na wypadek nieurodzaju, do których i dwór miał się przyczyniać, ale w rzeczywistości była to fikcya, zręcznie maskowana pozorami.

Prawo chroniło wprawdzie włościanina od nadużyć dworu; co rok z wiosną zjeżdżał do wsi urzędnik powiatowy, by odczytać gromadzie jéj przywileje i obowiązki, w języku małozrozumiałym, w treści niesłuchanéj, bo znanéj jako prosta formalność; i na

tém ograniczała się opieka, pozostawiająca dolę włościanina na dyskrecyi bezpośredniego stosunku. Dola téż ta zależała głównie i jedynie, rzec można, od charakteru i uczuć osobistości, stykającéj się bezpośrednio z gromadą: od dziedzica, rządcy, ekonoma, pisarza prowentowego; czasami i proboszcz nie pozostawał bez wpływu. Jakżeż to można było na rzecz ludzkości i wszelkich wysokiego rzędu interesów wyzyskiwać tę złotą minę podobnego stosunku, a jak ona bezpłodnie zmarniała! Owszem, wyprodukowano z niéj kruszec, ale podobny temu, z którego wybite były śrebrniki Iskaryoty.

Nie zadowoleń téż i uniesień nad temi stosunkami pełną jest prassa współczesna, ale przestróg i oburzeń. Jeden tylko „Tygodnik Petersburski" nie należy do chóru, milczy albo mityguje, i nie podoba mu się myśl wyprowadzająca „Ostapa Bondarczuka" z kurnéj chaty do salonu. Był to jednak głos odosobniony; inne, ile umiały i mogły, częstokroć bez talentu, czasami bez dostatecznego taktu, ale zawsze w dobréj wierze i z dobrém przeczuciem wskazywały szkodę i niebezpieczeństwo egoizmu, apatyi, braku poczucia się w prawdziwym obowiązku obywatelskim.

Sawka Kraszewskiego, jako epizod luźny, wstawiony prawie bez związku w obrazy szlacheckie „Latarni Czarnoksięzkiéj", był manifestem młodzieńczym, protestacyą przeciwko postępowaniu dworów, utworem, w którym werwa uczucia nie miarkowała się jeszcze dostatecznie karbami artystycznemi. Nie szukaj tam téj pełni charakterów i harmonii estetycznéj, która późniejsze utwory ludowe Kraszewskiego stawia w rzędzie niespłowiałych obrazów rodzajowych,—ale znaleść tam możesz niemal całkowity zarys historyi włościan jednéj prowincyi, ich stanu społecznego. Autor odbywa tam studyum na jednéj rodzinie, ale ta jedna rodzina — to wszyscy.

W chwili krytycznéj matki, przybywa do chaty znachorka i za jéj przybyciem chata zbogaciła się (czy nie zubożała) jedną duszą więcéj. Według obyczaju, trzeba bogdajby za ostatni lub pożyczany grosz wyprawić chrzciny, na których zapije się kto żyw, aż do starszyzny gminnéj i cerkiewnéj..., Jakże się wychowa ten nowoprzybyły? Zaledwie porzuci wyschłą pierś matki, zdany na ręce mało co starszéj siostry, wygrzewać się będzie w piasku lub błocie przed chatą; zgłodniały, staczać będzie walkę z psem lub kotem o spleśniałą kromkę chleba, ale zdrowa krew i silna natura doda mu sił, i wyrośnie, jak energiczny chwast na wydmie piaszczystéj. W miarę wzrostu, a więc w miarę większéj potrzeby posiłku, nie może już pozostać bezużytecznym w chacie; ledwie téż wstanie na nogi, już go czeka obowiązek i praca, rozpoczyna się praktyczna jego edukacya od pasania gęsi, a ponieważ zakres jéj niedługi a ćwiczenie częste, Sawka w kilku leciech uczyni postęp ogromny. W wieku, w którym innych chłopców niańki prowadzą na paskach, on w cerkwi żegna się i bije czołem; gdy prowadzą umarłego, on rzuci garść piasku pod koła; gdy pan przejeżdża, on się pokłoni do ziemi, aż długiemi włosami proch przed nim zamiecie; on zna wszystkie drogi i zakątki sioła, wszystkich sąsiadów, a bydełko swoje rozróżni choćby w tysiącu podobnych.

Ale kiedyś nareszcie dzieciak wyrasta na człowieka, na istotę odpowiedzialną za siebie. Na ciężką dla wsi chwilę przypada młodość Sawki.

Powiedzieliśmy już, — dola włościanina, jako machiny roboczéj, zależała od ręki, która nią władała. Dotąd, ekonom dawny, jakkolwiek ciężki, dawał się przecie ubłagać włóczebném, kwaterką, czarnémi oczyma dziewcząt i pokłonami gospodarzy. Obecnie nastał inny, który począł od chłost niemiłosiernych, od zaszczepienia grozy i wpojenia posłuszeństwa; było czy nie było za co, on bił i bił od rana do wieczora, a nużby się kto poskarżył przed rządcą, ten poprawił jeszcze po ekonomie. Bo pan rządca był człowiekiem chciwym, który korzystając ze świeżego właśnie wyjazdu dziedzica w podróż kilkodniową, chciał się czém prędzéj na chłopie zbogacić, ekonoma przypuściwszy do przymierza i wspólki. Nie dość więc, że niebyło żadnego rachunku pańszczyzny, że dnie kobiece nie liczyły się za nic, że prządki w dzień szły do rządcy na folwark, że robocizna trwała od świtu do zmroku, ale jeszcze potworzono nowe daniny i osypy, któremi przemyślny plenipotent wraz z ekonomem zwiększali swoje dochody.

Za takim uciskiem nędza wkraczała do wsi pośpiesznie, i każda chata odczuwała ją srodze, tembardziéj chata Sawki, w któréj nie było mołodycy hożéj, coby przez uśmiech wyciśnięty strachem mogła ułagodzić ekonoma, i nie było zapasiku, którymby można na chwilę męczarnię okupić.

Aż samo przez się ułożyło się chacie. Starszy brat Sawki, wzięty do owiec dworskich, którego jednak chacie żywić kazano, bity codziennie, opuścił głowę i ręce, pobladł, zachorzał i umarł. Zbito mu cztery deski, zapłakali, zapili żal, i zapomnieli o Parchomie, bo praca bez tchu i końca

walną stanowi dystrakcyą. Na jego miejsce wzięto do dworu brata średniego, całe gospodarstwo przynależne chacie pozostawiając na ręku dwojga starych rodziców, zapracowanych na polu pańskiém, bez wytchnienia, z pomocą tylko jednego Sawki, który stracił już ową beztroskliwość chłopięcą, ale pracował nad siły z rodzicami, stękając i bolejąc z niemi.

Jednakiéj w swych częściach składowych używając doli, cała wieś stanęła w ruinie; a tym czasem rządca, co był najechał na folwark dwiema ostrokościstémi szkapami, czwanił się teraz w koczobryku piątką koni w krakowskich chomontach. Ekonom, co się przywlókł na mizernéj kobylinie, wioząc za sobą na wołowéj furmance żonę z bladémi dzieciskami i zielony kuferek lekki, bo pusty, jeździł teraz nejtyczanką, trzema gniadoszami i palił tytoń zalibocki z piankowej fajki.

Ale przychodzi i na niego kréska. — Ten „lach psiawiara bez sumienia", jak go nazywają we wsi, tak raz kijmi uczęstował jednego młodego chłopka, że pomimo żalu, gromada z pewném zadowoleniem wyglądała śmierci ofiary, ażeby sprawę tę ujawnić przed władzą. I rzeczywiście tak się stało. Na wieść o tém, na folwarku zawrzało jak w piekle. Gromada stanęła groźna, chciwa śledztwa, proboszcz odmówił pogrzebu. Daremnie ekonom, rwąc się za włosy obiecywał podwładnym złote góry, gromada święciła jakiś wesele zemsty, radując się kłopotom ciemiężyciela, który wiedział, że w najszczęśliwszym przypadku usuniętym zostanie, opłaciwszy się dobrze doktorom, assesorom i całemu sądowi. Jakoż za zejściem kommissyi, obejrzenie ciała okazało, że wprawdzie świeży pobój mógł się do śmierci przyczynić, ale i to także być mogło, że Denis umarł z nagłego napływu krwi do górnych trzewi niekoniecznie z poboju,—jak twierdził, ni czarno, ni biało, doktor niemiec, który zebrawszy krocie na urzędzie lekarza powiatowego, jeszcze się nie wahał przedawać za kilka rubli. Ale zeznania gromady inny nadały obrót rzeczy: świadectwa nadużyć i bezprawi tak się nagromadziły, że, pomimo całéj łagodności, z jaką uwzględniano sprawę złoczyńcy, zmuszono go do opuszczenia służby i oddano pod sąd.

Pozbycie się takiego smoka stanowiło wielką wygraną gromady, i ojciec Sawki uczucia jéj skreślił w kilku szlachetnych a gorących słowach:—„Płakać i weselić się... jeden umarł, a wszystkim będzie lepiéj! żal tylko staréj matki. Sława tobie i dzięki Denisie, bo ty umarłeś, żeby nas wybawić z ucisku, i będą ludzie w sto lat chodzić na twoję mogiłę, a ciebie wspominać!"

Ale to kwestya jeszcze, czy gromada pod innym względem lepiéj wyszła na zmianie? Wprawdzie i sam rządca, przerażony wypadkiem zwolniał, i przyjął ekonoma młodzika, wcale nie z narowami chciwości, ale tak erotycznie nastrojonego że cały dzień uwijał się za mołodycami i pokoju im nie dawał, z czego śmieli się tylko obojętni małżonkowie, ojcowie i bracia.

Okoliczność ta ważną w życiu Sawki odgrywa rolę. Chłopiec ten, kiedyś podczas prażnika wiejskiego pilnując wieczorem koni w zaroślach przydrożnych, ujrzał napaść ekonoma na uciekającą ze strachem dziewoję, i w chwili dla niéj najkrytyczniejszéj pośpieszył z tak skuteczną pomocą i tak sękatym kijem, że pomimo próśb, płaczu i całowania w ręce, napastnik odszedł do wsi trochę na całém ciele zdemontowany, i oczywiście buchający zemstą, a Sawka odprowadził dziewoję do cudzéj wsi, zkąd pochodziła. Odprowadzenie to spowodowało bliższe poznanie się i sympatyą.

Sympatya ta wzmogła się jeszcze w skutek zemsty ekonoma, który nauczony świeżym przykładem poprzednika, nie śmiał wymierzyć na skórze Sawki doraźnéj sprawiedliwości własnego autoramentu, ale skorzystał z okazyi legalnéj.

Według dawnego porządku rzeczy, pobór wojskowy po wsiach odbywał się przy udziale dworów, którym pozostawiano wybór z liczby poddanych wyznaczonego kontyngensu rekrutów. Rozumie się, że Sawka w wyborze tym otrzymał najcelniejszy numer, dzięki troskliwości ekonoma o jego przyszłość rycerską. Ale Sawka, mniej dbały o laury wojenne, skrył się do gościnnéj chaty Hrehora, któremu córkę uratował od napaści sromotnéj, i tam czas grozy bezpiecznie przesiedział, używając go na bliższe zaciśnienie węzłów z tą nową rodziną. Kiedy po przejściu burzy rekruckiéj wrócił, zastał szczęściem innego już ekonoma, i, uszczęśliwiony, wysłał swaty o rękę Naści, która, że była obcą, musiał jeszcze za nią zapłacić tamtemu dworowi pięćdziesiąt rubli, ażeby mu ją odstąpiono.

Nie wiedział, że kupuje sobie biedę. Naścia była mołodycą uroczą; wszystko téż, co mogło korzystać z wyższości położenia, uwijało się koło niéj w zalotach, a najczynniejszym okazał się syn rządcy, młodzian świeżo odziany w futerał uniwersytecki. Pomijamy całe stopniowanie wrażeń, przez jakie przeszło serce młodéj niewiasty od pierwotnego

oburzenia aż do zasmakowania w tych grzesznych zalotach, których, niestety, nie pierwszym i nie ostatnim była ona na wsi przedmiotem: zdarzały się nawet i takie, które jéj zazdrościły. Sawka domyślając się wszystkiego, posmutniał, zbrzydził sobie dom i pracę; nie poszedł się wprawdzie utopić w stawie, ale co dnia topił się w karczmie. Szlachetny atoli z natury nie mógł być widzem obojętnym sromoty, i postanowił zaprotestować. Dybał na schadzkę i zdybał. Pół życia zaledwie zostawił w niewiernéj żonie i w jéj uczonym gachu, a sam uciekł za kordon, do jednéj z nadgranicznych wiosek halickich, które pełne były zbiegów z sąsiedniéj prowincyi, zagnanych wichrem ucisku i nadużyć.

Powróciwszy z tęsknoty po kilku latach, gdy mógł się spodziewać spokoju i zapomnienia, nie zastał już starego ojca, ani żony niewiernéj; zmówił pacierz na ich mogiłach, i rozpoczął nowe życie, a raczéj wrócił do dawnego na zwróconém mu gospodarstwie, wlokąc daléj ten żywot paryasa, sprawdzając niejako na sobie to, co Kraszewski miał we dwadzieścia lat późniéj w ogóle wyrazić (3):—„Chłop widocznie stworzony został przez Boga, z przeznaczeniem tego, co znosi; inaczéj, jakżeby wytrzymał to, czego my dziesiątéj części znieśćbyśmy nie potrafili!“

Jest rzeczą niezawodną, że niekażda wieś, nie każda rodzina i nie każda jednostka stanowiła obraz powyższych przejść; być może, jestto obraz pessymistyczny, kreślący maximum niedoli: ale to pewna, że wszystkie pierwiastki, z których się składa, są rzeczywiste, sprawdzalne, a w obrazie tym tylko nieco więcéj skoncentrowane. Pierwiastkami temi są: niewola, praca i hańba,—jakoby wydzielone na los chłopu, skutkiem dawniejszych urządzeń państwowych, nie mitygowanych inicyatywą obywatelską.—Trzy te pierwiastki koniecznie wchodzić muszą w grę tam, gdzie chodzi o kreślenie żywota włościanina ówczesnego, i umysł pisarza musi o nich objawić swe zdanie. Wysyłając w świat rodzinny tę energiczną przegrawkę do swego koncertu ludowego, Kraszewski uczynił to jeszcze w sposób więcéj liryczny; niemniéj jednak w boleśnéj téj psalmodyi, wysunęły mu się pewne próbki charakterów indywidualnych, ogólne tła usposobień gromadnych. Nie apoteozuje on tu chłopa, jak niektórzy pisarze ludowi bez taktu i smaku, przedstawia go owszem częściowo złym i zepsutym, tak jak jest w istocie, skutkiem edukacyi wiekowéj; wskazuje tylko na jego naturę, w gruncie uczciwą, lubo zaćliwaszczoną naleciałościami nieprawości, tak hojną sypanémi ręką. Pozwala sobie nawet z tego powodu wprost refleksyi moralnych, argumentów *ad hominem*, wydających zamiar tendencyjny tego epizodu. Powiada, na przykład, mówiąc o wieśniaczce:— „Któż nie ma prawa zaczepić jéj, zelżyć słowy, uściskiem, wejrzeniem, śmiechem; kto nie ma prawa odepchnąć męża, ile razy staje na zawadzie miłostkom? kto nie ma prawa sponiewierać małżonka w oczach żony, żonę w oczach męża? Każdy swobodniejszy od nich, każdy się biednéj kobiecie wyższém czémś od jéj współtowarzysza wydaje; a za krok na drodze występku wszakże płacą względami, ulgą w pracy, pieniędzmi; wszakże jest zachętą do występku, pobłażanie dlań, a razy, a prześladowanie, a przemoc nawet, dla cnoty upornéj.... Nie śmiejcie się z zepsucia w niższych klassach, wy je sami robicie, rzucając ziarno, z którego wyrasta: wy je sami podsycacie.“

Wprawdzie tu nie przedstawia jeszcze autor w postępowym procesie psychologicznym tego przejścia od ciemnoty i naiwności do wyrachowanego zepsucia, w jakie często popada natura włościańska, ale, łącznie z całą prassą współczesną, wytyka powody, leżące we wpływach gorszących przemocy, na nią zwalając całą odpowiedzialność.—„Dziwicie się naszemu wieśniakowi,—powiada,—że czasem zepsuty, popełni występek; dziwujcie się raczéj jego cnocie. Maż on oświecenie, maż czas zastanowienia się nad sobą, maż obmyślany chléb na jutro? Ciężka, ciężka jego dola. A kto jéj ulżyć się nie stara, ten wiele winien przed Bogiem i przed ludźmi. Za zbrodnie wielu poddanych karaćby panów potrzeba, i Bóg sprawiedliwy wymierzy każdemu według zasług jego.“

Kraszewski z późniejszéj epoki, niechętnieby się podejmował tych kaznodziejstw, których tu w biegu akcyi nie szczędzi; powiedzieliśmy téż, że utwor ten pochodzi z czasów mniejszéj dojrzałości kompozytorskiéj a większéj bezpośredniości wrażeń. I pomimo téż wiotkości konstrukcyi, oddziałał wrażeniem: cytowano go sobie często ustnie, zajmowano się nim piśmiennie; epizod ten był niejako tym gazem, który oświecił całą *Latarnię*, przez niego jedynie rzec można znaną i polubioną. Bo był to rodzaj proklamacyi wydanéj przez młodego i sympatycznego pisarza, za wkroczeniem w granice nowéj krainy, którą miał eksplorować. Dziwiono się, przyklaskiwano,—a z tém wszystkiém był to groch na ścianę, którego nie byłoby co zbierać dzisiaj, gdy ściana się

przewaliła; ale obowiązek historyka podejmuje skrzętnie ten przyczynek do dziejów kamienicy Kukurowieckiéj, przedstawiający, jak daleko zajść może zaślepienie przemocy, pozbawionéj uczucia ludzkości i podstaw etycznych.

Żywioły nagromadzone w tym utworze rozchodzą się i daléj, powtarzają; — zmienia się forma, ale treść tendencyi, podbudzająca klassę wyższą do opamiętania się i reformy, pozostaje tąż samą. Kraszewski ma przez dwadzieścia lat odwoływać się do sumienia narodu, wykazywać wartość podobnego dzieła, przekonywać mocą talentu, że materyał ludowy godnym jest takiéj ofiary z egoizmu. I po latach dwudziestu ma znowu wydać manifest ostatni, kreślący zawód swój, rozczarowanie, — potępienie.

Z faktem tym pisarskim łączy się fakt obywatelski Kraszewskiego, który, jak wiadomo, po rok 1860, będąc posiadaczem ziemskim i mieszkając na Wołyniu, używał wszelkich prerogatyw stanu. Pomiędzy rokiem 1856 a 1861 była chwila głębszéj reflexyi w kraju, reflexyi, która wprawdzie nie powinna była dać się sprowadzić na bezdroża, ale która niezaprzeczenie miała i swoje momenta poważne. Do takich należał wzgląd ekonomiczny, wychodzący z łona Towarzystwa Rolniczego, implikujący zarazem i urządzenie stosunków włościańskich. Otóż w chwili najgorętszych na Wołyniu rozpraw w kwestyi wyzwolenia i uwłaszczenia, Kraszewski rzuca *Historyą kołka w płocie* (rok druku 1860), a jednocześnie jako obywatel ziemski przemawia za tém na zebraniu statystów... Głos jego, o! czcigodny egoizmie! takie rozniecił oburzenie w gronie obradujących, że czasu wyborów, z pomiędzy trzystu głosujących, miał Kraszewski za sobą dwóch tylko, to jest zięcia swego Łozińskiego i Dunina. Nauka poszła w las, a fakta poszły drogą Nemezy. Kraszewski silnie zaprotestował w „Gazecie Warszawskiéj" przeciw obywatelstwu Wołyńskiemu, i porzucił towarzystwo, z którém go tak głęboka rozdzieliła przepaść, by myśl swą snuć daléj na tle publicystyki, jako redaktor „Gazety Codziennéj."

Jak dalece próżnémi były jego usiłowania literackie, podejmowane przez lat dwadzieścia w kwestyi włościan, widać i ztąd, że pierwiastki bolesne, wypełniające epizod *Sawki*, przenoszą się i do *Historyi kołka w płocie*, koniec wiąże się z początkiem témiż samémi ogniwami, i dwa te obrazy stanowią symetryczną odpowiedniość: różni ich tylko ogromna w ostatnim przewaga siły artystycznéj tak iż ten łączy w sobie zarazem zalety broszury socyalnéj i malowidła estetycznego stopione w jedność, nad którą nadto wdzięczy się allegorya.

Wśród ruin zniszczonego lasu, wyrasta gdzieś z korzenia starego dębu, młody dąbczak zaniedbany, naturą silną walczy o byt z chwastami i innémi drzewy, chcącémi go zagłuszyć i zniszczyć; już znaczny ponad inne, wystrzeliwa coraz śmielszą koroną i szepcze coś miłośnie z sąsiednią sośninką: zostaw mu tylko swobodę wzrostu, a stanie się królem, podziwem gaju. Ale nie! Kiedy dąbczak ukazał zaledwie swe atletyczne kształty, ludziom właśnie nieopodal zawalił się płot i trzeba go było naprawić, ku czemu wielce przydać się mogły młode łodygi, wyrastające na bezużytecznym zrębie. I tak dąbczak ów, uznany za wielce dogodny, padł pod siekierą, i z domniemanego króla gaju, poszedł gnić, jako kołek w płocie.

I Sachar z chaty Semenowéj, rówieśnik owego dąbczaka, posiadał podobne jemu przymioty i siłę..... jako urodzony artysta. Historya jego jest analogią historyi kołka w płocie, napisaną nie, jak dzieje Sawki, w tonie lamentu i deprekacyi, ale tak sobie z fantazyą, która łzę pokrywa śmiechem, boleść żartem, i już nie łaje ani strofuje, tylko nie wymieniając nikogo po imieniu, uderza niby omackiem, w ciemności, na oślep, ale zawsze jakoś trafi w pierś, w którą wymierzyła, pociskiem wyrzutu, zaostrzonym dowcipem. Cały rozdział czwarty wysnuwający genealogią chłopstwa, stanowi próbkę takiego dowcipu, urągającego płaskim krótkowidzom, którzy nadużycia swe chcieli maskować różnicą rassy, tak jak równocześnie obywatele Stanów Zjednoczonych głosili nieczłowiecze pochodzenie murzyna. Tu równie, jak w rozdziale siódmym i ósmym, a wreszcie i w rozmaitych ustępach książki, dowcip Kraszewskiego dochodzi niejednokrotnie do werwy pamfletu: już autor znużył się daremném przez lat dwadzieścia zachęcaniem, przedstawieniem poważném, teraz drwi, ale czuć, że przy tych drwinach serce mu marznie i pęka.

Otóż ten Sachar, ten przyszły kołek w płocie, był synem Charytona, który przyszedł do niego tym sposobem, że się ożenił z Wasylissą, mołodycą służącą na folwarku. I cóż dobrego zrobił? To prawie, że się powtarza historya Sawki z Naścią. Próżno mu ojciec Semen odradzał; ale co robić! Wieśniacy, — powiada autor, — także téj nieszczęśliwéj chorobie podlegają, która się u nas miłością zowie, a rzadko i z nich który wyjdzie cało: naznacza ona, jak przebyta ospa, na całe życie. Wasylissa, jako

dwórka, w cienkich chodziła koszulach i śliczne pieśni śpiewała, a śliczną była, że aż nasuwało się pytanie, zkąd w tym rodzie Chama biorą się tak ładne twarze, żywe oczy, zgrabne kibicie, a zwłaszcza ręce i nóżki? Jako żona też, mołodyca ta, nawykła do innego trybu życia na folwarku, w chacie po tygodniu posmutniała. Raz wraz przychodzili nieproszeni goście, na których pies domowy ujadał; mołodycy stroić się chciało choćby na pole, w niedzielę tęskniła do tańca i skrzypek, a w domu jakoś z robotą nie szło, i musieli ją zastępować, bo ją białe rączki bolały. Choć to ze dworu dziewczyny różnie wychodzą, nie była to przecież kobieta zła, tylko zanadto chwyciła próżniaczéj natury dzieci Jafetowych, zanadto zasmakowała w atmosferze ich świata, i w nowém środkowisku czuła się niby okradzioną. Tego było dosyć, ażeby zatruć życie rodziny, niemającéj czasu na to, aby folgować marzeniom.

Najpierwszém dzieckiem jéj był Sachar, nie do ojca nie podobny, ale za to istny obraz matki, fizycznie i moralnie. Piękny, zdrowy i silny, przyniósł z sobą w duszy coś Jafetowego: smutek macierzyński, pragnienie rozrywki, marzenie i upodobanie w swobodnym spoczynku, słowem zupełny kontrast z tém, do czego przeznaczało go urodzenie.

Ścielc mu się też istne życie Prometeusza przybitego do skały, Pegaza ujarzmionego przy pługu: odwieczna bajka, która nie przestanie być wiekuistą prawdą. Niepotrzeba było wprawdzie być na to chłopem wołyńskim, ażeby padać ofiarą skłonności, zgwałconych przymusem; i w klassach, zupełnie swobodnie rozrządzających ruchami własnego ciała, zdarzają się bardzo często takie fatalizmy: ale tu przynajmniéj próbować można, i nieraz dziecko nękane przez rodziców roztropnych za folgowanie jakimś zachceniom powyżéj stanu, urwie się, by wbrew nawet okolicznościom nieprzyjaźnym powstać autorem „Zbójców“ lub „Ostatnim Minstrelem“. Inaczéj wszelako tam być musi, gdzie granica ruchów jest ścieśnioną do minimum.

Sachar wybujał krzepki i barczysty, jak ów dąbczak w lesie, ale i jak ów dąbczak czuł się przyrosłym do ziemi, wówczas gdy chciało mu się dosłuchiwać szmeru dalekich gromad ludzi. Matka śpiewem, las szumem, łąki wonią, wody szmerem tęsknym wychowały go na marzyciela i świtało mu coś w głowie, snuło się w myślach niewyraźnie, chciałby to sobie rozjaśnić, rozświetlić, a tu zewsząd biły nań ciemności otoczenia; zdawało mu się, że niepowinien zostać przy roli, chacie i tém życiu, zewsząd zamkniętém nadziei wszelkiéj, wybiedz na przestwory szersze, a wszędzie znajdował zapory i przymus.

Nie było z niego pociechy w chacie: artysta gnębił w nim chłopa. Zyskał też miano niezdary (netiamet); ale że dobrym był do rady, do tańca, że zadziwiał wszystkich sprytem, uczynnością w potrzebie, że śpiewał, czego się nigdy nie uczył, folgowali mu wszyscy i lubili go, niby jakiegoś nieszkodliwego cudaka, paniątko w skórę chłopską zaszyte. Wiodło mu się też doskonale i wesoło. Ale to taka bieda z człowiekiem, a nawet z chłopem, że kiedy mu się wiedzie, to nigdy nie ma dosyć: chce się więcéj, bogdaj gwiazdki z nieba, do któréj nie dojść, chyba przez otwór w ziemi. I Sacharowi też chciało się zawsze nie tego, co było, ale co być nie mogło. Czekał jutra nie śpiąc, a po wczorajszym dniu płakał. I tak to wyrósł on na podziw ludziom, na utrapienie sobie.

Bo z domem i gromadą, to jeszcze półbiedy: swoi, więc wyrozumiali, o ile chamskie plemię rozumować może. Ale Sachar był oprócz tego jedną ze sztuk dworskiego inwentarza, a tu uważano nieraz, że gdy ekonom dawał mu nauki moralne, to chłopiec ziewał i spoglądał na ptaki uwijające się w powietrzu. A lubo dwór nie był co do kropli podobny do tego, który opiekował się takim „Sawką,“ ale niewiele go to wzruszało, że ma w swojéj wsi chłopaka, który ucieka gdzieś w zarośla ustronne ze skrzypką, i nieuczony, gra do zasłuchania, tak że aż panienki idące ze dworu rade nadstawiają ucha. Mniéj estetycznie wrażliwy ekonom, podczas poboru rekruta zauważył, że lepiéj oddać do wojska taką naturę awanturniczą, w gospodarstwie nieprzydatną, a zaoszczędzić zdolniejszego: rozumowanie bardzo logiczne, którego jednak nie podzielała matka, i syna wyprawiła w świat.

Uchodząc z tęsknotą w duszy za swojemi, ze skrzypką i bochenkiem chleba, młody Sachar spotkał na gościńcu starszego brata po duchu, grajka, który utalentowany, ale nie forytowany, jechał na jednokonnéj biedce szukać szczęścia w stolicy. Poznali się, zbliżyli, pokochali, i razem udali w podróż. Pod kierunkiem nowego przyjaciela, wzmogła się technika gry Sachara, ale duch borów pozostał; i gdy z czasem dorwał się skrzypki, jęczał na niéj takiémi pieśniami, jakich w murowanym świecie słychać nie było, i lubiono Sachara więcéj za te dzikie śpiewy, niż za jego uczoną muzykę. Nie wpłynęło jednak to pomyślnie na położenie

obu muzyków, starszy umarł wkrótce z wycieńczenia, a Sachar z tęsknoty powrócił do swoich.

Radość połączona ze strachem towarzyszyła powrotowi jego w rodzinie, ale ta muzyka dziwna zjednała mu nietylko przebaczenie we dworze, lecz pewną nawet względną życzliwość. Powiadamy, względną, ale powinnibyśmy powiedzieć, wysoką; bo dwór, podziwiając niezwykłe zjawisko w tym młodym, bladym i długowłosym włóczędze, już go nie zdegradował do pługa, ale zatrzymał go przy sobie, na zaszczytném stanowisku... lokaja. I nie sądźmy, ażeby względność ta nie braną była na seryo. Słyszeliśmy na własne uszy, jak jeden dziedzic, biorąc chłopaka ze wsi na posługi pod rozkazy kredencerza, oświadczał z całą świadomością wyświadczonego dobrodziejstwa, że chłopak tym sposobem wyjdzie z czasem na *człowieka*.

Tak dąbczak rówieśnik schylić musiał czoło liśćmi szepczące z wiatrami, by w gronie osiczyny stary płot podeprzéć. Tak Sachar stanął wpośród gawiedzi liberyą okrytéj, dzięki swemu talentowi, by po wyczyszczeniu butów i zamieceniu pokoju czasem państwu sprawić muzykalną rozrywkę.— „Dziwna rzecz,—mówił o nim sam pan dziedzic, rozumiejący, że najprzyzwoitszém stanowiskiem dla uczciwego szlachcica jest pantofel żony, — dziwna rzecz: gra ci mazura i ochoczo, od ucha, a licho wie jak brzęczy w nim coś, niby skarga i krzyk straszny,... mnie po jego graniu zawsze jakbym z pogrzebu wrócił; i uważam, że Dosia chodzi smutno, Adelaidzia także, nawet chłopcy pomywacze nosy spuszczają.... osobliwszy człowiek i gra jakaś dziwna."— „Żeby tak na mnie, — szeptał znowu Matyasz przywódzca służby, chłop już wyjafecony, — jabym go puścił w świat, bo to gotowo jakiéj biedy we dworze narobić.... Nieprzytomny chodzi, nie rozumie, co się do niego gada, nie boi się nikogo, łaj go, ani drgnie, bij, ani się ruszy, a w dodatku pocichu płacze... i wszystkie dziewczęta chodzą za nim, jak za malowanym obrazkiem. Naco we dworze taki sługa! Uczciwy, to prawda; ale co mi z tego, że on z dobréj woli uczciwy, kiedy ja kijem z każdego zrobię wzór cnoty i posłuszeństwa."

Takich renegatów chłopskiéj doli, którym dwór tylko swoje wady zaszczepił, wyniszczając zalety naiwności i prostoty, często przedstawia Kraszewski jako pomiot, i jednę z najsmutniejszych ofiar stosunku niewolnika do pana. Człowiek taki, z istoty dzikiéj, posiadającéj przynajmniéj otwartość natury wolnéj a uszlachetnionéj piętnem niewoli przymusowéj, człowiek taki, we dworze nawykając do służenia na łapkach i zbierając korzyści dobrowolnego zaprzedania, wyradza się powoli i przyjmuje naturę psa domowego, który łasi się do fraka, a zajadle szczeka na łachmany i z tyłu zachodzi, aby ukąsić.

Ale Sachar tak był już życiem złamany, tak wygięty, że z obojętnością prawie przyjął to upokorzenie swoje, którego doniosłość w duszy, oddanéj skłonnościom wyższym, rozumiał, a którem opłacić musiał szczęście przebywania wśród swoich. Szczęście to miała naprawdę urzeczywistnić miłość: ale i tu wdanie się dworu tylko fatalny dało jéj obrot. Sachar pokochał Natalkę, sierotę ze wsi, podjętą przez siostrę dziedzica, i wychowaną na stopie pół sługi, pół rezydentki, a już to dla wdzięków, już dla wcale przyzwoitego ułożenia, poszukiwanéj przez wielu wielbicieli surdutowych. Była ona Sacharowi wzajemną, ale związek ten wszystkim wydał się potwornym, zwłaszcza saméj dziedziczce, która, pragnąc lepszego dla dziewczyny losu, póty ją odciągała, aż ta zdradziła słowo dane włóczędze i przyrzekła rękę innemu, po myśli pani. Dowiedziawszy się o téj zdradzie z ust saméj kochanki, Sachar odstąpił krok, popatrzył długo, oczy mu się zaiskrzyły, wargi zadrgały, i nie mówiąc ani słowa, odszedł powoli.... Zaśpiewał i zagrał wesoło, i odtąd wesołość do końca życia nie odstąpiła.... waryata. Daremnie Natalka, chwilowo tylko obałamucona czułą opieką dziedziczki, zwróciła doń całe serce: już on jéj nie poznawał, tylko wciąż na skrzypce, jedynéj wiernéj przyjaciółce, stan duszy swojéj wygrywał. Nieszczęście jego pociągnęło za sobą i Natalkę, która chorobą a następnie złamaniem życia przypłaciła chwilową niewiarę. A dwór dziwił się tylko, zkąd tyle uczucia bierze się u istot wcale do tego nie powołanych, i żałował ich obojga, tak jak żałuje się niemego stworzenia, jęczącego pod płotem.

Żałujemy, że z natury niniejszéj publikacyi zobowiązani do możliwych streszczeń, musimy odmówić sobie obszerniejszéj analizy tego utworu, któraby pociągnęła za sobą wykazanie artystycznych szczegółów, jakiemi on się odznacza, zwłaszcza co do saméj charakterystyki tego chłopa — artysty, rozrywanego mocami wprost sobie przeciwnémi. Ze społecznego punktu przejrzystym on jest dostatecznie, i jasno wypowiada myśl, ile to przez wieki zmarniało istot wyższych, nie mogących wydobyć się ze stanu niewoli do swobód stanu średniego,

już to przez surowość instytucyi, już też przez obojętność klassy, nie umiejącej lub nie chcącej ocenić pożytku ogólnego, jakiby powstał z takiego podniesienia poziomu mass. Pomimo radykalnych zmian, czyniących niepodobnym powrót takiego stanu rzeczy, nie sądźmy, ażeby tendencyjność takiego utworu, jaką była w r. 1858, dziś zupełne utraciła znaczenie. Stosunki się zmieniły, ale cel pozostał ten sam.

Pomiędzy dwa takie utwory, jak „Sawka" i „Kołek w plocie" ujęta działalność na polu ludowém Kraszewskiego, dobija się uznania w etyce narodu, dając do domyslu dewizę: „ab uno disce omnes." Ale nie byłaby ona wiernem odbiciem obrazu historycznego wnętrz narodowych, gdyby, co do cech głównych, nie środkował między niemi utwor trzeci, uzupełniający niejako to, co w tym przedmiocie było do zaznaczenia. Stan zależności, jakkolwiek niemiłym jest, nieprawym i nienaturalnym, może mieć wszelako pewne korzyści, dopóki władza nie staje się przemocą, ale przeciwnie, nakładając na umysł oświecony pewne obowiązki, dba o ich wykonanie. Jakiekolwiek reformy liberalne wprowadzalibyśmy w stosunki społeczne, nie sprawimy tego, ażeby dzieci nie były zależne od rodziców, sługi od panów, robotnicy od pracodawców, słowem, ażeby możniejsi, rozumniejsi i bogatsi, nie przewodzili nad uboższymi w duchu i znaczeniu. Równość więc niezależność zawsze będzie raczéj prawem ideałem społecznym, niżeli rzeczywistością, widzimy to w społeczeństwach najlepiéj nawet, jak na dzisiejsze czasy, urządzonych. Zależność zatem, wcale nie pożądana, bo świadcząca o małoletności mass, przyjęta wszakże, jako fakt dopuszczalny a w pewnych warunkach konieczny, kierowana wyższémi zasadami moralnémi, wytworzyć może pewien stan tak zwany patryarchalny, rozwijający obustronnie uczucia miłości, — stan, którego niejednokrotnie widzieliśmy w dziejach obrazy tchnące błogością i poezyą. Stan z przed roku 1861, jeżeli niezbytwym był do zmienienia, mógł wszelako wytwarzać podobne obrazy, pod warunkiem tych zasad moralnych, o których mówimy,— wytwarzał je tam, gdzie podobne zasady istniały, a Kraszewski przykład podobnego stosunku przedstawia w *Ladowéj Pieczarze*, utworze środkującym w porządku chronologicznym pomiędzy wstępem i zakończeniem jego obrazów ludowych (rok 1852).— Miał to być zapewne z jego strony inny rodzaj pobudki reformistycznéj: apologia przeciwstawiona krytyce.

Ażeby nas nie posądzono, że szeregując pojedyńcze utwory mistrza, przypisujemy mu zamiary i konsekwentności, które mogły być czystym przypadkiem, powołujemy się na jego własne słowa wyjęte z przypisku wstępnego do tegoż utworu w edycyi powtórnéj lwowsko-warszawskiéj:— „I to też historya przeszłości, — powiada,— stosunków patryarchalnych, po których dziś zostało tylko wspomnienie... Sto lat nas od tego świata dworu i wioski, gromady i pana przedziela... Z pewnych względów moje opowiadanie to, jak *Historya kołka w płocie*, nazwać się może materyałem do dziejów przeszłych społeczeństwa naszego."

Sam więc autor upatruje pewną łączność między temi utworami, do których my nadto zaliczamy i „Sawkę." A choćby nawet tendencyjności nie towarzyszył tak jasno sformułowany zamiar a priori, niemniéj widocznie skleiła się ona a posteriori, iżbyśmy nie mogli jéj dostrzedz.

Ważną wskazówką z tego przypisku jest to, że autor nie napotkał nigdzie tego stanu za swego życia, ale materyał do swego opowiadania o „Ładowéj Pieczarze," natchnionéj oglądaniem tajemniczych podzamkowych przejść w Chocimiu, na Wołyniu, zdobył w rozmowach po drodze, których powieść jest stuletniem już echem, a więc tradycyą. Podaje ją zatem autor, jako pewien wzór i postulat chwili spółczesnéj tworzeniu opowieści.

Jużeśmy wyżéj przypadkowo napomknęli, że wieś będąca teatrem téj opowieści (Stare) przechowała szczątki urządzeń pierwotnéj gminy sławiańskiéj, i była też to wieś, w któréj lud z panem starą jeszcze sławiańską jedność stanowił, trwając z pokolenia w pokolenie w miłości i zgodzie. Dwór stał na czele wioski: był jéj rządem i sędzią, ale zarazem opiekunem, śpichlerzem, podskarbim, obrońcą, przedstawicielem. Jakoby naodwrót temu, cośmy widzieli w streszczonych poprzednio dwóch powieściach, przez usta wprowadzonego tu wieśniaka, ukształconego a jednak zostającego w nieprzerwanym związku z gromadą, autor powiada:— „Szlachcic kierował mniéj więcéj rozległą gminą ludu, któréj był raczéj ojcem z ducha, niż panem z materyi; w miarę wielkości swych obowiązków usposabiał się całém życiem do ich spełnienia, czuwał nad bytem powierzonéj mu gromadki, puszczał z niéj w świat i inne życie tych, co się do niego zrodzili, zostawiając przy roli takich, co tę pracę kochali, a do innéj nie mieli serca lub zdatności; żywił, karmił, bronił, a na chwilę z oka nie spuszczał"

Że pod względem istnienia kiedyś takiego lub podobnego stanu, autor ma za sobą prawdę historyczną, nie ulega wątpliwości;— dowodem, mnóztwo uszlachconego przez starszyznę chłopstwa, z którego późniéj powstała tak licznie reprezentowana u nas szlachta zagonowa, dowodem poeci (Janicki) i wiele szlachty duchownéj wyszłéj z szeregów gminu. Dalecy wszelako jesteśmy od podzielenia zdania autora (str. 88), że, „społeczność owa była czémś idealnie doskonałém;“ i nie powiedzielibyśmy razem z nim (str. 89): — „niech sobie nowi mistrze nauki społecznéj szukają lepszego wzoru społeczności nad ową sławiańską, ja go nigdzie nie widzę.“— Stan taki mógł być dobrym chwilowo; że się jednak opierał na łasce i dyskrecyi obyczajowéj, nie zaś na prawie, więc nie był zgodnym z pojęciem natury społeczno-ludzkiéj, i przeto utrzymać się nie mógł. Optymizm Hrycia Soroki, owego ukształconego chłopa, któremu autor powierza swą rolę, zachodzi zadaleko, kiedy na zarzut interlokutora, wyrażający się słowami,— „zależność i poddaństwo!“ odpowiada: — „Są to czcze słowa: z takimi jak nasi, panowie, poddaństwo kończy się na miłości i opiece; zresztą czyż wszyscy w jakibądź sposób nie jesteśmy zależni?“ (str. 101).

Prawda: ale łaska pańska na pstrym koniu jeździ.... i dosyć było zepsuć się szlachcie, z jakich bądź powodów, ażeby z tego raju patryarchalnego uczynić piekło przemocy, które tak malowniczo sam autor opisuje i na którém opis swój w ostatniéj powieści zamyka. Jakich to zatem potrzeba ludzi, ażeby stan bezprawia uczynić stanem błogości i wytrwać! To nad siły natury ludzkiéj, ułomnéj i kruchéj. Wreszcie nie mamy co daléj polemizować z autorem w sprawie, która w téj formie nigdy już nie wróci; tembardziéj, że on raczéj bronił tu przeszłości naszéj od zarzutów okrucieństwa, sypanych zbyt hojną ręką przez ludzi mniéj znających historyą, a w téj właśnie przeszłości wskazywać chciał wzory postępowania w okolicznościach podobnych a złych, i których zmienić z gruntu nie było można.

Nie sądzę, ażebyśmy potrzebowali przytaczać tu szczegóły tego życia dobréj i kochającéj się rodziny, jaką tworzy dwór wspólnie z gromadą w Starém. Artyzm powieści nie wybija się tu w sposób szczególniéj odznaczający, lubo akcya dostatecznie realizuje to, co w pewnych ustępach książki, za długich może, jak na utwor belletrystyczny, stanowi niejako dogmatykę życia patryarchalnego gminy. Dość jeżeli powiemy, że solidarność obustronna, w dobréj i złéj doli, wspólność interesów, gotowość do obrony i poświęceń, stanowi treść budującą, a w doświadczeniu dziejowém, nawet i z czasów bliższych, nie bezprzykładną.

III.

A teraz, ułatwiwszy się choć pokrótce ze stanowiskiem społecznem autora w kwestyi ludowéj, reprezentowaném głównie w tych trzech utworach, zwrócimy uwagę na jego zadanie psychiczne, uplątane w tę sieć stosunków, oraz na tło artystyczne, na którém cała ta gra, z natury kompozycyi, odbywać się musi. Autor, jak to i sam wyznał, unika fotografii, którąby z niewolniczą wiernością apparatu odciskała całą powszedniość życia i duszy wieśniaczéj; zadaniem więc jego będzie rozgarniać tę powszedniość i pod jéj grubémi osłonami doszukiwać się w głębi ideału, niewidzialnego dla oczu pospolitych, pod warunkiem, ażeby ideał ten był odbiciem prawdy, nie zaś jéj surrogatem lub złudzeniem psychiczném— tak iżby to byli wieśniacy polescy czy wołyńscy, a nie wieśniacy Kraszewskiego.

Nie mamy się czego obawiać. Zdolny to reżyszer: jeżeli kiedy w cyklu ludowym słyszymy głos jego, jako autora, to tylko w prologu, przed odsłonięciem kortyny, albo z za kulis, na scenie sam nie występuje nigdy. Chodzi za chłopem wszędzie: do chaty, przeglądając wszystkie jéj zakątki, studyując nawet jéj architekturę, sprzęty domowe; i wszystkie prawie jego powieści, lubo pochodzące z tych samych albo sąsiednich jedna drugiéj okolic, mają swą osobną dla się topografią, osobny krajobraz, osobne domowisko,— wskazówka, że autor w twórczości swéj ulegał żywym podbudzeniom, czerpanym bezpośrednio od przedmiotów natury, a w całém otoczeniu człowieka widział część całkującą jego samego. I tak téż, ponieważ natura i otoczenie nie były dlań rzeczą abstrakcyi, którą umysł podług siebie modeluje, ale wzorem konkretnym i żywym, przeto z każdego opisu powstało malowidło żyjące, pejzaż, mający samodzielną wartość sam przez się i w sobie; i wszystkie te opisy, przeniesione na płótno, utworzyłyby śliczną galeryą drobnych lanszaftów polesko-wołyńskich, którymby ani słońca, ani powietrza, ani barw, ani rozmaitości, pomimo wspólności tła nie brakowało. Kraszewski ma tak żywe poczucie natury, że ilekroć dotknie się jéj w powieści, wszędzie ciągnie za sobą atmosferę, a tak nią

oddziaływa na współczującego czytelnika, że kiedy opis zmierza ku końcowi, radbyś znów do początku powrócić. W opisach swych trzyma się on przedmiotowości tak pilnie, że nie zaniedba najmniejszéj zmiany, czy to w samém tle krajobrazu, czy w jego szczegółach, ilekroć zachodzi zmiana warunków.

Zmiany to niewielkie, dostateczne jednak do urozmaicenia malowniczości tła. Krajobraz ziemi naszéj, w owym zwłaszcza zakątku, nie przedstawia wydatnych różnic geologicznych: jedna płaszczyzna aż po samo Podole; każda wszelako przypadłość gruntu odkrywa jakby nową kartkę w albumie. Wieś na szczerém polu, a wieś nad brzegiem jakiéj rzeczułki, albo w pośród lasu położona, dostarcza innego materyału malarskiego, z którego nie zaniedbuje korzystać autor. Tak też czyni i z każdą chatą, tym nieodzownym prawie pierwiastkiem pejzażowym. Wszystkie one do siebie niby to podobne, dla widza pospolitego obojętne a nawet wstrętne, ale oko artysty odkrywa znamiona cenne dla sztuki, oprócz tego uroku ogólnego, jaki ten skromny dodatek sztuczny, rzucony niby strój na piersi natury, sprawia w widzu obdarzonym poczuciem estetyczném. Chata wreszcie cechuje miejscowość, stanowi pewien kommentarz, objaśniający zamieszkałych w niéj ludzi.— Powszechnie w miejscowościach tych (4) jest ona nizka, nieszczelnie pokryta czarnémi od dymu dranicami zaledwie przymocowanémi do krokwi, pod okapem wystającym widać niewygodną przyzbę, składającą się częstokroć z kłody odartéj z kory; przy niéj nizkie drzwi od dziedzińca, zniżone jeszcze wysokim progiem, strzegącym sień przed zalewem blizko stojącéj kałuży; małe okienka, złożone z okrągłych szyb zielonych, podobnych do dna butelek, rzadko z szybek pospolitych, kupionych z oknem gotowém na jarmarku. Nad okopconém dachem słomianym, wysokim, wznosi się czarny dymnik drewniany, w kształcie trąby lub słupa czworogrannego, który jednak nie odprowadza dymu tyle, iżby go nie było pełno w izbie, zwłaszcza zimową porą. Wchodziliśmy tam często w téj porze, i trzeba było się zgiąć we dwoje, ażeby w niższéj przynajmniéj warstwie powietrza coś można zobaczyć, bo w wyższéj ciemno zawsze jak w nocy, od dymu, który oczy wygryzał a tamował oddech. W takiéj to jednak atmosferze dymu, pary, swędów rozmaitych, żyje zwyczajnie Poleszuk. Ta malowniczość pejzażowa ciężko się okupuje zdrowiem.

A jednak taka chata poleska, to jeszcze budynek *comfortable* w porównaniu z chatą podolską. Tam przynajmniéj są lasy duże, a więc i drzewa dostatek; tu nic z tego: chata w bezlesiu buduje się, Bóg wie jak i z czego. Inna też, a osobliwa, więcéj jeszcze pejzażowa jéj fizyognomia (5). Kilka zaledwie ją słupów dębowych lub osikowych podpiera po bokach; beleczki, którychby poleszuk nie wziął na krokwie, osikowe lub brzozowe, chude, krzywe, służą za podstawę dachu; o krokwiach niema co i mówić, są to tylko patyki odarte z kory, zawieszone nieforemnie a tak dalekie od linii prostych, że dach cały, gdy słoma się zleży, wygląda jak tło do pagórków i dolin. Ściany, zawsze wprawdzie bielone, co czyni chaty te więcéj malowniczémi, ale powstają z polan drzewa najrozmaitszego, i nie troszczą się o żadną foremność; krzywe prosto ułożyć się nieda, więc w górze się wydmie, u dołu wklęśnie, i tak trzyma się to na łasce wiatrów i śniegów, dopóki jest czém podpierać. Taką to już różnicę w siedzibach ludzkich zaprowadza grunt, nie obfitujący w drzewo.

Nie są bez wpływu na te zmiany i same położenia a obyczaje ludzkie. W owéj wsi wołyńskiéj, gdzie wieki posiadania zadzierżgnęły silny węzeł serdeczny pomiędzy rodziną panów a włościanami, chata, nie tracąc swego charakteru lokalnego, odznacza się większą starannością konstrukcyi i względnym wykwintem. Jéj okap opiera się na czterech słupach rzeźbionych, kształtu indziéj niebywałego, z przepaskami pośrodku, z czółkiem dziwacznie wyrzynaném (kapitel) i wysoką podstawą; nawet końce belek, uszaki okien i inne części składowe, odznaczają się rzeźbą: to ślad jakiéjś staréj domorosłéj sztuki, jakiegoś stylu rodzimego, który tu się razem z obyczajem przechował; co popierać się zdają trzy kamienie przed chatą, przeznaczone do siedzenia dla jakiejś starszyzny, a widocznie ręką ludzką obrabiane (6). Wszystko to przedstawia jedną z cech odrębności wsi, która dziwnym sposobem przeżyła czasy zmian i jeszcze oddycha ostatnim tchem starosławiańszczyzny.— Coś znowu innego zobaczymy, gdy nas autor zaprowadzi pod domowisko tych najemników pół osiadłych, pół koczujących, którzy trudnią się węglarstwem i smolarstwem: ludzie rolni, ale dla braku gruntu stałego nieraz ubożsi od poddanych. Chata ich też więcéj jeszcze zaniedbana, i sklecona jakby bez myśli o jutrze, (bo w miarę wyzysku materyału drzewnego trzeba posuwać się daléj), przedstawia więcéj charakter budy, niżeli domu; wnętrze odpowiada powierzchowności. Ale wpośród gratów nędznych zo-

baczysz tam trzy rzeczy charakterystyczne: strzelbę, bo każdy taki smolarz żyjący wśród puszcz, jest zarazem myśliwym i, rozumie się, skrytołowcem; starą szablę, bo to szlachcic schłopiały; i obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj, który przypomina jego pochodzenie Mazurskie (7).

Gdyby, słowem, iść za śladami autora, możnaby razem z nim odbyć studyum architektoniczne z zakresu ludowego, zblizka łączące się z charakterem i obyczajem mieszkańców; ale to dopiero jeden szczegół. Ażeby wieśniaka obserwować tylko z oddali, nim się do wnętrza jego duszy dostaniesz, trzeba podejść nietylko pod jego chatę, ale pójść za nim do karczmy, do kościoła i do dworu. Karczma, to miejsce uciechy codziennéj, niby resursa stanu średniego w mieście; kościół, to skarbnica nadziei przyszłego żywota; dwór, to władza i zwierzchność. Wszystkim tym trzem wkoło siebie ustawionym ogniskom, wieśniak musi dać z siebie coś, musi odpracować, odpłacić, część życia ofiarować: za opiekę panu, za nadzieję księdzu, za uciechę arendarzowi; a już to arendarz największy procent téj ofiary zabiera. Bo, lubo rzadko, znajdują się przecież wsie bez dworu; bez kościoła często, bez karczmy nigdy. Karczma, to forum publiczne, sąsiadujące zwykle z kościołem, i razem z nim uczestniczące we wszystkich najważniejszych epokach życia człowieka: kiedy się rodzi, żeni i umiera. Dodajmy do tego wszystkiego jarmark, niby doroczną w braku innéj uroczystość narodową, dzień swobody, a będziemy mieli całe pole, na którem chłopa poszukiwać można. O szkole nie mówimy, bo w owe czasy szkoła w tych miejscowościach należała tylko do jakichś wybryków dworskich, do dziwactw, na które uśmiechali się lub krzywili sąsiedzi; — trąciło to niebezpiecznym socyalizmem.

Na dalszym dystansie takie to otoczenie, zbiorowe niejako, ukazuje autor: to dopiero dekoracya i scenaryum. Z tych zbiorowości wyłaniają się jednostki, i te wchodzą już w zetknięcie bliższe: to przejście do właściwego dramatu życia. Jednostki te albo wychodzą wprost z ludu, albo z innych klass społecznych, by stanąć jako czynniki w jego życiu.

Z ludowych, najwalniejszą figurą we wsi jest znachor, respective znachorka, a im gdzie większa panuje ciemnota i grubszy zabobon, tém znachorstwo większego używa zachowania i powodzenia. Zkąd się to bierze, Bóg wie; ale to pewna, że rady znachorskie, względnie do prostéj i grubéj organizacyi wieśniaczéj, często bywają skuteczne, tak samo jak w wypadkach chorób ważniejszych zabijają. Nie przeszkadza to jednak ludziom mieć w nich największe zaufanie: pomyślne skutki przypisują oni mądrości lekarki, zły wypadek dopuszczeniu Bożemu, i skutkiem takiéj komplanacyi, tonący zawsze brzytwy się chwyta. Nie bez tego, żeby z charakterem znachorki nie łączył się potroszę charakter czarownicy; więc też zaufanie z pola medycyny przenosi się i do innych sfer, tak że Czyżycha w epizodzie „Sawki“ a Sołoducha w „Chacie za wsią,“ spełniają jakieś funkcye opatrzności gromadzkiéj we wszystkich razach trudnych i wątpliwych.— W „Ładowéj Pieczarze,“ gdzie ludność, pod sterem rozumnego a pieczołowitego zarządu, poważniéj na rzeczy spogląda, już takich istot o umyśle nadprzyrodzonym nie poświeci, i wszelki charakternik źleby tam wyszedł na swoich interesach. Te dwie jedyne znachorki, jakie ukazują się w powieściach Kraszewskiego, oprócz pewnéj dobrodusznéj chytrości, okrywa jakaś barwa uczciwości i poświęcenia: nędzarki same, bo zwykle taka mądrość nadludzka nawiedza na wsi tylko proletaryat, graniczący z żebractwem, żyją wprawdzie z cudzéj biedy, a każda rada, czy to w dolegliwości fizycznéj, czy moralnéj, okupuje się im jakim datkiem, ale téż, gdzie potrzeba, okazują się one bezinteresownemi, i serca im nigdy nie brak dla swoich.

Inaczéj rzecz się ma z proletaryatem, zostającym na służbie u dworu lub na folwarku. Tu przerywa się nić sympatyi między dziećmi jednéj doli, i ta nieufność, jaką chłop uczuwa względem zarządu, przenosi się w części na wszystko co w skład jego wchodzi, tak, iż współbraci, co się oddalili od ziemi a poszli na wysługi domowe, uważa on za apostatów. Tamta znów strona przywdziewając liberyą cywilizacyjną, i ocierając się zblizka o potęgi wiejskie, doznaje głupiego zawrotu głowy i ma siebie za coś wyższego od istoty siermiężnéj. Autor nasz tu i owdzie z trafnością biegłego psychologa wskazuje te przeobrażenia postaci ludowych, zatrzymane w jakimś poczwarnym stanie gąsiennicy; ze smutkiem widzi w szeregach dworusów podszczuwania przeciw swoim, donosicielstwo, i co najbrudniejsza, meklerstwo (8), a wszystko to praktykowane dla przypochlebienia się, w nadziei zysku. I to są podobno najnędzniejsze „kołki w płocie,“ jakie dwór wycina wśród dziczek ludowych.

Z innoplemiennych, cyganie nie wchodzą jako stały żywioł sielski, a jeżeli autor poświęcił mu jedno z najpiękniejszych swych

natchnień, stało się to więcéj przypadkiem. Jest za to inny żywioł innoplemienny, nieodczepny od chłopa, jak szata Nessusa od kości: to żydzi. Jakąż to rogatą trzeba było mieć naturę, żeby mając tyle przeciwko sobie, wytrzymać jeszcze wpływ téj potwory nienasyconéj, która, pod osłoną dworu, ekonoma i urzędu, dniem i nocą stojąc na straży chłopskiego dobytku, ciągnęła go ku sobie całym sprytem, podstępem, obchodząc zdaleka, naciskając zblizka, używając wszelkich sposobów, na jakie tylko zdobyć się może sumienie brudne samo przez się a jeszcze rozgrzeszone przesądem wyznaniowym względem goima. Tolerowanie żyda na karczmie, jeślibyśmy pilnie rozważyli wszystkie tego skutki, należy do najcięższych grzechów, obciążających sumienie społeczne, i niema zdaje się ekxiacyi, którąby grzech ten tak prędko starła z czoła narodu. Témbardziéj że, ażeby go uniknąć, nie chodziło bynajmniéj o jakieś wielkie interesa, dotykające rdzeni majątkowéj, ale o różnicę kilkuset rubli więcéj lub mniéj rocznie, jeżeli w karczmie gospodarować będzie żyd albo nie. Kiedy zaś przed trzydziestu kilku laty władza zabroniła żydom bezpośredniego szynkowania wódką po karczmach wiejskich, jeszcze właściciele starali się obchodzić prawo wszelkiemi sposobami, i zawsze, pomimo zakazu, żyd zza szynkwasu wyglądał. I tym sposobem, ta karczma, w istocie rzeczy poważny zabytek dawnych gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych, formą nawet konstrukcyi przypominająca gdzieniegdzie podaniowe ich kształty, i ztąd nawet zapewne ratuszem w miasteczkach podolskich nazywana,— karczma zamieniła się w jakieś ohydne pandemonium pijaństwa i zelżywości. Jednę z takich karczem i jednego z takich karczmarzy opisuje Kraszewski w scenie nabywania odeń kozy przez chłopa. Obrazek to istnie flamandzki, który pomimo kształtów *grotesque*, rozdziera serce, nasuwając wciąż na myśl to nieszczęsne zdanie: „ab uno disce omnes.“ A ten *unus* mniéj więcéj tak wyglądał, że użyjemy własnych słów autora (9): „Szmul był człowiekiem niepierwszéj młodości.... Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela, zdawał się na pierwsze wejrzenie pięknym i szlachetnego oblicza... ale kłamał, jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknością swoją. Nie było bowiem pijawki nielitościwszéj nad Popielańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od maluczkich: obok tysiąców kładł wyszarzane grosze miedziane, oblane potem wieśniaczym, a dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzéj bydła odprawiał, obchodząc się z nim bez litości. Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać, co Szmula do większéj jeszcze przeciw nim pobudzało zajadłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali: uważał to za formalny bunt z ich strony.“— I rzeczywiście, żyd na wsi nie poprzestaje na jednéj karczmie: to tylko jego główna kwatera, posterunek, z którego całość najwygodniéj obejmować może. Ztamtąd, w miarę rozrostu pajęczych szponów, rozciąga on sieć coraz daléj, na pacht, na staw, na las, na zboże, aż się czasami i dworowi dostanie, a zawsze drogą pożyczek lichwiarskich, których ofiarą chłop przedewszystkiem pada.

Nieraz pierwotném zajęciem i początkiem fortuny, zamiast karczmy i pachtu, bywa kradzież koni. Okropną scenę, w któréj wydatnieje cała niedola nędzarza, wobec zdradzieckości i przekupstwa, opisuje autor, kiedy żyd ścigany z końmi ukradzionemi, zręcznie podstawia je najzacniejszemu człowiekowi z ludu, i ten wbrew najoczywistszéj prawdzie, oskarżony o kradzież niespełnioną, dzięki powolności pana *pomocnika* dla interesów żydowskich, całe miesiące gnije w więzieniu (10), a przez czas jego nieobecności wielkie i niepowrotne nieszczęście uderza nań w domu.

Gdyby autor chciał był wyczerpać stosunek żyda do chłopa, mógłby był w jakiéj wiosce nadgranicznéj potrącić o przemytnictwo, które pod naczelném przywództwem żyda, zwykle dogodnie ukrytego, całym ciężarem demoralizacyi i odpowiedzialności, nierzadko gardłowéj, spada na chłopa, stając się, na równi z karczmą i innemi wyzyskami przemysłu wiejskiego, podstawą fortun izraelskich.

Niejakaś jednak niechęć plemienna kieruje ręką autora obrazów ludowych w kreśleniu tego złowrogiego wpływu żydów na ustrój sielski. Zanadto są to rzeczy znane, aby o prawdzie jego spostrzeżeń i opisów powątpiewać można: wszystko to są rysy chwytane w przejściu, z natury. I za również prawdziwy uważamy szczegół z pięknéj strony przedstawiający plemię, kiedy bogaty kupiec berdyczowski, Hercyk (11), przychodzi ze znaczną a szlachetną i bezinteresowną ofiarą, przez wdzięczność lekarzowi za uratowanie mu syna. Najlepsza to odpowiedź dla tych, coby w oznaczaniu stosunku żydów do chrześcian chcieli przypi-

sywać autorowi jakąś stronną tendencyjność.

Rzecz szczególna, że autor prawie wcale nie zajmuje się stosunkiem chłopa z cerkwią, ślad zaledwie jakiś gdzieniegdzie zaznaczając: za to stosunek ze dworem i jego przyległościami najobszerniejsze zajmuje miejsce, co wreszcie jest bardzo naturalném.

Jakim był ten stosunek w ogóle, staraliśmy się określić w poprzedniéj części naszego studyum, poświęconéj stronie, że tak powiem, politycznéj i ekonomicznéj cyklu powieściowego. Dwór, w postaci pana, występuje tu zwykle ujemnie. Z ręką na sercu jednak oświadczyć możemy, że w tym kierunku nie mieści się żadna doktryna demokratyzująca, żadna tania trybuneryа, ani gra na popularność, która wreszcie byłaby zgoła fałszywie obliczoną, powstając przeciw większości czytających, w pośród których żył autor. Są to raczéj spostrzeżenia i uwagi obywatela, rozumiejącego stan rzeczy i potrzeby kraju, poglądy myśliciela znającego życie i wartość jego objawów, pisarza niepodległego, który wszystkie te spostrzeżenia, uwagi i wrażenia, kojarząc w wyobraźni płodnéj, wyciska następnie w utworze. I nie możemy lepiéj określić jego stanowiska pomiędzy ludem i dworem, jak słowami, które wyraził w jednym ze wstępów późniéj dopisanych, mówiąc (12): „Miał i zachował wiernie wielką miłość dla ludu i proletaryatu, któréj się nigdy nie zaprze. Zwano go z tego powodu rozmaitémi imionami, które wolał nosić i znosić, niż wyrzec się tego, co mu się od lat dziecinnych jako prawda przedstawiało... Są ludzie, niestety, którzy utrzymują, że wieśniaka Pan Bóg stworzył z innémi prawami i przeznaczeniem, z inną prawie naturą i do różnych losów; nam się zdawało i zdaje zawsze, iż od przyjścia Chrystusowego na ziemię wszyscyśmy równi i równouprawnieni do światła, dobrobytu, cnoty i szczęścia, o ile go na ziemi się mieści. W Jermole... i innych powieściach odmalowana jest i walka o byt najuboższéj części społeczeństwa naszego, i walka o jéj prawa, o uczucia ludzkie. Choćby legalnie rozstrzygniętą została ta sprawa ludu, nierychło społeczność sama się nią zajmie i do serca ją weźmie. Autor we wszystkich powieściach, w których idea ta uwydatnić się mogła, starał się wskazać, jak pojmował zadanie i obowiązek tego stanu, który u nas zwał się szlachtą, a do dziś dnia został przodujący mieniem, oświatą i znaczeniem. Sądził, że na to Bóg wysadził jednych i dał im więcéj, ażeby wspomagali, dźwigali, podnosili biedniejszych na siłach".

Otóż i całe wyznanie wiary, cała doktryna. Jak są wykonywane zadania i obowiązki tego stanu, o którym wspomina autor w przytoczonym wstępie, wykazał on tylko w jednéj „Ładowéj pieczarze"; jak są zaniedbane i lekceważone, wykazywał we wszystkich innych. I ta téż różność stosunku dworu do gromady służy zarazem do wykazania charakteru chłopa. Gromada szczęśliwa w trybie patryarchalnym, ze smutkiem spogląda, iż ostatni z kolei dziedzic, już zachodzący w wiek dojrzały, nie żeni się. Dochodzą przyczyny i domyślają się jéj w tém, iż pan znajduje się w krytycznéni położeniu finansowém. Ażeby więc nie utracić szczęścia tradycyjnego i nie przejść pod zarząd innego rodu, gdyby ten ostatni dziedzic zszedł bezpotomnie, zbierają znaczną summę i w sposób rozrzewniający zmuszają go do przyjęcia pożyczki. Po śmierci jego, sługa chłop, który cały wiek przebył z nim razem, dostaje obłędu. A kiedy wdowie z maleńkim jeszcze synkiem grozi niebezpieczeństwo, cała wieś w ruchu uzbraja się i z narażeniem życia pilnuje, by włos z głowy nie spadł drogim tym istotom (13). I były w danym razie tajemnice między dworem a gromadą, tajemnice znane wielom, ale prędzéjby połamały się wszystkie tortury, nimby ktoś trzeci potrafił coś przez nie wycisnąć ze stron obu.

Prawość zatém, szczerość i skłonność do poświęceń, występują tu jako wrodzone i gruntowne przymioty charakteru ludu. Jako jednę téż z cech jego główných zamieścić tu musimy miłość dla rodzinnego kąta, wyrażającą się tęsknotą nie do pokonania w oddaleniu. I nie jest to czczy frazes, komunał, którego autor często tu używa za czynnik stanowczy w postanowieniach ważnych. To cecha sprawdzona tysiącem faktów pozytywnych, stanowiąca nawet jednę z przyczyn szkodliwie oddziaływających na stan ekonomiczny naszego ludu, który woli pozbawić się zarobku w przemyśle, niżeli dla zarobku opuszczać zagrodę. A miewaliśmy przykłady, że poddani, poza granice kraju wysyłani, bez żadnych bliższych związków familijnych w domu, zyskawszy nawet oprócz swobody, sposób utrzymania, wracali jednak do poddaństwa, ażeby wrócić do ukochanych stron rodzinnych z tęsknoty za niémi.

Takim chce mieć grunt ogólny wieśniaczego charakteru Kraszewski, na skali, rozumie się ideału, który rozprasza się w miarę, jak pod wpływami warunków destrukcyj-

nych, dostarczanych przez rzeczywistość, gruppy i jednostki rozmaicie się wychowują i kształcą, ulegając mniéj więcéj działaniu środkowiska albo przeciw niemu walcząc. Pan, egoista, wyniosły, pogardliwy, odgrywający rolę olimpijską wśród czerni, mrożący ją swym wzrokiem lodowym (14); pan nie zły, ale apatyczny, rządzący przez pośrednictwo chciwców i demoralizatorów, jak w większéj części obrazów; pan rozpustnik (15); pan albo półpanek, za jedyny cel życia mający wyciąganie zysków bez wstydu i miary (16): są to pierwiastki, wytwarzające atmosferę moralną zabójczą, a że najsilniejsze ze wszystkich, i z małym wyjątkiem nieprzemienne, przeto ją z pokolenia w pokolenie utrwalają. Na wzór, z inicyatywy niejako, takich panów, modelują się ich namiestnicy, nieludzkością i chciwością potęgujący w szczegółach mniejszych i większych to złe, którego zasada leży w nieopatrzności naczelnego zwierzchnika.

Pierwszym wynikiem takiéj atmosfery jest przygnębienie duchowe, bezcelowość życia, apatyczność egoistyczna, jakiéj ulega chłop, przekonany nareszcie, iż na wielkim świecie zostaje sierotą, z kulą niewoli u nogi, bez możności wyjścia i zmiany. Uczucie to objawia się wszędzie w gruppach ludowych, przedstawianych przez Kraszewskiego, i stanowi niejako ogólne tło malarskie każdego obrazu. Zdaje ci się, że wszędzie tam widzisz ludzi, wprawdzie na podobieństwo innych, ale którzy nie mają gruntu pod nogami.

Z tego uczucia bezwładności wytwarza się rezygnacya, zadziwiająca i niepojęta dla każdego, kto w jakiéjbądź części zachował poczucie samego siebie. Pytasz się daremnie, jakim sposobem ludzie ci wytrzymać mogą tyle zaparcia, a musisz dobrze zrozumieć i ocenić potęgę długoletności działań, przyczyn tych samych, ażeby to sobie nareszcie wytłómaczyć. Jakto! żadnéj protestacyi, żadnego oporu, żadnego poruszenia!.... Tu lepiéj zamilczéć, ażeby nie przypominać kilku przykładów, jakie bezowocnie wynurzyły się z wnętrza dziejów. Wśród téj małéj sfery, którą ograniczył obrazy swe Kraszewski, spotykamy przecież kilka wypadków, w których nadmiar nadużyć i boleści nadmiar spotkały się tak, by nareszcie jak dwa przeciwne prądy elektryczne sprowadzić wybuch, z inicyatywy pojedyńczéj lub zbiorowéj. Kilka wypadków..... żniwo tak słabe na tak potężny zasiew. Jakże to dobrze świadczy za wartością gruntu, który zasiew kąkolu odrzucał! Widzieliśmy w epizodzie „Sawki“ gromadę przygotowaną na wszystko, by przy danéj okazyi zgubić ciemiężcę ekonoma. Możemy zobaczyć, jak mąż znieważony, zamiast przyjąć zapłatę zniewagi, jak to, niestety! czyniło bardzo wielu innych, mści się, obracając w perzynę dom i dobytek dworski (17); jak ojciec, rozdarty i oszalały hańbą córki, ciosem zabójczym godzi w uwodziciela (18). Mamy przed oczyma scenę, scenę znakomitą, w któréj gromada odprawionego za nadużycia rządcę, ściga, ziejąca zemstą zwierzęcą, by go żywym ze wsi nie wypuścić, a tylko wdanie się energiczne i taktowne chłopa wykształconego i sympatycznego wszystkim, zaledwie powstrzymuje ją od szalonego kroku (19).

Mściwość nie jest zapewne uczuciem chwalebném, ale jako wynik poczucia się w godności, jako fakt świadczący o pewnym zwrocie do energii samodzielnéj i obrony zdeptanych praw, imponuje grozą a zniewala bezinteresownością. Lecz chłopstwo owego czasu nie wolném było od uczucia wprost przeciwnego, to jest od uległości, która falę ucisku miała odpierać zalewem hańby, nędzę odkupywać sromotą, najbezecniejszą, bo podkopującą zacność i świętość rodziny. Ponad pańszczyzną nieumiarkowaną, ponad darmochami, ponad zdzierstwem materyalném wszelkiego rodzaju, ponad katowaniem cielesném, górują fawory dworskie, zapuszczające w tę ciemną, ale naiwną massę ludową jad bezwstydu i upodlenia, aż do pożądania nareszcie tego, co na pierwszą myśl wydawało się tak wstrętnem. Na widok takich objawów, już nie występnym ale bohaterem wydaje się nam ojciec, mąż lub brat, który walkę o godność posunął aż do szału, a zwyciężony pomstę aż do zbrodni. A jednak w widoki takich upadków obfitują obrazy Kraszewskiego. Usłyszysz tam takie wyrazy, jak: „Biedna! Nie lepiejże dla niéj byłoby, jak inne, zostać szczęśliwą, zepsutą, jak jéj siostry, niż biedną i czystą, jak niewielka liczba wybranych męczenników, których między jéj równémi nie znaleźć“; — wyrazy świadczące, jakich nadludzkich sił było potrzeba kobiecie, posiadającéj pewne powaby, ażeby wobec nacisku zbrojnego wszelkiemi środkami przemocy nie upaść; zwłaszcza jeżeli podobne krasawice, nawykły już uważać zaloty pańskie za pociechę i pożądany wypadek raczéj, niż za postrach i nieszczęście (20). Na kogo wydasz wyrok potępienia, jeżeli podsłuchasz tak naprzykład rozmowę chłopów w karczmie, wódką zalewających złą dolę:

— „Pokochał się pan z żoną chłopa, a chłop to widział; i co ma zrobić? Wybił żonę. Nazajutrz jego w dyby i do czabanki

wsadzili na chleb, na wodę, aż pobladł, jakby chorował, siedząc tak cztery niedziele. Poczęli prosić pana ludzie.... wypuścili go. On, co tylko żonka jemu na oczy naszła, znowu do niéj. Pan jego znów na chleb i wodę, aż tak siedział pół roku. Nu, nie wiem jak tam jego puścili, a puścili potem. W dwa dni, z wieczora, aż tu pali się dwór a wiatr był na gumna i tok, pali się stodola, ta i obora. Oj! pan w płacz i ręce łamie; a nazajutrz jego w dyby. Najechało tam dużo, posadzili chłopa a pytali, a macali, a prosili, sprowadzili popa, a męczyli go, aż się po dobréj woli sam przyznał. Poszedł chłop w kajdany, a żona do dworu. Nu! jak tobie zdaje się, Okseniu, nie lepiéj było cierpiéć a milczéć?" (21)

I po przedstawieniu téj paraboli zagrożonemu mężowi, sąsiedzi wręcz mu oświadczają bez figur retorycznych: „To już taka dola, *skaczy wraże, jak pan każe.* Kiedy się jemu zachciało twojéj żonki, ustąp że się z drogi i milcz, jeżeli chcesz spokoju, bo cię tak z roboty w robotę, z posyłki w posyłkę gnać będą, aż gdzie zdechniesz. Lepiéj daj jéj pokój, bo to nie ty pierwszy i nie ostatni. Tobie głowa z karku nie spadnie, a zobaczysz, jaki w domu będzie dostatek.... Aby ty tylko oczy zamykał, ani się spostrzeżesz, jak ci wszystkiego przybędzie". (22)

Domyślamy się, ile to kosztować musiało autora, gdy pisał te słowa. Wprawdzie nigdy i w żadnym świecie nie brak tego rodzaju korzyści, jakie rozwiązła zamożność ciągnie z nieoświeconéj biedy, przyjmując na swe sumienie odpowiedzialność moralną za skutki depprawacyjne; ale odpowiedzialność ta o tyle przynajmniéj podziela się i zmniejsza, o ile ofiara ma więcéj środków obrony i wybór łatwiejszy, o ile wreszcie gwałt zadany moralności, na wypadki pojedyńcze liczyć się może. Tu przeciwnie, gwałt o tyle jest cięższym i haniebniejszym, że mu towarzyszy zupełna bezbronność ofiar, oddanych całkowicie na dyskrecyą gwałciciela, który, jak widzimy, ma tysiąc środków do zaszachowania upornéj cnoty; i gwałt ten tém surowiéj powinien być napiętnowany, że objawy jego nie mają już charakteru pojedyńczych wypadków zdrożności podbudzonéj namiętnością, ale demoralizacyą zamienia w system, całą ludność żeńską zamieniając w jassyr panującego. Takiego bowiem charakteru jest ten gwałt i to zepsucie, jakie za sobą pociąga, i to nam objaśniają słowa usłużnego lokaja, który o jednéj z dziewczyn zdaleka dotąd upodobanych panu, sam do siebie powiada (23): „W istocie, nieszpetny dziewczak się robi, a w nędzy to sparszywieje. Paniczowi raz wraz na myśli ta dziewczyna, a tu już we dworze same tylko *lupinki.* Nudzi się biedaczysko".

I tak, zrazu gwałt, daléj pogodzenie, a w końcu poddanie się. Z długiéj nędzy, z niedostatku, chłodu i głodu, z ciężkiéj pracy, kiedy się młodość pragnąca życia wyrwie na światło, pogodę, do dobrego bytu i swobody, serce zaczyna bić jakimś taktem nieznanym, zamaszystym; kwiaty wyrastają pod nogami, blask ich olśniewa oczy, woń ich upaja życie. A ilekroć chmurka ma zaćmić myśl, umysł olśniony kłamie samemu sobie, że to nie chmura burzy, ale obłoczek dészczowy, co tylko ziemię spragnioną orzeźwi; myśl lęka się utracić chwili drogiéj, wprzód niespodziewanéj nawet, a teraz będącéj już warunkiem życia. Tym sposobem powstaje dusza nowa, która marzy, uśmiecha się, raduje w pośród tych kwiatów, węża pełzającego pod niemi nie widząc, rdzy prostytucyjnéj, zachodzącéj na godność ludzką, nie czując.

Ten rys charakteru grupp ludowych, widniejący dość silnie z powieści naszego autora, jest najboleśniejszym, i jemu téż samemu najboleśniejsze nastręcza uwagi. Gdzie jednak powód, że czysta, uszlachetniona męką niewinną fizyognomia wieśniaka zeszpeciła się tym rysem? Oburzamy się w dziejach naszych przeciw barbarzyńskim hordom Tatarów, którzy zapędzali w jassyr nasze na pograniczach niewiasty. A teraz gdzie oni są?... Ci nowi hanowie, nierównie dogodniéj dla siebie powtarzający sceny z pograniczów.... czy mamy do nich zastosować toż samo pytanie? Ha! logika faktów, teorya przyczyn i skutków, jest nieubłaganą a sąd Sprawiedliwości wiekuistéj nieomylnym.

IV.

W pośród tych wszystkich wpływów, stosunków, obyczajów i tradycyi wyrabiają się charaktery pojedyńcze, które przy pewnéj energii wewnętrznéj, zasilonéj okolicznościami, występują poza sferę powszedniego trybu, a tworząc z pobudek samodzielnych pewne pasmo wydarzeń niezwykłych, stanowią przedmiot zajmujący dla psychologa i artysty. Nie przedsiębiorąc więc rozbioru szczegółowego utworów naszego autora, obowiązani wszelako jesteśmy wskazać charaktery naczelne, które żywiéj zarysowały się w pośród wszystkich tych żywiołów ludowych, jakie, z całości jego cyklu, nagromadziliśmy poprzednio.

Tylokrotnie wspominany przez nas „Saw-

ka“ przedstawia raczéj pewną ogólność dodatnią, wzorową próbkę, że tak powiem, stanu, pozbawioną jeszcze tych cech indywidualnych, poszukiwanych przez badacza duszy. Sachar z „Historyi kołka w płocie“, przeciwnie, zawiera już te cechy w wysokim stopniu wydatniejące, tak w dziecku, jak i w młodzieńcu; cechy ogólno ludzkie, a przytem szczególnie zwrócone do uwydatnienia walki staczającéj się pomiędzy położeniem socyalném i usposobieniem duchowém, a któréj ofiarą pada indywiduum. Ale, że już z innego powodu wskazaliśmy, chociaż pobieżnie, te cechy szczególne, przeto do téj postaci wracać już nie będziemy.

Typ najbliższy chłopa, bo najdalszy od zmięszania się z kulturą inuorzędną, przedstawia się tu w „Jermole“, który lubo do starości przepędził życie we dworze w charakterze kozaka, ale że trafił na pana zacnego, którego też sercem ukochał, przeto nic nie utracił z pierwotnéj prostoty i czystości duszy, a do najpóźniejszego wieku nie przestał być dziecięciem wioski, zachowując jéj upodobania, nawyknienia, obyczaje i przesądy.

Urodzony nad brzegiem Horynia (na Polesiu), wczesny sierota, zrazu pastuszek u obcych za łyżkę strawy uczciwie podaną, wpadł w oko dobremu panu, służąc wiernie pochował go nareszcie, i w nagrodę za wierną służbę dostał od spadkobierców na starość kawałek rudery drewnianéj i kawałek gruntu, tyle, żeby przy ograniczeniu się, do jakiego chłop nasz mógł być zdolnym, zwłaszcza, że wódki nie pijał, nie umrzéć z głodu.

Są rośliny dzikie, na polach i w lasach, bez żadnego udziału sztuki, bożą tylko rozsypane ręką, które wszelako szlachetnych noszą miano, bo mają w łonie swém utajony wdzięk i siłę, tak iż przy warunkach stosownych rozkwitają przepyszném kwieciem. Są inne, jak pokrzywy i chwasty, z których hodowla nawet nic pięknego nie wyprowadzi, a może je tylko do olbrzymich doprowadzić rozmiarów. Tak samo i z ludźmi żyjącymi w stanie natury, mniéj lub więcéj od kultury dalekim. Jermoła témszczególnie reprezentuje nasz lud, i tém się odznacza indywidualnie, że jako roślina dzika, niehodowana, ale szlachetna, posiada jakiś wrodzony instynkt cnoty, ten to instynkt właśnie, który sprawił to, że lud nasz, bez względu na wpływy, jakim ulegał, na przykłady, jakie miał przed oczyma, na nędzę i brak wychowania moralnego, nie tylko w ogóle nie został potworem, co byłoby do wytłómaczenia, ale przeciwnie, utrzymał się w pierwszeństwie moralném nad wielu innémi ludami, w mniéj nawet niekorzystnych warunkach zostającémi. Starzec ten, i teraz jeszcze zostając w nędzy, nigdy się nie poskarżył na życie stérane, nie rzucił przekleństw na przeszłość, wystarczał sobie w biedzie i osamotnieniu, dźwigając się duchem pobożnym. Sercem przerastając innych współbraci, świadczył im przysługi, co jednało mu współczucie i wzajemną pomoc.

Zastajemy go tu już w starości, nie widzącego nic przed sobą prócz śmierci, kiedy raz wieczorem pięknego lata, wracając do chaty, znalazł pod nią podrzucone dziecko.

Pierwszy płacz téj istoty, zapadając w serce Jermoły, stał się ziarnem uczuć nowych, skomplikowanych; ziarnem, które schwycone przez grunt bujny, wydało stopniowo ten cudownie piękny kwiat, zowiący się miłością rodzicielską. Jest, rzeczywiście dziwna rozkosz estetyczna, patrzeć, jak pod ręką potężnego malarza dusz prostych odbywa się ten tajemniczy proces natury, mocą którego serce starca, nieświadomego zgoła tych uczuć rodzinnych, w chwili, gdy szukał węzła, coby go jeszcze ze światem połączył, nagle budzi się do czegoś niespodzianego; jak on naraz młodnieje, zapala się, gorączkuje, przeczuwa w zarodku cały gmach szczęścia przyszłego, jakie ztąd powstać może, i budowę jego rozpoczyna rękami drżącémi ze wzruszenia, radości i obawy, aby go nie stracić.

Bo istotnie za cały fundusz do wzniesienia téj budowy starzec miał po sobie tylko serce swoje, przeciwko sobie wszystko. Sam ledwie nie żebrak, znużony życiem, miał stać się podmuchem i podporą nowego życia, usłać je kwiatami, wypromienić nadzieją, ubogacić zasobami przyszłości. Sam niedołężny przez wiek, miał kierować istotą niedołężniejszą od siebie i uczynić ją silną. Ażeby zobaczyć, jak się cud ten jawi, potrzeba kartka za kartką śledzić wszystkie jego fazy, stanowiące historyą serca, przejętego zapałem cichym a postanowieniem silném, trzebaby niejako przepisywać wszystkie szczegóły urzeczywistniające plastycznie te drgnienia ducha, opanowanego wyłącznością i odciskające się w czynach, równie prostych, naturalnych jak wzniosłych i zadziwiających. W całéj książce nie ma innego romansu nad romans starca z przybranym synem, ale romans to tak żywo wydarty z łona natury, tak pełen barw gorących, że daje zapominać o wszystkich innych kierunkach serca i wyczerpuje całą uwagę.

Zarzucamy nieraz Kraszewskiemu, że świat

jego surdutowy zanadto zaludniony jest bohatérami komplexyi słabéj, i to prawda. Tu niejednokrotnie przychodzi nam podziwiać energią bohaterów siermiężnych, nad którymi chyba już prym trzyma Jermoła. Niedosyć, że siły jego fizyczne dziesięcioraczeją pod działaniem uczucia, ale i umysł staje się twórczym; wpada on na trop pomysłów, któreby mu w innym razie nigdy do głowy nie przyszły, odkrywa drogi życia, nigdy dotąd nieprzebywane, rozbija zapory mocą nigdy dotąd sobie nieznaną, i staje u celu. Jeżeli dodamy, że wszystko to odbywa się na tle stosunków czysto sielskich a więc wolném od wszelkiéj wybujałości zdradliwéj, na tle stosunków, ujętych w krajobraz, nieustannie nasuwający przed oczy malownicze obrazy wsi poleskiéj, wszystkie te potężne usiłowania, te zamachy starca, zejdą naturalnie do rozmiarów bardzo drobnych, a zgoła naiwnych, co tém więcéj na zaletę ich prawdy i harmonii przemawia. Natura niemniejszéj użyć musi energii na wyprodukowanie jaskółki, jak orła, ale pamięta o granicach kształtów, iżby obie produkcye, zachowując harmonią, pięknémi były. Pamiętał o tém Kraszewski, i przeto produkcya jego w Jermole jest tak naturalnie śliczną.

Nie powiemy, ażeby to podrzucenie dziecka było należycie i dość naturalnie wymotywowaném, i sam autor przy bliższém rozpatrzeniu zapewne zgodzi się na to, ale bądź co bądź, ten obraz rozwoju uczuciowego, już piękny sam w sobie, jako całość, ubogaca się jeszcze elementem dramatycznym przez tę tajemnicę przywiązaną do samego faktu, która nieustannie towarzyszy działaniom Jermoły, niepokojąc go myślą domniemanéj potrzeby zwrotu. I właśnie, w lat kilkanaście, kiedy Radionek, pod niezmordowaną ręką Jermoły, silny i sprytny, wyrósł na dzielnego chłopka, mogącego już śmiele radzić sobie w życiu; kiedy węzeł miłości zacisnął się nierozerwanie pomiędzy nim a przybranym ojcem i wsią, wśród któréj się wychował, wtedy tajemnica ta wybucha z całą siłą dramatyczną. Rodzice, szlachta dziedziczna z okolicy, nieszczęsnym składem okoliczności zmuszeni dotąd ukrywać się nietylko z rodzicielstwem, ale nawet z małżeństwem, obecnie uwolnieni z pod tego przymusu, przybywają po odbiór depozytu.

Źlebyśmy opisali wszystko, co zaszło przedtém, gdyby każdemu nie przyszło na myśl, że chwila ta sprowadziła rozstrój serc nie do opisania. Żywioły zmięszały się tak, że walka stala się niechybną a każde zwycięztwo boleścią; i nie najmniéj bojującym jest tutaj Radionek, który był nawet przez starca oswojony z myślą tego, co się teraz stalo. Pogodzenia uczuć żadnego być nie może; węzły zaszły zadaleko w duszę i krew, ażeby je bez rozszarpania rozerwać można. Rodzice, wdzięczni i rozumiejący wagę uczucia, szukają sposobu wyjścia tak, ażeby bez obrazy niczyjéj odzyskać swe prawo; ale wszystko, co zaproponują, słusznie niezadowalnia Jermoły, który doskonale rozumie, że jego nabyte prawo ojcowstwa tylko w stosunku, jaki istniał dotąd, w całości zachowaném być może; rodzice w imię natury i obowiązku, odstąpić mu go nie mogą: Radionek patrzy na nich, jak na obcych, i za każdém wyciągnięciem ich ręki, dzikie ptaszę tuli się do starego piastuna.

Po wszystkich jednak daremnych próbach komplanacyi, stało się to, co się musiało stać. Chłopiec musiał wrócić tam, gdzie go powoływało prawo urodzenia, gdzie według rachuby ludzkiéj zyskać czy odzyskać miał raj chwilowo utracony, dostatek, położenie socyalne, znaczenie. Wszystko to, wracając do przerwanego przez lat kilkanaście porządku, byłoby bardzo dobrém; ale szykując się, zostawiało za sobą serce bezpowrotnie rozdarte, którego praw i boleści nikt słuchać nie chciał, zostawiało ruinę gmachu, którego każda cegiełka trzymała się zroszona łzami uniesienia, cementem najzacniejszych tchnień z całością spojona. I ten starzec, ruina własnych marzeń, pozostał znowu osamotniony, by z czarną rozpaczą w sercu liczyć godziny wlokące do śmierci; upior Jermoły pokutujący na grobie szczęścia, na progu chaty, z któréj wydarto mu skarb jedyny.

Ej! nie. Zawiele wlał duszy w swego wychowańca. Noc na progu przedrzémana rozmarzyła go nieco. Nadedniem... cóż to! czy anioł musnął go skrzydłem?... — To ja ojcze! — zawołał Radionek, który z pałacu kilka wiorst odległego przyfrunął, ptaszę kochane i wdzięczne, z tęsknoty za gniazdkiem.

Odtąd téż, Jermoła w obrazie tym uczuciowym schodzi niejako na drugi plan, występuje nowy żywioł uczucia synowskiego w Radionku, który walcząc między dwiema miłościami, staro i nowo rodzicielską, ginie z wysileń téj walki. Oto są uczucia traktowane na seryo, męzkie, energiczne, same przez się stanowiące temat tragiczny, nawet wśród bohaterów najmniéj do tragedyi klasycznéj podatnych. Możeby autor mógł nadać inne rozwiązanie swéj treści, mniéj rozrzewniające i boleśne; bo czemużby Ra-

dionek, stanowczo po roku targania wyszedłszy z domu rodziców już dlań zobojętniałych, i uciekłszy z Jermołą aż na Pińszczyznę, nie miał żyć, nie zrywając z rodzicami, ale idąc daléj w rozwoju samodzielnym, jak to czyni Gaston, w powieści J. Sanda, *Flamarande?* Lecz i rozwiązanie Kraszewskiego nie ma nic, coby było nienaturalném, a jeżeli zanadto rozrzewnia, to tylko skutkiem głębokiéj sympatyi, jaką wzbudził autor do swych dwóch bohaterów, tak silną związanych miłością a tak dziwnie pięknych. Będziemyż upatrywać upadek czy plamę na charakterze Jermoły, a więc niekonsekwentność z całością, w tém, że ten człowiek odkrada niejako rodzicom naturalnym chłopca, marniejącego w pałacu? O! nie. Byłaby to moralność doktrynerska, teoretyczna, nie wglądająca w życie. Jermoła jest cały wyłącznością uczucia; on zna tylko swojego wychowańca, i nie innego znać nie chce; widzi go nieszczęśliwym, wyciągającym doń ręce za życiem dawném, za swobodą wsi; widzi rodziców już tylko z obowiązku zajmujących się synem, który nigdy z nimi zrosnąć się nie mógł: jego kodex etyczny pozwalał na ten nowy czyn miłości, przedstawiający się wprawdzie w formie kradzieży, ale w treści będący tylko aktem wielkiego serca i poświęcenia. Nietylko w naturze prostaczéj, ale i w ukształconéj jeszcze ten czyn nie byłby pozbawiony cech usprawiedliwiających.

Ten *romans* Jermoły, na gruncie dwóch swych żywiołów: wyłączności i energii życiowéj, spotyka się z innym utworem, a mianowicie z „Ulaną". Jak oddać się, to oddać całém sercem, bezwarunkowo, z zaparciem i zapomnieniem wszystkiego, przejść w świat całkiem nowy, zerwać z dotychczasowością. Tak czyni Jermoła stając się ojcem, tak czyni Ulana, stając się kochanką. Daléj jednak porównanie zachodzić nie może, i zaraz ukazuje się głęboka bruzda, rozgraniczająca te dwa charaktery: starca i niewiasty młodéj, tak podobne do siebie expressyą uczucia, tak różne przedmiotu jego wartością. Uczucie Jermoły jest najmniéj egoistyczném, najwięcéj ludzkiém; uczucie Ulany jest najegoistyczniejszém, bo erotyczném. Jermoła na rzecz własnego szczęścia poświęca tylko siebie, swój trud i zachód, uszlachetnia się. Ulana poświęca obowiązki najbliższe, najświętsze; i ten wylew jéj uczucia stałby się kałużą, gdyby siła namiętności potężnéj, rwącéj za sobą wszystko, co drogie i święte, nie zamieniła tego wylewu w burzliwy potok, pełen grozy, szumu i wiru, który druzgocząc podstawy etyczne, ale razem z sobą porywając działacza, niby ofiarę, by ją roztrącić w powszechném zniszczeniu, — staje się estetycznie pięknym, jak łuna pożaru, bez względu, co swym ognistym całunem pokrywa.

Powieść o Ulanie nie potrzebowałaby nledz przemianie w treści, gdyby nawet rzecz działa się w sferach kultury wyższéj, tak tam już uwydatnione są w postaci głównéj znamiona, po których poznaje się duch niepospolity siłą i stanowczością, do żadnéj niskiéj rachuby niesklonny. Nie to nieprzeszkadza Ulanie, że chodzi w grubéj świcie i boso, że dźwiga wiadra i zamiata izbę: toż samo mniéj więcéj czyniły córki patryarchów biblijnych, a wszelako służą za przedmiot natchnienia poetom i malarzom. Człowiek nadaje wdzięk wszystkiemu, jeżeli go ma w duszy i zharmonizuje się ze środkowiskiem swem. Wrodzona gracya pociągnie w swe koło wszystkie przedmioty, kształt i ruchy, nad któremi panuje: to tajemnica powabu kobiet w kurnéj chacie, zarówno jak w salonie; przemiana rol, wyjście ze środkowiska, w którém kształciła się i rozwijała gracya, uczyniłoby je śmiesznémi. Nie jestże pełnym wdzięku robotnik w kurtce lub bluzie, zawieszony na rusztowaniu, z czapką na bakier, żwawo narzucający wapno na cegły i wesołém pogwizdywaniem dodający sobie ducha? Potrzebuje on tylko pewnéj perspektywy, i choć go zaraz malować. Ubierz go we frak i posadź w salonie, będzie karykaturą, równą paniczowi z salonu, zawieszonemu na rusztowaniu z kielnią w ręku i skopkiem.

Nie masz tak pozioméj sytuacyi (oprócz psychicznie i fizycznie wstrętnych), w którychby nic wyzyskać nie można na korzyść estetyki. A jeźli nadto zajęciu towarzyszy wrodzony wdzięk zajętego, to harmonia kształtów i ruchów w téj chwili nasunie obraz. Przyznać trzeba, że ubior kobiet poleskich i w ogóle litewsko-ruskich wcale nie nadaje się do uwydatnienia kształtów w sposobie rzeźbiarskim, i bardzo tam trudno o pozy akademickie, tak zwyczajne na południu. Długa, prawie po kostki sukmana z grubego sukna, zwana świtą, ujmuje całą kibić, jakby w nieustępny i ciągnący się do dołu worek, pod którym giną i formy ciała i jego elastyczność. Głowę okrywa (u zamężnych) biała namiotka, nakształt czapki płaskiéj, przymocowanéj bez wdzięku, a z tyłu tylko mającéj spadek na szyję w rodzaju harbajtla. Nogi ujęte w postoły, to jest w łapcie, plecione z kory wierzbowéj i łozinowéj; miejsce pończoch zastępują

płaty płócienne, obwiązane postronkami z jednéj strony u łapci, z drugiéj pod kolanem umocowanémi. Trzeba mieć dużo piękności i wdzięku, ażeby się w takiéj oprawie podobać.

Podobała się jednak Ulana młodemu panu. I my nie dziwimy się temu wcale. W téj czarnéj masie kobiet zapracowanych, zarosłych nędzą i brudem, nieraz zdarzało się spotykać oblicza kształtne, delikatne, tryskające życiem, o rysach tak regularnych, o wielkiém oku, otwierającém się tak żywo i głęboko, że przychodziło żałować, iż nie możemy w téj chwili z całém bogactwem kolorytu odcisnąć tego oblicza z jego naiwną ciekawością, z wdziękiem nieświadomym siebie, z uśmiechem wabiącym różanémi usty, służącémi za zasłonę białym równiutkim ząbkom, niewinnie kokietującym.

Ulana podobała się panu fizycznie z pierwszego rzutu oka; za drugim rzutem zajął się i jego umysł, bo Ulana była kobietą nie pierwszą lepszą. Nie w jéj guście była rachuba na fawory pańskie. Wyższa od sióstr, zepsutych postępowaniem dworu, z pokorą poddanki ale i z dumą uczciwéj kobiety, dała panu odprawę, po któréj ten jeszcze goręcéj szukał z nią spotkania. W całéj postawie jéj był smutek, widoczne niezadolenie z życia. Coś snać wpadło do serca Ulanie, co zerwało harmonią pomiędzy pragnieniem jéj a stanem. Żona wiejskiego garncarza, miała kilkoro dzieci. Szanowała obowiązki i modliła się do Najświętszéj Panny, ażeby ją uwolniła od zalecanek ludzkich, nieodłącznych od każdéj twarzyczki świeższéj. Ale nie wesoło wygląda to szczęście, które tylko w spełnieniu obowiązku przymusowego uczuwamy. Ulana była jakiś czas we dworze. Oświecona kilku płomykami światła, jakie przez portyery salonu przedziera się do izby czeladniéj, nabyła poczucia innego świata, w którym duch głośniéj wyraża potrzeby swoje, niż ten, co zawarty w ciele prostaczki. Dusza delikatniejsza, nie poprzestaje ona na tém kochaniu, jakie ma od męża, gbura i zazdrośnika. We dworze słyszała o innéni, i widziała, jak się kochano po pańsku. Podobało się jéj takie kochanie.... i tém więcéj może, iż się go nigdy niespodziewała osiągnąć. Równy z równą, — to dobrze; ale widziała ona już niejedno kochanie pańskie zwrócone do wieśniaczki, i wiedziała, jak się skończyło. Miłą jéj była woń tego affektu, jaka buchała od pana Tadeusza, lecz czuła, że jest zatrutą.

— A! moje dzieci!... zawołała z nienacka, kiedy pan pierwszy raz, ośmieliwszy się, objął ją wpół i pocałować chciał.

Dlaczego wtedy dzieci przyszły jéj najsamprzód na myśl, chociaż ani mowy o nich nie było? Dla czego, wciąż rozmawiając z panem po polsku, jak nawykła dzieckiem będąc we dworze, nagle wykrzyknik ten rzuciła po rusku, językiem, który wyssała z matki i którym modliła się do Boga?

Drobny to rys, ale jeden z tych mistrzowskich, delikatnych a prawdziwych, które uchodzą przed okiem ogółu. Znaczy to silne napięcie ducha, świadomość instynktowną i mimowolną niebezpieczeństwa, oraz punktu głównie zagrożonego.

I wytłómaczyła się obszerniéj panu z tego mimowolnego ruchu duszy: „kiedy kto komu przysiągł w cerkwi, a ksiądz pobłogosławił, koło ołtarza oprowadził, i razem krzyż całowali i z jednego kubka pili, o! to niedobrze złamać przysięgę, — i zły koniec zawsze“.

Słowa te, cechujące duszę uczciwą, były proroczémi.

Im więcéj było oporu tém napad upartszy. Nie pomogły przymilania, poczęły się groźby, równie bezskuteczne. — „Cóż mi pan zrobisz? Każesz bić? Czyż i tak mnie nie biją! Odbierzesz chleb? I tak go nie wiele; a dzieci małe: w rekruty nie oddasz“. — Jeszcze jeden krok zaczepny ze strony pana, a nóż błysnął w ręku Ulany.

I czyż to miłość podbudzała tego kochanka z pod ciemnéj gwiazdy do takiego nękania zacnéj kobiety? Żarty! Jeżeli miłość, to taka, co się u pogan przedstawia jako *Cupido* (pożądliwość), w postaci małego a lubieżnego chłopca. Innéni zaś było to kochanie, które śniło się kobiecie, dumało, o którem w piosnce śpiewają, a na wieczornicach gadają: wiedziała, że nie w chacie go szukać, a jeśli znaleść, to w końcu śmierć musi być koniecznie.

Było coś jednak z tego kochania w affekcie pana Tadeusza, jeżeli nie treść to forma, która zjawiając się coraz częściéj i nareszcie ustawicznie przed wyobraźnią kobiety, nie pozostała bez wpływu. Następuje oddziaływanie wzajemne, i wzajemne ustępstwa. O ile affekt Tadeusza, z prostego podrażnienia fizycznego, pod wpływem szlachetnego oporu, walczącego bronią uczciwości, wstępuje na coraz wyższe szczeble duchowności, o tyle jednocześnie nabiera więcéj sił do zwalczenia skrupułów kobiety, w gruncie uczciwéj, ale szukającéj ujścia dla czułości wrodzonéj, któréj serce jéj pełne; i straż obowiązku staje się coraz mniéj czujną, coraz mniéj skuteczną. W téj atmosferze pożądań, w któréj duch gra zarówno z krwią i ciałem, na téj arfie prądów

magnetycznych, płynących z dwojga natur młodych, a w soki żywotnie bogatych, dzieje się z nią coś niepojętego, smutno jéj, miło i straszno zarazem. Ucieka od Tadeusza, ale dognana czuje, że już gwałt zadawać musi sobie, ażeby uciec znowu i niesłyszeć téj piosnki miłośnéj pańskiego kochania, tak lubéj, tak upajającéj, tak różnéj od brutalnych zalecanek gburowatego męża, który postrachem tylko jest dla niéj, odkąd młodzian dorodny i wytworny nazywa ją piękną, odkąd przysięga, że szczęśliwy byłby jéj miłością i nie porzucił nigdy. Odwieczna historya erotyczna Fausta i Małgorzaty, którą ukryty za narkotycznémi krzewami roślin cypryjskich szatan, układa na tle zmysłowości ludzkiéj.

A jakąż rolę mąż odegrywa w tém wszystkiem? Męża, ażeby nie przeszkadzał, łatwo panu oddalić na dnie i tygodnie pod lada pretextem. Choćby i był, jemuż to być w takiéj walce subtelnéj rozjemcą? Jego małżeństwo, to połączenie kruka z gołąbką; co może być między nimi wspólnego, jeśli moc obowiązku przymusowego folguje. Biedny prostak i gbur! Niewiarę żony zwykł mierzyć tylko grubością kija i ilością razów; innego argumentu nie znał. To nie lekarz na choroby duszy.

I argumenta jego już wiszą nad ciałem Ulany, która uplątana w tę miłość pańską, już nie ma siły uciekać od niéj, ale na zawołanie pana biegnie z nim w las lub do ogrodu dworskiego, zapominając dzieci, chatę, męża, wstyd,—bo kocha..... Zkąd jéj to przyszło, nie wiedziała sama. Płakała czasem nad sobą, a szła do kochanka i poświęcała mu wszystko za trochę szału, którego lepszéj połowy nie pojmowała, słuchając go, jak dalekiéj pieśni, którą wiatr rozrywa, a jeszcze piękną do uszu przynosi.

Były to ich miodowe dni szału, kiedy rozmawiali milcząc lub niewielą słowy, a w téj rozmowie było tyle treści. Byli szczęśliwi, szczęściem jakiemś osobliwszém, niepojętém, potworném, w którém oboje czuli, że je opłacają drogo; Tadeusz więcéj niż ona, bo musiał na swoje sumienie przyjąć całą odpowiedzialność za jéj wykroczenie przeciw obowiązkowi, za wszystkie następstwa, jakie się zrodzą, kiedy z różanéj mgły szału wychyli się rzeczywistość, zwolna, zwolna dochodząca do coraz widoczniejszych kształtów. I Tadeusz, jako znający lepiéj dzieje serc ludzkich, widział resztką rozumu, że po dniach dzisiejszych nastąpi jakieś jutro odmienne, któremu on pierwszy da początek. A Ulana, upajając się słowy i myślami tego nowego świata, do którego na skrzydłach szału wznosił ją kochanek, nie myślała o jutrze, ją jeszcze niepokoiło dzisiaj, ale i ten niepokój wkrótce miał ustąpić.

Pomimo częstéj, a umyślnie przez Tadeusza powodowanéj nieobecności męża, nieznośnym stał się podział i udawanie. Cała wieś wreszcie wiedziała o niéj, i krewni męża nie omieszkali go uwiadomić. Skorzystała więc z jego pierwszego brutalstwa, aby zerwać, i bez podziału, bez pamięci, bez wyrzutów oddać się zakochanemu.

Czyż bez wyrzutów? Tak. — „Ja i dzieci teraz mniéj kocham, — mówiła sobie. — Dawniéj, dzieci to był mój skarb, a dziś widząc je, myślę, jakby one były cudze. Biedne dzieci, już wam i matki nie stało, wy za życia sieroty. Kto was będzie hodował, kto was będzie pieścił, kto kochał? Nie ja, nie ja! Ja już nie waszą, porwali mnie w cudzy kraj, gdzie słodko żyć, a choćby i umierać, — porwali od was! Matkam wasza, a nie matka już, nie matka sercem, — cudza!“ I wychodząc z chaty, gdzie całą przeszłość czystą zostawiała za sobą, patrzała na nie obojętnie, zimno; całowała je na pożegnanie, ale myśląc o pocałunkach innych, o innéj miłości.

To zerwanie węzłów najdroższych, możemyż uważać za rys fałszywy w kompozycyi artysty, za prostą nikczemność, która się błędnie zaplątała w duszę, któréj on przyznaje instynkta wyższe, myśli, uczucia i pojęcia nad stan roślejsze? Bynajmniéj; to jedna zaleta więcéj kompozycyi. To konsekwencya energii w naturze prostéj, którą Bóg stworzył całą i silną, nie wycieńczoną niczem, nie zestarzałą za młodu. Gdy na taką duszę padnie uczucie i schwyci ją w kleszcze uroków swoich,—wtedy rodzi się w niéj namiętność niepohamowana, dzika, wyłączna. W Ulanie kodex moralny był słabo wszczepiony, i pod tym względem nie można ją porównywać z kobietą salonów. Wszelkie restrykcye cywilizacyjne, jakim słusznie ta ulegaćby mogła, tu osłabiałyby tylko twór ulegający przedewszystkiem pierwszym i bezpośrednim drgnieniom natury, która nie oblicza, ale pędzi, gdzie ją niosą pobudki wewnętrzne.

Raz też oderwana od wszystkiego, co nie było tém uczuciem jéj nowém, oddała mu się z całą exaltacyą duszy i zmysłów; dzika kochanka, piła z téj czarownéj krynicy, jak zwierz w spiekę, którego nie odpędzisz strzałą od wody, nie odstraszysz śmiercią. I było jéj cudnie z tą namiętnością, z tym wyrazem siły uczuciowéj, ognistéj, szczeréj,

prawie bezwstydnéj, a samą rzadkością swą zadziwiającéj. Sama ofiara, jaką na rzecz tego uczucia uczyniła z uczuć innych, z obowiązku i czci, — o ile w kobiecie instynktów prawych, — świadczyła, że ono zrosło się z jéj życiem na wieki. Była to miłość w swéj formie najelementarniejszéj, najczystszéj, bezpośredniéj, odartéj ze wszelkich względówpobocznych, światowych. Nie *Fryne* to ani *Charitas*, nie Tamara kaukazka, ani Beatryx średniowieczna, lecz coś oryginalnego swoją wyłącznością, coś pośredniego, istna Wenus, mieszcząca tyle pierwiastku zmysłowego i duchowego, ile go trzeba dla utworzenia harmonii tego uczucia, które rozwijając się na ziemi, koroną sięga eterów.

Taką jest Ulana Kraszewskiego, o ile rozrzucone rysy charakteru zdolaliśmy skupić; obraz miłości samodzielnéj, pierwotnéj, stworzonéj, jakby według tego typu odgadnionego, który boginią miłości gotową z piany morskiéj wyprowadza. I cała zaleta artystyczna tego poematu zależy nie na wypadkach nader interesujących, które tu pomijamy, ale na tém stopniowaniu świateł, przez które charakter kobiety przechodzi dla zabłyśnięcia całością. I ten pan Tadeusz, — Boże mu odpuść! służy tu tylko za cień do uwydatnienia tych świateł, które tem więcéj jaśnieją, im on, zrazu przez nie opromieniony, w coraz większy mrok zapada. On, wychowanek świata, opłacający zdenerwowaniem za powierzchowną ogładę, nie mógł zerwać z przeszłością, nie zamknął rachunku ze światem, nawyknieniem i względami przyzwoitości; on, chwilowo porwany w atmosferę prawdziwego szału, stopniowo zaczął trzeźwiéć, i stopniowo też ujmował karmi temu uczuciu wyłącznemu Ulany, dla którego był tém, czém słońce dla rośliny. Aż z zupełnego braku słońca, ten kwiat agawy, który raz tylko na wiek wykwita, ale kwiatem nad kwiaty, zwiądł, a z nim uschł i krzew, z którego wystrzelił. Rozdzierającą jest ta scena, w któréj Ulana na ślubny podarek dla ukochanego przynosi swego trupa zawieszonego na drzewie.

Dwa te charaktery ludowe, starego Jermoły i młodéj Ulany, przedstawiają, jak powiedzieliśmy, dwa typy miłości, równéj siły i wdzięku, tylko natury odmiennéj. Ważność ich dla sztuki na tém zależy, że lubo kreślone, jakby od niechcenia, pod piórem niejako rosnąc i mężniejąc, kreślone są na sercach nieużytych, dziewiczych, na kartach białych, które jakby same z siebie wydobywają barwy służące do ich zobrazowania. A że w sercach tych jest wrodzona siła, polot wyższy, więc i kreacye ich samoistne nabierają téj siły i polotu, co ich wyróżnia nad inne. Też same uczucia i tęż samą siłę znaleśćby można i w klassach społeczeństwa wyższego, czemu nie? Ale jest to inne zadanie sztuki. Tam jednostka występuje już przygotowana i objaśniona z zewnątrz, odbyła propedeutykę uczuciową: tu bohaterowie są tem ciekawszymi, że samouczkowie. Ich więc kreacye, to jakby pieśń genialnego lirnika w porównaniu z hymnem Moniuszki.

Gdybyśmy się zapatrywali na sam temat wątku powieściowego, moglibyśmy porównawczo powieść o Ulanie zestawić z „Budnikiem“; są nawet, którzy zestawienie takie czynią. Rzeczywiście, i tu i tam tło intrygi stanowi uwiedzenie kobiety z gminu przez dziedzica; i tu i tam romans rozwiązuje się katastrofą; i tu i tam wybucha zemsta opiekunów: w pierwszym utworze, męża, w drugim — ojca. Ale zestawienie takie, oparte na rzeczach przypadkowych, byłoby banalném, nie objaśniałoby nic, oprócz tego, że Kraszewski w „Budniku“, jako utworze późniejszym, powtórzył sam siebie. I byłoby to istotnie samoplagiatem, gdyby chodziło o temat. Ale cóż to jest temat? To dopiero szkielet, a na dwóch szkieletach całkiem podobnych powstać mogą dwa ciała estetycznie całkiem różne. I tutaj téż, pomimo niemal tożsamości tematu, kompozycya zgoła inną obrała sobie drogę. Szczegółowe nawet studya okazaćby mogły, że w ludowych utworach Kraszewskiego, powieść, to jest fabuła sama, ma dla autora nawet znaczenie drugorzędne, i stanowi niejako zaprawę dla obrazów i typów, które tu u niego stoją na pierwszym planie. Zaprawa to po większéj części smaczna i wielce pomocna do rozłożenia się obrazom wielostronnego, ale nie ona głównie nas téż zajmuje.

Z tego powodu uważamy „Budnika“, jako obraz, za rzecz zupełnie inną od „Ulany“, nietylko w kompozycyi, ale nawet w szczegółach odwrotną. Jakoż tam charakter kobiecy stanowi główną figurę obrazu, nietylko z tytułu ale i z treści, gdyż autor do tego się głównie przyłożył, ażeby ten charakter sam się należycie wytłumaczył mnóztwem ruchów i giestów expressyjnych, czyli pewną liczbą scen częściowo go odsłaniających a stanowiących niby kartki jego historyi psychicznéj. Tu, charakter kobiecy jest tylko prostą sylwetką, zdjętą z natury; to niby Ofelia, zjawisko eteryczne, nikłe, schwycone w jednéj sytuacyi, dosyć ogólnie charakteryzującéj każde dziewczę młode, zostające w położeniu bohaterki, bez żadnych zna-

mion szczegółowych. Zemsta znowu, wchodząca jako czynnik w oba utwory, ma także charakter odmienny, nietylko co do objawu powierzchownego i rezultatów, ale właśnie co do pobudek wewnętrznych. Zemsta Oksenia (męża Ulany), to czyn nieszczęśliwego z położenia, a z charakteru brutalnego ciemięgi, który miłość swą dla żony tłumaczył tylko zazdrością, pożogę zaś, jaką sprawił we dworze, mógłby tak samo sprawić, gdyby dwór go ukrzywdził boleśnie w czém innćm, zgoła materyalném, jest w tym czynie nierównie więcéj złości, lubo wytłumaczonéj, niż uczucia honoru, które nie odegrywa tu widocznéj roli. Zemsta Budnika pochodzi z serca ojca, który kocha tkliwie i z zapałem dziecko jedyne, boleje nad upadkiem jéj czci, cierpi wespół z nią, i czuje głęboko krzywdę uczynioną czci własnéj w zniewadze wyrządzonéj córce. Zemstę jego pobudki i okoliczności nietylko tłómaczą, ale nawet usprawiedliwićby mogły nadmiarem uczucia dla dwóch rzeczy drogich mu w życiu: dla czci i córki, oprócz których nie posiadał nic.

I ta téż postać stanowi tu figurę naczelną w obrazie, nietylko jako charakter ludzki, ale więcéj jeszcze jako typ lokalny, przez co i łączy się i rozdziela interes powieści. Postać ta jest już połowicznie tylko ludową, amalgamat szlachcica i chłopa, wytworzony przez historyą kraju. W usposobieniu i animuszu przeważa szlachcic, w wychowaniu i trybie życia, chłop: postać to w każdym razie gminna, którą wszakże swoboda socyalna, obok nędzy więcéj, może niż chłopskiéj, odznacza wpośród innéj czeredy wiejskiéj.

Nieoceniona to zasługa Kraszewskiego, że on jedyny jeszcze schwycił ten znikający, a dziś zapewne już całkiem zanikły, typ osobistości ludowéj, zwanéj Budnikiem. Gdyby nie on, po zupełném zniknięciu, możeby już nic miał go kto wskrzesić, a jednak czytaliśmy rozmaite ciekawe rzeczy o Paryżu, o Alpach i Nilu, przez Polaków pisane. A tém łatwiej było mu schwycić tę postać, że na nią spoglądał często. „Budników, — pisze w jednym z listów prywatnych, — miałem w Hubinie chat kilkanaście u siebie, spotykałem ich ciągle. Pamiętam, że niejaki *Szadurski*, gdy mu przychodziło kilka dni obowiązkowych w dodatku do czynszu odżąć na mojém polu, stawił zawsze więcéj snopów, niż chłopi. — Pytam go raz, dla czego się tak zmaga: Ano, niechaj znają, co szlachcic może,—odpowiedział. Miłość własna była i w nim, a buta szlachecka“.

Klassa ta ludu znaną jest głównie na Polesiu Wołyńskiém; a odrębna obyczajami, narzeczem, wyznaniem i twarzą od miejscowego żywiołu, używa miana Mazurów, częściéj Budników, od lichych chat i jakby tymczasowych, które im służą za schronienie. Pochodzenie tych osadników wyświeca pierwsza z tych nazw, dochowany nieco akcent i obyczaje; czas przybycia ich oznaczają na kilkaset lat, ale czy ich tu burza jaka zagnala, czy potrzeba zarobku, czy inna jaka przyczyna, niewiadomo. Prócz nazwisk szlacheckich, rodowych, żadnych piśmiennych dowodów pochodzenia swego nie dochowali: jedynémi oznakami jakiś obrazek pochodzenia koronnego, jakaś szabla zardzewiała, po przodku rycerzu, może konfederacie, któréj potrzeba już nie przypasze, ażeby nie być śmiesznym, ale ją zawiesi na ścianie i przechowywać będzie, jak skarb rodzinny, którego początku zapomniał.

Nie stanowią oni ludności zbitéj w jakiś osobny zaścianek, ale rozrzucają się po lasach i puszczach, u ruczajów i podle dróg, a tak w jednéj okolicy siedzi ich osobno po kilka i kilkanaście rodzin. Pomimo jednak rozstrzelenia, nie zmięszali się z ludem miejscowym, mając się za coś wyższego, przez pamięć na pochodzenie, i wreszcie na swój stan wolny. Zajęciem ich było trzebienie lasów, wyrabianie belek, klapek, smoły, dziegciu, potażu, i dopóki lasów starczyło, najem taki mógł im się opłacać. Życie osamotnione, leśne, półkoczujące i dzikie, wpłynęło na wytworzenie odpowiednio dzikiego obyczaju, energii i siły; wyniszczenie lasów stopniowo doprowadziło ich do nędzy.

W jednym z takich lasów, napół już zniszczonych siekierą budników, osadza autor Bartosza z rodziną, złożoną z drugiéj żony, odziedziczonéj po bracie, oraz z syna i córki z pierwszego małżeństwa. Nie wiem, jak tam długo autor chodził za takim budnikiem, aby go śledzić; ale to pewna, że trudno o coś bardziej żywotnego, jak ten obraz życia, który tu się przedstawia, tak że niewiadomo co bardziej podziwiać: treść czy akcessorya, które sposobem wykończenia dochodzą do znaczenia treści. W całym opisie panuje jakaś atmosfera leśna, śni się się wciąż przy czytaniu jakiś daleki krajobraz zielony, pełen drzew, poprzerzynany drożynami, w którym to jeziorko błyśnie, to gaj zaszumi, to zwierz przemknie rogaty, to łąka wyjrzy słoneczna śród cienia otaczających gęstwin. I po takim to krajobrazie przechodzisz kilka godzin, zawadzając o chaty, podsłuchując rozmów charaktery-

stycznych, ocierając się o postacie dla ciebie nowe, ciekawe, z innego świata, a przecież tak głęboko ludzkie i polskie. I z tych wszystkich posłuchów wywiązuje się zwolna historya straszna, wzruszająca, przy której serce ci bije z natężenia, uwagi i żalu.

Bo biedny to ten twój bohater, ojciec rodziny, ciężko zmuszony pracować bez nadziei lepszego jutra. Żona jego, pospolita kobiecina, przybita nędzą, w oczach zagasłych przedstawia nie rezygnacyą szlachetną, ale raczéj gotowość nawet spodlenia się, byleby z ciężkiego żywota przejść do swobodniejszéj doli. Syn, to rodzaj dobrotliwego gnoma: silny jak zwierz, strzelec nieporównany, ale jak zwierz nieociosany i głupowaty. Jedynem zjawiskiem przyjemném, córka zaledwie wychodząca z lat dziecinnych ku dziewiczości: blada, wysmukła, giętka, o czarném oku, przemawiającém namiętnością, w ubraniu nędzném, ale już tak ułożoném, ażeby stroiło wdzięcznie; ze wzrokiem błędnym, ale głęboką zadumą świadczącym, że ona myślami i nadziejami pomknęła kędyś daleko za chatę i lasy, a wtedy tylko budzi się z zadumy, kiedy ktoś przypadkiem wymówi przy niéj imię panicza ze dworu.

Nad taką to rodziną trzyma opiekę Bartosz, siwiejący nieco starzec o pięknem czole, obliczu nie idealném wprawdzie, ale pełném wyrazu i energii. Oblicze to wyciosane jakby z kamienia, a namaszczone myślą jakiéjś tęsknoty i smutku niepocieszonego, obramowane wdzięcznie krótko przystrzyżoną brodą. Wzrost jego wysoki, ramiona olbrzymie. Ubranie składa się z szaréj, krótkiéj kapoty, pasem czerwonym ujętéj, z szarawarów grubych płóciennych, zakończonych łapciami o skórzanych sznurach. Na głowie czapka mała bez daszka; przez plecy przewieszona strzelba myśliwska i torba borsucza.

Takim jest mniéj więcej portret Budnika zdjęty z powierzchowności.

Wewnętrznie Bartosz odpowiadał tym rysom. Nie lekceważąc ludzi swojego stanu, stronił jednak od nich, czując się naturą wyższym. Wyżsi znowu odeń nie umieli go ocenić, bo sukmana zakrywała im człowieka; w karczmie nie bywał, nie cierpiąc żydów, których nazywał pijawkami: jedyną jego rozrywką była przechadzka wśród ciszy lasu, z którym od urodzenia się zrósł. Niepokonany myśliwy, nigdy próżno nie wracał; a w braku zwierzyny, przyniósł, stosownie do pory, jagody lub grzyby, zioła lekarskie, korę, sprzęcik jaki wystrugany, sidła na ptaki, i tym sposobem czas zawsze użytecznie przepędzał, pracując. Zdawało się że praca tylko daje mu zapominać jakąś wielką a utajoną boleść. Wyższość natury i życie niepokalane szanowali w nim bracia budnicy, uważając go za swego patryarchę, doradcę, moralnego zwierzchnika. Znał on ich wszystkich, stosownie do okoliczności pocieszał, ratował lub bawił. — „Myśmy,— mawiał,— garścią tu obcych wygnańców; powinniśmy być tém poczciwsi, pracowitsi i lepsi od drugich, bo my tu cudzy, a z nas sądzić będzie lud tutejszy o ojcach naszych i krwi całéj i ziemi rodzinnéj, z któréj nas czarna dola spędziła. Ubodzyśmy: to i Chrystus ubogim był, i Józef cieślą się nie wstydał nazywać, pracujmy; biedniśmy: cierpmy, a nieskarżmy się, jak baby, bo to i na nic się nie zdało i ludziom śmiech“.—Obejście jego z równymi, było ludzkie, uczciwe, ale szło nieco z góry. Siedział w nim jakimś atawistycznym sposobem szlachcic cnotliwy i butny, zaklęty w chłopa. Cóż to będzie, jeżeli okoliczność jaka stawi go w kollizyi z wyższym od siebie stanowiskiem, choć może mniéj wysokim naturą? Okoliczność stawiła go w kollizyi z bydlęciem, zaklętem w szlachcica.

Studyując wyłącznie tu żywioł ludowy, pomijamy wszystkie charaktery szlacheckie, jakie się przewijają po tych utworach; inaczéj z wielkiem zadowoleniem zajrzelibyśmy do dworu, ażeby przypatrzéć się młodemu paniczowi, którego zaślepiona mateczka (wdowa) ubóstwia, i przy pomocy swego francuzmeru, przysposabia w nim swemu małemu państewku na swym małym dworze, maleńkiego Heliogabala, wszystkie dziewczęta okoliczne jakiego bądź stanu, z różnicą tylko wieku i wdzięku, czyniąc bezwiednie ofiarami jego bardzo kochliwéj komplexyi. Do takich to ofiar należéć miała Julisia, córka Bartoszowa, którą panicz od czasu do czasu w swych gonitwach leśnych nawiedza, zatrzymując się przed chatą, zawsze pod jakimś ważnym pozorem.

Bartosz przewiduje skutki takich uprzejmości, i spogląda na panicza wzrokiem tak wdzięcznym, że ten wolałby mniej uprzejmości. Łatwo odgadnąć wzruszenia biednego starca, zagrożonego we czci swéj i miłości. Wprawdzie siła jego jest twierdzą dostateczną dla całości dziewczęcia; ojciec może panować nad ciałem, ale czyż zapanuje nad duszą? A w razie śmierci, kto czuwać będzie nad dzieckiem? Czy macocha o instynktach nizkich, czy brat półidyota?..... Wydać ją za mąż?.... Ej! i to jeszcze nie stanowcza tarcza; a wreszcie któż dziś weźmie taką nędzarkę, bez chaty i posagu?

Nieszczęśliwi, którzy wiedzą, czują i przewidują! Już Bartosz raz w życiu miał boleśną przeprawę z powodu zalotów odwzajemnionych dworaka do swéj nieboszczki żony, których skutki były okropne. I oto powód téj tajemnéj jego boleści. Maż teraz córka pójść na podobną dolę?

Tém téż interesującym staje się ten charakter czysty i nieuległy, a szanujący w sobie godność człowieka, że całe jego położenie jest ciągłem polem walki z żywiołami, godzącémi nań w postaci nieczystości, podłości i zaparcia godności ludzkiéj.

On czysty, jak kropla rosy porannéj, skutkiem umyślnego podstępu złodzieja fachowego posądzony o kradzież koni, za „pieniądz tegoż złodzieja" przez urzędnika sprzedajnego prześladowany w sposób najbrutalniejszy,—przedstawia obraz męczennika, budzącego na każdej stacyi męczeńskiéj, szczególniejszą sympatyą. Cóż dopiero, kiedy po długiéj drodze krzyżowéj za domem, oderwany od rodziny, powraca, by się dowiedzieć, że stało się to, czego się względem córki obawiał! Skorzystano z przypadku: podstęp złodzieja względem ojca, posłużył podstępowi rozpustnika względem córki; dwaj wyrzutki spotkali się, by jeden zadał ranę w serce, a drugi w niéj żelazo obrócił. Bartosz zastał córkę sponiewieraną i obłąkaną napoły. Za to w chacie dostatek, porządek, strojność,— owoce współudziału łatwéj pani Bartoszowéj, która nie była rodzoną matką Julisi.

Bartosz jako człowiek wychowany w dziczy leśnéj, w życiu surowém, niepozbawioném poezyi, tém się wyróżnia od ludzi ewangelicznych, z którymi wiele ma rysów wspólnych, że w gwałtowności swéj niepohamowany, podsycany dzikością życia, niepomny innych uraz, obrazy honoru wybaczyć nie może; a tu los drugi raz go już stawia właśnie w takiém położeniu. Dotąd boleścią duszy pokutuje za uniesienie młodości, którego następstwem była przedwczesna śmierć pierwszéj żony i kalectwo jéj współwinowajcy: to jednak nie reflektuje go w położeniu obecném. I pierwszą myślą jego zrozpaczonéj duszy jest zemsta, kiedy woła do obłąkanéj córki:— „Dziecię moje, nie obawiaj się. To ja, ojciec, z tobą; nie zbójcy i nie łotry, jakimi cię tu otoczono bezemnie. A! nie ujdzie im to! Bóg świadek! O! nie przebaczę! Ale tyś niewinna". I wciąż Boga, w gruncie pobożny ten człowiek, czyniąc swoim wspólnikiem:—„Boże!...dodaje,— sroga kara twoja. Za brak miłosierdzia i przebaczenia, tyś mnie i dziecku nie przebaczył, tyś litości nie miał nad nami. Bądź wola twoja!"

W rozpaczy niekonsekwentny sam z sobą: bo jeżeli Bogu przypisuje taki wymiar kary za pierwsze swe uniesienie, powinienby pomyśleć, że i drugie nie ujdzie mu płazem, skoro dobrowolnie wywołuje gniew Jego. Ale on się już i gniewu tego nie boi; niema w życiu już nic do stracenia, a rozpacz zasłania mu wzrok na to, co ma nastąpić po śmierci. Wreszcie, czyn, jakiego pada ofiarą, wymaga rachunku sprawiedliwości. A do kogoż ten nieszczęśliwy i upośledzony paryas uda się po jéj wymiar?.... Sam musi być sędzią i wykonawcą. Ta niekonsekwentność jego, ten obłęd rozumu, zwalczonego uczuciem, ta przysięga zemsty, wykonana na grobie honoru domu i dziecka, czyni go groźnie pięknym, po ludzku wspaniałym i poetycznym, tak, jak ten krajobraz, wpośród którego atmosfery, podobne jednostki wyrastają.

W ogóle charakter Bartosza, nie przedstawiający nic szczególnie oryginalnego wpośród ludzi jego hartu, tu zdobywa sobie miejsce wydatne, najprzód położeniem bojownika, walczącego wśród okoliczności dziwnych; powtóre, dzielnym kolorytem scen, w których się szczegóły charakteru jego objawiają, i na prawdziwego bohatera go wynoszą.—Powieść zaś sama, oprócz téj postaci głównéj, nadająca znamiona charakterystyczne każdéj prawie bez wyjątku figurze, mniéj lub więcéj czynnéj, do najartystyczniejszych kompozycyi naszego autora bezwarunkowo należy.

Gdybyśmy czynili ten pobieżny przegląd w porządku szczegółów i scen z życia wiejskiego, to za najbogatszą ich skarbnicę musielibyśmy wskazać: „Chatę za wsią." Tam i liczne zaludnienie, i formalność żywiołów i szereg wypadków, nadto rozmiar utworu (trzytomowy), przy zwykłym autorowi wdzięku opowiadania, składają się na to, ażeby bez względu na brak ścisłéj jedności w kompozycyi, dziełu owemu nadać jedno z pierwszych miejsc w zbiorze utworów ludowych. Ze względu jednak na ideał ludowy, jaki koncentruje się w pewnych typach, oraz na tendencyjność społeczną, dzieła poprzednie nad obrazkami z „Chaty za wsią" górują.

Powieść ta, złożona z szeregu kartek malowniczych, wdzięku niewymownie prostego, posiłkuje się żywiołem wyłącznie sielskim: ale mało ma w sobie nieznanego dla czytelnika, który z poprzednio cytowanémi przez nas utworami dobrą zabrał znajomość. Uderzającą jéj nowością to, że w kombinacyi

z żywiołami stałémi wprowadza element cygański, i na tle téj kombinacyi fantazuje dramatycznie. Cyganie żywo nas zająć mogą, jako fantazya, zwłaszcza jak tu, opierająca się na gruncie rzeczywistości, i w formie nader artystycznéj przeprowadzona, ale wrażenie téj fantazyi nie może być tak ściśle związane z interesem, jaki w oczach naszych przedstawia lud rodzimy: ma ona dla nas do pewnego stopnia znaczenie symfonii muzycznéj, któréj słuchamy chciwie, bo piękna, a po wysłuchaniu, oczarowani, nielatwo z życiem dostrzegamy jéj związku.— Czém mogą być same w sobie takie charaktery, jak wprowadzona tu Aza, dziecię burzy i ognia, dziewica demoniczna, którą wszędzie indziéj nazwaćby można szaloną, fanatyczka cyganizmu, pałająca mściwą nienawiścią do ludzi osiadłych za swe wyłączenie, nawet wtedy gdy sobie sama dolę wygnańczą wybiera. Im dokładniéj wyrażają się jéj rysy pełne zmysłowości, nastroju chytrego kotki, która chowa pazury pod aksamitem dotknięcia, im więcéj ona kocha tę wolność bezmyślną, bogdajby opłacić się mającą zniszczeniem i rozpaczą innych,—i im więcéj sztuka wyda z siebie dla uwydatnienia téj natury zmysłowo uroczéj, tem większy budzi ona prozaiczny wstręt moralny. Żywioł cygański, gdziekolwiek ukaże się w sztuce, nic innego sprawić nie może nad wywołanie wrażenia plastycznego form zmysłowych i energii krwi; a pod tym względem niech nas nie łudzi Esmeralda: Aza Kraszewskiego jest nierównie prawdziwsza. Wzgarda cywilizacyi, bezczelność życia dobrowolna, wstręt od wszystkiego, co moralnie pożyteczne, brak wszelkich zasad i egoizm nieuleczony, niemogą z siebie wydobyć nic, coby wchodziło w sferę piękności pozazmysłowéj i subtelnéj.

Zjawienie się téż cyganów we wsi i pobyt ich dłuższy wprowadza do niéj jakiś element rozkładowy, nieszczęście. I ktoby pomyślał! W rozkładzie tym zjawia się fakt na kształt owego, kiedy zając, istota najpłochliwsza w świecie i obrzydliwa przez to saméj sobie, znajdując niespodziewanie istoty jeszcze od siebie płochliwsze, nabiera ducha i buty. Ktoby pomyślał, że chłop owego czasu, tak nizko położony nędzarz, jeszcze będzie miał sposobność głowę do góry zadzierać, i występować ze wzgardą równą wzgardzie fanatycznego arystokraty względem gminu. Tak się jednak stało, a to w chwili, gdy jeden z bandy cygańskiéj dopomina się o rękę córki, nie już chłopa czystéj krwi, ale nawet półcygana, który od dzieciństwa wkorzeniwszy się w wieś i jéj stosunki, z zapałem neofity nienawidził dawną sektę i ród swój przed nią ochraniał. W tém oburzeniu ojca przyjmuje udział rodzina i gromada; wdaniu się dworu na korzyść zakochanéj pary stawia opór bierny ale nieugięty,—gotowa przypłacić go najcięższą odpowiedzialnością. A kiedy, pomimo to, nie może przeszkodzić temu, co uważa za zgorszenie, wyłącza dotknięte przekleństwem ojcowskiém stadło ze swego towarzystwa, niby owce zarażone, obojętnie patrzy na jego marnienie, rozpaczliwe zapasy z nędzą, śmierć, i po śmierci nawet, w drugiem pokoleniu prześladuje szyderstwem, niechęcią, odrzuceniem zupełném.

W takiém postępowaniu zwłaszcza ze strony najbliższéj rodziny, jest wiele bezserdeczności, ale tkwi zarazem głęboka prawda. Chłop nasz, jak daleko siedzi, wszędzie odznacza się tém zakuciem w absolutną swojskość, i ma to podobieństwo do zwierzęcia, że nie cierpi istot odmiennego gatunku, nigdy się z niémi nie łączy, w najlepszym razie zachowuje względem nich zbrojną neutralność, tolerując je tylko w imię interesu. Ale gdy przychodzi do poufalnego stosunku, — o! to rzecz zgoła inna.

Dalekim on jest niezmiernie od idei kosmopolitycznych. To zaś ma wspólnego z resztą ludzi, że pojęcia arystokratyczne względnie do tego mikrokosmu, w którym żyje, wyrabiają się u niego i wszczepiają silniéj, niżby kto sądził z jego powierzchowności. Ród gospodarski a komorniczy lub parobczany; ród dawno we wsi osiadły a świeżo przybyły,— wielka to różnica w heraldyce wiejskiéj. Cóż dopiero porównanie chłopa osiadłego z cyganem, włóczęgą i poganinem.

Ten rys charakteru chłopskiego, tak trafnie tu wprowadzony, przypomniał nam wszystkie nasze własne w tym względzie spostrzeżenia; a w powieści niniejszéj on to jest osią obrotu całéj machiny perypetyi i obrazów, z których nareszcie wykluwa się pewien charakter, w swoim rodzaju ciekawy.

To dziewczynka pary przeklętéj, znana we wsi pod nazwą *cyganichy*, która odtąd pochłania całą uwagę. Sierota, obca wśród mnóstwa ludzi, wśród wujów i ciotek, sama jedna jak dusza pokutująca w „chacie za wsią,“ zbudowanéj pod cmentarzem herkulesowym wysiłkiem jéj ojca, który się z nędzy i zgryzot nieopodal w lesie powiesił, a do czego mu zarówno cyganie jak i chrześcianie pomogli, — gdzie matka jéj odumarła, pozostawiwszy dziecię bez chleba

i bez opieki. Nasz świat kamienny nie zna takich wypadków, i trzeba dopiero zapuścić się w głębie puszcz i błot, ażeby na łonie natury nagiéj dopatrywać się tajemnic jéj dzieci. Po ojcu mała cyganicha odziedziczyła energią i duch samopomocy, po matce dumę, po obojgu urodę i nędzę. Za całą jéj przyjaźń i towarzystwo, stara znachorka, mąż jéj, ślepy żebrak, i jakiś podobny jéj paryas wiejski, z głupia frant parobczak.

Ci przyjaciele, z szeregów ostatniéj demokracyi sielskiéj wybrani, namawiają dziewczynkę, ażeby udała się gdzie za kawałkiem chleba na służbę, przyrzekając pomoc, grożąc, że tu zginie sama jedna. Ale Marysia, ani słuchać o tém nie chce: — „Zginąć, to zginę, — powiada, — a taki ztąd nie pójdę, — to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jéj nie porzucę. Myśmy tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła.... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę chatynki mojéj.“

I na podziw całéj wsi, żyje to niebożę, najsamprzód pracą rąk swoich, kądzielą, przędąc za zapłatę dla bogatych gospodyń, a przytém pomocą tych lichych opiekunów, którzy sercem i radą, groszem uzbieranym lub wiktuałem podebranym, czasami zasilą zgłodniałą. Latem, zwykłą siedzibą jéj cmentarz i grób matki, zkąd widać chatę, jak na dłoni; zimą, izba jedyna w chacie zimnéj, rzadko opalanéj; towarzystwem nieme stworzenia, które ją pokochały. Opieka przyjaciół czuwa nad nią zdaleka; zbliżka podtrzymuje ją pogoda duszy, pewność siebie i radość, że nie opuściła świętéj dla siebie ojcowizny.

I trudem a ładem, pomysłowością naiwną a praktyczną, wyrasta to na dziewicę urodziwą, o któréj energii i wdziękach wieści rozchodzą się po wsi. Ciotki ujęte opowiadaniem o niéj cudów przez starego żebraka przybywają pierwsze, aby ją poznać i jałmużną jaką podeprzeć. Zastają tyle imponującéj wyższości i wdzięku, że odchodzą zawstydzone, nie śmiąc się ofiarować ze swémi datkami. Ukazanie się jéj w cerkwi zwraca na nią powszechną uwagę, a kiedy kobiety po nabożeństwie zastanawiają się, jakim sposobem dziewczyna ta w takich warunkach, gdzieby każde inne dziecko w kilka dni zginęło, mogła sobie poradzić i tak na podziw się udać, jeden tylko przyjęty był kommentarz, dostarczony przez najstateczniejszą.— „Czekajcie no! mówiła ona,— nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam. Matka jéj była charakternica: zawsze miała, słyszę, mleko, choć krowy nie było; wetknęła kołek w ścianę, poszeptała, i doiła, jak krowę. Mąż jéj był charakternik; to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojéj Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać i karmić. To nie może być inaczéj.“

Słowa te domyślnéj staruszki wypowiedziane z namaszczeniem, poszły w obieg pomiędzy lud. A że nic się prędzéj nie czepia ludzi, jak myśl najdziksza śmiało im w oczy rzucona, więc zaraz uwierzyli w upiorów. Każdy dorzucił jeszcze coś swojego, tak że od niedzieli do niedzieli, już w drugim końcu cmentarza rozpowiadać zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą widziały na własne oczy matkę jéj Motrunę, występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jéj włosy i razem z nią przędącą w nocy na motki najemne.

I teraz dopiero wydała się nareszcie tajemnica doskonałości jéj przędu, za którym ubiegały się gospodynie, a zarazem tajemnica jéj urody i wdzięcznego przyodziewku. Bo zkąd oczywiście, te włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli barny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka? Zkądże by to się wszystko u niéj brało? Z nieba przecież nie spadło. Albo czy to głód i biedę znać na téj twarzyczce, rozkwitającéj uśmiechem różanego pączka? Niejedna gospodyni mlekiem swoją karmi, a tak jéj nie wygląda.... Oczywiście sprawa to nieczysta.

Tak tedy wytłumaczono sobie tę tajemnicę wrodzonego wdzięku, stylu i zaradności; kommentarz ten omało nie pozbawił jéj zarobku, bo gdzież to poczciwym ludziom wdawać się z siłą nieczystą! I trzeba było całéj prawdy łez i całego ich uroku w oczach Marysi, ażeby ten argument zachwiać w umyśle sceptyczniejszych gospodyń.

Ale nie tu jeszcze najcięższa próba dla tego charakteru tak samorodnie wybujałego. Czas téj próby nadszedł właściwie, kiedy młody Lowelas wiejski, syn budniczy z okolicy, służący za gajowego, którego niepohamowany donżuanizm poczynił już znaczne spustoszenia po sercach różnych dwórek a nawet i o ekonomówny zawadzał —teraz za pierwszém widzeniem Maryni, zwrócił się ku „chacie za wsią.“—Zrazu nęcony tylko nadzieją łatwego zwycięztwa- młody chłopak, ufny w swe skromne leśniczostwo, dumny pochodzeniem szlachecki mé jakby jeszcze pamiętał przysłowie o zagrodzie i wojewodzie, gniewał się tylko an

niespodziewany odpór, jakiego doznał od Marysi, ostrzeżonéj instynktem cnoty i uwagami przyjaciół. Ale jak zwykle w człowieku, tak i w Tomku Choińskim, wszystko, coby powinno było tamować bieg namiętności, jeszcze go silniéj podbudzało,—i przedmiot dlań zakazany tém stał się pożądańszym, droższym, niezbędnym, godnym posiadania za jaką bądź ofiarę. Ta przemiana formy uczucia w Tomku sprowadziła przemianę i w uczuciu Marysi, a to ku jéj największemu nieszczęściu. Toż to ona stanęła na tém samém polu, tylko w odwrotnym stosunku, na którém zginęła jéj matka, i taką ruiną zasypała całą przyszłość. Uciekać jéj trzeba z tego pola przekleństw. Tomek, to jedyny syn rodziców dumnych, którzyby za ujmę mieli połączyć się z najarystokratyczniejszym rodem chłopskim, cóż dopiero z cygańskim. I daremnie ojciec, uwiadomiony o zabiegach syna, wyjaśnia to niewinnéj sprawczyni jego niepokojów,—ona wcześniéj przewidziała to sama, i wcześniéj skazała się na całopalenie uczucia, w imię obowiązku i dumy osobistéj. Ona nie chce, aby wyświadczano jéj łaskę, przyjmując w dom wyrzutka. Gdyby poszła w dom cudzy, to na prawach równych, pociągnięta miłością a zatrzymana szacunkiem; inaczéj, może umrzeć z kochania, ale nie okupi go niezadowoleniem cudzém, upokorzeniem własném. Daremne w tym przedmiocie uwagi przyjaciół praktyczne; nic nie zachwieje w postanowieniu dumnego serca.

Ale co robić? Co robić pomiędzy gwałtownémi zabiegami na śmieć rozkochanego Tomka a udręczeniem na śmierć rozżalonych rodziców?... Bywają chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek,—powiada autor,—w których więcéj widzi, więcéj może i więcéj czuje, niż zwykle.

Taka chwila przypadła na Marysię, która była pustelnicą, dziecięciem mogił, wykołysaném dumami wśród samotności, i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować nawykła. W sercu biednego dziewczęcia zjawiło się przekonanie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jasnowidzenie konieczności; i żal ciężki ucisnął jéj serce nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze, co się stanie z nią, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić musi. Ale co robić?... Jakby z odpowiedzią na to zapytanie, przybywa na ten czas po długiéj nieobecności, takie ślady pobytu swego zostawiwszy, taż sama banda cyganów, z któréj obozu wyszedł jéj nieszczęśliwy ojciec. I taż sama Aza, w postaci kusiciela, zjawia się przed córką tego, którego pokochała zapóźno, aby ją porwać prawem krwi.... Propozycya zrazu wstrętna, wobec nacisku Azy i serdecznego kłopotu Marysi, zaczyna innego w jéj umyśle nabierać znaczenia. Jak spełnić dzieło poświęcenia, to do dna. Oderwać się, zginąć, to jedyny sposób wyleczenia Tomka i uspokojenia rodziców; to jedyny sposób zerwania z niepodobném szczęścia marzeniem, które bądz cobądź przebija się przez sieć rezygnacyi. Marysia zdolną jest do postawienia zapory nieprzełamanéj między sobą i ukochanym, do tego kroku bezpowrotnego, do tego bohaterstwa; i po rozrzewniającéj scenie pożegnania z chatą i z całą przeszłością, ze wszystkiémi drogiémi zabytkami niedoli rodziców i własnéj, ustępuje namowom Azy.

Dosyć nam na tém dla wyobrażenia charakteru, któryśmy skreślili, idąc wślad za natchnieniami poety. Nie przeczymy, że wszystkie te charaktery pojedyńcze i naczelne, jakie się tu przewinęły, począwszy nawet od „Sawki,"—są to charaktery wyjątkowe, ale w tém dla nas znaczeniu, że „exceptio *firmat* regulam."—Mógłby ktoś nawet zapytać trywialnie: gdzie kto widział takich chłopów i takie chłopianki? Ale na to odpowiada mu sztuka, że ona nie jest fotografią. I Kraszewski nie widział zapewne swych bohaterów takimi od stóp do głów w naturze, jakich opisał w dziele, bo nie kopiował. Widział on jednak, zarówno z drugimi, rysy pojedyńcze, tu i owdzie rozrzucone po indywiduach, zasłyszał podania powtarzane ust tysiącem, jak owo, z którém poddany dla ocalenia pani gonionéj przez wilki, wyrzuca się z sani, by sobą zająć żarłoczne bestye i ułatwić jéj ucieczkę. Takie pojedyńcze rysy imaginacya gruppuje, a sztuka wytwarza z nich całości jednokształtne, żyjące obrazy natury, ideały.

Autor nasz nie poprzestał na wzorowaniu chłopa w zakresie jego sfery wieśniaczéj. Kreśląc go z rozmaitych stron dobrych i złych, powszednich i wyższych, naiwnych i wstrętnych,—dwakroć zadawał sobie pytanie: coby to było z chłopa, gdyby wyszedł ze stanu wieśniaczego i, stanąwszy ukształceniem na równi z klassą wyższą, wmięszał się w jéj stosunki. Pytanie to można wielorako rozwiązać, i w ogólności nie przedstawia ono samo w sobie głębokich tajemnic. Któż z nas nie kollegował w szkołach z kilku uczniami stanu włościańskiego, i kto nie zna późniejszych ich

zawodów? Są oni takimiż i dobrymi obywatelami kraju, jak inni, a w miarę uzdolnień mniéj lub więcéj pokaźne zajmują stanowiska w społeczeństwie: stan duchowny mieści ich największą liczbę.

Kraszewski jednak w przedstawieniu takich jednostek miał widać jakiś zamiar szczególny, z kwestyą ludową, która go bardzo zajmowała, połączony: oto chciał w nich wykazać pewne pośrednictwo między ludźmi jednego plemienia a jednak rozdzielonymi i to nie tylko pozycyą socyalną. Jeżeli tak było, a co śmiele wnosić możemy ze sposobu, w jakim się przedmiot u niego rozwija, to przyznać mu trzeba, że miał natchnienie wielce szczęśliwe, i gdyby nie przemawiał do głuchych, wielce w błogie następstwa płodne. Bo gdzież istotnie doskonalsze pośrednictwo, niż to, które jest krwią ze krwi, kością z kości, i kędyż wzajemna ufność mogłaby lepsze znaleść zarzewie, niż tam, gdzie z jednéj strony stoi na straży wdzięczność a z drugiéj nadzieja. Nieodstępna bowiem była mu i ta myśl, że w takiéj massie czerni niepodobna, ażeby nie znalazła się jakaś rodzima wyższość, którą zamiast zakopywać, jak dyament w ziemię, należałoby odkrywszy podnieść i blask z niéj wydobyć, ażeby świeciła ziemi, która ją wydała.

Negatywnie myśl tę rozwiązuje Kraszewski, jak widzieliśmy, w „Historyi kołka w płocie.“ Coście uczynili z wyższością? zdaje się pytać. Rozwiązanie pozytywne przedstawia się w *Hryciu Soroce* z „Ławrowéj Pieczary,“ oraz w powieściach „Ostap Bondarczuk“ i „Jaryna,“ które właściwie są dwiema tylko częściami jednéj powieści, w rozmaitych czasach pisanémi.— Jak się autor wywiązał z téj myśli, przeprowadzonéj w kierunku pozytywnym, zobaczymy zaraz.

Nie możemy dostrzedz tego, ażeby chronologiczność towarzyszyła ściśle rozwijaniu się planu Kraszewskiego co do tendencyi społecznéj, jaką w utworach swych przeprowadza; zdaje się, przeciwnie, że cały porządek myśli idzie według wrażeń, nastręczanych przypadkowo, tak iż rozmaite utwory szykować należy według myśli przewodniéj téj lub owéj, raczéj, niżeli według porządku czasu, i dlatego dwa charaktery, wyrażające myśl prawie jednaką, jak Hryć Soroka i Ostap Bondarczuk, dzieli od siebie znaczna przestrzeń czasu, wypełniona utworami innego odcienia myśli. Kiedy „Ostap“ ukazuje się bezpośrednio po „Ulanie“ w roku 1847, „Ładowa Pieczara“ ze swym bohaterem Hryciem wychodzi dopiero w r. 1852.

Pomimo jednakiéj a przynajmniéj bardzo podobnéj treści obu bohaterów, ważna zachodzi pomiędzy nimi różnica indywidualna co do form. I tu porządek niejako się odwrócił. Hryć, późniejszy, stanowi zaledwie sylwetkę wyraźną, ale bardzo streszczoną. Charakter wreszcie, który wyobraża ta treściwa sylwetka, przedstawia rysy spokojne, reflexyjne, coś niby ze statysty i filozofa, o sercu wielkiém, ale obejściu chłodném. Ostap, — przeciwnie, — to obraz rozległy, barwny, różnostronnie wypełniony: charakter namiętny, ognisty, rzucający się na oślep w przepaście, za podmuchem serca. Są to z Ostapem dwaj bracia podobni, tylko jeden o naturze bogatszéj, drugi o uboższéj w expressyą: a że obaj w gruncie zacni i działający, więc działania ich w treści jednakie, różnią się wszakże expressyą.

Hryć od dzieciństwa, lubo kochając wieś, wydziera się gwałtem do czegoś nieznanego, i w tém dążeniu zyskuje pomoc dziedzica. Kształci się w wielkiém mieście, ale pomimo wykształcenia i zyskania form światowych, kmiotkiem pozostaje w sercu. Bądź co bądź, Hryć jest to spory kawał doktrynera; i nie wiem jak go tam przyjaciel i niegdyś uczeń z miasta mógł z zimną krwią wysłuchać, kiedy Hryć sam przez naukę podniosłszy się tak wysoko a przez życie miejskie nic z czystości duszy nie utraciwszy, powstaje przeciwko nauce miejskiéj i książkowéj, przeciwko miastu, przeciwko Zachodowi, a wywyższa wieś i naukę podaniową, która przekazała nam wiedzę „tajemnic niedostępnych uczonym i pojęcie świata takie, jakiém Bóg opromienił czoła pierwszych ojców rodzaju ludzkiego“ (24). Szanujemy zapał Hrycia dla przeszłości i jego miłość dla form swojskich, połączoną z miłością ziemi, ale ani jego pessymizmu względem całego ruchu nowego, ani optymizmu względem wszystkiego, co było, wziętego ryczałtem, nie możemy podzielać, i przyznam się, nawet go niezupełnie rozumiemy. Pomimo wszakże tego doktrynerstwa, Hryć z konsekwencyą żelazną dochowuje wiary tradycyom, w imię których, zatęskniony za wsią, za chatą, za braćmi, za życiem dawném, zrywa ze światem miejskim, do którego niegdyś z taką się wyrywał gorączką, powraca do domu, by odżyć wspomnieniami młodości, zawiązać przerwaną nić zajęć około roli, i cały zasób wiedzy pożytkować na korzyść braci rodzonych,—pod braterstwem tém rozumiejąc tak dobrze gromadę, jak dwór,—a swoją drogą ukochaną naukę dziejów prowadzić

daléj, tylko w inny sposób.—„Tu jestem u źródła dziejów,—powiada tym nieco paradoxalnym tonem,—i czerpię je nie z suchych kart, gdzie mi kłótnie o lata nieustannie obraz rozrzynają (nie sądzimy, nawiasem mówiąc, ażeby autor *Litwy* takie tylko znaczenie na seryo przypisywał krytyce historycznéj),—ale z mogił, z ziemi, ze starych pamiątek dziadowskich, z drgającéj powieści, którą kmieć wieki powtarza, z pieśni, którą nawykł śpiewać, z języka, którym mówi" (25).—Studya wszelako archeologiczne, w trakcie których widać i sam autor pisał tę powieść z sercem, rozkołysaném ich powodzeniem,—nie przeszkadzają Hryciowi a raczéj pomagają mu do utrzymania we wsi patryarchalnego ładu, o którym szerzéj mieliśmy sposobność poprzednio powiedzeić. Jego zabiegliwość i poświęcenie się dla wspólnéj sprawy, rola opatrznościowa, jaką wygrywa względem dworu, są to tylko następności tych zasad, które głęboko w duszy jego utkwiły.

Takiż sam grunt moralny leży na spodzie charakteru „Ostapa Bondarczuka," ale bujniéj i w sposób nierównie więcéj malowniczy rozrastają się jego formy. Ostap jest dziecięciem ludu, wychowaném *po pańsku* nie w skutek wzajemnéj pomocy, leżącéj w systemacie wsi, jak w „Ładowéj Pieczarze" Hryć, ale w skutek prostego przypadku, który mu, jako dziecku, nastręczył sposobność zobowiązania pana. I panu hrabiemu nie byłaby nawet przyszła do głowy myśl wywdzięczenia się, a tylko pani, kobieta uczuć delikatnych, stała się jéj matką niejako i wykonawczynią. Wielka téż różnica w powrocie do domu Hrycia i Ostapa. Hryć wraca jak do siebie, do rodziny, z okiem śmiałém, swobodny. Ostap, wracając pełen światła i nauki z Berlina, jako doktór medycyny, drży ze wzruszenia, nim się ukaże dziedzicowi, którego zna usposobienie dla ludzi skarbowych. Przygotowany na upokorzenie, nie może się jednak powstrzymać w trwodze na myśl, ile ucierpieć będzie musiało jego, dziś tak wydelikatnione, uczucie godności ludzkiéj.

Ale dlaczegoż doktorowi medycyny wracać w poddaństwo zardzewiałego w przesądach despoty? zapyta kto. Ha! w tém téż leży cały charakter Ostapa, wzniosłego marzyciela ludowego. Dwa jego rysy najcelniejsze, to miłość dla swoich, dla braci po niedoli,—i godność osobista, posunięta poza granice wszelkiéj rachuby. On jest „dumny swém chłopstwem" i za nic w świecie nie oddałby tego klejnotu pierworodnego. Przez tę dumę nie chce być nic nikomu dłużny, a wszelką przysługę wypłacić z lichwą; dłużnym zaś czuje się dziedzicowi za pomoc w edukacyi, braciom czuje się dłużnym przez solidarność krwi.

Synowiec dziedzica, Alfred, razem z nim wychowujący się na uniwersytecie, chłopiec serdeczny a kochający go, jak brata, musi mu dobrze nadskakiwać, ażeby, mimo całéj wzajemnéj przyjaźni, nie urazić jego dumy. I często, kiedy mu Alfred mówi:—tyś mój przyjaciel,—Ostap odpowiada z pewną affektacyą:—wasz poddany!... Jedynym przecież powiernikiem jego utrapień w chwili powrotu do kraju jest ten Alfred, który poradzić sobie nie może z tą naturą tak dziko wzniosłą i nieugiętą, a stojącą na rozdrożu w wyborze między dwoma udręczeniami.

Serce go ciągnie do kraju, a boi się, drży, ziębnie. Wiele swym panom winien, ale wiele i cierpi przez nich; nacóż go wzięli sierotą i wyrzucili z miejsca właściwego.... Pomiędzy nimi on paryas. Ani wychowanie, ani talent, ani cnota, ani nic w świecie nie zastąpi dla nich urodzenia. Wié, co go z téj strony czeka. Wrócić między swoich?... Świat ducha i myśli rozgranicza ich od siebie: pozostaje więc sam jeden, wyjątkowo, na stanowisku osamotnioném, wyłącznem, boleśném.., A niewracać do kraju nie może. Panom wszędzie jeden jest świat: jego ciągnie ziemia, wioska, stara chata obalona, cmentarz wiejski, wszystko! On tam na obczyźnie żyje, jak igła magnesowa, sercem wciąż zwrócony na północ. I gdyby nawet potrafił zaprzeć się na wieki ziemi rodzinnéj, czyż nie ma obowiązku powrócić tam, gdzie go oczekuje dziedzic, dobroczyńca, któremu właśnie ubył felczer ze szpitala wiejskiego i Ostap przyda się, aby go zastąpić.

W tych tu uwagach, gdzie prawda łączy się nicią namiętności z paradoxem, mniéj więcéj streszcza się położenie bohatera i zarazem jego charakter, w którym góruje uczucie bezwarunkowe obok prawości i dumy. Trudno opisać upokorzenie, ze względu na wyjątkowo a nikczemnie pyszny charakter hrabiego,—jakiego doznaje Ostap za przybyciem do domu, gdzie dusza na dwie połowy rozdziera mu się z jednéj strony widokiem nędzy i zezwierzęcenia braci chłopskiéj, z drugiéj przeczuciem własnego losu. Daremnie jednak zgorszony przyjęciem jego przez stryja Alfred nakłania go, ażeby udał się z nim razem do jego dóbr, leżących w sąsiedztwie, ofiarując się wykupić go razem z całą familią.—„Cała wieś mi familią! odpowiada mu nato Os-

tap,—wszyscy ci biedni braćmi, jedna w nas krew, a krwi siła potężna. Czuję to w téj chwili. Chyba byś uwolnił wieś całą i pozwolił mi zabrać kości rodziców; inaczéj ztąd pójść nie potrafię... Nie mów że się na nic biednym braciom nie przydam: słowo pociechy, grosz posiłku, są wielką dla nich rzeczą.“

Bądź co bądź poczciwy Alfred, stojąc między fanatykiem dumy arystokratycznéj i fanatykiem dumy chłopskiéj, zdołał wydrzeć Ostapa i zabrał go do siebie.... ku wielkiemu nieszczęściu wszystkich. Oprócz saméj głowy domu, reszta rodziny uparcie chce widzieć w Ostapie człowieka.... dotyczy to mianowicie córki hrabiego, przyrzeczonéj Alfredowi i przezeń ukochanéj. Jak się to stało, mniéjsza; dosyć że Ostap, świadomy nieukrywanéj wreszcie dla siebie życzliwości hrabianki i sam głębokiém dla niéj uczuciem przejęty, tyle przenioslszy, żeby nie rozłączyć się z miejscem rodzinném, musi zadać sercu ten gwałt, nateraz podwójny, ażeby się oderwać od wszystkiego, co kocha, a w sobie i poza sobą pozostawić ruinę szczęścia. Wprawdzie po jego odjeździe łączą się Alfred i Michalina węzłem małżeńskim, ale pomiędzy ich duszami stoi nieodżegnany cień Ostapa, któremu serce hrabianki wierném pozostaje. Dziesięć lat czasu zaprowadza wielkie odmiany w stosunkach zewnętrznych. Hrabia ojciec umiera, Michalina pamiętna pragnień ukochanego, które są dla niéj świętością, usamowalnia jego biedną rodzinę, wyposaża; Alfred odkrywa, przypadkowo, w głębi jarów podolskich, drogiego wszystkim zbiega, który, niby pustelnik średniowieczny, oderwany od świata, naukę swą poświęca dobru okolicznych nędzarzy, ale do wyjścia z pustelni nakłonić go nie może. —„Nie jestem już tym berlińskiego uniwersytetu wychowańcem,—powiada doń Ostap,—którego znałeś dawniéj. Suknia inna, myśli inne, wszystko się we mnie odmieniło. Jedno pozostało dawne: przyjaźń i wdzięczność dla ciebie, a przekonanie, że między wami nie ma tam miejsca dla mnie.“

Żal było autorowi rozstać się z tą sympatyczną postacią, walczącą z fatalizmem losu i własnego serca. Wraca więc do niéj raz jeszcze po dość długiéj przerwie, ażeby uzupełnić ten charakter nowémi rysami wzniosłości i poświęcenia. Przerwane natchnienia trudno powiązać tak, ażeby ta przerwa nie zaznaczyła się i w saméj artystycznéj robocie. Nie wglądamy téż bliżéj, czy dobrze umotywowaném jest nowe przybycie Alfreda do Ostapa, i czy ten Alfred, tak zacny, mógł przez rozpacz, że nie może dobić się do serca żony, zniszczéć moralnie i materyalnie do tego stopnia, iż nie widzi dla siebie innego ratunku nad jakąś awanturniczą, umyślnym pojedynkiem wywołaną, ucieczkę za granicę; témbardziéj iż niedawno, kiedyśmy go widzieli w podróży z żoną, nawiedzającego pustelnię Ostapa, nic podobnego stanu nie zapowiadało. Teraz, zrozpaczony, gotowy prawie do samobójstwa, a po dziesięciu przeszło latach pożycia z żoną, opowiadający Ostapowi z rozdrażnieniem szaleńca wszystkie tajemnice serca i wybryki gorączkowe, zdumiewa nas straszną niespodzianką. Uchodząc, żąda on od Ostapa wielkiéj ofiary: ażeby rzucił swą pustelnię wiejską i udał się do jego domu, jako opiekun żony i dziecka, pełnomocnik wszystkich interesów, które znajdują się w najopłakańszym stanie. Błaga, zaklina na przyjaźń, zobowiązuje, i zobowiązawszy, chroni się, pozostawiwszy w ręku Ostapa cały instrument pełnomocniczy.

W takim nastroju uczuć, chwila to rzeczywiście dla Ostapa straszliwa. Powody wewnętrzne, które go skłoniły do opuszczenia tych drogich miejsc rodzinnych, nie ustały bynajmniéj. Wié z ust samego Alfreda, że Michalina kocha go po dawnemu, w sobie czuje ranę pogłębioną tylko, ale nie wyleczoną. Michalina jest, według opowiadania męża, aniołem poświęcenia i cnoty: maż on zbliżyć się do niéj i wystawić dwa serca niepokalane na pokusę wzajemną? A jednak trzeba spełnić prośbę przyjaciela. Tylko jak? W tém leży najżywszy interes sytuacyi, dotyczący tego niepospolitego wśród ludzi charakteru. To próba jego najwyższa.

Tém bardziéj, że kollizya ta trafia na moment wielkiego zniechęcenia Ostapa, kiedy brak szczęścia mocno mu się dawał uczuwać. Posiadał on wszystko, czego potrzeba człowiekowi, ażeby używać wszelkiego dobra, jakie daje młodość, wykształcony umysł, zdolność, myśl rozległa, słowem cywilizacya, a zamknął się w swém sieroctwie, odwrócił oczy od uciech właściwych sobie, sercu nakazał milczenie, błogosławiąc i tym, którzy go wyprowadzili ze stanu zwierzęcego a do godności człowieka podnieśli, i żałując, że wyszedł z tego stanu, kiedy tylu jego braci bije się w ciemnościach. Ten stan jego serca, w którym zaparcie równa się prawie ubłogosławieniu, nigdzie lepszego podobno nie znajduje kommentarza, jak w tych wierszach Szyllera:

„Zwei Blumen blühen für den weisen Finder,
Sie heissen *Hoffnung* und *Genuss*.
Wer dieser Blumen eine brach, begehre
Die andre Schwester nicht.
Geniesse, wer nicht glauben kann. Die Lehre
Ist ewig, wie die Welt. Wer glauben kann, entbehre!
Die Weltgeschichte ist das Weltgericht.
Du hast gehofft, dein Lohn ist abgetragen,
Dein Glaube war dein zugewognes Glück!“
(Resignation).

W tym wierszu rzeczywiście reassumuje się stan duszy Ostapa i jego smętny monolog, zwłaszcza kiedy kończy go słowami:—„Niéma bo innego szczęścia na ziemi nad nadzieję i widzenie szczęścia; potem wspomnienie widzenia, mara wiary i nic więcéj. Szczęście wielkie, marzone, nie byłoby trwałém, i któż wie, możebyśmy jak w bajce o Meluzynie, ujrzeli wdzięczną jego postać, przeistaczającą się w potwór ohydny, możebyśmy za życia nawet wspomnienie szczęścia stracili. Więc tak lepiéj, lepiéj, tak być musiało, skłońmy głowę przed koniecznością żelazną.“

I właśnie, kiedy Ostap urządził sobie względny spokój na tle takiéj rezygnacyi, która jest surrogatem szczęścia, nie takim wszakże, aby je doskonale zastępował, a przeciwnie świadczy o jego braku,—przychodzi, ktoś aby wstrząsnąć tą skorupą sofistyczną, i ukazać w dali szczęście prawdziwe.... tylko niedostępne, któremu spójrzeć oko w oko potrzeba, dotknąć go nigdy.

Cóż uczyni Ostap? Czy będzie liczył na swoje siły, czy też zdobędzie się przeciwnie na taką siłę, aby się przeciwko słabości sił swoich możliwéj obcą siłą zabezpieczyć? W obu razach będzie to bohaterstwem, tylko całkiem odmiennym. Dla bezpieczeństwa więcéj Michaliny, niż swego, Ostap wybiera drugie.... okropne. Jakoż, przedstawić się jéj, jak dawniéj, w postaci wytwornego młodzieńca, dziś zmężniałego tylko wiekiem, odkryć przed nią wszystkie zasoby, równające go z towarzystwem wyborowém, korzystać z praw, jakie mu nadaje i natura wyższa i uzdolnienie, byłby to środek odnowienia wszystkiego, co doń tak mocno odrazu skłoniło czuły a bezprzesądny nastrój Michaliny. Trzeba się więc obrzydzić, uniemożliwić: boża część zaparcia i ofiary przyjąć dla siebie. I oto, w jaki sposób uskutecznia Ostap.

Plątała się przy jego chacie dziewczyna urodziwa i hoża, wdzięczna za uratowanie matki i przez wdzięczność wielce rozmiłowana w lekarzu, którego cała okolica wielbiła za jego bezinteresowną pomoc, a uważała zawsze za coś wyższego, pomimo że się formą stroju i sposobem życia mało od reszty gromady odróżniał. Tajemniczość zawieszona nad jego osobą jeszcze mu dodawała uroku. Ażeby więc rozdział pomiędzy sobą i Michaliną uczynić materyalnie i moralnie nieprzebytym, Ostap popełnia na sobie rodzaj samobójstwa i pojmuje Jarynę za żonę; a pojechawszy, najsamprzód sam, do domu Alfreda, przedstawia się Michalinie, jako chłop z ubioru, z pokory i oddalenia, pełen szacunku, zimny,—nic wszelako o swéj ofierze nie mówiąc.

Gorzki ten środek jednak sprawia tylko wrażenie goryczy, ale skutków nie przynosi takich, jakie zamierzył Ostap. Pod tą formą szorstką, Michalina widzi tylko jakąś maskaradę, niegodną Ostapa, któréj mu wybaczyć nie może, i ten dawny Ostap żyje w jéj sercu, upewnioném, że on się zbudzi z chwilowego letargu.

Wszystkie trudy i zachody, cała energia, jaką rozwija Ostap dla ocalenia majątku Alfredów, bledną w porównaniu z tą jego wielką, podwójną ofiarą, sięgającą aż do grobu. To odgraniczenie się od Michaliny w sposób, jakiego użył, było podłożeniem własną ręką ognia pod stos, na którym płonął. Bo małżeństwo jego nie mogło ograniczyć się na formie. Jaryna, figura nie usprawiedliwiająca miejsca, jakie zajmuje na tytule dzieła,—jest to sobie proste zwierzątko samolubne, kochające po swojemu gwałtownie i niemiłosiernie. Opuszczona przez męża zaraz po ślubie, trwoży się i tęskni.... wbrew zakazowi Ostapa, przybywa z domu rzucić mu się na szyję w obecności Michaliny, przedstawiając w całéj potworności swéj tę ofiarę, jaką dla niéj, dla Alfreda i dla siebie uczynił ten dziwny bohater.

Powiadamy, dziwny; bo rzeczywiście więcéj to fantazya, niż człowiek. Nie ma co ubolewać nad podobnémi fantazyami, które wykazują, do czego dusza ludzka szlachetna jest zdolną, ale fantazye takie o tyle wdzięczniéj i głośniéj przemawiają, o ile są naturalniejszémi; Ostapa zaś szukać trzeba nieco poza naturą, może aż w granicach przesady. Skala umysłu jego i uczuć obliczona jest na miarę najwyższą, ale w tém nie ma nic niepodobnego,—owszem, potrzeba tylko, ażeby wszystkie urzeczywistnienia w czynach odpowiadały téj skali, a równowaga pomiędzy umysłem i uczuciem wszędzie była zachowaną. W pierwszym okresie życia, lubo Ostap naraża uczucie swe na pociski, przeciwko którym taki umysł, jak jego, mógłby był wynaleźć zabezpieczenie,

dobrze poszukawszy,—równowaga ta nie jest wszakże widocznie zachwianą. Za to w drugim okresie, ofiara jego z umysłem tak rozległym trudno pogodzić się daje. Jakim sposobem Ostap nie dostrzega tego, że dogadzając pewnym warunkom moralnym, nadweręża drugie, a chcąc uratować hrabiankę, rzuca jéj na ofiarę, niby jakieś narzędzie, Jarynę, w któréj prawa ludzkie zarówno uszanować był winien? Jego wstręt do tego kroku, pasowanie się z sobą, cierpienie, świadczą o pogardzie, jaką ma dla samego czynu, podciągając mimowolnie pod nią i osobę, która jest tego czynu przedmiotem; a w miarę wielkości ofiary, którą spełnia, rośnie i to lekceważenie przedmiotu reakcyjnego. Wytłumaczywszy to na język czysto prozaiczny, znaczy to: Dla takiéj istoty, jak Jaryna, dosyć będzie tego zaszczytu, iż zostanie moją żoną; a wara jéj od wszelkich przywilejów małżonki, od uczucia i uniesień, które posiadła inna; niechaj tam ona radzi sobie, jak może, bylem ja uratował interesa droższe. I przychodzi chwila, w któréj Jaryna zrozumiała nareszcie wszystko, i wypowiada to ojcu:—„On się ożenił,—jak to powiedzieć,—żeby ta pani, która go kochała dawniéj, myślała sobie, że on o niéj zapomniał i dała mu pokój.“ A na zapytanie ojca, że musiał jéj zapewne nie kochać, dodaje:—„Gdzie tam! kto ich zrozumie! Ojcze rodzony, on ją bardzo kocha, ale kochał i męża, i nie chciał, żeby mu się psuła. Co ja dla niego!“

Ten wyrzut istoty prostéj ale prawéj, jest wielkiém potępieniem sercowéj dyplomacyi Ostapa. Może on po śmierci Alfreda i Michaliny, powrócić do swéj ustroni, ażeby uczciwie oddać się obowiązkom męża, ale niech nikt nie mówi, żeby to było w porządku moralnym i naturalnym. W każdym razie żona jego wié i wiedzieć będzie, że mu za narzędzie tylko posługiwała, że on mężem jéj nie jest i nie będzie nigdy: a takie położenie nigdy męża ze strony moralności wyższéj nie zaleca.

Z drugiéj strony, patrząc na utwór ten, jako na tendencyą, nie przedstawia się ona bardzo zachęcająco. Dlaczegoż było późniéj ubolewać nad „kołkiem w płocie,“ zapyta ktoś, jeżeli chłopa wyprowadzonego na pole światła i swobody, postawiło się wprzód i od razu w położeniu najnieszczęśliwszém? Jak Hryć Soroka z „Ładowéj Pieczary,“ tak i Ostap, po wszystkich przejściach cywilizacyjnych, zawracają między swoich, i spełniają tam pewną missyą pożyteczną, każdy w swoim rodzaju. Nic piękniejszego. Ale Hryć wykonywa to przynajmniéj z weselem duszy; Ostap, przeciwnie, z rozdarciem jéj na szmaty. Przypuśćmy wreszcie, że wielkość jakaś okupuje szczęście osobiste; ale piękne, sympatyczne i pożyteczne działania Ostapa ograniczają się do skali nader małéj, względnie do sił jego umysłu. Wyprostowywa on kilka zajść w stosunkach wiejskich mocno nakrzywionych, udziela pomoc lekarza,—ale wszystko to w granicach jednéj parafii. Skutki nie opłacają się wysileniem i ofiarą, położoną dla wyprowadzenia jednéj istoty z mroku do światła, nie opłacają się zmarnowaniem szczęścia i umysłu téj istoty wyjątkowo wyższéj. Gdyby Ostap nadał znaczenie obowiązkom dla swoich tęsknotą, wyrażającą się za wsią, materyalnym pobytem i niejako nowém schłopieniem, z poświęceniem wszystkiego, co mógł był zrobić dla idei obywatelskiéj i nauki na inném polu, przestronniejszém, gdzie można dać potężne i głośne świadectwo dzielności chłopa uszlachetnionego;—gdyby, powiadamy zaniedbał tego wszystkiego, do czego jednak miał siły dostateczne, przez jakieś przywiązanie niższe do wspomnień dziecińśtwa,—to powiedzielibyśmy, że Ostap jest więcéj sentymentalistą niż uczuciowym, i że dogodzenie czułości swéj, jako chłop, przenosi nad wielkość Śniadeckiego, jako uczony. Takim jest jednak Ostap, jeżeli tendencyą społeczną utworu chcielibyśmy w nim krytykować. Rozumiemy doniosłość wpływów z ręki w rękę, z oka do oka, z serca do serca, ale zależy to od skali. Działanie takie jest w sam raz dla Hrycia Soroki, który na tyle się podniósł, że mógł nie tak wiele ustąpić z siebie, przenosząc swą pedagogią z miasta do wioski. Ale chłopska sukmana doktora medycyny Eustachego Bondara, ucznia uniwersytetu berlińskiego, jest dla nas istotnie, jak dla Michaliny, strojem maskaradowym, zaparciem bez wyższego znaczenia, missyą niedochodzącą miary missyonarza.

Nie żądamy jednak żadnych poprawek w tém dziele, w którem nie przestaniemy upatrywać albo zbyt wysokiéj skali charakteru, albo zbyt obniżonego jego przeznaczenia. Sympatyczność téj postaci, szlachetność ruchów jéj tak pociąga, że bez względu na różnice w zapatrywaniu się, jakieśmy tu zanotowali, jest to jedna z tych postaci, które się, raz widziane, nie zapominają. Nie jest to wszakże postać, jak widzimy, ludowa, tylko jéj przeobrażenie: przekonanie autora niejako, w jaki sposób zrealizować się może grunt ludowy na dro-

dze ewolucyi cywilizacyjnéj. Pod tym względem, choćby to było widzenie osobiste, umilknąć muszą różnice w zapatrywaniu się, lubo Ostap, w zasadzie bez względu na objaw plastyczny, stanowi ideał, prawie niedościgły, czystości duszy i poświęcenia. Ewolucya taka, jakiéj on jest przedmiotem, wydaje jednostki rozmaite, od warcholów bróżdżących pojęciami demagogicznémi aż do obywateli wzorowych; zależy to od stopnia, na którym taż ewolucya się zatrzymała (niedouczków zwykle bywa najwięcéj); czy stanęła tam, gdzie prostota duszy i naiwność nie zdołały się nadwerężyć i zatrzéć, by ustąpić miejsca przymiotom wyższym; czy przeszedlszy granicę, gdzie te przymioty nabywać koniecznie potrzeba, ażeby było czém zastąpić utratę naiwności i w duszy nie pozostawić pustki, mogącéj się napełniać złém ziarnem moralném—doszła do téj granicy, w któréj nauka i wiedza istotnie umacnia sokiem, zamiast kaleczyć łupiną. Oprócz tego w działaniu téj ewolucyi niemałą odegrywa rolę i skłonność indywidualna, wybierająca te raczéj, niż inne kierunki moralne. Hryć i Ostap Kraszewskiego pod obu témi warunkami zostają w położeniu najszczęśliwszém, nie widzimy zatem powodu, dlaczegoby nie mieli, bez względu, powtarzamy, na formę mniéj lub więcéj dokładną, być wyrazem artystycznym téj prawdy, która, jak okazało się z rozbioru ogólnego należy do istoty gruntu, dającego początek obu tym postaciom.

* * *

Pomimo obszerności wykładu poświęconego utworom ludowym Kraszewskiego, nietylko nie wyczerpaliśmy wszystkich postaci charakterystycznych wiejskich, zajmujących w tych szeregach miejsca mniéj więcéj drugorzędne, zgoła pomijając postacie nieludowe, z których kilka nawet wcale się zajmująco przedstawia, jak w „Chacie za wsią,“ „Budniku,“ „Kołku“ i „Bondarczuku“—ale co większa, nie odkryliśmy strony w belletrystyce najważniejszéj, to jest strony kompozytorskiéj. Ażeby ta strona była należycie ujawnioną, trzebaby poświęcić osobny rozbiór każdéj powieści i wdać się w szczegóły, nierzadko w drobnostki, małoznaczące dla treści, ważne dla estetyki. Rozciągnęłoby to pracę nad wszelki możliwy zakres, przeznaczony dla niniejszéj publikacyi, mającéj streścić całość działalności Jubilata. Pozostawiając krytyce dalszéj studya nad szczegółami artystycznémi, poprzestać musieliśmy na wskazaniu ogólnego ducha utworów cyklu ludowego i ich żywiołów głównych. Złożyliśmy świadectwo, że Kraszewski pracował dla ludu wprawdzie nie bezpośrednio, ale stawał jako pośrednik pomiędzy nim i intelligencyą, przemawiając do tych właśnie najgoręcéj tonem zachęty i krytyki, którym powierzone było w znacznéj części kierownictwo bezpośrednie. Jaki był owoc jego dwudziestoletniéj pracy, stanowczo wyrzéc nie można; zdanie powinnoby być oparte na wyjaśnieniach bliższych i faktycznych, które czas tylko i kierunek umyślny nastręczyć mogą. To jednak śmiele przypuścić można, że tak silne zwracanie uwagi i takie jawne odkrywanie boleśnych stron kwestyi nie mogło pozostać choćby bez częściowego skutku; że przykładem zachęcało innych do zabierania głosu, do mnożenia uwag i przestróg,—że tém samém przyczynić się musiało gdzieś niegdzieś do wytrzeźwienia pojęć, i jeśli nie zdołało, jak wiemy, ani na chwilę przyspieszyć pożądanego dobra, mogło jednakże miarę złego umniejszyć. W każdym zaś razie prace na tym polu Kraszewskiego świadczą o jego dobrych dla ludu chęciach, o szczeróm zainteresowaniu się dla mass cierpiących i bezbronnych.

Kaźmierz Kaszewski.

PRZYPISKI.

1) *Ladowa Pieczara*, 10 sq.
2) *Latarnia Czarnoksiężka*; II, 88, 89. *Jaryna*; 85 sq. *)
3) *Historya kołka w płocie*, 23.
4) *Ulana*, 8.
5) *Ostap Bondarczuk*, 9.
6) *Ladowa Pieczara*, 52.
7) *Budnik*, 14, 15, 16
8) Panna Tekla i zaufany Lokaj w powieści *Budnik*.

*) Cytaty czerpane są co do *Ostapa Bondarczuka* z edycyi Wileńskiéj r. 1851, co do *Jaryny* z edycyi r. 1850, co do wszystkich innych z edycyi Lwowsko-Warszawskiéj—r. 1873.

9) *Jermoła*, 52 sq.
10) *Budnik* rozd. VII.
11) *Jaryna*, 98 sq.
12) *Jermoła*, 7.
13) *Ladowa Pieczara*, 25, 62, 117.
14) *Ostap Bondarczuk*.
15) *Ulana*, *Budnik*.
16) *Jaryna*.
17) *Ulana*, 73.
18) *Budnik*, 112.
19) *Ostap Bondarczuk*, 198—210.
20) *Ulana*; 23, 30.
21) Tamże, 46.
22) Tamże; 59, 61.
23) *Budnik*, 62.
24) *Ladowa Pieczara*, 94.
25) Tamże, 101.

III.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

I.

1. **Capreae i Roma**, *obrazy z pierwszego wieku*, tomów 2. Lwów. Gubrynowicz 1875, wydanie 2-gie.
2. **Rzym za Nerona.** Obrazy historyczne.

Od roku 1858 Kraszewskiego zajęła tak silnie epoka pierwocin chrystyanizmu, że podjął studya pracowite nad literaturą i archeologią starego Rzymu, oraz przedsięwziął „prawie umyślnie“ podróż do Włoch, „aby na miejscu studya poczynione dopełnić“. Na zwaliskach willi Tyberyuszowych, na wyspie Capri, jak wyznaje sam autor, zrodził się w jego myśli plan „opowiadania“, czyli raczéj szeregu obrazów z epoki Tyberyusza, Kaliguli, Klaudyusza i Nerona, które zostały wykończone w r. 1859, a w następnym ukazały się dla czytającéj powszechności, nasamprzód w odcinku „Gazety Warszawskiéj“, późniéj w dwukrotnych oddzielnych wydaniach i w tłumaczeniu niemieckiém p. t. Capreae i Roma. Potém w r. 1864 Kraszewski znowu wrócił do ulubionego tematu i skreślił w większych ramach wiekopomną chwilę pierwszego prześladowania chrześcian p. t. „Rzym za Nerona“. Po kilku latach miał w Dreźnie odczyty publiczne, ogłoszone następnie drukiem w „Kronice Rodzinnéj“, p.t. „Wieki Katakumbowe“. Nareszcie w r. 1875, pisząc przedmowę do lwowskiego „wydania Kaprei“, zapowiedział dopełnić jeszcze tę ostatnią pracę—„tak dla nas ta epoka narodzin chrześciaństwa pozostała zawsze ponętną“.

Pierwsze z wymienionych tu dzieł nie miało być powieścią; znajdujemy nawet wyraźne oświadczenie autora w „Słówku wstępném“; nie miało téż być historyą, bo tę „już raz skreśliło energiczne pióro Tacyta z siłą niezrównaną“. Wchodząc tedy w plan utworu, powinniśmy mieć na oku, że autor chciał „w szeregu obrazów charakterystyczniejszych odmalować tę chwilę, dla całéj ludzkości stanowczą, która przedziela dwa zupełnie odmienne światy, dwie wielkie epoki żywota dziejowego“. Fantazya poety ma tu posługiwać tylko do nadania obrazowi dosadniejszych konturów i barw jaskrawszych, niż te, jakiémi rozrządzać może historyk, ale tak rysunek jako i koloryt musi być w zupełności zgodny z historyą. O tę zgodność, a nawet i dokładność historyczną autor dbał wielce, skoro studyował Tacyta, Swetoniusza, Pliniusza, Senekę, Diona, Kassyusza, Filona, Józefa, Euzebiusza, Tertulliana, Akta Apostolskie, ułamki pism, pomniki, a nawet napisy. Dodając do tych studyów jeszcze autopsyą czyli naoczne oglądanie miejscowości i zabytków badanéj epoki, przyznać musimy, że do dzieła swego autor zabierał się z przygotowaniem niezwykle pracowitém i wielostronném. Nie dziw, że wyglądał krytyki starannéj, którąby ten ogrom podjętego trudu sumiennie oceniła. Niestety! daremnie czekał na nią lat dwadzieścia i tak długie milczenie zabolało go, że się użalił „raz w życiu“ przed czytelnikami, puszczając w świat nową edycyą: „Kaprei i Romy“.

Mylnie jednak wytłumaczył sobie autor ono milczenie krytyki obojętnością, gdy niewątpliwie było ono niemym wyrazem trudności zadania, którą ja właśnie odczuwam żywo, gdy z podziału pracy nad księgą jubileuszową przypadło mi ocenienie

„Rzymskich powieści“. Wyznaję nawet, że nie przerwałbym tego powszechnego milczenia, gdyby mi się nastręczyła inna sposobność okazania czci dostojnemu Jubilatowi. Do wymierzenia albowiem rzeczywistéj wartości w mowie będących utworów zbywa mi nie tylko na uzdolnieniu do analizy estetycznéj, ale i na odpowiedniém przygotowaniu naukowém. Dotychczas nie podejmowałem szczegółowych badań nad rządami potomków Cezarowych, a jeszcze mniéj znane mi są pierwotne dzieje Chrystyanizmu. Winienem przeto zawarować się na wstępie, że ręka moja nie ma mocy sięgnąć po szalę krytyka i że się zdobędę zaledwo na artykuł sprawozdawczy.

„Wśród najpiękniejszego morza w świecie, jakby z roztopionych ulanego łazurów, pod najczystszém niebem południa, u brzegu okrytego drzewy pomarańczowémi, na których świecą wiecznie złociste owoce, leży, jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista.... To Capreae—uroczy kątek ziemi, oderwany od lądu umyślnie, aby swobodniéj mógł dumać i sam być panem sobie“. Czarownémtéż było całe wybrzeże Kampanii z miastami Paleopolis i Neapolis, Surrentum, Stabie, Puteole, Baii, z nieprzerwaném pasmem willi rzymskich „o jasnych i purpurowych kolumnach, świątyń ze złocistemi dachy, kolistych amfiteatrów, zawieszonych nad morzem łaźni i kosztownym kamieniem wykładanych pieczar“. „Wszyscy mieszkańcy tych wybrzeżów zgreczonych, „brzegów czystym nieprzyjaźnych dziewicom“ (Virg.) tchnęli samą rozkoszą i weselem... Jeżeli zbłąkany filozof lub skwaśniały retor—przyszedł dowodzić znikomości rzeczy ziemskich, prędko upajały go wonie, rozmarzały uśmiechy, śpiewy i wino, i kończył, bełkocząc nieprzytomny: Carpe diem! chwytaj dzionek, co ulata.... I brzegi wciąż rozlegały się pieśniami, które, gdy przerwał jęk głuchy, to tylko, by po nim pieśń jeszcze dźwięczała weseléj“.

A na wyspie Kaprei kryło się w zielonych gajach pomarańcz dwanaście willi Cezara, pomiędzy którémi największą i najwspanialszą była Jowiszowa. „Rozbiegały się od niéj w różne strony po całéj wysepce, wschody szerokie, jak ulice Rzymu, a łagodne, by i starzec mógł się po nich przechadzać, jeżeli mu się ramiona sług sprzykrzyły... Wyobraźnia budowniczych, co się silili na nowe, niespodziane, niewidziane, mogąca się tu rozpasać swobodnie, cud zrobiła, przypochlebiając się panu, wyszukując kształtów olbrzymich, barw nieznanych, wysadzając każdą stopę, to świecącemi kryształy, to różnobarwną polewą, to całémi bryłami, na których podania staréj Grecyi snycerz wykuł w nieskończonéj wstędze, gmach opasującéj dokoła... Nawet przepaście użyte zostały dla stopy i oka, zwyciężone pracą, zmuszone okryć się zielenią, upinać kwiatami... A słupy, które podpierały strop, który izby pokrywał, posadzki, co je wyściełały, wszystko to złotem, purpurą, drogim kamieniem przyoblec się musiało“.

Przepisalibyśmy chętnie całe dwa pierwsze rozdziały, w których autor rozwinął panoramę miejscowości, bogatą w szczegóły obrazowe, świetną kolorytem, ogrzaną uczuciem poety, co się napawał bezpośredniémi wrażeniami cudownéj natury, owianą powietrzem starożytności. Bo jest tu obfitość rysów historycznych, drobnych informacyi archeologa i wspomnień poezyi Augustowego wieku. Gdy jednak plan ogólny książki nakazuje nam oszczędność w rozmiarach artykułów pojedyńczych, powstrzymujemy się przeto od pokusy i powiemy tylko, że tego jasnego obrazu użył autor za tło, na którém w całéj grozie odbije się postać Tyberyusza.

Siła kontrastu jest wszakże nieco osłabioną przez wsunięcie charakterystyki ówczesnego społeczeństwa i domu Augusta, oraz biografii Tyberyusza, poczynając od rodowodu i wieku dziecinnego aż do odjazdu jego na Kapreę. Cały ten ustęp (III—VII) jest trzymany w tonie naukowym, oparty na świadectwach źródłowych, stylizowany oględnie, tak że historyk mógłby się pod nim podpisać. Wymienia autor nieszczęsne okoliczności z życia Tyberyusza—jego dwa małżeństwa tak różne, bo z ukochaną kobiétą gwałtownie zerwane i z wyrodną córą Augusta (Julią), pełne sromu i bólu, ośmioletnie wygnanie na wyspie Rodos, ciężki stosunek z wpół-potężnym teściem, konieczność ukrywania uczuć i cierpień. Tłumaczy się tym sposobem rozwój instynktów nienawistnych i obłudy, które opanują całą duszę przyszłego cezara. Obok tego przyznaje mu autor przymioty niepospolite: „Był on jako żołnierz i wódz wytrwałym na niewygody i znoje, po starorzymsku prowadząc legie do boju, bez namiotu, na wilgotnéj ziemi noce przepędzając z niémi, często jedząc na trawie, w nocy każąc się budzić za każdą potrzebą, karności strzegąc pilnie“. „Pracował w senacie, sądom pretoryańskim (właściwie: pretorskim) przysłuchiwał się z kątka, zbytkom szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał.... w własném życiu okazując się oszczędnym“. „Był to jeden z tych ludzi, którzy, bojując z sobą i złémi skłonnościami swémi, wielkimi

być muszą w jakikolwiek sposób. Tyberyusz mógł téż być wielkim, gdyby objąwszy spadek po Auguście, potęgą swą nieograniczoną nie oszalał, a namiętnościom wodzów nie puścił". Wszakże nieco niżéj czytamy, że Tyberyusz w słowach tylko wielkim być usiłuje, gdy Germanik jest istotnie wielki czynami. Nawet pierwszy peryod panowania jest tylko „zajmującą sztuką sceniczną". Idąc za zdaniem Tacyta, autor podnosi wszystkie dobre czyny Tyberyusza do współzawodnictwa z bohaterem ulubieńcem Rzymu, Germanikiem, a skoro ten umarł, wtedy Tyberyusz „podniósł głowę i aktorskie zrzucił suknie— niepotrzebował grać cnoty i wspaniałomyślności". Zaczęły się sprawy o obrazę majestatu i okrucieństwa, prowokowane przez zaufanego Sejana, aż i ten ulubieniec uknuł zdradę przeciwko swemu panu, przez co podejrzliwość i mściwość Tyberyusza urosła do potwornéj ostateczności.[1])

Od téj chwili autor porzuca wykład historyczny i tworzy szereg scen artystycznych.

„...U dworca Jowiszowego, nad samą zwieszonego przepaścią, na białych mozaik pokładzie, oparty o bronzowe balustrady, siedział mężczyzna przygarbiony i patrzał to na szerokie morze, to na góry otaczające. Najmniejszy szelest go niecierpliwił, każdy ruch na wyspie przerażał, ale znać było, że tę boleść trawiącą starał się ukryć i choć drgnęło ciało zesłabłe, wracało znowu do posągowego spoczynku, do bezwładnéj obojętności. Był to mąż lat już podeszłych, z wyłysiałą głową, przygarbiony, chudy, kościsty... Oczy jego były blade i szklanne, głowa poorana fałdami, skóra na policzkach obwisła i pocentkowana bliznami już zgojonych ran, obok których nowe, rozdarte jeszcze, zaledwie krwawo poprzysychały... A jednak w obliczu stéraném i krwią namiętności nabiegłém, w rysach téj twarzy nieszlachetnémi żądzami spalonéj widać jeszcze było.... jakby świetniejszéj promyk młodości.... Tym starcem był Tyberyusz Cezar".

Opodal stało, jakby czekając rozkazów, kilku ludzi skrytych za kolumny: Kajus Kaligula, syn Germanika i dwóch domowników, a Thrasyllus, astrolog i wieszczbiarz z obliczem spokojném, z długą brodą białą, w szacie filozofa, brunatnéj, poplamionéj i zszarzałéj, przechadzał się w długim, marmurowym portyku.[2])

Nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, od strony morza ukazała się czepiająca się po stromych skałach i po nad nie wystająca postać człowieka. Z téj strony, budowy willi były całkiem niedostępne; zdawało się niepodobieństwem, by stopa człowieka wdarła się tędy do strzeżonych mieszkań pana. Zjawienie się więc ludzkiéj postaci nad tą przepaścią nieprzystępną przeraziło niespokojnego już Tyberyusza —zadrżał więc chorobliwie, potem zbladł od gniewu i wydał krzyk gardłowy, na który zbiegło się natychmiast, co żyło: Cajus, filozofowie, niewolnicy i straże. Tymczasem śmiałek ów był prostym rybakiem z Caprei, który chciał docisnąć się do cezara, bo złapał niezwykłéj wielkości barwenę i tę właśnie chciał ofiarować mu. Sądził zapewne, że za taki przysmak otrzyma hojną nagrodę, ale się bardzo omylił w rachubie.

„Tyberyusz zadrżał; nędzny ów rybak i Grecy i Kajus obawę jego spostrzegli; pomścić się więc musiał za to i trzęsąc jeszcze, rozkazał ową szorstkiéj łuski barweną, nieszczęśliwemu twarz wytrzéć. Ze śmiechem i wyciem rzucili się niewolnicy na osłupiałego rybaka, który jedną nogą stojąc jeszcze nad przepaścią, drugą sparty o balustradę, wił się cały pokrwawiony, wołając: O! dzięki jeszcze bogom, żem mu raka, złowionego razem, nie przyniósł.

— I tu go dostanie! — rozśmiał się starzec, skinąwszy na swoich.

Z okrucieństwem nieludzkiém jęczącą ofiarę wstrzymano za włosy nad skałą, dopóki nie przyniesiono raka, którym twarz porahioną, na nowo mu odarto. Naówczas nasycony skinął cezar i nędznik ów, zepchnięty nagle, znikł na skałach, rzucony ku morzu".[3]) ,

Treść téj ~~starożytnéj~~ sceny wzięta jest ze Swetoniusza [4]), tylko że biograf rzymski zawarł ją w kilku wierszach sucho zredagowanych i że nie wspomina ani o strąceniu pokaleczonego rybaka w morze, ani o dalszych jego losach. Kraszewski skorzystał z kilkuwierszowego napomknienia, niby z motywu, żeby utworzyć jednę z tych postaci, któremi illustrował bezmierną nędzę dolnych warstw społeczności rzymskiéj. Nadał mu imię Ulp, osadził go w nieprzystępnéj, niedojrzanéj dla oka ludzkiego jaskini, obdarzył go niezwykłą zręcznością i duszą prostą „jakie opiewa Wirgili w swoich sielankach", dał mu dziwny rodowód, bo tylko przybranego ojca i przybranego dziada. „I dziad, i ojciec, i ja żyjemy tu sami, bez kobiet. W Surrentum często się trafia, że matki ubogie rzucają dzieci na drogę niemowlętami, wówczas bierze je, kto chce, jeśli zwierz nie pożre. Tak ojca mojego wziął dziad..... tak mnie ojciec przyniósł

nagiego i płaczącego z pod Herkulesowéj świątyni.... I ja kiedyś może znajdę sobie dziecię podobne"[5]).

Ten ostatni rys jest bez wątpienia bardzo silny, ale kto wié? czy nie przekracza granic prawdopodobieństwa. Autor kilkoma poważnémi cytatami w odsełaczu poparł fakt wyrzucania dzieci przez starożytnych (co zresztą praktykuje się i w nowożytnych społeczeństwach), nie przekonał nas wszakże, aby człowiek wolny, chociażby najuboższy i najnędzniejszy, mieszkaniec Italskich wybrzeży, spotykający się z ludźmi, chociażby na rynku przy sprzedaży ryb, żadnémi ślubami ascetyzmu nie skrępowany, mógł spędzić całe życie w samotności, nie znając kobiéty, a jeszcze trudniejszém staje się przypuszczenie, że tak żyć mogły trzy pokolenia.

Ulp nie utonął w morzu i nie był dobity przez wioślarzy cezara. Dzięki zręczności swojéj zatrzymał się na urwisku i doczołgał się do swéj jaskini. Żyd-lekarz Helios wygoił mu twarz balsamem, a następnie jaskinia Ulpa służyła za kryjówkę gromadce nieszczęśliwych żydów, czasowo na Kaprei zamieszkałych.

Wracając się do Tyberyusza, dowiadujemy się, że przesiadywał on, oczekując na sygnały o śmierci Sejana. Gdy na wybrzeżu Italijskiém zabłysły umówione ognie, twarz cezara rozpłomieniła się na chwilę i usta wyszeptały: „Stało się; żal mi łysego, ale sam sobie zgubę gotował". Potém kazał zawołać Pryskusa, piastującego urząd „posługacza rozkoszy", mówiąc: „Czas spocząć po trudach myślenia i pracy". Całe towarzystwo udaje się do gaju Wenery. Powiększyło się ono o kilka osób, pomiędzy którémi znalazł się Kokcejusz Nerwa, konsul, z twarzą „piękną rzymskiego posągu, białą, uciszoną, chłodną" i niezwykłéj piękności młodzieniec Hypatos, ofiara bezecnéj lubieżności starca. Uczta zaczęła się od dowcipkowania, greckich i łacińskich epigrammatów, którémi się cezar popisywał, odbierając w zamian pochlebstwa od wystraszonych współbiesiadników. Potém ukazały się dziewczki „ledwie wyszłe z dzieciństwa, porwane gdzieś rodzicom i wyuczone służyć za obrazek..... na zabawkę biesiadnikom"; potém ozwały się flетnie i pieśni greckie; dziewczęta tańczyły, a w końcu na rozkaz cezara stary garbaty retor musiał wyskakać sposobem Doryckim. Nagle orgią przerwał wypadek niespodziewany: na łożu swojém cezar znalazł wiersze złośliwe, do siebie wymierzone (Fastidit vinum etc. ze Swetoniusza, 59). Pochwycił je „drżącą ręką....roześmiał się dziko.... wychylił czaszę duszkiem", ale potém zapanował nad sobą i chłodno krytykował dostrzeżoną wadę wersyfikacyi.

Druga podobna orgia odbyła się w willi Plutonowéj. I tak „codzień niemal nowe dla zużytego i bezsilnego starca wymyślano rozrywki, zmieniając miejsca, ludzi, przedmioty.... Porywano z łona rodzin upatrzone dziewczęta, a nawet dzieci maluczkie na sprośne zabawki.... nie bronił ich ród, pochodzenie, wiek, ani płacz matek, ani rozpacz mężów, ani zaklęcia i prośby. Pryskus plądrował bezkarnie po Surrentyńskich brzegach, w Kampanii i Lukanii".[6])

A jeszcze straszniejszym stawał się Tyberyusz, gdy się zamknął w niedostępnych swych izbach, bo wtedy nie tylko dwór i Kaprea, ale Rzym cały ze strachem oczekiwał wyroków śmierci i wszelkich okrucieństw. Autor wylicza je w długim szeregu — „krew lała się strumieniami; najbliżsi nie czuli się bezpieczni". Właśnie w chwili takiego osamotnienia cezar „doznając w duszy dziwnych niepokojów", przechodząc od ateizmu do zabobonności, uczynił ślub ofiarowania bogom zagniewanym ulubieńca swojego, Hypatosa, obiecując sobie odzyskanie sił straconych, gdy ołtarz Mitry zostanie krwią oblany. Jakoż w rozdziale XVI jest opisana przerażająca processya do groty boga słońca: „Cezar niesiony na tronie złocistym ze lwy skrzydlatémi, postępował powoli z wieńcem i tyarą na czole....Z wielkim przepychem odziany tłum zbrojny, połyskiwał od purpury i złota. Kilku kapłanów w wysokich czapkach perskich towarzyszyło cezarowi....Dwóch ludzi czatowało, oczekując wschodu słońca; na dany przez nich znak ogień z wonnego rozpalony drzewa, buchnął płomieniem jasnym....Nim mgła ta rozeszła się....krzyk boleści przeszył powietrze, krótki, urywany, śmiertelny.... Hypatos leżał u nóg cezara, poświęcony przezeń na ofiarę słońcu w samo serce wbitym nożem".

Scena ta jest węzłem poczynającego się dramatu dziejowego: zapasów pogaństwa z wykluwającą się nową siłą duchową—chrystyanizmem. Na téj saméj bowiem Kaprei w domku kamiennym, ukrytym między skałami, niedostrzeżonym przez szpiegów Tyberyuszowych, mieszka przyszły chrześcianin, żyd Juda z młodziuchną żoną swoją Rachelą. Hypatos był jego bratem i przybiegał w odwiedziny, wymykając się pokryjomu z willi Jowiszowéj, żeby wylać boleść swoję i pomówić wspólnie o świętéj Hieruzalem. Dla tych nieszczęśliwych wygnańców

zaświtała jutrzenka nadziei, gdy prefekt pretoryanów i najzaufańszy minister cezara, Makron, sprowadził na Kapreę żyda-lekarza, Eliasza czyli Heliosa. Byłto starzec, zamieszkały w Rzymie, nawpół „zgreczony“, dawniéj hellenista Aleksandryjczyk, potem nawrócony do czystego judaizmu od czasu, gdy mu plebs rzymska zabiła jedynego syna. Rozczytując się w Biblii, znalazł w niéj myśl pocieszającą, że Opatrzność rządzi ludźmi, że „Bóg ludzkości opuścić i rzucić jéj na pastwę zezwierzęceniu nie może“. Znał „przepowiedzenie, obiecujące przyjście Messyasza, syna Bożego, który miał się narodzić w godzinie naznaczonéj, gdy świat nowego objawu widomego Boga zapragnie i konającémi usty zawoła“. Przybywający ze Wschodu podróżni przynosili już najsilniéj potwierdzające wieści o spełnieniu przepowiedni; mówili o narodzonym w Betleem, o umęczonym w Hierusalem Messyaszu, który z grobu zmartwychwstał zwycięzcą śmierci“. Oczekiwał tedy nadziei zbawienia. Na twarzy jego wyryły się spokój i moc ducha.

Tyberyusz w leki nie wierzył, to też i Heliosowi nie dał się badać, ale wszczął rozmowę o Judei i spytał, czego wiara żydowska naucza?

— Czci jednego wielkiego Boga! odparł Aleksandryjczyk.

— Jednego!—zaśmiał się cezar—a jakże jeden wystarczyłby na cały świat i ziemię....

— Jak ty, Cezarze, na świat cały panujesz i wystarczasz!“

Na to zręczne pochlebstwo Tyberyusz się uśmiechnął.

— Mówią, dodał pisząc coś sztyletem po cytrusowym stoliku, że Judea oczekuje przyjścia wielkiego jakiegoś władcy; że są przepowiednie u was, które zwiastują narodzenie mocarza, co świat podbije; prawdali to?

— W księgach naszych — rzekł Hebrejczyk—jest o tém podanie, ale to nie władca wedle ciała i miecza, tylko wedle ducha. Nie będzie on panował legiami wielkiémi i potęgą ziemską, lecz słowem i prawdą.

— Czcze wyrazy! — roześmiał się Tyberyusz — jak może władać ten, co nie ma siły, jeno w uściech....?“

I w obec uczonego Greka, lekarza Charyklesa, uwydatniła się różnica duchowa pomiędzy mądrością pogańską a nowym, jéj obcym żywiołem. Odprowadzając starca do miasteczka Kaprei, Charykles filozofował z nim, przekonał się, że ten kładł na równi z filozofią marzenia nieznane i, odchodząc, rzekł: „Ci ludzie chorują jeszcze na te zęby mleczne, które my już do dziąseł zjedliśmy wierzą prorokom, odnoszą wszystko do Bogów.... Myśmy już wyżéj tych babskich bajek i przywidzeń.— A jednak Grek po raz pierwszy oddawna uczuł się niespokojnym i nie rad z siebie“.[7])

Jakkolwiek Helios nie umiał doradzić cezarowi żadnych leków oprócz spokoju, przecież z woli Makrona musiał pozostać na wyspie. Przez Hypatosa poznał się zaraz z Judą, Rachelą i owym okaleczonym rybakiem, Ulpem, któremu pogoił rany na podartéj nieludzko twarzy. Ta gromadka nieszczęśliwych żydów, układa teraz plany ucieczki z Kaprei. Juda i Rachel mają zabrać z sobą Hypatosa. Wdzięczny Ulp gotów jest przewieść ich w nocy pomiędzy galerami floty strażniczéj, gdy właśnie Tyberyuszowi przyszła myśl owéj krwawéj ofiary i Hypatos legł pod nożem ofiarniczym. Tragiczność sytuacyi wzmaga się tém jeszcze, że Juda i Rachel poza drzewami i szczelinami skał ukryci, byli świadkami okropnéj sceny, a nadto, że Rachel, porwana grzeszną miłością ku Hypatosowi, wbiegła nieprzytomna między rzeszę cezarową, żeby się rzucić na zwłoki ukochanego. Tyberyusz, uderzony podobieństwem téj kobiety do pierwszéj swojéj żony Agryppiny, zatrzymał się i spytał: „Kto jesteś?“ W odpowiedzi usłyszał przekleństwa. „Słowa wyrzeczone skazywały ją na śmierć; gniew powoli wyrastał w jego piersi, oblewał twarz i krwawémi zabłysnął oczyma, ale zarazem przywykły mu towarzyszyć uśmiech, zjawił się na spalonych wargach.—

— Na stos oboje!—rzekł do otaczających.“

Epizod o miłości wzajemnéj, chociaż tajonéj, pomiędzy Hypatosem i Rachelą, zbyteczny zapewne w charakterystyce pogaństwa i judaizmu, a nawet niedość jasno wymotywowany z analizy psychologicznéj charakterów, ma jednak racyą bytu i cel swój w kompozycyi artystycznéj. Oto boleść, jakiéj doznawał Juda, ma przygotować i urobić serce jego do przyjęcia „dobréj nowiny“— Ewangelii. Bo wkrótce Tyberyusz opuścił Kapreę, żeby się udać do Italii w ostatnią swą podróż. W orszaku jego pociągnął Helios, a za Heliosem Juda, którego nic już nie zatrzymywało na wyspie. W końcu pierwszéj części dzieła znajdujemy jeszcze pełny ruchu, barw i szczegółów archeologicznych obraz Kampanii ówczesnéj; tu w mieście Neapolis, Juda otrzymał miejsce dozorcy w jednym z domów bogatego żyda-lichwiarza Hananiasza. A Tyberyusz błądził po Kampanii, dokoła Rzymu, trawiony śmiertelną chorobą, lecz ukrywający ją na-

wet przed spadkobiercą swoim Kajusem Kaligulą i prefektem pretoryanów Makronem. Ci jednak byli już w porozumieniu i czyhali na ostatnie tchnienie cezara. W Puteolach na łożu biesiadniczém, wychyliwszy z wysileniem kilka czar wina, Tyberyusz opadł nareszcie wyczerpany, przysłaniając sobie twarz końcem szaty. Zaniesiono go do sypialni, lecz u drzwi stanęli z uchem do ściany przyciśniętém Kajus i Makron. Nieprzerwane milczenie ośmieliło pretoryanina wejść do wnętrza sypialni; chciał zdjąć pierścień z ręki, gdy w tém zmarły „podniósł głowę, otworzył oczy straszliwie i uśmiechnął się złowrogo". Wtedy Makron kazał niewolnikowi narzucić poduszki na to ciało, to jest udusić żyjącego jeszcze.

Takim jest pierwszy obraz dramatyczno-historyczny, któremu Kraszewski dał napis: „Capreae". Już z podanych tu zarysów czytelnik domyśli się, że jest w nim obficie scen wzruszających, myśli podniosłych, pejzażów uroczych, charakteru historycznego. Rysów drobnych, a tak potrzebnych do uplastycznienia zaginionéj przeszłości jest tyle, ile ich niepodał przed Kraszewskim bogdaj żaden pisarz polski, poczynając chociażby od Zygmuntowskich czasów. Nasza powszechność niewiele okazuje zamiłowania do rzeczy starożytnych, a do archeologii objawia nawet niechęć wyraźną; historykowi więc albo archeologowi specyaliście możeby nie uszła taka obfitość szczegów co do stroju i architektury, sprzętów domowych, służby, nazw nieznanych, wierszy łacińskich i greckich, ile ich sypnął pełną garścią ulubieniec czytającéj społeczności naszéj.[8])

I osoby w akcyą wprowadzone trzymane są ustawicznie w świetle historyczném. Tyberyusz, Kajus, Makron, żona jego Ennia, Pryskus, piastujący haniebne „officium a voluptatibus", astrolog Thrazyllus, Kokcejusz Nerwa, lekarz Charykles, wzięci są ze Swetoniusza i Tacyta[9]) ich główne czyny i ruchy, a częstokroć nawet słowa, dadzą się poprzeć dosłownémi cytatami tekstów. Nie napotkaliśmy w znanych nam źródłach Heliosa, ani téż wzmianki, żeby do Tyberyusza wołany był żyd jakiś; jestto zapewne postać utworzona na wzór Filona Żydowina, hellenisty Aleksandryjskiego. Rachel, Juda, Hypatos, ustęp miłośny i straszna scena ofiary słońcu, są utworami wyobraźni, wszakże nie wykraczają poza granice możliwości historycznéj. A więc przyznać jesteśmy obowiązani, że w Kaprei Kraszewskiego pierwiastek historyczny jest ściśle utrzymany. Do kreacyi artystycznéj ta doza wystarcza zupełnie.

Gdyby jednak szanownemu autorowi zależało na dokładności naukowéj, na odtwarzaniu rzeczywistości dziejowéj w prozaicznéj szczerości, w takim razie musielibyśmy podnieść parę kwestyj spornych. Nie godzimy się na charakterystykę Tyberyusza, widzimy zbyteczną jaskrawość a nawet—niemożebności historyczne w obrazach życia Kaprejskiego.

We wstępnym, historycznym przeglądzie Kraszewski przyznaje wprawdzie Tyberyuszowi przymioty niepospolite umysłu i charakteru, mianuje go nawet wielkim, jakeśmy to wyżej zaznaczyli, ale nieco późniéj zmienia swój sąd, mieniąc go wielkim tylko w słowach, gdy Germanik miał być wielki czynami, późniéj znów robi go już tylko aktorem [10]), a nareszcie w obrazach, które właśnie najsilniejsze czynią wrażenie i nawet zacierają w pamięci one sądy pierwotne, Tyberyusz występuje tylko jako potwór rozpusty, okrucieństwa, obłudy, tchórzostwa. W tych obrazach skupione są wszystkie okropności VI księgi Tacytowych Roczników, nie przepuszczono żadnéj prawie anegdoty Swetoniusza (prócz niemożliwych do powtórzenia w obecnych warunkach piśmiennictwa), a dodatki dowolne, sceny fantastyczne i skrócenie czasu akcyi znakomicie przyczynia się do spotęgowania wrażeń. Tak np. scena z rybakiem (Ulpem) podług Swetoniusza miała miejsce „w kilka dni po przybyciu na Kapreje", a więc w roku 27, po n. Chrystusa, sprawa Sejana i oczekiwanie sygnałów o jego śmierci w roku 31, o zwabianiu Kajusa (Kaliguli) do Ennii przez Makrona mówi Tacyt pod rokiem 37, dodając wskazówkę chronologiczną: „po śmierci Klaudyi", żony Kajusa, zmarłéj dopiero w r. 36 po Chrystusie [11]), a Kraszewski wszystkie te wypadki mieści w jednym dniu, w nieprzerwanym ciągu, dodając jeszcze mnóstwo szczegółów uczty, którym zaznaczyć chronologii nie potrafimy, ale które niewątpliwie z kilkuletniego pochodzą okresu, gdy wiadomém jest, że Swetoniusz grupuje fakta podług ich treści, nie zaś podług czasu. A nie zdaje się nam trafnym stan umysłu Tyberyusza w dniu śmierci Sejana; wątpię czy miał wtedy ochotę do ucztowania. Byłato chwila w jego życiu krytyczna. Sejan miał w ręku wszystkie narzędzia władzy, swoje kreatury na urzędach cywilnych, dowództwo nad pretoryanami, zaszczyty niemal równe cesarskim, służalczość senatu, siłę ręki i głowy, plany rokoszu gotowe. Tego dnia Tyberyusz trzymał w po-

gotowiu najszybsze tryremy, żeby płynąć do Syryi lub Galii w razie niepowodzenia, nie darmo téż sam patrzył ze szczytu najwyższéj skały na ognie sygnałowe. Straszne wzburzenie jego umysłu objawia się w okrótnéj zemście na dzieciach, krewnych i przyjaciołach Sejana, a wątpimy, czy w takiém podrażnieniu mógł żartować na zimno: „Biedny Aelius!... Żal mi łysego!“ [12]), tém bardziéj, że nic o łysinie Sejana nie wiemy; przeciwnie, z wzmianek Tacyta, a szczególnie z powodzeń u dam rzymskich, któremi się posługiwał do wybadywania sekretów politycznych, z uwiedzenia następczyni tronu, synowéj Tyberyusza Liwii, która własnego męża (Druzusa) otruła w nadziei wyjścia za mąż za Sejana, domyślać się raczéj należy, iż był niepospolicie pięknym fizycznie mężczyzną.

Obraz orgii w gaju Wenery jest rozwinięciem dwóch ustępów w Swetoniuszu (43, 44), o willi Plutona nie przypominamy sobie żadnéj wzmianki w źródłach a scena zamordowania Hypatosa w „wielkiéj jaskini Mitry“, zrodziła się w wyobraźni Kraszewskiego, jak się domyślamy z przypisku, pod wrażeniem znalezionego na Kaprei tajemniczego nagrobka, napisanego po grecku [13]). Ponieważ nie mamy dowodu, żeby nagrobek ten zostawał w jakimkolwiek związku z panowaniem Tyberyusza (bo Kapreje były późniéj w posiadaniu innych właścicieli); ponieważ nie doczytaliśmy się nigdzie, by Tyberyusz, trzymający się ściśle tradycyi narodowych, piastujący godność arcykapłana (pontifex maximus) czcił Mitrę, by za jego czasów istniało zgromadzenie kapłanów tego azyatyckiego boga nie już na wyspie Kaprejach, ale nawet w Rzymie, więc i scenę z Hypatosem, jakotéż orgią w willi Plutona, zaliczamy do utworów fantastycznych, z historyą nic prawie wspólnego nie mających. Prawdopodobieństwo wszystkich trzech obrazów staje się o tyle słabszém, iż autor wprowadził do nich rysy przepychu i zbytku istnie Heliogabalowego, gdy Tacyt, Seneka, Dion, a nawet Swetoniusz, świadczą o mądrym zarządzie finansów, tudzież o oszczędności Tyberyusza, graniczącéj chyba ze skąpstwem [14]). Co dziwniejsza, sam Kraszewski w tomie drugim nazywa go „skąpym dziadem“ w przeciwstawieniu do Kaliguli, który rozpraszał nagromadzone skarby. Na ustach i w rozmowach Tyberyusz Kraszewskiego szydzi z godowników swoich, napawa się ich strachem, uśmiecha się na pochlebstwa, gdy Tyberyusz historyczny żegnał swoich gości każdego po imieniu, stojąc z liktorem na środku triclinium, gdy posełając nawet oskarżenie do senatu umiał uprzejmie bawić skazanego, gdy pochlebstwami gardził zawsze, a za szczerą, chociaż obraźliwą dla siebie, mowę darował nieraz życie oskarżonym [15]).

Sama śmierć Tyberyusza jest opowiedziana podług relacyi Tacyta, popartéj, acz nie z zupełną jednomyślnością, przez Diona i Swetoniusza. Kraszewskiemu służyło niezaprzeczone prawo posłużyć się tą relacyą i wyszukać w niéj najbardziej dramatyczne szczegóły. Historyk wszakże znajdując u Tacyta ostrzegający frazes: „mniemano“ (creditus est), u Diona dodatek o głodzeniu umierającego, u Swetoniusza kilka różnych podań — zwątpiłby o wiarogodności całéj sceny duszenia poduszkami i obrałby relacyą najprostszą a najbliższą czasem, bo od Seneki pochodzącą, mianowicie, że Tyberyusz leżał długo nieruchomy, zacisnąwszy lewą rękę z pierścieniem władzy najwyższéj, potem zawołał nagle na służbę, a nie dowoławszy się, powstał, lecz go siły opuściły i padł bez ducha niedaleko od łoża [16]).

Sąd o mężu politycznym, o naczelniku państwa, nie może być sprawiedliwym bez uwzględnienia biegu spraw państwowych, które główną część codziennych zatrudnień i frasunków jego stanowią. Tyberyusz rządził światem i rządził na prawdę, rządził mądrze i biegle. Jakażto massa raportów, zapytań, próśb, interesów przechodziła codziennie przez jego ręce, domagając się decyzyi, częstokroć niezwłocznéj! W jakimże celu urządzoną była służba kuryerska do Kaprei, po co zabrany był Kokcejus Nerwa, biegły prawnik (cui legum peritia)? Co robiło na Kaprei 20 senatorów? Kraszewski nie poświęcił żadnego obrazu, w którymby Tyberyusz ukazał się przy pracy, jako kierownik spraw bieżących, jako zwierzchni administrator nie tylko miasta Rzymu, ale i prowincyi i ludów niegdyś tak przez arystokracyą rzymską gnębionych. Zapewne, jestto strona najmniéj do artystycznego traktowania podatna, najmniéj poetom przystępna, atoli pominięcie jéj przy jaskrawém oświetleniu stron innych narusza równowagę na szalach sprawiedliwości. Czytelnik, mając wyobraźnię rozognioną i serce wzburzone scenami rozpusty, okrucieństwa i wszelkiéj ohydy, zdecyduje, że Tyberyusz był podobny do Nerona lub Heliogabala i omyli się.

Co do pojmowania charakteru cezara nie śmiemy narzucać szanownemu autorowi żadnego postulatu, gdy w obozie historyków panuje do dziś dnia wielka niezgodność sądów i domysłów. Zaznaczymy tylko, że Swe-

toniusz używa opinii nieudolnego biografa, a i Tacyt na bezwarunkowe zaufanie u nich nie zasłużył. Już Voltaire nazwał jednego „fabrykantem anegdot“, drugiego „pisarzem złośliwym“ (auteur malin) i wyszydzał opisy sprośnych uciech, Tyberyuszowi przypisywanych [17]. Niebuhr w swoich prelekcyach, nie zapuszczając się w głębszą krytykę i wygłaszając w ogóle zdania surowe, przytacza przecież z uznaniem słowa Napoleona I, wyrzeczone do deputacyi Instytutu, o niesprawiedliwości Tacyta [18]. Wietersheim widzi w Tyberyuszu człowieka z natury „fałszywego, dzikiego, pełnego uczuć nienawistnych, trzymanych na wodzy tylko przez rozsądek i rozum“, a jednak oświadcza, że „nie wszystko to jest uzasadnioném, co spółcześni włożyli na barki Tyberyuszowi“, że Tacyt „za mało odróżnił człowieka od monarchy“, że „do ostatniego tchnienia Tyberyusz objawiał niepospolite cnoty, jako rządca państwa.... o ile ciemne strony jego duszy, obawa i złość nienawistna nie tłumiły w nim rozumu i poczucia prawa“ [19].

Poważny autor 8-tomowéj historyi cesarstwa rzymskiego, ksiądz angielski Charles Merivale za okrucieństwa popełnione w zemście, acz nie bez ważnych przyczyn na stronnikach Sejana, na Asiniuszu Gallu, na krewnych swoich, nazywa Tyberyusza tyranem, przypuszcza rodzaj obłąkania umysłowego przy uniesieniach gwałtownych, niemal dziedzicznych w rodzie Klaudyuszów, lecz o rządach jego mówi z uznaniem, a prowincye znajduje w dobrym stanie, przecząc Swetoniuszowi; o Judei np. powiada, że stosunkowo szczęśliwszą była, niż pod berłem własnych królów. Wieści o życiu Kaprejskiém poczytuje za baśnie, które się lęgły w stolicy zaciekawionéj i podrażnionéj niezwykłem odosobnieniem się mizantropa-cezara; ohydnym zaś scenom rozpusty stanowczo nie wierzy, chociaż znane mu są gemmy i mozaiki, znalezione na Kaprei i poniekąd mogące popierać Tacytowe twierdzenia [20]. Adolf Stahr w przypiskach do swego wydania pism Tacyta, a szczególniéj w specyalnéj monografii o Tyberyuszu posuwa się jeszcze daléj, oskarża bowiem Tacyta o zaślepienie stronnicze, o sfałszowanie prawdy, o spotwarzenie człowieka nieszczęśliwego; Germanikowi odmawia wszelkich talentów wojennych i w przesadnych pochwałach Tacyta wynajduje dowody ciężkich jego porażek, słabości jego charakteru, ogromnych i bezowocnych strat, które wycieńczały Gallią, a które koniecznem uczyniły odwołanie wodza nieudolnego i polityka nieopatrznego, w Tyberyuszu zaś znajduje przymioty wielkiego monarchy, umysł światły, mądry i przenikliwy, sprawiedliwość i łagodność, pogardę zaszczytów i ostentacyi, cierpliwość w znoszeniu uraz osobistych i paszkwilów, panowanie nad sobą, czyste obyczaje i umiarkowany tryb życia [21]. Za to Beulé, znakomity archeolog, ale namiętny przeciwnik bonapartyzmu i Napoleona III, widzi w Tyberyuszu „wymowny i straszny obraz niebezpieczeństw despotyzmu tak dla monarchów, jako i dla ludów“, czyni go człowiekiem bezwłasnowolnym, wdrożonym do uległości Augustowi, Liwii, Sejanowi, a po wyzwoleniu się z pod obcych wpływów czyni go rozpasaną na wszelkie okrócieństwa i wszeteczeństwa potworą; wierzy we wszystkie opowieści Swetoniusza, popierając je znalezionémi na Kaprei tesserami i gemmami. Porwany entuzyazmem archeolog nie pilnuje się dat, nie gruppuje wypadków i tworzy całość przerażającą. Niemniéj též jest surowym dla narodu rzymskiego, który dał się ujarzmić i nazywa „chimerami“ owe nadzieje, jakie pokładał w Germaniku lub Agryppinie [22].

Wobec takich różnic w zapatrywaniach poeta może korzystać z rozległéj swobody w odgadywaniu charakteru Tyberyusza, nie narażając się na zarzut fałszu historycznego. To też i Kraszewskiemu przyznajemy prawo pojmowania zagadkowego cezara tak, jak go przedstawił. Tyle tylko zarzucilibyśmy ze stanowiska psychologiczno-artystycznego, że Tyberyusz Kraszewskiego nie jest dostatecznie obłudny i skryty, że od wzruszenia drży, blednie, wydaje „krzyk gardłowy“, „dziko się śmieje“, a na twarzy jego umie czytać nawet Kaligula [23].

Lecz postępujmy daléj za autorem. Szkic historyczny wprowadza nas do nowéj epoki — panowania obłąkanego szaleńca Kaliguli. Znowu snuje się przed oczyma naszémi pasmo okrucieństw i dziwactw poczwarnych a na końcu ukazuje się opis konnéj przejażdżki cezara po morzu, to jest po drodze na okrętach usłanéj przez zatokę Neapolitańską od Puteolów aż do Baii. Opis ten wspiera się na Swetoniuszu [24]; dodaną jest tylko uczta na moście, zakończona spychaniem biesiadników do morza. Stanowi ona tło do następnego, drugiego obrazu.

„Właśnie w chwili, gdy od Puteolów do Baii całe owo prześliczne, ciche wybrzeże tysiącem ogni wśród okrzyków tłumu zapłonęło, a z morza ozwały się dźwięki muzyki na łodziach, poprzedzających cezara— ubogi statek kupiecki z ciemnym żaglem i niepozornémi czarnemi ściany przybijał powoli od wschodu..... Na pokładzie, wśród

ładunku, oświecone blaskiem, jakby łuny pożarnéj, płonącéj okolicy, stały dwie poważne postacie..... Byli to ludzie już lat podeszlejszych, acz jeszcze nie starzy, w ciemnych sukniach podróżnych, kroju używanego na wschodzie..... Wzięli pod płaszcze jeno po węzełku małym i zeszli żegnając dowódzcę statku, który przed nimi pochylił głowę z pokorą, jakby wzywając błogosławieństwa". Dowiemy się niedługo, że jednym z przybyszów był św. Piotr.

„Traf chciał, a raczéj wyższe zrządzenie, by deska, która od brzegu do statku dla wysiadających rzuconą została, przywiodła ich właśnie w to miejsce tłumu, gdzie stali: Asprenus, właściciel domu w Neapolu, Helios i Juda". Św. Piotr pozdrowił Asprenusa obyczajem rzymskim, a Juda poznawszy Izraelitę, sam przystąpił, ucałował kraj szaty i spytał o wieści z Judei. W odpowiedzi usłyszał:

— Przybywamy z wieścią zaprawdę szczęśliwą i wielką; cieszcie się synowie Izraela i poganie, i wszystkie ludy ziemi!

Od téj chwili siew chrystyanizmu rozpoczął się.

Bo najprzód Juda, Helios i Asprenus otworzyli serca dla „dobréj nowiny" i usłyszeli ośmioro błogosławieństw. W Neapolu w ogrodzie przy domu Asprenusa, gdzie dziś wznosi się kościół św. Piotra, „ad Aram" zwany „na prostym stole, pod gołém niebem, spełniła się pierwsza ofiara chrześciańska na ziemi rzymskiéj ku jéj odkupieniu [25]).

Drugą gruppę nawróconych stanowili niewolnicy Hananiaszowi, których Juda zastał w najopłakańszym stanie, gdy obejmował zarząd domostwa przed kilku mniéj więcéj miesiącami: barczysty, ale ranami okryty Part, siwy, z nienawistném spojrzeniem i ręką w boju uciętą, Germańczyk, nieczuły na bicze, nierozumiejący mowy łacińskiéj, a tylko płaczący za północną ojczyzną swoją Got czy Swew, i ułomny, z nogą strzaskaną, Iberyjczyk — wszyscy zagłodzeni, pojeni wodą zagniłą. Należeli do jakiegoś pana utracyusza i za dług zabrani byli wraz z opuszczoną willą przez lichwiarza Hananiasza. Juda polepszył dolę ich, lecz ulgi moralnéj przynieść im nie zdołał. Dopiero Galilejczyk — apostoł dokazał cudu: do Swewa, Iberyjczyka i Parta przemówił do każdego rodowitą ich mową, zwiastował im swobodę i życie, przemianę świata, iż „nie będzie ani Rzymian, ani Greków, ani Partów i Scytów, ale jeden naród braci i synów Bożych". Gdy tak mówił, posiadali wszyscy wedle niego, a tak się zasłuchiwali, że płynęły im dnie i godziny niepostrzeżone, a oni o życiu, pokarmie i śnie zapominali, pijąc z tego źródła nienasyceni, dopóki im płynęło.... W taki sposób wiara nowa na brzegach szczęśliwéj Kampanii pierwszy raz zaszczepioną została" [26]).

Trzecią gruppę poznamy już w Romie, dokąd nas autor w części drugiéj swego dzieła prowadzi. Upłynie lat kilkanaście. Panowanie Kaliguli i Klaudyusza przesunie się przed oczyma czytelnika tylko w historycznych szkicach, bez obrazowania. Potém roztoczy się Rzym Neronowy, „ten najwspanialszy i najpotężniejszy gród-mocarz, którego imię rozlegało się przez wieki niepożyte czasem i ruiny oblekła majestatyczną purpurą." Skreśliwszy artystyczny plan miasta, zaludniwszy je tłumem rozmaitych postaci, wprowadza nas autor do cichego domostwa na Awentynie, w którém mieszka wdowa patrycyanka Emilia Cellia z dwiema młodémi córkami: Akwilą i Pryscyllą. Siedziały wszystkie trzy kobiety, gdy przyszedł w odwiedziny brat staréj matrony, senator Pudens. Byłto człek dobrze już stary, bogaty, możny, ale usuwający się od dworu cezara, i od występów publicznych, i od ponęt władzy. Dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności i skromności swojéj przebył szczęśliwie najniebezpieczniejsze czasy Tyberyusza, Kaliguli i Klaudyusza.

Od własnego niewolnika dowiedział się o Ewangelii, został chrześcianinem i swój dom ofiarował na miejsce zebrań i nabożeństwa braciom w Chrystusie, u niego gościli apostołowie. Teraz przychodził do Celii, z zawiadomieniem, że „się wśród Rzymu rodzi świat nowy, że przyniesiono nam naukę, wiarę objawioną w dalekiéj Judei, tak wielką i świętą, że jéj żadna filozofia najsubtelniejsza nie sprosta... Ostatni z niewolników, pogardzony, popychany, nagle, gdy nań duch ten zstąpi, staje się dziecięciem Bożem.. mocarzem... i zwycięża świat... Kładą ręce na chorych i uzdrawiają ich dotknięciem, ślepym odmykają oczy, chromym chodzić każą — i wstają, i idą; trucizna Lokusty staje się dla nich napojem bez siły i szkodliwości.. I to cudem, że ta wiara, która się zrodziła u stóp wbitego gdzieś daleko narzędzia sromotnego męczeństwa... u krzyża, któréj narodzin pierwszymi świadkami byli ubodzy rybacy, pastuszkowie, żydzi, dziś błyskawicą rozeszła się już po świecie i liczy tysiące wyznawców." [27])

Zdumiona Celia zapragnęła poznać tę

naukę i Pudens obiecał przysłać po nią zaufanego sługę.

Przybywszy do domu Pudensa ze starszą córką, Celia ujrzała w drugiém podwórzu wielki krzyż ciemny, nakreślony świeżo ręką niewprawnego malarza, i dosyć liczną gromadę osób, oczekujących na mistrza i kapłana. „Bylito po większéj części ludzie ubodzy w szatach skromnych, lub nawet, choć twarz ich i ręce wydawały zamożność i wygodne życie, umyślnie odziani tak, jakby niedostatni byli. Jedni z nich oczekując ofiary, klęczeli i modlili się po cichu, drudzy zdawali się głęboko zamyśleni, inni półgłosem rozmawiali z sobą łagodnie... Po chwili weszli dwaj mężowie poważni, z których jednego już widzieliśmy przybyszem, sprawującego ofiarę na górze w Neapolis, w domu Asprenusa.

Rozstąpił się tłum i głębokie padło milczenie. Pudens zbliżył się do starca nazarejskiego i, ucałowawszy kraj szaty jego, szepnął mu coś po cichu; inni także pośpieszyli cisnąc się, witając i domagając błogosławieństwa. Wszystkich Apostoł przyjął ojcowsko, każdemu rzekł jakieś słowo, z którém odszedł pocieszony, a potém na ławie przysiadłszy, począł kazać do ludu, który słuchając słów jego, rozłożył się pod kolumnami, przy ścianach, na posadzce i ławach kamiennych.

Począł od dziejów rodu ludzkiego i, stare wyłożywszy przymierze, jął dopiero nowe zwiastować. A gdy przyszedł do narodzenia Chrystusowego i do nauki żywotem Jego zaszczepionéj, dopiero wzniosła się mowa jego i duch nowy wstąpił przezeń w słuchaczów. Poganie, dla których było to wcale nowém, widać było, stopniowo przejmowali się wyrazami jego, zdziwieni nowe oglądali światy i, powoli wznosząc się do wysokości prawdy wielkiéj, wylewali łzy radości z ujrzenia światła i usłyszenia słowa pokoju... Cellia spłakana padła na ziemię, dziękując jedynemu, już uznanemu Bogu, że téj chwili dożyła. Uściskały się z córką jednóm przejęte uczuciem."

Nastąpiła potém ofiara. „Starzec Apostół przywdział szatę białą, stół przykryto, przyniesiono chleb i wino i ze łzawą modlitwą przy cichym wiernych udziale, odprawiono symboliczną ofiarę, przypominającą śmierć krzyżową Zbawiciela. Ten, co ją spełniał, był jednym z uczniów Chrystusa...chodził z Nim po Judei, każąc i nawracając, widział jego cuda, pochwyconego przez lud nie odstępował do śmierci, skonanie na krzyżu umęczonego oglądał, ciało martwe do grobu przeprowadził, zmartwychwstałego ujrzał w bieli wracającego do swoich, a obchodząc pamiątkę téj ofiary... płakał przejęty do wnętrzności. Dzieje ostatnich lat, które przebył u boku mistrza i Boga, z matką Jego, przychodziły mu na myśl z kolei; każde słowo Chrystusa przypominał sobie, ze drżeniem dotykając rozdartego dla świata ciała Jego i krwi dłań przelanéj. Lud strasznéj objacie przytomny uczucie to podzielał, msza dlań była żywą historyą męki i odkupienia."

Po zakończeniu obrzędu Pudens zaprosił wszystkich obecnych do caenaculum na skromną biesiadę. „Trochę ryb, owoców, chleb i wino zmięszane z wodą, stanowiło całe przyjęcie, bo umartwienie ciała... było zasadą, na któréj nowy rozwinąć się miał obyczaj i życie. Świat pogan szalał, dogadzając fantazyom cielesnym, chrześcianie usiłowali je zwyciężyć." [28])

Przepisaliśmy prawie cały ten (IV) rozdział Romy, bo widzimy w nim zalety wysokie. Z pisarzy, którzy pierwszych chrześcian i męczeństwa ich malowali, nikt podobno, o ile mi wiadomo, nie pokusił się o nakreślenie postaci św. Piotra. Kraszewski odważył się i, przyznajmy, szczęśliwie z trudnego wywiązał się zadania. Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Listy, sama tradycya nawet, zamało dostarczają rysów i cech indywidualnych, a świętość osoby trzyma na wodzy wyobraźnię artysty. Kraszewski dał lekkie, niemal przeźroczyste kontury, powierzchowność określił tylko ogólnym charakterem poważnéj i wzmianką o białéj szacie przywdzianéj przed rozpoczęciem ofiary, a potém ożywił świetlaną, zaledwo widzialną postać takiém ciepłem serdeczném, tak wzniosłym duchem, jakiego tchnąć w nią mógł tylko szczéry chrześcianin, żarliwie wierzący i głęboko czujący.

Uwydatniając znowu różnicę pomiędzy dwoma światami, autor opisuje nam wielkie igrzyska jednocześnie, bo w tym samym dniu przez Nerona wydane — pochód ze świątyni Jowisza Kapitolińskiego przez forum i Velabrum do cyrku wielkiego, wyścigi wozowe, zapasy gladyatorów, gonitwy młodzieży senatorskiéj, walkę bestyarzy ze zwierzętami dzikiémi, przy czém arena zamienioną była na las; nareszcie naumachią w téj saméj arenie, zamienionéj w jezioro. Widowisko trwało od wschodu słońca do nocy; podziękował za nie cezarowi okrzyk ze stu tysięcy piersi, ale gdy tłumy rozpierzchły się „po ulicach Rzymu, popinach, termach, tabernach, ganeach," Neron pozostał jeszcze, bo w tejże arenie kazał ucztę dla siebie zastawić. Cały opis ten jest prze-

pyszny bogactwem i rozmaitością szczegółów, dosadnością kolorytu historycznego, bo też ma na celu przedstawić czytelnikowi moment największego rozbujania zmysłowowości z przepychem i kunsztem, jaki możliwym był tylko pod dyrekcyą wszechwładnego cezara-artysty.

—„Co ci się zda— rzekł Pudens do starca chrześcianina, przypatrującego się pochodowi Nerona — silny jest jeszcze Rzym, i wielki? Nie rychło pożyje go prawda i obali, bo fałsz urósł w potęgę i tysiące rąk bronić go będzie.. żyjąc z niego.“

Chrześcianin innego był zdania i w tym samym tłumie znajdował elementa nowego świata.

Po uczcie Neron wybrał się na wycieczkę nocną po ulicach Rzymu, szukając przygód i wrażeń niezwykłych. Przywdziawszy szatę brunatną z kapturkiem i wziąwszy z sobą kilku towarzyszy szedł aż pod bramę Kapeńską, staczając bójki z przechodniami, odbijając i rabując sklepy, aż nareszcie wstąpił do gospody syryjskiéj, sławnéj z pięknych tanecznic. W istocie znalazł tu niezwykle piękną niewolnicę syryjkę Anią, która obsługiwała i bawiła gości namiętnym tańcem, ognistémi oczyma, obnażonémi ramiony. Jest ona bez wątpienia typem ostatecznéj niedoli stanu niewolniczego, najnieszczęśliwszą ofiarą w rękach chciwego i nieludzkiego gospodarza. Szczęściem dla niéj Neron, otrzymawszy jakąś niespodzianą wiadomość, pośpiesznie opuścił cauponę, a po niejakiéj chwili weszli dwaj podróżni Judejczykowie chrześcianie. Ania skwapliwie przyjęła dobrą nowinę, a Pudens wykupił ją z niewoli. [29])

Zbliżamy się do ostatniéj katastrofy. Uzupełniwszy dzieje Nerona kilku rozdziałami, trzymanemi w tonie naukowo-historycznym; zaznaczywszy szybki rozrost gromad chrześciańskich, których już objąć nie mogły ani ogrody Pomponii, ani dom Pudensa, Kraszewski wprowadza nową, nieznaną dotychczas osobę—Szymona Maga, samarytanina rodem, który niegdyś przyjął chrzest, ale po to tylko, żeby pojąć tajemnicę czynienia cudów jednêm słowem lub prostém rąk kładzeniem. Ofiarował nawet pieniądze św. Piotrowi za udzielenie mu tego daru, a gdy mu dano surową odprawę, stał się zawziętym wrogiem apostoła i chrześcian. Całe życie strawił on na badaniu tajemnic egipskich i chaldejskich... miał sławę wielką, jako Magus i twórzyciel cudów, które stawił przeciwko prawdziwym cudom chrześcian... miał w Rzymie swych przyjaciół i uczniów, którzy weń wierzyli; przed niektórymi z nich za chrześcianina i Chrystusa, przed innymi za mocniejszego nad chrześcian uchodził... Człowiek ten, zjawisko ciekawe u świtu chrześciaństwa, był raczéj „wcielonym duchem ciemności, stającym do walki z prawdą.“ „Stary już i ogorzały od słońca przy ciemnéj twarzy miał włos siwy, który dziwnie swą białością na tle brunatném odbijał. Wiek jeszcze go był nie złamał, a siwizna i starość łączyły się w nim dziwnie z siłą młodzieńczą i niepokojem lat młodych. Oko jego biegało nieustannie, badając i szukając tajemnic świata i ludzi, usta drgały gorączkowo, po żyłach wzdętych krew biegła szparkim strumieniem. Ubrany po wschodniemu, na głowie miał zawój biały, jakim się na ówczas żydzi odznaczali.. postać jego, przenosząca o pół głowę najroślejsze niewolniki germańskie, odbijała na tle tłumu.“ Przyprowadzony przed Nerona, mówił o sobie w tych wyrazach: „Ucząc się wielkiéj mądrości wiekuistéj, przebiegłem nie ziemię samą, ale wszelkie światy, przedzierzgając się stopniami, z kamienia w roślinę, z rośliny w zwierzę i. przez cały szereg stworzenia przechodząc, pókim nie został człowiekiem... Mieszkałem na gwiazdach i na słońcu, i na księżycu i na planetach wszystkich, i w prochach jasnych, któremi zasiane niebo. Coraz nowe z każdém życiem przybywają mi siły... Byłem Chrystusem... jestem Bogiem, duchem i mocą... Żyłem wśród Magów w Niniwie i Babylonie, na dworze królów parthyjskich, uczyłem się języka zwierząt. Wszystko to potędze twojéj boskiéj przynoszę, Cezarze, w pomoc i na usługę.“

Neron słyszał już wiele o chrześcianach, spytał więc, czy i chrześciańskie robi cuda?

„Czynię większe, niż ci, co się tak zowią! odparł pogardliwie Symon.“

Na dowód swojéj mocy cudotwórczéj „otworzył szaty swoje powoli, i począł potrząsać niémi... a z fałdów tego okrycia do koła całéj postaci począł się wydobywać jakby obłok, jak mgła biała, coraz gęstsza, coraz silniejsza... i otoczyła Symona, osłoniła, objęła przed oczyma Cezara.“ [30])

Wyszedłszy z palatyńskiego pałacu Symon spotkał się z ś. Piotrem, zadrżał, stanął oko w oko i wyzwał go do walki.

Tymczasem Neron, przesycony i znudzony umyślił dla rozrywki Rzym spalić, żeby go pięknicjszym odbudować na nowo. I stało się zadość szalonemu zachceniu cezara: podpalone przez jego niewolników miasto płonęło przez pięć dni i pięć nocy. Aż piątego dnia pożogi przybiegli augustani i poczęli przerażeni opamiętywać szaleńca, bo

lud już dochodził do rozpaczy. Potrzeba było radzić. Przywołano Symona Maga, a ten podsunął myśl zrzucenia winy na chrześcian.

I późniéj jeszcze tenże „Symon z przyjacioły Neronowymi, przez piękną Helenę," trojańską, czy tyryjską niby, pracował, aby do chrześcian codzień nienawiść powiększać.

Tak zaczęło się pierwsze prześladowanie. Tysiąc ludzi zginęło wśród mąk okropnych: palenia żywcem, wieszania na drzewach i krzyżowania. Ale w tym tłumie męczenników Symon Magus nie znalazł ś. Piotra.

Dopiéro we dwa lata potém, w odbudowanym już na nowo Rzymie, spotkał go na ulicy i oddał w ręce siepaczy.

Apostoł wtrącony do najgłębszego lochu w więzieniu Tulliańskiém spotkał się tam ze ś. Pawłem. Obaj przesiedzieli tu długo, a czas ten nie był dla nich straconym, gdyż nawrócili dozorców Processusa i Martyniana, oraz czterdziestu siedmiu że straży i żołnierstwa. Wszyscy oni zapragnęli chrztu. „A że nie było na podoręczu wody... jął się modlić starzec, aby mu Bóg, jak Mojżeszowi dla spragnionego ludu, dał źródlu wytrysnąć ze skały. I skończywszy drugą modlitwę, schylił się, łza z oczów jego padła na kamień i ze łzy téj świętéj strumień czysty popłynął na czarne kamienie: woda to była Piotrowego serca, któréj do dziś wieki wyczerpać nie mogły."

Obciążonego kajdanami ś. Piotra poprowadzono do cyrku, aby się patrzał na tryumf Symona Maga, który miał wznieść się w powietrzu, jak mytologiczny Ikar na skrzydłach. Cyrk przepełniony był widzami; Neron z Poppeą zasiedli na podium. W istocie wśród niesłychanego oklasku powoli wznosić się począł nad dach, na którym stał... stopy jego już nie tykały pokrycia, dźwignął się nad otaczające balasy złociste.. ale lot jego był ciężki, nieśmiały, wysilony. Wzrok Piotra ścigał go wytężony i jasny. Magus począł coraz wyżéj poruszać skrzydłami, wzleciał ku środkowi areny, po nad samą „Spinę," zbliżając się ku siedzeniu cezara.. Wtém Piotr rękami, na których ciężyły kajdany, uczynił znak, przerzynając powietrze na krzyż i Symon w tejże chwili zwinął się głową ku ziemi zwrócony, opuścił ręce i padł z krzykiem przerażenia, jak kamień z procy ciśnięty... krew z podruzgotanego ciała czerwonym tryskiem oblała jasne szaty cezara i Poppei." [31])

W tłumie różne były domysły, tłómaczenia, wnioski, ale Neron przypisał upadek Symona „temu znakowi, który okuty człowiek uczynił w powietrzu. I uląkł się téj potęgi tak wielkiéj, tak dlań niepojętej, któréj spętać żelazem nie było można..

— Chrześcianie... wszędzie ci chrześcianie! szepnął w duchu."

I kazał urządzić wielkie igrzysko z samych chrześciańskich ofiar złożone.

Nazajutrz Paweł poszedł pod miecz kata, Piotr zawisł przybity do krzyża, Juda-Candidus, Swew-Natalis dali się pożréć dzikim zwierzętom bez oporu i jęku, stary Helios wyzionął ducha, nietknięty nawet przez lwa, nawiedzony śmiercią bez męczarni. W końcu stała się rzeź bezbronnych ohydna i sromotna.

Noc nadchodząca i godzina łaźni zamknęła to widowisko, które po sobie zostawiło wspomnienie dziwne w sercach najtwardszych.

„A gdy przyszły ciemności z domków na Suburra, z katakumb, z willi, z domu Pudensa, z Awentynu i Celiuszowéj góry zstąpiły w cichości niewiast pobożnych gromadki, z łampami szatą pookrywanémi i skierowały się ku cyrkowi, ku górom poblizkim, kędy ciała męczenników wywleczone zostały... jęły one zbierać krew świętą i napawać nią chusty, napełniać naczynia, okrywać ciała, przenosić uświęcone reszty, aby je osobnym uczcić pogrzebem."

„Bój rozpoczął się dopiéro... ale ofiara, pokora i miłość miały go cudowném zamknąć zwycięztwém — słabszego, pokonaniem na wieki i potępieniem siły bezrozumnéj."

Ta piękna myśl jest właściwém zakończeniem dzieła, jest nawet jego nicią przewodnią i ideą zasadniczą. Wydobywszy ją winniśmy jeszcze dodać kommentarz dotyczący zużytkowania materyału historycznego, uwagi zaś co do formy odłożymy na późniéj.

Do skreślenia postaci Nerona i dwóch jego poprzedników materyał brany jest z przytoczonych już wyżéj pisarzy źródłowych i studyów archelogicznych. O szczegóły spierać się nie będziemy. Obłąkany Kaligula i potworny Neron są to takie widma, takie zmory, na sumieniu i pamięci rodzaju ludzkiego ciążące, że wszelkie anegdoty Swetoniusza, wszelkie przekleństwa Apokalipsy z łatwością przylgnąć do nich mogą bez uchybienia prawdzie historycznéj. Zaprzeczylibyśmy chyba trafności ogólnego poglądu na społeczność i na państwo Rzymskie, jaki się objawia po części z ugruppowania obrazów, a po części nawet z wyraźnych orzeczeń Kraszewskiego. Obrazy bowiem i historyczne opowiadania ustawione w długim szeregu, jakkolwiek różne pod względem wykończenia i siły, mają przecież

jednę dążność: napoić wyobraźnię i serce czytelnika wstrętem i odrazą do świata pogańskiego, przekonać, że ten świat jest w zupełnym trupim rozkładzie. Zdaniem szanownego autora „Tacyt najwymowniejszémi słowy maluje ten upadek wybranych, który za sobą pociągnął całego państwa ruinę. Wszędzie się dzieje tak samo, gdziekolwiek wyższa warstwa narodu wyprze się swoich obowiązków. Powoli zepsucie od niej przechodzi do najniższych słojów towarzystwa, i państwo zjedzone od tego raka gnije, rozpada się i ginie". Tylko te gromadki, które się okazały chętnémi do przyjęcia chrystyanizmu, znalazły sąd łaskawszy: „Ale nie wszystko jeszcze zgniło i zepsuło się w tym Rzymie... Ten lud, który tak gorąco, tak łatwo, tak żywo przyjął przyniesione mu światło nowéj wiary, musiał mieć w sobie jakieś zarody dobra, musiał czuć znękanie teraźniejszością i uznawać, że to co było, trwać nie mogło" [32]).

Do planu dzieła, do celów artystycznych pogląd taki może być potrzebnym i pożytecznym, gdyż przyczynia się do wywyższenia chrystyanizmu—co właśnie jest główném zadaniem autora. Ze stanowiska wszakże naukowego ówczesne państwo rzymskie przedstawia się historykowi inaczéj i, nie zmniejszając bynajmniéj zbawczych wpływów, wzniosłego posłannictwa, cudownych tryumfów Ewangelii, musi on pamiętać téż o pracach i zasługach, jakie złożył ludzkości Rzym pogański. Rozpasanie, okrucieństwa i szaleństwa domu Klaudyuszów lub Ahenobarba działy się wprawdzie na wyżynach społecznych, ale w niewielkiém stosunkowo kole dworu i patrycyatu. Istniały przecież massy ubogie, żyjące pracą w saméj stolicy, w Italii, w prowincyach Europy, Azyi i Afryki. Te mniéj rozpustować musiały, niżby się z igrzysk cyrkowych domyślać można było, skoro tyle nam jeszcze pomników pozostawiły niepożytéj trwałości, zdziałanych rękami i kunsztem i wiedzą. Jak się przedstawiał Rzym cesarski mieszkańcom prowincyi, poznać łatwo możemy ze słów hellenisty aleksandryjskiego Filona, Żydowina, spisanych po audyencyi u dotkniętego już obłąkaniem Kaliguli: „Któż nie był olśniony i nie cieszył się widząc, że Kajus obejmuje rządy cesarstwa tak spokojnego i dobrze urządzonego, spojonego i uszykowanego we wszystkich członkach swoich, Północy i Południa, Zachodu i Wschodu, Greków i Barbarzyńców, stanów wojskowego i cywilnego—a wszystko to jest zjednoczone w pomyślności, pod osłoną pokoju powszechnego. Obfitowało ono w skarby, nagromadzone złota i srebra, w pieniądze i naczynia drogie; pyszniło się potężną siłą piechoty i jazdy, lądową i morską, a zasoby jego płynęły wiekuistym potokiem. Po naszych miastach widziało się same ołtarze i ofiary, kapłanów przybranych w białe szaty i wieńce, ochoczych przewodników powszechnego wesela; bankiety i zebrania, muzyczne popisy i konne wyścigi, jarmark we dnie i w nocy, zabawy, rozrywki, przyjemności wszelkiego rodzaju, dla wszystkich zmysłów. Bogacz nie deptał ubogiego, mocny słabego, pan swego sługi, wierzyciel dłużnika; niezależność każdéj klassy była szanowaną należycie, tak iż wiek Saturnowy poetów nie może już być uważany za zmyślenie, bo urzeczywistnił się niemal w życiu w téj błogosławionéj epoce" [33]) Sam Tacyt przy całym swoim pessymizmie, przy nieukojonym żalu za upadłą, rzecząpospolitą, wygadał się przecie, że „nie wszystko dawniéj lepszém było; nasz wiek téż przysporzył potomkom wiele chwały i kunsztów godnych naśladowania" [34]). O zgniliźnie, o upadku państwa Rzymskiego pod Tyberyuszem lub Neronem mówić jest zawcześnie, gdy państwo to przetrwało w całości jeszcze lat przeszło czterysta. Unižać cesarstwo przez porównanie z rzecząpospolitą wolno było Tacytowi, zaciętemu Kwirycie, który żył w wieku I i nie rozumiał przeistoczenia zdobywczego, ciemiężkiego, łupiezkiego grodu na państwo kosmopolityczne, na społeczność wszech narodów cywilizowanych, ale nam niewolno, gdy z odległości dziewiętnastu wieków widzieć łacno możemy, iż sił żywotnych wystarczało cesarstwu na okres wcale nie krótszy od okresu republikańskiego, [35]) a pod względem summy dobrobytu, światła, dzieł cywilizacyi, zasług dla potomności, porównanie wypadnie chyba na korzyść cesarstwa. Kaligula był szaleńcem, Neron matkobójcą, bezecnym rozpustnikiem, marnotrawcą, okrutnikiem, ale nie zapominajmy, że w kilkanaście miesięcy po nim z tegoż społeczeństwa pogańskiego wyszedł purpurą obleczony Wespazyan, człek uczciwy, prosty a tak przedziwnie zdrowym rozsądkiem obdarzony; pomnijmy że zaczyna się właśnie „wiek złoty" cesarstwa t. j. okres stuletni przeszło takiéj pomyślności, takiéj szczęśliwości powszechnéj, jakiéj dotychczas rodzaj ludzki nigdy nie zaznał od początków życia dziejowego. Srogim jest lud rzymski, bo miecz przyrósł mu do dłoni od wieków; przerażają nas cyrki rzymskie, prawo kryminalne słusznie nosi nazwę „li-

bri terribiles," ale nie sądźmy świata starożytnego wedle naszego pojęcia i obyczaju, pomnąc, że Europa Chrześciańska była niegdyś téż srogą i że miała stosy niemniéj może straszne od pochodni Neronowych. Rzym nie zdobył się na prawo miłości, jego juris consulti, juris periti, mędrcy-prawnicy z czasów cesarstwa, podali nam przynajmniéj określenie sprawiedliwości, czyste, szlachetne, powszechne, przydatne wszystkim narodom i czasom.

Do nakreślenia postaci pierwszych chrześcian i ojca apostołów Kraszewski posługiwał się Dziejami Apostolskiémi, Apokalipsą, Listami, literaturą patrystyczną i tradycyą zebraną w Rzymie dzisiejszym. Oznaczyć stopień dokładności historycznéj w tych kreacyach jest dla mnie zadaniem nader trudném przy mroku, jaki otacza piérwsze gromadki chrześciańskie, i przy szczupłym zasobie osobistych moich wiadomości. Uprzedzam przeto, że w całym tym dziale sądu własnego nie ośmielę się sformułować i że poprzestanę na zaznaczeniu punktów spornych.

Piérwszy „kościół," pierwszą ofiarę chrześciańską na ziemi italskiéj mieści Kraszewski w Neapolu. Zgadza się to nie tylko z tradycyą miejscową, przywiązaną do świątyni S. Pietro ad Aram, ale i ze znaczeniem geograficzném poblizkiego miasta Puteoli (Puzzoli). Do tego portu zawijały zwykle okręty, przychodzące z Alexandryi, tu wysiadali zwykle Żydzi. Ztąd odbywano już lądową podróż do Rzymu. Przebywając tę drogę św. Paweł w r. 61 znajdował już chrześcian witających na stacyi, zwanéj Rynkiem Appiuszowym i przy Trzech Karczmach (Forum Apii, Tres Tabernae) [36]. Było więc zapewne zgromadzenie chrześcian i w Neapolu. Imiona pojedyńcze nie są znane, musiał więc Kraszewski utworzyć z wyobraźni Asprenusa, i niewolników Hananiaszowych, oprócz znanych już nam Judy i Heliosa.

Ale już na tym piérwszem kroku napotykamy kwestyą sporną. Kraszewski okazuje nam przybijającego na kupieckim okręcie ś. Piotra z towarzyszem, o którym późniéj nie wspomina (ś. Pawłem czy Markiem?) i to podczas szalonego festynu Kaliguli, a więc przed r. 41-m ery chrześciańskiéj. Ś. Piotr zatém miał sam przynieść do Kampanii pierwsze nasiona Ewangelii. Jestto właśnie przedmiot najzawziętszego sporu pomiędzy teologami katolickimi i protestanckimi od XVI wieku, ci ostatni bowiem, zwalczając zwierzchnią władzę duchowną papieżów, opartą na spadkobierstwie po ś. Piotrze, dowodzą że ten apostoł nigdy nie tylko w Rzymie, ale nawet w Italii nie bywał, że urządzenie kościołów między poganami, a więc i w Rzymie jest dziełem apostoła Pawła. Dzieje Apostolskie milczą wprawdzie o podróży ś. Piotra do Rzymu, ale spółczesne prawie wzmianki Ewangelii ś. Jana i Apokalipsy oraz powoływane przez historyka kościelnego Euzebiusza i innych pisarzy dawne świadectwa, tradycya i istnienie grobów obu apostołów ustalają fakt męczeństwa, a więc i pobytu w Rzymie. Do takiego też wniosku przychodzi Renan w drodze badania naukowo-historycznego po za obrębem wszelkich interesów wyznaniowych, dowodzi jednak, że ś. Piotr nie mógł przybyć do Rzymu i do Italii przed ś. Pawłem, a więc przed 61 rokiem ery naszéj [37]. W tém różni się on od teologów katolickich, którzy naznaczają rok 42 jako datę przybycia ś. Piotra do Rzymu [38]) Jest rzeczą naturalną, że Kraszewski szedł za wykładem katolickim téj kwestyi spornéj, ale zaszedł jeszcze daléj, gdy sprowadził ś. Piotra do Neapolis przed 41-m rokiem. Utworzona więc przez niego scena wejścia ubogiego statku do zatoki Neapolitańskiéj podczas konnéj podróży po falach i krwawéj uczty, jaką Kaligula wyprawiał, jest artystycznie piękna, ale chronologicznie niemożliwa.

Następny obraz—kazanie, ofiara i uczta w domu Pudensa jest możliwy pod względem chronologicznym, mieści się bowiem w epoce Nerona, zapewne niedługo przed pożarem Rzymu i prześladowaniem. Miejsce akcyi nosi téż znamię historyczne, albowiem tradycya przechowała nazwę domu Pudensa na górze Wiminalskiéj, jako miejsce pobytu ś. Piotra, podobnież, jak domu Pryski na Awentynie. I tu wszakże zachodzą historyczne nieporozumienia lub wątpliwości. Nie wiémy, na jakiéj zasadzie Kraszewski zrobił Pudensa senatorem, patrycyuszem. Nie przypominamy sobie podobnego imienia w żadnym ze znanych rodów rzymskich patrycyuszowskich. Brak zwykłego praenomen przy imieniu nie przemawia za znakomitością osoby, noszącéj to imię. Znajdujemy je w liście przypisywanym ś. Pawłowi, wtórym do Tymoteusza [39]) ale też bez żadnych dodatków, bez najmniejszéj cechy charakterystycznéj, prócz téj, że był chrześcianinem. Jeszcze większego kłopotu nabawia nas Cellia z córkami swojémi, Akwilą i Priscillą. Dwa te ostatnie imiona powtarzają się po kilkakroć i w Dziejach Apostolskich i w liście ś. Pawła do Koryntyan, i w liście do Ty-

moteusza [40]), lecz należały one do małżeństwa, nie zaś do „dziewic poświęconych Panu." Akwiia był to żyd—chrześcianin, wygnany z Rzymu jeszcze za cesarza Klaudyusza, który przybył z żoną swoją Priscillą do Koryntu, w którego domu ś. Paweł bawił i którego poźniéj wyprawił do Efezu. Osoby te nie znajdowały się w Rzymie podczas pobytu ś. Pawła, ponieważ przesyła im z Rzymu pozdrowienie. Mogły się znajdować inne osoby w domu Pudensa takichże imion, wątpimy wszakże, by imię, Aquila (orzeł) należało do osoby płci żeńskiéj.

Inne postacie pierwszych chrześcian są tworzone zapewne z wyobraźni, zatém kontroli naukowéj nie podlegają.

Ostatnie sceny, mianowicie prześladowanie i śmierć apostołów, nastręczają wiele wątpliwości, których ani Kraszewski, ani żaden historyk usunąć nie jest w stanie, wynikają one bowiem z braku dokładnych wiadomości o tych wypadkach, z niedostateczności materyału historycznego.

Tak od Tacyta dowiadujemy się o jedném tylko prześladowaniu chrześcian za Nerona, mianowicie w sierpniu r. 64 w skutek pożaru, jaki miał miejsce w lipcu tegoż roku. I Swetoniusz o jednem tylko prześladowaniu wspomina. Należałoby więc umieścić męczeństwo ś. ś. Piotra i Pawła pod tymże rokiem; tak téż czyni Renan, popierając hypotezę wzmiankami Euzebiusza i Klemensa Rzymianina [41]). Zresztą nie podaje swego twierdzenia za udowodnione i pewnym być mieni jeden tylko fakt, że ś. Piotr umarł, jako męczennik. Ale jeden z ojców Kościoła, mianowicie ś. Hieronim podaje rok 68 (właściwie 14-y panowania Nerona) jako datę śmierci męczeńskiéj Pawła i tę datę przyjmuje Merivale; [42]) nie przypuszcza jednak prześladowania ogólnego chrześcian, lecz wyrok śmierci, na ś. Pawła wydany, przypisuje osobistéj sprawie, wytoczonéj mu albo o nawrócenie kochanki Nerona na wiarę chrześciańską, albo o kłótnię z Symonem Magiem. Nic wspomina téż nic o męczeństwie ś. Piotra. Nareszcie teologowie katoliccy n.p. Alzog, opierając się na cytatach Euzebiusza łączą śmierć ś. Pawła z męczeństwem ś. Piotra, przyjmują datę Hieronimową, rok 68, a nawet gotowi są przyjąć i 67, żeby pogodzić 25-letnie biskupstwo księcia apostołów z pierwszą jego podróżą do Italii (w 42 r.) [43]). Miał tedy Kraszewski podstawę do utworzenia sceny spotkania obu apostołów w więzieniu Tulliańskiém, pożegnania ich i śmierci jednoczesnéj. Dopuścił się tylko niedokładności chronologicznéj, wyznaczając datę roku 66, która, zdaje się, nie ma za sobą żadnego zdania ani historyków, ani ojców Kościoła. Bez podstawy téż zapewne zrobił dwa prześladowania Neronowe z jednego znanego i opisywał śmierć Judy-Kandyda, Swewa-Natalisa, Heliosa i innych razem z apostołami.

Jeszcze hazardowniejszém co do wiarogodności historycznéj jest wprowadzenie Symona Maga. Zagadkowa ta postać ukazuje się niespodzianie przy końcu dzieła. Może niekoniecznie była potrzebną, może nawet szkodzi podniosłości wrażenia scen ostatnich w obec umysłowych nawyknień dzisiejszego czytelnika. Dla mnie ów ustęp szczególnie jest niemiłym, bo zmuszony jestem zwieść spór z szanownym autorem, który w trzech przypiskach zapewnia o historycznéj ścisłości wszystkich występów Symona [44]) gdy ja widzę w nich tylko legendę i to nie zupełnie ukształtowaną, z różnorodnych materyałów złożoną.

Czytamy w Dziejach Apostolskich o Szymonie czarnoksiężniku, który chciał za pieniądze kupić u ś. Piotra mocy czynienia cudów i za to został zgromiony—ale nic więcéj [45]). Swetoniusz w ustępie o zabawach wspomina, że jakiś Ikar spadł „przy pierwszém usiłowaniu natychmiast" i samego Nerona krwią obryzgał [46]). Ale pomiędzy Szymonem Dziejów a Ikarem Swetoniusza niepodobna wykryć żadnego związku, tak samo jak nic znaleźliśmy w żadném źródle spółczesném nic wspólnego pomiędzy Szymonem, Ikarem i śmiercią ś. Piotra. Dopiéro w późniejszych wiekach znajdujemy różne niezgodne z sobą podania. Tak np. Euzebiusz wyszydza pogan, że Samarytanina Szymona rodem z Gitton czcili jako boga i powołuje się na świadectwo Justyna, że na wyspie Tybru, położonéj między dwoma mostami, Rzymianie postawili posąg z podpisem: Simoni Deo Sancto. Tłómacz i komentator katolicki z XVII wieku Henr. Valesius prostuje w tém miejscu pomyłkę Justyna, bo posąg wyobrażał dawne bóstwo Sabińskie Semona Sanka, a napis brzmiał: Semoni Sanco Deo Fidio [47]). Zresztą Euzebiusz nic nie wspomina o lataniu Ikarowém Symona, owszem twierdzi, że oszustwa jego „wraz z samym autorem" zniszczone zostały przez ś. Piotra za czasów cesarza Klaudyusza, a więc przed Neronem. Cyryl Jerozolimski mówi o kłótni Symona ze ś. Pawłem. Legenda o locie Ikarowym została podana przez mniéj znanych pisarzy późniejszych (Sewera, Maxyma Turyńskiego etc.) i upowszech-

niona przez historyków kościelnych XVI wieku Baroniusza i Sygoniusza. Z pisarzy dzisiejszych katolik Alzog wspomina o Symonie Magu, jako o pierwotnym autorze herezyi gnostyków, ale nazywa go też Cerintem i o walce ze ś. Piotrem nic nie wspomina [48]). A protestant Lipsius w krytycznem badaniu „legendy Piotrowéj" dowodzi, że podanie o walce ś. Piotra z Symonem powstało pierwotnie w r. 130 po Chr. w sekcie Ebionitów, ale że Symonem tym był ś. Paweł! [49])

Nie znamy „Historyi Symona Maga," o któréj wspomina Kraszewski, sądzimy jednak, że przytoczone wskazówki mogą starczyć za dowód, że „Historya" ta bynajmniéj historyczną nie jest, że wiarogodność jéj musi być podobnéj natury z dziełami takiémi, jak Hexenhammer.

Rozebraliśmy stronę historyczną „Kaprei i Romy" z drobiazgowością, która może się wydać nawet przesadną. Do téj drobiazgowości jednak obowiązywało nas pracowite przygotowanie materyałów, wprowadzonych przez szanownego autora do jego kreacyi. Niejednokrotnie wypadło nam spierać się z nim o daty, imiona, charaktery, poglądy. Jakiż atoli mamy postawić wniosek ostateczny? Czy strona historyczna dzieła jest fałszywą czy prawdziwą?

Niespodzianką będzie zapewne dla czytelnika, gdy oświadczę, że w ogóle jest trafną i artystycznie wierną. Utrzymywalibyśmy energicznie swoje zarzuty, gdyby na karcie tytułowéj stał napis: „Historya Kaprei i Romy," albo: „Studyum historyczne." Ale gdy autor ofiarował publiczności szereg obrazów historyczno-artystycznych, gdy jest poetą, nie może być do niego stosowaną skala krytyki naukowéj, ściśléj, bo pomiędzy badaczem naukowym i poetą nieustannie objawiać się musi różnica usposobień i uzdolnień, nawet wtedy, gdy jednę książkę wspólnie czytają, gdy na jeden przedmiot jednocześnie patrzą. Obaj przecię, jakkolwiek różnémi postępują drogami i w różne formy wcielają swą pracę umysłową, mogą zarówno prawdę osiągnąć. Prawda artystyczna zależy na trafności wrażenia, na zgodném z rzeczywistością uczuciu, jakie w czytelniku się zbudzi po odczytaniu dzieła. Owoż ta prawda artystyczna w wysokim stopniu przez Kraszewskiego osiągniętą została. Bo czyż nie był strasznym Tyberyusz na Kaprejach? Czy nie okropne były czasy Nerona? Czy nie byli Rzymianie spodleni i krwiożerczy? A małoż było nieszczęśliwych w ich społeczeństwie? A ci nieszczęśliwi, czyż nie znajdowali ukojenia w wierze Chrystusowéj? Czyliż zaprzeczy ktokolwiek, że cudownym był tryumf téj wiary nad zbrojném w potęgę ziemską pogaństwem?

Historyk, posługując się swoją metodą, uszeregowałby dokładniéj lata, imiona, fakty, obejrzałby spokojniéj warunki polityczne, prawne, ekonomiczne, powstrzymywałby się od decydowania kwestyj wątpliwych, sytuacyj niejasnych; ale czy potrafiłby obudzić w czytelniku i w massie czytelników uczucie zgrozy na zbrodnie ciemięzców świata i uczucie zachwytu, czci, uwielbienia dla świętych bojowników cnoty i miłości? Oto pytanie, na które za odpowiedź służyć mogą hołdy, składane przez massy, przez naród, autorowi Kaprei i Romy, jakich żaden historyk nie otrzymał nigdy.

W pięć lat po „Kaprejach," w roku 1864 Kraszewski napisał drugi utwór, na tle tych samych wypadków osnuty, ale już czysto-artystycznéj natury p. t. „*Rzym za Nerona*." Jestto powieść jednolita, kształtna, prostotą planu przypominająca klassyczną świątynię, w każdym szczególe, nawet w wysłowieniu odtwarzająca życie, obyczaj i ducha starożytnego—a więc powieść historyczna.

Rozwija się ona w listach pisywanych przez młodego rzymianina Juliusza Flaviusza do przyjaciela służącego wojskowo w Gallii, oraz przez młodą wdowę Rzymiankę, Sabinę Marcyą, do dawnego swego niewolnika-nauczyciela, zamieszkałego na starość w Atenach. Tylko do ubocznych wyjaśnień użyto parę listów do innych osób.

Juliusz, wychowany w domu bogatego stryja, w niedostatku ale pod kierownictwem uczonego Greka Chryzypa, niespodzianie otrzymał spadek po tymże stryju; mógł więc wejść do najwyższego towarzystwa stolicy, ale surowa szkoła młodości i nauki starego filozofa zabezpieczyły go od zepsucia, jakiém przesiąknięty był wielki świat rzymski. Zna to zepsucie i opisuje w swych listach, ale nie inaczéj jak z potępieniem, odrazą, żalem. Skarży się na czczość swego życia: „Kładę się tęskny i znudzony, wstaję nie pokrzepiony snem... Co robić z rankiem, jeśli się do thermów nie pójdzie: co robić z dniem, jeśli się go połowy nie rozsieje po ulicach?... Myślisz, żeś gdzieś po drodze posiał natrętnych klientów, nie, czatują na ciebie pod portykami i ścigają aż do drzwi... musisz rozdać

jałmużnę,.. Przykro jest widzieć takie upodlenie człowieka. Chryzyp na to wszystko uśmiecha się z grecką ironią i trochą nienawiści, mówiąc: — Zwyciężyliście świat, a samych siebie zwyciężyć nie możecie! W pośród naprzykszonego tłumu i próżniaczéj gawiedzi, gdyby nie ten Grek i nie młoda Sabina... nie wytrwałbym."

Sabina jest kobiétą niepospolitą. Wydana w piętnastym roku życia za starego ale bogatego rozpustnika Treboniusa, „czegoż się w tym domu napatrzeć i nasłuchać musiała, otoczona niewolnicami wszelkiéj barwy, które więcéj jemu, niż jéj posługiwały, chłopiętami wszelkiego wieku i poprzebieranymi w niewieście szaty rzezańcami! Własna tylko cnota mogła ją tu od zepsucia uchować." Owdowiawszy, postanowiła za mąż nie wychodzić, aby dziecię swoje wychować na godnego Rzymu obywatela. Skromna jest i piękna, jak posąg Westalki, cały w peplum owity, aby oko lubieżne nie splamiło go nawet wejrzeniem... Nie trzyma ona czeredy niewolnic dla stroju i wymyślnych starań o ubranie; wszakże, gdy ci się ukaże, promienieje zawsze szlachetnym wdziękiem, jakby zstąpiła z marmurowego podnóża na ziemię. „Incessu patuit dea." Ma rok dwudziesty a wygląda na szesnaście.

Juliusz rad odwiedza ją, jak krewny po matce, niby jako brat siostrę, ale już w pierwszych jego listach ukazują się elementa silniejszego, niż w pokrewieństwie, uczucia. Nie wątpimy, że zaproponowałby Sabinie związek małżeński, gdyby nie wiedział o jéj postanowieniu pozostania wdową po jednym mężu (univira).

Raz przez ciekawość, oboje udali się do cyrku, żeby mieć wyobrażenie o świetnych igrzyskach Neronowych. Trafili właśnie na takie przedstawienie, kiedy na walkę z dzikiémi zwierzętami wydano troje chrześcian: starca wychudłego, młode dziewczę wielkiéj piękności i mężczyznę w sile wieku, czarno zarosłego. Słyszeli smętny, dziwny, nadludzko spokojny, straszny śpiew tych ofiar, co żadnéj broni przyjąć nie chciały; widzieli, jak młodzieńca rozszarpał tygrys, dziewczę schwyciła pantera, a starzec, smętnie patrząc na zwłoki dzieci, oczekiwał śmierci z okiem niezmrużoném, nie prosił o życie, nie patrzał nawet na widzów, na cezara, na Westalki, a gdy kat przypadł, roztworzył ręce, nadstawił pierś... i krwią zbroczony upadł, nie wypuściwszy z ręki związanego na krzyż kawałka drzewa. Wrażenie było silne, chociaż odbiło się nie jednakowo na umyśle widzów. Juliusz uczuł litość: „Chrześcianie, sekciarze plugawi, przecież to ludzie byli." Nie wierzył już wieściom ulicznym o czci przez chrześcian oddawanéj wbitemu na krzyż osłowi, o ucztach ich, biesiadach i ofiarach w jaskini odprawianych, lecz jeśli nowéj wiary nie ohydzał i nie lękał się, to tylko szedł za zdaniem Chryzypa, który nauczył go nic sądzić o tém, czego się nie zna. Sabinę zaś widowisko to poruszyło tak silnie, że, powróciwszy do domu, o niém i o niém tylko mówiła prawie ze łzami. Podsłuchała ją niewolnica Ruta i, uklękłszy przed nią, ukazała taki sam kawałek drzewa, związanego na krzyż, a następnie zapoznała ją z zasadami nowéj nauki [50])

Z téj różnicy wrażeń wysnuł Kraszewski dramat miłośny, obfity w sytuacye wzruszające. Bo Sabina niezwłocznie napisała do dawnego swego nauczyciela Zenona Ateńczyka, pytając o zdanie; ten zaś, nagadawszy się o smutnym stanie Aten, o upadku wiary w bogów pogańskich, opowiedział o mowie ś. Pawła w Areopagu, którą słyszał, znalazł w niéj podobieństwo do nauki Sokratesa i zakończył swe pismo zdaniem, że „prawdy szukać trzeba; jeśli ci się ona nastręcza, czemużby ją odpychać, a rozumem nie wypróbować, czy istotnie taką jest, jaką się być oznajmia?... Niech Demiurgos trzyma cię na drodze mądrości i panowania nad sobą." Zdanie takie było niemal zachętą, a własne poczucie i aspiracye duchowe Sabiny pociągały ją ku nowéj nauce. „Wyznam ci: zdumiała mnie ona. Znałam prawie wszystko, co rozum ludzki zdobył mądrości wiekami; ale tego, czego mnie uboga nauczyła niewolnica, sam umysł mój, nawet z pomocą mistrzów, z wiedzą wszystkiego, czego ludzie doszli, samby wynaleść i z łupin wątpliwości dobyć nie mógł."

Została więc chrześcianką, a ta przemiana sprowadziła zupełną zmianę w jéj trybie życia, zachowaniu się i powierzchowności. W towarzystwie Ruty pieszo okryta zasłoną i skromną szatą przeciskała się przez gwarną bramę kapeńską, żeby schodzić w podziemia na pobożne zgromadzenia chrześcian, usunęła kosztowne, ale sprośne obrazy mytologiczne ze swego atrium, wyryła nowe symbole na ołtarzu domowym, nie przyjmowała dawnych swoich znajomych, nawet Juliusz rzadko mógł ją widywać; natomiast nieznane jakieś postacie wchodziły do jéj insuli pokryjomu; mowa jéj stała się niezrozumiałą, tajemniczą.

Juliusz, nie domyślając się istotnéj przyczyny, dziwi się téj zmianie i tworzy coraz gorsze przypuszczenia, które dręczą go

tém silniéj, że kocha Sabinę i że w sercu jego zrodziła się zazdrość. Bo przy wyjściu z cyrku spostrzegł Sabinę Lucyusz, wytworny, wypieszczony rozpustnik z dworu Nerona, a zarazem daleki krewny Juliusza. Wprowadzony do domu cnotliwéj wdowy był przez nią przyjęty „zimno... ale nie dosyć chłodno... Ona go słuchała, obojętnie wprawdzie, ale ze zbytnią uwagą... Dała mu nadto długo mówić, zbyt go słuchała cierpliwie... Z natężoną uwagą przysłuchiwała się, gdy zaczął mówić o Neronie... Po chwili jął Lucyusz rozpowiadać o Poppei i dowodzić, że zręczna a piękna niewiasta łatwo nim rządziłaby mogła, przez Nerona Rzymem, a przez Rzym światem całym!... Twarz Sabiny pokraśniała; on zwycięzko postrzegłszy to, zagryzł usta: Habet!“ Posądza więc Juliusz Sabinę, że się dała uwieść pokusom zepsutego społeczeństwa, że może się stała kochanką Lucyusza, albo samego Nerona. To podejrzenie stało się prawie pewnością, gdy usłyszał z jéj ust wyznanie: „tak jest, innego kocham, wielkiego męża... z którym żaden się człowiek równać nie może.“ [51])

Zrozpaczony szukał rozrywki w towarzystwie innych kobiet, ale nadaremnie. Jedne wydały mu się „harpiami o pięknych twarzach,“ inne, jak uczona Lucylla w przybrukanéj tunice, wykładająca różnicę Homera od Wirgiliusza, lub kobieta-gładyator w szyszaku z mieczem i puklerzem popisująca się siłą przed gośćmi—budziły w nim niesmak. Chwilę tylko spędził mile w domu sławnéj Epicharydy, którą bogowie obdarzyli nadzwyczajną pięknością, która „wielką energią ducha łączyła z sercem na podziw niewieściém, litościwém i dobroczynném.“ Tu spotykał się z najznakomitszymi mężami Trazeaszem, Kornutem, Persyuszem, Lucanem, nareszcie Pizonem, który właśnie gotował już pamiętny swój spisek. Epicharys najsilniéj objawiała nienawiść swą ku Neronowi i była duszą sprzysiężenia. Wszystkie te wrażenia jednak nie są zdolne zatrzeć pamięci o Sabinie. Opisując je przyjacielowi Juliusz, zapowiada raz, że wyjedzie do Galli szukać wrzawy obozowéj, ale i na wyjazd zdecydować się nie jest w stanie. [52])

Rozwiązanie tego węzła domysłów, podejrzeń, udręczeń zaczyna się od dnia, kiedy w Rzymie wybuchł straszny pożar Neronowy. Juliusz wieczerzał u swego towarzysza lat młodocianych a dobrego przyjaciela Celsusa. Zapominając o własném mieniu, biegł ku Palatynowi, żeby ratować Sabinę. „Krzyk, wrzaski, płacze, tumult był nie do opisania. ...Powywracane lektyki, pogruchotane wozy, omdlałe kobiety pomijać musiał, a chociaż mu Afer i dwaj z nim idący niewolnicy dopomagali, nie wiadomo, czyby się potrafił przedostać, gdyby nie oddział straży pretoryańskiéj, idący przed nim, który spieszył ku Palatynowi i drogę mu torował, ścieląc ją rannymi i trupami.“ Własny dom Juliusza stał już w płomieniach. „Pod pozorem uratowania pałacu cezara mury rozbijano taranami, zbliżyć się do nich nie było wolno, żołnierze i niewolnicy rozszarpywali, co znaleźli.“ Płonął téż przyległy dom Sabiny, ale ona sama właśnie w téj chwili wypadła jak obłąkana, dźwigając na rękach na pół rozbudzone dziecię swe i spiesznie pobiegła ku drodze Apijskiéj. „Cudownym instynktem miłości macierzyńskiéj omijała wszystko, co zagrażać jéj mogło, wyślizgiwała się niebezpieczeństwom, przeciskała się przez ludzi siłą olbrzymią, uchodziła, niewiadomo jak, najeżdżającym wozom, przebijała się przez natłoczoną ciżbę i leciała, jakby nadprzyrodzoną jakąś osłoniona siłą.“ Przedarła się nawet przez Kapeńską bramę, gdzie „stał zbity koni i ludu natłok“ bo tu dwa sparły się prądy: biegących do miasta z okolic na widok pożaru i uciekających z miasta pogorzelców. Przedarł się i Juliusz, ale ze zgniecionem ramieniem, pokrwawiony, zbity, ledwie żywy. Widział wciąż uchodzącą Sabinę, ścigał ją, wołał—gdy nagle znikła mu pośród zarośli, jak gdyby ziemia się pod jéj stopami otwarła.

Zeszła do Katakumb, ale przy wejściu zgubiła swoją chustkę (sudarium), kilku kroplami świeżéj krwi zbryzganą.

Juliusz rozpatrzywszy się baczniéj w tém miejscu, rozgarnąwszy gałęzie, odkrył rodzaj studni, opartéj o ścianę kamienną, a daléj jakiś ciemny otwór i jakby wchód, prowadzący do głębi pieczar. Z mieczem w ręku zszedł po chwiejących się schodach i opierając się rękoma o wilgotne ściany postępował naprzód, aż w końcu ujrzał blade światełko i usłyszał dziwny jakiś szmer. Byłto odgłos modlitwy, wspólnie odmawianéj przez liczne zgromadzenie. Widział późniéj, jak z małego, bocznego wgłębienia wystąpił mężczyzna w odzieży, po któréj poznać można było rycerza rzymskiego, jak pokropił wszystkich jakąś wodą lustralną, poczem mówił z powagą wielką, jakby w natchnieniu wieszczém o gromach i karach niebios na Rzym zepsuty i cezara. Teraz łatwo już było domyśleć się, że zgromadzenie składało się z chrześcian.

Uspokoiwszy się, że Sabina musiała tu

znaleść opiekę, a nie chcąc nabawić zgromadzenia strachem, Juliusz cofnął się i tą samą drogą wydostał się znów na powierzchnię ziemi.

A pożar szerzył się i srożył coraz bardziéj, a rozpacz ludności stawała się coraz straszniejszą. „Nie byli to już prawie ludzie... ale jakaś dzicz o zachowanie życia rozbijająca się, wściekła, wojująca na oślep.“ Wszakże wśród zgiełku znalazł się jakiś niewolnik grecki, cynik, który usiadłszy na murze nad drogą czytał sobie spokojnie jakiś zwitek pargaminowy przy odblasku płomieni. Juliusz postradał i drugi swój dom, a z nim wszystkie kosztowności po stryju odziedziczone. Pozostała mu tylko posiadłość wiejska. Tymczasowo musiał zamieszkać w domu Celsusa. Sabina zaś z dzieckiem swojém i kilkoma wiernémi niewolnicami zamieszkała w grobowcu swojéj rodziny, w górnéj sali, przeznaczonéj na uczty pogrzebowe.

Schronienie jéj odkrytém zostało nasamprzód przez Juliusza, który chciał ostrzedz ją o gotującém się prześladowaniu, a następnie i przez Lucyusza, który użył szpiega, pragnąc niezwykły opór pięknéj wdowy zwyciężyć. Łatwo domyśléć się, że Juliusz owładnięty miłością, nawróci się na wiarę chrześciańską, ale niespodzianką dla czytelnika jest, nagle przeistoczenie się Neronowego dworaka. Jestto sytuacya bardzo szczęśliwie pomyślana i po mistrzowsku przeprowadzona. Bo Lucyusz zgłasza się o urlop do Tygellina i podaje cel swojéj wycieczki, otrzymuje ten urlop z warunkiem, aby donosił o swoich przygodach, gwoli zaciekawieniu objawionemu przez samego cezara, a stanąwszy niespodziewanie przed Sabiną, doznaje pogardliwego przyjęcia, które go tak dalece rozgniewało, że zamiast miłośnych oświadczeń zaczął grozić denuncyacyą. I oto zmiana dokonywa się niemal w jednéj chwili, jasność nowego świata trysnęła jak błysk pioruna. Sabina w obec dziecięcia, które wyciągało ku niéj rączki, zdobyła się na siłę, żeby zawołać: „Tak, jestem chrześcijanką. Oto masz Lucyuszu, ów oręż, któregoś pożądał, masz broń donosiciela, miecz, co mi życie odebrać może. Jestem chrześcianką i nie zaprę się tego; chlubię się tém przed tobą; wyznam to, ciągniona na stos i męczeństwo. Ale powiedz mi, dodała mierząc go piorunującym wzrokiem, kim ty jesteś? ty, co dla nasycenia namiętności nikczemnéj, dla zemsty, poświęcasz sumienie, szlachetność, poczciwość?“ [53])

Po tych słowach ciężka walka uwydatniła się na twarzy Lucyusza; reszta uczciwych uczuć jego serca biła się z zepsuciem, wahał, słabł, nareszcie padł na kolana, składając ręce, zmięszany, przelękły, pokorny. Odtąd stał się innym człowiekiem. Wezwany do dworu, uczuł wstręt do uczty cezara; wszakże na jego zapytanie szyderskie o powodzeniu wyprawy—wywinął się kłamstwem, że Sabina odjechała do Tuskulum. Ale niedługo usunął się zupełnie od dworu i „zniewieściały ów gach Neronowy“ przybrał surowe oblicze, niepozorne szaty, całe dnie spędzał po kryptach na modlitwie i słuchaniu nauk, posługując starszym, podejmując najcięższe prace. W gorliwości wyprzedzał nawet Juliusza.

Tymczasem trwało wciąż prześladowanie chrześcian. Sabina z Pomponią Grecyną i córkami Pudensa, Praksedą i Pudencyanną „wychodziła co noc prawie, niosąc z sobą naczynia na krew, wodę i gąbki; powracały z zakrwawionémi chustami, kryjąc często w sukniach poucinane głowy, które nazajutrz razem z ciałami z poszanowaniem w kryptach składano.“ I spisek Pizona został wykryty. Epicharys, przez dwa dni dręczona, w strasznych torturach skonała pod sznurami, nie wyrzekłszy słowa, z zaciśniętemi ustami na podziw katom i Rzymowi. Zginął poeta Lukan i krewny Juliusza, trybun od pretoryanów, Fulwiusz Flawiusz. Trwoga padła na miasto. Każdy oczekiwał w swoim domu centuriona, zwiastuna śmierci. [54])

Nadeszła w końcu ostatnia katastrofa. Sabina pomimo przełożeń Juliusza, wyjechać do Tuskulum nie chciała, żeby się od współwyznawców swoich nie oddalać. Chrześcianie bowiem dowiedzieli się wczas o nowych im grożących zamachach Nerona i naradzali się nad przyszłością swoją. Jedni pragnęli męczeństwa, drudzy gotowi byli za broń pochwycić i rachując na znaczną swoich liczbę pokusić się o zdetronizowanie okrutnego cezara, ale Tymoteusz, zapewne znany z Listów towarzysz ś. Pawła zgromił jednych i drugich i nauczył, jakiém powinno być męztwo chrześcianina (Przypomina on nieco biskupa Viktora ze znakomitéj sceny katakumbowéj .w „Irydyonie“ Krasińskiego). Przejąwszy się tą nauką, Sabina nie chciała ani wyzywać prześladowców, ani téż unikać śmierci. Tylko coraz gorliwiéj służyła zgromadzeniu wiernych. Ze swego domu przekopała zejście do krypt, a Juliusz i Lucyusz pracowali jako „fossorowie“ z rydlami w ręku. Raz, gdy wracali z modlitwy, ujrzeli dom Sabiny, otoczony strażą i ludzi biegających z pochodniami, jak gdyby kogoś szukali. Nastą-

piła chwila krótka, ale wysoce dramatyczna —pożegnanie z Juliuszem. Sabina powierzyła mu swego syna Paulusa i kazała schronić się przed niebezpieczeństwem. „Bracie mój! rzymskim zwyczajem, gdy umiera bliski krewny, na ustach jego kładzie najdroższy mu z rodziny pocałunek ostatni, jakby duszę jego chciał pochwycić... Duszę moję oddaję Bogu, ale braterskim pocałunkiem ciebie żegnam.. którego jednegom kochała na ziemi!“, poczem położyła mu ręce na ramionach, ustami dotknęła warg jego i, zarzucając peplum, śmiałym i żywym krokiem puściła się ku domowi.

Raz jeszcze mówił Juliusz z Sabiną, gdy była już uwięziona w domu wyzwoleńca Rupasa, w lochu bez okna i światła, bez powietrza, bez garści słomy. Poznała go i zaraz o swego Paulusa spytała; potém zalecała: „Naucz go kochać Boga, za którego ja umieram. Wreszcie niech tobie będzie podobny. Obadwaj módlcie się za mną. Ciało lub proch, jeżeli można złóżcie w krypcie obok innych współwyznawców“. Przytulona do zimnéj ściany, drząca, blada, patrzała nań jednak z pogodą i spokojem niepojętym. „Juliuszu, mówiła jeszcze, mam prośbę do ciebie drugą... Jeżeli będziesz mógł, przyjdź tam, gdzie mi zginąć przeznaczono; bądź tryumfowi przytomny... Nie chcę, abyś brał z sobą Paulusa: na jego serce dziecięce widok byłby zbyt okrutny... Ale tyś mężczyzna... ty mu powiesz kiedyś, jak matka jego, błogosławiąc mu umarła.“

Woli jéj stało się zadość, Juliusz znajdował się w cyrku i widział ją, jak stała z wierną swą Rutą, przodując niewiast gromadce. Spostrzegła go, gdy podniósł w górę jéj białe sudarium. „Skłoniła głowę na pożegnanie, rękę przykładając do serca. I jakby tego krótkiego ziemskiego pożałowała —zawstydziła się, uczucia, uklękła zaraz, zaczęła się modlić, kat nadbiegł ku niéj, z kolei pochwycił za włosy, które obciął, a potém jednym zamachem strącił głowę z jéj ramion. Padła... Juliusz widział krwi strumień, w którym białe drgało ciało. Jednocześnie z drugiéj strony padał Lucyusz; innych podnoszono na krzyżach i rzucano na rozpalone stosy.

W nocy ciała te zostały zebrane i zaniesione do katakumb. Te były oświecone lampami, ubrane zielonémi gałęźmi, jak wrota nowożeńca, gdy sponsa próg ich ma przestąpić. Na zwłoki Sabiny stary sarkofag był przeznaczony, na nim kapłan odprawił pierwszą ofiarę i stał się odtąd ołtarzem. Położono na nim napis: Sabina Marcia, anima dulcis et innocens.

Tu jest właściwy koniec powieści. Kraszewski dodał jeszcze jeden list (XXVI) starego Chryzypa do Zenona Ateńczyka, ale my wolelibyśmy pominąć go w nowém wydaniu, chociaż zawiadamia nas o śmierci Juliusza. Sceptycyzm i stoicka obojętność starego filozofa—poganina, niepotrzebnie ostudza, nawet mrozi te uczucia rzewne, te uniesienia bólu, miłości, podziwu dla tryumfującéj nad nędzami ziemskiémi męczennicy. Bo w naszych szkicach mogły być ogólnemi tylko rysami zaznaczone główne sytuacye, bez cieniowania, bez wykończenia, tak niezbędnego do osiągnięcia wrażeń artystycznych, bez téj nieustannéj gry uczuć, które nas ciągle pociągają ku Sabinie, budzą w nas nieustanne współczucie dla niéj, a nie uwłaczają nigdy jéj charakterowi — „duszy niewinnéj i słodkiéj.“ Takie utwory nie dają się szkicować lub skracać bezkarnie; każdy rys, każde przemówienie, jest tu niezbędném, nie dającém się zastąpić. Czytelnik jest zajęty od pierwszéj stronnicy wszelkiémi władzami ducha; na ostatnich kartach mimowolnie nabieży mu łza pod powiekę.

Takiego wrażenia powieść poprzednia, Capreae i Roma, nie wywarła i przez porównanie obu utworów może zdołamy wykryć przyczynę téj różnicy.

W piérwszym, w Kaprejach, jest za wiele trudu naukowego, jest nie zupełnie szczęśliwe skojarzenie historyi ścisłéj z poezyą, z twórczością fantazyjną. Opowiadające ustępy czterech panowań, trzymane w tonie prozaicznym, nie osiągnęły warunków od prozy wymagalnych, a jednak rwały pasmo jedności w układzie tak dalece, że przedstawicielami téj jedności, są tylko Helios i Juda, którym nie można przyznać, charakteru pierwszorzędnych postaci. A jakkolwiek luźny to węzeł, przecież wiąże i nie pozwala czytelnikowi godzić się z zapowiedzią autora, że dzieło nie będzie powieścią, lecz szeregiem obrazów historycznych. [55])

Przy zbytecznéj szerokości ram i kilkakrotnéj zmianie personelu, wszystkie osoby maleją i tracą żywość karnacyi. Nie starczy miejsca i czasu na wykończenie, na owe drobne rysy i punkta, które nadają osobie cechy indywidualne. Szczególnie ów brak wypukłości daje się widzieć w gruppach chrześciańskich.

Przy bogactwie materyału, pozostałego po pogańskich pisarzach i artystach, przy ubóstwie danych ze spółczesnéj literatury i sztuki chrześcian—Kraszewski, kusząc się wciąż o dokładność historyczną, tworzył najczęściéj obrazy świata pogańskiego, a wraż-

liwość poetycka nie pozwalała mu utrzymać w nich właściwéj miary i proporcyi. Porwany oburzeniem, zgrozą, gromadzi same okropności, które czasem nużą już czytelnika i budzą powątpiewanie, czyliż takiém w istocie było społeczeństwo rzymskie? Czy taką mogła być natura ludzka? Kto nie jest obeznany ze stanem materyału, a porachuje tylko summę otrzymanych od autora wrażeń, może nawet posądzić, że poeci, artyści lubują się w grzechu, że kreśląc chociażby dzieje cnotliwych chrześcian, wolą zarządzać głębokie studya nad pogańską demoralizacyą i uświetniać ją barwami swojéj wyobraźni.

Te wszystkie usterki znikają w „Rzymie za Nerona."

Tu żywioł historyczny występuje w niezwykłém bogactwie i żywości, ale nie w genealogicznych wywodach, nie w politycznych poglądach i sądach, tylko w układzie myśli, w zwrotach mowy, w obyczaju, trybie życia, w powierzchowności i wnętrzu człowieka. Fakta zewnętrzne rozmijają się częstokroć z poprzednią wersyą lub z dokumentami historycznemi. Pudens nie jest już senatorem, Akwilla i Pryscylla zamieniły się na Praksedę i Pudencyannę, córki Pudensa, Celia znikła, a na jéj miéjscu ukazała się Pomponija Grecina, znana z Tacyta [56]); Tigellinus jest potężnym ministrem Nerona podczas spisku Pizonowego, chociaż podług Tacyta był on w tym spisku skompromitowany i odebrał sobie życie wśród biesiady epikurejskiéj, napisawszy rubaszny i szyderczy list do cezara; prześladowanie chrześcian trwa zbyt długo, a zaczyna się jeszcze przed pożarem Rzymu, męczarnie są zbyt urozmaicone, a niezgodne z tekstami Tacyta i Klemensa Rzymskiego,—ale to wszystko nie psuje ani trochę wrażenia ogólnego, nie obraża instynktów nawet specyalisty—historyka. Boć autor nie okazuje żadnych roszczeń do ścisłości szczegółowej, a w ogólnym rysunku epoki i w treści życia świeci prawda historyczna, wychodzi na jaw z każdego wiersza, z każdego niemal wyrazu.

Zmniejszenie ram powieści, zredukowanie czasu do kilku zapewne miesięcy Neronowych rządów, znakomicie posłużyło do zwiększenia wyrazistości osób i charakterów, do nadania spójności szczegółom. Forma korrespondencyi nastręcza Juliuszowi sposobność wspomnienia o smutnych nowinach miejskich, o wielu osobach, ale na pierwszym planie stoją zawsze trzy postacie: Juliusz, Lucyusz i górująca nad nimi Sabina. Świat pogański ukazuje się w pewnéj odległości i w mniéj ponurém oświetleniu; są tu przecież ludzie, których zrozumieć możemy: są filozofowie, godni szacunku i sympatyczni; jest nawet gruppa charakterów znakomitych odwagą, prawością i szlachetnością: Trazeasz, Kornutus, Fulwiusz, Flawiusz, Celsus, Epicharys. Ich siła moralna, sięgająca aż do bohaterstwa, dorównywa niemal bohaterstwu chrześcian, różni się tylko źródłem, pobudkami, celem ostatecznym, tłem działalności duchowéj. Tych szlachetnych Rzymian możemy szanować, dać im cześć nawet, ale gromadkę chrześciańską ukochać musimy, a najbardziéj chwyta nas za serce Sabina Marcya, wdowa Treboniuszowa. Bo jakiemiż skarbami serca uposażył ją Kraszewski! Dobra dla swoich niewolników, przyjaciółka Ruty, pełna tkliwéj miłości macierzyńskiéj dla swego Paulusa, tająca swą miłość dla Juliusza, miłująca swoich spółwyznawców, umierająca dla miłości Boga, zaprawdę „anima dulcis et innocens"—jest ona postacią świetlaną, świętą, a jednak związaną silnie z człowieczeństwem, blizką nam, zrozumiałą, dającą się ukochać.

Z dokonanego obecnie porównania wyciągamy wniosek, że „Capreae i Roma" jest dziełem przygotowawczém do „Rzymu za Nerona." Tam autor poczynił pierwsze studya nad epoką trudną, nad zadaniem skomplikowaném i tajemniczém: tu materyał naukowy jest już przetrawiony, nie przygniata twórczych pomysłów, lecz je zasila duchem przeszłości. Tam kontrast pomiędzy pogaństwem i chrystyanizmem jest niemożliwie ostry, dwa światy są przedzielone przepaścią: tu łączy je natura ludzka, a jednak różnica jest widoczna i jasna. Tam serce autora bije uczuciem wstrętu dla pogaństwa i jakiegoś ascetycznego zachwytu dla mysteryi chrześcianizmu: tu panuje wyrozumiałość, łagodna i rzewna, tkliwa, ale zdolna do wszelkich ofiar miłość; jeśli wolno użyć takiego porównania, rzeklibyśmy, że Kraszewski w „Kaprei" przejęty jest uczuciami Dominga Guzmana, w „Rzymie za Nerona" bije w nim serce Franciszka z Assyżu. I w Kaprei są piękne sceny, szlachetne sytuacye, myśli podniosłe, ale Rzym Neronowy jest utworem doskonałym, jest jednym z najcenniejszych klejnotów naszéj literatury, jest godny tłumaczenia na wszystkie języki obce, bo dla wszystkich będzie zarówno zrozumiałym i miłym.

Tadeusz Korzon

PRZYPISKI.

1) Capreae i Roma t. I str. 37, 43, 36, 12, 44, 45.
2) Ibid. I, 54—56.
3) Ibid. I, 59.
4) Tiberius, 60.
5) Capr. i Roma I, 142, 145.
6) Ib. I, 67, 75, 76—77, 106, 107, 155—156, 82.
7) Ib. I, 172, 173, 119, 122, 123, 133, 139.
8) Szczegóły archeologiczne są wogóle wierne, ale opis willi Tyberyuszowych jest fantastyczny, gdyż pozostałe na Caprei ruiny, pochodzą z późniejszych czasów, prócz jedynych może wschodów (Beulé: Tibère. 1870. 3e. edit. str. 316).
9) O Kajusie Tacyt. Ann. VI, 20, 46, o Makronie Ann. VI, 15, 47, 50, Ennii VI, 45, Trazyllu VI, 21, Nerwie VI, 26, Charyklesie VI, 50, o Tyberyuszu mnóstwo faktów z ksiąg I—VI, o Pryskusie Sueton. 43. o Makronie i Ennii Dio Cassius ed. Leunel. p. 639 A. etc.
10) Capreae i Roma, wydanie Lwowskie 1875 r. t. I, str. 36, 42, 45.
11) Tacit Ann. VI, 45 i 20; Tyberyusz zresztą dopiero w 33 roku sprowadził Kaligulę do siebie na Kapreę, we dwa lata po śmierci Sejana. Wyjaśnienie co do tej Klaudyi czyli Junii Klaudyi patrz u Merivale'a, t. V, str. 398, nota 2.
12) Capreä i Roma I, str. 78, 79, 66.
13) Capreä i Roma, rozdziały X, XIII, XX, XXI, przypisek w t. I, str. 156.
14) Tacitus Ann. VI, 13, 17, 45, IV, 64, 20, Seneca Epist. 95 (42), Sueton. 46, 47, Dio Cass. ed Leunel. p. 608 C., Capreä i Roma II, str. 16.
15) Suet. 72: „nec abstinuit consuetudine" nawet w ostatniéj chorobie, Dio Cass. ed. Leunel p. 609 A; Tacit. VI, 50: „quaesita comitate, quamvis manifestam, defectionem tegebat.
Sam Kraszewski przytacza podobny fakt z Getulikiem (I, 179), tylko inaczéj go tłumaczy.
16) Sueton. Tiber. 73.
17) Voltaire—Le Pyrrhonisme de l'histoire, chapitre XII.
18) B. G. Niebuhr - Vorlesungen über römische Geschichte an der Universität zu Bonn gehalten. Berlin 1848. Reimer III. 173.
19 Wietersheim: Geschichte der Völkerwanderung. Leipzig. 1859. Weigel I, 132—134.
20) Ch. Merival dean of Ely—History of the Romans under the empire. New edition 1876. London. Longmans, Green a. Co. tom IV, str. 235; V, 349, 350, 351, 372, 384, 408, 411—421.
21) A. Stahr—Tiberius, Leben, Regierung u. Charakter 1873 Berlin Guttentag. str. 317—378, 377, 88—96 i passim.
22) Beulé—Tibère—3-e edit. Paris, Michel Levy 1870, str. 354, 324, 263. Auguste sa famille et ses amis. 3-me edit. 1875. Paris, Michel Levy, str. 144: voyez les pauvres Romains, où ils en sont déjà reduits: à l'adorer comme des bons princes, que ceux, qui meurent avant l'age. Revue d. d. Mondes 1858 str. 64 i nast.: „Germanicus" str. 386 i nast.: „La veuve de Germanicus."
23) Capreä i Roma I, str. 58, 59, 76.
24) Caligula, 19.
25) Capreä i Roma II, 20, 21, 22, 75, 117, 23, 29, 31.
26) Ib. I, 195.
27) Capreä i Roma II, 34—38, 49, 61, 63, 65, 116, 131, 67, 68.
28) Capreä i Roma II, 69, 75, 76, 77.
29) Capreä i Roma II, rozdziały V, VI, VII, str. 85, 103,
30) Capr. i Roma II, 135—7, 140—3
31) Capr. i Roma II, 149, 152, 155, 171, 174, 177.
32) Capr. i Roma II, 57, 59.
33) Philo, Legatio ad Caium, 4.
34) Ann. III, 55.
35) Rachując od ustanowienia Rzeczypospolitéj (510 r. przed n. Chrystusa) do dyktatury Cezara 46 r. przed Chr.) otrzymujemy lat 464, cesarstwo zaś trwało do roku 476 po Chr., a więc 522 lat; (gdybyśmy zaś rachowali okres Rzeczypospolitéj do bitwy pod Akcyum, to i tak liczby długowieczności obu okresu nie wyrównają się, gdyż staną w stosunku 479 do 507.
36) Sueton. August. 98, Strabo XVII, 1, 7, Plinius XXXVI, 14, Jos. Vita, 3, patrz u Renana, Saint-Paul. Paris 1869, Michel Levy str. 558—9. Dzieje Apostolskie XXVIII, 15.
37) E. Renan—L'Antechrist. 3eme ed. Paris 1873 M. Levy. Appendice str. 551—556.
38) Alzog — Hist. Powsz. Kościoła. Warsz. 1855 t. I str 164.
39) Listy ś. Pawła — II, Tymot. IV, 21.
40) Dzieje Apost. XVIII, 2, 18, 26, List do Korynt. XVI, 19, do Tymot. wtóry IV, 19, Alzog — Hist. Powsz. Kościoła. Warszawa 1855, tom I, str. 161.
41) E. Renan—L'Antechrist etc, str. 185, odsyłacz 5.
42) Merivale—The Romans under the Empire etc. tom VI, str. 450 przypisek 1.
43) Alzog — Historya Powszechna Kościoła etc. Warszawa 1855 tom I, str 165. Eusebii Caesariensis — Hist. Eccl. lib. II, cap. 25.
44) Capreae i Roma II, str. 140: „Cała ta nauka Symona Maga, tak uderzająca podobieństwem z nowémi niby, dziś ogłoszonémi prawdami, jest ściśle historyczna;" II, str. 142: „i ta historya Heleny tyryjskiéj, towarzyszki Symona, jest prawdziwą;" II, strona 14. „Abyśmy nie byli posądzeni o zapożyczenie tego pomysłu, odsyłamy do historyi Symona Maga, z któréj Göthe musiał wziąść ją do Fausta."
45) Dzieje Apost., VIII, 9—27.
46) Suet. — Nero, 12: primo statim conatu.
47) Patrologiae Cursus Completus... accurante T. P. Migne 1857. Lutetiae Parisiorum Tomus XIII, pag. 73, Euseb. Hist. Eccl. lib. II, capp. 13, 14, 15.
48) Alzog — Hist. Powsz. Kościoła, Warszawa 1855 tom I, str. 243.
49) Dzieło Lipsiusa nosi tytuł: Die Quellen der römischen Petrussage. Kiel 1872. Nie znamy go sami i przytaczamy podług Renana, który z tym wywodem się zgadza: L'Antechrist, str. 555, 161, przypisek 4, (tu są przytoczone niektóre źródła) etc.
50) Rzym str. 26—31, 42, 45, 44, 36, 53.
51) Rzym 62, 69, 126.
52) Ib. 77, 81, 80, 135.
53) Rzym 116, 148—150, 153, 156, 155, 194.
54) Rzym 198, 215 127.
55) Rzym 221, 223, 232, 235, 237, 238.

56) Tacit. Ann. XIII, 32, nie nazywa jéj wyraźnie chrześcianką, otwiera wszakże drogę do domysłów, a Renan i Merivale VI, 441 skłonni są tłumaczyć tekst w sposób zgodny z domysłem Kraszewskiego.

II.

1 Stara Baśń 1876. 2) Lubonie 1876. 3) Bracia Zmartwychwstańcy 1876. 4) Masław 1877. 5) Królewscy Synowie 1877. 6) Historya prawdziwa o Petrku Właście, Palatynie 1878. 7) Stach z Konar 1879.

W zwykłéj, dobrze pojętéj historycznéj powieści niejest historya ani głównym celem, ani też nawet poważniejszym czynnikiem, ona jéj tylko wątku i szczegółów obrazowych dostarcza. Powieściopisarz, stawiając sobie jakąś kwestyę psychologiczną, tworząc pewne charaktery i obmyślając ich wzajemne na siebie oddziaływanie, częstokroć nie znajduje w dzisiejszych stosunkach życia należytego tła i warunków, wśród którychby się te charaktery mogły rozwinąć a myśl przewodnia jego powieści uwidocznić. Szuka więc tego tła i tych warunków w nieprzejrzanéj kopalni przeszłości, znajduje i na téj kanwie rzecz swoję umieszcza, jéj szczegółami ją rzeźbi i barwi. Częściéj jeszcze musi się do historyi uciec autor powieści, jeżeli przedmiotem jego myśli i wyobraźni są polityczne pytania, zajmujące żywo społeczeństwo, wśród którego się piszący obraca, posiadające dlań chwilową lub trwałą ale istotną, wielką doniosłość i wagę. Powieść tego rodzaju, z wybitném politycznem lub społecznem dążeniem, trudniéj jeszcze niejednokrotnie na tle dzisiejszych stosunków umieszczać, łatwiéj nieraz wynaleść je w historyi, która przecież z życiem obecném nieprzerwany stanowi związek i sposobem przykładu i nauki skutecznie na nas wpływa i działa. Autor piszący takie historyczne powieści musi oczywiście nad dziejami zupełnie panować, musi odtworzyć nam społeczeństwo żywe, postawić nam przed oczy cały zasób jego myśli i uczuć, jego warunków, urządzeń i środków. Inaczéj zamiast rzeczywistego dałby powieści swojéj za podstawę tylko ckliwy i nużący szablon. Panując nad historyą, nie jest jednak powieściopisarz nią bynajmniéj związany, fantazya jego twórcza ma tu jedyną granicę nie w historycznéj, ale w psychologicznéj prawdzie, nikt się go nie zapyta, czy wiernie odtworzył historyą, jéj dążenia, charaktery i walki, każdy rad będzie nawet z tego, że historyą do wyższego tonu, na pewien koturn podniesie, byleby jego obraz był historycznie możliwym, byleby się z naturą ludzką, z istotą podanych w nim warunków dziejowych nie mijał, przeciw prawom rozwoju społeczeństw nie grzeszył. W powieści historycznéj właściwéj, taksamo jak w dramacie lub epopei odgrywa historya rolę ważną, ale musi pierwszeństwo na rzecz myśli przewodniéj i artystycznéj konstrukcyi bezwzględnie ustąpić.

Z całkiem odmiennego punktu widzenia sądzić musimy powieści, które się pospolicie zowią również historycznémi, któreby jednak właściwiej było nazwać obrazami, illustracyami historycznémi, skreślonémi w postaci powieści. Takie zadanie podjął Kraszewski w szeregu utworów, których tytuły podaliśmy wyżéj. Jestto szereg obrazów powieściowych, objaśniających, uplastyczniających nasze dzieje już do końca XII-go wieku, dalsze obrazy obejmą dzieje następne aż do końca Rzeczypospolitéj. W „Staréj Baśni“ mamy obraz ludów słowiańskich przed powstaniem polskiego państwa, w „Luboniach“ panowanie Mieszka I-go, w „Braciach zmartychwstańcach“ rządy Bolesława Chrobrego, w „Masławie“ bunt Masława i odrodzenie Polski przez Kazimierza, w „Boleszczycach“ walkę Bolesława Śmiałego ze ś. Stanisławem, w „Synach Królewskich“ zapasy Krzywoustego ze Zbigniewem, w „Petrku Właście“ zatargi synów Krzywoustego po podziale kraju, w „Stachu z Konar“ rządy Kazimierza Sprawiedliwego. Wątek każdéj powieści wzięty jest z codziennego życia, dostarczyły go często legendy pojedyńczych prastarych rodzin, występują w nim osobistości, stojące na niższych szczeblach hierarchii społecznéj, dając témsamém sposobność do skreślenia społeczeństwa w jego codziennem życiu, ale ponad tym wątkiem powieściowym górują zawsze wielkie historyczne osobistości, one każdéj powieści dostarczają właściwych bohaterów, one czytelnika, obznajmionego już z życiem codzienném wszystkich warstw narodu, wprowadzają na widownią wielkich, rozstrzygających o dalszym rozwoju politycznym zapasów. Powieści przesuwają się w chrono-

logicznym porządku, ściśle ze sobą się wiążą i łączą, i stanowią témsamém ciągłą nieprzerwaną illustracyą naszéj wewnętrznéj i zewnętrznéj historyi w jéj najszerszém cywilizacyjném pojęciu. Kto zna historyą ze wszystkiemi jéj szczegółami, ten w powieściach tych znaleść ma próbę połączenia tych szczegółów w jeden plastyczny obraz, kto ją zna słabo, kto jéj nie zna wcale, kto niema dość skupionéj myśli, ażeby ją sobie przez naukę przyswoił, ten ma ją poznać z powieści, ten ma z powieści wynieść do nauki historyi zachętę i otuchę. W takich historycznych powieściach, historya staje oczywiście na pierwszym planie, ona sama jest celem, artystyczna konstrukcya jéj narzędziem i środkiem.

Oceniając w tém, jedynie, jak myślę, właściwém świetle „powieści historyczne“ Kraszewskiego, o których mowa, uznać je trzeba dziełem znakomitém i niepospolitéj praktycznéj doniosłości i wagi. Czynią one zadość dwom swoim zasadniczym wymogom. Jest w nich znajomość historyi z pierwszéj ręki, ze źródeł, taka, jaką się żaden z naszych powieściopisarzy, niehistoryk, nie może poszczycić. Ustępy źródeł wplecione są w opowiadania w sposób nadzwyczaj zręczny, wyczerpnięte wszystkie, rozszerzone z zachowaniem właściwéj miary, uzupełniane troskliwie wynikami najnowszych umiejętnych badań. Skrupulatny na polu nauki historycznéj pedant, byle z warunków artystycznego tworzenia zdawał sobie sprawę, nie zarzuci autorowi przesady lub fantastyczności, uzna jego gorliwość w trzymaniu się ściśle historycznego gruntu. Szersza publiczność dostaje w powieściach osnowę, która błędnémi pojęciami wiadomości jéj nie skrzywi i nie zamąci. Pod względem artystycznym są to niewątpliwie illustracye niezwykłéj wartości. Autor, czerpiąc wprost ze źródeł, zdobył się na koloryt, do kolorytu czasów pierwotnych co najmniéj wielce zbliżony i nigdzie z nim w jawnéj nie stojący sprzeczności. Charakterystyka osób uzupełnia się pięknemi obrazami przyrody w ówczesnym jéj stanie, osoby występują wolne od wszelkiéj szablonowości, działalności ich i wywiązujące się ztąd wypadki przedstawione są z nadzwyczajnym spokojem, prostotą a nieraz z poezyą i prawdziwém mistrzowstwem, i to jest druga „powieści historycznych“ niepospolita zaleta.

Braki i wady, jakie w nich znajdujemy, tłumaczą się natomiast wszystkie naturą podobnego przedsięwzięcia, naturą tego rodzaju illustrujących historyą powieści. I nad témi mamy się zastanowić.

Illustrować w powieściach historyą, kiedy ta historya nie jest dotychczas umiejętnie zbadaną, kiedy najważniejsza dla powieściopisarza historya wewnętrznych stosunków pogrążona jest w prawdziwym zamęcie najsprzeczniejszych ze sobą zdań i najdowolniejszych hipotez—oto pierwsza największa przeszkoda. Pokonał ją zwycięzko Kraszewski, stanął w obec czytelnika z taką znajomością historyi, z tak trzeźwém i rozważném uchwyceniem jéj najwięcéj charakterystycznych rysów, jakiém się żaden z jego współzawodników poszczycić nie może. Rządy kmiecce w „Staréj Baśni,“ powstanie władzy książęcej w „Luboniach,“ rycerstwa w „Zmartwychwstańcach,“ wybuch reakcyi pogańskiéj w „Masławie,“ wzrost kościoła i jego hierarchii w „Bolesczycach,“ obrona władzy królewskiéj i jedności państwa w „Synach Królewskich,“ rozterki dynastyczne i wzrost możnowładztwa w „Petrku Właście,“ wszechwładza panów duchownych w „Stachu z Konar,“ wszystkie te zwrotne punkta naszych pierwotnych dziejów występują tak plastycznie, tak żywo, z tak wyrazistém nacechowaniem ich kolejnego powstania i rozwoju, że ten, kto „powieści historyczne“ uważnie przeczytał, musi je zrozumieć i pojąć i już o nich zapomnieć nie może. Z pośród mnóstwa naukowych hipotez wybrał autor bystrym swym umysłem najprostsze i dla tego niewątpliwie najwięcéj do prawdy się zbliżył. Wziąwszy sobie za przewodnika znakomitą pracę Roepella, umiał się przy niéj konsekwentnie utrzymać i dla ponętnych, ale fantastycznych hipotez Lelewela lub Szajnochy wyników jéj nie poświęcił. Występując z mniejszém umiarkowaniem, z większym zasobem fantazyi, apodyktyczności i tendencyi mógł autor podnieść niezmiernie artystyczną stronę powieści, wlać w nie więcéj zapału i życia, zbudzić głębszy interes, ale cel dydaktyczny, popularny, powieści byłby na tém niewątpliwie stracił. Są one nieco blade, w szczegółach za mało wyraziste, zbyt nieraz spokojne, nie wzruszają, ale też i nie drażnią; co w nauce jest dzisiaj niejasném, wątpliwém, to i w powieściach utrzymaném jest w niejasności, w półcieniu.

Illustrować historyą pierwotną narodu, która choćby już najlepiej była opracowaną, tak przerażająco jest skąpą, skąpą w prawdziwe, niezbędne dla powieści szczegóły i obrazy—oto druga a niemała trudność. O historyi naszéj przedchrześciańskiéj niewiemy nic zgoła, do całych dziejów X-go

i XI-go wieku mamy tylko suche rocznikarskie zapiski i późniejsze legendy, dopiero z początku XII-go wieku posiadamy w kronice Galla szerszy współczesny obraz ówczesnego narodu i państwa, ze środka tegoż wieku zakwestyonowaną w swéj autentyczności biografią Piotra Własta, z początków XIII-go stulecia bogatą kronikę Kadłubka. Z tak szczupłego materyału utworzył Kraszewski ośm historycznych powieści. Z trzema ostatniémi rzecz była stosunkowo łatwa, oparł je autor na kronice Galla, biografii Piotra i kronice Kadłubka; dla ludzi, któ, rzy dla braku znajomości łaciny i głębszego wykształcenia pięknych tych historycznych pomników nie mogą czytać w oryginale, przełożył je autor na język polski w sposób barwny i zajmujący. Trzymając się wiernie toku ich opowieści, wyzyskał z godną uznania troskliwością ich najdrobniejsze szczegóły i wzmianki, wyzyskał ich współczesny, prawdziwy koloryt. „Królewscy Synowie“ „Historya o Petrku“ i „Stach z Konar“ przemawiają też do czytelnika kolorytem tym, obfitością szczegółów i bogactwem prawdziwéj treści najwięcéj z pośród ośmiu powieści. „Stara Baśń“ jest zupełnie dziełem fantazyi, posługującem się analogią innych współczesnych, lepiéj nam znanych plemion słowiańskich i kunsztowną retrospekcyą z naszéj późniejszéj historyi. Dla czterech powieści pomiędzy „Starą Baśnią“ a „Królewskimi Synami,“ brakło również historycznéj podstawy w kreśleniu wewnętrznych stosunków, wziął ją autor z kroniki Galla, nieco tylko przez kombinacyą zmieniając; w powieściach tych nie zdolal się téż ustrzedz rozwodnienia jednego i tego samego materyału i nużącéj nieraz, z ciągłego powtarzania wynikającéj monotonii. Wolelibyśmy, gdyby autor po „Staréj Baśni“ napisał zaraz powieść z czasów Krzywoustego, na kronice Galla opartą, uderzającą charakterystyką ówczesnego społeczeństwa i państwa, realizmem postaci historycznych wybitną, a w powieści takiej znalazłoby się miejsce, ażeby za pomocą wtrąconych epizodów, na dawniejsze czasy rzucić potrzebne światło, i streszczając wiernie legendy, przedstawić, jak w onych czasach na czasy te zamierzchłe się zapatrywano. Materyał historyczny w jednéj skupiony powieści, skrystalizowany, podniesiony, robiłby na umyśle czytelników o wiele głębsze, niezatarte wrażenie.

Tłumaczyć najstarsze kroniki w formie powieści, w sposób przystępny, plastyczny i barwny, wdzięczne to niewątpliwie i pożyteczne zadanie, ale każda z tych kronik stoi na odmienném stanowisku, każda w swojém świetle wypadki przedstawia i ocenia, rażące między niémi zachodzą sprzeczności. Kronika Galla jest apoteozą siły i jedności państwa w osobie Krzywoustego, biografia Piotra Własta, broniąc samoistności możnowładztwa, potępia te zasady w osobie Władysława II-go, kronika Kadłubka, apoteozując wszechwładzę hierarchii kościelnéj, rzuca kamieniem potępienia na Mieszka Starego, który w ślady polityki swego brata Władysława i ojca Krzywoustego wstępował. W szeregu powieści historycznych, obejmujących te czasy, musi jednak być ten związek; powieściopisarz niemoże w każdéj powieści iść bezwzględnie za kroniką, która jéj za podstawę służy, nie może sądu swego historycznego nieustannie zmieniać, porzucając zaś sąd kronikarza traci témsamém wiele szczegółów i współczesny koloryt. Trudność to może największa. Rozwiązując ją, starał się Kraszewski pośrednie stanowisko zająć. Nieporzucił kronikarza, w jego świetle przedstawia wypadki, ale w licznych, zręcznie wtrąconych uwagach wymierza im ostrą nieraz krytykę i w ten sposób jednolitość swego sądu historycznego utrzymać się stara. Za Gallem idzie bezwarunkowo, trzymając się następnie biografii Piotra, przedstawia w ujemném świetle Władysława II-go, ale winy jego raczéj na wady osobiste charakteru jego i jego żony Agnieszki, niż na politykę Bolesławowską zwalić się stara a możnowładztwu ostrych słów nagany nie szczędzi. Idąc daléj z Kadłubkiem, potępia Mieszka, lecz również raczéj dla jego osobistych przywar i ułomności, znaczenie kościoła i biskupów podnosi, ale zarazem w sposób nader zręczny daje na każdym kroku do poznania, że zbyteczna przewaga kościoła i kryjąca się pod jéj płaszcz swawola ziemian sprawie publicznéj szkodzi, bytowi państwa zagraża. Niepodobna metodzie téj odmówić wielkiéj zręczności i zalet, lub wskazać inny sposób rozwiązania niemałéj trudności, ale niepodobna również zaprzeczyć, że takie traktowanie szkodzi niezmiernie jednolitemu wrażeniu powieści. Czytelnik lekkomyślny krytykę tę niejako nawiasową pominie, czytelnik, głębiéj sięgający, niewié po czyjej stronie stanąć, czy po stronie sympatycznie skreślonych, ale szkodliwie lub słabo działających osobistości, czy też po stronie postaci historycznych,ujemnych swoim charakterem, wielkich ideą, którą pojmują i któréj nieszczęśliwie służą. Człowiek wytrawniéjszy, niepotępi Władysława II-go i Mieszka Starego, którzy bronili sztandaru polityki pia-

słowskiéj, i do jedności państwa i złamania możnowładztwa dążyli i przeczytawszy powieść zapyta, dla czego autor jéj stał się odgłosem potwarzy, rzuconych na charakter tych osobistości przez kronikarzów służących przeciwnemu im obozowi?

Oto ujemne strony powieści, których celem nie jest powieść, jako powieść, lecz objaśnienie i rozpowszechnienie znajomości naszych pierwotnych dziejów. Dodalibyśmy do nich jeszcze jednę, t. j. pośpiech w pisaniu. Bez tego pośpiechu nie może stanąć tak wielkie a pożyteczne dzieło, pośpiech ten jednak szkodzić musi niejednokrotnie artystycznéj konstrukcyi powieści. Czuć wszędzie, że autor całéj swéj wyobraźni, całego talentu w układzie i budowie powieści, całego mistrzowstwa w skreśleniu szczegółów nie wyczerpnął, razi nas często pewna przewlekłość w opowiadaniu lub powtarzanie jednych i tychsamych rzeczy, lecz każdy bezstronny krytyk przyzna, że być inaczéj nie mogło.

Do tych ogólnych uwag, dorzucimy jeszcze kilka spostrzeżeń o pojedyńczych powieściach.

Prześliczną, na wskroś poetyczną, prawdziwą epopeją jest „Stara Baśń.“ Ale podanie o strąceniu Popiela, a wyniesieniu Piasta, jak je Kraszewski w téj powieści przedstawił, nie oznacza w dziejach naszych żadnéj stanowczéj zmiany. Popiel, był to kniaź okrutny i niesprawiedliwy, nie szanujący swobód słowiańskich, więc z dynastyą swoją upada. Wybierają prawość wcieloną, Piasta; ale swobody słowiańskie prowadzą do anarchii. Piast zaś nie rozwiązuje trudnego zadania, w powieści trzyma się z dala od wszelkiéj polityki, ucieka w lasy przed wołającym go na stolec książęcy wiecem. Czy taki człowiek bez żadnego programu mógł założyć wielką dynastyą? niepodobna. To też w dalszych powieściach potomkowie Piasta wstępują nie w jego, ale w ślady Popiela i przemocą, oraz instytucyami z zachodu przejmowanémi władzę swoją wzmacniają a swobody słowiańskie łamią. Pocóż więc strącono Popielową dynastyą? Co najwięcéj dla tego, że trzymała z Niemcami. Ale jedna ta okoliczność, pomijając już, że prawdopodobieństwo historyczne za nią nie przemawia, nie tłumaczy nam jeszcze powstania naszego narodu i państwa, które nastąpiło przez połączenie drobnych ludów mieszkających między Odrą a Wisłą i narzucenie im żelaznéj centralizacyi. Jeżeli zaś autor faktu tego nie chciał obrać za główną osnowę pierwszéj powieści, jeżeli w „Staréj Baśni“ zamierzchłe stosunki chciał rozmyślnie pozostawić w zamęcie, to należało może w silniejszém świetle podnieść i uwydatnić pewne dążenia i pierwiastki, mające za podstawę do budowy państwa i narodu polskiego posłużyć.

Dobrze pomyślana i zbudowana powieść: „Lubonie,“ budzi wielki interes, ale zajęcie to słabnie w chwili, kiedy autor w sposób zbyt przewlekły zaczyna opowiadać kunktatorstwo Mieczysława w przyjęciu i ogłoszeniu chrześciańskiéj nauki. Czy Mieczysław w zaprowadzeniu chrześciaństwa, mając za sobą hierarchią urzędniczą i wojskową, miał się bezbronnych tłumów pospólstwa obawiać, latami zwlekać i kościół chrześciański przeprowadać połowicznie, cichaczem? Nawet słaby Jagiełło mężniéj sobie postąpił, a przenoszenie jego charakterystycznych rysów na wielką postać Piastowicza, duchem inicyatywy imponującą, nie jest szczęśliwym pomysłem. Mieczysław nie jest téż głównym bohaterem powieści, lecz są nimi apostołowie chrześciaństwa, skreśleni z wielkiém życiem i uderzającą prawdą.

Najsłabszą ze wszystkich powieści są „Zmartwychwstańcy.“ Autor zniżył ją do tonu rodzajowych obrazków. W powieści, w któréj idzie o zbudowanie uniwersalnéj słowiańskiéj monarchii, bohaterem nie jest sam Bolesław Chrobry, lecz jakichś dwóch rycerzów, a na drugim planie opat Aaron; król, który był wcieleniem idei tworzącego się państwa, odgrywa tylko bierną, trzeciorzędną rolę. Widzimy tu zresztą Bolesława na schyłku jego życia, siedzącego w Poznaniu, myślącego tylko o zapewnieniu całości państwa przez uzyskanie korony od papieża i przekazaniu jéj synowi, w którego dzielności słabe pokłada nadzieje. Chrobry już wszystkiego dokonał: i państwo ogromne zjednoczył i od Ottona koronę uzyskał,— Bolesław w powieści myśli o prawném i legalném utrwaleniu swojego dzieła i w rachunkach swoich—jak świadczy panowanie Mieszka II-go i Kazimierza, na które autor w epilogu kilka świateł rzuca—zupełnie się zawodzi. Niemcy mają się go bać, ale i on prawdopodobnie boi się Niemców. Bili się z sobą niegdyś, ale teraz cicho siedzą i spokojnie na siebie patrzą. Niebył to sposób do scharakteryzowania bohatera, ktory z orężem w ręku Polsce przystęp do morza otworzył, żelaznemi słupami w rzekach naznaczał granice, idei niemieckiéj przeciwstawił ideę słowiańską i po śmiertelnych walkach zdobył jéj w r. 1000 formalne uznanie w polityce powszechnéj, europejskiéj. Wprawdzie

i w Iliadzie Achilles długo tylko narzeka i grozi, ale kiedy wybiła chwila działania, kiedy stanął na okopach i zjawieniem się swojem wojsko trojańskie w bezładną wprawił ucieczkę, widzimy, że wyobrażenie, jakieśmy sobie o bohaterze tworzyli, sprawdziło się, uczucie uwielbienia nami owłada. Tymczasem w „Zmartwychwstańcach“ czekamy na takie zbudzenie się Bolesława, czekamy długo, aż do ostatniéj chwili na próżno. Bolesław nie dobywszy oręża umiera a czytelnik rozstaje się z nim raczéj z żalem do niego, niż z uwielbieniem. W ogóle pisząc powieść z czasów Mieczysława lub Bolesława nie można już nic podnieść jéj do epicznych rozmiarów.

O wiele wyżéj od „Zmartwychstańców“ stawiamy „Masława.“ Cechuje go konsekwentne i żywe rozwinięcie wątku powieściowego, oraz piękna i dobrze utrafiona charekterystyka historycznych postaci. Dzikim obrazem spustoszenia kraju i zniszczenia owoców jego dotychczasowéj cywilizacyi rozpoczyna się powieść, mająca nam przedstawić gwałtowną reakcyą przeciw nowemu porządkowi, jaka wystąpiła na jaw po śmierci Mieszka II-go, po wypędzeniu Ryxy i syna jéj Kazimierza. Na tle tego obrazu, oświeconego łuną najazdów pomorskich i czeskich i morderczémi grabieżami zbuntowanego chłopstwa, rysuje się w ponurém świetle złowroga, ale wielka postać Masława, który z parobka dworskiego umiał się wznieść na najwyższe godności, wśród ogólnego zamętu władzę książęcą na Mazowszu uchwycił, a o wyswobodzeniu reszty kraju z pod obcych najeźdzców i założeniu nowéj własnéj, w miejscu piastowskiéj, dynastyi marzył. Cała powieść trzyma się ściśle historycznego toku wypadków a uczynilibyśmy chyba ten zarzut, że nie zużytkowała dwóch nader ponętnych motywów. Autor przedstawia cały bunt Masławowy, jako rewolucyą jedynie socyalnéj natury, zapominając, że w buncie tym grała omal, że nie ważniejszą rolę odrębność ludów, składających ówczesną Polskę, które przez długi czas siłą tłumione, podniosły się gwałtownie przeciw gniotącéj je centralizacyi Piastowskiéj. Nietylko na Mazowszu podniósł głowę Masław; podług wyraźnego świadectwa Kadłubka i w innéj części kraju znaleźli się ludzie w rodzaju Masława, którzy siłą swego charakteru narzucili się na przywódzców ruchu separatycznego pojedyńczych dzielnic i niezatarte jeszcze w pamięci ludu stanowisko książąt dzielnicowych zajęli. Jedni z nich ugięli się pierwéj, drudzy póżniéj przed Kazimierzem, najsilniéj trzymał się Masław, bo poczucie odrębności najmocniéj się trzymało na Mazowszu. Tylko też Masława imię przechowała historya, ale powieściopisarz mógł był i powinien innych Masławów na Szląsku, w Krakowie, Gnieźnie lub Łęczycy postawić i przez wzajemne ich ze sobą ścieranie się powrót Kazimierza umotywować. Ujemną również stronę powieści stanowi ta okoliczność, że stosunek osobisty Masława do ruchu, na którego czele stanął, nigdzie nie jest dokładnie skreślonym. Niemożemy przecież przypuścić, ażeby Masław, który wzrósł na królewskim dworze i wysokie dostojeństwa posiadał, przewrotowi socyalnemu i chłopowładztwu z przekonania sprzyjał. Ambicya jego kazała mu się na tym ruchu oprzéć, ale czuł pewno jego słabość i niezdolność do wszelkiéj organizacyi. W duszy Masława wrzeć też musiała walka wewnętrzna, która w miarę zbliżającego się upadku nabierała prawdziwie dramatycznego charakteru. Niebyłże to prześliczny motyw dla powieści?

„Boleszczyców“ cechuje wielka obfitość treści, rozmaitość charakterów, tragiczność wypadków, obracających się około zabójstwa ś. Stanisława i wygnania Bolesława Smiałego. Największą téj powieści zaletą jest ściśle historyczne, wolne od wszelkiej przesady, pojęcie tak trudnéj a drażliwéj dla historyka postaci, jaką jest ś. Stanisław. Autor całą działalność biskupa krakowskiego związał ściśle z ruchem ówczesnym kościelnym, reprezentowanym przez Grzegorza VII-go i w obec natury dobréj w gruncie, ale dzikiéj i niepokonanéj w żądzach i dumie swéj, Bolesława, postawił biskupa nieugiętego w przekonaniach, nieznającego pobłażania i miłości tam, gdzie obrażoną była zasada kościelna, zasada przewagi kościoła nad państwem. Pomiędzy takiémi osobistościami, skreślonémi na początku powieści, czuje czytelnik, że przyjść musiało do śmiertelnéj walki. Katastrofa zbliża się nieubłagana a jéj ofiarą pada naturalnie Bolesław. Do podniesienia tych dwóch głównych postaci, do narysowania ich stosunku względem całego narodu, przyczyniają się doskonale drugorzędne postacie w powieści, a w szczególności wpleciony w całą powieść obraz rycerskiego rodu Jastrzębców i jego zachowanie się w obec wielkiéj tragedyi dziejowéj. Kiedy cały ród razem z ogółem duchowieństwa i rycerstwa staje przeciw Bolesławowi, kilku Jastrzębców, których król na swój dwór przyjął, zachowuje mu wierność, a w chwili, w któréj przyszło wybierać między królem a polityką własnego rodu, zrywa solidarność i wę-

zły łączące ich z rodem. Była to zbrodnia tak straszna, iż później, po katastrofie, w chwili ogólnego pojednania, ród Jastrzębców przebaczyć jéj niemógł, i tych, którzy do niego wracali, po surowym sądzie na nowo odepchnął. Odepchnięci dali nowemu rodowi Boleszczyców początek. Instytucya „rodów" odgrywająca tak wielką rolę w początkowéj naszéj historyi, znalazła w powieści téj wyborną, szczegółową a wielce plastyczną illustracyą.

O trzech ostatnich powieściach mówiliśmy już w ogólnych uwagach. Każda z nich, popularyzując osobną kronikę, nosi na sobie jéj wybitne piętno. Zbliżają się one prawie do opowiadania historycznego, do którego źródła dostarczają już obfitego materyału. „Królewscy synowie" obracają się w sferze politycznych zapasów. Niedołężny Władysław Herman, dumny wojewoda Sieciech, zdradziecki Zbigniew i górujący nad wszystkimi Bolesław Krzywousty, występują tam w wielkich psychologicznie i historycznie z prawdą nakreślonych rysach. W historyi „Petrka" dramat familijny rozwija się na tle wybuchających pomiędzy synami Krzywoustego zapasów. W „Stachu z Konar" wypadki polityczne znowu na pierwszy plan występują, ale do urozmaicenia i ożywienia ich służą wybornie liczne legendy rodowe, wplecione w sposób nadzwyczaj misterny i utrzymujące uwagę czytelnika w naprężeniu aż do ostatniéj chwili.

M. Bobrzyński.

III.

Wiek XVI i XVII.

1) Kościół ś. Michalski 1833. 2) Rok ostatni panowania Zygmunta II. 1833. 3) Mistrz Twardowski 1840. 4) Stańczykowa kronika od r. 1505 do 1508, 1841. 5) Ostatnia z książąt Słuckich 1841. 6) Żacy Krakowscy 1845. 7) Zygmuntowskie czasy 1846. 8) Kordecki 1852. 9) Powrót do gniazda 1874. 10) Żywo i sprawy JMPana Medarda z Gołczwi Pelki 1876. 11) Pamiętnik Mroczka.

Taine pisze, że we Francyi kursuje półtora miliona tomów dzieł Waltera Skotta, i dodaje: „wszyscyśmy się z niego uczyli historyi". Tak było i gdzieindziej, a nietylko ogół publiczności zachwycał się urokiem obrazów i figur historycznych w powieściach Waltera Skotta i uczył się z nich historyi, lecz i najlepsi pisarze uczyli się od niego pisać nietylko powieści historyczne, ale i historyą: Cooper, Dickens, („Barnaby Rudge"), Bulwer („Rienzi", „Devereux"), Manzoni („I promessi sposi"), W. Hugo („Notre Dame de Paris"), nawet G. Freytag („Soll und Haben"), z historyków Macaulay i Thierry („Histoire de la conquête de l'Angleterre"), i Ranke nauczył się wiele z Waltera Skotta. Był to więc niepospolity mocarz literatury, który ją popchnął na nowe tory w powieści i w sposobie opowiadania w ogóle: za powieścią wierszowaną poszła powieść prozą pisana (od r. 1814), w jednéj i drugiéj powoływał do życia przeszłość żyjącą jeszcze w tradycyi i przedstawiał z niezwykłą znajomością miejsc, czasów i ludzi i z niezwykłém mistrzostwém: antykwaryusz, turysta, prawnik i poeta składali się w nim na ten potężny talent malowania przeszłości; co antykwaryusz z wielkiém zamiłowaniem wystudyował, i co turysta zwiedził, z tego doświadczony prawnik snuł zręcznie relacyą, a poeta to wszystko wznosił w sferę sztuki, usuwał w należytą perspektywę i w ruch wprawiał wedle praw artyzmu, rozkładał czynność, jak w dramacie, jednakże wedle prawideł epiki. Charakter jego powieści dziwnie rozgrzewał i zapalał imaginacyą: zawsze w nich pełno życia i szczęku oręża i zaciętych walk, zawiłość lub jądro wydarzeń stanowi uciśniona niewinność, uwolniona kochanka, tajemniczy rycerz i dość swoją miarą cudowność, a tło stanowią piękne krajobrazy, przedewszystkiem owe urocze, dumające wśród gór, szkockie jeziora!

Za przykładem innych krajów i w Warszawie i Wilnie posypały się tłumaczenia i naśladowania Walter Skottowskich romansów. Roku 1822 zaczęły w Warszawie wychodzić pisma historyczne W. Skotta, tłumaczone na polskie przez różnych autorów, aż do r. 1837 urosła z tego przedsięwzięcia biblioteka z 50 tomów złożona, i w Wilnie wychodziły tłumaczenia W. Skotta na język polski. Niebawem zaczęły się pojawiać i oryginalne powieści historyczne w języku polskim. Już r. 1820 Bernatowicz (bezimiennie)

napisał romans: „*Nierozsądne śluby*“ w formie listów, osnuty na tle wieku XVI, ale powieść w swoim czasie rozgłośna, nie ma nic wspólnego ani z romansem historycznym, ani z historyą, pomimo wprowadzenia Montluca na scenę; w takimże rodzaju jest powieść „*Julia i Adolf*“ Kropińskiego z roku 1824, gdzie rzecz niby wzięta z czasów Zygmunta Augusta; o wiele więcéj trafiał w ton historycznego romansu Niemcewicz w „*Janie z Tenczyna*“ (r. 1825), choć osoby powieści pomimo nazwisk historycznych są właściwie typami lub portretami osób Niemcewiczowi współczesnych, podobne więc do tych panów i pań, którzy przy obiedzie wydanym autorowi na imieniny, ukazali się w strojach osób, występujących w „Janie z Tenczyna“. Niemcewicz powieścią swoją wydał hasło, i odtąd posypały się powieści w guście Waltera Skotta: r. 1826 ukazała się najlepsza powieść historyczna „*Pojata*“ Bernatowicza, r. 1827 wyszły dwie historyczne powieści hr. Skarbka: „*Damian Ruszczyc*“ i „*Tarło*“, r. 1828 wystąpił znów Bernatowicz z nową powieścią historyczną „*Nałęcz*“, a Wężyk napisał: „*Władysław Łokietek czyli Polska z XIII w.*“ i „*Wincenty z Szamotuł*“, daléj szedł Jaszowski, Gaszyński, Zygmunt Krasiński i inni. Od r. 1826 ukazywały się w tłumaczeniu polskiem powieści Alexandra Bronikowskiego: *Mysza Wieża*, *Więzienie Jana Kazimierza*, *Hypolit Boratyński*, *Kazimierz W. i Esterka*, *Zawieprzyce* i inne, w których pomimo zaprzeczenia autora był sposób przedstawienia rzeczy Walterskottowski. Tłumaczenia te podejmowane przez Adr. Krzyżanowskiego, Królikowskiego i innych, z wielkiém były czytane zajęciem; po r. 1830 występowali coraz nowi romansopisarze na polu powieści historycznéj: Gąsiorowski Franciszek (Nowowiejski, 1833), Wojcicki (1834), M. Grabowski (1837), M. Czajkowski (1837), Adam Gorczyński (1838) i inni.

Kiedy Kraszewski wystąpił na pole powieści, zastał już repertoar romansów historycznych dość zasobny i ogólne w publiczności do nich upodobanie; miał „za sobą pochwały mody i smaku“ (Wędrówki Literackie Kraszewskiego 1838 str. 103. Jednakże Kraszewski nie zaczął od powieści historycznéj. Jego rodzaj był inny. Zachwycił go Hoffmann [1]) fantastycznémi powieściami, hołdował więc temu kierunkowi w romansie, gdzie „fantazya mięsza marzenia i myśli i nadzieje ludzi z tém, co się rzeczywiście dzieje“, i wielbił Hoffmana, Jean Paula, Sterna, Rabelais'go, — o Walter Skocie wiele nie trzymał. „Popularność W. Skotta (mówi w artykule: „O polskich romansopisarzach“ w *Wizerunkach i Roztrząsaniach Naukowych*, poczet nowy, tomik XI, r. 1836 str. 97) dowodzi zapewne, że nie był jednym z najoryginalniejszych geniuszów, ani Hoffmannem, ani Jean Paulem, ani Rabelais'em, ani Sternem. Bez wątpienia, prędzéj znajdzie się sto dobrych naśladowań W. Skotta, niż jedno Jean Paula lub Sterna, bo na *to* potrzeba smaku, talentu“;— w inném miejscu „niepomiernéj sympatyi dla przeszłości“ przypisywał liczne romanse historyczne.— Dało się wprawdzie wiele powiedziéć przeciw romansowi historycznemu: był on podobnie, jak wiele pojawów w romantyce, wyrazem tęsknoty za przeszłością, ucieczką w czasach rewolucyjnych do czasów wiary, porządku i poezyi, ale w miejsce złudzeń poetycznych dawał on złudzenie prawdy historycznej, i owo wyznanie Taine'a „wszyscyśmy się z Waltera Skotta uczyli historyi“ jest większą dla Walter Skotta pochwałą, niż dla właściwéj historyi.— Mickiewicz w drugim roku prelekcyi o literaturze nar. słow. rzucił słowo potępienia na Waltera Skotta, że w nim pycha zrodziła pretensyą, iż chciał wymierzać całą rozciągłość duchowego i ziemskiego zawodu swych bohaterów, że przedmioty historyczne są, jak owoce hesperydów, i nie wolno ich zrywać bezkarnie, tylko wielkim mistrzom powieściopisarskim, i mówił, że metoda upowszechniona przez W. Skotta zrobiła wiele klęsk w literaturze słowiańskiéj.— Gerwinus w historyi liter. niem. nazywa W. Skotta twórcą poetycznych łatanin, które wykrzywiają oblicze historyi a zmysłu artystycznego nie kształcą,— a jeżeli trafną jest definicya romansu przez Vischera sformułowana, że romans jest obrazem rzeczywistości z doświadczenia pojętéj (erfahrungsmässig erkannte Wirklichkeit), to romans historyczny traci racyą bytu, bo najdokładniejsze studyum historyczne nie zastąpi własnych, w życiu doznanych wrażeń i poczynionych spostrzeżeń.

Podobne mógł miéć Kraszewski skrupuły co do romansu historycznego, i jego definicya romansu, którą umieścił na początku artykułu o polskich romansopisarzach (str. 95), że „romans i powieść są obrazem jakiejkolwiek epoki świata, życia, widzianéj nie wielkiém, skupiającém okiem historyka, ale drobnostkową, mikroskopową źrenicą“,

[1]) Wędrówki liter. Kraszewskiego 1838 str. 97 w artykule: „Nieboszczyk Hoffmann“.

pokazuje, że pojmował romans historyczny nie w tym, co W. Skott, i jego szkoła, sposobie. A choć Kraszewski nigdzie W. Skotta wprost się nie wyrzeka, to jego szkołę, jego naśladowców nizko cenił. „W ślady szkockiego powieściopisarza rzuciły się roje gryzmołów, z kronikami w ręku, z rysunkami i mappami miejsc, z księgami o starożytnościach narodowych; na nieszczęście, wybierając się w drogę, ci wędrowcy pozapominali tylko talentu". Ze związku, w jakim te słowa się mieszczą, nie wypływa, ile z téj ostréj nagany spada na polskich romansopisarzy, którzy szli śladem *proroka przeszłości*, jak W. Skotta nazywał M. Grabowski, jednakże nieprzychylne o polskich romansach historycznych zdanie w tymże samym artykule pokazuje, że pomiędzy tymi „gryzmołami" niefortunnymi mieścił w swéj myśli także polskich naśladowców W. Skotta. Z polskich romansów historycznych jedynie „*Jan z Tenczyna*" uzyskał względną i przychylną jego krytykę. „*Jan z Tenczyna*" jest przebraniem W. Skotta w kontusz i żupan ze szkockiego tartanu i plaidu. „*Nierozsądne śluby*" Bernatowicza się wedle słów młodego powieściopisarza podobno nie zupełnie rozsądnémi, a w „*Pojacie*" oprócz osób wprowadzonych nic nie widać, wszystko jest zwyczajne, pospolite", o romansach Fr. Wężyka powiada, że one nigdyby mu nie zjednały sławy, „*Ruszczyc*" hr. Skarbka jest „walterskotacyą, z powieści Skarbka najmniejszéj wartości". Walterskotacye są u młodego krytyka w niełasce, fantastyczna powieść „*Podróż bez celu*" Skarbka zyskuje pochwałę.

To stanowisko zajął Kraszewski nie dla tego, żeby potępiał cały rodzaj romansów historycznych, ale dla tego, że go nie nęciła chęć naśladowania w rodzaju, który „łatwy do naśladowania, bo prędzéj znajdzie sto dobrych naśladowań W. Skotta, niż jedno Richtera i t. d." Kraszewski zaś od samego początku pragnął iść własną drogą, wedle niego „każdy pisarz niezależny, oryginalny, tworzy sobie w powieści nową formę" (Wizer. 95), w innym artykule przyjmuje zasadę Villemain'a, że „nie trzeba naśladować nikogo" (Wędr. liter. tom I, 1838 str. 103).

To też pierwsze powieści Kraszewskiego nie są historyczne, a pierwsze jego powieści historyczne nie są w rodzaju Waltera Skotta. Pierwsze zaś swoje powieści: „*Pan Walery*" i „*Wielki świat małego miasteczka*" sam autor w kilka lat po ich ukazaniu się bardzo niepochlebnie i zanadto surowo ocenił (Wędr. liter. tom I, 1838, str. 113 nast.) a z téj autokrytyki wynika, że młody i utalentowany autor szukał odpowiedniéj talentowi swojemu formy, i nie znalazłszy jéj „w nieforemnéj rapsodyi" jak nazywa *Pana Walerego* i w *obrazkach z małego miasteczka*, gdzie imaginacya jeśt „wyraźnie torturowaną", wszedł po raz pierwszy r. 1833 na pole historycznéj powieści. W tym roku wyszła w Wilnie w 2 tomikach na bibule u Zawadzkiego powieść p. t. „*Kościół ś. Michalski w Wilnie*". Rzecz osnuta jest na wydarzeniu, które zaszło na początku października r. 1639 w Wilnie: ze zboru ewangelickiego strzelano z łuku do św. figur, ozdabiających front kościoła ś. Michała, jedna ze strzał utkwiła w figurze ś. Michała Archanioła, skutkiem tego zbór ewangelicki był przez wzburzoną ludność katolicką szturmowany, i w tém zawichrzeniu, któremu dopiero piechota wojewódzka koniec położyła, jeden szlachcic życiem przypłacił, wielu kupców od rabunku ucierpiało. Kraszewski osnuł swoje opowiadanie na faktach historycznych, z czego w uwagach 2-go tomika zdaje sprawę, głównie opierając się na akcie komissyi w Wilnie odprawionéj, drukowanym w „Tygodniku Wileńskim" T. V r. 1818 N. 107, i na mowie Cieciszowskiego, rektora akademii Wileńskiéj;— jeszcze późniéj poświęcał téj rzeczy uwagę i w „Wędrowkach Liter." (tom I, 1838 str. 114) mówi wprost że „*Kościół ś. Michalski*" w wielu miejscach fałszywy co do badań historycznych", które niedokładności starał się wyrównać w „*Historyi miasta Wilna*" i rzucić światło „na tę historyą nie zupełnie wyjaśnioną co do szczegółów" (II, 25). Już z tych przytoczeń widać, jak Kraszewski pojmował romans historyczny, że chciał go uważać jakby kartę wydartą z księgi dziejów, doczytaną przez szkło mikroskopowe, jak wielką wartość przypisywał prawdzie historycznéj w romansie,— ale w saméj powieści jeszcze wyraźniejsze dowody, że mu głównie chodziło o wierność historyczną. Na początku rozdz. III uderza w oko czytelnika motto: Historia quoquomodo scripta delectat, w przedmowie autor oświadcza, że „chce pisać, tak jak było i podaje obrazy historyczne", a w przypiskach uprzedza, że nawet takie podrzędne w powieści osoby, jak kupiec Desans Francuz i Zaranek, wypędzony akademik, który, prowadząc armatę do szturmu na zbór, zabił szlachcica, są historyczne, historyczną osobą jest Piekarski, sługa jego Rakowski, Naborowski i wielu innych. Autor też idzie śladem historyi, wprowadza nas do handlu kupca Desans, i do mniéj znanéj gospody Wileńskiéj i za-

poznaje nas z stosunkami religijnemi i z tą atmosferą duszącą, w któréj wtedy Wilno żyło, i zapoznaje nas z główněmi osobami, które miały w wypadkach odegrać rolę, a wreszcie prowadzi nas w dom Naborowskiego na chrzciny pomiędzy starszyznę Kalwinów, gdzie winem zagrzany pasierb Naborowskiego, Wacław Piekarski, puszczał strzały do obrazu ś. Michała naprzeciwko, i opisuje w dramatyczny sposób szturm na zbór Kalwinów i uliczną wrzawę. Cała ta część jego powieści jest wedle intencyi autora szeregiem historycznych obrazów, jak widzieć można z przypisków i z „*Hist. Wilna*“ 1840 II, 19 nast.; pytanie tylko zachodzi, czy w tych obrazach jest też i prawda wewnętrzna i duch, który wypadki wywołał? Główną rolę w powieści odegrał Wacław Piekarski, który po pijanemu ze zboru Kalwinów strzelał do frontu kościoła Ś. Michalskiego i do mniszki, która się w chórze modliła; on więc był sprawcą katastrofy, która tyle nieszczęść i tyle wrzawy sprawiła, bo i przed sejm wytoczoną była r. 1640. Ten politowania godny człowiek staje tu w świetle fałszywém, bo fakt, który jest osnową powieści, jest owocem fanatyzmu religijnego, nie zaś głupoty i pijaństwa. Wacław Piekarski był narzędziem fanatyzmu. Kraszewski chciał zapewne faktowi odjąć ohydę zbrodni i osłabić go, rzuciwszy garść politowania na sprawę. Daremne usilowania! bo wypadek pełen grozy obniża do poziomu zwykłéj burdy ulicznéj. I choćby historya, o czém nie wiemy, rzeczywiście znała Piekarskiego, jako głupca, włóczącego się po szynkowniach, to warto było w tym punkcie historyi ubliżyć, powieść byłaby zyskała.— Do tego żywiołu historycznego przydał Kraszewski nieco żywiołu zmyślonego: snują się tu niby dwa romanse, jeden nieszczęśliwéj żebraczki Maryi i Kalwina, X. rektora, i drugi między Saxończykiem Dawidem Manheimem i jego żoną „panną Justyną“, córką kupca Desaus; z pierwszego romansu zostało się w powieści tylko wspomnienie i widok nieszczęśliwéj téj miłości ofiary, t. j. obłąkanéj żebraczki Maryi, drugiego stosunku pomiędzy panną Justyną, potajemnie zaślubioną cudzoziemcowi, a jéj mężem, doczytujemy się na końcu powieści, kiedy Manheim bliski jest śmierci. Te cztery osoby wybornie są w powieści naszkicowane i utrzymują przy kronikarskim jéj charakterze ciekawość czytelnika, ale wszystko to, co do nich się odnosi, jest epizodem i na ruch wypadków nie wpływa,— a osoby same są pomyślane za nadto jeszcze w duchu Jean Paula i Hoffmanna: stara Marya jest obłąkana, ale przebiera, obłąkania miarę dozwoloną w powieści, kiedy x. rektora „swojego Stasia“ w komin z krzesłem wpycha, (I, 103) i staje się niepotrzebnie straszydłem, kiedy się zjawia w białéj sukni, zdjętéj z trupa. Nie mniéj dziwny i niezwykły stosunek zachodzi między Dawidem Manheim a córką kupca Desaus: połączeni są oni *związkiem* małżeńskim, gdy pierwsza żona Manheima, która go w odwet za to, że ją poślubił bez miłości, na śmierć zadręczyć chciała, żyła jeszcze. Dziwny to musiał być stosunek tego człowieka do dwóch żon, z których jednę nie kochaną miał przy sobie, a tę, którą kochał, rzadko tylko widywał; z tego co Manheim sam opowiada Justynie, wnosić można, że ten stosunek równał się torturom, ale też dziwny to był człowiek ów Manheim, który pierwszą żonę tak „zgrabnie udusił, że krzyknąć nie miała czasu“, a drugiéj żonie o tém opowiada (II, 146). I to jest ostatnia rzecz, któréj się o tym Saxończyku dowiadujemy. Powieść cała zdaje się być urwaną. Przedewszystkiem nie mile uderza, że nie ma sądu i kary na gwałcicieli porządku publicznego.—

W tym samym roku, co: „*Kościół Ś. Michalski*“, ukazała się powieść historyczna Kraszewskiego p. t. „*Rok ostatni panowania Zygmunta III-go*“ w 2 t. Wilno w druk. A. Dworca. Jest to znowu powieść zakrawająca na historyą, o tem już uprzedza motto z Pliniusza wzięte: „Historia quoquo modo scripta delectat“, w tytule dodatek „obraz historyczny“, i częste wzmianki w przypiskach, że osoby są historyczne, że rzecz jest wzięta z Siarczyńskiego *Obrazu panowania Zygmunta III-go*, z relacyi Mucantego, z pamiętnika Alberta Radziwiłła, z Naruszewicza *Życia K. Chodkiewicza*, z rękopisu z r. 1610 (I, 107); zapewnia też autor, że miał dokładny opis zameczka łowieckiego, w którym królewicz Władysław ukrył swoję kochankę, piękną Saxonkę Anastazyą Wolmar, w tomie II (str. 66) wspomina „stary szpargał“, który mu dostarczył szczegółów bardzo ciekawych; autor starał się także zachować charakter wieku, w scenery i w języku, o czém wyraźnie uprzedza (I, 149). Ale ten „obraz historyczny“ nie jest wykończony, i jest jakby wydartą kartą z kroniki, tylko przypadkiem wypadło tak, że właśnie na téj karcie, znalazły się niepiękne sprawy tych, którzy byli najbliższymi osoby umierającego króla: „dwór cały wówczas podobien był motlochowi, który się ciśnie do kadzi i beczek zastawionych w dzień uczty na rynku“ (II, 50), król umiera oto-

czony szarańczą pasożytów, pomiędzy któremi najniechlubniejszą rolę odgrywa faworyta króla i zmarłéj jego małżonki Konstancyi, panna Urszula Meyer, Bawarka. Królewicz Władysław, odsunięty od podwoi królewskich, bawi się miłostkami z piękną Saxonką; panna Urszula, dawna Władysława kochanka, napróżno rywalkę chce zgubić, bo królewicz wczas jeszcze nadbiegł, kiedy X. Grothus, przebrany za królewicza i wysłany przez Urszulę Mejerin, miał piękną Anastazyą podstępnie wywieść; królewicz przeto wysłańca Urszuli skrępować zdołał, i do klasztoru odesłać, z którego tenże już tylko do grobu poszedł. W takich okolicznościach umiera Zygmunt III. Nie bez zarumienienia czytamy, że królewicz w noc ostatnią ojca wysunął się z komnaty umierającego króla i z zamku, do swojéj kochanki, i tam miał spotkanie z wysłańcem panny Urszuli; te szczegóły nie są historyczne, i ztąd biorąc pohop, moglibyśmy mieć żal do autora, że skoro już raz opuścił ścisłą koléj historyi, a wybiegł prawem pwieściopisarza na niwę fantazyi, nie dopełnił „obrazu historycznego", nie wystawił n. p. Urszuli Mejerin w należytém świetle; z powieści niedowiadujemy się, kto ona była, jaka jéj przeszłość, i jak Zygmunt III-ci wszedł w posiadanie tego spiritus rector? Nie skreślił także autor charakteru królewicza Władysława, który tu tylko z jednéj strony niekorzystnie się przedstawia. Widocznie chodziło mu tylko o *wystawienie jednéj chwili historycznéj*, którą jako powieściopisarz, pragnął skreślić i wycieniować. *Ostatni rok panowania Zygmunta III* jest bowiem obrazem kilkunastu dni, opowiedzianych wedle dat historycznych, wziętych z Alberta Radziwiłła (od 9-go do 30 Kwietnia 1632), i wypełnił szczegółami, których dostarczyła historya, a które uzupełniła fantazya; co do dat mylne są słowa powiedziane I, 147, że spotkanie dwóch gadułów w nieźle skreślonéj „golarni pod Pogonią" w dniu 21 Kwietnia, przypadło „w kilka dni po pojedynku" pana Zenonowicza, który jest trafnie wystawioną figurą zawadyaki, z Tom. Sapiehą, bo pojedynek przypadł dnia 9 Kwietnia. — Autor sam późniéj czuł, że ta powieść się nieudała, czuł to już w czasie pisania (II,1), jednakże nie jest ona bez zalet, niektóre rysy są przez młodego autora, do ocenienia epoki naukowo gruntownie przysposobionego, w owym czasie, r. 1833, dobrze skreślone. Już w Świsłoczy uczniem będąc, (pisze w „*Obrazach życia i podróży*" Wilno 1842), pod kierunkiem profesora Walickiego, oddawał się studyom języka polskiego i jego historyi, i dla tego czytywał, studyował poetów i kronikarzy z czasów Zygmuntowskich.

Jak były przyjęte te dwie historyczne powieści Kraszewskiego? W Tygodniku Petersburskim (jak pisze Grabowski Lit. i Kryt. II, 167) ukazała się surowa krytyka na „*Kościół Ś. Michalski*", i sąd na obie powieści u publiczności był niekorzystny, sam Kraszewski wydał na nie sąd niepochlebny; w Wędrówkach Literackich, (tom I 1838) tak pisze: „Po *Kościele* spadłem na drugi, gorszy daleko obraz historyczny, nudny i źle pisany, a pisany daleko wprzód od *Kościoła*, chociaż drukowany późniéj. Będę sobie miał długo do wyrzucenia, żem go drukował". Ale tak, jak autor nie łudził się co do wartości swoich własnych powieści, tak i na wszystkie romanse polskie wydał sąd niepochlebny z wyjątkiem *Pana Podstolego* i *Jana z Tęczyna* (Wizerunki etc. poczet nowy XI, 1836, str. 115) i romansowi polskiemu, „wnioskując z form, pod jakiémi pokazywały się powieści i romanse polskie", stawiał prognostyk, że „naszym rodzajem będą te drobnostkowe malowidełka obyczajów (tableaux de genre), które pokazują się ciągle i wracają". Jednakże tego rodzaju Kraszewski nie uprawiał, pragnął owszem powieści fantastycznéj, téj, która mu się od początku uśmiechała, jako ideał, wyrobić uznanie, i dla tego po dwóch próbach historycznych powieści, z gorączkowym pośpiechem powrócił do niéj, napisał „we trzy tygodnie", jak opowiada w *Obrazach z życia i podróży*, powieść fantastyczną: „*Pan Karol*" (1833), „*Cztery wesela, szkic fantastyczny*" (1834), „*Improwizacye*" (1834), „*Majster Bartłomiéj, powieść fantastyczna*" (1837), „*Poeta i Świat*" (1839) i inne. Jego pragnieniom rodzaj ten czynił zadość, bo w tym rodzaju „trzeba być, jak pisał, oryginalnym i mieć smak przytém, mieć talent, trzeba pisać z zapałem, z natchnieniem" (Wędr. Lit. tom I 1838, str. 101). „*Poeta i Świat*" była taką powieścią wedle serca Kraszewskiego, i choć publiczność z początku chłodno przyjmowała te powieści fantastyczne, tak że w r. 1836 w *Wizerunkach*, Kraszewski nie bez słuszności pisał, że „fantastyczność nigdy podobno nie wyrośnie i nie wykwitnie na naszéj ziemi", to jednakże „*Poetę i świat*" czytano z zachwyceniem.

Tymczasem Kraszewski skupiał ducha swego w studyach coraz rozleglejszych. Szydłowski już w r. 1835 w *Wizerunkach*, N. 8 (str. 130), donosił publiczności, „że znany ze sławy młody literat Józef Kraszewski, teraz nad dziejami Litwy pracuje"; od r. 1836

był współpracownikiem *Tygodnika Petersburskiego*, dawne studya nad językiem i starożytnościami polskiémi, tak bardzo umiłowane już w Świsłoczy, których owocem była „Historya języka polskiego“, nie ustawały; rozczytywał się w pomnikach dziejowych, w kronikach, przygotowywał materyał do rozległego dzieła, obejmującego historyą Wilna, które potém wychodziło w 4-ch tomach od r. 1840 (pierwszy tom cofnięty z obiegu księgarskiego przez autora już poprzednio, to jest w r. 1838 z datą cenzury 1836, wyszedł). Te poważne zajęcia, te artykuły i rozprawy, w których była rozległa nauka i tak wielkie oczytanie, że nic nie zdawało się być obcém młodemu autorowi, to „wstąpienie na wyższe stanowisko w świecie naukowym“, jak M. Grabowski (*Lit. i Kryt.* 1831 I, 133) się wyraża, przytem ogłoszenie r. 1838 dwóch tomików *Poezyi*, zaczęło nawet odbierać nadzieję, aby Kraszewski ostatecznie poświęcił się zawodowi powieściopisarskiemu. I rzeczywiście, od r. 1840 poczyna się nowy peryod w zawodzie autorskim Kraszewskiego: od r. 1840 wydaje rozszerzoną *Historyą Wilna*, r. 1840 *Wspomnienie Wołynia, Podola i Litwy*, od r. 1841 (przez lat 10) pismo naukowe *Athenaeum*, r. 1842 *Studya Literackie*, r. 1843 ogłasza *Pomniki do historyi obyczajów w Polsce z XVI i XVII wieku*, — wszystko to obfite plony z dawniejszych i nieustających studyów historycznych i literackich; z tych studyów historycznych wysnuł téż myśl piękną do poematów *Witoloranda* 1840, *Mindows* 1843, *Witoldowe boje* 1845.

Jednakże właśnie te studya nad przeszłością kierowały myśl Kraszewskiego do romansu historycznego, do którego zresztą i materyał był gotowy i publiczność usposobiona przez wydawanie pamiętników przeszłości staraniem Maciejowskiego, Wojcickiego, Gołębiowskiego, Raczyńskiego i innych (w r. 1839 pojawiły się téż *Pamiątki J. M. Pana Seweryna Soplicy*), przez zwrot ku studyom starożytności i skutkiem tęsknoty za przeszłością, która była tych studyów i podnietą i wynikiem. Taki zwrot w ogólnych naukowych zajęciach, obudził w Kraszewskim myśl wrócenia się do historycznéj powieści. Równocześnie M. Grabowski, jedna z głównych powag krytycznych, wzywał i zachęcał Kraszewskiego do tego. „Co nas utwierdza w mniemaniu, że panu Kraszewskiemu przeznaczono zostać niepospolitym narodowym powieściopisarzem, co w nas to mniemanie ocuciło, to widok zamiłowania jego w historycznych śledzeniach. Zostać W. Skottem może tylko historyk antykwaryusz“, a wielki talent Kraszewskiego utwierdzał go w tém oczekiwaniu: „tylko z takiemi darami można zostać W. Skottem. A chcielibyśmy się tego po panu Kraszewskim spodziewać“, (Lit. i Kryt. 1840 II, 173, 175).

Pierwszą w téj nowéj seryi powieści historycznych, która się w r. 1840 ukazała, była: „*Mistrz Twardowski*, powieść z podań gminnych“ Wilno w 2-ch tomach. Rzecz jest wprawdzie osadzona na tle wieku XVI, ale scenerya i dekoracyjna strona, stanowiąca tło, z małémi odmianami mogłaby przypaść i do innego wieku, zresztą podanie i myśli, które autor w nie włożył, wytworzyły z Twardowskiego figurę tak uniwersalną, że przypada ona do każdéj epoki, byle tylko w ramach średniowieczności osadzonéj. Rzecz zaś wzięta jest z podań ludowych w całości bez uronienia szczegółów, i mistrz Twardowski wystawiony wedle téj poetycznéj tradycyi jako czarnoksiężnik, mniéj jako mędrzec. Pierwszy tom napisany jest w tonie poważnie przypowiastkowym, w mniejszéj tylko części w tonie Faustowym, bo z żywiołu filozoficznego są tylko słabe pobłyski, w drugim zaś tomie powieść wychodzi po za obręb ujmującéj baśni i wchodzi w zakres romansu, ale niestety najniemoralniejszego: w historyi tego romansu mistrza Twardowskiego z „panią Twardowską“ znać także tkaninę fantazyi ludowéj, z nieodłączną dozą humoru, ale w powieści, zaprawionéj filozoficznémi myślami walki o wszechwiedzę i wszechmoc i o szczęście doczesne najwyższe, powieść o takiéj miłości dyabelskiéj jest dysharmonią, bo polega na pomięszaniu ról, Twardowski wkracza w rolę dyabła. W tém jest w ogóle słaba strona „mistrza Twardowskiego“, że tak bliskim jest dyabła a tak dalekim od Fausta, czy to Goethego, czy Lessinga, czy Marlowe, podobnie i dyabeł w „*Mistrzu Twardowskim*“ ma więcéj charakter przypowiastkowéj, kuso z niemiecka przybranéj figury, złośliwéj i szkodliwéj, aniżeli tego złego ducha niszczącego, o którym Goethe powiedział: das ist der Geist, der stets verneint. Ale wszystkie te niedomagania powieści wynagradza rozdział 12 tomu II-go, gdzie Twardowski żałuje swéj przeszłości i z dyabłem się kłóci. Nic zadowolniła go mądrość, przeciwnie marzenia o szczęściu w nauce przywiodły go do żalu za straconą przeszłością, w któréj miał wiarę w duszy, żądza użycia świata doprowadziła go do przesytu, wzdychał do wiary i do niewinności młodzieńczéj, ale z duszy ta woń wiary i niewinności uleciała. Wszystko to

jest z psychologiczną trafnością, ze znawstwem ludzi i z wielkim talentem wystawione, i tu dopiero Twardowski, który dotąd występował za nadto w roli czarnoksiężnika, ukazuje się, jako mędrzec, który mógłby powiedzieć, że wszystko jest marnością, gdyby mógł mieć wiarę. Usłyszał głos pieśni Bogarodzica, poczuł znowu znużenie w sobie i łzę w oku. Teraz szybko dokonywa się rozwiązanie rzeczy. Dyabeł w kłopocie o duszę, karczmę Rzym pod Sandomierzem zbudował, mistrza do niéj zwabił, verbum nobile przypomniał, i wziął w swe szpony wedle układu, ale tu mistrz jeszcze raz życie swe i młodość przypomniał, wyjął kantyczki i jak w młodych latach zaśpiewał, i natychmiast dyabeł puścić go musiał, i Twardowski zawieszony pomiędzy niebem i ziemią do dnia sądnego... Jednakże zakończenie to, jakkolwiek pięknie pomyślane, jest bez umotywowania i zapytać wolno, zkąd Twardowski miał kantyczki, kiedy przez cały ciąg powieści od czasu zaprzedania się dyabłu, do nich nie zaglądał? Podanie mówi tylko, że Twardowski śpiewał kantyczki, które młodym będąc ułożył na cześć Panny Maryi, i w tym także sposobie improwizował plan do poematu o Twardowskim, o czém z listów Odyńca Bolesławita w Omnibusie II r. 1869 pisze.

Po *„Mistrzu Twardowskim“* ukazała się *„Stańczykowa Kronika“*, osnuta także na tle wieku XVI p. t. *„Stańczykowa Kronika od r. 1505 do 1508“*, w Wilnie u Zawadzkiego r. 1841 w „Zbiorze Szkiców“, na nowo wydana we Lwowie r. 1875 u Gubrynowicza i Szmidta. Stańczykowa Kronika? Z uśmiechem czytelnik bierze książkę do ręki, ale nieznajduje błazeństw i humoru i tego, czego się spodziewa, Stańczyk owszem konkurencyą czyni kronikarzom i z powagą opisuje dwór wesołego kandydata *Ferdynanda*, wichrzenia Glińskiego, przedstawia obraz słabego Alexandra, opowiada przebieg sejmu Brzeskiego, Radomskiego, ucieczkę do Lidy, pierwsze chwile panowania Zygmunta Starego, historyą pana Kościeleckiego, męża Katarzyny Ślężanki, miłośnicy Zygmunta i t. d., i nad wszystkiém, co pisze, głęboką zadumę i pewną melancholią rozlewa, tak go smutnie usposabia nierozum ludzki. Nawet w tym jednym epizodzie, który na zmyślenie zakrawa, t. j. w historyi nieszczęliwéj Stańczyka miłości do Boimówny, nie widać błazna i błazeństw,— i wszystko ma pozór kroniki nie — Stańczykowéj, jedno tylko różni ją od zwykłych kronik, że p. Stanisław (tak zapewne trzeba tłumaczyć Stańczyka) żywiéj i obficiéj opowiada, niż kronikarze, „co suche liście zbierają“, tak że się jego kronika przyjemnie czyta. Szkoda, że jéj nie kontynuował; na jednéj z ostatnich kart, mówiąc o tém, że na dworze króla Zygmunta I, życie bardzo spoważniało, obiecuje jeszcze coś „o tém po tém“ napisać. Do tego nieprzyszło, urwał na r. 1508, z kilkodziesięcioletniego życia swojego tylko 70 stronnic kroniki zostawiając.

W tym samym roku 1841 ukazała się w Wilnie obszerna powieść w 3-ch tomach, osnuta także na tle wieku XVI p. t. *„Ostatnia z książąt Słuckich, kronika z czasów Zygmunta III-go“* poświęcona Ad. Zawadzkiemu. Autor nie bez intencyi nazwał tę powieść kroniką, bo przedstawia w niéj wedle współczesnych źródeł walkę między wojewodą Wileńskim Radziwiłłem a Hieronimem Chodkiewiczem, kasztelanem Wileńskim, o rękę Zofii Olelkiewiczówny, ostatniéj dziedziczki księztwa Słuckiego.

Ręka Zofii już w dzieciństwie r. 1594 zapewnioną była zapisem w Brzostownicy księciu Januszowi Radziwiłłowi, synowi wojewody, przez starostę żmudzkiego Jerzego Chodkiewicza, jéj stryja i opiekuna. Radziwiłłowie wymogli potém na bracie starosty Jerzego, Hieronimie kasztelanie Wileńskim, na którego przeszła opieka nad młodziuchną księżniczką, odnowienie zapisu, wedle którego księżniczka gdy dojdzie do lat 15, dnia 6 lutego r. 1600 miała być oddaną w małżeństwo, księciu Januszowi Radziwiłłowi, jeżeli skłonność serca się nie odmieni, tę zaś młody x. Janusz zjednał sobie już w Brzostownicy. Tymczasem przyjaźń wnet się zepsuła o dobra podorszańskie (Kopyś), należące do Radziwiłłów, a w Chodkiewiczów ręku będące zastawem, o które Radziwiłł prawem dochodzić zaczął; skutkiem tego Chodkiewiczowie, Alexander i Jan Karol, wymogli na kasztelanie, że X. Zofii nie wyda Radziwiłłom bez ich wiedzy, tém łatwiéj, że Radziwiłłowie byli nowéj wiary, i że powinowactwo między xiężniczką Zofią a x. Januszem było wedle kanonów i wedle statutu litewskiego przeszkodą do związku małżeńskiego. Nie dość na tém,—xięciu Januszowi wzbroniono nawet przystępu do księżniczki Słuckiéj, którą z Brzostownicy sprowadzono do obwarowanéj kamienicy Chodkiewiczów w Wilnie. Zapis dawny z Brzostownicy był dla Radziwiłłów tak korzystny, że mogli już teraz o niedotrzymanie jego pozwać kasztelana, iż z synowcami potajemnie zmowy przeciw nim czynił, kasztelan skazany został na zapłacenie stu tys. kóp lit. zakładu, o które i ban-

nicya spaść mogła na niego. Rozjątrzone strony gotowały się do walki, bo Radziwiłł w oznaczony dzień dopomniéć się chciał księżniczki Zofii, a Chodkiewicz był zdecydowany nie wydać jéj dobrowolnie. Chodkiewiczowie obwarowali zamek i zaopatrzyli w armatę i w wybornego najemnego żołnierza, Radziwiłłowie zebrali kilka tysięcy różnych pocztów, bo na zawołanie wojewody różni panowie pośpieszyli z swojém nadworném wojskiem. W obec tych groźnych przygotowań księżniczka Zofia w samotnych komnatach w Chodkiewiczowskiéj kamienicy z poddaniem się Opatrzności oczekuje rozstrzygnięcia swéj doli, księciu Januszowi sprzyja, ale opiekunom we wszystkiém chce być powolną, wiary w szczęście już nie ma, bo słowo rzucone przez stryja, że związek z bliskim krewnym, x. Januszem byłby bez błogosławieństwa, zatruło jéj spokój. Tymczasem stanowcze wypadki przygotowywały się, napróżno książę wojewoda przez senatorów, na których czele stał zięć jego Lew Sapieha, żądał od kasztelana wolnego przystępu dla syna do księżniczki Zofii, napróżno magistrat wysyłał do obu stron deputacyą, aby wybłagać umiarkowanie, napróżno książę Janusz przebrany za żebraka, przekradł się do komnat księżniczki Zofii, prosząc o stanowcze za nim oświadczenie się, napróżno wreszcie król wysłał deputacyą pojednawczą z x. biskupem Gedrojciem na czele, zdołała ona tylko małe z obu stron wyjednać koncessye. Nadszedł dzień 6 lutego r. 1600 rozkaz do szturmu na kamienicę Chodkiewiczowską już wydany został, wtedy dopiero biskup gorącém wystąpieniem wymógł cofnięcie rozkazu, sprawa została w zawieszeniu, wreszcie przez rozjemców zgoda przyszła do skutku. Ślub księżniczki Zofii z x. Januszem odbył się w Brześciu litewskim 1 listopada 1600 (III, 113 jest pomyłka druku),—ale księżna szczęścia nie doznała w małżeństwie, bo zabiegi księcia o jéj rękę nie były bezinteresowne, i księżna, trapiona myślą niebłogosławieństwa, widocznie nikła, i w 9 latach po ślubie zeszła ze świata, zostawiając zapisem prawomocnym dobra Słuckie i Kopyskie mężowi swemu, który jéj wspaniały pomnik na grobie postawił.

Taka jest powieść trzytomowa o księżnie Słuckiéj, na poważny ton nastrojona i złożona ze scen i sytuacyi, na szeroką skalę wedle świadectw historyi skreślonych. Miłość księżny i jéj osoba w téj walce o kobietę stosownie do charakteru epoki w cień jest usunięta, i dopiéro w tomie III kilku rysami naszkicowana; zdobywa sobie ta nieszczęśliwa ofiara rodowych interesów sympatyą czytelnika od razu, jednakże te kilka scen z życia potocznego, w których księżna występuje, są, jak epizody wplecione w powieść, i na jéj rozwinięcie nie wpływają, bo rzecz sama jest na tak wysokim poziomie postawiona, że zwykłe w romansach zawikłania, motywa, sprężyny, intrygi i t. d. w téj „kronice“ miejsca nie znalazły. Ale jak zyskuje na tém historyzująca powaga, tak traci znowu interes powieść. Jedna z głównych w powieści sytuacyi, t. j. ostateczne postąpienie kasztelana, który wreszcie oddał księżniczkę Radziwiłłom, jest tylko kilku słowy napomknięta (III, 106): że kasztelan ostygł długą walką zużony, że lękał się bannicyi,—wedle zwykłego w powieściach historycznych zachowania się romansopisarzy należało się w tym punkcie spodziewać jednéj z tych operacyi powieściopisarskiéj rutyny, wedle któréj kasztelan wprowadzony w pewną zawiłość i kollizyą względów i interesów, ustąpić musiał, choć ustąpić się wzbraniał, przyczem i księżniczka mogła odegrać czynną rolę, któréj się przez całą powieść spodziewamy, skoro o nią sprawa się toczy. Ale autorowi chodziło głównie o przedstawienie historycznych wydarzeń i zachowanie tonu historycznego, i dla tego też poprzestał na niewielu zmyśleniach, a w tych zmyślonych niewielu motywach i sytuacyach trafił w charakter wieku zupełnie. W r. 1859 Syrokomla napisał dramat historyczny p. t. „Możnowładzcy i sierota (Zofia, księżniczka Słucka),“ zapewne osnuty na tle powieści Kraszewskiego, jak wskazuje szczegół o podkradzeniu się x. Janusza w stroju żebraczym do księżniczki, ale Syrokomla dorzucił do tego materyału historycznego szczęśliwe zmyślenie miłości księżniczki Zofii do Karola Chodkiewicza, i z tego motywu uczynił główny temat dramatu. W ocenieniu tego nieco retorycznego utworu Kraszewski (Władysław Syrokomla Warsz. 1863 str. 163) zaznaczył, że „historya nie wzmiankuje nic o przywiązaniu żadném księżniczki,“ chociaż przyznawał, że poecie łatwo przyszło tę krwawą niemal historyą wytłumaczyć miłością Zofii dla jednego z Chodkiewiczów. Nam zaś niech wolno będzie powołać się na to przytoczenie, jako jedno z licznych świadectw, jak Kraszewski w swojém pojęciu o romansie historycznym więcéj kładł przycisk na historyczność, aniżeli na romans.

Powieści historyczne Kraszewskiego do-

tąd wymienione były parafrazą historyi, były „obrazami historycznemi,“ skreślonemi ręką powieściopisarską. Od romansu historycznego zaś wymagano, aby łączył historyą z poezyą, aby był upoetyzowaniem przeszłości, poezyą historyi, wymagano, aby był podległym sztuce, inaczej będzie przedrzeźnianiem dziejów.ich„uprozaicznieniem“ jak się wyraził M. Grabowski (Lit. i Kryt. II, 40), który porównał powieściopisarzy polskich, wywołujących do życia w powieści historyczne figury królów, książąt i wielkich wodzów, do chłopców bawiących się na cmentarzu kośćmi przodków swoich (E. Tarsza w Atheneum 1842 II. 112). W tych i tym podobnych nieco gorączkowych sądach, które wypływały z niechęci, że żaden z romansów historycznych polskich nie odpowiadał wymaganym warunkom pewnéj teoryi, odwoływano się do W. Skotta, jako mistrza, którego wzorom nie było nic równego. Na czém więc polegała tajemnica tego uroku, który W. Skott wywierał, na czém polegala sztuka jego tworzenia? Walter Skott wtedy, kiedy pisał „Woodstock“, t. j. r. 1826, rzucił w pamiętniku te słowa: „nie mam wyobrażenia, jak wykombinuję katastrofę, i jestem w takiém usposobieniu, jak kiedy znajduję się w zupełnie nieznanéj okolicy. Nigdy nie byłem zdolny ułożyć plan powieści naprzód, a jeżeli go z góry powziąłem, nie podobna mi było trzymać się go, w akcie pisania rozszerzałem niektóre ustępy, innem skracał, albo opuszczał, osoby powieści wychodzą na większe lub mniejsze figury w miarę tego, jak mi się pod ręką udają. Głównie m się tylko o to starał, aby to, co piszę, wydało się zajmującém, resztę puszczałem na los szczęścia. Jest to trochę hazardowną rzeczą, puścić to na los szczęścia, czy się rzecz uda czy nie, ale już to tak jest zemną. Nie chciałbym jednak, aby młodzi pisarze mnie w tém naśladowali.“ Niezawodnie, że byłoby niebezpiecznie naśladować takie nietroszczenie się o plan należyty bez odpowiedniego talentu. Ale pomimo to wyznanie, w którém niewiadomo, ile jest dobrowolnego złudzenia, a ile zaufania i pewności siebie, miał W. Skott pewną metodę w pisaniu, i każdy przedmiot historyczny ukazywał mu się pod pewnemi widokami artystycznemi. Rzecz zwykle jeszcze w żywéj tradycyi bedącą, przez zręczną expozycyą usuwał w pewne oddalenie, w którém to, co było pospolitego, znikało, to zaś, co mogło zająć imaginacyą, ukazywało się w wyraźnych liniach; osoby żyjące w pamięci ludzi wprowadzał w role, przypadające osobom w zwykłych powieściach obyczajowych, te osoby, które w sieć zawikłań wprowadzał, były zwykle nie bohatérami historyi ale drugorzędnémi osobami, które wynosił do godności bohaterów i bohaterek powieści, i wprawiał w ruch i akcyą, rozwijającą się głównie w żywym i naturalnym dyalogu. Tym sposobem historya dostarczała tylko tła i apparatu, sztuka powieściopisarska tworzyła charaktery. Jeżeli w tém tak swobodném poczynaniu W. Skott niekiedy (jak w *Talizmanie*, *Hrabi Paryża Robercie*, w *Durwardzie*) wkraczał w odleglejsze czasy, w epokę krucyat i epokę Ludwika XI, to dowodzi bogatego uposażenia jego powieściopisarskiego talentu, ale nie rozszerza tego zakresu, w którym był niezrównanym mistrzem.

Taki ideał przyświecał teoryom M. Grabowskiego o historycznym romansie, i takie zasady wyznawał wówczas (około r. 1840) ten krytyk, który o sobie w liście do hr. Henr. Rzewuskiego napisał: „gdybym ja nie starał się u nas zwracać uwagę powszechności na stronę pouczającą co ważniejszych fenomenów literatury krajowéj, to nikt inny zrobić tego nie zechce.“ M. Grabowski więc w recenzyach i listach (ogłoszonych r. 1843) wielbi w W. Skocie, że jego osoby „w żywym i naturalnym dyalogu rozwijają akcyą dramatyczną“ (Liter. i Kryt. II, 64), że u W. Skotta „styl jest ciągłe malowidło, z każdéj jego kartki malarz może osobny obraz zrobić“ że „ten ciąg obrazów zajmuje imaginacyą,“ że „obraz namiętności ma być w ruchach, czynach, w głosie, nie w uosobianiu psychologicznéj natury téj namiętności, jak w dawnych romansach (Korresp. II, 72)“ i t. d.

W obec takiego bezwzględnego uwielbienia dla W. Skotta „Księżniczka Słucka“ nie mogła znaleść przebaczenia krytyka. W liście do X. Hołowińskiego z. d. 17 kwietnia 1842 (Korresp. II, 30) oświadcza Grabowski: „Po księżniczce Słuckiéj i ja powiadam, że Kraszewski powinien zaniechać romansu historycznego.“ J. Kraszewski, daleki od wszelkiéj próżności autorskiéj, przyznał mu racyą. „Metoda Twoja,“ pisze w liście, którego Grabowski (w Korr. II, 123) wyjątek przytacza, „twoje pojęcie historycznego romansu jest najlepsze, sam to najpierwszy wyznaję, żem się pomylił, biorąc wypadki historyczne, fakta znane (jak w Słuckiéj) za przedmiot historycznéj powieści. Taka powieść może być tylko parafrazą faktu, rozwodnieniem faktu (wyrażenie używane przez M. Grabowskiego), częstokroć żywiéj opisanego w kronikach. Masz najzupełniéj za sobą słuszność.... Pojąłeś do-

brze romans historyczny, i teraz gdybym co w tym rodzaju napisał, nie wedle innéj metody, jak wedle Twojéj bym postąpił". Na wrażliwym umyśle M. Grabowskiego te słowa Kraszewskiego wielkie zrobiły wrażenie: ciesząc się z wygranéj, że Kraszewskiego przywiódł do uznania swojéj teoryi o romansie historycznym, namawia go, aby się wziął do napisania w tym sposobie powieści historycznéj,—i zaręcza, że on sam nigdy nie miał zamiaru przywłaszczania sobie romansu historycznego (wtedy wyszły już były dwa jego romanse hist.: *Koliszczyzna i Stepy* 1837 i *Stannica Hulajpolska* 1841), że mu się owszem nie powodziło na tem polu, „znał teoryą, ale nie miał zdolności zastósowania jéj."

Wezwanie M. Grabowskiego zostało bez skutku, Kraszewski przez parę lat nie pisał romansów historycznych. W roku 1843 wydał p. n. „Powiastki i obrazki historyczne," jedynie zbiór szkiców poprzednio już znanych z czasopism a parafrazujących broszury z wieku XVI i XVII, albo kreślących obrazki pożycia domowego na podstawie utworów poetycznych i podań, w roku zaś 1844 w „Maleparcie" zwrócił się do w. XVIII. Oddany studyom historyi i literatury, badaniom naukowym i redakcyi Athenaeum, w chwilach wytchnienia pisał powieści obyczajowe, należące do najlepszych (*Latarnia Czarnoksięzka*, *Ulana*), w chwilach zaś natchnienia pisał poezye: r. 1843 ogłosił drugie wydanie poezyi, a po *Witoloraudzie* układał piękne obrazy *Mindowsa*, był wtedy w prawdziwie twórczém usposobieniu i mogło się zdawać, że odda się całkiem poezyi, a Grabowski już w lutym r. 1842, kiedy dopiero ustępy z *Mindowsa* miał sposobność słyszeć, przepowiadał, że „*Mindows* stanowić będzie epokę w literaturze naszéj," i że Kraszewski „stanowić będzie epokę w sztuce. Ale nie jako poeta miał Kraszewski stanowić epokę, tylko jako twórca romansu polskiego, który publiczność polską do czytania polskich książek przyzwyczaił. Kiedy w r. 1841 w „Spojrzeniu na dzisiejszą literaturę polską" w *Athenaeum* I, 188, pisze: „Krajowa literatura więcéj osób obchodzić zaczęła.... niektóre domy dając dobry przykład, dozwoliły sobie na 10 tomów francuskich, kupić dwa polskie przynajmniéj i odważyły się kłaść je otwarcie na stolikach salonu," to głównie *on* do tego się przyczynił. I tę korzystną zmianę w usposobieniach publiczności czytającéj robiły przedewszystkiem jego powieści.

W r. 1845 po raz trzeci zabrał się Kraszewski do powieści historycznéj, i znów szukał tematów w epoce Zygmuntowskiéj, do któréj go dawne studya i dawne sympatye ciągnęły. Tym razem ukazały się dwie powieści historyczne: „*Żacy Krakowscy*" 1845 i „*Zygmuntowskie Czasy*" r. 1846. Ale pierwsza z nich nie jest romansem historycznym, tylko jak tytuł opiewa: „prosta kronika spisana przez J. I. Kraszewskiego" i wystawia wywędrowanie żaków krakowskich z Krakowa r. 1549 w skutek nieotrzymania satysfakcyi za zabicie kilku z młodzieży przy ulicznéj burdzie. Wszystko to jest wzięte z kroniki Orzechowskiego, z wyjątkiem niektórych, epizodycznych i ornamentacyjnych dodatków, nawet owo miejsce, gdzie Orzechowski opowiada, że po opuszczeniu Krakowa „ucichły szkoły, w żalu zostały kollegia, umilkły świątnice, i wszystkie miasta strony trapiły się na ich odejście, bo i jednego podobno z owego mnóstwa nie zostało, coby albo w kościele kapłanowi do mszy posłużył, albo w akademii i w szkołach pod nauczycielem czego słuchał,"—i nawet odparcie tego mniemania, że ci wychodźcy sprowadzili reformacyą do Polski, znalazł Kraszewski w Orzechowskim; zresztą do źródeł współczesnych niejednokrotnie się odwołuje (str. 28, 107, 178 i t. d.). Jednakże ta „kronika" bez dat, bez annalistycznych nowin, bez kronikarskiéj formy, uderzające ma podobieństwo do obrazu historycznego, któremu braknie tylko wycieniowania charakterów i planu powieściowego. Nie wiąże się téż Kraszewski zupełnie kronikarską tradycyą, i do kronikarskich żywiołów dorzuca nieco zmyślenia; takim dodatkiem jest n. p. scena przy grobie jednego z zabitych żaków, o tyle niefortunna, że jest epizodem niepotrzebnym i że w niéj w nierównéj mierze mięszają się tragiczność z komiką; o wiele lepszy jest epizod o Stańczyku i jego bajka, pytanie tylko zachodzi, czy takich bajek w Polsce w XVI wieku słuchano w salonie? Sądząc z Górnickiego *Dworzanina*, wypadłaby odpowiedź negative.—Z tych przytoczeń pokazuje się, że Kraszewski pomimo, iż nazwał *Żaków krakowskich* „kroniką," pisał ją jako powieściopisarz i pragnął dopełniać historyą: takie pokuszenie się widać téż w jednym essencyonalnym punkcie, i to w tych pytaniach: kiedy powstała w żakach myśl opuszczenia Krakowa? dla czego? komu wypadło stanąć na czele tego ruchu, tak niezwykłego w dziejach uniwersytetu krakowskiego? Kraszew-

ski napomyka myśl swoję, przedewszystkiem co do wewnętrznych pobudek emigracyi, powiadając na ostatniéj stronie, że studenci Krakowscy to prototypy anarchistów polskich, a w przedstawieniu jednéj z pierwszych scen t. j. przy zbieraniu trupów, powiada co do zewnętrznych pobudek, że wtedy już zrodziła się myśl opuszczenia szkół Krakowskich, że już wtedy odzywały się głosy: „jeśli nie będzie sprawiedliwości, pójdziem do Moskwy, na Ruś, gdzie lud prosty, litościwy i dobry, pójdziem do Włoch, do Niemiec, gdzie nas oczy poniosą!". Tymczasem Orzechowski rzecz tak przedstawia, że myśl opuszczenia Krakowa dopiero wtedy powstała, kiedy w sądzie królewskim „nie po ich woli się działo" (I, 51 tłóm. Włyńskiego). W każdym razie wywędrowanie żaków z Krakowa jest niewytłumaczoną zagadką, o któréj rozjaśnienie mógł się pokusić powieściopisarz, jednakże autor jéj nie rozjaśnił, nie postawił nikogo na czele ruchu, nie okazał nikogo z professorów uniwersytetu, nie powiedział, dokąd ci nierozważni żacy poszli, i co się z nimi stało? Widocznie więc chodziło mu tylko o wystawienie samego wychodźstwa w historycznym obrazie. Dlatego rzecz kończy się na wywędrowaniu z Krakowa, i nie dowiadujemy się nawet, co się stało z Strelimussą, nieszczęsną przyczyną całego ruchu. W Orzechowskim znajduje się o niéj ciekawa wzmianka, że ją córka własna za niedopuszczenie do zalotów zabiła, sama za tę zbrodnią w skórę zaszyta i utopiona. Był to wdzięczny i łatwy materyał do dramatycznych scen w powieści. Nie użył jednak tego materyału Kraszewski, i dobrze się stało, bo z takiéj treści można było tylko snuć romans à la Sue, od którego autor był dalekim, skoro chciał napisać coś na kształt kroniki.

W r. 1846 ukazała się w Warszawie u Orgelbranda Kraszewskiego powieść w 4 tomach p. t. *Zygmuntowskie czasy, powieść z r. 1572*. Ten tytuł, nieco lakoniczny, krzywdę wyrządza dziełu, bo *Zygmuntowskie czasy* są wykończonym romansem historycznym, pierwszym, który Kraszewski napisał, napisał zaś z wielkim talentem. Księżniczka Anna Beata Sołomorecka wydaną była z woli stryja opiekuna za jego syna bez wzajemności, był to związek, który doradziła chciwość, a dokonał gwałt, bo stryj sierotę odciął od świata i trzymał w zamku nadbożańskim, jak w więzieniu, jedyny człowiek, którego poznała z wałów zamku i którego dziewiczą pokochała miłością, był prosty szlachcic z nad Bohu, Czuryłło, bez wpływu i mienia, a król, który miał także prawo do rozrządzania jéj ręką, jako właściwy opiekun (I, 157), był daleko. Związek był tajony, gdyż ślub zawarty między bliskimi krewnymi był bez dyspensy, ksiądz Hausner zaś, wyprawiony do Rzymu po uzyskanie approbaty Stolicy Apostolskiéj, długo nie wracał. Tymczasem księżna wezwana na dwór króla Zygmunta Augusta, bawiła przy królowéj Bonie, a książe Sołomerecki, mąż Anny Beaty, na wojnie przeciw Tatarom zginął. Niedługo potém, w czasie przygotowań do koronacyi Barbary Radziwiłłówny, drugiéj żony króla, księżna zachorowała i powiła syna, potomka imienia Sołomereckich i dziedzica bogatych włości matki na Rusi; majętność poległego jéj męża była szczupła, brat zaś jego stracił majątek za granicą. Ale straszna fatalność zawisła nad kolyską i nad losem młodego księcia, któremu na chrzcie dano imię Stanisława: nie było dowodów jego prawowitego urodzenia, cień podejrzenia padł na piękną księżnę, która na dworze królewskim bawiła, jako niby niezamężna, i do królowéj Barbary dziwnie podobną była. Brat zabitego przez Tatarów księcia Sołomereckiego zaprzysiągł młodemu potomkowi imienia Sołomereckich zgubę, aby rzekomą plamę z tego imienia zmazać i majątek księżny, jako jéj brat stryjeczny, kiedyś posiąść. Te zabiegi i krwawe zamachy księcia są główną osnową powieści. Widzimy więc całą zgraję łotrów i ludzi ladaco, kupionych przez księcia i sprzysiężonych na wolność i życie młodego księcia sieroty: żyda Hahngolda, dziada Łagasa, żaka Urwisa i im podobnych. Jednakże wszystkie te intrygi i zamachy, obliczone na zgubę młodego księcia, w niwecz się obracają, bo czuwają nad nim matka, Agata, dawna jéj sługa, stary Czuryłło, późniéj i młody Czuryłło, który dziwne przeszedłszy koleje, z niewoli tatarskiéj prawie cudem się uwolnił. Księżna musiała syna ukrywać najpierw u piastunki Agaty, potem u pewnego księdza, daleko od ludzi i świata, gdzie był na nauce, wreszcie musiała go wyprawić do Krakowa, aby tu pomiędzy żakami, jako sierota pod zmyślonem imieniem Maćka Skowronka, się ukrył. Tu powieść się zaczyna na szerokiém tle życia żaków i żebraczéj tłuszczy. Przybycie młodego księcia do Krakowa nie zostało tajemnicą, wiedzieli o nim i ci, którzy go chcieli zgubić, i ci, którzy nad nim czuwali. Książę stryj wysłał na niego siepaczy, sierota tylko cudem wyrwał się z rąk dziada Łagasa, który go do Węgier miał uprowadzić, schro-

nił się do plebanii pod Proszowicami, i szczęśliwie był ustrzeżony od dalszych niebezpieczeństw przez Urwisa, który z wroga stał się jego przyjacielem, znalazł i do Krakowa znowu zaprowadził. Ocalonego matka w Krakowie z pomocą Agaty pomiędzy żakami odszukała i oddała, uzyskawszy od króla Zygmunta Augusta zapewnienie dóbr dla siebie, pod opiekę Firlejowi marszałkowi, u którego nie długo pobył, bo znowu porwany był i uwięziony do Wilna do Sapiehów, tym razem przez życzliwych przyjaciół, którzy obawiali się, aby matka dla ocalenia dziecka nie wyrzekła się majątku i czci własnéj, już bowiem raz gotowa była poświęcić wszystko na żądanie księcia, byleby życie drogiego syna uratować. Tymczasem dziwne zaszły rzeczy! Młody Czuryłło, kochanek młodości księżny, w ciężkiéj niewoli tureckiéj, jako towarzysz niedoli księdza Hausnera, przy jego śmierci wszedł przypadkiem w posiadanie papierów, tyczących się sprawy małżeństwa księżny Sołomereckiéj, które tenże wywiózł z sobą z Rzymu: powróciwszy do kraju, długo te papiery nosił przy sobie, nie domyślając się ich treści i ważności; przypadkiem zaś odkryte i oddane marszałkowi Firlejowi, niezbicie okazały prawe śluby księżny, i prawowite urodzenie młodego księcia Stanisława, który też przez stryja choć nie bez oporu uznanym został. Książę sam zginął w pojedynku z młodym Czuryłłą, który odrzuciwszy ofiarowaną sobie rękę księżny, zginął gdzieś na wojnie. — Taka jest nasza „powieść z r. 1572“. Z podanéj treści widać, że tytuł jest w tym jednym względzie za ciasny, natomiast wyrazy w tytule: „Zygmuntowskie Czasy“ mówią za wiele, bo chociaż tu z wielkim talentem skreślony jest wizerunek krakowskiego i wioskowego społeczeństwa polskiego z wieku XVI, o ile ono ma związek ze szkołą i kościołem, to braknie jednakże w portrecie tego społeczeństwa polskiego z wieku Zygmuntów męża stanu, humanisty i mieszczanina polskiego, bo Pieniążek jest bardzo słabo nakreśloną figurą. Stósowniejszy tytuł byłby: Sołomereccy. Losy tego rodu tak niezwykłe, w których zresztą i obraz życia wieku XVI jasno się ukazuje, nastręczały wdzięczny temat do powieści, z nich więc autor wysnuwa wątek zajmujących scen, z tradycyą zaś poczynał sobie swobodnie, umieszczając wszędzie ciekawe obrazy życia miejskiego i wiejskiego, jak je znał z najlepszych źródeł. Niezrównane są sceny z życia żaków, ze świata żebraczego, z plebanii, z niewoli tatarskiéj i tureckiéj. Tę swobodę widać najprzód w tém, że w ciągu powieści zmieniał plan całości, nigdzie przez to nie osłabiając wrażenia i zajęcia czytelnika: żyd Hahngold miał, jak się zdaje, odegrać rolę znaczniejszą, bo młodemu księciu, przybywającemu do Krakowa, wymieniają go jako niebezpiecznego wroga, późniéj zaś Hahngold, oprócz chęci zysku, nie okazuje innéj namiętności; pisarz żebraczéj tłuszczy w Krakowie. Broński, zdaje się także był przeznaczony do odegrania ważniejszéj roli, bo jemu Agata opowiada historyą młodego księcia, ale i do tego nie przyszło; proboszcz z pod Proszowic, jedna z najwyborniéj skreślonych figur, pod którego dachem nieszczęśliwa sierota znalazł przytułek, i który pojechał do Krakowa dowiedzieć się bliższych szczegółów o młodym księciu, miał prawdopodobnie także odegrać w powieści pewną czynną rolę, tymczasem ta podróż pełna niewygód i przygód na wątek powieści nie wpłynęła. Jednakże są to epizody wdzięczne, jak frędzle dla ozdoby pięknéj tkaniny dodane; gdyż w ogóle autor ze stanowiska malarza historycznego nie chciał pominąć charakterystycznych momentów, jak n. p. ustępu o Lizmaninie, lub o Janie Tenczyńskim w Hiszpanii, którzy w powieści żadnego nie biorą udziału. Również widoczną jest swoboda, z jaką Kraszewski korzystał z tradycyi o Sołomereckich, w chronologicznéni pomieszczeniu wszystkich szczegółów w r. 1572, bo data takowa jest tylko niejako punktem dośrodkowym wielu szczegółów i punktem spojrzenia na Zygmuntowskie czasy, w r. 1572 umiera ostatni z Jagiellonów. Dosłownie brać téj daty nie można, bo skoro księżna Sołomerecka przybyła do Krakowa „w czasie przygotowań do koronacyi królowéj Barbary“, więc przy końcu r. 1550, i skoro niedługo potem urodził się Staś, więc powinien on w powieści osnutéj na tle wypadków roku 1572 występować, jako przeszło 20 letni młodzieniec, a nie jako żak, „dziecko“. I w innym jeszcze względzie widać to, że autorowi nie chodziło o dokładność chronologiczną: młody książę pierwszy raz z Krakowa porwany był w noc Bożego Narodzenia; gdybyśmy chcieli brać datę r. 1572 *à la rigueur*, wypadłoby przypuścić, że to stało się téż r. 1572, wtedy jednakże t. j. na Boże Narodzenie r. 1572 Zygmunt August już nie żył. Najwięcéj zaś znać, że autor nie wiązał się ściśle chronologią, z następującéj okoliczności. Księżna Anna Beata Sołomerecka przez lat 20 niestarała się dowiedzieć, jak Kurya rzymska zapatruje się na jéj ślub z bratem stryjecznym, — sama młodemu Czuryłłe opo-

wiadala, że ksiądz Hausner przed 15-stu laty poszedł do Rzymu, z powieści zaś naszéj wypada, że to przed 20 było laty — wieść tylko głucha chodziła, że ksiądz Hausner, wysłany przez stryja teścia po ślubie do Rzymu, gdzieś zginął w świecie. Można jednakże było starać się o kopie tych dokumentów, które ksiądz Hausner zabrał z Rzymu, to byłoby dało wątek do wysunucia ciekawych zabiegów, opowiadań, scen, intryg: że autor tego motywu nie użył, jest dowodem, że mniéj mu chodziło o ścisłość chronologiczną. W powieści historycznéj poczytać wypadnie za błąd, ale ten błęd wynagrodzony jest wielkiémi zaletami powieści, szczególniéj w obrazach Krakowa, dworu umierającego Zygmunta Augusta, morowego powietrza, niewoli młodego Czuryłły u Tatarów i Turków i tylu innych, skreślonych i wykończonych z wielkim talentem.

Po „Zygmuntowskich Czasach“, które w sobie tyle zalet mieszczą, nastąpiła długa przerwa w szeregu historycznych powieści Kraszewskiego, dopiero r. 1852 ukazała się znowu dwutomowa powieść na tle historyi osnuta p. t. *Kordecki, powieść historyczna przez J. I. Kraszewskiego* w Wilnie u J. Zawadzkiego. Po pierwszy raz wprowadził Kraszewski wydatną postać historyczną, jako bohatera powieści, wbrew zwyczajom romansopisarzy, którzy czują, że ze znanym bohaterem historycznym nie mogą sobie poczynać z swobodą powieściopisarską, bo trudno go wyjąć ze związku historyi i postawić w sytuacyach, jakich żąda rozwinięcie akcyi wedle wymagań sztuki wyzwolonéj, inaczéj dopełniając w motywach historyą, ubliża się albo historyi albo bohaterowi, — ztąd wolą charakter obranéj epoki uwydatniać raczéj na jéj pochyłościach i w nizinach, aniżeli na jéj wierzchołkach. Prawdziwa analiza historycznego charakteru jest rezultatem naukowych poszukiwań. Jednakże wyrok utalentowanego powieściopisarza może analizie dopomódz intuicyą, i może postać dziejową, którą historya kreśli zwykle w ogólnych liniach, wycieniować wedle tradycyi, jeżeli ta tradycya żyje jeszcze i z autorem związaną jest rozlicznémi włóknami współczucia. Na tém stanowisku stanął Kraszewski. W chęci uczczenia bohatera Częstochowy, na zbliżający się dwóchsetletni jubileusz obrony klasztoru od oblężenia Szwedów r. 1655, opowiedział przebieg téj obrony z zamiłowaniem, z werwą i z myślą oddania hołdu prawdzie. Téj prawdy szukał w pamiętniku samego Kordeckiego o oblężeniu Częstochowy p. t.: Nova Gigantomachia contra sacram imaginem Deiparae virginis in monte claro Czenstochoviensi i t. d. 1657, 2gie wydanie 1694. Powieść Kraszewskiego jest w główném części swobodną parafrazą tego pamiętnika (wedle łacińskiego oryginału, tłumaczenie Łepkowskiego ukazało się dopiero r. 1858) ze wszystkiemi szczegółami, które uzupełnił, snując wątek powieści wedle ducha oryginału. Autor zdaje się jednak mniemać że poddanie się Krakowa Szwedom dopiero w listopadzie, w czasie oblężenia Częstochowy nastąpiło (I 49, II 99, 101), i że uczyniło położenie oblężonych tak rozpaczliwém, Kraków zaś 17 października poddał się [1]), o tém wiedziano w klasztorze od początku oblężenia (Nova Gigantomachia wyd. 2, s. 15). To jest jedyna ważniejsza zmiana w osnowie opowiadania, téj zmiany nie było potrzeba, ona owszem osłabia wrażenie. Jeszcze w jednym względzie odstąpił Kraszewski od pamiętnika: wedle Kordeckiego miała podobno, jak to potem w Częstochowie opowiadano, objawić się Millerowi jakaś tajemnicza osoba i strachem do odwrotu nakłonić; że tego szczegółu Kraszewski nie użył jako motywum w powieści, jest wyraźną wskazówką, że głównie chodziło mu o prawdę historyczną. A przecież w ten ściśle historyczny żywioł wplótł autor zajmującą zmyśloną powieść o Lasocie, Krzysztoporskim i o staréj żebraczce Kostusze, dawniéj córce bogatego mieszczanina Sandomiérskiego, która oddawszy rękę bogatemu Lasocie, i z majątku sobie najprzód zapisanego sądownie wyzuta i rozwiedziona z nim, Krzysztoporskiego poślubiła, a od tego źle traktowana i w zamknięciu trzymana, przez pierwszego męża wyswobodzona, puszczoną była w świat na Opatrzność Bożą; wszystkie te osoby znalazły się na Jasnéj Górze w czasie oblężenia. Powieść ta, któréj ostatni akt odgrywa się w czasie tego oblężenia, dodaje groźnemu położeniu rzeczy jeszcze więcéj grozy przez śmierć Lasoty i Krzysztoporskiego i ciężką pokutę Kostuchy, która w gradzie kul pod murami klasztoru na próżno szuka śmierci. Nie mógł autor piękniéj pomieścić końca historyi miłości, która była pełną obłędów serc namiętnych, jak na tle wypadku, który był wyrazem i owocem najwyższego zaparcia się miłości własnéj. Cały ten epizod nie jest jednakże bez podstawy historycznéj, w historyi bowiem oblężenia klasztoru na Jasnéj Górze odgry-

[1]) Kochowski Climacter II str. 54.

wa rolę nie tylko Krzysztoporski i Lasota (Nova Gigantom. 54), ale i Kostucha: „Constantia mulier natura et audax intra fossas inhabitans“, która z pogardą śmierci Szwedom szkody, oblężonym zaś przysługi wyświadczała. Że tę żebraczkę Kraszewski czyni pokutnicą za ciężkie grzechy młodości, i że ta pokuta jest tak zasługi pełną, to dodaje powieści bardzo wiele uroku.

Po Kordeckim zdawało się, że Kraszewski w powieści historycznéj opuści epokę dawniejszych wieków, z upodobaniem tworząc powieści na tle wieku XVIII: *Djabeł* 1855, *Dola i niedola* 1864, *Macocha* 1871, *Hrabina Kosel* 1874 i inne; dopiero r. 1874 zwrócił się znowu do historycznych wspomnień z wieku XVI i za temat powieści wziął z niego losy młodego człowieka kształconego w Wittenberdze, który tam nowéj zasmakował wiary, a powróciwszy do ojczystego gniazda, znalazł w ojcu surowego sędziego swego odstępstwa od ojców wiary, i, dom ojcowski rzuciwszy, w końcu w świecie gdzieś bez wieści zginął.

Powieść ta ma napis: „*Powrót do gniazda, powieść z podań XVI wieku*“. Młody Janusz, syn wojewody z Rochowa, człowieka starego autoramentu, oddany był za namową stryja, pisarza koronnego, na naukę do Wittenbergi, i tu odpadł od wiary przodków i pokochawszy córkę bogatego złotnika Hansa Hennichena, młodziuchną i piękną Frydę, potajemnie z nią się zaręczył. Po roku. kilkakrotnym rozkazem ojcowskim powołany do domu, powraca do gniazda rodzinnego, smutny i z ciężkiém sercem, bo wié, że rodzice nie poblogosławią ani jego wierze ani miłości, przeczuwa twardą walkę z ojcem surowym i twardszą z sobą samym, bo jakże pogodzić sprzeczne uczucia posłuszeństwa synowskiego i wierności przekonaniu i kochance? Nie wiele położenie jego ulżyło się przez to, że kolegę swego Tiliusa, który mu się ofiarował towarzyszyć do Polski i tam apostołować nową wiarę, zostawił w Krakowie, bo ojciec już na wstępie źle go przyjął, że dopiero za trzeciem wezwaniem do powrotu był posłuszny, w najgorszém mieszkaniu przy bramie osadził i zapowiadał, że go na żołnierkę na kresy poszle. Stryj z Zalesia, pisarz koronny, przyjaciel reformy, znalazłszy się krótko po przybyciu wojewodzica w dom rodzicielski także w Rochowie, dodawał Januszowi otuchy, i w razie potrzeby gościnę u siebie ofiarował. W dzień potem, Janusz nie stawił się na mszę w kaplicy, „dzwonka nie słyszał czy słyszéć nie chciał“ (str. 142). Od téj chwili poczyna się jego i całéj rodziny boleśna i nieszczęsna niedola. Ojciec osadził go w wieży, xiądz proboszcz napróżno go odwiedzał, napróżno i matka nawiedziła go w brzydkim lochu: święta ta osoba, od żalu powalona na łoże choroby, zwlokła się z niego, nocą mimo wiedzy męża zaszła do więzienia, aby miłością macierzyńską skłonić go do tego, do czego ojciec nie mógł surowością. Syn wypłakał się u nóg matki, wyznał miłość do Frydy, i serce swe i duszę swą przed nią otworzył, ale ani matka nie mogła pochwalać odstępstwa od wiary i miłości osoby do obcego kraju i rodu, która miała być matką gasnącego Rochitów pokolenia, ani syn nie skłonił się ku woli matki. Płakali oboje i z niewymownym bólem serca rozłączyli się — na zawsze! Syn z więzienia uszedł do Zalesia, matka powoli gasła, aż i zgasła ze zmartwienia, przez starego księdza proboszcza zostawiając dla syna błogosławieństwo i napomnienie, aby ojcu był posłuszny. Wojewoda zaś wydziedziczył i wyrzekł się syna. Prosił za nim ksiądz proboszcz, błagała umierająca żona o przebaczenie,— wojewoda nie przebaczył; wstawiał się stryj, Janusz przy trumnie matki w kościele przed ojcem upadł na kolana, ojciec nie przebaczył, — na prośby tych, którzy się za Januszem wstawiali, odpowiadał: „nie mam syna“, — odepchnął go na zawsze od siebie. Zerwał z bratem, zerwał z wszystkimi, sposępniał, osamotniał, — nie pobłogosławił w godzinę zgonu i do łoża śmierci nie pozwolił przystąpić, bratu tylko, który puściwszy żale, jakie miał do niego, w niepamięć pielęgnował chorego, powiedział: „gdy nawróconym będzie, dasz mu moje błogosławieństwo“. Wojewoda umarł w Krakowie. Tu znalazły się w żałobną godzinę jego śmierci wszystkie główne osoby powieści. Stary Hennichen, który wiedział o miłości młodych ludzi, i który życzył sobie związku swéj córki z wojewodzicem i na ten cel postarał się o dyplom szlachecki, dowiedziawszy się z listów Tiliusa do znajomych o uwięzieniu i ucieczce „grafa Jana“, odważył się na krok ostateczny: pod pozorem sprzedaży drogich kamieni królowi Zygmuntowi Augustowi pojechał do Krakowa, zabrawszy z sobą córkę i jednę siostrę, w rzeczywistości zaś pojechał, aby ubóstwianéj przez siebie córce pomódz. Ale stryj Janusza, choć Januszowi i reformie przychylny, o miłości jego z Frydą nie chciał nic słyszéć, i na pierwszą próbę złotnika trafienia do uczuć jego, odpowiedział obelgą. Stary Hennichen, wyleczony z pró-

żności, oziąbł w swoich uczuciach dla Janusza, i nie przyjmował go już u siebie; wspomniawszy chłodno o zmienionych stosunkach, zabierał się do powrotu. Ale Fryda nie mogła znieść myśli rozłączenia, ona pierwsza podała myśl ucieczki, i Janusz z nią i wiernym sobie od czasów Wittenberskich Jozyakiem ujechali w świat daleki z Krakowa, napróżno przez Hennichena i przez stryja ścigani. Ślub w ciągu ucieczki wziąwszy, przepadli bez wieści — w Holandyi, i zmarli rychło w niedostatku. Syn ich, który jako złotnik w Krakowie pracował po 20 latach, nie znał ani języka ojczystego, ani historyi ojca swego. Otrzymawszy zapomogę, wrócił do Holandyi i tu własny warsztat założył. — Taką jest ta smutna powieść, osnuta na tle historyczném, ale nie historyczna w ścisłém znaczeniu tego słowa, bo Zaranek, Tilius, Szałaj i inni głosiciele nowéj wiary nie mogą uchodzić za osoby historyczne, wojewoda zaś z Rochowa, herbu Roch, jest zmyśloną osobą, wojewody tego nazwiska i herbu w obranéj przez autora epoce nie było. Mniéj téż autorowi chodziło o wystawienie społeczeństwa polskiego w wieku XVI, jak raczéj o wystawienie walki między powagą i karnością religii i obyczaju a indywidualną wolnością myśli i uczuć; pierwszą przedstawia ojciec, drugą syn; tę walkę wystawił autor w sposób tragiczny, trwa ona krótko, bo ojciec syna za niestawienie się do kaplicy na mszą do lochu zamknąć każe, syn zaś posuwa się do ostateczności, i z pod ojcowskiéj mocy uchyla się ucieczką, ale smutne skutki tego konfliktu trwają długo i targają węzły rodzinne, wpędzają matkę do grobu, ojca powoli trawią bólem i doprowadzają do wyparcia się własnego dziecka, a syna skazują na ucieczkę od swoich i z kraju. Kara za nieposłuszeństwo syna dotknęła w skutkach i matkę i ojca i własne owego dzieci: nie pomogły prośby niczyje, kara spełniła się w całości, wojewoda pozostał nieprzebłaganym. Ten twardy i nieugięty charakter wystawił autor z wielką konsekwencyą: wojewoda znosi skutki swego postąpienia z synem z energią przekonania, że inaczéj postąpić nie mógł i nie może, ale ból wewnętrzny był silniejszy od téj energii, i ten ból złamał i strawił go. Nie można bez wewnętrznego niepokoju czytać przebiegu téj katastrofy.— Naprzeciw téj osoby z żelazną wolą postawił autor syna z charakterem nieco biernym (w stanowczej chwili pociągnęła go do ucieczki Fryda, która jest bardzo zręcznie i sympatycznie skreśloną), i charakter jakby z wosku, tj. brata wojewody, pisarza koronnego z Zalesia. Sprzyja on reformie, ale do niéj otwarcie się nie przyłączył, Janusza, przyjmuje u siebie, ale w danéj chwili zamiast otwarcie postąpić, podstępnie chce zepsuć jego miłosny stósunek do Frydy, nie bez trudu wyrywa się z wygód życia, aby jakiśkolwiek krok stanowczy uczynić; z sympatyi do reformy wylecza się bez wewnętrznych niepokojów. Dom jego w Zalesiu i jego otoczenie wystawił autor z wielką sztuką, i tu mamy sposobność poznania wieku XVI za Zygmuntów choć częściowo i z jednego punktu widzenia, ale dokładnie.

Podobnie jak Kraszewski epoki wieku XVI użył za tło do wystawienia idei o powadze i posłuszeństwie, tak i wiek XVII „wiek galanteryi", posłużył mu za kanwę do wystawienia wzajemnych stósunków obojéj płci w Polsce za ostatniego z Wazów i następnych dwóch królów, w powieści p. t. „*Żywot JM. Pana Medarda z Gołczwi Pełki z notat familijnych spisane*".

Alfons Karr wyczytał w przypowieściach Salomona że „l'homme amoureux suit la femme comme un boeuf, que l'on mène au sacrifice". Jest to widać dowcipne streszczenie rozdz. VII Przypowieści, gdzie jest mowa o głupim młodzieńcu i o niewieście „gotowéj na łowienie dusz", i gdzie jest powiedziano, że „młodzieniec poszedł za niewiastą, jak wół, gdy go na rzeź wiodą" i t. d. Powieść o Medardzie Pełce jest niezgorszą illustracyą do przytoczonych słów, które są w równym stopniu skargą na niewiastę, jak na młodzieńca. JMPan Medard Pełka jest taką ofiarą kobiecéj lekkości. Dwudziestoletni młodzieniec, piękny i zacny, ale gorączkowego temperamentu (I, 10), zakochał się w 15-letniéj dziewczynie, pięknéj, ale przez zalotną matkę, wdowę podczaszynę, wychowanéj Jadwidze Pociejownie. Wyjeżdżając po pierwszy raz na wojnę, w czasie najazdu Szwedów r. 1655, przy pożegnaniu w nieobecności matki wyznał jéj swą miłość, i otrzymał kokardę niebieską, jako „rycerz kochanki swojéj", przysiągł „wierność do śmierci", i poniósł serce rozkochane na upały i opały wojenne, ale wnet pani podczaszyna piękną córkę przefrymarczyła bogatemu wojewodzie sieradzkiemu, i pan Medard miał tylko szczęście być gościem przypadkiem na ślubie (w Głogowie na Szląsku, na dworze królewskim) i rozmawiać z swą kochanką, gdzie się od niéj dowiedział, że *on* jéj wierność winien, a ona jemu nic, i gdzie wprawdzie umiał zaimponować słowami i podczaszynie

i jéj zięciowi, ale z niczem odjechał w téj myśli, że młody, że czekać może na szczęście, w które wierzył. Podczaszyna przy ponowném spotkaniu otworzyla mu oczy, że bez pieniędzy nie może myśléć o Jadwisi, więc poszedł gdzieś w świat i przez lat przeszło 10 ciężką służbą obozową i wojenną dorobił się wielkich bogactw, — ale znów się zawiódł, bo matka, która pana Medarda kiedyś sama ciągnęła ku sobie, z nienawiści ku niemu córkę, od pewnego czasu owdowiałą, z pośpiechem wydała za jakiegoś księcia Prońskiego na Szląsku, który młodą żonę, nieco zalotną, przez zazdrość na zamku w Braniborzu osadził. Pan Medard z bezprzykładném poświęceniem uwolnił panią swego serca z tego zamknięcia, przywiózł do Warszawy, księcia w pojedynku zabił, ale — kochanka młodości znowu z natchnienia matki, nie troszcząc się o swojego „rycerza", poszła za mąż za innego, pisarza koronnego Paca, wtedy, kiedy Pełka był z Sobieskim pod Chocimem. Pełka miał tylko znowu wątpliwą satysfakcyą widzieć, że jego dama z Pacem nie jest szczęśliwą.— Ale już tego było zawiele dla niego, po trzeci raz być pominiętym! Napróżno wmawiał w siebie, i przyjaciół (III, 39) „że gwałtem kochanki nigdy brać nie myślał, że nie chciał szczęścia swego zawdzięczać choćby chwilowo zadanemu gwałtowi", czuł, że jego życie marnie uchodzi, — poszedł więc do klasztoru do Bernardynów do Lwowa, szukając spokoju duszy. Pani pisarzowa gwałtem go ztamtąd wydobyła, Pełka z Pacem się strzelał (powód dały polityczne przy koronacyi króla Sobieskiego okoliczności), ale nieszczęśliwie. Wyleczywszy się, pojechał na wieś, i kiedy się zdawało, że o sercowych udręczeniach zapomniał, za sprawą przyjaciela swego Rożańskiego poznał i pokochał piękną złotowłosą pannę wojszczankę Elżusię Kmicicównę i zaręczył się z nią, ale pani pisarzowa, która tymczasem po trzeci raz owdowiała, pojechała „upomnieć się o zaprzedaną sobie duszę" (III, 203), i zawiozła do siebie na wieś. Ale mając go teraz w swéj władzy, zaczęła się „nudzić nim i samotnością", choć nie mogła ani pomyśléć o tém, aby odszedł sobie precz, lub się ożenił z inną. Matka znów gachów sprowadziła, pani pisarzowa jednego z nich wybrała, pana Firleja, i z nim się zaręczyła. To biednego pana Pełkę doprowadziło do ostateczności, dawno już był stracił swój animusz, i popadł w melancholią, teraz ostatnich sił dobył i, mszcząc się krzywd swoich, strzelił do jejmości. Szczęściem nie zabił.

Wtedy dopiero pani Jadwiga przyszła do rozumu, i uznała, że dawno powinna było wierność rycerza swego wynagrodzić ręką swoją. Przyjaciel Pełki Rożański, dwoje kochanków w końcu szczęśliwie połączył, wprzódy jednakże osądziwszy, że „trzeba było przed 10-ciu laty do Jejmości strzelać".

To streszczenie jest tylko słabym odblaskiem powieści Kraszewskiego, wykończonéj z wielkim talentem i z wielką znajomością serc ludzkich, z trafném zastósowaniem języka i sposobu opowiadania XVII wieku. Rożański Pełce wpół żartem w pół seryo raz powiedział, że o jego miłości jako o Sylorecie bajki rozpowiadają. *Syloret* Potockiego wprawdzie wtedy, r. 1674, nie był się jeszcze w druku ukazał (to nastąpiło dopiero 1764), jednakże ten fantastyczny wierszowany romans należy zapewne do najrychlejszych utworów Potockiego i był zapewne znany z rękopisów, jak *Argenida* tego autora, o któréj także przed drukiem jéj są wzmianki. Co zaś ważniejsza, to że przygody Medarda Pełki również są dziwne, jak przygody bohaterów i bohaterek Syloreta: żywot i sprawy Pełki osadzone są wprawdzie na tle historyczném, bo go widzimy przy Czarnieckim, potem na elekcyi króla Michała Wiśniowieckiego, którą on razem z szlachcicem Piotrowskim zdecydował, późniéj w obozie pod Chocimem, na koronacyi Sobieskiego,—ale autor przesuwa pasmo dni jego o wiele więcéj po tych *życia* ludzkiego drogach i ścieżkach, na które oko Kraszewskiego nie padło, i dając folgę upodobaniom wieku XVII, w którym ulubionémi powieściami były takie, jak *Banialuka*, *Nadobna Paskwalina*, *Argenida*, *Psyche* i inne, wypełnia życie swego bohatera coraz to dziwniejszémi przygodami, szczególniéj ta epoka jego żywota, która następuje po wydaniu Jadwigi za wojewodę, pełną jest cudowności: Pełka bowiem poszedł w świat w największéj tajemnicy, aby się bardzo zbogacić, po 10-ciu latach powrócił z bajecznemi skarbami, ale taił się przed ludźmi, gdzie je zebrał, dopiero późniéj (II, 305) wyznał, że lat 10 spędził w wojsku cesarskiém i na wojnie, i że bogactwa winien „zdobyczom rycerskim i nagrodzie", choć wtedy (1656—1666) cesarz żadnych nie prowadził wojen — ale kiedy, jak wiemy, bogactwa nie pomogły i młoda wdowa wyszła za księcia Prońskiego, który ją na zamku Braniborskim zamknął, wtedy Pełka jedzie kochankę uwolnić, ale popada w ręce rywala swego, dostaje się do „Kostnicy" na pewną śmierć, cudem się uwalnia, tymczasem pachołę jego Gabryk, który na

pana czekał napróżno, doznaje także dziwnych przygód, bo szlachcic polski Wielikaniec, wracając przypadkiem jako pątnik z Kompostelli przez Braniborz, zrzucił odzież pątnika, dosiadł konia Pełki, zebrał jego przyjaciół, aby go uwolnić i pomścić, tymczasem zabłądzili w lesie, cudownie odnaleźli Pełkę u pewnego węglarza w chatce leśnéj i razem z Pełką księżnę uwieźli i zamek Braniborski spalili.—Takich dziwnych przygód, powtarzających się motywów, takiego nagromadzenia nadzwyczajnych wypadków wymagało w myśli autora całe założenie powieści, zapewne téż w „familijnych notatach“ znalazł niejedną dziwną sprawę, ale powieść cierpi na braku umotywowania, bo wszelkie te powikłania pochodzą zawsze z przypadku, główna osoba powieści jest nad miarę bierna i cierpliwa, Jadwiga z wyjątkiem tym, że jest zalotna i uparta, jest także osobą w ogóle bierną i energią pokazuje tylko wtedy, kiedy się „upomina o zaprzedaną sobie duszę,“ jedynie wypadkami kieruje podczaszyna, która jednakże na główną osobę powieści nie jest przeznaczoną. — W szczegółach powieść o JMPanu Medardzie Pełce jest z mistrzowstwem wykończona: to co się cichem życiem w powieści nazywa, wystawienie miejscowości, zwyczajów, sytuacyi, kostiumów i t. d. jest wyborne i składa się w ciąg obrazów, z których malarz gotowe brać mógłby motywa, wybornie skreślone są np. przekradanie się Pełki z żydem Lejbusiem przez obóz Szwedów pod Krakowem (I,199), targ o córkę (I, 152), dwór Niemirów i wizyta Szwedów (II, 56), elekcya króla Michała (II,172) i wiele innych.

W linii równoległéj z powieścią o I.M. Panu Pełce rozwija się powieść o Mroczku w „Pamiętniku Mroczka.“ W krótkich treściwych słowach opowiada Jan Mroczek najciekawsze wypadki życia swego z czasu swéj młodości, swoję służbę na kresach, swoję miłość do staróścianki Heleny Nałęczówny, i udział swój w wyprawie Sobieskiego pod Wiedniem. Historya téj miłości jego jest jakby odwrotną stroną medalu, jakby przeciwstawieniem powieści o IMPanu Medardzie Pełce. Obydwaj młodzieńcy z niebogatéj drobnéj szlachty, Mroczek nawet ubogi, pokochali dziewice senatorskiego rodu, miłość w obydwóch zapaliła się w takim czasie, kiedy wypadło na głos króla iść na nieprzyjaciela, obydwaj wiernie i stale kochają, ale jeden kocha płochą kokietkę, drugi osobę piękną wielkiego ducha i serca, która jest wzorem wiernéj kochanki. Kiedy Mroczek idzie na wojnę, nie mianuje go ona swoim rycerzem, jak Podczaszanka Pełkę, ale ślubuje mu stateczną miłość i takiéj żąda téż od niego, i kiedy z Wiedeńskiéj wrócił potrzeby, zbogacony zdobyczą i od króla nagrodzony starostwem, wtedy go okoliczności i życzliwe osoby przynaglają do tego, że i gwałtem wziął bogdankę i do ślubu poprowadził, wbrew woli dwóch braci współdziedziców i opiekunów. Podczaszyna ciotka Heleny, którą kochała jak córkę i któréj matkę zmarłą zastępowała, w stanowczéj chwili mówiła Mroczkowi: „Zacny z Waćpana człowiek, że ci gwałt wszelki jest obmierzły, ale są wypadki, w których i do ostatnich środków uciec się trzeba, gdy o przyszłość osoby drogiéj idzie.“ Mroczek poszedł za tą radą. Zapewne i w tym punkcie chciał autor przeciwstawić losy dwóch kochanków: Pełka nigdy gwałtu dopuścić się nie chciał, jego téż dzieje są długiém pasmem katuszy, inaczéj w powieści o Mroczku; choć przeszkód jest pełno i choć szlacheckich imprez wiele i pojedynków i wyjennych przygód i niebezpieczeństw, to jednakże przyjacielskie przysługi, protekcya podczaszyny i wreszcie samego króla kierują wszystko ku dobremu. Niezwykłéj piękności sceny są w téj powieści, szczególniéj sceny obozowe, przygody najstarszego Nałęcza, który jako łup z wyprawy Wiedeńskiéj przywiózł sobie piękną żonę Greczynkę, po bitwie obronioną łupieżcom,—i fortele Grabowskiego w uwiezieniu panny i w czasie oblężenia Surowina, dokąd młode małżeństwo uciekło przed pogonią Nałęczów.

W powieściach historycznych, o ile tyczą się wieku XVI i XVII, Kraszewski nie trzymał się żadnych wzorów, wierny skłonnościom swoim szukał własnych dróg i pisał wedle natchnienia i własnych upodobań. W tych powieściach historycznych jego, rozróżnić można dwa rodzaje: jedne są pisane z intencyą wiernego kreślenia wypadków, drugie z myślą tworzenia charakterów i sytuacyi na tle historycznem, w pierwszych przeważa historyczność, w drugich powieść, pierwsze są obrazami historycznemi w duchu kronikarskim, drugie obrazami obyczajowemi na podścielisku historycznem. Do pierwszych należą: „Kościół Ś. Michalski“ r. 1833, „Rok ostatni panowania Zygmunta III-go“ r. 1833, „Stańczykowa Kronika“ r. 1841, „Ostatnia z książąt Słuckich“ r. 1841, „Żacy Krakowscy“ r. 1845 i „Kordecki“ 1852, do drugich: „Zygmuntowskie Czasy“ r. 1846, „Powrót do Gniazda“ 1874, „Żywot i sprawy Pełki“ 1876 i „Pamiętniki Mroczka“ („Mistrz Twardowski“ mało ma

z historyą wspólnego). Od r. 1846 więc Kraszewski rzucił dawny swój rodzaj oparty na wierności historycznych faktów, i obrał inny, w którym z historyi już tylko duch obranéj epoki pozostał, „Kordecki“ choć po roku 1846 napisany, należy jeszcze do pierwszego rodzaju. Do drugiego zaś rodzaju, w którym swoboda zmyśleń poetycznych bierze górę nad kronikarsko-antykwarynszowskiemi względami, ciągnął autora naturalny popęd talentu i skłonności pisarskie; na ten zwrot już się zanosi w „Żakach krakowskich“ r. 1845, tam na str. 104 są te słowa: „historya i bajka czemże są od siebie różne? że w pierwszéj szuka człowiek dla swéj dumy pokarmu, w drugiéj dla ciekawości, ja wolę ciekawość jak dumę... lituję hisoryków, inaczéj z tymi, co bajki piszą.“ Nie wyrzekł się przeto Kraszewski historyi, bo pisał potém dzieła, oparte na rozległych badaniach historycznych, ale na polu powieści to przejście od historycznéj akuratności do swobodnego tworzenia wyszło na dobre, bo powieści późniejsze historyczne, począwszy zaraz od „Zygmuntowskich czasów“ odznaczają się życiem i trafiają w charakter dawniejszych czasów i ludzi,—o ile się to da osiągnąć, bo od epoki XVI-go i XVII go wieku oddziela ogół czytającéj publiczności wiek XVIII, którego tradycya, żyjąca dotąd, zatarła oblicze tamtych wieków w poczuciu dzisiejszego społeczeństwa, tak, że bez naukowego przysposobienia trudno je znać, bez téj zaś solidarności z tradycyą obranéj epoki powieść historyczna ma w sobie pewien niedostatek, i dla tego romansopisarze historyczni najchętniéj obierają za tło takie epoki, z którémi jest związek tradycyi, i Kraszewski sam to uczynił z tak wielkiém powodzeniem w powieściach historycznych z epoki Saskiéj i Stanisławowskiéj, albo téż cofając się w odleglejszą epokę, wnoszą do niej dzisiejsze zapatrywania, wyobrażenia i uczucia swojego społeczeństwa, aby odległość zmniejszyć. Rzadko kto robił do napisania historycznego romansu tak rozległe studya, jak Scheffel do „Ekkeharda,“ a jednakże wszędzie tam znać i dziszejsze wyobrażenia. Tak się téż ma z romansami historycznemi Kraszewskiego drugiego rodzaju: i ludzie w nich i cały zakrój życia są takiemi, jak żyją w pamięci starszych osób z przeszłowiecznéj tradycyi; tylko w nich uderza podobieństwo do ludzi i myśli i obrazów życia w historykach i poetach polskich XVI i XVII wieku. Nie są to historyczne osoby, jak i powieści, których są bohaterami, nie są zawsze w ścisłém znaczeniu tego słowa historycznémi, ale mają pamiętnikowy charakter z wielkiém życiem dramatycznėm.

Władysław Nehring.

IV.

Epoka Saska.

---

1) Hrabina Kosel 1874. 2) Brühl 1875. 3) Z wojny siedmioletniej 1876. 4) Starosta Warszawski 1877. 5) Skrypt Flemminga 1878.

Powieść historyczna jest i potrzebuje być w literaturach innych narodów tylko płodem kompozycyi i fantazyi artystycznéj, w *naszéj* jest *obok* tego czémś więcéj. Inne narody mają rozliczne środki nauki swych dziejów, mają urzędowe katedry uniwersyteckie i zakłady szkolne, mają troskliwie i systematycznie uprawianą całą przeszłości swéj dziedzinę. U nas panują wielce odmienne pod tym względem stosunki. Co na tém polu zdziała od kilku lat zaledwie istniejąca i funkcyonująca Akademia umiejętności krakowska, jakie owoce wyda rozwinięta również dopiéro działalność uniwersytetu Jagiellońskiego i Lwowskiego, przyszłość dopiéro okazać może. W innych zaś stronach kraju nie ma zakładów publicznych, z którychby światło znajomości dzie-

jów spływało na ogół, czy choćby tylko na łaknących nauki wybrańców. Nie dość na tém, wskazuje nauka nasza dziejowa od pewnego czasu jakoby zastój. Mnóztwo monografii i monografiek historycznych znajduje się rozrzuconych i rozpierzchnionych po najrozmaitszych czasopismach, ale jakąż rzadkością, jakąż *rara avis*, dzieło poważniejszych rozmiarów, traktujące w pragmatycznéin opracowaniu jakibądź obszerniejszy przestwór przeszłości naszéj. Jeżeli się zaś podobna rzadkość w naszém wydawnictwie i w naszym handlu księgarskim pojawi,—jakiż, zapytalibyśmy daléj procent wytłoczonych jéj exemplarzy dostaje się pośród wielką massę czytającéj publiczności, która ostatecznie jest i powinna być celem każdego dzieła pióra i nauki?... Co najwięcéj, pozostają podobne dzieła i podobne utwory rodzajem *arcanów* uczonego świata, takiego naturalnie, na jaki nas stać wśród obecnych okoliczności, a to co się nazywa u nas publicznością, choćby nawet *czytającą publicznością*, pozostaje najzupełnie obcém naukowemu w dziedzinie historycznéj ruchowi. Z podobnych przyczyn i wśród podobnego położenia rzeczy, cóż naturalniejszego, jak że znajomość przeszłości naszéj, popularyzowana swego czasu pomiędzy publicznością, *Śpiewami historycznemi*, podtrzymywana *Pielgrzymem z Dobromila*, *Historyą opowiedzianą synowcom* przez Joachima Lelewela, *Wieczorami pod Lipą* w różnych ich wydaniach, zacznie zamierzchać i, jakoby więdnąc pośród naszego społeczeństwa, ścieśniać się i chronić do coraz ciaśniejszego, co nie daj Boże, kółka specyalnych jakich uczonych? Otóż nie można wśród podobnych okoliczności i wśród podobnie mało pocieszającéj perspektywy ocenić dość wysoko i dość zaszczytnie zbawczéj, ocalającéj interwencyi *powieści historycznéj*, podjętéj naturalnie ze świadomością ważności zadania i ostatecznych jego celów. Zadanie z pewnością szczytne, wspaniałe, pierwszorzędne, byle było dobrze rozumiane, byle mu towarzyszyła obok dokładnéj znajomości epoki, obok uzdolnienia artystycznéj kompozycyi, jako nić złota, ciągnąca się przez całość tendencya umoralnienia i pouczenia, dążność rozprzestrzenienia moralnego i umysłowego widnokręgu własnéj społeczności za pomocą dziejowéj prawdy, podanéj w nadobnéj formie. W tym kierunku zmierzała i zmierza powieściopisarska działalność Kraszewskiego. Uwieńczeniem jéj jest ów podjęty przezeń obok tylu innych zatrudnień zaledwie przed trzema laty, wykonany już obecnie w tak znacznéj części, pomysł ujęcia całego obszaru dziejów polskich powieściowém przedstawieniem. Wolnoż nam pośród i mimo tak szczerego uznania dla podobnego przedsięwzięcia, wystąpić w obec autora *z jedną* tylko uwagą, która przecież w razie uznania jéj słuszności, *może być* jeszcze uwzględnioną?— Tragiczne, męczeńskie dzieje braci naszéj lechickiéj nad Łabą, nad zachodnio-północnemi brzegami Bałtyku, dzieje Obotrytów, Wagirów i Rugian, boje Kruka, Niklota i Przybysława z nawałą germańską, zgon męczeński Warcisława, bitwa pod Dyminem, powstanie słowiańskiego ludu około Zwieczyna i Wielkiego Grodu, szturm Arkony,—wszystko to razem jest cząstką dziejów naszych, bo dziejów plemienia lechickiego, kroniką męczeństwa i bohaterstwa na przemian naszéj przedniéj straży, zapomnianéj zbyt pochopnie przez doznającą dzisiaj podobnego losu główną armią, prawdziwym „*wstępem krytycznym*“ do dziejów naszych... Nie należałażby się dzisiaj, wśród obecnego *hodie mihi cras tibi*, rehabilitacya dziejowa owéj lechickiéj braci z nad Łaby i Bałtyku, a czyż *Kronika Helmolda*, *Arnold Lubecki*, *Dytmar i Annale Lubeckie* nie zawierają w połączeniu ze smętnie uroczą widownią owych walk i owych cierpień, aż nazbyt obfitego materyału, któryby był godnym pędzla znakomitego malarza przeszłości? Niechaj nam będzie wolno wyrazić nadzieję, że to niwa, któréj się jeszcze dotknie pióro zacnego naszego jubilata.

Po tym nawiasowym wstępie wróćmy do naszego przedmiotu. Jak co dopiero powiedziano wyżéj, podejmuje autor olbrzymią pracę ujęcia całości dziejów polskich w powieściową formę. Wobec podobnego, wchodzącego poważnie w życie, przedsięwzięcia, występują wszystkie dotychczasowe jego powieści historyczne bądź to w charakterze monografii, bądź jakoby wyprzedzających, rekonesansowych wycieczek, które czekają połączenia z całością. W rzędzie takich to monografii czy przedniostrażowych wycieczek w dziale spowieściowania całych dziejów polskich, przedstawia się *cykl powieści historycznych z epoki saskiéj*. Zastanawiając się nad ich treścią, dążnością, rozmiarami, przychodzimy do przekonania, iż w klassyfikacyi i kategoryzowaniu dziejowo-powieściopisarskiéj działalności Kraszewskiego, przypadnie całemu owemu cyklowi powieści z epoki saskiéj raczéj stanowisko i charakter monografii, aniżeli gotowych już jakoby napozór ogniw do powiązania może w jedną całość powieściowo opracowanéj epoki Wazów lub Sobieskiego z również powieściowo

opracować się mającą epoką Stanisława Poniatowskiego. Choćby, co daj Boże, Kraszewski doprowadził do końca i skutku całe swoje przedsięwzięcie *spowieściowania* historyi polskiéj choćby i do dni dzisiejszych nawet, nie dały by się wtłoczyć w logiczny i sforny szereg podobnéj całości, wszystkie jego powieści z epoki saskiéj. Ich cyklowi będzie się zawsze osobne należało miejsce, z téj prostéj przyczyny, że to wycieczka znakomitego pisarza na obcą właściwéj Polsce widownią, że główni ich bohaterowie i bohatarki nie Polacy, że związek ich z Polską bardzo luźny, że z wyjątkiem, jak zobaczymy i uzasadnimy niżéj, *Starosty Warszawskiego* i *Skryptu Flemminga*, trącających więcéj o stróny i stosunki polskie, są to istotnie powieści raczéj *saskie*, aniżeli nasze. Nie jest to i nie ma być broń Boże, zarzutem, jest tylko prostém wydobytém z ich treści i przebiegu spostrzeżeniem. Nie dziwmy się, jeżli długi pobyt w Dreźnie, w owéj Florencyi nadelbiańskiéj, pośród Sasów, z którymi nas tyle wspomnień i tyle wspólnych tradycyi z dawnych czasów łączy, nie minął bez wpływu na wrażliwy, artystyczny umysł autora. Ów długi pobyt, owo otoczenie, owe wspomnienia i tradycye, owe wymowne mury i owa piękna natura *zasłużyły* sobie na osobną swą powieść historyczną. Posypał się tedy ich jakoby wieniec, składający się z pięciu dotychczas utworów, które niechaj nam będzie wolno wymienić kolejno w naturalnym ich, chronologicznym porządku: *Hrabina Kosel*, *Skrypt Flemminga*, *Brühl*, *Z wojny siedmioletniéj*, *Starosta Warszawski*. *Hrabina Kosel*, *Brühl*, *Z wojny siedmioletniéj*, są to utwory wyłącznie prawie tylko przeszłość *saską* obchodzące. Węzeł *Hrabiny Kosel* z Polską przedstawia jedynie podrzędną, zacną mimo podrzędności, poświęconą bez granic postać zakochanego w niéj śmiertelnie Zakliki. W *Brühlu* przypomina bardzo odlegle Polskę, pojedynek intrygi i ambicyi, jaki główny bohater nie na polskiéj ziemi i nie o polskie stanowisko stacza z faworytem Augusta III Sułkowskim. W *Wojnie siedmioletniéj* pojawia się jako jedna postać polska poczciwo-rubaszny Masłowski, przypominający wiernie Porthosa z *Trzech Muszkieterów* Dumasowych. Trzy te powieści przetłumaczone na język niemiecki, mogłyby z zaszczytem figurować, jako prawdziwie piękne plody narodowéj powieści dziejowéj niemieckiéj, robiąc niebezpieczną konkurencyą Gustawowi Freytagowi, który, jeśli się mocno nie mylimy, podjął również, jak Kraszewski u nas, dzieło spowieściowania historyi niemieckiéj. *Skrypt Flemminga* odbywa się już na dwóch widowniach, w Saksonii i Polsce i ma już więcéj kolorytu polskiego; również *Starosta Warszawski* jest ustępem z ostatnich dni niemal panowania Augusta III, odgrywającym się na ziemi polskiéj, bądź to w stolicy, bądź téż na czerwono-ruskim zamku Krystynopolskim, spoetyzowanego w *Maryi* Malczewskiego wojewody, Franciszka Salezego Potockiego, ojca Szczęsnego. Postępując tedy daléj w analizie cyklu powieści Kraszewskiego z epoki saskiéj przychodzimy do rezultatu, iż polska przeszłość i polska widownia z epoki Augusta II, jest tylko właściwie przedmiotem jednéj powieści, *Skryptu Flemminga*, traktującéj czasy intryg po konfederacyi tarnogrodzkiéj, że zaś z epoki Augusta III jest znów tylko przedmiotem *Starosty warszawskiego* dotykającego swą treścią zaledwie schyłku owego panowania. Tak więc przedstawiają się nie mniéj z dziejów panowania Augusta II, jak Augusta III z dziedziny polskiéj widowni i polskich stosunków bardzo rozległe jeszcze i nie tknięte dotąd obszary powieściopisarskiéj działalności Kraszewskiego. Po tém koniecznem rozklassyfikowaniu przedmiotu naszego, przystąpmy do treściwego z cyklu powieści z epoki saskiéj sprawozdania i ocenienia, zaczynając rzecz naszą od przodujących liczbą i chronologicznym porządkiem utworów dotyczących widowni specyficznie saskiéj. W pierwszym rzędzie przedstawia nam się tutaj *Hrabina Kosel*... Ciekawa to postać nie dla tego, że była kochanką Sybaryty XVIII wieku, czém było mnóstwo innych kobiet owéj epoki, lecz że była jedyną, z pośród nich, o któréj jest rzeczą pewną i dokumentowo stwierdzoną, iż wpływała swą osobą a może i swą akcyą na różne ewolucye polityki Augustowéj. Poprzedniczki jéj, jak hr. Koenigsmark i Lubomirska, służą polityce Augusta, ale nie nadają kierunku. Hr. Koenigsmark jeździ w interesie Augustowym do obozu szwedzkiego, Lubomirska towarzyszy królowi w różnych jego przeprawach i podróżach, jest, co najwięcéj, dla reprezentantów zagranicznych mocarstw, mianowicie Francyi, przedmiotem nadskakiwań, opłacających się poufnemi informacyami. Inaczéj Kosel. Kosel staje się dośrednim powodem, z r. 1704 na 5, zerwania niemal aliansu z Piotrem W., zawarcia osobnego pokoju z Karolem XII. Kosel staje się prawdopodobnie dla tego przedmiotem zabiegów reprezentanta interesu carskiego Patkula. Kosel jest niewątpliwą przyczyną zaniedbania spraw polskich przez Augusta przez pierwszą połowę

roku 1705 i zawieszenia Augustowéj akcyi przeciw Szwedom. Taką przedstawiają ją nam archiwalne badania. Jest to więc postać, któréj obraz mógł i powinienby w powieści historycznéj świecić pierwszorzędnie na tle tego właśnie ustępu przeszłości sasko-polskiéj. Kraszewski, jakkolwiek, zauważmy zaraz, bez pokrzywdzenia prawdy historycznéj, co więcéj, z zachowaniem nawet tyle wymaganego dzisiaj we wszelkich płodach sztuki realizmu, wolał przedstawić bohaterkę swéj powieści z innéj strony. Polityka i wojna schodzi w jego opowiadaniu na uboczny, zaledwie zdaleka dostrzegalny plan, nie widzimy jego bohaterki, ani dyktującéj konieczność osobnego pokoju ze Szwedem, ani konferującéj z reprezentantem cara i biorącéj odeń znaczne pieniądze, ani powstrzymującéj, jak Dalila Samsona, królewskiego kochanka od rzucenia się w niebezpieczny wir zawieruchy polskiéj. Kosel Kraszewskiego, to jedynie tylko, czém niezaprzeczenie była, namiętna, przywiązana do króla częścią uczuciem, częścią ambicyą kobieta, ale w obrębie téż tylko owego stosunku, bez ukazania się na szerszéj widowni. Począwszy od owéj orgii i od owego zakładu, którego wygraniem równie niebaczny jak służalczy Hoym przegrywa żonę do króla, skończywszy na uwięzieniu hrabiny na zamku Stolpeńskim, jest cała o niéj powieść pięknym, w obrębie prawdy historycznéj zamkniętym, artystycznie wykończonym, psychologicznie usprawiedliwionym, główną bohaterkę idealizującym obrazem miłośnego jéj stosunku z królem. Ona odgrywa w tym stosunku rolę szlachetnéj, uwiedzionéj i oszukanéj ofiary, król, czém był niezaprzeczenie historycznie, cynikiem bez serca i sumienia, mszczącym się, czy to w polityce, czy w miłości, w danéj chwili na tych, co potrafili kiedybądź obudzić jego słabość. Długa pokuta w więzienném schowaniu na zamku Stolpeńskim staje się oczyszczającą karą nieszczęsnéj ofiary za grzech zyskanego wbrew prawom moralności krótkiego panowania i blasku. Postać króla występuje w tém czarniejszych tylko dla tego barwach... Jeźli, jak co dopiero powiedziano powieść Kraszewskiego obraca się właściwie tylko w ramach osobistego, miłośnego stosunku między królem a hrabiną Kosel, nie mamy zamiaru twierdzić przez to, aby nie wchodziła nigdy i niczém na wielką widownię historyczną owéj epoki. Pod tym względem dość przypomnieć sobie intryganckie, jak wszędzie, tak i tutaj, postacie księcia Eggona Fürstenberga, Flemminga, Löwendahla, czynników i sprężyn upadku Kosel, wyniesienia następczyni jéj, pani Denhoff. Dość daléj przypomnieć sobie ową usłużność wzajemną względem siebie ówczesnych dworów niemieckich, usłużność, która nawet Katonowi nibyto pomiędzy niemi, jakim był król pruski Fryderyk Wilhelm I, nie pozwala prześladowanéj kobiecie pozostać spokojnie w Berlinie czy w Halli i zmusza ją tém samém do poszukania sobie więziennego schronienia pod kluczem prześladowcy... Z Polską i polskiemi stosunkami, jak już powiedziano, nie ma ta powieść żadnego związku. Jedyny węzeł z krajem i ziomkami autora stanowi, jak już powiedziano, biedny szlachcic Zaklika, dworzanin Koseli, sługa jéj i nie udarowany wzajemnością kochanek, którego ostateczną, długo poszukiwaną nagrodą było dać się zabić w niefortunnie podjętém dziele oswobodzenia hrabiny z pod klauzury Stolpeńskiéj. Postać dodajmy, historyczno-moralnie prawdziwa, istny symbol rezygnacyi, jedynéj, jak już zauważyliśmy gdzieindziej, prawdziwéj, cnoty czy wady, która wielkiemu ogółowi polskiemu owéj epoki pozostała na spodzie zewnętrznego oblicza, zeszpeconego intrygą, zeszkaradzonego spekulacyą, stępiałego obojętnością na ojczyste losy.... *Hrabina Kosel* pozostanie tedy, choćby w takich tylko ramach, w jakie autor przedmiot swój ujął, (a mógł mu, nie przeczymy, nadać szerszą,) wiernym historycznie, wykonanym artystycznie obrazem epoki nie polskiéj, na którym przecież, dzięki osobie skromnego a niefortunnego Zakliki, i współczesnéj Polsce rzut światła prawdy się dostaje..... Idźmy daléj w naszéj lustracyi historycznych powieści Kraszewskiego z epoki saskiéj. W pochodzie tym trącamy z porządku rzeczy chronologicznego o postać *Brühla*. Czasowo wziąwszy stanowi to skok dwudziesto-kilkoletni. Królowanie Koseli na dworze i w sercu Augustowém dochodzi do zenitu w latach 1705 do 1707, wyniesienie się pazia *Brühla* na tymże samym dworze datuje się z ostatnich lat panowania Augusta II, około roku 1730. *Brühl*, podobnie jak *Kosel*, jest znów powieścią wyłącznie i specyficznie saską, nie mającą nic prawie wspólnego z historyą współczesną i stosunkami polskiemi, ale, powiedzielibyśmy, góruje nad pierwszą szerokością horyzontu, charakterystyką historycznych, pierwszorzędnych postaci, znajomością dworskich, politycznych, społecznych stosunków Saxonii, wreszcie znakomitém psychologiczném cieniowaniem występujących w powieści osób. Powtarzamy raz jeszcze: nie jest to widownia polska, na którą nas autor wprowadza, jest to grunt czysto

niemiecki, na którym się rzecz cała toczy, ale pod względem umiejętności znalezienia się na tym obcym gruncie, niechaj istotnie zwijają żagle wszyscy historyczni powieściopisarze niemieccy, a jesteśmy aż nadto przekonani, iż Brühl w przekładzie niemieckim wywołałby niepodzielne uznanie całéj krytyki tamtejszéj. Cóż za istnie Rembrandtowym światłocieniem rozpoczyna się rzecz w owym lesie przy ognisku naganki królewskiéj, gdzie autor wprowadza na scenę dwa najcharakterystyczniejsze przeciwieństwa moralne owéj epoki: młodego pazia Brühla, spekulującego zręcznie na wygranie wielkiego losu w rozgrywającéj się ciągle loteryi rokokowego dworu, i młodego marzyciela, pietystę hr. Zinzendorfa, którego właśnie może widok otaczającego zepsucia kieruje na drogę przeciwną, każe mu szukać szczęścia i pociechy w religii, namaszcza w przyszłości na twórcę do dziś dnia istniejącéj, pobożnéj kolonii Herrnhutów..... Po tym wstępie cóż daléj za wyborny obraz owéj destytucyi starego, zapitego, znanego historycznie sekretarza Augusta II, Paulego przez skradającego się intrygą i nieuczciwym podstępem do jego stanowiska Brühla. W scenie owéj spojenia starego sekretarza przez chytrego młodzieńca, w uwieńczonéj szczęśliwym skutkiem spekulacyi objęcia po nim stanowiska zaufania przy osobie królewskiéj, jakżeż dziwnie wiernie, choć ambigonicznie może dopiero tylko zwierciedli się charakter owéj dziwnej osobistości, któréj nie zbywało na sprycie, ale zbywało na sumieniu, która ambicyą i używanie postawiła sobie za cel życia, która do tego celu gotowa była dążyć w pierwszym akcie intrygą, by scenę ostatniego zakończyć niekiedy okrucieństwem. Powieść Kraszewskiego jest począwszy od téj chwili wiernym obrazem bajecznéj karyery Brühla. Stanąwszy na silnych nogach, zająwszy jako sekretarz poufny, późniéj jako tajny radzca nadworny starego Augusta II, stanowisko zaufania, połączywszy się węzłem małżeńskim z córką jednego z pierwszych rodów cesarstwa niemieckiego, spotyka się na samym wstępie prawie podobnego powodzenia swego z nowém panowaniem. August II umiera w Warszawie, syn jego August III, ów August żyjący tylko zewnętrznémi praktykami pobożności, ciężkiém piwem, polowaniem, strzelaniem psów, wygodą, potrzebą pieniędzy, zamiłowaniem malarstwa i muzyki,—wstępuje na tron, wyzywając swémi przywarami i ulubieniami jakoby umyślnie wszelkie otaczające swą osobę nieczyste spekulacye i intryganckie ambicye. Dziejowa Opatrzność wyprawia dziwne, niekiedy komiczne, niekiedy ponure widowiska, zestawiając obok siebie ku stworzeniu jedności jakoby w dwóch osobach, tych i owych władzców z tymi i owymi doradzcami czy osobami zaufania. Na takie całości składają się Ludwik XIII z Richelieum, cesarz Franciszek z Metternichem, dostojne osobistości, bliższe nam czasem i przestrzenią z innémi znakomitościami bieżącego wieku. Na taką téż całość, *si parva magnis componere licet*, składają się August III z Brühlem. Bez takiego Augusta III był taki Brühl niepodobieństwem dziejowém i polityczném. Jakabądź wyższa zdolność, jakibądź poduioślejszy umysł na tronie, byłby od razu, na pierwszy rzut oka przeniknął nicość Brühla, na tle któréj jedynie tylko intryganctwo w interesie własnéj spekulacyi jako smutnie dodatni zapisuje się czynnik. Człowiek temperamentu i zdolności Augusta III przedstawia ponętny połów dla osobistości, jak Brühl. Trzeba mu usunąć tylko z drogi postacie zawadzające, trzeba mu podstępem i intrygą, nie inaczéj jak swego czasu podrzędną figurę Paulego u Augusta II, tak teraz u następcy jego podkopać i obalić ważniejszy nieskończenie rodem, znaczeniem i stosunkami filar nowych rządów, jakim był Sułkowski. Autor przeprowadza w swéj powieści z dziwną prawdą, z artystyczném prawdziwie cieniowaniem stosunków, ludzi i środków, szczegóły owéj podziemnéj walki, jaką Brühl wypowiada wszechwładnemu faworytowi królewskiemu. Jakże znakomita charakterystyka gry zręcznego intryganta, który, wkradając się uniżonością i udaną przyjaźnią w zaufanie Sułkowskiego, podkopuje jego kredyt u słabego króla. Jakże wybornie skreślona i uchwycona jego dwulicowość, posługująca się niemniéj Jezuitą Guarinim i pobożnością królowéj Maryi Józefy, jak popularnością luterskiego kaznodziei miasta Drezna, niemniéj pięknym głosem Faustyny Hasse, jak sprowadzonym z Włoch do galeryi drezdeńskiéj utworem pędzla znakomitego mistrza.

Wszystkie te środki, narzędzia, czynniki i ludzie składają się w ręku Brühla na wspólny mianownik minującéj roboty, któréj ostatecznym rezultatem obalenie Sułkowskiego. Charakter Augusta III wśród téj intrygi Brühla przedstawiony z niezrównaną prawdą w całéj swéj chwiejności, wygodzie, niedołężności i lenistwie. Komicznie charakterystycznym rysem usposobienia ociężałego króla jest owa missya sekretna poufnéj osobistości do Sułkowskiego z przestrogą przed następstwami własnéj

swéj niełaski. Król widocznie ma jeszcze serce do dawnego faworyta, lenistwo tylko i wygoda nie pozwalają się mu wyzwolić z kajdań narzuconych przez nowego.... Prócz owéj charakterystyki głównych postaci, jak Augusta III, Brühla, Sułkowskiego, jest nie mniéj wykończoną, nie mniéj trafnie pomyślaną i artystycznie wyrzeźbioną charakterystyka osobistości, występujących na drugim planie powieści, czyto królowéj Maryi Józefy, czy Ojca Guariniego, czy pokątnych doradzców i agentów Sułkowskiego i Brühla, Hennickiego i Ludowicego, czy śpiewaczki Faustyny Hasse, czy choćby błaznów królewskich, Storcha i Froscha. Dwór, teatr, kancellarya i ulica pierwszéj połowy XVIII wieku na gruncie Saksonii, na bruku jéj stolicy, znajdują się tu z równą prawdą oddane, z prawdą i wiernością, któréjby rodowity syn téj krainy we własnym jakim utworze z pewnością prześcignąć nie był zdolny. Kończy się wreszcie owa znakomita opowieść genezy Brühlowéj wielkości zadowoleniem moralnego uczucia,—sceną spotkania w szląskiéj karczmie wśród śnieżnéj zawieruchy między popularnym i bezpiecznym już teraz w Polsce Sułkowskim a uciekającym do niéj z Saksonii pod grozą Fryderykowéj inwazyi Brühlem. Sułkowski pozostawia i tutaj, na ten raz zwycięzko i wspaniałomyślnie, plac Brühlowi, byle z podobną osobistością, choćby nawet wśród świszczącego wichru, nie pozostać pod jednym dachem. Jedyną jego zemstą wzgarda, jako odpowiedź na podstęp i intrygę.... Brühl odjechał tedy do Polski, by ją zawichrzyć, by ją uczynić polem swych sztuk i intryg nie inaczéj od ojczystéj Saksonii,—autor odprowadza go jakoby w swém opowiadaniu do granic polskich, by, nie przekraczając ich z wędrownym taborem uciekającego Augusta III i jego wszechwładnego faworyta, wrócić sam do Saksonii, i przedstawić w nowéj powieści: „*Z siedmioletniej wojny*“ jéj obraz w przededniu i w pierwszéj chwili inwazyi pruskiéj. I w téj powieści znajdujemy się wyłącznie na gruncie niemieckim, między Berlinem i Potsdamem, czychającym na Drezno Berlinem a Dreznem oddającem się uczuciu bezopatrznego bezpieczeństwa. Gorączkowa ta, nerwowa chwila z historyi prusko—saskiéj znalazła wybornego, wymownego dziejopisarza w osobie hrabiego Vitzthuma von Eckstädt, który w dziele wydaném w samym przededniu ponownéj inwazyi pruskiéj z roku 1866 pod tytułem *Vorstudien zur Geschichte des sieben jahrigen krieges* skreślił przebieg owych boleśnych i upokarzających dla Sasów wypadków, począwszy od przekroczenia granicy saskiéj przez wojska Fryderykowe, skończywszy na przypieczętowanéj kijem Fryderykowym kapitulacyi armii saskiéj pod Pirną. Kraszewski sięga w artystycznym obrazie owéj chwili w nieco dalszą przeszłość, w epokę wojennych ze strony Fryderyka przygotowań, wśród których wprowadzony również na scenę sekretarz gabinetu saskiego Menzel, sprzedaje mu za grubą cenę tajemnice negocyacyi i korrespondencyi dyplomatycznéj Brühla, wśród których daléj między Berlinem a Dreznem przewijają się tajemniczo pod przybranémi nazwami i interesami podejrzane figury, z zadaniem dokładnego przepatrzenia wszystkich kątów saskich, nim do nich Prusacy w nieproszoną gościnę zawitają. Rzecz powieści Kraszewskiego rozpoczyna się od missyi takiego tajnego agenta z Berlina do Drezna. Autor odszukuje nie bez trafności, nie bez znajomości charakteru epoki, osoby jego pośród owéj dobrowolnéj emigracyi włosko-szwajcarskich awanturników, których królem nazwać można Casanowę a którzy pod najrozmaitszémi postaciami, w roli chiromantów, artystów, wojskowych, dyplomatów, zalewali północną Europę i szukali karyery na jéj dworach. Bohater powieści Kraszewskiego, rekrutuje się z pośród owego zastępu oscyllującego wiecznie między świetną karyerą i aresztowaniem. Jest nim kawaler de Simonis, wyprawiony najprzód w roli tajnego agenta Fryderykowego do Drezna, nie mogący następnie w podobnym charakterze wytrwać i przechodzący w Dreznie pod wpływem nowego otoczenia, pośród jakiego się znajduje, na agenta szpiegującego Prusaków w interessie saskim. Król i Brühl znikają ze sceny z chwilą inwazyi pruskiéj, z chwilą zajęcia stolicy saskiéj przez Fryderyka, który, by się dostać do tajemnic archiwum saskiego, królowę gwałtem swym żołnierzom od skrzyń jego odrywać każe, który mszcząc się na Brühlu, tłucze własnym kijem zwierciadła w jego pałacu a sam pałac wraz z ruchomościami na zniszczenie wydaje. Zostaje na miejscu Królowa, wynosząca z podobnych zajść i upokorzeń zaród śmierci, któréj w rok późniéj ulega, pozostaje Brühlowa, która znajduje upodobanie w sobie Simonisa, wahającego się znów sercowo między nią a hrabianką Nostitz, jak się waha politycznie między Prusakami a Sasami. Rodzajem opiekuńczéj Opatrzności znajdującego się ciągle w sąsiedztwie stryczka Włocha czy Szwaj-

cara, staje się młody Polak Masłowski, oddany przez surowego ojca do Drezna na naukę *„dobrych manier“* i w celu dokończenia *„edukacyi.“* Jak już zauważyliśmy wyżej, jest Masłowski rodzajem Porthosa z *Trzech Muszkieterów* Dumasowych, osobistością poczciwego serca, wielkiéj odwagi, silnéj ręki, nieszczególnie daleko sięgającéj, ale praktycznéj głowy. Poczciwy Masłowski chroni i przechowuje Simonisa, ile razy wśród rozpanoszenia się Prusaków w Dreznie, zemsta ich ma go doścignąć, chroni i przechowuje szczęśliwie. Nie dość na tem, poświęca się Masłowski (co niecałkiem nie historycznem, bo opowiadanie dukumentowe hrabiego Vitzthuma von Eckstädt wskazuje nam imiona Polaków, używanych do podobnych missyi) w interesie i z polecenia królowéj na niebezpieczną wyprawę wskróś otaczających straży pruskich do przebywającego na Königsteinie króla Augusta. Schwycony a ocalały cudem jakoby tylko od śmierci, wraca do Drezna, by odebrać podziękowanie nasamprzód, by uzyskać późniéj, dużo późniéj, już po ukończeniu burzy siedmioletniéj wojny, rękę gorliwéj zwolenniczki i agentki domu saskiego, hrabianki Nostitz. Simonis mimo wszelkich niebezpieczeństw, kłopotów i ciężkich przepraw, wypływa także ostatecznie z końcem wojny na suchy brzeg, by w spokoju i wygodach dobrego bytu przypominać sobie nie bez uczucia zgrozy chwile minionych szczęśliwie niebezpieczeństw. Otóż zestawiona, o ile możności jak najkróciéj, treść tego *opowiadania historycznego*, jak je autor nazywa,—opowiadania, które również, jak poprzedzające, sięga śmiało w wysokie sfery ówczesnéj wojny i polityki, zachowując przecież dla tego nie mniéj szczęśliwy i prawdziwy pędzel dla niższych, dla owego ogółu, na którego ciele, jako *in anima vili*, experymenta owéj wielkiéj polityki i wojny się odbywają.... Światłocień między cyniczną i skeptyczną, ale matematycznie środki swe obliczającą i praktycznie do celu sterującą osobistością Fryderyka a owym optymizmem augustowo-brühlowym, który niebezpieczeństwa do ostatniéj chwili widzieć nie chce i nieprzyjaciela lekceważy, jest mistrzowsko uchwycony; występujące na tle jego osobistości z uderzającą scharakteryzowane są prawdą. Równie prawdziwym, by zejść jeden szczebel niżéj, jest obraz ówczesnéj społeczności saskiéj, jéj stosunku i postawy do wojennéj burzy, która ją tak nagle, tak niespodzianie zachwyciła, by wywołać zbiorowe przekleństwo przeciw rządom Brühla, by krajowi i jego stolicy pozostawić straszliwą ruinę, wyludnienie i materyalne zniszczenie. Brühl z królem Augustem opuścili Saxonią, by przenieść pierwszy swoje intrygi, spekulacye i sztuki gry ambitnéj, drugi swe wygody, swe nawyknienia, swe zabawy, swe polowania i strzelaniny spędzanych pod okna psów, do Polski... Autor towarzyszy mu tutaj i skreśla *w Staroście Warszawskim* jakoby dalszy ciąg swego Brühla, ale już na ziemi polskiéj. Czasem akcyi powieściowéj są ostatnie lata panowania Augusta III, bohaterem jéj Alojzy Brühl, syn lepszy od ojca, starosta warszawski, późniéjszy generał artyleryi Rzeczypospolitéj, który do przybranéj ojczyzny szczerze był przywiązany, a któremu okoliczności tylko zewnętrzne, intrygi, niechęci i zazdrości wewnętrzne, nie pozwoliły odwdzięczyć się jéj za udzielone w hojnéj mierze tytuły, godności i parentele, wynagrodzić złe, jakiém ją obdarzył ojciec. Rzecz rozpoczyna się faktem monstrualnéj intrygi i monstrualnego nadużycia, podobnych i wykonalnych chyba tylko w Polsce Brühla i Augusta III, w owéj Polsce, scharakteryzowanéj tak przerażająco w *Pamiętnikach* Kitowicza i Matuszewicza, w owéj Polsce, w któréj, *proh pudor!* za pieniądze wszystkiego dostać było można a w któréj Brühl, drogą fałszerstwa i przekupstwa został szlachcicem polskim na Ocieszynie. Brühl, pracujący nad wyniesieniem siebie i swego rodu w Polsce, jak to już był uczynił w Saksonii, robi storostą warszawskim za pomocą najrozmaitszych sztuk i intryg dwunastoletniego syna, Alojzego, wprowadza go uroczyście na gród Warszawski, wyprawia ucztę, wśród któréj wiwaty i spełnione kielichy gluszą głos odzywającego się tu i owdzie oppozycyjnego sumienia. Młodziutki starosta, poświęcający się przez posłuszeństwo synowskie widokom i rozkazom ojca, przyjmujący z rezygnacyą starostwo Warszawskie, jak późniéj rękę niekochającéj i nie kochanéj przezeń córki dumnego króla Rusi, wojewody Franciszka Salezego Potockiego, poczuwa się przecież do tyla dumy i do tyla uczucia moralnego, aby pracą, któréj towarzyszą niepospolite zdolności, *zasłużyć* sobie na stanowisko, jakie mu się w przybranéj ojczyźnie bez zasługi dostaje. Pracą tą tedy i dobrą wolą widzimy go zrehabilitowanym, jeźli tak wolno powiedzieć, na owém stanowisku generała artyleryi, jakie mu się w Rzeczypospolitéj dostaje. Nieczysta dzięki intrygom ojcowskim geneza jego karyery zostaje zatartą i uszlachconą własną

sną zasługą. Stanowisko generała artyleryi, związek z rodziną Potockich, wprowadzają bohatera powieści na polityczną wyżynę, z któréjby się dało spoglądać na bieg współczesnéj wielkiéj polityki polskiéj, rozpatrzeć w szczególach ówczesnéj walki między *familią* a *dworem*, okazać na scenie postacie bohaterów i wodzów téj często krwawéj rywalizacyi. Autor trzyma się jednakże w przeprowadzeniu swéj powieści innéj drogi. Z wyjątkiem sceny sejmowéj, wśród któréj, po obustronnych przygotowaniach do krwawego zatargu, występuje stolnik litewski z namiętną inwektywą przeciw Brühlowi, a któréj rezultatem pozbawienie Alojzego godności i urzędów Rzeczypospolitéj; z wyjątkiem daléj przedstawienia czytelnikowi magnackiego dworu, związanego ze stronnictwem królewskiem wojewody Potockiego; z wyjątkiem wreszcie missyi młodego Brühla na Węgry do bawiącego tamże, jako wychodźcy wskutek zwycięztwa familii, z rodziną, stronnikami i żołnierzem domowym Radziwiłła Panie Kochanku,—nie widzimy w *Staroście Warszawskim* wielkiéj widowni politycznéj, ani bohatera powieści w stosunkach czy w zapasach z głównémi jéj postaciami. Przeciwnie, schodzi raczéj opowiadanie jego z wyżyny powieści historyczno-politycznéj na stanowisko powieści historyczno-obyczajowéj, obraca się w sferze drobnéj, sejmikującéj lub dworującéj szlachty, zstępuje na poziom podwójnego romansu z jednéj strony między młodym Brühlem a dawną jego miłością panią Sołłohubową, z drugiéj między panią Brühlową, córą rodu Potockich, z młodym dworzaninem jéj męża, Tadeuszem Godziembą. „*Honny soit qui maly pense*“ zresztą w obu tych stósunkach miłośnych, które wplecione epizodycznie w obraz powieści historycznéj, zajmują w niéj nieco może za obszerne miejsce i przeistaczają, jak już zauważyliśmy wyżéj, powieść zakroju historycznego, na powieść obyczajową XVIII wieku. Stosunek kochanków w obu tych miłościach jest czysty i niewinny. U Godziemby kończy się rezygnacyą; u Brühla i Sołłohubowéj,—po zgonie małżonki pierwszego, męża drugiéj, połączeniem małżeńskiém przy sposobności przypadkowego spotkania w Wenecyi... Historyczne tło i w téj powieści zachowane jak najwierniéj; co jednakże rzeczą widoczną i na co raz jeszcze kładziemy przycisk, nie pozostaje sobie charakter powieści wiernym do końca, ulatniając się jakoby z podstawy dziejowo—politycznéj w odmienną sferę obrazu obyczajowego z przeszłości. Ostatnim dotychczas owego cyklu powieści historycznych z epoki saskiéj utworem jest *Skrypt Flemminga*. Tutaj wraca autor znów w epokę Augusta II, mianowicie w ową późniejszą jego panowania epokę po traktacie Warszawskim z roku 1717, kiedy szczęk broni ustał, wojna czyto ze Szwedem, czy malkontentami polskimi ustała, a rozpoczęła się owa gra intryg, która prócz krótkiéj przerwy bezkrólewia z roku 1733 i powtórnéj elekcyi Stanisława Leszczyńskiego, miała wypełnić i zapełnić dzieje obu Sasów aż do ostatniego dnia ich rządów w Polsce.

Przedmiotem opowiadania autora jest owa chwila rozdrażnienia narodowego w skutek wystawionego za naprawę królewską skryptu obu hetmanów, w którym się zrzekli władzy naczelnéj nad żołnierzem Rzeczypospolitéj obcego autoramentu na rzecz Flemminga. Nawiasowo powiedziawszy, jest to jedna chwila i jedyny w ciągu długich Augustowych rządów fakt, w którym wyjątkowo należy ze stanowiska dobra i interesu narodowego przyznać słuszność królowi przeciw szlacheckiemu narodowi. August chciał się naówczas w interesie własnéj ambicyi wyemancypować z pod ciężącéj mu coraz bardziéj przewagi sąsiednich mocarstw. Nic czego innego naturalnie wymagał interes polityczny Rzeczypospolitéj. Przypadkiem tedy zszedł się interes Polski ze spekulacyą Augusta. August zamierzył czynnikiem owéj emancypacyi na wewnątrz uczynić wojsko Rzeczypospolitéj obcego autoramentu i usunął je w tym celu, by je mieć pod bezpośrednią swoją dyspozycyą, z pod komendy hetmanów. Na zewnątrz miał być owéj emancypacyi środkiem alians między Polską, Saksonią, Anglią, Hanowerem i Austryą. Reprezentanci sąsiednich Polsce mocarstw zwąchnęli podobną kombinacyą i podobny zamiar królewski, rozwinęli intrygę, użyli pieniędzy, podniósł się na sejmach z roku 1718 i 1719 krzyk szlachecki przeciw komendzie Flemminga, plan Augusta spełzł na niczem. Obrawszy sobie za przedmiot podobną chwilę dziejów Augusta II, czy nie należało może nie mniéj w interesie smutnéj prawdy historycznéj, jak dla dania świadectwa podkopanéj naówczas obyczajowości polskiéj, położyć przycisk na *tego* rodzaju wielce charakterystyczną rzeczywistość? — Autor postępuje, przyznajemy, bez nadwerężenia prawdy fizyonomii epoki, odmienną znów metodą, skreśla obraz dworu i społeczeństwa drezdeńskiego z Flemmingami, z Przebendowskimi na czele, starającymi się uciszyć zer-

wana z powodu odebranéj hetmanom komendy burzę, szlachtę na Litwie przedewszystkiem, w stolicy jéj Wilnie, gardłującą na zebraniach prywatnych i publicznych przeciw panowaniu absolutnemu króla i komendzie znienawidzonego Flemminga. Masłowskim, Godzięba czy Zakliką, z przeszłych powieści, jest w *Skrypcie Flemminga* pan Serwacy Przebendowski, potulny na pozór i cichy, namiętny i wrzący w gruncie serca i duszy przeciw saskim zamiarom sługa i daleki krewny domu podskarbiego koronnego tegoż samego nazwiska. Wśród podobnych stosunków i podobnego zakroju wychodzi *Skrypt Flemminga* również więcéj na wspaniały prawdą i życiem występujących w nim czynników obraz obyczajowy drugiéj połowy epoki Augustowéj, aniżeli jest właściwie powieścią historyczną, któraby w formie artystycznéj przedstawiała szerszéj publiczności wielkie i stanowcze narodowego życia momenta, które sobie wzięła za przedmiot. Pod koniec wszakże powieści odsłania się wielka widownia dworska, w Warszawie, by ukazać na swém tle zorzę nowowschodzącego słońca, ową Annę Orzelską, kochankę— córkę starego Sybaryty na tronie naszym, ową świetną i błyszczącą amazonkę jego rewii Warszawskich z lat 1730, 1731 i 1732, bohaterkę coroczną uczt 26 Lipca, przedmiot zabiegów i komplementów tak zagranicznéj dyplomacyi, jak panów polskich.—

Na tym ostatnim utworze kończymy nasz pobieżny przegląd cyklu historycznych powieści Kraszewskiego z epoki saskiéj. Analiza ich dowodzi, że grunt *polski* dotknięty w nich dotąd zdaleka i zlekka tylko. Przeważnie są ich przedmiotem i widownią Saksonia, osobistości historyczne i stosunki saskie, *Starosta Warszawski* tylko i *Skrypt Flemminga*, pierwszy z epoki ostatnich lat Augusta III-go i początków Stanisława Augusta, drugi z ostatnich lat Augusta II-go, przekraczają granicę polską, toczą się połowicznie przynajmniéj na ziemi polskiéj. Dla znakomitego pisarza, który powieścią historyczną zamierza ogarnąć *cały* obszar dziejów *polskich*, stanowi tedy smutna i czarna epoka Sasów *w Polsce* nietkniętą prawie dotąd jeszcze niwę. Nie ma w tém dla literatury i dla społeczności naszéj, jak sobie tuszymy, żadnéj szkody. Artystycznie wziąwszy, pozostaną powieści Kraszewskiego z epoki saskiéj znakomitemi utworami, które nas choć na obcym gruncie obznajomiły dokładnie z charakterem czasu i osobistościami występującémi na pierwszym planie. Historycznie zaś, spodziewajmy się, że niezmordowany pisarz, który ogromne swe zadanie spowieściowania całéj przeszłości polskiéj, posuwa naprzód z tak zadziwiającą szybkością, będzie miał jeszcze dość czasu, by w wielkiém swém przedsięwzięciu dosięgnąć epoki saskiéj, opracować ją na gruncie *polskim*, pochwycić zmysłem badawczo-intuicyjnym co wybitniejsze, co charakterystyczniejsze jéj ustępy i chwile, stworzyć ku nauce społeczności naszéj, wyręczając, jak powiedzieliśmy na wstępie niniejszego naszego rozbioru, powieścią suchy i nieprzystępny każdemu wykład dziejowy,— obraz każdéj epoki, równie doskonały artystycznie, ile pouczający prawdą historyczno-politycznego oblicza narodowego. Wdzięczna za to, co jéj na tém polu znakomity pisarz już stworzył, spodziewa się i oczekuje, że dalszemi utworami swéj powieściowo-pisarskiéj działalności spopularyzuje znajomość téj równie ważnéj, jak smutnéj epoki, którą tak mało znamy z jéj prawdziwéj, rzeczywistéj strony.

Kazimierz Jarochowski.

V.

Czasy Stanisława Augusta w powieściach J. I. Kraszewskiego.

(Maleparta, 1844. Dyabeł, 1855. Staropolska miłość. 1859. Dola i niedola, 1864. Papiéry po Glince, 1872. Macocha, 1873. Boża opieka, 1873. Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie kochanku), 1876. Kawał literata, 1876. Syn marnotrawny, 1878.)

Dwa były, powiada Kraszewski (*Maleparta*), za Stanisława Augusta narody w narodzie. Jeden z ślepą zapamiętałością nic nad szczęście obecne nie widział; drugi głosem proroczym wołał na nową Niniwę: nad głową twoją zniszczenie! Pierwszy ów naród składał się z dworu i większości królewskiego otoczenia, takiegoż procentu magnatów, wszystkich pięknych kobiet i wszystkiéj miejskiéj młodzieży,—„szlachta zaś ‚starzy, co wiek cały postrzegali chylącą się rzeczpospolitą do upadku, zimniejsi lub baczniejsi, którym życie samolubne nie zawracało już głowy,"—ową drugą tworzyli już grupę. Gdy ci wołali: giniemy!—tamci tonęli w orgii; „usłyszawszy wypadkiem surowy głos proroków,—szydzili z niego i śmieli się."

One dwa światy w cyklu powieści, na tle epoki stanisławowskiéj osnutych, dla antytezy mniéj lub więcéj wydatnie rysują się zawsze. Przyjrzyjmy się orgii i surowym prorokom, a najprzód okażmy poglądy autora na genezę i naturę tego „narodu," który z ślepą zapamiętałością nic nad szczęście obecne nie widział, dla którego zagładą grożący głos lepiéj przewidujących, surowych starców był głosem wołającego na puszczy.

Fakt orgii objaśnia Kraszewski historyozoficznym pewnikiem, że „jest coś w naturze ludzkiéj niepojętego, pędzącego do szału i rozrywek w przededniu zgonu" (*Macocha*); „wiek ośmnasty, w którym runął świat stary,—tańcował, we krwi strumieniach czerwone korki trzewików farbując." I w Polsce waliły się światy... rozpasanie nasze w owych czasach nieszczęsnych było „niepojętym" wprawdzie, lecz w naturze ludzkiéj leżącym objawem zgonu.

Przyczyną złego była „przywoźna mądrość francuzka" (*Maleparta*), którą w „szale nierozważnym" chwytano, upajano się nią i i „z zawróconą głową skakano na gruzach potłuczonéj przeszłości." Zapomniawszy o starych podaniach, na których się kraj wspierał i domy,—rwano się do naśladowania obczyzny, nie rozumiejąc jéj i nie zastanawiając się nad tém, czy dobre, co nowe, czy potrzebne; wszystko, dość aby nowe było, chwytano łapczywie. W początkach sądzono, że idee przywoźne „prześlisną się po powierzchni, jak modna narzutka, nakrywając strój staroświecki," tymczasem widoczném było, że obok nich „nic się ostać nie mogło całém" (*Kawał literata*). I to nawet, co gdzieindziej, jako ściśle spojone z całością, dobrém być mogło,—u nas, przesadzone na inną ziemię i do naszych obyczajów przyczepione nietrafnie, stało się zgubném (*Staropolska miłość*). Życie cudzoziemskiego kroju, gdyby wrzód na karku, siedziało krajowi, nic mu prócz pogardy nie dając; wychowanie ówczesne tylko europejski brud, czczość i lichotę wszczepiało, nic nie przynosząc dobrego (*Dola i niedola*). „Nie przewidywano następstw koniecznych: z nieubłaganą loiką rzucone nasiona myśli rozwijały się w groźne skutki, owładywały całém społeczeństwem, groziły obaleniem istnie-

jącego porządku...“ Spostrzegłszy, do czego doprowadziły przez Voltaire'a, Rousseau, Diderota, d'Alamberta wygłaszane zasady, najżarliwsi ich wielbiciele z przerażeniem w końcu poczęli się cofać.

Naturę idei francuzkich z ośmnastego wieku, i sposób, w jaki się one na polskim szczepiły gruncie, przedstawią nam Labe Poinsot (*Dyabeł*), który podejrzany o jakąś zbrodnię, musiał z ojczyzny swojej uciekać i, zabłądziwszy do Polski, został wychowawcą syna bogatéj szlachcianki. „Dobitnie i silnie“ przedstawiał wiek ośmnasty, a wykształcenie naukowe posiadał duże. Po trosze umiał on wszystko, przedewszystkiem ogólne zarysy nauk pochwycił. Przy pomocy książek na zawołanie był astronomem, matematykiem, historykiem, latinistą, hellenistą, numizmatykiem, archeologiem, botanikiem, mineralogiem;—oprócz tego śpiewał, grał na klawicymbale, malował nieźle guaszem, wykrawał sylwetki, bazgrał dekoracye, w potrzebie dyrygował orkiestrą, a w teatrze amatorskim odgrywał role. Był to omnibus,—nie zgłębił jednak gruntownie niczego. Czytanie dzieł filozoficznych „pomąciło mu zdrowsze wyobrażenia, zaczerpnięte w pierwiastkowém wychowaniu religijném;“ chociaż nosił dla jakiéjś przyzwoitości i ceremonii suknię duchowną — był jednak zapalonym zwolennikiem encyklopedystów, dawno już nie miał wiary i szczególniejszym materyalizmem nasiąknął. Dla formy tylko mówił o istności najwyższéj, nigdy nie wspominał o Bogu, z obrzędów religijnych dowcipnie szydził, „czerpiąc krytykę i koncepta z dykcyonarza Voltaire'a,“ który mu za nieprzebraną służył skarbnicę. Szał prozelityzmu do tego stopnia posuwał, że żadnéj nie pomijał zręczności i nawet obcym prezentował swoje poglądy.

Mistrz taki wprost od religijnéj, pobożnéj i „duchem chrześciańskim przejętéj“ babki wziął w swe ręce chłopaczka. Z początku niemógł z nim sobie dać rady: znalazł go prowadzonym po barbarzyńsku, mnóstwo w umyśle jego znachodził chorobliwych narośli i dzikich przesądów. Uczeń pomiędzy mistrzem stanąwszy a babką, nie wiedział, co począć: dwa przeciwne wpływy ogarnęły umysł dziecięcy. Z jednéj strony do fanatyzmu prawie, a raczéj do ascetyzmu posunięta głęboka wiara z całym apparatem praktyk, „surowa czasem do zbytku,“—z drugiéj strony burzliwy duch wieku, który „niszczył i wywracał, nie patrząc, gdzie się zatrzyma; co bojąc się, aby nieuwierzyć zanadto, — wolał wszelką wiarę odrzucić.“ Dwa tak sprzeczne działania zachwiały umysłem giętkim, a jedno z nich pozyskać musiało w końcu przewagę. Wprawdzie pozostał w głębi „pierwszy odcisk młodości,“ odzywał się w młodym człowieku „głos jakiś wewnętrzny;“ — pomimo tego Poinsot uczynił pupila, czém sam był na małą skalę,—„uniwersalnym a płytkim polihistorem“ go zrobił. Przebiegłszy z nim pędem cały kurs nauk i przeczytawszy celniejsze dzieła, w które się wcielił duch czasu,— resztę dowcipnémi rozmowami dopełnił. Otwarcie zaś opowiadał o dworze Ludwika XV i czasach regencyi, rzadko kiedy niezaczepiał o jakie zgorszenie lub wypadek, dający do myślenia głęboko,—w wykładach historyi podżegał namiętności, „koniecznością charakteru, temperamentu lub losu wszystko zło“ usprawiedliwić potrafił, — pracę i obowiązek i poświęcenie nazywał przesądem. I uczeń uwierzył, jako cechą najwyższej mądrości jest w nic nie wierzyć, czego sprawdzić nie można; najpierwszym obowiązkiem zdawało mu się być szczęśliwym, największą pracą — trochę się przez grzeczność ponudzić, o poświęceniach zaś myślał, że nie spełniać, lecz je przyjmować tylko należy. Wyobrażał sobie życie „nie po staropolsku, ale z francuzka,“ jako morze rozkoszy i szałów; galerya obrazów przyszłości jego składała się z samych scen miłości i zbytku, z jéj ram złoconych uśmiechało mu się tysiące twarzyczek, — myśl o obowiązkach i pracy jak naprzykrzonego odpędzał komara. O czasach współczesnych rozumienie miał dobre: świat, mawiał, porozumniał i wyrósł; po długiém barbarzyństwie zanosi się teraz na porządek lepszy i nowy.

Z takiémi zasadami przybywał młodzieniec do Warszawy i wchodził w świat wielki, któremu przodował Stanisław August. Kraszewski nie wyrobił sobie o tym monarsze stanowczéj opinii od razu, musimy przeto postać Poniatowskiego odtwarzać w zmienném świetle różnemi czasy wypowiadanych poglądów.

W piérwszéj powieści (*Maleparta*) Stanisław August jest królem przepełniającéj Warszawę orgii: zajmuje jednak bardziéj pozycyą bierną, niż demoralizująco-zaczepną. Młodego a przystojnego monarchę po prostu napastują kobiety; że Stanisław August nadobne panie przyjmował serdecznie, więc go opanowały bezwstydnie, szkaradnie! Już w dniu koronacyi nie jeden uśmiech zalotny go wabił; w następujących po niéj zabawach niektóre z niewiast, straciwszy cierpliwość i skromność, ku Poniatowskiemu szły same, ledwo nie głośno wołając: chodź

dzień jeden niech będę królową! I było ukoronowanych mnóztwo: król sprawiedliwy podawał rękę z kolei wszystkim, kładł równocześnie dyamenty na pochylone przed sobą głowy, uśmiechał się na prawo i w lewo, a gdy serce było zajęte, —odkładał na jutro. „W takiém życiu dziwnoż, że zapomniał o koronie i berle, a pamiętał tylko o sobie?“

Powyższa zbyt ogólna zresztą charakterystyka, odnosząca się do pierwszych lat zasiadania Poniatowskiego na tronie, w późniejszych powieściach niepospolitéj ulega zmianie. Znać to w drugiéj chronologicznie powieści (*Dyabel*), przedstawiającéj nam króla podczas podróży kaniowskiéj i w epoce wielkiego sejmu.

Nie jest-to ów młody, zalotny i wesół, o miłostkach, sztuce i poezyi marzący tylko ex-stolnik, którego niegdyś zastali posłowie z pędzlem w ręku, koronacyjną malującego liberyą; nie jest to ów wielbiciel piękności, nie amator-artysta, nie literat-poeta, ale dojrzały mężczyzna z obliczem napiętnowaném boleścią. Pięknéj i wspaniałéj postawy, o twarzy arystokratycznéj i rysach szlachetnych, dobrotliwości pełnych,— powierzchownością swoją zdradzał aż nadto charakter miękki i duchową, na obliczu odbitą żałobę. Znać w nim było człowieka, który, nie będąc stworzonym do walki,— walczył, bo musiał; cierpiał, nieumiejąc znosić boleści i milczał, choć usta pragnęły przemówić szczerze. Coraz częściéj widywano go chmurnym, czasem samotnego ze łzą w oku, a któż policzy tajemne westchnienia téj duszy słabéj, która nigdy nie potrafiła się zdobyć na męztwo. Słabość, zużycie, brak wszelkiéj wiary, były głównemi jego grzechami, które wychowanie i okoliczności do prawdziwie królewskich rozwinęły rozmiarów. Nie wierzył w przyszłość i żył z dnia na dzień, z bojaźnią oczekując czarnéj zasłony, zapadającéj na ostatnie akta tego dramatu, w którym naczelną odgrywał rolę. Zużyty przedwcześnie na umyśle, sercu i ciele, zimno jakoś, litośnie, czasem szydersko, patrzał na ludzi, nie pozbawionych resztek zapału. Zrywającemu kwiaty, by je, gdy zwiędną, porzucić, już i miłość w piersiach zastygła; lubiał jeszcze kobiety, ale kochać nie umiał — krotochwili w nich szukał, nie serca, zajmowała go zarówno starościna opecka i Czajka żydówka, jakaś kasztelanowa i pani Lhuillier; wojewodzicowa mścisławska, piękna Elja, młynareczka i tyle innych. W zobojętnieniu potrzebował rozrywki, szumu, gwaru, więc się w poufałém pożyciu otaczał ludźmi wartości moralnéj nie wielkiéj,—dowcipnisiami i pochlebcami, którzy na rozkazy potrafili śmiać się i szaléć i znowu na rozkaz ucichnąć. Wstydząc się ran duszy, stawał przed ludźmi dowcipny i wesół z rzadkim talentem niedopuszczania rozmowy po za pewne granice, z umiejętnością mówienia tego tylko, co chciał powiedzieć. Czynił jednak wszystko na zimno i z musu;— nic go prawdziwie wzruszyć, rozdrażnić, rozgniewać nawet nie mogło; Ryks był jedynym człowiekiem, na którego się czasem zniecierpliwił do złości, którego nawet niekiedy poszturchiwał. Usta, choć wiała z nich pustka, kłamały formami uczuć, których brak zakrywało pochlebstwo; grzeczność i szczebiotliwa galanterya francuzka zastępowały zgasły sentyment. Odrętwiały na duchu, nie potrafił się zdobyć na rozpacz; jedynym upustem boleści była modlitwa. U łoża w tajemnéj komnacie klękał często ze złożonémi rękami, łzy lejąc. Zobojętniały i bez własnych przekonań, pomiędzy różnémi stronnictwami politycznémi się taczał: ku Branickiemu pociągała go dawna z tym panem zażyłość, — ostatek serca i szlachetności ku reformatorom go ciągnął. Nie mógł być obojętnym dla usiłowań na bezinteresownéj miłości kraju opartych, którym opinia publiczna dawała poklask; ale poped szlachetny trwał chwilę tylko, —pajęczą nitkę rozerwało zwątpienie i znowu ku hetmanowi powracał. „Szczerze powiadam, ja nic dobrego nie przewiduję. Niektórzy chcą dobrze, ale nie wiedzą, co począć; inni bezmyślnie krzyczą, reszta za stosunkami idzie, przyjaźnią i interesem. Wszystko to, daj Boże, by z dymem, a nie ze krwią poszło... Kiedy człowiek umiera, próżno myśleć, żeby mu bolący żal wyrwać, a przytem kraju nie przerabia się od fundamentu jednego dnia na zawołanie, — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie sakryfikował z ochotą.“

W zwątpieniu szuka rozrywek. W wigilią sejmu z Norblinem i Bacciarellim przegląda rysunki i maluje nową liberyą; najważniejsze sprawy usuwa na późniéj; senatorom posłuchania nie daje, obecnych pragnie się pozbyć co prędzéj, pilno mu bowiem widzieć świeżo oznajmionego artystę. Zagrożona Rada Nieustająca, projekty względem armii i alians pruski, popierany gorąco, a dla króla niesmaczny, — nic nie było wstanie z dziwnéj otrętwiałości Stanisława Augusta wydobyć, nic pobudzało go nawet do wystąpienia we własnéj obronie. Wśród takich okoliczności bawił się

jeszcze, w żadne nie wierząc środki; szedł ku przyszłości, w którą nie ufał, jak się idzie w ciemnościach nad przepaść. Sztych przysłany przez Albertrandi'ego, obraz nabyty za granicą przez jakiegoś agenta, przywiezione z Rzymu marmury, nowa robótka Bacciarelli'ego, jakiś plan Zugh'a, przez dostarczycielkę wdzięków odkryta świeża twarzyczka, na obiadach czwartkowych wierszyki, kadzidło i dowcip; w gabinecie rozmowa lub pędzel,—wszystko to stanowiło rozrywkę, jeżeli nie zapomnienie o wszystkiém, to przynajmniéj mogącą roztargnienie wywołać. Ze wszystkich zamarłych uczuć pozostały mu dwa tylko: sympatya dla francuzczyzny i próżność. W podróży kaniowskiéj podejmowany gościnnie przez wielko-światową gosposię, admirował jéj pałac, że w nim nic polskiego nie było, że gdyby nie zima, zaglądająca przez okno, sądziłby, że jest w salonie pani Geoffrin. „Nigdzie śladu barbarzyństwa naszego, naszych obyczajów, naszych nałogów i przesądów nie widzę; marzę, że jestem w Paryżu.“ Gdy mu się prezentował w Warszawie jakiś angielski baronet, przyjął go z zalotnością i, zaniedbując innych, cały się zwrócił ku niemu: posądzał go o intencyą opisu podróży, w którym bał się zająć miejsce poślednie.

W czterech następnych powieściach (*Dola i niedola*), (*Macocha*), (*Boża opieka*), (*Kawał literata*), wizerunek Stanisława Augusta z tych samych składa się rysów, chociaż niebrak i nowych, które fizyognomią zmieniają i szlachetniejszy nadają charakter.

Brak wiary do ludzi i świata wieje od niego zawsze; gra rolę—ile razy pogodniéjszy na twarzy przybierze wyraz; ze znużeniem a myślą posępną w obliczu—jest sobą. Na uczynioną uwagę, że serca wszystkich poddanych należą do niego, że przecież ma władzę,—łagodnym odpowiadał uśmiechem. Prócz sług moich, mawiał, nie rozkazuję nikomu; trafia się często, że nie ja im, lecz mnie oni zadysponować potrafią. „Panuję, to prawda, ale — słowo szlacheckie — nie wielem ja od Wpana silniejszy. Nie mam przyjaciół, otoczony jestem niechętnymi,—potężniejsi odemnie są wszyscy. Któż mi daje siłę i któż jest ze mną?—Kilku poczciwych ludzi, ale myślących nie tyle o kraju i o mnie, jak raczéj o sobie.“ Na audyencyi przyrzeka mu szlachcic życie złożyć w oficrze;—„formułę tę, odpowiadał Stanisław August, nieraz słyszałem od takich, którzy mnie późniéj przy pierwszém niebezpieczeństwie mieli sumienie opuścić.“ W poświęcenia bez miłości i interesu nie wierzył;—„niewdzięczność, powiedział jest w porządku spraw codziennych naszego życia.“, Ofiar nie żądał,—przekładał nad nie poczciwe słowo i rękę, na któréj by się mógł oprzeć w potrzebie; za uczynioną usługę żądał tylko pamięci. Dużą jeszcze zachował wrażliwość, chociaż wybuchy hamować umiał. Gdy mu staréj daty szlachciura oświadczył, jako ze zniewieściałych pół-francuzów, pół-niemców pociechy nie będzie, — Stanisław August pobladł, popatrzał i wargi zaciął; ramionami poruszał, gdy mu tenże werdyk prawił o obyczajach, wierze i życiu pradziadów (*Dola i niedola*). O oświacie rodzinnéj rozumiał niewiele. Gdy z inicyatywy prywatnéj kuszono się grać teatr w języku polskim, z niedowierzaniem patrzał na te wysiłki, bo „pisarzy, powiadał, nie mamy, artystów by brakło,“ a zresztą powstaje teatr przy blogim spokoju razem z innémi sztukami, z potrzeby i cywilizacyi; a nie na rozkaz lub prośbę (*Macocha*).

W stosunkach towarzyskich był Stanisław August najdoskonalszym gentlemanem swojego wieku. W wykwintną wystrojony fryzurę, białe swe ręce w koronkowych mankietach z pewną pretensyą wyciągał; przy twarzy uśmiechniętéj, na czole czuć tylko było ledwo rozwianą chmurę (*Boża opieka*). Publicznie zawsze się w tym miłym okazywał humorze, który stanowił jedną z cech jego charakteru; w najkrytyczniejszéj nawet chwili potrafił się zdobyć na uśmiech (*Macocha*). Systematycznie jednakowo dla wszystkich uprzejmy i grzeczny, nie znał uczucia zemsty; nie umiał nikomu dokuczyć, nie lubiał nawet, gdy się inni kosztem cudzym bawili. Gdy z kogo strojono żarty, robił twarz smutną; „nie męczcie go więcéj, dajcie mu pokój,“ błagal towarzystwo, do rozpuku się bawiące naiwnością pseudopoety, którego książę ex-podkomorzy prezentował na dworze (*Kawał literata*). Najzawziętszemu nieprzyjacielowi nie potrafił uchybić,—w ostateczności delikatnego tylko zażywal sarkazmu. Gdy mu się przypomniał hołysz, piękne noszący nazwisko, — „imię i twarz Wpana, mówił, są mi dobrze pamiętne, szczególniéj dla zasług w ojczyźnie czcigodnego rodzica“ (*Boża opieka*). Dla cudzego cierpienia politowanie uczuwał; do zakłopotania łatwy, wśród kwestyi drażliwéj udawał zdziwienie; niezdecydowany medyator, rad był pogodzić, a nie rozstrzygać; nalegany, przyrzekał wszystko; a zniecierpliwiony prośbami dawał nawet słowo królewskie, o którém rychło umiał zapomnieć (*Dola i niedola*). Dla rozrywki z gra-

cyą podstarzałego adonisa do urodziwych kobiet zbliżał się chętnie; jak „sultan w seraju, wdzięczył się do podbitych piękności;“ w każdéj z uśmiechniętych do niego twarzy znajdował wspomnienie. W swe ręce miękkie a blade brał rączęta pań pięknych i całował je czule: „pani jesteś jak Minerwa, jak Juno... w serduszku swojém zachowaj dla mnie kącik przytulku.“ „W. K. Mość, odpowiedziała mu na to kasztelanowa, tyle masz podobnych schronień w sercach poddanek, że ten kącik stałby pustkami.“ W tych razach grał rolę; skoro się ujrzał samotnym,—zamyślenie i znużenie wracało.

Chociaż to ten sam słaby Stanisław August, jakiego przedstawił autor w drugim z kolei utworze,—jednakże obecny przedstawia się korzystniéj. Tamten zużyty i bezwładny obudza jedynie litość; ten zaś posiada pewne cechy zawodami raczéj, niż zużyciem starganéj duszy sprowadzone i zjednywa współczucie. Na zmianę wrażenia wpływa najprzód ta okoliczność, że autor przedstawia w charakterze królewskim pewne strony poprzednio nietknięte; powtóre, że pozostawia mu jeszcze pewną wrażliwość, świadomość i odczuwanie warunków, w jakich zostawał. Że Kraszewski oświetlił zaćmioną pierwotnie fizyognomią Stanisława Augusta, dowodzi rys jeden, który w drugim wizerunku z całością dziwną stanowiłby sprzeczność, w obecnym zaś razie nie może,—Poniatowski umie się jeszcze zdobyć czasem na pewną stanowczość. Chociaż rzeczono wyżéj, że zniecierpliwiony prośbami, ulegał i dawał nawet królewskie słowo,—jednakże potrafi niekiedy zażyć energii. „Inne mam obowiązki, jako człowiek, większe, jako panujący. Tam, gdzie pierwsze z drugiemi się godzą,—przyrzeczeniem wiążę się chętnie, gdym niepewien—mam za prawidło postępowanie moje zostawić przyszłości“ (*Dola i niedola*). Automatyczny, szukający jedynie rozrywek poprzednio, ożywiający się tylko w stosunkach z Ryksem,—obecnie dużą posiada wrażliwość i nie małą rozwija czynność. Na Powązkach podczas polskiego przedstawienia Polyeukta, potrafił się unieść,—chociaż i tu się miarkuje, gdy z szacunku dla sztuki, żeby jednego nie stracić wyrazu, nie klaskał, pomimo tego, że pragnął (*Macocha*). W dobie czteroletniego sejmu, gdy powódź pisemek zalewała kraj cały, król niemal wszystko przerzucał, lub kazał sobie zdawać z nich sprawę (*Kawał literata*). Zresztą, nie odmawia autor Poniatowskiemu osobistych przymiotów wielu: przyznaje mu talenta, naukę i rozum; usiłowaniom jego przypisuje dźwignięcie i ożywienie Warszawy, za Augusta III zaniedbanéj i głuchéj (*Boża opieka*).

Wielce niepochlebny pierwotnie wizerunek Stanisława Augusta, pomiędzy rokiem 1864 i 1876 szlachetniejszego nabrał wyrazu, a w ostatniéj powieści z r. 1878 (*Syn marnotrawny*) w rysunku i kolorycie radykalnemu uległ przekształceniu.

Podobnie jak w r. 1855 i w latach następnych, oglądamy znów króla z epoki wielkiego sejmu i widzimy człowieka prawie innego, ze słabo tylko zaakcentowaném starém zwątpieniem i smutkiem. Z pod zwykłéj uprzejmości i stereotypowéj słodyczy, którą przybierał dla świata, jak maskę,—przegląda troska; cera wielkie zdradza znużenie. Chociaż zawsze dawnéj galanteryi hołdujący, przy rozstrzyganiu kwestyi drażliwych stawał zwykle po stronie kobiet, — zdaje się jednak, że w moralności postęp pewien uczynił, powiernikiem bowiem był niebezpiecznym,—w razie grożącego honorowi rodziny niebezpieczeństwa, w stronie interesowanéj umiał obudzić czujność. Gdy się młody Kościuszko z zamiarem porwania panny Sosnowskiéj królowi zwierzył, Stanisław August pospieszył o tém oświadczyć ojcu. Unosi się czasem i mityguje natychmiast, porywczość życzliwością tłumacząc. „Z urzędu mego po ojcowsku mówię i karcę, ale z miłością w sercu.“

Podczas sejmu niezmiernie był czynny, ciągle obradował z Ignacym Potockim, księdzem Piatolim, Kołłątajem, Lucchesinim i Buchholz'em,—„tchnąć nie miał czasu.“ Jednego dnia musiał całą swą poliglotyczną umiejętność okazać: z anglikiem, francuzem, włochem, rossyaninem, niemcem w ich rodowitym przemawiał języku. Chociaż okazywana wszystkim uprzejmość przychodziła mu łatwo, jednakże dotykając się tysiąca najróżnorodniejszych przedmiotów, a usiłując oswojenie się z każdym okazać,—umysł się ważył i męczył. Podobnie jak języki,—nauki i najróżnorodniejsze przedmioty z encyklopedyczną łatwością przyswajał sobie o tyle, że mógł nie narażając się na śmieszność rozprawiać o wszystkiém. Z Poczobutem i Śniadeckim przypatrywał się zaćmieniu słońca z równém zajęciem, jak w fabryce tkaninom, w kuźni żelaztwu, w Kozienicach broni, w szkole doświadczeniom fizycznym, wreszcie — jak i haftom uczennic księżnéj Jabłonowskiéj. „Wszystko go interesowało: gramatyka Kopczyńskiego, kanał Ogińskiego, Bogusławskiego teatr, muzyka włoska i filozofia;—dyletantyzm na-

nkowy i artystyczny posuniętym dalej być nie mógł. Nieszczęście, że w polityce i sztuce militarnéj Stanisław August dyletantem był również.“

Na dworze Poniatowskiego nie było widać „ani jednéj twarzy,“ któraby powagą, wielkością, heroizmem, jaśniała na wyżynie okoliczności i czasów. Król, że w niczyje rady nie wierzył,—pochlebcami się musiał otaczać; jak dla strawności codziennie po obiedzie używał śliwek, tak również potrzebował do życia i ludzi potulnych a łatwych. Nad nazwę pieczeniarzy, nie można lepszego miana dobrać dla dworu Stanisława Augusta (*Dyabel*). Ci, co tam świetnieli, byli straszliwego i osobliwszego na dworaków tak światłego pana nieuctwa, ale za jednym mówiła młodość i świeżość, za innym potulność i giętkość, za wieloma stosunki, imię i urodzenie. Takich postaci, jak: Jan i Ignacy Potoccy, jak Kołłątaj i Czacki spotykało się mało (*Dola i niedola*).

Za typ przeciętnego dworaka służyć może generał Baucher (*Dyabel*). Używany przez możnych do spraw sejmikowych i trybunalskich, nie przypatrywał się temu z bliska, co robił; na słuszność i następstwa nie patrzał; co kazano,—czynił na ślepo. Intrygować i hałasować potrafił dzielnie; szabli dobywał nieraz—po pijanemu, lub gdy przeciwnika nie było na placu. U możnych, a osobliwie u króla łaski miał wielkie, a zawdzięczał to swej łagodności, dowcipowi i téj gotowości, z jaką nie wzdrygał się nigdy spełnić najdrażliwszych poleceń.

W gruncie człekiem był niezłym, jeżeli zdradzał przyjaciela, to z boleścią serca najwyższą; z własnéj inicyatywy szkodzić nie lubiał nikomu, owszem wolał usłużyć,—chociaż przedewszystkiem ukochał siebie. Celem jego życia było życie, ale nie byle się wlokło, bo wygodne, błyskotliwe, przepełnione hulanką i zbytkiem; dla tego też, że już nieco się zużył, — zazdrościł młodzieży dobrego żołądka i innych pożytecznych organów. Gorliwy w spełnianiu rozkazów, poświęcenia nigdy nie posuwał do głodu, pragnienia i anachoretyzmu; chociaż się sercem odznaczał najlepszém, na charakterze szwankował srodze. „Ani wiary, ani wyższego pojęcia godności i obowiązków“ w tym człowieku nie było; brzuch całemu żywotowi panował, za odrobinkę rozkoszy szedłby do piekła, dla smacznie przyrządzonéj potrawy gotów się był dopuścić maleńkiéj podłości. W towarzystwie przyjemnym był wielce; do kart namiętność miał straszną, lecz ją miarkował bojaźnią. Acz podstarzały, czcicielem był czci pięknéj, ożenienie jednak sprzeciwiało się jego zasa[...], nakładało bowiem obowiązki i pęta. Miłość uważał, jak obiad: za doskonałą, gdy gorąca i świeża, za niestrawną, skoro ostygła: ciągle więc robił poszukiwania—dla drugich nawet, bo i pod tym względem był usłużnym na podziw. Dokładny życiorys jego dałby się ująć w cztéro-wiersz: „prochu nie wąchał, kąty wycierał; brzuch pełen, a głowa pusta; wszystkich dworaków generał, a ulubieniec Augusta.“

Wśród ścisku awanturników cudzoziemskich i swojskich były umysły obdarzone bogato, ludzie z wielkim dowcipem i nauką,—ale całéj téj ciżbie zabrakło tego, co naukę, talent i dowcip uszlachetnia,—charakteru i powagi im brakło. Naruszewicz (*Dyabel*) „niewyczerpany pochlebca,“ z lirą zawsze strojną do ody na cześć królewską, z ustami gotowémi do dowcipnego żarciku... niepospolitych darów umysłu i serca, szedł z duchem wieku, rad się natrząsał z sukni duchownéj, nie unikał ani hulaszczego towarzystwa, ani tłustego dwójznacznika w rozmowie, częściéj obcował z Horacyuszem, niż z brewiarzem; mniéj z ewangelią, niż z dziełami Tacyta. W obejściu obok powagi nosił pokorę, któréj się w życiu dworskiém miał sposobność wyuczyć. Generał Komarzewski (*Dyabel*), oprócz wielkiéj rezolutności, śmiałości i dobrego tonu, nie odznaczał się niczém. Zimna krew człowieka, który nieraz na wozie i pod wozem „a raczéj na stole i pod stołem po niejednéj hulance“ przebywał; wielkie panowanie nad sobą i pewien wytworny cynizm; będący cechą stanisławowskiéj tężyzny, — wszystko to fizyognomii jego nadawało ów wyraz, po którym łatwo poznać było ulubieńca Stanisława Augusta.

Życie, kraj, cnotę i wiarę dworacy owi w krotochwilę przywykli obracać;—nie było rzeczy, któréjby nie zaczepiono dla popisu z dowcipem. Jeżeli zmuszeni byli na chwilę wziąść coś na seryo,—pogniewali się łatwiéj, niż oburzyli; zniecierpliwili raczéj, niż zabolelі. Miło było z ludźmi takimi przepędzić wieczór, bo ich towarzystwo najwykwintniejszym odznaczało się tonem i polorem europejskim, aż do przesady wytwornym; ale nazajutrz po pijanych uściskach, wyśmiano by tego, ktoby zażądał dowodów zaprzysiężonéj wczoraj przy kieliszku przyjaźni. Miłośne zdrady, złośliwie ubrane plotki, były dla tych ludzi strawą tak pospolitą, że nie liczyły się nawet; pośmiawszy się z nich i ubawiwszy się niémi na chwilę, rychło zapominano o wszystkiém dla nowych (*Dyabel*).

Takim był dwór Stanisława Augusta, który przykładem swoim naśladownictwo w otoczeniu zaszczepiał. Panowie szli torem jego gorliwie; kobiety, które nie mogły za kochanka mieć króla, w ciężkim żalu, że nie potrafiły dostąpić korony, dla utulenia boleści z kim innym szukały rozrywek (*Maleparta*). Od króla, przez dwór, panów i szlachtę szło zgorszenie do mieszczan; szerzyła się zgnilizna coraz daléj a daléj; nikt nie myślał, jak się hulanka zakończy, gdy kapeli porwą się strony i ręce zmartwieją. Aby dzień do wieczora! — było to hasło wszystkich, którzy otaczali Stanisława Augusta (*Dyabeł*).

W powieściach Kraszewskiego mamy dwie kategorye ludzi zepsutych; z nich każda na własny sposób tonie w rozkoszach. Delikatniejsze organizacye rozpustowały z wykwintem, tracąc czas, majątek i zdrowie na pseudo-artystycznych rozrywkach; namiętniejsi nie wstrzymywali cugli żadnéj fantazyi i dla zmysłowości głównie szukali upustu. Zdawało się jednym i drugim, że ich szaleństwa znamionują naturę wyższą; tłumaczyli je niepohamowaną organizacyą, krwią, pochodzeniem (*Boża opieka*).

Stare i młode, młodzi i starzy udawali, jeżeli z natury nie byli takimi, zalotnych; należało do dobrego tonu być czułym niezmiernie, kobietom okazywać miłość i żądze płomienne. Udawano namiętność, nie mając jéj; paliły się głowy, nie serca. Wywiędłe panie ze zmarszczkami, zatartymi bielidłem i różem, uśmiechały się do adonisów wysznurowanych i wyperfumowanych, lecz skrzepłych; dziesięcioletnie chłopaki w stroju amorków umizgały się do dwunastoletnich dziewczynek; siwi senatorowie rzeczypospolitéj kochali się na zabój w piętnastoletnich aktorkach. Miłość stała się godłem tych ludzi, którzy o miłości nie mieli pojęcia (*Dola i niedola*).

Do bezwstydu posunięta rozwiązłość, zimna obojętność na wszelkie decorum, obowiązek i cnotę, nigdy do takiego wyuzdania nie doszły, jak wówczas. Suknie francuzkie i zepsucie czasów regencyi wdziano razem na barki i serca. Mężowie mieli sobie za punkt honoru najnieograniczeńszéj swobody dozwalać żonom; wstydząc się zazdrości i przywiązania, liczyli kochanków pań swoich, jak się obrachowywa ziewając, belki pułapu. Żony zmieniały mężów, jak suknię; rzucały, jak rękawiczki; brały ich, jak się bierze koronki lub wstążki. Pojedynek nawet ze stosunków małżeńskich wykwitał rzadko; bito się za aktorkę raczéj, lub nieznaną jaką dziewczynę,—za żonę nigdy. Rozwód niczyjéj nie zwracał uwagi; kobietę, która go brała, uważano za skrupulatną i bez tego bowiem żyć sobie mogła, z kim chciała. Szał—jak za czasów, kiedy koniom oddawano cześć boską, a z kazirodztwa i ulicznego nierządu szukano chluby, — do najwyższego dochodził stopnia (*Dyabeł*).

Obłąkane uganianie się za weselem rozpuście ówczesnéj szczególny nadaje charakter. Bale, maskarady, fajerwerki, turnieje, pijatyki szalone, zbytek niepomny jutrzejszéj nędzy,—wszystko to następowało po sobie i napełnić niemogło tego naczynia Danaid, pod którém przepaść kopało sumienie. Ani wiek, ani płeć nie wyłączały od orgii (*Dola i niedola*). Młodzież—tężyzna dokazywała szalenie. W modzie były karykle i dzikie konie; powożono się stojąc, po rzymsku, czwórką w poręcz, co mogła wyskoczyć. Książe Józef, generał Wielhorski, młodzi Tepperowie w ich ślady i różni panicze biegali po mieście a śmielsze damy towarzyszyły wyścigom. Reduty, assamble, maskarady w pałacu radziwiłowskim, bale u Mervaniego gromadziły z najpierwszego towarzystwa osób moc wielką. Grano stosami złota, pito beczkami; do księcia wojewody w czasie śniadania faskami przychodziły ostrygi, które szlachta na przemian jadła z bigosem,—mniéj dla smaku, więcéj dla tonu (*Kawał literata*).

Za okaz tych natur namiętnych, które wodze wszystkim fantazyom puszczały i w najsprośniejszych tonęły orgiach, — służyć może hetman Branicki, podkomorzy Brański, komandor i książę podskarbi Poniński.

Piérwszy (*Syn marnotrawny*), postaci zamaszystéj. o twarzy pełnéj ognia i zuchwałości kozaczéj, budową wydawał się olbrzymem, a życie szalone nie potrafiło mu odebrać i siły i blasku przedłużonéj młodości. Gra hazardowna i straszna pijatyka, były w jego domu rzeczą zwyczajną. Widząc wchodzących do siebie podchmielonych młodzieńców „klin klinem, zawołał hetman, dawajcie kielich i wino!“ Za punkt honoru sobie uważał: pić dużo i trzymać się trzeźwo. Skoro jeden z gości wyrzekał, że, gdy przodkowie siadali po bankiecie na konie i pędzili do lasu lub w pole, współcześni przeciwnie, upiwszy się, idą do łóżka,—Branicki osiodłać kazał rumaki i jechać śród nocy ciemnéj na Wolę. „Dolejmy, bośmy tu jeszcze nie wychylili kielichów do dna!... nikt się nie zwalił, a po naszemu trup legnąć powinien.“ I poczwa-

łowano szalenie,—do dnia białego rozlewano na Woli szampana.

Podkomorzy Brański (*Dyabeł*) „najwierniejszy reprezentant ośmnastego stulecia,“ hulaka, karciarz i niepohamowany rozpustnik, zgniły był wewnątrz, a zepsuty do szpiku, — jedno tylko uczucie honoru tlało w ruinach cnót wszystkich, spalonych na ołtarzu rozkoszy. Młody, a zużyty zupełnie, w namiętnéj grze, któréj szału nigdy powściągnąć nie umiał, szukał jeszcze gorączkowego zajęcia. Trafiało mu się do szeląga i do ostatniego zgrać się pierścionka; postawić na kartę powóz, konie i ludzi.

Komandor (*Dola i niedola*) odgrywał rolę człowieka postępowego, lecz działał językiem raczéj, niż czynem; apostołował czczémi słowami, uciechą i winem. Pił, ile kto życzył a po uczcie nad ranem wychodził świeży, zdrów i przytomny, jakby był na czas. W salonach swoich wyprawiał orgie; od wina i kart począwszy, aż do aktorek, nic ku uciesze gości nie brakło.

Księcia Ponińskiego (*Dyabeł*) widzimy niesionego na rękach w orszaku pijanéj bandy, w trzewikach i jedwabnych pończochach brodzącej w uliczném błocie.

Organizacye delikatniejsze, a do takich można zaliczyć i króla, do kart, picia i ulicznych awantur wstręt mając, szukają roztargnienia w najfantastyczniejszych rozrywkach; pozują na wielkich artystów, mecenasów i pionierów postępu. Jeżeli Stanisław August w chwili ważenia się losów rzeczypospolitéj malował akwarellą wzory dworskich kostiumów,—to jeden z największych dostojników, przy retorcie zasiadłszy, kamienia filozoficznego szukał z mozołem; drugi z passyą zakładał ogrody i budował pałace, inny próbował balonów; a Radziwiłł w obawie wezbrania morza na błotnistych obszarach Alby sztyftował flotę. Co chwila jakąś nową wynaleziono zabawkę. Nie wzięta seryo, lecz interesująca samémi formami masonerya wyśmienitą stanowiła rozrywkę i najgrubsze znakomitości pociągała na braci; chwilowym kochankiem towarzystw. pragnących emocyi, był Cagliostro, Blachard i lada kuglarz. Awanturników krążyło, jak mrowia, począwszy od handlarza cudownych pigułek, aż do fabrykantów elixyru życia i złota (*Macocha*). Widowisk było bez miary. Niemiec pokazywał za pieniądze woskowego Fryderyka W., wielce brudnego, w połatanym mundurze; na teatrzyku niemieckim grano „Arlekina wychodzącego z jajka,“ sztukę bardzo zabawną; wiele osób uczęszczało na hecę, odpowiadającą dzisiejszym cyrkom; dla okazania męztwa i wzgardy życia, przepłacano miejsca w balonach. Cieszono się humorem tak dobrym, że księżna de Nassau, skoro jéj pałac stanął w płomieniach,—siadłszy naprzeciw w oknie, unosząc się nad pięknością widoku, radośnie klaskała w ręce i z *Didone, abandonnata* śpiewała aryą (*Kawał literata*). Dla teatru była to chwila bardzo szczęśliwa,—on jeden rozrywkę stanowił szlachetną, a przy tém służył za tłumacza idei i uczuć, którym jak najszerszą popularność chciano zapewnić. Że gorączka życia i używania trawiła wszystkich, więc się do każdéj nowości rozmiętniano potężnie i, prędko rzuciwszy, co zajmowało przed chwilą,—rychło goniono za nowém (*Macocha*).

Niespodziankę znalazłeś na każdym kroku: w salonie rozłamywała się ściana; z pod podłogi występował stół z całém nakryciem; niewidzialna orkiestra dawała się słyszeć gdzieś z góry; małe światło w alabastrowych lampach łagodnie upromieniało ołtarz przyjaźni lub świątyni wdzięczności, panie w greckich kostiumach deklamowały lub śpiewały kantatę; skrzydlate dzieci rzucały kwiaty. „Każdy, nie wyjmuję i tych, co po projekta posyłali do Mablyego i Russa,—miał bzika, którym się rozrywał i bawił“ (*Macocha*). „Ten alchemią się trudni,—lada dzień kamień filozoficzny wynajdzie; drugi maluje lepiéj, niż Bacciarelli, — w pięknych kolorach obdarzy nas dziełem swéj ręki; trzeci po całych nocach szczęśliwie grywa,—więc wygrać gdzieś musi i do zwycięztwa potrafi nas wywieść; tamten jest budowniczym,—rzeczpospolitą odrestauruje i dźwignie, ów koniarz,—pewnie dla tego, aby dla kawaleryi przysporzyć rumaków. Nie wyjmując tego, który pierwsze łazienki wystawił,—wszystko to ludzie, senatorskie krzesła zajmujący niedarmo... Jak tu zwątpić o przyszłości i kraju, patrząc na zastęp mężów, którzy losy nasze dzierżą w swych dłoniach!“

Powyższy monolog pani kasztelanowéj kamieńskiéj uważa Kraszewski za charakterystykę epoki, która się kierowała ekonomią wręcz przeciwną najpierwszym potrzebom. „Wiersze piszą, powiada pani Kossakowska, gdy rachunki by robić powinni; peruki muszczą, gdy szable rdzewieją;—artystów nam nie brak, choć niema komu piec chleba“ (*Macocha*).

Bzika ośmnastego wieku ukazuje Kraszewski w kilku postaciach historycznych, z pomiędzy których wydatnością rysów celują

bracia królewscy: książę ex-podkomorzy i. książę Andrzéj.

Ostatni, człowiek o geniuszu niewielkim, widząc się przez innych członków rodziny wyścigniętym talentami i szczęściem; nabrawszy przekonania, że w żaden sposób gorszym być od nich nie może,—przez całe życie piął się do sławy, a przynajmniéj do ściągnięcia oczu na siebie. Tém mocniéj starał się książę na pierwszy plan wysunąć i czemś się odznaczyć, im spostrzegał dokładniéj, że przez swoich szacowanym jest mało. Wprawdzie przez całe życie nic mu się jakoś udać nie mogło, nie zrażając się jednak, nie rezygnował z zamiarów i, nie umiejąc inaczéj, szedł przynajmniéj w ślady braci i krewnych,—to robił, co oni, z większą tylko przesadą. Zasłyszawszy o słabości księcia Andrzeja, otoczyła go zgraja zauszników i, pomagając mu dzielnie do utraty majątku, głosiła światu nienieśmiertelne jego śmieszności. Stary—udawał młodego; grał rolę eleganta, marzył jeszcze o sercowych podbojach i dom swój różnego rodzaju osobliwościami rozsławiał.

Przywabiał głośne imiona, słynne piękności i najciekawsze wynalazki i dzieła sztuki nabywał chętnie. Przy miałkości rozumu ten takt posiadał książę, że mówił niewiele; śmiał się, mruczał, poruszał, nucił; gdy coś dłuższego potrzebował wyłożyć,—miał zawsze ku wyręczeniu dworaka. Pałac jego najdziwaczniejszą przedstawiał kreacyą: było w nim wszystko, czego dać nie mogła natura, począwszy od sztucznych skał, sztucznéj wody, aż do karłowatych drzewek i fabrykowanych pieczar. Za naciśnięciem sprężyny ku wielkiéj dumie księcia Andrzeja w posadzce otwierała się tafla i stoliczek z przyborem do śniadania z pod stóp się zjawiał. Strój ranny nosił złotem szyty, tak grubo, że kosztował kilkaset dukatów; ciężki i twardy, jak skóra, ten wielki posiadał przymiot, iż go nikt w świecie nie mógł nosić dłużéj nad kilka godzin. Regestr znajomości niewieścich utrzymywał książę starannie i chował pod kluczem: była to jedyna pozostałość, która na rodzinę spadła dziedzictwem (*Macocha*).

Książę ex-podkomorzy, cały w żółte ubrany płócienko, głowę ozbobił peruką, z obu stron któréj dwa rzędy loczków, a z tyłu ogonek z wstążeczką. W towarzystwie wesołych niewiast pracował po swoich ogrodach czarownych, admirował je i rad był, gdy inni nie szczędzili podziwu. „A co? a co? a prawda, że cudowny, a prawda? Cudowny! rzeczywiście cudowny! spytaj, co te cuda kosztują. Toć to tu śmietnisko było i dziura,— świat wyprowadzony z niczego. Co się tam księżna chwali ze swoim gustem w Powązkach, o których Naruszewicz układa ody; tu, kto przyjdzie,—otworzy gębę, Coxe, anglik, zapomniał języka.“ Dla unieśmiertelnienia swych cudów pragnął poety i uszczęśliwiony był mocno, gdy zastał w ogrodzie młodzieńca ujmującego w rymy roztaczające się przed nim widoki. Odczytawszy niezdarne wierszydło,—„przedziwne, zawołał książę, słowo daję. Naruszewicza z Powązkami w kąt zapędziłeś...“ Dawszy rymoklecie posadę nadwornego poety, przekonany o jego talencie, pragnął się z nim pochwalić przed królem; „to, mówił, improwizator, jak Włochy; jeszcześmy tego w kraju niemieli. Zobaczycie, co ja z niego zrobię kulturą.“

Kazimierz podobnie, jak Andrzéj, tak bardzo pragnął jakąś rolę odegrać, zająć sobą opinią, dać mówić o sobie, iż wszelką po temu, najniezręczniejszą nawet chwytał sposobność. Jeżeli król przyjmował na dworze jakiego dystyngowanego cudzoziemca,—choćby grosza nie miał przy duszy, nie wytrzymał ex-podkomorzy, żeby go także nie zaprosił i nie wystąpił. Brakło mu środków, bo wszystko straciwszy, żył z łaski brata; lecz jako starszy umiał się królowi narzucić i wymódz, jeżeli nie gotówkę, to wexel. Gdy mu zaproponował poeta odczytanie utworu w jego salonie,—„doskonała myśl! zawołał, puszczę wody, oświecę salę podziemną, na galeryi stanie muzyka! Feta literacka—doskonała myśl! Zasiądą kobiety, jak wieńce kwiatów... każę ci zrobić estradę, czerwoném suknem obitą... sproszę całą dyplomacyą: Engöstrema, Lucchesini'ego... może stary Essen, a może i Hailes.“ Na zrobioną uwagę, że ci panowie nie umieją po polsku,— „cóż to ma do tego? deklamacyą oczarujesz ich; domyślą się, o co chodzi, a na wieczerzę wystawię ostrygi“ (*Kawał literata*).

Do kategoryi idyotów, którzy nic więcéj nie mieli w sobie nad chorobliwą fantazyą, zaliczyć należy pokrewny z poprzedniemi wizerunek hrabiego kasztelana (*Dola i niedola*).

Mąż ten wołowe oczy zwracał na drzewa i chmury, obserwował czubiące się na śmietniku koguty lub milczał, w zamkniętych ustach mieląc językiem. Do dna wyżyty i niemogący się odżywić już niczém, chodził, jakby nie wiedział, czy się porusza; mówił niezawsze bardzo przytomnie, a roztargnienie nie odstępowało go nigdy. Nie gniewał się, nie śmiał, nie cieszył, niecierpliwić się nawet nie umiał; z

funkcyi cielesnych poziewanie tylko robiło mu jakąś przyjemność. Miał on zwyczaj nawet w drodze na popasach i noclegach zasiadać zaraz nad talią kart francuzkich i godzinami pasyansa układał. Do téj pracy takie przywiązywał znaczenie, jakby od niéj losy państwa zawisły. Czyniło go to niezmiernie śmiesznym: weseli ludzie albo mu parskali w oczy lub téż nie zważali na to, co robił. Skoro się trafiło służbie karty pomięszać lub do innego użytku zażądać stołu, na którym się nieśmiertelny układał pasyans,—przeciwko zwyczajowi hrabia w gniew wpadał i, milczący z widoczną wzgardą odchodził od istot, które wielkości posłannictwa jego pojąć nie mogły. Ze wszystkich przykrości życia, lekceważenie pasyansa było dla niego najboleśniejszém. Ilekroć żona potrzebowała go zjednać,—nad kabałą stawała poważnie, udawała zainteresowanie rzetelne, odzywała się z półsłówkiem współczucia dla wielkiéj pracy. Kasztelan w humor naówczas wpadał tak dobry, że wszystko można było z nim zrobić.

Szlachetniejszy typ bzika przedstawia hetman Ogiński (*Macocha*).

Dwór jego słynął z najwykwintniejszego urządzenia, był wyrocznią delficką, gustu równego mu nie było nawet w stolicy. Otrzymywał najpierwéj nowomodne materye z Paryża, najświeższe sztuczki na francuzkich grywane teatrach;—u hetmana najnowsza rozlegała się muzyka, do niego wędrowcy całego świata przybywali, by wśród barbarzyńskiego narodu krzewić smak w kunsztach, zamiłowanie dowcipu i zbytku. Sam hetman nigdy podobno na koniu nie siedział; nosił mundur generalski przy trzewikach i jedwabnych pończochach; grał prześlicznie na flecie, pisywał po francuzku komedye, kochał się w kwiatach i najlepszym był w świecie człowiekiem, — tylko rycerstwa nie było w nim wcale. Siedział po większéj części na wsi, w pięknéj rezydencyi, w któréj sobie mały raik urządził; czasem, gdy wymagała konieczność, odwiedzał stolicę; często za granicę wyjeżdżał dla pokrzepienia sił wątłych, zdrowie bowiem delikatne miał bardzo. Chociaż pięćdziesiątki dochodził, nie żenił się i o kobiercu nie myślał, bo było mu na świecie tak swobodnie, wesoło i dobrze, iż nie chciał sobie „komplikować exystencyi.“ Nosił się z niezmierną zawsze elegancyą i smakiem. Peruki sprowadzał z Paryża, batystową bieliznę tamże szyto i prano, reszta garderoby nie pospolitego dowodziła w hetmanie gustu. Nikt od niego nie pilnował troskliwiéj, aby guziki, sprzączki i szpada jeden harmonijny stanowiły garnitur; z taką loiką i nieubłaganą ścisłością nikt nie ubierał się u nas. Był téż dla innych sędzią surowym: człowiek noszący porcelanowe guziki przy sprzączkach stalowych, w oczach tego pana równał się zeru.

Natura obdarzyła hetmana fizyognomią tak przyjemną, przez sztukę i wychowanie wykształconą na tak miluchną maseczkę, że przepędzić z nim wieczor, a nie pokochać go,—mógł chyba człowiek bez uczucia i smaku. Niebieskie oczy jego, jakby we łzach pływały; wargi dobrotliwy okalał uśmiech; na czole żadna nie zarysowała się zmarszczka; twarz pełna łagodnéj harmonii, wdzięczną była a słodką. Ludzie mówili, że trochę niewieścio i nie po hetmańsku wyglądał, lecz on na to nie zważał i tém szczególniéj się szczycił, że go brano w Paryżu za francuza krwi czystéj i za dworaka. Rączki jego nie zwykłą posiadały pulchność i białość, a gdy grał na flecie, wdzięk, z jakim zaokrąglony piąty palec odstawał, wszystkie serca mu jednał. Skrupulatnie doskonałą miał nogę: zakończenie jéj i stopa przez małość, a wypukłość na podbiciu zdradzała szlachetną krew starą, z któréj hetman pochodził. Trzeba go było widzieć, gdy się przechadzał, a ze złotéj tabakiereczki odrobinkę tabaczki czerpał końcem paluszków: gdy siedział w krześle z ręką na żabot i kamizelkę założoną z układnością i wdziękiem; na ostatek, gdy menueta, którego się u najlepszych mistrzów uczył w Paryżu, tańcował.

W rzeczach sztuki do znawców pierwszorzędnych się liczył. Jako muzyk a nawet kompozytor, o utworach muzycznych sądził bez apelacyi; że był we Włoszech, zwiedzał muzea i kochał się w rzeźbach, kameach i obrazach, których piękne posiadał zbiory, —więc lepiéj od innych wyrokował o świeżo sprowadzonym posągu i o nowo-występującym artyście. W teatrze był królem, bo teatr lubiał namiętnie, miał go nawet u siebie, równie jak małą wprawdzie, lecz doskonałą kapelę.

Dowcipny,—smakował przedewszystkiem w towarzystwie ludzi słynnych z dowcipu, a do charakteru jego najlepiéj przypadali francuzi, chociaż włochami, uczonymi niemcami i niektórymi z anglików nie gardził. Był eklektykiem: według jego systemu ku zbogaceniu kraju wszystko, co obce wytwarzały narody, należało sprowadzać; Polskę uważał hetman za najbardziéj zacofane państwo pod słońcem. Ilekroć bywał w podróży, lub po swoich przejeżdżał dobrach, — widok chat zaklęsłych w ziemię, grubych

siermięg, niekutych wozów i drobnych wołów wywoływał w piersi jego westchnienie. Czuł, że sam jeden nic potrafi złemu zaradzić, więc nic nie robił, — naprawę zostawiał przyszłości.

Dwór wszakże i rezydencya hetmańska służyć mogły za wzór dla innych. Na wzgórzu nad brzegiem rzeki podziwiałeś park dziki i chińskie ogrody; zwrócony ku rzece pałac miał kolumnadę, wspaniały portyk i oszkloną kopułę; przed nim bić miała fontanna, do której jednak nie można było dotychczas sprowadzić wody. W prawo i w lewo wysadzone ulice prowadziły do licznych domków przeznaczonych dla dworu; daléj szeroki gościniec wiódł do miasteczka, w którym kościół w stylu greckiéj świątyni, synagoga, przypominająca Alhambrę i cerkiew do gotyckiego tumu podobna, z wielkim architektury wysiłkiem wzniesione były według pomysłu i kosztem hetmana. W parku pełno znalazłeś dziwów: zmniejszony rzymski amfiteatr, chińską wieżę porcelanową, rodzaj meczetu, pagodę; w parowie o nader szczęśliwych liniach świątynię przyjaźni, a przed nią kamień z wyrytym czterowierszem francuzkim, o którego autorstwo posądzano samego hetmana. Jakiś dowcipniś niewłaściwie bardzo szukał zbrojowni; nie znalazłszy dziwił się, że u hetmana nie było oręża;— koncept barbarzyństwem czuć było i średniowiecczyzną. Z wyjątkiem zbrojowni wszystko zresztą miałeś w pałacu: przepyszną francuzką bibliotekę, gabinet rzeźb i grecko-rzymskich starożytności, ładniutki teatrzyk, salę koncertową i audyencyonalną, i mnóztwo rozkosznych gabinetów z alabastrowémi lampami, zwierciadłami i kwieciem.

Dwór cały z cudzoziemców się składał: orkiestra i aktorzy z Francyi, hortykultor z Wiednia, w stajni był duńczyk, autor dzieła o hippice, lekarz — holender, kuchmistrz paryżanin, pasztetnik ze Strassburga. Kapelanem był francuz i tego hetman cenił szczególniéj za to, że nie hołdował przesądom, że się w spory teologiczne nie wdawał, a kuplety do Doryd z niezmierną składał łatwością. O gospodarstwie nic hetman nie wiedział; plenipotent jego, człek lubiany powszechnie i zacny, do pana przywiązany najszczerzéj, administrował dobrami, pilnował interesów pieniężnych i prawnych. Choć zacny pan plenipotent miał znaczną i wzorowo zagospodarowaną posiadłość własną, którą zakupił niedawno,—jednakże ukochanemu panu ku wielkiemu jego zadowoleniu służył i nadal. Dla takiego człowieka, jak hetman, rozmiłowanego w sztukach, delikatnego w smaku i wyższych zdolności umysłu, nie było nic przykszejszego nad interesa pieniężne, rachunki, papiery urzędowe i wszystko, co realizmem grubym trąciło.

Znakomite wykształcenie, talenta, dobroć serca i słodycz charakteru,—zjednały hetmanowi sławę nietylko w kraju, ale daleko po za nim. W najlepszych towarzystwach europejskich przyjmowano go z oznakami szacunku i sympatyi; muzycy przypisywali mu swoje utwory, literaci przysyłali w safian czerwony oprawne dzieła, pod światły je sąd jego poddając.

Ludzie czasów Stanisława Augusta pozowali na mądrych i wielkich, lecz wykształcenie posiadali nie duże. Komukolwiek trafiło się czytać listy i rękopisma członków najpierwszych rodzin i najstaranniejszego wychowania, westchnie ze smutkiem, że w nich na każdéj karcie spotykał dowód, jako najpiękniejsze w kraju imiona żadnego języka i gramatyki nie znały gruntownie. Pojęcia mają jakiś pozór loiczny, lecz brak im głębi; są to malowane nieźle dekoracye, po za któremi sterczą nieociosane drewna i kije. Wiek dzisiejszy, pisał książę Adam Czartoryski do Niemcewicza, chce liznąć wszystkiego, a nic zgłębić nie umié: w salonach wyżyna pojęć nie była tak wielką, by jéj lada trochę otarcia i sprytu nie dozwalało osięgać.

W ośmnastym wieku dużo na naturę liczono, na tę naturę, któréj Rousseau w wychowaniu naznaczył rolę przeważną, a która dla innych wydawała się zdrojem odradzającym i przeciwniczką źle pojętéj cywilizacyi. Czując, że trochę zbłądzili z drogi, zdawało im się, że przez ten wymarzony stan natury — wynalazek wyobraźni, rozkołysanéj wspomnieniami złotego wieku— powrócą na prawy gościniec. Gniewano się na cywilizacyą, na formy i zrządzone przez nie zepsucie; szukano gwałtem poprawy w wymarzonym przez filozofów stanie natury, nie wiedząc, że była ona podobna do krajobrazów Bouchera z fioletowémi drzewami, karmazynową ziemią i niebem fioletowém; że istniała tylko na palecie artystów (*Dola i niedola*). „Przesądem naówczas zwało się wszystko, czego nierozumiano, a wszystko niemal zwano przesądem“ (*Dyabeł*).

Wypadki paryzkie wrażenie czyniły wielkie. Z uniesieniem rozprawiano o szczegółach wzięcia Bastylli, o upadku feudalizmu i prawach człowieka, lecz nikt nie umiał dokładniéj przewidzieć następstw, jakie szereg tych wypadków za sobą ciągnął.

„Pałano chęcią naśladowania, gdy obok w przeszłości własnéj praktyczniejsze rady leżały niepojęte, lub powierzchownym potępione sądem.“ Na wyścigi każdy najsurowiéj krytykował krój stary i dawny rzeczy porządek; „najrozsądniejsi nawet, goniąc za utopią, pragnęli burzyć“ (*Dyabeł*).

Taranem wywrotu był dowcip, który popłacał nad wszystko, bo téż całym, najbardziéj uderzającym dzisiaj wyrazem literatury ówczesnéj stały się: satyra, epigrammata i paszkwil (*Dyabeł*). Ludzi, coby pisany stworzyli dramat, nie było, albowiem w ich oczach i na ich skórze odgrywał się żywy (*Macocha*). Wiek był nadto sceptyczny, by bardzo ukochał Corneille'a i Racine'a; zbyt deklamatorski i do patosu nawykły, by mu Szekspir smakował; Béaumarchais i Diderot najlepiéj odpowiadali ówczesnemu gustowi (*Macocha*). Z literatów otaczających Stanisława Augusta, jedni nosili suknie duchowne, drudzy francuzkie fraki; żaden podobno w stroju staro-polskim nie chodził,— „to jedno bardzo wiele mówiło“ (*Dyabeł*).

Domowa literatura czteroletniego sejmu była złagodzoném odbiciem, echem wibracyi zachodu. Rozpoczął ją potężny głos Staszyca, który się „z wielką gwałtownością i radykalizmem domagał nowej podstawy społecznéj—dobrobytu ludu“, a od téj pory mniéj lub więcéj powołani, wykształceni i nieprzygotowani, co chwila się odzywali, o reformy wołając (*Kawał literata*). Nigdy może umysły do większéj czynności pobudzone nie były; nigdy wszyscy aż do najmniejszych, nie zajmowali się wypadkami bieżącemi tak mocno, jak podczas czteroletniego sejmu (*Dyabeł*). Komu brakło trybuny,—na bibule u Grölla drukował kilkanaście stronniczek i miotał je pomiędzy tłumy, jak żagiew. Nigdy tyle świstków, pamfletów, rozprawek, projektów, nie wydały prassy drukarskie i nigdy tyle dowcipnych wierszyków, satyr i bajek nie krążyło w odpisach; nigdy tyle nieznanych talentów nie objawiło się naraz. Stara falanga literatów, jak Naruszewicz, Trembecki, Krasicki,—milczała teraz; przekrzyczano ją i zagłuszono, kiedy niekiedy tylko Trembecki potężnym głosem ozwał się w obronie króla i jego sprawy (*Kawał literata*).

Rzucane nasiona myśli z nieubłaganą loiką w groźne rozwijały się skutki; owładając całém społeczeństwem, groziły obaleniem istniejącego porządku. Ci, co najżarliwszymi byli wielbicielami Voltaire'a, Rousseau, Diderot'a, d'Alamberta,—widząc, do czego prowadziły wygłaszane przez nich zasady, z przerażeniem poczęli teraz się cofać. Na zamku téż dawne uwielbienie dla koryfeuszów w końcu ostygło bardzo; książki francuzkie w kołach zachowawczych co raz mniéj znajdowały admiratorów (*Kawał literata*).

Podczas czteroletniego sejmu chęci postępowców były najlepsze, lecz na idealnych oparte podstawach. Jak w całym świecie zawróciły się głowy utopią, „w źle pojętym stanie natury, lub w źle zrozumianéj historyi starożytnéj szukali ludzie dla chorego społeczeństwa form nowych.“ Żądza przewrotu aż do przesady dochodziła z początku; chciano zburzyć, co tylko było. Od filozoficznych pomysłów spodziewano się dużo i przez przywiązanie do kraju zapomniano o wszystkiém, co jego narodowość stanowiło odwieczną. Jedni zwracali się z reformą do obyczajów, drudzy do sukni, inni do praw, wojskowości, duchowieństwa, mieszczan i ludu. Było to rozpaczliwe wynajdywanie środków; lecz, że się rzucali na wszystko,—za winę im poczytać nie można: mniéj zimna rozwaga, bardziéj kierowało nimi uczucie. Na tle tego uczucia rozumowano potém, ale niesamoistnie, niestety! Naszym zwyczajem po wzory, omijając „dawne własne,“ zwracano się wszędzie; nie chciano reformy umiarkowanéj, w radykalnéj jedynie upatrując lekarstwo (*Dyabeł*).

Kraszewski nie przedstawia stronnictw ówczesnych, nie określa panującéj w ich poglądach różnicy; zaznacza tylko, że istnieli: 1) postępowi utopiści, 2) „stronnictwo zachowawcze, złożone z ludzi, którzy nie daleko widzieli, dbali o swój interes przedewszystkiem, a argumentem ich stanowczym: po staremu wygodniéj i spokojniéj“ (*Dola i niedola*); 3) obok partyi powyższych była i garstka samolubów, przerzucająca się na stronę siły i zysku (*Dyabeł*).

W salonach Alfiera (*Dyabeł*) i Adama (*Dola i niedola*) spotykamy ludzi wszystkich obozów; prawdopodobnie przez delikatność, żeby przeciwników nie jątrzyć,—o sprawach publicznych milczą i poglądy tają starannie. Kółko przyjaciół Branickiego (*Syn marnotrawny*) więcéj jest pochopne do błazeństw, niż do poważnéj dysputy: wyraźniej prezentuje śmieszności, niż oblicze przekonań. Ile razy Suchorzewski ku krzykliwemu dowodzeniu otworzył usta, śmiechy się słyszeć dawały do koła i krzyki. Brał to za dobrą monetę, i rękami wywijając, podrzucając ramionami, a bijąc się w piersi, co raz podnioślej ciągnął perorę, aż głos dochodził do wrzasku. Że mówcę trudno było powstrzymać, gdy się rozpalił,—więc go hamowano daremnie, na wnętrzności matki rzeczypospolitéj zaklinano napróżno, żeby animuszu

oszczędzał, zapał okiełznał i głos znakomity oszczędzał. „Ty jesteś, wołano, tubą, przez którą mamy przemawiać; tyś usty naszémi!“ „Nie zbraknie mi, odpowiadał, animuszu i głosu w obronie źrenicy wolności; jak mur przeciwko nowatorom stanę i nieustąpię; czego nikt nie będzie się ważyć—wypowiem.“ Dowcipny Benedykt Hulewicz uważał, że Suchorzewski wypowiadał istotnie to wszystko, „czego nikt inny nie miał odwagi, bo—głupstwa“; on jednak nie zrażając się niczém, wśród śmiechu prawi daléj o owéj źrenicy, o despotach, nikczemnych konspiratorach, którzy szlachtę zrównać chcieli z chłopami.

Jedyny to w powieściach Kraszewskiego wypadek, że spotykamy kółko ludzi jednego stronnictwa, a więc mówiących o obozie przeciwnym i sobie. Autor lubi salony neutralne, gospodarzy bezbarwnych, gości grzecznych wykwintnic; nigdy nie słyszymy starcia przekonań,—do uszu naszych dochodzi tylko dźwięk złota, szczęk kieliszków, lub pokrzyk pijacki. Ludzie wszystkich stronnictw, powiada Kraszewski (*Dola i niedola*), łączyli się przy kielichu i ta tylko była między nimi różnica, że jednym łza w wino spadała, drugim staczał się w nie uśmiech szatański; jedni nasycenia, zapomnienia szukali w niém drudzy. Czasem wśród uczty uderzał piorun: zabijał jednych, rozpraszał drugich, otwierał przepaść; ciżba jednak narzucała na nią kobierce i—na przepaści tańczono.

Tłu ogólnemu w części tylko odpowiadają przedstawieni w powieściach ludzie, nie znajdujemy bowiem głów gorączkowych, które rozsadzała utopia. Mamy istoty bezmyślne, egoistów, zbrodniarzy i zgnilków; szukamy napróżno szlachetnych, którzy, obłędnie—według autora —, lecz w dobréj wierze myśleli o interesach ogólnych i wrzeli żądzą rdzennego przeistoczenia starego gmachu. Zastęp, z jakim nas Kraszewski zapoznał, rozklassyfikować możemy na ambitnych karyerowiczów, którzy, wypłynąwszy z padołu, pną się wysoko; na różnych odcieni zbrodniarzy lub zgniłych, i młodzież w gruncie szlachetną, lecz bez zasad i po najbłędniejszych chodzącą drogach.

Pierwszą kategoryą reprezentuje Chełmowski i Adam, bohaterowie odnośnie do trawiącéj ich żądzy zrobienia karyery—pokrewni; odnośnie do wartości wewnętrznéj—dość różni.

Adama (*Dola i niedola*) od lat chłopięcych gorączkowość jakaś trawiła; niecierpliwy, rozmarzony, dumny, z instynktami pańskimi, wyglądał raczéj na dziecię magnata, niż na syna ubogiego szlachetki. Przy zabawach o tém tylko rozprawiał, jak będzie panem senatorem, a nawet królem; wracając ze szkół pod ubogą strzechę rodziców, z niecierpliwością układał, jak się z pod niéj wyrwać co prędzéj. Żądza zrobienia karyery do podłości potrafiła go popchnąć. Uderzona pięknością chłopaka bogata pani, na wychowanie pragnąc go zabrać,—„rodzice, zagadnęła, bardzo zapewne Wpana kochają“,—a Adaś niepoczciwie odrzeknął, że nie wié. Na zapytanie, czy mocno kocha rodziców,—odpowiada zdradziecko a chytrze, że ich — kochać powinien, do miłości przyznać się nie chciał, lękał się bowiem, żeby to nie odwiodło kasztelanowéj od zamiaru zajęcia się jego przyszłością, W postępowaniu młokosa cały przyszły odmalował się człowiek, gotowy uczucia i obowiązki dla samolubnych poświęcić widoków.

Opuścił sromotnie rodziców i na wielkim znalazł się świecie. Z łaski bogatéj chlebodawczyni wychowanie otrzymał staranne; lecz główną w nim rolę odgrywały pozory, formy, powierzchowna pozłota. Nabył z łatwością mnóztwa błyskotliwych talentów: jeździł konno, jak berejter; bił się na pałasze i szpady, jak fechmistrz; tańcował, jak sam bóg tańca; śpiewał słodkim tenorem, grał trochę na klawicymbale i flecie; dzięki szczęśliwéj pamięci, dostarczającéj mu na zawołanie gotowych frazesów,—mówił, sądził, rozprawiał o wszystkiém, chociaż nic dobrze nie umiał. Sąd miał pospolity, ostrożny, czasem lekkim zaostrzony dowcipem, — zaniepokoić nim niepotrafił nikogo, bez pracy chwytał po troszę z rozmów, z widoków, z przerzuconych na prędce książek; z odrobinek takich składał zapasy i szafował nimi ostrożnie. Nie umiejąc wniknąć głęboko, dużo odgrywał i z nadzwyczajnym taktem występował na popis. I zdawało się, że w nim daleko więcéj być musi, niż było w istocie: tam, gdzie z powodu nieświadomości musiał się cofnąć, dać do zrozumienia zaraz potrafił, że wiele niedopowiedzianego zamilczał umyślnie. Niesamodzielny, niezdolny do wysnucia z siebie niczego,—naśladowniczość w wysokim posiadał stopniu. Wpajał się w każdą myśl cudzą, przyswajał ją sobie na własność; w zapasach, choć niezbyt wielką posiadał siłę, umiał się bronić, bo był przytomny i zwinny. Pozostawiony sam sobie tracił wszelką energią i—ginął.

Chłodny był; wszystkie zarody namiętności pożarła w nim niezmierna ambicya, progniecie wzniesienia się nad poziom, żądza

znaczenia. „Ha, mawiał, gdzie ja dosięgnąć mogę!... dla szlachcica polskiego pole otwarte,—Wiśniowiecki nie miał własnego powozu, gdy go królem obrano... Śni mi się wszystko, do czego tylko dojść można, rozpychając jednych i gniotąc niechcących ustąpić... Nie czas się cofać;—dałem życie za to i pójdę!... Jak za czasów pogańskich zaprzedawano się w niewolę, aby dług okupić złotem, i ja się zaprzedam, abym się wyniósł, ale nikt mnie nie kupi całego; znam ich i nikomu się nie dam. Często na drodze, którą podążam, depcze się ludzi,—ale i ludzie zdeptać potrafią...... Któż wie? może padnę, może okryją mnie błotem, może stratują nogami i wypchną precz z tego koła, w które się wciskam przebojem?...“

Pokochał naprzód opiekunkę swoją; lecz gdy mu na drodze stanęła kobieta inna,—powątpiewać począł, czy przyszłość dobrym powierzył rękom i poślubił Krystynę, która z siebie i z pierwszego małżonka była silniejszą i ku wyniesieniu środków dawała więcéj. Niewiastą była wielkiéj energii i opanowała męża zupełnie. Wiedząc, że jedynym sposobem utrzymania Adama przy sobie było rzucenie go w grę namiętności ambitnych, na polowanie o znaczenie i wziętość, które miały mu odjąć ochotę do innych intryg i zabaw,—wtajemniczyła go w stosunki swojéj rodziny i nakreśliła programmat ku zbudowaniu przyszłości. Według planu Krystyny Adam ze wszystkimi był dobrze: chętnie posługując jednym i drugim, dla każdego argumentu i postępowania miał poklask; lecz rysy wybitne łagodził lub zcierał,—w ustach jego najradykalniejsze teorye stawały się rozcedzonémi w wodzie różanéj oklepankami. Właściwie żadnych nie miał przekonań. wychowanie paryzkie nie wyrobiło w nim zasad; nic mu nie dało, prócz mglistych pojęć o jakimś idealnym bycie ludzkości, o stanie natury, zepsutym przez przesąd. W salonach pani Adamowéj zjawiali się na przemian Kołłątaj z Ignacym Potockim, to znowu Braniccy, aż w końcu podzielono się rolami w ten sposób, że pani trzymała się starych, a Adam, nie zapędzając się zbyt daleko, w szeregach nowatorów się znalazł. Jednakże zaledwo do szarego końca stronnictwa postępowego mógł się zaliczyć. Wolałby sprawę jaśniéjszą i czystszą, ale nie był pewien, gdzie jest światło i gdzie są ciemności. Młodość go wabiła, gdzie cieplej było i żywiéj, ale nieraz sam na zwątpieniu się chwytał, gdy pobył w towarzystwie partyi przeciwnéj. W głowie i sercu tego człowieka nie było jasno: roli czynnéj nie miał i posiadać jéj nie chciał; na takiéj się zawsze trzymał pozycyi, iżby w ostateczności mógł się jeszcze wycofać.

Zawojowany przez żonę, tyle jeszcze mezkiéj zachował godności, że pognębienie potrafił odczuć i na tyle się zdobył energii, że o własnych siłach kroczyć zapragnął. Ztąd burza i rozstanie się z żoną, która zamyka przed nim towarzystwa i mści się. Pobity, wykluczony z wielkiego świata i na siłach stargany,—zostaje mnichem.

Trawionego ambicyą karyerowicza przedstawia również Tomasz Chełmowski (*Kawał literata*).

Przytulony przez księdza rektora ośmioletni synek zmarłego w nędzy kalefaktora,—okazywał złośliwy spryt jakiś, zarozumiałość i dumę. Choć odarty,—minę miał pyszną; łajany—milczał uparcie i dawał się łajać; z daleka pokazał język. Uczyć się nie chciał, lecz myślał dużo; usiadłszy w kuczki, na kułakach podparłszy brodę, godzinami coś dumał i sam do siebie przemawiał. Czyścił kolegom buty i jednocześnie imponował im swoim rozumem; duma w chłopaku nie miała granic, wszyscy mu się wydawali głupimi. Dorwawszy się do Argenidy, Jerozolimy i Kochowskiego,—głowę sobie przewrócił. Wyrósł na łokieć; usta wydymając, chodził milczący, bo—składał wiersze. Szkół nie skończywszy, prowentowym na wsi został pisarzem. Że sypiał pod stogiem i zalecał się do córki ekonomskiéj, panny Barbary, któréj własne deklamował wierszydła, — obatożony przez ojca, musiał uciekać i trafił do księdza takież same noszącego nazwisko. Bzdurstwo kochanku, mówił mu stary po odczytaniu ód i elegii—ortografii w tém nie ma; na co Tomko nic wprawdzie nie rzeknął, lecz myślał: „at! plecie stary mól; u nich wszystko w Alwarze i łacinie, a to już czasy te przeszły.“

Wśród różnych przygód zawsze sobie Chełmowski dał radę. Okłamywał potężnie: opowiadał o pańskich kolligacyach swoich, o ojcu rotmistrzu kawaleryi, o uczoności jego i professurze w akademii. Instynkt zachowawczy miał dzielny: nierozumiejąc wiedział, iż, nie chcąc być startym na miazgę i przez pierwszą lepszą bestyą pożartym, —nastawić i nadstawić się trzeba. Przybywszy do Warszawy, zaproponował drukarzowi kupno swych wierszy; gdy się śmiać z niego poczęto, — złość go porwała, trzasnął drzwiami i wyszedł. Szczęśliwym trafem został nadwornym poetą u księcia expodkomorzego i przedstawiony był na dworze, gdzie czytał poemat w ogrodach

na Szulcu. Śmiano się z niego serdecznie, — on jednak wszystko za dobrą przyjmował monetę. „Słuchali, mówił z wielką uwagą; król miał oczy spuszczone ku ziemi... pod koniec poczęli psykać i śmiać się—nie ze mnie, uchowaj Boże, ale z Trembeckiego, w którym widocznie kipiała zazdrość.“ Z powodu zfabrykowanéj na rachunek Chełmowskiego satyry,—posadę nadwornego poety musiał zamienić na sekretaryat u staréj magnatki, z którą się w końcu ożenił i tytułował się hrabią. Poszedł dalej, niż marzył; od tego czasu myślał jedynie o sławie i w tym celu u starego kolegi za dobre pieniądze obstalował poemat. Niebawem zdybany przez żonę na romansie z dziewczyną, musiał się wynieść i został na bruku. Wszakże i teraz radę sobie dać umiał: spotyka znajomych szlachciców, imponuje im hrabiowskim tytułem i tajemniczą, kosztownościami niby zapełnioną szkatułką; na wieś z nimi wyjeżdża, córkę jednego z nich pojmuje za żonę. Siadł na folwarku i potomstwu znaczną zostawił fortunę.

Z kategoryi starych cyników, którzy, zepsuci do szpiku, drwią ze wszystkiego i idą w życiu przez podłość a zbrodnie, zaleca się nam Podskarbic (*Boża opieka*).

Młodość po zagranicznych dworach i obozach przebujał, majątek stracił, pozostały mu tylko powozy, konie, dwór wystawny i pałac w Warszawie. Ożeniwszy się z bogatą wdówką,—jej synka, że mu niemałą w widokach majątkowych stanowił przeszkodę,—porwać i za zmarłego kazał ogłosić. Z cudzéj kieszeni żył podskarbic arcywygodnie. Skoro tylko zadobył grosza, jechał do Warszawy stare odnawiać stosunki. Polityka nie bawiła go wcale; z zasady skłaniał czoło przed siłą i najserdeczniéj był z tymi, którzy najlepsze dawali obiady. Księcia Repnina, rezydenta francuzkiego, angielskiego czy tureckiego,—wszystkich admirował zarówno, byleby podejmowali często a suto. Do konfederacyi mięszać się nie chciał; tam, gdzie szabla z prochem wysunąć się mogła, bywać nie lubiał. Gdy było wszelkie prawdopodobieństwo, że pasierb matkę odnajdzie i oszustwo się wyda, żałuje, czemu chłopak nie umarł—„miałbym zapewne zgryzoty sumienia, ale bez niepokoju i kłopotów.“ Przy téj okoliczności dowiadujemy się, że z uczuć szlachetnych pozostał w podskarbicu szacunek dla rodu. „Co za sromota dla imienia... wszystko się może wyjawić... wyciągną mnie z grobu...“ Przy grze w faraona mąż taki ducha wyzionął.

Bezbrzeżną nikczemność, nieoświeconą żadnym promykiem szlachetnych uczuć, przedstawiają prawnicy. Na odmalowanie wymiaru sprawiedliwości i do charakterystyka sług Temidy farb najciemniejszych dobierą Kraszewski. Trybunał lubelski jest kuźni krzywd ludzkich, palestra jest stekiem najohydniejszych zbrodniarzy. Gdzie wzrokiem rzucisz, — snują się płatni świadkowie, na skinienie—herszty, pochopne do mordu; pod bokiem trybunału masz fabrykę fałszywych dokumentów; pijatyka i najbezeczniejsza przedajność nie tają nawet swojéj ohydy (*Maleparta*). Na tle takim lokuje autor Malepartę i Dolibowskiego, dwa potwory, różniące się tylko błyskotliwością poloru.

Maleparta w dzieciństwie żebrak, włóczył się od chaty do chaty, a gdzie jałmużny nie dostał,—kradł i podpalał. Opiekunowi, któremu zawdzięczał wszystko, nikczemném odpłacił sercem i został „patronem spraw dyabła.“ Najohydniejsze przeprowadzał processy: nabijał trzos szybko, bo się zaparł sumienia, a niepospolitą w prawie miał biegłość. Z wyuzdanym cynizmem potworności postępowania swego nie taił; nigdy nie dowodził, że słuszność jest za nim, lecz wprost demonstrował, że ma prawo za sobą. Skryty, nie zwierzył się nikomu i nigdy; nikogo nie poprosił o radę, nikomu jéj téż nie udzielił za darmo. Z ludźmi zuchwałym był szydercą, a miał tę passyą, że im najczarniejszéj nie szczędził prawdy; zdaje się, że chciał okazać, jako nie sam jeden był do głębi nikczemnym. W całém życiu nie miał jednéj chwili, zapełnionéj innèm uczuciem, prócz uczucia miłości własnéj, żądzy zapewnienia sobie niezależności przez nagromadzenie fortuny i ku urzeczywistnieniu tego mnóstwo popełnił zbrodni: zamorzył teścię, zadręczył żonę, zamordował najzacniejszego człowieka, fałszował dokumenta i najróżnorodniejszych dopuszczał się oszustw. Choć pan wielkiego majątku,—chodził ubogo i żył, jak nędzarz; gorączka pomnożenia bogactwa nie opuszczała go nigdy. Gniewał się, nienawidził i szydził; nie wierzył w nic i w nikogo; litości nie rozumiał, nie pojmował miłości, złe wyrządzał na zimno, jak dziecko, gdy się pastwi nad jakiém żyjątkiem i bawi się konwulsyjnémi drganiami konania. Zgryzota nie zajrzała do jego serca; przejmował go tylko niekiedy strach sprawiedliwości ludzkiéj, jéj jednéj się lękał, bo w inną nie wierzył. Niebawem, osiadłszy na wsi, zapragnął zaszczytów. Dom urządza z przepychem, żeni się z panną starego rodu i widzi, że zaszedł daléj, niż ma-

rzył. „Krew senatorska, mówił po ślubie, do łoża się kładąc,—ostatnia kropelka krwi pańskiéj w mych rękach. Doczego-m doszedł... krew taka w mych rękach!“ I rzecz dziwna: ten zimny zbrodniarz w objęciach kobiety, imponującéj mu starodawnością rodu, potulnym stał się barankiem; co rozkazała—czynił i, niemy, szklannémi oczami spoglądał na gachów.

Mecenas Dolibowski (*Syn marnotrawny*) jest Malepartą, ale wykwintnym, rozporządzającym całym apparatem błyskotliwości i wielko-światowego poloru. Dobrze widziany i znany na dworze, przyjaciel królewskich sekretarzy i szambelanów, żył na stopie poufałości z najpierwszymi domami. Bywał na pokojach pani krakowskiéj, księżnéj marszałkowéj, u wojewodziny mścisławskiéj, kasztelanowéj kamieńskiéj, Czartoryskich, Tomatysów, Teppera, — stosunki miał liczne i świetne. W elegancyi najpierwszym dorównywał młodzieńcom; jeździł karétą, dawał obiady, pił z hetmanem, —niktby się w nim człowieka do interesów domyślić nie mógł, rozprawiał tylko o kobietach, grze, zabawach i ucztach. Tymczasem na trybunale bez Dolibowskiego nikt kroku nie potrafił uczynić. Czy szło o pozyskanie marszałka, o tajemne podpędzenie rejestru, czy o inną jaką nieczystéj natury robotę,—udawało się to tylko przez niego. Robił zaś darmo, dla przyjaźni, albo za grube pieniądze, których nigdy nie brał dla siebie. Przed kratkami stawał w extraordynaryjnych tylko wypadkach; właściwém dla niego polem były kulisy. Sprzedawał i kupował majątki, frymarczył dobrami, traktował o ustąpienie urzędów, o zrzeczenie się starostw, o kupno stopni wojskowych, a nawet order. Rozwodził i kleił małżeństwa, rodziny godził i waśnił. Ze wszystkimi był dobrze, miał téż wstęp wszędzie, a gdzie go jeszcze nie zyskał, — napewno, choćby ciemnémi schodami wcisnął się jutro, bo go ktoś wprowadził i podparł. Przyznawali wszyscy, że był człowiekiem najmilszym, o zasadach i cnotach jego milczano. Podejmował się spraw brudnych i w każdéj z nich upatrzył jakąś stronę dodatnią. Pracował tylko dla możnych; z ubogimi i maluczkimi wdawać się nie chciał. W potrzebie na upatrzoną ofiarę nasyłał zbójców; po dokonanym fakcie ubolewał serdecznie i przyjaźń gorącą udawał.

W szeregu młodzieży uposażonéj bogato i w gruncie niezłéj, lecz wychowanéj fałszywie i marnującéj wszystko w szalonych zabawach,—staje uczeń Poinsot'a, ono chłopię, z rąk bogobojnéj babki wydarte przez matkę i oddane na łup francuza.

Z dobrze zachwianą wiarą stanął młodziutki Alfier w Warszawie i życie wielkoświatowe rozpoczął od przypadkowego udziału w orgii, do któréj wciągnięto go gwałtem. Znalazłszy się przy dziewczętach z baletu, aktorkach i innych panienkach bez ceremonnii, w dziwnéj się jakoś uczuł pozycyi. Usiadł przy jednéj, lecz dotknięcie jéj sukni twarz mu oblało ukropem; spuścił oczy, nie śmiał poglądać; spostrzegłszy jednak swoją wstydliwość, z obawy, żeby się z niego starsi nie śmieli, — podniósł wzrok na sąsiadkę i nagle bardzo wielkiego śmiałka począł udawać. I istotnie śmiałości nabrał, gdy dla jakiegoś dziwnego pragnienia liczne wychylał kielichy, aż mu się dowcip rozwinął, rozwiązały się usta i nauki Labe Poinsot'a o wyzyskiwaniu życia przyszły na pamięć. Gdy starzy biesiadnicy szydzili, że do kobiét i kart lgnął mało, że gotów się nawet turbować, iż na noc nie odmówił pacierza,— „proszę sobie, zawołał, chcąc się pokazać daleko gorszym, niżli był w istocie,— proszę sobie nie wystawiać mnie tak młodym i tak niewinnym“. I oświadczał, jako nie wierzy w nic, czego nie pojmuje rozumem; śmiechem odpowiadał, gdy wspomniano o dyable; a na zapytanie, czy Bóg istnieje, odpowiedział: to wielkie pytanie!

Wszedł niewinny Alfier w życie hulaszcze i upodobał sobie w niem bardzo. To, co mu się z początku wydawało dziwném, przykrém i strasznem,— powoli poczęło mu się przedstawiać wesołém i miłém. Twarze biesiadników przybierały wyraz szlachetniejszy, słowa miały znaczenie przyzwoitsze, przez mgłę jakąś widział tam ton jakiś dobry, dowcip i filozoficzną w pojęciach głębokość. Po co, pytał, jestem w stolicy?— żeby używać, rozpocząć życie. „Sprobuję, użyję świata, napiję się ze wszystkich naczyń rozkoszy..... Życie bez wrażeń byłoby ciągłym pogrzebowym pochodem..“

Rzucił się w wir życia, wśród szaleństw odmienił się mocno. Po roku pobytu w Warszawie nie przestał jeszcze używać i pragnąć, lecz stracił już wszystkie illuzye; patrzał na życie czarno i zimno. Chłód nosił w sercu i głowie; widział wokoło pospolitość tylko, czczość, brud i jałowość, a to go pomimo namiętnego temperamentu ani porwać mogło, ni unieść. Nie mając samodzielnéj roli politycznéj, od niechcenia trzymał się dworu i stosownie do okoliczności przechylał się z nim w jedną stronę lub drugą. Nad nieszczęściami kraju wzdychał,

utrzymywał, że nikt go nie potrafi ocalić, nowe nawet przepowiadał nieszczęścia, i— bawił się, marzycielami i zapaleńcami nazywając poczynających inaczéj. Ze wszystkiémi stronnictwami żył dobrze; przyjmował u siebie każdego i bywał wszędzie. Sam był neutralny i miejsce neutralne, w którego sieni razem z płaszczem zostawiało się swoje opinie, — stanowiły jego salony.

W życiu hulaszczém cały utracił majątek i ogarnęła go do samobójstwa wiodąca rozpacz. Ocalił go grunt dobry, zasady, wszczepione w dzieciństwie przez babkę. Straszyła go staruszka wizerunkiem brzydkiego dyabła i w wyobraźni Alfiera potwór ten pozostał raz na zawsze, we wszystkich okolicznościach życia, jako Cavaliere Fotofero się zjawiał i kusił. Lecz czuwał nad nim: anioł,— towarzyszka jego dzieciństwa, wychowana w szkole pobożnéj babki i reprezentantka jéj zasad— Anusia. Po ostatniém zgraniu się w karty, przez ubóstwo z wielkiego świata wyparty, wstąpił Alfier do wojska i, przeobrażony do gruntu, poślubił Anusię. „Pierwsze wrażenie młodości“ odniosło zwycięztwo nad wychowaniem francuzkiém; robota Labe Poinsot'a czasową tylko była narzutką.

W orgii czasów Stanisława Augusta naczelne miejsce zajmują kobiety.

Kokietowały Poniatowskiego podczas koronacyi, a straciwszy cierpliwość i skromność, same późniéj biegły ku niemu, wołając: choć dzień jeden niech będę królową! Które wstydu nie sprzedały i nie mogły się splamić, płakały gorzko, — takich jednakże było niewiele. Prawie wszystkie spragnione miały szczęście być kochanémi przez króla dobę jedną, tydzień lub miesiąc; odepchnięte czy opuszczone, dla utulenia się w ciężkiéj żałości, chwytały pierwszego lepszego (*Małeparta*). Józka podkomorzego i wielu innych, markiza Lhuillier, hr. Tomatis, niegdyś sławiona artystka; słynna z wdzięków i głosu szambelanowa Camelli, drogo niegdyś kosztująca króla Schmittowa i drogo również księcia ex-podkomorzego Truskołaska; trędowata, brzydka, a wdzięcząca się księżna wojewodzicowa mścisławska, margrabina Lucchesini, ku któréj dla miłości ojczyzny i traktatu z Prussami gorzał Niemcewicz, — oto naczelny szereg owoczesnych rozpustnic (*Kawał literata*). Przez nie zgorszenie coraz szerzéj zataczało się kołem, aż dosięgła zaraza pokoleń następnych (*Boża opieka*).

Przypatrzmy się pięknym paniom w salonie.

U starościny małogoskiéj spotykamy same bezwstydne kobiety, czyhające na niewinnego, świeżo z prowincyi przybyłego młodzieńca, o którym mówiła plotka, że się zakochał w tancerce.

Szturm przypuściła pani Lucchesini i już chłopaka ognistym przebija wzrokiem, gdy świeża, bieluchna, rumiana, piękna blondynka, jedna z tych rozkosznych starościn, które kochali wszyscy, — najbezczelniéj na młodzieńca napada. „Wstydby nam było, wyrzekła, żebyś z tylu piękności wyższego towarzystwa wybrać sobie nie umiał... Nie jedna z nas gotowaby się poświęcić, by cię wydrzéć z niebezpiecznych szponów tancerki...“ Przystępuje i trzecia z obliczem rafaelowskiéj Madonny, z oczami, w których ulgnąwszy, można było lata przemarzyć i prześnić wieki. Najpospolitsza z kobiet, ledwo miała trochę poloru, niewiele dowcipu, nic serca, — ale za to celowała odwagą, jaką ją obdarzyła piękność cudowna i tę pewność siebie, któréj nabyła, widząc wszystkich przed sobą na klęczkach. Na młodym człowieku bez ceremonii wymogła, że ją odwiózł do domu; ciekawością zaś trawiona piękna blondyna pojechała za nimi: czekała w powozie na młodzieńca dopóty, aż wyszedł, i zabrała go z sobą! Nie bez zasady matka, dając przestrogi synowi, pomiędzy innémi zaleca: „z kobietami ostrożnie; Warszawa jest stekiem zalotnic, a najgorsze nie są podobno na dole“ (*Dyabeł*).

Kraszewski przedstawia długą galeryą bezwstydnic, począwszy od arystokratycznéj bałamutki, zmieniającéj męża trzykrotnie, aż do sprośnéj meklerki Szwędzkiéj i ohydnéj nierządnicy Julii (*Dyabeł*). Nie będziemy malować ostatnich, jako zbyt pospolitych i wszystkim właściwych czasom; zaznaczamy tylko typ w stylu bardziéj szlachetnym,— Dosię (*Syn marnotrawny*).

Osóbka woniejąca, od oczów i ust aż do drobniutkich nóżek śmiejąca się cała, jak cukierek różowa, śliczniuchna, wdzięczna,

miała w sobie coś kwiatka, ptaszka, dziecka, motyla, a trzpiota najwięcéj. Kobiecinka cacuszko... Zręczna, jak lalka, z pyszczkiem różowym, czarnémi oczami, kruczemi włosami, płcią śnieżną, — żadna potęga w świecie ust jéj zamknąć nie mogła, śmiertelny grzech własny umiała wypaplać. Przy sercu najlepszém była istotą w świecie najsłabszą, grzeszącą bez świadomości grzechu, tyle winna za swoje postępki, co wróble i sroczki. „W ciągu lat kilku trzech miałam mężów, a oto abszyt dałam trzeciemu, bo mnie znudził śmiertelnie. Pierwszego mi opiekun narzucił i, choć z góry wiedziałam, że nie potrafię z nim wyżyć, — wyszłam, bom potrzebowała raz się uwolnić i na świat wyjrzéć. We dwa tygodnie tak ułożyłam, że sam zażądał rozstania i odetchnęłam... Nad drugim uczułam litość, bo kochał serdecznie i był niczego, ale miał nałóg, — co raz to jednę stronę twarzy pociągał i marszczył. Tak mi to na nerwy działało, żem mu musiała w końcu powiedziéć, iż umrę... Był człekiem poczciwym, — zapis mi zrobił, śliczne brylanty darował i poszedł. Trzeci statysta, pedant, nudziarz, a co najwięcéj — taki zazdrośny, że mnie przyprawiał o rozpacz. Do nikogo się uśmiechnąć, z nikim pogadać, — zaraz fochy, dąsy, wyrzuty, gniewy. W sąsiedztwie bardzo mi się podobał francuz, człek wyśmienity; aż, złapawszy dwa listy i dowiedziawszy się, żem parę razy w lasku dała rendez-vous, robi mi stary nudziarz historyą! Musiałam mu słowa prawdy powiedziéć... kiedy tak, to tak!... bywaj zdrów, adieu!"

Dosieńka bałamuciła mężczyzn straszliwie ze śmiałością i cynizmem, niesłychanym nawet pod owe czasy. Chcąc na przekór wszystkim wydać się za mąż, — natrętnie oświadczała się, do ożenienia zmuszała, aż, dotknięta zawodem, z jakimś kasztelanicem pojechała do Eger. Kobiecinka szukała wrażeń: „passyami lubię hecę, mówiła, bo porusza ogromnie, a ja lubię, gdy mnie co mocno porusza!"

Szukanie rozrywek było właściwością wszystkich ówczesnych niewiast; dla rozrywki szły za mąż, politykowały, rozsiewały ploteczki, tworzyły skandale,— czyniły wszystko, aby nie ziewać. Księżna Karolina de Nassau (*Kawał literata*) wzdychając: „wszystko na tym niepocieszonym świecie, mówiła, rozczarowaniem i zawodem się kończy. Zbliżasz się,— blaski przepadły; chwytasz, — bańka mydlana staje się brudnéj wody kropelką; nie zbliżaj się i nie chwytaj; admiruj zdala i śmiéj się, — wszystko jak na teatrze dobre, póki zdaleka".

Nudziła się, więc szukała rozrywek i w innych najgorsze tolerowała excessy. Żżymała się, gdy bracia wypędzali sekretarzy siostr swoich, „cóż to szkodzi, mówiła, że odmłodnieje biedna kobieta, że na chwilę odżyje... wam wolno, co chcecie, nam nic... Wyście bohaterami, gdy głupstwa robicie, a my występne..." Najmilszém było dla niéj w coś bezprzykładnie zagmatwanego się wplątać; bawiło ją, że płata figla i że historyą wypadku będzie mogła opowiadać ubarwioną co raz inaczéj. Siejąc plotkę, dodawała do niéj waryacye własnéj kompozycyi i ci, co się powoływali na jéj świadectwo, sami pod zarzutem bałamuctwa stawali. Wezwana o wyjaśnienia, znów rzecz całą komponowała i niewiedziano, czego się trzymać. W opowiadaniu niebywałych rzeczy mogła rywalizować z księciem „panie kochanku".

Niemoralne, nie są surowe dla mężczyzn i jedynie powierzchownego żądają decorum. Niewymagam od ciebie, mówi matka synowi, zbytniéj surowości obyczajów, któraby niewłaściwą była w tym wieku; ale cię proszę, żebyś swoje passye hamował i zawsze w nich przyzwoitość powierzchowną zachował. „Świat sądzi surowo nie z czynności i myśli, ale z pozoru, o który chodzi najwięcéj".

W wychowaniu o ogładę przedewszystkiém im idzie, a francuzczyznie hołdują bezwzględnie. Matka rekommenduje syna królowi w ten sposób: „nie wychowałam go wcale po polsku, ledwo umie ten język; a co do sposobu myślenia, obejścia się i wyobrażeń, mogę zaręczyć, że nie powstydziłabym się Michasia w Paryżu".

Egoistki, zasad nie mają żadnych; wszystko dla własnego interesu gotowe poświęcić. Bądź ostrożnym, prawi matka synowi, w obiorze przyjaciół i partyi. Miejsce twoje naturalne na zamku, lecz, że wkrótce zapewne górę weźmie stronnictwo przeciwne,— nie zrywaj z niém przeto i nie występuj przeciwko niemu stanowczo, zapatruj się na ludzi, którzy jednéj stronie sprzyjają serdecznie, lecz ze wszystkimi są dobrze lub nieźle. Żyjąc na dworze, z konieczności być trzeba ostrożnym i dwójznacznym, dla wszystkich grzecznym; nikt nieznа jutra i tych, którzy jutro panami być mogą. Będąc przeto z familią, a nadewszystko z zamkiem serdecznie, nie zaniedbuj wszakżo stronnictw przeciwnych; bywaj wszędzie; tylko się do klubistów nie mięszaj, o ile można, bądź z nimi zdaleka. Jeżeliby, uchowaj Boże, nastąpiły jakie niespodziane wypadki,— pamiętaj, że na chwilę może jakiekolwiek przeważyć stronnictwo, ale prędzéj,

czy później, wezmą górę silniejsi lub liczni. Najlepiéj się nie narażać i trzymać na stronie (*Dyabeł*).

Podobneż nauki daje mężowi Krystyna (*Dola i niedola*). Z obrania téj lub innéj drogi nie myśli ona o korzyściach dla kraju, lecz jedynie o wyzyskiwaniu położenia dla siebie. „Nie należy wyłącznie do kogokolwiek się garnąć, ale o ile możności ze wszystkimi być dobrze, czekać i patrzéć, aby nas wypadki nie zgniotły. Każde stronnictwo wymaga ofiar; ty zaś, ani ja nie możemy być pastwą. Trzeba być zawsze gotowym stanąć przy silnych; cała twa mądrość — grać rolę obojętną, niewyraźną, dać się wszędzie pożądać, pokazać czasem, że się ma siłę, lecz jéj nie poświęcać nikomu i nigdy.“

Kobiety czasów stanisławowskich przerażająco są zimne, energiczne, zazdrośne i mściwe, a Krzysia (*Dola i niedola*) wyśmienicie jednoczy cechy, właściwe wszystkim. Filozofująca, chłodna i rozsądna bardzo, gdy szło o drugich, najlepszą była dla siebie. Spokojna, sercowych pozbawiona porywów, tém niebezpieczniejszą była dla mężczyzn, że, jakie chciała, uczucie umiała odegrać, a komedya nic nie kosztowała jéj nigdy. Dla interesu wyszedłszy za starca, który niewymowne męki znosił w podagrze, Krzysia pilnowała biedaka, jeździła z nim, a za to, że przez pięć minut dziennie słuchała cierpliwie lub niecierpliwie stękań, jęków i narzekań chorego,— miała w podróżach mnóstwo sposobności do zabaw. Dogorywający wielbił cnoty swojego anioła stróża, gdy tymczasem troskliwa żona śmiała się z niego w wybraném towarzystwie młodzieży, filozofów, poetów.

Jedną z cech charakteru Krystyny była potworna zazdrość. Że przyjaciółka podobała się królowi, — ona nie spała, nie jadła, nie miała chwili spokoju, zabiegała na wszystkie strony, póki nie posiadła na chwilę serca monarchy. Dobroduszna przyjaciółka zwierza się jéj ze swoją miłością, widokami i planami przyszłości,— a Krzysia zapragnęła zaraz napić się również z téj czary, zamierzyła stosunek przyjaciółki zniszczyć na korzyść własną.

Zimna i chłodno zepsuta, serce miała uśpione, do ocknienia z letargu nie łatwe. Gorzała głowa i zmysły chwilowo; sumienie nie dawało jéj nigdy uczuć dotkliwie, jak głęboko brnęła w to błoto, które dla niéj powszednim stało się chlebem. Uważała życie za rodzaj gry hazardownéj lub wyścigów do jakiegoś skrytego celu: biegła do niego, bo biegli inni; nudziła się i męczyła pogonią, więc co raz nowych szukała rozrywek. Przyjaciółce wydarła kochanka i wydała się za mąż. Pragnęła nim rządzić bezwzględnie i traktowała, jak dziecko, a gdy się oparł i samodzielności chciał zażyć,— wypędziła go, ścigała zemstą i z zemstą w piersiach umarła.

Inne niewiasty są do Krysi podobne: jak ona energiczne i zimne, egoistki, nad męzkim rodzajem panujące wszechwładnie, w zemście za podraśnięte uczucie swéj dumy nie cofające się nawet przed zbrodnią.

Zuzanna (*Małeparta*) z bojaźni staropanieństwa pragnąc za kogokolwiek wyjść za mąż, — wstrętnego, lecz bogatego konkurenta znajduje miłym, a wieści o jego zbrodniach stara się zatrzéć. Mężowi nieograniczenie panuje, a gdy, straciwszy krew zimną, zrobił awanturę z jéj gachem,— ogłosiła go za szaleńca, uwięziła i zemstą dotknęła okrutną.

Sabina (*Macocha*), byleby skarby odziedziczyć po mężu, każe go otruć; wyrzeka się ubogiéj siostry, jest cyniczną, wszelkich delikatniejszych uczuć pozbawioną.

Hrabina Estella (*Boża opieka*) „osoba wyższa, bez przesądów, która wszystko potrafiła zrozumiéć, nie gorsząc się niczém“, namawia kochanka do zbrodni; wojewodzina (*Syn marnotrawny*) na pasierba, że jéj kochankiem być nie chciał i w interesach majątkowych stał na zawadzie,— nasyła zbójców, starego męża za waryata ogłasza. Wogóle ze czci i sumienia wyzute, potwornémi są owe niewiasty. Umierają trawione zemstą, lub toną w kale: Sabina rozpija się i tarza w rynsztokach, Zuzanna ginie w nierządzie.

Obok powyższego, przedstawia Kraszewski i typ inny — kobiety czułéj, sentymentalnéj, dobrodusznéj niekiedy. Wartością moralną przewyższa Krysie, Zuzanny, Sabiny,— stanowi jednak tylko, rzéc można, pewne od ogólnego typu zboczenie, do téj bowiem kategoryi należące niewiasty w młodości były Krysiami i dopiero w jesieni, a nawet w zimie pod wpływem życiowéj pustki jakąś tęsknotę poczuły serdeczną i — umierają z miłości.

Przeszłość ich wszystkich bez cienia nie jest. Podczaszyna Ordyńska (*Dyabeł*) pomimo tego, że miała męża, była jedną z najgorliwiéj poklaskujących przy koronacyi Stanisława Augusta, który téż u stóp piękności ugiął królewskie swe czoło. Zimne i nietknięte serce téj pani, żarty sobie czyniące z uczucia, uderzyło prawdziwie; miłość jéj nie znała granic, przyzwoitości i przeszkód. Niestety! król ją po-

rzucił; zrozpaczona staróścina znikła nagle ze świata, szukała zapomnienia w Paryżu, Rzymie, Neapolu, Florencyi, — wszędzie ją ścigało widmo kochanka. Zakopała się na wsi, paliły ją jakieś fantazye, którémi się pragnęła odurzyć; stawała się z kolei artystką, literatką, ogrodniczką, filozofką, — w niczém zapomnienia nie mogła znaleść, aż umarła ze smutku.

W trzydziestoletniéj Julii (*Dola i niedola*) zwątpienie pasowało się z wyczerpaném, a pragnącém się jeszcze czegóś uchwycić życiem; resztki ognia tlały w jéj sercu i z jakąś niemocą duszy toczyły walkę. Spotkawszy w podróży kilkunastoletniego chłopaczka, zapałała ku niemu miłością: wychowywa go, kształci i kocha pomimo tego, że jéj niewdzięcznością zapłacił, bo zdradził i ożenił się z inną. W płochéj kobiecie z sercem i tém, co zwała miłością, przywykłéj igrać, prawdziwe uczucie było objawem nowego życia. Codziennie stawała się mniéj śmiałą, czystszą, szlachetniejszą, a mniéj fałszywą; wstydziła się wspomnień młodości, odpychała je, jak pamięć ciężkiego grzechu.

Wojewodzina (*Kawał literata*), stara ruina, przy świecach, w półcieniu uchodząca jeszcze za piękną, niekiedy bałamuciła staruszków, chociaż wolałaby uwodzić młodych. Przymilająca się, sentymentalna, wzdychliwa, palcom nadawała wygięcia misterne; z dziecinną naiwnością przechylała swą główkę; sznurowała usteczka, przymróżała oczki, podpierała się smętnie na białéj rączce; odsłoniony nieco gors z wielkim artyzmem kłamał, to, czego nie było. W jéj gabinecie, w kątku na marmurowéj kolumnie stał z wielkim wysiłkiem łuk naciągający amorek; na drugim słupku niewieścia postać pół-naga, otulająca się draperyą, która nie chciała jakby umyślnie zakrywać kształtów tak pięknych. Chociaż żadnych nie prowadziła interesów, wojewodzina ciągle trzymała sekretarzy, aż w końcu z jednym wprost z bruku nieociosanym chłopem ślub wzięła. Zdradził, więc z rozpaczy umarła.

W porównaniu z rodzajem męzkim kobiety pomimo rozwiązłości olbrzymiéj z czarnego tła wieku wychodzą korzystnie. Mają siłę i zapał, inicyatywę, energię, rzutkość i śmiałość. Dużo posiadają rozumu, szczęśliwie nieraz pieprznego zażywają sarkazmu, mięszają się do spraw publicznych i mężów uczą polityki. W ręku istot zepsutych, lecz ruchliwych i silnych, mężczyzni są ujętemi na sznurek pieskami, wyglądają jak cienie obok postaci z bogatą karnacyą i krwią obfitą. Choć siły swoje w ujemnym zużywają kierunku, niebrak przecież i działających dodatnio.

Kasztelanowa kamieńska (*Macocha*), dowcipem swoim familią królewską chłoszcząca ostro, współczesnych ludzi ocenia surowo, a jéj poglądy uważa Kraszewski za trafną charakterystykę owego wieku. Pani Kamieńska lubi teatr, „szlachetny, wzniosły, który do pięknych pobudza uczuć i z powszedniego błota choć na chwilę wyprowadza człowieka“. Kasztelanowa wiska deklamuje Racine'a, konferuje z Bogusławskim i Bohomolcem, rekrutuje artystki.

W sferze praktycznéj wielką rozwija działalność wojewodzicowa mścisławska, do któréj Kraszewski powraca często. Zwolenniczka Voltaire'a i Rousseau, takt wielki i znajomość świata posiadała olbrzymią. W towarzystwie poufałych przyjaciół pozwalała sobie żarcików z księży i ceremonii kościelnych, jednakże dla decorum raz w rok do spowiedzi chodziła, filozofią swoją zatrzymywała dla siebie,— nie wdawała się w propagandę sceptycyzmu i nie wyśmiewała po staremu wierzących (*Staropolska miłość*). Niesłychanéj była czynności: wiodła processy, pożyczała pieniędzy, wydzierżawiała i zastawiała dobra, forytowała posłów, trzęsła trybunałami, rządziła synem i artyleryą, któréj oficerów nominowała; wodziła za nos całą komissyą wojskową, a po części brata hetmana, trochę króla, a prócz tego bawiła się w Kodniu wesoło i niezapominała o sobie. Strażnik koronny, Mierzejewski w wielkich u niéj był łaskach, jenerał Kurdwanowski podobnież (*Dyabeł*).

Na świat i ludzi, których charakterystykę podano wyżéj, żegnając się krzyżem świętym, wołali starzy: Sodoma! na króla, który zgorszeniu przywodził, Sardanapal! wołali głośno.

* * *

„Po za dworem królewskim byli wszyscy ludzie z głębokiem uczuciem, z niepokonaną nadzieją, niestrudzonym zapałem, z wiarą i myślą“ (*Dyabeł*). Mówi to autor o prowincyi, charakterystyce któréj, oprócz materyałów w każdéj prawie rozrzuconych powieści, poświęca rodzaj pamiętnika — *Staropolską miłość*. Na podstawie téj pracy i innych odtworzymy świat „lepiéj przewidujących, surowych proroków“ — antytezę warszawskiéj orgii.

Na wielkiéj przestrzeni kraju jedna, rzekłbyś, rozrodzona mieszkała rodzina, tak z sobą wszyscy żyli zgodnie, w pokoju i przy-

jaźni serdecznéj. Rzadko dworek z dworkiem nie był bliżej czy daléj spowinowacony przez kogoś; jeden rodzaj życia prowadzili wszyscy, jedno kochali, jedném oddychali, a do ochoczéj pomocy każdy dla brata był gotów. Zwali się wszyscy braćmi i nie było to czcze słowo, ale wyraz wielkiego znaczenia, bo chrystyanizm w stosunkach malował. Ani partyi, ani podziału na stronnictwa, ani różnicy w sposobie pojmowania rzeczy nie było i być nie mogło. Nikt się nad drugiego nie wynosił, ani chciał rej wodzić: prawdziwa to była republika, do któréj i możniejsi garnęli się nawet, bez obłudy pana brata ściskając. Wszystko się tam znało, kochało i niedaleko szukając związków, żeniło się i jeszcze mocniéj wiązalo do kupy. Sami to byli kumowie, szwagrowie, powinowaci i rzadki po imieniu a pokrewieństwie nie nazywał drugiego. Pokazał się obcy, tego najprzód badano i w pół godziny zwano panem bratankiem lub, choćby po prababce, — siostrzanem.

Stosunki takie pociągały za sobą i obowiązki, które spełniano ściśle. Wszyscy ujmowali się za jednym, gotowi byli z pomocą, z radą; i na myśl nikomu nie przyszło od jakiéjkolwiek się wymawiać posługi.... Niewiele człek potrzebował, przestawał na małém, a do głowy nikomu nie przyszło gwałtownie się dobijać fortuny..... Nikt nie pragnął nazbyt wiele, ba! i użycia tego nie byłby bardzo rozumiał. Kto tradycye szlacheckie i ducha starego miał w sobie, kochał ziemię, lubił swoje bydełko, bawiły go kłopotliwe dla innych zajęcia gospodarskie; skoro raz zboże schował do gumna, nie bardzo o sprzedaż się troszczył, — na żonę ją zdawał, która lepiéj sobie z tém umiała poradzić... Każdy kochał swoją wioszczynę i nie zamieniłby jéj na najwspanialsze pałace i klucze; choćby mu nie wiem wiele dawano zysku, dla zbogacenia się ojcowizny nie sprzedał.

Trafiały się waśnie, processa i kłótnie, lecz były wyjątkowe i krótkie, bo nikt nie spoczął, póki się to nie zatarło i nie zagoiło się jakoś. Ledwo się szlachcic z sąsiadem podrapał, — wielu było, jeździli, chodzili, pośredniczyli dopóty, aż do uścisku doprowadzili zwaśnionych. Była to republika *re et nomine* zarazem, taka jedność serdeczna, jakiéj nigdzie może nie zobaczyć na świecie. Jeżeli się nawet kłóciło, to po cichu i po bratersku, a sprawy kończyły się w kącie, żeby nie wychodziły za granicę powiatu. Mieli też owi starzy głęboko wpojone uczucie obowiązków i pojęcie o nich surowe; zaniedbanie się niepokoiło ich i gryzło.

Bez wygórowanych sentymentów, brakło bowiem czasu na miłość, ludzie się poczciwie, jak Bóg przykazał, żenili, żyli i miłowali się z sobą, chociaż zdarzał się i affekt gorący, który długie lata przetrwać potrafił. Przykładem wyjątkowo silnego u owych ludzi uczucia jest dworzanin wojewodziny mścisławskiéj (*Staropolska miłość*).

Przybywszy do Kodnia i zobaczywszy młodą księżniczkę Szujską, „kołkiem w ziemię wrosnął“, idealnie rozgorzał, chociaż o wzajemności nie marzył. Miłość swoją ukrywał, jak zbrodnią; pokazywano go sobie palcami, był to bowiem osobliwy fenomen, jakiego od czasów Abelarda i Heloizy nie widziano na świecie. Przez to swoje dla jednéj kobiety poświęcenie stał się podziwem wszystkich; za złe mu miano tę miłość i niemal go jako waryata uważali niektórzy. „Skorom ją zobaczył, prawi zakochany o swojém uczuciu, nie widziałem i niesłyszałem nic, prócz niéj. To się wyrazić nie może, jak mi zawsze słodko było na nią poglądać i, w ustach języka zapomniawszy, chciałbym tylko słuchać i patrzéć — nic więcéj“. „Jéj piękność żadnych we mnie młodzieńczych nie poruszała passyi, jakąś tylko cześć i poszanowanie, które wszelka doskonałość i wyższość obudzać zwykła“. Z natury bardziej skłonny do czci i poszanowania, niż do płochych jakichś zalotów, kobietę stawiał wysoko i taką otaczał światłością, że przed nią, jak przed nieziemską istotą, bił czołem. Dla przedmiotu miłości swojéj ofiar nie skąpił i niewygasłe uczucia dochował do grobu.

Ci starzy dobrze rozumieli o sobie i rzetelną posiadali świadomość wyższości własnéj nad światem orgii. „Inny nasz świat i dalipan lepszy... Pono ziemia powoli stygnie, czy i z nią nie stygną i ludzie? Każdy się odosabnia, wydziela, na klucz zamyka, gdy się u nas zapraszano, garnięto, szukano stosunku, powodu kochania, pomocy lub wsparcia..... Dziś każdy dla siebie i sobie: z kładki gotów jest zepchnąć, byleby sam suchą nógą przejść mógł wygodnie...“ „Nie brakło u nas miłości, lecz u was wstydu. Myśmy to w głębi serca chowali i jak świętą tajemnicę kryli w swéj piersi, z czém się wy, bezwstydną grając komedyą, popisujecie... Wasza miłość nie jest tak czystą, ani tak trwałą, ani tak majestatycznie wielką, jak nasza. Tylko my nie umiemy się chwalić, słów nam braknie i srom poczciwy zamyka usta. Trwamy, kochając, do końca, choć żaden z nas w rozpaczy w łeb sobie nie strzeli, aby o nim gadano...“

Przywiązaniu swojemu do wioski przeciwstawiają obojętność nowego świata na pamiątki i brak miłości dla miejsca. „Kończy się na tém, że i dla kraju będziemy zimni“.

Owi starzy bliżéj byli chłopka i prostoty patryarchalnéj; z wieśniakiem „dziedzic sobie, jak z bratem, przestawał... do jednego chadzali kościoła, chrzcili sobie dzieci nawzajem, wspomagali się, a w czasie żniwa siadłszy na półkopku pan szlachcic, tak swobodnie z chłopkiem gawędził i tak mu się dawał wywnętrzać, jakby się pod jedną rodzili strzechą“ (*Staropolska miłość*). „Piękny, powiada autor (*Dola i niedola*), był widok rodziny, nie krwią, lecz zespolonéj miłością... gromada, dwór, sługi i państwo stanowili z dawna całość serdeczną i spójną, posunniętą, jak zawsze w takich razach, aż do zaparcia się osobistéj własności. Dworski i miejski majątek był niemal jednéin,—pożyczano i zasilano się wzajemnie i nigdy włościanin nie uląkł się głodu, dopóki sterty w gumnie były u pana. Trafiały się, powiada Kraszewski, groza i ucisk, lecz gdzież obok świateł niema niezbędnego cienia? Takim wyjątkiem jest szlachcic (*Boża opieka*), za uderzenie panicza pokrzykujący na dziecko chlopskie: „śmiał chamską rękę na szlachecką krew podnieść..... A to wam już kozaczyzna w głowie.... Rózeg, łozy..... baty mu dać muszę i krwawe...“

Ci starzy ludzie śmieszni często, nie bardzo wyksztalceni, prości, trochę przesądni, w wielu swych dziełach byli potężni. Cóż to robiło? Oto duch miłości chrześciańskiéj, jaki w nich gorzał: duch, którego ani rozum, ani żadna siła nie potrafi zastąpić (*Staropolska miłość*). Starym poczciwcom jedno tylko zarzuca autor, — uparte obstawanie przy średniowiecznéj formie społecznéj, zupełnie różnéj od téj, jaką życie w reszcie świata wytwarzało powoli. „Czuć było, że się na staréj pozycyi utrzymać nie można; postęp konieczny, na chwilę wstrzymany uporem, bezwładnością umyślną i obstawaniem przy nieruchoméj zachowawczości, — domagał się praw swoich“ (*Dola i niedola*).

Na tle powyższém stawia Kraszewski najczystszą z nakreślonych osobistości starego świata — postać stolnikowicza Krzysztofa (*Dola i niedola*).

Sama powierzchowność o wewnętrznéj wartości człowieka mówiła dużo: piękną, wysoką, wygoloną miał głowę ze spuścistemi wąsami, orlim nosem, a brwią zawiesistą nad łagodnémi i zawsze pogodnémi oczami. W rysach téj twarzy, królował spokój prawdziwego chrześcianina, który nad sobą czuł Boga, a przed sobą widział jasno drogę przezeń wytkniętą! Krzysztof wychowany w szkole ubóstwa i pracy, niewiele się uczył mądrości, ale dużo mu jéj samo życie wpoiło: umysł zdrowy za naukę wystarczył. Pojęć jego nie zamąciły sprzeczne poglądy i nie zwichnęły przeróżne wpływy, — wciąż w jedną spoglądał stronę, więc widział przed sobą jasno. Czytał mało, ale rzeczy, z których czerpie się wiele: Pismo św., kroniki, księgi prawne, akta stare, trochę starożytnych pisarzów, lubiał szczególniéj św. Pawła i Senekę. Wiarę miał głęboką, serdeczną, ale nie przechodzącą w mistyczne dziwactwa lub w zimny racyonalizm: szanował formy, obrzędy, drobne nawet zwyczaje, do których jednak nie przywiązywał uwagi przesadnéj. Wiedział dobrze, że duch i w drobnostkach się mieści, ale pojmował, że drobnostki ducha, gdzie go niema, nie wleją. Wiatr szesnastego i ośmnastego wieku wionął tu dziwnie, liście suche z drzewa otrząsnął, a zielone zostawił. Katolik gorliwy, był oświeconym, od fanatyzmu dalekim; pojmował, że najdroższém prawem człowieka jest wierzyć według własnego natchnienia. Z nikim téż dysput o wiarę nieprowadził, ani téż sobie żarcików dozwalał z cudzych przekonań.

Dla poddanych rzetelnym był ojcem; w daleką wyprawiając się podróż, przed przybyłą na pożegnanie gromadą zdjął czapkę i rzekł: „zwierzam wszystko na wasze ręce, pilnujcie mojego, jak swego, wszakże to tyle wasze, co moje. Nigdym się przecie podzielić z wami nie wahał bydełkiem, chlebem lub groszem...“ Podano wódkę i przepił pan Krzysztof po dawnemu do swojéj gromady; pożegnali się serdecznie, a ludek odszedł powoli i stanął u bramy, chcąc jeszcze pana przeprowadzić oczami i pokłonić mu się, gdy ruszy.

Nosił nasz bohater nazwisko arystokratyczne i niemałéj był dumy. Panów nie lubiał, z Radziwiłłami, Sapiehami i z innymi potentatami żyć nie chciał, jego bowiem imieniu lepiéj przystało niezależne ubóstwo, niż dworowanie, któreby kosztem cudzego upokorzenia pańskiéj dogadzało próżności. Na ludzi nowomodnie chowanych patrzał surowo i smutne z nowego trybu życia wróżąc następstwa, samemu królowi miał odwagę ostrą z téj okoliczności zrobić wymówkę.

Krzysztof miał z pozoru postawę z granitu, miękkim jednak był w gruncie; w nieszczęściu dla odpędzenia rozpaczy ukojenia szuka w modlitwie. Padającemu na kolana, „łzy nagle z oczu tryskają, jak z chmury deszcz nawalny“; odmawia ze skruchą: „któ-

ryś za nas cierpiał rany“ i bije się w piersi. Zasiedziały w ojczystéj wiosczynie, wiele przecierpiał, napłakał się i namodlił, nim się na podróż do Warszawy zdobyć potrafił. Ze światem modnym łączył go syn, na wychowanie zabrany przez możnych i do tego stopnia zepsuty, że nie poznawał starego ojca. Krzysztof obłąkania dostał w rozpaczy i przed wizerunkiem Chrystusa stanąwszy: „za cóżeś Ty mnie, wołał, ukarał? powiedz! mów! Czy chcesz mnie zrobić świętym? męczennikiem? czy pastwą szatana? ha! mówże, odezwij się! Ukarałeś mnie za to chyba, żem Ci służył, żem przykazaniom Twoim był wierny...! I jak! Nie! nie! nie ma dla nas Boga! niema....“

Uosobiony w Krzysztofie świat stary w zetknięciu z nowym dostał zawrotu głowy: usunęła się z pod niego podstawa bytu i zapadł w przepaść, by na gruzach jego orgia zahuczała szalona. We wszelkich antytezach zohydza się rzecz jedną nietylko przez narzucenie na nią barw odpowiednich, ale i przez zidealizowanie innéj, mającéj stanowić biegun przeciwny. Dla jaskrawszego odmalowania zepsucia ośmnastego wieku, Kraszewski, prócz scharakteryzowania oguiskującéj orgią stolicy, na życie prowincyi rzucił światło rzęsiste, które padło również i na postać Krzysztofa — wcielenie cnót naszych praojców. Lecz starzy ci ludzie obok niepospolitych przymiotów posiadali i wady; byli oni, powiada autor „śmieszni często, niebardzo wykształceni, prości, trochę przesądni“. Dopiero wady powyższe, złączone z cnotami, stanowią człowieka realnego, w roli którego występuje Podstoli (*Kawał literata*).

Jestto zardzewiały domator, z bezczynności roztyły, zabrukany i zakwaśniały szlachciura, nawykły do rozkazywania i obracania się w swoim światku maleńkim. Wyruszywszy z domu, czuł się jakby w nieswoim żywiole, w obcéj atmosferze i w duszy na niepotrzebny wyjazd narzekał. Twarz miał nalaną i bladą, oczy głęboko utopione w policzkach i pod brwiami nos zawiesisty, obrzękły, — wąsy kształtów zaniedbanych i barwy niepewnéj. Ogólny wyraz twarzy mówił o bucie szlacheckiéj, o złym humorze. Pomimo wytartego, wyślizganego na łokciach surduta i kamizelki, zabrukanéj sosami, chciało mu się wyglądać pańsko i dał się. Wszystko lubiał od początku, *ab ovo*: „ja się domyślać nie chcę; po co mam głową pracować, kiedy gotowe mieć mogę“. Lubo niedowierzający, gdy mu kto skłamał bezczelnie, dał się obałamucić; zaimponować można mu było pewnością siebie i dumą.

Na żyda nieinaczéj wołał, jak: „trutniu“ a przesądny był dziwnie. Widział na polach przebiegającego zająca, starą babę, przechodzącą przez drogę z próżnémi wiadrami; trzynastego w feralny dzień wyjechał z domu, — wszystko to niemałą przejmowało go trwogą. Na drodze do Warszawy, na starą, ciągle psującą się bryczkę zabrał podróżującego poetę; służący, że mu to nie było na rękę, rzekł: „co za dziw, że nam się wszystko psuje, tego nigdy nie bywało.. A trzeba nam było brać tego człowieka..... ta to on jakiś malinkowaty, to z niego poszło wszystko, proszę pana... jak Boga kocham z niego.... Heretyk, albo co“. Zabobonny podstoli, „kto wie, rzekł w duchu, to może być.... poeta.... ta to wszystko niedowiarkowie, jak i ten Voltaire..... tom sobie biedy nim napytal“. Westchnął i młodzieńca się pozbył.

Nie podobała mu się stolica. Złodzieje spoili furmana, skradli konia, wyprzątnęli brykę, „a to jaskinia zbójców, mości dobrodzieju, a to jama łotrowska..... Sodomy i Gomory te miasta, a jabym to na cztery rogi podpalił, zniszczył i solą zasiał“.

Służbie ciągle groził batami: „dwadzieścia pięć temu gapiowi, temu niezdarze, śmierdziuchowi...“ Od dwudziestu pięciu dochodził do pięćdziesięciu, do stu, byle do domu powrócić,—a służba śmiała się z tego. Rozkładał baty na porcye, klął się, że nieprzepuści żadnego. Gdy mu drugiego skradziono konia, „co jejmość powie? Żem bałwan i będzie miała słuszność. Ta powolność dla ludzi mnie gubi... ale dość! teraz ja im pokażę, teraz wezmę ich w kluby..... To chamskie plemię, z tém inaczéj nie można, jak bij a siecz“.

Owego poetę, którego się z bryczki pozbył niegrzecznie, spotyka w Warszawie wystrojonego i jeżdżącego karetą: „Niech mnie jasny piorun ubije, niech nie dojadę do domu, bodajem zkisł, jeżeli posądzenie miałem najmniejsze, gdym go jako chudopachołka podwoził na koźle, że to taka bestya czubata. Ale któż go mógł posądzić o to? kto? Byłbym go podle siebie posadził! Słyszysz? No! proszę, mieszka w pałacu i hrabia. A niechże go wilcy, mocidzieju.....“ „Macałem mu fraka, — prawdziwy aksamit, grodeturowa czy atlasowa podszewka jedwabna... Zobaczmy konie! Jak Boga jedynego kocham, co za konie, a chomąty, — patrz! chomąty! Szelma! A liberya! Patrz! siada, — jak mi zbawienie drogie“.

Gdy pytano, czy obiecane baty służbie wyliczył, „at, co o tém mówić! gdzie tego juchę bić było, kiedy musi robić około stajni,

Byłby mi się położył, — do pierwszego razu darowałem. Teraz mi w drodze worek z owsem przepił i powiada, że mu skradziono; za powrotem, jakom żyw, dostanie. Ale niewięcéj nad dwadzieścia pięć, bo to się wsypie od jednego razu i chodzić będzie. O! teraz, tom się zaprzysiągł, na co mam najświętszego; takiego łajdactwa przebaczyć nie mogę,—na sumieniu bym miał". Z pogróżką zirytowany spać poszedł i apoplexyą dotknięty, poczciwego wyzionął ducha.

Do charakterystyki prowincyonalnych poczciwców dorzucimy i pana Obucha (*Staropolska miłość*), o którym dużo w niewielu można powiedzieć wyrazach. Barczysty, gruby, wyglądał na chłopa; gadał i śmiał się nieustannie, a więcéj jeszcze śmiał się śmiechem jakimś tubalnym, niż gadał. Wszystko, najsmutniejsze rzeczy nawet, do wesołości go potrafiło pobudzić. Rękę panny, o którą się starał, smoktał, lecz kubka nie mijał. Gdy ciężko zachorował z opilstwa, powiadał wszystkim, że mu „w brzuchu żaby kumkają wyraźnie".

Inną kategoryą stanowią zasiedzieli na prowincyi panowie: starosta Poraj i książę Szujski. Jaśnie Wielmożny pan starosta (*Maleparta*) pił i polował; w potrzebie choć sześćdziesiątki dobiegał, zatarłszy wygolonéj czupryny, koperczaki stroił do wdówek; pracowicie sejmikował, forytując swéj partyi kandydatów kielichami i szablą, słowem żył czynnie i spoczynku nie cierpiał. Duszą i sercem należał do panów, dumny był, jak grand hiszpański, lubiał wystawę, zbytek, ucztowanie, paradę, jak bogacz, choć wcale nim nie był, bo stracił fortunę i długami obciążył ją mocno. Nie martwiło go przecież ubóstwo: gdy kredytor żądał pieniędzy, najprzód go poił, karmił, drwił z niego po cichu, a honorował wielce na pozór; gdy tém wszystkiém nie potrafił szlachcica ugłaskać, w zamian za kapitał obiecywał protekcyą swoję i pomoc. Nareszcie, jeżeli i tém niezwyciężył, dozwalał processować; wygranéj był pewnym, gdyż jako starosta, trząsł sejmikami, wybierał urzędników i władał sądami.

Robił więc długi, pił, jadł, spał, sejmikował, jeździł na zimę do Warszawy i wyśmienicie udawał magnata; a ktoby go ujrzał z podniesioną głową, z zarzuconymi w tył wylotami kontusza, szpakowatym wąsam, pokręconym do góry; z ręką jedną na karabeli, drugą za pasem bogatym,—wziąłby go niechybnie za jednego z najmajętniejszych obywateli, którzy w piwnicy złoto chowają beczkami.

Z lubością malował osoby wyższego świata, z któremi żył w najściślejszych stosunkach; gdy zamierzał odwiedzić Warszawę, mawiał do siebie i innych: „dałem słowo wojewodzie, kasztelanowi, księciu, że się zbierzemy razem; sam król jegomość szukałby mnie oczami niespokojnie, gdybym nie stanął na termin".

Różnych używał środków, aby wobec ludzi okazale wystąpić: kazał n. p. żydom w miasteczku postawić egzekucyą, lub wszystkich posadzić do turmy: „mogli oni, mawiał, Chrystusa pana męczyć, — niech pokutują". Zresztą, skoro się zjawił u niego ktoś taki, co podejmował wspanialéj, „mniejsza o to, prawił do siebie; wiedzą, że gdybym chciał, miałbym z czego pokazać się lepiéj".

„My magnaci, mówił, nie stanowimy, jak to mylnie utrzymują, osobnéj klassy, osobnego społeczeństwa, że tak powiem—rodu. Co jest znakomitego w szlachcie, przechodzi do nas prawem natury, prawem koniecznego porządku. Jednych wprowadza ród dawny szlachecki, któremu lustru piastowane godności wyższe dodają; drugich wielka fortuna, innych talenta. Na naszym świecie iluż to nowych przybyszów, a ile z niego familii w dawne zapomnienie odpadło".

Córkę największemu nikczemnikowi formalnie sprzedaje; gdy go dochodzą wieści o zbrodniach przyszłego zięcia, a posłaniec wraca z językiem, najbardziej się Poraj obawia, aby aspirant do ręki jedynaczki nie był żydem, przechrztą lub nieszlachcicem. Dowiaduję się, że doszedł do fortuny przez nabywanie majątków z processami, „to nic", rzekł odetchnąwszy. Zięć do zrozumienia mu daje, że ma sumienie nieczyste; — „a więc są plamy, zawołał starosta, załamując ręce; tyś mnie oszukał, tyś nie szlachcic". Inne plamy nie przerażają go, — „to nic".

W Warszawie bywał u wszystkich, bo wszędzie umiał się wkręcić, lecz ludzie z niego szydzili i nie mieli go za nic. Za exkuzę miał śmierć Augusta III i zmianę dworu: „jestem, jak w lesie, nowy dwór, nowi ludzie, nikogo nie znam lub mało kogo, całkiem inny skład rzeczy".

Książę Szujski (*Staropolska miłość*) całe życie trawił na robieniu sobie partyi i adherentów, a to mu najlepiéj dogadzało, gdy jak najwięcéj szturmu i hałasu na sejmikach narobił. Czego chciał—dobrze nie wiedział; szedł za tym, kto się niżéj pokłonił; śmieli się ludzie, a z buty jego krzesali korzyść. Polityk był tego rodzaju, że się zawsze strachał snów własnych. Wiecznie wszystkich podejrzywał, że pracowali dla *absolutum dominium*, że kuli zdradę, że kraj

sprzedać myśleli. Szlachta mu nowiny znosiła dzikie, hałasowała, objadała i piła; dla mniemanéj roli statysty coraz głębiej brnął w długi, rujnował się, aby dumie dogodzić. Najuczciwszy i zasad prawych, gdyby rozsądku miał więcéj, użytecznym byłby istotnie. Na statystę chorując, czytać i pisać nie umiał, ledwie się swego podpisu rysować nauczył. Nieuctwo swoje tail, wymawiając się od czytania bólem oczu, a w pisaniu cudzą zawsze wyręczając się ręką. To, co pochwycił z rozmów i sejmikowych gadanin, stanowiło cały zapas jego rozumu. Wielka u niego kwitnęła swoboda; do lochów prowadził — do miodów; „drzwi na rygiel!"— i pili. Po mnogich libacyach spał każdy, gdzie się zdarzyło: pod ławą lub w łóżku. Jak sam płochy i szalona pałka, nietroszcząca się o jutro, ani niczego mocno nie biorąca do serca, podobnież w drugich złego humoru nie cierpiał wszyscy mu być musieli weseli, w przeciwnym razie gniewał się, klął i przepędzał.

Nieufność szlachty ku możnowładzcom była powszechną. Samo wychowanie rzucało przepaść pomiędzy panów i ziemian; oddalały témbardziéj: zaszczepiona w jednych pogarda polskiego barbarzyństwa, w drugich — panujący stary obyczaj (*Dola i niedola*). Krzysztof, wstręt czując ku dworowaniu, a upokorzeniem własném pańskiéj próżności dogadzać nie chcąc, na potentatów pogląda krzywo; „na czystéj duszy woli siermięgę", niż pański polor na przepełnionéj pychą i brudnéj. Nienawiść ku możnym ukrywa w sobie i milczy, lecz bracia jego psy na nich wieszają i nie oszczędzają ich nigdy. Na głos kaznodziei o ucisku, przemocy i prześladowaniu biedniejszych przez panów „wszystkie piersi szlacheckie zawrzały i dłonie zadrgały"; z powodu ścigania szlachcica przez mściwą magnatkę, bracia się zbiega, sejmikuje, więźnia odbija i grozi.

Zresztą Kraszewski nie okazuje magnatów w bezpośrednim stosunku ze szlachtą: przedstawione w *Ostatnich chwilach księcia wojewody* excessa Radziwiłła „panie kochanku" do czasów saskich należą, nie możemy zaś poczytać za możnowładzców: starosty Poraja i księcia Szujskiego, którzy na panów pozują. Nie mogą być oni wyrazem określonego przez autora stosunku możnych do ziemian, gdy obaj pod względem obyczajów są konserwatystami, gdy pierwszy możliwość dostępu do swego obozu przyznaje wszystkim i wyzyskuje szlachtę tylko przez zaciąganie niewypłacalnych pożyczek; Szujski zaś daje się adherentom exploatować, żadnéj z nich nie ciągnąc korzyści, z powodu czego sformułowany przez Kraszewskiego wniosek wypadałoby raczéj odwrócić.

Kobiety są pobożne, poczciwe, ciche, rodzicom i mężom uległe, w cierpieniu krzepkie. „Biała jak alabaster" Barbara (*Staropolska miłość*) „z wyrazem pokoju i siły na twarzy", za pięćdziesięcioletniego wychodzi opoja, bo „Bóg tak chce, a każe ojciec". Schorzałemu, a grubiańskiemu starcowi musi przez długie lata posługiwać i z oczów nie schodzić; po jego śmierci zakonną przywdziewa suknię. Anusia (*Dyabeł*) jest uosobieniem dobra, reprezentantką zasad starego świata. Z głębokiéj prowincyi miłość ją sprowadza do Warszawy i, lubo zostawiona sama sobie i na liczne wystawiona pokusy, z niebezpieczeństw wychodzi czystą, owszem ocala młodzieńca, któremu w dzieciństwie oddała serce. Inna Anusia (*Dola i niedola*), zasobna w cnoty niewiast poprzednich, marzy o karyerze syna na wielkim świecie, aż z winy tego reprezentanta zepsucia stolicy z obłąkania umiera. Dyssonans stanowi Laura (*Macocha*). Dziewczę dzikie, przed złą macochą w męzkiém ubraniu ucieka konno; w Warszawie występuje w roli aktorki i wytrwale się kocha w mężczyźnie żonatym. Przy całéj excentryczności posiada niepospolitą moc duszy, charakter wysoce szlachetny; *z awantur i pokus* wychodzi zwycięzko.

Charakterystyka przedstawionych powyżéj światów stanowi jądro powieści; do akcessoryi jedynie i sprężyn, nadających ruch akcyi, należą: księża, mieszczanie, chłopi, żydzi i służba.

Stan duchowny rozbija się na ewangielicznych prostaczków i ludzi, na których wycisnął piętno duch czasu. Ojciec Spirydyon (*Dyabeł*) „więcéj jaśniał i wiedział od pogańskich filozofów ówczesnego świata"; spełniał praktyki religijne najściślej, znosił głód, chłód, dyscyplinę i włosiennicę; z manowców na drogę obowiązku potrafił prowadzić młodzież. W zapadłym kącie Polesia sieje ziarno ewangieliczne ksiądz Żagiel (*Macocha*), fanatyczny intrygant, ubolewający, że heretyków prawo nie ściga, że ich majątków nie konfiskuje na korzyść Kościoła. Produktem ośmnastego wieku jest Farunkiewicz i ks. Hodowski. Pierwszy (*Kawał literata*) nie wierzy w nic, ze wszystkiego żartuje, obrzędy religijne odbywa niezmiernie szybko, a śluby daje tak łatwo, że kilka razy nie poskąpił ich nawet żonatym. Błogosławił szczególniéj osoby wyższego stanu, albowiem wiedział, że się one z kłopotów potrafią wywinąć, a jego od pokuty uwolnią. Gdy mu z tego powodu księża robili

wyrzuty, „dziękujcie Bogu, odpowiadał, że jeszcze ludzie do was przychodzą, bo blizki czas, że ani stuły, ani duchownego potrzebować nie będą“. Zesłany na pokutę, polował, po całych nocach grał w karty i gdy mu się tylko zdarzyło, błogosławił małżeństwa.

Professor fizyki ks. Hodowski (*Boża opieka*) siedział śród foliantów, konch i mineralogicznych okazów; zamiast obrazów porozwieszał na ścianach swego mieszkania rysunki i mapy. Uchodził pomiędzy swymi za umysł niespokojny, za człowieka ortodoxyi podejrzanéj: mieli go jedni za uczonego i filozofa, drudzy za dziwaka i marzyciela, inni za pedanta, mistyka i niedowiarka. Dowiedzioną było rzeczą, że ktoś u niego dykcyonarz filozoficzny Voitaire'a widział w sypialni; wiedzieli wszyscy, że z katalogu *prohibitorum* czerpał obficie. Gorszono się jego sceptycyzmem, bo często gęsto powiadał, jako „człowiek nie wié z pewnością nic więcéj nad to, że nic nie wié“..... Trafiało mu się niekiedy bryznąć w rozmowie takiém szyderstwem, jakby w nim siedział Belzebub, chociaż czasami, do łez rozrzewniony, modlił się, a uczynkami miłości nauki Chrystusowéj dowodził. O wygody nie dbał; ostatnim się groszem dzielił z ubogim, szczególniéj ze studentami, gdy dostrzegł w którym umysł „świdrowaty“ i miłość prawdy.

Jedyna to w powieściach Kraszewskiego postać moralnie zdrowa, choć stojąca na wysokości czasu i wykarmiona na dykcyonarzu Voltaire'a. Jakaż przepaść pomiędzy nim, a Labe Poinsot'em i jego pupilem, pomimo tego, że „krytykę i koncepta“ z jednego czerpali źródła. Odstęp lat dwudziestu, jaki przedziela *Dyabła* od *Bożéj opieki*, nie może téj zmiany w poglądzie autora na francuzczyznę objaśnić, gdy i w późniejszych jeszcze powieściach orzeczenie o demoralizującym wpływie obczyzny pozostało niezmienném.

W sprawach publicznych duchowieństwo solidaryzuje się ze szlachtą, a na możnowładzców spogląda wrogo. Ksiądz przemawia z ambony gwałtownie przeciwko uciskającym biedniejszych magnatom, którzy nie braćmi szlachty, lecz ich panami być chcieli (*Dola i niedola*).

Mieszczanie celują wstrętem do nauki. „Po co się uczyć, powiada jeden (*Boża opieka*), — co po nauce? Dość rozumu, gdy kto w książce do nabożeństwa przeczytać i nazwisko podpisać potrafi; reszta próżność dyabelska, mosanie, zepsucie, bo do zbawienia rozum niepotrzebny, a fanaberye stroi“. Właściciel handlu stoi na wysokości poglądów szewca: „ucz się grosz robić, a wyjdziesz na ludzi, ale nie nad ludzi...“

Chłop Hruzda (*Boża opieka*), okazuje, że stosunek panów do ludu patryarchalny był wprawdzie, ale w nim chłopi występowali w roli małoletnich, batożonych przez ojców-dziedziców. Hruzda nie lubi rozumu; mędrszy od niego wychowanek irytuje go i surowe wywołuje obejście. „A zawsze on musi świdrować tym swoim głupim rozumem; a wiecznie mu pytać trzeba: po co i na co? Co tobie, trutniu, do tego? Ty rób, jak drudzy, słuchaj starszych, na chléb zarabiaj, a nie mędruj!“ Gdy temuż wychowankowi za pobicie panicza dziedzic sprawić kazał chłostę, — „skóra mu, prawił Hruzda, nie zlezie, jak go rózgami osmalą. Co to on lepszego od drugich? albo nas nie prażyli? i nic się nie stało“. Żona jego jak wszystkie niewiasty w powieściach Kraszewskiego, mężowi panuje, więcéj od niego energii i rozumu posiada. Gdy Hruzda gotów jest oddać chłopca pod rózgi, — ona „ja znam tych ludzi, mówiła; skatują, okaleczą... nie, nie! ja go nie dam na ręce katowskie“.

Żydzi, jak Aaron (*Macocha*) i Mejer (*Dola i niedola*) są wysoce rzetelni, bezinteresowni i do niepospolitych zdolni poświęceń; służba (Jermaszka, Filip, Eliasz), przywiązana do panów, których często, poufale traktując, strofuje, rzadkie posiada przymioty i głęboko odczuwa niknięcie cnót starych, przez obce ścieranych wpływy.

Z dziesięciu prac Kraszewskiego wzięliśmy wszystko, co ku scharakteryzowaniu epoki mogło posłużyć i w nagromadzonym materyale rozglądając się pilnie, przychodzimy do wniosku, że cykl powieści od ogarnięcia wszystkich stron życia czasów stanisławowskich dalekim jest bardzo. Teoretyczne zapasy zasad starych z nowémi, rozkwitający krytycyzm odnośnie do organizacyi państwowéj i stosunków społecznych, przeszczepianie idei postępowych na grunt praktyczny, urabianie różnych stron życia według norm nowych; słowem, pomijając wstrząśnienia polityczne, cały ów ferment, który panowaniu Poniatowskiego tyle nadaje wyrazu, w powieściach Kraszewskiego uwzględniony nie został. Jednéj tylko stronie życia ówczesnego pióro swoje autor poświęcił—obyczajom; inne znamiona czasu zaznaczył słabo lub pominął zupełnie.

Przyczyną podobnéj jednostronności jest niewątpliwie najprzód rodzaj talentu, który autorowi w dziełach powieściowych sferę obyczajową przekraczać pozwala rzadko; powtóre — natura użytych do charakterystyki ośmnastego wieku źródeł. Główna kopalnia Kraszewskiego—pamiętniki ówczesne

od Ochockiego począwszy do Karpińskiego i Szulca, materyał obyczajowy mieszczą w sobie bogaty, gdy szersze horyzonty — przewroty w sferze zasad i stosunkach społecznych, pomijają lub wnikają w nie mało. Gdyby autor, nie poprzestając na jednostronnym materyale pamiętnikarskim, więcéj czerpał z historyi i literatury ówczesnéj, zakres widzenia swojego rozszerzyłby znacznie; niektóre z ledwo zaznaczonych cech omawianéj epoki byłby przedstawił dokładniéj, a uwzględniłby pominięte zupełnie.

Poglądu swego na obyczajowość czasów Stanisława Augusta Kraszewski nie skrystalizował ostatecznie odrazu: rozwijał go i modyfikował stosownie do materyałów, z jakiemi miał sposobność się poznać.

Do pierwszéj powieści oprócz fantazyi i pewnéj z góry powziętéj tendencyi innych środków autor nie użył, a zdaje się, główną do pochwycenia za pióro podnietą były *Pamiątki JMPana Seweryna Soplicy*.

W r. 1843 wydane powtórnie, wrażenie robiły olbrzymie, wielkie dla staréj szlachetczyzny wywołały współczucie i nie mały wpływ na współczesną literaturę poczęły wywierać. Gdy się za przykładem Rzewuskiego rzucono do malowania uczt staropolskich, sejmików, wesel i różnych krotochwil, na wszystko barwy idealne rzucając, — jednocześnie zjawia się przeciwko ubóstwianiu przeszłości reakcya, a z szeregu oppozycyonistów wystąpił właśnie z pierwszą do omawianego przez nas cyklu należącą powieścią Kraszewski. Ukazał się *Maleparta* jednocześnie z trzeciém wydaniem *Pamiątek* Soplicy (w r. 1844) i żywy z niémi stanowi kontrast.

Pisarze szkoły Rzewuskiego charakteryzowali przeszłość mniéj więcéj w ten sposób: „Na pięknem tle zamiłowania dobra powszechnego z pobożnością łączyło się męztwo, surowość obyczajów z dumą szlachecką, gościnność i hojność z prawością, gotowość do poświęceń z dziwną prostotą, a wszystko powlekała jakaś nieoceniona, kontuszowa rubaszność. Jeżeli się z dumy wyrodziła prywata, z hojności marnotrawstwo, z męztwa kordem popierane niezgody, z rubaszności pijatyka i burdy,—to jednak nigdy samymi cieniami światłego oblicza przeszłości zasłonić nie można“.

Tymczasem Kraszewski społeczeństwo ośmnastego wieku z najczarniejszéj przedstawia strony, wcale nie akcentując cnót owych, głoszonych przez usta Soplicy. Stanisław August występuje jako bezmyślny rozkoszniś, zajęty jedynie wdziękami niewiast; dokonywany w jego imieniu wymiar sprawiedliwości cuchnie od błota najokropniejszych nadużyć; bohaterowie po większéj części są wstrętni, a wszyscy ułomni.

Maleparta jest cynicznym zbrodniarzem; żona jego celuje przewrotnością, aż w wyuzdanym ginie nierządzie; Poraj dumnym jest głupcem; rezydent jego, porucznik, w pieczeniarstwie utopił wszystko; — kollekcyą zbrodniarzy i głupców dopełnia fałszerz aktowy Czubak, Naścia nierządnica, cygańscy świadkowie, oczekujący sposobności wykonania fałszywéj przysięgi i zbójcy. Cała ta rzesza opryszków odznacza się niepospolitą energią i siłą, a z takim działa cynizmem, jakby panowała światu otwarcie, gdy tymczasem naszkicowane zaledwo osobistości, mające przedstawiać społeczeństwo ze strony światlejszéj, są słabe, bez hartu i istnieją jedynie po to, aby skonać w uściskach zbrodni. O mogącym pewną sympatyą obudzić ex-mecenasie Prozorowiczu wiemy tylko, że go „na konsyderacyi i fortunce“ młoda i piękna zgubiła żona, że „co napisze, to przepije i wytrzeźwiony, pisze znowu, a napisawszy — znowu pije“. Pierwsza żona Maleparty, Rózia Mrozicka i jéj matka, jęczą bezsilne i giną; ojciec kapucyn ukazuje się ledwo i moralizować jedynie potrafi. Jedną tylko postać dodatnią narysował Kraszewski szerzéj — deputata Górskiego.

Mężny, otwarty, gościnny i do rozrzutności wspaniały, lubiał się otaczać ludźmi, których oblicza uśmiech przybierały na rozkaz. U drzwi pana deputata tłumnie stawali ubodzy, supplikanci z prośbami i uniżeni oszuści, a nikt nie odszedł markotny, zawiedziony lub smutny, — Górski nie potrafił odmówić nikomu. Oprócz pełnienia miłosiernych uczynków, posługiwał krajowi, lubiał zgiełk, huczne towarzystwo, a namiętnie przywiązany do psów i koni, — całemi tygodniami polował. Słowem życie pana Stanisława było mieszaniną dobroczynności, swawoli i szału. Łagodnym był, grzecznym, uniżonym po staropolsku, choć nie zniósł najlżejszéj wymówki; nie spostrzegłeś w nim próżności żadnéj, bo się chętnie zniżał do drugich; krył się z majątkiem, zasługami i rodem, aby nikomu nie uczynić przykrości, ale ubliżyć sobie nie dał, — obrażony, aż nadto może stawał się dumnym. Do nauki pochopu nie miał: na stole leżały księgi, pyłem okryte i jedna otwarta, do codziennego nabożeństwa służąca.

Naczelne osobistości—Maleparta i Górski, nie są postaciami ośmnastego stulecia i psychologicznie nakreślone zostały fałszywie. Czemuż Maleparta, skoro szablą robi po-

tężnie, dla usunięcia osoby sojuszu szuka ze zbójcą; dla czego skąpiec w rozrzutnika się zmienia, a w niedołęgę człowiek czynny? Cyniczny zbrodniarz po ślubie z drugą żoną nagle uczuwa przestrach, pierwszy raz widzi Boga i piekło, drży w duszy o wieczność; — „jedna chwila całego człowieka zmieniła stanowczo“, aż go zaprowadziła na puszczę, by cierpiał i umarł *in odore sanctitatis*. Jak się to stało? Chociaż autor o tém wiedzieć powinien, sam jednak takie stawia pytanie i odpowiada: „wié tylko Bóg jeden“.

Deputat Górski, zamiast według intencyi autora być podniosłym i obudzającym sympatyą, — jest śmiesznym i niezrozumiałym dla różnych w charakterze sprzeczności. Grzeczny, uniżony, zapierający się swych zasług, by innym nie czynić przykrości,— otacza się jednak ludźmi, którym każe śmiać się i bawić; wesoły i w hulance biorący udział,— ma wstręt do wina i za napój wody tylko używa; jest naiwnym do tego stopnia, iż sądzi, że trybunalscy jego koledzy, podobnie, jak on, sądzą sprawy „według sumienia i prawa“. Jego łatwowierność, cnoty ewangeliczne i owa do codziennego nabożeństwa książeczka w dziwnéj go stawiają sprzeczności z duchem ośmnastego wieku, który się przecież na Górskim, człowieku zamożnym i ocierającym się o sfery wyższe, powinien odbić.

W ogóle takiego społeczeństwa, jakie Kraszewski w pierwszéj przedstawił powieści, za panowania Stanisława Augusta nie było: ludzie owego stulecia nie byli zbrodniarzami, jak Maleparta, ani tak naiwnymi, jak Górski. O fabryce fałszywych dokumentów i najemnych zbrodniarzach, gotowych za pieniądze dokonać mordu,—historya milczy i, lubo nieróżowo sprawy trybunalskie maluje, od pessymizmu jednak, rozlanego w *Maleparcie*, stoi daleko, a optymizm Rzewuskiego w malowaniu stosunków ośmnastego wieku daleko więcéj posiada prawdy, niż Kraszewskiego pessymizm; w *Maleparcie* przesada w kolorycie i brak materyału historycznego wpada w oczy krzycząco. Z wyjątkiem procedury sądowéj, poważnych studyów dziejowych nie widać wcale; na téj zasadzie rzekliśmy wyżéj, że oprócz fantazyi i zgóry powziętéj tendencyi, innych środków do charakterystyki czasów Stanisława Augusta w pierwszéj powieści autor nie użył.

W chwili powstania *Maleparty* materyał historyczny do epoki Stanisławowskiéj obfitym nie był: z pamiętników, jedynie Kosmowskiego, ogłoszony, jeszcze w r. 1807 (*Historya polska, czyli rys panowania Stanisława Augusta*) i Wybickiego, wydany przez Raczyńskiego w r. 1840, poważniejsze światło rzucały na czasy. Od r. 1844 materyał się mnoży. Wychodzą najprzód pamiętniki Fr. Karpińskiego (1844), w r. 1845 Popliński ogłasza *Pamiętniki J. Kitowicza do panowania Stanisława Poniatowskiego*; w trzy lata późniéj ujrzały w Paryżu światło Niemcewicza *Pamiętniki czasów moich*; następnie ogłasza Kraszewski Jana Duklana Ochockiego, a w rok po nim (1858) staraniem tegoż i Drzewiecki wychodzi na jaw.

Kiedy w r. 1853 pisał Kraszewski drugą z kolei powieść (ogłoszoną, najprzód w Gazecie Warszawskiéj, przerobioną i wydaną oddzielnie w r. 1855), — miał już pod ręką zapasu historycznego niemało; niewątpliwie ogłoszone w kilka lat późniéj pamiętniki Ochockiego i Drzewieckiego w rękopismach już poznał, Jakoż *Dyabeł* jest powieścią historyczną rzetelnie, w materyał dziejowy zasobną bardzo; tu pogląd Kraszewskiego na czasy Stanisława Augusta dojrzał stanowczo i w wybitne skrystalizował się formy. Chociaż po roku 1855 ośm jeszcze (dziewiątéj p. t. *Sto djabłów* z r. 1870 nie znamy) wyszło powieści, a opracowań i materyałów historycznych staraniem Żupańskiego i samego autora przybyło dużo, — pomimo tego Kraszewski na raz zajętéj w *Dyable* pozycyi trzyma się krzepko: przy kolorycie pierwotnym trwa stale i, z wyjątkiem króla Poniatowskiego, osobistości historyczne w jednêm zawsze oświetleniu usiłuje utrzymać. Można powiedzieć, że główne typy, w reszcie dzieł spotykane, są reminiscencyą skreślonych w *Dyable*; że tło ogólne jest powtórzeniem lub uzupełnieniem odtworzonego pierwotnie.

Na studyach oparta charakterystyka czasów Stanisława Augusta jest taką, jaką przedstawiły pamiętniki, z których Kraszewski farb zapożyczał obficie. Wiadomo, jak smutne wyobrażenie daje Ochocki o sobie i o społeczeństwie, któremu pióro poświęcił; ile żółci na czasy Stanisławowskie wylał Kitowicz; jaki żal do owéj epoki mają tacy ludzie, jak Niemcewicz. Z takich pomników, fotografujących społeczeństwo ośmnastego wieku z jego strony obyczajowéj, a więc rzeczywiście najsłabszéj; z materyałów, pomijających burzę w umysłach, łamanie się zasad i kiełkowanie nowych poglądów; słowem, z materyałów czerniących, a usuwających to wszystko, co zaszczyt owym czasom przynosi,— koloryt epoki Poniatowskiego jasnym wyjść nie mógł. Jakoż czarnym jest bardzo: dla charakterystyki życia Warszawy jeden Kraszew-

skiemu wystarcza wyraz—„orgia!“ i— definicyi takiéj przesady zarzucić nie można.

Admirując prawdę historyczną, z jaką w szczegółach nawet przedstawił autor obyczaje ośmnastego stulecia, zarzucić jednak musimy, że naturę zaakcentowanego we wszystkich powieściach faktu demoralizacyi wykłada fałszywie. W Polsce ośmnastego stulecia kołyskę — nowy, a grób znalazł świat stary; świat stary, z surowych, zdaniem autora, złożony proroków, poszedł do grobu; świat nowy, choć sprośny, z przepaści wybrnąwszy, ideały, które i dzisiaj jeszcze nie zbladły, wykarmił. Były to więc czasy przełomu, epoka rdzennego przetwarzania się; a ów szał, ta orgia ludzi, w których musimy uznać robotników około nowych podwalin życia, niczém więcéj nie były, jak: wyskokiem krewkiéj młodości, chwilowém zboczeniem z toru moralnych zasad, które wśród ogólnego wstrząśnienia ataku sceptycyzmu uniknąć nie mogły.

Różniąc się z autorem w pojmowaniu natury demoralizacyi omawianéj epoki, inaczéj się téż pogląda i na wewnętrzną wartość jéj ludzi.

Nic słuszniejszego nad to, że społeczeństwo ośmnastego wieku składało się z takich Alfierów i Adamów—osobistości bez charakteru, słabych, jak wosk, miękkich; ale trudno się zgodzić, żeby pod względem siły moralnéj, i intellektualnie ci ludzie byli zerami. Kraszewski, wstręt mając do orgii i w niéj śmierć widząc, — w ludziach owego wieku niespostrzega żadnych objawów dodatnich;— wszędzie przed jego oczami blade cienie tylko się snują. Maluje szaleństwa Radziwiłła, rozłamujące się ściany, występujące z pod podłogi nakrycia, niewidzialne orkiestry, nankiny ex-podkomorzego, szlafrok księcia Andrzeja, chińskie altany i różnych błazeństw moc wielką; lecz niespostrzega nowo-wzniesionych miasteczek i wiosek, z mozołem kopanych kanałów, dymiących fabryk i banków. Zaprzeczyć nie może, że myśląc o reformie, wytężano umysły, zasięgano rady u obcych i powodzią projektów zarzucano kraj cały; wié o tém, lecz nie uznaje w podobnych wysiłkach pracy na seryo i w nich upatruje błazeństwa. Według Kraszewskiego, począwszy od księcia Andrzeja, strojącego się w poranny szlafrok, aż do tych mężów którzy zasięgali rady Mably'ego i Rousseau,—każdy miał bzika, którym się rozrywał i bawił. Słowem, Kraszewski, zrozpaczywszy o rozpasaném społeczeństwie ośmnastego wieku, nie przypuszcza w niém myśli poważnéj i pochopu do czynu; uprzedzenie zaś swoje nietylko na fikcyjne, lecz i na osobistości historyczne, wręcz przeciwny dające dowód, przenosi. Pessymizmowi autora ulegli: Stanisław August, Komarzewski, Kazimierz Nestor Sapieha, Naruszewicz, Jacek Jezierski i inni.

Wiemy, że pod piórem Kraszewskiego, rysy fizyonomii Stanisława Augusta kilkakrotnie korzystnéj dla monarchy uległy zmianie; jednakże i na ostatni, w porównaniu z poprzedniemi wizerunek pochlebny, pessymizm sporo narzucił cienia. Chociaż Poniatowski tak dalece był czynny, ze „tchnąć nie miał czasu“, — jednakże pracę swoją odbywał jakoś na zimno, bardziéj z przymusu, niż z rzetelnego zapału; jakby się chciał tylko ze wszechstronnym dyletantyzmem popisać i, że mu nic obcém nie było,—okazać. Tymczasem fakta dowodzą, że najpracowitszy z polskich monarchów mozolił się z poczucia obowiązków i z zamiłowania raczéj, niż z innych pobudek. Któż mu kazał ważniejsze narady i rozmowy spisywać lub w treści notować; odczytywać wszystko, co do niego pisano; odbierać codziennie kilkanaście depesz i mnóztwo rapportów; własnoręcznie na nie odpisywać, do cyfrowania lub kopiowania odpowiedzi gotować, albo wreszcie przygotowane odpisy poprawiać? A któż obliczy jego korrespondencyą wewnętrzną? Każdym wakansem królewszczyzny lub urzędu wywołane żądania wymagały licznych odpowiedzi, które król osobiście załatwiał. Godził zwaśnionych, ratował podupadłe majątki, wstawiał się do sądów, przyśpieszał wykonanie wyroków, pośredniczył w układach; w sprzedaży dóbr lub zamianie urzędów pomagał, ułatwiał nawet związki małżeńskie. Nie stworzył bióra, któreby go w większości spraw takich mogło wyręczyć, lecz robił sam wszystko. W Archiwum Czartoryskich korrespondencya polska Stanisława Augusta zawiera się w dziewięćdziesięciu czterech voluminach in folio, co przecież nie dowodzi zabawki lub chęci popisu. Zaakcentowany przez Kraszewskiego dyletantyzm, pomiędzy innemi i polityczny, również zastrzeżeniu ulegnie, skoro się zważy, że to był człowiek wykształcony gruntownie, a wśród tak wielkich panował trudności, że nie łatwo by im i najdzielniejszy poradził organizm. Założenie i utrzymanie mennicy, szkół rycerskich w Warszawie i Wilnie, reperacya Kamieńca, ludwisarnia i fabryka broni w Kozienicach, otworzenie szyby miedzianéj, przebudowanie zamku, koszary i cmentarz warszawski,— są to roboty, któremi dowiódł, że nie dla rozrywki

lecz z affektu dla kraju własnéj szkatuły i mozołów nie skąpił.

Bardziej, niż Stanisław August, pokrzywdzonym został znany kasztelan łukowski, Jacek Jezierski.

„To dobre człeczysko, prawi ironicznie bohater z *Dyabła*; ludzie go pomawiają, że sobie z rewerendy nieboszczyka Podoskiego nieszpetną wykroił fortunkę, że wyfrymarczył jakimś processem drugie tyle od pewnéj jéjmości, że spekulował na założeniu łazienek w Warszawie; ale czego to ludzie nie splotą...“ Skandalicznych łazienek Kraszewski Jezierskiemu przebaczyć nie może i przypomina to znowu przez usta kasztelanowéj Kamieńskiéj (*Macocha*), a w innéem miejscu (*Syn marnotrawny*) z Suchorzewskim kasztelana porównał. Ta tylko pomiędzy nimi ma zachodzić różnica, że ostatni „nawet brednie śmiało prawi, lecz zimno“, gdy klient Branickiego „w gębie ma ukrop“.

Sądzę, że porównanie Suchorzewskiemu niezasłużony przynosi zaszczyt, a Jezierskiemu niezasłużoną wyrządza ujmę. Wiemy, że Jezierski dla niezaprzeczonych zdolności już w r. 1764 zwrócił na siebie uwagę powszechną, a w niedługim przeciągu czasu taką sobie wyrobił wziętość, iż na usilne żądanie delegatów i ziemian łukowskich odnowiono dla niego w r. 1775 dawno zapomnianą kasztelanią łukowską. Czy istotnie z rewerendy Podoskiego, z nieuczciwych processów i spekulacyi na łazienkach zrobił majątek? Zarzuca mu to Kitowicz, świadczą wzmianki w *Archiwum wróblewieckiém*, a wbrew tym źródłom i my moralności Jezierskiego bronić nie chcemy; zaznaczyć jednak musimy, że grosza, zebranego w jaki bądź sposób, na dobro kraju używał. Budował wioski, dźwignął miasteczko, które rzemieślnikami osadził; założył w Maleńcu pierwszą fabrykę kos i stali, w Szolcy otworzył warzelnią soli, w Grębenicach fabrykę fajansu; eksploatował rudę w Miedzierzu, wielkim nakładem wystawił kuźnie, z których 5000 pałaszów rzeczypospolitéj darował; słowem wbrew powszechnemu przesądowi zajmował się przemysłem i handlem, nad podniesieniem dobrobytu pracował gorliwie. Jezierski nie brednie, lecz w mowach i pismach dużo zdrowych wygłosił pojęć, bo choć do przeciwników ustawy 3-go Maja i równouprawnienia mieszczan należał, to jednak nie był mu wstrętny i postęp, skoro sukcessyą zalecał, stawał w obronie ludu i wiele radykalnych reform wewnętrznych popierał. Odnośnie do działalności praktycznéj jest on przedstawicielem téj garstki ludzi, która obowiązki obywatela pojmowała rzetelnie; pod względem niejednolitości poglądów wybornie reprezentuje człowieka przełomu, w którym część starych przesądów tkwi jeszcze i z pojęciami postępowémi mięszaninę tworzy dziwaczną. Gdyby Kraszewski z prawdą historyczną narysował postać kasztelana lub inną, do niéj podobną, byłby dzieła swoje zbogacił typem, jakiego w nich nie ma, choć istniał w rzeczywistości i znakomicie fizyognomią czasu przedstawia.

Kazimierz Sapicha (*Syn marnotrawny*) jednostronnie narysowany jest również. Pije, awanturuje się, traci pieniądze; krotochwilność swoją do tego posuwa stopnia, że nawet ludzką boleścią się bawi i prawi, jako rozum polega na tém, iżby z ogólnego zepsucia korzystać i śmiać się. W podróży na sejm wielki rozwodzi się przy butelce o słuszności niespłacania długów lichwiarzom i wyzyskiwaniu słabości kobiet; do wuja Branickiego w szacie rozpiętéj wchodzi pijany i po dwudniowéj libacyi chrapie przy gościach. W postępkach pospolitego widzimy birbanta i gotowiśmy go traktować na równi z podkomorzym brańskim lub z hetmanem Branickim, gdyby nie ostrzeżenie autora, że książe Kazimierz „poczciwe miał serce i charakter szlachetny“, że, choć rozrywek wyrzec się nie mógł, to jednak jako marszałek sejmowy „całe dnie prawił mowy i stukał laską“.

Krzywda wyrządzona Sapieże, polega na tém, ze wady jego uwydatnia Kraszewski w szeregu czynów, gdy przymioty— poczciwość i szlachetność charakteru—lekko tylko omawia. Takim, jakim go autor przedstawił, mógł być Sapicha pomiędzy r. 1773 —1776 t. j. w epoce (wydanych właśnie przez Kraszewskiego w r. 1852) listów z zagranicy pisanych do matki; lecz lata następne do charakterystyki obywatela w poważniejszy obfitują materyał.

Wadami wieku całkowicie również pokrył Kraszewski takie osobistości, jak Komarzewski, Naruszewicz i inne.

Pierwszy— to rozpustnik i cynik, który nieraz „na stole i pod stołem po niejednéj hulance“ przebywał; Naruszewicz, lubo mu autor nie odmawia niepospolitych darów umysłu i serca,—prezentuje się, jako „niewyczerpany pochlebca“ i zasłużył na wyrzut, że nie unikał ani hulanki, ani tłustego dwójznacznika w rozmowie.

Komarzewski, któremu nawet żółciowy Bartoszewicz żadnéj plamy wytknąć nie umiał, człowiek zdolny, pracowity i skromny, charakterem i politycznémi przekonaniami stał wyżéj od wieku; jako dyrektor kancellaryi do spraw wojskowych poważne poło-

żył zasługi; — a biskup łucki — historyk, poeta i człowiek zasad, który umiał niebezpieczne odtrącać pokusy, na słowo gorętsze i na więcéj zasłużył światła. Podany przez Kraszewskiego wizerunek za zbyt czarny uważam témbardziéj, że okazuje Naruszewicza podczas podróży kaniowskiéj, a wiadomo, że wkrótce podobno w nim jednym godność narodowa przez skromną a rozumną postawę męża wyszła bez szwanku.

Broniąc Stanisława Augusta, Sapiehy, Komarzewskiego, Jezierskiego i Naruszewicza, nie mamy bynajmniéj zamiaru zaprzeczać temu, co autor o ich obyczajowości powiedział. Poniatowski istotnie rozpustę w Warszawie zaszczepiał: „zepsuł, jak powiada Karpiński, stolicę i osłabił śluby małżeńskie“, a przez życie rozwiązłe stracił pod koniec i tą nawet energią, którą w początkach panowania okazywał niekiedy. Wiemy, że Kazimierz Sapieha był pierwszym swojego czasu birbantem; że w salonie swéj matki zebrane panie w obnażone ramiona całował publicznie; nie ulega wątpliwości, że generał Komarzewski pił dobrze , jak jeden z pamiętnikarzy zaświadcza, proszony o spróbowanie szampana, cały kosz runku tego wychylił sam jeden. Wierzymy, że Jezierski „jadł paradnie i lubił się bawić“, a może i ową fortunę nie zbyt godziwymi zgromadził środkami; nie przeczymy, że Naruszewicz dworskiéj pokory miał dużo , jak zaświadcza choćby przedmowa, zamieszczona na czele historyi, godności swojéj nie zawsze strzegł pilnie. Wszystko to prawda—zdrożnościom przeczyć nie można. Lecz jeżeli Kraszewski uczynił słusznie, podnosząc cienie, plamiące oblicza tych mężów, to z drugiéj strony wbrew historyi postąpił, gdy nie uwydatnił światła, przez co nie całych ludzi, lecz tylko pewne ujemne w ich fizyognomiach przedstawił rysy. Jednostronność podobna dotknęła wszystkich bohaterów powieści w potędze mniejszéj lub większéj. Skoro autor usuwać z postaci historycznych rysów dodatnich skrupułu nie miał, to tém bardziéj nie miał powodu pesymizmowi swemu tamować upustu w kreśleniu osób fikcyjnych.

Sądzę, że błąd taki popełnił autor z powodu przeceniania doniosłości obyczajów, skutkiem hołdowania zasadzie, jakoby w moralność społeczeństwo wcielało całą wewnętrzną swą wartość. Lecz temu historya zaprzecza. Rzym w czasach zepsucia więcéj i głębiéj myślał, niż za Cyncynata i Grachów; hulaszcza Francya ośmnastego stulecia we wszystkich kierunkach życia i myśli zbawiennego dokonała przewrotu. Społeczeństwo polskie z końca ubiegłego stulecia jeden więcéj przynosi dowód, że wśród moralnego rozstroju kwitnąć może głęboki krytycyzm, rozumienie warunków bytu, troska o dobro ogólne,—wiele uczuć szlachetnych obok lekkomyślności w życiu i bezczelnego zepsucia. Ludzie epoki przełomu są zawsze pełni najjaskrawszych sprzeczności: ani ich chwalić, ani ganić nie można bez ciągłych zastrzeżeń. Sprzeczności takich Kraszewski nie widzi. Bohaterowie jego są jednolici, bo zepsuciem tylko celują; po nad używaniem nic wiedziéć nie chcą, nic nie robią, nic nie myślą, nie czują; jeżeli cóś czynią, to dla rozrywki i bzika.

Przyczyną złego był, według autora „wpływ obcy“, francuzczyzna, która „gdyby wrzód na karku siedziała krajowi, nic mu, prócz pogardy, nie dając“. Kraszewski ideom francuzkim z ośmnastego wieku, przeważnie ze stanowiska klerykalnego patrząc na nie, uznania swego odmawia stanowczo. W dykcyonarzu Voltaira widzi „koncepta“; czytanie dzieł filozoficznych mąciło, według niego, „zdrowsze wyobrażenia“ zaczerpnięte w wychowaniu religijném; wstręt ma „do sceptyzmu bez granic, zimnego rozbioru, rozumowania i materyalizmu“, bo to wszystko groźnem było dla wiary. Niechęć swoją daléj jeszcze posuwa: reprezentantowi tych idei pracę, obowiązek i poświęcenie każe nazywać przesądem; na Poinsot'a, adepta encyklopedystów, rzuca poszlakę zbrodni.

Czy który z pisarzy ośmnastego wieku pracę, obowiązek i poświęcenie uważał za przesąd? dla czego francuz-libertyn ma być koniecznie zbrodniarzem? Podszyte barwą filozoficzną niedorzeczności powinien był autór przypisać spaczeniu nowych pojęć przez głowy płytkie i serca robaczne, nie zaś identyfikować z poglądami ośmnastego stulecia, które, pomimo tego, że wierze były przeciwne, tchnęły szlachetnością rzetelną i szczerą miłością prawdy gorzały.

Zresztą odnośnie do obyczajów Kraszewski, potępiając francuzczyznę, dużo posiada słuszności, lecz racya zniknie, skoro się wpływ obcy na kierunek myśli rozważy. Literatura czasów Voltaire'a, Rousseau, d'Argens'a, d'Alamberta i Diderota istotnie podkopywała zasady, na których się dawna wspierała moralność i na bezdroża powiodła płytkich; lecz jednocześnie i dobroczynne przyniosła owoce, wpływając na znękanie obskurantyzmu, rozpraszając ciemności epoki Sasów. Że zakwestyonowała stary porządek, nowe ideały wywiodła przed oczy i dyskussyi szerokie otwarła wro-

ta, — wybaczmy jéj wywrót obyczajów, które zresztą przy każdém, głębszém wstrząśnieniu zachwiać się i chwiać się muszą dopóty, aż ferment ostygnie i nowe zasady nabiorą trwałości. Pod wpływem obcym libertyn, jak po woskowéj posadzce, na przepaścistych drogach życia się ślizgał, lecz myśl jego szerszego nabrała lotu; wprawdzie porzucił różaniec i mozołów около zbawienia zaniechał, — lecz posiadł wiarę w ludzkość, w uszczęśliwieniu jéj przez naprawy społeczne, na filozoficznych oparte teoryach. Nie można posądzać tych ludzi, żeby z dzieci własnych szydzić mieli tym śmiechem szatańskim, jaki późniéj na ponurych twarzach bajronistów wystąpił; przeciwnie, — działali z głębokiém przeświadczeniem o świętości swych zasad, a to ich do wstrząsających światem pędziło czynów.

Według autora najbardziéj uderzającym „dzisiaj" wyrazem literatury ówczesnéj jest: 1) satyra, epigrammata i paszkwil, 2) ściganie utopii na gruzach, 3) zaniechanie wzorów własnéj przeszłości, które, choć praktyczniejsze,—niepojęte i powierzchownym potępione zostały sądem.

O owych praktycznych, a własnych wzorach nie wiemy i nie przypuszczamy, żeby autor ośmnastemu wiekowi, zalecał pomysły dziada; „dzisiaj" nie satyra, epigrammat i paszkwil, są najbardziéj uderzającym wyrazem literatury ubiegłego stulecia, lecz zwrót polityczno-społeczny, uwydatniający się nawet w piśmiennictwie nadobném; zarzut utopii krytyki wytrzymać nie może.

Uderzającym jest w pisarzach ośmnastego stulecia dualizm: filozoficzne teorye mają oni dla siebie, a dla układu stosunków spółczesnych odrębny posiadają programmat. Tacy radykaliści, jak Kołłątaj i Staszyc, wyznawali otwarcie, że jeszcze nie przyszła pora, aby w całéj zupełności odkryć można prawdę narodowi polskiemu; choć republikanie — popierali militaryzm i wzmocnienie władzy rządowéj; trzymając się polityki „roztropności" nie usiłowali bynajmniéj czystych poglądów przenosić na grunt realny. Kołłątaj powiada, że dla panujących przesądów nie mógł śmiało obstawać przy prawdzie; projekta swoje uważał za „nieodpowiadające zupełnie chęci, dobrem ludzkości zajętéj" i bał się jeszcze, aby i tych skromnych pomysłów, jako za śmiałych, nie było szerszego dla radykalizmu upustu, jak w sprawie mieszczan, a jednak i tu wielkie umiarkowanie widzimy w żądaniach i tu nie dano się unieść teoryom francuzkim. Publicyści wyznają, że „niechcą iść torem Francyi;" ulubionéj dążności Kołłątaja— utworzeniu osobnéj izby mieszczańskiéj, odmawiają poparcia; myśl zrównania stanów potępiają jednogłośnie, jako utopią. Dojrzałéj i umiarkowanéj publicystyce reformatorskiéj mrzonek i radykalizmu zarzucić nie można.

Kraszewski uważa, jako radykalizm francuzki „całem społeczeństwem" potrafił owładnąć: że zaś „nasiona myśli w groźne rozwiały się skutki i groziły obaleniem istniejącego porządku,"—najżarliwsi przeto wielbiciele Voltaire'a, Rousseau, Diderota i d'Alamberta, „widząc, do czego prowadziły wygłaszane przez nich zasady, z przerażeniem poczęli się cofać," a na zamku również uwielbienie dla koryfeuszów ostygło.

W ostatnim punkcie widzimy sprzeczność: zaznacza autor ostygnięcie na zamku zapału dla francuzczyzny, a jednocześnie przedstawia Stanisława Augusta, jako najgorętszego wielbiciela tego kierunku. W podróży kaniowskiéj admiruje kasztelanową Ordyńską, że nic u niéj nie widzi swojskiego; chwali, że syn jéj ledwo umiał po polsku; a frazesy w podobnym duchu, oprócz zauważanéj sprzeczności, brzmią niehistorycznie w ustach monarchy—mecenasa literatury narodowéj, dbającego o czystość języka.

Zgodzić się téż trudno, żeby francuzczyzna „całém społeczeństwem" potrafiła owładnąć. Gdyby tak było, pisarze nie mieliby powodu modyfikować swoich poglądów.

Że francuzczyzna pod koniec czteroletniego sejmu mniéj gorące, niż poprzednio, znajdowała przyjęcie,—nie można tego objaśniać trwogą przed groźnemi skutkami, których właściwie nie było; ani tłumaczyć cofaniem się z raz zajętéj pozycyi. Znaczna liczba przekładów pomiędzy r. 1771—1789 pod koniec sejmu istotnie się zmniejsza, ale nie z trwogi, lecz, że już wytłumaczono i poznano rzeczy główniejsze, i że ze sfery poglądów przyszły umysły na grunt stosunków praktycznych, dla uregulowania których wypadało jedynie myśléć o stosowaniu idei nabytych i o niezbędnych ku temu środkach.

Szkoda zresztą, że autor spostrzeganego przez się radykalizmu w żadną nie wcielił postać, lecz go,—podobnie, jak wszystko, co nie dotyczy zepsucia, — luźnie tylko omówił. Niewiarę swoją w ludzi zasad i czynów, czy też nieumiętność kreślenia takich postaci, akcentuje Kraszewski przesadnie: słabszym chwiać się każe i iść za

siłą, a natury energiczne i krzepkie od życia publicznego usuwa; czyni je bohaterami karczemnych awantur lub erudytów z nich robi. Mamy naszkicowane postacie, przeznaczone, zdaje się, do życia szerszego, bo wszelkie mające po temu warunki, lecz im autor wstęp na to pole zagradza.

Jakże ciekawą osobistość zapowiada Janek Leliwa (*Boża opieka*). Syn magnata, przez złego ojczyma w dzieciństwie oddany na wychowanie wieśniaczce, we krwi szlachecką ma butę, a w głowie—pod strzechą chłopską nabyte pojęcia. Panicz chce wleść na grzbiet jego, poganiać i jechać, —a on mu na to: „albom to ja zwierzę, aby na mnie ludzie jeździli? takim ja człek, jak i panicz.“ Na argumentacyą, że on jest truteń, chamska krew,—„a toć Chrystus pan, odpiéra Janek, za nas wszystkich zarówno umierał, to nas przecie porównał.“ Panicza oburzyło zuchwalstwo chłopaka i palnął go,—lecz tu natura szlachecka odezwała się w Janku: „co chcecie, powiadał późniéj, krew do głowy się rzuciła; jak chwycę za czub.... natarłem dobrze.“ Osobliwsze to dziecię nie umiało się zastosować ślepo do wszystkich, lecz o każdéj rzeczy po swojemu rozumować musiało. Zbiegiem okoliczności dostał się Janek pod opiekę uczonego professora-libertyna, następnie na dwór Stanisława Augusta; w końcu znajduje swą matkę, żeni się i znika, bo powieść się kończy. Pomysł tak piękny nie został przez autora należycie zużyty; kończąc czytanie *Bożéj opieki*, żal mamy do Kraszewskiego, że tak szczęśliwie pomyślaną figurę z przed oczu usunął.

To samo powiemy i o wojewodzicu Wincentym (*Syn marnotrawny*). Wypędzony z domu przez ojca dla tego, że nie chciał być łotrem, że ku hańbie rodzica nie chciał fałszywego utrzymywać stosunku z piękną macochą,—z rozpaczy pije, łobuzuje się, a na świat czarno spogląda. Zapiera się nazwiska i rodu: „nie jestem szlachcic, mawiał, jako żywo; wypieram się téj extrakcyi, nienawidzę szlachty, panów; chłop jestem, cham, prosty człek, od siekiery wyciosany, z gliny najpowszedniejszéj ulepiony,—*plebejus, plebeissimus*.“ Tęga jest dusza w tym chłopcu; dużo lekkomyślności, niesłychaną brawurę, ale też energią i niepospolitą szlachetność posiada. Niestety! żeni się i, podobnie jak Janek Leliwa, znika, bo powieść się kończy.

Floryan Dobek (*Kawał literata*), zmuszony uciekać z klasztoru z powodu, że go księża prześladowali za zbytnią pochopność do nauki,—studyuje w Krakowie filozofią, magistruje się, aż w końcu osiada w Warszawie i belferką się bawi. Na garniturze pociejowskim i butach poprzestaje podartych, gromadzi księgi, ich mądrość przenosi do głowy,—nie jest jednak zimnym pedantem, owszem, pomimo nauki, życie obchodzi go mocno. Zna się ze wszystkimi uczonymi, utrzymuje stosunki ze strasznym dla konserwatystów księdzem Jezierskim; z Dekertem w sprawie mieszczan pracuje; —z niecierpliwością oczekujemy, czy nie wystąpi publicznie, czy nam nie powie, co myśli. Niestety! ten Floryan Dobek, choć nie elegant, zakochał się w płochéj dziewczynie; zdradzony z rozpaczy umarł.

I nie sam Dobek ginie w sidłach szwajcarki; w powieściach Kraszewskiego każdy bowiem bohater jeżeli nie nazawsze, to na chwilę przynajmniéj staje się igraszką kobiety. Ma ona dużo rozumu, inicyatywy, energii, a jest tak obłudną, zimną i moralnie potworną, że zdaje się być stworzoną ku zatracie mężczyzn niezaradnych i biernych.

Dużo w tém Kraszewski zamieścił prawdy, ale i przesady niemało. Niewątpliwie, że w czasach zepsucia kobieta panuje, ale też i sama pada ofiarą, choćby tylko dla tego, że się prędzéj od mężczyzny zużywa, a pomimo tego złudzeń nie traci. Zresztą sądzę, że w epoce upadku słabość jest właściwą zarówno kobietom, jak i mężczyznom, że lekkomyślność i chwiejność są w charakterze obu polów naszego rodu rysami wspólnemi. Kraszewski parę tylko przedstawił ofiar (Julia, Ordyńska i wojewodzina); większości zapewnił tryumfy. Mężczyźni porywają się czasem, by jarzmo zrzucić, lecz, znając ich, dziwno nam, że o to się kuszą. Odrętwiały Maleparta czyż potrafi pokonać Zuzannę? podobnaż się niedołędze Dobkowi (*Macocha*) borykać z Sabiną, staremu wojewodzie (*Syn marnotrawny*) z energiczną zbrodniarką, Adamowi z Krystyną? Niekonsekwencyą jest tego rodzaju mężczyzn buntować przeciwko energicznym i obłudnym niewiastom.

Dokładniéj, niż ludzie, charakteryzuje stolicę zawarty w powieściach historyczny materyał; odnośnie zaś do prowincyi—stosunek kolorytu wspólnego do typów zmienia się: ostatnie rzecz przedstawiają rzetelniéj, niż pierwszy.

Kraszewski idealizuje szlachtę w zaściankach: widzi w niéj głębokie uczucie, nadzieję, myśl, zapał i wiarę, w usta jéj wkłada proroctwa;—skoro jednak do kreślenia typów przystąpił, wytrysły z pod pióra postacie bez barw przesadnych: uczciwe,

lecz ciemne, przesądne, krótkowidzące, awanturnicze i śmieszne, jak Podstoli, Poraj lub Szujski, z przeszłości wydarci żywcem. Wizerunkami tych osób Kraszewski sam zaćmił rzucone przez siebie na świat stary barwy różowe, a wobec tego analiza nasza jest tutaj zbyteczną.

Do kolorytu ogólnego chciał autor dopasować bezimiennego reprezentanta stałéj miłości (*Staropolska miłość*), a takoż Wojzbuna (*Ostatnie chwile księcia wojewody*) i stolnikowicza Krzysztofa. Piérwszy, zatopiony w uczuciu, które, jak sam autor uważa, było u owych ludzi „wyjątkiem,“ jest kreacyą chybioną; Wojzbun—to posąg z przed oczu naszych usunięty głęboko, więc się w rysach jego rozpatrzéć niełatwo; Krzysztof zaś, choć autor pragnął z niego uczynić olbrzyma, jednoczącego moralnie zasoby starego świata, dziwnie jest słabym. Zamknął się w swojéj boleści, w dumie i wzgardzie; chwilami potok liryzmu wyléwa; ciągle ma łzy w oczach, na ustach modlitwę, aż się strawić daje rozpaczy. Krzysztof, pozbawiony właściwéj ojcom naszym równowagi duchowéj i takich znamion, jakie ujawnia Podstoli, Poraj lub Szujski,—nie może być wyrazem konserwatystów osiemnastego stulecia, którzy dużo mieli brawury i różnych dla niéj szukali upustów. I wśród starych panowało zepsucie,—inne tylko, niż w Warszawie, przybrało formy. Mniéj wyszukane,—ograniczało się na kielichu i burdzie, gdy ucywilizowane do szulerki lgnęło i kobiet.

Na sformułowany przez autora stosunek szlachty do panów zgodzić się trudno, gdyż podczas czteroletniego sejmu łączył te gruppy wspólny interes.

Mniéj słusznie rzucił autor szlachtę na panów, a pominął zupełnie ruchy socyalne wśród mieszczaństwa i chłopów, sprawę kleru i żydów. Materyału, wyjaśniającego pozycyą tych grupp społecznych, jest dużo; sam Kraszewski sporo go zebrał w trzytomowém dziele, ogłoszoném przed kilku laty (1873—5) w Poznaniu; czemuż dla charakterystyki czasu rzeczy tak ważnych nie użył.

Pod względem artystycznym powieści Kraszewskiego wartości są różnéj. W *Maleparcie* około naczelnego bohatera bez związku organicznego z całością coraz nowe postacie stają i nikną, z powodu czego charaktery zarysowują się słabo; *Staropolska miłość*, jedném tylko wezbrana uczuciem, jest rozwlekłą i ckliwą gawędą, którą ratują: Szujski i Obuch—dwie postacie, narysowane z talentem i prawdą; *Boża opieka* i *Syn marnotrawny* w początkach zapowiadają traktowanie rzeczy na skalę szeroką, lecz niespodziewanie się kończą, przez co główni bohaterowie (Janek Leliwa i wojewodzic Wincenty) stanowią zagadkę. Organicznie zbudowany i znakomicie pomyślany jest *Dyabeł*, w którym każda osoba jasno określoną rolę odgrywa do końca,—szkoda tylko, że z powodu zbyt zawiłéj intrygi, musiał autor rozbić dzieło na drobne rozdziały, z których każdy wątek snuje odrębny, przez co na prostocie i jednolitości powieść szwankuje. *Dola i niedola*, a szczególniéj *Kawał literata*, lubo w materyał historyczny zasobne nie są,—wady powyższéj nie mają i dla tego prostotą budowy i wyrazistością charakterów celują bardziéj, niż *Dyabeł*.

Kraszewski lubi zagadki i effekta, wprowadza więc do powieści pierwiastek cudowny lub sytuacye z prawdą mniéj zgodne. Fotofero uwija się w *Dyable*; w pięknéj pod względem artystycznym *Macosze* mamy ukryty aryanizm, w podziemiach zamku widzimy groby i żywcem pogrzebionego w nich starca. W *Doli i niedoli* Dyogenes Kapustyński, człowiek lepszego wychowania, lecz w chłopską przebrany siermięgę i ze skrzypkami włóczący się z miejsca na miejsce, z całą filozofią swoją tajemniczym jest mocno. Przez częste w powieściach Kraszewskiego przechodzenie z jednéj sfery towarzyskiéj do drugiéj rozszerza się wprawdzie społeczny widnokrąg, lecz na głębokości i wyrazistości traci niemało.

Na chronologią autor zważa niezawsze: wprowadza osoby zmarłe lub fakta przebrzmiałe. Tak np. w *Dyable* podczas czteroletniego sejmu widzimy Łojkę i Węgierskiego, chociaż pierwszy zmarł w r. 1779, a drugi w tymże czasie Warszawę opuścił i w r. 1787 już nie żył; w *Macosze* agituje się po r. 1773 (Bohomolec jest ex-jezuitą) sprawa zawiązania polskiego teatru, który już w r. 1765 został otwarty.

Motywa powtarzają się. Zuzanna ogłasza Malepartę za obłąkanego,—toż samo czyni z mężem Macocha; ostatnia, podskarbic i Maleparta na usługi mają zbrodniarzy; wojewodzic Wincenty trzy razy zostaje raniony. Pomysł *Syna marnotrawnego* jest powtórzeniem *Macochy*. Dwie niegodziwe macochy, dwóch starych mężów i dwaj służący są do siebie podobni. Lorka w *Macosze* jest przebranym w szaty kobiece awanturniczym Wickiem; Wicek—to w suknie męzkie ubrana Lorka.

Za błąd téż musimy poczytać, że poglądów swoich na czasy Kraszewski nie wcie-

la w akcyą powieściową i typy, lecz je najczęściéj wypowiada od siebie w formie uwag lub lirycznych uniesień. Z tego powodu, choć pisma jego materyału dziejowego zawierają niemało, nie zawsze jednak historyczne przedstawiają osoby.

W kreśleniu postaci, bez względu na ich stosunek do czasu, który mają przedstawiać —Kraszewski niezrównanym jest mistrzem. Kilku rysami odtwarza typy tak charakterystyczne i pełne prawdy, jak frant rotmistrz Poręba (*Macocha*), który aryanina od ormianina odróżnić nie umié i subtelności podobne za bałamuctwo uważa; jak wietrznica Lassy (*Macocha*), matką któréj była zapewne historyczna pani Dugrumow; jak ów porucznik z *Maleparty* i tyle innych w każdéj powieści napotykanych postaci. Tém świetniéj wychodzą osoby, którym autor dłuższą chwilę i baczniéjszą poświęcił uwagę; niezrównany hetman Ogiński, książe expodkomorzy, Alfier, Stanisław August w *Dyable* i Baucher; z młodzieńczą werwą nakreślony wojewodzic Wincenty i wszystkie niemal kobiety, wysokiego w Kraszewskim dowodzą artyzmu.

Najszczęśliwszą jednak kreacyą jest Karol Radziwiłł „panie kochanku,“ osobistość, o którą Kraszewski podczas pisarskiéj działalności swojéj niejednokrotnie zaczepiał w anegdotach dramatycznych: (*Panie kochanku* 1867 r. i *Radziwiłł w gościnie* 1872 r.), aż w końcu w niezrównane arcydzieło ją wcielił.

Niejako za wstęp do *Ostatnich chwil księcia wojewody* uważać można *Papiéry po Glince*, w których Radziwiłł „fantazyą ma zmienną, rzadziéj wesołą, a więcéj chmurną.“ Pan dobroduszny, łatwo się daje naciągnąć, często ze skargą występuje na ustach;—w gruncie człek dobry, nie bardzo tylko rozumny.

W *Ostatnich chwilach* Radziwiłł jest ślepym; „okrutnie się zmienił, sposępniał, znudniał, stał się milczącym, ponurym, obojętnym na wszystko.“ Opanowywa go taki niepokój, że na miejscu usiedzieć nie może; chwyta gazetę, to znowu różaniec; w Nieświeżu mu tęskno, więc częste odbywa podróże. W drodze do Biały przedśmiertne nawiedzają go wizye. Przychodzą mu we śnie przypomnienia młodości, stają szeregi przodków i blade twarze nieżyjących przyjaciół; napastowany przez widma wywołuje różne imiona kobiece i krzyczy: „wiara do mnie! a wal go! a bij! a tłucz!“ Wysoce jest dramatyczną przedśmiertna reflexya tego człowieka, który dużo nagrzeszył i tyle posiadał sumienia, że błędy uznawał, lecz i tyle jeszcze miał dumy, że się z nich usiłował oczyścić, że usprawiedliwić je pragnął. I grobowy smutek ubiera Radziwiłł w szaty humoru. Na przywitanie jego Biała uderza we dzwony, — „to exportacyą pachnie, panie kochanku;“ na starym zamku wśród rozmowy o trumnach i grzechach prawi żartobliwie do spowiednika: „a tak, mości książe, grzeszyło się, ale, żeby znowu z lada chamami w czyścu siedzieć,—to Radziwiłłowi nie przystało, chyba w osobnéj komórce.“ „Aby tam, mówi do służby, trumna wojewodzińska ciasną nie była; ja lubię leżeć przestronnie, panie kochanku.“

Kraszewski postać księcia Karola pojął nierównie głębiéj i z prawdą zgodniéj, niż Henryk Rzewuski. Posępne tło opowieści, zaludnione widmami śmierci, dobrze odpowiada ostatniéj chwili magnata, który dla emocyi łzy ludziom wyciskał, a w sprawach publicznych szedł za ambitem i za przyrodzoną sobie brawurą. Pod względem pomysłu i wykonania *Ostatnie chwile księcia wojewody* pomiędzy utworami Kraszewskiego najprzedniejszą stanowią perłę.

Władysław Smoleński.

DRAMAT.

Obraz zdumiewająco wszechstronnéj twórczości Kraszewskiego nie byłby zupełnym, gdybyśmy w nim pominęli sceniczną jéj formę,—gdybyśmy kilku słów nie poświęcili dramatom i komedyom, których kilkanaście miał czas Kraszewski napisać w ciągu swéj półwiekowéj, niezmordowanéj działalności w najróżniéjszych gałęziach literatury ojczystéj.

Że wycieczki Kraszewskiego w sfery teatralne mają cechę czysto przygodną, że powieściopisarz przywiązywał do nich najczęściéj znaczenie wypoczynku, który takie wyjątkowe organizacye znajdują w przejściu od jednéj pracy do drugiéj,—o tém nie pozwala wątpić sam autor, wyjaśniając czytelnikowi w stosownych przemówieniach warunki, towarzyszące narodzinom każdéj prawie komedyi, czy obrazka, lub udramatyzowanéj anegdoty albo dyalogowanéj przypowiastki. Rozmowa o zadaniu i zakresie komedyi; krytyczny a doraźnie, gorąco odczuty w stosunkach społecznych przełom, chęć zasilenia repertuaru dźwigającéj się sceny; wrażenie dobréj gry utalentowanego aktora; literacka z „warszawskim kusicielem“ gawęda, bogdaj nawet dobrotliwe przychylenie się do prośby jakiegoś amatorskiego teatru: oto bodźce, pod działaniem których Kraszewski ubierał swoje pomysły w dramatyczną sukienkę.

Jeżeli wobec ogromu pracy Kraszewskiego, trudno powiedzieć, że utwory jego dramatyczne pisane były w „wolnych chwilach“ — bo takich wczasów Kraszewski rzadko, bardzo rzadko zażywać musiał,— to niemniéj przecież nie ulega wątpliwości, że je odnieść można do pewnych „chwil,“ nacechowanych przeważnie okolicznościowém znamieniem.

Charakterystyka powyższa nie jest bynajmniéj zarzutem—bo pojęcie o przygodnéj doniosłości jakiegoś dzieła, może być nader względném. Chwila, wywołująca twórczość pisarza w pewnym kierunku, trwa króćéj lub dłużéj; może być wynikiem wrzenia, nurtującego głęboko w społeczeństwie czy w literaturze, albo podmuchu powierzchownie tylko muskającego fale życia; a pisarz, który pod piórem odczuwa zarówno silne wstrząśnienia całego organizmu społecznego, jak lekkie dreszcze literackiéj gorączki; pisarz wrażliwy na prądy wielkich idei i na drobne natręctwa przemijających tendencyi, słowem pisarz tworzący pod hasłem Terencyusza: *homo sum*.... i przedstawiający odbicie swego społeczeństwa i swego czasu—jest zawsze w pewnym stopniu i w pewném rozumieniu pisarzem okolicznościowym.

W dziejach każdéj literatury znaleść można wielkie nazwiska, związane z całemi jéj okresami; na téj łączności odbijają się jednak charakterystyczne różnice rasowe. Pewne geniusze narzucają swemu wiekowi własne piętna; inne w swoim rozwoju powtarzają wiernie rozwój współczesnéj epoki. Nie tu miejsce rozstrzygać, które ludzkości większe oddają usługi; dość co do nas zaznaczyć, że potężnych inicyatorów mieliśmy nie wielu; że wielkie prądy dziejowe ze źródeł naszéj literatury nie wypływały; że gdy społeczeństwo nasze tworzyło literaturę—literatura nie wytwarzała nawzajem, jak gdzieindziéj, społeczeństwa, aż do chwili, kiedy się stała jedyną

jego matką. Ale może dlatego właśnie żadna zapewne literatura nie odwzorowywała z taką rasową zdolnością assymilacyi: ducha czasu i społeczeństwa. Nie jest że takiém wiernem zwierciadłem (że tylko nowszych sięgniemy czasów) epos Mickiewicza? nie sąż niémi wszystkie celniejsze powieści Kraszewskiego?

Sąd o tych powieściach nie do nas należy; oceniono je z różnych punktów zapatrywania w niniejszéj książce, ocenila dawniéj historya literatury, przyznając Kraszewskiemu: „że, jak wszystkie inne wielkie umysły, wcielał w siebie ogólne prądy, potrzeby, idee i dążności wieku,... że dość otworzyć którą z jego książek, by zrozumiéć nie tylko to, czém byli ludzie danéj epoki, jakie rządziły nimi przekonania, jakie mieli przesądy, jaki duch owiewał społeczeństwo; ale nawet z jakiego punktu zapatrywać się wówczas musieli na różnorodne przejawy cywilizacyi,.... że wreszcie szereg powieści Kraszewskiego stanowi pod tym względem doskonały obraz lat, w których były pisane.“

Jeżeli do scenicznych utworów Kraszewskiego, nie da się z całą ścisłością zastosować powyższa ocena, to staje się ona pewną pomocniczą wskazówką w badaniu usposobienia, w którém je autor tworzył. Zasadniczy tego usposobienia pierwiastek: wewnętrzna i nieodłączna od organizacyi Kraszewskiego potrzeba tworzenia, pod działaniem trwalszych, głębiéj sięgających pobudek, znajduje sobie ujście w formie epickiéj, podrażniona zaś słabszemi niewątpliwie, choć może niecierpliwszemi impulsami, przez świat kulis drogę sobie toruje.

Niecierpliwość właśnie zdaje się być matką dramatycznéj dziatwy Kraszewskiego. Powieściopisarz, znający wszystkie mozoly i trudności artystycznego opowiadania, posługujący się z całą świadomością dzisiéjszych wymagań, pędzlem narracyjnym do tła powieściowego i skalpelem analitycznym przy badaniu charakterów, które na tém tle działają,—uczuwa widocznie od czasu do czasu potrzebę szybszego rozprawienia się z postaciami, urodzonémi pod wpływem okoliczności, mniéj więcéj pilnych i doniosłych. Wtedy od ogniska jakiéjś palącéj kwestyi, odpada drobna iskierka, ażeby rozniecić naprędce akcyą sceniczną tendencyjnego utworu, zanim zsilniejszego płomienia wyjdzie dzieło z jednego odlewu; lub zabłąkany rys szlacheckich obyczajów daje początek obrazkowi kontuszowemu; albo wreszcie okruszyna z epoki dziejowéj tradycyi, wypryskująca z pod dluta bądź dziejopisarza, bądź artysty, przybiera kształty anegdoty historycznéj.

Miałoż by to znaczyć, że Kraszewski uważa formę dramatyczną za łatwiejszą od powieściowéj?

Zdaje nam się, iż nie zgrzeszymy zbytnią śmiałością, przypuszczając, że ją uznaje za mniéj dla siebie obowiązującą.

Zbytecznem byłoby tu rozwodzić się nad zasadniczémi różnicami między organizacyą powieściopisarza i dramaturga, między technicznemi warunkami tworzenia powieści i dramatu; historya literatury powszechnéj świadczy aż nadto dowodnie, że pisarze, łączący w sobie tę dwoistą naturę w równomiernym stosunku, należą do osobliwości, a codzienne doświadczenie wykazuje nieuleczalną słabość wszystkich tworów, przeniesionych choćby najwprawniejszą ręką z atmosfery powieściowéj na deski teatralne.

To téż dość rozejrzéć się w produkcyi scenicznéj Kraszewskiego, ażeby dojść do wniosku, że autor, będąc zupełnie świadomym trudności pisania dla teatru, bynajmniéj nie myślał w kompozycyi, ani w technicznem obrobieniu swoich kilkunastu utworów dramatycznych, o przezwyciężeniu lub nawet wyminięciu napotykanych szkopułów. Kraszewski pisze widocznie nie z przeświadczeniem, iż z pod jego pióra wyjdzie coś pod względem scenicznym silnie żywotnego, ale dlatego, aby jaknajrychléj usłyszeć wypowiedziane przez usta bohaterów to, co mu albo dolegliwym ciężarem na sercu leży, albo po prostu zaprząta niedogodnie myśl, któréj swoboda potrzebną mu jest do szybowania po szerszych lub po wyższych przestworzach.

Więc tło pozostawia wtedy Kraszewski dekoratorowi, o budowę sztuki zbytecznie się nie troszczy, w dobieraniu sytuacyi nie jest wymyślnym, akcyą popycha często powieściowym szlakiem, a postacie swoje charakteryzuje mową, więcéj aniżeli czynem; i wynikają ztąd utwory, według wskazań techniki dramatycznéj niezupelnie może zdolne do życia, w których jednak żyją wszystkie postacie jedynie siłą dyalogu, prowadzonego z dziwnym darem indywidualizowania każdéj, najmniéj nawet znaczącéj figurki.

W dyalogu powieściopisarz staje się dramaturgiem: w sztukach Kraszewskiego każdy mówi językiem zwięzłym, treściwym, odpowiednim swemu charakterowi, swojéj sferze, stanowisku społecznemu, które zajmuje, sytuacyi, w któréj się znajduje; mó-

wi tyle, ile potrzeba, ani mniéj, ani więcéj, bez frazeologii, bez deklamacyi, bez retorycznych zwrotów. Przyglądając się téj przedmiotowości charakterystyki konwersacyjnéj, którą autor prostemi a skutecznemi osiąga środkami, możnaby przypuszczać, że Kraszewski całe życie dla sceny tylko pisywał, gdyby nie okoliczność, że cenny ten przymiot, nadaje i powieściowym jego bohaterom ostateczną, prawdziwie plastyczną wypukłość.

Być może nawet, że powieściopisarz, który zwykle przeszkadza dramaturgowi, w tym razie przysługę mu oddaje: bo dzieci wyobraźni, wyrosłe z powijaków powieściowych, wytrzymałą miewają kompleksyą i lepiéj niekiedy bywają do starć dramatycznych przygotowane, aniżeli bohaterowie sceniczni, z góry do pewnych przewidzianych sytuacyi przeznaczeni i przy narodzinach przypominający poniekąd owe anormalne istoty, które z włosami i z zębami na świat przychodzą.

Powieściopisarz, tworzący postać sceniczną, przed uwikłaniem jéj w akcyą bądź dramatu, bądź komedyi, przeprowadził ją w myśli przez główne fazy rozwoju życiowego a choć proces analityczny, spostrzegawczy, pozostał się w laboratoryum mózgowém twórcy, widz teatralny nie mógł go śledzić, jak śledził czytelnik powieści, —to przecież wynik processu: typ, charakter czy figura tylko lub sylwetka nosi na sobie cechę jakiéjś dojrzałości, jest to widocznie istota, która żyje w danéj chwili dla tego, że żyła przed tém choćby najkróciéj w wyobraźni twórcy pełnią tego życia, na jakie stać ją było z jéj natury.

Żadną z postaci scenicznych Kraszewskiego nie stać na wielkie rzeczy, bo każda wyszła ze sfery realnéj, codziennéj, potocznéj, z pośród ludzi, którzy, nie będąc koniecznie pospolitymi, nie są przecież nadzwyczajnymi; którzy nie wspinając się do bohaterstwa, mają prawo i obowiązek mówić swoim, nie autora, językiem i od których nic więcéj się nie wymaga, prócz świadectwa w rozmowie, że żyją życiem własném, nie pożyczaném.

I nic téż więcéj nie dają osoby, wprowadzone na scenę przez Kraszewskiego. Prawdziwe są i wzięte z życia, gdzie zapewne nie zdobywały się na czyny bardziéj, niż na teatrze zajmujące, więc usprawiedliwiają poniekąd słabość akcyi, któréj są dość zwyczajnémi sprężynami. Charakterów między niémi nie wiele, typów niema wcale—postaci za to i figur obfitość, przedstawiających wiernie odbicie bądź przeszłości karmazynowéj lub kapotowéj, bądź teraźniejszości surdutowéj albo siermiężnéj. Otacza je atmosfera jakiegoś spokoju, który znów spływa na dramaturga z powieściopisarza, zbyt różnostronnie rozglądającego się w życiu, aby mu się jego kontrasty dramatyczne czy komiczne w jaskrawych uprzytomniały zestawieniach. Pod tym względem Kraszewski jest zupełném przeciwieństwem Wiktora Hugo, którego powieści są obrazowanémi dramatami, gdy dramata Kraszewskiego nazwać by można dyalogowanémi powieściami.

Kraszewski niema temperamentu teatralnego, i dla tego zapewne spokój, który go w najdramatyczniejszych nie opuszcza sytuacyach, nie podobny jest do owego greckiego spokoju, towarzyszącego wielkim tragicznym katastrofom—ale przypomina raczéj niezamąconą pogodę doświadczenia, które wiele widziało, wiele jeszcze spodziewa się zobaczyć, a zatem niczemu się nie dziwi, niczém zbytecznie się nie przeraża. Taki nastrój, nieoceniony w powieściopisarzu, jest pewną zawadą dla dramaturga. Pierwszy ma tysiące sposobów wywołania grozy, choćby sam krył pod bezpieczną osłoną obiektywizmu własne wrażenia lub nawet wcale ich nie odczuwał, jak np. dzisiejsi powieściopisarze naturaliści; drugi musi sam doznać tego, co chce udzielić,—w przeciwnym razie może w dziele swojém nagromadzić wiele materyału dramatycznego, a nie stworzy dramatu.

Przykład takiego dzieła przedstawia nam obraz dramatyczny w 5-ciu aktach „Równy wojewodzie“ (1868 Poznań). Nie brak tam żywiołów do dramatu; jest tragiczne tło XVIII wieku: szamotanie się całego narodu między sceptyczną filozofią a szlachetnemi wysiłkami uratowania choćby honoru, gdy już nic więcéj wyratować się nieda; występują na tém tle przedstawiciele dwu prądów życia publicznego: książę Bronisław i hrabina Eliza, bohaterowie z pod Blachy — Jan Kordysz, Obożny i córka jego Anna, w których upostaciował autor zdrowe instynkta narodu. Do starcia się tych żywiołów popycha zgraja pasożytów: Stopka i Połaniec, rezydenci, i Skrobek, jeneralny plenipotent księcia, drapieżne ptaki zaprawiające się na ochłapach prywatnéj fortuny do żerowania po szerszém politycznem pobojowisku.—Ale gdy chwila starcia nadeszła, kiedy sfrancuziały letkiewicz, sięgnąwszy bezsilną dłonią po skarb szlacheckiego ogniska, po cześć Kordyszanki, spotyka się z Obożnym, który mu przypomina,

że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“—widz nie jest tą kolizyą tak silnie zainteresowanym, jakby tego natura sytuacyi wymagała. W rzeczywistości wszystko stać się mogło tak a nie inaczéj, każdy mógł w te a nie inne odzywać się słowa, scena między księciem a Kordyszem może mieć cechę prawdy—ale z téj prawdy, bardzo przedmiotowéj, nie wydobył autor całéj poezyi, któraby sytuacyi, dość w gruncie rzeczy powszedniéj, nadała dramatyczne natężenie. A przecież jestto punkt kulminacyjny akcyi; to, co późniéj następuje — rehabilitacya księcia przez miłość —jakkolwiek jest odbiciem w dziejach jednostki rehabilitacyi ogólniejszéj, którą autor przygotował udziałem w akcyi towarzysza księcia Adama Sierocińskiego, przedstawiającego sumienie narodowe, — słabsze jeszcze pozostawia wrażenie, a jeśli chwilami działa doraźniéj, to dzięki szczegółom, epizodom obrazu, które temu odkupieniu podnioślejsze nadają znaczenie. Całość przedstawia się, jako obraz o barwach posępnych, których Kraszewski nie szczędzi, ilekroć w XVIII wieku szuka do twórczości natchnienia.

W dramacie „Dzień 3-ci maja,“ spokój przedmiotowy Kraszewskiego staje się surową bezstronnością dziejową, pod wpływem której powstalo przykre, przytłaczającą malowidło obyczajów politycznych z 1791 r. Tu znowu bezstronnością, stanowiącą siłę historyka, osłabia się niezbędny czynnik wszelkiego a szczególniéj historycznego dramatu,—namiętność.

Nadmienić tu wszakże wypada, że taki sposób zużytkowania na scenie materyału historycznego, zdaje się odpowiadać ideałowi dramatu dziejowego, postawionemu przez Kraszewskiego w „Studyach literackich.“ Ideał sięga dość odległych czasów, bo 1842 r.; porównywając go jednak z dwoma powyższemi utworami scenicznemi, z których drugi, chronologicznie ostatni, zjawił się przed trzema laty—przekonywamy się, że skrystalizowane snać oddawna pojęcia Kraszewskiego o dramacie historycznym, w istocie nie ulegają już dalszym przekształceniom: „Dramat historyczny, pisze Kraszewski (Studya Literackie str. 213), odtwarzałby epokę w głównych jéj wybitnych rysach najdoskonaléj; rozszerzałby wyobrażenia czyste i zdrowe o przeszłości daleko skuteczniéj, daleko prędzéj i jednostajniéj, niż jakikolwiek utwór innego rodzaju. Przeszłość utkwiłaby całsza, pojętniéjsza w umysłach wszystkich; interes, jakiby sztuka miała, nie potrzebuje dowodzenia.“

„Ale autor historycznego dramatu musiałby wcale inaczéj przedmiot wzięty obrabiać, niżeli dotychczas pisarze dramatyczni czynili, którym historya pretextem, duch czasu i obyczaju ozdobą, — rzeczą główną: czynność, akcya,—wypadek, intryga. Tutaj wszystko za podrzędne uważaćby należało,— a za główne: obraz epoki, czasu danego. Postacie działające, historyczne musiałyby uosabiać stany, stronnictwa—więcéj klassy, niż indywidua by były“.... „Dodajmy, że sztuka zawsze sztuką i dramat historyczny musiałby być przedewszystkiem dramatem, —to jest czynnością pełną życia, zajęcia, odpowiadającą dzisiejszym wymaganiom smaku i prawidłom przyjętym sztuki“.

Że słowa powyższe wypowiedziane były przez autora „Halszki z Ostroga“ we cztery lata po ukazaniu się tego dramatu,— nic nadto naturalniejszego: widziécby w nich nawet można świadectwo dojrzewania w pisarzu zmysłu krytycznego, zastosowanego do własnych utworów, gdyby nie mniéj już zrozumiała okoliczność, że przypuszczalna *Selbstkritik* poprzedziła o dwa lata pięcioaktowy dramat p. t. „Tęczyńscy“ (Wilno 1844), który w spotęgowanéj sile zawiera wszystko, cokolwiek Kraszewski zarzuca „dotychczasowym pisarzom dramatycznym,“ uważającym „historyą za pretext, duch czasu i obyczaje za ozdobę, a za rzecz główną czynność, akcyą—wypadek, intrygę“.

Tylko działanie przemożnego podówczas w literaturze europejskiéj prądu romantyzmu, może rozjaśnić genezę tych dwu utworów, między którymi przytoczona wyżéj teorya dramatu historycznego, brzmi jak głos zdrowego rozsądku, powściągający wybujałość fantazyi *okolicznościowego* romantyka. Podkreślamy wyrażenie, *okolicznościowego*, bo w istocie był nim Kraszewski tylko przygodnie, krócéj niż którychbądź ze współczesnych mu pisarzy, ale za to gwałtowniéj — jak gdyby wyobraźnia poety w jednym młodzieńczym wybuchu rzucić chciała rękawicę werwie spostrzegawczéj i przedmiotowéj trzeźwości Kleofasa Fakunda Pasternaka.

Nie widzimy też powodu wyłączać „Halszki“ i „Tęczyńskich“ z pod ogólnéj, na początku zaznaczonéj charakterystyki utworów okolicznościowych. Jeżeli bowiem romantyzm był w ogólnych dziejach poezyi potężniejszą tylko od innych „okolicznością,“ chwilą, która w błyskawicznem mgnieniu wskazała poetom nowe ideały, to tém bardziéj przemijającém musiało być odbicie téj

chwili w twórczości Kraszewskiego, którego organizacya umysłowa na inne popchnęła drogi. W autorze: „Czterech wesel“ „Pana Karola“ „Wielkiego świata małego miasteczka,“ trudno było niewątpliwie przewidzieć twórcę „Halszki“ i „Tęczyńskich“: ale po przeczytaniu „Halszki“ i „Tęczyńskich“ łatwo przychodziło się do wniosku, że Kraszewski nie będzie do późnéj starości walczyć na wyłomie romantyzmu, jak Wiktor Hugo, którego „Han Islandzki“ był tylko pierworodném dziecięciem w liczném rodzeństwie, uderzająco do siebie zbliżoném wspólnością familijnych rysów.

Z pośród kilku zasadniczych żywiołów romantyzmu, niewiele miał Kraszewski do wyboru. Średniowieczny, rycersko-klasztorno-mistyczny pierwiastek, obcy był naszym dziejom, a tam gdzie go użyto, (np. u Pola w „Mohorcie“) raził cudzoziemskim kolorytem. Wycieczki w sferę nadzmysłową, nieprzypadają do smaku Kraszewskiemu, który w tych samych „Studyach literackich“ wyraźnie oświadcza (str. 28), że bardzo się mylą ci, którzy myślą, że romantyzm na pewnych zawisł martwych formach. na balladzie, sonecie, na różnomiarowym wierszu, *upiorach*, *widmach* i t. p.“ Pozostała więc tylko specyficzna psychologia romantyzmu: nadzwyczajne uczucia, nadzwyczajne namiętności, wyjątkowe stany duszy w wyjątkowych naturach, z całym przyborem gwałtownych sprzeczności, niebywałych zestawień, uwydatnionych przy pomocy posępnego a sztucznego światłocienia.

Wszystko to i więcéj to, niż co innego, znajduje się w „Halszce“ i w „Tęczyńskich“. Jeżeli gdzie, to w tych dramatach, historya jest wyraźnie pozorem, ramą do akcyi odgrywającéj się z charakterystyczną exaltacyą, podniesioną jeszcze szczegółami scenery romantycznéj do nastroju gorączkowego, który tak często, z najlepszą wiarą podawano w owym czasie za polot poetyczny, — za siłę dramatyczną.

Książe Dymitr Sienguszko porywa Halszkę, księżniczkę Ostrogską, od matki jéj Elżbiety, przy pomocy stryja bohaterki, księcia Wasila Ostrogskiego. Przygotowania do porwania w akcie pierwszym, napad na zamek w akcie drugim, śmierć Dymitra, jako banity, ściganego zemstą pokrzywdzonych kobiet, w ostatnim akcie —oto treść „Halszki“ przydatna niewątpliwe na dramat historyczny, ale spożytkowana przez autora w sposób, niepozostawiający żadnéj wątpliwości co do wpływów, pod któremi, urodził się ów pierwszy utwór sceniczny Kraszewskiego. Tytułowa bohaterka bier- nie przesuwa się przez kilka scen drugiego aktu: konszachty zaś książąt i sceny gwałtu, wypełniające dwa akty, tracą poniekąd pierwszorzędne znaczenie w obec postaci Mołni, uosabiającéj w sobie czynnik romantyczny, zabarwiony kolorytem szkoły ukraińskiéj. Uczucie Mołni dla Dymitra, nieznające granic ani we względach społecznych, ani w zasadach moralnych, ani we właściwościach natury niewieściéj, ani wreszcie w prawach psychologii, odwołujące się do instynktów natury i dla tego najchętniéj przez romantyków w piersi ludu umieszczane —unosi się, niby fatum jakie, nad całym dramatem, wypełnia go i przenika nierównie silniéj, niż jakiebądź inne motywa i przenosi punkt ciężkości utworu do aktu trzeciego, gdzie już wystąpić może wśród najodpowiedniejszéj atmosfery, wśród wszystkich akcessoryów prawdziwego romantyzmu.

Scena dzieje się na cmentarzu, w domku grabarza. W małéj izdebce, oświetlonéj lampką szklaną, palącą się u ściany, krzyż wielki stoi koło drzwi; grabarz siedzi przy stole; żona jego po drugiéj stronie trzyma na kolanach całun czarny trupiémi głowy naszyty, który łata; dziecko śpi w trumnie po prawéj ręce teatru; kot leży na ławie.

Takie jest tło ostatecznéj katastrofy dramatu.

Któż tu nie pozna ulubionego przyboru romantycznego? kto niezrozumie, że służył on wedle obowiązującéj techniki romantyzmu do nastrojenia wyobraźni widza na ponury ton występujących do walki namiętności? Na takiém tle miłość Mołni gotowa na wszystko, nie cofająca się nawet przed morderstwem, popełnioném na bezbronnym mieszczaninie, który podpatrzył schronienie banity: walka jéj ze Zborowskim, obrońcą praw korony, wreszcie i rozpaczliwe samobójstwo, wszystko zlewa się w jeden jaskrawy obraz, którego postacią główną jest nie historyczna bohaterka, ale prosta ukraińska dziewczyna, obdarzona uczuciami zaczerpniętémi z romantycznéj psychologii.

Rzecz zaiste wielce charakterystyczna: że w tém efektowném oświetleniu bohaterstwa, występuje po raz pierwszy—kobieta; że podstawą tego bohaterstwa jest demoniczny żywioł natury niewieściéj, który tak często i tak uparcie występować ma późniéj w tylu kobietach Kraszewskiego. Możnaby powiedzieć, że jako twórca postaci kobiecych, Kraszewski, stoi dziś na tém samém co przed trzydziestu kilku laty stanowisku, utrwaloném tylko głębokiemi studyami, które, nie rozwikławszy mu sfinxowéj zagadki

serca kobiecego, dodają wytrawnemu badaczowi odwagi do streszczenia długich poszukiwań w słowach „ja tylko wiem, że nic nie wiem,“ i do zapuszczania się po odpowiedź w otchłanie, pełne przerażających sprzeciwieństw:

„Kobieto, królowo, szatanie, aniele,
„Motylu, głazie, kwiecie,
„Duchu z niebios w ludzkiém ciele,
„Nie ze świata a na świecie,
„Niepoznana, niepojęta
„Odmienna i jednakowa
„I słaba i nieugięta,
„Niewolnica i królowa;
„Witam cię gwiazdo w młodocianém niebie,
„Witam cię słońcem starości wieczornêm,
„Księżycem smutku bladym i pokornym,
„Nic i wszystko, witam ciebie!

Tak rozpoczyna Kraszewski fantazyą swoję o „Kobiecie“. (Studya literackie str. 217) —a oto, jak ją kończy:

„Po raz ostatni jeszcze wszystkie witam społem,
„Wszystkich krajów, wieków, lat,
„Witam i kolano zgiąłem
„Ja poeta—ja i świat!
„Anioły czy szatany, nikt was nie rozumie,
„Lukrecyo, Cenci, Julie, Eponiny—
„Czasem cnotą błyśniecie w zadziwionym tłumie,
„Czasem zbrodnią szatańską i jadem gadziny,
„A serce wasze przepaść!!

Konkluzya, jak widzimy, nie odbiegła od punktu wyjścia, choć ją oddzielają całe poetyczne przestwory, po nad któremi bujając, fantazya ogarnęła kobietę we wszystkich jéj postaciach. Coś podobnego stało się z twórczością Kraszewskiego. Od chwili, kiedy poeta ukląkł przed kobietą, jak przed „gwiazdą w młodocianém niebie,“—aż do dziś, gdy ją wita psycholog „słońcem starości wieczornêm,“ upłynęło życie całe, którego filozofia w stosunku do kobiet zdaje się teraz, jak ongi, zamykać w wykrzykniku: „a serce wasze—przepaść“.

„Serce—przepaść,“ oto epigraf „Tęczyńskich,“ na którym wsparłszy się widz lub czytelnik, powinienby czuć się wolnym od zawrotów głowy, doznawanych niechybnie nad głębinami psychologii romantycznéj. Tak jednakże jest; dewiza nie wystarcza—i dramat pozostawia chorobliwe wrażenie, dzięki bohaterce, któréj stan duszy usprawiedliwić może prędzéj patologia, aniżeli zagadkowość natury ludzkiéj.

Historya a raczéj podanie wspomina głucho o rozpustném życiu Doroty z Tęczyna. Kraszewski, korzystając z praw poety, dopełnił je romantycznym motywem. Bohaterka zmuszona przez stryjów: Żegotę i Wojsława z Tęczyna do oddania ręki Ottonowi z Rabsztyna, ulega przemocy, ale nie wyrzeka się miłości oddawna żywionéj dla Nawoja, ubogiego szlachcica, któremu powierzoną była na zamku w Przegini straż nad osieroconém dziewczęciem. Gwałtowność téj namiętności popycha do wiarołomstwa, którego hańbę pokrzywdzony małżonek obmywa we krwi Nawoja. Do szału doprowadzona Dorota, żyje już tylko dla zemsty i używa do niéj broni okrywającéj ohydą nazwisko Tęczyńskich: — rozpusty. W splotach tego psychologicznego zawikłania postać Doroty przybiera potworne kształty. Nierządnica, tarzająca się w bezwstydzie z zupełną świadomością swego głębokiego upadku i świadcząca własną hańbą o niewygasłém dla zabitego uczuciu; obrońcy nazwiska Tęczyńskich, mordujący jéj kochanków *pro honore domus*; orgia na zimno, która ma być zarazem hołdem dla miłości i ofiarą, złożoną na jéj ołtarzu: usprawiedliwienie sromoty przez zemstę: wszystko to zamiast układać się w konsekwentną akcyą dramatu, wije się raczéj jakimś kłębem monstrualnym na dnie „przepaści,“ którą nam odsłania Kraszewski z pochodnią romantyzmu w ręku.

Płomień téj pochodni, dziwaczniéj tu jeszcze, niż w „Halszce“ wystrzela,—dla tego może, iż wkrótce ma zupełnie zagasnąć pod tchnieniem które już przenika „Studya literackie“, a szczególniéj wieje z teoryi o dramacie historycznym; przed skonaniem jednak rozświeca jeszcze jeden rys, powracający niejednokrotnie w bohaterach Kraszewskiego: słabość, chwiejność mężczyzny, wobec energii, inicyatywy kobiety. Dymitr w „Halszce“ stanowczy, gdy ma za sobą siłę fizyczną, a trwożliwy przed zbliżającą się katastrofą; Nawój w „Tęczyńskich,“ odpowiadający lękliwemi skrupułami, pokorą niższości na miłośne uniesienia Doroty, któréj ani sprostać namiętnością ani oprzéć się charakterem nie potrafi: są to przodkowie późniejszych bohaterów, usprawiedliwiających w stosunkach sercowych znany aforyzm: „my rządzim światem, a nami kobiety“. W pierwszych dramatach Kraszewskiego zdaje się już wyraźnie rysować ten stosunek dwu jego zasadniczych typów niewieścich: „Pięknéj pani“ lub „Heroda-baby,“ do kilku kategoryi kochanków, którzy bądź z braku hamulców moralnych zaprzedają cyrografem podpisanym szatanowi-kobiecie, wszystko aż do ostatniej iskierki godności człowieka, badź miękką tkliwością zwątleni padają tragicznie w rozpaczliwéj walce z niewieścim demonem, bądź wreszcie w niefra-

sobliwém poznaniu swéj słabości świadczą o niéj, powtarzając zakończenie „Fausta:“

„Das Ewig-Weibliche
„Zieht uns hienan“.

W spożytkowaniu materyału dziejowego dla sceny, talent Kraszewskiego témi samémi, co w powieściach historycznych, szedł drogami. Zyskując w miarę dojrzewania na przedmiotowości, coraz oględniéj obchodził się z żywiołem ściśle bohaterskim, który zwykle z natury rzeczy najsilniéj zabarwionym być musi subiektywizmem poety. Pod tym względem „Tęczyńskich“ i „Dzień 3-go Maja“ nie mniejsza rozdziela przepaść, aniżeli naprzykład „Ostatnią z Książąt Słuckich“ i „Hrabinę Kosel“, a bohaterowie dzisiejszego okresu twórczości Kraszewskiego, w niczém nie przypominają bohaterów z czasów romantyzmu. Odosobniła drugich od pierwszych nietylko zadziwiająca wiedza Kraszewskiego, ale i doświadczeniem nabyty, nieoceniony dar wydobywania z dziejów takich tylko pierwiastków, które, żywotnemi sokami krążyć mogą w dziele sztuki. Historyczni działacze Kraszewskiego tak w książce, jak i na teatrze, żyją dziś życiem swego czasu, czerpaném przez artystę nie z systematów historyozoficznych, które są zmienne i na których odbijają się zawsze kierunki, pragnienia lub interesa chwili obecnéj, ale z anegdotycznéj strony dziejów, stanowiącéj w historyi każdego narodu najdosadniejszą może danéj epoki charakterystykę.

Jak wyśmienicie pojął Kraszewski znaczenie anegdoty historycznéj w charakterystyce bohaterów dziejowych, z jakim przedziwnym taktem spożytkować ją potrafił, świadczy o tém cały cykl opowiadań z czasów saskich— dowodzą równie przekonywająco „anegdoty dramatyczne“ z życia rozgłośnego wojewody wileńskiego: „Panie Kochanku“ (3 akty— Poznań 1867) i „Radziwiłł w gościnie“ (3 akty—Lwów 1872). Powieści i utwory sceniczne, o których mowa, mają jedną wspólną cechę: pogodę spokojnego z pewnych odległości i z pewnych wyżyn wejrzenia na ludzi, rzeczy i wypadki. Takie usposobienie, jak już wyżéj zauważyliśmy, nie łatwo przechodzi w nastrój dramatyczny;— i to jest może przyczyna powściągliwości Kraszewskiego w wynajdywaniu motywów dramatycznych i skłonności do dobierania postaciom dziejowym tła obyczajowego, które, oddalając się od dramatu, zbliża się do komedyi. Przygotowawszy sobie tło odpowiednie w „komedyi kontuszowéj“ (Miód kasztelański, 5 aktów, Kijów 1860, Ciepła wdówka, 3 akty, Poznań 1866), Kraszewski rzucił na nie anegdotę historyczną— i przysporzył naszéj literaturze dramatycznéj nowy rodzaj utworów, który na każdéj scenie polskiéj winien zyskać sobie tytuł obywatelstwa.

Bohaterów na tém tle napróżnobyśmy szukali, albo nawet charakterów psychologicznie skomplikowanych,—lecz nie znajdziemy téż zdrożności ani występków, których wyszukując gdzieś w najgłębszych tajnikach natury ludzkiéj, dzisiejsi komedyopisarze potrącać muszą o dramat, zamiast przedstawiać wady, śmieszności, zamiast dążyć do wywołania „starego a poczciwego i czerstwego śmiechu“.

Powtarzamy tu w krótkich słowach treść rozmowy z „poważnym staruszkiem,“ służącéj za przedmowę do „Miodu kasztelańskiego“ i zawierającéj protest przeciw uroszczeniom nowożytnéj komedyi, która, jak zauważył późniéj Kraszewski we wstępie do „Panie Kochanku“—chce być „dramatem, tragedyą, poematem, rozprawą, liryką i epopeą—słowem wszystkiem, prócz tego, czém była pierwotnie.“ Z tego protestu według zapewnienia autora powstała „komedya kontuszowa,“ szukająca w przeszłości żywiołów do „starego poczciwego śmiechu, którego dziś niema w życiu.“

Jestto niewątpliwie jeden z dowodów legitymacyjnych „komedyi kontuszowéj“ — ale zdaje nam się nie jedyny. Drugiego szukaćby może wypadało w stopniowém układaniu się w umyśle pisarza wszystkich konturów, wszystkich barw życia, wszystkich jego planów bliskich lub perspektywą historyczną w przeszłość oddalonych, do łagodnéj harmonii, w któréj wygładzają się chropowatości charakterów, słabnie naprężenie sytuacyi, a żadne sprzeciwieństwa nie rażą wzroku spostrzegacza.

Spokojne téj harmonii uczucie udziela się i widzowi, patrzącemu na komedye Kraszewskiego, budzi w nim zdrową, poczciwą, umiarkowaną wesołość, która nie wybucha niepowściągnionym, „szerokim“ śmiechem, towarzyszącym tradycyjnemu polskiemu humorowi. Bo z komizmem Kraszewskiego dzieje się to, co z jego siłą dramatyczną: odbija się w nim trzeźwe jakieś pojęcie o względném w życiu znaczeniu żałości i wesela, łzy i śmiechu; wśród takiego nastroju słabnie zwykle dramatyczność, a *vis comica* traci swoją samorzutność, bez któréj wady, śmieszności natury ludzkiéj nie dosięgają potęgi typów, kolizye zaś nie tworzą sytuacyi na wskroś komicznych.

Co przedewszystkim pociąga widza i sympatycznie do komedyi Kraszewskiego uspo-

sabia, to atmosfera pełna dodatnich pierwiastków, w któréj śmieszności ludzkie nie niweczą dla ludzi sympatyi, a wady nawet nie zamykają drogi do pobłażania. Czy może być coś serdeczniejszego, jak to wiejskie zacisze, w którém pędzi żywot wdowi w towarzystwie swéj krewnéj, panny Marty, Barbara Sulimierska? (Miód Kasztelański)? Młoda wdowa jest ulubioną postacią Kraszewskiego: jako „Ciepła wdówka" odgrywa główną rolę w innéj komedyi kontuszowéj, pod różnémi postaciami po wielu snuje się powieściach; a gdziekolwiek się zjawia, roztacza około siebie urok jakiś silny, choć cichy, który nie kruszy wprawdzie exystencyi mężkich, ale je ku sobie nagina spokojną potęgą „des Ewig-Weiblichen."

Otoczenie młodéj wdowy różni się w obu komedyach kontuszowych dosadnością charakterystyki, która w „Miodzie kasztelańskim" skupiła się w jednéj postaci Jacka Sołoduchy z krzywdą Rotmistrza Kaniowy i sąsiada Petryły, a w „Ciepłéj wdówce" jednakowém życiem obdziela aż trzy figury: Żegotę, Bodzantę i Strukczaszego. Nazwał ktoś Jacka Sołoduchę Tartuffem polskim, budując naturalnie analogią na tożsamości motywu charakterowego—obłudy. Zbytecznem byłoby dowodzić powierzchowności takiego zestawienia; ograniczymy się tylko na uwadze, że Tartuffe ze swoją głębią rysów psychologicznych, ze swoją zbiorową naturą, streszczającą wszechludzkie cechy typu, byłby potworném zjawiskiem na łagodném, trochę nikłém tle polskiego szlacheckiego dworku. Ażeby wywrzeć to wrażenie, które mu zdobyło nieśmiertelność w dramatycznéj literaturze świata, Tartuffe potrzebuje znaleźć się między takiemi postaciami, jak: Orgon, Elmira, Damis, Maryanna, Kleant, Doryna, t.j. między charakterami odgrywającemi w obrazie względem głównego typu rolę barw dopełniających. W domu Barbary Sulimierskiéj, do narzucenia się swoją osobą dwóm spokojnym kobietom, do zamącenia wody zamaszystemu żołnierzowi i miękkiemu jak wosk wieśniakowi, wystarcza Jacek Sołoducha, pośledniego gatunku obłudnik, bez silniéjszych namiętności, bez gwałtownych żądz, pod maską cnoty tłumionych, —hypokryta, którego wszystkie apetyty streszczają się w prostém pieczeniarstwie. To pieczeniarstwo jest tak wydatnym rysem charakteru Sołoduchy, że gdyby nawet, prowadząc daléj paralellę ze „Świętoszkiem", przypomnieć podobieństwo scen, w których Elmira mistyfikuje Tartuffa a pani Hurska Sołoduchę — to w rezultacie natrafi się na ów „miód kasztelański", podniecający wrażliwość rezydenta nie na wdzięki kobiety, ale na perspektywę wygodnéj exystencyi.

„Ciepła wdówka" Marya Montrymowa jest rodzoną siostrą Barbary Sulimierskiéj; tylko po jéj czole przebija niekiedy chmurka melancholii, którą napróżno w pocieszných o pierwszeństwo zabiegach usiłują rozproszyć: wojak historyami o Szwedach i Tatarach, myśliwy anegdotami o łowach, palestrant opowiadaniem processów. To, co niepowiodło się żadnemu z trzech konkurentów, naszkicowanych z werwą i humorem —udaje się opiekunowi wdówki, Cześnikowi, znającemu przyczynę tajonego smutku Montrymowéj. Sprowadza on cichaczem pod dach ciepłéj wdówki, dawnego jéj z czasów panieństwa wielbiciela, chorążego Hołuba, któremu, naciskana wolą matki, przeniewierzyć się musiała, aby z innym stanąć na ślubnym kobiercu. Sceny między chorążym a wdową, nie zupełnie wprawdzie z kontuszem licują; on jest trochę bajronicznym, ona nieco sentymentalną: w końcu jednak sentyment pokonywa bajronizm, który wkradł się tu niewiadomo jakim sposobem, jedyny może raz spłatawszy figla objektywizmowi Kraszewskiego. „Cóż to za gość nowy, kto to jest,... zkąd się wziął u licha?" pyta Bodzanta, spostrzegłszy Hołuba—a za nim gotów to samo pytanie czytelnik i widz powtórzyć. W odpowiedzi Kraszewski wskazuje na zwycięztwo „pierwiastku niewieściego", jak gdyby chciał święcić tryumf zdrowego uczucia nad obcą duchowi naszemu niemocą i przypadkowe te rozdźwięki znów się w pierwotnéj rozpływają harmonii.

W ramy komedyi kontuszowéj ujmuje Kraszewski anegdotę historyczną, która w takiéj całości tworzyć ma „komedyą historyczną", formę zdaniem autora możliwą u nas i godną uprawiania na naszym teatrze. Że tam, gdzie przeważa anegdota, nie może być mowy o komedyi właściwéj ze stopniowaną akcyą, z rozwijającemi się charakterami —nad tém oczywiście rozwodzić się nie potrzebujemy. Ale anegdota ma w takim razie pewną nieocenioną właściwość: wydobywa z pośród świateł i cieni historyi odrazu takie rysy postaci dziejowéj, które jéj prawie dotykalną nadają wypukłość.

Spojrzyjmy na księcia Karola Radziwiłła: niema może w dziejach naszych postaci, któraby sprzeczniejszym podpadała sądom potomności. Do malowania jéj każde stronnictwo innych barw dobierało: w otyłéj figurze „Panie Kochanku" wcielano wszelkie poglądy na Polskę szlachecką i magnacką, tworząc uosobienie to wszystkich przymiotów, to wszystkich wad całéj warstwy na-

rodu. Cóż dziwnego, że wojewoda wileński był częściéj argumentem pewnéj historycznéj tezy, aniżeli żywym z krwi i kości człowiekiem?

Takie życie przywraca mu anegdota, odsłaniając kolejno niespodziane zawikłania bogatéj i oryginalnéj natury, która w Kraszewskim zaciekawiła, zaniepokoiła zarazem powieściopisarza i dramaturga. Z téj niecierpliwości powstały dwie wymienione wyżéj anegdoty dramatyczne i przed niedawnym czasem szkic powieściowy: „Ostatnie chwile panie Kochanku“, podający niejako ostatnie słowo charakteru najpopularniejszéj u nas w końcu XVIII-go wieku postaci.

„Panie Kochanku“ i „Radziwiłł w gościnie“, stanowią dwie części trylogii scenicznéj, któréj trzeci epizod pozostaje dotychczas w tece autora. Nie wiemy, jaką stronę dziwacznego charakteru księcia Karola miał nam przedstawić nieznany jeszcze obraz sceniczny; to pewna, że w dwóch pierwszych spotykamy najgłówniejsze rysy tego charakteru: fantazyą rozbujaną do dziecinnych niemal majaczeń i butę magnacką, nie znającą nigdzie i w niczém żadnych ograniczeń.

Fantazya przejawiająca się w słynnych kłamstwach Panie Kochanku, w mistyfikacyach i teatralnych przyborach życia na Nieświezkim zamku—traktowaną była rozmaicie—jak zresztą cała jego osoba. Widziano w niéj świadectwo ostatecznego ograniczenia umysłu lub nawet obłudnéj, jeżeli nie przewrotnéj natury. U Kraszewskiego Radziwił wierzy w połowie własnym zmyśleniom, dykteryjkom, facecyom, konceptom—i kto wie, czy ta wiara nie wyjaśnia nam lepiéj mnóztwa sprzeczności, niż wiele innych wywodów? Widzimy przed sobą indywidualność, któréj wola jednostkowa, upojona swobodą bez hamulca, potrzebuje tworzyć sobie w życiu nadzwyczajne okoliczności, sztuczne przeszkody, zmyślone niebezpieczeństwa, aby wyjść ze stanu bierności, na który skazaną jest zawsze, ilekroć jéj upór do czynu nie budzi. Za wiarą w bredzenia własnéj wyobraźni idzie łatwowierność wobec cudzych mistyfikacyi—i na tym właśnie rysie psychologicznym opiera się trzyaktowa akcya anegdoty dramatycznéj, p. t. „Panie Kochanku.“ *Au menteur, menteur et demi*, powiedziałby Francuz. Radziwiłł znajduje mistrza w młodym Syrucin, którego miłość do Leosi Puciatówny, panny respektowéj, natchnęła dyplomacyą i pomysłowością. Szlachcic z pod Lidy wkradłszy się pod cudzem nazwiskiem do Nieświeża, zrobiwszy waryatem zausznika wojewody, który mógł go zdradzić, zdmuchnął z przed nosa dziewczynę wojewodzie fortelem tak grubym, że się na nim mógł nie poznać ten tylko, kto jak Panie Kochanku stracił już prawie poczucie różnicy między rzeczywistością a dziwolągami rozkapryszonéj wyobraźni.

„Radziwiłł w gościnie“ trafia znów, niby kosa na kamień, na szlachcica równego wojewodzie. Kurcewicz nie chciał ustąpić Radziwiłłowi z popasu pierwéj w karczmie zajętego. Ze starcia tych dwóch ambicyi wysnuwa się szereg scen tryskających werwą komiczną, która w niczem nie ustępuje humorowi poprzedniéj anegdoty. W pierwszym akcie Panie Kochanku ścięty ostrym językiem Kurcewicza z despektem karczmę opuszcza, w drugim zgryść musiał afront od zawziętego sąsiada z Siennéj Wulki, który nietylko nie przyjmuje zaprosin Radziwiłła na barszczyk z rurą, ale sam do siebie na odwrót śmie inwitować wojewodę. W trzecim akcie Kniaź Hrehor Koryatowicz Kurcewicz fantuje się do koszuli, aby tylko godnie przyjąć księcia Karola Radziwiłła i jego dwór, zajeżdżający w czterysta koni. Kto zwycięży? „Widzisz Panie Kochanku, mówi Radziwiłł, wyściskawszy przemocą Koryatowicza,—jak niemogę siłą, to wezmę sercem.“ Zwycięża więc serce, *ultima ratio* grunt polskiéj szlacheckiéj natury—i nie wątpliwie główne tło charakteru wojewody wileńskiego. Trudno czasem tego tła dopatrzéć pod mnóztwem poplątanych, krzyżujących się rysów, pod grubo rozpostartemi cieniami, ale w tém właśnie artyzm Kraszewskiego, że w jego rysunku tło przebija tam, gdzie potrzeba, i nie więcéj, jak potrzeba. Kraszewski nie oszczędza samego bohatera, ale go téż nie pognębia; jego Radziwiłł ma wszystkie cechy prawdy przedmiotowéj, która się bynajmniéj nie troszczy o czasowe teorye historyczne. A otoczenie wojewody! Pani Generałowa Morawska, Łopuski, de Larzac, Wirszyłł, Wołodkowicz—jakie figury z parawanu! jaka w nich siła charakterystyki, zwięzłością swoją wymowna? — Ta właśnie charakterystyka, doprowadzona do możliwego skupienia, oszczędna w słowach, powściągliwa w effektach, stawia anegdoty dramatyczne Kraszewskiego na najwyższym szczeblu artystycznym między utworami, które pisał dla sceny. Jestto potomstwo pessymistycznego nieco dramatu historycznego i łagodnéj komedyi kontuszowéj; wyrazistość rysów wzięło od ojca, spokój temperamentu od matki — a dziś żyje już w literaturze życiem własném, samoistném.

W ośmiu sztukach Kraszewskiego — jak to widzieliśmy w powyższych uwagach, występuje na scenie przeszłość; teraźniejszości poświęcił dramaturg cztery tylko utwory (mówimy o drukowanych) — a z tych właściwie jedna: „Kosa i kamień", przyjemna wiązanka scen czysto konwersacyjnych — należy do dzisiejszéj doby, inne, jak n. p. „Stare dzieje" (4 akty, Poznań 1859), „Portret", komedyjka we trzech aktach i: „Łatwiéj popsuć, niż naprawić", trzyaktowa przypowiastka dramatyczna (Wilno 1856)— sięgają dalszéj teraźniéjszości, a raczéj bliższéj przeszłości. Czyż nie w taką chwilę odgrywa się akcya sztuki „Stare dzieje"?— czyż istotnie, nie stare-to dzieje, ta historya ruiny hrabiego Zawalskiego, którego niedołężne, fantastyczne, senne marzycielstwo wyzyskał rządca zaszarganych dóbr, aby skupiwszy pańskie długi, postawić dziedzica między dwiéma równie strasznémi ostatecznościami: między oddaniem jedynéj córki ekonomczykowi—a kijem żebraczym? O ileż zakończenie téj historyi—wykup dóbr hrabiego przez gromadę przywiązanych włościan,—starszém wydać się musi nam, którzy je czytamy po 1859 r., t. j. po daniu pierwszego przedstawienia „Starych dziejów" na teatrze Żytomirskim?

Przypowiastka: „Łatwiéj popsuć, niż naprawić", z tych samych względów nastręcza sposobność do mniéj więcéj podobnych uwag. Można w tym utworze znaléść zarodek pomysłu, na którym Kraszewski oparł późniéj treść dramatu: „Równy wojewodzie;" możnaby dopatrzéć pokrewieństwo między księciem Bronisławem a Bogusławem, między hrabiną Elizą a Julią; między pieczeniarzami z XVIII-go a pasożytem XIX wieku, między Kordyszem i jego córką a Hrehorem i Anną Hrehorówną; tylko że arena akcyi uszczuplona, że motyw jéj: lekkomyślność i sceptyzm upadającego bohatera, mizerniéjszym się wydaje bez tragicznego tła, a odkupienie cicho i mozolnie odbywać się musi nie w jednodniowém, lecz w codziennném bohaterstwie pracy bez rozgłosu, obowiązku bez poezyi wielkich czynów.

Kraszewski przez 50 lat uczył nas, jak się wiele rzeczy żelazną pracą naprawia. Znamy wszyscy rozgłośne téj pracy wyniki; dramatyczne jego utwory są skromniejszemi odgłosami tego poczucia obowiązku, które pisarza panującego siłą talentu nad umysłami i sercami własnego społeczeństwa, popycha do puszczania w świat każdéj myśli pięknéj, szlachetnéj, pożytecznéj lub potrzebnéj bez względu na formę, na wytworność i wykończenie zewnętrznego jéj przybrania.

Z tego punktu zapatrywania należy zdaniem naszém oceniać dramatyczną twórczość Kraszewskiego, z tego punktu zapatrywania scenicznym jego utworom przyznać należy niepoślednie miejsce, jeżeli nie wprost w dziejach naszéj literatury, to w historyi działalności Kraszewskiego, który w tej literaturze zajął, śmiało rzec można, wyjątkowe, prawie bezprzykładne stanowisko.

Władysław Bogusławski.

POEZYA.

„Poezye. — Anafielas. — Szatan i Kobieta. — Hymny Boleści. — Wioska. — Ustępy Staréj Baśni.“

Należałoby może temu ustępowi inny dać tytuł; wyraz bowiem „poezya;“ jeżeli się przywiązujemy nie do formy, ale do rzeczy, jest tutaj za rozległy. Można być poetą i w prozie, niekiedy większym, niżeli wszystkie pisorymy; dowodem tego: *Nieboska Komedya*, *Irydion*, zgoła wszystkie poemata Krasińskiego pisane prozą, wyższe od jego własnych dzieł rymowanych. Poetą, pojmowanym jako malarz, ubierający swe myśli w obrazy, rozumujący grą figur na szachownicy stosunków odświętnych czy powszednich, przemawiający raczéj do uczucia, niż do rozwagi, „przez oczy wchodzący do duszy,“ jak powiada stara piosenka,—takim poetą Kraszewski jest wszędzie, nawet w dziełach z pozoru niedostępnych dla twórczości poetyckiéj. W jego *Sztuce u Słowian* spotykamy karty żywcem przenoszące nas w świat umarły przed lat tysiącami, zniewalające do serdecznego udziału we wrzawie bitew, w uroczystym pogrzebie bohaterów, w tajemniczych wiecach bogów kamiennych. W jego *Litwie*, z kilku zwrotek piosenki, z kilku słów przypowieści, z pojedyńczych wyrazów staréj mowy Żmujdzina, wyrasta przed oczyma naszéj wyobraźni cała przedhistoryczna chata ze swoimi mieszkańcami, z ich zatrudnieniem i sposobem myślenia. W jego *Wspomnieniach* po raz pierwszy z pod pióra pisarza wyszło, jak malowane, całe Polesie, z zakoleniami i typami, przedtém znanemi tylko z posłuchu i niepewnemi, jak ów olbrzymi piskorz na łańcuchu trzymany w Prypeci. W jego książeczce *O pracy*, napisanéj dla ubogich duchem, więcéj obrazów niż w niejednym poemacie posplatanym potrójnemi rymami w oktawy lub tercety. Cóż dopiéro mówić o powieściach, które pod względem pomysłu, układu części, krajobrazów i wizerunków osób działających, wszystkie należą niepodzielnie do poezyi, nie dla tego, że tak podobało się retoryce, ale dla tego, że są dziećmi umysłu wskroś poetycznego, dziećmi jego z duszy i ciała, z krwi i kości! Od *Dziennika Starego Dziada*, karmiącego chlebem i sercem wróbla, myszkę i ulicznika, do tragicznéj powagi *Ostatnich Chwil Księcia Wojewody*, od rozpacznych stosunków codziennych *Chaty za Wsią* do najgórniejszych wzlotów wyobraźni i uczucia w *Łzie z Nieba*, nie ma prawie dziedziny życia, któréjby Kraszewski nie ożywił tchnieniem poezyi, nierzadko dosięgającém najwyższych turni wzniosłości. Posłuszeństwo dla wymagań sztuki jest w jego powieściach tak wielkie, że nader wstrzemięźliwie rozumuje, a nigdy prawie nie sadzi się na sentencye, tylko opowiada; jeżeli zaś koniecznie rozumować lub z morałem wystąpić przyjdzie, to wkłada jedno i drugie w usta osób działających, ażeby jego samego o taki grzech przeciw poezyi nie pomawiano. To jedno już przekonywa, że na ogromnym obszarze swojéj twórczości pisarskiéj, działa Kraszewski, jako poeta, nietylko z wewnętrznego popędu, ale i z dojrzałym namysłem, że zatém ramy uwag nad tą stroną jego talentu należałoby wielce rozszerzyć. Byłoby to w istocie zadanie nader wdzięczne i nauczające; dla mnie jest wszakże za wielkie. Nie chcąc kłaść na tytule sponiewieranych wyrazów: „rymotwórstwo,“ „wierszopistwo“ lub coś podobnego, położyłem „poezya;“ ale

mam mówić tylko o autorze dzieł wierszowanych.

W zawodzie rymotwórczym Kraszewskiego upatruję cztery dość odosobnione zwroty. Pierwszy od lat młodzieńczych ciągnie się prawie do roku 1840; cechuje go zwykła młodości gorączka, rozpraszanie się na drobnostki, walka z doborem wyrazów, ze średniówkami i rymem, to jednak nie przeszkadza częstemu składaniu dowodów szczerego poczucia piękna i plastyki, bez czego najpiękniejsze nawet wiersze nie będą poezyą. Drugi zwrot znacznie krótszy, sięgający do r. 1844, odznacza się swobodą wyrobionéj już formy, tudzież nierównie większém, niż pierwéj, skupieniem i dojrzałym spokojem artysty; zawarł Kraszewski w tym okresie trzy wielkie poemata z dziejów Litwy i jedną obszerną fantazyą obyczajową. Trzeci zwrot po czternastoletniém milczeniu, płynie przez chwilę bystrym potokiem liryzmu; należy do niego jeden poemat opisowy i kilka pieśni, poświęconych uczczeniu boleści. Czwarty zwrot, po siedmnasto-letniém milczeniu, rozpoczyna się pieśniami ślepego Słowana w *Staréj Baśni*, niby kartkami wyciętémi z Królodworskiego Rękopismu lub Słowa o Pułku Igora; chowa je autor w prozę, ale ukryć nie może, bo z białych kart „dziesięć sokołów puszcza na stado łabędzi.“ Ktoś gotów powiedzieć, że w r. 1876 za późno już było dla Kraszewskiego rozpoczynać nową epokę twórczości poetyckiéj? Ale odpowiedzią na to może być żywot Goethe'go, który w 59-m roku życia ukończył pierwszą część *Fausta*, a drugiéj ostatnią kartę napisał, mając lat 80. Wolno więc i Kraszewskiemu, który w różnostronności i płodności niejedno ma z Goethe'm wspólnego, rozpocząć nową erę w 64-m roku niestrudzonego żywota.

I.

Forma poetycka rymu i miary, prawidłowości i współdźwięku, bez względu nawet na to, co pod nią się ukrywa, mile przemawia do ucha obdarzonego poczuciem muzykalności. Ztąd nieraz w najlepszéj wierze, zwłaszcza pomiędzy kobietami, bywają piszący wiersze, w których prócz rymów, średniowek i pieściwéj kombinacyi głosek, nic prawie nie ma więcéj. U młodzieży zaś, kiedy rymopisarstwo wyprzedza ogólny rozwój władz umysłowych, taki wypadek musi być nieunikniony, i oczywiście nie wybiegał się od niego J. I. Kraszewski w pierwocinach talentu, składanych na ofiarę Apollinowi. To ciekawsza, że wbrew twierdzeniom teoryi, iż pierwszym wytworem poezyi jest liryka, drugim epos a trzecim dramat, w zgodzie jednak z licznémi postrzeżeniami, a pono i z naturą umysłu ludzkiego, wcześniéj przychodzącego do postrzegania świata zewnętrznego, niżeli do zastanowienia nad życiem wewnętrznem, pierwszym znanym płodem rymowanym Kraszewskiego była ballada, dzieło opisowe, epickie. Treść owéj ballady znajdą czytelnicy na inném miejscu obecnéj książki, w artykule p. Glogera, opowiadającym chwilę wspólnego pobytu w szkołach bialskich. Była ona widocznie echem, jeszcze nieświadomém, ballad pojawiających się w czasopismach polskich z pierwszym błyskiem jutrzenki romantyzmu, ballad jeszcze klassycznie chłodnych i z wielką bojaźnią zawadzających o cudowność. Gdyby Kraszewski znał już wtedy ballady Mickiewicza, musiałby przedewszystkiém naśladować ich formę kunsztowną i zabrnąć w lasy fantastyczności, w któréj, równie jak Mickiewicz, był kołysany przez piastunki. Wązka pierś młodociana nie wezbrała jeszcze uczuciem potrzebującém wylania się w pieśni; gra więc tylko wyobraźnia, ale uczucie milczy w balladzie chłopięcéj. Wprędce i na nie przyjdzie koléj; ale tymczasem młodociany autor składa zapowiedź przyszłości, iż przedewszystkiém będzie w poezyi naturalnym. Jakoż w istocie, pomimo wielkich pokus, które w latach rozwoju miał przed oczyma, nie zbratał się z przesadą i naturalnym po dziś dzień pozostał.

Nóta rozczarowania i rozpaczy, która odrazu rozległa się w najpierwszych drukowanych poezyach lirycznych Kraszewskiego, bynajmniéj temu twierdzeniu nie zaprzecza. To, co się przyzwyczajono nazywać „bajronizmem,“ co przeto w Kraszewskim za przejęte od Byron'a poniekąd poczytywać można, jest raczéj starym, jak świat, głosem piersi człowieczéj, który jedynie w pieśni wieszcza Albionu zabrzmiał przenikliwiéj i boleśniéj, bo też rozpacz zawodu i boleść powszechna była naówczas większa, niż kiedykolwiek. Dwudziesto-letni Kraszewski, w takiéj porze wieku, kiedy chęć czynu przewyższa siłę ramion olbrzyma, kiedy żądza sprowadzenia raju na ziemię przenika całą naszą istotę, kiedy nizka temperatura otoczenia największą wykazuje różnicę z naszą gorączką, kiedy więc w samych sobie nosimy wszelkie warunki codziennego rozczarowania, — skazany był na bezczynne rozmyślanie. Cóż tedy dziwnego, że pieśń młodzieńca zabrzmiała niewiarą w siebie i w ludzi, zionęła rozpaczą i sarkazmem, zwłaszcza, że tymże tonem śpie-

wano dokoła, a Byrona właśnie wtedy tłumaczyły najdzielniejsze u nas pióra? Zresztą nawet w pognębieniu rozpaczy Kraszewski ma rysy odrębne, obce czystemu bajronizmowi: gardzi rozkoszą zmysłową, a nawet uniesiony chwilowym szałem, wstydzi się być „szczęśliwym jak zwierzę;“ długo wierzy w miłość szlachetną, widzi ją nawet w „Maryi Magdalenie,“ którą usprawiedliwia słowami Ewangelii, iż wiele kochała, że pragnęła „kwitnąć nie sobie, pachnąć nie dla siebie;“ nad ludzkością częściéj boleje, niż urąga, zresztą urąga tylko złemu; ciągle ma przed oczyma żywot zagrobowy, i słowa „Bóg“ nie wzdryga się wymawiać; na awantury, jak bohaterowie Byrona, prócz Paola, bynajmniéj się nie kasa. „Lepiéj umrzéć, niżeli żyć,“ kilkakrotnie spływa u niego na papier; ale nigdy nie powiada: Czémkolwiek byłeś, lepiéj być *niczém*.“ Liczne tego dowody złożył Kraszewski na kartach swoich *Poezyi*, które w dwóch tomach ogłosił po raz pierwszy w r. 1838 drukiem Blumowicza w Wilnie, a powtórnie w r. 1843 nakładem Orgelbranda w Warszawie.

Nieszczęśliwe te *Poezye*, przybite barbarzyńskiemi gwoździami omyłek do bibuły, którą wówczas nazywano „dobrym“ papierem w ogłoszeniach księgarskich, właśnie otwierają przed nami swe tajemnice, z któremi dziś autor możeby się nie zawsze zwierzał. Oto dla przykładu, jak w r. 1833, zatém w dwudziestym pierwszym życia, czuje się obarczonym przedwczesną starością, wyczerpanym z sił, umierającym, i jak w „łabędzim śpiewie“ rozstaje się z ukochaną, która w druku ma imię Maryi:

Wyrzucony na świat ten silną Stwórcy dłonią,
Obiegłem w koło życie i u celu stoję;
Oczy, wprzódy łez pełne, dzisiaj łez nie ronią,
Wprzódy umrzeć się bałem, dziś już się nie boję.
I czuję w głowie mojéj przedśmiertelne dreszcze,
I w piersiach moich przyszły zaród śmierci czuję,
W sercu życia maleńka iskra tleje jeszcze,
Lecz już dusza znękana ku niebu wzlatuje.
Bądź zdrów świecie na zawsze, na wieki, na wieki!
Bądźcie zdrowi wy, coście zmierzili mi życie;
Przebaczam wam—nas wszystkich koniec niedaleki;
Przebaczam wam — nie wiecie nigdy, co czynicie.....
I ciebie żegnam luba.... nie! nie żegnam ciebie:
Nie żegnając się nawet znajdziemy się w niebie.....
Jedno może wspomnienie chwil naszéj miłości
Miłe mi jest i dzisiaj, tak jak przedtém było, —
I niejeden mi skarbu wspomnień pozazdrości,
Bo z niémi umrzeć nawet, — o luba! tak miło!
Ja i dzisiaj pamiętam téj miłości dzieje:
Kiedym był nieszczęśliwy, tyś mnie pokochała,
Kiedym utracił życia i szczęścia nadzieję,
Przyszłaś, żebyś łzy swoje z mojémi zmięszała.
Dzięki ci, dzięki! — Może czas odmieni ciebie,
Pomarszczy twoje lica, serce twe odmieni;
Zimna, mądra ostygniesz z namiętnych płomieni,
Zestarzejesz —lecz młodzi spotkamy się w niebie.
Wszak dusza nie starzeje!—Tak, tam, luba, w niebie,
Zakończymy rozmowę na ziemi poczętą;
Tam będziesz moją, tam mi nikt nie wydrze ciebie,
Tam brudna miłość ziemska przemieni się w świętą.
Brudna?... nie — i tu miłość nasza czystą była,
Wyrosła z łez i nieszczęść, na nich się skończyła.
O! te chwile w najsłodszych życia mego mieszczę.
Czegożbym nie dał, gdybym dziś mógł kochać jeszcze!
Lecz dziś kochać nie mogę — widziałem świat cały,
Odarłem człeka z ciała, w krew jego patrzałem,
Serce wyrwane z piersi te ręce trzymały,
Z czaszką, myśli stolicą, o ludziach gadałem.....
Ach! gdyby tylko chwilę, Maryo ukochana,
Tylko dwie przeżyć chwile, jak my dawniéj żyli,
Wieczorem zejść się w domu, a w kościele z rana,
Płakać godziny całe, a śmiać się pół chwili!...
Maryo! dziś ty nie taka, jaką byłaś wprzódy,
Kiedyś ty młodszą była i ja byłem młody,
Dziś my starsi oboje, śmiejem się z młodości,
Śmiejem się głośno — serce po cichu zazdrości....
Wówczas lepsze łzy były, niż dzisiejsze śmiechy,
Na wagę życia marne kupione uciechy.
Dzisiaj kiedy do grobu nachyla się ciało,
Z dawnych rozkoszy tylko żartować przystało...
Maryo! przed tobą jeszcze dłuższa droga życia...
Nie spiesz się — i wśród życia między ludźmi złemi
Bądź taką, jaką byłaś w młode twoje lata,
Jaką masz być tam w niebie, bądź tutaj na ziemi,
Żyj, i jak ja przy śmierci — nie płacz tego świata.

Pomimo wyrażenia: „Bądź taką, jaką byłaś w młode twoje lata,“ bardzo przypominającego: „Marzyć, jakem przemarzył moje młode lata,“ w nawskroś rozpacznym *Nowym Roku* Mickiewicza, — pomimo jednorakiéj formy zewnętrznéj obu utworów, świadczącéj, że późniejszy był pisany pod świeżym wpływem pierwszego;—Kraszewski nie przestaje tu być sobą w zapatrywaniu się na życie i przyszłość. Jego rozpacz, znużenie, żądza spoczynku na „dębowéj pościeli“ jest zupełnie nasza rodzinna, jest, jeżeli się tak wolno wyrazić, „polskim bajronizmem.“ Rozpacz bez granic, niewiara bez zastrzeżenia, odzywa się u niego wtedy jedynie, gdy zamyka się w stosunkach wyłącznie ziemskich, jak np. w improwizacyi: *Do moich przyjaciół*, kończącéj się głębokiém szyderstwem: „Kto z was przyjaciel, moi przyjaciele?“ Skoro jednakże wyżéj nad chwilę obecną wzleci, zaraz do nóty polskiéj powraca, jak n. p. w tym młodzieńczym, a najpiękniejszym pono w całéj pierwszéj wiązance wierszu *Do Nowonarodzonego*:

Otoż nowy męczennik do świata przybywa!
Nieszczęśliwy! O gdybym miał na to dość siły,
Stargałbym słabe życia twojego ogniwa,
Żebyś nie zapłakawszy wrócił do mogiły...
Powróć nazad, ażebyś za rozkoszy chwilę,
Dla imienia człowieka nie dręczył się tyle,
Ile my z każdą tutaj dręczym się godziną;
Póki czas, wróć do nieba, zkąd idziesz, dziecino!...
Tu nie ma szczęścia, nie ma! — tu tylko szczęśliwy,
Kto zimno na świat cały i siebie spogląda;
A w jego oku nikną cnót i zbrodni dziwy,
Nie lęka się niczego, niczego nie żąda,

Śmieje się z siebie, z Boga, z świata, jak z omamień,
Nie płacze i nie kocha... szczęśliwy — jak kamień!...
Poznasz, co to jest człowiek. Któż poznał człowieka?
Zlepiony z tchnienia Boga i kału téj ziemi,
Zblizka szatan lub zwierzę, aniołek z daleka,
Nieśmiertelność śmie wzywać usty nieczystemi!
Sam niewolnik, a jednak porwał berło świata;
Słaby — ujarzmił wszystkich, — i do chwili zgonu
Nie ustąpi uparty z swéj wielkości tronu;
Wpół zgniły jeszcze Bogiem i duszą pomiata....
Ujrzysz jak potem, ziemię skrapiając obficie,
Ciężko kmieć w jéj wnętrznościach zarabia na życie;
Jak nędzny, do zwierzęcia podobniejszy człowiek,
Będzie żebrząc litości, pił łzy swoich powiek;
Nikt mu ręki nie poda, żalem się nie wzruszy,
Odepchną go, na skargi zatykając uszy.....
Znajdziesz i rozkosz!—dla niej nie warto się rodzić...
W zawiedzionych nadziejach młodość twa upłynie,
Nadejdzie starość, niosąc rozumu pochodnie,
Będziesz płakał przeszłości, gdy na wieki minie,
Będziesz płakał lat młodych steranych niegodnie!
Lecz cóż z żalu po czasie? O umrzéj dziecino,
Bo lepiéj ciału w grobie, lepiéj duszy w niebie...
Żyj jednak, gdy cię matka wypieszcza troskliwa
I niepomna swych cierpień do nich ciebie wzywa;
Żyj i cierp — ale szczęścia nie szukaj na ziemi,
Bądź tylko zimnym sędzią ludzkich głupstw i złości,
Śmiej się, płacz, patrząc na nich, ale nie bądź z niemi,
Przysięgami pogardzaj, nie wierz ich miłości....

Ta zachęta do „płaczu“ nad ludźmi, najlepiéj przekonywa, jak dalece Kraszewski nigdy się nie mógł przejąć rozpaczą wyrosłą na gruncie wzgardy dla ludzkości, jak dalece niedługo mógł pozostawać w ucieczce od świata, w zamknięciu się z samym sobą na pustyni, „w otoczeniu duchów.“ Dla niego, jak powiada, przespać całe życie na „łożu dumań“ jest to samo, co „być dla świata, jak kawał kamienia urodzony na Alp szczycie.“ Umie też w formie jeszcze nie bardzo może wyrobionéj, lecz z wielką siłą uczucia, malować na tle Burzy i świetnego balu, cierpienia matki. Z drugiéj strony rzewna skarga cichéj boleści nie jest też bynajmniéj obca Kraszewskiemu, jak to widzimy n. p. w wierszu zatytułowanym *Pogrzeb Rybaka*, a jeszcze udatniéj w innym, noszącym miano: *Biedny Chłopiec*. Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia tutaj w całości tego wierszyka, którego ostatnia strofa przed wykrzykiem i po wykrzyku Mickiewicza: „Nie miałeś litości panie!“ rzadko się wtedy odzywała w poezyi, chociaż zgrzytliwie brzmiała gdzieindziéj. Biedny Wieśniak śpiewa:

Na mojéj grządce powiędły kwiatki,
Na polu wybił grad zboże,
I piorun wleciał do mojéj chatki.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Miałem dziewczynę jedną na świecie,
Czyż taka druga być może?
Ach! i ta jedna zwiodła mię przecie.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Był u mnie ptaszek, co jak my gada,
Piórka miał lśniące i hoże,
I mego ptaszka zjadł kot sąsiada.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Miałem konika, który od młodu
Nosił mię nieraz w bezdroże,
I konik nawet zdechł u mnie z głodu.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Los mi grób matki jeszcze zostawił,
Tam choć popłakać syn może;
Ale pan na nim karczmę postawił.
Biedny ja, biedny! zlituj się Boże!

Takie to są „młodzieńcze próby, młodzieńczych uczuć wyraz,“ jak sam o swych poezyach pisanych do roku 1838 powiada Kraszewski. W miarę postępu czasu, wypogadzało się coraz bardziej na niebie duszy poety, aż wreszcie w usposobieniu jego nastała zupełna zmiana. Wprawdzie na zawsze pozostać miało goryczyczne ziarnko niesmaku w jego patrzeniu na rzeczy tego świata, pozostała odrobina lekkiego przekąsu pod dobrodusznym uśmiechem, ale z rozpaczą i żądzą śmierci poeta wkrótce dozgonny uczynił rozbrat.

* * *

Więcéj może czystego bajronizmu znaleźć można w młodzieńczych utworach epickich Kraszewskiego, aniżeli w jego pieśniach lirycznych. Widocznie lubił ponurych bohaterów, noszących się z wielką zgryzotą, ale sam takim być nie chciał. Przynajmniéj „powieść wenecka“ *Paolo* — niemająca przy sobie daty, ale z pewnością jedna z najdawniejszych, — z potwornéj namiętności i formy ciągle w liryzm przechodzącéj, należy do wnucząt autora *Don Juana* i *Giaura*. Młoda niewiasta, wydana za starca, ma wielbiciela w pięknym młodzianie. Tymczasem rozszalałe miłością ku niéj a wzgardzone pacholę, czatuje na szczęśliwego współzawodnika. Prawdziwie bajronowski jest następujący obrazek:

Tuż z za drzwi uchylonych, ktoś okiem ciekawém
Pożera ją przy świetle wieczora bladawém.
Wzrok jego chciwy białe przelata ramiona,
  Pierś jéj, kibić, — i przy stopach kona.
Któż to?—To chłopiec mały—jeszcze w jego łonie,
  Dziecinne serce spokojnie bić musi.
O nie! Patrz: oko jak w tych piersiach tonie!
  Jakie westchnienia w własnéj piersi dusi!
O nie! słońce ten kwiatek rozwinęło wcześnie,
Choć młody, dumać musiał i kochać choć we śnie.
  Gdy świat go ślepy dziecięciem nazywa,
On w łonie męzkie serce i duszę ukrywa.
  Kiedy kobiety szepczą między sobą,
  Że będzie kiedyś Wenecyi ozdobą,
  On z nich niejedną na wskroś wzrokiem przeszył,
  Niejedną myślą rozkoszy się cieszył,

Któréj sądzono, że nie zna dziecina.
Lecz on próżno do świata wyciąga ramiona:
Serca niedojrzałego nie przyjmie dziewczyna,
I miłość próżno tléć będzie wzgardzona.
Biedny! jakież pamiątki dla niego zostaną?
Zawczesne, zawiedzione, przekwitłe nadzieje...

Uniesiony wściekłością na widok szczęścia rywala, Paolo uprowadza go w ciasne uliczki Wenecyi, niby na schadzkę miłośną, i przebija sztyletem. Potém i odpychająca mężobójcę, i odepchnięty, giną w głębi Wielkiego Kanału. Pelne siły są tutaj wyrazy młodocianego mordercy, wpatrującego się w powaloną swoją ofiarę:

Dziękuj kochance za rozkosz, za wdzięki;
One to były panem mojéj ręki.
Im śmierć winieneś! — ach! i szczęścia tyle!.....
I jabym umarł, gdybym jak ty długo
Poił się szczęściem!... Skonał? nie — już kona!
Krew jeszcze z piersi płynie czarną strugą,
A w piersi dusza siedzi uwięziona.
Sztylet głęboko, — ale nie tknął duszy:
Daléj zlękniona przed śmiercią uciekła....
Czy żyje? — Skonał — serce się nie ruszy —
Poszedł do piekła!

Prawdziwym upałem poetyckim już nie weneckiego nieba, ale afrykańskiéj pustyni, wieje od małego poemaciku *Azaoad*, stanowiącego piękną przypowieść, nawskroś przejętą wybuchami lirycznemi. Na tém jednakże kończy się u Kraszewskiego szukanie wątku do pieśni po za granicami własnego kraju. Oddanie się studyom nad dziejami Wilna i Litwy, zwróciło téż w tamtą stronę jego natchnienia poetyckie, lubo jeszcze nie uwolniło ich od lubowania się w gwałtownych dramatach i bohaterach napiętnowanych zbrodnią. Taka jest osnowa poemaciku: *Gerhard Ruda*, w którym jeniec krzyżacki, zakochany w Litwince, następnie uwolniony, powracający jako nieprzyjaciel i pożogę roznoszący po Litwie, wydany zostaje przez kochankę i spalony na stosie w roku 1320. Podobnaż osnowa *Biruty*, kapłanki porwanéj od ołtarza przez Kiejstuta w r. 1331 i pojętéj przezeń za żonę z pogwałceniem praw religijnych. Podobnaż osnowa *Kiejstuta* zamordowanego z rozkazu synowca w r. 1382. Podobneż wreszcie ma cechy poemacik *Ryngała*, w którym książe Henryk mazowiecki, pomimo przyjęcia sukni duchownéj, żeni się z córką Witołda, i znajduje za to śmierć w ślubnéj łożnicy z ręki nasadzonego mordercy. Wyjątek od tego bajronicznego nastroju znajdujemy tylko w niewielkim utworze: *Dziewięć Pokoleń Litwy*, opowiadającym według mitologii litewskiéj dzieje potopu i nowe rozrodzenie się ludzi. Przeczuwamy już tutaj przyszłego autora *Witolorauły*; w ogóle jednak we wszystkich tych utworach brak jeszcze wybitnego kolorytu epoki, oddzielonéj od młodocianego autora pięciu wiekami wielkiéj pracy cywilizacyjnéj na Litwie. Że jednak i w tych najdawniejszych próbkach są śliczne ustępy, nacechowane charakterem miejscowym, za dowód posłużyć mogą następne wyrazy o Kiejstucie, z ufnością udającym się do Jagiełły, który przędzie nań zdradę:

Lecz patrzajcie — o cudo! oto Kiejstut jedzie!
To jego konik, Żmujdzin jak Biruta,
To szabla jego, to sługi Kiejstuta,
A to Skirgajło na przedzie.
Jedzie, stanął na błoniu,
Koń się zarył nogami.
— Czego stajesz mój koniu?
— „Panie! zdrada przed nami!“
I pies drogę zaskoczy,
I wyjąc przed nim pada;
— „Kniaziu, wyje, tam zdrada!
Kniaziu, wróg tam otoczy!“
I sokoł mu na ręku
Siadł, zabrzęczał dzwonkami,
I w smutnym mówił jęku:
— „Kniaziu, zdrada przed nami!“
Kiejstut nie słuchał ni psa, ni sokoła,
Ni konia swego, ni swojéj drużyny.
— Kiejstut się zdrady nie boi! — zawoła —
Kiejstut na pokój spieszy do rodziny.
A kiedy życia wrogi mu nie wzięły,
Nie wezmą swoi....

Kilka ballad i bajek mocno zaprawnych satyrą i wybornym dowcipem, uzupełnia pierwszy snop epicki Kraszewskiego. Komuż nie jest znana bajeczka *Dziad i Baba*, cudnie illustrowana muzyką przez Moniuszkę? Komuż nieznany *Pan i Człowiek*? albo *Monomachia Wiatru z Chmurą?* albo też owa *Branka*, którą, młodzieniaszkami będąc, przez mściwość przepisywaliśmy na wsi w upominku dla panien? Mniéj była za naszych młodych czasów upowszechniona, a równa powyższym jest *Panna Barbara*, o któréj parę słówek nie będzie za wiele. Kocha ją młodzian spokojnego animuszu, któryby, wybierając z dwojga złego, wolał zaszyć się w habit niżeli iść na wojnę. Lecz ojciec Basi zapowiedział, że odda jéj rękę tylko temu, „kto rąbie, pali, niszczy, kto nie ucieeze z pola i dostoi do kielicha;“ więc nie ma rady, panicz wybiera się na wojnę.

Poszedł—dobrze się udało,
Z nieśmiertelną wrócił chwałą,
Tylko jedną stracił nogę
I o kuli rusza w drogę.
Do domu! serce mu bije —
Widać dom Basi z daleka —
Modli się biedny kaleka,
I słodkie wspomnienia pije.
Ach! czy szczęśliwi? czy żyją?

Pociesz go Panno Maryo!...
Idzie — tak ludno we dworze,
W dziedzińcu konie, landary,
Muzyka... cóż to być może?...
— Wesele panny Barbary......

* * *

Do formy dramatycznéj w poezyi bardzo wcześnie uciekać się począł Kraszewski; lecz napisawszy jeden zaledwo utwór odpowiadający mniéj więcéj zwykłemu pojmowaniu sztuki scenicznéj, wcześnie dramat wierszowany porzucił, zstępując z wyżyn tragedyi do lżejszéj komedyi historycznéj i obyczajowéj w prozie. Jego *Halszka*, osnuta na kronice książęcego domu Ostrogskich z połowy XVI stulecia, formą przypominająca trochę klassyków francuzkich i naszych opiewających Barbarę Radziwiłłównę, trochę zarywająca z *Dziewicy Orleańskiéj* Szyllera, do któréj się zbliża długiémi tyradami, trochę zawadzająca o Szekspira przez wyprowadzanie mass ludowych, napisana została w r. 1835, gdy autor miał ledwo 23 lata, zatém był w wieku, w którym objektywność i znajomość charakterów, niezbędna dramaturgowi, nie bywa dostatecznie wyrobioną. Rozbiór zresztą tego utworu należy do innego współpracownika obecnéj książki; ja notuję tu jedynie, że na tragiczny żywot Halszki z Ostroga, brany późniéj za przedmiot dzieł dramatycznych przez Przeździeckiego i Szujskiego, Kraszewski pierwszy zwrócił uwagę, a, prześcignięty przez Szujskiego bardziej wytoczonym wierszem, w prostocie słowa nie dał mu się prześcignąć.

Oprócz *Halszki*, inne niby dramatyczne utwory wierszowane Kraszewskiego są po prostu pieśniami lirycznémi, satyrami lub scenami opisowémi pociętémi na dyalogi. W szeregu tych utworów dyalogowanych, pierwsze miejsce w *Poezyach*, a zapewne też pierwsze i w czasie, zajmuje urywek noszący tytuł: *W świat!* Osnowa obrazka przeniesionego w drugą połowę XVIII wieku, bardzo prosta. Pan cześnik wyprawia w świat dwóch synów, widocznie na wojaczkę, bo opatruje ich przedewszystkiém w konia, a dopiero potém w błogosławieństwo: „Daję wam, powiada, na drogę konia, błogosławieństwo — tyle, ile mogę..... I mnie tak ojciec za młodu wyprawił...“ Na pożegnanie zjeżdżają się sąsiedzi: — figury z wyjątkiem księdza pocieszne, myśliwi zapaleni, politycy wiejscy, zasięgający opinii o wypadkach europejskich u Dawida Szmujłowicza (wówczas jeszcze starozakonni nie nosili stałych nazwisk, lecz po wschodniemu posługiwali się ojcowskiém imieniem), plotkarze biorący na zęby sprawy serdeczne nieobecnych, — sprzeczają się, piją, żegnają odjeżdżających, i na tém koniec. Robota pisarska bardzo słaba, ale w zarysach działających postaci widać już bystre oko obserwatora, który wizerunki całego świata polskiego miał późniéj pochwytać na ostry grocik pióra i umieścić w zbiorze entomologicznym swoich powieści. Ostra satyra wiejskich stosunków współczesnych maskuje się tu jedynie wzmianką o zeszłowiecznym harcapie i luźną formą dramatyczną. Jeszcze zaś mniéj się ukrywa i mniéj o prawdziwy dramat się kusi inny utworek zatytułowany: *Ślepa babka*. Chodziło tu po prostu autorowi o wypowiedzenie przez usta „ślepéj babki“ reprymandy głupcom, wietrznikom, rozczarowanym małżonkom, stęsknionym do zamążpójścia pannom; a nareszcie — bo jakże inaczéj, dopókiśmy młodzi? — chodziło o to, by dać tryumf nad wszystkimi poecie. Na zarzut gonienia za sławą, chociażby pogrobową, poeta odpowiada następném pięknem określeniem wiekuistego gonienia za ideałem:

Spytaj Tego, kto stworzył i niebo i światy,
Dla czego stworzył światy i niebo i ziemię?
Dla czego ubrał kwiatki w różnobarwne szaty?
Dla czego w niebo patrzy skał śnieżyste ciemię?
Spytaj morza, dla czego pod brzegi przypływa?
Spytaj rzek, dokąd idą, chmur, dokąd biegają?
Spytaj gwiazd, dla czego się po niebach tułają?
Dla czego niewidzialne spoiły ogniwa
Światy i nieba — nieba i człowieka?
Czemu się człowiek wieczności spodziewa,
Kiedy go blizka śmierć czeka?
Zapytaj Boga, na co w duszy mojéj
Nieśmiertelności zaszczepił nadzieje?
Czemu ta żądza niezgaszona tleje,
Z śmierci urąga, czasu się nie boi?
Zapytaj, czemu lecę tak wysoko,
Gdym się tak nizko na ziemi urodził?
Czemu się tęskne wzbija duszy oko
Tam, gdzie prócz duszy nigdy nikt nie chodził?
Spytaj — a jeśli z téj strony mogiły
Pojmiesz odpowiedź, nie mów jéj przed ludem!
Gdyby te tajnie światu się odkryły,
Bógby się Bogiem, cud przestał zwać cudem.

Szerokie miejsce w tych kartkach dyalogowanych zabiera fantastyczność. Wzmiankowaliśmy już o *Burzy*, utworze w pół-opisowym, w pół-dyalogowanym, w którym Szubienica i Piorun rozmawiają z matką wisielca, jak dziwadla w *Zamku Kaniowskim* Goszczyńskiego. Podobnież się dzieje w takim samym obrazku, noszącym tytuł: *Barbara*, skreślonym na tle historycznem, ale nie zawsze wiernym surowemu dekalogowi estetyki i prawdy. W przesuwających się tutaj obrazach widzimy pierwsze chwile poznania się Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwił-

łówną, krótki jéj żywot na tronie, a nareszcie w ostatniéj, najudatniejszéj scenie, rozmowę króla z jéj duchem, przybyłym z grobu na ucztę. Król zapomniawszy o żałobie, goni płoche uciechy na balu maskowym w zamku wileńskim. Duch Barbary w masce i w zasłonie, wyprowadza go, gnanego ciekawością, ku świątyni katedralnéj w obrębie zamku, dokąd zwłoki ukochanéj król przywiózł był z Krakowa. Tam Barbara daje mu się nareszcie poznać, oświadcza, że ma dom w ziemi i dom w niebie, że w obu czeka na niego — i znika. Rzecz to słaba, podobnie jak *Rapsod 1252*, który w formie przypominającéj kantyczkowy „spór anioła z szatanem o duszę grzesznika,“ wystawia walkę na słowa między Czarnym Duchem a Archaniołem o posiadanie Litwy. Rok na tytule wskazuje datę koronacyi nawróconego przez Krzyżaków Mendoga, któremu następnie szatan przy pomocy mnichów niemieckich ohydza chrześciaństwo, i wychodzi zwycięzko z walki z archaniołem, bo Mendog odpada od wiary i Litwa na lat 125 pozostaje w pogaństwie. Pycha i mściwość szatana mocno brzmi w tym utworze Kraszewskiego, ale w ogóle przy znacznéj rozwodzistości słowa, czuć w nim brak Miltonowskiego lub Dantejskiego polotu wyobraźni, bez którego podobne dzieła szwankować muszą. Ten brak jest grzechem pierworodnym wszystkich młodzieńczych próbek fantastycznych Kraszewskiego.

II.

Trzy wielkie poemata z przeszłości Litwy, najznakomitsze dzieła Kraszewskiego, który też najwięcéj włożył w nie pracy, związane są jedną myślą przewodnią i jednym wspólnym tytułem: *Anafielas*. Sięgają one początkiem swoim roku 1838, w którym pojawił się w druku cytowany już powyżéj ułamek: *Dziewięć Pokoleń Litwy*. Ustęp ten w pierwszéj swojéj postaci rymowany, następnie wierszem białym powtórzony i zamieszczony na str. 100—102 pierwszego toma *Anafielas*, można uważać jako zalążek całego utworu. Tym sposobem między powzięciem myśli a napisaniem *Witoloraudy*, zapowiedzianéj w r. 1839, a ogłoszonéj po raz pierwszy w r. 1840 w Wilnie u Zawadzkiego, upłynęły dwa lata. Tyleż czasu ubiegło między pojawieniem się pierwszego a drugiego utworu: *Mindowsa*, który wydrukowany z datą 1843, ma podpis cenzury w Czerwcu 1842 roku. Tyleż nareszcie czasu leży pomiędzy drugim a trzecim i ostatnim poematem: *Witoldowemi Bojami*, które lubo na tytule mają datę 1845, pozwolenie cenzury otrzymały w Czerwcu 1844. Sześcioletni więc przeciąg czasu zabrały tu studya nad językiem, podaniami, pieśniami i dziejami Litwy, które posłużyły za wątek dla *Anafielas*, dzieła zaiste pamiętnego też autorowi ze swojéj materyalnéj strony! Na *Witoloraudę* ogłoszona była przedpłata; zebrało się aż 144 prenumeratorów, ale i z tych jeszcze niektórzy, uważając cenę książki za zbyt wysoką, część tylko wnieśli opłaty lub całkiem wnieść zapomnieli. Tym sposobem autor ujrzał się zmuszonym „sam łożyć na druk *Witoloraudy*,“ i zarzéc się raz na zawsze ogłaszania przedpłaty na poezye. Skarżyć się zresztą nie miał tak dalece powodu. Kiedy Ludwik Kondratowicz w kilka lat późniéj ogłosił prenumeratę na swój przekład *Poematów Klemensa Janickiego*, to zebrał tylko 17 prenumeratorów, licząc już w to kilka sąsiadek, kilku przyjaciół i własną matkę tłumacza. Kraszewski tedy był w każdym razie nierównie szczęśliwszy.

Tytuł: *Anafielas*— co jest wyrazem z innego jakiegoś wyraźnie przekręconym, może ze słowa *Kalnas* góra i *szalis* stromy,— wziął Kraszewski od Teodora Narbutta, który w swych *Dziejach Litwy* (I, 384) tak pisze, powołując się na powieść gminną, zasłyszaną w okolicach Kretyngi: „Jest góra wielce wysoka, stroma, niedostępna skała, nazywająca się Anafielas, na którą cienie zmarłych wdzierać się muszą. Dla tego paznogcie długie, pazury zwierząt, oręże, konie, sługi i t. d., potrzebne są dla prędszego na nią dostania się. Im zaś człowiek był bogatszym, tém trudniejszy ma przystęp, gdyż mienia ziemskie ciążą na duszy; ubogi, lekki jak piórko, może się wedrzéć na górę, kiedy bogów nie obrażał w życiu. Istota bożka, mieszkająca na szczycie téj góry, sądzi umarłych z ich postępków za życia; każdy według jéj sądu odbiera nagrodę lub karę wieczną. Cienie umarłych przebywały w mieszkaniu bogów, które jest na niebie w końcu północnym Drogi Mlecznéj; biesiadowały w ich gronie, piły z niemi ałus (piwo), i panowały nad Niemcami, wolne od ucisku Polaków i Rusinów.“ Tak więc wyraz „Anafielas,“ wzięty na wiarę od Narbutta, znaczył dla Kraszewskiego: raj Litwy, żywot wieczny jéj bohaterów. W tym wyrazie (nieistniejącym w języku litewskim, jak zapewniają znawcy téj mowy) autor poematu wypowiedział myśl zasadniczą swego dzieła: uwiecznienie chwil wielkiéj przeszłości staréj Litwy, wniebowzięcie jéj ducha ucieleśnionego w wielkich mężach i bolejącego tam na wysokościach.

Osnową pierwszej części trójlistnego poematu jest „pieśń o Witolu,“ z litewska „Witoloranda“, właściwie zaś pieśń o Litwie przedchrześciańskiéj, o ile pozostały o niéj wzmianki w księgach i pamięci ludu. Bohaterem opowiadania, płynnie toczącego się wierszem białym, znakomicie wyrobionym, szczególniéj w drugiém wydaniu, mocno przeoraném przez autora i wyszłém w r. 1846,— jest syn bogini miłości Mildy i wygnańca ziemskiego Romoisa, dościgniętego za podniesienie oczu na bóztwo zabójczym gniewem Perkuna. Takiż koniec był postanowiony w dziedzinie bogów dla dziecięcia bogini, ale matka ukryła je przed zemstą aż do spełnienia się wyroków. Żywot Witola, niby Herkulesa litewskiego, upływa na unikaniu ścieżek bogów, a zarazem na rwaniu się do wielkich czynów i spełnianiu ich według pojęć ludowych. Różne okoliczności tego życia nastręczają autorowi sposobność to opisania jakiegoś mitu, to przytoczenia klechdy, to zaśpiewania starożytnéj piosenki, nie wyjmując nawet luźnych epitetów, towarzyszących przedmiotom w ustach ludu, skutkiem czego dzieło niejednokrotnie robi wrażenie Przemian Owidyusza. — Część druga, mająca za bohatera „Mindowsa“ czyli Mendoga, wielkiego księcia Litwy, siedzącego na Nowogródku nadniemeńskim, wkracza już w czasy historyczne, lubo jeszcze nadzwyczaj ciemne pomimo zbadania kronik ruskich przez Daniłowicza, archiwów krzyżackich przez Voigt'a i archiwum watykańskiego przez Theiner'a. Jest to doba pierwszego bezpośredniego zetknięcia się na pół dzikiego ludu z chrześciańską cywilizacyą Zachodu, pierwszego wyrąbania duktu na zachód przez nieprzebyte puszcze nadniemeńskie. Chwila więc do poematu bohaterskiego bardzo szczęśliwie wybrana; Kraszewski jednak za mało nieco korzystał z napraszających się pod pióro kontrastów obyczajowych, więcéj się zamykając w obrębie wielkich przewag orężnych swojego bohatera. Prawda, że te przewagi w starciach na ostre i rokowaniach z Rusią i Krzyżakami starczyćby mogły na kilka wielkich poematów.— Nakoniec część trzecia poświęcona jest ostatniemu wielkiemu księciu Litwy, który uparcie przez całe życie zmierzał najprzód do wydarcia jéj bratu, a następnie do oderwania od Polski. Wojownik pierwszéj siły, administrator ogromnego talentu, żelazny władca niezmiernych obszarów od Krymu do Nowogrodu, wielki umysł, bystrém okiem ogarniający pożytki cywilizacyi, był i jest Witold, pomimo swéj przewrotności, ulubieńcem dziejopisów. W chwili zaś, kiedy Kraszewski miał pieśń o „Witoldowych bojach“ układać, podnoszono jeszcze bardziéj Witolda w stronnictwie zagorzalczo litewskiém. Ten zapał dla Witolda na Litwie około roku 1845, nie mógł się nie odbić na niezwykle wrażliwym umyśle Kraszewskiego, a z kolei musiał też silnie ozwać się w pieśni. Jakoż w istocie najgorętsze ustępy *Anafielas* przypadają na część jego ostatnią. W ogóle jednak powiedzieć można, iż we wszystkich trzech częściach wiedza góruje nad wyobraźnią, rozwaga nad zapałem. Bogactwo erudycyi jest tak wielkie, że więzi tu i owdzie polot poetyczny i staje się niekiedy powodem oschłości opowiadania. Nieraz atoli i nie sto razy fantazya poety, krępowana przez badacza, odzyskuje swe prawa, wzbija się bardzo wysoko i włada potężnémi skrzydłami, jak naprz. w części pierwszéj, w opisie śmierci kochanka Mildy Romoisa, pokonanego przez olbrzyma Grajtasa (prędkiego), będącego uosobieniem wichru. Opis ten, lubo nieco przydługi, godzien jest przytoczenia dla charakterystyki poematu:

Grajtas od Mildy gaju się zawrócił,
Puszczą się łamiąc, jak ogar za zwierzem,
A w drodze drzewa walił po za sobą,
Wysuszał błota, wodą zlewał pola,
Piaskami kręcił, mącił rzeki do dna.
Po nad nim chmury, jak nad ścierwem krucy,
Pod nim zniszczenie i postrach leciały.
Biegł, potém stanął, jakby śladu szukał,
I niecierpliwy rył ziemię do głębi,
Kręcąc się w miejscu; potém znowu ruszył,
I stanął znowu. Romois szedł przez puszczę,
Z oszczepem w ręku i łukiem napiętym.
Uczuł go Grajtas po woni uścisku,
Po tchu zaprawnym bogini oddechem,
I warknął w górze, a potém się groźny
Zwalił na niego, jak dąb na krzewinę.
Lecz Romois jakby przykuty do ziemi,
Nie zadrżał nawet. Duch podniósł się znowu,
Dokoła obiegł, cisnął wodą w oczy,
Piaskiem, i błotem, i drzewy całémi
Miotał na niego, lecz wszystko napróżno.
On jedną ręką pociski odpychał,
Drugą jak gdyby widział zemsty posła,
Groził, podnosząc twardą ragotinę.
Ale już Grajtas postać swą odmienił,
Leciał na niego okropnym niedźwiedziem.
Podobnego mu nadniemeńskie puszcze
Od potopowych czasów nie widziały.
Na grzbiecie czarna sierść mu się jeżyła,
Oczy, jak głównie nocnego ogniska,
Łapy, jak dębu świętego gałęzie.
Stanął, zaryczał, lecz nim padł na niego,
Już Romois oszczep podniósłszy do góry,
Zwalił go w głowę i czaszkę roztrzaskał.
Wnet Grajtas zrzucił z siebie meszki postać,
I znowu dzikim wilkiem się ukazał.
Zawył, padając pod Romoisa nogi.
On krok odstąpił, ragotinę rzucił,
Oburącz zwierza za gardło pochwycił,

Wstrząsnał i o pień odwiecznego dębu
Nieprzyjacielem z całych sił uderzył.
A w oczach jego nie przestrach milczący,
Lecz gniew wrzał zjadły, z jakim straszne bogi
W chwili nieszczęścia na ziemię patrzają.
A Grajtas jeszcze przywdział smoka postać,
I jak didalis w powietrzu się wznosił.
Żółtą miał głowę, koronę na głowie,
Łuskowy pancerz połyskał na grzbiecie,
I ogon w sploty zwinięty okrywał.
Na barkach skrzydła skórzane rozpięte,
Pod brzuchem dwoje orlich szpon wisiało.
Świsnął—a ptacy padali nieżywi,
I zwierz przelękły gnał się w knieje ciemne.
Ujrzał go Romois, lecz się już nie bronił,
Uczuł, że ludzką nie zmoże go siłą;
Porwał swój oręż, ostrzem w pierś skierował,
I nim smok z góry spuścił się na niego,
Trup tylko krwawy drgał leżąc pod drzewem.—
Grajtas zobaczył, gdy duch ulatywał,
I znowu wichrem w niebo się zawrócił....
„Leży zabity w nadniemeńskiéj puszczy!“
Rzekł, i pod stopy pana się położył....

Podobnież w *Mindowsie*—poemacie, którego tragiczne sploty wężowe wyrastają ze ścierania się bohatera wielkiego umysłu i serca z następstwami jego urodzenia się z niewolnicy, czego rozsiadłe podówczas na Litwie wyobrażenia normandzkie pomiędzy książętami darować nie mogły. Wojny domowe z braćmi rodzonymi, mordy w rodzinie, spiskowanie krewnych z Krzyżakami, nareszcie zamordowanie samego Mendoga i jego synów, w obec największego wyniesienia przezeń Litwy pogańskiéj, równego wyniesieniu już chrześciańskiéj przez Witolda,—to cały świat wielkiéj poezyi, którą Kraszewski nietylko odczuć, ale i wypowiedziéć z potężną siłą i prostotą umiał. Można się o tém przekonać na wielu miejscach. Ja tutaj dla kontrastu z opisem walki Romoisa, przytoczę z *Mindowsa* piosenkę na sposób ludowy skreśloną, rzewnie odbijającą się od toku całego dzieła:

Nad lasu wierzchołki wyniosłe
Dwie sosny głowami sięgają,
Na sosnach dwie pary gołębi
Wzlatują, szczebiocą, gruchają.
A sosny od ziemi spróchniałe,
Podcięte siekierą bartnika,
Zieloną gałęzią wiewają,
Choć z dołu pożółkłe zsychają.
I dymią—bo ogień dziupłami
Ku górze się wije milczący,
Rdzeń zjada i życie wypija.....
I chwila—a wiater, co teraz
Gałęźmi wesoło kołysze,
Zawieje i sosny obali,
A łoskot po puszczy poleci,—
I gdzie się gołębie podzieją?
Nad lasu wierzchołki wyniosłe
Dwie sosny głowami sięgają;
Na sosnach dwie pary gołębi
Wzlatują, szczebiocą, gruchają...

Nareszcie oto, jak w sposób domyślny, ale z wymaganiami prawdopodobieństwa poetyckiego zgodny, opowiada Kraszewski nawrócenie Jagiełły w *Witoldowych Bojach*. Do najdawniejszego w Wilnie klasztoru xx. Franciszkanów, którzy najmniéj od początku wieku XIII odbywali wyprawy apostolskie na Litwę z Polski i Moraw, do klasztoru już dzisiaj nieistniejącego, przychodzi mnich ubogi, w obdartéj odzieży, i puka o wpuszczenie po za fórtę. Wbiegłszy, pada na kolana u krzyża, modli się gorąco, a czując zgon blizki, prosi gwardyana o wysłuchanie spowiedzi. Bracia ze strachu usunęli się na stronę.

—„Śmierć moja blizka—rzekł im, gdy wrócili—
Czuję ją, idzie.... A ojciec nasz miły,
Franciszek Święty, co mi dodał siły
Donieść to nędzne, grzeszne moje życie
Aż do téj chwili, do chwili szczęśliwéj,
Przez usta moje objawia wam dziwy,
O jakich bracia jeszcze nie marzycie.
Słuchajcie, bracia! Jam w Polsce zabrany;
Pogańska tłuszcza do granic mię wlekła;—
Lecz błogosławię męczeńskie kajdany,
Bom wielką duszę wyrwał z bramy piekła.
Bracia! jam księcia Jagiełłę nawrócił!
Wkrótce nad Litwą błyśnie święte znamię,
Miliony ludów bałwany pokruszą,
A Polska, kropiąc chrztem świętym na Litwę,
Powiąże losy swoje z nią na wieki.
O! chwalmy Pana! Wielki, niepojęty!
Wołajmy: Święty! śpiewajmy Mu: Święty!
Niegodne usta wybrał na czyn wielki.
Tak jak dla niego dość deszczu kropelki,
By wywiódł z łona ziemi kwiatów cuda.
Przez moje usta wiarę w nim zaszczepił!
Niegodném, Panie, niegodne naczynie!
Tyś jeden wielki, jam twą mocą silny!
Tyś jeden wielki, Ty jeden niemylny!
Z Tobą i robak olbrzymy pokona;
Bez Ciebie jeden włos nie spadnie z głowy.
Chwała Ci Panie! Mnie już czas umierać.
Jam spełnił życie. Patrzcie—niebo jasne,
Święty Franciszek rękę mi wyciąga,
Anioły skrzydły szeleszczą złotemi,
Cheruby sypią kwiaty różanémi.
A Święta Boża Matka swoją szatę
Nad moją głową od blasków niebieskich
Wyciąga, ziemskie me oczy zasłania.
O! widzę, bracia—przyszedł czas skonania....
Wy chwalcie Pana, jako ja przy zgonie,
Robak niegodny, Pana na Syonie....“
....Kiedy modlitwy i śpiewy ustały,
Pytają bracia:—Kto był mnich nieznany?
Kto był szczęśliwy? kto był ten wybrany?—
On nie zostawił im imienia swego,
I nikt go nie wie...

Krytycy, których *Anafielas* miał sporo, nietylko w druku, ale zwłaszcza w korrespondencyi między pisarzami i na posiedzeniach licznych ówczesnych salonów literackich, za mało zwracali uwagi na takie ustępy, tchnące wielką poezyą i świetniejące już to prawdziwie wysokim polotem, już

ludowym kolorytem, już wreszcie myślą głęboką, a natomiast zbyt może drobiazgowo puszczali się w wywody mitologiczne i językowe. Niepodobna zaprzeczyć, że Kraszewski trochę za wiele zaufał Stryjkowskiemu, Łasickiemu i Narbuttowi w rzeczach mitologii litewskiéj, którą ci pisarze odtwarzali nieumiejętnie i z niepewnych źródeł, zanadto ją naginając do modły klassycznéj. Ich powieści o bogach, w sposób widoczny płyną inną strugą aniżeli pieśni, podania i dzisiejsze wierzenia ludu litewskiego, z których pełnémi dłoniami czerpie poeta. Z tego jednak nie wynika, żeby argumentami przyniesionemi przez późniejsze badania historyczne i etnograficzne, można było obalać zalety utworu poetyckiego. Te zalety *Anafielas* ma wyższe niżeli którebądź inne dzieło wierszowane Kraszewskiego; a jeśli pod względem temperatury uczuć i żywości malowidła nie może się równać z pismami autora *Grażyny*, snutémi z dziejów Litwy, przewyższa jé niewątpliwie lepszą znajomością charakteru epoki. Nie ma u niego takich wspaniale ponurych komnat, jak u Litawora w zamku nowogrodzkim, ani takich uczt, jak u Wallenroda w Marienburgu; ale nie spotykamy też Rymwidów, mających mowy piękne, lecz jakby przepisane z Liwiusza, ani Aldon, wzdychających jak czytelniczki *Malwiny*. Zmartwywstaje tu przed oczyma świat dawno umarły, odsłania się niby portret pradziada drogi dla wnuka, bo podobny, choć nieco przyćmiony. Czyż nie dosyć?...

Oceniono wartość *Anafielas* u swoich i u obcych. *Witoloraudę*, jakem już wspomniał, drukowano po polsku dwa razy w latach 1840 i 1846. Zrozumiały ją duchy bratnie: Moniuszko napisał muzykę do wplecionych w nią pieśni i utworzył z niéj swoją *Mildę*; jedyny wówczas drzeworytnik polski Smokowski przystroił ją 50-ciu drzeworytami. Przełożono ją wreszcie na język rossyjski zaraz po ukazaniu się i ogłoszono tłómaczenie w r. 1841. *Mindowsa* August Woycke tłómaczył na język niemiecki i ułamki przekładu wydał w r. 1861. Zaiste, wyróżnienie to z pomiędzy wielu innych ówczesnych płodów poetyckich, jest całkiem zasłużone.

* * *

Praca nad wielkim poematem *Anafielas* tak dalece wyczerpywała całą twórczość poetycką Kraszewskiego, że w ciągu tego czasu, kiedy poemata litewskie ogłaszał, ledwo się zdobył na jeden nieco obszerniejszy utwór fantastyczny, a i ten nawet jeżeli nie na papierze, to w duchu musiał być wcześniéj poczęty, późniéj zaś wylewał się już dla kontrastu z mozolnémi badaniami historycznémi i poważnym nastrojem śpiewaka przeszłości Litwy. Tym utworem, o wiele wyższym od wszystkiego, co w rodzaju fantastycznym napisał Kraszewski do roku 1838, jest jego „fantazya dramatyczna“ *Szatan i Kobieta*, zrodzona w roku 1840, a w następnym puszczona między ludzi w Wilnie, nakładem Teofila Glücksberga, właściciela drukarni pamiętnéj bibliografom ze zbitych czcionek i niedających się wyplenić omyłek. Fantastyczność i tutaj nie jest zbyt silną sprężyną utworu, rozwija się w dziele jedynie dla przykrasy, pozostawiając pole codziennym kolejom nędzy ziemskiéj i nastręczając niemało sposobności do uszczypliwego nieco traktowania przedmiotu. Ale właśnie dla tego autor jest tutaj w swoim żywiole, muska po nim, jak rozochocona jaskółka, uganiająca się za owadami nad gładką szybą jeziora, szczebiocze swobodnym i potoczystym, choć często zaniedbanym wierszem, ujmuje szlachetną dążnością,—jedném słowem, jest u siebie w domu i jest prawdziwie gościnnym dla czytelnika gospodarzem. Jeżeli przy czytaniu dawniejszych robotek fantastycznych mogły pomiędzy poetą a słuchaczem zachodzić niejakie kwasy, tu serdecznie podają sobie ręce na zgodę.

Rzecz zaczyna się prologiem w piekle, coś niby u Hijoba, niby u Goethe'go, ale na wywrot. Lucyper kazał ogłosić po piekle, iż raczy być w dobrym humorze. Mefistofel robi na to uwagę, któréj słuszność stwierdzają codzienne walki stronnictw politycznych:

> Dobry humor jest skutkiem dobrego trawienia,
> A dobra strawność idzie za dobrym humorem.

Ta filozoficzna uwaga skierowuje myśl Lucypera ku filozofom; a chociaż książę piekielny z zasady jest burzycielem, okazuje się, że względem filozofów znajduje się w roku 1840 niemal na tém samém stanowisku, na jakiém był w r. 1792, kiedy Karolowi Surowieckiemu podsuwał wątek do *Pythona*.

> Dla zabawy niechaj mi sprowadzą Woltera,
> Machiawela, Bokkacya, Skarona waryata,
> Rabelego i wszystkich, co drwili ze świata,
> A których dobry humor i tu nie umiera.
> Będą mi wprawdzie prawić oklepane dzieje,
> Lecz kiedy się świat stary tyle lat z nich śmieje,
> Kiedy tak długo wielbią ich na ziemi,
> Mogę i ja ich słuchać i bawić się niemi.

Tymczasem kiedy całe piekło zbiega się bawić rozdobruchanego księcia, odbywają się posłuchania, dawane przychodzącym z supplikami. Jeden szatan, którego talenta razem z nim na dnie piekła w zapomnieniu gniły, czując się stworzonym do wielkich rzeczy, a widząc jak świat rozczarowany niedołęztwem innych czartów, braci jego, „teraz śmieje się z dyabła i w piekło nie wierzy,“— prosi Lucypera, żeby go posłał na ziemię, i przyrzeka mu obfite żniwo potępienia. Na zapytanie Lucypera: do czego jest zdolny? odpowiada, iż do wszystkiego.

Gdzie chcesz mnie użyj, bylebyś chciał użyć.
Lepiéj na karę, niż wzgardę zasłużyć.
Czy rozruch jaki chcesz zrobić na świecie;
Czy kogo natchnąć, by pisał twym duchem,
A lud go słuchał jak dziecię,
Z otwartém sercem i uchem;
Czy w kimeś cnoty pozorem słudzić
I pod suknią pokory dumę kazać ludom;
Czy rozgrzać do występku, do cnoty ostudzić,
Przypisując ją śmiesznym ciemnoty obłudom;
Czy kogo chęcią sławy nająć i opętać,
By sfałszował im dzieje, oplamił im dziady,
I żeby fałszywemi stropieni przykłady,
W przeszłości swéj nie mogli starych cnót pamiętać;
Czy duszę księdza, mocarza, poety,
Czy polityka, kobiety,
Czy kogo tylko chcesz panie,—
Na twoją przysięgam brodę,
Związanego ci przywiodę.
Rozkazuj — i wnet się stanie.

Lucyper jednak, jako hetman doświadczony, zna to po ludziach czy po dyabłach, iż kto za nadto się przechwala, tego delia bywa zwykle tchórzem lub baranem podszyta. Zamiast więc zadać supplikantowi ciężką robotę, stanowi:

Nie! niech od łatwych zaczyna:
Znajdzie się jaka dziewczyna,
I tęgo głupia, i bardzo cnotliwa...

Szatanowi nie przypadło do smaku rozkazanie, czuł się powołanym do większych rzeczy, twierdził, że „do kobiet wstyd się już i wdawać szatanom,“—ale musiał być posłusznym. Poleciał tedy na ziemię, „w dziką stronę, gdzie nowości nie doszły,“— i fórta piekielna zamknęła się przed czytelnikiem. Odtąd rozpoczynają się szatańskie knowania wymierzone na zgubę poczciwego dziewczęcia w ubogiéj chatce; a ponieważ według starych, święcie dochowywanych przepisów, dyabeł roboty swoje odbywa po nocy i z kurem zawsze jest w niezgodzie, więc i dzieło Kraszewskiego dzieli się nie na „akta“ nie na „doby,“ ale na „noce.“ Takich nocy spędzonych na bieganiu przez dyabła, było aż jedenaście.

Pierwsza noc w ubogiéj chacie, zaczyna się od bardzo pięknego z formy i myśli śpiewu przelatującego Anioła Snów, kołyszącego ludzkość do wytchnienia po cierpieniach i trudach na nowe cierpienia i znoje. Szatan przekomarza się aniołowi, i podszeptuje narzeczonemu dziewczęcia, ażeby wszedł do chatki. Narzeczony ów, według opinii szatańskiéj, „gotów wyjść na człowieka, bo zapomniał pacierza.“ Dziewczyna ze smutkiem opowiada mu przerwany sen anielski, i zmusza ukochanego uklęknąć do wspólnéj modlitwy. Nic nie wskórawszy namiętnością, szatan gotuje biednéj sieroctwo, i namawia śmierć do odebrania życia obojgu rodzicom dziewczyny. Upatruje starego bogatego sąsiada, i tam, gdzie sam nie może, posyła do sieroty babę, z którą się poznał na Łyséj górze, obiecując jéj za pośrednictwo przedłużyć życie o cztery lata. Targ idzie ostro przez całą noc drugą, bo baba utrzymuje, że za tyle trudu z taką nabożną dziewczyną nie można robić tak tanio. Trzeciéj nocy baba już przy dziewczynie; znalazło się jakieś powinowactwo, jakieś wspólne z matką życie, potwarz na jéj czystą pamięć, i nauka dla sieroty, iż nie powinna marnować młodych latek.

Dziewczyna odpowiada:

Toż to jest mądrość, aby cnotę przeżyć?
Kazać w nią ludziom nie wierzyć?
Jeśli to mądrość, nie chcę jéj nabywać,
By siebie dręczyć, a świat oszukiwać.
Tyś mnie matko uczyła mądrości dziecięcéj:
Cały świat kochać, kochać i nic więcéj,
Pracować ciągle, rzadko się weselić,
Z biednym się chlebem i smutkiem podzielić,
Dziękować Bogu, a o nic nie prosić,
Rozkoszą gardzić, a cierpienia znosić..

Koniec końców, baba jak niepyszna wyprawiona z chatki, straciła kilka godzin i przyjaźń dziewczyny, a obiecanych czterech lat szatan dać ani myślał, owszem gotów był urwać łeb za niezręczną robotę. Rzuca się więc biedak w inną stronę, i wyciąga na widownię filozofa, którego podstępem nasadza na dziewczynę, powiadając, że chce się z nią żenić, ale wprzód pragnie doświadczyć stałości jéj serca. Filozof „był pyrronistą, w nic nie wierzył, nawet gdy dostał kijem.“ Mówi górnie przez porównania człowieka ze zwierzęciem; gniewa się, że człowiek „nie chce braterstwa dzielić z zwierząt tłumem i im odmawia rozumu i duszy;“ dowodzi, że „cnota nasza jest tylko *uporem*, lecz te przesądy rozbija rozumny.“ Kiedy w końcu jednak zapytuje dziewczyny, czy go słyszy? ta odpowiada, że mówi pacierze, że z jego mowy nie zrozumiała ani słowa.

że wszyscy, wierzą jak mogą, i że należy dać pokój dalszéj rozmowie. Filozof odchodzi dość obojętnie, odbywszy pańszczyznę, a dyabeł ucieka się po radę do jéjmość panny Kralki Żolędnéj, wyśpiewującéj przy gitarze texta światowe i nudzącéj się na zabój. Nabożna panna Kralka, kiedy szatan się zjawił przebrany po niemiecku, z razu udaje przerażenie, skrupuły, ale przybyły niegrzecznie zmiata wszystkie te plewy i wręcz zapytuje: czy może mu służyć za złoto? Kralka nie dając dyabłu przyjść więcéj do słowa, żywo odpowiada:

O z największą ochotą!
Ale dziś piątek—wigilia...

Atoli i „siła przykładu“ rozbija się o puklerz niewinności. Następuje więc z kolei wprowadzenie biednéj dziewczyny w świat wielki, otoczenie jéj panami Filami, hrabiami, poetami, poróżnienie z narzeczonym przez zdradę Kralki, rzucenie się Alexego w objęcia téj ostatniéj, rozpacz opuszczonéj i zbrzydzenie tego świata, na którym nabyła doświadczenia:

Inszym ja z chatki widziałam człowieka,
Insi bogacze byli mi z daleka.
Nie wiedziałam, że Pan Bóg dzieląc darem drogim,
Złoto dał bożkom ziemi, a serca ubogim.
Teraz, kiedy znam ludzi, a nie mam nadziei,
Świat pusty, w sercu smutno!...

Kończy się dzieło, jak zwyczajnie na świecie, kiedy kto prawom jego się nie podda. Noc jedenasta wystawia już nie pałace, nie gwar wielkiego miasta, ale znów dzikie ustronie wiejskie. Aniela w izdebce chatki matczynéj, samotna, obłąkana i chora, gaśnie na śmiertelnéj pościeli. Konająca przez sen mówi:

Widzę, ach! widzę, mamo, motyl śliczny leci,
Skrzydłami świeci;
Drugi różowy,
A złoty trzeci
Igra po nad nasze głowy.
Ach! gdybym miała takie, jak on skrzydła!
Poleciałabym wysoko,
Wyżéj niż myśl, niż oko,
Bo mi ziemia obrzydła.
Ach mamo! słowik śpiewa.
O! tak słodko, tak miło,
Aż się serce wyrywa —
Śpiewem się orzeźwiło,
Nigdy mi tak nie było!
Ach! tak chyba śpiewają w niebie aniołowie,
I tak im chyba Święty z téj ziemi odpowie.
Mamo usiądź tu na ławie,
A ja poskaczę na trawie.
Braciszki moje, i siostrzyczki moje,
Mają włoski tak złote! jest ich przy mnie dwoje—
Skrzydła na ramionach mają
I niémi mnie osłaniają.
I skaczem, skaczem po trawie...
O mamo! jak ja się bawię!
Gwiazdy iskrzą się w niebiosach,
Świat w perlistych świeci rosach,
Płyną wonie, śpiewy płyną,
Rzeki stanęły i patrzą nam w oczy!
I chmury na niebie giną
I księżyc z słońcem się toczy,
I nocy niéma, dnia niéma,
Ciemność i światło razem.
A świat przed oczyma
Jest tak różowym obrazem!
Mamo! jak mi słodko, miło!
O! tak mi nigdy nie było!...

Po całym szeregu scen poziomych i komicznych, kreślonych z werwą i prawdą, wzniosłe i tragiczne zakończenie poematu śmiercią i wniebowzięciem, sprawia głębokie wrażenie. Kontrast zresztą między wzniosłém a poziomém umiejętnie trzymany jest aż do końca. Poeta w epilogu, włożonym w usta chóru, wynosi już nie pod niebiosa, ale niemal nad niebiosa niewiastę:

Widziałem duszę poety wielką,
Leżała u niebios proga,
I była tylko rosy kropelką
Przed oczyma Boga.
Widziałem duszę mędrca niepojętą,
Leżącą u niebios proga,
I była perłą na pół rozciętą
W oczach Boga.
Królów i panów dusze widziałem,
Gdy dumne w niebo leciały;
Lecz były tylko proszkiem tak małym,
Jak ich świat z nieba był mały.
Lecz była dusza — dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień niosła u czoła;
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielka, jak dusza anioła!...

Lecz obok tego hymnu na cześć ostatniego i najpiękniejszego dzieła rąk bożych, poeta przez usta zawiedzionego szatana urągającego aniołowi, kładzie trzy grosze innego stempla:

Już poleciała?... Poczekacie długo
Nim złapiecie t a k ą d r u g ą!...

Wybór jednego z tych dwóch sensów moralnych poeta pozostawia chwilowemu usposobieniu czytelnika, zostającego pod wrażeniem słodkiéj rozmowy z ukochaną lub narady z adwokatem w sprawie rozwodowéj. Ponieważ zaś sam autor wybór oddał czytelnikowi, więc i nam także kłaść jednego nad drugie nie wolno.

* * *

Wspomnieliśmy już powyżéj, że Kraszewski z wolna usuwając się z pod wpływu bajrońskiego rozczarowania i rozpaczy,

w końcu zupełny uczynił z tym nastrojem rozbrat. Stwierdził to sam w roku 1842, kiedy wzmiankując o dawniejszych płodach swéj Muzy, powiedział: „Pisma są, jak owoce, na każdą porę inne dojrzewają.“ Lecz ostateczne i publiczne, że tak powiem, wyprzysiężenie się bezwładnéj rozpaczy, znajdujemy pomiędzy poezyami Kraszewskiego, drukowanémi w r. 1846 w *Ondynie Druskienickich Źródeł*, do któréj autor *Kordeckiego* czynnie przykładał ręki i przez cały krótki jéj żywot wspierał ją radą i pracą. W szeregu zamieszczonych tam poezyi pod tytułem: *Pieśni, Piosenki i Piosneczki*, autor położył taki ustęp, z oryginalnym początkiem, wyłamanym według starego klasztornego pomysłu w kształt kielicha:

„Precz mi ze światem!“—O! to piosnka stara! —
Powiada: „Precz mi ze światem!“
Komu zgorzkła życia czara
Jednym spełniona wiwatem,
I w szale potém powtarza:
„Precz mi ze światem!“
I rzucić go się odgraża:
Śmierć kładnie
Na dnie
Swego kielicha, —
Patrzy weń i do niéj wzdycha.

Ale to fałsze! to fałsze — to stara
Piosnka rozpustnych, gdy przebrana miara;
Gdy z licem zżółkłém, ze twarzą wybladłą
W duszy sumienie z zgryzotą zasiadło;
Gdy mętne oko, jak spojrzy po świecie,
Wszystko mu zżute, błade, wszystko śmiecie.
Ale nie wierzcie. Świat nasz wiecznie młody.
Zużytym żale, a nam jeszcze gody.
Na ich to oku tylko światło zgasło,
W ich tylko piersi serce się roztrzasło.
Nie świat tak zły jest, zużyty, bez kwiatu,
Oni bezczeszczą, nadużywszy światu.
Kto wszystko połknął, niczego nie użył,
I głupio nawet namiętności służył,
Teraz powtarza: „O precz mi ze światem!“
A świat—świat zawsze złotem i szkarłatem,
Stroi się wieczną zakwitając wiosną,
Lice ma krasne, twarzyczkę radosną,
I młodą piersią wtórzy piersi młodéj,
Bo nie ma zmarszczki na licu przyrody.
Kto umarł? człowiek,— ale ludzkość żyje!
Kto umarł? cząstka, — kwitnie wielka całość!
Milion milionów z tych kielichów pije,
Które potłukło znużenie i żałość.
Nie „Precz ze światem!“ — do piersi go mojéj!
Tu na me łono młodzieńcze!
Niech pocałunkiem z przyszłością zaręczę.
Ja świat tak kocham! O! wszystko dla świata,
Dla braci ludzi, dla ludu
Nie żal poświęceń i trudu —
A w sercu moja zapłata.
Jam nie zużyty, i w sercu mém bije
Miłość wszystkiego, co żywe, co żyje.
Do trupów tylko piersi nie przyłożę.
Tobie: „Precz z światem!“ mnie: „Świecie, szczęść Boże!“,

Data dnia 11 Listopada 1844 roku, położona w *Ondynie* pod sześciu utworami, z których wzięliśmi powyższe wyznanie, stanowi słup graniczny w nastroju lirycznym Kraszewskiego. Na chwilę przedtém w jednym z ustępów wołał jeszcze do ludzi, że „spojrzenie na nich pieśń u źródła suszy,“ że „nie są warci, by poeta wyśpiewał im myśli;“ jednêm słowem, co Mickiewicz rzucił w oczy tylko jednéj wyobrazicielce nadobnéj połowy rodzaju ludzkiego, to Kraszewski ciskał w oczy całemu człowieczeństwu: „I ten wiersz wraz mi stwardniał, żem wspomniał twe imię.“ Odtąd widzimy autora *Łzy w Niebie* już takim, jakim po dziś dzień miał pozostać: niewzruszonym w miłości, nieustającym w pracy, niezgiętym w wierze, iż praca nie pozostanie nadaremną. Odtąd zamiast samolubnego wykrzyku: „Surowa pieśni, pójdź nazad do duszy,“ brzmi już na całe życie inny: „Chociaż nic skończysz, ciągle rób... Czas wszystko skończy, bo ma czas...“ I rzecz godna uwagi: w miarę wzrastania wiary w skuteczność pracy, coraz bardziéj wstępuje do pieśni poety nieznane przedtém ożywienie, ciepło wiosenne zaczyna wiać z jego nawet smutnych poezyi, a forma nabiera ogłady i śpiewności, któréj przedtém nie miała. Poeta czuje, że cześć oddawana dobremu pod postacią bluźnienia złemu, nie jest czcią całkowitą; że zadanie pieśni, które w egotycznych jękach i narzekaniach na świat zamykał, rozszerza się w bezmiar cierpień, pragnień i potrzeb ludzkości; że strony najbogatszego bardonu nie mogą powtórzyć wszystkich tonów grających w sercu. Ale jednocześnie postrzega, że jeżeli opiewanie cierpień osobistych nie należy do najwyższych zadań poety, to opiewanie walk i cierpień milionów wymaga uroczystego nastroju duszy, o który zbyt trudno w życiu rozrywaném na strzępy w krzątaninie chwili znikoméj. Śmiałość młodzieńczą w wywoływaniu dźwięków z lubego narzędzia pieśni, poskramia obawa o niewykroczenie przeciwko wysoko pojętym obowiązkom wieszcza. Pieśń staje się rzadszą, ustępuje coraz bardziéj miejsca swéj młodszéj siostrze, powieści i dziennikarstwu. Cicha skarga na te codzienne przeszkody, znacząco się usadowiła na ostatniéj karcie jednego z tomów *Athenaeum*, redagowanego i przez pół niemal pisanego w Gródku i Hubinie. Skarga ta, nosząca datę 1843 r., u innych byłaby przesadzona i ckliwa, bo bezsilną pychą zaprawna; u Kraszewskiego prosta i szczera, wybucha z wezbranego serca:

O gdyby się kiedy cała
Z mojéj piersi pieśń wylała,

Jak Bóg wlał ją w moją duszę!...
Ale cóż są te wyrazy,
Któremi wam śpiewać muszę,
Zżute, starte tysiąc razy,
Blade, bez życia i chłodne,
Mnie niegodne, was niegodne!
Lepsza piersi méj połowa
Zawsze w pieśni méj się chowa,
I zostanie wam tajemną,
I na wieki umrze ze mną...

III.

Od owéj daty 1843 zapisanéj w *Athenaeum*, tudzież od napisania *Witoldowych Bojów*, upłynęło lat niemal czternaście, w których nie spotykamy się z żadnym donioślejszym utworem poetyckim Kraszewskiego. Dopiero w r. 1857 zjawiają się w Paryżu nakładem autora *Hymny Boleści*, a przed niemi, na osobnéj karcie, jakby dla okazania próżni pomiędzy dwiema datami, powtórzono ów wierszyk z r. 1843. Wzniosłą zasadniczą myślą *Hymnów* jest: że boleść powinna nie przytłaczać ku ziemi, ale podnosić, oczyszczać:

Bądź pozdrowiona, bądź błogosławiona,
Święta boleści, co mi serce krwawisz!
Z krzyżem Chrystusa cisnę cię do łona,
Ty mnie podźwigniesz, ty ubłogosławisz!

Pod względem zewnętrznéj szaty poetyckiéj, jest to bez żadnéj wątpliwości najpiękniejsze dzieło Kraszewskiego. Zwykły szarawy koloryt jego mowy wierszowanéj, ustępujący bronzowemu w pieśniach *Anafielas*, tu, jak w inicyałach i miniaturach pobożnych rękopismów średniowiecznych, jaśnieje najczystszemi kolorami cynobru, ultramaryny i złota. Oto np. ustęp, który pod względem siły i piękności obrazowego słowa, najwspanialszym pomnikom piśmiennictwa dotrzyma kroku:

Boleści, witam ciebie, zstępująca z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Posłanko boża—dłoń twa z powszedniego chleba
Pokarm duszny wyciska, chleb niebieski czyni.
Sercom wielkim tyś matką: mleka twego trzeba,
By wyrósł niém pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu.
Idziesz królową—siedem koron na twéj skroni,
W jednéj rózgę, a palmę w drugiéj niesiesz dłoni.
Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
Za tobą idzie orszak służebnic ponury;
Z pod nóg, kędy się stopy dotkniesz kamiennémi,
Strumień krwi i łez strumień wytryska na ziemi.
Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania blada,
Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
Cmętarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie.
Z tobą wojsko sług twoich, tłumy nieprzebrane:
Obelgi i potwarze z sakwy kłamstw pełnémi;
Smutek czarny, trud czoło potem niesie zlane,
Rozpacz się i zwątpienie tarzają po ziemi,
Ucisk, co sznury dźwiga na ramionach twarde,
Pośmiewisko za rękę wiodące pogardę...
Tłumy pierzchają trwożne, lecz zapaśnik stoi,
Pierś nadstawił bezbronną, choć ją płomień pali;
Co męczeństwo rozedrze, to wytrwanie goi,
Bo ciało ma żelazne i duszę ze stali;
Wzniósł czoło, które potem krwawym się oblało,
Upadł—męztwa starczyło, lecz już mąk nie stało...

Skupienie uczucia i myśli—skupienie promieni słonecznych, które przechodząc nawet przez lodową soczewkę duszy obojętnego, płomień wzniecają, — zupełnie dorównywa w *Hymnach Boleści* zewnętrznemu poetyckiemu w nich malowidłu. Przeszedłszy wszelkie szczeble cierpienia i pociechy w cierpieniu, płynącéj z nadmiaru boleści, w hymnie siódmym, Dusza upersonifikowana zwraca się do najwyższego źródła pociechy. Zwolna skarga w coraz łagodniejsze przechodzi błaganie, i jak w znanéj Modlitwie Bohdana, Dusza coraz ku innym źródłom pociechy kolejno zwraca oczy. Na słowa Anioła, że przynosi jéj wianek z ciernia i lilii, odpowiada.

Czuję boleści rozkosz i żółci słodycze,
Dreszcze po ranach moich przeszły tajemnicze
I widma mi niebieskie przed oczyma wstały,
I pieśń urągowiska zmienia się w hymn chwały...

Ostatni zaś hymn siódmy tchnie najwyższym wyrazem rezygnacyi i spokoju, którego znamiona znajdujemy na kartach martyrologium pierwszych wieków chrześciaństwa.

* * *

W rok po *Hymnach* napisana *Wioska*, wyszła nakładem i drukiem Józefa Ungra w Warszawie z datą 1859 roku, opatrzona licznemi lubo nienajpiękniejszemi drzeworytami, robionemi w Warszawie i w Lipsku podług charakterystycznych rysunków Kostrzewskiego. Na taką lub téj podobną „sielankę“ zanosiło się już w roku 1844, ale świeże wspomnienie przygody serdecznéj urwało ją w samym początku. Początek ów drukowany w *Ondynie*, kończy się wzmianką o małym domku białym, przytulonym do wzgórza, jak gniazdo jaskółcze do strzechy:

W takim domku... A! nie powiem—
Proste dzieje, dawne dzieje!
Mnie nie śpiewać sercem wdowiém,
A wam uchem się przeleje!...

Po piętnastu latach, smutek w inne układa się fałdy na czole. Więc téż kiedy wypadło pożegnać ustronną wioskę wołyń-

ską, kiedy po dwudziestu latach dobroczynnéj ciszy sielskiéj stało się koniecznością „przynosić z miasta uszy pełne stuku, przekleństw i kłamstwa, potępieńczych swarów,“—wyobraźnia poety mimo woli pobiegła po łanach różnych okolic kraju, papier, nie widzieć, zkąd wziął się pod ręką, i słowa poczęły się na nim ustawiać, jak w rozmowie z samymi sobą, w któréj ani wiemy, jak myśl nabrała dźwięku, ani spostrzegamy, że narzędzia głosu pracują. W takiém usposobieniu, co nas najbardziéj zajmuje, co najgłębiéj kiedykolwiek uderzyło wyobraźnię, to najłatwiéj zyskuje późniéj posłuchanie. Więc też kto od razu nie pozna w śpiewaku *Wioski*, że to członek rozmaitych towarzystw archeologicznych, rozkopywacz kurhanów i dobywca popielnic, zbieracz młotków kamiennych i zbroic stalowych, autor *Sztuki u Słowian*, w któréj na mistrzowski opis chaty w potoku dziejowym składali się po wierszyku i Priscus, i Jornandes, i Helmold, i Thietmar, i Ziegler, i tylu nam współczesnych! Starożytna osada leśna, przekształcająca się w gródek tynem opasany, gródek zamieniający się w dworzec szlachecki, dworzec upadający pod powszechną nawałą, a daléj niewzruszony kurhan mogilny i również, jak ów kurhan zasklepiony w przeszłości, lud wiejski,—oto jest górujący motyw w *Wiosce*, do którego poeta raz po raz przy każdéj sposobności powraca. Prawda, że wioski naszéj, a zwłaszcza wioski podlaskiéj i poleskiéj, która najżywiéj stoi w pamięci Kraszewskiego, niepodobna inaczéj zrozumiéć, tylko na tle głębokiéj, przedchrześciańskiéj przeszłości.

Wszak u każdéj mogiły duch pieśni na straży,
U każdego zwaliska coś o dziejach gwarzy.
Na wklęsłe horodyszcza starce siwobrode
Wiodą w noc kupałową pokolenia młode;
Ale kto ich podsłuchał, czém w tajemnic ciszy
Ucho dziecka ciekawe i pierś starca dyszy?
O! lubię się obłąkać w wieków cmentarzysku,
Od mogiły do wałów iść, śledzić i pytać.
Czasem całe są dzieje w jedném ich nazwisku,
Czasem z pół słowa można cały wiek wyczytać.
Turzy gaj—a gdzie tury? Bohhorod—gdzie bogi?
Horodyszcze, gdzie wasi radcy i obrońce?
Przeszły na wieki tajnie i dni przeszły trwogi,
Nowemu światu stare tylko świeci słońce...

Na tém tle starożytném i współczesném zarazem, skropioném rosą rzewnego uczucia, oświeconém łagodnemi promieniami wschodzącego słońca lepszéj przyszłości, przesuwa się w poemacie przed wyobraźnią czytelnika cały nierozmaity żywot wiejski, czasami tylko wstrząsany klęską pożogi, a dawniéj najazdem pohańca. Więc oto roboty w polu i wieczornice przy łuczywie ze smutną, bardzo smutną pieśnią, bo lud nawet na weselu jakąś żałobną śpiewa nótą. Oto ubogi wrotny, staruszek zdziecinniały, niegdyś wojak z pewnością nieostatni do szabli, tak pięknie i marsowato patrzy mu z oczu i z ruchów. Oto dzieweczka, sierota, Pan Bóg wie zkąd zabłąkana do wioski, wiernie wysługująca się gospodarzom, dopomagająca staruszkowi wrotnemu, który przyrzeka jéj swą rękę: „Niech-no tylko wyrosnę — z tobą się ożenię!“ Oto staruszka Marta, któréj uboga chateczka, jednym bokiem oparta o parów, w żółtéj glinie czernieje, jak plama, któréj jedyném bogactwem chuda kura z kogutem i kot wyschły od postu, jak pustelnik Tebaidy, bo nawet myszy od ubóztwa pouciekały. Oto bocian na strzesze, i ciasny cmentarz za wioską, i mogiła samobójcy od niepamiętnych czasów przykrywana gałęziami, i cudnie opisany las na skraju szczupłego widnokręgu,— jedném słowem cała wioska, któréj „postać kochana stoi mi przed oczyma, jakby malowana.“ Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia kilkunastu wierszy z opisu stosunków wioski i dworu dawniéj i potém; bo chociaż te stosunki głębokiéj doznały zmiany po wyjściu *Wioski*, zdrowa nauka nieprzestała być nauką, a błogosławiony, kto jéj w las nie puszcza.

— Tu i owdzie posłuchaj, brząka pieśń nadobna:
Jan z Czarnolasu sławi sielskie swe wesele,
A jego myśl stu innym myślom jest podobna,
I wtórują jéj wszyscy przez długich lat wiele...
Wielką rodziną sioło, bratem młodszym kmiotek,
Dwór izbą jego radną, śpichrzem na złe lata;
Jeden we wsi i dworze warczy kołowrotek,
Jedna ich dola wiąże, jedna ziemia brata,
Jeden obyczaj, odzież, i język, i chata...
— Oj dworze! stary dworze, co stoisz na wzgórku,
Smutno tobie być musi! jakiś ty zgrzybiały!...
Oj! nie tak to bywało w twoje lata młode!
Wesoła chorągiewka świstała na dachu,
W szyby słońce patrzało, jak w błyszczącą wodę,
Wyżéj się podnosiły jasne ściany gmachu,
Krzyż, co gnije przed bramą, stał świeży i biały,
A póki krzyż był cały, to i dwór był cały!...
Teraz pustka i starość! dziedzińce zarosły,
Ściany gniją, a drzewa dzikie się podniosły...
Obcy depcze próg zimną stopą wędrownika,
I przyszedłszy za groszem, weźmie grosz i znika.
Co jemu? byle zyskał, przeżył i przebawił,
Choćby pamiątki zatarł, a chłopa zadławił!...
Dwór wiosce teraz obcy, obca wieś dworowi,
Nikt im rąk nie wyciągnie, ni słowa nie powié;
Nie ma już owych związków serdecznych a świętyc
Przed wieki w jednéj jeszcze kolebce poczętych,
Długie wieki trwających, które dłoń zdrętwiała
Zerwała, gdy na wieki powiązać je miała...

Ostatnie karty *Wioski* poświęcił Kraszewski wspomnieniom osobistym: o „wiosce ur-

dziwéj“ Romanowie Podlaskim,— o „białym domku w kwiecistéj wiązance“ Dołhém, — o Omelnie, w którém „coś wiało od Wołynia, lecz nie Wołyń był jeszcze,“ o „szarym domku skrytym wśród gąszczy gaiku“ w Gródku pod Łuckiem,— wreszcie o „starém strzeszysku słomianém“ Ilubinie, w którego ścianach, na pożegnanie, powstała sielanka.

Żegnajcie starzy moi bracia gospodarze,
Cześć waszym sercom czystym i siwéj cześć skroni!..

Wioska jest obrazkiem niepospolitéj piękności; potrzeba jednak znać się na malowanych w niéj przedmiotach, potrzeba je szczerze miłować, ażeby jéj urok ocenić. Nie jest dla baczniejszego postrzegacza tajemnicą, że najpiękniejsze sceny sielankowe *Hermana i Doroty* przesuwają się przed okiem czytelnika miejskiego, nie zatrzymując na sobie jego uwagi. Co większa, sam widziałem, jak podczas czytania *Pana Tadeusza*, gdy przyszło do spraw gospodarskich, nad któremi rozpływają się z radości słuchacze wiejscy, piękne usteczka miejskie otwierały się do wykrzyku uniesienia, ażeby z nim razem leciuchne poziewanie wysłać nieznacznie ku pułapowi. Bo też słowo poezyi, tak samo jak słowo nauki, tyle waży dla każdego z nas, ile pod niém kto złożył wyobrażeń ze żniwa doświadczenia.

IV.

I znów upłynęło lat siedmnaście, a w ciągu tego czasu, z wyjątkiem dorywczego jednego, lub drugiego wierszyka wpisanego do albumu, nie zdarzyło nam się spotkać nowych utworów poetyckich Kraszewskiego. Nagle w r. 1876 pojawiła się *Stara Baśń*, a w niéj pienia ślepego gęślarza Słowana, śmigające, jak wiewiórki po drzewach nieprzebytych puszcz IX wieku w okolicach nadgoplańskich. Cała ta powieść, idąca na czele wielkiego cyklu skupienia historycznego, jak porożysty prowodyr stada, jest z końca w koniec jednym wielkim poematem, dziełem natchnienia rzadkiéj piękności i siły. Do mnie jednak należą tylko nieliczne wierszowane jéj ustępy, drukowane jak pospolita proza, łatwe jednakże do odkrycia każdemu, kto się wierszoklectwem nieco porał, a szukał porady w Elsnerze, Królikowskim lub Cegielskim. Są w téj powieści piosenki obrzędowe, żywcem prawie przeniesione z ust ludu wiejskiego, który przechował je w pamięci od czasów pogańskich, i po dziś dzień jeszcze śpiewa na weselach, koladach i kupałach. Są daléj urywki, zgrabnie na motowidło ludowe nawijane z własnéj przędzy autora, jak np. piosenki nadobnéj kapłanki Dziwy i staréj wiedźmy Jaruhy. Najważniejsze jednak są pienia siwego Słowana, gęślarza wędrownego, snującego się między plemionami polańskiémi w lasach, jak kometa, zwiastunka wojen i urodzajów, snuje się między gwiazdami. Słowan był oślepiony, ażeby nie widząc świata, wciąż czytał w duchu własnym; pieśń zaś nauczył się tak cenić, że natychmiast ją urywa, skoro poczuł przytomność obcego, którego tchnienie ją skala. Głęboko téż sięga pamięcią, a wysoko wzlata ku bogom, gdy opowiada gromadzie przedwieczne wędrówki swojego ludu z nad brzegów Gangesu nad Dunaj, nim poszedł daléj za Karpaty ku Wiśle i Warcie:

Z za rzek siedmiu, z za gór siedmiu,
Z nad Dunaju pieśń ta leci.
Król dunajski w wielkiéj trwodze:
Z wielkim ludem Czytaj idzie.
Zabrakło mu ziemi doma,
Siołom roli, bydłu paszy.—
I do Boga Wiszny woła:
—„Lud umiera, daj mi ziemi!“
Bóg się ulitował, rzecze:
—„Tam za Dunaj idź z gromadą,
Na pustynie, na szerokie.
A ty królu na Dunaju,
Nie waż mu się stać oporem.“
Ręce łamie król w rozpaczy:
—„Czytaj zawojuje ziemię,
Czytaj państwo mi podbije!
Czy pokojem iść, czy wojną?
Czy mu opór stawić zbrojno?“
Dziewki woła: — „Radź dziewczyno...“
Kamiana mu radzi:— „Królu,
Wojsko postaw nad Dunajem;
Nie zwojuje ludu twego.“
Czytaj idzie, tłumy za nim;
Kędy przyjdzie, lud zabiera,
Iść mu każe. Dziewki płaczą,
On im rzecze: — „Łzy otrzyjcie,
Wiodę was w zielone kraje,
Kędy dzicy ludzie żyją,
Roli orać nie umieją—
Uczyć będziem i panować...“
Dziewkom oschły łzy, i idą.
Idą, idą... Dunaj biały
Stał na drodze z wzdętą wodą...
Lody na nim roztajały...
Król Dunaju strzeże brzega.
Wojsko wielkie. Jak przejść wody?
Jak pokonać wojska siłę?
Myśli Czytaj, myśli, woła:
—„Na kolana, do modlitwy,
Bogu modlić się Koladzie,
Samowile, co wiatr trzyma.
Niech rozpuści wiatrom wodze,
Niechaj Dunaj lodem stanie.
Przejdziemy go suchą nogą.“
Padli na twarz przed Koladą,
Modlą się do Samowiły.
Wiatry przyszły, Dunaj ścięły,
Wojska idą suchą nogą....
Król dunajski słuchał rady.

Wojsko zebrał. stoi w polu,
U Dunaju legł obozem.
Samowila wiatrem smaga,
I na Dunaj wieje mrozem,
A gorącem wojsko pali....
Przeszli Dunaj—a gdzie stało
Wojsko, kośćmi pobielało.
Kamiana patrzy i płacze.
Czytaj wnet zajmuje ziemie,
Pługi idą w żyzne pole,
Bydło ryczy, domy stają,
Ludzie uczą się siać ziarna....
O Kamiano! rada marna,
Przeciw bogom nic nie nada.
I Kamiana leci blada,
W biały Dunaj głową pada.
Pieśń się o tém ludziom pieje.
Bóg wam zdrowia niechaj daje,
A pieśń przy mnie niech zostaje....

Obok daru poetyckiego, dwa bardzo różne od siebie żywioły złożyły się na tę pieśń Słowana, który parę jeszcze innych podobnych wygędził Kraszewskiemu do *Staréj Baśni*. Jednym żywiołem jest gruntowna znajomość wyników badań naukowych, po które rzadki poeta pojdzie z Kraszewskim w gęsty i ciemny las *Narodów na ziemiach słowiańskich* Lelewela. Drugim żywiołem jest również gruntowna znajomość literatury ludowéj, któréj skarby dotychczas nagromadzone są bardzo już wielkie, ale na wydobycie z nich treści czekamy jeszcze myśliciela i poety. Kiedy Chodakowski przykładem swoim popchnął był cały zastęp ludzi do zbierania pieśni, klechd, podań i przysłów ludu na ziemiach dawnéj Polski, wiele sobie podówczas obiecywano z tego dla sztuki krajowéj, ba! dla wielkiéj epopei narodowéj. Obiecanka okazała się cacanką: bo jedni, którzy się rwali do czerpania z tego źródła, nie byli poetami i nie mieli stosownéj wiedzy historycznéj, drudzy byli poetami i znali historyą, ale nie znali ludu, trzecim znów czegoś brakło, — i pokuszenia kończyły się nieszczęśliwie. Czeczot, Izopolski, nawet Bielowski i Siemieński, żywym są tego przykładem. Ale Kraszewski, w dziwnéj wszechstronności swojego umysłu, ma siłę twórczą po temu, żeby rozkazać żywiołom literatury ludu i wiedzy historycznéj ułożyć się w nadobne kształty takich rapsodów polskich, jak są nadwełtańskie lub nadsawańskie. Pieśni Słowana w *Staréj Baśni* są tego niezaprzeczonym dowodem.

A więc te pieśni kładziemy jako początek trzeciego, da Bóg długiego okresu w zawodzie poetyckim Kraszewskiego.

Taceo, atque abeo. Mniemałem, że im mniéj będę się sadził na wyrokowanie o Kraszewskim jako poecie, a hojniéj dam czytelnikowi wątku do wyrobienia własnego sądu, tém więcéj oba wygramy. Dla tego i przydłuższe nawet wyjątki z jego poezyi poczytywałem za właściwe, témbardziéj, że streszczanie utworów poetyckich, choćby najsumienniejsze, mało o nich daje wyobrażenia. Jeżeli zaś koniecznie chodzi o wypowiedzenie w kilku wierszach summy wrażeń, otrzymywanych z czytania dzieł wierszowanych Kraszewskiego, to powiem, co następuje: Wszystkie pomysły autora *Hymnów Boleści* są głęboko poetyczne, szata dla tych pomysłów zawsze właściwa i piękna w wyobraźni, ale skrojona i uszyta bywa niekiedy mniéj troskliwie. Język bywa mniéj wyszukany, niżeli w poezyi dozwolono; o uderzające w nim zwroty stosunkowo dość rzadko się potrącamy. Forma wiersza jak najprostsza, jak najmniéj krępowana liczbą zgłosek i miarą, po misterstwie Bohdana Zaleskiego nie może uderzać nowością. Rymy jak najłatwiejsze, gdyby zabrzęczały nad uchem arcymistrza w dobieraniu końcówek, nieboszczyka Wacława Potockiego, tłómacza *Argenidy* i autora *Wojny Chocimskiéj*, w grobieby się przewrócił. Jednóm słowem głębia ducha poetyckiego wielka, wykonanie tu i owdzie za pośpieszne. Tak wiele, tak wiele Kraszewski ma do roboty!

W sturamiennym zawodzie Kraszewskiego poezya nie zajmuje pierwszego miejsca, może nawet nie zajmuje drugiego. To jednak co napisał, wystarczyłoby na obdzielenie wziętością i sławą przynajmniéj czterech poetów zwykłéj miary.

W. Korotyński.

FILOZOFIA.

J. I. KRASZEWSKI
w stosunku do filozoficznych dążności swego czasu.

Wstęp.

Ogólna charakterystyka udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu. — Trudność szczegółowego rozwinięcia téj charakterystyki. — Cel niniejszéj rozprawy.

Jednym z najdobitniejszych dowodów życiowéj doniosłości filozofii, jéj wpływu na rozwój umysłowy, jest fakt, że znakomitsi przedstawiciele i rzecznicy każdego narodu zawsze się z nią rachować musieli, zawsze względem niéj zająć musieli pewne określone stanowisko, wpływające bezpośrednio na charakter i kierunek ich dążności w innych dziedzinach życia umysłowego. Obojętność dla pracy filozoficznéj danego czasu, dla wyrobów samodzielnéj myśli, zdającéj sobie sprawę z przyczyn i celów świata, z zadania i przeznaczenia człowieka, jest zawsze objawem pewnéj ograniczoności i lenistwa duchowego, wyłączającego z góry wszelkie podnioślejsze uzdolnienie umysłu. Im umysł jest żywszy i czynniejszy, im rozleglejszy jest zakres jego duchowéj wrażliwości, tém częściéj uczuwa potrzebę zastanowienia się nad bogatemi zasobami myśli, uczuć i dążności, tém bardziéj pragnie się zaznajomić z ogólnemi na świat poglądami swego czasu, — tém działanie filozofii na niego i jego oddziaływanie na panujący sposób myślenia jest donioślejsze i żywsze.

Jasną jest tedy rzeczą, że umysł tak wszechstronny, czynny i wrażliwy, jak Kraszewskiego, niemógł pozostać obojętnym widzem filozoficznych dążności swego czasu. Jego umysł obserwacyjny, jego czujność na wszelkie donioślejsze objawy życia umysłowego, zaznajomiły go od początku jego działalności piśmienniczéj aż po dzień dzisiejszy ze wszystkiemi wydatniejszemi poglądami fiozoficznemi ostatnich lat dziesięciu. Żaden systemat znakomitszy, żaden objaw głębszéj myśli w tym pół-wiekowym przeciągu czasu nie uszedł jego uwagi. A żywość i wrażliwość jego umysłu, zmuszały go do zaznaczenia względem każdego z nich swego osobistego stanowiska, do wypowiedzenia swéj sympatyi lub antypatyi, swego współczucia lub potępienia.

Sposób, w jaki Kraszewski ten swój stosunek do filozoficznych dążności czasu zaznacza, wypływa bezpośrednio z całego ustroju umysłowego znakomitego pisarza, z całego charakteru i kierunku jego działalności piśmienniczéj.

Umysł Kraszewskiego zbyt jest ruchliwy, zbyt prędko postępuje z czasem, a nadto zbyt gorączkowo dąży do urzeczywistnienia głównych celów swéj działalności, aby drobiazgowe obrobienie przedmiotu, zatopienie się jego w szczegóły, mogło miéć dla niego jakiś-kolwiek powab. Ujęcie zasadniczych, a tém samém ogólnych tylko zarysów rzeczy; określenie jéj bezpośredniego znaczenia dla chwili obecnéj, dla naglących potrzeb i dążności czasu, jest w oczach Kraszewskiego zadaniem daleko ważniejszém, niż rozbiór kwestyi ubocznych i staranność o należyte wyświetlenie odleglejszych stron

przedmiotu. Kraszewski ma na oku zawsze życie w całéj swéj pełni, w owych objawach górujących, które charakteryzują bądź ducha ludzkiego w ogóle, bądź wydatne momenta jego dążności i rozwoju. Wszystko, co nie pozostaje w związku z temi głównemi prądami życia, postępu, co leży na uboczu,—nie budzi jego zajęcia, choćby i samo w sobie miało znaczenie jak największe. Ztąd Kraszewski nigdy się nie zajmuje subtelnym rozbiorem argumentów za lub przeciw różnym teoryom naukowym i filozoficznym; nie myśli o wydaniu lub przyswojeniu sobie jakiegoś systematu ze wszystkiémi jego konsekwencyami, z owémi teoryami i teoryjkami pomocniczémi i pochodnémi, które służą bądź do ugruntowania, bądź do rozszerzenia zasadniczych poglądów. Kwestya samych zasad i ich ocena tak ze stanowiska ogólnie ludzkiego, jak ze stanowiska potrzeb umysłowych kraju i jego chwilowego położenia,— oto główna dziedzina jego filozoficznych rozumowań. Téj dziedziny nie przekracza nigdy; nie staje się nigdy doktrynerem, przywiązującym większą wagę do swych specyalnych zapatrywań, niż do rozjaśnienia pryncypiów; ani téż dla jakichś zachcianek dyletanckich, nie wdaje się nigdy w rozbiór pytań, przekraczających zakres dobrze mu znanych interesów życiowych.

Oto granice udziału Kraszewskiego w filozoficznych dążnościach czasu. W tych jasno określonych granicach rozwija się główny charakter, że tak powiem *jakość* jego filozoficznych przekonań.

Kraszewski z natury i usposobienia swojego jest przedewszystkiem poetą, artystą. A z tego usposobienia wypływa bezpośrednio podmiotowy, subjektywny charakter jego rozumowań i sądów, jego poglądów na świat i życie. Jako poeta, artysta, Kraszewski nie chce i nie może oderwać sie od swoich bezpośrednich, osobistych wrażeń i przekonań, pragnień i dążeń, aby ze stanowiska objektywnego, przy pomocy filozoficznéj abstrakcyi, ocenić rzeczy same w sobie, bez względu na swój podmiotowy stosunek do nich. Przedmiotowy rozbiór rzeczy, zimna argumentacya, nie zgadzają się z jego żywą fantazyą i serdeczną uczuciowością. Zasadniczemi czynnikami jego rozumowań filozoficznych mogły tylko być i są: bezpośrednie poczucie prawdy, głęboka miłość dobra powszechnego, zmysł obserwacyi i zdrowy rozsądek, poparty wiedzą i doświadczeniem życiowém. A chociaż czynniki te nie są wystarczającemi dla rozwoju filozofii w ścisłém, naukowém znaczeniu tego słowa,— z tém wszystkiém jednak doprowadzają nieraz do jaśniejszych i trafniejszych poglądów na rzeczy, niż najskrupulatniejsze wywody rozumowe, oparte na naukowych lub filozoficznych uprzedzeniach. Tymczasem właśnie jak największa wolność od wszelkich doktrynerskich uprzedzeń, swoboda i niezależność sądu, nie oglądająca się na nikogo, niepytająca się nawet o ścisły związek i wewnętrzną konsekwencyą w sądach,—byleby wyższe interesa prawdy, dobra powszechnego i potrzeb kraju zaspokojone były,—znamionują najdobitniéj stosunek Kraszewskiego do dążności filozoficznych jego czasu.

Kraszewski nie jest i nie był rzecznikiem żadnego z nowszych systematów filozoficznych, nie przyłączył się stale do téj lub owéj szkoły, nie działał wyłącznie w interesie tego lub owego kierunku. W każdéj szkole, w każdym systemacie, podnosił z całą szczerością wszystko, co według jego przekonania godne jest uwagi, co zaznacza postęp w ogólnym rozwoju ludzkości lub narodu, co się w czémkolwiek przyczynia do udoskonalenia umysłu i serca. A jeżeli pomimo to we wszystkich dążnościach Kraszewskiego, w całym olbrzymim obszarze jego działalności na polu nauki, krytyki, publicystyki i literatury nadobnéj, przebija się jedno tło zasadnicze, jeden ogólny na świat pogląd, a zatem jedna filozofia, to ten objaw nie jest wynikiem jakichś ustalonych teoretycznych przekonań, jakiéjś zależności od téj lub owéj szkoły filozoficznéj, lecz wypływa bezpośrednio z pewnéj jednolitości umysłowego usposobienia naszego pisarza i jednostajności w ogólnych warunkach jego rozwoju.

Bo w saméj rzeczy, pomimo całego niespokoju i tak wyjątkowéj wrażliwości ustrój umysłowy Kraszewskiego odznacza się jedną stałą cechą, określającą niezmiennie kierunek jego myśli, uczuć i dążności;—a tą cechą jest, — trudno znaleść dla niej stosowniejszego wyrażenia,—*przyrodzony idealizm*, wyższy duchowy nastrój wszystkich funkcyi umysłowych, wynoszący wszędzie i zawsze cały sposób myślenia naszego pisarza po nad ciasną sferę zmysłowéj rzeczywistości. Żywą wrażliwość, zmysł praktyczny, wzgląd na potrzeby życiowe, łączą wprawdzie Kraszewskiego jak najściśléj z światem rzeczywistym, zaszczepiają w niego różne dążności realistyczne, ale nie trudno spostrzedz, że cały ten realizm Kraszewskiego był i jest zawsze tylko środkiem dla osiągnięcia celów *idealnych*, że duch, który nim kieruje, jest na wskroś *idealistyczny*, pochodzi ze świata wyższego, nadzmysłowego, i dąży do

urzeczywistnienia jego wymagań. Można wprawdzie powiedzićć, że tego rodzaju idealizm jest właściwością każdego myśliciela i poety, każdego w ogóle pracownika na niwie umysłowéj. Jestto prawdą niewątpliwą, bo i najjaskrawsi realiści zawsze są idealistami ze względu na swe niezadowolenie z danéj rzeczywistości i swą dążność do jéj udoskonalenia według swoich mniéj lub więcéj trafnych ideałów. Ale główna różnica między temi kierunkami polega na świadomém, że tak powiem, teoretyczném pojęciu swych dążności, a pod tym względem idealizm przyznaje bez ogródek nadzmysłowe źródło i duchową celowość swych dążności, podczas gdy realizm i najidealniejsze objawy własnych dążności ze zmysłowych czynników wyprowadza. Kraszewski jest tedy idealistą w powyższém znaczeniu tego słowa, bo pojmuje i czuje bezpośrednio, że tak powiem, instynktowo, niezależnie od wszelkich teoryi, — wyższość duchowego pierwiastku nad pierwiastkami fizycznemi i tę wyższość wszędzie i zawsze wedle możności uwydatnia i rozwija. Ztąd téż pochodzi, że i w dziedzinie filozoficznych poglądów zawsze skłania się bardziéj do teoryi idealistycznych, zawsze z niémi sympatyzował, a wszelkie poniżenie ducha, wszelkie zaprzeczenie rozumowego pierwiastku świata i wyższego przeznaczenia człowieka potępiał i jako szkodliwe z całą energią zbijał. Oto jedna z najwydatniejszych cech filozoficznych zapatrywań Kraszewskiego na ich treść.

Druga cecha w tym względzie wypływa z zewnętrznych warunków rozwoju i działalności naszego pisarza. Te zewnętrzne warunki skupiają się przedewszystkiem w ogólném położeniu kraju, w jego stosunkach społecznych, w jego potrzebach i dążnościach. Kraszewski był zawsze wiernym synem swéj ziemi, przejmował się jak najgłębiéj jéj stanem umysłowym i społecznym, żył życiem ogółu, powszechności. Indywidualność łączyła się z natury swojéj tak ściśle z całością, do któréj należy, odczuwała tak bezpośrednio jéj tętna życiowe, wszystkie jéj pragnienia i potrzeby, — że śmiało powiedzićć można, iż w Kraszewskim odźwierciedla się wierniéj, niż w jakimkolwiek innym pisarzu, umysłowość polska ostatnich lat pięćdziesięciu. A że wśród danych okoliczności jednym z najwydatniejszych rysów umysłowego życia naszego ogółu, jest przywiązanie do swojskości, posunięte nieraz do przesady, a w każdym razie żywsze i drażliwsze, niż u innych narodów, przeto jest rzeczą naturalną, że to przywiązanie wywierało i wywiera wpływ stanowczy na całą osobistość Kraszewskiego. Wszystko, co ogół miał za nieodzowną cząstkę swego historycznego bytu; co mu się przedstawiało, jako konieczny czynnik jego życia dziejowego,—wszystko to jest zarazem podstawą dla poglądów i dążności osobistych Kraszewskiego. Rozbrat pomiędzy panującym w społeczności duchem a indywidualném przekonaniem, będący zazwyczaj jednym z czynników w życiu owych mężów, którzy przodują narodom, prowadząc je na nowe drogi, — nieprzyjmował w Kraszewskim nigdy charakteru radykalnego, gdyż sprowadzał się zazwyczaj tylko do kwestyi podrzędnych, na dyskutowanie których istniał pewien ogólnie przyjęty *consensus*. Nawet i wtedy, gdy w żywych barwach malował wady i zboczenia różnych klass społecznych, gdy zbijał przesądy, zachęcając gorąco do pracy i postępu na wszystkich polach życiowéj działalności,— Kraszewski miał na oku zawsze duchowy związek swych osobistych dążności z poglądami ogółu.

To przywiązanie synowskie do ogółu, ten duch zachowawczy, miarkujący najwyższe dążności postępowe naszego pisarza, wpływa tedy bezpośrednio i na ukształtowanie jego stosunku do filozoficznych poglądów czasu. Tradycyjne przekonanie ogółu, jego moralne, społeczne i religijne zapatrywania tak bezpośrednio łączą się z całą indywidualnością naszego pisarza, że wszelkie stanowcze oderwanie się od nich, sprzeciwiałoby się jego własnéj naturze, jego najsamoistniejszym nawet dążnościom. Kraszewski z całego swego usposobienia, z wewnętrznych i zewnętrznych warunków swego rodzaju i w dziedzinie ogólnych na świat i człowieka poglądów, szukać musiał głównéj swéj missyi w zachowaniu ciągłości między nowémi ideami filozoficznémi a dawnémi wierzeniami ogółu. On pragnął zawsze podnieść ogół w całości swojéj, we wszystkich warstwach, kierunkach i stronnictwach, i dla tego nie chciał i nie mógł lekceważyć żadnéj ze składowych jego części. W równomiernym postępie wszystkich czynników życia umysłowego widział jedyne zbawienie od zupełnego rozstroju, jedyny warunek owego skupienia sił fizycznych i moralnych, niezbędnego dla rozwoju życiowego każdego narodu. Wzgląd zatem na tradycyjne poglądy ogółu, a szczególniéj na jego przekonania religijne, łączył się bezpośrednio z całą działalnością piśmienniczą Kraszewskiego i uzupełniał na polu filozoficznem ów przyrodzony idealizm jego, ową wrażliwość umy-

słu, która obudzała jego współczucie dla wszelkich idei postępowych.

Szczegółowe rozwinięcie powyższéj ogólnéj charakterystyki, stosunku Kraszewskiego do filozoficznych dążności jego czasu, mające być przedmiotem niniejszéj rozprawy, natrafia dotąd jeszcze na tak wielkie, nieprzebyte trudności, że marzyć nie można o wyczerpującém rozwiązaniu tego, zkąd innąd nader zajmującego tematu. Któż byłby w stanie przestudyować całą bibliotekę pism Kraszewskiego, zaznajomić się należycie z jego działalnością na polu powieściopisarstwa i poezyi, historyi i archeologii, publicystyki i krytyki literackiéj, artystycznéj i filozoficznéj, aby przy pomocy tego olbrzymiego materyału przedstawić dokładny obraz filozoficznych zapatrywań naszego pisarza, objaśnić stopniowy rozwój tych zapatrywań, wykazać wszystkie wewnętrzne i zewnętrzne czynniki, które wpływały na ich wszechstronne ukształtowanie? Ktoby chciał lub mógł podjąć się podobnéj pracy, znalazłby w pismach Kraszewskiego niejedną wskazówkę dla wykładu jego psychologii i estetyki, etyki i socyologii, a nawet dla szerszego poglądu na jego zapatrywania metafizyczne. Nie mogąc jednak myśléć o rozwiązaniu tak rozległego zadania, mam na celu przedstawić tutaj tylko główne zarysy poglądów filozoficznych Kraszewskiego na tle historycznego rozwoju filozofii u obcych i u nas w przeciągu ostatnich lat pięćdziesięciu. Paralella ta między dziejami filozofii naszego wieku a zasadniczémi zapatrywaniami Kraszewskiego rozjaśni dostatecznie powyższą ogólną charakterystykę jego udziału w filozoficznych dążnościach czasu i przyczyni się, choć w części do uzupełnienia owego obrazu, w którym rzesza literacka pragnie odźwierciedlić zarówno osobistość, jak i półwiekową działalność znakomitego pisarza.

I.

Dążności filozoficzne po ukołysaniu rewolucyi francuzkiéj. — Główni przedstawiciele nowszéj filozofii katolickiéj we Francyi, Włoszech, Niemczech i u nas. — Stosunek Kraszewskiego do tego kierunku myśli. — Nastrój umysłowy w jego pierwszych utworach. — Jego pessymizm uczuciowy i skeptycyzm filozoficzny, jako przejście do wiary. — Wielki świat małego miasteczka. — Poezye. — Wędrówki literackie. — Ocena Bochwica. — X. St. Chołoniewski. — Zdanie o El. Ziemięckiéj. — Współpracownictwo w Pielgrzymie. — Kierunek filozoficzny Ateneum. — Artykuły Rzewuskiego. — List Chołoniewskiego i korrespondencya De Maistra z Janem Potockim. — Ziemięcka o Schellingu. — Religijność Kraszewskiego.

W pierwszych dziesiątkach lat bieżącego wieku, a szczególniéj po roku 1815 t. j. po ostateczném uśmierzeniu zaburzeń, wywołanych przez wielką rewolucyą francuzką, napotykamy u wszystkich narodów oświeconych dwa główne kierunki w dążnościach filozoficznych, pozostające w ścisłym związku z potrzebami i duchem czasu. Jeden z nich ma na oku obronę religii i wierzeń dogmatycznych, i znajduje swój najdobitniejszy wyraz w tak zwanéj filozofii katolickiéj. Drugi, rozumowy, spekulacyjny, rozwija się na tle niemieckiego idealizmu, doprowadzonego przez Hegla do ostatecznych wyników. Oba te kierunki wywarły silny wpływ, jak na całą naszą społeczność, tak i szczególniéj na Kraszewskiego i dla tego nad niemi bliżéj zastanowić się musimy.

Dążności religijne w zakresie filozofii, biorąc za podstawę bądź ślepą wiarę w naukę kościoła, bądź téż bardziéj rozumowe pojęcie poczucia religijnego, wymierzone były przedewszystkiem przeciwko *materyalizmowi*, jako jednemu z najgłówniejszych wrogów wiary, rozwiniętemu szczegółowo przez francuzkich encyklopedystów XVIII-go wieku.

Teorye materyalistyczne były niewątpliwie najważniejszym umysłowym czynnikiem rewolucyi francuzkiéj. Podkopując poczucie moralnych zadań człowieka, znosząc nawet w swych wynikach wszelką jasną różnicę między prawdą i fałszem, które jako objawy jednéj i téj saméj fizycznéj konieczności w istocie swojéj niczémby się nie różniły,— materyalizm wywołał owe zamięszanie w myślach, uczuciach i dążnościach ludzkich, ów chaos umysłowy, który w życiu społeczném i państwowém zawsze doprowadzić musi do zupełnéj *anarchii.* Społeczność, państwo, zawdzięczają swe istnienie, życie i normalny rozwój, nie tyle swéj potędze fizycz-

néj, ile pewnym moralnym czynnikom, zdolnym skupić massy, poprowadzić po jednéj drodze, ku jednemu celowi. Gdzie nie ma idei, myśli jednoczącéj, gdzie życie umysłowe w najgłówniejszych swych podstawach podlega rozstrojowi, tam największe potęgi fizyczne w pył się rozpadają, tam nie ma ogółu, społeczności, lecz istnieje tylko konglommerat jednostek, który, na wzór ciała pozbawionego duszy, na atomy rozłożyć się musi. Nie dziw zatem, że społeczność europejska, przebywszy szczęśliwie kryzys, w któréj doświadczyła boleśnych skutków swego wewnętrznego rozstroju, rzuciła się chciwie na to wszystko, co mogło znowu skupić rozstrzelone jednostki, połączyć je w jedną organiczną całość.

Wszystkim szło o to, aby jednostka, która w epoce rewolucyjnéj zakłócała spokój ogółu swémi doktrynami i namiętnościami, swą despotyczną samowolą znowu się dobrowolnie poddała wymaganiom ogółu, stosując do niéj cały ustrój swego życia, całą swoją działalność praktyczną. Religia jest w takiém położeniu zawsze jednym z najpożądańszych i najskuteczniejszych czynników.

Głównymi przedstawicielami tego religijnego kierunku w zakresie filozofii w piśmiennictwie francuzkiém za czasów restauracyi byli *De Maistre, Bonald i Lamenais.* Pierwszy z nich hrabia, dygnitarz królestwa sardyńskiego, długoletni poseł przy dworze rossyjskim (od r. 1813 do 1817), w pismach swoich *O początku instytucyi ludzkiéj* (1810), *O papieżu* (1819), a szczególniéj w swych głośnych *Wieczorach St. Petersburgskich* (1821) bronił z całą otwartością teokracyi despotycznéj. Dowodził on, że życie człowieka jest pokutą za grzech pierworodny i że zadaniem rządów powinno być zmuszanie narodów do niewolniczéj uległości względem wymagań kościoła, gdyż tylko w ten sposób można ułagodzić gniew boży i dokonać dzieła pojednania Boga z ludzkością. Styl żywy, pełen obrazowości, wielka stanowczość i pewność siebie, rozległe stosunki a nadewszystko wszechwładna protekcya zakonu Jezuitów, zjednały w krótkim czasie pismom De Maistra jak najszerszy rozgłos. Cały świat arystokratyczny, jak u obcych, tak i u nas, wszyscy wierzący wśród oświeconych, czytali dzieło De Maistra i przejmowali się coraz bardziéj jego poglądami.

W tym samym duchu teokracyi, lecz z większą głębokością myśli i z pozorami naukowości występował w tymże czasie wice-hrabia *Bonald,* członek Akademii francuzkiéj i par za Ludwika XVIII. Jego *Poszukiwania filozoficzne* (1818) i *Prawodawstwo pierwotne* (1820), pełne są pomysłów godnych uwagi. W filozofii mowy ludzkiéj, która stanowi główny punkt wyjścia dla jego poglądów, Bonald zajmuje nawet pewne stanowisko oryginalne. Ale zasadnicza tendencya wszystkich jego rozumowań: obrona bezwzględnéj nieomylności kościoła, krępuje na każdym kroku polot jego ducha i sprowadza go ciągle znowu do poziomu średniowiecznéj scholastyki.

Dopiero równie żywy, jak samodzielny umysł księdza *Lamenais'go,* wychowańca seminaryum St. Sulpice w Paryżu, powziął myśl przyswojenia sobie głównych zasad katolicyzmu ze stanowiska filozoficznego. W licznych pismach a szczególniéj w swoich: *Studyach nad obojętnością w rzeczach religii* (1817), a następnie po rewolucyi lipcowéj w czasopiśmie: *L'Avenir,* Lamenais gorącą wiarą starał się wykazać zgodność katolicyzmu ze wszystkiém, co jest szlachetne i wzniosłe w ludzkości, rozwijając w szerokich poglądach swą dewizę: *Pour Dieu et la libertè, pour le pape et le peuple.* Już wierzący uwielbiali w nim nowego obrońcę religii, który z daleko większym zasobem myśli i nauką zbijał niedowiarstwo, niż De Maistre i Bonald: już powoływano się i u nas na jego powagę dla ocalenia dogmatów przeciwko napaściom materyalizmu i panteizmu, — gdy nagle encyklika papiezka z roku 1832, potępiająca tego rodzaju dążności, rozwiała wszelkie nadzieje. Lamenais przestał nadal bronić papieztwa, a w swych pismach filozoficznych następnéj epoki życia nie marzył już o filozofii *katolickiéj,* lecz mówił tylko o filozofii *chrześciańskiéj.*

Ten sam los spotkał ucznia Lamenais'go ks. *Bautin,* professora uniwersytetu Strasburskiego, który swoją *Psychologią experymentalną* (1839) i *Filozofią moralności* (1842), cytowaną często przez naszych filozofów chrześciańskich, zasłużył sobie na dobre imię w nauce.

Podobnym, jak Lamenais, duchem napełnieni byli włoscy myśliciele i teologowie: *Antonio Rosmini i Vincente Gioberti.* I oni, pomimo wielu głębokich pomysłów i szczeréj chęci pogodzenia swych filozoficznych zapatrywań z nauką kościoła, ulegli wreszcie prześladowaniom i cenzurze.

W katolickich krajach Niemiec przejawiała się taż sama dążność w osobie głęboko-myślnych teologów *Jerzego Hermesa i Antoniego Günthera.* W swoim *Filozoficznym wstępie do katolickiéj teologii* (1819) i w innych

pismach, Hermes, biorąc za podstawę filozofią Kanta i Fichtego, stara się rozumowo usprawiedliwić treść dogmatyczną wiary, i miał to ukontentowanie, że za życia władze kościelne dzieła jego approbowały. W skutek tego znalazł licznych uczni wśród duchowieństwa i wierzących. Lecz w kilka lat po jego śmierci, bo w r. 1835, udało się jego przeciwnikom wyrobić breve papiezkie, potępiające jego poglądy i wszystkich, którzy w ich obronie występują.

W obec takiego rygoru wszelkie dalsze dążności pogodzenia filozofii z teologią musiały się okazaćułudnémi. *Günther* napróżno zbijał filozofów: Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, ze stanowiska teologicznego, napróżno przyjmował za podstawę swych poglądów naukę kościoła i skoro tylko wystąpił z dziełem o *Spekulatywnéj teologii* (1828) i w duchu niby filozoficznym starał się pojąć niewzruszoną treść dogmatów, natychmiast wywołał przeciwko sobie reakcyą, która w końcu po długim processie spowodowała w roku 1857 to samo potępienie pism Günthra, jakie spotkało jego poprzedników. Siedmdziesięcioczteroletni starzec *laudabiliter se subjecit* temu wyrokowi, i od tego czasu znikły już wszędzie dążności filozoficzne w zakresie teologii katolickiéj.

U nas, stojących na uboczu od głównych prądów życia umysłowego, tak zwana filozofia katolicka rozwijała się niepostrzeżenie, bez wywołania silniejszéj reakcyi ze strony kościoła. Pomimo, że i u nas zwolennicy tego kierunku przejęli się nieraz duchem bądź Lamenais'go, Bautina, bądź Hermesa i Günthra, i na ich powagę się powoływali, jednak czynili to w naiwném przekonaniu o zupełnéj zgodności swych poglądów z naukami kościoła. Nie było też powagi, która-by skutecznie rozwiała tego rodzaju złudzenia.

Pierwszym pisarzem, który z całą świadomością dążył do pogodzenia filozofii z wiarą dogmatyczną, był u nas *Floryan Bochwic.* W trzech *Obrazach myśli swojéj* (1838, 1839, 1841), Bochwic rozwija tę dążność szczegółowo. W zasadzie, w teoryi ulega on bezwzględnie nauce kościoła, dowodząc, że *wiara jest wyższą nad wszelkie rozumowanie.* Odkąd, mówi, rozum swój pogodził *z artykułami wiary*, odtąd *stanął na opoce, pewny, że jéj żadne siły piekielne, żadne namiętności i burze tego świata obalić i zachwiać nie zdołają.* Pomimo to jednak żywy umysł Bochwica na wzór wzmiankowanych teologów francuzkich i niemieckich, w dalszym rozwoju swych poglądów rozszerzał mimo woli ciasne granice téj zasady. Przedewszystkiem godne uwagi, że Bochwic w duchu mistycznym wiarę objawioną pojmował nietylko w znaczeniu zewnętrznèm, historycznèm, lecz mówił o objawieniu wewnętrznèm w duchu ludzkim, które *przeczuciem* nazywał. Za pomocą tego objawienia wewnętrznego, mówił, człowiek „gdy przeniknie się myślą aż do przybytku obrazu boskiego, do głębi swojego ducha i serca“, znajduje w sobie pewne prawdy boskie, które służą mu za podstawę dla oceny i zrozumienia wszelkich prawd objawienia zewnętrznego. Bochwic nie jest tedy zwolennikiem owéj ślepéj, dogmatycznéj wiary, która, potępiając wszelką samodzielność ze strony rozumu ludzkiego, domaga się bezwzględnéj uległości dla swéj treści, lecz przyznaje w samym duchu ludzkim działalność pewnych czynników, doprowadzających do poznania prawdy niewątpliwéj. Z tego też stanowiska dowodzi koniecznéj potrzeby filozofii, jako *wypełnienia woli Bożéj* i dochodzi do swego dziwacznego określenia filozofii, mającéj być *objawieniem się objawienia Bożego.* Określenie to uzupełnia témi słowy: „Duch człowieka z własnościami rozumu, przeczucia i myśli jest objawieniem Bożém, a filozofia jest objawieniem się ducha w słowach i wyobrażeniach ludzkich.“ Konsekwencyą tego poglądu jest szacunek Bochwica dla historyi filozofii i przyznanie, że we wszystkich systematach filozoficznych przejawia się pewien pierwiastek prawdy.

W duchu daleko większéj zależności od treści dogmatycznéj propagowali filozofią katolicką: *Eleonora Ziemięcka*, *Feliks Kozłowski*, *X. Stanisław Chołoniewski* i inni, do których zaliczyć należy hrabiego *Henryka Rzewuskiego*, idącego pod niejednym względem w ślady de Maistra, x. *Ignacego Hołowińskiego*, autora rozprawy: *O stosunku bezpośredniéj filozofii do religii i cywilizacyi* (1846), *Józefa Przecławskiego*, autora dzieła: *Śmierć i Odrodzenie*, i innych. Głównym organem téj dążności, jak wiadomo, był *Pielgrzym* Ziemięckiéj, wydawany od roku 1842. W tymże duchu działał *Tygodnik Petersburski* Przecławskiego, a późniéj *Dziennik Warszawski* (od r. 1851) pod redakcyą Rzewuskiego. Stanowisko zaś filozoficzne wszystkich tych autorów określają najdobitniéj słowa Ziemięckiéj, wypowiedziane w *Pielgrzymie*, w artykule o filozofii Cieszkowskiego. „Droga nasza, mówi redaktorka, jest pewna, przyświeca jéj prawda niezmienna, prawda przez samego Boga *objawiona*; a chociaż zachowaliśmy *nazwę* filozofii dla oznaczenia ogólnych rozumowań, na podstawie wiary opartych, *filozofia nasza*

w istocie niczém innėm nie jest, jak ludzkim, do zrozumienia wieku zastosowanym wykładem teologii katolickiéj." Pomimo to jednak samodzielne poloty myśli objawiały się u tych pisarzy w skutek wyraźnego wpływu, jaki na nich wywierały dzieła wzmiankowanych przedstawicieli tego kierunku we Francyi i Niemczech.

Scharakteryzowaliśmy umyślnie nieco obszerniéj powyższe dążności religijno-filozoficzne u obcych i u nas, gdyż były one głównemi czynnikami w ukształtowaniu poglądów Kraszewskiego w przeciągu pierwszych czternastu lat jego działalności piśmienniczéj (od r. 1830 do 1844). Kraszewski był z jednéj strony umysłem zbyt żywym, ruchliwym, aby w swoich ogólnych pojęciach o Bogu, świecie i człowieku mógł się zamknąć w ciasnych granicach ślepéj dogmatycznéj wiary; z drugiéj zaś strony zbyt głębokie posiadał poczucie moralne, podniecane nadto przez wychowanie i inne warunki rozwoju umysłowego, aby mógł kiedykolwiek zupełnie zobojętnićć dla spraw religii lub przyswoić sobie poglądy, przeciwne jéj wymaganiom. Ztąd pochodził naturalny pociąg Kraszewskiego do dążności religijnych w zakresie filozofii i w ogóle do pogodzenia obydwóch tych pierwiastków. Zapoznanie się z pracami tego kierunku, o ile na to czas, poświęcony głównie powieściopisarstwu oraz studyom historycznym i literackim, pozwalał; zawarcie bliższych stosunków z przedstawicielami tego kierunku u nas, wreszcie główna tendencya pism Kraszewskiego we wspomnionym okresie czasu do roku 1844, wykazują najdobitniéj te jego sympatye dla religijności i jéj filozoficznego pojęcia. Ale i ten kierunek umysłu naszego pisarza nie był prostym zabytkiem wychowania i tradycyi, lecz wypływem stopniowego rozwoju, domagającego się bliższego rozjaśnienia na tle powyższych ogólnych zarysów.

W pierwszych utworach, wydanych w bardzo młodym wieku, sympatye religijne Kraszewskiego nie występują jeszcze z należytą wyrazistością. Pociąg do dziejów ojczystych, do zapoznania się z literaturą i życiem umysłowém przodków, oraz Byroniczny nastrój uczuciowy, lubujący się w niedostatkach, w ciemnych i smutnych stronach życia ludzkiego, przygłuszał w młodzieńcu żywą wiarę w prawdy religijne, w idealne przeznaczenie człowieka.

Wstępując w życie, Kraszewski pragnął przedewszystkiem przejąć się spuścizną umysłową swego narodu, wniknąć w jego ducha, aby w tym duchu pracować przez życie całe. Tę swoję dążność wyraźnie wypowiada młodzieniec ośmnastoletni w powieści: *Wielki świat małego miasteczka*, mówiąc: „Żal mnie opanowywa, gdy przypomnę sobie, że rodacy nasi o dawne umysłu swoich przodków zabytki tak mało dbają, że to, nad czém nie jeden uczony Polak mozolnie życie trawił, leży gdzieś nietknięte i zapylone w kącie, i że słowém, rzadko kto dziś wspomina o dawnych książkach i czasach... [1]) Zapytaj teraz kogo, czy zna Górnickiego, Kochanowskiego, Reja, czy zna Opalińskiego, Zimorowicza, Jagodyńskiego, Grochowskiego? Na co mi to, odpowie, nie mamże ja nowych?"

Te studya literackie i historyczne, prowadzone z podziwienia godną wytrwałością, zbogaciły bez wątpienia młodzieńca szerszym na świat poglądem, dały mu poznać życie i ludzi lepiéj może, niż bezpośrednie zetknięcie się ze światem. Charakterystyka w ogóle dość trafna typów społecznych i stanów psychicznych, rady, jak na młodzieńca w tym wieku, nieraz bardzo dojrzałe o zadaniu i wzajemnym do siebie stosunku stanów, o duchowieństwie, panach, chłopach, mieszczanach i t. p., są tego najlepszym dowodem.

Z drugiéj jednak strony porównanie przeszłości z teraźniejszością, naoczne, że tak powiem, doświadczenie znikomości spraw ludzkich, zaszczepiło we wrażliwe serce młodego autora niezadowolenie z siebie i z świata, podniecało ów pessymizm sentymentalny, płaczliwy, który był odgłosem z czasów Wertherów i Byronów. Pierwsze lata piśmienniczéj działalności Kraszewskiego stoją, jak się zdaje, pod bezpośrednim wpływem tego nastroju umysłowego. Filozoficzne rozumowania sprowadzają się w takich razach zazwyczaj do Hamletowéj kwestyi: *być albo niebyć*! „Jakże człowiek jest biedny! woła młody autor. Nie dla świata on tu na świat przychodzi; cierpieniem mu przeznaczoném cieszyć się musi, osłodą dla niego: łzy wylewać". Nowonarodzonego ma za najnieszczęśliwszą z istot, którą uważa za święty obowiązek ostrzedz przed życiem. [2])

---

[1]) Powieść ta wyszła w Wilnie pod pseudonimem Pasternaka r. 1833 po *Panu Walerym*, wydanym w r. 1831, lecz do cenzury rządowéj oddano najprzód *Wielki świat małego miasteczka*, bo w czerwcu *1830*, a potem w Październiku tego roku Pana Walerego.

[2]) *Do nowonarodzonego*. Wiersz z roku 1833.

Otóż nowy męczennik do świata przybywa!
Nieszczęśliwy! O! gdybym miał na to dość siły,
Stargałbym słabe życia twojego ogniwa,
Żebyś, niezapłakawszy, wrócił do mogiły!
Jeden więcéj męczennik! Wróć, zkąd idziesz dziecię!
Jest i bez ciebie dosyć nieszczęsnych na świecie!
Wróć! Zamknij oczy, na świat nie spoglądaj,
Odepchnij piersi matki i życia nie żądaj.

. . . .

Tu niema szczęścia, niema! Ten tylko szczęśliwy,
Kto zimno na świat cały i siebie pogląda!
A w jego oku nikną cnót i zbrodni dziwy,
Nie lęka się niczego, niczego nie żąda,
Śmieje się z siebie, z Boga, z świata, jak z omamień,
Nie płacze i nie kocha,— szczęśliwy jak kamień!

. . . .

Ja, co w doświadczeń chodzę żałobie,
Jedno życzenie przyniosę tobie!
Unikaj życia, szczęścia i nędzy,
Umrzyj, o, umrzyj co prędzéj!

Ten sam nastrój pessymistyczny, niby nieco filozoficzniéj pojęty, napotykamy jeszcze w I-szym tomie *Wędrówek literackich*, pisanych w roku 1836, gdzie autor, już nie w uniesieniu poetyczném, lecz na seryo, prozaicznie mówi: [1]) „Nadzieje z niczego się rodzą, idą wysoko, a rzeczywistość rzuca je nisko, — i ludzie tak samo rodzą się zwierzętami, wyrastają na półbogów, umierają zwierzętami znowu! Wszystko wyrasta z niczego, — i z wszystkiego nic będzie na końcu! Największa, najważniejsza, filozoficzna prawda, najpopularniejsza, najzrozumialsza! A ktoby na jéj poparcie szukał jeszcze czego, niech patrzy na świat, niech czyta Agrippy *de Vanitate scientiarum* (zkąd Rousseau ukradł swoją konkursową rozprawę, osobliwie część przykładową), niech czyta Salomona, niech czyta wszystko, co chce, i niech myśli“.

Wśród tego pessymistycznego nastroju odzywają się jednak w naszym autorze już wcześnie głosy, wskazujące na *wiarę*, jako na jedyne ocalenie życia umysłowego wśród doczesnego bytu. Za przejście do niéj służy, jak zwykle w takich razach, sceptycyzm, niedowierzanie rozumowi ludzkiemu, powątpiewanie o skuteczności jego zabiegów na polu filozoficzném i naukowém. Ciekawym przyczynkiem do takiego przejścia od skeptycyzmu filozoficznego do wiary dogmatycznéj są reflexye młodego autora nad obłąkaniem, zamieszczone także w I-szym tomie *Wędrówek literackich*, w rozdziale p. t. *Bedlam. Rzecz lekarsko-filozoficzna.* Autor dowodzi tutaj, że jedną z najczęstszych przyczyn obłąkania jest myślenie o rzeczach, o których myśléć nie wolno pod karą szaleństwa lub rozpaczy. „Nie bez przyczyny, mówi, każdy, kto się puszcza w ciemny labirynt rozważania rzeczy, których nigdy pojąć nie potrafi, kontentując się swemi i cudzemi paradoxami, męcząc się, żeby ujść daléj niż drudzy, lękać się powinien. W Bedlam wielu jest waryatów, którzy od myślenia oszaleli. Są rzeczy, których ludzie nigdy pojąć nie potrafią, i o którychby powinni zakazać sobie myśléć, w takich razach lepiéj dozwolić działać sercu, niż głowie, i spuścić się na przeczucia“.

Ten skeptycyzm zaś autor uzasadnia w następujący, dość oryginalny sposób, godny bliższego zaznaczenia. „Weźcie dwie szklanki, mówi, równéj wielkości, równo szerokie od spodu i z góry. Czy nie śmiesznością byłoby chciéć, aby jedna szklanka objęła drugą, aby się jedna wmieściła w drugą? Nieprawdaż?.... Toż samo się dzieje z rozumem i duszą tych ludzi, którzy chcą pojąć siebie i swoję duszę i jéj naturę. Jest to rzecz niepodobna. Rzeczy albowiem jednéj natury zlewają się w jedno; mając gorycz w ustach, nowéj tego samego stopnia goryczy nieuczujem; światło potrzebuje ciemności, żeby się światłem wydało. Dusza więc to tylko pojąć może, czemu jest tak przeciwną, jak słodycz goryczy, ciemność światłu, t. j. pojąć może wszystko, co jest materyalném, siebie zaś i prawd niematerylnych nie pojmie, bo sama jest jednéj z niémi natury. Bóg tylko, jako istota jednéj natury, będąca wyjątkiem i koroną jestestw duchowych, pojmuje sam siebie“. Ztąd autor wyprowadza wniosek, że droga zaciekań metafizycznych jest prostą drogą powątpiewania o wszystkiém; a z niego rodzi się szaleństwo umysłowe. A całe te skeptyczne wywody kończą się wykrzyknikiém: „Wiara, ślepa wiara! oto droga do spokojności: szczęścia; ona, jak tarcza, zasłania nas od wszystkich plag umysłowych“.

Ta wiara zbliżyła téż naszego autora co raz bardziéj do owych dążności fiozoficzno-religijnych, o których mówiliśmy powyżéj.

Podczas, gdy Kraszewski w pierwszych swych powieściach zapatrywał się np. na duchowieństwo, jako na głównego przedstawiciela wiary, bardzo krytycznie, gdy w *Panu Walerym* przedstawia stan duchowny, jako oddany *życiu nieczynnemu i gnuśności*, jako myślący tylko *o sobie i o swoim żołądku*, nie gardząc przy tém *czułemi listami i czytaniem romansów*; gdy w *Ostatnim roku Zygmunta III* z młodzieńczą energią karcił zepsucie i fanatyzm Jezuitów; w kilka lat późniéj występuje już dość oryginalnie w duchu nietykalności dogmatów kościelnych przeciwko wszelkim od nich odstępstwom. Widzimy

---

[1]) *Wędrowki literackie* I. I. 1838. Reflexya nad bezssenową historyjką *Wyleciała Baba z kwasu.*

to wyraźnie z oceny znanego mistyka 17-go wieku *Jana Labadie*, zamieszczonéj w życiorysie *Maryi Schurmann* w II-gim tomie *Wędrówek literackich*, który do druku przygotowanym został w roku 1837, a wydanym dopiéro w roku 1839.

Labadie, wychowawszy się początkowo u Jezuitów, a poznawszy następnie ich zdrożności, domagał się reformy duchowieństwa i wznowienia pierwotnych urządzeń apostolskich. Był on bez wątpienia marzycielem, doktrynerem, nieuwzględniającym należycie historyi; lecz czy ze stanowiska bezstronnéj krytyki w istocie zasługiwał na to, aby o nim mówiono, jako o „herezyarchu, którego imię zginęło dawno w śmiecisku plugawém podobnych jemu nazwisk;" czy jego nauki i dążności, wywołane nadużyciami jezuickiémi, nie są w istocie niczém inném, tylko „bezsensownémi prawidłami pokaleczonéj wiary, które, powierzchownie zgodne z katolicyzmem, niszczyły najpiękniejsze i najzasadniejsze przepisy chrześciańskie?" Tylko poczucie nader ścisłéj solidarności z tém wszystkiém, przeciwko czemu Labadie wystąpił, może wytłumaczyć taki wyrok potępienia bez bliższego rozbioru rzeczy.

W duchu bardziéj filozoficznym rozwijają się powyższe poglądy młodego autora w powieści: *Poeta i świat* z roku 1839. I tutaj wprawdzie byronizm odgrywa jeszcze dość ważną rolę. Do niego przyłącza się nadto jak najwidoczniéj wpływ naturalizmu Roussa, przejawiający się w namiętném zamiłowaniu autora do sielankowego życia w przyrodzie, a przedewszystkiem w często powtarzanych zdaniach, że *ludzie wszystko popsuli na świecie*, że rozum człowieka, rozkładając wszystko na pierwiastki, starł ze świata piętno poezyi i swojémi suchémi prawdami zastąpił żywotne siły przyrody i błyszczące urojenia. „Życie, wola poeta, z rozkosznego i przemijającego snu stało się poważną, smutną wędrówką. Szukali prawdy, a przy prawdzie znaleźli nagi smutek i czarną przyszłość, któréj wprzódy nie było. Odkryli wszystko,—i ziewają, niczemu się nie dziwując! O mój Boże! Jakże ci ludzie twój świat popsuli, ten świat wprzódy tak piękny, niewinny i świeży!" W tym to téż, że tak powiem, negacyjnym duchu, przedstawia się rozwiązanie całéj powieści, streszczone w tych słowach: „Niech was Bóg broni od wszystkiego złego i od duszy poetycznéj! Zyskalibyście wiele sławy po śmierci, wiele łez za życia!"

Z tém wszystkiém jednak w Gustawie autor w żywych obrazach rysuje walkę podniosłéj duszy z rzeczywistością i wykazuje jak najwyraźniéj, że tylko życie duchowe, oparte na moralno-religijnym idealizmie, godne jest człowieka i nadaje mu wartość prawdziwą. W imię tego to idealizmu Gustaw, porównywając się z innymi prozaicznymi ludźmi, woła: „Mnie ziemia jest tylko przedsieniem nieba, gdy im jest drugiém niebem." „Ja wierzę w Chrystusa, żeby spełniać jego naukę, oni tylko, żeby z niéj korzystać." W imię tego idealizmu nazywa mądrość ziemską *nikczemną*, *suchą*, gdyż podkopuje *smak do życia*, *wiarę i nadzieję*.

Gustaw nieposiadał wprawdzie dość energii i charakteru, aby w życiu praktyczném urzeczywistnić ideały ducha, — i dla tego poddaje się prawie fatalistycznie zrządzeniom losu. Ale same te ideały istnieją w nim i dochodzą do jego wiadomości. On nie chce być medykiem, bo się obawia, że przez nawyknienie do widoku cierpień ludzkich utraci na równi z większością lekarzy ową delikatność uczucia, która jest najpiękniejszą ozdobą człowieka,—a nadto brzydzi się widokiem zależności duszy od ciała. „Gdybym nawet widział, mowi, tę niewolę duszy, która ciału ulega, mieszkając w niém, nie pogardziłbym nieśmiertelną, dla któréj ta chwila próby jest nowicyatem nieba!" Podobnie nie zostaje duchownym lekarzem duszy, dla tego tylko, że w klasztorach nie znalazł nigdzie *włósiennic i dyscyplin*, nigdzie *smutku na czole*, a wszędzie widział *rumieńce żywe, otyłość prawie obrzydliwą i śmiech ziemski, przerywany czwaczką i kichaniem*. Tym razem, jednak,—i to zasługuje na uwagę,—sam autor występuje otwarcie w obronie życia klasztornego przeciw Gustawowi, mówiąc: „Biedny Gustaw w téj pierwszéj próbie zaledwie jedną stronę życia mniszego widział, i to nie całą. Gdyby on był udał się na pustynie Kartuzów i Kamedułów, ostre życie tych zakonów byłoby niechybnie na poetyczną jego duszę wywarło magnetyczny pociąg; byłby uczuł, że niema piękniejszego, poetyczniejszego żywota nadto dobrowolne poświęcenie się kontemplacyi i umartwieniom, byłby uczuł, że wiele ten czyni, kto się zrzeka istotnie świata całego, kto się zrzeka ciała, aby duszy działalność extazą exaltacyą pobożną podnieść." Tę predylekcyą dla życia klasztornego i kontemplacyi religijnéj wypowiada nasz autor, jak wiadomo, dość często i w innych utworach swoich. Ona zastępuje u niego coraz bardziéj owe nieokreślone marzycielstwo poetyczne, które

Gustaw upadkiem moralnym i śmiercią przypłacił. Rozbitek, ogołocony z wiary w życie, zżymający się z Byronem nad jego przewrotnością, chętnie póka do drzwi klasztornych; podobnie jak sceptyk, lekceważący potęgę rozumu ludzkiego, zbyt łatwo się tuli pod skrzydła ślepéj wiary. Przejście wcale nie rażące, nie potrzebujące głębokich wywodów psychologicznych.

W powieści téj napotykamy zresztą ciekawy ustęp pod napisem: *Monomachia duszy z ciałem*, w którym autor rozwija szczegółowo swój pogląd na ową kontemplacyą umysłową ze stanowiska wzajemnego do siebie stosunku duszy i ciała. „Dusza i ciało, mówi, dwa te pierwiastki są sobie przeciwne, jak ogień wodzie... Fenomena duszy, wlanéj w ciało, jéj walka z tém ciasném naczyniem, w którém się kurczy, z którego się wyrywa, stanowią jeden z najpiękniejszych przedmiotów postrzeżenia i rozwagi ludzi godnych.“ Malując zaś daléj w żywych kolorach walkę duszy z ciałem, w któréj dusza ma za sobą swoją niebieską wyższość, niebieskie rozkosze i zapały, a ciało swe zmysłowe pieszczoty,—autor w duchu skrajnego spirytualizmu stara się wykazać, że wszelkie wyższe życie umysłowe, wszelki polot myśli i uczucia, wymaga koniecznie *zaparcia się ciała i jego rozkoszy*. Że ciało samo przez się bynajmniéj nie jest upostaciowaniem pierwiastku zła, grzechu,—jak dowodzi platonizm a za nim teologia dogmatyczna; że moralność rozumna domaga się wprawdzie *panowania* ducha nad ciałem, ale nie zaparcia się i umorzenia tego koniecznego środka dla wszelkiéj działalności umysłowéj,—o tém wszystkiém młody autor nie miał jeszcze żadnego jasnego pojęcia. Bezwzględny rozbrat ducha i materyi, idei i rzeczywistości, życia umysłowego i działalności praktycznéj w świecie, przenikał jeszcze cały jego sposób myślenia, wszystkie jego poglądy na przeznaczenie człowieka.

Wewnętrzny związek tego spirytualizmu z wiarą dogmatyczną występuje jak najwyraźniéj na jaw w *Studyach literackich* Kraszewskiego, pisanych w roku 1841 (wydanych 1842 r.). Tutaj, w rozdziale: *Życie umysłowe*, napotykamy między innemi następujące ustępy, uzupełniające we wskazanym kierunku powyższe poglądy autora: „Wysokie uduchowienie człowieka, mówi, przeniesienie jądra i ogniska żywota w dusze, czyni ludzi,—jak tego mamy przykłady na tylu świętych i męczennikach,—prawie obcymi żywotowi cielesnemu. Mijam to, że w męczennikach, o których wspominałem, do pogardy mąk i życia, wyższa pomoc i wzniosłe uczucie przykładały się; wszakże innemi jeszcze przykłady dowieść by można, że ludzie silnie myślą jaką owładnieni, przeniesieni w świat ducha, znosili łatwo męki i cierpienia, nad które byli wyżsi dla tego, że nie żyli ciałem prawie.... W istocie, ciągnie autor daléj, człowiek, im tu jest duchowniejszy, im doskonalszy, im mniéj cielesny, tém więcéj się usposabia do życia przyszłego, które, jak wiemy z objawienia wiary naszéj, stopniowaném będzie wedle zasługi i wedle sił duchowych człowieka!“

Rzecz naturalna, że takie zapatrywania łączyły Kraszewskiego coraz ściśléj z głównymi przedstawicielami filozofii katolickiéj u nas.

Już w roku 1838 napotykamy w *Tygodniku Petersburskim* nader pochlebną wzmiankę Kraszewskiego o pierwszéj części *Obrazu myśli* Bochwica; Kraszewski chwali tutaj *wielki talent* autora tego pisma, pełnego, jak mówi, *śmiałych i uderzających pomysłów*. Jest ono, wedle zdania recenzenta przeznaczone na pokazanie półmędrkom, jak się religia godzi z nauką, i dowodzi jasno potrzeby i prawdy religii. Z jakim zaś ciepłem Kraszewski przejął się filozoficznémi dążnościami Bochwica, temu za dowód służyć mogą następujące słowa, które napisał do Placyda Jankowskiego w liście z dnia 9 września 1841 r. z powodu wiadomości, że Bochwic, zniechęcony krytyką swych pism, a szczególniéj zarzutami odstępstwa od nauki kościoła, czynionemi przez Rzewuskiego, zamyśla porzucić zawód piśmienniczy [1]). „Na miły Bóg, pisz pan do Bochwica, prosi Kraszewski, aby się nie zrażał, aby swoje robił, aby pracował, aby pisał, aby w pokorze ducha przyjął słuszne zarzuty, niesłuszne odparł i nie łamał pióra, które z pożytkiem ogółu trzymać może.“

W owym też czasie połączył się Kraszewski więzami szczeréj przyjaźni z x. *Stanisławem Chołoniewskim*, tłumaczém Lamenais'go na język polski, z x. *Ignacym Hołowińskim*, późniejszym arcybiskupem współpracownikiem Tygodnika Petersburskiego, w którym krytykował Trentowskiego, z *Henrykiem Rzewuskim*, skrajnym przed-

[1]) Listy Kraszewskiego do Placyda Jankowskiego (John of Dycalp) w liczbie 32, pisane od roku 1841 do 1849, udzielone zostały Redakcyi niniejszéj książki Jubileuszowéj i przejrzane przezemnie w rękopiśmie. Korzystam z nich kilkakrotnie.

stawicielem wsteczności i innymi. A gdy *Eleonora Ziemięcka* dla przeciwdziałania heglizmowi, rozszerzającemu się wśród młodych pisarzy warszawskich, rozpoczęła wydawnictwo *Pielgrzyma*, wtedy Kraszewski na jéj prośby chętnie rozciągnął swą protekcyą nad tém przedsięwzięciem. W listach pisanych naówczas do Chołoniewskiego Kraszewski wychwala *zdumiewające zdolności* i *naukę* Ziemięckiéj i prosi duchownego dostojnika, aby pracami swémi zechciał się przyczynić do urzeczywistnienia pięknego celu, jaki sobie założyła redaktorka *Pielgrzyma* [1]. Chołoniewski początkowo nie wyraża zbyt wielkiego współczucia dla podobnego wystąpienia niewiasty *blue stocking* w obronie filozofii chrześciańskiéj. Lecz na skutek ponownych, serdecznych przedstawień Kraszewskiego, który dowodzi, że „ta kobieta lepszą ma głowę i więcéj energii, niż wszyscy mężowie, pisarze warszawscy, którzy przy niéj wyglądają na młodziuchne panienki,“—Chołoniewski daje się w końcu przekonać i zasila *Pielgrzym* rozprawą swoją: *O wpływie racyonalizmu na tegoczesną literaturę i kunszta*, w któréj występuje zarówno przeciwko realizmowi w nowszéj literaturze, jak i przeciwko zwrotowi ku pogańskiéj sztuce starożytności. Sam zaś Kraszewski przyjął czynny udział w piśmie Ziemięckiéj, zamieszczając w nim kilka charakterystycznych obrazów z ówczesnego życia umysłowego p. t. *Synowie wieku* (*Pielgrzym* 1842 T. I i IV., 1843 T. I., 1844 T. I). Praca ta w owym czasie zniechęciła mocno młodą prassę warszawską przeciwko Kraszewskiemu i po dzień dzisiejszy stanowi ciekawy przyczynek do jego zapatrywań na filozoficzne i społeczne dążności bieżącego wieku.

Na wstępie do téj pracy autor zapytuje, czémże właściwie jest ten nasz wychwalony wiek XIX-ty? „Z kolei pobożny, niedowiarek, panteista, racyonalista, demagog, arystokrata, humanitaryusz, utylitaryusz, obrońca Lojoli, chwalca reformy, czémże i kim jest w istocie, co w jego sercu przemoże?“ Dla dania odpowiedzi na to zapytanie przedstawia nam autor galeryą najwybitniejszych typów nowych czasów. Pierwsze miejsce w téj galeryi zajmuje *filozof mieszaniec*, jako najstarszy syn wieku. W jego głowie filozofia niemiecka i filozofia XVIII wieku utworzyły system, pokrewny obydwom. Strauss i Wolter podają sobie tutaj rękę. Powodzenie, szczęśliwa oryginalność, zdolna swemi wytworami zająć jak najszerszą publiczność,—oto jedyna dążność ludzi tego rodzaju. Wszelką religią zastąpiła u nich religia sukcessu. Drugim synem wieku jest zwolennik bezwzględnéj spekulacyi niemieckiéj. Dla niego nic nie istnieje, prócz tak zwanéj *dzisiejszéj* filozofii. Przeszłości nie uznaje, wierzy tylko w ducha czasu i w postęp przyszłości. Szczerość, otwartość są wprawdzie jego cnotami,—ale cóż te cnoty znaczą, gdy religia idzie w poniewierkę, gdy świat ziemski staje się jego hasłem, a niebo, Bóg, słowami bez znaczenia. Dalszym typem jest *neokatolik*, *neochrześcianin*. Dobroduszna to istota! Z dobrego serca uznaje doskonałość chrześciaństwa, ale zarazem hołduje *dzikiéj myśli* ulepszenia chrześciaństwa przez reformy. Co za sprzeczność w téj słabéj organizacyi umysłowéj! Chrześciańską katolicką naukę pragnie połączyć z ideą reformy, więc *prawdę bezwzględną* chce jeszcze polepszyć, udoskonalić! Idąc daléj od portretu do portretu autor przedstawia nam jeszcze kobietę emancypowaną i stoika XIX-go wieku; lecz sensu moralnego z całego tego szeregu portretów nie wyprowadza, gdyż praca ta w *Pielgrzymie* urywa się, bez właściwego zakończenia.

Już nieco wcześniéj, bo w r. 1841 Kraszewski rozpoczął wydawnictwo własnego pisma *Ateneum*. Pierwiastkowo pismo to poświęcone było wyłącznie interesom literatury pięknéj i historyi ojczystéj. Wkrótce jednak, bo jeszcze w pierwszym roku wydawnictwa, wskutek zbiegu okoliczności a szczególniéj z powodu, jak oświadcza redaktor, napływu oryginalnych prac filozoficznych, na które początkowo nie liczył, włącza w swój zakres i dążności filozoficzne. Kierunek takowych zaznacza sam Kraszewski już w III-cim tomie *Ateneum*, w ocenie drugiéj części *Obrazu myśli* Bochwica, w któréj między innemi mówi, że wszyscy u nas piszący o filozofii „odznaczają się jednem wspólnem usiłowaniem: zwrócenia się ku ideom zdrowym, religijnym, usiłując, co nie trudno, pogodzić filozofią z objawioną wiarą,“ w następnym tomie otwiera osobny dział dla filozofii, a do V-go tomu dodaje obszerny wstęp, w którym z całą stanowczością wypowiada kierunek i tendencye swego pisma pod względem filozoficznym. Przytoczę tutaj najwybitniejsze

[1] Zob. pod tym względem zajmującą rozprawę *D-ra Antoniego J.* p. t. *J. I. Kraszewski i x. Stan. Chołoniewski*, gdzie podane są wyjątki z korrespondencyi obydwóch pisarzy. *Przewodnik naukowy i literacki*, dodany do *Gazety Lwowskiej*, za Czerwiec, Lipiec i Sierpień 1878 r.

miejsce tego wstępu, będące niejako wyznaniem wiary naszego pisarza, dające zarazem najlepsze pojęcie o stosunku jego do ówczesnych dążności religijno filozoficznych.

„Spytani zostaliśmy, mówi redaktor Ateneum, o dążność naszego pisma, o naszę opinią; więc zmuszeni jesteśmy do tłumaczenia się w tym przedmiocie, do obrania sobie drogi wyłącznéj, barwy właściwéj. Nie wahamy się z odpowiedzią na chwilę. Ateneum co do ducha wewnętrznego, będzie odbiciem opinii składających się na nie pisarzy; Ateneum na pierwszym względzie ma i będzie miało zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych, zdrowych, starać się jeszcze będzie ostatecznie wytępić błąkające się niedobitki wyobrażeń, przekonań XVIII wieku; stanie, o ile mu siły pozwolą, do walki z niewiarą, materyalizmem, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodéj Europy. Ateneum, nie zapełniając się wyłącznie przedmiotami religijnemi, zwracać będzie uwagę, aby wszystko co w nim umieszczoném zostanie, widziane było z punktu religijnego, pisane w duchu religijnym. Nie przyjmie ono nic, coby trąciło albo zbutwiałą filozofią szkoły francuzkiéj XVIII wieku, albo opiniami nowémi a szkodliwémi, które, uchodząc tylko za nowe, są pobielanym grobem XVIII wieku. W oddziale świeżo utworzonym przez posłuszeństwo duchowi i potrzebom wieku, w oddziale filozoficzno-religijno - moralnym, starać się będziemy umieszczać takie artykuły, któreby zwracały uwagę na walną sprawę pobratania filozofii z katolicyzmem, sprawę dopełnioną w naturze rzeczy, ale nie wyjaśnioną może dla wielu, mianowicie u nas."

Pomimo téj gorącéj zapowiedzi nie napotykamy jednak w Ateneum zbyt wiele artykułów, któreby konsekwentnie przeprowadziły te dążności filozofii katolickiéj. W sześćdziesięciu sześciu tomach tego pisma od roku 1841 do 1851 mieści się zaledwo kilka prac, które z równą stanowczością, jak powyższy prospekt, mają na oku *pobratanie filozofii z katolicyzmem.* Pod tym względem zasługują na uwagę właściwie tylko rozprawa *Henryka Rzewuskiego*: *O prawidłach cywilizacyi narodów*, zamieszczona w IV tomie roku 1841, list *x. Chołoniewskiego* do redaktora wraz z korrespondencyą *Józefa de Maistre* z Janem Potockim w T. II roku 1843, oraz *Kilka słów o Schellingu* przez *El. Ziemięcką* w T. I z roku 1844.

Praca Rzewuskiego, którą sam redaktor w przypisku nazywa godną *uwielbienia*, jest tylko wyjątkiem z większéj całości. Rozwija ona szczegółowo założenie, że główuym żywiołem cywilizacyi jest *religia*, że naród bez wielkiej myśli religijnéj nie posiada żadnéj rękojmi trwałości. Zresztą praca ta ma bardziéj charakter ogólnie historyozoficzny, niż dogmatyczny, i wcale nie dotyka specyalnych kwestyi katolicyzmu, i dla tego właściwie nie może uchodzić za rozwinięcie owego programmatu redaktorskiego. Pozostają tedy tylko list x. Chołoniewskiego i artykuł El. Ziemięckiéj, jako napisane w duchu powyższéj zapowiedzi.

Chołoniewski, który w roku 1821 przełożył Lamenais'go, cofa się w swym liście do Kraszewskiego w dwadzieścia lat późnéj na przestarzałe stanowisko hrabiego De Maistre. Pisarza tego Chołoniewski tutaj nazywa *duchem wzniosłym*, postawionym na to od Opatrzności na pograniczu XVIII-go i XIX-go wieku, aby „jako Farus potężny daleko rzucał łunę wysokiego światła tak na straszliwy zalew pierwszéj rewolucyi francuzkiéj, jako też na nowe z powodzi dobywające się lądy i kształty następnéj epoki." Jakiego zaś jest rodzaju ten duch wzniosły, ten Farus XIX-go wieku, nic niestety tak jasno i dobitnie nie wykazuje, jak owa poufna korrespondencya jego z Janem Potockim, podana do Ateneum przez Chołoniewskiego.

Potocki, rozbierając kwestyą o pierwotnych dziejach ludzkości, przedstawił przyjacielowi swój systemat chronologiczny tych dziejów. De Maistre bardzo był zgorszony z tego systematu, gdyż Potocki nie trzymał się, według jego zdania, dość ściśle podań Mojżesza. Przyjmuje on *kilka* potopów, liczy do potopu kilka wieków więcéj, niż na to dozwala chronologia przez Jezuitów obliczona i przez Papieży zatwierdzona, i dopuszcza się w ogóle różnych tego rodzaju herezyi. Nic w tém naturalnie zdrożnego niema, że De Maistre, widząc te zboczenia przyjaciela, stara się naprowadzić go na drogę prawdy, t. j. zjednać go dla swego przekonania, byleby to czynił na podstawie argumentów godnych chrześcianina, za którego chciał uchodzić, w ogóle człowieka miłującego prawdę dla prawdy. Ale cóż na to powiedzieć, gdy najsilniejsze argumenta De Maistra przeciw Potockiemu mają za tło przesądy kastowe, interessa arystokracyi! Dowodzenie De Maistra pod tym względem zbyt jest charakterystyczne, zbyt jasno maluje właściwe tendencye téj wrzekoméj filozofii, w którą Kraszewski dał się usidlać, abym

tutaj nie miał przytoczyć kilku pouczających wyjątków.

„Bezbożność, mówi De Maistre, to motłoch (l'irreligion est canaille). Albowiem, pominąwszy nawet wszelkie badania *czy tak jest* lub *nie jest*, znakomity człowiek (ma znaczyć człowiek wysoko urodzony) wystrzega się nie tylko szyby w oknach wybijać, lecz nawet powiedziéć lub napisać najmniéjsze słowo, mogące wprost lub ubocznie *drasnąć* dogmata narodowe. We wszystkich krajach pewna jest liczba *rodzin zachowawczych*, na których spoczywa stan społeczny. Zowią to *Arystokracyą* albo téż *Szlachtą*. Póki one pozostają czyste i przejęte duchem zdrowym, póty stan społeczny jest niezachwiany, na przekorę występkom panujących. Skoro tylko są skażone, zwłaszcza pod względem religijnym, wtedy rzeczpospolita runąć musi, choćby Karol W. po Karolu W. nią rządzili. Patrycyusz jest kapłanem świeckim, religia narodowa jest pierwszą jego własnością, *bo ona strzeże przywilejów szlachty*, która zawsze razem z nią upada. Nie ma większéj zbrodni dla szlachcica, jak powstawać przeciwko dogmatom. Przyznaj, panie hrabio, iż szlachta francuzka, wchodząc w przymierze z filozofią XVIII wieku, bardzo źle na tém wyszła, toć to jest jéj zbrodnią i początkiem jéj klęsk..." Argumentacyą tę De Maistre wspiera obietnicą, że gdy się Potocki trzymać będzie Mojżesza, będzie miał za sobą Jezuitów, i kończy prośbą, aby przyjaciel „choćby inaczéj o tém trzymał, nie dał się jednak zaciągnąć między szeregi rokoszan *plebejuszowskich*." Nie przystałoby to na *hrabiego* Jana Potockiego.

Nie wiem, czy ta argumentacya hrabiego De Maistra, wychwalana przez hrabiego Chołoniewskiego, przekonała hrabiego Potockiego. Wiem tylko, że zamieszczoną jest w piśmie Kraszewskiego i że Kraszewski w owym czasie w powieściach swoich, a szczególniéj w *Latarni Czarnoksięzkiéj* tu i owdzie wspomina o De Maistrze, jako o przedstawicielu religii i wiary. A to wystarcza dla usprawiedliwienia, dla czegośmy się na tym punkcie nieco dłużéj zatrzymali.

Artykuł El. Ziemięckiéj w Ateneum, o którym wspomnieliśmy powyżéj, napisany został z powodu zwrotu Schellinga do filozofii objawienia. Zwrot ten rozpoczyna się wykładami jego w Berlinie, mianemi od roku 1841. Myślą zasadniczą Schellinga w tych wykładach było zastąpić, jak mówił, negacyjną abstrakcyjność Hegla filozofią pozytywną, zaczerpaną z dziejów religii. Same wykłady berlińskie Schellinga wydano w całości dopiéro po śmierci jego w roku 1856. Przedtem nowe stanowisko tego filozofa znane było tylko z ogłoszonéj drukiem *lekcyi wstępnéj* z roku 1841, przełożonéj w swoim czasie w *Bibliotece Warszawskiéj* na język polski, oraz z dzieła *Frauenstädta*, zawierającego treść i krytykę tych lekcyi. Otóż to dzieło Frauenstädta służy Ziemięckiéj za punkt wyjścia dla szeregu uwag nad filozofią objawienia Schellinga. Autorka wynosi wysoko ten zwrot znakomitego filozofa do wiary i religii, lecz zarzuca mu naturalnie, że nie stanął na stanowisku jedynie prawdziwem *katolicyzmu*. „Kto chce, jak Schilling, mówi Ziemięcka, dowieść istoty religii, ten musi się oprzéć na jéj najwyższém uosobieniu, t. j. na Kościele. Wtedy dopiéro wyznanie chrześciańskiego mędrca przemieni się w religią, stanie się powszechną siłą..." „Dopóki nie oprze się na nieruchoméj powadze kościoła, pozostanie zawsze w indywidualizmie, a co najwięcéj w *pewnéj kategoryi* rozbioru, jak dawni reformatorowie, ale żadnych żywotnych socyalnych posad wiary nie położy." Kończy zaś autorka swą inkwizycyą surowym wyrokiem, że filozofia objawienia Schellinga, chociaż „zbliżyła się o włos prawie do prawowiernéj nauki Kościoła"... „w stosunku jednak z mądrością katolicką jest zaledwie wątłą próbą, jakby cieniem prawdy."

W *Synach wieku*, w prospekcie filozoficznym do Ateneum, oraz w ogłoszeniu korrespondencyi De Maistra i artykułu Ziemięckiéj dążności religijno-filozoficzne Kraszewskiego dosięgły, jak się zdaje, swego punktu kulminacyjnego. Po pierwotnéj zapowiedzi spodziewać się należało, że Ateneum przepełnioném będzie samemi utworami tendencyjnemi w duchu skrajnego dogmatyzmu, tymczasem, prócz zaznaczonego wystąpienia x. Chołoniewskiego i El. Ziemięckiéj, dążności religijne tego pisma nie przekraczają granic umiarkowania i rozumnie pojętéj obrony idealnych interesów społeczeństwa przeciw napaściom na zasadnicze podstawy religii i moralności. Takie zwolnienie w praktyce dość silnie w prospekcie naciągniętych strón dogmatyzmu wypływało zresztą z dotkniętéj już na początku natury i ustroju umysłowego naszego pisarza. Kraszewski mógł w rozwoju swego poczucia religijnego przejąć się na chwilę zasadami dogmatyzmu, zapisać się pod sztandar De Maistra w walce przeciwko niedowiarstwu i materyalizmowi

XVIII-go wieku. Poglądy tego ostatniego sprzeciwiały się tak zasadniczo temu wszystkiemu, cośmy przyrodzonym idealizmem Kraszewskiego nazwali, iż dziwić się nie można, że już sam wstręt do tego sposobu myślenia popchnął go do obozu przeciwległego. Ale z drugiéj strony, tenże ustrój umysłowy, a szczególniéj żywość, wrażliwość i wszechstronność Kraszewskiego, nie mogły zezwolić na wyłączne, niewolnicze poddanie się powyższym tendencyom, na energiczne ich przeprowadzenie do ostatecznych wyników, do skrajnéj jednostronności. Kraszewski z czasem musiał się zapoznać i z innémi dążnościami filozoficznémi swego czasu, a szczególniéj z filozofią spekulacyjną Hegla i jego uczni u nas. A ta znajomość szerszych na świat poglądów, to wniknięcie w ducha filozofii, która wychodzi z przekonania, że pomiędzy rozumem ludzkim a prawdą bezwzględną nie może istnieć żadna zasadnicza sprzeczność, musiało coraz bardziéj rozszerzyć umysłowy widnokrąg Kraszewskiego, zachęcić do głębszego zastanowienia się nad filozoficznémi dążnościami czasu. To wszystko nie nadwyrężyło wprawdzie ogólnego ducha religijności naszego pisarza, nie zmieniło w zasadzie jego dotychczasowych przekonań—Kraszewski i nadal i po dzień dzisiejszy pozostał dobrym katolikiem. Ale szczegółowa treść jego wiary, dogmata religijne zestąpiły w jego świadomości na plan drugi, stały się, że tak powiem, sprawą prywatną jego serca, z którą już nie występował publicznie tak stanowczo i ostentacyjnie, jak w prospekcie filozoficznym do Ateneum. Broni on i nadal przy każdéj sposobności wiary, religii, przeciw najazdom niedowiarstwa i materyalizmu, boi się wszelkiego panteizmu i t. d., lecz tego wszystkiego nie czyni już w imię *ślepéj wiary*, w imię niewolniczéj uległości dla dogmatów. Nie prowadzi już walki ze sztandarem filozofii katolickiéj w ręku, lecz, przyznając w zasadzie prawo ludzkiego rozumu do samodzielnych docickań filozoficznych, wznosząc się coraz bardziéj na stanowisko rozumnéj tolerancyi, powołuje się już teraz przeważnie na argumenta, płynące bądź z ogólnéj natury ducha ludzkiego, bądź z doświadczenia i nauki dziejów. Jestto postęp nader ważny, zaznaczający coraz wyższe dojrzewanie umysłu naszego pisarza.

W saméj rzeczy zauważmy, że Kraszewski, poświęcając się głównie powieściopisarstwu, krytyce i studyom historycznym, nie czuł w sobie powołania do samodzielnego obrobienia zasadniczych problematów filozoficznych, tak ściśle powiązanych z treścią wierzeń religijnych. Wiary tedy po ojcach odziedziczonéj nie przenikał duchem filozoficznym w celu samodzielnego przyswojenia sobie jéj treści, ani téż nie rozwijał w sobie nowych idei, zdolnych w czémkolwiek zastąpić tę treść tradycyjną. A że z drugiéj strony w skutek głębszych studyów filozoficznych, o których późniéj, dobrze pojmował, że ślepy dogmatyzm nie odpowiadał ani duchowi czasu, ani wymogom dojrzałego umysłu,—więc szczegółową treść swojéj wiary zamknął w tajnikach swego serca, jako rzecz czysto osobistą, a publicznie bronił tylko jeszcze ogólnéj zasady wiary i religii. Wreszcie losy, jakie spotkały wydatniejsze dążności filozofii katolickiéj we Francyi, Włoszech i Niemczech, dobrze były znane Kraszewskiemu i bynajmniéj nie zachęcały go do samodzielnego próbowania swych sił na tém polu.

Dalszy ciąg naszego opowiadania uwydatni bliżéj główne momenta powyższego zwrotu w pojęciach filozoficznych naszego pisarza.

II.

Filozofia spekulacyjna Hegla i jéj znaczenie dziejowe. — Ruch piśmienniczy polski, wywołany przez filozofią Hegla. — Stosunek Kraszewskiego do Heglizmu. — Trentowski i Cieszkowski. — Parafrazy Hegla przez Szczeniowskiego w Ateneum.—Zarzuty El. Ziemięckiéj. — Sądy Kraszewskiego o heglistach warszawskich — Latarnia Czarnoksięska.—Samodzielne studya filozoficzne od roku 1844.—Listy do Placyda Jankowskiego — Owoce studyów filozoficznych. — Prace w Ateneum nad Heglem i ostatnie słowo o jego filozofii. — Wpływ heglizmu na pojęcia i tendencye Kraszewskiego. — Artykuły literackie wykazujące ten wpływ. — Rozbiór systemu Trentowskiego. — Powieści filozoficzne: Pod włoskiém niebem, Pamiętniki nieznajomego, Stinx i Tomko Prawdzic. — Główne okresy działalności piśmienniczéj Kraszewskiego: romantyczno-religijny, filozoficzny i historyczno-społeczny.

Drugim wydatnym czynnikiem filozoficznym w pierwszych dziesiątkach bieżącego wieku była spekulacya niemiecka, a szczególniéj filozofia Hegla. System idealizmu,

rozwinięty po Kancie przez Fichtego i Schellinga, dosięga w Heglu najwyższego stopnia rozwoju.

Wpływ zaś Hegla na współczesnych rozpoczyna się właściwie dopiero rokiem 1818, gdy jako professor filozofii w uniwersytecie berlińskim rozwija swój system przed licznie zgromadzonymi uczniami. Wprawdzie już dawniéj, bo w roku 1807 ogłosił Hegel *Fenomenologią ducha*, w któréj położył podwaliny swego ogólnego na świat poglądu. Już wówczas wypowiedział swą myśl zasadniczą, że świat cały od najelementarniejszego processu fizycznego aż do dziejów ludzkości jest stopniowym rozwojem idei, że zrozumienie tego rozwoju i ujęcie jego logicznych momentów jest najwyższém zadaniem filozofii, jest objawem rozumu bezwzględnego, dochodzącego w ludzkości, a szczególniej w dziejach filozofii, do świadomości siebie. Ale wystąpienie to mało jeszcze naówczas znanego zwolennika filozofii przyrody Schellinga nie zwróciło na siebie powszechniejszéj uwagi. Zresztą czas, pełen niespokoju i krwawych dramatów, nie sprzyjał głębszym poszukiwaniom filozoficznym. Dopiero, gdy ucichł szczęk broni i huk dział, gdy minęła obawa ponownych zawikłań wojennych, gdy stosunki społeczne i państwowe coraz bardziéj się ustalały, — dopiero wtedy narody na zgliszczach swego dobrobytu zaczęły dumać nad srogiémi zrządzeniami losu, zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, co się stało, szukać pociechy i zachęty do nowéj pracy nie tylko w dogmatach wiary, lecz i w ogólnych na świat poglądach, w rozumowém pojęciu przeznaczenia i dziejów ludzkości. To uczyniło je skłonnemi do brania coraz żywszego udziału w dążnościach filozoficznych, ale tylko w takich dążnościach, które dawały pewną rękojmią polepszenia sobie bytu społecznego, usunięcia zła, z którego powstały przebyte dopiero co katastrofy dziejowe.

Widzimy już z tego, że filozofia Hegla, pomimo swego odrębnego charakteru, wyrosła jednak z tego samego gruntu społecznego, co wzmiankowane powyżéj dążności religijne. I heglizm przedstawiał w istocie swojéj reakcyą przeciwko zasadom rewolucyjnym, przeciwko samowoli jednostki, która żądała, aby ogół się stosował do jéj zachcianek i pragnień. Wykazując bezwzględną wyższość ogółu nad szczegółami, domagając się, aby jednostka szukała swego szczęścia, wyłącznie w pracy dla ogółu i w nim zatapiała całe swe jestestwo, aby fakta spełnione przyznane były bezwzględnie za objawy rozumu najwyższego, Hegel przyczyniał się do jak najżywszego rozbudzenia w jednostkach poczucia zależności od ogólnego porządku rzeczy, od wszelkich form moralnych, społecznych i państwowych, reprezentujących ogół. Dla kogo, jak dla Hegla, człowiek pojedyńczy był tylko przemijającym objawem, fenomenem ogólnego ducha; kto, jak on, z zasady uwielbiał wszystko, co miało cechę powszechności, widząc w niéj główny czynnik rozumu, prawdy bezwzględnéj, a jako najwyższy wynik filozofii wygłaszał zdanie, że wszystko, co jest, jest rozumném, że najprzewrotniejsze nawet objawy mają nie tylko swą przyczynę, lecz i swą logiczną racyą bytu; ten z natury rzeczy należał do obozu zachowawczego i wcale dalekim nie był od najdespotyczniejszéj reakcyi przeciwko wygórowanemu indywidualizmowi na polu socyalném, polityczném i nawet religijném. To téż zarówno sam Hegel, jak i szkoła jego, szczególniéj tak zwana prawica Hegla z *Göschlem* na czele, często w jak najlepszéj wierze łączyli się z dążnościami reakcyjnémi, które, jak wiadomo, po kongresie wiedeńskim zawładnęły rządami. Zgodność ta tém łatwiejszą była w państwach protestanckich, że tutaj dogmatyzm kościelny już oddawna zrzec się musiał swego arystokratycznego panowania nad życiem umysłowém i sumieniem narodów. W skutek tego wiara, religia, nie były tutaj z zasady przeciwne samodzielnym poszukiwaniom filozoficznym, lecz kontentowały się, gdy panująca filozofia uwzględniała ich wymagania i je usprawiedliwiała ze stanowiska rozumowéj spekulacyi. Dopiero gdy tak zwana lewica Hegla w osobie *Straussa*, *Feuerbacha*, *Bauera* i innych sama wystąpiła z oppozycyą przeciwko zasadniczym dogmatom chrześciaństwa, skłaniając się coraz bardziéj do teoryi materyalistycznych, dopiero wtedy protestancka teologia podjęła rękawicę niezgody i zaczęła walczyć przeciw heglizmowi.

Inaczéj rzecz się miała w krajach katolickich. Tutaj heglizm ze swoją tendencyą panteistyczną, już jako objaw samodzielnych dążności rozumowych, sprzeciwiał się zasadniczym dogmatom kościoła, jego nauce wszechstronnie rozwiniętéj i wykończonéj w najdrobniejszych szczegółach; tutaj heglizm nie mógł być spożytkowanym, jako czynnik reakcyjny, lecz przeciwnie już w pierwszych swoich zawiązkach przedstawiał się jako kierunek szkodliwy, który zbijać należało wszelkiemi środkami, gdyż myśléć nie można było o jakimkolwiek kompromissie z jego treścią i dążnościami.

Pierwsze zawiązki heglizmu w naszéj literaturze napotykamy dopiero po r. 1830. Podczas gdy przedtém odzywały się u nas tylko słabe echa ogólnego ruchu filozoficznego, wywołanego przez Kanta, idealizm Hegla natomiast od roku 1830 przebojem wciska się do świadomości ogółu, przyjmuje barwę swojską i domaga się energicznie, aby w nim uznano jeden z koniecznych czynników życia narodowego. Widocznie, że jak gdzieindziej, tak i u nas, doświadczenia dziejowe były głównym bodźcem do pracy nad filozofią, do wytworzenia całego szeregu poglądów filozoficznych, dążących do zaspokojenia głębszych potrzeb umysłowości. Bo też w saméj rzeczy idealizm Hegla, odkrywając ślady ducha bezwzględnego zarówno w processach przyrody, jak i w dziejach ludzkości, podniecając zaufanie człowieka do samego siebie, do porządku rozumowego świata, odpowiadał jak najbardziej potrzebom umysłowym naszego ogółu po r. 1830. W obec ciągłych zawikłań, w obec zresztą ducha czasu, stojącego jeszcze zbyt silnie pod wpływem teoryi XVIII wieku, nawoływanie do ślepéj wiary nie mogło zjednać sobie większości żywszych umysłów. Żeby podnieść ogół z apatycznego odrętwienia, żeby go na nowo zachęcić do pracy na polu nauki, sztuki i życia praktycznego, na to nie wystarczał już supranaturalizm ani ze swojém lekceważeniem bytu ziemskiego, ani ze swoją wiarą w lepszą przyszłość po za światem. Na to potrzeba było ożywczych czynników, zaczerpanych z tutecznego świata, potrzeba było wiary w rozum ludzki i rozum dziejów. Tym to wymaganiom i potrzebom życia społecznego czyniła właśnie zadość filozofia Hegla, i ztąd tłumaczy się jéj wpływ potężny, jak na współczesnych wogóle, tak i w szczególności na tyle wysoko uzdolnionych umysłów naszego społeczeństwa.

Ruch piśmienniczy, wywołany u nas przez filozofią Hegla, przedstawia się wyraźnie w następującym zarysie.

Pierwsze miejsce zajmują tutaj różne czasopisma, wydawane w roku 1830 we Lwowie, Krakowie, Warszawie i Poznaniu. We Lwowie *Haliczanin* W. Chłędowskiego ogłaszał filologiczno-filozoficzne dziwolągi Jana Nepomucena Kamińskiego, które były pierwszym, ale zarazem i najniedojrzalszym objawem zetknięcia się naszéj umysłowości z filozofią Hegla. Daleko poważniéj traktował filozofią i heglizm Kremer w „Kwartalniku naukowym“ w latach 1835 i 1836, w szeregu rozpraw, które sam słusznie nazwał „dzwonkiem porannym,“ wzywającym do badań filozoficznych. U nas, w Warszawie od roku 1842 „Przegląd Naukowy“ H. Skimborowicza zamieszczał artykuły współredaktora Edwarda Dębowskiego, które z młodzieńczą pretensyonalnością broniły spekulacyi niemieckiéj, jako jedynie rozumnego i naukowego stanowiska filozofii. W témże piśmie występowali ze swemi pomysłami filozoficznemi, Jan Majorkiewicz, Feliks Jezierski i inni. W Poznaniu zaś „Tygodnik literacki,“ „Rok“ i „Orędownik naukowy“ zjednały sobie wkrótce współpracownictwo takich koryfeuszów filozofii spekulacyjnéj, jak Trentowski, Cieszkowski i Libelt.

Wspólnie z tym ruchem piśmiennictwa czasowego, pojawia się szereg większych prac naukowych, napisanych pod wpływem filozofii Hegla, a wydanych, jako dzieła osobne. Pierwsze miejsce pomiędzy niémi zajmują: Kremera „Fenomenologia ducha“ z roku 1837 (przejrzane odbicie z „Kwartalnika naukowego“), oraz niemieckie prace Trentowskiego: „Zasada uniwersalnéj filozofii“ (1837) i Cieszkowskiego „Prolegomena do historyozofii“ (1838). Wkrótce potem Trentowski ogłasza po niemiecku swe „Studya nad filozofią natury“ (1840), oraz najgłówniejsze swe dzieła polskie: „Chowannę“ (1842) i „Myślini“ (1844); Cieszkowski wydaje pismo polemiczne przeciwko swemu professorowi Micheletowi: „Bóg i Palingenezya“, (po niemiecku, 1842), będące zwiastunem jego dzieła: „Ojcze nasz“ (1848); Kremer rozwija w swych „Listach z Krakowa (Tom I. 1843) ogólne zasady estetyki i wydaje następnie swój „Wykład systematyczny filozofii‘ (1849), a Libelt od roku 1845 rozpoczyna wykład swego „Systemu umnictwa.“

Samo przypomnienie wszystkich tych imion, dziś już dobrze znanych powszechności, powinno wystarczyć dla uzupełnienia ogólnego obrazu filozofii Hegla, i uprzytomnienia odrębnych barw i zarysów, jakie ten kierunek myśli przyjął w piśmiennictwie naszém. To też na tym punkcie obecnie dłużéj zatrzymywać się nie będziemy.

Stojąc na stanowisku filozofii katolickiéj, Kraszewski początkowo, bez rozbioru i głębszéj krytyki, niewidział w filozofii Hegla nic innego, oprócz czczéj spekulacyi, doprowadzającéj do panteizmu, do negacyi Boga i ubóstwienia człowieka. Wolny jednak od wszelkiego fanatyzmu, nie potępiał nowego kierunku bezwarunkowo, lecz zachował się względem niego wyczekująco, ganiąc głównie tylko niedojrzałe wyskoki spekulacyi w ówczesnéj młodéj prassie warszawskiéj. Od chwili zaś, gdy filozofia spekulacyjna w Trentowskim przyjęła formę swojską, gdy dobijała się powszechnego uznania pod na-

zwą filozofii narodowéj, Kraszewski, baczny na wszystkie wybitniejsze objawy czasu, zmuszony był zapoznać się bliżéj z heglizmem, jako z myślą, która zawładnęła prawie całą młodszą generacyą. Okoliczność ta zachęciła go do coraz rozleglejszych studyów filozoficznych, które wreszcie wpłynęły na ukształtowanie jego własnych pojęć i poglądów. Rok 1844 stanowi pod tym względem epokę w rozwoju umysłowym naszego pisarza.

Jako dowód, z jaką w saméj rzeczy tolerancyą Kraszewski z samego początku, pomimo swych sympatyi dogmatycznych, odnosił się do heglizmu, może służyć ta okoliczność, że otwierając w roku 1841 w Ateneum dział filozoficzny, poświęcony, jak widzieliśmy, zasadzie pogodzenia filozofii z katolicyzmem, zapraszał jednak usilnie Trentowskiego i Cieszkowskiego, piszących po niemiecku, aby udzielili mu do Ateneum, jak mówi, bogdajby odłamków swych myśli, tak mało upowszechnionych jeszcze u nas.

Obaj filozofowie należeli wprawdzie do tak zwanéj prawicy Hegla, bronili w pracach, wydanych do owego czasu, osobistości Boga przeciw panteizmowi, — i to zapewne przyciągało wówczas Kraszewskiego do nich. Ale pomimo to, ich ogólne stanowisko filozoficzne nie schodziło się bynajmniéj z zapowiedzianą tendencyą Ateneum. Wrażliwość tedy na żywotne idee czasu, sympatya dla samodzielnych objawów badawczego ducha, zmuszały Kraszewskiego do rozszerzenia coraz bardziéj tych ciasnych ram, w których pierwotnie pragnął zamknąć swe zapatrywania filozoficzne. Te też strony umysłu naszego pisarza tłumaczą nam zarazem fakt już zaznaczony, dla czego Ateneum nie postępowało zbyt energicznie w kierunku, zapowiedzianym w prospekcie filozoficznym.

Krokiem, jeszcze bardziej uderzającym, jest ogłoszenie w Ateneum szeregu prac filozoficznych Tytusa Szczeniowskiego, rozchodzących się pod niejednym względem z filozofią katolicką. W rozprawie: „O filozofii", zamieszczonéj jeszcze w pierwszym roku istnienia Ateneum (T. IV), Szczeniowski broni filozofii w ogólności a w szczególności spekulacyi niemieckiéj, zarówno przeciwko jezuickiéj scholastyce, która, jak mówi, swémi czczémi formułami przygłusza ducha czynnego człowieka i samodzielny pogląd na rzeczy, jak i przeciwko zarzutom Jana Śniadeckiego, którego sprzeczności w sądach o metafizyce, z całym szacunkiem dla wielkiego uczonego, jasno wykazuje. W dalszych zaś pracach, a szczególniej w: „Parafrazach Hegla", opartych głównie na wstępie do historyi filozofii tego myśliciela a zamieszczonych w kilku tomach Ateneum z roku 1842, Szczeniowski staje jak najwyraźniéj na stanowisku niemieckiego filozofa. „Hegel, mówi, odgadł cały tajemniczy porządek, który rozwinięciu się myśli ludzkiéj przewodniczy," i dla tego na nim oprzeć się musi wszelkie głębsze badanie tego rozwinięcia.

Mając na uwadze to heglowskie stanowisko Szczeniowskiego, El. Ziemięcka słusznie ze swego punktu widzenia zarzucała mu w témże Ateneum Kraszewskiego (we wspomnianym powyżéj artykule o Schellingu), że wraz z innymi heglistami polskimi „rzuca ziarna niewiary i rozbioru na ziemię, dotąd w osłonie religii i pobożności żyjącą." Zarzut ten redaktora *Pielgrzyma*, stojącego na straży prawowierności, godził właściwie w samego Kraszewskiego, który owe prace Szczeniowskiego nie tylko w swém piśmie ogłaszał, lecz je nadto w przypiskach pochwalnych serdecznie czytelnikom zalecał.

Pomimo jednak sympatyi dla rozpraw Szczeniowskiego, napisanych w duchu Hegla, lubo z wyraźném nawróceniem ku prawicy jego, Kraszewski występuje w owym czasie dość energicznie przeciwko młodym heglistom warszawskim. W liście z dnia 25 maja 1842 roku pisze między innémi do Placyda Jankowskiego: „Trzeba wiedzieć, że Warszawa świeżo przez uczniów uniwersytetu berlińskiego zarażona została heglizmem, socyalizmem i demagogią w wysokim stopniu. ....My wszyscy nie mamy łaski w oczach tych panów z przyczyny, żeśmy nie chodzili na uniwersytet berliński. Wielka szkoda! Małéj rzeczy nam brakuje, ale bez niéj nigdy z nas, jak to mówią, ludzie nie będą. Gdybyś też wiedział, co za dziwolągi tworzy ta młodzież, w któréj są indywidua nie bez wartości, nie bez talentu, ale zarozumiałe we dwoje swego talentu".

W tymże czasie (4 maja 1842 r.) tak się o heglizmie w liście do Choloniewskiego wyraża: „Doskonałeś, hrabio, z naszymi z XVI wieku pisarzami nazwał nowinkami i te napływające do nas pod różnemi kształty: niewiarę i racyonalizm. Przyjmują to, jak ciekawą nowinkę, jak rzecz modną, wziętą bez zastanowienia, co to jest i do czego doprowadzi? Z témi nowinkami ciężko tylko z początku; zawsze tak było u nas: gdy przychodziła reforma, walka zdawała się w pierwszych chwilach niepodobną, tak zaraźliwie choroba nowinek napadała wszystkich, począwszy od magnatów i t. d."

A jednak, gdy przeszła tylko pierwsza chwila, porzucono te nowinki. „Toż zdaje mi się będzie i z tą nową formą, pod jaką właściwie wiekowi objawia się negacya, racyonalizm. W początkach lubują sobie wszyscy w panteizmie, ale gdy tylko pierwsza gorączka minie, nawrócą się i opatrzą w błędzie“.

W „Latarni Czarnoksięzkiéj“ z owego czasu przedstawia Kraszewski Stasia, wracającego z Niemiec z głową dość zawróconą. „Nauczyłem się, mówi Staś do wuja, strasznie mądrych rzeczy, o jakich wy tu na parafii wyobrażenia nie macie: nauczyłem się wszystkich systematów filozoficznych, których koroną Hegel i panteizm.“ Postępowanie zaś Stasia, jego zależność od opatrznościowego wuja, nie świadczą zbyt korzystnie o wpływie filozoficznych spekulacyi na jego umysł i życie. W téjże „Latarni Czarnoksięzkiéj“ napotykamy następującą charakterystykę Wielkopolanina: „Wielkopolanin, mówi Kraszewski, radby zaszczepiać wszędzie filozofią Hegla i wykorzeniać pacierz i mszę, uważając cześć obrzędową (oddawaną Bóstwu) za dziecińistwo, dowodzące w nas arierowania umysłowego.“ Ciekawy jest jednak przypisek do téj charakterystyki, dodany do „Latarni Czarnoksięzkiéj“ z r. 1872, a zatém w lat prawie trzydzieści późniéj. „W. Księztwo Poznańskie, mówi Kraszewski, jest dziś gniazdem ortodoxyi, przyjaciół porządku i zachowawczém quand même. Jest li to postęp, zacofanie, czy chodzenie w kółko? niewiem; przywodzę fakt, zostawiając sąd przyszłości.“ Kraszewski w tym przypisku jak najwyraźniéj nie sympatyzuje zbytecznie z tém „gniazdem ortodoxyi“, z tą zachowawczością quand même. Ale skrępowany zarzutem zbytniéj postępowości, wypowiedzianym w pierwszém wydaniu, wstrzymuje się od ostatecznego sądu w tym przedmiocie.

Zresztą zauważmy, że wszystkie ówczesne sądy Kraszewskiego o heglizmie i jego dążnościach zaczerpane były ze źródeł drugorzędnych, a po większéj części zapewne z pism peryodycznych. Dopiero od roku 1844 autor nasz zajmuje się głębszémi studyami filozoficznémi i wyrabia sobie samodzielny sąd o treści i znaczeniu różnych kierunków filozoficznych swego czasu. Przekonywają nas o tém w sposób nader zajmujący zarówno listy Kraszewskiego z owego czasu do Konstantego Podwysockiego [1], jak i już wspomniana korrespondencya jego z Placydem Jankowskim. Do pierwszego z nich Kraszewski pisze dnia 24 Sierpnia 1844 roku między innemi: „Teraz nic nie piszę nowego. Czytam za to Hegla i Trentowskiego. Zachciało mi się poznać bliżéj i lepiéj tę zawołaną filozofią, z którą dawno, dawno w osobie Locka i Deskarta jeszcze na ławce uniwersyteckiéj zabierałem znajomość. Ta nowa nauka idzie mi dość lekko i wielce zajmuje. Człowiek, aby był szczęśliwy, musi się czegoś uczyć; to mu daje zapomnienie życia rzeczywistego i kłopotów, od niego nie oddzielonych. Jestem więc *en plein* Hegel, a dla lepszego wbicia w pamięć, tłumaczę czytając. Tłumaczę oczywiście dla siebie tylko.“ Wypowiadając następnie swoje zdanie o Heglu i Trentowskim—o czém późniéj mówić będziemy, — kończy ten ustęp w ten sposób: „Ale dla czego ja cię tem zajmuję? Dziwna rzecz, człek czémś silnie oczarowany mimowolnie o tém tylko prawi.“

W sześć tygodni późniéj, bo w liście z dnia 9 Października tegoż roku spowiada się Kraszewski obszerniéj przed Jankowskim ze swych prac na polu filozofii. „Wdałem się, pisze do niego, w uczenie nowéj filozofii niemieckiéj i tak zajęty jestem absolutem, że o niczém więcéj myśleć i pisać nie mogę. Głupia to rzecz ta żądza nauki i pragnienie wiedzy! Pędzi człowieka, jak batogiem, pod formuły matematyczne Hoëne Wrońskiego, pod skomplikowane tezy, antitezy i syntezy Trentowskiego, pod subtelną, jak deszcz jesienny, spekulacyą Hegla. Wyobraź sobie, że pływam w morzu tych barbaryzmu pełnych wyrażeń, których najpiękniéjszą ozdobą jest *dwójganiec* (dilemma) Trentowskiego, *podścieliska* i *rozłogi*! Na cóżem się w to wdał, zapytasz? Fatalność, panie! fatalność! uchwyciła mnie filozofia za połę ciekawości, jak machina parowa, i dusi między dwoma cylindrami. Jeśli mi tu nie będzie amen, to nigdy! Widzisz tedy, że mam wielką racyą nie pisać, bo skoro piszę, piszę teraz same głupstwa. Gotuję dzieło filozoficzne! śmiéj się do rozpuku—jest z czego! Kwestya, czy ci, co drukowali powieści, zechcą drukować moje filozoficzne elukubracye!... Żart na bok, czuję to, żem się w korrespondencyi strasznie wszystkim zadłużył, ale istotnie pracuję i uczę się, czego dotąd nie umiałem, i niezmierniem razem poleniwiał do pisania!... Kończę, bo noc, bo jutro rano poczta odchodzi, bo jeszcze dziś pływać muszę godzinę lub dwie we „względnych różnicach“ i „bezwzględnéj jedni“

[1]) Kilka listów Kraszewskiego do Konstantego Podwysockiego z roku 1844, pochodzących z Archiwum rodzinnego p. Gorskiego, udzielił mi łaskawie p. Antoni Pietkiewicz.

Trentowskiego. Pomyślisz, żem zwaryował. Miéj litość nad młodością moją i nie sądź dorywczo."

I znowu w trzy tygodnie późniéj (29 Października 1844) odpisuje Kraszewski na zarzuty Jankowskiego, rozwodząc się przy tém obszernie nad dalszym ciągiem owych studyów filozoficznych. „Ażebyś mnie, pisze, na drugi raz nie posądził już o takie filozoficzne zacietrzewienie, że o wszystkiém zewnątrz niéj i o wszystkiém zewnątrz mnie zapominam, pospieszam z odpowiedzią. Przyjąłem z wdzięcznością rady twoje, ale tylko te pierwsze, któremi odradzałeś mi wdawania się w filozofowanie i certowanie o lepszą z zacnym Trentowskim. Drugich nie posłucham. Wedle wszelkiego podobieństwa, chociaż ci zapowiedziałem w przeszłym liście rozprawę filozoficzną, skończy się ona na notatkach dla mnie samego. Dla siebie też tłumaczę Logikę Hegla. Gdybym nawet wziął kiedy pióro w tym przedmiocie, nie sięgnąłbym wyżéj nad historykę przedmiotu, nad rozbiór momentów filozofii tegoczesnéj, a zwłaszcza polsko-niemieckiéj, tyle dla nas interesu mającéj, bo się *narodową* nazywa. O umiejętnym całokształcie własnym, ani myśléć mogę, ani nie chcę. Czyż ich i tak mało? Kwestya, czy bym potrafił wybłąkać się z téj metody jedynéj, która począwszy od czasów Fichtego, a właściwie od Kanta, uważana jest za metodę per excellentiam; metodę, któréj używają z tak różnemi wypadkami, Fichte, Schelling, Hegel, Trentowski e tutti quanti; metodę, która, uważana za nieomylną, wyrodziła jednak w łonie samego heglizmu z jednéj strony Micheleta i Bauera, z drugiéj Goeschla i Schellinga. Nasz Trentowski, mniéj umiejętnie, mniéj spekulacyjnie używa téjże metody i przychodzi do wyłącznych swoich wniosków. Tu więc i dla mnie filozofia i cały dzisiejszy ruch umysłowy największy ma interes stosunkiem swym do siebie saméj i do przyszłości, którą zdaje się chciéć ze swoich danych kształtować. Zwłaszcza ciekawém jest, co za nauka moralna, jakie *prawo*, da się zbudować na danych, jakie wynikają z filozofii dzisiejszéj, nię oglądając się na to, że Hegel swoją wieczną Logikę, przymierzając do wszystkiego, przymierzył już i do prawa, dziejów i moralności. Tu o to chodzi, żeby istotne, naturalne, konieczne wnioski wykazać; wnioski, którym się filozofowie bronią, a które niemniéj są konsekwencyą niezbędną. Moją więc pracą byłoby (gdybym pracował) okazać tylko *historycznie* moment teraźniéjszéj filozofii polsko-niemieckiéj, stosunek Trentowskiego do Hegelianizmu, Cieszkowskiego, Libelta i Kremera do niego i do siebie. Gdybym się czuł na siłach i w usposobieniu pisania, — oto cobym napisał. Trentowskiego za bardzo potężną głowę uważam, ale podzielać jego wypadków filozoficznych *nie mogę*. Ani się spostrzegł, jak uciekając od idealizmu i biegąc za realnością realną, wpadł w materyalizm prawie. Rozum zrobił somatycznym a Pana Boga jaźnią jaźni, to jest prawie cielesnym. Szczęście, że i tak wypadło, a nie jak Micheletowi, Bauerowi, Feuerbachowi: bezosobistość Boga, a raczéj pełna bezprzytomność jego, a ubóstwienie człowieka. Ale na bok odkładając rezultata, — bo to są nie stanowcze wypadki, tylko przejścia do nich, momenta,—cóż to za piękne gmachy! Co to za zdumiewającéj subtelności, głębokości spostrzeżenia nad naturą; jak nowy pogląd na świat! Nie wierząc w filozofią, jeszcze ją potrzeba admirować, jako śliczny wyrób umysłu ludzkiego!..."

Że to zajęcie się filozofią ze strony Kraszewskiego nie było chwilowém, ulotném, temu służy za dowód list pisany znowu w kilka tygodni późniéj, bo 22 Listopada tegoż roku. Donosi tu Kraszewski Jankowskiemu między innémi. „Zbieram materyały do *Rzutu oka na stan filozofii niemieckiéj*: —ale mi multum jeszcze nie dostaje. Nie mam Logiki Trentowskiego [1]), a tymczasem pasuję się z logiką Hegla. Niech go tam wszyscy dyabli wezmą, co on wyrabia z tym Bytem, i jak mu się ten Byt raz wraz aż do końca *odbija*! Nic, to niebyt,—na seryo jest to niezmiernie trudna rzecz! Dostałem wydany rys nowych Lekcyi Schellinga. I to także orzech niepospolity do zgryzienia! Dziwo dziwów! Schelling, pisząc w katolickiéj Bawaryi skatoliczał i co jeszcze dziwniéj, jeśli nie tęż wziął zasadę, to przynajmniéj na jednym wyrazie spotkał się w nowym systemacie ze sławnym Abbate Rosmini, o którym pewnie słyszałeś, co funduje filozofią katolicką. Schelling stary, aj, aj! jaki stary! jak mu się w głowie trzęsie! Nauczyciel Hegla, ale terazby go Hegel, gdyby żył, mógł na ręku nosić. Strasznie te mądre rzeczy zajmują,—ale jakoś,—przyznam ci się? — człowiek, zamiast uczyć się czegoś, to o *wszystkiém wątpi*!"

---

[1]) Myślini Trentowskiego wyszła w r. 1844 i Kraszewski w Listopadzie tego roku jéj jeszcze niemiał. Wszystko, co w poprzednich listach o Trentowskim mówi oparte jest głównie na jego *Chowannie*.

Dodajmy zaraz tutaj, że Kraszewski, jak w owym, tak i w późniejszym czasie prócz Schellinga i Hegla studyował i innych znakomitych filozofów. W „Pamiętnikach nieznajomego“ z roku 1846 napotykamy naprzykład bardzo liczne i trafne wzmianki o Platonie, wykazujące, że autor w tym względzie czerpał z pierwszego źródła. A list do Chołoniewskiego z dnia 15 Stycznia 1846 roku świadczy, że te zajęcia filozoficzne podziałały głębiéj na całe usposobienie Kraszewskiego: „Całe życie pracuję nad sobą, pisze tu, i wyznaję, że niczém nie jestem, że nie mam zasługi, że nic lub jak nic nie umiém. Całe życie chcę i będę pracował nad sobą, nie mam téj dumy, téj pewności siebie, jaką uszczęśliwiają się drudzy...Czytam teraz „Platona“ i uderzyła mnie w Apologii Sokratesa ta myśl, którą on przeciw Sofistom rzuca, wyższy jestem od nich, bo nic umiem nic i nie wierzę, żebym umiał, a, nic nie umiejąc, wszystko posiadać sądzę.“

Nie spodziewam się zarzutu ze strony czytelnika z powodu tak obszernych wyjątków z listów Kraszewskiego, gdyż najprzód listy do Jankowskiego dotąd drukiem ogłoszone nie były, a prócz tego tak żywo i charakterystycznie malują ówczesne zatopienie się naszego pisarza w studya filozoficzne, że tych bezpośrednich zwierzeń żadnémi omówieniami należycie zastąpić nie można i nawet w piśmie obecném zastąpiéby się nie godziło. Zdajmy sobie jednak bliższą sprawę z różnobarwnéj treści powyższych wyjątków odnośnie do naszego głównego przedmiotu.

Przedewszystkiem widzimy, że Kraszewski w roku 1844 przez kilka miesięcy (od Sierpnia do Listopada) na dobre zajęty był gruntownémi studyami nad filozofią niemiecką i jéj wpływem na ówczesnych myślicieli polskich; studya te złagodziły zbyt szorstki sąd jego o filozofii rozumowéj, wypowiedziany poprzednio ze stanowiska dogmatycznego. Zapoznawszy się bliżéj z dążnościami filozoficznémi Schellinga i Hegla, wniknąwszy głębiéj w ducha naszych myślicieli, Kraszewski przejął się szacunkiem dla filozofii i jéj pracy nad wytworzeniem ogólnego na świat poglądu. Prawda, nie podziela on bynajmniéj ostatecznych wyników spekulacyi filozoficznéj, o ile takowe się nie schodzą z jego zasadniczémi przekonaniami religijnémi, a mianowicie z jego wiarą w Boga osobistego. Nadto obawia się z góry wszelkiego panteizmu i materyalizmu bez szczegółowego rozbioru ich zasad i argumentów. Wreszcie zdrowy rozsądek jego zżyma się niejednokrotnie zarówno przeciwko dziwacznościom Trentowskiego, jak i przeciwko owéj dyalektyce heglowskiéj, która wyłączające się nawzajem sprzeczności, jak np. pojęcia bytu i niebytu, dla doktrynerskiéj konsekwencyi ze sobą zlewa, wytwarzając syntezę pozorną, pozbawioną prawdy rzeczywistéj. Ale pomimo tego wszystkiego z listów powyższych widzimy, że Kraszewski interesuje się jak najżywiéj dążnościami ducha ludzkiego na polu filozofii i pojmuje jaknajwyraźniéj ich wysoką doniosłość, tak ze stanowiska postępu społecznego i historyi, jak ze stanowiska twórczości umysłowéj. Jaka nauka moralna, jakie prawo da się wyprowadzić z téj nowéj filozofii? jaką przyszłość zgotuje ona społeczeństwu?— Oto pytania, które go przedewszystkiém zajmują, i do samodzielnéj krytycznéj pracy nad tym przedmiotem zachęcają. Do tego przyczynia się též nie mało urok artystyczny, jaki na wrażliwéj, poetyckiéj duszy naszego pisarza wywołać musiał jednolity pogląd na świat, przeprowadzony w subtelnych zarysach według zasad symmetryi i proporcyi logicznéj. Dyalektyka Hegla jest bez wątpienia nużącą w swych szczegółach. Te szczegóły nadto drobiazgowe pod niejednym względem podobne są do owych monotonnych okienek gotyckich, co z wązkiéj postawy przeciwległymi łukami, niby tezą i antitezą wyrastają, tworząc u szczytów kąty równie ostre, jak wymuszone. Ale pomimo to, system Hegla, widziany w pewném oddaleniu, uderza każdego harmonijném zestrojeniem tych niezliczonych szczegółów, żywością myśli, co znowu na wzór przeźroczystéj wieży gotyckiéj, strzałą wzlatuje w świat idei bezwzględnéj. W obec tego ogólnego poglądu nie razi nas już nielogiczność szczegółów, ich ustrój wymuszony, a widzimy przed sobą tylko wspaniały całokształt architektoniczny, domagający się uznania, bez względu na krytykę jego części składowych. To téż nie dziw, że z tego stanowiska zapatrując się na filozofią Hegla, Kraszewski bez zgody na jéj szczegółowe wypadki, mógł jednak zawołać: „cóż to za piękny gmach, co za śliczny wyrób umysłu ludzkiego! jaki nowy pogląd na świat!“ Ten podziw naszego autora dla artyzmu w zakresie nowéj filozofii, dla twórczości spekulacyjnéj, tak naturalny przy jego usposobieniu umysłowém, tém godniejszy zaznaczenia, że w czasach najnowszych wypowiedziano niejednokrotnie zdanie, że cała filozofia w istocie swojéj nie jest nauką, ścisłém poznawaniem rzeczy, lecz wyrobem twórczéj fantazyi, uzupełniającym braki na-

széj wiedzy. Wiadomo, że zdanie to szczeréj rozwiązał znany autor „Historyi materyalizmu“ F. A. Lange, a u nas powtórzył je niedawno jeden z młodszych zwolenników filozofii [1]).

Wreszcie nie możemy pominąć milczeniem, że w ostatnim z listów do Jankowskiego Kraszewski wziął już jaknajwyraźniéj rozbrat z filozofią katolicką, z owém stanowiskiem dogmatycznéj wiary, które tak stanowczo uwydatnił w owym prospekcie filozoficznym do Ateneum. To, co El. Ziemięcka w artykule o Schellingu wychwala, jako wielką zasługę tego myśliciela, t. j. jego zwrot do mistycyzmu i filozofii objawionéj,—to Kraszewski, jak widzimy, dość pogardliwie nazywa „skatoliczeniem“ Schellinga, rodzajem osłabienia umysłowego, w porównaniu z którém filozofia Hegla przedstawia się, jako wyrób myśli dojrzałéj, męzkiéj. Z tego téż tylko stanowiska pojąć należy słowa Kraszewskiego, w których otwarcie wyznaje, że zajęcie się filozofią doprowadza go do „wątpienia o wszystkiém.“

Przypatrzmy się teraz owocom piśmienniczym powyższych studyów filozoficznych Kraszewskiego. Przedstawiają się one nam najprzód w szeregu artykułów o filozofii Hegla, zamieszczonych w Ateneum na rok 1845, następnie w piśmie osobném o systemie Trentowskiego, wreszcie w tendencyach kilku ówczesnych powieści. Z tego wszystkiego musimy sobie zdać nieco obszerniejszą sprawę dla uzupełnienia ogólnych uwag o stosunku naszego pisarza do heglizmu.

Pierwszą pracą Kraszewskiego o Heglu, było tłumaczenie obszernego wyjątku z dzieła A. Otta p. t. „Hegel et la philosophie allemande“, wydanego w Paryżu w r. 1844. Przekład ten napotykamy w I-ym tomie Ateneum z r. 1845 p. t. „Idea systemu Hegla.“ Osobne odbitki téj pracy wydane zostały w tymże roku w Wilnie.

Dzieło Otta zawiera w sobie nader rozwlekłą krytykę nowszéj filozofii niemieckiéj od czasów Kanta aż do Hegla włącznie. Kraszewski z dzieła tego wyjął ustęp, dotyczący samego Hegla. Ustęp ten obok streszczenia nauki Hegla, zawiera w sobie rozbiór głównych zasad jego filozofii. Za punkt wyjścia dla oceny heglizmu służy Ottowi stanowisko zdrowego rozsądku i zwykłych pojęć religijnych. Z tego stanowiska potępia Ott przedewszystkiem metodę dyalektyczną Hegla, która bierze sprzeczność za podstawę rozwoju i postępu myśli. To, czego wszyscy logicznie myślący unikają, mówi Ott, Hegel podnosi do wysokości zasady. Takim sposobem proste *absurdum* stało się istotą jego metody. To téż wypadki systemu jego nie mogą być zadawalniającemi. Konsekwencyą heglizmu jest panteizm. Bóg, mówi Ott, w systemie Hegla nie jest Bogiem, bo staje się dopiero wskutek rozwoju idei bezwzględnéj; a Bóg, który się rodzi, nie jest Bogiem. Hegel zachowuje nazwanie Boga tylko z „przyczyn dyplomatycznych“, lecz gdyby Bóg nie był wprzódy znany, Hegel by go nie wymyślił. Szanuje on tylko dawne wyrazy, ale nie rzeczy. Tożsamo ma się z nieśmiertelnością duszy i wolnością moralną człowieka. Hegel według Otta, *wywraca* całą moralność. Dobre i złe stają się u niego koniecznemi czynnikami postępu, rozwoju moralnego, a zatopienie bezwzględne jednostki w ogóle podkopuje główną podstawę moralności i religii, t. j. osobistość indywidualną, nieśmiertelną. Z tego téż stanowiska potępia Ott całą filozofią natury Hegla, jako wyrób spekulacyi abstrakcyjnéj.

Do przekładu tego wyjątku z dzieła Otta dołącza Kraszewski przypisek, w którym objaśniał, dla czego pomimo wstępu do tego rodzaju pracy, jakim jest przekład obcych myśli, podjął się takowéj i na przyszłość ją daléj rozwinąć zamierza. „Z Heglem, mówi, u nas, jak z wielu zresztą innémi wielkiémi rzeczami i imiony, jak poniekąd z filozofią,—wiele o nim mówią, a mało go znają. Grzeczni jesteśmy, dodaje, że mówimy tylko „mało.“ Chcieliśmy więc dać poznać systemat jego.“

W uzupełnieniu powyższego bardziéj polemicznego artykułu, Kraszewski w II-gim i III-cim tomie Ateneum z tegoż 1845 roku zamieszcza streszczenie przeważnie objektywne zarówno „Historyi filozofii Hegla“ jak i jego „filozofii natury. Pierwsza z tych prac jest znowu przekładem z Otta, druga zaś, jak się zdaje, jest streszczeniem samego Kraszewskiego według „Encyklopedyi filozofii“ Hegla, wydanéj przez Micheleta. Nie ulega wątpliwości, że tego rodzaju wykład streszczony dzieł Hegla zapoznawał publiczność daleko gruntowniéj i wierniéj z istotnémi zasadami tego myśliciela, niż wszystko, co w owym czasie u nas o Heglu pisano. To téż wyznać należy, że redaktor Ateneum pod tym względem dobrze zrozumiał swoje zadanie i prawdziwą usługę oddał literaturze czasowéj.

Stanowisko zaś swoje względem filozofii Hegla określa Kraszewski już jak najwyra-

---

[1]) Zob. *Ateneum* Spasowicza z r. 1877. Marzec.

źniéj w przypisku do powyższego „rysu historyi filozofii“ według Hegla. „Hegel, mówi tutaj Kraszewski, uważa się za koronę wieniec, za spelnienie ostateczne, za prawdę absolutną, za metodę niechybną. Lecz na jego własnych danych opierając się, łatwo go bardzo zrefutować w tym względzie. Filozofia, powiada on, jest jedyną filozofią zawsze; odrębne systemata i szkoły momentami całości.“

„Tak też a nie inaczéj wolno nam uważać systemat Hegla. Od śmierci mistrza właśni jego uczniowie, rozwijając jego dane ostateczne, już daléj poszli i pozostawili go w tyle“... „Tymczasem postęp ludzkości pozostaje pewnikiem, z mocy którego nie możemy przypuścić ostatniego wyrazu tam, gdzie wyraz ostatni byłby nie życiem, ale śmiercią. Prawem ducha jast postęp ciągły, i prawa tego nikt nie złamie, bo postęp jest życiem, bytem samym, a odkrycie ostatniego wyrazu, absolutu, nie zostawiłoby już ludzkości powodu życia, celu, pokarmu żywotnego.“ Daléj krytykuje Kraszewski historyą filozofii Hegla, jako zadającą gwałt dziejom, naciągającą fakta pod formuły abstrakcyjne. i kończy swe uwagi słowami: „Wierzymy, że nic w świecie nie jest dziełem przypadku. Nauka Hegla nie jest także przypadkiem w dziejach umysłu ludzkiego. Ona ma swoją konieczność w warunkach czasowych, ma swe zapewne na przyszłość korzyści. Wpływ, jaki wywiera w Niemczech, a po części i u nas, usprawiedliwia powszechne nią zajęcie.“

W powyższym przypisku Kraszewski wypowiedział ostatnie swe słowo o filozofii Hegla. Sąd jego, jak widzimy, jest jasny i trafny, oparty na szerszém, historyczném pojęciu filozofii i jéj dziejów. Pomimo krytyki heglizmu, Kraszewski szanuje ten kierunek myśli, jako jeden z wydatnych momentów umysłowego rozwoju czasu, jako szczebel na drodze postępu do coraz wyższéj doskonałości. To też nic dziw, że, studyując filozofią Hegla, przejął się pewnémi ideami tego myśliciela i uległ może mimo woli i wiedzy ich wpływowi przy ukształtowaniu własnych na świat i życie poglądów. Wpływ ten daje się bez trudności wykazać w dalszym rozwoju działalności piśmienniczéj Kraszewskiego.

Od roku 1844 Kraszewski w swych krytykach literackich i historycznych domaga się niejednokrotnie głębszego, jak mówi, *filozoficznego* pojęcia rzeczy, rozumiejąc przez to wykazanie *idei* działającéj i rozwijającéj się w danym przedmiocie. I tak n. p. w artykule o Pamiętnikach historycznych Łowicza w t. II Ateneum z roku 1845 zarzuca dziełom historycznym u nas, że po większéj części zwracają uwagę tylko na zbiór faktów a przytem „wcale nam do pojęcia *filozoficznego* historyi nie pomagają.“ Gdy tymczasem filozofia stanowi konieczny czynnik należytego zrozumienia dziejów, podobnie jak twórczość poetyczna konieczną jest dla należytego ich odtworzenia. „Zbieramy, mówi daléj, same tylko materyały, a głębiéj, gdzie spoczywa *idea* żywotna, nikt nie śmié wzroku zapuścić.“

Podobnież w innym artykule w tymże tomie Ateneum, zdając sprawę z książki pisarza czeskiego Zapa o naszych stosunkach społecznych, zarzuca mu Kraszewski, że niesłusznie gani naszę przeszłość, zamiast w „*filozoficznym* rzucie oka na nią dopatrzeć konieczności, a umniejszyć winy.“ W tym też duchu w prospekcie do Ateneum na rok 1846, wspominając, że jego pismu zarzucają to *pietyzm*, to znowu brak *ortodoxyi*, objaśnia, że celem jego jest budzić życie i czyni to w przekonaniu, że „losy ludzkości nie są igraszką fatalną, ale ciągiem rozumnym.“

W imię takiego to głębszego, filozoficznego pojęcia rzeczy, Kraszewski krótko potem w „Listach literackich“, zamieszczonych w Ateneum (1846 t. IV.) mówi o naszych *mizologach*, „co brzydząc się filozofią i nieustannie przypinając jéj łatki, gdy im pisać przyjdzie o czém, piszą, jeśli nie myślą filozoficzną, to językiem przynajmniéj od niéj wyuczonym. Sami nie wiedzą, zkąd im przyszły pewne prawdy, którym, nie przyznając się do tego, mimowolnie hołdują. A do tego dodaje nader charakterystyczną uwagę, z któréj wywnioskować możemy, że Kraszewski sam świadom był wpływu, jaki na niego wywarła ówczesna filozofia. „Zdumiewająca, mówi, jest czasem myśli potęga. Oburzamy się przeciwko temu, co nam się zdaje przekonaniu naszemu przeciwnem, wojujem; aż nieznacznie większa i bliższa prawdy idea zwycięztwo odnosi. Zwyciężonym to pozostaje, że upadają po cichu, a zwycięzca się ze swéj wiktoryi nie przechwala.“ —

Najdobitniéj jednak wykazuje się wpływ filozofii Hegla na Kraszewskiego w jego obszernym rozbiorze *Systemu Trentowskiego*, wydanym w osobnéj książce w Lipsku 1847 roku [1]). Praca ta ma wprawdzie za przedmiot tylko Analitykę Trentowskiego, stanowiącą

[1]) *System Trentowskiego treścią i rozbiorem analityki logicznéj okazany* przez J. I. Kraszewskiego. Lipsk., Nakładem księgarni zagranicznéj, 1847, stron. 252.

pierwszą część jego Myślini; ale ponieważ w téj części zawartą jest cała osnowa poglądów filozoficznych Trentowskiego, więc rozbiór jéj daje autorowi sposobność wypowiedzenia swego zdania o całym systemie tego myśliciela. Stosownie zaś do składowych części pierwszego tomu Myślini i praca Kraszewskiego rozpada się na wstęp i trzy główne rozdziały. *Wstęp* daje ogólny pogląd na filozofią Trentowskiego i rozbiera jego wstęp do Analityki (str.1 do 41); trzy zaś rozdziały pracy mają za przedmiot trzy główne części Analityki t. j. *Prawdę* (str. 42 do 102), *Wiedzę* (str. 103 do 166) i *Poznanie* (str. 167 do 243). Dokończenie (str. 243 do 252) dotyka pobieżnie *Dyalektyki* i *Systematyki* Trentowskiego i streszcza sąd o całéj jego filozofii.

Głównym celem téj pracy Kraszewskiego jest widocznie treściwy wykład poglądów Trentowskiego, sprawozdanie z jego pojęć filozoficznych. Krytyka tych poglądów i pojęć stoi na drugim planie i wplataną jest tylko w sam wykład w formie uwag nad tym lub owym z traktowanych przedmiotów. Autor wychodzi rzeczywiście z przekonania, że prawda sama za siebie przemawia, że potrzeba tylko w sposób należyty wyłożyć treść filozofii Trentowskiego, aby przez to samo wykazać jaknajwyraźniéj jéj dobre i złe strony, jéj prawdę i fałsz, aby bezpośrednio naprowadzić czytelnika na sąd o jéj istotnéj wartości. To téż krytyka systematyczna, rozbiór wszechstronny, jak zasad, tak i wyników téj filozofii, nie leży bynajmniéj w zamiarze autora; a jeżeli przerywa swój wykład uwagami krytycznémi, to one nie występują z pretensyą ścisłéj oceny systemu, lecz mają tylko charakter luźnych drogowskazów dla zoryentowania czytelnika wśród labiryntu wyłożonéj treści, dla pobudzenia go do własnego zastanowienia się nad istotną wartością téj treści. Rzecz naturalna, że nie mówiąc tutaj o Trentowskim, nie mamy téż powodu iść szczegółowo za wierném zresztą i dokładném streszczeniem jego poglądów, lecz dotkniemy tylko owych uwag krytycznych Kraszewskiego, aby przy ich pomocy wniknąć w jego ówczesny sposób myślenia.

Na czele swéj pracy kładzie autor, jako dewizę, słowa, wzięte z biografii Hegla przez Rosenkranza: „Niemals kann es ein letztes System der Philosophie geben", — i przez to z góry pragnie zaznaczyć, że i filozofia Trentowskiego nie może być ostatnim wyrazem rozwoju umysłowego. Przekonanie to, oparte, jak widzimy na idei postępu dziejowego, stanowi ogólną podstawę wywodów Kraszewskiego. Co się zaś tyczy owych uwag krytycznych, rozrzuconych po całéj pracy, a wypowiadających poglądy filozoficzne naszego pisarza, to sprowadzić je można do następujących głównych momentów.

Przedewszystkiem godne zaznaczenia, jak się Kraszewski zapatruje na stosunek Trentowskiego do jego poprzedników, a szczególniéj do Hegla. Uwagi, wypowiedziane z tego powodu, wykazują jasno kierunek myśli samego krytyka. Kraszewski oddaje prawie wszędzie pierwszeństwo Heglowi przed Trentowskim, tak co do metody filozoficznego rozwoju myśli, jak i co do saméj treści poglądów. Co do metody, Trentowski, według zdania Kraszewskiego trzyma się w zasadzie dyalektyki Hegla, ale mu brak téj ścisłości logicznéj i wewnętrznéj konsekwencyi, jaka charakteryzuje filozofa berlińskiego. Trentowski, mówi nasz autor, pomimo wszelkiéj pretensyi do oryginalności, wyznaje zasadę *sprzeczności*, postępu myśli przez tezę i antitezę do syntezy; zasadę, którą Hegel zaczerpnął od Platona, zrozumiawszy go głębiéj od innych. Ale Trentowski łączy tę „świeżo odkrytą prawdę" z wymaganiem wszechstronności, uniwersalizmu, — i to jest powodem ciągłéj dowolności i bezmyślnéj nawet igraszki w rozumowaniach tego filozofa. Podczas gdy synteza heglowska przedstawia rzeczywisty postęp myśli, to synteza Trentowskiego przez samą swą wszechstronność staje się bezsilną. „To, co chce być wszystkiém, mówi krytyk, wedle zasady logicznéj Hegla, przyjętéj przez Trentowskiego także, najprędzéj téż stać się może niczém. Usilując objąć w sobie wszystko, może nie pochwycić *nic*". I w saméj rzeczy, w skutek takiego gonienia za nieokreśloną mnogością, za rozdrobieniem myśli na coraz to nowe kategorye, Trentowski powtarza sto razy jedno i toż samo, wyrażając też same myśli coraz innémi słowami; przez co niema ani jasności w jego myślach, ani ścisłości w wyrażeniach. Jeżeli zaś Trentowski niemoże się dość nachwalić ze swego systemu dla tego głównie, że posiada nie mniéj, nie więcéj, jak 219—424 kategoryi i że te bez trudności do miliona powiększyć może, to krytyk bardzo trafnie zauważył, że te krocie są tyluż dowodami nielogiczności i słabości systemu, że autor jego podobny jest do nowicyusza w matematyce, któryby zamiast wnikać w prawa matematyczne koła, przedsięwziął zliczyć wszystkie jego promienie, chociaż ich liczba nieskończona. Otóż takiéj to bezmyślnéj

igraszki nienapotykamy według krytyka u Hegla, który wszystko spaja w jednę myśl zasadniczą, w jeden duch. Trentowski wprawdzie pluje ciągle w źródło, z którego pije, lecz to bynajmniéj nie podnosi wartości jego filozofii.

Ale i co do treści Kraszewski sympatyzuje bardziéj z absolutnym idealizmem Hegla, niż z ową teoryą rzeczywistości Trentowskiego, która, według zdania krytyka, doprowadza do *materyalizmu*. W systemie Trentowskiego, mówi autor, duch odgrywa wszędzie rolę podrzędną w porównaniu z materyą. Duch jest przeczeniem, nicestwem, drugością, dusza istotą nawpół cielesną; materya natomiast twierdzeniem, rzeczywistością, pierwszością. Materya jest substancyą Trentowskiego, wieczną nieskończoną, *primum existens* w porównaniu z całém pozostałém istnieniem,— i dlatego niepódobna mu zaprzeć się materyalizmu. Wieczny byt materyi w Bogu jest ograniczeniem a przez to i negacyą samego Boga. Trentowski wprawdzie przyznaje w zasadzie Boga, ducha, ale zasadę tę znosi, oddając wszędzie pierwszeństwo materyi i czyniąc od niéj zależnym ducha i samego Boga. Wyżéj znowu bez porównania stoi pod tym względem fiozofia Hegla w oczach krytyka. „Hegel, mówi Kraszewski, nie jest materyalistą, nie bierze materyi za twierdzenie; ma ją za ułomny objaw ducha; nie poniża duszy do uznania jéj za jakieś tam *soma pneumatikon*". On rozumie, że wszelka przyczynowość jest w duchu, że zatem duch musi być pierwszością, że wyprowadzenie ducha z materyi, z natury bezwiednéj, jest niedorzecznością, jest wyprowadzeniem przyczyny ze skutku, Ztąd „Hegel, według słów krytyka, z całym swym idealizmem daleko był bliżéj prawdy. daleko logiczniéj postąpił, wywodząc materyą z ducha. U niego przejście od ducha w materyą, acz może się wydać nie ściśle koniecznem, jest wszakże podobném; bo codziennie widzim twórczość ducha, a nie pojmujem twórczości materyi bez niego. Gdzie materya tworzy ducha? W rzeczywistości tylko, ubóztwionéj przez p. Trentowskiego coś podobnego znajdujemy..." „Hegel, konkluduje krytyk, spirituализuje materyą, Trentowski wszędzie go nicujący, somatyzuje, materyalizuje ducha i niszczy go całkiem."

Do takiego samego ujemnego wyniku dochodzi Kraszewski w uwagach, określających stosunek filozofii Trentowskiego do religii i chrześciaństwa. Trentowski, mówi krytyk, w zasadzie chce być chrześciańskim; podnosi nawet nieraz swój system z tego stanowiska, mianując go bardziéj chrześciańskim, niż filozofie Leibnica lub Jakobiego. Ale szczegółowy wykład nie stwierdza tych pretensyi. Przeciwnie, według krytyki okazuje się, „że Trentowski w gruncie rzeczy nie jest ani katolik, ani protestant, ani chrześcianin nawet;" że dla niego „chrześciaństwo jest zupełnie uboczną, w niczem go nie wiążącą, do niczego nieobowiązującą nauką, któréj wszelkiéj powagi odmawia, którą z zabobonami wiary innemi na równi stawia, a jeżeli ceni, to tylko z praktycznych skutków." Nie odmawia wprawdzie krytyk filozofowi prawa do wytworzenia sobie pod tym względem pojęć wedle swego uznania, ale słusznie wyznaje, że „nierozumie potrzeby nieustannego targania się na to, co drudzy szanują. gdyby nawet byli w błędzie; błąd ich godzien poszanowania przynajmniéj". „Kant, Hegel, dodaje Kraszewski, i inni Niemcy filozofując, nie wyrzekli się przecież winnego religii szacunku; nie godząc się nawet z zasadami wiary, obchodzili je z uczuciem przyzwoitości, umiarkowaniem, cześć wzbudzającém; postępowali sobie wytrawnie, uczciwie, rozumnie i przyzwoicie. Trentowski co chwila napada na wiarę, rzuca się, łaje, piorunuje, a to wcale filozofii praktycznéj w nim nie dowodzi; tłumaczy po swojemu, a nie nowym sposobem, Chrystusa i chrześciaństwo, co tutaj przynajmniéj niewczesne, a w istocie na nic się nie zdało". Na inném miejscu Kraszewski zarzuca Trentowskiemu brak wszelkiéj *filozoficznéj wyrozumiałości* i krytykuje jego pojęcie *wiary*. „Nie pojął on, mówi krytyk, wiary jak należało, stężałém przekonaniem, apoteozą pewności w człowieku, ale mizerném, bezrozumném potakiwaniem czegoś.... Wyrzekając się wszelkiéj wiary, Trentowski, jak to zawsze w podobnych ostatecznościach bywa, wpadł w sprzeczność z samym sobą. Zamiast wiary w cokolwiek uznanego a z rozumem zgodnego, uznaje ślepą *wiarę w siebie*.... Wiara jedna za drugą, a zawsze *wiara*." Przy téj sposobności przypomina téż Kraszewski, że wiara św. Augustyna, Tomasza z Akwinu i innych nigdy nie była ani ślepą ani przeciwną rozumowi, i na poparcie tego zdania przytacza odpowiednie wyjątki z ich pism.

Dla charakterystyki ówczesnych przekonań Kraszewskiego, prócz powyższych uwag krytycznych, zasługują jeszcze na szczególną wzmiankę dwa ustępy téj pracy, które traktują o *ideach wrodzonych* i *Consensus gentium*. Kwestye te łączą się ściśle z poglądem naszego autora na *wiarę* i wykazują filozoficzne jéj pojęcie.

Mówiąc o *kryteryum poznania* w systemie Trentowskiego, Kraszewski wypowiada przekonanie, że kryteryum poznania możliwe jest tylko przy wyraźném uznaniu w nas idei wrodzonéj. Bez tego uznania, kryteryum będzie zawsze tautologicznéni, zawsze opiewać będzie, że poznanie rzeczy równa się poznaniu rzeczy. Idea zaś wrodzona daje poznanie rzeczy równe idei rzeczy wrodzonéj w nas, i przez to umożebnia ocenę, krytykę naszego poznania. Stosownie do tego, jakbyśmy w sobie potrafili rozwinąć ideę wrodzoną, mamy wyższe lub niższe kryteryum poznania naszego; tém pewniejsze, im doskonaléj rozwiniętą została idea wrodzona, w nas żyjąca. Przez to poznanie staje się aktem przyswojenia sobie przedmiotu przy pomocy odpowiednio rozwiniętéj idei wrodzonéj. Że pogląd taki jest wypływem teoryi Platona i Hegla, — o tem nie może być wątpliwości, ciekawą jest tylko rzeczą, że Kraszewski ten wynik idealizmu stara się pogodzić z owym *consensus gentium*, na który się tak często teologia dogmatyczna powołuje. Ludzkość cała, mówi Kraszewski, zgadza się na zasadnicze pewniki. Może być trudno je odkryć, można nie oczekiwać rezultatu praktycznego z tego *consensus gentium*, ale dla tego nie ma powodu jeszcze zaprzeczyć go bezwzględnie, jak to czyni Trentowski. Przeciwnie według naszego autora; owe pewniki, uznane przez *Consensus gentium*, dałyby się wywnioskować nawet z uznanéj przez Trentowskiego idei wrodzonéj. „Ta idea, mówi Kraszewski, jest jedną w całéj ludzkości, a różnie tylko rozbudzoną i z siebie dobytą... Różnica form, pod któremi się objawia idea uznana, nie powinna zrażać od poszukiwania jéj. Tu praca, ale nie bez korzyści. Czyż co istotnie jest prawdą, gdy prawda jedyna, prawdą wszystkich być nie powinna i nie jest? Różnice tu tylko w sposobie pojęcia i objawienia prawdy. Osobiste, pojedyńcze przekonania mogą się różnić w szczegółach, ale w zasadzie i głębi, jeśli prawdziwe, ku jednemu zmierzać muszą. Ztąd *Consensus gentium*. Gdybyśmy się oprzeć nie mogli na tożsamości ciągléj natury ludzkiéj, uznając postęp, pytam coby było pewnego? Z téj tożsamości, z tego trwania idei wrodzonéj, wynika i *Consensus gentium*". Widzimy, że taki wywód uznania powszechnego bardzo jest racyonalny, bo w gruncie rzeczy oparty na naturze rozumu ludzkiego. Nadto tak pojęty consensus gentium wyjaśnia bliżéj, jak Kraszewski teraz zapatruje się na wiarę, jak on ją godzi ze swémi nowémi przekonaniami filozoficznémi.

Nad innémi kwestyami, dotkniętémi w rozbiorze systemu Trentowskiego, nie mamy powodu zastanawiać się bliżéj. Dodamy tu tylko jeszcze, iż liczne trafne uwagi z historyi filozofii, oraz cytaty z dzieł znakomitych myślicieli, świadczą o sumiennych studyach, i służą za potwierdzenie przytoczonych powyżéj wyjątków z listów do Jankowskiego pisanych. W każdym razie praca ta o Trentowskim wykazuje jasno, że się Kraszewski gruntownie zapoznał ze współczesną filozofią, że ją pojął i przetrawił umysłem jasnym, rozległym. Nie będąc specyalistą na polu poszukiwań filozoficznych, nie czuł wprawdzie powołania do rozbioru i opracowania kwestyi szczegółowych, ale kwestya zasad ogólnych, głównych podstaw filozoficznego na świat poglądu, zajmowała go jak najżywiéj. Nad tą kwestyą pracował pilnie i sumiennie, i wyrobił w sobie w skutek tego pewne idee zasadnicze, które rozszerzały coraz bardziéj jego widnokrąg umysłowy i posłużyły mu za podstawę dla oceny świata, życia i ludzi. Przyrodzony idealizm Kraszewskiego wzmocnionym, uszlachetnionym i rozwiniętym został pod wpływem idealizmu filozoficznego Platona i Hegla, a, dochodząc w ten sposób do świadomości swéj treści, stał się przewodnikiem jego dalszéj działalności piśmienniczéj.

O tym dodatnim wpływie filozofii i idealizmu przekonywają nas jak najwymowniéj powieści Kraszewskiego z owego czasu. Powieść, stosownie do poetycznego uzdolnienia naszego pisarza, podawała mu odpowiedniejszą sposobność do rozwinięcia poglądów filozoficznych, niż traktaty czysto abstrakcyjne. Dla tego téż na tém polu przejawia się duch filozoficzny Kraszewskiego swobodniéj i rozległéj, niż w specyalnych pismach naukowych. Z tego téż powodu, chcąc się należycie wywiązać z naszego zadania, pominąć nie możemy działalności powieściopisarskiéj Kraszewskiego, tak obfitéj w owym szczególniéj czasie w tendencye filozoficzne.

W skutek studyów filozoficznych owe tendencye w powieściach Kraszewskiego występują na jaw z należytą wyrazistością dopiero po roku 1844 i wykazują jak najwyraźniéj wpływ idealizmu Platona i Hegla. Od tego czasu, idea natury, wszechświata, ogólnego bytu, panteistycznéj substancyi, ciśnie się coraz bardziéj do myśli Kraszewskiego i znajduje swój wyraz w rozległych nieraz medytacyach nad losami człowieka i jego stosunkiem do pozostałego

bytu. Jako istotę zaś tego powszechnego bytu, jego życia, ruchu, postępu, przedstawiają nam zazwyczaj ówczesne powieści *sprzeczność*, walkę przeciwieństw, z któréj się, zupełnie w duchu filozofii Hegla, rodzi życie i postęp. Co zaś do stosunku jednostki do ogólnego bytu, to wyrzeczenie się swego *ja* dla ogółu, dla dobra powszechnego, przejęcie się jego dążnościami, staje się coraz bardziéj dogmatem moralnych tendencyi Kraszewskiego. Jednostka ustępuje na plan drugi, w obec bytu ogólnego, którego prawa i porządek muszą być przedewszystkiem uznawane i szanowane. Tylko wymaganie nieśmiertelności duszy i wiara w jéj postęp wieczny zaznaczają różnicę ówczesnych przekonań Kraszewskiego od bezwzględnego panteizmu.

Ten kierunek myśli napotykamy szczególniéj w czterech powieściach Kraszewskiego, które powieściami filozoficznémi nazwać-by można: *Pod Włoskiém Niebem* z roku 1845, *Pamiętniki Nieznajomego* z r. 1846, *Sfinx* z r. 1847 i *Tomko Prawdzic*, napisany w roku 1849 a wydany 1852. Z nich dwie pierwsze wykazują cały urok, jaki wywarł idealizm Platona i Hegla na wrażliwy umysł naszego pisarza, podczas gdy Sfinx i Tomko Prawdzic napisane już są pod wpływem spokojniejszéj, dojrzalszéj rozwagi, zdającéj sobie sprawę ze swych poglądów i dążności.

Fantazya: *Pod Włoskiém Niebem* przepełnioną jest zdaniami o sprzeczności, stanowiącéj prawo zasadnicze, istotę wszechświata. Autor widocznie po raz pierwszy całą siłą uderzonym został tą myślą i dla tego wypowiada ją ciągle na nowo, i ciągle w innéj formie wśród innego nastroju duchowego. „Świat, wola, to wieczna gra sprzeczności i urągowisko wzajemne rzeczy, uczuć, czynów. Poezya urąga się prozie, proza poezyi, bogactwo nędzy, geniusz głupstwu, władza niemocy, zdrowie chorobie, uniesienie rachubie, przypadek projektom, ludzie ludziom, natura synom swoim“.... „Wszystko w świecie jest dziwną sprzecznością, jest walką dwóch żywiołów, dwóch pierwiastków chłodu i gorąca, szyderstwa i uczucia“. — Na zapytanie zaś, czém jest człowiek w obec tego ruchu, wywołanego przez prawo sprzeczności, otrzymujemy odpowiedź: *Robaczkiem nikczemnym*. Jedyne jego przeznaczenie i szczęście, to życie dla ogółu. Dla niego wyrzec się powinien samego siebie, swego *ja*. „Namiętność, mówi autor, to *ja*, a wielka myśl, któréj człowiek sprężyną, narzędziem, to dobro ludzkości, to dzieło zbiorowéj potęgi. Namiętność jakże drobna w obec myśli, dla dobra ogółu poświęcającéj wszystko wcieleniu siebie w żywot, w czyn“. Więc wyrzeczenie się namiętności dla myśli ogólnéj oto nauka téj powiastki, wypowiedziana w obec bohatera, złamanego na duchu i ciele.—

Bardziéj szczegółowo zaznacza Kraszewski swe ówczesne poglądy na świat i życie w *Pamiętnikach nieznajomego*. Na samym wstępie powieści pyta autor: „Co to życie? co to życie?“ „Wszystko żyje a nikt nie wié, co życie. Każdy je tłumaczy ze swego stanowiska, a zgodzić się dwóch nie może na jedno“. Powieść ma dać odpowiedź na tę tajemniczą zagadkę.

Przebywszy gorzkie koleje życia, Juliusz dorabia się odpowiedzi na owo zasadnicze zapytanie. Polega ona na zrozumieniu prawa życiowego postępu, które zdolnem jest pogodzić każdego z sobą i z losem. Życie, mówi, to nieustanna walka sprzecznych żywiołów i sił, w któréj przejawia się myśl rozumna, boża, w któréj rozwija się i doskonali sam duch. Płakać nad rozchwianiem się ideałów młodzieńczych, nad niemożnością osiągnięcia wymarzonego szczęścia, nad śmiercią i złem nawet— jest niedorzecznością,— bo to wszystko jest koniecznym pierwiastkiem samego życia, wchodzi w skład jego, jako czynnik rozwoju, postępu duchowego. „Przeszłość, mówi, jest szczeblem dla przyszłości, posłaniem jutra. Na zwaliskach wykwitają nowe budowy rąk ludzkich, lub różnobarwne twory Boże... Co było, to jest i będzie zawsze, — nie smućmy się... Wszystko, co wielkie, co wieczne, pogodne jest i wesołego oblicza.. Co z ducha było, nie umrze; co suknią ducha, opada, jako szata. Ziemia nie płacze ludzkim pogrzebom, bo w téjże chwili obchodzi czyjeś narodziny. Śmierć i życie mieniają się, jako pogoda i chmury. Co się stało, było potrzebném i koniecznem, co koniecznem, jest dobrém.... Co dziś znikło, jutro się odradza; wszystko więc jest wiecznem; zjawisko tylko trwa chwilę, istota trwa wieki“. „Wszystko, co jest, jest, jak być powinno: ściśle, najściśléj sprawiedliwém“. „Smutek jak złe, jest fałszém, jest przemijającém czémś, co biernie dopomaga, jak ciemność do pojęcia jasności“.

W tym zaś ruchu życiowym, w tém doskonaleniu się ducha, człowiek wypełnić winien swe wyższe posłannictwo, w tym celu przedewszystkiém zrzec się musi swego *ja* jednostkowego, swego szczęścia osobistego a żyć swym obowiązkom, cnocie, ogółowi. Kto widzi świat w stosunku ciągłym do swego *Ja*, mówi autor, ten „nigdy nań nie spojrzał z wyższego, całość ogarniającego pu

ktu, z którego indywidua nikną, ogół powstaje".. „Aby świat pojąć i pokochać, trzeba nań spojrzéć z wysokości, zkąd wzrok płonących chat, ani wywróconych miast, ani kośćmi zasłanych pobojowisk krwawych nie dojrzy; tylko piętrzące się góry, zielone doliny i niebieskie wód przestrzenie i wielkie linie rosnących grodów i zasiane pola złociste". „Nigdy ze stanowiska *osobistego* nie dojrzy się nic wielkiego, nic prawdziwego, tylko szczegóły, które przez się wzięte są fałszami, bo mają znaczenie tylko w całości potężnéj, któréj są nierozdzielną częścią.." „Jakże majestatyczna natura! woła autor na innem miejscu. Jak wspaniała ze swą obojętnością dla jednostek, piastując na łonie nie pojedyńczości znikome, ale wiekuiste rodzajów i pokoleń idee." Werther Göthego jest egoistą, bo w sobie tylko, w swych marzeniach i namiętnościach szukał celu życia; gdy tymczasem ten tylko żyje prawdziwie, kto się siebie zapiera dla wszystkich. Bo przeznaczeniem człowieka nie jest szczęście, ale spełnienie powinności, ale wzniesienie moralne bojem, walką, cierpieniem, bogdaj męką całego życia. Cel człowieka zewnątrz niego; osobistość jego tonąć winna w ogromie, którego jest częścią. Zostaje mu zawsze pociecha, że się doskonali, że postępuje naprzód; a właśnie iść wyżéj i wyżéj, to przeznaczenie człowieka i ludzkości. „Postęp! woła autor, czarodziejskie słowo, jest ruchem ku doskonałości". Każdy wiek, każdy człowiek postępuje.

Oto myśli zasadnicze całéj powieści. Ich geneza historyczna w filozofii Platona i Hegla nie może być wątpliwą. Do nich przyłącza się jeszcze wiara autora w dalszy postęp ducha po za śmiercią. Wiara ta uzupełnia powyższe monistyczne poglądy autora, chociaż ją trudno pogodzić z zaprzeczeniem jednostki osobistego ja, wypowiedzianém tak stanowczo powyżéj. Jedynym łącznikiem między temi dwoma kierunkami myśli, monizmém i indywidualizmém, jest uwaga autora, że „życie postępu nie może się skończyć nicością, zgonem", więc i duch po za śmiercią daléj żyć i rozwijać się musi. A ponieważ natura i prawo rozwoju niedopuszczają żadnych skoków gwałtownych, więc owe przyszłe życie ducha musi być dalszym ciągiem tutecznego rozwoju. Te rozumowania naprowadzają autora w kwestyi nieśmiertelności na owe stanowisko racyonalne, z którego już starożytność na życie przyszłe się zapatrywała, według którego nieśmiertelność nie jest własnością metafizyczną duszy, lecz wynikiem jéj rozwoju moralnego. „U wrót śmierci, mówi, autor, każdy jest tém, czém się uczynił przez życie; a kto nie powié w sercu swém, że zdobył stanowisko wyższe, kto nie może ani myślą, ani czynem usprawiedliwić swych praw do innego żywota, ten zapewe nie posiędzie go". Bohater powieści, Juliusz, życie swoje poświęcił obowiązkom, cnocie, zrzekł się swych marzeń, najgłębszych pragnień serca dla dobra innych, on kroczył sumiennie po drodze swego udoskonalenia, więc też śmierć jego była według słowa autora „wesołem rozstaniem z utrapioną pielgrzymką, prawdziwém do lądu przybiciem, zrzuceniem zapylonych szat na progu gospody."

Jeżeli główne myśli, wypowiedziane w fantazyi: *Pod Włoskiém Niebem* i w *Pamiętnikach nieznajomego* wykazują bezpośredni wpływ Platonizmu i filozofii Hegla, to w następujących powieściach Kraszewski nie wyłamuje się bynajmniéj z pod tego wpływu, zaznacza jednak z większym naciskiem swe tendencye życiowe i dąży do pogodzenia takowych ze swym nowym *filozoficznym* na świat poglądem. Po pierwszém, silném wrażeniu, spowodowaném widocznie przez wzniosły polot myśli idealistycznéj, następuje chwila reflexyi, zastanowienia. Uczucia wygórowane, przechodzące nieraz w sentymentalizm, medytacye niebolotne nad losami człowieka i świata, powracają do większego spokoju, i zdają sobie sprawę z własnéj swojéj treści. To wszystko razem ma za skutek większą dojrzałość sądu, krytyczniejsze zrównoważenie nowonabytéj treści z dawnemi zasobami ducha. Autor już teraz nie oddaje się bezwarunkowo owym tendencyom panteistycznym, które go w pierwszéj chwili, tak żywo i głęboko zajęły; on nie jest już bezwzględnym platonikiem, szybującym po niebie ogólnych idei. Przypominając sobie znowu ziemię, wraca do niéj, bierze na uwagę to wszystko, co go z nią łączy, a do tego należą przedewszystkiem jego własne, dawniejsze kierunki myśli, jego przekonania religijne, odziedziczone po ojcach, jego dążności piśmiennicze wśród realnych stosunków życia. Z niémi znowu pogodzić się musiał, aby stać się znowu sobą, aby nowe myśli, poglądy filozoficzne przeistoczyć na własną krew duchową, bo tylko wtedy mógł powrócić do wewnętrznéj harmonii i kroczyć niezachwianie naprzód w kierunku raz wytkniętym. Ten process wewnętrznéj amalgamacyi idealizmu Platona i Hegla z życiowémi dążnościami Kraszewskiego, z jego dawnemi zasobami w zakresie wierzeń religijnych, tendencyi literacko-estetycznych, — przedstawia nam jak naj-

wyraźniéj powieść jego: *Sfinx*; to téż zasługuje ona, abyśmy się z tego stanowiska nieco bliżéj nad nią zastanowili.

Już zaraz na wstępie w przedmowie do pierwszego tomu Sfinxa napotykamy formalne wyznanie wiary Kraszewskiego, w którém on zaznacza swoje ówczesne stanowisko wśród dwóch przeciwległych kierunków czasu: postępowego, ożywionego głównie przez filozofią idealną, i zachowawczego, opartego, jak zawsze, na religii i tradycyi dziejowéj.

„Jedni, mówi Kraszewski w téj przedmowie, wrzeszczą o wywrót wiary i starych, jak zowią, przesądów dla nowego światła, które niosą, dla filozofii w ich mniemaniu nowéj; drudzy trzymają się rękami i nogami wszystkiego, co stare, gotowi się cofnąć, byleby nie iść naprzód tylko, bo im ciemno na drodze i straszno........ Radbym szczerze przekonać się o doskonałości jakiéj literacko-socyalnéj teoryi, aby ją całémi popierać siłami; cóż, kiedy mnie żadna z nich nie zaspakaja... Czytelnicy a nawet estetycy nasi, nie mogąc się dopytać, co myślę, łatwiejszém i krótszém znaleźli, na stronę mię odrzucić; wyrzekają, że nie mam myśli i systemu.... Cóżem winien, że wyłączni, a zatem niesprawiedliwi, pojąć nie możecie wszelkiego utworu, co do waszéj nie przypada miary? Cóżem winien, że ultrakatolicy nazywacie mnie niereligijnym może, a neofilozofowie obskurantem? Winienem chyba, że, do żadnego z obu tak odznaczonych silnie nie należąc obozów, sam jeden idę z boku.... Nie chcę postępu całéj przeszłości, lecz nie chcę téż cofania się pod pozorem konserwacyi. Jedno równie szkodliwe, jak drugie. Filozofia, począwszy od Platona, powinna była nauczyć was, panowie, że prawda nie leży nigdy w ostatecznościach. Życie nie rozwija się ani na chłodu, ani na skwaru biegunie, ale w pośrednich umiarkowanych strefach..... Obu dziś walczącym stronnictwom, powiedziećby można: Nie macie słuszności, a nie macie i mićć nie będziecie, dopóki nienawiść dzielić was będzie, dopóki wzajemnie nie poznacie się lepiéj. Bez miłości braterskiéj, téj spójni powszechnéj, nic się nie rodzi i nie trwa. Dla czegoż nie chcecie okiem prawdziwéj filozofii z jednéj strony, z drugiej okiem chrześcian prawdziwych spojrzéć na siebie? Dla czego nie przyznacie sobie wzajemnie prawdy, gdzie jest prawda, aby razem wytępić fałsz zastarzały, kędy on jest? Dla czego, miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli? Wypadki filozofii, które wyraża socyalizm, nie sąż wypadkami ewangelii? Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich a zwłaszcza dla tych, co cierpią wieki przez odwieczne niedbalstwo lub samolubstwo? Czegóż innego żąda i co innego nakazuje ewangelia? Coż przyszedł opowiadać Chrystus? Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości, pierwszy raz prysnęły ze krwią krzyża Golgoty. Wyście je przyswoili i uczynili wypadkiem własnéj myśli, gdy w istocie one są tylko zapomnianém prawem Chrystusa. O cóż więc chodzi? O słowa! A potrzebaby było czynu. Tak jest, nie rozprawiać tyle o filozofii niemieckiéj i katolicyzmie, a filozoficzniéj i bardziéj po katolicku żyć i działać!“...

Słowa powyższe, pomimo swéj tendencyi apologetycznéj, świadczą jednak wymownie o tém, że studya filozoficzne naprowadziły Kraszewskiego na głębsze pojęcie Chrześciaństwa i jego treści idealnéj. Nie ma tu już mowy o jednostronnym dogmatyzmie, o wtłoczeniu wzniosłych dążności Chrześciaństwa w ciasne ramy tego lub owego stronnictwa religijnego, o lekceważeniu rozumu ludzkiego i zaniedbaniu szacunku i tolerancyi dla obcych przekonań. To wszystko ustąpiło już przed pojęciem Chrześciaństwa, jako potęgi etyczno-socyalnéj, która w imię ludzkości, postępu, braterstwa i miłości pojednać winna walczące ze sobą stronnictwa, oderwać je od próżnego szermierstwa na słowa i wskazać im wspólną drogę do prawdy życiowéj, do działania w imię owych wzniosłych idei.

W tym téż duchu przedstawia nam autor dzieje wewnętrzne swego bohatera, rozwój jego pięknéj duszy. Jan przejął od matki, wyssał z mlekiem głębokie uczucie religijne i z całem ciepłém młodzieńczem przylegał do prawd swéj wiary. Pod wpływem jednak doświadczeń życiowych i filozofii XVIII-go wieku, z którą się w Rzymie zapoznał, wiara jego zaczęła szwankować, na uczuciu religijném zaszczepił się sceptycyzm, niedowiarstwo. Ale ta negacya ustąpiła z czasem znowu; uczucie religijne odzyskało znowu prawa. Po przebytéj jednak próbie, nie działało już ani instynktowo, ani w duchu owéj prostoduszności, która ślepo się poddaje powagom zewnętrznym, lecz dążyło do samodzielnego przyswojenia sobie treści idealnéj swych wierzeń, do ich filozoficznego pojęcia. Jan, wraz z autorem powieści, powiedział sobie: „Kto dał to światło, za pomocą którego walczą przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę pogaństwa? kto uznał braćmi świat cały? kto wyrzekł jedno prawo do nieśmier-

telności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedne za występek kary? kto zaszczepił pierwszy te myśli?“ Teraz odrodne dzieci obracają się przeciwko matce. Nie spytają się i nie odpowiedzą sobie: chrześciaństwo, wiara nowa... Ta reflexya łączy poczucie religijne Jana i samego autora z filozoficznémi dążnościami czasu, i doprowadza go do przekonania o ich wewnętrznéj zgodności, o duchu chrześciańskim, przenikającym całą filozofią nowoczesną. Myśl zaś przyszłego życia, idea nieśmiertelności, jest i tutaj dla autora główną podstawą dla rozwiązania zagadki życia ludzkiego. „Chrześciaństwo, mówi Jan w klasztorze, rozwiązało wszystko — drugiém życiem... Pojąć człowieka bez drugiego życia niepodobna. Jest to frazes bez *słowa*; jest to coś niedokończonego, tajemniczego. Poeta, artysta, duchem wyższy nad innych, tém większą jest zagadką, bez téj myśli ostatecznéj, co ją rozwiązuje.... Człowiek *tworzy*, bo stworzony jest na podobieństwo Boże.“

Z jaką zaś tolerancyą Kraszewski już teraz zapatruje się na inne kierunki filozoficzne, a szczególnie i na potępioną poprzednio tak bezwzględnie filozofią XVIII wieku; jaka w ogóle bestronność i rozległość charakteryzuje obecnie jego pogląd na dzieje filozofii XVIII wieku, o tém przekonywają nas te ustępy powieści, w których objaśnia wpływ filozofii XVIII wieku na usposobienie i przekonania Jana. Przyznaje tu Kraszewski, że w doktrynie XVIII wieku, którą wiek XIX przedłuża, jest niezaprzeczenie strona wielka i piękna, strona szlachetna i prawdziwa. Każdy w ogóle system ludzki, dodaje, najfałszywszy nawet, na jakiéjś myśli wielkiéj się opiera, inaczéj nikogoby sobie nie zjednał. Nowość nie byłaby jeszcze dostateczną ponętą. Każda nauka nowa występuje w imię prawdy, co jéj życie daje, co ją złoci i podnosi. Fałsz rzadko jest w pierwszych zasadach, w duszach prawych i szlachetnych pierwszych obrońców nowéj idei. Błędy rodzą się zazwyczaj dopiero z jednostronnego rozwinięcia i zastosowania owych zasad, z wniosków przewrotnych i niepraktycznych teoryi epigonów. Podobnie i filozofia dawniejsza i nowa szły naprzód w imię ludzkości, walczyły o oświatę i wywrócenie zgubnych przesądów; lecz z czasem od tych pobudek szlachetnych zaszły do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, do doktryn sprzecznych z warunkami ludzkiego dobrobytu, z samą naturą człowieka. Te zboczenia nie naruszają jednak prawd zasadniczych, zgodnych z treścią idealną i dążnościami chrześciaństwa.

I wstąpienie Jana do klasztoru wyprowadza Kraszewski bardziéj z motywów etyczno-socyalnych, mających znaczenie ogólne, filozoficzne, niż z jakiegoś dogmatyczno-kościelnego mistycyzmu, pozbawionego życiowéj doniosłości. Argumenta, na korzyść klasztorów, jakie w przedmowie do III tomu *Sfinxa* przytacza, mają wysokie znaczenie, aż do chwili teraźniejszéj, a może większe jeszcze w naszym czasie pessymizmu i samobójstwa, niż przed laty trzydziestu. „Wiém, mówi Kraszewski, że wielu może przeciwko zakończeniu powieści oburzać się będzie dziś, gdy klasztor wydaje im się siedliskiem gnuśnego próżnowania i szkodliwych przesądów. Mój bohater kończy w klasztorze! Okrzyczą mnie za cofniętego i ślepca. Pozwalam. Lecz ci, co to wyrzekną, nie zastanowili się nigdy nad znaczeniem i potrzebą przytułku tego dla społeczeństwa, choćby je tylko ze stanowiska socyalnego uważać przyszło. Są exystencye, są charaktery, są zagadki, które tylko eremy stare i monastery rozwiązać umiały“. Mnożą się, dodaje, samobójstwa cielesne i umysłowe, bo niema schronienia zbolałym, rozczarowanym, zrozpaczonym. Nie ma gdzie odrodzić się, zerwać ze światem, przyoblec nowego człowieka, nowe imię i nowe życie. Człowiek nieszczęśliwy, zrozpaczony, w obliczu industryalizmu i teoryi dobrego bytu jest anomalią, czémś niewytłumaczoném, niepotrzebném; więc zamiast w samotném ustroniu oderwać się od ziemi i zbliżyć się do Boga, widzi w samobójstwie jedyne swoje zbawienie.—I w saméj rzeczy przyznać należy, że w naszych czasach niewątpliwie mniéj byłoby czynów rozpaczy i szaleństwa, ludzie złamani na duchu mniéjby się targali na własne a może i obce życie, gdyby wśród społeczeństwa znaleźli schronienie samotne, odosobnione, dające im możność opuścić świat, nie tracąc życia. Nie powinien to być naturalnie przytułek dla próżniactwa, lub tchórzostwa, dla tych, którzy pracować nie chcą lub walki życiowéj się boją, nie doznawszy jéj wcale—lecz dla owych nieszczęśliwych, którzy padają pod ciosami losu, a zranieni na duchu mają takie samo prawo do opieki społecznéj, jak wszyscy dotknięci cierpieniami ciała. Myśl przewodnia zatem Sfinxa i pod tym względem może służyć za dowód, że Kraszewski pod wpływem swych studyów filozoficznych dochodził do coraz głębszego poglądu na treść wiary religijnéj i na jéj urządzenia tradycyjne.

Pojęć estetycznych Kraszewskiego, tak szeroko rozwiniętych w Sfinxie, pomimo ich związku z jego filozoficznémi zapatrywaniami

tutaj szczegółowo rozbierać nie będziemy, gdyż są one przedmiotem osobnéj rozprawy w niniejszéj książce jubileuszowéj. Dość tu tylko zaznaczyć, że Kraszewski i pod tym względem znajduje się jak najwyraźniej pod wpływem idealnych teoryi Platona i Hegla, lubo wykazuje konieczną potrzebę uzupełnienia idealizmu prawdą życiową i głębszémi studyami nad dziejami sztuki.

Ostatnia z przytoczonych powyżéj powieści, *Tomko Prawdzic*, zamyka jak najwyraźniéj epokę studyów filozoficznych Kraszewskiego. Autor przedstawia nam tutaj młodzieńca, przejętego niepohamowaną miłością prawdy, badającego ją wszędzie, gdzie tylko się spodziewa, że ją znajdzie, że się zapozna z jéj treścią jedyną, odwieczną, niezmienną. Dla téj prawdy upragnionéj opuszcza Tomko i ojca i matkę, i dostatek domu rodzicielskiego, i ukochaną Małgosię. Idzie w świat daleki i wszystko i wszystkich pyta o prawdę. Na drogę dodaje mu autor dwóch towarzyszy, będących upostaciowaniem zasad złego i dobrego, fałszu i prawdy rzeczywistéj. Pierwszy z nich, baron Germann von Teufell, rodzaj Mefistofelesa, sarkazmem iście szatańskim i wykazaniem sprzeczności w zdaniach ludzkich usiłuje podkopać zamiłowanie Tomka do prawdy i zaszczepić w niego niewiarę do wszystkiego, skeptycyzm. Drugi zaś, stary Dołęga, domorosły Dyogenes, dawny nauczyciel Tomka, idzie za nim niewidzialnie, ale w chwilach zwątpienia zjawia się, aby podtrzymać jego wiarę i pojednać go z myślą, że człowiek całkowitéj, absolutnéj prawdy poznać nie może, że prawda ludzka jest zawsze tylko odłamkiem prawdy najwyższéj i że idea téj prawdy najwyższéj i dążność do niéj starczyć powinny człowiekowi za nią samę. Process umysłowego rozwoju, doprowadzający Tomka do tego przekonania, przedstawiony jest w tej powiastce allegorycznéj, którą autor sam *bajką wierutną* nazywa, dość wprawdzie pobieżnie, bez głębszych przejść i wstrząśnień duchowych, ale zawsze bardzo dowcipnie i pod wpływem jasnéj myśli przewodniéj, pozostającéj w ścisłym związku z ową zasadą, że żaden system filozoficzny nie może być ostatnim i najwyższym wyrazem prawdy.

Tomko, występując w świat, szuka najprzód prawdy w tworach bożych. „Czyliż usta ludzkie, pyta, powiedzą kiedy więcéj nad nic o tajemnicach stworzenia i myśli przedwiecznéj?" I w zachwycie woła: „Prawdą jest światło! prawdą jest życie, prawdą ciepło, prawdą wszystko, co widzę!" Ale wnet zjawia się Mefistofeles i pyta: „A czémże będzie ciemność, śmierć, chłód i to czego w téj chwili nie widzisz?" Pomimo tego Tomko bada przyrodę i zadaje pytanie po kolei wszystkim objawom stworzenia od kwiatka aż do zwierząt: co to prawda? Każdy w sposób samochwalczy odpowiada, że w nim samym jest prawda jedyna, najwyższa i przez to zadaje bezpośrednio kłam sam sobie. Dostaje się Tomko i pomiędzy ludzi, a przedewszystkiem między teologów. Jest on świadkiem dysputy między księdzem, pastorem i protojerem. Widzi, jak protestant wynosi rozum ludzki, w który wierzy jedynie, jak w Boga, ocierając się o panteizm, podczas gdy katolik znowu odrzucał rozum całkowicie, mieniąc go narzędziem rozumienia, nie zaś rozumowania. Wszczynają się namiętne sprzeczki o łasce, o predestynacyi, o pochodzeniu osób w Bogu, wreszcie o samych nawet obrzędach. Gdzie tu prawda? Tomko westchnął, spuścił głowę i umilkł. Jak w teologii, tak i w życiu społecznem prawdy nie znajduje. Demokracya i arystokracya, wieś i miasto, młodość zarozumiała i uparta starość, wszystko walczy ze sobą. Pozostaje tylko jeszcze nauka, ale i tutaj Tomko natrafia tylko albo na otwarte wyznanie niepewności, niedostateczności poznania ludzkiego, albo też zarozumiałość i samochwalstwo. Astronom wychwala, jako jedyny probierz prawdy, rachunek, chociaż wyznać musi, że przy jego pomocy niemożna rozwiązać wszystkich zagadnień. Fizyk i chemik sprowadzają wszystko do materyi; zoolog widzi prawdę najwyższą w nerwach i mózgu, ale jeden i drugi nie mogą objaśnić, co to jest duch? Logik wychwala analizę i syntezę, chociaż obie nie chronią od błędów i fałszu. Filozof staréj daty jest w teoryi scholastykiem a w życiu lichwiarzem. Przedstawiciel filozofii niemieckiéj weseli się z przyjaciółmi, gra w karty i pali lulkę, a zresztą kontentuje się, że idzie ślepo za Kantem i Niemcami. Zwolennik zaś najnowszéj mądrości jest sobie bezwzględnym materyalistą, nie może wprawdzie powiedziéć, co to są siły materyi i zkąd pochodzi porządek świata, ale to bynajmniéj nie zawadza, że ma twarz rumianą i prowadzi życie bez trosk i skrupułów. Wreszcie i historya filozofii, upostaciowana w badaczu obłąkanym, który prawdę, jako rybę, na wędkę złowić usiłuje, nie doprowadza Tomka do rozwiązania wielkiéj zagadki, i tutaj każdy wychwala swoje teorye lub też wyznaje, że prawda nie jest dostępną dla człowieka. To wszystko wreszcie zrazić musiało Tomka, ostudzić do ostatka jego zapał do prawdy. Zobojętniał na wszystko, i szedł daléj bezmyślnie, nie pytając już o prawdę ani świata,

ani ludzi, ani siebie, ani Boga. Po głowie mu tylko chodziły słowa: „Prawda! Jest prawda! Niema prawdy! Wszystko jest prawdą! Wszystko jest fałszem. wszystko ułudą“. W tém na szczęście nadszedł znowu stary Dołęga i, prowadząc zniechęconego do domu, objaśnia rzecz całą i dodaje otuchy do życia i pracy. „Szukałeś prawdy absolutnéj, jedynéj, mówi Dołęga, w zdaniu jednćm, w miejscu i kątku pewném, w kilku słowach ludzkich zamkniętéj, w wyłącznéj jakiéjś istocie, w jednym rodzaju żywota, a prawda nie jest ani w słowie jednóm, ani w chwili jednéj, ani w jednéj istocie, ani w myśli ludzkiéj tylko. Prawdą jest wszystko, co istnieje, prawdą jest życie, byt a najwyższą prawdą jest źródło żywota — Bóg..... Prawda jest złotą nicią wśród szaréj tkanki, przesuwającą się po wszystkich tworach, we wszystkich żywota godzinach. Różne jéj strony widzisz w różnych Boga dziełach; nigdzie jéj całéj niema... Wszystko co jest, jest i nie jest. Byt łączy się z nicością i zlewa. Prawda — to nieskończona zmiana, niepochwycona rozmaitość, zawsze w sobie jedna. Nie szukaj jéj ani na dnie studni, ani na górze w gwiazdach; wisi między niebem a ziemią, jedną nogą tu, a drugą tam. Prawda—to może środek ciężkości między materyą a duchem... Prawda—to nie twoje coś urojonego, cobyś chciał palcem rozmazać: jest w tobie, za tobą, wszędzie, ale wszędzie po troszę...... W piersi ludzkiéj tylko jest to pojęcie potężne jedności i całości prawdy, które starczy za nią samę... Jest to przeczucie świata, w którym wszystko znać i wiedzieć będziemy, z wszystkiem się w Bogu w całość połączym....... W nauce prawdą jest, że nic zpełna nie umiemy, że na najwyższym szczeblu umiejętności ludzie upokorzeni wołają: wiemy, że więcéj jest daleko nad to, co umiemy i rozumem naszym dojść możem... W świecie moralnym zaś prawdą jest poświęcenie siebie dla ogółu, życie cząstki w całości, spojenie z jéj losami...... Czyn jest wyższy od wiedzy, bo czyn tworzy, czyn żywot daje, gdy wiedza jest tylko spojrzeniem w jego tajniki. Człowiek, co nic nie wie, prócz pierwszych praw, z któremi się urodził, a które rozwinęły w nim życie poczciwe i pracowite, często wyższy jest od mędrca, co wszystko wié, w nic nie wierzy i nic nie czyni.“

Oto ostateczne wyniki studyów filozoficznych Kraszewskiego. Ich treść sama za siebie przemawia i łączy się ściśle ze wszystkiém, cośmy dotąd o poglądach filozoficznych Kraszewskiego powiedzieli. Zauważmy tu tylko, że nacisk, jaki w ostatnich ustępach kładzie na pierwszeństwo życia i czynu nad wiedzą i poznaniem, praktyki moralnéj nad teoryą filozoficzną, zaznacza zarazem i pewien zwrot w jego własnych dążnościach umysłowych i piśmienniczych. Życie praktyczne z całym realizmem swych potrzeb i zadań, z całą tragicznością swych walk i zawikłań, przystępowało coraz bardziéj do naszego pisarza i domagało się coraz rozleglejszego uwzględnienia. To téż widzimy, że zakres jego działalności coraz bardziéj się rozszerza. Udział jego w życiu społecznóm staje się coraz czynniejszym, wpływ na opinią publiczną coraz większym, a wspólnie z tém wyradza się i coraz bardziéj potrzeba głębszego dotknięcia kwestyi społecznych, rozjaśnienie pytań o ustroju i dążnościach społeczeństwa, o zadaniach jego kierowników, o jego przeszłości. To wszystko w naturalnym przebiegu rzeczy odprowadza Kraszewskiego nie tylko od studyów teoretycznych nad filozofią, lecz i od traktowania problematów filozoficznych w powieściach. Tendencye filozoficzne ustępują przed socyalnémi; powieść społeczna i historyczna występuje na plan pierwszy, staje się czynnikiem górującym w pracy około dobra powszechnego. Mając na uwadze ten nowy zwrot w działalności piśmienniczéj Kraszewskiego, możnaby powiedzieć, że po dwóch poprzednich okresach téj działalności: romantyczno - religijnym i filozoficznym, nadszedł trzeci: historyczno-społeczny, w którym kwestye praktyczne i doświadczenie dziejowe stały się dla naszego pisarza głównemi bodźcami pracy i twórczości. Rzecz naturalna, że podział taki nie może być nigdy wyłącznym i tylko z lekka zaznacza panujące tendencye i kierunki myśli. W jakim stosunku znajduje się ten nowy okres działalności Kraszewskiego do dalszych postępów myśli filozoficznéj jego czasu?

III.

Wpływ roku 1848 na stan społeczeństw europejskich i na kierunek myśli filozoficznéj. — Panowanie poglądów realistycznych.—Ich ogólna charakterystyka.—Dążności idealistyczne wśród panującego ducha czasu.— Zwrot chwili obecnéj ku idealistycznym tendencyom w zakresie przyrodoznawstwa i życia społecznego. — Stosunek Kraszewskiego do powyższych dążności czasu. — Charakter jego zajęć filozoficznych w tym okresie. — Główne momenta jego zwrotu od idealizmu do rzeczywistości: nastrój pessymistyczny, wiara w lepszą przyszłość i wymaganie pracy organicznéj. — Charakterystyka każdego z tych momentów. — Pessymizm Kraszewskiego. Powieść bez tytułu. Abracadabra. Hymn boleści i Wioska. Choroby wieku. Wieczory wołyńskie. Poglądy Kraszewskiego na życie przyszłe. Trapezoologion. Mogiły. Zasady etyczne Kraszewskiego. Podróż do miasteczka. Metamorfozy. Odczyty o cywilizacyi w Polsce. Studyum obyczajowe nad Rejem. — Wzmianka o powieściach, w których Kraszewski rozwija szczegółowo swe poglądy społeczne. — Treść jego mądrości życiowéj: „Życie chorobą — lekarstwem praca.“

Rok 1848 zaznacza zwrot stanowczy w rozwoju i dążnościach społeczeństw europejskich. Zamyka on z jednéj strony epokę romantyczną na wszystkich prawie polach działalności życiowéj i umysłowéj, a z drugiéj strony rozpoczyna epokę realizmu, będącego najwydatniejszém znamieniem drugiéj połowy bieżącego wieku.

Jeżeli życie polityczne do roku 1848 toczy się przeważnie pod wpływem pewnych ideałów państwowych, których urzeczywistnienie, pomimo panującéj u sfer rządowych reakcyi, było głównym celem wszelkich ruchów narodowych, — to po roku 1848 w skutek prawnego zrównoważenia dwóch składowych czynników życia państwowego: rządu i narodu, większość społeczeństw europejskich uspokoiła się pod względem politycznym, przyjęła dane prawne stosunki za punkt wyjścia dla swych dalszych dążności i na tym realnym gruncie pracowała nad rozwojem urządzeń i form państwowych. Ideały i utopie, w ogóle romantyzm polityczny, ustępował coraz bardziej przed realną polityką interesów. Zarówno państwo w ogóle, jak i każde stronnictwo w życiu państwowém, każda cząstka składowa społeczności, oglądały się przedewszystkiem na realne stosunki życia i dbały o to, aby wśród nich zabezpieczyć swoje najbliższe interesa. Wzgląd na wzrost przemysłu i rozwój handlu, w ogóle na dobrobyt materyalny stał się w skutek tego panującym we wszystkich warstwach społecznych. Ekonomia polityczna z całą potęgą swych realnych wymagań i potrzeb przezwyciężyła romantyzm polityczny, jego ideały i walki o najdoskonalsze formy życia państwowego.

Z ustatkowaniem się zaś stosunków politycznych, tak silnie naprężonych od czasów wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, ze zwrotem społeczeństw do pracy około utrwalenia dobrobytu materyalnego, zmienił się i cały kierunek myśli nowszych czasów, wszystkie niemal dążności w zakresie nauki i filozofii, sztuki i poezyi, moralności i religii. Wszędzie idealizm, romantyzm, wiara, przestały być głównemi czynnikami życia i rozwoju, zstąpiły na plan drugi, zmuszone mimo wielkich wysiłków, poruczyć kierownictwo duchem czasu, prądom realistycznym różnych odcieni. Nauka zaczynała dowierzać wyłącznie tylko wynikom doświadczenia zmysłowego, zachowując się skeptycznie względem wszystkich idealistycznych polotów myśli. W filozofii cieszyły się największą popularnością teorye materyalistyczne, lub téż kierunek pozytywistyczny Comte'a. Sztuką zawładnęło zamiłowanie do techniki, schlebiającéj zmysłom, i naśladownictwo przyrody. Twórczość poetyczna osłabła, ześrodkowała się prawie wyłącznie na powieści i dramacie o effektach drażniących nerwy i charakterystyce przesadnéj, biorącéj za tło najniższe namiętności. Szlachetne porywy duszy i całą moralność indywidualną i społeczną wyprowadzano znowu z pobudek egoizmu i z prawa niezłomnéj konieczności, a praktyka życiowa stosowała się coraz bardziej do tych teoryi samolubstwa i niezależności od wyższych praw moralnych. Religia utraca swój urok idealny w świadomości czasu i nawet obrońcy jéj posiłkują się nią teraz głównie, jako środkiem dla rozszerzenia swéj władzy i osiągnięcia celów stronniczych. Jednem słowem, na wszystkich polach działalności ludzkiéj wiara w ideał transcendentalny, pozaświatowy, w prawdę dla prawdy, w piękno dla piękna, w dobro dla dobra, słabnie widocznie, a na jéj miejscu występuje walka o najbliższe interesa życiowe, o dobro realne doczesnego bytu, widzialne i dotykalne. Zasada idealizmu: jednostka dla ogółu, wymaganie jego, aby indywidualność poddała się bezwzględnie ogółowi, i przynosiła jemu w ofierze nie tylko swe dążności i swój dobrobyt, lecz i samę siebie, wymaganie to, jak widzieliśmy, tak ściśle połączone z filo-

zofią panteistyczną okresu heglowskiego,— przedstawia się teraz prawie wszystkim, jako wyrób filozoficznego romantyzmu, doprowadzający do przesady i sprzeczności z nieugiętémi prawami bytu. W miejsce tego wymagania występuje znowu wszędzie zasada odwrotna: ogół dla jednostki, zasada indywidualizmu i osobistości. Ogół w przekonaniu czasu ma o tyle tylko pewną wartość, o ile przysparza dobrobyt jednostki, o ile jest środkiem dla urzeczywistnienia jéj potrzeb i dążności. Ztąd słabnie coraz bardziéj szacunek dla wszelkiego ogółu, nie przynoszącego jednostkom bezpośredniéj dotykalnéj korzyści, nie mającego utylitarnéj racyi bytu. Państwo, społeczność i kościół, nauka, sztuka i religia, prawda, piękno i dobro, nie są cenione same przez się, w imię swéj treści idealnéj, lecz poddać się muszą rozbiorowi krytycznemu ze stanowiska indywidualnego, każda jednostka z osobna poczuwa się do prawa wypowiedzenia ostatecznego słowa o ich wartości w miarę swych osobistych zapatrywań, pojęć i interesów.

Nie mamy obecnie powodu zapuszczania się głębiej w charakterystykę i ocenę powyższych dążności naszego czasu. Chcąc jednak określić stosunek Kraszewskiego do myśli filozoficznéj ostatnich lat trzydziestu, musimy zastanowić się nieco bliżéj nad losami filozofii po upadku systematu Hegla.

Zwrot do realizmu we wszystkich dziedzinach życia i myśli był wynikiem zupełnie naturalnéj reakcyi przeciwko długoletnim wpływom idealizmu. Po zaburzeniach rewolucyjnych i spowodowaném przez nie rozprzężeniu moralném, narody, jak widzieliśmy, z chciwością oddały się wszelkim czynnikom, które zdolne były rozpadłe massy znowu skupić, połączyć, zachęcić do uległości dla ogółu, do pracy fizycznéj i umysłowéj, a do tego religia i filozofia panteistyczna były najskuteczniejszemi bodźcami. Z czasem jednak, gdy cel tego idealistycznego polotu ducha osiągniętym został, gdy dzięki jego wpływom zapanował znowu spokój nad umysłami, a porządek jaki taki w ustroju społecznym, jednostka, indywidualność, znowu wystąpiła na plan pierwszy, a z nią i kierunek realistyczny w życiu i myśli.

Człowiek przeciętny jest idealistą zwykle tylko w potrzebie; w dostatku zaś realistą. Idealizm jest filozofią pociechy i zachęty dla znękanego, realizm zaś filozofią użycia dla zadowolonego z siebie i z życia. Póki człowiek w nędzy materyalnéj czy duchowéj, dopóty wierzy i w Boga i w wyższy porządek świata, jako w jedyną rękojmią przyszłości dla siebie; z chwilą zaś, gdy mu się dobrze dziać zaczyna, sprowadza zwykle wszystko do samego siebie, wierzy tylko w to, co widzi, zatapia się w teraźniejszość i w jéj zabezpieczeniu i przedłużeniu szuka szczęścia swego. Teraz już wstydzi się swéj dawnéj dziecięcéj wiary w Boga, swéj uległości dla wyższego porządku świata, siła i materya stają się dla niego jedynemi czynnikami bytu, jedynemi warunkami postępu i rozwoju. Nie dziw tedy, że po roku 1848 z chwilą coraz większego utrwalenia dobrobytu materyalnego i filozofia materyalistyczna stała się znowu, podobnie jak w końcu XVIII wieku, filozofią popularną, w którą wierzył każdy, kto miał z czego żyć a przytém pragnął uchodzić za człowieka wykształconego.

Ale, jak człowiek przeciętny nie staje nigdy na czele ruchu życiowego, nie kieruje nim, nie przewiduje przyszłości, lecz przedstawia tylko ogólny wypadek przeszłości, wyraża tylko sposób myślenia mass, ulegających mimo wiedzy i woli pewnym ideom przewodnim,— tak też i filozofia popularna, chociaż charakteryzuje jak najwierniéj ducha powszechności, nie reprezentuje jednak ani wyłącznego, ani najgłówniejszego nawet czynnika pracy myślowéj danego czasu. Wśród poglądów popularnych, będących dotykalnym wyrazem przeszłości, kiełkują i rozwijają się niepostrzeżenie nasiona przyszłości, które zwolna tylko działają na usposobienie ogółu, a na szerszą widownią występują tylko wtedy, gdy zmiana stosunków życiowych sprzyja ich rozpowszechnieniu. Tak wśród ciemności średniowiecznéj samotny, prześladowany mnich Roger Bakon wygłaszał nowe a pełne doniosłości idee, które dopiero w trzysta lat później zjednały powszechne uznanie jego znakomitemu imiennikowi Bakonowi Werulamskiemu. Tak Kant na grunt oschłego racyonalizmu i sceptycznego senzualizmu rzuca w XVIII wieku ziarna myśli, które dopiero w XIX należycie rozwinąć się miały. Tak wśród najsilniejszego rozrostu idealizmu Hegla kiełkuje pessymizm Schopenhauera i pozytywizm Comte'a, chociaż na szerszą widownią występują dopiero w naszych czasach. Podobnie i wśród panujących w drugiéj połowie naszego wieku poglądów materyalistycznych działają dążności filozoficzne, które prawdopodobnie zmienią obecny kierunek myśli powszechnéj, nadadzą mu inny charakter, gdy tylko zewnętrzne okoliczności przygotują ducha narodów do takiéj zmiany.

Idealizm zbyt głęboko tkwi w naturze ludzkiéj, zbyt ściśle się łączy z istotą ru-

chu umysłowego człowieka, z jego dążnościami na polu nauki, sztuki i życia, aby świat zmysłowy i doczesność, w ogóle realizm, mogły trwale zawładnąć myślą ludzką, stać się wyłączną cechą jéj działania i rozwoju. I największe rozpowszechnienie poglądów realistycznych, najsilniejsze przekonanie większości myślicieli i oświeconych danego czasu, że źródłem prawdy i nauki nie jest duch, idea, lecz świat zmysłowy i jego metodyczne badanie, nie zdoła przygłuszyć idealnych potrzeb człowieka, nie zdoła zrobić z niego istoty, kontentującéj się swém istnieniem zmysłowém, jako jedynym celem i przeznaczeniem swojem. Ztąd téż i wśród realistycznych kierunków nowszych czasów, reprezentowanych przez gruby materyalizm Vogta, Büchnera, Moleschotta i ich zwolenników, jak i przez subtelniejsze teorye pozytywizmu, które pomimo zaprzeczenia metafizycznym wynikom materyalizmu, opierają się jednak na wspólnych z nim zasadach, — i wśród tych kierunków napotykamy cały szereg dążności idealistycznych, które z większą lub mniejszą siłą, oddziaływając na umysły, ograniczają jednostronny rozwój realizmu, i przygotowują nowy zwrot w życiu umysłowém naszego czasu. Te dążności idealistyczne podlegają wprawdzie dotąd jeszcze chaotycznemu nieomal rozprzężeniu. Nie są one jeszcze należycie zastosowane do zmienionych potrzeb ducha. Nie spożytkowały jeszcze należycie prawd, zawartych w realistycznych dążnościach czasu dla wyświetlenia własnéj doniosłości i prawdy. Przeciwnie, pierwiastki realistyczne rozstrajają jeszcze dotąd zbytecznie idealizm, nie dają mu dojść do owéj jednolitości zasad i poglądów, która jest niezbędną, aby zawładnąć myślą powszechną. Pod sztandarem idealizmu rozwijają się obecnie zbyt różnorodne, często nawet wyłączające się nawzajem kierunki myśli. Pomimo swéj ogólnéj tendencyi idealistycznéj doprowadzają one jednak jeszcze do zbyt różnorodnych wyników, aby realistyczny duch czasu mógł się przekonać o ich znaczeniu dla umysłu i życia. Obok myślicieli, podejmujących poszukiwania krytyczne Kanta, dowodzących, że należyte rozjaśnienie stosunku zmysłu ludzkiego do rzeczywistości, subjektu do objektu, powinno być pierwszą podstawą wszelkiéj nauki i filozofii, napotykamy w zakresie idealizmu najnowszego przedstawicieli wyrobionych już wszechstronnie systematów filozoficznych, jako to monadologii Herbarta, filozofii natury Schellinga lub Hegla. Są tu wskrzesiciele pessymizmu Schoppenhauera, który w gruncie rzeczy, mimo woli i wiedzy, jest objawem najsilniejszéj reakcyi idealistycznéj przeciwko materyalizmowi, bo wykazuje, że świat pozbawiony zasady rozumowéj i człowiek poddany bezwzględnie prawom przyrody fizycznéj, nie godzien jest nawet bytu i tylko przez swoje unicestwienie dojść może do upragnionego spokoju. Obok tego pessymizmu liczne znowu grono pracowników, nie ulegających tym tendencyom negacyjnym, dąży do syntetycznego na świat poglądu, do poglądu, mającego na celu zrównoważenie dwóch pierwiastków składowych bytu i natury ludzkiéj, materyi i duszy, wrażeń zmysłowych i rozumu. Ale każdy z powyższych kierunków idealistycznych rozwija się dotąd samoistnie, nie troszczy się o solidarne połączenie z innemi, w nadziei, że o własnych siłach dobije się z czasem prawdy a w skutek tego i powszechnego uznania. I to właśnie osłabia w chwili obecnéj wpływ idealizmu na usposobienie ogółu, który niedopatrując się wewnętrznéj spójni we wszystkich kierunkach idealistycznych, skłania się chętniéj do realizmu, odznaczającego się większą prostotą zasad i solidarnością wszystkich swych odcieni. Pomimo to jednak wpływ idealizmu na dążności umysłowe naszego czasu istnieje i występuje co raz bardziéj na jaw w dziedzinach, które do ostatniéj chwili uchodziły za główną podstawę realizmu, w dziedzinach przyrodoznawstwa i życia społecznego. Wpływ ten idealizmu na samę siedzibę przeciwników jest najwymowniejszym dowodem jego wewnętrznéj żywotności, i rokuje mu lepszą przyszłość pomimo hałaśliwéj opozycyi realizmu.

Zwrot najnowszego przyrodoznawstwa w kierunku idealistycznym jest równie widoczny, jak doniosły. Z końcem piątego i na początku szóstego dziesiątka bieżącego wieku, teorye materyalistyczne występowały z niesłychaną śmiałością i w oczach większości przyrodników uchodziły za jedyną podstawę badań naukowych, za konieczną ich konsekwencyą. Nadto charakterystycznem znamieniem ówczesnego materyalizmu była z jednéj strony dogmatyczna wiara w materyą i jéj wszechwładne panowanie, a z drugiéj lekceważenie głębszych poszukiwań filozoficznych, domagających się krytycznego rozbioru samych zasad wszelkiego na świat poglądu. Dzisiaj nastąpiła już pod temi względami znaczna zmiana. Materyalizm, jako ogólny na świat pogląd, dziś już nie cieszy się tą wziętością, jak przed laty dwudziestu. Dziś już zdarza się, że zwolennicy materyalizmu, pracujący skrycie w jego duchu, wyrzekają się jednak otwarcie jego

zasad, które uznane zostały za nader wątłe, a w każdym razie nie za pewniejsze od zasad bezwzględnego idealizmu Hegla, od którego się z lekceważeniem odwrócono. Dziś już czynniki filozoficzne wkradają się w najpozytywniejsze z pozoru teorye przyrodnicze, a przez to materyalizm schodzi coraz bardziéj na plan dalszy. Jedność sił przyrody i ewolucyonizm Darwina zmuszają samych przyrodników do zburzenia owych murów chińskich, które dawniéj odgraniczały specyalistów od siebie. Każdy prawdziwy przyrodnik dziś znowu stać się musi filozofem natury, obejmującym całość przyrody jednym rzutem oka, zdającym sobie sprawę z wewnętrznéj spójni, która najróżnorodniejsze z pozoru objawy łączy w jeden dziwnie uporządkowany wszechświat. Tendencya zatem do uogólniania, jednoczenia, tendencya syntetyczna znowu wstępuje w swoje prawa, nawet wśród samych przyrodników, którzy dotąd byli głównymi propagatorami specyalizacyi. A tendencya ta jest zawsze oznaką panowania jednolitego ducha nad mnogością wrażeń zmysłowych, idei nad rzeczywistością. Zwrot tedy w tym kierunku dość jest wyraźny, ograniczając z każdym dniem bardziéj jednostronny rozwój realizmu.

Drugim nie mniéj ważnym motorem, zwracającym umysły w kierunku idealistycznym, są stosunki socyalne najnowszych czasów. Teorye moralne materyalizmu, które oddziaływały prawie na całą dojrzewającą w chwili obecnéj generacyą, obdarzają społeczność swemi owocami praktycznemi. Ciągłe powtarzanie zdania, że człowiek jest wyrobem potęg bezmyślnych, że własną samodzielną wolą i moralną energią niczego dokonać nie może, bo jéj wcale nie posiada, że cnota i występki są takiemi samemi objawami przyrody, jak pogoda lub burza, że zasady moralne są względne, a zatem nikogo bezwzględnie nie obowiązują — tego rodzaju zdania wraz z lekceważeniem religii, wiary w lepszą przyszłość ducha i w wyższe jego przeznaczenie,—muszą z czasem usamowolnić, jak niedojrzałą młodzież, tak i nieoświecone massy społeczeństwa. Po ich stronie jest niewątpliwie siła fizyczna. Gdyby tedy doszło do ich przekonania, że ta siła fizyczna jest wszystkiem na świecie, że względy religijne i moralne, krępujące jéj działanie, są tylko idealistycznémi przesądami, z których oświecony człowiek otrząść się może i powinien; — natenczas wywrót obecnego porządku społecznego byłby rzeczą konieczną. Nie prawo, moralność i intelligencya, lecz potęga fizyczna zawładnęłaby społeczeństwem. A chociaż nikt nie przypuszcza, aby stan taki mógł być trwałym, — gdyż w człowieku zawsze znowu pierwiastek duchowy, idealny, zawładnie nad brutalną siłą fizyczną, — dowodzi tego przynajmniéj historya, — to jednak każdy wyzna, że sam experyment tego rodzaju, choćby chwilowy, nie mógłby wyjść na korzyść społeczeństwom. Więc zwrot do przekonań idealistycznych na polu moralności praktycznéj, religii, prawa i ustroju społecznego; uznanie wysokiéj doniosłości tych czynników dla prawidłowego rozwoju narodów; pragnienie podniesienia etycznéj skali powszechności—to wszystko tém się przedstawi ogółowi konieczniejszém, im groźniejsze będzie położenie społeczne. A kto wie, czy w niedalekiéj przyszłości przewroty społeczne nie spowodują bujnego rozrostu idealizmu, podobnego do tego, który na początku bieżącego wieku wywołały przewroty polityczne.

Bądź co bądź, około całego szeregu powyższych dążności idealistycznych skupiają się w chwili obecnéj wszyscy ci, którzy dla jakichkolwiek powodów, teoretycznych lub praktycznych, naukowych czy społecznych, pogodzić się nie mogą z panującym kierunkiem myśli; wszyscy, którzy w podtrzymywaniu tradycyi idealistycznych i w ich należytym rozwoju, stosownie do potrzeb czasu upatrują konieczny warunek dalszego postępu ludzkości.

Rzecz naturalna, że do tych idealistów należy i Kraszewski. I on, pomimo całéj swéj wrażliwości na ducha czasu i jego tendencye, pomimo szczerego udziału we wszystkich dążnościach postępowych, jednak jest i pozostanie idealistą; zawsze walczyć będzie pod sztandarem ducha przeciwko teoryom, nadającym mu tylko podrzędne stanowisko w dziejach świata i ludzkości. Nie tylko usposobienie przyrodzone, poparte przez wychowanie i tradycyą, lecz i własne, samodzielne przekonanie, wyrobione wśród doświadczeń życiowych i studyów filozoficznych, utwierdziło naszego pisarza w tych poglądach idealizmu. A chociaż różne kierunki realistyczne czasu wpłynęły pod niejednym względem na sposób myślenia i pisania Kraszewskiego, to jednak te nowe czynniki odgrywają u niego zawsze tylko rolę środków pomocniczych, przyczyniających się raczéj do podniesienia i ożywienia prawd idealnych, niż do ich osłabienia. Pomimo to jednak ten idealizm Kraszewskiego z biegiem czasu i ze zmianą jego ducha podlegał pewnym modyfikacyom, przyjmował różne formy, które domagają się bliższego wyjaśnienia.

Już w końcu ostatniego rozdziału wspomnieliśmy, że z zamknięciem samodzielnych studyów filozoficznych Kraszewski zwrócił myśl swą przeważnie do kwestyi historyczno-społecznych i w ich powieściowém przedstawieniu szukał głównego zadania swéj dalszéj pracy piśmienniczéj. Zadanie to znajduje się téż w jak najściślejszym związku z postępem czasu, z realnemi interesami, które po roku 1848, jak widzieliśmy, zawładnęły myślą powszechną. Wszystkie prawie powieści Kraszewskiego, począwszy od roku 1850 aż po najnowsze czasy, nacechowane są zwrotem do rzeczywistości, ku przedstawieniu i rozbiorowi tego, co *jest*. Prawda życiowa i historyczna, obserwacya stosunków społecznych i stanów psychicznych, chęć odtworzenia rzeczywistości z całą mnogością jéj szczegółowych objawów, — oto główne czynniki jego działalności piśmienniczéj w tym ostatnim okresie. Kraszewski pojmuje teraz coraz głębiéj tę niezaprzeczoną prawdę zdrowego realizmu, że rzeczy o ile można same za siebie przemawiać winny, że zatém i dzieło sztuki działać winno bardziéj swą treścią przedmiotową, objektywną, niż swémi tendencyami podmiotowemi. Te stanowią wprawdzie o wartości idealnéj utworu, zaznaczają myśl przewodnią, ożywiającą całość,— ale pomimo to niepowinny się nigdy natrętnie narzucać widzowi, nie powinny się wyłamywać z pod wymagań prawdy realnéj i przedmiotowości. Inaczéj sztuka zamiast przedstawienia życia przyrody i ducha, w całéj pełni ich rzeczywistych objawów, podobną się staje do owych wymarzonych duchów średniowiecznych, któremi straszono lud nieoświecony, w zamiarze zapewne zwrócenia myśli jego ku światu nadzmysłowemu, ale bez osiągnięcia tego celu, gdyż prawda tylko a nie ułuda, zdolną jest rzeczywiście podnieść człowieka na wyższy szczebel życia wewnętrznego i umoralnienia. Kraszewski naturalnie nie mógł i nie potrzebował zrzec się wszelkiéj tendencyjności;— przeciwnie ona była warunkiem idealnego polotu jego myśli, i występowała na jaw jeszcze nieraz zbyt nawet silnie;—ale zwrot ku realizmowi nadał tym tendencyom charakter odmienny, i nadto miał za skutek wyższe artystyczne wykończenie utworów, doskonalszą harmonią między ich treścią i formą, między ich myślą przewodnią i sposobem jéj urzeczywistnienia.

Z powyższej ogólnéj charakterystyki ostatniego okresu działalności piśmienniczéj Kraszewskiego wynika bezpośrednio, że filozofia, w naukowém znaczeniu tego słowa, zstępuje coraz bardziéj na plan dalszy. Nie było w tym okresie żadnego systematu górującego, godnego bliższéj uwagi ze stanowiska ogólnie ludzkich i narodowych potrzeb, zajętego przez naszego pisarza. Nie znajdował on tedy w tym czasie żadnéj zachęty do specyalnego studyowania nowych objawów myśli filozoficznéj po Heglu. Liczne korrespondencye z tego okresu do wszystkich prawie pism peryodycznych dowodzą wprawdzie, że się Kraszewski oznajmiał ze wszystkiemi nowemi objawami na polu filozofii, że jego uwadze nie uszedł żaden charakterystyczny zwrot życia umysłowego u nas i u obcych. W ten sposób dotyka on niejednokrotnie, nietylko teoryi materyalizmu, lecz wspomina i o pozytywizmie Comte'a, o Darwinizmie i jego zwolennikach z Haecklem na czele, o nowszych formach pessymizmu, szczególniéj Hartmanna, o dążnościach syntetycznych w zakresie filozofii, z któremi najbardziéj sympatyzuje i t. d. Ale wszystkie tego rodzaju wzmianki sprawozdawcze nie mają z natury rzeczy za zadanie szczegółowego rozbioru odnośnych zasad filozoficznych i dla tego téż nie uwydatniają bliżéj poglądów Kraszewskiego na świat i życie. Zresztą zwrot myśli jego do historyi i spraw społecznych ograniczył zarazem i zakres przedmiotów dla głębszego zajęcia filozoficznego. Tylko pytania *etyczne*, pozostające w ścisłym związku ze sprawami społecznémi, oraz kwestya o życiu przyszłém, powiązana znowu z etyką, zajmują go żywiej w tym okresie i podają nam bogatszy materyał do wykładu jego poglądów. A w skutek tego główną treść wszystkich tendencyi filozoficznych Kraszewskiego w tym okresie stanowi moralna ocena rzeczywistości, doprowadzająca zazwyczaj do rezultatów pessymistycznych, oraz wiara w wyższe przeznaczenie ducha.

W obec tego stanu rzeczy, zadanie nasze określenia stosunku Kraszewskiego do filozoficznych dążności ostatnich lat trzydziestu nie jest zbyt rozległém. Chcąc jednak w tych samych, co dotąd, ramach przedstawić główne momenta w rozwoju filozoficznych tendencyi naszego pisarza, wypada nam przedewszystkiem wyjaśnić bliżéj właśnie ów zwrot jego idealizmu Hegla, który w okresie poprzedzającym tak silny wywierał wpływ na niego, do coraz szerszego uwzględnienia realnych stosunków społeczeństwa;— zwrot dokonywający się powoli, nieznacznie, a charakteryzujący zarazem stronę filozoficzną wszystkich nowych utworów Kraszewskiego.

Heglizm wygłaszał dwie główne zasady: jednę teoretyczną (metafizyczną), że wszy-

stko, co jest, jest rozumném; drugą praktyczną (moralną), że jednostka wyrzéc się winna saméj siebie dla ogółu. Kraszewski, jak widzieliśmy, w pierwszéj chwili skłaniał się widocznie, jak do jednéj, tak i do drugiéj z tych zasad. Jemu zaimponowała początkowo wewnętrzna konsekwencya, idealna wzniosłość obydwóch tych zasad. Ale wkrótce, gdy pierwsze wrażenie osłabło, gdy rzeczywistość i życie przytłumiły idealistyczny polot myśli, wystąpiła znowu na jaw krytyka, a z niéj w świadomości naszego pisarza zwycięzko wyjść mogło tylko to, co się zgadzało z jego własném usposobieniem, z jego organizacyą umysłową i jéj stopniowym rozwojem. Przyrodzone zaś usposobienie idealistyczne Kraszewskiego i głęboko w duszy jego zaszczepione prawdy chrześciańskie trwale go zjednać mogły tylko dla owéj zasady etycznéj idealizmu, która łączy się jak najściśléj z wymaganiem rzeczywiście chrześciańskiém poświęcenia i ofiary jednostki dla ogółu. To też przy téj zasadzie etycznéj obstawał Kraszewski niezmiennie przez całe swe życie; a filozofia idealistyczna upewniła go tylko w prawdzie téj zasady i rozjaśniła mu jéj głębokomyślne znaczenie. Ale za to czysto racyonalne treści metafizycznéj zasady Heglizmu, zasady o bezwzględnéj logiczności wszystkiego, co jest, długo ostać się nie mogły w obec zmysłu obserwacyjnego naszego pisarza. Ten zmysł, pomimo idealistycznych skłonności Kraszewskiego, łączył go zbyt silnie z rzeczywistością, z dążnościami realistycznémi czasu, aby się mógł trwale pogodzić z owémi zdaniami, które jeszcze sam w *Pamiętnikach nieznajomego* wygłaszał, że „wszystko, co się stało, jest koniecznėm i dobrém,“ że „wszystko, co jest, jest, jak być powinno, ściśle, najściśléj sprawiedliwém.“ Dla wypowiedzenia i konsekwentnego przeprowadzenia podobnych poglądów zająć należy stanowisko bezwzględne, wysoko unoszące się po nad rzeczywistość, jéj cierpienia i rozkosze, jéj potrzeby i dążności; należy z pewnym stoicyzmem lekceważyć jednostkę i wszystko, co ją bliżéj obchodzi, a poprzestawać na jednéj tylko abstrakcyjnéj myśli ogółu. Ta zimna zaś sfera logicznego ogółu, rozwijająca się kosztem serca i uczucia, kosztem wszystkiego, co dotyczy człowieka, jako żywéj indywidualności, nie mogła długo zadowalniać Kraszewskiego. Potrzeby chwili, cierpienia jednostki, jéj stan rzeczywisty i warunki jego udoskonalenia, zajmowały zawsze myśl naszego pisarza i nadały jego własnym dążnościom kierunek tak stanowczy, że z niego trwale sprowadzić go nie mogły żadne abstrakcye filozoficzne. Więc téż wzgląd na te stosunki realne i współczucie dla doli i niedoli społeczeństwa, dla jego rozwoju i postępu, wkrótce zawładnąć musiał całą myślą Kraszewskiego i sprowadzić go znowu z owych wysokości, „zkąd, jak kiedyś mówił, wzrok płonących chat, ani wywróconych miast, ani kośćmi zasłanych pobojowisk krwawych nie dojrzy,“ na ziemię, do tego padołu płaczu i walki.

Ten zwrot od metafizycznych tendencyi heglizmu, od jego idealizmu abstrakcyjnego, do uwzględnienia realnych potrzeb i stosunków społeczeństwa, dokonywa się w Kraszewskim z natury rzeczy nie nagle, lecz jest wynikiem pewnego wewnętrznego rozwoju i zaznacza się w kilku wydatnych momentach.

Pierwszym charakterystycznym objawem tego zwrotu do rzeczywistości jest pessymistyczne zapatrywanie się na wszystkie prawie stosunki doczesnego życia, głęboki smutek z powodu fizycznéj i moralnéj nędzy człowieka. Pessymizm tego rodzaju jest zawsze wynikiem bliższego zetknięcia się idealizmu z rzeczywistością. Nie mogąc pozostać w sferze transcendentalnéj, któréj swe pochodzenie zawdzięcza, zmuszony siłą realnéj ciężkości zająć pewne stanowisko wśród świata rzeczywistego, idealizm jednostronny staje się zwykle surowym sędzią realnych stosunków życia; a ponieważ one naturalnie nigdy nie odpowiadają jego wymaganiom, przeto sąd jego nie może wypaść zadawalniającym. Ztąd rodzą się narzekania na to, co *jest*; niechęć do rzeczywistości, potępienie wszystkiego, co nie jest ideałem lub do niego nie dąży; jedném słowem, nastrój pessymistyczny umysłu. To téż nie dziw, że i Kraszewski, zstępując z wysokości idealizmu do życia rzeczywistego, w pierwszéj chwili uległ temu pessymizmowi i uwydatnił go w różnych utworach, szczególniéj z pierwszego dziesiątka lat w mowie będącéj epoki.

Ów pessymistyczny nastrój idealizmu w zetknięciu z rzeczywistością jest jednak zawsze z natury swojéj tylko stanem przejściowym, na którym się nikt, kto konsekwentnie myśli i działa, zatrzymać nie może. Z tego czyśca pessymistycznego wyrodzić się musi koniecznie albo bezwzględne niedowiarstwo, absolutny nihilizm, widzący w nicości jedyny cel i kres istnienia; albo też etyczny pogląd na niedoskonałość życiową i wiara w lepszą przyszłość. W istocie, byłoby niegodną człowieka bezmyślnością narzekać na to, co jest, bez zdania sobie sprawy z celu,

do którego ruch chwili dąży. A tym celem może być tylko albo postęp, udoskonalenie, zatem lepsza przyszłość, albo coraz większy rozrost pierwiastków złego, a w skutek tego ostateczny upadek. Trzecia zaś możliwość: uwiecznienie niedoskonałéj teraźniejszości, dowodzenie, że *status quo* trwać będzie *in perpetuum*, nie dałoby się tak łatwo pogodzić z niezaprzeczonym faktem *rozwoju* stosunków ludzkich, a w każdym razie równałoby się w gruncie rzeczy nihilizmowi, bo by przyznało, że nie rozum jest istotą bytu i że nicość, brak wszelkiego życia i ruchu, byłyby lepsze rozumniejsze od życia i ruchu, poddanego prawu wiecznie powtarzającéj się, bezcelowéj walki i niedoskonałości. Bo w istocie w obec danego położenia rzeczy stajemy z konieczności tylko przed dwiema ostatecznościami: albo wymagania i prawa naszego rozumu, jego idealizm, który jest podstawą wszelkich naszych poglądów na świat i życie, zasługuje na nasze zaufanie, jako prawo powszechne istnienia,—a wtedy niemożemy się wyrzec optymizmu wiary w ostateczne zwycięztwo rozumu nad nierozumem; wtedy najcięższe nawet przejścia życiowe muszą mieć jakiś cel, odpowiadający wyższemu przeznaczeniu człowieka;— *albo* téż ten nasz rozum ze wszystkiémi swemi wymaganiami, z całym zasobem idealnych dążności i celów, nie posiada istotnéj wartości, nie może służyć za miarę dla oceny istoty i celów świata, nie ma nic wspólnego z prawami ślepéj konieczności bytu;— a w takim razie porzućmy go zupełnie, jako narzędzie tępe, do niczego nie przydatne, ograniczmy jego działalność do minimum, nie rozumujmy, jeżeli można, wcale o niczém a oddajmy się owéj buddystycznéj bezmyślności, która nie dręczy się próżnemi wysilkami, nie pracuje nad polepszeniem tego, co z natury rzeczy zmienionėm być nie może. Ta bezmyślność, ta apatya umysłowa doprowadzi nas najprędzéj do spokoju, pojedna z całą niegodziwością i bezcelowością istnienia, da nam zapomnieć o naszych illuzyach i zatopi bezpowrotnie w Nirwanę, owo wychwalane źródło wiecznego odpoczynku i szczęścia. Jeżeli zaś sami pessymiści wzdrygają się przed tą konsekwencyą samobójczą, jeżeli oni sami posiłkują się rozumem nie tylko w praktyce życiowéj, lecz i dla celów filozoficznych, dla oceny świata, dla ferowania najwyższych wyroków o jego doskonałości lub niedoskonałości,— przez te samo zadają kłam swéj teoryi o nierozumie świata, który ich ową władzą krytyczną obdarzył, i ludzkości, do którój sami należą, nie mając się bynajmniej za upośledzonych na umyśle.

Wśród tych to ostateczności, które się siłą wewnętrznéj konsekwencyi z pessymistycznego nastroju ducha wyradzają, Kraszewski naturalnie skłaniać się musiał na stronę prawą, dodatnią, na stronę, mającą niedoskonałość realną tylko za moment przejściowy ogólnego rozwoju ku lepszemu, za moment prawdziwego postępu, który, przebywając różne fazy, doprowadza wreszcie do celu zadawalającego i czyniącego zadość wyższym wymaganiom rozumu i serca. Idealizm pozytywny, posiadający z samego początku pewną siłę żywotną, nie może dójść do nihilistycznéj rozpaczy Schoppenhauera i Hartmanna. On zachowa zawsze swoję treść zasadniczą, pomimo najsroższych doświadczeń życiowych. Może on zmodyfikować swój pogląd na rzeczywistość, przyznać fakt niedoskonałości, przyznać, że nie wszystko, co jest, jest rozumném, lecz nie może wyrzéc się samego siebie, dać się bezwzględnie przygnieść ciężarem rzeczywistości. Pessymizm ma wprawdzie niezaprzeczoną podstawę empiryczną w niedoskonałości i przewrotności stosunków życiowych, ale pomimo to, póki w człowieku czynną jest jeszcze idealna potęga ducha, samodzielna energia, świadomy swego znaczenia rozum, będący krytyczną podstawą pessymizmu, dopóty wznosić się będzie po nad to, co jest, do tego, co być *powinno*, dopóty wierzyć będzie w swoję przyszłość, ściśle połączoną z ostatecznėm zwycięztwem idealnych wymagań rozumu nad chwilową rzeczywistością. I téż tylko tego rodzaju wiara we własny nasz rozum i w rozum wszechbytu przezwyciężyć może ową niechęć pessymizmu do rzeczywistości, pogodzić idealizm ze światem, doprowadzić do prawdziwego spokoju ducha, zachęcić do owéj pracy organicznéj, która nie znajduje swego zadowolenia w niszczeniu, lecz buduje sumiennie i ochoczo, w niezachwianém zaufaniu, że owoców swego trudu nie oddaje w ręce bezcelowéj konieczności lub ślepego przypadku, lecz porucza je rozumnéj, celowo działającéj Opatrzności. I to téż jest w saméj rzeczy pogląd, do którego Kraszewski, przebywszy zaznaczone fazy pessymizmu, ostatecznie dochodzi i który jaknajdobitniéj charakteryzuje główne tendencye jego pism z ostatnich lat kilkunastu.

Według tego, co się powyżéj rzekło, w ostatnim okresie działalności piśmienniczéj Kraszewskiego wypada nam rozróżnić trzy wydatne momenta, odnośnie do naszego przedmiotu, jakiemi są: pessymistyczne

niezadowolenie z rzeczywistości, wiara w wyższe przeznaczenie i lepszą przyszłość ducha, wreszcie wymaganie sumiennéj i wytrwałéj pracy, jako niezbędnego środka zarówno dla moralnego udoskonalenia człowieka, jak i dla polepszenia stosunków społecznych. Nie mogąc z natury rzeczy wykazać tych trzech momentów w całym obszarze działalności piśmienniczéj Kraszewskiego z ostatnich lat 30, pragniemy tutaj zaznaczyć tylko ich rysy charakterystyczne, o ile takowe budzą żywszy interes ze stanowiska filozoficznego. Z góry jednak zauważyć musimy, że te momenta nie mają u Kraszewskiego znaczenia jakichś bezwzględnie samodzielnych epok lub zwrotów jego życia umysłowego, następujących po sobie w porządku ściśle chronologicznym. Bynajmniéj; momenta te działają w Kraszewskim, że tak powiem równolegle, składają się razem na myśl zasadniczą główniejszych jego utworów od roku 1850 do chwili obecnéj. Ale w różnych chwilach tego czasu ta lub owa z powyższych tendencyi góruje nad pozostałémi, a w każdym razie punkt wyjścia i ostateczny wynik umysłowego postępu naszego pisarza w całéj téj epoce, odpowiada owym zasadniczym momentom rozwoju i idealizmu w zetknięciu z rzeczywistością. Wykaże się to zaraz nieco bliżéj.

Przebiegając myślą losy większości bohaterów Kraszewskiego przekonywamy się, że one zazwyczaj bardzo są smutne. Najszlachetniejsze charaktery, poświęcające się swym obowiązkom i idei, prowadzą zazwyczaj życie męczeńskie, upadają, jeśli nie moralnie, to fizycznie, w walce z przeciwnościami, podczas gdy złe i niecnota zwyciężają i dochodzą do pewnego, choćby bezmyślnego dobrobytu. Nadto w każdéj prawie powieści żelazna ręka choroby i śmierci lub innych sił przyrody, odgrywa nader ważną rolę, przysparza bohaterom niepokoju i cierpień, i zaznacza nieraz w sposób bardzo nawet rzewny, owe smutne przeznaczenie, ciążące nad najwznioślejszémi dążnościami ziemskiémi, przeznaczenie powolnego więdnięcia i zagłady. Pomimo to jednak pessymizm Kraszewskiego ma swoje cechy osobne i odróżnia się wybitnie od podobnego kierunku myśli nowszych powieściopisarzy. Kraszewski, pomimo wszelkiego pessymizmu, nie lubuje się we wstrętnych stronach bytu ludzkiego i nie odtwarza z szatańkiém zadowoleniem tego tylko, co poniża człowieka, co obudza obrzydzenie i niechęć do życia. Pessymizm jego nie szuka pokarmu w jakich nadzwyczajnych objawach nędzy lub podłości; nie zstępuje do owych najniższych sfer społecznych, które są najwidoczniejszém uosobieniem upadku ludzkości pod każdym względem. Kraszewski pozostaje prawie zawsze w granicach życia codziennego; jego pessymizm rozwija się na tle zwykłych naturalnych stosunków społecznych, ma charakter spokojny, niemal sielankowy, wypływający z przedmiotowego przedstawienia prawdy życiowéj, jéj objawów normalnych, powszechnie znanych, bez wszelkiéj chęci jątrzenia siebie i innych gwałtowném rozrywaniem ran społecznych, bez owéj wyszukanéj przesady i owego dramatyzmu rozpaczy, który rozstraja i denerwuje. Podobnież z drugiéj strony, Kraszewski w swym pessymizmie nie cofa się bynajmniéj do owego subjektywnego byronizmu, który go tak żywo zajął na wstępie do zawodu pisarskiego. Wzgląd na świat rzeczywisty, zresztą dojrzałość umysłu i poważny pogląd na życie, nie pozwoliły mu już odgrywać romantycznéj roli pelikana, szarpiącego własne wnętrzności. Byłby to anachronizm, niemożliwy u Kraszewskiego, który zawsze idzie naprzód z postępem czasu. Z tém wszystkiém jednak, nie można powiedzieć, aby nastrój pessymistyczny był mniéj głębokiém u naszego pisarza, niż u większości pessymistów z professyi. Przeciwnie, im tło jego powieści jest naturalniejsze i prostsze, im bardziéj w bohaterach jego widzimy ludzi prawdziwych, wziętych z rzeczywistości codziennéj, tém nędza życia silniéj działa na nas, głębiéj porywa, bo nieprzedstawia się jako objaw wyjątkowy, lecz jako prawo powszechne, któremu każdy bezwzględnie poddać się musi.

Ten spokój w pessymizmie Kraszewskiego, ta uległość, nieraz zbyt może bierna, dla cierpień tego życia, wypływa bezpośrednio z owéj wiary w idealy ducha ludzkiego i w ich ostateczne zwycięztwo, o któréj mówiliśmy powyżéj. Stosując te ideały do rzeczywistości, widząc, że one wśród danych stosunków życiowych, w obec wad i przewrotności natury ludzkiéj ziścić się nie mogą, Kraszewski staje się wprawdzie pessymistą na równi z Schoppenhauerm, ale wiara w przyszłość ducha i w jego dalszy rozwój, pogląd na tutejsze życie, jako na szkołę przygotowawczą do coraz wyższéj doskonałości, łagodzi jego pessymizm, ocala go od rozpaczy nihilizmu, złorzeczenia Bogu, świata i ludzkości.

Za wyraz typowy wszystkich powyższych czynników, charakteryzujących tendencye Kraszewskiego w tym nowym okresie, słu-

żyć może jedna z najpiękniejszych i najgłębiéj pomyślanych powieści jego t. j. *Powieść bez tytułu*, pierwszy większy utwór w okresie, o którym mówimy, napisany w roku 1854, a wydany w rok później.

Jakież głębokie współczucie obudza w samej rzeczy dola Stanisława, który więdnie, marnieje w kwiecie życia niezrozumianego przez tych, których kocha, znienawidzony przez braci po piórze, wyzyskiwany przez wszystkich! Prawda, że w znacznéj części sam był powodem swéj niedoli; jego nieradność, brak wszelkiéj praktyczności, jego upór i duma, wreszcie miłość nieszczęsna, przeciwna zakorzenionym przesądom społecznym, — czyniły go niezdatnym do życia wśród srogiéj rzeczywistości. Ale cóż, kiedy pomimo to, potępiamy bardziéj tę srogą rzeczywistość, niż wady bohatera, płynące ze szlachetnego źródła! Cóż, kiedy wolelibyśmy przeistoczyć rzeczywistość, niż zmienić charakter i usposobienie bohatera! Dla niego czujemy sympatyą; rzeczywistość zaś, wśród któréj żyje, osądzamy jako przewrotną, nierozumną, a chociaż jéj zmienić nie możemy, to przynajmniéj w duchu przeciw niéj walczymy, odmawiamy jéj naszego uznania, potępiamy ją, jako sprzeczną z tém, co wedle naszego widzenia być powinno. Oto istota pessymistycznego nastroju ducha.

Ile to razy wspólnie z nieszczęsnym Szarskim zmuszeni jesteśmy zawołać: „A! Świat! Świat! Co to za siekowisko brudów! Jaka kałuża błota! I w pośród niéj, wśród tego rozlanego powodzią zepsucia, hańby, podłości, wszyscy, wszyscy tak upadliśmy duchem, że nikt nie śmie wstać, podnieść się i zaryczéć głośno na całą ziemię proroctwem zniszczenia, potężném wołaniem o pokutę i modlitwę!.... Wleczem się, żyjem, ocieramy o zbrodnie, a od dzieciństwa takeśmy przywykli do zgnilizny, takeśmy przesyceni temi wyziewami zatrutemi, tak nas spętała miłość gnuśnego spokoju, że w niczyjéj piersi nie ozwie się braterstwem, poświęceniem, głos, coby może obudził uśpione w zdrętwieniu tłumy... Za młodu wzdryga się człowiek, staje, patrzy, a gdy odezwie się z podziwem czystéj duszy, śmiech wywołuje tylko,—śmiech ten, jak wiatr pustyni, wysusza jego serce, i codzień mniéj poczyna się dziwić zepsuciu, codzień słabiéj odzywa się przeciwko niemu, obojętnieje, kamienieje, zamiera. I on nareszcie wrasta w tę potworną społeczność, z wierzchu świecącą od ogłady, wewnątrz spróchniałą i zgniłą!..." Z tego stanowiska, całe życie przedstawia się znękanemu poecie, jako „pieśń poczęta westchnieniem i łzami a zakończona śmiechem i ziewaniem!" „Szkaradnym, woła, jest człowiek, okropna natura ludzka, litości godne nadzieje nasze!" Najświętsze i najczulsze węzły rozrywa, najlepsi się psują, a najtwardsi miękną.

Ta gorycz pessymistyczna nie ogranicza się jednak poglądem na samo życie człowieka. Stanisław dobrze pojmuje, że człowiek jest cząstką większéj całości i że tylko dla tego tak cierpi i marnieje, że znikomość i smutek są odwieczném, prastarém prawem całéj przyrody. „Fenomen serca ludzkiego, mówi, coraz zmieniającego barwy i starzejącego co chwila, powtarza się na źdźble trawy, na kwiecie, na całém stworzeniu. Nic nie trwa, prócz tego, co nie ma życia. W miarę, jak na coraz doskonalsze zwracamy oko istoty, żywot ich widzimy uległym szybszemu wykształceniu i prędszéj śmierci. Głazy leżą wieki na swych łożyskach, a ludzie mrą pokoleniami, nim jeden kamień mchem porośnie!" W obec tego powszechnego prawa zniszczenia, wszystko, co ludzie wysoko cenią, przedstawia się autorowi lichém, poziomém, maluczkiém. Niczém dla niego i „świat ze swémi drobnostkowémi wielkościami, które pożerają uchodzące godziny, i ludzie ze swemi kłopotami dniowemi, i dzieje ze swym jednostajnym rozwojem jednéj idei znikomości!"

Na tém czarném tle maluje autor z ciepłem serdeczném nieszczęsną dolę swego bohatera. Miłość go trzykrotnie zawodzi, a praca piśmiennicza, w imię idei i dobra powszechnego, staje się dla niego źródłem ciągłego niepokoju, bezustannych cierpień moralnych i fizycznych. Intrygi zawistnych współzawodników, przewrotność i złośliwość krytyków, niesumienność wydawców, zatruwają do szczętu jego życie. Spracowany, znękany, opuszczony przez wszystkich, z wyjątkiem jednego litościwego serca Marylki, którego szlachetność za późno poznał, umiera przedwcześnie, stając się jeszcze po śmierci przedmiotem ohydnéj exploatacyi. Oto los poety, ideału wśród srogiéj rzeczywistości!

Ten sam duch pessymistyczny przenika charakterystykę wszystkich innych postaci, w ogóle całą atmosferę powieści. Ileż smutnéj prawdy w losach Anieli, Sary i Marylki, tych trzech serc, które Stanisław w życiu sobie zjednał, a z których żadnego nie miał nazwać swojém. Miłość wietrzna, zrozpaczona i niewczesna, oto cała treść tych serc niewieścich! Ileż daléj współczucia obudza matka bolejąca pani Dormundowa i śmierć jéj syna Karolka! Ile litości i żalu wywołuje całe pozostałe otoczenie

Stanisława z Bazylewiczem na czele. Są tam wprawdzie i postacie dodatnie, jak doktor Brandt, Szczerba, Płacha, ale i z nich przemawia na każdym kroku niezadowolenie ze świata i życia, a w najlepszym razie rezygnacya, przyjmująca istniejący porządek rzeczy z większym lub mniejszym spokojem duszy, z większym lub mniejszym udziałem we własnéj i obcéj doli lub niedoli. Wszystkim zaś rzeczywistość wydaje się złą i przewrotną!

Jedynémi oazami wśród téj pustyni życia są w powieści dla Szarskiego a z nim i dla naszego pisarza: poczucie spełnienia pewnych obowiązków w życiu i wiara w lepszą przyszłość. Na wszystkie starania ludzi, żeby zniechęcić poetę do życia i pracy, Stanisław odpowiada: „I najskromniejsze powołanie jest powołaniem, i najmniejsze słówko jest słowem, i jedna iskierka ducha jest duchem, a kto ją zjé w chlebie lub zagasi ze strachu, — przeklęty!“ A pod koniec swego żywota mówi do Hipolita: „Dawno szukałem słowa zagadki tego świata i znaléść go nie mogłem długo; teraz schwyciłem je nareszcie!... Świat nie jest celem i końcem, ale przejścia drogą; trzeba więc przezeń ruszać szybko, uczciwie, prosto, na wrota zwrócone mając oczy, nie bardzo dbając, jak się tu nam powiedzie!“ Na zarzut zaś, że to jest oklepanka odwieczna, Stanisław, jako prawdziwy filozof życia, słusznie odpowiada: „Wszakże wielkie prawdy kryją się w oklepankach, którémi ludzie rzucają, jak nierozgryzionemi orzechami, nie przechodząc za ich łupinę; prawdy te przechodzą mimo nas co chwila, jak przebrani za żebraków książęta, mijani wejrzeniem obojętném.... Dla tego ja się szczególniéj bacznie przypatruję nie excentrycznym pomysłom, w których często strój i forma stanowią całą nowość, ale oklepankom w podartym chodzącym łachmanie!“

To podniesienie prawd codziennych, życiowych, i oddanie im pierwszeństwa przed wszelkiemi „pomysłami excentrycznemi,“ pozostaje w ścisłym związku z ogólnym zwrotem Kraszewskiego do tendencyi realistycznych i występuje na jaw i w téj powieści jeszcze kilkakrotnie w różnych obrazach społecznych. Najcharakterystyczniejszemi pod tym względem były wieczorki literackie u filozofki pani Lidzkiej. Na tych wieczorkach jaśniały owe pomysły excentryczne, które autor przeciwstawia oklepanym prawdom życiowym. Tam sama gospodyni puszczała się w wykłady panteizmu i heglizmu, zagrożonego, jak mówiła, przez obskurantów. Tam radzono nad obroną idei, zasad, ducha, postępu i tym podobnych wielkich słów, „które, jak chorągwie, powiewały nad paplaniną téj czeredy.“ Tam pan Plucha, zgrany i pijany, wołał nieustannie o zwrot do pierwotnego chrześciaństwa, do czystéj nauki Chrystusowéj, a pan Brukiewka, dobroduszny historyozof, poświęcał się missyi stworzenia filozofii historyi krajowéj. Był on naturalnie heglistą i filozofem z niemiecka, choć prawił nieustannie o myśli rodowéj, duchu rodowym i charakterze rodowym. Wszystkie tego rodzaju dążności pseudofilozoficzne godne są tylko pogardy i śmiechu w oczach autora, który teraz już tylko w najprostszych prawdach życiowych, w sumiennéj i wytrwałéj pracy dla dobra innych i w wierze w lepszą przyszłość widzi prawdziwe zadanie człowieka.

Jak głęboko Kraszewski w saméj rzeczy odczuwał całą nędzę tegoczesnego bytu, — o tém świadczy wymownie jego fragment o Doktorze *Abracadabrze*, napisany w r. 1857, a wydany w dwa lata późniéj wraz z *Mogiłami*. Opisując życie i charakter tego kolegi uniwersyteckiego Iwona Draga, przezwanego *Abracadabrą*, autor w żywych barwach maluje serce zniechęcone do świata, zbolałe zupełnie widokiem jego przewrotności i nędzy. Jestto rodzaj Fausta, który nie mogąc zaspokoić swego pragnienia wiedzy, nie mogąc, jak mówi, zajrzéć na dno wielkiej tajemnica świata i życia, wpada w pessymizm, widzi we wszystkiém złe tylko strony i szuka w końcu zapomnienia swych bólów serdecznych w bezmyślném życiu wielkiego dygnitarza sybaryty. Nieulega wątpliwości, że w Abracadabrze odzwierciedla autor w znacznéj części własny swój stan umysłu i serca, własne zniechęcenie do świata i życia w owym czasie. Dla tego téż poglądy Abracadabra przedstawiają ciekawy materyał do zapoznania się z czynnikami, które w owéj chwili nurtowały w duchu naszego pisarza.

„Dziwne przeznaczenie, woła Abracadabra, mozolić się, pracować, boléć, tułać, walczyć, podnosić duchem, i potem znowu na upokorzenie, starzejąc, tracić wszystkie mozolnie nabyte władze, słabnąć, niszczéć, zapominać, ziębnąć, by umrzeć prawie tak głupim, jak się urodziło!“.. Nie mniéj pocieszającym jest pogląd jego na całą ludzkość i jéj dzieje: „Ród ludzki, mówi, składa się po większéj części z cieląt ze skrzydłami, udających anioły i cieląt z rogami, któreby rade za dyabły uchodzić,—przecież cielę cielęciem!“ W życiu, w nauce, wszę-

dzie, występuje na jaw ta ujemna strona człowieka i całéj ludzkości. „Wszędzie *ja* na wierzchu, *ty* dla zabawy, a *on*, wielkie X nieznane, tylko dla tego, aby trójkę Platonowską dopełnić.“ W obec takiego stanu rzeczy byłoby niedorzecznością spodziewać się czegokolwiek zbawiennego po literaturze, nauce lub sztuce. To wszystko nic prócz szwargotania, zabawka, popisy dziecinne, niepotrzebne powtarzanie kommunałów, które jutro znów zostaną zapomniane. Dawne czasy, to jeszcze miały, według zdania Abracadabra, jakieś samodzielne życie, w nich jeszcze tu i owdzie zabłysnął duch wyższy. To też i dziś jeszcze, kto pragnie ochłody i pokrzepienia duchowego, powrócić musi do Biblii, Homera, do Liwiusza i Tacyta, do Augustyna i Tomasza, do poezyi hymnów kościelnych, do marzeń scholastycznych, w których przynajmniéj działa jeszcze młodzieńcza siła; gdy tymczasem wysiłki umysłowe naszego wieku przypominają umizgi ośmdziesięcioletniego starca, któremu zbiera się na miłość imaginacyą i zebrać się nie może. Ale i ta dawna wychwalana przeszłość, choć o wiele wyższa od teraźniejszości, ostać się nie może przed sądem krytycznym pessymisty; i ona nie jest niczém innem, tylko ułomnym objawem dziejów kulawego plemienia. Ludzkość, jak w dawnych, tak i w nowych czasach, nigdy niezakreśliła jakiegoś nowego wielkiego koła, w jéj dziejach powtarza się wiekuiście jeden temat z waryacyami mniéj lub więcéj udatnémi, z tą tylko różnicą, że te waryacye pisze czasem Beethowen genialny a najczęściéj niedołężny partacz! Wprawdzie w nowszych czasach, ciągnie daléj Abracadabra, nawoływują na nowo do wiary i z niéj spodziewają się odrodzenia ludzkości. Ale jakże ufać tym reformatorom, kiedy sami wracają do wiary nie sercém, lecz głową tylko. „Wyrozumowaliśmy sobie potrzebę wiary tak, jak pożyteczność pewnych pokarmów.“ —„Zaczęła się propaganda na zimno, arystokracya uczuła się powołaną do protegowania wiary, i tak to sobie idzie, jak gdzieindziéj handel towarów, lub entrepryza kommercyjna“... „Pięknie poubierane panie chodzą na strych nawracać i uczyć dzieci katechizmu, ale wieczorem tak samo jadą na teatr, gdy moda zawola, i, mówiąc o braterstwie w Chrystusie, pieczętują się herbami swemi i noszą ze szlachectwem, jak paw z ogonem“. Wiara stala się po prostu rzeczą mody; „drukują się więc książeczki dla ludu, i hrabiowie piszą nowe ewangelie dla braci w Chrystusie, ale zajrzéj w serca tych panów, poszukaj iskierki w ich piersiach skostniałych!“ Jednem słowem wszystko źle na świecie, a polepszenia nie ma się czego spodziewać! Przecież to sam Abracadabra, ten surowy sędzia świata i ludzi, daje w końcu za wygraną wszelką idealniejszą dążność, ulega istniejącemu porządkowi rzeczy, nie walczy z nim czynnie, lecz kontentuje się ironicznem lekceważeniem świata i wytykaniem jego niedołęztwa i śmieszności.

W tym fragmencie poczucie pessymistyczne Kraszewskiego znalazło najgłębszy, najbardziej filozoficzny wyraz, chociaż zawsze się ogranicza kwestyami praktycznego życia i nigdzie prawie nie wkracza w dziedzinę ogólnych zasad metafizycznych.

W formie poetycznéj wyraża Kraszewski ten swój pessymistyczny nastrój ducha w *Hymnach boleści* z owego czasu (1857) i w sielance p. t. *Wioska* (1859). I tutaj wszędzie napotykamy to samo szukanie tęsknéj odpowiedzi na pytanie—jaki cel tego życia, do czego prowadzą wszystkie losy nierozwikłane?

Gdzie idziecie, śpieszycie,
Ty śmierci i ty życie?
Gdzie wczoraj? gdzie są lata?
Gdzie przeszłe wieki świata?
Gdzie ojcowie, dziadowie?
Kto to wie, kto to powie!

I tutaj wszędzie to samo poczucie nędzy tego bytu, jego cierpień, walk i przewrotności!

Życie—urągowisko! serce—przepaść czarna!
Szczęście—czczy sen młodości i ułuda marna!
. . . .
Idziemy, jak pielgrzymi, aż do wrót zapartych,
Drogą bojów braterskich, drogą walk za żartych,
Drogą łez krwawych i krwi, co we łzy się zmienia,
Śpiewając wszyscy wielki hymn cierpienia!

Ale już i tutaj pessymizm poety przybiera coraz łagodniejszą formę, łącząc się z przekonaniem, że życie tuteczne jest tylko przejściem do lepszéj przyszłości, że cierpienia, boleści, nie są zrządzeniami zawistnego losu, lecz niezbędnemi środkami etycznego rozwoju ducha ludzkiego, jego umoralnienia i postępu, bo w imię tego przekonania woła poeta:

Boleści, witam ciebie zstępującą z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Posłanko Boża! Dłoń twa z powszechnego chleba
Pokarm duszy wyciska, chleb niebieski czyni,
Sercom wielkim—tyś matką; mleka twego trzeba,
By wyrósł nim pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu

Najwyższym jednak, choć bynajmniéj nie najgłębszym objawem niechęci Kraszewskiego do surowéj rzeczywistości i do wszy-

stkich, którzy swe idealne potrzeby i dążności poddają realistycznym prądom czasu, są jego *Choroby wieku* z roku 1857. Tutaj reakcya idealistyczna przeciwko temu, co *jest*, co nawet wedle autora ma niezaprzeczoną racyą bytu, staje się sama chorobą, przechodzi w stan gorączkowy, wywołany połączonémi siłami przesadnej sentymentelności i sztucznie naciąganego pessymizmu. Kraszewski w powieści téj potępia wszystko, co się nazywa postępem na polu gospodarstwa wiejskiego, przemysłu i handlu. W imię starych nawyknień do *nieładu naszego*, do *nieopatrzności posępnéj*, do *naszego ukochanego śmieciska*, w imię poezyi i malowniczości naszego kraju, w imię nakoniec uczucia i ducha, religii i i moralności, protestuje jak najusilniéj przeciwko wszelkim ulepszeniom ekonomicznym i przemysłowym, przeciwko wszelkim staraniom zamienienia, jak mówi, kraju bądź w pocyrklowany ogród warzywny, bądź w warsztat lub kantor. To wszystko prowadzi tylko do zmateryalizowania narodu, do egoizmu, do zagłady serca i ducha. Wzorowo urządzony majątek ziemski Dembora razi go swą niewolniczą regularnością, swą fizyognomią *obcą*, *suchą* i *zimną*. Na widok podziału lasu na poręby woła: „Okropna rzecz z Bożéj ziemi robić szachownicę!“ Porządek gospodarki Dembora, określający z góry zajęcia licznéj służby, domagający się akuratności w spełnieniu obowiązków pod zagrożeniem kar pieniężnych, budzi w autorze wstręt,—bo podkopuje serdeczny stosunek domowników do pana, robi z człowieka maszyne. Ideałem autora natomiast są Solscy, którzy, wedle słów jego, więcéj się rządzą ogólnémi zasadami religijnemi i sercem, aniżeli jakąś teoryą z góry zabieloną, jakimś obrachunkiem i rozumowaniem. Oni, według autora, dobrze pojmowali, że „odrodzenie wszelkie poczynać się powinno w duchu, nie w kieszeni,“ że „pierwéj nam potrzeba silnéj wiary i namaszczenia chrześciańskiego, niż przemysłu i pieniędzy, że bez tych dwojga martwe dzieło wszelkie, a staranie o dobry byt nie odrodzi nas moralnie.“ „Niech inne narody, dodaje autor, będą bogate i przemyślne, my bądźmy sobie poczciwi, starajmy się być wprzód synami Bożymi, niżeli dziećmi wieku.“ Chwali on sobie, że w Porzeczu u Solskich nie było ani ochrony, ani szpitala, gdyć Anna miłością i własnemi dobremi uczynkami upakajała i uzdrawiała wszystkich, którzy się do niéj z prośbą o pomoc udawali. Michał zaś, brat jéj w swym stosunku do domowników nie odwolywał się do żadnych przepisów, lecz do serca własnego,—a poczciwy ich stryj, poczytywał sobie za jakąś szczególną zasługę, że przez dobroduszną nieradność stracił wszystko, co miał, a pomimo to, obudziwszy się pewnego pięknego poranku gołym, jak święty turecki, czuł się tak swobodnym, jak ptaszek na gałązce, bez boleści w sercu ani smutku! On nic głupi wbijać się w mienie, bo to tylko kłopot i frasunek! Byle serce ludzkie, byle kąsek chleba, to i dosyć dla człowieka, wedle jego przekonania.

Nie ulega wątpliwości, że prawie wszystkie obrazy i postacie téj powieści grzeszą chorobliwą przesadą; przesadą zarówno pod względem pessymistycznego poglądu na nowszy ruch w dziedzinie dobrobytu materyalnego, jak i pod względem sentymentalnego wywyższenia niedołęztwa, nieradności i nieporządku. Czuje to dobrze sam autor w niektórych miéjscach swéj powieści, przyznając, że „dobry byt materyalny, wywiera wpływ przeważny na ukształcenie moralne i wyrobienie się duchowe,“ — że „od nierządności staréj do chorobliwéj przemyślności i handlarstwa szeroka przestrzeń,“—że trzeba „uczyć się oszczędzać i patrzéć jutra, ulepszać i ład szczepić,“ że wreszcie należy rozpoznać granicę, „gdzie się kończy rozumna zapobiegliwość i postęp rozsądny, a poczyna szał handlarski, spekulacyjny i zupełne zmateryalizowanie ludzkości.“ Ale tych myśli, rzuconych tu i owdzie, autor nie rozwija szczegółowo, nie przeprowadza w powieści, zajmując stanowisko jednostronnie przesadne.

Z tém wszystkiém jednak główna intencya téj powieści wyjaśnia się czasem jéj wyjścia na świat i znajduje swe usprawiedliwienie w jednostronności ówczesnego materyalizmu. Kto przypomina sobie z owego czasu, jakie powszechne zajęcie budziły teorye materyalistyczne, sprowadzające całą działalność człowieka do egoizmu, kto widział, jak rozchwytywano książki Vogta, Büchnera, Molechotta, powtarzając ich zdania, jako najwyższy wynik wiedzy ludzkiéj, kto wreszcie patrzał na ruch gorączkowy w dziedzinie przemysłu i handlu, który praktyczność i rachubę stawiał po nad wszystkie inne względy,—ten się nie dziwi, że to wszystko wywołało w Kraszewskim pessymistyczne niedowierzanie, że znagliło go do wypowiedzenia przestrogi: „Ducha nie gaście!“ Była to reakcya równie naturalna, jak konieczna, idealizmu przeciwko materyalizmowi w chwili, gdy o za-

sadach filozoficznych należytego rozgraniczenia i zrównoważenia obu tych kierunków rozprawiało jeszcze nie wielu głębszych myślicieli.

Zresztą swój ówczesny pogląd na reformy ekonomiczne i przemysłowe wypowiada Kraszewski w formie jasnéj, bez ogródek, w swych *Wieczorach Wołyńskich* w roku 1859. Potępia on tutaj wszelkie nierządy, które były główną przyczyną upadku najznakomitszych nawet rodzin Wołyńskich. Ale z drugiéj strony nie chce, aby majątek ziemski stał się dojną krówką, materyałem do spekulacyi, źródłem dochodów i nic więcéj. W bycie wiejskim widzi główną podstawę życia i charakteru narodowego, ztąd potępia frymarczenie własnością ziemską, bo to prowadzi, jak mówi, do ruiny i wydziedziczenia. Programmat zaś swój w tym względzie streszcza w następujących zdaniach. „Nie uważam za najpierwszy obowiązek bogacić się, ale nie sądzę, by uczciwie zdobyta zamożność grzechem być miała, byle do niéj serce nie przylgnęło, byle jéj godności i charakteru nie poświęcić. Zresztą nie o postęp gospodarki domagam się, nie o fabryki, nie o drogi, ale o oświatę dla ludu, ale o chleb dla kapłanów, ale o wsparcie dla języka, o poszanowanie dla przeszłości.“

Nieco późniéj, będąc mieszkańcem stolicy i redaktorem Gazety Polskiéj, Kraszewski miał sposobność zapoznania się bliżéj z ruchem przemysłowo-handlowym kraju i uzupełniał w skutek tego coraz bardziéj swe poglądy na postęp i potrzeby społeczne. Wtedy domagał się nie tylko owych idealnych dóbr, lecz i reform gospodarskich i zakładania fabryk, dróg i t. d., jako niezbędnych warunków dobrobytu krajowego. Ale bliższe objaśnienie tego zwrotu przekracza ramy naszego obecnego zadania.

W powyżéj przytoczonych pracach Kraszewski wypowiada swe poglądy na życie i społeczność przeważnie ze stanowiska negacyjnego. Wykazuje on głównie złe, ujemne, niedoskonałe strony rzeczywistego stanu rzeczy, przekonywa nas, że świat i ludzie nie są takiemi, jakiemi być powinni,—i ztąd pochodzi jego pessymistyczny nastrój ducha, jego niechęć do wszystkiego, co nazywa praktycznem, rachubą, materyalném, i t. d. O pozytywnych zaś podstawach tego sądu negacyjnego, o ideach, których zastosowanie do życia pociągałoby za sobą, wedle zdania autora, poprawę, udoskonalenie stosunków ludzkich, urzeczywistnienie tego, co być powinno,—o tém wszystkiém Kraszewski w powyższych pracach nie wiele mówi. W skutek tego głębsze tendencye etyczne, choć duchem swoim przenikają i te utwory, występują jednak tylko w formie zdań ulotnych, uwaga pobieżnych, nierozwiniętych szczegółowo. Nie będąc z natury swojéj umysłem negacyjnym Kraszewski nie mógł się zadowolnić wypowiedzeniem samego tylko niezadowolnienia z tego, co jest, lecz musiał zarazem zaznaczyć pozytywnie, co stanowi według jego przekonania podstawę prawdziwego szczęścia człowieka, jakie są jego głębsze potrzeby i co je należycie zaspokoić potrafi. Otóż ta strona dodatnia tendencyi Kraszewskiego, ten grunt moralny, z którego wypływa zarówno jego pessymistyczna ocena rzeczywistości, jak i pogląd na prawdziwe zadania człowieka w życiu, występuje na jaw w szeregu innych utworów Kraszewskiego, o których tutaj choć w krótkości wspomnieć wypada.

Głównym czynnikiem, łagodzącym pessymizm Kraszewskiego w zapatrywaniu na doczesność, jest wiara w życie przyszłe. Wiarę tę przedstawia Kraszewski dość szczegółowo w dwóch niewielkich utworach, w *Trapezologionie* z r. 1855 i w *Mogiłach* z r. 1859. Oba te utwory mają wprawdzie charakter allegoryczny, — ostatni z nich nawet pełen jest dantejskiéj fantazyi, — pomimo to jednak ich treść filozoficzna występuje na jaw jak najwyraźniéj. Treść ta daje się sprowadzić do dwóch głównych zdań: po 1sze, że stan duszy po śmierci odpowiada w zupełności jéj charakterowi moralnemu, wyrobionemu w życiu doczesném — i po 2gie, że życie przyszłe jest dalszym ciągiem moralnego rozwoju duszy na ziemi. Mamy tedy w tych dwóch pracach szczegółowe rozwinięcie owych myśli, które Kraszewski, jak widzieliśmy, już w *Pamiętnikach nieznajomego* ulotnie wypowiedział, a które tak ściśle się łączą z całym jego etycznym poglądem na świat i życie.

Nigdy ludzkość bardziéj upokorzoną nie została, mówi Kraszewski we wstępie do Trapezologionu, nigdy srożéj ukaraną za wiek niedowiarstwa i swawoli; nigdy z piersi zbolałéj nie wyrwał się téż mimowolnie silniejszy dowód potrzeby wiary i nadziemskiego świata, jak właśnie w owéj chwili dziwnéj, gdy ludzie, co nic wierzyli w nic na świecie i po za światem, co się śmieli ze wszystkich świętości,—kłaniali się stołom i rozumowi nóg stołowych. „Nie wiem, dodaje, co tu było dziwniejszego, czy rozum kawałka drzewa, czy głupstwo człowieka.“ Otóż jako filozof praktyczny, Kraszewski skorzystał z téj głupoty ludzkiéj, aby przy

jéj scharakteryzowaniu wypowiedzieć kilka myśli poważnych. Opowiada tedy, jak w pewném towarzystwie, do którego się przypadkowo, jako nieznajomy, dostał, badano duchy w stole, i zapoznaje nas aż z siedmioma duchami stołowemi, donoszącemi zarówno o swém życiu na ziemi, jak i o swym stanie po śmierci. Każdy z tych duchów z chwilą opuszczenia zmysłowego świata, dostaje się do rodzaju czyśca, w którym, będąc sam na sam z sobą, ma czas do kontemplacyi, do zastanowienia się nad sobą, potępienia w sobie wszelkiéj myśli nieczystéj i wzniesienia się moralnego. O czasie przebywania w tym stanie pośrednim decyduje rachmistrz na zasadzie psychostazyi t. j. ważenia moralnéj wartości duszy. Na jednéj stronie szali kładzie on dary Boże, na drugiéj uczynki ludzkie, i w miarę, jak te ostatnie nie doważają, skazuje duszę na tysiąc, dwa, trzy tysiące lat rekollekcyi w różnych miejscach. Pobyt w stolikach należy naturalnie do najniewygodniejszych i najbardziéj upokarzających.

Dostaje się tutaj najprzód duch Jana, umysłu niespokojnego, syna ośmnastego wieku, który pomimo szlachetnéj żądzy wiedzy, pomimo szukania odpowiedzi na pytanie: co to jest życie? w końcu najwyższe swoje zadanie widział tylko w dobijaniu się oryginalności i sławy. Była to dusza w gruncie wielka, silna i gorąca, ale bez wiary w byt, w Boga i nieśmiertelność, w samę siebie, —i ztąd właśnie z czasem nie znala innego celu, nad zbudowanie sobie nieśmiertelności sławy. Ale ta sława wrzekoma, ziemska, pragnienia duszy zaspokoić nie mogła. Próżne były wszystkie jéj wysiłki, próżne jéj błąkanie się po całym świecie, jéj badania odległéj przeszłości dla zapomnienia siebie. Owocem tego wszystkiego było tylko znużenie, uczucie głębokiego smutku, martwota wewnętrzna i rozpacz hamletowa. W jéj przystępie Jan sobie życie odbiera, — i oto przyczyna jego rekollekcyi na tamtym świecie. Ze szczegółowéj charakterystyki tego ducha widać, że Kraszewski miał w nim na myśli Jana Potockiego, o którym wspomnieliśmy powyżéj, mówiąc o De Maistrze.

Drugim duchem był Kajetan Węgierski, który większą część życia zamiast działań, przepędził u kielicha, przy grze w faraona, a uwięzi pięknych oczów, a gdy w końcu przejrzał, gdy się przekonał, że człowiek właściwie do tego nie stworzony, gdy chciał dłoń przyłożyć do pługa, by skibę swoję wyorać, — zabrakło mu życia. Wielbił on zawsze, co piękne, kochał co szlachetne, więc na piekło, tę drugą śmierć, to zupełne zniszczenie nieśmiertelności, jak je autor w *Mogiłach* nazywa, nie zasłużył, ale słabość woli nie czyniła go dojrzałym dla nieba, więc i dla niego potrzebne były rekollekcye moralne.

Reszta duchów przedstawiają to żebraka, który głęboko odczutą niedolę swoję odemścił na ludzkości, to kobietę zalotną, złą żonę i matkę, to księcia artystę, który w miejsce spełnienia swych obowiązków, bawił się muzyką, to lokaja, który przebiegłością dobił się stanowiska marszałka szlachty, to wreszcie sknerę, który, zakochawszy się w złocie, nie przebierał w środkach dla przysporzenia go sobie, aż wreszcie ryzykowne spekulacye do nędzy go doprowadziły. Ale na tym ostatnim duchu już cała historyjka dowcipnie się rozwięzuje, bo się przekonywamy, że to nieszczęśliwy rezydent Nicklaszewicz, wyzyskiwany przez swego pana, wszystkie te historye w imieniu duchów stołowych opowiedział dla nauki moralnéj słuchaczy.

Głębiéj i szerzéj rozwija Kraszewski myśli powyższe w fragmencie p. t. *Mogiły*. Punktem wyjścia téj dumy nad śmiercią i życiem przyszłém jest ów pessymizm, o którym mówiliśmy powyżéj. Zkąd tyle złego na ziemi? zkąd tyle smutku? dla czego wszystko tak czarne i grobowe? to są pytania, które autora niepokoją do głębi. Zdając sobie sprawę z najwznioślejszych objawów i dążności rodu ludzkiego, przekonywa się o ich marności boleśnéj. Przed nim występują ze swych mogił zapomnianych różne duchy przeszłości i budzą pytania o cel ich ziemskich zabiegów. Duch ludu, co gościł kiedyś na téj ziemi, co walczył ze światem, dobijał się żywota swego, — dla czegoż gnije ciałem i duszą bez śladu, bez grobu, bez głazu?..... Otwierają się mogiły myśli, namiętności, nadziei zawiedzionych; duchy, które w nich spoczęły, prowadziły z sobą walkę bolesną, choć dla nikogo nie widomą, bez żadnéj na pozór korzyści dla świata i siebie. Obok nich spoczęły duchy cnót zapomnianych i oplwanych zasług; duchy młodości zmarnowanéj i powiędłych w pierwszéj wiośnie kwiatów, czyż i one nie miały żadnego celu na świecie? Czyż te dyamenty życia na to tylko z nicości powstały, aby je siła żywota starła na piasek i brudne pyły? A męzka siła i czyn szlachetny — czy na to tylko przeżywają siebie, aby w starości być świadkiem swego zniedołężnienia? Okiem ducha autor widzi, jak na świecie jedno pokolenie następuje po drugiém szybko, jak błyskawica, nie pozosta-

wiając po sobie, nic prócz garści ziemi; — widzi, jak dzieci depczą kości ojców, jak na tym świecie nic nie ma świętego, wielkiego, nic trwałego. „Serce, mówi, zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, widokiem męczarni otaczających i, słysząc jęki, zawróciła mi się głowa, zwątpiłem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc, tyle w nim złego, tyle brudu, tyle cierni, łez tyle, a tak krótko trwa wszystko!"

Wtém danóm było zbolałemu poecie rzucić okiem w świat duchów, pośredniczących między niebem a ziemią. Anioł oprowadza go po tym nowym świecie i objaśnia cel i przeznaczenie życia ziemskiego. Wykazuje on ścisłą łączność przyszłości z przeszłością, przekonywa, że wszystko na tym świecie znajduje swe uzupełnienie i dalszy rozwój w życiu przyszłém. „Żadna łza, mówi, nie ginie, żaden jęk nie rozprasza się, żadna kropla krwi męczeńskiéj darmo w ziemię nie wsiąka"... „Sam ból jest nieba pragnieniem, i stopniem do niego". Nic na świecie nie jest dziełem przypadku; wszystko ma na celu wyższy rozwój i udoskonalenie; wszystko tak obrachowane, aby każde z milionów jestestw przyszło w porę drugiemu, karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną; aby wzajemnie wspierały się, osładzały sobie żywot, budziły do czujności. Handel i frymarki przeradzają się w apostolstwo mimowolne; nawet narzędzie zniszczenia, wojna krwawa, sieje żądze pokoju i braterstwa, pożar buduje, burza żywi. Gwar własnego żywota nie daje nam wprawdzie zazwyczaj zrozumiéć téj harmonii świata, pojąć jéj myśli ukrytéj; z ziemi na ziemię patrząc przedstawia się wszystko we mgle. Ale z wyżyn ducha świat się rozjaśnia a harmonia jego staje się coraz widoczniejszą.

Kilka żywotów ludzkich, opowiedzianych przez anioła, godzą też w saméj rzeczy poetę z życiem. Pokazują one, że cierpienie jest lekarstwem i zbroją, zachętą i bodźcem a szczęście zwykle tylko powodem słabości i upadku. Jedno zaś i drugie ma swój cel rozumny, wychowawczy, jest środkiem niezbędnym w szkole życia, przygotowywa człowieka do spełnienia coraz wyższych i szerszych obowiązków w układzie świata, gdyż śmierć doczesna, to dopiero początek życia właściwego.

Taką formę etyczną, uzupełniającą pod niejednym względem zwykły dogmatyczny pogląd na ten przedmiot, przyjęła ostatecznie w Kraszewskim owa zasada idealizmu Hegla o bezwzględnym rozumie świata. Już teraz ból, cierpienie i nawet złe w świecie nie jest prostą tylko negacyą abstrakcyjną, odgrywającą bezwiednie rolę swoję w ogólnym processie wszechświata, lecz jest momentem celowo działającym w rozwoju indywidualnym jednostki do coraz wyższéj doskonałości. Prawda, że autor tego poglądu szczegółowo nie rozwija, ani go téż nie uzasadnia, ale też celem jego pisma nie jest rozprawa filozoficzna nad życiem przyszłém i jego łącznością z ziemią, lecz wypowiedzenie kilku rzutów intuicyjnych, dążących do bezpośredniego zaspokojenia pewnych potrzeb ducha, niezawisłych od ściśle teoretycznych poszukiwań nad tym przedmiotem. A ten cel fantazya na *Mogiłach* osiąga w zupełności, bo podnosi znacznie zwykły popularny pogląd czytelników i rozszerza pod niejednym względem ich widnokrąg umysłowy w kierunku filozoficznym.

Pod wpływem powyższych pojęć o przyszłém przeznaczeniu i rozwoju duszy ludzkiej wyrabiają się też ostatecznie ideały Kraszewskiego co do zadań życia doczesnego. Dawniejsze poglądy jego w tym względzie krystalizują się coraz bardziéj, przyjmując coraz bardziéj formę świadomie pojętych zasad i przekonań. Sumienne spełnienie najbliższych obowiązków, postęp po najkrótszej drodze do moralnego udoskonalenia, wiara w wyższe przeznaczenie ducha i praca wytrwała około samego siebie i dobra powszechnego, jako niezbędny środek wszelkiego prawdziwego postępu moralnego—oto cała etyka ziemska Kraszewskiego. W *Podróży do miasteczka* (1857) i w *Metamorfozach* (1859) wypowiada Kraszewski główne zasady téj etyki; w *Odczytach o cywilizacyi w Polsce* (1861) i w studyum obyczajowém nad *Rejem* (1863) objaśnia te zasadę ze stanowiska historycznego, a w reszcie utworów ostatnich lat kilkunastu rozwija on tę zasadę szczegółowo, stosuje do najrozliczniejszych dziedzin działalności ludzkiéj i życia społecznego.

Podróż Janka do miasteczka i przygody, niepokój i cierpienia, na które się narażał, odstępując od wskazówek poczciwego ojca i od prostéj drogi do celu, stanowią treść téj małéj, ale pełnéj mądrości praktycznéj powiastki. Jéj sens moralny sprowadza się do zdania, że żądza wygód i przyjemności życia, łatwowowierność i pokusy wszelkiego rodzaju zagłuszają w człowieku głos rozumu i sumienia, sprowadzają go z prawéj drogi cnoty, nadają jego życiu kierunek fałszywy, a dopiero rozczarowanie, doświadczenia bolesne, mające za skutek poznanie tych zboczeń, skruchę, wzmacniają na nowo osłabłą energią moralną, dodają jé,

nowych sił i naprowadzają znowu na drogę prawdziwą do pierwotnego celu.

Na szerszą skalę rozwijają tę samą myśl *Metamorfozy*. Przedstawia nam tutaj cały szereg ideałów życiowych, wypowiedzianych przez liczne grono przyjaciół uniwersyteckich; los zaś, który spotyka każdego z nich w samém życiu, daje poznać istotną wartość tych ideałów. Albin marzy o życiu spokojném w ustroniu wiejskiém w rodzaju sielanki Gessnera. Cyryll myśli tylko o pracy dla pracy. Baltazar doświadczeńszy od innych, widzi szczęście wyłącznie w braku cierpienia i też niczego więcéj po życiu się niespodziewa. Longin natomiast ze śmiałością Aleksandra W. myśli siłą pokonać świat i ludzi; nakarmić do syta swą dumę. Wie on dobrze, że życie—to walka, w któréj samemu dusić potrzeba, aby nie zostać zgniecionym przez innych. Jordan znowu, żebrak z urodzenia, z zazdrością patrzy na wszechwładną potęgę grosza i postanawia zostać bogatym bez względu na środki, prowadzące do tego celu. Inny marzy o równości ludzi; jeszcze inny o oświeceniu ludzi i t. d., aż wreszcie Serapion wypowiada właściwy pogląd autora na ideały życia, przyznając, że nie myśli się wyłamywać z pod powszechnego prawa cierpienia: pracy, a zadanie swje upatruje przedewszystkiém w moralném udoskonaleniu samego siebie dla dobra innych.

„Prawdziwe szczęście na ziemi, mówi, umiéć nic żądać, nieprzywiązywać się do niczego ziemskiego, kochać ludzi nad siebie, a siebie ze zwierzęcia podźwignąć do ideału.“ Doświadczenia życia usprawiedliwiają w zupełności ten pogląd na jego zadanie, bo podczas gdy wszyscy inni albo sami poznawali ułudność swych ideałów i dla tego biernie poddawali się zrządzeniom przypadku,—albo też z namiętnéj chęci urzeczywistnienia swych mrzonek upadali i zrozpaczali,—jeden Serapion, stawszy się lekarzem i kapłanem zarazem, przynosił istotną ulgę cierpieniom ludzkim, wzmacniał ciało, uszlachetniał duszę, kształcąc wszędzie w człowieku człowieka.

Uzupełnieniem powyższych ogólnych zasad etycznych ze stanowiska dziejowego, są odczyty Kraszewskiego o *Cywilizacyi w Polsce* i jego *Studyum nad Rejem*. W odczytach ma na celu wykazać wysoką doniosłość czynników moralno-religijnyh w pierwszych zawiązkach cywilizacyi krajowéj; w rozbiorze zaś Reja zajmuje stanowisko psychostaty i Trapezologionu, ważąc wartość moralną dzisiejszej społeczności w porównaniu ze wszystkiemi ważniejszemi momentami życia społecznego XVI-go wieku, odźwierciedlającego się w *Żywocie człowieka poczciwego*.

Dzieje, mówi Kraszewski, są modlitwą do Boga, historya cywilizacyi danego kraju jest historyą jego wiary i obyczajów, myśli i czynów, wszystkiego, co świadczy o jego życiu duchowém, co mu nadaje charakter odrębny, fizyognomią indywidualną, w różnicy od innych krajów. Otóż Słowianie, według autora odczytów, odznaczali się od prastarych czasów, dziwną *łagodnością*, *prostotą* i ową *wiekuistą tęsknicą*, rozlaną w pieśniach, widoczną w obyczajach, która ducha ich nieustannie podnosiła ku niebiosom. Ciśnieni i parci przez różne ludy wędrowne w epoce migracyi narodów, nie nabrali jednak dzikości charakteru innych ludów. W podziale darów wiekuistych otrzymali od Boga przeczucie gorące prawdy, poryw ku ideałom, miłość ludzkości i serce szlachetnym uczuciom dostępne. Mieli oni pojęcie o jedynym Bogu, wiarę w życie przyszłe i nieśmiertelność ducha. W ich gościnności widocznem jest wielkie pojęcie braterstwa ludzi, a co do wewnętrznych urządzeń kraju, stali wyżéj, niż inne nie ochrzczone narody. To téż chrześciaństwo, mówi autor daléj, znajdowało tutaj pole świeższe i lepiéj przygotowane do przyjęcia wiary, niż gdzieindziéj. Stosuje się to szczególniéj do ludów lechickich.

Na tém tle ogólném przedstawia Kraszewski w dalszym ciągu odczytów pierwsze początki cywilizacyi polskiéj od Mieczysława aż do Kazimierza W., charakteryzując w głównych zarysach rozwój wszystkich objawów życia narodowego, począwszy od ustroju społecznego, formy państwowéj, prawodawstwa, religii i sztuki, a kończąc na obyczajach, gospodarstwie i handlu. Ocena historyczna tego ciekawego i pomimo swych szczupłych ram bardzo jednak bogatego w szczegóły obrazu przekracza nasze zadanie i siłę. Pomimo to jednak, chęć autora przedstawienia tych pierwotnych dziejów Polski w możliwie świetnym blasku, uwydatnia bezpośrednio jego własne ideały moralno-społeczne, i z tego powodu odczyty te stanowią niejako dalszy ciąg poglądów etycznych Kraszewskiego. Główna ich myśl pozostaje tedy w ścisłym związku z naszym przedmiotem.

Jako najwyższą i zarazem wyjątkową cnotą narodową wychwala Kraszewski kilkakrotnie głęboką *religijność*. Pobożność, mówi, odznaczała od wieków naród polski tak dalece, że ona należy do cech odróżniających go wybitnie od innych. Nie chce on

przez to powiedzićć, by w innych krajach religia Chrystusowa mniéj gorąco przyjętą była, ale według jego zdania, u nas ducha jéj lepiéj pojęto i sumienniéj wprowadzono w życie. „Pobożność nasza stara, mówi, jest tak wielka, szereg świętobliwych ludzi tak gromadny, podniesienie ducha tak potężne, że często, czytając dzieje świętych, przenosim się w pierwsze chrześciańskie wieki i t. p.“ Szczegółowy rozbiór prastaréj pieśni Boga Rodzicy służy autorowi za główny powód powyższego poglądu na pobożność narodową. Dawne rycerstwo polskie, mówi, modliło się nie o ziemskie dary, nie o ludzką chwałę, lecz o pobożny żywot na ziemi, o zbawienie i raj po śmierci, a w kmieciu Bożym Adamie, wspomnianym w téj pieśni, widzi wyraz równości wszystkich i chrześciańskiego braterstwa. W dalszym zaś przebiegu owéj rozprawy, dotykając kwestyi o stosunku nauk do wiary, wyznaje: „Uczeni u nas rzadcy być musieli, i talent tylko z pęt wybić się mógł swą siłą,—ale co lepiéj dla świętych, na poświęcających się nie zbywało. Gdy Europa rozprawiała subtylizując nad prawdy religijnémi, które z prostotą ewangeliczną pojmować potrzeba, myśmy mieli pobożnych i pokornych.“ „W historyi wiary, mówi na innném miejscu, więcéj zawsze ważą ludzie zapału i ducha, niżeli teologowie subtelni i nauczyciele układni, i więcéj nawróciły Stygmata Ś-go Franciszka, niż Summa Ś-go Tomasza. To też i Polska krwią a potem i przykładem raczéj, niż słowem z kazalnicy i rozprawami nawróconą została. Bóg ją obdarzył ludźmi świętobliwymi i przez nich uświęcił.....“ .....„I nie myślmy, że ta pobożność, dodaje, zależała na modlitwie usty powtarzanéj, na ostrych praktykach do tyraństwa posuniętych, na zdziecinniałym duchu upadku; owszem to były środki tylko dźwignięcia się tak wysoko, by cnotą żywą przejęło się serce, by się namaściły dłonie.“

Mając wyłącznie na uwadze powyższe ustępy, możnaby prawie sądzić, że Kraszewski w poglądach swoich cofnął się znowu nagle na stanowisko owéj filozofii religijnéj, do któréj się przyznawał w programmacie do Athenaeum. Ale ogólny duch jego prac w rozbieranéj epoce, jako też i niektóre wyraźne zastrzeżenia w Odczytach, pokazują, że ceniąc pobożność jak najwyżéj ze stanowiska etycznego, Kraszewski dalekim jednak jest od wszelkiego jednostronnego ultramontanizmu. Mówiąc np. o Bolesławie Wstydliwym, wychwala wprawdzie jego świętobliwość, dochodzącą, jak mówi, prawie do zaparcia się ascetów pierwszych wieków,—ale zarazem wyznaje, że to, co cnotą mogło być w mnichu zamkniętym w celi klasztornéj, w królu stało się klęską dla kraju, cierpiącego i osłabionego przez kilkadziesiąt lat panowania Wstydliwego. Mówiąc zaś nieco późniéj o różnych sektach religijnych, które się na ziemi polskiéj zrodziły, z pewną dumą wspomina, że i tu wśród gorących a posłusznych katolików, zjawiali się równie żarliwi tłumacze słowa Bożego wedle własnego rozumu, i że Bracia polscy w XVI wieku doszli do śmiałości w wierze, jakiéj na owe wieki nie było przykładu. Pokazuje się z tego, że Kraszewski, ceniąc tak wysoko pobożność, nie miał tyle na myśli ślepéj uległości dla pewnych form dogmatycznych, ile religią w ogóle, podniesienie ducha od ziemi do Istoty Najwyższéj. W niém upatrywał zgodnie ze swemi, etycznemi poglądami, koniecznego warunku nie tylko moralnego udoskonalenia jednostki, lecz i dobrobytu społecznego.

Dalszym objawem moralnego rozwoju narodu jest wedle Kraszewskiego *rodzina polska*. W prastarych stosunkach rodzinnych, mówi, żywioł chrześciański tak przygotowaną znalazł rolę, że w nią tylko rzucił nasiona, które bez trudu wyrosły. To też rodzina polska wyrobiła się bardziéj pod wpływem miłości, niż grozy. Uległość ojcu i matce i prawo starszeństwa było jéj istotą. „Nigdzie może, dodaje Kraszewski, węzły rodzinne, powaga sędziwości i zasługi szczerzéj i serdeczniej szanowanémi nie były.“ W związku z témi cnotami pozostało też i godne stanowisko kobiety polskiéj od najdawniejszych czasów.

Trzecim składowym czynnikiem dawnéj społeczności polskiéj, któremu ona zawdzięcza swój charakter odrębny, i z którego autor *Odczytów* wyprowadza całą organizacyą państwową, jest poczucie powszechnego braterstwa. Gdy gdzieindziéj, mówi, społeczność tworzy się w skutek najazdu i zdobyczy, w Polsce zawsze nawet z kmieciem przykowanym do zagonu, wiąże się pamięć i prastare braterstwo. „Wydziela się wprawdzie stan pański od szlachty, ale choć zazdrośny swych przywilejów, jednak zawsze ubożuchnych braćmi nazywa.“ To poczucie braterstwa i wiara do życia zastosowana, nadają téż według autora rycerstwu polskiemu odrębny zupełnie charakter. Obok męztwa niezłomnego w boju, rozwija się w nim łagodność dla słabszych, litość dla upadłych. To téż w Polsce, mówi, ani takich przykładów zepsucia, ani tak jawnych bezprawi nie znajdujemy, jak

gdzieindziéj. Troskliwość o los kmiecia była tutaj wielka od dawna, szczególniéj zaś od czasów Kazimierza Sprawiedliwego. Że właśnie ta troskliwa obrona kmiecia przez królów od nadużyć rycerstwa, nie świadczy zbyt korzystnie o jego sielankowéj łagodności i poczuciu chrześciańskiego braterstwa, o tém autor nie pamięta wcale, ale to téż nie dotyczy naszego obecnego punktu widzenia, bo w powyższych trzech czynnikach życia narodowego, jakiemi są: *pobożność*, *rodzina i poczucie braterstwa*, widzimy tylko *ideały* etyczne naszego pisarza, niezależne zupełnie od stopnia ich urzeczywistnienia w różnych epokach dziejów.

Większą bez porównania historyczną dokładnością odznacza się studyum obyczajowe Kraszewskiego nad *Rejem*. I tutaj występują na jaw te same ogólne zasady moralnego poglądu na życie jednostki i społeczeństwa. Wychwala Kraszewski tutaj, jak i przy każdéj innéj sposobności, prastarą prostotę, wiarę i serdeczność w porównaniu z rachubą i sztucznie wyrobioną moralnością nowszych czasów. Dawniéj, mówi, zarówno jednostki, jak i stany i całe społeczeństwo, poczuwały się do solidarności w swych dążnościach i zadaniach; dziś natomiast, wszyscy idziemy po jednemu, samopas, i dla tego właśnie tak nam ciężko i tęskno. Dawniéj ceniono cnotę dla cnoty, przestawano na małém, miano bardziéj na oku spokój umysłu, uczciwość, szczęście wewnętrzne, a na dobra materyalne patrzono tylko, jako na środki dla osiągnięcia tych wyższych celów. Dziś natomiast cnota stała się po prostu służebnicą fortuny, to téż nawet ludzie uczciwi dzisiaj nie są kochankami cnoty, lecz jéj dworakami, oczekującymi, żeby im jurgielt należny brzęczącą wypłaciła monetą. Wychowanie dawne było proste, ale szło z życia, kształciło obywateli i charaktery; dziś młodzież słabnie na duchu i ciele, a uczoność papierowa i doktrynerstwo czyni ją niezdolną do walki moralnéj z przeciwnościami życia. Dawniéj panowała w stosunkach między ludźmi prawda i otwartość; wypowiedziano ją wprawdzie nieraz z całą rubasznością, nie wstrzymywano nawet zbytecznie wybuchów pogardy i nienawiści, ale za to każdy znał dobrze swych przyjaciół i nieprzyjaciół. Dziś obłuda stała się cnotą powszednią, dziś na twarzach nie widać ani gniewu, ani radości, ani smutku, ani zapalczywości, bo dziś wszystkie pokryte są jedną maską pozornéj przyzwoitości, niby groby pobielane. Dawniéj jednostka żyła dla ogółu, poczuwała się do obowiązków społecznych i szukała swego zadowolenia i zaszczytu w ich spełnieniu; dziś natomiast każdy swoję prywatę przybiera w sprawę publiczną, — interes osobisty jest wszystkiém. Rej wymagał od swego poczciwego człowieka stałości, męztwa, ofiary i wytrwania na duchu, a zatém wielkiego serca i wielkiego charakteru. Dziś wymagania tego rodzaju miane są za przesadę; wielkości prawdziwéj nie ma; niema serc wielkich, przyjaźni ciągnącéj się przez całe życie do mogiły. Przeciwnie, zdradzamy się wzajemnie z najzimniejszą krwią i zdrady oczekujemy, jako rzeczy naturalnéj i konieczněj. Dawniéj każdy człowiek uczciwy mozolił się sumiennie nad swem udoskonaleniem moralném; walczył z ciałem, pokonywał namiętności, dążył do panowania ducha nad sobą. Dziś walki z ciałem nie przypuszczamy nawet, a granice namiętności zakreśla druga, cudza, obok rozpościerająca się. Nie przemódz ciało myślimy, lecz upaść i uciszyć je w śnie gnuśnym. Jednėm słowem, czasy dzisiejsze na porównaniu z przeszłością pod względem moralnym bardzo źle wychodzą, a zwrot do dawnych cnót, do dawnéj pobożności, prostoty i patryarchalności staje się w skutek tego w oczach Kraszewskiego koniecznym warunkiem wszelkiego prawdziwego postępu moralnego na przyszłość.

Nie możemy się tutaj wdawać w szczegółową ocenę powyższych poglądów etycznych Kraszewskiego; nie możemy rozbierać pytania, czy te poglądy, pomimo swéj niezaprzeczonéj doniosłości, mogą być wystarczającemi dla należytego kierowania wolą i działaniem ku rozwiązaniu wszechstronnych zadań życia wśród skomplikowanych stosunków osobistych i społecznych nowszych czasów. Cel niniejszéj pracy w ogóle bardziéj jest sprawozdawczy, niż krytyczny, więc téż ograniczamy się zaznaczeniem ogólnéj treści moralnych zapatrywań Kraszewskiego, dodając tu tylko, że ich doniosłość ocenioną być powinna głównie w porównaniu z tendencyami innych współczesnych powieściopisarzy. A wtedy każdy wyzna, że Kraszewski duchem prawdziwie etycznym, szczerą miłością prawdy i dobra powszechnego przewyższa większość najgłośniejszych nawet pracowników na tém polu piśmiennictwa. A to odsłania nam w Kraszewskim nie tylko człowieka serca i znawcę duszy ludzkiéj, lecz i dobrego obywatela i pisarza rzadkiéj sumienności, który szczepienie zasad moralnych i pracę dla dobra powszechnego stawia wy-

żéj po nad schlebianie ogółowi i chwilowym zachciankom czasu.

Zresztą liczny szereg powieści nowszych czasów wykazuje dobitnie, że Kraszewski nie ograniczał się bynajmniéj ową sentymentalną etyką, która, rezygnując z życia doczesnego, ograniczając potrzeby człowieka do minimum, biorąc za ideal prostotę i patryarchalność, myśli tylko o wieczności i o przygotowaniu się do niéj. I sprawy tuteczne zajmują go żywo; myśl o przyszłém życiu i wymagania moralne, łączące się z tą myślą, stanowią tylko idealne tło, na którém Kraszewski zarysowywa swoje poglądy na kwestye realnego życia, na wzajemny do siebie stosunek różnych warstw społeczeństwa, na obowiązki jak arystokracyi rodowéj i pieniężnéj, tak intelligencyi krajowéj, mieszczan, ludu i w ogóle każdego dobrego obywatela. Całe gruppy utworów powieściowych mają za przedmiot wszystkie te kwestye społeczne i starają się je rozwiązać nie tylko ze stanowiska oderwanych ideałów etycznych, lecz i w imię realnego położenia i realnych potrzeb kraju. Liczny szereg powieści ludowych przedstawia nam Kraszewskiego nie tylko jako wszechstronnego znawcę ludu, lecz i jako serdecznego obrońcę jego praw społecznych. Powieści *Morituri* (1874), *Resurrecturi* (1875), *Niebieskie migdały* (1875) i inne odsłaniają nam dobitnie poglądy jego na stanowisko i obowiązki arystokracyi rodowéj w społeczeństwie. Powieść *Roboty i prace* (1875) uzupełnia te poglądy wskazaniem zadań obywatelskich arystokracyi pieniężnéj. W takich powieściach, jak *Dzieci Wieku* (1871), *Kawał literata* (1875), *Ada* (1878) i inne, odźwierciedlają się najnowsze zapatrywania Kraszewskiego na stosunek intelligencyi do społeczeństwa, i na jéj obowiązki względem siebie i ogółu, nad którym pragnie rozciągnąć swą opiekę moralną. Cały znowu szereg powieści historycznych, z nowszych i dawnych czasów, daje nam poznać Kraszewskiego, jako historyozofa, oceniającego wartość moralną przeszłości w celu naprowadzenia teraźniejszości na lepszą drogę. Wreszcie działalność jego na polu publicystyki, jak w *Gazecie Polskiéj*, tak i późniéj w *Tygodniu*, *Omnibusie*, oraz korrespondencye do wielu innych pism, dotykają bezpośrednio najważniejszych kwestyj chwili i rozjaśniają poglądy jego na ruch bieżący w zakresie ekonomiki, polityki i życia społecznego.

Gdybyśmy tutaj chcieli szczegółowo wyłożyć zapatrywania Kraszewskiego na wszystkie te kwestye, natenczas bylibyśmy zniewoleni powtórzyć w znacznej części to, co już w innych pracach książki jubileuszowéj obszernie i wyczerpująco wypowiedziano, a szczególniéj w rozbiorze powieści ludowych, obyczajowych i historycznych, oraz w poglądach na jego działalność publicystyczną. Nadto zauważmy, że szczegółowy pogląd na te sprawy leży już za obrębem naszego obecnego zadania, odnosząc się do przedmiotów różnych nauk specyalnych. W miejsce tedy takiéj specyalizacyi zaznaczymy tu w końcu tylko najważniejszą treść, niejako filozoficzną kwintessencyą wszystkich tych poglądów społecznych naszego pisarza. Jest nią wymaganie *pracy*. W niéj Kraszewski widzi niezbędny warunek postępu i dobrobytu zarówno każdéj jednostki z osobna, jak i całego społeczeństwa. Tylko w pracy sumiennéj dla dobra powszechnego spoczywa według niego, przyszłość arystokracyi rodowéj; przez nią tylko uszlachetnioną być może arystokracya pieniężna. Bez pracy najwyższa intelligencya, genialne nawet uzdolnienie, nie przynosi żadnéj korzyści nikomu; przeciwnie staje się tylko źródłem wewnętrznego niezadowolenia i rozpaczy, zamiast popchnąć społeczność naprzód na drodze prawdy, piękna i dobra. Praca téż tylko i sumienne spełnienie najskromniejszych obowiązków ocalić może społeczność od groźnych zawikłań socyalnych i doprowadzić jéj składowe czynniki do należytéj równowagi. W tém téż wymaganiu pracy wytrwałéj, sumiennéj, budującéj, znajduje Kraszewski najwyższy wyraz pojednania idealizmu z rzeczywistością. Praca przeistacza rzeczywistość według wymagań idealnych, przezwycięża złe, przewrotność, usuwa przeszkody do prawdziwego postępu, toruje drogę do doskonałości. Zachowując czerstwość ducha i ciała, podnosi i uszlachetnia człowieka, uwalnia go od samolubstwa, przyucza do poświęceń, ale i uszczęśliwia zarazem błogiém poczuciem godności osobistéj i spełnionych obowiązków obywatelskich. To téż nie dziw, że Kraszewski, który to wymaganie pracy, urzeczywistnione w życiu swojém w sposób jedyny, wyjątkowy, budzący podziw wszystkich, streszcza całą swoję filozofią życiową, nabytą przez półwiekowe doświadczenie i wszechstronną znajomość świata i ludzi, w tych słowach, pełnych mądrości i prawdy:

„Życie chorobą—lekarstwem *praca*."

Henryk Struve.

DZIEJOPISARSTWO.

I.

WILNO
od początków jego do roku 1750 przez J. I. Kraszewskiego.

Wydanie Adama Zawadzkiego, w 4-ch tomach, 1840 — 1842.

Gdyby Kraszewski nic w życiu swojém nienapisał, tylko czterotomową *Historyą Wilna*, trzy tomy *Historyi Litwy* i spory tom *Sztuki u Słowian*, już tegoby wystarczyło, aby go policzono w rzędzie najznakomitszych i wielce zasłużonych dziejopisów i archeologów.

Historya Wilna Kraszewskiego nastręcza mimowoli wiele uwag, znamionujących autora i zaznajamiających nas z jego młodzieńczém usposobieniem, z przyszłémi dążnościami i celem prac życia całego. Bo też dość jest spójrzéć na datę pierwszych powiastek Kleofasa Fakunda Pasternaka (1829 — 1833) i przypomniéć, że we wrześniu 1839 roku pierwszy tom Wilna już wyszedł z cenzury (gdzie musiał przeleżéć kilka miesięcy), aby się przekonać, że w tym samym czasie, kiedy 18 letni młodzieniec ogłaszać zaczął swe powiastki, w których, gdy jedni widzieli już błyski niepospolitego talentu, inni z lekceważeniem, a nawet najgrawaniem się spotykali wschodzącą gwiazdę, w tym samym mówimy czasie, ten sam młodzieniec już się sposobił na głębokiego, wytrwalego i niezmordowanego badacza, już wtedy obudziła się w nim ta chęć i miłość do pracy, ta wola żelazna, których całe życie jego złożyło dowody,, a którym podobnych nieznajdujemy prawie w dziejach piśmiennictw wszystkich narodów.

Tomy I i II Wilna wyszly w roku 1840; tom III w r. 1841; tom IV w r. 1842. Te cztery tomy zawierają 1790 stronnic druku i, jak sam autor wspomina w przedmowie do IV tomu (24 września 1841), kosztowały go *dziesięć* lat życia, a więc praca rozpoczętą zostala w r. 1831. Dodać tu jeszcze winniśmy, że tom I przedtem już był wydany, a dopiero w r. 1840 po czterokrotném przerobieniu i poprawieniu poraz drugi opuścił prassę. Rękopism, jak sam mówi autor, od lat już kilku leżał skończony.

Praca to olbrzymia i zadziwiająca w młodzieńcu, szczególnie, jeśli przypomnimy, że materyały, czerpane z aktów miejskich i innych źródeł piśmiennych i archiwalnych, musiały być wypisane przed rokiem 1835, kiedy Kraszewski osiedlił się na Wołyniu (i nigdy potem niemieszkał w Wilnie). A jakiż to ogrom tych wypisów! Ileż to trzeba było pracy, aby przejrzéć, wczytać się i wypisać ze źródeł przed nim przez nikogo pewno nietkniętych, jak naprzykład z ksiąg grodzkich województwa wileńskiego, z akt burmistrzowskich, radzieckich, z akt wójtowskich, z ksiąg kongregacyi miejskich, z rękopismów, pamiętników i dokumentów, jakie się przechowywały w Bibliotekach uniwersytetu wileńskiego, klasztornych i niektórych prywatnych. Dwóch tylko ludzi wymienia autor, którzy mu udzielili bezinteresownie niektórych materyałów, prałata M. Herburta i prof. Łobojkę. Dość jest w końcu przejrzéć *przypisy* do każdego z rozdziałów, aby się przekonać, jak mozolną pracę podjął autor, ile to dzieł rzadkich, kazań, mów, broszur okolicznościowych, kronik, pamiętników, wszystkiego, co mogło być mu przystępném z metryki Litewskiéj, musiał przejrzéć, porobić wypisy, sprawdzić, niejedną zawiłą kwestyą rozwiązać, błędy sprostować i z tego wszystkiego utworzyć tak wyczerpującą, tak piękną całość, utworzyć historyą Wilna, jakiéj nieposiada żadne nasze miasto, niewyłączając nawet Krakowa.

Balińskiego dwutomowa „Historya Wilna" poprzedziła pracę Kraszewskiego, wyszła bowiem w r. 1836 — 1840. Ma ona niezaprzeczone zalety, ale doprowadzona tylko do zgonu Stefana Batorego, niestanowiąca całości, lub zawierająca tylko niektóre, dorywcze szczegóły, niewiele mogła dostarczyć materyału Kraszewskiemu, którego zakres był taki śmiały, rozległy, wyczerpujący.

Ale podajmy tu krótką treść całego dzieła Kraszewskiego.

Tom I zawiera położenie geograficzne i fizyczne, naturę ziemi, temperaturę, mówi o pochodzeniu Litwinów, o języku Litewskim, o runach i piśmie Litewskiem. Są to wiadomości wstępne. Dalej następują dzieje ogólne miasta, doprowadzone w tym tomie do zgonu Zygmunta III. W notach i przypisach jest kilka cennych, nieznanych przedtem dokumentów, oraz dokładny wykaz źródeł, jak drukowanych, tak rękopiśmiennych. W końcu w tymże tomie w dodatku zamieszczona obszerna wiadomość o Stryjkowskim i jego kronice.

Tom II zawiera dalszy ciąg dziejów ogólnych miasta, doprowadzony do roku 1750. Ciekawy ten nadzwyczaj rozdział, kończy autor następującémi słowy: „Zamkniemy opowiadanie nasze uwagą, iż Wilno urodzone w XIV wieku, w XV walczyło o swój przyszły los, w XVI wzrosło do najwyższego stopnia pomyślności, w XVII zaczęło się nachylać do upadku, który nastąpił w XVIII wieku i w pierwszéj jego połowie dokonał się." Następnie, w tymże tomie zaczynają się dzieje miasta szczegółowe, stan jego wewnętrzny. W téj części mamy kronikę kościoła św. Stanisława, kronikę Franciszkanów, Bernardynów, Dominikanów, kronikę kościoła św. Piotra, Augustaynów eremitów, Karmelitów, Jezuitów, Pijarów, i kronikę kościołów, nadto osobno rozdział poświęcony wiadomościom o Trynitarzach, Wizytkach, Benedyktynkach, Missionarzach, Bonifratrach, Paulinach i Rochitach. Kończy ten tom osobny rozdział poświęcony biskupom wileńskim.

Tom III zawiera dalszy ciąg stanu wewnętrznego miasta. Mamy więc tu bardzo ciekawe wiadomości o kapitule, o jéj członkach, zwyczajach i t. d.; ogólne uwagi o duchowieństwie w Wilnie, daléj bezstronną i sumienną kronikę cerkwi greckich w Wilnie, *po raz piérwszy* w języku polskim przedstawioną w prawdziwém świetle, która, chociaż ją z wielu względów uzupełnił i wzbogacił prof. Homolicki w Wizerunkach, jeszcze i dziś ma niezaprzeczone historyczne znaczenie i niejednokrotnie bywa cytowaną przez rossyjskich badaczów; potem następują: kronika cerkwi unickich, wyczerpująca rozprawa o reformie w Wilnie, o Witoldowskich Tatarach, osiedlonych w Wilnie i jego okolicach, o żydach i karaitach (albo karaimach), z dołączeniem *historyi sprawiedliwie nawróconego*, powziętéj z nikomu przedtem nieznanéj kroniki żydowskiéj, opowiadającéj o przejściu na wiarę żydowską, na początku XVIII wieku, Pot..... i Zaręby, i o spaleniu pierwszego z nich w Wilnie. Następują daléj ułomki statystyczne, o rozległości, liczbie domów, podział na Juryzdyki, część najsłabsza w dziele. Gruntowniéj opracowany następujący rozdział o prawach, przywilejach i urzędach miejskich, o budżecie, ciężarach, gospodach i policyi, o więzieniach, łaźniach, szpitalach i t. d. Bardzo ciekawy rozdział o rzemiosłach i cechach, o fabrykach, jak również o handlu, o kupcach, przekupniach, o kramach, miarach, wagach, cenach. Kończy ten tom opisanie miasta pod względem topograficznym i etnograficznym: bramy, ulice, zamki, gmachy, rzeki, mosty, młyny, góry i w końcu obyczaje, stroje, uroczystości, obrzędy i t. d.

Tom IV po raz pierwszy podaje nam bogate materyały do kroniki zakładów naukowych, o szkołach przed Jezuitami, o Akademii wileńskiéj i jéj sławniejszych professorach, o ruchu umysłowym, o drukarniach, bibliotekach i archiwach. Następuje na swój czas bardzo pełny rys bibliografii wileńskiéj, zaczynając od roku 1519, doprowadzając do roku 1799. W końcu mamy tu dodatki, uzupełniające poprzednie wiadomości, oraz niektóre przywileje z metryki Litewskiéj.

Taką jest treść „Wilna" Kraszewskiego. Widzimy z niéj, jak wielki zakres téj pracy. Niema prawie kwestyi w życiu społeczném miasta, któréjby niedotknął autor. W części historycznéj, są to raczéj dzieje całego kraju, a nie samego tylko Wilna. We wszystkich działach autor celuje przed wielu innymi, nietylko sumiennością, ale i swoją bezstronnością, w kwestyach najdrażliwszych, Nie naciąga on faktów, nie tłumaczy ich w sposób nieokreślony, niedomawiając lub naginając, jak to czynią niektórzy, aby dogodzić i waszym i naszym. Zawsze i wszędzie jest szczerym, śmiało wypowiadając swoje przekonania, oparte na źródłach wiarogodnych. Niezawahał się autor oddać cześć należną, ozdobić aureolą zasłużonéj wielkości tych bohaterów Litwy i Wilna, których inni, przez

całe wieki idąc za przykładem Długosza, starali się przyćmić, zmniejszyć zasługi i dla tego niejeden fakt w fałszywém świetle przedstawili. Wielką, bohaterską postacią występuje u niego sławny Witold, który właśnie u Długosza tak niekorzystnie wygląda (dla tego, że Witold był wrogiem Zbigniewa).

Nie możemy tu niepowtórzyć krótkiego ustępu z dzieła Kraszewskiego, tak wiernie malującego zapatrywanie się jego na Witolda.

„Grób jego cztery wieki skruszyły, rozsypały się popioły, obraz służący mu początkowo za nagrobek, wyobrażający go po grecku na koniu, widziany jeszcze w XIV wieku, dawno się rozsypał; drugi, późniéjszy, na którym próżność Bony chciała w jednym marmurze z tém wielkiém imieniem swoję drobną kobiecą sławę połączyć, upadł także. Starły się napisy, zamki poszły w gruzy, oschła krew wylana, łzy zapomniane zostały, najdalsze potomstwo zgasło—pamięć tylko wielkiego człowieka żyje! Tak, pamięć i mogiły na litewskiéj ziemi, pamięć tylko z tego pięknego życia Witolda, którego miecz zwalił tyle przeszkód, przeszył tyle krajów, z tego życia bajecznych prawie przygód, wypraw, kłótni, zdrad, wojen, więzień, mordów, pożogi, upokorzeń i wielkości, z tego życia, które zachowało do zgonu niezatarte piętno bohaterskie, ulatując w boleści po ostatnim niedosięgniętym szczeblu — koronie!“

Kilkadziesiąt lat ubiegło, od czasu, kiedy młody jeszcze Kraszewski podniósł wysokie znaczenie Witolda w dziejach Litwy, a oprócz Narbutta i Jaroszewicza, oraz samego Kraszewskiego w osobnéj pracy o Witoldzie (stanowiącéj niejako 3-ci tom do jego dziejów Litwy), nikt, w piśmiennictwie polskiém nie mówił o bohaterze Litwy, tak wzniośle, jak Kraszewski; owszem, niejeden dawnym szedł torem i tylko czarne plamy upatrywał w życiu Witolda.

Wiadomo, jak miłém było dla Zygmunta Augusta jego ukochane Wilno, jak często w niém przebywał i jak wielkiémi dobrodziejstwami stolicę swoję litewską obdarzył. Epoka ta wiernie i sumiennie oddana przez Kraszewskiego. Niezważał on na zarzuty i nagany, czynione z tego powodu przez Orzechowskich, Warszewickich i innych; owszem surową krytyką umiał odcieniować fałsz lub widoczną zazdrość i niechęć od prawd historycznych.

Zniewieściały, zabobonny, rozpustny, za takiego miano u nas przez całe wieki Zygmunta Augusta, niechcąc widzieć w nim nic, oprócz ujemnych stron, — inaczéj wygląda on w Litwie Kraszewskiego. Inaczéj on zrozumiał i przedstawił monarchę, o którym słusznie powiedział Bartoszewicz, że „był to najdojrzalszy mąż w swoim narodzie, że żaden król niedbał tyle o przyszłość Rzeczypospolitéj.“

Gdy z kolei przyszło malować epokę Zygmunta III. Kraszewski nienaśladował chwalców ówczesnych, niezawahał się wyznać, że nic niezrobił dla Wilna, oprócz kilku błahych pamiątek (dzwona, ornatów, obrazków), „lecz ileż za tych kilka dowodów łaski i pamięci, zostało po nim złego, z podżeganéj wojny religijnéj, ile ziarna niezgód na przyszłość!“

Poglądy Kraszewskiego, ocena wypadków, odmalowanie historycznych postaci, zawsze śmiałe, wierne, oparte na sumiennem, krytycznem a zawsze bezstronnem badaniu.

Niechcielibyśmy jednak, aby nas posądzano o chęć widzenia tylko dobrych stron w olbrzymiéj pracy Kraszewskiego. Tak nie jest. Za nieomylną nieuważamy wcale Historyi Wilna Kraszewskiego. Obok wielkich zalet, ma ona i usterki, które nam, cośmy sami wiele pracowali nad dziejami i zabytkami Wilna, lepiéj są znane, niż innym. Są usterki nawet grube. Lecz kto temu winien?

Kraszewski najtroskliwiéj zużytkował wszelkie źródła, jakie mu były przystępne. Zrobił więcéj nawet, niż tego wymagać było można od historyka, który *pierwszy* torować musiał drogę do zebrania i skorzystania z materyałów, przed nim nietkniętych, a które wydobywać musiał z archiwów i bibliotek. Skorzystał ze wszystkiego, co było kiedykolwiek i gdziekolwiek ogłoszone drukiem o Wilnie. Dał nam pełny, żywy obraz stolicy litewskiéj od jéj początków, wyczerpująco odmalował wszystkie jéj przejścia, dotknął wszystkich społecznych i wewnętrznych stron jéj życia, a jeśli i potém wszystkiém nie uniknął usterek, winni ci, którzy, jak on sam powiada w przedmowie do IV tomu, uśmiechali się, patrząc na pracę, i zamiast dopomódz jéj, cieszyli się myślą;—a! z naszemi materyałami, jakąż to napiszemy recenzyą!

Nam to najlepiéj wiadomo. że *byli tacy*, że pisali recenzye, ale mylili się w rachubie, bo jeśli te ich recenzye wzbogaciły dzieje Wilna wielu nieznanemi faktami, nikt bezstronny nie obwiniał oto Kraszewskiego, wiedziano bowiem dobrze, że źródła, z których recenzent czerpał materyały, nie tylko dla Kraszewskiego, ale i dla nikogo

prawie w onym czasie, oprócz recenzenta, niebyły przystępne.

Musimy tu dotknąć jednéj tylko kwestyi, drażliwéj wprawdzie, a jednak koniecznéj dla wyświetlenia prawdy.

Akta kapituły wileńskiéj, zbutwiałe i prawie zniszczone do r. 1500. od tego czasu ocalałe, przedstawiały nader cenne materyały nietylko dla dziejów miasta, ale i dla całego kraju. Oprócz tych aktów archiwum kapitulne posiada i wiele innych ważnych materyałów, jak przywileje, nadania, rozmaite zapisy, wreszcie bardzo ciekawe wizyty kościoła z rozmaitych epok. Wszystko to w owym czasie było przechowywane w takiéj tajemnicy, że nikt do niéj przystępu niemiał. Późniéj dopiero prałat katedry wileńskiéj ks. Mamert Herburt, przedsięwziął olbrzymią pracę przekładu tych ciekawych aktów na język polski. Lecz nawet i jemu, członkowi kapituły, w latach 1858, czy téż 1859, wejście do archiwum było wzbronione. List głównego zarządcy katedry, a więc i archiwum, świetnego prałata-prepozyta, człowieka i kapłana pod każdym względem najzacniejszego, ale zarazem trochę dziwaka, zawiadamiający prałata Herburta o tém zabronieniu, złożony był otwartym w muzeum archeologiczném, w witrynie, za szkłem, w liczbie rozmaitych osobliwości, tak że nader licznie zgromadzająca się publiczność, mogła go czytać. To bogdaj skutkowało, dość, że prałat wkrótce odzyskał utracone prawa i monumentalną swą pracę dokończył.

Kraszewski niekorzystał z archiwum kapitulnego. Korzystał właściwie jeden tylko człowiek Michał Homolicki, professor emeryt w uniwersytecie wileńskim, robił z tych bogatych materyałów ciągłe wypisy, noty, a gdy zaczęła wychodzić historya Wilna Kraszewskiego, ogłaszał swe recenzye w „Wizerunkach i roztrząsaniach naukowych“. Artykuły jego, zaczerpnięte ze źródeł nikomu nieznanych, rzucają wiele światła na dzieje Wilna i całéj Litwy, nietyle prostując usterki mimowolne, ile uzupełniając pracę Kraszewskiego.

Dziwny to był człowiek, ten Homolicki. Prawości i zacności niesłychanéj, uczony, żyjący jedynie dla nauki, kochający nad wyraz Wilno, ale zarazem egoistyczny pod pewnym względem, jak skąpiec, pilnował swoich materyałów, niewiedząc, co z niemi począć i nieumiejąc utworzyć z nich samoistnéj całości. A dopiero, gdy Wilno Kraszewskiego wyszło na świat, skorzystał z nieświadomości autora, któremu ani rad, ani uwag, a tém mniéj materyałów udzielić niechciał, i zaczął ogłaszać swe spostrzeżenia i uwagi w nader obszernych artykułach, a te, jak już słusznie zauważał szanowny i zasłużony wydawca Wilna ś. p. Adam Zawadzki, stanowić muszą appendix do dzieła Kraszewskiego.

Rzecz szczególna. Homolicki, człowiek niezaprzeczonéj, głębokiéj nauki, nie wstanie był nigdy stworzyć nic samoistnego, twórczego. Był to umysł zawisły zawsze od jakiegoś dzieła, które służyć mu musiało za nić przewodnią, musiał się z kimś spierać i tym tylko sposobem mógł wypowiedzieć własne opinie i podać mnóstwo ciekawych, nowych szczegółów. To, co napisał w „Wizerunkach“ o Wilnie stanowić może spore dzieło. A gdy już przebiegł wszystkie 4 tomy Wilna i dopełnił je notami i uwagami z akt kapitulnych, gdy tymczasem materyałów nagromadzonych przez lat wiele usilną pracą zostawało jeszcze bardzo dużo, a i nowe przybyły z archiwum monasteru św. Trójcy i innych, znowu niewiedział, co z tém począć. Zdarzyło się jednak, że niektóre nowe źródła obalały lub prostowały dawne jego twierdzenia; to mu było dostateczne, rozpoczął więc walkę *ze sobą*. Nic pocieszniejszego, jak gdy sam siebie poprawia, kłóci się ze sobą i samego siebie usiłuje przekonać, że się omylił.

Tym sposobem, korzystając z téj walki ze sobą samym, dał nam mnóztwo cennych i bogatych materyałów do dziejów Wilna które zajęły prawie cały ostatni (62) tom Wizerunków.

Homolicki przyczynił się do wzbogacenia dziejów Wilna wielu nieznanemi szczegółami. Ale fundament założył Kraszewski. Praca jego, pierwsza u nas pod względem dziejów miasta na tak szeroką skalę podjęta, obejmująca wszelkie objawy życia, jak politycznego, tak niemniéj obyczajowego, wszelkie objawy wewnętrznych stosunków i wszystkich stanów. Homolicki i inni mogą uzupełniać dzieło Kraszewskiego, ale najważniejsza zasługa i wdzięczność rodaków należy się Kraszewskiemu. Dając dowody bezstronnéj, szczeréj miłości dla Wilna, w którém najpiękniejsze młodzieńcze lata spędził, Kraszewski dziesięcioletnią swoją pracą sam dla siebie wzniósł w Wilnie niespożyty pomnik, bo imię jego na zawsze pozostanie związane z dziejami tego grodu.

A. H. Kirkor.

II.

LITWA, Tom I.

Zdawaćby się mogło, iż nam, przedzielonym epoką całego pokolenia od chwili ukazania się „Litwy“ Kraszewskiego, nam, cośmy naówczas byli młodémi dziećmi, przeniesienie się myślą w warunki i okoliczności, otaczające wtedy autora, książkę i czytelników, dosyć powinnoby być rzeczą trudną. W istocie takby było, gdyby nauka rzeczy litewskich szybko była naprzód postąpiła przez ostatnich lat trzydzieści. Potrzebowalibyśmy wówczas pewnego wysiłku umysłowego, aby odtworzyć sobie przedtrzydziestoletni stan téj nauki, oraz potrzeby czytelników i wydać słuszny sąd o odpowiedniości dzieła wymaganiom tamtoczesnéj wiedzy i potrzebie ogółu. Tak się dzieje w sferach nauk, szybko postępujących, jak n. p. przyrodniczych, technicznych, lekarskich i t. p., to nie u nas.

Próżneby jednak były obawy tego, ktoby mniemał, że w zakresie badań nad dziejami, mitologią i językiem litewskim taki zaszedł u nas postęp, iż dzisiaj nie zdołamy zrozumiéć należycie poglądów na te rzeczy doby przedtrzydziestoletniéj. Niestety, poszukiwania te idą u nas, jak na raku: Narbut do chwili obecnéj jest najobszerniejszym najbardziej źródłowym dziejopisem, a na polu wiaroznawstwa i językoznawstwa zaledwie parę rozprawek u nas w ciągu ostatniéj ćwierci wieku się ukazało. Więc warunki ukazania się „Litwy“ Kraszewskiego są mniéj więcéj takie, jakiemi były w roku 1847 i jakiemi prawdopodobnie długo jeszcze będą, sądząc z zupełnéj obojętności pracowników i czytelników naszych ku własnéj przeszłości.

„Wilno“ i „Litwa“ Kraszewskiego są oczywiście owocem jednego okresu badań jego. Chcąc przedstawić dzieje stolicy, serca narodu, autor musiał starać się poznać jego historyą, dawne wierzenia i język. Gdy więc młody naówczas powieściopisarz ogłosił od roku 1840 do 1842 czterotomową kronikę Wilna, można było być pewnym, iż w głowie i tece jego pozostało całe, że tak powiem, rusztowanie krajowodziejowe, którego żal mu było zaniedbać; więc wziąwszy lutnię w powieściopisarskie ręce, wysnuł z owych zasobów pieśni „Anafielasu“, a późniéj zużytkował je prozą, i tak powstała „Litwa“.

Taka geneza dzieła tego wydaje mi się jedynie słuszną, gdyż o ile „Wilno“ dość samodzielnie i starannie, jak na powieściopisarza z urodzenia i powołania, wydaje się być opracowaném, o tyle „Litwa“ nosi na sobie ślady lekkiego przemykania się po trudnościach i w ogóle jest kompilacyą.

Voigt i Narbut dopiero co byli ukończyli swe obszerne dzieła o dziejach Litwy. Dla naszéj publiczności tylko praca Narbuta być mogła dostępną; ale przy swoich rozmiarach i przy ówczesnym sennym stanie czytelnictwa, ręczyć było można, że czytaną będzie chyba przez specyalistów. Spopularyzowanie przeto prac tych dwóch pisarzy było rzeczą pożądaną. Kraszewski, obeznany już z dziejami Litwy, ile mu one za tło do kroniki Wilna służyły, postanowił podjąć się tego zadania. W kilka więc lat po „Wilnie,“ ogłosił „Litwę“ i w znacznym stopniu dopiął celu: zainteresował publiczność, zmusił ją niejako do czytania dzieła, napisanego przez lubionego już naówczas powieściopisarza i kazał dowiedziéć się o wynikach pracy Voigta, a głównie Narbuta takim nawet, którzyby nigdy do wielotomowych dzieł ich nie zajrzeli. W kilkanaście lat późniéj (1864), gdy Rogalskiemu pod wyrazem „Litwa“ trzeba było wypełnić kilkadziesiąt stronnic wielkiéj Encyklopedyi, wziął on za podstawę dzieło Kraszewskiego; tym więc sposobem popularność pracy jego sięgnęła jeszcze dalszych kół i w tysiącach exemplarzy rozniosła w drugim stopniu spopularyzowane podania Narbuta. Tą drogą utworzył się pewien cykl mityczny o rzeczach litewskich, który długo jeszcze zapewne krążyć będzie u nas, zanim na miejsce jego przyszły cierpliwy, zdolny i uzbrojony najnowszémi narzędziami krytyki badacz nie postawi coś pewnego, niezbitego i na podstawach opartego. Nazywam te wieści Encyklopedyi o Litwie mitem, bo w przekonaniu mojém prawie wszystko, co tam powiedziano o wierze i mowie Litwinów, jest urojeniem niekrytycznego Narbuta.

Ma się rozumiéć, Kraszewski tyle jest winnym w rozpowszechnieniu tych legend o Litwie, ile przyłożył ręki do spopularyzowania wywodów Narbuta. Jednakże, aby było inaczéj, trzebaby, aby sam go sprawdził krytycznie, to jest, ni mniéj ni więcéj,

aby został znakomitym językoznawcą, znakomitym ludoznawcą i znakomitym mitologiem. Rzecz wszakże jasna, iż pojedyńczy człowiek takim polihistorem nie był i być nie może. Zresztą, jeżeliby Kraszewski chociażby tylko mitologii porównawczéj się poświęcił, to i taby mu całe życie zajęła; a któżby napisał owe paręset tomów ślicznych powieści, ktoby obudził śpiącą powszechność naszę? ktoby ją nauczył czytać po polsku i wytrącił z rąk jéj cudzoziemskie powieści i czasopisma; ktoby odrodził popularność piśmiennictwa polskiego? Nie mamy więc prawa czynić zarzutu Kraszewskiemu, iż nie dość samodzielném badaniem rzeczy litewskich nie posunął naprzód ich nauki, tak, jak nie mamy prawa gniewać się na słońce, że nie studzi, a na księżyc, że nie grzeje. Kraszewski odegrał i odgrywa tak ogromną rolę w dziejach naszego piśmiennictwa, że może właśnie największą dla kraju byłoby szkodą, gdyby się był wyłącznie i na całe życie jakiéjś specyalności poświęcił. Umysł jego jest przedewszystkiem extensywny, a działalność głównie podniecającéj natury; a takie składniki duchowe nie wydają i nie mogą wydać cierpliwych mólów naukowych, lecz nieraz wydają ludzi ogromnego wpływu, zasługi i popularności, jak Krasicki, Wiktor Hugo za nowszych czasów, a Cyceron w starożytności.

Nie będziemy się więc prawowali tutaj z Kraszewskim o wiele i wiele niedokładności, które zawiera pierwszy tom „Litwy". O wstępach jego, dotyczących języka i języko-znawstwa litewskiego, rozpisaliśmy się w drugim tomie Rozpraw i Sprawozdań wydziału filologicznego Krakowskiéj Akademii Umiejętności (str. 174 do 192). Zresztą dzisiaj nie tyle o polemikę z dawnymi pisarzami, ile o nasze własne prace chodzi, abyśmy niemi sprostowali to, co starszym wyrozumiéć było albo zbyt trudno, albo nawet niemożebną rzeczą.

Rzućmy więc okiem na ten tom „Litwy" i poszukajmy, co w nim się da znaleść lepszego, dziś jeszcze użytecznego. Pomijamy rozdziały o „Dziejach pierwiastkowych" „Urywki dziejów do XIII w.," jako właściwie należące do referatu o drugim tomie, wyłącznie poświęconym historyi Litwy; podniesiemy tylko ze wstępu słów kilka, które dokładnie wskazują stanowisko autora. „Chętnie ustępujemy drugim, powiada autor na str. 10, zasługi wyszukania nowych imion genealogii i drobiazgowego gmérania się w faktach, które żadnego wniosku stanowczego dać z siebie nie mogą... Rysy charakteru narodowego, ideę ludu, przeznaczenie.... oto cośmy głównie mieli na celu." Zapewne, cel taki byłby bardzo pięknym i dającym się doścignąć, gdyby prace przygotowawcze na polu badań litewskich były całkowicie dokonane; ale omijać „drobiazgowe gméranie się w faktach" i na chybił trafił gonić za „słowem dziejów," temu właśnie mógł się poświęcić tylko umysł niecierpliwy, umysł syntetyczny, z natury nieprzyjazny analizie. Lecz niestety, co innego jest „tworzyć" poemat lub powieść, a co innego „odtwarzać" przeszłość rzeczywistą. Pogarda „drobiazgowego gmérania się w faktach" nie uchodzi bezkarnie w badaniach naukowych, również jak i bezkrytyczność. Jakoż, po wielotomowych pracach Narbuta i jego następców, musimy dziś znowu wracać tam, zkąd zwykle zaczynać należy: do źródeł, do krytycznego a umiejętnego ich zbadania.

Rozdział p. n. „Ziemia Litewska i jéj płody" bardzo wiele pozostawia do życzenia pod względem dokładności i porządku; zresztą główna wina w tém nie Kraszewskiego, bo tak mało w tym zakresie przed nim i podziśdzień nawet zrobiono, że najzdatniejszy pisarz nic wyczerpującego tu nie zdołałby ułożyć. Tu jak i wszędzie Kraszewski przedewszystkiém jest powieściopisarzem; niech czytelnik spojrzy raz jeszcze na str. 26 i dalsze, co to za kwiecistość obrazów, co za styl namaszczony: „O brzegi piaszczyste morza biją fale jego chłodne.... wzgórki zarosły lasy zielone.... starych puszcz szumiące konary.... cisza dokoła uroczysta... gdzieniegdzie żółty piasek wysypał się z rzek na pola... w cichém jeziorze kąpią się skrzydłami rybitwy białe.... Co za uroczysta cisza, jaki spokój wielki dokoła! Boga widać wszędzie".... i tak daléj, i tak daléj. Niejeden oddałby wszystkie te uroczyste cisze i widzenia Boga za garstkę dokładnych szczegółów geograficznych, statystycznych i etnograficznych, chociażby tak po amatorsku, ale za to z naocznego przypatrzenia się skreślonych, jak „Obrazy" Wincentego Pola. Ale drobiazgowe a fachowe badania nie leżały w naturze naszego autora; a prac przygotowawczych, któreby mógł spożytkować, prawie nic było.

Nie będziemy téż wyrzucali Kraszewskiemu, że w rozdziałach o „Wierze, kapłanach i religii litewskiej," oraz o „Ustawach, obyczajach i t. d." poszedł co do materyału za Narbutem, a co do pojęć ogólnych za poglądami swojego czasu. Korzystał z

zasobów, jakich mógł dostać z drugiéj ręki i sam ani chciał, ani zdołał zbierać od ludu podań i wierzeń; na to potrzebaby dużo czasu i niewyczerpanéj cierpliwości, a potem dlugoletnich badań, aby rzeczy nagromadzone porównać i pogodzić za pomocą nauki mitologiczno-porównawczéj z wierzeniami innych czasów i plemion, oraz z tém, co dawni pisarze nam o wierze dawnéj Litwy podali. Nie dziwmy się przeto, czytając takie np. zdanie (str. 99), że „fałszywe i zabobonne wiary... są przeczuciem, przygotowaniem ku doskonalszéj, prawdziwéj“ i że niéma na świecie systemu religijnego, niema pojęcia, któreby się do wiary litewskiej nie domięszało (str. 101—103). Dziś już rzadko kto dzieli wiary na fałszywe i prawdziwe, i rzadko kto przypuszcza w mowach i religiach mixtury międzynarodowe, lecz przed trzydziestu laty filozofowie niemieccy szerzyli tego rodzaju teorye, nie tyle oglądając się na fakta, ile snując pajęczynę własnych systemów świata i dziejów. Co się zaś tyczy szegółowego przedstawienia Parnasu litewskiego, to ponieważ Kraszewski prawie bez żadnego protestu poszedł za Narbutem, to i w „Litwie“ jego znajdujemy cały ów szereg podejrzanego autoramentu bogów i bogiń, z którego przed prawdziwą krytyką może dziesięć postaci zaledwo się ostoi, a reszta zniknie, jak owe Znicze i Anafielasy, o których Litwa nigdy nie słyszała przed Narbutem. Nie wiele, ale coś już przecie uczyniono do wygnania owych bóstw samozwańczych, którémi Łasicki, podobno na złość katolikom, niebiosa Litwina zaludnił. Gruntowna praca prof. Mierzyńskiego o Łasickim (w LXI tomie Rocznika Towarz. Nauk. Krak. 1870), przypisy Akielewicza do Lelewela „Polska, dzieje i rzeczy jéj“ tomu V, Schleichera „Lithuanica,“ oto trochę zasobu, w który się uzbroiwszy, badacz dzisiejszy może, jak Orfeusz po zgubioną małżonkę, spuścić się w otchłanie piekieł litewskich, po zatracony wątek ich wiary. I tu jednak, powtarzamy, nie rzucajmy lekkomyślném slowem na Kraszewskiego; i tu brał on, co znalazł gotowego; my młodsi nie daleko poszliśmy naprzód i nie wiele mamy do pochwalenia się w tym kierunku, chyba może szczyptę wyrobienia krytycznego i metodologicznego, które nam ogólny postęp nauki mitologicznéj ułatwił.

Najlepszemi dziś jeszcze rozdziałami pierwszego tomu „Litwy“ są VIII. IX i X. Zawierają one pieśni, przysłowia i podania litewskie, kommentowane przez autora. Przysłowia wypisał Kraszewski ze słownika Ruhiga i Mielckego, oraz ze zbiorku Jucewicza; podał ich przeszło czterysta w oryginale i przekładzie, objaśniając ich znaczenie z warunków żywota ludu litewskiego. Pieśni dostarczył Kraszewskiemu zbiorek Rhesy, opatrzony przekładem niemieckim i przypisami Kurschata. O zbiorze pieśni Staniewicza autor wie tylko; jak się zdaje, ze słyszenia.

Prawie wszystkie pieśni Rhesy autor nasz wiernie przełożył i przypisami objaśnił. Ten przekład pieśni i przysłów największą jest zaletą pierwszego tomu „Litwy.“ i dzisiaj dla nieznających języka litewskiego, bardzo użytecznym jest materyałem. Rozdział o „Podaniach“ dostarcza pewnéj ilości legend ludowych i kronikarskich; tu już trzeba ostrożnie i krytycznie słuchać naszego autora, bo przyjmuje on zbyt często z dobrą wiarą to, co Stryjkowski i Narbut, nie oglądając się na pewność lub niepewność źródła, za podania ludowe mieli.

Streszczam tu jeszcze w kilku słowach, com dotąd powiedział. Praca ta Kraszewskiego, jak i wszystkie jego dzieła naukowe, nie tyle jest zgłębiającéj, ile uogólniającéj, popularyzującéj natury: skutek tedy musiała wywrzéć i wywarła nie tyle posuwający naukę naprzód, ile podniecający innych badaczy, a szczególnie ogól, do bliższego rzeczy poznania. Co zaś do twórczości autora, złożyła ta książka jeszcze jeden dowód niesłychanéj pracowitości i rozległości jego umysłu, oraz pożytecznéj a szeroki zakres ogarniającéj działalności pisarza, który, jak Nil swoim niezbyt głębokim, lecz za to nader rozległym wylewem użyzniający ogromną przestrzeń, roznosi dobrodziejstwo światła i zapładnia niwę umysłowości krajowéj, sząc uprzystępnione ziarna wiedzy w najdalsze jéj zakątki i w najgłębsze pokłady społeczne.

Jan Karłowicz.

III.

LITWA, Tom II. — Litwa za Witolda.

Stajemy przed właściwą historyą Litwy na kartach dzieła Kraszewskiego. Porzuciliśmy przedsionek pełen starożytnych ciekawości, owiany tchnieniem uczuć minionych, pogrążony w półmroku. Tu badacz otworzy podwojc, roztoczy się przed nami historyczna widownia z pełném na niéj życiem tłumów i wybitnych postaci... Bojowy to obraz pomsty lub obrony, pod wrzawą którego ukrywa się do niedostrzeżenia prawie wewnętrzna organizacyjna praca społeczna.—Wzrok nasz używa do sytości widoku walk odpornych lub zdobywczych, w których nieodłączny od czasów i pojęć, krwawy, pogański fanatyzm, równoważy się miłością kraju aż do spowszednienia bohaterstwa.

W dziele tém pragnął autor zbadać poważnie dzieje Litwy, które fantastycznie malował, jako poeta, i dopiął celu według pojęcia swego. Jeżeli nie trafia do przekonania wstępna krytyczna myśl o dziejach Litwy w I tomie (str. 14—21) wypowiedziana, gdzie wraz z pogaństwem pogrzebał Litwy narodowość, jeżeli odpowiada tu wewnętrzne, faktami stwierdzone przekonanie, że krzyż narodowości nie tępi, lecz odradza — z uznaniem słucha czytelnik wielu innych poglądów autora. Ze zdarzeń, z objawów narodowego życia, pragnie on wydobyć zawsze ich myśl wewnętrzną, sprężynę ukrytą.—Kraszewski jest tu jednym z pierwszych na tém polu. Niewiemy, czy wiele uczynił wcześniejszy od niego Onacewicz. Ogromem pracy w przeszłości litewskiéj, umiłowaniem przedmiotu, jeżeli nie dorównywa Teodorowi Narbuttowi, przewyższa go wielekroć *krytyką faktów*, bystrością poglądów. Dzieje litewskie badane przez obcych, sądzone rozmaicie i najsprzeczniéj, w dziele Narbutta na ogromnéj przestrzeni nieumiejętnie zarysowane, na szczegóły rozsypane, Kraszewski stara się doprowadzić do syntezy i szuka wewnętrznego ich słowa.

Wstęp do historyi rozpoczyna się ukazaniem na scenie dziejowéj Wejdawuta, mitycznéj postaci, w któréj narodowe podanie skupiło dzieje połączenia plemion litewskich, tudzież idealne cnoty kunigasa. Jest to Piast litewski, wojownik i mędrzec, bez łagodnéj słodyczy rolnika kołodzieja. Mityczny ten władca skupia rozdzielone plemiona, podnosi oręż przeciw najeźdzcom, kraj porządkuje, prawa stanowi — z wiarą religijną, właściwą plemieniu, z którego powstał, korzy władzę świecką przed władzą duchowną—nareszcie dzieli kraj między synów i syt wieku a sławy, płonie na ofiarnym stosie. Tak go przedstawia podanie.— Imię Wejdawuta zdaje się wskazywać dostatecznie czysto litewskie źródło, przecież Kraszewski chce go mieć uosobieniem władców skandynawskich, zlewających się z podbitym ludem. Na mniemanie autora wpływa tu zapewne uczony Voigt, wiadomy zwolennik historycznéj germanizacyi, o którym jednak autor nasz sam świadczy (str. 428), że wbrew lingwistycznym i dziejowym dowodom, radby starożytnych Prussów uczynić gotycką odroślą.

Twierdzenia autora o Wejdawucie nie wyczerpują kwestyi, lecz zbliżają wielce ku jéj wyjaśnieniu. Z badania jego w tym przedmiocie, jeżeli niewiemy napewno, czyli Wejdawud był skandynawcem, czy Herulem może, czyli kość z kości starożytnych Prusów, widzimy w nim uosobienie wielkiéj dziejowéj przemiany w plemionach litewskich, dojście ich do świadomości, uorganizowanie, przeście z epoki biernéj w czynną i zaznaczenie całéj przyszłéj dziejowéj działalności.— Ogromne to rysy, praca wieków i wielu ludzi, w jedno trwanie życia ludzkiego, w jednę postać skupione.

Z przekonywającą śmiałością sądu, stanowczo odrzuca autor wiek VI po Chrystusie, Wejdawutowi przez Voigta i Narbutta naznaczany. Podnosi tę postać nad zwykłe ludzkie rozmiary, mgłą podań przesłania, w starożytność odsuwa, i w tém zdaje się najlepiéj tłumaczyć uczucie ludu, własne swe dzieje malującego w starożytnéj przez przez się postaci.— Wejdawut u Kraszewskiego wraz z całym kręgiem działalności swojéj, nie jest nawet historyczną osobą, co najwięcéj imię niegdyś rzeczywiście może wsławione nosi— jest uosobieniem całéj epoki, odbiciem działań massy ludowéj, i tak go pojmujemy najlepiéj.

W pobieżnych rysach odmalowywa nam dwie inne postacie mityczne: Gellona i Nemona, którego ma za jedno z Palemonem, a mając wejść w obręb rzeczywistéj historyi, rzuca okiem na przestrzeń przebytą i uniesiony pięknością podań, które cytował,

kończy rzecz o nich wstępem siły i natchnienia pełnym: „Na tle dziejów, co runęły przysute niepamięcią, wznoszą się te gmachy podań z różnokolorowych promieni tkane, prawdziwe zjawiska powietrzne na kształt tych, co je na morzu widują żeglarze. W nich budowa starych gmachów upadłych odżywa, ale jaśniejąca tysiącem barw, blasków łudzących a cudnych. Głęboki rozum, stary, siwy swój włos ukazuje wszędzie z pod różowéj szaty podania. Wielka powaga, wielkie umiarkowanie, dziwnie się tu łączy z bujną poetyczną wyobraźnią. Czego się dotknęło podanie, wyidealizowało, wypadki wzięły na się ciało, epoki stanęły ludźmi, wieki ścisnęły się na lata, narody wstały z grobów i uosobiły się w postacie widome."

Rozdział następny p. t.: Urywki dziejów do XIII wieku, przedstawia epokę w dziejach Litwy najbardziéj zakrytą, urywkowo znaną, całe wieki głucho milczącą, nieledwo pustynną. Kształtujący się naród poznać się jeszcze nie dał, podania ucichły, postronni milczą o Litwie, ledwie słychać wzmiankę jaką krótką w sagach skandynawskich, w relacyi podróżnego Duńczyka. Bliżéj nowszych czasów już liczniejsze odzywają się głosy. Ruś w kronice Nestora poczyna mówić o Litwie—apostołowie, krew przelewający, udzielają zachodnim narodom wieści o téj dziedzinie pogaństwa. Lecz wieści te głuche, niejasne. Żadna postać wyraziście nie przebija się przez tę ciemność dziejową. Historyk tu z mozołem szczupły plon zbiera, a po bujnéj epoce podań nic nie ma dla artysty. Na krótkiéj więc przestrzeni dwudziestu kilku kart autor zamyka puściznę ośmiu wieków, od V do XIII. Posiłkuje się tu sagami normandzkiémi, sprawozdaniem Wulfstana, nareszcie podaniami kronikarskiémi Stryjkowskiego, przypuszczalnémi datami Narbutta. Nie mógł opuścić autor tradycyjnych wieści o Knasie, Borku, Sperze i ich następcach —przeto pisze o nich w naznaczonéj zdawna epoce, żadnych własnych nie czyniąc dociekań. W słuszną wszakże wątpliwość podaje genealogią ówczesnych kunigasów—sztucznie ułożoną przez kronikarzy, łatwowiernie przyjętą przez Narbutta. W wiekach tych zaznacza jedynie, jako pewność, wyrobienie władzy monarchicznéj w Litwie, wyraźne wzrastanie téjże z ujmą starego teokratycznego rządu— mianowicie od połowy XI wieku.— Władza ta rozbita jeszcze na liczne niezależne dzielnice, nie doszła do stworzenia ogniska.— Ale rychło to nastąpi.— W rozwoju badań widać jasno, jak szczególne położenie Litwy, wczesne zagrożenie granic, z ludu wolnego, miłującego rolę, czyni ją stopniowo ludem wojowników, zmusza do porzucenia swobód starożytnych i wiedzie do niezbędnego w obronie bytu przyjęcia jedynowładztwa.

Początkowe karty tomu II przedstawiają nam owo młodzieńcze budzenie się narodu do politycznego życia. Z północą, wschodem i południem już się Litwa starła, szereg walk się rozpoczął. Nie ma w nich jeszcze spójni i jasnéj przewodniéj idei—lecz niebawem ujrzy zagrożone plemię, zkąd mu największe bije niebezpieczeństwo. Z początku XIII wieku autor ukazuje dwa widma groźne, powstające na granicach Litwy: Zakon Mieczowy i Zakon Krzyżacki. Jest to chwila stanowcza, rozstrzygająca o dwuwiekowéj przyszłości całego kraju. Jakże ją autor osądzi?—Z podziwem widzimy go uznającego potrzebę istnienia w Prussyi Krzyżaków i chrztu ich krwawego, niespodzianie dobiega nas z kart dzieła echo wieków średnich. Że młodzieńcze te wieki w fantastycznym zapale stapiały w jedno: pojęcie miecza i krzyża, dziwić się niemożemy.—Dzieciństwo umysłu dozwalało epoce ówczesnéj bratać z sobą niezbratane, zlewać w jedno bijące sprzeczności i pojęciem Faustrechtu wdrażać pojęcie ofiary. Palono, mordowano, grabiono i chrzczono. Wiadomo, jak daleko wiodły sposoby takie, sprzeczne z naturą człowieka. Plemiona slabsze ginęły, rozgniecione stopą nieprawego apostoła, plemiona większego charakteru podnosiły się do walki olbrzymiéj na śmierć lub życie. Obraz pierwszych daje słowiańszczyzna nadmorska, pogrzebana w Meklemburgii i Braniborzu, dopełnia go wynaturzona i skarlała Łotwa. Obraz drugich mamy w rozpaczliwym boju Litwy i Żmudzi, których przymus nie zdołał nawrócić. Gdy więc czytamy autora, pochwalającego te sposoby na str. 480, 490, 516 i innych I tomu—cieszymy się, że w dalszym ciągu dziejów sam je najlepiéj zbija na str. 264 tomu II-go.

Zbliżamy się do niedość rozjaśnionego punktu dziejów, do epoki Ryngolda.— Z upłynieniem pierwszéj ćwierci XIII w. nastaje dla Litwy stanowcza chwila zjednoczenia.— Tu Kraszewski łącznie ze Stryjkowskim i Narbuttem idzie za podaniami narodowémi, odrzuca sceptyczne uwagi Daniłowicza, nie waha się przyjąć Ryngolda za osobę historyczną, i uznać go twórcą jedności litewskiéj, pierwszym kunigasem Wielkim, jakim go czynią pogania.—Niedowiarstwo Daniłowicza z wielkiego lekce-

ważenia podań narodowych wyniklo. Nie mógł go mieć wielbiciel poezyi, uznawca pieśni gminnéj, artysta wszędzie towarzyszący badaczowi; nie postawił przeto Kraszewski tych podań na równi z kronikarskiémi fikcyami. Wystarczały mu świadectwa latopisu, przywiedzione przez Stryjkowskiego, Kojałowicz, kronika Narbutta, by przedstawił Ryngolda przeobrazicielem Litwy i wodzem wielkich, rozstrzygających bitew pod Mohilną i Kamieniem.

Dla czego następującą po Ryngoldzie chwilę, gdy nawałę Mongolską Batego wstrzymała Litwa i pokonała, Kraszewski chce mieć kulminacyjnym punktem jéj dziejów, po którym miało nastąpić powolne konanie?—Nie rozstrząsamy.—Zwracamy jedynie uwagę, że w téj epoce młode państwo ledwo się organizuje, że Mendogowa bitwa nad Durbą równieby ważną mogła być chwilą dziejów, ponieważ złamała stanowczo roszczenia Germańszczyzny na Wschodzie, że rozkwit jeszcze późniejszego Gedyminowego państwa miał także osobną missyą swoję i nie był żadną miarą konaniem.

Występuje przed nami postać, nazwana przez autora największą w dziejach litewskich, uczczona przezeń osobnym poematem. Wiemy już, że jest nią Mindows.—Mindows, oskarżany zajadle i z uniesieniem broniony, krwawy poganin u jednych, neofita nieszczęśliwy u drugich, w każdym razie wielki przedstawiciel narodu, dotąd najsprzeczniéj sądzony. Po któréj stronie szali ujrzymy zdanie autora? Kraszewski, zdumiewając się charakterowi Mendoga i szczególnie burzliwym jego dziejom, zachowuje mu charakter przebiegłego poganina. Jest li to ostatni wyraz krytyki historycznéj w charakterystyce Mendoga? Nie sądzimy.

W ogóle sprzeczne o Mendogu świadectwa nie zostały jeszcze bezstronnie zestawione i porównane. Pomnijmy téż, jak trudno wydać zdanie o wielkim wojowniku, namiętnie u sąsiadów sądzonym, o którym źródła krajowe prawie milczą.—W tak dramatycznym żywocie, jakim był żywot Mendoga, co za bogate pole dla fantazyi poetyczńéj!— Nie możemy więc poprzestać na sądach dotąd wyrzeczonych.— Wyznać jest słuszniéj i lepiéj, że dotychczas postać to niezbadana, że czeka, jak już czekało wielu bohaterów przeszłości, swego badacza i odtworzyciela, któryby go z dziedziny poezyi i niepewności wywiódł na stały grunt historyczny.— Miejmy nadzieję, iż z biegiem czasu wytrysną nowe źródła dziejowe, lub obszerniéj opracowane ukażą się materyały, które dozwolą rozstrzygnąć pomiędzy biegunowo przeciwnémi twierdzeniami: Kojałowicza a Łukasza Dawida, niepewnym sądem a Daniłowicza dowodzeniem Narbutta. Kraszewski przechyla się ku Daniłowiczowi, aczkolwiek więcéj od niego przyznaje Mendogowi myśli wielkiéj i celu narodowego.— Co do szczegółów jego panowania, zaprzecza dziwacznéj wieści o wędrówce Mendoga do Rzymu—lecz odejmując jéj prawdopodobieństwo, z drugiéj strony winienby zacytować w całości ważną bullę Klemensa IV, wydaną już po śmierci Mendoga, a rzucającą ogromne światło w kwestyi. jak się Rzym na sprawę chrześciaństwa zapatrywał. Nie znajdujemy téj bulli w dodatkach na końcu dzieła przywiedzionych. — Dokument ten znany Narbuttowi z Rajnalda, cytowany jest u Theinera w „Monumentach" T. I str. 79.

W przerwie lat dwudziestu między zejściem z widowni Mendoga a ukazaniem się Witenesa, panuje taka niepewność w genealogii rozdrobnionych książąt, taki zamęt w obrazie, wynikły z przypisywania jednych i tych samych faktów coraz innym sprawcom, ciemność źródeł lub stronność w ich tłumaczeniu, że ustęp Kraszewskiego, dotyczący téj epoki, równie jest niejasny i niewystarczający, jak rozbiory poprzedników. Nie winą to autora. — Dotkliwie daje się tu uczuwać ubóztwo źródeł, brak materyałów. Dotychczasowe niezbadanie kwestyi sprawia, że historykowi, pragnącemu dać jasny i przystępny téj epoki dziejów obraz, wątku zdrowego braknie, zadawalniać się musi prawdopodobieństwy, pogrążać razem z czytelnikiem w niepewnościach— w dziele zaś streszczoném, jakiém jest „Litwa" Kraszewskiego, stawiając wnioski nowe, poprzéć ich nie ma pola.— Takim wnioskiem u autora dostatecznie nie popartym, jest przypisanie Lutaworowi i Witenesowi morderstwa W. księcia Trojdena. Występuje tu autor wbrew opowieści Stryjkowskiego i odnalezionemu niedawno jednemu ze źródeł jego: kronice książąt Zasławskich, Berestowickiéj czyli kronice Bychowca. Wspiera się sam na „Gońcu Cnoty" Stryjkowskiego, który na lat osiém przed tegoż kroniką był wydanym, i na samodzielnym Gwagninie. Źródła te nie wystarczają na stwierdzenie wniosku; gdy zaś i surowy krytyk Daniłowicz nie dzieli w tém miejscu zdania z autorem, mniemamy że fakt opanowania tronu przez Witenesa, w sposób, jak o nim w dziele czytamy, nie wychodzi ze sfery przypuszczeń historycznych.

Następne karty poświęcone są wojowniczemu panowaniu Witenesa. Panowanie to

przedstawia jeden szereg epizodów wojennych większéj lub mniejszéj doniosłości; ubogiém będąc w fakta ważne, w walki rozstrzygające, nuży nieustannym broni szczękiem i obrazkami urywkowych wypraw. Wyliczanie ich mozolną pracę zadało autorowi. — Analistyczne rok po roku traktowanie rzeczy, które jako systemat przyjął w całém dziele swojém, jeszcze bardziéj utrudniło artystyczną stronę opowiadania.— Znana siła i barwność stylu Kraszewskiego w ciasnych ramkach rocznikarskich rozwinąć się nie mogła; tę niewolę systematu spostrzegamy ciążącą nad całém dziełem, najmocniéj zaś w rozdziale, tyczącym się dziejów Witenesa.

Jaśniejsze samo przez się jest panowanie Gedymina, bo tu się fakta same dzielą na pełne charakteru gruppy, a pióro historyka dość czyni, gdy idzie z prostotą za wielkością spraw i zdarzeń, które opowiada. Przy końcu rozdziału, poświęconego Gedyminowi, pióro Kraszewskiego oddaje hołd téj potężnéj historycznéj postaci, lecz gdy opowiadanie swe rozpoczyna, władcy, którego rządy były pełne spokoju i miary, zarzuca zbrodnię morderstwa. Takim sposobem miał wstąpić Gedymin po Witenesie i nie być synem jego, lecz sługą.

Najpierwsze mówią to źródła Krzyżackie, za niémi inni w obiegu wieków i autor. Istnieją też źródła całkowicie z powyższémi sprzeczne i te swoich mają zwolenników. Nie będziemy tu rozstrząsali faktu, dotąd nie zbadanego.

W historyi Litwy są zakąty tajemnicze, w które się światło jeszcze nie przedarło, „wieść tylko albo bajka wié, co się w nich dzieje.“ — Póki nie będą odkryte źródła Stryjkowskiego, kronika Rotunda i inne światła historyczne, nareszcie póki dnia nie ujrzy historya Litwy Żegoty Onacewicza w XIX w. napisana i zatracona — sprawa tak zagmatwana sprzecznémi świadectwy, nie dojdzie do rozwiązania. Ani Kraszewski wreszcie, morderstwa i przywłaszczenia tronu, ostatecznie przodkowi Jagiełły nie zarzuca.—Powiada: „nie będziemy wyrokować stanowczo“, — wiedząc, iż twierdzić tu dziś nie można; lecz w całym sposobie opowiadania ku obwinieniu Gedymina zmierza. To przychylenie się ku niekorzystnym dla przeszłości Litwy świadectwom, kilkakroć uderza czytelnika, przy badaniu obecnego dzieła. Widzieliśmy je w charakterystyce Mendoga, w opisywaniu spraw Witenesa, Gedymina. — Czytelnik szuka przyczyn, które powoływały autora do wybrania tego, a nie innego punktu widzenia. Pozwólmy sobie zwrócić uwagę na objaw psychiczny, który się przy wszelkich roztrząsaniach powtarza; występuje on nieodmiennie w rozbiorach polemicznych—a dzieje Litwy, dla różności obozów badaczy, nad niémi pracujących, weszły już na tor polemiki.—Przesada wywołuje zawsze odpowiednią reakcyą, zbytnie uwielbienia wiodą deprecyacyą za sobą, a pojęcia, od sprzecznych ucznć biorąc sprzeczny kierunek swego wyroku,—długo, jak wagi wstrząśnione, w przeciwne uderzają strony, zanim dojdą do niezmąconego spokoju, do pewności, do światła, do prawdy. Przedmiot badany wszelkie fazy polemiczne przejść musi, zanim się skrystalizuje w pewnik naukowy. W takiéj dobie polemicznego fermentu są jeszcze liczne kwestye dziejów Litwy. W faktach, o których mówimy, optymizm ostatniego historyka Litwy istotnie posunięty do wysokiego stopnia, wywołał pessymizm jego następcy. Od przyszłości czekać musimy ponownego zbadania kwestyi i rozstrzygnięcia.

Mimo cienia rzuconego z początku i podanego w wątpliwość przez samego autora (w zestawieniu stronnic 160, 233) — wspaniałą jest, jak mówiliśmy, charakterystyka Gedymina przy zamknięciu rzeczy o nim. Uroszczenia Voigta w sprawie autentyczności Gedyminowych listów—Kraszewski stanowczo zbija, nie zwracając nawet bliższéj uwagi na daremny wysiłek historyka niemieckiego w obronie téj sprawy straconéj.

Panowanie Olgerda zajmuje u autora naszego rozdział długi, barwnie i obszernie napisany. Ileżby jeszcze zyskało przedstawienie całości, gdyby go nie wiązał ów rocznikarski tok opowiadania. Najłatwiejszy to może sposób pisania dziejów, lecz powiedzmy, najmniéj godny pióra, które umie malować potężnie, zdolne jest wyryć w imaginacyi czytelnika obrazy wspaniałe. W ciasnych zakresach każdego roku więźnie artystyczna swoboda, wzrok, zatrzymany przy epizodach, nie może objąć linii ogólnych i opowieść o całém panowaniu z konieczności tracić musi jasność swych głównych zarysów.

Pozostają ustępy, i te uderzają nieraz pięknością oddania. Jeden z najwybitniejszych przypada na rok 1362-gi. Gdyby cały okres dziejowy Olgerdowych rządów opracował autor z takiém zamiłowaniem, jak odmalował ten jeden w nim epizod—bohaterską chwilę oblężenia Kowna—tyle w opowieść wlewając ciepła, z taką oddając je prostotą i artyzmem—panowanie Olgerda w potężnych zarysach zostałoby w pamięci czytelnika. Mielibyśmy tu obraz zdu-

miewającéj walki i dramatu pełen, tła krwawe i odbijające od nich sceny miłości rodzinnéj—widzielibyśmy dążenie narodu ku oświacie i wierze, w boju z potężną fakcyą, zapierającą mu drogę—przemoc niezdolną zabić ducha i tegoż nareszcie ducha narodowego, znękanego bojem odpornym i pracą organizującą, czekającego chrztu odrodzenia z ręki braterskiéj.—Pole to obfite i pełne świeżości dla autora, co porzuciwszy suche dla ogółu i kamieniste kronik obszary, wszedł na niwę powieści historycznych. Pole to mało znane. Co niedostaje w tych dwóch tomach „Litwy," co suchością razi—miejmy nadzieję—na nowo rozwinie się i wykwitnie pełne krasy z pod pióra Kraszewskiego, od którego, jako powieściopisarza, społeczność nadniemnowa i swojéj dawnéj przeszłości obrazu czekać ma prawo. Są zdroje ożywcze, wlewające otuchę tak w indywidua, jak w zbiorowego człowieka—temi są niekiedy wspomnienia.

Wracając do szczegółów Olgerdowego panowania, znajdujemy w nich fakt zdobycia heraklejskiego Chersonu. Zdobycie tego bogatego emporyum greckiego, przeglądającego się w morzu Czarném na wybrzeżach Krymskich—wymienia Kraszewski wedle wzmianek obcych i przywiedzionego u Narbutta rękopismu Łodziaty.

Rzućmy okiem na jeden jeszcze rys uderzający tego panowania. Czytelnika nie obeznanego z historyą Litwy, zdumiewa za Olgerda napływ najświetniejszych imion rycerskich z Zachodu ku Litwie.—Wiadomy jest tych wędrówek cel krwawy.—Kraszewski zbiera przedniejsze nazwiska, pokazuje, jak książęta niemieccy w XIV wieku zabawiali się w puszczach litewskich, co tam robili wówczas cywilizatorowie Francyi, Anglii, Włoch, nawet Szkocyi i Hollandyi. Zda się całe rycerstwo europejskie z głowami koronowanémi na czele, wysyłało przedstawicieli swoich nad Niemen i Wilią, a bardziéj jeszcze nad Niewiażę i Dubissę, do twardych Żmudzinów. — Przedstawiciele cywilizacyi rznęli w pień pogan ostatnich, popiołem i solą zasiewali wioski.—Kogo brakuje w téj chwalebnéj pracy przez wszystkie stopnie, od króla do knechta?—Płyną na Litwę książęta, hrabiowie, burmistrze, opaci, wiodą ich królowie czeski i węgierski; wędrują licznie niemieckie znakomitości, od książąt Austryi i Bawaryi począwszy, do przyszłych władzców maleńkiego Liechtensteinu. Norymberga próbuje też swego miecza na nieugiętych karkach Żmudzinów, Brandenburgczycy zaglądają chciwie ku Litwie;—wiekowy germański „nacisk ku Wschodowi" już wówczas trzebi sobie drogi.—Ale nie zawsze wiodą się te krwawe najścia, obławy ludzi na ludzi.—Przypatrujemy się nieraz wstydowi Krzyżowców, w odartych zbrojach, w rzadkich szeregach wracających do domu. Młody lud silnie odtrąca tych ojców chrzestnych i nauczycieli—daje się im krwawo we znaki.

Rycerze, wróciwszy do feodalnych swych zamków, mnisi, co z nimi razem litewską wyprawę odbyli, ażali nie ujęli nigdy pióra, dla oddania swych czynów, zapisania wspomnień i wrażeń? Czyli nie drzémią po niemieckich bibliotekach jeszcze nieznane jakie światła do historyi Litwy?

Przy zakończeniu rozdziału o Olgerdzie, Kraszewski przechyla się do twierdzenia źródeł ruskich, które umierającego wielkiego kunigasa czynią chrześcyaninem. Fakt ten za wpływem żon Rusinek zupełnie możliwy, przyjmuje autor samém wieści ruskich przypomnieniem.

Zbliżamy się do ostatniéj odsłony dziejów—do rozdziału, noszącego tytuł: Jagiełło. Do charakterystyki téj postaci źródła są obfitsze i daleko wyraźniéj uwidamia się nam postać Jagiełły od postaci poprzedników. Farby, któremi autor nam ją oddaje, są ciemne—i nie mogły być innémi; rok bowiem 1386 zamyka jego dzieło, a rok ten, to próg nowego życia Jagiełły, gdy go pojmujemy nie tylko już, jako naczelnika państwa, lecz jako osobistość moralną. Nowy król, noszący cały majestat chrześcyańskiego monarchy, w niczém nie podobny do zimnego poganina, któremu wiara, prawda, sprawiedliwość, kraj własny, rodzina, dziwnie były obojętne. W takiéj tu go tylko epoce widzimy; od ciemnych zdrad jego jasno odbija szlachetna postać Kiejstuta i młodzieńcze oblicze Witolda, którego dzielnych spraw początek tu tylko oglądamy.

Doszliśmy do końca téj pracy Kraszewskiego.—Poglądając na spuściznę historyczną, jaką nam zostawiły wieki, widzimy, że autor w obecném dziele skończył opowieść zawcześnie—nie dokończył raczéj. Imponujące potęgą i trwaniem panowanie Witolda, będzie przedmiotem osobnego jego dzieła, lecz nie ujrzym tam wojen wschodnich za Jagiellonów, gdzie interes Litwy tak odrębnie jeszcze występuje, ani wewnętrznéj pracy prawodawczéj, któréj owocem był statut wieków późniejszych. Rodzime i samoistne trwają dzieje Litwy do Jagiełły—odrębne mimo połączenia ciągną się jeszcze do Zygmunta Augusta; do Unii za-

tem Lubelskiéj winny być badane osobno i wcześniejsze ich zamknięcie ujmę przedmiotowi czyni.

Mimo tego niedokończenia, dzieło Kraszewskiego pełne jest pożytku. Między dawnymi kronikarzami, tudzież obszerną i drobiazgową pracą Teodora Narbutta, a studyami, których od przyszłości winniśmy oczekiwać, jest ono koniecznym łącznikiem, zgromadzeniem plonu, skupieniem promieni. Do popularyzacyi dziejów Litwy bez poznania tych dwóch tomów zabierać się nie można. Czerpać należy w tém bogactwie faktów, badać plastyczność opisów, zastanawiać się nad umiejętnością charakteryzowania indywidnów. Inną rzeczą są ogólne poglądy i sądy w historyi. Przy dzisiéjszém nierozwinięciu przedmiotu, ostatecznemi, one tu być nie mogą i nie są. Historyą swą, która ma być odbiciem całego społecznego życia, w któréj ma jaśniéć poznanie posłannictwa swego, w któréj wreszcie, jako w skarbcu, ma być złożoną mądrość danych społeczeństw—narody piszą przez wieki, i przez stulecia do świadomości swéj dążą. Nie dziwmy się, że w dziejach litewskich, badanych mało, najmniej zaś przez staréj Litwy potomków, tyle jest jeszcze miejsc ciemnych, wniosków sprzecznych, pytań nierozstrzygniętych, że dzieło Kraszewskiego nie gasi jeszcze pragnienia. Dziękujmy mu za dalszy krok na téj drodze. Summując usiłowanie poprzedników, dał nam dziejów obraz w nieporównanie przystępniejszéj formie — w natłoku faktów śledząc ożywiającego je ducha, dalszą drogę badaczom ukazał.

Uzupełnieniem poprzedniego dzieła jest obszerne opracowanie J. I. Kraszewskiego p. t. *Litwa za Witolda*, umieszczone w Athenaeum wileńskiém z r. 1849, pod jegoż redakcyą wydawaném. Wyszło w książce oddzielnéj w Wilnie 1850 r. Pracą tą wynagrodził autor w najznaczniejszéj części brak, jaki się w poprzedzającém dziele uczuwa. Doszło ono, jakieśmy wspomnieli, do r. 1386. Tu, w sześciu zeszytach wileńskiego pisma Kraszewski nawiązuje nić przerwaną, a jeżeli nie prowadzi opowiadania po rok śmierci Witolda, 1430, w szczegółowym za to obrazie wiedzie czytelnika na ów wybitny punkt dziejów Litwy, z którego na przeszłość zapatrywać się łatwiéj. Spójrzmy na źródła, służące autorowi do obrazu Witoldowego panowania.

Ze względu zapewne na cel swéj pracy, zawsze bardziej upowszechniający, niżeli ściśle naukowy, Kraszewski podobnie, jak w dziele poprzedniém, mało tu źródeł przywodzi. Powoływanie się niekiedy na Długosza, Wapowskiego, Bielskiego i niewielu innych, częstsze przywodzenie Indexu Napierskiego — wzmianka o Latopisie Daniłowicza, Dziejach Narbutta, wskazują, gdzie przeważnie autor czerpał. Badania Teodora Narbutta na dokumentach królewskich wsparte, w téj epoce wielce są obfite i szczegółowe; dają one dziś jeszcze każdemu badaczowi dziejów Witolda pożyteczny i bogaty materyał—dawały go tém bardziej wówczas, gdy nie istniał zbiór dyplomatów Daniłowicza w 1862 r. wydany, zbiór, jak mówi Jul. Bartoszewicz, do odtworzenia żywota Witolda najlepszy.

Autor prowadzi opowieść, przyjętą przez się metodą rocznikarską. Ale nie same Witoldowe sprawy roztaczają się przed oczyma czytelnika. Wszelkie działania Jagiełły w Litwie, krzyżackie owoczesne dzieje, wielki sobór konstancyeński, o ile się odnosił do spraw Litwy i Polski, miejsce w opowiadaniu znajdują. Treść więc historyczna téj pracy jest bardzo obfita. Dotkniemy jéj głównie w téj części, gdzie autor traktuje o bohaterze epoki — Witoldzie.

Królewskie wesele w Krakowie w 1386 roku rozpoczyna opowiadanie. Wiemy, jak wówczas Witold w obliczu młodzieńczéj królowéj bronił czci Jagiełły w przedmiocie Kiejstutowéj śmierci. Sprzyja on gorąco przyszłemu królowi, darowywa mu zniewagę i zdradę ojca, jeżli nie wierzył w winę jego śmierci, niepamięta dawniejszego zabrania ojcowizny; szczerze i z wylaniem należy do tryumfalnego orszaku stryjecznego brata. Widzimy go tu po raz pierwszy, jak wysłany razem ze Skirgiełłą w zagrożone strony Polocka, powściąga bunt Wingolta, składa hołd królowi i wraca na łuckie i grodzieńskie księstwo, jako uległy acz ambitny lennik.

Pierwsze téż lata opowiadania tyczą się więcéj działalności Jagiełły w Litwie, niżli lennika. Jagiełło, z jednéj strony odpychając zawistne połączeniu dwóch narodów napaści krzyżackie, z drugiej prociąga tłumy do chrztu zdrojów, nadaje wyższéj warstwie swego narodu większe swobody i szereg hołdów lenniczych odbiera. Tu spotykamy zbyt ogólnikowe zdanie autora. Bojarów (raczéj bojarasów) litewskich, powiada, dopiéro od połączenia z Polską powoli do Rady przypuszczać zaczęto (osobnego wydania str. 7). Nienależy brać ściśle tego wyrażenia, gdyż współudział możniejszych w radzie kunigasów zdarzał się dawniéj, choć ta niewątpliwie praw określonych jeszcze niemiała, ani ciałem pra-

wnie do rządów wpływającém nie była. Za Jagiełły, przed obiorem go na tron polski rada panów wstrzymuje W-go Księcia, by nie jechał do Mistrza, czekającego na zjazd w pobliżu (Zjazd w Christmemlu 1383, dokument Krzyżacki u Danił.). Sam Jagiełło na zdanie panów swoich się powołuje. Zaś jako świadkowie umów i traktatów występują możni litewscy na dokumentach o sto górą lat wcześniejszych—Mendoga, później Kiejstuta i innych. Wróćmy do głównéj postaci.

Na szczupłych posiadłościach swoich Witold jest organizatorem. W 1388 roku w Łucku nadaje przywiléj Żydom, biorąc ich pod opiekę prawa, artykuły dokumentu szczegółowo Kraszewski przywodzi. Następnie obdarza katedrę wileńską. Ale niedługo ujrzymy go na polu bitwy, gdzie się bracia z braćmi zetrą. Fakt rokoszu Witolda z wielu względów usprawiedliwia Kraszewski, jak to czynią inne poważne pióra historyczne. Usprawiedliwienie to zaś leży w wyświeceniu warunków i okoliczności, które go otaczały. W nieudolne, a co gorzej nikczemne ręce powierzył Jagiełło rządy ojczystego kraju. Był nim „dumny a słaby, gnuśny a srogi“ Skirgiełło, osobisty Witolda nieprzyjaciel i po nim z woli Jagiełły nieprawy dziedzic jego Trok ojczystych. Takiemu zwierzchnikowi musiał Witold z woli króla zaprzysiądz przyjaźń dokumentem w Lublinie, lecz i tém prześladowcy nie zadowolnił. Lękał się Skirgiełło mocnéj duszy przeciwnika, którym go własne straszyło sumienie, nienawistnie przed królem go czernił, a król dawał ucha rodzonemu bratu i coraz ciaśniej obręcz niewoli w koło stryjecznego zaciskał.—Położenie Witolda w tych słowach maluje Kraszewski: „Otoczony szpiegami rozpaczał: a rozpacz takiego, jak Witold, człowieka, musiała rychle zrodzić przedsięwzięcie stanowcze, odważne, groźne dla Skirgiełły.“—Powstał i ruszył na Wilno, chcąc ubiedz miasto i opanować namiestniczy tron wielkoksiążęcy bez krwi rozlewu. Lecz nie udał się zamach na stolicę. Witold cofnął się do Grodna, dwie ostateczności mając do wyboru: wojnę,—téj zaś sam prowadzić nie był w stanie—, lub sroższe jeszcze poniżenie. Niedługo się wahał. W 1390 r. widzimy go pożądanym gościem na krzyżackiéj ziemi, groźnym nieprzyjacielem Skirgiełły i trzymającego z nim króla.

Tu jest miejsce zastanowienia się nad okolicznościami powtórnego udania się Witolda do Zakonu. Idąc widocznie za Stryjkowskim, Kraszewski wiedzie Witolda ponownie przez ziemie książąt mazowieckich, na ich dworze każe mu szukać pomocy, co miało miejsce za poprzedniéj ucieczki o osiem lat wcześniej t. j. w r. 1382. Współczesny zaś Witoldowi Latopis Podlaski (wyd. Danił. str. 44) z Litwy prowadzi go prosto do Pruss i za tą wskazówką bardziej przekonywającą poszedł autor Skarbca dyplomatów (T. I str. 278 — 280).

Rozpoczęła się dwuletnia wojna bratnia 1390—1392. Konrad Wallenrod, W. Mistrz, wspiera Witolda, szeroko płoną okolice Wilna i samo miasto oblężone. Ambicya Witolda jest wielka, ale jéj nie ustępuje téż gniew i niechęć Jagiełły. Nareszcie ostatni ulega. Jagiełło ofiarowywa Witoldowi, czego téż pragnął i czego był godzien—tron wielkoksiążęcy—z którego mógł rozkazywać dalekiemu wschodowi. Zasiadł Witold na stolicy Gedyminowéj, zaprzysiągłszy wierność Jagielle, i odtąd „zaczyna się świetny zaborczy zawód jego“ choć srogo nad wyraz opłacił związek z Krzyżakami, trucizna krzyżacka obu młodzieńczym synom jego życie zabrała.

Zaznaczamy tu, że Kraszewski różni się z Daniłowiczem, Narbuttem i Onacewiczem w przywiedzeniu daty otrucia synów Witoldowych. Odrzucając rok 1384, 1385 i 1392, którą za Narbuttem przyjął Szujski —przypuszcza autor jako trafniejszą rok 1390 lub 1391.—Rozdzielona po księstwach lenniczych władza, jednoczy się teraz w silnéj dłoni Witolda, miasta nieposłuszne się poddają, prowincye zbuntowane korzą. Jagiełłowi bracia jeden po drugim uchylają przed nim głowy i zrzekają się resztek udzielności, a gdy z dalekich brzegów Wołgi han kapczacki Tochtamysz zbiegł do Litwy chroniąc się pod Witolda opiekę, on sam w stepy podążył, odniósł osobiście zwycięztwo za Donem, w dzikich hordach takie wzbudzając poszanowanie, że go nawet późniejsza własna jego porażka nad Worsklą w pamięci Tatarów nie zatarła.

Okres opowiadania zamknięty w trzecim zeszycie Athenaeum od r. 1399 do 1410 oprócz opisu owéj bitwy nad Worsklą, zawiera bolesne dzieje Żmujdzi, w znacznéj części odstąpionéj Krzyżakom, unią Wileńską z r. 1401, trzykrotne zwarcia się z Moskwą i prolog bitwy Grunwaldzkiéj.—Autor szczegółowo opisuje wypadki, choć mnogość ich, rozmaitość, ważność każdego nie daje mu wyczerpać przedmiotu. Bo i potężna działalność Witolda różne ludy i ziemie obejmująca, pole do pracy historycznéj daje rozległe a trudne. —

Traktatem Salińskim odstąpiona Żmujdź, którą autor nazywa: „najżywotniejszą częścią Litwy,“ spłaciła grzech kłótni braterskiéj. Obwinia autor Witolda, że tę krainę swoję „zaprzedał,“ gorszy się, widząc go na czele bratnich hufców,, zmuszającego Żmujdzinów do jarzma niemieckiego, przypuszcza wszakże w tym kroku Witolda cel polityczny na przyszłość. Żmujdź nie dozwalała się w karby ująć, niedawała się nawrócić, była bijącym w oczy powodem dla Krzyżaków do głoszenia całéj Litwy za pogańską. — Witold oddał ją do szkoły twardéj, z któréj rzeczywiście wróciła z czasem posłuszniejsza i cicha.— Lecz krwawy i boleśny widok przedstawia dziesięcioletnie szamotanie się opuszczonéj krainy, widok ten samego Witolda porusza. — W r. 1401 próbuje wyrwać z rąk Zakonu niechcącą mu się poddać ziemię — wojnę w tym celu podnosi, ale zbyt wielką jest przemoc okoliczności. Sam król odstępuje zakonowi palący grunt Żmujdzki, Witold siłą, groźbą i radą zmusza Żmujdzinów, by się konieczności poddali. Ujrzymy późniéj, że dopiero bitwa Grunwaldzka 1410, a ostatecznie pokój Melneński jeszcze we dwanaście lat późniéj, uwolni Żmujdź zupełnie, i niezawodném jest, że pomoc polska w tém oswobodzeniu Żmujdzi wielki udział wzięła.

Nad unią Wileńską 1401 r. zastanawia się autor, jako nad politycznym krokiem Polski, która rosnącéj potędze Witolda szlachtę litewską, nowémi prawami obdarzoną, przeciwstawić chciała. Wiele słuszności może być w tym poglądzie. Atoli z niedość jasnego języka dokumentu wypłynęło mylne mniemanie autora, że szlachta litewska wówczas i prawo obieralności królów otrzymała. Byłoby to niesłychanie przedwczesne; od samowładztwa do wolnéj elekcyi przeskok zbyt raptowny. Niebezpieczną tę swobodę dała dopiero unia lubelska, niema o tém wzmianki dokument wileński, przywiedziony w Vol. leg. (T. I str. 27) w zbiorze dyplomatów Daniłowicza (T. I. str. 323) i w innych.

Cały ustęp w czwartym zeszycie poświęcony jest wielkiéj potrzebie Grunwaldzkiéj. Rada koronna nie sprzyjała wojnie, mówi Kraszewski; na zjeździe w Łęczycy (widoczna pomyłka zecerska kładzie w texcie: Stężycy) silnie panowie radni nalegali na króla, aby wojny z Krzyżakami zaniechał. Nie poszedł król za tą radą: témbardziéj jemu i Witoldowi przypada chwała doprowadzenia Grunwaldu do skutku. Wspaniała bitwa w drobnych szczegółach odmalowana, czerpaną jest przeważnie z opisów Długosza. Obu braciom bohaterom dnia tego nadaje autor należne im pierwsze miejsce w opisie i charakterystyce chwili. Walczyli obaj, Jagiełło modlitwą i podniesieniem ducha, Witold zapałem i mieczem, obu widzimy tu w tych wielkich posągowych rysach, jakiemi ich dzień 15 Lipca 1410 roku w dziejach obu narodów zapisał.

Niepolityczny pokój nastąpił, jak wiadomo po walném zwycięztwie. Mało razi następne orzeczenie autora: „przymierze Toruńskie dla Polski i Litwy było tak wielką przegraną, jak Grunwaldzka potrzeba dla Zakonu.“ Szczęściem, że następne czasy wiele z tych omyłek naprawić dały.

Akt unii horodelskiéj i nawrócenie Żmujdzi, fundacya metropolii w Kijowie, potężny wpływ Witolda na Tatarów hordy Złotéj, którzy mu biją czołem, wśród przeplatania intryg Krzyżackich, stanowią dalszy ciąg i następne odsłony obrazu.— Któregoż dziejopisarza owych czasów nie zatrzyma fakt unii w Horodle, chociażby sposób zapatrywania się na nią różnicom ulegał? Nie dziw, że dłuższy ustęp Kraszewski mu poświęca. Wielkie wypadki, jak wielkie dzieła sztuki, z różnych punktów oglądane być winny, z wielu stron i oddaleń różnych badane i sądzone, wielkość ich nic na tém nie straci, a sąd się uzupełnia. Nie ujmiemy téż majestatu wielkiemu aktowi 1413 r., choć mu nieprzyznamy celu, jaki w nim autor chciał widzićć. — „Wynarodowić Litwę zamierzali Polacy— powiada Kraszewski,— przypuszczając ją do praw swych i swobód“... „Takie wynarodowienie musiało być pożądanem“... (Wyd. osobn. str. 250). Zapał uniósł tu pióro badacza daleko. —

Nawrócenie Żmujdzi, niemożliwe równie pod mieczem niemieckim, jak i za prośbą niemiecką, dokonało się teraz za apostolskim przewodem obu braci w r. 1413 r.—Utrwalił je sam Witold, w lat kilka późniéj obecny podniesieniu pierwszego biskupa Macieja na Żmujdzką katedralną stolicę.— Tu spotykamy u autora zmięszanie dwóch wypraw pokojowych missyjnych do Żmujdzi w 1413 i 1417 roku. Obu wyprawom wedle Kraszewskiego król przewodniczył; dyplomata tymczasem cytowane u Daniłowicza (T. II str. 51—52), również Narbutt (T. VI str. 365—366) wykazują w r. 1417 Witolda samego; król nie jest obecny. — Duchowne hierarchiczne urządzenie Żmujdzi, pierwsze zaopatrzenie katedry, dziełem jest Witolda razem ze współdziałaniem delegatów soboru konstancyeńskiego.

Od czasu do czasu wedle tego, jak przypadają pod właściwémi laty, występują w opowieści Kraszewskiego sprawy rusińskie

i tatarskie. W 1415 Witold ustanawia odrębną od ogółu Rusi metropolią kijowską; zaczęta przez niego sprawa, rozwinie się późniéj i ukończy za Zygmunta III w 1595; inne dzieła jego na ziemiach wschodnich—znikną i tylko wielka pamięć po nich zostanie. — Od r. 1418 patrzymy znowu na potężny, magiczny powiedziéć by można, wpływ Witolda na Tatarów. — Niegdyś przez nich samych porażony, ale dla znakomitych zbiegów z hordy Złotéj hojny, sprawiedliwy i gościnny, dziwną ufność dzikiego tego ludu pozyskał; garnęli się pod moralną jego przewagę, słuchali skinień jego woli aż ku azowskim i kaspijskim wybrzeżom.— Czterech banów z ramienia swego dał im Witold, inwestyturą na władztwie umacniając — i dawny wróg jego, sławny Edyga z Tauryki, wysłał doń posłów z darami, dłoń przyjazną wyciągając. — Ustęp z listu Edygi „pełen wschodniéj barwy" cytuje Kraszewski.— Témi to sprawami Stryjkowski uniesiony, patrząc na zerwane za jego czasów związki z Tatarami, na spaloną przez nich Ukrainę, woła: „O Witoldzie, byś ty wstał dziś z swoimi laty."

Od r. 1420 do 1430 ciągnie się ostatnie dziesięciolecie panowania i ostatni ustęp „Litwy za Witolda." Wypadki w niczém tu wielkości poprzednich nie ustępują. Wojna z Zakonem zakończona pokojem, stanowczo wracającym Żmujdź Litwie i Polsce, poskromienie Pskowa, wspaniała wyprawa na Nowogród W., w któréj dziesięć tysięcy ludzi szło przed wojskiem Witolda, trzebiąc wodzowi drogi w nieprzebytych puszczach—kończą sprawy i lata potężnego władcy, schmurzone tylko pod koniec staraniem o udzielną koronę. Długi końcowy rozdział autor tym zabiegom o koronę poświęca; chwila to ważna i szczegółowo opisana w źródłach tamtych czasów. Autor nie winiąc Witolda za jego pragnienia, geniuszom właściwe, stoi na wyżynie krytycznéj, na jakiéj go widziéć pragniemy. W istocie, dziwném być nie może, że podobny zamysł tkwił w duchu genialnym. Od morza do morza i aż po azyatyckie krańce władał Witold tężéj i silniéj od Jagiełły; kiedy go dzisiaj znakomity nowoczesny historyk zowie „Napoleonem Litwinów" (Szujski, Dzieje T. 2), współczesny Witoldowi kronikarz słów dobrać nie umić dla wyrażenia zapału swego. Używa wreszcie następnego porównania: „Jako wyżyn niebieskich, ani głębin morskich opisać niepodobna, tak niepodobna wystawić potęgi Witoldowéj" (Latopis Podlaski str. 61). I cóż dziwnego, że władzca téj miary zapragnął być niezawisłym? Nie to pragnienie, lecz wiary złamanie, mogłoby imię jego skazić przed potomnością.—

Całą siłą sprzeciwiła się monarchicznym zamiarom Witolda, wieloma już węzłami z Litwą zbratana Polska. Autorowi spieszno do téj wielkiéj chwili, która ma nie nie jeden rys szczytnego dramatu. Krótko przebiega lata poprzedzające, zaledwie dotyka spraw Korybuta w Czechach, rok 1427 i 1428 do najgłówniejszych rysów sprowadza. Dopiéro zjazd Łucki, walka z polskim senatem 1429 — 1430 r. opisane szeroce.

Witold, acz pełen sił i rzeźwości, był już wówczas starcem osiemdziesięcioletnim. Z dwóch źródeł płynęły ambitne jego chęci: z pragnienia chwały własnéj, chwały kraju, tudzież z nieprzyjacielskiego podmuchu. Czybały Niemcy na rozerwanie unii horodelskiéj; lecz Witold pomniał na przysięgi, złożone Jagielle i Polsce, i łamać ich nie chciał. Długo przeto i wszelkiémi siłami domagał się zgodzenia królewskiego, tudzież Rady Jagiellowéj. Król miękł, lecz za przewodem Oleśnickiego senat oparł się niezłomnie. Walka moralna z chorobą połączona złamała wreszcie siły bohatera. Jeszcze na łożu śmiertelném pieścił myśl nadzieją, że „włoży koronę na osiwiałą głowę," jeszcze mniemał, że króla i senat nakłoni, lecz, gdy przyszła doń wieść, że Cesarz niemiecki, „szafarz koron," zbrojnie przez Polskę przesłać mu ją zamierza, sam posłów cesarskich powstrzymał, niechcąc niewinnéj krwi przelewu. I to była ostatnia czynność w życiu Witolda, mówi Daniłowicz, 7-go Listopada 1430 r. katedra Ś-go Stanisława w Wilnie przyjęła bohatera zwłoki.

Zbierzmy główne zarysy bogatéj w treść historyczną opowieści Kraszewskiego. Zważając na prawdziwe zalety przytoczonéj pracy, czytelnik pomija z łatwością drobne tu i owdzie dające się spotykać usterki, które w pracy mającéj przeważnie cel upowszechniający, niewiele lub nic prawie nie znaczą. Opowiadanie mimo więzów rocznikarskiéj metody pisania, wyzwala się miejscami do siły i swobody, znakomitemu pióru autora właściwéj.

Wielka postać Witolda mrokiem zachodzić poczynała. Odnowił autor wizerunek bohatera i zwrócił nań oczy potomności.— Oby ten przykład innych zachęcił do pracy.

Konstancya Skirmuntt.

KRYTYKA LITERACKA.

Jeżeli krytyczne rozpatrzenie się w utworach belletrystycznych Kraszewskiego i ocena jego prac naukowych w całym pięćdziesięcioletnim okresie twórczości literackiéj, budzić może nader żywe w ogóle myślących czytelników zajęcie; to nie mniejszy interes przedstawia jego działalność na polu krytyki literackiéj ze względu na zasady estetyczne, jakim hołdował i według których oceniał innych pisarzy.

Nasuwa się tu najprzód pytanie, czy pomiędzy témi wyrozumowanémi zasadami, a tém nieprzebraném bogactwem najróżnorodniejszych utworów, jakiemi przez pół wieku swych czytelników czaruje, nie zachodzi ścisły, organiczny związek, którego wykrycie pozwoliłoby nam wniknąć w tajemnicę jego twórczości, dało podpatrzéć te środki, którémi tak potężne wywołuje nieraz effekta, umożliwiło sobie zdanie sprawy z téj magii, którą do wypowiedzianéj przez siebie myśli, do skreślonego obrazu, przykuwa tysiące najrozmaiciéj uorganizowanych i wykształconych umysłów i tyle serc do żywszego bicia przymusza? Jakóż zdawałoby się, iż nic łatwiejszego, jak wniknąć w istotę talentu, który, jak Kraszewski, przez pół wieku spowiadał się swéj społeczności z każdéj niemal myśli, z każdego wrażenia i pełną garścią rzucal swe poglądy na literaturę i sztukę, zapisując je na kartach pism peryodycznych i w dziełach specyalnie wydawanych przez siebie. A jednak nie jest to łatwém, ani nawet możliwém do uskutecznienia zadaniem. Krytyczne prace Kraszewskiego, co najwięcéj mogą nam wykazać, jak w danéj chwili zapatrywał się na umysłowe potrzeby społeczności, jak jéj ducha pojmował, jaki pragnął nadawać jéj kierunek, jak swe obowiązki względem niéj, jako pisarz, pojmował i czego sam od innych braci po piórze wymagał. Z prac tych zresztą możemy się dowiedziéć, według jakiéj miary oceniał dawnych, lub współczesnych sobie pisarzy, do jakiego punktu posunął poczynione studya nad nimi i, o ile trafne były jego sądy o nich, lub przeciwnie. Nadto zasady estetyczne, sformułowane przez niego, mogą nas przekonać, o ile zgodne są z niémi jego własne utwory; ale samo ich czarnoksięztwo, jakiém na czytelnika działają, — nazawsze dla nas tajemnicą zostanie. Pomimo tego, krytyczne Kraszewskiego prace, lubo odnoszące się do czasów jego działalności dawno minionych, mogą i dziś, jako wierny obraz stanu literatury i umysłowości, budzić żywe zajęcie.

Nim wszakże przystąpimy do streszczenia na tém polu działalności Kraszewskiego, jedno zrobimy zastrzeżenie na wstępie.

Utwory piękna, wychodzące z pod ręki mistrza, nazawsze artystycznie pozostają pięknemi. Nic do nich dodać, nic z nich ująć nie można. Ze zmieniającym się smakiem, ogół może o nich na czas jakiś zapomniéć, hołdując bożyszczom chwili; ale zawsze do nich powraca, w miarę tego, im lepiéj rozumié potrzebę przyswojenia sobie zasad krytyki historycznéj, im sam wykształceńszym się staje. Rozbiory téż takich utworów o wiele dla sprawozdawcy wdzięczniejsze przedstawiają pole: dzieła późniéj występujących, równéj artystycznéj wartości, pisarzy, pod żadnym względem nie zmieniają zalet, ani znaczenia dzieł poprzedników. — Inna rzecz z dziełami, odnoszącémi się do prac historyczno - krytycznych. Im te do wcześniejszéj epoki należą, tém ważność ich się zmniejsza odnośnie do chwili obecnéj. Co dawniéj było ostatecznym rezultatem podjętych badań, to dziś z postępem czasu i nowo poczynionych naukowych zdobyczy już tylko do historyi należy. A jednak o tém, co do nauki późniejsze wniosły badania, choćby ze względu na ogół czytelników przemilczéć nie można. Tymczasem wyniki

te, do których autor w swoim czasie dochodził, poglądy, jakie sobie po dokonanych studyach nad przedmiotami zrobił: były kiedyś nowym dla literatury nabytkiem, budziły ruch, życie, zachęcały innych do pracy w tymże samym kierunku i stanowią istotną jego zasługę. Otóż właśnie, w czém tkwi ujemność naszego zadania. Szczególniéj bowiem do studyów historyczno-krytycznych Kraszewskiego nie podobna już dzisiejszéj miary przykładać, i z tego względu prosimy czytelników, by zawsze chcieli brać na uwagę różnicę, zachodzącą między chwilą obecną a latami, do których się jego prace odnoszą.

Trzymając się chronologicznego porządku, najwłaściwiéj ocenę tego działu wypadałoby rozpocząć od przeglądu *Tygodnika Petersburskiego*, jako organu, który od roku 1835 Kraszewski swemi recenzyami zasila [1]). Niektóre wszakże względy nakazują nam innéj trzymać się drogi. Najprzód artykuły krytyczne, zamieszczane w pismach czasowych, noszą zawsze na sobie doryweczy, luźny charakter, nie przedstawiając jednego, organicznego ciągu, a co główniejsza, iż właśnie najwięcéj dla nas mające znaczenia artykuły literackiéj lub krytycznéj treści, z *Tygodnika*, w ogólnym zbiorze pod mianem *Studyów* wydanym, przedrukowane zostały. Od nich więc, jako dzieła ułożonego według pewnego już planu i w którém też Kraszewski najważniejsze jak naówczas kwestye poruszył, przedewszystkiem nasze sprawozdanie zaczniemy, posiłkując się tylko innémi pismami w ciągu téj pracy, o ile się okaże potrzeba. Wydanie Studyów przypada właśnie na chwilę, w któréj Kraszewski, wypuściwszy w świat szereg powieści, objętych ogólną nazwą: *Szkice obyczajowe i historyczne*, i wywoławszy o nich rozmaite sądy, a przedewszystkiem krytykę Michała Grabowskiego, widocznie chciał sobie zdać sprawę z przebytéj przez się drogi i ówczesnego stanu i potrzeb piśmiennictwa.

Studya owe składają dwie serye. Najprzód *Studya literackie*, *Wilno 1842 r. str.* 285, oraz *Studya Literackie Nowe. Warszawa 1843.* T. I. str. 191, T. II. str. 187. Całość pierwszych rozpada się na 15 rozdziałów, obejmujących mniéj więcéj w ścisłym związku zostające z sobą przedmioty: I. Życie umysłowe. II. Nowa literatura. III. Formy. Język. IV. Pierwiastek narodowy w literaturze dawnéj. V. Archaizmy. VI. Pisarze i czytelnicy. VII. O sławie pisarskiéj. VIII. Podania gminne. IX. Historya. X. Poezya. XI. Przeszłość i przyszłość romansu. XII. Dramat. XIII. Literatura peryodyczna. XIV. Krytyka — i na koniec XV. Życie domowe dawnych pisarzy.

Osnowa drugiéj seryi nie mniejszą przedstawia rozmaitość. Tom pierwszy składają następujące rozdziały: I. Sąd krytyki i czytelników. II. Literatura, jako sztuka. III. Rys dziejów języka polskiego. IV. Klonowicz. Tom drugi: I. Jan Kochanowski. II. Mikołaj Sęp Szarzyński. III. Naruszewicz, jako poeta. IV. Trzy doby w historyi postępów umysłu ludzkiego, i wreszcie V. Słówko o prawdzie w romansie historycznym.

Niepodobna nam szczegółowo i po kolei rozbierać osnowy przytoczonych rozdziałów. Podniesiemy z nich tylko to, co dziś dla nas jeszcze jakąkolwiek ważność przedstawia lub dostarcza charakterystycznych rysów do obrazu ówczesnego stanu społeczeństwa, literatury i dążeń pojedyńczych pisarzy. Artykuły nawet czysto literackiéj treści w jednę całość połączym, pozostawiając na ostatek sprawozdanie ze studyów historyczno-krytycznych, oraz recenzyi rozrzuconych po pismach czasowych. Tymczasem za punkt wyjścia w naszéj pracy *Życie umysłowe* bierzemy.

Rozdział ten jest ciekawym kommentarzem do czasów, w których został skreślony. Autor mówi najprzód o potrzebie uduchownienia żywota, wytknięcia sobie wyższego celu nad przyjemności stołu i upadlające rozkosze. „Spytajcie tych tłumów — mówi we wstępie — które mimo was idą, dokąd i do czego dążą? Większa część odpowiedzićć nie potrafi. Ten sobie życie wytłumaczył nieustanném trawieniem i smakowaniem pokarmów, inny je sądzi przeznaczoném wyraźnie na miłostki i nie pojmuje życia bez najgrubszéj z jego rozkoszy, najbardziéj upadlającéj; inny jeszcze bez wyrozumowania, bez celu widomego, poświęcił się zbiéraniu grosza i zamykaniu go; drugi szuka ludzi i nie umié żyć inaczéj tylko w tłumie i wrzawie. Większość najfałszywiéj pojmuje życie“. (R. I). A jednak, mówi daléj, człowiek nie może być swobodnym i szczęśliwym, dopóki nie podniesie się duszą w świat drugi, dopóki żyć umysłowo nie zacznie. Otóż za główny warunek takiego życia Kraszewski stawia czystość obyczajów i pracę; za główne jego ognisko uważa literaturę. Na nią z jednéj strony

[1]) Pierwszy ślad współpracownictwa Kraszewskiego do Tygodnika Petersburskiego znajdujemy w N. 57 tego pisma pod rubryką: *Rozmaitości*, gdzie mówi o Londyńskich gazetach, z którychby nasze peryodyczne piśmiennictwo mogło korzystać.
(Przyp. aut.).

oddziaływują piszący, z drugiéj czytelnicy. Pierwsi produkując, pomnażają jéj skarby, drudzy spełniają także właściwą missyą, polegającą na szerzeniu zdobytych wiadomości wśród niższych od siebie duchem.

Nie każdy wszakże pisarz, nawet wyższémi obdarzony zdolnościami, dodatni wpływ przez literaturę na społeczeństwo wywiera. Tylko bezwarunkowa zgodność pomiędzy słowem i czynem, pomiędzy wygłaszaną zasadą i praktyką życia, zapewnia jego pracom całą moralną doniosłość. Słowem, Kraszewski wymaga, by ci, którzy innych chcą uczyć, sami przedewszystkiem stali się lepszymi i przyświecali ogółowi nie tylko talentem, lecz i moralną, osobistą wartością. „Nie wierzmy w ludzi — powiada — którzy udając się za poetów, filozofów, moralistów, głęboko uczonych, postępują w życiu, jak najostatniejsi głupcy... Ci poeci, którzy sobie dali przywilej nierządu, na mocy gwałtowności swych uczuć — nie są poetami.... Ci filozofowie i spekulatorowie, którzy, prawiąc o życiu duchowém, o monadach, o władzach duszy i t. d., wszystkie władze, jakie mają, zużywają na pojęcie smaku trufli i myszki starego wina — nie są filozofami.“ (O życiu umysłowém). I na innéin miejscu dodaje: „Chciéć świat poprawić, samemu siedząc w błocie po uszy, czyż nie śmieszna?“ (Pisarze i czytelnicy).

Dopóki literatura była tylko klass wyższych zabawką, dopóki wpływ jéj ograniczał się do szczupłego kółka, wzajemnie pojmujących się i adorujących literatów; dopóki zresztą całe jéj piękno polegało na kopiowaniu starożytnych wzorów i odtwarzaniu mytologicznych obrazów: dopóty piszący mogli się nie posuwać do odpowiedzialności za swe zasady i przyjęty kierunek w obec własnego społeczeństwa. Od chwili jednak, gdy literatura stała się najwierniejszém zwierciadłem uczuć, myśli i dążeń narodu; gdy, zstąpiwszy z wyżyn Olympu, zaczęła przemawiać zwykłym śmiertelników językiem i, zrozumiała i dostępna dla całéj czytającéj powszechności, oddziaływać na massy: odtąd pisarz zajął podnioślejsze stanowisko, nadające mu charakter kapłaństwa i stał się, jakby uosobionéin sumieniem swego narodu. Tylko życie czyste, prawe, ofiarne, może go na tę godność wyświęcić, tylko ciągła baczność na siebie i na potrzeby umysłowe współbraci, mogą go pożytecznym uczynić. Tę zasadę użyteczności Kraszewski po wiele razy wypowiada w swych studyach. Nie pojmuje nawet utworu, któryby dodatnio nie oddziaływał na massy: nie w tém jednak, by im nadawał tendencyjny charakter i literaturę chciał robić służebnicą panujących w pewnym czasie dążności, gdyż podobne nadużycie i poniżanie sztuki niejednokrotnie potępiał (*Przeszłość i przyszłość romansu. St. Lit. R. XI.* oraz: *Dwa listy literackie. O celu powieści i Marcinie Podrzutku. Zbiór powieści. T. 98. Okruszyny. T. II. str. 138—157*). Kraszewski pragnął tylko, by każdy, choćby najmniejszych rozmiarów utwór podnosił myśl, budził szlachetniejsze uczucia — słowem udoskonalał czytelnika.

Wszakże by wpływ podobny wywierać, należy mieć sumienie, (*R. VI. Pisarze i czytelnicy*). Ma ono czuwać, by pisarz nie szerzył moralnéj wśród czytelników zgnilizny, by poznał gruntownie przedmiot, o którym pisać zamierza i nie wypuszczał w świat niedonoszonych utworów, o których doskonałości nie jest przekonany zupełnie. Sumienność zarówno potrzebną jest w dziełach sztuki, gdyż utwory, niedopełniające wszystkich jéj warunków, zaszczepiają błędne wyobrażenie o piękności, jak i w dziełach historycznych, których rozmyślne fałszowanie czyni pisarza odpowiedzialnym w obec całego narodu. Przedewszystkiem zaś potrzebną jest piszącemu sumienność w wypowiadaniu, choćby gorzkiéj prawdy, skoro to uzna koniecznéin. Ale w tém winna mu przewodniczyć miłość własnego społeczeństwa, gorąca chęć służenia mu, a nie żądza rozgłosu. Po moralności, za drugi warunek życia umysłowego Kraszewski wskazuje pracę. — „Nie wszyscy — powiada — mogą pisać i tworzyć, ale prawie wszyscy mogą czytać, czuć, pojmować..... stopniowo od książek lekkich... postępuje się do uczących myśléć, zastanawiać się, rozważać, udoskonalających“. Ciekawa też, jak się zapatrywał na missyą czytelników. — „Czytelnicy — powiada on — pośredniczą między twórcami, a ludźmi całkiem obojętnymi dla literatury. Oni kształcąc się i nasycając sami, mają missyą nawracania, wzbudzania ochoty, oświecania niżéj siebie stojących. Pojęciem dzieł, tworzonych przez pisarzy, czytelnicy stają z nimi na równi prawie; a wsiąkając w siebie myśli i oddając je nie czytającym, czynią ważną przysługę, rozszerzając kręg sposobiących się do umysłowego życia“. — By wszakże wpływ podobny wywierać, trzeba samemu usposobić się na dobrego czytelnika. Samo zresztą kształcenie się przez czytanie, Kraszewski za niedostateczne uważał. On pragnął, by każda myśl życiorodna przechodziła z książki w praktykę, udoskonalała moralnie. Bez téj bowiem wewnętrznéj pracy nad sobą litera-

tura staje się tylko zabawką, wpływ jéj sprowadza się do zera. Tak literaturę jednak pojmowała większość ówcześnie, o czem nietylko w *Studyach*, lecz i na innéın miejscu daje świadectwo. Jakóż do *Chorób moralnych XIX stulecia*, których się zbadaniem w *Tygodniku Petersburskim* zajmował, zalicza: *Legophobią*, (r. 1838. N. 40) i *Próżniactwo* (r. 1839. N. 54). Ogół czytywał mało. Książka, jak powiada, dopiero w cztery lata po wyjściu, poczynała być znaną, a w dziesięć popularną, jeżeli się odznaczała wartością. Klassy wyższe czytywały wprawdzie, ale w obcych językach, mówiąc, że w naszych niema nic dobrego. Do czytających po polsku, należeli albo literaci, albo nic wiedzący, co z czasem zrobić, lub nieznający obcych języków. Ostatnia ta klassa najliczniejsza, składała się z drobnéj szlachty, próżnującéj przy kartach, kieliszkowaniu, frymarkach końskich, gawędach pełnych cynizmu.

I zaprawdę smutny to obraz!

Widocznie jednak fakta mówiły za siebie, skoro Kraszewski, pisząc o *Życiu umysłowém*, mógł stawić sobie tak boleśne pytanie: — „Gdzież ludzie pracujący nad sobą, aby się ludźmi stali i, o tyle, o ile mogą, ze zwierzęcia wyzuli?... Mała garstka tylko wybranych, pojąwszy przeznaczenie duszy, doskonałość jéj natury, wyższość nieskończoną rozkoszy duszных, święciła jéj ciało". (*Studya Literackie str. 10*). Ogół jednak rzeczywiście był takim, i innym, zważywszy na ówczesne okoliczności, w żaden sposób być nie mógł; w skutek burzy, przez jaką przeszedł niedawno, brakło mu wzorów dodatnich, musiał więc upadać umysłowo i moralnie.

Od skreślenia powyższych słów 36 lat z górą ubiegło. Społeczność nasza przez ten czas niemałym uległa przewrotom, przeszła przez niejedno boleśne doświadczenie, zdobyła nie jednę z prawd pierwszo-rzędnéj wagi, za przewodniczkę swego życia je obrala i otrząsnęła się z wielu przesądów, które jéj bielmem pokrywały źrenice. Słowem, zmieniło się trochę na lepsze. W tém wszystkiém, bezwątpienia najważniejszą rolę odgrywa prawo naturalnego postępu, owa *siła nabytéj chyżości Taine'a*, zwiększająca się z każdą chwilą, w miarę przyswajania sobie nowych nabytków, pomnożonych doświadczeniem i wiedzą przez poprzednie pokolenia zdobytą [1]). Ale obok różnych czynników, jakie się na tę nabytą chyżość składały, trudno nie uznać jednéj jeszcze, wciąż działającéj siły, która téj szybkości nie pozwalala się zatrzymać lub opóźnić w swym biegu. Tą siłą — bez żadnéj kwestyi, jest nieustający ani na chwilę wpływ Kraszewskiego na ogół czytelników. Cokolwiek krytyka współczesna może mówić o jego pośpiechu w tworzeniu, jakikolwiek sąd historya literatury o jego działalności wyrzecze; faktem jest, że właśnie ten sam pośpiech, z jakim tworzył, by wypowiedzieć swe przekonania o każdéj kwestyi bieżącéj, stanowi jego największą, jako pisarza, zasługę: nie dał się zdrzémnąć społeczeństwu, budził w niém życie wtedy, gdy nie było innych pobudzających czynników. Gdy inni, wypowiedziawszy swą ideę, schodzili z pola, przeżyci lub do społeczeństwa zrażeni; on pozostał na stanowisku z wytrwałością godną uznania, przodując światłem swéj myśli i ciepłem swego uczucia.

Właśnie to szlachetne, gorące, prawe uczucie, jakie każdy jego utwór ożywia, jest owém złotém ogniwem, którego rdza czasu nie zjadła i które przez lat tyle łączy Kraszewskiego z jego czytelnikami. Nigdy téż nie przeniewierzył się zasadzie, jaką dla każdego z piszących za obowiązującą uważał. Zgodność myśli i przekonań z czynami przez cały czas jego literackiéj działalności, aż dotąd pozostały jego dewizą.

Dziś spoglądając na przebytą w zawodzie pisarskim drogę i widząc dokonaną tak wielką w życiu umysłowém społeczeństwa odmianę, może z szlachetną dumą powiedzieć: „Ja to sprawiłem!"

Jakoż, pominąwszy inne a tak liczne przez niego na polu literatury położone zasługi, to jeden z najbujniejszych liści do jego wieńca przydaje, iż stał się wielkim nauczycielem czytania swego społeczeństwa i że w nim życie umysłowe rozbudził.

Poznawszy zasady Kraszewskiego, jako pisarza, przejdźmy teraz do jego poglądów na *Nową literaturę*. Za punkt wyjścia bierze on okres Stanisławowski, na który zapatruje się, jako na fakt już dokonany, ze stanowiska historycznego, i, skreślając jego charakterystykę, sprowadza znaczenie całéj literatury XVIII wieku do prostego naśladownictwa. Sąd to był jednak za dorywczy i sam Kraszewski, mówiąc o *Pierwiastku narodowym w literaturze*, zmodyfikował go nieco. Właściwie chciał powiedzieć, że literatura ta całą doskonałość zasadzała na formie. Było to przeciwstawienie do po-

[1]) Histoire de la litterature Anglaise. T. I. Introduction p. XXIII. Ch. V.

ezyi współczesnéj, która, wpadając w drugą ostateczność, chciała się wyemancypować z pod wszelkich przepisów estetyki i zdrowego rozsądku. Ogół bowiem ówczesnych młodych pisarzy, uważając talent za rodzaj przywileju, wyłączającego obdarzonych nim z pod praw, obowiązujących ludzi zwyczajnego pokroju, poczytywał pracę i naukę za największą przeszkodę swobodnego tworzenia — słowem, za nieznośne jarzmo, zmuszające schylać czoła wybrańców, stworzonych na to jedynie, by śmiałym lotem niczem nieskrępowanych skrzydeł, przebujać całe życie w błękitach, zkądby można z pogardą na brudną ziemię i pełzający po niéj ród śmiertelników poglądać.

Czy spojrzę za się, czyli przed siebie,
I pusto i chłodno wszędzie,
Zawsze taż ziemia!...

Śpiewał jeden natchniony poeta w Tygodniku Petersburskim, przekonany, że nie był stworzony dla ziemi! To przekonanie było tém szkodliwsze, że właśnie też same talenta, które podsłoneczne regiony uważały za swą ojczyznę, życiem codzienném zadawały kłamstwo tym idealnym teoryom. Pokolenie to poetów, chorując na genialność, wyrobiło sobie zresztą o niéj nader wygodną teoryą: genialność polegała według nich na wzbudzeniu w sobie gwałtownych uczuć, a przez nie natchnienia; dość więc było ustawicznie je w sobie podsycać, by bez pracy, znajomości życia, dziejów i literatury, stwarzać dzieła pierwszorzędnéj wartości. Intuicya miała wszystko zastąpić. Na swoje usprawiedliwienie stawiano za przykład Homera i Szekspira, którzy według ówczesnych wyobrażeń, bez nauki, jedynie siłą geniuszu, stali się pierwszorzędnéj wielkości na niebie poezyi gwiazdami. Dla tego, że ten ostatni kruszył formy dramatu, uświęcone wiekami, że się grubych anachronizmów dopuszczał, mniemano, iż poezya może się obejść bez wszelkiego rodzaju przepisów, że wystarcza jéj samo natchnienie. Układ wiersza, rytm, średniówkę, słowem wszystkie środki, podnoszące jéj muzykalność zewnętrzną, uważano za rzecz podrzędną. Głównie szło o to, by wypowiedziéć myśl, jak przychodziła do głowy; czy się zaś miała objawić w świątecznéj, czy powszedniéj szacie, czy nie dawała się wyrazić lepiéj, zrozumiaiéj i dla czytelnika ponętniéj, o to nie troszczono się wcale. Ztąd prozę zaczęto na równi stawiać z poezyą, wychodząc z téj zasady, iż niejeden utwór prozaiczny może w daleko wyższym stopniu posiadać poetyckie zalety, niż wiele poematów, w formie najprawidłowszego wiersza skreślonych. Że tak być może w wielu szczególnych przypadkach, nie ulega najmniejszéj wątpliwości; przypuszczać wszakże, iż każda osnowa da się w formie prozaicznéj wyrazić i nic przez to na uwydatnieniu złożonych w niéj piękności nie straci—na to chyba trudno się zgodzić. W końcu to lekceważenie formy posunięto do zaprzeczenia saméj nawet poezyi. Jakoż w jedném z czasopism pojawił się artykuł w formie aforystycznéj, w tonie proroczego wieszczenia, w którym autor wygłasza, jakby z trójnoga, iż nadejdą czasy, w których wszelka poezya, jako sztuka, nie potrzebną się stanie. Ród ludzki bowiem, doszedłszy drogą postępu do najwyższéj doskonałości, rozwinie w duchu każdéj jednostki taki zasób poezyi, iż ten w zupełności ludziom, nie objawiając się w uświęconych formach, na swą potrzebę wystarczy. Wtedy wszyscy, jak dziś wyrażają się prozą, mówić będą najczystszą poezyą i życie każdego popłynie pieśnią, poematem. Przeciw tak spaczonym pojęciom Kraszewski czuł się w obowiązku wystąpić. Dowodził, że talent, a nawet geniusz, nie wystarcza jeszcze, by stać się pierwszorzędnym poetą; że do tego potrzeba odpowiedniego przygotowania, wszechstronnéj wiedzy, znajomości życia, ludzi, i jeżeli zdolność otrzymuje się od natury, to ją tylko pracą można należycie rozwinąć. Daléj, że zarówno Homer, jak Szekspir, bynajmniéj nie okazują się takimi nieukami, za jakich uważała ich ówczesna generacya poetów. Pierwszy bowiem, jeżeli kiedy istniał, jak na swój czas, posiadał bardzo rozległą wiedzę. „Znał doskonale swój kraj, wszystkie jego zakątki, każde wzgórze, każdą rzeczułkę, podania ludu, dzieje, myty i t. d.“ (*Poezya*); toż samo da się o Schakespearze powiedziéć. To téż Kraszewski bynajmniéj nie szczędził gorzkiéj prawdy młodszéj braci po piórze i powtarzał z Krasickim: „Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty — „trzeba się uczyć, aby być poetą.“ „W oszalałéj chyba głowie— dodaje — urodziła się dzika myśl, dziś krążąca i przyjęta u młodych, sonetyzujących i poematyzujących paniczów, że na poetę potrzeba tylko dwudziestu kilku lat, zbrzydzenia świata, arkusza papieru i butelki atramentu“ (*I. Poezya*). Bijąc na brak nauki, wykazuje, iż samém uczuciem niepodobna ani pojąć przeszłości, ani prawd życiowych odgadnąć; że natchnienie nie wyłącza pracy, ale owszem nią potęguje się i wzmaga, gdy

przeciwnie niepodsycane umysłowemi nabytkami, samo w sobie się trawi i co najwyżéj płodzi egotyczną poezyą. Przyznając wreszcie, iż nowa literatura ma tę wyższość nad okresem Stanisławowskim, iż przed formą daje pierwiastkowi duchowemu przewagę, usiłował zarazem przekonać współczesnych, iż jeszcze ztąd nie wynika, by mieli formą pogardzać. Pomysł bowiem, jakkolwiek idealny, tylko o tyle zrozumiałym być może, o ile się przez formę objawi. Od niéj téż wyłącznie zależy piękno i cała żywotność utworu, tak że niejedno dzieło, uderzające wielkiémi myślami, poszło w zapomnienie dla tego jedynie, że brakiem form pięknych grzeszyło (*III Formy. Język*). Czując wszakże niedostateczność tych uwag, jeszcze raz Kraszewski powrócił do tego samego przedmiotu i w drugiéj seryi swych studyów, w rozdziale, noszącym tytuł: *Literatura, jako sztuka*, w sposób bardziéj wyczerpujący go rozwinął. Jest to może najstaranniéj ze wszystkich, czysto literackiéj treści, opracowane studyum, a zasługujące na tém większą uwagę, iż wyszło z pod pióra Kraszewskiego wcześniéj, nim się pojawił pierwszy tom *Listów z Krakowa*, w których Kremer, tenże sam przedmiot, tylko na szerszą skalę, rozwinął. Przypomina tu Kraszewski, iż literatura zarówno jest sztuką, jak architektura, rzeźba, malarstwo i muzyka, z których każda, mając właściwy sobie materyał, przez który do ludzkiego ducha przemawia, prócz uzdolnienia od natury, wymaga jeszcze odpowiedniego przygotowania, wprawy, techniki, którą się jedynie długą pracą zdobywa. Jak inne sztuki piękne wcielają ideał w linie, marmur, barwy i tony, tak literatura objawia się w słowie, nad którém, by zapanować, jako nad właściwym jéj materyałem, jeszcze nie wystarcza natchnienie.— „Cobyśmy powiedzieli—dodaje —o malarzu, któryby, nieznając rysunku, światło-cienia, prawideł kolorytu, chciał tworzyć obrazy historyczne i mozolił się, szukając, macając sposobów wyrażenia myśli, gdy nauka podaje mu je gotowe?“ Takiéj saméj techniki, znajomości wszystkich resursów sztuki, każdy literacki utwor wymaga. Samo natchnienie nie wystarcza jeszcze, by pomysł, zrodzony w duszy, objawił się w całym blasku piękności. Im głębsze, wyższe ma znaczenie myśl, którą chcemy przez sztukę objawić, tém jéj wcielenie przedstawia większe do pokonania trudności. „To, co artysta widział przed sobą w myśli dzielne, doskonałe, niedorównanie piękne, niepokonanie silne, rodzi się i wciela słabe, bezbarwne, zimne i ma się do ideału pierwszego, jak cień do przedmiotu" (*Literatura, jako sztuka*). Ale jeżeli artysta nie zawsze zdolny jest arcydzieło utworzyć i ideałowi dorównać, to jednak może się zbliżyć do jego doskonałości. Osiągnie to wtedy, gdy do wykonania przystępuje ze znajomością środków pokonywania trudności, jakie mu sam materyał nasuwa. „Tymczasem w literaturze — powiada Kraszewski—widzimy codzień, zasiadających do tworzenia ludzi, co nie znają sposobów wyrażania myśli, wcielenia jéj, co gardzą stylem, językiem i wszelkiém do tak ważnego dzieła przygotowaniem. Bez pojęcia stylu, bez znajomości pierwszych rudymentów, bez zastanowienia się nad językiem, którym władają, jak niewprawny uczeń pędzlem, bez obznajomienia się z historyą sztuki, siadają tworzyć, częstokroć nie wiedząc, że to, co wedle siebie tworzą, oddawna daleko lepiéj, piękniéj, całkowiciéj utworzoném już, wcieloném zostało.“ Następstwem tego lekceważenia formy, było każenie języka. Zarzucano pisarzom XVII wieku używanie makaronizmów, zapominając, że się ich dopuszczało wielu także współczesnych pisarzy, z tą jedynie różnicą, iż zamiast łaciny brano je z niemieckiego lub francuzkiego języka. Gorzéj jeszcze, gdyż zapobiegając złemu, jakie wynikało z upowszechnienia się barbaryzmów, zagrażano językowi zupełném przenaturzeniem, w skutek wprowadzania nowych wyrazów. Wprawdzie w chwili Studyów, *Trentowski* nie wystąpił z *Chowanną*, do któréj wprowadził swoje *stności*, *błamy*, *obłogi*, *kającości*, *podwiedzobłamy*, *przysobistości i dla sobistości*; ale popęd do neologizmów był jakby w powietrzu. W utworach ówczesnych poetów spotykamy takie np. wyrażenia, jak: *rozpacznik*, *kroplejące drzewa*, *roślinnić*; wyraz *sonet*, Olizarowski zastępuje przez *śnielki*. Wreszcie w r. 1835 w „Pamiętniku Powszechnym nauk i umiejętności“ zamieszczone zostały: „*Uwagi nad niektóremi wyrazami lekarskiemi*“ p. prof. Skobla, które w ówczesnym medyczno-literackim świecie wielkiego narobiły hałasu, oraz w r. 1838 *Słownik anatomiczno-fizyologiczny*, ułożony przez tegoż autora z współudziałem prof. Majera, dzisiejszego Prezesa Akademii umiejętności w Krakowie. O ile przez tych dwóch mężów nowo potworzone, lub z dawnéj polszczyzny wskrzeszone techniczne wyrazy uzyskały prawo obywatelstwa w literaturze medycznéj, o tém świadczą dzieła za naszych czasów wydane. Jeżeli jednak dla specyalistów, naukowo obrabiane przedmioty nie

tracą na swéj wartości przez wprowadzanie nowéj terminologii; to przeciwnie utwory belletrystyczne, neologizmami skażone, zupełnie chybiają celu: zaciemniają bowiem myśl, którą powinni jak najplastyczniéj, zatem dostępnie dla ogółu przedstawiać i, zamiast pociągać formą, odstręczają czytelników napotykaną przez nich w wyrozumieniu trudnością (*III Formy. Język*). Jak o szkodliwości tego kierunku dla literatury i języka Kraszewski gorliwych nowatorów ostrzegał, tak równie i przeciw *archaizmom* powstawał (Roz. V). Pisarze, zajmujący się odtwarzaniem przeszłości, nie mogąc tego zrozumiéć, iż wierne jéj malowidło nietyle na użyciu wyrazów i wyrażeń dawnych polega, ile na zaklęciu w samym utworze ich ducha, nadającego dopiéro właściwy każdemu dziełu charakter, sądzili, iż aby zostać historycznym pisarzem i dokładny obraz danéj epoki nakreślić, dość przyswoić sobie język jéj i w dyalogach zachowywać zwroty pomnikom, do niéj należącym, właściwe. Tak, z wcześniejszych, Józef hr. Ossoliński w swych *Wiadomościach historyczno-krytycznych* sadzi się na zwroty, pisarzom zygmuntowskim właściwe, i pomimo całéj dosadności staje się twardym i niesmacznym. Styl Dominika Magnuszewskiego mógł także za oryginalny uchodzić, a jednak w *Krwawym Chrzcie*, w *Barbarze*, ze względu na nadmierne użycie archaizmów, nie tylko już odnośnie do pojedyńczych wyrazów, ale toku mowy, jest nienaturalny i nużący. Podobnéj modzie podlegał i autor znany pod pseudonimem *Jadama*. Otóż Kraszewski stawia pytanie, czy archaizmy koniecznie są potrzebne do odmalowania przeszłości, i twierdzi z całą słusznością, że bez nich można ducha każdéj epoki odtworzyć. Przyznaje wprawdzie, że zwłaszcza w dyalogowaniu, użycie ich w części usprawiedliwić się daje, lecz żeby się bez nich nie można było obejść, o tém wątpi stanowczo. Barwę wieku bowiem odtwarza się nie w sposób mechaniczny, zewnętrzny, ale przez wniknięcie w życie wewnętrzne, w pojęcia obiegające w pewnym czasie—słowem, gdy pisarz stanie na tym poziomie, na jakim stał ogół epoki, którą przedstawia w obrazie. Kto w nią pojęcia, sposób życia obecnéj chwili przenosi, ten pomimo przyswojenia sobie całego zapasu wyrazów i wyrażeń jéj właściwych da malowidło fałszywe i z rzeczywistością historyczną niezgodne.

Cały ten ustęp o archaizmach przez Kraszewskiego skreślony, stanowi najwymowniejszy dowód braku głębszych studyów nad literaturą XVI stulecia ze strony młodych pisarzy. Już bowiem Łukasz Górnicki w swym *Dworzaninie Polskim* kwestyą tę poruszył i z właściwym sobie rozsądkiem w kilku dosadnych ustępach używanie wyrazów przestarzałych potępił (Dworzanin Polski, F. 5. Wyd. z r. 1566).

Tém słuszniéj przeto Kraszewski wskrzeszanie ich w XIX w. za niepożyteczne a nawet za szkodliwe dla języka uważał. Znaczyło to bowiem, jak sam powiada, przetwarzać go „w jakiegoś sztucznie utworzonego, pół dawnego, pół nowego mięszańca“ (*V. Formy. Język*).

Wszakże każenie języka przez wprowadzanie doń neologizmów i archaizmów, dawało się jeszcze poniekąd usprawiedliwić. Dążność do tworzenia nowych wyrazów powstaje zawsze w miłośnikach mowy ojczystéj, gdy ogół piszących, w skutek niedokładnéj jéj znajomości, dopuszcza się barbaryzmów, dających się łatwo usunąć. Podobnież wskrzeszanie form archaistycznych miało ówcześnie uzasadnioną przyczynę: szukano dróg właściwych do odtworzenia przeszłości, nie wiedząc, iż tylko żywa tradycya mogła rzeczywiste jéj oblicze w słońcu prawdy historycznéj ukazać. Wszakże obok nadużyć językowych, zaczęto się dopuszczać innych grzechów przeciw poezyi i wobec nieuzasadnionéj reakcyi przeciw pisarzom XVIII stulecia, hołdującym niby do przesady formie, zaczęto popadać w najkompletniejszą anarchią, wyłamując się z pod wszelkich przepisów estetycznego kodexu. Anarchia owa znalazła swoje wyrażenie w nowo wytworzonym rodzaju poezyi, któremu nadano nazwę *Fantazyi* (*Literatura jako sztuka*). Zapożyczona od form muzycznych, w rzeczy, nie była żadną nowością. Już bowiem użył jéj Bürger; w Schillerze spotykamy także coś podobnego, zwłaszcza między utworami okresu pierwszego. Ale ta Schillerowska fantazya bardzo jeszcze prawidłowo wygląda. Tymczasem fantazya naszych poetów była zlepkiem różnego rodzaju okruchów, powstałych z rozbicia dotychczas znanych form poetycznych, tém dogodniejszym dla piszących, iż się w nim nic potrzebowali niczém krępować.

Kraszewski sam używszy téj formy w utworze dramatyzowanym p. t. *Szatan i Kobieta*, w r. 1841 wydanym, czuł może, iż własnym przykładem dał pochop innym do jéj nadużycia i, widząc, że podobny kierunek doprowadzi w końcu do skażenia smaku w czytającéj publiczności, która w poc-

żyi szukać może nietyle istotnego piękna, godzącego się zawsze z prostotą, ile raczéj sztucznych efektów, stanowczo potępił ten kierunek, wykazując całą jego szkodliwość dla literatury i sztuki. Uzasadniwszy téż, iż fantazya, pomimo pretensyi do nowości, jest właściwie sztuczném zamaskowaniem form dawnych, gdyż pod nią zarówno podszywa się dramat, pieśń, poemat, i t. p.; a nadto, że usiłowanie natrafienia na nowe formy, jest tylko przemianą nazwy i wypaczeniem dotychczasowych form, każdemu rodzajowi poezyi właściwych, zwraca uwagę poczynających pisarzy, iż jeśli nowa literatura ukazała im nowe drogi, to nie wynika ztąd, by ich usamowolniła z pod wszelkich prawideł, które są niczém innem, „jak tylko prawami exystencyi pewnych istot utworów, wyciągnione z zastanowienia się nad niemi;" że nakoniec „aby pisać, tworzyć, niedość puścić wodze nieporządnéj, rozhukanéj myśli" ale przeciwnie, „trzeba ją okryć w najstósowniejsze szaty, jakich godna, jakie jéj przystoją, w jakich jéj jedynie dobrze (*Lit. jako sztuka*").

Również zwracał uwagę na konieczność zastósowania formy do obranéj przez się osnowy. Forma bowiem musi wynikać z natury rzeczy, z ducha utworu, i, jako ciało należące do niego, tworzyć z nim nierozerwaną całość. Gdzie niema tak zupełnego połączenia, tam utwor musi być wadliwy. Tymczasem — powiada Kraszewski, „niejeden liryk swoje uczucia, które powinny były wylać się w piękną pieśń, rozbił na niesmaczny, długi, nudny dramat; niejedna satyra ubrała się za epopeję, niejedna epopeja przeleciała piosenkami." Zkądże to pochodziło? Oto właśnie z mylnego przekonania, iż dla piszącego obojętną jest rzeczą, w jakiéj się formie, myśl zrodzona w natchnieniu, objawi. W skutek téż niezważania na odpowiedniość formy ówcześni pisarze, psuli najlepsze materyały. I tak obrabiali np. podania gminne, gdyż od nich zaczynał romantyzm; ale nadając im formę powieści, poematu, dramatu, płodzili dziwolągi, nie mające nic wspólnego z duchem poezyi ludowéj. Inni znowu, nie pojmując istoty romantyzmu, zasadzali żywotność swych utworów na zachowaniu form, właściwych sonetowi, balladzie, na wierszu różnomiarowym, bezładnym, wreszcie na wprowadzeniu widm, upiorów i tp. Ciekawém też jest, jak Kraszewski pojmował ówcześnie romantyzm, i jak, prostując fałszywe o nim wyobrażenia, określał jego istotę. Według niego romantyzm początkowo był tylko „bezładném naśladowaniem literatury Anglików i Niemców. Zaczęto z niéj same formy przejmować. Ale wprędce z odmiany wzoru przyszli niektórzy do zdrowego wyobrażenia: iż pierwiastkiem każdéj literatury powinny być własne obyczaje, życie, własne uczucia."— „Romantyzm więc— powiada— nie są to wieki średnie, nie jest to dziwaczność, nie jest to cudotworność, nie są to poetyczne przesądy ludu wyłącznie; romantyzm jest narodowość emancypowana i z prawem obywatelstwa wchodząca do literatury" (*II. Nowa literatura*). — Jakoż tych kilka myśli, wypowiedzianych dorywczo, należało tylko szerzéj rozwinąć, by kwestyą, którój podniesienie przed niedawnemi czasy narobiło tyle hałasu, już wtedy bliżéj wyjaśnić. Rzeczywiście romantyzm nie polegał na wierze w czary i upiory, ale wypływał z umysłowych potrzeb ówczesnego społeczeństwa, był naturalném przejściem od literatury służącéj jednéj tylko, ulegającéj cudzoziemskim wpływom warstwie narodu, do literatury, mającéj stać się pokarmem umysłowym wszystkich klass społeczeństwa, nie wyłączając i ludu.—Rozwianie długo żywionych ideałów przejęło ognistsze dusze zniechęceniem do rzeczywistości, która była ich zaprzeczeniem, i skierowało umysły ku temu, co właśnie z téj rzeczywistości bezpowrotnie zniknęło, co mogło jedynie w pieśni bytować. Ztąd tęsknota za ideałami przeszłości, które tém poetyczniéj przedstawiały się wyobraźni, im ta przeszłość była odleglejszą i mniéj do obecnéj chwili podobną. Słowem—duch całkiem nowy społeczeństwo ogarnął, — duch, który się już nie mógł wypowiadać dawnémi formami, bo je swą potęgą rozsadzał. Szukając téż na razie tych nowych form, literatura polska poszła tylko za wskazówkami Anglików i Niemców, którzy już rozwiązali pytanie, gdzie należy szukać źródeł poezyi narodowéj. Tém źródłem właśnie była poezya ludowa. Dopóki téż poezya XIX stulecia, zaczerpująca nowych sił w ożywczéj krynicy pieśni, podań i wierzeń ludowych, obcémi posiłkowała się formami, dopóty i cudzoziemską nazwę romantyzmu nosiła; gdy jednak wzmożona w siły swojskim pierwiastkiem, zaczęła rozpatrywać się w pięknościach własnéj ziemi, w życiu społeczném i dziejach, nie przez szkiełko zapożyczone u obcych, ale okiem obejmującém wszystko rodzinną miłością; wtedy wyemancypowana z pod przewagi obcych wzorów, zaczęła kroczyć o własnych siłach i przybiérać czysto swojski charakter. Ten pierwotny wszakże romantyzm nietylko li-

teraturze, lecz i społeczeństwu oddał ważne usługi. Uplastyczniając pojęcia ludowe, odtwarzając jego obyczaje, zwyczaje, przesądy, zbliżył także umysłowo do ludu wyższe warstwy społeczne; dał im go poznać w całém życiu wewnętrznémi, zwrócił uwagę na jego moralne zasoby i umysłowe potrzeby; słowem zapełnił i wyrównał tę przepaść, jaką pomiędzy nim, a wyższémi klassami wychowanie cudzoziemskie i dawne stosunki rozwarły. Tak się przynajmniéj dziś rola romantyzmu przedstawia. Trudno tylko zgodzić się ze zdaniem Kraszewskiego, jakoby romantyzm „wyemancypował narodowość i żeby ta dopiéro pod jego osłoną z prawem obywatelstwa weszła do literatury.“ Twierdzenie to zostaje nawet w sprzeczności z tém, co autor wypowiedział w studyum noszącém napis: *Pierwiastek narodowy w literaturze dawnéj* (Serya I R. IV). Poszukując bowiem cech rodzinnych w pisarzach XVI, XVII i XVIII stulecia, znajduje je w każdym, najbardziéj nawet hołdującym formom klassycznym. Najmniéj może dopatruje ich w Janie Kochanowskim; ale zato Reja, Klonowicza, Opalińskiego, Twardowskiego, Hieronima Morsztyna, przez omyłkę zapewne nazwanego Moskorzowskim, z małémi zastrzeżeniami, poczytuje za przedstawicieli czysto narodowego pierwiastku. Nadmienić tu wypada, że „Wojna Chocimska“ Wacława Potockiego naówczas jeszcze znaną nie była. Nawet w literaturze XVIII stulecia, którą Kraszewski uważa za kosmopolityczną, dworską i wolteryanizmem przesiąkłą, pierwiastek ten, lubo słabiéj, niż w poprzedzających epokach użyty, znajduje. Krasicki w Podstolicu, w Doświadczyńskim, a przedewszystkiem w satyrach, świeci obrazami przeszłości; w Naruszewiczu obok przesady, przebija kontuszowość szlachecka. Mybyśmy cech swojskości dopatrywali nawet w niektórych Trembeckiego utworach, np. w bajkach, niezrównanych pod względem plastyki i dosadności wyrażeń. Słowem, tkwi ona w każdym z wybitniejszych pisarzy. Tylko w zapatrywaniu się na nich podlegamy optycznemu złudzeniu. Szukamy cech narodowości w pisarzach dawnych nie według tego, jaką ona była każdéj epoce właściwą, ale jak ją z naszego stanowiska pojmujemy obecnie, patrząc na przeszłość, jak na przedmioty w oddaleniu, przez zabarwienie powietrzne. Te pojęcia starożytnego świata i mytologiczne obrazy, które Kraszewskiego rażą w pisarzach XVI i XVII stulecia, były treścią umysłowego życia całéj warstwy społecznéj, przodującéj w życiu i dziejach, nadawały jéj pewien nastrój, charakter. Również dążności reformatorskie literatury XVIII wieku, choć natchnione duchem Encyklopedystów, wyrażały dążenia postępowéj partyi. W całym przeto trzechwiekowym przeciągu czasu literatura maluje społeczeństwo takiem, jakie było, ze wszystkiémi właściwémi mu cechami, wyrobionémi pod wpływem obcych, jak i swojskich, zarówno dodatnich, jak i ujemnych pierwiastów. O brak przeto swojskości obwiniać jéj nie można; a że się ogranicza do jednéj tylko uprzywilejowanéj sfery, to łatwo zrozumiéć; do niéj bowiem zacieśniono pojęcie narodu — jéj więc potrzebom umysłowym służyła i inną być nie mogła. Wszakże w pisarzach dawnych, nie tylko przebija się tak pojęty narodowy pierwiastek, ale co ważniejsza: *ludowy*. Ludowym jest Kochanowski w *Sobótce*; Szymonowicz w *Czarach*, *Żeńcach*, *Kołaczu*, a przedewszystkiem już Klonowicz, który w *Worku Judasza*, zstępuje nieraz do samych mętów społecznych. Również ludowy pierwiastek przejawia się w pisarzach XVIII stulecia. Nie mówiąc już o Krasickim, który do Myszejdy wprowadza czarownicę z Łyséj góry jedynie dla rozśmieszenia czytelnika, zwróćmy tylko uwagę na niesłusznie dziś zapomnianego Kniaźnina. Nie mająż charakteru ludowego jego *Cyganie*, *Trzy Gody* i inne komedyjki z natchnienia księżny Czartoryskiéj pisane?... Prawda, że w nich nie stworzył typów skończonych, że nie umiał wprowadzonych do sztuki postaci od początku do końca w jednym charakterze utrzymać; w każdym razie są tu pojedyńcze rysy, widocznie żywcem uchwycone z natury. A Wojciech Bogusławski? Czyż jego *Krakowiacy i Górale*, nie dają mu prawa do nazwy ludowego poety? Tylko Bogusławski nie posiadał artystycznego poczucia. Skopiował tylko żywcem naturę, z całym jéj wstrętnym, odrażającym naturalizmem, dodając pouczający przykład, jak wszelki realizm, odrzucający ideał w sztuce, szkodliwym jest dla poetów i sztuki.

Obok więc narodowo-szlacheckiego rozwijał się w literaturze minionych trzech stuleci i ludowy pierwiastek, i to pod koniec, w skutek zmiany w pojęciach społecznych, objawiający się dość nawet wydatnie. Wszakże więcéj jeszcze powiemy. Nawet te formy, które późniejszy upowszechnił romantyzm, daleko wcześniéj znane były w naszéj literaturze, niż to zwykle każda historya literatury przyznaje. Już pieśni Ossyana, przełożone przez Krasickiego i Kniaźnina, dawały pewne, lubo słabe po-

jęcie o duchu całkiem różnym od tego, jaki dotąd w starożytnéj i francuzkiéj literaturze panował. W jednéj zaś z ód Kniaźnina pod tytułem: *Babia Góra*, napisanéj do *Pawła Czempińskiego, gdy objeżdżał góry krakowskie* (ks. III od. XIV. Warszawa 1828), niektóre ustępy są skreślone z tak romantyczném zacięciem, iż oda ta przeczytana, bez wymienienia autora, mogłaby przez układ wiersza i całą osnowę, mniéj świadomego czytelnika w błąd wprowadzić co do czasu, do którego ją odniéść należy. Jak więc widzimy, pomiędzy Stanisławowską a literaturą nową, nie istniał tak znowu wielki przedział, jak to wielu mniemą, i jak ówcześnie sądził Kraszewski; ani téż romantyzm nie jest dotyla wyosobnionéni zjawiskiem, by pomiędzy nim a literaturą dawną nie można było jakichś stycznych punktów odszukać. Jeżeli jednak tkwił w niéj pierwiastek narodowy, jeżeli dość często przejawiał się i pierwiastek ludowy, cóż więc właściwie wnosił do niéj romantyzm? Oto przedewszystkiem rozszerzał zakres literatury, obejmując nią nie już klassy uprzywilejowane, ale i lud, tylko nie w samych zewnętrznych formach jego bytu, jak to jeszcze w „Wiesławie" Brodzińskiego widzimy, ale zstępując do wnętrza jego ducha, do głębi uczuć, wyobrażeń i pojęć, które on przez całe stulecia składał do skarbnicy podań i pieśni. Nadto literatura artystyczna, bratając się z literaturą ludową, nie mogła pominąć jednego z najważniejszych jéj żywiołów, to jest wiary, którą wiek XVIII pomiatał: ztąd téż uznała wszechobecność Boga, wiarę w duszę i jéj zagrobowe istnienie, pośmiertną karę za grzechy, słowem—świat doczesny związała z wiekuistością i duchowi stanowczą dała nad formą przewagę. — Następstwem tego była właśnie reakcya przeciw uświęconym formom, o czém wspomnieliśmy na wstępie. Kraszewski, uznając tę przewagę, z właściwym sobie taktem, pragnął kwestyą tę sprowadzić na grunt czysto realny, ponieważ duch ludzki może się jedynie objawiać w życiu społeczném i dziejach; ztąd piszących nawoływał do rzeczywistości, do studyów nad przeszłością, którą bądź to, ulegając powziętym z góry teoryom, bądź naśladując niewolniczo obcych poetów, odtwarzano w sposób, całkiem z prawdą niezgodny. Zarzut ten spotykał nietylko współczesne, ale pierwszorzędne utwory z epoki romantyzmu. „Zamiast swój kraj, swoich ludzi, siebie malować, malowano Byronowskich wojewodów, niemieckich jakichś starościców i kobiéty włoszki i hiszpanki". Szczególniéj przeciw fałszowaniu historycznych typów niewieścich protestował silnie Kraszewski. „U nas—powiada — kobiéty wcale inną i właściwą rolę grały... Na pozór nieznacząca, pobożna, zamknięta ze swą czeladką nad kądzielą, Polka, jest jednak pięknym oryginalnym obrazem, jéj cnoty są jéj właściwe, jéj wpływ mniéj widoczny, a jednak niezaprzeczony, nie jest to wpływ intrygantki francuzicy, myśmy jeszcze niedość, a może zupełnie, nie poznali Polki.. Już w XVII w. obyczajów zmiana i kobiéty dotknęła, a w XVIII pewne klassy, przenaturzyły się zupełnie wszystko to mieć trzeba na względzie, a mieszczanka zepsuta XVII w. nie powinna téż wyglądać, jak żona zagrodowego szlachcica." Poczém dodaje: „Ileż tu zastanowienia, nauki, przejęcia się potrzeba, ile trafności! I powiadają potém ci, co nic nie umieją, że poecie nauka nie potrzebna! (*X. Poezya*)." Wszakże Byron nietylko pod względem fałszywego pojmowania przeszłości wpływał ujemnie na ówczesnych pisarzy. Wielkie talenta z epoki mickiewiczowskiéj, jak Malczewski, Goszczyński, Słowacki, nie mogąc się wyswobodzić z pod czaru jego poezyi, przejmowali w swych utworach jego manierę, układ aforystyczny, oraz charakter bohaterów, dla których nie było innego punktu wyjścia, nad śmierć lub rozpacz bez granic. Wszakże to mimowolne naśladownictwo, mające źródło w istotném pokrewieństwie ich ducha z Byronem, okupywali pierwszorzędnémi pięknościami, które były ich wyłączną własnością. Ale występujące po nich niższéj skali talenta, nieumiejąc dla braku krytycznego przygotowania, dopatrzéć, co istotnie wielkiego było w Byronie, widziały w nim jedynie to, co najmniéj było godne naśladowania i, w excentryczném życiu i rozpasaniu moralném szukając znamienia geniuszu, byronizowali na swój sposób, według środków, jakie dla kogo były możliwe. Zawody téż serca, rozczarowanie do życia, pogarda dla świata, rozpacz, stanowią przeważnie treść ówczesnéj muzy. Że jednak nie wszyscy poeci mieli powody tak bardzo znowu rozpaczać, ztąd téż ich utwory, pomimo pozornéj gwałtowności uczuć, noszą na sobie bezbarwny, mglisty charakter. Poezya przybrana w mistyczno-allegoryczną szatę, stawała się często niezrozumiałą dla ogółu. Kraszewski ostudzał więc te sztuczne uniesienia i, zachęcając do studyów nad ubóstwianemi, ale nie przetrawionemi krytycznie pierwowzorami, które nieudolne tylko naśladownictwo płodziły,

przypominał, że ta mglistość i allegoryczność jest całkiem naturze poezyi przeciwną, gdyż ta przedewszystkiem maluje i tworzy idealne obrazy. „Gdzie więcéj frazesów, niż obrazów — może być wymowna, patetyczna gadanina — ale nie będzie poezyi (*Stud. Lit. X*). W ogóle ówczesnym poetom Kraszewski wszelkiéj samoistności odmawia i po zarzucie byronizowania, stawia drugi, innego rodzaju naśladownictwo. Wiadomo, iż Bohdan Zalewski, Malczewski i Goszczyński stworzyli tak zwaną *szkołę ukraińską*. Po bliższém jednak rozpatrzeniu się w naturze i przeszłości dawnéj Ukrainy, przekonano się, że owi poeci, w swych utworach, zapatrując się na nią przez pryzmat oddalonych wspomnień młodości, przedstawiali ją za idealnie i z prawdą historyczną mniéj zgodnie. Szczególniéj zarzut ten do utworów Zaleskiego się odnosił, którego kozacy, zbyt wymuskani i jednostronnie pojęci przedstawiali typy, pod względem artystycznym, prześliczne, ale bynajmniéj z rzeczywistością nie zgodne.

Pierwszy Henryk Rzewuski w *Opowiadaniu starego szlachcica* stawił nam przed oczy Zaporożca, we właściwéj mu, napół dzikiéj, szorstkiéj postaci, w butach wysmarowanych dziegciem, zatłuszczonéj, brudnéj koszuli, przy ognisku życia koszowego. Po nim Michał Grabowski w swych historycznych postaciach dał poznać prawdziwe oblicze Ukraińskiéj przyrody, oraz jéj typy ludowe. Bezwzględny wielbiciel Walter-Scotta przejął, nie tylko jego formę, którą za jedynie właściwą dla romansu historycznego uznawał, ale co więcéj własną osnowę do jego pomysłów naginał. Któż bowiem w *Stannicy Hulajpolskiéj* nie dopatrzy naśladownictwa *Wawerleja*? Że jednak brał się do rzeczy ze świadomością celu, który w swych utworach osiągnąć zamierzył, że zbadał drogi, wiodące do niego; ztąd zarówno przez swe powieści, jak i artykuły krytyczne, traktujące o poezyi ukraińskiéj, wielki ku niéj entuzyazm obudził. Ale jeżeli M. Grabowski szedł w dającym się usprawiedliwić kierunku, to słabsze talenta, zrywając się do lotu szlakiem Bohdana, popadły w istną ukrainomanią. Jak dawniéj jedyne źródło poezyi widziano w podaniach, nadających się swą osnową do ballad, a następnie w dziejach Litwy XV stulecia; tak z kolei step i kozaczyzna, stały się dla poetów ulubionym tematem. Aleks. Groza, Tomasz Olizarowski, Michał Jezierski, byli przedstawicielami tego naśladowniczego kierunku. Byli wreszcie tacy, co szukali natchnienia w Ukrainie, znając ją z książek jedynie. To szukanie źródła poezyi w jednéj miejscowości wyłącznie i zacieśnienie jéj do jednego tylko żywiołu, tém więcéj może zadziwiać, że już w 1837 r. Michał Grabowski w swéj *Literaturze i Krytyce*, wyrzekł na wstępie te pełne znaczenia słowa: „Gdziekolwiek rzucę okiem, wszędzie spotykam przedmioty, które nie wiem, jak mam nazywać, jeżeli nie poezyą.“ Kraszewski rozwijając powyższą myśl Grabowskiego, wykazywał całą niedorzeczność tak jednostronnego kierunku; dowodził, że poezya jest wszędzie, „choćby na błotach Pińskich lub piaskach i choinach Polesia. Pełno jéj, mówił — w dziejach, na każdéj karcie, w każdym kroku królów, rycerzy, w każdym najsuchszym nawet dyplomacie. Jeżeli nie chcecie historyi, alboż—dodaje— niema podań, podań poetycznych w Wielkopolsce u Gopła, na Rusi, w Krakowie i na Żmudzi, na Mazowszu, na Podlasiu, w Halickiém, na ruinach Krewa, pod murami Smoleńska, na wałach Połocka, w bramach Nowogrodu, w Białowiejskiéj puszczy—wszędzie znajdziesz podania, wszędzie jest poezya. Każdy ją ma pod bokiem u siebie, w sobie, pocóż ją z Ukrainy sprowadzać koniecznie?“ (*X Poezya*). To specyalizowanie poezyi było, dodajmy, i z innego względu dla literatury szkodliwe: wprowadzało do niéj bowiem pewien rodzaj *powiatowszczyzny*, zacieśniającéj myśl do bardzo szczupléj sfery, oraz usuwało z przed oczu piszących ideały wyższego znaczenia. Dla tego też Kraszewski, w porównaniu z innémi kwestyami, które w swych studyach poruszał, może najobszerniejszy ustęp ukrainomanii poświęcił i zachęcając do badań przeszłości i poznania własnego kraju, ukazywał na źródła dotąd jeszcze nie tknięte lub z których nieumiejętnie czerpano.

Zobaczymy, jak Kraszewski zapatrywał się na tę gałęź literatury, w któréj się przeważnie już wówczas jego talent objawił, a następnie dosięgnął najwyższego mistrzowstwa. Mówimy tu o romansie i powieści. Cztery główne źródła znajdujemy w jego pracach krytycznych, które nam w sposób wyczerpujący mogą tę kwestyą wyjaśnić; najprzód artykuł zatytułowany: *Przeszłość i przyszłość romansu*, zamieszczony w I seryi *Studyów literackich*; 2) *Słówko o prawdzie w romansie historycznym*, wydrukowany w T. II *Nowych studyach literackich*; 3) *Dwa listy literackie*: a) o celu powieści i b) o Marcinie Podrzutku, zawarto

w tomie II. Okruszyn, wchodzących w skład wydania lwowskiego, i po 4-e nakoniec: *Gawędy o literaturze i sztuce.* Jakkolwiek zwłaszcza w dwóch pierwszych artykułach można się dopatrzéć pewnych sprzeczności w pojmowaniu zadania historycznego romansu, to za to w pojmowaniu jego istoty we wszystkich artykułach Kraszewski jest z sobą w jedności. Utwory tego rodzaju uważa przedewszystkiem za dzieło sztuki, któremu, prócz głównego jéj zadania, jakiém jest stwarzanie pięknych obrazów, wszelkie inne uboczne cele powinny być obce. Scharakteryzowawszy w *Przeszłości i przyszłości romansu*, najprzód romanse starożytne, mające po większéj części za przedmiot miłostki, dość zmysłowo pojęte; opowiedziawszy pokrótce dzieje średniowiecznego rycerskiego romansu, w którym kobieta cześć niemal bałwochwalczą odbiera, a miejsce dawnych potęg Olimpu cudowność i fantastyczność zajmuje; zaznaczywszy wreszcie przemiany, jakim od XVI-go w. romans podlegał, stając się satyrycznym w Don Kiszocie Cerwantesa, filozoficznym pod piórem Voltaira, —moralno-sentymentalnym w utworach Richardsona, Fieldinga,—wreszcie mieszczańskim w Diderocie; przechodzi do XIX stulecia, w którym romans zdobywa w literaturze poważne stanowisko i, przyswoiwszy sobie wszystkie niemal rodzaje, właściwe prozie i poezyi, oraz objąwszy wszystkie warstwy społeczne i kierunki życia umysłowego, zajął miejsce starożytnéj epopei. Ale jakkolwiek za twórcę nowożytnego romansu Kraszewski uważa Walter Scotta, to jednak w pierwszym ze swych artykułów o romansie, bynajmniéj nie podziela ówczesnego bałwochwalstwa w tym na przykład stopniu, w jakim dla niego okazywał je M. Grabowski, lub mniéj od niego uzdolnieni naśladowcy. Kraszewski, niezaprzeczając wysokiego artystycznego znaczenia romansom Walter Scotta, podziwiając jego umiejętność w zawiązywaniu intrygi, budzącéj palący w czytelniku interes, a przedewszystkiem poetyczne przedstawienie przedmiotu, odmawia mu jednak historyczności w ścisłém tego słowa znaczeniu, która według niego, wraz z opisami miejscowości, jedynie, jako ozdoba zużytkowaną została. Ten pogląd tém więcéj zastanawia w młodym naówczas Kraszewskim, że właśnie w tym samym czasie podobne zadanie o Walter Scotcie wypowiedział i A. W. Maciejowski we wstępie do dzieła: *Polska aż do połowy XVII-go wieku*, wydaném w r. 1842 w Warszawie. Zamiłowanie w romansach Walter Scotta Maciejowski po swojemu tłumaczy tém, *że bajał przyjemnie*, ale właśnie to zamiłowanie stawia, jako dowód, iż ogół ówczesnego europejskiego społeczeństwa nie miał właściwego o przeszłości pojęcia, skoro mógł widziéć dokładne jéj odzwierciedlenie w utworach tego rodzaju. Wszystkie téż wysiłki jego naśladowców, podejmowane w celu przyswojenia sobie jego maniery, poczytuje za rodzaj manii, którą *walterskotyzacyą* nazywa. Ta zgodność zapatrywania się Kraszewskiego z czystéj wody historykiem, odznaczającym się wszechstronną znajomością źródeł, szerokim na dzieje ludzkie poglądem i świadomym wszystkiego, co się na tém polu dokonywało współcześnie, może służyć za jeden więcéj dowód téj bystrości umysłu, zdolnego jednym rzutem obejmować najrozmaitsze przedmioty i w swych sądach intuicyjnie dochodzić do tych samych wyników, do których inni jedynie drogą naukowych badań dochodzą. Ale już w artykule, noszącym tytuł: *Słówko o prawdzie w romansie historycznym* (Nowe stud. Lit. T. II) Kraszewski sąd ten sumiennie zmodyfikował i co do wartości historycznéj baroneta szkockiego całkiem zgodne z teoryą M. Grabowskiego zaczął przekonania objawiać. W czémże więc różniły się obecne jego poglądy od wygłaszanych poprzednio? Oto wiadomo, że Walter Scott rzadko stawiał na pierwszym planie dziejowe postacie lub powszechnie znane wypadki; że jeżeli wyprowadzał je kiedy, to jedynie w chwilach stanowczych lub skutkach, oddziaływających na losy bohaterów, przedewszystkiem zaś zajmował czytelnika osobistościami, których imion napróżnobyśmy na kartach dziejów szukali. Te osobistości jednak — wytwór czysto jego wyobraźni — należało nie mniéj za historyczne przyjmować, gdyż otoczone atmosferą swojego czasu, tak niby czuły i działały, jakby czuć i działać powinny, gdyby w epoce, do któréj się odnoszą, rzeczywiście istniały. Otóż takie pojęcie i traktowanie historyi w romansie, które Kraszewski, w pierwszéj seryi studyów za niedostateczne uważał, teraz przeciwnie uznaje za jedynie właściwe. Wykazuje nadto trudności tworzenia romansów z faktów powszechnie uznanych, ze względu na niemożność pogodzenia prawdy dziejowéj z warunkami sztuki, którą, bądź co bądź, w artystycznym utworze, za jaki romans uważa, na pierwszym należy miéć względzie. O ten szkopuł potknęło się wielu; potknął się i Niemcewicz w swoim „Janie z Tenczyna," gdyż jaki ma być przebieg, jakie zakończenie, każdemu, choć cokolwiek obe-

znanemu z dziejami, musi być naprzód wiadomo. Romans też niepowinien wkraczać w granice historyi. *Właściwie ma on dopełniać to, czego niedopowiada historya.* A więc—podług Kraszewskiego — zadaniem romansopisarza jest „pole w większéj części białe zapełnić; umarłych wskrzesić do życia, czynności ich wytłumaczyć, oblicze ich pokazać.“ Ale w tém przedstawieniu powinna tkwić prawda dziejowa i w takiém znaczeniu pojęta przeszłość może się godzić z warunkami sztuki, gdyż, jak słusznie powiada autor— „nie ma nic, nawet w świecie sztuki prawdziwszego nad prawdę, oddalenie się od niéj, odstąpienie jéj, czuć fałszem.“ Otóż właśnie nasuwa się pytanie, czy tego fałszu nie czuć w romansach Walter Scotta?

Posłuchajmy, co o jego utworach mówi jeden z dzisiejszych pozytywnych krytyków francuzkich, którego o przesadę nie podobna pomówić,—„Wszystkie jego malowidła ubiegłéj przeszłości, nie mają w sobie prawdy. Jedynie ubiory, krajobrazy, słowem strona zewnętrzna, skreślone są dokładnie. Wszystko inne: czyny, słowa, uczucia, wychodzą z pod jego pióra upiększone, wygładzone wpływem nowożytnéj cywilizacyi. Z historyą obchodzi się tu, jak z urządzeniem sal gotyckich w swoim Abbotsfordzie: dba o wyszukanie takich tylko punktów widzenia, z którychby się nagromadzone w nich przedmioty najlepiéj przedstawić mogły“..... I nieco daléj: „Walter Scott zatrzymał się na progu duszy ludzkiéj, w przedsionku historyi; z epoki renesansu i wieków średnich wybrał tylko to, co było pociągającém, przyzwoitém; usunął z mowy naiwność, złagodził zmysłowość niepo- skromioną, i dzikość zwierzęcą. Do jakiéjkolwiek zresztą epoki należą wprowadzone do jego romansów osoby, zawsze maluje w nich tylko swoich sąsiadów: przebiegłych dzierżawców, pełnych próżności posiadaczy ziemskich, gentlemenów w rękawiczkach, dziewice na wydaniu i mieszczan, których, jak pan feudalny, na swym zamku ugaszczał.“ Tak się o Walter Scotcie wyraża *Henryk Taine* w swéj *Historyi Literatury Angielskiéj* (T. IV. str. 299—301)— i sąd ten, powszechnie dziś przyjęty, zupełnie jest zgodny z pierwotném zapatrywaniem się Kraszewskiego na wartość historyczną romansów Walter Scotta. Cóż więc na tę zmianę w jego pojęciach zasadniczych wpłynęło? Kraszewski sam tę sprzeczność w jednym z ustępów *o Przeszłości i Przyszłości romansu* wyjaśnia, mówiąc iż owa historyczna ozdoba romansów Walter Scotta „dopiero w ręku jego naśladowców stała się celem.“ Innémi słowy: że dopiero ci, przejąwszy jego formę i metodę traktowania dziejowych postaci, oraz poznawszy własną przeszłość z dokładnością historyka specyalisty, rozwiązali kwestyą historycznego romansu.

Za tak naukowo przygotowanego naśladowcę Kraszewski słusznie uważa autora *Koliszczyzny i stepów*, oraz *Stannicy Hulajpolskiéj*, ale uwielbienie dla niego do tego stopnia posuwa, iż nie waha się powiedzieć, „*że Walter Scott w większéj części swoich utworów trzymał się właśnie sposobu E. Tarszy,*“ (Nowe Stud. Lit. T. II. str. 182) (sic), pod tym bowiem pseudonimem Grabowski wydawał swoje historyczne powieści. Jakkolwiek wszakże ten ostatni położył niemałe zasługi na polu historycznego romansu, w każdym razie podobne odwrócenie ról, pomiędzy mistrzem i uczniem, trochę na przesadę zakrawa. Widocznie Kraszewski, pisząc ów artykuł zatytułowany: *słówko o prawdzie w romansie historycznym*, zostawał pod świeżém wrażeniem tylko co wyszłéj z druku *Stannicy*. A może téż..... może i wpływ bliżéj zawiązanych z Grabowskim literackich stosunków, mimowoli wywołał w zapatrywaniu się na téż samę kwestyą tak uderzającą różnicę.— W swym wcześniejszym jednak poglądzie na *Przeszłość i Przyszłość romansu* Kraszewski idzie daléj i znaczenie historyczności przenosi na powieść obyczajową. Co bowiem dziś jest artystycznym obrazem, odzwiereiedlającym życie różnych warstw społecznych, to dla przyszłości stanie się najwierniejszém malowidłem historycznėm, z którego każdy, bez poszukiwań w źródłach i mozolnego zbierania rozrzuconych po najrozmaitszych dziełach pojedyńczych rysów, będzie mógł odgadnąć wszystkie tajemnice naszego życia z łatwością. W taki też sposób zapatrywać się na powieści Kraszewskiego należy, które obok artystycznych piękności, dają bardzo rozległe pole do studyów nad charakterami ludzi i okolic Litwy, Wołynia, Polesia,—gdzie autor większą część życia przepędził. On sam zresztą przyznaje to w przedmowie do nowego wydania *Chaty za wsią*, mówiąc: „Co było obrazkiem, stało się niemal historyą.“ (Zbiór powieści Tom XXII Lwów 1872).

Że w ten sposób pojęta powieść obyczajowa wszystko, co do formy i sposobu przedstawienia rzeczy romansom Walter Scotta zawdzięcza, nie może najmniejszéj wątpliwości podlegać. W jakiż jednak sposób na jéj cel zapatruje się Kraszewski? Otóż przedewszystkiem wszelką z niéj tendencyjność

wyłącza. To téż tak zwane ówcześnie romanse morskie, socyalne, polityczne, ekonomiczne, uważa wprawdzie za objaw nader charakteryzujący społeczeństwo pierwszéj połowy XIX-go stulecia, ale stanowczo wątpi, by przez nie autorowie osiągnęli cel zamierzony. Kto bowiem chce poznać jakąś naukę, winien ją badać w dziełach specyalnie jéj poświęconych; nikt jednak nie nauczy się marynarki z romansów kapitana Maryatta lub p. Eugeniusza Sue, oraz gramatyki i literatury z *Amerykanki w Polsce*, albo gospodarki z Pana Podstolica Massalskiego. Wszystko to Kraszewski poczytuje za nadużycie formy romansu, gdyż jak powiada: „żaden prawdziwy artysta sługą i wyrobnikiem, choćby najszczytniéjszéj myśli, być nie może.“

Szczególniéj téż wystąpił z silnym protestem przeciw późniejszym socyalnym E. Sue dążnościom. Już przed nim w r. 1838 Michał Grabowski, w swojéj *Literaturze i Krytyce* potępił całą ówczesną literaturę francuzką, nadając jéj nazwę *szalonej*. Kraszewski jednak wówczas nie podzielał jego przekonań. Owszem zarzucał mu w *Tygodniku Petersburskim* (1838. N. 64.) jednostronność poglądów. Dotyczyło to przedewszystkiem W. Hugo, Balzaka, których Grabowski wyłącznie ze stanowiska moralno-historycznego, a nie ze stanowiska sztuki oceniał. Co zaś do E. Sue, to Kraszewski rozgrzeszał go zupełnie z wszelkich szkodliwych dążności. „Jakkolwiek bowiem — powiada wielki szał panuje w jego romansach; chociaż wszystkie jego charaktery są zbytecznéj, przesadnéj energii; nie sądzę jednak, aby to był pisarz niebezpieczny, gdyż pod powłoką okropności modnych kryje się w nim wiara i uczucie poetyczne.“ (Ibid. N. 82). Dopiero pojawienie się Żyda Tułacza, zmieniło jego sądy o tym pisarzu. Obecnie zaś wystąpienie Kraszewkiego wywołane zostało aż dwoma naraz wydanemi w Warszawie przekładami *Marcina Podrzutka*, oraz artykułem jednego z młodych krytyków Alberta Gryffa, który, ów płód poroniony nie wahał się za arcydzieło literatury europejskiéj poczytać. Ciekawe też są z tego powodu uwagi Kraszewskiego nad znaczeniem tendencyjności w romansie. „Jeżeli myśl — powiada — tak pisarzem owładła, że się sączy przez wszystkie pory jego utworów; jeżeli sam nie wié, jak żyje w téj atmosferze, dobrze! potrafi tworzyć i zostanie artystą; ale jak skoro myśl sobie narzuca i myśl przybiera na zimno i lepi nią, jak klejem, to, co nią nie przesiąkło; utwory jego będą słabe, liche — amfibia prawdziwe, w których ani sztuka, ani idea moralna światu objawić się w pełni nie potrafi“ (Okruszyny. Dwa listy). Rozebrawszy następnie po szczególe każdą z osobistości, wchodzących do *Marcina Podrzutka*, wykazuje w nich brak wszelkiéj prawdy artystycznej i życiowéj, i utwór ten za zupełnie zwichnięty, właśnie w skutek narzuconéj sobie z góry idei, uważa. Wszakże większe oburzenie, niż sponiewieranie w tym utworze idei piękna, wywołała w Kraszewskim sama idea przewodnia, która wtedy obałamucała wszystkie niedojrzełe umysły, zawsze pochopne chwytać się w imię postępu najskrajniejszych, byle nowych teoryi. Przeciw tym zgubnym, płynącym z zachodu socyalistycznym prądom wystąpił on z całą mocą przekonania i wypowiedział kilka myśli przepromienionych rozumnie pojętą chrześciańską miłością, a których tu jedynie dla braku miejsca nie możemy przytoczyć. (Zobacz zbiór powieści T. 98. Okruszyny T. II. str. 154 —157).

Nasuwa się teraz pytanie, czy Kraszewski który w artystycznych utworach tak bezwarunkowo tendencyjność potępiał, sam nie był tendencyjnym pisarzem? Jakoż jeżeli myśl przewodnią w *Budniku*, *Ostapie*, *Jarynie i Dwóch światach* nazwiemy tendencyjnością, to i Kraszewskiego musielibyśmy do pisarzy dążnościowych zaliczyć. Inna rzecz wszakże pewną myśl uplastycznić w utworze, a inna z góry obmyślić systemat, dorobić do niego osnowę i chciéć go społeczeństwu narzucić. Kraszewski badał pilnie, śledził każdy ruch myśli, każde drgnienie uczucia, a co spostrzegł dodatniego lub ujemnego, to i artystycznie odtwarzał w powieściach. Wszakże nigdy *a priori* nie rozstrzygał żadnéj kwestyi bieżącéj, bo wiedział, że drogi, któremi kroczy społeczeństwo, nie dadzą się naprzód ani wytknąć dyoptrą, ani sznurem wymierzyć. W najbardziéj tendencyjnym na pozór utworze, jak *Historya kołka w płocie*, wypowiada tylko, co było i, z prawdziwie po mistrzowsku przeprowadzonéj paraleli, każe się domyślać, że nadal tak pozostać nie może; lecz w jaki sposób kwestyą emancypacyi włościan przeprowadzić należało, na to nie podaje projektu, bo wié, że jego zadaniem, jako poety, stwarzać jedynie artystyczne, pełne myśli obrazy. Jedynie *Choroby wieku* stanowią pod tym względem wyjątek; ale wiadomo, że jest to jeden z najsłabszych naszego mistrza utworów.

Niekiedy jednak Kraszewski swém zapatrywaniem się na zadanie powieści pra-

wdziwe niespodzianki czytelnikom gotował. Właśnie tylko co w r. 1854 ukończył w Gazecie Warszawskiéj druk, jednego z najsympatyczniejszych utworów, bo *Powieść bez Tytułu*, która nietylko entuzyazmowała ludzi najstarszych wiekiem, ale i u wszystkich ówczesnych krytyków słuszne zjednała sobie uznanie, gdy w téjże saméj Gazecie i w tymże roku (N. 268), Kraszewski w jednym z swych listów, któremi ją od r. 1851 zasilał, wystąpił ostro przeciw nadużyciom formy powieści. Powodem do tak niespodziewanie wydanego okrzyku *veto* był *Laokoon*, powieść A. Niewiarowskiego, któremu nieodmawiając zalet, ani też autorowi talentu, uznał Kraszewski, że tak co do treści, jak formy, jest utworem całkiem spóźnionym. „Napisany — powiada — pomiędzy rokiem 1825 — 1835, zrobiłby *furore*. Dziś — dodaje — nie różni się od tysiąca pięciuset innych powiastek. Dosyć téż tego rodzaju utworów — czas, by literatura nową szatę przybrała." — Wprawdzie wyznaje Kraszewski, iż nie wié, co czynić, żeby powieść odnowić, gdyż dodaje, że gdyby wiedział, samby to pewnie uczynił; ale bądź co bądź czuje, że reforma jest nieuniknioną. Sam téż przyjmuje znaczną część winy na siebie, że swémi powieściami pociągnął za sobą młodsze talenta. „Kto się nieprzesycił — powiada — hrabiami i książęty karykaturalnymi, którycheśmy tylu napłodzili? — i dodaje: *mea culpa!* Artystami długo-włosymi, niepojętymi — znowu *mea culpa!* Trzydziesto-letniémi pannami na wzór Balzaka, dowcipnémi panienkami, excentrycznémi aktorkami itd. itd. (Czyżby i Sarę autor sobie wyrzucał? Wątpimy)." List ten powszechne wśród warszawskich literatów oburzenie wywołał. Czuł się nim i autor *Kollokacyi* dotkniętym. A i ogół czytelników również zadawał sobie pytanie, co wywołało to potępienie powieści, która przecież imię Kraszewskiego po całym obszarze kraju rozniosła i co zresztą znaczyła ta z jego strony spowiedź powszechna? Posypały się protestacye. Kraszewski jednak milczał; nareszcie w liście zamieszczonym w *Gazecie Warszawskiéj* r. *1855* (N. 62—64), a wystosowanym do Józefa Korzeniowskiego, odpowiedział na robione sobie zarzuty. W liście tym jeszcze dobitniéj wykazuje ujemne strony ówczesnéj powieści i jaśniéj formułuje, czego od niéj wymaga. Najgłówniejszym z jego zarzutów jest ten, iż wszystkie niemal na jedno kopyto są odlane — jakby waryacye z jednego tematu, bez ożywczego ducha, bez fizyognomii właściwéj. Domaga się więc nowéj myśli, nowéj formy, a raczej by każdy pisarz, mając myśl własną, starał się jéj nadać i formę również właściwą. Szczególniéj pod tym względem bił na tak zwane powieści i gawędy szlacheckie, które, jak niegdyś ballady i sonety, do uprzykrzenia powtarzając jedne i te same temata, zalewały powodzią literaturę.

„Maluje kto wiek XVII lub XVIII — powiada — pewnie wprowadzi ojca, co syna obatoży, szlachcica, który musi bić i kaleczyć. Co guzów, co sińców, co kres od szabli — dodaje — pewnie więcéj, niż je rzeczywistość widziała" (Gazeta Warszawska r. 1854. N. 268). — Do kogóż jednak te zarzuty zmierzały?..... Rzecz naturalna, że nie do tuzinkowych pisarzy, gdyż ci nie wywierają wpływu na społeczeństwo, ale do samych koryfeuszów literatury, powszechném cieszących się uznaniem. Owe baty występują w *Pamiętnikach starego szlachcica* hr. Rzewuskiego; *w Benedykcie Winnickim* — Pola; w *Dęborogu* Wł. Syrokomli, (opowiadanie anegdoty o Trockim Wojewodzie); wreszcie w *Stolnikowiczu Wołyńskim* J. Korzeniowskiego. Doprawdy było tego trochę zawiele. Burdami pijackiémi zaś przepełnione były niemal wszystkie utwory Z. Kaczkowskiego, i ckliwość wzbudzać zaczęły. To téż do téj literatury szlacheckiéj, Kraszewski jeszcze w lat parę powrócił i w *Gawędach o literaturze i sztuce* (*Obrazy przeszłości str. 45 — 75*), sformował jaśniéj, czego od powieści wymagał. Przyznając Pamiątkom Starego Szlachcica wysokie znaczenie, jako utworowi, na którym zyskała nietylko literatura i sztuka, ale nawet historya przez sumienniejsze rozpatrzenie się w przeszłości; widzi jednakże, iż Rzewuski, bezwiednie stworzywszy szkołę, wywołał cały tłum naśladowców, którzy, przerabiając na karykatury żywot szlachecki, całkiem spaczyli o przeszłości pojęcie. Przyczyny tego dopatruje przedewszystkiem w fałszywie obranym punkcie, z którego ciż naśladowcy zapatrywali się na czasy ubiegłe. Rzewuski — powiada — zjawił się w chwili, gdy romanse historyczne w duchu Walter Scotta pojęte, obudziły ku przeszłości tęsknotę, nie mogącą jéj ukoić wywołaniem z grobu żywego téj przeszłości oblicza. Rzewuski pierwszy postawił ją przed oczyma współczesnych, nadając jéj wyraz i oświetlenie właściwe, wskrzeszając typy, w których jéj rysy tém potężniéj się odbiły, im bardziéj wszystko do koła nich, bezpowrotnie z życia znikało. W tém jednak genialném odtworzeniu przeszłości, zasługa Rzewuskiego, podług autora studyów, polegała jedynie na wiernóm i dosadnem opi-

šaniu tego, co od ojca zasłyszał. Sam bowiem obrazów tych nie wysnuł z własnéj fantazyi, ale przy nadzwyczaj chwytnéj pamięci, łatwości przejmowania się otaczającym duchem, oraz wrażliwości artystycznéj, był, jakby rodzajem *medium* pomiędzy dzisiejszém pokoleniem, a przeszłością. (str.48). —„Autor—powiada Kraszewski—przebierał się, mając mówić, za kontuszowego szlachcica i gawędził nam, jakby zmartwychwstały nieboszczyk.“ (str. 51). Jakkolwiek można się niezgodzić z Kraszewskim na powyższą charakterystykę talentu Rzewuskiego, gdyż w każdym razie w *Listopadzie* dowiódł wielkiéj siły twórczości — faktem jest przecież, że pojęcia staroszlacheckie były jego osobistémi przekonaniami, z którémi się nosił w XIX stuleciu, plwając na wszystko, co było nowych czasów wytworem. W swych zatém na przeszłość poglądach był zupełnie szczery i zupełnie zgodny sam z sobą. Tymczasem jego naśladowcy, przyjmując soplicowski punkt zapatrywania się na nią, stanęli na gruncie najzupełniéj fałszywym. Przejęci bowiem pojęciami XIX wieku, kłamali sobie i drugim, idealizując pijatykę, zawadyactwo, batogi, burdy wszelkiego rodzaju, słowem postępki, któreby we współczesnych musieli bezwarunkowo potępić. Właśnie ten zarzut głównie Zygmunta Kaczkowskiego spotykał. Sąd o nim, wypowiedział Kraszewski najprzód w *Gazecie Warszawskiéj w r. 1855* (List. V. 62—64); następnie w *Gawędach o literaturze i sztuce.* Przyznając mu olbrzymi talent i wielką sztukę w utrzymywaniu się na stanowisku swojego wzoru, uważa go jednak za naśladowcę tylko fragmentaryjnéj soplicowskiéj formy, którą w ciągłém opowiadaniu *Nieczui*, ze szkodą prawdy historycznéj niepomiernie rozszerzył. Trafną bowiem robi uwagę, że jeśli podobne typy gawędziarzy były nader liczne w przeszłości, to jednak ich opowiadania nosiły zawsze epizodyczny charakter, nie mając pretensyi przybierać zamiarów epopei, jak to uczynił Kaczkowski. Autor jednak Murdeliona okupywał te wszystkie niekonsekwencye, wynikające z niewłaściwie obranego stanowiska, wysokim artyzmem i głębokiém przejęciem się swoim przedmiotem; ale mniéj utalentowani przesadzając, jak zwykle, pierwowzór i chwytając z niego same ujemne strony, dawali raczéj karykatury, niż obrazy przeszłości. „Ludzie — powiada Kraszewski — powtarzali się w nich kubek w kubek do siebie podobni, jak gdyby jedna postać przebierała się tylko coraz inaczéj.“— Zapytywano się, czy nad zużyty w opisach typ *Panie Kochanku, Starosty Kaniowskiego* i wielu do nich podobnych, przeszłość nasza nie miała już innych, rozumniejszych, szlachetniejszych postaci? To pytanie i Kraszewski sobie postawił i pod wpływem przesycenia, jakiego doznawał każdy więcéj myślący czytelnik, wystąpił przeciw temu kierunkowi z protestem, pragnąc literaturę powieściową na inne drogi wprowadzić. Drogi te zaś starał się wytknąć w skreślonych przez się *Obrazach przeszłości.* Przedewszystkiem robi uwagę, że jakkolwiek przeszłość nasza wytworzyła wiele typów excentrycznych, szalonych; to jednak te nie przedstawiają ogółu i do wyjątków należą. Obok różnego rodzaju paliwodów, rębaczy, bohaterów kielicha i krzykaczów sejmowych, rozwijało się życie prawidłowe, spokojne.—„Wszystka szlachta—mówi Kraszewski— nie mogła być podobną do genialnego zawadyaki—Paska, ani do jemu pokrewnych. Odwzorowując część jéj sejmikującą, kiereszującą, rąbiącą i processującą, zapomnieliśmy o ciekawszéj połowie, która przy szabli zardzewiałéj, uprawiała ziemię i w cieniu lip starych modliła się na ustroni“ (str. 57). Nadto, jak w studyach protestował przeciw fałszowaniu typów polskiéj niewiasty, pod wpływem naśladownictwa francuzkich i angielskich wzorów, tak znów obecnie stanął w jéj obronie przeciw uroszczeniom Soplicowskiéj szkoły, która odmawiała jéj niemal prawa exystencyi w powieści. Jakoż we wszystkich utworach Rzewuskiego kobiety narysowane są blado, bez życia, niby maryonetki, ukrytą poruszane sprężyną. By ten brak artystycznéj intuicyi w odgadywaniu charakterów niewieścich usprawiedliwić w w Rzewuskim, jeden z panegirystów téj szkoły—Michał Grabowski— nie wahał się twierdzić, że w dawnéj Polsce kobiety nie miały najmniejszego znaczenia, że nawet miłość małżeńska wcale tu znaną nie była. Przez poszanowanie Soplicowskich tradycyi zapomniał snadź o Zygmuntowskich pisarzach— choćby o J. Kochanowskim, Górnickim, którzy pod tym względem całkiem inne o tamtoczesnéj społeczności dają świadectwo.

To moralne unicestwienie kobiety, tę dążność ograniczenia jéj roli do samych zajęć domowych i rodzenia dzieci, Kraszewski téj szkole za fałsz historyczny poczytał. Nie podzielał on już teoryi autora *Literatury i Krytyki,* ani jego uwielbienia dla Walter Scotta. Obecnie cała przepaść pojęć dzieliła ich od siebie. Szkoła Soplicowska, którą Grabowski swémi teoryami

popierał, nie uznawała nic, co się sprzeciwiało dawnym, staro-szlacheckim pojęciom; odrzucała wszelkie, przejęte spadkiem po XVIII wieku zasady — wszelkie zdobycze postępu XIX stulecia. W tak zacieśnionym zaś kręgu, umysł Kraszewskiego, pomimo chwilowego zbliżenia się do koryfeuszów téj szkoły nie mógł pozostawać nadługo. Jego pojęcia o życiu historycznóm o wiele daléj sięgały. On nie chciał, by szlachcic pochłaniał mieszczanina, żyda, wieśniaka, bo i ci, choć pozbawieni praw politycznych, żyli jednek obok szlachty, doznawali skutków dziejowych wypadków i, cierpiąc w milczeniu, zdobyli sobie prawo, by ich łzy policzyć. W tych odrzuconych przez szkołę Soplicowską klassach, dopatruje on nie mniéj idealnych rysów, nadających się również do artystycznego utworu, jak i w klassie, uprzywilejowanéj szlacheckiéj. Przedewszystkiem zaś uderza na zasklepienie się piszących wyłącznie w jednéj Sasko-Stanisławowskiéj epoce, nacechowanéj moralnym i politycznym upadkiem podczas gdy po za nią, poczynając od Mieczysławowych i Bolesławowych czasów, rozwija się nieprzebrane bogactwo charakterów, typów, wypadków, pojęć, dążności, które wymagały tylko ręki mistrza, by je powołał do życia. Że szkoła Soplicowska, nawet pod względem historycznym miała wielkie znaczenie, że była ogniwem, łączącym teraźniejszość z ubiegłą niedawno, a jednak wyróżniającą się pod wielu względami przeszłością, tego, jak widzieliśmy, nie zaprzecza Kraszewski; ale powtarzanie jednych i tych samych typów, ale apoteozowanie burd, pijatyk i kańczuga, uważał za szkodliwe, zarówno dla literatury, jak i ze względu na zdrowe o przeszłości pojęcie. I rzeczywiście — smutnąby ona była, gdybyśmy musieli na tym ideale poprzestać, jaki z niéj utworzyła tamtoczesna powieść i gawęda szlachecka.

Przeglądając koleją wszystkie formy literatury, Kraszewski nie mógł pominąć dramatu *(Stud. Lit. XII Dramat)*. Wyróżniwszy istotę tragedyi i komedyi dawnéj szkoły, od dramatu, jaki się pod wpływem Schakespeare'a rozwinął, przeciwstawiającego pełnym patosu, bohaterskim, ale konwencyonalnym postaciom i działaniu skoncentrowanemu na jednę chwilę, całą rozmaitość rzeczywistego życia, uchwyconego w nagiéj, surowéj prawdzie i zarówno w najpospolitszych, jak i pełnych psychicznéj głębi objawach; zastanawia się, dla czego w kraju, gdzie życie publiczne dawało tak obszerne pole do ścierania się sprzecznych ze sobą dążności; gdzie indywidualizm państwową jedność pochłonął; wreszcie, gdzie się wyrabiały tak potężnie wybitne charaktery i tak pełne komizmu typowe postacie, jak Albertus, Pątnik, Rybałt, i wiele innych, dla czego, mówię, nie powstał narodowy dramat, komedya, skoro w dyalogach były już ich zaczątki?

Na te przecież pytania Kraszewski w pierwszéj seryi swych studyów stanowczo odpowiedzieć nie umiał. Rozwiązał je znacznie późniéj, bo dopiero w r. 1856, w artykule zatytułowanym: „Sztuka dramatyczna w Polsce", a wydrukowanym w „Gawędach o literaturze i sztuce". Jestto właściwie rozbiór dzieła K. W. Wójcickiego p. t. Teatr starożytny w Polsce," wydanego jeszcze w roku 1841, ale którego braki, pod względem wyjaśnienia zawartéj w niém treści, Kraszewski chciał uzupełnić własnym na ten przedmiot poglądem. Rozpatrzywszy pierwsze zawiązki teatru, Kraszewski zbija najprzód twierdzenie Wójcickiego, jakoby dyalog, znajdujący się w kronice Mistrza Wincentego, a w którym występują allegoryczne osoby, jak: Smutek, Wesołość, Swoboda, Roztropność i Sprawiedliwość, miał być odegrany dla pocieszenia panów, zasmuconych śmiercią Kazimierza Sprawiedliwego, gdyż właściwie w kronice Wincentego niema o tém najmniejszéj wzmianki. Również wątpi, by śmierć Ludgardy przedstawiano na scenie wcześniéj, jak w XV stuleciu, a tém więcéj w obecności samego Przemysława: ze słów bowiem Długosza widać, że o nieszczęśliwéj księżnie tylko pieśń współcześnie śpiewano. Pominąwszy wreszcie inne XV stulecia dyalogi i przechodząc do XVI wieku, Kraszewski, przy rozbiorze Żywota Józefowego daje wyborną charakterystykę talentu Mikołaja Reja (str. 148), oraz robi przypuszczenie co do „Odprawy posłów greckich" Jana Kochanowskiego, iż tragedya ta jest tylko początkiem na większą skalę zamierzonego dzieła. Jakoż z braku tragicznego w niéj rozwiązania, domyśla się, że Kochanowski, naglony przez Jana Zamojskiego o nadesłanie utworu na obchód wesela z Krystyną Radziwiłłówną, nie miał czasu dostatecznie go rozwinąć. Co do nas, sądzimy, iż Kochanowski „Odprawę posłów greckich", w téj formie, w jakiéj ją przesłał kanclerzowi, za całość skończoną uważał i że wystąpienie Kassandry — kulminacyjny punkt dramatu — jest rzeczywiście istotném jego rozwiązaniem. Niema też śladu w liście pisanym do Zamojskiego, a zamie-

szczonym na wstępie dzieła, coby mógł podobne przypuszczenie nasuwać. Pocta tłumaczy się tylko, iż dla braku czasu, nie dość starannie opracował tragedyą, ale nadto nic więcéj. Sam téż Kraszewski w końcu swoje przypuszczenie osłabia, mówiąc, iż „rzeczywiście przepowiednia Kassandry, malującéj upadek Troi, zostawia widza pod smutném wrażeniem, wyrównywającém zupełnemu rozwiązaniu“. (str. 158). Wreszcie co do innych zarzutów, stawionych Wójcickiemu, dwa jeszcze zasługują na uwagę. Pierwszy z nich odnosi się do niewłaściwego zapatrywania się na znaczenie przekładów tragików francuzkich, dokonanych przez Morsztynów: Andrzeja i Stanisława; drugi zaś, co do zrzucenia całej winy na Jezuitów, iż swémi teatralnemi przedstawieniami zepsuli smak narodu i świecki dramat zabili. Najprzód Kraszewski w przekładach „Cyda“ „Kornela“ i „Andromachy“ Rasyna, nie dopatruje „ślepéj cześci i głupiego szału do sztuk francuzkich“, jak się to wyraził Wojcicki, ani też nieszczęścia, iż po wzorach włoskich „schwytano francuzkie“. (Teatr staroż. T. II. str. 169). Owszem, trzymając się powszechno-dziejowego stanowiska, uważa owe przekłady za bardzo szczęśliwy dla literatury polskiéj nabytek i dziwi się, że dzieła te, nawet w dzisiejszym pojęciu sztuki — pierwszorzędne, Wójcicki mógł stawić na równi z takiémi sztukami teatru włoskiego, jak: „Wybawienie Rugiera“ i „Daphnis przemieniona w drzewo bobkowe“, w których dekoracye i maszynerye większy podziw wzbudzały, niżeli sama osnowa. Arcydzieła bowiem tragików francuzkich mogły służyć za wzór dla rodzimych talentów; szło tylko o to, by ich nie naśladowano bezmyślnie, jak to nastąpiło w późniejszéj epoce, słowem, by umiano w domu stosować to, „co geniusz gdzieindziej tworzył“ (str. 192). Zbija również oskarżenie, wymierzone przeciw Jezuitom, i brak zamiłowania do świeckiego teatru przypisuje głębszym, bo w ustroju społeczeństwa tkwiącym przyczynom. I właśnie owo pytanie, które we wcześniejszych jego studyach pozostało bez odpowiedzi, tu rozwiązanie znajduje. Wiadomo, że dramat może się rozwinąć jedynie wśród dojrzałéj, żyjącéj pełnem życiem w całym swym organizmie, społeczności. Takiéj zaś pełni życia u nas właściwie nie było. Używał jéj tylko stan szlachecki. Ale życie jego, zamiast się skupić, jak gdzieindziej w stolicy, rozsypało się iskrami po całéj przestrzeni kraju. Po miastach—tych głównych ogniskach umysłowości, handlu i przemysłu, osiadła ludność napływowa, nie mająca praw politycznych, a zatem niezdolna wytworzyć stanu trzeciego, podnieść się w zamożność, w naukę —czuć jakiekolwiek umysłowe potrzeby. Nie było więc komu podtrzymywać teatru, który, by się rozwinął, koniecznie stałéj sceny wymaga. I to bywa właśnie główna, w społecznym organizmie tkwiąca przyczyna, dla któréj się u nas nie mogła sztuka dramatyczna rozwinąć. W obec niéj wszystkie inne mają zaledwie drugorzędne znaczenie. Tymczasem Kraszewski tę za mniéj ważną uznaje, a natomiast przyczynom, podług nas niższego rzędu, przypisuje w tym procesie życia społecznego skutki daleko ważniejsze. I tak np. powiada, „że dla nas dramat żywy odegrywał się gdzieindziej: w siczy, na stepie, na granicach, na sejmikach i sejmach, na zagrożonych krańcach państwa“ (str. 139); zatém, że przy gorącém zajęciu, jakie budziło życie publiczne, zanadto blado wychodziłyby przedstawienia na scenie. Otóż zdaje nam się, że to zarzut bardzo pozorny. Boć przecie i Anglia i Hiszpania i Francya nie leżały za piecem, ale jako państwa, przodujące w europejskiéj cywilizacyi, dokonywały wielkich rzeczy na świecie i w życiu niemniéj krwawe, a może i krwawsze odgrywały dramata, a przecież stworzyły teatr, który ma powszechno dziejowe znaczenie. Tylko posiadały to, na czém nam właśnie zbywało — wielkie ogniska życia — miasta kwitnące. — Również przesadném nam się wydaje twierdzenie, jakoby „przedstawiać na scenie w dawnéj Polsce miłość, byłoby to tykać świętości arki domowéj,“ lub żeby szlachcic nie był pozwolił na wywodzenie na jaw krwawych i łzawych dramatów familijnych, a tém więcéj w komedyi ze siebie aktorom dał szydzić. Zapewne, że gdyby ci, wśród Polski, jaka była w XVII wieku, ni ztąd ni zowąd wystąpili z podobnego rodzaju sztukami, można być pewnym, iżby takiego losu doznali, co i owi z pamiętników Paska Francuzi, reprezentujący na teatrze warszawskim wzięcie Leopolda I w niewolę. Ale gdyby społeczeństwo nasze w innych rozwijało się warunkach, gdyby w miastach, a przynajmniéj w stolicy utworzyło się było główne ognisko życia: wtedy i szlachta nabrałaby innych nawyknień i mniéj na punkcie miłości własnéj drażliwa, znalazłaby w końcu upodobanie w przedstawieniach scenicznych. Nie należy sądzić bowiem, byśmy do jakichś należeli wyjątków. Prawa umysłowego i moralnego rozwoju zawsze są jednc dla wszystkich i teatr mógł tak samo oddzia-

ływać zbawiennie u nas, jak oddziaływał gdzieindziej. Trzeba było tylko do tego odpowiednich warunków, bo nawet nie można absolutnie twierdzić, by u nas rzeczywiście do teatru nie było zamiłowania. Właśnie ta okoliczność, że owe opery włoskie za Władysława IV taki podziw wzbudzały, że wreszcie jezuickie dyalogi, pozbawione wszelkiego sensu, mogły się utrzymywać tak długo, stanowi dla nas dowód przeciwny. Brak było tylko wykształconego smaku, lecz nie ochoty. Zajście z Francuzami w teatrze, o którém Pasek wspomina, pokazuje tylko, jak patrzano na szerzący się wpływ głów upudrowanych, od których, jak mówi genialny pamiętnikarz, aż było ciemno w oknach zamku warszawskiego. „Szyto więc strzałami w kupę francuzów“, bo chciano po swojemu zamanifestować ressentyment przeciw praktykom Maryi Ludwiki i oto powód całego zajścia. Jeżeli zaś cofniemy się do XVI stulecia, to przekonamy się, że nawet na posiedzeniach prywatnych zdradzano pewne upodobanie do teatru i umiano sobie zastępować brak reprezentacyi scenicznych. Łukasz Górnicki np. rozbierając w swym „Dworzaninie” istotę trefności, czyli dowcipu, i dając liczne jéj przykłady, zarówno w krótkich a zwięzłych wyrzeczeniach, jak i w ciągłém opowiadaniu jakiegoś zdarzenia, twierdzi, iż „jądro they trefności a wdzięczność wszystka w tym jest, aby człowiek powiedaiąc, iako się rzecz w sobie miała, umiał wyrazić twarz, słowa, obyczaie y sprawę wszysthkę tego, o kim mówi: iżby ci, którzy słuchać będą, zapomniawszy się, mniemili, że to przed oczyma ich teraz się dzieie. Y kto w to może dobrze potrefić, z niebardzo trefney rzeczy, bardzo trefną uczyni“ (Dworzanin. Ks. II. O. 5. wyd. 1566 r.).

Jestto więc jak najdokładniejsze określenie istoty kunsztu aktorskiego. A takimi aktorami bywali nawet ludzie wcale nie powszedniéj miary, bo Jan Ocieski, podkomorzy krakowski, ochmistrz królowéj Bony, bo Jan Tarnowski, kasztelan krakowski, który, jak mówi Górnicki: „to na zchwał dobrze umié“, wreszcie Gabryel Grabowiecki, który „kiedy Niemca Polakiem czyni, trudno ma być co threfniejszego“ — i wielu innych zapewne. W braku więc rzeczywistego teatru improwizowano sobie spektakle, co wskazuje, iżby się był i gust do sceny z czasem wyrobił, gdyby ta w ustroju społecznym znalazła stałego bytu podstawy. Rozebrawszy starannie dzieje sceny polskiéj na podstawie „Teatru Starożytnego,“ sam Kraszewski dochodzi do wniosku, że do czasów Stanisława Augusta, właśnie ze względu wyjątkowego ustroju społeczeństwa, nie mogliśmy się zdobyć na teatr właściwy. Po za tę wszakże epokę ani w „Gawędach o sztuce“, ani we wcześniejszych „Studyach Literackich“ Kraszewski daléj nie idzie i nie wiemy nawet, czy kiedy swoje pióro scenie teatru z epoki stanisławowskiéj poświęcił. Ta obojętność nawet dla prac Zabłockiego i Bogusławskiego, to przemilczenie tak ważnéj chwili w organizowaniu sceny krajowéj dziwnie w jego studyach uderza. W artykule noszącym w nich tytuł: „Dramat“, zatrzymawszy się nad typami czysto narodowymi takiego Albertusa, Magistra, Chłopa, i dziwiąc się, że ich nie umiano zużytkować w swym czasie w komedyi, wspomniawszy zresztą z lekceważeniem o tragedyach czysto francuzko-klassycznego pokroju (Barbara, Ludgarda, Bolesław Śmiały), przechodzi wprost do Fredry i odtąd wyłącznie się jego sztukami zajmuje. W każdym razie należy przyznać Kraszewskiemu zasługę, iż w czasie, gdy krytyka zbyt dorywcza i stronna, odmawiała genialnemu komedyopisarzowi słusznego uznania, a teatr warszawski po macoszemu jeszcze jego utwory traktował; on go zawsze należycie oceniał, wróżąc nie płonnie, iż wszystkich współczesnych sobie dramaturgów przeżyje.

Szybki rozrost piśmiennictwa peryodycznego na zachodzie nie uszedł uwagi tak bystrego umysłu, jakim jest obdarzony Kraszewski. Studya też swoje nad „Dziennikarstwem“ rozpoczął dosyć wcześnie, bo jeszcze w r. 1838 w *Tygodniku Petersburskim*, gdzie znajdujemy artykuł, odnoszący się do tego przedmiotu, który następnie w Studyach Literackich, pod tytułem *Literatura peryodyczna* pomieścił. Kraszewski, chcąc wskazać, jak się do podobnych rzeczy zabierano gdzieindziej, bierze pod rozwagę dziennikarstwo francuzkie i angielskie, i daje wskazówki, coby należało zrobić, by i naszym pismom peryodycznym trwałość i pomyślność zapewnić. Przyznawszy dziennikarstwu francuzkiemu pod względem ilościowym nad angielskiém pierwszeństwo — Francya bowiem liczyła wówczas do 500 pism peryodycznych, gdy Anglia miała ich tylko 180; uważa, iż w pierwszéj przedewszystkiém przemaga dążność do specyalizacyi przedmiotów zarówno naukowych, jak i mających praktyczne zastosowanie w życiu. Dłuższy wszakże ustęp poświęca angielskim Przeglądom i Magazynom, i przyznając im więcéj

naukowe i literackie, niż utylitarne dążności, mówi o liczbie ich prenumeratorów, współpracownikach, oraz o wysokości otrzymywanych przez nich honoraryów. Wreszcie oznacza stosunek czytelników do liczby pism, wydawanych w różnych krajach Europy i wyraża przekonanie, iż dla nas daleko odpowiedniejsze są pisma „nieperyodyczne rzeczą, a jednak zupełnie peryodycznym podobne"—słowem tak zwane zbiorowe. Takiémi były „Wizerunki Wileńskie," „Panorama," „Athenaeum," wreszcie „Kwartalnik krakowski," któremu wysoką naukową wartość przyznaje. Podobne zapatrywanie się pochodziło ztąd, iż ówcześnie Kraszewski dziennikarstwu szkodliwy wpływ na literaturę przyznawał. Nie zaprzeczał on wprawdzie, iż z niego ogół czytelników nie jednę korzyść może osięgnąć; do takich zaliczał: „szybkie rozpowszechnienie każdéj myśli, polemikę potrzebną dla ożywienia literatury, popularyzowanie dzieł ogłaszanych lub rozbieranych, wreszcie zachęcenie do czytania samą rozmaitością przedmiotów" (str. 220). Ale widzi także i złe skutki ztąd płynące, mianowicie: odrywanie piszących od prac, wymagających głębszych studyów, czasu i rozmysłu, a natomiast zaprzęganie ich do prac drobnych, terminowych, a zatém dokonywanych pospiesznie, słowem zmuszających do wyrobów rzemieślniczych, rozpraszających siły, które należałoby potęgować skupieniem.

Bądźcobądź ówczesny stan naszego dziennikarstwa, nie zagrażał jeszcze opanowaniem wszystkich działów piśmiennictwa i zastąpieniem literatury książkowéj. Z niewielkiéj téż liczby tamtoczesnych pism peryodycznych zajmuje się głównie oceną wychodzących miesięcznie, jak „Biblioteki Warszawskiéj," „Przeglądu Naukowego", „Nadwiślanina," oraz „Pamiętnika Religijno-moralnego". Przechodzi następnie do pism literackich tygodniowych i z nich podnosi przedewszystkiem zasługi „Tygodnika Petersburskiego" w rozbudzeniu umysłowego życia, oraz inicyatywę „Tygodnika Literackiego Poznańskiego," który pierwszy zaczął wyznaczać honorarya swoim współpracownikom i dla tego, jak mówi: „nie żebrał nigdy artykułów, w których wybór mógł uczynić" (225). Pismo to, jak równie „Orędownik," który poszedł jego śladem, stawia za przykład wszystkim redaktorom i wydawcom, którym prócz tego zaleca nadanie pismom swym wybitnéj jakiejś dążności, bez czego niepodobna w czytelnikach żywszego zainteresowania obudzić.

Takie było zapatrywanie się Kraszewskiego na prassę peryodyczną w pierwszéj epoce jego literackiéj działalności. W ośmnaście lat późniéj, bo w r. 1856 całkiem sobie inny pogląd na jéj zadanie urobił i w artykule o „Dziennikarstwie," zamieszczonym w „Gawędach o literaturze i sztuce" w sposób obszerny rozwinął (od str. 79—119). W nim staje na stanowisku wprost przeciwném temu, jakie w Studyach literackich zajmował. Jakoż zaznaczywszy na wstępie, iż ze zjawisk umysłowych, cechujących naszego wieku dążenia, najgodniejszém uwagi jest dziennikarstwo, nazywa zastarzałymi nieprzyjaciółmi postępu tych wszystkich, którzy w jego wzroście widzą poniżenie i zepsucie literatury, zapominając o tém, jak wielką ono jest w dzisiejszych czasach potęgą i jakie usługi saméj literaturze oddaje. Określając następnie zadanie pisma peryodycznego, daje tém samém odpowiedź, czego po niém wymagać należy. Otóż celem jego jest przedstawiać życie pewnego społeczeństwa w danéj chwili, nadawać mu rozumny kierunek, zapobiegać krokom nieopatrznym, wreszcie zapisywać historyą dnia każdego, przygotowywać materyał dziejowy. Samo przecież zestawienie faktów codziennego życia nie stwarza jeszcze dziennika. Będzie on — według słów autora: „workiem łachmanów, zszywaniną bladą, zszarzaną," jeśli tych różnorodnych objawów nie spoi i nie przeniknie myśl jedna, nie ożywi duch, świadomy celu, zdolny dopatrzéć przebłyskującéj idei wiekowéj w każdym pojedyńczém, choćby na pozór drobném nawet zjawisku. Gdy zaś te odnoszą się do najrozmaitszych przedmiotów, gdy zresztą obowiązkiem prassy, każdą z kwestyi, jaką dzień nasuwa, umiejętnie rozstrzygnąć: przeto i dziennikarstwo nie może być zadaniem pojedyńczego człowieka, ale wynikiem zespolenia najróżnorodniejszych sił, które, ożywione jedną myślą, jedną dążnością, działać powinny zgodnie, hołdując raz uznanéj zasadzie. Słowem Kraszewski pragnąłby zaprowadzić w dziennikarstwie karność czysto wojskową, i bezwarunkowe zaparcie się własnéj indywidualności piszących. Pismo według niego to pułk, armia, na któréj czele stoi wódz-redaktor, kierujący umiejętnie obrotami kolumny, świadomy celu każdego poruszenia, daléj pod jego bezpośredniémi inspiracyami znajdować się mają niższych stopni dowodzący, wreszcie prosty żołnierz, ślepo wodzowi posłuszny (89—90).

Tak ścisłe zjednoczenie sił, kierowanych naczelną myślą, widzi Kraszewski w ówczesném dziennikarstwie francuskiém i angielskiém. Tam wszelkie artykuły zamieszczane bywały bez podpisów,—imię autora ginęło.

jak imiona twórców pierwotnych epopei, „które — jak powiada — są czynem i wyrazem całéj epoki i narodu“ (str. 84). I z tego téż względu według niego, dziennikarstwo nosi wybitne piętno wieku, który „inaugurował wszelkiego rodzaju spółki i stowarzyszenia (83), który wszędzie i we wszystkich sferach powołuje ludzi do związania się w braterski snopek kłosów do bożego żniwa“ (85). Wyznaje wszakże, iż te zasady u nas, tylko jako *pia desideria* uważać dotąd należy: wszędzie bowiem chęć postawienia swego na wierzchu, widoki zysku, nie pozwalają takiéj umysłowéj spółki przeprowadzić. Wszakże tylko w ten sposób uorganizowane dziennikarstwo daje rękojmie trwałości pisma i wpływu jego na społeczeństwo. „Na pracy jednego człowieka — powiada— łatwiéj się omyli sąd ogółu; dziennik — dzieło spółki, rychléj przemówi jakąś stroną swoją do czytających“ (str. 91). Pismo téż, które odpowiada umysłowym potrzebom czasu, zawsze znajdzie u ogółu poparcie. Upadek jego świadczy, że nie umiało dopatrzéć przedmiotu, któryby łącznik pomiędzy niém a czytelnikami utworzył.

Natomiast, gdy utrafi w potrzeby umysłowe ogółu, staje się wielką potęgą. Tę siłę jego widzi Kraszewski w nieustanności działania. „Książka przechodzi i zapominamy o niéj; dziennik w jednym redagowany duchu, rozstrzygający wszystkie zadania bieżące, niejako oszczędzający nam pracy myślenia i poszukiwania: staje się powoli sędzią i wyrocznią, w którą gnuśnie wierzyć przywykamy“ (str. 93).

Tak się w streszczeniu przedstawiają późniejsze poglądy Kraszewskiego na dziennikarstwo. Zkądże pochodzi tak rażąca między niemi niezgodność? Oto ztąd, że w Studyach zapatrywał się na prassę ze stanowiska czysto literackiego; w Gawędach zaś jako publicysta, polityk. Oba zaś te stanowiska muszą się wzajemnie wyłączać. Co w jednym kierunku idzie na korzyść społeczeństwa, ze względu na wpływ doraźny, jakie się na nie przez dziennikarstwo wywiera, to w drugim dzieje się ze szkodą literatury i sztuki. O ile w dziennikach politycznéj natury zniwellowanie wchodzących w skład redakcyjny zdolności, nadaje spójnią i siłę; o tyle w pismach poświęconych literaturze, podobny systemat sprowadziłby musiał zatarcie wszelkiéj oryginalności w pisarzach i samę literaturę strąciłby na stanowisko służebnicy panującéj idei, przeciw czemu, jak widzieliśmy, Kraszewski zawsze powstawał. Stanowisko więc, jakie początkowo w Studyach zajmował, było właściwsze i więcéj odpowiadające potrzebom literatury pojętéj, jako sztuka. Te wszystkie téż ujemne strony, jakich dopatrywał w rozroście dziennikarstwa, odnośnie do piszących i dziś się dają uczuwać, a jeszcze pozostaje do rozstrzygnięcia pytanie, czy i na ogół czytelników nie oddziaływa ono ujemnie? Z natury bowiem swojéj ograniczając się do artykułów traktowanych pobieżnie, mimowolnie w umysłach zaszczepia płytkość, wszystkowiedztwo, obok wstrętu do dzieł poważniejszych, wymagających większego natężenia myśli i pracy. Sam Kraszewski przyznaje, iż czytając jeden i ten sam dziennik, przywykamy *gnuśnie mu wierzyć na słowo*. Miałlożby to stanowić dodatni wpływ dziennikarstwa?... Wątpimy.—Dalszy ciąg artykułu o prassie, pomieszczonego w *Gawędach* zajmuje się oceną ówczesnych pism peryodycznych. Wszystkie jednak uwagi o ich kierunku zbyt czasowy noszą charakter, byśmy się mogli dłużéj niemi zajmować.

Jak się Kraszewski w ogóle zapatrywał na krytykę i jak jéj zadanie pojmował, odpowiedzą nam jego artykuły, zamieszczone w obu seryach *Studyów*, *Tygodniku Petersburskim*, oraz w innych pismach czasowych.

Powszechnie jest rzeczą wiadomą, iż krytyka była najsłabszą stroną naszego piśmiennictwa. Historyczna — dopiéro się w XVIII wieku z Naruszewiczem poczyna; literacka pominąwszy Fr. Xawerego Dmochowskiego, Ludwika Osińskiego, dopiéro w K. Brodzińskim swego przedstawiciela znajduje. Przynajmniéj on wskazał, co gdzie indziéj na tém polu zrobiono, jakich się zasad postępowania trzymano. Nie uganiając się za orginalnością, był, ściśle biorąc, eklektykiem. Nie zrywał z klassycyzmem, ale téż nie zamykał oczu na to, co do literatury wniosły nowe estetyczne poglądy. Z niemieckich pisarzy *Lessyng*, *Herder*, *Winkelman*, *Sultzer*, *Goethe*, *Schiller*, *Rychter*, oraz obaj *Schleglowie*; z francuzów zaś: *Quatremère de Quincy*, wreszcie *Villemain* — byli najczęściéj w rozprawach estetyczno-krytycznych przytaczani przez niego.

Po nim wystąpił Maurycy Mochnacki. I on swą estetyczną wiedzę czerpał z tych samych źródeł, ale przyjąwszy za podstawę filozofią natury *Schellinga*, dążył do utworzenia systematu w krytyce, który téż w dziełku: *O literaturze XIX wieku* rozwinął. Dopatrując w całym szeregu istot nieor-

ganicznych i organicznych stopniowego rozwoju zawartéj w nich myśli, tak że każda na wyższym stopniu udoskonalenia stojąca istota ogarnia w sobie inne, niższego rzędu twory natury;—uznając nadto w kształtach jéj stałych—*realizm*, a natomiast w jéj zmiennych, rozpłynnych przejawach, jak w magii światła, w grze fantastycznéj obłoków — idealny pierwiastek: zatrzymuje się na człowieku, w którego duchu te wszystkie zjawiska do świadoméj o sobie myśli dochodzą. Tym sposobem duch ludzki staje się zewnętrznego świata reflexem i dwojako świat ten w dziełach sztuki odtwarza. Albo wyrzeka się swego *ja* i nadaje swym pomysłom byt rzeczywisty, realny, jaki mają twory w przyrodzeniu; albo je z istoty swojéj wysnuwa i to stanowisko Mochnacki za idealne uznaje. Przyjąwszy zaś w swym systemacie za punkt wyjścia naturę, wszystko do niéj odnosi i na jéj obrazowanie, uchwycenie jéj charakteru i barwy, głównie w swych rozbiorach zwraca uwagę. Jest on téż w całém znaczeniu tego wyrazu przedstawicielem romantycznéj szkoły. Pojęcia narodowości w poezyi nie formułuje jeszcze stanowczo. Utwor jest dobry lub zły, o ile duchem zgodny jest z naturą i prawdą psychiczną. Zasadę narodowości wypowiedział dopiéro *Michał Grabowski* w swojéj *Literaturze i Krytyce*, i, jako zwolennik szkoły ukraińskiéj i naśladowca Walter Skotta w powieściach, urzeczywistnić ją pragnął.

Kraszewski w swych krytycznych poglądach nie trzymał się żadnéj szkoły, nie stworzył żadnego systematu; uznawał tylko zasadę narodowości, a zresztą od krytyków wymagał wszechstronnego przygotowania i sumienia. Chciał, by krytyk był, czém być powinien: bezstronnym, umiejętnym sędzią dzieł rozpatrywanych, kierowników dobrego smaku. Głównie téż godził na krytyków przedajnych, na recenzye „różnych szajek literackich, którym nie dobro literatury ani korzyść czytelników leżały na sercu, ale własny interes, chęć zdobycia dyktatury, bezkarnie terroryzujących zarówno pisarzy, jak i wydawców, w celu wymuszenia okupu, lub zabicia dzieła przeciwnych sobie dążności.“ Tego rodzaju krytyków, za tém niebezpieczniejszych uważał, że obałamucali czytelników, rzadko kierujących się wyrozumowanym sądem, ale zawsze skłonnych wierzyć innym na słowo, zwłaszcza, gdy to pojawia się w druku. Za główny téż warunek uszlachetnienia krytyki uważał jawność i téj się domagał usilnie.—„Czas jest—mówił—wzbronić przystępu do pism peryodycznych tym rozbiorom, co wstydząc się własnego zdania, nie śmieją się do niego przyznać i rzucają je, jak te odrodne matki dzieci swoje na ulicę" (Stud. Lit. str. 239). „Trzeba w téj walce o prawdę odkryć swoje piersi, mierząc w cudze; dać się poznać nawzajem, przeciw komu się staje. Inaczéj walka nierówna, a ze strony recenzenta nieszlachetna, bo jego sztylet zostaje w ranie, a ręka, wstydząc się ciosu, umyka (ibid. 241).“

Wszakże od krytyki nietylko jawności, lecz i bezstronności się domagał. Od wypowiedzenia prawdy nie powinny powstrzymywać ani względy osobiste, ani światowe. „Co ma przyjaźń—powiada—wspólnego z krytyką? Co uraza wspólnego z dziełem?" (str. 243). Słowem twierdzi, że nadeszła już pora na krytykę śmiałą, niezależną, ostrą, byle sprawiedliwą; surową, lecz sumienną (str. 239). A jednak w późniejszych latach, skarży się na niemożność wypowiadania swego zdania o piszących otwarcie. „Nie umiéć się kłaniać *górom* i *dolinom*, a powtarzając w druku to, co wszyscy mówią jawnie, można ściągnąć na siebie całego świata nienawiść“ (*Gazeta warszawska r. 1854, List. VI N. 174*). Dodajemy jednak, iż to bynajmniéj nie powstrzymało go późniéj od wygłoszenia swych przekonań i sądów o talencie improwizacyjnym Deotymy, powieściach Kaczkowskiego lub Margierze Syrokomli, który uznał za utwor całkiem chybiony (*Gaz. warsz. r. 1854 N. 265, 1855 N. 62—64, N. 168*).

W każdym razie krytyka według Kraszewskiego nie powinna przeradzać się w walkę osobistą. Jeżeli zaś wywołuje tego rodzaju polemikę, widać, że nie jest oparta na wyrozumowanych zasadach, że wynika z czysto koteryjnych niechęci. Sam przecież w pierwszych latach swego autorskiego zawodu, nieraz występował z podniesioną przyłbicą, bynajmniéj nie oszczędzając przeciwników. Takie odporne stanowisko zajął w *Tygodniku Petersburskim* od r. 1837, najprzód w skutek protestacyi wywołanych jego artykułem: *Jak się robią nowe książki ze starych książek?* (*Rzecz o kradzieży literackiéj*); następnie z powodu *Asmodeusza* — szeregu fantastycznych artykułów, rozpoczętych także w r. 1837, a traktujących o literaturze naszéj i o życiu umysłowém i artystyczném we Francyi. Polemizował także z Podwysockim, broniąc swych sądów o Karpińskim, o którym się wyraził, że natchnienie jego płynęło z ego-

izmu i że gdyby mu król dał był dużo pieniędzy, byłby porzucił wieś i *dom ubogi* (*Tyg. Pet. r. 1838 N. 36*). Wreszcie dość ostro występował przeciw B. T.—zdaje się Bronisławowi Trentowskiemu czy też Bukarowi Tadeuszowi—o *Istotę poezyi*, o któréj ten wyraził się: „że jest w niebie razem głową i pępem (sic!) a nogami na ziemi“—Kraszewski odpowiada, że „nie wié, jak żyć może w tak niewygodném położeniu (Ib. r. 1838 N. 25).“ „Najostrzéjszym wszakże pociskiem z téj epoki, była poezya zatytułowana:“ Do *A*, *B*, *C*, *D*, *E*, *F*, itd. *Pierwsza i ostatnia odpowiedź.*“ Jestto bajka o *psie i księżycu*, w któréj Kraszewski dał odprawę wszystkim krytykom, napadającym nań ówcześnie. Kto był psem, a kto księżycem—można się łatwo domyśléć (Tyg. Pet. r. 1838 N. 22). Jakże jednak pogodzić tę walkę z powyżéj przytoczoną zasadą? Jak pogodzić znowu owę zasadę z tém, co późniéj o dziennikarstwie powiedział, iż ono przez polemikę korzystnie oddziaływa na literaturę? Jestże Kraszewski z samym sobą w sprzeczności? Zapewne, o tyle, o ile w początkach pisarskiego zawodu, młodzieńczéj ulegając krewkości, sam się w polemikę osobistą zadawał. Wszakże co innego jest walka o zasady, podtrzymująca życie umysłowe i dopomagająca do wykrycia prawdy, a co innego owa krytyka podjazdowa, chwytająca za słowa, którą zawsze potępiał. Dla tego też od krytyków, obok sumienności wymagał gruntownego przygotowania: gruntownych studyów nad arcydziełem literatury powszechnéj i znajomości rozbieranego przedmiodu. W ogóle w pierwszéj seryi Studyów, Kraszewski dość objektywnie zapatrywał się na obowiązki i stanowisko krytyka. Ale nie możemy tego o drugiéj ich seryi powiedziéć. Przynajmniéj w artykule pod tytułem: *Sąd krytyki i czytelników*, zamieszczonym w tomie I *Nowych Studyów literackich* o tyle tylko krytyce kompetencyą w sądzeniu o utworach sztuki przyjmuje, o ile ta *zgadza się z głosem ogółu.* Jest więc rzeczywiście w sprzeczności ze zdaniem wygłoszoném poprzednio: „iż krytyk nie ma zważać na wrażenie, jakie książka zrobiła na tłumie, na tém lub owém indywiduum, ale powinien pytać się siebie, wyrozumować swe zdania, a odebrawszy od dzieła wrażenie, z niego zdać sobie sprawę“ (Stud. Liter. str. 245). Ale przyczyną téj radykalnéj zmiany w poglądach, było wyrobienie się całkiem różnego stosunku Kraszewskiego z jednéj strony do krytyków, a z drugiéj do czytelników. Krytyka napadała na pierwsze jego utwory zajadle, odmawiając im wszelkiéj literackiéj wartości. Na mały nawet czas przed wydaniem Studyów, arystarchowie warszawcy osądzili jego powieść: *Poeta i Świat*, przesłaną w rękopiśmie, jako niegodną druku. Tymczasem powieść ta wydana w Poznaniu, rozentuzyazmowała ogół. Nic zatém dziwnego, że w obec powszechnego uznania, Kraszewski zaczął lekceważyć sądy krytyki i że wypowiedział zasadę, „iż sąd ogółu jest jedynym, sprawiedliwym sądem“ (*Nowe Stud.* T. I. str. 5). Do wygłoszenia podobnego zdania upoważniały nadto Kraszewskiego świeże reminiscencye walki, jaką przed kilkunastą laty stoczyła nowa poezya z obozem klassyków, który właśnie potępił to, co u ogółu znalazło uznanie. Dziwniejsza, iż tego przekonania o wartości krytyki nie zmienił i późniéj, gdy już w pełni talentu stanął na reju literatury. Tym razem nie był on własnéj już sprawy rzecznikiem; wystąpił, święcąc pamięć świeżo zgasłego poety, którego stronnicza krytyka nieraz swym pociskiem w samo serce zraniła. Ale w sądzie tym przebija się tyle goryczy i wzgardy, iż trudno nie widziéć, że z tą krytyką sam wiele jeszcze miał do załatwienia osobistych rachunków. Oto jak się we wstępie, w wspomnieniu, skreśloném o *Władysławie Syrokomli* wyraża: „Ma to do siebie ta niedowarzona krytyka nasza, dotąd nazwiska, o jakie się ubiega, nie warta, że prawie zawsze wbrew idzie poczuciu ogólnemu, czepia się chciwie i poniżyć usiłuje to, co wszyscy przyjmują serdecznie i oceniają wysoko: wywyższa i stara się podnieść to, co ma umrzéć i żyć nie jest godném. Całą jéj sztuką ta walka kunsztowna z czytelnikami, których zdanie jest prawie zawsze trafne, a zajęcie dziełem dowodzi w niém jakiejś zalety, gdy arystarchowie nasi, na dobre zamknięta mając oczy, tylko wady dostrzedz umieją..„ Tego łatwego sposobu dokonywania krytyki, trzymając się pierwszy lepszy, który sam nic skleić nie potrafi, lub lepi niedorzeczności i to jeszcze cudzém je łatając, bierze się u nas do sądzenia o tych, którym Bóg dał siłę tworzenia, i chlubi się, gdy arcydzieło podziurawił chwilowo. Koniec końcem, cóż z tego? Oto te krytyki sztuczne i wysilone, często najeżone pozorną umiejętnością przechodzą cicho i zapadają w zapomnienie, gdy najsrożéj napastowani pisarze żyją, więcéj na nich zyskując niż tracąc“; *Władys. Syrokomla* str. 2—3 warsz. r. 1863).

Przyznajemy, iż w powyższych słowach jest wiele słuszności, o tyle wszakże, o ile odnoszą się do krytyki, noszącéj na sobie charakter osobisty, stronniczy. Odwoływanie się wszakże od wyroków krytyki do ogółu, jako nieomylnego sędziego, zdaniem naszém, nie może być przyjętém, *jako zasada*. Krytyka, choćby nawet myliła się w swych sądach, zawsze ma tę zasługę, iż przedmiot z pewnéj strony wyświetla, że innych do zastanowienia się nad wartością dzieła pobudza i, nawet przemilczając dodatnie jego strony, przyczynia się swoim sądem ujemnym do wykazania istotnéj wartości—utworu. Tém więcéj krytyka trzymająca się wyrozumowanéj zasady, nie może być uważana na równi z sympatyami lub potępieniem ogółu, zależném od kaprysu, mody, lub ślepego instynktu. Ileż to dzieł zapomniano, które ogół w danéj chwili za arcydzieła uważał. Za przykład może Henryada posłużyć. A jeszcze zachodzi pytanie, czyby sam jéj twórca wpływ tak wszechpotężny nad umysłami pozyskał, gdyby nie był schlebiał instynktom i namiętnościom mass, które swém uwielbieniem dla niego wszelką oppozycyą współczesnéj krytyki stłumiały. Wprawdzie Kraszewski twierdzi, iż pisarz nie potrzebuje poniżáć się pochlebstwem, by został należycie uznanym; że ogół gotów nawet gorzką prawdę przyjąć od niego, byle w nim czuł dążność prawą, szlachetną. Lecz jeżeli zechce pochlebiać?.... Czyż w takim razie wygłoszona powyżéj zasada nie stanie się w rękach nieuczciwych obosieczném narzędziem?..

Artykuł o *podaniach gminu* zasługuje na uwagę zarówno ze względu na wypowiedziane w nim poglądy Kraszewskiego na literaturę ludową, jak i na stawione przezeń postulata co do sposobu opracowania, składającego jéj całość materyału, a który mówiąc nawiasem, dotąd jeszcze w stanie pierwotnym spoczywa. Za główny wątek posłużyły mu *Klechdy Starożytne* K. W. Wójcickiego w r. 1837 wydane w Warszawie, których ocenę już pierwéj w Tygodniku Petersburskim zamieścił (1836 N. 44). Obecnie sąd o nich, tylko bardziéj umotywowany, w Studyach literackich powtórzył. We wstępie Kraszewski określa znaczenie podań gminnych, uważając je za jeden z najgłówniejszych żywiołów nowoczesnéj literatury. Myśl wszakże zbierania ich Kraszewski niewłaściwie Wójcickiemu przyznaje; pierwszeństwo bowiem pomysłu należy się Hugonowi Kołłątajowi (Pamiętnik Warszawski z r. 1809). Za jego natchnieniem poszedł dopiero Adam Czarnocki, znany pod pseudonimem Zoryana Dołęgi Chodakowskiego i swą rozprawę, zamieszczoną w Ćwiczeniach Naukowych, wychodzących w Krzemieńcu pod redakcyą Tymona Zaborowskiego i Franciszka Skomorowskiego dał w r. 1818 nowy popęd do gromadzenia zbiorów tego rodzaju. Saméj też nazwy „klechda", nadanéj przez Wójcickiego za wskazówką T. Czackiego podaniom gminnym, nie uważa Kraszewski za właściwą i wątpi, czy nawet jest zrozumiałą dla ludu. W dalszym ciągu wykazuje, w jaki sposób owe podania obrobione zostały i całość zbioru pod dwojakim względem uważa: naukowo-historycznym i poetyczno-artystycznym. Pierwszy podług Kraszewskiego wymagał wyjaśnienia ich pochodzenia, porównania z podaniami téjże saméj osnowy, znajdującémi się w innych literaturach ludowych, wreszcie wykrycia w nich czysto swojskiego pierwiastku i zawartego filozoficznego znaczenia,—drugi artystycznego obrobienia, z zachowaniem formy i ducha podaniom ludowym właściwych. Z tych dwóch działów, pierwszy, jako więcéj zadawalający uważa, lubo zarazem robi zarzut: nieuwzględnienia w nim zródeł obcych, oraz brak filozoficznego wykładu; co zaś do opracowania, widzi w niém wielkie niedokładności, mianowicie: pośpiech, niewykończenie, brak przejęcia się przedmiotem, wreszcie niewłaściwość użycia w nich formy rytmicznéj.

Słowem—Zbiór Klechd Wójcickiego Kraszewski uważa, jako próbę, początek, wreszcie zachętę dla innych i udziela rad, w jaki sposób należałoby się do podań gminnych zabierać. Przedewszystkiem jednoczesne zbieranie, obrabianie i objaśnianie ich Kraszewski za przedwczesne uważał i wymagał, by zbieracze ograniczyli się wyłącznie na wierném i dokładném ich opisaniu, zachowując tylko cechy pochodzeniu właściwe, całą szczerotę myśli i barwę pierwotną, by starali się uchwycić charakter okolicy, w któréj się zrodziły lub przynajmniéj najdłużéj żyły; wreszcie, by poznali charakter ludu, który je przechował, jego obyczaje, zabobony, pojęcia o otaczającym świecie, a wreszcie postarali się o zebranie wszystkich waryantów jednego i tegoż samego podania, gdyż te, wykazując różnice w zapatrywaniu się ludu na samę osnowę, ułatwiają jéj wyrozumienie i uzupełniają to, co gdzieindziéj opuszczoném być mogło. O ile nam wiadomo, jeden Oskar Kolberg, znany zbieracz pieśni ludowych, najbogatszy zasób waryantów zgromadził. Co zaś do

podań i baśni nikt jeszcze nie poszedł we wskazanym przez Kraszewskiego kierunku. A jednak dopiero w ten sposób mając ze wszystkich ziem i okolic zebrane w jednę całość podania, dołączywszy do nich wszystkie pieśni, przysłowia, zwyczaje, przesądy gminne, można się zająć ich obrobieniem i zbadaniem. Każde bowiem pojedyncze podanie jest tylko okruchem wyrażającym cząstkę tego ducha, jaki zaklęty żyje w całéj literaturze ludowéj. Kto je bada osobno, ten nigdy nie wyrozumié jego znaczenia, nie wykryje zródła, z którego wypłynęło pierwotnie.—„Podania ludu—mówi Kraszewski — są to myty, często symbola głębokich jego pomysłów, które ubrane w szaty skromnéj powieści, chodziły hieroglifami, rzadko pojętemi, podawanemi z ust do ust, jak zabawne bajki." Rozpoczynanie też studyów nad podaniami od poszukiwań historycznych zaleca: idzie mu bowiem o to, by wykazać, co w nich jest własne, miejscowe, a co przychodnie i przyswojone.

Nadto, ponieważ w te podania lud wiekami składał *przędzę swych myśli i uczuć swych kwiaty*, ponieważ w nich objawił sposób zapatrywania się na swój stosunek do siebie i świata, wyrażał swoje pojęcia o duszy, życiu zagrobowém i Bogu; ztąd wykrycie filozoficznego ich znaczenia, poczytywał za nie mniéj ważne dla przyszłego badacza zadanie. Choć jednak od tego czasu wiele nowych zbiorów przybyło, literatura ludowa aż dotąd pozostaje w pierwotnym kopalnym stanie. A. W. Maciejowski, lubo się już w studyach nad literaturą ludową (*Piśmiennictwo*) na Jakubie Grimmie opierał, nie o wiele pochodzenie klechd i podań pod względem zródłowym wyjaśnił. Przyznając jednym czysto swojski charakter, odnosi ich powstanie do czasów pogańskich, lecz daléj poza tę epokę nie idzie; zauważywszy w drugich obce żywioły, wydzielił je, jako rzecz napływową z zewnątrz, nie mającą nic wspólnego z rodzimym pierwiastkiem. Zresztą tożsamość wielu podań naszych z podaniami należącémi do obcych literatur ludowych, objaśnia wpływem sąsiedzkim, lub nawet wspólnością życia, wynikłego z pomięszania się plemion słowiańskich z germańskiémi w czasach, gdy te nie obrały stałego jeszcze siedliska. Taką metodę jednak za najwłaściwszą uważał i przyznać należy, iż w porównaniu z wcześniejszémi pracami, polegającémi na badaniu podań samych w sobie, bez związku z podaniami innych ludów, stanowiła ona niezaprzeczony postęp. Nie można tego o późniejszéj pracy Ryszarda Berwińskiego powiedzieć. Wiadomo bowiem, iż ten w swych *Studyach o literaturze ludowéj ze stanowiska historycznéj i naukowéj krytyki* (Poznań 1854), całkiem jéj orginalności zaprzeczył, twierdząc, iż cała jéj osnowa przeszła do ludu z zachodu, za pośrednictwem dworów szlacheckich, pątników, klechów, organistów, słowem ludzi, zostających w jakimkolwiek z klassami oświeceńszémi stosunku. Podobne też poglądy, jako nie mające naukowéj podstawy, nie przyniosły literaturze pożytku.

Kraszewski daleko trafniéj, choć może tylko intuicyjnie, naturę podobnych studyów pojmował. Według niego, jak widzieliśmy od bajek należało dotrzéć do mytów, choć na to pytanie, gdzie tkwiło ich zródło, dziś dopiéro można odpowiedziéć stanowczo. Jakoż odkąd na drodze lingwistyki porównawczéj wspólne pochodzenie ludów indo-europejskich od plemienia Aryów naukowo udowodnioném zostało; odtąd wszelkie badania, odnoszące się do pierwotnych ich wierzeń i podań tylko na téj drodze podejmowane być winny. Jeżeli bowiem ludy te, ze swéj prastaréj kolebki wyniosły wspólne pierwiastki mowy, które je w sposób zdumiewający do Hindusów i Aryo-Persów zbliżają; jeżeli pomimo lat tysięcy, doznanych w ciągu wędrówek przygód, i wewnętrznych przewrotów, zachowały tożsamość flexyi, w wyrazach, dającą się uzasadnić drogą porównawczą obecnie; to bezwątpienia musiały z niéj wynieść i też same, zawarte w mytach, wierzenia, które, po spadnięciu fal dziejowego potopu, zwanego wędrówką ludów, pod wpływem otaczającéj przyrody i klimatu w ich nowozdobytych i wywalczonych siedliskach, wreszcie sposobu życia i tysiącznych innych działaczy, tak fizycznéj, jak i moralnéj natury, ukształciły się w ich wyobraźni rozmaicie, zawsze jednak zachowując niezatarte ślady wspólnego pochodzenia, w swéj na pozór nowéj osnowie. Nie dla tego więc należy porównywać podania nasze z obcémi, by z nich wydzielać czysto swojski pierwiastek, gdyż ten z ostatniémi nie mający nic wspólnego, należy do późniejszych, nowo wytworzonych pokładów; ale właśnie przedewszystkiem należałoby zwrócić uwagę na to, co jest zgodném we wszystkich podaniach indo-europejskich ludów, gdyż właśnie w téj wspólnéj osnowie tkwią najstarożytniejsze myty, które były podstawą zarówno pierwotnych wierzeń, jak i moralności społecznéj. Wykazanie dopiero różnic w uplastycznie-

niu téj osnowy przez każdy naród z osobna, zestawienie waryantów, powstałych w skutek modyfikacyi zaszłych w zasadniczych pojęciach, a wywołanych już miejscowemi, zewnętrznemi wpływami, stanowi pierwszy warunek zbadania tego najstarszego geologicznego pokładu mytów, do którego głębi nie inaczéj, jak przy świetle Vedy i Zendavesty zapuszczać się należy. Tu właśnie złożone są owe myty, o które Kraszewskiemu chodziło, i takie też a nie inne wypowiedział na tę kwestyą w czasie późniejszym poglądy (*Gazeta Warszawska 1854 N. 4—8*). Wszystko zaś inne, co w podaniach nosi wyłącznie narodowy charakter, co je od podań innych ludów wyróżnia, ma zapewne swą ważność pod względem historycznym, chrześciańskim, wyjaśniając, w jaki sposób pojęcia nowe godziły się ze starémi, ale bynajmniéj nie tłumaczy mytologii a z nią pierwotnych pojęć narodu, słowem tajemnic jego ducha. Więcéj nawet powiemy. Bez zbadania tego najstarszego pokładu nie podobna zrozumiéć podań późniéj powstałych, gdyż, jak Max Müller powiada, „każdy myt pierwotny, nie odrazu został skażony, ale z biegiem czasu najprzód przetwarzał się w w legendę a dopiéro z niéj przekształcał się w baśń, któréj osnowa znów daléj przeistacza się pod wpływem wyobraźni ludowéj, zachowując zawsze coś z pierwotnego mytycznego zaczątku (Essays T. II str. 176)." „Takie więc dopiero zbadanie drogą porównawczą przechodzenia i stopniowego wyradzania się mytów i przeprowadzenie ich przez wszystkie stopnie skażenia, może nam dopiéro naukowo wyjaśnić istotne znaczenie literatury ludowéj. Ale by tym sposobem nasze pieśni i klechdy obrobić, należy się oprzéć na pracach: J. Grimma, E. Burnouf'a, Benfey'a, Müllera, i innych, jak to zrobił Afanasiew w swych *Poetycznych poglądach słowian na przyrodę*—dziele, stanowiącém ważny dla mytologii nabytek. Tém trafniejszémi przeto wydają nam się rady Kraszewskiego, dawane ówczesnym zbieraczem, by artystyczném obrabianiem nie psuli podań ludowych, gdyż każde z nich, oderwane od ogólnéj całości, samo w sobie zrozumianém być nie może.

Od podań gminnych Kraszewski naturalnym porządkiem przechodzi do historyi (Roz. IX). Mówi najprzód o historykach mu współczesnych, o materyałach historycznych i pamiętnikach. Co do pierwszych rozpatruje prace: Teodora Narbutta, A. W. Maciejowskiego, Ignacego Daniłłowicza i Michała Wiszniewskiego. Nie wdając się w szczegółowy ich rozbiór, wypowiada o nich sądy, które pomimo swéj dosadnéj formy, zdradzają zawsze bystry pogląd na przedmiot i szerokie jego objęcie. Najmniéj naukowéj wartości przyznaje Historyi Litwy Narbutta. Pierwszy tom tego dzieła, obejmujący mytologią litewską, rozbiérał Kraszewski zaraz po jego ukazaniu się w druku (1835), o drugim napisał szczegółową recenzyą, ale ta jak sam mówi, okazała się tak obszerną, że w żadném piśmie peryodyczném pomieszczenia znaléść nie mogła. W końcu Kraszewski uznał niemożliwem podejmowanie dalszéj pracy krytycznéj, gdyż wykazanie wszystkich fałszów, przyjętych przez Narbutta za prawdę, wymagało po sprawozdawcy napisania niemal osobnego dzieła. Ograniczył się przeto na krótkiéj ocenie całości, obejmującéj tomów IX (1835—1841). Podnosząc też zacne chęci autora Litwy i ogrom pracy w zebraniu źródeł podjętéj, zarzuca mu nieznajomość dziejów powszechnych, i ztąd zbyteczne przecenianie znaczenia Litwy, a obok tego rozwlekłość opowiadania, odstręczającą czytelnika, którego sam ogrom dzieła, nie pociągającego artystyczną formą wykładu, przeraża.

Jakoby dla uwydatnienia tém większego kontrastu, po Narbucie zajmuje się Kraszewski A. W. Maciejowskim i, o ile pierwszemu odmawia należytego przygotowania historycznego, o tyle w drugim widzi gruntowną naukę, sposób widzenia rzeczy nowy i śmiały, oraz sąd umiejętny, wytrawny. Ale jakkolwiek z pomiędzy prac jego, najwyższe znaczenie przyznaje *Historyi prawodawstw Słowiańskich*, to jednak z pewną dozą ironii oświadcza z góry, iż o niéj wydawać sądu nie będzie, skoro autor zapowiedział na wstępie, iż odrzuca wszelki sąd o téj pracy człowieka, któryby na doktora obojga praw nie okazał patentu, i dla tego nie wdając się, jako nie specyalista, w szczegółowy jéj rozbiór, zajmuje się głównie ocenieniem źródeł, tak w *Pamiętnikach o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian*, jak i w saméj *Historyi prawodawstw* użytych. Témi źródłami były: akta urzędowe, język, pieśni, oraz źródła książkowe. Co do pierwszych, Kraszewski, całą ich ważność uznając, zarzuca Maciejowskiemu, iż nie zawsze z dyplomatów właściwy robi użytek, że jak na historyka zbyt namiętnie przecenia wpływ Słowiańszczyzny na prawodawstwo i kulturę innych ludów, słowem że dopatruje w niéj zalet, wynoszących ją wysoko po nad pierwotny stan barbarzyństwa i stawia ją na reju cywilizacyi, jako

nauczycielkę Greków i Germanów pod względem handlu, rzemiosł, rolnictwa i t.d. Kraszewski nie przeczy, by w tém jakiéjś części prawdy nie było, ale zarazem robi uwagę, że jeśli obcy odmawiają Słowianom wszelkiéj cywilizacyjnéj zasługi, to jeszcze nie wypada ztąd, by historyk, należący do jednego z ich szczepów, wpadał w ostateczność przeciwną i z pogwałceniem prawdy nadawał Słowiańszczyznie idealne oblicze, którego w rzeczywistości mieć nie mogła.

Natomiast wprowadzenie źródeł językowych do dziejów Kraszewski nader wysoko podnosi i przyznaje Maciejowskiemu, iż owémi badaniami dowiódł, że się do nich usposobił gruntownie, słowem, że jest znakomitym znawcą języka. Tak przecież nie było. Maciejewski, przyjmując język za materyał dziejowy, dowiódł tylko, iż mu było wiadomo, jakie nowe źródła przyjęto w postępowém dziejopisarstwie na zachodzie; wszakże zasady nowożytnéj lingwistyki, jako niespecyaliście, były mu obce zupełnie, skoro w II tomie swego Piśmiennictwa (r. 1853), mówiąc o formach starożytnych i kształceniu się języka, daje ich objaśnienia, nie mające żadnéj naukowéj wartości. Dość powiedziéć, że wprowadza takie np. formy czasu tr. od słowa być, jak jazmi, jasze, jest, i objaśnia powstanie osoby 1 w ten sposób, iż Polak mówił, że jego *ja* jest dla *mi* t. j. dla niego; osoby 2, że jéj ja jest *dla siebie* i t.d. (str. 283). —O ile wszakże wprowadzenie źródeł językowych poczytuje Kraszewski za ważny dla dziejów nabytek, o tyle za mniéj pewne świadectwa uważa pieśni gminne, gdyż te, nie mając cechy wieku, w którym powstały, nie mogą stanowić także przekonywających i niezbitych dowodów.

Trafność téj uwagi szczególniéj dziś uderza, gdy właśnie taki zabytek, jak pieśń o Sądzie Libuszy, na któréj A. W. Maciejowski opierał głównie swe wywody o postępowaniu sądowém u Słowian (*Hist. Prawod. T. III, str. 284*), uległa, co do swéj autentyczności nowemu zakwestyonowaniu przez Alojzego Wojciecha Szemberę, prof. języka i literatury czeskiej w uniwersytecie wiedeńskim. Przechodząc wreszcie do źródeł książkowych zaznacza Kraszewski wielką skrupulatność w ich użyciu. Niesłuszny jednak robi mu zarzut, iż odrzucając swojskich, bliższych nam, lub współczesnych pisarzy, polega głównie na Szafarzyku, Palackim i Stenzlu. Zgadzali się z nim bowiem w zasadach, stali na gruncie europejskiéj nauki, wolni byli od skłonności do fantazyowania i śmiałych, ale nie wytrzymujących krytyki hypotez; miał prawo przeto w wielu razach dawać im nad innymi pierwszeństwo. Pomimo tych zarzutów Kraszewski przyznaje pracom Maciejowskiego wielką naukową doniosłość. Protestuje tylko przeciw niektórym jego, powszechnie znanym, a wstrętnym ogółowi opiniom, ale stawia go na czele ówczesnych historycznych badaczy.

Po Maciejowskim, Kraszewski zajmuje się oceną prac Ignacego Daniłłowicza. O dziełach wszakże jego, ogłoszonych drukiem, nader skąpe podaje wiadomości. Powiada tylko ogólnikowo, iż zebrał rozległe materyały do historyi Litwy i że te krytycznie przetrawia. Sądząc téż z Kraszewskiego, mniéj obeznany czytelnik z literaturą historyczną, mógłby wnosić, iż cała ówczesna pisarska działalność Daniłłowicza ograniczała się na ogłoszeniu jednéj rozprawy w języku niemieckim w Dorpackich *Jahrbücher* z r. 1834, oraz na współpracownictwie w *Dzienniku Ministeryum Oświaty*. Tymczasem tak nie było. Do roku bowiem 1841 Daniłłowicz wydał bardzo wiele gruntownych prac dziejowych; w r. 1820 *O zakładach dobroczynnych w Polsce*, w r. 1822 *Opisanie bibliograficzne Statutu Litewskiego*, w r. 1824 *O cyganach*, w r. 1826 *Sudebnik Kazimierza Jagiellończyka*, który wraz z textem polskim ogłosił; w r. 1827 *Latopisiec Litwy i kronikę ruską*, z objaśnieniami dla czytelników polskich potrzebnémi. Niedość na tém, w r. 1841 wyszło obszerne jego dzieło, staraniem Tytusa hr. Działyńskiego, wydane p. t. *Zbiór praw litewskich od r. 1389—1529, wraz z mowami sejmowémi, dotyczacémi tych praw, a toczącémi się od r. 1544—1563*,— słowem szereg prac, wymagających nader gruntownych studyów; a których tylko szczegółowa ocena mogła usprawiedliwić postawienie Daniłłowicza z autorem Historyi Prawodawstw Słowiańskich. Opuszczenie to tém więcéj w wydaniu książkowém zadziwia, że Kraszewski w krytycznym rozbiorze Historyi m. Wilna p. Michała Balińskiego, zamieszczonym w *Tygodniku Petersburskim* (w roku 1837 N. 47) wylicza niektóre z tych prac, przyznając im nawet wielką doniosłość. Natomiast przychylniéj ocenia działalność Michała Wiszniewskiego. Właśnie dwa pierwsze tomy jego Historyi Literatury polskiéj wyszły z druku i obudziły w Kraszewskim wielkie o tym pisarzu nadzieje. Uznawszy współczesne o niéj krytyki za nieudolne, przyczepiające się do szczegółów z pominięciem myśli przewodniéj, która w istocie uderza oryginalnością i rozległym

na rzecz poglądem; podnosi w pracy Wiszniewskiego przyjęcie za punkt wyjścia literatury ludowéj, która ma stanowić miarę swojskości dla literatury piśmiennéj według tego, o ile ta ostatnia do niéj się zbliża lub oddala, oraz wypowiedzenie téj śmiałéj myśli, którą i dzisiejsza filozofia angielska pozytywnéj szkoły wygłasza (Spencer), iż zbyteczne przecenianie wpływu starożytnych pisarzy odwodzi nas od umiejętności istotnie potrzebnych w zastosowaniu do życia.

My z naszéj strony jeszczebyśmy jedno dodali, co w wysokim stopniu ważność pracy Wiszniewskiego podnosi, mianowicie: roztoczenie dziejów literatury polskiéj na tle powszechnéj, europejskiéj cywilizacyi. Inna rzecz, czy mu się to przeprowadzić udało; w każdym razie wskazał drogę, którą iść należało, by się uwolnić od zaściankowych na pisarzy poglądów, i nie przeceniać ich znaczenia. Uczyniwszy wreszcie zaszczytną wzmiankę o pracach Józefa Łukaszewicza, i *Pamiętnikach o królowéj Barbarze* Michała Balińskiego, przechodzi do drugiego działu, t. j. do zbieraczy materyałów historycznych.— Ponieważ był to czas, gdy obok tak zwanych *Zbiorów dyplomatów* ogłaszano w pismach peryodycznych nieprzebrane mnóztwo historycznych pomników, Kraszewski rzucił pytanie, czyby nie było właściwém, ze względów czysto praktycznych, wydać wszystkie chronologicznie w osobnym zbiorze, dającym możność zużytkowania ich odpowiednio przez badaczy, którzy, jak mówi, częstokroć nie są w stanie odszukać rozpierzchłego materyału.

Następnie przechodzi do *Herbarzy*, jako źródeł dziejowych, zaznajamiających nas z historyą pojedyńczych rodów, z ich życiem domowém, wewnętrznėm, z odnoszącemi się do niego szczegółami, które wprawdzie pomija historya na większą stopę pojęta, ale które, jako pojedyńcze rysy składają się na fizyognomią danego czasu. Pod ostatnim tym względem Kraszewski najwyżéj stawia *Bartosza Paprockiego*, który według niego po Reju, w swém *Gnieździe Cnoty* i w *Herbach Rycerstwa polskiego*, jest najdokładniejszym malarzem XVI stulecia. Po nim, pomijając Okolskiego, pierwsze miejsce Kacprowi Niesieckiemu naznacza. Jego *Koronu*, choć pod względem stylu zaniedbana, zaleca się według Kraszewskiego większą od Paprockiego dokładnością, oraz bogactwem źródeł, których mu dostarczyły nie tylko prace poprzedników, kroniki, przywileje, metryki i nagrobki; ale nadto i monografie genealogiczne wielu znakomitych rodzin, tak zwane *historiae domus*, spisywane przez jezuitów, oraz legendy, żywoty jezuitów, fundatorów i dobrodziejów zakonu. Najważniejsze w tym rozdziale są uwagi Kraszewskiego, poczynione z powodu rozpoczynającéj się ówcześnie drukować nowéj edycyi *Herbarza Niesieckiego* w Lipsku. Zanadto jednak są one obszerne, byśmy je tu przytoczyli w całości; ale, choć nie zostały uwzględnione przez wydawcę, mogą służyć za wskazówkę dla każdego, kto chce bliżéj poznać wewnętrzne życie szlachty i zbadać dzieje wszechstronnie (Studya Literackie str. 134—137).

W *Studyach* wszakże Kraszewski nie dość wyczerpująco opracował rzecz o Heraldyce. Zapatrując się bowiem na herby, jako materyał do historyi, nie uwzględnił w nich jednéj jeszcze strony, mianowicie: zawartego w nich żywiołu poetycznego. Jeszcze raz przeto w późniejszych latach powrócił do tego przedmiotu i napisał prześliczne studyum p. t. *Poezya szlachecka, legendy herbowne.* Artykuł ten był najprzód drukowany w *Gazecie Warszawskiéj w r. 1855*; następnie zamieszczony został w *Gawędach o literaturze i sztuce.* Kraszewski, wyjaśniając początek herbów polskich, przyjmuje teoryą A. W. Maciejowskiego, mianowicie, iż pierwiastkowo były one godłami gmin słowiańskich, ich chorągwią, grobowym kamieniem, i że następnie, przywłaszczone przez roty, przewodniczące w boju, stały się symbolem rycerskiego ich pochodzenia czyli godłem szlachectwa. Na Litwie do połączenia jéj z Polską herby były nieznane. Klassa bowiem tak zwanych bojarów, odpowiadająca znaczeniem szlachcie, powstała w skutek naturalnych przyczyn, z samego ustroju społeczeństwa, a nie przywilejów książęcych. Podobnie było i na Rusi do połączenia jéj z Polską, lubo tu dopatruje Kraszewski jakichś znaków, godeł, w formie liter, jakiegoś zaginionego alfabetu, które gminy kładły na swych mogiłach. Rzeczywiście znaki przywiedzione przez niego przypominają bardzo swym kształtem skandynawskie runy. Znaki te dodawano później do herbów. Ogół przywiązanych legend, Kraszewski na sześć kategoryi podzielił. Jakkolwiek podział ten nazywa dowolnym, mybyśmy go jednak za bardzo trafny uznali. Jakoż do pierwszéj zaliczył legendy, dowodzące samą osnową dawności pochodzenia. Ich epoka kończy się na czasach mieczysławowskich. Do takich zalicza legendy zamieszczone pod herbem: *Abdank*, *Nałęcz*, *Gerald*, *Korwin*, *Ślepowron*, *Ogończyk*, *Powała*, *Odrowąż*, *Deszpot*, *Paprzyca*, *Rawicz*,

Topór, *Starża*, oraz herb *Węzele* inaczéj *Łebno*, zwany. Przywiązane jednak do nich legendy skażone zostały późniejszemi dodatkami heraldyków z XVI, XVII i XVIII stulecia. Nie poprzestawano na znakach swojskich i tradycyach czysto rodzinnych. Duma rodowa kazała te znaki na wzór cudzoziemski przerabiać; legendy swojskie obcémi historyami ozdabiać, pochodzenie własnego rodu z obcych narodowości wywodzić. Do tak zcudzoziemszczonych legend zalicza powszechnie znaną o Walgierzu Toporczyku i niewiernéj mu Heligundzie, daléj legendę, przywiązaną do herbu Zienowiczów, którego nazwa *Deszpot*, miała wziąć w Serbii początek. Również zdarzenie, wyjaśniające początek herbu *Paprzyca*, miało zajść w Czechach, a herb *Węzele* został aż w maurytańskiéj Grenadzie, przez rycerza Hołuba przy grze w arcaby z maurytańską księżniczką (!) zdobyty. Niektóre z legend przywiązanych do tych herbów, są wielkiéj naiwności — istne bajki ludowe. Inne migocą całém bogactwem fantastycznéj wyobraźni i cudowności — niby wschodnie powieści.

Gorzéj było z legendami przywiązanémi do herbów, któremi obdarzeni przechodzili w szeregi szlachty prosto z kmiecego lub mieszczańskiego stanu. Kraszewski zalicza je do drugiéj kategoryi i słusznie twierdzi, że duma późniéjszych, spanoszonych potomków, wstydząc się swego pochodzenia, „porobiła z kmieciów-praojców, z poczciwych sług i pachołków książęcych, z rzemieślników tęgiego serca i dłoni — przybyszów z dalekiéj krainy—książątka i królewiczów“ (Gawędy str. 280). Tak *Skuba*, szewc, wyszedł w heraldykach na dworzanina królewskiego; herb *Chomąto* wywodzi się od rycerza bajecznego z Cygienberga, gdy widocznie ma swojski, kmiecy początek. Herbu *Kroje*, nie mogąc zcudzoziemczyć, odniesiono do czasów piastowskich. Były jednak legendy tak proste i na wskroś swojskie, że pomimo usiłowań heraldyków, nie dały się przerobić, ani zatrzéć w sobie charakteru kmiecego. Do takich zalicza Kraszewski podanie o początku herbów *Cholewa i Nałęcz*, oraz legendy przywiązane do herbów: *Rustejko i Sokola*.

Do trzeciéj kategoryi należą legendy o czynach rycerskich, dokonanych na polu walki. Początkiem swoim sięgają one czasów bolesławowskich, najliczniejsze zaś pochodzą z czasów Krzywoustego. Do nich należą: o *Belinie ze złotą ręką*, *Bogoryi*, *Godziembie*, *Grzymale*, *Helmie*, *Jelitach*, *Junoszy*, *Kościeszy*, *Ładzie*, *Nieczui*, *Złotogoleńczyku*, i innych. Legendy, odnoszące się do tych herbów, były żywą księgą dla wielu pokoleń. Z niéj czerpano przykłady poświęcenia, bohaterstwa i cnoty. „Nieraz —powiada Kraszewski—o wieczornéj porze, u domowego ogniska, patrząc na ciemne oblicza obrazów praojców, sędziwy dziad karmił tą legendą stojącego w pokorze u progu drzwi wnuka; nieraz je córce opowiadała matka: tak w każdym domu dwa duchy opiekuńcze, dwie legendy przeszłości, jak dwa gołębie, latały nad kolebką dziecka, na skrzydłach swych podnosząc duszę jego w świat ideałów“ (Gawędy str. 314).

W czwartéj kategoryi pomieścił Kraszewski legendy. które dowodzą, że siłę pięści, przebiegłość, dowcip, stawiono na równi z czynami bohaterskiéj odwagi, skoro przez te przymioty dokonano czegoś wielkiego, lub pożytecznego dla drugich. Do takich należą, odnoszące się do herbu: *Dolina*, *Janina*, *Jastrzębiec*, *Lis*, *Półkozic*, *Bajbuza* i inne. Jest ich takie mnóztwo, że Kraszewski uznał za niepodobieństwo przywodzić je choćby w skróceniu.

W ogóle wszystkie legendy pomieszczone w 4-ch kategoryach, noszą na sobie przeważnie epiczny charakter. Natomiast odniesione do piątéj zawierają wiele dramatycznego pierwiastku. Osnową ich są czyny zbrodnicze, okupione późniéj wielką skruchą i żalem. Szlachectwo pojęte, jako instytucya, zakon, miało wysokie znaczenie w dziejach nowożytnych narodów. Wzrosło i utrzymywało się poświęceniem i osobistą zasługą. „Szeregi rycerstwa—powiada Kraszewski—były ludem wybranym, były wzorową garścią przewodników, mających przykładem swoim wieść całą massę narodu *do postępu, do ulepszeń, do wszelkich cnót idealnych* (Str. 322).“ Téj cnoty godłem był herb. Ztąd, jak w nim symbolicznie wyrażano zasługę, tak upamiętniano i występki, któremi ktoś przynosił ujmę ojcowskiéj zasłudze. W téj więc kategoryi pomieszczone legendy, odnoszą się do zmian zaszłych w herbach, które przerabiali bądź panujący, bądź same nawet rody, karząc czyn, przynoszący zakałę. Co dziwniejsza, iż większość legend tego rodzaju, odnosi się do samych waśni braterskich. Tak herb *Krzywda* powstał z herbu Lubicz, w skutek pokrzywdzenia młodszego brata przez starszego przy podziale ojcowskiéj spuścizny. Do herbu *Nowina* przywiązaną jest legenda o zabójstwie, dokonaném na bracie. Zabójca tak zatarł ślad zbrodni, iż nikt przez długie lata nie podejrzywał go o jéj spełnienie, aż dręczony wyrzutami su-

mienia oddał głowę pod miecz katowski.— Podobnéj osnowy legenda przywiązaną jest do herbu *Pomian*, powstałego z Wieniawy. A któż nie zna legendy o herbie *Starykoń*, który przyjął zapoznany przez swych braci *Żegota Toporczyk*, przez lud nazwany *Zaprzańcem*?.. Całkiem inny charakter przedstawia legenda, przywiązana do herbu *Łżawa*. Otrzymał go rycerz *Belina*, gdy, zdrzémnąwszy się na straży i nagle przebudziwszy się, krzyknął instynktownie: „Do broni!“ i tym fałszywym alarmem cały obóz zatrwożył. Inna, odnosząca się do herbu *Oksza*, opiewa zdradę namiestnika *Wrszowca*, który księcia czeskiego, swego dobroczyńcę, chciał strącić z tronu i sam władzę zagarnąć. Słowem — pełno tu tragicznego żywiołu, który, jak się wyraża Kraszewski, potrzebuje tylko dłoni mistrza, by z niego dramat iście Schakespear'owski utworzyć.— Do ostatniéj wreszcie kategoryi należą podania o herbach, którym traf, szczęście dało początek. „Szanowano w tém — powiada Kraszewski—niejako wolę Bożą, podzielającą dobra ziemskie wedle niepojętego dla nas prawa“ (str. 332). Znaną jest legenda o herbie *Dębno*, gdyż ją Bernatowicz zużytkował w *Pojacie*; nie mniéj o *Przybysławie Szreniawicie*, któremu koń, sprzedany do Węgier, całe stado z sobą sprowadził. Kraszewski powiada, iż literatura nasza dotąd nie będzie uzupełnioną, dopóki kto nie zużytkuje téj bogatéj kopalni, jaką przedstawiają podania szlacheckie, które za dalszy ciąg poezyi gminnéj uważa. Tą myślą powodowany *Franciszek Kowalski* ułożył wierszem *Legendy herbowe*. Wszakże samo sparafrazowanie tego rodzaju osnowy, zdaniem naszém, do niczego nie prowadzi. Niejedna bowiem z legend, zapisanych w Herbarzach, ma więcéj poetycznéj wartości, gdyż jest prostszą, niż ubrana w formę rymową. Przedmioty tego rodzaju mogą być jedynie traktowane w sposób, w jaki J. Słowacki *Balladynę* obrobił: słowem, służąc za motywa do utworu, pojętego na szerszą stopę i wykonanego w duchu czysto legendowym.— Niesłusznie jednak Kraszewski powstaje na krytykę historyczną, mówiąc, *że jéj wara do tego rodzaju przedmiotów*. Owszem, sądzimy, iżby nietylko poezya, lecz i historya wielkie odniosła z jéj zastosowania korzyści. Najprzód porównanie naszych Herbarzy z heraldyką innych narodów wykazałoby wszystkie wtręty, które się tu zakradły. Krytyka przeto oddzieliłaby tu czyste ziarno od plewy. Powtóre nasuwa się pytanie, czyby nie wydobyła głębszego, ukrytego w tych legendach znaczenia? Weźmy tylko na uwagę podanie o owym *Żegocie*, odepchniętym przez dwóch braci: *Sędziwoja i Nawoja*. Czyż to nie jest zmodyfikowaném i artystyczniejszém tylko opowiedzeniem owéj gminnéj historyi o *Dwóch braciach mądrych i trzecim bracie Jasiu-Głuptasiu*? I w legendzie i w powieści gminnéj—koń równie ważną rolę odgrywa. I tu i tam występują z jednéj strony złość i przewrotność, z drugiéj upośledzeni, za którymi jednak słuszność przemawia. Któż wie? czy obie nie są odgłosem daleko rozleglejszéj waśni plemiennéj, któréj początek sięga może kolebki ludów aryjskich?... Krytyka mogłaby tu wiele rzeczy wyjaśnić i przygotować materyał zarówno dla poety jak i historyka.

A teraz wypada nam jeszcze powiedziéć, jak Kraszewski, w epoce *Studyów Literackich* filozoficznie zapatrywał się na dzieje. Pomiędzy rozprawami *Nowe Studya* znajdujemy artykuł, zatytułowany: *Trzy doby w historyi postępów umysłu ludzkiego*. Zajmuje on w nim stanowisko czysto idealnéj filozofii. Najprzód nie chce rozwiązywać pytania, które pojęcia człowiek z sobą na świat przynosi, a które w sobie wyrabia. To jest pewném dla niego „iż umysł ludzki zaczyna od pojęć ogólnych, wielkich i że z nich przechodzi do składanych, szczegółowych“ (str. 162). Ztąd historyą filozofii, poezyi i sztuki dzieli na trzy główne epoki. Za cechę pierwszéj uważa *siłę* i *prostotę*. Utwory do niéj należące, mają wyrażać pojęcia ogółu i odznaczać się zaniedbaniem formy. Za cechę drugiéj poczytuje *wdzięk*. W niéj szczegół służy do uzupełnienia ogółu, a forma staje się posłuszném ducha narzędziem. Cechą wreszcie trzeciéj—to bogactwo szczegółów, zastępujących ogół — sztuka zasadza się na drobnostkach, całość zaniedbuje się dla części. Dalszy ciąg jest tylko roztoczeniem tych trzech zasadniczych podziałów. Jeżeli je wszakże odniesiemy do historyi umysłowości i sztuki, to się przekonamy, że fakta stoją w zupełnéj sprzeczności z sobą i z wyżéj przytoczonym podziałem. Najprzód powiedzmy, że przypuszczenie, jakoby człowiek przynosił z sobą idee wrodzone, nie może być brane na seryo. Człowiek bowiem ma wrodzoną zdolność pojmowania prawdy, ale wszystko zresztą z zewnątrz zdobywa. Odosobniony od ludzi i świata *Kacper Hauser*, nie wyniósł z swéj ciemnicy ani jednego pojęcia—wszystko było nowém dla niego. Również twierdzenie, jakoby człowiek zaczynał od pojęć ogólnych i od nich przechodził do

pojęć szczegółowych, wytrzymać krytyki nie może. Człowiek bowiem, poznając przedmioty pojedyńcze, mógł o nich, co najwyżéj zdobywać *wyobrażenia*; musiało jednak pierwéj wiele czasu upłynąć, nim ze zdobytych wyobrażeń, zdołał drogą *porównania i abstrakcyi* utworzyć sobie o każdym przedmiocie *pojedyńcze pojęcie*, a cóż dopiéro mówić o *złożonych*, które są już dalszym, sztucznym wyrobem umysłu, ze zjednoczenia wielu pojęć w całość syntetyczną, powstałym. Nie daje się téż usprawiedliwić dalsze twierdzenie, jakoby w pierwszéj dobie, odpowiadającéj powyższemu rozwinięciu umysłowemu, wszystko było wielkiém i odznaznaczało się pojęciem całości (str. 163 Now. Stud.). Jakoż, jeżeli weźmiemy na uwagę jeden z pomiędzy najstarszych pomników myśli ludzkiéj — *Vedę*, to właśnie w niéj znajdujemy najprostsze tylko wyobrażenia i pojęcia o bóstwie, świecie i pierwszych potrzebach człowieka. *Dyaus*—niebo, *deva*—błyszczący, to najpierwotniejsze nazwy wyższéj, władnącéj światem istoty, która, w miarę odkrywania w niéj coraz nowych attrybutów, różne potém nazwy w hymnach przybiera, jak: *agni* — ogień, *sûrya* — słońce, *ushas*—zorza poranna, *Maruts*—burza itd. Wreszcie jeszcze późniéj nadane jéj imiona własne: *Varuny*, *Mitry*, *Jndry* — oznaczały pierwotnie różne zjawiska: nieba, słońca i dnia (Max. Müller. Essays. T. I, str. 24). Te wszystkie jednak nazwy nie zawierają w sobie pojęć ogólnych, ale wyobrażenia najkonkretniejszych, zmysłowo poznawanych zjawisk. Sama nadto osnowa hymnów, zawartych w Rig-Vedzie — jednéj z najstarszych części Vedy, jest nader prosta, dziecięce niemal wyrażająca pojęcia. W nich człowiek, zwracając się do bóztwa, błaga je o opiekę nad sobą, o pożywienie, pomnożenie stad, rodziny, wreszcie o długie życie.— „Ty dajesz nam konie, ty dajesz nam krowy, ty dajesz nam zboże— o! Indro! wszechmocny w swojém królestwie. Daj nam w weselu używać twego błogosławieństwa, niech ono wnukom naszym użycza siły, a nas mnogością krów i koni opatrzy.“ Tak brzmią owe hymny pierwotne (Max. Müller. Essays T. I, str. 27). Gdzież tu więc owe wielkie pojęcia jakiejś całości? Myśl, pomimo patetycznego nastroju obraca się w sferze nader powszedniéj i wyraża najprostszy stosunek, w jakim człowiek do otaczającego świata zostawał. Ten sam pierwotny charakter znajdujemy i w późniejszéj chronologicznie *Genezie*, jeżeli tylko zwrócimy uwagę, nie na jéj samę redakcyą, ale na tkwiące w niéj pojęcia. Jakoż najważniejszy, zasadniczy fakt, przechowany w tradycyi, a przez Mojżesza podjęty,— fakt, związany z przeznaczeniem rodu ludzkiego, to podanie o upadku pierwszego człowieka, odnosi się do przestępstwa czysto dziecięcéj natury, do zerwania jabłka przez piérwszych naszych rodziców.— Jeżeli teraz zwrócimy uwagę na pierwsze zawiązki sztuki, to przekonamy się, że w niéj człowiek jeszcze powolniejsze robił postępy. U Greków np. w czasach, gdy jak mówi Winkelmann, 30 bóztw już liczono, a zatém, gdy mytologia w pewien system rozwiniętą została, nie umiano jeszcze nadawać im ludzkiéj postaci i zadawalano się ich wyobrażeniem w kształcie nieociosanych kloców lub czworokątnych kamieni. Tak Kastora i Poluxa przedstawiano sobie przez dwa równoległe pionowo słupy, połączone dwiéma poprzecznémi belkami. Na słupach tych nkładano późniéj kamienie, mające wyobrażać głowy; następnie zaś powstały *hermy*, oznaczające różnice między mężkiémi i żeńskiémi bóstwami. (Geschichte der Kunst des Alterthums str. 10, Wiedeń 1776). Oto, jakie utwory sztuki dają się odnieść do najpierwszéj epoki rozwoju umysłu, w któréj człowiek dla oznaczenia jakiegoś wyobrażenia, pojęcia, zaledwie zdolny był używać znaków, symbolów. Tak było w starożytności, tak i w pierwotnéj epoce chrześciaństwa—w Katakumbach. Tymczasem Kraszewski do téj pierwotnéj epoki odnosi Iliadę—utwór, na którego ukształtowanie przeszło się 4 wieki składały; daléj *Eginety*, należące do tak zwanéj archaistycznéj, a zatém drugiéj epoki, wreszcie pomiędzy innémi, zalicza tu budowy romańskie — wytwór zarówno cywilizacyi starożytnéj, jak i żywiołów chrześciańskich, przedstawiający nadto skończoną, harmonijną i w sobie zawartą całość— słowem, zjawiska, nie dające się z sobą nigdy porównać (Nowe Stud. Lit. T. II, str. 163). Prawda, że każdą z trzech epok dzieli jeszcze na trzy podrzędne doby; ale jakie są ich cechy, różnice, o tém wcale nie mówi. Z przyznania jednak tak niewłaściwych cech każdéj z trzech epok, z niedokładnego i nieścisłego rozróżnienia pojęć ogólnych, szczegółowych i pojedyńczych wynikła cała mylność założeń i z nich wyprowadzonych wniosków, oraz niewłaściwość zapatrywania się na utwory sztuki a w szczególności na literaturę XIX stulecia. Niewłaściwość ta szczególniéj uderza w następującym ustępie: „Wielka nowa reforma,—powiada Kraszewski — która się ogranicza wprowadzeniem indywidualizmu

na miejsce ideałów w literaturę, wprowadzeniem elementu narodowego, nie będącego niczém inném nad indywidualizm zbiorowy, należy jeszcze do epoki trzeciéj, choć ma pretensyą nową zupełnie zaczynać“ (Ibid. str. 171). Jeżeli jednak ów indywidualizm zbiorowy ma być ujemną stroną literatury, to w jakiż sposób stać się mogła narodową? pytamy. Od tych nieprzetrawionych i, jakby od niechcenia rzuconych pomysłów, jakże wyróżniają się późniejsze poglądy Kraszewskiego na dzieje, wypowiedziane z powodu monografii Karola Szajnochy o *Bolesławie Chrobrym*, wydanéj we Lwowie 1849 r. Wystąpienie tego pisarza na polu historyografii polskiéj było rzeczywiście zjawiskiem nie małego znaczenia. Aż do jego czasów historyą traktowano u nas z pragmatycznego lub krytycznego stanowiska; gromadzono wreszcie do niéj materyały i nowych źródeł szukano. Pojedyńcze cegły, kamienie miał zużytkować przyszły budownik artysta. Takim właśnie był autor powyżéj zatytułowanéj monografii.

Ze wszystkich dziejowych postaci, wielka postać Chrobrego przedstawia się może najniewyraźniéj w naszych kronikarzach i historykach. Z wyjątkiem Galla, o całém jego panowaniu, tak brzemienném w czyny rozgłośnéj wojennéj sławy i pełne mądrości urządzenia polityczne i administracyjne, znajdujemy w nich same prawie nic nie mówiące ogólniki. Zdawałoby się, że wielkość Chrobrego, usuwająca w cień dzielnych podwładnych mu wojewodów i wypełniająca sobą trzydziesto-kilkoletnie panowanie, odbierała odwagę zajmującym się dziejami do przedsięwzięcia tak wielkiego zadania, jakiém było przekazanie potomności téj iście epicznéj postaci. Wprawdzie z postępem czasu te nic nie mówiące w pierwszych kronikach kontury zaczynają się coraz więcéj szczegółowemi rysami w późniejszych historykach wypełniać; w Naruszewiczu nawet rozszerzają się i potęgują nieprzebraném bogactwem faktów, lubo pozbawionych jeszcze właściwego epoce kolorytu. Ale na tém ogólném tle wypadków, najgłówniejsza postać, która nadawała im życie, rysuje się jeszcze blado, pozostaje nieujętą, rozpłynną, bez właściwéj sobie fizyognomii, charakteru — niby wszędzie obecna a jednak niewidzialna. Do jéj odtworzenia przecież niezbywało już Naruszewiczowi na materyale. Brak mu było tylko ducha syntezy, by z rozprószonych rysów w Dytmarowskiéj kronice, ułożyć wizerunek bohatera i tchnąć weń życie właściwe. Do takiéj syntezy ukazał się dopiero uzdolnionym Szajnocha, zapowiadając rzeczoną monografią nowy w dziejopisarstwie polskiém kierunek. Owéj też pracy Kraszewski obszerne sprawozdanie, bo wyrównywające prawie połowie jéj objętości, poświęcił (*Okruszyny T. II. str. 18—81*).

We wstępie, po mistrzowsku skreślonym, zastanawia się nad trudnościami dziejopisarskiego zawodu. Z tych dwie przedewszystkiem za najgłówniejsze uważa: brak materyałów, oraz zawarte w nich sprzeczności. O nie rozbijają się najwytrwalsze usiłowania badaczów. Samo nagromadzenie, a następnie umiejętne zużytkowanie materyału przedstawia wielkie trudności. „Wieki mijają — powiada — nim stopniową rozdzieloną pomiędzy pokolenia pracą, człowiek historyą swego kraju wyjaśni i napisze. Długiémi laty zbierają pierwsi pracownicy kwiaty, najprzód na mogiłach, potém kości i trawę i ziemię i cudze popioły i swoje i zwierzęce i ludzkie: przychodzi badacz, co ze stosu wybierze tylko potrzebne; drugi, co je oczyści; trzeci, co je w ład urządzi— ostatni życiem je natchnie. Ale przyjdzie inny, co zabija stworzone i nowym darząc żywiołem, zadaje fałsz pierwszemu“ (str. 19). Ztąd wynika, że zapatrywanie się na przeszłość, że praca dziejowa, jest nieskończonym trudem zarówno dla pojedyńczych jednostek, jak i dla całego narodu. Każde nowe pokolenie dopatruje zaledwie jednéj strony dziejowego oblicza, jednego rysu, i z niego sądząc o przeszłości lub przetwarzając ją „na obraz i podobieństwo swoje“ zaledwie cząstkę prawdy zdobywa, lub ją w dobréj wierze przeinacza. To wyrozumienie przeszłości jeszcze większą trudność przedstawia, gdy epoka, któréj badacz trud swój poświęca, obejmuje ten przestwór dziejów „któremu wiekuiście materyału braknąć będzie.“ Taką epoką są właśnie pierwotne dzieje każdego narodu. By je odgadnąć, „historyk winien być wieszczem, jak Cuvier, co, odkrywszy prawa życia, z jednéj części mógł śmiało wyrokować o całości.“ Prawa jednak, według których ludzkość rozwija się, dotąd nie zostały wykryte, wszelkie zatem pokuszenia się na wyjaśnienie epok zbyt oddalonych, po których zostały zaledwie jakieś ułamki podań, należałoby podług Kraszewskiego po prostu nazwać szaleństwem.

A jednak rzeczy tak trudnéj Szajnocha w zupełności podołał i swoje zadanie spełnił „jak można najlepiéj.“ Kraszewski też zabiéra się do oceny z wielkiém poszanowaniem dla podjętéj przez niego pracy.

Streszczając ją z godną uznania sumienności, daje jak najdokładniejsze pojęcie, zarówno o stanowisku, z którego autor zapatrywał się na przedmiot, jak i o źródłach, na których się opierał. Pomijając fakta mniéj ważne, odtwarza same główne kontury, nakreślonego przez Szajnochę obrazu, ręką pewną, każdego pociągnięcia świadomą. Z epoki Mieszka, poprzedzającéj opowiadania czynów Chrobrego, kreśli ówczesny stan słowiańszczyzny; charakteryzuje exterminacyjną politykę cesarstwa, gniotącego żelazną pięścią całe plemiona, protestujące przeciw uciskowi margrabiów wschodnich walką na śmierć lub życie; daléj oznacza stosunek wychrzczonego księcia Polan do zostających w pogaństwie współbraci, przeciwko którym w widokach własnéj polityki wiąże się z cesarstwem i do ich wytępienia pomaga, w końcu, posiłkując się słowami autora, określa ówczesne stanowisko Polski do Niemiec, Czechów, Węgrów, i Rusi, oraz stosunek Mieczysława do cesarza, na chytréj polityce oparty, i usprawiedliwia nieprzyjazną jego polikę względem Słowian zachodnich, których dążeń do odzyskania swobody, jako nowo nawrócony, nie mógł popiérać. — Przechodząc następnie do panowania Chrobrego zaznacza umiejętne przez Szajnochę zużytkowanie pojedyńczych rysów, rozprószonych w kronice Dytmara, który pragnąc Bolesława w oczach potomności zohydzić, dał właśnie najwymowniejsze o jego potędze i geniuszu świadectwo; podejmuje charakterystykę położenia politycznego Polski w chwili objęcia przez niego rządów, kreśli wyprawy przeciw pogańskim Lutykom i Pomorzanom, łącznie z cesarzem, w czém, jak widzimy, trzyma się wiernie polityki, przekazanéj mu przez ojca; daléj błyskawiczną jego działalność w celu odzyskania Chrobacyi; zastanawia się nad dokonaną przezeń organizacyą wojenną kraju, oraz pracami, podjętémi dla ugruntowania chrześciaństwa w Polsce i zaszczepienia go wśród bałwochwalczych Prussów na północy, Pieczyngów na wschodzie; określa następnie stosunek Bolesława do Ottona III., opisuje zjazd w Gnieźnie i skutki jego w urządzeniu niezawisłéj polskiéj hierarchii, z arcybiskupem gnieźnieńskim na czele; nadto, podejmuje wyprawę do Czech, gdzie Chrobry, korzystając z zatargów, wynikłych między Bolesławem *Rudym* i bracią jego *Oldrzychem i Jaromirem*, zamierza utrwalić swe panowanie i w Pradze założyć drugą stolicę. Roszczenia Henryka II., następcy Ottona, do zwierzchnictwa nad Bolesławem Chrobrym, od którego, z przyczyny posiadania Czech, domagał się złożenia hołdu, stają się zarzewiem długoletniéj, uporczywéj wojny, która, jak z jednéj strony wykazała żywotność młodzieńczego narodu i geniusz wojenny Chrobrego, tak z drugiéj zapowiada Polsce samoistne, polityczne stanowisko w systemie państw zachodnich. Téj wojnie, tak brzemiennéj w skutki, Kraszewski znaczny ustęp poświęca. Następnie przechodzi do nie mniéj sławnéj wyprawy na Ruś — i charakterystyką kraju, oraz samego Bolesława zakończa streszczenie pracy Szajnochy. Wreszcie przyznając jéj wielkie zalety, trzy stawia autorowi zarzuty. Pierwszy z nich odnosi się do wyłącznego ograniczenia się na źródłach tylko współczesnych, z pominięciem późniejszych kronikarzy i ich podaniowego na rzecz poglądu; 2-gi do użycia w wielu miejscach „stylu ostrego, najeżonego dzikiemi wyrazy,“ i nakoniec 3 ci do omyłki popełnionéj w rysie obyczajowym przez Szajnochę, gdy wprowadza królową i jéj panie na uczty, któremi Bolesław swych rycerzy ugaszczał. Z tych pierwszy, lubo zdaniem naszém najmniéj uzasadniony, zasługuje na bliższy rozbiór. Jakoż, jeżeli zadanie historyka polega na odtworzeniu epoki w duchu i prawdzie, na skreśleniu jéj obrazu, o ile być może zbliżonego do rzeczywistości, słowem na powołaniu tego do życia, co już dawno umarło; to samo z siebie wynika, iż w tym obrazie mogą znaléźć miejsce jedynie rysy otrzymane z pierwszéj ręki, a nie zmienione wyobrażeniami późniejszych czasów i przetworzone fantazyą dalszych pokoleń. Takich zaś rysów przedewszystkiem dostarczają kronikarze jak najbliżsi, lub współcześni opisywanéj epoce, gdyż tylko oni, jak sam Kraszewski powiada — są żywym odgłosem czasu i malują go najlepiéj. — Gdy więc idzie o prawdę, na nich tylko można polegać. Tymczasem Kraszewski z samym sobą pozostaje w sprzeczności, gdy mówi, iż gruntować się na źródłach tylko współczesnych, odrzucając ze wzgardą późniejszy sposób widzenia i malowania rzeczy, jest to wyrzéc się dobrowolnie, może najstosowniejszego na rzecz poglądu, może najzdrowszéj wskazówki, gdyż późniejsi „dają nam drogie pamiątki pojęć narodu o samym sobie“ (Okruszyny T. II. str. 21). Tym sposobem, ponieważ każde pokolenie w miarę nowych umysłowych nabytków na każdym szczeblu swego rozwoju inaczéj siebie pojmuje: ztąd i cała przeszłość, nakształt obłoków, przesuwających się po niebie, musiałaby się zmieniać i stosownie do oświetlenia, co chwila inną barwę przybie-

rać. Tak przecież nikt nie pojmuje historyi i sam Kraszewski za największą zasługę poczytuje Szajnosze, iż w swém opowiadaniu zachował barwę historyczną, iż umiał odtworzyć czas z jego mieszaniną: wielkości i barbarzyństwa, heroiczności i rubaszności; że dał oblicze wieku z jego zmarszczkami i rumieńcem, wdziękami i plamami (str. 80). Nie może tu być mowy przeto o tém, jak na daną epokę zapatrywali się późniejsi historycy, gdyż sąd ich może być mylny i nowémi pojęciami spaczony, ale jaką była w istocie. Że zaś prawdopodobnie współcześni, mimo wiedzy, malowali ją najwiernéj, ztąd najstarsze źródła muszą mieć przed późniejszemi pierwszeństwo. Że o tém wiedział Kraszewski, dowodzi tego jego sprawozdanie, skreślone w r. 1843, o dziele: *Dr. Ig. J. Hanusch'a p. t. Die Wissenschaft des Slavischen Mythus*, którém w swych prelekcyach mianych w *Collège de France* posiłkował się Mickiewicz. W niém Kraszewski robi zarzut autorowi, że źródeł różnéj wartości, różnego czasu i pochodzenia, bez gruntownego ich ocenienia za podporę używa, i że nie wchodząc w pochodzenie mniemań późnieszych pisarzy, z drugiéj i trzeciéj ręki, narówni je stawia ze źródłowémi świadectwy (Okrusz. T. II. str. 111). Podobne więc sprzeczności jedynie pośpiechem w pracy usprawiedliwić się dają.

Przechodzimy teraz do studyów, które, jak mówiliśmy na wstępie, przedstawiają tę ujemną stronę, że właśnie to, co ówcześnie mogło być nowym dla historyi literatury nabytkiem, dziś, w obec nowo wykrytych faktów, ma dla nas jedynie pamiątkowe znaczenie. Do takich zaś przedewszystkiém zaliczamy *Rys dziejów języka polskiego* (Nowe Stud. Liter. T. I. str. 63—112).— Jeszcze w roku 1835 uniwersytet Kijowski ogłosił konkurs na posadę lektora języka polskiego, z żądaniem, by rozprawa skreślona *pro venia legendi* obejmowała: a) Charakterystyczne cechy języka polskiego, które go od innych słowiańskich wyróżniają; b) postęp jego kształcenia się i wpływ, jaki na niego miał język łaciński i inne; c) krótką historyą jego grammatyki i lexykografii, ze zdaniem o wartości i zasłudze każdego w téj gałęzi pisarza; nakoniec d) plan wykładu tego języka. Rozprawa miała być ukończoną w ciągu roku i złożona Radzie uniwersyteckiéj na d. 1 Sierpnia 1836 roku (Tygod. Petersb.). — Nie wiemy, w jakim zakresie ta konkursowa praca przez Kraszewskiego obrobioną została, to pewna, że oceniona nader pochlebnie, zjednała mu w uniwersytecie katedrę, któréj tylko nie mógł objąć w skutek czasowego zamknięcia uniwersytetu.

Ów Rys dziejów języka — jest też streszczeniem owéj konkursowéj rozprawy.

Kraszewski od bardzo wczesnych lat zajmował się badaniem ojczystego języka. W r. 1837 ogłosił nawet w *Tygodniku Petersburskim* artykuł p. t. *Myśli o grammatyce historyczno-porównawczéj języków słowiańskich*, do któréj, jak sam powiada, od lat ośmiu zbierał materyały. Było to więc znacznie wcześniéj, nim Franciszek Miklosicz wystąpił z dziełem: *Vergleichende Lautlehre der Slavischen Sprachen*, *Wien*, *1852*. Pomimo jednak tego, iż Kraszewski swemi poglądami o wiele przewyższał naszych badaczów z professyi, którzy, z wyjątkiem *Walentego Skorochoda Majewskiego*, ograniczali swe badania wyłącznie do ojczystego języka, sądząc, iż z niego dadzą się wysnuć wszystkie prawidła, a przez nie wszystkie wątpliwości wyjaśnić; to jednak z samego programmatu, nakreślonego w tym artykule, pokazuje się, że odpowiednio do ówczesnéj lingwistycznéj wiedzy, Kraszewski nie miał należytego przygotowania do podjęcia tak rozległego zadania. Najprzód wiele błędnych mniemań ówczesnych językoznawców podzielał, i, na nich opierając swoje wywody, również do fałszywych wniosków dochodził. Do takich należy uznawanie za Dobrowskim języka staro-bulgarskiego, czyli cerkiewnego za pra-macierz języków; daléj postawienie pytania, nie dającego się nigdy dla braku odpowiednich danych rozstrzygnąć: „z jakich powodów potworzyły się dyalekta oddzielne, oraz pod jakim wpływem i jakiémi najprzód odróżniły się od macierzystego odmianami?“ — rozstrzygnięcie bowiem téj kwestyi *Bopp* stanowczo, we wstępie do swéj Grammatyki porównawczéj z zakresu badań lingwistycznych wyrzucił.

Podobny brak naukowych podstaw, a nadto nieodpowiedniość użytych źródeł daje się dostrzegać i w *Rysie historyi języka polskiego*. I tak do uzasadnienia języków słowiańskich posługiwał się Kraszewski źródłami podrzędniejszego znaczenia, z pominięciem zasadniczych, które już wtedy mogły się były do wyjaśnienia stawionéj przez niego kwestyi przyczynić. Z ostatnich użył jedynie J. Dobrowskiego: *Institutiones linguae Slavicae*; Adelunga: *Rapports entre la langue Sanscrit et la langue russe*, oraz *Versuch einer Literatur der Sanscrit-Sprache*, Fr. Boppa: *Vergleichende Zergliederung des Sancrit und der mit ihm*

verwandten Sprachen. Pominął zaś jego: *Conjugations System, Frankfurt 1816* i najważniejszą z jego prac: *Vergleichende Grammatik des Sanscrit, Zend, Griechischen, Lateinischen, Lituanischen, Alt-Slavischen, Gothischen und Deutschen Sprachen*, któréj tom pierwszy już się w roku 1833 pojawił. Nie zużytkował nadto badań Eugieniusza Burnoufa: *Essays sur le Pali 1826* i *Observaions Grammaticals 1827*, oraz Fryderyka Schlegla: *Ueber die Sprache und Weisheit der Indier 1808*, któremu właściwie należy się zasługa dopatrzenia pokrewnego związku pomiędzy językami: Hindusów, Staro-Persów, Greków, Rzymian, i Niemców, i objęcia ich ogólną nazwą: Indo-Europejskich *języków*. Nakoniec nie skorzystał z prac Jakóba Grimma, którego historyczna grammatyka języka niemieckiego, mogła była rzucić niemałe światło w badaniach nad własnym językiem, a przynajmniéj wskazać metodę, jak się do tego zabierać.

W skutek też pominięcia tych źródeł zasadniczych uderza nas w *Rysie historyi języka polskiego* dziwny zamęt pojęć, co do pierwszego źródła słowiańskich języków. Dodajmy nadto, że w czasie, gdy Kraszewski pisał konkursową rozprawę, bynajmniéj nie uznawał korzyści, mogących dla nauki wyniknąć z porównania litewskiego języka z Sanskrytem. Jakoż rozbierając *Dzieje starożytne Litwy* Narbutta, powiada: „iż nie-[zn]a języka, któryby się z sanskrytem nie [d]ał porównać"; — zresztą dodaje, że „podo-[b]ieństwo języka, nie z podobieństwa słów, [a]le z ich ducha wychodzić powinno" (Tyg. [P]eters. r. 1836. N. 70—71). Otóż ten duch [j]ęzyka był właśnie kamieniem obrażenia [d]la wszystkich naszych grammatykarzy, któ-[r]zy od czasów Kopczyńskiego o nim tylko [m]ówili, nie bacząc na to, że duch języka [g]łównie się w jego składni objawia, i to [w]łaśnie przekonanie nie pozwalało im u-[z]nać potrzeby porównawczego językoznawstwa, z którego pomocą jedynie można [b]yło wyjaśnić formalną jego stronę, czyli [t]e właściwości, któremi się *morfologia* zaj[m]uje. Że jednak Kraszewski przy znajo-[m]ości niektórych przynajmniéj prac gram-[m]atyki porównawczéj, nie umiał sobie wówczas wyjaśnić stosunku sanskrytu do innych [e]uropejskich, zatém słowiańskich języków, [t]o więcéj może zadziwiać. Wprawdzie w *Ry-[s]ie dziejów języka polskiego* przejawia się [j]uż zmiana w niektórych jego pojęciach. [P]rzynajmniéj języka staro-bulgarskiego nie [u]waża na język-matkę; przypuszcza tylko [i]stnienie jakiegoś pośredniego, dziś zatraconego ogniwa, które dyalekta słowiańskie miało łączyć, jak ówcześnie mniemano, bezpośrednio z główném ich źródłem — sanskrytem (str. 66); ale obok tego zaraz nasuwa mu się pod tym względem wątpliwość, gdyż, jak powiada, „podobieństwo sanskrytu znajduje się równie *z innoplemiennemi* w Europie językami — z keltyckim starożytnym nawet (sic)."

Jedyny, stanowczy wniosek, do jakiego dochodzi, jest ten, że Słowianie ze swym pierwotnym językiem wyszli z Azyi; ale że porównania pojedyńczych dyalektów z sanskrytem, wykrywając z nim także związek i podobieństwa, do niczego nie doprowadzą (64).

Daleko zresztą większą przywiązuje wagę do tego, co o Słowianach trzymali nasi pisarze, jak Górnicki, Stryjkowski, niż do wszystkich naukowych o nich wywodów, choć wiadomości owych pisarzy, na samych przypuszczeniach oparte, nie mogą stanowić poważnego świadectwa.

Tegoż samego trybu trzyma się Kraszewski w ciągu całéj swéj pracy. Właściwie nie znajdujemy w niéj historyi języka, ale tylko świadectwa, jakie o jego rozwoju w różnych epokach podawali różni pisarze. Autor powołuje się to na Prokopa, to na Długosza, Górnickiego, Trzecieskiego, Starowolskiego, Czackiego, Siarczyńskiego i wielu innych, nie dając nam nigdzie samego materyału języka, z którego moglibyśmy wnosić o jego rozwijaniu się pod względem wyrazowym, oraz stopniowém każeniu się, czyli tak zwaném psuciu pod względem morfologicznym. Toż samo należy powiedzićć o zabytkach piśmiennych. Kraszewski przytacza: *Pieśń Boga-Rodzica*, *Pieśń o św. Wojciechu*, *Statut Wiślicki*, *Psałtérz Jadwigi*, *Psałtérz Królowéj Małgorzaty* (właściwie: *Rękopism Floryański*), i wiele innych znanych ówcześnie, ale z samych ich tytułów nie podobna, by czytelnik powziął wyobrażenie, jakim pisane były językiem. A przecież o niego tu głównie chodzi. Zestawienie form i wyrazów, objaśnienie jednych i drugich drogą porównawczą, wykazanie przemian, jakim z biegiem czasu uległy, dałoby nam dopiéro poznać język, jako żywe, wciąż rozwijające się drzewo, które, stosownie do pory, miało wzrost różny i w różną stroiło się szatę.

Zamałe także znaczenie przyznaje niemczyznie w XVII stuleciu. Powiada, „że stosunki z Niemcy przerywane, nieprzyjazne, nigdy wielkiego nie dopuściły się wpływu na język polski (str. 78)." Tymczasem rzecz się miała przeciwnie. Prawodawstwo miejskie, nazwy techniczne w rzemiosłach

i górnictwie używane, sama nawet żegluga, jak widać z *Flisa* S. Klonowicza, czego innego dowodzą. Nie było zawodu, któremuby niemczyzna nie narzuciła swéj terminologii, nie skaziła sobą języka. Kraszewski twierdzi, że się to jedynie do materyału językowego odnosi. Prawda, pod względem składni nie zaraziła wówczas polszczyzny; ale zapomina, że wprowadzając do niéj nietylko nazwy rzeczy, lecz i nazwy czynności, tém samém groziła przekształceniem i wynaturzeniem języka, daleko niebezpieczniejszém od tego, jakiego się Kraszewski z powodu wprowadzenia do niéj neologizmów, obawiał.

Również nieuzasadnioném jest mniemanie autora, „iż uczeni biorą język od ludu i oddają go znowu ludowi, zazwyczaj połamanym, popsutym, przeistoczonym i że lud go przeżuwszy, oddaje nazad uczonym i tak ciągle (str. 89).“ Jakąż bowiem drogą mógł do niego u nas powracać? Podobna wymiana może mieć miejsce jedynie tam, gdzie lud rzerzywiście z książkowéj literatury korzysta; czyż jednak u nas, przy ciężącéj na nim przez całe wieki ciemnocie, można coś podobnego nawet przypuścić? Wątpimy. Dotąd zapożyczano się tylko co do języka u ludu; ale Bogiem a prawdą, literatura książkowa pozostała względem niego dłużnikiem i to złym nawet dłużnikiem. Że podobną wymianę języka między ludem i uczonymi, i odwrotnie, zauważano, jak mówi Kraszewski, na wschodzie, to jeszcze nie dowodzi niczego; tam bowiem obowiązek uczenia się Koranu w wysokim stopniu sprzyjał upowszechnieniu się między ludem znajomości czytania; toż samo było odnośnie do Biblii w protestanckich Niemczech; u nas przeciwnie, wszystkie okoliczności składały się na to, by ludowi z rąk książkę wytrącić. — Przechodząc do dalszych epok kształcenia się języka, Kraszewski nie uwzględnia także należycie wpływu, jaki nań wywarła religijna reforma. Tak wielkiéj doniosłości sprawę zaledwie zbywa kilkoma słowami (str. 86).

Również nie widzimy, pod jakim względem wyróżnia się proza Reja i obu Bielskich, tak pełna jeszcze szczero-polskiego ducha, od klassycznéj wykwintności języka Górnickiego oraz języka Skargi, noszącego na sobie wszystkie cechy składni dzisiejszéj.

Wykazawszy jednak ujemne strony téj pracy, nie chcemy przez to powiedzieć, by w swoim czasie nie miała dla literatury znaczenia. Owszem większa część pisarzy zajmujących się jéj historyą, żywiło się nią, rabując z niéj całe ustępy. To jedno już przekonywa o jéj znaczeniu i ważności. Ale myliłby się, ktoby dziś chciał z niéj poznać rozwój języka i koleje, jakie ten w czasie przechodził. W obec postępu, jaki gramatyka porównawcza zrobiła, i prac, jakie i u nas, poczynając od Hip. Cegielskiego, dokonane na tém polu zostały; wreszcie wobec bogatego materyału, nagromadzonego w późniéj odkrytych, rozpowszechnionych drukiem i krytycznie obrobionych zabytkach, dziś czegoś więcéj wymagamy od tego rodzaju historyi nad proste przytaczanie gołosłownych świadectw, lub mniemań pisarzy, dotykających tylko mimochodem kwestyi rozwoju języka w dziełach, w innym celu podjętych.

Rys historyi języka polskiego rozpoczyna szereg prac, zostających w ścisłym związku z dziejami literatury. Nieznajomość pisarzy z epoki Zygmuntowskiéj Kraszewski niejednokrotnie młodszéj generacyi zarzucał. Pragnąc téż uczynić zadość umysłowym potrzebom chwili, zamierzył w monografiach przedstawić obraz życia poetów XVI stulecia, rozebrać krytycznie ich dzieła a tém samém oznaczyć zajmowane przez nich stanowisko w literaturze. Była to myśl nader żywotna, zwłaszcza, jeżeli zwrócimy uwagę, że naówczas mieliśmy bardzo mało studyów nad dziełami pojedyńczych pisarzy, że wreszcie same dzieje literatury były dopiero w zawiązku. Z dzieł, mających obejmować jéj całość, posiadaliśmy jedynie wtedy *Historyą literatury Feliksa Bentkowskiego* — dzieło, które wpływ ogromny na umysły w swoim czasie wywarło, ale pełne niedokładności, opuszczeń, zasługujące dziś raczéj na nazwę spisu bibliograficznego, niżli właściwéj, krytycznie opracowanéj historyi. Tu należy także wspomnieć o *Rysie piśmiennictwa* przez *Lesława Łukaszewicza*, ale który stanowił zaledwie konspekt literatury czysto-polskiéj, zwłaszcza w pierwotnych z 1836 i 38 r., wydaniach. Brak też przygotowawczych studyów dawał się uczuwać od piérwszéj chwili zjawienia się pracy Bentkowskiego, co pobudziło wielu pisarzy do uzupełnienia zarówno bibliografii, jak i przygotowania krytycznych monografii. Do pierwszych należał Jerzy S. Bandkie, Adam Chlędowski, Joachim Lelewel, oraz Ludwik Sobolewski, którego notaty, wraz z innemi źródłami posłużyły późniéj Ad. Jocherowi do przedsięwzięcia tak olbrzymiéj, lubo nie dokonanéj w całości pracy, jaką był *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce.* Do krytycznego zaś opracowania

pojedyńczych pisarzy daleko mniéj było pochopnych. Oprócz *Uwag nad Mateuszem herbu Cholewa* przez Lelewela skreślonych, *Dykcyonarza poetów polskich* przez Hieronima Juszyńskiego, najwybitniesze miejsce pod tym względem zajmuje dzieło Józefa Maks. hr. Ossolińskiego p. t. *Wiadomości Historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiéj* (Kraków 1819—22). W niém pomieścił 27 monografii, odnoszących się zarówno do kronikarzy, jak i dziejów reformacyi w Polsce. Z tych *Żywot Stanisława Orzechowskiego,* obejmujący tom III i IV, osobne dzieło stanowi. Nad poetami wszakże, zwłaszcza XVI stulecia, prócz Kazimierza Brodzińskiego, który się nimi ogólnie w swych rozprawach ogłoszonych naówczas drukiem zajmował, oraz A. W. Maciejowskiego, który swe prace krytyczne w *Panoramie* zamieszczał, nikt studyów rozleglejszych nie robił. Pierwszy przeto po nich Kraszewski podjął to tak ważne dla literatury zadanie i w *Nowych studyach literackich* pomieścił cztery monografie, z których trzy odnoszą się do poetów z epoki złotego wieku, jedna zaś do czasów Stanisława Augusta. W pierwszych z nich zajmuje się *Sebastyanem Klonowiczem*, *Janem Kochanowskim* i *Mikołajem Sępem Szarzyńskim.*

W Klonowiczu—powiada na wstępie Kraszewski, iż poeta ten „całe życie pozostawał w walce z losami i światem, a umarł w szpitalu, jék Camoens, jak wielu ludzi z jego familii zapomnianych lub poznanych za późno i ocenionych po czasie" (St. L. T. I. st. 115). I rzeczywiście tradycya i świadectwo jezuity *Wielewickiego* otoczyło postać Klonowicza pewną aureolą męczeństwa. Takim go przedstawił Syrokomla w swym poemacie: *Zgon Acerna*, takim *Leopolski* w obrazie, mającym za przedmiot także ostatnie chwile życia poety. Przed niedawnym jednak czasem wykryte dokumenta przez pana Demerskiego, archiwistę akt dawnych w Lublinie, całkiem nowe światło na życie Klonowicza rzuciły. Z nich pokazuje się: 1) Że mu nie zbywało na uznaniu u współczesnych, skoro mu Jan Zamojski Kanclerz W. K. powierzył urząd superintendenta w Akademii w Zamościu, wraz z obowiązkiem wykładania w niéj autorów klassycznych; i po 2) Że umierając w roku 1602, pozostawił w Lublinie dom, który spadkiem tyle osławionéj żonie i dzieciom małoletnim przekazał. Wynika ztąd, że ani umarł ubogim, ani że tego, co pisał przeciw kobietom, nie można do jego żony stosować. Trudno bowiem przypuścić, by umierając, powierzał kierunek i opiekę nad dziećmi kobiecie złych obyczajów, za jaką ją miano powszechnie [1]). Ponieważ jednak Kraszewski mógł się jedynie na tradycyi, przekazanéj przez wcześniejszych pisarzy, jak Starowolskiego, Wielewickiego i Krasickiego opiérać, ztąd téż i pogląd jego na życie Klonowicza, dziś pod wielu względami wystarczać dla nas nie może [2]). Zobaczymy teraz, jak się zapatrywał na każdy z jego utworów. Do najpoetyczniejszych Kraszewski zalicza *Flisa* i, w krótkich zarysach dając jego streszczenie, zwraca uwagę na zawarte w nim ustępy, oraz termina używane przez Flisów. Kraszewski nie wyczerpał jednak w zupełności przedmiotu. Już samo porównanie opisów miejscowości z obecnym stanem brzegów Wisły, jéj kęp, ostrowów, miast i rzek do niéj wpadających, wymagało po piszącym odbycia tejże saméj podróży, jaką odbył Klonowicz, co dla Kraszewskiego, mieszkającego na Wołyniu, było niepodobieństwem; a jednak bez takiego porównania studyum nad Flisem dokładném być nie może. Co ważniejsza, iż Kraszewski w rozbiorze swym nie zwrócił uwagi na przewodnią myśl poematu—myśl, mającą wprawdzie ujemne znaczenie, ale która przecież niemało rzuca światła na ówczesne uprzedzenia społeczności polskiéj do handlu, na wstręt do bliższego zaznajomienia się z morzem. Myśl tę przecież wypowiada jasno Klonowicz zaraz po wstępie, w którym na wzór *Przemian Owidyusza*, opiewa historyą rozdzielenia chaosu na cztery żywioły, i które odpowiedniémi istotami ich naturze zaludnia. Z handlu, z żeglugi wszystko złe spływa na Polskę. Gdańsk pochłania wsie, folwarki i zuboża wieśniaka, którego trud nie wystarcza na opłacenie zbytkowych przedmiotów, jakie pan ztamtąd sprowadza. Nie zachęca więc do żeglugi, ale owszem używa wszelkiego

---

[1]) Po rozjaśnienie tych kwestyi odsyłamy czytelnika do artykułu prof. Józefa Przyborowskiego p. t. Rok śmierci Fab. Seb. Klonowicza, zamieszczonego w Ateneum za miesiąc Luty 1878 r. (str. 311—323).

[2]) Że nasz poeta nie zawsze walczył z losami i że jego laur nie tak gęsto, jak chce Kraszewski, *przeplatany był cierniem,* przekonywa nas świadectwo przywiedzione w broszurze K. Beyera p. t. *Nowe materyały do historyi mennic polskich,* a na którą prof. Przyborowski zwrócił moję uwagę. Oto, jaki w niéj znajdujemy ustęp, wyjęty z akt miejskich lubelskich pod r. 1598, po ss. Szymonie i Judzie: „Chmielowski bawił się do 5 godziny w noc u p. Lassoty, gdzie był także p. Acernus, a potem wracając z gołym kordem w ręku porąbał myncarza, broniąc się wspomina, iż niedawno miał p. Acernus taką samę sprawę z Wylągowiczem, a pp. rajcy nakazali *evasią.*" Dodaje tu Beyer, iż w swéj sprawie Wylągowicz występował ze skargą, zatém był pobity.

(*P. A.*)

rodzaju argumentacyi, by od niéj odwieść chciwego zysku flisa. Historya *Nurka*, *Nietoperza* i *Krza Jeżynowego* jest tylko do niéj poetyczną illustracyą i, jeżeli w dalszym ciągu daje przepisy żeglugi, to jedynie w tym celu, by nieoględnych ostrzedz przed szkodą.

Rozbiór *Worka Judaszowego* ze względu na obszerność poematu więcéj miejsca w studyum zajmuje; wszakże i w nim Kraszewski ograniczył się jedynie na streszczeniu ważniejszych rozdziałów lub przytoczeniu ich tytułów. Niekiedy tylko przytacza z niego charakterystyczniejsze ustępy lub samę osnowę własnémi uwagami przeplata. Jeżeli jednak *Flis*, jak się ktoś dowcipnie wyraził, jest tylko wierszowanym traktatem o nawigacyi; to z daleko większą słusznością *Worek Judaszów* możnaby nazwać traktatem prawniczym, a przynajmniéj poetyczną illustracyą prawa miejskiego. Bez jego pomocy, a nawet w ogóle powiedzmy, bez znajomości prawa, poemat ten gruntownie rozebrany być nie może. Co krok bowiem, czytelnik spotyka się tu, albo z kazuistyką i jakąś teoryą prawną, lub téż z obrazem, skreślonym według postępowania sądowego. Na tę stronę poematu nie powiemy pod względem poetycznym dodatnią, ale nader ważną ze względu na historyą życia obyczajowego w XVI wieku, Kraszewski nie dość zwrócił uwagi. Jakże to ciekawy ustęp o *pszczołołupstwie*, czyli wykradaniu miodowych dzieni, i ta straszna kara, jaka spotykała według prawa bartnego schwytanych na gorącym uczynku! Albo o przekupywaniu elektorów przez kandydatów na urzędy miejskie, lub wreszcie wyjątek o *ludokupstwie*, które bliżéj należało wyjaśnić. Nadto Kraszewski pominął rozdział: „*O przyczynach wszego złego,*“ — jeden z najciekawszych ze względu na dosadny obraz badania sądowego za pomocą tortur i tracenia złoczyńcy. Wyznajemy, iż ustęp ten bynajmniéj nie budzi estetycznego wrażenia; owszem, wstrętem przejmuje. Ale téż nikt na *Worek Judaszowy* ze stanowiska piękna zapatrywać się nie będzie. Jest on z innego względu ważny: jako obraz z życia niższéj warstwy społeczeństwa polskiego. A właśnie ów opis exekucyi z udziałem cechów zbrojnych, stawia nam przed oczy jednę z tych scen pełnych grozy, która była cząstką życia miast naszych. Również pominięto bardzo wiele ustępów dotyczących rozmaitych kruczków prawnych, podstępów praktykowanych w ówczesnych sprawach cywilnych,—a ileż obok tego jest tu zwrotów, wyrazów, terminów, domagających się wyjaśnień! Na jedno wszakże z Kraszewskim bezwarunkowo zgodzić się można, mianowicie: co do braku estetycznéj strony poematu zarówno w treści, jak i w układzie. „Jestto raczéj — powiada — analiza metodyczna moralisty, niż zbiorowe spojrzenie poety, którego porządek w piękności, nie w regularném rozcięciu myśli na kawałki“ (str. 122). Jakoż jest to szereg obrazów, tak nieorganicznie z sobą spojonych, że właściwie myśl przewodnia utworu dopiero w epilogu, przyczepionym luźnie do całości, wypowiedzianą została. Epilog ten, noszący tytuł: *Akeldema* (Krwawa rola), właściwie dopiero daje nam pojęcie o tém, co tkwiło w duszy poety, a czego w poemacie wypowiedzićć nie umiał. Myśl ta widocznie towarzyszyła poecie w ciągu pisania całego utworu, skoro w przedmowie do *Lichańskiego* powiada: „że w tym Worku są niektóre rzeczy śmiechem, ale nie do śmiechu pisane.“ Taki jednak, jak go skreślił poeta, jest tylko, jak powiada Kraszewski „osobliwszą satyrą, w któréj rozumowania i cytacye, osobiste uczucia, moralne sentencye, obrazki, modlitwy, pomięszane razem leżą i na pierwszy rzut oka, trudno pojmującą się całość porządną składają“ (str. 132). Jeżeli jednak rozbiorom polskich utworów Klonowicza można wiele braków i to jedynie z dzisiejszego stanowiska zarzucić, to opracowaniem i streszczeniem poematu *Victoria Deorum* (1587), Kraszewski znakomitą oddał literaturze usługę. Poemat ten w swoim czasie za heretycki uznany, po wyjściu z druku w wielu miejscach ręką kata palony, nietylko dziś, ale i wcześniéj, do dzieł rzadko spotykanych należał i mało był znany szerszemu kołu czytelników. Krasicki w dziele *O rymotwórstwie i rymotwórcach*, Brodziński w uniwersyteckich literatury polskiéj wykładach, zaledwie ogólnikową podają o nim wiadomość. Tłumaczenie polskie, o którém nadmienili Czacki i Juszyński, jeżeli dotąd istnieje, jest nie ukończone, i w rękopiśmie ukryte — słowem studyum Kraszewskiego jest jedyném źródłem, z którego ogół o tym poemacie może zaczerpnąć więcéj szczegółową wiadomość. Rozbiór ten jest jednym więcéj dowodem cierpliwéj, niezmordowanéj pracy naszego autora. Streścić 44 pieśni dydaktycznego utworu, nie przedstawiającego w swéj osnowie jednego ciągu, ale dotykającego najrozmaitszych przedmiotów; wydobyć z powodzi suchego rozumowania, zawarte w téj sturamiennéj satyrze prawdziwie poetyczne ustępy i z nieprzebranych, często powszednich szczegółów uchwy-

cić myśli, istotnie zdradzające w Klonowiczu głębszego nad swój czas myśliciela— było zadaniem, które może nie zadziwiać w badaczu wyłącznie poświęconym krytycznym studyom tego rodzaju, ale nie w pisarzu, przywykłym przebywać częściéj umysłem w krainach ideału i sztuki. Pracą tą Kraszewski dał przykład, że studya tego rodzaju, nietylko nie zabijają natchnienia, ale owszem są dla umysłu najposilniejszym pokarmem. Pomijając zarzut rozwlekłości, Kraszewski wiele zalet temu utworowi przyznaje. Przedewszystkiem łatwą i piękną budowę wiersza, oraz język, nieskażony barbaryzmami i w wielu ustępach, przypominający tok klassycznych pisarzy. Co do wewnętrznéj zaś wartości: wielką żywotność przewodniéj idei, uderzającéj na instytucyą szlachectwa rodowego w chwili, gdy to, zwątliwszy władzę królewską, zapanowało nad biegiem spraw państwowych i nieprzebytym murem przywileju oddzieliło się od niższych warstw narodu, ujarzmiając je dla własnéj korzyści. Idea ta ma tém głębsze znaczenie, że Klonowicz w zasadzie bynajmniéj nie uznaje absolutnéj stanów równości, że nie odrzuca arystokracyi, ani szlachectwa, gdyż wié, że wyższość z rozmaitych usposobień i zdolności, z któremi ludzie na świat przychodzą, wynika; ale wymaga, by wszelki przywiléj a zatém szlachectwo, opierało się na *cnocie i pracy*. Powstaje więc tylko na przesądy rodowe, nie opierające się na osobistéj wartości, ale na przodków zasłudze. Dowodząc, że szlachectwo jestto rzecz nabyta, że przymioty ojców nie zawsze na synów przechodzą, słowem, że rody nikczemnieją i przeradzają się z czasem, wykazuje zarazem téj degeneracyi przyczyny i pomiędzy innémi stawia powierzanie dzieci mamkom, których wpływ na charakter wychowańców bezwarunkowo uznaje. Kraszewski powiada, iż „przeczuł on i uprzedził dobrze późniejsze nauki Russa w Emilu, które za taką nowość okrzyczane były“ (str. 159). Właściwie zaś Klonowicz był trzecim z rzędu u nas pisarzem, który téj kwestyi dotykał. Pierwszym bowiem, który przeciw temu energicznie protestował, był *Erazm Gliczner (Książki o wychowaniu dzieci, 1558)*; drugim: Mikołaj Rej (*Zwierciadło Żyw. Pocz. Czł. 1567*). Wreszcie ustępy, w których Klonowicz powstaje na zbytki możnych, na duchowieństwo „któremu ród wysoki daje prawo do bogatych prebend, niedościgłych ubogim,“ na zepsucie kobiet miejskiego stanu, na ucisk wieśniaków, oraz na żydów, wyzyskujących bez pracy wszystkie źródła bogactw krajowych—autor do wydatniejszych i charakteryzujących ówczesne społeczeństwo, zalicza. Myli się wszakże Kraszewski, jak się i wielu, w skutek fałszywie podanéj daty jego śmierci, myliło, co do znaczenia allegoryi, zawartéj w samym tytule i w ustępie o Gigantach. Nie mógł bowiem Klonowicz stosować mytu o walce Synów ziemi z Jowiszem do walki rokoszan z Zygmuntem III, która dopiero w lat cztery po jego śmierci a w dziewiętnaście po wydaniu poematu wybuchła. Mógł mieć tylko na myśli w ogóle walkę stanu szlacheckiego z władzą królewską, która się od bardzo dawna ciągnęła. A jeśli przeczuł, że się kiedyś w otwartą, domową wojnę zamieni, to tylko dowiódł, jak wzrokiem sięgał w przeszłość daleko.

Rozbiór drugiego poematu łacińskiego Klonowicza: *Roxolania*, Kraszewski ze swego studyum wyłączył.

Studyum o *Janie Kochanowskim*, najobszerniejsze ze wszystkich (Nowe Stud. Lit. T. II, od 1—3 str.) przedstawia pod względem biograficznym te same niedokładności, jakie musieliśmy w Klonowiczu wykazać. Nie należy jednak zapominać, że Kraszewski był pierwszym, który na rozleglejszą skalę nad tym poetą pracę rozpoczął; że nie miał pod ręką źródeł archiwalnych, z których professor Przyborowski mógł korzystać i innym do nich drogę ukazać (*Wiadomość o życiu J. Kochanowskiego*) Poznań roku 1857); że dziś nawet jeszcze pomimo nader ważnych dokumentów ogłoszonych przez ks. Gackiego (*O rodzinie J. Kochanowskiego, Warszawa 1869 r.)* i niedawno w języku niemieckim wydanéj pracy p. Rafaela Loewenfelda (*Johann Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen, Posen 1878*), wiele jeszcze kwestyi, odnoszących się do różnych chwil życia naszego poety, nierozstrzygniętych zostaje: wszelkie zatem prostowanie faktów, przez Kraszewskiego mylnie podanych, byłobyto zbytecznem. Jeden wszakże zarzut zmuszeni tu jesteśmy zrobić, mianowicie: że Kraszewski niepotrzebnie trzymał się daty urodzenia, na rok 1532, oraz śmierci poety, na r. 1585 przez Starowolskiego i Bohomolca podanéj, gdyż już Krasicki z nagrobku spisanego w Zwoleniu, obie te daty, w dziele swém: *O rymotwórstwie i rymotwórcach*, sprostował. Zresztą, rozbierając utwory Kochanowskiego, autor trzyma się téj samej metody, co i w studyum nad pismami Klonowicza. Streszcza każdy utwór ważniejszy, przytacza piękniejsze z niego wyjątki, zwraca uwagę na poetyczniejsze wyrażenia, a wreszcie tu i owdzie rzu-

ca własne poglądy, które mu sama osnowa nastręcza. Przedewszystkiem podnosi uczucie religijne poety, które mu zjednało popularność w narodzie; zwraca uwagę na język i słusznie, gdyż jeżeli Kochanowskiemu genialność przyznać należy, to głównie z tego względu, iż na swój czas był w nim mistrzem nad mistrze. Myli się jednak, gdy mówi, iż do jego wystąpienia, w kształceniu się języka nie było żadnéj gradacyi; że od razu z pod jego ręki wyszedł uzdolniony do malowania najdelikatniejszych odcieni myśli (str. 21). Nie można bowiem tracić z uwagi prozy Marcina Bielskiego, Jana Seklucyana, którzy jeszcze przed wyjazdem za granicę Kochanowskiego wydali, pierwszy: *Żywoty filozofów* (1545 r.) i *Kronikę Świata* (1550); drugi: Przekład pisma Ś. (1551—2). Prace te, równie jak Psalm (1533) i *Żywot Józefa Mikołaja Reja* (1545 r.), musiały choć z grubsza wpłynąć na wyrobienie języka, z którego mógł Kochanowski korzystać. To jego wszakże udoskonalenie Kraszewski wyłącznie pod względem stylistycznym rozważa, pomijając jego morfologiczne własności. Było to zresztą niepodobném, skoro nie miał pod ręką, czy téż nie chciał do swego studyum użyć wydań pierwotnych; że zaś tak było, pokazuje się ztąd, iż liryki dzieli na 4 księgi, podczas gdy we wszystkich wydaniach do czasów Franciszka Bohomolca, powszechnie je na dwie dzielono. Widoczna więc, że się głównie na jego edycyi lub wydaniu Mostowskiego opierał. Dla tego téż pominął w swéj pracy wszystkie prace bibliograficzne, odnoszące się do nader licznych wydań, tak pojedyńczych, jak i zbiorowych dzieł poety; a przecież tylko tym sposobem można było jego wpływ na współczesnych i potomnych wykazać. W swém uwielbieniu zresztą dla Kochanowskiego nie chce wiedziéć o tém, co zapożyczył od starożytnych pisarzy; dość mu, „że co cudzego przybrał, po swojemu przerobił (T. II, str. 24).“ Podobna wszakże krytyka nie może zaspokoić naukowych wymagań. Owszem, tylko wykazując z całą skrupulatnością, co Kochanowski wziął od innych, a co wysnuł sam z siebie, możemy według właściwéj miary jego zasługi ocenić. I tak Kraszewski powiada: „że nasz poeta lubi sentencye i aforyzmy, lubi filozofować w swych pieśniach (str. 24)“; zdawałoby się przeto, iż te maxymy czerpał albo sam bezpośrednio z życia, albo je przytaczał, jako wytwór zbiorowy praktycznéj narodowéj mądrości. Tymczasem są one po największéj części zapożyczone z Horacego. Gdyby Kraszewski *Pochwałę dobréj żony* porównał był z 24 odą III-éj księgi tego poety, natenczas nie byłby się o niéj wyraził, że Kochanowski „myśl w niéj wziął za uczucie i ułożył w rymy to, co ledwie na pogadankę z przyjacielem wystarczyć mogło“ (str. 24). Co do nas— pieśń ta, ani mniéj, ani więcéj poetyczna od innych, jest tylko wyrazem praktycznego zapatrywania się na życie, które Kochanowski przyjął od swego mistrza dla tego właśnie, że ono odpowiadało jego usposobieniu. To samo wypada powiedziéć o rozbiorze pieśni VI ks. I. (podług wydania Bohomolca—właściwie IV ks. II.). Kraszewski powiada, że pieśń ta „mogłaby stać za odpowiedź, gdy mu ofiarowano Opactwo Sieciechowskie, i że z niéj się przekonywamy, że nie rymował naśladowanych uczuć, przejętych, ale własne swoje“ (str. 27). Tymczasem jest ona dosłowném tłumaczeniem XVI ody III ks. Horacego: *Inclusam Danaen turris ahenea.* Kochanowski w niém zaledwie kilka wyrażeń zastosował do miejscowych okoliczności. Wyraz np. *Satellites* wyłożył przez *janczarów*; *zbiory Apulii* przez *Żuławskie i Gdańskie pożytki*; *mella Calabriae* przez *pasieki podolskie*; *campi Mygdoniis* przez *bogate pola węgierskie.* Podobnie dałoby się o innych pieśniach Jana powiedziéć, które Kraszewski za jego własne, oryginalne wtedy uważał. Taką jest pieśń XXIV. ks. I., w któréj sobie poeta nieśmiertelność rokuje (Hor. Lib. II. Oda XX. Ad Maecenatem); taką IV. ks. II. (Hor. oda XXIX. ks. III.); taką wreszcie *Pochwała Dzbana*, odpowiadająca XXII odzie Horacyusza, *ad amphoram.* To niedopatrzenie się ze strony Kraszewskiego tém więcéj zadziwia, iż sam powiada, że, „słyszy głosy, wymawiające imię Kochanowskiego z niejaką pogardą, powtarzające trywialny zarzut, że nie jest narodowym, że czysto naśladowca tylko, tłumacz, nic nie stworzył własnego, cudze myśli przelewał, cudzego kroju wierszami.“ (str. 47). Słowa te wymierzone były podobno do A. W. Maciejowskiego. Widocznie więc Kraszewski obawiał się, by krytyczna dyssekcya dokonana na utworach ulubionego mu poety nie zmniejszyła w oczach zwykłych czytelników jego wartości. Czyż jednak tak rozmyślne zacieranie zkąd innąd zapożyczonych w nim myśli, rozstrzygało kwestyą stanowczo? Właśnie dla tego, że powstały tak niesłuszne, pełne uprzedzenia dowodzące głosy, należało odważnie wszystkie zapożyczone miejsca wykazać. Wtedy ujawniłoby się, że *activa* o wiele przewyższają *passiva*—słowem, że nie ma się czego lękać o jego sławy bankructwo. Zresztą, czyż

przekład *Psalterza* mniéj nam się pięknym wydaje dla tego, że Kochanowski nie swoje myśli i uczucia, lecz uczucia i myśli króla-proroka odtwarzał? Wiek XVI nie był właściwie u nas wiekiem oryginalnych utworów. Nimeśmy mogli wystąpić z czém samoistném, należało pierwéj przyswoić sobie cały umysłowy ludzkości dorobek—bogatą po starożytnych spuściznę i tego właśnie Kochanowski po mistrzowsku w poezyi dokonał. A czyż małą było z jego strony zasługą, że do treści klassycznéj umiał zastosować formę, że język młody, niewyrobiony, podniósł do doskonałości wzorów, na których sam ducha swego wykształcił? Nie będziemy téż zastanawiali się dłużéj nad każdym rozbiorem utworów Jana, dokonanym przez Kraszewskiego. Brak ściśléjszéj krytyki wykazaliśmy powyżéj. Również przytoczyliśmy jego sąd *O odprawie posłów Greckich*, mówiąc o dramacie w ogóle. Tu nadmienimy, iż to, co wypowiedział w *Gawędach o literaturze i sztuce* o Kochanowskim, jest w części powtórzeniem tego, co o nim w *Nowych Studyach* napisał. Musimy tu jednak stanąć w obronie Krasickiego. Kraszewski powiada, że Polska chlubi się Kochanowskim od trzech stuleci, że nawet „w czasach upadku literatury, cześć dla wielkiego poety nie zmniejszyła się, że w stanisławowskiéj epoce Naruszewicz go chętnie przytacza i że jeden tylko Krasicki w swych Rymotwórcach lekko go traktuje, stawiając na równi z Piotrem, czém dowiódł, że go wcale nie pojął“ (str. 105. T. II.). Otóż tego zarzutu nie pojmujemy, doprawdy. Z wyjątkiem bowiem Sarbiewskiego, Krasicki ani jednemu z polskich poetów, nie poświęcił tak obszernego życiorysu w swéj pracy, jak Kochanowskiemu; powtóre, zajmując się każdym niemal obszerniejszym utworem, poświęca mu krótką, ale charakterystyczną ocenę. Gdzież tu więc ślad lekkiego traktowania? Co zaś do postawienia z nim Piotra na równi — tego nigdzie nie mogliśmy się doczytać. Wprawdzie z kolei—Piotra zaraz po Janie umieścił, ale czyżby to miało znaczyć, że obydwom jednakie miejsce w literaturze przyznaje?

Następuje krótkie studyum *o Mikołaju Sępie Szarzyńskim*. Autor niewiele szczegółów z jego życia przytacza. Właściwie téż i dotąd nie przybyło nowych faktów, któreby na tę młodzieńczą, sympatyczną postać, jakie światło rzuciły. P. Faleński w prelekcyi, dotąd nieogłoszonéj drukiem, a mianéj w r. 1876, opierając się na osnowie utworów poety, zrobił kilka trafnych przypuszczeń co do jego osobistości. Jakoż zdaje się, że dotknięty chorobą piersiową szukał ratunku w łagodnym włoskim klimacie; że choć wątły ciałem, nosił w piersiach bohaterskiego ducha, jak świadczą jego pieśni, pełne uwielbienia dla czynów rycerskich: Herburta, Strusia i sławy wojennéj króla Stefana; daléj, że nie był obojętny na wdzięki niewieście, jak to można odgadnąć z zakończenia utworu napisanego: *Pannie Jadwidze Tarłównie g'woli*, i że wreszcie natchnienie czerpał głównie w myśli o śmierci, któréj zbliżenie się przeczuwał. Współcześni narówni Sępa z Kochanowskim stawiali; A. W. Maciejowski nie wahał się zaopiniować, że gdyby dłużéj pożył, byłby samego Kochanowskiego przewyższył (Piśmiennictwo); Kraszewski—tylko co do ducha, co do siły natchnienia, jedno mu stanowisko z Janem przyznaje, ale co do form języka, władania nim i smaku, o wiele niżéj go stawia. Wiersz jego — powiada zawsze jest twardy, chropawy, więcéj w nim zresztą filozoficznych myśli i zdań, niż obrazowości, więcéj morału, niż poezyi (T. II. str. 119). Że pod względem malowniczości języka nie może Kochanowskiemu wyrównać, na to każdy się zgodzi; ale sądzimy, iż nawet niepodobna zestawiać ich z sobą co do duchowego nastroju, a który podług nas, w Szarzyńskim, przedewszystkiem objawia się w *sonetach*. Kochanowski pierwszy wprowadził tę formę do literatury polskiéj (sonety: do Franciszka i Stanisława Wapowskiego); ale Sęp nadał im odrębny i właściwy sobie charakter, nawet gdy treści zapożycza od Petrarki. Jeżeli język w nich nie jest malowniczy, harmonijny, to natomiast jakaż w nich zwięzłość i głębokość myśli! Kraszewski zwrócił uwagę tylko na dwa jego sonety, mianowicie: *III. do N. Panny* i *V. O nietrwałéj miłości świata tego*. Tymczasem wszystkie, prócz sonetu *do Tomickiego* (VI.) warte są szczegółowego rozbioru, z każdego z nich tchnie dusza rwąca się z utęsknieniem do swego źródła— do Boga, bo w nim widzi jedyny cel życia, jedyne szczęście i piękność prawdziwą. Poetyczne wrażenie nietyle tu płynie z pojedyńczych obrazów, ile z samego pomysłu. Kochanowski, zwrócony do rzeczywistości, wdrożony klassycznémi studyami do przedmiotowego zapatrywania się na świat otaczający, który mu się tém piękniéj przedstawiał, im mu jaśniéj świeciło słońce, nie wzbraniał do serca przystępu żadnym uciechom, jakich mu życie ziemskie mogło dostarczyć; Szarzyński zatopiony duchem w wieczności, widział w świecie

samę tylko znikomość. Ztąd taki eteryczny, tęskny w tém oczekiwaniu zagrobowéj przyszłości. To téż sądzimy, iż go zbyt surowo osądził Kraszewski, mówiąc: „że postawiony obok mistrza, zda się bełkotać niewprawnie“ (T. II. str. 126). Głębsza w nim bowiem myśl panuje, w wyższym stopniu ożywia go religijne uczucie. Gdy Kochanowskiemu złota mierność, uczciwa żona, dzieci, kółko wiernych przyjaciół, w zupełności wystarcza dla szczęścia; Sęp przeciwnie śpiéwa: „Że dla duszy zawiedzionéj wszystko mało—

Gdy Ciebie (tj. Boga), wiecznéj i prawéj piękności
Saméj nie widzi, celu swéj miłości (Sonet V.).

Nim z kolei zajmiemy się poglądami Kraszewskiego na epokę Stanisławowską i działalność Naruszewicza, jako poety; nie od rzeczy będzie powiedzieć kilka słów o jednéj z jego prac znacznie późniejszych, ale w ścisłym zostającéj związku z epoką złotego wieku i artykułami, zamieszczonemi bądź w *Studyach Literackich*, bądź w *Gawędach o Literaturze i sztuce*. Chcemy tu mówić o studyum, odnoszącém się do *Mikołaja Reja* pod tytułem: *Dziś i lat temu trzysta*. Rej, ze wszystkich pisarzy XVI stulecia, jest bez zaprzeczenia najsympatyczniejszą dla Kraszewskiego postacią. Zarówno w *Życiu domowém dawnych pisarzy*, gdzie się głównie jego biografią zajmuje, jak i w artykule: *Sztuka dramatyczna w Polsce*, gdzie kreśli wyczerpującą charakterystykę jego talentu — jemu stosunkowo najdłuższe poświęca ustępy i pomimo całego uwielbienia dla Jana, uważa go za jedyną typową postać. Autodydaktyk, zawdzięczający jedynie własnéj pracy szczupły zakres dorywczo pochwytanych wiadomości, miał jednak tę wielką cnotę, iż nie chciał uchodzić za uczeńszego, niż był w istocie, i otwarcie się do nieuctwa przyznawał. Co więcéj! nawet szyderstwa i szkalowania współczesnych, nie zdołały go zwrócić z raz obranego toru. W téj obojętności, z jaką przyjmował pociski, zwłaszcza katolickich pisarzy, tém nieprzyjaźniejszych dla niego, że w nim widzieli wpływowego przedstawiciela reformy; w téj wytrwałości, z jaką do późnego wieku na swojém stanowisku pozostał, Kraszewski wyznaje najwymowniejszy dowód wielkiego jego talentu, który, nie dbając o rozgłos i sławę, wypowiada się, jak Bóg dał, koniecznością do tego swéj natury zmuszony. I właśnie to, iż Rej swój zawód literacki, jako obowiązek pojmował, daje miarę wysokiéj jego wartości (Gawędy o lit. i szt. str. 148). Jaki plon doświadczenia zebrał w życiu, takim z innymi po bratersku się dzielił, nie ukrywając zdobytego światła pod koszem. Tym najwspanialszym plonem Reja było ostatnie jego dzieło: *Żywot poczciwego człowieka*, i niém się téż głównie Kraszewski w swém studyum: *Dziś i lat temu trzysta*, zajmuje. Właściwie jest to raczéj studyum obyczajowe, niż literackie, ale nader ciekawe, ze względu na parallelę, jaką w niém Kraszewski przeprowadził pomiędzy XVI a drugim dziesiątkiem drugiéj połowy XIX stulecia. Znajdzie tu czytelnik nie jednę uwagę, nie jedno trafne porównanie, z których może wyciągnąć zbawienny obrok dla siebie. Do takich należy zestawienie różnicy pomiędzy ówczesném a dzisiejszém wychowaniem, pomiędzy dawném a obecném pojmowaniem szlachectwa; daléj ustęp o braterstwie i potrzebie jednoczenia wszystkich klass społeczeństwa; o korzyściach podróżowania i zagęszczonéj dziś, bezcelowéj po obcych krajach włóczędze; wreszcie o starości, nieumiejącéj się dziś szanować, zachowującéj wszystkie pretensye młodzieńczemu wiekowi właściwe, a ztąd nieodbierającéj od młodszych należnéj czci i poważania. — Są to, powiadamy, bardzo cenne ustępy, zasługujące na uwagę każdego myślącego czytelnika. Sądzimy jednak, iż Kraszewski w wielu razach zbytecznie poniża obecne czasy, przyznając im odnośnie do przeszłości takie strony ujemne, których one rzerzeczywiście nie mają. Przyznaje sam, że ludzie zawsze są ludźmi, że tylko warunki, w jakich zostają i dążenia wieku, w którym żyją, nadają im cechy odmienne. A jednak téj zasadniczéj różnicy, jaka zachodzi pomiędzy społeczeństwem XVI stulecia a naszém Kraszewski nie uwzględnia w swém studyum. Choćby z tego względu, że społeczeństwo dzisiejsze jest bogatsze o całą summę moralnych i umysłowych nabytków, jakie w ciągu ubiegłego trzechsetlecia zdobyło, już tém samém przewaga po jego stronie wypada. Tym czasem Kraszewski nie zdaje się pod tym względem uznawać jakiegokolwiek postępu. Ztąd kosztem teraźniejszości często przeszłość przecenia. Dla poparcia naszego twierdzenia, weźmy tylko parę przykładów. I tak, o zbytkach stołowych Kraszewski twierdzi, iż te w połowie XVI w. więcéj były dla oczu, gdyż według Reja, na jednéj misie podawano barana pozłocistego, na drugiéj lwa, na innéj kura, a jeszcze na innéj panią ubraną —słowem, sadzono się na pokaz, gdy dziś sadzą się na to jedynie, by dogodzić brzuchowi. Otóż sądzimy, że i dziś i wówczas

cel był jeden i ten sam. Dogadzano brzuchowi i to w sposób niepomierny, skoro po opisie zastawy Rej w końcu dodaje: „Patrzże, jakiego żołądka trzeba na takie zaklijone a zaziębłe potrawy; albo téż na ony zapalone, co je winy, albo muszkatelami zalewają. Więc zasie znowu lać w gardło oni soki, ony witpachery (gatunek wina drogiego), ony rozekery, małmazye, muszkatełы. A jakoż tu chłop zgorzéć nie ma? A jakoż tu może być długi żywot jego? A on, jako pies obżarły, ledwo dolézie do barłogu swego, a dobrze jeszcze, iż chłop tamże razem za stołem nie zdechnie“ (Żyw. Pocz. Czł. str. 123. Wyd. Tur.). Zdaje się, iż ten ustęp dosadnie charakteryzuje ówczesne biesiady; a jeszcze pytanie, czy owe wymienione przez Reja napoje, przy ówczesnych środkach komunikacyi i wartości pieniężnéj, nie z większym były sprowadzane kosztem, niż dzisiejsze francuzkie, włoskie, hiszpańskie wina, niż pasztety, marynaty, soje indyjskie, ostrygi, które Kraszewski wyrzuca dzisiejszym smakoszom? Zapewne, ludzie i dzisiaj zbytkują, ale nie powiemy, żeby dzisiejsze biesiady „były poczwarniejszych rozmiarów,“ niż za Rejowskich czasów. Przynajmniéj mają przyzwoitszy charakter, pewien smak estetyczny je cechuje.— W inném znowu miejscu Kraszewski robi zarzut, iż pieniądz stał się jedyném naszych czasów bożyszczém. „Dawniéj wiodło się walkę ze światem materyalnym o oswobodzenie się od niego; dziś zaś o podbicie go i opanowaaie.“ Co więcéj! dodaje— „znaleźli się panegirzyści, co dowodzili i dowiedli wedle siebie, że nawet poczciwym, rozumnym, ani silnym duchem być nie można bez grosza, że kraj szczęśliwym być nie może, ani wielkim, jeśli nie zapisze się w tę niewolę spekulacyi i handlarstwa.“ Że tak jest w istocie, to niestety! dowodzi tego i ekonomia polityczna i statystyka i historya i życie jednostek. Któż np. w dzisiejszych czasach może dać dzieciom gruntowne wykształcenie, zabezpieczyć im przyszłość, zasłonić przed nędzą materyalną i moralną, jeżeli nie posiada, lub nie zdobędzie zabiegliwością i pracą, odpowiednich zasobów? Bez pieniędzy dziś i za czasów Reja nic nie można było zbudować. I Jan Kochanowski powiada, że człowiek musi posiadać dwie dusze: jednę w ciele, a drugą w kalecie, że bez jednéj żyć nie można, a bez drugiéj źle mu się dzieje. Ale Kraszewski, pisząc swoje studyum, był w takiém samém usposobieniu, w jakiém tworzył *Choroby wieku*, w jakiém wypowiedział to zdanie, iż woli na pół rozwaloną, poetyczną naszę chatkę wieśniaczą, niż zamożną fermę czy kolonią za granicą, dowodzącą zmateryalizowania epoki. Ztąd dla poparcia swych idealistycznych poglądów i przeszłość do nich naginał. Jakoż powiada: „że rycerz, żołnierz, duchowny, ludzie, co ze swego stanu mogli się ubiegać za zyskiem, stali w hierarchii społecznéj na czele i u szczytu.“ Tymczasem wiemy zkąd innąd, że właśnie rycerstwo najwięcéj wzbogacało się wojennemi łupami; co zaś do duchowieństwa, stojącego u szczytu, to przecież opływało ono w jak największe dostatki i bynajmniéj nie miało dla nich pogardy. Podobnie nieusprawiedliwionych zarzutów można by wypisać całe szeregi. Z większą już słusznością autor zarzuca dzisiejszym czasom upadek charakterów i, co za tém idzie, brak wszelkiéj opinii. Dawniéj przed człowiekiem nieuczciwym, gdy siadł za stołem, obrus rzezano; dziś powiada: „przyzwoitość nie dozwala nawet ostatniemu łajdakowi drzwi zamknąć lub ręki nie podać.“ Wszystko to prawda. W wielu razach nie mamy odwagi wypowiedzieć czynem, jawnie, naszych przekonań. Ale wiadomo, że opinia wyrabia się w pewnych tylko, nie od nas zależnych warunkach.

Pomimo wielu niuzasadnionych zarzutów, jakie stawia społeczeństwu Kraszewski, całość studyum, jest nader pouczająca i ze względu na różnicę czasów i obyczajów wielce ciekawą. Jedynie tylko przebijający się w nich tendencyjny charakter, stanowi jego stronę ujemną.

Od pisarzy XVI stulecia — przechodzimy do Naruszewicza. Nadmienić tu wypada, iż w ogóle Kraszewski, dotykając epoki stanisławowskiéj, ma zawsze dla niéj wyraz potępienia na ustach. Z tém większém przeto lekceważeniem i niechęcią w Nowych Studyach traktuje całą jéj niemal literaturę, im bliższym był czasów romantyzmu, który dodatnie, narodowe ideały wytworzył, i nie tylko odmawia jéj wszelkiéj wartości, ale nawet nie chce uznać pomiędzy nią a nowszą poezyą żadnego pobratymstwa, żadnego związku. Więcéj powiemy! uważa ją nawet „za umarłą dla nas zupełnie“ (str. 129). „Przeznaczeniem téj literatury—powiada — było słodzić królewskie troski, rozweselać czwartkowe obiady — jéj missyą bawić i bawić tylko“. Była to „poezya w szacie dworaka na pół, na pół arlekina“ (str. 133). Prace tylko historyczne owego czasu i satyra — stanowią według niego wyjątek. Przyznając wszakże satyrze niespożytą wartość, potępia stulecie, którego ona była wyrazem. Wiek XVIII — powiada — „był

wiekiem skeptycyzmu, reakcyi, entuzyazmu dla pięknych marzeń, a szyderstwa dla wiary. Wszystkich oczy zwracały się na Francyą, wszyscy z nią sympatyzowali, poklaskiwali jéj szałom, naśladowali wybladłą jéj literaturę klassyczną, wielbili teorye polityczne. Polska przed chwilą jeszcze religijna, jakby w niéj nie postała reforma, nagle zachwiała się w wierze swojéj i pobladła, tuląc ostatek religii do wylękłego łona" (str. 134). Dodajmy, iż podobne poglądy wypowiadali i inni w owych czasach pisarze. Magnuszewski, Wójcicki, Pol, Ig. Chodźko, H. Rzewuski, M. Grabowski, Z. Kaczkowski—zawsze o epoce stanisławowskiéj wyrażają się z przekąsem. To w niéj sławią jedynie, co się starych pojęć, dawnego obyczaju trzymało. Było w tém może trochę słuszności, ale więcéj jeszcze uprzedzenia, że nie powiemy — historycznego fałszu. Najzagorzalsi bowiem wielbiciele tego dawnego obyczaju nie mogliby chyba zaprzeczyć, iż Polska, która od XV i XVI wieku szła ręka w rękę z zachodem, w ciągu XVII i pierwszéj połowy XVIII popadła w zupełne umysłowe bankructwo, z którego należało się jéj podźwignąć, by dogonić zachód na drodze naukowego postępu i nie pozostać nazawsze pogrążoną w ciemnocie. W XVI stuleciu — cywilizacya głównie z Włoch do nas płynęła i dziś nikogo to nie gorszy, iż ztamtąd przejmowano obyczaj, stroje, że wielu z naszych pisarzy obok klassycznych, tłumaczyło i naśladowało włoskie utwory. Jak zaś w XVI wieku Włochy, tak w XVII i XVIII Francya przodowała Europie w oświacie. Gdzież więc miano się udać po naukę, jeżeli nie do jéj szkół i literatury, któréj cały świat ówcześnie przyznawał pierwszeństwo? Właściwie nie było tu wyboru. Tylko na nieszczęście blizko przez dwa wieki prowadzona w Polsce jezuicka gospodarka, bynajmniéj nie przygotowała ogółu do przyjęcia i przyswojenia sobie nowych cywilizacyjnych żywiołów. By ocenić, co w nowych ideach było rzeczywiście postępowego, nie posiadał on żadnego kryteryum. A im gdzie była większa próżnia umysłu, im odebrane poprzednio wychowanie mniéj było zdolne złe skłonności przytłumić; tém skwapliwiéj chwytano się samych pozorów téj nowéj cywilizacyi, przejmując z niéj tylko to, co rozbudzonym żądzom i namiętnościom schlebiało. Było to nieuniknione następstwo ciemnoty, w jaką Polska w poprzedniéj epoce pogrążona została. W XVI wieku daleko więcéj było zepsucia [1]), jawniejszą była bezbożność [1]), zuchwalsze aryanizmu, odrzucającego nawet bóstwo Chrystusa, na religią napady; a jednak organizm narodu, przy panującéj oświacie przebył ten kryzys szczęśliwie. Wiek XVIII grzeszył płochością, rozluźnieniem obyczajów, był powierzchowny, przedajny; ale żaden z pisarzy nie wystąpił jawnie przeciw panującéj religii. Jakże więc można ludziom ówczesnym, przodującym w literaturze, w oświacie, pojmującym dążenia swojego wieku, poczytywać za występek, iż dla upadającego społeczeństwa szukali ratunku we Francyi, że się zapatrywali na jéj literaturę i politykę?.... Działali oni w duchu czysto obywatelskim, spełnili swoję powinność. W obec jednak przesądów, stojących na zawadzie oświecenia narodu, wobec zepsucia, na które powstawali już XVI wieku pisarze, rola literatury musiała się wyłącznie ograniczyć do satyry, któréj Kraszewski, ze wszystkich ówcześnie uprawianych rodzajów poezyi, jedyną wartość przyznaje. Obydwóch jednak naszych satyryków z téj epoki: Krasickiego i Naruszewicza — Kraszewski w Nowych Studyach sądzi nader surowo. Pierwszemu poczytuje za grzech nigdy nieodpuszczony napisanie *Wojny Mnichów*; drugiego nie może usprawiedliwić nawet w życiu prywatném. Przechodząc następnie do jego poetyckich utworów zajmuje się 4-ma księgami pieśni, sielankami i satyrami. Co do pieśni—nazywa je „ogromną kadzielnicą, nieustanny dym wydającą u stóp tronu" (str. 139), i wszelkiéj im wartości poetycznéj odmawia. Jakoż w istocie, większa część tych utworów nosi czysto okolicznościowy charakter i ma za osnowę przedmioty tak błahe, że w nich trudno nawet dopatrzéć jakiegokolwiek poetycznego żywiołu. Probostwo niemenczyńskie, medal, order, butelka wina w czasie rekollekcyi otrzymana od króla, zdolne są w Naruszewiczu obudzić natchnienie, zrodzić odę, dytyramb. Toż samo odnosi się do jego stosunków z możnymi. Nawet sanie ks. Izabelli Czartoryskiéj, odjazd hetmanowéj Branickiéj, urodziny wojewodzica połockiego, zapędzały jego „pegaza na najwyż-

[1]) „Teraz bracia i siostry, synowcy i stryje, i inne powinne powinni pojmują, są i ci, co po dwóch żon mają; są i ci, którzy z cudzémi żonami ślub biorą i mieszkają." (*Dzieje w Koronie Ł. Górnickiego. Wyd. K. Turow. Sanok r. 1855*).

[1]) Na weselu Stan. Orzechowskiego kanon. przemyślskiego, któremu ślub z Magdaleną dawał pleban Felix z Niedźwiedzia, przy uczcie weselnéj Marcin z Opoczna, także duchowny publicznie bluźnił Sakrament (*Wiadomości Hist. Krytyczne J. M. Ossolińskiego. Żywot Orzechowskiego. T. IV. przyp.*). W r. 1552 na sejmie Piotrkowskim, wielu z posłów, w obec króla, w czasie podniesienia na mszy o Duchu ś. nie chciało zdjąć czapek ani uklęknąć.

Bielski. Kronika. Str. 595, wyd. z r. 1597.

sze glazy Parnasu.“ Jesteśmy wszakże zdania, iż chcąc należycie Naruszewicza ocenić, należy przedewszystkiém wziąć na uwagę czas, w którym powstały owe panegiryczne utwory. Wiadomo, że Naruszewicz bardzo młodo, bo w 15-tym roku życia wstąpił do Jezuitów; że ci, poznawszy w nim górujące zdolności, nie szczędzili kosztów i starań, by go z czasem na przyszłą chlubę zgromadzenia wykształcić. Nie poprzestając téż na nauce, jakiéj mu udzielić mogli w akademii wileńskiéj, wyprawili go do Lugdunu. Po ukończeniu studyów, zalecony przez starszyznę Michałowi ks. Czartoryskiemu, kanclerzowi litewskiemu, jeszcze raz jego kosztem wyjechał za granicę, zkąd wróciwszy, zasilony bogatą wiedzą, miał się teraz zgromadzeniu za odebrane wykształcenie odpłacić. Wszakże nie dość było wykładać w kollegium lub akademii poetykę. Kto był Jezuitą, ten z duszą i z ciałem do zgromadzenia należał i wszystkie swe siły i zdolności musiał dla jego interesów poświęcać. Naruszewicz prócz nauki, posiadał jeszcze talent poetycki; zgromadzenie zaś potrzebowało skarbić sobie łaskę JW. i JO., — cóż dziwnego, że poeta jezuicki smażył głowę nad układem panegiryków, które, bogdaj, czy nie pod obedyencyą pisać był zmuszony? O ile wiadomo, pierwszy utwór tego rodzaju ogłosił drukiem w r. 1763, na śmierć Augusta III, od téj chwili zgromadzenie jeszcze przez lat 10 istniało. Czyż większa część owych pieśni pochwalnych, które mu Kraszewski za grzech poczytał, nie mogło powstać w ciągu tego okresu? Naruszewicz widocznie pisał je z musu; późniéj weszło to u niego w nałóg. Ale gdy zgromadzenie rozwiązane zostało, gdy nie miał już obowiązków zaskarbiać dla niego względów możnych tego świata, jakże różny od poprzedniego nastrój ducha przebija się w jego satyrach! Wtedy, jakby stał się innym człowiekiem, wylewa cały zasób długo tłumionéj w piersiach goryczy, i z oburzeniem i wzgardą zwraca się właśnie przeciw tym, których wbrew przekonaniu musiał dotąd uwielbiać. Dość przeczytać jego satyrę: „Szlachetność“, zwłaszcza zawartą w niéj apostrofę do panów, poczynającą się od słów:

„Droga krwi bogów kroplo! dusz najwyższych kresie!“—a kończącą się ową krwawą, rzuconą im w twarz, ironią:

> Chciałbym nieco mieć dowodów przecie,
> Czy w owym lat ubiegłych i wieków obrocie
> Mam ufać twych babulek nieskażonéj cnocie?—

by się przekonać, że nie był to człowiek do pochlebstw stworzony, że w duszy jego tkwił hart obywatelskiéj cnoty która w tłómaczeniu Tacyta szukała zapomnienia wstrętnéj, opartéj na kłamstwie rzeczywistości. Julian Bartoszewicz usprawiedliwia nawet jego pochlebstwa dla króla (*Wiadomość o ks. Ad. Narusz. i pismach tegoż przy Hist. Nar. Pol. przez Ad. Nar. T. VI wyd. Turowskiego*). Jakoż od chwili rozwiązania zgromadzenia, wszystko, co tylko przyjemnego w życiu doświadczył, zawdzięczał Poniatowskiemu. Codzienny z nim stosunek pozwolił mu bliżéj poznać i ocenić osobiste jego przymioty: wrodzoną dobroć serca i najlepsze chęci dla kraju; wdzięczność zaś za odebrane dobrodziejstwa i przywiązanie, czyniły go ślepym na wady kardynalne: brak charakteru i poziomość instynktów. Naruszewicz wierzył nadto w szczęśliwą gwiazdę króla i wszystkie porażki jego polityki przypisywał działaniu ludzi przewrotnych. Że był zdolny do takiéj prostoduszności, za dowód może posłużyć wiersz jego: „Na ruinę Jezuitów“, w którym, chcąc wykazać położone przez nich w dziejach zasługi, z całą naiwnością *d'un enfant terrible*, wykrywa wszystkie sprężyny, za pomocą których wywierali swój wpływ na społeczność. To téż żałować przychodzi, że Kraszewski zamiast studyować Naruszewicza, jako poetę, nie ogarnął całéj jego działalności literackiéj i nie zajął się, jak to nawet miał zamiar, ocenieniem jego prac historycznych. Wtedy bezwątpienia byłby zmodyfikował o nim swój sąd doryweczy, „że w życiu dworskiém swój talent energiiczny zmarnował“ (str. 156), i w działalności jego stron poważniejszych dopatrzył. Tymczasem, nawet przyznanie satyrom wielkiéj wartości, nie zaciera już w czytelniku niekorzystnego wrażenia, wywołanego potępiającym sądem o jego pieśniach, które spycha na stanowisko powinszowań, epithalamiów i hejnałów weselnych. Prawda, że wiele z nich, a choćby ów wykrzyk:

> Użal się królu z wysokiego tronu
> A nie daj z głodu na starość umiérać —

który Kraszewski, w szlachetném oburzeniu nazywa: „ostatnim stopniem spodlenia“ (str. 140), i na nas przykre robi wrażenie. Ale téj chwili zapomnienia się, czyż nie okupił późniéj „Głosem umarłych,“ tym najpoważniejszym, poetycznym utworem, jaki wydał wiek XVIII? W głosie tym, jak się Bartoszewicz wyraził, poeta streścił całą filozofią reformy politycznéj, a w każdym razie wydał nad przeszłością sąd słuszny, surowy, co wśród zapustnego szału rozległ się, jak requiem grobowe nad głowami ówczesnego

pokolenia. Ten jeden utwór, może go z wielu błędów, jako człowieka rozgrzeszyć, a dzieje napisane krytycznie i satyry—rzetelny obraz wieku — przeważyć swą wewnętrzną wartością błahość sielanek i pieśni. Ten wyrok potępiający całą literaturę epoki stanisławowskiéj, zaledwie dopiero w naszych czasach został w części odwołany przez Kraszewskiego w artykule ogłoszonym w Ateneum z r. 1878, za miesiąc: Luty, Marzec, Maj i Lipiec, a noszącym tytuł: „Krasicki, życie i dzieła."—Jest to jedno z najobszerniejszych studyów, jakie dotąd posiadamy o autorze Myszeidy. Oprócz pisarzy historyi literatury poczynając od Bentkowskiego aż do dni naszych, Kraszewski miał dwóch poprzedników, którzy w osobnych monografiach zajmowali się Krasickim: Franciszka Xawerego Dmóchowskiego i Juliana Bartoszewicza. Pierwszy z nich w mowie, wygłoszonéj ku uczczeniu pamięci Krasickiego na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w d. 12 grudnia 1801 r. i noszącéj panegiryczny raczéj, niż krytyczny charakter, stosunkowo podał bardzo szczupłe wiadomości o jego życiu i pracach, choć zostając z nim w blizkich stosunkach, mógł był coś więcéj przytoczyć. Widocznie jednak trudno mu je było domieścić w szczupłych ramach mowy akademickiéj, w któréj, więcéj niż o rzecz samę, szło mu o popis i ozdoby stylowe. Jakoż przybrał ją szczodrze we wszystkie postacie retoryczne i przyznać trzeba, iż wstęp i antiteza pomiędzy Krasickim i Naruszewiczem udały mu się wybornie. To też prócz anegdotki o podciętym płaszczu biskupim przez Fryderyka II, i pobudkach do napisania Monachomachii, jaką znalazł w zajmowanych przez się apartamentach Voltaire'a, podobno nic z niéj więcéj nie zaczerpnął Kraszewski. Natomiast monografia przez Juliana Bartoszewicza skreślona (*Życiorysy znakomitych ludzi T. I. r. 1850*, oraz *Encykl. Powszech.*), stanowi w jego pracy jakby kanwę, któréj krzyżujące się nici przeglądają tu i ówdzie z pod pełnego bogatych barw naszycia. Bartoszewicz opracował swą monografią według źródeł, zawartych w *Wiadomościach Warszawskich*, *Niesieckim*, *Bentkowskim*, wreszcie w pismach poety; podał też w niéj wiele szczegółów nowych, nieznanych. Źródła te jednak nie były wystarczające do odtworzenia całego ciągu życia biskupa warmińskiego. Ztąd w wielu razach własnemi się domysłami sztukował. Kraszewskiemu traf szczęśliwiéj posłużył: mógł korzystać z nader cennéj pozostałości po Ignacym Krasickim, mianowicie z jego korrespondencyi z rodziną, któréj udzielenie Alex. hr. Krasickiemu zawdzięcza. Te nieznane dotąd źródła pozwoliły mu w sposób nader dokładny wizerunek wielkiego męża nakreślić.

Krasicki wszakże nie był wyosobnioną jakąś na tle XVIII wieku postacią, ale najzupełniejszą jego syntezą, przedstawicielem krytycznych jego dążności. Ztąd též nie dość było, jak to zrobił Bartoszewicz, zająć się wyłącznie jego życiem i działalnością literacką. Takie typowe postacie mogą być jedynie pojęte w związku z tém, co poprzedziło ich epokę, i dla tego téż Kraszewski swoje studyum rozpoczyna ogólnym na dzieje i literaturę poglądem. Biorąc za punkt wyjścia położenie Polski na granicy wschodu i zachodu, rozbiera żywioły składające jéj cywilizacyą i w nich dwa główne dopatruje pierwiastki: ogólno-europejski, latyński, zaszczepiony wraz z chrześciaństwem, i swojski, prastary, który zamalgamowany z poprzednim, nadał narodowi właściwe mu oblicze. Polska, przez język łaciński wszedłszy w ścisły związek z zachodem, „odczuwała każde drgnięcie, jakie do XVII stulecia wstrząsało Europą zachodnią". Ztąd i reforma religijna wcześnie do niéj przystęp znalazła i jeśli nie obaliła kościoła, wywarła jednak wpływ przeważny na język narodowy i literaturę, dając jéj chwilowo przewagę nad panującą dotąd literaturą łacińską. Skreśliwszy w ogólnych rysach charakter oświaty w XVI w., z któréj dobrodziejstw przeważnie korzysta duchowieństwo i szlachta, zastanawia się następnie nad przyczynami, które spowodowały szybki upadek języka i literatury narodowéj w XVII stuleciu. Do tych zalicza gwałtowną reakcyą jezuicką przeciw reformie, a tém samém językowi i oświacie na jéj gruncie wyrosłéj, oraz cudzoziemszczyznę, panującą na dworach królów obieralnych, na których wzorują się dwory magnackie. Powszechną zresztą demoralizacyą zaszczepiają wojny, w których ze swego politycznego stanowiska szlachta, przyjmując udział, odwyka od domu i nabiera właściwych obozowemu życiu nałogów: próżniactwa i skłonności do zwady. Reszty dokonywa życie sejmikowe, konfederacye i zjazdy. Za powrotem do domu, zmuszona bronić zagona przed wdzierstwem przemożnego sąsiada, rozwija w sobie żyłkę pieniactwa, które z czasem staje się jego drugą naturą. Gdy wszyscy rwali, „instynkt zachowawczy zrodził prywatę, która doszła do poczwarnych rozmiarów". Przykład jéj od czasów Sobieskiego szedł z góry. Tracono z oczu interes ogółu—każdy myślał jedynie o własnéj korzyści. Kraszew-

ski sądzi, iż historycy niesłusznie dopatrują upadku kraju w prawach, instytucyach i organizacyi społecznéj, że z ludźmi innymi całe inaczéjby się działo. Ale już dawno zauważono, że chyba w takim razie, gdyby wszyscy w równym stopniu byli rozumni i ofiarni. Właśnie w tém tkwiła tych instytucyi wadliwość, że do ich prawidłowego funkcyonowania idealnie cnotliwych ludzi było potrzeba. To téż idea politycznéj swobody przerodziła się w samowolę. W takim stanie rzeczypospolitéj objęli rządy Sasi: „Byli to królowie dla siebie, nie dla narodu". Panujące usposobienie do pomnażania prywatnych zbiorów kosztem kraju, umieją wyzyskiwać dla własnéj korzyści. „Znalazłszy gotowych do sprzedania się, kupują ich, a kupując, upadlają do reszty. Frymark sumieniem politycznéın przechodzi w obyczaj. Główna rzecz, kto da więcéj — Brühl, czy familia? Nadto przez kobiety najpierwszych rodów — faworyty Augusta Mocnego—demoralizacya zakrada się w domowe ogniska, za przykładem zaś króla, wśród wszystkich stanów szerzy się na potęgę pijaństwo. Tak powszechny moralny upadek pociąga za sobą upadek piśmiennictwa. Łacina bierze w niém górę i staje się coraz straszniejszą, już nie kuchenna, ale ze śmiecisk zbierana". Język narodowy, skażony makaronizmami, wychodzi na potwornego mięszańca. Niemniéj oświata rozdziela się bardzo nieprawidłowo w narodzie. Od czasów Jana Kazimierza, magnaci przejmują język i obyczaje francuzkie. Przewyższając rozumem całą massę szlachty, któréj umiejętność wyłącznie polega na znajomości jezuickiéj łaciny, wyzyskują jéj stanowisko polityczne dla własnych celów a nie pożytku kraju. Wyższe duchowieństwo kształci się w Rzymie; niższe posiada tyle nauki, aby skromnym wymaganiom mniéj jeszcze oświeconych parafian zadość uczynić". Wreszcie na dole panuje ucisk, nędza i ciemnota. Do tych rysów jeszcze jeden dodać należy: spaczenie religijnego uczucia. W istocie tyle sławiona tamtych czasów pobożność, ograniczona do najbardziej drobiazgowych praktyk, w rzeczy była próchnem świecącem. Szlachcic fundował i obdarzał klasztory, zachowywał posty najściśléj, padał krzyżem w kościele, biczował się, jak asceta, ale nie był zdolny zrobić ofiarę z pychy i w chłopie, mieszczaninie, innowiercy uznać brata w Chrystusie.

Tę przepaść ośmielił się ukazać narodowi Stanisław Konarski, reformując szkoły pijarskie według wymagań europejskiéj nauki i uderzając na liberum veto — tę źrenicę wolności szlacheckiéj. Kraszewski dość znaczny ustęp w swém studyum poświęcił charakterystyce téj znakomitéj postaci, oraz zgromadzeniu. Dalszy kierunek tego reformacyjnego ruchu, jaki rozpoczął S. Konarski, dostaje się w ręce Stanisławowi Augustowi. Jak tamten na wzór francuzki przekształcił szkoły, tak Poniatowski w obyczaju zapragnął dokonać reformy.

Jakiekolwiek winy ciężą na jego pamięci, faktem jest, iż gdy wstępował na tron, Polska była w stanie politycznego upadku i powszechnego moralnego zepsucia. W końcu nieszczęśliwego panowania Sasów — wszystko—powiada Kraszewski—było strupieszałém, przegniłém, zwątlonéin, popsutém, budowa groziła ruiną (Ateneum str. 408). Przyznanie tego faktu jest dla nas niemałéj wagi, ze względu na różnicę, jaka zachodzi pomiędzy wypowiedzianym przez niego dawniéj, a obecnym na epokę Stanisławowską poglądem. To zepsucie bowiem, które w poprzednich studyach wyłącznie téj epoce, jako główne jéj znamię, przyznawał; dziś po wszechstronném jéj zbadaniu, uważa jako *spadek*, przekazany jéj z przeszłości. Wiek Stanisława Augusta przyszedł właśnie do poznania rozpaczliwego stanu, w jakim się kraj moralnie i politycznie znajdował; ale nie zdolny do wyrobienia w sobie jakiegoś dodatniego ideału, podejmował zadanie nad siły, chcąc wyleczyć społeczeństwo z chronicznéj, w jaką popadła, choroby. „Co miało i mogło pozostać z starego obyczaju, co wejść nowego — nikt nie określał. Pragniono instynktowo światła, wiedzy, ogłady, sztuki, jako środka łagodzącego obyczaje; pozbycia się tego, co zwano ogólném mianem przesądów; reform politycznych, społecznych, zatem i piśmiennictwa, jako dźwigni, co pobudzać miała" (Ateneum, st. 215). „Poniatowski — mówi daléj Kraszewski—rozumiał dobrze, jaką siłą było piśmiennictwo"; ztąd pierwszém jego zadaniem było zgromadzenie zastępu literatów, którzyby na massy w kierunku postępowym działali. Do takiéj zaś roli, ze wszystkich pisarzy, uświetniających panowanie Stanisława Augusta, bez zaprzeczenia, najwięcéj był uzdolniony Krasicki.

Nie możemy zajmować się wszystkiemi szczegółami jego życia, tak jak je skreślił Kraszewski. Zwrócimy tylko uwagę na fakta dotąd nieznane, lub mylnie przez Bartoszewicza podane. Odnosi się to najprzód do czasów, które poprzedziły pobyt Krasickiego we Włoszech, i okoliczności, w jakich zostawał po powrocie do kraju. I tak Bar-

łoszewicz wyprawia go do Rzymu, około r. 1751, zaraz po ukończeniu nauk u Jezuitów we Lwowie, dla dalszego kształcenia się w teologii, i dopiero po dwuletnim w nim pobycie robi go kanonikiem Przemyślskim, proboszczem katedralnym i koadjutorem opactwa Wąchockiego. Tymczasem z listów, jakie zużytkował Kraszewski, pokazuje się, że podróż ta nastąpiła daleko później, bo aż około roku 1759; wszystkie zaś godności, przytoczone powyżéj, spadły na niego, poczynając od 15 roku życia, gdyż już w tym czasie Józef Załuski obdarzył go kanonią kijowską. Również w całéj korrespondencyi, jaką z rodziną w czasie pobytu w Rzymie prowadzi, niema wzmianki, by się studyom teologicznym poświęcał. To pewna, że jeszcze przed tą podróżą utrzymywał w kraju bardzo liczne stosunki, że był wtajemniczony w ówczesne sprawy publiczne, że zarówno słynął z wymowy na kazalnicy, jak i z dowcipu w salonach. Zdaje się więc, że chyba w innym celu wyjechał do Rzymu. Prawdopodobnie, zwyczajem synów magnackich, zmierzających do osiągnienia najpierwszych w hierarchii duchownéj godności, pragnął zawiązać stosunki w stolicy chrześciaństwa z dostojnikami kościoła, by przez nią sobie drogę do przyszłéj karyery ułatwić. „Szło także matce o to, aby przyszły dygnitarz nabrał w Rzymie duchownego, w Paryżu świeckiego poloru.“ Bądź co bądź, dwuletni pobyt w stolicy papieztwa nie wyrył głębszych wrażeń w umyśle Krasickiego. Z jednego tylko listu, pochodzącego z téj epoki, pokazuje się, że go zajmowały wspomnienia zamarłéj Romy: zabytki na forum, wzgórze kapitolińskie, skała Tarpejska; ale nie widzimy, by go olśniła wspaniałość obrzędów lub żeby w nim sztuka starożytna i chrześciańska budziła jakikolwiek interes.

W dalszym ciągu twierdzi Bartoszewicz, że Krasicki dopiero swą mową koronacyjną zwrócił na siebie uwagę Poniatowskiego; podczas gdy Kraszewski, opierając się na nieznanych Bartoszewiczowi Pamiętnikach Matuszewicza, który Krasickiego już w roku 1763 faworytem przyszlego króla nazywa, zbliżenie się ich do epoki daleko wcześniejszéj odnosi. „W r. 1764 Krasicki był już jawnym i znanym wybrańcem króla i jemu to on w dniu koronacyi zalecił przemówienie do siebie.“ Jak się to stało, że zostając w ścisłych stosunkach z Fr. Saz. Potockim, wojewodą Kijowskim, stronnikiem saskiego dworu i Brühla, przerzucił się na stronę Familii, tego nie wyjaśnia Kraszewski. Czy jednak Poniatowski już w r. 1762 odgadywał w nim przyszłego polskiego Voltaire'a, rzeczą jest dla nas wątpliwą. Krasicki w czasie najwyższéj twórczości poetyckiéj, nie miał zwyczaju przed najbliższymi sobie zwierzać się z prac rozpoczętych i zawiadamiał o nich dopiero, gdy już ukazały się w druku. Tém mniéj przeto można przypuszczać, by Poniatowskiego wtajemniczał w plany przyszłéj działalności literackiéj, zwłaszcza, że dopiero z pojawieniem się „Monitora“ w roku 1765 zaczął pierwsze swe próby ogłaszać. Sądzimy, że i bez zapowiedzi przyszłego talentu, wysoki polor towarzyski, piękna powierzchowność, dowcip niezrównany, poglądy postępowe na społeczeństwo i życie, głębokie przekonanie o potrzebie reformy i rozległe familijne stosunki, czyniły go nader pożądanym dla dworu przyszłego króla nabytkiem. Ten stosunek wszakże Krasickiego do króla, całkiem inaczéj przedstawia się w życiorysie Bartoszewicza, niż go Kraszewski określił. Pochodzi to ztąd, że ostatni korzystał ze źródeł późniéj wydanych, które nie były znane pierwszemu. Mówimy tu o korrespondencyi prowadzonéj pomiędzy królem a sławną panią *Geoffrin*, powiernicą najskrytszych jego zamysłów. Jakoż podług Bartoszewicza należałoby sądzić, że pomiędzy Stanisławem Augustem a Krasickim panowała od początku do końca najzupełniejsza harmonia, oparta na zgodności celów, przekonań i wzajemnym szacunku. Tymczasem pokazuje się z owéj korrespondencyi, że już w r. 1767, jakieś się nieporozumienia w ich stosunki zakradły. Być może, iż król wyrabiając intratne biskupstwo warmińskie, spodziewał się, iż tym sposobem nazawsze sobie Krasickiego pozyskał, i że ten przez wdzięczność zarówno piórem, jak i wpływem będzie jego politykę popierał. Lecz właśnie omylił się w rachubie. Krasicki bowiem pomimo całéj układności wielko-światowéj, zmuszającéj w wielu razach do ustępstw, bynajmniéj nie należał do ludzi, którzy z poniżeniem własnéj godności zaprzedają się innym, służąc za ślepe narzędzie. Czując zresztą w sobie innego rodzaju posłannictwo, świadomie czy instynktownie rozumiał, że do jego spełnienia potrzeba mu raczéj skupienia sił, niż rozpraszania ich w zabiegach dworskich i życiu publicznéin, które częstokroć najsilniejsze organizmy zużywa. Ztąd uchylanie się od wszystkiego, co polityką trąciło. Poniatowski jednak, który we własnych widokach Krasickiego do krzesła senatorskiego promował, tego nie chciał ro

zumiéć i, przekonany, że go dobrze zapłacił, zaczął przed panią Goeffrin obwiniać o najczarniejszą niewdzięczność, gdy ten wierny tylko swemu powołaniu pozostał. Dla tego téż Kraszewski wątpi, by w konfederacyi radomskiéj odegrał rolę, jaką mu przypisuje Bartoszewicz. Według niego miał on radzić opór i zawieszenie sejmu, oraz namawiać senatorów, by się nie schodzili na posiedzenia, w skutek czego miał nawet otrzymać rozkaz opuszczenia Warszawy. Kraszewski mniema, „iż zgodnie z charakterem swym zachował się biernie i umiarkowanie.“ Charakterystyczném jest także zachowanie się Krasickiego czasu konfederacyi barskiéj. „Nie mamy dowodów — powiada Kraszewski, — że dla niéj okazywał sympatye, lecz jawném jest, że przeciw całemu ruchowi czynnie występować nie chciał.“ Te królewskie wszakże urazy, o jakich mówiliśmy powyżéj, wzięły koniec od chwili, gdy Krasicki zaczął swoje dzieła drukiem ogłaszać. Ustępy pełne uwielbienia, jakie znalazł Poniatowski dla siebie w Myszejdzie i Monachomachii, pogodziły go z poetą. Zrozumiał on teraz, że genialny biskup warmiński, podnosząc w swych poematach jego starania o podniesienie oświaty w narodzie, oddaje mu daleko większe usługi, niż gdyby, jak tego pragnął, jego politykę popierał i „pod wrażeniem popularności i sławy, jaką sobie zdobył pisarz, nietylko mu winy przebaczył, ale chlubił się nim, jako ozdobą swojego panowania, jako poniekąd dziełem rąk własnych“ (Aten. Maj. str. 234).

Bartoszewicz, rozwodząc się o uwielbieniu króla dla poety, mówi, iż ten „kazał bić dla Krasickiego, wtedy właśnie, *kiedy go tracił, medal złoty z napisem: Musa vetat mori*,“ a zatem, jakby się zdawało, około czasu, gdy Warmia dostała się Prussom w skutek pierwszego podziału. Tymczasem nastąpiło to daleko późniéj, po wydrukowaniu nieudolnéj *Wojny Chocimskiéj*, którą Krasicki w czasie swego pobytu w Warszawie na żądanie króla napisał. Kraszewski, prostując tę wersyą, przytacza list biskupa, pisany w r. 1780 do brata, w którym mu o tym zaszczycie, jaki go spotkał, donosi. Również obraz gospodarstwa heilsberskiego i całego trybu życia biskupa, daleko jest pełniejszy w Kraszewskim. Wprowadza on nas w obszerne, ale posępne komnaty starego biskupiego zamku, tak jak go opisał Krasicki; mówi o urządzeniach nowego zamku, zbudowanego już przez poetę, a który łączył się z pierwszym, długą na 80 kroków galeryą; wtajemnicza w urządzenia apartamentów, gdzie mieściły się sale portretowe, galerye obrazów, gabinety, biblioteka, jadalnie, teatr, kaplica, oraz inne pokoje. Wiemy nawet, jakie malowidła zdobiły ich ściany. „Pokój przed kaplicą był w etruskach, przed buduarem w arabeskach, w sypialnym odmalowaną była *Clitie*, w stołowym *L'Education de Bacchus d'après le cachet de Michel Ange*, oraz dzieci Mirys'a.“

Wszystkie te szczegóły jakże malują człowieka! Pomimo wszakże znacznéj liczby tych malowideł, posągów i odlewów gipsowych, zamiłowanie biskupa w sztuce było nader powierzchowne. Nie pojmował on artyzmu na wielką stopę, i wydając krocie na delicye stołu, ogrody i cieplarnie, które mu w styczniu dostarczały śliwek i wisien; zadawalniał się odlewami i popiersiami malowanémi na czarno, zbiorami rycin, portretami Marteau, aquafortami siostrzenicy Anny Charczewskiéj, oraz wizerunkami Śliwickiego i Skuraszewskiego — malarzy nader miernych zdolności. Natomiast na wielką stopę pojmował życie, które prowadził, jako pan z panów i jeden z trzech pierwszych dostojników kościoła. Tłumy gości, bliżsi i dalsi krewni, kanonicy, zasiadali codziennie w kilkadziesiąt osób do jego stołu. Dodajmy do tego teatr, koncerta, stałą kapelę, grającą po obiedzie, liczny poczet sług, składających dwór biskupa, oraz służbę gości, która nie mniéj liczny zastęp tworzyła, a będziemy mieli obraz życia. Największych jednak starań przedmiotem i chlubą biskupa, były ogrody: w Heilsbergu i Smolanach, urządzone z niesłychanym przepychem. Londyn, Berlin, Dessau, Hamburg, Oliwa pod Gdańskiem, wreszcie Amsterdam, Sardaam i Harleem, dostarczały rok rocznie tysiącami najrzadszych cebulek kwiatowych i krzewów. Do jakiego stopnia Krasicki posuwał pod tym względem namiętność, można wnieść z listu pisanego z Berlina (1781 r.) do żony brata, pani Różowéj. „Ja za niedziel kilka, a może jeszcze i w tym miesiącu do Potsdamu wybieram się. Oj! coby to tam można — dodaje — pokraść drzewek rzadkich i kwiatów!“ Rozumié się, że to był żart; ale czyż ta pokusa nie zdradza *amatorskiéj żyłki ogrodnika z professyi?*

Z podobnie charakterystycznych i umiejętnie zestawionych rysów w studyum Kraszewskiego, czytelnik może sobie urobić najdokładniejsze o Krasickim, jako człowieku, pojęcie. Postać ta w jego pracy występuje od początku do końca, jakby z jednego kruszcu odlana. Zawsze jednaka,

zawsze z tą, niczém nie zamąconą pogodą myśli na czole, z wieczuym uśmiechem zadowolenia na ustach — niby twarz Boga Olimpu, niedostępna troskom i nędzom powszedniego żywota. Co pod tą maską w duszy się działo — nikt zapewne nie wiedział, bo téż Krasicki w stosunkach z ludźmi w wysokim stopniu posiadał sztukę ukrywania swych myśli. Rozumiał on, iż człowiek nie powinien całego siebie drugim oddawać i zwierzać się ze swych tajemnic, jeżeli nie chce popaść w najstraszniejszą zależność, jaką jest ducha niewola. I nie sądźmy, iż téj sztuki nabył w życiu dworskiém i poufałym do dwóch monarchów stosunku. Już bowiem w czasie swego pobytu w Rzymie, nie był skory do wywnętrzania się z osobistych wrażeń. Nikt téż może od niego nie był więcéj dla rodziny wylanym, a jednak nawet w listach, pisywanych do brata Antoniego, nigdy całego nie widzimy człowieka. Wypadków współczesnych rzadko kiedy dotyka; jeśli zaś o nich nadmienia, to bardzo ostrożnie, wiedząc, że list, to dokument, który w danym razie przeciwko nam samym, jak oskarżyciel wystąpi. Głównym téż przedmiotem jego korrespondencyi, to pełne humoru i dowcipu, opisy codziennych, potocznych zajęć, polowania, festyny, wiadomostki, wreszcie sprawy rodzinne, które zawsze obchodziły go żywo. Zresztą stanowisko jego do świata, najlepiéj jego własne słowa malują: „Ja tu (w Berlinie) siedzę spokojnie i z daleka się po mojemu (właściwie po swojemu) na rzeczy patrzę, coraz powtarzając z Kochanowskim:

„Niech drudzy za łby się wodzą,
[a ja się dziwuję.”

Oto, jaka była jego dewiza. Stał na uboczu, jako spokojny obserwator, nie mięszając się do niczego, co nie zostawało w związku z jego powołaniem pisarskiém. Był to może wyrafinowany egoizm, a może i umiejętność życia, polegająca na wytknięciu dla swéj działalności właściwych granic, odpowiednio do posiadanych zdolności. Tym sposobem nie dając się porwać żadnym prądom i namiętnościom współczesnym, zachował niezależność sądu i zdrowy pogląd na rzeczy, który pisma jego cechuje. Utrzymanie w równowadze wszystkich władz ducha, usunięcie się od wszelkich spraw kłopotliwych i rzucenie w niepamięć codziennych życia przykrości, było jedyném jego zadaniem. Siejąc na wszystkie strony pieniędzmi, nie zawsze mógł podołać książęcego dworu wydatkom i potrzebom pańskiéj fantazyi; ztąd brnął w coraz większe długi, które w chwili przejścia na arcybiskupstwo gnieźnieńskie wynosiły przeszło 169,000 talarów!! Wspominając jednak o swych kłopotach finansowych w listach do brata, traktuje tę kwestyą z takim humorem, jakby o bagatelę chodziło. Równie z rezygnacyą znosi wszelkie życia zawody. Odcięty od rodziny i kraju, gotów był ustąpić z biskupstwa warmińskiego, byle w Polsce inne otrzymał. Wakansów po wziętym w kuratelę Kaj. Sołtyku odkrywało się wiele. Krasicki mógł był dostać koadjutoryą krakowską, wileńską lub biskupstwo wileńskie. Tymczasem król, osadzając na miejscu Sołtyka, swego brata, całkiem mu drogę zagrodził do spodziewanych godności. Krasicki jednak przyjął to z takim spokojem, jakby o kogoś innego chodziło. „Byle na dobro była rzecz obróconą— pisze do brata — umniejszy to żal duchowieństwa.“ Kraszewski po mistrzowsku umié zużytkować te rysy. Protestuje wszakże przeciw twierdzeniu Bartoszewicza, jakoby Krasicki po przeniesieniu się do Skierniewic, utracił dawną wesołość i pogodę umysłu, wypadkami w r. 1795 złamany. Zapewne, że wiek podeszły oddziałał na żywość jego dowcipu, ale dawny spokój nie opuszcza go ani na chwilę. Bardzo téż charakterystycznym jest ustęp z listu w téj epoce pisanego do brata: „Słodką się nadzieją cieszę *i uprzedzam przyszłe życie, które przecież kiedykolwiek nastąpić musi.* Wszyscy powtarzać powinniśmy kościelną modlitwę: Da pacem, domine, in diebus nostris. Większa część tych dni w ustawicznych odgłosach zamięszania przeszła; niechże przynajmniéj reszta spokojność przyniesie.“ Nie są to jednak słowa cechujące moralny upadek, ale raczéj natchnione stoicyzmem i religijném poddaniem się. To téż nie opuszcza on rąk, jak inni, ale w różnych kierunkach rozwija gorączkową niemal działalność. Jak dawniéj bawił, tak obecnie oświeca, uczy, kształci charakter czytelników, stawiając im przed oczy *Zacnych mężów* przykłady. Wreszcie w Łowiczu zakłada drukarnią, wydaje pismo *Co tydzień*, urządza ogród i rezydencyą w Skierniewicach, budzi wszędzie ruch, życie i wpływem swym dopomaga do zawiązania Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie. Słusznie też powiedział o nim F. K. Dmóchowski, iż życie z piórem w ręku zakończył. Do téj charakterystyki, jaką przywiedliśmy w streszczeniu, jeszcze jeden rys dodać musimy. Krasicki przez całe życie, mając

wstręt od polityki, trzymał się na gruncie neutralnym, nie mięszając się do współczesnych wydarzeń. Nadto brzydził się wszelkim radykalizmem. Ztąd i obrady sejmu czteroletniego, które on *górnościami warszawskiémi* nazywa, budziły w nim niepokój. Pragnął on gorąco reform, ale chciał, by te dokonywano drogą powolnego, acz ciągłego postępu. Tymczasem tu odrazu zmierzano do przetworzenia dotychczasowego porządku. Wyjechał téż zniechęcony z Warszawy, po chwilowym w niéj w r. 1789 pobycie. Co więcéj, nawet ostateczną katastrofę zdaje się przyjmować jako przewidziany wypadek, z którym w myśli oswoił się oddawna. Możnaby go o zupełną obojętność posądzić, gdyby... gdyby i on, wprawdzie jedyny raz w życiu, nie dał się porwać ogólnym entuzyazmem. Ale zaraz potem, jakby się przeląkł własnego zuchwalstwa, zwija się w siebie, przybiéra maskę obojętności, i spokojnie zdaleka, po swojemu na rzeczy się patrzy [1]).

Przechodzimy teraz do części krytycznéj Studyum Kraszewskiego.

Pierwszy utwór—jakim się zajmuje—„Myszeis" z r. 1775, rozpoczynająca szereg prac ogłaszanych drukiem przez poetę, budziła we współczesnych podziw, który dziś zrozumiéć można jedynie, stawiając się na tym poziomie umysłowym, jaki był właściwy u nas w XVIII stuleciu. Dość powiedziéć, że wnosiła do literatury nieznane prawie przed tém żywioły. Najprzód, co do formy — *ottavarimę* czyli strofę ośmiowierszową, nader kunsztownego układu, zapożyczoną z poematów włoskich, w któréj następstwo dwóch jednobrzmiących rymów, powtarzających się trzy razy w sześciu wierszach kolejno, znajduje uzupełnienie w dwuwierszu zakończonym odmiennemi od poprzednich rymami. „Wiersz ów, — mówi Kraszewski — płynie pod piórem Krasickiego, niby muzyce gwoli, mierzonéj pięknie, strojny, zręcznie się uginający, jak tanecznica, na któréj twarzy migają myśli wesołe, to szydercze, niekiedy poważne i prawie smutne." Wyróżniała się nadto Myszejda duchem od tego wszystkiego, co ją poprzedziło w literaturze. Wprawdzie dowcip satyryczny nie był obcy XVI i XVII wieku pisarzom, ale w nich „raczéj siły i śmiałości, niż wyszukanych słów, szukać należy," dowcip ich tłusty, rubaszny, w prostocie swojéj cyniczny, każdą rzecz właściwym mianuje wyrazem. Forma przyzwoita, omawiająca, była im prawie nieznaną. Pierwszy Krasicki dopiero wprowadza ów dowcip „delikatny, salonowy, dworski; pierwszy umié zręcznie posługiwać się słówkiem, nadawać wyrażeniom perłowe wykończenie, haftować i dzierzgać w koronkę," a wszystko to przejął z literatury francuzkiéj, stosując się tylko do ducha własnego narodu. „Zostało mu wprawdzie coś — dodaje Kraszewski — z łacińskiéj edukacyi; ale czuć, ze się otrząsnął z pedantyzmu szkodliwego, ufryzował i uperfumował."

Do téj charakterystyki, co do stylu, nic dodać ani ująć nie można. Streszcza ona wszystkie właściwości pisarza, który cackami najmisterniejszego wykończenia swą epokę czarował. Inna rzecz, co do osnowy i architektoniki poematu, o których mówi Kraszewski, że wytrzymać krytyki nie mogą. Treść Myszejdy, mającéj za przedmiot wojnę myszy i szczurów z kotami, rzeczywiście wydaje się błahą, ale tylko dla nas, co jesteśmy spadkobiercami nowożytnéj poezyi, olśniewającéj genialnemi, głębokiego znaczenia pomysły, lecz nie dla społeczeństwa XVIII stulecia, które po długim umysłowym zastoju, po dziecinnemu podobało sobie w bajce, nie zdolne strawić pożywniejszego pokarmu. Bajka ta zresztą nie zupełnie jest bajką i już współcześni dopatrywali w niéj allegorycznego znaczenia. Dmóchowski nawet twierdzi, iż Krasicki w tym duchu napisawszy pierwsze dwie pieśni, odstąpił późniéj od powziętego zamiaru, powodowany jakiemiś ubocznemi względami. Tymczasem Kraszewski powątpiewa o téj allegoryczności poematu, i sądzi, iż „autor myśli jednéj w planie swym nie miał, ale zużytkował każdą zręczność, aby bryzgnąć prawdą w oczy" — współczesnym. Otóż zdaje się nam, że myśl ta wyraźnie występuje w utworze. Jest to myśl reformy obyczajowéj, mająca na celu zburzenie tego, co poprzedziło, zohydzenie wad, jakie panowanie Sasów zaszczepiło w narodzie. Popiel uosabia w sobie zarówno Augusta II, jak i Augusta III. Pierwszy utożsamia się z nim przez pijaństwo i miłośnice; — drugi przez owe gnuśne, nikczemne rządy z pomocą wszechwładnego ministra i jego faworytów:

> Co dzieląc z panem władzę tronu śliską
> Sobie rząd dali, a jemu nazwisko.

Właśnie potrzeba było wszystko z téj epoki okryć śmiesznością, by jéj zwolennikom

[1]) Ustęp ten w pierwszém, zbiorowém Dmóchowskiego wydaniu został usunięty, czyli istotnie wydarty, także owo zakończenie: „I gdy... resztę wydarto", w dwojakiém teraz znaczeniu: allegoryczném i rzeczywistém rozumiane być winno.
(P. A.).

otworzyć oczy na to poniżenie moralne, w jakie naród wtrącili Sasi, a zarazem przekonać o błogich skutkach rządów tak światłego monarchy, za jakiego Krasicki przedstawia Stanisława Augusta. Ztąd téż zużytkowanie podania Kadłubkowego o Popielu uważamy za najkrwawszą ironią w Myszejdzie—za oś całego poematu. Jakoż jeżeli według ówczesnego widzenia rzeczy Popiel ów jest potwornym wymysłem wieków ciemnoty, to jakże musiała być z wszelkiego światła obraną epoka, w którój panowali taki August II. i III., a którzy do jéj odmalowania najgłówniejszych rysów dostarczyli poecie! Myszejda więc jest allegoryą w całém tego słowa znaczeniu. Tak samo dziecinna na pozór wojna myszy i szczurów z kotami jest alluzyą do ówczesnego położenia kraju i jeśli nie zatargi Polaków z Sasami, to maluje ówczesne polityczne stronnictwa. Tylko Krasicki, obrawszy pozornie za przedmiot bajecznych dziejów opowieść, mającą służyć jedynie za lekką, przejrzystą gazę, pozwalającą dokładnie widziéć ukryte pod nią rzeczywiste i blizkie co do czasu zdarzenia, zmuszony był konsekwentnie jéj osnowę doprowadzić do końca, bez względu na to, czy wątek nadawał się do celów satyrycznych lub przeciwnie. Ztąd tyle dla nas nużących błahą treścią ustępów, ztąd zwłaszcza w dalszych pieśniach słabnący dla czytelnika interes. Trudno bowiem dziś po kim wymagać, by go los Gryzomira lub Mruczysława mógł na seryo obchodzić! Jesteśmy wszakże przekonani, że współcześni w tych nawet obojętnych dla nas ustępach umieli dopatrzéć ukrytego znaczenia. Bo czyż sam koniec Popiela, nie nadawał się do ówczesnych okoliczności? Wszak po jego tragicznéj śmierci—Piast zajął miejsce na tronie. A nie był że Piastem—Poniatowski, według pojęć ówczesnych, gdy tron po Sasach zajmował?

W tém zużytkowywaniu mytów historycznych w znaczeniu środka do osiągnięcia po za nimi wytkniętego celu, tkwi rdzenna różnica pomiędzy negacyjnym duchem XVIII wieku a syntetycznym naszych czasów poglądem. Gdy podanie o Popielu Krasicki traktuje niemal z pogardą, gdy czarownicę z Łyséj Góry dla tego jedynie do poematu z całym apparatem guseł wprowadza, by w nie upowszechnioną wiarę ośmieszyć i na tór zdrowego rozumu czytelnika sprowadzić, tymczasem historycy XIX wieku, w ośmieszonym Popielu, i całym cyklu podań, jaki go poprzedza, widzą poważny przedmiot do badań, mających doprowadzić do wyświetlenia przedhistorycznego bytu narodu [1];—poezya zaś romantyczna, owe gusła i czary, uznając za pra-starych wierzeń zabytki, bierze za motywa do swych utworów i wciela w nie ideały, w duchu narodowym pojęte. Nie dość na tém, Krasickiego do tego stopnia cel reformatorski zajmuje, iż nie waha się dla jego osiągnięcia sprzeniewierzyć się ideałom historycznym i sponiewierać najszacowniejsze z przeszłości postacie. W jego Myszejdzie Kazimierz W. „łyka miód smaczny w Łobzowie z Esterką;" Stefan Batory „połknął śmierć w Grodnie z ustawnego szynku," — wreszcie Władysław IV „choć słusznie wielbiony, przecie podagry dostał w upominku." A wszystko to miało do tego prowadzić, by zohydził pijaństwo. Wycieczki tego rodzaju podobały się współczesnym. Brak w równym stopniu interesującego ciągu wywołał ze strony Kraszewskiego zarzut i co do architektoniki poematu, którego budowę znajduje kruchą i watłą. Zarzut to jednak nie słuszny. Myszejda bowiem ułożoną została według najściślejszych prawideł ówczesnéj retoryki i nawet wątpimy, czy do jéj pojawienia się możnaby znaléźć w naszéj literaturze poemat, któryby w sobie więcéj zaokrągloną i skończoną całość przedstawiał. Pomimo tych zarzutów, Kraszewski przyznaje Myszejdzie wysokie na swój czas znaczenie. Przedewszystkiem powiada: „umiała urodzić się w porę, a język jéj i styl był czémś tak niesłychanem, a wdzięczném, że musiał zachwycić."

Wyższą natomiast artystyczną wartość Kraszewski przyznaje *Monachomachii* (roku 1775),—nie ze względu jednak na osnowę, gdyż ta „jest—tak, jak żadna," ale na świetny, niezrównany, rakietami strzelający dowcip i obrobienie wytworne.—Monachomachia, jako ostra satyra, wymierzona przeciw zakonom, miała w swym czasie, nietylko literackie, [illegible] e i społeczno-religijne znaczenie i zarówn[illegible] wyborem przedmiotu, jak i swym nastrojem i dążnością ściągnęła na autora zarzu[illegible] wolteryanizmu, powtarzany do uprzyk[illegible]enia przez wszystkich niemal pisarzy, zajm[illegible]jących się tym utworem,—zarzut, z któr[illegible]go nie oczyścił go nawet w zupełności Kr[illegible]szewski. Sąd bowiem jego dzisiejszy, choć o wiele zmodyfikowany przytoczeniem łagodzących okoliczności, które na ducha poematu wpłynęły, tyle jednak zawiera w sobie nie dających się pogodzić z sobą spr[illegible]eczności, iż w końcu

[1] Wiadomo, iż N[illegible]wicz również odrzucił wszystkie przedhistor[illegible] podania.

czytelnik nie wié, czy ma autora Monachomachii w swém przekonaniu, wraz z Kraszewskim, rozgrzeszyć, czy też go z innymi potępić. I tak Kraszewski przyznaje, że Krasicki miał w duszy głębokie uczucie religijne, że w obec mnogich ustępów w *Panu Podstolim*, nie podobna go posądzać o niedowiarstwo, sceptycyzm i obojętność dla wiary (Aten. Marzec r. 1878 str. 401), —a jednak pomimo tego robi mu zarzut: „iż okrył śmiesznością suknię zgromadzenia ludzi niewinnych, że odjął stanowi poszanowanie i postawił nieszczęśliwych pod pręgierzem.“ Wreszcie dodaje: „Możeż być co charakterystyczniejszego nad ten poemat, przez biskupa napisany, wystawiający mnichów, jako bezmyślną trzodę głupców, wylanych tylko na dogadzanie ciału, a przestarzałą nauką osowiałych? (Tamże str. 398). Innémi słowy, iż zarzut pozostaje w swej mocy i téj formie, w jakiéj stawiony był przed laty, mianowicie: „Czy biskupowi, który ze swego stanowiska mógł wpływać na dokonanie reformy zakonów, godziło się obierać je za cel szyderstwa“?

Otóż sądzimy, iż kwestyą tę należałoby bliżéj rozpatrzeć. A najprzód co do pierwszéj części zarzutu. Jest ona jednym więcéj dowodem, jak wiele wyobrażeń i pojęć, choć w gruncie pozbawionych zasady, utrzymuje się samą siłą nałogu. Powiedział ktoś pierwszy, że Kraszewski ze swego stanowiska mógł reformować zakony i odtąd stało się to pewnikiem. Tymczasem bliższe poznanie zakresu władzy biskupiéj, przekonałoby, iż ta rozciągała się jedynie na świeckie, dyecezyalne duchowieństwo, lecz nie na zakony, które całkiem innéj podlegały juryzdykcyi. Tę — bezpośrednio wykonywał przeor, gwardyan, zarządzający pojedyńczém zgromadzeniem;—w wyższéj instytucyi prowincyał, mającey zwierzchność nad wszystkiemi klasztorami w kraju, téj reguły, do któréj sam należał,—każda zaś reguła miała swego generała w Rzymie, który dla niéj najwyższą władzę stanowił. Biskup więc nie miał prawa mięszać się w sprawy zakonów. Że podczas tak zwanych wizyt duchowieństwo zakonne należne mu oddawało honory, nie wynika ztąd jeszcze, by w nim uznawało swą władzę. Submissya, okazywana mu, znaczyła tyle, co pełna attencyi uniżoność szlachcica, przyjmującego możnego pana w swym domu. Przypuściwszy jednak, że biskup mógł wpływ na zakony wywierać; to wpływ ten mógłby się rozciągać jedynie do zgromadzeń, istniejących w podległéj mu dyecezyi, nie zaś w innych. do których nie sięgała jego juryzdykcya. O powszechnéj zatem ich reformie żaden z biskupów nie marzył;—tém mniéj zaś biskup warmiński, który od r. 1773 jedynie przez swoje dzieła mógł wpływ na niego wywierać.

Zastanówmy się teraz nad drugą częścią zarzutu. O ile wiemy, nikt nie zwrócił dotąd na tę okoliczność uwagi, że napisanie Monachomachii poprzedził fakt wielkiéj doniosłości, bo zniesienie jezuitów; fakt, który z daleko większém prawdopodobieństwem mógł Krasickiemu nasunąć myśl do tego utworu, niż zajmowane w pałacu Sans-Souci appartamenta Voltaire'a. Wiadomo, że choć zakony były wypływem idei pierwotnego chrześciaństwa, to wszakże istnienie ich nie stanowiło i nie stanowi dogmatu. Są one tylko środkiem, uznanym przez kościół, do osiągnięcia wyższéj doskonałości wiodącym. Powstawały zaś w miarę potrzeb społecznych i o tyle miały racyą bytu, o ile owe zadanie spełniały. Krasicki téż, jak to zauważył Kraszewski, nie dotknął w Monachomachii Pijarów, gdyż ci w duchu potrzeb nowożytnych działali; nie ośmieszył również zakonów żebrzących, gdyż choć ubogie duchem, spełniały prawdziwie cywilizacyjną missyą, wpływając bezpośrednio na lud, z którego wyszły, dając mu z siebie przykład ubóstwa, pokory i miłości bliźniego. Ale za to z całą potęgą swego dowcipu uderzył na zgromadzenia, które zapomniawszy o swoim celu, tuczyły się niezapracowanym chlebem, tworząc gniazda ciemnoty, tém szkodliwszéj dla społeczeństwa, że obok charakteru religijnego, chodziły w szacie głębokiéj uczoności, jaką wieki scholastycyzmu stworzyły. Były to klasztory: karmelitów, dominikanów, augustyanów, które, jak sam Kraszewski przyznaje, „ani się wychowaniem, ani szpitalami nie zajmowały i miały niby wieść żywot ascetyczny, a wiodły próżniaczy“ (str. 398). Do tego téż miejsca on jest zgodny sam z sobą. Ale dla czegóż, wykazawszy całą ich bezużyteczność, ubolewa nad ciosem, jaki je dotknął z ręki biskupa? Dla czego powołuje się na ich cywilizacyjne zasługi, posłannictwo, ideę, którą żyły, a któréj zbutwiałe szczątki, jak powiada, „*należało poszanować, jak zwłoki umarłych*“ (str. 401).

Słowa te, bezwątpienia, podyktowała autorowi litość nad upadłymi;—nie zapominajmy jednak, że te zwłoki umarłych potrzebowały wiele... bardzo wiele, miodu, wina i tego wszystkiego, co ciało tuczy, że były to nieprodukcyjne, pasożytne jedno-

stki, które posiadając dobra, nadania, wysysały soki z drzewa, na którém wyrosły, nic ze siebie wzamian nie dając. Gdy wszystkie instytucye należało naprawiać, nie podobna było pominąć klasztorów, które, przeniewierzywszy się swéj idei, stały się chorobliwą na ciele rzeczypospolitéj naroślą. Poprawa ich była czynem obywatelskim—i tak zapewne Krasicki swoje posłannictwo pojmował, a występował tém śmieléj, że przykład dany miał z góry; gdy Klemens XIV zgromadzenie jezuitów rozwiązał, on chwycił za pióro, by innym zakonom w Polsce przypomnieć, jak daleko od pierwotnego celu odbiegły;—uderzył na pijaństwo, próżniactwo, ciemnotę, a te nic wspólnego nie miały z religią; użył zaś broni śmieszności, bo to był środek jedyny, za pomocą którego mógł na nie skutecznie z oddalenia oddziałać, że zaś był trafnie wybrany, dowodzi ta okoliczność, że to samo zgromadzenie dominikanów, które w XVIII wieku w kuflu rozum topiło, w wielu miejscowościach na początku XIX utrzymywało szkoły, które się stały rozsadnikami nauki. Kwestyą więc tę, czy biskupowi godziło się występować przeciw klasztorom, należałoby chyba raz na zawsze usunąć. Nie występował on przeciw instytucyi, lecz tym, którzy ją spaczyli; szedł w duchu reformy, bo duch ten był panujący nietylko w sferach świeckich, ale i w najwyższych duchownych. Tém mniéj przeto godzi się robić mu zarzut niereligijności, wolteryanizmu, gdyż, jeśli gdzie, to w Monachomachii najmniéj go o nie można pomawiać. Kraszewski chciał widocznie pamięć Krasickiego z tego zarzutu oczyścić; ale przytoczył tyle za i przeciw niemu mówiących okoliczności, iż te na żadną stronę stanowczo nie mogą zdania czytelnika przechylić.

Powszechnem jest także mniemanie, jakoby *Antimonachomachią* napisał Krasicki w celu ułagodzenia umysłów, wydaniem Monachomachii wzburzonych. W istocie—wrażenie, sprawione tą satyrą musiało być piorunujące. Dziś trudno nawet wyobrazić sobie, do jakiego stopnia mogło dochodzić oburzenie tych, którzy się nią czuli bezpośrednio dotknięci: w nowszéj bowiem literaturze nie znajdujemy ani jednego utworu, w którymby autor z takiém zuchwalstwem wystąpił przeciw całéj korporacyi i tak ją do naga rozebrał i wszystkie jéj wady, ułomności na światło dzienne wystawił. Dodajmy, że te krzywizny moralne ukazywały się pod osłoną szaty duchownéj, otoczonéj tradycyjnym szacunkiem, we wszystkie pozory pobożności przybranéj, a pojmiemy, jaki wstyd, upokorzenie, jaki gniew bezsilny ogarnął ojców zakonnych, tych zwłaszcza reguł, które się odtworzone z taką prawdą w poemacie znalazły. Możnaby przeto mniemać, powiadam, iż Krasicki pożałował téj palącéj chętki bawienia się kosztem drugich, jakiéj uległ w Monachomachii i, widząc nią wywołane wrażenie, zapragnął je Antimonachomachią złagodzić. Atoli baczniejsze wczytanie się w ten utwór przekonywa, iż nic nad to bardziéj nieuzasadnionego być nie może. Najprzód, gdyby tak było istotnie, Krasicki nie czekałby lat sześciu, jakie pomiędzy ogłoszeniem jednego a drugiego poematu ubiegły, ale byłto zrobił za świéża. Powtóre, z treści Antimonachomachii bynajmniéj tego zamiaru nie widać. Właśnie Krasicki żartuje sobie z tego wrażenia i w najlepsze bawi się zakłopotaniem i gniewem ojców zakonnych, którzy jego Monachomachią czytają. Z dobrodusznym uśmiechem, znamionującym całą wyrozumiałość i pobłażliwość wyższego umysłowo człowieka, przyjmuje zarzuty bezbożności, jansenizmu, herezyi i Bóg wie czego jeszcze, i kończy rzecz wprowadzeniem uosobionéj prawdy, która jasno wypowiada to, czego chciał od nich—poprawy. Wydając przeto Antimonachomachią, co najwyżéj pragnął, by myśl jego właściwie pojęto. To téż nie możemy się zgodzić z Kraszewskim, na to, co mówi: „iż poeta z pewnością ani obrachował, ani się spodziewał tego skutku, jaki wywarł na instytucyą zakonów i że mógł pożałować go nawet, gdy późniéj młodzieńcza krewkość przeszła.“ Przeciąg bowiem sześcioletni, aż nadto do uspokojenia téj krewkości wystarczał; tymczasem w Antimonachomachii nie widzimy nic takiego, coby o zaszłéj zmianie w jego pojęciach mówiło. Owszem jesteśmy przekonani, iż ta zmiana nigdy nie zaszła. Co bowiem napisał, wywołane było poczuciem konieczności ratunku: nikt zaś nie żałuje, iż wcześnie użył ognia lub żelaza, by wypalić ranę, która całemu ciału zagrażała gangreną. Przyznając wszakże całą doniosłość społeczną Monachomachii i Antimonachomachii, nie możemy powiedzieć, by utwory te zadawalały *nasze* estetyczne uczucia. Pomimo bowiem mistrzowskiego wykończenia szczegółów i brylantowego dowcipu, iskrzącego się co chwila innéj barwy ogniami, całość, choć nas śmieszy i bawi, pozostawia smutne, przygnębiające niemal wrażenie. Sprawia to brak w nich wszelkiego dodatniego ideału—tego, coby

reprezentowało szlachetną ludzką naturę. Te spasłe, zmateryalizowane istoty, gdy właśnie ze swego stanowiska powinny były innym przyświecać ducha jasnością, poniżone pijaństwem, ciemne, a jednak zarozumiałe w nieuctwie, objawiające najpoziomsze instynkta i nie mające nawet poczucia moralnego upadku, wszystko to przejmuje wstrętem, jak widok plugawéj kałuży, w któréj się wije robactwo. Jeżeli Krasicki taki stan poniżenia założył sobie zobydzić, to przyznać trzeba, iż cel swój w zupełności osiągnął.

Z kolei, w jakiéj dzieła Krasickiego ukazywały się w druku, Kraszewski zajmuje się *Przypadkami Mikołaja Doświadczyńskiego* (r. 1778). Jest to pierwsza oryginalna powieść w naszéj literaturze, która, w porównaniu z tém, co ją poprzedziło, olbrzymi krok naprzód stanowi. Krasicki w niéj sobie zamierzył: 1-e) skreślić skutki ówczesnego wychowania w duchu jezuickim i modnéj edukacyi w duchu francuzkim prowadzonéj; 2-e) dać obraz ówczesnéj sprawiedliwości, reprezentowanéj przez najwyższą magistraturę w kraju, bo Trybunał koronny, i po 3-e) przeciwstawić ówczesnéj, płodzącéj zepsucie cywilizacyi—społeczeństwo zostające w pierwotnym stanie natury i dla tego niezepsute i szczęśliwe.— Początek Doświadczyńskiego, jako obraz epoki Augusta III, wzięty żywcem z natury, Kraszewski słusznie za arcydzieło w swoim rodzaju uznaje. Wprawdzie wszystkie postacie, otaczające bohatera, w ogólnych nakreślone zarysach są raczéj sylwetkami, niż wykończonemi portrety; ale zarysy te, choć nieraz skąpo i jakby od niechcenia rzucone, wypowiadają w kilku słowach cały charakter człowieka. Również niema tu tła natury, perspektywy, która sprawia, że postacie i wydarzenia mniéj ważne, usuwają się na drugi plan, by tém plastyczniéj uwydatniały się ważniejsze;— pełno tu zresztą naciągań, nieprawdopodobnych sytuacyi, że tylko zwrócimy uwagę na owę scenę, gdy Jegomość P. Damon, niedawno z Francyi przybyły, w najlepsze opowiada swe przygody matce Doświadczyńskiego, podczas gdy z poprzednio skreślonéj jéj charakterystyki wiemy, że, nie otrzymawszy modnego wychowania, rozumieć po francuzku nie mogła. Ale obok tych braków i niedokładności—obraz dziecinnego wieku Mikołaja, wyprawa jego do szkół jezuickich, późniejsza edukacya pod kierunkiem Damona, awantura miłośna w miasteczku, jako owoc głoszonych przez niego zasad pedagogicznych o kształceniu sentymentów kawalerskich i wspaniałości umysłu; wreszcie pobyt w Warszawie, opis sprawy prowadzonéj w Litwie, podróż do Paryża i sukcessa w stolicy świata,—mają dla nas znaczenie historycznego malowidła i są najcenniejszym zabytkiem literatury XVIII wieku. Natomiast obraz życia mieszkańców na wyspie *Nipu*, nie istniejącéj w rzeczywistości na ziemi, do któréj jednak burza, po rozbiciu się okrętu, Doświadczyńskiego zaniosła, odbija nadzwyczaj blado od tego wszystkiego co Krasicki na gruncie swojskim nakreślił. W tym obrazie bez żadnéj wątpliwości przebija się wpływ doktryny J.-J. Rousseau, który w powrocie do natury i pierwotnego stanu widział najwyższą doskonałość i uszczęśliwienie człowieka. Nipuańczycy, jako ideał społeczeństwa urządzonego podług powyższéj zasady, nie znali użycia żelaza, złota, pługa, pieniędzy, nie prowadzili wojen, bledli na widok ostrego narzędzia, wreszcie żyli kommunistycznie, obywając się bez wszelkiéj formy rządu, a jednak zgodnie i cnotliwie dla tego właśnie, że kierowali się prawem natury i rozumu. Dotąd więc wszystko dobrze i każdy z piszących o Doświadczyńskim uważał tą część powieści za prostą fikcyą autora, nie wzbudzającą wprawdzie żywszego interesu w czytelniku, ale téż w swojéj treści niewinną. Pierwszy dopiero Kraszewski dopatrzył w niéj głębszych śladów doktryn filozofii XVIII stulecia. W téj, jak powiada, absolutnie niedorzecznéj utopii—„choć o najwyższéj Istocie piękne rzeczy się znajdowały—religia chrześciańska była wyminiętą, przemilczaną. Jakoś się bez niéj na wyspie Nipu obchodziło. A więc, dodaje, mógł istnieć stan natury z jakąś religią i moralnością naturalną, a chrześciaństwo nie przedstawiało się już, jako jedyna prawda i jedyna droga do światła i cnoty“ (str. 404). Teraz pytamy, gdzie Krasicki złożył większy dowód niereligijności—w Monachomachii, gdy ciemnych mnichów ośmiesza, czy téż w owéj historyi Nipuanów, gdzie ignoruje zasadnicze prawdy religii, któréj był kapłanem? A jednak gdy z powodu—bawiących się kuflem i *de lana caprina* spierających się mnichów, występowano przeciw niemu z krucyatą, kwestya tak ważna nie zwraca niczyjéj dotąd uwagi. „Jakże to jednak pogodzić—pyta Kraszewski—z tém, cośmy mówili wyżéj o religijném uczuciu autora“? —Oto odpowiada: „Tak, jak mnóztwo innych utopii XVIII w., którym się zdawało, że w chrześciaństwie odnowioném i przefiltrowaném filozoficznie, potrafią się po-

mieścić.“ Mybyśmy dodali: tak jak dziś wielu, nieraz głęboko religijnych, ludzi przyjmuje obecnie panujące poglądy i wypadki naukowych badań, które niekoniecznie dają się z ich przekonaniami pogodzić; jak znowu wielu materyalistów mimowoli ulega wpływom takich uczuć i pojęć, które w społeczeństwie jedynie chrystyanizm wyrobił, choć nie uznają źródła, z którego one płyną. Przechodząc do literackiéj strony Doświadczyńskiego, Kraszewski, odnośnie do czasu, przyznaje mu wielkie znaczenie: „Tendencya jego odpowiadała wszystkim aspiracyom czasu; była w nim surowa krytyka przeszłości, ideał niedościgniony, ku któremu dążyć należało, wiele ironii i satyry, mnóstwo z życia pochwyconych rysów, a wszystko to opowiedziane z wdziękiem, smakiem, delikatnością arystokratyczną, z umiarkowaniem, stylem płynnym, harmonijnym; językiem czystym i choć staréj pozbawionym powagi, ale w nową przybranym elegancyą, z którą mu było do twarzy.“—Nadto Kraszewski robi nader trafną uwagę, iż jeżeli dziś utopii o Nipuanach nikt brać na seryo nie może, „to w XVIII w. właśnie obudziła ona największe uwielbienie i zapały. Najprzód trąciła jakąś nowinką, którąby można było o herezyą posądzić, gdyby nie to, że wyszła z pod pióra biskupa; prócz tego mówiła o społeczeństwie całkiem różném od wszystkich znanych społeczeństw w Europie i budziła chęć urzeczywistnienia tego, co tak pięknie przedstawiało się, patrząc z oddali; w końcu poruszała tysiące kwestyi, na które stanowczéj nie dając odpowiedzi, niepokoiła, zmuszała szukać odpowiedzi w sobie—zatém zastanawiać się, myśléć. Przyznać należy, iż na Doświadczyńskiego nikt z piszących nie zapatrywał się z téj strony.—

Kraszewski nie pomija także drobniejszych, różnémi czasy nakreślonych powieści. Większość ich osnuta na tle wschodu, choć ducha jego, jak we wszystkich powiastkach XVIII wieku podobnéj treści, daremniebyśmy w nich szukali. Ówcześni myśliciele uważali wschód za grunt neutralny, na którym można było zasiewać wszelkiego rodzaju teorye, używać ludzi, jak zwierząt w bajce, do wypowiedzenia prawd, których, jak, się wyraża Kraszewski „nie wypadało w oczy powiedziéć Europie.“ W powieściach Krasickiego myśl jest zawsze moralna. „Dowodziły one zmysłowo, plastycznie, jak źle jest czynić nieprawość; jak każdy dobry uczynek się płaci, a mści każdy występek.“ Do takich należy: *Kadur*, *Sejd*, *Hamid*, *Juzup* i inne. Niektóre z nich są tłumaczone, lub przerabiane z innych języków—inne pomyślane oryginalnie. Za najdowcipniejszą Kraszewski uważa powieść: „*Dziekan z Badajoz.*“ Treść jéj ta sama, co w powiastce Meisnera. Pytania jednak, kto od kogo zapożyczył — nierozstrzyga stanowczo. Tu należy także historya: *O kamienicy narożnéj.* W ogóle, powiada Kraszewski „styl, język, ton, są w nich wyborne; jest miła prostota, wdzięk naiwności dziecięcéj, ale wszystkie są do siebie podobne. I derwisze, sułtanowie, kupcy, są jakby wedle jednego wzorku poprzykrawani.“

W roku 1778 Krasicki wydał satyry, które wraz z bajkami uważane być mogą za arcydzieło powszechno-dziejowéj literatury. Kraszewski rozbiór ich poprzedza krótkim, historycznym poglądem na utwory satyryczne w naszéj literaturze. Poczynając od Reja i Kochanowskiego, aż do Wacława Potockiego, wszyscy niemal wybitniejszego talentu pisarze, zmierzający ku poprawie obyczajów, lubo w rozmaitéj formie, byli satyrykami. Tém więcéj przeto, gdy z wstąpieniem na tron St. Augusta myśl reformy dojrzała, duch satyry ogarnął prawie wszystkie rodzaje literatury. Oprócz Naruszewicza, który w satyrze smaga „biczem ze sznurów plecionym,,—Trembeckiego, „siekącą do krwi rózgą,“ — Węgierskiego „pejczem jeźdźca,“—występuje mnóztwo jeszcze bezimiennych poetów-paszkwilistów, „których pełne są fiakry warszawskie i ławki Saskiego ogrodu.“ „Nadto satyra—ciągnie daléj Kraszewski—maskuje się za powieść, za bajkę, za komedyą, za poemat, piosnkę, zagadkę.“ Nikt wszakże w tym rodzaju nie stanął tak wysoko, jak Krasicki. Jest on mistrzem, nie mającym równego sobie, ani wśród współczesnych, ani pomiędzy poprzednich czasów pisarzami. W jego satyrach „forma z treścią się zrosła, każdy szczegół wypieszczony, słowo każde pomyślane, uczute szczęśliwie; całość wyborna. Gdzieindziéj Krasicki nie zadaje sobie pracy, by osnowę obmyśléć surowiéj — tu ona wszędzie doskonała: na przemiany opowiadanie, dramat, obraz... Ton jego satyr — mówi daléj Kraszewski— nie zabarwia się namiętnością, poeta panem jest siebie; dowcip jego, zawsze dobrego tonu, może się zaprezentować w salonie, a nie traci przez to na dobitności i sile.“ Właśnie ta umiejętność wypowiedzenia wszystkiego z zachowaniem przyzwoitości i miary jest jednym z przymiotów, najwięcéj godnym podziwienia w Krasickim. Nie jest to bo-

wiem pisarz, coby prawdę na pół wypowiadał, lub ją zręcznie omawiał. Owszem, jeżeli w stosunkach osobistych z ludźmi postępuje nader ostrożnie i to, co o nich myśli, starannie w duszy ukrywa; to w satyrach ze zdumiewającém zuchwalstwem demaskuje: fałsz, hipokryzyą, piętnuje ohydą szalbierzy, zdrajców i złodziei,— nie przepuszczając złemu, gdziekolwiek je spotyka. Dla czegóż jednak, jak Naruszewicz nie jątrzy? Oto, że gorzką prawdę umie wypowiadać w formie właściwéj; drasnąwszy miłość własną, obraca w żart naganę i, wywołując uśmiech na usta, mimowoli przeciw sobie rozbraja. Tém więcéj téż żałować przychodzi, iż Kraszewski odczuwając tak głęboko piękności artystyczne satyr Krasickiego, nie zajął się ich szczegółowym rozbiorem i tylko na ogólnéj charakterystyce poprzestał. Właśnie, jeżeli jakie utwory, to takiéj doskonałości, nie tylko nie tracą na drobiazgowéj analizie, ale owszem stają się zrozumialsze dla ogółu, który nie zawsze umie wnikać w tak subtelne, delikatne odcienia dowcipu, jaki im jest właściwy.— Weźmy tylko na uwagę pierwszą satyrę: *Do Króla*. Kraszewski ją „za jednę z najśliczniejszych" uznaje. W niéj Krasicki wyrzuca Poniatowskiemu dobroć, jako wadę, z któréj powinien się był poprawić. „O taki zarzut nie podobna się było gniewać." A jednak była to jedyna, rzeczywista wada, ze wszystkich wymienionych poprzednio. Król bowiem, chcąc być dobrym, nawet dla tych, od których niewdzięczności doznawał, istotnie grzeszył słabością charakteru. Myśl więc zasadniczą téj satyry uchwycił nader trafnie Kraszewski; ale nie wyświetlił nam istoty poprzednio stawionych zarzutów, nie wykazał, że one były odgłosem niechętnych; wreszcie nie wyjaśnił, na czém polegała ich strona komiczna. Z innémi satyrami jeszcze się krócéj załatwia; dodaje tylko, iż *część ich druga*, z wyjątkiem: *Wziętość i Odwołanie*, któréj misterne zakończenie przyznaje, „nie dorównywa pierwszéj natchnieniem i żywością obrazów." Otóż czytelnik o téj różnicy chciałby się w sposób więcéj uzasadniony przekonać, gdyż nie każdy może być należycie usposobiony do podobnéj analizy, a właśnie zadaniem krytyki jest: myśl czytelnika w myśl utworu wprowadzić.— Kończy rzecz o satyrach Kraszewski wzmianką o *Organach*—mało komu znanym utworze, w którym Krasicki obraz sejmu czteroletniego nakreślił. „Nikt trafniéj— powiada— nie odmalował tego momentu pasowania się garstki ludzi dobréj woli, a nie zbyt bystrych polityków, z tłumem namiętnym i nieopatrznym, gdy z obojga korzystali organiści, jak Lucchesini" (str. 412).

Przechodzimy do *Pana Podstolego*, któremu, z dzieł pisanych prozą, Kraszewski przyznaje najwyższe znaczenie.

Nie jestto dzieło sztuki, gdyż nawet o nakreślenie planu nie wiele się w nim troszczył Krasicki; ale jest ważném ze względu na jego osobistość i potrzeby chwili, w któréj powstało. Z Pana Podstolego możemy poznać „charakter autora, jego przekonania, sąd o przeszłości, pojęcia postępu— wszystko, czego pragnął i jak myślał nową organizować społeczność na nowych podstawach." Dzieło to bowiem odpowiadało wprost na pytania, jakie stawić sobie musiał każdy z ówczesnych reformatorów:— „Co z dawnych obyczajów należało ocalić, a co odrzucić? Co z nowéj europejskiéj cywilizacyi przyswoić, co, jako z tradycyami naszémi niezgodne, a szkodliwe usunąć? I z tego stanowiska rozpatrywane, jest dla nas nieocenionym zabytkiem. Całość Pana Podstolego, rozpada się na trzy części, z których każda w znacznie odległych od siebie kreśloną była odstępach, mianowicie w latach: 1778, 1784 i 1798. Pomimo jednéj panującéj idei, jaka dzieło ożywia, brak organicznego związku daje się czuć w całéj osnowie. Jest ona téż nadzwyczaj prosta, powszednia. Autor podróżując, zabiera z P. Podstolim przypadkową znajomość. Zaproszony przez niego w gościnę, podziwia wzorowy i niewidziany nigdzie, tak w domu, jak w gospodarstwie porządek. Rozmowa z tego powodu wszczęta z P. Podstolim, przechodzi w dalszym ciągu na przedmioty, do których wątku zarówno życie domowe, jak i społeczne dostarcza. To stanowi dydaktyczną stronę utworu, prowadzenie zaś jéj głównie na P. Podstolego przypada. W niéj on najróżnorodniejsze kwestye porusza; z kolei mówi o gospodarstwie rolném, o zajęciach pani domu, apteczce, jadle, napojach, o drzewach morwowych i możliwości zaprowadzenia w kraju jedwabnictwa, o modach i ubiorach dawnych, o nauczycielach domowych, wychowaniu szkolném, o potrzebie uczenia się ojczystego języka przed cudzoziemskiemi, o religii, pałacach, dworach, bibliotekach, pijaństwie, o reformie włościan, szkółkach wiejskich i miejskich, o karczmach, stanie szlacheckim, wychowaniu panien, ogrodach, stawach i rybach, i wielu innych przedmiotach. Widzimy z tego, „że największéj wagi zadania mieszczą się tu obok najpodrzędniejszych, że autor nie miał ża-

nego systemu i planu." Kraszewski robi nadto uwagę, „że mogło to być obrachowaném dla płochych czytelników;" ale dodaje, „że mogło także wypływać i z usposobienia autora, który nie lubił się niczém krępować."

Do téj strony dydaktycznéj Krasicki dodał „obramowanie, składające się z obrazków, wizerunków społeczeństwa, figurek z natury pochwyconych," nieocenionéj pod względem obyczajowym wartości. Jakoż dziś nie tyle dla nas ma interesu sam P. Podstoli, lubo ciągle pozostaje na scenie i peroruje bez końca. Jako ideał obywatela jest on nawet w swéj doskonałości nie dającą się uchwycić postacią. Natomiast ujemne, pełne śmieszności typy sąsiadów, jak pan Sędzia z rodziną, Kasztelanic z łyżwiastemi trzewikami i inne, stoją przed naszémi oczyma, jako galerya tamtoczesnych żywych obrazów. W nich, „niema najmniejszéj pędzla niepewności, rysu zamglonego, wszystko jasne, dobitne, prawdziwe, gdy w naukach moralnych często zbywa na śmielszych liniach, które gubią się w zamierzchłéj dali."

Nie podobna nam, choćby w streszczeniu przytaczać wszystkie uwagi, jakie co chwila Kraszewskiemu osnowa P. Podstolego nastręcza. Zaznaczymy tylko z autorem, iż Krasicki, podnosząc w roku 1778 kwestyą emancypacyi włościan, dowiódł wielkiéj cywilnéj odwagi, jeśli przypominamy sobie, iż właśnie w tym czasie podany na sejm projekt do praw przez A. Zamojskiego, w skutek dotknięcia téj kwestyi, ogólne potępienie wywołał. Ale mówiliśmy już, iż było to właściwością talentu Krasickiego, umiéć wypowiadać prawdę nie miłą w sposób nie obrażający nikogo. Zresztą autor „argumenta swe czerpie z takich źródeł, że ich odrzucić nie sposób; mówi do uczuć, których się zaprzéć nie godzi."— Kraszewski też najobszerniejszy ustęp P. Podstolemu w swojém studyum poświęca; bo téż dzieło to jest prawdziwą historyą pojęć społecznych, jakie rozwijały się u nas w końcu XVIII stulecia. „Po dworach — mówi—każdy ustęp wywoływał żywe dyskussye, a sąd zdrowy autora trafiał do przekonań i reformom torowoł drogę."

W „*Historyi na dwie księgi podzielonéj* (r. 1779)—autor, mówi Kraszewski—chciał krytyki zdrowego rozsądku spróbować na starych dziejach bajkami zarosłych, poczyą ukwieconych, wypowiadających często raczéj to, o czém naród marzył, niż co przeżył".. W tym celu wprowadza człowieka, posiadającego tajemnicę ciągłego odmładzania się, który, jako naoczny świadek wypadków, objętych znacznym przeciągiem czasu, bo od Aleksandra W. do Mieszka II i Ryxy, opowiada je w formie pamiętnika, tylko nie, jak je opisywali kronikarze i historycy, lecz jak niby w rzeczywistości się działy. Pomysł ten trochę fantastyczny, lubo nie oryginalny, gdyż zapożyczony z Gulliwera, nie odpowiadał jednak wykonaniu. Najprzód bowiem ów zdrowy rozsądek nie wystarczał w zastosowaniu do krytyki historycznéj; powtóre, przykładając do ubiegłych zdarzeń miarę pojęć właściwą XVIII stuleciu, Krasicki wprost przeciwny skutek założeniu osiąguął. Chcąc bowiem z fałszów oczyścić dzieje, sam skrzywił o nich pojęcie, skoro wszystkim wiekom i ludziom bez różnicy nadał swéj epoki charakter. Z całego dzieła, które i na współczesnych nie zrobiło wrażenia, Kraszewski podnosi tylko ustęp, w którym autor opowiada, w jaki sposób przyszedł do posiadania rękopismu wydanéj przez się Historyi.

Po Satyrach, Kraszewski pierwsze miejsce przyznaje bajkom, a bogdaj czy nawet nie stawia ich wyżéj, ze względu na treść pełną alluzyi. Robi téż trafne spostrzeżenie na wstępie, iż upowszechnienie się téj formy w czasach stanisławowskich, jest wielce charakterystyczném zjawiskiem. Dawniéj—prawie bajki nie znano. Przy panującéj bowiem swobodzie słowa, nikt nie potrzebował się z myślą ukrywać. Rodzi się ona dopiéro w czasie, gdy położenie kraju zmuszało prawdę pod osłoną przedstawiać. Krasicki pochwyciwszy tę formę, nadaje bajkom charakter satyry społecznéj, a zarazem wykończenie mistrzowskie. „Są to poemaciki, tak wydłutowane, wygładzone, jak pieścidełka, iż się równają częstokroć wzorom swym z antologii greckiéj." Najwyższą wartość przyznaje Kraszewski cztero-, sześcio-, i ośmio-wierszowym bajkom, w których „z nadzwyczajną zwięzłością, mieści się założenie, dramat, rozwiązanie dowcipne, a czasem słówko morału." Zbiór ich Krasicki poświęcił dzieciom; zdaje się jednak, iż ta dedykacya była tylko zamaskowaniem ukrytych w nich dążności: mała bowiem tylko ich liczba odpowiadać może potrzebom dziecięcego umysłu. Jakoż mają one głębsze znaczenie. „Zrodziły się— pisze Kraszewski— ze krwi i łez swojego czasu." „Król, dwór, obyczaj wieku, wybitne jego postacie," dążności i zawody, odwzorowane są w nich wydatnie; „a choć czasem skóra zwierzęca okrywa maskę—z pod niéj twarz ludzka widnieje." Do takich bajek, w których,

po głębszém w ich treść uniknięciu, można się związku z ówczesnemi wypadkami dopatrzéć, zalicza: *Słońce*, *Obłoki i Ziemia*, *Trzcina i chmiel*, *Chleb i szabla*, *Konie i furman*, *Wilk i owce*, *Nocni stróże*, *Kulawy i ślepy*, *Wół minister*, *Cesarz Chiński i jego syn* i inne. Niektóre z nich, najwidoczniéj noszą charakter epoki sejmu czteroletniego, jak bajka p. t. *Myszy*, kwestyą aliansów natchniona, jak *Rumak i Źrebiec*— Niemcewiczowi przez autora przesłana. Część ich druga, wydana późniéj pod tytułem: *Bajki Nowe*, nie ma już téj zwięzłości i świetnego dowcipu. Przechodzą one raczéj w opowiadanie, „słowo w nich nie tak dosadne, forma nie tak wyrzeźbiona starannie.“ W każdym razie, po satyrach, Kraszewski uważa bajki za najkunsztowniejszą po Krasickim spuściznę, „najlepiéj ducha wieku malującą.“ Porównywając go z współczesnymi bajkopisami, nie znajduje ani jednego, któregoby mógł obok niego postawić. To pewna, że ani Naruszewicz, ani Węgierski, ani Kniaźnin, nie posiadają tych zalet, jakiémi bajki Krasickiego celują. Sądzimy jednak, iż należałoby zrobić pewne ustępstwo w tym względzie na korzyść Trembeckiego. Wprawdzie stosunkowo nie wiele po sobie bajek zostawił, w każdym razie w niektórych z nich dowiódł wielkiego mistrzostwa. Nie dorównywa on Krasickiemu w zwięzłości, ale go w plastyce przewyższa. Gdy Krasicki, wprowadzając do bajek zwierzęta, mianuje tylko każde, nie troszcząc się wcale o jego wewnętrzną lub zewnętrzną charakterystykę, dla tego może, iż wié, że ta powszechnie jest znaną; Trembecki tymczasem, stosownie do idei panującéj w bajce, nietylko indywidualizuje zwierzęta, nadając im, odpowiednio do roli, czysto ludzki charakter, przez co jeszcze więcéj komiczność ich sytuacyi podnosi; ale nadto kreśli tak dosadne i prawdziwie po mistrzowsku wykończone, zewnętrznéj ich strony opisy, że nawet nie mianując zwierzęcia, pozwala je z trafnego malowidła odgadnąć. Do tych uwag jeszcze jednę dodamy. Kraszewski, podnosząc społeczne znaczenie bajek i liczne w nich alluzye do wypadków i ludzi współczesnych— dodaje, „że choć dziś pamięć tych osób, stosunek do wypadków, znacznie się zatarł, w wielu jednak czuć natchnienie bezpośrednie epoki, tak że można niemal wykazać ich genezę i prototypy.“ To samo daje się zastosować do Myszejdy, Satyr i innych Krasickiego utworów. Otóż nasuwa się pytanie, czy nie czas byłoby, dopóki się do reszty pamięć tych stosunków nie zatrze, zająć się zaopatrzeniem dzieł poety w odpowiednie kommentarze, któreby je dla ogółu w zupełności zrozumiałémi czyniły?— Nie będziemy szczegółowo zajmować się wszystkiémi dziełami biskupa warmińskiego, które Kraszewski w swojém studyum rozbiera. *Wojna Chocimska* bowiem, już przez Dmóchowskiego uznana za utwór słaby i nie odpowiadający warunkom bohaterskiéj epopei, tém niekorzystniéj mogła wyjść w rozbiorze Kraszewskiego, któremu ciągle nasuwało się porównanie jéj z *Wojną Chocimską* Wacława Potockiego. Komedye znowu: *Mędrzec*, *Pieniacz*, *Łgarz*, *Solenizant*, *Frant*, *Statysta i Krosienka*, przedstawiane na teatrze heilsberskim, jakkolwiek im Kraszewski znaczny ustęp, właśnie dla tego, że mało znane, poświęcił, są jednak tak wątpliwéj wartości, że, czując to autor, pod obcém je wydrukował nazwiskiem. Wreszcie *Zbiór wiadomości*—rodzaj encyklopedycznego słownika, choć ułożony starannie, już w swoim czasie nie miał wielkiego uznania, tém mniéj przeto dziś może miéć jakiś interes, gdy nas lat sto od jego wydania oddziela. Ograniczając się przeto na saméj o dziełach tych wzmiance, zwrócimy tylko uwagę na sąd Kraszewskiego o *Listach* Krasickiego i jego dziele o *Rymotworstwie i Rymotworcach*. Przedewszystkiem powiedzmy, że sąd ten jest nazbyt surowy. Mówiąc o Listach, zwłaszcza przeplatanych wierszem, Kraszewski wyraża się, iż „jako dzieło kunsztu jest hybrydem i rzeczą ułomną; że nie mogą miéć nigdy poważnéj, jednolitéj, wysokiéj piękności skończonych dzieł artystycznych; wreszcie, że forma ich, niczém nie usprawiedliwiona, oprócz fantazyi autora, razi i niecierpliwi.“ Wszystko to jest prawdą poniekąd. Pytanie jednak, czy sam Krasicki przywiązywał do nich wyższe artystyczne znaczenie, czy téż po prostu uważał za igraszkę wesołego humoru? Przy łatwości szalonéj, wiersz, sam mu się pod pióro nasuwał. Co myśl przyniosła, to wylewało się z głowy na papiér, jak pieniący się szampan z przepełnionego kieliszka; ztąd obok różnéj wartości ustępów, mogły się znaleźć i takie, jak: *O Ryczywole zamilczéć wolę*, które jednak zastosowane właściwie, mogły śmieszyć i bawić. Formy tej zresztą nie wymyślił Krasicki, zapożyczył jéj u Voltaire'a; że zaś w niéj mógł coś w swoim rodzaju znakomitego napisać, to przekonywają właśnie w téj formie skreślone dwa listy do wojewody ruskiego. Dwa te listy są istnémi arcydziełami w swoim rodzaju.

Podobnie niezasłużony sąd spotkał i dzieło

O Rymotworstwie i Rymotworcach. Nie przeczymy, iż rozpatrywane z dzisiejszego stanowiska estetyki, pod żadnym względem wytrzymać krytyki nie może; zgadzamy się nadto, że „prawidła i określenia rodzajów poezyi są w niém nader ogólnikowe i nie sięgają głęboko w naturę twórczości poetycznéj; że tłumaczenia własne biskupa— tych poetów, którymi się w swojém dziele zajmuje — noszą na sobie cechę raczéj tłumacza, niż oryginału..." Wszystko to prawda! Ale nie zapominajmy, że w dziele tém tkwi zaród nieznanéj u nas jeszcze historyi literatury powszechnéj; że ogół z tego dzieła po raz pierwszy dowiadywał się o wielu obcych mu nawet z imienia poetach; że wreszcie Krasicki był pierwszym u nas, który potrzebę takiego dzieła zrozumiał. To też przyznać trzeba, iż Bartoszewicz daleko sprawiedliwiéj tę pracę ze stanowiska historycznego ocenił. W każdym razie, ma ona głębsze znaczenie. Człowiek, który w wieku dojrzałéj młodości pisze Monachomachią, a ku schyłkowi życia Pieśni Ossyana tłumaczy, widocznie instynktownie odczuwał zbliżającą się nową epokę w literaturze, a przynajmniéj pojmował, iż dla społeczeństwa nie wystarcza już dawny jednostronny kierunek.

Jeżeli jednak nie zawsze można się zgodzić z Kraszewskim na ocenę pojedyńczych utworów; to natomiast sąd jego ogólny o dziełach, stanowisku Krasickiego w literaturze, oraz charakterystyka jego talentu, odznaczają się wielką trafnością. Autor P. Podstolego całą epokę sobą wypełnia. Gdy inni współcześni mu poeci zaledwie jednę jakąś jéj stronę odbijają w swych pismach; on — ze swém encyklopedycznem wykształceniem reprezentuje, wszystkie niemal kierunki. „Nic mu—pisze Kraszewski, nie jest obcém: radby rolne gospodarstwo równie zreformować, jak klasztory, wychowanie, jak ogrody, szlacheckie dwory i szlacheckie zarybione sadzawki." „Niezmordowany— niezmużony, chwili nie jest bezczynnym, ustać nie może, znużyć go niepodobna." „Wszystko, co pisze— a znak to jest wielki, dodaje Kraszewski— echem szerokiém odbija się w sercach i umysłach. Cała społeczność czuje w nim siebie i on sie czuje w całém społeczeństwie swojém; żaden typ jego epoki obcym mu nie jest, jakiéjbykolwiek płci był i wieku."— Słowem jest tém dla swéj epoki, czém był Jan Kochanowski dla XVI stulecia, czém A. Mickiewicz w nowoczesnéj literaturze.

Załatwiwszy się z epoką stanisławowską, przechodzimy do czasów bliższych, mianowicie do rozbioru studyum nad życiem i utworami Władysława Syrokomli (Ludwika Kondratowicza). Nikt może ze współczesnych nie był więcéj nad Kraszewskiego powołanym do tego zadania. On bowiem w Athenaeum, w r. 1844, pierwszy dał poznać światu poetę, drukując *Pocztyliona*; on późniéj, nie szczędził mu zachęty do wytrwania w zamierzonym przekładzie łacińsko-polskich poetów; on wreszcie, zostając z nim w korrespondencyi i dając ciągłe dowody serdecznéj życzliwości i przyjaźni, wspierając go radą, jako doświadczony w zawodzie pisarskim, najlepiéj był świadomy całego życia wewnętrznego poety, jego trosk o chléb powszedni, rozczarowań, zwątpień, zawodów i upadków, do których go serce w nieopatrznéj chwili popchnęło,—on wreszcie był ostatnim powiernikiem jego myśli gasnącéj, a przesłanéj mu w liście, dyktowanym na godzinę przed śmiercią.

Całe pasmo życia poety, jak dzień jeden, rozwinęło się przed jego oczyma.

To też Kraszewski odrazu pojął ciążący na nim obowiązek. Sam niejednokrotnie uczuwał brak wiadomości o życiu najznakomitszych naszych pisarzy, o których zwykle mnóztwo szczegółów przechowywało się czas jakiś w pamięci współczesnych i bliżéj z nimi związanych; ale które ginęły dla szerszego koła i dalszych pokoleń, właśnie dla tego, iż nikt sobie pracy nie zadał, by je we właściwéj porze zapisać. Nie każdy miał za przyjaciela Andrzeja Trzecieskiego. Tém skwapliwiéj przeto po zgonie poety wziął się do skreślenia biografii i ocenienia jego utworów, i pracę tę w ostatnich poszytach redagowanego przez siebie w Warszawie Przeglądu Europejskiego za r. 1862 pomieścił. Nie jest też to zwykły, skreślony obojętną ręką życiorys. Owszem każdą kartę cechuje tu głęboka boleść i żal po człowieku, złamanym i zgasłym przedwcześnie, a który jednak w innych okolicznościach przez długie... długie lata mógł był z pożytkiem dla literatury pracować.— Nie będziemy przytaczać tu szczegółów z życia Kondratowicza, skreślonych przez Kraszewskiego, bądź z własnych wspomnień i listów do niego pisanych, bądź z korrespondencyi, dostarczonéj mu przez Jana Chęcińskiego, równie serdecznego przyjaciela poety. Ciekawych odsyłamy do tych jego studyów, które zresztą późniéj ukazały się w oddzielném lubo skróconém nieco wydaniu (*Władysław Syrokomla, Warsz. 1863 r.*), i zajmiemy się wyłącznie kryty-

cznémi ocenieniem przez niego utworów poety, jako przedmiotem wyłącznie z naszą pracą związanym. — Kraszewski, charakteryzując na wstępie naturę talentu Syrokomli, powiada, iż „należał do tych właśnie wybranych istot, z których wedle narodowości rodzą się: we Francyi Musset, w Niemczech Heine, w Anglii Stern — co z płomieniem złotym na czole, krzyż dobrowolnie dźwigają na ramionach." Ludzie tacy przynoszą z sobą na świat: „serce najpoczciwsze, anielskie, i rozbujaną fantazyą, która im się nigdy nie pozwala z warunkami otaczającego świata pogodzić. Ztąd wszelkie życia omyłki, zawody i niezatamowanych łez zdroje." Fantazya stwarza im świat, jakim go serce mieć pragnie; serce zaś, rozdzierając się o twardą, nieubłaganą, rzeczywistość, o ludzi pospolitych, co ani serca, ani skrzydeł nie mają, wydaje z siebie tylko jęk pełen boleści, aż w końcu pęka pod jéj nadmiarem. — Takie usposobienie jedynie w pieśni znaleźć może najwłaściwszy wyraz dla siebie. Takie téż usposobienie było i litewskiego śpiewaka. Czuł się sobą jedynie w samotności, w obec natury i ludzi prostych, serdecznych. Ich uczucia téż i pojęcia umiał najlepiéj malować. „Tymczasem krytyka dziwaczna, chcąca zawsze, jak powiada Kraszewski, gruszek na jabłoni, lub jabłek na gruszy, zbijała go z tego toru, który Syrokomli wyznaczyła natura" (Str. 19). „Chciano od niego epopei, wielkich i obmyślanych utworów, gdy on potrzebował tylko myśléć, czuć, dumać, kształcić się, a potém śpiewać, co mu serce przyniosło" (4—19). Syrokomla jednak mało sobie ważył te łzami płynące pieśni; czuł on potrzebę poważniejszéj pracy i oto w samym początku literackiego zawodu, bo jeszcze w r. 1846 powziął zamiar dokonania przekładów łacińsko-polskich poetów. Z korrespondencyi, zawiązanéj z tego powodu z Kraszewskim, widać, jak żywy w nim ta praca obudziła interes. Popierał téż owo wydawnictwo w Athenaeum, pośredniczył pomiędzy Kondratowiczem a innymi literatami, których ten chciał do swego przedsięwzięcia na współpracowników pozyskać, lubo, jak powiada, urzeczywistnienie zadania *junctis viribus*, zdawało mu się wtedy prawie niemożliwém (Str. 22). Że się mylił, skutek najlepiéj pokazał. Pomimo przyrzeczeń współpracownictwa, cały ciężar pracy spadł na barki Kondratowicza. Sam bowiem przełożył 19 poetów, nie licząc pieśni, zawartych w kronice Galla, nagrobków i innych zabytków. Pod względem wiernego przelania myśli z oryginałów, dałoby się wiele Kondratowiczowi zarzucić; co do nadania jednak tym przekładom poetycznéj formy, można się zgodzić z Kraszewskim, iż „człowiek, co się brał do tego, był usposobiony szczęśliwie." Wszakże ani przekładów, ani rozpoczętéj historyi literatury polskiéj, Kraszewski nie uważał za odpowiednie pole, na którémby się talent Kondratowicza w całéj pełni rozwinął. Pierwsze zapełniały wprawdzie wielką próżnię w literaturze i przyswajały ogółowi myśl narodową, uwięzioną w obcéj łupinie, w tych utworach jednak poeta nie był jeszcze sobą, choć wiele dawał ze siebie; druga zaś praca, przedsięwzięta jedynie na obstalunek księgarski, przy braku odpowiednich materyałów, była skróceniem tylko pracy Wiszniewskiego i oprócz ustępów przełożonych z łacińsko-polskich poetów nie wnosiła do literatury żadnych ważniejszych poglądów. Ale obok tych zajęć, w chwilach więcéj swobodnych, poeta z pod swojéj strzechy wysyłał w świat i oryginalne utwory. Oprócz wyżéj przywiedzionych w Athenaeum i innych późniéj w niém zamieszczonych, jak *Chodyba*, *Zalotnicy*, *Grabarz*, ukazały się jeszcze od r. 1846 — 9: *Błogosławiony Sadoch*, w Gwieździe Kijowskiéj; *o Chwale bożéj i królewskiéj*, *Dyfferencya*, *Kradzione*, w Pamiętniku Naukowo-literackim, które treścią i obrobieniem zapowiadały w swoim twórcy talent niezwykły. Do produkowania więc takich utworów zachęcił Kondratowicza Kraszewski i wezwanie musiało być gorące, skoro aż na nie wierszem odpowiedział poeta:

Mistrzu! każesz mi śpiewać, chcesz na moję głowę
Gwałtem wcisnąć promienie i wianki laurowe,
Mówiąc o mych *Gawędach*, że te w swoim czasie
Dadzą mi znakomite miejsce na Parnasie;
Że trzeba tylko śpiewać...

Ale cóż to była gawęda? Kraszewski w kilku słowach jéj znaczenie określa i całą genezę wyjaśnia. Było to „poetyzowanie codziennego życia bez odjęcia mu barw właściwych." Pierwowzór jéj, nakreślony tylko na rozmiar olbrzymi, widzi w *Panu Tadeuszu*, który, jak mówi, „otwiera wrota poematom współczesnéj treści, w których rzeczywistość otrzymuje prawo obywatelstwa". Pol i Syrokomla ujęli ją tylko w szczuplejsze, miniaturowe ramy. „Ale choć obaj odetchnęli atmosferą archetypu nowéj poezyi", każdy z nich jednak własne piętno na niéj wycisnął. Gawęda Pola jest przedewszystkiem katolicką, szlachecką; Syrokomli ludową, ludzką. I on kocha szlachcica, ale ubo-

giego i bardziej zbliżonego do ludu, „woli jednak wieśniaka, bo wierzy w przetworzenie się społeczności i zespolenie się wszystkich jéj pierwiastków". Tymczasem Pol „na chłopa pogląda z wysoka i przyjmuje go jako wiernego służkę". Pol nadto nie umié być ironicznym bez gniewu; oburzenie przechodzi w nim w szyderstwo; Syrokomla zaś przy całéj ironii, tyle ma w sobie uczucia, że, jak powiada Kraszewski, lada słówko, rzuciłby się na piersi. Nie mniéj trafnie charakteryzuje różnice w formie, w utworach obu poetów. „W gawędzie Pola — powiada — jest ona niekiedy piękną i artystyczną, a zawsze opracowaną wykwintnie; u Syrokomli pracy mniéj, ale forma wdzięczniejsza, rzutniejsza, a serce przez nią mówi szczerzéj: czujesz, jak kołace". Pol pamięta o tém, co czyni, pozuje; myśli, co o nim powiedzą; Syrokomla jest sobie, jak go Bóg stworzył, gotów popełnić wiersz nieszczególny, a fałszu ci nie powie dla effektu (str. 121—122—212). Czas, pomiędzy rokiem 1844—1853, można uważać z Kraszewskim za pierwszy okres twórczości Syrokomli. „Aż dotąd, jak mówi autor, życie szło dla Władysława po bożemu: wieś, cisza, książki, sztuka, ludzie życzliwi, świat pełen współczucia, nawet krytyka sympatyczna wielce. Rzadko komu — dodaje — poszło tak snadnie, jak z płatka" (str. 58). W ciągu tego czasu, oprócz przekładów poetów łacińsko-polskich, dwóch tomów Historyi literatury i tłumaczeń: Poujoulat'a, Coyer'a, Jakóba Sobieskiego, Jana Solikowskiego, Andrzeja Maxym. Fredry i Kromera, który ściągnął na głowę poety gromy ze strony J. Bartoszewicza, wydał on jeszcze *Dęboroga* i *Gawędy i Rymy ulotne*. Gawędy objęły zbiór utworów drukowanych w pismach czasowych poprzednio. Dęboróg był świeżém zjawiskiem i o nim Kraszewski wydał sąd bardzo pochlebny w *Gazecie Warszawskiéj* z r. 1854 (List VI, N. 174). W ogóle, charakteryzując wrażenie, wywołane temi utworami, Kraszewski tak się o Syrokomli wyraża: „Ukazanie się tego pisarza w literaturze naszéj prawie jednogłośnie i zgodnie powitane zostało oklaskiem. Dla ludzi lżejszych miał śliczną formę, w którą przyoblekał starych poetów; od poważnych zasłaniał się, jak tarczą, łaciną, z któréj tłumaczył.... Dziesięć jednak krytyk na tłumaczenie Kromera, nie zatrze wrażenia, jakie zrobił Dęboróg". W tym okresie powstała także *Spowiedź pana Korsaka*, drukowana po raz pierwszy w r. 1853 w Gazecie Warszawskiéj.

Jednostajne wszakże życie Załucza, nie wystarczało dla poety. Dusza, nieznająca świata, rwała się do szerszych przestrzeni, do wrażeń silniejszych a nieznanych. Czuł zresztą potrzebę odświeżenia, spotęgowania myśli, zwłaszcza, że potrzeby rodziny i troska o jutro zmuszały coraz więcéj pracować. Pobyt w mieście obiecywał mu wiele. Przeniósł się więc w r. 1853 do Wilna. „Ale krok ten, jak najnieszczęśliwiéj wpłynął na losy poety". —„Miasto — powiada Kraszewski — jak abyssus woła, ale jak przepaść pochłania". „Poeta rozpragniony świata, z głową ideałami w ciszy wykarmioną, wchodził w ten gęsty tłum, wśród którego naturalnie więcéj się spotyka fałszu, obłudy, komedyi i pozorów, omamiających chwilę, a gorzko późniéj opłakiwanych. Narażał się na tém większe zawody, że do końca życia musiał być, czém go Bóg stworzył: dzieckiem, śpiewającém, marzącém i niedomyślającém się téj słabości, która fałsz rodzi" (str. 61). To też wkrótce rozczarowany, zniechęcony do ludzi, porzucił Wilno i przeniósł się do Borejkowszczyzny. „Ale niewiara poszła za nim i ścigała go, jak widmo, co go już nigdy opuścić nie miało" (str. 75).

Dotąd utwory Kondratowicza nacechowane były uczuciem rzewném, lekką ironią, ale w ogóle nastrój ich był pogodny. Ale już w drugim poczcie Gawęd i Rymów zamieszczony *Lirnik wioskowy* odbija w sobie to nowe usposobienie Kondratowicza, graniczące z rozpaczą. Jest to kwiat, z którego opadłe kiedyś nasiona zrodzą: *Śmierć słowika*, *Melodye z domu obłąkanych* i najsmutniejsze z nich owo: *Cupio dissolvi*, które uważać można za ostatnie słowo poety. Po niém właściwie nie miał on już nic do wypowiedzenia z swéj duszy. To przeczucie przedwczesnéj śmierci już w Lirniku owionęło mu duszę. Tylko tu nadzieja szerokiéj sławy rzuca jeszcze jasny odbłysk na owo marzone przez poetę zacisze cmentarne, gdzie sobie grób przystroił trzema krzyżami przy sosnie, ten sam jednak motyw, tylko silniéj, tylko artystyczniéj rozwinięty, występuje w późniejszych owych utworach. Obok pomniejszych Gawęd zamieszczonych w téj drugiéj seryi, jak *Żywot poczciwego człowieka*, *Hetman polny*, *Zabłocki*, znajduje się i *Kanonik Przemyski*. Syrokomla od r. 1851 nosił się z myślą utworzenia na większą skalę jakiego poematu historycznego. Donosił nawet Kraszewskiemu o zamiarze dokończenia *Fragmentu bitwy z Amuratem* przez Jana Kochanowskiego, zapytywał o radę. Trudność wszakże leżała w samém pojęciu przedmiotu. „Pisarze ściśle kato-

liccy — powiada Kraszewski uniewinniają Warneńczyka, pójść było za nimi, czy za wiekowém sumieniem, które karę złamanych przysiąg widziało w przegranéj pod Warną? Napróżno ortodoxya siliła się na uniewinnienie: sumienie narodu osądziło ten fakt surowo i przeszedł w dziejach, jako przykład świętości, z jaką słowa dotrzymywać należy, nawet poganom. Ale, z téj strony biorąc historyą, potrzeba było zrzucić winę całą na otaczające króla duchowieństwo, na ten sofizmat, który dopuszczał mu namawiać Władysława przeciwko sprzymierzeńcowi. Ani czas, ani okoliczności — dodaje Kraszewski —poematu na tych danych osnuć nie pozwalały" (str. 49). To też Syrokomla całkiem ten pomysł porzucił. To samo jednak powtórzyło się z *Kanonikiem Przemyskim*. Poeta, wziąwszy za osnowę wypadki z życia *Stanisława Orzechowskiego*, tak, jak je skreślił Józef M. Ossoliński, po ukończeniu poematu, uległ wpływom wileńskiego otoczenia, które utwór ten ze względu na zatargi z władzą duchowną tego słynnego w XVI wieku warchoła i jego ożenienie się wbrew kanonom z Magdaleną Chełmską za skandaliczny uznało. Poemat wyszedł w całości dopiero w r. 1872 w zbiorowéj edycyi utworów poety; w drugim tomiku Gawęd znalazły pomieszczenie niektóre tylko z niego ustępy. Kraszewski też oceniając tę pracę, przyznaje jéj niezaprzeczone piękności, dodaje wszakże „iż znać w niéj brak siły, wytrwania, tchu do wykończenia większych obrazów". Inaczej być jednak nie mogło. Skrupuły, jakich poeta doznawał w traktowaniu obranego przedmiotu, obawa, by zbyt śmiałém malowidłem nie obrazić religijnych przekonań czytelnika, musiały na każdym kroku ostudzać zapał i tamować swobodny polot wyobraźni. Skrupuły te są zresztą podług nas bardzo charakterystycznym rysem, malującym zarówno tamtoczesne społeczeństwo, jak i samego poetę. Dziś nikt z młodszéj generacyi pisarzy nie krępowałby się podobnemi względami. Że jednak należało się z publicznością rachować, przekonało poetę późniéj w sposób nader bolesny przyjęcie „Stelli Fornariny."— Pomimo chybionych pierwszych prób poematu historycznego, nie przestawał Syrokomla poszukiwać nowego, więcéj odpowiedniego przedmiotu. Jakoż już w roku 1854 donosi Kraszewskiemu o Margierze, po którym, jako po utworze wyższego, jak się wyrażał, polotu — obiecywał sobie bardzo wiele, i na nim trwałość przyszłéj sławy budował. Tymczasem zawiódł się w swych oczekiwaniach boleśnie. Krytyka sympatycznie dotąd odzywająca się o jego utworach, przyjęła chłodno Margiera. Poemat ten jednak był kamieniem probierczym dotychczasowych stosunków poety z Kraszewskim. W marcu 1855 r. przesyłając do Żytomierza exemplarz, uskarżał się gorzko na ówczesnych recenzentów. Szczególniéj dotknął go zarzut zarozumiałości, jaką tchnęła niby jego przedmowa. Prosił więc Kraszewskiego o sąd szczery, publiczny, przekonany, iż z pod jego pióra na korzyść Margiera wypadnie. Tymczasem przed otrzymaniem exemplarza, Kraszewski wyprawił do *Gazety Warszawskiej* list, w którym, z właściwą sobie niepodległością zdania, zamieścił sprawozdanie z Margiera, stwierdzające niestety, wrażenie, z jakiém ogół przyjął poemat. Przytoczywszy w streszczeniu jego osnowę, Kraszewski stawia dwa kardynalne zarzuty: przyjęcie formy Wergiliuszowskiéj i wybranie z dziejów Litwy epoki, przypominającéj „Grażynę". Ztąd dalsze niekonsekwencye wynikły. Temat tak zużyty można było ożywić jedynie przez uchwycenie w nim „strony nietkniętéj, świéżéj i nowéj"; tymczasem „forma na to nie pozwalała i zmusiła autora trzymać się nieokreślonéj, mglistéj sfery, sztukować ogólnikami." Samę zresztą osnowę, pomimo jéj prostoty, Kraszewski za zbyt jednostajną i ubogą uważa. Podobną jednostajność i charakterom działających osób zarzuca. „Margier jest zbyt heroiczny i litościwy na barbarzyńca, Egle przypomina Aldonę; wreszcie Lutas, ze względu na swój nieokreślony charakter, jest niemożliwą prawie postacią. Ludzie ci — powiada —są to jacyś idealni ludzie epiczni, coś nakształt bohaterów malarza Dawida, Piastów i Kazimierzów Bacciarellego" (str. 91). Słowem cały utwór za chybiony uznawał. Wprawdzie sąd ten łagodzi późniéj wykazaniem licznych piękności, w jakie obfituje poemat; mianowicie podnosi wiersz harmonijny, łatwy, wdzięczny, wykończony, z głębokiém artystycznéin poczuciem, oraz mnóztwo prawdziwie natchnionych epizodów, którym znaczny ustęp poświęcił; ale koniec końcem sąd był potępiający. Co do Kraszewskiego, mówiliśmy powyżéj o surowém pojmowaniu przez niego obowiązków krytyka, któremu nawet osobista dla autora życzliwość nie pozwala ukrywać prawdy, „tylko bowiem waryatom i szaleńcom, jak sam powiada — mówi się dla ich uspokojenia, pochlebstwo" (Wł. Syr. str. 97). Z jego więc strony było to jedynie nowém stwierdzeniem zasady, któréj zawsze hołdował. Ale inna rzecz była z Kondratowiczem. On na Margierze budo-

wał wielkie nadzieje; utwór ten był najukochańszém jego duszy dziecięciem. Krytyka więc Kraszewskiego dotykała go w najboleśniejszy sposób: pocisk wychodził właśnie z téj ręki, która, jak mniemał, miała podnieść jego utwór na to stanowisko, z jakiego go spychała krytyka powierzchowna i stronna. A jednak choć gorzkiego doznał zawodu, umiał uszanować niepodległość sądu Kraszewskiego i słowa prawdy przyjął z wdzięcznością. To daje téż rzeczywiście miarę wysokiéj jego moralnéj wartości. „Iluż to przyjaciół — powiada z tego powodu Kraszewski — straciliśmy za jedno słówko, daleko może delikatniejsze, niż o Margierze! Jeden Syrokomla zrozumiał, że można kochać człowieka i mówić prawdę pisarzowi" (str. 96). W tymże samym liście wysłanym do *Gazety Warszawskiéj* (r. 1855 N. 168), Kraszewski zajmuje się rozbiorem *Kęsa Chleba* — utworu całkiem innéj, niż Margier, miary i ducha (wyd. 1854 roku). Przedmiot bowiem pochwycony był wprost z życia, ze stosunków dotykających nawet osobiście poetę. Gdy Kondratowicz w Wilnie złożony był ciężką chorobą, tymczasem jego rodziców z resztą rodzeństwa, wygnano z folwarku *Tulonki*, który o milę od Załucza dzierżawili przez lat 10. Choroba więc i niedola rodziców, jak mówi W. Korotyński w przypisku do zbiorowego wydania dzieł poety, złożyły się na ten utwór pełen boleści (Poezye Kondratowicza T. II, str. 347). Nic zatem dziwnego, że na każdéj karcie czuć w nim drgające serce poety. Kraszewski téż nie waha się nazwać tego poematu maleńkiém arcydziełem. Wprawdzie nie analizuje go szczegółowo, ale dla całości ma słowa najwyższego uznania. „Forma — powiada — przyszła tu sama, nie szukana, nie wergiliuszowska, a prześliczna, swobodna, wdzięczna, zrosła z treścią i z niéj wynikła. Margier — dodaje — to przepyszny kwiat, zrobiony ręką doskonałego artysty z jedwabiów, aksamitów, papierów i drutów, kunszt w nim wielki, rzekłbyś, że świeżo wykwitł w szklarni; ale przy żywym, polnym kwiatku maluczkim, jakim jest *Kęs Chleba* — wydaje się zimnym i suchym" (str. 95). Zkądże jednak te różnice wynikły? Oto, że w Margierze narzucił sobie przedmiot, nieodpowiadający naturze jego talentu. W *Kęsie Chleba* zaś, wyśpiewał prosto z duszy to, co go bolało, malował świat sobie znany; stosunki, w które wrósł sercem od dziecka. Ile razy pozostawał w téj sferze, zawsze tworzył obrazy wysokiéj poetyckiéj wartości; gdy, jak w Margierze, wbrew usposobieniu szedł drogą obmyślaną, sztuczną, określoną, przestawał — powiada Kraszewski — być sobą, zniżał się niemal do pospolitości" (str. 124). Dla tego téż najlepsze jego utwory są właśnie te, w których niema żadnych obmyśleń, gdzie samo prowadzi go uczucie, które jest duszą jego utworów. Do takich Kraszewski prócz *Dęboroga* i *Kęsa Chleba* zalicza: *Janka Cmentarnika* (1856 r.), *Wielki Czwartek* (1856) i sielankę *Ułas* (1857). W nich Syrokomla wyrobił już sobie — powiada — formę właściwą. Jest on w niéj aż do zbytku swobodnym, nie umié się krępować niczém, a przedewszystkiem nie szuka w prawidłach sztucznych recept na estetyczne utwory. Pomimo jednak wysokich poetyckich zalet, dwa pierwsze poemata, ze względu na samego autora smutne robią wrażenie. I w jednym bowiem i w drugim bohaterowie zapijają się — dla ulżenia bólom serdecznym. „Obraz tego pijaństwa — mówi Kraszewski — jest okropny, straszliwy w ustach nieszczęsnego Syrokomli w r. 1856." — Co do sielanki *Ułas* — Kraszewski nie waha się porównać ją z *Panem Tadeuszem*. „Mniéj tu liryzmu — powiada, niż w innych przedmiotach Syrokomli, ale opisowość za to, malowniczy żywioł panuje, a każdy obrazek dotknięty mistrzowsko" (str. 156). Nigdzie zresztą Syrokomla nie umiał tak „ustosunkować wszystkich części utworu, jak w Ułasie; niema w nim przeciągłych epizodów, nic zbytecznego, liryzm go nie unosi za daleko, maluje scenę, w któréj jest całą duszą...! Mało téż — poematów jego — dodaje — prócz *Kęsa Chleba* tak spójną całość stanowią" (str. 156). Do mniéj udatnych prób historycznéj gawędy zalicza: *Córę Fiastów* (1855), *Zgon Acerna* (1855) i *Stare Wrota*. O pierwszéj z nich, powiada, „że jest to jedna z tych robót, które *panem careo* wywołało, które księgarz wyprosił, na którego tytuł rachował wydawca" (103). W *Zgonie Acerna* znowu poeta obrał niewłaściwy punkt zapatrywania się na przedmiot. Zdawało mu się „że idea wielkości na barłogu nędzarza, geniusz w szpitalu, starczy na utkanie wielkiéj pieśni: rzucił ją na pierwszéj karcie cało i musiał poczuć późniéj, że z niéj wysnuć coś było niepodobieństwem." Również poczytuje on za bardzo niewłaściwy pomysł: „sztukowanie poematu wyjątkami z pieśni Klonowicza." Mybyśmy dodali, iż w obec nowo wykrytych faktów, podających w wątpliwość podanie o śmierci Klonowicza w szpitalu, poemat ten stracił dziś wiele dla nas i na prawdzie historycznéj. *Stare wrota* nakoniec, obok rozrzuconych tu i owdzie piękności

wykazują wpływ Pola; zresztą budowa poematu słaba, ogólników więcéj, niż obrazów. W ogóle Kraszewski wykazuje w téj epoce stopniowy upadek twórczéj siły poety. Ów brak chleba zmuszał je coraz częściej do podejmowania prac drobnych, rzemieślniczych, do tłumaczeń i powtarzań jednych i tych samych tematów, tylko w sposób nieco odmienny. Widać to w *Noclegu Hetmańskim*, przypominającym Stare wrota, widać i w innych Gawędach, w których nie daje nic nad to, czegoby już nie wypowiedział poprzednio. Do udatniejszych, jakby wyżebranych u losu, późniejszych epicznych utworów, należą: *Starosta Kopanicki* 1857 i *Marcin Studzieński* 1859 r. W nich poeta czuł się jeszcze rzeczywiście natchnionym.

Szereg utworów Gawęd i Poematów zakończamy *Stellą Fornariną*, lubo jéj zjawienie się w r. 1858, przypada wcześniéj od Marcina Studzieńskiego. „Poemat ten, jak powiada Kraszewski, był w naszéj literaturze niemal pierwszém zjawiskiem w swoim rodzaju i na chwilę skandalem.“ Cóż mu jednak nadało ten skandaliczny charakter? Czy osnowa, obrażająca moralność? Właściwie nie, gdyż przed Stellą czytaliśmy *Tadeusza Bezimiennego*, *Pana Zygmunta w Hiszpanii*, a jednak utwory te nie wywołały ani oburzenia w publiczności, ani téż w krytyce tak głośnego protestu. Dla czego więc *Stelli* nie sądzono, jako dzieła sztuki, i potępiono ją dla samego przedmiotu? Oto ztąd, że widziano w niéj alluzyą do ówczesnych stosunków poety, że wiedziano, kogo należy przez Fornarinę rozumiéć, że wreszcie samo zakończenie: *Ona natchnieniem była Rafaela*, mające usprawiedliwić podeptanie rodzinnych związków i obowiązków człowieka, oburzało uczucie ogólu, który właśnie te związki poczytywał za świętość, na którą się bezkarnie targnąć nie wolno, i téj to okoliczności należy nawet przypisać, iż poemat ten nad wartość rzeczywistą większy rozgłos pozyskał.

Przechodzimy wreszcie do utworów dramatycznych poety. Cały ten dział Kraszewski uważa za pokuszenia najmniéj odpowiednie naturze talentu Kondratowicza. Człowiek tego szczepu, co on, z usposobieniem na wskroś lirycznóm, który świat i ludzi jedynie ze stanowiska własnéj podmiotowości pojmował, powinien był nazawsze pozostać śpiewakiem wioskowym i malować tę szczupłą sferę życia, w któréj wzrósł, urobił się i któréj cierpienia i radości jak najgłębiéj odczuwał. Tymczasem ta sama fatalność, jaka go popchnęła do napisania Margiera, skłoniła go późniéj do użycia formy dramatycznéj, najprzód w *Chatce w lesie* (1855), któréj pierwiastkowo bynajmniéj nie przeznaczał na scenę, ale która, raz przedstawiona, miała poetę poprowadzić daléj, niż na téj drodze zamierzał, i zespolić z życiem zakulisowém teatru. W ogóle Kondratowicz napisał sześć sztuk dramatycznych, różnéj artystycznéj wartości, mianowicie: *Chatkę w lesie, część I i II*, dziwactwo dramatyczne, jak zatytułował sam poeta; komedye: *Hrabia na Wątorach* i *Politycy wiejscy;* oraz dramata: *Kacper Karliński* i *Zofią Księżniczkę Słucką*. Bez względu na użytą w nich osnowę i szczegółowe piękności Kraszewski za kardynalną wadę w tych utworach uważa: brak techniki i umiejętności wydobycia effektów *w miarę*, bez popadania w przesadę, i jaskrawość barw i charakterów. Nadto Syrokomla nigdy nie mógł zrozumiéć, „że gra namiętności, ich starcie, słowem życie i ruch, stanowią główne zadanie sceniczne.“ „Czynność, bynajmniéj go nie zaprząta; człowieka stawia, jakim jest, nie dopuszczając, by się powolnie objawiał, nietyle słowy, co sprawami“ (str. 110). Umiejętność nadto dyalogowania była mu całkiem obcą. Ztąd rozmowy osób nieraz zanadto ociężale się wloką. Sam téż czuł w sobie ten brak najlepiéj i powziął nawet nie zbyt szczęśliwy pomysł kollaboracyi w dramacie, do czego listownie Jana Chęcińskiego zapraszał. „Pan znasz scenę—pisał do niego—wyborną masz dykcyą dyalogowania, przysłużymy się ogółowi.“ Podobna jednak wspólność pracy okazała się niemożliwą i Syrokomla poszedł daléj swą drogą. Pojedyńcze sceny w jego dramatycznych utworach nieraz są piękne; całość niezręcznie sklejona.

Obok wytknięcia tych wad organicznych, ogólnych, Kraszewski zastanawia się jeszcze nad każdą sztuką z osobna. I tak druga część *Chatki w lesie* jest, według niego, daleko mniéj szczęśliwie od pierwszéj pojęta. Postacie, otaczające poetę, są skarykaturowane zanadto i nawet na scenie nie zupełnie usprawiedliwić się dają. *Hrabiego na Wątorach* uważa również za postać najzupełniéj pod względem historycznym fałszywą. Taki hrabia, jak go pojął Syrokomla, był według niego niemożliwym w przeszłości. Poeta dzisiejszych hrabiów uosobił w Wątorach, i wytworzył z nich typ „papierowy, bez życia, nie mający żadnego wzoru w historyi.“ Natomiast do najlepszych utworów dramatycznych Syrokomli zalicza Kacpra Karlińskiego. „W nim on — powiada— stanął na wyżynie dziejowéj i godnie odpowiedział zadaniu.“ W Karlińskim

poeta istotnie doszedł do tego punktu rozwoju, na którym jak niegdyś Schiller, po napisaniu Wallensteina, mógł się był otrząść z przeważnie panującego w nim liryzmu, i zająć czysto przedmiotowe stanowisko w poezyi. Ale taki zwrot wymagał wewnętrznego spokoju, skupienia się w sobie, rozszerzenia na życie i dzieje zacieśnionych dotąd szczupłym kręgiem swojskości poglądów, a na to, niestety! nie pozwalały warunki, w jakich zostawał. Potrzeby bowiem liczněj rodziny zmuszały go do robót gorączkowych, pośpiesznych; wewnętrzne rozdwojenie między obowiązkiem a uczuciem odbierało spokój i całą swobodę ducha, a to rwanie się na wszystkie strony musiało w końcu spowodować rozstrój sił fizycznych i moralnych. — Po Karlińskim Syrokomla próbował jeszcze dwa razy swoich sił w dramacie; ale zarówno: *Wiejscy politycy*, jak i *Zofia Księżniczka Słucka*, wykazują raczéj upadek talentu, niż dalsze jego rozwijanie się w tym kierunku.

W końcu, streszczając swe poglądy na działalność Kondratowicza, Kraszewski taką daje charakterystykę jego talentu: „Jako poeta—miał dar niepospolity, miał swój język, swą formę, miał nadewszystko swój głos ołzawiony, rzewny, dziecinnie prosty i szczery, którego urok działał na najzimniejszych..... Krytyka może dotknąć wszystkich niemal jego utworów, wykazując w nich strony ułomne, dowodząc uczenie, czego im braknie, przekonywając, że mogłyby stokroć być udatniejsze; ale wielkiéj tajemnicy ich uroku, którą serce tylko pochwycić może, nie wytłumaczy, ani jéj nie odejmie pieśniom lirnika. Odrzuciwszy wiele, zostanie zawsze po Syrokomli tyle, ile potrzeba, aby poszedł z wybranymi w pamięć przyszłości, z tą sympatyą, którą ogół daje cierpieniu i łzie wylanéj“ (str. 211—212). — W istocie: to głębokie, jakiém był obdarzony, uczucie, sprawiło, że nie posiadając ani orlego polotu wyobraźni, która rodzi świetne, zdumiewające pomysły, ani wyższéj idei przewodniéj, która każdy utwór znamieniem geniuszu piętnuje, umiał jednak czarem pieśni prostaczéj zawładnąć sercem współbraci.

Co do obcych pierwszorzędnych geniuszów—Kraszewski, tylko nad dwoma poetami swoje studya ujawnił. Do nich należy: Odczyt o *Schillerze*, miany w r. 1859 w Warszawie z powodu stuletniéj rocznicy urodzin poety, oraz trzy prelekcye o *Dantem*, wygłoszone w r. 1867 w Krakowie i we Lwowie.

Rzecz naturalna, że każdy odczyt publiczny całkiem innym, niż studyum krytyczne, wymaganiom podlega. Prelegent z konieczności potrzebuje stosować się do usposobienia słuchaczów, przedstawiających najrozmaitszy stopień umysłowego rozwinięcia. Ale téż za to, dosyć mu rzecz rozwinąć w najgłówniejszych zarysach, i wypowiedziéć w sposób dostępny i zajmujący. Przeciwnie krytyk, mając na celu zgłębienie i ocenienie przedmiotu w sposób wyczerpujący i wszechstronny, musi przedewszystkiem być gruntownym. Na takie zaś traktowanie przedmiotu nie pozwala samo ograniczenie prelegenta jedno-godzinnym przeciągiem czasu. Z tego przeto względu zajmiemy się rozbiorem jednego tylko z dwóch wymienionych odczytów, mianowicie o Dantem, który wypowiedziany w trzech występach, pozwalał Kraszewskiemu rzecz w sposób bardziéj wyczerpujący przedstawić.

Kraszewski rozpoczyna swój odczyt wspaniałą charakterystyką alpejskiéj przyrody, dochodzącéj najwyższego majestatu—w Mont-Blanc, tym gór europejskich olbrzymie. Z nim porównywa Dantego, który w literaturze wieków jest takim szczytem, mało dla kogo dostępnym. Mimochodem zaznacza na pozór dziwne zjawisko, iż geniusz tak na wskroś chrześciański, pomimo licznych z Włochami stosunków, aż do XIX-go wieku najmniéj znany był u nas, gdzie właśnie najlepiéj mógł być rozumianym i cenionym.— Jako geniusz pierwszorzędnéj wielkości—Dante jest ogniwem łączącém świat starożytny z cywilizacyą chrześciańską. By go należycie zrozumiéć, nie dość zbadać epokę, w któréj żył i działał; należy poznać i czasy, które ją poprzedziły i w nich dopatrzéć tych nici tajemniczych, które w wiekach za barbarzyńskie uznanych, wiążą dwa wręcz sobie przeciwne światy. „Cała praca duchowa, po większéj części niewidzialna, odbywająca się wśród ciemności od X do XIII wieku, ma właśnie za główne zadanie z resztek tradycyi starożytnych zdobyć spuściznę dla chrześciańskiego świata.“—W X wieku prace arabów, Konstantego Porfirogeneta, Luitpranda—są pierwszemi śladami obudzającego się życia. Wiek XI daje hasło do wojen krzyżowych, które w dalszym ciągu, budząc poczucie narodowości, powołują do życia języki nowe, obok wszechwładnie panującéj łaciny. W XII wieku życie umysłowe, które, jak powiada Kraszewski, jest celem i końcem ludzkości na ziemi — rozwija się coraz potężniéj. Imiona *Abellarda*, *Piotra Lombarda*, *Arnolda z Brescyi*, sekty Albigensów i Waldensów—zwiastunów wcze-

snych protestantyzmu, potwierdzają o tém. W wieku XII nareszcie, miłość nauki staje się niemal gorączką.“ Zjawia się: *S. Tomasz z Akwinu*, *Albert W.*, *Duns Skot*, jako przedstawiciele mądrości scholastycznéj, która pomimo licznych braków była najdzielniejszą na owe czasy gimnastyką dla umysłu ludzkiego. Obok nich stoi samotnie *Roger Bakon*— jako przedstawiciel realistycznego kierunku.

W takiéj to epoce przychodzi na świat Dante i staje się spadkobiercą téj wiedzy, nagromadzonéj przez ciąg poprzednich stuleci.

Od tego obrazu średniowiecznéj cywilizacyi przechodzi Kraszewski do skreślenia obrazu walki Gwelfów i Gibellinów, rozdzierających Florencyą — rodzinne miasto poety. Następnie opowiada znane szczegóły z jego młodości — miłość do Beatryxy, i daje charakterystykę tego uczucia, jak je świat starożytny pojmował; wyjaśnia, jakiém ono było w wiekach, które duch chrystyanizmu ożywiał. Opierając się na *Vita nuova*, określa stosunek Dantego do Beatryxy. Dziwny on był — powiada — równie, jak uczucie, które te dwie istoty łączyło. „Dante prawie jéj nie zna, nie śmié przybliżyć się do niéj, czci obraz jéj w samotności, zapisuje, ilekroć ją spotyka, przeczuwa myśli, na ostatek przepowiada zgon jéj“; tkliwość w jego pojęciu była symbolem cnoty i dla tego téż Beatryxa wprowadza go potém w Komedyi do raju. Kraszewski wątpi, czy nawet wyszła za mąż; — przynajmniéj — mówi — nie ma na to historycznego dowodu. Ów zakochany w niéj jednak Dante, nie jest to marzyciel, któregoby młodość upływała bezczynnie. Owszem, żyje on cały dla kraju. Pod Campaldino, Caproną, walczy w pierwszych szeregach, a nieco późniéj staje na czele rządów rzeczypospolitéj, jako jeden z sześciu *Priorów*. Kraszewski jednak stanowczo zaprzecza, by Dante należał do jakiegokolwiek stronnictwa. „Nie był on—powiada— ani *Gwelfem* ani *Gibellinem*, *czarnym*, ani *białym*; — był tylko wierném dziecięciem Florencyi, kochającém kraj, pragnącém dla niego zgody, pokoju.“ Twierdzenie swe popiera tém, „iż żaden ze współczesnych i najbliższych jego kommentatorów i biografów, nie śmié go przedstawić, jako zaślepionego i oddanego jednemu stronnictwu. W obu obozach szanował on ludzi przekonań szczerych, chęci poczciwych; w obu nienawidził tych, co dla swéj ambicyi poświęcali ojczyznę i mącili wodę dla własnéj korzyści. Późniejsi biografowie nie byli w stanie tego zrozumiéć, jak mógł na przemian żyć w przyjaźni z Gwelfami i Gibellinami, a jeden z nich — Balbo — dopatruje w nim nawet chwiejności jego charakteru. Panującą w nim ideą, wypowiedzianą w dziele *De monarchia*, było wskrzeszenie cesarstwa rzymskiego, gdyż to stawiało kres dotychczasowemu podziałowi władzy pomiędzy cesarzem i papieżem, i dawało nadzieję zjednoczenia Włoch rozdartych przez burzliwe, krwawe stronnictwa; ale właśnie ta idea czyniła go wyższym nad wszelkie polityczne zawiści. Cały zresztą jego zawód polityczny dowodzi, iż zawsze stał po stronie umiarkowanych i dobra powszechnego pragnących. Ta bezstronność téż stała się jego zguby przyczyną. Jako Prior bowiem, pragnąc zapewnić spokój rzeczypospolitéj, sądził, iż tego dopnie, wydalając z Florencyi obu naczelników wrogich sobie stronnictw, Cerchi'ch i Donatich. Tymczasem ściągnął na siebie ich nieubłaganą nienawiść. Gdy sprawował poselstwo w Rzymie, domagając się u Bonifacego VIII, by ten najazd Karola d'Anjou na Florencyą powstrzymał; tymczasem stronnictwo Donatich, protegowane przez papieża, otwarło bramy miasta najeźdzcy i, dostawszy się do władzy, wywarło zemstę na nieobecnym poecie, odejmując mu cześć i skazując na wieczyste wygnanie. Wypadek ten jest początkiem jego niedoli i sławy. Na tułactwie bowiem dopiero rodzi się Bozka Komedya, w któréj Dante całą treść wieków średnich ogarnął. W swéj podróży do piekła, czyśca i raju — życie doczesne z wiekuistém zjednoczył. Wprowadzając do poematu Wirgiliusza, jako swego przewodnika i mistrza, tém samém przypomina Włochom, że ich pramacierzą była Roma, że literatura rzymska jest spadkiem duchowym i niezaprzeczoną ich własnością; pisząc zaś swój utwór w języku ludu, w dźwięczném narzeczu toskańskiém, tém samém podnosi go do znaczenia języka literackiego i nową erę dla piśmiennictwa narodowego otwiera. A tak niby Janus — jedną twarzą w świat starożytny, drugą ku przyszłości poziéra... Nie możemy dla braku miesca z osnowy Bozkiéj komedyi śledzić za Kraszewskim uczuć ożywiających na tułactwie poetę, ani téż opowiadać kolei, jakie w dalszém życiu przechodził; zwrócimy tylko na jeden szczegół w jego biografii uwagę; szczegół, który Kraszewskiemu, co do źródła wiedzy w osnowie poematu ukrytéj, dosyć śmiałe, lubo nie ze wszystkiém uzasadnione przypuszczenie nasunął. Wiadomo, iż Dante w cią-

gu tułactwa odbywał podróże do Bononii, Padwy, Paryża i Oxfordu, w celu wykształcenia się w teologii i otrzymania stopnia doktora. Otóż „dotychczasowi kommentatorowie i życio-pisarze poety, nie zwrócili uwagi — powiada Kraszewski — na wpływ, który na jego naukowe wykształcenie mógł mieć pobyt w Oxfordzie, pod koniec życia (?) lub zaraz po śmierci Bakona" i wyjawia mniemanie, „iż cała ta niezmierna nauka, która wzbudza podziwienie i zdaje się w Dancie nad wiek potężna" zaczerpniętą została „z najgłębszego dzieła naukowego, jakie wiek ten wydał: „*Opus majus*" Bakona." Wprawdzie sam Kraszewski obu tych mężów uważa za dwa krańcowe i przeciwne bieguny epoki. Dante bowiem, jak wiadomo, był na wskróś scholastykiem i teologiem ze szkoły św. Tomasza z Akwinu; Bakon zaś „nowatorem, człowiekiem realizmu, dążącym w nauce do użytecznego jéj i praktycznego zastosowania." Żadne więc pokrewieństwo ducha nie mogło między nimi zachodzić, żadna analogia ani w zapatrywaniu się na świat i naukę, ani w metodzie i systemie filozofii; a jednak, pomimo tego, dodaje — że „nauki faktów, fenomenów przyrodzonych, wiadomości takich, jak o igle magnesowéj, o ciążeniu ciał, o świetle, astronomii — nigdzie obficiéj, nigdzie łatwiéj nie mógł zaczerpnąć Dante, jak z rękopismów Bakona."

Czy tak było w istocie? To jedynie przez ściśle, naukowe porównanie Bozkiéj komedyi z „Opus majus" Bakona, uzasadniéby można. Tego zaś Kraszewski nie daje nam w swoim odczycie. Myśl zatém rzucona przez niego, lubo oryginalna i śmiała, aż dotąd hypotezą zostaje.

Na tém krótkiém sprawozdaniu z odczytu o Dantem kończymy rozbiór krytycznych prac Kraszewskiego. Inna rzecz, czyśmy przedmiot wyczerpali do gruntu. Działalność Kraszewskiego na polu krytyki była równie niezmordowaną, wszechstronną i rozległą, jak w innych piśmiennictwa gałęziach, tak iż wszystkich prac w tym przedmiocie nie podobna objąć artykułem, którego rozmiary już i tak daleko nad zakres sprawozdań, przeznaczonych do *Książki Jubileuszowéj*, urosły. Weźmy tylko na uwagę *Tygodnik Petersburski*, w którym na wstępie do pisarskiego zawodu rozwijał prawie gorączkową działalność. Jakiegoż on tam nie dotykał przedmiotu! Nie mówiąc już o pracach krytycznych, wymienionych powyżéj, znajdujem tam cały szereg sprawozdań, recenzyi, których tu nie podobna nam było szczegółowo rozbierać. I tak występuje przeciw literaturze francuzkiéj w jednym z artykułów, noszących tytuł: *Asmodeusz*, krytykuje *La chute d'un ange* Lamartina, daje sprawozdanie o nowém wydaniu *Historyi Literatury Polskiéj* Bentkowskiego; pisze recenzye o *Birucie*, noworoczniku, wydawanym przez J.Krzeczkowskiego (r. 1838); krytykuje *Historya m. Wilna* Michała Balińskiego, mówi „*O częściach mowy odmieniających się przez przypadki*," *Fel. Żóchowskiego*; kreśli sprawozdanie *O stanie Literatury w W. X. Poznańskiém*; rozbiera *Faustyna na Dodoszach Dodoszyńskiego* Fr. Hr. Skarbka i *Powieści* Jadama;—nawet *Kolęda dla dzieci* p. x. Moszyńskiego nie uchodzi jego uwagi. Któż znowu nie wié, jak bacznie, w epoce męzkiéj dojrzałości, śledził rozwój umysłowości w kraju, w owych *Listach*, które w Gazecie Warszawskiéj od r. 1852 do 1855 peryodycznie zamieszczał? W nich, obok archeologii i sztuki, najwięcéj miejsca literaturze bieżącéj i nowym wydawnictwom poświęcał. Nie było książki, mającéj jakąkolwiek literacką wartość, o któréjby nie wspomniał, któréjby się nie zajął oceną. Poczynając od zebranych pieśni poleskiego ludu przez ociemniałego Romualda Zienkiewicza, spotykamy się tu z całym szeregiem prac, bądź naukowych, bądź literackich, które zajmowały ówczesną społeczność. *Wieczornice* L. Siemieńskiego, *Narody na Ziemiach Słowiańskich* J. Lelewela, *Rozbiory i Krytyki* Al. Tyszyńskiego, *Przekłady łacińsko-polskich poetów* Syrokomli, *Komedye* Al. Hr. Fredry, *Komedye i Dramata* J. Korzeniowskiego, *Lirenka* Lenartowicza, *Improwizacye* Deotymy, *Zagon rodzinny* A. Pługa, wydania M. B. Wolfa *Poetów polskich* z drzeworytami Fredry, *Przekłady łacińsko - polskich Historyków*, z powodu których w roli pojednawcy w sporze literackim pomiędzy Syrokomlą a Bartoszewiczem wystąpił—i wiele innych prac pojawiających się ówcześnie — znajdowały w tych listach zachętę, życzliwą radę, wskazówkę lub choćby sympatyczne wspomnienie.—Listy te stały się umysłową potrzebą czytelników Gazety i przerwanie ich wzbudziło żal, jak rozstanie się z blizkim znajomym, do któregośmy towarzystwa od lat wielu przywykli. Któż nakoniec dziś nie czyta owych, od lat kilkunastu pisywanych korrespondencyi z zagranicy, które w rozmaitych ustępach czasu drukują: *Tygodnik Illustrowany, Kłosy, Biesiada, Tygodnik Powszechny* i inne pisma peryodyczne? Wprawdzie nie obudzają one tak żywego interesu, jak owe listy z Gazety Warszawskiéj, gdyż przeważnie traktują o utworach niemiec-

kich i francuzkich pisarzy, pomiędzy którymi niestety! trudno się dziś dopatrzéć gwiazd pierwszorzędnéj wielkości; w każdym jednak razie mają tę zasługę, iż ogół zaznajamiają z ruchem umysłowym na zachodzie i ostrzegają o fałszywych, jakie ztamtąd płyną, kierunkach.

Tak ciągła wszakże i różnorodna na polu krytyki literackiéj działalność, już z góry stanowisko Kraszewskiego określa. Taka mnogość przedmiotów, jakiemi się zajmował w ciągu pisarskiego zawodu, nie pozwalała mu nigdy zadawać się w szczegóły i dłużéj jakiém dziełem zajmować. Sąd téż, jaki wypowiadał, był zazwyczaj doraźny, sprawozdanie raczéj dziennikarskiéj, niż krytyczno-naukowéj natury. Analiza była mu obcą, powiedzielibyśmy nawet wstrętną, któréj z zasady unikał. Krytyczna dyssekcya, podług niego, zwłaszcza w zastosowaniu do poetycznych utworów, znaczy tyle, co kwiat żywy dzielić na części składowe; zamiast wykazać ich piękność, raczéj zabija w nich życie. Ale gdy idzie o skreślenie syntezy wrażeń, jakie dzieło na czytelniku wywiera; o wypowiedzenie ogólnego sądu o pisarzu, jego zaletach lub wadach; wtedy sąd ten, wsparty głębokiém uczuciem piękna, zawsze jest trafny, niezależny, a choć czasem podległy chwilowéj drażliwości, zawsze z wewnętrznego przekonania płynący. Gdy Warszawa, kraj cały, unosił się nad świetnym, improwizatorskim talentem Deotymy, on jeden nie podzielał ogólnego zachwytu. Przyznawał jéj fenomenalne, niezaprzeczone zdolności, ale w jéj utworach nie odczuwał poezyi poruszającéj do głębi. Improwizacye nazywał sztucznym wytworem i przepowiadał że improwizatorka może zabić poetkę (Gaz. War. R.1854. N. 265. R. 1855. N. 62—64). Widzieliśmy także ze sprawozdania o Margierze, że stosunek przyjaźni nie przeszkadzał mu wypowiedziéć prawdę, gdy go do tego przekonanie skłaniało. Toż samo było w stosunku i do innych pisarzy. Nieprzyjaciel zresztą jednostronnych kierunków, tém bardziéj je potępiał w pracach mających naukowe znaczenie. Tak było z *Przeglądem dziejów literatury powszechnéj* Lucyana Siemieńskiego, który, oświadczywszy się przeciw racyonalizmowi, nie chciał korzystać z dzieł, nacechowanych tą dążnością. Kraszewski poczytał to za ujemną stronę téj pracy, „gdyż jakikolwiek jest nabytek naukowy, niegodzi się go ze skarbca wiedzy wyrzucać“ (Gaz. War. R. 1855. N. 268—269). Dziś protestując przeciw materyalizmowi panującemu w sztuce, wypadki naukowych badań, choć z jego religijnémi przekonaniami niezgodne, przyjmuje, jako smutną, lecz nieuniknioną w rozwoju umysłowym ludzkości konieczność.

Tak się nam Kraszewski, jako krytyk przedstawia.

Jeżeli teraz od téj mnogości i różnorodności artykułów, zwrócimy uwagę na ogrom pracy, jaki w ciągu swego zawodu na czytanie dzieł, o których dawał sprawozdanie, obok prac innych, poświęcał; gdy pomyślimy, że z wielu z nich, z piórem w ręku robił notaty; że żaden utwór, żadne zjawisko w literaturze, w ciągu pół wieku nie uszło jego uwagi; wtedy mimowoli zmuszeni jesteśmy uchylić czoło zarówno przed pisarzem, jak i człowiekiem, który obok niepożytych zasług w literaturze ma jeszcze nad innymi tę wyższość, iż nazawsze pozostanie dla swéj społeczności —etycznym ideałem wytrwałości i pracy.

Roman Plenkiewicz.

PODRÓŻOPISARSTWO KRAJOWE.

Ze wszystkich działów literatury w wieku naszym, po powieściach, najwięcéj się rozpowszechniły podróże. I nic dziwnego: w wieku popularyzowania nauk i umiejętności wszelkich, w wieku telefonów, parowozów i telegrafów, zbliżających do siebie najodleglejsze przestrzenie i niezmiernie ułatwiających kommunikacye, a obok tego, w wieku kosmopolityzowania się ludzi i zacierania się odrębności narodowych, — musiało na pierwszy plan wystąpić podróżopisarstwo, może głównie z tego powodu, że, choć sztucznie, zatrzymywało i ujawniało niknące odrębności krajów i narodów.

Nie zawsze tak było: dzieje literatury powszechnéj złożyć mogą przekonywające świadectwa, że w ciągu wielu wieków przedsiębrane były podróże przy warunkach bez porównania trudniejszych, niż dzisiaj, i w celach nieskończenie rozmaitych. Przy całéj wszakże różnorodności celów i warunków podróży, zależących tyleż od wieku, co od osób, do następujących wszystkie sprowadzićby się dały kształtów.

Najpierwsze i najdawniejsze bez wątpienia były podróże handlowe; były one pierwotnym łącznikiem cywilizacyjnym, pierwszym środkiem porozumienia się odleglejszych nieco krajów i wespół z wymianą przedmiotów handlu, były najdawniejszym, a ztąd najżywotniejszym środkiem wymiany myśli. Pomimo jednak całą doniosłość tych podróży, mniéj one widoczne pozostawiają ślady w literaturze, a przynajmniéj zapisane w księgach, w odmiennych już i rozmaitych przedstawiają się kształtach. A jeżeli przypomniéć sobie zechcemy imię i działalność Herodota, to może do również dawnych kształtów zaliczymy podróże historyczne; a następnie z pierwszych i drugich wywiązują się z kolei czasu podróże naukowe, do których zaliczyć należy i owe wielkie wyprawy, przedsiębrane w celu odkrycia nowych ziem lub w ogólności mało znanych krajów. Bliższe znowu stosunki międzynarodowe wywołują potrzebę podróży w charakterze wyłącznie politycznym; z chwilą zaś ustalenia się wyższych pojęć estetycznych i ułatwionych kommunikacyi spotykamy w literaturach europejskich podróżopisarstwo w nadobnéj już formie wyrażone, t.j. podróże, jakby je nazwać można, artystyczne. Nadto w literaturach świata chrześciańskiego innym ważnym żywiołem podróżopisarstwa były podróże religijne, t.j. missye apostolskie, pątnictwo, pielgrzymki do ziemi świętéj i do miejsc w danym kraju cudami słynących.

Kontynentalne położenie Polski było powodem, że ze wszystkich wspomnianych działów podróży, najmniéj zareprezentowany u nas był dział podróży naukowych, albo raczéj podróży, przedsiębranych w celach naukowych. Prawie nie mamy wyobrazicieli na tém polu. Wspominamy wprawdzie imię Jana z Kolna (Scolnus) i chcielibyśmy uwierzyć temu, że on przed Kolumbem odkrył Amerykę, właściwie Labrador, wspominamy podróże Jana Potockiego, gotowiśmy nawet awanturnicze przygody Beniowskiego zaliczyć do tego rodzaju zdobyczy, światu ofiarowanych.... ale tę naszę przyjacielską przysługę z pobłażliwym uśmiechem niedowierzania przyjmuje nauka poważniejsza. Natomiast inne działy podróżniczego pisarstwa licznych u nas miały przedstawicieli; pomijając je wszakże, jako mniéj do naszego celu się stosujące, nadmienimy tylko w ogólnym zarysie o podróżach i podróżopisarstwie po własnym kraju. Począwszy od Długosza, znamy wprawdzie ogólne opisy ziem naszych wedle systematu hydrograficznego, albo wedlug systematu Ptolomeusza; ale to, co się

dziś nazywa nauką jeografii, a co w wiekach średnich, a nawet i w epoce odrodzenia nauk, kosmografią nazywano, zjawia się u nas bardzo późno, bo można powiedzieć, że dopiéro w XVIII wieku. Wład. Al. Łubieński właściwie jest jéj twórcą (w dziele: „Świat we wszystkich swoich częściach większych i mniejszych“ 1740 r.). To zaś, co znajdujemy w w. XVI, jak: u Kromera, Jęd. Glabera, Bielskiego, Gwagnina i t. d., co jakieś szczegółowsze miejscowości opisywali, były to, że tak powiem, preliminaryjne prace, zarówno do przyszłego ziemioznawstwa właściwego, jak i do podróży stosować się mogące: jest tam nieco tego, co dzisiejszą jeografią stanowi, oraz nieco malowniczych opisów. Dopiero tedy po Kluwerze Gdańszczaninie i po Łubieńskim, skoro się ustaliły ściśle naukowe granice badań jeograficznych, mogło się rozwinąć swobodnie podróżopisarstwo i opisy artystyczne całych ziem i okolic kraju.

Epoka Stanisławowska, przeważnie zaprzątnięta satyrą, krytyką staroświeckiego ustroju społeczeństwa i tego wszystkiego, co tylko tradycyą jezuicką trąciło, nie mogła się jeszcze zdobyć na spokojne i artystyczne odtwarzanie swoich i cudzych ziem. Podróżników konwenansowych naówczas widzimy wprawdzie dużo nawet niestety!, ale podróżopisarstwa właściwego jeszcze nie spotykamy. Trzeba było świadkiem być znanych wielkich przewrotów u schyłku zeszłego wieku, żeby Polacy przy nowych warunkach rozpocząć mogli podróżnictwo innego rodzaju, jakiego wzorów napróżnobyśmy szukali w dotychczasowéj literaturze polskiéj. Pierwszy rok obecnego stulecia był dla nas zarazem rokiem nowego zwrotu w myślach i wyobrażeniach naszych. Towarzystwo Przyjaciół Nauk, powstające dzięki ludziom dobréj woli i wzrastające w zasoby z nieopisaną szybkością, jest właśnie tą zwrotniczą osią, która obróciła umysły Polaków z zewnątrz ku sobie, ku wszechstronniejszéj, głębszéj znajomości swojego świata i swoich ludzi. Wprawdzie głównem zadaniem T-wa P. N. było dziejoznawstwo, wykończenie i rozwinięcie tego, co dopiero naszkicował Naruszewicz w „Dziejach Narodu polskiego,“ ale oczywiście, z dziejami na obszerną skalę zakreślonémi, łączyć się koniecznie musiała i znajomość ziemi własnéj, podróżopisarstwo krajowe. To téż lubo pierwszy prezes T-wa Albertrandi głównym jest wyrazem dziejopisarstwa ówczesnego; to jednak może nie omylimy się, twierdząc, że większą od poprzedniego pisarza miał zasługę trzeci prezes T-wa P. N., ów niegdy poseł inflancki na sejmie czteroletnim, Jul. Ursyn Niemcewicz. Nie tyle podniosłością talentu, co miłością kraju, świadomością jego potrzeb, jaśnieje ta postać na widowni literatury naszéj. Z kolei po sobie poseł, tułacz, żołnierz, dygnitarz państwa, nigdy nie przepomniał o obowiązkach moralnych i całém życiem swojém stwierdził, że był *pierwszym* obywatelem kraju. Więc czyto w dramatach, czy w powieściach, w pamiętnikach, czy śpiewach historycznych, obywatelskość ta jego zawsze występuje na jaśnią. Otóż w podróżopisarstwie jemu przedewszystkiem pierwszorzędne należy się stanowisko i od niego rozpoczynamy epokę historycznych kraju opisów. Wprawdzie „Podróże historyczne po ziemiach polskich“ wyszły dopiero w r. 1857, ale wszystkim dobrze było wiadomo, kto wiedzieć pragnął, że od r. 1811 J. Niemcewicz siedemnaście lat poświęcił na zbadanie i na podróże po kraju, i, jak w śpiewach historycznych chciał być wyrazem w całéj obszerności dziejowego *uczucia* polskiego, tak w podróżach *myśl* dziejowa wszędzie mu przewodniczyła, wszędzie starał się być owém ogniwém, wiążącém dwa światy XVIII i XIX w. niby już do siebie mało podobne, a jednak dwie tylko strony jednego oblicza przedstawiające. W tymto charakterze krajowego obserwatora zmierzywszy cały obszar ziem, składających Polskę starożytną (z wyjątkiem chyba skrajnych punktów, jak: Pokucie, Białoruś, Inflanty), skrzętnie notował wszystko, co przeminęło i co przemijało, by wyraźniéj przemówić do umysłu ogółu i świadomość przeszłości obudzić i utrwalić.

Kiedy kończył Niemcewicz, Hoffmanowa rozpoczyna swą pracę na tém polu. A jakkolwiek pod tylu względami odmienni, przecież Niemcewicz i Hoffmanowa to mają wspólnego, że oboje chcą obudzić w czytelniku zamiłowanie i znajomość swojéj ziemi, chcą do świadomości i do sumienia ogółu przemówić, by raz przecież poznali bliżéj to, na co od lat tylu patrzyli, a jednak nie widzieli: by poznali powaby i niewyczerpane zasoby kraju.

Nie podlega jednak kwestyi, że pod względem wewnętrznéj myśli przewodniéj twórczość Hoffmanowéj w porównaniu z zadaniem Niemcewicza, jest o wiele niższa, skromniejsza: pisze ona przeważnie dla kobiét tylko, a więc cel wychowawczy ma na względzie,— a co do owéj myśli dziejowéj, jest więcéj pobieżna, powierzchowna, gdy

niełedwo całą erudycyą historyczną na Starowolskim i Święckim oparła. Ma ona mniejszy nawet zakres podróży, bo tylko częściowo opisuje Mazowsze, Podlasie, Lubelskie, Krakowskie, Sandomierskie i Prusy. Nie mniéj jednak żywa świadomość przeszłości, u najpiękniejszego źródła, w ognisku puławskiém, poczerpnięta, w znacznéj części wynagrodzić zdołała braki gruntowniejszych podstaw historycznych. To tedy żywotne tętno myśli swojskiéj, przy wszelkich ujemnych stronach jéj nauki i talentu pisarskiego, zjednało jéj ową wielką popularność i wpływowość w literaturze naszéj.

Kilka tych wspomnień z dziejowéj oświaty naszéj uważaliśmy za konieczne nadmienić z góry, chcąc wyraźniéj oznaczyć stanowisko Kraszewskiego; bo jakkolwiek są to wiadomości elementarnie każdemu znane, niemniéj przeto mieć je należy na względzie przy określeniu działalności literackiéj człowieka, którego może największą zasługą jest dziwnie subtelne poczucie, a raczéj—świadomość tradycyi,— tak dalece, że cała tajemnica olbrzymiego wpływu jego na współczesnych, i nieznanéj dotąd w literaturach świata płodności, leży w wielkiém téj tradycyi ukochaniu. Umysł jego wielostronny, a nawet wszechstronny, talent postrzegawczy, lotny a subtelny, świadomość sił swoich, kraju, jego wad i cnót niepomierna, dały mu możność z téj skarbnicy miłości wszystkiego, co swojskie, w kilkunastu rozmaitych kierunkach twórczości pisarskiéj—w historyi właściwéj, w pamiętnikach historycznych, w powieściach, pieśniach, dramatach, w studyach artystycznych i archeologicznych, a także w podróżopisarstwie, wysnuć tysiące obrazów świetnych, myśli wzniosłych, nauk budujących i uwag żywotnych, w których niewiadomo, co więcéj podziwiać mamy: czy bogactwo i różnostronność jego wiedzy, czy miłość przeszłości i ludzi czasów obecnych, czy artyzm pisarski?

Wsparty na téj granitowéj epoce tradycyi, J. I. Kraszewski przy wielkich zasobach talentu swego, musiał się stać i stał się *wielkim* pisarzem już z tego względu, że w pismach swoich umiał powiązać tę tradycyą z warunkami czasów obecnych. A jako mąż wszechstronny a baczny na to, co się w świecie dzieje, był istotnie *postępowym* i umiał po drodze postępu europejskiego prowadzić za sobą czytelników, nie tylko nie negując téj przeszłości, ale owszem, starając się spajać i wiązać w jednę całość nawet te ogniwa wielkiego łańcucha krajowego, które w biegu okoliczności mniéj przyjaznych, zdawały sie rdzewieć lub pękać nawet.

Nieumiemy sobie jasno zdać sprawy z tego, czy był kiedy J. I. Kraszewski zwolennikiem estetycznéj teoryi „sztuka dla sztuki,“ ale to pewna, że w praktyce był żywém uosobioném téj teoryi zaprzeczeniem, nie pieścił się nigdy z myślami i utworami swémi, nie wygładzał ich po lat trzydzieści, jak Koźmiau, jakiś święty ogień natchnienia i miłości wielkiéj gnał go nieustannie naprzód, daléj, do coraz nowych pomysłów, coraz nowych obrazów, rozpraw, uwag, nowych nauk i przestróg, któremi ten nowy mistrz XIX wieku w coraz inny sposób pouczał, karcił, przestrzegał w szczęściu, koił w boleści, utwierdzał w wierze, napominał w szałe uniesienia swój naród ukochany,— płakał z nim społem i cierpiał, śmiał się i żartował, a zawsze wiódł go do coraz wyższych, chrześciańskich celów żywota, powtarzając nieustanne owe ewangeliczne:

„Nolite spiritum exstinguere!“

Nie było klassy społecznéj, nie było żadnego świeższego prądu w umysłach Polaków, żeby ich nie odczuł i nie rozwinął w pismach, nie było wady i cnoty społecznéj, żeby o niéj w ten lub ów sposób nie przemówił. Siedział w Wilnie, Omelnie, Gródku czy w Hubinie, w Warszawie czy w Dreźnie, a zda się, że *zawsze* był *wszędzie*, po wszech obszarach ziemi swojéj, tak wszystko widział, wszystkiemu się przypatrzył, o wszystkiém, co najżywotniejsze, przemawiać i zdawać „Rachunki“ ze wszystkiego zdołał. Gdyby miał chęć po temu i lat kilka wyłącznie jednéj oddał się pracy, byłby w znaczeniu literackiém, czy naukowém jakieś wysoce pomnikowe stworzył dzieło w tym czy w innym kierunku: w epopei, dramacie, historyi, powieści, czy filozofii, — do wszystkiego był zdolny, we wszystkiém celować byłby potrafił. Wszakże od pierwszych młodzieńczych próbek aż do ostatnich utworów, zawsze był i jest wierny swojemu przeznaczeniu, swojéj gwiaździe przewodniéj: wszechstronności, postępowości, rozrzucaniu śród mas myśli wzniosłych, ogrzewaniu, oświecaniu tych klass mniéj świadomych. Ten tytan literacki, gnany nieprzepartą siłą wyższą, w ciągu lat pięćdziesięciu ani na chwilę spocząć nie umiał, ani na chwilę zwątpić w siebie i w potrzebę działalności swojéj!.... Powtarzamy: w tém leży taje-

mnica wielkiéj potęgi jego i wielkość dzieł przezeń stworzonych.

A jakkolwiek ta fenomenalna twórczość zdaje się wyróżniać go z pośród ogółu, nietylko w polskiéj, ale we wszystkich literaturach świata;—to jednak, podług naszego zdania, J. I. Kraszewski nigdy *izolowanym* być nie może, nigdy zrozumianym nie będzie, skoro go oderwiemy od pnia życia narodowego i żywotnych drgnień i potrzeb współczesnych kraju. I dla tegośmy na początku parę uwag o naszém podróżopisarstwie położyli, żebyśmy jaśniéj tę prawdę dostrzédz mogli, że i na tém polu był on wiernym stróżem przeszłości i prowadził daléj to, na czém się zatrzymali jego poprzednicy.

Po kongresie wiedeńskim społeczność polska wyraźnie demokratyzować się poczyna. Dotąd piastunem literatury i myśli społecznéj przeważnie, a może jedynie, były wyższe klassy, szlachecczyzna; a co nie było szlachtą, skoro chciało należéć do przewodnictwa, w ten lub ów sposób czepiało się klamki pańskiéj. Tak zawsze być nie mogło: warunki wewnętrzne, a także stan Europy owoczesnéj musiał i na nas oddziaływać. Oświata sama, lubo nie zbyt hojnie udzielana, wszakże za pośrednictwem Uniwersytetu Wileńskiego, a w części i innemi mniejszemi kanałami szerzona, rozlewa się na szersze koło warstw społecznych. Na widownią dziejową i literacką występują ludzie nie zasobni w klejnoty herbowe i rozległe parantele, i zwolna, stopniowo, ale stanowczo zajmują poczesne miejsce w dziedzinie społecznéj i na arenie literackiéj, pomimo bezsilnych protestów staroszlachecczyzny przeciwko owym „homines novos.“ Nadto literatury europejskie— angielska, francuzka, niemiecka, oddziaływają na nas o tyle, że najprzód w poezyi, a potem i na inném polu literackiém odsłaniamy cudnie piękne objawy twórczości dotąd zapomnianego ludu; a w dalszym ciągu, zaczynamy należycie oceniać z jednéj strony *popularyzowanie* wszelkiéj wiedzy, rozlewanie jéj na massy, dotąd ciemne i bezwiedne,— z drugiéj zaś zaczynamy odczuwać *artyzm* literacki, głębiéj pojęty, niż to miało miejsce u klassyków ówczesnych, a co najważniejsza dla nas: mamy poczucie potrzeby dziejopisarstwa, jako *wyłącznego*, odrębnego, a dotąd nieznanego *kształtu* utworów literackich. Nie mówię już o tém, com wyżéj wspomniał, że warunki życiowe miały dla nas wyłączny powód do zalubowania podróżnictwa i podróżopisarstwa, jako odsłaniających przeszłość zamgloną lub rozsypującą się w gruzy.

W takiéj oto chwili zjawia się J. I. Kraszewski. Już Tańska próbowała stworzyć artystyczną podróż, ale i ona i Niemcewicz zbyt byli zrośnięci z przedrozbiorowemi czasy, a zresztą i zbyt małą mieli skalę talentu, żeby ich działalność współczesnym potrzebom i ideałom odpowiadać mogła i by ich twórcami istotnymi artystycznego podróżopisarstwa ostatecznie nazwać się godziło. Jakoż, nie tylko Niemcewicz, którego podróże długi czas znane nie były, ale i Tańskiéj utwory nie wsiąkły w serca i w sumienie ogółu,—czyniły zadość pewnym kółkom społecznym i to na pewien czas tylko, trwalszéj zaś wartości literackiéj przyznać im nie podobna. Kraszewski, wiedziony przeczuciem posłannictwa swego, od najrańszéj daty twórczości, zajmuje na tém polu stanowisko opróżnione, a tak bardzo ożywienia i uwydatnienia wymagające. Działalność ta jego tém więcéj baczniejszego rozpatrzenia się wymaga, że na razie jest ona arcyskromna, lekka, i tylko stopniowo, ale nieznacznie wzrasta i potęguje się tak, że dopiero obecnie, po półwiekowym odstępie od owych skromnych początków, możemy ocenić całą wielką doniosłość téj pracy.

Spojrzyjmy przeto, jak Kraszewski pojmował zadanie podróżopisarza krajowego i jak sam oceniał stanowisko swoje na tém polu [1]).

Przy całéj skromności w ocenianiu swoich zasług literackich, Kraszewski w drugiém (paryzkiém) wydaniu „Wspomnień Polesia, Wołynia i Litwy,“ przyznaje przecież wyraźnie to, o czém dziś wszyscy wiedziéć możemy: że *mu należy pierwszeństwo w artystyczném odtwarzaniu obrazów kraju*, w przedmowie bowiem do tego wydania mówi: „musimy wspomniéć z wdzięcznością, że była to jedna z naszych ramot najpowszechniéj czytana i najsympatyczniéj przyjęta.“ „Ogół nie tylko czytał chętnie, ale i zdawał się żądać dalszego ciągu. Wślad za Wspomnieniami naszémi ukazały się mniéj więcéj

---

[1]) Nadmieniamy, że następujące tylko pisma J. I. K. mieliśmy na uwadze w obecnym artykule: a) Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne T. II. Wilno 1839; b) Wspomnienie Polesia, Wołynia i Litwy, 2 wyd. Paryż 1861; c) Obrazy z życia i podróży. Wilno 1842. Tomów dwa. d) Wspomnienie Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Wilno 1845, tomów trzy; e) Druskieniki, szkic literacko-lekarski przez J. I. K. i Xaw. Wolfganga, tom jeden. Wilno 1848; f) Kordecki, Wilno 1852 tomów 2, (opis Częstochowy); g) Wieczory Wołyńskie, Lwów 1859; h) Okruszyny. Warszawa 1856, tom trzeci (Oblężenie Częstochowy). Nadto niektóre artykuły opisowéj treści, zamieszczone w Tygodniku Petersburskim, Bibliotece Warsz., i innych, a zwłaszcza w Tygodn. Ill. (jak Wilno i Ostra-Brama, Żytomiérz, Krzemieniec).

w ten sam sposób pojęte i ułożone: „Wspomnienia Wołynia i Podola“ Alexandra Hr. Przeździeckiego, „Wspomnienia Wielkopolskie“ Edwarda Hr. Raczyńskiego,—Żmujdzi xiędza L. Jucewicza;—to dowodziłoby żeśmy *w porę o kraju własnym pisać zaczęli*, gdy tylu innych jednę z nami myśl powzięło.“ Że w tych słowach niema zapomnienia prac poprzedników, że Kraszewski ma tu na myśli tylko „artystyczne“ obrazowanie kraju, jakiego w literaturze naszéj nie było, o tém się przekonywamy z innych, różnoczasowo wypowiadanych poglądów jego na zadanie podróżopisarstwa. Jeszcze w roku 1841 (w Ateneum) w opisie „*Białéj na Podlasiu*“ mówi: „Gdyby każdy znanych sobie okolic starał się poznać szczegółowo choćby nie bardzo odległą przeszłość, a zwłaszcza tę, któréj szczątki tkwią w niéj jeszcze; gdyby każdy spisywał dzieje takie, złożyłaby się w prędce zajmująca bardzo historya wewnętrznego kraju życia. Nie potrzebaby nic omijać, nic z niéj usuwać,—wszystko bez wyboru, co tylko pod najrozmaitszemi względy zająć może, mieścić w ten wielki skład, z którego później surowszy nawet dziejopisarz czerpaćby musiał“ (Ath. T. I, 1841 str. 70).— W opisie Druskienik nadmienia o przeszkodach do dopięcia celu tego: „my tylko kochamy wszystko obce, tak w nic swojego wierzyć nie chcemy. O! zły to znak! kto w siebie nie wierzy, kto o sobie wątpi—biada mu! a myśmy wielbicieli obczyzny wieczni,—podobnego nam ludu na całéj kuli ziemskiéj nie znaléźć.“— W innym znowu czasie (1845), we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku,“ kreśli nawet wszystkie sposoby opisywania miejscowości i przemawia za tym, jakiego się sam trzymał, t. j. swobody artystycznéj, poufalego zwierzania się czytelnikom ze wszelkich wrażeń i myśli, znajduje bowiem że „dawne opisy wędrówek były to tylko *sprawozdania* z kraju, miejsc, dziejów, ale *wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał*.“ Obecnie zaś, podług Kraszewskiego, musi występować głównie indywidualność pisarza. „Lepiéj to, czy gorzéj? badać nie myślimy, nie chcemy jednak ze swego wieku, czasu i obyczajów jego wystąpić“ (T. I, str. 3). Wreszcie w „Kartkach z podróży“ nadmienia sam nawet o tém, co bez wątpienia szczególny wdzięk nadawało jego podróżom, co opromieniało je powolnym kolorytem subjektywności, t. j. że był niejako stworzony na nieustannego wędrowca: „Jeszcze w r. 1812 w pieluchach z matką uczyłem się tułactwa; urodziłem się w ucieczce, wędrowałem z kolebką, przenosić się musiałem w życiu nie przeliczoną liczbę razy“ (T. I, str. 4).

Sądzę, że cytaty powyższe dostatecznie charakteryzują, jak pogląd autora na zadanie podróżopisarstwa i opisów kraju, tak też i stanowisko autora w tego rodzaju twórczości literackiéj. Widzimy tu mianowicie: a) że pierwszy „*w porę* o własnym kraju pisać zaczął;“ b) że miał wielu naśladowców, albo raczéj, jak sam się wyraża, że „tylu innych też samę myśl powzięło;“ c) że wobec wielowiekowego ubóztwiania przez nas obczyzny, raz przecie otrząsnąć się należy z nałogu zastarzałego, lepiéj poznać powaby i zasady ziemi swojéj i uwierzyć w siebie, bo „biada temu, kto w siebie wątpi;“ d) że dotychczasowe suche opisy były to tylko „sprawozdania z kraju, miejsc, dziejów, a wyjątkowo malowały człowieka, co je pisał,“— że zatem koniecznym jest w tym razie umiejętny, żywy sposób traktowania przedmiotu t. j. taki, któryby odsłaniał indywidualność pisarza o tyle przynajmniéj, by on mógł „ze swego wieku, czasu i obyczajów“ korzystać; e) że wreszcie ze skupienia w ten sposób zarysowanych różnych okolic kraju „złożyłaby się na prędce zajmująca bardzo historya wewnętrznego życia kraju,“ byleby „nic nie omijać, nic nie usuwać,—wszystko *bez wyboru*, co tylko pod najrozmaitszemi względy *zająć* może, mieścić w ten wielki skład, z którego później surowszy nawet dziejopisarz czerpać by musiał.“

Jest to, jak widzimy, rozległy program do odtworzenia wielkiego obrazu, oświetlonego kolorytem indywidualności, a za podstawę, a raczéj za tło mającego wyraz swego „wieku, czasu i obyczajów, — wezsłaby doń tak dobrze sztuka, jak i nauka, przeszłość i teraźniejszość, rzeczy poważne jak i drobne objawy życia codziennego, byleby one czémkolwiek interesować mogły, byleby uchylały zasłonę, kryjącą tajniki swego „czasu i obyczajów.“ A jakkolwiek więcéj tu mówi autor o tém, *co* pisać, aniżeli *jak* pisaćby należało; to jednak i ten drugi warunek pominięty całkiem nie jest: autor chce, by pisano z talentem, t. j. żeby zainteresowanie się ogółu obudziło. Ostatnia więc ze wspomnianych cech współczesnego podróżopisarstwa— nie pomijanie niczego, zamieszczanie *bez wyboru* wszystkiego, będąca w zasadzie swojéj trochę niebezpieczną, jako zostawiająca obszerne pole wszelkiéj bezdarności, wszelkim nawet uprzedzeniom, tak, że „dziejopisarz surowszy“ więcéjby mozolu, niż korzyści istotnéj odniósł z nagromadzenia tego „składu,“—myśl, po-

wiadam, znacznie sprostowana jest uwagą, że pisaćby potrzeba tak i o tém, co „*zając może*.“ Talent przeto pisarski, t. j. artystyczne, piękne odtworzenie nie tylko wydatniejszych obrazów, ale i drobnostek współczesnego życia, chociaż niby ubocznie tu wspomniany, ale w istocie stoi on na pierwszym planie.

Pomimo to zastrzeżenie przyznać jednak musimy, że ta zbytnia swoboda pisania „bez wyboru,“ nie tylko dla innych mniejszego talentu ludzi, ale i dla samego Kraszewskiego sprawiła, że w dziełach jego podróżniczych i opisowych nie wszystko jednolitym nacechowane talentem, nie jednéj jest wartości literackiéj, a są nawet ustępy, dzisiaj przynajmniéj, pozbawione już może całkiem téj wartości: pisane bowiem były dla danéj chwill i z téj chwili upływem wewnętrzne swe zalety utraciły.

Po takiém zakreśleniu poglądów autora na zadanie podróżopisarza krajowego, przypatrzmy się teraz bliżéj, jakie było wykonanie.

Dla braku miejsca nie podobna nam tutaj rozbierać każdego dzieła poszczególnie; natomiast jaśniéj może nam się przedstawi zakres i doniosłość twórczości J. I. Kraszewskiego, jeżeli rozpatrzymy przynajmniéj w ważniejszych jego pismach rozmaite kierunki i żywioły jego podróżopisarstwa, jako to: podróże, w których przeważają rysy autobiograficzne, podróże fantastyczne, szkice ogólne i charakterystyki ludzi i miejscowości, podróże z przeważną cechą historyczną i wreszcie szersze opisy kraju.

Zacznijmy od najsłabszych i zapewne najdawniejszych, o których nie wiele mamy do powiedzenia—od podróży *fantastycznych*.

Tu należy cały tom „Wędrówek literackich, fantastycznych i historycznych,“ oraz niektóre ustępy innych pism z pierwszego okresu jego twórezości, jak np. „Drohiczyn,“ zamieszczony w „Obrazach z życia i podróży.“ Na ćwierć wieku przeszło przed swą istotną podróżą po Europie odbywał J. I. Kraszewski, gwoli modzie ówczesnéj, siedząc przy biurku, fantazyjną podróż po Europie. W „Wędrówkach“ jest cały rozdział, zatytułowany „Pielgrzymka po stolicach,“ gdzie czytamy: Paryż, Konstantynopol, Madryt, Berlin, Rzym i niby Sztokholm. Dziwnie jakoś ckliwe sprawia wrażenie, ta jego fantazya rozbujała, a nieokreślona ani w celu, ani w formie saméj. Styl tylko jego zamaszysty, a gdzieniegdzie i poetyczny, jak gdyby to miało być w istocie tylko excercycyą stylową. Po Paryżu najudatniéj może Berlin przedstawiony. W celu też określenia maniery autora i tego sposobu, jakiego się trzymał przy charakterystyce stolic europejskich, wypisuję tu słówko z obrazu Berlina: „Wszystko tu zupełnie inne, jak gdzieindziéj, ciche, prozaiczne, niemieckie: w każdym kroku słychać było pieniądze, wszędzie trzeba było płacić. Otaczający Niemcy zimni, otyli, ucywilizowani, rozumni, czytali gazetę, kiwali głową i palili fajki. Nigdzie śladu namiętności, wszędzie flegma, rozsądek, rachuba, zapowiadała świat regularny, nakręcony jak zegarek, metodyczny i zimny“ (str. 136).

Przyznając podróżom fantastycznym mniejszą wartość literacką, mamy obowiązek omówić tu owe warunki, wśród których zjawiają się one: nie zapominajmy więc, że je pisze dwudziestokilkoletni młodzieniec, który z natury wieku swego wrażliwszy jest na wszelkie zewnętrzne wpływy, który łatwo przejmuje wszelkie objawy w jego czasie panujące, wszelkie idee i wyobrażenia estetyczne, — mimowolnym więc musi być naśladowcą, bo samoistnego kierunku twórczości wyrobić jeszcze nie miał czasu. A było to właśnie w chwili modnego w naszém piśmiennictwie „humoru“ angielskiego i fantastycznych szkiców potocznych myśli. Dość wspomnieć, że oprócz dawniejszych pisarzy znany był dobrze i w możliwy sposób naśladowany Wawrzyniec Sterne, a zwłaszcza owe jego mistrzowskie „*Sentimental Journey*,“ w których swawolna wesołość i czułość prawdziwa, szyderskość i tkliwość, rzewna zaduma i dziwna swoboda i prostota słowa i myśli, składają się w jeden nienaśladowany wieniec artystyczny, który się „*humour'em*“ angielskim nazywa. A nawet znany był dobrze Hoffman, głośny pisarz fantazyi literackich, który jako chwilowo zamieszkujący w Polsce, bliższy mógł wywierać wpływ na naszych pisarzy, lubo talent jego zbyt jest swawolny, zbyt rozpasany. Zresztą młody nasz Kraszewski miał bliższe źródło do odwzorowywania owéj spaczonéj fantazyi i niezawsze swojskiego humoru. Wszak towarzystwo szubrawców i owe ich „Wiadomości brukowe“ *stały jeszcze na wyżynie pojęć społecznych i estetycznych*; a tam oprócz niezaprzeczonych wielu stron dodatnich, czyż mało było przesadnéj karykatury, wątpliwego dowcipu, satyry graniczącéj z paszkwilem i rubaszności literackiéj? Cóż więc dziwnego, że poczynający pisarz od owéj samowoli słowa i bujania fantastycznego twórczość swą rozpoczyna? Są to pierwsze rozmachy skrzydeł zrywającego się do lotu orlęcia: pozwólmy mu, niech się wzniesie na wyży-

ny ponad drobiazgi powszednie, ponad maluczkie teorye i mody estetyczne, a obejrzawszy lepiéj z tych wyżyn ziemię swoję i ludzi swoich, inny, samoistniejszy połot swych skrzydeł rozwinie.

Drugim żywiołem podróżopisarstwa J. I. Kraszewskiego są ustępy, zamieszczone w „Obrazach z życia i podróży,“ a poprzednio drukowane bądź w Tygodniku Petersburskim 1838 r., bądź téż w Athenaeum (1841). Są to obrazki miejscowości z przeważnym odcieniem *autobiograficznym*, w których stopniowo zarysowywać się poczyna indywidualność pisarza i samoistność kierunku jego twórczości.

Wrażenie, jakie dziś otrzymuje czytelnik, przerzucający te szkice, jest całkiem odmienne od tego, któreśmy w jego fantazyi pierwotnéj spostrzegali: przejście tu prawie niespodziewanie wielkie, sympatya czytelnika tak widocznie lgnie ku tym szkicom lekkim, jak gdyby doprawdy pomiędzy niemi był wielki odstęp czasu i wielka dojrzałość talentu się rozwinęla. Wrażenie to pozorne: wyobraźnia czytelnika całkiem owładnięta osobistością pisarza, sympatyczném współczuciem opromienia te obrazki, a w nich te szczegóły życia człowieka, tak dla nas miłego, i już sama przez się dopełnia owe braki artyzmu literackiego, które tu nierzadko się spotykają; nie widzi ich prawie, bo z wielką prawdą i prostotą odsłonięta w nich osobistość, nam sympatyczna, jaskrawém światłem swojém opromienia wszystko.

Wszakże baczniejszém i zimniejszém okiem na nie spoglądając, i tu widzimy jeszcze objawy pierwotnéj, rozpoczynającéj się dopiéro twórczości literackiéj, a w niéj jako cechę może najwydatniejszą: szkicowanie pobieżne, czasem zbyt powierzchowne, brak głębszéj analizy tego, na co się patrzy i co przedstawia, przerwy w ciągu myśli lub powtarzanie jednéj myśli po dwakroć, sam nawet styl nie zawsze jednostajny i niezawsze posłuszny biegowi téj myśli.

W porządku chronologicznym te obrazki tak się układają: Romanów, Biała na Podlasiu, Lublin, Świsłocz. W ustępie „*Romanów*“, miejscu wychowania i pierwotnego wykształcenia Kraszewskiego, z rozrzewnieniem czytamy obraz owego „poważnego i milczącego“ domu, ocienionego staremi drzewami i umajonego najdroższémi, bo najpierwszémi wspomnieniami życia, a raczéj przygotowania do życia. Więc owa babka i „biała babunia,“ owe proste a serdeczne wspomnienia pierwszych lekcyi czytania na kalendarzu, pierwsze nauki moralności chrześciańskiéj, więc w obec téj babki pierwsze zwierzenia się dziecięce, bezświadomie przyszłe powołanie autorskie znamionujące; więc owe napomknienia, że kiedy inni członkowie rodzeństwa dziad, wuj, ciotki, nie pojmowali, a nawet po troszę żartowali z tych zwierzeń, to babka sama jedna je odczuwała:—wszystko to takie proste, szczere, tak nasze polskie, że lubo bez wyższego mistrzowstwa pisarskiego przedstawione, dla saméj prawdy swojéj pozostanie równie długotrwałą pamiątką w literaturze, jak jakiś obraz Urszulki w pismach Kochanowskiego. W drugim obrazku „*Biała na Podlasiu*,“ widzimy już 13—15-letniego (1825—27) chłopczyka wśród starego Radziwiłłów grodu, który lubo autor maluje w ogólnych szkicach, t. j. jak sam zamek, tak téż miasto, jego kościoły: Farny, Reformatów, Bazylianów, a nawet pomniejsze świątynie, jak kaplicę Panien Miłosierdzia,—lubo nieco wspomina o stronie historycznéj miasta, to jednak uwaga czytelnika skupia się na szczegółach autobiograficznych: na owém mieszkaniu u rektora w tak zwanéj „kolonii akademickiéj,“ na owych wycieczkach, biesiadach i swawołach koleżeńskich, na owym „Wezuwiuszu w garnuszku,“ — a przedewszystkiém na owém wyznaniu, gdy mówi: „tu poraz pierwszy dusza moja otworzyła się na świat, tu poczułem pierwszy raz chętkę do pisania i pierwszy raz wziąłem pióro w rękę,“ a wreszcie dodaje w końcu artykułu, że plebania Bialska służyła mu za wzór w „Panu Walerym,“ i że cały „Wielki świat małego miasteczka,“ osnuty na tle wspomnień z Biały.—*Lublin* zawiera przegląd historyczny miasta, ale bardzo ogólnikowy, pośpiesznie skreślony; zaledwie jakieś słówko o założycielu i dacie założenia miasta, albo jakaś lekka wzmianka o architekturze lub obrazie jakim; nieco więcéj wspomnień o kościele Jezuitów i o freskach w tym kościele naówczas jeszcze znajdujących się, o których mówi, że je pierwszy raz w życiu widział, i że wywarły nań wrażenie. Ale i tu, jak w dwu poprzednich ustępach, zaciekawiają czytelnika szczegóły autobiograficzne, na początku i na końcu artykułu umieszczone. Na końcu mamy wyjaśnione powody opuszczenia szkoły lubelskiéj, obraz ujemnych stron nauczania owoczesnego, zasadzającego się na recytowaniu, na ćwiczeniu jednéj pamięci; a głównie ów szczegół na początku ustępu wspomniany, że przy wjeździe do Lublina, babka go zapytała, co zna godnego o tém mieście? a gdy wnuczek nie przypomniał sobie Unii, babka upo-

mniała, by więcéj staranności do historyi przykładał. „Kto wié, mówi J. I. Kraszewski, czy to drobne zdarzenie nie wpłynęło na zamiłowanie jéj późniejsze, bo pamiętam, że już w Lublinie spisywałem nagrobki stare i chwytałem, jak mogłem, książki historyczne.“ W ostatnim wreszcie téj kategoryi ustępie p. t. „*Świsłocz*“ czytamy na początku bardzo sympatyczny obrazek téj osady uczniowskiéj, następnie przelotne słówko o referendarzu Tyszkiewiczu, który jarmarki dla miasteczka wyrobił, lekki rys opisowy rynku z małemi domkami mieszczan i z dużym murowanym domem szkolnym,—wreszcie zamek, ogród i zwierzyniec. Wszystko to w ogólnych, ale dość udatnych zarysach i opromienione kolorytem jakiéjś boleśnéj zadumy, którą mu nasunęła malejąca, martwa teraźniejszość, w porównaniu ze świetną, butną niegdy przeszłością. „Wszystko dziś ruiny bez duszy i życia — mówi Kraszewski — ruiny, jakich w naszych prowincyach w jednomilowéj podróży naliczysz kilka — drzewa dziczeją, zarastają ścieżki, walą się budowle, zapływają mułem i zielskiem, porastają trawy. W pałacu rządca, w salach wisi bielizna na sznurach, do złoconych dawniéj gzymsów przybitych. Smutno patrzéć! I człowiek mimowolnie pyta się sam siebie: wszędzież-to tak pełno ruin, czy u nas tylko?“ Mimo te, tak plastyczne cechy przeszłości zamarłéj, i tu, w jak innych obrazach, główną sympatyą naszę wzbudzają szczegóły biograficzne, a między innemi omówienie strony wychowawczéj, że kiedy Kraszewski w Białéj *bawił się* w fizykę i chemią, w Lublinie uczył się matematyki i dziejów, to tutaj lingwistyka zajmowała go przedewszystkiém, uczył się języków polskiego, słowiańskiego i rossyjskiego, a także dzięki professorowi Walickiemu, któremu dziwnie sympatyczny wspomink poświęca, począł więcéj seryo pracować nad literaturą i układać „*Glossarium*“ archaizmów polszczyzny.—W ogólności cały ten niewielki cykl obrazków autobiograficznych, pomimo ujemnych stron, o których nadmieniliśmy wyżej, stanowi tak piękną, pełną prostoty i wdzięku, i zamkniętą w sobie całość, tyle ma powabu w swojéj bezpretensyonalności, tyle żywiołów swojskich i wysoce kształcących, że powinien każdemu Polakowi być znanym, a zwłaszcza miéć jak największe rozpowszechnienie wśród młodzieży naszéj.

Co się tyczy trzeciego kształtu, tj. szkiców ogólnych i charakterystyki osób i miejsc, to krytyk, podług naszego zdania, zwrócić powinien na nie baczniejszą uwagę, bo w nich właśnie widzimy najrozmaitszą wartość literacką: od ogólnych, niedość opracowanych szkiców do szczytnych, wysoce artystycznych obrazów i typów, prawdziwie po mistrzowsku ujętych, tak dalece, że tu mianowicie odszukać można stopniowy rozrost i całą genezę talentu pisarskiego J. I. Kraszewskiego.

Nie łatwa to jednak robota na słabe siły nasze, a zresztą w przedsięwziętéj tu zbiorowéj pracy różnostronnéj oceny twórczości Kraszewskiego, rzecz ta do innego należy działu; więc dla zrozumienia jedynie podróżopisarskiego i opisowego talentu Kraszewskiego spróbujmy niejakich wskazówek odszukać u współczesnych powag literackich.

Bliższy świadek pierwotnéj twórczości Kraszewskiego, a niebezzasadnie używający głośnéj sławy pierwszorzędnego krytyka, Michał Grabowski, może w tym razie służyć dla nas za poważne świadectwo; a on właśnie przyznaje (stosując to wprawdzie do innych utworów jego, do powieści), że niepowodzenie literackie, jakiego na razie doświadczał Kraszewski, głównie ztąd wypływało, że wybrał sobie manierę pisania taką, ktoréj nikt wówczas niepodzielał, która dziwaczną i obcą była dla ówczesnego smaku estetycznego. Humorystyka Sterne'a, tak trudna do ujęcia i do naśladowania, spekulacyjna fantazyjność Jean-Paul'a, wreście literackie rozpasanie Hoffmana, nie mogły nie tylko podobać się, ale nawet nie mogły być zrozumiane przez owoczesnych czytelników polskich. A tym czasem pod wpływem tych pisarzy urabiała się pierwotna twórczość Kraszewskiego. Zanim więc przeminęła ta barwa obcego pierwiastku, téj, że tak powiem, martwéj narości naśladownictwa na żywym organizmie twórczym przyszłego tytana literackiego, musiały te pierwotne próby dźwięczéć dyssonansem nieco przykrym dla wykształconéj publiczności, która chciała bardziéj swojskie, bardziéj rzeczywiste widziéć obrazy, niż owa jakaś podróż po szybach karczemnych Drohiczyna.

Że jednak ten okres naśladowniczy, a zarazem okres pierwotnego zdobywania właściwéj sobie formy i samodzielnego kształtu tworzenia, nie musiał trwać zbyt długo, oprócz innych pism J. I. Kraszewskiego, świadczą jego „Studya literackie“ (str. 34), w których teoretycznie przeprowadza zasady swoje, już dojrzałe i należycie rozwinięte, oczywiście zasady takie, których sam trzymać się uważał za stosowne. Widzimy

tam między innémi, że przedewszystkiem od piszącego wymaga talentu, zdolności twórczéj, wierzy w nią, jako w dar przyrodzony i dość ironicznie mówi o takich autorach, „którzy podkradają się“ pod tę wrodzoną twórczość, którzy robią wszystko z wysileniem, z „pracą i wyrachowaniem.“ Widzimy, że doskonale już pojmuje potrzebę zgodności wewnętrznéj treści z językiem, z formą w ogólności, i poczucie téj formy stawi jako konieczny warunek dla autora, tak, że kto go niema — pisarzem być nie może; naucza nawet innych téj prawdy, że „przy niestosowności formy myśl zwichnięta nie objawi się całkowicie, nie ukaże się w całym blasku swoim.“ A są to wszystko warunki, które jemu samemu były potrzebne w pierwotnéj dobie twórczości.

Obok tego Kraszewski nie wyrzeka się wcale indywidualności autorskiéj, nie chce krępować się formami niewolniczémi, a owszem: w sposobie wypowiadania myśli, w stylu, jako téż w sposobie zapatrywania się na życie i ludzi, na wypadki potoczne i czyny głośniejsze zostawia sobie swobodę o tyle, by z niéj przeglądała osobistość człowieka, obywatela i pisarza. „Są przedmioty, którym przystoi styl od niechcenia, forma na oko bezprawidlowa. Tą swobodą zupełną formy wyraża się naturalność, natchnienie najlepiéj. Ale ta swoboda nią się tylko wydaje, a kryje pod sobą największą sztukę. Są ludzie, którym ona istotnie przychodzi łatwo; są drudzy, którzy podkradają się pod tę łatwość, tworzą na wzór jéj z pracą i wyrachowaniem.“

Powyższe uwagi niech dla nas choć w części będą podstawą do wyjaśnienia tych (jeżeli mam prawo tak się wyrazić) ostateczności, jakie napotykamy w jego pierwotnych utworach, w których olśniewający talent, doskonałość formy, bystrość i niekiedy głębokość spostrzeżeń, idą tuż obok pospolitości myśli i słowa, obok obrazków mniéj udatnych. Stosujemy myśl tę przeważnie do „Obrazów z życia i podróży,“ w których te pospolitości i ogólnikowe szkice napotykamy obok ustępów wysokiego talentu. I dlategośmy właśnie powiedzieli wyżéj, że szkice te, obrazki i charakterystyki zawierają istotę przeobrażania i dojrzewania jego talentu: to, co w nich było lepszego, wyższego pod względem estetycznym, Kraszewski zatrzymuje, a następnie rozwija i doskonali w późniejszéj dobie twórczości swojéj, tak, że ostatecznie w sztuce obrazowania miejscowości i charakteryzowania ludzi dochodzi do artyzmu nieznanego dotąd w literaturze naszéj; usuwa zaś to, co się przeżyło, usuwa „zupełną swobodę formy“ i pisanie rzeczy „bez wyboru.“

Do tych szkiców ogólnych należą w tomie drugim „Obrazów z życia“ takie ustępy jak: *Drążkarze*, najslabszy może ze wszystkich, blady ognik; *Faktor*, nie wiele lepszy; *Teatr na strychu*, szkic wielce karykaturalny; następnie szkic humorystyczny, ale także przesadny p. t. *Maskarada*, gdzie obraz studentów uniwersytetu, czyli jak w Wilnie nazywano, akademików, przedstawiony zanadto ujemnie, bo przyzwoita maskarada, rozpoczęta w mieście, w domu Müllera, kończy się gdzieś na przedmieściu, na Pohulance, w pól-szynczku, w którym akademicy dziwną grają rolę, kłócą się i wzajem sobie pięściami wygrażają z szewcami i kupczykami. Przeciwnie inny ustęp, p. t. *Akademik*, lubo także w zbyt ogólnych szkicach zarysowany, jest obrazkiem bardzo milutkim, daje nawet wcale dobre wyobrażenie o współczesnych studentach, o ich pracy i uciechach, bo czuć tu prawdę rzeczywistości, umiejętnie odtworzoną.

Takiż sam sposób ogólnego szkicowania, chociaż z większym daleko talentem pisarskim, spotykamy i we „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy“. Tu zaliczyłbym takie ustępy: *Osada sernicka*, obrazek ulotny, ale wyborny, oryginalny, przedstawiający szlachtę zaściankową pińszczyzny; toż obrazek p. t. *Żydzi, karczmy, drogi*, gdzie w kilku wyrazistych zarysach plastycznie przedstawił autor panoramę dróg polskich, przedpotopowych siedzib ludu i owych sławnych karczem, które później w tylu powieściach z większém tylko wykończeniem malować umiał. Obrazek ten, zabarwiony serdeczną i poetyczną apostrofą do żydów, z wielką sympatyą się odczytuje. *Włościanie*, cały ustęp składa się ze szkicu bardzo pobieżnego, zwyczajów, mieszkań, obrzędów, śpiewów, stosunku do panów i ekonomów. Jest nieco w tym obrazku i żywiołu historycznego, t. j. wspomnień z przeszłości i obszerna cytata z „Reformacyi obyczajów“ Sz. Starowolskiego, opowiadająca o losach wieśniaka polskiego w w. XVII.

Do właściwych zaś typów i charakterystyk w tém dziele zaliczylibyśmy ustępy: *Gospodarstwo*, obraz zanadto już dziś odległy od nas. Jawią się tu trzy typy gospodarzy rolnych: *starozakonny*, *siedzący na dwu stołkach* i *wo-gospodarz*. W pierszym może za wielki konserwatyzm, w drugim dość niezręcznie przedstawione chwianie się człowieka na tę i owę stronę, bez woli i charakteru, w trzecim wyszydzono postępowość, albo raczéj ubieganie się za pozorami po-

stępu. Gdyby obok tych mocnych cieniów choć blade światełko dodatniéj strony rolników ówczesnych rzucono, obrazek byłby może prawdziwy, taki, jak jest, razi jednostronnością i przesadą. Na usprawiedliwienie swoje Kraszewski szczególną uwagę podaje: „śmieszność, powiada, trzeba prostować, jeśli można; a tego, co dobre, chwalić niekoniecznie, obejdzie się ono bez. pochwał.“ Ale do najwydatniejszych może szkiców we „Wspomnieniach Polesia“ należy pierwszy p. t.: *Jarmark w Janówce.* Kraszewski znać sam był z tego ustępu zadowolony, bo parękroć wspomina o nim w innych miejscach, powołując się na ten obrazek. I w istocie, jest to wyborna charakterystyka ludu, a zwłaszcza ogniska handlu — karczmy, w któréj się wieńczy cała zapobiegliwość kramarska owym sławnym „mohoryczem“. Widzimy tu następnie po mistrzowsku skreślony obraz dwu czynników jarmarku: kupujących i sprzedających, przedstawionych w saméj akcyi, która wzięta społem z całém otoczeniem tego ludowego targowiska, wespół z owémi wysoce patryarchalnéj natury reklamami kupieckiémi—wespół z owémi łyczkami, na których porozwieszano przedmioty handlu, buty, tytoń i t. d., wreszcie cały ten zgiełk, nieustanna bieganina tego mrowiska ludu, w ogólnym wprawdzie, ale wybornym zarysie, prawdziwie Hogartowskie tworzy malowidło, w którém humor tak szczęśliwie skojarzony z prawdą artystyczną, jak to się udawać zwykło niewielu wyjątkowym talentom.

Charakterystyki i typy w niektórych ustępach „Obrazów z życia“ wcale nie są słabsze od poprzednich. Do nich należą ustępy: *Panowie, Chory na pana, Dorobkiewicze,* są to wszystko charakterystyki bardzo wydatne, chociaż grzeszą zbytniém ubieganiem się za jaskrawością kolorytu i hyperbolizowaniem wszystkiego, na co patrzy. Do wyższych pod względem artyzmu literackiego zaliczyłbym szkic p. t. *Dubno w czasie kontraktów,* który sposobem obrazowania, kolorytem niekiedy satyrycznym, niekiedy humorystycznym, stylem lekkim, żywym, łączącym szczęśliwie prawdę obok sztuki jéj wypowiedzenia, odsłania już ten wielki talent, z jakiego zasłynąć miał niedługo Kraszewski. Mamy tu dość udatny obraz miasta przed kontraktami, główny zaś pejzaż widzimy w czasie samych kontraktów. Cały tu kalejdoskop życia! Przesuwają się przed czytelnikiem: graf w wytartéj antenatów szubie, w sześciowiekowéj karecie, który przyjechał nie po to, żeby miał długi płacić, ale po to tylko, by po pięćset „peców“ przegrywać w karty. Daléj otyły jegomość na prostym wózku, wiozący na lokatę 500 „karbowanych“; młody panicz w koczyku, zaprzężonym w cztery konie pocztowe, gracz z professyi; w modnéj karecie warszawskiéj młode małżeństwo, arystokracya pieniężna, przyjmowana w świecie dla sutego przyjęcia i grubego grosza, a naśmiewana za progiem; wózek ubogiéj wdowy, co niemoże wydostać należności od grafa, niefortunny cpuzer, przebiegły procentowicz, wreszcie sama kontraktowa sala naszkicowana żywo, barwnie — oto cały obrazek, niewielki co do skali, bo na dwunastu kartkach opowiedziany, ale znamionujący przyszłego olbrzyma powieścio-pisarskiego.

Ale niezaprzeczenie najwyższy talent i sztukę pisarską widziéć należy w ustępie p. t. *Domy i ludzie*, który w chwili wyższego natchnienia jednym tchem napisany, jak Minerwa z głowy Jowisza, wyskoczył cały, jednolity, piękny. Niema tu ani zwykłego opisu, ani tła rzeczywistego, plastycznego, ale niema i fantazyi jakiejś mglistéj, pozaświatowéj; natomiast jest tu coś w pół odsłoniętego, w pół zakrytego, ale tak wiele mającego prawdy, swojskości i sztuki, że jest mistrzowstwem nienaśladowaném o tyle, że indywidualność pisarza tak się tu zrasta z jego pismem, słowo tak posłuszne myśli, iż jednego od drugiego oddzielić nie zdołasz. Jest to kilkanaście szkiców wiejskich „domów“ i wiejskich ludzi: dwory i dworki, pałace pańskie i mieszkania dzierżawców, siedziby poleskich geldhabów i marnotrawników, dorobkowiczów i utracyuszów, hulaszczych myśliwców i młodéj pary nowożeńców itd., migają przed czytelnikiem którego olśniewają te kontury niby ogólne, lekkie, ale tak wyraziste, tak zgodne z prawdą, że w tych szkicach artystycznych odczuć już można przyszłego wielkiego pejzażystę kraju. Rzuty fantazyi i jéj kalejdoskopiczna rozmaitość i ruchliwość, nienaśladowany humor, a niekiedy sarkazm, niby przelotnie rzucony, a jednak prawdziwy i stosowny, styl może nawet do zbytku już lekki, powiedziałbym skoczny, znamionują: i malarza obrazków rodzajowych, i artystę z wysoce rozwiniętą wyobraźnią, i człowieka, co niby żartuje i śmieje się i szydzi, i biegnie niby swawolnie od kąta do kąta, a jednak kocha to wszystko, boleje nad nędzą, współczuje cierpieniu; nawskroś żart jego serdeczny, a tak łatwo dostrzegamy istotne uczucie, co te obrazki barwi, oświetla i ożywia!

Do ustępów opisowych z przeważnym żywiołem *historycznym* należą między inne-

mi: Kodeń nad Bugiem, Prużana, Zamek i Starostwo kobryńskie, Przywileje miasta Brześcia w tomie pierwszym: „Obrazów z życia“; Osowa Felińskiego, Stepoń, Czartorysk, Pińsk, Zamki we „Wspomnieniach Polesia“; oraz Krzemieniec (w Tyg. Ill.), wreszcie Żytomiérz, obszernie w „Wieczorach wołyńskich“ i w streszczeniu w Tyg. Ill.; — ale mamy najobszerniejsze studyum historyczne Odessy we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku“. Nie wspominamy tu Historyi Wilna, która, jako nie w szkicach podróżniczych, ale osobno wydana, leży poza obrębem naszego artykułu, oraz pomijamy lekkie wspominki dziejowe w wielu ustępach przelotnie tylko, dodatkowo do innego jakiegoś żywiołu, przez autora dorzucone.

Notatki te historyczne nie jednéj barwy i bardzo rozmaitéj, nawet na swój czas, wartości naukowéj; są tam i cytaty dziełek popularnych i poważnych studyów dziejowych, i ustępy z kronik, nie oświetlone wcale kolorytem krytycznym, i hipotezy wcale niekiedy wątpliwe o zamierzchłéj, przeddziejowéj przeszłości. Ta mozaika źródeł poważnych i arcylekkich wspominków, nie zdaje się, by była ozdobą podróżniczego pisarstwa Kraszewskiego, bo gdy zwykły czytelnik, popularnych tylko szukający wiadomości, zadowolui się owemi lekkiemi szkicami, to źródła archiwalne będą dla niego trochę za ciężkim ballastem literackim, który z uszanowaniem, zdaleka odchodząc, pominie... Poważny znowu czytelnik, badacz dziejowy, zawiele sobie pracy zadawać musi do tego, żeby odnotować jakiś nowy, drobny szczegół; a przy owoczesnym stanie naszéj bibliografii, nie jeden dziejopisarz nie dowiedział się może nawet, że w podróżach Kraszewski coś potrzebnego dla siebie znaléśćby zdołał, bo mu do głowy nie przyszło szukać tam archiwalnych źródeł. Chcemy przez to powiedzieć, że Kraszewski zanadto może w tym razie nadużywał stworzonego przez siebie przywileju podróżnika, pisania „bez wyboru“, ta bowiem rozmaitość i swoboda zbyteczna w cytowaniu źródeł dziejowych, nie wyszła na korzyść jego artyzmu podróżniczego. W każdym jednak razie, przypuszczając szerszy obieg wśród czytelników pism jego, przyznać należy, że w tych szkicach swoich rzucił massę szczegółów dziejowych i bądź co bądź, widownię dziejoznawstwa śród współczesnych rozszerzył. Rzeczą zaś jest specyalniejszéj krytyki historycznéj wszystkiemu, co tu się znaleść może, dać stosowne miejsce i wedle wartości ocenić. A lubo nie mamy w danéj chwili możności sprawdzenia dokładnego, ile korzystała i skorzystała nauka poważniejsza z tych źródeł, to jednak przyznać należy, że i specyaliści historycy z konieczności zaglądać musieli do tych szkiców podróżnych, skoro widzimy n. p., że Michał Baliński, w kilka lat po „Obrazach z życia“ piszący znane swe dzieło „Polska starożytna“, powoływać się w wielu miejscach musi na „Obrazy z życia“ (Patrz: Polska Staroż. T. III. str. 731, 739, 747 i inne). Więc może nie nadużyję cierpliwości czytelnika mojego, gdy choć w leciuchnym rysie wspomnę tu o téj rozmaitości szczegółów dziejowych i literackich, jakie są zawarte w niektórych z wyżéj wspomnianych ustępów.

„*Kodeń nad Bugiem*“ oparty jest głównie na dziele Fryd. Sapiehy, kasztelana trockiego, p. t. „Monumenta, albo zebranie starożytnych ozdób Przenajświętszéj Boga Rodzicy P. Maryi w dawnym wielce obrazie Kodeńskim de Guadaluppe rzeczonym 1723“, Warsz., w przekładzie Stawskiego. W opisie *Prużany* część historyczna nieco upopularyzowana, a nawet humorem autora zabarwiona, ale poważniejszych źródeł tu nie znajdujemy. Natomiast w tymże, jest przelotne słówko o Białowieży, a głównie o Fr. Karpińskim, którego Kraszewski zwolennikiem tu nie jest, z przyciskiem bowiem mówi, że nie był katolikiem, a nawet chrześcianinem, ale tylko „*deistą*.“ Artykuł pisany pośpiesznie, dorywczo, nie wyjaśnia wcale powodów do takiego wniosku. *Zamek i Starostwo kobryńskie*—jestto bardzo szczegółowy i wyczerpujący opis zamku z r. 1597, który przydatny być może zarówno dla historyka, jak i dla powieściopisarza. *Przywileje miasta Brześcia* oprócz kilkudziesięciu wierszy samego opisu miasta, zawierają dziewięć przywilejów rozmaitych wyższych dygnitarzy i panujących, począwszy od Jagiełły, a skończywszy na r. 1631; źródła to więc czysto archiwalne i z niebto korzystał Baliński.—Tom drugi „Obrazów“ tak mało ma szczegółów historycznych, że go pomijamy.—We „Wspomnieniach Polesia Wołynia i Litwy“ w ustępie *Osowa Felińskiego* znajdujemy bardzo wiele szczegółów o *autorze* „Barbary,“ przytacza Kraszewski kilka nieznanych do tego czasu listów, mówi bardzo sympatycznie o wielu drobnostkach jego życia, co wszystko w skupieniu razem wzięte, stanowi szacowny materyał dla historyka literatury, którego i dziś piszący o Felińskim pomijać niema prawa. *Stepań* zawiera niedość systematycznie opowiedziane

i mniéj przydatne do nauki dzieje miasteczka tego, które było niegdy własnością Ks. Konstantego Ostrogskiego. W ustępie *„Czartorysk“* czytamy historyczne notatki, począwszy od r. 1100, kiedy tu zapanował Dawid Jgorewicz; przebiegając pokrótce dalsze dzieje, wspomina autor o jednym z kniaziów, który się od téj siedziby „Czartoryskim“ przezywać począł; a potem w krótkim rysie nadmienia o Sieniawskich, Wiszniowieckich, Radziwiłłach, którzy z kolei po sobie byli posiadaczami tego miasteczka, wreszcie mówi tu jeszcze o zamku, o kościele,—a wszystko to są źródła bardzo rozmaite i dość wątpliwego znaczenia, jako materyał historyczny. Ustęp *Pińsk* i *Polesie pińskie* należy do najbardziéj sympatycznie przyjętych i najwięcéj znanych, bo cztery razy był ogłoszony drukiem: dwa razy we „Wspomnieniach Polesia,“ a przed tém po raz pierwszy w Tygodniku Petersbur. i wreszcie z małém przerobieniem w kalendarzu Jaworskiego. Artykuł ten odznacza się wysokiemi, lubo nieco przesadnemi rysami literackiemi Pińszczyzny i pińczuków, i popularny do tego stopnia, że ten, kto żadnego wyobrażenia niema o Polesiu i Pińszczyznie, doskonale jednak sobie przypomina owego mytycznego *wijuna* pińskiego, na łańcuchu przykutego, i owo orzeczenie, że pińczuk do człowieczeństwa się nie przyznaje („Ja nie czelowiek, ja pińczuk“). Co się tyczy dziejów miasto Pińska, to te dość szczegółowo wprawdzie opowiedziane, począwszy od r. 1097 do końca XVI w., ale epoka dawniejsza zwłaszcza niedość krytyczna; Kraszewski pragnął ująć całość dziejów tego miasta, a, materyałów odpowiednich nie mając pod ręką, trochę za pośpieszne je zesztukował. Toż samo w części i o późniejszych czasach powiedziećby można. Kraszewski znać sam czuł te luki i w r. 1841 skwapliwie ogłosił w Athenaeum bardzo ciekawe nowe źródło, p. t.: „Rebellia miasta Pińska.“ W ogólności, porównywając dziś to, co podał Kraszewski i Niemcewicz (w „Podr. historycznych“ str. 341—355, wyd. z r. 1859), nauka dziejowa więcéj chyba od ostatniego skorzysta. Artykuł *Zamki*—jestto bardzo pobieżny rys kilku zamków i kilku rodzin, wśród których najwięcéj mowy o wojowniczym Lubarcie i o rodzie Sanguszków. *Krzemieniec i Żytomiérz*, jako przeznaczone dla pisma popularnego (Tyg. Ill.), nie mogły zawierać dokładniejszych szczegółów i materyałów historycznych, a są tém, czém być powinny: ogólnym, lekkim szkicem, tak że o doniosłości naukowéj tych ustępów sądzić nawet trudno, zwłaszcza gdy zważymy, żeśmy już mieli „Polskę starożytną,“ w któréj dokładniejsze znajdujemy o obu tych miastach wiadomości. Natomiast więcéj szczegółów zawiera opis Żytomiérza w „Wieczorach Wołyńskich“ (str. 48—99), który należy do najobszerniejszych szkiców historycznych, z wyjątkiém jednéj Odessy.—Strony historycznéj Wilna nie dotykał Kraszewski, gdyż wielki obraz dziejowy tego miasta przedstawił w osobném dziele.

Najobszerniejszy zaś, o ile mi wiadomo, dotychczas w literaturze naszéj, mamy obraz historyczny *Odessy*, zamieszczony we „Wspomnieniach Odessy, Jedyssanu i Budżaku.“ Niemało wprawdzie piór, i przed nim i po nim, dotykało dziejów tego miasta; pisali u nas o Odessie: Niemcewicz, Edm. Chojecki, Tadeusz Padalica, Jul. Kotkowski, M. Grabowski i inni, ale nikt w równie wyczerpujący sposób, jak J. I. Kraszewski, dziejów tego miasta nie odsłonił. Oprócz źródeł polskich, takich jak; Stryjkowskiego, Starowolskiego, Piaseckiego, Sarnickiego, Kobierzyckiego, Dogiela, Naruszewicza, Święckiego, Czackiego, opiera swą pracę jeszcze na dziełach J. B. Chevalier'a (Voyage de Propontide), Castelnau (Essai sur l'histoire ancienne et moderne de la Nouvelle Russie, Paris 1820), J. Reyilly (Voyage en Crimée 1806), Sicard'a (Lettres sur Odessa, Peters. 1826), J. G. Köhl'a (Reisen in Südrussland 1841), Gamba (Voyage dans la Russie méridionale 1826), a głównie podług prac Skalkowskiego; wreszcie podług źródeł z archiwów rządowych i ze zbiorów miejscowego Towarzystwa Naukowego, którego członkiem został wówczas Kraszewski. Są tu opowiedziane całe dzieje Rossyi południowéj, o ile one miały nieco zetknięcia się z Polską starożytną i wypowiedziane tak wyczerpująco, jak Kraszewski nigdzie w żadnéj podróży, nawet w „Kartkach z podróży“ tego nie zrobił; cała to, rzéc można, monografia historyczna Odessy, téj niegdy siedziby Jazłowieckich i, jak nadmieniłem, dotychczas stanowi najlepsze o tém mieście studyum w literaturze naszéj.—Po tém przejrzeniu niektórych ważniejszych ustępów jego, na tle historyczném opartych, sądzę, iż czytelnik usprawiedliwi nasze zdanie o zbyt wielkiéj rozmaitości i rozmaitéj wartości naukowéj tych podróży, tak, że one w istocie pisane były „bez wyboru“ i z tego względu ozdoby piśmiennictwa podróżniczego stanowić nie mogą.

„Wspomnienie Odessy, Jedyssanu i Budżaku,“ a także „Druskieniki“ tém się ró-

żnią od dwu dzieł poprzednio wydanych, od „Obrazów z życia" i „Wspomnień Polesia," że kiedy te ostatnie w pojedyńczych ustępach i szkicach główniejszych miejscowości wątek myśli wypowiadają, to dwa wyżéj wspomniane utwory są tylko zwykłym dziennikiem podróżnym, w literackiém, a niekiedy w potoczném tego słowa znaczeniu. To téż „Podróż do Odessy," w ogólności mówiąc, w cale nie jest wyższą pod względem wartości literackiéj od „Wspomnień Polesia," ale za to ma charakter właściwy tego rodzaju utworom: naturalną swobodę, łatwość przenoszenia się od przedmiotu do przedmiotu, od jednéj miejscowości do drugiéj, nawet niekiedy bez staranniejszego opracowania stylowego, na podobieństwo tego, jak się robi zwykła notatka podróżna.

Zauważmy to jednak nawiasowo, że niekorzystne wrażenie przy czytaniu i brak staranniejszego wykończenia w znacznéj części przypisać należy niegodziwemu wydaniu Teofila Glücksberga, niedbałemu zarówno pod względem papieru, druku, jak i korekty znośniejszéj, a zwłaszcza używania znaków przystankowych, które wprost, niekiedy najpiękniéj wyrażoną myśl zaciemniają i wynaturzają. W podróży téj zwraca na siebie uwagę, czytelnika ściśle *lokalny* charakter wszystkiego, o czém mówi Kraszewski, tak, że z każdego zdania, z każdego obrazka czuć, że nie ze wspomnień dalekich rzecz przedstawiona, ale to, co oko widziało i co serce czuło, wprost przeniesiono na papier. Ztąd też zaletą niemałą tego dzieła jest tych naprędce malowanych przez autora obrazków prawda plastyczna, która począwszy od owego trzydniowego wybierania się do drogi, od owego pełnego prostoty i wdzięku opisu Gródka, ciągnie się przez całe dzieło. Wyjątek tu chyba stanowi sam opis Odessy, będący, jak wspomniałem, całkowitą monografią historyczną.

Z Gródka tedy przez Jarosław, Murawicę, Młynów, zarysowanych w leciuchnych konturach, Kraszewski zatrzymuje na chwilę uwagę czytelnika w Tajkurach, gdzie prześliczny czytamy obraz poranku, jako téż dobry opis zamku. Następnie przez Annopol zdąża do Prawutyna, będącego naówczas własnością Wojciecha Woronicza; to mu nasuwa sposobność do pięknego epizodu o znakomitym Janie Pawle Woroniczu, którego „całe życie, jak mówi, było pieśnią wpółwieszczą, wpółsmutną, jedną stroną do przeszłości, drugą do teraźniejszości skarlałéj i smutnéj zwróconą." Jest tu daléj cały życiorys tego arcymistrza pamiątek narodowych, a w całém charakteryzowaniu téj postaci wcale nie słabszy od życiorysu, jaki Kraszewski osobno w Tyg. Jll. o Woroniczu podał. Z kolei przez Korczyk, Horodyszcze, wstępuje na jakiś czas do Kisielów i dopiero od Babińskich karczem prowadzi daléj notatki podróżne. Opis ten w ogóle suchy, bez wyraźniejszego ożywienia przedstawiony, tak, że na tle tém dość bezbarwném jeden tylko wdzięczniejszy obrazek stepowego życia dostrzegamy: jestto piękne odmalowanie życia tak zwanych, „czumaków" (t. j. ludzi trudniących się przewożeniem rozmaitych przedmiotów, głównie zboża po stepach ku południowym ogniskom handlu); typy ich i tryb życia tułaczy bardzo dobrze zarysowany. Następnie w lekkim szkicu przesuwają się przed oczami czytelnika— Sieniawa, Lityn, Woroszyłówka, równie jak i w poprzednich opisach, nie zostawiając po sobie silniejszego wrażenia. Najobszerniéj i stosunkowo najlepiéj opowiedziany Tulczyn, do którego z kolei wstępuje Kraszewski. Tutaj dość starannie i udatnie zarysowany widzimy sam Tulczyn, przepyszny jego ogród, pałacyk „Baksza," ów *maison de plaisence* hrabiego, jako téż inne szczegóły, a zwłaszcza wielce ciekawe zabytki przeszłości tutaj się znajdujące. Jeżeli co psuje to nasze wrażenie, to te zbyt jaskrawe alluzye do posiadaczy tych dóbr, a nawet i bezogródkowe potępienia całéj naszéj arystokracyi, jak n. p. taka apostrofa: „U nas możni *zawsze* byli kapłanami gallomanii, anglomanii, turkomanii, *nigdy* stróżami podań narodowych" (T. I str. 78). Że nasi „możni" *niezawsze* przecie takimi byli, o tém nie tylko z innych źródeł, ale i z wielu pism Kraszewskiego dowiedzieć by się można; jestto jeden z tych przywilejów podróżopisarskich, które stworzył sobie autor: poufałego zwierzania się przed swym czytelnikiem ze wszelkich przelotnych wrażeń i doraźnego usposobienia.

Po tym drastycznym środku na nudy podróżne, znowu zapadamy w stan bezwładności i obojętności na wszystko, cokolwiek daléj widzimy; ożywia nas nieco wprawdzie Wierzchówka, do któréj wjeżdżamy, a w niéj obrazek jarmarku, przypominający mistrzowski pędzel „Janówki," następnie widok dawniejszego miasteczka powiatowego, Czeczelnika, niegdy własność książąt Lubomirskich,—ale dopiero po za Czeczelnikiem, odsłaniająca się przed nami całkiem odmienna przyroda—właściwie stepowa, zmu-

sza do zaniechania drzémki podróżnéj i do żywszego rozpatrywania się w otaczającym świecie, w którym „buja już kukurudza, ziemia spiekła i popadana, łany z jednéj strony, z drugiéj bodiaki, gdzie niegdzie tylko i rzadko czernieją dębiny.“ Przez Bałtę, nad rzeczką Kodymą położoną, a stanowiącą niegdy pogranicze Polski, wjeżdżamy w obcą już nam, coraz dzikszą pustkę stepową, któréj wcale udatny obrazek spotykamy, równie jak ciekawe dzieje wypraw hajdamackich. Z kolei przez miasto Ananijew, z „kletek“ i „ziemlanek“ składające się, przez osady Szarajewo, Słobody i Słobodki, aż do Baranowéj, mamy jakiś tylko mglisty rys stepowego krajobrazu i różnolitéj ludności mieszkańców. Wreszcie przez Wielkie i Małe-Potockie, wille Lewszyna i inne przedmiejskie, wjeżdżamy do Odessy.

Tutaj, oprócz wyczerpującéj strony historycznéj, o któréj wyżéj była mowa, mamy całkowity opis miasta i malowniczéj a różnokształtnéj jego ludności: Rossyan, Polaków, Greków, Francuzów, Niemców, Włochów, Serbów, Ormian, Bulgarów; charakterystyka ich ze znanym talentem przedstawiona. Autor mówi obszernie o handlu i przedmiotach przywozu i wywozu, o starożytnościach i o miejscowém Towarzystwie archeologiczném; wreszcie pięknie skreślone obrazy okolic Odessy zamykają tom drugi. W tomie trzecim opowiada Kraszewski o wycieczce, wespół z jednym z miejscowych uczonych starożytników, do Owidyopola, Białogrodu, Akiermanu, Kiszeniewa, — starannie się rozwodzi nad starożytnościami Akiermanu i w ogólności o całym tym kraju, poczynając od wspomnień Bessów Herodotowych, którzy jakoby mieli być protoplastami ludu miejscowego i dali początek nazwie Bessarabii, wreszcie pobieżnie Wał Trajana tu potrącony. Epizod o Karolu XII i o Leszczyńskim ubarwia nieco suchy ten i monotonny w ogóle opis. Czytamy w końcu powrót do domu z Odessy, najprzód dawniejszą drogą, a potém przez Bracław, Niemirów— siedzibę Stanisława Potockiego, Woronowice—Grocholskich, wreszcie Winnicę, Lityn do domu. Taki jest układ i bieg myśli największéj co objętości, bo trzytomowéj podróży po kraju J. I. Kraszewskiego. Wartość jéj z wielu względów niższa od poprzednio wydanych szkiców podróżnych; rzeczy krajowe bardzo tu lekko uwzględnione, a opisy przyrody w niewielu tylko ustępach mają wyższe, artystyczniejsze wykończenie.

Toż samo prawie powiedziéć potrzeba o małéj książeczce, noszącéj tytuł: „Druskieniki.“ Jestto także dziennik kilkomiesięcznéj podróży do wód, począwszy od 19 lipca 1847 r. Wycieczkę tę robi J. I. Kraszewski przez Łuck, Kowel, Ratno, Kobryń, Prużanę, Świsłocz, Brzostowicę i Grodno. Opisy i charakterystyki ludzi, oprócz wspomnianych wyżéj, a jak zwykle znakomitych obrazów i obrazków poleskich, są w ogólności dość pośpiesznie rzucone na papier i w zbyt ogólnych zarysach przedstawione. A wspomnień historycznych, gdzieindziéj tak wyczerpujących, tu wcale nie spotykamy, z wyjątkiem jednego Grodna; opisy podróżne urozmaicone są tylko uwagami etnograficznémi o granicznéj miedzy wołyńskiego i litewskiego Polesia, a także Polesia i Litwy właściwéj. Istotną zaś zaletę dziełka stanowi różnostronny i wyczerpujący obraz tego ogniska leczniczego, to jest samego miasteczka, zakładu wód mineralnych, znakomité charakterystyki gości, ich zabaw, balów, strojów i t. d. Mamy tu cały kalejdoskop, różnobarwny i różnokształtny tych postaci, z rozmaitych stron kraju zgromadzonych i odwzorowanych z mistrzowstwem, prawie prześcigającém znany nam obrazek, p. t. „Domy i ludzie.“ Z całego tego tłumu chorych i zdrowych, prostaków i niesmacznych strojnisiów, kapryśnych pacyentów i utrapionych przez nich lekarzy, najwydatniéj może góruje typ karyerowiczów i epuzerów, typ naówczas jeszcze tak świeży, zwłaszcza w Druskienikach, że takiemu badawczemu spostrzegaczowi, jak J. I. Kraszewski, dał wyborną sposobność do ujęcia go w sposób niby pobieżny. A cały ten płonący życiem pejzaż, ożywiony stosownie do okoliczności epizodami bądź humorystycznemi, bądź satyrycznemi, bądź uwagami poważnémi, które wypowiedziane są w ten sposób, jak to robił w najszczęśliwszém usposobieniu twórczości w „Obrazach z życia“ lub we „Wspomnieniach Polesia.“ Raz mu np. patrząc na brudy żydowskiego miasteczka, nasuwa się fantastyczna myśl o poznawaniu życia i ludzi ze śmiecia wymiecionego z domu; to znowu z powodu cichego zgonu znanego zbieracza pieśni ludowych, J. Czeczota, wyskoczy z pod pióra obrazek pełen rzewności, w mimowolną zadumę wprawiający czytelnika; albo znowu mówiąc o karciarzach, nasuwa głębszą i poważniejszą myśl: „my jesteśmy w położeniu wcale odmiennem od reszty ludów i krajów, mamy surowsze i świętsze obowiązki; na niezakrzepłéj krwi, na cmentarzach tylu nadziei i kościach tylu pamiątek, godziż się

czas drogi i drogie zdolności marnować bezmyślnie w ohydném, barbarzyńskiém próżnowaniu nad kartami? Kto, siadając do gry, pewny, że wstanie uczciwym człowiekiem?..." Albo wreszcie, z powodu upadku pisma „Ondyny", z boleścią—przymówkę robi Litwinom, za ich zacofanie i nieuctwo klassy szlacheckiéj, za nieznajomość współczesnego ruchu literackiego: „Słyszało się o kimś, o czémś, że mamy „kawałek literatury," że piszą, że coś robią; ale kto, co, na co, po co, dla czego, o tém się nie wié zupełnie. Miałażby serdeczna, poczciwa Litwa, na któréj serce nadewszystko rachować można, nigdy już nie żyć głową i nie podniéść się duchem?"

W „Wieczorach wołyńskich" już nie widzimy kształtu *dziennika* podróży, wraca autor do formy poprzednio używanéj w „Obrazach życia" i „Wspomnieniach Polesia," to jest do wypowiadania myśli w pojedyńczych, ściśle z sobą nie spojonych ustępach. Kształt tylko ten, podług naszego zdania, doprowadzony tu jest do możliwéj doskonałości. I nic w tém dziwnego, treścią bowiem tego utworu jest okolica kraju wszechstronnie przezeń poznana; nie tylko główniejsze czyny i uczucia, ale najcichszy nawet szept myśli, ich pobudek i objawów, podsłuchany i rozważony; talent wreszcie pisarski po trzydziesto-letniéj wielkiéj i różnorodnéj twórczości, w zupełności dojrzały i rozwinięty.

To, co tu do nas, jako do sprawozdawcy podróży, właściwie należy, nosi tytuł „Żytomiérz," o którym jużeśmy słówko we właściwém miejscu powiedzieli — ale głównie tu się stosuje rozdział drugi, p. t.: „*Rysy Wołynia*" (str. 7—47). Jest-to może najdokładniejszy, a przynajmniéj, najudatniejszy opis téj prowincyi. Spotykamy tu: Uściług, Włodzimiérz, Sielce, Poryck, Łuck, Jaroslawice, Młynów, Dubno, Zasław, Stary Konstantynów, Olykę, Klewań, Korzec, Zwiahel, a dodatkowo wspomniano o Krzemieńcu, Owruczu i Kowlu. Wszystko to wprawdzie naszkicowano w lekciuchnych zarysach, *à vol d'oiseau*, ale wypowiedziano z mistrzowstwem prawdziwém, tak, że z tych niby subtelnych konturów w wyobraźni czytelnika odsłania się prześliczna i wyrazista panorama tego wielce urozmaiconego zakątka kraju, w którym, jak powiada J. I. Kraszewski, „jest i step w miniaturze i góry, kto je lubi, i puszcze, i błota, i polesie straszliwe, i piaski z wydmami, i czarnoziem podolski."

Wśród właściwych opisów, jak zwykle wplecione tu są rozmaite spostrzeżenia i uwagi społeczne, jak n. p. o stosunkach rolnika do posiadacza ziemi, do pana, i zabarwione to wszystko kolorytem niekiedy zanadto już jaskrawym, jak to ma miejsce, gdy mówi o zanikaniu obywatelskiego powołania ziemian i handlowaniu majątkami. „Jeżeli kto dobrze zapłaci, sprzedamy majątek, choćby z nim przefrymarczyć przyszło kościółek, postawiony przez dziada z jego kośćmi, pamiątki i najpiękniejsze podania przeszłości. Jak skoro pękł święty węzeł, co nas łączył z dziedzictwem po przodkach i ludźmi na niém osiedlonymi, poczęliśmy kupować, sprzedawać i zmieniać ziemię naszę." Ale wyżéj jeszcze się podnosi ta satyryczna hyperbola w tym oto ustępie: „Kolebką bohaterów możnaby nazwać Wołyń, który wielkiém żniwem wysilony, dziś niestety, rodzić przestał. Szczęśliwy, biedny kraj, zaprawdę! bogaty we wszystko, co Bóg dać mógł, jeno mu ochoty do życia brakuje"....

We wszystkich utworach podróżniczych Kraszewskiego, począwszy od najpierwszych młodocianych jego pism, spotykamy to zabarwienie satyryczne, te boleśne uwagi o upadku klassy szlacheckiéj, ale dopiero w „Wieczorach wołyńskich" podnosi się ta satyra do szczytu potęgi, jakiéj ani przedtem, ani potem nie spotykamy w pismach Kraszewskiego. Powiedziałbym, że jest to głos Perseusza polskiego, gdybym na dnie tych strasznych obrazów nie widział ukrytego wprawdzie gdzieś tam w głębi, ale jednak dostrzegalnego — obywatela kraju; gdybym w pośród tych rozprysków gwałtownych i gromów, ciskanych z wyżyn kapłaństwa i obywatelstwa, — gdybym wśród tego groźnego potępienia, nie czuł serca, miłującego przecie jeszcze tych ludzi i wierzącego w ich poprawę.

Satyryczne epizody „Wieczorów wołyńskich" tém się różnią od wszystkich innych téj barwy ustępów, w tylu jego pismach wypowiadanych, że tutaj ten swój najsilniejszy jęk zranionego uczucia obywatelskiego rzuca on śmiało współziemianom, niby rękawicę rycerz średniowieczny: Niestety! sam jeden pozostał na placu, bo rękawica na ów prastary, rycerski sposób podjętą nie była! A ta pokątna szarpanina, ta podjazdowa intryga i krzyki, i ciskanie z za płotu, jakie towarzyszyły wydaniu „Wieczorów wołyńskich", najlepszym są dowodem nicości przeciwników i wartości, nie tyle może literackiéj, jak jak raczéj społecznéj tego satyrycznego pogromu. Jestto tedy najwyższy, kulminacyjny punkt cierpienia jego, jako miłującego swój zakątek współziemianina; uczucie to tak

drga pulsującém życiem i z takiém sił wyczerpaniem się objawia, że drugi raz w ten sam sposób objawić się, drugi raz narodzić się już nie może, chyba u innego człowieka. Może wprawdzie następnie jakiś przypuśćmy Bolesławita na tysiączne sposoby przekształcać i w rozmaitych odsłonach literackich tęż samą myśl przedstawiać; ale będzie to już artysta, będzie to może wielka tego artysty twórczość, wszakże tyle ona będzie podobna do pierwszego, co malowidło, chociażby najdoskonalsze, do rzeczywistego człowieka: tam było życie, był człowiek; tu sztuka, co oblicze i duszę tego człowieka kunsztownie odtworzyła. I jeżeli w téj ostatniéj podziwiać możemy wysoki artyzm literacki, to jednak zawsze droższym i bliższym nam będzie człowiek, w samém życiu się odbijający.

W ten tylko sposób patrząc, możemy sobie wyjaśnić te pozorne sprzeczności, jakie spotykamy na kartach „Wieczorów wołyńskich“ w odmalowaniu n. p. Zbytku. W rozdziale pod tym tytułem taki poetyczno-satyryczny obraz znajdujemy: „Panowie pierwsi zbytkiem się niszczą, możne domy zmuszone są do utrzymania resztek świetności sprzedawać się i kalać. I inni nie wahają się frymarczyć i żyć cudzą pracą, drudzy sumienie sprzedają..... Podłością nieraz kupiona uczta wspaniała, ostatkiem wiary klejnot, który jutro wydrze rozpusta.... W latach, kończących wiek poprzedzający, patrzymy na te Sardanapalowskie bankiety ludzi, co jutro i przyszłość zjedli i przepili przez jednę noc szału. Lepsiż my jesteśmy i czy nas smutny przykład poprawił? Obejrzmy się, porachujmy. Mamy dziś dwa wielkie obozy: w jednym samo zaprzątnienie zysku i grosza, w drugim komedya dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łączą się w jednę i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiéj.“ Tak mówi na str. 138. Przerzucamy kilkadziesiąt kart wstecz i czytamy: str. 75. „Zbytek tak mało jest potrzebą mieszkańców, że gdyby się kto nań chciał silić, trudnoby żądania wykwintniejsze miejscowemi środkami zaspokoić. Magazyny nie sprowadzają rzeczy zbyt kosztownych, na odbyt ich nie mogąc rachować.“ Str. 98: „Każdy, kto tu (w Żytomiérzu, w ognisku Wołynia) pobył dłużéj, ocenić musiał ludzi: więcéj tu cnót i dobrych popędów, niż śmieszności i złego, wielkie zamiłowanie spokoju, religijność gorąca, pobożność prawdziwa, skromność obyczajów przykładna, pogarda zbytku wiele obiecująca.“ Jakże więc te sprzeczności tłumaczyć należy? Czyż doprawdy taki olbrzym literacki, jak Kraszewski, w jednéj niewielkiéj książeczce krańcowych ostateczności uniknąćby nie zdołał? A w istocie sprzeczności zasadniczych tu niema: ostatnie nasze cytaty, są to słowa mieszkańca kraju, a owa gorzka satyra — to polot fantazyi poety, to rozbujanie artysty, co z okruszyny drobnéj stworzył całe monolity.

Podziwiając przedewszystkiem w Kraszewskim jego obywatelskość, niekoniecznie oddaję temu pierwszeństwo, co artystycznie pięknego, doskonałego pod względem literackim stworzyć on zdołał; dla mnie, jak to w części widział czytelnik, częstokroć jest droższym szkic jego jeszcze nie dość wprawny Romanowa, Lublina lub Świsłoczy, obrazek studencki z życia wileńskiego, — żywa, żywotna krytyka w listach do „Gazety Warszawskiéj“, jakiś wstępny artykuł w „Gazecie Polskiéj“ itd. itd., t. j. w ogólności to, gdzie dostrzegłem więcéj rzeczywistego człowieka, z kośćmi i krwią, cierpiącego lub radującego się na prawdę, a nie artystycznie już te bóle i uciechy powtarzającego. Jestem wielkim wielbicielem wszelkiego artyzmu, ale nadewszystko przekładam życie, zwłaszcza dobrze przeżyte, i tego życia najszczytniejsze, z wyższego natchnienia bożego płynące objawy. Cenię n. p. i pracę, i to, co o pracy różnoczasowo napisał Kraszewski, w kształcie broszurek ludowych, artykułów gazeciarskich, w powieściach, w dramatach i t. d.; ale dopiero kornie schylam czoło w obec pracy i pracowitości cudownéj samego Kraszewskiego.....

Na usprawiedliwienie i wyjaśnienie tego, może trochę dziwacznego poglądu, pozwolę sobie użyć porównania. U muzyka np. w pewnéj szczęśliwéj chwili rodzi się niewiedziéć zkąd, z wyżyn tajemniczych ducha, pewna gruppa tonów, która *melodyą* jakąś stanowi i która w miarę podniosłości tego nastroju duchowego, więcéj lub mniéj długotrwały oddźwięk znajdzie w sercach słuchaczów. Ludzie, znający tajemnice muzyki, jako kunsztu i nauki, ludzie znający *arcana* harmonii, mogą myśl tę melodyjną w nieskończenie rozmaitych przedstawiać przekształtach i kombinacyach muzycznych, mogą oparci na téj podstawie stworzyć względnie wielkie dzieło muzyczne; ale któż zaprzeczy, że główne źródło twórczości w owym pierwszym rodzącym się całokształcie melodyjnym spoczywa? Toż samo powiedziéć można i o twórczości w słowie ludzkiém, a zwłaszcza, jeżeli ta twórczość jest tak przeważnie poetyczna, jak u Kraszewskiego. Otóż ja, ten pierwszy ro-

dzący się *ton* w uczuciu, czy w duchu Kraszewskiego, w obec żywéj przyrody rodzinnéj i żywych ludzi, cenię właśnie najwyżéj, bez względu na więcéj lub mniéj kunsztowny kształt, w jaki się on następnie przyoblecka. I dla tego właśnie, podług naszego zdania, przywiązywać należy szczególną wartość do „Wieczorów Wołyńskich,“ że były one rzeczywistego życia najprawdziwczém odbiciem, były łabędzim śpiewem, kończącym jego zawód wołyńskiego obywatela rolnika, kuratora gimnazyum żytomierskiego i kierownika teatru miejscowego,—a zarazem są i dla nas epoką, zamykającą okres podróżopisarstwa krajowego.

Z tego ogólnego przebiegu pism Kraszewskiego widzimy, jak rozmaite wytknął *szlaki podróżnicze* w literaturze naszéj, jak rozmaitych dotknął w nich stron życia współczesnego i wspomnień przeszłości. Do nich dodać jeszcze należy ostatnią jego podróż przez kraj w przedsięwziętéj podróży za granicę, o któréj w „Kartkach z podróży“ jest mowa t. j. z Żytomierza przez Zwiahel, Dubno, Łuck, Włodzimierz, Chełm, Lublin do Warszawy, a następnie do Krakowa, opisowi którego cały jeden rozdział poświęca. We wszystkich większych czy mniejszych szkicach podróżnych, przy każdéj nadarzającéj się sposobności, stara się Kraszewski notować i oceniać zabytki *sztuki*, których był niepospolitym znawcą. Nie mając odpowiedniéj kompetencyi, o wartości tych jego zarysów sztuki naszéj mówić tu nie będziemy,—dla uzupełnienia jedynie naszego obrazu sprawozdawczego nadmieniamy, że ze wszystkich sztuk pięknych najmniéj spotykamy wzmianek o muzyce, co zresztą, jako u podróżnika, łatwo się tłumaczy. Częściéj bywa mowa o architekturze, a zwłaszcza o malarstwie. Przyszły autor „Ikonotheki“ od najpierwszych lat pisarskiego zawodu, znać skrzętnie gromadził materyały do przyszłego wielkiego obrazu malarstwa w kraju, — tak tu wszystko starannie postrzegał, notował i, jak się zdaje, umiał krytycznie oceniać wszystko, na cokolwiek patrzył. Wreszcie co do budownictwa, to w pismach jego podróżniczych spotykamy szkice niekiedy dość pobieżne i, jakbym sądził, nie zawsze usprawiedliwione. Stosuje się myśl ta do pierwotnych jego podróży, jak np. wymieniłbym opis katedry wileńskiéj w II tomie „Obrazów z życia.“ Nie podoba mu się ona, że w dzisiejszym swoim stanie niema charakteru zwykłych świątyń katolickich, pospolicie u nas spotykanych, nazywa ją trochę ironicznie „panteonem greckim,“—a jednak nie dodaje tego, że ten panteon jest prześliczny i że niewiele zapewne ma sobie podobnych świątyń na ziemi naszéj.

Z pośród tych wszystkich żywiołów, napotykanych w jego podróżach, sztuka *malowania krajobrazów* rodzinnych, bez wątpienia, najwyższéj jest wartości, dosięga bowiem— w tym razie szczytu artyzmu pisarskiego. Sztuka ta, równie jak i inne strony talentu Kraszewskiego, stopniowo wzrasta i doskonali się. W obrazkach pierwotnych, autobiograficznych, widzimy ogólne grube zarysy przyrody: taki np. jest Romanów, miasteczko i zamek Bialski, opis starożytnéj części Lublina, może tylko nieco żywszy obrazek Świsłoczy. W tomie drugim „Obrazów z życia“ widzimy tenże zbyt ogólnikowy jeszcze sposób szkicowania przyrody w ustępach „Spojrzenie na miasto“ i w „Przechadzkach,“ gdzie bez wyraźniejszego talentu maluje cudne okolice Wilna: Popławy, Jeruzalem, Betleem, Zakret, Pohulankę, Antokol i inne, a wreszcie dalsze okolice, jak: Werki, Kalwaryą. We „Wspomnieniach Polesia, Wołynia i Litwy“ żywioł ten opisowy nabiera już wyrazistości, barwy i wdzięku, niema tylko jeszcze téj siły i potęgi słowa, jakie późniéj się znajdą. Takie np. są ustępy: „Osowa Felińskiego,“ gdzie jest udatniejszy obrazek nudnéj fizyognomii wołyńskiego Polesia; „Lasy poleskie,“ a zwłaszcza obraz Pińszczyzny, gdzie mamy piękną charakterystykę „tego lasu łozy, sitowia i oczeretu, splątanego, jak kołtun piński,“ obraz owych karczemek przydrożnych przedpotopowéj konstrukcyi i wyrazu dziczyzny i opustoszenia, jaki zewsząd okala widza. Co jednak głównie wartość krajobrazów podnosi, to ów żywiół subjektywny, owo odmalowanie swego usposobienia w tych obrazach. J. I. Kraszewski nie krępuje się tu niczém, nie pogardza nawet zanadto widoczną przesadą, jak to ma miejsce w opisie téj saméj Pińszczyzny, owéj jak nazywa „dziury niezmiernie interesującéj.“ Tu wszystko jest kulawe, garbate, złe, podarte, rachityczne, brzydkie. „Chaty do połowy w ziemi, lud chudy i nawpół nagi, dzieci z rozczochranemi włosami, psy nawet chude i najeżone“.....

Stopniowo zaś coraz baczniéj zaczyna się przyglądać rysom przyrody go otaczającéj, coraz subtelniejsze widzi odcienie gry światła i ruchu żywiołów natury; a obdarzony wielkiém czuciem artysty i uczuciem obywatela kraju, z dwojga tych pierwiastków umie wydobywać coraz wyższe pomysły, coraz głębsze uczucia, widokiem przyrody wywołane, coraz pełniejsze, bardziéj wykoń-

czone w szczegółach i plastyczniéj przedstawione pejzaże. To wypełnienie w szczegółach, to zbadanie umiejętne natury widzimy następnie nawet w tych utworach, które z natury swojéj musiały być więcéj pobieżne, więcéj szkicowane tylko. Za dowód przytoczyłbym dziennik podróży do Druskienik, mianowicie wyjazd z Kowla, Ratno i następny obraz Polesia, „z piaskami żółtemi, poplamionemi sosninką ciemną, poprzecinany brodkami i błotkami.“ Posępne to oblicze, pełne nieopisanéj surowości i ponurych obrazów z wielką prawdą i sztuką jest ujęte. „Zdaje się, że tu wszystko wymarło, nawet ptactwo... szorstkie tylko wiszary szeleszczą w błotach, woda leniwie się sączy po rowach, szumią drzémiące sosny, ziewają żółte piaski.“

W ogólności opisy miast mniéj umiejętnie malował J. I. Kraszewski, niżeli przyrodę wiejską, ale i miasto nawet, w dojrzalszéj epoce pisarstwa swego, odtwarzać umiał niekiedy znakomicie. Dość wspomniéć opis Żytomiérza w „Wieczorach wołyńskich,“ opis Odessy i jéj okolic. Wszakże zupełny rozkwit talentu jego i cała olbrzymia skala sztuki pejzażowania przyrody, rozwinęła się dopiero w licznych powieściach jego. Pomijamy je tedy, jako leżące poza obrębem artykułu naszego, — to tylko nadmienimy, że we wszystkich utworach podróżniczych największém mistrzowstwem malowania krajobrazów nacechowane są te główne ustępy, w których szczęśliwie się kojarzy żywioł właściwie opisowy z uczuciem, z wrażeniem, jakie on w danéj chwili na autora wywiera. Oprócz licznych takich obrazów swojego kraju wskazałbym pod tym względem na opis, po raz pierwszy w życiu widzianego przezeń widoku morza we „Wspomnieniach Odessy,“ zaczynający się od słów: „Stanąłem osłupiały, a serce biło mi i t. d.“ (str. 175 i dal., tom I). Ustęp ten pod względem żywości kolorytu i szczytności obrazów zaliczyćby można do najpiękniejszych opisów, jakie wyszły z pod pióra J. I. Kraszewskiego, i przewyższa go chyba jeden tylko opis podróży z Wiednia przez Semmering do Tryestu w „Kartkach z podróży.“ (T. I, str. 48 i dal.).

Z tego wszystkiego, co się powiedziało wyżéj, czytelnik łatwo może wywnioskować, że J. I. Kraszewski w zupełności odpowiedział temu obszernemu zakresowi podróżopisarstwa, jaki sam sobie wytknął: stworzył podróżo-pisarstwo artystyczne, w którém z talentem dotąd u nas nieznanym, odsłania najrozmaitsze obrazy ziemi naszéj i wydobywa skryte w niéj skarby sztuki, uchyla zasłonę przeszłości i z niéj naukę dla współczesnych czerpie. A ponieważ była to epoka demokratyzowania się społeczności i siłą samych wypadków znikania wielkich niegdy postaci magnatów naszych, ztąd J. I. Kraszewski robi częste apostrofy ku panom, niekiedy groźnie ich karci, przypomina zatracony przez nich ideał obowiązków społecznych i nieustanne robi wycieczki ku przeszłości, żeby nawiązać rwące się ogniwo przed i porozbiorowych czasów, bierze w opiekę lud wiejski, wytyka wady mieszczaństwa, o ile było ono nieswojskiém i wyzyskującém siły krajowe, nielitościwym biczem satyry chłosta dorobkowiczów, ale tych tylko, co byli ujemnym wytworem nowoczesnym; a ideały przedstawia w wyższych pojęciach wyzwolonéj pracy krajowéj, chrześciańskiéj miłości i europejskiego postępu, bez różnicy wszelkich klass społecznych.

W końcu nadmienić musimy, że, mówiąc o rozmaitych żywiołach piśmiennictwa podróżniczego Kraszewskiego, nie wypadło nam jakoś uwydatnić jego strony religijnéj. A wszak Kraszewski nie tylko był artystą, malarzem rodzimego kraju, badaczem jego przeszłości, ale zarazem był téj przeszłości nieodrodnym synem, umiał być i *pątnikiem w dziewiętnastym wieku.* Dziesięcio-wiekowéj cywilizacyi chrześciańskiéj owoc, duch nasz religijny, jaśniejący promienném światłem poświęcenia i miłości, w najpodnioślejszych dobach historyi naszéj, wiekowy ten nastrój religijny *nie mógł się wyosobnić* i w takim wielkim tego narodu synu, jakim jest Kraszewski. To téż widzimy, że świadomy tajników mądrości ludzkiéj od Arystotelesa i Platona do Hegla i Trentowskiego, umiał jednak Kraszewski wznieść się wyżéj po nad te prawdy ludzkie i prawdy wyższéj, niezmiennéj szukać w religii, a może nawet w tém wszystkiém, co tę prawdę symbolizuje i uprzytomnia. Inni na tém miejscu wyświetlą różne strony jego religijności i filozoficznych poglądów; jako sprawozdawca podróży mam tylko obowiązek przypomniéć, że w wielu miejscach swoich podróży J. I. Kraszewski uwydatnia nie tylko istotę religii, ale i naszę symbolikę religijną. Tak np. jeszcze w „Obrazach z życia i podróży“ mówi nie tylko z uznaniem o czci Matki Bozkiéj, ale i o jéj obrazach i obrządkach, rozproszonych po świątyniach i po domach naszych, kreśli nawet całą genezę téj czci, o ile ona dla nas odwieczne dziejowe i narodowe miała znaczenie. „Zwano ją królową i była

serc pobożnych panią. Mnóztwo cudownych Bogarodzicy obrazów, rozsypanych było po kraju; w każdém miasteczku, w każdym kościele widziałeś czarny obraz w ołtarzu, osłoniony potrójnémi bogatémi firankami, obwieszony mnóztwem błyskotek, korali, pereł, ubrany w złocistą sukienkę z koroną na głowie, dokoła wyobrażenia serca, rąk, nóg, głowy, albo czworogranne złote i srebrne blachy; strojny w kwiaty robione i żywe, u którego stóp i ofiara ubogiego chłopka z trochy lnu i kawałka płótna i pierścienie dyamentowe, które bogaci składali.

Pierwsza stara pieśń duchowna do dzisiaj była o Bogarodzicy. Ta Matka Bozka wybierała sobie ulubionych z najbiedniejszych, z ubogich, z tych, którym świat ciężkie jarzmo pracy i niedoli nałożył, a oni je dla miłości bożéj nieśli, dziękując za krzyż swój" („Obrazy z życia i podróży," t. I, str. 47, 48 i 49).

J. I. Kraszewski po dwakroć odbywa podróż do Częstochowy a owocem téj jego pielgrzymki jest nietylko „*Oblężenie Częstochowy*," owa dokładna relacya Gigantomachii, przypisywanéj Kordeckiemu, ale głównie znakomity utwór p. t. „*Kordecki*." Jestto przepyszna apoteoza człowieka silnéj wiary i potężnéj woli, mnicha-bohatera tworzącego cuda z drobnych okruchów, wlewającego życie i energią nawet w istoty słabe i na duchu upadłe. „Wielki, wielki jest wpływ człowieka, powiada o nim J. I. Kraszewski, co słowem jak dłonią olbrzyma, dźwiga serce i podnosi wysoko; czują ludzie wyższość, podbici nią milczą i wstyd im zeznać się słabymi w obliczu siły,—pną się do niego i choć pozornie, chcą mu dorównać" (Kord. T. II, str. 119).

Przerzucając karty téj literackiéj apoteozy i téj promiennéj aureoli, jaką Kraszewski okolił pamięć Kordeckiego, czytelnik od pisma samego mimowolnie zwraca myśl ku autorowi. Bo wszak i Kraszewski miał wielki przymiot, co jedynie tworzy cuda, miał wielką miłość i pokorę chrześciańską: czując w piersi swojéj całe ogromy wibrujących sił, mogąc przewodzić tłumom tytaniczną twórczością swoją, która rzuciła w świat nieznaną dotychczas na świecie ilość myśli wzniosłych, nieznaną ilość dzieł różnego rodzaju; mimo to jednak umié upokorzyć się po chrześciańsku przed potęgą nieco wyższą od najwyższych potęg ziemskich, umie zgiąć kolano przed Bogiem-człowiekiem, przed Matką Bozką i u Jéj stóp szukać pociechy, ukojenia, miłości i sił nowych do coraz nowéj pracy dla społeczeństwa swego.

— Na Jasnéj Górze, przed obrazem Matki Bozkiéj, obok ofiar ludu naszego, od wielu wieków składanych, są *dwa srebrne pióra*, jako wotum złożone po obu stronach wizerunku. Pytałem się u miejscowych ludzi, czyje to są ofiary? Odpowiedziano mi, że podobno to są dary Hoffmanowéj i Kraszewskiego. Chciałbym wierzyć, że jedno z nich jest ofiarą Kraszewskiego, bo chyba tym tylko sposobem, wyjaśniłbym sobie zdołał tę cudowną siłę jego twórczości: że wiecznie żywa, wiecznie płonąca ogniem miłości, nieustanna modlitwa ludu naszego wymodliła ten cud, iż to pióro, po upływie półwiekowego olbrzymiego trudu, dotąd ani się złamało, ani nawet zużyło i promienieje zawsze cudownem życiem i siłą na chwałę kraju.

Antoni Bądzkiewicz.

ARCHEOLOGIA.

I.

Sztuki piękne w dziełach J. I. Kraszewskiego.

Cztery dzieła Kraszewskiego: *Sztuka u Słowian*, *Ikonotheka*, *Kartki z podróży i Sfinx*, uważać należy za wykład pojęć o sztukach plastycznych, ułożony w szereg rozwijający je coraz szerzéj.

Zapatrywać się na nie tedy należy, jak gdyby jednocześnie i w jednéj chwili z pod pióra autora a raczéj z pod jego serca wytrysły; chociaż bowiem powstały w różnych epokach i nie w tym porządku ukazały się z pod prassy, w jakim je tu ułożyłem, stanowią całość jednolitą pod względem założeń duchowych.

Najpierwszém z tych dzieł był *Sfinx*, ostatniém zaś *Kartki z podróży*, a jednak rozbiór szczegółowy wskazuje w obudwu téż same pojęcia co do celów, dążności i dróg pracy estetycznéj.

Dla czego odmieniłem porządek chronologiczny, a przyjąłem systematyczny i dla czego za systematyczny uważam tu wskazany? odpowiedziéć muszę.

Najprzód sam autor w przedmowie do *Ikonotheki* uważa *Sztukę u Słowian* za wstęp do słownikowego zbioru *Notat o sztuce i artystach* w Polsce, to jest do Ikonotheki i z tym zamiarem ją pisał, stawiając jako założenie, zdanie, iż „pierwsze uderzenie dłuta lub siekiery, które kloc nieociosany rzeźbi w kształty foremne, jest już ziarnem przyszłości sztuki.“

Następnie, gdyby tego był autor nawet z osobna nie zaznaczył, sama treść dzieł, gdy na nie spojrzymy, uogólniając sobie pojęcie o nich, na ten układ systematyczny naprowadza, pierwsze bowiem do drugiego, ma się, jak zaród do dojrzałego owocu.

W podobnym stosunku znajdują się do siebie *Kartki z podróży* i *Sfinx*. Pierwsze opowiadają wrażenia estetyczne podróżnika-poety, w drugim jest jakoby tych wrażeń i pojęć streszczenie, jakoby sens moralny, zwarty w obraz obyczajowy na tle tych pojęć osnuty.

Jakże się to jednak stało, gdy *Sfinx* poprzedził *Kartki z podróży* i podróż samę o jaki dziesiątek lat? Oto najwyraźniéj autor tych dzieł obudwu, wprzód nim pierwsze z nich na świat wydał, był estetycznie już tak wyrobiony i z historyą sztuki tak głęboko obeznany, że podróż stała się tylko sprawdzeniem na miejscu tego, co już dawno znał teoretycznie, utwierdzeniem pojęć mocą talentu przeczutych, lub zasad, których zręby religia, nauka, historya i poezya, dawno już w duszy i sercu autora były położyły, a które ogrzane gorącą miłością piękna, w słowo się zamieniły.

Na potwierdzenie tego zdania nie mogę lepszego przytoczyć świadectwa nad słowa Kraszewskiego zamieszczone w przedmowie do całkowitego wydania *Sztuki u Słowian* [1]):

„Nie miałem w życiu mojém godzin miléj i silniéj zajętych, nad te, które poświęciłem ulubionemu przedmiotowi: sztuce i starożytnościom.“

Takie zamiłowanie do sztuk, w czasach, w których się do niego Kraszewski tak otwarcie przyznawał, było iście fenomenalném, było przeczuciem iście wieszczém tego ich rozwoju, który się przed naszémi oczyma obecnie przesuwa.

Wszakże w téjże saméj Tece Wileńskiéj w tomie III, do którego dodaną była Ikonotheka, pisze Buszczyński (str. 311): „każ-

---

[1]) Początek téj rozprawy pod tytułem *Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześciańskiéj* ukazał się przy *Tece Wileńskiéj* na 76 stronnicach. Całkowite wydanie ma stron 363 i stanowi oddzielny tom, wydany w Wilnie w r. 1860.

dy dziś u nas z ochotą kupi okazały powóz, dobre konie, wygodne meble, przegra znaczną summę w karty lub strwoni przy wesołéj wieczerzy ze współobywatelami, ale na kupno posągu, rzeźby, obrazu nigdy równéj kwoty nie wyda.“ W tymże samym czasie Kraszewski ślęczał nad szpargałami, nad rozbitémi urnami, napełnionémi kośćmi i popiołem, aby z nich wykrzesać ten ogień, to życie duchowe, to światło, do którego dążył zawsze i wytrwale, w tym samym czasie należał do téj małéj liczby pisujących sprawozdania z budzącéj się podówczas w bardzo skromnych objawach nowéj epoki sztuki krajowéj, w czasie owym i sam w godzinach rozrywki rękę przykładał do ołówka i pędzla, praktycznie uprawiając to, co pragnął teoretycznie objaśnić i rozwinąć.

Prawdziwą téż miłością sztuk natchnione długoletnie badania, poszukiwania i estetyczne dążności, złożyły się na dzieło:

„*Sztuka u Słowian, szczególnie w Polsce i Litwie przedchrześciańskiéj.*“

Co i w jakiéj mierze przybyło do skarbnicy wiedzy narodowéj za pośrednictwem tych badań i wywodów? oto pytanie, które sobie tu stawiamy, oto teza, którą rozebrać mamy.

Z obsłonek retorycznych, z pośród szeroko rozwiniętych dowodzeń i przytoczeń materyałow starożytniczych, wyłuskać musimy ziarno zasad, wniosków i ostatecznych wyników badań.

Puśćmy myśli nasze drogą, jaką prawdopodobnie przejść musiał umysł autora.

Miłujący matkę syn znalazł się w obec faktów dowodzących, iż poczucie piękna, pojęcie tego, co szlachetne, wzniosłe, doskonałe, jest bardzo głęboko w duszy jéj wkorzenione, cóż więc prostszego jak, że zapragnął w obyczaju i obliczu praojców poszukać zadatków tego, co się urzeczywistnia lub co o istnieniu swém przedwiekowém wyraźnie świadczy. Idzie tu o uprawnienie owocu prac wiekowych, na które zawistni bez ustanku czyhają, o prawo własności i spadku moralnego i materyalnego po odwiecznych naddziadach, o wszechstronne i w najodleglejszą przeszłość sięgające zastrzeżenie tych praw.

Szeroka podstawa do odszukania faktów znalazła się w badaniach wielu historyków. Podstawę tę geograficzną przypomina autor dochodzeniami i zestawieniami wiadomości o mogiłach i żalnikach, o znajdywanych urnach i kościotrupach, wyprowadzając z nich wniosek, że pomniki tego rodzaju trafiają się w Słowiańszczyźnie „na dość znacznéj przestrzeni“ (str. 27), a do czego mybyśmy dodali ściśléj już określone dalszémi przytoczeniami granice: Łabę, Odrę, Dniestr, i Dźwinę, Bałtyk i Adryatyk.

Duchowy i uczuciowy punkt wyjścia zawarowany tu mamy następującémi słowy: „Historya sztuki jest tylko jedną stronnicą powszechnych dziejów myśli ludzkiéj.“ Estetyczny zaś pierwiastek sztuki tych epok przedhistorycznych podniesiony i powołany do świadczenia o sobie twierdzeniem, że „gdzie tylko jest myśl odtworzenia piękna pojętego w duszy, już jest zaród sztuki“ (str. 10).

Około téj podstawy jedności geograficznéj szerokich ziem słowiańskich, około téj drugiéj, że ludy, które miały pewien stopień cywilizacyi, godne są, abyśmy o owocach ich cywilizacyi mówili, i około tej trzeciéj, iż objawy najskromniejsze nawet należy brać na uwagę, obraca się cały szereg spostrzeżeń nieraz głębokich, nowych (jak twierdzenie stanowiące zasadę książki) a zawsze nacechowanych miłością przedmiotu i bezstronnością prawdziwego historyka.

Co zaś jest téj książki filozoficzną ozdobą i punktem wyjścia najważniejszym, to zasada wygłoszona na str. 10, a zawierająca ni mniéj ni więcéj, tylko całe wyznanie wiary zupełnie prawie identyczne z główną zasadą filozofa sztuki, wsławionego francuza Taine'a, który pierwszą swą książkę *Philosophie de l'art*, za którą poszły *Philosophie de l'art en Grèce i en Italie* napisał w pięć lat po całkowitém wydrukowaniu *Sztuki u Słowian.*

Zestawmy tu dwa zdania. Kraszewski pisze: *cała sztuka rodzi się z myśli, ducha i na nich spoczywa. Duch ten, gdy ma się cieleśnie objawić, zależy i od wykształcenia i usposobienia indywidualnego artysty, przez którego dłoń na świat wychodzi, i od charakteru narodowości, któréj on jest cząstką, i od ducha czasu, wśród którego żyć mu dano.*

Po przejściu przez podobne fazy rozumowania Taine dochodzi do wniosku (na str. 13), który tak brzmi: *Nous arrivons donc à poser cette règle, que pour comprendre une ouevre d'art, un artiste, une groupe d'artistes, il faut se représenter avec exactitude l'état général de l'esprit et des moeurs du temps, auquel ils appartenaient.* Taine słynie jako filozof sztuki, czyż nie większa chluba należy się autorowi Sztuki u Słowian, który to zdanie wprzód wygłosil?

Wyżéj przytoczone słowa Buszczyńskiego objaśniły nas już, jaką była chwila, w któréj Kraszewski tak gorliwie i z taką miłością badaniom sztuk pięknych poświęcał

się. Pamiętamy to nareszcie wszyscy, którzyśmy do szczęśliwie dzisiaj krzewiącéj się sztuki rękę przykładali, z jak opornym żywiołem społecznym miało się do czynienia, jak tylko miłością sztuki natchniona, przez zapory różnostronne, siłą ramion a raczéj serc gorących, darła się falanga przewodników w górę i naprzód. Wszakże ostatnią smutnéj pamięci kopią w walce z rzekomą czarną marą artyzmu złamał w niby ultra-tradycyjnym i ultra-historycznym artykule Klaczko w r. 1857. Było to wprawdzie ostatnie drukowane wystąpienie odmawiające narodowi polskiemu wszelkich estetycznych uzdolnień plastycznych, ale było, i nie przeszło bez oddźwięku pomiędzy sceptykami.

Był to właśnie rok, w którym po raz pierwszy w Tece Wileńskiéj ukazała się część: „Sztuki u Słowian", jako wstęp: „Ikonotheki", dzieła, które miało przedstawić cały obraz życia sztuki i artystów w Polsce.

Estetyczne usposobienia gwałtem przedzierały się przez tumany, jakiemi politykujący teoretycy olśniewali zdumione tłumy, bo oto w tymże samym roku 1857 Towarzystwo Naukowe krakowskie ogłasza konkurs na zadanie: „Jakie są cechy charakterystyczne sztuki w Polsce". Mowa tu naturalnie była w zadaniu przedewszystkiem o sztuce dawnéj, do określenia cech któréj za mało jeszcze i dzisiaj po 20 latach mamy nagromadzonych materyałów; wspominam tylko o tém dla tego, że to było znamieniem epoki i że pobudzało w każdym razie umysły poważne i głębokie, w badaniu zamiłowane, do zajęcia się przedmiotem, dla wielu zupełnie nowym i jakoby nie znanym.

Pierwszy raz w języku polskim głosiła *Sztuka Słowian* takie zdania np. jak to: że *mogiła* usypana, jako pomnik, jest dziełem sztuki na równi z piramidą, ponieważ nie została uczyniona z jakowéjś potrzeby, ale w celu zaspokojenia potrzeby duchowéj. Pierwszy raz téż o liniach ornamentacyjnych na starożytnych wyrobach kamiennych, bronzowych i żelaznych tak szerokie i wyczerpujące wypowiedziano wywody, jak te, że:

Spiralna linia, jako symbol nieskończoności, wydała *spiralną podwójną*, kolistą, i ozdoby *falowate*, które stanowią cechę charakterystyczną *Epoki bronzowéj* czyli rozpowszechniających się wyrobów z bronzu; że *Epoka żelazna*, odznaczająca się foremniejszemi zwojami, splotami i wężowemi smokami, jest już najbliższą naszéj epoki nowożytnéj chrześciańskiéj w Polsce.

Bystry a głęboki umysł, wzbogacony wiadomościami bardzo wszechstronnémi, sięgający po materyał do badań, gdzie się tylko dało, wzmianek dziennikarskich nawet nie pomijał, aby dla wykarmienia teoryi swéj znaléźć materyał różnorodny.

Poczynając wyszukiwać śladów budownictwa w izbach grobowych z głazów i belek, nie pomija i trwalszych pomników, jak kamienne groty „Urycza" i „Polanickich Bołdów," aby wrócić znów do gontyn i opisanych obszernie przez kronikarzów ościennych świątyń Słowian nadbaltyckich: Pomorzan, Lutyków i Polan.

Adam Bremeński, Thietmar i Helmold, nienawidzący Słowian a w szczególności Polaków, niemieccy kronikarze, właśnie dla tego godni są wiary, iż raczéj ująćby coś z świetności i zalet dzieł sztuki Słowian gotowi byli, niż dodać; na ich téż podaniach opiera się Kraszewski, zestawiając bożyszczami pokryte świątynie tych praojców pogańskich z budowlami prawnuków, którzy domy rzeźbami figurowémi pokryte w mieście Kazimierzu dolnym nad Wisłą pobudowali.

Dowiodłszy, iż niebrakowało kamiennych i murowanych świątyń na téj starą cywilizacyą kwitnącéj ziemi, przechodzi do zbadania, jakiémi mogły być zamczyska, dwory i chaty w owych wiekach odległych.

I tu bogaty materyał nagromadzony; że nie zupełny, że zatem i wnioski z niego nie wszystkie utrzymać się mogą, to zaprawdę nie może iść na karb winy autora, który nie mógł do uwag swych wciągnąć innego materyału, jak istniejący, którego jest nie wiele, a i tego istniejącego największą ilość sam niewątpliwie zgromadził.

Rzeźba ma swój dział osobny, o którym zwłaszcza Swantewitowi Arkońskiemu, opisanemu przez Saxo-Grammatyka, i drugiemu znalezionemu w Zbruczu obszerne poświęca wywody. O ile wysoko ceni pierwszego, znanego li z kronikarskich opisów, o tyle ostatniego za mierny poczytuje wyrób, a nawet nie bożyszczem, ale przydrożnym tylko zwie go słupem.

Ustępy to wielce ciekawe, w których i malarstwo nie zostało zapomnianém, a to nietylko, jako idące w pomoc rzeźbie pierwotnéj, przez malowanie i złocenie bożyszcz, ale téż jako samodzielnie wyrażające się w malowidłach bożków i bogiń na chorągwiach. Ustęp ten zamknięty jest zdaniem, wybornie określającém tę prastarą epokę sztuki:

„Myliłby się wielce, ktoby tu szukał w sztuce rozwiniętéj całkowicie długą uprawą, właściwéj piękności, ale ślepymby był, ktoby nie postrzegł energicznego wydania myśli, środkami w epoce téj stosownemi."

Jeden z szerokich ustępów zajmuje rozprawa o Babach, których niepewne i nie objaśnione pochodzenie uznaje autor, uważając słusznie ich znaczenie w sztuce za żadne i bez wpływu.

Popielnice i wykopaliska, szczególnie bożyszcza Prylnickie, nie mogły nie zwrócić uwagi piszącego o sztuce u Słowian, chociaż, nie wchodząc w dowodzenie autentyczności tych ostatnich, ze stanowiska czysto tylko artystycznego nad niémi się zastanawia, mniéj nad urnami się zatrzymując.

Sprzęty, oręż i ozdoby strojów stanowią ostatnią gruppę przedmiotów rozbieranych.

Naczynia znalezione na ziemi Dulebian w kształt głów zwierzęcych wyrobione, są jednym z ciekawych téj części ustępów a przypominają starożytne greckie a nawet egipskie, świadczą więc o znacznym stopniu uobyczajenia ludów słowiańskich w czasach bardzo odległych.

Na podstawach też wszystkich wzmiankowanych odkryć oparte jest twierdzenie (na str. 380), iż co do utworów sztuki Słowianin stał na równi z otaczającemi go ludami współczesnemi.

Zakończenie nareszcie w gorących słowach streszcza całe znaczenie naukowe, społeczne i estetyczne pozostałości po zapomnianych stuleciach.

„Z drobnych okruchów i szczątków niedogniłych i niedopalonych odbudowywać potrzeba i zgadnąć całą zaginioną epokę. Ale z nich nawet widoczna, że idea piękna budziła się już zawczasu u Słowian, że się wyrazić usiłowała, że ideał jakiś marą i widziadłem snuł się już pod czaszką wieśniaka i wojownika.....

„Nad grodami jego powiewają malowane *stanice*, w świątyniach stoją strojne i błyszczące *Sławany* a maleńki bożek z bronzu ulany, wymieniany u kupców zamorskich lub wylepiony w kraju, strzeże kąta téj domowéj *Kontyny*, świątyni rodzinnego kraju.

„Ogólném piętnem téj epoki sztuki słowiańskiéj, zwłaszcza w przedstawieniach bóztw, jest obok wyobraźni, pełnéj bogactwa a skromnéj i trzeźwéj, wyraz potęgi i siły raczéj, niż wdzięku.“—

Ikonotheka, zbiór notat o sztuce i artystach w Polsce.

Autor w przedmowie oznajmia, iż rozpoczął pracę swą na długo przed *Słownikiem malarzów Rastawieckiego* i przed wyjściem *Wiadomości o sztukach pięknych w Polsce Sobieszczańskiego*, podjąwszy olbrzymią pracę skatalogowania wszystkich, o ile można dzieł i prac artystów, rytowników, rzeźbiarzów i budowniczych, bądź Polaków, bądź dla Polski pracujących cudzoziemców. Ztąd poszło, iż stać się miała ta książka monografią zupełną, mieszczącą w sobie wszystko, co nietylko zewnętrznego pozoru Polski dotyczy, ale co i w jéj wewnętrzne sięga życie. W téj już próbie, którą stanowią dwie pierwsze litery niedokończone, mieszczą się grobowce, ambony, ubiory, sposoby wyobrażania śś. Pańskich, uzbrojenia i t. p.

Że zaś tylko początek mamy wydany, to niewątpliwie stało się z powodu niedostatecznego zajęcia, jakie ta praca obudziła, a może i z powodu wydanych w tych czasach dzieł podobnéj treści, o których na początku wspomnieliśmy.

Żałować należy, że zamiar tak wyborny nie został przez autora do skutku doprowadzony, plan wprawdzie rozległy pociągnąłby za sobą olbrzymią pracę, byłby to wszakże pomnik godny założenia i autora, przeniknionego we wszystkiém, co czyni, wyższémi zasadami piękna i prawdy duchowéj. Pomiędzy tém *A* poczynającém notaty a *Bellottim* na 96 stronnicy zamieszczonym i kończącym ją, znajdujemy dowody wybornego opracowania przedmiotu. Życiorys Bacciarellego, o którym z Rastawieckiego jednostronne tylko mieć możemy pojęcie, tu krytycznie obrobiony i rozświecony poglądem pełnym trafności. Oto jest zdanie Kraszewskiego o Bacciarellim, na które niezbyt głęboki umysł Rastawieckiego nie mógłby się był zdobyć.

„Bacciarelli jest rysownikiem zręcznym tylko, kolorystą słabym, kompozytorem bez wzniosłości i ognia a malarzem w ogóle więcéj odznaczającym się wdziękiem, niż prawdziwą pięknością i siłą. Wszystko u niego zamglone, za słabe, wydelikacone się przedstawia; barwy harmonijne, ale harmonia ta otrzymana kosztem potęgi, kompozycya więcéj wyuczona, niż natchniona. Jest to słowem jednem artysta z rzędu tych, u których ogromna łatwość w pracy, wprawa i wdzięk, płacą za wszystko.“

Stanowisko swe zastrzega autor wybornie w ocenieniu działalności budowniczego *Aiguera* (str. 8 i 9); miłośnik starożytności i sztuki polskiéj, gorący orędownik swojskości, wybucha w obronie jéj słowami, w których z pod chłodnego popiołu grzeczności świecą skry oburzenia.

Aigner zrobił był plan takiego przebudowania Sukiennic krakowskich, iż portyki otaczać mające budowlę zupełnieby jéj charakter były zatarły; z tego powodu czytamy w Ikonothece tak sformułowane zdanie o tym budowniczym:

„Nie myślimy bynajmniéj uwłaczać zasługom Aignera, jako architekta, ani wymagać od niego, by inaczéj sztukę pojmował, niż ją za jego czasów rozumiano, lecz dodać tu należy, że jego zamiłowanie starożytnych, nic mu nad ich dzieł doskonałość widziéć nie dozwalało. Ztąd wszystko, co stawił, piękne, ale naśladowane i zimne; a budowy te regularne, nie poszlakowanych linii i proporcyi, ani uderzają, ani mówią do patrzącego, chyba wspomnieniem nie naszego kraju i czasów.“

Idea, duch, uczucie szczere, niekłamane, prawda w życiu i sztuce, oto zasady na których niewzruszenie stoi Kraszewski. Prostą szczerotę bogdaj dzikich lub na wpół ucywilizowanych ukochać jest w stanie, do serca przycisnąć gotów; wypieszczoną zaś obłudą światową brzydzi się, rzemieślnicze naśladownictwo, pokrywające się płaszczem artyzmu, piętnuje cechą, na jaką zasługuje. Te czyste pojęcia estetyczne przenikają każdy ustęp, każdy zwrot, i sprawiają, że czytając czy to Sztukę u Słowian, czy przeglądając notaty o sztuce i artystach, doznaje się wrażenia, jakie nas napawa, gdy oddychamy czystém a wonném powietrzem pól i łąk, gdy się rzeźwimy kryniczną wodą górskich zdrojów naszych. Szkoda, że *Ikonotheka* zaledwie zaczęta, wszakże tak zaczęta służy jako wzór, jakby ją daléj poprowadzić i dokończyć należało. Tém łatwiéj zrobićby się to dało, że, jak nam wiadomo, dalszy rękopism znajduje się w rękach pp. Kirkora i Bartynowskiego w Krakowie, a katalog dzieł sztuki, znajdujących się w zbiorach Kraszewskiego, ogłoszony w Dreźnie, dalszą pracę wielceby ułatwił.—

Sfinx mieści w sobie założenie, którego dowodzenie stanowi przedmiot dzieła. Cóż to jest ten Sfinx? „Sfinx to artysta“, czytamy na 148 stronnicy IV tomu. „Głowa ludzka, to duch wielki, to cząstka bóztwa w piersi jego; ciało bydlęcia, to zwierzęcéj natury więzy, co nas pętają. Rozwite skrzydła, to zapał, który przecież nie uniesie kamiennego potworu od ziemi obrzydłéj. Kamienny, żelazny, nigdy żywy: to artysta, którego nie stworzyła natura, ale potrzeby cywilizacyi, ale ręka i umysł ludzki! dla tego zawsze w świecie nie dla świata, pogodzić się z nim nie umie i dobrze mu być nie może. Artysta potrzebuje podniesionéj cywilizacyi, szczęśliwego czasu i kraju, a u nas! u nas!...“

W tych kilkunastu wierszach zawiera się wszystko, co Kraszewski o stosunku artysty do świata wypowiedziéć pragnął, i moglibyśmy na przytoczeniu twierdzenia samego poprzestać, gdyby dowodzenie nie było pełném myśli i uczuć, rozwijających założenie szeroko i wedle zdania autora wyczerpująco.

Końcowym przytoczonego zdania wykrzyknikiem: *u nas! u nas!*, wskazane jest tło na jakiem autor myśli swe i pojęcia umieścił; poznajmyż to tło w przedmiocie sztuki.

„Oczy czytelników naszych otwierać się dopiero poczynają i przecierać zaspane po długim śnie, w ciągu którego czuli zapewne, co piękno, ale dla czego? przez co? nic bardzo widzieli“ [1]), mówi autor, a dalej zaostrza jeszcze tę definicyą, opowiadając po wystawieniu obrazów: „serce mało nie pękło malarzowi, co przywykł do rzymskiego i florenckiego ludu, bez pojęcia sztuki prawie, bez kultury tak trafnie umiejącego sądzić dzieła artystów, takie nie odwołalne wydającego wyroki, gdy usłyszał sądy i zdania swej rodzinnéj publiki.

„Wybrane towarzystwo nasze, niżéj daleko stało w uczuciu i pojęciu piękna, w rozumieniu celu malarza, w ocenieniu jego wartości, aniżeli włoscy lazzaroni,“—a daléj mówi bohater powieści „u nas nie godzi się być artystą, jest to samobójstwo“ [2]).

Z prawdą żywo pochwyconą z rzeczywistości opowiada, jak „dotykano obrazów palcami, śmiano się, szydzono, prawiono głupstwa i brudy [3])“, jak, malując portret, znosić musiał artysta dziwne sądy, jak „jejmość utrzymywała, że cień pod nosem wyglądał, jak zatabaczenie“ a „jegomość chciał gwałtem jaskrawéj sukni i poważnéj miny, któréj wcale nie miał,“ jak nareszcie cały dwór i czeladź zwoływano na sądy, i parobcy, dziewki z praczkami przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów [4]). A nie ma w tém przesady ani na jeden włos, sam w życiu swém miałem zdarzenie, zaszłe prawie w 20 lat po napisaniu *Sfinxa* w Warszawie, zupełnie podobnego rodzaju [5]).

---

[1]) Przedmowa do tomu III, str. IV.
[2]) Tom III str. 21 i 22.
[3]) Tom III str. 26.
[4]) Tom II str. 53.
[5]) Bardzo możny obywatel z kutnowskiego, gdym wymalował portret jego matki, wezwał na sąd kucharkę niemkę, uważaną dla tego zapewne za rozumną, że była niemką, a ponieważ malowidło było śmiało nakładane, poszedł za jéj zdaniem, iż jest *geschmirt*, bo, dotykając palcami, czuć było chropowatość prążek od pędzla i ani odpowiedź moja, że malowanie nie jest dla zmysłu dotykania, tylko patrzenia, nie mogła zacnego zkądinnąd i niby wykształconego, światową ogładą zalecającego się a poważnego obywatela przekonać, skoro kucharka niemka swój sąd wyrzekła.

Nie dość na tém, trzeba jeszcze „zapomnićć, że się jest wielkim artystą, szukać, jaką Bóg da, robotę i poddać wymaganiom choć głupszych od nas amatorów. Trzeba się poznajomić i porobić stosunki w mieście, odwiedzić kolegów malarzy, chociażby to byli bazgracze i niepoczciwi szczekacze, co drą twą sławę za oczyma, trzeba im podkadzić, pójść z uszanowaniem do wyższych, mogących ci dopomódz, pokłonić się duchownym, urzędnikom itd. itd.“ Słowem, brzmi daléj rada praktycznego przyjaciela, „sztuka, jak skoro się chce zmięszać z praktyczném życiem i ma mu służyć za podstawę, musi się uniżyć i sprofanować, musi się przedzierzgnąć w służebnicę [1]), artysta napróżno usiłuje walczyć z niedostatkiem, tym trądem, który pożera prawie każdego artystę, prawie każdego poetę, nie mającego wprzód losem obmyślanego kawałka chleba powszedniego“ [2]).

„Sztuka bowiem zawsze zawodzi, ilekroć chcemy jéj użyć jako środka do polepszenia bytu materyalnego. Nie jéj to przeznaczeniem. W szczęśliwych okolicznościach, po długich bojach w krajach, gdzie cześć arcydzieł stała się powszechną, łatwiéj mieć chleb przy sławie; u nas to prawie niewidziany fenomen..... Najdroższą ofiarą, myśli amputacyą, zaparciem natchnienia, kupuje się pieniądz, chleb“ [3]).

Ostatecznie poniżającém zawód artysty jest wyrażenie, jakie autor kładzie w usta wojewodzica: „o ja lubię artystów! to: lubię wyrzeczone było, jakby:“ „lubię pieska!“ [4]).

Aby obraz stosunków społecznych, w jakich artysta i sztuka w kraju naszym znajdowały się w czasach, w które autor powieść swą przenosi, a w jakich i do chwili obecnéj pod niejednym względem znajduje się, należałoby tu wspomnieć jeszcze o teoryach, wyznawanych przez partacza Szyrkę i o klasztorach, w których jeszcze przechowywały się szczątki pojęć czystych o błogosławieństwie pokoju duchowego i zdobytego panowaniem nad myślami i uczuciami, wyrywającémi się do żywota w zamęcie napełniającym codzienne życie światowe.

Takich Szyrków mamy jeszcze i dzisiaj pomiędzy sobą, używających niepoślednićj nawet sławy, którzy nie przez bezwiedne partactwo, niemające innych dróg tworzenia, ale z całą samowiedzą, ale przez udaną pokorę, a w rzeczy celem wygodzenia słodkiemu lenistwu, mają czoło za grube pieniądze produkować wrzekomo oryginalne obrazy z rycin, powiększając je tylko. Walka, jaką toczył w Sfinxie Jan z Szyrkami, toczy się i toczyć pewno będzie zawsze z hipokryzyą, z partactwem, pokrywającém się płaszczem faryzeuszowskiéj pokory lub szarlatańskiego zuchwalstwa.

Że zresztą czasy bardzo niedawne jeszcze były dla sztuki takiemi, jakiemi je w Sfinxie znajdujemy, na to dowodów nie brak: uważano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczebel doskonałości w sztuce „sztych“, a wszakże i dzisiaj nieraz artysta może się spotkać z zapytaniem, czy to, co maluje, wykonywa podług sztychu jakiego? Są dzisiaj jeszcze ludzie, którym się to w głowie pomieścić nie może, aby pomysł obrazowy można z myśli własnéj wysnuć, mniemają, iż owe straganowe ryciny są skarbnicą artysty, nie pytając, zkąd się te ryciny wzięły, nie wpadając na źródło ich właśnie w myśli człowieka, w jego pojęciu, w idei.

Tłem więc tego obrazu historyi współczesnéj sztuki, jest wybornie skreślony stan społeczny i obyczajowy kraju.

Nie przebaczył Kraszewski i cudzoziemcowi, który złe nasiona sztuki po kraju rozsiewał; oto, co uczniowie Bacciarellego mówią o kierunku, jaki w pracowni tego mistrza panował: „Może, napatrzywszy się na nasze roboty, stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którém celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłumaczy żadnéj czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną“ [1]), reszta zdania zupełnie jest zgodna z wyrażonym w Ikonothece o Bacciarellim sądem.

Za to dobrym geniuszem powieści jest inny ubogi Włoch Batrani, w rzeczach sztuki dotyczących doświadczony, siejący dobry posiew na tę obcą mu ziemię; duch poświęcenia wieje z słów jego. „Jest to jednym z warunków życia artysty, mówi, być zapoznanym i umęczonym głupstwem ludzi. Trzeba umićć być wyższym nad to. Niedośćże ci, że czujesz piękno i czcisz je w duszy?“ a godzi ideę z chlebem powszednim w słowach: „wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby niemi zapełnić wody i kałuże, możesz i ty, zlepku Jego, tworzyć, co ci każą, na zapełnienie żądań, które są, jak kałuże i bagniska [2]).“ „Była to jedna

---

[1]) Tom IV str. 11 i 12.
[2]) Tom IV str. 81.
[3]) Tom IV str. 82.
[4]) Tom II str. 72.

[1]) Tom II str. 109.
[2]) Tom I 216 str.

z rzadkich dusz wzniosłych, co pojmują uwielbienie i cześć, jako skrzydła zbliżające nas ku wielkiemu, co widzą wszędzie ślady roztluczonego piękna, nie rozumiejąc krytyki, nauki braków i niedostatków, lub zostawiając ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz które męczennicami przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkiémi wrażeniami, jakie daje kontemplacya *wielkości i piękna*" [1]. W ustach tegoż Batraniego znajdujemy cały szereg dalszych pojęć autora o stanowisku sztuki. „Ona jest kapłaństwem... jest jak wiara (na mniejszy rozmiar), sama płaci sobą... Sztuka jedna nieskończona i bezdenna, sytości nie ma na dnie czary, bo dna nie ujrzysz nigdy" [2].

Jeżeli tedy u Szyrki Jan znalazł początki nauki, przypadkiem na skrzynię z zaniedbanémi księgami natrafiwszy, u Batraniego nabył przekonań o potrzebie wyższéj nauki, nabył wiary w posłannictwo artysty.

Z ust tegoż samego dzielnego Batraniego dowiadujemy się całéj teoryi wszystkich zasad autora, odnoszących się do malarstwa, w odpowiedzi na pytanie: „cóż bowiem jest sztuka? co artysta?" „Sztuka nie jest głupiém małpowaniem natury i prozaicznóm tlumaczeniem myśli, ale tworzeniem ideałów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma jest tylko objawem myśli niewidoméj, a malarz winien wiedziéć znaczenie wszystkiego, co widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojéj myśli. Co natura myśli i objawia wyrywkowo, nie kompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swéj myśli: myśli znającéj siebie, pełnéj i wielkiéj. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnéj, jak nie ma ich téż bez prawdy realnéj, będącéj wyrazem pierwszéj. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem, malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniéj więcéj prawdziwie i dokładnie, ale poetą, co myśl wielką uczutą, pojętą i wyrywającą się, na świat puszcza nastrojoną we wszystko, co jéj dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykalną uczynił. Bez tego twórczego ognia, co unosi mistrzów, co uświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nie ma obojga, bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik" [3]. Gdzieindziéj mówi autor: „Mechanizmu głupcy zawsze najlepiéj nabyć mogą" [1], indziéj z ust zakonnika słyszymy: „nie jest to rzecz trudna schwycić podobieństwo (w portrecie), większa daleko myśl swoję wyrazić" [2]. Myśli tego kroju, jak następująca: „sztuka jest jednym z języków duszy, naśladowanie natury narzędziem tylko" [3], rozrzucone są wszędzie. „W niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez extazy i zapału nie ma tworzenia. Ideały linii, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości, wszystko powinno wystrzelić za rzutem jednym,—z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapałem" [4]. Zdanie idealnego Batraniego też o Platonie: „Plato, stary, boski Plato *nazwał piękno blaskiem prawdy* i kazał tworzącemu dzieło zapatrywać się na wzór idealny.

„Po Platonie wieki czekać potrzeba było, aby tożsamo powtórzono [5]. Nareszcie znajdujemy i myśli Jana. Rzec można, że cały świat podbić wprzódy sobie musi, kto świat ten ma odtwarzać.

„Nic mu tajnego, nic mu obcego być nie powinno. I rzeczy łupina — forma, i ten duch wewnętrzny, co formie *wyraz* nadaje, i blaski powierzchowne i jasności wewnętrzne, życie we wszystkich swych objawach, począwszy od znikomych świateł, do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowy, dzieje jego, twarz, jaką mu nadaje klimat, ród, obyczaje, cywilizacya, indywidualność, charakter, wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką: związek ciała i ducha, przyczyny i objawu i formy i myśli; uczy się czytać hieroglify odwieczne i pisać niemi tak, aby zrozumiany został. Musi myśléć, jak filozof, a tworzyć, jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy do oczów gminu stworzona, i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

„Dlatego pewnie wielcy mistrze dawni, nietylko malarzami byli, ale, jak nieśmiertelny Leonardo, twórca *wieczerzy*, uczonymi" [6].

Autor, wyraziwszy się w przedmowie do tomu trzeciego, iż tak mało jest „na całym bożym świecie dział w przedmiocie sztuki", pragnął w téj powieści zawrzéć wszystkie najważniejsze podstawy teoretyczne, rozja-

---

[1]) Tom II str. 24.
[2]) Tom II str. 21.
[3]) Tom I str. 234, 245.

[1]) Tom I str. 175.
[2]) Tom II „ 50.
[3]) Tom III „ IV wstępu.
[4]) Tom I „ 230.
[5]) Tom I „ 237.
[6]) Tom I „ 241, 242.

śniające wzajemny do siebie stosunek kraju danego artysty i sztuki, jako idei wcielającéj się za pośrednictwem wybranych a obdarzonych zdolnościami szczególnémi osobników. Jakoż istotnie w tém, co dotąd przytoczyliśmy, stan społeczeństwa krajowego, jako tło, i ideał artysty, jako działacza na tém tle, mamy teoretycznie objaśnione. Widzieliśmy także, jak pośrednio przez cudzoziemców posiew sztuki rzucony był na niwę krajową, teraz posłuchajmy jeszcze, jakie jest zdanie Kraszewskiego co do ostatniego odrodzenia malarstwa w XVIII wieku, i jak streszcza tę chwilę stanu sztuki we Włoszech a zwłaszcza w Rzymie pod koniec zeszłego a na początku bieżącego stulecia, w któréj bohatera powieści w wieczném mieście napotykamy. „Już gladyator umierający (rzeźba rzymska z czasów Cezarów) jest jakoby przeczuciem sztuki chrześciańskiéj, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha [1]), *wyraz* jest celem nowym odrodzonéj sztuki. Grecka sztuka szukała linii tylko pięknéj do wydania swéj myśli, idealizowała ciało i jego kształty—nic więcéj. Nowa, nie wyrzekając się formy, posługując się linią, przebija kształt powierzchowny i wyprowadza na wierzch duszę, myśl, jedném słowem *wyraz*. *Wyraz* oznacza, że nowa sztuka przemówiła, że otwarła usta, stara była piękną, ale niemą.“ [2]).

Te czyste pojęcia, głoszone dzisiaj przez estetyków pod wszelką postacią, w chwili, kiedy je Kraszewski wyznał, były zupełną nowością, współczesnémi z nim były inne, a te opowiada, wprowadzając swego Jana do Rzymu.

„Była to chwila, mówi, najfałszywszych pojęć o sztuce, młodzież biegła malować, nie myśléć i uczyć się do Rzymu, łapała piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąckroć rysowane, ściskała piękne rzymianki, weseliła się chwilą swobody, chwilą młodości, ale nie głęboko wtajemniczała się w zamknięte dla niéj tajniki sztuki“ [3]).

Sztuka była piękną linią, pojmowaną najdziwniéj poziomo i bez zapału.

Myśl uciekła z tego nagiego szkieletu, który napróżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

[1]) Tom III str. 152.
[2]) Tom III „ 153.
[3]) Tom III „ 137. 138.

Nie takim był Jan, on „godziny całémi siedział u *posągów i obrazów*“ aby myśl twórcy przeczytać [1]). „Po długich godzinach wpatrywania się w dzieła, świtała z niego zakryta wprzódy myśl powolnie, aż otoczyła pierwej mglisty twór blaski swemi. Jaśniał mu on, czytał jego znaczenie, jego dzielność pojmował; pochylał głowę, czuł w duszy, iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednéj zagadki rozwiązywało krocie drugich“ [2]).

Więc do wszystkich wybornych pojęć o sztuce i zasad wyrażonych w Sfinxie, dodaje Kraszewski jeszcze postrzeżenia, dotyczące badania arcydzieł sztuki metodą powolnego a głębokiego wnikania w to, co jest istotnie głębokie a płytkim poglądem ująć się nie da. Jakimże osobiście był ten Jan artysta? czy przymioty jego były tego rodzaju, że mogły i powinny mu były zapewnić szczęście? zaraz się dowiemy. Przedewszystkiem, było to „piękne chłopię,“ „wrażliwe,“ pełne zapału do pracy, a miłości dla matki a późniéj i żony, o których bezustanną radby mieć pieczę.

W chwili śmierci matki ukochanéj wykrzykuje: „Nie lepiéjże było zostać i uprawiać zagon (zamiast bawić za granicą). O! dla sztuki, jak dla wiary, czyż wszystkiego się zaprzéć, wszystko spalić na ofiarę?“ [3]), a w innéj chwili gdy mu Igusia, któréj miłość wyznaje, odradza, aby się nie żenił, utrzymując, iż „żona zabija artystę, że on cały winien siebie sztuce“ odpowiada Jan: „O! stokroć lepiéj sztuki się zaprzéć, niż szczęścia.“ A następnie niesłychanie boleje nad tém, że obowiązkom rodzinnym zadość uczynić nie jest w stanie.

Zdaje się, iż autor umyślnie oblókł bohatera w charakter miękki, dumny a nieradny, aby wydobyć z powieści tę ostateczną konkluzyą, iż kapłaństwo w sztuce, aby było zupełném, powinno się usadowić w skromnych murach klasztoru, w odosobnieniu od wiru światowego, zwłaszcza w kraju, który niedoszedł jeszcze do tego, aby umiał i mógł cenić sztukę i artystów tak, jakby należało, jak to gdzieindziéj się zdarza.

Uwolniéby autora od zarzutu, z góry powziętego zamiaru doprowadzenia Jana do celi klasztornéj, mogło to, iż zamieścił obok niego rzeźbiarza Mamonicza o bardzo silnym męzkim charakterze, — który jednak niepoznany, pracą ciężką na kawałek chleba powszedniego przybity do ziemi, nie mógł

[1]) Tom III str. 136.
[2]) Tom III „ 137.
[3]) Tom III „ 9.

mimo zdolności i żelaznéj pracy wydobyć się na szersze pole działania i uznania się dobić. Wszakże o natężeniu zdolności Mamonicza i o jego stopniu wyrobienia artystycznego bardzo mało wiemy, zatem nie możemy wniosków stawiać ani za, ani przeciw zbyt niedostatecznemu uznaniu jego.

Jakże nakoniec uważać mamy ową klauzurę w sztuce, czy za konieczną, czy jak w Sfinxie, za losowo szczęśliwie rozwiązującą wszystkie trudności położenia?

Jan sam, czyli inaczéj, autor powieści, nie jest najwyraźniéj za bezwarunkowém zamknięciem sztuki do klasztoru, mówi bowiem, że „artyście potrzeba współczucia, poklasku, zachęty.“ [1]).

Z tych trojga na pierwsze mógłby w klasztorze liczyć, na ostatnie poniekąd, na drugie ani jego ani braci zakonnych pokora nie pozwalałaby.

Dalej autor określa dosadnie te drogi zachęty i zniechęcenia przykładami z historyi sztuki zaczerpniętemi, lub téż prosto z życia, powiedzmy to otwarcie, z życia tego społeczeństwa naszego, do którego téż rozpaczliwy podwójny zastosował wykrzyknik „u nas, u nas!.....“ i z życia sztuki. Pierwszy brzmi: czyżby Rafael stworzył kiedy swe loggie i freski, gdyby go następca ś. Piotra nie pokrył płaszczem swoim? Byłżeby Michał Anioł rzucił swą śmiałą kopułę na najwspanialszy chrześciaństwa kościół, *gdyby* nędza i zapomnienie marzyć nawet o tém dziele nie pozwalały?...... Drugi smutno dzwięczy: „wyobraź sobie, że pierwsze dzieło artysty przypada w chwili jakiego silnego zajęcia, jakiéj nieuwagi spowodowanéj wypadkami i odepchnione zostaje zimno. On się zrażony zaprzęga do roboty mechanicznéj, traci siłę, zapał i gaśnie. Wieluż takich nieznanych upadło geniuszów!“ [2]).

Jeżeli więc artysta, bohater Sfinxa, z jednéj strony nie samym chlebem żyjąc, ale i dobrém słowem ludzkiém, bez uznania światowego obejść się nie mógł, z drugiéj zaś strony, chociażby miał uznanie czyli pokarm duchowy a nie miał bytu materyalnego zapewnionego, także ostać się nie mógł i schronić się musiał do celi klasztornéj, aby tam i spokój duchowy i bezpieczeństwo bytu znaléźć, czyż za tém idzie, że w ogóle tylko w klasztorze sztuka kwitnąć może? czy tego pragnął dowieść autor?

---

[1]) Tom III str. 36.
[2]) Tom III „ 36—37.

Religijna sztuka, jaką Kraszewski wyłącznie miał na myśli, istotnie najwłaściwiéj-by tam siedzibę obrać mogła, chociaż nie powiém, powinna. Wszakże ani Rafael ani Buonarotti ani Leonardo da Vinci do klasztornego życia nie byli się zamknęli, chociaż rodzinnego nieprowadzili. Za to znajdujemy przykład rodzinnego u innych wielce religijnych mistrzów, jak u Perugina, Andrea del Sarto, Titiana Vecellego, Cimabue i Giotta.

O historyczném malarstwie mówić tu nie chcemy, nie było bowiem przez autora poruszone.

Gdy więc o społeczną stronę Sfinxa moglibyśmy z autorem się posprzeczać, to bezsporną a wielką téj książki wartość stanowią teoretyczne o sztuce w ogólności, a o malarstwie w szczególności, pojęcia, obficie rozrzucone po całém dziele. Wypisaliśmy tu z nich najważniejsze i ułożyli w całość, o ile się dało, systematyczną, wiele jednak więcéj zostaje ich w saméj książce i lepiéj pomieszczonych, bo w ramach stosownéj opowieści.

Pragnęliśmy tą drogą dojść do uezyniènia z rozbioru Sztuki u Słowian, Ikonotheki i Sfinxa, że ją tak nazwę, treściwéj *artium prudentiam* Kraszewskiego, czyli zgromadziwszy perły myśli i uczuć jego z tego zakresu, nanizaliśmy na nić dobréj woli, która niechaj nam będzie tarczą i osłoną od zarzutów, jakieby tę skromną pracę spotkać mogły.

Sfinx był wielkim dzwonem, nawołującym do czci piękna plastycznego, bo w powieści, któréj głos rozchodzi się najłatwiéj i najdaléj, autor wypowiedział to, czego za pośrednictwem „Sztuki u Słowian“ i „Ikonotheki“, chociaż były same przez się wybornémi dziełami naukowémi, roznieść po świecie nie tak łatwo było.

Czyż na tém tylko zadzwonieniu w wielki dzwon ograniczyło się usiłowanie Kraszewskiego rozbudzenia w innych tego umiłowania piękna, jakiém sam oddychał? Zobaczymy, że więcéj nad to uczynił, że był wszechstronniéj w sprawę sztuki wrobiony i wtajemniczony.

Jednocześnie z pracą nad powyżéj wzmiankowanémi dziełami pisywał rozbiory dzieł sztuki, z jakiémi po świecie spotykał się a z szczególném zamiłowaniem rozwodził się nad objawami budzącéj się sztuki krajowéj. Gierdziejowski, Szermentowski, Pilatti Henryk, jego uznaniem i moralném poparciem cieszyli się.—

Kartki z podróży. Na żyzną a dobrze uprawioną glebę rzucone ziarno wydaje plon

stokrotny. Taki plon odniosła literatura polska z podróży Kraszewskiego poza granicami kraju, które się stały owém plennén ziarnem. Umysł wytrawny, pojęcia estetyczne wyrobione, nastrój poetyczny i dramatyczny, skrystalizowały wrażenie podróżnika w dzieła treści historycznéj, obyczajowéj i estetycznéj. *Caprea i Roma*, *Rzym za Nerona* i *Kartki z podróży*, oto owoce trzechletniéj wędrówki, z któréj ostatnia z tych dzieł stanowi jakoby dziennik podróży dla siebie i swoich tylko opisywany i notowany, a jednak zajmujący i pouczający dla wszystkich.

Charakter poufałych pamiętnikowych zwierzeń pozostał przeważnie w humorystycznie skreślonym stosunku Kraszewskiego do towarzyszów przezwanych *Julmem i Klemrodem*. Pseudonimy te są przeróbką początku imion i nazwisk.

Bystrość postrzegawcza autora tylu powieści, przedstawia w bardzo ożywionych barwach osobistości ukryte pod pseudonimami, wybornie nam znane a po mistrzowsku z fotograficzną dokładnością słowem oddane.

Poważną stronę *Kartek* stanowią dzieje sztuki, poprzedzone opisem historycznym każdéj miejscowości ważniejszéj, każdego ogniska, które w wiekach odrodzenia ważniejszy jakiś wpływ na rozwój plastyki wywarło. Sąd tu znajdujemy wytrawny, na dobrych estetycznych zasadach oparty, tak iż książkę tę radzibyśmy widzieć nie tylko w rękach, ale w bibliotekach wszystkich, którzy sztukom plastycznym czas poświęcać lubią. Znajdujemy w tym sądzie o wiekach odrodzenia malarstwa to, co w Sfinxie stanowi założenie powieściowo rozwinięte: że sztuka religijna tylko pod osłoną ciszy klasztornéj i przez ręce takich bogobojnych mnichów, jakim był Beato Angelico, może być godnie uprawianą. Jest to pogląd, z którym w zupełności nie godzimy się zwłaszcza, iż, posunięty do czynnego zastosowania, doprowadził był w swoim czasie, w pierwszéj połowie tego stulecia, do utworzenia naśladowniczego kierunku, zwanego prae-rafaelistowskim—kierunku szkodliwego przez samą już dążność naśladowniczą. Wszakże pośród tylu innych wybornych a wysokich poglądów ten małą gra rolę, a *Kartki* stanowią całość zajmującą i nauczającą.

Chwile odpoczynku od badań, które wydały Capreę i Nerona, chwile umiłowanego zajęcia się sztukami pięknémi, wzbogaciły literaturę témi nauczającémi kartkami, których illustracye dobrze dobrane dają malowniczy pogląd na drogę od Krakowa przez Wiedeń, Wenecyą, Florencyą, Rzym, Neapol aż do Paryża.

Sam téż Kraszewski rysował, malował olejno, aquarelle, a nawet rytował na blaszce miedzianéj.

Olejne krajobrazy, które lat temu z dziesiątek były pomieszczone na wystawie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, obecnie znajdują się w zbiorach Świdzińskiego,— aquarella, przedstawiająca las sosnowy na piaszczystym wzgórku, zdobi jeden z prywatnych zbiorów Warszawskich, a do albumu widoków Romanowskich litografowanego przez Juliana Ceglińskiego,. rysunki wszystkie były ręki Kraszewskiego.

Zamykam ten rzut oka kilku słowami wyjętémi z przedmowy do albumu. „Przyznać się muszę do tego grzechu, że od młodości lubiłem zawsze sztukę.“

Od młodości więc, aż do wieku sędziwego wytrwał ten rycerz ducha na stanowisku, na straży piękna i dobra, zawsze okiem jego zapatrzony w idee i ideały, trzyma on na wodzy umysły i serca narodu swego, trzyma ukochaniem samém wszystkiego, co podniosłe, co oczyszcza, co oświeca i ogrzewa.

Wojciech Gerson.

II.

Projekt Encyklopedyi Starożytności Polskich J. I. Kraszewskiego.

W obrazie działalności literackiéj J. I. Kraszewskiego w tylu różnorodnych kierunkach, nie może być pominiętą praca, dająca miarę troskliwości jego, około Starożytności narodowych, których celem wierne malowidło ludzi i kraju z odległych wieków.

Akademia Umiejętności w Krakowie, biorąc się do badań przeszłości dziejowéj, nie mogła ich pominąć, gdyż są dopełnieniem

życia społeczności polskiéj w ubiegłych stuleciach.

Wydział archeologii zgromadził już bogaty materyał do najstarożytniejszéj epoki, bo czasów pogańskich i pierwszego okresu chrześciaństwa, nietylko w zebranych wiadomościach piśmiennych, ale i w samych zabytkach, które czas oszczędził i przechował.

Muzeum Archeologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, zebrane i wzbogacone staraniem i zabiegliwością professora Dr. Józefa Łepkowskiego, oraz Muzeum saméj Akademii, przechowują te cenne pamiątki. W ostatniém, kamienny czterogłowy *Światowid*, wydobyty z wodnych toni *Zbruczu*, stoi, jak niegdyś stał, na ołtarzu, będąc przed X-ciu wiekami celem czci, wonnych kadzideł i pokłonów, a dziś podziwu, dla tysiącletniego przetrzymania czasu!

W badaniach dziejów i kolei, jakie kraj przechodził w tych dziesięciu stuleciach pod względem politycznym i duchowym, postąpiliśmy daleko; ale pod względem życia domowego i właściwych starożytności, zaledwie pierwsze postawiliśmy kroki, chociaż każdy głębiéj patrzący, przyznać musi, że bez dokładnych badań nad życiem wewnętrznėm narodów, same dzieje dają szkielet, nie stan zdrowy, czerstwy i zupełny wizerunek.

Komissya Archeologiczna, a głównie jéj przewodniczący Dr. J. Łepkowski, powziął myśl wydania słownika Starożytności Polskich; J. I. Kraszewski przyjął mozolną na siebie pracę, skreślenia projektu Encyklopedyi Starożytności w roku 1874. W krótkim przeciągu czasu ułożył swój program, który wydział jednomyślnie przyjął, wydrukował w *Sprawozdaniach* Akademii i w oddzielnych nawet odbiciach miłośnikom przeszłości narodowéj rozesłał.

Praca ta, aczkolwiek szczupłych rozmiarów, wykazuje z nowéj strony J. I. Kraszewskiego, jako poważnego znawcę na polu badań starożytności polskich.

Zabierając się bowiem do streszczenia programu Słownika Archeologicznego, w tych rozmiarach, jaki nam J. I. Kraszewski wskazuje, potrzeba znać gruntownie cały przedmiot, ażeby go objąć i zastosować do zamierzonego celu. Tę gruntowność, tę wiedzę obszerną znajdujemy właśnie w pomienionym *programie*, i z tego powodu zatrzymać musimy nad nim uwagę naszych czytelników.

„Czujemy to wszyscy (pisze we wstępie autor), że żyjemy w epoce przejścia i przełomu, gdy prąd nowych idei rozrywa nici, wiążące nas z przeszłością, zagrzebuje tradycyą, ściera pamiątki. Jesteśmy téż, sądzę, wszyscy tego przekonania, iż prawdziwy a zdrowy postęp i pochód ku nowemu życiu, tylko na podstawach starego może się rozwijać zgodnie z naturą ducha narodowego. Łupina przeszłości, praca wieków dziesięciu, nie może i nie powinna spełznąć marnie. Do nas, cośmy jeszcze żywéj przeszłości z ust ojców zaczerpnęli, należy szczątki jéj przekazać następcom."

Któż zaprzeczy prawdy i uznania tym pięknym słowom, téj klassycznéj myśli, która powinna być dla nas hasłem i wskazówką dążącym na drodze życia do postępu?

Co do czasu, jakiby objąć należało pod badanie, J. I. Kraszewski oznacza ostateczny kres: początek naszego stulecia.

Prawdę tę potwierdzają wszyscy, co zapamiętali pierwsze lata naszego stulecia. Jak chłopek nasz uporuie zatrzymał swój zwyczaj i obyczaj, tak i ziemiańska szlachta, zamieszkala po dworach wiejskich i *zaściankach* swoich, z troskliwością zachowywała je, wraz ze starą tradycyą. Ziemianin polski, rolę po ojcach uprawiający, był wiernym wizerunkiem szlachcica téjże sfery z okresu panowania Wazów i Jana Sobieskiego; bo wpływu nań żadnego nie miały miasta, od których stronił i tylko na odpusty, jarmarki i sejmiki do nich zaglądał.

Starożytna Polska stała jako węzeł pomiędzy wschodem a Zachodem, tu zlewały się wpływy obojga, tu się jednoczyły dwa prądy, tu się przetrawiał i urabiał materyał oryentalny z zachodnim.

Starożytności nasze, ażeby jasno i w świetle prawdziwém przedstawione być mogły, potrzebują z jednéj strony dokładnéj znajomości wschodnich i grecko-ruskich, z drugiéj zachodnio-germańskich; mamy z obu temi światami wiele wspólnego, lecz i wiele od nich różnego, bo jesteśmy niby bronzem, zlanym z dwu kruszców, mającym barwę i własności sobie właściwe.

Wpływ Wschodu coraz silniejszy rozpoczyna się w XIV wieku, wraz z upadkiem Konstantynopola; germańsko-zachodni, sięga daleko wyżéj, bo za pierwsze wieki chrześciaństwa.

Ztąd nasz autor, spoglądając z wyższego stanowiska, zgodnie z prawdą pisze:

„Starożytności nasze, nie obejdą się bez potrącenia o słowiańskie i germańskie, dla wykazania zarówno pokrewieństwa i różnicy. Prace poprzednich badaczów na tém polu, grzeszyły po większéj części tém, iż objawy polskiego życia, brały odrębnie, jako feno-

mena odosobnione i bez związku z historyą cywilizacyi europejskiéj. Ztąd fałszywe ich rosły pojęcia i wykłady naciągane.“

Jako formę do objaśnienia starożytności polskich, wydział archeologiczny Akademii Umiejętności w Krakowie przyjął *Słownik*, J. I. Kraszewski formę zaś *Encyklopedyi*.

Na pozór rzecz mała, ale w gruncie wielką różnicę stanowi. Słownik objaśniający krótko wyrazy, dostatecznie nie odpowie swemu zadaniu, gdy w encyklopedyi szersze ramy dozwalają rzecz każdą więcéj monograficznie traktować, i nietylko pozornie określić, ale do dna zgłębić i wyczerpać. A takich przedmiotów w starożytnościach setkami liczyć można.

Lubo i to przyznać należy, że żadna Encyklopedya, chociażby najobszerniejsza, jak *Erscha* i *Grubera*, nie zastąpi źródeł pierwotnych, tych zaś wskazówka korzystniejszą jest dla czytelników, niż najtroskliwsze obrobienie wedle pomysłu własnego.

Stawić sobie pytanie należy, co pod mianem *Starożytności* rozumiéć wypada? *Starożytności* głównie obejmować powinny to, co się zowie historyą *kultury* narodu, więc jego życie powszednie i publiczne, obyczaj religijny i świecki, — wszystko, co właściwość narodu stanowi, począwszy od jadła i stroju, aż do uroczystości i obrzędów nacechowanych odrębnie; plastyczną stronę życia, świadectwo, jakie daje praca ludzka o przeszłości: skromne na pozór, lecz najpewniejsze kryteryum.

Wyłączywszy więc właściwą historyą kraju—wszystko, co z życiem jest w związku, co je wyjaśnia i tłumaczy, do Starożytności należy.

Jaki kres naznaczyć początku pod względem chronologicznym, dotychczas niepewność między badaczami. Czy rozpoczynać od epoki Chrześciańskiéj, czy sięgnąć aż do czasów przedhistorycznych? Kraszewski przechyla się do wniosku ostatniego.

„Byłoby, pisze zda mi się, często trudném rozgraniczenie, a niełatwém pojęcie *Starożytności* późniejszych, gdybyśmy pierwszą epokę wyłączyli. Zająć więc należy najprzód ten okres nierozjaśniony pomników pierwotnego bytu, który dziś jeszcze przedmiotowo tylko jest opisywanym i jako materyał dla badań przyszłych pojętym być może.“

W tym celu doradza ułożenie mappy archeologicznéj, która wskazuje ważniejsze wykopaliska: ta wykazałaby osiedliny w wiekach przedchrześciańskich rozmaitych pokoleń na ziemi naszéj przemieszkujących.

My dodajemy: przesuwając nasze badania w późniejsze wieki, pragnęlibyśmy podobnych mapp, ze wskazówkami chronologicznémi fundacyi kościołów, wznoszenia zamków, zakładania miast, warowni, jako też istnienia wiosek na obszarach polskiéj ziemi. Wtedy dopiero wiek za wiekiem postępując, mielibyśmy obraz dokładny stanu Polski pod względem zamożności i gospodarstwa, siły odpornéj w powznoszonych warowniach i zamkach, oraz pomyślności krajowéj w liczbie kościołów, wiosek, a tém samém dworów, ziemian i ludności większéj lub mniejszéj.

Rzucając tę myśl, mamy na baczeniu treściwy obraz każdego stulecia z upłynionéj przeszłości, którego ani *słownik* ani *encyklopedya* starożytności nie dadzą, gdy całość, jak w pierwszym, tak w drugiéj, na drobne pokruszy się ułamki.

Nie możemy dzielić przekonania autora, że „rozpierzchłego materyału, mniéj więcéj opracowanego do takiego *Słownika starożytności* naszych, mamy poddostatkiem,“ gdyż ani prace Ł. Gołębiowskiego (*Lud polski—Ubiory w Polsce—Domy i dwory—Gry i zabawy* IV tomy), ani *Starożytności polskie* J. Moraczewskiego (2 tomy), w małéj nawet części nie wyczerpały tego przedmiotu. Biorąc na uwagę żywot tysiącletni naszéj społeczności, każdy dział biorąc pod pióro, rzecz wzrasta olbrzymio i rozmiarów wielkiéj księgi dochodzi. Weźmy za przykład samę siłę zbrojną, chorągwie nadworne i pospolite ruszenie — przemiany jakim uległy, szyk krajowy, rozmaite gatunki broni, zataczanie obozów, urządzanie w nich *bazarów*, pochody, *tabory*, prawa i Statuta hetmańskie, ubiór i uzbrojenie—administracyą wojenną, jazdę, jéj gatunki rozliczne, piechotę, artyleryą: główne zarysy strategii polskiéj, zastosowanéj do narodowości strony napastniczéj, gonitwy i turnieje rycerskie; duch rycerski i wychowanie, gotowość na każde zawołanie, *wici*, i wiele—wiele jeszcze szczegółów, a przekonamy się, w tym jednym z wielu działów, jakie panuje u nas ubóstwo.

Toż powiedziéć możemy i o innych działach, zacząwszy od kościoła, i przywiązanéj do niego służby: począwszy od plebana, daléj organisty, klechy, chybadła, żebraczych dziadów i innych postaci. Toż mówić o dworach ziemiańskich, pańskich zamkach i pałacach, jako też służbie dworskiéj—znaczeniu *Dworzanina*, zacząwszy od marszałka, do ostatniego pachołka.

Łowy i myśliwstwo ze swym bogatym *językiem łowieckim*, same dają materyał na

ogromną monografią, którój cząstka tylko dotkniętą została. A przecież myśliwstwo stanowiło w dawnéj Polsce prawie większą połowę życia każdego szlachcica, który uważał je za wyłączny przywiléj szlachcica-rycerza i ziemianina polskiego. Oni to wytworzyli pracą wieków ów język *łowiecki*, tak bogaty w wyrażenia i wyrazy odrębne od potocznych tak, jak język *flisów* i *orylów*, owych śmiałych żeglarzy po Wiśle i wszystkich rzekach polskich; jak *język* bartniczy puszcz Mazowieckich, chodowaczy pszczół dzikich po *leśnych barciach.*

Autor programu *Starożytności polskich* nie spuszcza z uwagi pomienionych przedmiotów, ale stawia je prawie na równi z drobniejszemi w swych rozmiarach; pojmuje bardzo dobrze sam, pracując poprzednio nad *dziejami Litwy*, pisząc *o sztuce u Słowian*, badając stronę duchową narodu, że w projektowanéj *Encyklopedyi starożytności polskich* będą musiały zająć miejsce obszerniejsze monografie. Z napomknienia, jakie daje Kraszewski pod wyrazem *Rodzina* (a stawia na czele kobietę, jako dziewicę, żonę, matkę i wdowę), gdyby najtreściwiéj przedmiot ten traktować, wysnułaby się obszerna monografia, taka bowiem jest obfitość materyału, któryby wyczerpać należało. Zbyt wielki udział nasze Polki brały w losach narodu i dziejach społeczności naszéj, w doli i niedoli ogółu, a w końcu— wytrwania po zupełnym upadku kraju. Dank, jaki im należy i hołd zasłużony, winny być polskiéj niewieście złożone.

W téj też myśli autor, rozszerza jeszcze ramy swego poglądu w przeszłość. Czytamy bowiem: „Gdybyśmy się ograniczyć chcieli w ciasnéj ziem starożytności, naprzykład *Litwy*, *Rusi*, *Liwów i Kuronów* tylko z tych czasów, w których się one z Polską zespoliły, ścisła ta logika byłaby okaleczeniem przedmiotu badania. Nie ulega więc wątpliwości, że starożytności litewskie, pruskie, żmudzkie, liwskie i kurońskie, w części łotywskie nawet, a ruskie przedewszystkiem, do słownika, chociażby treściwie zebrane, wejść muszą: tak samo niewiem, czy Szlązk polski, godzi się wyłączyć i wyrzéc się go dla nauki dla tego, że się go wcześnie wyrzeczono politycznie?"

Trafna to wielce uwaga, ale zarówno wskazówka, do jakich to ogromnych rozmiarów, dojdą badania *Starożytności polskich*, chociażby w najtrafniejszéj formie, tém bardziéj, gdy autor wymaga i to słusznie, ażeby literatura każdego przedmiotu ściśle, bibliograficznie podaną została, co uważa za rzecz konieczną. We wszystkich dotychczas dokonanych pracach około *Starożytności polskich* niedotykano strony duchowéj i charakterystyki szlachty polskiéj, która, przewodząc wszystkim warstwom społeczności, właściwy naród stanowiła.

Lud, stał jak wiadomo na uboczu, mieszczanin w oddali, oba stany bez wpływu na losy narodu. Szlachta je trzymała w swym ręku i wiodła go w przeciągu wieków.

Owóż badanie pilne téj warstwy głównie działającéj, jéj duchowego ustroju i charakterystyki, sądzimy, że powinno być główném zadaniem badacza, gdy przyjdzie pod uwagę szlachcic-ziemianin polski i szlachcic-rycerz. Przeważną oni rolę grali w losach staréj Rzeczypospolitéj, gdyż pod témi nazwami obejmuję i *magnatów Polskich* czyli tak dobrze zwanych przez Bartosza Paprockiego: *Panoszów*; przecież o nich w dokładném zebraniu wyrazów, które Kraszewski podaje dla *Encyklopedyi*, najmniejszéj nie znajduję wzmianki.

Autor dobrze czujący trudności tak ogromnéj pracy, jako głęboki znawca przedmiotu, sam powątpiewa, czy w *Słowniku* tym da się objąć wszystko, co się starożytnościami zwać może. Za prawdę, trudności taić nie można: ale zjednoczenie sił wielu pracowników, pod umiejętnym kierunkiem, daleko rzecz całą posunąć może i udokładnić lepiéj nad nasze obecne mniemania.

Dzieło dokonane wedle programu J. I. Kraszewskiego, który z taką znajomością rzeczy, plan jego nakreślił: byłoby ważnym początkiem olbrzymiego zadania, które jeżeliby nie zostało w zupełności wykonane, jużby stanowczy krok na téj drodze naznaczyć mogło.

W ciągu pracy przyjdzie jeszcze niezawodnie wiele przedmiotów i szczegółów, które z pod bystrego oka J. I. Kraszewskiego usunęły się na stronę, a wejść będą musiały dla całości.

Piszemy o tym programie naszego *Jubilata* nie w chęci bynajmniéj krytyki, ale raz dla uznania jego głębokiej znajomości *starożytności polskich* i dziejów własnéj ojczyzny: powtóre, dla zwrócenia uwagi ogółu na ważność przedmiotu, który z dziejami narodu ściśle jest spleciony. Starożytności bowiem wedle naszego przekonania stanowią *duszę* narodu, a jéj dzieje, przejścia i przebijanie się przez warstwy wiekowe, dopiero dla pokoleń obecnych i późniéjszych naukę pożyteczną dać mogą.

Ziemia, klimat, przyroda, na któréj i w którym rzeczone pokolenie żyje i wzrasta, wszystko wpływa przeważnie, na wyrobie-

nie jego charakteru i wytwór jego *duszy*. Ztąd śledzenie jéj objawów i kierunków duchowych, powinno być główném zadaniem przy badaniu rozwoju każdéj społeczności; nie wiele przyniesie korzyści zewnętrzny, chociażby najdokładniejszy opis ubioru, sposobu życia i pokarmów, jakich używano w przeszłości naszéj, jeżeli obok tego nie potrafimy dostrzedz i wykazać objawów, wpływających przeważnie na charakter społeczny, dodatkowo lub ujemnie wszystkich czynników nań działających.

Im daléj w las, tém więcej drew, mówi dobrze chłopskie przysłowie, na odwrót je postawić należy. Albowiem im daléj będziemy sięgali chęcią zbadania przeszłości, tém mniéj nam szczątka starczy. Jeżeli w części samych *dziejów* prawa i fundacyi, znajdujemy bogate zasoby w *annałach*, *dyplomataryuszach* i kronikarzach, już niemal od X wieku poczynając, to dla starożytności polskich, tylko same okruchy.

Widzimy to i w późniéjszych wiekach.

Sądzimy, że należałoby w pewne okresy ująć *Starożytności polskie* pod względem wielkich zmian w życiu społeczném i obyczajach i przełomach widocznych.

Taki przełom widzimy z końcem XV i z początkiem XVI stulecia. W pismach Marcina Bielskiego, pierwszego prozaika i kronikarza polskiego, z jego skarg, mamy przekonanie, że wraz z urokiem literatury i oświaty, prostota i skromność w życiu rodzinném i domowém, uległy wielkim zmianom. Miejsce ich zajęły wystawność, zbytek i marnotrastwo, które z ciągiem lat następnych zgubnie wpłynęły na pomyślność ekonomiczną, na charakter narodowy, i były jedną także, z przyczyn niemałych do upadku.

Poczciwy Bielski w prostocie swojéj, stęka na zmianę obyczajów i zakradający się nieznany w latach jego młodości zbytek. Krasicki w satyrze *marnotrawstwo*, maluje ostateczne jego wyniki. Tak głos XVI-go z głosem XVIII wieku, na jeden ton smutne *Requiem* śpiewały.

J. I. Kraszewski po wstępie pełnym treści, podaje następnie w XXI rozdziałach przedmioty do badania, jakby szkielet *Słownika* czy *Encyklopedyi*; a zamyka pracę swoję zebraniem abecadłowém wszystkich wyrazów, mających być opracowanemi—podaje ich w tym celu liczbę 1864, obejmując i nazwy wszystkich miast i miejscowości wydatniejszych w dziejach. Wykaz ten, niewątpliwie znakomicie się powiększy, po bliższém rozpatrzeniu. Podajemy tu streszczenie pracy Kraszewskiego, która przeszła niepostrzeżenie, a kosztowała nietylko wiele trudów, poszukiwań, ale i głębszego rozmysłu nad samym przedmiotem.

Myśl podniesioną przez Komissyą Archeologiczną Akademii Umiejętności w Krakowie, Kraszewski umiał rozwinąć i ująć w pewne ramy: teraz za tą wskazówką należałoby się wziąść do dzieła.

Wszelako Komissya Archeologiczna po rozesłaniu nieco odbitek programmu, o którym mówimy, daléj na drodze działalności nie posunęła się wcale. Maż więc szanowna praca i obrobienie programmu Encyklopedyi Starożytności zostać bezowocne?

Nie wątpimy, że Wydział Archeologiczny po pięcioletniém wytchnieniu, zabierze się na nowo do pracy energicznie, i wziąwszy przewodnictwo w swe ręce, doprowadzi do celu zamierzonego tak niezbędne, upragnione i długo daremnie wyczekiwane dzieło, do którego mamy nadzieję, że przyłoży swą rękę nasz jubilat, i zdrową radą, oraz czynną pomocą popierać nie zaniedba.

K. Wł. Wóycicki.

PUBLICYSTYKA.

I.

Wydawnictwo Wileńskiego Athenaeum.

Ustęp z życia J. I. Kraszewskiego (1841 — 1852).

W jednym czasie powstałe z istniejącą dotąd *Biblioteką Warszawską*, zawdzięcza Athenaeum Wileńskie swój początek tymże przyczynom i pobudkom: potrzebie kupienia się i organizowania sił i środków literatury krajowéj bojującéj, to jest téj, która kwestyami bieżącéj chwili głównie zajęta, jeżeli sama przez się nie stanowi opinii, to przykłada się najczynniej do jéj wytworzenia, a dzierżąc berło krytyki w ręku, wprowadza pewien ład w sądach, pewną karność umysłową w postępowym ruchu piśmiennictwa. Potrzeba takiéj organizacyi była naglącą, mianowicie ze względu na szczególniejsze, temu tylko czasowi właściwe zjawisko: zdwojenie się literatury. Była jedna literatura — pozakrajowa, błyszcząca, mieniąca wszystkiemi kolorami tęczy, ponętna, jak owoc Ewy, przez wielu za jedyną uważana, — i była literatura druga — niepokaźna, domowa, szara, bez wybitnych pierwszorzędnych talentów. Snuło się w téj ostatniéj, jako zazwyczaj w godzinach nocnych, mnóstwo puszczyków i nietopérzy, niebrakło jednak ludzi poczciwych chęci i dobréj woli; ale nad całém towarzystwem ciążyła niby ołowiana kopuła, ciężka ospałość i nałogowe poddanie się cudzoziemszczyźnie. W I tomiku Athenaeum wydawca maluje w następny sposób stan rzeczy ówczesny, wcale niepocieszający (Gródek 1840 Spojrzenie na dzisiej. lit. polską, 188—206): „Niektóre domy pozwoliły sobie na dziesięć francuzkich tomów, kupić dwa polskie i położyć je otwarcie na stół salonu; po głównych miastach ożyły księgarnie. Galicya zacofana. Największy ruch umysłowy w W. X. Poznańskiém. Poznań dziś za najważniejsze ognisko dla literatury uważamy. W Rossyi dużo bardzo uczynił Tygodnik Petersburski. W Wilnie drukuje się dzieł nieco poważnych (Wizerunki i rozstrząsania naukowe, dzieła Jochera, Narbutta)." W sądach o Warszawie zdradzają się może pewne uprzedzenia Litwina do koroniarzy: „tu na pierwszém miejscu spekulacya, książki uważają za towar dogadzający smakowi publiczności albo zwietrzały, publikacye mdłe, najwięcéj życia w literaturze peryodycznéj. Wychodzi mnóztwo dzieł w dwóch rodzajach: dla gospodarzy i dla dzieci. „Utile" jest godłem wszystkich, życie istnie umysłowe stoi niżéj od agronomicznego, spekulacyjnego, gastronomicznego. Kobiety mają wpływ na literaturę, ale grzeczność nie pozwala powiedziéć, jaki to wpływ. Zresztą w Warszawie lepiéj one pojmują literaturę, niż mężczyźni, i więcéj jéj poświęcają. Na umysłach ciąży tradycya XVIII wieku, mdła wytworność, gładkość wiersza, niepokalany rym i średniówka." W tomiku IV z r. 1846 spotykamy następną ostrą charakterystykę krytyki współczesnéj (Listy liter. Krasz.): „Stan krytyki u nas śmiechu i łez godzien. Miasto wyrozumowanych zasad wszędy duch partyi, lub widzimisię luźne, z którego niepostarano się sobie zdać sprawy, dla czego co ładne? dla czego brzydkie? O historyi będą sądzić ze stanowiska dramatu, o dramacie — ze stanowiska historyi, o poezyi — z chłodnéj ironii punktu, o biednéj filozofii, na któréj imię się wzdrygają, z katedry

grammatycznéj. Srom i śmiech! i to się nazywa krytyką."

Przedsięwzięte wydawnictwo prowadzone było sposobem oryginalnym, niezmiernie prostym i pierwotnym. „Redagowaliśmy zbiór ten, powiada Kraszewski w zamknięciu (Hubin 14 lutego 1852), o 70 mil od miejsca druku (w Gródku pod Łuckiem, potem w Hubinie) sami, zastępując redakcyą, sekretarza, przepisującego, kollaboratorów a często na ostatku i nakładcę." Od IV tomu (r. 1841) pismo ma napis: nakładem i drukiem T. Glücksberga (na poprzednich czytano tylko: w drukarni Glücksberga). „Pierwszych lat ośm, powiada Kraszewski (tamże), winniśmy przedsiębiorstwu p. T. Glücksberga." Nakład musiał być odnośnie do naszych czasów wcale nie wielki, zwłaszcza, że o honoraryach niebyło i mowy. Druk szedł o lepsze z kalendarzami Zymela Manesa, bibuła szara, nad wszelki wyraz licha, obrażała oczy i skórę na rękach czytelnika. Cena wydania była po 6 rubli za oddział z 6 tomików, wychodzących do roku. Po kilka razy redakcya uważała za potrzebne tłumaczyć, że Athenaeum żadną miarą nie jest pismem peryodyczném i że się ukazuje w nieoznaczonych terminach (IV r. 1841, I r. 1844)." Z powodu urządzeń, odróżniających pisma peryodyczne od zbiorowych, musimy, z żalem przestrzegał wydawca, zostawiać na stronie wszystkie artykuły w przedmiocie krytyki szczegółowéj, cząstkowéj." Z tychże przyczyn temuż losowi uległy pomniejsze o bieżącym umysłowym ruchu doniesienia i wzmianki (III r. 1843). Pismo miało być poświęcone historyi, literaturze, sztukom, krytyce, i miało początkowo 4 działy: I) Historya, II) Literatura, III) Sztuki i IV) Rozmaitości. Od czwartego tomu przybył dział nowy, którego nie było w planie: filozoficzny; nadesłano „znakomite filozoficzne rozprawy". „Cieszymy się, powiadał wydawca, że idąc ślad w ślad za duchem wieku, Athenaeum da dowód posłuszeństwa potrzebom umysłowym czuć się dającym (IV r. 1841)." Materyałów płynęło mnóztwo, głównie filozoficznych i belletrystycznych, były téż artykuły tyczące się gospodarstwa krajowego i miejskiego, które nie wchodziły początkowo w zakres pisma. Robiąc pomiędzy niemi wybór wydawca oświadczał (I r. 1844), że ściśle zważa na porządek, to jest na datę nadesłania. Wśród pogadanek filozoficznych, materyałów historycznych *in crudo* i belletrystyki, była wielka, ziejąca luka: brakło prawie zupełnie artykułów treści naukowéj. Dla zapełnienia téj luki wydawca, uosabiający w sobie całą redakcyą, powziął prawdziwie bohaterski pomysł, który po części tylko został wykonany, a mianowicie postanowił wziąść cały oddział naukowy w Athenaeum na swoje barki i pisać o rzeczach technicznych, fachowych, najbardziej od jego specyalności dalekich.

„Brak artykułów seryo naukowych, głosi odezwa w III t. r. 1845 str. 184, lub treści w jakikolwiek sposób nauczającéj, zmusza redaktora do przygotowywania ich samemu a powszechne i dość słuszne wymówki całéj literaturze naszych prowincyi, że się powieścią i poezyą — lekkiemi wyroby ogranicza zbytecznie, naglą Athenaeum, aby dobry przykład dało. Z tego powodu redaktor sam musiał się zająć przygotowaniem artykułów treści filozoficznéj i naukowéj. Ma on zamiar dać rys fizyki Żochowskiego, Wiadomości o kolejach żelaznych z dzieła Górskiego, dalsze przekłady z Hegla i t. d." Skończyło się tymczasem na streszczeniu Filozofii Natury Hegla, zamiast Żochowskiego zabłysła w t. III i IV roku 1845 jasna gwiazda przyrodnicza. Pomysły do nowéj teoryi Ludfima *Wołyńskiego* z przypiskiem od redakcyi, że to praca genialna, że pomysły nowe są tak wielkie, iż uderzyć muszą nawet mało obznajmionych z umiejętnością, że obok imion Ciołka, Kopernika, Śniadeckich, Żochowskiego, stanie odtąd jedno więcéj. Wydawca, w całém znaczeniu słowa Encyklopedysta, bacznem poglądał okiem po całym obszarze wiedzy ludzkiéj, dał się pociągać każdemu objawowi oryginalnéj myśli, unosił się przez współczucie nad każdym nowym pomysłem i dokładał wszelkich starań, aby wszystkie możliwe działy były w piśmie reprezentowane.

Od pisma peryodycznego, jakiem w istocie było Athenaeum, wymagano już w owym czasie nie tylko doboru interesujących artykułów, ale i programu, literackiego credo, wyraźnego zaznaczenia dążności. Czyniąc zadość tym wymaganiom zewsząd słyszeć się dającym, wywiesił redaktor swoje godła i hasła w przedmowie, pisanéj 21 Lutego 1841 r., która się ukazała dopiero w V tomie tego roku. Ma znaczenie i wagę ta przedmowa, nietylko jako treściwy obraz przekonań wydawcy w pewnéj chwili jego młodego jeszcze wieku (29 lat), lecz także jako obraz tego, co myślało i czuło społeczeństwo, a przynajmniéj najpostępowsi ludzie w tém społeczeństwie, bo do najwybitniejszych cech umysłowéj organizacyi Kraszewskiego należało zawsze to, że był on bardziéj, niż ktokolwiek, czuły na tchnienia ducha wieku, na wszystkie w niewidzialnych prawie drganiach objawiające się potrzeby

i wymagania umysłowe społeczeństwa. Podajemy ten program w skróceniu: „Zmuszeni obrać barwę właściwą, powiada, Athenaeum co do ducha będzie odbiciem opinii, składających się nań pisarzy. Ma ono na pierwszym względzie zwrócenie umysłów na drogę *idei religijnych zdrowych*. Tępić będzie niedobitki wyobrażeń i przekonań XVIII wieku. Stanie do walki z materyalizmem, niewiarą, sceptycyzmem i nowszym panteizmem młodéj Europy. Niezapełniając się wyłącznie artykułami religijnemi, Athenaeum starać się będzie, aby wszystko widziane w niém było z punktu widzenia religijnego, pisane w duchu religijnym. Nie przyjmie nic trącącego filozofią zbutwiałéj szkoły francuzkiéj XVIII wieku, albo nowémi opiniami, będącémi tylko pobielanym grobem XVIII wieku. W oddziale filozofii moralnéj postaramy się zwrócić uwagę na walną sprawę *pobratania* filozofii z katolicyzmem, sprawę *dopełnioną* w naturze rzeczy, ale niewyjaśnioną dla wielu, szczególniéj u nas. Zamierzamy też bić na zamiłowanie obczyzny, mianowicie na *gallomanią*, zarazę, któréj jad pożera tyle umysłów. Chcielibyśmy wywiéść z błędu tych, co uwierzyli w nieomylność Francuzów, gdy cała Europa *przekonała się* o niewielkiéj wartości narodu, który sam się jeszcze nazywa głową ucywilizowanego świata. Chcielibyśmy przekonać, że nasza literatura dziś bez tych kuli się obejdzie, które kalectwa dowodziły, że mamy swój sąd o rzeczach, swój sposób sposób widzenia rzeczy.“ W prospekcie na r. 1842 powiedziano znowu: „Athenaeum takie tylko umieszcza artykuły, które odznacza wzniosła dążność religijna, artykuły noszące barwę chrześciańską.“

Jakże ciasnémi mogą się wydawać dzisiaj takie pojęcia, jakże skromnémi i nieśmiałémi dążenia! Stanowisko organu arcypoprawne, prawie kościelne; jedyne śmielsze bujanie myśli wyraża się w dokonaném, niby walném pobrataniu filozofii z katolicyzmem, w dopiętéj innémi słowami kwadraturze koła, w złudzeniu, które w swoim czasie było zasługą. Rzucenie rękawicy wiekowi XVIII po romantyzmie i Mickiewiczu dowodzi, jak powoli karczują się stare nałogi, nawet po walnych i stanowczych zwycięztwach. Do wstrętu, jaki wzbudzał od powstania romantyzmu wiek XVIII, przybywała cecha nowa, właściwa już wyłącznie literaturze dawnéj, zaściankowéj w przeciwstawieniu jéj z pozakrajową: gallofobia, unikanie, jak zarazy, obcowania z narodem niewielkiéj wartości. Łączyła się wprawdzie ta cecha z wyrozumowaném unikaniem wszelkiéj obczyzny i z odpowiedniém téj dążności spotęgowaniem, wyexaltowaniem uczucia własnéj odrębności narodowéj, z wiarą w niewyczerpane zasoby, ukryte wyłącznie w tém jedyném źródle. Takie były założenia przewodniczące przedsięwzięciu, które szło dość raźnie i rozwijało się aż do fatalnego dla literatury w ogóle, rewolucyjnego a potem reakcyjnego 1848 roku i następnych. Ażeby ocenić zasługi zbiorowego czasopisma Athenaeum, należy zestawić program z wykonaniem i przejrzéć główne działy w jedynym organie prassy, Litwę w on czas przedstawiającym.

Najprzód uderza niepomału, że *Słowiańszczyzna* w Atenaeum zawiera daleko więcéj miejsca (przynajmniéj teoretycznie), aniżeli w późniejszych polskich pismach, to jest, że odrodzenie się nasze narodowe, maluje się w pojęciach wydawnictwa, jako dokonywające się na tle odrodzenia się słowiańskiego, a przynajmniéj jako będące w nierozerwalnym związku z ruchem wszech-słowiańskim. Zaznaczono (w Spojrzeniu na literaturę polską I r. 1841), że najskuteczniéj pracujący w Warszawie pisarze są slawiści: Kucharski, Maciejowski, Wójcicki, w głębi Rossyi Daniłowicz i Onacewicz, że w Warszawie bawił Ludewit Gaj, kroata, redaktor Dennicy. Wydawca wzywa (r. 1841) do współpracownictwa literatów rossyjskich, czeskich i innych, o artykuły, które będą pomieszczone w staranném tłumaczeniu, dodając, że pierwiastek słowiański aż nadto był zagłuszany w literaturach skrzywionych naśladownictwem! Wyrozumowanéj potrzebie nie odpowiada wykonanie. Zamiast czerpać ze wszystkich literatur, pismo zapożycza się, jeżeli pominiemy dzieło Zapa o Galicyi, o którém potém będzie mowa, li tylko u rossyjskiéj, i bierze rzeczy czasami bardzo dobre, nieraz wcale nienajlepsze i nienajprzydatniejsze przekłady z *Marlińskiego* (Bestużew), pisarza całkiem dziś zapomnianego w Cesarstwie (I r. 1842, V r. 1843), z opowiadań Pantelejmona Kuleszy (Kulisza), z pism Skalkowskiego (II r. 1843. Przełożone: „Płaszcz“ i „Dziennik Waryata“ Gogola (1844), nawet kawałki ze „Zmarłych Dusz,“ pyszny rapsod Lermontowa „O Carze Iwanie Groźnym,“ o „Oprycznikn“ i o „Kupcu“ (III r. 1845). Najczynniéj koło przekładów krząta się Szepielewicz. Romuald Podbereski dostarcza całe gromady klechd wielkorossyjskich (o siedmiu Semenach junakach, o Wasilisie złoto-włoséj kozie, i t. d.) nie w krytycznych, jakby przystało opracowaniach, ale w wąt-

pliwéj wartości przeróbkach, pośledniejszych autorów rossyjskich. Wybór rzeczy nie był staranny; widać, że te artykuły pomieszczano dla liku, zapewne mało były czytane. Znać, że jak dzisiaj tak i wówczas, mało się rozumiały obie literatury, w skutek wzajemnego zatracenia kluczów, o których krążyło podanie, że kiedyś istniały (Mickiewicz i Puszkin, pobyt Mickiewicza w Petersburgu i Moskwie).

Nie sprzyjały owe czasy podjęciu jakichkolwiek ogólniejszych kwestyi praktycznych, była wszakże taka kwestya w swoim rodzaju jedyna, która zaprzątała całe pokolenia, i wyłaziła, jak szydło z worka, jak oliwa na powierzchnię wody: kwestya usamowolnienia włościan, o któréj jednak bardzo mało wolno było pisać. Kwintessencye postępowych dążności społecznych, mieści w sobie tom III r. 1843, zawierający rozprawę o *kmiotku* polskim przez A. E. z Królestwa. Autor dziwi się, dla czego poeci nie czerpią natchnienia w życiu ludu tak poetycznego? dla czego publicyści nie wzywają do polepszenia i zupełnego poprawienia ich doli? gniewa się, gdy słyszy Mazura, albo człeka zrodzonego na Podlasiu, marzącego o Ukrainie albo Zaporożu. Przy rosnącej oświacie i przemyśle, żaden zagon wkrótce nie będzie mógł być uprawianym przez pańszczyznę. Niedawno w całéj ordynacyi Zamojskich zmieniono pańszczyznę na czynsze. Każdy właściciel mógłby się odważyć na próbę tego rodzaju. Mamy wzory, czemuż nie mamy naśladowców? Przejmijmy się względem ludzi miłością chrześciańską i sprawiedliwością. Pomnijmy zasługi, pracę jego i nędzę. Ofiara nasza powinna być nieprzymuszona i dobrowolna, a w ten czas czyn nasz wyjedna przebaczenie win naszych i rosę błogosławieństw.“ Odezwa ta gorąca, dochodziła w owéj chwili do herkulesowych słupów śmiałości; podając ją, przyszło się tłumaczyć, „że myśli autora zgadzają się z zamiarami troskliwego rządu, który stra się o ulepszenie bytu kmiotków w prowincyach naszych.”

W braku kwestyi praktycznych, główne wytężenia umysłowe zbiegały się u drugiego bieguna myśli: w filozofii. Była to filozofia Hegla, mistrz. panował po śmierci nad podbitemi umysłami. Stąpając w jego ślady uczniowie, odziedziczywszy system i metodę, próbowali z tych faktów, dodawszy nieco swojego, wykroić czamarę narodowo-słowiańską albo polską.— „Jakże pięknie filozofii Libelta, powiada X. Y. Z. (III r. 1850), zrodzonéj z ojca polaka a matki niemki, w tych kwiatach, w które się ubiera“.— „Słynie teraz w Niemczech, powiada t. III r. 1841 Athenaeum, głęboki pomysłami Bron. Ferd. Trentowski.“—Redakcya prosi (IV r. 1841) Trentowskiego i Aug. Cieszkowskiego o nadsyłanie odłamków myśli swoich. Wielcy filozofiowie nie stawili się na wezwanie, pracują w Athenaeum tylko *dii minorum gentium*: pani Ziemięcka z artykułem o Szellingu (I r. 1844), Tytus Szczeniowski, który wierzy, że Hegel pojął tajemniczy porządek, przewodniczący rozwinięciu się myśli ludzkiéj, i który streszcza i parafrazuje Hegla (IV r. 1841, r. 1842). Wystąpił nawet Henryk hr. Rzewuski z wyjątkami z dzieła o *prawidłach* cywilizacyi narodów, dzieła, które wedle zapowiedzi redakcyi (IV r. 1941), zapowiedzi, jak się po tém ukazało, zawodnéj, miało stanowić epokę w historyi pojęć ludzkich o dziejach i któreby wszędzie, nietylko u nas, przyjęte było z podziwieniem i uwielbieniem. Niedługo trwała wiara w nieomylność sądów moralnych o ludziach i rzeczach. Mięszaniny obyczajowe Jarosza Beiły (1841) wywołały całą krucyatę przeciwko autorowi Listopada, paradującemu obskurantyzmem, składającemu się, jako włócznią, pierwszym lepszym parodoxem, i zadającemu *mala fide* boleśne nieraz cięgi ludziom, którzy szczerze troszczyli się o postęp i brali go na seryo. Najlepsi współpracownicy Athenaeum biorą udział w téj krucyacie: Karol Kaczkowski, Waleryan Wróblewski (Koronowicz), Tytus Szczeniowski (Iz. Blepoński). „Jakkolwiek, pisze X. Y. Z. (V. r. 1850), na pana hrabiego wiele *clamantes*, ale czytają go chciwie, ale łapią ciekawie. Pisma jego mogą się poszczycić popularnością, któréj wcale nie szukały. To pewna, że w nich jest życie. W rozbiór tego życia nie pora się wdawać, ocenią je synowie nasi.“—Nie odkładając na tak długo J. Blepoński przejrzal na wskroś zręcznego sofistę, ucznia J. de Maistre'a, któremu więcéj, niż o rezultaty, chodziło o sam process szermowania, i sportretował go dość trafnie (III r. 1843 Bigos hultajski): „Jestto pałac pełen antyków, sprzętów feodalnych, zabytków klasztornych, dzieł ascetów i teologów. Ale pod krzyżem i nabożeństwem, będącemi wszędzie a często bez potrzeby, widać, iż gmach ten użyczał schronienia wszelkim sprzętom i obyczajom w swoim czasie przemagającym, że właściciel wygląda oknem niespokojnie, zkąd wiatr wieje. Nadto gmach ten bez fundamentów a podparty skarpami, które autor nazywa Bogiem, wiarą, Chrystusem. Właściciel wmawia w siebie i drugich, że to są nie skarpy a fun-

damenta, a, nie mogąc przekonać, gniewa się. Po tym gmachu i człeku zostaną szacowne, ale martwe urywki, bo pozbawione dobrego ducha, który mniej kształtne nieraz płody w uczciwéj całości utrzymuje.

Lepiéj i bujniéj, niż systematyczna filozofia, albo morały, kwitły utwory mięszanego rodzaju, w których albo pomysł rozumowy scholastyczny opracowany był w szeregu humorystycznych illustracyi, albo stawioną było przed oczy dramatyczna walka upostaciowanych idei filozoficznych w allegorycznych obrazach. Przedstawicielem pierwszego rodzaju był Sztyrmer (Trenofiaginsz i Trenolesty IV r. 1842, Dusza w suchotach IV r. 1843). Drugiemu zawdzięczamy świetny, brylantowy „Sen w Podhorcach" xiędza Stan. Chołoniewskiego, utwór, który zajął cały jeden tomik w Athenaeum (III r. 1842). Troski i ciernie wydawnictwa wynagradzały się czasem przyjemnémi niespodziankami, serdecznémi znajomościami, zawiązywanémi li tylko z racyi wydawnictwa. Do takich niespodzianek należały odwiedziny wydawcy w 1850 przez Kondratowicza, którego zawiózł do Hubina księgarz B. M. Wolff (Wład. Syrokomla przez Krasz. 1863, Warszawa), i zapoznanie się wydawcy z Chołoniewskim, do którego dało pochop nadesłanie w Lutym 1842 r. rękopisu, nieznanego przedtem literata, zawierającego „Sen w Podhorcach", nadesłanie spowodowane treścią programu Athenaeum, zapowiedzią popierania idei religijnych (Przewodnik naukowy i literacki lwowski za Czerwiec, Lipiec i Sierpień 1878 r. Artykuł Antoniego I...: Kraszewski i Chołoniewski). Z poznania wywiązało się ciekawe obcowanie i szczera przyjaźń dwóch tak wysoce uzdolnionych umysłów. Xiądz Chołoniewski miał duszę piękną, podniosłą, spragnioną ideału, odczuwającą zwątpienie, jak chorobę, lecz już naówczas uspokojoną pod krzyżem w przystani dogmatu, w objęciach stopionych w jedno narodowych i kościelnych tradycyi. Ten arystokrata, który do lat 35 źle umiał po polsku, zanim się wykształcił w Rzymie na kaznodzieję tak złotoustego, jak Skarga, ten salonowiec, który przyszedł do przekonania (list do Krasz. II r. 1843), że salon to martwota, że życie na seryo zaczyna się dopiero po za panowaniem kobiety, cały prawie swój krótki zawód literacki odbył w Athenaeum. Po nekrologu jego w VII 1846 r. drukowały się tu jeszcze pośmiertne: Wieczory i przechadzki rzymskie (III r. 1850).

W naszych czasopismach polskich ogromne zawsze miejsce zajmuje własna krajowa historya. Drukowało Athenaeum surowe materyały niepośledniéj wartości, cenne przyczynki do dziejoznawstwa: pamiętniki Albrechta Stan. Radziwiłła w przekładzie Kotłubaja (1848), stare dyalogi, obraz brzydkich targów o koronę po śmierci Sobieskiego z pamiętników Chavagnac'a (I r. 1841), listy Tad. Czackiego (1845, 1846), pożółkłe, pełne subtelnéj woni XVIII wieku listy z podróży młodego Kazimierza Nestora Sapiechy (III r. 1851), tragedyą Krzysz. Zenowicza, opis znanéj wojny domowéj Chodkiewiczów z Radziwiłłami o księżnę Słucką (III 1845), bardzo ciekawe pamiętniki z czasów Kościuszki, szefa Józefa Drzewieckiego (1849, 1850). Krytycznych opracowań dostarczali: Daniłłowicz (o literackich latopiscach VI 1841), A. W. Maciejowski (wzgląd na zabytki pogaństwa w Polsce I r. 1843), Eustachy Tyszkiewicz (o monetach litewskich). Obok studyów historycznych wielkie miejsce zajmują studya etnograficzne, geograficzno-historyczne i statystyczne (A. Przeździeckiego: Wyjątki z obrazów Podola, Wołynia i Ukrainy 1844, Ogrody ukraińskie M. Grabowskiego 1842, Jaroszewicza Drohiczyn IV r. 1845), statystyka i etnografia bielskiego powiatu VI 1845; kurhany i grodziska oszmiańskie V 1848; Sylwestra Grozy: mogiły i starożytności Machnowieckiego powiatu 1845).

Na niekorzyść naszego czasu dodajmy, że wtedy daleko więcéj budziła żywego zajęcia i pociągała pracowników flora historyi kopalna, źródło prawie niewyczerpane, tak niezmiernie bogate, ludowych dum, podań, pieśni i zwyczajów. Pierwsze zeszyty Athenaeum układały się, kiedy zabłysły (1840): „Stare gawędy i obrazy" Wł. K. Wójcickiego, a odbiciem się wrażenia, które sprawiło to zjawisko powszechnego uznania, służy recenzya wydawcy w t. IV r. 1841: „dzieło narodowe natchnione, — percutias petram et exibit ex ea aqua, ut bibat populus: otóż tą wodą, którą pił lud szlachecki, była gawęda." Najwięcéj tych kwiatów samorodnych dostarczała Ukraina, z którą wydawca przez miejsce pobytu był najbardziéj zbliżony, a najczynniejszym pracownikiem był E. Izopolski (1842, 1844, drama wertepowe, wały żmijowe, śpiewy i dumy, szczątki pogaństwa, dumy i zabobony).

Znawstwo sztuki wydawcy i jego w niéj zamiłowanie zdradza wielkość działu, otwartego dla niéj w Atheneum. Na sztuce ciężą równie, jak na filozofii i historyi, pewne obawy i względy, krępujące są i o niéj i przeciwne słusznemu założeniu, wypowiedzianemu w samémże Athenaeum, że każdą rzecz

sądzić należy z jéjże własnego stanowiska. Z racyi półhistorycznéj powieści o Warneńczyku (V r. 1843) uznano za konieczne w przypisku tłumaczyć go z zarzutu o krzywoprzysięztwo, a nawet twierdzić, że kardynał Cezarini nie tyle zawinił, ile go oskarzają protestanccy pisarze. Przełożona z angielskiego „Złota legenda artystów" podaje się głównie dla tego, że okazuje symptomata sympatyi dla katolicyzmu, a sztukę najpotężniéj natchnąć może tylko uczucie religijne (III r. 1846). Główny historyk i krytyk malarstwa w Athenaeum Jaxa Komorowski najwyżéj w sztuce stawia Owerbecka, Corneliusa i zwrot sztuki ku Prerafaelistom (Przezn. i fazy sztuki III r. 1845). Ale okruszyny swojéj własnéj, nie tyle nawet narodowéj, ile prowincyonalnéj sztuki zbierane były skrzętnie, Smokowski odwzorował szczątki malowideł w zrujnowanym zamku Trockim (V r. 1841), A. Szemesz pokonywał bezpłodną, opartą na ciasnéj rutynie, pozbawioną idei sztukę szkoły francuzkiéj XVIII wieku, w osobie spóźnionego naśladowcy Bouchera i Fragonnard'a — wileńskiego Rustema (VI r. 1844). Z wspomnień Smokowskiego o Walentym Wańkowiczu (VI r. 1845), Szemesza o Danielu (II r. 1842) i innych, z artykułów samegoż wydawcy (wyjątki z Ikonotheki i Słownika polskich artystów), dałaby się prawie złożyć historya szkoły malarstwa, która zdawała się zawiązywać w dwóch ogniskach: Wilnie i Petersburgu, lecz niedoszła i rozwiała się, małe pozostawiwszy ślady.

Na gruncie bardzo wycieńczonym i wyjałowionym krajowego piśmiennictwa, porastało jednak co niemiara kwiatków polnych nicosobliwych i krótkotrwałych: romansów i powieści obyczajowych, a nad témi kwiatkami szeroko roztaczał swoje konary sękate, uwieńczone gęstym liściem, dąb rozłożysty—epos staroszlachecki— przedstawienie w jaskrawém oświeceniu i w apoteozie wielkiéj, niedawno pochowanéj przeszłości, w żywych, za serce porywających obrazach. Prąd twórczości narodowéj płynął w owe czasy tém właśnie korytem. Największym mistrzem, panującym prawie bez podziału władzy, był autor Listopada, sypiący romanse historyczne, jak z rękawa, dający do Athenaeum okruszyny swoich już za granicą znanych Pamiątek Soplicy (III r. 1840; VI r. 1841). Obok tych, z potężną werwą i Rubensowskim kolorytem z natury malowanych obrazów, grubych ale przerażająco prawdziwych, jakże blady i drobniały Walterskotyczne opowiadania M. Grabowskiego (z Stanicy Hulajpolskiéj I r. 1840) i Obrazy Litewskie Chodźki, albo Jankowskiego (Dycalpa 1841). W romansach Rzewuskiego piękno tuż obok brzydoty, ale tak wielki był talent mistrza i takie w nim było pokrewieństwo z popędami i potrzebami wieku, że brzydotą upajały się umysły równie jak pięknością, że legenda cieszyła się większą powagą, niż historya. Żadną miarą nie możemy przystać na charakterystykę literatury z 1850 r. podawaną przez X. Y. Z.: „chór głuchych, każdy z innego tonu, innym taktem, a w dodatku pieśń inna." Owszem przemagała jednostajność, lecz w braku krytyki i tolerancyi każdy nowy motyw raził nieprzyzwyczajone do słuchania ucho, niby dźwięki słyszane przez mikrofon, każde starcie się z legendą uchodziło za wykroczenie przeciwko obowiązkom wkładanym przez narodowość. Tenże korrespondent X. Y. Z. (1850) twierdzi: „wszystkich autorów podejrzéwają o zdradę, o przekupstwo; byleby piszący nie po myśli czytelnikom co powiedział,—rzucają kamieniami; dzisiaj sypią laury, jutro cisną potwarzą." Wielkich trzeba było przeprosin, chcąc przeprowadzić w czasopiśmie rzeczy takie naprzykład, jak osobiste wspomnienia naocznego świadka Ambrożego Weyłły, ułożone z jego pośmiertnych papierów przez Wadę (VI r. 1845) o Nieświéżu, Wołodkiewiczu i Karolu Radziwille, wspomnienia mniéj ponętne a szczególniéj mniéj pochlebne, niż Soplicowskie. „Znajdą się, powiada Redakcya, co za złe wezmą, że postacie w zbyt czarnych przedstawione są kolorach, powtórzą, co tyle razy pisano: dziś nie czas to pisać. Nam się zdaje, że czas zawsze, i dziś prawda potrzebniejsza, niż kiedy. Zbyt pochlebne są obrazy Soplicy a pełne mylek, wyrzeczonych z największą pewnością." Autor Listopada dostarczał najwięcéj materyału dla estetycznych krytyk, poważnych, grzecznych (W. Wróblewski, Tyszyński), na niektóre raczył odpowiadać (Wróblewskiemu VI, 1846). Największym wrogiem H. Rzewuskiego romanso-pisarza był H. Rzewuski moralista, ze swemi przypiskami, te kłóły, raniły. Bardziéj w skutek instynktowego wstrętu, niż jasnego rozumowania, odwracały się umysły od Rzewuskiego. Już w 1845 r. redakcya przepowiada (VI), że „przyszłość nie potwierdzi o pamiątkach Soplicy sądu zbyt pochlebnego, jakiśmy w pierwszéj chwili wszyscy wydali." Jednocześnie oziębiają się stosunki redakcyi Athenaeum z gronem zarozumialców, którzy wyrokowali o literaturze i filozofii, jak z trójnoga, z wielką pychą, zasiadłszy w Tygodniku Petersburskim. Stosunki początkowo były ściśle, bardzo

serdeczne. W pierwszym tomie Athenaeum znajdujemy następną odezwę (Spojrz. na liter. pol. przez Krasz.) niezmiernie wysoko stawiącą J. Przecławskiego. „Wydawca Tygodnika chowa się za drugich, lecz znać jego duch w piśmie, często przypisek, dodatek, uwaga, zastanawiają bardziéj od artykułu; znać erudytę, własny swój sąd mającego o wszystkiém; oddawna posiada wziętość i popularność; wszyscy go czytają.“ W korespondencyi X. Y. Z. z 1850 r. V, czytamy: „Tygodnik trupem trąci, aby daléj! aby daléj! podtrzymuje się, jak piżmem, powieściami.“ Z Hołowińskim podtrzymywały się zaledwo bardzo rzadkie stosunki (art. Antoniego J... w Przegl. nauk i liter.), z Grabowskim całkiem zerwane, szczególnie po smutnym wypadku, który rzucił na tego ostatniego w 1843 cień panslawizmu. W Niemczech, pisze wydawca Athenaeum (listy liter. IV r. 1846) o Szyllerze i Goethem krytyki i sądy, coraz przerabiane i odnawiane, złożyłyby bibliotekę, u nas o Kochanowskim jednego tomu nie zbierzesz. O największym współczesnym naszym poecie niema dotąd wyrobionego sądu. Krytyka Mochnackiego na prawdziwie godną tego nazwiska zanosząca się, desinit in piscem w Michale Grabowskim, który o Listopadzie powiada, że czyni *najogromniejsze* (!) wrażenie. List, którego te słowa są kwintessencyą, drukuje się w Tygodniku, jako sąd znakomitego naszego estetyka (!). Korrespondencye Kraszewskiego do Tygodnika stają się coraz rzadsze i prawie się urywają od 1845 r. [1]), a odnawiają się dopiero w 1849 w Listach ze wsi (I—XIV) i „Dziwadlach“. Bez wyraźnego wyzywania na rękę, oba kółka piszących rozeszły się bardzo daleko jedno od drugiego spokojnie, grzecznie, obojętnie, i poszły każde w inną stronę. „Nasz Petersburski świecznik, pisze Kraszewski do Chołoniewskiego, gorejąc zbytecznie, począł płynąć, puścił płomienie wysoko, cieszył się niemi i duma go gubi. Mnie z nim nie wojować w niczém, bo gdzie takie jest uczucie wyższości potężne, jak tam przystąpić? Całe życie pracując nad sobą, wyznaję, że niczem nie jestem, że nic albo jak nic nie umiem. Ale właśnie może z tych powodów widok ludzi, co się mają za skończonych, za wielkich, niekiedy litość, niekiedy we mnie oburzenie sprawia" (Artykuł Antoniego J..." w Prz. n. i lit.). Współpracownikom Tygodnika wypadło porachować się z mniéj dobrze wychowanymi adwersarzami i doświadczyć bardzo dotkliwych razów od szermierzy na pięście, od wydawców Gwiazdy (I—IV, 1846—1848). „Nowéj szkole kijowskiéj, pisze X. Y. Z. (1850), niebrak ludzi z energią, ale zarozumiałość dziecinna, nauki mało, wiele pretensyi, gburowstwo w wyrażeniach i zajadłość odejmują jéj wszelką wartość literacką. Obok Antoniego Sawy, obok Gryffa, ileż zer i zerek. Jedni z przeciwników stoją na górze na szańcu niedostępnym, drudzy z dołu rzucają kamieniami i błotem. Kijowianie czytani dla skandalu, który robią, książka ich, w któréjby niebyło zaczepek, satyry, pozostałaby w księgarni. Przeciwnicy ich choć ze wstrętem w rękę brani czytają się chętnie."

Społeczeństwo, które w braku innéj roboty tak gorliwie zajęte było balsamowaniem świętéj przeszłości, miało jednakże codzienne troski, dotkliwe bóle i cierpiało na raka. Rakiem tym było poddaństwo, jarzmo niewoli, które na dobre już w wielu miejscach skruszył okrzyczany wiek XVIII. Zgrzyt zębów i jęk bólu nadawały się szczególniéj do powieści. Podnoszenie tego tematu, chociażby tylko w artystycznéj formie, było probierzem postępowości; tu się schodzili ludzie pobratani w idei, chociaż częstokroć będący różnych usposobień co do wyboru środków, jedni odkładający praktyczne rozwiązanie na czas nieokreślony, drudzy wyczekujący katastrofy i wietrzący nadchodzącą europejską zawieruchę z 1848 r. Rodzaj ten kwitnie w Athenaeum: w t. VI r. 1842 mieści wydawca śliczną swoję „historyą Sawki,“ zużytkowaną późniéj gdzieindziéj, J. Korzeniowski dostarczył początku jednego z najcelniejszych swoich dramatów: „Górali Karpackich“ (I r. 1842). Pietkiewicz (Pług) dał współczesną powiastkę: *Dzieciobójca* (V 1850), w któréj panicz uwodzi wiejską dziewczynę, jéj narzeczony zabija się z rozpaczy a ojciec samobójcy zostaje potem skazany, niby za morderstwo własnego syna. Taż sama oględność na to, co powiedzą ludzie, kazała dodać i do téj powiastki omówienie: „niechcielibyśmy, aby autora i wydawcę wzięto za systematycznie czerniących przeszłość(?). A. Pług napisał powiastkę bez téj zapewne myśli, my ją mieścimy, protestując się wyraźnie przeciwko celowi, jakiby jéj przypisać chciano.“ Z takiémiż saméми omówieniami przechodzi ostra satyra obyczajowa, ustępy z Parafiańszczyzny L. D. Borkowskiego (1843), ułamki z Bigosu Hultajskiego, rzeczy, w których artysta x. Chołoniewski upatrywał wstrętny mu gry-

---

[1]) W 1846 tylko odpowiedź na recenzyą „Witoldowych Bojów“, a w 1847 Nekrolog Justyna Majewskiego.

mas tatki Woltera (Prz. n. i lit. Sierpień 1878), i bez porównania jeszcze złośliwsze i dosadniejsze dzieło czecha Zapa: Zwierciadło żywota, podróże i przechadzki po Haliczu czyli Galicyi (II 1843), szkice z czasów bizuna i pańszczyzny, grubéj ciemnoty i przerażającego zbestwienia się panującéj klassy. Tłumacząc te godne Hogartowskiego pędzla obrazy, wydawca przestrzega, że to tylko poklejone kawałki potłuczonego zwierciadła, że wszystkie rysy prawdziwe, ale excentryczne.

Dla zakończenia charakterystyki działu nowel i romansów w Athenaeum dodajmy, że tu stawili pierwsze kroki Zenon Fiss (1841 Noc Tarasowa, 1844 Para obrazów, para myśli) który się potem zaczął pisać Fiszem, a najszerzéj zasłynął pod przybraném nazwiskiem Padalicy. i utalentowana autorka wielu powieści i pamiętników z pobytu w Tobolsku i Berezowie, pani Ewa Felińska.

Dział poezyi w Athenaeum sprawia takie wrażenie, że wody Kastalskie płynęły w owe czasy obficiéj. Spotykamy wierszopisów najrozmaitszych dat i pochodzeń, starych klassyków, takich jak Wojciech Potocki, autor Satyr (1843), romantyków najczystszéj wody, jak Alexander Groza (Starosta Kaniowski VI 1841), romantyków podszytych metafizyką i całkiem niezrozumiałych [1]), podlotków obiecujących coś, którzy albo pomarli, albo wyjałowieli (Łada Zabłocki, des Perthees, Kowalski). Tu się mieszczą: prześliczne, z Bajronowska pomyślane „Pożegnanie“ Norwida (Żegnam was o lube ściany.... V 1842), wyjątek z niedrukowanego dotąd poematu Edwarda Żeligowskiego (A. Sowy): „On, Ona i Oni“ i co najbardziéj cenne: wszystkie prawie utwory Kondratowicza, tak oryginalne, jako i tłumaczone, należące do pierwszego przedwileńskiego jego okresu. Wiadomo, że pomieszczenie w tomie VI r. 1844 str. 205 gawędy: *Porztylion* przez N. N. („Tu piją i gwarzą, ty jeden w téj wrzawie wyglądasz, jak jeniec w niewoli“) a głównie reklama o téj gawędzie Glücksbergowska stanowczo zdecydowały o przyszłém poetyckiém powołaniu słowika nadniemeńskiego (L. Kondratowicz przez Tyszyńskiego w Bibli. Warsz. Sierpień 1872 str. 170), upoiwszy go na całe życie pragnieniem sławy i laurowego wieńca. Odtąd drukują się tu przekłady z Sarbiewskiego,—Żebrak, Fundator i Grabarz, Skarb zaklęty i Lalka. X. Y. Z., który wątpi o poetyckiém uzdolnieniu Sawy („daj Boże, aby to był poeta!“), niema dość słów uwielbienia dla Kondratowicza: „jednego tylko widzę z świętym ogniem poezyi rodzimego poetę: Wł. Syrokomlę, w którego przekładach więcéj życia i twórczości, niż w innych oryginalnych utworach (1850).“ Wśród okoliczności otaczających Kondratowicza, życie jego mogłoby się było ułożyć całkiem inaczéj; gdyby muza jego nieznalazła przytułku w Athenaeum, talent jego mógłby się całkiem nie rozwinąć i nie dojrzéć.

Takiém było kółko, takie były siły i zasoby ugruppowane w czasopiśmie litewskiém. Największe jego powodzenie przypada na r. 1844, gdy miało 222 prenumeratorów (art. Antoniego J... w Prz. lit. i nauk. str. 513), ilość ta nie pokrywała kosztów papieru i druku, a wiadomo, że nikomu nie płacono honoraryum. W końcu 1844 przebija się niejakie zniechęcenie w liście wydawcy do Chołoniewskiego: „Athenaeum znowu żyje..... ciężko jednakże być jego redaktorem w kraju, gdzie zwykle rzecz każda zyskuje z początku niechybne współczucie, którego nadał potem nic w świecie utrzymać nie potrafi... Gorąco w pierwszéj chwili, mroźno w końcu (Prz. lit. i nauk. 1878 Sierpień str. 706).“ Ciężkie czasy wielkiéj próby nastały dopiero późniéj, gdy i na wschód Europy przeszły podmuchy wielkiéj zawieruchy z 1848 roku, za którą podążyła w ślad długa, bezwzględna reakcya. Niedość, że w publiczności zmalało zajęcie literaturą a tém samém upadła liczba prenumeratorów, niedość, że zachwiały się wszystkie prawie czasopisma, naprzykład „Biblioteka Warszawska,“ a T. Glücksberg odmówił Athenaeum swojego nakładu, niedość że pismo, które nigdy nie było jaskrawém, traciło wszelkie barwy, stawało się ckliwém i szarém, lecz jeszcze oprócz tego opadały ręce u ludzi postępowych, bo poszły na marne i upadały, niby zmrożone, ich oczekiwania i nadzieje, zachwianą została wiara w umysłowość europejską, która służyła w wodnistym roczczynie i dla naszéj umysłowości za pokarm. „Czego sobie i czytelnikom Athenaeum na Nowy Rok (1851) życzymy?“ pyta W. Wróblewski (VI 1850), i odpowiada: „Winszujemy sobie, że nie mamy socyalizmu, a życzymy, aby go nigdy nie było, zwycięztwo nad socyalizmem dla Francyi daleko ważniejsze,

---

[1]) *Ruiny* przez autora Lutni Chrystusowéj III 1841. Kraszewski skarży się, że młodzi poeci dają zarysy otoczone mgłą i dymem, jakieś mięszaniny aniołów i poczwar, kawałki myśli, rzeczy, obrazów bez wątku i nazwiska.

niż Marengo lub Wagram." Smutna pociecha, możnaby powiedzieć, jak odpowiadał Kraszewski Chołoniewskiemu, który się cieszył, że się kościół pozbył księdza Jucewicza; wygrana gorsza od kanneńskiéj, boć pociągnęła za sobą ustalenie się nowego cesarstwa; opłaciła się w końcu Sedanem. Oprócz socyalizmu należało się requiem jeszcze jednemu nieboszczykowi. Burza zmiotła wszystkie kombinacye pośrednie, pozostały zaś tylko zasady skrajne: stary nierozumnający katechizm i systematyczna niewiara, ulotniła się zaś cała filozofia idealistyczna ze wszelkiémi próbami szczepienia nowych zielonych gałązek postępu na zmurszałych starego drzewa konarach. Ostatni mohikanie metafizyki mogli odtąd zajmować się chyba tylko frazeologią, bo ich systemata były, jak pęcherze przekłóte, i wiara w skuteczność ich roboty przepadła. To téż i W. Wróblewski śpiewa im de profundis: „odrzućmy naukę filozofów niemieckich, bo nudna, ciemna, a w ostatecznym wypadku niepoczciwa. Niewierzmy nadewszystko ich nieszczęsnemu słowu: pogodzić ateizm z wiarą, entuzyazm z rachunkiem." Cóż pozostaje po tém rozbiciu się? W. Wróblewski chwyta się za ostatnią gałązkę: „życzymy ziomkom szczerze się imać sprawy słowiańskiéj, bo ona jedna, jako pragnie, tak i potrzebuje naszéj narodowości." Ten wysiłek ostatni sprawdza tylko przysłowie o tonącym i brzytwie. W danym razie wydawca omówił, że artykuł W. Wróblewskiego nie zupełnie trafia do jego przekonania.

Po usunięciu Glücksberga, upadające pismo legło całym ciężarem nie tylko pracy umysłowéj, ale i nakładu na wydawcę. Kraszewski zapożyczał się, zbierał ofiary i starczył w końcu z własnéj wcale nie bogatéj kieszeni [1]). „Tą ofiarą, powiada w zamknięciu, możemy się pochlubić, bo jest jedyną, która z mojéj strony coś znaczy. Gdym ważył pracę moję, czyniłem tylko powinność, kiedym tracił pieniądze — robiłem więcéj, niż byłem obowiązany, i tém pozwólcie mi się trochę pochlubić."

Przy tém męczącém wytężeniu wydawnictwo poszło znów jako tako, doborem artykułów ostatnie dwa lata nie ustępują poprzednim, a zewnętrzna forma, druk, papier, wielce zyskały, lecz naokoło wydawnictwa była wielka próżnia, lista prenumeratorów w 1851 spadła do 101 nazwisk (1 r. 1851), widoczna, że ogół czytających nie o wiele przechodził po za liczbę piszących. W odezwie rozpoczynającéj rok 1850 (31 stycznia z Hubina) znać zniecierpliwienie wydawcy: „przedewszystkiem nam idzie o zachętę życia umysłowego. Rzucić się, krzyknąć, zaszumieć łatwo przychodzi; popracować wytrwale, równo, spokojnie prawie niepodobna. A myśmy tak leniwi, a tyle mamy do zrobienia." Tu następuje poetyczny ustęp, który Kondratowicz z parafrazował aż dwa razy w najpiękniejszych swoich utworach (we wstępie do Dęboroga: Każdy kupiec na drodze....., i w Gawędzie „Kęs chleba": Jestto już dla nas nie nowa nauka): „Każdy z nas mieszka w kątku, którego ziemię gdyby w dłoń wziął i ścisnął prysnęłaby z niéj myśl, krew, wspomnienie: tyle mogił po polach, tyle gruzów po górach, tyle podań u ludu. Czemuż to wszystko prawie nietknięte leży? Bośmy leniwi, leniwi, jakbyśmy dowieść chcieli, że pochodzimy ze Wschodu. Obcy nie mająż prawa nam powiedzieć: oto zmęczyli się kilkowiekowém życiem. To, co mówimy, zastosujcie do siebie wielce szanowni współpracownicy i czytelnicy Athenaeum; darujcie nam prawdę ostrą, lecz pożyteczną. Nie chodzi nam wcale o Athenaeum, ale o was".

Przewidywany koniec nastąpił. Ostatni z dwóch spóźnionych tomików Athenaeum z 1851 r., drukowanych w 1852, mieści zamknięcie (Hubin 14 lutego 1852), przesyłające cichy, smutny, serdeczny uścisk dłoni a pożegnanie z duszy i ubolewanie: „są koleje nieprzebłagane, losy nie przemodłone — wole Boża, wola Boża i koniec. Pismo, które żyć „nie może o swych siłach, już żyć nie potrzebuje. Smutny to wyrok, ale cóż robić — tak jest". Na pismo, jak na mogiłę przyjaciela, rzuca wianek z nieśmiertelników wydawca zbolały, złamany, podupadły na zdrowiu, sercem chory, bo nadzieje, co trzymały, rozwiały się marnie; bo stracił wiarę, w co wierzył przed laty dwunastu, bo widzi wielką zmianę ludzi, rzeczy i gorliwości. „Przykro mi powiedzieć, dodaje, żem pod koniec zrażony, zobojętniony nie nadał zbiorowi życia więcéj, więcéj siły. Przyznaję się do téj winy, ale 11 lat pracy bez owoców, mozołu daremnego, trudów niewiele widocznych i nie wiele skutecznych, odbierają i wątlą największy sil zapas".

Jakkolwiek te wylania się pełne goryczy, były niewątpliwie szczerémi, nie należy mniemać, iżby przedstawiały stały stan duszy wydawcy w całéj pewnéj epoce, w któréj były pisane. Organizm to był wyjątkowo giętki, bezprzykładnie spręży-

---

[1]) Ofiary były od pani Sobonińskiéj i Winc. Czarnowskiego, pożyczki od Karola Drzewieckiego, Adolfa Dobrowolskiego i pani Daryuszowéj Poniatowskiéj.

sty. Zadne niepowodzenia, ani osobiste, nie mogły go rozstroić, lub zachwiać na czas dłuższy, owszem po chwili rozprężenia podwajały w nim energią. Niebawem oto olbrzym potoczył znów ciężki kamień pod górę. Po chwili rozbitek klecił znów tratwę i puszczał się na wielkie wody. Zdaje się, że przez dziwny wypadek w jednéj osobie złożone były takie nieprzebrane skarby téj wytrwałości, ktorą on proponował (I r. 1850) wykreślić z naszego języka, bo jéj brak w charakterze, że wystarczyłyby na setki tysięcy stosunkowo upośledzonych pod tym względem współziomków. Twórca „Anafielasu‘ zaledwo wstępował jeszcze w wiek męzki (lat 40), pora tendencyjnych ludowych powieści (Ulana 1843, Ostap Bondarczuk 1848, Budnik 1848) przeszła, ale gotowała się najcelniejsza może: „Powieść bez tytułu“ (1855), przerobiona całkiem na nowo z ulubionego tematu, rozwiniętego już w „Poeta i Świat“.

Z niejakiego oddalenia rozważane stanowiło Athenaeum w życiu Kraszewskiego jeden z mniéj wydatnych ustępów, prześcigniętych w późniejszéj literackiéj i dziennikarskiéj jego działalności. Zewnętrzne warunki pisarstwa zmieniły się téż wkrótce na lepsze; po wojnie wschodniéj wśród rozpoczętych w Rossyi reform, prassa doznała nieco więcéj folgi i swobody, dziennikarstwo nabyło trochę wagi i znaczenia. Znaczną część dawniejszych współpracowników Athenaeum skupił Kirkor (Jan ze Śliwina) około Kuryera Wileńskiego. Ożywiło się dziennikarstwo warszawskie. Późniejszy rozwój literatury peryodycznéj, wstrzymany tylko na czas krótki przez katastrofę 1863 roku i jéj następstwa, kazał zapomniéć o skromniejszych początkach. Dziś rzadki czytelnik wertuje 66 tomików Athenaeum, dzisiejszemu jednak historykowi literatury, chcącemu sąd wydać o tém czasopiśmie, przyszłoby tylko przepisać prawie dosłownie zwięzły, a ściśle, aż do surowości sprawiedliwy wyrok podpisany przez samegoż wydawcę w Zamknięciu: „Athenaeum wywiodło na pole pisarskie wielu a wielu ludzi. Wieluśmy zaprosili i niepotrzebnych tu gości, ale zasługa przechodzi winę. Każda niemal myśl bieżąca, każde zaprzątnienie, każdy kierunek, odbiły się w tym zbiorku słabiéj albo mocniéj, nie namiętnie i fałszywie, ale poważnie i naukowo, wstrzemięźliwie. Zwrot szczególny ku literaturze właściwéj i sztuce winniśmy potrzebie przeciwważenia wpływu literatury francuzkiéj i niemieckiéj, ważnéj drugiéj potrzebie rozwinięcia smaku artystycznego. Naukę musieliśmy stroić, ubierać i maskować niemal, by ją przypuszczano, bo nauki, jak pracy, nie miłujemy wcale.“ — W zbiorku maluje się, jak w zwierciadle, obraz naszego piśmiennictwa krajowego, pochwycony w pewnéj chwili, która minęła już bez powrotu. Z całego Athenaeum wyziera jeszcze wyraziście wielka, wszystkiemu współczująca, a przez to niesłychanie sympatyczna, ujmująca prostotą i skromnością postać samegoż wydawcy. Nie licząc korrespondencyi z współpracownikami i Wilnem, trzeba przyznać, że massa drukowanego w piśmie z rękopisów Kraszewskiego zadziwia ogromem, są działy, są tomy głównie przezeń wypełnione. Wydawca streszcza dzieło Hanusza o mytologii słowiańskiéj i literaturze (II, r. 1843), „Dajnos“ zbiór pieśni litewskich przez Rhezę (1844), Roczniki gospodarstwa krajowego, przez lat dziesiątek (IV 1851), Polskę pod względem obyczajów i zwyczajów A. W. Maciejowskiego (III r. 1843), Filozofią natury Hegla (III, 1845), podaje ułamki romansów i powieści, dramatu (Jan z Nepomuk IV 1841), prześliczne studyum o Brodzińskim (VI r. 1844), wielkie oryginalne dzieło historyczne: „Litwa za Witolda“ (1849), nieprzebraną ilość korrespondencyi literackich i artystycznych, massę krytycznie opracowanych materyałów historycznych. Człowiek spokojnéj pracy, — człowiek bez żółci i żądła, stroniący od wszelkiéj polemiki, nie wywijał on nigdy krytyką, jak biczem, nie zaznaczał czerwonemi pręgami plecy ludzi w ten sposób wyexekwowanych. Ta beznamiętność, ten brak bojowniczego ducha, sprawiały, że Athenaeum nie miało wybitnego piętna, ostro zarysowanego charakteru, że się mniéj podobało licznéj gawiedzi, lubiącéj razy, płazowanie i cięgi, niż dobrańszéj publiczności o delikatniejszych gustach.

Wpływ Kraszewskiego, tak tu, jako i w całéj literaturze, podobniejszy był zawsze do łagodnego światła księżyca w pełni, oświecającego z góry i z daleka, niż do ognia, który ogrzewa, ale i pali. Daleko większy artysta, niż krytyk, Kraszewski rzadko wyczerpał ocenianą rzecz do dna, ale z pierwszego rzutu oka zawsze wyróżniał, co miało wartość i przyszłość, dziwnie trafnym i cudownym prawie instynktem. Zdarzało się, że się uniósł i zbyt wysoko postawił albo nad miarę pochwalił nowostkę, nie zdarzało się, by się w gruncie rzeczy pomylił. Ponieważ Kraszewski jest człowiekiem oświaty w ogóle, ale nie człowiekiem jakiegokolwiek bądź stronnictwa, więc ani w tym wczesnym okresie jego działalności, ani późniéj sądzić go nie

podobna z kolorów i godeł na wywieszonym przezeń sztandarze. W ogóle o tych sztandarach rzec można toż samo, co o każdéj religii: poznasz ją z owoców, ocenisz w zastosowaniu. Sztandar był wypróbowany, stary, pod nim kupiła się wiara od wieków, a stały na nim wypisane dwie rzeczy: *religia* (i to pewna określona religia a nie podmiotowa religijność), i to, co nazywamy *swojskością*, ale pod tym sztandarem, pod którymby stanąć nie zawahali się i obskuranci, znajdowała miejsce i użytek wszelka myśl nawet bardzo daleko w nowatorstwie sięgająca, byle wypowiedziana z godnością, byle oddana nie jaskrawo a w formie poważnéj dyskussyi. Same kolory sztandaru i godła pasowały do chwili, odpowiadały usposobieniu społeczeństwa, wyrażały ówczesny stan sumienia narodowego. Kraszewski tak wtedy, jako i potem, był w tym względzie wysoce narodowym człowiekiem i zasługiwał na to, by o nim powiedziano: „*oni sumienie publiczne — to jedno.*“

W. Spasowicz.

II.

Działalność J. I. Kraszewskiego, jako redaktora Gazety Polskiéj.

Rozwój dziennikarstwa warszawskiego w ostatnich czasach i nadewszystko owo pocieszające zjawisko, że klassy oświeceńsze naszego społeczeństwa uważają nareszcie gazetę nie za przedmiot zbytkowy, lecz za rzecz nieodzownie potrzebną, na którą warto kilka złotych miesięcznie wydawać,— w znacznéj mierze jest dziełem prac redaktorskich J. I. Kraszewskiego w owym czasie, gdy ten pisarz, najpłodniejszy ze wszystkich współczesnych, całą zdumiewającą działalność swego niewyczerpanego umysłu przez lat kilka skupiał prawie wyłącznie w zajęciach dziennikarskich, jako redaktor „Gazety Codziennéj,“ późniéj „Polskiéj.“

Żywszy ruch w naszém piśmiennictwie peryodyczném niewątpliwie rozbudził się był wcześniej. Przed rokiem 1840 pisma poznańskie zachwycały miłośników literatury ojczystéj, a od r. 1840 „Biblioteka Warszawska“ pod redakcyą A. Szabrańskiego, lubo w mniéj korzystnych wydawana warunkach, z niemałém przecież powodzeniem przez lat kilka współzawodniczyła z tygodnikami poznańskiemi. W r. 1842 E. Dembowski i H. Skimborowicz zaczęli wydawać w Warszawie: „Przegląd Naukowy,“ który w krótkim czasie nabył wielkiego rozgłosu, zwłaszcza między młodzieżą. Czasopismo to, rzec można, stanowiło epokę w dziejach prassy peryodycznéj warszawskiej. Pierwszy Przegląd Naukowy śmiało rozwinął chorągiew postępu, którego to hasła późniéj prassa nasza tyle używać i nadużywać miała. Pod względem postępu z niektóremi innemi względami Przegląd Naukowy był niejako poprzednikiem Gazety Polskiéj i z tego tytułu niech mi wolno będzie chwilkę się przy nim zatrzymać.

Osobistość głównego redaktora Przeglądu Naukowego, Edwarda Dembowskiego, była jedną z najpiękniejszych, jakieśmy w życiu naszém spotkali. Młody, mężny jak lew—jak zwykle o nim mawiała nieodżałowana Narcyza Żmichowska—z urodzenia i majątku wielki pan, wysoce ukształcony, głęboki znawca filozofii heglowskiej, która wówczas królowała w świecie naukowym i z któréj wyciągał wyniki praktyczne dla reform w naszém społeczeństwie, pragnąc, jako gorący jego miłośnik, królestwo Boże w nim urzeczywistnić—pełen zapału niecierpliwego, jakby przeczuwał, że krótkim będzie piękny jego żywot, zapału najszlachetniejszego, ale popędliwego, który nieraz zapewne musiało powściągać doświadczenie wytrawnego współredaktora H. Skimborowicza,—E. Dembowski, jako redaktor Przeglądu Naukowego, na którego wydawnictwo nie szczędził swego majątku, wywierał wpływ silny na współczesnych, a szczególniej na młode pokolenie. Serdeczny przyjaciel ludu pracowitego a nieco stronny przeciwnik przemożnéj wówczas klassy obywateli ziemskich, do któréj sam należał, Dembowski zawzięcie zwalczał dążenia ultrazachowawcze, wsteczne i na-

wet sprzeczne z duchem narodowym, których przedstawicielami w owym czasie byli: H. Rzewuski (Jarosz Bejła), M. Grabowski, I. Hołowiński, i inni pisarze litewsko-ukraińskiéj szkoły. Rzecz godna uwagi, że Kraszewski, który z miejsca ówczesnéj działalności swojej pisarskiéj należał do tych pisarzy, był właśnie współpracownikiem Przeglądu Naukowego. Pośród wybornych, ostrém piórem Dembowskiego i Skimborowicza pod pseudonimem Wróblewskiego pisanych krytyk na dzieła wspomnianych pisarzy, Przegląd Naukowy drukował bardzo ładny obrazek dramatyczny J. I. Kraszewskiego „Poeta, jakich wielu.“ Tu także K. Libelt ogłaszał cenne prace historyczno-filozoficzne; tu genialna Gabryella zamieszczała swoje śliczne powieści; tu występowali młodzi poeci warszawscy i pisarze postępowi: R. Zmorski, W. Wolski i C. Norwid, którzy więcej wtedy obiecywali, niż późniéj dotrzymać mieli Jan Majorkiewicz, młody utalentowany filozof, którego rychło praca olbrzymia zabić miała, i A. Niewiarowski. który miał późniéj stać się niezrównanym dotychczas felietonistą, mistrzem kwiecistego frazesu i rzeźbiarzem misternych arabesek stylowych.

Po śmierci E. Dembowskiego Przegląd Naukowy wychodził jeszcze lat cztery a potem umilkł głównie jak się zdaje, dla braku funduszów,—bo niestety, ów *nervus rerum*, pieniądz, bardziéj jeszcze, niż w innych przedsiębiorstwach, potrzebnym jest u nas w wydawnictwie pisma peryodycznego, jeśli jego celem ma być przedewszystkiem dobro społeczeństwa. Już E. Dembowski wprawdzie utrzymywał, że literatura u nas obejdzie się bez mecenasów; było to jednak złudzeniem szlachetnego człowieka, który zresztą sam był prawdziwym mecenasem literatury krajowéj. A co było złudzeniem za czasów Dembowskiego, było niém jeszcze w najświetniejszym peryodzie działalności redakcyjnéj J. I. Kraszewskiego, gdy Gazeta Polska miała ogromną liczbę prenumeratorów, a jednak właściciel jéj ówczesny musiał znaczne summy dla przywrócenia równowagi w jéj budżecie dokładać. I sądzę, że jak wówczas, tak i dziś jeszcze, mecenasi literatury bardzo byliby pożądanymi..

Bądź jak bądź, z ustaniem wydawnictwa Przeglądu Naukowego, przedsięwziętego bezinteresownie i jedynie dla dobra ogółu, świetne ognisko postępu w prassie warszawskiéj zgasło, i dopiero odżyć znów miało w innem wydawnictwie, także bezinteresownie i wyłącznie dla dobra ogółu w imię zacnego i pożytecznego postępu przedsięwziętém w r. 1859, gdy J. I. Kraszewski objął redakcyą ówczesnéj Gazety Codziennéj [1]).

I widzieliśmy wówczas zjawisko rzadkie, może na długo nie mające się ponowić, a w każdym razie do owego czasu bezprzykładne: dwie największe w kraju naszym potęgi ówczesne, umysłowa i finansowa, połączyły swe siły, żeby z gazety utworzyć organ prawdziwego, zdrowego i zacnego postępu. Już samym urokiem swego sławnego imienia Kraszewski mógł do współpracownictwa zachęcić wszystkich najznakomitszych pisarzy polskich ówczesnych, z którymi wszystkimi przyjacielskie wiązały go stosunki; ze swej zaś strony ówczesny właściciel Gazety Polskiej, śp. Kronenberg, którego zacnym względem kraju uczuciom i zasługom obywatelskim wszyscy dziś należną sprawiedliwość oddają, szczodrą dłonią dostarczał funduszów na opłacenie tego współpracownictwa. Jakoż najgłośniejsi pisarze polscy w kraju i zagranicą byli za redakcyi J. I. Kraszewskiego współpracownikami Gazety Polskiéj. Europejskiéj sławy ekonomista L. Wołowski, członek Instytutu i Ciała prawodawczego w Paryżu, pisywał wtedy do felietonu Gazety Polskiéj przeglądy nauk społecznych i artykuły o Instytucyach kredytowych. Świetny pisarz polski i francuzki, najznakomitszy dziś współpracownik paryskiego czasopisma: „Revue des deux Mondes“, Julian Klaczko, drukował w G. Polskiéj Listy włoskie, w owym czasie bowiem podróżo-

---

[1]) Pisząc to, nie nie myślę uwłaczać zasługom Gaz. Warszawskiéj, do któréj po upadku Prz Naukowego przeszli prawie wszyscy jego współpracownicy warszawscy: Gabryella, W. Wolski, A. Niewiarowski i inni, i do któréj Kraszewski także często pisywał. Owszem, Gazeta Warszawska pod redakcyą dziennikarzy tak wysoce uzdolnionych, jak A. Lesznowski i J. Kenig miała wówczas świetne powodzenie i, jak Kuryer Warszawski, była przedsiębiorstwem dziennikarskiém, które właścicielom swoim przynosiło sporo zysku pieniężnego; ale jako wchodząca w skład majątku familijnego, którego uszczuplać i rezykować się nie godziło, z położenia swego G. Warszawska nie mogła występować z początkowaniem nowych torów i kierunków i narażać się na wydatki przewyższające dochody, co u nas jest nieuniknione, jeśli pismo wydaje się bez względu na korzyści lub straty materyalne. G. Warszawska zawsze szła ostrożnie za opinią publiczności prenumerującéj, opinii zaś téj kierować ani prostować nie śmiała, i nawet choćby chciała, z położenia swego nie mogła. Dla tego myślę, że nie będę posądzony o stronność, gdy powiem, że po upadku Prz. Naukowego dopiero G. Polska pod redakcyą Kraszewskiego stała się organem publicznym zgoła bezinteresownym i mającym jedynie zdrowy postęp społeczny na celu.
(*Przyp. Autora*).

wał był po Włoszech. Z prac sławnych historyków naszych drukowała wtedy G. Polska K. Szajnochy: „Miecznik koronny Jabłonowski, wspomnienie historyczne," „Powieść o niewoli pogańskiéj," „Krzysztof Opaliński," i „Urazy królewiąt polskich;" Augusta Bielowskiego: „Niektóre rysy z życia Stanisława Żółkiewskiego," oraz liczne prace J. Bartoszewicza. Z poetów, K. Brzozowski konsul hiszpański w Syryi drukował w G. Polskiéj poemacik: „Dzieci;" Władysław Syrokomla: „Biografią Kosacza," J. Chęciński komedyą: „Porządni ludzie," W. Szymanowski komedyą: „Dzieje serca" i wreszcie J. Bliziński, dziś tak wysoko ceniony komedyopisarz, pierwszy swój, ile wiem, utwór, obrazek dramatyczny wierszem pod t.: „Imieniny." Z powieściopisarzy wreszcie drukowały się wtedy w Gazecie Polskiéj utwory J. Miniszewskiego, którego talent pisarski Kraszewski wysoko cenił i niektóre powieści prawdziwémi arcydziełami nazywał: „Pamiętniki lokatora", „Hipoteka szczęścia małżeńskiego," „O melancholii osobliwéj" i t. d. Poniękąd zaliczyćby tu można jeszcze i Wiktora Hugo, z którym Kraszewski zawarł był układ nadający Gazecie Polskiéj taki, wyłącznie jéj jednéj tylko w całém dziennikarstwie europejskiém służący przywiléj, że pierwsza połowa każdego tomu sławnéj powieści: „Nędznicy" drukowała się w niéj w przekładzie wprzód, nim oryginał całego tomu ukazał się w handlu księgarskim. Z licznych korrespondentów, którzy wówczas pisywali do G. Polskiéj wymienię tylko: E. Chojeckiego, zajmującego i we francuzkiéj literaturze poczesne miejsce pod pseudonimem Charles Edmond, który stale raz na tydzień pisywał listy polityczne z Paryża; Z. Węgierską, któréj dowcipne Kroniki paryzkie były w swoim czasie bardzo cenione; W. Bętkowskiego, posła sejmowego w Berlinie, syna autora pierwszéj: „Historyi literatury polskiéj," którý przysyłał korrespondencye z Poznania; A. Białeckiego, dzisiejszego professora uniwersytetu warszawskiego, z Petersburga i z Niemiec południowych, Lenartowicza z Florencyi, Blizińskiego z Kujaw, Fudakowskiego z Ukrainy, Bądzkiewicza z Wilna, Szmitta ze Lwowa, Wierzchlejskiego z Suwałk i t. d. i t. d.

Z warszawskich literatów stałymi wówczas współpracownikami G. Polskiéj byli: K. W. Wójcicki, J. Bartoszewicz, H. Skimborowicz, W. Anczyc, F. H. Lewestam, W. Zieliński, E. Leo, W. Szymanowski, L. Rogalski, J. K. Gregorowicz i wielu innych.

Tak liczne grono znakomitych lub wysoce uzdolnionych współpracowników, przy olbrzyméj działalności samego redaktora, J. I. Kraszewskiego, musiało rozbudzić żywe zajęcie publiczności. Liczba prenumeratorów G. Polskiej wzrosła do niesłychanéj do owego czasu w piśmiennictwie peryodyczném wysokości 8,000, a bez przesady przypuszczać się godzi, że Gazeta miała wówczas z dziesięć razy tylu czytelników. Silny popęd został nareszcie dany, publiczność zasmakowała w gazetach, które odtąd stały się jéj chlebem powszednim, i zajęły miejsce w budżecie wydatków zwyczajnych.

Chcieć dokładne dać wyobrażenie o olbrzyméj działalności J. I. Kraszewskiego przy G. Polskiéj, byłoby rzeczą niemożliwą. W ciągu niecałych lat czterech czynności redaktorskich—Kraszewski objął redakcyą G. Codziennéj w lipcu 1859 roku—gdyby się zebrało wszystko, co w tym krótkim peryodzie napisał w gazecie i wydrukował, utworzyłoby to ze trzydzieści tomów, a jak gdyby mu jeszcze i téj działalności dla oświaty kraju było za mało, w celu krzewienia jéj między najniższémi klassami, w początkach r. 1862 zaczął wydawać: „Bibliotekę ludową" i kilka książeczek w tym celu napisał; dla rozszerzania zaś wiadomości o literaturze zagranicznéj, których łamy gazety pomieścić nie mogły, od lipca tegoż roku wydawał „Przegląd europejski."

Z obszerniejszych prac Kraszewskiego, w owym peryodzie drukowanych w G. Polskiéj, wymienię powieści: „Syrenę," (wyciąg z pamiętników Ktosia) i „Kopciuszka;" studyum obyczajowe: „Dziś i lat temu trzysta," „Listy z tamtego świata," „Kartki z przejażdżki po Europie w r. 1858," „Silva rerum" (różne studya obyczajowe i historyczne), „Listy z podróży do Belgii, Francyi i Włoch," podczas któréj ze sto takich listów w r. 1860 w gazecie wydrukował; „Odczyty o cywilizacyi w Polsce," „Listy z Mokotowskiéj ulicy" (sprawozdania o ważniejszych ówczesnych broszurach politycznych) i t. d.

A ile to jeszcze innych rzeczy pisał do gazety, ile artykułów wstępnych i tak zwanych znaków (X), których nieraz po kilka i kilkanaście drukowało się w jednym numerze! Nadewszystko podziwiałem płodność Kraszewskiego w pisaniu artykułów wstępnych. Bywały dnie, w których po trzy i cztery na raz jego artykuły o polityce zagranicznéj i sprawach wewnętrznych G. Polska drukowała. Kto wié z doświadczenia, jak jest rzeczą mozolną, żmudną i niewdzięczną pisanie artykułów wstępnych, ten podziwienie moje podzieli. Za granicą, gdzie

dzienniki, jako organa stronnictw politycznych, stanowią potęgę moralną, i gdzie pisanie artykułów politycznych rozumowanych dla kierowania opinią publiczną, stało się koniecznością, zwykle jest po kilku redaktorów, kolejno te artykuły piszących, tak iż na jednego wypada po dwa lub najwięcéj po trzy takie artykuły na tydzień, zwłaszcza w dziennikarstwie francuzkiém i angielskiém. Kraszewski zaś pisał sam jeden, pisał prawie codzień i nieraz nawet po kilka artykułów wstępnych dziennie. A zważmy, że to nie był dziennikarz zwyczajny, oddawna w rutynę gazeciarską zaprawiony; że to był pisarz wielki, którego tylko sprawy ludzkości, a nie bieżące wypadeczki polityczne, żywo obchodzić mogły. Wyobraźmy sobie Wiktora Hugo, któryby w swoim dzienniku „Rappel“ codziennie pisywał artykuły wstępne o sprawach Obojga Sycylii, Irlandyi i wysp Jońskich, o kwestyi rzymskiéj, o budżecie austryackim, o intrygach dyplomatycznych w Konstantynopolu, o bójkach w Hercogowinie i o interesujących księztwach Serbii i Czarnogórza. Jestem pewny, że po dwóch tygodniach téj pracy niewdzięcznéj porzuciłby go na zawsze. A Kraszewski nie porzucał, lubo i jemu ta praca musiała się zdawać nieznośnie uciążliwą. Za to, gdy się zdarzyły wypadki, które żywo go zajęły, które przemówiły do jego wyobraźni i wstrząsnęły duszę, wówczas pisał z rozkoszą, z zapałem, natchniony, i—jak mi mówił,—szczęśliwy; to téż wtedy jego artykuły wstępne były arcydziełami.

Kraszewski, jako dziennikarz, był przedewszystkiem moralistą głębokim, co ma zresztą wspólne ze wszystkimi prawie naszymi wielkimi pisarzami. Jak zaś Kraszewski pojmował dobro kraju i postęp prawdziwy, jak rozumiał zadanie dziennikarza i powinności obywatelskie, nie mogę tego lepiéj okazać, jak przytaczając własne jego słowa w G. Polskiéj drukowane.

Obejmując redakcyą G. codziennéj w Lipcu r. 1859, Kraszewski pisał między innemi: „Dziennik nie może iść za słabostkami i upodobaniami chwilowémi, ani pochlebiać namiętnościom, ale spełniać poważnie i surowo swe posłannictwo stróża i przewodnika, doradzcy i tłumacza. Tego dokazać niepotrafi, jeśli naprzód nie stanie na stanowisku ogółu i nie wznieci w sobie gorącego współczucia dla rzeczy wielkich i świętych.“

„Z siłami, których czujemy niedostateczność, zagrzani miłością dla kraju, pragnieniem jego dobra, bierzemy nie bez obawy pióro do ręki, z mocném postanowieniem spełnienia tego, co mamy za obowiązek, sumiennie i ściśle.“

„Przywiązanie do świętéj wiary naszéj, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy mającéj przyszłość zgotować, oto zasady zawsze stałe i jedne, któreśmy dwudziestokilkoletnią pracą wyznawali, z niémi przychodzimy do tego nowego dla nas i trudnego zadania, nie tając przed sobą, ani niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, ani wielkości przedsięwzięcia.....“

„Walczyć będziemy za prawdę przeciw fałszowi, nigdy przeciwko indywiduom:—bogdajby z nieprzyjaciółmi osobistymi dla prawdy, bogdaj przeciwko najbliższym dla niéj. Cel dziennika stoi dla nas wyżéj nad wszelkie rachuby osobiste,— poświęcim mu więc chętnie i chwilową wziętość i wszelkie materyalne korzyści.“

Jako warunku nieodzownego w świadomém pracowaniu dla społecznego postępu, żądał Kraszewski gorącego przywiązania do kraju i gotowości do ofiar ze swoich osobistych korzyści. „Miłość, a jako czyn jéj poświęcenie i ofiara—pisał d. 11 Września 1859 r. w artykule wstępnym o postępie prawdziwym—oto *criterium* postępu!“ Z takiego zapatrywania się na postęp naturalnie wynikały jednakie powinności i jednakie prawa dla wszystkich, dla jednostek i dla klass społeczności, i jednaki szacunek dla wszystkich bez różnicy stanu, urodzenia i wyznania, byle wszyscy pospołu, każdy w swojéj sferze, wedle możności dla postępu społecznego pracowali. Ta wspólność zacnéj pracy przy wzajemnym szacunku jest według Kraszewskiego podstawą zdrowéj cywilizacyi, o któréj w tymże 1859 r. tak pisał w artykule wstępnym: „Co tylko stoi samo, przepaść musi — *vae soli!* Dla tego ani człowiek nie będący członkiem czynnym społeczności, ani klassa w narodzie wydzielająca się z niego, ani naród, który się od ogólnego postępu ludzkości odłącza, trwać nie mogą.“

W owym czasie dźwignienie bogactwa narodowego, téj podwaliny społecznego postępu, było jedną z potrzeb najpilniejszych. Klassa właścicieli ziemskich, czyli tak zwana pospolicie szlachta, była wtedy w takiém położeniu, że prawie niepotrzebowała pracować; stanowiła więc, jakby kastę uprzywilejowaną, odrębną i wyniesioną nad inne klassy społeczeństwa. Z tego to powodu E. Dembowski, jak wyżéj powiedziałem, był jéj przeciwnikiem, acz sam do niéj należał. Kraszewski i ówczesny właściciel G. Polskiéj, L. Kronenberg, nie byli prze-

ciwnikami żadnéj klassy, kochali zarówno gorąco wszystkie, jak cały kraj, ale chcieli równouprawnienia wszystkich w szacunku i poważaniu publiczném; chcieli, żeby własność ziemska stała się przemysłem równie umiejętnym i pracowitym, jak inne gałęzie przemysłu krajowego; chcieli, żeby szlachcic, fabrykant, kupiec i rzemieślnik, wzajemnie a równie cenili wartość swéj pracy społecznéj i świadomie przyczyniali się do rozwoju bogactwa narodowego. I krzyczano wówczas na nich, że krzewią materyalizm, że popychają kraj do plutokracyi, do gonienia za zarobkiem, do bogacenia się i do żydowszczyzny, i że te ich dążenia są sprzeczne z duchem naszéj przeszłości. Dziś niktby już takich zarzutów nie brał seryo. Dziś lepiéj umiemy cenić ważność przemysłu i handlu dla pomyślności kraju; dziś nie wątpimy już, że bogactwo pomnaża dobrobyt ogólny, i daje środki pracowania dla społecznego postępu. Okazał to w czynach ówczesny właściciel G. Polskiéj, a nie inaczéj Kraszewski zapatrywał się na znaczenie społeczne zamożności indywidualnéj. Dnia 23 Sierpnia 1859 r. Kraszewski w jednéj ze swoich „Silva rerum" tak pisał w téj gazecie o bogaczach: „Człowiek potrzebuje maluczko dla siebie samego; jeżeli ma więcéj nad to, co potrzebuje, jeśli pozyskał, nabył, zapracował,—to, co posiada, przekazane mu jest niejako fideikomissem Opatrzności. Staje między nią a ogółem, jako pełnomocny szafarz jéj darów, niekoniecznie, by tylko jałmużnę rozdawał ubogim, ale by do większych i wyższych celów Bożych siłą nagromadzoną i skupioną w swych rękach posługiwał.... W ich ręku nie losy maluczkich rodzin leżą tylko, ale często losy idei, wszystkich przedsięwzięć, ulepszeń, reform, dźwigni, któremi podnoszą się wieki całe, które są jak stopnie wschodów postępu."

Zdaje się, że nie można już radykalniéj pojmować ciężkich powinności bogactwa, które Gete nazwał raz szczęściem największém, a które w gruncie rzeczy jest jedną z najsilniejszych pokus dla słabéj woli ludzkiéj. Kto się opiera tym pokusom, kto majątek odziedziczony po przodkach lub własną uczciwą pracą nabyty, uważa według słów Kraszewskiego jako „przekazany mu fideikomissem Opatrzności," aby go na dobro kraju obracał, czyż taki człowiek, gdy postępuje zgodnie z tém przekonaniem, nie należy do najpożyteczniejszych członków społeczności i czy w jéj saméj interesie nie jest pożądanem, aby jak najwięcéj takich bogaczów posiadała? A jednak za te artykuły o znaczeniu społeczném bogactwa nowe podniesiono na Kraszewskiego krzyki: że pochlebia bogaczom, że wartość ich wywyższa kosztem skromnéj pracy ubogich i td. Na te krzyki Kraszewski wręcz odpowiedział, że pod względem moralnym więcéj ceni ubóztwo nad bogactwo, ale ubóztwo zacne, mężnie i z godnością znoszone. W artykule wstępnym d. 5 Stycznia 1860 r. tak pisał między innemi: „Bezsilne narzekania, szyderskie budzenie do nienawiści ku możniejszym, schlebianie ich namiętnościom i wysługiwanie się próżniacze dla okruszyn ich stołu — oto, co hańbi ubóztwo i czyni je politowania godném. Ale ubóztwo wesołe, pełne miłości i uczucia godności własnéj, niezmordowane w pracy, niezrażone przeciwnościami, jest najpiękniejszym obrazem, jaki świat dać może, jest ideałem dla poety, jest wzorem dla wszystkich, jest najpiękniejszém polem popisu dla mężnéj i wielkiéj duszy."

Zresztą zasady swoje Kraszewski jasno przedstawił w następującym programmie, który d. 2 Kwietnia 1861 r. z okoliczności zmiany tytułu Gazety Codziennéj na Polską ogłosił:

„Sądzimy, żeśmy zrozumieli ducha narodu i jego instytucyi charakter, na czele stawiąc jako zadanie główne dziennika moralne równouprawnienie stanów, wyznań, klass społecznych i powołanie do jednakich praw obywatelstwa, wszystkiego, co z łona ziemi naszéj wyszło i z piersi jéj ssało życie."

„Stoimy w tém zarówno w zgodzie z prawdą wieku naszego i duchem odwiecznym ustaw polskich, które, jeśli nie spełniły się w czynie, wskazały myślą i słowem ten cel ostateczny swych dążności."

„Nie każdemu narodowi danem jest myśl w łonie jego żyjącą wypiastować do samoistnego objawu, ale obowiązkiem dzieci, by ojcowskie spłaciły długi."

„Tak pojmujemy na szerokich podstawach ludowych, na rozległéj osnowie równo-obywatelstwa przyszłość kraju naszego i podniesienie jego moralne."

„Myliłby się, ktoby ztąd wnosił, że chcemy zrównać i zniwellować społeczność, która nieprzestanie dzielić się na możnych i ubogich, znaczących i nieznaczących, bo siły umysłu, serca, pracy, jednych dźwigają wysoko, drugich strącają nizko."

„Szanujemy w tém wymiar sprawiedliwości opatrzny, płacący trud, uwieńczający zasługę, a często cierpieniem probierczém hartujący człowieka, którego wielkość moralna nagle podnosi z krzyża męczeńskiego na stolicę tryumfatora."

„Stany i powołania są nieodłącznym od wszelkiego bytu fenomenem; ale stanów nie powinien dzielić przywiléj: praca i zasługa wszędzie prowadzić powinny, nikt nie ma prawa oddzielać się i wyłączać ani dostatkiem ni rodem.“

„Szanujemy pamiątki rodzinne, cenim symbole krwawe starych zasług dla kraju, ale w nich widzimy tylko przypomnienie obowiązków, godła poświęceń nowych. Obok tych klejnotów i szabli rycerza, młot rzemieślnika, lemiesz wieśniaka, kupiecki łokieć i wagę mamy za równie godne poszanowania, gdy je uczciwe, pracowite piastują ręce.“

„Oto nasza wiara społeczna...... oparta na przekonaniu, że tylka poświęceniem osobistém się uszlachca, że tylko praca daje życie.“

„Téj pracy, jako środka do osiągnienia moralnego, więcéj jeszcze niż materyalnego dobrobytu, jesteśmy niegodnymi apostołami. Wszelką pracę mamy za równie godną, każdą za użyteczną dla duszy a obowiązkową dla kraju. Wierzym w to, że pracą tylko do sił przyjść można, że wytrwaniem w niéj, nabywa się nie tylko mienie, ale charakter,— a cenim dobry byt i bogactwo dla tego, że one są rękojmiami niezawisłości, że dają środki wszelkie do potężnego działania, że zwiększenie ich nie dla indywiduów, lecz dla kraju jest potęgą. Nie o bogactwo pojedyńczych ludzi, lecz o rozwinięcie sił wszelkich ziemi naszéj nam idzie.“

„Widzimy się w konieczności powtórzyć to raz jeszcze, aby ten cel postawić przed sobą i miéć go ciągle przytomnym.“

„Szanujemy wiarę przodków naszych i święcie wierzymy, że zasady chrześciańskiéj prawdy, są podstawą wszelkiego postępu i duszą nowéj epoki; ale wolność sumienia zostawujemy każdemu i przekonani jesteśmy, że moralność ewangeliczna jedna jest z moralnością wieknistą, wrodzoną, którą jaśniéj tylko przedstawia i przykładem, krwią i męczeństwem uświęca.“

„Wierzym w to, że ludzkość postępuje, rozwija się, doskonali, i że jéj celem jest prawda, dobro, piękno, do których urzeczywistnienia idzie stopniami, nie cofając się chyba chwilowo, aby żywiéj naprzód się posunąć. W to stopniowe doskonalenie się praw, instytucyi, społeczności, w to zdobywanie prawdy i wcielanie jéj w życie, wierzym najmocniéj i dla tego wszystko, co wstecz nas cofa i usiłuje zatrzymać, za szkodliwe uważamy. Jak gwałtowny pochód niewczesnym być może i opóźnia, bo normalne postępu prawidła targa, tak upieranie się w miejscu świętokradztwem jest przeciw Bożéj myśli w dzieje ludzkości wcielonéj, bo walczyć z nią usiluje.“

„Jako środek jedyny do poparcia przekonań naszych, uważamy śmiałe i otwarte wypowiadanie prawdy zawsze i wszędzie, choćby z niebezpieczeństwem osobistém, choćby z narażeniem się opinii.“

„Nie wiążąc się żadnemi stosunkami osobistemi, żadną solidarnością stronnictwa ani względami prywaty, gotowiśmy w obronie prawdy i zasad naszych iść przeciw wszystkim; ale, bojując z fałszem, niechcemy tykać osobistości niczyjéj, szanujemy godność osobistą i przekonanie każdego.“

„To są zasady, ktoremiśmy się kierowali i kierować będziemy w dalszém wydawaniu dziennika naszego.“

A w ciągu kilkoletniego zawodu redaktorskiego, Kraszewski miewał nieraz chwile bardzo ciężkie, gdyż miał wysokie wyobrażenia o obowiązkach dziennikarskich i brał je bardzo seryo, a pełen ufności, jaką daje przeświadczenie, iż się szczerze i sumiennie dla dobra kraju pracuje, wcale nie zważał na chwilowe i zmienne upodobania publiczności i bynajmniéj im nie schlebiał. Dnia 19 kwietnia 1860 r. tak pisał o obowiązkach dziennikarstwa:

„Prawdziwém powołaniem dziennikarza jest, o ile ludzka ułomność pozwoli dobadywać się prawdy, dobadaną wypowiedziéć, za wypowiedzianą cierpiéć. Jeżeli nie pojmą nas odrazu i o najprzeciwniejsze oskarżą dążności, czas, do którego odwołujemy się nieustannie, rozprószy i obali uprzedzenia, wymierzy sprawiedliwość..... Jeżeli prawda zawsze równie jasną się nam ukaże, wolimy zostać z nią zapoznani, niż uledz naciskowi chwilowych namiętności, bo ogół prędzéj czy późniéj widzi jasno, sądzi zdrowo i tych, co mu schlebiali uniżenie, potępi“.

W innym znowu artykule tak zalecał dziennikarzom odwagę i szczerość w wypowiadaniu swych sądów (Art. wstęp. 2 lutego 1860 r.): „Wszędzie wybaczona ta słabość (nieszczerości), tylko nie w literaturze, nie w krytyce i w dziennikarstwie, gdzie, kłamstwa pisząc dla jakichś tam względów, na siebie wyroki głosim, nie na tych, o których sądzimy. Tu można oddzielić szacunek, jaki się ma dla człowieka, a przeciwić zdaniu jego i opinii, można potępić przyjaciela, można i trzeba oddać sprawiedliwość temu, co nam jéj wymierzyć nie chce. Ale pierwszym obowiązkiem prawda, drugim prawda i ostatnim prawda... O! lepsze były czasy, gdy pióro do czegoś obowiązywało; dziś ono orze — ale nie na świętą

siejbę, lecz na pańszczyźniany zagon zarobku i lichéj dodniowéj sławy".

O godności naszego społeczeństwa miał Kraszewski wzniosłe a bardzo uzasadnione wyobrażenie. Jak szlachectwo w przyslowiu francuzkiém, tak nasze położenie obowiązuje; powinno przyspieszyć naszę dojrzałość moralną i wznieść ogół nad słabostki ludzkie. Kraszewski chciał, żeby nasz ogół był wyższym nad wszelkie słabości. Bardzo pospolitą naprzyklad jest słabostką, że lubimy nagany cudze i szyderstwa z ludzi, zwłaszcza, których wyższość nad sobą czujemy. Już Gete powiedział, że własna chwała wprawdzie cuchnie, ale jaką ma woń cudza nagana i szyderstwo z drugich, na to nie mamy nosa; Kraszewski zaś tak skarcił tę wadę (art. wstęp. 29 stycznia 1860 r.): „W średnich wiekach już mawiano, że plus negare potest asinus, quam probare philosophus; prawdzi się to co chwila, a jednak lada dowcipek kulawy, lada żartowniś gminny łatwo zyskuje patent na wyższość umysłową, byle szydzić potrafił... Złe narzuca się samo, szukajmy dobrego".

Inną słabostką — oslanianie egoizmu swego płaszczykiem pracy gwoli publicznemu dobru, tak wychłostał Kraszewski (art. wstęp. 9 maja 1860 r.):

„Piszą nam dziwy o amerykańskich humbugach, i rzeczywiście prospekta Barnuma dowodzą, że tam doskonale pojęto, jak do ludzi przemawiać trzeba, aby ich ze słabéj pochwycić strony. Gdybyśmy jednak z równie znaczących domoroslych faktów wnosić chcieli o moralnym stanie i rozwoju kraju naszego, ledwieby nie przyszlo sądzić, żeśmy na wysokości Ameryki. Wprawdzie zdarza się to wszędzie, że ludzie ludzi explotują i, szumnémi frazami przemówiwszy do najżywszego ich uczucia, starają się zarobić na popularność i swoję upiec grzankę — ale nie wiem, czy gdzie tak poczciwego przywiązania do kraju i uczuć zacnych nadużyto, jak u nas."

„Niedawno przywiedliśmy tu przykład książki kucharskiéj, dla większego pokupu zatytulowanéj kuchnią i apteczką narodową; ale gdyby przyszło wyliczać tego rodzaju akta, obrachować, ile rzeczy nazwanych polskiémi, naszémi, choć nie wiele wartych, przeszło w tym stroju do potomności i popularności — za długiebyśmy spisywać musieli regestra."

„Patrząc na to nadużycie i milcząc długo, smutne nas ogarniało uczucie. Gdy się przychodzi do tego, że w imię najświętszych ci ludzie drobne swe osobiste potrzebki tają, gdy się nie waha użyć najszanowniejszych imion i myśli dla prywaty—źle tam zaprawdę z imionami, ideami i ze świętościami. Dowód to, że u ogółu jest poszanowanie idei, ale zarazem, że ci, niby wybrani, co doń przemawiają, już tylko korzystać zeń umieją, ale z nim wiary i uczucia nie dzielą."

„Popatrzmyż bezstronném okiem na to, co się u nas dzieje; wszyscy wyłącznie i jedynie pracujemy tylko dla kraju, tylko dla dobra ogólnego, nikt dla siebie; wszyscy się poświęcają dla ludzkości, począwszy od stróża kamienicy, który domaga się medalu za to, że lat dwadzieścia śmiecie wymiatał i był reprezentantem idei porządku, aż do literatów, którzy zarzynamy się na ołtarzu *pro publico bono!*"

„Wyjdzie dwudziestokartkowy świstek..... pisarz zasłużył się krajowi, poświęcił dla ogółu, górą nosi czolo brzemienne myślami i wieńcem; przetłumaczy kto wodewil z francuzkiego, jest zasłużonym pracownikiem na niwie ojczystéj, obleka się szatą kapłańską... i tak dalej i tak daléj. I ten, co sklep korzenny założył, mówi o ofiarach dla krajowego żołądka, i ten co zjada u niego ostrygi, jest ofiarą, i ten co pożycza na dwadzieścia cztery procentu, i ten, co je biorąc, bankrutuje przez poświęcenie..... wszystko ofiary, ludzie zasłużeni, cierpiący dla idei.."

„Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że są ludzie, co czynią ofiary, że są ludzie zdolni do poświęceń i w cichości je spełniający, ale nikomu podobno nie wolno zwać się bohaterem ani ofiarą. Ofiary przyszłość obiera i wieńczy, nikt się na nie sam nie zamianował. Ostatecznie z myśli wielkiéj, z uczucia świętego czynimy sobie igraszkę; poniewieramy je i szarzamy w błocie, tak iż wkrótce nie będzie czém opłacić tym, co istotnie byli ofiarą i dokonali poświęcenia; bo zużyjemy imię, które jedyną dla nich stanowić mogło nagrodę."

„Wszyscy, co dziś na czémkolwiek robią majątki, dowiedziona rzecz, że raczą się ich dorabiać tylko dla dobra ogółu, przez poświęcenie dla kraju, i ci co spekulują,... czynią to w imię wielkiéj idei, i każdy łatwo dowiedzie, że, pracując na swój chléb powszedni, ogromnie się przysłużył ojczyźnie."

„Dziś mało kto siwieje bez lauru jakiegoś, a ćmy samozwańców chodzą nosząc na ramionach wielkie brzemiona sławy, o któréj nikt nie wié. Masz-li piękne owce? pewnie nie dla wełny, ale dla ojczyzny — stado koni?... a! to rzecz narodowa, to nasza tradycya szlachecka; rola dobrze uprawna, to nie dla chleba, lecz dla miłego kraju naszego; zakładasz fabrykę... niechże

Bóg broni, żeby cię posądzono o spekulacyą! masz jedynie na widoku wprowadzenie współbraci na drogę przemysłu, tak zaniedbaną a tak potrzebną; kończy się na tém, że garkuchnie, w których sprzedają polskie flaki, polski barszcz, polskie zrazy—są instytucyami narodowémi!"

„Już nie chcę mówić o literaturze, która ma także nie jeden grzech na sumieniu; bo ileż to tytułów szumnych odzywa się do słabéj strony naszéj, wypotrzebowywa uczucie poczciwe miłości kraju i przeszłości — ile podejrzanych piękności poetycznych winniśmy przymiotnikom dobrze i dobitnie przylepionym... A poniewieramy drogie, szarzamy ostatnie! Cóżbyście powiedzieli, gdyby z ołtarza relikwie co chwila zdejmowano dla każdego żebrzącego dziada, by sobie chleb i sér, nosząc je, wypraszał?"

„A tak tu jest..."

„Co najdziwniejsza, że z mnóztwa tych poświęceń i ofiar, o których tyle mówimy i słyszymy ciągle, nie widać żadnego skutku i wszędzie omyłki, straty, dowody nieudolności lub braku zastanowienia, zawody, ostatecznie — nic."

„Mniéjby mówić, a robić więcéj, a szanować przystało, co święte i drogie; niech przyszłość potém położy na szalę czyn milczący i gwar próżny, i zawyrokuje nieodwolalnie, — nam siebie sądzić, tém mniéj się chwalić nie przystało."

„Właśnie dla tego, że u nas w imię tych świętości tak łatwo otworzyć serca i dłonie, nie jestże świętokradztwem i potępienia godną lekkością korzystanie z poczciwych uczuć na lada fraszki i exploatowanie wiary i miłości? Krajowi daje to świadectwo chlubne, ale tym co się tak do niego odzywają? — osądźcie sami."

I w tym artykule, jak w całéj swojéj działalności redaktorskiéj przy Gazecie Polskiéj Kraszewski ukazuje się, jako moralista głęboki, gorąco swój kraj miłujący. Miłość dla kraju, miłość dla wszystkich jego obywateli zarówną, uważał za najpotężniejszą dźwignią postępu i pomyślności ogólnéj. I często tę miłość zalecał. Ona się zowie czcią, poszanowaniem, pokorą, litością, miłosierdziem, łagodnością, sprawiedliwością wreszcie; wszystko, co dobre, w niéj się mieści, wszystko, co złe, pierzcha przed nią. Aby świat pojąć trzeba go kochać; trzeba go kochać, by nim rządzić, trzeba kochać, by go zwyciężyć."

Jako wielką zasługę dziennikarską Kraszewskiemu poczytać należy to, że we wspólnéj pracy dla dobra społecznego jedno z pierwszych miejsc wyznaczał duchowieństwu, którego wzniosłe posłannictwo wysoko cenił i głęboko szanował. Ostatni jego artykuł wstępny, który był niejako jego testamentem redaktorskim w Gazecie Polskiéj złożonym, poświęcony był właśnie temu posłannictwu.

Zdaniem Kraszewskiego więc, postęp moralny i materyalny nie powinien być „radykalizmem kosmopolitycznym, lecz tylko rozwojem dawnych idei" (Gazeta Polska, art. wst. 24 grudnia 1860 r.). Działalność téż jego redaktorska była owocną, przyczyniła się do rozwoju zdrowych pojęć postępowych, zyskała uznanie ogólne i nie małą stanowi cząstkę w zasługach, za które wdzięczne społeczeństwo uroczyście obchodzi teraz jubileusz pięćdziesięcioletniéj jego pracy pisarskiéj. Spojrzawszy wstecz na tę działalność, *jubilat* nasz może ze szlachetną dumą powtórzyć horacyuszowe: „Exegi monumentum." Niestrudzenie walcząc słowem śmiałém a nieskażonèm w obronie postępu, czy jako dziennikarz, czy jako powieściopisarz, Kraszewski zasługami dorównywa bohaterom.

Edward Sulicki.

WYDAWNICTWO PAMIĘTNIKÓW.

O pamiętnikach historycznych wydanych przez J. I. Kraszewskiego.

Jednym z najwznioślejszych celów badań historycznych jest bez zaprzeczenia dążność poznania prawideł i warunków organicznego rozwoju przeszłości dla dokładnego zrozumienia przeróżnych prądów i sił, które władną życiem społeczném i politycznóm wieku teraźniejszego. Historya nie kształci jednak wieków potomnych przez to, że je zapoznaje z pojedyńczemi faktami przeszłości; ale przez to, że roztaczając przed nami wierny obraz czynów dokonanych, daje nam możność zrozumienia uzasadnionych dążeń i pragnień naszego wieku. Znamieniem tedy historycznego poglądu na przeszłość powinna być poważna i wszechstronna analiza idei, władnących naszą epoką w ich organicznym rozwoju.

Z innego zupełnie stanowiska zapatruje się na przeszłość pogląd polityczny: o ile historyk śledzi prawideł organicznego rozwoju faktów, o tyle polityk skłonny jest do karcenia przeszłości za to, że nie postępowała podług teoryi dzisiejszych fakcyi politycznych, że nie służyła politycznym interesom chwili, że nie była powolném narzędziem dla politycznych widoków dzisiejszych namiętności i dążności państwowych.

W pierwszym razie wznosi się badanie przeszłości na stanowisko namaszczonego kapłaństwa, które, odsłaniając zdrożności w ich groźnych zawsze skutkach, prostuje ścieżki teraźniejszości; w drugim zaś razie podnosi inkwizytor bicz politycznych doktryn chwili i karci nim bez miłosierdzia przeszłość, przez co może wstrząsnąć umysłami, może podrażnić namiętności, może powiększyć zastęp już i tak nadto wielki krótkowidzących polityków; ale nie wyjaśni dokładnie przyczyn teraźniejszego politycznego położenia, o co właśnie historykowi przeważnie chodzić powinno, ponieważ na tém polega cywilizacyjne znaczenie nauk historycznych. Bez téj idei byłaby historya martwym, nieprodukcyjnym kapitałem, nie wynagradzającym wcale trudów tylu uciążliwych i poważnych badań, które, w innym kierunku pracy naukowéj podjęte, mogłyby przynieść daleko donioślejsze owoce. Wypadki przeszłości nie powtarzają się nigdy w téj saméj formie w wiekach późniejszych, choćby materyał pozornie był jednaki, tak jak pełne zapału i uniesień czyny młodzieńca nie doścignął powagi zdania, nie sprostają wytrwałéj pracy i nie dorównają rozległéj dążności doświadczonego męża. Historya, chcąc być mistrzynią życia, powinna wniknąć we wszystkie tajniki ducha minionych wieków, powinna zbadać moralną wartość idei, za pomocą których pragnie ludzkość choćby w strumieniach krwi zdobywać coraz wyższy szczebel na téj drabinie postępu, który niezbadane wyroki Opatrzności wskazały pojedyńczym narodom, jako ideę ich indywidualnego posłannictwa. Osiągnienie jak najwyższego w tych usiłowaniach stanowiska daje nam dopiero możność obszernego i jasnego poglądu na historyczną wartość usiłowań i trudów chwili teraźniejszéj, — daje nam dopiero klucz do skarbnicy wiedzy, prowadzi nas „drogą prostą a jasną“ do świątyni Apollina, która, strzegąc powagi groźnéj wyroczni narodowéj, przypominała każdemu główny warunek postępu i oświaty: Poznaj siebie samego!

Nie przeczymy, że bardzo wiele dróg prócz historyi prowadzi do tak wzniosłego celu, wiemy o tém, że żadnéj nie można bezkarnie lekceważyć; ale to pewna, że nauka historyi roztacza w téj wędrówce lu-

dów najobszerniejsze światło, z którego i polityk z wielkim dla sprawy pożytkiem korzystać może i korzystać powinien.

Wiekopomne czyny i dzieła narodów podobne są do najwyższych, ku niebu sterczących szczytów i baszt starożytnych gmachów, podobne są do kwiatu i do owoców drzew wspaniałych, których pień na tysiącznych wspiera się korzeniach, tak jak owe majestatyczne gmachy spoczywają na niewzruszonych głębokich fundamentach. Nauka historyi nie przestaje tedy na tém, jak to może uczynić polityka, aby tułaczowi dni dzisiejszych miała tylko zdala pokazać owe pojedyńcze najwyższe szczyty, — aby oko jego miała napaść widokiem jaskrawych kwiatów, z wskazaniem możliwéj ich applikacyi w życiu praktyczném; ale prowadzi go śmiało do wnętrza tych wspaniałych komnat starożytności, aby odetchnąwszy ich wiekową atmosferą, zbadał je dokładnie w ich całkowitéj strukturze od fundamentów począwszy. Historya nie kontentuje się zebraniem jaskrawych kwiatów i dojrzałego już owocu z wybiegłych konarów rozłożystego drzewa przeszłości, ale odsłania warunki życia tego odwiecznego drzewa, które ów szlachetny lub gorzki owoc wydało, — bada grunt, na którym wzrosło, powietrze, które jego rozwojowi sprzyjało lub go téż opóźniało, — promienie słońca, które je ogrzewały, nie mniéj i zimne prądy północne, które je mroziły, — i oddaje wreszcie sprawiedliwość ręce ludzkiéj, która je troskliwie i umiejętnie pielęgnowała, a potępia gnuśność i nieumiejętność, która najszlachetniejszym gatunkom zmarnieć pozwoliła. Sąd historyi opiera się zawsze na świadectwie i na zasadach uniwersalnéj natury, doraźny wyrok polityka jest zawsze okolicznościowy, ponieważ poprzestaje na zewnętrznych zjawiskach ujawnionych faktów, których świadectwo w myśl teoretycznéj doktryny tłumaczy.

Gdyby historya potrafiła wskrzesić to życie w najskrytszych jego tajnikach, gdyby zdolną była ujawnić wszystkie tajemnice téj architektoniki wiekowéj i tego życia organicznego, gdyby potrafiła przeniknąć, a, przeniknąwszy, ujawnić w wyraźnych formach z metodologiczną ścisłością dążności ducha ludzkiego we wszystkich kierunkach jego niestrudzonéj pracy, zrządzeniem Opatrzności zakreślonéj, ale dla oka zmysłowego tajemniczéj, — wtedy zdobyłaby sobie majestat nauki najdoskonalszéj z nauk, wtedy byłaby bez zaprzeczenia najznakomitszą mistrzynią życia.

Jakże nam jeszcze daleko do tego wspaniałego celu!

Dokładne zgłębienie i systematyczne przedstawienie prawideł organicznego rozwoju ludzkości zdaje się prawie przechodzić siły pojedyńczego człowieka, zwłaszcza, że nie tak dawno dopiero sformułowano jasno i wyraźnie to zadanie historyozofii. Dotychczas zapatrywano się na dzieje przeszłości przeważnie z politycznego, teoretycznego stanowiska. Pojęcia metafizyczne, teologiczne, materyalistyczne, idealistyczne, zaciemniają jeszcze często istotę prawideł historycznych. Nie godzi się wszakże wątpić o tém, że z téj obfitości faktów zbadanych, z téj szermierki przeróżnych systemów i opinii, wywiąże się jaśniejszy pogląd na prawidła historycznego rozwoju ludzkości, tudzież na stosunek świata fizycznego do świata moralnego. Nauka historyi ma bowiem tę wielką zasługę, że budzi w nas to niezłomne przekonanie, że jakkolwiek rozwój idei historycznych burzy i niweczy bez najmniejszego miłosierdzia zbyt niecierpliwe zapędy marzycieli, to znowu z drugiéj strony podtrzymuje jak najwytrwaléj ugruntowane nadzieje postępu i cywilizacyi: *nec omnia apud priores meliora, sed nostra quoque aetas multa laudis et artium imitanda posteris tulit. Verum haec nos; nobis maiores: certamina ex honesto maneant.* [1])

Ubolewając u nas nad tém, że gromadzą się stosy śmiecia w grubych woluminach, przy zaniedbaniu prawd historycznych, z których szczere złoto ukućby się dało [2]), piszemy rudimenta elementarnych pojęć politycznych, kiereszujemy całą przeszłość naszą rózgą politykomanii, któréj światło ma nas nauczyć polityki praktycznéj [3]), gromadzimy przeróżne opowieści przeszłości naszéj; ale na próżno czekamy na dzieło, któreby w wiernym obrazie przedstawiało całkowite dzieje narodu w organicznym rozwoju jego społecznego, umysłowego i politycznego życia od kolebki aż do dni naszych.

Fakt ten, budzący zapalczywe prawie oburzenie u tych pisarzy, którzy badanie nasze historyczne gwałtownie reformować pragną, zasługuje na pewne objaśnienie, zwłaszcza, że niestrudzona działalność Kraszewskiego położyła i na polu gromadzenia materyałów historycznych niepośledną zasługę.

Każdemu historykowi wiadomo, że i literatury innych narodów, znajdujących się w daleko korzystniejszych warunkach, nie mogą poszczycić się wiernym obrazem historyozoficznym całego życia narodowego, szczęśliwe, że się zdobyły chociaż na obraz

dokładny pojedyńczych epok swojego rozwoju dziejowego. W Anglii, we Francyi, we Włoszech, w Niemczech znajdują badania historyczne żywe i skuteczne poparcie u władz publicznych, kierowane są przez akademie, oddawna na tém polu systematycznie pracujące, — podniecane bez przerwy przez żywe słowo uniwersytetów i przez mozolne poszukiwania licznych towarzystw uczonych — tudzież pielęgnowane przez systematycznie kształcącą i doskonalącą się szkołę.

Opieka, jaką cieszyło się dziejopisarstwo nasze w epoce Naruszewicza i Królewskiego Tow. Przyjaciół nauk zbyt krótką była, aby mogła stworzyć szkołę systematycznych badań naukowych na polu dziejopisarstwa. Wśród głuszącego wszystko łoskotu wojennego, musiała i ta Muza zaledwo zbudzona, niebawem umilknąć. Rzucone przez Uniwersytet Wileński i Warszawski ziarno badań historycznych, miało zbyt krótkie lato, aby mogło wyróść i dojrzéć; a głośna niegdyś wszechnica Jagiellońska nie porzucała długo swojego kaptura milczenia, jakim się była od drugiéj połowy wieku XVI nakryła. Nie było tedy publicznego miejsca, z któregoby nasza literatura historyczna mogła czerpać światło jasnego poglądu, ścisłość naukowego badania, wszechstronną krytykę źródeł, — tudzież zachętę i niezbędne wskazówki dla młodzieży, pragnącéj się poświęcić uprawie téj gałęzi wiedzy. Chwalebna gorliwość prywatna nie mogła sprostać zadaniu, które z zapałem i poświęceniem wzięła pod swoję opiekę. Trudy i nakłady, łożone na tém polu przez Raczyńskich, Ossolińskich, Czackich, Działyńskich, Przeździeckich, Lubomirskich i wielu innych, pozostaną na zawsze chwalebném świadectwem zamiłowania nauki i gorliwości o wzrost oświaty publicznéj; ale braku szkoły zastąpić nie mogły. Prace w tym kierunku przedsiębrane, gromadziły z gorączkową prawie niespokojnością wszelki materyał historyczny, jaki się nastręczał w różnéj wartości dziennikach, pamiętnikach, listach prywatnych, dokumentach urzędowych, swojskich i zagranicznych, w relacyach osób publicznych, bez należytéj ścisłości i metody naukowéj i krytycznéj. Na téj drodze zwiększono ogrom faktów historycznych; ale, zwracając uwagę przeważnie na ich ocenę literacką, nie oceniono ich wartości źródłowéj, nie zbadano ich autentyczności, słowem: nie wykazano ich wartości historycznéj. Tłumaczenia dawnych drukowanych autorów ogłaszano za nowoodkryte źródła, dla przeróżnych względów familijnych i fakcyjnych obcinano lub przeistaczano relacye i pamiętniki współczesnych świadków. Młodsze pokolenie, kształcące się na uniwersytetach zagranicznych, nie miało życzliwych i kompetentnych przewodników i nie mogło się zoryentować w tém morzu bezładnego, często przeistoczonego materyału. Gorliwsi, z pomiędzy kształcącéj się po uniwersytetach obcych młodzieży, zaczęli stosować metodę badań uniwersalno-historycznych do własnéj literatury historycznéj; lecz doktrynerskie poglądy historyków obcych na dzieje ludów słowiańskich, nie wnikając dokładnie w faktyczne warunki naszéj organizacyi państwowéj, szerzyły fałszywe pojęcia o najważniejszych instytucyach publicznych przeszłości naszéj. Okrutna ręka czasu kruszyła gwałtownie wszystkie te organa państwowe, któremi naród żył w przeszłości: a gdy wreszcie coraz mniéj było świadków dawniejszego życia publicznego i niebawem zupełnie ich zabrakło, gdy nie stało ani świadków, ani ciepła duchowego związku z przeszłością, nie mógł bez niego wyróść na niwie dziejopisarstwa naszego owoc dojrzały, wymagania nauki wszechstronnie zadawalniający. Ambicya stronnictw, podżegana szermierką literatury politycznéj, — wywołane potężnym głosem niestrudzonego starca, fałszywe widmo gminowładztwa szlacheckiego, budziło republikanizm szlachecki, który szarpany teoryami nowszéj filozofii i żarliwością sporów kościelno-politycznych, podniecał namiętność przeciwnych doktryn oligarchicznych i monarchicznych. Nie było wprawdzie u nas komu mianować oficyalnych historyografów, ale pod wpływem energicznego tchnienia téj politycznéj szermierki, zaszeleściały i w naszéj literaturze historycznéj sztandary opinii, potępianych bez skrupułu lub approbowanych bez wyrozumowanéj przyczyny. Jeżeli dołączymy do tego nadmierny wpływ powieści i poezyi na prace historyczne, i niezapomnimy o złych skutkach, jakie pomięszanie polityki z historyą na polu badań historycznych za sobą prowadziło, to nie będziemy się dziwić temu fatalnemu zrządzeniu, że prace historyków naszych nie tylko organicznego rozwoju dziejów nie wyjaśniły, ale opromieniły całą przeszłość fałszywém światłem i nie podały żadnéj nauki pokoleniom współczesnym, a co gorsza—pomięszały najelementarniejsze pojęcia o warunkach bytu i rozwoju państwowego.

Wywołaną przez dzieło *Th. Buckla* i innych statystów kwestyą: czy można liczyć

historyą przy jéj dotychczasowéj metodologii, do rzędu nauk, czy téż tylko do szeregu poważniejszych opowieści, rozbierano u nas tylko okolicznościowo [4]). Historycy nasi, jak o tém świadczą najnowsze prace, nie zwracali na to dostatecznéj uwagi, czy nauka historyi potrafi odkryć, ujawnić i wyraźnie sformułować zasady, idee i prawidła, według których dokonywa się zupełnie prawidłowo organiczny rozwój czynów historycznych,—prawidła, według których rosną, słabną i giną narody,—prawidła, według których tworzy się postęp lub zrządza się upadek cywilizacyi i państwa. Nie zgłębiano w naszéj literaturze historycznéj, jaki zachodzi stosunek między prawidłowością rozwoju organicznego w świecie fizycznym a prawidłowością organicznego postępu w świecie ducha, w sferze pracy dziejowéj. Niejasne zaś pojęcia o psychologicznych warunkach i energii wolnéj woli, o stosunku idei indywidualizmu do idei rządów Opatrzności w dziejach,—pomięszanie odpowiedzialności moralnéj ze zjawiskami determinizmu i fatalizmu, wszystko to sprawiło, że z małemi nader wyjątkami, są nasze prace historyczne albo rozprawami politycznéj treści, czerpiącémi swoje argumenta nie z pierwotnych źródeł wszechstronnie zbadanych, ale z drastycznych szczegółów, służących widokom najruchliwszego w danéj chwili stronnictwa; albo téż wstrętną inkwizycyą ciągnącą przeszłość naszą, bez dokładnego wszechstronnego zbadania winy — przed zapalczywy trybunał namiętności chwili;—są nasze prace historyczne skarbnicą starożytnych pamiątek, otoczonych chwalebną synowską czcią i miłością, która wznosi się niekiedy aż do idealizowania i ubóstwiania osób i czynów historycznych, mających dla życia narodowego zupełnie przeciwne znaczenie.

Nie podzielamy zdania tych, którzy ten rozmaity sposób zapatrywania się na znaczenie wypadków historycznych, podnoszą do godności osobnéj szkoły—i rozprawiają z powagą professorską o szkole Naruszewicza, Lelewela, nawet o szkole „Ursynowskiéj“ (Bartosz.), ponieważ nikt, kto tylko sam podejmował metodologiczne studya historyczne, nie zechce twierdzić, aby w dziedzinie badań historycznych zasługiwała różnica poglądu politycznego na pojedyńcze szczegóły, na miano nowéj metody, a tém mniéj na miano nowéj szkoły. Takiéj trywialnéj zapowiedzi trzebaby przypomnieć, że różnicę metody i szkoły na polu badań historycznych, stanowi przedewszystkiém postęp krytyki źródeł, wprowadzenie do nauki nowego materyału i zastosowanie metody badania dotychczas na tém polu nie próbowanéj, a dla postępu nauki pożytecznéj.

J. I. Kraszewski nie zbierał na polu badań historycznych swoich najpiękniejszych laurów, które niesiemy dzisiaj w hołdzie jego pożytecznéj i ożywionéj, że tak powiem, literacko-naukowéj działalności; ale położył on względem pielęgnowania i téj gałęzi wiedzy, mianowicie względem literatury historyczno-pamiętniczéj, tak znakomite zasługi, że pożyteczną może być rzeczą przypatrzeć się bliżéj przy sposobności téj uroczystéj chwili zasłużonym trudom, jakie dla pomnożenia wiadomości historyi polskiéj szczególnie podejmował. Dla tém łatwiejszego zoryentowania się w nagromadzonym przez Kraszewskiego i na tém polu bardzo licznym materyale historycznym, prace te podzielić możemy na cztery klassy, mianowicie:

I. Różnorodne dokumenta, listy, notaty dyaryuszów familijnych w języku polskim, łacińskim, ruskim, w rozmaitych epokach pisane, zawierające wiadomości urzędowe lub prywatne, pojedyńcze wypadki historyczne objaśniające, i po czasopismach, bez żadnego związku od czasu do czasu drukowane.

II. Listy wpływowych osobistości do jednéj sfery wypadków ściśle ograniczonych się odnoszące.

III. Opowiadania historyczne, przemawiające przeważnie usty i świadectwami samych uczestników przedstawianego wypadku, gdzie Kraszewski tylko dla utrzymania koniecznego związku wplata niektóre swojéj roboty ogniwa, z innego materyału źródłowego sumiennie wyrobione.

IV. Pamiętniki (Mémoires) t. j. dzienniki i relacye współczesnych wypadków, pisane w formie obszernéj opowieści współczesnéj pisarzowi epoki z szerszym poglądem na wypadki powszechne, prowincyonalne, familijne, niemniéj i na przygody osobiste.

Uważny czytelnik spostrzeże z łatwością już z téj wskazówki, że wartość historyczna pierwszych trzech klass pomników dziejowych jest bardzo względna, a krytyka dyplomatycznéj autentyczności i metodologicznego obrobienia tego rodzaju źródeł, jest z natury przedmiotu prawie niemożliwa. Nadmieniamy tylko, że jedne i te same rzeczy znajdujemy po kilkakroć drukowane bez żadnéj zmiany, bez bliższego usprawiedliwienia ponowionéj publikacyi. Czytamy pomniki dziejowe drukowane

w Dreźnie, które nie dawno ogłosiła Biblioteka Ossolińskich we Lwowie z dokładném objaśnieniem, przez co tworzy się labirynt bibliograficzny, z którego z trudnością się wychodzi. Prócz tego żałujemy, że Kraszewski, obdarzając nas szczęśliwie tak licznym i przeróżnym materyałem źródłowym, nie starał się go uczynić podręczniejszym dla badacza dziejów. W pomnikach źródłowych pierwotnych trzech klass pragnęlibyśmy czytać obok tytułów urzędowych i powiatowych wszędzie także nazwiska rodowe, bo oderwanych kartek niekiedy nawet bez daty, nie można często odpowiednio wprowadzić do księgi dziejów naszych.

I ostatni dział publikacyi historycznych Kraszewskiego drukował się w znacznéj części pierwszy raz po czasopismach (Athenaeum, Bibliot. Warszawska), w felietonach gazet, zkąd dopiero w osobne wyrastał książki.

W ostatnich latach przedsięwziął Kraszewski wydawnictwo „Pamiętników" według bardzo rozległego i systematycznie zamierzonego planu pod tytułem: „Biblioteka pamiętników i podróży po dawnéj Polsce." Prospekt (r. 1870) zapowiedział, że „zbiór ten, o ile możność dozwoli, będzie kompletnym a zarazem poprawnym, objaśnieniami zbogaconym." Po wydrukowaniu 6-ciu tomów w Dreźnie, musiał Kraszewski przedsiewzięcie tak chwalebne i nader pożądane dla przyczyn od niego niezależnych wstrzymać, chociaż go zupełnie jeszcze nie zaniechał. Jeśli przyjaźniejsza pora dla urzeczywistnienia téj obywatelskiéj intencyi Kraszewskiego zabłyśnie, pragnęlibyśmy przy każdym pamiętniku tak wyczerpującéj relacyi o autentyczności w dyplomatycznym stanie rękopismu, jaką nam podał Sz. Jubilat przy wydaniu Pamiętnika Poczobuta, — nie mniéj i *indexów* alfabetycznych, jeśli już nie rzeczy, to przynajmniéj osób, jak to uczynił Janicki, przy wspaniałéj publikacyi ordyn. hr. Krasińskich.

Ciasne granice, w których według przyjętego planu redakcyi Książki Jubileuszowéj, wypada się zamknąć współpracownikowi, nie pozwalają nam rozbierać z równą dokładnością wszystkich na tém polu dokonanych prac Kraszewskiego: dla téj przyczyny wzmiankujemy tylko pobieżnie o pierwszych trzech działach wydanych przez Kraszewskiego pomników historycznych, zwracając pilniejszą i wszechstronniejszą uwagę na dział czwarty tj. na *Pamiętniki* — historyczne w właściwém tego słowa znaczeniu. Z pomiędzy „Pamiętników" tłumaczonych z obcych języków wspomnimy tylko o tych, które Kraszewski pierwszy literaturze naszéj historycznéj w tłumaczeniu przyswoił, pomijając te, które już dawniéj znane były (np. Chavagnac [5]).

I.

Wiadomo powszechnie, że wśród okoliczności dosyć pomyślnych, których tu rozbierać dłużéj nie możemy, zapanował około r. 1840 w literaturze naszéj historycznéj ruch nader ożywiony w kierunku gromadzenia autentycznych materyałów historycznych. Kraszewski, biorący od lat 50-ciu bardzo żywy udział w rozwoju życia umysłowego narodu, nie mógł nie uledz i temu wpływowi. W piśmie zbiorowem *Athenaeum* (Wilno 1841—1851, tomów 60), które Kraszewski stworzył i przeważnie swojém piórem podtrzymywał, gromadził najciekawsze płody współczesne i dawnych wieków pamiątki i pomniki, które w wielu publikacyach ogłaszano pod nazwą „spominków" „pamiętników," „źródeł do dziejów," „przyczynków do dziejów" itp. Korzyść, jaką nauka historyi z tych publikacyi odniosła, jest zupełnie przypadkową, bo nie może tu być mowy o żadnym ładzie, ani pod względem chronologii, ani pod względem materyi,— tak że źródła te są w tych publikacyach równie dobrze ukryte i nieznane, jakiémi były wtenczas, gdy pod pyłem bibliotek w rękopismach spoczywały. Kwestya sposobu uporządkowania w umiejętném wydawnictwie źródeł historycznych jest bardzo ważną: zajmowała się nią niedawno i akademia Krakowska. Z doświadczenia wiemy, że najpraktyczniejszym sposobem korzystania z tak różnorodnych materyałów jest *zregestrowanie*, że tak powiem chronologiczne całego tego materyału, z podaniem treściwéj osnowy dokumentu, wraz z potrzebném krytyczném objaśnieniem naukowéj wartości faktu,— tudzież z dokładną wskazówką bibliograficzną. Pracę taką można jednak uskutecznić tylko przy bardzo bogatych bibliotekach, aby wszystkie publikacye dokładnie zregestrowane być mogły; bo urywkowe tego rodzaju roboty nic na wieleby się przydały. Sposobem próby podaję takie Regesta z pierwszych czterech tomów Athenaeum Kraszewskiego z r. 1841.

Rok 1568. Dnia 20 lipca. Grodno. Zygmunt August na prośby Tatarów litewskich, którzy, korzystając z pewnych swobód i przywilejów, widzieli się w nich zagrożonymi przez nowo ogłoszony statut, mianowicie przez Rozdz. IX, art. 3, (zob.

Czacki o Lit. i Pols. pr. ed. Turowskiego. T. II. pag. 189 i nast.) i przez Rozdz. XII. art. 5, (cf. Czacki, l. c. II. pag. 224)—zatwierdza im wszelkie przywileje i prawa, jakiemi się dotychczas cieszyli (Athenaeum Wilno 1841. Tom I. pag. 35 — 38. Text ruski wraz z tłumaczeniem polskiém).

Rok 1590(?). Dnia.. niewiadomo. Stanisław Sokołowski, kaznodzieja Stefana Batorego i Zygmunta III, pisze do biskupa kujawskiego w sprawie akademii Krakowskiéj przeciw rozpościeraniu się szkół jezuickich w Krakowie). (Ibid. T. I. st. 39—40; Athenaeum odnosi to pismo mylnie do w. 17, ponieważ Sokołowski um. 1592 r. Daty przy dokumencie niema, dla tego położyliśmy najprawdopodobniejszą ze znakiem zapytania).

Rok 1594. 16 czerwca. Warszawa. Anna królowa polska, w odezwie do kasztelana Rozperskiego rozkazuje, aby mieszkańcom miasta Goszczyna, gdy mu się ratusz obalił i jatek do sprzedawania mięsa nie mają, drzewa ze starego ratusza nie zabierał; ale jeszcze do odbudowania z boru bendkowskiego przydał i ratusz i jatki do dyspozycyi mieszczanom oddał (Ibid. 1841. T. IV. st. 68—69).

Rok 1606. Marzec. Warszawa. Szlachcic usprawiedliwia się w liście do drugiego, dla czego na sejmik w Opatowie 16 marca 1606 r. złożony nie przybył. 1-sze Próżne tam były gadaniny; 2-re powstaje przeciw Zygmuntowi III, dowodząc, że przyczyna smutnego stanu Rzeczypospolitéj na tém polega, że król jest za bogaty, a naród za ubogi; 3-cie podaje na to niektóre rady, zmierzające do osłabienia coraz większego korony; 4-te kreśli wierny obraz ówczesnego sejmikowania i sejmowania; 5-te powstaje na lichwę żydowską i na zbytki (Końca brakuje) (Ibid. 1841. T. II. 7—21).

Rok 1608. 11 styczeń. Kamieniec. Ludwik Poniatowski, pułkownik, obwieszcza, że z koła rycerskiego postanowiono posłać towarzyszy do dóbr duchownych i królewskich do Łowicza i kluczów doń należących i innych miast królewskich i duchownych dla stacyi i wybierania żywności dla wojska (Athen. 1841 T. I, p. 44).

Rok 1608. 4. Marca. Nudachów. Uniwersał hetmana Żółkiewskiego przeciwko partyzantowi Poniatowskiemu, który, zebrawszy ludzi swywolnych, jarmarki najeżdża (Lublin) i kommercyą niepokoi. Wzywa szlachtę, aby się w obronie spokoju publicznego z wojskiem hetmana łączyła i przeciwko niemu, jako przeciw nieprzyjacielowi ojczyzny, czyniła (Ibid. T. I. st. 42, 43).

Rok 1616. 4 czerwca. Warszawa. Odezwa Rad kor. i W. K. Litewskiego do nominowanych przez sejm komissarzy przysięgłych, mających starać się o to, aby się w tym roku wojna z Moskwą skończyła, dozierając, aby pozwolonych wydatków nie przekraczano. Jeśli opór będzie wielki, to ma Królewicz zamysłów swoich odstąpić,—a jeśli szczęśliwie—kondycye in dyplomate wyrażone poprzysiądz. Dla przestrogi nieprzyjacielskiéj nie wciągnięto téj deklaracyi sejmu do konstytucyi; ale oryginał téj téj uchwały z podpisem kanclerza W. K. i litewskiego i marszałka koła poselskiego złożony u prymasa.

NB. Dokument ten oznacza dokładnie znaczenie wszystkich „Skryptów ad archiwum,“ o których w Voluminach Legum ciągle wzmianki (Ibid. 1841. T. II. str. 58—62.).

1617. 11. Września. Warszawa. Uniwersał Zygmunta III do komissarzy i poddanych, mianowicie Ukrainy, aby po obraniu Władysława panem państwa moskiewskiego przez swywolne gromady kraje moskiewskie nie były pustoszone (Ath. 1841. T. IV. 56—58).

Rok 1619. 8 października. Rastawica (w obozie pod Rastawicą). Układ między komissarzami króla Zygmunta III, a Mołojcami wojska zaporozkiego, o sposobie życia i jak się mają zachować na służbie Rzplitéj.

§ 1. Na miejscach zwykłych za progami Rzplitéj stojąc, mają dawać przestrogi i bronić przepraw nieprzyjacielowi. Pakt i przymierza z postronnymi, mianowicie z Turcyą, nie naruszać.

§ 2. Żołd 40,000 złp. rocznie dostaną wypłacone w Kijowie na Ś. Ilia.

§ 3. Mołojcy obowiązują się nie chodzić z Dniepru na Czarne morze, i nie najeżdżać państw tureckich; dla tego obowiązują się popsuć wszystkie czółna morskie.

§ 4. Zapobiegając gwałtom i swywoli i uciskowi tak dóbr duchownych, jako i świeckich, obowiązują się Mołojcy wojsko zaporozkie podług postanowienia na *Olszanie* wydalić od siebie wszystkie rzemieślniki, kupce, szynkarze, wójty, burmistrze, kapkaniki, bałakczyc, rzeźniki i inne luźne ludzie, którzy od lat pięciu, do ich wojska się przyłączyli. Wybrawszy się w ten sposób, mają zawiadomić Rzplitę o pozostałéj liczbie. Na tę liczbę, na którą się król zgodzi, mają iść owe 40,000 złp.

§ 5. Ci, co będą wypisani, mają podlegać władzy starostów, dzierżawców, ich namiestników, pod kim kto żyje, nie odwołując się do sądu wojskowego „y Panowie Mołoycy brać się za nich nie mają.“

§ 6. Mołojcy, aby zgoła w dobrach świeckich i duchownych nie mieszkali, albo jeśliby tam domy mieli, aby panom dziedzicznym posłuszni byli; z poddaństwa się nie wyłamywali i do innych juryzdykcyi się nie odnosili. „Ktoby nie chciał pod kim mieszkać y poddanym Panu być, ma się do Ś. Ilia wyprowadzić z jego majętności i mieszkać tam, gdzie czyja wola.“

§ 7. Ci, co po miastach J. Kr. Mści ukrainnych mieszkają, mają podlegać starostwom i podstarostwom i w razie potrzeby w obronie Krzyża Ś. jako ludzie rycerscy wspólnie z nami czynić.

§ 8. Starszego z pośród siebie miéć mają, który ma być przysięgły ze wszystkiém towarzystwem (jako się na Olszanie postanowiło) y z ramienia J. Kr. M. y hetmana kor. ma być, jak był niegdy Oryszowski, przez którego J. Kr. M. i hetman kor. o służbie Rzplitéj z nim się zrozumiał, — żeby tenże porządku między nimi dozierał — i postanowienia niniejsze żeby były wykonane.

§ 9. Piotr Konaszewicz teraźniejszy chorąży wraz z starszymi assauły, pułkowniki etc. przysięgą to postanowienie stwierdzić mają.

Dla powszechnéj wiadomości układ ten do ksiąg grodzkich kijowskich wniesiono (Ath. 1841. T. IV. 62--68).

Uwaga. Historya uczy, że mimo kilkakrotnych tego rodzaju układów, były stosunki *Kozaków, Niżowców* i *Zaporoża* (takie trzy epoki w rozwoju Kozactwa odróżnia Jul. Bartoszewicz) do Rzplitéj niepewne: ograniczania Kozactwa, dyktowane przez dobrze zrozumiany interes państwa, nie mając trwałéj, jednostajnéj exekucyi, podżegały zbrojne a niesforne tłumy do wyłamywania się z umówionego porządku, jak tego dowodzą między innemi wypadki z r. 1637, zakończone pogromem buntowników pod *Kumejkami* (między Moszną i Kumejkami) i Borowicą w roku 1637 w końcu grudnia. Akt submissyi podpisany między innymi przez Bohdana Chmielnickiego. Zob. Dyaryusz tranzakcyi wojennéj między wojskiem koronném a zaporozkiém 1637 i 1638 r. przez Szymona Okolskiego, w Bibliot. Turowskiego 1859 r. pag. 66. Odznaczył się tu po pierwszy raz Stefan Czarniecki (pag. 59) W akcie submissyi podpisane są dwa dawniejsze układy, mianowicie: 1-e Komissya czyli porządek przez St. Koniecpolskiego, Kaszt. Krak. het. W. K. ustanowiony, pag. 162, cf. pag. 72 — 159. 2-e Ugoda czyli porządek umówiony przez Kisiela i St. Potockiego, jako Komissarzy Rzplitéj. — Ugoda ta podała Kozakom starszynę, którą oni za radą Pawłuka i Skidana pozabijali, „Skidan buntownik uszedł do Zaporoża,“ pag. 69 cf. pag. 66.

Rok 1661, 26 stycznia. Śmi(a)ła. Jerzy Chmielnicki, hetman w Zaporożu, donosi Janowi Kazimierzowi, że za porozumieniem się z księciem Dymitrem Wiśniowieckim, regimentarzem, i Sapiehą, pisarzem poln. kor. wysłał pięć pułków konnych za Dniepr: spodziewa się pomyślnego skutku téj expedycyi, a jeśli potrzeba będzie, sam z większém wojskiem podąży. Prosi, aby posłowie jego na sejm delegowani prędko i pomyślnie odprawieni być mogli (Ath. 1841, T. III, 7, 8.).

Rok 1663. 9 marzec st. r. Czechryn. Paweł Tetera, hetman w Zaporożu, skarży się Jerzemu Lubomirskiemu, hetm. poln. kor., na Gralewskiego o zrabowanie Międzyrzecza, prosząc o wstawiennictwo dla uzyskania sprawiedliwości (Ath. 1841, T. III, 8. 9).

Rok 1664. 28 marzec. Bakczyseraj. Mehmet Geraj, han tatarski, do Jerzego Lubomirskiego. Han strofuje Lubomirskiego, że osobne zabawy sobie znajduje, a z królem i Rzptą na buntowników za Dniepr nie spieszy. M. Geraj posłał już tam w myśl traktatu, baszę swego, a więc i cała Rpta uczynić to powinna (Ath. 1841. T. III, 11, 12).

Rok 1664. 13 czerwiec. Białocerkiew. Tetera pisze do Jerzego Lubomirskiego, że źle się dzieje na Ukrainie, męztwem hetm. poln. kor. i powagą jego imienia rekuperowanéj grożą bunty, wzywa go, aby jako „Ojciec Ojczyzny“, jeśli kiedy, to teraz bronił od téj ściany Rzptą (Ath. 1841. T. III p. 9, 10).

Rok 1665. 22 czerwca. W Polach. Mehmet Geraj do Jerzego Lubomirskiego. Gani ostro buntownicze jego postępowanie względem Jana Kazimierza, grozi mu nieprzyjaźnią króla Rzptéj, swoją i cesarza tureckiego, jeśli się z królem nie pogodzi, gdy ten w stosowną porę do łaski swojéj przyjąć go zechce (Ath. 1841. T. III, 12, 13).

Rok 1672. 17 Października. Buczacz. Komissarze polscy do zawarcia z Turcyą pokoju, obwieszczają o podpisaniu zgody, nakazując, aby żony i dzieci Tatarów, które się pod protekcyą cesarza tureckiego udały, zostawały w nienaruszonéj spokojności w Połonnym i w Łabuniu do dalszego postanowionych już pakt ogłoszenia (Ath. 1841. T. III. 15, 16).

Rok 1673. 8 Grudzień. Kałusz. Jan Sobieski, hetman w. kor., uzyskawszy pozwolenie marszałkowéj Lubomirskiéj, dozwala werbunku w majętności Łańcuckiéj i Janowieckiéj (Ath. 1841. T. III, 13, 14).

Rok 1695. 10 Wrzesień. Perlikowce. Stan. Jablonowski, kaszt. krak., hetm. w. koron., dziękuje podskarbiemu kor., że w porę przy-

był ze znacznym pocztem ludzi do Kamieńca pod okopy św. Trójcy (Ath. 1841. T. III, 16—18.

Uwaga. W r. 1684 wzniesiono w obliczu Kamieńca forteczkę pod tą nazwą, następnie zaniedbaną. Zob. Listy Jana de Witte, jenerał-majora wojsk kor., pułkownika artyleryi kor., kommendanta fortecy kamienieckiéj (1777—1779). Krak. 1868.

Rok 1696. 12 lipiec. Warszawa. Marya Kazimiéra donosi o śmierci króla Sobieskiego, a, przypominając narodowi jego zasługi, prosi o pamięć dla siebie i dzieci.

Rok 1742. 10 marzec. Drezno. Podkanclerzy koronny Małachowski zaprasza na Senatus Consilium do Wschowy W. Marszałka W. X. L., Hetmana W. X. L., Marszałka Nadw. W. X. L. w obec zanoszącéj się generalnéj w Europie wojny (Bibliot. Pam. T. IV, 166).

Rok 1742. 24 kwietnia. Kolbuszowa. Sanguszko, marsz. W. X. L. do Małachowskiego, podkancl. kor., pisze, oświadczając swoję jak najpowolniejszą obediencyą względem króla, aby go wytłumaczył przed królem, że dla słabego zdrowia i sprawy syna w trybunale nie może dospieszyć, jak pragnął, do Wschowy na zapowiedziane Senatus-Consilium. Chociaż niema sobie kommunikowanych materyi obrad, to wotum swoje podług ogólnego położenia stosunków wewnętrznych i zewnętrznych Rzptéj jemu *ad deferendum* kommunikuje (Bibl. pam. i podr. Drezno 1871. T. IV, p. 147—155).

Zob. téjże treści listy do Sanguszki l. c. p. 158—161.

Rok 1764. 28 listopada. Warszawa. Marya z Potockich Brühlowa opisuje w nader niepoprawnym języku — matce swojéj, wojewodzinie krakowskiéj, uroczystość koronacyi Stanisława Augusta (Ath. 1841. T. IV. p. 73—76).

Rok 1768. 28 czerwca. Archangrod. Jakób Kwiatkiewicz, schroniwszy się za granicę Rossyi, donosi Potockiemu, wojewodzie kijowskiemu, o ruinie dóbr Humańskich i rzezi w Humaniu i innych wsiach (Athen. 1841. T. IV. p. 71—73.)

Zregestrowanie szczupłéj nader cząstki materyału źródłowego, jaki Kraszewski zebrał w Athenaeum i w IV tomie biblioteki „Pamiętników i Podróży", może być dostateczną wskazówką, w jaki sposób należałoby wydawać tego rodzaju pomniki historyczne. Równocześnie spostrzegamy, że gdyby między fakta, temi regestrami objęte, wprowadzono w chronologicznym porządku treść wszystkich pomników dziejowych, które tułają się rozproszone po różnych publikacyach zbiorowych, tak dawniejszych (Diarium Europaeum, Theatrum Europaeum dla wieku XVII), jako i po różnych czasopismach polskich i obcych, po różnych książkach zbiorowych, znanych pod niewłaściwym tytułem Pamiętników, Spominków, Przyczynków do dziejów itp., po gazetach nawet, to otrzymalibyśmy materyał źródłowy wcale poważny, bogactwem współczesnych dowodów historycznych imponujący, dla każdego badacza dziejów nawet zdala od bogatych bibliotek przystępny i przejrzyście uporządkowany. Bez takiego „Repertorium" pozostaną te drogocenne skarby historyczne bez użytku. Może jubileusz Kraszewskiego i towarzysząca mu powaga nastroju duchowego zachęci do podjęcia téj mozolnéj, niewdzięcznéj, ale dla historyi polskiéj bardzo potrzebnéj pracy.

II.

Przechodząc do drugiego szeregu wydanych przez Kraszewskiego pomników dziejowych, wypada nie tyle dla naukowych, ile dla chronologiczno-bibliograficznych względów wspomniéć o „Notatkach Waleryana Puchalskiego" z lat 1696 i 1718 r., tudzież o „Excerpcie" z własnoręcznego rękopismu króla Jana III [6]). W pierwszym znajdujemy zapiski przeważnie prywatnego i familijnego interesu, przeplatane czasem suchą wzmianką o jakim fakcie dziejowym, ale częściéj o kometach, cudach itp. przypominające najuboższych i najzabobonniejszych Annalistów wieków średnich. Drugi zabytek zawiera opowieść króla Jana III o legendowych i genealogicznych dziejach domu Sobieskich bez żadnego poglądu historycznego. Nie możemy daléj zgodzić się z Kraszewskim co do ważności Listów Kazimierza Nestora Sapiehy, pisanych z za granicy do matki w latach 1773—1776 [7]). Listy te są bez zaprzeczenia piękném świadectwem chwalebnych uczuć synowskich, dowodzą nie tyle gorliwości, ile ruchliwości, z jaką Sapieha stara się u biegłych nauczycieli w Turynie, Paryżu i Strassburgu przygotować się do czekających go w kraju funkcyi tak wojskowych, jak i cywilnych; ale dla badacza dziejów nie ma tu żadnych wiadomości: przed salonami obcych panów Sapieha nie widzi zwyczajów obcych krajów. Gorliwemu wstawiennictwu Nestora Sapiehy u swojéj matki, siostry hetm. koron. Xawerego Branickiego, zawdzięczał Zajączek swoję karyerę przy hetmanie, którego epikureizm i płaski, sybarytyzmem tchnący sposób myślenia i tu nader jaskrawo widnieje. Bez pomocy innych źródeł (Fryderyk Szulc, Kajetan Koźmian) nie odgadłby nikt z tych listów cha-

rakteru przyszłego marszałka czteroletniego sejmu.

Ważniejszym daleko zabytkiem historycznym, chociaż tylko w fragmencie dochowanym, jest *Dyaryusz podróży z Warszawy do Petersburga hr. Kazimierza Konstantego de Bröhl-Platera*, starosty inflanckiego, w r. 1792 odbytéj [8].

Autor wzmiankowanego dyaryusza pochodził ze starożytnéj rodziny inflanckiéj, która od swojego rodzinnego gniazda w Westfalii, zwanego Broel, pisała się hrabiami Platerami de Broel. Niebawem po swojém osiedleniu się w Inflanciech sięgnęli Platerowie do Litwy, Żmudzi i do Polski po różne dobra, urzędy i godności. Autor nasz, Kazimierz Konstanty, był synem Konstantego Ludwika, kasztelana trockiego, i posłował już na sejm elekcyjny r. 1764, tudzież na sejm 1766 [9]. W r. 1776 mianowany członkiem Rady Nieustającéj, pracował w wydziale sprawiedliwości aż do rozpoczęcia czteroletniego sejmu. Stanowisko wśród wyższych sfer społeczeństwa, obszerna nauka, zdolności umysłowe niepospolite, chwalebna chęć do prac naukowych i literackich, usposobienie pojednawcze przy łagodnym temperamencie—wszystko to zbliżyło go wcześnie do Stanisława Augusta, który cenił w Platerze nie tylko sumiennego urzędnika, ale i najżyczliwszego przyjaciela. Wśród takich okoliczności wpływał Plater do interesów zagranicznych i towarzyszył królowi podczas jego podróży do Kaniowa w r. 1787. Znany już poprzednio cesarzowéj z dwóch poprzednich missyi do Petersburga (1773 i 1785) zrobił z polecenia króla razem z Naruszewiczem wycieczkę z Kaniowa do Kijowa, gdzie niejaki czas zatrzymała się była cesarzowa i wrócił zadowolony do króla, ponieważ pozyskał nietylko względy dworu petersburskiego, ale i obietnicę jego, że popierać go będzie do pierwszych ministeryalnych urzędów, z czego się w ten sposób tłumaczy: „Tyle oświadczenie (hr. Bezborodki) usłyszane ucieszyło mnie, ile w oném odebrałem pewność, że od rywalów szczęśliwszym będę, i że w mojéj osobie zadosyć się stanie woli nawet samego pana mojego, który pewną otworzoną sposobnością dogodzić będzie mógł i swojemu wyborowi i uskutecznić rekommendacyą". Słowa powyższe dowodzą, że w Platerze nie można szukać żadnéj wybitniejszéj osobistości, któraby mogła stawić czoło przeciwnościom lub pokusie: *videomeliora proboque, deteriora sequor!*

W czasie czteroletniego sejmu popierał Plater myśl reformy, należąc do partyi umiarkowanéj, królewskiéj. Targowica, zniweczywszy dzieło reformy i przystępując do urządzenia kraju na swój sposób, zwróciła niebawem uwagę swoję na Platera nie tylko dla jego umiarkowania, ale dla jego stanowiska w b. Radzie Nieustającéj, dla względów, jakie sobie dawniéj już zaskarbił u dworu petersburskiego, niemniéj i dla tego, że był osiadły w granicach cesarstwa, i wybrała go za członka delegacyi, którą wysyłała do Petersburga w końcu r. 1792 z podziękowaniem za uratowaną wolność szlachecką. Plater nie pisze urzędowéj relacyi swojéj missyi, ale w swobodnéj formie listów donosi o wielu szczegółach swoim krewnym, przyjaciołom i znajomym. „Sposób zapatrywania się na wypadki, sąd o rzeczach jest wiernym wyrazem wieku, którego Plater był dzieckiem, wychowańcem i przedstawicielem, podzielając dobre jego i złe skłonności,—błędy równie jak i porywy ku dobremu".

Gdy dla zwołania ostatniego sejmu grodzieńskiego okazała się potrzeba wskrzeszenia Rady Nieustającéj, wprowadził do niéj Siewers także Platera (1793 r.) jako dawnego członka téj wywróconéj przez sejm czteroletni magistratury. Przy smutnych robotach tego sejmu widzimy Platera między przywódzcami rossyjskiego stronnictwa obok biskupa Kossakowskiego, Raczyńskiego Antoniego, Moszyńskiego, Ożarowskiego, Bielińskiego, i Ankwicza [10], b. posła Rptéj w Danii w czasie czteroletniego sejmu [11]) Siewers przeznacza w r. 1793 na urząd wice-kanclerza litewskiego naszego Platera „jako przyjaciela króla, i że jego dobra są w granicach ruskich" [12]); jest to ostatni podkanclerzy litewski. Obok licznych dzieł drukiem ogłoszonych miał Plater napisać: „Dzieje Królestwa polskiego za Stanisława Augusta" w 16 tomach, które dotychczas pozostają w rękopiśmie. Umarł Plater w r. 1807.

Instrukcya dana przez generalność konfederacyi targowickiéj delegowanym w r. 1792 do Petersburga posłom [13]) zawiera polecenie: podziękować Najjaśniejszéj cesarzowéj za pomoc w odzyskaniu wolności, ujarzmionéj i podeptanéj przez sejm czteroletni—i każe dopraszać się o traktat przymierza i handlu; lecz Plater wątpi, aby te propozycye mogły być przyjęte, ponieważ nie wié, „czy nasz sprzymierzeniec (Rossya) będzie już mógł bezpiecznie odkryć swój system, z którym się dotąd ukrywa". Ponieważ dziennik téj delegacyi, pisany w formie listów, urywa się na opisie ceremonii pierwszéj audyencyi u Cesarzowéj d. 14 Listopada 1792 r., przeto niewia-

domo, o ile posłowie konfederacyi targowickiéj, z listami uwierzytelniającemi generalności a nie króla przed Cesarzową Katarzyną stający, zdołali w Petersburgu posunąć interes przymierza i handlu. Na uwagę zasługuje w tym dzienniku, z pewną podniosłością uczucia pisanym, to, co Plater opowiada o fałszywéj sytuacyi naczelników konfederacyi po odniesioném zwycięztwie, nie mniéj o sposobie zapatrywania się tryumfującego Szczęsnego na sprawy publiczne, na błędy czteroletniego sejmu, wreszcie to, co słyszał w Grodnie od Moszczeńskiego, faworyta Szczęsnego, o ułożonéj, jakoby i przez Potockiego przyjętéj formie rządu, posłanéj do Petersburga przez kuryera. Dosyć szczególowy szkic tego projektu [14]) dowodzi, że idea decentralizacyi prowincyonalnéj, była w tym projekcie jeszcze daléj posuniętą, aniżeli w dawnéj praktyce, władza monarchiczna nader skrępowana, tylko kwestye ekonomiczno-skarbowe dokładniéj udeterminowane. O projekcie Szczęsnego nie ma ani śladu. Siewers prosił o radę i biskupa Kossakowskiego; ale ten odmówił, bo nie chciał być drugorzędnym, tylko głównie działającym w tym przedmiocie. Projekta swoje kommunikował Siewers i królowi, a z żywego jego zajęcia się tym przedmiotem wnosić trzeba z Siewersem, że powtarzająca się dosyć często w téj epoce groźba abdykowania tronu nie była szczera [15]).

Osobistość Szczęsnego, ukazującego się przelotnie w listach Platera, występuje choć w kilku tylko rysach dosyć wyrazisto.

Listy Jana Śniadeckiego w sprawach publicznych od r. 1788 do 1830 pisane [16]) nie zawierają nowych szczegółów biograficznych, któreby sumienną pracę Michała Balińskiego nowém światłem zbogacić mogły; ale przedstawiają opłakany stan akademii krakowskiéj, potrącają o interesa publiczne wielkiéj doniosłości bez dokładnego ich wyświetlenia, przez co pobudzają do badań nad zdarzeniami nie dosyć jeszcze znanémi,—i są pięknćm świadectwem uczciwego i rozumnego człowieka o znanych zkądinnąd niegodziwościach, jakie na ostatnim sejmie grodzieńskim ze względu na fundusze edukacyjne miały miejsce. Śniadecki znajduje w Grodnie nie ledwie tyleż złodziei, ile ludzi [17]). Dla ocenienia działalności kommissyi edukacyjnéj znajdujemy tu sporo zarzutów ze stanowiska historycznego zupełnie usprawiedliwionych: z epoki zaś rektorstwa Śniadeckiego w uniwersytecie wileńskim uboższe są wiadomości. Czytelnik pojmuje, że takiéj publikacyi nie można oceniać z ogólnego punktu widzenia; ale trzebaby każdy przedmiot listu osobno oceniać, coby się nie zgadzało z naszém zadaniem. Przypiski Kraszewskiego objaśniają niektóre sprawy; ale wiele kwestyi potrzebuje jeszcze dokładniejszego zgłębienia.

III.

Przewaga powieści w literaturze powszechnéj była przyczyną, że liczne poważne głosy doradzały dla powstrzymania téj powodzi utworów czystéj fantazyi, brać za przedmiot sztuki powieściopisarskiéj fakta i osobistości historyczne. Są wypadki dziejowe, pełne pierwiastków dramatycznych, bogate w przeróżne komplikacye jak najtragiczniejsze, obfite w epizody najczystszego liryzmu, kwitnącego na niwie rzeczywistego życia historycznego. Uchwycenie tych wszystkich momentów w gwałtownym wirze historycznego życia i przedstawienie ich w żywym obrazie pobudziłoby nierównie więcéj szlachetnych uczuć, podżegałoby nierównie więcéj szlachetnych ambicyi i dążności,—przedstawiałoby już przez samę uniwersalno-życiową treść więcéj nauki, aniżeli szereg jaskrawych obrazów, rodzących się w krainie niczém niehamowanéj fantazyi. Lecz zadanie takie nie jest łatwe, ponieważ bez gruntownego wniknięcia w prawidła analizy psychologicznéj, bez dokładnego wniknięcia w ducha epoki i wypadku, nie można pochwycić ożywiającéj go idei przewodniéj, która dopiero opowiadaniu daje życie, jak tego mamy dowody u tylu pisarzy od Walterskotta aż do Guizota [18]) i w. i. Kraszewskiego prace najnowsze w tym kierunku znalazly w niniejszéj książce jubileuszowéj gruntowny rozbiór; nam wypada się w tém miejscu ograniczyć na tych studyach Kraszewskiego, które, opisując fakta historyczne słowami autentycznych dokumentów, wiążą tylko niekiedy słowami autora rwącą się nić ciągłéj opowieści, które mogą zatém posłużyć za zbiór najautentyczniejszych wiadomości źródłowych. Należą tu dwie prace Kraszewskiego z historyi polskiéj 18 wieku, i drugi tom: „Pamiętników“ Józefa Drzewieckiego z w. 19, o którym jednak dopiero w związku z pierwszym tomem pamiętników pana Szefa mówić będziemy. Obecnie uczynimy tylko wzmiankę o „Starościnie bełzkiéj“ i o „Podróży króla Stanisława do Kaniowa w r. 1787“.

Wypadek, na którym Antoni Malczewski osnuł swój poemat: „*Marya*“, opierający się na tle strasznego epizodu naszéj historyi domowéj zeszłego wieku,—wypadek ten w pierwszéj chwili bardzo głośny zasłoniły rozruchy konfederacyi barskiéj i pierwszego podziału pewną mgłą zobojętnienia. Następujące niebawem ważne prace i zajęcie się umysłów ideą naprawy rządu zakryło go prawie zupełnie przed oczami ludzkiémi. Dopiero Antoniego Malczewskiego poemat, opiewający z niezrównanym wdziękiem poetycznym gwałtowne porwanie Gertrudy z hr. Komorowskich Potockiéj, starościny bełzkiéj, z rozkazu jéj teścia, Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego, obudził tak wielkie zajęcie się tą straszną samowolą magnata, że po ogłoszeniu przez Aug. Bielowskiego w r. 1845 dwóch ważnych w téj sprawie urzędowych dokumentów, poczęto gromadzić z wielką skwapliwością materyał historyczny, któryby tę sromotną sprawkę możnowładztwa 18 wieku dokładnie mógł wyświetlić. Rozległe znajomości i stosunki z takimi opiekunami pomników przeszłości, jak Świdziński, złożyły w ręce Kraszewskiego tyle autentycznych dokumentów w téj sprawie, że można było prawie słowami samych współczesnych świadków przedstawić najdrobniejsze szczegóły strasziiwego wypadku i długiego upartego processu, jaki on za sobą pociągnął. Kraszewski, przedstawiając ten straszny obraz z życia Szczęsnego Potockiego, nie dorzucił tu nic dowolnie dla dodania kolorytu; ale przedstawił całą sprawę słowami dowodów rękopiśmiennych nie tylko prywatnych, ale i urzędowych (Metryka kor.), zachowując w wielu razach nawet łaciński lub francuzki język oryginału. W ten sposób napisaném zostało w r. 1856 opowiadanie historyczne pod tytułem: „Starościna bełzka (Gertruda z hr. Komorowskich hr. Potocka) 1770—1774“, drukowane w 2 tomach w r. 1857, powtórzone w edycyi lwowskiéj z r. 1876. Studyum to zawiera, prócz szacownego materyału do historyi obyczajów, wiele autentycznych wiadomości o sprawach publicznych w kraju, maluje nam dokładnie upokarzający stosunek szlachty do panów, przedstawia w wybitnych nader kolorach wszechwładztwo magnackiéj pychy i ambicyi, szafującéj urzędami, godnościami, wyrokami trybunałów sprawiedliwości, lekceważącéj życie i mienie nawet nie ubogiéj szlachty, mającéj na swoje usługi nawet nuncyaturę papiezką z głośnym nieprzyjacielem Konarskiego, nuncyuszem Durinim na czele. Oprócz korrespondencyi, która stanowi podstawę tego studyum, korzystał tu Kraszewski jeszcze i z współczesnych pamiętników, zwłaszcza Chrząszczewskiego i Cieszkowskiego [19]. W ten sposób powstała powieść, nie ustępująca wielu innym z czystéj fantazyi płynącym, powieść, która odsłania nam dokładnie prawdziwy stan rzeczy. W porównaniu z poematem Malczewskiego czyni Kraszewski spostrzeżenie, które jako rezultat téj historycznéj publikacyi uważać możemy: „Niestety! od Maryi jak daleko do Gertrudy, od owego wojewody do Franciszka Salezego, od Miecznika do kasztelana Santockiego hr. Komorowskiego, od Wacława wreszcie do marszałka konfederacyi targowickiéj Szczęsnego Potockiego, starosty bełzkiego!“, jak różną jest prawda poety od prawdy rzeczywistości. Smutny to obraz—lepszy i piękniejszy świat poety! [20]) Dziś bezstronniéj możemy osądzić winy wszystkich, co udział mieli w tym brudnym i ohydnym dramacie: płochość Szczęsnego, barbarzyńską surowość jego ojca, dziwactwo matki, zabiegliwość Komorowskich, przedajność sędziów i niepewność obrońców, łakomstwo tych, co się tknęli w jakikolwiek sposób tego drażliwego interesu, który miliony kosztował i prawdy nie odsłonił. Dziś może dopiero, po upływie lat kilkudziesięciu, processs ten wyrokiem wnuków się zakończy i nad mogiłami oprawców i ofiary westchnie przechodzień, litując się tylko nad niemi.

Z pomiędzy wypadków, które bezpośrednio przed czteroletnim sejmem największy miały rozgłos w kraju i za granicą, zajmuje podróż króla Stanisława do Kaniowa dla spotkania się z cesarzową rossyjską Katarzyną, niepoślednie miejsce. Mamy kilka opisów téj podróży, nie brak obrazów tego prześcigiwania się Polaków w Kijowie w obec dworu rossyjskiego w zajadłéj walce przeciwko własnemu rządowi, mamy wreszcie opowiadania o samym zjeździe Kaniowskim. Lecz tak Naruszewicza suchy dziennik, [21]) jak i listy marszałkowéj Mniszchowéj, siostrzenicy króla, [22]) nie mniéj i opis Platera, zajmują się przeważnie częścią obyczajową, ceremonialną, tak że nawet z pomocą dzieł obcych [23]) nie wiedziano nic bliższego o stronie politycznéj tego zjazdu. Dopiero ogłoszone listy króla do Piusa Kicińskiego, [24]) naczelnika gabinetu królewskiego, późniejszego senatora, tudzież Obrona Stanisława Augusta przez Mikołaja Wolskiego, dały nam poznać pismo: „*Souhaits du Roi,*“ które

Stanisław posłał cesarzowéj przez Stackelberga, tudzież notę, doręczoną osobiście Imperatorowéj na statku w d. 6 maja. Pokazuje się ztąd, że Stanisław August starał się tu o zawarcie z Rossyą aliansu obronnego i o usunięcie niektórych niewłaściwości konstytucyjnych, które przeszkadzały pomnożeniu dochodów skarbu i niedopuszczały podniesienia liczby wojska, czego potrzebę wykazuje, jeżeli projektowany alians ma mieć praktyczne i doniosłe znaczenie. Wiadomo, że projekta te nie znalazły u Imperatorowéj należnych względów, bo sierdząca się przeciwko królowi oppozycya Branickich, Potockich i w. i, w Kijowie podkopywała do tego stopnia powagę korony, że niezwracano na nią należytéj uwagi. Znany nam już Kazimierz Konstanty *Plater*, starosta inflancki towarzyszył królowi w téj podróży z ramienia Rady Nieustającéj i pozostawił sporą wiązkę listów, pisanych z podróży do swoich krewnych, do przyjaciół i warszawskich dworaków, donosząc im o wielu szczegółach i przygodach podróży. Listy te, jakkolwiek nie przedstawiające zupełnéj całości, otrzymał Kraszewski w rękopiśmie, udzielonym mu przez hr. Włodzimierza de Broel-Platera—skrócił odpowiednio, zestawił w chronologicznym porządku,—a brakujące przerwy zapełnił opowieścią z innych źródeł czerpaną [25]). W ten sposób powstał dziennik podróży, który suchy i zimny opis Naruszewicza korzystnie uzupełnia i ożywia. Plater pisze z zupełną swobodą i daje nam wierny obraz ludzi, obyczajów, sądu współczesnego o rzeczach i wypadkach, maluje dobrze towarzystwo, które otaczało króla, jego zajęcia, zabawy, uczucia. Nie może być naszém zadaniem opowiadanie pojedyńczych wypadków i przygód podróży królewskiéj, którą listy Platera opisują aż do pobytu króla w Tulczynie, gdzie z powrotem król był ostentacyjnie przyjmowany przez Szczęsnego Potockiego, ale nadmieniamy tylko, że listy te świadczą o korzystnéj zmianie stosunków wewnętrznych kraju za panowania Stanisława Augusta pod względem postępu edukacyi publicznéj i dźwigającego się przemysłu. Plater wyjeżdzając z Naruszewiczem z Kaniowa do Kijowa uprosił niejakiegoś p. Berciniewicza, aby ten zapisywał codziennie wszystko, co się u króla w Kaniowie działo. Na podstawie tych notat donosi nam Plater, że jenerał *Jerlicz*, przybyły z rana w Niedzielę d. 1 Kwietnia 1787 r. do Kaniowa, przywiózł i oddał królowi rękopism dawny przez jego dziada spisany, zawierający wiadomości do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza [26]).

IV.

Ograniczeni szczupłością miejsca nie możemy zwracać uwagi na idee i pierwiastki, które wpływały i składały się na początek i organiczny rozwój tak zwanéj literatury pamiętniczéj (*Mémoires*), nie możemy rozbierać szczegółowo stosunku, jaki zachodzi pomiędzy tą gałęzią literatury historycznéj, a kroniką i biografią, tudzież epopeją średniowiecznego rycerstwa. Dla łatwiejszego jednak zoryentowania się na tém obszerném polu rzucimy kilka przewodnich myśli, które wskażą związek pracy Kraszewskiego na niwie dziejowéj, z literaturą historyczną w ogóle.

Wiadomo powszechnie, że klasztory w wiekach średnich zapisywały w kronikach swoich wypadki dziejowe (gesta) danéj chwili, które to zapiski przybierają z czasem mianowicie we Francyi pod wpływem opata *Sugeriusza* z klasztoru S-go Dyonizyusza, formę obszerniejszych relacyi. Równocześnie wyśpiewuje rycerstwo, którego naiwna imaginacya łatwo przecenia doniosłość najdrobniejszych przygód życia rycerskiego i zapala się nad miarę do wspomnień swoich bohaterskich czynów. Dla cywilizacyi opierającéj się w tak przeważnéj części na tradycyach znaczniejszych familii, jak to miało miejsce w wiekach średnich, stał się pamiętnik konieczną potrzebą życia umysłowego, zwłaszcza, że hieroglificzne znaki herbów i godeł rycerskich, wystarczające dla zabawy szlachty nieokrzesanéj okazały się wnet niedostateczne, ponieważ owe formy *ogólne* nie ujawniały zasług pojedyńczych bohaterów. Skoro się zaś rycerstwo nauczyło czytać i pisać, i wyszło na obszerniejsze pole działalności w wojnach krzyżowych, wtedy poczęło z zamiłowaniem opisywać szczegółowo swoje czyny. Opowieści te, pierwotnie bardzo naiwne, jak np. u *Villehardouin'a* (około 1213 r.), przybierają niebawem postać i wszystkie przymioty, znamionujące literaturę pamiętniczą, jak to już widzimy u *Joinvill'a* (ur. 1223—1317) i *Froissart'a* (ur. 1337—1410).— Historya Ś. Ludwika przez Joinvilla napisana, stała się, można powiedzićć, pierwowzorem przedstawiania wypadków historycznych w nowy, nieznany dotychczas sposób, który, jako osobny dział literatury, jest charakterystycznym objawem nadobnéj prozy francuzkiéj, któréj *Mémoires* mają w innych europejskich lite-

raturach niektórych godnych współzawodników pod względem treści i zewnętrznego układu, ale są niezrównane pod względem stylu i opowiadania. Nie można zaprzeczyć, że obraz, w którym mąż dojrzałego sądu, obszernego na świat poglądu, łączy własne swoje przygody, myśli i wrażenia z wielkiemi wypadkami historyi, że, mówię obraz taki ma dla czytelnika szczególniejszy wdzięk i urok czarujący. Obraz czynów prywatnego życia, stykającego się z wypadkami doniosłości historycznéj, przybliża dla oka naszego zdarzenia historyczne do tego stopnia, że nadaje im nietylko wierniejszy koloryt, ale pod pewnym względem wyciska na nich wyrazistsze piętno prawdy, stwierdzonéj doświadczeniem i przykładem codziennego życia. W przykładach zaś jest wielka siła: życie znakomitych ludzi jest niewyczerpaném źródłem przestrogi, nauki, cnoty i otuchy wsród przeciwności żywota naszego. Wierny i jasny objaw wrażeń, uczuć, wzruszeń i uniesień każdéj chwili, niezamglony żadném późniejszych wieków poniżeniem, ma silny wpływ nie tylko na nasz umysł, ale i na wyobraźnię naszę i uprzytomnia nam niejako każdą ważniejszą chwilę przeszłości. „Pamiętniki tłumaczą nam tedy jaknajwierniéj wypadki, charakteryzują ludzi, uczą nas rozumiéć sprawy publiczne, odsłaniając nam codziennie ludzi, namiętności, zabiegi i obyczaje.“ Lecz z drugiéj strony nie można zapominać i o tém niebezpieczeństwie, że pamiętnik, puściwszy swobodne wodze gawędzie o przygodach osobistych autora, nie może się często wcale wznieść z tego ciaśniejszego, osobistego poglądu na sprawy publiczne, z czego płynie ten skutek, że bardzo często zobojętnia lub przytłumia się zupełnie żywszy interes i zmysł dla wypadków powszechnego, uniwersalno-historycznego znaczenia. Pamiętnik, nie krępując się prawidłowością organicznego życia historycznego, spętanego ogniwami nierozerwalnego łańcucha przyczyn i skutków, odznacza się pewną giętkością indywidualnéj energii, która, ulegając wrażeniom gwałtowniejszych wypadków chwili, idąc za tchnieniem każdéj przygodnéj myśli, słuchając pragnień i uniesień chwilowych wstrząśnień, — to się wznosi do najwyższych zagadnień ducha ludzkiego, to schodzi na dół do poziomych powszedniego życia:—raz gubi się w krainie poezyi i uniesień, drugi raz mozoli się z twardemi warunkami prywatnego bytu. Pamiętnik nie poddaje się powadze żadnéj szkoły historyozoficznéj, nie krępuje się wyłącznie ani dedukcyą ani indukcyą; ale, zbierając wypadki najbliższego otoczenia swego, nie waha się ich rozbierać, porównywać między sobą: zastanawia się nad niemi, robi różne zboczenia od przedmiotu głównego, zbiera anekdoty, powieści, nawet bajki, — często wpada w apostrofę morałów, przestróg itp. Historya w pamiętniku nie jest wstępem jakiéjś wielkiéj epopei; ale zazwyczaj udatną, wdzięczną nader gawędą. O ile w historyi gromadzą się *fakta* około pewnych, górujących w danéj epoce *idei*, o tyle krążą one w pamiętniku tylko około pojedyńczych *osób*. Pamiętniki opierają się zazwyczaj na gruncie *subjektywnym*, służą po większéj części celom i widokom osobistym, z czego wynika ten skutek, że narzucają wypadkom historycznym takie cele polityczne i moralne, jakie ich osobistym widokom odpowiadają, lub jakie przez artystyczne środki stylu i wymowy osiągnąć pragną. Wiadomą jest rzeczą, że pisać dzieje narodu wedle źródeł jest rzeczą trudną i dla wielkości przedmiotu i dla ułomności ludzkiéj; pisać zaś sprawy dokonane własném przyczynieniém się jest łatwiéj; lecz niebezpiecznie dla miłości własnéj, która do czynu często jest nienaganną pobudką, w słowie jednak zawsze szkodliwą. Tą słabą stroną literatury pamiętniczéj widzimy już w historyografii Greków i Rzymian. Xenofon np. dla zjednania przewagi ideom arystokratyczno-monarchicznym, pragnął w bohaterze swoim, Cyrusie, przedstawić ideał doskonałego panującego, hołdującego takim zasadom. Podał nam tedy materyał historyczny w idealnych obrazach, tak że cała jego historya okazuje nam się w kolorycie poetyczno-etycznym, który z historyą się niezgadza. U Thucydydesa zagłusza nieraz reflexya prawdziwy głos opinii narodu. Juliusz Cezar pisze swoje „kommentarze“ o wojnie w Galii w obronie zasad politycznych,—stara się bowiem jarzmo, w które zaprzągł cały naród, zamienić na sztandar sławy, przed któréj blaskiem korzyć się powinni wszyscy barbarzyńcy. Nie przeczymy, że w ten sposób ożywia się obraz historyczny silném tchnieniem energii indywidualnéj; ale prawda dziejowa łatwo tu może ucierpiéć, bo cywilizacya i postęp ludzkości, prowadzone miłosierną, kochającą i sprawiedliwą ręką Opatrzności, nie mogą słuchać głosu ambicyi i arrogancyi osobistéj. W błąd ćo tylko wskazany wpadają najczęściéj pamiętniki pisane przez mężów stanu, którzy pragną usprawiedliwić postępowanie swoje w oczach potomności lub téż chcą zapewnić ideom swoim zwycięztwo w następnych wiekach.

Z tego wynika, że „pamiętnik" jest niejako swobodną pogadanką autora z przeszłością, w której spędził dni życia swojego od młodości aż do siwizny, pogadanką, której dopominają się osoby najbliższe, a z której potomność uczy się bardzo wiele ważnych rzeczy, jeżeli piszący posiadał warunki dla tego rodzaju pracy konieczne i niezbędne. Historyk, badający prawidła życia i rozwoju historycznego, widzi w „pamiętnikach" zeznania świadków; historya dopiero, osądziwszy według tych świadectw wszechstronnie i sumiennie prawdziwy stan rzeczy, jest ostatecznym wyrokiem sędziego.

Różnica między dziełem historyczném a pamiętnikiem na tém głównie polega, że autor pamiętnika ma więcéj na uwadze swoje czyny, aniżeli wypadki swojego czasu, więcéj to, co się tyczy jego osoby, aniżeli to, co się dzieje koło niego; pisze to, czego się dotykał, co widział lub co słyszał, pod pierwszém wrażeniem bez dochodzenia prawdy, z pomocą innych źródeł; historyk zaś zbiera przedewszystkiem niezachwiane świadectwa prawdy z autentycznych źródeł, porównywa je z sobą, waży na szali sprawiedliwego sądu, bada wszystkie wypadki współczesne, wnika w ich ducha i stara się za pomocą intuicyi odkryć idee, które przenikały minione wieki. Jeśli tedy u historyka stanowi sztuka umiejętnego korzystania ze źródeł jednę z najważniejszych zalet, to u autora pamiętnika nie potrzebujemy zwracać na to szczególnéj uwagi, byle tylko posiadał bystry zmysł spostrzegawczy i zdolność żywego opowiadania współczesnych mu wypadków.

Warunki, którym podług powyższego wywodu, powinien zadość uczynić autor pamiętników, aby w historyografii poczesne zajął miejsce, są jednak daleko wyższe, jak się tym zdaje, co w nich szukają tylko dowcipu, pięknych obrazków i jaskrawych szczegółów. Tą jaskrawą stroną pamiętników wydanych przez Kraszewskiego nie myślimy się wcale zajmować, bo uważamy to w naszéj epoce za zupełnie już zbyteczne i nie rozumiemy interesu, jaki poważny umysł w tém znajduje, gdy się znęca nad wybrykami nie tyle nikczemnych, ile rubasznych i lekkomyślnych fantazyi 18-go wieku, lub gdy występuje do poważnéj walki z utworami poetycznemi, na tém tle wyrosłemi. A jeśli przy tém tylko o morały chodzi, to ubolewać nad tém trzeba, żeśmy już tyle czasu zmarnowali na prawienie morałów przodkom naszym, że nam go zabrakło do gruntownego poznania saméj przeszłości i do korzystania z nauki, jaką mieści w sobie ta przeszłość dla teraźniejszości trzeźwo pojmowanéj. Wiadomo powszechnie, że praca na drodze postępu jest uciążliwa, żmudna i długa: wpływy zewnętrzne i wewnętrzne wstrząśnienia mogą ją chwilowo jeszcze bardziéj utrudnić, powstrzymać—nawet zatamować. Przezorność nakazuje starać się o to, aby chwile takiéj konsternacyi nie trwały długo, aby po każdym takim gromie społeczeństwo prędko zabrało się do roboty, która bez wewnętrznéj harmonii między pracującymi będzie szamotaniem się bezmyślnéj siły, ale nie stanie się nigdy produkcyjną pracą. [37]) Między bezmyślną wzajemną admiracyą a napastniczemi podjazdami chełpliwych reformatorów jest przecie pośrednie stanowisko, z którego przy szacunku dla przeciwnego zdania i opinii można harmonijnie pracować i do jednego dążyć celu. Tę harmonią kłócą jednak w wysokim stopniu wszelkie nierozważne publicystyczne wybryki czy to pod chorągwią postępu czy zacofania,—czy pod chorągwią pseudo-pozytywizmu lub ultramontanizmu—demokracyi lub arystokracyi występujące, ponieważ mięsza się z tém dużo osobistości, zaprawionéj cierpką ironią i zawiścią. Pamiętnikom tedy 18-go wieku nie można czynić z tego zarzutu, że stały się skarbnicą obfitego materyału dla obrazów poetycznych i powieściowych z rubasznego trybu życia szlachty minionego stulecia, bo straszydło to znikło już bezpowrotnie i wojować z niém nie potrzeba.

Historyczna wartość „Pamiętników", jako źródeł, zależy od tych samych warunków, na których opiera się wartość każdego innego świadectwa historycznego. Badacz dziejów zwracać tu winien pilną uwagę na stopień nauki i wykształcenia autora pamiętnika; daléj na moralną stronę jego charakteru, na stanowisko, jakie zajmował w społeczeństwie, i na czynny udział, jaki mógł mieć w wypadkach epoki, któréj obraz nam kreśli. Im wyższe zajmuje autor pamiętnika stanowisko w hierarchii politycznej, z którego wszystkie wypadki dokładnie mógł poznać,—im światlejszym szczycił się umysłem, pojmującym dokładnie zdarzenia swojéj epoki, — im niewątpliwszą jest moralna strona jego charakteru, im większą miłość prawdy, religijne namaszczenie i odwaga cywilna wypowiadania swych niewzruszonych przekonań, tém cenniejszym staje się pamiętnik dla badacza dziejów, bo tylko taki świadek będzie wiernym tłumaczem dążeń swojéj epoki.

„Pamiętniki" są jeszcze nie tylko wymownymi świadkami faktów historycznych,

ale stanowią także ze względu na swoję formę szacowne nader pomniki literackie, świadczące o stopniu wydoskonalenia języka, wymowy i tp. Nie można jednak sprawiedliwie ocenić wartości literackiéj żadnego pamiętnika, jeżeli go nie porównamy z resztą współczesnéj mu literatury, jeżeli nie zwrócimy pilnéj uwagi na stosunek, jakim pod względem naukowym i artystycznym zachodzi między stopniem oświaty danéj epoki a pisarzem pamiętnika danéj chwili; ważną bowiem jast rzeczą wiedzićć, czy słuchamy opowieści męża, stojącego na najwyższym szczeblu naukowego wykształcenia społeczeństwa swojego, lub téż czy mamy przed sobą zacofanego gawędziarza bez szerszego poglądu na wypadki swojego czasu, bez wydoskonalonych pojęć estetycznych, bez gruntownego wykształcenia, tonącego w zabobonach i przeróżnych gusłach, nie mającego jasnego pojęcia o postępie i cywilizacyi ludzkości. Z tego wynika, że niema pamiętnika, z któregoby historyk nie mógł zaczerpnąć dla siebie wiadomości; ale jest bardzo wiele takich pamiętników, dla których niema w dziejach literatury miejsca, ponieważ brak zupełny artystycznego opracowania, tak w treści jak i formie, nie pozwala uważać ich za produkcyą artystyczną, ale tylko za nieokrzesane wyrażanie myśli za pomocą pióra. Tego rodzaju pamiętników nie wypadałoby wydawać w całości, ale możnaby je tylko szczegółowo chronologicznie zregestrować w sposób powyżéj przez nas wskazany.

Ważnym nader względem przy ocenianiu historycznéj wartości pamiętników jest ta okoliczność, czy autor pisze dziennik swój dorywczo pod świeżémi wrażeniami, czy też w późniejszym wieku zbiera w pamięci pojedyńcze wypadki swojego życia i, zgromadziwszy przeróżne szczegóły i notaty, pisze w krótkim przeciągu czasu swoję autobiografią albo raczéj dziennik swoich wspomnień. Powszechny między naszą szlachtą zwyczaj prowadzenia dziennika i pamiętników domowych (dyaryusze, Silva rerum i tp.) płynął między innémi z przeświadczenia o ważności własnéj osoby i o wpływie własnéj rodziny na losy kraju. Ztąd pochodzi znaczny szereg względnéj nadzwyczaj wartości pamiętników w naszéj literaturze, bo rzadko który dorównywa pierwszemu wzorowi, którybyśmy w Komentarzu Jana Dymitra Solikowskiego widziéc pragnęli. Każdy niemal szlachcic, zarówno wysoki dostojnik i wódz (St. Albr. Radziwiłł, Jakób Sobieski), jak i skromny dworzanin (Samuel Twardowski, Samuel Markiewicz), jak i ruchliwy żołnierz (Poczobut, Pasek) stara się spisać swoje *gesta*; ale zazwyczaj dopiero późno pod koniec życia, jako *jucundissima recordatio* minionéj sławy obok skargi na skarłowaciałe młodsze pokolenie. Każdy przywiązuje wielką wagę do czynów swojego życia, chce je upamiętnić najprzód dla własnéj sławy i dla zaszczytu domu, a potem także dla nauki i przestrogi następców. Historyk, szukający w pamiętniku źródła historycznego, powinien zawsze o tém pamiętać, że sąd nasz o własnych czynach i pogląd na życie ulega z każdym dniem pewnym zmianom, które po upływie dłuższego czasu wytwarzają wielkie różnice pod względem zasad, według których wypadki przeszłości oceniamy i pod względem stanowiska, z którego się na nie zapatrujemy. Inaczéj się nam przedstawia fakt w chwili, gdy się spełnia, wywierając na nas doraźne, że tak powiem, wrażenie,—inaczéj zaś będziemy go oceniać z odległości kilkunastoletniéj, któréj spokój i bezinteresowność pozbawiły go już ożywczego tchnienia współczesnéj chwili. W takiém położeniu rzeczy uchodzi wiele szczegółów z pamięci, wiele ukazuje się już w odmiennén świetle a troskliwość o pamięć pośmiertną każe pokrywać milczeniem wiele ujemnych szczegółów i radzi przedstawiać raczéj postępowanie swoje w najkorzystniejszéj formie [28]).

Nadmieniamy wreszcie, że sposób wydania pamiętników z oryginalnych rękopismów lub wiarygodnych kopii decyduje stanowczo o historycznéj wartości przechowanego pomnika. Rękopisma, z których pamiętniki się przygotowują do druku, znajdują się często w bardzo zaniedbanym stanie. Pomijając nieczytelność pisma, która przy nagannym pośpiechu może być przyczyną wielu *qui pro quo*, stanowią nie małą przeszkodę liczne uszkodzenia, brakujące karty, dodatki późniejszéj ręki, poprawki i tp. Często opisywane są szeroko sprawy tak drażliwie dla osób żyjących, że bez obrażenia najdelikatniejszych uczuć rodziny nie można ich w całéj nagości prezentować; często znajdujemy ich zewnętrzną formę pod względem stylu zaniedbaną, a język tak cyniczny, że trzeba go dla uratowania nieskażonéj brudem treści cokolwiek ogładzić. Ostatnie remedium można ze stanowiska literackiego dozwolić i wybaczyć tak wytrawnemu wydawcy jak, Kraszewski, ale w pierwszym wypadku wypada raczéj wydawnictwo wstrzymać, aniżeli je przeistaczać opuszczeniami lub przeróbkami, szorstkość pierwotnéj relacyi łagodzącémi. Dla téj przyczyny nie ma wiele pamiętników,

wydanych przez Raczyńskiego, żadnéj historycznéj wartości. J. Kraszewski znajdował się często w konieczności wygładzania rękopismów pod względem stylu i języka; lecz wychodzące z pod jego ręki wydawnictwa nie budzą żadnych obaw co do nadwerężania samych faktów. W odpowiedzi, jaką na zapytanie nasze co do sposobu korzystania z rękopismów od szanownego Jubilata odebraliśmy, pisze Kraszewski ze względu na rękopism pamiętników Ochockiego, nabyty od rodziny: „Był on pisany stylem takim i tak cynicznie miejscami, że musiałem go dopiero uczynić *présentable*, ręczę jednak za to, że nic ani dodałem ani zmieniłem, i sumienność w przepisaniu zachowałem jak największą. Nigdzie i nigdy nie robiłem swoich dodatków.“ Zapewnienie to będzie zapewne wystarczającém dla każdego, kto inaczéj sądził, aby nie wątpić o autentyczności i czystości źródeł, z których wypłynęły publikacye Kraszewskiego: dla domysłów i przypuszczeń przeciwnych miejsca już odtąd być nie powinno.

Przypatrzmy się wreszcie choć pobieżnie wydanym przez Kraszewskiego pamiętnikom historycznym dla przekonania się, o ile one odpowiadają powyższym warunkom.

Skoro jednak łaskawy czytelnik zwróci uwagę na to, że wiele z tego rodzaju publikacyi Kraszewskiego dotyczy nowszych dziejów, które z wielu względów zewnętrznych krępują jeszcze dzisiaj swobodę krytycznego rozbioru, to wybaczy nam, gdy nie o wszystkich z równą dokładnością rozprawiać możemy. Dla łatwiejszego zoryentowania się wśród tego dość licznego materyału postępujemy tu wedle porządku chronologicznego.

Z czasów XVI wieku dał nam Kraszewski poznać w tłumaczeniu pamiętnik, przypominający smutną agonią upadającego na Szlązku rodu Piastów, w dziełku: „Pamiętnik Hansa Szweinichena do dziejów Polski i Szlązka (1552—1602)“ [29]).

„Nie umiemy odgadnąć, pisze Kraszewski w przedmowie, czy ta książka, ceniona powszechnie, jako ciekawy zabytek XVI wieku, u nas téż znajdzie dobre przyjęcie, ale nam się zdało, że w zbiorze pamiętników rozpoczętym dać ją wypadało.“ We Francyi pisał de Chasles wyborny artykuł o tym pamiętniku, w Anglii drukowano tylko treść i niektóre wyjątki, Kraszewski pisał o nim u nas w Gazecie dosyć obszernie. Zasłużony na polu historyi szlązkiéj ś. p. Gustaw Stenzel skreślił gruntowną wiadomość o życiu i czynach Henryka XI, księcia lignickiego na podstawie pamiętnika Schweinichena, [30]) z któréj August Mosbach przedstawił ważniejsze momenta w dziele: „Wiadomości do dziejów Polski z archiwum prowincyi szlązkiéj“ [31]). Pamiętnik opowiadający przygody, jakie przechodził Schweinichen, będący ochmistrzem hulaszczego nader Piasta lignickiego, napisał autor w późniejszych latach swego nader awanturniczego życia (ur. 1525 — 1616) w języku niemieckim. [32]) Schweinichen wykłada najprzód w obszernym wstępie, który wydanie nasze zupełnie pominęło, swoje wyznanie wiary, rozpamiętywa z pobożną skruchą swoje życie młodzieńcze, wylicza przodków po mieczu i po kądzieli, a potem dopiero zwraca się od opisu własnych przygód. Nie tylko z heraldycznych względów ciekawąby było rzeczą usłyszeć od tego szląskiego Świnki [33]), czy nie z tego samego gniazda pochodził głośny w XIII wieku obrońca polszczyzny w szkołach klasztornych, arcybiskup gnieźnieński Jakób Świnka,—oraz inny Adam Świnka, sekretarz króla Władysława Jagiełły, najdawniejszy poeta łacińsko-polski. [34]) Nie może być zadaniem naszém opowiadać za Schw. przygody owego zbyt awanturniczego, a pod względem historycznym, jak i moralnym bardzo smutnego życia Henryka XI, butnego, lekkomyślnego i marnotrawnego Piasta, któremu Schw. towarzyszył przez długie lata (1569 — 1588) prawie nieodstępnie. Rubaszność i jaskrawość pojedyńczych obrazów średniowiecznego rycerza nie wynagrodziłaby żalu i oburzenia z upadku świetnéj niegdyś rodziny Piastów i nie złagodziłaby przykrego widoku zupełnego prawie rozkładu resztek społeczeństwa słowiańsko-polskiego, które dla gnuśności, marnotrawstwa i odszczepieństwa od swojego rodzinnego i plemiennego sztandaru, tonęło bez nadziei ratunku w nawale germanizmu. Schweinichen miał za mało wykształcenia umysłu i serca, aby process, jaki się w jego oczach odbywał, mógł dokładnie pojmować. Stanowisko wreszcie Schweinichena przy tym od natury upośledzonym Piaście nie nastręczało mu téż sposobności do wglądania w wielkie sprawy publicznego interesu. Pamiętnik Schw. nie daje nam dokładnego pojęcia o stosunkach historycznych na pograniczu szlązko-polskiém, o stosunkach, jakie na gruncie reminiscencyi epoki piastowskiéj między rycerstwem i ludnością Szlązką a Wielkopolską i Małopolską się w trakcie czasu wytworzyły. Spotykamy w naszym pamiętniku zaledwo kilka takich epizodów, chociaż przy tym materyale

archiwalnym, jaki odkryli Stenzel, Wattenbach, Grünhagen, Mosbach,—Schweinichen uplastycznia lepiéj niektóre wypadki. Do takich zaliczamy zabiegi Henryka XI o koronę Jagiellonów przy schyłku panowania Zygmunta Augusta i dwóch następujących elekcyi. Prócz waśni rodzinnych, buty i marnotrawnego życia naraził się Henryk XI swoim lennodawcom Habsburgom, starającym się nawet po klęsce pod Byczyną z taką żarliwością o berło polskie—naraził się im, mówię, przez to, że łudzony obietnicami niektórych panów polskich (np. Adama Konarskiego, biskupa poznańskiego, Zborowskich, Rozrażewskich) znosił się w tym celu z dostojnikami polskimi a nawet już z samym Zygmuntem Augustem, którego z wielką ostentacyą odwiedził w Lublinie podczas pamiętnego sejmu 1569 r., gdzie był dłuższy czas z wielką serdecznością z całym swoim dworem podejmowany. „Podróż ta kosztowała księcia przeszło 24,000 talarów, a przecież nie sprawiła nic, tylko niełaskę u cesarza" [35]). Stosunki te niepokoiły w wysokim stopniu Maxymiliana II [36]) już w r. 1573, chociaż w pamiętniku naszym znajdujemy dopiero w r. 1574, 1575 i 1578 wzmianki o wycieczkach księcia do Polski [37]), nadmieniając, że „kto tylko z Polakami dobrze się obchodził, ten się u niego wybornie zasługiwał" [38]). Szlachta szlązka, nie kontenta z rządów marnotrawnego księcia, donosiła podejrzliwemu już i tak cesarzowi niemieckiemu, który, czyhając na koronę polską, posądzał Henryka o szkodliwe praktyki przeciwko sobie. Każe tedy posłom swoim badać Henryka co do celu tych częstych wycieczek do Polski, zakazuje mu takowych—każe go chwytać i więzić, wzywa do Pragi, aby się tłumaczył, a gdy ten nie słucha, powołuje przeciwko niemu pospolite ruszenie szlachty szlązkiéj. Henryk, stanąwszy przed cesarzem, tlumaczy się w ten sposób z czynionego mu zarzutu: „Prawda, że bywałem w Polsce dla odwiedzenia panów i przyjaciół; lecz nie sądzę, iżby mi tego można wzbraniać; pochodzę bowiem z szlachetnéj krwi królów polskich, wre we mnie dotąd krew polska, ztąd mam szczególną przychylność ku Polakom, nikt mi jednak nie może dowieść, abym cokolwiek przeciw cesarzowi knował w Polsce" [39]). Odsądzony wyrokiem cesarskim od księstwa i wtrącony do więzienia, ucieka w r. 1585 z téj „kustodii" do Polski, [40]) a ztamtąd do Szwecyi, zkąd wraca dopiero z nowo obranym królem Zygmuntem III do Krakowa na koronacyą, co na Szlązku niemały wzbudziło postrach [41]). Niebawem umarł Henryk XI prawie nagle w Krakowie („gadano, że książe wypił truciznę") [42]). Cesarz nie chciał w żaden sposób pozwolić, aby sprowadzono zwłoki książęce z Polski do Szlązka, dla tego „że zmarły książe zbuntował się przeciw niemu i przyłączył się do nieprzyjaciół J. Ces. Moś." [43]).

W obec idei wprowadzenia sposobem wolnéj elekcyi krwi piastowskiéj na tron polski, trzeba było innych zupełnie mężów, jak słaby Zygmunt August i awanturniczy Henryk, aby stworzyć dla Polski rząd trwały i silny. Zresztą przy osłabionéj w wysokim stopniu przez Jagiellonów zasadzie dziedziczności tronu nie stanowili już w téj chwili książęta z linii Piasta takiego niebezpieczeństwa dla elekcyi, jakiego się obawiał Ludwik, gdy dla widoków dynastycznych podał (r. 1374) władzę monarszą w zupełną prawie zależność od uprzywilejowanéj szlachty. W początkach panowania Jagiellonów w Polsce nie możemy tu jeszcze przypuszczać elekcyi tronu, ponieważ byłoby to anomalią, nawet dla polityki trudną do zrozumienia, żeby państwo dziedziczne, jakiém była Litwa, chciało łączyć stale swoje losy z państwem elekcyjném. Zaprzeczyć téż nie można, że chociaż i pierwsi Jagiellonowie nie skąpią przywilejów dla szlachty polskiéj i litewskiéj w nagrodę za życzliwość, jaką obydwa te narody okazują dla familii Jagiellonów, to nie zaniedbują równocześnie warować sobie wyraźnie sukcessyi tronu [44]). Dopiero unia za Alexandra w r. 1501 potwierdzona, mówi wyraźnie o wolném obieraniu króla przez obydwa narody, nic nie wspominając o dziedzictwie Jagiełłów do korony Polskiéj i W. kr. litewskiego. Zygmunt I, używał jeszcze tytułu dziedzica i sukcessora korony polskiéj i W. ks. litewskiego; lecz Zygmunt August zrzekł się tego prawa i odstąpił całe prawo domu Jagiellońskiego do korony i W. ks. litewskiego uroczyście obu narodom. Historya, opierając się na autentycznych źródłach, a nie krępując się żadnemi względami polityczném spekulacyi, przychodzi do tego wniosku, że po osłabieniu w Polsce przez Ludwika prawa sukcessyi tronu, rozpoczyna się już z pierwszą chwilą jednoczenia się Litwy z Polską żywa walka idei elekcyi z ideą sukcessyi tronu, walka, jak się Kołłątaj wyraża, między rzetelném prawém sukcessyi a wolną obieralnością królów,—która to walka stanowczo ukończoną już została za Alexandra I. Nawykły już do politycznych odmian naród, wsparty sąsiedzkim przykła-

dem głośnych elekcyi w Niemczech, nie omieszkał korzystać ze słabości tego nieopatrznego króla; lecz unikając tego, aby taka nowość nie oburzyła prawdziwych następców, powoływał ich, dopóki ich starczyło bez szemrania na tron. Zygmunt I nie był jednak już pewnym, czy takie życzliwe usposobienie zachowają obydwa narody i dla jego potomstwa, dla tego przeprowadził już za swego życia elekcyą Zygmunta Augusta. W ten sposób przywiodły wypadki dziejowe do skutku elekcyą tronu w Polsce, a gdy ta za przewodnictwem Zamojskiego, podnoszącego idee, że tak powiem, legitymizmu jagiellońskiego przeciw wdzierającym się Niemcom, przybrała nareszcie kształt instytucyi politycznéj, która przepisywała, aby panującego wybierała wszystka szlachta konno (viritim), a nie przez żadne delegacye i pośrednie wybory, tedy nie mogły mieć aspiracye żadnego księcia z linii Piastów, choćby on był zupełnie odpowiednią osobistością—żadnego poważniejszego znaczenia, tylko takie, jakie każdemu innemu kandydatowi nadawały ścierające się w danéj chwili interesa uniwersalno-europejskie.

Z pogranicza szlązkiego, żyjącego często pod trwogą wzajemnych sąsiednich najazdów, tak, że krewniak Zborowskich, szlązki szlachcic Zygmunt Kurcbach najeżdża Andrzeja hr. Górkę, rabuje i do Szlązka wywozi [45]), przechodzimy na ukraińskie kresy, gdzie przy niepewnych granicach daleko jeszcze trudniéj było utrzymać spokój i ład między pograniczną ludnością i zabezpieczyć ją przeciw najazdom i gwałtom barbarzyńskich hord tatarskich. Kraszewski wydał trzy relacye, które, jakkolwiek nie nalezą, ściśle rzecz biorąc, do pamiętników, ale raczéj do opisów podróży, rzucają pewne światło na stosunki wschodniego pogranicza Rptéj w XVI w. i dla tego w tém miejscu na uwagę zasługują.

Literatura nasza nie jest bogata w opisy podróży po dalekich krajach, dla tego należy się wdzięczność Kraszewskiemu, że znalazłszy dwa takie „itineraria" w rękopismach biblioteki hr. Henryka *Ilińskiego* w Romanowie na Wołyniu, wydał je w całości, nic nie skracając ani zmieniając, prócz pisowni. Do opisu tych podróży przyłączył opis poselstwa Piotra Zborowskiego z r. 1568 do Konstantynopola z tych samych źródeł i wydał w bibliotece Turowskiego [46]).

Autor opisu podróży do Konstantynopola z r. 1557, Erazm Otwinowski pochodzi z rodziny, która, jak świadczą późniejsze dzieje, była często używana do tranzakcyi z Turkami i Tatarami [47]). Otwinowski, zostający na dworze najprzód Kmity, wojewody Krakowskiego, a późniéj Stanisława Tenczyńskiego, towarzyszył do Turcyi Andrzejowi Bzickiemu, kasztelanowi Chełmskiemu, którego Zyg. Aug. z wyboru sejmu r. 1557 do téj missyi powołał. Jan Kochanowski nadmienia w swoich „Fraszkach," że Jędrzéj Bzicki, pochodził z niezamożnéj rodziny, ale, obdarzony dowcipem, zasiadał w pańskiéj radzie i, jeśli komu, to jemu były znane dawne labirynty dyplomatyczne z Turcyą. Otwinowski pisze, że Bzicki „rad z nim o każdéj rzeczy bezpiecznie albo familiariter rozmawiał" i dla tego go téż łatwo do téj podróży po weselu księcia Słuckiego w Lublinie namówił. Przyjacielski ten stosunek wnet się zupełnie zmienił, bo Otwinowski pisze z wielką niechęcią o Bzickim. Naukowa wartość pracy Otwinowskiego nie jest wielka, ponieważ o celu i zadaniu poselstwa Otwinowski nic nam powiedzieć nie umié: „Co za traktaty tam były, żaden tego niewiedział, ani żadnéj pana posłowéj sprawy, tak to wszystko *in secreto* u siebie miał." Natomiast opowiada Otwinowski dosyć malowniczo całą podróż. Wspomniawszy o miejscowościach, przez które przejeżdżali (Kamieniec, Chocim, Jassy, przeprawę przez rz. Prut, Dunaj pod Obkursycami, przez góry Bałchany i t. p.) w krótkich słowach, rozwodzi się dopiero obszerniéj o samym Konstantynopolu. Opisuje położenie miasta, ważniejsze historyczne budowle, mianowicie kościół Ś-téj Zofii, rozprawia o zwyczajach i obyczajach u Turków, o systemie wychowania i t. p. W Otwinowskim widzimy męża stojącego pod względem wyształcenia na stanowisku swojego wieku: widzimy, jak potrafi wiązać to, co spostrzega w Konstantynopolu i na półwyspie balkańskim, z historyą cesarstwa bizantyńskiego,—spostrzegamy, że obserwuje każdą rzecz jasno i sądzi z poważną bezstronnością nauki. Z opisu Otwinowskiego zdaje się korzystał Szymon Starowolski w dziele swojém: „Dwór cesarza tureckiego" [48]). Nie znachodząc u Otwinowskiego żadnego poglądu historycznego na stosunki Polski do Turcyi, zwracamy raczéj uwagę czytelnika na poselstwo Piotra Zborowskiego, kasztelanica wojnickiego, który posłował do Turcyi w pierwszych latach panowania Selima II (od r. 1566) [49]) i zdaje w r. 1568 szczegółowo sprawę ze swojéj missyi.

Nie tu miejsce zastanawiać się wszechstronnie nad znaczeniem historycznem tego faktu, że Polska pod naciskiem zewnętrznych okoliczności usuwa się w w. XIV.

z swego rodzinnego, czysto lechickiego gruntu, oddając na łup niemców i żydów obszerne włości i zamożne niegdyś miasta, tak że idea państwa, zwrócona od zachodu ku wschodowi, ulega zupełnemu przekształceniu. Ponieważ jednak w nowszych czasach nietylko Sołowiew Kostomarow, Iłowajski, i w. in., ale i w swojskie historyozofy nie przestają na ten temat powtarzać przeróżnych komunałów politycznych i retorycznych, przeto ośmielamy się choć pobieżnie zaznaczyć stanowisko poglądu historycznego na tę kwestyą. Jeżeli bowiem gdzie, to w téj sprawie pokazuje się jak najwidoczniéj, do jakich błędnych pojęć o wypadkach historycznych dojść można, gdy się pomięsza historyą z polityką: widzimy, że nawet uczeni professorowie, ufni w przewagę swojéj wiedzy na polu nauk społecznych i politycznych do tego stopnia, że tą nową (jak jednostronnie sądzą) bronią myślą zniweczyć owoce dotychczasowych trudów na polu badań historycznych, że—mówię—nawet ci autorowie rozpędzeni na politycznym rumaku, nie mogą sprawiedliwie ocenić idei historycznych przed mamidłami swojéj historycznéj spekulacyi. Punkt ten stanowi według naszego zdania kardynalny błąd książki p. M. Bobrzyńskiego, który właśnie dla tego względu uważa pracę swoję za początek nowéj szkoły badań historycznych, jak tego dowodzi prócz samego dzieła, najnowsza tegoż autora broszura: „W imię prawdy dziejowéj." P. Bobrzyński, nie uwzględniając wcale dotychczasowéj naszéj literatury propedeutycznéj, ogłasza zasady metodologicznego badania dziejów, niby jakie *arcana*, które jednak nawet w dziełach elementarnych dawno już są znane.

Otóż tedy polityk, widząc wskazany powyżéj zwrot w dziejach Polski, mógłby dla wielu względów zrobić monarchii piastowskiéj ten ciężki zarzut, że zrobiła krok najzgubniejszy dla całéj przyszłości narodu, gdy, zaniedbując obrony swego rodzinnego lechickiego gruntu, wydała, przez zwrócenie głównych sił swoich na wschód i południe ku ludom ruskim, osłabioną w stronach zachodu populacyą polską na łup germanizmu i żydów. Nie dość bowiem na tém, że kolonizacya krajów różno-plemiennych południowo wschodnich wyludniała ziemie władztwa lechickiego, ale państwo traciło przez to swój rodzinny charakter *monarchii* liberalnéj, pod wpływem cywilizacyi zachodniéj organicznie się doskonalącéj, a przetwarzało się w *federacyą* ludów, ziem i krajów, które, chociaż na niższym stopniu politycznego uspołeczniania i oświaty stojące, potrafiły zawarować sobie w uroczystych aktach łączenia się z Polską tyle autonomicznéj *przewagi*, że przy niéj musiała coraz bardziéj słabnąć *powaga* korony nawet w krajach czysto polskich. Co więcéj: resztki plemion słowiańskich nad Elbą, Odrą i morzem baltyckiém straciły sztandar, na który się w epoce piastowskiéj oglądały z pewną nadzieją ratunku od grożącéj im zagłady—i osłupiałe tonęły w morzu germanizmu. Polska zaś wprowadzona na nową drogę życia politycznego, na pole „nowych zwycięztw, klęsk i sławy" w obronie chrześciaństwa, ujrzała się niebawem w konieczności assymilowania tych nowych pierwiastków, co bez oporu miejscowych dążności dokazać się nie mogło, — musiała prowadzić nader uciążliwe wojny w obronie spokojności i bezpieczeństwa tych niepewnych, zbyt odległych, wcale nieobwarowanych granic południowo - wschodnich przeciwko Turkom, Tatarom i przeróżnéj swywolnéj dziczy. Pod sztandarem idei walki z germanizmem organizowało się państwo polskie, konstytuowała się monarchia piastowska; pod sztandarem zaś idei przedmurza chrześciaństwa miała Rzeczpospolita nadal przewodniczyć organizowaniu się nowych społeczności w liberalnym związku państwowym. Polska, związana całą swą cywilizacyą z zachodem, podlegała bezustannie skutkom zawikłań idei uniwersalno-historycznych, reprezentowanych przez Rzym i cesarstwo niemieckie [50]), ulegała wpływom intryg dynastycznych potężnych mocarstw Europy zachodniéj (Habsburgów z Burbonami), które jéj pracę cywilizacyjną gmatwały i często obezwładniały. Zatargi z Multanami, Wołoszą i Tatarami, rozrywając siły narodu, niweczą owoce pracy, na północy dokonanéj—i robią z Rzeczypospolitéj narzędzie do walki, która rzeczywiście jest walką ościennych państw wielkich, pragnących samolubnie zawładnąć interesami Europy wschodniéj.

Stoimy tu na gruncie czystéj politykomanii, bo polityka nie troszczy się o odtworzenie wiernego obrazu dziejów przeszłości, ale uważa tylko na środki i sposoby rządzenia państwem w danéj chwili. Nauki historyczne i polityczne muszą się wprawdzie wzajemnie wspierać — jak się rzeczywiście i przed p. B. dawno wspierają; mięszać ich jednak ze sobą niewolno, bo wzajemny ich stosunek jest naukowo ściśle określony; ale określony w sposób wprost przeciwny temu, jakiego trzyma się p. B., bo nie polityka historyi, ale historya polityce dostarczać

powinna światła i szacunku dla wolności i dla tych zasad moralnych, bez których nie ma prawdziwego postępu [51]).

Zobaczmy teraz, jaki będzie pogląd historyi na tę samę kwestyą. Historya, uwzględniając ogólne położenie stosunków europejskich w wieku XIV, jak się takowe w trakcie czasu uformowały, nie ośmieli się narzucać odległéj przeszłości widoków i dążności, które jéj zupełnie były obce, które dla niéj jeszcze nie istniały. Historya nie może zapominać o tych nieprzepartych przeszkodach, które nie pozwoliły monarchii piastowskiéj rozwijać sią organicznie w jéj pierwotnych geograficznych granicach. Przeszkody te leżą w dwóch trwałych nawałnościach, jakie przez długi czas nad narodem polskim zawisły, mianowicie w wojnach Krzyżackich i w najazdach Tatarskich. Wojny Krzyżackie osłabiły koronę, złamały możnowładztwo świeckie i duchowne, a przez nadmierne powiększenie praw i przywilejów stanu rycerskiego nadwątliły znaczenie stanu mieszczańskiego i zdeptały prawa stanu kmiecego i włościańskiego. Rycerstwo pojedyńczych ziem i województw, zebrane na wojnę z Krzyżakami domaga się za swoję gotowość wojenną przyznania sobie praw i przywilejów w zakresie sądownictwa i samorządu, które dawniéj tylko dostojnikom państwa i koronie służyły [52]). Jagiellonowie przyciśnieni gwałtowną potrzebą obrony nie tylko krajów polskich, ale i ziem litewskich, skarbiąc sobie prócz tego umysły dla zapewnienia korony swoim synom, ulegają choć ze wstrętem natarczywości tych rycerskich aspiracyj. Tranzakcye na tym gruncie dokonywane stają się źródłem praw i przywilejów, które, niesformowane dokładnie, odwołują się zawsze do dawnych zwyczajów i nastręczają sposobność dla jaknajswobodniejszych kommentarzy. Na téj podstawie,—z tego źródła wypłynęła, jeśli tak rzec można, wyraźnie niesformułowana konstytucya Rzeczypospolitéj, opierająca się po osłabieniu korony, po nadwątleniu powagi możnowładztwa, po usunięciu miast i kmieci ze sfery życia politycznego, wyłącznie i jedynie na rycerskiéj gotowości szlachty, reprezentującéj swoje lokalne interesa ziemi, województwa, powiatu itd. Wojny francuzkie nie miały dla rozwoju konstytucyi angielskiéj takich skutków, bo miasta angielskie, nie trapione żadną zewnętrzną przemocą, były zbyt silne, aby miały pozwolić na pozbawienie siebie praw politycznych.

Historya wojen krzyżackich uczy nas, że Polska nie ustępowała bez walki praw swoich, ale miała przeciwko sobie nader przeważne siły, ponieważ Krzyżaków wspierała nietylko cała germańska Europa, ale nawet i słowiańskie Czechy; gdy tymczasem Polska, przez resztę ludów słowiańskich nie popierana, nadto przeciwną polityką kuryi rzymskiéj krępowana, musiała szukać związku z Litwą, aby Krzyżakom skuteczny stawić opór. Związek z Litwą otworzył dopiero Rzeczypospolitéj obszerne pola wschodniéj Europy. Nie chęć zatém zaborów, ale obowiązek obrony ojczystych siedzib przed nawałnością germańską wprowadził Polskę w wieku XIV na nową drogę działalności historycznéj. Dzisiejsi politycy stanu tego nie odmienią i złorzeczyć mu nie mają prawa.

Gdy ziemie północne i zachodnie monarchii Piastów cierpiały dużo od nieprzyjaźni Niemiec, pustoszyły najazdy tatarskie granice południowe i wschodnie obszernéj już Rzeczypospolitéj.

Nie naszém zadaniem przypominać tu szczegółowo, jak wnuk Dżengis-Chana, *Batu*, podbił kraje położone na północ od morza czarnego; jak nałożył daninę na Ruś, spalił Kraków i napełnił Polskę i Węgry mordami i okropném spustoszeniem. Mongołowie przeszli już przez Odrę, Wrocław został spalony, krwią piastowską zroszone pole bitwy pod Lignicą (1241 r.) stało się cmentarzem licznego rycerstwa, a pochód pogańskiéj koczowniczéj hordy spustoszył i wyludnił miasta i obszerne kraje. Lud ratował się ucieczką w góry, a zachód, zajęty tymczasem sporami z papieżem, truchlał przed dzikością „Złotéj hordy.“ Klęska pod Lignicą poniesiona zwróciła oręż na wschód; ale Ruś przeszło dwa wieki zostawała pod jarzmem „Złotéj hordy“, koczującéj na wschodnim brzegu Wołgi i kontentującéj się daninami, do jakich się zobowiązać musieli złamani książęta ruscy. Polska nie płaciła w téj chwili daniny, ale nie mogła własną populacyą zatrzéć śladów spustoszeń, i ułatwiła obcym przybyszom osiedlenie się w kraju. Materyalnie kraj się w ten sposób podniósł, ale pod względem narodowym bardzo wiele stracił.

Historya rossyjska nie lekceważy zgubnego wpływu, jaki ta burza tatarska wywarła na cały rozwój społeczeństwa i państwa rossyjskiego i dlatego wyróżnia w dziejach swoich całą jednę epokę, jako epokę najazdu tatarskiego, przypisując jéj winę nie tylko opóźnienia oświaty, ale i zlokalizowania się w społeczeństwie wielu słabości i wad. U nas przyczyniły się najazdy tatarskie najwięcéj do upadku i wyludnienia miast, tak, że właśnie ten sam król, co

Polskę murowaną zostawiał, musiał wchodzić w stanowcze tranzakcye z Krzyżakami, zrzekał się Szlązka, a zwracał uwagę swoję na wschodnie plemiona Słowiańskie, które postradawszy obronę książąt, przez hordę złamanych i opłacających się przez dwa wieki daniną, z trudnością wyciskaną, innéj opieki dla siebie nie widziały. Faktyczne to położenie pogorszały jeszcze zjadliwe spory familijne, któremi dzieje tych księztw są przepełnione. Ze stanowiska cywilizacyi i dziejów powszechnych, nie godziłoby się robić zarzutu monarchii piastowskiéj za to, że po ubezwładnieniu książąt ruskich przez Tatarów, rozpostarła skrzydła europejskiéj cywilizacyi i europejskich instytucyi państwowych nad ludnością słowiańską wschodniéj Europy. Pod wpływem nieograniczonéj swobody rozwija się niebawem bardzo ożywiona praca kolonizacyjna na obszernych, bogatych, chlebodajnych niwach Wołynia, Podola, Rusi i Ukrainy; lecz za zdobyczami pługa polskiego wynosi się bardzo dużo drobnéj szlachty polskiéj z Podlasia i Mazowsza, a nawet i z Wielko-Polski na wschód, gdzie, czy to na dworach możnowładzców, czy gospodarując na rozległych starostwach lub prywatnych dzierżawach, wyrasta często na butnych panów. Strat spowodowanych w ziemiach zachodnich przez wyludnienie i przez oddanie w ręce żydów i niemców, handlu i przemysłu — strat tych nie nagrodziły dla narodowéj energii żywiołu polskiego owoce kolonizacyi wschodniéj; bo ona nie wnikała w massy ludu, a spanoszone tamże aż nadto możnowładztwo, zbyt oddalone od środka i ogniska życia państwowego, odgrywa niebawem rolę potężnych królików, którzy lekceważą rygor prawa, gotowi są zawsze dogadzać fantazyom swéj rokoszowéj pychy i fanaberyom rozzuchwalonéj lekkomyślności. Stosunki wewnętrzne obszernych krajów widzimy na łasce zuchwałych panów, zaognione wszechstronnie podmuchami religijnego fanatyzmu; — obrona granicy wschodniéj i południowéj zaniedbana, skutkiem czego nieustające najazdy tatarskie pustoszą kraj, uprowadzają ludzi, rabują i niszczą miasta i sioła. Rzplita zajęta tymczasem obroną swoich granic północnych nie może w danym razie rzucić w te strony odpowiedniéj siły i czuje się prawie ubezwładnioną. Politycy dzisiejsi, tak obcy, jak i swoi, nie chcą widzieć owych przemożnych potęg uniwersalno-historycznych, które w owéj epoce krępowały, a skrępowanych interesami powszechnéj cywilizacyi europejskiéj potępiają za to, że nie działali samodzielnie, że nie odparli Niemców że pozwolili miasta zalać żydom.

Zapatrując się z tego stanowiska na bieg wypadków historycznych, pojmujemy i pochwalamy politykę wschodnią Zygmunta I, która polegała na tém przekonaniu, że pokój z Turcyą i Krymem był dla Rzeczypospolitéj, zajętéj wojnami na północy, polityczną koniecznością. Na téj idei opierały się dobre stosunki Polski z Turcyą za Solimana i jego następców, które, odziedziczywszy po ojcu, starał się i Zygmunt August jak najdłużéj utrzymać, robiąc przez częste poselstwa do Konstantynopola wszelkie możliwe ustępstwa dla Porty, aby tylko istniejące od czasu ojca przymierze z Turcyą podtrzymać [53]). Przezorność taka tém konieczniejszą byla, gdy na krańcach wschodnio-południowych Rzplitéj, pod wpływem miejscowych stosunków wytworzył się z żywiołów rusko-polskich nowy pierwiastek polityczno-rycerski w Kozactwie. Kozactwo, reprezentując „siłę świeżą, wybujałą, zdobyczy chciwą,“ występuje od pierwszego swego zaczątku zaczepnie względem Krymu i Turcyi, chociaż polityka Rzplitéj od Jagiellonów aż do Wazów, bez ustanku przeciwko temu występuje i jak najenergiczniéj protestuje.

Nie dosyć na tém: butni a niesforni panowie, jak Hieronim i Olbrycht Łaski, Dymitr ks. Wiśniowiecki, Mikołaj Mielecki [54]), Jerzy Jazłowiecki i wielu innych, mięszają się do spraw mołdawsko-wołoskich i przedsiębiorą na własną rękę różne exkursye, które pokój z Turcyą w wysokim stopniu zagrażają. Są to zjawiska, które nie są także obce projektom Mniszcha za Zygmunta III, przyczyniające się jak najbardziéj do rozogniania między-narodowych zawiści i nienawiści, których namiętność sięga w długie następne wieki. Zygmunt August starał się wszelkiemi sposoby łagodzić spory, wynikające z nieustalonych stosunków handlowych i sąsiedzkich pogranicza wschodniego i w tym celu naznaczono na sejmie poselstwo do Turcyi, z którego zdaje nam w roku 1568 szczegółowe sprawozdanie Piotr Zborowski. Prócz, „zadzierżenia pokoju i przymierza,“ polecono Zborowskiemu załatwienie niektórych interesów, które turbowały niepokój z téj strony Rzplitéj. Zborowski miał 1-o zapewnić Turcyą co do tego, że Rzplita nie pozwoli, aby swywolni ludzie zapuszczali się za Tatarami aż po za granice Rzplitéj, jak to miało miejsce, gdy Olbrycht Łaski z innymi krainnymi starostami uderzył na Oczaków,

i wielką ilość bydła, owiec, koni, stada nawet i ludzi pobrał. 2-o Porta poleciła wojewodzie wołoskiemu, aby się starał żyć w zgodzie z Rzplitą, a Porta przestrzegać ściśle powinna bezpieczeństwa i nietykalności jego granic, w przeciwnym bowiem razie Turcya „przymierze zrzuciwszy, mścić się tego zaraz będzie na całéj Koronie.“ 3-o Chan perekopski, odbierając upominki według dawnego zwyczaju, nie będzie niepokoił granic Polski i powinien według warunków zawartych w oryginale przymierza „z syny i wszystką familią swą“ przymierza tego przestrzegać. „Co do białogrodzkich i innych tureckich Tatar, to ci, jako *confoederati* perekopskiemu chanowi jego rozkazom podlegają.“ 4-o Jeńców obowięzują się Turcy wszystkich wydać. 5-o Dziesięcinę baranią za dozwolone na granicy Rzplitéj pastwisko, mają Tatarzy starostom polskim porządnie wydawać. 6-o Dla załatwiania możliwych pogranicznych zatargów, ustanowiono komissyę pograniczną, która albo w Chocimie albo w Śniatynie, wedle woli króla zjechawszy się we 200 koni z obu stron—wynikłe spory graniczne ma załatwiać. Dołączone do relacyi Zborowskiego cztery listy cesarza tureckiego do Zygmunta Augusta, nie mniéj dwa listy Mahometa baszy, wyszczególniają niektóre skargi poddanych tureckich na Jazłowieckiego, Tenczyńskiego i innych, tudzież odpowiedź Zygmunta Augusta, obiecująca sprawiedliwe załatwienie téj sprawy. W końcu wymienia Zborowski kilka miejscowości, które, niby kopce na linii granicznéj, miały jawnie wskazywać granicę obydwóch ościennych państw, przyłączając summaryusz szkód, jakie zrządzili Tatarzy w Polsce w latach 1566 i 1567. Cała relacya świadczy o tém, że Zborowski był mężem bystrego i przezornego umysłu, posiadającym odpowiednie swojéj missyi wykształcenie, spełniającym sumiennie poruczone sobie obowiązki, z jasnym poglądem na sprawę i na ogół międzynarodowych stosunków, tak, że relacya jego porównana z „Pactami Dewlet Giereja hana krymskiego z Polską z roku 1551 [55],“ objaśnia w znacznéj mierze opowieść Bielskiego kroniki i bałamutne często wiadomości dzieła Hamera o stosunkach Polski do Turcyi w wieku XVI [56]).

Że stosunki te wymagały ciągłéj pieczy, dowodzi poselstwo Jędrzeja Taranowskiego, komornika Jego Król. Mci, a późniéj podczaszego halickiego, którego „dla ratunku Bohdana, wojewody wołoskiego przeciwko Iwonii“ w r. 1569 do Turek posłano [57]). Taranowski jest jednym z czynniejszych, że tak powiem, agentów dyplomatycznych Rzptéj: widzimy go traktującego sprawy polskie w Szwecyi, Rossyi i kilkakrotnie w Turcyi. W opisie podróży do Konstantynopola w r. 1569, o którym mówimy, nie znachodzimy atoli wiadomości, któreby mogły dokładniéj rozświecić wypadki historyczne danéj epoki. Bielski opowiada tę relacyą Taranowskiego zbyt długiémi słowy, ponieważ ona tylko bardzo z daleka spraw polskich dotyczy, w niczem ich nie objaśniając. Taranowski opisuje bowiem tylko podróż swoję do Konstantynopola, oraz pochód z wojskiem tureckiém przez siedziby różnych tatarskich plemion do Astrachania, przyczem zwraca uwagę na sposób i porządek, którego się trzymać zwykło wojsko tureckie i tatarskie, tak podczas marszu, jako i w obozie i bitwie: daje nam obraz zwyczajów i obyczajów tych koczowniczych plemion, gromadzi różne wiadomości, które porównane z opisem Otwinowskiego, nie są bez wartości dla geografii i etnografii tych okolic. Obraz klęski, jaką Moskwa zadała Turkom pod Astrachanem 1569 r., jest dosyć wyraźny i plastyczny.

Wiek XVII-sty, a mianowicie epoka Ludwika XIV we Francyi jest chwilą, gdzie literatura pamiętnicza najwspanialéj zakwitła. Sądząc po interesujących pamiętnikach Chryzostoma Paska, zdawałoby się, że i u nas nie powinna ta gałąź literatury historycznéj być ubogą. Tymczasem dosyć liczne z téj epoki pamiętniki historyczne dowodzą, że i na polu literatury historycznéj nastąpił po chlubnym wieku złotym przerażający upadek. Wydżga, Jemiołowski, Łoś, Jakób Michałowski, Medeksza, Jerlicz, i wiele innych, zajmują tak pod względem literackim, jako i historycznym bardzo podrzędne stanowisko. Lichéj sławy tych pamiętników nie poprawi pod żadnym względem i Pamiętnik Poczobuta Odlanickiego (1658 do 1684) wydany przez Kraszewskiego [58]).

Poczobut „mało co nabywszy w szkołach i mało co uczywszy się“ (p. 20) wyruszył z domu w 18 roku swojego życia (1658) „na służbę wojenną pospolitego ruszenia pod chorągiew kozacką Szemeta.“ Pamiętnik pisany jest sposobem dyaryuszowym bez żadnéj staranności o styl i grammatykę, notuje drobne wypadki na Litwie bez żadnego obszerniejszego poglądu na ich związek. Na każdéj stronnicy znachodzimy dowody, że Poczobut mało się uczył, bo nawet łaciny nie zna, co na owe czasy, jak słusznie uważa wydawca, jest rzeczą bardzo rzadką. Pamiętnik Poczobuta

nie przekracza granic W. X. Litewskiego, bo to, co pisze o bitwie pod Montwami (p. 94: „doszła nas wieść bardzo nieszczęśliwa"), jest niedokładne i na wieści tylko oparte. Jestto zatem pamiętnik, w którym osobiste przygody autora nie łączą się z życiem historyczném całego kraju, lecz tylko jednéj prowincyi, bo nawet opis elekcyi Wiśniowieckiego (p. 111—115) jest czysto kronikarski i nadzwyczaj skąpy, chociaż jest to miejsce może najpoczytniejsze z całego pamiętnika. Nie bralibyśmy takiego ciasnego prowincyonalizmu za złe autorowi, owszem powitalibyśmy w tém właśnie jego wielką zaletę, gdyby Poczobut miał jasny pogląd na te ciaśniejsze stosunki swojéj prowincyi, ponieważ przy takiéj decentralizacyi, na jakiéj opiera się Rzpty polityka, gdzie nietylko każda ziemia, ale każde województwo prócz ogólnych miało swoje własne dążenia i swoje punkta środkowe, pamiętnik przedstawiający wiernie życie polityczne prowincyi i wpływowych w niéj ludzi, byłby nieoszacowaném źródłem dla historyka, który bez takich źródeł może pisać różne traktaty historyczne, ale życia historycznego Rzptéj w XVII wieku w całéj pełni nie przedstawi. W dzienniku jednak szlachcica stojącego bardzo nizko pod względem naukowym, i nie zajmującego żadnego wybitniejszego stanowiska w kraju, szukalibyśmy napróżno wiadomości, któreby nam mogły objaśnić historyczne momenta tak ważnych wypadków, jakiemi były za Jana Kazimierza wojny szwedzkie i moskiewskie z ich fatalnym wpływem na dezorganizacyą Rptéj, konfederacye wojskowe, wynikające z braku dyscypliny wojskowéj, tudzież z dezolacyi stosunków ekonomicznych w kraju, stosunek tych konfederacyi do projektu dworskiego obrania następcy za życia króla, relacye przywódzców tych związków z Lubomirskim, nieprzyjaźne ich usposobienie względem duchowieństwa, a mianowicie względem Jezuitów itp. Poczobut opisuje dosyć szczegółowo oburzający fakt zamordowania hetmana Gosiewskiego przez związkowych żołnierzy (61—71, 76—77), nadmienia, że haniebne to morderstwo wywołało wielkie rozdwojenie w wojsku związkowém (p. 65) ale o politycznem znaczeniu tego wypadku niema najmniejszego pojęcia. Dla szczegółowszego obrazu zawichrzeń między Kozakami za Wychowskiego i Tetery zawiera dziennik Poczobuta niektóre drobniejsze szczegóły. Opis gwarnego postępowania sejmików i trybunałów przypomina podobne obrazy z pamiętników wieku XVIII; załatwienie sprawy z żydem o zaginione pieniądze wojskowe nie różni się wcale od dzikich fantazyi starosty kaniowskiego [59]. Poczobut podziela w rzeczach politycznych bez samodzielnego zastanawiania się krążące w danéj chwili pojęcia szlacheckich tłumów, a zajście jego z Kazimierzem Sapiehą maluje dobitnie przedział między panem a szlachcicem w owych czasach [60]. Co do poglądu na wypadki dziejowe widzimy w Poczobucie fatalistę, który we wszystkich wypadkach widzi dominujący albo palec albo błogosławieństwo: grzech ściąga na kraj klęski i oddaje zwycięztwo nieprzyjacielowi. Klęski krajowe i domowe zapowiadają różne zjawiska nadpowietrzne, np. komety, gwiazdy zbyt jaskrawe itp.

Wydanie pamiętnika, jest jak wszystkie publikacye biblioteki hr. Krasińskich, bardzo staranne. Kraszewski opisał dokładnie stan rękopismu i całą dyplomatyczną stronę tego pomnika dziejowego, a p. Janicki dołączył index osób, który pożytek naukowy każdéj takiéj publikacyi podnosi. Jako pomnik może jedyny z wieku XVII nieskażony makaronizmami, zajmie pamiętnik Poczobuta w literaturze naszéj wyraźne stanowisko. Zarzutu, jaki zdaje się robić wydawcy J. Szujski [61]) za to, że nie zestawił szczegółów pamiętnika Poczobuta z innémi źródłami, ale poprzestał na wiadomościach geograficznych o wspomnianych w texcie miejscach i na genealogicznych objaśnieniach z Niesieckiego, nie podnosiłbym na seryo, bo pamiętnik Poczobuta jest tak ubogi i słaby, że nie nastręcza prawie materyału do poważniejszych dyskussyi.

* * *

Z pomiędzy wypadków dokonanych w połowie XVIII-tego stulecia zajmuje wojna siedmioletnia (1756—1763) ze względu na nowe ugruppowanie się państw środkowéj Europy ważne bardzo stanowisko. Historya, słysząc ten olbrzymi szczęk oręża i patrząc na upadające coraz niżéj potężne niedawno organizmy państwowe, zastanawia się uważnie nad zuchwałą prawie energią Fryderyka II, króla pruskiego, — a zdumiona tém zjawiskiem, stawia sobie już oddawna ważne nader pytanie: czy rzeczywiście położenie interesów, czy przyszłość młodéj monarchii pruskiéj, była w r. 1756 przez już zadzierzgnięte i w dalszym ciągu przygotowujące się przymierza i związki monarchii habsburgskiéj, upokorzonéj wojną szląską, tak zagrożona, że Fryderykowi II nie pozostawał inny ratunek, jak, uprzedzając zamysły swoich wrogów, zapalić dla

własnéj obrony p.:chodnią wojny; —lub czy téż Fryderyk II, lekceważąc szczęście i dobrobyt Europy, podniósł samowolnie bez gwałtownéj potrzeby krwawéj swój miecz, bez dostatecznéj przyczyny najechał rozbójniczym sposobem Saxonią bez wypowiedzenia jéj wojny, przez co niepotrzebnie rozdmuchał pożar krwawéj wojny w Niemczech z podeptaniem praw cesarstwa, z pogwałceniem praw sąsiedztwa i międzynarodowych stosunków?—W pierwszym przypadku musiałaby historya zmniejszyć winę odpowiedzialności za krew przelaną; w drugim zaś razie zasługiwałaby zuchwałość tak zbrodniczego kroku na jak największe potępienie, a naród niemiecki musiałby złorzeczyć geniuszowi swego wielkiego wojownika, który z pobudek samolubnéj ambicyi wszczął wojnę z Saxonią, podeptał prawa rzeszy niemieckiej, podkopał znaczenie cesarstwa niemieckiego w Austryi, doprowadził do stanowczego, nieprzyjaznego rozerwania między Prusami a Niemcami, rozerwania, które jeszcze dziś w sferze idei politycznych fatalnie ciąży nad historycznym rozwojem narodu niemieckiego.

Wojna siedmioletnia miała i ze względu na rozwój stosunków w Polsce nader doniosłe znaczenie, którego dotychczasowe badania dziejopisów naszych nie uwzględniały dostatecznie, i dla tego go téż dostatecznie nie wyjaśniały. Przy tém, jak sądzi Kołłątaj, wojna siedmioletnia nastręczała Rptéj szczęśliwą sposobność wyciągnięcia z niéj znakomitych nie tylko ekonomicznych, ale i politycznych korzyści. Niepojęta apatya dla spraw zagranicznych przy dławiących się wzajemnie zawichrzeniach wewnętrznych, emulacya przemożnych rodzin o praeeminencyą, w danéj chwili nie pozwoliła Rptéj korzystać z téj sposobności zniweczenia skutków bydgoskich i welawskich traktatów z czasów Jana Kazimierza. Zamiast spożytkować akcyą militarną i polityczną niebezpiecznych dla siebie przemożnych sąsiadów, do czego dążyła chwilowo partya dworska, otoczyła się Polska urzędowo murem neutralności, któréj jednak żadna obca armia nie szanowała. Zamiast nie odłączać interesu kraju od interesów swojego króla i w tym celu opatrzéć lepiéj skarb i podnieść armią, wysilają się przewodzące w kraju stronnictwa na to tylko, jakby z ambarasów korony skorzystać dla widoków familijnych przywódzców partyi rossyjskiéj i partyi francuzkiéj.

Wielu pisarzów naszych dziejów nie zwraca dosyć pilnéj uwagi na doniosłość tych faktów historycznych; ale wpadłszy w wir politykomanii, każe nam bić czołem przed wielkiemi zamiarami polityki „familii,“ każe nam czcić wielkich mężów stanu, wielkie ministeryalne głowy w Michale, W. kanclerzu lit. i w Auguście Czartoryskim, wojewodzie ruskim, dla ich dobrych intencyi, dla ich zamiarów reformatorskich, których tylko wrogie nam siły urzeczywistnić im nie pozwoliły. Historya nie może się zgodzić na taki sposób zapatrywania się na wypadki historyczne. Źródła zaś autentyczne, urzędowe, które dotychczas znamy, dowodzą, że podstawą, na któréj Czartoryscy swoje roboty familijne opierali, i celem, do którego pod względem naprawy rządu dążyli, były konstytucye, podyktowane za zgodą przywódzców konfederacyi tarnogrodzkiéj w Lublinie na sejmie niemym r. 1717 przez pełnomocnika Piotra W., ks. Dołgorukowa.

Fakta w powyższéj pobieżnéj relacyi zaledwo potrącone, wymagałyby dokładnego rozbioru, równie jak i zamiary reformatorskie drugiego stronnictwa, francuzkiém zwanego; lecz do gruntownéj na tém polu dyskussyi, nie mamy dosyć obszernego i swobodnego miejsca, a dążności reformatorskie partyi francuzkiéj, oparte na ideach St. Konarskiego, jak wnosimy z jego pisma do agenta francuzkiego Paulmy'go, pozbawione energii, wyraźnie zdeterminowanéj woli, nie wyszły z granic projektów i memoryałów, zwłaszcza, że na przekór skargom Czartoryskich na zabiegliwość rządu francuzkiego, rząd ten reformy w Polsce popierać nie chciał i stanowczo posła swego instruował, aby się do niczego nie mięszał, bo stan taki monarchiczny, jaki jest w Polsce, odpowiada interesom polityki francuzkiéj [62]). Prawda, że obok polityki *Choiseul'a* dostrzegamy w Polsce téj epoki sekretną politykę samego króla Ludwika XV, prowadzoną czynnie á la książę Napoleon, przez hr. Broglie'go [63]); ale zakulisowe te niepowołanych polityków roboty, turbowały tylko jasny pogląd na prawdziwe interesa narodu i wpływu na organiczny rozwój wypadków nie miały. Gdyby się znalazły pamiętniki Mokronowskiego [64]), to wypadki te w jaśniejszém ukazałyby nam się świetle. Tymczasem należy się wdzięczność Kraszewskiemu, że w trzecim tomie „Biblioteki Pamiętników i Podróży [65])“ podał nam choć część „Pamiętników,“ rzucających wiele światła na główne osobistości historyczne, występujące na widowni dziejowéj, w epoce wojny siedmioletniéj, nie tylko w Berlinie, Wiedniu, Dreźnie, Paryżu, Lon-

dynie, ale mianowicie w Polsce za Augusta III. Autor nasz, młody Poniatowski, towarzyszący jako sekretarz posłowi angielskiemu Williamsowi do Petersburga, miał sposobność poznania dokładnie wypadków współczesnych. Mimo to prostują inne źródła niektóre jego wiadomości, z czego wnosić trzeba, że główni kierownicy robót dyplomatycznych ukrywali przed Poniatowskim niektóre zabiegi swoje. Jakkolwiek znajdujemy w „Pamiętniku“ naszym wyraźne zaprzeczenie przeciwko tłumaczeniu się Fryderyka II samowolnie rozpoczętéj wojny [66]), to wiele innych wskazówek czego innego dowodzi, jak to widzimy z memoryału podanego 18 września 1757 r. dworowi petersburskiemu przez Poniatowskiego p. t.: „Rezonowany wykaz żądanego przez króla polskiego a elektora saskiego wynagrodzenia [67]).“ Niejasne postępowanie dowódzcy korpusu rossyjskiego, walczącego przeciw Prussom, nastręcza autorowi sposobność wskazania w téj chwili różnych prądów w Petersburgu. Autor, znając, zdaje się, widoki Bestużewa, nie może mimo swojego tytułu ujść podejrzywania go o popieranie interesów angielskich, a więc pośrednio i pruskich, tak dalece, że z Petersburga musiał być odwołanym. Pod względem literackim wyróżnia się ten pamiętnik bardzo korzystnie z pomiędzy wielu téj epoki dyaryuszów i zawiera cenny materyał dla poznania charakteru bardzo wielu wpływowych osobistości swojego czasu, których portrety wprawną kreślone ręką nie wnikają wprawdzie w najskrytsze tajniki psychologicznego obrazu, ale podają zawsze rysy wyraziste i, o ile sprawdzić dziś można, nie fałszywe. I tak z portretów obydwóch [68]) Czartoryskich nie wymazano i ujemnych rysów [69]): zbytniego absolutyzmu, samolubstwa, mściwości, uporu i pychy; charakterystyka Brühla, Sułkowskiego, Maryi Teressy, Kaunitza, napisana jest z niemałą bystrością umysłu; za jednostronnym wydaje nam się sąd o Janie Klemensie Branickim [70]). Polityczne stanowisko rodziny Czartoryskich [71]) i porządek załatwiania interesów przez „familią“ jest jasno przedstawiony [72]), tylko pogląd na położenie stosunków w kraju, zanadto tchnieniem idei przez „familią“ reprezentowanych owiany— i z tém zastrzeżeniem trzeba czytać wiadomości autora o komissyi radomskiéj [73]), tudzież o zawichrzeniach po trybunałach, sejmach i sejmikach. W ogóle pokazuje się i z tego „Pamiętnika,“ że nie mniéj od innych możnowładzców przyczyniają się i Czartoryscy za Augusta III do coraz większéj dezorganizacyi Rzplitéj, jakby z zamiarem zburzenia tego, co jest, a stworzenia czegoś nowego—wyraźnie niesformułowanego, niejasnego, tak, że nawet usilne starania ich synów i wnuków, w następnym wieku nie zdołały zrehabilitować téj tajemniczéj roboty „familii.“ Przy tém wszystkiém zaprzeczyć nie można, że zasługi późniejszych pokoleń rzuciły w pewnéj mierze korzystniejszy odblask na agitacye téj rodziny w wieku XVIII. Dotychczasowe źródłowe autentyczne świadectwa każą koniecznie i stanowczo oddzielić agitacye Czartoryskich w XVIII wieku, od późniejszych usiłowań pod tą chorągwią przedsiębranych— i nie pozwalają nam za przykładem Bobrzyńskiego widziéć w robocie „familii“ zamachu stanu na anarchiczne instytucye Rzplitéj, ani jasno ułożonego planu zamierzonych reform; ale odsłaniają nam tylko agitacyą możnowładnéj rodziny, podniecanéj do walki przeciwko tradycyjnéj powadze hetmańskich rodzin, nie tylko ideą Gedyminowiczów, ale i awanturniczą i samolubną polityką ambitnych rywalów, zasłaniających pozorami dobra ogólnego swoje możnowładcze aspiracye i prywatne dążności [74]).

Z pomiędzy pism XVIII stulecia, utyskujących na upadek powagi rządowéj i cnót obywatelskich, obok zagłuszającéj wszystkie rozsądniejsze głosy zbyt krzykliwéj szlacheckiéj cenzury, potępiającéj samolubne roboty możnowładzców, zajmuje St. Jabłonowskiego „Szkrupuł bez szkrupułu“ (1730), niepoślednie miejsce. Jabłonowski ubolewa nad tém, że nawet owo szczupłe wojsko, ustanowione na sejmie „niemym“ [75]) w roku 1717, nie było nigdy zupełnie zebrane, nie znajdowało się nigdy w komplecie na stanowiskach przepisanych. Oficerowie i towarzysze, biorąc żołd i hiberny, rozjeżdżali się od swoich znaków, nie pilnowali służby, ale bawili się bankietami lub gospodarowali w swoich dobrach. Nie tylko listy generała de Witte [76]) (1777—1779), ale „Notaty“ generała Lipskiego (1775 — 1778) [77]), o których mówić zamierzamy, przekonywają nas dowodnie, że twierdzenie Jabłonowskiego nie jest satyrą arystokraty (jak sądził Szujski), ale w każdym szczególe smutną nader prawdą.

Jan Lipski, o którego biograficznych szczegółach bardzo skąpe mamy wiadomości [78]), pochodził z rodziny wielkopolskiéj, która jest jeszcze dziś osiadłą w W. X. Poznańskiém na części rodzinnego gniazda [79]). Rok urodzenia autora naszego pamiętnika nie znany, wiemy tylko, że był ożeniony z Te-

klą Biegańską, że pracował pierwotnie po sądach, a że był obrotny i sumienny, miał względy u wielkich panów i został pełnomocnikiem w Wielkopolsce księżny z Branickich Sapieżyny, wojewodzicowéj mścisławskiéj, siostry Xawerego Branickiego hetmana. a matki Kazimierza Nestora Sapiehy. Przechodząc różne urzędy ziemskie w województwie kaliskiém, z wojskiego większego i sędziego surrogata grodzkiego kaliskiego, miecznika kaliskiego, mianowany po śmierci hr. Komorowskiego kasztelanem Santockim (1781) umarł r. 1786. Z samego pamiętnika trudno dociéc, w którym czasie powierzono mu komendę brygady wielkopolskiéj, ponieważ rękopism, z którego Kraszewski wydanie swoje uskutecznił, jest bardzo defektowy: brakuje początku, są przerwy i w środku, tak że pozostały nam tylko dosyć obszerne fragmenta. Skoro jednak wiadomo, że Lipski tylko pod naciskiem nalegań hetmana Branickiego przyjął to kłopotliwe stanowisko [80]), to mamy niewątpliwą wskazówkę, że notaty, które mamy pod ręką, obejmują cały peryod działalności wojskowéj Lipskiego, ponieważ Xaw. Branicki otrzymał buławę po rezygnacyi Wacława Rzewuskiego 8-go Lutego 1779 r. Na tém stanowisku rozwinął ruchliwy i zamaszysty temperament Lipskiego, nie małą energią, bo nie czekając na pieniądze skarbowe, doprowadził swoim groszem 25 chorągwii [81]) do należytego porządku, tak, że żołnierze jego nie dawali obywatelstwu powodów do skargi i utyskiwań na swywolę żołnierską [82]). Nie uniknął jednak zawiści, która go przeróżnemi sposobami prześladuje i oskarza [83]), tak że zniechęcony prosił d. 6-go Listopada 1777 roku hetmana o uwolnienie od tych obowiązków i takowe otrzymał [84]). Prócz nudnych spraw i interesów pieniężnych i sądowych, które go jako pełnomocnika księżny Sapieżyny kłopotliwie zatrudniają, czytamy w notatach Lipskiego barwny dosyć opis sejmiku w Poznaniu w r. 1776 [85]), na który go komendant wojsk cudzoziemskich z wyższego rozkazu nie dopuścił, zapobiegając w ten sposób obiorowi jego na posła. Gwałtowny ten krok obcéj władzy wojskowéj wywołał w Poznaniu ogromne wzburzenie szlachty, którą stronnicy przeciwnego obozu (Gurowski) ledwo zdołali powstrzywmać od krwawego starcia. Wzmiankowana przy téj sposobności przez Lipskiego wiadomość, jakoby przeciwna partya z tą groźbą się odzywała, że jak przyjdzie na sejmiku elekcyjnym do wotów, gotowi się examinować, czy wszyscy wotujący possessyonaci, czy istotnie z tych województw, a na ostatek nawet jeśli téż potrzebne lata mają, nie jest, jak Lipski mylnie sądzi, li tylko stronniczą szykaną, ale wskrzeszeniem zasady, która dawniéj obowiązywała [86]),—i dopiero w epoce Sasów przez możnowładzców podeptana, przez Targowicę równie gorliwie zwalczaną była [87]). *Furor sarmaticus* nie pozwala tu Lipskiemu odróżnić zasady prawa i porządku od nadużyć prywaty i swywoli, któréj się jego patronowie po sejmikach w Lubelskiém w wysokim stopniu dopuszczali [88]). Zachowana nam przez Lipskiego deklaracya posła zagranicznego na sejmiku Warszawskim [89]), tudzież instrukcya, udzielona posłom z tegoż sejmiku [90]), malują dokładnie położenie chwili, którą Lipski, jako przeciwnik „Nieustającéj“ [91]) w krótkich ale dobitnych kreśli wyrazach. Lipski ma dosyć jasny pogląd na położenie kraju; ale zbyt ruchliwy, zamaszysty jego temperament miota czasem zanadto jego energią, rozprasza ją na zbyt wiele drobiazgów w zabieganiu smutném interesom pieniężnym księżny Sapieżyny, i w ujmowaniu się za ubliżające epitety „matki ojczyzny“ [92]), tak, że sprawy publiczne na tém cierpiéć musiały. „Zapalony myśliwiec, gospodarz, jurysta, facyendarz, plenipotent możnych, zdolny sejmikowiec“ kłopoce się jeszcze o psiarnią hetmana i dostarcza psów generałowi Kurdwanowskiemu. W notatach generała mamy téż bardzo skąpe wiadomości o postępie porządku wojskowego, który Lipski stara się zaprowadzić mimo zawistnych mu osób i werbowników pruskich. Żywość, dowcip, łatwość i zwięzłość wysłowienia i argumentacyi, cechujące ten pamiętnik każą nam żałować, że Lipski nie pozostawił po sobie obszerniejszego pamiętnika swojego czasu, któryby szczegółowiéj odmalował nam życie obywatelstwa Wielkopolskiego. Z tego, co zostało, widzimy ogromny upadek dawnych obywatelskich fortun, a wznoszenie się świeżych rodzin np. Raczyńskich, Bnińskich, którzy za udzielane Sapiehom pożyczki biorą ich dobra w zastaw, kupują inne i w ten sposób opustoszałe gospodarstwo podtrzymują. Rozdziału majątków zakordonowych i przedkordonowych w towarzyskiém życiu jeszcze nie wiele czuć: słyszymy głosy nadziei, że ten „szloban“ może przełamanym będzie; ale przy tém wszystkiém każe rygor nowego rządu zapominać senatorom zakordonowym, że sejmy obradują w Warszawie. Z pewną żywością opisuje Lipski, wzmiankując o weselu córki starosty nakielskiego „wojnę domową” o ceremoniały ślubne między partyą staropolską a fran-

cuzką: „To pewna, że nie dobry to znak, kiedy ludzie na wyprzódki staremi, poważnemi zwyczajami rzucają. Ma swoję zaletę i nowość z przyjemności; ale dla niéj zapierać się swojego odwiecznego,—jakoś to lekkomyślnie i nic dobrego nie wróży“ [93]).

Lipski nie pisze swojego dziennika w celu zostawienia pomnika potomności, ale *pro memoria*, co się robi, zrobiło, dowiedziało, tudzież dla rozrywki wśród różnych kłopotów, na które w charakterystyczny nader sposób utyskuje. „Jakoś się pomimo wszystkiego trzymam ostro i nie daje okulbaczyć się frasunkom, choć tu inny i głowęby stracił i serce, przy tylu ustawicznych przygryzkach, które na każdy dzień za powszedni chleb służą. — Dyable mi zresztą nudno na moim posterunku w téj mieścinie odrapanéj (Kościan), i gdyby nie niedźwiedzie a dziki po lasach, daj im Boże zdrowie, a nie moi klarneciści, i nie exercerunek brygady, która mi się dostała, gdyby po najstraszniejszéj wojnie; żeby nie sprawy księżnéj JM.C. i nie listy pana strażnika polnego koronnego [94]), albo księcia generała [95]), co mi brzeskie czasy przypominają, gdyby nie radlińskie sprawy, a nie sejmiki, przyszłoby człeku z nudy zdychać. Tylko to szczęście, że nie ma czasu do tego przez wierzch głowy.—A i to nie mała jest rozrywka, że sobie w słotną godzinę zapisze się na papierku, co się robi, zrobiło, dowiedziało *pro memoria*. Choć mi pióro nie smakuje, bom się nigdy na atramentowego nie kierował, ale i to nie zgorsza, jak lepszego nie ma.“ [96]).

* * *

Koniec wieku 18-go stał się początkiem przeważnéj w dziejach świata epoke mającéj nowy byt i kierunek, nowe teory i i ich przystosowanie nadać ludzkości, epoki, która Francyi i Europie same dorazu błogosławieństwa, same od poetów i filozofów tylko rojone pomyślności zdawała się gotować: natomiast zaś przyniosła wówczas potoki krwi. Podobną chwilą u nas jest epoka czworoletniego sejmu.

„Patrząc w różnych krajach i czasach na wypadki strasznego, niezakończonego jeszcze, a dla ludzkości nieszczęśliwego pasowania się sił społecznych, spostrzegamy, iż wszędzie każda strona miała swoje tryumfy i swoje po nich przegrane, tak, iż żadna z nich nie doszła do rojonych przez siebie korzyści i do bezpiecznéj możności pracowania po swojemu nad szczęściem ludzkości, któréj los każda strona ogłaszała za swój cel jedyny. Dwie zdają się być przyczyny tak wątpliwych i zawsze omylonych skutków: pierwsza, że ów cel, do którego ludzkość nie przestaje i zawsze ma prawo dążyć, nie może być nigdy w zupełności podług jéj wymagań na téj ziemi dostąpionym, i że ta niemożność rodzi burzliwe chęci do nowych postępów, któremi dawniéj nabyte bywają zniweczone; druga zaś spoczywa w tém, iż tenże wielki cel nie był jeszcze dość szczerze, stale i jedynie szukanym. Każde stronnictwo mięszało doń swoje widoki utajone, krzywe, osobiste; w żadném po zwycięztwie nie znalazło się dość woli poświęconéj, dość czystych zamiarów, dość prawdziwéj miłości Boga i bliźnich,... i tak żadne zwycięztwa nie były uwieńczone i uprawnione przez dostateczne cnoty i dobrodziejstwa.“—Szeroki ten pogląd na mocowanie się, że tak powiem, idei przeróżnych interesów w dziejach ludzkości nie zwraca uwagi na głębsze przyczyny, utajone do czasu podniety, i najbliższe pobudki, które wywołują gwałtowniejsze wstrząśnienia w rozwoju życia narodowego, bo nie ma dotychczas zgodnéj opinii co do pierwiastków i źródeł, z których powstaje ów gwałtowny, fatalny prąd i wir szalony wypadków, wywracających narody i państwa. Jedni utrzymują, że przyczyna tego gwałtownego zjawiska leży w osłabieniu rządu i w upadku instytucyi państwowych, tak, że społeczeństwo zagrożone w swoich moralnych i materyalnych interesach, ogląda się za nowym sternikiem, za nowym sztandarem, ucieka się do różnych środków naprawy organów rządowych, spodziewa się ratunku od reform wysnutych z teoryi nauk politycznych lub z obcéj praktyki zapożyczonych.—Drudzy znowu twierdzą, że takie ogólne zaniepokojenie i wzburzenie umysłów jest tylko dzielem propagandy literackiéj, dziełem rozbudzonego zewnętrznym wpływem ruchu literackiego, którego pragnienia i dążności w innéj, bo duchowéj obracają się przecie sferze.

Nie zbłądzimy zapewne, twierdząc, że jedna idea przenika drugą, obydwie na siebie oddziaływają tak, że nie podobna stanowczo rozstrzygnąć, która któréj życie daje. Pojęcia bowiem i wyobrażenia ludu w chwili normalnego rozwoju życia narodowego podobne są do owych przeźroczystych chmur niebieskich, które na całym widnokręgu naszym w atmosferze zawisły; lecz niebawem mogą nadciągnąć zimne wichry z północy i ze wschodu, mogą przyczepić się do nich szarugi zachodnie, pod których

wpływem pojęcia i wyobrażenia rodzime żarliwy ze sobą spór rozpoczynają. Spór ten, wzrosłszy do pewnéj siły, poburzy wszystkie idee życia publicznego, które na kształt bałwanów gwałtownych spienione zawisną nad głowami naszémi, niby gromami brzemienne nawałnice. Wszystkie żywioły i dążenia tak w dziedzinie publicznego życia, jako i w dziedzinie myśli, sposobią się do stawienia czoła grożącemu im straszliwemu wstrząśnieniu.

Takim jest ruch umysłowy w Polsce w. 18, szukającéj ratunku w naprawie starożytnych swoich instytucyi, w odpowiednich wymaganiom epoki reformach.

Jeżeli w wieku 17 nie widzimy na polu pracy umysłowéj żadnego jednolitego poglądu na stosunek potęg moralnych do fizycznych; jeśli obok zasad Arystotelesa, o których znaczenie nawet sami zwolennicy starożytnego mędrca porozumieć się nie umieją, odzywają się przeróżne systemata starożytne: idee Platona w Anglii, Parmenidesa we Włoszach, idee Stoików w Hiszpanii i Niderlandach, skeptyków zaś we Francyi; to w wieku 18 stał się *sensualism* wyznaniem prawie większéj części ludzi uczonych, a liczny nader zastęp hołduje skłonnościom grubego *materyalizmu*. Dawniejszy ustrój państwowy, złączony nader ściśle z kościołem, opierającym się na ideach *spirytualistycznych*, poczyna się chwiać wśród wzburzenia tych idei tak, że zwolna szerzą się w narodach zupełnie nowe, dawniejszym przeciwne teorye państwowe. Literatura polityczna wieku 17 była wyrazem uniwersalnych idei, przenikających instytucye kościoła i cesarstwa. Z tego stanowiska zapatrywano się na świat i życie, na stosunek świata duchowego do świata fizycznego. Zgodnie z tym poglądem pojmowano też i przeszłość, szukając w niéj analogii dla chwili obecnéj, słowem, idealizowano teraźniejszość. Literatura polityczna 17 w. tchnie zupełną zgodą ze stosunkami współczesnemi: państwo odtrąca od siebie stanowczo wszystko, coby mogło sprzeciwiać się uznanym wszechwładnym, z przeszłości abstrahowanym ideom politycznym i zadawalnia się choćby anarchią teraźniejszości. Widzimy to u nas jawnie jeszcze w chwili konfederacyi tarnogrodzkiéj. Wywołana pobudkami przezorności obywatelskiéj chwyta się rozpaczliwie haniebnego środka dla ratowania fałszywych skarbów przeszłości.

Wiek 18 przeciwnie odwraca się z pewném lekceważeniem od idei państwa i kościoła minionych wieków: odkrywa bez ceremonii, nawet z pewnym cynizmem niedostatki i ułomności państwa i hierarchii duchownéj, zżyma i oburza się na wiekowe nadużycia urządzeń społecznych,—i, niezadowolony z teraźniejszości, pragnie stworzyć nową przyszłość. Gdzie się obrócisz, słyszysznie ukontentowanie z współczesnych stosunków, tak dalece, że teorye współczesnego, na materyalizmie opartego liberalizmu, nie są bez wpływu nawet na panujących (cesarzówa Katarzyna II, Fryderyk II). Państwo w swoich podstawach zachwiane traci dawną równowagę, energią i wiarę w siebie, tak że reprezentanci jego, budzący z wielu stron sympatyą, okazują się zbyt niedołężnymi, aby zadaniu epoki sprostać mogli.

W takiéj to atmosferze żyło społeczeństwo polskie, gdy bystry inflantczyk *Fryderyk Szulc* kreślił jego obraz, biorąc wzory z salonów warszawskich z epoki czteroletniego sejmu, i rozbierając krytycznie wartość polityczną jego instytucyi publicznych (r. 1793) [97].

Mimo usilnych starań nie mogliśmy spotkać się ani z oryginalném dziełem niemieckiém Szulca ani z francuzkiém tłumaczeniem, dla tego nie jesteśmy wstanie ocenić podjętéj przez Kraszewskiego pracy w polskiém opracowaniu dzieła Szulcowego. Relacyi, którą nam podał Szulc, nie tyle o Polsce, ile raczéj o Warszawie w 1793 roku, nie wypadałoby liczyć ani do pamiętników w ściślém tego słowa znaczeniu, ani do podróży, ponieważ opis przejazdu Szulca z Rygi przez Litwę do Warszawy i w końcu z Warszawy prostym traktem do Niemiec szczupłe zajmuje w obrobieniu polskiém miejsce. Dla téj okoliczności postawilibyśmy raczéj dziełko Szulca w rzędzie traktatów politycznych, analizujących krytycznie instytucye polityczne, badających ustrój państwa i opisujących zwyczaje i fizyognomią życia towarzyskiego stolicy. Na tém polu miał Szulc dwóch poważnych poprzedników, którzy w ten sam sposób Polskę w téj epoce opisywali, mianowicie akademika berlińskiego *Jana Bernouilli'ego* [98]) i *Williama Coxe'a* prof. uniwersytetu w Cambridge [99]), którego Szulc w opisie swoim wspomina [100]). Za przykładem tych dwóch uczonych poświęca i nasz autor mało uwagi właściwościom kraju i miast, przez które przejeżdża, powtarza swoje utyskiwania na nieporządek, zaniedbane budowle, ubóstwo miast i miasteczek, skarży się na zaniedbane drogi, opuszczone rolnictwo [101]) i tp. Dopiero stanąwszy w Warszawie, opisuje tę stolicę Rptéj zbyt szczegółowo ze

wszystkiémi ulicami, placami, przedmieściami, ogrodami, pałacami, kościołami, szpitalami i hotelami; zwraca uwagę na ruch handlowy, na policyą itp. [102]). Nie możemy powiedzieć, ile to jest winą oryginału, że krytyczny rozbiór instytucyi państwowych, opierający się na bardzo rozległéj podstawie, jest rozrzucony w 2 roździałach (w III-cim i VI-ym) a nawet, że i po wszystkich innych roździałach tułają się uwagi i rozumowania na ten temat, tak że to niekorzystnie świadczy o rozkładzie i planie całego dzieła. Autor zbierał swoje obserwacye z rozmaitych źródeł i, zdaje się, w różnych czasach swojego pobytu w Polsce i dla tego brakuje całemu obrazowi pożądanéj jednolitości. Opis wielkiego pańskiego domu ciągnie się przez 2½ roździały (IV, V i początek VI od str. 127—230), ponieważ jest przeładowany tylu drobiazgami, odnoszącemi się do osób i zwyczajów (podróże, życie towarzyskie, teatra, reduty, bale, spacery, rozpusta, kuligi, współzawodnictwo pań, fabryki powozów, zbytki, guwernerzy, ruiny majątkowe, egoizm itp.), że obok jaskrawéj barwistości, brak mu téj powagi plastycznéj, która jedna tylko może dać jasne pojęcie o całości traktowanego przedmiotu. Dla ocenienia sprawiedliwego tych wszystkich zjawisk, tego ruchu wyobrażeń i idei, które społeczeństwo polskie w danéj chwili ożywiały, brak Szulcowi zmysłu i dla tego zapatruje się na to wszystko z uprzedzeniem, opowiada z przekąsem i lekceważeniem, które, na ton morału nastrojone, traci pożądaną w każdym sądzie powagę. W każdym razie są to spostrzeżenia bystrego umysłu, które jeszcze dziś rozważyć nie zawadzi, ponieważ świadectwo Szulca dowodzi, że tryb i cały ton życia Warszawskiego nie pozbył się dotychczas ani jednéj ze swoich wad jaskrawszych. Opis naszego autora miałby jako relacya świadka wykształconego, malującego widziane przedmioty z wielką łatwością i pewną energią myśli i słowa, większe jeszcze znaczenie, gdybyśmy mogli coś bliższego powiedzieć o jego osobistych stosunkach. Wiadomo nam tylko, że Szulc pracował na polu naukowém, gdy przetłumaczył szacowne dzieło Kazimierza Konstantego Platera o Kurlandyi z języka francuzkiego na niemiecki, [103]) że mieszkał w Inflanciech, słowem, że to musiała być osobistość do pewnego stopnia urzędowa, pilnująca interesów tych krajów w widokach gabinetu petersburskiego. Z okolicznościowych napomykań i uwag domyślamy się, że w czasie czteroletniego sejmu bywał w Warszawie, [104]) i że go sprawy kurlandzkie obchodziły [105]), tudzież, że się obracał w towarzystwie wszystkich najważniejszych w owym czasie osobistości. Rozdziały III i V poświęcone są historycznéj relacyi o instytucyach publicznych i państwowych Rptéj, których Szulc daje obszerny i wierny obraz według dzieła Lenguicha [106]) w granicach postanowień sejmu 1776 z Radą nieustającą na czele, objaśniając w razie potrzeby niektóre szczegóły faktami dawniejszéj historyi polskiéj. Prócz téj części dzieła zasługuje jeszcze na pilniejszą uwagę rozdział VIII, traktujący o stanie nauk sztuk i oświaty w Polsce, gdzie mówi dosyć szczegółowo o wpływie czteroletniego sejmu na rozbudzenie życia literackiego [107]), o szkołach (obok czego mamy rzecz o balecie, tańcach i różnych skoczkach, o czém już w rozdz. IV była mowa), o religijném ukształceniu, o zwiedzaniu grobów w czasie Wielkiego tygodnia, o exploatowaniu kwesty przez zaloty itp. Kończy rozdział historya dyssydentów, opowiedziana ze stanowiska luterskiéj nietolerancyi. Najwięcéj do namysłu i do poważnéj dyskussyi nastręcza materyału rozdział ostatni (VIII), w którym nasz autor przechodzi krytycznie dotychczasowe panowanie Stanisława Poniatowskiego, maluje jego charakter z pewną sympatyą bez ukrywania jednako słabych stron jego. Stanisław August był pod wielu względami podobny do Karola II, króla angielskiego. Stanisław August posiadał w epoce tak ważnéj na nieszczęście tylko przymioty cechujące towarzyskiego człowieka. Dowcip, przyjemne maniery, wszechstronne, choć nie wszędzie gruntowne, wykształcenie, uczucie delikatne i szlachetne, talent konwersacyi powabnéj i żywéj, zastępowały u niego wyższe i potrzebniejsze zdolności polityczne. Rozpusta i lekkomyślne zabawy osłabiły w nim do pewnego stopnia powagę moralności i poczucie prawdziwego honoru i sławy. Stanisław August nie posiadał ambicyi wyższéj, rwącéj się gwałtem z buduarów i salonów na szersze pole energicznych czynów, tak, iż były chwile, że interesa państwa go nudziły. Nie mając niewzruszonych zasad moralnych i politycznych, pozostały mu gusta i chwilowe wrażenia, któremi się opuszczony przez wujów rządził. Szulc oddaje Stanisławowi sprawiedliwość pod względem zasług, jakie położył na polu oświaty, szkół, przemysłu i handlu, a odpowiedzialność za nieszczęścia, jakie na kraj spadły za jego panowania, kładzie na karb anarchicznych instytucyi dawnéj Polski, na

karb demoralizacyi uprzywilejowanego stanu, tak że według Szulca nie można było myśléć o zreformowaniu Polski przy rozprzężeniu obyczajów i zastraszającym egoiźmie ludzi, stojących u steru spraw publicznych. Ktokolwiek przypatrzy się dokładnie społeczności europejskiéj w 18 w. i porówna choćby tylko szlachtę francuzką i niemiecką z naszymi „Sarmatami,“ nie zgodzi się na konkluzyą naszego autora [108]). Zaznaczywszy jednak to stanowisko naszego autora, każdy zrozumie, że konsekwentnie nie może sąd jego o pracach czteroletniego sejmu, o saméj Ustawie, tudzież o głównych osobistościach reformatorskiego obozu (Ignacy Potocki, Piatoli, Kołłątaj, Michał Czartoryski, Kazimierz Nestor Sapieha, obydwaj Małachowscy i w. n.) być przychylny i korzystny: nie gniewalibyśmy się, gdyby był surowy ale sprawiedliwy, tymczasem Szulc przeniósł i lekceważenie, jakiém ze swojego stanowiska i pochodzenia tchnie dla dzieła czteroletniego sejmu, także i na osobistości, które najwięcéj się do niego przyczyniły. Najbliższy prawdy jest bez zaprzeczenia portret Nestora Sapiehy, najwięcéj zjadliwie, bo podejrzliwie, kreślony jest wizerunek Kołłątaja.

Najobszerniéj traktuje Szulc instytucye reprezentacyi narodowéj w dawnéj Polsce, sposób sejmowania u nas i przyznać musimy, że przedmiot ten opisał lepiéj, aniżeli wielu innych przed nim i po nim. Nie mamy tu owych, historyą nie usprawiedliwionych różnych epok rozwoju parlamentaryzmu (jeśli tak rzéc można) w Polsce od stanowienia uchwał większością, potem mniejszością, a wreszcie jednomyślnością głosów,—teorya, którą za przykładem Konarskiego łatwowiernie politycy nasi wbrew autentycznym źródłom historycznym przyjmują, — ponieważ Szulc wié dobrze o tém, że tak żywotna instytucya, jak reprezentacya narodowa nie powstaje podług teoryi polityków, ale wyrasta na swojskim gruncie pod wpływem okoliczności i nieprzepartych faktów, które ją do życia powołały. Szulc ocenia dokładnie szkodliwe skutki osławionego zasłużenie „*Liberum Veto*;“ ale nie robi za nie odpowiedzialnym takiego warchoła zaściankowego, jakim był Siciński, bo wié o tém, że rwanie sejmów miało dawno przed nim miejsce i praktykowane było w jeden i ten sam sposób. Pytanie: kto pierwszy zapalił tę pochodnią, nie ma historycznéj, naukowéj podstawy; ale wypada raczéj zastanowić się uważnie nad temi okolicznościami historycznémi, wśród których takie straszydło w tak fatalną potęgę wzróść mogło. Pisaliśmy o tém obszernie w r. 1856; tutaj nadmieniamy tylko, że przyczyna historyczna unieważnienia przez pojedyńczą oppozycyą przy konkluzyi sejmu całéj roboty sejmu nie leżała w swywoli uprzywilejowanego stanu, który nie był gorszy od innych mu współczesnych [109]), ale płynęła z następujących źródeł:

1-sze, z nader wielkiéj decentralizacyi państwa;

2-gie, z wygórowanéj autonomii pojedyńczych ziem, województw i powiatów, ubezpieczonych przywilejami niemal międzynarodowéj doniosłości;

3-cie, z wynikających ztąd instrukcyi i mandatów sejmików prowincyonalnych, które poza sferę swych lokalnych interesów bardzo niechętnie wychodziły.

Możność zaś unieważnienia przez jeden powiat pracy ustawodawczéj reprezentantów reszty powiatów nastręczał sześciotygodniowy termin dla obrad sejmowych przepisany, którego interesa lokalne i prywatne, nieuwzględniające interesów powszechnych, przy pomocy ambicyi możnowładzów, z instrukcyą od braci w ręku, prawie nigdy prolongować nie dozwalały. W obec takiego położenia rzeczy nie mogło tu być mowy o formalném głosowaniu, ale chodziło tylko o możliwą tranzakcyą między przeróżnemi interesami lokalnemi i prowincyonalnemi; dla tego widzimy téż głosującą szlachtę tylko przy wyborach i na sessyach sądowych, co do reszty spraw szukano „zgody,“ Jeśli zaś dostrzegamy w zródłach cienia głosowania, to takowe odbywa się prowincyami („*turnus*“), które nie zawsze okazują się czułémi na głos *libertatis sentiendi et juris vetandi* [110]).

Ze źródłami historycznémi w ręku nie trudno wykazać, że reprezentacya w Polsce tworzyła się w średnich wiekach na tych samych podstawach, jak w Anglii, Hiszpanii Węgrzech, Niemczech, gdzie wszędzie pod naciskiem wypadków zewnętrznych dopominają się prowincye udziału w rządzie za usługi rycerskie i pieniężne, które świadczą koronie; spotykamy oppozycyą powołującą się na dane sobie instrukcye od wyborców nawet w Anglii za panowania Elżbiety [111]); ale w krajach tych z potężnym zastępem mieszczaństwa, które u nas osłabiły najazdy tatarskie i powódź germańska, potrafiła korona zdobyć sobie tyle władzy centralizacyjnéj, że przed nią musiały umilknąć interesa i aspiracye potęg lokalnych, prowincyonalnych.

Skoro z tém faktyczném położeniem rzeczy, sięgającém pod względem idei reprezentacyi narodowéj w Polsce do początku prawie panowania Jagiellonów, którzy musieli godzić się na różne tranzakcye korony z rycerstwem gwoli podtrzymywania wojny z Krzyżakami i w celach zapewnienia tronu swojéj rodzinie [112]), połączyły się odrębności prowincyonalne (Wielkopolan pod Cerekwicą, Małopolan pod Opokami), jak je w statutach Nieszawskich r. 1454 skodyfikowanémi widzimy [113]), traciło państwo swoję jednolitóść. Gdy wreszcie po sfederowaniu się wielu krajów za Jagiellonów z Rzptą na podstawie międzynarodowych prawie aktów jedność ta coraz luźniejszą się stawała, a do antagonizmu złamanego przez stan rycerski w r. 1505 możnowładztwa przyłączyły się w epoce humanistów wyobrażenia republiki rzymskiéj z trybunami ludu; gdy emulacya pojedyńczych rodzin możnowładczych szukać poczęła podpory w podżeganiu prywatnych, lokalnych interesów, stało się mocą tych wszystkich zbiorowych potęg, że prawo autonomicznego samorządu obywateli ziemskich, wyrzekłszy się opieki nad miastami, wyrosło w straszliwą pochodnią w ręku uprzywilejowanych krótkowidzących tłumów szlacheckich.

Nie możemy na tém miejscu rozprawiać o różnicy, jaka pod względem prawniczym i praktycznym zachodziła między tamowaniem obrad sejmowych (*sistere activitatem*) podczas rozbioru przedmiotów instrukcyi poselskich wśród sześciotygodniowéj dyskusyi posłów ziemskich, a zerwaniem sejmu przy konkluzyi obrad przez zaprotestowanie przeciw którejkolwiek uchwale: *liberum veto*. Protestacyą taką nakazywał zwyczaj, a późniéj urosło z tego źródła prawo „oblatować w grodzie", przy czem nie zaniedbywano motywować tego kroku instrukcyą odebraną od braci lub téż przeróżnemi pozorami dobra publicznego a mianowicie troskliwością o zachowanie praw i wolności stanu szlacheckiego. Jeżeli opponent tego nie dopełnił a nie był *patronowany* przez żadnego możnowładzcę, to reszta sejmujących ziem nie zważała wcale na jego krzykliwą oppozycyą i uważała uchwały sejmu za obowiązujące Rzptą, z tą tylko restrykcyą, że ziemia, z któréj pochodził opponent, nie była témi ustawami prawnie związaną. Stanowiła ona sobie w takim razie, równie jak wtedy, gdy dla zawichrzeń na sejmiku nie dokonano wyboru posłów (*nuntii vacant*), na sejmiku relacyjnym *Laudum*, które ją, z zastrzeżeniem approbaty przyszłego sejmu, prawnie obowiązywało tak co do rozkładu podatków jako i administracyjnego porządku lokalnych interesów. Pomijamy również środek, do jakiego się uciekano w celu zachowania tajemnicy w tak zwanym *Skrypcie do archiwum*, uchwalanym przez szczuplejsze delegacye z członków sejmu, podpisywanym przez prymasa i marszałka izby poselskiéj, ponieważ chodzi nam tu głównie o uwydatnienie najważniejszych momentów historycznych w rozwoju praktyki sejmowania w dawnéj Rzptéj, nie mniéj o wskazanie stanowiska, z którego historykowi wypada zapatrywać się na ten przedmiot, aby zrozumiéć dokładnie źródło i doniosłość złego a przez to ocenić sprawiedliwie moralną odpowiedzialność tylu krzykliwych wichrzycieli spokoju i porządku publicznego.

Z tego, cośmy już nadmienili, pokazuje się, że przy tak daleko posuniętéj zasadzie autonomistycznéj, że przy tak wielkiéj decentralizacyi na rzecz reprezentacyi prowincyonalnéj, musiało się stanowisko władzy wykonawczéj zupełnie zwichnąć, exekucya postanowień sejmowych była przy złéj woli panów w ziemi prawie niepodobną. Co więcéj: z tego źródła płynęło zapełne pomięszanie władzy prawodawczéj i sądowniczéj z wykonawczą. Zamiast jedna drugą wspierać we właściwym sobie zakresie dla osiągnięcia celów rządowych i ogólno-państwowych, narodowych, jak to czynią zdrowe organa w organizmie ludzkim, stworzyła prowincyonalna zuchwałość władzy prawodawczéj w sejmie taki labirynt, takie zamięszanie i anarchią, że tylko silna dłoń potęg lokalnych pewien ład utrzymać zdołała, ale zawsze ze szkodą państwa.

Odpowiedzialność za takie zdezorganizowanie instytucyi reprezentacyi narodowéj spada nie na zwyczajnego, zaściankowego krzykacza z Upity, ale przeważnie na ostatniego z Jagiellonów, na Zygmunta Augusta [114]).

Gdy wreszcie państw europejskich z tych samych, co w Polsce, pierwiastków średniowiecznéj reprezentacyi utworzyły się przy współudziale silnych miast poważne korporacye i instytucye reprezentacyjne, w których korona, strzegąc swojego prawa zawieszenia uchwał, na które się nie zgadzała, i znajdując podporę w nieuszczuplonéj swéj władzy sądowniczéj (w Niemczech n. p. w Reichskammergericht), podniosła niebawem swój majestat tak wysoko, że idee monarchii centralistycznéj, absolutnéj (Francya, Anglia, Hiszpania, Dania, Szwecya, Niemcy), zupełną wzięły przewagę, to w Polsce przedstawia nam się całkiem przeciwne stanowisko.

Politycy nasi nie stawiają sobie tego pytania, czy królowie polscy mieli prawo zawieszenia uchwał przez senat i izbę poselską postanowionych, czy mieli i oni, tak jak inni mają monarchowie, także swoje Veto? Wyraźny na to przepis prawny zapewne znaléść będzie trudno, bo taką drogą nie tworzył się system reprezentacyi narodowéj; ale historyk spotyka się z faktami, które tego dowodzą, że królowie nasi wraz z senatem mieli moc uchwały sejmowe do wykonania przyjmować lub do dalszego postanowienia zawieszać, jak tego widzimy jeszcze przykład za Zygmunta Starego w r. 1543 [115]), bo jeszcze w téj chwili nie było zupełnie zatartą różnica między władzą prawodawczą a wykonawczą, jeszcze poczucie wspólnych interesów federującéj się Rzptéj w obec groźnych wrogów, było silniejsze od trwogi na grożące złotéj wolności szlacheckiéj niebezpieczeństwa.

Dopiero Zygmunt August, straciwszy nadzieję potomstwa, przestał się troszczyć o prawa korony, ustępował jedne po drugich perorującéj na sejmikach szlachcie, puścił zupełnie cugle źle zrozumianéj wolności, która konstytucyą rządu przez dwa wieki organicznie się tworzącego wywróciła i w anarchią zamieniła, zwłaszcza, gdy przez ustanowienie trybunału za Batorego i atrybucye sądowniczéj władzy przeszły na reprezentacyą prowincyonalną.

Taka jest historyczna genezya fatalnego dla narodu polskiego Liberum Veto. Teorye polityczne o prawach mniejszości i większości w życiu parlamentarném nie stworzyły Liberum Veto; dla tego nie można téż z tego stanowiska zapatrywać się na tę anomalią w wielkiej Rzptéj; ale trzeba przyczyny szkodliwych jego skutków szukać w warunkach historycznych tworzenia się Rptéj naszéj. Miało ono swoję podstawę w faktycznych stosunkach, wśród których utworzyła się w trakcie czasu Rzpta, a nie w niższéj moralności i ciemnocie swywolnych tłumów, i tą właśnie pozycyą potężne rujnowało organizacyą państwową, niedopuszczało stworzenia nowéj budowy, zwłaszcza, że rodziny u steru stojące czci tego bałwana wyrzéc się dla swoich prywatnych widoków nie chciały. Chwila, o któréj Szulc pisze, była pod tym względem szczęśliwą, ale już za późną.

Pamiętając o faktach, przez nas wskazanych, można łatwo wiele zbyt jaskrawych konkluzyi Szulca sprostować — i obraz sejmowania w Polsce za pomocą jego detaliczn6j relacyi doskonale sobie uzupełnić.

Książka Szulca porusza tyle najdonioślejszych kwestyi historycznych z całego obszaru dziejów, że niepodobna o każdéj szczegółowiéj rozprawiać. Autor grzeszy często podciąganiem gwałtownem szczegółów pod prawo powszechne, i ztąd powstaje obraz nieco jaskrawy; ale, ponieważ dyskutuje logicznie, pobudza do zastanowienia się, do upamiętania się w wielu zastarzałych nałogach, do krytycznego wielu faktów rozbioru, którego nauka nie powinna unikać, bo jak słusznie pisze Kraszewski: „nikt lepiéj wad naszych nie wskazuje nad nieprzyjaciela; prawdy należy szukać u niechętnych, nie u pochlebców i zwolenników".

Jeżeli rozważane przez nas dotychczas pamiętniki, zwracały na siebie uwagę czytelnika przeważnie, jako źródła historyczne, bez względu na interes literacki, to wartość „Pamiętników Jana Duklana Ochockiego" opiera się raczéj na ich literackich zaletach, chociaż i pod względem historycznym nie są bez wartości, ponieważ nie mamy drugiego pomnika literackiego, któryby nam przedstawiał wierniéj i charakterystyczniéj życie nasze z końca XVIII i początku XIX stulecia. Nic téż dziwnego, że już sam rękopism dostarczał dawniejszym powieściopisarzom gotowe wzory, które późniejsi jeszcze więcéj exploatowali, gdy Kraszewski najprzód w Gazecie Warszawskiéj a potém osobno, ociosany nieco rubaszny oryginał, drukiem ogłosił [116]).

Nadmieniamy tutaj, że pod względem bibliograficznym można tylko trzy pierwsze tomy uważać za „Pamiętniki" Ochockiego i to jeszcze z tém zastrzeżeniem, że znaczna część tomu II-go (pag. 410—450) i tomu III-go (pag. 5—34) jest pióra stryja naszego autora Józefa Ochockiego, opata ze zgromadzenia księży Bazylianów. Cały wreszcie tom 4-ty zapełniają pamiętniki, nie mające z Ochockim żadnego związku, bo nawet z różnych bibliotek pochodzą: mianowicie:

1) Wyjątki z pamiętników Seweryna Bukara (pag. 5—222), o których drezdeńkiém wydaniu niżéj mówić będziemy.

2) Wyjątki z Pamiętników p. Chrząszczowskiego (pag. 222 — 321) [117]) opowiadają wyłącznie dzieje familii Potockich od Szczęsnego począwszy, odznaczają się prostotą opowiadania i podniosłą myślą.

3) Z pamiętników Anonyma Podolanina (pag. 321 — 343) [118]). Fragment ten jest szczegółową biografią zasłużonego w literaturze pijara Dmochowskiego.

Rodzina Jana Modesta [119]), późniéj Duklana Ochockiego (ur. się 1766 r.) [120]) osiadłą była pierwotnie w województwie lubel-

skiém, w ziemi łukowskiéj, zkąd, jak wielu innych z pomiędzy drobnéj szlachty, przeniosły koleje losu i Ochockich z rodzinnego zaścianka na Wołyń, gdzie się stale osiedlili, „zachowując tylko pamięć szlacheckiego swego pochodzenia“ [121]. Po ukończeniu szkół (1787), których lichą pedagogikę i nasz autor dosadnie kreśli, pracował Ochocki przy skąpym kawałku chleba w palestrze w Żytomierzu, potem w młodych jeszcze latach oddany na dwór wojewody Kijowskiego, Stempkowskiego w Łabuniu przyjmował tamże jadącego do Kaniowa króla [122]) i wchodził w stosunki z wielu możnymi panami. Gdy Ochocki po dwóch latach pobytu w Łabuniu [123]) wyjeżdżał za dopilnowaniem spraw processowych wojewody do Lublina, poruczyło mu wielu znajomych panów i swoje interesa, wyznaczając odpowiednie pensye [124]), przy których prowadził sobie nasz autor wesołe życie wśród gwaru trybunalskiego aż do r. 1792 [125]). W czasie tym zrobił exkursyą 16-dniową do Krakowa z młodym Skorupskim [126]) odwiedził w Janowcu w ziemi rawskiéj „wielkopolskiego magnata“ podkomorzego Lipskiego [127]), którego postać przypomina gwałtowne rysy pychy ojca Szczęsnego Potockiego, i zaglądał często bardzo na dłuższy czas do sejmującéj Warszawy. Zostawszy niebawem szambelanem Stanisława Augusta, był w najlepszych stosunkach z témi wszystkiémi osobami, które stanowiły stronnictwo królewskie w czasie czteroletniego sejmu.

Ochocki podziela całą duszą idee reformy, z upodobaniem rozprawia „O pracach czteroletniego sejmu,“ bierze serdeczny udział w podnioślejszym nastroju umysłów téj chwili, a gdy wypadki niespodziewaną wreszcie poszły koleją, sądzi, że nie żadne przeciwne przekonania, nie przedajność stworzyła z Rzewuskiego i Szczęsnego wrogów reformy, ale „obrażona pycha i miłość własna“ [128]). W każdym razie stanowi jeszcze dziś postępowanie Szczęsnego bezpośrednio przed sejmem czworoletnim, porównane z dziełami jego w Targowicy, nie łatwą zagadkę psychologiczną, którą tylko gwałtowna jakaś namiętność najłatwiéj jeszcze objaśnić może. Za wpływem Szczęsnego zawierała instrukcya, udzielona przez województwo bracławskie posłom na sejm, między którymi wybrano i Szczęsnego, następujące żądania: „o aukcyą wojsk Rzeczypolitéj, o ścisłe przymierze z silnémi mocarstwy europejskiémi, o reformę rządu co do praw kardynalnych i przewodów sądowych, najszczególniéj o podniesienie miast przez emancypowanie, i nadanie im większych prerogatyw wolności handlu. Usilnie w nich także nalegano, ażeby prawo zawarowało osobiste i majątkowe bezpieczeństwo wieśniaków, wyłączając ich z pod zbytecznéj władzy dziedziców. Ostatni punkt instrukcyi nie mógł się podobać naówczas szlachcie, troskliwéj o swe odwieczne prerogatywy; ale Potocki usilném staraniem, a może i forsą pieniężną, wymógł go na obywatelach województwa Bracławskiego. Ochocki powtarza przeważającą wówczas opinią, jakoby to był pomysł pierwszy i natchnienie poety, filozofa i liberalisty Trembeckiego, którego rozum i serce szanował Potocki i głosu ich przywykł słuchać. Dosyć, że z taką instrukcyą opatrzony wyruszył Szczęsny dworno, ludno i z assystencyą ogromną do Warszawy, aby miéć czas dobijania się o marszałkostwo sejmowe [129]). Wiadomo, że go nie tylko ta nadzieja zawiodła, ale nierozważne docinki i paszkwile ze strony trefnisiów patryotycznego stronnictwa popchnęły Szczęsnego na drogę żarliwego obrońcy dawnych form i dawnéj anarchii Rzplitéj.

Dalsze przygody prywatne Ochockiego nie mają ogólniejszego interesu, mamy o nim świadectwo Bukara, „że to był człowiek bardzo miły w towarzystwie dla dowcipu swego i wesołego humoru.“

Pamiętnik J. D. Ochockiego nie jest dyaryuszem chronologicznym następujących po sobie wypadków; ale przedstawia nam raczéj zbiór przeróżnych obrazów z życia publicznego, ze sfery sądownictwa, wyższych towarzystw i nawet drobniejszéj szlachty od drugiéj połowy XVIII wieku począwszy pod osobnemi tytułami wystawionych. Tak jak w wielu rodzinach szlacheckich, przeświadczonych każda o swojéj wartości historycznéj, panował zwyczaj zapisywania ważniejszych wypadków, tak samo miało to miejsce i w rodzinie Ochockiego [130]), od czego i nasz autor nie chce się wyłączyć. Pisząc zaś w póżnym wieku wspomnienia tego „co na oczy widział“ [131]) opiera się to na własnych notatach [132]), to na relacyi innych wiarogodnych osób [133]) a nawet na urzędowych świadectwach [134]). Ochocki dalekim jednak jest od tego, aby miał pisać historyą swojego czasu, bo uważa takie zadanie nad swoje siły; nie ma do tego „geniuszu“ ani pracą zdobytych obszernych wiadomości. „Tamci (historycy) wypowiedzą prawdę całą, dobędą z martwych przeszłość ziemi krwią braci naszych oblanéj — ja piszę tylko pamiętnik własnego życia z pozostałych mi notat, z żywéj je-

szcze i nieosłabłéj, dzięki Bogu, pamięci; odmaluję tę tylko część obrazu, którą mi się widziéć, w któréj mi się działać dostało“ [135]). Oceniając téż z tego stanowiska pamiętnik naszego autora przyznać musimy, że obok widniejącéj słabości zwracania na swoję osobę uwagi, przedstawił nam Ochocki wierny zarys swéj epoki, nie mozoląc się jednak wcale przy dochodzeniu wszechstronnéj prawdy pojedyńczych drobnych szczegółów, których nieprzeliczone mnóztwo plącze się z sobą w jego pamięci. W tém, co innemi źródłami sprawdzić mogliśmy, fałszu nie ma [136]).

Ochocki widzi początek upadku kraju w nieszczęśliwém położeniu Jana Kazimierza, bo „potem już nauki gasły, ciemnota kraj ogarniała; długie panowanie *niemieckie* dwóch Sasów do reszty nas oślepiło, rozpoiło i zdemoralizowało. Możni wychowywali się zagranicą i obojętnieli dla kraju i jego zwyczajów; uboższa szlachta musiała przestać na jezuickich szkołach, które się stały propagandą ciemnoty.“ [137]) Ochocki jest tego zdania że niemieckie panowanie Sasów przyczyniło się także najwięcéj do zdezorganizowania reprezentacyi sejmowéj, bo „w dawnym rzeczy porządku, szlachta od Zygmunta Augusta wotowała na sejmikach dla wyboru posłów; ale to rozumie się szlachta osiadła. Panowie za Augustów obu wprowadzali zwyczaj pędzenia na sejmiki szlachty czynszowéj dla poparcia nią swoich celów politycznych, chociaż sejmy rwały się jedne po drugich. Nowa ustawa poleciła Komissyom cywilno-wojskowym porobić księgi ziemiańskie, w nie wpisać dziedziców, którzy mieli nie mniéj ośmiu dymów; każdy obywatel musiał złożyć kwity z podymnego, które opłacał i we 2 tygodnie sformowano z tego listę wotujących.“ [138]). Fakt ten o possesyonatach stwierdzony jest przez konstytucye, w których wiele ziem do obserwowania téj reguły się dawno już było obowiązało [139]); ale ponieważ nie było konstytucyi, któraby w myśl autora naszego obowiązywała całą Rzeczpospolitą, przeto sejm czworoletni prawo to niektórych prowincyi do ogółu zastosował z wielkiém zgorszeniem rokoszowéj pychy targowiczan i łatwowiernych tłumów złotą wolnością oszołomionéj szlachty [140]).

Pamiętnik Ochockiego zawiera, prócz niektórych drobnych szczegółów, wiele rzeczy poważnéj treści, które nam pozwalają dokładniéj wniknąć w ducha i w intencye dawnych instytucyi Rzeczypospolitéj. Pogląd Ochockiego na wszechwładne stanowisko stanu szlacheckiego, na znaczenie nobilitacyi, indygienatu, skartabellatu, na sposób sejmowania, na organizacyą sądownictwa (trybunał lubelski), stosunki wojskowe, na skarbowość, kaduki itp. można z pomocą innych źródeł uzupełnić; ale treść rzeczy trafnie jest pochwycona. Nawet zdanie Ochockiego o konfederacyi barskiéj, sformowanéj w znacznéj mierze przez niechęć i zawiedzione ambicye tych, którzy elekcyą Stanisława Poniatowskiego urażonymi się widzieli i detronizować go myśleli, potwierdzają nowsze badania historéczne.

Wprowadzenie nowego rządu w prowincyach zabranych i zmiany, jakie w skutek tego wynikły w całéj polityczn éj i ekonomicznéj sytuacyi ziemiaństwa, nie uszły bacznéj uwagi naszego autora, chaciaż traktuje już te sprawy powierzchowniéj, i patrzy często za pobłażliwie na słabości i ułomności ludzkie. Wiadomości te nie są jednak bez wartości dla poznania nowéj administracyi kraju i dalszego jéj postępu pod różnymi generał-gubernatorami, których względami autor nasz się dosyć cieszy. Wstąpienie na tron cesarza Pawła I i Alexandra I panowanie, tudzież epoka księztwa warszawskiego nastręcza Ochockiemu sposobność do poglądów, które dzisiaj nie wystarczają, ale pozostaną świadectwem poważniejszego sądu o rzeczach publicznych.

Ochocki przedstawia nam doskonały typ swojego wieku: trochę epikurejczyk i sensualista, skeptyk i opportunista,— pragnący zgodzić zasady wolności i postępu z ideą porządku i dobrze zrozumianego konserwatyzmu, oburza się na wybryki jakobinizmu francuzkiego i w przekonaniu pokory chrześciańskiéj poddaje się fatalistycznemu, jak sądzi, prądowi wypadków [141]). Oburza nas często pewna płochość i cyniczne obrazki rozpusty—które jako daninę składa na niwie wieku 18-go; ale obok tego umié szanować tych, „co to cnoty nie definiują, ale ją doskonale pełnią“ [142]); i oddaje sprawiedliwość tym, których doznane przeciwności nie zrażają w pracy około dobra publicznego, „bo idee człowieka są często, jak sprężyny hartowane, im silniéj naciśnięte, tem mocniéj odskakują i rażą“ [143]). Ochocki pisze zawsze to, co czuje, a czuje gorąco.

W Pamiętnikach Ochockiego czytamy dosyć często wspomnienia o wpływowéj w województwie kijowskiém i podolskiém rodzinie Bukarów, z których Adam, kupiwszy dobra po Poniúskim, zajmował dla swoich blizkich nader stosunków z wojewodą kijowskim Stempkowskim wybitniejsze stanowisko wśród szlachty kijowskiéj i podolskiéj. Jeden z synów Adama, Seweryn (ur. 1773 r. † 1853) zostawił ciekawy pamiętnik

swoich czasów pod tyt.: „*Kilkanaście lat pamiętniczych przeszłosci mojéj, czyli wspomnienia starego człowieka* [144]).“

Seweryn Bukar kształcił się w szkole kadetów, założonéj przez Stanisława Augusta w Warszawie. Po skończeniu chlubnie nauk służył w wojsku koronném i odznaczył się w bitwie pod Dubienką. Wśród znanych powszechnie po roku 1794 okoliczności usunął się do życia prywatnego i zajmował się bardzo żywo literaturą. Powaga nietylko zdania, ale i życia zjednała mu przydomek „patryarchy Podola“; a ponieważ w różnych swego losu kolejach bardzo wiele widział, przeto nalegano na niego ze wszech stron, aby pamiętniki napisał. Uległ wreszcie prośbom synów i rozpoczął w r. 1846 pisać wspomnienia swoje; ale nie daleko je doprowadził, bo tylko do roku 1815 i to zamykając się w 5-ciu rozdziałach, odpowiadających na tyleż stawionych mu przez synów pytań. Do pamiętnika dołączone są liczne przypiski autora, które wiele kwestyi, zaledwo potrąconych w właściwym pamiętniku, szczegółowiéj opowiadają i współczesnémi świadectwami popierają i objaśniają.

Pamiętnik Bukara nie ustępuje w niczém pamiętnikom Ochockiego: owszem przewyższa je wszechstronniejszą rozwagą, gruntowniejszą znajomością literatury, większą starannością w opracowaniu przedmiotu, nie mniéj i przez powagę zdania i sądu o rzeczach i ludziach, tak że nieraz karci surowo tych, których Ochocki zanadto pobłażliwie sędzi (zob. opinią obydwóch o senatorze Ilińskim).

Autor nasz tłumaczy się najprzód z pobudek, dla których nie myślał nigdy o pisaniu swoich pamiętników, „bo ten tylko ma prawo zająć się opisem własnego życia, który sam bezpośrednio lub przez wpływ swój na czynności znakomitszych w kraju ludzi dał się poznać zaszczytnie i dokonał rzeczy pamięci godnych.“ Oświadcza tedy, że ani myśli nic takiego pisać, coby formę pamiętników miało, i że tylko w sposobie objaśnień odpowie na zapytania, „jakie będzie się zdawało zrobić mi, jeżeli to się komu na co przyda. Napisałeś mi więc kilka punktów, na które odpowiadam.“

Po takiém zastrzeżeniu opisuje tedy Bukar językiem czystym, widocznie na wzorach klassycznych kształconym, dom rodziców swoich, gdzie mamy piękny obraz staroświeckiéj rodziny, trybu życia zamożnego szlacheckiego domu, obraz stosunków sąsiedzkich i stosunku szlachcica rządnego do swojego ludu. W następującym rozdziale (str. 11—34), zatytułowanym, „Zakład naukowy wojskowy“— czytamy po krótkim przeglądzie historycznym dawniejszych podobnych zakładów przez *pacta Conventa* przy każdéj elekcyi warowanych (szkoła artyleryi, szkoła inżenierów, pionierów, pontonierów, szkoła rycerska czyli korpus kadetów etc.) obszerny dosyć opis zakładu naukowego, korpusem Kadetów zwanego. Bukar wskazuje pobudki założenia téj instytucyi, opisuje całą jéj organizacyą naukową i wojskową, niemniéj i ekonomiczną, rozprawia dosyć obszernie o planie wykładanych w tym zakładzie nauk, mówi o examinach, o dyscyplinie wewnętrznéj, charakteryzuje professorów i ocenia zbawienne owoce, jakie zakład ten w gruntownem kształceniu się młodzieży przynosił. Nie może być naszém zadaniem rozwodzić się szeroko nad niesłusznością zarzutów, które u nas niektórzy robili temu zakładowi [145]); ale nadmieniamy tylko, że poważny szereg znakomitych w kraju naszym w ostatnich latach Rzeczypospolitéj i bezpośrednio po jéj upadku ludzi najlepiéj dowodzi, że „edukacya kadecka rozwinęła i wzmocniła zasady i czucia jaknajszlachetniejsze,“ — że była w ściślejszym obrębie i celu wykonaniem zamiarów, które Kommisya edukacyjna do całego kraju chciała stosować. Honor, rycerskość, żądza doskonalenia się w dokładnych naukach i stania się przez nie użytecznym krajowi, zacna ambicya wsławienia się przez czyny chwalebne, nieskażenie się przez naganne, przedewszystkiem gorąca miłość kraju i gotowość poświęcenia się dla niego, były prawidłami szkoły kadeckiéj. O jéj duchu najprawdziwiéj sądzić można z katechizmu kadeckiego, książki napisanéj przez ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, zacnego jéj pierwszego naczelnika. Książkę tę każdy kadet musiał umiéć na pamięć.

W dalszym rozdziale trzecim (35—43) znajdujemy wierny obraz „towarzystw ówczesnych warszawskich“, który ułatwia nam sprawiedliwe ocenienie tych szczegółów, jakie Fr. Szulc i Ochocki z tego samego czasu nam przechowali. W ustępie „karyera wojskowa“ (43—133) czytamy treściwy opis kampanii z roku 1792, z którego widzimy ogromne trudności w formowaniu regularnego wojska, z powodu niedostatku potrzebnych do tego warunków, mianowicie wyższych wojskowo udoskonalonych oficerów. Zdarzenia życia sąsiedzkiego na Wolyniu i Podolu, tudzież familijne wypadki urozmaicają ten już i tak dosyć różnobarwny opis, na którego poważném tle jaskrawo niekiedy

odbijają arbitralne czyny generalności targowickiéj, mianowicie Rzewuskiego. Po dokonanym akcessie króla do konfederacyi, pobrali oficerowie, między nimi i nasz autor, dymissye. Dla uzyskania tedy jak najprędszego uwolnienia wpadł autor nasz do Warszawy, która się jakby wśród największéj pomyślności znakomicie bawiła i „tańczyła", i opatrzony chlubném świadectwem z odbytéj kampanii powrócił na wieś do domu. W r. 1793 otrzymał generał-gubernator Kreczetnikow rozkaz z Petersburga, aby wysłał tam do zaprezentowania cesarzowéj z każdego rodzaju broni ober- lub sztabs-oficera i z niższych rang po jednemu. W skutek nalegania generała Lubowidzkiego przyjął i Bukar udział w téj delegacyi, którą wraz z pobytem swoim w Petersburgu szczegółowo opisuje. Urządzenie nowéj administracyi kraju, niemniéj charakterystyka działających naczelnie osób kończy ten rozdział, nie przerywając się jednak, ponieważ obok wielu innych drobnych wiadomości (Rozmaitości) stanowi jeszcze główny przedmiot opowiadania ostatniego rozdziału (133—161). W przypiskach, które pamiętnik nasz zamykają (163—224) znajdujemy bardzo wiele oderwanych wiadomości, objaśniających ówczesną epokę, co wszystko stanowi dla badacza dziejów bardzo pożądany materyał.

Wypadki, które opisał Seweryn Bukar, mianowicie w rozdziale czwartym, były przedmiotem innych także opisów i memoryałów, które Kraszewski w znacznéj części zgromadził w IV tomie swojéj Biblioteki pamiętników i podróży po dawnéj Polsce[146]). Pomijając pismo Zajączka w téj materyi, czytamy wydane z tego czasu relacye ks. Poniatowskiego[147]) i Tadeusza Kościuszki[148]), które jednak dla historyka mają przeważnie tylko wartość pod względem kwestyi wojskowych. Nie większego znaczenia są także wszystkie owe krótsze relacye czynów wojskowych, dokonanych przez Polaków między 1792 a 1812 rokiem, umieszczonych w czwartym tomie biblioteki. Prócz pamiętnika Zenowicza z r. 1794, znachodzimy tu „Notaty jenerała Zajączka" z r. 1811, początek kampanii r. 1812 przez Dziewanowskiego, dziennik czynności generała Dąbrowskiego w r. 1812, opis czynności 8go korpusu od śmierci ks. Poniatowskiego pod Lipskiem aż do chwili, gdy ks. Sułkowski, dowódzca tego korpusu po ks. Józefie, opuścił go za zezwoleniem Napoleona; wreszcie dziennik kampanii w r. 1812. W przedmowie do tego tomu „Pamiętników" czytamy ważne dokumenta, tyczące się niesprawiedliwie potępionego i lekceważonego generała Xawerego Kosseckiego.

Dobiegając do końca pracy naszéj spotykamy się jeszcze z jednym żołnierzem z téj epoki, który jednak nie poprzestał na dziełach Marsa, ale odznaczył się także na polu pracy cywilnéj, położywszy nie małe zasługi względem opieki nad edukacyą publiczną przy staraniach o polepszenie ekonomicznych interesów kraju. Mówimy o Józefie Drzewieckim, o „panu Szefie", którego życie przedstawił Kraszewski z tém ciepłem uznania, z tym polotem myśli, których doścignąć się nie kusimy a powtórzyć ich tu dla braku miejsca nie możemy. Wspominamy tylko o tych szczegółach, które dla ocenienia Pamiętnika Drzewieckiego, jako źródła historycznego, mogą mieć niejaką wartość.

Józef Drzewiecki urodził się na Wołyniu we wsi Juśkowcach, w powiecie Krzemienieckim 1772 r. Po ukończeniu chlubnie szkół w Krzemieńcu, przemową na sejmiku Krzemienieckim r. 1792 tak zawładnął umysłami wszystkich, że obrano go zaledwie 20 lat wieku liczącego, posłem na sejm. Po wypadkach r. 1792 usunął się do Galicyi, a po 1794 przybył wraz z Kniaziewiczem do Francyi, potem do Włoch, w celu połączenia się z Henrykiem Dąbrowskim. Wstąpiwszy do legionów odznaczył się Drzewiecki przy zdobywaniu Neapolu tak, że generał francuzki Championnet, przesyłając dyrektoryatowi zdobyte trofea, zaszczyt ten przyznał między innymi (Kniaziewicz, Kosecki, młody Dąbrowski) i Drzewieckiemu. Wywiązawszy się na uroczystéj sessyi dyrektoryatu z tego mandatu, wręczyli delegowani bawiącemu wówczas w Paryżu Kościuszce pałasz Jana III, złożony przez tegoż króla po wyprawie wiedeńskiéj w Lorecie. Gdy Kniaziewiczowi poruczono formować legią naddunajską, położył Drzewiecki wybitne zasługi w jéj organizacyi i ćwiczeniu rycerskiém. Legia wcielona niebawem do korpusu Niższego Renu odznaczyła się pod Frankfurtem, Offenbachem, a mianowicie pod Hohenlinden. Po zawarciu pokoju w Lunewillu (9 lutego 1801 r.) odprowadził Drzewiecki legion ten z pod Wiednia do Medyolanu. Gdy po utworzeniu królestwa Etruryi, legia miała być zamienioną w gwardyą nowego króla, oficerowie, nie chcąc być najemnikami, brali dymissye; między nimi był także Drzewiecki.

Na tém się kończy właściwy pamiętnik Drzewieckiego, który nie wdając się wcale w rozbiór kwestyi politycznych i historycznych, daje nam w formie jak najnatural-

niejszéj, bez żadnéj ozdoby retorycznéj, prawdziwe świadectwo o tych czynach, w których brał udział, tak, że obok pamiętnika Dąbrowskiego i Amilkara Kosińskiego, niemniéj w obec obfitego materyału, zebranego przez Leonarda Chodzkę, świadectwo Drzewieckiego zachowa swoje znaczenie. Nie pojmujemy pobudek, dla których Xawery Godebski, ogłaszając w r. 1864 maluteńki i także tylko wojskowéj treści fragmencik historyi legionów z papierów Cypryana Godebskiego, z takiém lekceważeniem odzywa się o naszym autorze, jakby robił zarzut Kraszewskiemu, że taką lichotę do literatury wprowadził [149]). Drzewiecki przechował nam wiadomość, że i Wierzbicki pisał pamiętnik odnoszący się do historyi legionów [150]), którego rękopism Kraszewski posiada.

Wróciwszy do kraju, osiadł w rodzinnym majątku na Wołyniu, a połączony najściślejszą przyjaźnią z Tadeuszem Czackim, dopomagał i wspierał go we wszystkich jego obywatelskich przedsięwzięciach.

Smutniejsze coraz bardziéj położenie ekonomiczne krajów słynących ze swojéj urodzajnéj znakomicie gleby, było między innemi także skutkiem anormalnych stosunków handlowych w téj części kraju. Przy świtającéj z wznoszącą się Odessą spodziewanéj jutrzence lepszéj przyszłości handlu wywozowego, zawiązało grono obywateli spółkę handlową w celu pośredniczenia między producentami krajowymi a kupcami zagranicznymi. Umowę w tym celu zawartą podpisano w Warszawie dnia 27 lipca 1802 roku. Michał Walicki pośredniczyć miał z Francyą i Petersburgiem, Tadeusz Czacki i Józef Drzewiecki biorą na siebie Ruś i Litwę do kontraktowania, wyprawiania zboża, drzewa i t. p. Stanisław Sołtyk, zajmować się miał kommunikacyą pośrednią [151]). Ustanowiwszy Warszawę, jako punkt pośredni wszelkich negocyacyi i układów, zbudowano magazyny w Odessie, gdzie Drzewieckiego postawiono na czele. Pierwszy okręt kupiecki „Tadeusz Czacki" naładowany zbożem odpłynął 9 lipca 1803 roku z Odessy do Tryestu. z wielką ostentacyjną radością nie tylko ludności, ale i władz miejscowych. Rozszerzając swoję działalność, spółka postanowiła spławiać zboże po Dnieprze; lecz zanim interes ten wszechstronnie mógł się rozwinąć, nadciągnęły burze wojny francuzkiéj i najpraktyczniejsze przedsięwzięcie zniweczyły.

Równocześnie krzątał się Czacki około podniesienia edukacyi publicznéj w kraju przez urządzenie szkoły Krzemienieckiéj, która niebawem wyrosła na znane zaszczytnie *liceum* krzemienieckie. W r. 1803 uzyskał Czacki pozwolenie ministra oświecenia do zbierania składek na szkołę Krzemieniecką; w roku 1805 nastąpiło już otwarcie gimnazyum Wołyńskiego, które późniéj tytuł liceum pozyskało. Do komisyi edukacyjnéj krzemienieckiéj należał także Drzewiecki, jako gorliwy współpracownik— a gdy zawczasu śmierć zabrała 20 lutego 1813 roku Tadeusza Czackiego, nie przestał nasz autor być najtroskliwszym opiekunem téj znakomitéj instytucyi naukowéj przez cały czas istnienia [152]). W r. 1817 przyłożył się do założenia w Krzemieńcu „Towarzystwa dobroczynności," — chodzi koło stworzenia w tém mieście towarzystwa muzycznego, stara się o wybrukowanie miasta, reformuje szkółki elementarne według metody Lankastra — i opiekuje się osieroconą przez śmierć Czackiego młodzieżą szkolną. Resztę czasu poświęcał przyjaciołom (Kniaziewicz, Feliński), interesom domowym i rodzinie.

Z téj epoki swego życia, nie pozostawił Drzewiecki gotowych pamiętników; ale z korrespondencyi i różnych dokumentów, jakie po zmarłym pozostały, ułożył Kraszewski pamiętnik, który przyczynić się może do zrozumienia idei i ducha niedawnéj, a tak już, zdaje się odległéj od naszych wyobrażeń, epoki.

Wiadomo, że Czacki, krzątając się energicznie około zbierania składek na szkołę od obywateli, których chciał ściśle zespolić z instytucyą naukową, a przez to utrzymać w obywatelstwie żywy interes dla szkół i kształcącéj się młodzieży, naraził się przez rewindykowanie części udzielonego mu na ten cel przez cesarza Alexandra funduszu pojezuickiego na niemałe gromy samolubstwa i prywaty, która u nas bardzo łatwo umie się ubrać w ułudne szaty patryotyzmu [153]). Nie możemy tu zastanawiać się szczegółowo nad różnicą i nad stosunkiem, jaki zachodzi pod względem pedagogicznym między szkołami komissyi edukacyjnéj a szkołą przez Czackiego stworzoną; dosyć nadmienić, że Czacki widział ujemną stronę organizacyi szkół komissyi edukacyjnéj w upośledzeniu nauk klassycznych [154]) kosztem nauk fachowych i języków nowszych i chciał niedogodnościom ztąd wywynikającym zapobiedz przez podniesienie nauk klassycznych i gimnazyalnych,—tworząc dla zaspokojenia realnych potrzeb wieku osobne wydziały i fachowe szkoły. Przy tém wszystkiém nie życzył sobie Czac-

ki owego akademickiego odosobnienia stanu nauczycielskiego w kraju; ale chciał instytucye naukowe niejako z obywatelstwem powiązać, starał się o to, aby obywatele sposobili się i współubiegali w zajęciu miejsc w dozorach edukacyjnych, w zarządzie funduszów i szkół; aby poświęcili się wychowaniu młodzieży i czuwali nad celem i kierunkiem dawanych nauk, chciał powierzyć samym ojcom kierunek wychowania ich synów, bo sądził z Drzewieckim, „że zatrzymać ten związek opinii między szkołą a obywatelami było rzeczą, dla edukacyi publicznéj, bardzo ważną"[155]). „Szkoła, co nas wydała, pisze Drzewiecki do Skibickiego, i coby ciągle obywateli wydawać mogła, bez takiego związku straci powagę, straci energią swoję: nauczyciele zejdą na bakałarzy, w oczach obywateli pedantyzm szkolny zajmie miejsce panującego ducha obywatelskiego" i t. d.[156]). Nie pojmujemy, dla jakich przyczyn umysł tak jasny, jak Śniadeckiego, zasady téj nie uznawał, ale przeciwko niéj się oburzał; gdyż nikt nie zaprzeczy, że wytworzenie i utrzymanie w stanie nauczycielskim ducha i namaszczenia obywatelskiego jest najskuteczniejszą zaporą przeciwko pedantyzmowi i najemnemu bakalarstwu, a zarazem źródłem życzliwéj opieki i miłości, która arytmetycznie wykalkulowaną cenzurą młodzieży od szkoły nie odstraszy, ale prawdziwą życzliwością dla oświaty do szkoły jeszcze przyciągnie.

W chwili usilnych starań Czackiego o stworzenie wyższéj instytucyi edukacyjnéj odzywały się te pytania, czy szkoła krzemieniecka powinna kształcić ludzi specyalnych, fachowych, czy téż w pierwszem pokoleniu, gdzie massom brakło światła, musiała ta szkoła mieć cele ogólniejsze, a więc od razu widomych, realnych korzyści nie przynoszące. Rozważając wszystkie okoliczności, wśród jakich naród w danéj chwili się znajdował, i mając na celu edukacyą jak najgruntowniejszą, urządzono wprawdzie szkołę krzemieniecką na podstawie nauk humanitarnych, klassycznych, ale nie lekceważono za przykładem filologów niemieckich i nauk specyalnych, owszem starano się urządzić dla celów praktycznych osobne nawet wydziały. Drzewiecki przemawia w téj sprawie w ten sposób: „Od czasu, jak się poświęcono wyłączniéj odkryciu tajemnic natury nas otaczających, postąpiono w naukach, stracono w tęgości duszy i zacności obyczajów. Zdaje mi się, że nauki w ogólności nie powinny służyć tylko za *narzędzie* do podniesienia wyżéj nauki serca i umysłu człowieka, i jeżeli nas nie uczynią lepszymi, szkodliwym społeczności mogą zostać podarkiem[157])."

Obok téj pedagogicznéj praktycznéj uwagi mamy wyraźny nadto dowód, że Drzewiecki nie lekceważył pedagogicznéj wartości nauk matematycznych; ale że nawet myślał o stosowaniu nauk specyalnych do potrzeb życia powszedniego, starając się o fundusze na założenie *burs* dla uboższych, „bo kraj potrzebuje pożytecznych artystów, oczekuje ludzi, którychby byt osobisty był związany z ciągłą krajową usługą, którzyby się rozradzali, niosąc światło z professyą rzemieślników, przystosowując je do kunsztów i ułatwiając przedmiot najważniejszy cywilizacyi narodu. Nie między możnymi znajdziemy nauczyciela, co oświeci wieśniaka, chirurga, co go ocali, mechanika, co jego rolnicze załatwi prace, architekta, co kraj upiększy i wygody jego zwiększy, malarza i snycerza, co zagrzebane u nas podniesie kunszta[158])."

Z tego wszystkiego pokazuje się, że nietylko historyk, ale i pedagog, badający zasady, które edukacyą naszą nie tak dawno przenikały, z korzyścią pamiętnik Drzewieckiego przeczyta.

* * *

Kończąc ten przegląd pomników historycznych Kraszewskiego na polu dziejów naszych, z niemałym trudem wzniesionych, z rozrzewniającém uczuciem spozieram na czas, który na swoich skrzydłach uniósł te osobiste dzieje i te widoki dobra powszechnego. Prowadzony dość długo szlachetną ręką szanownego Jubilata po niwach historyi naszéj wśród poważnéj dyskussyi, truchleję w chwili samego rozstania się z tymi wymownymi świadkami przeszłości naszéj, na tę myśl, żem może zbyt pobieżną analizą umysłowéj spuścizny zasłużonych mężów ubliżył ich poważnym cieniom, — a może obraził jeszcze cienie tych, o których zaledwo krótką wzmiankę uczynić mogłem. Proszę tedy szanownego Jubilata o wyrozumiałość, a nawet *venia mihi opus est*, bo jak Tacyt mówi[159]): *adeo virtutes iisdem temporibus optime aestimantur, quibus facillime gignuntur. At nunc narraturo mihi vitam defuncti hominis venia opus fuit, quam non petissem, (ni) incusaturus tam saeva et infesta virtutibus tempora.*

J. K. Plebański.

PRZYPISKI.

[1]) Tac. An. III 55.
[2]) Athenaeum, Warsz. 1876. T. III, p. 599.
[3]) M. Bobrzyński, Dzieje Polski, Warsz. 1879.
[4]) Zob. w Bibliotece Warsz. 1865 roku rozprawę naszę o historyczném znaczeniu Juliusza Cezara. – Część I-sza.
[5]) Athenaeum 1841 T. I, pag. 7 — 34. Poprzednio już znane ze Zbioru Pamiętn. J. Urs. Niemcewicza. Tylko niedokładność pierwszego wydania mogła usprawiedliwić powtórną edycyą z odpowiedniém objaśnieniem.
[6]) Obydwa te pomniki, drukowane pierwszy raz w Athenaeum, znalazły się znowu powtórzone w 4-tym tomie Biblioteki Pamiętników i Podróży (Drezno 1871, pag. 123 — 144) bez żadnéj wskazówki przedruku i bez wiadomości, że Excerpt rękop. Jana III przepisany był przez Lachowicza z ces. biblioteki w Petersburgu.
[7]) Wilno 1851. Poprzednio drukowane w Athenaeum.
[8]) przepisany przez J. I. Kraszewskiego. Oddrukowane w dodatku miesięcznym do Czasu, Mies. Grudzień 1856 r. pag. 667 — 739. Późniéj przedrukowane w dziele Kraszewskiego pod tyt. Mogiły. Abracadabra. Warsz. 1859. pag. 229—338.—My korzystamy z wydania w Dodatku mies. do Czasu.
[9]) Sob. w Encyklop. Powsz. Orgelbranda podaje mylnie rok urodzenia Platera na 1748, ponieważ nieprawdopodobną jest rzeczą, aby 16-to letni młodzieniec mógł wchodzić w poczet elektorów króli — i brać udział w burzach sejmowych w 18-tym roku swojego życia.
[10]) Iłowajski, Sejm Grodzieński, Tłum. polskie, Poznań 1872, pag. 115.
[11]) Depesze tego poselstwa są drukowane w Bibliotece Ossol. Lwów. 1863 T. III. pag. 365.
[12]) Iłowajski l. c.
[13]) Należało do téj delegacyi 10 osób, mianowicie obydwaj hetmani Xawery Branicki i Rzewuski, X-że Sapieha, Mir, Kossakowski hetman, Plater, Członek Rady Nienstającéj, Granowski, Kossakowski wojewodzic, Potocki wojewoda Kijowski i Wielhorski.
[14]) pag. 682 — 686.
[15]) Iłowajski, Sejm Grodzieński, tłum. polskie, pag. 100—102.
[16]) Z autografów. Wstęp i przypiski J. I. Kraszewskiego. Poznań 1879, str. VII 206.
[17]) pag. 120.
[18]) L'amour dans le mariage, 1856.
[19]) Drukowane w 4-tym tomie Pamiętników J. Duklana Ochockiego.
[20]) Starościna Bełzka ed. Lwowska 1876 pag. XI i XII.
[21]) Dyaryusz podróży Stanisława Augusta Króla na Ukrainę w r. 1787.
[22]) A. E. Koźmian. Wyciągi Piotrowickie Wrocł. 1842 r. i Roczniki Tow. historyczno-literackiego w Paryżu 1867.
[23]) *Segur*, ambassador franc. w Rossyi, Pamiętniki, *Helbig*, Życie Potemkina w Czasop. niem. Minerwa, z r. 1792—98. M-me de Staël, Lettres et pensées du marechal prince de Ligne. Paris 1809. Herrmann. hist. Rossyi T. VI.
[24]) Pamiętniki z 18-go wieku. Poznań 1868, T. X.
[25]) Podróż Króla Stanisława Augusta do Kaniowa w r. 1787. Podług listów Kazimierza Konstantego hr. de *Broel Platera* opisana przez J. I. Kraszewskiego. Wilno 1860. (Poprzednio drukowane w Gazecie Warszawskiéj).
[26]) pag. 169. Pamiętnik ten Jerlicza wydał Wł. K. Wójcicki w Warsz. 1858.
[27]) Niwa.
[28]) Lekceważenie tych względów pozwoliło wielu miernościom wyróść na admirowanych bohaterów. Zob. Bronisł. Chlebowskiego piękną rozprawę o Pasku w Tygod. Illustr. 1879 N. 164.
[29]) Przekład skrócony Hieronima Feldmanowskiego. Drezno 1870. W Bibliotece Pamiętników i podróży po dawnéj Polsce stanowi Pam. ten tom II.
[30]) Scriptores rer. Silesiacarum Wrocław. 1840. T. IV p. 21 — 162.
[31]) Wrocław 1860 pag. 84, 85.
[32]) Leben und Abentheuer des schlesischen Ritters Hans von Schweinichen, wyd. Büsching. Lipsk 1823 T. 3. Prócz tego pamiętnika pisał jeszcze Schw.: „Życie Henryka kscia na Lignicy," którego kopia miała się znajdować w bibliotece Bernardynów w Wrocławiu. Nie możemy w téj chwili sprawdzić, czy się tam jeszcze znajduje, chociaż pragnęlibyśmy dowiedzieć się, czy Schw. w téj drugiéj pracy zapatruje się poważniéj na swój przedmiot, i czy więcéjby się przez to dzieło przyczynił do poznania historyi wewnętrznéj zgermanizowanéj już wówczas dzielnicy Piastowskiéj na Szlązku, aniżeli przez te opisy awantur życia dworskiego i dzikich kaprysów książęcych, które nasz Pamiętnik przedstawia.
[33]) Str. 69, 70.
[34]) Zbiór poetów polsko-łac. Wład Syrokomli.
[35]) pag. 8 — 13.
[36]) Zob. Mosbach. l. c. 79, 84.
[37]) pag. 27, cf. p. 30, 34, 35, 36. „Chciał odwiedzić tamecznego wojewodę Piotra Zborowskiego, ażeby tenże dopomógł księciu zostać królem polskim." „Była tam ogromna pijatyka, Polacy, których była znaczna liczba, krzyczeli: Ten będzie naszym królem! Spełniali zdrowie księcia, a, wychyliwszy kielichy, tłukli je o łby, co się memu panu bardzo podobało. Tańcował włoskie tańce i był bardzo wesół i t. d. p. 94, 96.
[38]) pg. 97 — 99.
[39]) Tłumaczenie Feldm. jest w tém miejscu (pg. 137—138) zanadto blade, cf. Mosbach l. c. pg. 85.
[40]) pg. 152.
[41]) p. 152, 159, 159, cf. Mosbach l. c. 212.
[42]) p. 159.

[43]) p. 159. „Trudność była nie mała z pogrzebem w katolickim Krakowie. Białoskórnicy ze Szlązka, mieszkający w Krakowie, zanieśli go do kościoła Braci z Zakonu Jałmużników, którzy za znaczną opłatą ciało przyjęli i w kaplicy zamurowali. Nie słyszano, aby którego z książąt szlązkich taki los był spotkał... i po śmierci ziemia go nie przyjęła i przyjąć nie chciała".

[44]) Porównaj Vol. Leg. T. I. Anno 1400, 1433, 1470, 1499.

[45]) Schwein. pg. 155 of. Orzelski, Bezkrólewie T. III p. 121.

[46]) Podróż i poselstwo polskie do Turcyi. Podróż E. Otwinowskiego 1557, Jędrzeja Taranowskiego 1569 i poselstwo Piotra Zborowskiego 1568. Z rękop. przygotowane do druku przez J. I. Kraszew. wyd. Kaź. Turowski, Kraków 1860 str. 82.

[47]) Przedmowa Kraszewskiego. Porównaj listy Stanisława Żółkiewskiego d. d. Żółkwia 23 Czerwca 1620 wyd. T. X. L. Krak. 1868 p. 147.

[48]) Dwór cesarza tureckiego i rezydencya jego w Konstantynopolu, opisany przez Sz. Starowolskiego. Krak. 1646. Wyd. 7-e w bibliot. Turowskiego. Krak. 1858. Tłumaczenie ruskie p. Łyszłowa. Moskwa 1687.

[49]) Ruggieri w relacyi z r. 1568. Relacye nuncyuszów. Berl. 1864 pg. 204.

[50]) Między wielu innemi faktami pokazuje się to najwybitniéj w sprawach krzyżackich, tudzież w stosunkach Polski do Czech w epoce husytyzmu. Zob. Polityka polska w czasie upadku Jerzego z Podjebradu przez *Fryderyka Papée*. Krak. 1878. T. VIII. Rozpraw akad. Tamże: Prohaska, Polska a Czechy. T. VII i VIII. Smolka w Athenaeum Warsz. 1879. *Sutowiez* Bibl. Warsz. 1879 Czerwiec i Lipiec.

[51]) Leopoldus Ranke, De historiae et politices cognatione atque discrimine. Berolini 1836.

[52]) Prócz wielu wcześniejszych zwracamy uwagę na rozporządzenia Nieszawskie w r. 1454. Zob. R. *Hube* Statuta Nieszawskie. Warsz. 1875.

[53]) Mencken, Sigismundi Augusti Epistolae, legationes et responsa. Cf. także *Muehlińskiego* artykuł w Tece Wileńskiéj.

[54]) Łuk. Górnicki, Dzieje w koronie P. od roku 1538 — 1572 wyd. Turowski pg. 127 — 134 cf. Dr. Alex. *Hirschberg*, Jan Łaski, arcybiskup gn. etc. Lwów 1879.

[55]) Jakóba Michałowskiego Księga Pamiętnicza Krak. 1864 pg. 819 — 826.

[56]) Gesch. d. Chane d. Krim Wien. 1856. J. Bartoszewicza, Pogląd na stosunki Polski z Turcyą i Tatarami, Warsz. 1860, tudzież prace prof. Muchlińskiego w Tece Wileńskiéj.

[57]) Górnicki l. c. pg. 133. Szujski nie zwrócił uwagi na to wyraźne świadectwo Górnickiego i domyśla się bez zasady w wysłaniu Taranowskiego aktu prostéj grzeczności dla osiadłego niedawno na tronie Selima II.

[58]) Pamiętnik Jana Władysława Poczobuta Odlanickiego (1640 — 1684). Przepisał z autogr. i przypiskami opatrzył hr. *Leon Potocki*. Opisaniem rękopismu poprzedził i objaśnieniami uzupełnił J. I. Kraszewski. Bibl. Ord. hr. Krasińskich. Muzeum Konst. Świdzińskiego. T. 3, Warsz. 1877. Dyaryusz P. rozpoczyna się właściwie z r. 1658, bo przedtem mamy tylko prócz daty urodzenia autora (r. 1640) i śmierci (1698) tylko wzmiankę o poddaniu się Wilna Szwedom, zapisaną mylnie pod r. 1658, ponieważ wiadomo, że ten naganny krok uczynił Radziwiłł w r 1655. Wydawcy powinni byli błąd ten sprostować.

[59]) pg. 124—126.

[60]) pg. 105.

[61]) Przegląd krytyczny. Krak. 1877. Zesz. 10 Październik. pg. 375.

[62]) Ludwik Nabielak, Jana Klemensa Branickiego: O poprawie Rptéj, memoryał podany rządowi francuzkiemu 1762 r. wraz z pismem Stan. Konarskiego w téjże materyi przedstawioném posłowi franc. Paulmy'emu. Bibl. Ossol. Lwów 1865. T. VI. pg. 1—91. cf. Tom. V. p. 1—123.

[63]) Le secret du Roi. Correspondance secrète de Louis XV avec ses agents diplomatiques 1752—1774 par le duc de *Broglie*. Paryż 1878. T. 2.

[64]) Dorow, Denkschriften. Berlin. 1840 IV. 146 powołany przez *Roepella* l. c. pg. 89, 90 w Uwadze.

[65]) Drezno 1870, str. XIX i 464.

[66]) pg. 248, 249, 250.

[67]) Biblioteka. Pamiętnik T. 3-ci pag. 251—261. Vitzthum, Les secrets du cabinet saxon, Stuttgart. 1866. 2 vol. —

[68]) Pag. 16 58—63. O wojewodzie ruskim czytamy, że tylko starania siostry zniewoliły go do opuszczenia służby w wojsku austryackiém i zbliżenia się do ojczyzny, w któréj obyczaje, rząd i całe położenie stało mu się zarówno nienawistném, jak obcém, myślał, że nigdy w niéj do znaczenia nie dojdzie!

[69]) Ib.

[70]) pag. 20.

[71]) pag. 172.

[72]) pag. 67. 68.

[73]) 68. 69.

[74]) Powoływane przez Roepella 4 depesze agentów pruskich dostarczają aż nadto na to dowodów, między wielu innemi. pag 87 w uwadze.

[75]) Piotr W. donosząc Senatowi, że sprawa między Rptą a królem skończona przez poddanie się obydwóch stron woli medyatora, dodaje, że sami (Polacy) tak się związali wolą medyatorską, że ruszać się nie mogą. Pol. Zebr. Zakon. T. V. N. 3014, l. c. u Szczebalskiego. l. c. —Porównaj także Otwinowskiego, Dzieje za pan. Aug. II, wyd. Krak. 1849, pg. 313 — 316.

[76]) Listy Jana de *Witte*, generałmajora wojsk koronnych, Pułkownika art. kor. kommendanta fortecy kamienieckiéj itd. 1777 do 1779. Warsz. 1868.

[77]) Notaty generała brygady Wkopolskiéj kawaleryi narodowéj z lat 1775—1778 z rękopismów spisane przez J. I. Kraszewskiego. Drezno 1871. Bibliot. Pamiętn. T. IV. Poprzeduio był już Pamiętnik ten w Bibliotece Warsz. 1854.

[78]) Między papierami familijnémi, o których wiadomość udzielił mi jeden z potomków Jana, p. Józef Lipski z Lewkowa, prócz 2 listów Stan. Augusta r. 1768 (do Miecznika Kaliskiego) i 1782 d. 26 Lutego (do kasztelana Santockiego) polecających naszemu autorowi, aby 1-o kredytu swego między obywatelami użył w celu wybrania na sejmiku posłów zacnych, — 2-o aby przed wydaniem uniwersałów królewskich, to wszystko wypisać nie omieszkał, cokolwiek będzie sądził nietylko do uformowania uniwersałów y instrukcyi na sejmiki przedsejmowe potrzebnego, ale też dla uszczęśliwienia kraju y zacnych iego obywatelów. P. Teodor Żychliński udzielił mi łaskawie 1-éj korrekty drukującego się zeszytu „Księgi Złotéj Szlachty," ale i tu nie znaleźliśmy powiększonego materyału biograficznego naszego autora.

[79]) Żałujemy, że p. Żychl. nie zwrócił na ten punkt, ważny dziś, w W. X-twie oznańskiém pilniejszéj uwagi. Z Vol. Leg. widzimy, że nasz autor posiadał dobra dziedziczne dziś Skórzewskich (*Czerniejewo*) *Goraino i Gorainko* — tudzież wsie *Sepienko* (dziś w ręku Biegańskiego), *Łagiewniki* i *Kiełczewo*. Ann. 1775. Vol. VIII pg. 373. 374. W tymże r. ibid. p. 142 zapisano Lipskiemu, generał-ma-

jorowi wojsk koronnych w nagrodę zasług *Expectatywę* na starostwo Kościańskie post fata teraźniéjszego possessora (Chłapowski), z której zdaje się śmierć nie pozwoliła mu korzystać. W jakim stosunku zostawał nasz autor do owego butnego magnata w Janowcu (znanego z Pam. Ochockiego. T. 1. 380)?

[80]) Historyczne.

[81]) pag. 50, 56.

[82]) pag. 68.

[83]) pag. 27, 93.

[84]) pag. 105—108.

[85]) pag. 83—85.

[86]) Zobacz odnośne Konstytucye w Vol. Leg. z lat 1611 (Vol III. p. 16.), 1613 (Vol. III. p. 85)., 1631 (Vol. III. p. 333)., 1667 (Vol. IV. p. 449)., 1764 (Vol. VII. pag. 34.) Cf. Pamiętnik J. Duklana Ochockiego T. II. pag. 25.

[87]) Seweryn Rzewuski. Uwagi nad prawem, któreby szlachcie bez possessyi activitatem na sejmikach odbierało. Warsz. 1790.

[88]) Kajetan Koźmian I.

[89]) pag. 75.

[90]) pag. 76.

[91]) pag. 113.

[92]) pag. 31.

[93]) pag. 31. 32.

[94]) Mierzejewski główny plenipotent ks. Sapieżyny.

[95]) Ks. Czartoryskiego.

[96]) pg. 7.

[97]) Polska w r. 1793, według podróży Fryderyka Szulca, T. I Biblioteki Pamiętników podróży przez Krasz. Drezno. 1870. Tytuł niemiecki dzieła: Reise eines Lievlaenders von Riga nach Warschau. Berlin 1795-1797. Wkrótce potem tłumaczone było na język francuzki.

[98]) Voyage de Brandebourg, Pomeranie, Prusse, Courlande, Russie et Pologne p. Jean Bernouilli publ. en 1779 dans le journal allemand 1777-1779. Tłumaczenie franc. Vars. 1782 jest uzupełnione dodatkami autentycznych wiądomości z uszczupleniem dyskussyi politycznéj.

[99]) Voyage en Pologne, Russie, Svède, Danemarc etc. p. Mr. Will. Coxe. Traduit de l'anglais enrichi de notes etc. p. M. P. H. Mallet. Genève 1786 r.

[100]) Krasz. pg. 30.

[101]) Były to skutki wewnętrznych wstrząśnień i wojen szwedzkich, które za Sasów Polskę trapiły; „a przecie dla pustych wsiów szwankowało zrazu (1717 r.) wojsko na zasługach i hibernach. bo podczas owéj 15-letniéj wojny w Polsce tysiącami takich wsiów mógł rachować, a osobliwie królewczyzn, że tylko niebo i ziemia została. E. Otwinowski, Dz. P. pod pan. Ang. II. Krak. 1842 r. pa 311.

[102]) Krasz. rozdział II. pg. 35, 77.

[103]) Beitraege zur neusten Staatsgeschichte der Herzogthümer Kurland und Semigallen. Mitau. 1792.

[104]) Krasz. pag. 246. 252.

[105]) Krasz. pag. 254.

[106]) Krasz. pag. 86.

[107]) O literaturze politycznéj czworoletniego sejmu mamy dobrą, jakkolwiek przedmiotu wcale nie wyczerpującą rozprawę Pilatą. Krak. 1872.

[108]) Biedermann.

[109]) Zob. Biedermann, Deutschland im 18-ten Jahrhundert.

[110]) Zob. Dunin Karwicki, De ordinanda republica z r. 1709. Wyd. 1746, nowsze w Krakowie 1871.

[111]) Zob. Edward Fischel, Die Verfassung Englands. Berl. 1864 pag. 364.

[112]) Vol. Leg. I An. 1413 p. 31 kolumna 1-sza od „Hocetiam addito" do „litterarum" cf. ib. An. 1433, pag. 40 kolumna 1-sza od „Volentes ut benevolentia eorum„ i t. d. ibid. An. 1470 pag. 103. cf. ib. An. 1499 pag. 129.

[113]) R. *Hube* Statuta Nieszawskie 1454 r. Warsz. 1875.

[114]) Zob. Kromer, Chronicon wyd. Kolońskie 1598 pag. 400; tudzież Descriptio Polon. pag. 521 cf. Warszewicki i. w. i.

[115]) Zob. we wstępie do Konstytucyi z r. 1543. Vol. Legum. ed. Ohryzki T. I pg. 277. 278.

[116]) Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane przez Kraszewskiego. Wilno. 1857. T. IV.

[117]) Ze zbiorów Konstantego Świdzińskiego.

[118]) Ze zbiorów Włodzimierza hr. Platera.

[119]) Pamiętn. t. I. pag. 118.

[120]) Ibid. t. I. pag. 76.

[121]) Ibid. pag. 12.

[122]) Ochocki pozostawił nam wierny opis zbytkowego urządzenia rezydencyi tego wejewody, który wsławił się strasznêm okrucieństwem i srogością, z jaką przywracał w tych stronach spokój po humańszczyźnie. Notatki Ochockiego, nie widzę, by miały się nie zgadzać z opisem Naruszewicza, jak nadmienia Kraszewski — owszem Naruszewicz, Ochocki i Plater nie różnią się w tym razie. Przy opisie magnackiéj téj rezydencyi u Platera (pag. 90. 91.) dorzuca Kraszewski tę uwagę: dziś z tych splendorów wojewody Kijowskiego podobno kamień na kamieniu nie pozostał, z pałacu ani śladu. Kościół jeden za grzesznika się dotąd modli.

[123]) Od 1786—1788. Pamiętniki I. pag. 185. ef. pag. 224.

[124]) Pag. 227. 228.

[125]) Pag. 231.

[126]) Pag. 234.

[127]) Pag. 380—403.

[128]) Pam. t. 1. pag. 316. i pag. 275. 276.

[129]) Pamiętn. I. pag. 271.

[130]) Pam. T. II. 409.

[131]) II. 148. 205· 403.

[132]) II. 105.

[133]) II. 230.

[134]) III. 169.

[135]) I. pag. 10.

[136]) Zarzuty Iłowajskiego co do obrazków fizyonomii Grodna podczas ostatniego sejmu, są zbyt wyszukane i naciągnięte, bo *Och.* nie chodzi o to, czy te lub owe panie były w Grodnie, ale przeciwstawia tylko ich powagę chichocącej lekkomyślności innych. Iłow. zaprzecza przeciw Och. wpływu kobiet na te wypadki, w czém historya prędzej pójdzie za opinią może w danym razie trochę za jaskrawą Ochockiego.

[137]) T. I. pag. 40.

[138]) T. II. pag. 25.

[139]) Wskazaliśmy już te konstytucye powyżéj w § 5 mówiąc o Notatach Lipskiego,

[140]) Zob. w tej materyi pismo Sew. Rzewuskiego i Manifest konf, targowickiéj, u Leona *Wegnera.* Rocznik Tow. Prz. N. Poznańsk. 1863 tom. II. pag. 547—548.

[141]) II. 403.

[142]) III. pag. 193.

[143]) III. 75.

[144]) Upominek dla synów, który wydał Kraszewski jako 5-ty t. Biblioteki Pamiętników i Podróży. Drezno, 1871. — Dawniej już wydrukował *Dziennik warszawski* ustęp o szkole kadetów. Obszerniejszy daleko fragment wydał był Kraszewski w 4-ym t. Ochockiego w r. 1857.

[145]) Łukaszewicz, Historya szkół. T. II. 93. 94. Porównaj uwagi L. Siemieńskiego o szkole kadetów w bibl. Ossol. Lwów 1865 T. VII. pag. 1—19.

[146]) Drezno 1871.

[147]) Biblioteka Krasz. T. 4 pag. 3—19. Memoryał ten drukował już dawniéj *Grzymała* w Sybilli, a w r. 1863. Biblioteka Ossolińskich w T. II. pag. 297—317. cf. ibid. 298.

[148]) Pamiętnika tego nie ma w „Bibliotece," ale drukował wyciąg z niego Kraszewski w Kalendarzu Tow. Dobroczynności Warsz. 1863. Zob. także tom XVI Raczyńskiego, Obraz Polaków i Polski w 18 wieku. Poznań 1842 r.

[149]) Biblioteka Ossolińskich. Lwów 1864 Tom V. pag. 270—302.

[150]) Pamiętn. Drzewieckiego str. 345 cf. 427. 445.

[151]) Umowę tę mamy przy życiu Tad. Czackiego p. ks. Alojzego Osińskiego. Krak. 1851. p. 136, 137.

[152]) Zastanawia nas, że o przeniesieniu skarbów naukowych z Krzemieńca do Kijowa, gdzie w roku 1835 wzniesiono uniwersytet, nie ma u Drzewieckiego najmniejszej wzmianki.

[153]) Zob. E. Iwanowski o Rudzkim w Athenaeum 1846. T. V. pag. 65—76.

[154]) Zob. obronne przeciw téj opinii uwagi Ignacego Potockiego d. d. Puławy 3 Stycznia 1804. u Alojzego Osińskiego. Życie Tad. Cz. Krak. 1851. pag. 145—147.

[155]) Zob. Drzew. Pamiętn. pag. 319—325.

[156]) Pam. Drz. str. 311 cf. 457.

[157]) Pamiętn. Drzew, pg. 545, 346, cf. 446.

[158]) Pamiętn. 323.

[159]) Tacitus. Agricola op. I.

WSPOMNIENIA.

Kartka z niedawnéj przeszłości.

Wstęp.

Choćbym miał się narazić na miano dziennikarskiego *intervieuwera*, szukającego tylko okazyi do skradzenia znakomitościom literackim kilku chwil drogiego czasu, aby módz następnie ogłosić drukiem szczegóły pochwyconéj przy téj sposobności rozmowy, przyznaję, że możność osobistego powitania Kraszewskiego, jaka mi się w miesiącu Wrześniu 1878 r. w Paryżu szczęśliwie nastręczyła, przejęła mnie prawdziwą radością.

Oprócz chęci wynurzenia zacnemu pisarzowi wyrazów uszanowania, wiódł mnie do Kraszewskiego i cel jasno określony.

W powołanéj do życia z okazyi pięćdziesięciolecia zasług Mistrza książce Jubileuszowéj, winna była, z natury rzeczy, znaléść miejsce karta, poświęcona historyi owéj ważnéj w dziejach naszéj społeczności epoki—jaka uprzedziła wprowadzenie w czyn prawnéj i społecznéj emancypacyi żydów polskich i ważnéj roli, jaką słowo Kraszewskiego w tym dziejowym odegrało momencie.

Jako wdzięczne dziecię téj właśnie epoki postanowiłem skorzystać ze sposobności i wypełnić tę jasną kartę dziejową szczegółami, odnoszącemi się do wyjaśnienia stanowiska pierwszorzędnego naszego powieściopisarza i publicysty w kwestyi, myślący ogół tak żywo obchodzącéj.

Zamiarowi temu szczęśliwie przyszło w pomoc przypadkowe zetknięcie się z Mistrzem podczas Wystawy Powszechnéj w nadsekwańskiéj stolicy.

Zastałem Kraszewskiego w domu D-ra Gałęzowskiego, przy ulicy Clichy, gdzie przebywał nieco cierpiącym i osłabionym. W skutek nadmiernéj pracy nad cyklem historycznych powieści, wymagających poważnych studyów nad kronikami i szperania po zbutwiałych szpargałach, cera twarzy Kraszewskiego pobladła a głowa pochyliła się ku ziemi... Z tém wszystkiém, w ruchliwych oczach pozostał blask niezaćmiony, ożywiający się chwilami niezwykłym ogniem.

Patrzałem z czcią prawdziwą na oblicze owego starca, na ramionach swoich dźwigającego pół wieku niepożytéj pracy i zasług dla dobra i chwały kraju...

Bez przesady mówiąc, niebyło, a może i nie będzie człowieka, któryby w sferze twórczości literackiéj tyle dobrego dla swéj społeczności zgotował, ile to uczynił Kraszewski przy mało sprzyjających ku temu warunkach...

Gdzieindziej dzieło fantazyi, powieść, ma przedewszystkiem na celu rozrywkę, przyjemne zabicie czasu, drażnienie nerwów czytelnika rozkosznemi lub wstrętnemi obrazami.

Kraszewski tę sferę twórczości podniósł do godności obywatelskiego czynu. Każda jego powieść przynosi społeczeństwu zdrowe ziarno nauki, obraz żywota narodowego z jego wadami i cnotami, zwierciadło, w którém żyjące pokolenie przejrzeć, wzoru do naśladowania lub przykładu przestrogi moralnéj zaczerpnąć może.

Po krótkiéj, przedwstępnéj rozmowie o faktach bieżących przedstawiłem Kraszewskiemu cel główny, jaki mnie do niego sprowadził, przyczem prosiłem o wyjaśnienie mi niektórych szczegółów z przeszłości, niezbędnych dla wyświetlenia okoliczności, jakie towarzyszyły przybyciu Kraszewskiego około r. 1858 do Warszawy i objęciu przezeń redakcyi Gazety Codziennéj.

Z zakłopotaniem właściwém wrodzonéj Kraszewskiemu skromności przyjął mistrz moje wynurzenia.

— Czytałem, rzekł, w prospekcie książki, którą tyle dla mnie łaskawi wydać zamierzacie, o udziale, jakiś przyjął w téj drogiéj dla mnie ofierze. Wyjaśnień, szczegółów innych, nad te, jakie tak tobie, jako i całemu czytającemu ogółowi polskiemu aż nazbyt są znane, udzielić nie jestem w stanie. Wyniosłem z owego czasu wspomnienie najprzykrzejszych w życiu chwil, ale zarazem i to przeświadczenie, że to, com zrobił, zrobiłem wedle sił moich, w tém przekonaniu, że spełniam dzieło dobre, płodne w brzemienne dla kraju następstwa. Zachowałem z owego czasu księgę listów bezimiennych, w których mi zarzucano najniegodziwsze, najwstrętniejsze zamiary i cele. Przyszła jednak niezadługo chwila, że wszyscy ci, którym wystąpienie moje w obronie praw ludzkości, w obronie praw wszystkich mieszkańców ziemi naszéj do jednakiego korzystania z dobrodziejstw oświaty, wydało się początkowo niezrozumiałém i zgubném, stanęli po mojéj stronie. Cele moje i działalność są jasno i szczerze wyłuszczone na kartach Gazety, któréj podówczas byłem kierownikiem. Odczytaj sobie te karty—one będą najlepszym komentarzem moich usiłowań i zamiarów.

— Wybaczcie mi, wtrąciłem, że poruszę jeden jeszcze szczegół z owéj epoki. Wystąpienie Wasze, w charakterze redaktora Gazety poprzedziło przykre zajście między postępowym żywiołem ludności mego wyznania a jedném z pism warszawskich, zajście, które szerokiém odbiło się echem po całéj ówczesnéj publicystyce krajowéj i wywołało pamiętne rozdrażnienie. Pominąć ów szczegół w pracy, któréj zadaniem ma być odzwierciedlenie ówczesnych stosunków w duchu bezstronnym i beznamiętnym — niepodobna. Czy jednak przypomnienie tych przykrych zajść i stosunków, dziś, na szczęście, zapomnianych, nie wyda się Wam dziwnym dyssonansem w obecnéj chwili pojednania i zapomnienia uraz wzajemnych?

—Zajście, o którem mowa, odrzekł po chwilowym namyśle Kraszewski, należy do historyi. Zapisało się ono niestartémi zgłoskami w rocznikach naszego umysłowego żywota i było konieczném niejako następstwem nastroju opinii i stosunków krajowych. Szerokie i beznamiętne traktowanie przedmiotu nie zadraźni niczyich uczuć i nie obudzi niewłaściwych skrupułów.... Walka i ścieranie się opinii są nieodzownym warunkiem życia. Tylko takim sposobem wyłania się prawda i postęp. Zajście, o którém mówimy, nie było objawem pojedyńczym i wyjątkowym. Powtarzało się ono często i powtarza wszędzie, gdzie objawy życia szukają sobie dróg możliwych dla zamanifestowania się na zewnątrz. Co do mnie osobiście, nie uznaję żadnéj niewłaściwości w przedmiotowém traktowaniu tego, co weszło do dziejów naszego żywota, jako obraz usposobień danéj chwili. To, co się stało, stać się musiało nieodzownie siłą naturalnego biegu wypadków. Nie liczę sobie bynajmniéj za zasługę tego, żem bez względu na osobiście doznane przykrości, stał silnie przy tém przeświadczeniu, że prędzéj czy późniéj po mojéj stronie znajdę tych, którzy w nieufności odwrócili się odemnie na chwilę. Oto wszystko, cokolwiek ze swéj strony o tym przedmiocie nadmienić mogę. W tym nawet duchu wypowiedziałem był niedawno w *Atenaeum* swój pogląd w pośmiertném wspomnieniu o mężu, który dla kraju niepospolite położył zasługi i który miał dość odwagi cywilnéj i obywatelskiéj, aby stanąć w poprzek ogólnemu prądowi i swemu dziennikowi nadać kierunek taki, jaki i mojém zdaniem odpowiadał ówczesnym kraju potrzebom....

Na tém rozmowa moja z Kraszewskim skończyła się. Zanotowałem wiernie ważniejsze jéj momenta, a dając ją dziś sposobem przedmowy do krótkiego szkicu wspomnień z ostatnich lat dziesiątków dziejów naszéj umysłowości, sądzę, że nie popełniam niedyskrecyi, jeżeli słowami pierwszorzędnego ich czynnika zasłonię się przed możliwemi zarzutami, jakie, z powodu téj pracy zkądkolwiekbądź spotkaćby mnie mogły....

Spokojne i beznamiętne traktowanie przedmiotu, oto główny warunek, jaki sam sobie w niniejszéj pracy założyłem. Nie sądzę również, aby poruszenie w niéj kilku szczegółów, drażliwych może, ale z prawdą najzupełniéj zgodnych, obudzić mogło czyjebądź skrupuły.

. . . .

(Fragmenta z większéj całości).

I.

Działo się to przed dwudziestu, mniéj więcéj laty. Komuż z żyjących dziś literatów

i artystów nie utkwiły w życzliwéj pamięci chwile spędzane w owéj epoce, w mieszkaniu T. przy ulicy Danielewiczowskiéj, w domu, gdzie przez czas długi mieściła się Redakcya dawnéj Gazety Codziennéj?

Skromne te, artystycznym bezładem nacechowane pokoiki na pierwszém piętrze były, rzec można, punktem zbornym, gdzie zogniskowywało się podówczas życie duchowe intelligencyi tutejszéj.

Oryginalny bo widok przedstawiało to istne *kafarnaum* literackiéj i artystycznéj siedziby!

Wszystkie stoły, stoliki, kąty i szafy zapełnione były bezładnie książkami i nutami... Kto chciał przysiąść na krzesełku, musiał sobie najprzód torować drogę między stosami papierów i gazet różnojęzycznych, porozrzucanych po podłodze... Na ścianach wisiały obrazy olejne w ramach i bez ram, rozliczne studya głów, nosów, rąk i nóg — widocznie jako okazy talentów rwących się do życia i do kieszeni gospodarza... Gdzieniegdzie świeciły gruppy fotograficzne ze znaczącemi podpisami, zakrętami i wierszami. Główne zaś miejsce zajmowało wielkie płótno Kostrzewskiego, przedstawiające żydowskich kamieniarzy, tłukących szaber na publicznym trakcie. W pokoju pierwszym od dziedzińca przy oknie z po za szerokiego biurka zapełnionego kupieckiémi książkami i listami, stosami papieru czystego i zapisanego, massą książek o okładkach różnokolorowych z porozszarpywanemi dla pośpiechu kartkami, wyglądała postać gospodarza o fizyognomii Beethovena, z włosami bezładnie w tył zarzuconémi, bardzo mało, a częstokroć zupełnie nieubranego...

O każdéj godzinie dnia, a nierzadko i nocy, spotykałeś w koło tego biurka gromady ludzi rozmaitych stanów i zawodów...

Artysta spieszył w to miejsce, aby się podzielić z gospodarzem melomanem wrażeniami świeżo odegranéj opery, symfonii lub sonaty... Literat dyskutował o najnowszéj powieści lub dramacie. Filozof spierał się o poglądy Kanta i Hegla. Specyalista rozwodził się nad znaczeniem świeżo wynalezionego systematu dyfuzyjnego w cukrowniach...

Od czasu do czasu przybywał z kantoru subjekt z listem, na który bezzwłocznie odpowiedzieć należało, lecz wiecznie roztargniony gospodarz zajęty pokonywaniem trudności jakiejś partytury fortepianowéj, odpowiadał, przyśpiewując, aby mu w téj chwili nie przeszkadzano...

Na tle téj barwnéj processyi ludzi wszelkich powołań, zarysowywała sie od czasu do czasu postać jakiegoś biedaka przybyłego po jałmużnę, kobiet żałobnie ubranych proszących o wsparcie, uczniów gimnazyalnych, za których zacny T. opłacał wpisy szkolne, lub jakiegoś siwego żyda, przybyłego z dobrą nowiną o postępach syna, kształcącego się kosztem zacnego mecenasa sztuk w konserwatoryum zagraniczném...

Młodzież szkolna znajdywała zawsze w zacnym T. opiekę i nie rzadko poparcie materyalne. T. lubił otaczać się młodzieżą, prowadzić z nią dyskussye o naukowych przedmiotach, zachęcać do pracy i zajęć poważniejszych. Biblioteka jego, będąca zbiorem najnowszych dzieł naukowych i belletrystycznych, zawsze stała dla wszystkich otworem. T. lubił książki namiętnie, czytał wszystko, cokolwiek mu popadło pod rękę. Powieść, traktat filozoficzny, dzieło specyalne technologiczne, poezye, wszystko to było przedmiotem najżywszego zajęcia owego niepospolitego umysłu...

Obdarzony poetyczną duszą i darem pióra, T. próbował sił swoich w artykułach dziennikarskich i w przekładach arcydzieł literatur obcych. Przekład „Natana" Lessinga był owocem tych usiłowań, które, jedynie z braku chwil swobodnych dla prac samodzielniejszego pokroju nie uwydatniły się jakimś trwalszym pomnikiem.

II.

W owéj to epoce zawiązało się było kółko młodzieży żydowskiéj, w celu peryodycznego zbierania się i odczytywania bądź nowo pojawiających się utworów litarackich i naukowych, bądź téż własnych wypracowań z literatury, historyi, nauk przyrodniczych, i dyskutowania nad niémi.

Kółko to zbierało się raz w tygodniu wieczorem, a po parogodzinnych ożywionych rozprawach nad czytanemi utworami, resztę wieczoru poświęcano muzyce zbiorowéj. Z razu kółko to składało się z kilku członków, powoli jednak zaczęli przybywać nowi członkowie z rozmaitych sfer żydowskich nietylko młodszego ale i starszego pokolenia.

Myśl, ożywiająca to zgromadzenie ludzi nierównego nawet stopnia wykształcenia, była szlachetną i obywatelską.

Oprócz celu rozrywki, powoli wyłaniać się tam poczęła tendencya ogólniejsza, chęć skierowania zbawiennego wpływu i na te warstwy ludności, które pogrążone w zabo-

bonach średniowiecznych i ciemnocie umysłowéj dostępu do światła cywilizacyi niemiały.

Poruszono myśl oddziaływania na biedniejsze klassy żydów sposobem zachęty do kształcenia się zapomogą naukową a częstokroć i materyalną.

Członkowie kółka zobowiązali się czuwać nad szkółkami elementarnémi żydowskiémi, przyjmować uczących się chłopców w swoich mieszkaniach, udzielać im lekcyi czytania i pisania po polsku, dostarczać im książek do nauki, słowem, propagować, ile można, światło i wykorzeniać zabobony.

Starsze pokolenie z nieufnością spoglądało zrazu na te usiłowania zbawienne; powoli jednak i ono wciągniętém zostało do szeregu agitatorów.

Wśród tego grona byli ludzie rozmaitych zajęć i powołań. Student akademii, spoglądający z góry na młodzież gimnazyalną, tracił w owém zebraniu charakter wyższości. Stawał się on bratem swego młodszego kolegi w mundurku. Przed kilkunastu laty owéj uczącéj się w ogólnych zakładach młodzieży było bardzo mało. Zaledwie kilku kształciło się w akademii medycznéj, kilkunastu w gimnazyach. Była to niejako arystokracya umysłowa w pośród „kółka", większość którego składała się z ludzi ze sfery kupieckiéj, mało bardzo lub też powierzchownie wykształconéj.

Lecz i między tą kategoryą znajdowali się ludzie ze zdolnościami wyższémi, ożywieni gorącą chęcią służenia ogólnemu dobru.

Nie obyło się tu téż i bez exemplarzy oryginalnych, zarozumiałych którym się zdawało, że umieją coś, a którzy w gruncie rzeczy nic albo bardzo mało umieli. Pamiętam jednego z téj kategoryi. Ciekawa to istotnie była figurka. Specyalném zajęciem owego człowieczka było korrespondowanie z redaktorami gazet miejscowych. Przybrawszy jakiś pseudonim angielski, młodzieniec ów uważał się za szczęśliwego i rósł w ambicyi pod niebiosa, gdy znajdował w rubryce „skrzynki do listów" odpowiedź do siebie wystosowaną, a zamkniętą w słowach: „nie kwalifikuje się do druku". Z tajemniczą wówczas miną, ukazując po kątach owę odpowiedź, tłumaczył się, iż napisał rzecz niecenzuralną i z tego tylko powodu redakcya pracy jego zamieścić nie mogła...

Ta szczególna mania poczciwego chłopca zarzucania redakcyi swémi pismami była wynikiem chęci odznaczenia się, chęci, która, dobrze skierowana, prowadzi do zasług rzeczywistych, użyta zaś na podrzędne cele, na śmieszność naraża...

III.

Kiedy już kółko, o jakiém mowa, uorganizowało się na trwalszych podstawach i, ułożywszy dla siebie statuta, zapragnęło działalność swoję rozszerzyć przez wciągnięcie do grona swego osób poważniejszych wiekiem i stanowiskiem, powzięto myśl uproszenia zacnego kaznodziei Dra J., aby przyjął na siebie protektorat moralny nad kółkiem i powagą swego imienia nadał zgromadzeniu temu charakter instytucyi naukowéj i kształcącéj.

Drugą osobistością uproszoną do współudziału w zebraniach był Henryk T.

Z całą serdecznością przyjął on zaproszenie a dla okazania młodzieży, o ile ceni okazane mu zaufanie, ofiarował jéj lokal swój na miejsce peryodycznych zebrań.

Od téj chwili każdéj środy wieczorem znane pokoiki przy ulicy Danielewiczowskiéj wrzały życiem i ruchliwością niezwykłą.

Program wieczorków był bardzo urozmaicony. Po przedwstępnéj pogawędce o faktach bieżących i o nowinach dnia, zazwyczaj jeden z członków zasiadał przy stoliku z rękopismem obejmującym jaki przedmiot z historyi lub literatury, odczytywał go zgromadzonym, poczem następowała dyskussya, w któréj prelegent uzasadniał ustnie wypowiedziane przez siebie przed chwilą poglądy.

Rozprawy bywały ożywione. Ostatnie słowo należało do przewodniczącego w zebraniu, którym zazwyczaj obierano gospodarza T., najczęściéj jednak dra J.

Herbata i muzyka zbiorowa kończyły posiedzenie.

Na jedném z takich wieczornych zebrań odczytaną była rozprawa o stanowisku pisarzy polskich w kwestyi żydowskiéj i o charakterach postaci żydów w powieściach najwybitniejszych przedstawicieli téj gałęzi literatury.

Treścią rozprawy było wykazanie, że postacie żydów w powieściach polskich były przeważnie ujemne, że powieściopisarze nasi z małym bardzo wyjątkiem, nie znając zupełnie społeczeństwa żydowskiego, ilekroć wprowadzali na widownią działania, postacie żydów, to niejako z zamiarem dogodzenia uprzedzeniom i niewybrednemu smakowi czytelników, przedstawiających sobie żydów pod postacią wstrętnych fanatyków lub też szwargocących żargonem lichwiarzy...

Odbiciem owego poglądu przewódzców umysłowego życia w narodzie było panu-

jące podówczas w społeczeństwie naszém uprzedzenie do jednéj ze składowych jego cząstek.

Powieść, jako najdostępniejsza katedra, z któréj przewodnicy narodu przemawiają do tysiąca serc i umysłów, zaszczepiając w nich zdrowe ziarna lub chwasty, tém wybitniejsze w literaturze polskiéj zajęła stanowisko i tém skuteczniéj oddziaływać mogła na czytające massy, ile że to była jedyna przez czas długi forma przejawiania się ducha narodowego na zewnątrz. Otóż ta właśnie powieść — mówiono — zamiast korzystając ze swego podniosłego znaczenia niweczyć zakorzenione w narodzie przeciw żydom przesądy, podwoić ich dodatnie strony, budzić takim sposobem i w żydach i w otaczającém ich społeczeństwie wzajemne ku sobie życzliwe uczucia, zajmowała zawsze nieprzyjazne względem żydów stanowisko. Ośmiewając ich, pomijając i upokarzając w najdroższych dla nich uczuciach, przedstawiała ich zawsze, jako szkodliwą dla społeczeństwa narośl, a w takt jednorzędny z takiemi poglądami szła i cała peryodyczna prassa...

— Uwagi te są dość zasadnemi — odezwał się wśród dyskussyi ze zwykłą powagą Dr. J.—Nie podobna jednak zaprzeczyć, że w owém tak niesympatycznem traktowaniu słowem i piórem postaci żydów i całéj ich społeczności, sami żydzi cząstkę winy na siebie przyjąć muszą. Jakże chcecie, aby pisarze polscy mało znający żydów, znający ich o tyle tylko, o ile im bezpośrednie i to, przyznać trzeba, niezbyt pociągające otoczenie nasunąć mogło pola do obserwacyi, mieli o żydach dobre wyobrażenie, kiedy żydzi sami, a przynajmniéj oświeceńsza ich warstwa, tak mało zna uboższych w duchu swych współwyznawców, tak mało się przykłada do poznania własnéj przeszłości, teraźniejszości i pragnień na przyszłość. Szczęśliwi, żeście się pod wpływem przypadkowych okoliczności, do których ręki nawet nie przyłożyliście, wydostali na brzeg i zaznali dobrodziejstw powierzchownéj cywilizacyi, całą swą dumę i wartość zakładacie w zrzucaniu ze siebie odpowiedzialności solidarnéj za ciemnotę, zabobony i absenteizm młodszéj swéj braci po wierze... Miarą zasługi i wartości w oczach waszych, jest, ile można, największe oddalanie się od współwyznawców, rzucenie ich na pastwę losu... Nie zakładacie szkół, nie kształcicie przewodników oświaty, nieznacie waszéj przeszłości, waszych obyczajów, obrządków, historyi plemienia własnego. Wśród gminy waszéj, najliczniejszéj w kraju, nie zakiełkowała nawet myśl założenia pisma specyalnego w celu oddziaływania na żydów i na zmniejszenie uprzedzeń przeciwko nim w otaczającém nas społeczeństwie. I cóż dziwnego, jeżeli inteligencya krajowa, nie widząc w pośród was ludzi z odwagą własnych przekonań, sądzi o was z tych pozorów, jakie jéj sami nastręczacie, i że od czasu do czasu czytacie w pismach ubliżające dla was elukubracye. Jeżeli pod tym względem ma u nas nastąpić zmiana ku lepszemu, trzeba koniecznie z odwagą, jaka cechuje umysły prawdziwie wyższe i istotnie czujące serca, zabrać się do wielkiego dzieła odrodzenia żydów polskich i uczynienia z nich obywateli kraju w istotném tego wyrazu znaczeniu. Reforma ta musi zapoczątkować w nas samych, a przyjdzie czas, gdy dzisiejsze uprzedzenia znikną, gdy zapory, tamujące nam drogę do samodzielnego rozwoju, upadną, a radykalna prawodawcza zmiana stosunków położy kres dolegliwościom, jakie nas dziś krępują. W usposobieniu obecném, jakkolwiek wielce dla żydów nieprzyjaznem, widzę objawy pomyślne. Dawniéj gardzono i pomiatano nami. Dziś nas nienawidzą serdecznie. Łatwiéj od uczucia nienawiści przejść do sympatyczniejszego usposobienia, aniżeli od pogardy, która w przeciwniku nie uznaje téj nawet wartości, aby się nań gniewać można było...

IV.

Epoka, w któréj Dr. J. temi mniéj więcéj do otaczającéj go młodzieży przemawiał wyrazami, była w dziejach żydów polskich epoką przełomu, czémś nieokreśloném, które, dla jednych zdawało się być zapowiedzią jasności i postępu, dla innych było zwiastunem ciemnoty i zacofania.

Podczas, gdy jeden z pierwszych ekonomistów polskich, w dziwném jakiémś zboczeniu pojęć, cechującém niekiedy i niezwykłe umysły, zaprzeczał żydom tytułu do korzystania z praw obywatelskich, motywując to zdanie tém, że mu się nie zdarzyło słyszéć żydów rozmawiających ze sobą po polsku,— w cichym artystycznym zakątku Warszawy, grono młodzieży o wschodnich rysach i o germańsko ukutych nazwiskach, rozprawiało ze sobą w przytomności swego religijnego przewodnika językiem czystym i potoczystym o powieściach koryfeuszów sarmackiego plemienia...

A po za témi murami, jakby w dziwném przeciwieństwie z tém, co się w obrębie

tych murów mówiło i działo, szalała burza wyuzdanych namiętności i niechęci plemiennéj, przelewały się potoki atramentu w sprawie towarzyskiego równouprawnienia żydów.

Epoka ta należy już do historyi, a jako taka beznamiętnie traktowaną być winna.

Ludzie, którzy w niéj byli działaczami w obu przeciwnych obozach, podali sobie następnie serdeczną dłoń pojednania, zapomnieli dawnych uraz i bez nienawiści wspominają o tém, co zaszło, i co w koniecznem następstwie rzeczy gwoli tryumfowi zasad słuszności wyniknąć musiało.

Pierwsze przebłyski pojęć postępowych między żydami polskiemi — fakt to historycznie wytłumaczyć się dający — przeszły do nich nie z bezpośrednio otaczającego ich społeczeństwa, lecz z Niemiec. Odtrąceni od stosunków z tém bezpośredniém otoczeniem, mając dla siebie wrota do szkół ogólnych zaparte, żydzi Polacy *w początkach bieżącego stulecia* z konieczności zmuszeni byli zwrócić się do źródła, zkąd im płynęła zapowiedź *duchowego* odrodzenia się i wyzwolenia z krępujących ich rozwój umysłowy pęt zabobonów.

Wpływ szkoły Mendelsohna, wytworzył między żydami polskiemi popęd do poznajomienia się z koryfeuszami literatury niemieckiéj, zkąd do nich słowami Natana mędrca płynęła zapowiedź lepszéj doli i humanitarnego na ich religijne wyznanie poglądu.

Mówić płynnie po niemiecku, upajać się czarem poezyi Szyllera, było dla żydów polskich w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia szczytem marzeń i probierzem cywilizacyjnych dążeń.

Eisenbaum, późniejszy żarliwy krzewiciel polskości między żydowską młodzieżą, wydaje pismo peryodyczne niemieckie dla żydów. W domu i szkole przeważa język niemiecki. Bogatsze rodziny żydowskie wysyłają dziatwę do szkół niemieckich za granicę. W rodzinach uboższych panuje żargon zepsuty, a w braku szkół elementarnych, w braku zachęty do kształcenia się, nieliczne jedynie jednostki wybijają się o własnych siłach z otaczającéj je ciemnoty, szukając pokarmu duchowego i wzoru do naśladowania w pięknem wysłowieniu aktorów scenicznych.

Teatr narodowy był, rzec można, dla żydów polskich pierwszym bodźcem do poznania skarbów języka.

Zachwycano się tyradami Piaseckich, Werowskich i Kudliczów, uczono się na pamięć górnolotnych frazesów prof. Osińskiego.

Za pierwszemi pobłyskami reformy języka szła w ślad reforma w ubiorach, w zewnętrznym polorze domowego życia.

Widok młodszego pokolenia z pojęciami nowszémi, obok zacofanych i zapleśniałych w obskurantyzmie starców dawnego autoramentu stawał się coraz częstszym.

Starcy z niedowierzaniem potrząsali głowami, patrząc na powolne wyzwalanie się młodszego pokolenia z ich wszechwładztwa obyczajowego. Młodsi z zapałem rwali się ku nowemu życiu.

I oto po upływie paru lat dziesiątków, z owéj nielicznéj garstki epigonów wytworzył się był w latach między 1830 a 1850 liczny zastęp rodziu żydowskich o europejskich obyczajach i powierzchowności, o nowych postępowych pojęciach, ludzi, którzy, nie zrywając w zupełności z tradycyą ojców, kroczyli śmiało naprzód, domowe życie swoje urabiając na wzór otaczającego ich społeczeństwa.

Lecz, jak w każdéj epoce przejściowéj, owa zmiana nie mogła się odbyć bez naruszenia równowagi towarzyskiéj i obudzenia nieokreślonych niechęci w otaczających kołach; nic więc dziwnego, że owe pierwsze przebłyski reformy obyczajów zamiast współczucia, napotkały chłodne przyjęcie a co gorzéj, niechęć jawną ze strony ogółu.

V.

W początkach roku 1859 zawitała była do murów Warszawy sympatyczna para słowiańskich wirtuozek. Występy téj pary nie cieszyły się z razu wielkiém powodzeniem. Publiczność, znużona częstemi w owych czasach koncertami, nie okazała artystom, jakby należało, gorącego współudziału.

Uważając to chłodne przyjęcie, jako wynik obojętności pewnéj warstwy społeczeństwa dla talentów plemiennych, jedno z najpożyteczniejszych w owych czasach pism warszawskich, cieszące się wpływem i uznaniem w szerokich kołach obywatelstwa krajowego, wzięło ów fakt za assumpt do namiętnego wystąpienia przeciwko żydom: „owemu tajemniczemu związkowi, który nasiadł na całą Europę i trzymając się ściśle, popycha każdego ze swoich czy to on bankierem, czy tenorem, czy spekulantem, czy skrzypkiem“.

W końcu owego artykułu przytoczono anegdotę o pewnym Angliku, który, zgłosiwszy się do Amsterdamskiego bankiera Erlinghuyzena, zakupił był po wysokiéj

cenie akcye kanału Suezkiego a zdziwionemu takiém kupnem bankierowi wyjaśnił, że znalazł w biblii przepowiednią, że międzymorze Suez będzie przekopane kanałem i tym kanałem żydzi wrócą do Egiptu.

Anegdotę tę gazeta, powtórzywszy z niedowierzaniem, uczyniła od siebie uwagę: „że żaden potomek tych, co wyszli z Egiptu, nie zechce wrócić do krainy, którą przed 3000 lat tak niechętnie opuszczali, za naszych miejscowych przynajmniéj ręczyć można".

Artykulik ten, jak na kwestyą poważną zbyt powierzchowny, a jako dowcip zbyt uszczypliwy, był iskrą zapalną, rzuconą w nagromadzone od dawna materyały wybuchowe.

Obudzone w partyi postępowéj żydów polskich poczucie godności własnéj odezwało się tym razem obcesową protestacyą podpisaną przez kilkunastu obywateli: kupców, artystów, agronomów i przemysłowców warszawskich.

Sprawa zaogniła się i przybrała rozmiary nieprzewidziane.

Z jednéj strony dziennikarstwo pozamiejscowe, z drugiéj sądy krajowe pojęły doniosłość owego wystąpienia w znaczeniu ogólniejszém i namiętną owę polemikę gazeciarską przeniosły na grunt społeczny, jako motyw do rozwinięcia poglądów swoich na kwestyą żydowską w Polsce.

Petersburskie „Słowo", do którego się był zwrócił obrażony wystąpieniem żydów redaktor, uznało, że całe powyższe zajście „porusza ogromnéj wagi pytania, do rozstrzygnięcia których potrzeba całéj powagi nauki, całéj potęgi rozumu, zbrojnych w daty, cyfry i fakta. Odrzuciwszy wszelką stronność, wszelki fanatyzm, pozbywszy się wszelkich myśli nietolerancyjnych i uprzedzeń średniowiecznych, w imię prawdy, trzeba zmierzyć to na nowo do życia zbiorowego rozbudzone i silnie wzrastające plemię, które, poczuwszy się na siłach, rwie się do pewnych dążeń i wpływów."

Jako środek do urzeczywistnienia tego zamiaru uznało „Słowo" rozbiór kwestyi z poważnéj jéj strony, ze strony bezwarunkowo ludzkiéj, odpychającéj to, co jest ujemném a szukającéj równie, jak wszędzie, tak i tu, pierwiastków dodatnich, któreby przy pochodni światła naszego wieku na dobro ogółu spożytkować się dały.

Opinia taka, wypowiedziana przez jeden z najpoważniéjszych w owym czasie organów prassy polskiéj, była echem dobrze myślącéj większości obywateli, która rozwiązania kwestyi żydowskiéj szukać pragnęła na drodze oświaty jak najszerzéj między niższémi warstwami téj ludności przeprowadzonéj a nie na polu szermierki piórowéj, przemijającéj i nietrwałéj, jak wiadomość bieżąca, lub feljeton zdobiący szpalty pism dziennych.

Ogólnikowa odpowiedź nieżyjącego już, lecz szczerze ważnością poruszonéj kwestyi przejętego B. Hertzfelda, który, poważny rozbiór téjże kwestyi pozostawił „ludziom światłym, zajmującym się bezstronnie, w imię sprawiedliwości i praw ludzkości dobrém kraju" podniesionego pytania nie rozwiązała.

Dzienniki zamiejscowe polskie, z godnością i bezstronnością wdawszy się w tę sprawę, przeczuły cały ogrom zagadnień, jaki nią został dotknięty.

„Wzrost, spójność i działanie plemienia izraelskiego — były to słowa *Wiadomości* z 9 kwietnia 1859 r., jego wpływ na handel, przemysł i cały stan ekonomiczny kraju, użyteczność i szkodliwość tego wpływu, wszystko to są przedmioty wymagające głębokiéj i wolnéj od wszelkiéj namiętności rozwagi. Rozstrzygać je w myśli podniesienia, ile możności strony dodatniéj, a naprawy ujemnéj, jest zawsze pięknem powołaniem i obywatelskim obowiązkiem dziennikarstwa. Z błahych powodów w męcie żółciowych wzburzeń zawiązaną zwadę osobistą przenosić na grunt wielkich interesów krajowych, stawić ją w świetle zatrważających przestróg i upomnień, nie jestto otwierać oczy narodowi, tylko zwracać je w stronę, gdzie rozciąga się nieskończona perspektywa walki, nie obiecującéj ani zwycięztwa ani pojednania."

Inne pisma, objawiające swoje zdanie o zajątrzeniu kwestyi żydowskiéj w Polsce, przypisały promotorom jéj brak rozumu politycznego w stawianiu kwestyi zawiłych, w takim kierunku, który nie zmierza do żadnego, ani dobrego ani złego rozwiązania, tylko do utrwalenia i pogorszenia trudności. Gdy ze wszystkich, jakie się nastręczają, przypuszczeń i przywidzeń, najprostszém i najodpowiedniejszém zdaniem tychże pism, rozwiązaniem winno być stopniowe wsiąknienie plemienia żydowskiego w massę narodu, nie można się zgodzić z opinią tych, którzy odpychają garnących się do materyalnego i moralnego zlania się w jedność narodową.

„Przez cały ciąg dziejów — pisały *Wiadomości* — przechodził jeden prąd wielki. A byłto ten duch, co nam dał prawo szczycić się wspomnieniami, duch ofiarny miłości chrześciańskiéj. To tylko nasze, co on spoił

i co jego mocą się utrzymuje. Włościanie i żydzi pozostali, jako wierzyciele niespłaceni, jako kłopot odłożony na późniéj, z którym załatwić się ciężko. Ze wszystkich zadań, jakie rozwiązać musimy, kwestya żydowska jest najtrudniejszą. Pod splotem dosyć już zagmatwanych względów ekonomicznych i politycznych, leży w niéj wielka zagadka, któréj słowa — rozum jeszcze wynaléźć nie potrafił. W takim stanie źle jest otwierać regestra dawniejszych krzywd i zażaleń, niesprawiedliwie w cechach rodowych nawet, godnych szacunku i naśladowania, upatrywać tylko powody niechęci i wstrętu do całego plemienia i niezgodnie z duchem chrześciańskim stać twardo i dumnie, rachować nieufnie kroki zbliżenia się i czekać w postawie odpornéj. Są w téj mierze warunki i pewne prawa domagania się znaków i dowodów intencyj przyjaznych, których zrzec się nie można i nie należy, ale właśnie ta godność, o jakiéj utrzymanie nam idzie, ta wyższość stanowiska, jakie zajmujemy, wkłada na nas i pewne delikatne obowiązki. Warszawa szczególniéj wystawiona jest na próbę tego taktu subtelnego. Utworzyła się w niéj klassa Izraelitów z kultury, majątku, sposobu życia należących do towarzystwa wykształconego, nie dziw, że pragnęliby oni mieć w niém zupełny udział, kosztować wszystkich jego korzyści. Przez to samo, że przyjęli polski język, zasmakowali w polskiéj literaturze, nawykli do polskich obyczajów, są już bliżéj połączeni z krajem. Tymczasem ogólne ich położenie zawsze jest nieswobodne i ztąd drażliwe, jako ludzi nowych. Tu mianowicie trzeba delikatnego taktu, wzniosłego poglądu, czystego pojęcia godności narodowéj, żeby, poskramiając niesłuszne lub zbyteczne pretensye, nie deptać razem kiełkujących uczuć życzliwych i szczerych.“

VI.

Sądy krajowe, przed forum których sprawa powyższa za skargą redaktora wytoczoną została, odmienne względem stron w nią zawikłanych, jak również względem ważności poruszonéj w niéj kwestyi, zajęły stanowisko.

Sprowadziwszy całą sprawę do rozmiarów prostego skandalu i burdy, a wystąpienie intelligencyi żydowskiéj, uważając jako objaw rozzuchwalonéj swym pieniężnym wpływem *kasty*, postanowiły one surową dać naukę agitatorom.

Nie obyło się jednak i przy téj sposobności bez omówień treści ogólniejszéj.

„Starają się podsądni przedstawić — były to wnioski urzędu publicznego Iej instancyi — jakoby żydzi w kraju naszym nie dosyć uwzględniani byli przez władzę i od współmieszkańców nie odbierali poszanowania, na jakie, ich zdaniem, zasługują. Rozbierać tego nie będę, czy to jest zgodném z rzeczywistością, lecz pobieżny pogląd na nadzwyczajnie wzrastającą ludność izraelską w kraju naszym, ich codziennie powiększającą się przy lekkiéj pracy zamożność, dostatecznieby dowiodły, że żydom w kraju tym źle nie jest.“

Rozjemcze w téj przykréj sprawie stanowisko zajął sędziwy historyk Lelewel w liście otwartym do Ludwika Merzbacha wystosowanym. Proszony o określenie historyi żydów w Polsce wymówił się Lelewel od tego zlecenia brakiem odpowiednich materyałów.

„Od młodych lat — pisał sędziwy historyk — dopilnowywając korrekty dzieła Czackiego o Żydach w Polsce, którą mi powierzył, potém własną rozwagą, własném rozpatrywaniem losów, jakie się w kolei wieków roztaczały, uczyłem się szacować i oceniać zalety i zasługi plemienia izraelskiego, jego wady i krewkości naturze ludzkiéj nieodzowne. Nie brakło mi zdarzeń, ni dziel do rozwagi, rzecz objaśniających, ni pociągu do wglądania w szczegóły, jakie dla mnie powab miały; ale to nie wiodło do wypracowania czego w przedmiocie, w którym odznaczyło się bez liku pisarzy biegłych, naukowo należycie uzdolnionych. A mnie po zbyt ubiegłych latach, na zdolniejszych, młodszą obdarzonych żywotnością oglądać się należy.“

Przechodząc do wyjaśnienia kwestyi żydowskiéj, która pod owe czasy tak gorąco zajmowała poruszone sprawą Gazety umysły, zwraca Lelewel uwagę na brak źródeł do poznania bytu dziejowego i domowego żydów polskich posługujących. „Czemu — pyta — w Niemczech żydzi sami o swéj przeszłości i obecności piszą? Czemu tém nie zajmują się nasi w polskim języku? W Litwie żydzi piszą i drukują wiele, a w tém ani krzty mowy polskiéj, a jednak umieją gładko, poprawnie i powabnie tą narodową pisać mową. Czemu nie przełożą z hebrajskiego na polski mnogich powieści oryentalnych, dziełek historycznych, jakie mają? Niebrakłoby i scyentyficznych wiadomości w medycynie, matematyce, kwestyi ekonomicznéj, handlu, socyalnéj a mianowicie filozoficznych i moralnych. Wiele postrzeżeń i wyobrażeń dziś jakby nowych, nalazłyby niewątpliwie orzeczenie swe nie-

dopiero. Czemu nie przełożyć na polski poezyi, śpiewów, modlitew podnoszących chwałę bożą, z których nie jedna stanęłaby obok psalmów Dawida"?

Zajście z Gazetą surowo ocenia Lelewel, nazwawszy wystąpienie intelligencyi żydowskiéj — sowizrzalstwem, a postępek redaktora niewłaściwym.

„Kiedy sąd — pisze nasz Nestor historyków — na 800 lat bytu spogląda, na prawa i przywileje powołuje, powinienby wiedzieć, że Żydzi, z ziem, jakie posiadali, z czasem wyzuci, do usług publicznych, jakie pełnili, przystęp stracili. Że się to stało, jak niegdy w rzymskiém państwie: odsunięci od urzędów, od wojska i od wszelkich spraw publicznych poczęli być jedynie handlarzami pieniędzy lub towarów i rzemieślnikami. Zawadza to sądowi, że żydzi 800 lat płodami ziemi polskiej żyją. Żyją płodami powszechnéj rodu ludzkiego karmicielki, żyli płodami, jakie nabywali za grosz własnego zarobku". „Sąd — czytamy daléj — dostrzega tylko indywidua i twierdzi, iż plemię żydowskie nie daje cienia przychylności dla kraju, ni żądzy zlania się z krajowcami, uparte w zastarzałych zasadach odtrąca wszelki postęp cywilizacyi zachodu, a niepodobna podzielić zdania, żeby co było w ludności polskiéj, coby stało na zawadzie. Przybyszami są—mówi sąd— a od lat 800 pobyt ich nie czyni krajowcami. Przybyszami są od arki Noego Mazury czy Polacy, przybysze szlachta, lachy z Saxonii, Kaukazu czy Szwecyi, przybysze mnogie ludności miejskie. A tymczasem powtarzam dzieciom Izraela: dajcie się poznać mowie polskiéj, jak jesteście w sobie. Wstydem się zapłoną najrozsądniejsi. Umilkną. Otworzy się księga obywatelska. Siła wieku, światło wieku przełamią zawziętość i przesądy".

VII.

Walka powyższa o zasady i przekonania pomimo rozgłosu, jakiego w szerokich nabrała kołach, była, śmiało określić można, zakulisową. Warunki ówczesne niedopuszczały na światło dzienne odgłosów, stanowiących olbrzymi odłam zagadnień, jakie się tułały po umysłach bez możności wypowiedzenia o nich opinii. Nieprzywykłe do traktowania w sposób jawny i wszechstronny kwestyi ogólnych, społeczeństwo widziało w owéj walce piórowéj egoistyczną zachciankę i rwanie się do przewagi i wpływu.

Słabe odgłosy pojednawcze, jakie się tu i owdzie przedzierały na widownią, nie mogły przeniknąć do wszystkich warstw społeczności, usposobić je życzliwszém dla stojących na uboczu klass ludności uczuciem.

W braku organu prassy, któryby z niezależnością zdania, wsparty na głęboko odczutych potrzebach społeczeństwa, przemówił do serca i umysłów słowem sympatyi i pojednania, szukano dróg ubocznych, polemizowano pokątnie odezwami i satyryczną bronią.

Odezwy te kopiowano w setkach exemplarzy nie mogły zastąpić jawnéj i otwartéj wymiany zdań w kwestyi tak dla kraju ważnéj. Stanowiły więc dla nielicznego jedynie koła ludzi prawdziwie oświeconych materyał do baczniejszéj rozwagi, bez możności atoli oddziaływania na zapleśniałe uprzedzenia ogółu.

Nic dziwnego tedy, że, gdy przyszła na stół tak długo milczeniem pokrywana, a teraz wypadkowémi okolicznościami rozbudzona do życia, tak zwana kwestya żydowska, większość organów prassy krajowéj trzymała się na uboczu, niechcąc mięszać się do sporu w imię téj właśnie kwestyi wywołanego.

Znalazł się jednak wśród koła intelligencyi krajowéj mąż, który odczuwając potrzeby ogółu i obowiązki wyższe dla kraju, postanowił śmiałą dłonią wystąpić do walki z obałamuconą opinią ogółu, założeniem pisma niezależnego, śmiałego, kierowanego zasadami powszechnego dobra.

Mężem tym był Kronenberg.

Świeża mogiła nad zwłokami tego prawego obywatela usypana, nie dozwala odsłonić przed oczyma współczesnych tych zasług, jakie Kronenberg położył dla kraju, obudziwszy w nim uśpione na polu ekonomicznéj pracy do działania siły.

Poważne głosy dziennikarstwa, jakie się w téj mierze nad grobem Kronenberga odezwały, nie mogły uchylić całkowitéj zasłony jego cichych a niemniéj brzemiennych w następstwa działań w owéj epoce.

Fundacya gazety odmiennéj kierunkiem i zasadami od pozostałych, była tylko jedném ogniwem w szeregu prac zasłużonego obywatela, a oddanie téj gazety w ręce niestrudzonego, wpływowego pisarza Kraszewskiego, świadczyło o bystrości i przenikliwości Kronenberga w wyborze czynników do skutecznego oddziaływania na opinią kraju. „Kronenberga myślą, pisał Kraszewski, było przejednać wszystkich i połączyć do wspólnéj pracy około dobra ogólnego. Leżały pola odłogiem, ludzie, jeżeli się tak godzi wyrazić, do góry brzu-

chem, tonęliśmy w marzeniach nie mogących się ziścić, gdy tymczasem żyźna rola pustoszała a przedłużone owo próżnowanie extatyczne, groziło niechybną ruiną."

„Szanując to, co w przeszłości poszanowania było godném, nie dopuszczając żadnego gwałtownego radykalizmu, Kronenberg chciał wytrzeźwienia się narodu i zaprzężenia go do pracy."

„To był jedyny cel pisma jego."

„W wielu razach myśl tę objawił nam jasno i dobitnie, domagając się nadania gazecie kierunku praktycznego, obudzającego do trudu na wszystkich otwartych nam drogach."

„Chciał budzić siły uśpione wszędzie, gdziekolwiek były, oświecać lud, moralizować izraelitów i wyrwać ich z fanatycznéj odrębności, szlachtę wprządz do pożytecznéj zabiegliwości i pracy, zmuszając także do opuszczenia wyłącznego, odosobnionego, jéj samej szkodliwego zastania."

VIII.

Wystąpienie Kraszewskiego na widownią dziennikarskiéj działalności było wypadkiem pierwszorzędnéj dla kraju wagi.

W czasach stagnacyi umysłów i braku wszelkiéj inicyatywy na polu towarzyskiego i społecznego życia, pojawienie się męża o tak olbrzymim rozgłosie i wpływie, męża, który potęgą swego słowa i talentu umiał budzić poszanowanie nawet w kołach najobojętniejszych, przedewszystkiem wszakże zapowiedź nowego kierunku, jakiego miała się trzymać redakcya Gazety—wszystko to były fakta tak wychodzące z zakresu powszedniości, że przez czas długi stanowiły one przedmiot gorących dyskussyi i sporów w kołach intelligencyi krajowéj.

Jak to zazwyczaj się dzieje, pierwszą odpowiedzią na te fakta były domysły w sensie nieprzychylnym wystąpieniu Kraszewskiego.

Posunięto się nawet do tego stopnia nietaktu, że zarzucono autorowi „Ostapa Bondarczuka" zaprzedanie niezależności zdania posługom poziomego waloru.

Bezimienne listy, nadsyłane massami do nowéj redakcyi, były wyrazem owych pokątnych knowań sił nieczystych w walce z obywatelskiémi dążnościami zacnego pisarza.

Głównym atoli powodem niezadowolenia była zapowiedź redaktora—iż w szeregu kwestyi społecznych, jakie poddanémi być miały w przyszłości analizie zdrowego rozsądku, będzie i owa wstrętna i niesympatyczna dla ogółu kwestya żydowska.

„Jakto, szemrano, miałżeby świecznik umysłowości narodu, niezrównany malarz przeszłości, zapomnieć do tego stopnia o swém wzniosłém powolaniu i stać się naraz wbrew prądowi ogólnéj opinii obrońcą żydów?"

Kraszewski z pogodném czołem, i ze stoicyzmem, wrodzonym duszom prawdziwie szlachetnym, milczeniem zrazu odpowiadał na te pierwsze szamotania się bezsilnéj niechęci.

Gdy jednak miara zarzutów przebrała się, z odkrytą przyłbicą stanął do walki pisarz i człowiek, w najdroższych swych uczuciach i przekonaniach dotknięty.

„Dziennik—pisał Kraszewski—nie może iść za słabostkami i upodobaniami chwilowémi, ani pochlebiać namiętnościom, ale spełniać poważnie i surowo swe posłannictwo stróża i przewodnika, doradzcy i tłumacza... Tego dokazać nie potrafi, jeśli nie stanie sercem i umysłem na stanowisku ogółu i nie wznieci w sobie gorącego współczucia do rzeczy wielkich i świętych."

W odpowiedzi na zarzut żydofilstwa, niczem nieusprawiedliwiony, uznał Kraszewski za właściwe przypomnieć dotychczasowe swe działania, powołać się na przeszłość swoję, tę przeszłość, która w oczach każdego nieuprzedzonego była tak jasną i czystą, jak pobudki, które pisarza z cichego zakątka pracy poświęconéj literaturze, powołały na szeroki gościniec publicznego działania.

„Przywiązanie do świętéj wiary naszéj, były słowa Kraszewskiego, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy, mającéj przyszłość zgotować—oto zasady zawsze stałe i jedne, któreśmy dwudziestokilkoletnią pracą wyznawali. Z niémi przychodzimy do tego nowego dla nas i trudnego zadania, nietając przed sobą ani niebezpieczeństw, na jakie się narażamy, ani wielkości przedsięwzięcia. Powoli a stale—oto godło nasze. Niezrażając się ani chwilową walką, ani nieuznaniem, ani nawet potwarzą i składając na ołtarzu dobra powszechnego drobne osobiste boleści, walczyć będziemy za prawdę przeciwko fałszowi, bogdajby z nieprzyjaciółmi osobistymi dla prawdy, bogdaj przeciwko najbliższym—dla niéj..."

IX.

Zadanie przez Kraszewskiego podjęte, miało na widoku nie jednę pojedyńczą gałęź interesów społecznych, ale kraj cały, jego potrzeby duchowe i ekonomiczne

z dobrem społeczeństwa nierozerwalnie złączone.

Kto porówna dzisiejszy kierunek umysłów w kraju z tym, jaki panował przeważnie przed kilkunastu laty, ten mimowoli zdumieje nad postępem, jakiśmy uczynili na drodze zdrowego oceniania warunków ekonomicznych kraju.

Handel i przemysł przed laty, były to w pojęciu większości synonimy materyalizmu i duchowéj degradacyi.

Młodzież starała się głównie o zrobienie karyery na urzędnictwie.

O poważnéj pracy na polu przemysłu i handlu z nader nielicznemi wyjątkami mało kto myślał.

Było to więc odwagą niezwykłą ze strony autora „Chorób wieku", jeśli obok hasła: „*Ducha nie gaście!*" postawił niemniéj brzemienną w następstwa zasadę pracy, pracy zdwojonéj we wszelkich kierunkach około podźwignienia dobrobytu narodowego.

Lecz ponad temi wszystkiemi pozytywnemi celami, które bądź co bądź nie pierwszy i nie ostatni raz wskazywano z dziennikarskiéj trybuny, górowała w wystąpieniu Kraszewskiego jedna pobudka święta i wzniosła — a była nią owa miłość czysta i jasna dla tego, co jest ludzkiém, co do ludzkości należy i co prawom *ludzkości* ulegać musi.

Kraszewski złożył narodowi w ofierze swoje poczciwe, zacne serce, to serce, które go tak ukochanym dla wszystkich uczyniło i w imię tego serca postanowił obudzić w narodzie życzliwe uczucia dla plemienia, z losami kraju od wieków i na zawsze związanego.

Stanowi to niejako charakterystyczną cechę pisarza tak względem kraju zasłużonego, iż w owéj nieprzeliczonéj massie arcydzieł, jakie Kraszewski wysnuł z fantazyi swojéj, pierwiastek dobrego, zacnego i uczciwego, przeważa nad pierwiastkami ujemnemi.

Bohaterowie Kraszewskiego wszyscy prawie są to ludzie zacni, być może słabéj woli, ale kierowani pobudkami szlachetnémi.

Jeżeli porównać przeciętne charaktery powieściowe takich pisarzy, jak np. Hugona, Dumasa, Balzaka, Suego—dostrzeżemy, że w charakterach tych potworność, brzydota, nikczemność, słowem pierwiastki ujemne przeważają.

Natomiast z szeregu bohaterów powieściowych Kraszewskiego nie wybija się ponad poziom charakterów naturalnych nic takiego, coby piętnem brzydoty wrażało się w pamięć czytelnika i służyło, jako typ dany np. nikczemności, okrucieństwa i t. d.

To właśnie, co jako zarzut stawiano postaciom Kraszewskiego, iż przedstawiają one po większéj części charaktery słabe, złamane, bez silnéj woli, stanowić może tylko dowód, iż charaktery te były tylko odbiciem zacnego serca ich twórcy, wyrazem jego poglądów na świat nie zaciemnionych żadnemi z góry powziętémi uprzedzeniami.

X.

Z tą samą wyrozumiałością, z jaką Kraszewski spoglądał na błędy i przywary przeszłości swéj ojczyzny, traktował on zawsze i żydów w swych powieściach.

W całym szeregu jego postaci żydowskich, przedstawionych na tle obyczajowego życia narodu, nie spotykamy ani jednéj, któraby kazała się domyślać, że Kraszewskiemu chodziło więcéj o karykaturę i szarżę, aniżeli o rysunek objektywny.

Z wrodzoną bystrością poglądu i poetycznem traktowaniem przedmiotu przedstawiał Kraszewski postacie żydów z nadzwyczajną wiernością charakterystyki a pomimo to bez szczypty owéj ironii lub żółci, jaką w postaciach żydów w powieściach innych pisarzy z przed laty napotykamy.

Jeżeli w epoce nam współczesnéj pojawiają się powieści takie, jak np.: *Żyd*, *Eli Makower* i *Meir Ezofowicz*, jeżeli na scenie narodowéj ukazują się czasami postacie pochodzenia żydowskiego, przemawiające już nie łamanym, lecz czystym językiem polskim (*Żyd* Asnyka, *Żyd* Lubowskiego), jeżeli na obrazach *Matejki*, *Gersona*, *Horowitza*, *Gotlieba*, *Lessera*, na rysunkach *Grottgera* i *Andriollego* znajdujemy uszlachetnione typy żydów w starodawnych ubiorach, przypominające idealnym nastrojem postać Mickiewiczowskiego Jankla, nic w tém niezwykłego być nie może...

Świeży prąd idei, wytworzony pod wpływem ducha czasu i przeobrażeń społecznych, nadał takim postaciom prawo obywatelstwa, równouprawnił je z innemi żywiołami społecznemi w sferze sztuki.

Ale przed laty czterdziestu mniéj więcéj, postacie żydów w utworach fantazyi należały do rzeczywistych wyjątków.

Czytający ogół nie smakował w tego rodzaju obrazkach, wybaczał je autorom o tyle tylko, o ile rysunek był dosadnym i nie odskakiwał zbytecznie od tych pojęć i wyobrażeń, jakie panowały o żydach w wie-

ku np. XVI, w epoce, gdy poeta Klonowicz w *Victoria Deorum* śpiewał o nich:

Haec est Abraami (si displacet) unica proles,
Justitiam, et primi mores imitata parentis,
Sed jam degeneres missos faciamus Hebreos,
Sordibus urbanis latent caenoque profundo,
Fortunis hominum simul insidientur, et ipsis
Intima qui fureo in viscera sponte raptant.
Qui tineas hominum propriis in manibus abdunt.
A quibus admissis ingeno arroditur orbis,
Et velut a veteri pereunt aerugine gentes.

Zarzucą nam może niektórzy, że pisarze nasi w czasach dawniejszych nie mogli i nie byli w stanie mieć lepszego o żydach wyobrażenia, bo otoczenie, jakie mieli przed oczyma, nie nastrajało ich do łaskawszego w téj mierze poglądu.

Zdanie to błędne. W ciągu kilkowiekowego dziejowego bytowania żydów w Polsce znajdowali się między nimi oprócz gminu zagrzęzłego w zabobonach i zacofaniu, charaktery szlachetne, umysły wyższe nad wiek, w którym działały, serca szlachetne, bijące uczuciem przywiązania do społeczeństwa, wśród którego oddychały.

Nie sięgając nawet epok zbyt oddalonych, widzimy już w wieku XVI patryotyczne i patryarchalne postacie rodu Ezofowiczów i Isserlesów, mężów silnéj wiary i poświęcenia, głębokiéj nauki i szlachetnych charakterów, którzy, w każdém inném społeczeństwie, przy bardziej sprzyjających warunkach mogliby zdobić kartę w historyi umysłowości narodu i służyć jako typ przeciętny wartości moralnéj wzgardzonego i w odosobnieniu żyjącego plemienia. Dla czego pytamy nieraz, obcy podróżni, ludzie wprost przeciwnych religijnych obozów, jak n. p. kardynał legat Commendoni w sympatyczném świetle przedstawiali swym ziomkom żydów polskich; polscy pisarze zaś widzieli ich w świetle niekorzystném, w takiém, jakiemi ich sobie przedstawiali Kmita, Miczyński, Śleszkowski?

Nowsze czasy dopiero wywołały przewrót zbawienny w wyobrażeniach. Nieśmiertelny Czacki w naukowém swém dziele dał pierwszy pochop do odmiennego na charakter żydów polskich, ich obyczaje i zwyczaje, zapatrywania. Belletrystyka wszakże nawet pod piórem tak zacnego obywatela, jakim był Niemcewicz, długo jeszcze nie mogła otrząsnąć się z maniery Miczyńskich i nie ustawała w docinkowym systemacie ośmieszania żydów. Znaleźli się w epoce nam bliższéj pisarze, którzy postanowili zerwać z dotychczasową w téj mierze tradycyą. Posunęli oni obywatelską odwagę do tego stopnia, że zaczęli malować postacie żydów sympatyczne, owiane urokiem poezyi namaszczenia.

Do szeregu tych pisarzy zaliczać można Ignacego Chodźkę i Kraszewskiego. Chodźko w przepysznych *Obrazach litewskich*: „Pustelnik w Proniunach“ (1858) i *Nowych pamiętnikach kwestarza* odmalował nam staroświeckie postacie Abrahamów Ilskich i wołożyńskiego mędrca Salomona, patryarchów rodu „ludzi wyższych prawością i dostojnością nad gmin szynkarzy, swych jednowierców, którzy w stosunkach z otaczającą ludnością nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlachetniając ich w oczach własnych uszlachetniała zarazem ich sumienie i postępki.“

Abraham Chodźki n. p. żywi przyjaźń szczerą dla zacnego księdza Daniela, Jezuity, przebywa u niego na częstych dysputach wieczornych, obmyśliwa z nim środki dopomożenia ubóztwu, radzi się w ważniejszych wypadkach zacnego kapłana i nawzajem służy, jako powiernik jego dumań i zamiarów. Czyż taki obrazek nie daje nam miary widocznego zwrotu w pojęciach i przekonaniach społeczeństwa na korzyść postępu i cywilizacyi!

Nie będzie to wszelako dla zacnego malarza litewskich obrazów ujmą, jeżeli zauważymy, że poprzednikiem jego w malowaniu postaci żydowskich na tle narodowego i obyczajowego życia społeczeństwa był nie kto inny, tylko Kraszewski. Autor *Sfinxa i Powieści bez tytułu* pierwszy poważył się wprowadzić na scenę działania żydów o typach odrębnych, odskakujących od dotychczasowego szarego tła, jakim belletrystyka polska cała bez wyjątku plemię to w swych utworach zwykła była otaczać. Co więcéj jednak. Pobudka Kraszewskiego przy tego rodzaju zuchwałéj innowacyi była głębszą, idealniejszą, a źródło jéj tkwiło nie tyle w fantazyi niezrównanego malarza obyczajów, ile w sercu myślącego obywatela kraju. Że zdanie to nie jest przesadném, dowodem tego są własne słowa Kraszewskiego, jakie, z okazyi drugiego wydania *Powieści bez tytułu*, odzwierciedlającej żywot rodzin żydowskich na Litwie, wypowiedział w rzewnéj przedmowie.

„Typy izraelskie z niemieckiéj ulicy — pisał Kraszewski w r. 1872 — są właśnie współczesne chwili, gdy genialny współpracownik *Revue des Deux Mondes* wychowywał się w sklepiku sukiennym przy téj samej ulicy. *Na owe lata, było prawie zuchwalstwem wprowadzenie ich do powieści.* Wskazujemy je dla tego, ażeby okazać, *że autor zawczasu równouprawnienie to rozu-*

miał. W dziesięć dopiero prawie lat dane mu było w dzienniku propagować tę samę ideę, która żyła już w instynkcie narodowym i jednego pięknego poranku spełniła się czynem."

Że Kraszewski bezstronnie i samodzielnie zapatrywał się na kwestyą równouprawnienia żydów, dowodem tego jest, że już w roku 1842 nie była dlań obcą ta korzystna różnica, jaka już wówczas zachodziła między żydami polskimi królestwa a żydami prowincyi ościennych.

Okiem bystrego badacza przeczuł już był wówczas autor *Latarni Czarnoksięzkiéj* (W. II. T. I., 107) że „Żydzi królestwa myśleli o zlaniu się w całość narodową, od któréj gdzieindziej tak silnie się wyróżniają," że niezadługo staną się oni rozsadnikiem postępowych dążeń między swymi współwiercami.

Podziwiać nieraz przychodzi w pisarzu obdarzonym tak poetyczną fantazyą, owo chłodne i objektywne zapatrywanie się na rozmaite kwestye ekonomiczne i rozwijanie na tle lekkiéj powieściowéj tkanki, teoryi, którym surowe zasady nauki tylko przyklasnąć mogą.

Tylko różnostronnością talentu nieocenionego mistrza da się wytłumaczyć ów dziwny dar intuicyi, wnikającéj w najzawilsze zadania ekonomiczne z równą łatwością, z jakąby kreślił plan do nowéj akcyi powieściowéj.

Prawda, że Kraszewski nie jest wyłącznie pracownikiem idei, ale i mężem czynu, że wszystko, co pisze i o czém pisze, przeżył i przeczuł własném doświadczeniem, to jednak tłumacząc tę dziwną, zagadkową siłę umysłu, stokroć ją jeszcze w oczach naszych podnosi.

Jakaż to trafna charakterystyka żydów, a zarazem surowa krytyka niezaradności ekonomicznéj społeczeństwa na polu handlowych działań, mieści się w jednéj z najdawniejszych powieści Kraszewskiego, w owéj „*Historyi Herszka*" „z Latarni Czarnoksięzkiéj!"

Talent malarza obyczajów, walczy tu o pierwszeństwo z baczną obserwacyą stosunków społecznych nieuprzedzonego myśliciela.

„Gdybyśmy mieli dość przemyślności, wytrwałości a nadewszystko zamiłowania w pracy — pisał Kraszewski jeszcze w r. 1842, — moglibyśmy wyśmienicie wiéść też same handle, co żydzi; a mając pojedyńczo daleko większe kapitały, zjednoczywszy je, jak oni czynią, moglibyśmy walczyć z handlem żydowskim. Ale wyznajmy szczerze— nie potrafilibyśmy sobie dać rady. Widziano próby, cóż z nich wynikło? Oto, że wkrótce wiodący handel poczynali mniéj jeszcze być słownymi od żydów, a mnożąc koszta na siebie, podręcznych, na życie wystawniejsze, potrzebując tém samém większych zysków — albo upadać musieli albo mniéj dogodne dla producentów ofiarować warunki. Dodajmy, że z żydem każdy z nas traktuje bez wszelkiéj ceremonii patrząc pewności swojéj nadewszystko, a z panem bratem zmuszany do zaufania, często go żałowałby potém. U naszych handlarzy rozbijał się wszelki dłuższy handel o podręcznych. Żydzi używają do tego ubogich, którzy ich ufność rzadko zawodzą. Nasza zaś klassa, mogąca być użytą ku temu, żadnéj rękojmii w charakterze i zmienności nie daje, a nieopatrzna i niedbała o jutro, nawet własnym interesem nie daje się pohamować. Kapitaliści zbyt wysoko stoją w swojém przekonaniu, aby się sami zajmować mieli szczegółami handlu, podręczni zaś, jakieśmy wyżéj rzekli, najczęściéj są niesumienni... Smutna, boleśna — ale czysta prawda."

Czyż powyższe słowa nie mogą służyć jako doskonały traktat o jednéj z najważniejszych kwestyi ekonomicznych kraju?

A zważmy, że to, co Kraszewski nakreślił w r. 1842, najzupełniéj może się stosować i do najbliższéj teraźniejszości, do stosunków do dziś dnia niezmiennych, zawsze brakiem energii i inicyatywy z jednéj a zabiegliwością z drugiéj strony wywoływanych?

Przypatrzmy się teraz, z jaką trafnością malnje Kraszewski warunki życia uboższéj klassy ludności żydowskiéj: „Kawałek chleba z solą i cybulą im wystarcza. W szabas tylko jedzą więcéj i odważają się na kawałek mięsa lub gotowanéj ryby, resztę tygodnia wstrzemięźliwość i oszczędność żydowska jest prawie niepojętą. I to nam tłumaczy, jak małe zyski mogą wystarczać ludziom, co tak małém żyją. Każdy potrzebujący więcéj dla siebie, tém samém musi żądać większych korzyści z handlu, a w jednym interesie przy równych zyskach, żyd zawsze chowa więcéj, bo mniéj go kosztuje życie. Strawa dzienna, gdyby ją izraelita chciał sobie dobierać wytworniéj, kosztowałaby go daleko więcéj, niż nas, bo w proporcyi materyały są droższe, mięso koszerne i wszelki koszer nie bez zachodu i pewnych obrzędów otrzymywane, drożéj się daleko płacą, niż pospolite. Nigdy żyd niema tyle powagi, jak przy jedzeniu. Czuje on, co czyni, a że spożywa

miły grosz, dumny jest tą abnegacyą, tą rozrzutnością swoją... Im kosztowniejszą jé strawę, tém więcéj się nadyma i marszczy. I w istocie jest czego! Jeśli nie wierzycie, przypatrzcie się kiedy żydom siedzącym za stołem "

XI.

Jako poeta, obdarzony fantazyą gorącą, jako wierny malarz obyczajów i charakterów, umiał Kraszewski w malowaniu poetycznéj strony postaci żydowskich wznieść się na wyżyny ideału.

W jednéj z najświetniejszych swoich powieści, w *Sfinxie* (rok 1847!), który, o lat dziesięć prawie wyprzedził „*Powieść bez tytułu*" przedstawił nam Kraszewski nieznaną dotychczas w literaturze postać żyda—artysty malarza...

„Żyd—malarz! Coś dziwnego w istocie!" Témi słowy wyraża swój podziw bohater powieści, malarz Jan, gdy mu Mammonicz, przyjaciel w wędrówce po pracowniach malarzy wileńskich, zapowiada odwiedziny pracowni żyda Jonasza.

„Zaprawdę — niepospolite zjawisko! — odpowiada mu na to Mammonicz. Wiesz i pojmujesz, co u nas znaczy żyd Żyd jest jeszcze istotą napiętnowaną, wyklętą jak w średnich wiekach, wzgardzoną i niższą od wszystkich... Co do mnie — ja tego biednego paryi nigdy bez uwielbienia widziéć nie mogę. Wielce wyższy ukształceniem od swéj tutejszéj braci, nie zaparł się przecie ani fałszywie przez niektórych wzgardzonego narodu, ani nienawistnéj wszystkim wiary... Pojął on, że oddzielić się od zwyczajów dozwolono, ale opuścić braci w niedoli jest podle. Jonasz, który zwiedził Palestynę, nie raz mi opowiadał o stanie Izraelitów tamtejszych, o upadku światła między wybranym Boga ludem. Nigdy nie zapomnę wyrazów jego, gdy mi malował cierpienia narodu, co wyprzedził inne poznaniem jednego Boga, co przez chwilę przewodniczył ludzkości, jak gwiazda, dziś zmuszonego żyć w poczwarném zrośnieniu z mahometanami, ludem od siebie niższym cywilizacyą, zmuszonego ulegać sile zwierzęcéj, sile bezrozumnéj, a potężniejszéj jednak nad wszystko, nawet nad opiekę Jehowy! Z jaką rozpaczą wymowną maluje on cofanie się powolne i zaślepianie Izraelitów, aż nareszcie ich upadek, upadek myśli, ubóztwo duszy. Niekiedy, mówiąc o tém, staje się Jonasz poetycznym, jak księgi prorocze, wzniosłym, jak pieśń biblijna. Lecz za chwilę poznasz go, on ci sam to powtórzy, bo to zwykle pierwsze słowa, co się z wezbranéj jego wylewają duszy i ostatnie..."

W ten sposób słowami bohatera powieści skreślona postać Jonasza Palmera daje miarę podniosłego nastroju tego idealnego a może i z natury schwyconego charakteru.

W opowiadaniu Mammonicza, Jonasz Palmer, rodem z Wilna, był sierotą. Miał on w Hamburgu i Frankfurcie po matce i ojcu bogatych krewnych. Ci, dowiedziawszy się o sierocie, wzięli go do siebie. Małém jeszcze dziecięciem przebył kraje dzielące go od tych, co mieli sobie za obowiązek zaopiekować się dalekim powinowatym. „Żydzi bowiem, mawiał Jonasz, jak wiele ludów biednych, stali się prawie wszyscy jedną wielką familią, jedną rodziną Izraela, a póty Żydów, póki ta jedność ich skupia i ożywia." Jonasz Palmer wychowuje się u Palmerów Frankfurckich, na jednéj z tych ulic ciemnych i brudnych, „gdzie wymieciono żydów, jak na wielkie śmietnisko." Tam, w ciasnéj kamieniczce gotyckiéj, na *Juden Gasse* schodzi mu dzieciństwo smutnie, ale spokojnie. „W ostatnich czasach już przecie na noc przynajmniéj, jak zwierza w klatce, nie zaciągano ich łańcuchami."

Tam to, w tych ubogich na pozór sklepach, w przysłonionych oknach, błysły młodemu malarzowi pierwsze wzory głów starców i czarnookich niewiast, tam, na poddaszu dumał, czytał i rysował.

Nauczycielem Palmera była jakaś osobistość nieznana, ale, ucząc się u Niemców, doznawał przykrego co krok prześladowania. Nigdy nie chciał zaprzéć się, że był żydem, a skoro się o tém dowiedziano, wyganiano go ze szkoły, gdyż nikt z nim razem uczyć się nie chciał, ani siąść obok na jednéj ławce. Uczył się najwięcéj z książek, ze sztychów i mnóztwa arcydzieł, rozsypanych we Frankfurcie i innych miastach niemieckich.

Palmer czasowo bawi w Wilnie. Sprowadza go tutaj niespodzianie nań spadłe dziedzictwo po babce, która żyła ubogą „sprzedając zgniłe jabłka i kwaśne wisienki, chodząc w zabłoconych, słomą wypchanych butach, po najbrudniejszych miasta zakątkach, przecież znaleziono po niéj zaszytych w łachmanach więcéj tysiąca dukatów, uciułanych po jednemu dla wnuka".

„Przed śmiercią zawołała staruszka rabina i odała mu rupiecie, aby doszły w całości do Jonasza. Palmer przez wdzięczność dla niéj, przez ciekawość poznania kraju, w którym się urodził, przybywa do Wilna.

Żyć tu wszakże nie może, codzień oburza się na nieszczęsny stan swych biednych współbraci i powiada, że chociaż podle zrobi, ucieczę jednak z placu, bo mu serce pęka na widok ich skalania i moralnéj nędzy."

Bohater powieści Jan z Mammoniczem stają u drzwi mizernego piętrowego domu żydowskiego, „tak brudnego i niedostępnego, że przez rynsztoki skakać na podwórze a po kupach błota nalepłych na wschodach wspinać się było potrzeba na górę."

Tu następuje iście Hogarthowski obrazek, godny pędzla takiego mistrza, jakim jest w szkicowaniu Kraszewski. Jakże oryginalnie i poetycznie na tle owéj nędzy i brudoty, właściwéj uboższéj klassie żydów wygląda żyd Jonasz!

Odarty żydek otwiera przybyłym pólszklanne drzwi. Przechodzą oni szybko zatęchłe izby, „gdzie całe familie spychały się na kilku łokciach kwadratowych, ucząc, swarząc, licząc, handlując, kochając i gospodarując w ciasnocie i zaduchu nieznośnym." „Przez niecki z łokszyną, przez cebry pomyj, ocierając się o kotary odarte i mnóztwo stojących i wiszących kołysek," przeciskają się nareszcie Mammonicz z Janem do wnijścia zamkniętego szczelnie pokoiku.

Jonasz jest młodym człowiekiem nizkiego wzrostu, delikatny, chudy „i jak prawie wszyscy potomkowie umarłych ludów, co dożywają wiekuistego bytu na pielgrzymce w obcéj ziemi, biały jak kobiéta, z płcią przeźroczystą, tak, że przez nią sine żyłki przeświecały. Typ jego twarzy był wschodni. Ogromne, ożywione oczy czarne, głęboko oprawne, otaczały brwi ślicznego rysu. usta miał smutne ale rumiane, maleńką bródkę i wąsy ciemne, włos kruczy, w siny wpadający prawie, a czoło wyniosłe i gładkie.

Po przywitaniu Jonasz z radością ściska Jana.'

— A! Jakiem szczęśliwy! — mówi. Wy nie gardzicie bieduym paryą, wy mnie odwiedzacie, mnie, żyda! Niech wam Bóg to nagrodzi.

Jan mu na to odpowiada żywo: Pozwól kolego powiedziéć sobie, że dziś słusznie *przesądem barbarzyńskim* ochrzczono wzgardy owe stare, całych narodów dotykające niewinnie....

— A! to są słowa, mówi Jonasz, myśmy jednak zawsze tym waszéj legendy Ahaswerusem, któremu Bóg wasz rzekł: „Idź, wygnanym, błędnym, i pożywaj chléb pięciu denarów twoich we łzach i pogardzie." Dla was myśmy skalanymi potomkami zabójców Boga....

— Potomkami wybranego ludu!

— Tak, wybranego i strąconego. Ale — dodaje Jonasz z pewną dumą — ludy, jak ludzie umierać muszą, trzeba się umiéć pogodzić z losem i Bozkie wyroki szanować. Są wielkie konieczności, przeciw którym któż co może? Kto jak Bóg? Boża prawica nad nami! Nie godzi się wyrzekać. Byliśmy narodem wybranym, co reszcie ziemi, co całéj ludzkości dał Boga swojego, Boga jedynego, dziś myśmy ostatnimi z ostatnich. Życie nasze zeschło, jak trawa i minęło, jak cień. Kto wié, co wyrażał ów bałwan Egiptu, bałwan Tebański, zwany Sfinxem, owa wielka starożytności zagadka? Może los wszelkiego rodu podbitego, co sile pięści ulega i zrasta się ze zwierzęciem i, mając skrzydła, ale kamienne, ruszyć się nie może, ani podleciéć głową ludzką z ciałem zwierzęcém. Ten Sfinx zawsze mi naszę dolę w Palestynie maluje. Żydzi, co dali biblią światu—sługami miecza Mosleminów, nie jest-li to głowa człowieka, ulegająca ciału bestyi? A żale nasze bezsilne, rozlegające się po pustyni, nie sąż to skrzydła kamienne tajemniczego zwierzęcia, któremi z ciężkiéj rzeczywistości uleciéć nie można?... Żydowi nawet artystą być trudno, przystęp do arcydzieł sztuki ciężki dla niego, do świątyń waszych podchodzi ze strachem, Rzym dla niego miastem zapartém, gdzie mu na ruinach starych zwycięzców swoich upadłych, zapłakać nawet nie wolno. Cierpiéć, modlić się i milczéć, to los nasz!"

Pomijamy dalsze szczegóły téj, poetycznym językiem skreślonéj rozmowy, aby zwrócić uwagę na końcowy ustęp téj pięknéj sceny, obejmującéj prorocze widzenie epoki, którąśmy za dni już naszych dożyli, epoki, w któréj już nie idealnie powieściowe postacie, ale żywe dłonie ludzi niechętnych dotąd obozów splotły się w jednym uścisku, przebaczenia uraz, pojednania i miłości dla wspólnéj matki ziemi.

— Wierz mi, —mówi żyd w ostatku, żegnając Jana. Do śmierci twych odwiedzin nie zapomnę. Świat—zwyciężonych, upadłych, częstuje wzgardą. Winni są przed nim, bo upadli—a któryż upadek nie kala? Winni, gdy rozpaczliwie chcą wznieść się ze swego kału i błota, winni, jeśli się ukorzą, winni, gdy milczą, zawsze winni.... A gdy z tłumu z tych, co wołają: Winni! wyrwie się głos serdeczny, głos współczucia i litości, jakaż to wdzięczność!

Wy nie dożyjecie pewnie, lecz kto wié, synowie wasi lub wnuki — nie trudno być prorokiem—chwili, gdy i dla was, jak dziś

dla mnie słowo pociechy, dłoń wyciągniona, współczucie serdeczne, będą drogim darem. Nie daj Boże! ale narody giną i upadają, jak ludzie, a przeciwko śmierci niema ratunku! Miecz to anioła Bożego!“

Zatrzymałem się może przydługo nieco nad fantazyjną postacią Jonasza, ale trudno, czytając Sfinxa, odéjść obojętnie od obrazu, wykazującego nie tylko mistrzowstwo Kraszewskiego w kreśleniu charakterów, ale i to zacne serce pisarza, które w epoce ogólnego antypatycznego nastroju uczuć do postaci żydów w życiu i sztuce, szukało wszędzie ideału i odczuwało go tam nawet, gdzie go inni mistrze pióra odnaléźć nie mogli.

Aby malować z taką dokładnością niższe warstwy żydów, ów świat zamknięty w sobie, jak ślimak w skorupie, ze wstrętnemi na zewnątrz pozory a wielką, poetyczną i zajmującą dla myślącego umysłu treścią, niedość posiadać dar intuicyi, ale trzeba znać dokładnie sferę wierzeń, cały duchowy nastrój, i bogatą skarbnicę podań plemienia, które się przedstawia. Widocznem to jest w powieściach Kraszewskiego. Tak jak w „*Chacie za wsią*“, w „*Jarynie*“, „*Jermole*“, i „*Budniku*“, są ślady poważnych studyów nad zwyczajami i obyczajami ludu, tak téż i obrazki na tle żywota żydowskiego osnute, wykazują głęboką znajomość Kraszewskiego wszelkich odcieni charakterów i typów żydowskich, począwszy od małomiasteczkowego arendarza, aż do uczonego talmudysty, najbardziéj zbliżonego do typu, jaki nam przekazała tradycya.

Komuż z nas nie utkwiły na zawsze w pamięci cudne sylwetki żydów starego autoramentu w perle powieściopisarskiego zawodu Kraszewskiego, w „*Powieści bez tytułu?*“

Któż z nas w marzeniach bujnéj fantazyi umiał wymyślić sobie typ piękniejszéj dziewczki nad Sarę? „Rzekłbyś—mówiąc słowy Kraszewskiego, że to wskrzeszona jedna z tych bohaterek biblii, jedna z tych wdzięcznych cór Izraela, które w ognistych wyrazach malują nam księgi święte.“

A ów biblijny starzec Abram, dziad Sary, wróg zacięty wszelkiego postępu i innowacyi w domowém życiu swego plemienia!

Wszakże to z Dantejską potęgą skreślona postać fanatyka religijnego. Słowa tego starca, każde pojawienie się jego na kartach „*Powieści bez tytułu*“, przerażają czytelnika zagrobowém widmem średniowiecznych zaklęć i urojeń.

Rzekłbyś, że to postać wyrwana z toni przeszłości i osłoniona tajemniczém światłem zagrobowych ogników.

„Czego ty uczysz Sarę!—mówi Abram na widok poety Szarskiego — nie *Chumisz*, nie *Tora*, nie *Tanach*, ale *Awoda zara* (obcéj wiary), wiary *akumskiéj* (gwiazdochwalców). Chcą wstydu, chcą sromu, chcą z chassydów w domu swoim przerobić *myszumetów*.

„Głupi, głupi, którym *Dass* (wiara) nie wystarcza, którzy w nauce od *klippes* zesłanéj szukają dobra, jakiego w niéj nie było, z ognia czerpią wodę! Czegoś ty przyszedł synu *akumów*, dzień, któregoś ty stąpił na próg nasz *jom et* dla ciebie i dla nas... Powiadam ci, weź kij i sandały twoje, a idź, dopókiś żyw i nie odwracaj głowy twojéj ani oczu twoich, abyś nie powrócił i nie umarł... Ażaliż myślisz, że którykolwiek głos człowieczy, idący z serca, próżen być może i nie dochodzi do tronu Tego, którego imienia nie godzi się wymawiać ustom ludzkim? Ażali myślisz, że nietknięty ręką, nie możesz być pożarty oczyma i strawiony nienawiścią i zabity na wieki klątwą? Idź! mówię ci, uchodź w cichości okrywszy głowę twoję a zatrzyj za sobą końcem płaszcza ślady nóg, aby cię nie znalazły myśli moje i posłańcy Tego który się mści za dzieci Izraela... Idź!”

XII.

Przytoczyliśmy powyższe ustępy z utworów, pisanych jeszcze w epoce na lat wiele poprzedzającéj wystąpienie Kraszewskiego na widownią publiczną w charakterze pisarza o tendencyi wpływowéj i pojednawczéj, aby wykazać, że dziennikarska działalność Kraszewskiego w duchu tolerancyi i postępu nie była nowym zwrotem w karyerze zasłużonego pisarza i zaprzeczeniem dotychczasowego kierunku jego przekonań, ale wyrazem i wcieleniem w czyn poglądów myśliciela, wypowiadanych nieraz w utworach fantazyi na jedno z wybitniejszych i palących zadań społecznych.

Kraszewski w powieściach swoich działał zawsze, jako apostoł pokoju i zgody pomiędzy różnorodnémi a nieprzyjaźnie względem siebie usposobionémi klassami ludności.

Dość np. wspomnieć owe wzniosłe obrazy z powieści, „*Ostap Bondarczuk*“, „*Jaryna*“, w których Kraszewski tak gorąco stanął w obronie pokrzywdzonych praw człowieczeństwa, aby przyjść do przekonania, że wówczas, gdy kwestya włościańska

w praktyce leżała odłogiem, był już myśliciel, który miał odwagę wypowiedzieć narodowi słowa prawdy i wskazać mu istotną drogę postępowania z wzgardzoną klassą narodu.

Jedyną pobudką i dźwignią Kraszewskiego w owych zbawiennych i wpływowych działaniach, była miłość powszechnego dobra, owa filantropia wyższa, czerpiąca swe soki ożywcze w sercu przejętém miłością dla wszelkich szlachetnych zadań.

Kraszewski był istotnie drugim Złotoustym Skargą swego narodu. W chwilach upojenia i szału ogólnego głosząc uroczyste „Memento,“ budził on uśpione w narodzie siły, zachęcał do poprawy i rzucał wszędzie posiew zdrowych zasad ku pożytkowi żyjącego i przyszłych pokoleń.

Ta sama pobudka była widoczną i w pierwszych krokach Kraszewskiego na arenie publicznego życia.

Od dawna już, a może nigdy dotąd niesłyszano z trybuny dziennikarskiéj słów i przemówień takich, z jakiémi Kraszewski miał odwagę zwracać się do ogółu.

Dziennik, uważany błędnie, jako przelotny świstek papieru jednodziennéj wartości i trwałości, stał się w rękach Kraszewskiego potężną dźwignią postępu, krzewicielem zdrowych zasad, doradzcą, kierownikiem i agitatorem w duchu miłości człowieczeństwa, przedewszystkiem zaś stróżem cnót, narodowych tradycyi i niepokalanéj czystości ducha narodowego.

„W świecie materyi posiada siła, w świecie ducha.... miłość tylko,—głosił Kraszewski w r. 1859. Człowiek człowieka posiadać niemoże, tylko przez miłość, inaczéj posiadanie rzeczywistém, zupełném nie będzie. Miłość, a jako czyn jéj, poświęcenie i ofiara—oto criterium postępu... To, w czém ona jest, wiedzie ku dobremu, w czém jéj niema, cofa nas i odprowadza od głównego celu. Cechą więc postępu jest rozbudzenie uczucia miłości powszechnéj, *jest solidarne w narodzie związanie się nietylko jednostek ku wspólnemu działaniu i pomocy, ale klass wszystkich. Gdziekolwiek panują uprzedzenia kastowe, nienawiści, odosobnienia, coraz się zwiększające, tam być postępu nie może...* Wydzielanie się klass społeczeństwa i ogółu, niechęć do brania udziału w życiu zbiorowém, wstręt ku ludziom, których powołanie stawi na innym szczeblu działalności—są pierwszemi oznakami dezorganizacyi. Uprzedzenia względem najniższych warst społeczeństwa, wypłacających się nienawiścią wzajemną, nie istnieją tam, gdzie wszyscy po chrystusowemu są braćmi i robotnikami w winnicy, choćby nie w jednę przybyli godzinę.“

XIII.

W kilka lat po opuszczeniu steru Gazety Kraszewski ujął w systematyczną całość poglądy swoje na kwestyą żydów polskich.

Tak, jak dla muzyka pieśń, dla poety wiersz liryczny, dla Kraszewskiego powieść stanowi zawsze jedyną formę, w któréj najłatwiéj wypowiada swoje religijne, estetyczne, filozoficzne i społeczne poglądy na zadania życia.

Dotychczasowe postacie żydów w powieściach Kraszewskiego stanowiły akcessoryum mniéj lub więcéj konieczne dla wiernego oddania charakterystyki miejsca i czasu malowanych obrazów.

W powieści, o któréj mowa, żydzi stanowią tło główne, żywot ich domowy i religijny a odcienia rozmaitych charakterów, typów i postaci, materyał — z którego się składa główna budowa i zawiązek dramatu.

Pierwszy raz również w literaturze polskiéj spróbował tu Kraszewski przedstawić żyda nie pod postacią brodacza w chałacie, albo téż fanatycznym pokostem powleczonego Azyaty, ale pod formą człowieka oświeconego, europejskiego, urobionego według warunków nowoczesnéj cywilizacyi.

Jakób Kraszewskiego pomimo całéj swojéj światowości jest wszelako na wskróś religijnym człowiekiem, szanującym tradycye swego plemienia, pragnącym zlania się politycznego swoich współwyznawców z otaczającą ich społecznością, ale stojącym twardo na gruncie nienaruszalności tych cech odrębnych w religijném życiu, jakie rodzinne jego plemię mimo burz i nieszczęść dziejowych utrzymały i utrzymują dotychczas wśród innoplemiennych społeczeństw w uczuciach przywiązania do tradycyi przodków.

„Ja — przez moje wychowanie żydowskie najprzód — mówi o sobie Jakób — potem europejskie i ludzkie, stałem się innym, nowém czémś dla siebie i nowém dla moich współbraci; jestem żydem szanującym tradycye a nie przesądnym, w głębi serca zachowałem uczucie i wiarę, jako najdroższy skarb, ale nie odpychając światła rozumu i prawa postępu, nie wyłączając się z ogółu ludzkości. Godzi się to we mnie i daje spokój zupełny“.

Powiedziałem wyżéj, że w ten sposób pojęta postać była w literaturze polskiéj czémś nowém, oryginalném.

Ze względu właśnie na tę oryginalność postaci zarzucono Kraszewskiemu, iż Jakóba pojął zbyt idealnie, bo, zdaniem krytyków, taka dwoistość charakteru postępowca i konserwatysty w żydzie jest niemożliwą.

Nie tu miejsce dla wykazania błędności takiego poglądu.

Tłumaczy się on jedynie przyzwyczajeniem społeczeństwa do przedstawiania sobie postaci żydów zawsze pod jedną i tą samą formą: trochę azyatycką, trochę średniowieczną, z przymieszką pewnéj dozy mniéj lub więcéj interesownej uczciwości, wielkiéj dozy sprytu i zręczności do wyzyskania bliźnich.....

Literatura polska, jakeśmy to wyżéj wykazali, znała dotychczas kilka wybitnych typów żydów sympatycznych, obok niezliczonéj massy karykatur.

Prototypem był Mickiewiczowski *Jankiel* z Pana Tadeusza, typowémi były postacie Arona z komedyi Korzeniowskiego: „Żydzi", Abrama i Salomona w obrazach Chodźki, i typy żydów w powieściach Kraszewskiego.

Typy te, niewyjmując malarza Jonasza, były przedstawione wiernie, malowane z natury... ale przeciąg czasu od ich powstania aż do dni naszych zdziałał wielki przewrót w ustroju obyczajowego i—że tak powiem—politycznego życia żydów polskich......

Kraszewski w powieści swojéj na tle współczesnéj nam epoki osnutéj, musiał przyjąć i przyjął istotnie w rachubę te wpływy oświaty i cywilizacyi, które z pośród tłumu żydów dotąd jeszcze w zastoju i odrębności wegetujących, wydzieliły potężny zastęp ludzi z pojęciami nowszémi o europejskich *i obywatelskich poglądach* na zadania życia.

Dążnością Kraszewskiego w przedstawieniu takiéj właśnie postaci — było odzwierciedlenie wierne stosunków nowych, wytworzonych siłą powolnego ale pewnego oddziaływania oświaty na wszystkie bez wyjątku stany i klassy narodu.

Niezależnie od tego górowały jeszcze w Kraszewskim względy etyczne, chęć wykazania w obrazie z natury skreślonym, że między ludźmi odmiennych religijnych przekonań i wpływów może i powinna istnieć spójnia jednakich obywatelskich dążeń i miłości do rodzinnego kraju.

Przyjaciel i szkolny kollega Jakóba, Iwaś, dziecię szlacheckie, w szlacheckich uprzedzeniach do ludzi nieszlacheckiego pochodzenia wychowane, pomimo uczuć życzliwości, żywionych dla swego towarzysza żyda, burzy się wszakże niekiedy i buntuje przeciwko zasadzie równości praw i obowiązków wszystkich mieszkańców jednéj ziemi, jaką to zasadę Jakób w rozmowach swoich wygłasza, stawiając tę zasadę, jako główny warunek pomyślności kraju i normalnego rozwoju wszystkich jego czynników.

— Wy żydzi — mówi Iwaś — nie możecie mieć ani nie macie tego uczucia, co my dla kraju.

— Mylisz się — odpowiedział Jakób — jeżeli dla kogo, to dla nas kraj ten, co nam dał przytułek, w którym mimo chwilowych prześladowań urośliśmy liczbą i pracą, jest naszą drugą przybraną ojczyzną. Jeśli nią nie jest dla wszystkich, to być powinien i będzie. Ja się czuję przynajmniéj zarówno Izraelitą, jak Polakiem.

— Tak — zarzuca Iwaś — ale ludzi takich, jak ty, niema i niemoże być wielu. W ogóle zarzucić wam można, że nie bardzo przywiązaliście się do tego kraju, w którym dosyć, jak na owe wieki, przeżyliście czas długi szczęśliwie i swobodnie, który was karmił, hodował, bogacił... i uznał za dzieci swoje...

— Powoli — odpiera Jakób, rozpatrz się w historyi bezstronniéj: fanatyzm religijny, prawda, wspólny wam z innemi narody i buta szlachecka... długo stały na przeszkodzie uznania żydów za obywateli kraju. Winni téż byli i żydzi, że języka i obyczajów przyswoić sobie nie starali się, że się odosobniali, stanowiąc status in statu, naród w narodzie, że szczerze nie pracowali na obywatelstwo, które się poświęceniem i krwią zdobywa.

Winy są równe z obu stron i z obu stron szczere przebaczenie i zapomnienie przeszłości wyjść powinno. Wiek inny, oświata rozpowszechniona, idee ludzkie nam wspólne, wszystko nas teraz zbliżyć i przejednać się zmusza. Wyciągamy dłonie... nie odpychajcie ich!"

Obok świetlanéj postaci Jakóba, człowieka postępu, lecz silnéj wiary, gruppują się i charaktery ujemne ludzi wolnomyślnych, niedowiarków, bez poszanowania tradycyi, czyniących z rachuby moralność życia a z rozumu przewodnika jedynego na polu postępowania z ludźmi.

Postacią taką w powieści Kraszewskiego jest ojciec sympatycznéj, nieco rozmarzonéj Tyldy.

Kraszewski, jako człowiek sam silnie wierzący, przyjmujący wiarę, jako nieodłączny attrybut człowieczeństwa, biczem satyry chłoszcze indywidua tego pokroju. Miejscami słowa jego grzmią całą potęgą oburzenia przeciwko zmateryalizowaniu dusz

i wyziębieniu wszelkich uczuć poszanowania dla rzeczy wielkich i świętych.

„Bądź co bądź, mówi on usty głównego bohatera powieści — człowiek nie jest wykształceńszém zwierzęciem tylko; po za nim czuć inne światy, istoty i obszary ducha; oprócz ciała ma w sobie duszę, która łączy się z bóztwem, bada, przeczuwa, wzlatuje wyżéj nad ziemię i daléj nad zmysłowe przestrzenie. Materyalizm i ateizm nie starczą ani społeczeństwu do życia ani jednostce; oderwane przez nie od całości są jak kwiaty ścięte z łodygi, usychają. Odbierz im Boga, wiarę w nieśmiertelność ducha, wyższe poczucia i pragnienia, a stworzysz, zwłaszcza przy wikwintnéj cywilizacyi materyalnéj, coś tak poczwarnego, jak jest przyzwoity, chłodny, umarły wiek dzisiejszy, który zwycięża żywioły, dochodzi tajemnic najskrytszych natury a nie wié już, co jest złém a co dobrém, i określa cnotę i występek, rozumem lub głupotą, niezręcznością tylko lub praktycznością. Miarą dlań jest powodzenie, bóztwem siła, a *vae victis* znowu się echem ogromném rozlega po nad tą pustynią, którą przecinają koleje i przelatuje para.“

Żywioł konserwatywny, zdala od oświaty stojący a trzymający się oburącz form i obrządków dawnych, reprezentowanym jest w powieści Kraszewskiego w postaci Jankla Mewesa, żyda, który „chociaż rozsądkiem i otarciem się o ludzi mógł był zająć inne stanowisko w świecie,“ nie zrzucił wszakże dla wdarcia się w cywilizowańsze towarzystwo ani sukni ani wiary.“

Przeciwstawieniem tego typu jest sąsiad Jankla, małomiasteczkowy bankier Dawid Seebach, którego dom nie był ani żydowski ani chrześciański, a choć niby dla oka trzymano się w nim praw i zwyczajów dawnych, w istocie nie przywiązywano już do nich żadnéj wagi, czyniono to tylko dla oka z obojętnością i szyderstwem......

Syn Dawida, Dawid, młodszym zwany, daléj jeszcze odstąpił od tradycyi. Przedstawia go Kraszewski, jako człowieka na pozór wychowanego starannie, w istocie zaś ostatecznie zepsutego, zajadłego, jak ojciec, do robienia grosza i nieprzebierającego w środkach....

Na tle téj różnobarwnéj tkanki typów i charakterów żydowskich, wśród postaci skreślonych z werwą i właściwym Kraszewskiemu dowcipem, wśród skeptyków w rodzaju Simona, kameleonów umysłowych i moralnych w rodzaju Manna, dwuznacznych figur Wtorkowskiéj i jéj córki Muzy, roztacza się akcya dramatu.

Jakób, jakby apostoł prawdy, stara się w tę społeczność, owianą już atmosferą niedowiarstwa i kosmopolityzmu, wlać ducha poświęcenia i miłości dla powszechnego dobra. Na drodze téj spotyka wszędzie obojętność i szyderstwo. Pobożni żydzi uważają Jakóba za niedowiarka, wzruszają ramionami na jego apostołowanie i odtrącają myśl wszelkich reform. Zniemczeni żydzi są Heglistami, zfrancuzieli—pozytywistami. Inni bez wszelkiéj filozofii z pustką w głowie i z pustkami w sercu czują się spokojnymi zupełnie.

„Na tém jałowem polu nawracanie było niemożebne. Społeczność rozumiała Izraelstwo swe ze strony jego poetycznéj i malowniczéj, poklaskiwała mu w Żydówce, w muzyce Mendelssohna i Mayerbeera, w dowcipie Heinego i Börnego, w milionach i wszechmocności Rothszyldów, ale były to tylko wspomnienia jakiéjś podruzgotanéj przeszłości.... Walka większości dla europeizmu, dla francuzczyzny, dla tonu wypierała się wszystkiego swego i rumieniła wspomnieniem.“

Są w powieści Kraszewskiego ustępy przedziwnéj piękności, wskazujące, że autor wsłuchał się niejako w dziejowy dramat plemienia, które wziął za przedmiot swego opowiadania, że odczuł sercem poety i umysłem myśliciela piękne jego strony, że, wyszydzając to, co szyderstwa jest godném, umiał się wznieść na podniosłe stanowisko filozofa w rozpatrywaniu smutnéj przeszłości swego odłamu narodu, który narodem być przestawszy, powoli wsiąka w inne społeczne ciała....

Jaki bo cudny jest ów ustęp o obrazie Ruisdaela w Galeryi Drezdeńskiéj, przedstawiającym stary cmentarz żydowski!

Żadna literatura, nie wyjmując i żydowskiéj, poszczycić się nie może większą obrazowością stylu i głębokością idei, tryskającą z owych podniosłych słów wielkiego pisarza.

„Całémi godzinami można się wpatrywać w tę kartę, w ten poemat niewysłowionych smutków, niezgłębionéj boleści tajemnéj..... przerażającéj, jak historya atrydów, napiętnowanéj fatalizmem wiekowym dziejów nieubłaganych.... Cóż to za cudowny utwór, ten kawał czarnego płótna, na którym zrazu widać tylko pokłębione chmury i kilka czarnych drzew, które burza odarła.

„Przypatrz się jednak..... niebo ciemne, trochę kamieni, pnie drzew i gąszcze tajemnicze, głębokie..... przez jakieś porwane trzęsawiska sączy się zgniły strumień, oto cały materyał obrazu, stworzonego z tych

kilku pospolitych rzeczy z siłą wyrazu niewypowiedzianą. Ów niedoszły lekarz a artysta zachwycający Ruisdael, malarz posępnych skał, ruin, wody, ani w swym klasztorze, ani w zamku, ani w lasach i jeziorach mnogich, równie może pięknych, ale daleko mniéj wymownych, nie wypowiedział tak całego swojego geniuszu, jak tutaj... tu on jest mistrzem, podnoszącym się do epopei...

„Nigdy krajobraz jeszcze nie był tak straszny, tak zarazem jasno mówiący, tak majestatycznie wielki i piękny... żaden jasny Claude Lorrain, uśmiechający się grą południowych promieni słonecznych, żaden Salvator Rosa ze zbójecką jaskinią i rozczochranémi drzewy, martwemi gruzami i ziemnémi bryły nie potrafił tak wiele wyśpiewać.... To tęskna karta dziejów czarnych narodu odepchniętego, prześladowanego, któremu na cmentarném nawet wygnaniu wśród zgnilizny i ruin niema na ziemi spokoju.... Tu ludzi niema, ale jest burza, ulewa i potok, który niszczy i rozrywa, nawet kości śpiące w grobowcach....

„Fatalizm i tu ich sięga.....

„Chcąc dolę Izraelitów odmalować, niemógł malarz nic innego wybrać nad cmentarz cmentarza.... spoczynek i tu jeszcze nie pewny—pod ruiną świątyni zburzonéj, na któréj gruzach dwoje ludzi modli się, czekając, by burza odeszła i zaświeciło słońce.... Lecz w końcu XVII w., gdy obraz ten malowano, tęcza była jeszcze daleko, słońce za chmurami, promyk jego zaledwie się przedzierał i padał na grób, na którym dzikie z litości kwitły krzewy. Co tu za smutek, jakie przerażenie panuje w całym obrazie.... wypowiedziéć niepodobna.... To miejsce ostatniego spoczynku wygnańców zdaje się prześladować niegościnna ziemia.... woda podmywa groby, drzewa je poją wilgocią cieniów, burza rozwala i miota gałęziami, a mimo to... dwoje ludzi się tu modli i kwiat biały rozkwita nadzieją wiosny.....“

Mówią, że gdy Kraszewski przystępuje do dzieła, którém jest bardzo przejęty, wówczas w kościele przy dźwięku organów, lub téż wpatrując się w obraz treści religijnéj albo fantazyując na fortepianie wśród wieczornéj ciszy, czerpie w swojéj samotni natchnienia.

Powieść, o któréj mowa, sądząc z jéj osnowy i z mnóztwa tak podniosłych, jak przywiedziony powyżéj, ustępów mogła tylko powstać pod wpływem obrazu Ruisdaela. Ten sam bowiem z niéj bije smutek, taż sama, mimo weselszych ustępów, atmosfera żałoby, toż samo szamotanie się duszy zbolałéj, tęskniącéj za niedościgniouym ideałem z ciężkiemi warunkami bytu i rozczarowaniem życiowém.

Powieść Kraszewskiego, o któréj mowa, mimowoli nasuwa na myśl dzieło angielskiéj powieściopisarki Eliott, która w swoim *Danielu Deronda* pragnęła również uwydatnić apostolską ideę swego bohatera między tłumem zmateryalizowanych potomków Izraela.

Jakże odmiennie wszelako angielski pisarz pojął to trudne i niezwykłe zadanie!

Daniel marzy również o odrodzeniu swego plemienia, ale przewodnią jego ideą jest mrzonka poetyczna—odbudowanie dawnéj świątyni i wskrzeszenie Judzkiego państwa.

Jakób Kraszewskiego jest również apostołem, ale jest on przedewszystkiém obywatelem swego kraju, dzieckiem swéj epoki.

Odrodzenie współwyznawców w pojęciu Jakóba nieznaczy wskrzeszenia tego, co wieki i przeszłość pogrzebały na zawsze, lecz oznacza obudzenie w sercach jego braci szczytnéj idei miłości do tego, co nowsze czasy wraz z cywilizacyą i nabytkami wiedzy przyniosły w dani duchowi ludzkiemu t. j. zasady koniecznego wyjścia z zasklepionego kółka ciasnych poglądów na życie i ujęcia silną dłonią steru owych drobnych na pozór, lecz w gruncie wszechwładnych czynników, z których splata się wiązanka naszych działań, naszych dążności i celów.

Jakób Kraszewskiego jest typem obywatela miłującego ludzkość i wszystko to, co ludzkie, ale stawiającego na równi z tém i uczucie miłości dla ziemi rodzinnéj, tysiącznemi węzły wspomnień złéj i dobréj doli z życiem naszém związanéj.

W tym samym duchu skreśloną została niedawno przez Orzeszkową sympatyczna postać Meira Ezofowicza w pięknéj powieści na tle życia żydowskiego osnutéj.

Daniel Eliotta jest marzycielem, poetycznie pojętym, ale dla ogółu dzisiejszego społeczeństwa niezrozumiałym, Jakóbów i Meirów jest wielu, a da Bóg z czasem liczbą ich będzie — legion.

XIV.

Lecz wróćmy do przerwanego toku opowiadania. Pierwszy krok uczyniony przez Kraszewskiego na polu śmiałego dotknięcia drażliwéj kwestyi towarzyskiego uprawnienia żydów w umysłach narodu, pobudził intelligentną klassę żydów warszawskich do energiczniejszéj działalności.

Kółko literackie młodzieży skupione w mieszkaniu T. obok swego duchowego przewodnika D-ra J. poznało całą ważność chwili i z tém większą gorliwością zaczęło się krzątać około myśli utrwalenia swego efemerycznego, dotychczasowego istnienia.

Powstała myśl urządzenia peryodycznych odczytów o przedmiotach historyi i literatury. Dr. J. przyjął na siebie obowiązek opracowania seryi opowiadań z dziejów żydowskich i biografii znakomitszych działaczy na polu emancypacyi żydów.

Członkowie kółka obowiązali się od czasu do czasu przedstawiać piśmienne prace o rozmaitych przedmiotach z nauk przyrodniczych i belletrystyki. Zapowiedziano ponętny temat: „*Kraszewski i Korzeniowski jako powieściopisarze*".

Jeden z członków opisał spotkanie duchów Herzberga i jednego z redaktorów na Elizejskich polach — w satyrycznym duchu.—Opracowano życiorysy Mendelssohna i Czackiego i t. d.

Pamiętne wrażenie wywarł był pod owe czasy artykuł niegłośnego jeszcze pisarza Neufelda zamieszczony w Encyklopedyi Orgelbranda p. t.: „Chassyd."

Bawiącego w przejeździe przez Warszaszawę autora zaproszono na jedno z wieczornych zebrań do T.

Nikt na widok owéj skromnéj, pochylonéj, chowającéj się po kątach postaci, nie mógł się domyśléć, że człowieczek ów, zajmie niezadługo wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko, że siłą talentu swego i głębokiéj nauki zawładnie wkrótce sterem nieznanéj jeszcze wówczas publicystyki żydowsko-polskiéj, któréj potrzebę już wówczas przeczuwano, ale która w warunkach ówczesnych nie mogła przybrać tego kierunku, jaki był pożądanym dla ogólnego dobra.

Piszących o kwestyi żydowskiéj nie brakowało przedtém w literaturze polskiéj.

Wszystkie jednak te prace judaistyczne obracały się wyłącznie w teologicznéj sferze. Tugendhold wydał pokaźny szereg broszur w téj kwestyi. Były nawet słabe początki literatury śmielszéj, bo dotykającéj strony obrządkowéj religii żydowskiéj. Buchner swą rozprawą „Prawdziwy Judaizm" wywołał prawdziwą burzę między ortodoxami.

Do talentów pisarskich żydowskich zaliczano między innymi Abrama Paprockiego, autora *Historyi ludu Izraelskiego*, wydanéj w bardzo szczupłych, z niezależnych od autora przyczyn, rozmiarach. Nie było wszakże dotąd pisarza, któryby kwestyą żydowską postawił na gruncie, że tak powiem, politycznym, któryby powagą swego imienia i stanowiska skupił obok siebie zastęp pracowników o siłach młodych, niezabarwionych kolorem kastowości i odosobnienia. —

To zadanie przypadło w udziale Neufeldowi. Głośne to swego czasu nazwisko, obecnie już przycichło nieco. Przeciwności i zawody w trudnéj walce z losem zbyt wcześnie złamały to dzielne pióro, które niezbyt dawno temu tak żywy przyjmowało udział w pracy około krzewienia oświaty między żydowską ludnością naszego kraju.

Lecz dziś już z pozostałych po Neufeldzie dzieł i pism, bądź drukiem ogłoszonych, bądź w rękopiśmie jeszcze walających się, odtworzyć sobie można pojęcie o doniosłości zamierzonego przez Neufelda zadania i o dotkliwéj stracie, jaką intelligencya krajowa przez zawczesną śmierć tego pracownika poniosła.

Tak zwana kwestya żydowska na Zachodzie dawno już rozwiązana, u nas jeszcze od czasu do czasu podnoszona, dopotąd należycie zrozumianą nie zostanie, dopóki nie będzie zbudowaną zasadnicza podstawa, na któréj duchowy ustrój żydowskiego plemienia polega.

Uczeni żydowscy na Zachodzie wcześnie już pojęli tę prawdę, że najlepszym środkiem zniweczenia zadawnionych przeciwko żydom uprzedzeń—jak to zresztą i roztropnie radził Nestor naszych historyków Lelewel — jest odsłaniane żydowskiego życia rodzinnego, umysłowego i religijnego sposobem publikacyi i tłumaczeń pism, przez społeczność żydowską za powagę uważanych.

W uznaniu konieczności takiego zrozumiałego łącznika między żydowską społecznością a ogółem kraju, odzywały się u nas dość często głosy o potrzebie założenia organu specyalnego, któregoby zadaniem było szerzenie istotnych pojęć o żydach i oddziaływanie tym środkiem i na żydów w duchu prawdziwego postępu.

Głosy te przez czas długi nie odnosiły pożądanego skutku i literatura polsko-żydowska skupiała się i szukała przytułku pod okładkami oderwanych broszur, które, trwalszego wpływu na ogół nie wywierały.

Szczęśliwe okoliczności pomogły Neufeldowi do urzeczywistnienia téj upragnionéj myśli.

Grono obywateli żydowskich pokonawszy stawiane zewsząd trudności zebrało odpowiedni fundusz na założenie pisma peryodycznego, a ster tego pisma oddało w ręce znanego z zacnych dążności i talentu pisarskiego Daniela Neufelda.

Pamiętnym pozostanie dla wszystkich oświeconych żydów kraju naszego dzień, w którym po raz pierwszy ukazała się na horyzoncie dziennikarskim, dziś już zagasła „Jutrzenka".

„Ze sztandarem zgody i miłości, z pochodnią oświaty i obywatelskich dążeń, wystąpiła młodociana gazetka do walki z przesądami i ciemnotą, szerząc wszędzie idee zdrowego postępu i potrzeby naprawienia tego, co przeszłość smutna pozostawiła po sobie w spuściźnie,

Artykuły rozumowane, historyczne, wierszyk, powiastka obyczajowa, korrespondencye z kraju, złożyły się na ów pierwszy, niebogaty wprawdzie treścią numer pisma, ale który był niejako zapowiedzią rozwoju ku lepszemu i pierwszą próbą na nieznaném dotychczas polu pracy uskutecznioną. Prassa warszawska pobłażliwie i z współczuciem przyjęła tego nowego towarzysza do swego grona.

„Zjawienie się pierwszego numeru pisma tygodniowego pod tytułem: „Jutrzenka" jest pełném znaczenia — pisał między innémi Kraszewski. Plan i treść wskazują dążność zacną, w której wytrwać potrzeba. Nie będziemy się rozwodzić nad treścią, która jest w ogóle dobrze obmyślaną, powiemy słowo o znaczeniu tych usiłowań, jakie się mnożą dla zwalczenia dawnego przesądu i wprowadzenia w życie równouprawnienia Izraelitów. Jutrzenka jest pierwszém pismem, redagowaném z tą myślą i w tym celu, by z ludzi wydzielonych, a często dobrowolnie wydzielających się ze społeczności, uczynić obywateli kraju na równi z nami pracujących około jego dobra.

„Wiemy, że stan dotychczasowy w wielkiéj części był spowodowanym przez samę naszę społeczność, że wiele było jéj winy, ale mówmy prawdę: wiele i z drugiéj strony rzeczy przyczyniło się do tego. Różnice stroju, obyczaju, mowy, wyróżnianie się umyślne uwieczniało rozbrat nieszczęśliwy; potrzeba zwrócić najprzód na to usiłowanie i [illegible]cznosć, abyśmy jednym mówili językiem, nie różnili się ubiorem i powierzchownością nie odstrychali tam, gdzie wspólnie interesa ogółu powołują. Z obu stron potrzeba usiłowań ku temu, nie wątpimy o skutkach, widząc jak szczere i gorące są chęci Izraelitów naszych. Tą drogą daléj niezmordowanie iść potrzeba i pracować. Jutrzenka może mieć wielką zasługę odwagi, z jaką jęła się dzieła dla obu stron ważnego i płodnego w najpiękniejsze owoce".

XV.

Zakres działalności Neufelda na polu literatury nie ograniczał się jedynie wydawnictwem pisma peryodycznego.

Idąc za wzorem uczonych Zachodu, zapragnął on w literaturze żydowskiéj religijnéj znaleść środek oddziaływania na massy. Literatura ta, odtworzona językiem zrozumiałym dla wszystkich, nie była w pojęciu Neufelda gałęzią wyłącznie dla żydów przeznaczoną, lecz przeważnie środkiem uobywatelenia żydów, więcéj sposobem uregulowania w duchu postępu ich stosunków wewnętrznych, gminnych, aniżeli nauką czystą, sztuką dla sztuki, w zamkniętém kółku specyalistów uprawianą.

„Ci, którzy do żydów przemawiają językiem zrozumiałym — były to słowa Neufelda—mają szersze przed oczyma zamiary, idzie im głównie o uczynienie żydów częścią składową narodów, wśród których się osiedlili, a ten interes jest wyższym nad interes plemienny, jest interesem ogółu wszystkich krajów, które dążą ku zamalgamowaniu pojedyńczych ras i plemion mających warunki odrębności w jeden związek społeczny. Literaturą hebrajską dopiąć tego tak łatwo nie można, tyle tam już pisano, tylu tysięcy przedmiotów dotykano, iż lud żydowski wierzy wszystkiemu, co drukowane po hebrajsku, byle nie w jego czasach i byle nie w kwestyach społecznych. To, co współcześni piszą i co nie traktuje o przedmiotach religijnych, choćby nawet w języku świętym pisane, niema żadnéj wagi w jego oczach. Prawdy mu wypowiadane, napomnienia do poprawy, wskazówki do reformy, nie wpływają na niego, uważa on to za dyskussyą przy drzwiach zamkniętych. Inaczéj wszakże ceni rzecz pisaną w języku zrozumiałym i dla jego sąsiada chrześcianina. Tu dyskussya staje się publiczną, a im w szerszych sferach i wyższych kołach bywa czytaną, tém silniéj nań działa.

„Widząc, że jego sąsiad przysłuchuje się dyskussyi, bierze ją do serca, wystrzega się niekonsekwencyi, usprawiedliwia się, broni swych zasad, jeśli może, ustępuje, poznawszy, iż niektórych z nich obronić nie może, bo niechciałby, iżby plemię jego i wyznanie cierpiały na powadze i poszanowaniu".

W takim to duchu podjęte zadanie starał się Neufeld urzeczywistnić przekładami dzieł religijnych na język polski, wyjaśnianiem istotnego znaczenia modlitw i obrządków żydowskich i artykułami zamieszczanemi w Jutrzence.

W krótkim peryodzie czasu między 1860 a 1866 r. oprócz obszernych artykułów, zamieszczonych w Encyklopedyi Orgelbranda, wydał Naufeld rozprawę: „Wielki Sanhedryn Paryzki przez Napoleona I zwołany" wydrukował dwa pierwsze tomy Pięcioksięgu Mojżesza w przekładzie polskim i oddzielnie wydaną książkę pod tyt.: „Urządzenie konsystorza żydowskiego w Polsce."

Podczas dwuletniego pobytu w Cesarstwie, w m. Serdobsku, przetłumaczył „*Modły starożytne Izraelitów*," wraz z obszerną rozprawą o ich historyczném znaczeniu, i kommentarz *Moreh Derech.*

Do innych dzieł i rozpraw Neufelda należą: ważna i pięknym językiem oddana „Gromologia Ojców Synagogi," „Modlitwy dla dzieci," wreszcie rozprawa w języku niemieckim pod tyt.: „*Das Buch des Bundes oder gedrängte Darstellung der mosaischen Lehre*," któréj polski przekład wraz z trzema ostatniemi tomami przekładu „Pięcioksięgu" światła dziennego nie ujrzały i dotychczas w rękopismie pleśnieją. Gazeta Polska i Opiekun Domowy drukowały jego prace ogólniejszego znaczenia.

Ważną zasługą Neufelda oprócz prac literackich było skupienie obok siebie licznego zastępu pracowników, których do wspólnego dzieła umiał własnym przykładem i serdeczną radą zachęcić. Pojawiły się téż za działalności Neufelda piękne pisarskie talenta: S. Trachtennbrga, S. Peltyna (obecnego Redaktora Izraelity), Ben Izaaka, Józefa Kirszrota, A. J. Cohna, życzliwie przez krytykę ocenione. Szereg artykułów wstępnych przez ciąg paroletniego istnienia Jutrzenki napisanych, był przeważnie pióra Neufelda. Poruszył on w nich wszystkie żywotne kwestye z dobrobytem kraju ściśle powiązane. Obok wewnętrznéj, zawsze uczciwéj, owianéj serdeczném ciepłem treści, odznaczały się te artykuły piękną polszczyzną, stylem barwnym, jędrnym, potoczystym, przypominającym dosadnością i śmiałością styl złotego okresu pisarzy.

Postępowe zasady Neufelda, jego bezwzględność w wypowiadaniu przekonań, zjednały mu między zacofańcami niechętnych, ale w kołach ludzi intelligentnych wszystkich wyznań i w pośród prassy krajowéj słowo Neufelda cieszyło się uznaniem i powagą.

Ostatnie lata życia swego przepędził Neufeld zdala od ogniska swéj poprzedniéj działalności. Zawody moralne i materyalne nie zniechęciły wprawdzie Neufelda od dalszéj w obranym kierunku pracy, ale odjęły mu możność doprowadzenia do skutku szeroko zamierzonych planów.

Tak więdnąc z opuszczonémi rękoma po za stołem księgarskim cichego prowincyonalnego miasta, zgasł dzielny szermierz postępu w sile wieku... poniosłszy ze sobą do grobu trochę pięknych wspomnień i wiele rozczarowania.

. . . .

Alexander Kraushar.

SPIS PRENUMERATORÓW.

Abczyński, adwokat.
Abramowicz Leopold.
Adels Kazimierz.
Adelstein.
Akielewicz Mikołaj.
Aleksandrowicz Aniela.
Aleksandrowicz Jerzy.
Aleksandrowicz L. S.
Altenberg i Robitschek, egz. 11.
Anders Wilhelm.
Andrzejowski Józefat.
Antoniewicz K.
Antonowicz.
Antonowicz Bronisław.
Antonowicz Józefat.
Antonowicz Waleryan.
Antoszewicz Aleksander.
Antoszewska Emilja.
Antoszewski Adam.
Antoszewski Bolesław.
Antoszewski Sylwan.
Antulski Michał ks.
Antuszewicz Edward.
Apelt Hipolit.
Appel Antoni.
Aramowicz Paulina.
Arcimowicz Adam.
Arcimowiczowa Postumia.
Arciszewska, z Wilna.
Arct Stanisław, egz. 10.
Arczyński Kazimierz.
Armin Piotr.
Arndt J.
Arnold z Bukowiny.
Aufschlag Lucyan.
Augustaijtys Fr. ks.
Augustynowicz.
Aulich Artur.
Augustynowicz.
Auspitz Maurycy.
Aweyde Edward.

Babiński Franciszek.
Babiński Teofil.
Babiński, professor.
Baczyński Zdzisław.
Baczyzmalski Cezary.
Badzkiewicz Jadwiga.
Bagieński Józef, dr.
Bagniewska.
Bagniewska Albertyna.
Bajerkiewicz Aleksander.
Bajkowska Jadwiga.
Bajkowski Walenty.
Bakinowski Antoni, dr.

Balicki Onufry.
Baliński Józef.
Balun, ks. z Filipowa,
Balzis Antoni, dr.
Bamberg Teodor.
Bandurski Józef.
Bandzewicz Władysław.
Bańkowski W., dr.
Bańkowski z Włodawy.
Barankiewicz Władysław.
Baranowicz, dr.
Baranowicz Tadeusz.
Baranowski Bolesław.
Baranowski Ignacy.
Baranowski Marcin.
Baranowski Teodor.
Baranowski, w Lublinie,
Barciński Salomon.
Bardzki Edward.
Bardzki Stanisław.
Barski Antoni.
Barszczewski Maks.
Bartnicki Leon, ks.
Bartold Eugenia.
Bartoszewicz A. ks.
Bartoszewicki Julian.
Barzenberg Teresa.
Bauerentz Arnold dr.
Bąkowski Henryk.
Bąkowski Konrad.
Beaudouin de Courtenay.
Beaudouin de Courtenay Jan.
Beaurain Jan, egz. 2.
Belejowska Joanna.
Bolesta.
Bełcikowski Jan.
Belkowski W., egz. 2.
Bełowski, w Lublinie.
Bełza Stanisław.
Bełzecki Piotr.
Benisławska Adelajda.
Benisławska Marya.
Bentkowski Kazimierz, dr.
Berent Marcelli.
Bereśniewicz, dr.
Berezowski Heliodor.
Berezowski Julian.
Berezowski Kazimierz.
Berger Józef.
Berlinerblau.
Bernatowicz Antonina.
Bernstein Eliasz.
Bernstein Henryk.
Berson Bernard.
Beudelson Ignacy.

Beyer Karol.
Bezak Karolina, Generałowa.
Bębnowski.
Białecki.
Białobłocki Bronisław.
Białosuknia Lucyna.
Białowiejski Maksymilian.
Biały Juljan, ks.
Biały, ks. z Czeczerska.
Biblioteka w Dąbrowie Górn.
Biblioteka hr. Krasińskich.
Bichler.
Bielajew Leokadya.
Bielawska Hyacenta.
Bielawski P. S.
Bielecki Ludw.,
Bielewicz Hipolit.
Bielicki Erazm.
Bielinowicz Scypion
Bielińska Rozalia.
Bielińska Walerya.
Bieliński Józef, dr.
Bieliński Stanisław.
Bieliński Teodor.
Bielska Emilia.
Bielska Marya.
Bieniecki Ludwik.
Bieńkowska Olga.
Bieńkowski Bronisław.
Biergiel Józef, ks.
Biernacka Lucyna.
Biernacki Cezary.
Biernacki Walery.
Biernawski, z Pinczowa.
Biesiekierski.
Biesiekierski Włodzimierz.
Bielewski Tomasz.
Biskupski.
Biskupski Władysław.
Blum Jakób.
Bławdziewiczowa Marya.
Błazewicz Antoni.
Błażewicz, ks. z Sein.
Bluś Leon.
Bobakowski Artur.
Bobańska Marya.
Bobowski Karol.
Bobrowińska Zuzanna.
Bobrowski Aleksander.
Bobrowski Feliks.
Bobrowski Henryk.
Bobrowski Tadeusz.
Bochwicowa Floryanowa.
Bociarski Dominik.
Boczarski Julian.

Boczyliński Ignacy.
Boduszyński, z Pliszczyna.
Boegvet.
Boerner E. X., pastor.
Bogatko Konstanty.
Bogatko Władysław.
Bogucka Marya.
Bogucka Olga.
Bogucki Henryk.
Bogucki Marcelli.
Bogucki Stanisław.
Bogucki, w Szczuczynie.
Bogusławska.
Bogusławska Wanda.
Bogusławski Władysław.
Bogusławski Wiktor.
Bogusławski, w Rajczocach.
Bohdanowicz Władysław.
Bojakowski, ze Stawiszcz.
Bokiewicz Dyonizy.
Bokiewicz dr.
Bolecki Konstanty.
Bolesławski Michał dr.
„Bolesław z Ukrainy".
Bołądź, ks. z Nowego Miasta.
Boniecki Ludwik.
Borecki Jan.
Boretti T.
Borkiewicz Bolesław.
Borkowski Bronisław.
Borkowski Ksawery.
Borkowski Stanisław.
Bormann Jan.
Borner.
Bornstein.
Borowicki Wilhelm.
Borowski Aleksander.
Borowski Aleksander.
Borszczowski Emilian.
Bortkiewicz Marya.
Borzewski Łukasz.
Borzęcki
Borzęcki Bolesław.
Boski Konstanty.
Boskowicz Edmund.
Bossak Antoni.
Bouchard Ludwik.
Bożeniec Jałowicki Aleksander.
Braibisch Ludwika.
Bratkowski Wacław.
Braum Wolff.
Brenert Aleksander.
Bretschneider Julian.
Brochocki Ignacy.
Brodowska Marya.
Brodowski August, egz. 2.
Brodowski Jan Kazimierz.
Brodowski Włodzimierz.
Brodowski Zygmunt.
Brodzki.
Broniewska Jadwiga.
Bronikowski.
Bronowska Marya.
Broszkiewicz Mieczysław.
Bruzendorf August.
Brykczyński.
Brylewicz Matylda.
Bryliński.
Bryndza Ludwik.
Brzezicka Michalina.
Brzezicki Bronisław.
Brzeziński.
Brzeziński Erazm.
Brzeziński Jan.

Brzoska Henryk.
Brzostowski Aleksander Bolesław.
Brzozowska Stefania.
Brzozowski Gustaw.
Brzozowski Włodzimierz.
Brzozowski Włodzimierz.
Brzozowski Włodzimierz, egz. 2.
Bucewicz Bronisław.
Bucewicz Nestor, dr.
Buchowska Marya.
Buckiewicz Joanna.
Budkiewicz Konstanty. egz. 3.
Budrewicz Dominik, dr.
Budryk Anna.
Budzińska Helena.
Budziszewski Czesław.
Budziszewski Kazimierz ks.
Budzyński, ks.
Budzyński.
Budzyński Aleksander.
Bujnicki Adam.
Bujnicki Teodor.
Bujalski Władysław.
Bule J.
Bulhak Edgar.
Bulhak Józef.
Bulhakowa.
Bulhakowa Teresa.
Bułkowiński Bronisław.
Burdziński Józef.
Burzyński A.
Burzyński, dr.
Burzyński Feliks.
Butkiewicz Rozalia.
Butkiewicz Wiktor.
Butler Jan.
Butrym Nikodem.
Bykowski Antoni.
Bykowski Jaksa Piotr.
Bylicki, ks.
Bylina Żelisław.
Bystrzyński.

Cederbaum Henryk.
Cedroński Michał.
Celichowski Tadeusz.
Celiński.
Celiński Antoni.
Centnerszwer, egz. 57.
Cepryńska Kornelia.
Chajecka Ksawera.
Chaniecki Józef.
Charowicz Marya.
Charkowski Jan.
Charmański Ludwik.
Charzewska Wilhelmina, egr. 2.
Chądzyńska.
Cheliński Franciszek.
Chełmicki Adolf.
Chełmicki Jan.
Chełmowski Konstanty.
Chlebowski Ksawery.
Chlipalski Józef.
Chmielewski, dr.
Chmielewski J.
Chmielewski Michał.
Chmielewski Zygmunt.
Chmieliński Józef.
Chmieliński Faustyn.
Chłopicka Felicya.
Chodacki Witold.
Chodakowska Eugenia.
Chodakowski K.
Choderska Ludwika.

Chodkiewicz hr. A.
Chodorowska Natalia.
Chodorowski Zbigniew.
Chodyńska Gabryella.
Chodźko, General-Lejtnant.
Chodźko Leonard, egz. 9.
De Choiseul Gabryel, hr.
Chojecki Józef.
Chojka Piotr.
Chojnacka Lucyna.
Chojnacki Leonard.
Chojnowski Szczęsny.
Cholewicki Aleksander.
Cholewicki Jan.
Chomentowski Antoni.
Chomichowski F.
Chomiński Michał.
Choromański K.
Choroszewicz Cezary.
Choroszewski Edward.
Choroszewski Wincenty.
Chotkowski Aleksander.
Chrzanowski Bolesław.
Chrzanowski Jan Nepomucen.
Chrzanowski L.
Chrzanowski Tad.
Chrzanowski Władysław.
Chrząszczewski Feliks.
Chrząszczewski, egz. 2.
Chudziński Maryan.
Chudzyński Aleksander.
Chwalibóg Feliks.
Chwicokowski, dr.
Cichocki Józef.
Cichocki Karol.
Cichocki Leopold.
Cichowicz.
Ciechanowiecka Ludwika.
Ciechański Michał.
Ciecierski hr. Stefan.
Ciecierski Klemens.
Cielecka Emilja.
Cielecka Józefa.
Ciemniewska Justyna.
Ciemniewski Artur.
Ciesielski Ignacy.
Cieszewski, w Stropkowie.
Ciszkiewicz Jarosław.
Ciświcki Teofil.
Cmiechowski.
Cithura Br., ks.
Cundziewicka Helena.
Currière Celestyn.
Cybulski, w Kaliszu.
Cygański Stanisław.
Cypryński Antoni.
Cyroński, sęd. śled.
Cytarzyński Paweł.
Cywiński Kazimierz.
Cywiński Zenon, dr.
Czabowski J.
Czajkowski Bronisław.
Czajkowski Karol.
Czamański Adolf.
Czapiński Anzelm Teofil.
Czapiński Euzebiusz Wiktor.
Czapiński Leopold.
Czaplicki.
Czaplicki Feliks.
Czaplicki, w Kowalewie.
Czapliński, ks.
Czarkowska Eleonora.
Czarkowski Julian.
Czarkowski Ludwik.

Czarnecka Izabella, egz. 2.
Czarnecki.
Czarnecki, adwokat.
Czarnecki Dyonizy.
Czarnecki F.
Czarnecki Modest.
Czarnocka.
Czarnocka.
Czarnocki Gracyan.
Czarnocki Gustaw.
Czarnocki Józef.
Czarnocki Kazimierz.
Czarnocki Wiktor.
Czarnomski Alfred.
Czarnota Bojarski.
Czarnowski Justyn.
Czarnowski Kazimierz.
Czarnowski Stefan.
Czarnowski St. i Sp., egz. 4.
Czarnowski Stanisław.
Czechowicz.
Czarnowski z Kijowa.
Czechowicz Aniela.
Czechowicz Józef.
Czeczot Albin.
Czeczot Edward.
Czeczot Witold.
Czekierski, dr.
Czepielowski Napoleon.
Czerepowicz Ksawery.
Czerkawski Maksymilian.
Czerkawski Paweł.
Czermiński.
Czernica Ludwik.
Czernichowski, dr.
Czerniewski Jan.
Czerniowski Władysław.
Czerny Aleksander.
Czerny Henryk.
Czerski Stanisław.
Czerszyk, dr.
Czerwiński Antoni.
Czerwiński, ks.
Czetwertyński k-żę Włodzimierz.
Czubalski Józef.
Czuszkowski Paweł.
Czytelnia Leona Szymońskiego.
Czytowicz Michał.
Czwalina Józef.

Dabiński Ignacy.
Danielewicz Roman.
Daniłowicz Jan.
Daniszewski Wacław.
Darewski-Weryha Franciszek.
Darzewski W. w Siedzowie.
Dattyner.
Dauksza Hieronim.
Dawidowski Mieczysław.
Dawnarowicz.
Dąbrowska Cezaryna.
Dąbrowska Feliksa.
Dąbrowska Stanisława.
Dąbrowski.
Dąbrowski Antoni.
Dąbrowski Ignacy.
Dąbrowski Karol.
Dąbrowski Leonard.
Dąbrowski Leopold.
Dąbrowski Mieczysław.
Dąbrowski, sędzia.
Dąbrowski Tadeusz.
Dąbrowski Walenty.
Dąbrowski Witalis.

Dąbrowski Paulin.
Dąbski Feliks.
Dębicki W.
Dąbski hr. Michał.
Degórski.
Deike Karoł.
Deike Zofia.
Deputowski Jan.
Derkuczewski.
Deskur Konstancya.
Dębicki Władysław.
Dębicki Zygmunt.
Dębowski Paweł.
Dębska Tekla.
Dluska Marya.
Dłużewski.
Dłużniewski Cypryan.
Dłużniewski Władysław.
Dmochowska Jadwiga.
Dmochowski Franciszek.
Dobiecki M.
Dobiecki Wincenty.
Doborzyński Juljan.
Dobraczyński Jan.
Dobrodiejew Józefina.
Dobrogowski Bronisław.
Dobrowolska Antonina.
Dobrowolska Teofila.
Dobrowolski Adolf.
Dobrowolski Jan.
Dobrowolski Julian.
Dobryllo Władysław, ks.
Dobrzański Mirosław.
Dobrzański Wincenty.
Dobrzycka Eleonora.
Dobrzycki H., dr.
Dobrzyjałowski August.
Dobrzyńska.
Dolkowski Seweryn.
Domagalski, regent.
Domańska Eleonora.
Domańska Józefa.
Domański Bronisław.
Domański Józef.
Domański Kajetan, ks.
Domański M. F.
Domański Seweryn.
Domaradzki Adam.
Domaradzki Ewaryst.
Domaradzki Tadeusz.
Domarzewski, w Warszawie.
Domaszewski Aleksander.
Domżalski Fr.
Donimirska Walerya.
Doniszewski Wacław.
Dorauff Zofia.
Doręgowski Ildefons.
Dornstein.
Doruchowski.
Dowgierd A.
Downarowicz Ignacy.
Dragon Józef.
Draminski Janusz.
Drażewski Ludwik.
Drecki Stefan.
Drecki Władysław.
Dreling Hieronim.
Dreling Walerya.
Drewnowska Felicya.
Drozdowski Rafał.
Drwalewski Leonard.
Drzewiecki August.
Drzniewicz Jan.
Dubelt, w Radomiu, egz. 4.

Dubiński Maryan.
Duchateau Stefan.
Duczymiński Ludwik.
Dukiet Wojciech.
Dulciński L.
Dulewicz Zenon.
Dutkiewicz Walenty.
Dunajewski A.
Danciger, w Kaliszu.
Dunin-Karwicki, hr. J.
Dunin-Karwicki Konstanty.
Dunin Kazimierz.
Dunin Ksawera, hr.
Dunin Romuald.
Dursa Konstanty.
Durzycka Karolina.
Durzycki Antoni.
Duszakiewicz Bogumiła.
Duszyński A.
Dworzański Władysław.
Dyakowska Natalja.
Dydyński Jan.
Dygasińska Justyna.
Dymitrowicz Marya.
Dynowski.
Dynowski Teofil.
Dynowski Teofil.
Dynowski Konrad, dr.
Dziamarski Paweł, ks.
Dziekońska Zofia.
Dzierzawski Jan.
Dzierżanowski Henryk.
Dzierzbicki Cypryan.
Dzierzbicki Konstanty.
Dzieszuk Romuald.
Dziewanowski Kazimierz.
Dziewiątkiewicz Stanisław.
Dziewicki Roman.
Dziewulski Saturnin.
Dziubińska Julia.
Dzwonkowski Ignacy.

Eichman Ludwik.
Ejdrygiewicz Michalina.
Ejnarowicz Samuel.
Eisenbett H., dr.
Ejsymont Fr.
Ejsymont Michał.
Ekstowicz Józef, ks.
Eljaszow Joachim.
Epstein J. M.
Essen Józef.
Estreicher Karol.

Fabian Alfred.
Fajans Maksymilian.
Falewicz A.
Falęcki Emilian, dr.
Falkowski.
Farenholtz Amalia.
Faucz Zofia.
Fechner Zygmunt.
Feder Józef.
Feinkind Cecylia.
Feist Aleksander.
Felauer Henryk.
Fiede Ignacy.
Fijalkowski Bronisław.
Filanowicz Antoni Wielisław.
Filipkowski Stanisław.
Filipowicz Aleksander.
Filipowicz Józef.
Filipowski Ignacy.
Finkelsztejn Berta.

First.
Fischer Jan.
Fiszer.
Fiszer Otton.
Fohland Karol.
Formińska Leokadya.
Formińska Ludmiła.
Francki Aleksander.
Frankowska Teofila.
Frącki.
Frendensohn, dr.
Friedlein D. E., egz. 2.
Friedlein J.
Fronckiewicz Konstanty.
Fronckiewicz Wiktor, ks.
Fruchtman Józef.
Frycz Karol.
Fryk Edmund.
Fryze Edmund.
Funkensztein Ludwik.

Gabryel Helena.
Gajecki Leon.
Gajewski Władysław.
Gagatnicki.
Gajkiewicz Konstanty.
Galatti, w Warszawie.
Galoff Wiktorya.
Galkowski Ludomir.
Gampf Hilary.
Gampf Józef.
Garczyński.
Garwoliński Franciszek.
Gasztowd Anatoliusz.
Gawiński Romuald.
Gawkowski Aleksander.
Gawroński Henryk.
Gawroński Teofil.
Gąsiewski Stefan.
Gąsiorowski Kazimierz, ks.
Gąsiorowski Stanisław.
Gąsowska Tekla.
Gebethner i Wolff, egz. 200.
Gebethner G. i Sp. w Krak., egz. 12.
Geisler Amelia.
Geldhard Teodor.
Gepner Bronisław, dr.
Gepner Stanisław.
Gepner, w Lubartowie.
Geppert B., z Przybienic.
Gerlach Karol.
Gerlach Sylwin.
Gerlach, w Kaliszu.
Giejsztor Bronisław.
Giejsztor Stanisław.
Gierłowicz Marya.
Gieroltowski w Sieradzu.
Gileczek Amelia.
Gilewicz Celestyna.
Gilewicz Eleonora.
Gintowt, ks. Biskup.
Girdwoyń.
Gizbert Karol.
Giżycki Kazimierz Jan.
Giżycki Wacław.
Glazer Zofia.
Gleser A.
Gleichgewicht Justyna.
Glinojecki Piotr.
Glinojecki Władysław.
Gliszczyńska.
Gliszczyński Leon.
Glogerowa Michalina.
Gloger Zygmunt.
Gładysz.
Głębicki M.
Głębocka Emilia.
Głębocka Zofia.
Głębocki Jan.
Głębocki Józef.
Głębocki Karol.
Głębocki, senator.
Głowacki, emeryt.
Głowacki Felicyan.
Głowacki J. Z.
Gluchowski Teodor, ks.
Gluchowski Jan.
Gniewiewski Waleryan.
Goduszewska Zofia.
Godecki Franciszek, dr.
Godlewska Teresa.
Godlewski A.
Godlewski Bronisław, egz. 8.
Godlewski Tadeusz.
Godlewski Witold.
Goedstein.
Goetz.
Goldbaum.
Goldblum Simon.
Goldflamm Balbina.
Goldhaar Michał, egz. 2.
Goldman Karolina.
Goldman Leon.
Goldschmidt Jakób.
Goldschmidt Józef.
Goldschmidt Julian, dr.
Goldsztein, dr.
Golimont Gaspar.
Goliszowski, w Odessie.
Golembiewski, z Treszkowic.
Gołębiowski A.,
Golembowski Adam.
Golembowski Bolesław.
Gorajski Jan.
Gorczycki, w Brodzie.
Gordziałkowska Eleonora.
Gorklewicz Karol, ks.
Goryniewska Władysława.
Gorzeński Ignacy.
Gorzkowski Roman.
Goslawski Emil.
Gostomski.
Gościcki, obywatel.
Goul.
Góralski Grzegorz.
Górecki Tadeusz.
Górecki Władysław.
Górski, dr. z Odessy.
Górski Konrad.
Górski Teodor.
Górski Władysław.
Górski Wojciech.
Górski, z Woli Adamowej.
Grabianka Honorata, hr.
Grabiański Leon.
Grabowiecka Jadwiga.
Grabowska K.
Grabowski Adolf.
Grabowski, budowniczy.
Grabowski Hipolit.
Grabowski Maksymiljan.
Grabowski Stanisław, hr.
Grabowski Stefan.
Grabski z Płocka.
Gradowski Leon.
Grajewski Tadeusz.
Grapow Teofil.
Graveur J., w Lipsku.
Grażewicz Juljan.
Grażewicz Władysław.
Gregorowicz Wiktor.
Grejm Michał.
Grebicki Piotr.
Grocholska Eufrozyna.
Grochowski Al.
Grochowski Stanisław.
Grozicka, ze Służkowa.
Grodzicki Władysław.
Grodzki.
Grodzki Alfred.
Gromadzki Henryk.
Grossglück.
Grudl, dr.
Gruff Erazm.
Gruszczyński Adam.
Gruszecka Klementyna.
Gruszecka Marya.
Gruszecki Aleksander.
Grużewski Jan.
Grużewski Jan, z Kielm.
Grünfeld Aleksander.
Gryglewski Justyn, ks.
Grzankowski Aloizy.
Grzegorzewicz Michalina.
Grzesiewicz Jan.
Grzybowski Eugeniusz.
Grzybowski, z Łopiennika.
Gubrynowicz i Schmidt, egz. 16.
Gudowski.
Gudwilowicz Julian, dr.
Gudwiłowicz Kazimierz.
Gumiński, ks.
Gumkowski Felicyan.
Gumowski Jan.
Gustowski, z Konina, egz. 3.
Gustowski Tadeusz.
Guthner.
Guzowski Jan.
Günther i Malecki, egz. 9.
Gzepowicz, dr.
Gzowska Marya.

Habielski Ignacy.
Hablnak, w Lublinie.
Hagmajer Marya.
Hahn Adam.
Halkiewicz Józef.
Halkiewicz Marya.
Halkiewicz Władysław.
Halkowska Franciszka.
Halpern Daniel.
Halpert Feliks.
Halaczkiewicz.
Han Juliusz.
Honflum Józef.
Harasiewicz Marya.
Hartman Gustaw, dr.
Hansztein Henryk.
Hartmann Salomon.
Heidenreich Konstancya.
Heiman Simon.
Heinrich Aleksander, dr.
Heinrich Aleksander.
Heinrich Bogumił.
Heintze Henryk.
Helbich Józef.
Hellman Edward.
Heltman Leon.
Hełczyński.
Herburt-Heybowicz Stanisław.
Herdin Wincenty.
Herniczek Ignacy.

Hertz Aloizy.
Hertz Józef.
Hess.
Hildebrand A., w Radomiu.
Hildebrand Aleksander, egz. 2.
Hildebrand Matylda.
Hildebrand Matylda, w Radomiu.
Hilke Henryk.
Hilsberg Jerzy, egz. 2.
Hirosz Józef.
Hischson Natan.
Hiż Tadeusz.
Hlebowicz Antoni.
Hłybowski Bazyli.
Hofmański Wincenty.
Holecki Jan.
Holewiński Władysław.
Hołodecki Antoni.
Hołowiński Tadeusz.
Hołyńska Elżbieta.
Homińska Ewelina.
Hoppen Witold.
Horalek Władysław.
Horczak Józef.
Hordliczkowa, w Czechach.
Horentzl.
Herkawicz.
Hornowski Ludwik.
Horodecka Leopolda.
Hösick F., egz. 3.
Hrehorowicz Seweryn, dr.
Hryniewicz J.
Hryniewicz Jan.
Hryniewicz Jan.
Hryniewicz Stefania.
Hryniewicki Adolf.
Hryniewiecki Bolesław.
Hryniewiecki Jan.
Hryniewska, z Żytomierza.
Hrynkiewicz Piotr.
Hryszkiewiczowa Józefa.
Hube.
Huber.
Hubicki Bolesław.
Hubicki Konrad.
Hubicki Konrad.
Hulanicki Cezary.
Hulewicz Jgnacy.
De Hun.
Huppmau Jan, dr.
Husarski, ks.
Hussarowski Zygmunt.
Huss, inżynier.
Huszczo Andrzej.
Huzarski Karol.
Hübner Grzegorz.

Iberszer Henryk.
Idzikowska Helena, egz. 30.
Idzikowski.
Idzikowski Edmund.
Ilcewicz, z Wilna.
Iliński Czesław, hr.
Iliński Heliodor, hr.
Illustrowski Stanisław.
Inatowicz Jan.
Inatowicz Jan.
Iudycki.
Iszora Jan.
Iwanicka Marya.
Iwanicki, z Kijowa.
Iwanowicz Albert.
Iwanowicz Jan.
Iwanowska Hilarya.
Iwanowska Jadwiga.
Iwanowska, z Woroneżkiej gub.
Iwanowski Romuald.
Iwańska Klementyna.
Iwański Władysław.
Iwaszkiewicz Alexandra.
Iwaszkiewicz Cezary.
Iwaszkiewicz Józef.
Iwaszkiewicz Julia.
Iwaszkiewicz Leon.
Iwaszkiewicz Walerya.
Izbicki Alex., dr.
Izdebski, ks. w Puszczy.
Iżycki Władysław.

Jabłecka, w Łomży.
Jabłonowski.
Jabłonowski Antoni.
Jabłoński Eugeniusz.
Jachimowicz Romuald.
Jackowski.
Jackowski Tomasz.
Jacobi Wilhelm.
Jacuńska Helena.
Jaczyński Gustaw.
Jagmin Bolesław.
Jagmin Kalixt.
Jahilnicki.
Jaholkowski Jan.
Jakowska Helena.
Jakowski Józef.
Jakowicki Bronisław.
Jakóbski Adolf.
Jaksiewicz Antoni.
Jakubowska Marya.
Jakubowska Zofia.
Jakubowski Teofil, dr.
Jakubowski, ks. kan.
Jakubowski, w Tatkowie.
Jakułowicz Antoni.
Jałbrzykowski Seweryn.
Jamiełkowski Józef.
Jamont Piotr, ks.
Janasz.
Janczewski Walery.
Janczurowicz Felix.
Janicki Ignacy.
Janicki Józef, dr.
Janicki Karol.
Janiszewski Czesław.
Janiszewski Konstanty.
Janiszewski Leopold.
Janiszewski, w Lublinie.
Jankowska Kamilla.
Jankowska Marya.
Jankowski Alex., ks.
Jankowski, z Mirgorodu.
Janowska Henryka.
Janowski Henryk.
Janowski Stanisław.
Janowski Waleryan.
Janowski Wincenty.
Januszewicz Konrad.
Januszewski.
Janusz Edward.
Januszewski Albin.
Januszewski Eugeniusz.
Januszewski Józef.
Januszkiewicz Jan.
Januszkiewicz, ks.
Jarmiński Piotr.
Jarosiewicz Karol.
Jarosiewicz S.
Jaroszyńska Konstancya.
Jasielewicz Apollo.
Jasieniecki Prosper.
Jasieński Stanisław.
Jasińska Apolonia.
Jasińska Eugenia.
Jasiński L.
Jasiński Michał.
Jast Ludwik.
Jastrzębski Jan.
Jaszczowska Helena.
Jaszowski.
Jarnuszkiewicz Stanisław.
Jarociński, z Radomska.
Jaroszewicz Tytus.
Jarząbkowska Klara.
Jarząbkowska Marya.
Jawgiel Julian.
Jaworowska.
Jaworowski Alexander, dr.
Jaworska Natalia.
Jaworski Wincenty.
Jawurek, dr.
Jeleżewska, w Janowie.
Jeleńkowski Julian.
Jeliński.
Jelski Aleksander.
Jelscy Ludwika i Leon.
Jełowicki Alexander.
Jełowicki Kazimierz.
Jeska Norbert.
Jeśmań Jarosław.
Jezierska Marya, hr.
Jezierski Jan.
Jezierski Józef, ks.
Jeziorański Franciszek.
Jeziorański Karol.
Jeżewski Jan, dr.
Jocmiski Józef,
Jocuński.
Jodko Stanisław.
Jodko-Narkiewicz, dr. egz. 2.
Jokisz Zofia.
Jokiszowa Marya.
Jopkiewicz Józef, ks.
Jordański Wincenty.
Jotejko Lucyan.
Józefowicz-Hlebicki.
Józefowicz M.
Juchniewicz Cezary.
Juszczyk Edward.
Jundziłł Józef, dr.
Jundziłł Maurycy.
Jundziłł Marya.
Jundziłł Stefania.
Jungowska Henryka.
Juniewicz Stanisław.
Junosza-Kurdynowicz Mieczysław.
Jurczyk Jan.
Jurewicz Kamilla.
Jurewicz Kazimierz.
Jurjewicz Mieczysław.
Jurkiewicz Wincenta.
Jurkowski Leon.
Jurkowski Ludomił.
Jurow M.
Juściński, w Lublinie.

Kacicki Hipolit.
Kaczanowski Bolesław.
Kaczkowska Ludwika.
Kaczkowski G.
Kaczorowska.
Kaczorowski Michał.

Kaczyński Michał.
Kaczyński Adolf.
Kaczyński, w Kijowie.
Kaczyński, z Łomżyńskiego.
Kader Andrzej, ks.
Kaleński Ignacy.
Kalicki.
Kalicki Józef.
Kalinowski F., dr.
Kalinowski Gabryel.
Kalinowski, porucznik.
Kaliski Julian.
Kaliszewski Antoni.
Kallett Zofia.
Kamocki Alexander.
Kamieniecka Klementyna.
Kamieniecki Cezar.
Kamieniecki, ks.
Kamieńska Teodozya.
Kamieński Teofil.
Kamińska.
Kamiński, z Jurkówki.
Kamiński Antoni, ks.
Kamiński Odrowąż Antoni.
Kamiński Władysław.
Kamocki Włodzimierz.
Kanigowski Włodzimierz.
Kantak Kazimierz.
Karaffa-Korbutt Józef.
Karasiński, w Lublinie.
Karcewski, w Stawiszynie.
Kardaszewicz Mieczysław, egz. 2.
Karnecki Julian.
Karniłowicz, dr.
Karnkowska Antonina.
Karnkowska Marya.
Karońska Jadwiga.
Karpiński Felix.
Karpiński Piotr.
Karpowicz Helena.
Karpowicz Kazimierz.
Karpowicz Witold.
Karski Kajetan.
Karwadzki Paweł.
Karwicki Dunin Józef, hr.
Karwowski, adwokat.
Karwowski Kajetan.
Karziński Jan.
Kasperowska Adela.
Kasperski Stanisław.
Kawczyńska Marya.
Kawalski Ludwik.
Kayzer Józef.
Kazimierowski Mikołaj.
Kącki, ks.
Kąkolewski Władysław.
Kątkiewicz.
Kempiński Izydor.
Kempiński Maxymilian, w Kaliszu.
Kempiński Maksymilian.
Kempner, w Płocku, egz. 16.
Kerbedź.
Kernbaum Józef.
Kępiński, dr. egz. 2.
Kęszycki, w Kaliszu.
Kicińska Regina.
Kiciński Tadeusz.
Kicka Natalia, Generałowa.
Kielpsz Adolf.
Kielpsz Józef.
Kierbedź Paulina.
Kiersnowska Adela.
Kiersnowska Helena.
Kiersnowski Henryk.
Kiersznowski Ferdynand.
Kierśnicki Stanisław.
Kietliński Stanisław.
Kijeński Stanisław.
Kirszrot Józef.
Kirkor Marya, egz. 3.
Kieszkowski.
Kisielewski Józef.
Kisielewski, ks.
Kisielnicka Jadwiga.
Klass Aurelia.
Klebanowicz Ludwik.
Klecka Karolina.
Kleczkowska Zofia.
Kleczyński Bohdan.
Klemkiewicz Antoni.
Kleszczyński.
Klimaszewski, ks.
Klimecki, w Garwolinie, egz. 2.
Klimontowicz Longin.
Klingenberg Felix.
Klink, dr.
Klonowska Rozalia.
Klonowski, dr.
Kluczewicz Jan.
Klug E.
Klukowska Krystyna.
Klukowska Zofia.
Kłobukowski Stanisław.
Kłopotowski A.
Knoll Antoni.
Knoll Ignacy.
Knott Ewelina.
Kobyliński Hubert.
Kobyliński Jan.
Kobyliński Julian.
Kobyliński Lucyan.
Kochanowski Kajetan, dr.
Koczorowski Romuald.
Kohn Józef.
Kołendo, z Riazania.
Kołendo.
Koliński Edward.
Kolnarski Ludwik.
Kolusiński, w Kaliszu.
Kołakowski Ludwik.
Kołakowski Romuald.
Kołdrusińska Emilia.
Kołnaczewska Olimpia.
Komierowski Józef.
Komornicka Julia.
Komornicki August.
Komorowski Zygmunt, hr.
Konarzewski Felicyan, ks.
Konczewski Adam.
Kondratowicz Józef, dr.
Kondratowicz, inżynier,
Kondratowicz Tekla.
Koniecki Antoni.
Konopacka Sabina.
Konopacki Justyn.
Konopczyński Emilian.
Konopczyński Ignacy.
Konopnicka Marya.
Kontkiewicz Józef.
Koope Edward.
Kopańska Izabella.
Kopeć St., dr.
Kopijowski Alexander.
Koprawski Samuel.
Kopysteński.
Kopyciński Antoni.
Korczakowski Stanisław.
Kordaszewicz Stanisław.
Kordowski Julian.
Kordzikowski Józef.
Korenfeld Mikołaj.
Koreywo Bolesław.
Koreywo Marysieńka.
Koreywo Zunia.
Korngold Helena.
Korsak.
Korybut-Daszkiewicz Teresa.
Koryciński.
Korzeniowski Stanisław.
Korzon Paweł.
Kościałkowski Romuald.
Kościałkowski Stefan.
Kościałkowski Stefan.
Kosacka Jadwiga.
Kosacka Teofila.
Kosacki Alexander.
Kosacki Jan.
Kosacki Mieczysław.
Kosigłowicz Adam.
Kosiński Franciszek.
Koskowski Maryan.
Koskowski Wincenty.
Kosscki W., dr.
Kosowska.
Kossowska Nacia.
Kossowski Antoni.
Kossowski Ferdynand.
Kossowski Klemens.
Kossowski Platon.
Kossowski Tytus.
Kostecki Józef.
Kostro Leon.
Kostrzewska, w Warszawie.
Kostrzewski Walenty.
Koszarski, z Vitré.
Kotarbiński Alexander.
Kotłubaj Henryk.
Kotkowska Marya.
Kotkowski Seweryn.
Kotkowski Wincenty.
Kotowski Leon.
Kotwicki F.
Kowalewski Alexander.
Kowalewski Leopold.
Kowalewski M. ks.
Kowalewski, z Szak.
Kowalnicka Helena.
Kowalski Adolf, egz. 8.
Kowalski Edmund.
Kowalski Piotr.
Kowerski Stefan.
Kownacki Adam.
Kownacki Bolesław.
Kownacki Jan.
Kownacki Tomasz.
Kozakiewicz Dominik.
Kozakowski Wincenty.
Kozarska, w Prusinowicach.
Koziorowski Gustaw.
Kozłowska Paulina.
Kozłowski.
Kozłowski F.
Kozłowski Felix.
Kozlowski Hipolit, dr.
Kozłowski Józef.
Kozłowski Józef, z Deszna.
Kozłowski Konstanty.
Kozłowski Leon.
Kozłowski Romuald.
Kozłowski Rudolf.
Kozłowski Stanisław.
Kozłowski Zdzisław.

Kozłowski, z Łomży.
Korminski Józef.
Koznowski Ignacy. egz. 2.
Kozonkiewicz Antoni.
Kozubowski Karol.
Koźmińska Marya.
Koźmiński Ludwik.
Koźmiński Paweł.
Koźmiński Zygmunt.
Kożerska Pelagia.
Kożuchowski Karol.
Kraczkiewicz Klementyna.
Kruczyńska Marya.
Kraft Ludwik.
Krajbich Zofia.
Krajewski-Jasieńczyk St.
Krajewski Hilary.
Krajewski Rudolf.
Krajewski T. F.
Krajski K.
Krajski A., w Żytomierzu.
Krakowski Nikodem.
Kramsztyk Jakób.
Krantz Jakób.
Kraskowski Julian.
Krasnodębski Alexander.
Krasnosielska, w Kluczkowie.
Krassowska Klementyna.
Krassowska Marya.
Krasowski J., dr.
Krassowski Tadeusz.
Krasowski Władysław.
Krasuski Adam.
Krasuski, dr.
Krasuski Tytus.
Kraszewska Jadwiga.
Kraszewski Antoni.
Kraszewski Bogusław.
Kraszewski Franciszek.
Kraszewski Jakób, ks.
Kraszewski Justyn Julian.
Kraszewski Kajetan.
Kraszewski Krzysztof.
Kraszewski Lucyan.
Kraszewski Ludwik, ks.
Krauss Włodzimierz.
Krauze Otto.
Krawiecki L.
Kredyk Jan.
Kredytt Marcin.
Kremer Aleksander, dr.
Kremki Władysław.
Krencki.
Kretkowski Bronisław.
Kretkowski Władysław.
Krokowski Michał.
Kromicki Erazm.
Kronenberg W. A.
Kropielnicki M.
Kropiwnicka Marya.
Krośnicki Erazm.
Krośnicki Tomasz.
Krotkiewicz Józef.
Królikowski Franciszek.
Krudysz Marya.
Krukowiecka Helena.
Krukowska Anna.
Krukowska Apolonia.
Krukowski A., z Antonowa.
Krukowski-Korwin.
Krumann Antoni.
Krupowicz Mauryey.
Krupski Andrzej, inżynier.
Kruszewska Antonina.
Kruszewski Konstanty.
Kruszczyński.
Kruszyński Franciszek.
Kryław Alexander.
Kryński Kalixt.
Krysiński Stanisław.
Krysztanowicz Mateusz.
Krzesimowski, z Kalisza.
Krzeszkowski z Żytomierza.
Krzymuski Edmund.
Krzymuski Józef.
Krzyzkowski Roman.
Krzywie Tomasz.
Krzywicki, z Ternówki.
Krzyżanowski Roman.
Krzyżanowski S. A.
Kubacki Władysław.
Kubiak Wawrzyniec.
Kublicki Karol.
Kubylajć, ks.
Kuchanowski Roman.
Kucharzewski Felix.
Kuczalska Kamilla.
Kuczalski, naucz. gimn.
Kuczalski Władysław.
Kuczewski Alexander, dr.
Kuczkowski Leon.
Kuczyński Justyn.
Kuczyński Karol.
Kudrewicz K.
Kukiel Bronisław.
Kukiel Edward.
Kulesza Jadwiga.
Kulikowski Karol.
Kulikowski Mikołaj.
Kulikowski, regent.
Kuliński Józef.
Kuliński, w Swierczach.
Kulski, dr.
Kulwieć Ludwik.
Kulwieć Romuald.
Kulwieć Zofia.
Kulakowski, dr.
Kuncewicz Adolf, dr.
Kuncewicz Witold.
Kuniewicz Jan.
Kunkel Eugeniusz.
Kupraszewicz Michał.
Kurcjusz Jadwiga.
Kurkowski Felix.
Kurkowski Tadeusz,
Kuropecki Konstanty, ks.
Kurowska.
Kurowski Ignacy Michał.
Kurowski Józef.
Kurowski Mieczysław.
Korzeniecka Helena,
Kusche.
Kuszel Teodor.
Kuściński Michał.
Kuwiczyński Dyonizy.
Kwapiszewski, inżynier.
Kwiatkowski, z Płocka.
Kwieciński, z Kalisza.
K., z L. L.

Lachowicz Ludwik, dr.
Landau.
Landau Bronisław.
Landie Edward.
Landsberg Gabryel.
Landsberg Stanisław.
Landy Maxymilian.
Lasocki Stanisław.
Lassaud Aleksander.
Lebiedziński Antoni, dr.
Lechowski, w Pokrzywnicy.
Lelewel August.
Lemański Kazimierz.
Lenartowski M.
Lenkiewicz A., ks.
Lenkiewicz Bolesław.
Leśkiewicz Józef.
Lentz Gustaw.
Lentz Karol.
Leppert Marya.
Lesisz Romania.
Lesman Antoni.
Lessel Stanisław.
Lessel, w Radomiu.
Lesser Emilia, baronowa.
Lesser Jan, baron.
Lessis Józef, egz. 2.
Leszczyc Grabianka Andrzej, hr.
Leszczyński Antoni, egz. 4.
Leszczyński Antoni.
Leszczyński Jan Nepomucen.
Leszczyński Roman.
Leszkiewicz Aniela.
Leśkiewicz Kazimierz.
Leśniewska Bronisława.
Leśniewski Jan.
Lewandowski Józef.
Lewandowski Józef, dr.
Lewandowski Józef.
Lewandowski Leopold.
Lewaszow Amelia.
Lewicka H.
Lewicki Stanisław.
Lewicki Władysław.
Lewiński Marcelli, dr.
Lewgowd Romuald, egz. 2.
Lewoniewska Stanisława.
Lewi Gustaw.
Levittoux Piotr.
Lickindorf Emilian.
Liebich.
Liebkind.
Liebkind Ludwik, dr.
Likiernik.
Lilpop Joanna.
Linda Walenty.
Lineburg Helena.
Linowski Roman.
Lipińska.
Lipiński Felix.
Lipkowski Benedykt.
Lipski Bolesław.
Lipski Gabryel.
Lipski Ludwik.
Lisiecki, w Kaliszu.
Lisowski Zygmunt.
Liszewski Ludwik.
Liwski A.
Liwski Edmund.
Lochmann Władysław.
Lubieniecki Leon.
Luceński Ksawery.
Lucy Władysław.
Luiski T.
Lutkiewicz Karol.
Lutkiewicz Telesfor, egz. 2.
Lutkiewicz Zygmunt.
Lutosławski Franciszek.
Lutosławski Franciszek.
Lutostański Bolesław, dr.
Lutyk Stanisław.
Lübeck Ludwik, egz. 2.

Łabok, ks.
Łabok Antoni, ks.
Łabuć Józefa.
Łabusiewicz Zofia.
Łachodowicz Przemysław.
Łancucki Antoni.
Łaniewska Olimpia.
Łaniewska-Wołk Adolfina.
Łapicki Julian.
Łapiński Alexander.
Łapiński Floryan, egz. 2.
Łapiński Ignacy, ks.
Łappa Michał.
Łasiewicki, z Tulczyna.
Łaskiewicz Józef.
Łaszcz.
Łaszcz Edmund.
Łati Alexy.
Łaźniewski Mikołaj.
Łącki, kapitan.
Łątkiewicz.
Łątkiewicz Ignacy.
Łażyński Filip, dr.
Łempicka M.
Łempicki Bogumił.
Łempicki Roman.
Łempicki Wiktor.
Łoiciński Stanisław.
Łojewski Konstanty.
Łokcikowski Apolinary.
Łokuciewski Jan.
Łopacińska Marya.
Łoś-Bielicki Kazimierz.
Łosińska Anna.
Łowicki, dr.
Łoziński Adolf.
Łubieński Józef, hr.
Łubińska Felicya.
Łuczycki Bronisław.
Łuczycki Bronisław.
Ługowska.
Łukaszewicz Gracyan.
Łukaszewicz P.
Łukasik Franciszek.
Łukaszewski Ludwik.
Łukaszewski, dr.
Łukawski Jan, ks.
Łukowski Józef.
Łukowski, w Białém błocie.
Łuniewski.
Łuniewski Erazm.
Łuniewski Tymoteusz.
Łupińska Kornelia.
Łusakowski Edward.
Łusakowski Henryk.
Łusakowski Seweryn.
Łuszczewska Jadwiga.
Łuszczewski Kazimierz.
Łypaczewski Eugeniusz.
Łyszczyński Stanisław.

Macewicz Aleksander.
Machcewicz Ignacy.
Machnaur Jan Wacław.
Machnicka Stanisława.
Machniewski Wojciech.
Maciejewicz J.
Maciejewicz Mieczysław.
Maciesza Władysław.
Maciesza Władysław.
Maciulewicz Edward.
Mackiewicz Włodzimierz.
Maćkowski Michał.
Majer Jerzy, dr.
Majewski Alexander.
Majewski Cypryan.
Majewski, dr.
Majewski Julian.
Majewski Karol.
Majewski Karol.
Majewski Wincenty.
Majkowski Ignacy.
Mayzel Bronisław.
Makarewicz Albin.
Makomaski Ludwik.
Makowska Aniela.
Makowski Antoni.
Makowski K.
Makowski Wacław.
Makulec Jan.
Malesza, ks.
Malewski Mieczysław.
Malhomme, dr.
Malicka Marya.
Malicki Edward.
Malinowscy Bolesław i Ambroży.
Malinowska K.
Malinowski Bolesław.
Malinowski St.
Maliński M.
Maliszewska Józefa.
Maluszycki Ignacy, dr.
Małachowski, egz. 2.
Małagowski Stanisław.
Małowieski Józef.
Małuński Maxymilian.
Manduk Marya.
Mankielewicz.
Marcińczyk Jan.
Marcińczyk Kazimierz.
Marcinkiewiczowa Antonina.
Marcinkowska Natalia.
Marcinkowski Antoni.
Marcinkowski.
Marcinowski Józef.
Markiewicz Ignacy.
Markow Alexander.
Markowski Alexander.
Markowski Antoni.
Markowski Filip, ks.
Markowski Jan.
Markowski Karol.
Markowski Leonard.
Markowski Stefan.
Markowski Wiktor.
Markowski Władysław.
Mars Romuald.
Martini.
Martini L.
Martyński Jan.
Marusieński Kazimierz.
Maślakiewicz, regent.
Masławska Anna.
Matłaszyński.
Matkowski Feli.x
Matuszewicz, dr.
Matuszewska Aniela.
Matuszewska Jadwiga.
Matuszewska Marya.
Matuszyński.
Matwiejew.
Maysner Izydor.
Mazaraki Kazimierz.
Mazaraki Mieczysław.
Mazaraki Olimpia.
Mazurkiewicz G.
Mazurowski.
Mąkiewicz Franciszek.
Mech J., ks.
Mech Stanisław.
Meisner Karol.
Mejro Jan.
Melhal Szymon.
Meller Andrzej.
Merzanowski Gustaw.
Messing.
Messing Jan.
Mestenhauser Karol.
Meszczyńska Bronisława.
Mezyński, ks.
Mędrkiewicz A.
Mianowska Konstancya.
Mianowski Alexander.
Miączyński Mieczysław, hr.
Miączyński, hr., w Rudnikach.
Miecewicz Ludwik, egz. 2.
Micewicz Stanisław.
Michalewski Karol.
Michalska Karolina.
Michalski Izydor.
Michalski Stanisław.
Michałowska Michalina.
Michałowski Józef, egz. 2.
Michałowski Ferdynand.
Michałowski Jan.
Michałowski Kazimierz.
Michałowski Tytus.
Michałowski Wincenty.
Michałowski, w Lubartowie.
Mickiewicz Henryk.
Mieczkowski, dr.
Mieczyński Stanisław.
Mieleszko-Maliszkiewicz Adam.
Mierczyński Kazimierz.
Mierzejewska Kazimiera.
Mierzejewska Konstancya.
Mierzejewski.
Mierzkowski, ks.
Mierzyński.
Mieszalski Józef.
Mieszkowska Helena.
Migurski Wiktor.
Mijakowski Józef.
Miklaszewski Walenty.
Mikoni, ks.
Mikulicz Dorota.
Mikulicz Edward.
Mikuliński, w Kraśniku.
Mikulski Ludwik, dr.
Milachowicz Jan.
Milberg Julian.
Milewski, z Łomżyńskiego.
Milewski Edward.
Milewski Nestor, egz. 2.
Milikowski J. egz. 5.
Milowicz K.
Milton, z Rybińska.
Miłaczewska Julia.
Miłaszewiczowa Wanda.
Miłkowski, egz. 2.
Miłkowski L.
Minasowicz Jan.
Mingielewicz Paulina.
Miniszewski Kwiryn.
Miniszewski Seweryn.
Minkiewicz Jan.
Minter Karol.
Minutko Stanisław.
Mionczyńska W., hr.
Mirecki Alexander.
Mirecki Konstanty.
Mirski, k-żę Światopełk.

Misiewicz Jan.
Misiewicz Stefania.
Misiurski, ks.
Miskiewicz Władysław.
Mitkiewicz Floryan.
Mittwoch.
Mizgier, dr.
Modliński Felix.
Modrzejewski.
Modrzewski Fr.
Modzelewski Ludwik.
Modzelewski Stanisław.
Moes.
Mokrzycki Antoni, dr.
Moldenhaver Alexander.
Molochowiec Marya.
Moniuszko Bolesław
Monkiewicz Kazimierz.
Monkiewicz Ludwik.
Monowid Adam.
Montresor Alexander.
Montwiłło Wincenty.
Montwid-Białłozor Alexander.
Morawska.
Morawska.
Morgulec Bolesław, egz. 3.
Moro Alexander.
Moroz, w Lublinie.
Morozowicz.
Mosdorf Juliusz.
Moskalewski, w Sieprawkach.
Moskoleska Ludmiła.
Mostowski Adolf.
Moszczyński Bolesław.
Moszyński Józef.
Moszyński, ks., z Pińska.
Moszyński Stefan.
Mowczanowski, w Alexandrowsku.
Móchlińska Leokadya.
Mórawski Alexander.
Mroczek A. L.
Mroczkowski.
Mrozińska Klementyna.
Mrozowski Józef.
Muklanowicz.
Muraszko Franciszek.
Musiałowicz Marcin.
Muszyński Alfons.
Muśnicki Mieczysław.
Mutniański.
Müldner Henryk.
Müller Franciszek.
Müller Józef.
Müller Roman.
Mysłowski Adam, dr.

Nacelewicz Edmund.
Nadratowski, z Rypina.
Nagórski Ignacy.
Nahorski Michał.
Nakonieczny Jan.
Nalepiński Xawery.
Narkiewicz-Jodko Edward.
Narkiewicz-Jodko Teofila.
Narkiewicz Witold.
„Narodna Polza“, w Grodnie, egz. 3.
Nartowska Olimpia.
Naruszewicz Ferdynand.
Narwojsz Otton.
Narzymska Anna.
Nassius Maxymilian.
Nathowa, w Równie.
Nawrocka Bronisława.
Nawrocki Teofil.

Nelkenbaum Henryk.
Neumann Alexandra.
Neumann Teodor.
Neuman Alexander.
Neuman, dr.
Neuman Sebald.
N.... J.
Niecielski Józef.
Niedzielski Adam.
Niedzielski Stanisław.
Niedźwiecki Michał.
Niedwiedzki Stanisław, egz. 2.
Niekrasz, ks.
Nielubowicz Celina.
Nielawicki Rudolf.
Niemiałowski, w Płocku.
Niemirowski, dr.
Niemojowska Wanda.
Niepokojczycki.
Niepokojczycki T.
Niesłuchowski Władysław.
Niewęgłowski.
Niewęgłowski Oktawian.
Niewiński Alexander.
Niewmierzycka, z Żytomierza.
Niewmierzycka Pelagia Oktawia.
Niezabitowski Józef.
De Niseau Antoni Kazimierz.
Nitosławski Wiktor.
Nitowski Bolesław.
Niwiński Szymon.
Niżyński Mieczysław.
Nonowicz Edward, dr.
Norblin.
Norejko Herman.
Norwid Frement.
Noskowski Bronisław.
Nowak, dr.
Nowak Edmund.
Nowakowska Paulina.
Nowakowski Adam.
Nowakowski Janusz Ferd., dr.
Nowakowski Kazimierz.
Nowakowski Michał.
Nowakowski Tomasz.
Nowicki Alexander, dr.
Nowicki Antoni.
Nowicki Henryk.
Nowicki Hilary.
Nowicki Jan.
Nowicki Józef.
Nowicki L.
Nowierski.
Nowiński.
Nowiński Stanisław.
Nowodworski Zenon, dr.
Nowosielski Julian.
Nyko Adela.
Nynkowski Antoni.

Objezierska Józefa.
Obłoża Stefan, ks.
Obniski D.
Obrąpalska Klementyna.
Obrąpalski Erazm.
Obrępalski Franciszek, ks.
Obrębski Adolf.
Obuchowiczowa Stefania.
Obywatele Łomżyń. gub. egz. 613.
Ochimowska Alexandra.
Oczapowski Stanisław.
Oczykowski Romuald, egz. 2.
Odyniec Tadeusz.
Odyniec Waleryan, dr.

Okorski Franciszek.
Okryński Felix.
Okryński Xawery.
Okolski.
Okorski Alexander.
Okulicz Stefan.
Okuszko Antoni.
Okuszko Kazimierz.
Okuszko Wincenty.
Olchowicz Józef.
Olecki Władysław.
Olendzki Alexander.
Oleszkiewicz Robert.
Olewiński Hipolit.
Olędzki Bolesław.
Olędzki Edward.
Olgiati Józef.
Olszanowska Bronisława.
Olszański Rafał.
Olszewski Andrzej.
Olszewski Franciszek, dr.
Olszewski Julian.
Olszewski Konrad.
Olszyński Marcin.
Ołtarzewski, w Kazaniu.
Oltuszewski.
Omiecińska Cecylia.
Onichimowski Stanisław.
Onufrowicz Bronisław.
Opatowicz Tadeusz.
Opęchowski Teodor, dr.
Orda Napoleon.
Ordęga Jan.
Ordyniec Paweł.
Orebińska Teresa.
Orgelbrand Maurycy, egz. 70.
Orlewicz Alexander.
Orlicki Ludwik.
Orłowska Gabryella.
Orłowski Adolf.
Orłowski Ignacy.
Orłowski Władysław.
Orpiszewski Stanisław.
Orzechowska Anna.
Orzechowska Kamilla.
Orzechowski Franciszek.
Orzechowski Juliusz.
Orzechowski Michał.
Orzechowski Michał.
Orzechowski Włodzimierz.
Osiecki Józef.
Osipowiczowa Idalia.
Osipowicz Kazimierz, dr., egz. 2.
Osipowicz Zofia.
Oskierko Marya.
Oskierka Bolesław.
Oskierko, w Wilnie.
Osmolski, ks.
Ossolińska Walerya.
Ossowski Julian.
Osowska Kazimiera.
Ostaszewska Marya Ignaca.
Ostaszewski.
Ostaszewski, dr.
Ostrowski Adam.
Ostrowski C. egz. 2.
Ostrowski G.
Ostrowski Romuald.
Ostrowski Stanisław, hr.
Ostrzykowski Mieczysław.
Oświecimski Konrad.
Otto Ferdynand.
Otto Leopold, ks. dr.
Owsiany Kalixt.

Oxner Paulina.
Ożarowska Adela, hr.
Ożarowski Cezary.

Pacanowski Ludwik.
Pachniewski Kalixt.
Pachulski H.
Pacynko Wiktorya.
Padlewski Bronisław.
Pajewski Alfons, dr.
Papieski Leon.
Papiż, z Janowa.
Paprocki Emeryk.
Paprocki Teodor.
Pasieczny Włodzimierz.
Paszkiewicz Leon, ks.
Paszkowska, generałowa.
Paszkowska Teodora.
Paszkowski Aloizy.
Paszuta Jan.
Pauli Ferdynand.
Pawliczyński Jan.
Pawlikowski Mieczysław.
Pawliszak Fr.
Pawłowicz A. J.
Pawłowski, ks. kanonik.
Pawłowski Sabin.
Pawska Felicya.
Peche Karol..
Peliksza Zofia.
Penszko J.
Pepłowski Adolf.
Peretiatkiewicz Aureli.
Peretiatkiewicz Karol.
Peretiatkowski Zenon.
Perl Feliks.
Perłowski Michał.
Petkun Małgorzata.
Petrollewicz Walenty.
Petrykowski Eugeniusz.
Pęcherzewski, szambelan.
Pęczkowski Jan, egz. 2.
Pfabe Edward.
Bracia Piaseccy.
Piasecki Józef.
Piątkowska Anna.
Piątkowska Joanna.
Piechowski Alexander.
Piekarski Józef.
Piekarski, z Kalisza.
Pieniążek.
Pieniążek Mieczysław.
Pieńkowski Ludwik.
Pieńkowski, z Działkowic, egz. 2.
Pietkiewicz Felix.
Pietkiewicz, dr., egz. 2.
Piętko, z Żytomierza.
Piętkowski Marcelli.
Piglowski Ludwik.
Pikulski Antoni.
Pilaski Leon
Pilawska Franciszka.
Pilecka Zofia.
Pilecki Zenon.
Pilewski Stanisław, dr.
Piller Jan Paweł.
Pinko, z Lubartowa.
Pinowski Leopold.
Piórek Paweł.
Piotraszewska Wilhelmina.
Piotraszko Franciszek.
Piotrowicz Apolonia.
Piotrowski Emil, dr.
Piotrowski Felix.
Piotrowski Hipolit.
Piotrowski Józef, dr.
Piotrowski Kajetan.
Piotrowski Karol.
Piotrowski Korwin Wincenty.
Piotrowski Michał.
Piotrowski Mieczysław.
Piotrowski, z Krakowa.
Piotrowski Wincenty.
Piotrowski Władysław, egz. 2.
Piramowicz Witold.
Planet H.
Plater Elżbieta, hr.
Pląskowski, dr.
Plebański Franciszek.
Plebiński Marcelli.
Plewiński Hieronim.
Płatkowski, z Koszyc.
Pławski Stanisław.
Plocki, egz. 2.
Plotnicki Albin.
Płotnicki Michał.
Pluchowski Teodor.
Pluszczewska Marya.
Podbereski Andrzej.
Podhorski Edmund.
Podciechowski, dr.
Podernia Kazimierz.
Podgórska Leonia.
Podgórski Andrzej.
Podgórski Antoni.
Podgórski Jan Kazimierz, dr.
Podhorski Jan.
Podhorski Władysław.
Podolecka Marya.
Podrez Anna, w Rydze, egz. 3.
Podymowski S. L.
Podwysocki Karol.
Pogonowski Mikołaj, dr.
Pogorzelski-Krzywda Józef Paweł.
Pogorzelski Ludwik, dr.
Pohl Lucyan.
Polczyński, adwokat.
Polkowska Paulina.
Polkowski Michał.
Pollak Alexander.
Pollewicz Kazimierz.
Polrez.
Polkotycki Wiktor.
Połkotycki Władysław.
Poloński Alexander.
Połubiński Piotr.
Połubińska Krystyna.
Połubiński Stanisław.
Pomorski, z Kijowa.
Poniatowski Kazimierz.
Poniatowski Szczęsny.
Ponikowski Stanisław.
Popiel Pius.
Popiel Romana.
Popławski Stanisław.
Popławski Wojciech.
Popławski, z Łysołaju.
Popowicz Franciszek.
Popowski Jakób.
Poraziński Stanisław.
Postawka Stanisława.
Postupalska Stanisława.
Portych Karol.
Potkański Kalixt.
Poznański Ludwik.
Poznański (syn).
Poźniak Jan.
Pożerski Jan.
Prawocheński Roman.
Prądzyński Edw.
Prądzyński Wincenty.
Prądzyński Władysław.
Preyss Alexander.
Priebatsch J.
Prochnicki M.
Progulbicki Marcin.
Pronaszko Mieczysław.
Proszyński Wincenty.
Protasiewicz Władysław.
Protasowicz Józefa.
Prozor Konstanty, hr.
Próchnicki F.
Prószyński Maxymilian.
Prus-Frankowska Marya.
Prus-Frankowska Nina.
Prusinowski Jan.
Pruski Jan.
Pruszanowska Natalia.
Pruszkowski.
Pruszyńska Honorata.
Pruszyński Baltazar.
Pruszyński Felix.
Pruszyński Hipolit.
Pruszyński Piotr Ursyn.
Pruszyński Wacław.
Pryżginthowa Teofila.
Przeborowski Cypryan, dr.
Przedpelski, z Kalisza.
Przegaliński Robert.
Przesmycki Leopold.
Przesmycki, w Warszawie.
Przestrzelski Romuald, egz. 2.
Przewłocki Seweryn.
Przeworska Salomea.
Przewoski Edw., dr.
Przezdziecki Konstanty, hr. egz. 5.
Przybora Wandalin.
Przybylska Teofila.
Przybylski Edward.
Przybylski Waleryan.
Przybylski, z Łącka.
Przybyłko Apolinary.
Przybyłowski Antoni.
Przychodzki Wacław.
Przygodzki Antoni.
Przyłuski Felix.
Przyłuski Stanisław.
Przysiecki Michał.
Przystański Alexander, dr.
Ptaszyński Henryk.
Puchalski Józef.
Puchalski, ks.
Puchalski Stanisław.
Puchewicz Alfons.
Puciata Antoni.
Puliński Felix.
Pułaski K.
Puławski Arkadyusz Antoni.
Pułkowski Gustaw, dr.
Puryszko, ks.
Purytz Balbina.
Putwiński Władysław.
Puzyna Paweł.
Pytowski, z Drzewicy.

Rabek L.
Raczyńska Zofia.
Raczyński, dr.
Raczyński Jarosław.
Raczyński M.
Radecki Leon.
Radliński Adam.

Radliński Ludwik.
Radomski.
Radońska, z Poznania.
Radziejewska Natalia.
Radziejowska Marya.
Radziejowski Szymon.
Radzieiniński Zygmunt.
Radzinkinas Józef.
Radziszewska Halina.
Rafałowicz, z Sieradza.
Rajck Edmund.
Rakoczy Marya.
Rakowicz J.
Rakowiecki Jarosław.
Rakowska J.
Rakowska Karolina.
Rakowska, z Żytomierza.
Rakowski Alexander.
Rakowski Antoni.
Rakowski Dyonizy.
Rakowski Felix.
Rakowski Józef.
Rakowski, z Żytomierza.
Rakowski Leon.
Rapacka Tekla.
Ratuld.
Rawa L.
Rawa Władysław.
Rawska Władysława.
Rechniewski Tadeusz.
Redakcya Biblioteki Warszawsk.
Redych Józef.
Regulski.
Regulski Henryk.
Regulski Włodzimierz.
Reichel Konstanty, ks.
Reichel Maurycy.
Rejchman Alexander.
Rejmerowa Ludwika.
Rejowicz.
Rembertowski Cezary.
Rembowska Zofia.
Renier Mamert.
Reniger Ludwik.
Reszyt August, dr.
Reutt Alexander.
Rewieńska Stefania.
Rewkowska Amalia.
Richter Ludwik.
Riedel Alexander.
Riedel Jan.
Rodcewicz.
Rode Jan.
Rodkiewicz Bolesław.
Rodkiewicz Józef.
Rodzyn.
Rogalińska Klaudya.
Rogalski Erazm.
Rogiński.
Rogiński Roman.
Rogowska.
Rogowski Dominik.
Rogowski Ludwik.
Rogoziński Michał.
Rogulski.
Roguski.
Roguski Felicyan.
Roguski Henryk.
Rohn Ignacy.
Rohoziński Rafał.
Rohoziński Władysław.
Rojecki Karol.
Rokicki Jan.
Rokko Julian.
Romanowski.
Romańska Zofia.
Romański Jan.
Romer Alfred.
Romiszewska Adela.
Romiszewski Antoni.
Romocki Ludwik.
Ronba K. O.
Rose Antoni.
Rosenbaum August.
Rosenberg Zofia.
Rosenblatt Adolf.
Rosenblatt Szaja.
Rosenblum.
Rosenblum Dawid.
Rosenfeldowa, w Warszawie.
Rosengarten Adolf.
Rosengarten Michał.
Rosicki Andrzej.
Rossak Edmund.
Rossbaum Edw.
Rossochocki Antoni.
Rossudowska Zeneida.
Rostafiński Michał.
Rostkowski, z Chrzanówki.
Roszkowska Julia.
Roszkowska Julia.
Roszkowski Bartosz.
Rościszewski Franciszek.
Rościszewski, z Płocka.
Rotarski Felix.
Rothe, dr.
Rothert G. A.
Rothlewy Adam.
Rotkiewicz.
Rotwand Leon.
Rotwand M.
Rotwand Stanisław.
Roxe Józef, dr.
Rowecki Manswet, ks.
Rowiński Andrzej.
Rowiński, dr.
Rowiński Gustaw
Roze K., dr.
Rozemberg Józef.
Rozenberg Jan.
Rozradowska Joanna.
Rozwadowski Dyonizy.
Rozwadowski Józef.
Rożański Daniel.
Rożniatowska Aniela.
Rożycki, w Wawneczycach.
Rószkiewicz Marya.
Rubiński Mikołaj, dr.
Rubinsztein, egz. 6.
Rucker Edmund.
Rudingier.
Rudnicka Helena.
Rudnicka Helena.
Rudnicka Zofia.
Rudnicki.
Rudnicki Ludwik.
Rudnicki Mieczysław.
Rudnicki Stanisław.
Rudnicki, z Krzczonowa.
Rudowska.
Rudowski Edward.
Rudzki Konstanty.
Rugiewicz Bolesław.
Rukiewicz Edmund.
Rukujza, dr.
Rulikowski Edmund.
Rulikowski Zdzisław.
Rumare Barbara.
Rundo Maurycy.
Rupniewski Wiktor.
Rusiecki Antoni.
Rusiecki Henryk.
Rusiecki, z Lubartowa.
Rusiecki Zygmunt.
Russocki Bolesław.
Russocki Konstanty.
Ruszczyński.
Ruszkowski Józef, ks.
Rutkowski Edmund.
Rutkowski Konstanty.
Rutkowski, ks.
Rutkowski, z Koźlisk.
Rüger Władysław.
Ryb A.
Rybarski Felix.
Rycharski Lucyan.
Rychter Karol.
Rychterówna Michalina.
Rydecki J.
Rylski Antoni.
Rylski St.
Rymarkiewicz, dr.
Rymkiewicz, ks.
Rymkiewicz Piotr, ks.
Rymszewicz, dr.
Ryttel Maxymilian.
Ryżówna Anna.
Rzążewski Adam.
Rzepiński, z Lubartowa.
Rzeszotarski Ludomir.
Rzeszotarski, w Warszawie.
Rześciański, z Wyrożeb.
Rzodkiewicz Stanisław.

Sadowski Antoni.
Sadowski Bolesl. Alexan., dr.
Sagatowski Edward.
Sakelle Leonard.
Sakowicz Kazimierz, dr.
Salmanowicz.
Salnicki Jan.
Sarnecki Jan.
Satacki Wiktor.
Satalewicz X., z Czeladzi.
Sawaszkiewicz Jadwiga, egz. 2.
Sawicka, w Suwałkach.
Sawicka Zofia, z Mińska, egz. 6.
Sawicki.
Sawicki.
Sawicki Alexander.
Sawicki Jan, egz. 3.
Sawicki Mikołaj.
Sawicki, z Maryanpola.
Sawicki Teofil, egz. 3.
Sawicki Władysław.
Sawicki Wojciech.
Sawicz-Ryczgorski Norbert.
Scharmach Stanisław.
Schmidt Bronisław.
Schmidt, dr. z Lublina.
Schober Al.
Schönfeld, w Łomży.
Schönfeld Ryszard.
Schultz Stanisław.
Ściegienny Piotr, ks.
Ścisłowski August.
Sellin Fryderyk.
Sennewald, księgarz.
Serkowski Ignacy.
Seydel Stanisław.
Seyfarth i Czajkowski, egz. 9.
Sędziakowski, ks.

Sękowski Stanisław.
Sidorowicze Felix i Antoni.
Sidorowicz Władysław.
Siedlewski Alexander.
von Sieger-Korn Euzebiusz.
von Sieger-Korn Lucya,
Sieheniewicz Józef.
Sielski Zygmunt.
Siemaszko Justyn, ks.
Siemaszko Zdzisław.
Sienkiewicz Bronisław.
Sieradzki Hieronim.
Sieszycki H.
Siezieniewski Marcin.
Sikorska Jadwiga.
Sikorski Hipolit Józef.
Sikorski Jan.
Sikorski Józef.
Sikorski, ks.
Silberstein Salomea.
Siła-Nowicki Antoni.
Simson Eleonora.
Sinkiewiczowa, z Żytomierza.
Siowcyllo Onufry.
Sipajło Alexandra.
Sippajło Józef.
Sipko Ignacy, egz. 2.
Siwiński Józef.
Skarbek Józef, hr.
Skarbek-Rudzki.
Skarzyńska Kornelia.
Skarzyńska Wiktorya.
Skarzyński Modest.
Skarzyński Stanisław.
Skibczyński Leonard.
Skibińska Olimpia.
Skibiński Józef.
Skibiński Władysław.
Skibiński, z Łomży.
Skibniewska Wanda.
Skirmunt Konstanty.
Skłodowski Zdzisław.
Skorupski Mikołaj.
Skorupski Piotr.
Skorzewska Melania, hr.
Skotnicki Saturnin.
Skowroński, z Tuły.
Skrobecki Henryk.
Skrodzki Ignacy.
Skrutkowski St.
Śląska Helena.
Śląski Julian.
Śląski P. E., z Janowa.
Ślęwierko Konstanty.
Śliwiński Artur.
Śliwiński, ks.
Ślizin Władysław.
Sławiński Romuald.
Sławoszewski Zygmunt.
Słotarski Hieronim.
Słubicki Albin.
Słupecka Aloiza.
Słupski Karol, ks.
Śmiarowski Józefat.
Śmiechowski, ks.
Śmiechowski Gustaw.
Smolak Jan.
Smolenice Klemens.
Smoleński Julian.
Smoleński, z Turka.
Smolikowski Seweryn.
Smoliński Floryan.
Smólski Erazm.
Smulczyńska Marya.
Śniadecki Andrzej, egz. 2.
Śniechowski Józef.
Śniegocki Kazimierz.
Sobecki Alexander.
Sobieszczański Kwiryn.
Sobkiewicz Rudolf.
Sobolewska Eugenia.
Sobolewski.
Sobolewski Antoni.
Sobolewski Emilian.
Sobolewski Xawery, dr.
Sobolewski Wiktor.
Sojecka.
Sokolnicki Wincenty.
Sokołowski, z Kijowa.
Sokołowski Gaspar.
Sokołowski Leopold.
Sokołowski Fr.
Sokołowski Józef.
Sokołowski Michał.
Sokołowski Wł.
Soliman, z Rygi.
Solnicka Aniela.
Sołłohub Józefat.
Somkowicz Ignacy.
Somkowicz Józef.
Sommer A.
Sommer Zofia.
Sonenberg, w Kijanach.
Sopoćko Tytus.
Soroko Konstancya.
Sorosiek Konstanty.
Sosiński Władysław.
Sosiński, z Proszowic.
Sosnowski Adam.
Sosnowski Antoni.
Sosnowski K.
Sowiński.
Sowiński Wincenty.
Spiessbach Alexander.
Splisgard, z Łomżyńskiego.
Spławski Stanisław.
Spokr E.
Sroka.
Srzednicki.
Stachowski.
Stachowski Kazimierz.
Staczyński Konrad.
Staczyński Rudolf.
Stambrowski Władysław.
Stanczukowska, z Kalisza.
Stanielewicz Seweryn.
Staniewicz Alexander.
Staniewicz Cezary, dr.
Staniewicz Emilia.
Stanisławski Antoni.
Staniszewska Hortensya.
Staniszewski Felix.
Staniszewski Karol.
Staniszewski Wiktor, dr.
Staniszkis Wincenty.
Stankiewicz.
Stankiewicz Alexander, dr.
Stankiewicz Gustaw, dr.
Stankiewicz Józef.
Stano Henryk, dr.
Starczewski.
Starczewski Leon.
Starkmann Edmund.
Starkman Michał.
Starorypiński Karol.
Starzeńska Władysława.
Starzeński, z Lublina.
Starzyński Karol.
Stasiekiewicz Józef.
Statkiewicz Ignacy.
Statkowski Apolinary.
Stawiarski Bogdan.
Stawicki Ignacy.
Stawińska Marya.
Stecka Eliza.
Stecka Helena.
Steckiewicz Maurycy.
Stecki Marcelli.
Stecki, z Sieradza.
Stefanowicz.
Stegmann Ludwik.
Steinkeller Alfred.
Stentzel J. K.
Stępiński Józef.
Stępkowska Balbina.
Stępkowski Jan.
Stępkowski W.
Stępowska Matylda.
Stępowski.
Stępowski.
Stępowski.
Stern Henryk.
Stilkr Konstanty.
Stojowski Bolesław.
Stokowski Wincenty.
Stołągiewicz Ignacy.
Stolbeców Alexander.
Stolychwo Wiktor.
Straszewicz Zygmunt.
Strauch K., egz. 4.
Strejbel, w Lublinie.
Stromfeld Alexander.
Stromfeld Alfons.
Stromfeld Wilhelm.
Stroński Jar.
Strugul Alexander.
Strumiłło Rufin.
Strumiłło Władysław.
Strumpf Gustaw.
Strumpf, w Siedlcach.
Strzałkowski.
Strzelecki Edward.
Stummer Edward.
Styczakowska Katarzyna.
Styipejko Michał.
Stypułkowski Andrzej, ks.
Suchecki, z Kalisza.
Suchodolski Edward.
Suchowski Antoni.
Sudnik Franciszek.
Sudź R.
Suchmann.
Sugielelewicz Wincenty.
Sulatycki Jan.
Sulicka Ludmiła.
Suligowski Henryk.
Suligowski Edward.
Suligowski Felicyan.
Suligowski Lubomil.
Sulimierska Aniela.
Sulnicki, w Szczepanowicach.
Sułkowski, z Horodyszcza.
Sumińska Celestyna.
Sumowski Joachim.
Sunderland Stanisław.
Supiński Henryk, dr.
Surmacki Wojciech.
Suryn Felicyan.
Surzycki.
Suska.
Suszczyński Ferdynand.
Swiacka.

Swaryczewski Mieczysław.
Świackiewicz Helena.
Świda Sydalia.
Świderski.
Świdwiński, ks.
Świeboda Stanisława.
Świerczewska Olimpia.
Świerczewski.
Świerszcz Bolesław.
Świerzawski Franciszek.
Świerzyńska Kamilla.
Świerzyńska Kamilla.
Świeżawski Ernest.
Święcicki J. A.
Święcicki Klemens.
Święcicki Witold.
Święcki Kajetan.
Świętochowski Andrzej.
Świętochowski Ignacy.
Świętorzecka Kazimiera.
Świrski, ks.
Świrski Wincenty.
Świtalski Gabryel, ks.
Symonolewicz Dominik.
Symonowicz, z Pieczary.
Syrakowski Jan.
Syruć Weronika.
Szabelski Michał.
Szabłewski, dr.
Szabuniewicz Wiktor.
Szacherski Piotr, dr.
Szadek Karol, dr.
Szalkiewicz Antoni.
Szajkiewicz Adam.
Szanior Alexander.
Szamota Ignacy.
Szafir Józef.
Szaniawski Ignacy.
Szaniawski Karol.
Szaniawski Wiktor, ks.
Szaniawski Wiktor.
Szańkowski Henryk.
Szarkowski Józef, ks.
Szausser, w Kaliszu.
Szczawińscy Stanisław i Jarosław.
Szczepankiewicz, egz. 27.
Szczęsnowicz Jan.
Szczuka Antoni.
Szczurkowska Marya.
Szczypiłło Hipolit.
Szeffer Jakób.
Szelągowski Czesław.
Szeliski A.
Szembek Józef, hr.
Szemfliński.
Szenfer Stanisław.
Szenwic Jakób.
Szerszeński Tadeusz.
Szestkiewicz Kazimierz, egz. 2.
Szewczykowski Franciszek.
von Szilling Leon, baron.
Szkoła handlowa prywatna.
Szlązkiewicz, w Fastowie.
Szlązkowski, adwokat.
Szlubowski Stanisław.
Szlubowski Stanisław.
Sznuk Antoni.
Szokalski Ignacy, ks.

Szokalski Ignacy.
Szostak Leon.
Szostak Stefan.
Szostakowska Marya.
Szostakow Wirgili.
Szpaczyński E.
Szpakowski Mieczysław.
Szpądrowski, w Warszawie.
Szperl Stanisław.
Szpichalski Jan.
Szpotański Kazimierz.
Szpręglewski Józef.
Szreiber.
Szretter E.
Sztark Edward.
Sztejner Felicyan.
Sztejner Józef.
Szteinike Jakób.
Sztochel Ludwik.
Sztromberg Apolinary.
Szuch Władysław.
Szuch Stanisław.
Szulakowska Wacława.
Szulakowski Mieczysław.
Szulc.
Szulc Ambroży, ks.
Szumlański Witold.
Szuniewicz Felix.
Szuniewicz Florenty.
Suszczyński Ferdynand.
Szwagieruś Józef.
Szwejkowski Konstanty.
Szwojnicki Władysław.
Szwojnicki, z Odessy.
Szwykowski Walenty.
Szyc Marya.
Szydłowski K.
Szykier Xawery.
Szylling Hilary.
Szymanowski Bernard.
Szymanowski Jan.
Szymańska M.
Szymański Antoni.
Szymański Jan Nepomucen.
Szymborska Walentyna.
Szymborski Adolf.
Szymkiewicz Józef.
Szymkiewicz Rudolf.
Szyszko Józef.
Szyszkowski Andrzej.
Szyszkowski Henryk.
Szyszkowski St. H.
Szyszło Wincenty, dr.

Tabaczyński Telesfor.
Tabeński Jan Wincenty.
Tajlor Stanisław.
Tałko, dr.
Talmont, dr.
Tamulewicz Aniela.
Tarczyński, z Wodzisławia.
Targoni A.
Targoni Alexander.
Targoni Alexander, z Kijowa.
Tarnopolski Witalis.
Tarnowski Jan.
Tarnowski Kazimierz, hr.
Tatarkiewicz Xawery.
Teleżyński, egz. 2.
Teliga Władysław.
Temler Jan.
Teraszkiewicz Józef.
Teraszkiewicz, z Tyflisu.
Teresiński Kazimierz.

Teszner Adolf.
Terpiłowski Felix.
Tilly Jan.
Tkaczyńska Marya Jadwiga.
Tittenbron Leon.
Tluchowska Marya.
Tokarzewski S.
Tokarzewski Stefan.
Toloczanow.
Tolkacz Włodzimierz.
Tomaszewska Bronisława.
Tomaszewska Marya.
Tomaszewski.
Tomaszewski.
Tomaszewski Albert.
Tomaszewski Antoni.
Tomaszewski Stanisław.
Tomaszewski Waldemar.
Tomczak, ks.
Tomczycki Jan, dr.
Tomiłowska Julia.
Tomkowicz Edward.
Tosio, z Sieradza.
Tosio Paganino, dr.
Trabsza Bolesław.
Traczykiewicz, ks.
Trausolt.
Trautsolt Stanisław.
Trawin Leokadya.
Trąbczyński Adam.
Trembicki Stanisław.
Trembińska.
Trzemeski Józef.
Trenkler H., egz. 2.
Trentowski Zygmunt.
Trepko Helena.
Trepte Konstanty.
Trocewicz.
Trojanowski Mateusz.
Troszyński, z Grodna.
Trouholt Edward.
Truskolawski Kazimierz.
Trypolski Jan.
Trzaska Konstanty.
Trzcieniecka Helena.
Trzcińska.
Trzcińska Helena.
Trzciński Emil.
Trzciński Jan.
Trzciński Leopold.
Trzciński Władysław.
Trzemzolski, ks.
Trzeszewska Marya,
Trzeszkowska Zofia.
Tukallo Alfons.
Tukallo Konrad.
Tupalska Antonina.
Turczynowicz Piotr.
Turczyński A., z Żytomierza.
Turkiewicz Adam.
Turkiewicz Stanisław.
Turkuł Emilia i Max.
Turkuł Jan.
Turowicz K.
Turowicz Marya.
Turowski Henryk.
Turowski Jan.
Turski Xawery.
Turski W.
Tuski.
Twardzicka, w Warszawie.
Twardzicki Seweryn.
Twarowski Mieczysław.
Tworkowska Ewelina.

Tymieniecki Władysław.
Tymiński A., ze Swisłoczy.
Tymiński Antoni, dr.
Tymiński.
Tymiński, z Pilicy.
Tymiński Jan.
Tymiński Teodor.
Tymowski.
Tymowski Ernest.
Tyrawska Zofia.
Tyszkiewicz Ernestyna, hr.
Tyszkiewicz Katarzyna, hr.
Tyszka.
Tyszkowski Wincenty.
Tyszyński A.
Tyszyński Alexander.

Uderski Wojciech.
Ujazdowski Karol.
Ulanowski, ks.
Ulrich Emilia.
Unierzycka Władysława.
Urbanowicz Witold, dr.
Urbańska Antonina.
Urbański Leon.
Urzędnicy Zarządu Dóbr Nieświezkich, z Nieświeża.

Wacowski Michał.
Wacowski Stanisław.
Wagner Jan.
Wagner Leonard.
Wagner Stanisław.
Wakar Łukasz.
Walewska Józefa.
Walewska, z Kalisza.
Walewski Faustyn.
Walewski Wincenty.
Walewski Władysław.
Walewski Władysław.
Waligórski.
Waligórski Teofil.
Walunas Kazimierz, ks.
Wangrad Henryk.
Waniorski Konstanty.
Wańkowicz Zygmunt.
Warchałowski, z Kazania.
Wardziński, z Petersburga.
Warsabo Platon.
Wasiewicz Józef.
Wasilczenko Ludmiła.
Wasilewski Antoni.
Wasilewski Franciszek, ks.
Wasilewski Henryk.
Wasilewski Ignacy.
Wasilewski Kazimierz.
Wasilkowska Paulina.
Wasiński Józef.
Wassowska Helena.
Waśkiewicz Emilia.
Wawelberg Hipolit.
Wawrowski, prezes.
Wawrzeniecki, w Warszawie.
Wazgird Pelagia.
Wąsowicz, z Talicy gub. Permska.
Wątrubski. egz. 2.
W. B.
Wdowikowski, dr.
Wejtko Antoni.
Weliamin-Rutski Tomasz.
Wereszczako Marya.
Wereszczyński Piotr.
Werner Antoni.
Werner Edward.
Werner Tomasz.
Wernicki Wacław.
Werpachowski Antoni.
Wertheim Piotr.
Wesołowski.
Wetzlich Alexander.
Wetzlich Maxymilian.
Węcławowicz Adam.
Węcławowicz Henryk.
Węcławowiczowa K.
Węgrzynowski Karol.
Wężyk, z Kalisza.
Wiciejewski, dr.
Wieczorkowski Józef.
Wielhorski Michał, hr.
Wielicki Jan.
Wielogórski T. A.
Wierciński, ks.
Wiernik Joachim.
Wierpsza Br.
Wierpsza, dr.
Wierzbicki Edward.
Wierzbicki Karol.
Wierzbicki Romuald.
Wierzbicki Stanisław.
Wierzbowicz Józef.
Wierzbowski Erazm.
Wierzbowski Jan.
Wierzbowski Wilhelm.
Wierzchlejski.
Wietrzykowski Wiktor.
Wiewiorowski Felix.
Więckowski T.
Wigura Ewelina.
Wigurski Marek.
Wiktor Józef, ks.
Wilczewski Bolesław.
Wilczewski, marszałek.
Wilczkowski, dr. egz. 2.
Wilczyński Andrzej.
Wilczyński Bronisław.
Wilczyński Julian.
Wilczyński Roman, ks.
Wilczyński Władysław.
Wilczyński, w Warszawie.
Wilga Władysław.
Wiliński Teofil.
Wilkowski Józef.
Willaume, dr.
Wilski Ignacy.
Wimhor Paulina.
Winiarz Adolf.
Winkler Wilhelm.
Wiśniakowski Józef.
Wiśniewski Kazimierz.
Wiszniewski Alexy.
Wiszniewski Konrad.
Witunowski.
Witkiewicz Ignacy.
Witkowska, z Krakowa.
Witkowski Dyonizy.
Witkowski Edward.
Witkowski Edward.
Witkowski Kazimierz.
Witkowski, z Łomży.
Witkowski Robert.
Witkowski Tomasz.
Witkowski Tomasz, dr.
Witowski Emil.
Wittig Daniel.
Wittig Michalina.
Wizbek Alexander.
Wizbek Henryk.
Włoczek Tadeusz.
Włoczkowski Józefat.
Włodek Józef.
Włodek Władysław.
Wnukowski Lucyan, egz. 2
Wodzińska Konstancya.
Wodziński.
Wohl Henryk.
Wojciechowska Kamilla.
Wojciechowski Bronisław.
Wojciechowski Jan.
Wojciechowski Lucyan, ks.
Wojdacki Józef.
Wojewódzki Alexander.
Wojewódzki Emilian.
Wojewódzki Justyn.
Wojnicz, z Zagórzynka.
Wojniłowicz Lucyan.
Wojtkiewicz Jan.
Wojtkiewicz, ks.
Wojtkiewicz Stanisław.
Wojtkiewicz Zofia.
Wojtkowska Marya.
Wojtowska Paulina.
Wolański Rajnold.
Wolff Aniela.
Wolff Marya.
Wolff Stefania.
Wolfke Wincenty.
Wolle, z Kalisza.
Wolner Małgorzata.
Wolska Florentyna.
Wolski Felix.
Wolski Kazimierz.
Wolski K. K., dr.
Wolski Michał.
Wolski Stanisław.
Wołłowicz, egz. 2.
Wołodźko Kazimierz.
Wołoszynowski Oktawian.
Wołowski Filip.
Woroniecki Ferdynand.
Wosiński Leon.
Woyciechowski Władysław.
Woyde, z Zabladowia.
Woźniakowski Alexander.
Woźniakowski Józef.
Wretowski Dominik Emilian.
Wrońska Justyna.
Wroński Julian.
Wrotnowski Antoni.
Wróbel Józef.
Wróblewski Józef.
Wróblewski Kajetan, dr.
Wróblewski Konstanty.
Wróblewski, w Warszawie.
Wrzeszor Konrad.
Wścieklica.
Wszelaki Jan.
Wydżga Mikołaj, ks.
Wykowski Józef.
Wyleżyńska Franciszka.
Wyleżyński Bronisław.
Wyleżyński Tadeusz.
Wyrwa-Wyrwalski.
Wyrzykowska Jadwiga.
Wysocka Antonina.
Wysocka, ze Świsłoczy.
Wysłouch Konstanty.
Wysłouch Ludwik.
Wysocki A.
Wysocki Fryderyk.
Wyszomirski Franciszek.
Wywiałkowski Maryan.
Wywiórkowski Grzegorz.

Wzdulski Konstanty.

Zabiello Kazimierz.
Zabiełło Szymon, hr.
Zabiełło Wiktorya Cezaryna.
Zabłocki.
Zabłocki Franciszek.
Zaborowski.
Zaborowski Jerzy.
Zacharkiewiczowa, senatorowa.
Zachertowa, baronowa.
Zadanowski Franciszek.
Zagajewski Kazimierz.
Zagórski Aloizy.
Zahorowski Wilhelm, dr.
Zahorski Justynian.
Zahorski Justynian.
Zajadlewski Wiktor.
Zajączkowski.
Zajączkowski Józef.
Zajdler Władysław.
Zakrzewska Lucyna.
Zaleski Alexander, dr.
Zaleski Antoni.
Zaleski B.
Zaleski Bolesław.
Zaleski Kazimierz.
Zaleski Ludwik.
Zaleski Tadeusz.
Zaleski, z Pułtuska.
Zaleski Zygmunt.
Zaleska J. M.
Zalewski Jan, ks.
Zalewski Stanisław.
Zalęski Witold.
Załuski Władysław.
Zamajski Ryszard.
Zamojski Lucyan, egz. 2.
Zamojski August, hr.
Zanietowski Józef.
Zapaśnik Karol.
Zarakowski Wincenty.
Zaranek Piotr.
Zaremba.
Zaremba Bolesław.
Zaremba Roman.
Zarembska Emilia.
Zaręba Anzelm.
Zaręba Witold.
Zarębska Emilia.
Zarzecki Jan.
Zasacki Józef.
Zaszczyński Michał.
Zatkalik Leon.
Zawadzka Anna.
Zawadzki Brunon.
Zawadzki Daniel.
Zawadzki, dr.
Zawadzki Ignacy.
Zawadzki Józef, egz. 160.
Zawadzki Michał.
Zawadzki Stanisław.
Zawadzki Tomasz, egz. 2.
Zawisza Alexander.
Zawisza Marya.
Zawrocka Marya.
Zbiegniewska.
Zbijewska Tekla.
Zborowski Xawery.
Zborowski, w Chorzelach.
Zbroziński Łukasz.
Zdanowicz Paweł, dr.
Zdański Józef Ignacy, dr.
Zdrojewski Alexander.
Zdziarski, z Płocka.
Zdziechowska H.
Zdzitowiecki Aurelian.
Zeidler Izabella.
Zeitheim Jadwiga.
Zeitneker E., z Orenburga.
Zelichowski Michał.
Zejdel Edward.
Zejdler, z Wilna.
Zembrzuski, z Łomży.
Zembrzuski, z Moniak.
Zeytz.
Zgleczewski, z Kalisza.
Zgliczyński H.
„Zgoda" Stow. w Płocku, egz. 6.
Ziegler Aniela.
Zieleniewski Józef.
Zieleniewski Kazimierz.
Zieleniewski Piotr.
Zieleniewski, w Odessie.
Zieleniewski W.
Zieliński Antoni.
Zieliński August.
Zieliński Eugeniusz.
Zieliński Ignacy, ks.
Zieliński J.
Zieliński Józef.
Zieliński Józef.
Zieliński K.
Zieliński Wł. K.
Ziemborowski Apolinary.
Ziemiańska Marya.
Ziemięcka Jadwiga.
Ziemoński Jan Nepom.
Zienkiewicz Żytisława-Wiktorya.
Zienkowski Władysław.
Ziętkiewicz Walenty, ks.
Zimmermann.
Zimodro, dr.
Złowodzki Nestor.
Znamierowski Bolesław.
Znatowicz Bronisław.
Znatowicz Edmund.
Znierzyński, ks.
Zorewicz Franciszek.
Zubryś T., ks.
Zucker, z Radomia, egz. 2.
Zubkowicz, z Kijowa.
Zweigbaum Maxymilian.
Zwierzyński Salezy, ks.
Zwinogrodzki Władysław.
Zwoliński Brunon.

Żabczyński Józef.
Żaboklicki Antoni, dr.
Żabokrzycki Julian.
Żarnowski Ignacy.
Żbikowski Albin, egz. 2.
Żebrowski Bohdan.
Żebrowski Julian.
Żera, dr.
Żerański.
Żochowska Bogumiła.
Żochowski Kajetan.
Żomojtel Zofia.
Żółtyński Daniel.
Żórowska, z Szczukocina.
Żubrzycki, z Wilkowa.
Żuk, dr. z Kijowa.
Żuk Edward.
Żukotyński Felix.
Żukowska Joanna.
Żukowski Antoni.
Żukowski Józef, egz. 3.
Żukowski Józef.
Żukowski Józef.
Żukowski Napoleon.
Żupański J. K., egz. 36.
Żurakowski Alexander.
Żurakowski Henryk.
Żurawlewicz Mikołaj.
Żórawski Marcyan.
Żurawski Wawrzyniec.
Żurkowska Joanna.
Żurkowski G.
Życki Józef.
Żyguś Emilia.
Żylińska Kamilla.
Żyliński, z Maryampola.
Żyliński Ludwik.
Żywicki Władysław, dr.
Żyznowski Hipolit.

Uzupełnienie Listy Prenumeratorów Książki Jubileuszowej.

Altenberg Herman.
Anders Ludwik, dr.
Assendi.
Augustynowicz.

Baczyński Franciszek.
Bajkowski Alexander.
Baraniecki Maryan.
Baranowski, dr.
Baranowski Teodor.
Benzemer, dr.
Bergoni Stanisław.
Bergson Szmul.
Benth Emilia.
Beynar Teobald.
Bezwuhły Fabian.
Białocka Konstancya.
Białosuknia Stanisław.
Biblioteka XX. Czartoryskich.
Bielski Stanisław.
Biernawski Julian.
Birenzweig Bernard.
Biron Cecylia.
Birski Fr.
Błaszczykiewicz Antoni.
Boczkowski J.
Bogusławska Aniela.

Bojańczyk K.
Bojarska.
Bokalski Maxymilian.
Bondzewicz Alexander.
Bonfal Zofia.
Borkowski Tadeusz.
Brann Jan.
Brodowski Józef.
Bromirska Karolina, hr.
Brykczyński, ks.
Brylewicz Matylda.
Buchowiecki Władysław.
Buczeń Lucyna.
Burba Antoni, ks.
Burhardt Stanisław.
Bukowski, z Łomży.
Burzyński Adam.
Bykowski Karol Jaxa.
Byszewska.
Bzura Kajetan.

Canenko Andrzej.
Cehak Ferdynand.
Celińska Marya.
Cepryńska-Ciekawa Kornelia.
Chałubiński, dr.
Chamski, z Męczeńska.
Chełmicki Ignacy.
Chmielewski Alexander.
Chocianowska Kornelia.
Chodecka Leokadya.
Chodorowicz Ignacy.
Chojnowski Józef. egz. 2.
Ciechomski Henryk.
Cielecki Maxymilian.
Ciołkowski Władysław.
Cohn Maxymilian.
Cukroski Józef.
Czarnocki Jan.
Czartoryska Marya.
Czempiński Ignacy.
Czepieliński Floryan.
Czerkawski Adolf.
Czerniejewski Alexander, dr.
Czerwiński Kazimierz.
Czosnowski, z Wolynia.
Czumańska, z Łodzi.
Czykirski, z Ananiewa.

Daniłło Stanisław.
Darewska Kamilla.
Darowski, z Tetyjowa.
Dattyner.
Dąbrowska.
Dąbrowska, z Płocka.
Dąbrowski Aureliusz.
Dąbrowski Władysław.
Dąbrowski Władysław, ks.
Dąbrowski, z Płocka.
Dernałowicz-Doria Ewa.
Dobrzański Julian.
Dębicki Gustaw.
Dierżyński Felicyan, dr.
Długoborski Maryan
Dłużniakiewicz, z Gawłowa
Dmiszewicz Fabian.
Dmochowski Franciszek.
Doborzyński.
Dobrowolska Julia.
Dobrowolski Stanisław.
Dowgiełło Julian.
Drewnowska Stefania.
Drużbacki Ignacy.
Dunin-Rutyńska Marya.

Dudziński Waleryan.
Dworzaczek Ignacy.
Dybowska Olimpia.
Dzięciołowski.

Ehrenkreutz Władysław.
Ehrlich Antoni.
Eismunn Władysław.
Elzenberg Henryk.

Fajans Ignacy, dr.
Fiszer Bronisław.
Flaum Maurycy.
Florkowski Józef.
Foland Bogumił.
Frankowski Władysław, dr.

Gabryelski, budowniczy.
Gajkiewicz Władysław, dr.
Garbolewski, z Czerwonki.
Garbski, sędzia.
Garsztecki.
Gawiński Walery.
Gąsecki Adolf.
Gebethner i Sp. z Krakowa, egz. 3.
Giejsztor Kazimierz Jakób.
Giejsztor Kazimierz.
Giejsztor Leokadya.
Giejsztor Stanisław.
Giejsztor Tadeusz.
Gins Emanuel.
Glücksberg Maxymilian.
Goldbaum.
Gołębiowska Michalina.
Gomuliński Jan.
Giegużyński August.
Goldstein Samuel.
Gołembiowski Jan.
Gordziałkowska Eleonora.
Grabianczyna Honorata, hr.
Grabianka-Leszczyc Andrzej.
Grabowski Andrzej.
Grabowski Gerwazy.
Grabski Erazm.
Gradowski Józef.
Grajewski, ks.
Gralewski, ze Słupca.
Gregorowicz Jan Kanty.
Grobicki Alexander.
Groser.
Grosman Ewelina.
Grossglich Israel Leon.
Grużewski Czesław.
Grzybowski Józef.
Gurbski, sędzia.
Gustowski, z Konina.

Hajmann Simon.
Halatkiewicz Lucyan.
Hamuliński, z Krakowa.
Harusewicz Adam, egz. 2.
Heinrich B.
Hemerling Henryk.
Hermański.
Hilanowski Józef.
Hirschweld Bolesław.
Hirszel Franciszek.
Hopfenblum Maxymilian.
Horodecka Nimfa.
Hoszowski Kajetan.
Hösick Ferdynand.
Horodecka Nimfa.
Hrubant Xawery.
Hryniewicz Kamilla.

Hubert Henryk.
Huk Helena.
Ittakiewicz Ignacy.
Iżycki Julian.
Jabłonowska.
Jabłonowska Wanda, X-żna.
Jacewski Adolf.
Jakubowski Fr., egz. 2.
Jakubowski Jan.
Jankowski Wincenty.
Jankowski Wadysław, ks.
Januszewski Błażej
Jaraczewski Zygmunt.
Jarnutowski Adam, ks.
Jasińska Genowefa.
Jastrzębski J. A.
Jawitz J.
Jeleniowic, bracia, egz. 3.
Jełowicki Adolf.
Jeżewski R.
Jędrzejewicz Felix.
Jodłowski Franciszek.
Jork Wilhelm.
Jork, z Piotrkowa.
Józefowicz Michał.

Kaczkowska Ludwika.
Kaczorowski Saturnin.
Kahl Emil Kwiryn.
Kajsiewicz Gustaw.
Kajzer Wiktor.
Kamieński Władysław.
Kamocki Antoni.
Kamocki Kazimierz.
Kantor Adolf.
Kantor Emanuel.
Kański, prof.
Karłowski A.
Karpiński Felicyan.
Karpowicz Adam.
Katyl Józef, ks. egz. 2.
Kaun Jan.
Kączkowski Józef.
Kempiński Felicyan.
Kopernicki Walery.
Kiełpsz Stefan.
Kiktowicz Anastazya.
Kirsztein.
Kleszczewska.
Kleszczyński Franciszek.
Klimowicz Władysław.
Klink Edward, dr.
Klink Natalia.
Kluczewski Erazm, ks.
Knothe Ferdynand, dr,
Knöbel Józef.
Kobyliński Adolf.
Kociejowski Leopold.
Kohn Szymon.
Kołodziejski, ks. kanonik.
Kołyszko Alina.
Konopacki Hilary.
Konopacki, regent.
Kopernicki, dr.
Kopytowski Kazimierz.
Korsak, z Siedlec.
Korsak Stefania.
Korzeniowska L.
Korzybski Stanisław.
Kościański, z Pyzdr.
Kosiński, ks.
Kosmowski Adam.
Kowalewski, z Szak.

Kowalewski, dr.
Kowalska Eleonora.
Kozicki Edward.
Koziebrodzki Władysław, hr.
Kozłowski Leon.
Krasuski Adam.
Kramsztyk Zygmunt, dr.
Kraszewski Kajetan.
Królikowski, ks.
Krydel Michał.
Krynicki Wojciech.
Krzymuski Marcin Falborz,
Krzywicka.
Krzyżanowski S. A.. egz. 4.
Kszobel Józef.
Kuczalski Władysław.
Kudorowska Leokadya.
Kuksz Bronisław.
Kuksz Józef.
Kuksz Kazimierz.
Kuksz Stanisław.
Kulikowski Józef.
Kumanowska Zofia.
Kunkel Robert.
Kuroski Józef.
Kurowski Konrad.
Kurnatowski Lucyan.
Kwasieborski Franciszek, egz. 2.
Kwiatkowska Stefania.
Kwiatuszyński Władysław.

Lampe Henryk.
Lati Alexy.
Langer Franciszek.
Laskowsk' Klemens.
Lebo. .i Stanisław.
Legotke Ferdynand.
Leitgeber i Sp.
Lewgowse Romuald.
Lewental Salomon.
Libelt Wilhelm.
Linde ze Swisłoczy.
Littich Walerya.
Lewestam Gustaw.
Lubińska Marya.

Łabęcki Hipolit.
Łapuszański Emil.
Łaszczyński, w Czartkach.
Łatkiewicz Ludwik.
Ławrewicz Felix.
Łempicki, z Leszczyna.
Łempicki, z Leszczyna.
Łopaciński M.
Łowieniecki Wincenty.
Łuszczewski Romuald.
Łyszczyński Michał, egz. 2.
Łyżniewski Seweryn.

Maciejewski Ludwik.
Majewski Izydor.
Majewski Izydor.
Majewski Stanisław. egz. 3.
Makarewicz Kazimiera.
Maklanowicz Bronisław.
Makowiecki Fryderyk.
Malik K., egz. 5.
Małachowski X.
Małcużyński Witold.
Maltarzewski Kazimierz.
Małuchowski Alexander.
Manugiewicz Józef.
Mauzin L.
Mańkiewicz, ks. przeor.
Mańkowski Wacław.
Marski Ignacy.
Matwiejenko.
Mazurkiewicz Zdzisław, dr.
Mazurkiewicz Józef.
Meyersohn Malwina.
Meyet Leopold.
Mękowski Ignacy.
Mianowska.
Mianowski Xawery, dr.
Miączyński Stanisław.
Michalski.
Michalowski Henryk.
Michel M.
Michelis, inżenier.
Mickiewicz Marya.
Migdalski.
Milkowski Jan Apolinary.
Mlocki Jakób.
Mniewska Joanna.
Moczulski Julian.
Modrzewski Franciszek.
Modzelewski Michał.
Moniuszko Adolf.
Monkiewicz, z Petersburga.
Moraczewska Józefa.
Morgenthaler Gustaw.
Moro Placyd.
Musielewicz Piotr.
Müller W.

Nagórski Józef.
Niniewska Alexandra.
Norkiewicz Józef.
Noskowski Jan.
Nowakowska Marya.
Nowojewski Józef.

Oborski Wacław.
Obrycka Tekla.
Ocetkiewicz M,
Oczepowska Klementyna.
Okęcka Wanda.
Okoński J. J.
Olędzka Marya.
Orłowski, z Płocka.
Orzeszkowa Eliza.
Orzeszkowa E. i Sp. egz. 20.
Ostromęcki Michał.
Ostroróg Władysław, hr.
Otto Władysław.
Otto Władysław.
Ożarowski Stanisław, egz. 2.

Pacewicz Augustyn.
Pacewicz Jerzy, dr.
Pacewicz M., z Piotrkowa.
Paskucki Franciszek.
Paszkowski Włodzimierz.
Paszkowski, z Włocławka.
Pawełkiewicz Józef.
Pawłowski Adam.
Pawłowski, dr.
Peltyn J. H.
Pelka, z Turka.
Penszke Jan.
Piasecka Marya.
Piekarski Józef.
Piekarski Teodozy Justyn.
Pielecki Władysław.
Piętka Władysław.
Pinczewska Augusta.
Piotrowska Marya, egz. 3.
Piotrowski Kajetan.
Pióro Adam.
Pisanecki Jan.
Pivoni Jan.
Planet Herman, egz. 2.
Plewiński Ignacy.
Plocer Julian.
Plodowski Alexander.
Płotnicki Michał.
Podczaski Karol.
Poleski Fr.
Poller Józef.
Popiel Ignacy.
Potocka Marya, hr.
Poźniak A.
Pronaszko.
Proszewska Albina.
Protasewicz Marya.
Prószyński K, egz. 3
Pruchnicki Teodor.
Pruszyński Gustaw.
Przestrzelski F.
Przyjemski Konstanty.
Pstrokański Felix.
Puchalska Wanda.
Puchalski Jan.
Putiato Paulina.

Rabik, z Siedlec.
Raczkowski Franciszek, egz. 2.
Raczyński Edward.
Radoliński Teofil.
Radomyski Jan, ks.
Radońska.
Radziejowski, ze Swisłoczy.
Radziński Augustyn, ks.
Rafalski Walenty.
Rawa Stanisław.
Reklewski.
Reutlowie Ludwika i Wincenty.
Rieth Alexander.
Robitschek Maurycy.
Ronthaler Klemens.
Roszkowski Józef.
Rotwand Michał.
Rozdoba Ignacy.
Różycki Franciszek,
Rudnicki Edward.
Rudnicki Seweryn.
Rulikowski Wincenty.
Rumbowicz Bronisław.
Rumbowicz Henryk.
Rutkowski.
Rychłowski Władysław.
Ryndyk Jakób.
Rzeszotarski Antoni.
Rzeszotowski Antoni.

Saliński, w Górach.
Satalecki Adolf.
Sawicki Jan.
Sąsiedzki Wiktor.
Schmidt Bolesław.
Schrötter Ludwik.
Schwartzschultz Robert.
Sianożęcka Kamilla.
Siemiaszko Władysław.
Skibińska Ludwika.
Skowrońska Marya.
Skowrońska Marya.
Skrobański A.
Sławęcka Marya.
Słupecka Alexandra.
Solarski, ks.
Sobczyński Palemon.

Sobuki, z Radomia.
Soenman, adwokat.
Sporny, inżynier.
Springer Fr.
Stadnicki de Żmigroda Ignacy, hr.
Stanisławski Ant.
Stegmann Alexander.
Stein August.
Stępowska Jadwiga.
Strasburger.
Strumpf Gustaw, egz. 4.
Stulgiński Leon.
Stypułkowska Anna.
Sułowski Jan.
Suska Franciszka.
Szamota Ignacy.
Szamota Kazimierz.
Szczepankiewicz Bronisław.
Szerenkowski.
Szroda, ks.
Szulc Albert.
Szulc Ambroży.
Szuster Antoni.
Szwedowski Antoni.
Szymanowska Helena.
Szymański Sylwester.
Szyszkowski Stanisław, X.
Świceranowski, technolog.

Tajlor Edm., ks.
Taube Artur.
Tłuchowski Franciszek.
Tołłoczko Edward.
Tomaszewski Gorgoniusz.
Tomaszewski Michał, dr.
Treu Eugeniusz.
Trzebiński Julian.
Tuger.
Turski Jan.

Unger Korneliusz.
Urbański, ks. kanonik.

Wagner Tadeusz.
Wapiński Ludwik.
Wasiekowska, z Piotrkowa.
Waszak Józef.
Wawułyński Feliks.
Werner Karol.
Wesołowski Filip, dr.
Wężyk A.
Wierzbicki.
Wierzchlejski Roman.
Wierzchowski Maryan.
Wienczycki Kazimierz.
Wilczopolski Witold.
Wiłożyński.
Wilczyński Józef.
Winkler, z Wielunia.
Wiszniewski Klemens.
Włodkiewicz Konstanty.
Wodzyńska Wanda.
Wojciechowski Szczepan.
Wolski.
Woyde Alexander.
Wrotnowski Szymon.
Wüstehube, z Konina.
Wychowski, dr.
Wyleżyński Józef.
Wyrzykowski.
Zadarnowski Franciszek.
Zagorski Józef.
Zahorowski Robert.
Zaleska Michalina.
Zaleski Antoni Lubicz.
Zaleski Jan.
Zaleski Ludwik.
Zaleski Marcin.
Zalewski Kazimierz.
Zamoyski Karol, hr.
Zamoyska Konstantowa, hr.
Zakrzewski Adam.
Zapasiewicz Józef.
Zaremba Józef.
Zawadzka Michalina.
Zawadzki Józef Bohdan.
Zawadzki Stanisław.
Zawkiewicz Antoni, ks.
Ząbczyński Roman.
Zdżarski A.
Zelniker Nikodem.
Zerański, dr.
Zędzianowski Konrad.
Zieleniewski Michał.
Zieliński Józef.
Zieliński, ks.
Zmijewski Bolesław.
Zych, ks.

Żukowski Ludwik.
Żylińska Aniela.
Żyliński Konstanty.
Żyliński Wincenty.

Zamykając niniejszą listę prenumeratorów, redakcya czuje się w obowiązku uniewinnienia się wobec tych wszystkich, których nazwiska umieszczone zostały bez imion, lub też błędnie podane; nie mogła bowiem na to nic poradzić, odbierając w ten sposób ułożone ich spisy z rozmaitych księgarni lub kantorów pism peryodycznych. Osoby zaś, których nazwiska zupełnie pominięte zostały, niech to przypiszą albo opóźnieniu się swemu ze złożeniem przedpłaty, albo też tym, którzy ją we właściwéj porze przyjąwszy, zaniechali nadesłać komitetowi redakcyjnemu wykazu imiennego przedpłacicieli. W końcu powinniśmy uczynić i tę jeszcze uwagę, że niektóre nazwiska spotykając dwukrotnie i trzykrotnie podane, a nie mając pewności, azali się one odnoszą do oddzielnych osób jednoimiennych, albo są tylko przypadkowém powtórzeniem téj saméj, musieliśmy one drukować, chociaż bardzo być może, iż wcale niepotrzebnie zwiększyliśmy przez to listę niniejszą.

Redakcya „Książki Jubileuszowéj“.

ERRATA.

Str.	szp.	wiersz	zamiast		czytaj
137	2	od dołu 8	rolni	—	wolni
138	1	„ „ 17	także	—	takie
143	1	„ „ 11	ten	—	tém
146	1	od góry 17	walczącym	—	wabiącym
—	2	„ „ 10	znamy	—	znaczy
147	2	„ „ 6	czystéj	—	częstéj
149	2	„ „ 18	porzeba	—	potomek
151	2	od dołu 19	formalność	—	rozmaitość
152	1	„ „ 24	bezczelność	—	bezcelowość
153	1	od góry 7	duszę	—	dumę
155	2	„ „ 15	Ostapem	—	Hryciem
156	1	od dołu 16	skarbowych	—	skazkowych
158	1	„ „ 9	bożą	—	lwią
162	2	od dołu 5	ono	—	owo
163	2	od góry 17	to	—	tu
—	2	od dołu 19	wpół-potężnym	—	wszechpotężnym
164	1	od góry 18	prorokowane	—	prowokowane
—	2	od dołu 22	starożytnéj	—	strasznéj
169	2	„ „ 20	wprowadza	—	wprowadza nas
175	1	od góry 7	jego jurisconsulti	—	ale jego jurisconsulti
176	1	„ g. 1 i 2	małżeństwa	—	małżonków
181	1	od dołu 23	Kutą	—	Rutą
183	1	od g. 17 i 18	ed. Leunel	—	ed. Leunclavii
215	1	od góry 14	opuścić: już		
216	1	od góry 8	przedstawią	—	przedstawia
217	1	„ „ 4	dyamenty	—	dyadematy
—		„ „ 14	poszturchiwał	—	poszturchnął
—		„ „ 32	rozerwalo	—	rozcinała
—		„ „ 40	żal	—	ząb
218	2	„ „ 1	powiedział	—	powiadał
219	1	„ „ 33	razie	—	razić
220	1	od dołu 1	czci	—	płci
—	2	od góry 5	ciegle	—	ciągle
221	2	„ „ 4	skrupulatną	—	skrupulatkę
—		„ „ 5	za czasów	—	za Cezarów
222	1	„ „ 22	na czas	—	na czczo
—	2	„ „ 23	male	—	mdłe
—		„ „ 28	nie wyjmuję	—	nie wyjmując
223		„ „ 6	pracował	—	spacerował
—		„ „ 5	czarownych	—	na Szulcu
224		„ „ 28	delficką, gustu	—	delficką gustu
226	1	„ „ 5	krój	—	kraj
228	2	od dołu 11	nie rozumiejąc	—	nie rozumując
—		od dołu 1	w ogrodach	—	o ogrodach
229	2	od góry 4	charakterystyka	—	charekterystyki
—		„ „ 5	dobierą	—	dobiera

Str.	szp.	wiersz	zamiast		czytaj
229		od góry 6	kuźni	—	kuźnią
—		od dołu 21	i ku	—	Ku
—		„ „ 19	teścię	—	teściową
230	1	„ „ 19	order	—	o order
231	2	od góry 5	nim: anioł	—	nim i anioł
—		„ „ 11	„Pierwsze wrażenie	—	„Pierwszy odcisk
—		„ „ 12	odniosło	—	odniósł
—	1	od dołu 6	kobiety	—	kokiety
233	1	od góry 7	wyzyskiwaniu	—	wyzyskaniu
—		„ „ 28	jéj	—	ją
—	2	od góry 25	po wyrazie: pozbawioną, dodać:		łajdaczką
235	1	„ „ 21	tego	—	to go
—	2	„ „ 9	wojewodziny	—	wojewodzicowéj
236	1	„ „ 3	„Kończy	—	„Skończy
—	2	„ „ 16	uwagi	—	wagi
—		„ „ 8	szturmu	—	szumu
240	2	„ „ 2	wyjdziesz	—	nietylko
—			nie	—	nawet
242	1	„ „ 3	człowiek czynny?	—	z człowieka czynnego?
242	2	od dołu 12	tacy	—	ci
243	1	„ „ 7	poranny	—	paradny
244	2	„ „ 2	wieku	—	wielu
245	2	od góry 7	bezczelnego	—	bezbrzeżnego
—		„ „ 14	wiedzieć	—	widzieć
—		od dołu 19	robaczne	—	robacze
246	1	od góry 14	dzieci	—	dzieł
246	1	od dołu 5	po: za śmiałych, dodać: nie		odrzucono z pogardą. Nigdzie podobno nie było i t. d.
246	2	od dołu 13	przyszły	—	przeszły
247	2	od góry 18	bowiem	—	prawie
—		„ „ 9	wspólnego	—	ogólnego
277	2	od góry 4	dziesięciu	—	pięćdziesięciu
—	2	od dołu 9	jego w	—	w jego
279	2	od góry 26	najwyższe	—	najżywsze
—	2	od dołu 21	rodzaju	—	rozwoju
291	2	od góry 29	arystokratycznego	—	autokratycznego
293	2	„ „ 20	redaktora	—	redaktorki
294	2	od dołu 1	różnicach	—	różniach
297	2	od góry 29	wstępu	—	wstrętu
298	1	„ „ 26	naciągającą	—	naciągając
299	2	od dołu 10	219 — 424	—	219. 424
301	1	od góry 12	jakbyśmy	—	jakieśmy
303	2	„ „ 21	wyłamuje	—	wyłamując
304	1	od dołu 24	całéj	—	kosztem
310	1	„ „ 10	zmysłu	—	umysłu
312	2	„ „ 9	jego idealizmu	—	jego od idealizmu
315	1	od góry 29	rozwoju i idealizmu	—	rozwoju idealizmu
316	1	„ „ 8	niezrozumianego	—	niezrozumiany
323	1	od dołu 3	i	—	z
324	1	od góry 12	powód	—	dowód
326	2	od dołu 8	pracy, urzeczywistnione	—	pracy urzeczywistnia
344	1	od góry 20	zasila	—	zasilał
347	2	„ „ 54	I. Poezya	—	X. Poezya [wienia się
348	2	„ „ 35	Wprawdzie w chwili	—	Wprawdzie w chwili poja-
348	2	od góry 49	matomiczno	—	anatomiczno
351	1	„ „ 39	w Podstolicu	—	w Podstolim
351	2	„ „ 45	dodając	—	dając
354	2	„ „ 25	sumiennie	—	znacznie

Str.	*szp.*	*wiersz*	*zamiast*		*czytaj*
354	2	„ „ 26	wartości historycznéj	—	wartości historycznéj ro-
360	2	„ „ 8	bywa	—	była [mansów
363	2	„ „ 38	postępowania	—	postępowych
364	2	„ „ 44	kierowników	—	kierownikiem
365	1	„ „ 36	nad arcydziełem	—	nad arcydziełami
365	1	„ „ 47	przyjmuje	—	przyznaje
366	1	„ „ 49	r. 1836	—	r. 1838
367	2	„ „ 37	spadnięciu	—	opadnięciu
370	2	„ „ 33	roty	—	rody
377	2	„ „ 54	w XVII stuleciu	—	w XIII stuleciu
378	1	„ „ 14	do niéj	—	do niego
384	1	„ „ 51	wyznaje	—	uznaje
378	2	„ „ 53	jego	—	jéj
395	1	„ „ 33	Kraszewski	—	Krasicki
395	2	„ „ 6	na niego	—	na kraj
397	2	„ „ 3	w Litwie	—	w Lublinie
408	2	„ „ 27	wieków	—	wieków średnich
413	1	„ „ 31	widzimy dużo	—	widzimy dużo, za dużo na-
413	2	„ „ 33	zmierziwszy	—	zwiedziwszy [wet
414	1	od dołu 12	epoce	—	opoce
416	1	„ „ 6	powolny	—	powabny
420	2	„ „ 33	polskich	—	poleskich
420	2	„ „ 53	wo-gospodarz	—	neo-gospodarz
421	1	„ „ 27	łyczkami	—	tyczkami
421	1	„ „ 10	naśmiewana	—	wyśmiewana
466	2	od góry 8	ożywionéj	—	ożywczéj
467	1	od dołu 20	w dyplomatycznym	—	i o dyplomatycznym
468	1	od góry 22	gdy mu	—	gdy im
469	1	od góry 17	starostwom i podsta- (rostwom	—	starostom i podstarostom
469	1	od dołu 12	podpisane	—	powołane
470	1	od dołu 17	za granicę Rossyi,	—	za granicę do Rossyi,